

Biblioteka  
Warszawska

Mf 12444

Warszawa  
1852 r.

t. 3-4





poz. Mf 12444

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1852 t. 3-4, og. zb. 47-48 (m-cVII-XII),  
sp. rzeczy

Oryg.: ZNiO sygn. 117.152

neg. Mf 12444



**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

**BIBLIOTEKA**  
**WARSZAWSKA.**

**PISMO POŚWIĘCONE**

**NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.**

**1852.**

**Tom trzeci.**

**OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.**

**WARSZAWA.**

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

**1852.**

P  
117152



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1852.

## *Materyały historyczne.*

	Stron.
Swewi są Słowianie, a Germanowie nie są wyłącznie Niemcy. Przez <i>W. A. Maciejowskiego</i> .....	1
Łatopis miasta Żywca, wiadomością historyczną o Szlązku, a w szczególności o księstwach Oświęcimie i Zatorze poprzedził <i>Stanisław Krauss</i> .....	53, 445
Wiadomość historyczna o okopach starodawnych nad Wisłą między miastem Wyszogrodem a wsią rządową Drwały, w powiecie i gubernii płockiej, istniejących. Przez <i>Wincentego Hippolita Gawareckiego</i> .	163
Rys historyczny szkoły technicznej w Krakowie od r. 1834 do r. 1852. Przez <i>Jana Pietraszka</i> b. ucznia tegoż instytutu.....	166
Wiadomość historyczna o morowém powietrzu w Warszawie w roku 1624 i 1625, przez <i>Alexandra Wejnert</i> . (Z ryciną).....	197
Wyciąg ze wstępu do dzieła: <i>Obraz Litwy</i> . Przez <i>Józefa Jaroszewicza</i> ...	393
Spominki historyczne i artystyczne: <i>Sztuki piękne za Władysława Jagiełły</i> , przy schyłku XIV wieku. <i>Muzyka, malarstwo, złotnictwo</i> . Przez <i>Ed. Rastawieckiego</i> .....	555
Regestra wydatków królewskich w Krakowie i w okolicznych zamkach, z końca XIV i początku XV wieku, przez <i>Alexandra Przędzickiego</i> .....	561

## Biografia.

Stron.

- O życiu i pismach don Leandra Fernandez de Moratin hiszpańskiego autora dramatycznego. oraz kilka słów o stanie teatru hiszpańskiego od początku XVIIIgo wieku do jego czasów. Przez *Maurycyego Halpert*..... 364

## Opisy i podróże.

- Podróż ze Szkocyi do Anglii, przez dra *T. Tripplina*. (Dokończenie).... 16  
Podróż po Francyi, przez dra *T. Tripplina*..... 292, 481

## Literatura.

- Bibliografia polska. Zbiór napisów zambrowskiego kościoła. W Warszawie. 1799. Przez *K. Wł. W.*..... 169  
Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Oddział systematów. Rogalskiego: Panowanie Jana III i Dzieje Krzyżaków. Przegląd przez *Juliana Bartoszewicza*. (Ciąg dalszy)..... 267

## Powieści.

- Wiejskie zarysy, przez *Jana Kantego Gregorowicza*. VI. Swaty. VII. Zabiegi ludzkie..... 79, 239, 464  
Legenda o Wideradzu pod Wieluniem. Przez *C. Leonowicza*..... 372  
Wieczór przy kominku. Opowiadanie przez *S. K.*..... 429

## Poezya.

- Hagar na puszczy, przez *K. U.*..... 117  
Wielki Pan. Powiastka. Napisał *Włodzimierz Wolski*..... 502

## Sztuki piękne.

- Wspomnienia koncertowe. Kellermann. — Panna Barbier-Christiani. — Mahler. — Servais. — Kossowski. — Biernacki. — Serwaczyński. — Ludwika Bärwolf. — Krzyżanowski. — Voiange. — Panny Dulcken. — Tropiański. — Małgocki. — *Libera me Domine* Quattriniego. — Święty Boże, Dobrzyńskiego. — Troschel. — Panna Danielewicz..... 566

## Bozbiory.

- Odpowiedź na Ocenę Mowni, napisaną przez p. Kudasiewicza, w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc marzec b. r. umieszczoną. Przez *Felixa Zochowskiego*..... 138, 337  
Fizyka dla niższych gimnazyów przez *Wojciecha Urbańskiego*. Lwów. 1851. Przez *S. P.*..... 154

	Stron.
Krajowe obrazki i zarysy, skreslił Leon Kunicki. Warszawa. 1852. Przez <i>K. W. W.</i> .....	563

### Nauki lekarskie.

Kilka słów o stanie dzisiejszym medycyny we Francyi, przez Dra Med. <i>Ludwika Koehler</i> .....	119
--	-----

### Nauki przyrodzone.

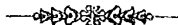
O burzach gradowych w Królestwie Polskiem, przez <i>Józefa Sapalskiego</i> ..	317
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Fizyka, przez <i>S. P.</i> .....	380
Chemia, przez <i>J. B...</i> .....	377
Historia naturalna: Zoologia, przez <i>A. W.</i> .....	177

### Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej o wystawie przemysłowej szląckiej w Wroclawiu, od <i>K. L. W.</i> .....	173
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	189, 384
Doniesienia literackie.....	191, 385, 587
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	193
— — czerwiec r. b.....	389
— — lipiec r. b.....	589

### Sprostowanie.

W zeszycie z m. lipca b. r. Bibl. Warsz. na str. 118, podpis autora poezyi:  
Hagar na puszcy, zamiast *K. W.* należy poprawić: *K. U.*



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1852.

## Materyały historyczne.

	Stron.
Hetman Żółkiewski, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> .....	1
Charakteryzowanie historyczne, w przykładzie charakterystyki Krzyżaków.	99
Wiadomość do życia Jana Tarnowskiego i Piotra Kmity, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> .....	174
Ślady prawa feudalnego w Polsce, przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> .....	175
Przyczynek do wiadomości o Jeremiaszu Falck rytowniku polskim, przez <i>Ambrozego Grabowskiego</i> .....	176
Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego. Oddział II, część IIga....	189
Kościół olkuskie. Przez <i>H. Ł.</i> .....	357
Wież Gozdowo w powiecie plockim, gubernii plockiej położona, opisana topograficzno - historycznie, przez <i>Wincentego Hippolita Gawareckiego</i> .....	367

## Archeologia.

Popielnice pogańskie pod Raszynem, przez <i>Alexandra Przędzieckiego</i> ....	574
---	-----

## Biografia.

Emilian Jenike. Wspomnienie pośmiertne. Przez <i>O. K.</i> .....	374
Michał Jerzy Mniszech, przez <i>J. Bartoszewicza</i> . .....	478

## Nauki społeczne.

	Stron.
Most rurowy Brytannia na odnodze morskiej Conway w Anglii. (Z ryciną).	275

## Opisy i podróże.

Rzut oka na Herzogowinę.....	158
Ukraina opisana powiatami, pod względem historycznym, obyczajowym i statystycznym, skreślił <i>Edward Rulikowski</i> .....	454
O uroczyskach i zwyczajach ludu pińskiego, oraz o charakterze jego pieśni, przez <i>Romualda Zienkiewicza</i> .....	505

## Literatura.

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Oddział monografii. Historia miast:— Starożytna Polska, Balińskiego i Lipińskiego. Przegląd przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> . (Ciąg dalszy).....	69
Słówko o narodowych pieśniach serbskich i nowym ich przekładzie.....	224
Przysłowia i wyrażenia od miast i wsi, zebrał <i>Tymoteusz Lipiński</i> .....	236
Dante Alighieri. I. Epoka Dantego. II. Znaczenie Boskiej Komedyi....	385

## Powieści.

Wiejskie zarysy, przez <i>Jana Kantego Gregorowicza</i> . Wieś Świątniki. VIII. W lat dziesięć. (Dokończenie).....	42
Córka poety. Powieść, przez <i>S. P.</i> .....	283
Życie i nauka. Powieść.....	422

## Poezya.

Wyjątek z poematu Izajasza Tegner'a: Frithjofs-Saga, przez <i>R. Z.</i> .....	446
---	-----

## Rozbiory.

Lucyana Siemińskiego Powieści. Petersburg. Przez <i>Włodz. Wol.</i> .....	148
Wody lekarskie szczawnickie, opisał <i>Dr. M. Zieleniewski</i> . Kraków. 1852.	152
O wpływie, jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak i leśne w ogólności, a w szczególności o owadach lasom szkodliwych, przez <i>Kazimierza Wodzickiego</i> . Leszno. 1852. Przez <i>S. P.</i> .....	156
Pisma filozoficznej treści: Wykład systematyczny filozofii przez <i>Józefa Kremera</i> . 1851. Kraków.— Historia serca i rozumu (uczucia i wiedzy), przez <i>Jana Majorkiewicza</i> . 1851. Warszawa.— Dusza uważana jako słowo, myśl, znak, przez <i>J. N. Kamińskiego</i> . 1852. Lwów.— Humor i Prawda, przez <i>Karola Libelta</i> . 1852. Petersburg. Przez <i>T.</i> ...	335
Listy Annibala z Kapui arcybiskupa neapolitańskiego, nuncyusza w Polsce, o bezkrólewiu po <i>Stefanie Batorym</i> i pierwszych latach pano-	



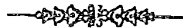
wania Zygmunta III; przetłumaczył z włoskiego i wydał Alexander Przeddziecki. Warszawa. 1852. Przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> ...	342
Kilka uwag nad rozprawą o Starożytną Polskę, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej na m. październik r. b. Przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> .....	354
Jana Wagilewicza wywód początków Słowian od Trako-Illyrów, z powodu Wstępu krytycznego do dziejów Polski, przez Augusta Bielowskiego.	528
Jan Stefan Wydźga i jego Pamiętnik, wydał Kazimiérz Wł. Wojcicki. Warszawa. 1852. Przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> .....	550
Podania i baśni ludu w Mazowszu, z dodatkiem kilku szląskich i wielkopolskich, spisał Roman Zamarski. Wrocław. 1852. Przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i> .....	558
Odpowiedź na Odpowiedź p. Żochowskiego przeciw Ocenie Mowni. Przez <i>Adolfa Kudasiewicza</i> .....	560

### Nauki przyrodzone.

Rozmaite sposoby używane celem zabezpieczenia pól od gradobić, przez <i>Józefa Sapalskiego</i> .....	119
O ogrodzie botanicznym w Krzemieńcu, przez profesora E. R. Trautvetter. Przetoczył z niemieckiego <i>Leon Tchórzewski</i> .....	170
O utworze węgla brunatnego w Polsce, i związku jego z pokładami solnymi, przez <i>H. Łabęckiego</i> .....	472
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...ę</i> .....	579

### Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Juliana Bartoszewicza</i> .....	575
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>W. H. J.</i> .....	576
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	178, 376, 581
Doniesienia literackie.....	181, 378, 582
Uwiedomienie od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.....	584
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskim za miesiąc sierpień r. b.....	185
— — wrzesień r. b.....	381
— — październik r. b.....	585





*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

# SWEWI SĄ SŁOWIANIE,

A

GERMANOWIE NIE SĄ WYŁĄCZNIE NIEMCY.

PRZEZ

*W. A. Maciejowskiego.*

---

**W** równym stosunku mają się do siebie ludy a państwa, co do zawiązku i rozwijania się swojego na drodze postępu; czyli: jednako powstaje i dalej się kształci pojedynczy a zbiorowy człowiek, jednakowo sił nabiera, słabieje i znowu się wzmacnia, wspierany i kierowany ku dobremu lub złemu przez tego, z którym, pozbawiony czulej opieki rodziców lub krewnych, wszedł w najbliższe stosunki w pierwszej części życia swojego wiośnie, i w stosunkach tych samowolnie lub koniecznością zmuszony zostając, zerwał je, gdy podrośł w rozum i siłę, i mógł już kierować się w dalszym zawodzie podług swęj woli. Jak człowiek przy pomocy człowieka wychowuje się i wykształca; tak ludy, wpływając na siebie wzajemnie, rozwijają domowe i polityczne swe życie, kierowane w tę lub ową stronę, aż do owego czasu, w którym, poczawszy się na siłach, stawiają już dowolnie dalsze swe kroki. A jak temu, co życiorys człowieka kreśli, konieczną jest rzeczą wiedzieć, z kim naprzód zostawał ów człowiek w stosunkach blizkich, tudzież z kim następnie żył, i pod jakim wpływem przechodził wskazane wyżej koleje; jak pisarz dziejów nie wywiedzie na jaw historyi ludu, nie zahaczywszy jęj o takowąż sąsiedniego

narodu, i nie zahaczając jój ustawicznie o dzieje innych ludów; tak i ja, gdym się zastanawiał nad początkiem i wzrostem polskiego narodu, musiałem się obejrzyć na lud, z którym najpierw weszliśmy w bliskie stosunki, a to wtenczas, gdyśmy po raz pierwszy wystąpili na widownię dziejów, z oznaką życia takiego, które już niejaką uwagę świata zaczęło zwracać na siebie. Opuściwszy Scytów i Sarmatów, dzieciństwa naszego surowych przewodników, utkwilem głęboko myśl swoję w Niemcach, dorozumiewając się, że naprzód z niemi przodkowie nasi głównie na zachodzie spółkowali, i w tym zostając związku, zasłynęli u starożytnego świata pod imieniem *Ligio-Swewów*; że pod tém mianem dali się pierwsi mocno we znaki Rzymianom, ówczesnym panom świata, i cios im zadali śmiertelny. Z wielką nieśmiałością wynurzywszy wtedy swe zdanie, które historyczno-prawnym wywodem politycznego i domowego życia rzeczonych Swewów głównie wsparłem, zdziwiony wielce zostałem, gdym w dziele najnowszém jednego z najuczeńszych dziś Niemców (1), toż samo znalazł na drodze filologicznój udowodnione. Tém bardziej zaś dziwowałem się temu, gdy właśnie ów uczonej przeciwne dzisiejszemu niedawno objawił zdanie. Kiedy bowiem przed kilkunastu laty, toż samo co ja, ale pobieżnie i powierzchownie, powiedziawszy o Swewach p. Wersebe, został o to mocno przez p. Gauppa zganiony, wtedy znowu jego ganiąc p. Grimm, wyrzekł: „że Niemcy a Swewy byli i są jednym i tym samym narodem (2).” Dziś atoli, jak rzekłem, inaczej twierdzi. Przytoczę jego słowa całkowicie w polskim przekładzie, z tą na czele mojego pisemka uwagą, że pragnąc ażeby jego wykład zrozumialszym był dla polskich czytelników, dopełniałem jego słowa w nawiasach. A ponieważ i niemiecki text ma nawiasy, przeto nawiasy moje położę kursywą, w niczém zre-

(1) *Geschichte der deutschen Sprache von Jakob Grimm. Leipzig, 1848.* Wszedł dotąd tom I tego dzieła. Porównaj je na str. 322—324.

(2) Porównaj A. v. Wersebe *über die Völker und Völkerbündnisse der alten Deutschen, Hannover 1826*, którego zganil p. E. Th. Gaupp w dziele: *Das alte Gesetz der Thüringer Breslau. 1834*, str. 33, uważając „że coś podobnego twierdzić, jest to samo co dzieje z gruntu obalać.” Jego znowu zganil p. Grimm w jedném z nowszych dzieł swoich, tudzież w swój mitologii niemieckich ludów, a zganil za to, „że wszystkich Germanów na dwa działy: na Swewów i nie-Swewów podzielił”, i powiedział, „że Swewów nazwa była jedną z licznych nazwisk, jakie niemieckie nosiły ludy, nie mając w sobie nic nadzwyczajnego.”

sztą nie odmieniając słów badacza niemieckiego. Po przytoczeniu słów autora, zastanowię się nad niektórymi szczegółami rozprawy jego, i co o wynikłościach stosunków życia Słowian a ich sąsiadów na Zachodzie nastąpionych myślę, objawię to w krótkości.

Rozważając p. Grimm postęp języka niemieckich ludów, tak dalej mówi: „Naraz wyjaśnia się tu znaczenie dwóch sławnych dotąd, jak miemam, niezrozumiałych nazwisk ludów, które się ściśle z wszystkimi badaniami mojami łączą. *Suevi* i *Slavi*, zdaje się jedno znaczyć. Cezar, Strabo, Tacyt, Ptolomeusz, piszą *Suevi*, Σοθήβοι, Σουθήβοι. Ale jakżeto, jeden z najznakomitszych ludów germańskich, miałżeby toż samo co Słowianie, wprawdzie spokrewnieni nam przed wieki, lecz mimo to, zawsze odróżniający się od nas, nosić miano? Objawię, co o tém myślę. Imię *Suevi* zdaje się niezaprzeczenie brzmieć po słowiańsku, i znaczyć jak się (*v* *y* *z* *é* *j*) powiedziało, wolnych (*ludzi*). Nadawali to miano Sarmatowie ludom wschodnio-niemieckim (*pod panowaniem Niemców zostającym*) sąsiadom swym, podobnie jak na Zachodzie dawali takimże Belgowie lub Galowie Germanów imię. Być może, iż później (*wszyscy*) Słowianie, albo sami przyswoili sobie to piękne miano, albo wrócili im takowe (*ich*) sąsiedzi niemieccy, i że (*znowu*) zawojowani Słowianie zaczęli nosić nazwisko, które przez dziwną jakąś ironię, znamionowało z czasem poddaństwo (*sclavi*, po włosku *schiaivi*), chociaż pierwotnie oznaczało wolność (1). Przeciwnie, z postępem czasu, Niemcy ludowe swoje miano Vandalów, Vindilów, przekształcone na Venetów, Vinidów, Winidów, zastosowali do słowiańskich sąsiadów; ale niemieccy *Suevi* zatrzymali to (*dawne swe*) imię, zgrubiwszy je tylko w gotyckim (*wyrazie*) *Suebos* (?), brzmiącym po staro-górno-niemiecku *Suápá*, po anglo-saksońsku *Suaefas*, a to tém bardziej, gdy już i po grecku pisało się Σοθηβοί, zamiast *Suevi*. Zdaje się, że nazwa *Sloveni* wzięła swój źródłosłów u południowych Słowian; właśnie bowiem oni *sloboda* mówią, a nie *swoboda*. Byzancyjczy pisarze: Prokopiusz, Agatjasz i inni, pisząc Σκλάβοι, Σκλαβηνοί, kładą *c*, które się zwolna i w ła-

(1) Zapewne wyraz (*słowiański*) *svoi*, znaczy toż, co łacińskie *proprius*, wzięte w znaczeniu *zależności*; jak i *suus* nazywał się syn w stosunku do ojca. (*Tak więc Suevi byli to niby sui. Przechowała się moneta celtycka z tym napisem, [porównaj Lelewela Etudes numismatiques et archeologiques. Premier volume. Type Gaulois, ou Celtique. Bruxelles 1841 na stronie 187] bita snadź przez Suewów, gdy nad Celtami panowali*).

cińskie wcisnęło pismo. Zkąd powstało *Sclavi*, *Sclaveni*, co jednakże pisownia słowiańska znowu odrzuciła. Nie ma pewnej zasady wywodzić nazwisko Słowian od wyrazu *slawa*, *gloria* (1), tudzież od *słowa*, *verbum* (2), nakoniec od miejscowej jakowejś nazwy, jak Szaffarzyk utrzymuje. Wszak i będący w mowie Suevi, nie nazywali się od rzeki Suevus, ale owszem rzeka ta wzięła od nich nazwisko swoje. Uwagi godną jest góra *Sevo*, *Suevo* (porówn. Mitolog. str. 337, wyd. 2), a u Ptolomeusza 6, 14, Τά σοῦηβα ορη, stojące obok ἄλανα ὄρη. Tenże 6. 5. scytyjskich Alanów, tudzież Suovenów (Σουοβηνοί) poza owemi σοῦηβα ὄρη, sadowi. Dobrze zauważył Szaffarzyk, że Ptolomeuszowi Suovenowie sąto Słowianie, wszelako nie zbliżył do siebie imion Suevi, Slovi. Dalsze kształcenie się wyrazu na-*eni-ini* (Sloveni, Slovini), przypomina rozwijanie się podobnie nazwiska (Gotów ludu, z kąd powstałi) Γετηνοί, *Gothini*. Ten stosunek (wyrazów) utwierdza téż domniemywanie się uczonych mężów, o spółkowaniu odwieczném Germanów a Sarmatów. Nazwisko, które ci nadalili tamtym, powróciło znowu do tych (*Sarmatów*) po upływie długiego czasu, lubo do nich nie ze wszystkiém wróciło, gdyż w części przynajmniej jakiejś pozostało się jeszcze ono u obdarowanych niem, (czyli u zostających pod panowaniem niemieckim Swewów). Obadwa bowiem ludy (*Sarmatowie* i *Niemcy*) podzieliły się niejako imieniem owém (*Suewi* i *Slowi*) tak, iż u nas (*u Niemców*) zyskało nazwisko Swewów znaczenie szczególne, a u naszych sąsiadów miano Słowian uogólniło się.“

(1) Wyraz *Slav* znajdujący się w złożonych imionach czeskich *Bohuslaw*, *Miloslaw*, *Radoslaw*, wyrzuca w serbskiem narzeczu ł; pisze więc Serb: *Bogusaw*, *Milosaw*, *Radosaw*.

(2) Miklosich (Radices 10) mniema, że wyraz *Slovientz*, znaczył toż samo co λόγιος, *distincta loquela praeditus*; dla odróżnienia od *Vlach*, *barbus* i od *Niemetz*, *mutus*. Nie przeczę temu, że może sobie lud jaki wyobrażać cudzoziemca sąsiada jako niemowę, jako niezdolnego mówić obcym językiem, bez szukania ztąd chluby, co natura dała; czyli bez chełpienia się z tego, że sam tylko posiada mowę ojczystą (*a jego sąsiad bynajmniej*). Trudno przypuścić, ażeby pod wyrazem *Vlach* rozumiano u Słowian *bełkota*: jestto raczej niemiecki wyraz, użyty na oznaczenie tego, który po obcemu, niezrozumiale mówi, *Walah-Gallus*. W nazwisku *Slavi* samogłoska *a* ma znaczenie staro-górno-niemieckiego *á*, a gockiego *é*; co mnie utwierdza w mniemaniu, że wyraz ten przeszedłszy do niemieckiego języka, z niego znowu przejęty został od Słowian. Później pierwotne *o* przeważyło; mówiono więc *svob* (*za svov*, z kąd *svav*, [niby *Szwob*, *Szwab*]. Przez zamianę *v* na *ł* jak dotąd polscy chłopci mówią, powstało owe *Słow*, *Slav*).

„Że się wzajemnie *Sv.* i *Sl.* krzyżowało, na to wskazują snadź wyrazy następujące: *suādus ἡδός suadvīs* (1), gdzie *sv* przeważa, a znaczy tyle, co *sl.* Tu należy porównać starosł.: *sladk'*, czeskie *sladky*, polskie *słodki*. Inne miejsce naznaczają spółgłosce *L* litewskie *saldus*, lettońskie *sālds*. Mają się one do siebie podobnie jak *dulcis* do *γλυκός*, które że są spokrewnione sobie (równie jak *γλεῦκος* i *δεῦκος*, *glubok*, *dlubok*) wątpić o tém nie można. Naodwrot przypuścić trudno, ażeby wyrazy *dulcis* i *slad'k* były sobie spokrewnione. Czy *dulcis* poszło z *udcis*, *vudcis*, *svudcis*, *sludcis*? śledzić proszę.“

„Odpowiada téż anglosaks. *suatē* vestigium, fryzońskie *swethe*, *swithe* terminus, starosłowiańskiemu *sljed* vestigium, (gdzie rozważ *sl*), pols. *ślad*, czesk. *śled*, (porównaj z tém staropółnocny wyraz *slōdi*, *callis*). Wreszcie nie należy o tém wątpić, że się jeszcze inne pokażą przykłady, na dowód owego krzyżowania się wzajemnego *SV.* *SL.* (porównaj téż *suovitaurilia* z *solitaurilia*).“

„Któryż z dwóch tych kształtów dawniejszym jest, lub się być zdaje? Ponieważ w sanskrycie są wyrazy *svapnas* i *suadus*; ponieważ wyraz *svoboda* coś szlachetniejszego znaczy i więcej się do wyrazu *svoi* zbliża, aniżeli *sloboda*; ponieważ w historycznych pomnikach *suevus* prędj, a *slavus* później występuje: powiedziałbym przeto, że *v.* (*sv*) jest starożytniejsze. Z przydechowej spółgłoski powstaje miękka, z *S.* płynie *R.* Przeciwnie, *L* jest znowu starszém od *I* lub *U*, w które, jak to romańskie, niderlandzkie i serbskie narzecze pokazuje, przeszło.“

Dotąd p. Grimm. Rozważmy jego słowa. Uderza w téj rozprawie naprzód ten szczegół, że Germanów nazwa, jak się tego w *Pierwotnych dziejach Polski i Litwy* dorozumiewaliśmy, nietylko Niemcom, lecz i Swewom owym czyli Słowianom służyła; powtóre, że Wenedów miano miało wyłącznie Niemców oznaczać, na co według tego, co w téj mierze p. Szaffarzyk szeroco<sup>1</sup> powiedział, przystać nie możemy. Lecz szczegół ten (o niemieckości Wenedów) niczém zresztą przez uczonego Niemca nie poparty,

(1) W tém miejscu robi p. Grimm odsyłacz, powołując się na stronicę 303 swojego dzieła, gdzie czytamy: w skr. (sanskryckim) *suādus*, na rodz. żeński *svādvī*, łac. *suavis* za *suadvīs*, gock. *sutis* za *suētis*, anglo-saks. *suēte*, angiels. *sweet*, staro-górn.-niem. *suozī*, nowo-górn.-niem. *süss*, gr. *ἡδός*. Czy i irlandzkie *ír* tu należy? Że sansk. *suādus* z *su* (*bene*) i *ad* (*edere*) powstało, o tém wątpię. Wyrazy *slad'k*, *dulcis*, *γλυκός* rozważę niżej (*rozważa je téż tu*).

zostawiam do rozwagi temu, który gruntownie rozważywszy go niegdyś, zahaczył nim i o nasze dzieje. Wiadomo bowiem z Pliniusza (pisał r. 79 po Chr.) i Tacyta (pisał o Wenedach w swój Germanii r. 97 po Chr.), że już w pierwszym po Chr. wieku mieszkali nad morzem Bałtyckim Wenedowie, przesiedliwszy się tu zza Karpat (1) w czasach przedhistorycznych; lubo p. Bielowski usiłuje dziś dowieść, że dopiero Trajan Cesarz rzymski przerzucił ztamtąd w przedkarpackie strony słowiańskie ludy. Potrzebie, uderzają w rzeczonęj p. Grimma rozprawie sami Swewowie, których pierwszy dał nam dokładnie poznać Juliusz Cezar (2), a po nim Tacyt, w *Rocznikach* (annales) swoich i w dziele noszącem napis: *Germania*. Dziejów ich, będących ni-by wstępem do historyi słowiańskich ludów, nowo po p. Szaffarczyku napisać się mających, dotknę pokrótce.

W czasach przedhistorycznych po dwakroć głównie wyległa przeludniona Indya, wysyłając roje mieszkańców swoich na zachód, w przerwach kilku lub kilkunastu, a może kilkudziesiąt wieków, by wdarłszy się wewnątrz Europy, nowém w niej ożyły życiem. Naprzód wyruszyły ludy występujące później w historyi pod nazwiskiem: Celtów, Scytów i Sarmatów, które usadowiwszy się na zachodzie i wschodzie, wsiąkły z czasem w masę romańskich i słowiańskich pokoleń, nie rozwinąwszy do cała swój cywilizacyi, czyli nie uzyskawszy i nie zostawiwszy po sobie nie mówię literatury, lecz nawet i piśmiennictwa jakowego bądź.

Za nimi, snadź przez Azyą mniejszą, udały się morzem ludy te, które z czasem pod mianem Słowian, a za temi w też tropy, a może wcześniej albo później, lądem przez Tataryą i Persyą postąpiwszy ku Wołdze, tak później nazwani Niemcy, pociągnęli ztąd ku Szwecyi (3); zkąd następnie, zaległszy dzisiejszą Danią,

(1) Według tego, com w téj mierze w moich *Rocznikach* i *Kronikach* str. 83 następ. powiedział.

(2) De bello Gallicó I. 37. IV. 1—4. 7.

(3) Wskazuje na to podanie, „że niegdyś wojował na Wschodzie Odin,” i „że ponad Donem leżąca dziś Rossya, *Szwecyą* się *zimną* nazywała.” Miało się rozumieć prrze to, że ponieważ Szwecyą stale zamieszkiwali pierwotnie przesiedleni do Europy tak później zwani Niemcy, przeto zaczęto Szwecyą nazywać z czasem kraj wszelki, w którym w czasach najdawniejszych ciż przesiedlecy mieszkali. Porównaj dzieło p. Kunika pod tytułem: *Die Berufung der Schwed. Rodsen. St. Petersb. 1844*. W dwóch to-mach. Zobacz I 97 następ.



posuwali się ponad morzem ku Renowi, i tak z Celtami się i Słowianami zetknęli.

Domysł mój o takiej wędrówce ludów opieram na Tacycie (1), który zza morza wyprowadza obrzędy relig. Suewów; tudzież na tej okoliczności, że gdy dalej na zachód posuwać się chciały swe-wskie ludy, wtedy zastąpiwszy im przeważający w tych stronach Galowie (Celtowie), nietylko ich do odwrotu zmusili, lecz nadto odpierali ich ciągle od Renu ku hercyńskim góróm, które téż za czasów Tacyta, głównym się stały na zachodzie krańcem swe-wskiej rzeszy, sięgającej w linii prostej ku Dunajowi rzece. Snadź w ujście rzeki téj wpłynąwszy pierwotnie tak później nazywani Swewowie (Słowianie), mieli ją odtąd w ciągłym posiadaniu, i dotąd mają. Tymczasem przez ujście Renu, w głąb dzisiejszych Niemiec, zapuszczając się owa rzesza, która niegdyś ponad Wołgą, Wołchowem i Newą, rzekami ku Szwecyi zdążyła (2), zetknęła się również w swym pochodzie z Galami. Wtedyto snadź złączona w jedno polityczne ciało tak z temiż Galami, jak i Suewami, zasłynęła po raz pierwszy pod nazwą Germanów. Świadczy o tém samo nazwisko rzeszy (*Germani*, wyraz celtycki), świadczy Juliusz Cezar (3), który o władztwie Galów w Germanii, według dawnych pomników wspomina, nie powiadając wszakże nic o tém, czy rzece Galowie wtedy lub później swój druidyzm, wielce następnie u Litwinów rozgałęziony, zaszczepili w północnych Niemczech. Atoli Swewi odjąwszy z czasem przewodnictwo w rzeszy Galom, i samych za Ren odparłszy, gdy ściągając ich coraz się dalej w głąb ich kraju posuwali, i gdy tak zetknęli się z władzącymi tu podówczas Rzymianami, zostali z czasem za powództwem tychże Rzymian nietylko z Galii wyparci, lecz nadto wyzuci z władzy nad rzeszą germańską. Władzę tę przywłaszczywszy sobie odtąd Niemcy, w długie ją wykonywali wieki. Niziej oni stojąc od Słowian w cywilizacyi, przewyższali ich tegością charakteru. Powodem tego była styczność ich ciągła z północnym barbarzyństwem, tudzież ostry klimat zamieszkiwanój od nich w Europie strefy ziemskiej; gdy przeciwnie Słowianie, w rozkosznych niegdyś nad Dunajem prze-

(1) Germ. 9.

(2) Nie mogąc iść jak Słowianie prosto na zachód, z przyczyny zastępujących jej drogę Scytów i Sarmatów.

(3) De bello Gall. VI. 24.

mieszkując krajach, i z oświeconą Grecją stosunki mając, wczesnie złagodniawszy, nie mogli mieszkających w Germanii swych spółbraci Suewów również zahartowanym ludem zasilać, jakim naodwrot swoich Niemców złodowaciała zasilala Szwecya. To właśnie ulatwiło z czasem Niemcom zwycięztwo nad Suewami, zwłaszcza po rozpadnienu się rzeszy tychże za sprawą Rzymian; po rozwinięciu u siebie feudalnych, od Tatarów snadź w przechodzie swym z Azji do Europy przejętych stosunków, i po urządzeniu sobie sprężyscie wykonywanych rządów monarszych, na czém rzeczonym Suewom, rządzącym się patryarchalnie, zupełnie zbywało. Szeroce się nad tą rozwiodłszy rzeczą w *Pierwotnych dziejach Polski i Litwy*, spuszczam ją tu z uwagi, a natomiast dotknę, jak zapowiedziałem, Swewów, i styczność ich dziejów z dziejami Niemców wykażę.

Ten z wodzów rzymskich, którego słusznie Napoleonem starożytnego świata nazwać się, godzi; ten który przekroczywszy z bronią w rękę Ren rzekę, zapuścił się pierwszy w głąb Germanii: ten mówię, wojując Niemców, usłyszał od nich o Swewach to zdanie, „że oni są jedynym na ziemi ludem, którym nikt, bogów nieśmiertelnych nie wyjąwszy, podołać nie jest w stanie, i że ich tylko, a nikogo więcej, nie obawiają się germańskie ludy (1).” Struchlał na te słowa zwycięzca Galii, nie wziął ich, jakby się zdawać mogło, za bezbożną przechwałkę, i owszem rozmyślać zaczął nad przyszłym losem swój rzeczypospolitéj, za panią wszystkich na zachodzie i wschodzie położonych krajów dotąd uchodzącęj. Aż dotąd bowiem były na ziemi dwa niejako światy: rzymski i barbarzyński, z których pierwszy panując nad narodami najucywilizowanśzemi, sięgał po władzę nad resztą ziemskiego padołu, a drugi odpychał tę władzę i wolności swój bronił, chociaż daremnie. Bo gdziekolwiek zatknęły swe orły legiony rzymskie, nikt się tam z wolnością nie wybiegał, i musiał uleż pod ich szponami, będących godłem zwycięzkich hufców plemienia, które niegdyś wykarmiła swém mlekiem wilczyca na ujarzmiaciela narodów. Teraz atoli miała się zmienić postać rzeczy. Miał świat rzymski (myślał Cezar) przejść pod panowanie barbarzyńców, i niby obumarły olbrzym, stać się puścizną mło-

(1) *Sese unis Suevis concedere, quibus ne dii quidem immortales pares esse possint; reliquum quidem in terris esse neminem, quem non superare possint.* Caesar de bello Gall. IV, 7.

dzienneżego ludu, który w cnoty i męztwo ozdobny, ochoczo występował do walki z pogromcą świata, a tém straszniejszy był dla niego, im bardziej z sił moralnych słynał. Łatwo przewidywał wódz rzymski trudność walki z ludem, który będąc jednolitym, brał się w zapasy z wojskiem, z różnych przeciwnych sobie narodów zlaném. Narody te, jak pomyślny los jednoczył, tak przeciwny mógł rozproszyć łatwo. Chcąc więc uniknąć nadal nieszczęścia, należało Rzymianom, po odparciu jakkolwiek pierwszego napadu ze strony Swewów, wziąć się do przebiegów, i raczej im, niż orężowi zaufać. Należało probować, czy się nie da zwichnąć dotychczasowego stanu politycznego swewskiej rzeszy; czyby nie można skazić obyczajów ludu, zaszczepiając w trzeźwym dotąd narodzie pijaństwo, wystawnością go i wygodami życia zarażając. I udało się to wybornie wojującym po Juliuszu Cezarze ze Swewami Rzymianom.

Na sto powiatów dzieliła się rzeczpospolita swewska, z których każdy rok rocznie wystawiał po tysiącu wybrańców do wojny, zaopatrywanych w potrzeby przez resztę pilnujących roli mieszkańców. Tych po upływie roku, luzowali w służbie wojskowej wiejscy pracownicy, a wojacy szli znowu do roli, i na stotysięczną owę gromadę wojujących pracowali spółbraci. Czoło wojska stanowiła piechota, jazda znaczyła mniej. Ta dosiadając rumaków oklep (za hańbę pocztywali sobie Swewowie używać siodeł) łatwo zeskakiwała z koni, by stawać i walczyć w szeregach piechotnych: czém właśnie najwięcej łamała rzymskie szyki, w okamgnieniu napelniając przerzedzone od ich oręża piechotników swych kupy. Taki porządek rzeczy chcąc zwichnąć, zachęcali Rzymianie znakomitych obywateli swewskich do przywłaszczania sobie królewskiej godności, przyrzekając im, jeżeli się rzecz nie uda, brać ich pod swą obronę i dać przytułek u siebie: a znowu naród swewski umacniali w wierności ku formie republikańskiego rządu, obiecując mu szanować ją, jeżeli z Rzymem trzymać będzie. W przeciwnym razie grozili, że wypuszczą na wolność trzymanego w swych prowincjach pod strażą tego lub owego zrzuconego z tronu króla, i wsadzą go powtórnie na królestwo. Taką komedią odegrał z Marobudem (słowiańskie oczywiście miano) i Kattaldą Tyberyusz, a z Wanniuszem (słowiański *Waniek*, *Wanko*) Klaudyusz Cezar; i znowu tegoż Marobuda tudzież Tudra (*Tudor*, słowiańskie miano) potomstwo osadził na tronie swewskim Trajan.

Przyczém zauważył Tacyt, że władza i potęga tych królów wpływała od Rzymian, którzy ich wspomagali częściej pieniędzmi, niż wojskiem (1).

Tego samego fortelu, by osłabiać Słowian, używali w dalszém następstwie Rzymian, byzancy cesarze i Niemcy. Panujący w VI po Chryst. wieku w Carogrodzie Maurycy mówi, że „ponieważ królikom ulegają niektóre słowiańskie ludy, wypada z polityki klócić między sobą ustawicznie królików tychże, a mających wziętość u narodu przeciągać na swoją stronę; przestrzegając pilnie, by się nigdy nie schadzali na wspólne obrady, lub nie uznali nad sobą władzy jednego” (2). Wiadomo z dziejów, że cesarze niemieccy nasuwali Słowianom nadłabańskim myśl tworzenia u siebie królików i książąt, że namawiali ich, aby republikańskie zachowywali rządy, a usuwali się od uznawania nad sobą władzy królów polskich.

Zatrwożył się wielce Juliusz Cezar, gdy mu o Swewach i to doniesiono, że oni tylko po to wpuszczają do siebie kupców rzymskich, ażeby im odkupowali zdobycz zabieraną na wojnie, surowo im zresztą zakazując wnosić do swego kraju jakiegobądź towary, a mianowicie téż nie wprowadzać wina: „gdyż, mniemali, że trunek ten osłabia ciało i zniewieściałém je czyni (3).” Z téj jego bojaźni mógł się uśmieć serdecznie znawca ludzkiego serca, skoroby, jak to uczynił Tacyt (4), zauważył „że nic łatwiejszego jak rozpoić lud młodzieńczy, i że skoro taki raz zakosztuje trunku, a mieć będzie napoju ile zapragnie, wtedy niemniej go łącno można kuflem jak orężem zwyciężyć”. I dokazali tego Rzymianie w przeciągu lat kilkudziesiąt po Cezara śmierci. Jakoż wietrutnemi się wnet stali Swewowie, i wszyscy Germanowie, pijakami. Tenże sam Tacyt, który owe słowa wyrzekł o germańskich ludach (w dziele, które r. 97 po Chr. pisał, co przypominam),

(1) *Tacit Ann. II 63* mówi: *Et Marobudus quidem Ravennae habitus, si quando insolescerent Suevi, quasi rediturus in regnum, ostendebatur.* Porównaj tegoż *Ann. XII. 29. Germ. 42.*

(2) Porównaj politykę Maurycego w moich Rocznikach i Kronikach str. 259.

(3) *Caesar de bello Gall. IV. 2.*

(4) W *Germ. 23* tak mówi: „bez przypraw i wytworu głód opędzają. Atoll w napojach nie masz taktéj miary. Dodawszy im trunku, ile zapragną, aby się popili, niemniej ich łącno kuflem jak orężem zwyciężysz” (przekład Ad. Naruszewicza).

obszernie pijatykę ich opisał, podobnież się w tym względzie, jak nasz Kitowicz (1), tudzież Ignacy Krasicki (2), o dawnych Polakach wyraziwszy. Posłuchajmy co o tém mówi (3):

„Przetrwać cały dzień i noc na pijatyce, nie masz wstydu: wszakże takowy przelej daje do zwad okazyą, i rzadko się na przymówkach bez krwi rozlania i zaboju zakończy. Bywa i to, że się podczas bankietów czynią przeprosiny, szykują małżeństwa, stanowią magistraty (urzędy), układa wojna i pokój: jakby w żadnym innym czasie ani się umysł do rzeczy potocznych lepiej nie otwierał, ani do wielkich zagrzewał. Swobodne żartów stołowych bezpieczeństwo wynurza najskrytsze tych ludzi prostych i nieobludnych tajemnice. Nazajutrz roztrzásają potrzebę, co wczoraj w pełni wyłanego z trunkiem serca ułożyli.”

Nadmienić atoli muszę, że wyjąwszy pijaństwo, w niczém zresztą Niemcy nie naśladowali Swewów. Osobliwie téż pociąg do wystawności i strojów, tudzież język swewski, znajdował u nich téż samą, co słowiański w dzisiejszych Niemcach odrazę. Albowiem sami tylko Łęczanie (Ligii) z całej germańskiej rzeszy, nosili się i mówili po swewsku. W czém nic dziwnego: gdyż tegoż samego, co oni, to jest tak późnie nazwanego słowiańskiego pochodzenia byli (4). Za czasów Juliusza Cezara nie znali Swewowie żadnych piększydeł, skórąmi się dzikich zwierząt odziewając (5): przeciwnie za czasów Tacyty pilnie chodzili około trefienia włosów (6). Co lubo według niego „nie dla ponęt miłosnych czynili, jak raczej, żeby idąc do boju roślejszemi się i okropniejszemi w oczach nieprzyjacielskich wydawali,” jednakże sama ta okoliczność, że się wielce ubiegali za tak bląhą rzeczą, dowodzi, iż musieli i około ubiorów chodzić troskliwie, i że już wówczas objawiał się u przodków naszych ten pociąg do strojów, który nas dotąd gubi.

To jednakże nie miało, jak rzekłem, u Niemców miru. Zostawili oni stroje, równie jak wiele innych a szkodliwych zwyczajów Słowianom wyłącznie, w niczém ich, prócz pijaństwa, nie naśladować. Atoli i pijatyka dawała się poskramiać, gdy władza

(1) W Obrazie Polski za panowania nam Sasów.

(2) W Przypadkach Mikołaja Doświadczyńskiego.

(3) Tacyt w Germ. 22, według przekładu Adama Naruszewicza.

(4) Tacyt Germ. 43.

(5) Caesar de bello Gall. IV. 1.

(6) Germ. 38.

rzędu w niemieckich zostawała rękach, przez którą w każdym przypadku mogli nadać taki kierunek cywilizacji, jaki im polityka doradzała uczynić. Tą powodując się, nakierowali z czasem cywilizacją tak Swewów, jak w ogóle wszystkich władzy swęj uległych Słowian, na swój sposób, tą samą obawą, co niegdyś Rzymianie przejęci snadź będąc. Wygody życia wzięła sobie ta cywilizacja za godło, czém aż do samego rdzenia narodu, do ludu mówię, przedarła się i przedziéra.

Zdziwiony wielce zostałem rozmową, jaką niegdyś miałem z parobkiem polskim około Kent, miasta w cyrkule wadowickim w Galicyi austryackiej położonego; tudzież z goralem tatrańskim, zamieszkałym we wsi Szczawnicy, z wód mineralnych słynnej. Pytałem pierwszego, kogo więcej lubi: rodaka czy cudzoziemca? Odpowiedział mi że woli Niemca, któremu dziś służy, gdyż dobrze masłem okraszone jada u niego krupy, nawet w dni postne; a przeciwnie Polak, u którego dawniej służył, kazał mu jeść w piątek jarzynę przyprawioną olejem. Drugi na toż samo pytanie odpowiedział mi, że Polaka woli, z przyczyny, że Niemcy nie jadają z olejem nawet w Wielki tydzień. Słyszącemu mi to przysły na pamięć Tacytowe słowa. Niechno (pomyślałem) zakosztuje goral niemieckiej strawy, będzie i on podobnie śpiewał, co ów parobek zpod Kent! Mniemam, że się nie myłę.

Zakończę ten artykuł uwagą, że po wielu przemianach losu, o których mi teraz mówić ani czas, ani zakres tego nie dozwala pisma, Swewowie zszedłszy na Szwabów, poszli w pogardę nie tylko u Niemców, lecz i u Słowian. Dotąd albowiem gmin słowiański nazwisko *Szwab* pojmuje szyderczo, a niemiecki bierze je dziś nawet w znaczeniu takim, jakie niegdyś do imienia *Mazur* przywiązywaliśmy. Nie zważając na to, co gmin mówi, który zawsze i wszędzie był i będzie sobie podobny, wartoby się zastanowić nad źródłem obelżywości miana, które nie tylko wzgardy nie przyniosło nigdy naszemu i niemieckiemu imieniowi, lecz nawet było i jest jego zaszczytem. Bo wiadomo z dziejów, że cokolwiek się kiedy znakomitego pojawiło w Niemczech, od Swewów to czyli od Szwabów poszło, lub zostawało z imieniem ich w blizkiej styczności. Że jeden na to przytoczę przykład: któż tego nie wie, że w okolicach Renu, a więc w pierwotnych siedzi-  
bach swewskich, porodzili się Göthe i Szyller? Dobrze ktoś powiedział, że nie tylko czujemy, lecz i udajemy wzgardę; okazując drugą tym szczególnie, których się obawiamy, lub zazdrościmy

im sławy: że obelga biorąca swój początek z przesądu, przybięra następnie pozór prawdy, i tém więcej ma wiary, im bardziej się oddala od źródła, z którego wyszła pierwotnie; a traci na wiarygodności, i znowu uronioną odzyskuje sławę, im bardziej się wyświeca rzecz, i we właściwém przedstawia światło. Dobrzeby uczynił, gdyby się kto zajął szczegółowym rozbiorem przedmiotu o który, że tak powiem, zawadziliśmy tu mimochodem. Znalazłoby się na to wiele zasobów w źródłach, które chętnieby wskazał chcącym obeznać dokładnie naszą publiczność z starożytnemi, a blisko obchodzącemi pierwotne dzieje Polski Swewami.

---

Po napisaniu tego artykułu doszedł mnie numer gazety francuzkiej z d. 6 maja r. b. (1852), pod tytułem: *Journal des Débats* wychodzącej; tudzież numer 13 *Dziennika literackiego*, obecnie we Lwowie wydawanego. W numerze gazety owój zastanowiło mnie uczynione sprawozdanie o dziele p. Dareste, świeżo w Paryżu ogłoszonym (*De la propriété en Algérie*), w którym między innymi mówi autor o własności ziemskiej, przez dzisiejsze pokolenia arabskie w Algierji posiadanej, co następuje: *Dans l'intérieur de chaque tribu, le territoire se divise en autant de parts qu'il existait primitivement de chefs de famille; mais la propriété de chaque part est indivise entre tous les membres de la famille, qui la cultivent et l'exploitent en comun. On peut reconnaître ici le type de ces communautés patriarcales qui existaient en France avant la révolution, et dont il reste encore des vestiges dans quelques unes de nos anciennes provinces, notamment dans le Nivernais* (w tej prowincyi są źródła rzeki Loary). *Chez un certain nombre de tribus, notamment dans la province de Constantine, les terres sont annuellement réparties par le cheikh entre les membres de tribus. Il est à remarquer, que le même usage, d'après César et Tacite, existait chez les anciens Germains.* W numerze *Dziennika* uderzył mnie ustęp *O mniemanej słowiańskości Suewów*, w którym bezimienny powiada autor, że z słów p. Jakóba Grimma wyżej odemnie przywiedzionych wynika to twierdzenie: „że Belgowie czyli Galowie nazwali Niemców Germanami, a Sarmatowie mianowali ich Suewami.“ Powiada dalej: „że jak Belgów i Gailów nie uważa (p. Grimm) przeto za Niemców (?), że dali im nazwisko Germanów; tak też Sarmatów (którzy w jego mniemaniu byli Sło-

wian przodkami) nie uważa bynajmniej za Suewów." Powiada na koniec: że chociaż p. Grimm wyraźnie to przyznał: „iż Swewy i Slawy zdają się być jedném i tém samym nazwiskiem“, jednakże „Suewów za Słowian nie uznał.“ Krótko mówiąc, wynika, według autora artykułu ówego ten wniosek: „że lubo Niemców nazywano Suewami (których miano za toż samo co *Slawi* bierze uczony badacz niemiecki), jednakże ci Słowianami nie byli nigdy.“

Czy tak należy rozumieć p. Jakóba Grimma, lub czy przeciwnie; czyli tak jak wyżej powiedziałem, pojąć jego słowa potrzeba?—zostawiam to rozwadze czytelników mojego artykułu. Zauważam przytém, że chociażby rzeczeni Swewowie nie byli się owem czyli Słowian nigdy nie nazywali mianem, tobym się ich i tak za Słowian uważać nie wahał; a to z téj przyczyny: że nie tyle z nazwiska, ile z instytucyj, a mianowicie prawnych, głównie wyrozumiewamy narodowość każdego ludu. Mieli zaś rzeczeni Suewowie takie, które na sam rzut oka dawały poznać, że lud używający ich nie może być niemieckiego pochodzenia, gdy instytucye jego pierwotne, zupełnie się z niemiecką nie zgadzają narodowością. Że się później ziemczyli Suewowie, temu nikt nie przeczy.

Drużyn hufce wyprowadzali do boju Niemcy, hufce rolników, i to nie, jak było u tychże Niemców, niewolaików, lecz obywateli wyprowadzali w pole Swewowie. Prawo obywatelstwa polegało u Słowian na udziale wyznaczonej sobie do uprawy roli, którą wsiami obrabiali; gdy przeciwnie Niemcy folwarkami uprawiali ją, przez osadzanych na roli niewolników kupy: sami bowiem mieli odrazę do rolnictwa. Zwyczaj Swewów dzielenia gruntów, w całej niegdyś Słowiańszczyźnie znany, przetrwał dotąd w głębi Rosyi, tudzież u ludów siedzących na rolach dzierzanych niegdyś od Wandalów, (mieszanią Niemców a Słowian będących, którzy, jak wiadomo, osobne przed wieki założyli państwo w Afryce) i rzeczonych Suewów, których władztwo w dzisiejszém królestwie Wirtemberskiém pierwotnie ukonstytuowane, wpływ swojemi instytucyami rolnemi na kraje sobie blizkie wywierało. Ztąd, wytłumaczyć sobie łatwo, zkąd wziął początek ów obyczaj dzielenia się wspólnemi gruntami, u algierskich i niwerneńskich mieszkańców dotąd istniejący, według opowiadania wyżej przywiedzonego p. Dareste. Właściwi Niemcy nie znali téj instytucyi, również jak i tak nazywanéj społecznej ręki (solidarności gmin) na której pierwotne rządy Słowian w długie



polegały wieki. Mówi wprawdzie Cezar i Tacyt o tém, że i Germanowie dzielili między siebie brane do uprawy role; aleć Germanowie nie z samych się wyłącznie składali Niemców, i jak opowiada Tacyt, nie ze wszystkiém ten sam obyczaj przy podziale gruntów, co Swewy, co wszyscy Słowianie rzeczywiście, zachowywali. Nadto, według tegoż Tacyta, późno przyszła Germanów nazwa Niemcom: dawniej służyła ona, jak się wyraża p. Grimm, zachodnio-niemieckim, to jest, jak widać z dziejów, zostającym pod panowaniem Niemców na zachodzie różnego pochodzenia ludom.

Ale z kądże się wzięli nad Renem Swewy (Słowianie), jak tu przyszli? Przyszli znad Dunaju, idąc wciąż przez kraje częścią dotąd słowiańskie, częścią z czasem zniemczone, i dopiero się tam zastanowili w pochodzie, gdzie im drogę zastąpili Celtowie. Marszrutą ich, że się tak wyrażę, są prawa, których zabytki najdawniejsze, jużto w zwyczajach prawnych Greków starożytnych (tak zwane *jus connubi*), już w ustawach niemieckich (w *lex Bojavariorum* w VI po Chr. wieku spisanej) pozostały się, mianowicie w przepisach z ręką społeczną wiążących się ściśle. Wydobędę je ztamtąd i wykażę w zamierzonym wydaniu nowém historii prawodawstw, przy czem zwrócę uwagę czytelnika na to głównie: że gdy prawa te były wprost duchowi niemieckości przeciwne, przeto niepodobienstwem jest brać za Niemców naród, który ich używał. Prawa te, częścią po zaprowadzeniu do Słowian chrześcijaństwa w niepamięć puszczone, częścią aż do XVIgo wieku, a nawet dziś jeszcze w głębi Rosyi od tamecznych włościan zwyczajem zachowywane, (znalazłszy je w pełni życia u Słowian nadłabańskich, dawnych Swewów potomków w X i XI jeszcze kwitnące wieku), naprowadziły mnie na ów wniosek o Swewów rodowości, który w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy rozwinąwszy, dopełniam je pokrótce w tym artykule, szerszy ich wykład odkładając na później.

Winienem i to zauważyć, że w końcu swego artykułu wspomniał ów autor bezimienny o anachronizmie, który co do Sarmatów popełnić miał p. Jakób Grimm. Ale niech przeczyta przywiedzione od nas (w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy VI, przyp. 6) Hermana Mülera dzieło, a dowie się ztąd o bardzo dawném niegdys w dzisiejszych Niemczech Sarmatów władaniu.



# PODRÓŻ Z SZKOCYI DO ANGLII.

PRZEZ

Orca E. Grippiuxa.

(Dokończenie).

---

## V.

Dickens mówi w jednym z najnowszych utworów: „*I have never had the good luck to be acquainted with a moneylender, either in his own hospitable mansion, or in society;*” co znaczy po polsku: „nigdy nie miałem szczęścia znać ludzi pożyczających pieniądze, ani w ich gościnnym domu, ani też w świecie.” Nie wielu literatów udzielić sobie może to świadectwo nietylko u nas, gdzie zawód literacki istnieje jak proletaryusz, lecz i w Anglii, gdzie literatura doznaje prawdziwej zachęty ze strony magnatów. Pospolicie literaci i artyści w zapale poetyckim zapominają o względach winnych temu, co oni nazywają podłym kruszcem, a co istotnie nawet w ucywilizowanych krajach uchodzi za reprezentanta pracy, zdolności, talentu i czynności; często tedy wpadają żydom i lichwiarzom w ręce, i czasem nawet przy najlepszej chęci przez całe życie z nich się wydobyć nie mogą. Nie mówię tu o biednych pseudo-literatach, o nieborakach piszących dlatego tylko, że im się nie chce światu służyć skromniejszą, zdolnościom swoim więcej odpowiadającą pracą.

Nie mówię o ludziach niewykształconych nauką, niedojrzałych długim doświadczeniem, niezdolnych ocenić własnymi oczyma żadnego odcienia świata, życia lub towarzystwa, a porywających się do narzucania bliźnim swych myśli i mniemań. Tacy

improwizowani literaci, nawet gdy im się uda zwabić czytelnika i zdurzyć go zawikłano-napuszonym stylem, maskującym ubóstwo i nieład myśli: tacy literaci srodze igrają z rozumem ludzkim, a srodziej jeszcze z własnym losem. Tacy biędacy lat kilka najpiękniejszego wieku przepartaczą w usługę jakiegoś spekulanta literackiego, ciesząc się nazwiskiem swoim wydrukowaném na okładzinie, durząc się jakąś tam sławą, która spaść może z tych okładzin; a odwykły od praktyczniejszój pracy, nie uzdolniony się do żadnego, świata pożytecznego zawodu, rachują się ze swemi siłami, ze swym talentem dopiero wtenczas, gdy czas kształcenia się przejdzie; przeklinają chwilę, w której po piérwszy raz do pisania siedli, i częstokroć (słyszałem to nieraz na własne uszy) zazdroszczą szewcowi buty szyjącemu, bo szewca *proszą* o pracę, bo szewc rękami swemi tworzy coś świata niezbędnie *potrzebnego, użytecznego*. Nie mówię o tych dzieciach próżności i próżniactwa, podrzucających się Apollinowi, igrających ze sławą jak komar ze świecą, zaczynających pisać, nim dobroć swych myśli, długim szeregiem działań sprawdzili: o nich w innym miejscu nie zapomnę. O gieniuszach także nic tutaj nie powiem; ale tu mowa o szermierzach umysłowych, wzrosłych w ciągłej walce, jaką spostrzeżenia, myśli i pomysły wypowiadają rozwijającemu się rozsądkowi; o ludziach obdarzonych bystrym jak sokoł wzrokiem, wierną jak przyjaciel pamięcią; o mężach dojrzałych w długotrwałej nauce, pojętnych, wielki przestwór wiedzy ludzkiej rozumem swym odrazu obejmujących, posiadających dar natchnienia lub téż silną, niezłamaną, niczém niezwalczoną wiarę w dobroć swego sądu, albo téż trafność dowcipu, charakteryzującego w kilku słowach to, czego inny tomem całym nie opisze. Tu mowa o literatach, umiejących nauczać bez znudzenia, zabawić z pożytkiem dla rozumu, poprawić bez rozniewiania; znających doskonale duch swego czasu, swój publiczności, nieodstępujących nigdy od zdania swego, powołującego do ogłaszania własnych myśli, a nie nękających powtarzaniem.

O takich literatach mówię, bo ci tylko są powołani i wybrani na oświecenie ludzkości swemi myślami, i ci tylko dobrą, społeczności potrzebną, użyteczną robotę wydać są w stanie.

A i tacy na nieszczęście niezawsze odbierają plony swych prac i swego talentu; i pomiędzy takimi znajdziesz, we wszystkich krajach świata ucywilizowanego, ludzi passujących się z biędą, znajdziesz ich nieraz pracujących jak bydłę w usługę

spekulującego wydawcy, którego krwią swą szlachetną karmić, bogacić muszą, a który im wymierza skąpo, niechętnie, częstokroć nawet z pogardą, cenę ich nauki, pracy i natchnienia!

Tu, w Londynie naprzykład, musisz szukać nieraz w najędniejszym zaułku, na najwyższém piętrze od tyłu, literata, którego nazwisko chlubnie jest znaném w całym kraju, którego pierwsi magnaci Anglii do swych salonów zapraszają.

A nawiasem powiedziawszy, niepłonna jest w tym kraju sympatya, okazywana przez arystokracją autorom. Szlachta angielska umie nosić godnie swe historyczne nazwiska: wie ona doskonale, że czasy bohaterstwa ustąpiły wiekom intelligencji. Sama się też doskonali w naukach, i świetność swego nazwiska nadal chce zapewnić nietylko własném ukształceniem, lecz także skuteczną protekcyą, udzielaną literatom i artystom. Bo talenta są dziś skrzydłami sławy narodów: i kto dla pięknej sławy swego narodu nie poświęca chętnie cokolwiek czasu i pieniędzy, ten prawdziwie wyrzeka się sławy swych przodków, i nie jest godnym nosić nazwiska w dziejach-słynącego.

Magnat angielski znajduje chlubę i przyjemność w wyszukiwaniu talentów, niemogących się wyjawić dla ubóstwa na nich ciężącego, i nigdy się nie wyrzeczce powinności wspierania sztuk i nauk w swym kraju, nigdy się nie ucieka (dla uchylenia się zpod zarzutu skąpstwa) do owego obłudnego pozoru: że artyści i literaci są najczęściej utopistami, pragnącemi zbudować nowe światy na zgliszczach starego, targający się na to, co dotychczas świętém było i t. d. Owszem, umie on uszanować w samój exaltacji umysłowej wpływ zapалу młodocianego, wywierany na wiarę i przekonanie literata, nie kamieniuje nigdy anatemem talentu rozwijającego się w plebejusz; lecz owszem cieszy się, że ten talent nada może plebejuszowi prawo do dostąpienia równych jemu dostojństw i godności.

Ale wróćmy do literatów angielskich, pędzących mozolne, kłopotliwe życie w owych ciemnych, brudnych zaułkach, których nie braknie w Londynie.

Nasz nowy znajomy Karol Dickens, idąc torem zakresłonym przez talent Teodora Hook, dostępuje majątku i znaczenia; a pierwotwór Dickensa, Teodor Hook, człowiek z gminu wyrwany siłą swego nieporównanego talentu, uczestnik zabaw dwóch ukoronowanych Anglików, Teodor Hook, obdarzony najmiłszym dowcipem jaki może kiedykolwiek istniał w człowieku równym

jemu bystrością rozumu, światłem nauki, żywością temperamentu, Teodor Hook umiera w nędzy, i winien tylko litości publicznej swój pogrzeb.

Teodor Hook! Znałem go. Nie wówczas, kiedy mu się szczęście śmiało, kiedy opływał w dostatki i w poklaskach najdumniejszej arystokracji ziemi, czerpał zasoby życia tak świetnie błyszczącego; ale znałem go wtenczas, gdy ciężką złożony chorobą, z niecierpliwością wyglądał śmierci, gdy mu zabrakło pieniędzy na zakupienie ulgi, gdy na swą żonę, na swe dzieci spoglądał rozpaczającym okiem, i siłą bujnej wyobraźni obrachowywał nieszczęścia spaść mogące na jego potomstwo.

Kto był Teodor Hook?—My tego nie wiemy. My najdoskonalej znamy wszystkie ramoty Pigault le Brun'a, Balzaka, Dumassów i Kocków; my nawet niezle obznajmieni z oryginalnościami systemów Fourier'a, Rollin'a, Blanca (o tyle, o ile nam potrzeba do prawienia o nich w salonach; tu w pochwalnym, tam w żartobliwym, owdzie szyderskim, w innych jeszcze miejscach zgrozą przejętym tonie); ale z literatury angielskiej, tak poważnej i zarazem miłej, znamy tylko to, co Voltaire wyśmiał z Shakspear'a, A. M. pochwalił z Byrona, i Orgelbrand kazał przetłumaczyć z Maryat'a. Przepraszam: polska płeć piękna wprowadzie na nasze, a może jeszcze więcej na swe własne nieszczęście daleko więcej wykształcona, jak płeć mężka naszego kraju; płeć piękna, mówię, umiała ocenić zasługi położone przez Lady Margan, Lady Blessigton, Miss Burney, a mianowicie przez Hoffmanową angielską, panią Edgeworth.

Ja chcę dać poznać publiczności naszej żywot mego pacjenta, autora pism, które niezmierne wywarły wrażenie, i które pozostaną na zawsze w literaturze angielskiej; literata niegdyś zdumiewającego, bawiącego swemi utworami najwięcej wymagającą publiczność, a zmarłego w nędzy. Może tą biografią niejednego zachęcę do czytania dobrych, a niejednego zniechęcę do pisania złych książek; uważałbym się szczęśliwym, gdybym tego dopiął celu.

Teodor Hook urodził się w ostatniem dziesięcioleciu ubiegłego wieku w Londynie. Synem był namiętnego muzykanta i matki wysoko wykształconej. Wychował się w sławnej szkole w Harrow, razem z Byronem i Robertem Peelem. Do ostatniego dnia swego życia wspominał z rozkoszą o tém koleżeństwie, ale téż wyznawał, że nie był pilnym uczniem. Matka Hooka umiera; on sam, wraca do domu rodzicielskiego. Urodzony w świątyni

muż, wcześniej się przejął powiewem otaczającym jego kolebkę, tworzył pieśni i sam je pod muzykę podkładał. Mając zaledwie lat 15, pisał texta do muzycznych utworów swego ojca, i brał udział serdeczny w życiu artystyczném. W wieku, w którym młody człowiek powinien najpilniej być strzeżonym i pieczołowicie kierowanym, Hook żył i bujał w kole śpiewaków i aktorów bałamucących go, przypuszczających do wszystkich zakulisowych tajemnic. Drogo przyplacił Teodor ten powabny początek swego rozwoju.

Starszy brat Teodora, Jakób Hook, już wówczas dziekan w Worcester, obawiał się, aby młody artysta tak ognistój duszy, nie zginął w gorączkowych namietnościach podobnego towarzystwa. Zawiózł tedy pana Teodora do Oxfordu, aby się tutaj sposobił na adwokata. Kiedy miał zapisać swe nazwisko na matrykule uniwersyteckiej, wice-kanclerz rzekł, zdziwiony młodocianym wyrazem twarzy kompetytora: „Czy pan zgadzasz się na podpisanie 39 praw uniwersyteckich?” — „Choć 40stu jeśli się panu spodoba”, z lekceważeniem odpowiedział Hook. Za ten zuchwały wyskok, wymierzony na znane zasady anglikańskiego kościoła, o mało co nie odrzucono suplikanta. Nie na wiele mu się przydało wybaczenie: ławka szkolna nie była stosowna dla młodzieńca, który już był zachwycił w siebie tyle pierwiastków światowego życia. Hook ucieka z Oxfordu do Londynu dlatego jedynie, żeby zakommunikować dawnym towarzyszom artystycznym plan do nowo przez niego wymyślonej farsy teatralnej, i odtąd wzgardziwszy mądrością w książkach nabywaną, oddał się namietnie sztuce dramatycznej. W przedziwnym romansie pod tytułem: Gilbert Gurney, Hook bardzo zabawnie opowiada pierwsze swe wystąpienie na deskach teatralnych w roli głównej opery, pod tytułem: „Powrót żołnierza” która była jego utworem i co do słów i muzyki. Doskonale przyjętą była ta sztuka w widowni Drury-Lane. Zachęcony tém powodzeniem Teodor Hook, w krótkim czasie utworzył ośm sztuk zastosowanych do talentu i charakteru swych towarzyszków. Hook zaczął żyć bujnie, wesoło. Przyjaciele jego do dziś dnia z zachwyceniem wspominają o radosnych chwilach spędzonych z żywym, utalentowanym, i przedsiębiorczym Teodorem. Hook był wówczas może najdoskońalszym komikiem swego czasu, przewyższającym Keana w wielu względach. Improwizował na scenie bez najmniejszego wysiłenia satyryczne ballady, zastosowane ze zdumiewającą zręcznością

do nieprzewidzianych okoliczności. Wkrótce sława jego dowcipu i talentów przeszła poza wszystkie zwyczajne obreby. Sheridan poznaje go, otwiera mu swe podwoje i wprowadza do świetnego salonu margrabinę Herford. W tym czasie król Jerzy IV szukał zwykle wytchnienia po pracy i kłopotach w salonach szlachejnych lordów; Hook tego dostępuje zaszczytu, że mu był przedstawiony. Po wieczerzy, podczas której młody artysta utopił w szampańskim winie pamięć wysokiej godności swego współbiesiadnika i zabawiał towarzystwo swym głębokim, porywającym a miłym dowcipem, król powiedział: „Mister Hook, pragnę pana częściej widzieć i słyszeć.” To życzenie stało się dla wszystkich magnatów Anglii rozkazem; Hook stał się najmłodszym w Londynie człowiekiem, duszą najświetniejszych towarzystw. Był to zwycięstwo zaiste bardzo chlubne talentu i osobistej wartości, nad dumą najpyszniejszej arystokracji świata; ale to zwycięstwo nie zachwiało ani na chwilę mocnej głowy młodego i biednego jeszcze artysty. Zręcznie umiał się znaleźć w najdostojniejszym towarzystwie; usłużnym był bez nadskakiwania, skromnym bez przesady, a nigdy, nigdy nie przyjmował podarunków. Umiał cenić swój talent, i był również szlachejnym, jak najszlachejniejszy z jego współbiesiadników.

Król Jerzy IV dobrym był i wspaniałym panem. Dowiedziawszy się, że położenie finansowe Hooka nie było świetnym, wstawił się za nim u ministrów i otrzymał dla młodego protegowanego urząd kasyera na wyspie świętego Maurycego, z pensją 2,000 f. szt. rocznie. Nie dla niego była ta posada: on nigdy dobrym dla siebie samego nie był kasyerem.

Hook jednak pojechał do kolonii, tam został za tygodni kilka duszą towarzystwa i rzucił się na oślep we wszystkie rozkosze, jakie mieć można w osadach. Lady gubernatorowa była młodą, prześliczną kobietą; lord gubernator starym grzybem, a Teodor Hook artystą umiejącym cenić wszystko co piękne. Odwołują gubernatora do Londynu, a on zmuszony zdać rachunek ze swych rządów, naznacza kommissją do przejrzenia ksiąg swego kasyera. W kassie Hooka znaleziono 20,000 f. szt. deficytu. Druga kommissya wyznaczona; oskarżyciel nowy wezwany. Ten powtarza dawne oskarżenie, ale przy śledztwie wikła się zupełnie i gubi, bo go przekonano o fałszywe przypisanie czynu. Ale nie baczono na to, że oskarżenie okazało się fałszywem; śledzono jeszcze dalej, i znaleziono niedokładności i brak w kassie. Hooka

aresztowano i odwieziono pod sąd do Anglii. Prokurator generalny zawyrokował, że jakkolwiek Hook niedbale prowadził rachunki, nie zrobił jednakże nic takiego, za coby go kryminalnie ściągać można było. Brakło jednak w kassie 12,000 f. szt.

Hook aż do ostatniej chwili życia swego utrzymywał, że wyrok ten był niesprawiedliwym, że brakło w kassie tylko 9,000 f. szt., ale nigdy wyjawić nie chciał, gdzie się uroniła tak wielka summa. Sąd zawyrokował, że Hook winien, nie za utajenie lub zabranie pieniędzy, lecz za nieprzebaczone niedbalstwo. Gdzie się podziały brakujące pieniądze? Hook wprawdzie tracił wiele na wyspie świętego Maurycego, trzymał wyścigowe konie, liczną służbę, dawał obiady; ale znowu podczas śledztwa dowiódł, że na wyścigach wygrywał bardzo znaczne summy, mogące pokryć wszystkie jego wydatki.

Kiedy z owęj niby świetnej posady powrócił Hook do Londynu, miał całego majątku dwa luidory. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak wziąć się po dawnemu do pióra i zarabiać głową na swe utrzymanie. Najął sobie skromne mieszkanie i tam niewiele się troszcząc o wielkich ludzi, którzy go dawniej do siebie wabili, żył otoczony niewielu towarzyszami młodości. Około tego czasu (r. 1824) Walter-Scott przybył do Londynu, był zachwycony niewyczerpanym dowcipem i miłą wesołością Teodora Hook, i ułatwił mu osiągnięcie głównego redaktorstwa ważnego organu Torysów, pod tytułem: „John Bull.”

Szło tu głównie o pretensye królowej Karoliny. Wróciła ona na ziemię brytańską, domagając się praw i honorów należących jęj jako królowej. Stronnictwo Whigów wspierało jęj roszczenia. Zjawienie się John Bulla narobiło hałasu, jakiego dotąd żadne inne w Anglii pismo peryodyczne nie sprawiło. W nięm, Whigi dotąd napadający, ujrzeli strasznego przeciwnika: i w samej rzeczy, trzeba było mieć wiele humoru, śmiałości, aby zwyciężyć stronnictwo, które walczyło wszelkiego rodzaju bronią, a które wspierała wymowa Broughama i Denmana. To tęż Hookowi należy się zupełna sława porażki Whigów. A co najdziwniejsza, że długo ani się domyślano, zkąd lecą te pociski zjadliwe. W końcu jednak wpadnięto na ślad. Tymczasem ciągnęła się przeciw Hookowi sprawa, wytoczona przez rząd W. Brytanii za niedbalstwo w pełnieniu obowiązków kassjera. Wyrok nareszcie zapadł: Hook skazany na dwa lata do więzienia. Ten areszt dla niego tak srogi, bardzo był korzystnym dla literatury angielskiej; bez niego kto wie, czy-



by Hook wirem światowości zagłuszony, nie był zakopał swego świetnego talentu. Tu w więzieniu wydał sztukę dramatyczną pod tytułem: Jastrzębie i gołębie, i kilka romansów. Sława tych utworów przeszła wszelkie oczekiwania autora. Od roku 1825, w którym wydrukował pierwszy oddział swoich opowiadań: „Sayings and doings”, aż do śmierci, to jest w przeciągu 15tu lat Hook wydał 38 tomów powieści, zawierających prócz wymienionych utworów: Pamiętniki komedyanta, Życiorys oficera sir Dawida Bird, Makewell, Córkę pastora, Gilberta Gurney. Urodzenie, Ślub i śmierć lig Brega, i prześliczną powieść pod tytułem: „Love and pride” (Miłość i duma). Za temi utworami idzie zbiór powieści pod tytułem: „Precepts and practice” (teorya i praktyka). Ostatni jego romans nosi tytuł: „Ojcowie i synowie”, nad którego korektą sam pracował jeszcze na godzinę przed śmiercią. Oprócz tego napisał Hook niezmierne mnóstwo artykułów, ballad, pieśni rozrzuconych w kilku dziennikach, a o zebranie których, Anglicy teraz głośno się dopominają.

Wypuszczono nareszcie Hooka z więzienia *by the benefit of the act of insolvency*, jak się Anglik wyraża, co znaczy: dobrodziejstwem prawa niewypłacalności. Odtąd zaczyna się nowa epoka jego życia. Pisma jego przynosiły mu znaczny dochód: jeden John Bull czynił mu więcej jak 2,000 f. szt. (do 90,000 złp.) rocznie. Tyleż prawie przyniosło mu pierwsze wydanie jego Opowiadań i powieści. Gdyby był miał choć trochę oględności na przyszłość, to przy takich ogromnych dochodach mógłby był spłacić owe 12,000 f. szt. winnych rządowi, inne długi i jeszcze zebrać kolosalny majątek. Miał wtenczas zaledwie 34 lat, zdrowie silne, humor ciągle najlepszy. Ale gdzie tam! Hookowi i na myśl to nie przyszło. Po wielu latach pracy i nieszczęść myślał tylko o tém, jakby zapomnieć owych ciężkich dni i korzystać z tak pojętnej terażniejszości. Przyszłość nie a nie go nie obchodziła. Znowu zaczął wchodzić w towarzystwa, zpośródka których tak długo był wyłączonym. Sława jego, miły i zabawny sposób opowiadania, a do tego doskonale pańskie maniery, otwierały mu wszystkie znakomite salony. Hook wylewa się całkiem na rozkosze i zbytek, żyje wystawnie, trzyma konie wyścigowe, ekwipaże, zapisuje się na członka wszystkich arystokratycznych klubów, trawi z lordami, ministrami i książętami całe nocy za zielonym stolikiem, a przytém i o romansach nie zapomina. Hook żył sposobem, który literatowi potrzebującemu przedewszystkiém obco-

wania z samym sobą, nigdy nie może przynieść ani spokoju, ani niezależnego bytu. Ale na nieszczęście! częściej znajdziesz w literacie płochą próżność, jak szlachetną dumę. Literat powinien być słońcem, które przyciąga magnatów, a nie ich trabantem.

Wkrótce rozchody Hooka przewyższyły jego dochody, chociaż te ostatnie zależały prawdziwie od jego własnej woli. Już znowu piętrzą się długi około widnokregu genialnego, wesołego, a przecież tak próżnego literata. W świetnym towarzystwie, które czarował Hook swoją wesołością, nie domyślano się nawet, co się tam działo w głębi jego duszy, albo też może udawali, że się niczego nie domyślają; niejedni może z bogatych panów widząc Hooka tak wziętym w modnym towarzystwie i zazdroszcząc mu tej wziętości, cieszył się już naprzód z przyszłego zajścia talentu poza obłoki kłopotów pieniężnych. Hook żył w ciągłej walce z nieubłaganymi wierzycielami; do tego naciskany przez księgarzy wydawców, którym dawał zobowiązania przechodzące jego siły, pracował pospiesznie, wyczerpywał gorączkowym nateżeniem swą wyobraźnię, nareszcie szukał w kieliszku sił, odetchnienia i natchnienia, ale napróżno: każdy dzień odnawiał jego męki, wierzyciele znów grożą więzieniem.

Gdyby kto wydał dziennik Hooka, dowiedzielibyśmy się wielu smutnych tajemnic. Czerpiemy z niego następujący ustęp, charakteryzujący niespokojny i dolegliwy żywot autora. Jednej zimy, na kilka lat przed swą śmiercią, Hook zostaje zaproszonym do pewnego lorda na zamek wiejski. Zebrało się tam liczne i świetne towarzystwo. Hook był jedynym między niemi plebejuszem. Co czwartek musiał się on porozumiewać osobiście ze swoim drukarzem o numer gazety, mający wyjść w sobotę. Przez czas pobytu swych świetnych przyjaciół na polowaniu, Hook ukradkiem napisał artykuł. W środę wieczorem, kiedy wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, on znowu pocichutku oddalał się, wsiadał na rozstawne konie, i nocą pięćdziesiąt mil angielskich pędził do Londynu, porozumiał się z drukarzem, i tej samej nocy wraca na wieś, ubiera się i schodzi wraz z innymi gośćmi na śniadanie, przy którym, po takim znękanju, zwykle jeszcze więcej bywał zajmującym. Podczas polowania, Hook korzysta ze zgiełku, zsiada w lesie z konia, i znów pisze artykuł. Obiad następuje. Literat opowiada tysiąc awantur, które mu się niby miały wydarzyć podczas polowania. Wieczorem gra. Hook zgrywa się co do grosza, i gdy inni używają spoczynku, on znów pędzi

pocztą do Londynu, pożyczą na najokropniejszą lichwę kilkaset funtów szterlingów, wraca na wieś, i wieczorem znów ani grosza nie posiada. Takie było życie syna muzykanta.

Po powrocie z wyspy Śgo Maurycego, Hook zawiązał bardzo blizkie stosunki z osobą młodą, która dotąd bardzo cnotliwe i pracowite prowadziła życie. Jój miłości, sam to wyznaje, był jedynie winien spokojne a szczęśliwe chwile swego życia. Ale Hook i tu nie jest bez winy: nie ośmielił się on dać swego nazwiska téj dobrej istocie, która została matką jego dzieci. Wszędzie i zawsze ścigały go o to srogie wyrzuty sumienia, lecz i te rozbijały się o próżność. W wielu miejscach jego dzieł znajdziesz odbicie zgryzot, których musiał doświadczać autor z przyczyny własnych błędów. W czułych słowach wystawia on nieraz niedolę kobiety, która ślepo wierzy przyrzeczeniom niesumiennego mężczyzny; a wydarta z towarzystwa, potem z niego wyrzucona, pędzi dni swoje w samotności, w kłopotaniu się o dzieci, gdy tymczasem uwodziciel nie śmie jawnie wyznać, że jest mężem *de facto* kobiety, która zawierzyła jego honorowi. Hook maluje przesłicznie skromną i niewinną miłość swoich bohaterów i bohaterek, i z jakąś rozrzewniającą lubością rozwija myśl, że mężczyzna wtedy tylko może być szczęśliwym, kiedy się ożeni, bo pracuje dla téj, którą najwięcej kocha, której powierzył honor swego nazwiska, której miłość przynosi mu pociechę w nieszczęściu, a szczęście podwaja. „Ale—pisze dalej Hook, tak jak gdyby był echem swego własnego sumienia — ale takato nasza natura; śmiejemy się z błędów i z wad drugich, które w porównaniu z naszymi są pięknościami; ganimy i potępiamy w naszych znajomych to, co sami robimy codziennie. Myślimy, że nasz czyn jest wyjątkiem od prawidła ogólnego, jest czémś najzupełniej wyjątkowém; uważamy się za nieszczęśliwą ofiarę okoliczności, jeśli wpadamy w tę samą niedolę, za którą dopiero co innym kazanie prawiliśmy.”

Tylko próżność pociągnęła Hooka w błyszczące bogactwem towarzystwa. Zapomniał on o tém, że to samo towarzystwo, tak niestosowne do jego stanu i położenia w świecie, koniecznie musiało pozbawić go cichego, domowego szczęścia i zatruć spokojność duszy. Drogo zapłacił za tę próżność, tak niezgodną z polem jego gieniuszu i poprostu powiedziawszy, tak niegodną jego powołania i wyższości umysłowej; bo jeśli człowiek posiada-

jący wyższość umysłową nie pozna się na sobie, nie uczi siebie samego i ofiary składa jakiejś innej wyższości: wówczas zawód literacki stanie się źródłem nieprzebranym zawodów i poniżeń. Minęły już oddawna czasy, w których talent prawdziwy, raz wyrobiony, raz poznany, tak jak talent Hooka nim był, potrzebował pożyczać świetności od jakichś tam stosunków lub styczności historycznie brzmiących. Nie chcemy przez to ganić tego, że Hook wchodził pomiędzy znakomitości angielskie: boć on sam był bardzo głośną znakomitością; ale mu przebaczyć nie możemy tego, że tak wielkie ponosił ofiary, żeby żyć na równi z ludźmi, którzy tylko majątkiem imponować są w stanie. I to go też nareszcie najzupełniej zgubiło: sechł rozum, schło serce Hooka w towarzystwie tak drogo okupionym magnatów. Długi się piętrzyły, wierzyciele niecierpliwili, kłopoty i zgryzoty czepiły się aż pierwiastków życia. Przyszła niemoc i okrutna choroba wątroby i serca; trzeba było pożegnać się po raz ostatni z zabawami, ze zgiełkiem życia światowego, i w miłości srodze skrzywdzonego anioła domu, szukać pociechy.

I niedostatek wkroczył do domu, którego już nasz literat opuścić nie mógł.

Przy końcu swego życia Hook oddał się błogiej nadziei, że stronnictwo, które on tak wiernie i z takim wysileniem bronił, raz przyszedłszy do steru rządu, wydzwignie go bojną nagrodą z odmetu. Ale zapomniał on, że i w tym względzie położenie jego było wyjątkowym: skarbowy dług wiązał jego protektorom ręce. W czasie zarządów sir Roberta Peela, lord kanclerz hrabia Jersey chciał mianować Hooka inspektorem teatrów: była to jedyna posada, zgodna z wyjątkowym położeniem jego; ale i tu znalazła się przeszkoda. Miejsce to było zajęte przez starożyjaciela Hooka, przez Coalmana. Minister liczył na to, że starzec sam weźmie uwolnienie od tych obowiązków; ale Hook nie chciał przyjąć pod tym warunkiem żadnej posady. Szlachetna to i zaszczytna dla serca jego bezstronność. Zresztą przewidywał swój blizki koniec, i ostatnie chwile życia chciał strawić w honorze swego talentu.

Wówczas, gdy świetni, tytułowani magnaci zapomnieli wesołego uczestnika zabaw, od dwóch już lat złożonego niemocą; wówczas, gdy bięda zajrzała swą szkieletową twarzą do domu niegdyś tak gościnnego, a w którym nic już nie pozostało, co by można uważać po śmierci właściciela za relikwią, mogącą

być drogo sprzedaną miłośnikom ciekawości, jak będzie po wszystkim; wówczas, gdy i lekarze, dawni przyjaciele Hooka sprzykrzyli sobie chodzić do pacyenta, którego choroby żadna siła ludzka już zwalczyć nie mogła: wówczas ja, wygnaniec, cudzoziemiec, sam z nędzą walczący, poznałem mego druha Teodora Hook. Dickens mnie do niego przyprowadził. Hook mnie polubił od razu. Umysł jego jeszcze był rzeźwym i potrzebował sympatyj; znalazł też w mém sercu, w mej duszy, szczerą, serdeczną odgłos. Godzinami całemi rozmawiałem z mym pacyentem skoro bóle przestały, i dawniej bystrości rozumu, dawniej nadobności charakteru wrócić na chwilę pozwoliły. Dane mi było mieć tę zasługę, że dzieci jego mogą poszczycić się jego nazwiskiem, że jedna z jego córek wyszła jeszcze przed śmiercią ojca za człowieka, umiającego pełnić chlubnie obowiązki pokrewieństwa względem rodzeństwa swój żony.

Tój agonii tak bolesnej, w pamięci mej na wieki pozostałej, towarzyszyłem tygodni kilka, aż do jej końca. Wszystkie troski Teodora Hook, ja wspólnie z jego rodziną dzieliłem, w me łono przyjąłem, i jego zmartwienia, jego bóle uśmierzałem.

Umarł nareszcie meteor świecący tak długo nad wielkim światem angielskim, i zaledwie zamknął oczy, skarb zabrał całe jego mienie. Ze sprzedaży książek, pism i małej ilości niezbędnych mebli, zebrano 2,500 f. szt.; ogromną summę, przewyższającą 10 razy wartość istotną przedmiotów.

Po śmierci przyjaciela ożywia się i uczucie litości w niejednym sercu, które na śmierć jego obojętnie spoglądało. Otworzono składkę na dobro familii i hojnie jej dopomóżono. Z wielu jednakże panów i dygnitarzy, którzy najwięcej z życia i pracy Hooka korzystali, bardzo mała liczba wspomniała o nim, gdy go już na świecie nie było. Jeden tylko król hanowerski dał do składki 600 f. szt.

Tak skończył życie człowiek, z wielu względów znamienity; który, gdyby był wyżej się cenił, byłby zarazem i znamienitszym jeszcze i szczęśliwszym. Łagodny, uczciwy, szlachetny, nigdy z swój własnej winy nie stracił przyjaciela. Żarty jego były tak delikatne, powiedziałbym miłe nawet, że nigdy nikogo nie obrażały i nigdy go z nikim nie poróżniły. La-Bruyère powiada, że zwykle tego, kto bawi, ludzie nie lubią; ale widzieć Hooka i nie lubić go, było niepodobieństwem. Łagodność swoję przeniósł on i do polityki. Chociaż wyrok, który Hook przez całe życie uwa-

zał za niesprawiedliwy, był wynikiem najbezpieczniejszej intrygi, kilka razy zapewniał on jednak w swoim dzienniku, że przebacza wszystkim, których uważał za swych prześladowców. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że w napadach swoich na Whigów, nigdy nie szedł za jakąś osobistością lub nienawiścią osób, ale wszędzie i zawsze występował jako człowiek wierzący silnie w zasady swego stronnictwa. Jak wielu innych, umiał on jeszcze lepiej mówić niż pisać. Jego improwizowana humorystyka, jego szczera, niepowściągnięta wesołość były tego rodzaju, że wydawało się, jak gdyby zabawiając drugich, sam sobie tém przyjemność sprawiał. Nikt w całej Anglii nie umiał tak opowiadać jak on: jednym wyrazem szkicował charakter; jednym ruchem dotykalnie pokazywał położenie rzeczy lub osoby. Gdyby był chciał tylko, byłby największym w świecie aktorem, artystą. Jako pisarz, Hook posiadał żywą wyobraźnię, najłatwiejszą humorystykę, styl energiczny, bystrą przenikliwość i smak wykształcony. Niektóre jednak jego utwory zdradzają pośpiech, z jakim były napisane, a w komizmie często przesadzał i wpadał w karykaturalność. Mimo to wszystko, nikt tyle nie zrobił co Hook pod względem opisu obyczajów swego czasu; a jako żurnalista, jest niezaprzeczenie pierwszym. John Bull miał wprawdzie przesady starego thoryzmu, ale zawsze zostanie wzorem parlamentarnych dyskusyj. Wpływ jego był nadzwyczajny!

## VI.

W pierwszej części tego dzieła oddałem sprawiedliwość latu londyńskiemu, w sposób dla klimatu angielskiego bardzo pochlebny. To mi daje prawo mówić bez ogródki i sądzić z bezstronnością o reszcie pór roku. Coś szkaradniejszego jak jest druga połowa jesieni londyńskiej i cała zima, nigdy w mém życiu nie widziałem. Zimno wprawdzie rzadko dochodzi do niezwykłego stopnia, np. do 7 lub 8 stopni; ale ciągłe ulewy, błoto, a przede wszystkim mgły gęste i ciężkie, robią z zimy coś prawdziwie nieznośnego, w żadném inném mieście niedoświadczanego. Słońca nie ujrzysz nigdy ani odrobiny, żebyś patrzył przez teleskop długi na milę i przez szkła wielkie jak szalone koło maszyny. Mgły tak zaciemniają powietrze, że nieraz w południe do mieszkania trafić nie zdołasz; ciemność cię otula jak gdyby płaszczem

siwym i wilgotnym: żadna lampa, żadne światło najmocniejsze tej ciemności rozpędzić nie zdoła. Ludzie przewracają się na trotoarach jeden o drugiego; złodzieje wówczas szczęśliwi, bo żadne środki ostrożności, żadne *police-meny* nie pomogą.

A jak okropne to powietrze, które naraz z mgłą w płuca wciągasz i które się przez najszczelniej zamknięte okna, przez kominy bezustannie dymiące do wnętrza domu wkrada! Jest jakiś smak metalowy, surowy, niewygodnie łechcący w tém powietrzu.

Tyle już rozbiérano rzeczy, a jeszcze żaden chemik nie wpadł na myśl zrobić analizę mgły londyńskiej. Jestem pewien, że na 100 części powietrza, znajdzie się na wagę przynajmniej 30% pary wodnej, kwasu węglanego 15%, gazu wodorodno-węglatego 6%, węgla kamiennego w pyłku do 15% i jakiejś jeszcze innéj, dotychczas może nieznanéj a bardzo szkodliwéj substancyi, także bardzo wiele. Przymót stosunek kwasorodu i azotu w skład powietrza wchodzący, także musi być zmienionym.

Zastraszające były skutki tego powietrza na organizm. Wszyscy ludzie kaszleli, ale przedewszystkiém cudzoziemcy, a pomiędzy niemi może najbardziej Polacy: bo ci najmniej posiadali sposobów zastąpienia się wygodném mieszkaniem lub stosownym ubiorem od wpływu szkodliwego powietrza.

Raz, byłoto właśnie jednéj niedzieli około południa, wracam pokończywszy me wizyty, otulony nieprzejrzaną mgłą do domu. Ciągłe znoje, bezustanne umęczenie już mi się zaczynały dawać we znaki. Dzień cały będę mógł pracować w domu, rzekłem do siebie uszczęśliwiony, że nic nader naglącego nie zastruwało mi spokojności. Nawet na obiad nie pojędę: wolę się głodzić, bylebym mógł swobodnie pracować.

A głodzić się musiałem, bo w niedzielę angielską wszystkie sklepy zamknięte i żadna służąca nie śmie iść przynieść obiadu z traktyerni. Mój gospodarz wiele dbał o *decorum* niedzieli.

Siedzę tedy przy pracy i patrzę czasem w tlejący się *fire side*, aby w widoku rozgrzewającego ognia, zapomnieć o dokuczającym głodzie.

Wtém puka ktoś do pokoju.—*Come in*—wołam. Pakuje mi się do stancyi majtek jakiś już podeszły i prowadzi za rękę.....oczom mym nie wierzę, ale prawdziwie to on! Majtek prowadzi za rękę pana C.....skiego, kolegę mego z uniwersytetu królewieckiego, ubranego w surdut studencki niemieckiej mody z białego piaskowego koloru, wyszywany pętlcami i okręcony sznurami

naksztalt czamarki, nakrytego ową studencką czerwoną czapeczką, wielką jak spodek od filizanki, przyklapniętą, dającą głowie podobieństwo do łebka zapalki chemicznej.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Co ty tu robisz C...ski? — krzyknąłem zadziwiony, strwożony.

Ale musimy zapoznać czytelnika z kolegą C...skim. W wszechnicy królewieckiej istniały trzy stypendya, ufundowane przez jednego z Radziwiłłów dla trzech Litwinów, poświęcających się teologii protestanckiej. Co cztery lata wysyłało tedy z Litwy do Królewca trzech uczniów, którzy uzyskali stopień *dojrzałości* w gimnazyum słuickim; a gdy ci stopień kandydatów teologii otrzymali, wówczas wracali do ojczyzny i dostawali posadę pastora, inni zaś na ich miejsce przybywali.

Tak coś z pół roku przed moim wyjazdem z Królewca, panowie Kunczew... i Paszkiew... wrócili do Litwy, pan Kurnat... pozostał złożony chorobą, na którą później umarł, a panowie Nat.... i Cer.... przybyli na uniwersytet.

Pamiętam ich jak dzisiaj. Nat.. dobry bardzo człowiek, nie był już młodym na poczynającego studya akademika, miał bowiem lat ze 30. Nosił wielką śpilkę szyldkretową wyobrażającą motyla w naturalnej wielkości, i bardzo był przywiązany do téj ozdoby, mówiąc, że to wielka myśl leży w tym motylu szyldkretowym.

Pan C... zaś młodziuchny, ledwo co z dzieciństwa wyrosł; rumiany był na twarzy, i spoglądał na wszystkie rzeczy z dziecinnym, zadziwionym wzrokiem.

Wielka była bięda z zapisaniem nowoprzybyłych kolegów do uniwersytetu i do fakultetu. Żaden z królewieckich profesorów po polsku nie umiał, a nowo przybyli teolodzy ani rusz po niemiecku i ani słowa po łacinie. „Jakżeż ich mogę zapisać w poczet uczniów, kiedy przed zapisaniem do rzeczypospolitej literackiej, winienem od rekwirujących odebrać deklaracyą, że ich obznajmiłem z prawami uniwersytetu, i że się chcą do nich pod karą relegacyi zastosować. A tu nie można się porozumięć z temi panami” rzecze do nas zakłopotany prorektor. Ale Bóg przyszedł w pomoc. Pomiedzy professorami był jeden superintendent i radca konsystorza *Rheza*, który umiał po łotyszsku i litewsku, i języków tych znajomość religijnie pielęgnował. Litwini dalejze tedy *kalbajaty dzianaytys* i *Litwos gieros*, i tak mogli się porozumięć; podpisali deklaracyą i zostali obywatelami rzeczypospolitej literackiej.



Pan N. wziął się do nauki języka niemieckiego, bo bez niego zrozumieć nie sposób wykładów w uniwersytecie niemieckim. Pan C...zaś młody, niedoświadczony: poeta, czas przepędzał na klejeniu wierszyków polskich i litewskich o skowroneczku, o myślach jeżdżących na obłokach, o miłej Wili i o księciu Kiejstucie, bo się w nim dosyć niespodzianie poetycki talent odkrył.

Wyjeżdżam z Królewca i zostawiam mych Litwinów zatrudnionych zacięciem: jednego literaturą niemiecką, drugiego kształceniem ducha i serca na wzorach poetów ojczystych.

Półtora roku mija. Nat..... już rozumieć zaczyna odczyty uniwersyteckie; Cer.... zapisał ryzę papieru piosnkami o wiosnie, o nadziei, o myślach, duszkach i o Witołdzie. O teologii myślał tyle, ile don Quichotte o maszynach parowych. Szlachetną zażrany żądzą obdarzenia ludzkości płodami swęj poetyckiej rzewności, wiedząc przytém, że drukarnia polska od dawnego czasu w Królewcu nie istnieje, porzuca teologią i swe stypendyum (to jest 300 talarów rocznego wsparcia na 5 lat wyznaczonego), pożyczka, zastawiając co tylko posiada 10 talarów, i wzięwszy ryzę zapisanego więrszami papieru, dwie koszule i cygenhajner, puszcza się piechotą z Królewca do Hamburga, to jest na mały spacer długości 160 mil geogr.

Podróżuje od pastora do pastora: pastorowie nakarmią, przemocują i pobłogosławiają, ale dalej nie odsyłają, bo koni nie mają, a pieniędzy nie pożyczą, bo mają żony i dzieci.

Staje kolega C. w Hamburgu, coś we dwadzieścia dni po wyjściu z Królewca, bo nogi miał godne apostołów, ale w kieszeni próżnia. Dészcz okropny i zimno; ale to nic nie zraża naszego podróżnika. Widzi w Cuxhaven parostatek angielski dążący do Londynu i gotowy do wyjazdu. Korzystając ze zgiełku i mgły, pakuje się z bulwaru na statek, chowa się w nim pomiędzy paki i mantelzaki pasażerów na pomoście rozstawione, i tam w najlepsze zasypia, podłożywszy pod głowę *ryzę* swemi poezjami zapisaną. Statek kotwicę wyciąga, koła go unoszą na falach Elby i ślą na wody oceanu. Majtkowie zaczynają porządkować pokład, znoszą paki do wnętrza statku, i znajdują naszego poetę w wyszywanym surducie, w czerwonej czapeczce, z cygienhainrem przy boku i ryżą papieru pod głową. Budzą go surowe i brutalskie Albionu syny, budzą go w języku angielskim, i nie wiem w jakim kolorze. Kolega Cer.... angielszczyzny nie rozumiał; zaczyna wysłowiwać się jak może po niemiecku. Sprowadzają go do kapitana. Ten

burczy i domaga się, grożąc i klnąc, zapłaty za drogę.—„Pieniądzy nie mam, ale oto adres przyjaciela mego rodaka i kolegi mieszkającego w Londynie,”—odpowiada jak może łamaną niemiecką *studiosus theologiae* i podaje *mój* adres. Uspokaja się za pomocą tłumacza kapitan. Cóż miał robić? przecież nie mógł wyrzucić biédaka w morze; owszem, widząc go schudłego, zgłodniałego, z pieniędzy ogołoczonego, żywił go nawet, prawda że moim kosztem, a za przybyciem do Londynu, kapitan parostatku oddał poetę w ręce najstarszego majtka, sławnego psa morskiego, i takim sposobem przyszedłem do szczęścia oglądania u siebie mego dawnego kolegę uniwersyteckiego.

— Winienes pan kapitanowi 3 funty i 10 szylingów za pasaż i żywienie tego człowieka, a mnie pół funta za przyprowadzenie go tutaj—rzecze surowy żeglarz, i siada, nie zdejmując kapelusza, przy kominku.

Mój Boże! w mieście gdzie tak trudno cudzoziemcowi grosz jeden zarobić, gdzie tyle ubogich pomiędzy kolegami, wydać 168 złp. za przyjemność oglądania jednego nieszczęśliwego więcej, za zdobycie nowych kłopotów! Ale cóż robić? Szczęście, że to po pierwszym. Cały mój majątek zaledwie wystarczył na wydobycie kolegi z niewoli angielskiej.

— Kiedyż znów odjeżdżacie do Hamburga?—pytam majtka.  
— Jutro.—Chcesz mi zrobić grzeczność i wrzucić w Hamburgu list na pocztę? Błogo mi będzie ocalić kilka szylingów.—Dobrze, ale daj pan kroplę *gin aud water*, i bierz się natychmiast do pisanía listu.—Piszę tedy:

„Kolego Nat.....! Stał tu u mnie Cer..., zdrow jak rydz, ubrany jak karykatura, głodny jak ogar przed polowaniem, przemokły jak sieć i goły jak święty turecki. Odeślę go wam, skoro tylko zarobię pieniądze na koszta podróży. Zastaniajcie go od straty stypendyum, jak ja go zastaniać będę od powietrza Babyłonu, i od smutnego zawodu tułacza.”

Majtek wyszedł. Biédny C.. siedzący dotychczas jak trusia, spozierający na wszystko zdziwionemi oczyma, zrywa się z krzesła i woła:—Jeść! jeść! zlituj się, jeść! każ stół zastawić.

— Drogi bracie, to niedziela; służąca za nic w świecie po obiad nie pójdzie.

— Jakto? w niedzielę nie jadają Anglicy?

— Jedzą i tego jedzą, ale tylko tacy, co własną mają kuchnię, lub téż iść mogą do traktyerni.

— Dobrze! to chodźmy do traktyerni—ręczę kolega porywając za czapkę i cygienhainer.

— Nie bracie, pieniędzy nie posiadamy dosyć; potem, ubrany jesteś jakoś po cudacku: wytykać cię będą palcami Anglicy, a może ci do stołu sięść nie dadzą.

— Aha! to dlatego tyłu za mną uliczników chodziło i krzychało *jump! jump!* Co to znaczy *jump?*

— To znaczy: skakaj! skakaj! Wzięli cię za pajaca.

Zesmutniał biędny poeta; rzeczywistość życia zaczęła na niego wyzierać brzydkimi ślęciami ze wszystkich kątów pokoju mego; ale się pokrzepił jakąś miłą myślą, uderzył ręką w swą ryzę papieru i krzyknął:

— Oho! nie bój się! lepsze przyjdą czasy. Oto skarb, o który dobijają się będą Anglicy. Co tam za myśli! jakie porównania! jakie uczucia życiodawcze! zobaczysz.

— Moje serce, nie łudź się próżnemi nadziejami. Żebyś miał sto ryz takiego papieru, a żołądek drobny jak u komara, to byś z głodu umarł w Anglii. Tu o piękne myśli przybrane w jak najrozmaitsze wiersze nietrudno, ale chleb tak drogi, że poeci nawet często z nędzy umierają.

Nie uwierzył mym słowom biędny, zbłąkany młodzieniec, ale wkrótce już nie wątpił o prawdzie mych słów. Kilku rodaków przyszło mnie odwiedzić. Zapoznałem ich z losem nowego ze świecą igrającego motyla. Byli to ludzie wybornego serca, którzy we własnej nędzy nie postradali litości, lecz owszem nauczyli się jeszcze więcej litować nad nędzą bliźniego.

— Będziemy wespół pracowali, abyś mógł wrócić do domu, nietknięty powietrzem tego kraju i nie zakosztowawszy nawet tułactwa; a teraz chodź z nami na porter i na rostbif—rzekli kole-dzy,—wieczorem nikt twego pajacowskiego ubioru nie dostrzeże. Włóż jednak kapelusz i płaszczem się okryj, a na ludzi nie spoglądaj z zbytniem zadziwieniem.

Biędny kandydat teologii pił angielski porter razem ze swemi własnymi łzami, ale się spoił jednakże, bo na frasunek dobry każdy trunek.

Przenocowałem go we własnym łóżku i noc strawiłem obok niego, prosząc Boga, żeby mi dał siłę ocalić zbłąkanego, pracując, by téj łaski być narzędziem.

Mozoliłem się bardzo. Przyjąłem uciążliwe a słabo płatne obowiązki współpracownika literackiego u p. Graham profesora

chemii przy uniwersytecie londyńskim. Od godziny 5tej po południu aż do 11tej w wieczór pisałem dzień w dzień za dyktandem tego uczonego, który żadnego nie umiał języka zagranicznego, któremu musiałem tłumaczyć wszystko, co Orfila, Raspail, Dumas i Thilorie wydali w francuzkim języku; i za tę pracę, za wszystkie okropne chwile strawione w oczekiwaniu mozolnego porodu myśli z głowy pana Graham, zarabiałem biedne dwa funty na tydzień.

Nudzil się także niestychanie kolega C. w méj stancyi, z której całemi nie wychodził dniami. Pojmował, dlaczego trzymam go zdaleka od zaraźliwego wpływu próżniaków, wyrabiających zasady, ale sam zatrudnić się nie umiał; nawet jakoś raptem odbiegła go, razem z nadzieją pożytku, ochota rymowania. Chodził tedy z kąta w kąt, tytoniu nawet nie mógł kurzyć wiele, bo tytuń niezmiernie drogi w Anglii i gospodyni dbała nadzwyczaj o czystość firanek. Ale się znalazł jak gdyby cudem towarzysz dla poety, przebudzonego jeśli nie do rzeczywistego życia, to przynajmniej do jego przedświtu. Odwiózł mi kapitan duński pana Marcina; nie chciał go trzymać dłużej, bo córki swe wydał za mąż, nikt się już nie mógł opiekować niedźwiedziem: on sam ciągle zatrudniony *agenturą* kupiecką, nie był w stanie zajmować się wychowaniem dzikich zwierząt. Obok stancyi méj była komórka, w której przechowywałem suknie i węgle ziemne do opału: tam urządziliśmy Marcinowi legowisko. Teolog serdecznie pokochał towarzystwo *orta żmudzkiego*, jak go nazywał, zapewne dlatego, że Żmudź w swym herbie ma niedźwiedzia.

Kilka tygodni w ten sposób upłynęło, wichry przestały na chwilę panować, zima się ustaliła, morze uspokoiło. Pieniądze nawet zbierane z takim wysileniem grosz po groszu, już leżały w pogotowiu. Dalej tedy kolego królewiecki! Innym razem, jak będziesz starszym i mędrszym, zwiedzisz Londyn, którego nie poznałeś, siedząc w nim miesiąc cały; a teraz jedź napowrót, zmień tryb życia, pracuj, Boga nie wyzywaj i niepotrzebnie jednym krokiem nie oddalaj się od ojczyzny.

Ah! ale zimno okropnie; biedny młodzieniec płaszczu nie ma, a pieniędzy nie wystarczy na kupienie.

Marcinie! drogi niedźwiedziu norweskim! miły orzełku żmudzki! towarzyszu tylu przygód i kolei! wychowańcze studenta teologii uniwersytetu królewieckiego! Marcinie! daj twą skórę profesorowi!

Nie! żal mi go. Wołam jakiegoś Niemca, sprzedaje Marcina za 5 funtów, i przez to zabezpieczam niedźwiedziowi los, a Niemcowi sposób do życia; kupuje koledze za 3 1/2 funta wyborny płaszcz flanelą podbity.

Tak wyposażony poeta wrócił ze swemi pismami do Królewca. Stypendyum swego nie stracił, dzięki pomocy przyjaciół; wziął się sumiennie do pracy i wiem, że na godnego, zdatnego wyszedł męża. Tego człowieka ochroniłem, sam sobie przyznać mogę, nie tylko od śmierci, ale od długoletniej nędzy, od zwątpienia, niewiary i zepsucia.

Niestety! rzadko kiedy dobre i złe rzeczy chodzą inaczej, jak w parze. Ledwom kilka dni odetchnął z uciążliwej pracy, i sam na siebie tylko pracować zacząłem, otwierają się raz jeszcze drzwi mego pokoju, wpada młodzieniec jakiś exotycznie ubrany, ale piękny, swobodnymi, szlachetnymi obdarzony rysami.

— Czy mam szczęście mówić z doktorem T...?—spyta piękny młodzieniec.

— Ja nim jestem—odpowiadam z bijącym sercem.

— Ah! mój drogi, kochany kuzynie!—krzyknie młodzieniec i skoczy mi do twarzy, całuje mnie, połyka mnie—Ah! mój drogi kuzynie! jak się cieszę, że cię nareszcie widzę; ale mnie nie znasz jeszcze, prawda? nigdyś mnie nie widział. Nazywam się Xawery K..... jestem od stryjecznych stryjecznym bratem ciotecznych twych braci K..skich, Teodora i Hippolita!

— Ah! jak mi miło! istotnie, nadzwyczajnie miło. Nie wiedziałem wprawdzie wcale, że na świecie istniejesz, ale skoro żyjesz, to mi niezmiernie przyjemnie liczyć cię do mych powinowatych. Ale cóż cię tu do Londynu sprowadza na całą zimę? Dziwny wybierasz czas do podróży!

— Wszystko ci opowiem, cały bieg życia mego ci opowiem, ale daj cygara, zaciągnę się; możebym się nawet napił portera, angielskiego portera na angielskiej ziemi. Oh! jaka rozkosz mogąc sobie powiedzieć, że angielski porter pije w Albionie!

— Naście cygaro, zaraz przyniosę portera.

— Teraz do Odyssei—rzecze napiwszy się piękny mój kuzynek, mogący mieć wówczas ledwie 22 lat, ale wygadany, ale wyrobiony, wygięty w manierach, jak bywalec wysokiego świata.

— Tak drogi bracie!—rzecze tedy pan Xawery—samo me nazwisko objawia ci, że należę do rodziny, która w swém gronie

posiadała generałów, biskupów, podkomorznych i dalibóg jednego wojewodę. Ale mój ojciec skromny człowiek, nie piął się wysoko, nie wyszedł na nic bardzo świetnego, nawet jakoś w klęskach trapiących kraj, majątek przesunął mu się pomiędzy palcami; dosyć, że prócz świetnego imienia i wyborniej edukacji, niewiele nam się zostało. *A propos*, bo nas dwoje. Starszego mego brata przecież znasz doskonale?

— Nie przypominam sobie kochaniel!

— Ale go znasz najdoskonalej; ten sam, który służył w 2gim pułku. W piętę był rannym, sam go pielęgnowałeś w szpitalu ujazdowskim.

— Przypominam sobie teraz, przypominam doskonale. W piętę był rannym istotnie, niemałośmy się z tego naśmieli.

— Do rzeczy. Tedy brat mój obraca się gdzieś we Francji, ja zaś o 10 lat młodszy, pobierałem nauki w Suwałkach: wiele czytałem i niepospolicie wykształciłem sobie ducha, gust i serce. Dorosłem, i jak widzisz, i nieźle i niebrzydko. Wchodzę w towarzystwa, puszczam się między damy. Świetne powodzenie! pocziwa matka lzy radości roni, ubiera mnie, pieniędzy daje. Ojca już nie było; nie doczekał się tego szczęścia biédak: umarł, nie zostawiwszy prawie nic majątku. Chcę się żenić, bo widziałem, że przez to dla losu mego węgielny postawię kamień. Panien nie braknie, partyj także nie; ale rodzice tych panien utrzymują żem zamłody, żem trzpiot, żem kawał seduktora, że nie posiadam majątku i urzędu nie pielęgnuję żadnego. Przymuszony uledez przesądom, chcę zdobyć majątek: wydostaję od matki kilka tysięcy złotych, jadę do Warszawy, gram w karty i zgrywam się jak Kolbuszowskie skrzypce. Oh! źle: takim sposobem nie dopnę celu, rzeczę do siebie. Rzucam się do urzędu. Za wielkiem staraniem przypuszczają mnie na aplikanta. Wystaw sobie drogi kuzynie, na tym urzędzie nie płacą i jeszcze się domagają pracy. I jakiej pracy? — mechanicznej, umysł zabijającej, duszę stępiającej. Boże kochany! jeszcze téż żaden Kar...ski nie pracował i ja mam być piérwszym dobrowolnie do jarzma zaprzegającym się wołem w méj rodzinie? Nie, doprawdy tego nie ścierpię. Wówczas zaszła w méj duszy owa szlachetna metamorfoza, która w sercu młodzieńczém jest rękojmią świetnej przyszłości. Wówczas poczułem, poczułem jasno i wyraźnie.....

— Że ci zaciasno? że ci powietrza brakuje? że dla twego życia trzeba rozwoju odpowiedniego skrzydłom twój wyobraźni— dodałem, widząc, że się kuzynek zaciął w mowie i wygrzążać nie umiał z chaosu myśli.

— Tak, tak! że mi ciasno, że mi powietrza brakuje, że dla méj istności trzeba pola, obszarów niezmiernych, by się skrzydła méj duszy roztoczyć mogły swobodnie od widnokręgu do firmamentu. Teskno mi téż było za bratem, który niezawodnie odpowiednie swemu szlachetnemu nazwisku zajmuje miejsce. Rzucam dobrą matkę, rozstaję się na czas niejaki z ukochaną mi ojczyzną i biegnę do Królewca, gdzie, jak wiesz, brat stryjeczny mego ojca jest pułkownikiem w wojsku pruskiem.

— Tak, tak, był majorem landwery i dostał dymissyą w randze podpułkownika.

To na jedno wychodzi. Przybywam, ofiarując me hołdy, ale się porozumić nie mogliśmy: ja po niemiecku ani duchu, on po polsku ani słowa. Ośm miał lat, kiedy go do korpusu kadetów do Berlina wzięto, a od tego czasu nigdy nie wrócił do Polski. Chciałem uczęszczać na uniwersytet, ale te Niemcy mają manią wykładania kursów we własnym swym języku. Nudno było w Królewcu okropnie; wszyscy zajęci, pracują, a ja, jak na niemieckim kazaniu. Wtém ktoś mi podał myśl szukania w odleglejszych stronach wyższych żywiołów rozwoju. Mówiono mi, że jesteś w Londynie, że ci się świetnie wiedzie. Wiem dawno, jak czule kochasz ludzi umiejących cię pojąć. Żegnam stryja, stryjenkę i pół tuzina kuzynek, z którymi ani słowa przemówić nie mogłem, i oto mnie masz oddanego ci duszą i ciałem.

I dalejże znów do méj twarzy, całować mnie i połykać. Ja zaś jako przezorny człowiek, obeznany doskonale z głównymi warunkami życia, nie tracę chwili czasu i pytam:

— Kiedyś przybył na skończenie twych świetnie rozpoczętych nauk, toś zapewne nie przyjechał z próżnemi rękoma i z próżną kieszenią?

— Czy o pieniądzach mówisz? Nie! tych nie przywiozłem z sobą: ja kraju mego z pieniędzy ogołacać nie chcę, a zresztą nie miałem ich. Co do tego, to sobie pozwolę założyć u ciebie kuzynku ciągły kredyt, i potem spłcę jak na wierzech wypłynę. Oho kuzynie! ja mam szalone szczęście do kobiet: nie wiesz, co można zrobić z taką fizycznością jak moja!

Otóż tedy masz, rzekłem sobie w duszy, i serce me rzewnie zapłakało. Otóż tedy masz! Jakieś przekleństwo mnie ściga; za ledwie z jednej wybrnąłem biedy i jeszcze czuję w sobie skutki wysilen, aż tu wpadam z deszczu pod rynnę.

Przenoszę kuzyna do siebie i śledzę we wszystkich jego giestach, ruchach i mowach, do czego pan Xawery może zdać się światu lub przynajmniej sobie.

Już w kilka dni téj smutnéj dociekleń prawdę, że pan Xawery o wiele się różni od kolegi Cer..., że jest jednym z najmniej poprawniejszych próżniaków jakich świat widział, przytém upartym, dumnym i zarozumiałym do wysokiego, wszelkie pojęcie przechodzącego stopnia. Zdolności mu nie brąko, to rzecz pewna, ale na co wywierał te zdolności? Całkiem na nadanie wykwintności swym wysłowieniom i na wymyślanie sobie najrozlicniejszych argumentów, któremi dowodził, że praca jest rzeczą niemoralną, wymyśloną na zbydłecenie rodzaju ludzkiego; że człowiek całą swą usilność powinien wywierać na zdobycie potęgi ducha, na wyrobienie w sobie duszy i t. d.; ale nękać się monotonną i mechaniczną pracą, to zgroza, podłość. Całą encyklopedyą podobnych dowodów posiadał w swéj głowie: nikt i nie go przekonać nie zdołało o potrzebie pracy. Ślepą zaś i niezwalczoną posiadał wiarę w swą świetną przyszłość, i z dumą spoglądał na biednych ludzi do pracy wnarowionych, wzgardliwie się litował nawet nad temi, którzy go żywili. Zdolności mu wcale nie brąko: codzięń posiadał bawiąc się i igrając z dziećmi gospodarza kilkadziesiąt wyrazów angielskich, ale zdatnym był prawdziwie do niczego.

Co tu będzie robić z kuzynem Xawerym? pytałem sam siebie kilka razy na dzień. Apetyt ma godny najlepszego Anglika, a gnuśnym jest jak lazaroné neapolitański. Muszę mu jednak koniecznie wymyśleć jakieś zatrudnienie, bo inaczej legnę pod ciężarem biedy.

Niebo czuwało i tym razem nademną.

Miałem Anglika przyjaciela na téj saméj ulicy mieszkającego. Człowiek około 50 lat liczący, dosyć majętny i passionowany do sztuk pięknych, bo sam nawet malował, ale tylko z natury; nie zatrudniał się portretami, ale raczej malowaniem postaci dla przyszłych historycznych obrazów. Żonę miał niemłodą, chorowitą. Czasem mnie odwiedzał. Raz do mnie przyszedł właśnie w chwili, gdy pan Xawery ubrawszy się jak mógł najwykwintniej, przyglądał się w lustrze własnéj postawie.



— To śliczny człowiek, ten gentleman — rzecze do mnie pochichu Anglik. — Postać prawdziwie Apollina! Kto jest ten gentleman?

Opowiedziałem Anglikowi całą historią mego kuzyna; nie było bowiem nigdy żadnej przyczyny tajenia prawdy w żadnym z mych położań!

— A toś pan biedny, doprawdy! — powie dalej Anglik — leczyc zadarmo po dniach całych i jeszcze mieć zawsze kogoś do żywienia, to zanadto na pańskie siły: stargasz je zawczasie. Zrobię panu propozycją, ale się pan nie gniewaj. Chciałbym wykonać w naturalnej wielkości i to kolorami postać Apollina Belwederskiego, w postawie i ubraniu właściwem. Niech kuzyn pański zezwoli służyć mi za model 4 godziny codziennie, a będę mu płacić 2 funty na tydzień. Nie ma w tém wstydu. Hrabia jeden włoski służył mi za model; aktorki francuzkie służą mi za model. Jak się skończy Apollo, to się zacznie Laocon, potem Antynos, potem Merkury. Najmuję kuzyna pańskiego na całe pół roku. Pięćdziesiąt funtów szterlingów, to nie fraszki; ale się pan gniewasz na mą propozycją, odgaduję to z twych spojrzeń.

— Mylisz się przyjacielu. Jest wprawdzie coś upokarzającego w tém zatrudnieniu służyć za model, ale dalibóg być próżniakiem i tak dumnym jak mój gentleman, to jeszcze gorsza. Jednakże nigdy nie przywiedziemy kuzynka do tego obowiązku, chyba fortelem. Mam sposób na niego, złapiemy go własną próżnością, jak mysz słoniną. Zaproponuję ci coś panie Mac-Allan, tylko się nie gniewaj: propozycya za propozycją.

— Dalej tylko, dalej, nie będę się gniewał — odpowie Anglik strzelając chciwie oczyma na kuzynka.

— Otóż tak: powiem kuzynowi, że prześliczną i młodziuchną masz żonę; wmówię w niego, że go zna, że się w nim pokochała, że służyć ci (naturalnie bezpłatnie) za model, będzie najlepszym sposobem zawiązania stosunków. Jak raz rozpocznie swój zawód, to w nim zapewne zasmakuje, i tak pójdzie wszystko jak najlepiej. Ale widzę, że się gniewasz, marszczysz czoło.

— Słuchaj doktorze, rzecz jest istotnie cokolwiek drażliwa, nawet łechczywa; ale dla oryginalności podpisuję i na to. Dalibóg, będziemy się śmiali jak opętani; żona moja zawsze chora, nie o tém wiedzieć nie potrzebuje. Starajże się przyprowadzić twój model o 10tej zrana; od 10tej do 3ciej po południu, to czas najlepszy.

Anglik się żegna, chciwemi spojrzeniami obwodzi po całym pięknym ciele pana Xawerego i odchodzi.

— Co ten brzydki Anglik tak mnie przeszywa spojrzeniem? — spyta pan Xawery.

— To malarz, zajadły amator; podobasz mu się, radby zrobić twój portret.

— A! to się przecież poznał na mnie; jakiś niezły człowiek. Możeby mu pozwolił zdjąć mój portret, co to szkodzi?

— A jaką ładną ma żonę! ładna i młoda, a w oko jej wpadłeś; kto wie nawet, czy to nie ona wysłała swego męża. Nie zauważyłeś jej wczoraj w Regents-parku? Ta młoda dama z którą się witałem, której ciebie przedstawiałem.

— Ach! dalibóg! ta szatynka, z ciemno-niebieskimi oczyma? Oh! teraz wiem. Prawda, że mnie niezłe głąskała spojrzeniami. Wiész co, zezwalam na portret, bylebym go nie potrzebował płacić. Cha! cha! cha! a to będzie figiel! niezłe, wcale niezłe! Oh, miała ona racją ta pani Breduli, kiedy mnie nazwała Don Juanem. Cha! cha!

— Cóżto za pani Breduli?

— To żona cukiernika w Suwałkach, kobiéta z gustem, znana z tego. Słuchaj drogi bracie! zamów się do tego Anglika, dziś jeszcze jeśli możesz, i tak, w ciągu mowy, ale zręcznie, bój się Boga, zręcznie, daj poznać, że nie będąc jeszcze zatrudnionym, zapewnebym zezwolił. Czemu nie? nie widzę w tém nic złego.

Zamawiam się niby do pana Mac-Allan i przynoszę odpowiedź, że Anglik uszczęśliwiony, ale że chciwiec, egoista *wielki*, spożytkować chce razem z twarzą, całą postać kuzynka dla dobra sztuki i dla swój sławy, i wystawić kochanego Xawercia w postawie Apollina Belwederskiego od stóp do głów, w ubiorze natury, zrobionym w ogrodzie botanicznym.

— I cóżeś mu na to odpowiedział? — zagadnie kuzynek.

— Że w tém nie widzę nic złego, że przecież pani de St. Edme córka i żona hrabi, przyjaciółka księżniczki Karoliny siostry Napoleona, kazała się wyobrazić w marmurze w postaci Wenery Medycejskiej. Cóż w tém złego? nie każdy tak dobrze zbudowany, jak ty Xawereczku.

— Pal go djabli! będzie mnie miał od stóp do głowy, będzie mnie miał całkiem; ale byleby mu to nie zaszło za skórę! — Śmiał się do rozpuku próżny, wróblemi myślami karmiony szlachcic.

Usnąć nie mógł z radości; figlami rozbujana wyobraźnia przedstawiała mu we śnie tysiączne romansowe przygody.

Nazajutrz rozpoczęło się pierwsze posiedzenie. Stoi nadobny Xawerek *in naturalibus*; w lewej ręce opartej o pień drzewa trzyma lutnię, w prawej zaś szlachetnie opuszczonej, strzałę. Oczy swe zwraca ukośnie romansowo na drzwi i myśli, że ciemno-niebieskie oko patrzy się nań, topi się w nim przez dziurkę od klucza. Pan Xawery cieszy się lubą nadzieją, że Anglikowi wypłata figla; mniejby się cieszył, gdyby wiedział, że sam sobie na chleb zarabia.

Angielka tymczasem ani wie, jakie wznieca uczucia. Ona na łóżku kwęka, służące łaje i narzeka na męża, że zamiast płacić lepiej doktorom i wzywać coraz sławniejszych na radę, trwoni pieniądze na najmowanie coraz nowych łapserdaków na modele. Taka komedia trwała miesiąc cały. Pan Xawery widząc, że żadnego nie dopina skutku, żył się ze złości i ledwo mu starczy cierpliwości. Mac-Allan składał na me ręce najregularniej co sobota wieczór 2 funty szterlingów, które ja religijnie chowałem do skarbonki.

Wtém nadszedł list z Francji od pana Karola, brata pana Xawerego. Treść tego listu następująca: „Cieszę się drogi bracie że żyjesz, aleś niepotrzebnie matkę i kraj twój opuścił. Ja nic się w domu nie nauczyłem i dlatego widok wielkiego świata nie mógł mnie wykształcić. Nie chcąc być ciężarem ludzkości ani mych przyjaciół, wziąłem się do pracy, do jakiej uczułem w sobie zdolność. Jestem stolarzem, bardzo miernym stolarzem. Pracuję od rana do wieczora: hebluję, polituruję, ałem nikomu nic nie winien; wesprzeć mogę uboższego odemnie i sumienie mam spokojne. Kuzyn nasz, dawny kapitan T. K. kręci pigułki w tém samym mieście, w którym ja robię stolki, komody i trumny. Weź się i ty do pracy jakiej Xawerku, porzuć twe pyszne myśli, bo tylko praca i uczciwość zawsze uszlachetniają człowieka, a rzadziej zdolność. W chwilach wolnych od fizycznej pracy, można się kształcić umysłowo, jeśli jest w duszy szczerą chęć doskonalenia się. Posyłam ci 100 franków; to mój cały kapitał. Poruczam ci łasce Boga i przyjaźni dobrego naszego kuzyna.”

Zadrzał Xawery przeczytawszy list ten krótki a węzłowaty. Zadrzał na całym ciele i gorzko zapłakał. Rzeczywistość zaczęła przemawiać głośno i donośnie do serca bujającego dotąd w złudzeniu.

— Biędny, biędny Karol! Karol K...wski stolarzem, a Teodor, kapitan ozdobiony krzyżem, szlachcic herbu Samson, kręci pigulki! Ah! jak sromotne wyrzeczenie się godności! — krzyknie pan Xawery.

Na tę chwilę uroczystą, którą oddawna przysposabiałem, na to wzburzenie uczuć, zachowywałem najsilniejsze me środki. Kuj żelazo kiedy gorące; ratuj chorego wtenczas, gdy na chwilę zawre w nim życie we wszystkich systemach; poprawiaj człowieka, gdy się w nim burzą wszystkie uczucia.

— A ty! a ty panie Xawery, czémże byłeś przez całe życie, jeśli życiem nazwać można twą istność, której pożyczałeś żywioły od czegoś, co za to cierpiało? Kwiat młodzieńczy, tak hojną kolébkę szlachetności sponiewierałeś, w niedbalstwie i w uganianiu się za płochością. Wzniecając miłość w sercu niedoświadczonych panienek, liczyłeś na ich pieniądze. Matki twój ostatni grosz zaryzykowałeś dla zdobycia majątku. Do wszystkiego się udawałeś, prócz do tego szlachetnego źródła życia i szczęścia:— do pracy. Cały twój rozum wywarłeś na to, aby zniweczyć, zagłuszyć w sobie głos honoru. Twych przodków sławę z grobu odkopywałeś, by nią żyć, tak jak robak żyje ich ciałem. Matkę twą i ojczyznę rzuciłeś wtenczas, gdy ci ani jedna, ani druga już nie dać nie mogła, gdyś wszystko z nich wyszał. A dziś co robisz? żyjesz z mozołu, potu i krwi twego powinowatego, do którego anibyś się przyznał, gdybyś go nie potrzebował. W nadziei, że figla wypłatasz człowiekowi, który ci chléb daje, szukasz uroku życia. Tak! w nadziei że zadrwisz z twego dobrodzieja! Wiédz bowiem, że pracujesz, myśląc że szalbierzysz, a pracujesz jak automat nieżywy. Patrz, oto w téj skarbonce 10 funtów szterlingów, któreś sobie zarobił u malarza, służąc poprostu za *model*, za automat, boś się do niczego innego nie uzdolnił. Ale wejdź w siebie Xawery: jesteś bardzo młodym, odkupić możesz łatwo wszystko coś nabroił. Teraz wiedząc za co służyłeś malarzowi, służyć mu dalej nie możesz: toby się nie zgadzało ani z szlachetnością szlachcica, a mniej jeszcze z szlachetnością człowieczeństwa. Razem z tém co ci brat przysłał posiadasz kapitalik dochodzący do 600 złotych. Piszesz dobrze, co oznacza, że masz gust kalligraficzny i zdatność oddawania go. Radzę ci wziąć się do litografii, bo jestto sztuka w Anglii bardzo popłacana. Mam przyjaciela litografa, on niewiele będzie żądał za twą naukę, a reszta przecież się jakoś za pomocą Boską uda.

Wszedł w siebie Xawerek, napłakał się rzewnie, nawstydział, ale po jednej nocy strawionej bezsennie, widziałem w jego odważnych a jednak pogodnych spojrzeniach, mocne postanowienie odrodzenia się do lepszego życia. I tak też było, Bogu niech będą dzięki. Pan Xawery zasmakował w pracy, i wyszedł na porządnego człowieka.

Ta historia moich młodych współtułaczy niech służy za dowód, że z mniejszém wysiłeniem i równém postanowieniem we własnym kraju daleko większe można zdobyć szczęście, jak za granicą.

## VII.

Gdybym był mógł przewidzieć czekające mnie cierpienia, to bym był nie pozostał w Londynie, aby pracować na tę okropną zimę. Koledzy nikteli jeden za drugim; widok umierających prawie nigdy nie schodził z oczu moich. Przy najlepszych chęciach nie mogłem zadość uczynić mym obowiązkom u pana Graham. Jakże odstąpić kolegę umierającego, niemającego żadnej pomocy? A było ich tylu!

Dla mych-kolegów zaniedbywałem nietylko pracę chleb mi dającą, ale także względy dla domów angielskich, do których uczęszczać przywykłem. Niezawsze było można wyklądać powody mych zaniedbywań, i dłużej nieobecności. Byłoby to tchnęło żebraniną, gdybym w domach, do których mnie jako uczestnika przypuszczano, rozpowiadał cierpienia ludzi umierających w skutku niewygód, lub poprostu z braku. Zawsze kochałem ludzi, alem ich nigdy na wydatki nie narażał, i może po tylu przykrych doświadczeniach dlatego ich kocham, że im nieskończenie mniej dowierzam, nieskończenie mniej ufam jak sobie samemu. Mało też żądałem dla siebie samego od ludzi; byle mi tajemnie nie szkodzili, oto dalibóg wszystko, co pragnę. bo do jawnych nieprzyjaciół nie mam nienawiści:— oni mi pomimowoli częściej pomagać musieli, niż szkodzić zdołali.

Lilia Indyów wiedła, schła, ah! już nawet i krzepła. Boże drogi! jabym był wszystkie krople krwi méj oddał dla odwrócenia ciosu nad jęj głową zawieszzonego. Ja ją kochałem, nie ową miłością, dla której w młodym, przedsiębiorczym, śmiałym jak ogień człowieku zawsze pozostaje nadzieja zadowolenia, ale ową miłością, dla której na tym świecie nie masz żadnej nadziei.

Okropne to położenie nie da się porównać z niczem w świecie, z żadną z tych licznych boleści, przez które przechodzić musi człowiek na tym padole płaczu i nędzy. Kochać tę, która wkrótce będzie nieboszką; kochać ją z zapalem pełnego, zdrowego, wszechstronnego jak promienie słońca życia, — to niewypowiedziana klęska.

Emilia umierając wiedziała ile mi była drogą. Tyle sobie zadawała pracy, żeby choć pozór życia zwabić na swe lica: ubierała się wtenczas w kolory żywe, obstawiała kwiatami czerwonymi, mówiła mi o rajach niebieskim, tak jak gdyby była mówiła o kwitnącej łące, którą zwiedzimy, jak znów wiosna przyjdzie. Ona się litowała nademną — nademną żyjącym, tyle zbytniego życia posiadającym. Może przeczuwała, że to zbytnie życie szkodzić musi szczęściu memu, i licznych cierpień stanie się powodem? Tak zapewne myślała! Poznała we mnie człowieka kochającego swych bliźnich, i może przewidywała, że trudno człowiekowi serca znaleźć godne miejsce na tej nędznej, chciwością i zawiścią trapionej ziemi. Już skrzepłe ręce swe chowała w zarękawku futrzanym; ona, co tak chętnie rękę mi ścisnęła, i w wierne dla niej oczy patrzyła — ona się już lękała zetknięcia; jak gdyby wdrygała się udzielić mi części tej śmierci, tak nieubłaganie wdzierającej się w jej ciało.

Stan Miss Emily dotychczas ciągle jednostajnie, ale przynajmniej wolno się pogorszający, w ostatnich czasach, skutkiem przesilenia się dnia z nocą i zmiany nagłej, zaszłej w temperaturze, raptownie się pogorszył. Już wstawać nie mogła z łoża, musiano ją przenosić wieczorem z kwaciarni do pokoju sypialnego. Mgły śmierci grube, nieprzejrzane zaszły na tę twarz, przed kilkoma miesiącami jeszcze tak świetnie piękną.

I inne, wcale nieprzewidziane spotkało mnie zmartwienie. Pan Lee, handlarz drzewa i bankier, nagle tknięty apoplexyą skończył, doszedłszy zaledwie do 50 roku swego życia. Wydał on w ostatnich dwóch miesiącach wszystkie swe córki za mąż: jedną za pewnego lorda *by gentleness of the Queen*, drugą za baroneta, trzecią najstarszą piękną, idealną Augustę za jej kuzyna, młodego, przystojnego, ale ubogiego i na domiar nieszczęścia poetę. Mówią, że to ostatnie ożenienie, *cette espèce de mesalliance* nadwerężyło zdrowie dotychczas tak silne pana Lee, że nigdy mu z głowy wyjść nie mogło, jak jego córka najpiękniejsza, największemi obdarzona urokami i doskonałościami, pójść mogła za biedaka, nie ma-

jącego ani stanu, ani urodzenia, ani tytułów, ani majątku. Wezwano mnie zaraz po niespodziewanej śmierci pana Lee do jego rodziny: nie odstępowałem jej przez dni kilka. Jeszcze nie ochłonią z trudów i umartwień, a już mnie pan Wood... przywołuje do siebie: „Spiesz do mnie przyjacielu! zbliża się koniec naszej tragedji“, pisał biędny ojciec. Spieszę. Dorożkę zatrzymałem z 50 kroków przed domem, aby nią nie wstrząsać domu; smutne przeczucia ogarnęły moję duszę.

Pan W. czekał na mnie przed progiem. — „Cicho! cicho! ona śpi; kazała mi wyjść przed godziną i wrócić dopiero jak ty przybędziesz, bo czeka na ciebie. Oh! jak ona cię kocha!“ — Tak mówił ojciec Emilii i temi wyrazami przeszył mi serce. Nieraz mi zaręczała Emilia, że przy swój śmierci nie pozwoli być ojcu obecnym. „Zaczekaj tutaj, ja wejdę i zobaczę co się dzieje“ rzekłem do pana W. — Promień słońca oddawna niewidziany, błysnął przez szklany dach kwaciarni. Wpóśród kwiatów chylących kielichy i bluszczu zwieszającego liście, leży Emilia na łożu białém jak śnieg, sama blada jak liście kamelii. Obok niej siedzi Abigail. Żadna łza w jej oczach, a w twarzy śmiertelna pogoda. Emilia już nie żyła! Zasiadłem przy jej łożu i długo siedziałem pogrążony w osłupieniu, a gdym z niego wyszedł, ujrzałem obok siebie ojca Emilii. Nie szlochał, nie płakał, rąk nie załamywał, a na twarzy bronzowa, wieczna rozpacz.

Pochowaliśmy Emilią. Ten sam grabarz, co prosił o jej rękawiczkę, przysypał ją ziemią. Ja pożegnałem ojca Emilii; we cztery dni później zobaczyłem go po raz ostatni przy pogrzebie Abigaili.

I nie było cios ostatni dla mnie; jednocześnie prawie zapadł na zapalenie płuc, dawniej przezemnie uratowany klient Olszewski, niegdyś kapitan artylerji, a teraz kupiec tytoniu, i młody Aweyde, ojciec rodziny, zarabiający ciężko na chleb w fabryce cynku, na okropną tyfoidalną gorączkę. Pomimo natychmiastowej lekarskiej pomocy, kilkutygodniowych ciągłych wysiłen, wszelkich ofiar ze strony kolegów, nie można było ocalić ani jednego, ani drugiego. Pierwiastki życia dawno już nadwątlone były tęsknotą, pracą i mozolami. Nawet Dr Ratajski, dawny uczeń uniwersytetu wileńskiego zapadł na suchoty zapalnego charakteru i umarł. Wielu innych, z któremi maięj ściśle żyłem, umarło w tój okropnej zimie, w której tylko wielkiem szczęściem lub dostatkami można się było obronić wpływowi temperatury. Nie wszyscy tułacze używali dobrodziejstw wsparcia rządowego;

wszystkich ze Szwajcaryi wygnanych i w więzach przez Francją do Anglii przeprowadzonych, żywiono jednorazowemi wsparciami. Nędza doszła do najwyższego stopnia w téj zimie, Anglicy sami umierali z głodu po ulicach!

Ja sam oddawna trapiony niezwalczonym kaszlem, pomimo całej usilności, nie mogłem więcej ująć ani kroku. Zmartwie-  
nia, prace, ciągły ruch i niewygody nie mogły dobroczynnie wpły-  
nąć na me zdrowie. Ustać nareszcie musiałem. Lekarze angielscy, którym byłem znanym, odwiedzali mnie kolejno. Wszyscy radzili mi wyjechać na kilka miesięcy z Anglii, gdzie tak trudne na siebie przyjął obowiązki, do Francyi, gdzie klimat lepszy i sposób do utrzymania się łatwiejszy. Przeczekałem Nowy Rok i miesiąc styczeń, ale nareszcie widząc, że stan mój ciągle się pogorsza, posłałem paszport mój w Królewcu wydany do ambassadora pruskiego, później do francuzkiego, z prośbą o awizacyą. Angielscy moi przyjaciele sami za tém chodzili; dzięki im, uzyskałem com żądał.

Żegnam się na miesiąc kilka listownie z memi przyjaciółmi i jadę do Calais. Wielom ucierpiał podczas przeprawy; do Calais przybyłem znękany do najwyższego stopnia. Nim mnie na ląd wypuszczono, odebrano mi paszport.—„Pan w Kaliszu urodzony jesteś, nie masz zatem prawa świadczenia się ambassadorem pruskim. Marszałek Soult nie chce, żeby się Polacy gromadzili we Francyi. Bardzo nam niemiło, ale wypełniać musimy rozkazy ministra spraw zewnętrznych.“ — Tak mi odpowiedzieli urzędnicy policyjni w Calais, a ja nie miałem żadnego sposobu zmiękczenia ich wyroku. Z bólem w sercu wracam na niegościnną angielską ziemię. Jeszcze méj stancyi nie wynajęto, sprowadzam się więc do niej, pracuję jak mogę, i nie wychodząc z domu, odnawiam stosunki z temi, którzy mi dotychczas pracę dawali. Ale zdrowie me coraz gorsze, siły codziennie ustają. Chodziło do mnie wielu ludzi, gdyż dotychczas protegowałem niejednego, niejednego z biędzy i choroby wydobyłem. Anglik jeden młody, któremu udzielałem lekcye języka niemieckiego, wyjeżdżając na wieś, przyszedł do mnie z pożegnaniem. Dowiedziawszy się czemu mnie nie chciano przyjąć we Francyi i spostrzegłszy, żeśmy do siebie przynajmniej rysopisami podobni, wiele nie mówiąc wyrabia sobie paszport do Paryża na Boulogne, i przysyła mi go wyjeżdżając na wieś. Wszystko było w regule, tylko brakło w paszporcie *visum* ambassadora francuzkiego. Sam do niego pojechałem, pomimo



mego osłabienia, pomimo zimna. Wyczekałem się z godzinę; nareszcie przypuszczono mnie przed oblicze sekretarza ambassady. Szczęściem, nie tego umiał po angielsku, bo byłby spostrzegł, że nie Anglik. O wiek jakieś zachodziły trudności. — „Choroba przysparza wieku” — rzekłem po angielsku. — „To prawda, prawda” — rzecze Francuz — „dam panu adres doskonałego lekarza w Paryżu. Powiedz mu pan, że ja pana rekomenduję, nawet panu napiszę słówko.”

Nareszcie wszystko ułatwione; wychodzę z biura ambassady, i w sieni, Boże drogi! jaki cios dla mnie! Spotykam znajomego, jednego z owych jegomości, którzy wszędzie są, zawsze się pięknie ubierają, uśmiech mają na ustach, oczy w które trudno spojrzeć poczciwemu, a uszy wyciągnięte jak promienie słońca na wszystkie strony. Nawet mnie znał niegodziwiec, tylko udał, że mnie nie zna, że mnie nie poznał i prosto poszedł do biura.

— Zginąłem! — krzyczę w rozpacz — zginąłem! będę zdradzony!

Biegnę jednakże co mam siły na Regents' Quadrant, dowiaduję się, że za trzy godziny z odpływem morza płynie parostatek do Boulogne. Wpadam do domu, zabieram rzeczy, pakuję, żegnám się, ładuję; już jestem przy London Bridge, zapisują mnie, wielu ludzi przybywa, wielu odchodzi. Ruszamy z miejsca. Jakiś grzeczny towarzysz ciągle się mną interesuje, wypytuje o to i o owo, radzi mi to i owo. Dalibóg nie wiedziałem, jak do tego szczęścia przyszedłem. Przeprawa dosyć szczęśliwa; jesteśmy w przystani Boulogne, w tej bramie Albionu, jak ją Anglicy nazywają.

Oddaję paszport. Wizują go urzędnicy, wysiąść pozwalają. Biegnę do hotelu. Słyszę, że ktoś woła za mną po francuzku: *Monsieur le Docteur! Mr le Docteur!* Odwracam się. Urzędnik policyjny za mną goni, prosi mnie w najgrzeczniejszych słowach do biura kommissarza paszportowego; prosi najuprzejmiej, błagając, abym go nie zmuszał do użycia środków popiérających jego prośbę. Idę do biura. Pan kommissarz paszportowy kłania się najuniżeniiej:

— *Charmé de faire Votre connaissance, veuillez bien avoir l'extrême obligeance de lire ce petit billet.* — Biorę bilet, na nim napisane: „Jegomość udający się za pana Artura Stell z Widing (Worchester shire) jest doktorem T. T. urodzonym w Kaliszu (*Pologne Russe*).”

— *Faché, extrêmement faché, brisé de douleur, ma parole d'honneur, mais il faut retourner, ou nous serions forcés de recourir aux grands moyens!* — powie p. kommissarz.

Darmo! darmo! trzeba złożyć moje kości w angielskiej ziemi; może się zdadzą rezurekcyonistom lub na rafinerią cukru, rzekłem do siebie i uczulem jak gdyby kształt trumny w mém sercu. Róbcie ze mną co chcecie. O! Francuzi, już po drugi raz odpychacie mnie od siebie! powiedziałem głośno i o mało co nie zemdląłem na krześle, które mi podano.

Chciano się złożyć na mą przeprawę do Anglii w biurze kommissarza. Nie przyjąłem: ofiarą prawie całej reszty inéj gotowizny okupiłem sobie podróż do kraju, który opuścić tak gorąco pragnąłem.

Tymczasem mieszkanie moje już zostało wynajęte. Przeprowadzam się o dwa piętra wyżej, do skromnego, z mebli prawie ogołoczonego pokoiku. Rozpacz wkrada się w me serce. Tylko jednemu przyjacielowi, biédnemu wyrobnikowi francuzkiemu Guillard, śniem oznajmić, że się moja druga wyprawa do Francyi nie udała. Wzburzone uczucia miotają krwią moją, zapalają się płuca, jawią się wszystkie oznaki ciężkiej choroby. Gospodarz zaalarmowany biegnie do lekarzy. „Umrze! niezawodnie umrze!” mówią lekarze, krew puszczaają jednakże, leczą sprężyscie.

Guillard wyrobnik francuzki, któregom wprzódy wyleczył z niebezpiecznej choroby, nie odstępował mnie prawie ani na chwilę; zresztą nikt do mnie nie zajrzał, bo nikt nie wiedział, żem wrócił.

— Czemuż nie dasz znać twym przyjaciołom że tu jesteś i że potrzebujesz pomocy? spyta Guillard.

— Mam dwa rodzaje przyjaciół: albo bardzo bogatych, a tym nie ufam, albo bardzo biédnych, a tym nie chcę przysparzać zmarciwni — odpowiedziałem. On zaś na to:— *Vous faites bien, de mépriser la pitié des riches.*

Wielka téż do mnie wkradła się nędza: ostatni grosz wydany, nie ma za co kupić ani lekarstw, ani węgla, ani tyzanny; wyrobnik Guillard łoży na me utrzymanie.

Pocziwych kolegów lekarzy sympatya jednakże nie była płonna. Dali znać w *poor foreigner's burying office*, że jakiś cudzoziemski gentleman wybiéra się na tamten świat i że nie ma za co sprawić sobie pogrzebu.

Odwiędza mnie tedy duchowna osoba i mówi wiele o niebie, o życiu przyszlém, o grzechach i o żalowaniu za nie. Swoją drogą codziennie rano przychodzi agent towarzystwa filantropów, mającego na celu sprawiac *gratis* pogrzeby cudzoziemcom i pyta się gospodarza, czy jeszcze żyje doktor polski: „*All right till now*” „Wszystko jeszcze w porządku aż dotychczas” odpowiada pan Lobstertown,

i dalej czyta w swój biblii, bo był nabożnym anabaptystą i nigdy o Bogu myśleć nie przestawał.

Jednakże pomimo méj rozpaczy, biedy, pomimo opuszczenia i niewygód, młodości siły brzemieniem nieszczęść przyduszone, ale nie zniszczone rozpustą, zaczęły odnosić zwycięstwo. Już daleko swobodniej oddycham, już nie kaszlę tyle, już mnie nie trawi gorączka. Jakaś nawet nowa, silna wiara w łaskę Boga wstępuje w me zboliałe serce; alem jeszcze słaby, okropnie słaby, z łóżka wstać nie mogę.

Raz, gdy tak leżę samotny na trzeciém piętrze i myślami przyszłość mą ścigam, puka ktoś do drzwi i nie pytając się o odpowiedź, wchodzi do méj stancyi mężczyzna niedbale, a więcej brudno ubrany, wysoki, bardzo ospowaty i na jedno oko zupełnie oslepy. Mógł mieć lat 35, może i więcej.

— Czy pan jesteś doktorem T.....? — pyta nieznajomy, ze srogim, nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

Na mą odpowiedź potwierdzającą, siada gość przy mojem łóżku i nie zdejmując kapelusza, rzecze:

— Pan mnie nie znasz, nigdy mnie nie widziałeś, a jednak zniestawileś mi, szkodziłeś mi. Jestem Ja...., ten sam, o którym pan przyjechawszy z Norwegii, tak piękne rzeczy wyplótł przed generałem Dw..

Prawda, w kilka dni po moim przyjeździe do Londynu, spotkałem przypadkiem na Straudzie generała D.....i zaraz go poznałem. On sam nawet, choć mnie tylko kilka razy w życiu widział, doskonale mnie sobie przypomniał, cieszył się nadzwyczajnie ze spotkania i zaprowadził mnie na *Albany-street* do swego domu, aby mnie przedstawić swój młodej żonie i swemu teściowi, staremu francuzkiemu artyście. Mówilem wiele o Norwegii i pomiędzy innemi, wypytywany o to ściśle wyznać musiałem, że dwóch rodaków *umyślnie* w Norwegii podróżujących, a nie przypadkiem zarzuconych, zostawili po sobie niebardzo pochlebną pamiątkę. Jeden Dy..r dawny wojskowy udawał się za upoważnionego do zbierania składek dla biędnych tułaczy. Samego króla Jana Bernadotte durzył w Sztokholmie figlami massońskimi, zebrane niby dla kolegów pieniądze trwonil w sposób najwyuzdańszy, pił okropnie, młodzież niedoświadczoną zgrywał w karty i całą pocziwą Norwegią gorszył swą niemoralnością. W towarzystwie pana D..... jeździł pan Ja... nowszej daty wojskowy. Człowiek to był niepospolitój odwagi; dał tego chlubne dowody w Chrystyanii podczas burzy zaszłej w przystani: ratował z wielkiem poświęceniem tonących majtków, przyczém nawet

stracił oko. Ale na nieszczęście, odwaga była jedynym przymiotem pana Ja..., bo zresztą do tego stopnia obchodził się niemoralnie, z kobietami, i pił tak okropnie i tak często miewał karciane awantury kończące się pojedynkami, że o nim w całej Norwegii, na wszystkich skalach, jak o czarcie mówiono. Trzeba bowiem wiedzieć, że dzienniki zastępują w całej Norwegii miejsce naszych lekkoskrzydlatych plotek.

To wszystko opowiedziałem generałowi, z natury swój bardzo ciekawemu i umięjącemu się wypytywać o najmniejsze szczegóły, a powiedziałem to w przytomności jego dawnego adjutanta kapitana Dun..a, tego samego, który wkrótce potem zastrzelonym został przez gwardyą narodową w Boulogne, chcąc dopomóc terażniejszemu prezydentowi rzeczypospolitej francuzkiej do osiągnięcia korony cesarskiej.

Anim mógł myśleć, że z tej rozmowy jakieś wynikną skutki, a tak jednakże było. Prawie w rok po mém przybyciu do Anglii, jawi się w niej pan Ja... przybywający Bóg wie z kąd, zgrany jak stary smyczek, biędny i z twarzą rubinami nabrzekłą. Wizytę składa generałowi D... i prosi, aby go tenże lordowi D. przedstawił. Wypytuje się generał pana J... jak się nazywa, i gdzie tyle lat przepędził. Supplikant wyjawia swe nazwisko, i nie kryje, że przepędził lat przeszło sześć w Danii, Norwegii i Szwecyi. Generał pomimo podeszłego wieku, tak bystrą posiadał jeszcze pamięć, że sobie odrazu przypomniał dawną rozmowę ze mną, poznał z mego opisu fizyonomią supplikanta, i wręcz powiedział panu J..., że go doszedł odgłos jego rozpusty, którą zniestawił imię polskie tak czczone w Norwegii.

— Nie będę cię protegował panie J.... — dodał generał — w chwili gdy tylu innych zacnych umiéra z głodu, nie ścierpię, żeby człowiek tak słynny z niemoralności, grosz jeden odbierał godniejszym od siebie.

— A kto mnie tak pięknie opisał panu generałowi? — spyta J.....

— A to nasz rodak doktor T., który do Norwegii burzą zarzucony, słyszał od końca do końca kraju, jak tam pięknie ciebie i Dy...ra wspominają—odpowié bez ogródki stary żołnierz, niewiele o to dbając, czy mnie tém na nieprzyjemności nie wystawi.

— Przyniosę panu generałowi odwołanie tego oszczerstwa, podpisane ręką dra T.—rzecze znów J:...—Wiem, że tu gdzieś przebywa ten jegomość, ale go wyszukam, choćby się schronił do antypodów — krzyknął pan J....

A generał D. dodał:

— Jak mi przyniesiesz odwołanie podpisane ręką dra T., wówczas uwierzę, że on tchórz, ale nie uwierzę nigdy, żeś ty pocziwy człowiek.

Pomimo tego zaręczenia, pędzony żądzą zemsty i potrzebą rehabilitacji, wybióra się pan J... na moje odszukanie, wynajduje w mieszkaniu złożonego ciężką chorobą, i widząc mnie za słabego na zre-dagowanie aktu odwołałnego, siada przy stole, pisze swój własny panegiryk i daje mi go do podpisu mówiąc:— „Podpisz pan, jestem J... znasz mnie aż nadto, i wiesz najlepiej, że na wszystko gotów. Nitka twego życia słaba jak pajęczyna, łatwo ci ją przeciąć.”

Ostatnich sił dobyteń, papier potargałem, i czyto z trwogi, czy z wysilenia, omdlałem.

Nie wiem jak długo w tym stanie pozostałem.

Budzi mnie z niego jakiś zgiełk i hałas okropny. Widzę wy-robnika Guillard dosyć szczupłego z postaci, passującego się z olbrzymem J..., uzbrojonym w nożyce. Na ten widok siły mi przyby-wają nie wiedzieć zkąd: zrywam się, biegnę do drzwi i o po-moc wołam.

Gospodarz głos mój usłyszał i biegnie ku nam. J... zadawszy kilka lekkich na szczęście ran Guillardowi, ucieka, rzuca gospodarza na ziemię, toruje sobie drogę pośród kilku wybiegłych z stancij loka-torów, i tonie w mgle angielskiej, jak ryba w oceanie. I śladu naj-mniejszego po sobie nie zostawił.

— Coś to miał za sprawę z tym jegomością? — pyta wreszcie Guillard ochłonawszy z gniewu i rany swe przy pomocy gospodarza opatrzywszy.

Opowiadam tok całej rzeczy szczegółowo.

— Dobrześ zrobił: w obronie prawdy niczego lękać się nie powinien człowiek honoru. Ale generał D... nie powinien był wymieniać twego nazwiska dla osłonięcia własnego zdania. Niestety! bohaterowie wojskowi niezawsze posiadają odwagę cywilną, a nigdzie to nie sprawdza się częściej, jak u nas we Francyi! — rzecze Guillard. I po chwili doda:— Słuchaj doktorze, powróciłeś mi zdro-wie, a ja tobie ocaliłem życie. Dobre rachunki robią dobrych przy-jaciół. Warto tedy rozpocząć nowe, bo od tej chwili pomiędzy nami *à la vie et à la mort*. Powiedz, słyszałeś kiedy o Teofilu de Ker...sim?

— A któż z nas nie słyszał o tym szlachetnym Bretończyku, o godnym wnuku pierwszego grenadyera Francyi la Tour d'Auvergne, o przyjacielu nieszczęśliwych ludzi?—odpowiedziałem.

— Wiédz tedy mój doktorze, że stojący przed tobą wyrobnik Guillard jest Teofilem K....., i twym przyjacielem. Oto wexle na 100,000 franków podpisane przez bankiera Lafitte. Jadę pod najłagodniejsze niebo, do Portugalii, i proszę cię z sobą.

A tak czuwała nademną Opatrzność w chwilach najkrytyczniejszych miotanego burzą życia, i wybawiła mnie cudem z biedy londyńskiej.



# LATOPIS MIASTA ŻYWCA,

WIADOMOŚCIĄ HISTORYCZNĄ O SZLĄZKU, A W SZCZEGÓLNOŚCI O KSIĘZTWACH OŚWIECIMIE I ZATORZE

POPRIEDZIE

*Stanisław Krauss.*

## I.

Czyż się niegodzi z głębi wieków zaćmionych,  
Wywołać stare duchy z grobów zapomnionych:  
By świadczyły żyjącym o sprawach przeszłości,  
Ku ich naprawie, i ku ich miłości.

Przeładając w r. 1849 bibliotekę dekanatu żywieckiego, wpadła mi w rękę kronika m. Żywca Jędrzeja Komunieckiego, wójta miejskiego żywieckiego, którą od r. 1492 do 1730 doprowadził (1).

Jednakże już nie zastałem jej w oryginale, lecz w tłumaczeniu niemieckim, przez ś. p. ks. Fr. Augustyna proboszcza tamtejszego. Znalazłszy tak okwity plon do badań historycznych, począłem dochodzić napisy w kościele żywieckim; jakoż nie omyliłem się w nadziei, gdyż znalazłem epitafia Piotra i Jana Spytka Komorowskich, rozjaśniające wielce początek założenia miasta i przyczynę przybycia orawskiego i liptowskiego grabi do Polski. Powziąłem tedy myśl śledzenia dawnych wiadomości o osiedleniu żywieckiej doliny i obwa-

(1) Był Komuniecki malarzem, a obrazy pędzła jego znajdują się w niektórych kościołach okolicy żywieckiej. Żył lat 70, z których 50 szczęśliwie w małżeństwie spędził, zostawiwszy 9 dzieci, 50 wnuków, a 10 prawnuków.

rowaniu się na Turzėj górze, dziś Grójcem zwanėj, naprzód książąt szlązkich i oświecimskich, później Skrzyńskich i Komorowskich. Gdy zaś pierwotne osiedlenie doliny téj spływa w jedną całość dziejową Oświecima i Zatora, wypadalo mi tedy dotknąć się historyi Szlązka w ogóle, w szczególności zaś zająć się dokładném badaniem stosunków księstw oświecimskich do Czech, Szlązka i Polski. Ztąd tedy urosła rozprawa ta, która niejako za wstęp do latopisu żywieckiego, a następnie do kroniki Komunieckiego uważaną być może.

### 1. Rozgraniczenie obszaru geograficznego Szlązka. — Nazwa Szlązka geograficzném pojęciem.

Nazwa Karpat, które nastają w Dunaju, kiedy on wstępuje w równie węgierskie, pochodzi od *horbów*, co oznacza góry (1). Ztąd północne stoki Karpat obejmowano pod ogólną nazwą Chrobacyi, a mieszkańców mianowano Chrobatami. Wschodnią zaś część Chrobacyi, od Sanu począwszy, zwano Czerwoną Chrobacyą, albo Czerweńskim; a zachodnią Białą Chrobacyą, która legła aż do źródeł Wisły.

Od źródeł Wisły począwszy wzdłuż rzeki Odry i całego jój systemu wodnego ku północy, tam, kędy Warta wpada pod Kustrzyniem do Odry, przypierając na zachód o Korknosze (Riesengebirge) i Szumawy (Sudetty), aż tam, kędy od ostatniego dopływu Odry, poczyna się porzecze Łaby, a na wschód wzniesieniem tarnowieckich i trzebnickich wyżyn oddzielona od kraju równego, biorącego wagę swoją ku Wiśle, legła na stokach tych gór zachodnich, na górnym i średnim biegu Odry kraina szlązka. Na południu zaś odgranicza krainę tę dział wodny europejski, który na góry czeskie i morawskie, na źródłowiska rzeki Opawicy i Odry przypada.

Wszakże nazwa Szlązka ograniczała się pierwotkowo tylko na krainę obszaru rzeki Ślezy (2); gdyż Dytmar merseburgski (3) pisze: *Posita est urbs haec (urbs Nemetzii) in pago Silensi, vocabulo hoc a monte quodam nimis excelso, et grandi olim sibi*

(1) Szafaryk w dziele: Starożytn. słow.

(2) Dziś rzeka Lohn.

(3) Ditmarus Merseburgensis. edit. Mad. p. 221



*indito, qui mons ob qualitatem et quantitatem ab imolis omnibus nimis honorabatur, cum execranda gentilitas ibi Deos veneraretur.* To samo w dyplomie z r. 1351 (1): *In oppido prope montem Zlesie.* W innym zaś dyplomie z r. 1376 (2) nazywa się już nie *Zlesie*, ale *mons Czobothus*, góra Sobota (3), która w księstwie świdnickim położona, wzniesieniem swoim panuje nad wszystką okolicą.

Już w Xtym wieku były znane miasta, prędzej może osady, jakoto: *urbs Nemetzii* (4), dziś Nimmsch, Krosno, Wortislavia, albo Vratislavia (5). Powiat ten wrocławski (provincia Vratislaviensis) nazywa *Mart. Gallus* (6) dopiero od roku 1108 stałe okolicą śląską: *regionem silesiensem*, a ztąd poszło, że Piastowie młodszy dzierżący Wrocław, w dowód przewagi swojej pisali się *duces Zlesie*, a później *duces Silesiae*. Ponieważ zaś pierwsze ślady nazwania Szlązka znajdujemy na obszarze rzeki Ślezy, w powiecie Diedesiu, a to naprzód jako nazwanie rzeki, powtóre jako nazwanie góry: nie można się tedy zgodzić na wywód tego wyrazu z Kromerem (7), który powiada, jakoby: „nazwisko Szlązka od różnych a wielu narodów zgromadzenia, ztąd Zlezakami, albo Zchodniami zwanych, nadane było.” Także mylnie jest twierdzenie Dobrowskiego, wykazującego pochodzenie tego wyrazu od źródłosłowa „*sted*” (ostatni, od czego pochodzi posłedni), a to ztąd, jakoby Ślęzacy mieli być ostatni, posłedni.

Idąc zaś krok w krok za historycznym szerzeniem się nazwiska tego w tej części ziemi; bacząc także na położenie geograficzne krainy tej, trzeba uznać nazwę tę za ściśle miejscową, oznaczającą spłazinę, ślęzinę, stok gór ku równinom.

Widno tedy z powyższego, że nazwa Szlązka miała początkowo czysto geograficzne znaczenie, albowiem kraina położona na stokach gór Szumaw i Korknoszów, stacza się powoli, i przechodzi w równie europejskie. Jakoż jedno spojrzenie na kartę przekonywa, że kres

(1) Sommersberg (de) *Scriptores rerum silesiacarum* T. I, p. 934.

(2) Sommersberg. *S. R. S. T. I*, p. 936.

(3) Dziś Zobtenberg.

(4) *Ditm. Mersb.*: „ad urbem eo, quod a nostris olim sit condita, Nemetzii dictam.” *Ed. Mad.* p. 221.

(5) *Dokumentirte Geschichte und Beschreibung von Breslau.* 1778. T. I, str. 73. 92.

(6) *Dokumentirte Geschichte von Breslau.* T. I, str. 175.

(7) W tłumaczeniu Błażowskiego.

przedzielający kontynentalną Europę na górzystą i równą, padł na owe pogranicze szląskie, kędy, jako o krainę na wydmuchu leżącą, spierają się wiatry, wiejące z północy i wschodu wielkiego.

Zatém Szląsk (Zlezie, Slezie, Zlask) oznacza krainę stoków gór.

Dopiero później, kiedy Szląsk przeszedł w dzierżawę młodszych Piastów, przybrała nazwa ta szersze rozmiary. Jakoż Bolesław Kędzierzawy dodał do powiatów szląskich Opole, o czém Gosław Baszek (1) powiada: *Impendens illis, Silesianam provinciam donat, Opoliensem ducatum adjungens.*

Również Opole otrzymało od geograficznego położenia nazwę swą, albowiem kraina ta stanowi przejście z lekkich pagórków do jednostajnych równin Wisły, t. j. przytyka o pola.

(1) Goslaus Basco. Sommersberg, T. II, p. 45. Idąc za zdaniem uczonego p. Helcla, wymieniłem tutaj Gosława Baszkę (Goslaus Basco) autorem kroniki, dawniej za kronikę Bogufała poczytywaną. Opiera on swoje zdanie na następujących powodach. Zwykle za najdawniejszego po Kadłubku kronikarza poczytywanym jest dziś Bogufał II biskup poznański, w roku 1253 zmarły, a Gosław Baszek uważanym jest za kontynuatora Bogufałowej kroniki, który ją do r. 1273 doprowadził. Pod tym względem w zdaniu swoim różni się p. Helcel od powszechnego dziś mniemania, wzniesionego dopiero przez Sommersberga, za autorstwem Bogufałowem obstarzanego; zgadza się zaś z Wiszniewskim (T. II, str. 120 n.). Snadź tego zdania jest lub był Lelewel, skoro w dziele: „Początkowe prawodawstwo polskie” kronikę w zbiorze Sommersberga podaną (T. II, str. 18 — 78) za rzecz Bogufała wszędzie cytuje bez rozróżnienia, jako kronikę Baszka. Kownacki na zasadzie rękopismu willanowskiego już dawniej był tego zdania. (Kronika Lechitów i Polanów [przedmowa]. Warszawa 1822. Jestto tłumaczenie Baszka). Cała ta książka, tak w części po r. 1253 dociąganej, jako też w osnowie poprzedniej, jest dziełem samego tylko Baszka. W obu bowiem tych częściach są wzmiankowane wypadki i cytowane pisma, które dopiero po śmierci Bogufała nastąpiły. Używane tam są nazwy urzędów, które się w Polsce dopiero przy końcu XIII wieku zjawiły. Ztąd koniec życia Baszka i czas pisania jego kroniki do ostatnich lat XIII lub do pierwszych XIV wieku odniesionym być powinien.

Jakoż rzeczywiście, pominąwszy zupełną zgodność co do stylu tych dwóch części, nigdzie nie występuje Bogufał, jakoby sam o sobie mówił, chociaż do różnych ważnych okoliczności wezwany został. I tak np. (na str. 64) pod r. 1249 powiada kronika, że Bogufał, mówiąc zawsze o nim, jako o 3ciej osobie, był przytomnym zaślubinom Salomei, córki Przemysława księcia poznańskiego, z Konradem księciem głogowskim, a właśnie pod tymże rokiem (str. 64) mówi o sobie Bogufał, jakoby (ego Boguphalus) miał wizyą. Oczywiście musiało być tylko jego przypisek, na którym oparł się Sommersberg. Baszek zaś, chociaż później (str. 67) mówi o konsekracyi Bogufałowej przez Fulkona arcybiskupa guieźnieńskiego, przecież

2. *Rody słowiańskie na Szlązku, w Misnii i Łuzacyi wzdłuż rzeki Łaby, aż po ujście.—Chryścjanizm i wpływ niemiecki.—Bierny odpór Słowian.—Polanie jako państwo polskie odpór czynią.—Szlązko przechodzi za wpływem niemieckim w dzierżawę synów Władysławowych (1).*

Od najdawniejszych czasów obywali Słowianie w Europie, a odkąd pierwsze ślady historyczne o nich pod różnemi nazwami wspominają, graniczą oni już począwszy od morza Adryatyckiego na południu ku ostatnim północno-wschodnim cieklinom alpejskim, wzdłuż porzecza Łaby ku północy do morza Bałtyckiego z potężnym państwem Franków. Na zachód od pomorza siedli Wilcy, Obotryci, między Łabą, Salą i Muldą Sorby, a obszar między Łabą a Wisłą zajęły lechickie rody Polanów.

Podług świadectwa współczesnego Karolowi W. Eginharda, położył aż po Wisłę Karol W. kres państwu swojemu.

Tu oparła się już stanowczo potęga Franków o potęgę słowiańską, i odtąd walka ta, nieobojetna, owszem arcyprzeważna w ogólnym toku dziejów świata, sprowadza na widownię historyczną zasiadłe między Łabą, Odrą a Wisłą rody słowiańskie.

Pierwsze początki organicznego ciała narodowego, pierwsze podwaliny stosunków społecznych, stosunków prawnych, tak prywatnych, jak publicznych, odbywały się w tej epoce.

Widzimy w występujących, w jedno społeczeństwo narodowe połączonych rodach, tylko skutki tego procesu, sam zaś proces owego kształtowania się narodu jest nam niewiadomy. Ślady historyczne nie sięgają tak daleko, a wszędy, gdzie tylko Słowianie stykają

nigdzie nie powiada, że on kronikę pisał. Również Długosz kronikę zwykle za Bogufałową mianą, poczytywał za kronikę Baszki, mówiąc pod r. 1257: *Cui (Przemislao duci poznaniensi) in patris charitatem et memoriam, paternum in Baptismo nomen Przemislaus Boguphalus poznaniensis, episcopus indiderat hunc principem Baszko custos poznaniensis in suis scriptis et annalibus plurima laude celebrat.*

(1) Niniejszemu wywodowi rozwoju historycznego narodów u Słowian służyły za podstawę, naprzód: Rzut oka na umiejętność Geografii Wincentego Pola. Kraków. 1850. Także Dziejostępy Szrzeniawy: *Wie der polnische Sprachgeist die Urgeschichte der slavischen Volksstämme auffast? Lemberg. 1850.* Roepffel w dziele swoim: *Geschichte Pohlens* str. 82 i nast. nie mogąc sobie zdać sprawy o genesie państw i narodów u Słowian, usiłuje wywieść ten proces ze stanowiska prawnego.

się z ludami zachodnimi, z którymi w jeden ogólny potok dziejowy spływają, wystawieni są, jako rozrzucone osady szczególne, nie zostające pod żadnym zwierzchniczym kierunkiem.

Te same warunki, powtarzające się wszędy, przyjąć także należy co do rodów słowiańskich między Odrą a Wisłą, w dzisiejszej Wielkopolsce osiadłych. Rody te przyniosły z sobą z owój pierwotnej organizacji społecznej naddunajskiej, którą Samo odpierał wpływ frankoński, pierwsze nasiona tradycyjne rodowe, z których wyrosła potem organiczna budowa narodu Polanów.

Chcąc pojąć znaczenie rozrzuconych osad rodów słowiańskich, ciągnących żywot swój cicho, a tak silnie do ziemi przywiązanych, konieczną jest rzeczą wysledzić przyczyny, które na istnienie ich przeważnie wpłynęły.

Rozrodzona rodzina, mająca już stałsze siedliska, będąca już, jako przywiązana do pewnego miejsca, w stanie przechodnim do owładnięcia pewnego obszaru ziemi: rozrodzona rodzina taka jest rodem w plemienną epokę swoją.

Obszarem tym zawsze są porzeczka rzeki, które jako wskazujące dalszy pochod, przeważną grają rolę; dlatego też rody rozszerzają się za rzeką, i rozgałęziają się na całej sieci wodnej, należącej do jednego (systematu wodnego) dorzecza. Tu wpływ natury jest przeważny, a człowiek jeszcze na stanowisku natury stojący: ztąd zawarowane są rody naturą.

Jakoż pola rozległe od Odry do Wisły, należące do owój wielkiej niziny europejskiej, ciągnącej się od Wolchońskiego lasu, a mającej swój kres u rzeki Wesery, utworzyły Polanów, rozchodzących się znowu na inne miejscowości nacechowane rody. Stoki Korzkoszów i Szumaw, owa miedza przechodnia Europy górzystej na równą, stoki te mają odpowiednie rody Szlązaków.

Więc wszystkie nazwy pojedynczych rodów, nie powstały z ich podmiotu indywidualnego, ale są istotne, przedmiotowe, mające za treść swoje pojęcia natury. Ztądto owa analogia w nazwaniu wszystkich siedlisk słowiańskich.

Rodzina, jak nas objawy idei prawnej narodów słowiańskich później przekonywają, była jednością żywą wszystkich członków rodziny.

Jedność rodziny sprowadziła jedność posiadania, jedność i wspólność majątku; jedność ta miała zarodem w sobie odpowiedzialność solidarną jednego za wszystkich, a wszystkich za jednego.

Rodzina zatem wzrosła w osobę, a każdy członek rodziny stał o sobie.

Tu nam się tedy rodzi pojęcie żywotności osoby, rodziny, jako takiej, która z żywotnej i w żywotnej wszechności rzeczy, jako pojedynczość, osoba, występuje. Osoba zaś ta złączeniem samoistnie harmonijném, za pośrednictwem sił, lubo rodziny, lubo osoby, w nią wpłodzonych; osoba ta, mówię, prowadzi indywidualne istnienie swoje.

Te trzy pierwiastki i warunki życia wszego: wszechność, szczególność, i samoistne złączenie harmonijne, przechodzą z rodziny w ród, z rodu w naród, z narodu w państwo.

Ztąd u Słowian miał naród za wzór harmonijne spłynienie rodów, ród rodzinę, a rodzina miała za wzór w epoce przedchrześcijańskiej bogów, w chrześcijaństwie zaś królestwo niebieskie.

Żywotność więc rodów słowiańskich sprzeciwia się wszelkim teoryom racjonalnym, na podstawie jakiegś niby ugody powstałym.

Jedność tę żywotną rodów przechowywała pewna rodzina, od której rozchodziły się związki rodzinne, ogarniające ród w jedną całość żywotną, co z rozwojem dziejowym coraz bardziej słabło, bo miejsce rodu zastąpił naród.

Rodzina ta przechowywała tradycją, która trwała w zwyczaju, i stawała się starszyzną, szlachtą.

Jak dalece związek ten rodzinny tradycyjny rozciągał się, nie-jeden na to jest przykład: i tak, familia Turzów ciągnie się od ostatnich cieklin alpejskich, od Dunaju, ku Szlązku, do Wielkopolski na północ, zaś do ziemi spiżskiej na wschód.

Ztąd szlachta była naturalnym przewodnikiem narodu, a na niej, jako na rodach, osiadł naród.

Na-tęj jedności żywotnej rodu, gminy i rodziny, spoczywają wszystkie stosunki własności, stosunki prywatne i publiczne u Słowian.

Dlatego, jeżeli żywioł obcy, pod jakąkolwiek formą się zjawia, ogarnia stosunki prywatne i publiczne Słowian: natenczas jedność żywotna nadwerżona sprowadza dezorganizacją, śmierć.

Na owe rody słowiańskie uderzyła potęga Franków i Niemców, a w dalszym toku dziejów owładnęła je aż po Odrę, odkąd już rody słowiańskie Polanów lechickich, rozwijając z siebie silne wewnętrzne życie, spojone węzłem jedności rodowej, organicznej, żywotnej, stanęły na straży słowiańskiego ducha.

Znany jest bowiem bierny odpór charakteru słowiańskiego; znane jest także wewnętrzne urządzenie Słowian, owa społeczność li na gruncie oparta, i ściśle do ziemi przywiązana: ztądto rozgraniczenie, a nawet odosobnienie owych rodów słowiańskich. Ponieważ zaś, gdzie jest nieograniczona autonomia gmin, tam nie ma narodu, nie ma państwa: potrzeba zatem było wielkiej, silnej, nieograniczonej woli i energii, czyto pewnego rodu, będącego w sile plemienności, czy też zesłowiańszczonego obcego najeźdźcy, by te ciche rody pobudzić do czynnego oporu.

Epoka zaś tworzenia się narodów i państw w Słowiańszczyźnie poczyna się z wpływem niemieckim i szerzeniem chrześcijaństwa, co najpiérwój nastąpiło u Słowian wzdłuż rzeki Łaby, a zatem także w Miśni, w Luzacyi i Szlązku.

Później Henryk król niemiecki osadził na czeskiej granicy margrabię Gero, który zagrabiwszy powiaty łużyckie, zdradą na wendyjskich, słowiańskich książętach popełnioną, tak wpłynął przeważnie na Słowian, że się poddali dobrowolnie (1).

Wśląd za podbojem poszło także nawracanie Słowian na wiarę chrześcijańską; łatwo sobie ztąd wytłumaczyć można owę niechęć Łużyczan, Serbów, Wilków z Germanami stykających się, i wstret ich ku wierze zbawiennój, kiedy na wschodnich krańcach Słowiańszczyzny już wtedy ewangelia na bujnym gruncie głębokie zapuściła korzenie.

Otto I cesarz rzymski założył biskupstwo w Miśni w. 948 r. Gero margrabia potykał się także z Mieszkiem I księżciem Polanów, zwyciężył go i do posłuszeństwa majestatowi cesarza Ottona przywiódł.

Jakkolwiek z pewnością Mieczysław był zawisł od cesarza Ottona, jednak wpływ ten, nie sięgając w wewnętrzne stosunki oddalonego od Niemiec kraju, pociągnął za sobą następstwa wielkiej wagi dla całego narodu. Wojna bowiem, jak wszędzie narody ku sobie zbliża, tak tu wciągnęła Polanów w związki z zachodnim światem chrześcijańskim.

Jakoż po upływie dwóch lat od owego poddania się, Mieczysław pojął za żonę Dubrawkę, córkę Bolesława księcia czeskiego. Tożsamość położenia zbliżyła do siebie tych dwóch książąt. Bolesław bowiem już od jednego dziesiątka lat uznał był zwierzchnictwo ce-

(1) Böhme: Diplomatische Beiträge zur Untersuchung schlesischer Rechte und Geschichte. I Theil, str. 5—7.

sarza. Zbliżenie to sprowadziło głównie chrześcijaństwo do Polski, gdyż Mieczysław dał się ochrzcić, a z nim także część narodu.

Zachowanie się tutaj rodów Polanów znamionuje nam ich stanowisko względem księżęcia, gdyż jeszcze po upływie blisko wieku jednego znalazło stare pogaństwo siły zadosyć w sobie, aby zachwiać nowe chrześcijaństwo.

Jednakowoż dość rychło nastąpiła organizacya kościelna Polski, przy której wpływ niemiecki przeważnie występuje. Pierwsze więc na zewnątrz wystąpienie Polanów musiało się objawić z samej natury rzeczy w wyłącznym ku zachodowi kierunku.

Z całą świadomością celu dążenia swego uchwycił się kierunku tego Bolesław Chrobry, który Polanów na rozległych obszarach między Łabą a Dnieprem, od Karpat do morza Bałtyckiego uczynił panującym narodem. Myślą Bolesława, kierującą nim we wszystkich sprawach, było owdądzić słowiańskie rody między Łabą a Odrą położone, i tak wpływowi niemieckiemu stanowczy i skuteczny czynić odpór. Taki rozwój nadałby był zupełnie inną postać rzeczom.

Po zejściu Bolesława Chrobrego r. 1025, utraciła Polska pod Mieczysławem II znaczenie swoje. Z jednej strony bowiem nacięrał Konrad cesarz niemiecki, a z drugiej Brzetysław, książę czeskie na dzierżawy polskie. R. 1029 odpadła Morawa aż po rzekę Oppe, a r. 1032 uznał Mieczysław Konrada cesarza panem swoim.

Po skonie Mieczysława, r. 1034, ośmielało ogólne rozprzężenie porządku, od Bolesława Chrobrego zaprowadzonego, sąsiednie narody do najazdów i podboju. Jakoż Brzetysław po śmierci ojca Ulrycha księżciem czeskim uczyniony, wyruszył r. 1039 do Polski, a nie znalazłszy oporu żadnego, Kraków wziął i spalił, a Szlązko całe dla siebie zatrzymał.

Dopiero r. 1055. oddał Polsce Wrocław i inne miasta z tém, aby 500 grzywien srebra a 30 grzywien złota rocznie płacono.

Odtąd po krótkich przerwach czasu ponawiały się częste napaady Czechów na ziemię szlązkie, nie zostawiając jednak krom spustoszenia ziemi żadnych śladów po sobie. Także cesarze niemieccy nie zapominali, choć powierzchownie, utrzymać poszanowanie i wpływ Niemiec względem Polski. Trwał ten niepewny stosunek od 1055. do 1140 r., odkąd poczynają znowu Niemcy szerzyć ku wschodowi swoje potęgę. Wprawdzie interes państwa niemieckiego, jako całości, skłania się coraz bardziej ku południowi, a cesarze niemieccy tylko na krótki czas w skutku pomyślniej wyprawy zdolają książęta polskie, wszakże nigdy na długo, do uznania zwierzchności cesarskiej

przyniewolić; jednakże miasto państwa obejmują księżęta pojedyncze na wschodnich krańcach cesarstwa dziedziczną wojnę przeciwko Słowianom.

W okolicach na średnim biegu Łaby i Odry, a na dolnym biegu Wisły położonych, zbrojno sadowią się Niemcy, rozrywając tym sposobem węzeł łączący Słowian ze sobą, a Polaków odcinają zupełnie od morza. Jeszcze dalej sięgnął ich wpływ przeważny na drodze pokoju, objawiając się w licznych osadach, a z końcem XIIIgo wieku widzimy już Pomorze i Szlązko wciągnięte w pochód germańskich dziejów i cywilizacyi.

Podawszy tedy w zarysie charakter dziejowego początku Polski i wyprzedziwszy niejako wypadki, przystąpić już teraz można do właściwego toku dalszych dziejów Szlązka, z szczególnym wszakże względem na tę część ziemi szląskiej, która w bliższych związkach z Polską zostając, powróciła do Polski napowrót.

W roku 1158 wypędzony od bracięj młodziej Władysław II, ujawszy sobie wielu radnych panów Fryderyka cesarza, dopraszał się przywrócenia swego na sejmie walnym, na wszystką rzeszę niemiecką w Wirzburgu albo Herbipolu złożonym. Jakoż Fryderyk cesarz chcąc księżęta polskie do uznania zwierzchności majestatu cesarskiego przyniewolić, wtargnął przez ziemię szląską do Polski. Tu niepokojony zewsząd, i urywany z pokątnych rozsadek, ku temu ciągnąc okolicą przez samychże Polaków wyniszczoną, którzy i miasta niepodłe, jak Bytom i Głogów, palili, o odwróceniu począł być przemysłiwac, tém bardziej, że go odwabiały sprawy włoskie.

To gdy księżęta z naprawy Władysława księżęcia czeskiego wyrozumiewają, z Fryderykiem cesarzem pokój tém prawem stanowią: aby Bolesław na zjeździe w Magdeburgu sprawę wygnania i przywrócenia Władysławowego zdał na rozsadek Polaków i Czechów, a przedewszystkiém, aby Władysława przywrócił do dzierżaw szląskich.

Wszakże przyrzeczenia Bolesław w niczém nie dotrzymał, a Władysław za żywota swego szląskich dzierżaw nie dostał, zszedłszy ze świata w Starogrodzie (Altenburgu) r. 1159 w Holzacyi. Dopiero r. 1163 za naleganiem Fryderyka cesarza, synowie Władysława: Bolesław, Mieczysław i Konrad przywróceni, wszystko Szlązko aż po granice czeskie, myszyńskie i saskie, na dzierżawy swe objęli.

Bolesław Długim albo Wysokim rzeczony, wrocławskie powiaty osiągnął, a ponieważ większą część obszaru rzeki Ślezy posiadał (pa-



gus Silensis), pisał się *dux Zlesie* (1), Mieczysław raciborskie i opolskie, a Konrad zasię głogowskie i krośnieńskie posiadał.

Tym tedy podziałem trzymali Szlązko synowie Bolesławowi, kiedy Konrad ksiązę głogowskie bezpotomnie ze świata zeszło. Po nim wziął w puściznie Bolesław powiat głogowski, przeciwko temu wystąpił Mieczysław zbrojno, i nie tylko że mu Wrocław odjął, ale go z Szlązka wypędził (2); w co Kazimierz włożywszy się, rychło ich pogodził przywracając Bolesława do Wrocławia, a zagodziwszy Mieczysława z własnej dzierżawy Oświęcimem r. 1180, który od-tąd zostawał w połączeniu z Cieszynem. Syna zaś Mieczysławo-wego do chrztu trzymał, nadając mu własne imię Kazimierza.

Jednakże Mieczysław, opolskie i raciborskie ksiązę, niezawsze trwał w pokoju ku Polsce.

Jakoż gdy po zejściu (r. 1194) Kazimierza książęcia polskiego, objął rządy ojczyste z Heleną matką Leszek Biały, jeszcze lat nie do-szedłszy, pragnął Mieczysław Stary, dla złych rządów z księztwa zrzucony, dochodzić krzywdy swojej, mniemając mieć większe prawo po sobie do księztwa, jako syn drugi Bolesława Kędzierzawego. Jął się tedy w lud pilnie uzbrajać, nie zaniedbując także zasiłków u po-stronnych. I tak książętom szlązkim wystawiał, jako na zjazd ów, na którym wspólnym rozsądkiem ma być obierany ksiązę, wezwani nie zostali. Snadnie tedy podjęli książęta wspólnej sprawy, gdyż i oni sądzili mieć większe prawo do księztwa, jako starsi Bolesława i Krzywoustego wnukowie.

Wyruszył tedy Mieczysław Stary z posiłkami Pomorzanów na granicę powiatu krakowskiego ku Mozgawie (3), rzęce, z wojskiem, i tam zwiódł bitwę, chociaż mu były posiłki szlązkie nie nadciągnęły, z Mikołajem, wojewodą krakowskim, któremu Roman łuckie albo włodzimierskie ksiązę nie miały przywiódł poczet Rusiej na pomoc. Złe się powiodło Mieczysławowi Staremu, gdyż syn jego Bolesław padł, a on sam ranny uchodzić musiał. Niedługo wszakże utrzy-mali się Małopolanie przy nabytém zwycięztwie, gdyż Mieczysław opolski z Jarosławem, Bolesława Wysokiego wrocławskiego książę-

(1) Sommersberg: S. R. S. T. I, str. 894.

(2) Goslaus Basco. Sommersberg T. II, str. 45.

(3) Stencil w dziele: *Scriptores Rerum silesiacarum* T. I, str. 19 w przypisku do *Chronicon Polonorum* mniema, że to była rzęka Skawa, która pod Zatorem do Wisły wpada, opierając swoje zdanie na tém, że wy-mieniona jest *Muscava circa Andreon claustrum*.

cia synem, nastąpili, i do uciezki Polaków pojmaniem Goworzycy wojewody sandomierskiego, przywiedli. Sami zaś Szlązacy nawrócili do domów za Mieczysławem opolskim, którego w lektyce odniesiono, lękając się zapewne, aby im Małopolanie, siły pokrzepiwszy, kłęski w dzierzawach własnych nie zadali.

Mieczysław opolski i raciborski założył i zubożył klasztor w Rybniku zakonnikom Praemonstratenńskim, który potem jedyny syn jego r. 1228 do Czarnowasów pod Opole przeniósł.

Mieczysław zszedł ze świata r. 1211.

*3. Postęp wpływu niemieckiego.—Prawo miejskie majdeburgskie i ziemskie; prawo saskie na wszystkim Szlązku zastosowane do obyczajów miejscowych.—Epoka reorganizacji na liczne dzielnice podzielonej Polski; ztąd niepewność położenia książąt szlązkich.—Punkt ciężenia Polski na wschód.—Rzeka Odra stracona.—Pochwycenie Szlązka przez Czechów.*

Po Mieczysławie objął księstwo opolskie i raciborskie Kazimierz, który umarł r. 1234 (1) 13 marca, zostawiwszy dwóch synów: Mieczysława i Władysława małoletnich, którym książe wrocławski Henryk Brodaty za opiekuna przydał. Ci lat doszedłszy, podzielili się ojcowizną: Mieczysław wziął Cieszyn z Oświęcimem, Władysław zaś posiadał Opole i Racibórz.

Za czasów Mieczysława IIgo prawo niemieckie szeroko już było na Szlązku zaprowadzone, tak, że odtąd poczęło mieć zupełną nad polskim prawem przewagę.

Razem z prawem niemieckim weszło do Szlązka lennictwo, nieznanne w prawie polskim, przez które dziedzic utracił połowę swęj własności. To zetknięcie się jednakże prawa polskiego z prawem niemieckim, zmodyfikowało to ostatnie do tego, że lennik mógł lenność przedawać, a nawet córki miały zdatność do dziedziczenia.

Już w ciągu XIIIgo wieku przekształciła się hierarchia społeczna na Szlązku i Oświęcimie, zupełnie podług wyobrażeń niemieckich, zachowując jednakże w nazwach i atrybucjach urzędników ziemskich i publicznych charakter polski.

(1) Böhme: Diplomatische Beiträge zur Untersuchung schlesischer Rechte und Geschichte. I Theil, str. 5—7.

Były stany następne: stan panów (Comites, na początku XIVgo wieku grabia (1), barones), szlachty (nobilium) i właścicieli (terri- genialii), stan mieszczanów (cives, oppidam (2), czynszownicy (em- phytheutae), mieszkańców (incolae) i chłopów (habitati (3), ascri- pticii, glebae adscripti (4), albo homines).

Wojewoda (dux belli) przemienił się później w Landeshauptman- na, urzędnika ziemskiego, któryto urząd przetrwał mianowicie w Szlązku austriackim do ostatnich czasów.

Pierwiastkowo byli zapewne kasztelani i starostowie, *comites Castellani* i *comites capitanei* i *Burggravi* jedni i ci sami (5). By- lito szlachta (nobiles, milites), która do służby wojskowej obowiązana, ziemię jako wolną własność posiadała, a która różniła się wielce od szlachty Zachodu, do której inne znaczenie przywiązane było. Szlach- ta ta, zachowywała z dawnego spółnictwa rodowego wyniesioną ró- wność wszystkich wolnych, że zaś na Szlązku w ciągu XIIIgo wieku zmieniła się w skutek zaprowadzonego lennictwa, wynika z samej na- tury rzeczy. W tymże wieku włodarz (włodarius) oznaczał na Szląz- ku starostę.

W drugiej połowie XIIgo wieku, osobliwie od tego czasu, w którym synowie Władysławowi objęli Szlązko, poczynają się liczne osiedlenia niemieckie na całym podgórzu Szumaw i Korknoszów, i trwają aż do połowy XVgo wieku, gdyż podgórze to, lasami pokry- te, było zupełnie niezamieszkałe. Ztąd poszło, że Szlązacy zamie- szkujący tylko równie, ujrzeni się w ciągu wieków otoczonemi ze- wsząd od Niemców.

Przyczyna tego była następna. Władysław wtóry, po wype- dzeniu swoim z Polski został w Niemczech przyjaźnie przyjęty. Sy- nowie jego, dzieci z matki Niemki, w Niemczech wychowani, przy- puszczeni zostali jedynie za energicznem wstawieniem się cesarza Fryderyka Barbarossy do dzierżaw szlązkich, a w posiadaniu tych utrzymywał ich wpływ niemiecki; to wszystko sprawiło, że powiązani interesem własnym z Niemcami, przechylili się zupełnie na stronę germańskiej cywilizacyi. Związki małżeńskie z niemieckimi dwora- mi książąt szlązkich utwierdzały ten stosunek, a przedewszystkiem

(1) Sommersberg w dyplomie z r. 1310. T. I, str. 875.

(2) Sommersberg T. I, str. 804—805.

(3) Sommersberg T. I, str. 881.

(4) Sommersberg w dyplomie z r. 1331, T. I, str. 874.

(5) Bandtkie: Ueber die gräfliche Würde in Schlesien. Breslau, 1810.

wystąpił kościół, który łącząc po pierwszy raz zachodnich Słowian z zachodnim światem, i związek ten utrzymując, pierwszy począł zakładać osady niemieckie (mansos franconicos et gallicos).

Klasztory od książąt uposażone, wyjęte z pod prawa książęcego, polskiego, sprowadzały ku lepszemu uprawie ziemi niemieckich osadników. Od r. 1175 (1), w którym Bolesław Iszy Długi książę śląskie, zakładając klasztor Leubus (coenobium Leubucinum) dla Cystersów, o czym najdawniejszy dyplom nam znany wspomina, uwalnia osadników w dobrach klasztornych na zawsze od wszelkich ciężarów prawa polskiego; od tego czasu poczynają się coraz liczniejsze napływy osadników niemieckich, którym książęta wielkie okazują względy. Gdyż nie tylko że ich do uprawy ziemi ściągają, ale oddają im nawet miasta, albo pozwalają im nowe (Novifora) budować, aby tym sposobem pomnożyć dochody swoje.

Kolonizacja ta rozszerzała się na całe Ślązko; jakoż w r. 1222 pozwala Mieczysław książę opolski biskupowi wrocławskiemu założyć w Ujeździe (Ujest) niemiecką osadę; r. 1225 daje osadnikom w okolicy Kozła te same prawa, które Niemcy we wsi Beli już dawniej dzierżyli. Adwokacją krajową w ziemi zatorskiej sprzedaje Mieczysław IIIci książę cieszyński Arnoldowi kapelanowi roku 1292 (2), oraz wolność założenia miasta, wraz z prawami, które zwykle w takim razie udzielano, t. j. na prawie teutońskim.

Także bardzo często wyrabiali sobie u książąt ludzie prywatni nadania na pewne, jeszcze niewykarczowane okolice i zakładali tam osady na prawie niemieckim. Również wsi rządzące się prawem polskim, i szlachta, idąc za przykładem duchowieństwa, dopraszały się zamiany prawa polskiego na prawo niemieckie, co się ciągnęło od końca XIIgo do końca XIVgo (3) a początku XVgo wieku.

Władza sądowa, razem z prawem miecza (jus capitis et manus) przechodziła także tym samym sposobem z rąk książęcych do klasztor-

(1) W Büsching'a: Urkunden des Klosters Lenbus, str. 1, jest rok fundacji podany 1175. Gdy tymczasem dyplom z r. 1178, w zbiorze Sommersberga t. I, str. 894 zamieszczony, uważa Roepel: *Geschichte Polens* str. 185 w przypisku 18 za nieprawdziwy. W dyplomie tym są wszystkie stosunki z nadzwyczajną, owemu wiekowi niezwykłą dokładnością, opisane.

(2) Sommersberg T. III.

(3) W Pamiętniku sandomierskim Warsz. 1829. T. I. str. 414 znajduje się dyplom księcia Przemysława cieszyńskiego z r. 1374, dozwalający właścicielom wsi Mirzowie rządzenia się prawem niemieckim.

rów i prywatnych, w których ręku nazwała się *advocatio provincialis* albo *Landfoytte* (1).

Klasztory i prywatni oddawali władzę sądową w ręce soltysów, *scultetorum*, z zastrzeżeniem odwołania się do wyroku swojego. Soltys (*scultetus*) w właściwem znaczeniu prawa saskiego jest ten, któremu oddano sąd we wsi (*in villa*), a jest przełożony wieśniakom. Bywa on także w prawie niemieckim nazywany niższym sędzią (*pedancus*), bez którego nie obejdzie się w zastosowaniu prawa saskiego. Adwokacją ziemską, *Landfoytte* (*Landvogtei*) sprawował niekiedy burgrabia, i zjazd adwokatów niekiedy burgrabiami zwano, którzy jako przełożeni sądowi, wyrokowali wspólnie z soltysami (*cum scultetis*).

Soltysi bywali nietylko niższego, ale także rycerskiego stanu, a nawet panowie (*barones*) bywali *advocati et sculteti*, z których niektórzy dzierżyli wsie w całości, inni częściowo z pewną liczbą poddanych (*subditorum*), do czego także należały sklepy (*tabernae*) i młyny. W nadaniach książęcych na osady zwykle uwolnieni są *sculteti* od służby wojskowej za granicą, jednak w obronie kraju własnego stanąć byli winni konno (*sculteti equites*) (2). Kiedy tymczasem w Polsce wyjmując dobra klasztorne z pod jurysdykcji swojej księżęta i królowie, nigdy *scultetów* nie uwalniali od służby wojskowej za granicą, a statut wiślicki r. 1368 wyraźnie powiada, że *sculteti* z dóbr kościelnych obowiązani są służyć wojskowo za granicą. Również w tymże statucie Kazimierz W. za radą baronów zawarował mświenie się *scultetów*, gdy tymczasem w Szlązku miało się przeciwnie. Wyjątkowo tylko Kazimierz W. uwolnił *scultetów* opactwa tyńskiego od pospolitego ruszenia (3).

Była także klasa czynszowników, *emphytheuti* (4), którzy lasy, w dobrach obcych położone, wytrzebiwszy, albo ziemię nieurodzajną uprawiwszy, z gruntów takich pożytek dla siebie ciągli za opłatą (*sub sexto censu*).

Dyplomata XII i XIII wieku nazywają włościan w odróżnieniu od szlachty ogólnie *ignobiles*, a to pod nazwami: *homines, incolae, coloni, rustici*. Pomiędzy temi odróżniają znowu włościan na

(1) Sommersberg T. I, 934.

(2) Sommersberg T. I, 894.

(3) Szczygielski: *Tinecia, seu Historia monasterii Tyntecensis ordinis S. Benedicti. Cracoviae ex off. Schedelliana, 1668.*

(4) Sommersberg T. I, 874.

*liberi i ascripticii, obnoxii*, a z początkiem XIVgo wieku (1) *ad glebam adscripti*. *Homines liberi* dają się o tyle tylko dokładnie oznaczyć, że ci włościanie nie występują nigdzie jako rzeczowo wolni właściciele ziemscy.

Powinności scultetów i włościan (*sive incolae, coloni sint, seu iudices, vel scholteti*), były bardzo liczne, ale od tych coraz częściej uwalniali książęta sposobem powyższym. Powinności te były następne: stróża, która we wszystkich dyplomatach prawie zawsze jest wymieniona, a oznaczała (2), naprzód stróżę właściwą, potem pewną summę pieniężną, którą się od téj właściwej stróży uwalniano, a nakoniec zboże, oddawane gwoli utrzymania załogi w grodach. Budowa i naprawa grodów (3), podwoły (*venturae*) dostawy bydła (*pecorales*) i zboża (*annonae*) czyli *sep*.

Wymienione są także powinności podejmowania koni, psów, sokołów do łapania ptaków wprawionych, i strzelców książęcych; także strzeżenie bobrów, ludzie zaś tém się trudniący zwani byli bobrownikami (*bobrovinci*).

Uwalniali także książęta osady niemieckie i dobra duchowne od daniny, niejako dodatkowej, pomocną zwaną (4), w znaczeniu zbiorowém używaną. Jakoż np. opłata w skutek uzyskanego w sądzie wyroku, krom opłaty za wręczenie (*wrez*) (5) i pozwu (*pohonze*) dodatkowo dawana, zwała się pomocną, od której jednak zwykle nie uwalniano.

W ogóle wszystkie te powinności, obejmowano pod trzema terminami prawnemi, a mianowicie: *turbatio*, która oznaczała wszelkie powinności wsi i miast, ściągające się do osoby książęcia i jego dworu (*statio*) wraz z wszelkimi rzeczami do utrzymania tego dworu służącemi (*pecoralia*). Powtóre *datio*, która oznaczała np. stróżę, i była podatkiem publicznym; nakoniec *contributio* (np. pomocne).

Książęta dawali także osadom (*Novoforensibus*) pozwolenie zakładania sklepów z mięsem i chlebem, zezwalali na wystawianie

(1) Sommersberg T. I, 874.

(2) Sommersberg. Basco II, str. 25.

(3) Sommersberg T. I, str. 897.

(4) W dyplomie z r. 1268, w którym Władysław książę opolskie potwierdza wsie (*villas*), pożytki (*proventus*) i uwolnienie od ciężarów publicznych (*immunitates*) opactwu Benedyktynów w Orłowie w zupełności. Szczygielski str. 156.

(5) W dyplomie z r. 1229 w *Cod. dipl. Morav.* Boczka T. II, str. 211. Wyraz zaś *wrez* nie umië sobie Roeppeł wytłumaczyć, str. 319.

młynów i sprowadzanie wody z rzeki do rybników, czasem za pewną opłatą lub bez opłaty. Oddawali także miastom lasy lub dawali wolny wręb do niego.

Włościanie na prawie niemieckim osiedli, byli obowiązani do służby wojskowej pieszo.

Taki był w XIII i XIV wieku stan Szlązka, który w ciągu XV wieku przeszedł zupełnie na prawo niemieckie.

Pod koniec pierwszej połowy XIII wieku zaleli po pierwszy raz powodzią całą Europę wschodnią Tatarzy, zapuszczając aż do Szlązka głęboko zagony pustoszące. Mieczysław cieszyński książę, był w bitwie pod Lignicą (1), a niedługo potem r. 1246 (2) zeszedł ze świata bezpotomnie.

Tym prawem stał się tedy Władysław, brat jego młodszy panem Opola, Cieszyna i Oświęcimia. Żył on od r. 1251 z żoną swą Eufemią (3) córką Przemysława księcia poznańskiego w pobożności bożej; założył klasztor Cystersów w Władysławiu, albo w Rudni nad rzeką Rudą r. 1258, i wyjął go zpod jurysdykcji książęcej; także klasztor Dominikanów w Raciborzu. Opactwu Benedyktynów w Orłowie, które matka jego Ludmiła założyła, nadawszy je 29 wsiami, potwierdził prawa i swobody od poprzedników swoich nabyte, oddając wszakże opactwo orłowskie pod jurysdykcją opactwa tynieckiego r. 1268. Widno więc z tej zawisłości opata orłowskiego, że stosunki kościelne wtedy jeszcze nie były zerwane z kościołem polskim, chociaż Innocenty IV papież, w Lugdunie r. 1246 uwolnił biskupstwo wrocławskie zpod zwierzchnictwa wszelkich innych biskupstw i metropolij.

Tutaj dla wykrycia stanowiska księcia opolskiego w chwili, w której żywotną dla całej ziemi szlązkiej toczyła się sprawa, nieodzowną jest rzeczą opuścić dalszy tok wypadków, cofnąć się o kilkanaście lat wstecz, i obejrzeć się na sprawy, w które księżęta opolskie, Mieczysław i Władysław, których opiekunem był Henryk wrocławski, czynnie wciągnięte zostały.

(1) Böhme: Diplomatische Beiträge zur Untersuchung schlesischer Rechte und Geschichte. I Theil, str. 5—7.

(2) W dyplomie u Sommersberga T. I, str. 914.

(3) Sommersberg. Basco II, 67 nazywa ją Ensanna, u bezimiennego (Sommersberg str. 84) zowie się Effeya. Długosz nazywa ją Euphemią; przytęm powiada, że była w 4tym i 6tym stopniu pokrewna z Władysławem opolskim.

Śmierć Leszka księcia krakowskiego dała powód Henrykowi księżęciu szlązkiemu, do mieszania się w sprawy polskie. Jakoż objąwszy nad Bolesławem, synem Leszka opiekę, zawikłał się w wojnę z Konradem księżęciem mazowieckim, który go roku 1228 pochwyciwszy, w Płocku w więzieniu osadził. Po uwolnieniu swém za pośrednictwem św. Jadwigi matki, zrzekł się Henryk opieki nad Bolesławem, który dopominający się ojcowizny od Konrada, uwięziony r. 1230 ucieka z Sieciechowa za pomocą Klemensa z Ruszczy, znajduje w Sandomierzu i Zawichoście licznych sprzymierzeńców, przywołuje w pomoc Henryka księcia wrocławskiego, który już 1230 r. przybrał tytuł księcia krakowskiego.

Konrad mazowiecki odstąpił pretensyj swoich do ziemi krakowskiej, a Bolesław, syn Leszka, z wdzięczności za świadczone usługi, odstępuje praw swoich na Krakowskie i na część Sandomierskiego Henrykowi wrocławskiemu, który pisze się stale od r. 1233 w wszystkich dyplomatach: księżęciem Szlązka a Krakowa.

Tém prawem tedy urosła najstarsza linia Piastów w przeważną potęgę w osobie Henryka wrocławskiego między polskimi Piastami. Henryk w posiadaniu całego Szlązka dolnego, ziemi Lebus i ziemi krakowskiej, równocześnie (od r. 1233) opiekunem synów Kazimierza opolskiego, jął praw swoich wypływających z senioratu, jako do książąt ziemi krakowskiej przywiązanych, dochodzić.

Jakoż jeszcze w owój walce z Konradem z Mazowsza, nagodziła mu się sposobność pomnożenia dzierżaw swoich. Po śmierci bowiem Władysława Laskonogiego, który go dziedzicem swym uczynił, prowadził Henryk już od r. 1230 tytuł księcia polskiego. Władysław Odonicz zostawał jednakże w niezaprzeczoném posiadaniu ziemi téj, gdyż Henryk toczył natenczas wojnę z Konradem z Mazowsza o ziemię krakowską; chcąc zaś pewną podporę znaleźć w duchowieństwie, uwolnił biskupstwo poznańskie od wszelkich ciężarów. Wszakże szlachta, widząc w tém pomnożeniu własnych ciężarów, wezwała Henryka wrocławskiego do rządów, w co kościół włożywszy się, nietylko ze Henryka do uznania Władysława Odonicza, ale nawet do strzeżenia praw jego przyniewolił.

Niedługo wszakże trwali książęta w pokoju, albowiem z jednej strony Konrad chciał pozyskać krakowską i sandomierską ziemię, z drugiej zaś Henryk wrocławski pragnął posiąść ziemię



wielkopolską. Pierwsza walka z Konradem mazowieckim skończyła się korzystnie dla Henryka r. 1234, w drugiej także wyszedł zwycięzko z Władysławem Odoniczem. W walce tej sprzymierzony Henryk z Mieczysławem i Władysławem, opolskimi książętami, wziął Kalisz, Pyzdry, Środę i Szrem.

Stanął wreszcie pokój za pośrednictwem Fulkona arcybiskupa gnieźnieńskiego, 22 września 1234 r., mocą którego rzeka Warta miała stanowić kres obustronnego posiadania, a to tak, że wszystką ziemię, która poniżej Santoku za biegiem Warty legła, miał objąć Henryk; Nakło zaś, Ujście, Czarników, Rudnią i Wieluń miał posiąść Władysław opolski; Szrem zaś, siostrzeniec Henryka wrocławskiego, Bożywój.

Przeciwko tej ugodzie, podając ją jako wymuszoną, protestował Władysław Odonicz do papieża; jednak za życia swego utraconych ziem nie pozyskał. Władysław opolski pozostał w posiadaniu Kalisza i Rudy, a Henryk wrocławski po zejściu swém r. 1238 pozostawił synowi swemu, Henrykowi Pobożnemu, wszystkie zdobyte ziemie, które rozległością swą przewyższały dzierżawy wszystkich innych książąt. Szlązk dolny, nie podła część Wielkopolski, wszystka także krakowska i sandomierska ziemia w jedno posiadanie połączona, mogła być stać się z czasem rdzeniem nowego jednolitego państwa polskiego, kiedy niezadługo po śmierci Henryka Igo nadchodząca od Wschodu ku Polsce nawała wojenna, której straszliwe zbliżanie nappełniło trwogą wszystkich zachodni świat chrześcijański, przerwała zupełnie pierwsze początki nowego rozwoju dziejowego łączącego się Szlązka z Polską.

Jakoż przewaga Piastów szlązkich upadła zupełnie po bitwie pod Lignicą, r. 1241, 9 kwietnia, w której Henryk Pobożny zginął. Książęta bowiem polscy, po ustąpieniu Mongołów, oczekując do uzyskania utraconych dzierżaw swoich sposobnej pory, znaleźli ją w osłabionej potędze książąt szlązkich, którzy obyczajem Piastowskim szlązką i wielkopolską ziemię między siebie podzielili. Książęta polskie bowiem wspierała niechęć szlachty ku Piastom szlązkim, których, jako życiem niemieckim oddychających, za obcych w Polsce poczytywano.

Ztąd szlachta krakowska, powstająca przeciwko Bolesławowi szląkiemu, najstarszemu z braci, który także wielkopolską ziemię odziedziczył, przywołała do rządów Bolesława, syna Le-

szkowego; Wielkopolanie zaś oddali rządy synom Władysława Odonicza.

Wprawdzie Bolesław wrocławski starał się r. 1247 i 1248 pozyskać utracone dzierżawy wielkopolskie napowrót, jednak nadzieje jego spełzły na niczym.

Widno tedy, jak rychło przewaga na zwycięztwach Henryka Brodatego ugruntowana, pod następcami jego upadła, gdyż każdy z książąt szląskich, rządzący niezawisłe od siebie, miał oddzielny swój interes, który popierał; a częste najazdy i wojny, także spory książąt z kościołem sprawiły, że pozbawieni punktu oparcia, ulegli wpływowi obcemu, uczynili się zawisłymi od tego państwa, od którego potęgą i władza wówczas wychodziła. Raz tylko otrzymali z położenia swojego między zawichrzoném przez *interregnum* państwem niemieckim, a wzbijającym się w potęgę Ottokarem czeskim, bo wówczas Polska była w niemocy, otrzymali wypływającą z sytuacji téj przechodnią wagę i znaczenie, które z upływem i za przemianą chwili téj upadło na zawsze.

Mieli wszakże książęta jeden wspólny interes, a tym interesem było popieranie kolonizacyi niemieckiej, która po spustoszeniach tatarskich większe przybrała rozmiary. Jakoż od r. 1240 do 1278 uzyskały już prawie wszystkie znaczniejsze miasta szląskie niemiecką ludność i prawo niemieckie.

Szląsk już w tym okresie został dla Polski stracony w zupełności.

Do zrozumienia stosunku ziemi szląkiej do Polski, konieczną jest zatem rzeczą uchwycenie momentu owego, w którym rozwój dziejowy polski zdawał się w nowe wstępować stadium; jednakże organizacyi téj nowój państwa polskiego, jako ciała narodowego stanęły na zawadzie: nawała Mongołów, opór wewnętrzny narodu, i niemoc i przychylność książąt szląskich ku cywilizacyi niemieckiej.

Wracając teraz do dalszego toku naszego historycznego, przechodzimy znów do książąt opolskich.

W owych tedy czasach, kiedy wielkopolscy książęta, a mianowicie Przemysław książę poznański, pozyskał utracone przez ojca Władysława Odonicza dzierżawy napowrót: utracił także Władysław opolski ziemię rudneńską, którą później wieluńskim powiatem nazwano. Stało się to sposobem następnym:

Mieczysław, syn Kazimiérza opolskiego, pojawiwszy córkę Konrada księcia mazowieckiego za żonę, której 500 grzywien

srébra *ratione donationis propter nuptias* był winien, umierając zobowiązał brata swego Władysława do wypłaty, który miasto téj, chciał gród i powiat rudneński dać Kazimiêrzowi księciu kujawskiemu, bratu wdowy, w zastaw. Jednakże Przemysław poznański ubiegł go, gdyż na jego żądanie r. 1249 wydali mu *castrenses* gród (1). Pojednanie zaś nastąpiło r. 1251, w którym Władysław zaślubił Eufemią, córkę Przemysława.

Syn Władysława, Włodzimierz, wstąpiwszy jako książę oświęcimskie do zakonu Benedyktynów w Tyńcu, wieczyście ofiarował zakonowi od ojca swego wsie Łączany, Żorzów i Wolą Radziszowską (2).

Po zejściu Władysławowém około r. 1283, podzielili się synowie jego: Mieczysław III wziął Raciborz. Kazimierz II, Bytom, Bolesław I, Opole, a Przemysław I Oświęcim (3), i tak powstały nowe księstwa, a mianowicie: Raciborz potem Cieszyn, Bytom, i Opole.

W Polsce po śmierci Leszka Czarnego (r. 1288, 30 września) przywołały miasta niemieckie, Kraków i inne Henryka IV księcia wrocławskiego, który z powodu związków swych z Czechami i państwem niemieckim, odpowiadał wielu ich oczekiwaniom, do rządów ziemi krakowskiej; jednak śmierć jego r. 1293 23go czerwca w Wrocławiu i ciągłe wojny Władysława Łokietka stając połączeniu temu na zawadzie, przywołały potężniejszego króla czeskiego Wacława II do rządów.

W owych więc czasach, w których wewnętrzne rozterki i ciągłe niepokoje wstrząsały Polską, uprzykrzywszy sobie książęta opolskie stan ten niepewny, oddali się w opiekę i lenność Wacławowi II czeskiemu; a naprzód r. 1289 uznał Kazimierz II opolskie księżę króla czeskiego panem lennym swoim (4); w roku zaś 1291, 17 lutego hołdowali bracia: Kazimierz opolski, Mieczysław cieszyński i Bolesław w Ołomuńcu królowi czeskiemu, który odebrał także w wyprawie swéj do Krakowa, w Opolu hołd osobisty tychże książąt i Przemysława raciborskiego.

Mieczysław III odstąpił księstwo raciborskie Przemysławowi, a wziął księstwo cieszyńskie, które nas odtąd jako kraj, do

(1) Sommersberg. Basco T. I, str. 63.

(2) Szczygielski: Tinecia str. 255.

(3) Stencel T. I, str. 23. (4) Sommersberg T. I, str. 881.

którego odnosiły się zatorskie i oświęcimskie ziemie, jedynie obchodzić będzie.

R. 1292 nadał Arnoldowi kapelanowi wolność założenia w Zatorze miasta na prawie niemieckiem (1). Jakoż dopiero od tego czasu Zator, jako miasto, wzmiankowane bywa. Umarł on r. 1295, zostawiwszy pięknej urody córkę Wiołę, którą Wacław III król czeski r. 1305 pojął za małżonkę (2).

Księstwo cieszyńskie odziedziczył Kazimiérz II, odstąpiwszy Oświęcim synowi swemu Janowi, scholastykowi kapituły krakowskiej, który uczynił zapis, aby scholastycy dziesięcinę z Oświęcimia pobierali. Uposażył on także probostwo w Oświęcimie nadaniem wieczystém wsi Włosiennicy, którą ciągle scholastyk z Krakowa wikaryuszem opatrować dawał.

Kazimiérz II umarł r. 1306 i zostawił z pierwszego małżeństwa trzech synów: Bolesława i Władysława, hołdowników czeskich, i Mieczysława, kawalera Mieczowego; z drugiego zaś małżeństwa Kazimiérza i Ziemowita.

W dziale swym otrzymał Kazimiérz III Cieszyn, Skoczów i Ostrowę aż po rzekę Białą, uznawszy Jana króla czeskiego, r. 1327 (3), lennym panem swoim, który mu także Oświęcim, po śmierci wuja, Jana z Oświęcimia, scholastyka, objąć dozwolił; albowiem scholastyk oddał oświęcimskie księstwo, z zatorskim grodem, z miastami (civitatis) Lant, Żypsa (Żywiec), Wadowicz i Spinowice, *cum oppidanis, Villis, Vasallis ac militibus*, roku 1327 (4) królowi czeskiemu w lenność.

Widno tedy z tej zawisłości książąt szlązkich ich stosunek do Czech. Początkiem tego był Przemysław Ottokar król czeski.

Tutaj dla wyjaśnienia tego stosunku wypada znowu cofnąć się wstecz o połowę wieku i pochwycić wątek dziejów ogólnych szlązkich w tym czasie, w którym połączenie ziemi śląskiej z Polską poczęte, do skutku nie doszło, a w którym książęta szląskie z położenia swojego otrzymują wagę i znaczenie przechodnie.

Po zejściu Henryka II pod Lignicą r. 1241, w pierwszym dziale otrzymał Bolesław króm wielkopolskich i krakowskich ziem,

(1) Sommersberg T. III.

(2) Gebhardi Ludewig Albr. Genealogische Geschichte der erblichen Reichsstände in Deutschland. Halle 1776. T. III, str. 183.

(3) Sommersberg T. I, str. 804—805.

(4) Sommersberg T. I, str. 807.

wrocławskie; Henryk Lignicę z Głogową, a Mieczysław dostał ziemię Lubusz. Dwóch zaś braci: Konrada i Władysława arcybiskupa salcburskiego mieli później przysięść do dziedzictwa.

Przychyłość ku Niemcom pozbawiła Bolesława wrocławskiego ziem krakowskich i wielkopolskich, tak, że od r. 1248 praw swoich dochodzić zaprzestał, a ziemię wrocławską po zejściu bezpotomnie Mieczysława, po którym Lubusz na niego przeszedł, zamienił z Henrykiem III na ziemię głogowską i lignicką.

Nieprzypuszczony do dziedzictwa Konrad rozniósł od r. 1248 do 1250 wojnę między szlążkami książęt, szukającymi w Niemczech pomocy, a wielkopolskim Przemysławem, którego wezwał Konrad na pomoc. Późem w następnym roku stanął pokój, w którym Konrad ziemię głogowską uzyskał.

W wojnie tej utracił z jednej strony Bolesław lignicki ziemię lubuską, która przeszła niepowrotnie dla Polski do rąk Brandeburgów, na pierwotnie słowiańskiej ziemi zdobytych, które zniemczaly z czasem zupełnie (1); z drugiej zaś strony oddał Henryk III wrocławski, Henrykowi księżęciu misnieńskiemu Szydłów nad Odrą, który odtąd przy Luzacyi zostaje.

Niedługo wszakże trwali książęta w pokoju, gdyż od r. 1254 ponowily się znowu zatargi wzajemne, a wojny i napady trwały po krótkich przerwach nieustannie do 1276 r., w którym uwięzienie Henryka wrocławskiego przez Bolesława dało powód Przemysławowi Ottokarowi do pogodzenia książąt szlążkich.

Spustoszenia dóbr i liczne nadwężenia praw kościoła spowodowały na Bolesława wrocławskiego i Konrada głogowskiego exkommunikacją, w której kilkakrotnie zostawali. Gwałt na osobie Tomasza biskupa wrocławskiego przez Bolesława r. 1256 popełniony, dał powód arcybiskupowi gnieźnieńskiemu do wyklecia go. Dopiero na dniu 22 grudnia 1261, otrzymał od Jana arcybiskupa gnieźnieńskiego absolucją, jednakże r. 1267 zostawał znów w interdycie.

Tymczasem (około r. 1273) Konrad głogowski zmarł, a synowie jego podzielili się ojcowizną tym prawem, że Henryk głogowską ziemię, Przemysław stynawską, a Konrad sagańską posiadł.

Krosno zaś przeszło jeszcze dawniej do Konrada arcybiskupa magdeburgskiego, wykupił Henryk IV, który r. 1270 po

(1) Wohlbrück, Geschichte des Bisthums Lebus T. I, str. 32.

zejściu ojca w Wrocławiu rządy objąwszy, także dzierżawę Władysława arcybiskupa saleburskiego posiadał. Bolesław lignicki, Łysym nazwany, na leciech zeszy, ale zawsze wichrzący, z niepokojnością poglądał na wzrastającą potęgę wrocławskiego księcia, którego zdradą pochwycawszy, w nadziei znacznego okupu, w więzieniu osadził; w co jednak sąsiednie książęta: Bolesław wielkopolski, Głogowianie i Wrocławianie, nareszcie potężny sąsiedni król Przemysław Ottokar włożywszy się, rychło Henryka uwolnili.

W Czechach bowiem od r. 1253 panujący król Przemysław Ottokar, objąwszy Austryę, a roku 1260 Styryę, postawił Czechy na najwyższym szczycie potęgi i świetności. Nie chcąc jednak roku 1273 uznać cesarzem niemieckim Rudolfa habsburskiego, ściągnął na siebie wojnę, w której ziemie austryackie utraciwszy, wszedł z Rudolfem cesarzem w ugodę, i wziął od niego Czechy i Morawę w lenność. Do ugody tej wezwał także Rudolf r. 1276 Henryka IV księcia wrocławskiego (1).

Wszakże Przemysław Ottokar uwodził się nadzieją pozyskania utraconych ziem austryackich napowrót, co, gdy właśnie w tym czasie nastąpiło, w którym Henryk IV wrocławski uwięziony został, nie obojętną było ztąd rzeczą dla Przemysława czeskiego, książąt szlązkich, których już Rudolf cesarz pozyskać się starał, do zgody przywieść i ku sobie nakłonić.

Powodowany był w tém, krom interesu własnego także związkami krwi, gdyż Henryka IIIgo babka, była ciotką Przemysławową. Więc niedługo po uwięzieniu Henrykowem, wstawia się u Bolesława Łysego za Henrykiem, a nie wskórawszy tém nic, zabezpiecza Bolesławowi Łysemu i synowi jego Henrykowi księźciu jaworskiemu, listem żelaznym wolny przejazd do Gracu, albo gdziekolwiek indziej, gwoli ułożenia warunków względem uwolnienia Henryka. Stała nakoniec ugoda, w której Henryk, niektóre ziemie Bolesławowi odstąpiwszy, wolność uzyskał.

W tym tedy czasie między Ottokarem a cesarzem niemieckim wybuchła wojna, w której król czeski ubiegał się o przymierze z książętami szlązkimi, wzywając ich jako pokrewnych sobie, a po raz ostatni, jako książąt polskich, aby z panami, szlachtą, i wszystkim narodem w pomoc wspólnej sprawie przychodzili.

(1) Stencel: *Scriptores rerum Silesiacarum* T. II, str. 473.

Przypomina im wspólność krwi: jako Czechy i Polska jednego są rodu, jednego języka; także o tém nie zapomina, że on, Ottokar, jest tarczą Szlązka, że klęska przez niego poniesiona, da powód nienasyconej żądzy Teutonów zagrabienia ziem szlązkich (1).

Jakoż usłuchali głosu, księżęta: Henryk IVty wrocławski, Henryk głogowski, i Władysław opolski, któremu już około r. 1270 odjął był Ottokar Opawę, oddając ją synowi swemu naturalnemu Mikołajowi.

Na polu morawskiém rozstrzygła się r. 1278, 26 sierpnia walka, a zwycięstwo uitorowało Niemcom drogę do władzy w tych krajach. Henryk IVty wrocławski zawarł wcześniej przy mierze z cesarzem Rudolfem, i wstąpił później, pierwszy z szlązkich księząt, zrywając faktycznie z Polską, w ściślejszy związek z cesarstwem.

Księżęta szlązcy byli wówczas następni: Henryk IVty wrocławski, Henryk lignicki i Bolesław świdnicki, synowie Bolesława Łysego; Henryk głogowski, Przemysław stynawski i Konrad sagancki, synowie Konrada; i Władysław opolski, którego następcy Mieczysław IIIci, Kazimierz IIgi i IIIci, księżęta cieszyńscy i Jan z Oświęcima scholastyk krakowski hołdują Wacławowi IImu i IIImu, także Janowi luxenburgskiemu, królom czeskim.

Familia bowiem starodrzewnych Przemysławów, owych Piastów czeskich, gaśnie r. 1306 z Wacławem IIIcim królem, który dobijał się z Władysławem Łokietkiem korony w Polsce.

Po nim nastaje Jan luxenburgski r. 1311, który uznany r. 1327 od Henryka księżęcia wrocławskiego i Szlązka, za pana lennego, rzekł się w zamian ustąpienia Szlązka przez Kazimierza W., wszystkich pretensyj i tytułu do korony polskiej r. 1335 (2). Zdaje się jednakże, że zezwolenie zupełne Kazimierza W. nastąpiło dopiero po r. 1340 (3). Jakoż król Jan używał do r. 1335 tytułu: *Dei Gratia Bohemie ac Polonie Rex et Luceburgensis Comes* (4); od r. 1335 do r. 1340, *D. G. Bohemie Rex et Lu-*

(1) Stencel: S. R. S. T. II, str. 479—480. Cod. epistl.

(2) Sommersberg T. I, str. 774 w dyplomie z r. 1335 w Tenczynie, gdzie pełnomocnicy przyrzekają zezwolenie Kazimierza W. Tak w tym, jak w następnych dyplomatach, gdyż Kazimierz W. zrzeka się jeszcze r. 1356 Świdnicy i Jaworu, wymienieni są: *duces Ossvicenses*.

(3) Sommersberg T. I, str. 775.

(4) Gebhardi Lud. Albr. Genealogische Geschichte T. II, str. 120.

*cemburgensis Comes*, a potem: *Dux Slesie et dominus Vratislaviensis*, albo *Obrister Fürst zu Slesie und Herre zu Breslaw*. Następca jego Karol IVty połączył wszystkie dzierżawy książąt szlązkich z czarną koroną r. 1355 (1).

Herb Szlązka, jaki prowadzili królowie czescy z domu luxemburskiego, a po nich dom austriacki, jest czarny orzeł w złotym polu, niekoronowany, z krzyżem na piersiach, od końca którego ciągnie się półksiężyc, przechodząc po obu stronach w liść koniczny (2).

Herb ten znajduje się już na grobie Bolesława księcia szląckiego z r. 1201 w Wrocławiu. Wszakże zdaje się, że nie używał sam tego herbu, ale następcy jego, bo na pieniądzach Bolesławowych nic nie znajdujemy.

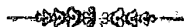
Herbu tego używali wszyscy książęta na Szlązku, zmieniając barwę orła i tarczy, jak książęta cieszyńskie i raciborskie. Prusy po objęciu Szlązka, używali, jako herb Szlązka, orła koronowanego, występując w opozycji przeciwko Austrii, a niszcząc, jak wszędzie, tak tu, grunt historyczny.

Podawszy stosunek do Polski i Czech wszystkiej ziemi szląckiej z szczególnym względem na książęta opolskie i cieszyńskie, a wykazawszy, jak w ciągu dziejów przeszło Szlązko do Czech; wypada zwrócić się teraz znowu napowrót do jednej tylko części Szlązka, a zamknąwszy się w tém ciasnym kole, baczyć na rozwój historyczny małej krainy oświęcimskiej.

(1) Sommersberg T. I, str. 776.

(2) Gebhardi: Genealogie T. II, Tabl. II.

(Dokończenie nastąpi).





# WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

*Jana Hanlego Gregorowicza.*

(Ciąg dalszy).

## VI.

### Swaty.

„Dobrze radzi, kto ludzi nie wadzi.”

„Każdy przed ożenieniem powinien trzy lata szaléc.”

Przyp. pol. *Salomona Rysińskiego.*

Napozór czas na wsi nadzwyczaj jednostajnie upływa w części tak dla ziemian, jak i ciężko pracujących właścian. W dzień powszedni od wschodu słońca aż do nocy, a nawet i w nocy czasami praca bez końca; w święto do południa nabożeństwo w kościele, potem wzajemne nawiedzania się lub zabawa w karczmie, i tak ciągle dzień dniowi podobny, jak bracia bliźniacy, jak kłosa zboża między sobą, jak liść liściowi, któremi Bóg z wiosną milionami każde drzewo okrywa.

Czasem tylko, szczególnie w zapusty, przemknie się przez wieś po skrzypiącym śniegu z wrzaskiem, ze śpiewem i z muzyką wesele chłopskie lub szereg pańskich sani z dziarskim, wesołym kuligiem; wtenczas właścianie z ciekawością przypatrując się zabawie swoich panów, rzecze jeden do drugiego: „Oj ta szlachta, to różne ma wymysły; ale ciarachom ładno jakoś po chłopsku”, albo zadzwieczy w kniei trąbka myśliwska, wtorowana hukiem strzałów marsowej drużyny.

Pozorna ta jednostajność nie staje się jednak nudą, jakby może myślał niejeden z wychowañców miast wielkich, znających wioskę tylko z ksiązek i z poezyi: bo przy pracy czyż się można nudzić? A pracować trzeba, choćby kto nie chciał, gdyż czas błogiego próżniactwa już minął bezpowrotnie, i każdy rolnik czyto głową, czy ręką musi szczerze pracować, żeby dla siebie lub dzieci zapewnić jakie takie utrzymanie.

Dlatego we dwa tygodnie po opowiedzianych wypadkach nic się nie odmieniło we wsi Świątnikach: ta sama cisza, ten sam spokój unosił się nad jój mieszkańcami, tylko żyto lepiej dojrzało i wołało prawie sierpa, i sady okalające chałupy poczęły się rumienić dojrzewającym owocem. Słońce już większe pół drogi przebiegło od południa do zachodu, i wisząc majestatycznie nad poziomem, nie z takim żarem słało promienie na ziemię, wyglądającą z upragnieniem chłodu i rosy wieczornój.

Stary Sierpień w modrój swój czapce, w świeżój koszuli na białą kostkę spiętój u szyi, siedział na ławie przed chałupą i kruszył w ręku kłosy żytnie, chcąc się zapewne przekonać, czy już dojrzały i jak prędko żniwa rozpocząć wypadnie. Obok niego leżał gruby kij wiśniowy z rzemykiem przez dziurkę przewleczonym, a pot grubemi kroplami spadający z czoła świadczył o powrocie Wojciecha z pola, gdzie robił ogląd połanków, pokrytych jarém i ozimém zbożem.

Wykruszywszy kilka kłosów dmuchnął, aby plewy z wiatrem uleciały i ziarn parę zgmiotłszy paznogciem, resztę wsypał w usta, bo to grzech dar Boski na marność wyrzucać.

Wtém drzwi od sieni skrzypnęły i pokazała się Basia niosąc w jednym ręku dzbanek z wodą, a w drugim wieczorne pożywienie dla drobiu, który na jój głos donośny, ze wszystkich stron, zza płotów, chlewów i obory z krzykiem na wyścigi, wachlując skrzydłami, biegł do znanój im tak dobrze karmicielki. I niedługo pstrokata rzesza, ruchliwa jak gładka woda jeziora, gdy podmucha wiatru marszczy jój powierzchnią pędząc kręgi za kręgami, taktowym stukiem dziobów dowodziła, z jakim smakiem i żarłocznością pożera hojną ręką sypane jadlo.

Wojciech z pewnym rodzajem zadowolenia patrzył na nadobną dziewczę, która cała w bieli, ze świeżemi kwiatkami georginii na głowie, kręciła się jak fruczka między różnobarwnym drobiem dokola ją otaczającym, rozbrajając poważnionych, gdy o kęs mały lub jedno ziarnko zabiérali się do zaciętój walki.

Uśmiech igrał na twarzy Basi, a smutku, jakiego należało się spodziewać, zupełnie nie było widać; owszem przeciwnie, oczy zdawały się błyszczyć radością, a pewna staranność w stroju, która nawet i Sierpnia uderzyła, najlepiej świadczyły, że tam i w duszy i w serduszkach nie ma żadnego frasunku, kiedy tak o powierzchowności nie zapomniano.

Czyżby Basia zapomniała już Janka? Kto to wie, może i zapomniała, bo:

Białogłowy na to się ćwiczyły,  
Aby nas za nos prostaki wodziły;  
A co komu rzecze białogłowa,  
Pisz jej na wietrze i na wodzie słowa (1).

Gdy Basia resztę wysypała jedzenia, przysunęła się do małego korytka, wylała znajdującą się w niém wodę i poczęła go napełniać świeżą w dzbanku przyniesioną.

— Cóżto Baśka — odezwał się Sierpień — takes się pod wieczór wystroiła?

— Ja się wystroiła? — niby zdziwiona odpowiedziała dziewczyna wzruszając ramionami, a jednak mimowoli cała oblewając się rumieńcem. — Ej! zdaje się wam, i pocóż miałabym się stroić?

— No tak, zwyczajnie, jak to wy młode, żeby zawdy ładno laść w ludzkie oczy; a może jakie granie będzie w karczmie, to....

— Choćby było, mój tatusiu — przerwała Basia z powagą, dziwnie odbijającą na jej młodej buzi — tota już moja noga nie postanie, kiedy wam tak wadzi moja zabawa z ludźmi.

— Nie zabawa z ludźmi, moje dziecko — odpowiedział Wojciech kładąc czapkę z głowy obok siebie na ławie — bo jak święta nie ma bez nabożeństwa, tak i młodości bez tańca i zabawy; ale mi wadzi obmówisko ludzkie, kiedy sama po próżnicy poczynasz se tak, że ludzie mają o czém gadać.

Uśmiech buzi i cała pogoda oblicza Basi na te słowa Wojciecha uleciały jak ptaszek spłoszony; a chcąc rozmowę skierować na inny przedmiot, bo widać, że weszła na tór nie nader dla niej miły, po małej pauzie milczenia odezwała się:

— Czy jutro wyprawicie parobka do lasu? boby trzeba mu co przyszykować na drogę.

(1) Kochanowski.

Stary Sierpień nic nie odpowiedział, tak cały utonął w dumanii. Basia badawczo spojrzała na ojca, który jakby do siebie półgłosem mówił:

— Dobry, poczciwy chłopak, uszanował stare lata, i chociem już prawie rękę na niego podniósł, a jednak mi opadła. Bóg inaczéj wynagrodzi ci twoję potulność, ino niech cię zasłoni od Ziemy, choć on niby pragnący na ciebie: bo cóż ja mogę grzeszny człowiek? Żeby nie te *turbacyje*, co człek ma na głowie, to bym mu nie pożalował rodzonéj *krwie* z palca; ale te *turbacyje*, oj! *turbacyje!*

Basia przy końcu słów tych weszła do chałupy, a wkrótce za nią poszedł i Wojciech; ale jakże się zdziwił, kiedy ujrzał izbę świeżo zamiecioną, wysypaną w kawałki pociętym tatarakiem, którego długie kity mały oba okna.

Łóżko Basi i ojca okrywały świeże prześcieradła, na kominie ślicznie umieciono, a dwa garnuszki astrów pomieszanych z georginiami, wyglądały przez szyby na dwór, jakby im tęskno było do słońca, do rosy i do ogródka, który ich wypiaستował i w ładne odziewszy sukienki, kazał służyć ich krasnej i młodej ogrodniczce.

Stary Sierpień zobaczywszy to wszystko, zatrzymał się przy samym progu, spojrzał jeszcze raz po całej izbie, rzucił potém okiem na Basię, i poruszywszy z zadziwieniem głową, nic nie mówiąc, usiadł na krześle przy stoliku.

Basia choć ukradkiem dobrze uważała wszystkie poruszenia ojca, i czy od niechcienia, czy umyślnie, żeby nie wydać powodów tak niezwykłego o téj porze ustrojenia izby, nucąc półgłosem przewracała w skrzynce, w owym składzie wszystkich strojów wiejskiej dziewoi.

Nareszcie po małej chwili milczenia stary Sierpień odezwał się:

— Czy się zalotów moje dziecko jakich spodziewasz? czy na obznajminy ma kto zajechać, coś tak w izbie wszystko umiała? Ha! głodnemu chléb na myśli, a dziewczusze wianek, co go dźwiga na głowie: to i nie dziwota, żebyś się od starego ojca rada wyrwać między ludzi. Wola Boska, moje dziecko, a i staremu przy téj *okazyi* błogoby było wyskakać się na weselisku.

— E, mój tatusiu — odezwała się Basia wykręcając się do ojca plecami — niech was o to głowa nie boli, bo ja nie pragnęca wesela, i nie wydieram się między ludzi; i jakem rzekła, że już

was *bez* całe życie nie odstąpię, tak nie odstąpię; chyba, żem się wam naprzykrzyła i sami mnie z doma wygnacie.

— No, Bóg ci zapłać moje dziecko za twoją poczciwość — mówił z czułością Sierpień — aleć zawdy tak być nie może, i przecieć na dziewkostwie się nie postarzejesz?

— O! postarzeję się, mój tatusiu — odrzekła z pośpiechem Basia — a was już nie opuszczę; a cóż wybyście bezemnie poradzili?

— No, no, będzie tak, jak Bóg da. Ale powiedz mi moje dziecko, z jakiejto *okazyi* i tyś się tak ładno ocharuzyla, i w izbie nikięj na Świątki, i w oknach i wis i kwiatki? No, no, przecieć to już słońce ino co ma się schować, to nikt nie nadejdzie.

Basi strasznie widać było nie na rękę odpowiadać na zrobione pytanie; aż biédaczka ukłękła przy kufrze, co tak czegoś zawzięcie szukała, czy téż udawała że szuka, i tak w nim szeleściła i przewracała rzeczami, jakby chciała zagłuszyć słowa ojca i tym sposobem chociaż troszkę przewlec wyjaśnienie, które jeszcze nie chciała na jaw wykrywać. Prostując się więc cokolwiek, zapytała ojca:

— Co mówicie tatusiu?

Sierpień już nie zdążył drugi raz powtórzyć pytanie, bo z wielką radością Basi, pies na podwórzu zaszczekał, dając znać, że jakiś obcy się przybliża. Ojciec i córka z ciekawością ku oknu zwrócili głowy, a gdy pies ujadać nie przestawał, Wojciech mruczając wyszedł z izby.

Nowoprzybyły był znany nam Andrzej Łaza. Zobaczywszy Sierpnia wychodzącego z izby, zaraz się odezwał:

— A zawołajcież kumie tego szczekacza, bo żeby nie kij co mu się oganiam, toby mi się kamizelska dobrze naoporządzał.

— Cicho Burek, cicho! — odezwał się Wojciech karcącym do psa głosem — to przyjaciel, to swój, to po próżnicy nie drzyj se pyska; ot tam szczekaj na tego wilka w baranięj skórce, co *haj-nok* chodzi po polu. — Mówiąc to Sierpień, głową wskazywał na pole zasłane kołyszącém się zbożem, po którym o paręset kroków drożyną szedł przygarbiony Ziembra, podpierając się laską saktakową, nabijaną w każdym sęcuku mosiężnymi goździkami.

Gdy Sierpień z Łazą przywitawszy się zaczęli wchodzić do izby, Ziembra jak łocian wyciągnął szyję, z pilnością śledząc każdy ruch dwóch starców, jakby pragnął dosłyszeć rozmowy, którą między sobą prowadzili. Niedługo gość i gospodarz weszli do izby;

Ziemia przybrał dawną przygarbioną postawę i szepnął do siebie, głową ku zbożu zwrócony, niby przypatrując się z największą starannością, gdy oczami nie przestawał szpiegować całego podwórza Sierpnia:—To baba widać prawdę powiedziała; ciekawym jak się uda.— I zadumany, tu patrząc a tam wszystko widząc, wolno, z przestankami ciągle włókł się drożyną.

Słońce tymczasem coraz się więcej zniżało ku ziemi; wszystko zdawało się zapowiadać najpiękniejszą pogodę, bo i żadna chmurka nie czerniła się na niebie, i ptaszyny zawczasu szukały noclegu między drzew gałęziami. Wczesna obfita rosa, ta najpewniejsza przepowiednia pogody, jakąś świeżością, jakby zapachem balsamicznym napełniała całe powietrze, a ryk zbliżającego się bydła z paszy, między którym przesuwaly się beczące gromadki owiec burych i czarnych, łącząc się z wołaniem gospodyń na drób' i trzodę, po całej wsi rozlegającym się, w jednej chwili owę tak poważną ciszę świąteczną, przemienił na hałaśliwą wrawę, którą zdala pola i łąki zdawały się przedrzézniac chóralnym żab rechotaniem.

Wtém Ziemia obejrzał się poza siebie, słysząc turkot zbliżającej się bryczki, cofnął się cokolwiek w zboże, żeby zrobić wolny przejazd, i oparty na kiju, z ręką w zanadrzu, oczekiwał nowo-przybywającego.

Byłto pan Józef w wołoszce z niebieskiego płótna obszytęj zielonemi sznurkami, i w kapeluszu słomianym z obszerném rondem, podbitém zieloną podszewką, od którego cień zasłaniał mu całą twarz ogorzałą, a przyozdobioną siwym, krótko podciętym wąsem.

Jak Ziemia zrównał się z panem Józefem, uchylił czapki, chociaż cokolwiek, ale zawsze z pewnym rodzajem uniżoności, i pokornie wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków—odpowiedział pan Józef dając powożącemu znak zatrzymania koni.— A powiedzcie mi mój Jakóbie, czy ja dobrze tędy dojadę do Sierpnia Wojciecha, czy tam gdzie nie zagrodzona droga?

— Nie, nie, dobrze Wny Panie, prosto jak strzełik; ta droga sama Pana poprowadzi; ale chcąc dalej jechać *bez* wieś, to tędy niedobrze, bo to polna tylko drożyna do Sierpnia, a wedle stodół ino ścieszki dalej prowadzą.

— A to dobrze, bo ja właśnie do Sierpnia jadę. Zostańcie z Bogiem.

— Niech Pana Bóg szczęśliwie prowadzi — odpowiedział Ziemba, a gdy się bryczka zaczęła oddalać, szepnął półgłosem: — Co to znaczy, że i ten szlachcic tam zajechał? Żeby on tylko nie chciał popsuć wszystkiego. Tak, trzeba tam pójść, bo się już drugiej takiej *okazyi* nieprędko znajdzie. Wezmę wnuczka Jasia, całą moją pociechę, całe szczęście co mi zostało po synie, i pójdę do Sierpnia; przecieć mnie nie zjé, choć mu Frankowa wszystko powiedziała, co jéj nakładłem w uszy, a mnie znowu nie trzeba uczyć jak mam z kim mówić: jakoś sobie z głupim Szpitalnikie poradzę.

I spiesznym krokiem zaczął podążać ku swemu domostwu. W téj właśnie chwili bryczka zajechała na podwórze Sierpnia, zatrzymując się przed sienią. Ziemba widział jak Sierpień wyszedł, jak mu dopomógł wyjść z bryczki, i zwawo rozmawiając z gościem, poprowadził go przed sobą do izby, i jak potem chłopiec wysunął się, i dyrdakiem z flaszką pobiegł ku karczmie. O ile tylko mógł przyspieszył kroku, tak mu pilno było, tak się lękał spóźnić, bo czuł przez skórę, że się coś ważnego odbędzie u Sierpnia, co go rzeczywiście mocno może obchodzić.

Jednak piérwój musiał pójść po wnuczka, bo tak samemu wejść do izby ni ztąd ni zowąd jakoś nie wypada; więc czémprędzej zdązał, aby jeszcze i chłopaczną ogarnąć, a tu dosyć spory kawał drogi nim się zajdzie tam i nazad, pan Józef może odjechać, i Ziemba nie dowié się celu jego przyjazdu.

Gdy więc nasz spekulant podążył co tylko nogi wystarczą, u Sierpnia nowo przybyli już toczą gawędę. Po piérwszém zwykłym przywitaniu, gdy pan Józef wszedł do izby, zdjął zaraz kapelus z głowy i odezwał się:

— No, mój Wojciechu, jakże się miewacie, bo zdrowie to grunt!

— Tak *pomaluśku*, proszę Pana — odpowiedział Wojciech zdejmując czapkę — zwyczajnie jak to my starzy; ale niech Pano-sko nóg se nie psuje: ot stołczyzna, ale nie miękki, zwyczajnie jak-ta u chłopa.

— Dziękuję wam mój Wojciechu — odpowiedział pan Józef zajmując wskazane sobie miejsce; a spoglądając na Łazę przy piecu stojącego, mówił dalej: — Tyś mój gospodarzu nie ze Świątnik, bo ja znam wszystkich Świątniczn.

— Nie Wny Panie — odpowiedział Łaza, i jako zpod pańszczyzny niziutko się kłaniając — ja jestem z Kotlina.

— To mój szwagier. — dodał Sierpień zajmując drugie obok stołu siedzenie, i obracając się do Łazy dodał: — siadźcie se kumie choć na ławie pod piecem, bo to jeszcze spory macie kawałek do domu.

— E, postoję se — odpowiedział Łaza nie śmiejąc usiąść; tak się już wdroył w uszanowanie dla panów przynależne.

— Ale siadajcie, siadajcie mój gospodarzu — odezwał się zachęcająco p. Józef — mnie korona z głowy nie spadnie, że przy mnie usiądziecie. Siadajcie, bo jak nie usiądziecie, to mnie wygnacie z izby i wskoczę na bryczkę, i pojedę.

Po długich wzdraganiach i ceregielach zdołano w końcu namówić, że zajął Łaza miejsce przy piecu i gawęda rozpoczęła się o urodzajach, o spodziewaném niedługo żniwie i innych podobnych szczegółach gospodarskich. Trwało to kilka chwil czasu, i choć rozmowa nie ustawała, każdy jednak czuł, że musi być skierowaną na inny przedmiot, bo przyjazd tak niezwykły sąsiadniego dziedzica do włościanina, musiał przecież mieć coś na celu.

— Ale — odezwał się raptem p. Józef, jakby sobie coś nagle przypomniał — zapomniałem mój Wojciechu, że przyjechałem ogromnie się z wami wyklócić.

— Ze mną? ej! nie boję się; kiedyśwa dotąd w zgodzie żyli, to może Bóg da, że się już nie będziwa z sobą klócić.

— Kto to wie, kto to wie; ale gdzież wasza młoda gospodyni, co tak ładno izbę przystroiła i wisem posypała, i kwiatki w oknach ustawiła, no, no.

— Ha! musi być na dworze wedle drobiu, wedle gospodarstwa, boć to wszystko na jój głowie.

— Proszę Wgo Pana — odezwał się powstając z ukłonem Łaza — młode dziewczuchy, to zawdy ze strojeniem i z kwiatkami mają robotę, a która wedle tego nie ma za młodych lat upodobania, to potém jak se zostanie gospodynią, Bóg wie jak się u niój wszystko dzieje, i kaj człowiek wrazi oczy, to wszędy śmieci i różnego paskustwa tyła, coby omało pługiem nie można orać.

— O! prawda mój Łazo — odezwał się p. Józef — a Basi to może bardziej przystoi jak komu innemu, bo słyzałem, że dzie-



wucha śliczna co się zowie; a ja choć stary, jeszcze lubię spojrzeć na młodego ładnego buziaka.

— El proszę Pana—odpowiedział Wojciech, gdy Łaza stał ciągle, a p. Józef z zadowoleniem pokręcał węsą—zwyczajnie Baśka jak Boskie stworzenie, jak gospodarskie dziecko w pracy, w poniewierce.....

— A juścić—dołożył Łaza przestępując z nogi na nogę i wzdychając.—Nigdy chłopskie dziecko nie będzie miało takiej urody, takiej delikatności, jak pańskie.

— A to dlaczego? czyż to myślisz mój Łazo, że Pan Bóg nie tak samo stworzył szlacheca jak chłopą?

— No, to się wie—potwierdzili obadwa włościanie, a Sierpień dodał z pewną ironią w głosie—ale choć chłopskie dziecko nie będzie takie urodne jak szlacheckie, to będzie nauczne do pracy, do starunku, do zdrowia, i choćby mu Pan Bóg z mendel dał dzieci, to samo wykarmi i nie będzie szukało po świecie mamki, jak sięta teraz zawdy po wszystkich dworach dzieje, co i miesiąca nie zejdzie, żeby u nas we wsi nie szukali mamki.

Jakby na potwierdzenie słów Sierpnia drzwi się otworzyły i weszła do izby Basia z słaszczą wódki, z kieliszkiem, z plackiem, masłem, serem, miodem i kielbasą, a postawiwszy wszystko na stole, ujęła naprzód za nogi pana Józefa, a potem wują Łazę, który ją w głowę pocałował.

Zdrowie i praca widne były w całej postaci Basi: zwinna, gibka, przewiązana w pasie ponsową krajką, która ślicznie odbijała od zgrabnej kibici okrytej tylko białą koszulą, tak mile wpadała w oko, że aż ochota brała ukraść całusa z buzi kraśniejącej rumieńcem skromności i niewinności.

Jak tylko ją zobaczył p. Józef, głaszcząc po twarzy chylącą mu się z powitaniem dziewczynę, odezwał się:

— A do Judasza, Wojciechu, wielką sprawiliście mi waszą Basią *oskome*; teraz ciągle mi tylko ślina w ustach będzie przybywać.

— El panosko może nie pogardzi naszą wódką, tota wszystko z gęby pódzie do brzucha.

Basia cała zawstydzona, cichaczem wymknęła się z izby.

— Dobrze mój Wojciechu, z poczciwemi ludźmi to choćby trucizny; ale tak do ognia dolewać ognia, to jeszcze wam mogą narobić jakich breweryj, a wiecie, że w starym piecu djabł pali.

— El już nie zapali, proszę Wgo Pana—odezwał się z ukłonnem żartobliwie Łaza—bo ptaszek uciekł z klatki na dwór.

— Dobrego zdrowia życzę—zagadł Wojciech do p. Józefa, powstając z pełnym kieliszkiem wódki—ino zeto Panosko niezwyczajny może takiój wódki, bo to nie słodka; zwyczajnie jak u chudego pacholka.

— Mój sąsiedzie—odpowiedział pan Józef—czy wy ze mnie kpicie czy o drogę pytacie? czyżto ja nie gospodarz taki jak wy, czyto mój język nie taki kawał mięsa jak wasz? Jeżeli tak macie zawsze mi robić przytyczki, to lepiej mnie przyjmijcie słowem a z serca, jak częstowaniem a nie ze szczerości.

— To téż kum, proszę Wgo Pana ino tak żartują, i niech Wmu Panu nie będzie przykro, bo.....

— Niech Panosko nie ma złój myśli na mnie—przerwał Wojciech—bo człowiek zawdy ma na myśli, że co chłopskie to zawdy krzywe jest dla szlachty; a to boli człeka, żeby se miał kto z tego wykpiwać, co człek ciężko zapracuje. No, życzę Panu zdrowia dobrego.

— Pijcie z Bogiem. A jaki sér łupki—mówił p. Józef opatrząc koleją rozłożone przed nim przysmaki—masło żółciutkie, placék jak bułka, i miód, i kielbasa, no, no; a wy mój Wojciechu powiadacie, że szlachcie zawsze się krzywi na chłopskie jedzenie; ja aż palce będę oblizywał, a nie krzywił się, zobaczcie.

— Niech Panu będzie na zdrowie—odrzekł udobruchany Wojciech, podając kieliszek z wódką—boć się to człek stara, żeby przy pomocy Boskiej było w domu jako tako, a ta chałupina choć stara i niepozorna, żeby miała gębę i umiała gadać, toby powiedziała, że u wszystkich Sierpniów tak zawdy bywało.

— No, ani słowa mój Wojciechu, wszyscy to znają, że jesteście gospodarzem jakich mało, a daj Boże, żeby takich było jak najwięcej; ale i mój dworek możeby się nie powstydzil gospodarstwa, i żeby umiał mówić, takżeby wiele ciekawych rzeczy powiedział.

— Ho, ho! jużto choć dworek szlachecki, niech to nie będzie z przeszkodą pańską, ale się tam ani umywał do mojej chłopskiej chałupiny; boć ja przecie pamiętam, jak rodzic pański kupił tę wieś, co Panosko w niej siedzi, teraz będzie temu na te żniwa już czterdzieści dwa lata, a w téj chałupie zawdy Sierpień i Sierpień, jak ino ludzie zapamiętać mogą.

— O! mój sąsiedzie Wojciechu—odezwał się żartobliwie pan Józef—widzę, że tak wypadnie, że my się z sobą pokłócimy; a pamiętajcie, że ja twardego karku i także przyjechałem po to, aby się z wami skłócić ząb za ząb. A dopiero to będzie pięknie, że starzy sąsiedzi, co się z sobą tyle lat znają i zawsze w zgodzie żyli, jak się z sobą zesli tak się pokłócili jak baby. Dlatego że—bym nabrał większej śmiałości, Łazo, daj wam Boże zdrowie.— I pan Józef musknął wąsy i jednym haustem połknął podaną sobie wódkę.

— Życzę zdrowia dobrego—odpowiedział Łaza z niskim ukłonem, przyjaźnie się uśmiechając.—A bodaj was Bóg kochał mój kumie i z waszą gadką. Ot dobrze, że Wny Pan tyła ma w sobie poczciwości, że się—ta o takie rzeczy nie gniewa, i nie gardzi chudemi pacholkami, ale tak inny....

— Poczciwemi ludźmi nigdy się gardzić nie powinno. A to już taka nasza natura, że wiele razy zejdziemy się z Wojciechem, zawsze sobie przygryzamy; ale dlatego lubimy się jak starzy znajomi i sąsiedzi, co już patrząc na siebie zęby powyjadali: nie—prawda Wojciechu?

— Prawda, święta prawda, dlatego kiedy Pan nie zabaczył o starym Sierpniu i nie pogardził jego domostwem, wszystko co mam, choćby ostatnią koszulę, zdejmę z siebie i ofiaruję. Niech Panosko pozwoli sobie: jak to zjewa, to w komorze znajdzie się więcej. Kumie jédzcie, Panu ta nie będzie przeciwne, że razem z nami będziecie brać po kąsiolku.

— Jédzcie Łazo, nic nie pytajcie: bo żebym was moi gospodarze obydwóch nie szanował, toby tu nie był, a ja już mój Łazo od twego dziedzica słyszałem, żeś bardzo poczciwy człowiek. Ale wy, mój Wojciechu, chociaż z taką szczerą gościnnością zapraszacie mnie i tak radzi jesteście, to wam powiem, żeście mi wielkiego ambarasu narobili, i dlatego umyślnie do was przyjechałem, żebyście przecieć co poradzili, bo tak nie może zostać.

— Cóż to takiego?—zapytał zdziwiony Wojciech—czy Panosko ino tak bez żart zadaje mi takie rzeczy, czy naprawdę?

— Oj! nie żartuję, mój Wojciechu, bom przez was utracił parobka, a wiecie, co to w żniwa parobek znaczy, kiedy go się przez zimę i na przednówku przeżywiło.

— No, ani słowa, ale zkądże jabym był do tego przy—czynić?

— Tak jest, wy mój Wojciechu i jeszcze ktoś, ale potem o tém. Ot krótko powiem, że od tego czasu mój Wojciechu, jakeście tak w karczmie Janka *wydonderowali*, tak chłopaczysko na piękne zgłupiał i tylko płacze i płacze: posmutniał, zrobił się jak mruk, że trudno się z nim dogadać, i jeżeli tak dalej będzie, to dalipan sam nie wiem, co robić. A szkoda chłopaka, bo chociaż czasem jakby bzika miał w głowie, ale poczciwe w nim serce: potulny, cichy, nikomu w drogę nie wejdzie. Raz chciałem mu skórę wyłomotać, ale jak płacząc poddał mi się i nie okazał najmniejszej hardości, tak mój Wojciechu ręce mi opadły, i o mało sam się nie rozplakałem.

— Oj! prawda, prawda—przerwał Wojciech ciężko wzdychając— ale...

— Czekaścieno mój Wojciechu — mówił dalej p. Józef— jak widzę, że i gadanie i straszenie nic nie pomaga, tak dalej zwerbowałem go do siebie, i jak ojciec synowi jak zaczął kłaść w uszy: że każdy pracować musi, że z pracy dopiero człowiek dorabia się chleba, że w miejscu kamień porasta, a on nigdzie miejsca długo nie zagrzeje i wiele innych podobnych moralów; tak wystawcie sobie, tyle chłopaka poruszyłem, że płacząc jak dziecko powiedział mi, że mu się już sprzykrzyło na świecie, i gdyby nie to, że ma starą matkę, i musi o niej pamiętać, toby albo do wojska poszedł, albo się powiesił, albo utopił...

— A co wszystko może być—odezwał się Łaza;— jak człek przypuści se co do głowy, to mu już nijak nie poradzi.

Sierpień nic nie mówił tylko słuchał i dumał, a ciężkie myśli musiały mu się snuć po głowie, bo i spochmurniał i ręką gładził włosy, często kładąc ją za koszulę, jakby mu ból serce ścisnął.

Pan Józef po przerwie mówił dalej:

— Tak mój Wojciechu, długo potem używałem różnych sposobów, żeby przecie dojść przyczyny takiej desperacyi: bo chociaż w części domyślałem się, ale sam sobie nie chciałem wierzyć. Nareszcie gdy widzę, że ani prośba, ani groźba nic nie pomaga, tak mu powiadam:—ej! Janku, pewno tobie Baśka tak w głowie siedzi, i dlatego takie błazenstwa robisz i mówisz. — Wtenczas dopiero wyznał mi się ze wszystkiego, powiadając, że od czasu zabawy w karczmie, kiedyście tak ostro do niego przemówili i przekonał się, że Baśki nie dostanie, tak mu się wszystko w głowie do góry nogami przewróciło, że chodził i do spowiedzi, i dawał na nabożeństwo, ale wszystko nic nie pomagało; w głowie co-

dzień było gorzej i czuje, że jeżeli tak dalej pozostanie, to przyjdzie mu się zmarnować. Na końcu, mój Wojciechu, jak mi nie padnie do nóg, jak nie zacznie przeproszać za wszystkie zmartwienia jakie mi sprawił, i prosić, że jak umrze abym matki nie wyganiał ze wsi i zawsze się nią opiekował: tak bądź co bądź postanowiłem przyjechać do was i opowiedzieć wszystko, żebyście co poradzili: bo powiadam, że to poczciwy chłopiec całą gębą, a że młody, to i wietrznik trochę, ale z latami jak przyjdzie lepszy rozum, to się ustatkuje i będzie z niego i dobry-człowiek i dobry gospodarz; bo kto jest dobrym synem, ten będzie i takim człowiekiem, a o dobrym Bóg nigdy nie zapomina. Radzcie więc i róbcie jak uważacie najlepiej.

— A i cóż ja poradzę — odpowiedział bez gniewu, jakby z boleścią, ale stanowczo Sierpień — czyż ja go wplątałem w taką biedę? Boże kochany, ja to rozumiem wszystko, co mi Pan powiedział, i nic naprzeciw tego nie rzekę przeciwnego; ale jeden widzi tak, a drugi inaczej; dlatego w tym interesie co mi Pan powiedział, ja nic poradzić nie umiem.

Po tej odpowiedzi wszyscy w milczeniu pozostali. Pan Józef raz po raz pokręcał węsą. czém zdradzał wewnętrzne niezadowolenie. Wojciech wzdychał zabiérając się do nowego częstunku, a Łaza skrobiąc się w głowę to jedną, to drugą ręką, powstał nareszcie z ławy i kłaniając się nisko, pierwszy przemówił:

— Z przeproszeniem Wgo Pana i was mój kumie kochany, że ja tu wetchnę swoje trzy grosze, i choć chłopskim prostym rozumem powiem wszystko jak się patrzy, i jak se dawno o tej rzeczy umyśliłem. Gniewajcie się nie gniewajcie, ale u mnie już tak zawdy: co mam w pomysłeniu, to tego niczém w gębie nie zatrzymam, i powiem wam mój kumie po przyjaźni, że poczynacie se nie po katolicku, ino po żydošku, kiedy na *tyla* mówienia Wgo Pana, na *tyla* trudzenia się wy powiadacie, że nic nie możecie poradzić. Róbcie jak chcecie, ale gadajcie jak wypada po sprawiedliwości, bez żadnych ogródek i bez motania, bo się tak należy i dla Boga, i dla Wgo Pana, co nie żałował swoich-kroków i tu aż się do was satygował. Powiedzcie tak, albo nie, i juści.

— Dobrze, dobrze mój Łazo, poczciwie powiedziałeś, bo te saramuszki na psa się nie zdały. Przecież Wojciech wie dobrze o co tu idzie.

— Ba! nie mają wiedzieć; alboż to kum dziecko czy co?

Sierpień całą tę rozmowę w milczeniu wysłuchał. Zwykłą prędkością uniesiony zdawało się, że buchnie z całym ogniem gniewu: brwi zmarszczył i wyprostowawszy się przy stoliku podniósł rękę ze ściśniętą pięścią, jakby silném uderzeniem chciał poprzecć słowa, które prawie zdawały się być na wylocie; ale się powstrzymał, znowu przybrał dawną jakby od niechcenia postawę, rękę spuścił na kolano, i bez gniewu, bez uniesienia odezwał się głosem spokojnym:

— Sprawiedliwie mój kumie powiedzieliście, że se poczynam nie po katolicku, ino po żydosku, i Bóg wam zapłać za wasze słowa; dlatego zważając i na was i na Pana Józefa, co mi wielkie tém sprawił ucieszenie, że nie wzgardził starym Sierpniem, powiem wszystko sprawiedliwie bez ogródek, jak wypada na świętej spowiedzi przed księdzem. Otóż mój kumie, ja wiem dobrze wszystko o co tu idzie, ale posłuchajcie. Dawniej, kiedy mi kto wspominał o wydaniu Basi za Janka, to aż się wszystko we mnie zagotowało, a dwie kobiety co przyszły od niego z wódką, żeby były nie uciekły, to może byłbym je i skrzywdził: tak bez upamiętania rozgniewałem się. Potém już i patrzeć na niego nie mogłem. Nakładłem Basi w głowę, co ino mogłem swoim głupim rozumem, i jakoś zdawało mi się, że moje gadanie przylgło przecieć do niej: boć chciałem własne dziecko zasłonić od zaguby, od zmartwienia, bo czego innego przy Janku spodziewać się nie można było. Dlatego kiedy już w tém upewniony, zobaczyłem w karczmie jak moje dziecko samo leci do zguby, nikiéj ćma do ognia, tak mój kumie i proszę Pana zdawało mi się, że mi nóż kto w serce wraził i....

Wojciech wstrzymał się chwilę, splunął, i westchnąwszy boleśnie, mówił dalej:

— Żeby nie *tyla* ludzi i nie to, że Baśka zaraz do mnie przybiegła jak ino mnie zobaczyła, sam nie wiem, cobym zrobił; bo po całym mnie nikiéjby mrówki chodziły, a w głowie tak mi się zrobiło gorąco, jakbyta kto ogień w niej rozpałił. Ale zmiękłem, zwolniałem, i Bóg moim świadkiem, że wtedy, kiedy z płaczem zaczął mnie Janek ścisnąć za nogi, to tak jakoś dziwno mi się zrobiło, że ino, ino co się jak baba nie rozplakałem. Potém różne mi myśli przychodziły. Dziewuszysko w pierwszych dniach dosyć się napłakać nie mogło, pochudło, pomizerniało; gdzie znów rzucę uchem między ludzi, wszędy dobrze o Janku mówią: że poczciwy i jak ino przyjdzie z latami do rozumu, to się wszystko

w nim ustatkuje; że nawet Ziemba, choć to taki na wszystko spekulant, a jednak radby go wziąć za zięcia, bo prosił Frankowój w cichości, żeby go odwodziła od Basi, a namawiała do Maryny. Tak se myślę i to i owo, ale jakem se przypomniał swoje turbacje i wszystko dobrze pokalkulował w głowie, tak rzekę sam do siebie: trudno, dobry chłopiec, poczciwy i zawdy w poczciwości chodzić będzie, ale za zięcia wziąć go nie mogę.

Łaza z nieukontentowaniem tylko potrząsł głową, a pan Józef odezwał się:

— A to dlaczego? tego wcale nie rozumiem; czy że biedny? Sami powiadacie, że dobry, że poczciwy, to i czegoż więcej trzeba?

— Ej, proszę Pana, niech to już we mnie pozostanie, a ja nie młokosek: to kiedy co wyrzekę, to już z dobrego pomyslenia i dlatego muszę mieć swoje przyczynę. Ale co tam! nie gadajwa o tém, po co po próżnicy frasować się? Panosko pozwoli jeszcze trochę wódki, a nie, to Baśka zrobi nam krupniku, bo to dla téj chałupiny nie częste gody, żeby takich gości miała u siebie.

— Nie mój Wojciechu, nietrzeba, bo pieć nic więcej nie będę, a między ludźmi to tak mówią, że gdzie nie radzi mowie, tam nie radzi i osobie; dlatego trzeba się ku domowi zabierać.

— A niechże mi kochane Panosko — odezwał się Sierpień powstając — nie robi takiego wstydu, takiego despektu, żeby z takimi słowami miał jechać do doma. Bóg świadkiem, że takem rad, takem dla panoska życzliwy, że nieba chciałbym przychylić. — W tém miejscu Sierpień zbliżył się do pana Józefa, pocałował go w rękę i mówił dalej: — Mój Boże kochany! my, co *tyla* lat z sobą się znawa i mielibyśwa krzywo się rozchodzić? A przecieżem katolik, nie farmazon, ani żaden heretyk. O mój Boże jedyny!

— Ja tego nie mówię, mój Wojciechu, ale jednak żal mi biednego Janka, bo to...

— Ale — przerwał Wojciech widocznie chcąc rozmowę zwrócić na inny przedmiot — jakże się tam miewa młody panicz, pan Władys? Dzieciucha jużem dawno nie widział, a nigdy nie zapomnę, jak byłem u panoska i uczył mnie rachować, co udawałem, że nie umiem.

— Zdrow chłopczątko, żywy jak ogień, ale najlepiej zrobicie, jak go kiedy sami obejrzycie.

— Zawdy się tam zbieram, ale jak to w gospodarstwie.....

Przy tych słowach Łaza, który z oznakami niecierpliwości ciągle słuchał toczącej się między Wojciechem a panem Józefem

rozmowy, nagle przerwał i odezwał się głosem prędkim, zdradzającym gniew wewnętrznie tłumiony:

— Mój kumie, wybaczcie, że wam jeszcze raz powiem, że se z nami poczynacie nie jak prawowierny katolik, ino nikiéj farmazon. Gadacie to o młodym paniczku, to o tém, to o owém, a to co mawa na myśli, to obchodzicie w gadce nikiéj żyd, kiedy co od chłopa kupuje. Ja mój kumie.....

— Ale bajecie mój kumie — przerwał Wojciech brwi marszcząc i rękę w pięść ściskając; ale powstrzymywany przez pana Józefa zamilkł i Łaza mówił dalej:

— Nie baję, mój kumie, bo ja na ogródkach i na innych takich wymysłach nic się nie znam, ino tak mówię, jak mam w pomysłeniu, i powiem wam po kumosku, po przyjaźni, że se źle poczynacie, kiedy nie chcecie słuchać ludzi, co lepszy mają rozum od was, jak ot Wny Pan, i co wam dobrze radzą.

— Co się tam nadstawiacie z waszém kumostwem — przerwał Wojciech w stół pięścią uderzając — wy nie możecie wszystkiego tak rozumieć, jak *ta* u mnie jest w głowie.

— Gniéwajcie się mój kumie, ale nie bijcie ręką po stole i miéjcie na baczeniu, że zawdy należy się uszanować Wgo Pana, co *ta* nie żałował swoich kroków do chłopskiej chatupy.

— Ja téż szanuję Pana — odpowiedział Wojciech zwracając się ku panu Józefowi głosem znacznie łagodniejszym, jakby się wstydział wybuchu swego uniesienia — i choć w prędkości co wyrzekę, to niech to Panu nie będzie w przeciwności; już to ja taki gorączka.

— No, to wprzódź wystuchajcie, a potém będziecie się gniéwać jak się wam spodoba, bo ja wam za dwa paciérze wszystko wypowiem.

— No, to mówcie — odpowiedział Wojciech, i podparłszy się na rękę, w milczeniu przysłuchiwał się dalszój mowie Łazy.

— Mówicie mój kumie, że Janek dobre chłopaczysko, że mu Bóg wynagrodzi jego poczciwość, to i o cóż idzie więcéj? dlaczegóż Baški *wagujecie się* wydać za niego? Powiadacie, że biédny, że nic nie ma. Mój kumie, to fracha, bo wszystko jest w woli Boskiej i więcéj Pan Bóg ma, niż rozdał; a kiedy wam Bóg dał, to dobrze, że się taki siérotka przytuli do was, co zawdy chodzi w poczciwości i umie szanować siwe włosy. Powiadacie, że on ladaco, że nie umie grosza szanować, i że wszystko rozmarnuje, co się do garści jego dostanie. I to fracha i bajki, mój



kumie, bo teraz choć prawda że utracił wszystko co miał, ale zwyczajnie jak młody; a jak z latami przyjdzie do rozumu, to wszystko będzie inaczej: i ustakuje się, i będzie umiał pracę szanować. Albożto nie znacie gadki ludzkiej, że każdy przed ożeniem musi trzy lata szaléc; a cóżbyto on lepszego miał być od drugich? Ale niechno przyjdzie mu się ożenić, to się tak utemperuje, że go potém nie poznacie: nikić ciotak, co póty brykał, póki jarzma nie zaznał, ale jak go zaprzegli do pługa i pokalkulował, że to nie przelewki, głowę zwiesił, i potém już nie brykał, ino ciągnął i juści. Powiadacie także, że Janek *nie familijant*, bo to te głupstwa, to u was wiela znaczą; ale i to fracha, i jeszcze większa fracha jak wszystko.....

— Jakto fracha? — przerwał nagle Wojciech podnosząc pięść do góry; ale się zaraz powstrzymał w gniewie, i podpierając się znowu na rękę, mówił dalej, jakby do siebie:—ale prawda, wy tego nie znacie i nie rozumiecie; mówcie dalej, mówcie.

— O! mój kumie, znam ja wszystko i rozumiem; niedarmo człowiek z szóstym krzyżkiem chodzi na grzbiecie, i dlatego wam powiadam jeszcze raz, że to fracha, i jeszcze większa fracha jak wszystko. Bo powiedzcie mi, gdybyście Bóg wie nie z jakiej pochodzili *familii*, choćbyta, z przeproszeniem Wgo Pana i ze szlacheckiej nawet, czy wam kto za to da co? czy wam do dołu przybędzie choć jeden ziemniak więcej, choć jedno źdźbło ze zbożem do stodoły? Może powiecie, że uważanie między ludźmi wiela znaczy: głupstwo, z przeproszeniem Wgo Pana, uważanie chleba nie da, a bez poczciwości uważania nie ma. Mój kumie, wasz rodzic chociaża na *familiję* także wiela zważali, poszli jednak do dołu, i dziś się w proch obrócili, i możeta niejedne kościsko leży z nich w kośnicy, a czy wy poznacie, które waszego rodzica, albo jakiego przyjaciela, albo choćby jakiego szlachcica z przeproszeniem Wgo Pana, albo jakiego biédaka, co go nie było za co pochować? Tak i z wami będzie: zamkniecie oczy, juścić po *familii*, i te same robaki, co jedzą teraz najgorszego może jakiego dziar-gana, to się *bez* pół rozdziela, i jedne przyjdą jeść do was, a drugie do jakiego szlachcica, z przeproszeniem Wgo Pana, i jak zjedzą, to pójdą znowu dalej, a *familija* was nie obroni.

— To téż mój Łazo—odezwał się pół żartem p. Józef—my z Wojciechem każemy sobie murowane groby wybudować, to robaki nas nie znajdą.

O! znajdą, znajdą i trafią, a potem zjedzą, z przeproszeniem Wgo Pana.

— Nie macie mnie za co mój Łazo przeproszać, boć przecie wy nie robak i wy mnie jeść nie będziecie. Ale my gadamy o swataniu, o weselu, a wyście zjechali do takich smutnych rzeczy; co-śnijcieno się i prowadźcie swoje tak, jakieście zaczęli.

— E! jużta niewiele rzekę i nie będę się kumowi z memi rozgadkami naprzykrzał, boć przecie ja nie żaden *faktor*, cobym gadał za zapłatę, ino co mówię, to wszystko z przychylności do kuma i do Baški. Dziewuszysko biedna sierota nie ma matki, coby się za nią *ujenu*, to tak nią handlują, nikiěj szkapiną na jarmarku; a to kumie grzech, i Bóg ciężko skarze, jak się dziecko namówi wedle swěj myśli i przyjdzie mu się zmarnować. Janek wam będzie nikiěj syn, bo kiedy was dziś uszanował, jakieście na niego rękę podnieśli, to potem tém bardziěj. Weźmiecie go do siebie, będziecie mieli go pod swojém okiem, i we wszystkiém wyęczenie. Do Baški ino świat się będzie uśmiechał, co tak będzie rada, że się stało wedle jěj woli; a wy mój kumie ile razy spojrzycie na swoje dziecko i zobaczycie, że-*ta* nic mu nie brakuje, to się także uweselicie i podziękujecie mi, że z gadki chociaż grzesznego człowieka, a Bóg w wasze serce wstąpił. Tak mój kumie, róbcie jak wam się zdaje najlepiěj, ale zawdy zważajcie końca i pamiętajcie, co wam Łaza powiedział.

— Bardzo dobrze, słusznie mój Łazo: ja mam jednego tylko syna, ale nigdy nie myślę wybierać mu żony, i niech nic nie ma, aby tylko była pocziwa, to przy Boskiěj pomocy wszystko przyjdzie pomalu. W tém co do joty zgadzam się z Łazą, i to samo wam powtórzę, że nie ma się co namyslać: pobłogostawić, dać na zapowiedzi, potem sprawić wesele i jeżeli mnie zaprosicie, to przyjadę z moim Władysiem, i tak będziemy hulać, że aż podeszwy od butów poodlatują.

Sierpień, który jak podparł się na rękę słuchając, tak przez czas téj rozmowy nie zmienił pozycyi, na słowa pana Józefa uśmiechnął się cokolwiek i głosem wzruszonym odezwał się:

— Prawda, panie kochany, prawda mój kumie, jest *racyja*, bo Sierpień stary, Sierpień nie ma syna, to zgłupiał na piękne. Dla młodego kochanie to więćej znaczy, jak chléb dla gęby; ja to wiem i jużta nareszcie nie bronilibym Jankowi do Baški, bo wiem, że póki jabym żył, toby im niczego nie brakło; ale mój kumie, ja już letni dziś, jutro przyjdzie pójść ze świata, to po mojej śmierci

cóż se te robaki poczną, gdzie się obróćą? Janek nie ma nic, dla Baśki choć się znajdzie i to i owo, zawdy nie tyla, coby se była jak się patrzy gospodynią; a jakby Bóg dał im-wielu drobiazgu, toby wnet bięda do nich się przyplątała, i moje dziecko, moja krew rodzona, żyłaby we frasunku, w zmartwieniach, czego żaden ze Sierpni nie zaznał: boć wy wiecie, mój kumie, jakie ja mam *turbacyje* z ojcowizną, i że z niej dla Baśki ani na owinięcie palca się nie dostanie, bo to ojcowizna, to ona zawdy w całości między Sierpniami musi chodzić.

— Wiecie co mój kumie, kiedy już ino to ma być na przeszkodzie, że Janek nic nie ma, otoż wiecie, że u mnie jest w chałupie nieostatnio: przy pomocy Boskiej ma się kilka ogonów w oborze (1), i gesi, i nierogaciznę, a w skrzyni znajdzie się jakie kilka złotych. Bóg mi nie dał dziecka, niech się dzieje święta Jego wola, więc Janka weźniewa z kobietą za syna, i co nasze teraz, to wszystko będzie jego po naszej śmierci: bo i tak miało się to dostać waszjej Basi, a naszej krześnicy. Więc cóż chcecie? ja swojej pracy nie *waguję* się w Jankowych rękach zostawić, a wy się macie wagować?

— No Wojciechu, teraz już nie ma wam o co iść. Mój Władek ma konia, krowę, owce, z trzody sztuk kilka i z każdego gatunku drobiu; jak mu powiem, że trzeba Janka zapomódz, to zaręczam wybierze co i daruje, bo nie uwierzycie, jak go chłopczynka lubi. A za to, że Janek to mu skrzypki zrobił i uczył go grać, to małe basy, to go weźmie i wsadzi na konia i jedzie albo do wody, albo w pole, albo mu nareszcie da lejce i bicz w rękę i chłopak jedzie na łąki po siano lub z sianem do stodół, a zawsze z Jankiem, zawsze koło niego: więc mój Wojciechu macie obietnicę i od mego Władysia; a teraz nie możecie się skarżyć, że Janek ubogi, kiedy Łaza bierze go za syna.

— O! mój Panie kochany, mój kumie—odezwał się Sierpień—kiedyc się tak wszystko szykuje, a wszystko na Janka, toć może Bógby jako tém wszystkiém i dobrze rozporządził, i jabym nie był od tego: boć człowiek ino szczęścia dla swego dziecka pragnący; ale zawdy *turbacyja* jedna w głowie pozostanie, bo po mojej śmierci, gdzie się te robaki obróćą? Nigdzie nie mając żadnego przytulenia, to może im przyjdzie walczyć się po pańszczyznach, albo się złączą z Ziembą i będą chcieli ojcowiznę rozdzielić mię-

(1) Czyli kilka sztuk bydła.

dzy siebie. O! jabym wtedy z grobu wyszedł, jabym i na tamtym świecie nie miał spokojności; dlatego, widzicie, Baska musi iść za takiego, co ma swoje chałupę, bo kiedy jest grunt po matce, to cóż z nim zrobi jak nie będzie miała pobudynków? Ziembra to ptaszek. Ho, ho! on słyszy jak trawa rośnie. Już dawno ostrzy se zęby na moję chudobę, żeby ją dla wnuka po mojej córce starszej zagarnąć; a bięda, to do wszystkiego człeka namówi, i Ziembra ni-kięj lis jak się zacznie łasić....

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł do izby Ziembra z laską w rękę, przygarbiony, prowadząc małego dzieciaka ośmioletniego za rękę. Byłto Jaś, pozostały syn po Ziembach młodych, i dziwnie do Basi podobny. Gdy Jakób przeprowadził go przez próg z czułą troskliwością i napomnieniami, żeby przelazł ostrożnie, aby się nie przewrócił, poprawił mu potém ubranie, zdjął kapelusz, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Idź Jasiu przywitaj dziadusia, pocałuj w rękę i *uchyc* pod nogi.

Za ukazaniem się tego nowego gościa, rozmowa naturalnie ustała. Ziembra zaś mając ten szlachetny zwyczaj, zawsze poprzedniego podstuchania co robią w izbie nim drzwi otworzył; i tu w sieni przystanął chwilę i wysłuchał całej odpowiedzi Sierpnia. Potrzęsnał potém głową, jakby mówił—już teraz wiem o co idzie—i nie czekając więcéj, wszedł do izby.

Zdejmując czapkę, kiedy wymawiał: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, tylko śmignął oczami po rozmawiających i odrazu poznał po ogólném wszystkim pomieszeniu, że stał się niebardzo pożądanym gościem, i rozbicie toczącej kwestyi jedynie na nim wstrzymane zostało. Nic to wszystko nie wpłynęło na zmianę jego rysów i z tym samym przyjaznym uśmiechem, bez najmniejszego pochmurzenia się, jakby wchodził między najlepszych przyjaciół, zaczął się posuwać, trzymając malca za rękę, ku środkowi izby.

Sierpień także w jednej chwili został panem siebie, a bacząc na święte prawa gościnności, które nad możność zwykle przez włóścian w podejmowaniu swych gości są zachowywane, powstał poważnie ze stolka i zakładając rękę w zanadrze, przemówił:

— Na wieki wieków amen! Witajcie sąsiedzie, zkądże Bóg prowadzi? Siadajcie, ot na mojem miejscu.

— Bóg wam zapłać, mój sąsiedzie, za witanie. Jasiu *uchyc* dziadusia za nogi i proś'go, żeby nie zabaczał o tobie. — Obracając

się zaś do pana Józefa dodał: — Pan Dobrodziej tutaj? wielkie to święto dla wsi naszej, że Pan nie wzgardza chudobą świątnicką.

Wojciech zaczął gładzić po twarzy całującego go w rękę dzieciaka, dał mu kawałek kielbasy, chleba z masłem i potem przy widocznie wymuszonej gawędzie o upale, o spodziewanych zniwach, o potrzebie deszczu i t. d. rozpoczęło się ze zwykłymi ceremoniami częstowanie wódką.

Po małej chwili pan Józef zabierając się do odjazdu powstał i przemówił:

— No, mój Wojciechu, trzeba ruszać do domu. Wy rozmówcie się z Łazą i zróbcie tak, jak wam radzimy, a zaręczam, że podziękujecie nam kiedyś, żeśmy was do tego namówili.

— Prawdę Wielmożny Pan mówi — odezwał się Łaza — i ja sam....

— Dajcie pokój kumie — przerwał Wojciech. — Jak co wypadnie, to się znowu znajdziemy z sobą: bo zawdy trzeba mieć na baczeniu, kaj co gadać wypada.

— To może, mój sąsiedzie — odezwał się potulnie Ziemia — mnie się wystrzegacie, to ja pójdę i nie będę nikomu zawadzał. Ale mój sąsiedzie powiem wam zawdy, że źle robicie, kiedy się przedemną taicie; boć i ja przecie wam życzliwy i pragnąłbym wam nieba przychylić, a jeżeli dobrze nie poradzę, to źle także nie. Ja nie żaden młokosek, jadłem chleb nie z jednego pieca, to się umiem między ludźmi wykręcać.

— Ho, ho! wykręcacie się wy, i dobrze wykręcacie!

— Hę, hę, hę — z dobrze udaną dobroduszością odrzekł Ziemia, przymuszając się do uśmiechu, bo aż drżał cały od wewnętrznej gniewu — żeby kto głupi słuchał, toby myślał, że wy tak z przymówiska do mnie mówicie; aleć ja przecie mam swój rozum, i wiem, że wy znacie co się należy naprzód Bogu i Matce Boskiej królowej nieba i ziemi, a potem ludziom i sąsiadowi. Bodaj was Bóg kochał, hę, hę, hę!

— Ja, mój sąsiedzie — odezwał się na to trochę zbity z tropu Wojciech — nie znam się na żadnych przymówiskach, ale już taka moja natura.....

— A bodaj was chleb obsiadł — coraz więcej niby rozweselony przerwał Ziemia — tak się *składacie*, nikićbyście mi co przykrego wyrzekli. Boże kochany! żebyście nie mieli przyjaźni dla starego Ziemy, tobyście się byli z nim nie pokrewnili, i dlatego powiedziałem, że źle robicie, że przedemną zawdy wszyst-

ko skrywacie; ale widać, tak Bóg chce Przenajświętszy: niech się dzieje Jego święta wola, bo ja grzeszny człowiek, chociaż w tym robaku—wskazując na małego Jasia, mówił Ziemia—i wasza i moja krew płynie. Zostańcie więc z Bogiem. Chodź Jasiu, ucałuj dziadusiowi kolana i chodź, nie przeszkadzajwa.

— Ale mój sąsiedzie, przecieć mi zadać nie możecie, żebym wam nie był rad w mojem chałupsku. Macie co jeść, macie co pić, to i czegoż wam trzeba?

— Bodaj was mój Wojciechu wszyscy Święci Pańscy mieli w swojej opiece; nibyto jedzenie i picie wszystko waży u człowieka? A szczerść za nic to nie macie?

— To téż...—odezwał się Wojciech, ale mu przerwał Łaza, i postępując troszkę ku środkowi, mówił z niecierpliwością:

— Mój kumie i wy mój Jakóbie gadacie, gadacie po próżnicy, ino geby se psujecie; co innego macie w pomyśleniu, a co innego na języku, nikiéj żydy, kiedy jeden drugiego chce oszukać. Ja takiej gadki nie nauczny, i choć ze swoim rozumem nie umywałem się do was, ale wiem, że to nieładno, kiedy w krewności nie ma przyjaźni.

— Co wy zaś gadacie—przerwał Ziemia—żeby między nami nie było przyjaźni...

— Nie przeszkadzajcie, mój Jakóbie, niech ja wygadam swoje, potem wy będziecie gadać. Ja się rozwodzić długo nie lubię i po sprawiedliwości powiem wam, że kiedyście mieli wejść do izby, tośwa z przeproszeniem Wielmożnego Pana mówili o tém, że jakby Baśka wyszła za Janka i przyszło im się z ojcowizny usuwać, co świątnickim zwyczajem zawdy chodzi w całości, i nie mieliby dla siebie przytuliska: toby się z biedy z wami złączyli i możeby potem chcieli ojcowiznę na dwoje podzielić, i dlatego kum *wagują* się wziąć Janka za zięcia.

— A cóżto ja taki pragnący chleba kawałka? czyżto już dla mego wnuka i dla dziewczuchy nic się gruntu po mnie nie zostanie? a nareszcie, moi sąsiedzi, czyto ja wieczny? Wojciech zdrowi, niestyрани pracą za młodu, to mnie dziesięć razy pochowają, nie żebym ja myślał w ich pracy się rozpierać. Mój Boże jedyny! Widzicie, coto złe języki, coto plotki ludzkie nie mogą! Mnie taką rzecz zadawać, mnie co *bez* samą pamięć dla synowój, świeć Panie nad jój duszą, tego małego dzieciucha więcej kocham jak rodzone dziecko, i mnie powiadać, że nie mam dla was przyjaźni, że się z innemi zmawiać będę na waszą chudobę? A moi są-

siedzi, czyto ja nie religiant, nie katolik, czyto ja się nie boję kary Boskiej? A bodajem....

— Nie przeklinajcie się sąsiedzi, żebyście czego w złą godzinę nie wymówili—przerwał z niecierpliwością Wojciech, chociaż już nie w stół, ale w kolano pięścią uderzając—bo przecieć ludzie tego z palca sobie nie wysłali.

— A że ludzie—dołożył Łaza—takie gadki wywodzą, to wybaczcie mój Jakóbie, że wam powiem po szczerości, że samiście temu winni: bo Bogiem i prawdą powiedziawszy, z przeproszeniem Wielmożnego Pana, strasznie jesteście na grosz *pazerni* (1), i na nic nie zważacie, ino na siebie samych.

Ziembra tak niespodziewanie wzięty we dwa ognie zmieszał się cokolwiek, lecz nie stracił przytomności: skrzyżował ręce na piersiach i poglądając to po Łazie, to po Wojciechu, chwiał głową w obie strony, i powtarzając: oj, oj, oj! myślał przez ten czas co ma odpowiedzieć, aby zadać stanowczy cios zarzutom przeciwników.

Pocziwy pan Józef tylko pogwizdywał, co z takim zajęciem przypatrywał się rozwijającej się przed nim scenie; Łaza coś z niezadowoleniem mruczał pod nosem; Wojciech cały spochmurniał, a mały Jaś z najobojetniejszą miną zajadał kielbasę z chlebem. Wykiwawszy się nareszcie Ziembra i dostatecznie namyśliwszy, odezwał się z bolesnym wyrzutem:

— Oj, oj, oj! coto za świat, coto za ludzie! Że ja staranny, że ja zabiegliwy, że się okpić nie dam nikomu, bo ciężko zapracowany kawałek chleba, co mi go Bóg Przenajświętszy użyzczył umiem szanować, to zaraz na mnie, że ja *pazerny* na grosz, że ja pragnący cudzej pracy; ale ludziom się nie wymówi, i jak mają na niego uwzięcie, to wszystko przeinaczą. Ale Bóg wszystko widzi i Bóg nas wszystkich będzie sądził; dlatego moi sąsiedzi, żebyście dobrze poznali jakito jest stary Jakób Ziembra, i choć grzeszny człowiek, aleć przecie więcej *warta*, jakta ludzie o nim po wsi roznoszą, co się im nie dał okpić: powiem wam jak mi przyszło do głowy, żeby dopomódz temu pocziwemu chłopakowi Jankowi. Powiadacie, że on nie ma chałupy, i dlatego może się ze mną potem złączyć i rozdzielić się ojcowizną, jakta Sierpień zamkna oczy. Mój sąsiedzi, powiadam wam jeszcze raz, że wy mnie pochowacie—w tém miejscu, mówiący ogromnie

(1) Czyli chciwi.

się zakaszłał — bo ja styrały... schorowany... dziś, jutro i może mnie nie być; a żebyście się znowu o Janka nie frasowali i o waszą Basię, jak im z ojcowizny wypadnie pójść na swoje prace, to ja wam odprzedam pobudynki, co po synie zostały. Sąsiedzi oszacują, a pieniędzy mi zaraz nie dacie, ino mi będziecie płacić pokomorne, a potem-*tu* potrochu, po groszu, choćby i *bez* dzieśięć lat wypłaci już Janek, ot temu chłopaczynie i mojej Maryśce, bo mnie, to już trudno będzie tak długo po świecie się walać — i znów mocno zakaszłał, tak, że się ujął za prawy bok, i z boleścią mówił dalej: — O! Boże jedyny.... jak zacznie człeka dusić.... tak ledwo tchu złapać można. O! kiedy, kiedy to zadusi. Otóż widzicie moi sąsiedzi: sąsiad Wojciech z ojcowizną zrobi co się im będzie zdawać, boćto przecie ich praca; Baśce i Jankowi zrobi się uciecha, że się dzieciśka z kochania pobiorą; wy Wojciechu będziecie mieli zięcia poczciwego, co daj Boże, żeby się był taki mojej Marynie kiedy dostał; Janek będzie miał swoje pobudynki, wy spokojną głowę, a mnie przyjdzie to ucieszenie, że tak wy, jak ludzie powiedzą, że Ziemia ino dla złych jest zły, ale dla dobrych, dla poczciwych jak Janek, to ostatnią koszulę zdjąłby z siebie i oddał; a wtedy może się i wy nawrócicie do mnie z przyjaźnią, jak to bywało wtedy, kiedy..... nieboszczyka syna żeniłem..... z waszą córką.

Ostatnie słowa Ziemia wymówił z wielkiem wzruszeniem i podniósł rękę do oczu, niby dla obtarcia łez, a właściwie, żeby niepostrzeżenie przyjrzyć się twarzom słuchających, i poznać, jakie mową swą wywołał wrażenie. Łatwo bowiem możemy się domyśleć, że wszystko było udane, naprzód obmyślane i oddane z największą zręcznością: bo choć napozór ofiara Ziemy była bardzo korzystną, ale tylko dla niego jednego, gdyż on inaczej rachował jak wszyscy, i niemal był pewny, że osadziwszy Janka w innych budynkach, część z osady Wojciecha przypadającą na Basię, czémkolwiek zbędzie, i sam zagarnie stare to gniazdo Sierpniów. Po niespodziewaném takiem oświadczeniu, wszyscy milczeli, i nikt nie śmiał piérwszy przemówić. Pan Józef bębnił palcami po stole, Jakób wycierał oczy i nos, a Wojciech wzdychał poglądając na poczciwego Łazę, który podnosił to ramion do góry, to skrobał się w głowę, to zakładał rękę w zanadrze. Nareszcie pan Józef porządnie się nabębniwszy palcami, widząc że wszyscy zachowują uporczywe milczenie, odezwał się piérwszy:



— No, mój Wojciechu, to kwestya zdaje się być rozwiązana, i kiedy Ziemia tak szlachetnie sobie postąpił, to wam nic nie pozostaje, jak zawołać Baśki i Janka, i myśleć o weselu.

— Ha! dobrzeby to wszystko było, proszę Pana, żeby Jakób tak zrobili jak powiedzieli; chociaż ja ich straty nie chcę i zapłacę sam choć nie odrazu, ale zapłacę wprędce, ale mnie się coś wierzyć nie chce, bo to jakoś ho, ho!—i plasknięciem ust, zakończył zrobioną uwagę.

Łaza nic nie domówił, tylko filuternie się uśmiechnął, skrobnął się w głowę jedną ręką, drugą nos obtarł, i bokiem oparł się o piec. Ziemia odrazu poznał wszystko, a nie chcąc się dać pokonać dwom szpitalnikom, których za głupich uważał, zaraz głos zabrał z tonem wymówki:

— To już tak mało zważacie na starego Jakóba, że nawet nie wierzycie, co on mówi. O! mój sąsiedzie, wielką mi wyrządziliście krzywdę, i niech wam Bóg to przebaczy. Ale żeby was przekonać, że Ziemia chodzi zawsze prostemi drogami, i że co mówi, to robi: pójdźwiewa do gminnego, albo do sądu, albo gdzie chcecie, i podpiszę się na wszystko pod przysięgą, że tak zrobię jak wyrzekłem. No jakże, czy teraz wierzycie? Ot Pan Dobrodziej i Łaza mogą być świadkami, i ja teraz was proszę, zróbcie jak powiadam, żeby przecieć my znowu z sobą żyli w przyjaźni, bo nie wiecie, jak to boli... kiedy *bez* niewinność. .... człeka szarpia na honorze.

— No, — odezwał się pan Józef — teraz i ja wierzę: boć przecie cóżby w tém Ziemia miał za interes?....

— No, ma się rozumieć — przerywając dołożył Łaza, ostatniemi słowy Ziemyby zupełnie przekonany o jego szczerości. — Poczciwie *se* poczynacie mój Jakóbie, za to wam Bóg pobłogosławi na waszém dziecku. No, to kumie podziękujcie, *naprawcie* w kieliszek, i na litkup wypijmy potrochu.

— Zapewne, mój Sierpniu, już teraz i wilk syty i owca cała. Weźcie się za ręce z Jakóbem, uściśnijcie na zgodę, bo już zupełnie teraz nie ma wam o co iść. Ziemia przekonanywam się, poczciwy człowiek i poczciwie wam życzy.

— No kumie, i czegoż myślicie?—zapytał Łaza.

— Rękę podam—odezwał się nareszcie Wojciech zbliżając się do Ziemyby—bo i cóż mi to wadzi żyć z wami w zgodzie i ucłować was po przyjaźni, kiedy tém, coście dziś rzekli, wszystkoście naprawili.—W tém miejscu poczciwe usta Sierpnia złożyły dwa

pocałunki na policzkach Ziembry, zeszeconych faszem— ale znowu powiem wam tak, że Sierpniom nie przystoi na cudzém dorabiać się chleba, i jak padło tak padło. Kiedy wy dla Janka tak jesteście szczyrzy, Sierpień nie będzie od was gorszy, i przy Boskiej pomocy pomału tak wyszykuje wszystko, że nikt co ino od Sierpnia pochodzi, pragnący na kawałek chleba nie będzie: bo na co ino tu spojrzycie, wszystko to przyszło z poczciwości, a takiej pracy, to Bóg *zawdy* błogostawi. Tu każda belka, każda ściana, każda łata, krokwia, to *ino* przez samych Sierpniów stawiane. Widzicie ten siostrzan? Cieśla rok na nim wydlubał, a ja go wtedy zaciągnął, kiedy wielkie się rzeczy odbywały, co wszyscy mówili, że i w niebie lepiej nie będzie jak u nas. Ale Bogać-ta, niedługo tego było i wnet poznaliśwa wszyscy, że się wszystko ino na gadce skończyło. Ten komin, tom go na dach wyprowadził w samą wojnę sandomierską, i choć stary, bo to już jedénasty rok, ale trzyma się krzepko i będzie długo jeszcze stał, żeby ino go kto nie zwałił. A przyciesie od podwórza to pięć lat temu zaciągnąłem wtedy, kiedy nas oddzielili od cesarskich (1), i ta tak zrobili, jak teraz jest. A ten piec co go widzicie, że do połowy od dołu ma kasse, to mój nieboszczyk rodzic *zawdy* mówili, że wtedy, kiedy się wybierali na wojnę z nieboszczykiem panem z Blichowa, co od niój nazwali ich konfederakiem, to wtedy ich rodzic a mój dziaduś, własnymi rękami stawiali, i potem *zawdy* mu mówili, żeby go szanował, nikiój swego ojca. To téż ja go szanuję, i chociaż już go pół *ino* zostało, bo z wierzchu rozrzcili, ale dlatego dolepiłem go z wierzchu, bo kassli nie było, i szanuję, Bóg świadkiem że szanuję; a wiela razy spojrzę na niego, to *zawdy* mi się zdaje, że ta słyszę nieboszczyka rodzica jak mi przy piecu różne rzeczy opowiadają. A mój kumie *śliczno* opowiadali; ale nie o tém gadka. Tu znów co widzicie nad mojem łóżkiem obrazy Świętych Pańskich, to *trocha* ja kupiłem, ale te co starsze, jakta moi ojcowie i dziadowie zawiesili, tak wiszą ciągle i pogląday het po Sierpniach; i póki ja żyję, choć poczerniały i zabrudziły się, ale żadna ręka nie zruci ich ze ściany: ja sam na Wielkanoc i Boże Narodzenie okurzam je z kurzu. Otóż to tacy byli *zawdy* Sierpniowie i ludzie ich mieli w poszanowaniu; dlatego mój Jakóbie choć was szanuję, ale Ziembra nigdy nie zakasuje Sierpnia. Coście dla Janka ofiarowali, zatrzymajcie u siebie, a ja Janka choćby

(1) Lud wiejski, rząd i wojsko austriackie nazywa *cesarskie*.

w jednej koszuli przytulę do siebie jak zięcia i na ludzi wyprowadzę, aby ino zawdy zwał. .... że zabiera mi.... jedyne dziecko z domu.... moją Basię kochaną..... bo syna Bóg mi nie dał.

Stary Sierpień zamilkł, bo rozrzewnienie głos mu zamknęło.

— Brawo, wybornie, mój Wojciechu—zawołał powstając p. Józef, gdy Ziemia jak jaki desperat zwiesił tylko głowę i milczał—tęgi jesteś człowiek, mój Wojciechu, i co hardy to hardy, ale poczciwy.

— To nie nowina—odpowiedział Wojciech z dumą—bo Sierpnie wszyscy zawdy tacy byli; i prędzójby się ubić dali, jak-ta przypuścić kogo, żeby ich miał zakasować.

— A zatém nic nam nie pozostaje, jak przywołać państwa-młodych i oświadczyć im o waszém, mój Wojciechu, pozwoleniu, chyba że....

— Co? — nagle zwracając się ku p. Józefowi zapytał Wojciech— może Panosko myśli, że ja cofnę się z mojem pozwoleni-  
stwem? To Panosko (niech mi Pan wybaczy, że tak mówię *panosko*), ale całkiem nie znacie Sierpniów: bo u nas już tak zawdy bywało, że co się przyrzekło, to jakby pod przysięgą; dlatego com rzekł, tom rzekł, i choćbym może zaraz żałował, gdyby tak wypadło, to już nie odmienię, bo sumienie więcej znaczy, jak wszystko. Ale wprzódy trzeba się poradzić Baški, bo może ona nie zechce.

Stary Łaza wyszedł, p. Józef coś mu także szepnął do ucha, a Ziemia ciągle milczał. Sądząc o rzeczach po sobie, co dla zarobku najlichszego dałby się prawie powiesić: odmówienie przez Wojciecha tak zyskownej napozór ofiary nie uważał inaczéj, tylko wprost jako domyślenie się tajnych jego zamiarów, i dlatego z pewnym rodzajem wstydu, że pokonany został przez nienawidzonego a hardego szpitalnika, siedział ze zwieszoną głową, nie śmiejąc nawet spojrzeć po izbie.

Wtém drzwi się otworzyły i pokazał się w nich Janek. Przeszedłszy krokiem prędkim przez izbę, ucałował najprzód w kolana p. Józefa, a potem przysunawszy się do Wojciecha i obejmując mu w uścisku nogi, mówił z rozrzewnieniem:

— Mój tatusiu, mój drogi tatusiu, Bóg wam zapłać, niech wam Bóg wynagrodzi waszę dla mnie życzliwość, że ulitowaliście się nademną biedną sierotą. Mój tatusiu, mój Boże jedy-  
ny!... póki żyć będę...—nie mógł już daléj mówić biedny a uszczęśliwiony chłopiec, tylko prawie łkając od płaczu obchodził wszyst-

kich znajdujących się w izbie, i ścisnął ich i całował po nogach. Sierpień powstając z powagą, tonem spokojnym, z głową do góry podniesioną, lecz z wypogodzonym obliczem, przemówił:

— Moje dziecko, ale gdzież Basia?

Na uczynione zapytanie, załedwie przez Łazę namówiona Basia, z oczami spuszczone i cała krasna jak świeżo dojrzała jagoda przeszła szybko przez izbę, i nie mówiąc, prawie dusząc się od płaczu, obejmowała nogi w uścisku wszystkich kolegą. Najdłużej jednak zawisła u nóg ojca. Rysy twarzy Wojciecha coraz bardziej łagodniały, nawet łza się pokazała w oku; chciał coś przemówić, lecz od wzruszenia usta mu tylko drgały nie wydając żadnego głosu, i wzniosłszy oczy w górę zdawał się w myśli odmawiać modlitwę. Potem rękę położył na głowie dziewczyni, zrobił znak krzyża ściąga i tak zawisł przez chwilę. I cicho się zrobiło w izbie Wojciecha, westchnienia krzyżowały się z sobą, przerywane tłumionym łkaniem Janka i Basi, rozrzewnienie na wszystkich jaśniało twarzach, tylko na Ziembie przybrało jakiś wyraz prostej ciekawości, dziwnie odbijający od ogólnego wszystkich rozczulenia.

Po małej chwili scena się zmieniła: Basia ukryła się za Łazą pod piecem, Janek ze spuszczonei oczyma pozostał na środku, obracając w rękę kapelusz, a Wojciech już znacznie uspokojony, przemówił:

— Moje dzieci, niech wam Bóg błogosławi! Jak chodziliście dotąd w potulności i uszanowaniu dla starszych, tak i dalej tego nie zabaczajcie. Póki ja żyję, będziawa razem pracowali, a potem, jak mnie Bóg weźmie do siebie, obmyśli się dla was kąt. Abyście statkowali, chleba wam nie braknie: bo kto się ino przytulił do Sierpniów i wszedł do ich *familii*, to nie zaznał co to jest biéda....

— Ja nie chcę od was. mój tatusiu — przerwał Janek — i tak was we wszystkiém będę słuchał, tak będę pracował, że wystarczy nazawdy i dla mnie i dla Basi.

— Wiem o tém moje dziecko, wiem; a żeby Bóg wam we wszystkiém dopomagał, wystawię zaraz za wsią krzyż na uproszenie błogosławieństwa Boskiego, potem sprawimy wesele. ...

— Tak mój Wojciechu, i huczne wesele. Ja zawczasu zapraszam się z moim Władysiem; a jak on śpiewać ślicznie umie, jakie piosnki, a wszystko od Janka się nauczył, bo nie uwierzycie mój Wojciechu, jak on go lubi, i najwięcej prawie mnie namówił,

żeby tu przyjechał i wstawił się za Jankiem do was. Zawsze mu grywa na skrzypcach.

— O! proszę Wielmożnego Pana — przerwał Janek — teraz się zabaczy i o graniu, i o skrzypkach....

— I o przepędzaniu nocy pod figurami — dolożył pan Józef.

— O! o wszystkiém, mój Wielmożny Panie i mój drogi tatusiu — odpowiedział Janek z ukłonem — bo co mi będzie po tańcu, po graniu i po mitrzeniu w nocy pod figurą, kiedy zawdy będę przy Basi!

— No, pamiętaj chłopcze, żebyś się nie powstydział swatów.

Nie będziemy więcéj nudzić czytelnika opisywaniem dalszéj rozmowy między zgromadzonemi w chałupie Sierpnia. Nie szczędzono rad, napomnień, uwag, a gdy na dany rozkaz Basia upaliła krupniku z miodem, rozmowa coraz się więcéj zaczęła ożywiać. Wojciech wspominał dawne czasy i co słyszał od ojca swego; pan Józef mu wtorował i przypominaniem pomagał pamięci; Łaza za każdém odezwaniem się nie zaniedbał wprzód powiedzieć: z przeproszeniem Wielmożnego Pana; Ziemia dorzucił czasem słówko, głównie uważając, czy zaufanie jakie mu powrócono, nie jest tylko udaniem, i potulną minką, dobroduszością w mowie, starał się otumanić ludzi, których pomału myślał oszukać; a Janek tylko wodził okiem za Basią, wybiegającą to do sieni, to do komory, albo krzątającą się po izbie.

Nareszcie uchwaliwszy, że po siewach zaraz odbędzie się wesele, najprzód wyruszył do domu pan Józef, późniéj Ziemia z małym wnukiem, a w godzinę dopiéro Łaza niezle podchmielony, bo i szedł troszkę gzygzakiem, i pośpiewywał, i nie na żarty garnął się z Baską do tańca, ciągle mówiąc:

— Poczciwy ten Wny Pan Józef, że nie gardzi chudemi pacholkami. Niech mu Bóg w dwójnasób wszystkiego daje, bo poczciwy, nie hardy, nie tak jak inni... — Wówczas Sierpień zwykle przerywał, bo pochwałom nie byłoby końca, dodając z pewną dumą:

— Mój kumie, my się z panem Józefem od czterdziestu lat znamy i zawdy z sobą dobrze żyjewa; a dla Sierpniów to nie nowina, że do nich szlachta zajeżdża. Nieboszczyk pan....

I tu następował długi wywód różnych nazwisk pańskich, jak Sierpniów odwiedzinami zaszczycali, ze wszystkiemi towarzyszącemi im okolicznościami, który zwykle przerywany przez Łazę po-

chwałą i błogosławieństwem swego dziedzica i pana Józefa, kończył się domówieniem Wojciecha:

— Tak, tak, mój kumie, wy mało jeszcze znacie jakato nasza *familija*; to nie Ziembowie, nie Szajowie, ani Niezgodowie.

— Ho! ho! ho!—przerywał Łaza niby zdziwiony, chociaż to już słyszał po raz setny—to wy tak wysoko chodzicie? Ho! ho!

— Tak mój kumie, oni ani się umywali do Sierpniów: gdzie, gdzie!....

— Ho! ho! ho! --zakończył Łaza, i ujmując się w boki, w zalotnych podrygach przysuwał się ku Basi śpiewając:

Da Tudruś, moja Tudruś,  
Da kajś Tudrusię podział;  
— Da wsadziłem ją za plec,  
Da butamim ją odział.

Hu! ha!

I rozmowę w ten sposób prowadzoną, ciągle obracano wkółko, naturalnie innym tylko szykiem i z licznymi wariantami i zboczeniami; aż doszedłszy do wpół drogi, gdzie Wojciech z Basią Łazę ku domowi odprowadzili, po serdeczném kilkorazowém ucałowaniu się i wzajemném poleceniu opiece Boskiej, rozstali się kumowie, i każdy poszedł w swoje stronę.

I wśród ciszy nocnej, po ziemi sowniczej zwilżonej rosą, długo potem brzmiała wesola piosnka Łazy o Tudrusi, którą sobie uweleselał samotną pielgrzymkę; lecz co chwila piosnka stawała się słabszą, coraz niewyraźniej wysuwała się z wąwozów ukrywających śpiewaka, aż nareszcie rechoł żab, przerywany dalekim poszczekiem psa czujnego, złączył się razem z wywodzonymi tonami i zagłuszył melodyjną pieśń Łazy.

Tak się ukończył wieczór pamiętny swatami Janka z Basią.

Wkrótce przeszły żniwa, za nimi i siewy jesienne. Janek ochoczo, żwawo zajęty obowiązkami służby, czekał z upragnieniem dnia na wesele przeznaczonego, w jedne tylko święta widząc Basię; ta znów krzątała się około gospodarstwa, a Wojciech zbliżony do Janka, coraz lepiej poznając pocziwy grunt jego serca, z każdą bytnością więcej przywiązywał się do chłopaka, mającego wkrótce przybrać tytuł zięcia.

Nadszedł nareszcie dzień z taką niecierpliwością oddawna oczekiwany. Pospraszano wszystkich krewniaków na starostów i starościny; te ostatnie poprzybierały sobie druchny. Janek zmówił ośmiu parobczaków na drużbów, najął muzykę, skrzypka z basa-

mi, i wkrótce wyszykowało się grono weselne, i liczbą i doborem godne Sierpnia i takiej pary, jaką była Basia z Jankiem.

Wojciech zabił kupioną poprzednio krowę i dwóch baranów na obiady dla sproszonej gości, sprowadził beczkę piwa i sporą baryłkę wódki, z izby wszystkie sprzęty przeniesiono do komory, a tak wszystko kazało się spodziewać, że zabawa będzie co się nazywa: bo znając Sierpnia, wiedzieli, że wystąpi z całą gościnnością, z całą pompą odpowiednią i dawniej z dziada pradziada zamożności, i godności rodu z którego pochodził.

Krętaniny więc w chałupie Wojciecha co niemiara. Kumoszki zlewają wódkę do flaszek i gąsiorków, inne zarabiają ciasto na placki, te palą w piecu, tamta robi masło, inna znów stolki pomywa lub płucze flaki, ten najlepszy przysmak weselny. Mięso poćwiertowane, drób' świeżo porznięty zalega ławy i stoły, dalej kielbasy, wędzonki, séry i ogromne bułki świeżo upieczonego chleba razowego. Wojciech z parobkiem zajęty jest przygotowaniem sieczki i obroku dla dobytku, a Basia chowa do komory najmniejsze drobiazgi: bo dziś często się zdarza, że w chwilach tak uroczystych pozbawione właściwego dozoru, przechodzą na bezpowrotną własność ciekawych, choć nieproszonych przybyszów, którym, przyjętym przez włóścian zwyczajem, nie można drzwi zamknąć przed nosem, ani ich wyprosić. Schodzi się ich tyle, że bez porównania przewyższają liczbę godowników, bo każdy biegnie na gapiówkę, kto tylko żyje we wsi.

Lecz nie na tém się kończy ta pocziwa wieśniaków gościnność; ci sami natrętni przybysze, szczególnie w wieczorną porę wzięwszy wszystkie drzwi, okna, sieni, a nawet większe pół izby, małe zaledwie kółko zostawiając do tańca, jakby w oblężenie, ni-by zapraszani łączą się z weselnikami, jedzą, piją, tańczą i tylko powszednim strojem różnią się od właściwych gości, przywdziewających zwykle na wszystkie podobne uroczystości paradne świąteczne szaty.

Wesele więc na wsi staje się zabawą już nie kilkunastu osób, ale wsi całej, i dlatego tak są kosztowne, pochłaniając masy jada i wódki, coby prawie całą familią przy rządności przez rok cały mogły wyżywić.

Nareszcie przygotowania skończone, goście pozapraszani. Janek w dwóch sukmanach, w modrej i białej, Basia z głową suto ustrojoną wstążkami i kwiatami, w niedzielę rano poszli do kościoła do spowiedzi, wieczorem odbyły się rozpleciny, a w poniedziałek z wrzawą, ze śpiewem, z turkotem wozów i tętentem ga-

lopujących pod družbami koni, cała weselna drużyna udała się do kościoła parafialnego, z kąd inną drogą, aby śmierć drogę sobie zmyliła, już państwo młodzi jako Janowie Gruzdowie wrócili do wsi.

Żeby jednak nie zawadzać przygotowaniom domowym, zwykle powracające wesele wstępuje do karczmy, tam hula do północy, i potem dopiero przy śpiewie, graniu i wesołych pokrzykach, wszyscy i goście i nie goście pospieszają do rodziców panny-młodej na suty obiad.

Zaproszeni z grajkami na czele obsiadają stoły, jedzą, śpiewają, żartują; nieproszeni całym tłumem przypatrując się, wtorują śmiechem weselnemu gronu, a bliższe domu przyjaciółki zajęte przyrządzaniem jedzenia, muszą dobrze się tłoczyć, aby z kurzącymi miskami rosółu, flaków, kaszy jaglanej na mleku, kapusty, grochu i t. d. mogły się przepchać do stołów. Nad ranem wszyscy się rozchodzą do domu, trochę dla spoczynku, głównie zaś dla obrządzenia własnego gospodarstwa; i głośno śpiewając co tylko gardło wystarczy i udając pijanego, aby cała wieś wiedziała, jak suta była zabawa, rozlażą się po wsi, muzyka się wysypia, zabawa na chwilę milknie, rozpoczynając się na nowo z nowym ogniem, z nowym życiem, jak tylko słońce zaczyna zapadać w zachodzie.

I tak wesele jak się zacznie w niedzielę wieczorem, przeciąga się często do czwartku, a nawet do piątku, z bezmiłosiernym rozrzucaniem mięsa, chleba, séra, wódki, jakby *jutro* żadnych potrzeb nie miało, a tylko dla *dzisiaj* trzeba było jedzenia i picia (1).

(1) Dla lepszego pojęcia obfitości jedzenia, a szczególnie mięsa znajdującego się na weselach włościańskich, może posłużyć jako dowód następane zdarzenie, za którego rzetelność poręczamy. Franek Kroczak, właściwie Niezgoda, z rodu Świątniczak, a ze zbiegu nieszczęśliwych dla siebie okoliczności przeszedł na zagrodnika pańszczyźnianego do wsi sąsiedniej, okazywał wielkie skłonności do rozrycia się; ale naturalnie przy ciężkiej i ciągłej pracy i przy mącznym i roślinnym pokarmie, wszystko kończyło się tylko na cechach zewnętrznych, przedstawiając Franka chociaż barczystego i z wydatnymi kośćmi, ale z twarzą dosyć mizerną, oczami i policzkami zapadłymi, słowem z miną człowieka dobrze wyglodzonego. Na raz jeden po weselu we wsi, na którym Franek był starostą, zaszła w całej jego postaci zmiana nadzwyczajna: oczy wybiegły naprzód, twarz się wyrównała, policzki nie czerniły się zapadłymi dołami, pas ukrył się pod brzuchem, słowem Franek wyglądał jak napuchły, boć niepodobieństwem się zdawało, aby w przeciągu niespełna tygodnia, bo tak długo trwało wesele, mógł ktoś naturalnym sposobem nabrać tuszy i formalnie ntyć. Obawę tę i postrzeżenie mając sobie



Wojciech Sierpień wierny przyjętym zwyczajom, ani na jotę od nich nie odstąpił. Już trzeci dzień wrzawa weselna rozlegała się w chałupie Sierpnia, a on tylko chodził między zgromadzonemi, poprawiając często na głowie znaną tak wszystkim czapkę niebieską: zapraszał, częstował, wyprowadzając lepiej znajomych do komory, gdzie przy kieliszku toczono gawędy, śmiano się, żartowano, wtorując tém niejako w wesolych pokrzykach hulającój w izbie młodzieży.

Na czepiny zjechał i pan Józef ze swoim synem Władysiem: i jakąż była radość Wojciecha, gdy mały dziesięcioletni chłopaczek zrzuciwszy z siebie płaszczyk, okazał się cały w sutém ubraniu Sandomierzaka.

Nie mogli mu się dosyć wszyscy napatrzeć, a gdy śmiały chłopaczek w duchu swojej roli przysunął się do Sierpnia i kłaniając się nisko chciał uścisnąć za nogi; Wojciech nie dopuścił, ujął w pól chłopaczka i podnosząc ku twarzy, przemówił:

— Paniczu, choć to *bez żart*, ale i w żarcie niegodzi się pańskiemu dziecku ścisnąć nogi chłopskie....

— Ja wam mój Wojciechu—przerwał chłopaczek cienkim głosem—chciałem podziękować za Janka. Ale cóż, ładnie mi po sandomiersku?

— O ładno paniczu, ładno: dzielny z panicza parobczak.

— Chodźmy Wojciechu do izby, tam grają, tam tańczą, ja wezmę Basię i będę wam śpiewał, a zobaczycie, co ja umiem różnych rzeczy śpiewać: Ho, ho! ale chodźcie prędzej.

I wszyscy z komory wyruszyli do izby. Wojciech żeby uchronić Władysia od podeptania, niosąc go na ręku tłoczył się między zgromadzonemi; każdy z zajęciem przypatrywał się paniczowi w chłopskiém ubraniu, on znów witał znajomych po imieniu:

Franek udzielone, tylko się uśmiechnął z zadowolenia, a potém skrobląc się w głowę odpowiedział: „Ej! nie, proszę Wielmożnego Pana, zdrów Bogu dziękuję jestem i przecieć mnie po pyskach nie prali (bili), żeby miały aż z tego popuchnąć. Ale się, proszę Wielmożnego Pana, było bez tydzień prawie na weselu, wszystkiego było nieskapo, jedliśwa ino mięso i mięso, człekta tego nie *nauczny*, jak se téż bez tyła dni pozwolił, a samego ino mięsa, tak się trocha poprawiło (utyło).” I w tém miejscu boleśnie westchnąwszy zakończył niskim ukłonem: „Ale to-ta wszystko, proszę Wgo Pana nie na długo, za tydzień to i znaku nie zostanie.”

Zgadł biedny Franek, w tydzień powrócił do swojej wygłodzonej fizyogłomii, z upragnieniem oczekując zapewne nowego wesela, a tém samém i nowego poprawienia się.

— Jak się macie Józefie, jak się macie Grzesiowa; a ty Wojtek także tu? i Zośka, i Kaśka?—Chłopiska się tylko uśmiechali oddając witaniem za witanie, i potem częstując się tabaką, mówili między sobą:

— Już widać, że w dzieciuchu poczciwe serce, bo i nie hardy, i umie się przypochlebić.

— Rychtyk mój kumie, jak i stary: bo żywy nikiéj skra, i znowu dobry, że ino do rany przyłóż.

— Równie pan Józef, to ujdzie szlachcic.

— Ani gadania, że poczciwy to każdy to powie.

I wśród witań, całowań i żartów ze stroju małego Władysia, przetłoczył się nareszcie Wojciech do samego grajka. Muzyka zaraz ucichła, a on chłopaczka stawiając na ziemi, wyrzekł.

— No, panie družbo, teraz tańcz i śpiewaj! Baśka! Janek!

Nadbiegli państwo młodzi nie mogli się dosyć nacieszyć zrobioną im niespodzianką; nachyleni nad Władysiem kładli mu w kieszonkę sukmany jabłka, orzechy, kawałki sera i placka, powtarzając ciągle: a jaki panicz ładny, a jaka ładna sukmana, i czapka, i buty i *fontaż* u koszuli; a to *rychtyk* wszystko jak u nas. A dziecina bawiąc się koralami u szyi Basi i gładząc ją po zarumienionéj tańcem buzi, ciągle szczebiotał:

— Ja nie panicz, tylko starszy družba. A ty Baśka niedobra, bo zabierasz mi Janka: a kto mnie będzie uczył grać na skrzypcach, jak jego nie będzie? Ale ty przyjdiesz do nas do dworu?

— Przyjdę, paniczu.

— I z Basią?

→ I z Basią, paniczu.

— I z Wojciechem?

— I ze wszystkiém, i z tatusiem, nasz kochany paniczu.

— Ale panicz trocha ze mną potańczy? — zapytała Basia obdarzając chłopaczka serdecznym pocałunkiem, którego kto wie czy Janek nie pozazdrościł.

— A jakże, potańczę, i będę śpiewał, zobaczysz.

— To ja paniczowi sam wtedy zagram — dołożył Janek.

— Dobrze, dobrze.

Gdy tak wszyscy zajęci Władysiem, w drugim końcu izby pan Józef, Łaza, Ziembra i dwóch innych gospodarzy gawędzą z sobą. Wojciech obczestowawszy wódką chciał gości poprowadzić do komory, aby nie przy tak licznej gawiedzi mogli sobie lepiej pozwolić, ale pan Józef zostawił to na później. Gospodarz już

więcej nie nalegał, tylko podbiegłszy do małego chłopaczka dał mu troszeczkę wódki, namawiając do tańca.

Zaraz ruch się zrobił w całej izbie, wszystko zaczęło się tłoczyć ku muzyce, której miejsce zajął Janek. Na przodzie z Basią stanął Władys, za nim coś ze trzy pary, aby paniczowi różniej było hulać, a małe kółko przeznaczone do tańca opasała ściana głów ludzkich, ciekawie przypatrujących się.

Janek uciął na skrzypkach, basy zahuczały, a Władys naśladowując ruch i postawę starego chłopca, potrząsając głową, zakładając rękę za pas, wstrzymał się i śpiewał:

Hejże ino, hejże w tany,  
Boćto dzisiaj jest wesele;  
Nie bawią się lepiej pany,  
To najgorsze na nas ziele.  
Hejże ino, hej! wesoło!  
Obracajwa się wokoło,  
A kiejswa się rozhulali,  
Hoppa! hoppa! hoppa dalej!

I przytupując Władys, obraca się wkółko. Przypatrujący coraz więcej uszczuplają miejsca do tańca, takby radzi wszystko usłyszeć co panicz śpiewa, a Wojciech z uśmiechem zadowolenia przysłuchując się śpiewowi, obraca się kiedy-niekiedy do pana Józefa, mówiąc z uwielbieniem:

— Coto za ucieszny dzieciuch! Jak to mu się w głowie nie pomiesza! O! niech Panosku Bóg da wszystko dobre, że nie zabaczył o swoim przyrzeczeniu.

— Ba! ba! ba! — odpowiedział pan Józef — za cóżto mnie macie, za hetkę pętelkę, czy co? Słowo się rzekło, kobyła u płotu. Tylko wy mój Wojciechu żebyście znów zjechali do mnie, jak Władysia będę żenił.

— Bóg świadkiem że będę, aby ino Bóg życia pozwolił. Tak, będę, będę.

W tém miejscu śpiew Władysia przerwał dalszą rozmowę:

Hej! panowie ciarachowie,  
Co téż chodzi wam po głowie;  
Wam się zdaje, że sukmana,  
Nie weszłaby i na pana.

A na chłopie choć sukmana,  
Jednak śpiewa: dana, dana!  
A na panie kusy fraczek,  
I dlatego nieboraczek!

Cała izba aż się zatrzęsała, tak śmiechem zadowolenia buchnęło zgromadzenie patrzących; a Wojciech podnosząc w górę małego śpiewaka, wyrzekł tonem wzruszonym:

— O! paniczu, mój mały kochany družbo, czemuż mi Pan Bóg nie dał takiego syna? Patrz, jakby ci to ładno było za Sierpnia. — I Wojciech to mówiąc, włożył swoje niebieską czapkę na głowę malca. Władysław przekreślił ją na bok, i junacznie głową potrząsając, mówił:

— Prawda, że byłoby mi ślicznie, a jakby kto wlaźł mi w drogę, tobym tylko krzyknął: umykaj! bo Sierpień idzie! a do tego brwi i czoło zmarszczył, to każdyby uciekał za dziesiątą granicę.

— Dobrze paniczu, tak zawdy trzeba być hardym, byle poczciwym. O! *rychtyk* ci się *podalo* Sierpniem urodzić, a jabym cię tak pieścił, tak szanował, że chybaby ino ptasiego mléka ci brakowało.

— A toby mi dobrze było u was!

— O! dobrze, dobrze, mój złoty paniczu.

— No, puście mnie, to wam jeszcze coś zaśpiewam.

— Wojciechu, nie bałamućcie mi dzieciaka—odezwał się pan Józef.

— O! żeby ino można, mój drogi Panie!

— Pan Dobrodziej—odezwał się z lisią miną Ziembra—*ino* połakomił sąsiada takim ładnym paniczem. Chociaż nigdy chłopskie dziecko nie wyrówna szlacheckiemu, a Wojciech tak pragnący na syna.....

— Ej! co tam—przerwał z niezadowoleniem Łaza—wywiedzicie takie gadki, jakbyście nie wiedzieli, ila kum mają zawdy fra-sunku, że Bóg mu uskaąpił syna.

— No, to dobrze paniczu—odezwał się Sierpień stawiając malca na ziemi i patrząc na niego z uczuciem prawdziwie ojcowskiem—śpiewaj jeszcze paniczu, bo Bóg świadkiem, że mi jakoś tak dziwno, jakby mi się i śmiać i płakać chciało. O! Boże jedyny!

I starzec rozrzewniony pocałował w rękę pana Józefa, z zadowoleniem pokręcającego węża. Muzyka znowu się ozwała, wszyscy się ucieszyli, a Władysław zaśpiewał na nutę smętną, jakby żalem i skargą przejętą jednego z tych krakowiaków, tak znanych dla naszego ucha, co i miłe a zarazem bolesne wydobywa z piersi westchnienie. Poznał Wojciech dobrze mu znaną piosnkę, którą

nieraz w pochodach wojskowych pokrzepiał strudzone siły, a obracając się do pana Józefa, ze łzą błyszczącą w oczach zawołał:

— Panie, jak mi Bóg miły, to nie dziecko, to prawdziwy anioł: bo mi tak wszystko żywo przed oczy staje, jakbyta nie było kiedyś, ino dzisiaj. O Boże, Boże! Paniczu, drogi paniczu, co chcesz to bierz ze mnie, ino śpiewaj choćby do jutra, choćby bez noc całą.

Władysław na znak dany przez ojca stanął na środku izby, około niego ukłękła Basia z Jankiem pieszcząc i całując po rękach. Pan Józef z Sierpniem usiedli na ławie, dalej trochę Łaza i Ziomba, a wokół uszykowała się reszta ciekawych, wieniec głów opasując małego śpiewaka.

Władysław zuchwało przekręcając czapki na bakier i przytupując nogą, cienkim, ale dosyć przyjemnym głosem śpiewał:

Hej! tam w karczmie za stołem,  
Siedział na ławie Jan stary,  
Otoczyli go kołem,  
On tak mówił do włary: i t. d.

Podczas śpiewu, wszystkie wzruszenia, które poruszały duszę Sierpnia, malowały się na jego twarzy: czasem zwiesił głowę, jakby mu się przemknęło niemile wspomnienie, czasem podniósł ją dumnie w górę, przytupnął nogą, uderzając w takt pięścią po stole, czasem głośno powtarzał ostatni wiersz każdej zwrotki; a gdy Władysław ukończył śpiewanie, on rozkładając ręce i w uścisku obejmując chłopaczka, zawołał:

— Basiu! co ino jest wódki w komorze wszystko przynieś: i placki i sér i co znajdziesz, bo przy takiej uciezce to warto wszystko oddać, co ino człek ma przy duszy. O paniczu, o mój drogi kochany panosko! teraz będziem pić, jeść i bawić się. Dalej Basiu, spiesz się, a ty zięciu zagrzasz, bo i my trochę poskakawa.

Niedługo i kieliszek zaczął krążyć między wszystkimi, bez względu czy kto należał lub nie do wesela. Władysław ledwo nie uduszono w tłoku, tak go wszyscy obsypywali całowaniem i pieszczotami.

P. Józef węża kręcił; Łaza z poczciwym uśmiechem skrobał się w głowę; Ziomba na wszystkich poglądał z podełba, a Wojciech to Władysława całując, to p. Józefa po rękach, to w głowę nisko mu się kłaniającego Janka, ciągle wołał na Basię.

— Dawaj Basiu, nie żałuj, bo to twoje wesele. U Sierpniów nigdy skąpo nie bywało, to i teraz nie będzie, kiedy mi Bóg taką zdarzył uciechę. Jédźcie i pijcie moi ludzie, moi sąsiedzi.

A gdy przy napitku i jadłe i gwar się zaczął powiększać, Janek wziął za skrzypki i w zwawym oberku puścił smyk po strunach. Wszystko co żyło pobrało się w pary: na przodzie Władysław z Basią, za niemi p. Józef z jedną z starościen, dalej Wojciech, Łaza i inni w parach bez końca, że tylko przy drzwiach zostało się troszkę osób przypatrujących, i sam Ziemba z chytrym uśmiechem na przodzie przy muzyce.

Brzękły podkówki i taniec się rozpoczął, a potem długo wesołe pokrzyki z szumem wiatru przebiegały między sadami i chałupami wsi świętnickiej. Starsi nienależący do tańca przypatrywali się wesołym płasom i gwarzyli między sobą powiadając:

— Oho! jak Świątniki Świątnikami, tak jeszcze nie było takiego wesela i *właśnie* już nie będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# HAGAR NA PUSZCZY.

---

**O**d słońca pożaru zeczerniała mi głowa  
A wkoło pustynia. Do Ciebie Jehowa  
    Podnoszę płaczący mój głos.  
Spraw Panie! by niebo nademną wychłodziło,  
I skały granitu zmień Panie na źródło,  
    A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż, Jehowo! i nigdyż do zgonu  
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,  
    Ni pana mojego, ni ród?  
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem,  
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,  
    Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,  
I rzemień popękał na naszych sandałach,  
    I cierpi, i płacze mój syn.  
Jam Panie kochała, i była kochaną,  
Szczęśliwą. To słusznie, że jestem karaną,  
    Lecz syn mój Izmael—bez win.

Gdy wichry ogniowy po puszczy zawleje,  
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,  
    Izmael opada jak kwiat.  
Ja tobie, o Panie! natenczas się kłaniam,  
I syna mém ciałem przed wiatrem osłaniam,  
    I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając gdy zdrzymię na piasku,  
Przebudzam się trwożna wśród nocy i wrzasku:  
    Dławionej gazelli to wrzask.  
A wkoło szakale oczyma mi świecą,  
I wyjąc uchodzą, bo myślą, że m lwicą:  
    Tak z ocz mych rozpaczy gra blask!

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda,  
 Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:  
 Błędnego wędrowca to trup.  
 I nieraz sęp głodny zawisnie nad nami,  
 A potem w mój zawój uderzy skrzydłami,  
 I drugim zakracze na łup.

I nieraz gdy usnę, ja niosę... O Boże!  
 Izmael się zachwiał, iść dalej nie może,  
 Jak trzcina przechyla się z nóg,  
 I usta otworzył: o Panie! on pragnie,  
 O! Panie! twa łaska niech ku mnie się nagnie,  
 Tyś wielki! tyś mocny, tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!  
 I usta spalone do ust mych przykłada,  
 A żar z nich wyciąga miast tehu.  
 Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?  
 Jehowa! Jehowa! och wody! och rosy,  
 Kropelkę, kropelkę choć dżdżu!

K. W.





# KILKA SŁÓW

## O STANIE DZISIEJSZYM MEDYCYNY WE FRANCYI.

PRZYZ

*Orator Med. Ludwika Koehler.*

(Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego,  
dnia 25 stycznia 1852 r.).

---

Jest to w naturze człowieka, iż stanowisko zapatrywania się na rzeczy odnosi zwykle do siebie samego; dopiero na porównaniu i wnioskach ztąd wyprowadzonych, opartych na usposobieniu indywidualném, stawia cały budynek następnych dowodzeń i axyomatów swoich. Gdy zaś z lat upływem, znużony na drodze pracy i doświadczenia, przestaje już poić wzrok chciwy w błyskotkach ponęty przyszłości; gdy raczej wspomnienia tylko stają się duszy pokarminem: wszelkie wrażenia zmian, wynikające choćby nawet z koniecznej następstw kolei, skoro uderzają nagle nieprzygotowany umysł, przejmują go niechęcią i tęsknotą, czynią go niesprawiedliwym w wyrokach swoich, a zawsze nazbyt surowym sędzią w ocenianiu dostrzeżanych różnic i przeobrażeń, choćby takowe napotykanne były na drodze ulepszeń i prawdziwego postępu.

W takiémto usposobieniu umysłowém, w podróży podjętej niedawno celem poratowania zdrowia, przebiegałem główniejsze stolice. Zatrzymującemu się tu i owdzie, przez czas mniej więcej długi, stręczyła się obficie sposobność widzenia i uważania najrozmaitszych przedmiotów. Z tego natłoku różnorodnych wrażeń, skreślić pokrótce zebrane myśli i uwagi, zamiarem było niniejszej rozprawki. Lecz chciawszy opisać wszystko z kolei, w miarę nasuwają-

cych się przedmiotów, jakkolwiek byłoby rzeczą najwłaściwszą, bo najprostszą: doprowadziłoby do ustępów i zbroczeń, niezawsze w ścisłym związku z medycyną zostających; powiodłoby daleko poza szczupłe granice zarysu, jaki sobie założyłem, zamierzając powiedzieć słów kilka wyłącznie o dzisiejszym stanowisku medycyny we Francji, czyli właściwiej w państwa tego stolicy.

Wprawdzie i tak jeszcze, poczynając to małe sprawozdanie wprost od opisu wrażeń doznanych w Paryżu, nie uniknę zarzutu niedokładności układu: bo dziś zapewne ilekroć jest mowa o postępie nauk lekarskich w ogólności, pod żadnym względem niegodzi się już pomijać krainy Niemiec, a mianowicie téż szkoły wiedeńskiej i pragskiej, które w ubiegłych lat dwudziestce, z długiego uspienia wyrwane, jakby nowemi siłami skrzepione, nowém i pełném chluby zajaśniały życiem; które jeśli tak dalej na drodze czystego doświadczenia, niekrzywionego marzeniami przesadzonych teoryj, postępować będą, niepospolite rokują dla nauk korzyści. Bochdalek, Pitha, Hamernik, Jaksch, Arlt, Szkoda, Rokitański, Dlauby, Patruban, Dumreicher, Moissowicz, Hebra, Sigmund i tylu innych, zpośród których pod względem praktycznego znaczenia przywiode tu jeszcze słusznie wielbionego Oppolzer: wszystko znane nazwiska mężów znamienitych, przyjaźnie odbijające się o ucho nasze, nakazujące spodziewać się coraz większych, coraz świetniejszych zdobyczy na coraz uprawniejszym polu naukowego postępu. Lecz w przelocie tylko nawiedziłem te kraje, i nie śmiałybym obszerniej rozwodzić się nad tém, czego sam dokładniej zbadać nie miałem dostatecznej sposobności.

Do Paryża przybyłem w porze najniewłaściwszej, bo w czasie feryj, w czasie zawieszenia wszelkich kursów naukowych, kiedy nawet służba szpitalowa po większej części zastępczo tylko wykonywaną bywa. Jakkolwiekby, po dwudziestu trzech lat upływie, zawitawszy do téj tak zwanéj świata stolicy, uległem mimowolnie wrażeniom, często przykre i bolesne budzącym uczucia. Dlatego głównie téż może nie wszystko nowe zdawało mi się dobrém, nie każda zmiana poprawą lub ulepszeniem, nieporównanie zaś częściej mnie-małem dostrzegać niepowetowanój straty dawnego. Najdotkliwszém wszakże było uczucie, kiedy wiedziony pamięcią wdzięczności, szukałem mężów, którzy dawniej zasilali i kształcili mnie nauką i doświadczeniem swoim. Połowa niemal tych światel, gorejących jasnym płomieniem u zenithu Paryża, już była zgasła i przeszła do wieczności! Wprawdzie odblask siły ich gieniuszu, niegdys skupiony

w pojedyncze ogniska pełne połysku i chwały, nie przestał i dziś jeszcze przyświecać téj szczęśliwej dziedzinie nauk, wśród której rozlał się on teraz w bardziej powszechnego światła szerokie strumienie. Paryż albowiem nie przestał być owém miejscem wyborowém, na którym teoryczne wiedze, praktyczne znalazłszy zastosowanie swoje, stręczą niezrównaną sposobność do ukształcenia, do wydoskonalenia nabytych wiadomości. Tu z każdym dniem, z każdą chwilą gromadzą się i rosną niepojęte skarby sztuki; tu nauki rozpostarły swoje panowanie. Prawdziwie uderzającym jest powszechne ubieganie się i wysilenia pojedynczych, ku wzbogaceniu i rozwinięciu umysłowych pojęć; a wśród tak ogólnego popędu i dążenia, głównie może nauki przyrodzone dosięgły szczytu doskonałości, odniosły palmę chlubnego zwycięstwa, i ubiegłszy współzawodniczki swoje w dociekaniu i zbadaniu tajemnic przyrody, przodkując innym, torują drogę do należytszego uważania i poznania rzeczy. W tymto zakresie niepodobne niemal dopiętém zostało; i jedno nowe, nowsze wywołuje odkrycie. Może nigdy zaciekłość badawcza nie była większą, nie poruszyła jednocześnie tylu dzielnych w zawodzie mężów, do ubiegania się z takim poświęceniem i z taką korzyścią. Ale téż może nie masz drugiej metropolii, w którejby do takiego stopnia rząd zdawał się wchodzić w zapasy z usiłowaniami każdego pojedynczego dla pożytku dobra ogólnego ludzkości, dla postępu nauk w powszechności. Anglia, ta błoga ziemia, na której szczyt gieniuszu ludzkiego zastosowany do przemysłu społecny, wywołał brzemię niepojętych dostatków, stał się źródłem pomyślności i dobrego bytu całego narodu, zlał dobrodziejstwa ogólnej oświaty na każdego członka społeczeństwa: Anglia, albo raczej jój stolica Londyn, pod dopięro wymienionym względem uważana, nie może się równać z Paryżem. Tu bowiem poświęcenie jest indywidualne, zupełne i bezwarunkowe; tam zaś wszystko ma swój cel stanowczy i jedno tylko dążenie, do przemysłu skierowanego, do dobra bytu ogólnego.

Na tém polu chwalebного ścierania się, sztuka lekarska, jako część najważniejsza nauk przyrodzonych, niepospolite zajęła miejsce; a zasze tu zmiany z upływem lat zaledwie trzydziestu, prawdziwie są uderzające i godne podziwu. Różnica dzisiejszego stanowiska medycyny we Francyi, dzisiejszego pojmowania i wykonywania téj sztuki, znamionuje się głównie nagłym przejściem z jednéj ostateczności w drugą. Dawniej ściśle hołdownicza systemom, od czasu śmierci Broussais'go, tyle z wielu miar zasłużonego męża, medycyna i chi-

rurgia francuzka stały się wyłącznie eklektyczne: uzasadnione na ścisłym badaniu i ocenieniu przyczyn i skutków, na zastosowywaniu sposobów leczenia do każdego pojedynczego przypadku, nie ulegając już bezwarunkowo żadnemu układowi czysto teorycznemu. Zapewne dziś nie przyjdzie na myśl nikomu, szukać jedynéj przyczyny chorób w zadrażnieniu błon szluzowych kanału kiszkiowego, na pokonanie którego tylko lancet i pijawka pozostawały jedynemi środkami zbawienia. Wszędzie natomiast napotykamy przeważną dążność usiłowania lekarskiego do uzasadnienia zebranych wiadomości drogą badań i dochodzeń na polu anatomii patologicznej, nauki obszernéj i niewyczerpanéj jak cała przyroda; nauki wykrywającéj jak niesłychanie różne, jak zmienne i zwodnicze mogą być przyczyny chorobnych pojavów; nauki, która celem pewniejszego dopięcia wielkiego założenia swego, użyła dziś w pomoc całej potęgi mechanicznych, fizycznych i chemicznych wiedzy.

Wysokie udoskonalenie mikroskopu zastosowane do badań i dostrzeżeń lekarskich, otworzyło nowe źródło odkryć; przeistoczyło dotychczasowe wyobrażenia o składzie drobiazgowym całego organizmu; wpłynęło przeważnie na stan znajomości fizjologicznych; wykazało nowe zasady histologii, morfologii i teratologii: któreto oddzielne gałęzie nauki, nie pozostały znówu bez wpływu stanowczego na rozwinięcie nowych zasad patologii, a w następstwie na całe postępowanie zastosowania praktycznego.

A lubo koryfeusze francuzkiéj medycyny przyznają jednozgodnie, że niekoniecznie, że niezawsze, ani téż z matematyczną pewnością, pośmiertne zjawienia stanowią i świadczą chorób powodu; że bardzo często znachodzimy w miejsce szukanych przyczyn, same tylko następstwa i skutki: to przecież pomimo takowego przekonania, skłaniają się oni w praktycznym zawodzie zanadto może do zbyt materialnego holdu anatomii patologicznej, przez co samo dzisiejszego ich eklektycyzmu w medycynie, ani bezwarunkowo wolnym, ani czysto filozoficznym, jakim go sami być mienia, nazwałbym nie śmiał. W ogóle jednak objawia się wszechstronnie potrzeba zasad pewnych, praktycznych, duch, że tak powiem pozytywizmu (positivisme), odrzucający wszelkie marzenia teorematów i sofisteryj, duch dowodzący najlepiej czasowego stanowiska wyobrażeń i pojęcia naukowego.

Lecz z tak nabytym doświadczeniem powstać musiało i przekonanie, iż najczęściej zbyt jednostronne uważanie rzeczy chyba zamierzonego celu. Konieczność wyświecenia i zbadania ostatecznych

przyczyn i skutków, zrodziła konieczność i równie silną potrzebę umiejętnego uchylecia wpływów i następstw szkodliwych, wywołała konieczność zwrócenia większej uwagi i zajęcia się usilniejszego około kształcenia i uzasadnienia bardziej wyrozumiałego postępowania terapeutycznego.

Nauka farmakologii, farmacyi, materyi lekarskiej, cała część terapeutyczna medycyny w ogólności, długo we Francyi nie były przedmiotem szczególniejszego zamiłowania; nie osiągnęły téż one nigdy ani wyrównywającego, ani odpowiedniego stopnia udoskonalenia. W ostatnich czasach dopiero, kiedy już umilkły zacięte spory zasad medycyny tak zwanój fizyologicznój; kiedy umysł wolniejszy od uprzedzeń potrafił zmierzyć i ocenić bezstronnie, jak szkoły Pinela i Broussais'go szczupłe zakreślały granice tym gałęziom umiejętności lekarskich: wtenczas dopiero obudziła się silnie wszechstronna dążność do podźwignienia téj części nauki długo zaniedbanój, a przecież stanowiącej jedną z główniejszych podstaw medycyny praktycznej. Do takowego przywrócenia pierwiastkowego jój znaczenia i właściwej wartości, główniej może przyłożyli się w ostatnich lat zakresie: Récamier, Magendie, Fouquier, Chomel, Marjolin, Andral, Louis, Trousseau i wielu innych, tak dalece, iż chwilę obecną słusznie uważaćby można za epokę przesilenia we Francyi, za epokę jakby przewodnią do czasu, w którym może bardziej olbrzymie pojęcia potrafią nadać wyższą, wznioślejszą postać budowie dzisiejszych umiejętności, stawiając je na równi z naukami dokładnemi.

Tak jak medycyna w obszerniejszém znaczeniu zyskała nieporównanie przez dokładniejszą znajomość anatomii patologicznój, przez nauki pomocnicze w ogólności: tak téż znowu i inne gałęzie téj sztuki, podniosły się w Paryżu do stopnia udoskonalenia, na jakim dotąd może nigdy jeszcze nie stały. Zwyczaj coraz powszechniejszy rozdrabniania pracy, zajmowania się wyłącznego zgłębianiem bardziej cząstkowych przedmiotów: wpłynął stanowczo na wydoskonalenie ogółu. Skutkiem takowego dążenia, potworzyły się mnogie szczepy lekarskich wiedzy, z których każdy pojedynczo wzrosł potężnie w znaczeniu swojém, a stanowiąc sam przez się nową i odrębną niemal naukę, zdaje się dobić pewnego stopnia usamoistnienia. Ztąd téż wynikło, iż na niwie uprawianój przez tylu wysoko usposobionych mężów, zakwitł plon bogaty. Tak Velpeau, Roux, Sichel, Demar-rés, Tavignot, Blanchet, Carron de Villars i wielu innych, poświęciwszy wyłącznie okulistyce prace i badania swoje, nadali nowy pęd i tak szczytne powodzenie téj części umiejętności lekarskich we

Francji, iż śmiało ona dziś z ościennemi narodami współzawodniczyć już może. Tak ortopedia, przyswojony szczep obcy, rozwinął się bujnie na ziemi francuzkiej, a pod przewodnictwem panów Bouvier, Pravaz, Guerin, Duval, Mallet i innych, nabral niepośledniego wykształcenia. Akuszerya, gynaecologia, paediatryka zajaśniały nowym blaskiem niezaprzeczonego postępu; a choroby umysłowe, choroby skóry, posunięte zostały do stopnia nieznanj szczytności przez prace i usiłowania nieśmiertelnych mężów, któremi Francya słusznie chlubić się może, którym cała ludzkość hołd wdzięczności oddaje. Pinel, Esquirol, Voisin, Falret, Trélat, Leuret, Moreau, Baillarger, Alibert, Biet, Cazenave, Royer, Gibert i tylu innych mężów, słynne zjednali sobie imię, i takowe do późnej przekazali potomności.

Lecz w jeszcze drobniejszych, poddziałach i rozgałęzieniach nauk, napotykać można równie okazałe zdobycze zabiegłości i usiłowania rozumu ludzkiego. W chorobach piersiowych, w chorobach serca, wątroby, w chorobach przewodu kiskowego, mianowicie téz dróg urynowych, poczynione odkrycia sprowadziły niepłonne korzyści dla cierpiącej ludzkości. Ile zaś litotrycyja sama winna wykształcenie swoje wyłącznym dążeniom i niezmordowanej pracy mężów, jak Civiale, Amussat, Heurteloup, Leroy d'Etiolles, Segallas, Pravaz, Rigal i innych; nikomu zaiste obcém być nie może. Otystyka nawet nie pozostała w tyle: Déleau, Menière, Colombat, nie zwolnili w chwalebném usiłowaniu niebezpiezytecznego wzbogacenia téj części nauki, dotąd mało przystępnj i wielce zaniedbanj.

Wśród zbiegu tylu przyjaznych okoliczności, olbrzymi postęp jaki zrobiła nauka chirurgii, jeśli zdawać się może mniej zadziwiającym, to niezaprzeczenie ani mniej chwalebny, ani mniej znamienitym nie jest. W świetném zaś powodzeniu dotychczasowém, zgotowaném ciągłym i nieprzerwaném następstwem tylu nieźrównanych mistrzów sztuki; podtrzymywaném dzielnie głośną zasługą mężów, jakimi są: J. Cloquet, Roux, Amussat, Velpeau, Gerdy, Jobert de Lamballe, Malgaigne, Guersant, Robert i wielu innych, dziedziczących z kolei chlubne przewodnictwo: świetniejszą przyszłość jeszcze rokować jej zdaje się młoda generacyja lekarzy francuzkich, która ożywiona duchem nieśmiertelnych wzorów, wszelkie pokonywając trudy i przeszkody, śmiałym posuwa się krokiem na drodze badań i doświadczenia. Téj właśnie tak silnej dążności przynależy wyłączna zasługa, wysokiego kształcenia pojedynczych części pomocniczych nauki, mianowicie téz anatomii chirurgicznj, której ostatniemi czasy uczone prace panów Blandin, Velpeau i Malgaigne nieprzewidywaną

dawniej zgotowały powagę i znaczenie. Od téj pory anatomia przestała być suchą nauką pamięci, chirurgia zaś wątpliwością i dymysłem. Odtąd anatomia chirurgiczna stała się nierozłączną towarzyszką każdego lekarza, przewodniczącą mu bezustannie w trudnym jego zawodzie praktycznym; i, że własnych słów autora użyję: „*Avec l'anatomie ordinaire, celle que Vous appelez anatomie descriptive, avec l'anatomie générale Vous arriverez à faire la médecine et la chirurgie comme Vos devanciers et comme vos maîtres. Pour avancer d'un pas plus ferme, vous aurez besoin d'une anatomie nouvelle, celleci ressort des autres. Elle en est en quelque sorte le résumé, le corollaire. Comme son bât est d'éclairer sans cesse au lit du malade, elle a pris le nom d'anatomie médico-chirurgicale et mérite le nom d'anatomie du praticien.*”

Z innéj strony znowu, daciekiwania chemiczne wykrywające własności cudowne eteru, chloroformu i innych ciał zrzadzających podobne zjawienia, uszlachetniły i podniosły chirurgią; a spełniając miarę najzarliwszych marzeń ludzkich, przywiodły sztukę lekarską do szczytu dumnych usiłowań i zabiegów człowieka. Bo cóż wznioślejszego nad możność odjęcia, usunięcia, ukojenia bólu! *Divinum est opus sedare dolorem!* To nadludzkie, szczęśliwe odkrycie, budząc szlachetną dumę w duszy każdego, zlewa słodki balsam pociechy w serca tych wszystkich, którym z powołania, smutna konieczność nakazuje wśród niesionéj pomocy, boleć nad nieuchronném cierpieniem chorego. Lecz odtąd, od chwili nieocenionéj zdobyczy gieniuszu ludzkiego, ból znikł z widowni utrapień na ziemi, ustało przerażenie na myśl samą okrutnych operacyj chirurgicznych, a błogie dobrodziejstwo nauki i sztuki, spłynęło obficie dla zdumiałéj i wdzięcznéj ludzkości.

Ależ i w sposobie postępowania lekarskiego, w tak zwanéj terapii chirurgicznéj, niemniej ważne i stanowcze pozachodziły dziś zmiany. Nóż przestał być środkiem jedynozbawczym: dziś celem głównym usiłowań każdego, jest jak lecząc zachować, jak ochronić od szpetnego kalectwa, jak oszczędzić i cierpień i blizny, w ostateczności tylko ostrza chwytając. Bo prawdziwéj zasługi nie upatrujemy już w zręczném i uczoném krajaniu, lecz w umiejętném i dobrze zrozumianém użyciu środków właściwych. Leczyć, uzdrawiać, stało się godłem dzisiejszego chirurga-operatora. Obecnie wykonywanie chirurgii praktycznéj, opiera się na dokładniejszém poznaniu, zgłębieniu powodów i przyczyn, na zastosowaniu uproszczonych środków,

których użycie, nastęrczyło oględne i dobrze wyrozumowane doświadczenie. Świadczą tego, usilna dążność upojedynczenia technicyzmów, usunięcie przedawniałych nawyknień i przesądów, zastąpio-nych pomysłami bardziej potrzebie odpowiedniami, a częstokroć przynoszącemi chlubę i zaszczyt bystrzej przenikliwości rozumu ludzkiego. Owe niedawno tak konieczne, tak ścisłe postępowanie przeciwarzalne, owa *dieta minima*, owe krwi toczenie bez granic i miary, uległy dziś znacznemu przeobrażeniu. Ranny, skaleczały, operowany, uważanym jest w stanie nakazującym chronienia i oszczędzania sił jego żywotnych: bo z utrzymaniem takowych na stopniu należytym, i prędzej, i zupełniej uzdrowienie osiągnięciem być może. W miejsce mnóstwa dawniejszych narzędzi, najpowszechniej wystarcza dziś zwyczajna bisturya i proste nożyce. Znikł po większej części zatrważający zapas przyrządów, machin różnokształtnych, opasek i roje mastyków najdziwaczniejszego składu. Uproszczonym został cały sposób opatrywania w ogólności, wielkie znajdując poparcie w użyciu dextryny, w zastosowaniu gutta-perchy i kauczuku, w nowszym poznaniu nieocenionych własności kolloidium, w zastąpieniu watą skubanki. Przesadne użycie kataplazmatów, okrywanie ran niemiarą skubanki, posmarowaną nieraz grubą warstwą maści, coraz rzadziej postrzegać się daje. Słowem, cała akiurgia, a mianowicie téż część jej desmurgiczna, w terażniejszym upojedynczeniu niezaprzeczone odniosła korzyści i prawdziwie udoskonaloną nazwać się może. Za to znowu skuteczność zimnej wody może niedosyć oceniona, nie potrafiła jeszcze zjednać sobie we Francyi tego znaczenia, na jakie ona rzeczywiście w wielolicznych wypadkach zasługuje. Albowiem zachwalone użycie zraszania ran, czyli naprowadzania strumienia zimnej wody, spływającego nieprzerwanie z wysokości zastosowanej do każdego pojedynczego wypadku, na części uległe gwałtownemu okaleczeniu, lub na obszerne rany; tudzież użycie lodu, jako środka tłumiącego czucie, uśmierzającego ból miejscowo, zalecane przez niektórych lekarzy, nie znalazły wielkiego poklasku, ani ogólniejszego naśladownictwa. Hydropatya zaś w obszerniejszym znaczeniu, nieśmiałym jeszcze postępuje krokiem; ogranicza się ona dotąd na kilku li tylko w tym celu urządzonych zakładach, niewychodzących poza szczupły obręb dotychczasowej sfery działalności swojej.

Uderzającém znalazłem wielkie zamiętowanie do nadzwyczaj częstego użycia środków z rzędu tak zwanych *revulsiva*, *derivantia*, mianowicie téż z gatunku gwałtownie działających, wstrząsających, wyzerających, właściwiej *corrodentia*, *escharotica*, *cauteria po-*



*tentialia i actualia*. Długi szereg takowych, mieści się na liście terapeutycznego zapotrzebowania, począwszy od saletranu srebra i potażu gryzącego, tynktury jodowej, proszku brata Kosmy, i przetworów arsenikowych, ciasta Dupuytréna, ciasta z solanu cynku Canquoina; ulubionego wapna wiedeńskiego, i tak zwanego *causticum Filhosi*, tudzież stężonych lub bezwodnych kwasów saletrowego, siarkowego, saletranu i octanu żywego srebra, aż do wody wrzącej, młotka i żelaza rozpalonego, którego ostatniego z równie okazałym skutkiem jak niegdyś Larrey i Percy, dziś używa Jobert de Lamballe w śmielszym zastosowaniu, bo w leczeniu niektórych chorób macicznych. Wszystkie z tych środków naprzemian i z różnym powodzeniem, znajdowały i znajdują ciągle wyłącznych wielbicieli i zwolenników swoich, którzy z pewnym rodzajem upodobania, uprzedzenia dosyć nawet bezzasadnego nieraz, udzielali pierwszeństwa tym dzielnym bodźcom farmakodynamii.

Rzeczywiście jednak, ważniejsze zmiany i ulepszenia poczynione zostały w leczeniu złamań, w uszkodzeniach kości, w cierpieniach stawów. Tu samo uproszczenie, jest już postępu dowodem. W wypadkach pomienionych opatrzenia czy stałe i nieporuszalne (*inamovibles*), czyli stałe i poruszalne razem (*amovibles inamovibles*), czyli téż z gutta perchy, lub nakoniec za pomocą przyrządów mechanicznych uskuteczniane: wszystkie noszą cechę główną dzisiejszej chirurgii, tak właściwego i celowi odpowiedniego upojedynczenia. Wreszcie jak z jednej strony nauka o ranach postrzałowych wzbogaconą i nowym doświadczeniem silnie popartą została: tak z drugiej strony z działań operacyjnych resekcye kości zwróciły przeważnie uwagę tegoczesnych chirurgów. Wychodząc z głównej zasady, jak może być oszczędzić kalectwa, jak uczynić go mniej dotkliwym w dalszym życia zawodzie; nauka podała nowe sposoby niesienia zbawiennej pomocy. Tu chirurgia złączyła zwyczajko usiłowania swoje z częścią wysoko udoskonalonej mechaniki, zastosowanej do potrzeb lekarskich (*Prosthesis*), która w Paryżu dosięgła wykształcenia dotąd nieznanej wyższości.

Wszakże przechodziłoby to zakres krótkiego zarysu, gdybyśmy chcieli obszerniej naruszać mnogich szczegółów w przedmiocie o którym mowa; szczegółów albowiem z wielu miar uwagi godnych i zasługujących na dokładniejsze wspomnienie, znalazłbym tak wiele, iż łatwo one same stałyby się mogły obszernego dzieła osnową. Trzymając się zatem pierwszego założenia, wolę poprzestać na tych krótkich

ogólnikach i załączyć tu jeszcze kilka myśli ulotnych, jakich mi nastręczyło zwiedzanie główniejszych szpitali Paryża.

Paryż sam mieści w sobie oprócz 26 zakładów prywatnych czyli tak zwanych domów zdrowia (*maisons de santé*), 34 szpitali, częścią wojskowych, częścią cywilnych. Liczba tych ostatnich tak jest wielka, tak różnorodna, iż łatwo każdy stan, każdy wiek, każda płeć, powiedziałbym każdy rodzaj choroby w potrzebie właściwe i odpowiednie znajduje dla siebie schronienie. Dla niezamożnych, podupadłych, chorobą gnębionych, istnieją tu zakłady, do których wstępujący za małą opłatą zapewnioną sobie mają staranną pomoc lekarską i zaspokojenie wszelkich potrzeb i wygody życia. Dla mężczyzn i kobiet zgrzybiałego wieku są przeznaczone oddzielne dwa wielkie szpitale. Dwa inne służą tylko do zamieszczenia chorych umysłowych. W chwili stanowczej macierzyństwa, każda rodząca w potrzebie znajduje pomoc i schronienie w wzorowo urządzonym domu dla położnic (*La maternité*). Do szpitala chorych dzieci (*Hopital des enfants malades*) nie tylko wstęp mają niemowlęta i dzieci chore, częstokroć wraz z matkami z miasta przybywające, ale nadto i takie, które ze wszystkich innych szpitalów i zakładów publicznych tu nadsyłane zostają. Dom podrzutek (*hospice des enfants trouvés*) podejmuje dzieci nowonarodzone, opiekując się opuszczonemi aż do ich pełnoletności. Dla wieku zaś dojrzałego, po różnych częściach miasta liczne szpitale stoją otworem, i tylko choroby wymagające wyłącznych starań i opieki, lub choroby zaraźliwe przekazywane bywają do oddzielnych zakładów, jedynie w tym celu ustanowionych.

Wszystkie szpitale i zakłady dobroczynne zostają pod głównym zarządem oddzielnej administracyi rządowej, która pomimo niezmiernego funduszu 16,420,380 fr. jakim rozporządza, niezawsze znajduje się w możności, wszelkie bieżące opędziwszy potrzeby, zaprowadzać ulepszenia, których konieczność codzienne wykazuje doświadczenie. W r. 1827 ilość chorych po szpitalach Paryża dochodziła 53,000. Dziś administracya utrzymuje rocznie oprócz 12,000 starców i kalek, 83,000 chorych po głównych szpitalach, 4,600 podrzutek i sierot, 16,000 takichże wychowujących się na wsi, lub oddanych na naukę do rzemiosł, i nadto jeszcze udziela wsparcia 30,000 rodzinom podupadłym.

Cheąc być wszędzie, widzieć wszystko w czasie szczupło udzielonym, przechodzi siły człowieka; konieczność więc sama nakazywała w trudnym ograniczyć się wyborze. Nie wychodząc przeto poza ścisły obręb czynności, zaczęłam pielgrzymkę po szpitalach Paryża, na

wstępie od zwiedzenia najznakomitszego jeśli już nie obszarem, to niezaprzeczenie powagą czasu i sławą swojego imienia; od szpitala *Hôtel Dieu*. Słynny ten zabytek VII wieku, dotąd nosi piętno czasu tak pod względem architektury, jako téż i topograficznych stosunków swoich. Dobroczynna ręka postępu oświaty, pomimo niesłychanie wielkich ulepszeń i zmian już zaprowadzonych, nie potrafiła dokonać wszystkiego; a nie ustając w zbawiennych usiłowaniach, obecnie olbrzymie rozpoczęła pracę w celu uzupełnienia tego wzniosłego przybytku cierpiącej ludzkości.

Potrzeba przedłużenia bulwarków utwierdzających brzegi krętej Sekwany, celem skanalizowania téj rzeki, zmusiła naruszyć zabudowania szpitalne, położone na południowym jéj brzegu. Przy wykonaniu tak ogromnego dzieła powzięto myśl szczęśliwą, zaradzić jednocześnie niedogodnościom, wynikającym ze szczupłości i położenia gmachu, głuszonego mnóstwem budynków upadkiem grożących, wzięwami rażących powietrze, i postanowiono wnieść nową część budowli na południowym brzegu rzeki; budowli, któraby uwolniła administracyą szpitala od konieczności uciążliwego przynajmywania lokaliów za summę 36,000 fr. rocznej opłaty. Pod nazwą więc szpitala północnego, *Hopital du Nord*, piętrzy się gmach obszeray, który wytworem i wspaniałością architektury, trafnym rozkładem i całym urządzeniem wewnętrzném, zwycięzko odpowie najwymyślniejszym żądaniom i śmiało stanie w rzędzie najpiérwszych instytutów tego rodzaju. Koszta podjęte na wzniesienie samego budynku wynoszą 8,000,000 fr., fundacya każdego pojedynczego łózka oznaczoną została na summę 15,000 fr. Przy takim ogromie nakładów, nie pominięto i na południowej stronie, w dawném zabudowaniu, stosownych poczynić ulepszeń. Przez zwalenie starych murów, istniejących od czasów pierwiastkowego urzędzenia klasztornego, dotychczasowy wchód główny do szpitala stał się okazalszym i dogodniejszym; a przez rozebranie licznych domostw, tłoczących naokoło gmachy szpitalne; przez zniesienie plugawych i ciasnych zaułków: świeże powietrze wolny przystęp znalazło, i dawne zwaliska zamieniły się na plac otwarty, odpowiedniejszy potrzebie. Oprócz pomienionych przekształceń miejscowości, oprócz zaprowadzonych zmian w dawnym rozkładzie sal i korytarzy, przybudowano jeszcze część nową w przedłużeniu skrzydła św. Koma, dotąd pomostem tylko z głównym gmachem złączonego. W szpitalu zaś samym usunięto zupełnie łoża podwójne, zaprowadzając w ich miejsce wszędzie wyborne łożka żelazne, osłonięte firankami z tkanin bawełnianych,

zaopatrzone w sienniki i materace dobrze wysłane włosem, wełną, nawet niektóre na sprężynach. W miejscu dawniej podłogi ceglanej tafelkowej, istnieje dziś w całym gmachu posadzka dębowa, doskonale ułożona i schludnie utrzymana. Korytarze przestronne, widne, czyste, należycie przewietrzane, na każdym ze czterech piętr tego budynku, zaopatrzone są drzwiami szklanymi i podwójnym przed-sionkiem; przez co szkodliwemu przeciągowi powietrza najzupełniej zagrodzono. Właściwy rozdział chorych po salach stosownie do różnicy płci, do rodzaju chorób, w ostatnich czasach dopiero należyciej zaprowadzonym tu został. Z sal dla chorych usunięto łóżka posługaczy, zaprowadzając natomiast oddzielne dla nich sypialnie. Z uwagi zaś, że wielka liczba chorych uleczonych, wychodząc ze szpitala o siłach wątłych i niepewnych, wraca do domu, do niedostatku, do nędzy, ulega nowój i cięższej niemocy, i w takim stanie zmuszana jest powtórnej pomocy szukać w szpitalu; przeznaczono wyłączne sale dla chorych rekonwalescentów z urządzeniem najodpowiedniejszym celowi. W zakładzie tak obszernym, dawniej kąpiele prawie nie istniały wcale; dziś takowe, pomimo upowszechniających się kąpeli dla ludu na mieście; na potrzeby szpitala samego istniejące, odznaczają się wygodą, a nawet i pewnym rodzajem wykwintu. Słowem, pod względem ulepszeń materyalnych i chygenicznych *Hôtel Dieu* nie ustępuje dziś żadnemu innemu zakładowi Paryża. Nateraz mieści on właściwie tylko 850 łózek, bo 400 innych znajduje się w gmachu przynajętym, w tak zwaném *Annexe* albo szpitalu św. Małgorzaty. W r. 1820, 10,284 osób leczyło się w tym szpitalu; w przecięciu pobyt każdego chorego wynosił 26 dni; śmiertelność była w stosunku jednego na 6ściu  $\frac{50}{000}$ ; koszta utrzymania każdego pojedynczego czyniły dziennie 2 fr. 30 c.; lekarstwa zaś w przecięciu kosztowały przeszło 31 fr. na osobę. Następnie stosunki te uległy rokrocznie korzystniejszej zmianie. W roku 1830 ruch chorych był 14.320: w przecięciu pobyt każdego pojedynczego zajmował dni 23; śmiertelność była 1go na 7,25, a koszta utrzymania czyniły 1 fr. 79 c. W r. 1840 liczba przebywających w szpitalu wynosiła 17.467; pobyt w przecięciu 19 dni; stosunek śmiertelności był 1go na 9.13; a koszta utrzymania 1 fr. 87 c. Obecnie ruch chorych jest mniejszy dla rozpoczętych prac około budowy gmachu szpitalnego, ale stosunek śmiertelności i koszta utrzymania, w porównaniu z poprzedniemi w nierównie korzystniejszém jaśnieją świetle.

Jakkolwiekbydz, przechodząc sale w których przed niedawnemi jeszcze laty niezrównany Dupuytren przenikał uczniów iskrą gieniuszu

swojego; gdzie czcigodny Sanson, uczony Breschet tłumnie wabili uczącą się młodzież; żal serce ogarnia, tęsknota duszę przejmuje. Dziś zasłużony Roux nieugięty lat brzemieniem, o władnął berło osierociałe po skonie wielkiego męża! Ale czy ten nieustraszony i słynny z biegłości swój operator, na miejscu jakie on dziś zajmuje, odpowiada w całym znaczeniu wielkiemu powołaniu?—tego ja, dawny uczeń i zwolennik nieśmiertelnego mistrza, nie śmiałbym wyrzec bezstronnie. Czas lepij osądzi. Inni znakomici tego szpitala chirurgowie, są: Boyer syn, Denonvilliers, i Jobert de Lamballe; ten ostatni słusznie ceniony uczeń Richeranda, autor wielu szacownych dzieł, któremi wzbogacił nowoczesną chirurgią, rzucił większe światło w rozpoznaniu i leczeniu chorób kanału kiszkiowego, chorób macicy i dróg urynowych, Jobert gorliwy krzewiciel użycia żelaza rozpalonego, należy do rzędu najcenniejszych chirurgów, jakimi Francya dziś szczyć się może. Oprócz panów: Récamier, Guéneau de Mussy i Magendie, lekarzy honorowych zakładu, rozdzielona jest służba w oddziałach chorych wewnętrznych i klinika lekarska pomiędzy panów: Husson, Caillard, Honoré, Jadioux, Chomel, Louis, Rostan, Martin Solon i Guérard, wszystko ludzi niepospolitj zasługi i głośnego imienia.

Drugi zakład do którego mnie wiodła pamięć powszechnie poważanego ojca Boyer, był szpital *de la Charité*. Przyjemnie zajęły mnie napotykanne tu zmiany, tak pod względem rozprzestrzenienia gmachu, obecnie 500 łózek wygodnie mieszczącego, jako téż pod względem wewnętrznego wygodniejszego i zdobniejszego urządzenia; i tu zastałem wszędzie łóżka żelazne, posadzkę dyłową, ogrzanie stosowniejsze i zaprowadzenie oddzielnych kąpieli, na których przedtém zupełnie zbywało. W XVIIym wieku przez Maryą z Medyceuszów założony, szpital ten zostawał początkowo pod przewodnictwem kongregacyi św. Jana Bożego. Niewielki w pierwiastkowym zawiązku, uległ następnie rozmaitym zmianom i przeniesiony został w r. 1667, hojniej uposażony, na miejsce, na którym dotąd istnieje. W nim od założenia, najslyniejsi lekarze niesli pomoc i pociechę cierpiącj ludzkości. Tu nauczał Corvisart, któremu Francya winna zaprowadzenie dzisiejszj kliniki szpitalnej; a kiedy sędziwy Boyer utrzymywał i utwierdzał sławę oddziału chirurgicznego; w oddziałach dla chorych gorączkowych, rozlegały się głośne imiona panów: Fouquier, Chomel, Magendie, Rostan i Louis. Miejsce pomienionych mężów zajmują dziś u chorych wewnętrznych: Andral, ulubieniec tegoczesnej generacyi zwolenników Eskulapa, mąż najszlachetniejszych przymio-

tów duszy i serca, mąż postępu, uistotniony obraz filozoficznego eklektycyzmu medycyny francuzkié; uczony Cruveiller, professor anatomii patologicznej, który niezmordowaną pracą przyczynił się niemało do nadania nauce lekarskiej właściwego jéj kierunku; Rayer autor dzieła: *Traité des maladies des reins et des altérations de la sécrétion urinaire*, tudzież niemniej ważnego: *De la morve et du forcin chez l'homme*; nakoniec najgorliwszy zwolennik i wielbiciel Broussai'go, głęboko uczony, ale rażąco uprzedzony Bouilland, dziś może jedyny spośród znakomych lekarzy francuzkich, którego terapia nawskróś tchnie jeszcze metodą antiflogistyczną, a o którym Magendie tak trafnie wyrzekł, że on nieumiarkowaném krwi puszczaniem, nietylko zapalenia nie znosi, lecz owszem sprowadza stan krwi gorszy od zapalnego.

Chirurgiczny zaś oddział tego szpitala, zostaje obecnie pod kierunkiem dwóch znakomych chirurgów, pp. Velpeau i Gerdy. Usilnej gorliwości i niezmordowanej pracy piérwszego, szpital zawdzięcza dzisiejszą wziętość, nauka zaś postęp i wykształcenie swoje. Wysooko poważany Velpeau, tém jest dla *Charité*, czém był Lisfranc dla szpitala *de la Pitié* wówczas, kiedy mocą gieniuszu i talentu swojego w innej stronie Paryża licznie gromadził młodzież chciwą nauki, a którego nienajmniejszą była zasługa w ciągłej zostawać walce o piérwszeństwo sławy chirurgicznej z najznamienitszym swojego czasu téj nauki przewodnikiem. Tak porównywając i wiedziony uczuciem wdzięczności, udałem się na miejsce tylolicznych wspomnień słynnego operatora. Szpital *de la Pitié*, położony w części najmniej zacieśnionej Paryża, w pobliżu ogrodu botanicznego i domu *de la Salpêtrière*, przytułku dla zgrzybiałych kobiet i chorych umysłowych płci żeńskiej, należy do rzędu piérwszych w stolicy; którato wyższość zyskał zarówno szczęśliwym obiorem położenia topograficznego, wspaniałą architekturą, doskonałym rozkładem i urządzeniem wewnętrzném swych gmachów. Składa on się z kilku zabudowań zręcznie pooddzielanych obszernymi ogrodami spacerowemi, a większa część okien głównego budynku wychodzi na ogród botaniczny. Zaprowadzone tu ulepszenia, nie ustępują bynajmniej tym, jakie po innych zakładach zwróciły już były uwagę moję. Miejsce Lisfranca i Sansona, tych świetnych dwóch ozdób szpitala, zajmują obecnie panowie Laugier i Michon, obadwa młodzi, ale chlubnie odznaczający się lekarze. Oddziały zaś chorych wewnętrznych, poruczone są opiece ludzi bardzo znakomych, Serres i Piorry: obadwaj członkowie akademii i professorowie uniwersytetu. Piérwszy słynny anatom i bie-

gły fizyolog, drugi wielce uczony, udoskonaleniem pleximetryi wzbogacił naukę ważnym środkiem pomocniczym w ściśłem zbadaniu i rozpoznawaniu siedliska choroby.

Z kolei zwiedziłem szpital *Beaujon*, który śmiało zwać można najpiękniejszym zakładem tego rodzaju w Paryżu. Przez wykończenie nowych części zabudowań, szpital ten nietylko że dziś 500 łózek zamieszcza, ale niezaprzeczenie wewnętrznem urządzeniem swoim, tak pod względem wygody rozkładu, jako téż zdobności, czystości powietrza, i całej administracyi, nie ma drugiego sobie równego. Od niedawnego czasu zaprowadzone tu ogrzewanie gazem, okazało się innowacją godną powszechniejszego naśladownictwa. Widne, wesole i szerokie krużganki zaopatrzone oknami, tworzą rodzaj olbrzymich szklarni, w których zimową porą znajduje ochronę mnóstwo pięknych, rzadkich nawet roślin, zdobiących w lecie obszerne podwórza, zamienione w ogród wspianiały. W zimie w świeżą zieloność przybrane krużganki, służą za miejsce przechadzki dla słabych i rekonwalescentów. Niegdyś uwielbiony père Marjolin pełnił tu obowiązki chirurga, dziś z niemalą chlubą zastępują jego miejsce: bardzo znamienity operator Robert i pan Hugier. W oddziale wewnętrznych chorych służba rozdzielona jest pomiędzy panów Renaudin, Bouvier, Legroux i Sandras. Stosunek śmiertelności w oddziale wewnętrznych jest 1 z 7miu; w oddziale chirurgicznych 1 ze 41. Pobył każdego pojedynczego chorego w przecięciu wynosi 23 dni.

Następnie przebiegłem mały, 100 łózek mieszczący szpitalik *Cochin*, gdzie Maisoneuve i Nonat zajmują się służbą lekarską. Pierwszy należy do rzędu celniejszych chirurgów operatorów, drugi niepoślednie zajmuje miejsce pomiędzy lekarzami stolicy. Przechodząc tu sale chorych, zajęło uwagę moję trafne użycie gutta-perchy w zastosowaniu jój do złamań kości, sposobem przez pana Maisoneuve podanym. Niemniej uwagi godnemi znalazłem przez tegoż lekarza uproszczony techniczizm w nastawianiu zwichnień, tudzież nowy sposób operowania fistuł pęcherzowo-pochwowych. W tym rodzaju straszliwej niemocy, długo dla sztuki niedostępnej, w czasach najnowszych dopiero skuteczniejsza pomoc stała się możliwą, a zasługa wykrycia pewniejszych zasad działania operacyjnego przynależy się głównie panom Jobert i Maisoneuve. Stosunek śmiertelności w tym zakładzie, w porównaniu z innymi szpitalami Paryża, bardzo jest korzystny: u gorączkowych 1 na 11; u chirurgicznych 1 na 28. Dienne utrzymanie chorego kosztuje tu 2 fr., ale téż żywność nieporównanie jest tu lepszą, jak po innych zakładach.

W zwiedzaniu dalszém nie mogłem pominąć szpitala *Necker*, od głównej swój opiekunki dotąd nazwę noszącego. Przed laty, sławny i tyle zasłużony Laenec tu święcił ludzkości pracę i naukę swoją; dziś słynny Civiale chlubną okryty siwizną zbawienną niesie pomoc w cierpieniach kamienia. Szpital *Necker* znacznie powiększony, przez wystawienie czterech oddzielnych budynków, obecnie na 400 łózek urządzony został; tak, że ruch ludności przez rok 6,000 wynosi. Pod każdym względem urządzenie tego szpitala nazwać można wzorowém: dla chorych gorączkowych, dla zaraźliwymi chorobami dotkniętych, dla rekonwalescentów, odosobnienie zupełne zaprowadzone zostało. Żywność tu jeszcze lepsza, prawie jest wytworna, dlatego téżienne utrzymanie chorego 2½ franka kosztuje. Śmiertelność w oddziale wewnętrznych jest 1 na 11tu, w oddziale chirurgicznych 1 na 14tu.

W poblizkiém sąsiedztwie położony, istnieje od r. 1802 szpital dla dzieci, *Hopital des enfans malades*. Mieści on 560 łózek, z których część w oddzielnych zabudowaniach przeznaczona dla dziewcząt, druga dla chłopców od 2 do 15 lat wieku. Dzieci dotknięte chorobami wszelkiego rodzaju, gorączkowymi, chronicznymi, chirurgicznymi, zaraźliwymi nawet, byle nie tak zwaną *tinea capitis*, bez wyjątku znajdują tu łatwy przystęp i troskliwą pomoc; 491 łózek przeznaczonych jest dla wewnętrznie chorych, 69 tylko dla chirurgicznej pomocy potrzebujących. Zapobiegając udzielaniu się i szerzeniu wszelkiej zarazy, przy najmniejszym podejrzeniu obawę wzniecającém, chorzy przekazują się do budynków obszernymi ogrodami od reszty zabudowań zakładu pooddzielanych, z którymi oprócz tego wszelki związek i współnictwo najstaranniej jest przecięte. Z wyłączeniem niektórych tylko sal, koniecznej zmiany potrzebujących, wszystkie inne tego instytutu są dostatecznie przestronne, widne, wesołe i dobrze przewietrzane. Wszelako pomimo tak odpowiedniej lokalności, pomimo najstaranniej i drobiazgowie obmyślanych środków ochronnych, pomimo niezrównanej gorliwości ze strony lekarzy, bezprzykładnego poświęcenia się dozoruujących, przerażającą jest straszliwa śmiertelność jaka tu panuje, a która tylko w szpitalu podrzutków jeszcze okrutniejsze wykazuje stosunki. W r. 1850 szpital podejmował 3,950 dzieci; w przecięciu pozostawanie każdego pojedynczo wynosiło 43 dni. Śmiertelność zaś była 1 na 4ch. Jak po wszystkich niemal szpitalach we Francyi, tak i tu dozоровanie chorych powierzónem zostało siostróm miłosierdzia. Wyższość tak niesionój posługi ludzkości, niezaprzeczenie nigdzie czystsze nie jaśnieje



światłem, nigdzie nie przedstawia się z większą godnością i chwałą. Poświęcenie się tak bezwarunkowe tych serc dobroczynnych, z troskliwością prawdziwie macierzyńską pełniących mozolne obowiązki powołania, jest godne podziwu; dlatego téż ono słusznie jedna im szacunek i uwielbienie powszechne.

Od początku założenia tego zakładu, Jadelot i Guersant najznakomitsi lekarze dzieci, poświęcali tu usługi swoje. Nauczające ich kliniki nabyły niesłychanej wziętości i zwróciły uwagę uczonego świata. Obecnie służbę lekarską wykonywają tu panowie Blache, Trouseau, Bonneau i Bodelocque, w oddziale chirurgicznym Guersant syn, a część ortopedyczną prowadzi słynny Jules Guèrin. Za jego to wpływem, zaprowadzone zostały w szpitalu pomienionym urządzenia do ćwiczeń gimnastycznych na bardzo obszerną skalę. Zastosowania gimnastyki, pod względem higienicznym, pod względem leczenia niektórych cierpień natury skrofulicznej, sprawdziły najzbawieniejsze skutki, przechodzące wszelkie oczekiwania.

Krótki zakres czasu nie dozwalał dokładniejszego przeglądu licznych innych jeszcze zakładów, mianowicie téż jednego z największych i najwspanialszych, szpitala św. Ludwika. Wszakże i ten pomimo obszerności swojej, znacznie jeszcze powiększonym został. Nie zmieniając dawniejszego przeznaczenia, dla chorych wyrzutowych skóry, łączy on dziś jeszcze znaczne oddziały wyłącznie przeznaczone dla chorych gorączkowych, dla chirurgicznych, a nawet i dla chorych wenerycznych. Lecz czém on się głównie różni od wszystkich innych szpitalów Paryża, jest niezaprzeczenie zaprowadzona przy nim wielka poliklinika i urządzenie różnego rodzaju kąpeli. Zgłaszający się tu chorzy otrzymują radę i leki bezpłatnie, nie wyłączając w potrzebie stosownych kąpeli, którychto ostatnich administracya szpitalna udziela rocznie przeszło 50,000, oprócz 45,000 kąpeli parowych czyli fumigacyjnych i 2000 strumieniowych tak zwanych *douches*. W szpitalu tym 900 łóżek mieszczącym, ruch ludności stosunkowo nie jest wielki; rocznie zaledwie 8,000 wynosi. Śmiertelność w przecięciu jest 1 na 26; pobyt każdego chorego 32 dni. Tu, gdzie dawniej Richerand, Alibert, Bielt, jaśnieli blaskiem chwały, dziś młoda generacya lekarzy dobija się zdobnych wieńców zasługi. W oddziałach chorych wyrzutowych Cazenave, Devergie, Basin, Gibert; w oddziałach chirurgicznych Malgaigne i Nelaton zaszczytnie wypełniają służbę im poruczoną.

Gdyby nie olbrzymia sława Ricorda, gdyby nie nowsze prace uczonego Vidal de Cassis, Auzias-Turenne i innych, będące jakby zwiastunami zupełnego przeobrażenia w dotychczasowém uważaniu istoty jadu syfilitycznego, nie byłbym wspominał o zakładach istniejących w Paryżu dla chorych tego rodzaju, chociaż takowe ze względu zaprowadzonych nadzwyczaj ważnych i pożytecznych ulepszeń, niemniej stały się pochwały godnymi. Szpital zwany *Hopital du midi* z liczbą 400 łózek, w którym obecnie Ricord i Vidal odbywają służbę lekarską, przeznaczonym został wyłącznie dla chorych mężczyzn. Dla kobiet ustanowiono dwa oddzielne zakłady, mieszczące w szpitalu śgo Łazarza kobiety publiczne, w szpitalu zaś zwanym *de Loursine* kobiety niezależne od nadzoru policji. W tych ostatnich dwóch szpitalach lekarzami są Cullerier i Richet. W r. 1845 ludność szpitalna mężczyzn była 3,850, kobiet 2,903; czas pobytu w przecięciu wynosił u mężczyzn dni 30, u kobiet dni 50. Stosunek śmiertelności był u mężczyzn 1 na 203, u kobiet zaś 1 na 56.

Jednakże ta uderzająco wielka liczba chorych w latach następnych, cokolwiek zmniejszać się zaczęła.

W krótkości tak opisawszy dostrzeżone różnice i wielkie zalety dzisiejszego stanu ważniejszych szpitalów, nie należałoby pomijać milczeniem mnogich innych, a równie ważnych zakładów, jakimi słusznie Paryż chlubić się może: wszelako naocznie sam nie mogłem przekonać się o niezaprzeczeniu równiej, jeśli nie o większej jeszcze ich świetności, dlatego wolałem w tym punkcie nieuzupełniony raczej mój opis zostawić, jak szanowne zkądinąd, ale cudze powtarzać zdania. Kiedy jednak tyle już o zakładach dobroczynnych powiedzieliśmy, niechaj mi wolno będzie w końcu jeszcze dodać słów kilka o nowém urządzeniu dziś istniejącem w Paryżu, a zostającym w bardzo ścisłym związku z zakładami o których była mowa.

W sąsiedztwie szkoły lekarskiej otwartym został instytut czysto naukowy, pod nazwą *Hopital des cliniques*. Rodzaj ten szpitala przeznaczony wyłącznie do usposobienia praktycznego i do wprawy uczącej się młodzieży, składa się ze dwóch głównie oddziałów: chirurgicznego i położniczego, pod przewodnictwem słynnego Jules Cloquet i wysoko poważanego Paul Dubois. Wypadki najważniejsze chorób, pod względem naukowym na szczególną uwagę zasługujących, skwapliwie tu zbierane i uczącym się przedstawiane bywają, przez co samo dana jest sposobność rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień sztuki lekarskiej. Z tym

zakładem łączy się jeszcze inna instytucya, może równie zbawienna, tak zwanéj szkoły praktycznéj, *Ecole pratique*. Uczestniczyć w niéj tacy tylko mogą uczniowie, którzy w examinach ze trzech lat naukowych otrzymali stopnie celujące. Jednak liczba uczniów jest ograniczoną i 150 przechodzić nie może. Z końcem każdego roku szkolnego, obowiązani są oni przed jury lekarskiém zdawać ustny i piśmienny examin; nieokazujący dostatecznego postępu wykreśleni zostają nazawsze z listy uczniów téj szkoły; ci zaś, co z chlubą przebyli swe proby, zyskują nagrody, z których trzy piérwsze, nadają im prawo uzyskania stopnia doktora bez opłaty. Zresztą, tytuł ucznia szkoły praktycznéj, łączy w sobie przywiléj bezpłatnego uczęszczania na wszystkie kursa wykładanych nauk przy uniwersytecie; daje wstęp wolny i z pierwszeństwem do sal anatomii praktycznéj, nakoniec przywiléj wyłączny do ubiegania się drogą konkursów o miejsca asystenta przy klinikach. Że zachęta i zamiłowanie do nauk przy takich urządzeniach, najwyższego szczytu dosięga, że tworzy i wykrywa prawdziwie uzdolnionych ludzi, to dziwić nikogo nie może. Właśnie owe to tak proste, tak praktyczne zapatrywanie się na przyczyny i skutki, jest może głównym powodem, iż przy najbogatszych zbiorach naukowych wszelkiego rodzaju; przy niesłychanie wielkiéj łatwości korzystania z nagromadzonych tu skarbów; przy steku tylu sławionych mężów, którzy tak chętnie, tak uprzedzająco użyczają każdemu ożywczych światła swego promieni: nauka tak silne znajduje tu żywioły, a istotne wykształcenie przechodząc z jednego pokolenia na drugie, wzrasta nieprzerwanie, wzmaga się i wzbija w potęgę, której dotąd nie sprostały jeszcze innych krajów stolice.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Odpowiedź na Ocenę Mowni, napisaną przez p. Kudasiewicza, w Biblijotece Warszawskiej na miesiąc marzec b. r. umieszczoną (\*).*

Oceniający czyjaś pracę może sobie uczynić wybór w przedmiotach, ułożyć plan najdogodniejszy, i te oceniać szczegóły, które lepiej odpowiadają jego umysłowemu uzdatnieniu i moralnemu usposobieniu; broniący nie ma tej swobody, musi się stosować do myśli swego przeciwnika i razy jedne po drugich odpiierać na tym stanowisku, jakie mu jego przeciwnik naznaczył. Téj niejako ogólnej i ja poddaję się konieczności; układ Oceny za swój przyjmuję i krok w krok za nim idę, przez co choć cokolwiek mozołu czytelnikowi usunę, gdy pojedyncze artykuły najłatwiej się oku i umysłowi jego przedstawiać będą.

### A. TERMINOLOGIIA.

#### *Mownia, mównik, mówniczy.*

Od czego pochodzi *mownia*? objaśnił pan Kudasiewicz; jidzie więc o to teraz, czy stosownie użyłem tego wyrazu zamiast *grammatyka*.

Podobało się ludziom na te miejsca i budowę, w których się rozmajite przedmioty przejstaczały, mieściły, lub działały, tak wyrazy urabiać, iżby samo jądro wyrazu wskazywało przedmiot pod uwagę będący, a końcówka jego *nia* oznaczała miejsce, w którym się rzeczy mieszczą, lub wyrabiają, i stąd powstały wyrazy: *wozownia, zbrojownia, czytelnia, kawiarnia, spiżarnia, młockarnia, cukrownia, kuźnia, drwalnia* i t. d. bez liku. Inni ludzie, którzy się udali na pole więcej już umysłowe, szukając stosownej nazwy na oddanie swych traktatów, rozpraw, ustępów z jakiejś nauki, upatrzywszy związek i podobieństwo pomiędzy wyrazami dotykalnie zmysłowemi: *wozownia, zbrojownia, mieszczącemi wozy, zbroje, a swémi traktatami, obejmującemi przepisy, prawidła nauki, nazwali je: pisownią, składnią, wyrzutnią* i t. p. I nazwali prześlicznie, bo prze-

(\*) Pisownia autora. P. R.

znaczeniem wozowni jest mieścić wozy, a przeznaczeniem pisowni obejmować prawidła dobrego pisania wyrazów. Czym więc ostatecznie są wyrazy: *wozownia, młockarnia, spiżarnia*, i t. d.; tym samym są: *pisownia, składnia*, i t. d. Jeżeli zatem wyrazy: *pisownia, składnia*, są dobre; *mownia*, jako nauka obejmująca prawidła całego języka, musi koniecznie dobrze odpowiadać swojemu przeznaczeniu. W nazwie za grammatykę *mownia* nie skrzyżowałem się; pan K. chodzący na pasku Józefa Muczkowskiego, popełnił wielką sprzeczność w nazwaniu adpozycyi *przydatnią*, jak to zobaczymy pod artykułem *orzeczenie*.

Jeżeli p. K. przypuszcza, że wyraz *mownia* może być nazwą mowni powszechniej; dla czegoż nie ma być stosowny dla jednego języka, dla jednej wyłącznej mowy? Czyliż mowa powszechna, mowa całej ludzkości w najogólniejszych własnościach swoich nie ma tych samych potrzeb, a stąd koniecznie tych samych zasad, które się w mowach szczególnych, czyli językach znajdują? Skoro temu twierdzeniu zdrowy rozum nie przeczy; nie odrzuci także nazwy *mownia*, którą nazwałem zbiór prawideł wyłącznie języka polskiego, czyli mowy polskiej. P. K. jednak utrzymuje, że *mowa* a *język* to zupełnie co innego; mówimy albowiem *mowa ludzka*, a nie *język ludzki*; że język ma za podstawę *różnicę szczegółów*; *mowa, podobieństwo*. Wszystko to dobrze, ale zupełnie skąd inąd ten pojaw wynika. Mownia powszechna musi mieć koniecznie za podstawę podobieństwo, bo inaczej nie obejmowałyby sobą wszystkich mów szczególnych, czyli języków; mownia szczególna zastanawia się nad mową szczególną, czyli jednym jakimś językiem, mającym sobie właściwe cechy, które go wyróżniają od innych. Że zaś mowę szczególną jednego narodu chętniej nazywamy językiem, niż mową; to dla tego jedynie, abyśmy uniknęli dwójznaczności, bo mówimy także: *mowa pochwalna, pogrzebowa* i t. p. Okoliczność ta sprawiła, żeśmy języka użyli, najsilniejszego i może najpotrzebniejszego narzędzia do wyrabiania brzmień wszelkich, za nazwę samej mowy. Nadto najniesprawiedliwsze mniemanie, aby wyrazu *mowa* za *język* nie używano. Czyż to nie słyszał kiedy p. K. wyrażenia: *za lasami, za górami inna mowa, obca mowa, tu już nie polska mowa, nie słyszę tu mowy ojczyściej, mowę ojczyśćą doskonalić potrzeba?* Czyż nie można znowu powiedzieć: *za lasami, za górami inny język, tu już nie polski język, obcy język, nie słyszę ojczyściego języka, język ojczysty doskonalić potrzeba?* Słowem: *mowa, język* jest wszystko jedno, tylko że pierwszego do nazwania szczególnego języka rzadziej używamy z przyczyn, jakieśmy nadmienili, i dla tego nabrał, że tak powiem, uroczystsze znaczenia.

Mocno się podziwiam, dla czego miałem źle postąpić, żem wyraz *mowa* objaśniał wyrazem *język*. Czymże miałem objaśnić? Czy biczem, różgą, lub czym podobnym? Uchowaj Boże! Tu różga byłaby najniestosowniejsza, albowiem zdrowy rozum radzi, że na odmalowanie pojęcia nieznanego trzeba wziąć pojęcia wiadome, które najbliższy mają związek z rzeczą nieznaną, bądź ze względu jich wewnętrznego znaczenia, lub przeznaczenia, bądź ze względu jich zewnętrznej postaci, która jich jednoźródłowość pokazuje, i tak pierwsze z ostatniemi połączyć, aby w takim

związku z sobą i skupieniu najjaśniej wykazały pojęcie niewiadome. Takiej trzymając się zasady, *moję* objaśniłem *językiem*.

Nazwy cudzoziemskie wszelkich nauk i umiejętności w językach europejskich bynajmniej nie wynikły z potrzeby wspólnego języka, jak p. K. chce utrzymywać; ale z tego, że nauki wszelkie wykładano w języku łacińskim, bo ludy, wynurzające się ze świata starożytnego, lub dawno jistniejące, ale teraz dopiero na widownią świata występujące, jeszcze do tyła nie wyrobiły swojego rodzimego języka, aby mogły w nim stosowną nazwą oznaczać naukę, z którą się dopiero obeznawać miały od nauczycieli cudzoziemców. W jednym więc języku powszechnym, uczonym nazwy nauk musiały być cudzoziemskie. Język ten uczony tak wielki wpływ wywierał, iż w nim dla ogólnej oświaty pisano dzieła, czego mamy dowód na mnóstwie swoich pisarzy, których zaraz współcześnie, lub później przekładano i dziś jeszcze przekładają. (Frycza Modrzewskiego, Ostroroga, J. Kochanowskiego, Klonowicza, Sarbiewskiego, Janickiego, Długosza, Orzechowskiego i t. d.). Gdy narody ośmieliły się pisać w rodzimym języku, gdy od razu nie mogły przełamać wszelkich przeszkód; zostawiały do pewnego czasu mnóstwo wyrazów obcych, które powoli w upływie wieków ustępowały swojskim, i przyjdzie niezawodnie ta chwila, że zupełnie znikną, wyjąwszy w językach romańskich.

Jeżeli swoim poprzednikom składamy wdzięczność, że otrząsnęli język z wyrazów cudzoziemskich; dla czegoż, idąc w ich ślady nie ma być nam wolno tego samego czynić? Widocznie historyczność i postęp tego wymagają; zatył kto uprawia jakąś naukę, kto poczuwa w sobie zdolność przełożenia wyrazów obcych, a nie czyni tego, ten źle się zasługuje ludzkości, nauce, językowi, bo nie rozumie tego, co się około niego dzieje:— on Chińczykiem.

### *Roda, rodni.*

Utrzymuje p. K., że wyraz *roda* może być prześlizchny i głębokiego znaczenia, jeśli jest w czeszczynie. Zadziwiający warunek „*jeśli jest w czeszczynie*”! Mimowolnie warunek taki każdemu ten wynik wyprowadzić każe, iż to, co się w polskim języku znajduje, nic niewarto. (Wyraz *roda* mamy w książeczce do nabożeństwa Śtęj Jadwigi (1); wy-

(1) Pan Maciejowski, niezmordowany, głęboki badacz i wyjaśniacz naszej przeszłości, w tomie pierwszym *Piśmiennictwa Polskiego*, książeczkę do nabożeństwa po pierwszy raz przez Józefa Motty roku 1823 wydaną, powszechnie znaną pod tytułem Śtęj Jadwigi, nazywa *Książeczką Nawojki*. Na tym on swoje twierdzenie opiera, że w dziele samym napotykać się daje kilkakrotnie nazwisko *Nawojka*; dodaje oraz, iż był jakiś *Nawój*, bo jego podpis znajduje się na starożytnym dyplomie; skąd wniosek oczywisty, że pomieniona książka była własnością rodziny *Nawojów*, a mianowicie jakiejś kobiety *Nawojki*. Pomimo uderzającego na pozór podobieństwa, nie mogę się zgodzić, aby wyraz *Nawojka* był imieniem własnym; wolę raczej utrzymywać, iż jest imieniem pospolitym. Rozważmy to bliżej. Gdyby kobieta, do rodu *Nawojów* należąca, była mężatką, nazywałaby się *Nawojowa*, a panna nosiłaby miano *Nawojówna*: wyraz przeto *Nawojka*, jako imię rodowe, upada i jest tylko pospolitym, znaczącym taką kobietę, która dużo nawojowała, nagrzyszła; stąd sama w modlitwie nazywa się *nawojką*,

razu *rodni* w Wielkopolsce używają do nazwania *ospy naturalnej*). Ale pomińmy to rozumowanie i jidźmy do rzeczy. Sądzi K., że wyrazem *roda* nie obejmujemy wszystkich pojęć, jakie maluje *natura*; że nie zdołamy przełożyć wyrazów: *naturalny, naturalnie, naturalność, naturalista*; że sam nawet Żochowski cofa się, bo mówi: „*szyk najnaturalniejszy, nie najrodniejszy*.” Wyrazem *natura* malujemy najprzód pojęcie samej siły twórczej, nadanej ciałom przez Najwyższego; powtóre, wszelkie tych ciał własności; potrzebie, zbiór rzeczy stworzonych. Dla czegoż nie możemy objąć powyższych pojęć *rodą*? Ale właśnie nie potrzebujemy tak obarczać wyrazu *roda*; nią albowiem oznaczymy pierwotną siłę twórczą, którą Bóg w jój łonie, jako w rodzicy, złożył; a dopiero drugim wyrazem *przyroda* oddamy pojęcie własności ciał i zbioru wszelkich rzeczy, które matka *roda* przyrodziła. Takim sposobem wyrazy: *roda, przyroda* najwłaściwsze otrzymają przeznaczenie.

Wstrzymanie się w kroku nie jest jeszcze jego cofaniem. Jidąc za przysłowiem: *Nie od razu Kraków zbudowano*; trzymając się zasady lekarzy, postępowałem ostrożnie, to jest: zapisałem lekarstwo po łyczeczce, któreby z wolna działało, a jednak aż do skutku. I rzeczywiście, nadspodziewanie nastąpił, bo p. K. woła: „Już *brat rodni, rzecz rodni* dziko brzmi dla ucha. Jakże z tego tworzyć stopnie? może *rodniejszy, najrodniejszy*?” Powoli, tylko powoli, bez żadnych uniesień, bez żadnych uprzedzeń, a dojdziemy i ładu i składu. Ciekawym, dla czego ma brzmić dziko: *brat rodni, rzecz rodni, rodniejszy, najrodniejszy*, kiedy ucho nasze przyjmuje mile: *brat przyrodni, ospa rodni, mężczyzna dorodny, syn nieodrodny, synowie najdorodniejsi*? i t. p. Następnie, dla czego wyrazów: *naturalny, naturalnie, naturalność, naturalista, nadnaturalny, nadnaturalność* nie możemy oddać przez: *rodni, rodnie, rodność; badacz rody (rodzista? jak służbista), nadrodni, nadrodnie, nadrodność*? Panu K. dziko brzmi *brat rodni*; chce więc koniecznie mówić: *brat rodzony*. Otóż powiadam, że *brat rodzony* z tym pojęciem, jakie dotychczas przedstawia, brzmi najfalszywiej dla zdrowego rozumu. Pytam się p. K. jakież więc ma być nie tylko brat, ale wszelki człowiek? czy chce powiedzieć: *wylęty* lub *wykluty*? To cokolwiek za nisko dla rodu ludzkiego! Unikając takiego poniżenia, poprawmy się i na braci jednego ojca i matki mówmy: *bracia rodni*, jak mówimy o braciach innego ojca, a jednej matki: *bracia przyrodni*; przymiotnik zaś *rodzony* zostawmy każdemu człowiekowi, boć zajście każdy się rodzi, a nie wylęga, lub wylęwa.

Daléj się lęka, że wyraz *roda* zrobi zamieszanie z wyrazami *ród, naród, poród, uroda* i t. d. Próżna i dziecinna obawa! Wyraz *roda*

czyli grzesznicą. Do tego przypuszczenia upoważniają wyrażenia: *Ja grzeszny człowiek spowiadam się i t. d.*, lub: *Ja N. stawam przed obliczem i t. d.*, po modlitwach w dzisiejszych książkach się znajdujące, które najwyraźniej wskazują, że *nawojka* dzisiejszą grzesznicę oznacza. Skoro tak jest, nie zmieniamy książki *Stój Jadwigi na książkę Nawojki*, bo być może, że się znajdzie jakiś pomnik, w którym znowu *Nawojkę* spostrzeżemy; a wtenczas trudnoby było odróżnić jedną *nawojki* od drugiej, lub dziesiątej, boć ony wszystkie zaprawdę do siebie byłyby podobne.

stanie przed wszystkimi i przytuli je do swego łona, jak matka kochająca swą dźiatwę. A najbliższa jój serca będzie *uroda*, ta pieszczocha, ta matczyzna ulubienica, ta śliczniuchna, ta najurodziwsza jój córa, którą wymuskawszy, wychuchawszy, wypieściwszy i ozdobiwszy wszystkimi najpiękniejszymi przymiotami, na znak swój miłości nazwała *urodą*, że ją najwięcej umiłowała. I doprawdy! widać to po *urodzie*, że była jedynym okiem u matki rody, bo *uroda*—to precudny,—to najśliczniejszy wieniec uwity z wszystkich piękności.

Ostatecznie ubolewa p. K. nad daremną pracą w twórczeniu nowych wyrazów. Zgadł, że męka, tylko z innego powodu, — albowiem nie ma nic nad to boleśniejszego dla człowieka, kiedy ten, po zgłębieniu swego przedmiotu, w najlepszej chęci prostuje dawniejsze uchybienia, a w nagrodę odbiera chłostę od innego, który, prześliznąwszy się po przedmiocie, czyni zarzuty, z których dla dobra rzeczy usprawiedliwiać się przychodzi. To dopiero prawdziwa męka!

### *Przedjimek, za przyjimek.*

Nie ubliżam bynajmniej, iż pp. Tyszyński i Maciejowski piérwój odemnie użyli *przedjimek* za *przyjimek*; lecz trzeba oddać sprawiedliwość, czyli poprawić p. K. który ma niby znać dokładnie dzieje języka, że Jan Nepomucen Kamiński najpiérwszy w Haliczaniecie dowiódł i przekonał o potrzebie takiej poprawy. Mając przed sobą i najsilniejsze przekonanie i taką powagę, nie widziałem potrzeby w obszerne wchodzić wywody; sądziłem bowiem, iż samo zwrócenie uwagi na tę okoliczność już będzie rzeczą dostateczną. Jednakże się omyliłem. Pan K., ażeby się utrzymał przy swoim, powiada, iż dawniej kładziono *przyjimek* po wyrazie, z którym w związek ścisły wchodzi. To względna do czasu prawda, o czym się później przekonamy na właściwym miejscu. Każdy widzi, iż dogadzam p. K., jak ktoś, co powiedział: „Do czasu Jozuego słońce chodziło, lecz, gdy ten rzekł: *stój słońce!* — to słucha jego rozkazów aż do dnia dzisiejszego, a ziemia się obraca.” W innym miejscu depcze historyczność na prawdzie, na przekonaniu i dowodzeniu uzasadnioną; tu chce nią podeprzeć swoje widzimisię: czyż więc się godzi tak być sprzecznym samemu sobie? Kiedy jednakże koniecznie tak się upiera, niechże nam pokaże choć jeden fakt historyczny, nie mówię już z obecnego języka, ale pozwalam mu nawet obrać tę chwilę, w której wyraz *przyjimek* powstał, i niech mnie przykładem choć jednym przekonana, że piérwszy, który *przedjimek* (*praepositio*) *przyjimekiem* nazwał, w swoim działaniu opierał się na rodzie téj części mowy, na jój postudze w języku pełnionój i na wyrazie obcym *praepositio*, który oddał przez *przyjimek*. Czy piérwszy twórca zwracał bacność na *praepositio*, tego rozstrzygnąć nie umiem; ale p. K. napisał go sobie w nawiasie, więc go widział: podziwiać się przeto bardzo należy, co spowodowało p. K. do takiego dowodzenia: czy nieprzełamany upór i chęć postawienia przeciwnika swojego w najniekorzystniejszym świetle? czy nie przejęcie się znaczeniem wyrazu *praepositio*? Skoro *prae* znaczy zawsze *przed*, skoro *praepositio* w znaczeniu właściwym znaczy: *przedstawienie*, *przeło-*



żenie; to téż wzięty w znaczeniu przenośnym, czyli uważany za część mowy, nazywa się najwłaściwiej *przedjimkiem*. Ale stąd nowa ogle-  
dność, troskliwa pieczołowitość dla języków obcych i nieprzełamana tru-  
dność dla p. K. wynika, który nie umie sobie zaradzić, jak ma nazwać  
*l'article, Geschlechtswort*? Ze swego stanowiska nie miałem obowiązku  
w ten szczegół wchodzić, bo ten był za obrębem mojego działania; teraz,  
jidąc w pomoc stronie pilniejszej, wynurzam swoje zdanie. Niech p. K.  
nazwie *l'article, określnikiem*, a ręczę, że ta nazwa będzie stosowniejsza  
od dawniej, że bez porównania więcej mu wyrazi, niż w obydwóch języ-  
kach: *l'article, Geschlechtswort* mówią i że mowę jaśniejszą uczyni.

Myli się p. K., gdy utrzymuje, że *przyjimek* urobiono analogicznie  
do wyrazów: *przymiotnik, przysłówek*. Do analogiji wyrazów trzeba  
analogiji pojęć; gdy te są inne, nazwy muszą być różne: inaczej nie pełnią  
dobrze swego przeznaczenia. Między przymiotnikiem i przysłówkiem  
jest analogija, położyć je bowiem mogę *przed* lub *po*, to jest *przy*; stąd  
powiedzieć mogę: *dobry człowiek, dobrze widzi*, lub: *człowiek dobry,*  
*widzi dobrze*; przedjimka tu na żaden sposób włączać do nich nie można,  
albowiem ostatni musi poprzedzać jimię, do którego się odnosi, — nigdy  
zaś po nim następować, np. *Przed sobą macie prawdę, jak na dłoni*.

Muszę i to wyznać, iż tego nie pojmuję, aby pierwszą częścią skła-  
dową *przyjimek* miało być *przydo*. Jeżeli to nie jest błędem druku, za-  
tym musi być nielogicznym dezorganizmem nieterminologicznych wyra-  
zów, niedelikatnemi fibrami w kupę jedną zbitych.

#### Modła.

Z dwojga ztego cały świat wybiera mniejsze; użyciem wyrazu *mo-  
dła* usunąłem *deklinacyją* i *konjugacyją*, zatrzymując formę do innego  
celu, jak czytelnikowi *Mowni* wiadomo. Należy teraz pokazać, czym téż  
bardzo w tym względzie chybił. Pan K. powiada, że wyraz *modła* ma  
pierwsze, czyli właściwe znaczenie *modlitwy*; drugie dopiero *wzoru, for-  
my, aryngi, ram, patrona* (do malowania ścian w desenie). W tym sąd  
jego zupełnie mylny, o czym powinny go były przekonać wyrazy cudzo-  
ziemskie, przez niego przytoczone, które najwyraźniej mówią swoim  
znaczeniem, iż *model, wzór, aryngę, ramy jakies, śródwagę do ustawia-  
nia muru*, to jest: *modłę*, a nie *modlitwę* malują. Wskazujemy teraz jak  
*modła* (wzór) przeszła w znaczenie *modlitwy*. W kościele rzymsko-  
katolickim do dnia dzisiejszego używa się pewna arynga, to jest: *modła*  
wszelkiej *modlitwy*. Aryngę tę stanowią wyrazy: *przez Jezusa Chrystu-  
sa Pana naszego. Amen*; lub *Kiryje elejson, Chryste elejson*. Gdy więc  
musiano w pewnym kształcie zanosić prośby do Boga, gdy ten kształt na-  
zywano już wówczas *modłą*; nic więc dziwnego, że dla bliższego zbiegu  
modły z *modlitwą* użyto w znaczeniu przenośnym rzeczy obejmującej za  
objętą, czyli *modły* za *modlitwę*. Stąd dziś w znaczeniu właściwym: *mo-  
dlitwę, modlitwy odmawiamy*, a w znaczeniu przenośnym *zasyłamy,*  
*wznosimy modły do Boga*, gdzie wyraz *modła* używa się tylko w liczbie  
mnożej.

P. K. robi wykrzyknik: „Niezaślugo Polakowi będzie potrzebny  
słownik wyrazów, z którego się dopiero znaczenia jich uczyć będzie mu-

siał." To oczywiście fonetyczny efekt, którym przeciwnika nie zagłuszyć, ale zabić usiłował. Jednakże tak nie jest, bo jistotnie ludzie się uczą wyrazów i ich znaczenia, najprzód ze słuchania mowy ustnej, dalej z czytania dzieł, następnie ze słowników. P. K. znajdzie wyraz, o którym mowa, w słowniku Lindego, a zatym się zaspokoi; ale swoich wyrazów: *fonetyczny, fonologija* gdzie szukać każe? Oczywiście trzeba je sprowadzić z za granicy, czego sam dał przykład, bo aż z Japoniji za pośrednictwem jeografiji Ansarta, lub jakiegóś zapewnie encyklopedyji dostawił stróżów języka. Oj! precudowna to rzecz ta encyklopedyja! wszystkiego uczy dobrze, pięknie, prędko, nawet o stróżach języka nie przepomni. Niech żyje encyklopedyja, iż nas stróżami: *Kubo* i *Dairy* obdarzyła! jesteśmy teraz nie na żarty mędrsi!

Za nadto daleko uniosła nas encyklopedyja na swych skrzydłach; wracajmy więc do rzeczy. Wykrzyk p. K. w to godzi, że wyraz *modła* dawno wyszedł z użycia i najnieszczęśliwiej za *formę* użyty, że go tylko w słowniku szukać trzeba, że tylko jeden: *autor nauki języka polskiego podług zasad Szreniawy* go użył; a zatym, że to rzecz czasem zakazana. Rozumiem, do czego to wszystko zmierza i Szreniawa ma słuszne prawo obruszyć się na p. K. Szreniawa, pomimo sobie właściwych tylko błędów, pisał i myślał samodzielnie; p. K. jako klient, powinien wtenczas stawać w obronie swego pryncypała, gdy go ten zawezwie; przy innych okolicznościach nie godzi się Szreniawy na ostre wystawiać. Przedstawiając rzecz, jak jest w jistocie, powiadam, że najpierwszy z pisarzy w tym wieku użył wyrazu *modła* w znaczeniu wzoru, formy: *autor Literatury w dziewiętnastym wieku*. Za nim w ślad poszli: *autor przez p. K. przytoczony*, tudzież pp. *Kondratowicz, Maciejowski* i *Mecherzyński*. Dzieła, mianowicie ostatnich, krążą w rękach wszystkich; tym bardziej znają je ci zapewnie, którzy poświęcili się uczeniu młodzieży. Nie chcę ujmować p. K., aby jich nie czytał, wolę raczej przypuścić, iż chcąc dopiąć swego celu, naumyślnie jich przed publicznością ukrył. Tego jednak ani dla dobra nauki, ani nawet dla siebie nie powinien był czynić; publiczność albowiem wprowadzona na mylną drogę, uwiedziona dowodzeniami, a tym samym niejako pomówiona o niedbalstwo, że sama nie czyta dzieł obecnie wychodzących, tylko się chce dowiedzieć o jich wartości wewnętrznej z czyjgós oceny, gotowa wet za wet oddać i ostrym grotem boleśnie zranić.

### *Spadek.*

Pan Józef Muczkowski słusznie się żalić będzie, że p. K. to mu przyznaje, do czego piérwszy, przynajmniej jak sądzę, nie rości żadnego prawa: wie albowiem bardzo dobrze, skąd wziął wyraz *spadek* do swój grammatyki; a zatym musi ze mną powtórzyć, że dopiéro Kopczyński, utworzywszy *przypadek*, usunął dawniej używany *spadek*, który, jako krótszy, dawniejszy i mniej mający znaczeń różnych, lepiej tylko, a nie dobrze (najwyraźniej mówię), odpowiada przeznaczeniu. Na dokończenie powtórzmy sobie myśl p. K. „Nie gońmy tak za wyrazami, a będziemy mogli więcej poświęcić czasu zbadaniu jistoty i treści rzeczy.” Ta

myśl jest najpiękniejsza z całej Oceny i ubolewajmy wszyscy, że p. K. nie miał jej na ciągłej uwadze. Ależ i to się zdarza, że przypadki wtenczas po ludziach chodzą, gdy ci najmniej się jich spodziewają.

*Miot i Miotnik.*

Zdanie jest odbiciem, czyli obrazem myśli naszej, bądź przez nas samych w umyśle naszym utworzonej, bądź przeniesionej ze świata zmysłowego; wyrazy w zdaniu są podobnie obrazem pojęć myśli naszą składających: skoro więc p. K. zdania nie odrzuca, myśl przyjmuje; nie powinien był przeto odmówić jistnienia tak częściom zdania, czyli wyrazom, jako też cząstkom myśli, czyli pojęciom, lub wyobrażeniom myśli składającym. Przecież, jako mający głęboko myśleć podług czyjogoś zdania tak mówi: „Dopóki co jest tylko w myśli, jest, jakby go nie było i na to nie potrzeba wyrazu; ten dopiero staje się potrzebnym wówczas, gdy owa myśl uzewnętrznia się pewną formą i jakimś do siebie należącym znaczeniem.” Rozumowanie p. K. do następujących wniosków prowadzi. Skoro to, co jest w myśli, jest, jakby go nie było; stąd więc wynika najprzód: że myśl, składająca się z niczego, jest urojeniem; powtóre, że myśl sama, ta już czeka mara bez pojęć, dopóki jest w umyśle, musi być koniecznie niczym. Słowem: świat umysłowy nie jistnieje u pana K. rzeczywiście; mimo to wszystko jednak rodzi mu się myśl uzewnętrzniona, wcielona, wyrazami oddana, najdotykalsza, czyli zdanie. Ale pytam się teraz, skąd powstać mogło zdanie, kiedyśmy o nim pojęcia w umyśle przypuścić nie chcieli? jakim sposobem możemy ujrzeć obraz przedmiotu odbity w zwierciadle, kiedy nie przypuszczamy samego przedmiotu przed zwierciadłem? Każdemu wszakże wiadomo, że obraz przedmiotu, a zatym i części go składających, odbity w zwierciadle musi mieć przed zwierciadłem sam przedmiot ze wszystkiemi częściami w skład jego wchodzącemi; za usunięciem się przedmiotu z przed zwierciadła, natychmiast niknie obraz jego w zwierciadle. Czyżże jest przedmiot i obraz jego? Przedmiot przed zwierciadłem jest tym samym, czym myśl w umyśle; a obraz przedmiotu znowu jest tym samym, co zdanie. Skoro części przedmiotu przed zwierciadłem jistnieją i mają swoje nazwiska; zatym i części myśli, czyli pojęcia tę myśl składające muszą być i mieć także nazwy. Te właśnie okoliczności mnie spowodowały, że pojęcie główne, w myśli działające, nazwałem *miotem*, a wyraz w zdaniu, to pojęcie malujący, *miotnikiem*.

P. K. usiłuje dowodzić, że *miotnik* jest złym wyrazem, bo chociaż jest osobą działającą, niczego się nie dowiemy o jego działaniu bez słowa. To prawda, bez słowa nie dowiemy się o działaniu miotnika; ale proszę sobie zrobić jakieś pojęcie czynu bez działacza? proszę, choć na chwilę, przypuścić jistnienie skutku bez przyczyny? Zdrowy rozsądek na to się nigdy nie zgodzi; miotnik przeto, jako działacz, jako ten, który czynność miota, to jest sobą i z siebie ją wydaje, ma najodpowiedniejszą nazwę, bo dobrze maluje sobą przeznaczenie swoje. Dla czegoż jednak p. K. tak uporczywie obstaje za wyższością słowa? Oto ta przyczyna, jak słońce jasna, że dotąd wszyscy, powtarzając jedni drugich, pierwszeń-

stwo słowu oddawali, a „jidąc wyroków nakazem, w dészcz, w pogodę, byle razem” bezpieczniej. Wyraz *miot* był szczęśliwszy, uważał go bowiem tylko za zbyteczny.

Ponieważ w języku mamy wyrazy: *rzecz*, *rzeczownik*,—*przymiot*, *przymiotnik*; należało je koniecznie zbijać. Czyby to było dobrze, rzecz inna, ale przynajmniej logicznie; pokazałaby się tu konsekwentność p. K. i głębokość myślenia, o którym się ktoś wysoko rozwodzi. Jeżeli wprowadzenie wyrazów: *miot*, *miotnik* na odmalowanie rzeczy różnych, a pewnym podobieństwem z sobą połączonych, ma być zbytkiem naganym, ścisłości i jasności w nauce zawsze przeciwnym, gmatwaniną wyobrażeń elementarnych i mąceniem pojęć; to słowo w słowo, co do joty daje się ten wyrok zastosować do wyrazów: *rzecz*, *rzeczownik*,—*przymiot*, *przymiotnik*. Gdy o zbyteczności tych wyrazów pominął; zdrowy rozum powinien był go przestrzedz, aby o *miotniku* i *miocie* przemilczał.

W dalszym ciągu swojej pracy wyraz *podmiot* przenosi nad *miot* z tego powodu, że podmiot myśl mówiącego miota. Gdyby przynajmniej powiedział: że podmiot podmiata myśl mówiącego, byłoby niezawodnie analogiczniej. Miotanie lepiej przystoi miotowi, a podmiatanie, podmiotowi. Trzeba i to dodać, że w pojmovaniu: czym jest myśl, stojimy obydwaj na krzyżowych drogach. Podług mojego sądu, *miot*, (czyli p. K. i Józ. Muczkowskiego *podmiot*), jest pojęciem szczególnym, w skład myśli wchodzącym; krótko mówiąc: miot jest częścią myśli. Podług niego *podmiot* (mój *miot*), znajduje się po za myślą, której usługując, jako subiekt, miota ją pod sąd słowem wyrażony. U niego są najwyraźniej trzy rzeczy odrębne. Najprzód: podmiot stojący o swojej mocy po za myślą; powłóre: myśl sama w sobie, nie wiem, z czego powstała, jak płocha wietrznica; potrzecie, sąd słowem wyrażony, również za obrębem myśli będący. Każda z tych rzeczy: *podmiot*, *myśl*, *sąd słowem wyrażony*, są przez siebie same odrębnie jistniejące i działające na siebie, jako całości, dajmy na to, w ten sposób: iż *pan podmiot* bierze *panią myśl* na ręce i miota ją przed *pana sąd*, aby ten zawyrokował, co się komu należy. Do takiego wyniku muszą każdego doprowadzić pana K. następujące słowa: „Daleko więc lepszy jest *podmiot*, który chociaż żywcem z łacińskiego przetłumaczony (a NB. z *Muczkowskiego wzięty*), ale wiernie, dobitnie i mile oddaje pojęcie subiektu, oznacza bowiem wyraz, *który* (proszę uważać), *myśl mówiącego miota, to jest poddaje pod sąd słowem wyrażony. To téż jest najwyższym zadaniem subiektu.*” Niech p. K. wie o tym, że wyrazy lub pojęcia: *podmiot*, *myśl*, *sąd słowem wyrażony*, w sposób przez niego wysłowione, są, nie mówię trupami, bo i trup jest czymś; ale mrzonkami bez żadnego związku urojonemi i oddane wyrazami bez żadnego znaczenia: albowiem, co nie jistnieje w umyśle, nie może jistnieć w wyrazach, chociaż najfonetyczniej (*najulubieńsze wyrażenie p. K.*) brzmiących. Jak człowiek składa się z duszy i ciała, tak myśl składa się z *miotu* (podług K. *podmiotu*) i *słowa*; jak człowiek, gdy utraci jedną ze swoich części, przestaje być człowiekiem, tak podobnie myśl, gdy od niej zechcemy odłączyć części składowe, rozplynie się w wielkie i niczym nie ujęte *nie*. Myśl zatem, ostatecznie określona przez K. jest wietrzną parą, w jego ustach tylko żyjącą, a podmiot (subiekt)

służalcem do miotania tego, co nie istnieje ani w świecie zmysłowym, ani umysłowym. Wykonywa przecież ten upiór, jakby z ballad pożyczony, najwyższe swoje zadanie, o czym p. K. napisać nam raczył.

*Objawnik, łącznik, przedmiotnik.*

*Objawnik* dla tego się p. K. nie podoba, że *objawnik* tylko objawia; wolałby go zastąpić *orzeczeniem*, bo to orzeka. Dalej tak prawi: „Jeślić miot, albo nasz subjekt może mieć nazwę rzeczy, toć słowo o niej coś rozpowiadające najwłaściwiej, najtrafniej i najłatwiej nazwać *orzeczeniem*, gdzie wyraz *rzeczeń* jest punktem jego, bo predykat orzeka o jistocie pewien sąd, lub zaprzecza go całkowicie.” Rozważmy, co to znaczy? Pan K. chce podług swego rozumowania, aby mój *objawnik* nazywał się *orzeczeniem*, oraz, aby i słowo nazywało się *orzeczeniem*. To wyraźnie pierwsza sprzeczność. Dla czego? Oto dla tego, „bo predykat (*objawnik*) orzeka o jistocie pewien sąd, lub zaprzecza go całkowicie.” Wszakże wszyscy twierdzą, że słowo daje sąd i p. K. tak utrzymuje pod artykułem: *Miot, miotnik*. Tutaj nam prawi, że predykat znowu sądzi. To druga sprzeczność. Czy p. K. siebie nie rozumie, czy my się nie rozumiemy? sądźcie czytelnicy! Trudy nasze niech dla was staną się zabawką i wynagrodzą czas stracony.

Gdyby się choć cokolwiek p. K. zastanowił, że *łącznik*, jako znak pisarski oddawna istnieje w mowniach, byłby mi nie przyganiał *łącznika*, albowiem zarazby spostrzegł, że dla pojęć różnych, trzeba różnych wyrazów, tam zwłaszcza, gdzie to z łatwością bez nadwężenia języka da się uskutecznić: rozumowanie przeto o *łączniku* i *złączniku* jest rzeczywistym pleonazmem Oceny.

O przedmiotniku krótko kończy; ja, trop w trop za nim jidąc, powiadam: niech p. K. dowiedzie, że jeden z wyrazów: *przymiot*, *przymiotnik* jest w języku niepotrzebny; niech zdoła wszystkich przekonaniem nakłonić, aby je z języka usunęli: ja pod takim warunkiem chętnie wtenczas na ofiarę wyraz *przedmiotnik* poświęcę. Skoro tylko w języku nie ma *przymiotu*, *przymiotnika*; precz więc na bory i na lasy z *przedmiotnikiem*! To będzie logicznie! I jistotnie, tak zdrowy rozum wnioskować każe; mędrkowanie zaś, na naśladownictwie i urojeniu oparte, nie mogąc ujrzeć, a tym samym utrzymać należytego związku między rzeczami, chwije się za najmniejszym powiewem wiatru i wydaje *przesady naukowe*! Oho! już przewiduję, już nawet, zdaje się, słyszę z daleka jakiś dreszczem przejmujący szmer, szelest, jakiś szum i syk złowrogi dla siebie niefonetycznie grożący ciosami: „Co za szortskość języka, co za strupieszala scholastyczność!”

*Orzecznik.*

Tylko spaczne pojęcia i nieznanomość obydwóch języków w ten obłąd wprowadzić mogą, że *appozycją* (appositio) przez *przydatnią* oddać można: że zatył *pozycją* (positio) przez *położnią* najwierniej się przetłumaczy. Ziomkowie! gdy dawać będziecie pieniądze, jako rękoj-

nią swojego kupna. nazywajcie je *zadatką*, a nie *zadatkami*; gdy o pozostałej reszcie myśleć będziecie, musicie powiedzieć: mam jeszcze *ostatnią, przydatką, dodatnią* zapłacić, zamiast: mam jeszcze *ostatni, przydatek, dodatek* zapłacić. Tak K. uczy; u niego rzecz drugorzędna, niesamojistna musi mieć końcówkę *nia* w tym miejscu. Już widzieliśmy pierwej pod artykułem *mownia*, rozumowanie p. K. o wyrazach, końcówkę *nia* mających, które tam są bardzo samojistnemi. Gdy więc te określenia wyrazów na *nia* zakończonych, zbliżymy do siebie i porównamy je z drugimi, wypadnie największa sprzeczność, to jest: rzecz *samojistna*, o sobie stojąca i druga *niesamojistna*, podrzędna będzie jedno i toż samo. Że tak samo z siebie wynika, nie moja w tym wina; że tak jest rzeczywiście, nie zawinił także zupełnie p. K. Któż więc jest winowajcą? Józef Muczkowski, który *appozycją* (appositio) przez *przydatkę* przełożył, a p. K. przysięgłszy *in verba magistri*, kierując się tą pochodnią naukową w ciemnościach, jak żeglarz na morzu igłą magnesową, za mistrzem swoim tylko powtórzył (1).

W dalszym ciągu mówi: „Sliczny on (orzecznik) jest, ale nie do tego, do czego go używa p. Ż. On tylko może być użytym do oddania tego pojęcia, o którym grammatycy nasi dotąd nic a nic nie wspominają, a który tymczasem jest potrzebą naszej terminologii grammatycznej, to jest: powinien być użyty do odrysowania odrębności rzeczownika, lub przymiotnika połączonego z podmiotem za pomocą łącznika *być*. Gdy mówię np: *Brat mój jest chory. Świat jest dziełem Boga. Tu chory i dziełem* są orzecznikami wyrazów *brat* i *świat*.” Nim się usprawiedliwię z nazwy *orzecznik*, wytknę obroty i taktykę wojenno-literacką. Pan K. jak z trójnoga, gromi naszych mówników, że nic a nic nie wiedzą o stosownym użyciu *orzecznika*; skąd każdy rozsądny człowiek tak zawnioskuje. Skoro nasi grammatycy nic nie wiedzą, więc także i J. Muczkowski. Ale ten rozsądny człowiek zupełnie się pomylił; bo właśnie, podług sądu p. K. jeden tylko Muczkowski wie doskonale (2), nikt więcej. Dla czegoż go ukrył? Miałżeby nie wiedzieć, co jego mistrz pisze? To być nie może, bo ciągle jego mądrością krzepi swego ducha i fałszywe sądy wydaje. Może przez skromność dla mistrza i dla ostonienia go od pocisków nieprzyjacielskich przyjął *pro peccatis* na siebie jego rozum i naukę, aby się nim wsławił? To coś podobniejszego już do prawdy, bo Józef Muczkowski jest najnieszczęśliwszym kompilatorem ze wszystkich kompilatorów.

Gdyby p. K. nie dał się powodować naśladownictwu, gdyby pomyślał i zastanowił się; w okazy mglenia dostrzegł, że Ż. zna rodę predykatu, appozycji, bo najwyraźniej mówi o pokrewieństwie tych pojęć; że w gruncie rzeczy *objawnik* i *orzecznik* (predykat, appozycja) jest toż samo i że tylko w różnych zwrotach mowy, przybierając inną suknię zewnętrzną potrzebowały innej nazwy. Rozmajitość przeto toku zmusiła Ż. do nazwania predykatu *objawnikiem*, a appozycji *orzecznikiem*. Że tak jest rzeczywiście, przykład nam to lepiej wyjaśni, jakoto:

(1) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego* z r. 1849, str. 212.

(2) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego* z r. 1849, str. 201.

*Paweł jest naśladowcą i obiecany na przyszłość mównikiem.*  
(Tu: *naśladowcą i mównikiem* są objawnikami).

*Paweł, naśladowca i obiecany na przyszłość mównik, napisał dzieło.* (Tu: *naśladowca, mównik* są orzecznikami).

W dwóch tych przykładach *miotami*, to jest: Pawłowi przyznane własności wewnętrznie się nie zmieniły; zaszła tylko różnica w oddaniu zewnętrznym z tego powodu, iż obok tego, czym *miot* jest, chcieliśmy się dowiedzieć, co ten sam miot działa: słowem, tu miot nic nie uronił ze swych przymiotów.

### *Słowo konane, jednotrójne.*

Mamy przymiotniki: *uczony, ukochany, ulubiony*, które nie są jimiesłowami, chociaż z nich powstały, bo się odmieniają przez stopnie: *uczony, uczeńszy, najuczeńszy* i t. d.; mamy przymiotnik *miniony*, który powstał ze słowa *minąć*, przecież nie był jimiesłowem, bo jimiesłowem tego słowa jest *minięty*; mamy nareszcie przymiotniki: *biegły, rosły*, np. *biegły, bieglejszy, najbieglejszy człowiek; rosły, roslejszy, najroslejszy koń*, pochodzące od słów miotowych konanych, nie mogących zatem mieć jimiesłowów przymiotnych, (biernych): dla czegoż więc nie możemy mieć przymiotnika *konany* od słowa miotowego *konac*? Czy dla tego, że nikt dotąd nie użył wyrazu *konany*? Gdyby nasi przodkowie tak myśleli, nie mielibyśmy ze słów przymiotników powyższych urobionych. Widzi przeto p. K., że to życie, dalszy postęp, ciągły rozwój,—nie stagnacyja, nie trumna!

Mam się wytłumaczyć, co mnie spowodowało do użycia wyrazu *konany* za *niedokonany*. Wyrazem *niedokonany* tylko tyle malujemy, że rzecz jakaś nie jest dokonana; lecz jaka właściwie?—nie wiemy. Taki sposób określania jest najslabszy, albowiem, po zaprzeczeniu przymiotu w rzeczy, żadnego jój nie przyznaje, np. *kapelusz nie jest czarny*. Tu wiemy, że kapelusz nie ma przymiotu czarność, ale oraz, jaki ma właściwie, tego nam nie wypowiada; bo wcale za tym nie idzie, aby kapelusz nie będąc czarnym, był biały; może być zielony, żółty, niebieski; słowem: sam tylko Bóg wie, jaki to będzie przymiot tego kapelusza.

Toż samo ma się rozumieć z wyrazem *konany*. Chcąc mieć pojęcie *niedokonaności*, trzeba mieć wyobrażenie *dokonaności*; lecz aby znowu wiedzieć, czym jest *dokonaność*, trzeba się najprzód zapoznać z *konanością*. *Konaność* pojęta wyjaśnia dopiero znaczenie *dokonaności* i *niedokonaności*; przymiotnik zatem *konany* wprost urobiony z *konaności*, jako ze swego źródła, najśliczniej spełnia swoje przeznaczenie. Ostatecznie słowo *konane* jest takie, którego czynność trwa, dzieje się, odbywa się, kona się, płynie, ma życie bez końca; słowo *niedokonane* jest znowu podług swojej nazwy takie, którego czynność nie trwa, nie dzieje się, nie odbywa się, nie kona się, nie płynie, nie ma życia, i dla tego, co ma znaczyć?—nie wiem. Zajiste! słowo *niedokonane*—to trup! to najfalszywsza nazwa! precz z nią więc do trumny! niech więcéj ani trunie!

*Jednotrójne wyrażenie* każe mi p. K. nazywać *formą nieosobistą zwrotną*. Nazwa ta jest wynalazkiem i własnością jego, bo w tym miejscu mistrza porzucił, czyli porzucić prawie musiał. Józefowi Muczkowskiemu nigdy się nie śniło o *jednotrójnym wyrażeniu*, czyli o tym, co wyrażenie jednotrójne. (*przypuśćmy złe*), sobą przedstawia i maluje, bo mu dotąd nikt téj własności, w naszym języku się znajdującój, palcem nie pokazał, czego on koniecznie i wszędzie potrzebuje. Ale ponieważ w jego dziele znajdują się *słowa zwrotne i zajimkowe*; (1) otóż p. K. przez analogiją do słów zwrotnych i zajimkowych utworzył *formę nieosobistą zwrotną*. Gdyby powiedział, że *jednotrójne wyrażenie* na pojęcie i przedstawienie tego, co ma malować, nie bardo szczęśliwa nazwa, bo wyraz: *jednotrójny* z dwóch się składa wyrazów; składanie zaś takie, jakby kołkiem zbijanie nie przystoји językowi polskiemu,—byłaby rzecz inna: wyznałbym szczerze, iż nie umiałem lepszego utworzyć i przyjąłbym najchętniej przez kogokolwiek utworzony, byle lepszy, piękniejszy i stosowniejszy. Ale ponieważ każą mi wyrażenia, np. *Chce się przewodzić, a nie umie się; chciało się coś pokazać, ale nie umiało się* i t. p. nazywać *formą nieosobistą zwrotną*,—na to przystać nie mogę z powodów następujących. Wyrażenie: *forma nieosobista* to mi objawia, że nie ma żadnej osoby, co jest nieprawdą, bo *chce się, chciało się* i t. p. wyraża wszelką osobę i liezbę, skoro się za nią kładzie. Dalej przymiotnik *zwrotny* tu najniewłaściwszy, bo np. *zwrotny człowiek* znaczy człowieka zręcznego; *koń zwrotny* znaczy konia zgrabnie i składnie robiącego ruchy za wolą swego jeźdźca. Cóż więc będzie *forma nieosobista zwrotna*? Jakiś upiór hasający w tańcu, dopóki kur nie zapieje. Cóż miie teraz spowodowało nazwać *jednotrójnym wyrażeniem*? Ponieważ, dajmy na to: *mówiło się* swoją postacią zewnętrzną ma zupełne podobieństwo do osoby trzeciój rodzaju nijakiego; a w wewnętrznym znaczeniu maluje mi wszelką osobę jakiegokolwiek liczby: dla tego usiłując obydwa te względy oddać jednym wyrazem, powiedziałem *jednotrójne wyrażenie*. Mimo to p. K. woła: „Wyrażenie *jednotrójne* za *formę nieosobistą zwrotną* jakąś czarną chmurą zasłania nam pojęcie dotąd znane i téj największe usiłowanie zedrzyć z umysłu nie jest mocne”. — Czytelnicy! Gdyby Dobromysł Łazowski mówił nam coś o znanych pojęciach *wyrażenia jednotrójnego*, miałoby to wartość swoją; bo trzeba nam wiedzieć, że on pierwszy w swojej pracy przy każdym słowie je umieścił, a oddzielnie mówiąc o nim, nazwał je *trzecioosobowym wyrażeniem*. W gruncie zatym rzeczy zgadzam się z p. Łazowskim, różnimy się tylko nazwą techniczną i innym nieco poglądem, tudzież obrobieniem. Ponieważ, jak widzimy, p. Łazowski ma pojęcie o wyrażeniu jednotrójnym; łatwoby można przypuścić, że, gdyby koniecznie obstawał przy nazwie *trzecioosobowej*, miałby prawo powiedzieć: *Ż. zasłania nasze pojęcia dotąd znane*, bo rzeczywiście p. Łazowski zna te pojęcia, tylko je inaczej nazywa. Że znowu p. K. nie ma pojęcia o wyrażeniu jednotrójnym, to się tak dowodzi. Józef Muczkowski nie ma wyrażeń jednotrójnych ani w nazwie, ani w rzeczy; więc i jego klient mieć jich nie może. Józef

(1) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego* z r. 1849, str. 135.



Muczkowski ma nazwę *słów zajimkowych i zwrotnych*; p. K. nazwę słów takich przenosi na szczególny zwrot jego, mówiąc: to się nazywa *formą nieosobistą zwrotną* i ostatecznie tą rzeczą się wydaje, że nie ma pojęcia tego, o czym prawi.

Za jednym ciągiem jeszcze i tę okoliczność dodać muszę. P. K. napomyka tylko, że słowo nijakie nazywam *słowem miotowym*, a zatym, ma się rozumieć, najniestosowniej. Pomijam usprawiedliwienie tej nazwy, bo kto pojął znaczenie *miot, miotnika, przedmiotu, przedmiotnika*, ten sobie tę nazwę sam wytłumaczy; ale zwracam się do nazwy: *słowo nijakie*. Każdy z nazwy: *słowo nijakie* wyprowadzi następującą definicją: *słowo nijakie jest to najpewniej. takie słowo, które nie nie znaczy.*

Podobnie w dalszym ciągu swój Ocenę p. K. idąc śladem naśladownictwa, nazywa słowa, np. *chcieć, woląć, musić* i t. p. *słowami niezupełnemi*. Proszę sobie wystawić, jeżeli można, pojęcie czynności niezupełnej! proszę uważać, czyli powyższe słowa nie przedstawiają same sobą swój czynności zupełnej; a przecież ich nazwa chce mi narzucać takie pojęcie, które na żaden sposób jistnieć nie może.

Gdyby jakikolwiek człowiek innego powołania, jako to: obywatel, urzędnik i t. p., miłością nauki powodowany, który język uważa tylko za środek udzielania wzajemnie myśli, wystąpił przeciwko mnie z podobnymi zarzutami, jakie się w całej Ocenie znajdują; umiałbym sobie ten pojaw wytłumaczyć: to albowiem miałbym przekonanie, że go nazwy wprowadzone rażą, nad którymi myśleć nigdy nie potrzebował, a teraz, pilnując rzeczy samój, zastanawiać się nie chciał. Lecz inna rzecz z panem K., który kiedyś podług czyjegoś wyrażenia ma się stać koryfeuszem wszystkich mówników; ten, mówię, (wyrażając się słowami psalmisty), dzień i noc ma swój zakon rozważać, chwasty głąszące usuwać, aby soków pożywnych nie wysysały i prostować ścieżki nauce. Oto jest zadanie całej ludzkości, która we wszystkich rozgałęzieniach wiedzy ciągle je wypełnia, która tym samym wywiązuje się z obowiązków przez Stwórcę na siebie włożonych; oto jest zadanie pojedynczego człowieka zawodu, jeżeli zamierza godnie odpowiedzieć swojemu powołaniu!

### Zdania ogólne i określone.

Przysłowie: *Goły, jak święty turecki*, rozumiem; ale zdań *gołych, prostych, rozwiniętych* pojąć nie mogę. Rozważajmy w szczególności. Skoro jest zdanie *gole*, musi być jemu przeciwne *niegole*; lecz, ponieważ sposób określania przez przeczenie jest najslabszy, trzeba zatym powiedzieć jakieś zdanie chyba *obroste*. Skoro jest zdanie *proste*, musi być *nieproste*; więc znowu *krzywe*. Nareszcie zdanie *rozwinęte* powinno za sobą pociągnąć zdanie *zwinęte*; jednak tak nie jest, bo zdaniu temu odpowiada zdanie *gole* podług zasad Józ. Muczkowskiego (1), który swoje najfałszywsze prawidła ustami p. K. w Ocenie pokątnie rozsiewa. Warto jednak przypatrzeć się, bo p. Muczkowski cuda czyni i zdanie *gole*

(1) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego z r. 1849 strona 203.*

rozwija, ale jak? zobaczymy bliżej. Każdy zapewne z czytelników już naprzód sądzi, że ten golec (*zdanie gołe*) jak wąż dusiciel w kłębie leżący, wyprężwszy całą swoją siłę, rozwinie się i wysnuje z siebie, co miał ukrytego, zolbrzymieje i w całej majestatycznej ukaże się postaci. Ale gdzie tam? nie zgadliście! P. Muczkowski aby cud pokazał, inaczej się wyraża, a inaczej działa; albowiem mówi, że golec się sam rozwija, a tymczasem on go sam owija bez myśli. Że tak jest, oto dowód: „Zdania składające się tylko z podmiotu, orzeczenia i bądź wyraźnego, bądź w orzeczeniu ukrytego łącznika *gołemi* nazywamy, np. *Bóg jest sprawiedliwy. Ojciec czyta. Rozwiniętymi* są zdania, kiedy do powyższych jistotnych czyli głównych wyrazów i inne dla bliższego jich określenia są przydane, np. *Przedwieczny Bóg jest sprawiedliwym sędzią. Mój najukochańszy ojciec czyta bardzo ciekawą książkę.*” (Gram. str. 203. § 353). Widziemy ze słów p. Muczkowskiego, jak na dłoni, że kiedy mu się podobało zdanie *gołe*, przeciwne temu powinno być zdanie *owinięte*; to przynajmniej byłoby cokolwiek mądrzej, grzeczniej i skromniej.

Ponieważ dopiero com wyrzekł, że bezmyślnie p. Muczkowski zdanie rozwijał, usprawiedliwiam się sam z tego zarzutu. P. Muczkowski dał nam przykład zdania *gołego* w wyrażeniu: *Bóg jest sprawiedliwy*; a znowu zdania *rozwiniętego* w wyrazach: *Przedwieczny Bóg jest sprawiedliwym sędzią*. Pozwólcie sobie, czytelnicy! usunąć z oka i umysłu zdanie *gołe*; wystawcie sobie, że macie tylko drugie rozwinięte; raczcie teraz z powicia, (czyli jak on mówi z *rozwicia*) wydobyć zdanie *gołe*, a niezawodnie musi się wam okazać koniecznie w następujących wyrazach: *Bóg jest sędzią*; a zatym zupełnie różne od zdania: *Bóg jest sprawiedliwy*, które J. Muczkowski wziął do *rozwicia*. Znam niektóre podania Lublina; otóż powiadam, że, gdyby sam djabeł mnie i J. Muczkowskiego rozsądzał, pewnieby mi słuszość przyznał.

Jidźmy następnie za wyrazami J. Muczkowskiego: „Rozwija się zdanie, kiedy do głównych jego wyrazów przybieramy inne od nich zawisłe, *podrzednemi* zwane, któremi podmiot, albo orzeczenie, albo też oboje razem bliżej, czyli dokładniej oznaczamy, lub uzupełniamy; a tak całe zdanie rozszerzamy, czyli rozwijamy i dla tego takie zdania *rozwiniętymi* nazywamy.”

„Przez wyrazy określające rozszerza się, czyli rozwija zdanie, ale myśl, a zatym i sąd, coraz więcej się ścieśnia, bo każdy wyraz przydany do zdania z jistotnych tylko części złożonego wyrażenie ogólne coraz bardziej ścieśnia, czyli określa, np. *Ktoś puka. Ktoś puka we drzwi. Ktoś mocno puka we drzwi. Ktoś mocno puka laską we drzwi od pokoju.*” (Gram. str. 204, § 354). Wiemy, że zdanie jest obrazem myśli; co się zatym dzieje w zdaniu, toż samo dzieć się powinno w myśli, bo inaczej obraz nie malowałby dobrze przedmiotu. Skoro podług J. Muczkowskiego; „*rozszerza się, czyli rozwija zdanie*” zatym i myśl podług zdrowego rozumu rozszerzać się i rozwijać powinna: przecież „*myśl a zatym i sąd coraz więcej się ścieśnia*”. Co za rażąca sprzeczność! Obraz odbity w zwierciadle więcej przedstawia, jak sam przedmiot przed zwierciadłem. Sprzeczność taka nie skąd inąd wynikła, tylko z najniestosow-

niejszej nazwy: zdanie *gole* i *rozwinięte*, chociaż sam już mimowolnie wpadał na zdanie, czyli jak mówi: *wyrażenie ogólne*.

Czy p. Józ. Muczkowski tłumaczy z niemieckich autorów, (tak sam mówi w wydaniu Grammatyki z roku 1836); czy bierze ciszką z autorów polskich, za co go z nad Wiliji głos Jakubowicza dochodzi: *Vare! Vare! redde mihi legiones*. co znaczy po polsku: *Panie Muczkowski! Muczkowski! zwróć mi moje składnią, którąś, popsuwszy, wziął po raz pierwszy do wydania z r. 1836 i powtórzył w ostatnim bez żadnej wzmianki*: w każdym razie najnieszczęśliwszy dobór czyni. W *Częściach Mowy* dowiodłem, jak niezręcznie i nieumiejętnie korzystał z Jakubowicza; teraz znowu wyzwany przez p. K. muszę tę prawdę, a gorzką prawdę dla dobra ogółu powiedzieć, iż p. Józ. Muczkowski, nie zgłębiwszy swych nauczycieli Niemców, ulepił taką plataninę o zdaniach, iż z niej razem z p. K. zdać sobie sprawy nie zdołają.

Dowiodłszy, że na żaden sposób przyjąć nazw: zdanie *gole*, *proste* i *rozwinięte* nie mogłem, nazwałem je: zdanie *ogólne* i *określone*. Ale ta właśnie okoliczność spowodowała p. K. do krzywego rozumowania, że nazwę zdań przeniósł na nazwę części zdania, bo mówi: gdy miot jest szczególny, zdanie jest szczególne: gdy zaś miot jest wyrazem ogólnym np. *wszyscy*, *niektórzy*, *niejeden* będzie zdanie ogólne. Z takiego rozumowania to wynika, że: *rolnik uprawia ziemię*, będzie zdaniem szczególnym; a znowu: *rolnicy uprawiają ziemię*, będzie zdaniem ogólnym, co wbrew zdrowemu rozsądkowi się sprzeciwia. boć każdy najoczywistej widzi, że *rolnik* obejmuje sobą wszystkich rolników.

Ostatecznie czyni zarzut, że zdanie *określone* jest złe dla tego, iż nie wiadomo: czy ono określa się wyrazami, czy też innemi zdaniami. Jam temu nie winien, że panu K. pomimo najwyraźniejszego mojego oznaczenia, podoba się zdanie *określone* nie wyrazami, lecz innym zdaniem określać. Gdyby się zastanowił, że tu jest mowa o budowie wszelkiego zdania odrębnie dotąd uważanego; gdyby dobrze zwrócił uwagę na wewnętrzne znaczenie wyrazu *okres*, nie marnowałibyśmy napróżno czasu ani sobie, ani czytelnikom, jeśli nas czytać raczą.

W przejściu do drugiej części na zamknięcie rzeczy o terminologii niech mi wolno będzie cudze słowa przytoczyć. „Mieszanina kilku języków w jeden śmieszna bardzo i babilońska czyni mowę, i znakiem jest albo niepłodności w języku, albo lenistwa w pisarzu. Już kilka wyrazów Grammatyce właściwych podali nam dawni pisarze tak polscy, jak słowiańscy; za cóż jich nie użyć, jeżeli są tak dobre, jak cudzoziemskie? za co inszemi wyrazami ojczystego nie wzbogacić, zwłaszcza wiedzącemu prawidła, jak się nowe tworzyć mają? Tak Grecy, tak Rzymianie, tak wszystkie robity narody; za cóż my Polacy téj sobie wolności dać nie mamy? Doświadczyć przynajmniej nie zawadzi. Zastanawiając się jednak nad tym zdaniem, przewiduję największą burzę na nowe słowa, bo mię uczą tego przykłady wszystkich wieków. Kto rzeczy nie będzie mógł pogat ić; ganić i wysmiewać będzie słowa, wystawiając je na szyderstwo przez trafne jich tłumaczenie i przez zmyślanie nowych, o których się grammatyce śnić nie będzie. Wszakże nowe słowa utną się z czasem i zestarzeją, bo wszystkie wyrazy musiały być kiedyś nowe. Słowa cudzoziemskie dla

Polaka dziksze są, niezrozumialsze i do spamiętania trudniejsze, jako niezwiązane z mową jego, niżeli najtrudniejsze słowa nowe, które z ojczystego języka są wyciągnięte. Dzieciom zarówno jest praca nauczyć się jakiegokolwiek wyrazu swojskiego, czy cudzoziemskiego; ale rozumienie i spamiętanie bliżej się łączy z ojczystymi, niż z obcymi słowami. Ci, którzy do obcych przyzwyczajeni są wyrazów, nie tak nowością obrażać się będą, jako pracą w nauczeniu się nowych wyrazów. Z czasem poznawszy, że te wyrazy są i zrozumialsze i prawdziwiej, niż w cudzoziemczyźnie rzecz znaczące, szacować bardziej i kochać będą nad cudzoziemskie ojczysty język. Dla ułatwienia jim pracy w rozumieniu i spamiętaniu nowych wyrazów, położy się stary cudzoziemski wyraz przy nowym ojczystym. Wszakże, ulegając przesądom, a bardziej jeszcze czując niezmierną trudność i pracę w tworzeniu nowych słów dobrych, kilka słów starych cudzoziemskich zostawić będzie można, za które niechaj następne czasy znajdą nowe. Próżno tu niektórzy zarzucać będą przykład obcych narodów, nauki wszystkie w swoim języku piszących, a używających przecie cudzoziemskich wyrazów, technicznemi czyli naukowemi zwanych. Bo *najprzód* uczeni ludzie w tych samych narodach skarżą się na ten niewolniczy zwyczaj, jako na tamę rozkrzewienia nauk po kraju, i już wiele bardzo takich wyrazów, w Niemczech osobliwie, na ojczyste wyrazy poprzerabiano i coraz więcej przerabiają. *Powtóre* włoski i francuzki język, a po części angielski, ponieważ poszły z łacińskiego tak, jak łaciński z greckiego; wyrazy tedy greckie lub łacińskie mogą być w nich zachowane: w języku zaś polskim, który ze słowiańskiego pochodzi, zachowane być nie mogą." I w innym miejscu. „Kto nie znał dawnych grammatyk, prędjéj mu nowa przypadnie do smaku. Im zaś kto z dawnymi grammatykami większą miał znajomość i przyjaźń, tym na przyjęcie nowéj mocniejszy w sobie uczuje opór. Dzieci w téj mierze najszczęśliwsze, byle od starszych bałamucone nie były." (*Układ Grammatyk wyciągnięty z dzieła już skończonego*. Warszawa r. 1785, druk. Grölla)

(Dokończenie nastąpi).

### *Fizyka dla niższych gimnazyów przez Wojciecha Urbańskiego.* Lwów. 1851.

O tém, zeszłego roku wyszlém dziele, teraz dopiéro jesteśmy w możności podać wiadomość w kronice naszej. Ubolewamy nad tém, bo o podobnych pracach publiczność nigdy zawezesnie uwiadomioną być nie może. Lecz nie nasza w tém wina; bo jakkolwiek starannie śledzimy bieg téj gałęzi literatury na wszystkich punktach, długo czekać musimy nim książka drukowana za granicami Królestwa, szczególniej téż naukowa do nas zawita. Zapewne liczne są tego przyczyny; lecz do nich i to także dodać wypada, że pisma czasowe czy niechętnie, czy w braku referentów,

nie raczą zamieszczać w swych kolumnach mniej więcej obszernych zdań spraw o wychodzących dziełach naukowych. Z wielu względów mamy prawo na to się uskarżać, szczególnież też w interesie samej publiczności, która nieraz w potrzebie nie wiedząc o dobrém swojskiém, z konieczności rzuca się do dzieł elementarnych zagranicznych, chociaż nieodpowiednich celowi.

Zboczywszy już trochę, niech nam będzie wolno przy tój sposobności dotknąć jeszcze jednego przedmiotu jeżeli nie żywotnego, to przynajmniej ważnego dla naszego piśmiennictwa. W piśmiennictwie czasowém to szczególnego jeszcze dostrzedz można, że jeżeli pisma podają niekiedy obszerniejsze oceny, to zawsze wybierają dzieła tylko oryginalnie po polsku napisane: ztąd nigdzie prawie nie można znaleźć nawet wzmianki o tłumaczeniach. Zapewne dlatego, że redaktorowie poczytują takie dzieła za obce naszój literaturze i z zupełną traktują je obojętnością. Nie tak się dzieje w innych literaturach, bogatszych niezaprzeczenie od naszój; tam przetłumaczone dobrze dzieło naukowe znanego cudzoziemskiego pisarza, uważane jest za przyswojone, i z tego stanowiska zpatrując się redaktorowie nie omieszkują wskazać publiczności miejsca, jakie zajmuje to dzieło w ogólnej naukowej literaturze, ocenić jego względną potrzebę i przedstawić jaki brak zapełnia w rodzinném piśmiennictwie. Na to, zdaniem naszém, należałoby zwrócić uwagę, choćby nawet i dla tój przyczyny, że w skutek niedostatku podobnych ocen, wiele pięknych i pożytecznych dzieł nieznanych naszój publiczności zalega pułki księgarskie; szkoda jakiej ztąd doświadczenia i publiczność i osoby zajmujące się naukami jest aż nadto oczywistą. Tłumaczenia nigdy i nigdzie nie były przeszkodą dla dzieł dobrych oryginalnych, choć często, u nas, dobre tłumaczenie dzieła naukowego milój się czyta od oryginalnej pracy.

Do tego wstępu dała nam powód fizyka p. Urbańskiego, ona więc w części usprawiedliwić go winna. Zdaje się nam, że to jest *najlepsza fizyka* oryginalna, jaka w ostatnich czasach przybyła do literatury naszój, i dlatego właśnie zasługuje na obszerną wzmiankę i więcej szczegółowy rozbiór. Została napisana dla szkół galicyjskich, a jak tytuł mówi, dla niższych gimnazyów, i w tym celu rozdzielona na dwie części, z których pierwsza ma służyć dla trzeciej, a druga dla czwartej klasy.

Przedewszystkiém zastanowić się wypadnie nad planem, jako różnym wielce od zwykle u nas przyjętego.

Autor traktuje naprzód o własnościach ogólnych, o stanach skupienia, o ciepliku, a nareszcie o ciałach prostych i ich składzie chemicznym, i to wszystko, zapewne stosownie do przyjętego w galicyjskich szkołach planu, przeznacza dla trzeciej klasy gimnazyalnej.

Do czwartej zaś, zostawia celniejsze prawa mechaniki, prawa równowagi ciał ciekłych i gazów, głos, magnetyzm, elektryczność i światło. W końcu dodaje jeszcze wiadomości o ziemi i ciałach niebieskich.

Myśl tego układu, z małą odmianą przyjęta po większej części przez pisarzy cudzoziemskich ma tę pożyteczną stronę, że więcej odpowiada systematycznemu wykładowi nauki; całość zaś układu bardzo dobrze stosuje się do obowiązującego programu w szkołach galicyjskich.

W samej rzeczy, jeżeli już potrzeba do wykładu fizyki w szkole dawać mniej więcej obszernie wiadomości z chemii i geografii fizycznej (zapewne dla braku oddzielnych godzin na te nauki przeznaczonych), to najwłaściwiej po ogólnych własnościach materji zaraz umieszczać ustęp o ciałach prostych i ich składzie chemicznym. Lecz że wiadomości choć najelementarniejsze z chemii, nie mogą się obejść bez poprzednich zasad nauki cieplika, przeto przegrodzenie wyżej przytoczonych przedmiotów, rozdziałem o ciepliku nietylko za niestosowny, lecz przeciwnie za bardzo właściwy uważać należy.

Zresztą cieplik jako najważniejszy i bez którego wykład dalszych czynników natury prawie logicznym być nie może, cieplik mówię, powinien wyprzedzać wszystkie inne części właściwej fizyki i do najniższych klass sprowadzanym być winien.

Na taki właśnie zarzut nielogiczności, zasługuje wyszła w r. 1846 w Wrocławiu Fizyka dla szkół wyższych przez prof. Brettnera, przetłumaczona przez prof. A. Karwowskiego z Poznania. W tém, pod innemi względami treściwie i dobrze obrobioném dziele, nauka o ciepliku aż po światło została umieszczoną; w skutek tego, autor traktując o barometrach, a głównie o mierzeniu gór za pomocą tych przyrządów, przywodzi wzór na poprawkę słupa barometrycznego od cieplika, cytuje całą formułę Laplace'a, nie poprzednio nie powiedziawszy o działaniu cieplika, o temperaturze i t. d. Podobnych przykładów więcej naliczyłoby można.

Co się tyczy planu w przytoczonym dziele p. Urbańskiego tę jeszcze dodamy uwagę. Niezaprzeczenie do fizyki konieczne są potrzebne pewne wiadomości z mechaniki, lecz te stanowią tylko pomocniczą część, i dlatego w kursach fizyki o ile można wypada się ograniczać do najniezbędniejszych pojęć, pomieszczać je z początku, licząc je niejako do wiadomości wstępnych, poprzedzających naukę o siłach natury. Autor przeciwną poszedł drogą; mechanikę włączył do części traktującej o sile ciężkości, przeznaczoną dla klasy IVtój, i co ważniejsza, względnie do innych części właściwej fizyki ten przedmiot w swém dziele zbyt obszernie wyłożył.

Przejdźmy teraz do niektórych szczegółowych spostrzeżeń, jakie nasunęły się przy czytaniu niniejszej fizyki, zachowując w tém porządek odpowiedni układowi dzieła.

Autor na str. 11 mówiąc o ściśliwości i rozciągłości, i przytaczając działanie cieplika jako jedną z głównych powodów objawiania się tych własności, poświęca zawięzki ustęp działaniu cieplika, podaje teorię ciepłomierza, sposoby zamiany stopni różnych gatunków tego narzędzia; co tém bardziej jest to rażącym, że w następującym rozdziale o stanach skupienia i ciepliku napróżno szukamy wykładu tych przedmiotów. Sądziemy, że podobne przestawienie nie jest stosowném. Podobnie zamieszczony na str. 14 sposób podwójnego ważenia Bordy, daleko właściwiej stać winien po działaniu sił równoległych, przyczepionych do ramion ciężkiego drąga, t. j. str. 33; ten bowiem sposób opiera się na teorii dźwigni.

§§ O spojności i przyczepności (zwykle zowiemy to przyleganiem) jako odmianach siły ciężkości, przeniesieby wypadało do téj siły zawartéj w kursie dla IV klasy przeznaczonym.

Przypominamy tu szanownemu autorowi, że sposób Jessopa wysadzania skał prochem, gdy nabój piaskiem się przybija, nie można tłumaczyć potrzebą czasu na udzielanie się ruchu od jednej cząstki do innych przyległych; wystrzał kulą w szybę okna można stawiać za przykład podobnego zjawiska, lecz zasadą takiego wysadzania skał jest uderzenie się ciał sprężystych. Wszak przy użyciu tego sposobu, gazy wywięzujące się z zapalonego prochu uderzają o przyległą warstwę piasku; to działanie komunikuje się następnym warstwom i t. d., przyczem pierwsza warstwa pozostaje w miejscu, a tylko zwierzchnia powłoka piasku odskakuje, tak jak to widzimy przy uderzeniu kulek sprężystych.

Autor mówi obszernie o meteorach wodnistych (? wodnych), a o wilgotności, przyjętém powszechnie w hygrometrii wyrażeniu, zaledwie eokolwiek nadmienia, równie jak o sposobach dochodzenia stopnia wilgotności w powietrzu. I w ogóle powiedzieć można, że autor niniejszego dzieła, rozszerzając się nad zastosowaniami, zbyt treściwie a nawet pobieżnie traktuje prawa, zasady nauki. Podobna zamiana w kursie elementarnym miejsca mieć nie powinna, bo tu głównie idzie, ile można, o najdokładniejszy wykład zasad; zastosowania zaś są rzeczą podrzędną.

W nauce magnetyzmu naprzód stać powinien ustęp o wzajemném działaniu różnorodnych biegunów magnesów, a dopiero potém zjawiska magnetyzmu ziemskiego; przez to i jaśniejszym i logiczniejszym byłby wykład zjawisk doń należących.

Co się tyczy galwanizmu i światła, autor nadzwyczaj krótko tę część wyklada; i chętnie poczytalibyśmy to za program, jak za sam wykład tych części właściwej fizyki. Po przeczytaniu pierwszej części dzieła spodziewaliśmy się i mieliśmy prawo wymagać obszerniejszego i dokładniejszego wykładu nauki o świetle i elektryczności, tymczasem znaleźliśmy wiele nazw, wiele definicyj, a wielki brak zasadniczych pojęć. Jestto zdaniem naszym główny niedostatek niniejszego kursu. Sądzimy, że szanowny autor podzieli nasze zdanie i zechce w następnych wydaniach zwrócić na to uwagę, i obrobieniem lepszym téj części swego dzieła przyczynić się do nadania mu większej zupełności, całości, przez co wartość jego pracy prawie się podwoi.

Czytając ustęp o ciałach prostych i chemicznym składzie, prawdziwie smutek ogarnia; nie z powodu wiadomości chemicznych, które są aż nadto dostateczne, a może zbyt w kursie fizyki, lecz z przyczyny samej nomenklatury. Do tego przyszliśmy w chemii, że jedni drugich zrozumić prawie nie jesteśmy w stanie; co autor, to nowa nomenklatura i to jeszcze w książkach elementarnych. Przy takim kierunku chemicznej nomenklatury nie spodziewajmy się osiągnąć błogich skutków. Znam miejsce, gdzie uczniowie w jednym i tymże samym zakładzie naukowym słuchając różnych technicznych nauk, a więc w ciągłych między sobą będąc stosunkach, toż samo ciało dwoma różnemi zwać muszą terminami. No tém nie koniec; ciż sami uczniowie po wyjściu ze szkół, w dziełach właściwych wybranemu technicznemu zawodowi, natrafiają znów na nową chemiczną nomenklaturę. Istna wieża Babel! Trzeba mieć wiele silnej

woli, aby się nie zrazić podobnym chaosem. Miejmy jednak nadzieję; czujemy wszyscy tę niedogodność, zamęt, wstrzymujący upowszechnienie tak pożytecznej i koniecznej dziś dla wszystkich przemysłowców i rolników nauki, a więc jeden tylko krok pozostaje: porozumienie się wzajemne, zgoda. O ile nam wiadomo, projekt dotyczący słownictwa chemii nieorganicznej i organicznej, po wzajemnym znieśieniu wygotowany przez kompetentnych sędziów, już wkrótce u nas ogłoszonym zostanie; uczeni innych stron piszący po polsku zapewne (o czém niegodzi się powątpiewać) zechcą swém przystąpieniem przyczynić się do dokonania faktu, tyle ważnego dla postępu u nas chemii.

Lecz nietylko chemia, i fizyka gwałtem dopomina się o ustalenie swój nomenklatury. Wprawdzie w fizyce nomenklatura mniej ważną gra rolę; jednak nazywanie jednego przyrządu, jednej siły, różnemi choć polskimi wyrazami, nie przyczyniając się wcale do bogactwa języka, szkodliwém jest dla nauki.

Nie piérwsi o to się dopominamy; już dawniej do publiczności w tym przedmiocie głos wznoszono; podawano nawet próby, lecz te grzesząc zbytym puryzmem i manią spolszczenia lub tworzenia nowych wyrazów, nie zyskały nigdzie potwierdzenia i pozostały w stanie uronionego pomysłu. Nie ubliżamy przez to autorom tych projektów, cenimy dobre ich chęci, bo zasługują na szacunek; chcemy jedynie przez to zwrócić uwagę, że termina naukowe, które oddawna wcieliły się do języka i w przemyśle upowszechniły, nie można dowolnie zmieniać, przekształcać; nie wypada wszystkiego naraz burzyć, aby coś niepewnego odbudować:—dziś nie czas potemu. Wielce więc pożądaną byłoby rzeczą, aby myśl rzucona nie pozostała bez echa, bodaj wielokrotnego.

Fizyka p. Urbańskiego ma wiele wyrazów różnych od przyjętych: jest siła *środkopędna* zamiast dośrodkowej; jest promień *wiodący* zamiast wódzący; jest *ciężkość gatunkowa* zamiast ciężaru gatunkowego, i t. p. Jest sposób mówienia: iloczyn z wielkości siły w odległość jej kierunku od punktu podpory; wtedy, gdy wszyscy uczyliśmy się: iloczyn z czego, przez co. Pomijamy tu nazwy samych przyrządów, bo te jako nieustalone, zupełną zostawiają dowolność autorom.

Zdając sprawę o dziele elementarném należy je wszechstronnie obejrzyć; a więc i o języku nadmienić nam wypada. W ogóle, w dziele p. U. język jest zbyt ciężki, peryody po większej części zbliżają się do niemieckich. Wprawdzie trudno w naukowych dziełach ubiegać się za stylem, lecz to nie przeszkadza pamiętać, że nasz język i ucho niecierpią niemieckiego kroju, ich poważnie-nudnych peryodów, i dzikięj dla nas przekładni. Drugi zarzut pod względem języka jest innęj natury. Narody mówiące jednym językiem w różnych swych stronach mają swe prowincjonalizmy, lecz te ograniczają się jedynie do ustnej mowy; pisana bowiem, jako będąca wyłącznością klas ukształceńszych, w każdym narodzie wszędzie jest jednaka. Dlatego w dziełach, mianowicie téż elementarnych, unikać wypada wszelkich prowincjonalizmów. W niniejszėj zaś fizyce natrafiamy *świeczeczka* zamiast świeczka; *ino co* zamiast zaledwie; *belka metalowego*, zamiast belki metalowej; *przekonujemy*, zamiast prze-



konywamy; *linwa*, zamiast lina, sznur; *przestrzenia*, zamiast przestrzeń; *sztanga metalowa* zamiast pręt i t. d.

Wytknąwszy niektóre uchybienia co do wykładu i języka, winniśmy z przyjemnością wyznać, że szanowny autor tak swe dzieło wykonał, iż uczniowie nie tylko ogólne zasady nauki, ale i liczne zastosowania w przemyśle pojąć są w stanie: ztąd kurs stał się wielce zajmującym i niezaprzeczenie może dać pochoch młodym umysłom do dalszego kształcenia się w tej ważnej gałęzi nauk przyrodzonych. Autor gdzie tylko można mówi o miejscowości, np. ustęp o średniej temperaturze miejsca i wpływie Karpat na klimat; o wielu przedmiotach po raz pierwszy w naszych fizykach dotkniętych, np. ocieplanie powietrza parą, o piecach Mejnrowskich, o wpływie lasów na obfitość wody i t. p.

Zbiierając wszystko cośmy o dziele p. U. wyrzekli, miło nam powtórzyć, że ten kurs uważany względnie do swego przeznaczenia jest postępowym, zaleca się licznemi i ciekawemi przykładami, i gdy druga połowa lepiej zostanie opracowaną, stanie się zdolnym do zapełnienia ważnego niedostatku podręcznej fizyki dla uczącej się młodzi.

Wydane dzieło ma bardzo wiele dobrych drzeworytów w texcie.

S. P.



# ROZMAIŃCI.

## BIBLIOGRAFIA POLSKA.

*Zbiór napisów zambrowskiego kościoła. W Warszawie, 1799. W 12ce, kart nieliczbowanych 16.*

**N**ie dla wartości bynajmniej, ale dla osobliwości wymieniamy tę broszurkę: raz, że mamy sposobność wspomnieć o jej autorze sławnym dziwaku; powtóre, z powodu formy approbaty cenzury ówczesnej.

Ks. kanonik katedralny plocki Marcin Jasińczyk Krajewski (ale bynajmniej nie pisarz znany z dzieł wielu w czasach Stanisława Poniatowskiego), którego okoliczna szlachta tytułowała księdzem kanclerzem, oprócz bogatych prebend, miał i rodzinny niemały majątek. Głównie przemieszkiwał w Zambrowie, miasteczku dawnego województwa augustowskiego. Nie brakło mu nauki i dowcipu, ale dziwactwa jego wszystko kazify. Oto niektóre wspomnienia o nim od osób, które go osobiście znały.

Mając w swojej parafii wiele szlachty zagonowej, w kazaniach i naukach swoich nie żałował dosadnych zwrotów i wyrażeń, które ucho nienawykłe wielce raziły. Ktokolwiek czy z Warszawy, czy z dalszych okolic przybył, ostrzegany przez przychylnych sobie, powinien odwiezając księdza kanclerza szybko drzwi otworzyć, wpaść nagle i szybciej jeszcze zatrzasnąć za sobą, aby, jak latem, muchy nic wpuścić do pokoju. Ktokolwiek téj rady usłuchał, był najmiliej witany.

— Jak to znać — mówił wtedy uradowany ksiądz kanclerz kłaniając się uprzejmie i z uśmiechem — że to pan lub pani z Warszawy, z edukacją; ani muszki nie wpuszczono. Nie tak jak te moje moczymordy i ciemięgi, co to lizie jak smoła, drzwi na ścieżaj roztworzy, a tu rój much za nim jakby pszczoły z ula; albo zimową porą, to więcej śniegu i zimna napuści, że nie dopalisz w piecu, a drzwi otworem, by w karczmie.

Kto nieprzestrzeżony wpuścił choćby jedną muchę, dopóty się nie przywitał, dopóki albo jej nie zabił, albo nie wypędził.

Niepodobało mu się, że obywatelki zjeżdżające się na nabożeństwo, witając się dygały i całowały przed kościołem. W czasie więc odpustu, kazał ubrać cztery baby dziwacznie, i te przed drzwiami wchodowymi ciągle się witały, dygały i całowały, chłodząc się ogromnemi wachlarzami.

Sześciu rosnących i silnych dziadów, jako straż przyboczną trzymał przy sobie przybranych jednakowo. Biada! jeżeli kto w granicach kościelnych nieprzyzwoitość jaką popełnił. Ksiądz kanclerz tylko krzyknął, a straż dziadowska rozciągała winnego, i sypała oznaczone razy.

Lubił muzykę, znał się na niej, ale nie umiał grać na żadnym instrumencie. Uprosił więc znajomego, aby mu w Warszawie kupił dużą pozytywkę, która za pokręceniem korby grała sztuki. W długie wieczory zimowe grał sam na niej aż do znużenia; 2,000 złp. zapłacił zań, bo to w owe czasy była osobliwość. Przy kościele miał dobraną muzykę i sześć uczonych śpiewaczek. Ktokolwiek z dalszych stron przybyły usłyszał i melodye harmonijnie oddane i głosy dobrane, a zarazem tak dźwięczne, nie mógł utaić swego zadziwienia.

Przy dziwactwach swoich, byłto kapłan przykładny i pobożny. Szlachta okoliczna bała się go i szanowała; dotąd pamięć jego w żywem podaniu zachowana: snadź że wpływ wielki wywierać umiał. Bogaty. miał słabość do skupywania rozmaitych towarów, i jeden z obszernych pokoi przeznaczył na skład takowych: tam też w szafach jakby sklepowych, ujrzałeś postawy sukna, sztuki płótna, galonów, dywanów i t. p. Niemały ich zasób zostawił po śmierci na pociechę swoim spadkobiercom.

Przyozdobiwszy wielce kościół, odnowiwszy z gruntu zabudowania gospodarcze plebanii i dom proboszcza a rezydencyą swoją, własnym *konceptem* układał napisy polskie i łacińskie, i te wszędzie kładł, czyto na dzwonicach, czy na facyacie kościoła, w krucheie nad chrzcielnicą, nad wodą święconą, nad amboną, przy wszystkich ołtarzach, nad konfessyonalami: słowem, gdzie tylko miejsce potemu mógł znaleźć.

Napiso-mania Krajewskiego wszędy była widoczna. Przywiedziemy tu tylko niektóre.

Oto np. w pierwszej izbie swego domu:

Co też tu po mój śmierci w tym domu będzie?  
Karty, butelka, lub też zły rząd zasiądzie!  
Będą biesiady pod pracy mój zastoną,  
Najpewniej pustki me porządki pochłoną.

To poruszył tam zajrzy! list przeczyta,  
Tu wpadnie! wszędzie o wszystko się pyta.  
Cóżto za natręt, kawał z niego szpiega,  
By ogadywał, cudzy dom obiega.

Tu nie dom wjezdny, ani bawny hotel,  
Po cóż tu do mnie wpadł ten nudny motel?

Nie interes go, ani przyjaźń wiedzie,  
Przyszedł zjeść, wypić, a tu po obiedzie.

Brata i siostrę ślepo daje nam natura.  
W wyborze przyjaźni, człek sam sobie rajfura;  
Mocniej się więc wiąże przyjaciel przez cię wzięty,  
Niżli twój krewniak od natury napehnięty.

Pomijamy inne a liczne napisy po polsku i po łacinie na wszystkich budowlach gospodarskich, pustelni, w ogrodzie, na altanach; dostateczną daliśmy próbę zdolności poetycznych Krajewskiego, który aby się uwiecznić, podał je do druku. Piar Tadeusz Bukowski, w 12 łacińskich wierszach i autora napisów, i same napisy pochwalił, a ks. Koźmiński cenzor ksiąg, takie dał na druk pozwolenie, w ośmiu następnych wierszach:

Chociaż wszędzie w *Zambrowie* napisów tak wiele,  
Po drzwiach, izbach, dzwonnicach, w kaplicach, w kościele,  
Że jednak w téj uczonej, gdzie spojrzysz robocie,  
Niemasz nic przeciwnego ni wierze, ni enocie;  
Nie im zatém do druku nie jest na przeszkodzie.  
Owszem, być one mogą ku wielkiej wygodzie,  
Bo wzięwszy z nich kto jedną, drugą, trzecią parę,  
Gdy napisze u siebie, rzecze: to jest w miarę!

Ks. *Jerzy Koźmiński* cenzor ksiąg *mp.*

Taka cenzorska approbata, przyznać musimy, że jest w naszej bibliografii osobliwością.

Tenże ks. Marcin Krajewski jest autorem i wydawcą dzieła p. n. „Nabożeństwo parafialne, na codzienne, tygodniowe, roczne i przygodne podzielone i ułożone przez ks. Marcina Krajewskiego kanonika katedralnego plockiego, kawalera orderu św. Stanisława, proboszcza zambrowskiego i nowogrodzkiego, i do druku kosztem jego dla wygody parafiiów podane.” W Warszawie, 1800 roku. W drukarni księży Pijarów (8ka, str. 348 oprócz przedmowy).

Dzieło to z tego szczególniej zasługuje na uwagę, że oprócz doboru modlitw i pieśni, ułożone tak, iż dla organistów jest niezbędnym przewodnikiem do wszelkiego nabożeństwa. Prócz tego, ksiądz Krajewski daje w niem przestrogi dla ludu i potępia wiele przesądów, które prostactwo wiejskie do świąt niektórych uroczystych przywiązywało. Ztąd dla piszącego o obyczajach domowych, jest wielce użyteczne. Książka ta, już dziś jest wielką rzadkością, choć zaprawdę, zasługiwałaby rzeczywistą wartością swoją na przedruk.

K. Wł. W.

*Wiadomość historyczna o okopach starodawnych nad Wisłą między miastem Wyszogrodem, a wsią rządową Drwały, w powiecie i gubernii płockiej, istniejących.*

Wyobraźnia cheiwie wydziera milczącym kartom historyi wspomnienia odnoszące się do odwiecznych pamiątek, bo bez nich, są one jak zgrzybiały starzec, który nie jest w stanie rozpowiadać swoich dawnych dziejów, słuchanych z upragnieniem i przyjemnością.

*Józef Mączyński, w Pamiętce z Krakowa.*

Opisując przed trzydziestu latami ziemię wyszogrodzką (1), niegdyś część Mazowsza składającą, a później będącą dziesiątą częścią województwa mazowieckiego (2), uczyniłem krótką wzmiankę, iż nad Wisłą, między Wyszogrodem a wsią rządową Drwały (3), są okopy z dawnych wieków pochodzące. Wprawdzie wówczas zdaleka tylko wały te sterczące na górze nadwiślańskiej widząc, zbywało mi na chwilach wolnych, jako zajętemu obowiązkiem publicznym, do ich bliższego rozpoznania; dziś, gdy przeszkoda ta usunięta zostaje, postanowiłem zwiedzić szczęty te przeszłości: jakoż zamiar mój w dniu 16 maja 1850 roku skutek osiągnął.

Jadąc ze wsi Wilczkowa ku Wyszogrodowi spostrzegamy opodal drogi, w miejscu otwartém, równém i przestronném wznoszące się wyniosłe wały, puściznę po przodkach, jaką odkazali pokoleniom dalszym.

Położeniem okopiska tego lub horodyszcza, jak już mówiłem, jest równina wywyższona nad otaczające ją obszary zbóż i roślinności wszelakiej. Kształt warowni tej jest podłużny owal z stron północy i zachodu, wąwozami, dziełem przyrody utworzonymi, nader głębokimi a suchymi otoczony, które się z innymi pomniejszemi w różnym kierunku łączą. Od

(1) Opis tej ziemi umieszczony został w *Pismach historycznych* W. H. Gawareckiego, w Warszawie, r. 1824, w drukarni Węckiego i Zawadzkiego wyszłych.

(2) Województwo mazowieckie przed rokiem 1794, zawierało w sobie dziesięć ziem, jakoto: czerską, warszawską, wiską, wyszogrodzką, zakroczymską, ciechanowską, tomżyńską, różańską, liwską i nurską.

(3) Drwały, wieś nad Wisłą, na prawym jej brzegu, po większej części od mieszkańców niemieckiego rodu zamieszkała, których b. rząd pruski sprowadziwszy z zagranicy, w téjże i wielu innych osadził. Niegdyś należała do kolegiaty św. Michała w Plocku. (Patrz *Wiadomość o téjże kolegiacie*, w Pamiętniku religijno-moralnym z r. 1841, T. I str. 404 umieszczoną). Za odjęciem posiadłości ziemskich duchownym po roku 1794, stała się własnością rządu. W roku 1824 liczyła dymów 37, dziś tyleż prawie posiada. Nadto jest tu przewóz przez Wisłę urządzony w gubernią warszawską. Położenie jej jest w części górzyste, lecz ku Wisle nachylone, gdzie jest piękna równina, napełniona ogrodami i sadami, które zewsząd wierzby i topole ocieniają. Nazwę tej włości głosi podanie dawnych tutejszych mieszkańców pochodzenia polskiego, iż tu niegdyś istniały bory wielkie, i od rąbania tu drzewa na opał, a może i budowę, nazwano tę osadę *Drwały*. Podobnie wieś Rembowo, albo Rębowo, z północnej strony Wyszogroda leżącą nazwano, od rąbania drzewa dla dworu książąt Mazowsza, w zamku wyszogrodzkim zamieszkałych.

południa urwiska strome sterczące nad samym brzegiem Wisły, toczącej swe nurty u podnóża ich, a od wschodu przekop kiedyś niepłytki, ubezpieczaly, i niedostępną prawie czyniły odwieczną tę warownią. Wały porośłe trawą, są jeszcze wysokie na łokci cztery lub więcej; lubo wnosić należy, iż obecnie znacznie muszą być niższe, jak niegdy były sypane, przez samo ułożenie się ziemi przez wieki ich trwania, jak niemniej usuwanie się téjże czasowe. Wokół wynoszą kroków lub łokci 290; w środku jest wklęsłość, i w niej dwa pagórki nasuwają domysł, iż tu stały niegdyś budowle zwalone czasem i wolą ludzi.

Była to warownia silna miejsca położeniem, w obrębie której mieszcili się budowle czy z muru, czyli téż z drzewa, trudno obecnie odgadnąć. Była ona dostateczna w wiekach młodości umysłowej ludów tu-tejszo-krajowych, aby powściągnąć częste napady i wycieczki sąsiednie zamieszkujących kraje.

Pogląd z wałów jest najwspanialszy, bo żadna przeszkoda nie tamuje wzroku naszego. Tu spostrzegamy wkoło siebie rozległe pola, pełne roślinności, gdzieniegdzie sioła, i małe lepianki rozsiane w przestrzeni znacznej. Od wschodu, odległe o wiorst trzy starożytne miasto Wyszogród, z dwoma kościołami przedstawia się, od południa mamy królowę naszych rzek, strumieni, i poników—Wisłę, pod nogami naszymi przepływającą, a wśród niej trzy kępy ocienione bujnemi drzewami olch i wierzb wznosząc się okazale, majowych gajów dają obrazy.

Są i tam ludzie; na jednej z nich obszerniejszej wychylają się wśród drzew trzy budynki, zamieszkałe przez lud pracowity, zdawna do ziemi naszej z zagranic przybyły, płyn wody najwyżej ceniący, i zawsze téż swoje siedliska nad tymże wznoszący. O jakże zachwycający krajobraz zarazem oczy nasze spostrzegają! a to tém więcej, gdy o nim uprzedzeni nie byliśmy. Nie można było swobodniejszego miejsca obrać na stanowisko obronne, jak nam te reszty pozostałe z odległych wieków okazują, czém niegdy być mogło; dziś niestety! zniszczyła go siła czasu!

Przechodząc myślą naszą, kto i kiedy warownią tę utworzył, i biorąc roczniki krajowe za przewodnika, uważamy, iż okopy nad Wisłą wzniesione, sięgają najodleglejszej epoki kraju polskiego. Sama ich niedostępność, bliskość głównej rzeki, dla zapewnienia sobie tak nieodzownie potrzebnego płynu, a w razie potrzeby, pomocy i posiłku w ludziach i żywności: skłoniły pierwotnego założyciela do ufundowania w tém miejscu twierdzy, zastaniać mającej okolice od nieprzyjaciół.

Wprawdzie dzieje ojczyste, ile są dotąd wyjaśnione, nie czynią wzmianki o warowni téj; jednakże dają nam niejaki napomknienie o jej bycie w dawnych czasach, szczególnie w XI wieku.

Pouczają nas, iż Władysław Herman, panujący od roku 1081 do r. 1110 w Polsce, miał dwóch synów: z tych pierwszy Bolesław, zwany *Krzywousty*, ozdoba narodu i podpora rodzica; drugi z nieprawego łoża Zbigniew, niecny syn i wyrodny. Temu przyznanemu za dziecę królewskie, jeszcze za życia swego ojciec Władysław Herman, uczynił z krajów udział, który wkrótce po zgonie jego owdładnął. Był to Mazowsze, z prawej strony Wisły wówczas rozciągające się. Lecz gdy Zbigniew, nie przestając na rozporządzeniu ojcowskiem zapragnął, będąc z urodzenia

starszym od Bolesława brata i króla swego, władania Polski, i w tym celu łączył się z ludami okolicznymi, mianowicie Czechami, Prusami, Pomorzanami i Niemcami, na wydarciu z rąk prawego monarchy nienależącego sobie berła; przeto Bolesław zagnany został z nim rozprawić się orężem. Pokonany, musiał wrócić do posłuszeństwa. Acz mógł, jednakże dobrotliwy brat nie odebrał udziału krajów burzliwemu Zbiegniewowi, atoli podał mu warunki do wykonania, a między temi był główniejszy, aby zamek Galla, położony nad Wisłą zburzył (1). Lecz nieposkromiony Zbiegniew w zapędach swoich, i ciągle niespokojny, najeżdżając z ościeniami kraje ojczyste, kraje brata swego Bolesława IIIgo—dziedziczne, zgonem swoim smutnym przypłacił zdrady i knowane spiski; a wtenczas Mazowsze wróciło do całości, od której na czas odjęte było, przyszło pod berło Bolesława, a z nim i zamek ów stał się jego własnością.

*Castrum Galli*, albo zamek, twierdza Galla, wedle krajopisarzy było mocnia nad Wisłą, na prawym brzegu téjże rzeki, między Plockiem, a dzisiejszą twierdzą Nowogieorgiewską (Modlinem dawniej) położona; dlatego tak zwana, iż ją Gallus fundował i ubezpieczył. Nie mogła być obszerną, bo wiadomo, iż w dawnych wiekach, aby warowniejsze były miasta lub grody, i aby je łatwiej obronnym murem lub wałem opasać, musiały szczupłą przestrzeń obejmować ziemi. Lecz tę małą jej objętość z jednej strony Wisła, z innych wąwozy w rozmaitych kierunkach rozchodzące się, głębokie i prostopadłe mocniły, i bezpieczną czyniły przeciw wszelkim zamachom napastnika (2); i na to uwagę zwrócić przynależy, iż w owych czasach nie znano użytku broni palnej, a tém więcej strasznych wystrzałów armat i moździerzy, które wedle taktyki dzisiejszej wojennej, zburzyć są w stanie nawet najgrubsze mury, a cóż dopiero ziemne usypy przeciwko nim znaczą?

Może z téj warowni, jako leżącej w mazowieckim kraju, niespokojny Zbiegniew czynił wycieczki, i tamował żeglugę na Wiśle (3), która jak niegdy, tak i dziś jest najpiérwszą ożywczą sprężyną i środkiem handlu krajowego. Zapobiegając przeto nadużyciom jego, chciano mieć zburzoną tak niebezpieczną twierdzę.

Nie utrzymuję domysłów moich za prawdę rzeczywistą, lecz za przybliżoną do téjże podaję. W niedościgłych, dla niedostatku wiadomości,

(1) *Castrum Galli*, mówi *Chronicon Martini Galli*, wydania J. W. Bandtkiego, w Warszawie, MDCCCXXIV (1824) na str. 214, *quod Gallus fecerat, non destruxit* (Zbigneus). Na stronie zaś 213 téjże kroniki mówi: *Sed in cunctis obediturum, et castrum Galli destructurum*. Zamek Galla znajdował się w ziemi mazowieckiej, która na lewy brzeg Wisły nie przechodziła. Zwyciężony od brata i króla Bolesława IIIgo Zbiegniew uznał się podległym, i w obecności wielu dostojników poprzysiągł, że odtąd nie będzie bratu przeciwnym, i owszem we wszystkiém posłusznym zachowa się, a zamek Galla zburzy; lecz wiarołomny ten książę, przysięgi nie dotrzymał, i zamku Galla nie zniósł, i posilków bratu przeciw Pomorzanom nie postał. *Pamiętnika warszawskiego*, rok VI, T. XVI z r. 1820, str. 28 i dalsze.

(2) Dotychczas, acz się ziemia poosuwala za głównymi wałami, dają się spostrzegać ponad wąwozami szczęty innych wałów, oddzielnych od głównych okalających to miejsce. Czas i zaniedbanie wiele tu mogły zrządzić przemian.

(3) Podróżujący Wisłą na statku parowym, są w stanie widzieć te wały, wznoszące się na górze nadbrzeźnej z prawej strony rzeki.

badaniach doszodzić prawdy byłoby czas próżno i marnie trawić bez osiągnięcia skutku. Co jest niedocieczoném, trzeba raczej zostawić w wątpliwości, niż urojenia nowe za prawdę nieomylną głosić: bo, jak nieoceniony badacz rzeczy ojczystych wyrzekł: „Podobieństwa do prawdy, nie stanowią jeszcze pewności (1).” Aczkolwiek uzasadzam domysły moje na tém, iż przebiegłszy prawy brzeg Wisły z uwagą od Płocka do Zakroczymia i dalej za nim, nie znajdujemy nigdzie innego stanowiska wojennego, podobnego do silnej obrony na tymże prawym brzegu Wisły, nad okopy między Wyszogrodem a wsią Drwałami istniejące; w témto właśnie położeniu ów zamek Galla miał się znajdować.

Jestto punkt obronny, wzniósłością wałów daleko widziany, w otwartém miejscu ufundowany. W teraźniejszym czasie od ludzi okolicznych zwane są te okopy *okreżnią*, nikt jednak żadnej wiadomości o ich utworzeniu udzielić nie jest w stanie, bowiem nikt nie pamięta z sąsiednich siół, jakich sięgają czasów. Należą do dóbr Itowa, z lewego brzegu Wisły położonych, jak niemniej i kępy wśród wód Wisły wystające rozkosznie, podlegają téjże majetności.

Z zachodniej strony o wiorstę lub odległej spostrzegamy wieś Drwały, nad brzegiem Wisły mającą swoje zabudowania i ogrody.

Okopy te w czasach późniejszych nieraz stały się obroną w zamieszkach wewnętrznych kraju. Zdaje się, iż przystęp do nich był z strony wschodniej, tojest z strony miasta; tu na przekopie mógł być most zwodzony na łańcuchach, i brama ostrokołem otoczona, i w tym sposobie ubezpieczona.

*Wincenty Hippolit Gawarecki.*

---

*Rys historyczny szkoły technicznej w Krakowie, od r. 1834  
do r. 1852.*

Nauki techniczne, olbrzymim krokiem postępujące na Zachodzie, rzucają swe światło i na nas, ale my je odpychamy i zatykamy na naszą szkodę oczy. Wywozimy skóry, wełnę, cynk za granicę, i sprzedajemy prawie darmo; ubieramy się potem w suknie z naszych surowych przetworzone płodów i przepłacać je musimy!

Gdzież mamy zakłady, gdzież mamy fabryki, gdzież mamy towarzystwa na podobieństwo Anglii? Gdzież mamy ludzi, którzyby owemi zakładami kierować mogli?— Nie ma ich, a przynajmniej ich dotąd nie było.

Tą myślą powodowany b. Senat rządzący wolnego miasta Krakowa i jego okręgu, założyć postanowił w Krakowie szkołę techniczną,

(1) Naruszewicz w *Podróży króla Stanisława Augusta IV do Kaniowa*, część I str. 12.



w miejsce znieść się mającej szkoły licealnej św. Barbary. Cześć mu za to dobroczynne dzieło! cześć tym, którzy myśl tę wykołysali!

W skutek odezwy nadzwyczajnych pełnomocnych kommissarzy trzech opiekuńczych dworów z dnia 16 sierpnia 1833 roku do Wysockiego Senatu wydanęj, tenże uchwałą swoją z dnia 3 października 1834 roku do nru 6886 D. G. S. zatwierdził plan nauk dla szkoły technicznej i szkoły wydziałowej z instytutem technicznym połączonej, zarazem zanominował dyrektora i professorów w tymże instytucie pracować mających, i lokal w gmachu kollegiaty św. Barbary, tymczasowo przeznaczył. Pod dniem 20 października 1834 roku kommissarz rządowy przy instytutach naukowych, stosownie do wyżej powołanej odezwy Wysockiej Kommissyi organizacyjnej, szkołę malarską z instytutem technicznym połączył, która dla braku miejsca w kollegium św. Barbary, w dawnym swoim lokalu na jakiś czas zostawała. Nauki przeto w nowo zaprowadzonej szkole technicznej do końca roku szkolnego 1835, tojest do ostatniego lipca w gmachu kollegiaty św. Barbary przy Małym Rynku (1) odbywać musiano (2).

W roku szkolnym następnym (18<sup>35/36</sup>), rozpoczął instytut techniczny swe prace jeszcze w gmachu św. Barbary, z powodu, że gmach przy ulicy Gołębięj, niegdyś z seminaryum akademickiego i bursy Żyzyniusza w jedną całość przeistoczony. uchwałą Senatu rządzącego z dnia 23 sierpnia 1835 wydaną, instytutowi naukowemu zwrócony, przez milicyą krajową jeszcze był zajęty.

Częstkowe usuwanie się milicyi, jako też przedsięwzięta repara-cya i odpowiadająca potrzebie szkolnej w całej budowie sal przemiana, nie dały się tak nagle skutecznic. Dopiero w połowie listopada, rozpoczęły się regularnie lekcy w gmachu przy ulicy Gołębięj, obecnie przez instytut zajęty, a przez ojcowską Senatu nad nowo zaprowadzonym instytutem opiekę, dostatecznie, ile fundusze i czas dozwalały, wyrestaurowanym. Uczniów z początkiem roku szkolnego było w klas-sach szkoły wydziałowej 289, na kursach technicznych 63, w szkole malarskiej 27. Zgromadzenie professorów powiększyło się kilka indy-widuumi uczącemi, jak lista zgromadzenia professorów i nauczycieli w programmacie na tenże rok wskazuje. Do przedmiotów wykładanych w instytucie, przybyły w kursie III nowo zaprowadzonym: archi-tektura, mechanika, geometrya wykreslna i analityczna, mineralogia i teoria gospodarstwa wiejskiego. Fundusze na opędzenie potrzeb szkolnych, kancelaryą, pomnożenie gabinetów, na doświadczenia che-miczne i fizyczne, w tym roku oprócz opłaty minerwalia (czesne) zwa-nęj, rocznie po 4 złp. w szkole wydziałowej, a po 8 w szkole techni-cznej przez uczniów składanej i na użytek téjże szkoły przeznaczonej, o 1,600 złp. jaką przedtém na najem lokarów szkolnych w kollegium św. Barbary i szkoły malarskiej w gmachu przy ulicy Grodzkiej (3),

(1) Gdzie dziś szkoła wydziałowa.

(2) Programmat szkoły technicznej na rok 18<sup>34/35</sup>.

(3) Dom narożny naprzeciw kościoła św. Jędrzeja leżący, dziś na koszary zajęty, był dawniej szkołą malarską.

aż do przeniesienia szkół rzeczonych, do teraźniejszego gmachu instytutu technicznego, corocznie opłacał.

Z początkiem tegoż roku w miesiącu maju, zaprowadzono warsztat (narząd) stolarski, w celu wyrabiania nowych modeli machin, służących do wykładu mechaniki, jako też reparowania dawniejszych zepsutych, z uniwersytetu do szkoły technicznej przeniesionych; wprawiali się nadto w nim uczniowie po godzinie codziennie w nabywaniu zręczności robienia modeli tak mechanicznych, jako też architektonicznych, do czego dosyć chęci okazywali. Przybyło tym sposobem do gabinetu mechanicznego kilka modeli machin bądź nowych, bądź reparowanych. Również i gabinet mineralny zubożonym został zbiorami mineralnemi oryktognostycznym i ekonomicznym, sprowadzonymi z Heidelberga, 800 sztuk minerałów obejmującemi. Do pracowni chemicznej przybyło kilka narzędzi nowych, a gabinet chemiczny, pomnożył się znaczną liczbą utworów, jako też i naczyń. Szczupły gabinet zoologiczny liczył wówczas 60 ptaków i zwierząt, po większej części przez uczniów szkoły technicznej wypchanych, a botaniczny zwiększył się zbiorami roślin w czasie kilku wycieczek zebranych i zdeterminowanych. Do biblioteki zakupiono kilka nowych dzieł technicznych, a tak biblioteka jako też i gabinety, pomnożyły się darami osób instytutowi przychylnych i o wzrost jego troskliwych (1).

W roku trzecim istnienia szkoły technicznej, a mianowicie w roku 18<sup>36</sup>/<sub>37</sub>, przy dalszém się jęj rozwijaniu, zaprowadzono kurs IVty. w którym uzupełniono kurs nauk: architektury, mechaniki, matematyki wyższej, geometrii wykreslnej, mineralogii, chemii i teorii gospodarstwa wiejskiego. Otworzono także w niej szkołę handlową, jednym obsadzoną professorem. Zaprowadzono również kamieniorytnią, któraby mogła dostarczać wzorów i potrzebnych rysunków, jak niemniej, w którejby można było robić odciski skryptów professorskich (2).

Oddany ogród Laskiewiczowski w tymczasowe posiadanie instytutu, w drugiej połowie miesiąca maja nie mógł być zaraz urządzonym jakby należało; zrobiono wszakże w nim tyle, ile w miarę szczupłego funduszu szkolnego, w tak późnej porze roku zrobić można było. W roku tym zapisanych uczniów do instytutu było 370, a w szkole handlowej 52. Nauki przyrodzone i na doświadczeniach oparte, wykładano z okazywaniem tychże o ile fundusze dozwalały, tak dla pożytku młodzieży, jako też dla przekonania publiczności o nieznanym naówczas korzystnych użyciach wielu płodów krajowych i zastosowaniu niektórych aparatów i modeli w praktyce; w tym celu np. urządzono aparat w laboratorium chemiczném do zbierania gazu z węgla i oświetlenia nim pokoiów i ulic, co w kilku wieczorach grudniowych w gmachu technicznym miało miejsce, w którym dwie sale, sień i ulica, przez wystawioną dużą lampę, gazem oświetlone były, czego nawet były Senat rządzący zażądał, w celu przekonania się, czyli węgiel krajowy (w Jaworznie i Dąbrowy)

(1) Program. r. 18<sup>35</sup>/<sub>36</sub>.

(2) Takim dziełem litografowanym jest: Nauka budownictwa dla uczniów szkoły technicznej przez Felixa Radwańskiego profesora.

na koks i na gaz użytym być może. Gabinetu w tym roku wiele się powiększyły, jużto zakupionemi dziełami, już też różnemi darami.

W roku 18<sup>37/38</sup>, szkoła techniczna czwarty rok swego bytu rozpoczęła. Do przedmiotów naukowych na szkołę tę przepisanych, zapowiedziano technologią i tokarstwo. Lubo szkoła w czwartym za ledwie roku swego istnienia nie mogła jeszcze stanąć na tym stopniu, na jakim są tego rodzaju zagraniczne instytuta, wydała przecież kilku kurs IV kończących, a do odpowiednich swemu powołaniu zatrudnień uzdolnionych młodzieńców.

Budżet téj szkoły o złp. 14,268 powiększono, tak, że całkowita summa na jęj utrzymanie do złp. 68,268 podniesioną została. Uczniów w tym roku zapisanych było 357, a w szkole handlowej 38. Litografia trudniła się właściwemi wyrobami, a uczniowie znaczne w rysunku czyniący postępy, wprawiali się w stosowne do ich uzdatnienia roboty na kamieniu rylcem albo krédką. Biblioteka, gabinety, laboratoria, zaopatrzone znacznie zostały w książki, modele, maszyny i aparata. (1).

Ażeby się przekonać o dobrych chęciach b. Senatu rządzącego i niektórych obywateli Krakowa (mówię niektórych, bo większa część nie pojmowała tego zakładu), dość jest przejrzeć grube stopy akt i korespondencyj w tym celu przeprowadzonych. Sejm owęj Rzeczypospolitej w r. 1838, agitujący się właśnie, również wziął na uwagę obok innych instytutów naukowych i szkołę techniczną. Delegowany na sejm ze strony senatu, senator Sobolewski, odczytał sprawozdanie o stanie Rzeczypospolitej, a następnie przechodząc z porządku do stanu oświaty, tak się o szkole technicznej wyraził: „Co do szkoły technicznej, lubo szczupłość funduszków, które na uposażenie liceum św. Barbary służyły, a które na utrzymanie szkoły technicznej obrócone zostały, nie pozwalały jęj dotąd nadać takiego rozwinięcia, jakieby z ważnego swego przeznaczenia mieć mogła; przecież starał się rząd krajowy, ażeby w miarę nastęrczającej się sposobności, dać jęj popęd ile możności na pożytek młodzieży wpływać mogący i posłużyć do usposobienia uczniów ku przyjęciu wyższych nauk, które w zupełném tego zakładu rozwinięciu wykładanemi być mają. Przygotowany w tym celu etat, znaczne wprawdzie przedstawia wydatki, lecz pożytki, które nam zakład ten rokuje, przeważają ofiarę, którą krajowi na ten cel złożyć wypada, bądź na uposażenie nauczycieli, bądź na opatrzenie gabinetów, bez których wykład téj natury nauk, nie mógłby przynieść oczekiwanych korzyści. Rząd krajowy uczynił kroki względem pozwolenia do uczęszczania uczniom z poblizkich cyrkułów Galicyi na nauki do tutejszych szkół technicznych i t. d.”

Na co reprezentant Zygmunt Helcel w zabranym przez siebie głosie oświadczył: „Wspomniano jest w zdaniu sprawy o szczególniejszém ze strony Senatu dawanym popędzie szkole technicznej; staranność tę rządu trafnie zwróconą do owęj szkoły, każdy z was pewnie szanowni reprezentanci wraz ze mną uwielbia, lecz byłoby do życzenia, abyśmy przecież i o rodzaju tego popędu i zastosowaniu go w całej sferze oświa-

(1) Program. r. 18<sup>37/38</sup>.

ty naukowej, dokładniejszą powzięli wiadomość. Błogoby nam wtedy było dowiedzieć się, jak rząd wspierał uczonych usiłowania, lub wysyłał kosztem publicznym za granicę wiele obiecujące indywidua, jak zagrzewał towarzystwa naukowe, przeznaczał nagrody za ważne literackie zadania, słowem, jak się starał, abysmy zajaśniali na tój jedynéj i szlachetnéj drodze, na którój mieszkańcy tutejsi mogą się godnie obok innych krajów, a mianowicie obok sąsiednich, odznaczać." (1).

Oto jest obraz chęci i usiłowań tak rządu krajowego, jak również i sejmu. Wszystkie te usiłowania i te ku dobremu celowi dążenia, odniosły pożądaný skutek. Szkoła techniczna z rokiem następnym 1838 powiększyła się o kurs Vty, i z każdym rokiem następnym ubogacana jakim nowym funduszem pieniężnym lub téż książkami do biblioteki, stała się szkołą więcéj do zagranicznych instytutów technicznych zbliżoną, i mogącą już w r. 1840 porządnie i obszernie nauki gałęzi technicznój dotyczącej w całej wykladać obszerności.

Następuje rok 1841, a siódmy istnienia zakładu. Ogień wybuchł w bursie Jeruzalem, ulicą tylko od szkoły technicznój oddzielonéj, pożerający dachy, ganki, schody téjże bursy, i zmuszający wychowanców w nocy do ucieczki, pożera również szkołę techniczną, niższy gabinet mineralogiczny, zoologiczny i technologiczny, salę malarstwa i niektóre kursa, tak, że lekcyje w miesiącu ostatnim wykladane już być nie mogły (2). Wszelako troskliwość i ojcowska opieka Senatu, jak również gorliwość ówczesnego jój dyrektora ś. p. Ludwika Kosickiego, przywróciły jój byt, tak, że z końcem wakacyi, t. j. w październiku tegoż roku już nauki w gmachu technicznym wykladane były. W tym peryodzie zaprowadzono przy szkole technicznój szkołę niedzielną dla rzemieślników, na sposób szkół w tym celu za granicą istniejących, którą szczególniej zajął się p. Michał Łuszczkiewicz dr. fil. ówczesny professor fizyki, a dzisiaj szkoły technicznój dyrektor.

Duch dzisiejszego wieku, mówi Maryus Wölfer, wymaga nietylko obeznanych z matematycznymi wiadomościami wysokich urzędników państwa, ale również rzemieślników. Szkoła ta wszelako nie utrzymywała się długo, dla braku w niéj uczniów; bo u nas jeszcze młodzież rzemieślnicza, na barbarzyńskich opiera się tradycyach!...

Wedle ostatniego programmatu szkoły technicznój z r. 1849 przekonać się możemy o stanie nauk i o sposobie ich wykladania. Rzeczto nader ważna, i dlatego umieszczam ją tu w całości, jak się w programmacie na ten rok znajduje.

Instytut techniczny krakowski obejmuje w sobie: szkołę właściwą techniczną, szkołę sztuk pięknych, i szkołę muzyczną.

a) *Szkoła techniczna* przez wykład nauk i zastosowanie, przez połączenie różnych przedmiotów naukowych między sobą, sposobi uczniów do obranego na przyszłość przez siebie zawodu technicznego

(1) Dyaryusz sejmu wolnego miasta Krakowa r. 18<sup>37/38</sup>.

(2) Pożar bursy Jeruzalemskiéj i szkoły technicznój nastąpił z dnia 25 na 26 czerwca 1841 roku.

w różnych gałęziach: budownictwa cywilnego, inżynierii cywilnej, mierznictwa, fabryk chemicznych lub zawodu rolniczego. W wewnętrznym swoim urządzeniu, dzieli się na 5 jednorocznych kursów; z tych kursa I, II a w części i III są przypotowawcze do nauk wykładanych w kursach wyższych. Wykład każdego przedmiotu naukowego tak w kursach niższych, jako też i wyższych, stanowi w sobie całość nauki. Na nauki w kursach I, II i III wykładane, wszyscy uczniowie bez wyjątku są obowiązani uczęszczać, na nauki zaś w kursie IV i V, według obranego przez ucznia na przyszłość zawodu technicznego.

Poświęcający się architekturze lub hydraulice, mają sposobność dalszego kształcenia się za granicą z funduszu śp. Leduchowskiej, akademii krakowskiej na ten cel legowanego.

Przyjmowanie do szkoły należy do dyrektora, oraz do tego delegowanych professorów, którzy przejrawszy i rozważywszy świadectwa złożone przez ucznia przybywającego z innych szkół, lub odbywszy z nim stosowny examin, wskażą mu kurs lub nauki, na które w szkole technicznej uczęszczać może. Umieszczona przy szkole nauka jeźdzenia konno służy do ćwiczeń gimnastycznych, z których uczniowie instytutu naprzemian z uczniami uniwersytetu co pół roku korzystają.

b) *Szkola Sztuk Pięknych.* Pod nazwą akademii sztuk pięknych utworzoną została w r. 1817, statutem zaś z tegoż roku z uniwersytem Jagiellońskim połączona, a przez kommissją reorganizacyjną w r. 1833 do instytutu technicznego przeniesiona. Szkoła ta ma na celu kształcić młodzież na artystów w pełnym znaczeniu, a mianowicie na malarzy i rzeźbiarzy. W niej naucza się rysunków w całej rozciągłości, począwszy od kreślenia linii, aż do umiejętnego obrazowania natury. Szkoła ta zaopatrzona jest w wzory właściwe do każdej klasy; młodzieży dana jest sposobność dalszego kształcenia się za granicą z funduszu 3000 złp. budżetem krajowym na ten cel odkazanego, oraz z funduszu rocznego 4,000 złp. ś. p. Elżbiety Skotnickiej, mającego być wypłacanym przez posiadacza galerii obrazów, przez zmarłą na ten cel przekazanej.

c) *Szkola Muzyczna,* rozpoczynając od pierwszych początków i zasad muzyki, kształci na artystów śpiewu dramatycznego, śpiewu choralnego, organistów i członków orkiestry na instrumentach smyczkowych i dętych. W szkole tej mieści się dawna instytucja, bursą muzyczną zwana, w której czterech uczniów ma bezpłatnie naukę i mieszkanie w gmachu szkolnym.

*Przedmiota i professorowie* takowe w szkole technicznej wykładający, są następujący:

1) Religia, ks. Henryk Macke, kanonik honorowy; 2) kalligrafia, Nowakowski; 3) język polski, Jan Nepomucen Nowiński NN. WW. i Fil. Mr. C. T. N. K. autor wielu prac literackich nader ważnych, dotąd w rękopismach zachowanych, członek byłego Towarzystwa przyjaciół muzyki, w roku 1818 zawiązanego w Krakowie; 4) język niemiecki, Kazimiérz Ramza (zmarł 1851 r.); 5) język francuzki, Gabryel Lauvernay; 6) język rossyjski, Hieronim Mecherzyński Mag. Fil; 7) historia i geografia, professor języka polskiego; 8) matematyka w całej obszerności, w kursach niższych: Załeski i Tomaszewski; w kursach wyższych

Paweł Brzeziński dr. fil.; 9) geometrya wykreslna, Teofil Zahalka, inżynier-mechanik, były uczeń szkoły centralnej paryzkiej i sekretarz Tew. Agr.; 10) historia nat. w trzech królestwach: Zenon Hałatkiewicz, magister farmacyi, autor dzieła: Światło jako ogniwo, jednoczące świat wewnętrzny z zewnętrznym, i wielu rozpraw pożytecznych; 11) chemia, Karol Mohr magister farmacyi; 12) mechanika, Paweł Brzeziński; 13) technologia, Teofil Zahalka; 14) budownictwo lądowe i wodne, Felix Radwański, autor wielu prac budowniczych, częścią ogłoszonych drukiem, a w większej ilości spoczywających w rękopismach; 15) mierznictwo, Józef Zaleski; 16) rolnictwo, Zenon Hałatkiewicz; 17) buchalterya, Antoni Polzer; 18) nauka handlowa, tenże; 19) nauka rysunku, Jan Wojnarowski; 20) litografia, Piotr Wroński (zmarł); 21) nauka stolarstwa, Ignacy Krupiński; 22) nauka jeźdzenia konno, Wincenty Boznański.

#### *Szkoła Sztuk Pięknych.*

1) Malarstwo, Wojciech Korneli Stattler C. T. N. autor wielu dzieł pod względem sztuki znakomitych; 2) rzeźbiarstwo, Henryk Kosowski; 3) rysunki krajo widoków, Alexander Płonczyński; 4) lit. i perspektywa, Felix Wroński.

#### *Szkoła Muzyczna.*

1) Śpiew dramatyczny, Franciszek Mirecki C. T. N.; 2) granie na organach i śpiew chóralny, Wincenty Gorączkiewicz; 3) granie na instrumentach smyczkowych, Wincenty Studziński; 4) granie na instrumentach dętych, Piotr Studziński.

W roku 1850 dnia 18 lipca, pożar niszczący połowę Krakowa, przedarł się i na ulicę Gołębią i powtórnie gmach szkoły technicznej, jej gabineta i laboratorya w kupę gruzów zamienił. W tymże czasie, ś. p. Józef Podolski dr. fil. dyrektor téjże szkoły, dla poratowania nadwątłego zdrowia, oddalił się z Krakowa na czas niejaki do kąpieli w Szczawnicy. Wiadomość o spaleniu się Krakowa przyspieszyła mu zgon, skróciła jego pełne pracy i wielkich nadziei życie (1). Nieba jednakże i tą razą nie zapomniały o szkole technicznej, wkładając jej kierunek w ręce z tylu miar szanownego męża Michała Łuszczkiewicza dra fil. C. T. N. Kr. Onto za usilném swoim staraniem, gmach dawnéj szkoły szczupły, podług nowego planu urządził, i do piérwszych gmachów pod względem architektury wyniósł. Łagodny jego charakter, umiejętne postępowanie z professorami i uczniami, jedna mu coraz więcej przyjaściół, a zasługi i prace, niezapomniane wawrzyn wdzięczności u późnych pokoleń gotują!

(1) Józef Podolski urodził się w roku 1803 z ojca Jana i matki Magdaleny z Radomyskich Podolskich, we wsi Motkanicach w gubernii krakowskiej; zmarł w Szczawnicy dnia 30 lipca 1850 roku.

*Jan Pietraszek*

b, uczeń tegoż instytutu.

*Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

Wrocław, dnia 11 czerwca 1852 r.

Przejeżdżając tedy do Poznania, zatrzymałem się godzin kilkanaście, ażeby obejrzyć wystawę płodów przemysłu Szlązka, i zdać Bibliotece Warsz. króciutką sprawę o niej, jeżeli jeszcze zakład nasz nie odebrała dokładnego i szczegółowego opisu.

Rycina na czele listu tego umieszczona dowodzi, że Szlązacy w miniaturze chcieli naśladować budynek wystawy londyńskiej, z tą różnicą, że tamten był z żelaza i szkła, a wrocławski jest sobie szopą drewnianą z boków oszkloną, i nakrytą cynkiem.

Jakkolwiekby, budynek ten zajmuje niemal tyle miejsca jak arsenał berliński, w którym, lat temu kilka, ostatnia wielka wystawa pruska odbyła się, a na której figurował i Szlązk jako prowincya państwa pruskiego.

Porównyując z pamięci to, com szląckiego widział na téj ogólnej wystawie, z tém, na co dziś patrzyłem, wyznać muszę, iż Szlązacy ogromne od owéj epoki uczynili postępy we wszystkich gałęziach przemysłu. Zacznijmy od rolnictwa i jego surowych płodów.

Dawne niesie przysłowie, że Szlązk jest miodem i mlekiem płynący; dodać można, iż codziennie staje się we wszystko bogatszym. Rolnictwo znajduje się w nader kwitającym stanie: gdziekolwiek się spojrzy, wszędzie widać niwy w płodozmianach doskonale uprawione i błogie obiecujące zbiory. Do rozmnożenia bez liczby gromad owiec rasy udoskonalonej, wydających śliczną wełnę w ogromnych massach, bydła rogatego prześlicznego, oraz koni wielkich, mocnych i pięknych, nietylko się rząd przyczynia z niezmierną usilnością, ale i towarzystwa właścicieli ziemskich, na akcyje pozakładane prawie we wszystkich powiatach, dające wynagrodzenia gospodarzom za okazy najcenniejszych zwierząt domowych, które chętnie od innych nabywają i między sobą losują.

Nie mogłem się oderwać od dwóch sal wystawy, gdzie są rozłożone cudownej piękności runa owiec z najcenniejszych owczarni szląckich. Każdy obeznany z przemysłem owczarskim, znajdzie tam zupełne zadowolenie; cóż dopiero, gdy przejrzy maciory i tryki po owczarniach, i przekona się jak to wszystko jest utrzymane i prowadzone: nie dziw więc, iż wełna stanowi najznamienitszą część dochodów mieszkańców Szlązka. Bogacą ich i płody rolnicze, jak zboże, buraki cukrowe, tytoń, len i konopie, które powszechnie tak są obfite i piękne, jak rzadko u nas się zdarza, i dlatego żal ściska serce na wspomnienie, że u nas przy téj saméj dobroci ziemi wszystkoby tak samo być mogło, a nie jest!! Nie dość, że Szlązk posiada taki ogrom płodów surowych; wyrabia je sam po większej części, mianowicie wełnę, lny i konopie na sukna, płótna, a nasiona tłuste na oleje; skór surowych mało co wyprowadza, ale je wyprawiają w różnych kształtach. Od płodów surowych rolnictwa zwróciłem się do płodów surowych górniczych i lubo te są mi od dawnego już czasu znane, nie mogłem się przecież nadziwić tym bogactwom ogromnym mineralnym, Cóżto za rozliczne i jedne od drugich lepsze węgle

kamienne i koksy z nich produkowane. Co za obfitość i wydajność rud żelaznych, ołowianych, cynkowych i srebrnych. Ostatnie w górach Tarnowskich, niegdyś w czasie wojen ze Szwedami zalane jak nasze Olkuskie, zdołał Fryderyk Wielki mimo wojen w które był zaplątany i kłopotów pieniężnych osuszyć, i tysiące ludzi ma zatrudnienie w kopalniach i hutach, z których skarb publiczny znamienite ciągnie korzyści. Za minerałami surowymi następują wyrabiane z nich metale, żelazo, cynk, ołów i srebro. Żelaza i cynku krocie tysięcy centnarów wyrabia Szlązk: pierwsze w najrozmaitszych szynach, odlewach, blachach, drucie i innych wyrobach; drugi w tablicach na handel zewnętrzny, w odlewach cudownych, w blachach na dachy i na wyroby blacharskie, które są śliczne. Lat temu 30, kiedy się trudniłem na wielką skalę fabrykacją cynku, i takowemu odbył zwiększyć usiłowałem, rzuciłem był Gaissovi myśl, aby odlewy z cynku robił. Usłuchał téj rady i unieśmiertelnił imię swoje odlewami z tego metalu, które za arcydzieła uważać można. Znaleźli się i w Wrocławiu naśladowcy artyści berlińskiego: oglądałem na wystawie dwóch kolosalnych hallabardzistów, hiszpańskiego i niemieckiego, Chrystusa naturalnej wielkości ukrzyżowanego, kilka posągów podług starożytnych wzorów przez p. Wogt odlanych, które nic do życzenia nie zostawiają i zadziwiają swą taniością. Pomyślałem sobie, jakby to było dobrze, gdyby w kraju naszym założono warsztat takich odlewów i w ten sposób następczo odbył nowy dla naszego cynku.

Brakujące posągi w ogrodzie Saskim, możnaby tanio dopełnić, i w ten sposób prywatne ogrody ozdobić. Wszelkie posągi ku ozdobie szczytów domów robionoby z cynku, i wszelkie ozdoby do świątyń i domów, a to wszystko taniiej jak z kamienia, który w naszym klimacie jest nietrwały, kiedy cynk wieki przetrwa, i nie traci nigdy swój wewnętrznej wartości. Zachęcałem więc p. Wogt, aby zaraz w Warszawie założył warsztat odlewów takich cynkowych. Wyroby z żelaza wielki w Szlązku uczyniły postęp; maszyny rolnicze, narzędzia wszelkiego rodzaju rzemieślnicze, prasy hydrauliczne i maszyny do robienia cukru, i wiele innych tak z lanego żelaza, jako téż z kutój i walcowanej blachy, nie do życzenia nie pozostawiają tak pod względem dokładności roboty, jako téż cen umiarkowanych.

Pojazdy okuwają dobrze, i w ogólności robią lepiej w Szlązku, jak dawniej; tylko są jeszcze zacieężkie i niedostaje im elegancyi kształtów. Wagony do kolei żelaznej, które już i po naszej są używane i znane, znalazłem z pojazdów najlepsze.

Zadziwiający postęp widzieć się daje w fabrykacyi maszyn do przędzenia i tkania bawełny, lnu i wełny.

Wszelkie wyroby blacharskie są prześliczne; wanny z cynku, wydają się jakby ze srebra polerowanego. Toż powiedzieć można o wyrobach mosiężniczych, kotlarskich i dzwoniarskich. Sukna i płótna szląskie powszechnie są znane, mianowicie ze swój taniości. W tych dwóch przemyślach, również jak w tkaninach bawełnianych, widać znamienite udoskonalenia.

Któż z uczęszczających do wód szląskich, nie widział i nie kupił ślicznych wyrobów szklanych, porcelanowych, fajansowych i glinianych?



Tegoroczna wystawa wrocławska odznacza się pięknnością i wielkością tych wyrobów. W malowaniach na porcelanie są wielkie postępy, również jak w drukach na fajansie, a kształty tak wyrobów szklanych, jako też porcelanowych, fajansowych i glinianych, są coraz nadobniejsze; nadewszystko płody te odznaczają się taniością.

Znaczne miejsce na wystawie zajmują meble i różne wyroby stolarzkie. Wszystkie z niezmierną pracowitością są wykonane, i zadziwiają przystępnością cen; szkoda tylko, że im brak prostoty i piękności kształtów, i śmiało twierdzić można, iż nasz Symler i kilku innych warszawskich stolarzy, daleko stoją wyżej pod tym względem, ale sobie też za to każą drogo płacić.

Widziałem i trumnę nader ładną i starannie wykończoną; tak jest schludna i kwiatami sztucznymi wszędzie ubrana, że aż chęć bierze w nią się położyć; nawet poduszka puchem wystłana, aksamitem szytym pokryta, kwiatami jest uwita. Prawdziweto ostatnie schronienie dziewicy nadobnej, zawczasie z tego świata na drugi powołanej.

Bronń wszelka piękna i niedroga; toż samo powiedzieć można o wszystkich wyrobach ze stali. Roboty tokarskie i parasolnicze nader dokładne, kształtne i bardzo tanie.

Fabrykacya papierów, obić, oprawa książek, poszły w górę i zalecają się płody tych przemysłów taniością.

To samo powiedzieć można o wyrobach chemicznych.

Obuwie wszelkiego rodzaju lubo mocno szyte, a niektóre nawet bez szwów, i robione z dobrych materyałów, nie może się równać z warszawskiem pod względem kształtów i elegancyi; ale za to jest nierównie tańsze od warszawskiego.

Wyroby złotnicze i jubilerskie znalazłem zaciężkie i bez elegancyi, jaką się wyroby tego rodzaju innych stolic odznaczają. O wyrobach rymarskich i siodlarskich to samo powiedzieć można, co się rzekło o pojazdach.

Rękawiczki są piękne i tanie.

Wszelkie wyroby krawieckie gotowe z dobrych materyałów tak są tanie, że trudno pojąć, jak krawcy na swoje wyjść mogą. Bielizna gotowa pięknie szyta, z dobrych płócien; ceny mierne. Nie mogłem odgadnąć, co znaczą na wystawie wrocławskiej futra amerykańskie? Wszakże to nie są płody ziemi szląckiej. Może poprzyklepanemi na nich nader niskimi cenami, chciano zwiedzających zachęcić do ich nabycia.

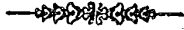
Widziałem na wystawie wrocławskiej pierniki dwa sążnie długie, sążni szerokie, a kilka cali grube; pytanie czyli smaczne, bo trudno było sobie taki kupić na skosztowanie i schrupanie.

Uderzyła mnie taniść cukru burakowego rafinowanego, w różnych gatunkach, a przecież w Szlązku czynsz z ziemi na której się buraki roszą wynosi przeszło 200 złp. z morgu o połowę mniejszego od naszego. Drzewo opałowe jest droższe jak u nas, a robota nie tańsza. Warto, aby zagadkę tę nasi posiadacze cukrowni starali się dokładnie zbadać i rozwiązać, bo w tém leży cała pomyślność ich zakładów, wielkimi kapitałami wzniesionych.

Otóż jest, co w poglądzie spieszonym dostrzegłem najważniejszego na wystawie wrocławskiej. Przepraszam że tak mało; ale pomyślałem sobie: lepiej coś jak nie; zresztą nie wątpię, że Biblioteka otrzyma zkad- inąd dokładniejsze opisy, więc jedno drugiem się dopełni.

*K. L. W.*

*P. S.* Dziś król Jmé pruski przybył tu na obejrzenie wystawy. Wszystkie cechy i korporacye z muzykami na czele wystąpiły, i cała ludność miasta wyległa na powitanie monarchy. Oświecono miasto, poszedłem się przypatrzeć; ale po naszych uroczych oświetleniach łazienkowskich nie mogło mi się tutejsze podobać, chociaż i na wieżach kościołów światła błyszczały: nawet starożytny ratusz miejski, którego gotycka budowa oświetlona jak należy, cudownie wydawałaby się mogła, nie zrobił na mnie wrażenia.



# WIADOMOŚCI

## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

William Spence, prezes Tow. entomologicznego londyńskiego, zagajając roczne posiedzenie jego w dniu 22 stycznia 1849 r., tak przemówił: „Ażeby całkowicie ocenić ważność entomologii pod względem krajowego gospodarstwa, wypada nam zważyć nietylko na krocie tysięcy funtów szterlingów, które tracimy corocznie z przyczyny szkód zrządzanych przez tak nazwaną muchę chmielową, przez skoczozłotkę warzywną (*Haltica oleracea*), przez pendraki, zbożowego wołka i niezliczone owady po nieprzyjacielsku nachodzące śpichrze, pola, ogrody nasze; ale musimy obrócić wzrok i na osady nasze, jak np. na Australią, gdzie, jak p. Thwaites donosi, niekiedy cały plon kartofli pada ofiarą zniszczenia przez kartoflową pluskwę (?); albo na Indyje Zachodnie, gdzie do niezliczonego tłumu owadów cukrową trzcinę zwyczajnie niszczących, jeszcze się teraz przyłączył na Barbadoes gatunek czerwca, którego okazy przysłał nam dr. Davy, gdy na téjże wyspie opisana przez Sir Roberta Schomburgk drobna mąkówka (*Aleurodes*) prawie wszystkie palmy kokosowe zniszczyła; albo na Indyje Wschodnie, gdzie cały zbiór bawełny często dotkliwych klęsk doznaje z przyczyny niezupełnie jeszcze poznanego owada; albo na wyspę Ceylon, gdzie według listowych zawiadomień gubernatora lorda Torrington z przeszłego roku, pluskwa kawowa (gatunek czerwca mający być oranżeryjnemu [*Coccus adonidum*] bardzo podobny) w ostatnich latach tak szkodliwie wystąpiła, że w jednej plantacyi, zbiór z 2,000 centnarów, nagle spadł na 700: a dr. Gardner mówi że podobne straty w uprawie innych roślin zrzucił ten sam owad, który oblega drzewa pomarańczowe, gruszklin (*Psidium*), mirty, róże i t. d., tak, iż w botanicznym ogrodzie w Kalkucie nie ma ani jednego drzewa, któreby z powodu tego pasorzyta nie ucierpiało.

Z postrzeżeń przez Gardniera zebranych (w *Gardener's Magazine* z d. 7 paźdz. 1848 str. 667), zdaje się, że ta kartoflowa pluskwa przybyła na Ceylon z niektórymi drzewkami kawy mokańskiej z Kantonu, a gdyby te drzewka były oczyściły się z robactwa, cejlońscy plantatorowie kawy

byliby pewnie uniknęli téj krajowój klęski. Ale dlaczegóż tych prawideł przezorności nie przedsięwzięto? Dlatego, że ci plantatorowie kawy nie znali wcale entomologii. Gdy szwedzki naturalista Kalm w grochu, który z północnej Ameryki przywiózł, ziarnowca grochowego (*Bruchus pisi*) odkrył, nadzwyczaj niepokoiła go myśl, iż niektóre z tych szkodliwych owadów mogłyby rozejść się, a on, może nie z umysłu, kochanej ojczyźnie swojej wielkiby cios zadał: i gdyby cejloński kawy plantator któremu kawowe drzewka przysłane zostały, miał był najmniejszą entomologii znajomość, byłby on te drzewka dokładnie wy badał, wiedziałby bowiem, jak łatwo z obcych krajów szkodliwe owady z żyjącymi roślinami wprowadzone być mogą.

Mamy więc w téj okoliczności uderzający przykład pożytku któryby uczenie entomologii we wszystkich szkołach, od najwyższych do najniższych, przynieść mogło. Każdy rolnik obeznałby się nietylko ze szkodliwymi owadami, ale i ze środkami przeciwko nim użyć się dającymi. Nadewszystko zaś życzyć należy, ażeby wszyscy w odległe wędrujący kraje, o ile można, zaopatrzeni byli w gruntowne wiadomości z nauki o owadach, ponieważ to w nieskończenie wielu przypadkach przyniosłoby im niezrównane korzyści.

W przemówieniu mojem z okoliczności przeszłorocznego zebrania się naszego, zwracałem na to uwagę, jak mało praktycznych tylko, a nie naukowo oświeconych ludzi, zdolnymi są oprzeć się szkodliwym owadom, które im zewsząd zagrażają, i już wtedy namieniłem o godnym uwagi fakcie, że znakomity entomolog francuzki p. Guérin-Ménéville, zasadzoną na zbadaniu sposobu życia mūchy oliwnej (*Dacus oleae*) metodą uczy-nienia tego owada nieszkodliwym, corocznie o wartość 240,000 funtów szterlingów wydatek oliwy pomnożył oliwiarzom południowój Francyi, którzy, pomimo praktyczną biegłość, każdego roku straszliwą ponosili szkodę. Teraz muszę jeszcze wspomnieć, że już przedsięwzięto środki, ażeby i dla naszych plantacyj chmielu, dzielną wynaléź obronę przeciwko ich głównemu nieprzyjacielowi, chmielowój muszce, albo właściwiój mszycy chmielowój (*Aphis humuli*). Ale one nie znajdują się w usiłowa-niach samych włóścian, którzy tę klęskę krajową za gatunek miodowój rosy uznają, którzy sądzą, że nieprzyjazna pora ją sprowadza, i którzy nieszczęście uważają za zesłane z niebios, przeciwko czemu człowiek nie może oręza podnosić: ale się znajdują w badaniach, które dzielny entomolog angielski p. Francis Walker, w przedmiocie sposobu życia téj mszycy przedsięwziął. Trudność co do tego przypadku, głównie w tém zachodziła, że nie wiedziano, w co ta mszyca znosi jaja, z których na wiosnę jéj pład się wylęga. Na chmiel nie mogły być zniesione, bo ta roślina co rok aż do korzenia umiera. Teraz p. Walker doszedł, że samica składa jaja w jesieni na tarninę (*Prunus spinosa*): na wiosnę wykluwają się z nich młode, a że drugiego pokolenia mszyce są skrzydlate, łatwo im przeto na chmiel przelecieć, na którego liściach osiadają stale, i wiadomym powszechnie sposobem nadzwyczajnie się tam rozmnożywszy, niszczą wnet roślinę wysysając z niéj soki. Jeżeli tedy tarń jedyną jest rośliną, na którą mszyca chmielowa jaja składa, musi ta plaga ustać, gdy w okolicach w których chmiel uprawiają, wszystkie krzaki tarniny wytepięone zostaną.

A gdyby, mimo to, mszyce pojedyncze z odleglejszych okolic na chmiel się dostawały, łatwo byłoby je i z małym kosztem wyniszczyć, opatrując dokładnie plantacyą na wiosnę, jak to uczyniłem w r. 1838 w Worcestershire, gdzie kobiety i dzieci z drabinkami do chmielnika zebrane, wszystkie mszyce palcami pogniotły, nie nie uszkadzając liści. Zważywszy, że wygubienie chmielowej mszyce przyniosłoby niektórych lat skarbowi 200,000 funtów szterlingów, a cztery razy tyle plantatorom chmielu, gotowa jest rzecz, że umiejętność, która do takiego wypadku doprowadza, i pod krajowo-gospodarskim względem niemałego jest znaczenia. (T. 1850, nr. 128 z *Annals & mag. of nat. hist.* April 1849).

\* P. Nicolet zamierzył sobie badać krążenie krwi u owadów, na gąsienicach zlatki żółtej (*Cyphon lividus*), które dla swojej przezroczystości bardzo się do tego celu nadają. Naczynie grzbietowe złożone jest ze dwóch części: z sercowej, która ma kształt gruszki i opatrzona jest dwiema klapami, i z umieszczonej przed nią aortycznej, która podobną jest do wstęgi i idzie do głowy. Gdy ten organ rozszerzy się, krew silnie weń wpływa, a ściśnienie się części jego przedniej, wpędza krew do aorty. Podług tego, naczynie grzbietowe odbywa funkcją prawdziwie fizyologiczną, czyniącą zbytecznym krążenie *pseudo-waskularne*, jakiego domniemywa się p. Blanchard. Oprócz tego, wtryskiwanie krwi pomiędzy błony tchawic, zdaje się raczej na przeszkodzie niż na pomocy być ukwaszaniu się tego płynu; bo jeżeli natura, dając owadom tchawice, miała przytém na celu szybko krew w zetknięcie z powietrzem wprowadzać, naówczas nie mogłoby nastąpić szybkie gorenie, dla zbyt szczupłej pomiędzy dwiema błonami przestrzeni, która w stosunku do mocno rozwiniętych komór, jest bardzo mała. (*Id.* nr. 47 z *Bibl. univ. de Genève*, Oct. 1849).

W tymże przedmiocie Leon Dufour ważną ogłosił pracę (*Sur la circulation dans les insectes*. Bordeaux 1849 in-8<sup>vo</sup> 40 p.), znaną już po części z wyciągu drukowanego w *Comptes rendus*, Febr. 1849, a od-tąd dalszemi postrzeżeniami rozszerzaną. (*Id.* nr. 108).

\* P. Felix Dujardin, złożył Akademii um. Par. (21 paźdz. 1850) pracę, w której się zastanawia nad układem nerwowym u owadów. Dowodzi on w niej: 1<sup>ca</sup> Że u niektórych zwierząt stawowatych znajduje się prawdziwy mózg, którego budowa i objętość w zależności zostaje z rozwojem umysłowych zdolności. 2<sup>ro</sup> Że ten mózg, czyli ten górny węzeł kanału pokarmowego, zawiera *corpora pedunculata* otoczone rzadką substancją korową, która jest w mniejszej ilości u owadów z większym pojęciem, a w większej u tych, w których przemaga zmysłność; nakoniec u owadów które jedynie zmysłnością się rządzą, ona znajduje się sama tylko. 3<sup>eci</sup> Że ta rzadka substancja sama jedna także tworzy zwoje tułowowe i odwłokowe (*ganglia thoracica & abdominalia*) które są wyłącznie dla zmysłnościowych funkcyj przeznaczone. (T. 1851, nr. 245 z *L'Institut* 877).

\* Ed. Ferris, *O siedlisku powonienia u zwierząt stawowatych*. Owady muszą mieć nader delikatny zmysł powonienia; przemawia za tém wiele okoliczności. Nieraz przyniesie się samnicę jakiej zanocnicy do środka miasta, a wnet zwietrzają ją i przylatują z odległych miejsc sauce.

Każde ciało zwierzęce w zgniliznę przechodzące, osiadają roje gnilików (*Hister*), omarlic (*Silpha*), grobarzy (*Necrophorus*), much gromadnic (*Sarcophaga*), zaparstnic (*Calliphora*) i innych ścierwowych owadów. Niektóre z nich padają tylko na trupy psów i koni, które jedynie węchem od innych ścierw rozpoznać mogą. Nie ulega tedy wątpliwości, że owady powonienie mają.

Ale który organ jest siedliskiem tego w zadziwiający sposób delikatnego zmysłu? Pytanie to, dotychczas jeszcze bardzo niezgodnie rozwiązywane, autor zamierza sobie rozstrzygnąć stanowczo.

W tym celu rozważa on mniemania wszystkich badaczy dawniejszych i dochodzi nakoniec do przyjęcia, że organ powonienia może mieć swoje siedlisko w różkach.

Autorowie, mówi dalej, którzy różkom odmówili téj własności, zważali nadewszystko na rogowe najczęściej usposobienie powierzchni tych organów; ale rozejrzyjmy je przez mikroskop, a postrzeżemy, że są gęsto okryte krótkimi miękkimi włoskami, tego gatunku puszkami co ów, który wodnym chrząszczom z rodz. *Elmis*, *Parnus* i t. p. ułatwia zatrzymywanie powietrza służącego do oddechu. Podobnego używają, jak wiadomo, i kałużnice (*Hydrophilus*) do odnawiania powietrza oddychaniem zużytego. Różki zatem mają ustrój bardzo zastosowany do pochwywania powietrza i w niém zawartych materij woniejących, które łatwo mogą przez pory dostawać się do środka tych organów, przerosłego nerwami łączącemi się ze zwojem mózgowym, tak, że w tém są zachowane wszystkie organiczne warunki przyjmowania zapachów.

Prawda, że się to nie da dowieść *a priori*; ale i przeciwnikom naszego zdania nie mniej na takich dowodach zbywa; a dla mnie dosyć jeśli uzasadnię moje zdanie gruntowniej, niż wszystkie inne dotąd w téj mierze objawione.

Każdy widzi, że różki mają położenie nader sprzyjające temu, ażeby jako organ powonienia służyły. Tworzą one, jak nos zwierząt wyższej organizacyi, najwydatniejszą część głowy. Leżą bardzo blisko gęby, a u wielu familij mogą się z nią i stykać, tak, że owad wygodnie użyć ich może do rozpoznania swojej żywności po zapachu.

Różki są narzędziami tak ważnemi, że się znajdują u wszystkich zwierząt stawowatych, wyjąwszy pająki, które téż zdają się wcale zmysłu powonienia nie mieć. Gdyby zaś służyły tylko do słyszenia (nie zważając na pośrednictwo zmysłu dotykania, którego im nie zaprzeczam), dla czegożby czerwie miały ich mieć cztery, z których dwa tylko okazywałyby znamiona zmysłu powonienia? Czemuż ich nie ma u mrowiów (pająków), które przecież słyszą? Dlaczegoż znajdujemy je u tylu owadów, które zdają się być zupełnie nieczułemi na tony, a przynajmniej nigdy nie dają się powodować przez słyszenie, a dają przez powonienie? Do czegoż owe osobliwsze, drgające poruszenia różków dogodniej służyłoby mogły, jak do lepszego pochwywania cząstek woniejących? Bo te poruszenia zastępują poruszanie powietrza, które u zwierząt kręgowych wciąganie jego przez nos sprawia.

Jeżeli zaś różki nie mogą być czém inném jak organem słyszenia, powonienia, lub barometrycznym, któryż naturalista nie przyzna im na-

dewszystko funkcyi organu powonienia, jeśli, co także być może, nie łączy się w nich kilka powyższych celów?

Rozumowania te pragnie autor poprzeć doświadczeniami. Uważał jak małeńki pszczołowaty owad z rodz. *Chalcis*, pragnąc za pomocą kolca swojego znieść jaja w płód galasówki *Diptolepis pallidus*, wyraźnie przykładaniem różków do powierzchni galasu rozpoznawał, gdzie go ma zakłóć, ażeby niechybnie w pomieniony płód trafić. Owadom w dziurach w piasku swój płód wychowującym, jak np. *Dinetus pictus*, *Bembex rostrata* i t. p. gdy wyszły, zatykał dziury piaskiem, i uważał że za powrotem *Dinetus* różkami rozpoznawał, gdzie jest ujście jego dziury, i tam grzebał. Ażeby się zaś upewnić że nie trafiał do miejsca pamięcią lecz powonieniem, autor okrywał wracającym wejścia do dziur ręką, której potu zapach, tłumiąc zapach z ich gniazd pochodzący, widocznie łudził te owady, tak, iż nie mogły pewnymi być, że ich dziura pod ręką się znajduje. Nie trafiły one nigdy do gniazda, gdy im przegrodził wstęp do niego pod ziemią, zasadzonym kwadracikiem z papieru, a zawsze trafiły gdy odjął papier. Widział także jak *Leucopsis dorsigera* siadłszy na drewnianej ramie okna, macała różkami wiele miejsc, nim w jedno z nich zakłówszy, jaje wpuściła. Okazało się, że zupełnie pod tym punktem znajdowała się w drewnie tocząca je gąsienica. Przytacza, że korowe chrząszczyki (*Bostrichus*) dochodzą powonieniem miejsc w drzewie najdogodniejszych im do zniesienia jaj; podobnie jak owady ściernowe dochodzą do ściernwa. Przywodzi postrzeżenie p. Mitre, że samce chrząszczowatego rodz. *Cebrio*, dochodzą swoich samic w ziemi ukrytych, przykładaniem różków do jej powierzchni.

Powiada, iż łatwo przekonać się na owadach śpilką przebitych, iż one w różkach siedlisko powonienia mają. Gdy utwierdzony tak na śpilce owad, osobliwie długie różki mający, np. pasikonik, lub który z koziorogich chrząszczowaty, uspokoi się, za przybliżeniem mu tylko do różków penzelka umoczonego w olejku terpentynowym lub innej jakiej mocno woniejącej cieczy, obudza się w nim nagłe poruszenie. Z doświadczeń które na przekłótych owadach czynił, okazało się: 1<sup>od</sup>) że rozek z odciętym wierzchołkiem mniej jest czuły na woń, niż całkowity, a ten stosunek tém bardziej w nim maleje, im więcej stawów rozek utraci; w samych podstawowych prawie już nic zmysłu nie ma. Jeśli rozek jest z główką, po jej utracie zdaje się i zmysł ginąć. 2<sup>re</sup>) Różki powleczone gummą, przestają czulemi być na powonienie. 3<sup>cie</sup>) Autor nie zaprzecza i głaszczkom udziału w powonieniu, sądząc że różki służą do przyjmowania zapachów równie z odległości jak i z blizka; głaszczki zaś tylko z materyj blizkich, np. z pokarmów. (T. 1851, nr. 312 z *Annales des sc. nat.* T. XIV nr. 3, 1850).

\* Wesmael (w *Bullet. de l'Acad. roy. de Belgique*, nr. 11, T. XVI) pod napisem teratologii entomologicznej zastanawia się nad potwornościami w gromadzie owadów, a mianowicie temi które mu świeżo wydarzyło się widzieć (1). Opisuje iadywiduum gąsienicznika z gat. *Ichneu-*

(1) Już dawniej opisał podobne w tomie III str. 337 i tomie VI str. 448 tegoż buletynu.

*mon comitator*, będące samcem z nogami i tułowem samicy, i inne z gat. *I. nigritarius*, będące przeciwnie samicą z głową i rożkami samca. Mniema że na podobnym zboczeniu natury, które *gynandromorfizmem* zowie, opiera się niejedyn gąsieniczników gatunek.

Opisuje potem i na wizerunku przedstawia osobliwszą potworność majowego chrabąszcza, u którego prawy rożek rozdzielił się na trzy gałęzie, a to w taki sposób. Członek pierwszy rożka, ma zwyczajny kształt i wielkość, ale drugi tworzy wielki niemierzytelny łuk z którego przedniem dłuższem ramieniem zestawiają się trzy członki: dwa boczne większe i prawie równe sobie, a trzeci, środkowy, daleko od nich mniejszy. Tylko boczne kończą się główkami: jeden siedmiolistną daleko większą od zwyczajnej, drugi czterolistną i od zwyczajnej mniejszą. Z tylnym, krótszym łuku ramieniem zestawia się trzeci członek rożka, kończący się także główką wielkości zwyczajnej, lecz tylko czterolistną. Chrabąszcz, u którego tak potwornie ukształcił się rożek, miał oprócz tego niejakię zboczenia w budowie nóg.

Przytoczywszy autor kilka u innych chrząszczowatych owadów, nawet z rodzajów bardzo oddalonych od siebie, potworności, które różni entomologowie przed nim opisali, pragnie na drodze embryologii wytłumaczyć ich początek, kończąc wszakże uznaniem, że podwójne albo potrójne rozwidlenie rożka jest prawie to samo co wynikanie dwóch albo trzech gałązek z jednego oczka u drzewa, gdy przypadkowa jaka okoliczność sprowadzi do tego oczka nadzwyczaj wiele soku przed normalnym czasem. (*T. 1850, nr. 108*).

\* Hr. Mannerheim, przy opisywaniu (*Bull. de la Soc. Imp. des naturalistes de Moscou. 22. 1849, nr. 1*) niektórych nowych Syberyjskich chrząszcików, wzmiankuje (str. 223) o postrzeżeniu p. Popowa, który zbierając motyle i ich przemianę badając, już w 1830 lub 1831 uważał, że *Euprepia hololeuca*, bez wpływu samca płodne jaja znosi. W r. 1846 p. Popow znalazłszy gąsienicę tego gatunku, umieścił ją w zamkniętym pudełku, gdzie zamieniła się w poczwarkę, a we 12 lub 13 dni potem wyszła motylem dojrzałym, płci samicy, i zaraz jaja nieść zaczęła. W 8 lub 10 dni od zniesienia jaj, powyklowały się z nich małe gąsienice. Potwierdziło się tym sposobem to, co p. Speyer (w Szczecińskiej entomol. gazecie, 1847, str. 18) ogłosił względem innego motylowatego owada, *Talaeporia lichenella*, tudzież innych z fam. oszwicowatych (*Psychidae*), i co Lacordaire (*Intr. à l'entom. 2, 283*) mówi o *Liparis dispar*, że ta zanocnica do trzeciego pokolenia rodzić się może bez zapłodnienia. W przedmiocie téj ostatniej, p. Popow pisze do hr. Mannerheim, że nieraz uważał iż jej liszki ciągle trzymały się po parze, to jest jedna bardzo blisko drugiej, tak iż patrzącemu na to przychodziła myśl, że były samcze i samicze, i że już w tym gąsienic stanie zapłodnienie odbywały.

P. Guérin de Méneville (*Revue et mag. de Zool. 1850 févr.*) przyznaje, iż to postrzeżenie p. Popowa jest ważnym, i zostanie w historii rozinnazania się owadów, ale jego wniosek o możności zapłodnienia gąsienic, jest zupełnie bezzasadny, ponieważ u owadów w tym stanie, są



tylko szczęty części rodnych, ledwie się postrzedz dające. P. Guérin od-  
syła przytém do innych w tymże przedmiocie postrzeżeń, pp. Bourcier  
i Duméril, w *Revue Zool.* 1847, na str. 266—268 ogłoszonych. (T. 1850  
nr. 134).

\* Wahlberg (*Öfversigt af Kongl. Vetensk. Akad. förhandl. Arg.*  
7 1850, pag. 225, 226) pisze: „Oddawna już wiadomo że gąsienice pe-  
wnych motylów robią sobie, jak chrościki (*Phryganea*), rurki czyli po-  
krowce, w których żyją i które chodząc ciągną za sobą, i że do budowy  
tych pokrowców używają różnych materyałów i w różny układają je spo-  
sób, tak iż częstokroć z pokrowca poznać można jaki w nim gatunek  
mieszka. Pomiędzy motylami takimi na największą zasługuje uwagę  
rodzaj oszwic (*Psyche*), nietylko dla kształtu pokrowca, ale i dlatego, że  
bezkrzydła samiczka po wylęganiu się zostaje w pokrowcu i jaja w nim  
niesie. W czasie krótkiego pobytu mojego w Gusum, we wschodniej  
Gotlandyi, zeszłego lata, włożyłem kilka pokrowców gat. *Psyche grami-  
nella* w pudełko z nakrywką szklaną, ażeby je dokładniej uważać. Po  
kilku dniach ujrzałem z rana wiele białozółtawych gąsienic  $\frac{1}{2}$  lin. dłu-  
gich, z wielką brunatną głową, w różnych kierunkach po dnie pudeł-  
ka łączących, szczególnie na wierzchu pokrowców zebranych. Poruszały  
się żwawo na swoich nóżkach osadzonych od przodu, wysoko zadartszy  
ogon do góry, i zdawało się jakby czegoś szukały. Po bliższem zastano-  
wieniu się doszedłem, iż to były nowo wyklute gąsienice oszwic, jeszcze  
zupełnie gołe, ale już tę przyjumującą postawę, którą po zrobieniu sobie  
pokrowca zachowywać zwykły. Pudełko w którym się wylęły, tak było  
umieszczone, że go dotykał róg białej firanki od okna, a przy niém nie-  
bieska sukienka leżała. W mgnieniu oka wszystkie się poubie-  
rały. Które zostały w pudełku, te używszy pyłu i reszt macierzyńskiego  
pokrowca, przywdziały szarą, inne na czapce niebieską, a które na firankę  
się wydostały, białą odzież. Gdy tak wynalazły materyał tyleż przydatny  
sobie co i naturalny, to jest zdźbła trawy, i równie szybko jak i umiejęt-  
nie porobiły z niego pokrowce, zaczęły być spokojniejszymi. Zmuszony  
zabierać się w dalszą podróż, nie mogłem kończyć tych postrzeżeń.”  
(T. 1852, nr. 460).

\* Przed wieczorem d. 25 sierpnia z. r. pani Kruzenstern przysłała  
mi z Warszawy do Królikarni dorosłą liszkę zanocnicy zwaną widłogo-  
nem (*Cerura vinula*), zamkniętą w papierowym pudełku. W przecią-  
gu trzech godzin, to jest nim ręk moich doszła, gąsienica ta usnuła  
w pudełku swój oprzęd; ale pudełko było tak niskie, że oprzęd dochodził  
do nakrywki i nieco przykleił się do niój. Skutkiem tego, gdym ode-  
brawszy pudełko, nagle je otworzył, część oprzędu od wierzchu zdarła się  
i została przy nakrywce, a przez wyrwany otwór można było widzieć li-  
szkę, która natychmiast zajęła się łataniem dziury. Kilku nas z cieka-  
wością patrzyło na jój pracę. Mokłą przędzą, z pyszczką wydawaną prze-  
dzieliła najprzód zbyt wielki wyłom na dwoje, potem w każdym prze-  
dziale dzięgała oczka, i wnet ujrzelśmy cały ów wyrwany otwór zapeł-  
niony siatką, a nim się wieczór skończył, oprzęd najdoskonalej zaprawio-  
ny został. Dorobiona łata tak spoiła się z całością, że ani kolorem ani

miąższością nie różniła się od niej; na zewnętrznej tylko powierzchni jej pozostały sterczące węzłki (1). (A. W.).

\* P. Dennistoun na jedném z posiedzeń brytańskiego stowarzyszenia (*British Association*) w r. 1850 mówił o tkaninie z przędzy gąsienic, a mianowicie opowiedział jak na początku tego wieku porucznik Hebenstrejt w Mnichowie, długo nad tém pracował, ażeby użyć gąsienic do wyrabiania tkanek w rodzaju tak zwanego babiego lata, czyli pajęczynki która podczas jesieni w powietrzu pływa. Nakładł on na upatrzoną równinę liści sałaty i ponasadzał od spodu gąsienic dobranego gatunku i w stosownej ilości, które karmiąc się na tym pastewniku, rozpościęrały na nim odpowiednią rozległość tkanki. Pomienioną tkankę zdołał nawet rozmaitym deseniem, nadając go za pomocą pęzla umaczanego w oliwie, na podobieństwo znaków wodnych w papierze. Już w przeszłym wieku po klasztorach malowano na takiej tkaninie, lub odbijano na niej ryciny blachą miedzianą. Kawalek, który p. Dennistoun pokazywał Stowarzyszeniu, przezroczywszy był od najdelikatniejszej gazy, ale pływał w powietrzu za najmniejszym wzruszeniem. Pomysłu, ażeby takich tkanin do stroju użyć, nigdy nie przywiedziono do skutku. (T. 1850 nr. 231 z *The Athenaeum*, 1190).

\* Na posiedz. Tow. nar. rolniczego w Paryżu (*Soc. nationale et centrale d'Agriculture*) d. 19 grud. 1849, entomolog francuzki p. Amyot czytał trzeci ciąg rozprawy w której roztrząsa prawodawstwo francuzkie w przedmiocie obierania z liszek (2) (*échenillage*) drzew w sadach i lasach. Ustawa z d. 26 ventose roku IV, nakazuje obieranie drzew z gąsienic przed 22 lutego każdego roku, a 471 art. nr. 8, kodexu karnego, przepisuje karę od 1 do 50 fr. na tych którzy nie zechcą stosować się do urzędzeń w téj mierze. Moznaby jeszcze do tego przydać, mówi p. Amyot, art. 3 tytułu XI ustawy z 16 i 24 sierpnia 1790, polecający zwierzchności municypalnej zapobiegać stosownemi ostrożnościami grożącym klęskom, jak np. zarazom na bydło i t. p., z której to ustawy, zdaje się, wynikało prawo dla zwierzchności municypalnej rozciągania nakazu nawet do niszczenia chrabąszczów i wszelkich, jakieby okazały się szkodliwymi, owadów.

Przypuszczając takie téj ostatniej ustawy tłumaczenie, moznaby rzec, iż prawodawstwo francuzkie, co do zwierząt i owadów szkodliwych rolnictwu, jest zupełne, i należałoby tylko życzyć stosowania go przez właściwe władze. Prosty obiegnik ministra rolnictwa i handlu do prefektów, dostateczny byłby do przypomnienia im praw i obowiązków co do tego przedmiotu.

Ale jedna zachodzi tu trudność. Obiegnik ministra finansów, z d. 11 kwietnia 1821 r. rozstrzyga, że ustawy o obieraniu drzew z liszek nie stosują się do lasów, lecz tylko do drzew rozpięchłych (*Armand Dalloz verbo Forêts*, nr. 723), opierając się na tém, że czynność obierania

(1) Dnia 17 czerwca b. r. wyszła z tego oprzędu samica, i zaraz nieść zaczęła niezapl. jaja, których przeszło sto zniosła  
A. W.

(2) Liszkami (*chenilles*) nazywają się te gąsienice owadów, które na roślinach liście objadają.  
A. W.

liszek, nawet ograniczna tylko do brzegów lasu, kosztowałaby skarb tak znaczne summy, że rząd nie może myśleć o stanowczém jój przedsięwzięciu. Cóżto więc za prawodawstwo, pyta się p. Amyot, które stosuje się tylko do właścicieli małej liczby drzew, a opuszcza właścicieli większej ich liczby? I na coż się przyda obieranie z liszek drzew rozproszonych lub też w sadach pod lasami, jeżeli nie ma skutecznie się nawet na brzegach tych lasów?

P. Amyot rozważa potem kwestyą obierania liszek w sobie samój i ze stanowiska naukowego. Nie idzie tu, mówi, o pożytek jaki mieć może właściciel drzewa obieranego z liszek, że je tym sposobem ochroni przed zniszczeniem i liście albo owoce na nióm zachowa. Jasna jest rzecz, że jego własny interes ten krok mu nakazuje. Karze się niedopełnienie obierania, nie dlatego że szkodę przynosi właścicielowi który nie obiera, ale dlatego że przypuszczamy, iż gąsienice objadłszy drzewa tam gdzie one nie były obrane, przejdą na drzewa sąsiadów i te poobjadają lub też, że stawszy się owadami dojrzałemi, poznoszą jaja w całej okolicy, coraz bardziej powiększając klęskę. Ale czy dowiedziono, pyta się p. Amyot, że to nastąpi jeśliby liszki obierane nie były? Pewną jest rzeczą, dodaje, iż w ogólności i prócz wyjątków które nie nadwężają w niczém prawidła powszechnego, liszki nie opuszczają drzew w sadzie dla przejścia do innego, lecz że giną na drzewie na którém się urodziły. Co zaś do zapytania czy liczba liszek powiększa się następnego lata jeśli obierane nie były, wszyscy je uważający wyznają, iż to jest wielce wątpliwém. Liszki które niszczyły mianowicie lasy, gdzie się ich nigdy nie zbiera, zawsze na drugi rok znikają nagle; zbieranie ich przeto było niepotrzebném do zrządzenia tego. Zdaje się że przyczynę ich nagłego wyginienia należy przyznać czynności zwierząt które je niszczą, a takimi są ptaki, nadewszystko zaś gąsieniczniki (*Ichneumon*). Jak wielki udział gąsieniczniki mają w tém niszczeniu, trudno jest ściśle oznaczyć, ale on jest bez wątpienia niemaly. Przypuszczając zatem, że tylko 2 na 3 są gąsienicznikami dotknięte (*inchneumonées*), wyniknie iż obieranie liszek gubi na jednego nieprzyjaciela dwie przeciw niemu pomoce; to jest że kiedy natura potrzebuje dwóch liszek gąsienicznikami dotkniętych ażeby zniszczyć pokolenie jednéj zdrowéj; w obieraniu są dwa trafy przeciw jednemu do zniszczenia raczéj gąsienicznikami dotkniętéj aniżeli zdrowéj liszki; na wynagrodzenie trafu trzeciego nie ma żadnego podobieństwa ponieważ że zniszczenia liszki zdrowéj obieraniem, nie co innego wynika, tylko to samo co z zachowania trzech liszek nie obierając, to jest wytępienie potomstwa liszki zdrowéj, czego tyle dokonywają gąsieniczniki które wyjdą ze dwóch innych liszek ile i samo zniszczenie liszki zdrowéj. Możliwoby to wystawić w następującej formule algebraicznój. Oznaczmy pokolenie zdrowéj liszki przez  $x$ , i całość tego pokolenia zniszczonego przez gąsieniczniki które powychodzą ze dwóch innych liszek, także przez  $x$ . W razie nieobierania, będzie  $x - x = 0$ ; w razie zaś obierania liszek, będzie  $x - \frac{x}{2} = \frac{x}{2}$ , co znaczy że obieranie, zamiast przeszkodzić rozmnażaniu się liszek, owszem je powiększa; a to złe podwaja się,

potraja, w pięćnasób wzrasta, jeśli zamiast stosunku podwójnego, liszki zarażone gąsienicznikami są w stosunku odpowiednio coraz znaczniejszym do liszki zdrowej. Ułożono następujący w tej mierze syllogizm. Im więcej jest gąsieniczników, tém mniej liszek; im więcej liszek, tém więcej gąsieniczników: a zatem, im więcej liszek, tém mniej liszek; tak, iż gdyby to rozumowanie zostało przyjętém, trzeba by było uznać że prawodawstwo w przedmiocie obierania drzew z liszek, zmierzałoby wprost przeciwko celowi który sobie zakłada, to jest ukaraniu właściciela sprzyjającego rozmnażaniu się liszek, i że dla osiągnięcia pomienionego celu, zamiast karać tego który nie obiera, należałoby przeciwnie, karać tego który obiera, a kara taka, dodaje p. Amyot, byłaby bardzo niesłuszną; bo jeżeli obieranie szkodzi sąsiadowi, dlatego że mu nieco przyczynia liszek na rok następny, sąsiad ten może się bardzo zabezpieczyć przeciwko szkodzie, gdy będzie obierał sam, z wielką korzyścią drzew i tamtego i swoich.

P. Amyot szuka następnie przykładu w tym względzie u innych narodów, i uważa że w Anglii, w Stanach Zjedn. Ameryki, równie jak w Belgii i Niemczech, to jest w krajach w których największy postęp uczyniło rolnictwo, prawodawstwo nie mówi nic o obieraniu drzew z liszek. Nakoniec bada początek tego prawodawstwa we Francyi, i dochodzi, że ustawa z roku IV jest tylko odnowieniem dekretu Parlamentu Paryżskiego z r. 1738 wydanego na wnioski prokuratora pełne najgrubszych błędów pod względem historii naturalnej, dekretu, który sam odnawia tylko podobne przepisy z czasów starożytnych i ślady ludowego przesądu wieków średnich.

P. Amyot na tém kończy, że zamiast domagać się przeglądu tego prawodawstwa, potrzeba, jeżeli nie wyrzucić je z kodexu, jako zabytek niewiedomości człowieka i resztki barbarzyństwa, to przynajmniej zawiesić tymczasowo kwestyą, poprzestając na zachęcaniu do niszczenia szkodliwych owadów ze stanowiska prywatnego dobra.

P. Guérin Méneville i kilku innych członków powstali przeciwko tak niespodziewanym wnioskom; lecz gdy ta praca odesłana została pod rozpoznanie kommissyi do której i oni wchodzą, przedmiot nie roztrząsano, ażeby nie uprzedzać sprawozdania kommissyi. (*Revue et Mag. de Zoologie*, 1850 nr. 2.)

\* Wiadomo że czasem spadają ciała organiczne z deszczem. Do objaśnienia tego zjawiska posłużyć może świeże wydarzenie, które prof. Plieninger w Stutgarcie ogłosił (*Würt. naturwiss. Jahresh. IV. 3*). W późnej jesieni (w listop.) pewnego poranku, po silnym południowo-zachodnim wietrze przez całą noc wiejącym, znalezioną została w jego ogrodzie, od północno-zachodniej strony domu, na śniegu gąsienica émy *Dilephita euphorbii*, 1 cal długa, w półodrętwiała i w tylnej części ciała skałeczona. Nigdy takiej gąsienicy nie znaleziono w mieście, musiał ją zatem wicher z pola na okolicznych górach przynieść. (*T. 1850 nr. 1*).

\* J. B. Spencer upewnił się, że mleczny sok, który wydaje gąsienica torzysniata (*Cossus ligniperda*), zawiera w sobie czysty krochmal. Wysuszone krople tego soku, które gąsienica na szkło puszczała, ukazały przez achromatyczny mikroskop Rossego skład krochmalowy: polaryzujące światło na każdym ziarku czarny krzyżyk bardzo pięknie przedsta-

wiło. Widocznie gąsienica ta nie gryzie drewna w drzewie w którym osiadła, tylko sok jego wysysa. (*Id. nr. 47 z The Zoologist, nov. 1849.*)

\* Następujący zaradczy środek przeciwko uszkodzeniom drzew, jakie osiadła w nich gąsienica torzyśniata zrządza, dr. C. J. Cox przedstawił król. Tow. botanicznemu w Londynie.

Postrzegłszy że drzewo dotknięte jest przez te owady, które się zawsze u spodu jego pnia trzymają, potrzeba natychmiast ziemię, przynajmniej na stopę głęboko naokoło pnia odgrzebać i całą obumarłą naokoło pnia korę poobdzierać. Ukazą się wtedy liczne podziurawienia, których wielkość, kolor i głębokość dokładnie zbadać należy. Jeśli są małe i świeże; owad siedzi w nich niedaleko od otworu i daje się drótem zabić i wyciągnąć; jeżeli dziura idzie kręto, tak że nie można drótem jej dna dosięgnąć, potrzeba ją rozszerzyć narznięciem, które mniej drzewu szkodzi, niż gdyby przez owad pogryzione było. Po oczyszczeniu ran, zasmaruje się je mieszaniną gliny z krowieńcem. Trzeba jeszcze po kilku tygodniach obejrzeć drzewo, czy nie ma w niem gąsienic, co zład łatwo poznać, że ich gnój z otworów wystercza. W celu zniszczenia jaj (1) i gąsienic zupełnie młodych, postępuje się tak jak z ogłódkiem (*Scolytus*).

Ażeby tego wygubić, odejmuje się najprzód całą zepsuta kora, tak ażeby odsłonić wejście do kanałów, w których się jego potomstwo mieści; a że te kanały zawsze idą do góry i powierzchni, trzeba więc w tém miejscu końcem żelazka kawałek kory wykroić. W tenże sposób zburzyć można i boczne kanały, w których się znajdują całkiem młode gąsienice. Następnie przemywa się drzewo wapienną wodą, w której się nieco sady rozтворzyło; i przez 14 dni ogląda drzewo. Próchno pod pniem, doprowadzi do odkrycia starych owadów, jeżeli te naszyły.

P. Cox dodaje: że wprowadzeniem tego sposobu do swojego ogrodu, uratował w nim ozdóbne wiązy, a sposób ten, jak widzimy, nie pociąga wielkiego wydatku: jeden robotnik może na dzień 8 do 10 drzew taką skrobaczką, jakiej bednarze używają, opatrzyć. Moje wiązy, które przedtém zaledwie rzadki i nędzny liś okrywał, dzisiaj gęstością koron rozkosznie się zielenią. (*ib. 102 z Annals & Mag. of. nat. hist. Dec. 1849.*)

\* Mól nazwany *Tinea ustella*, podług p. John Scott, osobliwsze niekiedy obiera sobie miejsca na pobyt: znajduje się w jednej z kopalń kamiennego węgla, około 7 mil (Miles) od Glazgowa odległej, a to w odległości  $\frac{3}{4}$  do  $1\frac{1}{2}$  mili od wejścia do sztolni. Zwrócenie uwagi na tę okoliczność wiuienem p. Mac Intosh. Postrzegał on tam przez lat kilka tego mola, ale go nigdy nie mógł złapać, gdyż nader zrećnie wysuwa się zpod ręki. Zszedłem więc z p. Mac Intosh do kopalni węgla, wzięwszy z sobą siatkę na motyle. Długośmy błądzili w podziemiu nie osiągnąwszy celu, przy czém doznaliśmy wiele przykrości, bo trzeba było iść ciągle zgarbionym i bardzo się strzedz, ażeby głową o występujący kamień nie uderzyć. Nakoniec doszliśmy do miejsca w którym wiele molów było, a tam wkrótce napełniłem moje pudełko. W każdej porze roku znaleźć można mole, ale tylko w miejscach wyczerpniętych kopalni i które przez długi czas opuszczone stały. Powietrze tam jest tak zepsu-

(1) Tak torzyśniat jako i ogłódek (*Scolytus destructor*) nadewszystko wiązy w ogrodach przyprawia o zanędnienie, a następnie o zupełny upadek. A. W.

te, że nasze pochodnie ledwie gorzały. W żadnym miejscu w którym dziś pracują, mól nie dał się widzieć, i górnicy poświadczali że go tam nigdy nie widziano. Mól ten bardzo prędko lata i nie przylatuje do światła. Że się tam wylega, można o tém wnosić z jego wielości i ztąd że miejsce jego pobytu jest tak odległe od wnijscia. Ale czém żyje gąsienica, trudno się domyślić. Motylki siedzą pomiędzy stoczonemi kamieniami, i ulatują gdy się w nie zaszoruje. Najpiękniejsze okazy mieniają się ciemno-purpurowym kolorem i mają na sobie złoto-żółtą kreskę. (*Ib. nr. 9 z The Zoologist. Dec.*).

\* Dr. Graells dyrektor muzeum histor. nat. w Madrycie, opisał (w *Revue de Zoologie*, 1849, nr. 12) nowy gatunek motylów nocnych z fam. bławatnic (*Saturniidae*), jako należący do fauny hiszpańskiej. Autor tak go nazywa i odznacza:

*Saturnia Isabellae*.— Alis patentibus; anticis rotundatis; posticis caudatis, omnibus viridibus, subdiaphanis, basi lanuginosis marginibus nervisque purpureo ferrugineis; ocellatis, ocellis fenestratis, annulatis; in unoquoque annulo externo nigro; interno dimidio luteo dimidio purpureo, alarum anticarum limbo externo ex luteo et nigro quadrivittato; posticarum tantum trivittato. Corpore longe villosa. Oculis nigris, fronte, antennis, scapulisque luteolis; cervice tergoque purpurascens; abdomine ex luteo nigro et purpureo, obscure annulato: pedibus purpureis, femoribus lanugine flava longe ciliatis. Lat. alarum patentium 11 centim.

Larva ex albide punctatissima; fascia lata dorsali abdomineque rufescentibus; lateribus viridibus; segmentis tribus primis, antea ex atro purpureo luteoque maculato marginatis; caeteris, praeter duos ultimos rubello purpureo-annulatis; annulis e maculis oblongis niveis tuberculorum trium segmentorum priorum flaveolis; reliquis albicantibus.

Puppa brunnea, folliculata; folliculo laxo, pyriformi apice, foramine elastico dehiscente.

Gatunek ten jest przeto jedynym w Europie wyobrazicielem oddziału ogoniastego (*Caudatae*) téj okazałej familii bławatnic, a z którego dotąd tylko następujące sześć gatunków: *Sat. luna*, *selene*, *cometes*, *diana*, *mimosae* i *isis*, wszystkie z obcych części świata, znane były.

P. Guérin-Ménéville ogłaszając to, namienia że raz w Hiszpanii znaleziono szczątki tego motyla, a że szczątkami temi były kawałki połamanych skrzydeł których ogólny kolor taki jest jak u amerykańskiego gatunku *Bombyx luna*, wniesiono z tego, że *Bombyx luna* i w Hiszpanii się znajduje. Wyjaśnienie rzeczywistości należy się p. Graells, któremu już winniśmy odkrycie w Hiszpanii okazałego chrząszcza *Megacephala euphratica*. P. Guérin czyni jeszcze i tę uwagę, że wielkie powinowactwo między *Saturnia Isabellae* i *Sat. luna* której gąsienica żyje w Ameryce na orzechu, domyślać się każe iż i tego hiszpańskiego gatunku gąsienica żywi się liśćmi (włoskiego) orzecha (1). (*Ib. nr. 47*).

A. W.

(1) Piękny wizerunek tego okazałego gatunku (przedstawiający w dwóch położeniach motyla, gąsienicę, oprzęd i poczwarkę), znajduje się przy drugim zeszyte na rok 1850 Roczników Tow. entomolog. franc: (Pl. 8). A. W.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

127. Dusza uważana jako myśl, słowo i znak. Psychologiczno-etymologiczne poszukiwanie Jana Nep. Kamińskiego. 8ka. Lwów. 1851. Drukiem E. Winiarza. Str. 214.

128. Listy Kazimierza Nestora ks. Sapiehy, w latach 1773, 1774, 1775 i 1776 do matki pisane z podróży za granicą. Z autografów zbioru J. Kraszewskiego. 8ka. Wilno. 1851. Druk J. Zawadzkiego. Napisów karta 1 i str. 114. (Oddruk z Athenaeum tom III, r. 1851).

129. Prelekcye Wincentego Pola Dra Filozofii i Professora uniwersytetu Jagiellońskiego. Rzut oka na północne stoki Karpat. Z godłem:  
... et haec meminisse juvabit.  
8ka. Kraków. 1851. W drukarni Czasu. Str. 132. (Z drukowaną tabellą).  
Złp. 10.

130. Prelekcye Wincentego Pola Dra Filozofii i Professora uniwersytetu Jagiellońskiego. Północny wschód Europy pod względem natury.  
... et haec meminisse juvabit.  
Zeszyt I. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Str. 111. Złp. 7.

131. Ś. Ignacego Ćwiczenia duchowne czyli rekolekcje przez księdza Aloizego Belleciusza w języku łacińskim ułożone, a przez xiędza Antoniego Brescianiego w języku włoskim na nowo wydane. Przerobił (,) do użytku wszystkich zastosował i rozmyślaniami z pisma świętego o tajemnicach żywota Chrystusa Pana pomnożył xiądz \*\*\*. 12ka. Berlin. 1851. Str. XXXVI i 359. Złp. 13 gr. 10.

132. Ustawa celna dla Królestwa Polskiego. (Po rosyjsku i po polsku). 8ka. Warszawa. 1851. Druk Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości. Str. 643, i CLXXV. Rejestrów kart 6.

133. Wykład obudwu listów świętego Pawła Apostoła do Koryntyan, jako dalszy ciąg wykładu Pisma Świętego Nowego Zakonu przez ks. Walerjana Serwatowskiego. 8ka. Kraków. 1851. W wydawnictwie dzieł katolickich. Str. 190. Złp. 9.

1852.

70. *Cieny Gazet i periodycznych izdani.* Cennik Gazet i pism peryodycznych na 1852 rok. 4ka. Warszawa. 1852. Druk J. Glücksberga. Kart 4 i str. 25.

71. Dra Józefa Dietla Professora kliniki lekarskiej w uniwersytecie Jagiellońskim. O upuście krwi w zapaleniu płuc ze stanowiska kliniczno-fizyologicznego. Z dołączeniem tablic statystycznych o leczeniu zapalenia płuc bez upustu krwi w szpitalu dzielniczym na Wideniu w Wiedniu, a do

Rocznika lekarskiego krakowskiego na rok bieżący przeznaczonych, z niemieckiego na język polski przełożyli Paweł Grzywiński i Jan Ulidowski. Ska. Kraków. 1852. W drukarni Czasu. Str. X i 148. Złp. 7.

72. Dwanaście Obrazków dla małych dzieci przez Jana Stachowicza. Ska podłużna. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Str. 16. (Z 12 rycinami kolorowanymi). Złp. 8.

73. Historia Naturalna w celniejszych wiadomościach zebrana i do pojęcia młodzieży zastosowana. Z 8 tablicami kolorowanych rycin. 16ka. Wilno. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 216. Złp. 9.

74. Jana Pawła Woronicza Homilie (,) nauki i przemowy dotąd drukiem nieogłoszone, z własnoręcznych pierwowotworów autora zebrane. Ska. Kraków. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. 97. Złp. 6.

75. Katalog książek polskich, znajdujących się w księgarni Henryka Natansona w Warszawie. Krakowskie-Przedmieście, 442. N. 1. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra. Str. 69. (Rozdaje się bezpłatnie).

76. Kazania na niedziele całego roku zebrane przez X. Maksymiliana Małopolskiego S. T. L. Zak. Kazn. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Druk J. Tomaszewskiego. Tom I, str. 306. II, 310. Złp. 12.

77. Kazania niedzielne, przygodne i mowy pogrzebowe. Ułożył X. Antonin Mieczkowski S. T. D. Dominikan. Ska. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 304. Złp. 10.

78. Listy Annibala z Kapui, arcy-biskupa neapolitańskiego, nuncjusza w Polsce, o bezkrólewiu po Stefanie Batorym i pierwszych latach panowania Zygmunta IIIgo, do wyjścia arcy-księcia Maksymiliana z niewoli. Z rękopisu biblioteki Brancacciana w Neapolu wybrał, przetłumaczył z języka włoskiego na polski i wydał Alexander Przezdziecki. Z dodatkiem objaśnień historycznych i kilku dokumentów, dotyczących się téjże epoki dziejów polskich. Oraz z 10 podobiznami podpisów osób znakomitych. Ska. Warszawa. 1852. Nakładem Ig. Klukowskiego, druk J. Ungra. Napisów kart 2, str. 275 i rejestru kart nieliczb. 8.

79. Mała Galeria obrazowa zwierząt domowych. Podarunek dla grzecznych dzieci przez Jana Stachowicza. Ska podłużna. Wrocław (Bez roku. 1852?) Nakładem Z. Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Str. 20. (Z 12 rycinami kolor.) Złp. 8.

80. *Obrazcy polskaho jazyka, w prozie i stichach, dla Ruskich, izdannye P. D.* Wzory języka polskiego, prozą i wierszem, dla Rosyan, wydane przez P(iotra) D(ubrowskiego). 12ka. *S. Pietierburh.* 1852. (Druk K. Kraja). Str. XVI i 70.

81. O kąpielach płynnych i parowych, tak pod względem utrzymania zdrowia, jak również o użyciu ich w sztuce lekarskiej. Przez L. Marczewskiego lekarza wolno-praktykującego. Z godłem:

In balneis, Salus!

Ska. Kalisz, 1852. Druk K. W. Hindemith. Kart 2 i str. 244.

82. Pamiętniki księdza Jordana. Obrazek Inflant w XVII wieku, przez Kazimiérza Bujnickiego. Z godłem:

„Za dostatek mieli nie żądać, przestawając na tém (,) co z ojczystego kraju sobie sposobić mogli.” Hilzen, *Inflanty.*

Ska. 2 tomy. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. XVIII i 261. II, 263. Złp. 15.



83. *Paradoxa coronae publice i privatim* (,) potrzebne szlachcicowi polskiemu. Napisane roku 1603. 12ka. Kraków. 1852. Nakład i druk Józefa Czecha. Przedmowy Augusta Bielowskiego str. XXI. i 152. Rejestru kart 2. Złp. 7.

84. *Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię polską od roku 1808 aż do naszych czasów*, przez Teodozego Sterocińskiego Professora Emeryta. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Adolfa Krethlow. (Nakład autora). Karta 1 i str. 116. Złp. 4.

85. *Podróż do Persyj księcia Alexego Sołtykowa* (.) Przekład Wojciecha Szymanowskiego. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Jul. Kaczanowskiego. Str. 119. (Z 12 litografowanemi rycinami). Złp. 12.

86. *Rycerz Lizdejko. Powieść z czasów panowania Jana Kazimierza.*  
Z godłem:  
Delicta Majorum immeritus lues  
Romane, donec templa refeceris  
Aedesque labentes deorum,  
Et foedo nigro simulacra fumo.

Przez autora Listopada. 12ka. 3 tomy. Warszawa. 1851-1852. Druk Józefa Ungra. Tom I, str 276, II, 286, III, 360. Złp. 20.

87. *Wieczory Badeńskie czyli powieści o strachach i upiorach* (;) z dołączeniem bajek i innych pism humorystycznych Józefa Maxymiliaua hrabi z Tenczyna Ossolińskiego. Z autentycznych autora rękopismów w bibliotece imienia Ossolińskich dochowanych, wydał Józef Czech. 8ka. Kraków. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. VIII i 248. Rejestru karta 1.

### Doniesienia literackie.

#### WARSZAWA.

P. Zygmunt Kaczkowski młody pisarz, który tak świetnie odznaczył się powieściami swojemi na tle dziejów naszych, napisał nowy utwór p. n.: „Wesele na Rusi”.—Zbiór powieści w 2ch tomach, drukuje B. M. Wolff w Petersburgu swoim nakładem.

— P. Tomasz Bartmański, znany już naszym czytelnikom, przygotował do druku rękopism: *Podróż na Wschodzie*, w 2ch obszernych tomach. Praca ta, gruntownie i sumiennie obrobiona, znajdzie nieposlednie miejsce w literaturze krajowej.

— Karol Libelt, cierpiący na zdrowiu, zamieszkuje na wsi i oddawna nie może się zajmować pracą umysłową.

— Poszyt piąty *Wizerunków polskich* Maxymiliana Fajansa wyszedł obecnie i zawiera portrety J. B. Zaleskiego, Januarego Suchodolskiego i Alexandra Przezdzieckiego, wraz z krótkim textem do 4go i 5go zeszytu. Portrety odznaczają się szczególniej trafnym podobieństwem, a karta tytułowa, skupia w ślicznej kompozycji myśl kierującą zawodem każdego z trzech artystów: poety, malarza i badacza dziejów krajowych.

— P. Antoni Pietkiewicz znany pod pseudonimem Adama Pługa, ogłosił w naszych gazetach odezwę, iż zamysławiając w miejsce Athenaeum

wydawać pismo zbiorowe p. n.: *Kwestarz*, wzywa do współpracownictwa piszących „by do skarby jego kwestarza, ochoczęm sercem po groszu złożyli.”

— Teodor Morawski pisze *Historią polską*; ma to być znakomita praca, ale żadnych dotąd z niej wyjątków nawet nie znamy.

— *Karol Szajnocha*, który jako poeta, a szczególnie jako historyk jedno z pierwszych miejsc w naszej literaturze zajmuje, redaktor wybornego pisma *Dziennik literacki*, zastąpiony w tej redakcyi chwilowo przez Augusta Bielowskiego, wyjechał na wiejskie zacisze do cyrkułu tarnopolskiego (w Galicyi), gdzie pracuje nad historycznym dziełem w obszernych ramach p. n.: *Czasy Jadwigi i Jagiełły*. Jakkolwiek zbyt szczerze znamy tylko wyjątki z tego nowego utworu pana Szajnochy, możemy jednak wyrzec zdanie, iż coś podobnego w dziale historycznym, mało posiada dotąd krajowa literatura.

— *Kirgiz* Gustawa Zielińskiego przełożonym został na język niemiecki przez A. Bahna. Przekład piękny, pochlebne znalazł w Niemczech przyjęcie.

— Nakładem J. Bernsteina księgarza wyszła: *Krótką historia naturalna dla rozrywki i nauki pilnych dzieci*. Ozdobiona 32 rycinami kolorowymi. Wykład jasny, język czysty, zalecają tę małą książeczkę, która z prawdziwym użytkiem dla dziatwy użyła być może, bo zaspokajając ciekawość młodziuchnego umysłu, podaje zarazem i naukę.

— Znany J. Szreder archiwista akt dawnych w Kaliszu, acz obciążony sędziwym już wiekiem, pracuje nad wykończeniem obszerniej rozprawy: *O cechach w Polsce*.

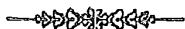
— B. M. Wolff w Petersburgu przygotował do druku przekład historyków naszych z języka łacińskiego na polski *Solikowskiego i Rudawskiego*.

— Zapowiedziany dawniej *Zbiór poezyj Franciszka Żyglińskiego*, wyszedł w Krakowie nakładem wydawnictwa dzieł katolickich. *Czas*, dziennik krakowski, umieścił obszerny rozbiór tych poezyj.

— P. Antoni Celiński, obywatel ziemski z Kaliskiego, pracuje nad przekładem Dantego *Komedyi Boskiej*. Życzyćby należało, aby literatura nasza była wzbogaconą tłumaczeniem tego arcydzieła.

— P. Józef Szaniawski archiwista akt dawnych sieradzkich, które obecnie są połączone z archiwum kaliskim w mieście Kaliszu, wykończy opis szczegółowy *powiatu sieradzkiego*, który wkrótce, w ustępach niektórych podamy w piśmie naszym. Opis bowiem szczegółowy tak województwa, jak i powiatu sieradzkiego, z dodaniem dyplomatów w języku łacińskim i przekładem na polski, w obszernych ramach, później w oddzielnym dziele zamysła ogłosić drukiem. Sądząc z tego, co już mamy, z przekonaniem możemy powiedzieć, że będzie to praca sumienna, a dla dziejów naszych wielce ważna.

— Znany poeta rosyjski Wasyli Andrzejewicz Żukowski umarł w Baden-Baden 24 kwietnia r. b. Kilka pięknych jego utworów, znamy z przekładu A. E. Odyńca.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Maj, 1852.***

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Maj, 1852.***

Maj 1852.

Dostrzeżenia w Obserwatoryu

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza  
czyli w łuku 18°41'25,5" na wsch.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1		737.62	736.17	735.11	735.83	+ 6°0	+11°1	+12°3	+ 9°2	93.2
2		736.36	737.25	739.54	741.56	8.0	9.4	6.5	3.6	97.3
3	☾	743.38	744.89	746.42	747.69	2.2	3.0	4.3	3.8	93.0
4		749.05	749.78	749.82	750.75	3.0	7.3	9.9	6.5	61.7
5		751.57	752.40	752.47	753.07	4.3	8.2	9.4	6.0	60.5
6		753.50	753.43	752.83	751.61	4.1	10.5	11.5	5.4	54.5
7		751.24	750.80	749.87	749.73	4.0	8.5	10.2	6.3	55.0
8		749.58	749.74	748.83	749.68	4.8	9.0	9.9	3.8	75.0
9		750.97	751.58	752.06	752.52	4.1	10.5	12.4	6.0	61.3
10		753.02	752.42	750.52	749.82	6.3	12.7	15.7	11.6	43.2
11	☾	749.48	748.87	746.58	746.07	8.6	15.0	19.0	15.5	52.5
12		748.00	749.43	750.56	750.35	11.0	12.3	11.7	9.6	75.5
13		750.39	749.77	747.58	747.50	7.6	14.2	16.7	10.6	77.5
14		747.83	748.81	748.54	748.82	11.5	14.7	18.9	13.6	75.7
15		749.11	751.21	752.36	754.17.	11.9	13.6	15.2	8.5	72.8
16		756.32	756.42	756.15	756.17	7.9	12.7	16.3	12.5	56.8
17		756.60	756.61	755.00	754.69	9.0	15.9	19.2	13.6	47.5
18		753.74	753.37	751.58	751.03	11.4	17.8	21.2	13.5	46.2
19	☾	749.65	749.08	747.75	747.52	11.2	17.2	18.2	12.7	59.5
20		746.50	747.05	747.63	747.65	12.9	16.7	18.7	13.2	71.0
21		749.09	750.28	750.93	752.20	13.0	17.8	20.0	15.0	67.3
22		754.09	754.70	754.08	754.38	14.4	19.4	23.5	17.3	58.0
23		755.04	754.81	753.34	753.61	12.6	17.9	22.9	15.0	50.2
24		754.18	754.28	753.19	753.33	14.6	20.2	25.1	15.4	43.0
25		753.14	753.04	751.37	751.01	14.9	21.4	23.8	16.2	48.0
26	☾	750.33	750.36	748.41	747.94	16.4	23.2	27.0	18.4	46.5
27		746.23	746.34	744.96	743.38	18.0	22.9	26.3	19.1	65.3
28		742.63	743.92	742.60	741.86	14.2	16.0	19.0	15.9	91.7
29		741.92	742.94	742.63	743.23	15.1	19.0	21.4	17.8	75.8
30		743.14	742.72	740.50	740.11	15.8	21.5	25.7	20.3	65.7
31		739.42	741.64	746.07	749.12	19.2	20.7	13.7	10.1	68.5
Śre.		748.810	749.165	748.686	748.916	+10°26	+14°85	+16°95	+11°81	64.8



	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.894	27	7.981
Najwyżej dochodził — d. 17 o g. 10 r.	756.61	27	11.402
Najniżej — — d. 1 o g. 4 w.	735.11	27	1.871
Średnia zmiana dzienna barometru	2.902		1.286
Największa zmiana dzienna barometru d. 30 kwietnia—1 maja o g. 10 r.	12.65		5.608
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.372		0.167
Średnia temperatura Maja wynosi: i ta jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	+ 13 <sup>o</sup> .468 C.	+ 10 <sup>o</sup> .774 R.	
Największe ciepło dochodziło d. 26 o godz. 4 wiecz.	13.53	„	10.824 „
Największe zimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	27.0	„	21.06 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.292	„	1.833 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 30—31 o g. 4 w.	12.0	„	9.60 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: +22<sup>o</sup>.0 R. d. 26 po połud.

Minimum: 0<sup>o</sup>.2 „, d. 3 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 66,7 milim. czyli 29,57 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 4,76 lin. par. od ilości jaka u nas w maju zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 64,8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 7.70 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,04 od normalnej.

Dni pogodnych było 11, napół pogodnych 4, pochmurnych 16.  
— deszczu 15 (d. 1, 2, 3, 8, 12, 13, 14, 15, 19, 20, 27, 28, 29, 30, 31).  
— mgły 1 (d. 30).  
— grzmotów 1 (d. 28).  
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 28).

Wiatr panujący: Północny, Zachodni, Północno-Zachodni częste były Północno-Wschodnie.

Maj r. b. był dosyć pogodny, suchy, lubo w deszcz obfity, w początku znacznie zimny, w środku ciepły, w końcu gorący jak w porze letniej, w ogóle co do temperatury zbliżał się do stanu normalnego. Najcieplejsze dni były 22, 24, 25, 26, 27, 29, 30; najmniej ciepłe d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8. Z powodu zimna osobliwie w początku miesiąca, roślinienie bardzo się spóźniło, dopiero za nadejściem dni ciepłych szybko postępowało. Pora wiosenna w tym roku znacznie spóźnioną była, wiatry północne były tego przyczyną. Dzień ostatni 31 odznaczył się znaczną zmianą temperatury; przed południem ciepło dochodziło do 17 stop. R., po południu tylko do 8 stop. tak iż w ciągu ośmiu godzin, termometr zniżył się o 9 stop. R.

D. 18, 27 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 27 koło białe otaczało księżyc.



Wydrukowano w drukarni podług rysunku D. Drewno.

Wydrukowano w drukarni podług rysunku D. Drewno.

LUKASZ DREWNO

Przez niego powstanie mi. Stawki Warszawskiej w roku 1624. oddaje miasto pod opiekę N.M.P. i S<sup>co</sup> Benonora



WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA  
O MOROWÉM POWIETRZU

W WARSZAWIE W ROKU 1624 I 1625.

PRZEZ

*Alexandra Pejnera.*

(Z ryciną).

---

Głód z wojny, a powietrze zwykło bywać z głodu,  
Więc wojna niż to dwoje gorsza dla narodu.  
Mars początkiem, śmierć końcem jest złego wyroku;  
W wojnie początek z końcem w jednym prawie skoku.

*Jan Owen.*

Straszna ta klęska rodzaju ludzkiego, ta hydra lerneńska Polski, często nawiedzając krainę Lechitów, zabrała miliony ofiar, bez szczegółowych acz nader dla nas bolesnych opisów, zwłaszcza do epoki, którą kreslić zamierzamy. Przodkowie nasi uważając tę plagę za palec gniewu Bożego, nawykli byli poddawać się wyrokom Opatrzności, bez zajmowania się gruntowném zgłębianiem przyczyn tego nieszczęśliwego stanu kraju i mieszkańców. Lubo zbyt może pochlebnie dla Warszawy, jako dla rodzinnego naszego miasta, utrzymujemy, że w grodzie tym, piérwszy z całego kraju posiadamy z lat dawnych zarys szczegółowy téj klęski; opis jednak przez nas w treści następnój, na mocy urzędowych dowodów skreślony, gruntowniej o tém twierdzeniu czytających przekona.

„Główną chorobą w kraju naszym było dawniej morowe powietrze, które powstawało z ciągłych niewygód dla licznych wojen, i z głodu, który po większej części szarańcza sprawiała. Robactwo to w tak wielkiej obfitości ukazywało się, iż swoim lotem słońce zaciemniało, a spadając na bujne niwy tak wysoko zalegało pola, iż konie brodziły w niém, jak w gęstym piasku (1). Zgłodniały lud nakarmiony chlebem z jemioli, z ziół polnych i liści drzewa, puchnął na wiosnę i umierał. Poczynala się ta zaraza od mocnej febry, połączonej z rozdęciami i kurczami, następnie krosty czarne i czerwone (bocii, carbunculi) obsypywały ciało; prócz tych oznak, następowało plucie krwią, obsypywanie wrzodami pod pachą i w dolnych częściach, a chorey w dniach trzech lub pięciu umierał. Przejmowano tę chorobę nietylko przez dotykanie, ale i przez oddychanie wyziewami zepsutemi.”

„Powietrze zwykle wkradało się do Polski od strony Turcyi i Azji. Poprzednie oznaki ukazania się téj srogiéj klęski były ognie nadpowietrzne, a po nich zaraz występowała mgła gęsta, przy mocnych wiatrach od południa i wschodu. Jedną z oznak zewnętrznych okazania się zarazy było także, jeżeli na wiosnę mało dżdżu padało z zimnem, a kwiaty prędzej niż w czasie właściwym wschodziły. Stan dzienny atmosfery zwykle kilka razy zmieniał się; słońce naprzemian świeciło przy wschodzie jasnym, a zachodzie pochmurnym. Co zaś do osób, poprzednią oznaką téj choroby była wewnętrzna niespokojność i trwoga, która wszystkich ogarniała. Najpewniejszym dowodem istnienia powietrza była następująca próba: zbierano rosę w naczynia i dawano do wypicia psu pragnącemu; jeżeli ten zaraz po tém zdychał, było to niezawodnym znakiem téj klęski (2).”

„Środki ratunku od morowego powietrza były następujące: osady jedne od drugich oddzielano kordonem zdrowia, a do przekraczającego tę granicę zaraz strzelano. Po miastach zamykano zamtuzy (nierządne domy), łaźnie publiczne i szynki; po wsiach wszystkie karczmy. W miejsce napojów gorących pijano ziółka; gmin używał wywarzonego senesu z kwiatem burakowym i kminem, nadto warzył bzowe i kruszynowe skórki, a precedziwszy popijał. Odmawianie pospółem modlitw po domach, ucze-

(1) W r. 1690 leżało na Rusi takiej szarańczy na dwa łokcie wysoko, tak, iż niepodobna było jechać przez nią. *Janina*, str. Z<sup>4</sup>.

(2) Umiastowski str. od 27 do 30, wydanie z r. 1591.

szczenie liczne do spowiedzi, odczytywanie dzieł medycznych były środkami duchowymi, używanymi dla odwrócenia tój klęski“ (1).

Posiadając ogólne wiadomości o morowém powietrzu w całym kraju, będziemy mogli dokładniej pojąć opis takowego w Warszawie.

Już od kilku lat z podziwem całej Polski, straszna ta klęska nie istniała w stolicy, pomimo iż wszędzie w Koronie i Litwie grassowała, i pomimo, że po klęsce pod Cecorą 7 października 1620 r., oraz w skutek groźnej wojny z Turcyą (1620—1622) wielka ilość różnych ludów schroniła się dla przestachu do Warszawy, lub przez nią przechodziła w marszach wojennych. Wdzięczne miasto złożyło należne dzięki Najwyższemu, za tak oczywisty dowód łaski Jego; chcąc zaś przekazać potomności swoją cześć i uwielbienie, uczynionemi darami i piśmiennym dowodem uświęciło staropolską bogobojność w następującym dokumencie (2):

Anno Domini millesimo sexcentesimo vigesimo tertio, die Jovis quarta mensis Mai. Coram admodum reverendo domino Joanne Raciborski decano et officiali varsaviensi canonico pulthoviensi et actis praesentibus consistorii varsaviensis, comparantes personaliter Spectabiles Domini: D. Stanislaus Baryczka proconsul, Joannes Giza advocatus et Paulus Zembrzuski klucznik consul Antiquae civitatis Varsaviensis, suo et nomine totius consulatus ejusdem civitatis pro se et suis in eodem officio consulari successoribus, libere et publice recognoverunt: quod cum Majestas Divina ex singulari gratia et torrente misera-

Działo się roku Pańskiego 1623, dnia 4 maja we czwartek.

Przed przewielebnym Janem Raciborskim dziekanem i officyałem warszawskim, kanonikiem pułtuskim i niniejszemi aktami konsystorza warszawskiego, stawivszy się osobiście prześwietni panowie: Stanisław Baryczka burmistrz, Jan Giza wójt, i Paweł Zembrzuski klucznik rajca, wszyscy miasta Starój Warszawy, w imieniu swoim i całej rady tegoż miasta dobrowolnie i jawnie za siebie i swoich następców w urzędzie radzieckim zeznali: że gdy Opatrzność Boska przez osobliwą łaskę i potokiem miłosierdzia Swego, całe miasto Warszawę

(1) Polska i Ruś tom I, str. 163 i tom IV, str. 14.

(2) Znajduje się obecnie w dawnych aktach Warszawy.

tionis suae, universam civitatem varsaviensem omnesque incolas ejusdem, in frequentissimo populorum ad Curiam Sacrae Regiae Majestatis Domini Domini nostri Clementissimi commorantium, aliorumque commean-  
 et remeantium concursu, non sine maxima totius regni admiratione liberavit et protexit a contagione vehementis pestis ab annis aliquot per regnum Poloniae, potissimum vero in anno proxime praeterito millesimo sexcentesimo vigesimo secundo passim saevientis et in locis contiguis War-  
 ka, Praga aliisque villis et oppidis grassantis, ut nemo civium ea lue confectus fuerit, sed omnes divinae miserationis patrocinio protecti, salvi et citra infectionem aëris et corporum incolumes, non sine admiratione omnium permanserunt; proinde memores beneficiorum coelitus praestitorum et ut aeternae vicissim gratiarum actiones, Deo Optimo Maximo sine intermissione persolvantur, in vim perpetuae donationis, ducentos florenos polonicae summae principalis et lampadem ex puro argento altari et Altaristae Sacratissimi Corporis Christi, quod in Ciborio in eodem altari posito asservatur, ecclesiae Collegiatae S. Joannis Baptistae varsaviensi dederunt, donaverunt, fundave-

i wszystkich jęj mieszkańców, przy największym natłoku ludów, w rezydencyi J. K. M. P. N. M. przebywających i innych przechodzących lub powracających, z największém podziwieniem całego państwa, od zarazy srogiego powietrza, przez kilka lat w królestwie polskiém, szczególnie zaś w roku zeszłym 1622, bez różnicy srożącego się i grassującego, po miejscach przyległych w Warce, Pradze i innych wsiach i miasteczkach, uwolniła i ocaliła do tego stopnia, iż nie tylko żaden z obywateli tym morem nie był dotknięty, ale nadto wszyscy zasłonieni tarczą miłosierdzia Boskiego, zdrowi bez zarażania powietrza i ciał, z powszechném podziwieniem nienaruszeni pozostali; z tych powodów, pamiętni dobrodziejstw z Niebios udzielonych, ażeby za to wieczne dziękczynienia, bezustannie Bogu Wszechmogącemu bez przerwy odbywały się, 200 złotych polskich jako kapitał, (1) tytułem wiecznej darowizny, oraz lampę z czystego srebra do ołtarza, i altaryście Najświętszego Sakramentu, jaki w cymboryum rzeczonoego ołtarza przechowuje się, dla kościoła kollegiaty św. Jana Chrzciciela w Warszawie, na wieczne czasy dali, darowali, fundowali i zapisali w ten sposób, iżby kapitał

(1) Na dzisiejszą monetę około złp. 800.

runt et assignaverunt temporibus perpetuis ita, ut summa principalis penes spectabilem senatum Antiquae civitatis Varsaviensis remaneat, census vero annuos (ejusdem summae principalis ducentorum florenorum polonica-  
 lium) duodecem florenorum polonica-  
 lium, proconsul et consules pro tempore existentes, singulis annis pro festo Sancti Martini episcopi et confessoris reponere et solvere se et suos successores consules submiserunt et obligaverunt temporibus aeviternis sub poena excommunicationis. Deinde ut idem Altarista dicti altaris modernus et pro tempore existens, Sacrum missae Officium lectum de Sanctissima Trinitate, cum commemoratione pro beneficiis acceptis et oratione circa idem Officium in missali descripta videlicet: *Deus cujus misericordiae non est numerus* etc. circa praedictum altare, qualibet feria tertia septimanatim singulis annis celebret et adimpleat sub onere conscientiae suae teneatur et obligetur; petentes hanc donationem et fundationem admitti et roborari vique perpetuae firmitatis donari. Et Reverendus dominus Officialis eandem donationem admisit roboraque perpetuae firmitatis habere

przy prześwietnym senacie Starój Warszawy pozostał, do składowania zaś i opłacania w terminie na św. Marcina biskupa i wyznawcę, procentów rocznych (z téjże summy złp. 200 pochodzące) wynoszących złp. 12, burmistrz i rajcy siebie i swoich następców w radzie, na wieczne czasy, pod karą exkommunikacji zobowiązali i poddali (1). Następnie, ażeby altarysta wspomnianego ołtarza terazniejszy i napotém będący, jedną mszą czytana o Najświętszej Trójcy, z wspomnieniem tych dobrodziejstw odebranych, i modlitwą w tymże mszale, oraz officyum jakie jest napisane w tych słowach: *Deus cujus misericordiae non est numerus*, przed rzeczonym ołtarzem odbywał i wykonywał, co wtorek każdego tygodnia przez wszystkie lata, pod odpowiedzialnością z sumienia swego ma być zobowiązany i zniewolony, upraszali; oraz, ażeby ta darowizna i uposażenie mogło być przyjęte, ukrzepione, i tytułem wiecznej trwałości wzmocnione. Przewielebny zaś ks. officyał darowiznę tę przyjął, wieczną jój moc nadał, swobodami kościelnymi obdarzył, oraz powyższą mszę czytana do wykonywania w każdy wtorek co tydzień, każdo-

(1) Kapitał ten w r. 1641 znajdował się w ręku Łukasza Drewno, ówczesnego burmistrza miasta Starój Warszawy.

decrevit, libertati ecclesiasticae adscripsit et Sacrum suprascriptum lectum, expediendum quolibet feria tertia cujuslibet septimanae singulis annis decrevit et ordinavit, ex eodem censu suprascripto duodecem florenorum polonicalium perpetuis temporibus; praesentibus tunc venerabilibus Jacobo Sierputowski mansionario collegiatae, parcho B. Mariae Virginis in Nova Civitate ecclesiae, et Gregorio a Sochaczow psalterista ecclesiae Collegiatae varsaviensis aliisque testibus ad praemissa ac me Simone Sawłowski, actorum consistorii varsaviensis notario (L. S.). Ex protocollo actorum consistorii varsaviensis sub sigillo Admodum Reverendi domini Joannis Raciborski decani et officialis varsaviensis suprascripti extractum. Simon Sawłowski actorum Consistorii varsaviensis notarius m. p.

rocznie, postanowił i rozporządził na wieczne czasy, z rzeczownego funduszu procentu 12 złotych; w przytomności naówczas wielebnych: Jakóba Sierputowskiego mansyonaryusza kollegiaty, proboszcza kościoła N. Maryi Panny w Nowej Warszawie i Grzegorza z Sochaczewa psalterzysty kościoła kollegiaty warszawskiej i wobec innych świadków powyższego, oraz mnie Szymona Sawłowskiego pisarza akt konsystorza warszawskiego. Wyjęto z protokołu akt konsystorza, pod pieczęcią przewielebnego dziekana i officyała warszawskiego wyżej wspomnianego Jana Raciborskiego. (Podpisano) Szymon Sawłowski pisarz akt konsystorza warszawskiego ręką własną.

Wykryte przez nas wiadomości o téj klęsce w r. 1624 i 1625 panującej, głównie czerpane są z regestrów Łukasza Drewno burmistrza na on czas powietrznego, a zarazem wójta Starój Warszawy. Pozostawił on nam te szczegóły w dwóch osobnych woluminach (1), z których piérwszy w r. 1626 spisany, nosi tytuł następujący: „Regestr zmarłych *anni praeteriti* czasu burmistrzostwa mego w powietrze i distributi jałmużny oth J. K. M. i innych osób danój d. 29 octobris 1624.” Z dewizą: „*a peste, fame et bello libera nos domine* (2). Dzieło to przypisał w ten sposób: „Ich M. Panom, panu Hendrichowi Plumhoffowi: p. burmistrzowi Warszawy Starój, z JJ. PP. Rajcy przy othdaniu powinnych chęci swych pracą regimentu swego ad ar-

(1) Znajdują się obadwa w oryginale w dawnych aktach miasta Warszawy. (2) Od powietrza, głodu i wojny, zachowaj nas Panie!

chivum podaje 1624, (podpisano) *Lucas Drewno vice Proconsul Antiquae Varsaviae m. p.*” Na początku tego woluminu jest nader ciekawy widok miejsca pod Warszawą, gdzie chowano zapowietrzonych (1). Przedstawia on ubocznie na pagórku burmistrza klęczącego i ofiarującego klucze Warszawy śmu Benonowi, będącemu w obłokach i modlącemu się *in pontificalibus* do Matki Boskiej, tamże w wizerunku przedstawionej. Następnie spostrzegamy w kolorach jeszcze dotąd bardzo widocznych, dobrze zachowanych, kopaczy przynoszących ciało zmarłego, przykryte całunem, potem okolice Warszawy i dozór z straży rozciągnięty nad tém miejscem. Postawiona jest w głębi figura z godłem Zbawiciela, oraz żołniierz na czatach, który oddala wszelkie osoby nieroztropnie przekraczające kordon zdrowia oznaczony. Pomiędzy cmentarzem zapowietrzonych, a unoszącym się w obłokach śłym Benonem jest na małą skalę umieszczony widok Warszawy, otoczonej murami, zdjęty ze strony bramy krakowskiej. Pod całym widokiem napis następujący: *feci quod potui, potui quod Christe dedisti, improba fac melius si potes invidia* (2). Główném zadaniem piszącego tę księgę było wyrachowanie się przed swoim zwierzchnikiem Henrykiem Plumhofem, z funduszów jemu powierzonych. W tym celu Łukasz Drewno zajął się przedewszystkiém spisem szczegółowym osób zmarłych w Warszawie na morowe powietrze, z wyrażeniem: wiele ginęło każdego dnia, jak się nazywały, ich stęń i miejsce śmierci. Urzędnik ten miasta kończy registr rzeczony podziękowaniem Bogu, w wierszach następujących:

Czynię Chryste dzięki Tobie,  
Iżeś mię zachował sobie,  
Tak z dobrego jako z złego,  
Chwalicie Boga swojego:

(1) Pomimo troskliwych poszukiwań nie mogliśmy wysledzić, w której części dzisiejszej Warszawy i jej okolic z pewnością było to miejsce. Prawdopodobnóm jest, że koło gór, na których Zoliborz następnie był zbudowany, chowano katolików. Co do dyssydentów zaś wynalazłem dowód, iż za św. Trójcą, około zatém dawniejszego arsenału, w tém miejscu, gdzie następnie był rzeczywisty cmentarz a dziś szpital ewangelicki, chowano ich w czasie powietrza.

(2) „Zrobiłem co mogłem, mogłem to co Chryste udzieliłeś; bezczelna zazdrość zrób lepiej, jeżeli potrafisz.” Z tego napisu możemy sądzić o gorliwości, z jaką rzeczony burmistrz powietrzny starał się swemu powołaniu odpowiedzieć.

Bo co dobrze, z łaski Twojej,  
 Co nie dobrze, z winy mojej,  
 Gniewu Twego doznawamy,  
 Dlatego iż Cię gniewamy.  
 Na który często robimy,  
 Przecie się nie polepszamy.  
 Polepszymyż żywota swego,  
 Znajdziem miłosierdzie Jego.  
 Wołajmyż o zmiłowanie,  
 Aza gniew Jego ustanie.  
 Zmiłuj się nad nami Boże!  
 Nikt nam inszy nie pomoże,  
 Zmiłuj się Panie nad Pany!  
 I nad zeszlęmi duszami.

Amen.

Ponieważ Zygmunt IIIci udzielił Łukaszowi Drewno zasiłek pieniężny dla zapowietrzonych i ich sierot, w ilości złotych pol. 5,600 (dziś około złp. 22,400), a nadto różni panowie złożyli także sumę na ten cel w ilości złp. 614 gr. 25 ówczesnych; objął więc następnie tenże urzędnik miasta w rzeczonyj księdze wydatki szczegółowe z tychże funduszów, komu, na co, i w jakiej ilości, najmniejsza kwota rozdana została. W końcu są zamieszczone środki lekarskie chroniące od morowej zarazy, z wyszczególnieniem recept, poczem następują więrsze pod tytułem: *Dla melankoliej zabawa*, które na końcu są zamieszczone.

Drugi wolumen uważać należy za brulion pierwszego, gdyż główne spisy zmarłych i wydatków na zapowietrzonych są téż same, a nawet rycina powyżej opisana zupełnie podobna, z tą tylko odmianą, iż daleko mniej dokładnie w niektórych częściach wykończona. Inne różnice jakie zachodzą między temi księgami są następujące: Na pierwszej zaraz karcie w drugim egzemplarzu, widzimy inną dewizę skreśloną pomiędzy mnóstwem cugów kalli-graficznie malowanych, w tych wyrazach:

*Virtus ad ardua tendit* (1).

*Spes alit et fallit* (2)

*Ejus est nolle qui potest et velle* (3).

Tytuł także zmienny opiewa: „*Anno Domini 1624. Registrum zmarłych miasta Starój Warszawy w przymórek tak*

(1) Cnoty oznaką walczyć z trudnościami.

(2) Nadzieja żywi i zawodzi.

(3) Kto chce, ten może nie chcieć.



w murze, jak na przedmieściu Krakowskiem, na Długiej ulicy, Freczie i Rybitwie, acuratissime a die 29 Octobris ad 28 martii Anni 1625 spisany.” Na drugiej stronie tego tytułu następujące zdania czytamy: *Sive vivimus, sive morimur domini sumus* (1). *Mors ultima linea rerum* (2). Oraz wiersze:

W imię Twe Chryste zostawam,  
Śmierci się nie nie obawiam,  
W Tobie me wszystko pokładam ufanie,  
Racz błogosławić Jezu Chryste Panie  
Amen.

(podpisano) *Lucas Drewno.*

*Vice gerens Antiquae Varsaviae mp.*

Następuje rycina z podpisem wyżej wspomnianym, i registr szczegółowy zmarłych, zupełnie podobny do pierwszego tomu. Lubo na tytule wyrażono, iż spis tylko do d. 28 marca 1625 roku obejmuje pogrzebionych, jednak szczegóły okazują peryod téj klęski aż do włącznie 16 maja rzonego roku. W końcu znajdujemy następujące wiersze, których nie ma w I voluminie:

Dziękuję to mój Chryste Panie,  
Iż tu dusza ma z żywemi zostanie,  
Abym Cię chwalił póki dusza w ciele,  
I służył Tobie zgoła na lat wiele.

Non enim mortui laudabunt te domine,  
Neque omnes qui descendunt in infernum (3).

Nie znajdujemy w tym voluminie ani recept poniższych, ani wierszy; oprócz tego w wielu szczegółach volumen pierwszy jest dokładniejszy i staranniej wykonany od drugiego. Miarkując zaś po ofiarowaniu, jakie Łukasz Drewno napisał w voluminie pierwszym, przypisując go burmistrzowi Henrykowi Plumhoffowi i rajcom Staréj Warszawy: z pewnością wnioskować możemy, iż wykonał go i przygotował w zamiarze drukowania, co jednakże nie nastąpiło.

Epoka którą kreślimy, była z najkrwawszych i najdolegliwszych dla Warszawy; trzy bowiem największe klęski dotykające ludzi nawiedziły stolicę, jakoto: pożar, powietrze i głód. Co do ognia, nie posiadamy innych wiadomości, jak tylko z voluminu

(1) Czyli żyjemy czyli umieramy, należymy do Boga.

(2) Śmierć jest ostateczną granicą wszystkiego.

(3) Nie wszyscy bowiem zmarli, ani ci, którzy się przenoszą do wieczności, chwalić Cię będą Panie.

piérwszego opisanego wyżej, z którego przekonywamy się, iż pożar był tak wielki, że Zygmunt IIIci klęską nieszczęśliwych familij poruszony, złożył na ręce rzeczzonego burmistrza powietrznego złp. 500 ówczesnych (dziś około złp. 2,000), dla rozdania pomiędzy najbardziej potrzebujących (1). Burmistrz rzeczony dopełniając woli króla, rozdał takowe pomiędzy 20 rodzin, udzielając w stosunku następującym:

2 rodzinom po złp. 50.....	100.
1 rodzinie... złp. 40.....	40.
4 rodzinom po złp. 30.....	120.
12 „ „ złp. 20.....	240.

Razem jak wyżej złp. 500.

Mówiąc o powietrzu jako głównym przedmiocie naszych poddań, winniśmy przedewszystkiém historyczną jego część objawić. O ile z urzędowych registrów przekonałiśmy się, mor grassujący w Warszawie w latach 1624 i 1625, powstał pierwotnie w krajach na południe graniczących z Polską. Uniesiony przez zetknięcie się osób w skutek przechodów wojennych, dostał się następnie w stronę południową Polski, a nakoniec do Warszawy. Powstanie jego głównie przypisują znacznej ilości trupów, nie pogrzebanych po wielkich bitwach. Wiele mamy dowodów przekonywających, iż ciała poległych na polach cecorskich, ciała rodadaków z całej armii Żółkiewskiego, którzy śmierć chwalebną znaleźli na obcej ziemi, w różnych miejscach Multan i Bukowiny, pozbawione ostatniej posługi przez ówczesnych barbarzyńców tureckich, dały początek tej klęsce. Jeżeli dodamy do tego stratę Turków w wyprawie pod Osmanem w 1622 r. w ludziach 60,000, w wielbłądach 100,000, koni niezliczone mnóstwo (2), a stratę naszych do 20,000; wreszcie dodawszy ilość poległych z dwóch lat ciągłych utarczek, otrzymamy razem zastraszającą liczbę 400,000 trupów nieopogrzebanych, co łatwo mogło być początkiem morowej zarazy.

(1) Nie piérwszyto pożar okropny w Warszawie w czasie panowania Zygmunta III; wiadomo bowiem z dziejów, że w roku 1607 około końca czerwca, wkrótce po sejmie w stolicy odbytym, wielki ogień w nocy wynikły pomiędzy budami na Starém Mieście, zniszczył w samym tylko rynku 22 domy, nie licząc kamienic i posiadłości po ulicach przyległych.

(2) Pamiętniki Radziwiłła. Athenaeum, szereg nowy, oddział II, tom IV, strona 24 i 29.

Zaledwie nieszczęsna wiadomość o téj klęsce przybyła do Warszawy, ówczesna władza (1) wysłała przez kursorów (2) 15 listów w stronę południową kraju, aby o zbliżającym się morze ku miastu mieć pewną wiadomość. Po potwierdzeniu jej, król natychmiast postanowił ukończyć wał koło miasta, jaki poprzednio po klęsce pod Cecorą zaczął być robiony (3). Przeko-

(1) Był natenczas burmistrzem Staréj Warszawy Jan Korb, a wójtem Łukasz Drewno następnie burmistrz powietrzny.

(2) Kursorowie byli posłannicy, którzy bądź pieszo, bądź konno zastępowali instytucją poczty, wówczas jeszcze w naszym kraju nieznanéj.

(3) Listy w tym przedmiocie pisane przez króla do magistratu Staréj Warszawy znajdują się w *Starożytnościach warszawskich* T. I, str. 251. Z rachunków zaś społecznych urzędowych przekonywamy się, że w skutek téj klęski, władza miasta trzema środkami zaczęła przysposabiać obronę rezydencji królewskiej: 1<sup>o</sup> przez okopanie Warszawy wałem uzbrojonym; 2<sup>o</sup> przez pomnażanie amunicyi, prochu, kul, oraz dział do obrony; 3<sup>o</sup> przez zaciąganie uzbrojonej piechoty. Co do 1<sup>o</sup>, wał rzeczony rozpoczęto kopać dnia 13 sierpnia 1621 r. i prowadzono pracę aż do 16 grudnia t. r. za pomocą szarwarku. Dla pilnowania wszelkich narzędzi roboczych, bądź żelaznych, bądź drewnianych, urządzoną była straż, do zmiany której wystawiono przy wale dom w rodzaju kordegardy. Dla dzielniejszej obrony, urządzono koło wałów od strony miasta długie ławy, na których żołnierze siedząc lub stojąc, mogli byli strzelać zasłonieni będąc okopem. Najwięcej robotników przy téj fortyfikacyi pracujących było Niemców, prawdopodobnie Holendrów, którzy w kilka lat następnie, 1624 r., już się sadowili na dzisiejszej Saskiej kępie. Wszystkie narzędzia do kopania i roboty wału, zakupywano we wsi naówczas Pradze. Zaraz po skończeniu pewnej części okopu, zataczano na nim działa, jak równie i przy bramach miasta. Co do 2<sup>o</sup>. Dla przyrządzania hakownic, robiono koła i narzędzia potrzebne z dębiny. Do wyrabiania luf i kul, miasto zakupywało żelazo wozami na jarmarku; dwa te ostatnie wyroby strzelnicze, sporządzali wówczas w Warszawie kowale. Z rachunków urzędowych wypisujemy, że wyrobiono wówczas kul 993, co kosztowało złp. 12 gr. 21, dziś około złp. 50. Co do 3<sup>o</sup>. Aby posiadać jakąkolwiek straż miejską, magistrat przyjął 18 pachółków z dwoma dziesiętnikami. Ci ostatni brali żołdu złp. 1 gr. 15 na dni 10, a żołnierze zwani *pachółkami* na takiż czas złp. 1: czyli dziesiętnicy brali dziennie po 4 i 1/2 grosza, dziś około 18 groszy, a żołnierze po 3 grosze ówczesne, dziś około 12 groszy. Milicya ta ubrana była w kerezye z sukna modrego i białego, obszywane sznurkami i zapinane na haftki, uzbrojoną zaś była szabłami, muszkietami, kluczami (pikami), opatrzona ładownicami, dardami (oszczepami). Za muszkiet jeden płacono 5 lub 7 1/2 złotych ówczesnych. Całe uzbrojenie i utrzymanie téj milicyi kosztowało w ogóle złp. 759 gr. 7 ówczesnych, dziś około złp. 3,100. Z powodu ustąpniej bojaźni o dalszy napad Polski przez Turków, magistrat Staréj Warszawy już dnia 24 listopada 1621 r. zmniejszył wspomnianą milicyą do liczby 8 pachółków, bez żadnych dziesiętników.

nywamy się z rachunków ówczesnych, że wał ten szedł w takim kierunku, w jakim go widzimy na planie Warszawy z r. 1667, w dziele naszym „*Starożytności Warszawy*” przedstawionym (Tom I str. 254) (1). Dla jego ukończenia musiano zająć zabudowania i budynki Nowej Warszawy. W tym celu uczynioną została rewizya gruntów Nowomiejskich, pod kierunkiem Wiesiołowskiego marszałka W. ks. Litewskiego, po której przyznano 19 właścicielom summe złp. 1,140 (dziś około 4,560 złp.) podług następującego rozkładu (2):

1. Krukowa słodownica w pół wałem zniesiona ma się znieść. Dano.....	flor.	60
2. Czarnoczanka wdowa ma się przenieść na <i>babiznę</i> pod Dominikany. Dano.....	flor.	90
3. Marcin Szwedo ma się przenieść na plac <i>czudzikowski</i> ; dano mu na przeniesienie...	flor.	100
4. Plac <i>golanczyński</i> na którym widerkaufu f. 40, lecz trzeba sukcesory kontentować.....		
5. Plac <i>bukatowski</i> , <i>patres Societutis</i> i z drugim podle niego zapłacili i budynek zebrali na dwa place.....		
6. Dom Nyrzyny przenieść na plac; od urzędu naznaczono.....	flor.	60
7. Jan Chorążyk od urzędu nowomiejskiego ma mieć plac; na przeniesienie dano mu....	flor.	60
8. Sowa szewc ma plac; od urzędu naznaczono.....	flor.	60
9. Stanisław Milnicki na <i>kielbasińskim</i> od dwóch domów, których urząd naznacza....	flor.	40
10. Stan. Trojanowicz na przeniesienie	flor.	80
11. Ogród Dymitrowski przez budowania kontentacyi .....	flor.	60
do przeniesienia		flor. 610

(1) Szczałki ostatnie tych wałów zostały w części zniesione, dopiero przed kilką laty w possessyi nr. 471, własnością niegdyś referendarza stanu Danielskiego będącej; reszta tych wałów jeszcze się przedstawia w ogrodzie sąsiednim.

(2) Dlatego zamieszczamy tak szczegółowo dosłownie z rachunków ten zabór, iż przedstawia nam pierwsze i najdawniejsze wzięcie gruntów na użytek publiczny w Warszawie, oraz położenie dawnych posiadłości.

	z przeniesienia flor.	610
12. Bachracki ma się przenieść na grunt miejski, ma czynsz dawać jako dawał; na przenoszenie . . . . .	flor.	60
13. Szewc Postawa ma się przenieść na plac <i>ślubski</i> ; na przeniesienie . . . . .	flor.	80
14. Dawno plac pusty . . . . .		
15. Janowi Czarnocie urząd ma dać plac; na przenoszenie dano . . . . .	flor.	70
16. Adamowi Roskowi urząd ma dać plac; na przeniesienie dano . . . . .	flor.	60
17. Stanisławowi Kulimosce urząd da plac; na przenosiny . . . . .	flor.	60
18. Michał Magierosz ma się z rynku przenieść na <i>kurzentowskie</i> ; dano . . . . .	flor.	120
19. Stefanowi krawcowi urząd da plac: na przenosiny . . . . .	flor.	80
20. Octobra od ekstraktu z ksiąg miejskich, dano . . . . .	flor.	2

---

Summa flor. 1,142.

Pod tymże samym rokiem 1624, rachunki Starój Warszawy obejmują następujące wydatki na sypanie okopu:

1. Dałem (1) poprawić 58 tacek starych; dałem od nich Niemcom . . . . .	złp.	8 gr. 24
2. Od wożenia tacek . . . . .	złp.	— gr. 8
3. Za żelazo na blachę do tacek . . . . .	złp.	1 gr. 15
4. Za gwoździe . . . . .	złp.	— gr. 16
5. Jedenaście tarcie do tychże tacek po gr. 8 . . . . .	złp.	2 gr. 28
6. Za 3 cebry i gwoździe znowu . . . . .	złp.	1 gr. 16
7. Szczęsnemu za łopaty do wału . . . . .	złp.	3 gr. 24
8. Od noszenia beczek, cebrów do wału . . . . .	złp.	— gr. 6
9. Janowi Psocie za dwa dyle . . . . .	złp.	2 gr. —
10. Kazałem we Gdańsku na urząd zrobić dwie kary do wywożenia błota, kosztują . . . . .	złp.	23 gr. 10
	do przeniesienia złp.	44 gr. 27

(1) Tak pisze ówczesny podskarbi miasta:

	z przeniesienia złp.	44 gr. 27
11.	25 taczek w Gdańsku po groszy 35, złp.	29 gr. 5
12.	Za komiege (1) p. Alexandrowi Gizy dał p. Szlichting. . . . . złp.	80 gr. —
13.	Od wyciągania komiegi. . . . . złp.	5 gr. —
14.	Za 16 cebrów po gr. 8. . . . . złp.	4 gr. 8
15.	Za nalewki (2). . . . . złp.	— gr. 16
16.	Od zasypania wału za Jeleniowym fol- warkiem. . . . . złp.	4 gr. 12
Razem złp.		168 gr. 8.

Wał ten robiono z ziemi i chrustu, chrust zaś brano z kępy miejskiej soleckiej dziś *Saską* zwaną (3); aby zaś dostawę tego ułatwić, ławnicy Stariej Warszawy udali się tamże, dla poczynienia stosownych rozporządzeń; w czasie tej delegacji wypito trzy garnce wina. Uskuteczniłone okolenie Warszawy wymagało utworzenia pewnych miejsc, któremiby wejście do miasta zabezpieczono; ztąd powstały pewnego rodzaju rogatki *szlakami* wówczas zwane, których było trzy: 1e koło św. Krzyża, 2ie koło św. Trójcy (4) i 3cie u starosty warszawskiego (?). Oprócz ogólnego wału koło całego miasta, grodzono także wewnątrz niektóre pojedyncze ulice, a to za pomocą palów olszowych, dostarczanych z kępy miejskiej (saskiej). Wybór ulic mających się zapalować, zależał od kierunku powietrza, przy jakich więcej grasowało.

(1) Rodzaj siatku wodnego; zapewne na nim kary i taczki sprowadzano z Gdańska.

(2) Myłne mniemanie, jakoby ulica Nalewki w Warszawie została nazwaną od Nalewajki (który został pojmany pod Lubniami przez Żółkiewskiego, odesłany następnie do Warszawy i tamże stracony) zostało w części tylko sprostowane przez śp. Lisowskiego w *Album Literackim*, wydania Kazimierza Wojcieckiego (tom II, str. 61). Początek bowiem nazwania cystern czyli źródeł, które zwano w r. 1617 *krynicami*, *sdrojami*, a później dopiero *nalewkami*, był pierwotny od naczynia zwanego *nalewką*, którem przelewano wodę z cystern do rur połączonych z sobą. Nalewki takie zwano w r. 1605 *samowarami*; a za jednę płacono w r. 1609 jeden grosz, w r. 1612 sześć groszy. Były one spojone kilkoma obręczami, i robione przez bednarzy.

(3) Wiadomość bliższą o powodach zaczęcia sypania tego wału w r. 1621 wyczytujemy w Pamiętnikach Albrychta Radziwiłła, zamieszczonych w Athenaeum rok 1848 T. IV, str. 26. (4) Dziś fabryka broni pod nr. 561.







		z przeniesienia osób		42	dnia	1 kwietnia 1625 r.		osób	1		
dnia	17	lutego	1625 r.	osób	2	2	"	"	3		
"	18	"	"	"	2	3	"	"	4		
"	19	"	"	"	2	4	"	"	6		
"	20	"	"	"	14	5	"	"	7		
"	21	"	"	"	2	6	"	"	3		
"	22	"	"	"	2	7	"	"	3		
"	23	"	"	"	2	8	"	"	4		
"	24	"	"	"	4	9	"	"	2		
"	25	"	"	"	3	10	"	"	3		
"	26	"	"	"	4	11	"	"	5		
"	27	"	"	"	4	12	"	"	4		
"	28	"	"	"	7	13	"	"	6		
"	29 (*)	"	"	"	6	14	"	"	4		
				<b>Razem osób</b>	<b>96.</b>	15	"	"	1		
dnia	1	marca	1625 r.	osób	5	16	"	"	3		
"	2	"	"	"	4	17	"	"	1		
"	3	"	"	"	3	18	"	"	14		
"	4	"	"	"	3	19	"	"	5		
"	5	"	"	"	1	20	"	"	12		
"	6	"	"	"	4	21	"	"	9		
"	7	"	"	"	3	22	"	"	8		
"	8	"	"	"	2	23	"	"	6		
"	9	"	"	"	5	24	"	"	12		
"	10	"	"	"	3	25	"	"	9		
"	11	"	"	"	2	26	"	"	10		
"	12	"	"	"	2	27	"	"	10		
"	13	"	"	"	2	28	"	"	6		
"	14	"	"	"	3	29	"	"	9		
"	15	"	"	"	1	30	"	"	12		
"	16	"	"	"	4						
"	17	"	"	"	3						
"	18	"	"	"	3	dnia	1	maja	1625 r.	osób	12
"	19	"	"	"	5	"	2	"	"	"	10
"	20	"	"	"	5	"	3	"	"	"	10
"	21	"	"	"	3	"	4	"	"	"	9
"	22	"	"	"	2	"	5	"	"	"	16
"	23	"	"	"	1	"	6	"	"	"	11
"	24	"	"	"	5	"	7	"	"	"	9
"	25	"	"	"	5	"	8	"	"	"	10
"	26	"	"	"	4	"	9	"	"	"	9
"	27	"	"	"	5	"	10	"	"	"	10
"	28	"	"	"	3	"	11	"	"	"	8
"	29	"	"	"	6	"	12	"	"	"	5
"	30	"	"	"	7	"	13	"	"	"	18
"	31	"	"	"	3	"	14	"	"	"	8
				<b>Razem osób</b>	<b>105.</b>	"	15	"	"	"	8
						"	16	"	"	"	7
									<b>Razem osób</b>	<b>160.</b>	

(\*) Rok 1625 nie był przybyszowy.

Razem osób 160.

*Z e b r a n i e.*

W październiku 1624 r.	osób	179	z przeniesienia	osób	1283
„ listopadzie	„	377	W kwietniu 1625 r. . . .	osób	182
„ grudniu	„	321	„ 1/2 maja „ . . . .	„	160
„ styczniu 1625 r.	„	205			<u>Razem osób 1625.</u>
„ lutym	„	96	Potajemnie schowanych	osób	350
„ marcu	„	105	Z okolicznych folwarków		
	do przeniesienia	osób 1283.	ubogich . . . . .	osób	400
					<u>Łącznie osób 2375.</u>

Z téj tabelli przekonywamy się statystycznie, że morowe powietrze najmocniej grassowało w miesiącu listopadzie i maju, to jest na początku i przy końcu; najmniej zaś porywało ofiar w miesiącu lutym, co przypisać może należy panującym przymrozkom (1). W każdym razie zastanowienia godną jest rzeczą, iż w ogóle, w czasie pory zimnej i mroźnej całe to powietrze grassowało w Warszawie, kiedy wówczas przyjętą było zasadą, że zimno wstrzymuje mor i zarazę. Badając powody zjawienia się téj kłęski w stolicy, a nadto porównywając stan ówczesny miasta z jego wewnętrzném urządzeniem, za główne przyczyny powstania tego powietrza w tym grodzie można naznaczyć: wilgoć, nieochędstwo wielkie miasta i brak nadzoru nad czystością miejsc publicznych. Ulice niebrukowane, wąskiej szerokości, zupełnie zaniedbane oczyszczanie miasta przez władzę ówczesną, i pozostawienie go tylko własnej pilności osób prywatnych: oto przyczyny dalszego szerzenia się moru, oto powody długiego jego trwania. Biorąc porównanie liczby zmarłych osób z ogólną ludnością miasta, przypuszczać należy, iż blisko 20ta część mieszkańców stała się ofiarą téj kłęski. Porównywając zaś ilość dni trwania moru z ilością zmarłych, wypada, iż dziennie przeszło 12 osób ginęło wówczas z powietrza. Pozostawił nam jeszcze Łukasz Drewno wiadomość, że jednocześnie w Gdańsku w téj epoce padło ofiar 10,454, zatem blisko 5 razy więcej jak w Staréj Warszawie. Uważając wreszcie osoby co do wieku, płci i stanu, powietrze nie oszczędzało żadnego. Tak niemowlę jako i zgrzybiały starzec, tak niewiasty jako i mężczyźni, tak ubogi wyrobnik z pracy rąk żyjący,

(1) Spółczesne kroniki podają nam, iż zima ówczesna była nadzwyczaj łagodna.

jako i wielcy panowie opływający w zbytkach, stawali się pastwą tój klęski.

Mając ogólne pojęcie o powietrzu i o służbie, przejdźmy do szczegółów. Wyżej postanowiona władza do czuwania nad morowem powietrzem, zajęła się przedewszystkiem środkami, oddalania od miasta tak zapadłych na tę chorobę, jak równie i ciał zmarłych. W tym celu dla pierwszych wybudowano na kępie Polkowskiej na Wiśle, nad brzegiem samej rzeki, domki stosowne do zamieszkania i przebywania. Czynność tę miał sobie poruczoną Jan Horlemus szafarz miejski, której dopełnił z największym pośpiechem; jak się z tego przekonywamy, iż siedm domków na kępie rzeczonyj w jednym dniu wystawiono. (1) Dla zmarłych oznaczono osobne miejsce w polu, otoczone strażą, celem oddalania zbliżających się do niego, i uzbrojone szubienicą w razie ukarania lekkomyślnych. Znaczną ilość dołów wcześniej przygotowano, oraz jeden ogólny do chowania ciał. Głównym zamiarem władzy, postanowionój do ratunku od powietrza było, niedopuszczanie zetknięcia się tak zmarłych, jako i osób chorobą zaraźliwą dotkniętych, ze zdrowymi mieszkańcami miasta. W tym celu, władza nadzorcza zajęła się najprzód wypędzaniem niechlujnej ludności, zwłaszcza przybywających z okolic wszelkich żebraków; do czego ustanowiono stosowną służbę *wyganiaczy*. Dla uniknienia zaś nadużyć, mogących przy tém łatwo powstać, ubrano ich w suknie modre i czerwone, z krzyżem wielkim czarnym na piersiach i przepasaniem, jak kopacze na rycinie przez nas na początku spomnianej są wystawieni.

Urządzono następnie osobne kuchnie przy domkach, gdzie cała żywność przez oddzielnego na to kucharza, była dla cierpiących gotowaną. W ogóle spomniona służba tak była skierowaną, iż wszelkie zespolenie zdrowych z choremi, utrzymywali tylko spomnieni kopacze, którzy zarazem byli tragarzami. Słudzy ci, widocznie odróżnieni ubiorem od innych mieszkańców, mieli oso-

(1) Nie pierwszy raz kępa Polkowska służyła za schronienie mieszkańcom stolicy od powietrza; wyczytujemy w rachunkach Starój Warszawy, że gdy w r. 1605 powietrze zaczęło grassować na Rybitwie, zmarłych na powietrze topiono w Wiśle, zaś chorujących na nie przeciagano na kępę za pomocą liny i czółna. Miasto pielęgnowało chorych na tój kępie, za pośrednictwem cechu rybackiego, i 8 osób żywiło, pomiędzy nimi niejaka Mikołajową Cieślinę. Czytaj: *Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą*, str. 5.

bny domek w polu, gdzie chowano zapowietrzonych, i osobne nosidła z całunem przyozdobionym znakiem Zbawiciela, którym przykrywali ciała do pochowania w grobach. Tragarze ci roznosili także lekarstwa, bądźto dla zapadłych na tę chorobę, bądź też do oczyszczenia służące. Odświeżano powietrze za pomocą palonego prochu, ciała zaś zapowietrzonych posypywano ługiem. Z rachunków ówczesnych przekonujemy się, iż prochu wyszło funtów 552, płacono zaś po gr. 22<sup>1</sup>/<sub>2</sub> ówczesnych za funt. Z tych rozporządzeń poznajemy, iż służba kopaczy czyli tragarzy była najważniejszą, dlatego do dozorowania ich urządzono osobną straż, która także otaczała miejsca, gdzie zostawali zapadli na tę chorobę, lub też gdzie chowano trupów. Straż ta czuwała także nad wewnętrznym bezpieczeństwem mieszkańców i przestrzegała, aby nie wydobywano ciał, bądźto dla rabunku, bądź też dla przenoszenia na cmentarze przy kościołach. Obaczmy poniżej, ile zbawienne było to rozciągnięcie kontroli, zwłaszcza nad kopaczami. Ponieważ korzystanie z cudzego nieszczęścia nie mogło być wykoźnieniem, nawet w tak okropnej klęsce, a znaleźli się tacy przekraczający, którzy rabowali lub też lekkomyślnie nie wypełniali rozkazów władzy; zwierzchność przeto ówczesna postanowiła chłostą i śmiercią winowajców karać. Liczne musiały być egzekucye takich wyroków, kiedy z różnych miast musiano wówczas zawezwać do Warszawy znaczną ilość mistrzów czyli wykonywaczów sprawiedliwości. Co do wewnętrznego stanu zdrowia, w samym mieście następujące rozporządzenia władza przełożona poczyniła. Wszelkie rozkazy wydawano przy odgłosie trąb, domy zapowietrzone zabijano skublami, ulice całkiem zarażone zawarowano palisadami, bramy miasta zamknięto i straż przy nich pod nazwaniem *drażników* postawiono. Zajęto się następnie utrzymaniem szczególnej czystości wewnątrz miasta. W tym celu, wszystkie wieże, sklepy, ulice błotne i domy mieszkalne, rozmaitemi środkami oczyszczano. Do tej czynności w braku ludzi, dla zbierania błota z ulic, użyto po raz pierwszy więźniów w kajdanach zwanych *kajdanikami*, którym płacono za to po 3 lub 4 grosze ówczesne dziennie. Pod względem sposobów medyczno-administracyjnych, władza rozsyłała dla zapowietrzonych lekarstwa według poniższych recept, pomiędzy zaś środkami leczącemi używano także olbrotu v. wolbrotu; następnie przysposabiano i posyłało te medykamenta w znacznej bardzo ilości, dla unikania częstych komunikacyj z zapowietrzonymi; wreszcie należy-

tość za dostawione lekarstwa, składano na ręce kopaczy albo tra-  
garzy. Miejsca do których nawet zbliżanie się było zakazane, ozna-  
czono także krzyżami pomalowanemi czarną farbą. Podobnież dla  
zbierania jałmużny wyznaczone osoby, posiadały także na czarno  
pomalowane puszkę. Pod względem chowania ciał zapowietrzony-  
nych, przykrywano ogólne doły dylami, a potem ziemią. Ostro-  
żność tę zachowano z dwojakich powodów: raz, iż zgłodniałe  
zwierzęta a szczególnie psy odkopywały doły i pożerały ciała;  
powtóre, dla uniknienia wyziewów szkodliwych, bo masę wiel-  
ką ofiar kładziono w jeden grób. Pomimo tak dzielnych i sprę-  
żystych środków, powietrze stosunkowo rozszerzało się po War-  
szawie i w okolicach w następującym porządku: na Rybitwie (dziś  
ulica Rybaki) za kościołem Panny Maryi, przyulicach: Dziekańskiej  
(dziś Trębackiej), Mostowej, na Dunaju, na Frecie (ulica Freta), na  
Krzywém Kole, w szpitalu św. Łazarza, na Długiej ulicy, koło ko-  
ścioła św. Trójcy, przy ulicach Miodowej, Piwniej, za wieżą okrą-  
głą (?), za Kozią ulicą, w kaplicy ubogich pod wałem (dzisiaj Po-  
dwał), przed szkołą farską, na Senatorskiej ulicy, koło św. Krzy-  
ża, w samym dworze królewskim, na dworze królewniej, w staj-  
niach zamku warszawskiego, w kozie nad Wisłą, koło kościoła  
św. Jerzego, w kuczcy przedmiejskiej (1), pod obozem (2), za bo-  
sakami pod wałem? w wieży kościoła ś. Jana, u orfanów, w giel-  
dzie? za mennicą (3), u Sokółkowni przed bramą miejską, u na-  
lewek (cystern), na kępie zamkowej (4), podle i za zupą (solną),  
podle św. Ducha, za wałem św. Trójcy, w szpitalu św. Trójcy,  
w klasztorze św. Jerzego, w pustkach za mennicą, na wieży ra-  
tuszniej u surmacza (trąbacza), i u kks. Jezuitów. Pomiedzy bu-  
dowlami prywatnemi, w których powietrze najwięcej grassowało,

(1) Kucza albo kuczka oznaczała budkę, jakich znaczna liczba wów-  
czas w mieście była. Ubóstwo mieszkańców nie dozwoliło większych sta-  
wiać domów.

(2) Zdaje się, iż tu jest mowa o obozie, jaki pod Warszawą był zało-  
żony w roku 1607, kiedy Zygmunt III z Jezuitami chcąc działać przeciw  
rokoszanom i przeprowadzić obrady sejmowe dla dopięcia swoich zamiarów,  
sprowadził znaczną ilość kwarciaanych i różne hufce panów możnych, które  
wnosiły około 12,000 żołnierzy i 12 dział.

(3) Mennica pierwsza w Warszawie była tam, gdzie następnie był pa-  
łac Kazanowskich, dziś w połowie posiadany przez JW. radcę stanu Simeona  
Werner pod nr. 369.

(4) Jest tu mowa o kępie Polkowskiej, która nie miała stałego na-  
zwania.

w spisach znajdujemy: domki Fukierowskie, domki Ormian tak zwane *Duchnowskie* na Długiej ulicy (1) i dwory magnatów polskich następujących: Młodzianowskiego, Nowodworskiego wojewody rawskiego (2) nad Wisłą, podkanclerzego W. K. Litewskiego (3), starosty warszawskiego na Krakowskim-Przedmieściu, Wojślawskiego, Nowomiejskiego, księcia Radziwiłła, starosty sandomierskiego, wojewody mazowieckiego (4), starosty zakroczymskiego, wojewody bełzkiego (5), wojewody krakowskiego (6), biskupa kujawskiego (7).

### *O osobach zmarłych z powietrza.*

Pomiędzy licznymi ofiarami, jakie padły w owój strasznej klęsce w Warszawie, pierwsze, bo najdotkliwsze miejsce zajmuje rodzina samego burmistrza powietrznego, Łukasza Drewno. Oprócz bowiem pięciu osób, drogich dla jego serca a wyżej wspomnianych, zmarł zięć jego Orłowski wraz z wnuczką, którzy przez wzgląd na zasługi ojca, pochowanemi tu zostali na cmentarzu przy kościele Panny Maryi. Pomiędzy innymi znakomitszymi osobami, znajdujemy w registrach zmarłych na powietrze: instygatora W. Ks. Litewskiego († d. 6 marca 1625), diaka rotmistrza, Jana Korba burmistrza Staréj Warszawy w. r. 1624, a następnie wójta tegoż miasta w. r. 1625 († d. 29 kwietnia 1625 r.) O gorliwym tym urzędniku miasta takie wyczytujemy w pismach urzędowych świadectwo, iż był „zacie szlachetny i chlebowdawca wielki, który na szafarstwie swém ozdobił miasto Warszawę wieżami cudnemi; czujny w sprawach miejskich i pilny ten i o wójtowstwo pilnie się miastu starał.”

Padł także ofiarą grassującej klęski Jan Bucefał burmistrz Nowéj Warszawy († d. 25 kwietnia 1625 r.), który głównie kierował służbą, do zniszczenia powietrza w téj części miasta ustanowioną. Pomiędzy obywatelami znakomitszymi, liczbę ofiar tego moru pomnożyli: Michał Fukier właściciel kilku posesyj, Daniel co żupą solną zawiadował, podwojewodzy Bielawski z żoną,

(1) Marcin Duchnowski piwowar, podług rewizyi r. 1623 miał swój browar przy ulicy Długiej.

(2) Stanisława Radziejowskiego h. Junosza. (3) Paweł Sapleha,

(4) Jędrzej Górski h. Nałęcz. (5) Rafał Leszczyński h. Wieniawa, zmarły r. 1637. (6) Jan Tęczyński h. Topor, zmarł r. 1638.

(7) Jędrzej IV Lipski h. Grabie postąpił na biskupstwo krak. r. 1631.

kilku kk. psalterystów i czterech księży w klasztorze przy kościele św. Jerzego. Za powinność poczytujemy szczegółowo tu zamieścić liczne ofiary, jakie padły z powodu grassującego moru w samym zamku królewskim, aby przekonać czytających o słusznym powodzie wydalenia się króla z miasta. Oto ich liczba.

1. Ksiądz Strykowski doktor
2. Katerlia doktor
3. Marek muzyk
4. Syn Strzyżewskiego muzyka
5. Dziewka Wincentego muzyka
6. Żona kowala
7. Matias Kotlik szewc
8. Profos (1)
9. Żona woźnicy
10. Mieczowniczek
11. Bednarz
12. Hajduk
13. Odźwierny
14. Siodlarz
15. Trębacz i sługa jego
16. Pasztetnik
17. Palacz
18. Złotnik

K r ó l e w s c y .

Zajmujący szczegół co do śmierci Katerli (+ d. 27 kwiet. 1625 r.) nadwornego lekarza króla Zygmunta III, z pamiętników społecznym Albrichta Radziwiłła, w Athenaeum (Od. II, szereg nowy T. V, str. 5) znajdujący się, przytaczamy dosłownie: „Gdym powracał (pisze Radziwiłł) z podróży do Warszawy, spotkałem znajomego mi lekarza Katerlam zwanego. Dziwiło mię mocno, że gdym witając go rękę mu podał, on swoją usunął, wówczas on podawał pigułki królowi: byłoto w piątek, a w niedzielę umarł z zarazy tak jadowitej, że innych przejęła i trzeba było spalić wszystkie jego rzeczy. Rok ten (1625) spokojny i wolny od wojny, lecz srogi był dla zarazy grasującej po całej Polsce, która i królowi groziła. Krążyło to nieszczęście po różnych miejscach, a ze dworu wszyscy się prawie porozjeźdzali.”

(1) Powinnością profosa było zapisywać i dopilnować aresztantów; nazywany jest także *rózgonos* v. *stopka*. Linde.

Lubo walny sejm zwołany był przez króla w r. 1625 do Warszawy, gdy jednakże morowe powietrze coraz bardziej zaczęło się szerzyć, postanowiono przerwać obrady. Zygmunt III początkowo przebywał w Ujazdowie, a tylko na sessyje przyjeżdżał do zamku. Kiedy jednak coraz większa ilość osób z dworu jego wymierała, król z królową i dziećmi do Osiecka wydalili się, a gdy i tam morowa zaraza poczęła mocno grasować, monarcha przeniósł się aż do Ciemiernik dóbr Firlejowskich, gdzie do końca 1626 r. przebywał (1). Po ustaniu powietrza wrócił król do Ujazdowa, wtedy, gdy magistrat Stariej Warszawy w d. 20 lipca r. 1627 wysłał deputacją do monarchy z zawiadomieniem, iż powietrze zupełnie ustało.

### *O środkach medycznych.*

Dzieje literatury krajowej przedstawiają nam pod względem medycznym więcej zaspokajającą barwę co do morowego powietrza, jak same szczegółowe opisy tej plagi, pod względem nadzorczo-lekarskim. Pozostały do naszych czasów dwa dzieła, na ową epokę dokładne pod względem medycznym, bo opisują ogółowo stan chorobliwy całego kraju, z podaniem wszelkich recept i lekarstw, na rozmaite położenia osób i symptomata choroby. Jedno z tych skreślił Piotr Umiastowski z Klimont doktor medycyny i filozofii, ogłosiwszy drukiem w r. 1591 swoje pracę w języku ojczystym. Drugim pisarzem tej klęski był w r. 1620 Sebastian Sleskowski; ten naśladowając Umiastowskiego, podał do potomności pod względem medycznym także swoje opisy następnego powietrza, w narzeczu polskim. W roku 1850 zbogacił swe pismo i literaturę naszą, niezmordowany w przysługach ważnych dla piśmiennictwa krajowego Kraszewski, wydając w Athenaeum (2) notatki lekarza, w czasie morowego powietrza w roku 1623 we Lwowie poczynione. Rzucają one wielkie światło na epokę, którą obecnie kreslimy, gdyż najprawdopodobniej mor jaki we Lwowie panował w r. 1623, przez brak ostrożności, w komunikacji, dostał się do Warszawy w następnych latach. Twierdzenie to tém więcej staje się nieomylném, gdy porównamy po-

(1) K. Wład. Wojciecki w Pamiętnikach do panowań Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza tom I, str. 120—124.

(2) Tom II, str. 290.



dobieństwo skutków, rozporządzeń i recept poniższych, używanych w Warszawie z temi, jakich we Lwowie zażywano. Według więc tego, mór jaki w Warszawie w r. 1624 i 1625 istniał był ową straszliwą dżumą, która tyle ofiar pochłonęła na niwach polskich, a której symptomata były następujące: słoność w gardle, pot zimny, uczucie gorąca wewnątrz, senność, ciężkość ciała, ból głowy, drzenie pod kolanami, zapalenie ciągłe, czerwonosć oczu, womity nieustanne i gorzkie, oddech ciężki i kaszel, pragnienie wielkie, oglupienie, język czarny, wrzody i gorycz w ustach.

Co do środków medycznych w Warszawie, lubo autor z którego najwięcej czerpamy Łukasz Drewno, był aptekarzem z powołania w epoce, którą kreślimy, mniej dbałym się jednak okazał na podanie do potomności wszystkich środków medycznych (1). Natomiast pozostawił w spomnionym tylokrotnie rękopisie dwie tylko recepty, z których *piérwsza* nosi tytuł *descriptio preservativae R. M. czo mi w Zamku dawano z apteki jako liaszkowy orzech na rasz z domu wychodząc uziwacz.*

*Rp.* Caricarum pingujum libras quinque.

Nucum juglandium excorticatarum libras tres et semis.

Baccarum juniperi recentium libras tres.

Foliorum rutae uncias sex.

Baccarum lauri excorticatarum uncias 12.

Radicis aristolochiae rotundae uncias 5 1/2.

— helenii uncias 3.

— pimpinellae uncias 4.

— valerianae — 2.

— angelicae unciam 1.

Myrrhae drachmas 2.

Melis despumati libras 15.

Aceti rosarum rubrarum libram 1.

Fiat electuarium secundum artem.

*Druga* z proszku składająca się, spisana jest w tych wyrazach: *Pulvis sudorificus contra pestem.* Także ten dawno z piwem albo z winem:

(1) Prawdopodobnym jest, że gorliwe zajęcie się ratunkiem umierających i bolejących, lub może brak dostatecznych wiadomości lekarskich, pozbawiły tego urzędnika miasta sposobności skreślenia opisu ówczesnego moru pod względem medycznym.

*Rp.* Radicis angelicae, gentianae, tormentillae, zedoariae, diptami, aristolochiae utriusque, enullae campanae aa. drach. 2.  
Pulveris(ana) corticis citri.

— cinamomi aa. scrupulum 1.

Croci scrupulum semis.

Florum boraginis unciam unam et semis.

Fiat pulvis subtilissimus pro una vice scrupuli duo.

Z tych recept przekonywamy się, iż ogółowo leczono całe gromady, bez względu na konstytucyę ciała pojedynczych osób, lub zająć mogące przed chorobą przyczyny, zwiększające lub zmniejszające postęp słabości. Wedle świadectwa samego Łukasza Drewno, ostatniego proszku rozdał on 1000 trąbek (1), i bardzo wielu osobom do wyzdrowienia dopomógł.

Wreszcie, porównywając powyższe recepty z temi, jakie znajdują się w Umiastowskim, piszącym w r. 1591, przekonywamy się, iż następujące materiały medyczne, zarówno były używane do lekarstw za czasów Umiastowskiego i w r. 1625, a mianowicie: pimpinella, angelica, mirrha, acetum rosarum, gentiana, tormentilla, zedoaria, diptami, citrum acetosum, cortex citri, borax, szafran i cynamon. Czyniąc nakoniec porównanie pamiętników lekarza lwowskiego, z rękopisem Łukasza Drewno, natrafiamy w obudwóch szczególną chęć pisania wierszy; obadwaj albowiem w tak bojaźliwém położeniu, starali się w ucieczce do Stwórcy, poezyą swe myśli podać do potomności. Życzących posiadać obszerniejsze wiadomości porównawcze, co do morowego powietrza pod względem lekarskim, odsyłamy do autorów przez nas przytoczonych, ile że z łatwością po księgozbiorach mogą być udzielone (2).

### *O składkach.*

Nader starannie urządzone służba, dla odwrócenia tak srogięj klęski, zagrażającej stolicy zupełną utratą mieszkańców, wymagała, jak to każdy przewidywać może, licznych i znakomitych funduszków. Miasto zaś, samo przez się było wówczas tak ubogie, iż pozbawione źródeł zaspokojenia zwyczajnych swych piér-

(1) Owczesne wyrażenie.

(2) Dzieło Umiastowskiego znajduje się w bibliotece Okręgu Naukowego Warszawskiego.

wszych potrzeb, nie mogło w najmniejszej nawet ilości zaradzić bardzo licznym nadzwyczajnym wydatkom, jeszcze z każdym dniem mnożącym się. Są społeczne dowody, iż były chęci dobre przewodniczących magistratem, ale na możliwości ich wykonania zbywało. Skarb miasta i jego dochody tak były w owych czasach kierowane, iż nigdy żadnych znakomitych pozostałości nie otrzymywano, dla zaradzenia w przyszłości nadzwyczajnym potrzebom. Trafiło się nawet bardzo często, że bądźto podskarbiowie, bądź burmistrze lub prezydenci, bądź nakoniec który z rajców zamożniejszych, swojemi funduszami mniejsze naglące potrzeby miasta zaspokajali. Nadto, przy grasującym powietrzu, mnóstwo dochodów miasta nadzwyczajnie zmniejszyło się, a inne, jakoto z wagi, młynów i postrzygalni, wcale nie wpływały. Wyjazd wreszcie króla z Warszawy był powodem, iż władza swoim kosztem dla bezpieczeństwa mieszkańców, musiała powiększyć piechotę miejską zwaną *hajdukami*, dodać jej dobosza i rotmistrza, stosownie ubrać, wyżywić i t. p. potrzeby zaspokoić. W tak smutnym położeniu zamożności miasta, jeszcze pewniejsza zguba groziła tysiącom mieszkańców. Jeżeli zkażynąd Zygmunt IIIci godzien nagany i zarzutów w swoim panowaniu, lata jednak 1624 i 1625 bez zaprzeczenia obejmują najpiękniejszą chwilę z jego rządów. Przekonany ten monarcha o niezamożności miasta, przez siebie na rezydencyą królów wyniesionego, widząc, iż oczywista zagłada grozi mieszkańcom, postanowił w najboleśniejszej dla Warszawy chwili, dopomódz nekanyim przez trzy naj-srozsze kłeski: powietrze, głód i ogień. W tym celu, oprócz powyżej wspomnionych . . . . . złp. 500 które wydzielił dla pogorzalców, przesłał przez Bazylego Godebskiego (1) naówczas swego pokojowego, na ręce Łukasza Drewno następujące summy:

1 raz . . . . .	złp. 1,400
2 — . . . . .	— 1,200
3 — . . . . .	— 1,500
4 — . . . . .	— 1,500

zatem ogół ofiary króla wynosił razem . . . . złp. 6,100

(dziś około złp. 24,400). Zasiłek tak znakomity, rozdzielił Łukasz Drewno między Jana Czorna,

(1) Następnie starosta bielski r. 1632 i sędzia-ziemski piński.

z przeniesienia złp. 6,100

Jakóba Wonartza, Jakóba Szlichtinga, burmistrza Korb i siebie; a to dla prędszego i właściwszego jego rozdziału pomiędzy najpotrzebniejszych. Z żalem przychodzi nam wyznać, iż w porównaniu z hojnością i wspaniałością króla, panowie i bogacze polscy, nadzwyczajnie mało swojemi dochodami przyłożyli się do ratowania ginących, w tak okropnych klęskach miasta. Ze smutkiem nawet przychodzi tu wspomnieć, że potraciwszy ofiarę Pawła Gیزی mieszczanina Warszawy w ilości złp. 160 i Wiesiołowskiego marszałka W. Księstwa Litewskiego w ilości . . . . . złp. 138 gr. 6 inni magnaci tak duchowni jak świeccy z całego kraju na sejm do Warszawy zgromadzeni, złożyli za ledwo tylko . . . . . złp. 316 gr. 19. Najboleśniejsem jednak dla potomności to doniesienie, na autentycznych dowodach oparte, iż w liczbie duchownych, ofiarę jakąkolwiek dla katelek składających, nie znajdujemy ani jednego biskupa, ani arcybiskupów, a nawet prymasa królestwa. Dodając ofiarę miasta zubożalego w ilości . . . . . złp. 41 gr. 19 ogół składek dla cierpiących wówczas złożonych, wynosił summe . . . . . złp. 6,756 gr. 14, która rozdzieloną została stosunkowo pomiędzy najbardziej cierpiących z pożaru, powietrza i głodu.

Zwróciwszy baczne oko na tak mały zasilek z całego kraju, złożony dla tylu nieszczęśliwych mieszkańców, jakiz oddamy hołd w wdzięcznych wyrazach Bractwu Miłosierdzia, w Warszawie od roku 1592 istniejącemu, które z własnych funduszków, na ratowanie ginących w czasie tych klęsk w Warszawie, poświęciło aż złp. 9,000 ówczesnych, dziś około złp. 36,000 wynoszących! Cały kraj złożył . . . . . złp. 6,756 gr. 14 Samo zaś Bractwo Miłosierdzia poświęciło . — 9,000

zatem więcej od całego kraju ówczesnych . . złp. 2,243 gr. 16 czyli dzisiejszych złp. 8,974 gr. 4. Oto ofiara godna potomności! oto ofiara do naśladowania! A my za szczęśliwych się poczytujemy, iż pierwsi jej wielkość podajemy do wiadomości.

Prawdopodobnym jest, iż Zygmunt IIIci z królową Konstancją potajemnie wówczas wsparli rzeczone bractwo, aby mogło tak znakomitą ofiarę złożyć na ołtarzu cierpiącej ludzkości. Następujące doniesienie z przedmowy do opisu tego bractwa, w roku 1628 drukiem w Warszawie wydanego (1), bliżej o tém przekonywa w tych wyrazach: „Pamiętna to wielom, jako osobliwe zalecenie wzięło Bractwo Miłosierdzia w Warszawie z starania swego, czasu głodu y powietrza w roku 1625 y 1626, gdy na ubogich poratowanie ośm tysięcy abo dziewięć z skrzynki Łazarzowej wydało. Pan Bóg miłosierny, niech serca sług swoich w uczynkach miłosiernych zawzięte pomnaża, a ochoty w nich nieustaiącej, z skarbnice nieprzebranego miłosierdzia swego okwiecie dodaie. Królestwo Ich MM. które iest napředniejszym filarem, ratunkiem szczodrobliwym y pomocą tego bractwa fundamentalną, wszelakimy błogostawieństwuy niech hoynie bogaci, a przy zdrowiu dobrem, y panowaniu długiem, szczęśliwym, niech providencyą swoją Boską cieszy, fortuni, y zachowuie.”

### *O karach i zabobonach.*

Ogół składek w ilości złp. 15,756 gr. 14 ówczesnych wynoszący, obracany był także i na wynagrodzenie całej służby naterczas ustanowionój. Szczególnie najniżsi posługacze hoynie byli wynagradzani, aby usunąć wszelką demoralizacyą, zwłaszcza w takiój klesce, gdzie nadzór władzy zwierzchniej miasta czuwającej ogółowo, nie mógł z wszelką sprężystością w każdej chwili, dozierać nad życiem i majątkami pojedynczych mieszkańców. Pomimo tego, znaleźli się wyrodky natury, poczwały piekielne, którzy korzystając z zamieszania i trwogi, dopuszczali się zdzierstw i rabunku. Wyżej wspomnieliśmy, jak ważną usługę wykonywali kopacze i tragarze, w owój klesce morowego powietrza, i jak miasto, ustanowiwszy osobną straż do ich pilnowania, starało się tę służbę w należytych porządku utrzymać. Złość ludzka przemogła czujność władzy. Czytamy w rachunkach Łukasza Drewno, iż w d. 22 kwietnia 1625 r. czterech kopaczy powieszono

(1) Rzadki a może jedyny egzemplarz tego dzieła w Warszawie, znajduje się w księgozborze uczonego Ig. Zagórskiego, od którego łaskawie mieliśmy sobie udzieliouy.

za nadużycia, które tak są opisane; „Thu (d. 22 kwietnia) szie executia stała przez urząd ze kopaczów łotrów, którzy nieprzy- stojnie chowając ciała ludzkie, conversatią swą ludzi zaraziły jako y przedawaniem szath, *toties quoties* upominani y dla Boga proszenij nicz niedbały, w domach brali zapowietrzonych nieprzy- stoinie i pośmięchy rozmajthe z umarłych czynilij, tuczając brzuchy swe i relegatią wzgardziwszy wroczeni szie, szubinczą skaranij.” W rachunkach z r. 1625 napotyamy, iż spalono żywcem niejaką Grotowską, która jak się domyślać należy, podobnych a nawet większych łotrostw dopuszczała się. Do jej spalenia użyto trzy wozy drzew, cztery beczki smoły i znaczną ilość siana i słomy. W czasie palenia się stosu, poprawiano te materiały bosakiem dla prędziej egzekucyi (1).

Oprócz łotrostw nie obeszło się także bez przesądów i gu- set w takich klęskach. Z zalem przychodzi nam wyznać, iż te ostatnie nawet w ówczesnej władzy miasta jeszcze panowały. Ponieważ zaś szczegóły tych przesądów malują nam ducha czasu owiej epoki, dlatego za powinność poczytujemy przytoczyć tu na- stępujące zdarzenie: Dnia 27 lutego 1625 r. zmarła na powietrze pewna stara szklarka w swoim własnym domu; gdy ciało jej w trumnie leżało, dziewczę pilnującej zdawało się, że jej pani po śmierci chustkę jadła. Przestraszona dziewczka uciekwszy z domu opowiedziała to synowi Jana, jednego ze sług nadwornych Łuka- sza Opalińskiego marszałka naówczas wielkiego koronnego. Słu- żalec tego dygnitarza wiadomość tę tak zręcznie potrafił swemu panu przedstawić, iż Opaliński dawszy temu wiarę, polecił magi- stratowi ówczesnemu i władzy przełożonej nad zapowietrzonemi, aby rzeczonęj staręj szklarce ucięto *rydlem* głowę. Łukasz Dre- wno poprzednio zasięgał rady rajców ówczesnych magistratu, czyli rzeczony wyrok wykonać; uzyskawszy jednak od nich po- twierdzenie, ubliżający władzy dekret ten na osobie staręj szklar- ki rozkazał wykonać, zapisawszy wszelkie te szczegóły w swoich registrach.

Pomimo ustania morowego powietrza w roku 1625, na wio- snę jednak roku następnego znów koło Łowicza ta klęska zjawi-

(1) Nie piérwszyto przykład wymiaru tak srogiej sprawiedliwości napotyamy wówczas w stolicy, albowiem w rachunkach Staręj Warszawy z r. 1623 czytamy zapisany wydatek, iż w d. 18 grudnia t. r. żywcem spa- lono w tém mieście jednego złoczyńcę, na co wyszło drzewa za złotych pięć ówczesnych, dziś złotych dwadzieścia.

ła się. Przestraszone miasto wysłało kursora dla sprawdzenia tej smutnej wiadomości. Po przekonaniu się o jego istnieniu, magistrat Stariej Warszawy zaczął obsadzać strażą, naprzód części miasta w stronie ku Łowiczu leżące, następnie obstawiono tą strażą szlaki koło św. Trójcy, gdzie naówczas był trakt do tego grodu prowadzący, wreszcie dla przzerwania wszelkiej komunikacji, porobiono stosowne ogrodzenia koło tych okolic Warszawy, któreby ją mogły ułatwiać z Łowiczem. Straż powietrzna zaczęła już odbywać swoje patrole w mieście od 9 maja t. r.; gdy jednak morowe powietrze znikło i ustało zupełnie w połowie maja, straż takową w d. 23 t. m. i r. rozpuszczono.

Skutki nędzy i powietrza nie zaraz z ustaniem przyczyn znikły. Znaczna liczba biednych i schorzałych nie mając sił dostatecznych do zarobku, w największej nędzy oczekiwała miłosierdzia ludzi i władzy. W takim więc położeniu, pomimo najsmutniejszego stanu miasta i mieszkańców, magistrat ówczesny był zniewolony postanowić w r. 1625 tak zwany *szos miejski powietrzny* czyli składkę przez władzę rozpisaną na mieszkańców. Jak ubogie zaś było wówczas miasto, można pojąć z tego, kiedy ten zasilek uczynił dochodu tylko złp. 67 (dziś złp. 268). Nadto starosta ówczesny warszawski, zniewolony ostatnią nędzą mieszkańców stolicy, podarował w r. 1626 cały swój dochód tygodniowy od Szotów v. Szkotów (1), jaki z bud ich i sklepów koło ratusza będących zwykle pobierał. Dochód ztąd powstały dla nieszczęśliwych wynosił złp. 24 gr. 3 1/2 (dziś zł. polskich 96 gr. 13 1/2).

### O głodzie.

W poprzednich epokach najczęściej powietrze było skutkiem głodu (2), w tym czasie jednak który opisujemy, głód był właśnie skutkiem powietrza. Rozproszeni mieszkańcy miasta postra-

(1) Szoci v. Szkoci w skutek prześladowań w rodzinnym kraju, przybyli do Warszawy za panowania Elżbiety królowej Anglii (1558—1602). Głównie trudnili się handlem; znakomitsi jednak z nich, ważne posługi dla miasta wypełniali na różnych urzędach, a niektórzy nawet przewodnicząc miastu, wielkie zasługi w tym grodzie położyli i uzyskali nobilitacye. Szkoci handlujący pozakładali sobie budy koło ratusza staromiejskiego, i tamże bardzo długo trudniąc się tym przemysłem, w Warszawie bawili.

(2) Jak poświadcza uczony Maciejowski w dziele: Polska i Ruś tom I str. 163.

chem i morem, myśleli tylko o ratunku życia. Utrudniona komunikacya miasta z okolicami, utrudniony dowóz żywności, słabo urządzona w tym względzie służba przy szlakach (rogatkach), zajmowanie się ratunkiem drugich, opuszczone zatrudnienia i rzemiosła, brak dochodów, upadek handlu i wszelkiego przemysłu, tak dalece wpłynęły na cenę żywności, iż najokropniejsza drożyzna i głód zaczęły panować w Warszawie. Do tego stopnia klęska ta dotknęła mieszkańców, iż tłumami i bandami chodzili żebracy po ulicach. Mamy dowód, iż tego rodzaju tłuszcze, idącego króla Zygmunta III zatrzymywały, krzycząc i żebrząc chleba. Najdotkliwsze jednak położenie było burmistrza powietrznego Łukasza Drewno. Ten bowiem, zatrudniony swemi obowiązkami dla cierpiących z moru, musiał nieraz wszystkie swe czynności opuścić, będąc otoczonym od gromady ludu wołającego i żebrzącego głośno o chleb lub pieniądze. Wiedziano o zasiłku króla i o jego wielkości, co tém więcej powiększało ilość żądających z całego kraju; a kiedy w innych czasach, władza ówczesna miasta, tego jedynie środka używała na włóczęgów, iż tygodniowo kazała ich przez sługi miejskie wyganiać z miasta: obecnie z natury położenia, w żadnym przypadku nie mogła nawet chwycić się tego i tak błędnego środka, dla uwolnienia się od téj plagi. Jedna klęska stwarzała drugą. Głód powiększony nie dozwalał ubogiej klasie używać zdrowych pokarmów. Zgłodniiali zniewoleni w niechlujnych pokarmach i bydłczej paszy szukać zaspokojenia potrzeb, zaczęli stawać się ofiarą chorób. Kogo więc głód nie zamorzył, to go pochłonęła śmiertelna słabość. Tłumy ludu przesunęły się jak cienie, jękiem konających lub cierpiących odznaczające się. Głód i powietrze stworzyły rozpacz, a ta osłabiając moc wszelkich zasad religijnych, wydzierała niejednemu ręką samobójczą życie. Ażeby dać wyobrażenie jak wielka drożyzna wówczas panowała, Łukasz Drewno zamieścił cenę wszystkich produktów, którą z jego rejestrow dosłownie zamieszczamy:



Gatunek i miara zbóż.		Średnia cena w drożyznie podług waloru pieniędzy w roku 1625		Średnia cena podług redukcji na dzisiejszą monetę	
		złp.	gr.	złp.	gr.
1	Korzec żyta . . . . .	4	15	18	„
2	— grochu . . . . .	8	15	34	„
3	— krup tatarskiej . . . . .	5	15	22	„
4	— kaszy jaglanej . . . . .	8	15	34	„
5	Faska jarosławska masła . . . . .	8	20	34	20
6	Beczka piwa warszawskiego . . . . .	4	„	16	„
7	— — wareskiego . . . . .	6	15	26	„
8	Jaje . . . . .	„	1	„	4
9	Ćwierć wołu mięsa . . . . .	8	15	34	„
10	— cielecia . . . . .	1	15	6	„
11	Schab wieprzowiny . . . . .	„	27 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>	3	19 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>
12	Korzec rzepy . . . . .	1	25	7	10
13	— owsa . . . . .	2	28 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>	10	13 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>
14	Wóz jednokonny słana . . . . .	2	6 <sup>2</sup> / <sub>3</sub>	8	26 <sup>2</sup> / <sub>3</sub>
15	Pęk słomy . . . . .	„	5 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	„	22
16	Mały wóz drew (*) . . . . .	1	1 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>	4	5 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>

*O osobach odznaczających się wsparciem i udzieloną pomocą w tych kłeskach.*

Nie możemy godniej zakończyć naszego opisu, jak skreśleniem heroizmu miłości bliźniego osób, które poświęcając swe życie dla ratowania ginących, same w każdej chwili zagrożone były utratą własnego. Zdobywcy świata, krociami ofiar okupujący zwycięstwa, na polu sławy otrzymane, czémże równać się mogą z bohaterami miłości chrześcijańskiej, którzy bez narażenia życia pojedynczego nawet człowieka, poświęcając siebie samych w każdej chwili, ocalają zdrowie i życie tysiąca ofiar, już będących w rękach kłesk, zagładą rodu ludzkiego grożących? Tamci krwią tysiąca ofiar ocalają resztę, ci krwią i znojem tylko własnym, tysiące osób przy życiu zachowują. Tamci narażając swe życie,

(\*) Zwrócić należy uwagę, jak ceny produktów musiały być wówczas niskie, kiedy zamieszczone w ostatniej rubryce, taki głód sprawiała w mieście.

czasem przez kilka chwil i godzin w czasie morderczej bitwy, zyskują laury zwycięstw, które ich do potomności przekazały. Jakież wawrzynami mamy uwieńczyć czoła bohaterów miłości bliźniego, którzy nie tylko przez kilka godzin, dni, nie tylko w ciągu kilku tygodni, miesięcy, ale nawet przez kilkanaście lat narażają się w ocaleniu drugich, na utratę najdroższych dla nas skarbów życia i zdrowia ludzkiego? Za szczęśliwych się przeto poczytujemy, iż nam się dostało w udziale przekazanie potomności imion i czynów heroiczych z owej epoki, które dopóty jaśnieć będą, dopóki tylko miłość bliźniego istnieć na tej ziemi nie przestanie.

W rządzie osób, które poświęciły swe życie i dostatki w czasie powyższych klęsk w Warszawie, pierwsze miejsce zajmuje Krzysztof Wiesiołowski marszałek w. W. Ks. Litewskiego. Mąż ten, zrodzony z znakomitych i bogobojnych przodków (1), odziedziczywszy cnoty swych pradziadów, umiał nie tylko je utrzymać, ale własnem poświęceniem, własnymi dostatkami i krwią przydał do nich nieśmiertelny wieniec, w obronie życia mieszkańców Warszawy otrzymany. Za powinność uważamy życiorys tu jego przytoczyć, jako przykład cnotliwego i bogobojnego życia tego dygnitarza.

Pierwszy dowód wielkiej ufności okazał naród Wiesiołowskiemu, wybrawszy go dwukrotnie na marszałka izby poselskiej, raz w roku 1609, drugi raz w roku 1618. W ostatnim czasie już piastował urzędy stolnika litewskiego i ciwuna wileńskiego. Zostawszy dla zasług posunięty na krajczego litewskiego, w r. 1620 był wyznaczony na kommissarza do rozgraniczenia województw podlaskiego i brzeskiego. Znakomite prace, prawość charakteru, zdolność niezwykła, zjednały mu wybór w roku 1623 na marszałka nadwornego litewskiego, a następnie i wielkiego tegoż księstwa. Żoną jego była Alexandra Sobieska córka Marka wojewody lubelskiego i dziada następnego króla polskiego. Jedyne dziecko tego małżeństwa, córka Gryzelda, jedyne nadzieje Krzysztofa Wiesiołowskiego, podobało się Najwyższemu zabrać wcześniej do Swój chwały. Cios tak okropny dla zbolełego ojcowskiego serca, zniósł on z mocą duszy i charakteru prawdziwego chrześcianina. Cierpiał jak każdy syn Chrystusa cierpieć

(1) Ojciec bowiem jego marszałek także w. lit. wymurował i uposażył kościół w Białymstoku.

powinien, ubolewał nad okropną stratą jaka go dotknęła; nie zapomniał jednak, iż wyroki Pana Niebios, zsyłając na nas krzyże w tej wędrówce na ziemi, są prawdziwą próbą i hartem dla chrześcianina prawości i mocy duszy. Otoczony wielkimi dostojenstwami i bogactwami, komuż godniej mógł je poświęcać i dla kogóż godniej użyć, jeżeli nie dla chwały Boga i na ratunek bliźnich? Poznał Wiesiołowski cel prawdziwy życia i swego położenia, wszystkie więc swe dostatki, trudy i bogactwa, po stracie tego, co mu było najdroższem na tej ziemi, postanowił poświęcić Bogu i bliźnim. W tym duchu działając, założył najprzód klasztor panien zakonnych pod regułą św. Brygidy w Grodnie, a nie tylko funduszami go opatrzył, ale taką świetnością i dostatkami uposażył, iż rzadko panująca hojność mogłaby wyrównać w wystawieniu i utrzymaniu takich gmachów. Następnie, swym własnym kosztem z gruntu wybudował świątynie Pańskie: w Dąbrowie, w Chodorowie, w Łunnie, w Kwasowie i w Zawadach. W dalszych ofiarach Wiesiołowskiego znajdujemy, iż liczbę kapłanów w Białymstoku powiększył i uposażył, a wreszcie szpital żołnierski w Tykocinie założył. Tak znakomity i użyteczny zakład chcąc utrwalić Wiesiołowski, zapisał dla niego wiecznemi czasy dobra swe Dolistowo w Podlaskiem leżące, co na sejmie roku 1633 Rzplta potwierdziła. Powracając z królem Zygmuntem IIIcim ze Szwecyi, burzą morską z okrętem uniesiony, i przez dwa miesiące falami miotany, powrócił do domu wielce na zdrowiu ucierpiawszy, z powodu picia wody morskiej, którą w braku zwyczajnej musiał pragnienie zaspokajać. W licznych wyprawach za panowania Zygmunta IIIgo, już to przeciwko rokoszanom, Moskwie i Inflantach, już téż przeciwko Szwedom i Turkom, nie tylko sam osobistą walecznością odznaczał się, ale nadto liczny poczet wojska z sobą do boju przyprowadzając, dzielnie obraniał kraj od napadów nieprzyjacielskich. W czasie grassujących klęsk w Warszawie z pożaru, głodu i powietrza, dusza Wiesiołowskiego nie mogła być nieczułą na zagubę życia tylu mieszkańców. Za ledwo usłyszał o zbliżającym się morze ku stolicy, aliści pierwszy podał królowi projekt otoczenia miasta wałem, który, jak wyżej wspomnieliśmy, po bitwie cecorskiej zaczęło miasto z rozkazu króla stawiać. Brak dostateczny funduszków ubogiego miasta, które nie posiadało na pokrycie tak znacznego wydatku żadnych dochodów, stawał na przeszkodzie wykonaniu tego zbawiennego zamiaru. Niezrażony Wiesiołowski tą zaporą jego dobrych chę-

ci, darował miastu najprzód w gotowiznie złp. 1,200 ówczesnych (dziś złp. 4,800), a następnie nieugięty w poświęcaniu się dla dobra miasta, sam zajął się spisem i otaksowaniem nieruchomości i gruntów prywatnych, jakie miały być zajęte na wół tamże przeprowadzony. Wyżej przytoczyliśmy, iż wydatek na to wynosił . . . . . złp. 1,142;  
 że zaś Wiesiołowski darował miastu . . . . — 1,200,

zatem resztę z téj ofiary. . . . . złp. 58,

obrócono na poratowanie ginących z powietrza, głodu i pożaru. Lecz nie tu jest koniec ofiar Wiesiołowskiego dla miasta. Szerzący się mor i głód, jęk konających, widok zmarłych, boleść cierpiących, krzyk wołających chleba, tłumy żebrzących, nie mogły nie wzruszyć i najskamienialszego serca. Wiesiołowski wszędzie obecny, wszędzie czynny, bądź sam swoją ręką, bądź przez nadsyłanie pieniędzy na ręce przełożonych nad miastem, starał się nędzę i klęskę zmniejszyć. Oprócz powyższego zasiłku pieniężnego, oprócz ofiar jakie w cichości utajonej ręką litościwą rozdał, przesłał na ręce burmistrza powietrznego Łukasza Drewno zasiłek drugi najznakomitszy wówczas (patrz tytuł o funduszach) złp. 100 (dziś około złp. 400) dla rozdania pomiędzy ubogich. Kwota ta podzieloną została stosunkowo między zgłodniałych, zapowietrzonych i pogorzalców. Wyjednał potem Wiesiołowski u króla, iż wpływy z grzywien czyli kar za ówczesne przestępstwa oddano dla nieszczęśliwych. Dochód z tego źródła w ilości złp. 38 gr. 6 (dziś około złp. 152 gr. 24) był jednym ze znakomitszych darów w takiéj klęsce miasta nadesłanych.

Ostatnie chwile zgonu tego cnotliwego męża, były napiętnowane najwyższą wiarą i ufnością w Boga. W śmiertelnéj już bowiem chorobie, mając się chlebem anielskim na drogę wieczności posilić, całej mszy upadłszy krzyżem na ziemię wysłuchał i nie przedź się z niéj podniósł, aż gdy do kommunii przyszło, którą z obfitemi łzami przyjmował. Wreszcie ręce przy modlitwach złożywszy, psalmy pokutne nad sobą mówić rozkazał i przy takich pobożnych pacierzach skonał.

Takiemito czynami stał się pamiętnym Wiesiołowski w kronice Warszawy. Nie szukając chluby z swych cnotliwych uczynków, nigdzie w urzędowéj drodze nie czynił zapisów, lubo znaczne fundusze dla miasta poświęcał. Z obcych ust, z obcych ksiąg, z obcych zapisków i regestrów my to pierwsi podajemy,

a lubo kronikarze nasi zupełnie o tém milczą, chociaż tak obszernie opisali nam jego życie świątobliwe i polityczne, my jednak za szczęśliwych się poczytujemy, iż na mocy wiarogodnych dowodów dotąd w ukryciu będących, przesyłamy jego poświęcenie się do przyszłości, jako fakta heroizmu miłości bliźniego.

Drugim bohaterem w boju klęsk, jakie wówczas grasowały w Warszawie, śmiało naznaczyć można spomnionego tylokrotnie Łukasza Drewno burmistrza powietrznego. Wiemy już ile ran odniosło jego serce, przez utratę siedm osób najdroższych dla niego; wiemy już jak wzorowo służbę całą urządził, aby tysiącom mieszkańców ocalić życie: aleśmy nie obliczyli jeszcze jego poświęcenia bez granic, jego narażania się z utratą własnego życia, jego trudy i pracę, jego mozoł i troski, jego wreszcie gorliwość w tak wielkich obowiązkach! Pióro bowiem nasze jest zasłabe do obliczenia wyrazami tych poświęceń. Dwaj jego koledzy Jan Bucefał i Jan Korb burmistrze Starój i Nowój Warszawy, padli ofiarą swój gorliwości. Ich śmierć nie zachwiała duszy Łukasza Drewno, bo przejęty zasadami religii Chrystusa, dawno już swe życie poświęcił bliźnim i ziomkom! (1).

Pomiędzy innemi dobroczyńcami znakomitemi, w czasie klęsk wówczas panujących, należy policzyć dwóch braci Gizów. Niejednokrotnie rodzina ta zasługiwała się w różnych ofiarach dla Warszawy, bądź w poprzednich epokach, bądź w następnych. W czasie który opisujemy, dwaj członkowie téj rodziny Paweł i Alexander szczególnie odznaczyli się. Pierwszy, oprócz licznych prac podjętych dla ratunku miasta i mieszkańców, lubo niezbyt zamożny, największą jednak po Wiesiołowskim złożył w pieniądzech ofiarę na ołtarzu cierpiącej ludzkości. Summa przez niego dana w ilości złp. 160 (dziś około złp. 640), stosownie do jego żądania, została rozdzieloną pomiędzy najpotrzebniejszych. Jeżeli zaś porównamy ofiarę tego mniej zamożnego obywatela, z darami magnatów polskich, wówczas w czasie sejmu w Warszawie zgromadzonych, którzy w bardzo małej liczbie i to o 8 część mniejszą od niego (uważając pojedynczo) kwotę złożyli, ileż natenczas wartości ofiara Pawła Giza w oczach ludzkości nabiera?

(1) O innych znakomitych dla miasta uczynkach miłosiernych tegoż obywatela, następnie w osobnym artykule doniesiemy.

Alexander Gizo znakomite przysługi czynił miastu w różnych posługach, bądźto przy sypaniu wału, bądź téż przy uzdrawianiu i pielęgnowaniu cierpiących. Wysłany do Gdańska po różne materiały potrzebne, z pośpiechem i z korzyścią dla miasta czynności téj dopełnił. Idąc zaś w ślady swego brata, lubo mniej za- możny, równie dobroczynną ofiarę uczynił, wypożyczając miastu na lat 5 sumę złp. 500, dziś około złp. 2,000 bez wymagania żadnego procentu. Jeżeli znów porównamy ten czyn miłości obywatelskiej, z uczynkami panów możnych obecnemi wówczas w Warszawie, którzy żadnej tego rodzaju ofiary nie zrobili dla miasta: miłosierdzie Alexandra Gizy nabiera bardzo wielkiej wartości. Za godnych tu wspomnienia i przejścia do wdzięcznej potomności uważamy jeszcze tych, którzy jeżeli nie ofiarami pie- niężnemi, to własną pracą narażającą ich życie na zagubę, zasłu- żyli się miastu i rodakom w tak okropnych klęskach. Imiona: bur- mistrza Starój Warszawy w roku 1625, Henryka Plumhoffa, szar- rajcy i podskarbiego tegoż miasta i roku Jakóba Szlichtinga, sza- farza i rajcy tegoż miasta i w tymże roku Horlemusa, i dwóch szafarzy burmistrza zapowietrzonych: Jana Czorna i Jakóba v. Garcen, jaśnieć muszą promieniami miłości bliźniego, obok imion zdobywców świata, którzy krwią ludzką okupując zwycięstwa, przeszli zarówno z innemi do potomności.

Wynędzniałe miasto tak okropnemi klęskami, nie mogło ani pomyśleć w epoce którą kreślimy, o jakichkolwiek zakładach dla polepszenia dobrego bytu mieszkańców. Za godną zatem potomności, możemy uważać jedyną ofiarę, jaką Stara Warszawa uczyniła pewnemu drukarzowi, który przypisawszy temu miastu kalendarz przez siebie wydrukowany, uzyskał w r. 1625 z fundu- szów miasta tytułem *kontentacyi* złp. 30 ówczesnych, dziś około złp. 120 (1).

### *Dla melankoliej zabawa.*

W ten mor pod cieniem siadłszy, ach mój mocny Boże,  
I w tych leciech myśl moja skrócić się nie może.  
Niedawno temu barzo dość pamiętne czasy,  
Jakom z młodością swoją chodził dziwnie w pasy,

(1) W rachunkach Starój Warszawy nie mogliśmy wynaléć nazwiska tego drukarza. Podług urzędowych podań, piérwsze kalendarze dla dobra służby zakupiło toż miasto w r. 1612.

Czytałem i poety, mawiał z filozofy,  
 A przecieżże u mnie rozum bardzo płochy,  
 Przecie trafić nie mogę aby się zgadzali,  
 Bo jedni mędrawali, a drudzy bajali.  
 Jako Circes bogini głowy odmieniała,  
 Jako morską syrena nadobnie śpiewała,  
 Tak iż oném śpiewaniem marynarze spiła,  
 A potem je uspiwszy marnie potopiła.  
 Jako tu olbrzymowie po światu bujali,  
 A jako też Harpije za niemi latali,  
 Jako Atlas swą mocą, niebem wszystkiém robił,  
 Jako Herkules Hidrę lubo smoki pobił,  
 Co czytają Satyrowie z koziemi rogami.  
 A co też Pegazowie z szkapiemi nogami,  
 Albo oni Chimery, oni Tantalony,  
 Co w obłokach latali wszędy na wsze strony;  
 A jako się wybłąkać z takich plotek właśnie,  
 Wierzmy, iż kot za uchem niejednemu wrzaśnie,  
 Myśląc o tém, a przecie mało z tego zbytku,  
 Wynaléźć człowiek może słusznego pożytku.  
 Owi zaś filozofy siła napisali,  
 A rozумы ludzkimi prawie zamieszali (1),  
 Że i sami snadź potem tak się dorządzili (2),  
 Że w wielu tradnych rzeczach barzo zabłądzili.  
 A tak, jeśli nie będzie łaski Twojój Panie!  
 Wierę to na drugiego trudne rozeznanie.  
 Więc że modro powietrze lata powiadają,  
 Księża, dziadowie, baby często je widają (3),  
 Wsiłko to u mnie dziwno, aż mi włosy wstają,  
 Zamyśliw o ie siedzę, a w dzwony szrakają,  
 I tak w myślach stroskany, uspiiony przez ebmurę,  
 Śniło mi się, a jam wszedł na wysoką górę,  
 I widziałem inszych dość, pod cieniem siedzące,  
 Narzekając na ten świat okrutnie płaczące,  
 A oni łamią ręce srodze narzekając,  
 Z onój góry żałośnie aż w sam dół patrząc,  
 I widziałem na ziemi ano się lud wali,  
 Starzy, młodzi, bogacze, wielcy i też mali;  
 Taczają się korony, padają infuły,  
 Z kapłańskimi birety walają się stuły,  
 Lecą proporce, tarcze, podle nich pobici,  
 Oni zacni rycerze sławnie znamienici,  
 Doktorowie ćwiczeni, aptekarze z niemi,  
 Cyrulicy, balwierze, odmiana nie mieni,

(1) Autor mówi tu o Marcynie Lutrze.

(2) Dorzadzić się czego, sćiagnąć na się. *Linde*.

(3) Widzą.

Działki, panny i panie, nadobni młodzieńcy,  
 Taczają się główki ich po ziemi i z wieńcy.  
 Pisarze, prokurachy i rytmopisowie,  
 Z teologi jednak, a któż to wypowie?  
 Między nimi biegając niewiasta odrana,  
 Chuda, blada, straszliwa, szpetnie oszemlała,  
 A w rękę marną kosę tak straszliwą nosi,  
 Że ją one nędzniki jako trawę kosi.  
 Pojrzałem, a ono wszę miasta pusto stoją,  
 Zwierzęta się biegając nikogo nie boją,  
 Psy wyją, bydło ryczy, słysząc włosy wstają,  
 Jakież głosy żałosne ze wszęch stron powstają?  
 We trzcinnie bączy (1) huczą, a puchacze w lesie,  
 Że się aż pod obłoki głos straszliwy niesie,  
 Trącają się o lasy (2), a nazad wracając,  
 Jakoby dwaj wołali, większy strach dając;  
 A głosu człowieczego nigdzie z żadnej strony  
 Już tam było nie słyszeć, tylko same dzwony.  
 Ocknąłem się strwożony, napoły zemdlony,  
 Przejrzę, pięcioro dziełek widzę podle żony,  
 I spytam: długomli tu odpoczywał głową  
 W zaśnieniu? mężu miły! rzekła własną mową,  
 Z godzinać, lecz mi dziwno barzo spiku twemu,  
 Z kim gadanie twe przez sen? aże mię strach w domu,  
 Co za żalność w sercu twém i stroskanj głowie?  
 Niech wiem, pilno cię proszę, w twój zwyczajnej mowie,  
 I o co się frasujesz w twoim odpoczyuku,  
 Opowiedz, proszę mile, daj to w upominku.  
 I tak co we śnie było onj spowiedziawszy,  
 W tem słowa rzekł: „ucieszna żono! zapłakawszy,  
 O nędzny nasz żywocie! marna bańko szklana!  
 Co się tu zawsze błyszczysz jako malowana,  
 Która maluczkin wiatrem zachwiawszy się spada,  
 A potém w marnych śmieciech, już na wieki siada;  
 Piękna farba na wierzchu, wewnątrz gorzkość przykra.  
 Tak to na nas zakryła samolówka chytra,  
 Równo gdy jako kwiatek zakwitnie w południe,  
 Włęc tu nadobnie pachnie i patrzeć nań cudnie,  
 Ale po chwili ujrysz uschnąwszy się jeży,  
 A z marnemi śmieciami podle goni leży.  
 Także i my nędznicy pięknie się świecimy,  
 Jako kwiatki na polu, gdy się ubierzemy;  
 Patrzaj tego po chwili, a on farbę mieni,  
 Niedawno był rumiany, a już się zieleni,  
 Jako ona marnica przykrą machnie kosą,  
 Alic nas do stodoły jako snopie noszą.

(1) Bąki. (2) Autor przedstawia echo.



Owo krótka rozprawa tu nasze mieszkanie,  
 Jak na burzliwém morzu to pielgrzymowanie,  
 Jest jako dym przy ogniu, gdy się trochę świeci,  
 A potem się po wietrze jako mgła rozleci.  
 Rano kwitnął, a w wieczór żaby po nim skaczą,  
 Wrony klną, kokosze rozgrzebując gdaczą.  
 O mizerna szklenico napoły sfluczona!  
 Która masz być po chwili we błoto wrzucona,  
 I czémże się masz pysznić? jaka twoja chluba?  
 Jeśli złoto, pieniądze, lubo droga szuba,  
 Wejrzysz w twój kres, długoli w tém się chlubić będziesz?  
 Wnet po chwili z tarcice w skrzyneczce usiędziesz.  
 Cóż ci pomogło srebro! cóż pomogło złoto?  
 Coć już teraz nie stoi i za marne błoto.  
 Kiedy cię mizerna śmierć tak chlusnęła kosa,  
 Leżysz w nędznej koszuli, a to inisi niosa,  
 Już oni twoi słudzy, teraz cię dźwigają,  
 Jako owego karwu (1), co go łupić mają (2).  
 Już miasto węgierskiego, smołęc w gębę leją,  
 Więc wrzkomo jedni płaczą, a drudzy się śmieją,  
 Powiadając złyżc też (3) był, niechaj z Bogiem żyje,  
 Skąpiec był rychły, teraz z nas który utyje.  
 Gdzież one wiridarze (4)? one twoje sadki?  
 Coś się po nich przechadzał, a za tobą dziatki,  
 Urywając po kwiatku, który pięknie pachnął;  
 Szpetnie cię pan Majeran po zawojku machnął,  
 Że leżysz jako drzewo i wonia niecudna,  
 Zalatuje od ciebie i twarz barzo brudna.  
 Jużbyś w różanej wódce i wsitek opływał,  
 Nie pomożec, byś się też balsamem umywał;  
 Ani kamienna wódka z mączką nie poradzi,  
 Woszczek, łojek, miodek, choć to pięknie gładzi,  
 Kamfora i z dragantem i mastyką zmieszani,  
 Co więc paniom pomaga, wdowom i z pannami.  
 O mizerny żywocie! o nieszczęsna chwilo!  
 I czémże się masz chlubić nędzna marna wiło (5)  
 Bujając po tym świecie? jako paw' gdy pierzę,  
 Tu ku pięknemu słońcu nadobnie rozszerzy,  
 A potem go wnet ujrzysz odartego marnie,  
 Jeden mięso obraca, drugi pierze garnie.  
*Omnia sunt hominum tenui pendentia filo* (6),  
 Na jawiem się przypatrzył co na myśli było.

(1) Karw, wół stary, leniwy. *Linde*.

(2) Dwa te wiersze zupełnie co do słowa są przytoczone z dzieła Reja: *Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego*. 1558 r.

(3) Złym był też. (4) Wirydarz-a ogród. *Linde*. (5) Wita-y, głupi, szalony. *Linde*. (6) Wszystko co jest ludzkie snuje się na wątfiej nici.

Ano nasze sąsiady słudzy mół niosą,  
 Których omylna goła (1) podcięła swą kosą.  
 Działki jem Pan Bóg pobrał przed ichże oczami,  
 Starzy, młodzi padają jak widziemy sami,  
 Już się ich pochowało w grób ze dwa tysiące,  
 A do tego zaś czasu dusze stękające,  
 Ubodzy pod murami pod wały stękają,  
 A drudzy po ulicach prędko umierają.  
 Ciało ach! na mię wzdryga a jeżą się włosy,  
 Od takiej mi żalownej i smętnej rozkoszy.  
 A toć jest ta przyczyna iż tą kosą marnie,  
 Ta sprosna okrutnica wszystkie stany garnie,  
 I tamem się zasnawszy troszeczkę był strwożył.  
 Proś Boga, abym jeszcze tu na świecie pożył,  
 I tę pracę odprawił co na mię włożona,  
 Z upodobaniem Bogu wprzód, potem i doma,  
 U ichmościów z zasługą godną dziękowania,  
 Jakoż żalować nie chcę nic mego starania,  
 Ty się ma żono nie trwoż, do Boga wołajmy,  
 Jemu służmy od Niego pociechy szukajmy  
 i Jemu dziękujmy:

Przez pięć ran Chryste Twoje,  
 Dwanaście dusz i żonę moję,  
 Żeś zachował z łaski swojej,  
 Nie z żadnej zasługi mojej,  
 Czynień z serca dzięki Tobie,  
 Ześ nas nie położył w groble,  
 Po trzykroć w toni będących,  
 Wejrzałeś na nas proszących,  
 Racz nas dłużej błogosławić,  
 Bym imię Twe mogli chwalić.

Amen.

(1) Śmierć.



# WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

*Jana Kantego Gregorowicza.*

(Ciąg dalszy).

---

## VII.

### Zabiegi ludzkie.

„Bo któż losem rządzi?  
Człowiek myśli i układa,  
A Bóg wszystko sądzi.”

*Wisław.*

Jak tylko się ukończyło wesele Janka z Basią, wszystko pomału wróciło do dawniej ciszy, spokojności i zwykłych wiejskich zatrudnień. Wojciech krzątał się około obór i stodoły; Janek codzień rano wyjeżdżał z plugiem lub radłem w pole przysposabiać rolę pod siów wiosenny, a Basia strojna powagą mężatki i nową czapką, miejsce czepca zastępującą, kręciła się jak fruczka po państwie podległym swojej władzy, złożonym z izby, sieni, komory i spiżarki.

Często tylko zmuszona była swarzyć się z niesfornym poddaństwem, reprezentowanym przez kury, kaczki, gęsi, trzodę, gdy które z nich nieproszone wlaźło do izby i zaglądając z żarłoczną chciwością w miski lub garnki na szafie stojące, zrzuciło jaki przedmiot na ziemię. Wówczas Basia z niecierpliwością obracała się szybko od komina, a chociaż winowajca, szczególnieji jeżeli to był

kogut lub kura, z krzykiem i gdakaniem uciekał między współtowarzyszy, na środku izby wyszukujących resztek rzuconego jada, aby się uchronić przed gniewnym okiem swojej pani; nie uszedł jednak ostrego, z pogroźką połączonego polajania, które często, szczególnie jeżeli stłuczenie czego nastąpiło, zamieniało się w rzeczywistość, to jest w ogólne wszystkich, bez względu czy winny lub niewinny, wygnanie z izby na podwórze.

Zabawnie wtenczas było patrzeć, jak Basia uzbrojona miotłą pędziła przed sobą ku otwartym do sieni drzwiom chmarę różnoplemiennego ptastwa z gęciem, gdakaniem, kwakaniem, między którym odznaczała się niezgrabna postać o białej szczecinie wieprzka, odzywającego się grubym chrząkaniem, niby taktowe uderzenie bębna w orkiestrze. Jaki taki podbiegał pod ręce kryjąc się pod łóżka lub ławy, wieprzek zwracał się ryjem do ładnej gosposi, jakby się dziwił tak niegościnnemu obejściu; ale wszystkie te wybiegi nic nie pomagały: groźna miotła tylko mignęła i cała wrzaskliwa rzesza bez ładu i porządku, jak groch z kapustą wypchnięta do sieni, tłocząc, popychając i skubiąc się wzajemnie, z trzepotem skrzydeł przeskakiwała na wyścigi wysoki próg, rozbiegając się po całym podwórzu.

Wojna taka każdego dnia się powtarzała, bo ruchliwa zgraja, skutkiem jesienniej pory do zimy się zbliżającej, pozbawiona zeru na dworze, coraz więcej cisnęła się do pomieszkań ludzkich, w których i ciepło i jedyne już dla siebie znajdowała pożywienie.

I tak dzień upływał spokojnie bez troski, bo wszyscy w chałupie Sierpnia zajęci pracą, wieczorem tylko razem zgromadzali się w jedno grono, i gwarząc to o tém to o owém, zajmując się przygotowaniem sieczi lub obroku dla dobytku, albo naprawą różnych drobiazgów gospodarskich, spożywszy wspólnie wieszę i po doprowadzeniu zwykłego we wszystkiém porządku, układali się z pacierzem na ustach do spoczynku, aby z pokrzepionemi siłami na nowo mogli się oddać czekającej ich jutro pracy.

Wszystko więc okazywało, że szczęście zdawało się mieszkac w skromnej chacie Sierpnia: i tak też było w rzeczy samej, bo i czegoż do szczęścia ziemskiego mogło jeszcze brakować? Janek całym postępowaniem usprawiedliwiał pochlebną o sobie opinią daną przez swatów: pana Józefa i Łazę; pracował, szanował i słuchał Wojciecha, kochał Basię, która mu się całą wzajemnością niepokalanego serca odplacała, a Wojciech spoglądając

na szczęście jedynaczki i statek przybranego zięcia, nieraz w modlitwie dziękował Bogu, że go nie opuścił, że mu dał taką pomoc w zatrudnieniach gospodarskich, i takiego opiekuna dla ukochanego dziecka.

Wierny więc uczynionemu ślubowi i w chęci podziękowania i zaskarżenia nadal tak widocznej łaski Boskiej, we dwa miesiące po odbytem weselu, Sierpień zajął się fundacją krzyża: zwiózł stosowny na to materiał, wydlubał wypisane przez Władysia litery na poprzeczném ramieniu: *Błogosław nam Boże*; a u spodu: *Wojciech Sierpień fundator dnia 10 grudnia 1820 roku prosi o łaskę Boga dla dzieci*; i wymalowany czerwono, wkrótce przy zbiegowisku całej ludności wiejskiej i stosownej ceremonii kościelnej, wkopany został za wsią przy drogach przecinających się z sobą, a przez lud zwanych rozstajniami.

Przybyli na ten obrząd proboszcz miejscowy i pan Józef, zaproszeni potem zostali do chałupy Sierpnia, za któremi weszli Łazowie, Ziemia z wnukiem i kilku innych sąsiednich gospodarzy: bo zwyczaj kazał, aby przy tak pobożnej fundacyi i o ludziach nie zapomniano i uraczono przecieć jakim takim poczęstunkiem.

Kilka więc garncy wódki, pozlewane w różnej wielkości flaszki i butelki, przygotowano dla spodziewanych gości. Dla proboszcza i p. Józefa z synem, rozchodziła się z komina woń świeżo upieczonego kapłona, a serwetka biała okrywała znany nam stół pod oknem, z wszelkimi prostemi przyborami do jedzenia, zdając się oczekiwać przybycia więcej szanownych gości.

Pomimo jednak, że się izba prawie przepelniła nowo przybyłymi, i że kieliszek już niejedną odbył kolój, zgromadzeni żadnym wybrykiem wesołości nie znieważyli religijnej uroczystości, w imieniu której zebrali się w tak znacznej liczbie.

Jakąś powagą nacechowane były i wzajemne obejście się, i prowadzone rozmowy: jakby każdy jeszcze zostawał pod wpływem pobożnego wrażenia, odebranego przy kościelnej ceremonii poświęcenia i wkopania krzyża.

Wojciech z Basią i Jankiem krzątali się około gości, zachęcali, prosili częstując wódką, plackiem pszennym i serem, szczególnież troskliwe dając baczenie na proboszcza i pana Józefa z synem, zajądających już smacznego kapłona.

— Niech Dobrodzięż spożywa z Bogiem—mówił Sierpień z odkrytą głową chyląc się ku kolanom proboszcza—i panosko

niech nie gardzi chłopską pieczenią, bo choć nie ma w niej pańskich wymysłów, ale cóżta na to poradzi: Dobrodziej z panskim muszą wybaczyć, bo to trudno u chudego pacholka czego lepszego się spodziewać. A panicz, panie Władysiu, jédz paniczu, jédz, u starego Sierpnia nie braknie niczego; mało będzie tego ptaka, choć ja mówiłem Baśce, żeby i kaczkę upiekła, bo przy pomocy Boskiej téj *gadzinie* dosyć się wala po podwórzu, to mój paniczu znajdzie się co innego w komorze Sierpniowej: bo jak Sierpnie Sierpniami, to nikt jeszcze z pomiędzy tych kątów głodnym nie poszedł do domu. Basiu!—mówił dalej do znajdującój się niedaleko córki—nie żałuj dla ludowiny poczęstunku: są kiełbasy, kiszki, wędzonki; dawaj moje dziecko, nie żałuj, bo to pierwsza i może ostatnia starego twego ojca *intencyja* na twoje szczęście, moja Basiu. A może ty będziesz lepiej od Boga wysłuchana jak ja grzeszny człowiek, boć nieraz i modlitwami i nabożeństwem i *fundacyją* figur naprzykrzałem się Przenajświętszemu Ojcu co jest w niebiesiech o zmiłowanie się nad naszą *familiją*, ale wszystko nic nie nadało i.....

— Cicho Wojciechu, nie bluźnij—przerwał proboszcz z powagą — człowiekowi należy się tylko pracować i prosić Boga o opiekę i o miłosierdzie nad naszymi grzechami, ale nie roztrząsać sprawy i rozporządzenia Boskie, i w każdym razie mieć zawsze na uwadze słowa modlitwy naszego Zbawiciela: „Bądź Twoja wola Panie, jako w niebie tak i na ziemi.”

— O! sprawiedliwie Dobrodziej mówi—odezwali się słuchacze, jeden przed drugim cisnąc się do kolan proboszcza; a Sierpień dodał:

— Święte słowa Dobrodzieja, aleta i niedziwota, choć człek we frasunku i powieć co przeciwnego: bo jakoś i sercu zaraz lżej, jak się gęba wygada. Aleta nie o tém teraz gadka, bo to po próżności człek zaraz jakoś smutnieje, a dzisiejszy dzień to dla Baśki i Janka ofiarowany, toby źle wróżył, żeby w nim nie było wesołości. Ot lepiej paniczu zaśpiewaj nam tę piosnkę:

Hej tam w karczmie za stołem

co to panicz tak *ładno* śpiewał na weselu Basi, że aż człowiekowi dziwne działy się rzeczy.

— Dajcie pokój Wojciechu—odezwał się pan Józef—nie zaprzatajcie chłopcu głowy niepotrzebnymi rzeczami. Posyłam go do szkół do Warszawy, to więcej powinien myśleć o książce, jak o piosnkach i o śpiewaniu.

— Ej! z przeproszeniem Wielmożnego Pana—odezwał się Łaza z niskim ukłonem—przeciść w tém grzechu nie ma, że człek w śpiewaniu wspomni se o starych rzeczach.

— Dajcie pokój, mój kumie — odrzekł Wojciech—panosko ma *racyją*, bo wy nie byliście tyła w świecie, to nie wiécie, jak co idzie. Zapomnij mój paniczu takiego śpiewania, ale go kochaj i nie *zabaczaj*, że stary Sierpień taką miał z niego uciechę.

— Dobrze mój Wojciechu—odezwał się mały Władys, junaczą przybierając postawę—dobrze, nie zapomnę, i jak wrócę, to choćbym wąsy miał jak sum, to jak wam zaśpiewam, to mi sami włożycie waszę niebieską czapkę i uściskacie jak syna rodzzonego.

— O! uściskam, mój paniczu, i choćbym się ruszać nie mógł, to jeszcze znajdę tyła siły, żebym się mógł z tobą ucieszyć, kochany paniczu, i włożę czapkę, włożę.—W tém miejscu westchnąwszy boleśnie, cichszym głosem dodał jakby do siebie: O! Boże! czemuż mi nie dał takiego syna!

Stojący na boku Ziemia uśmiechnął się na to szyderczo; Łaza wzruszywszy ramionami potrząsł głową, jakby z niecierpliwości, a proboszcz dodał:

— Mój Wojciechu, Bóg najlepiej wie co robi.

\* \* \*

I wkrótce gdy się rozeszło zgromadzenie, znowu w chałupie Sierpnia wróciło wszystko do dawnéj jednostajnéj spokojności. Janek młócił w stodole, albo jeździł do lasu lub do miasta ze zbożem, Sierpień zawsze coś znalazł do dłubania w domu, albo téż towarzyszył zięciowi, a Basia szczęśliwa, wesola, z gotowaniem, praniem lub drobiem wieczne miała zatrudnienie.

Nie byłoto jednak życie, jakiego Janek łaknął i jakiego się spodziewał, gdy jeszcze obraz jego w marzeniu spoczywając, odziany był całym zapałem poetycznego uniesienia. U poety bowiem rzeczywistość wszystko niszczy, gdyż nie znajduje nic takiém, jakie mu się przedstawiało w myślach snutych na tle wrzącego czucia i bujających na skrzydłach wyobraźni daleko od ziemi i od téj prozy, przykuwającej nas do potrzeb codziennego życia.

Gdyby bowiem poeta raz znalazł na świecie urzeczywistnienie owéj gorączki szamoczącej mu duszę, byłbyto dowód, że już słabym lotem wzniósł się myślami nad ziemię, że boski ogień poezyi wytlił się w duszy, i pozostałemi zgliszczami po wypalenisku dozwala mu tylko pełzać torem zwyczajnych ludzi, i przestałby być poetą. Bo czyż myśli i wyobraźnia poety są z tego świata?

Czyż one nie są podniesione do tak wielkiej nieraz potęgi, że rzucone na podziw ludziom, zdają się być Boską mową i Boskimi myślami?

Czyż poeta nie goni ciągle za ideałem piękna, ową marą zbyt działalnej swęj duszy, wyrrywającęj się ciągle ze związku z materyą, a dążącęj do ogniska z którego wzięła początek; za ową marą, która jako w człowieku, chociaż dąży do objawu w cielesnej formie, tak jednak jest odziana barwą nietutejszą, niezieską, że gdy w pochodzie tym zrealizuje się w czyn odpowiedni sobie, wnet utracą cały urok, którym wprzódy błyszczęła, i otrząsając ze skrzydeł swoich wszystko co ludzkie, co ziemskie, znów w duszy poety obleka się w nowe szaty, i jak mdle światółko świeci zdale, wabiąc go na nowo ku sobie, aby go znowu powitać równym zawodem.

Takie to przeznaczenie, taki los każdego poety. Biędny człowiek, którego wola Stwórcy myślą i czuciem postawiła nad drugimi: bo zapominając o zlepku gliny, w którym się dusza kołacze, najczęściej wszystkimi jęczy bólami: serca, duszy i ciała. Szczęśliwy, jeżeli uniknął największej dla siebie nędzy—materyalnego niedostatku.

W Janku więc jako poecie (jeżeli czytelnik pozwoli kiedy na to, aby chłop mógł być poetą), wszystko to, cośmy powyżej powiedzieli, musiało wpływać na sprawy codziennego życia; objaw tylko tego na zewnątrz, był naturalnie odpowiednim jego prostocie i zupełnemu brakowi jakiegokolwiek bądź wykształcenia.

Janek jak przyrzekł w dzień swatów, zupełnie się zrobił człowiekiem: w dzień powszedni pracował, święta tylko i niedziele poświęcąc wyłącznie towarzystwu Basi.

Lecz nie było na nim widać szczególnej jakięjs radości, której się należało spodziewać po spełnieniu tego, czego tak gorąco pragnął; owszem, zdawało się nawet, że więcj spowazniał, jakby posmutniał, bo i figle i żarty nietyle się go trzymały, i o skrzypcach prawie zapomniał, i do karczmy między ludzi ciężko go było namówić.

Wojciech, Łaza i pan Józef, cieszyli się z tej odmiany, powiadając, że się Janek *utemperował*; on jednak nieraz tęskne westchnienie wydobywał z piersi, a matka patrząc na ukochanego i pocziwego syna, jak przyszedłszy do domu i wsparłszy głowę na rękę, wodził w milczeniu oczami po ziemi, pytała się:



— Co tobie Janek? czy-ta we dworze masz jaki frasunek, co teraz tak trudno wydobyć z ciebie jaką gadkę?

— Nie mi matusiu—odpowiedział Janek—ino mi jakoś tak dziwno, żebym uciekł na koniec świata, het! ta Bóg wie gdzie daleko.

— Oj! dziwny z ciebie chłopaczysko! Taką pocziwą bierzysz dziewczuchę, i z wianem, i z takięj *familii*, i zrobileś się teraz nikięj mruk; uciekanie mu do głowy przychodzi nikięj głupiemu? Ej! Janek, nie obrażaj Pana Boga, i zważaj przecie na to, że i ja przy tobie na stare lata znajdę przytułisko, i nie będę się wycierać po cudzych kątach i między cudzemi ludźmi.

— Nie bójcie się, matusiu, ja też ino na to zważam, bo...

— A cicho, dzieciuchu—przerwała matka, oglądając się z niespokójnością—jakby kto usłyszał, toby Bóg wie co przypuścił do głowy, i możeby się wszystko na niczém skończyło.

Rozmowa taka aż do czasu wesela Basi raz tylko miała miejsce, bo tylko ten jeden raz Janek się tak otwarcie wygadał, albo może ten jeden tylko raz był tak zniechęcony czekającą go przyszłością.

Czasem były chwile, że i na skrzypcach trochę pobrzdakał, i więcej rozgadał się o Basi; ale to nie na długo, bo wnet przybierał niezwykły dawniej poważny wyraz twarzy, i ucinając żartobliwą rozmowę albo zawieszając na goździu skrzypce, odzywał się jakby do siebie:

— Już teraz trzeba zabaczyć i o smianiu, i o żartowaniu, i o skrzypcach, a myśleć o chlebie; bo póki się samemu było, to fracha, jak padło, tak padło; ale kiedy się pojmie kobietę, to trzeba myśleć o statku i zabieganiu wedle gospodarstwa.— I ciężko westchnąwszy, znów się zatapiał w dumanii.

Taki stan rzeczy pozostał aż do chwili wesela. Każdy z lepiej mu życzących nie mógł się dosyć nadziwić, jak się w Janku wszystko na dobre zmieniło; ale nikt nie wiedział, co się w jego duszy działo, a czego i sam nie umiałby z pewnością określić. Nie było to jednak niestałością ani lekkością charakteru; jakeimi zarzutami niejeden możeby chciał obarczyć biednego Janka; ale skutkiem poetycznego jego usposobienia, które wszystko idealizując, nie przedstawiając nic w formach rzeczywistych, zupełnie inaczej rzeczy pokazywało, jak je mógł od świata otrzymać.

Dlatego, póki połączenie jego z Basią zdawało się być prawie niepodobnym, cały zajęty myślami szczęścia, jakiegooby doświadc-

czał będąc jój mężem, w szaloną wpadał wesołość, ilekroć udało mu się być razem w towarzystwie krasnej dziewoi. Gdy znikły przeszkody, gdy to marzone szczęście już niemal przy nim stanęło, przekonał się dopiéro, że posiadanie Basi nie jest samą tylko rozkoszą taką, o jakiej przedtém dumał; że tam w obowiązkach małżonka jako gospodarza domu mieści się tyle kolców i głogu, jakich dawniej nie znał, jakie mu dopiéro przy chłodniejszej rozwadze, gorączkowym uniesieniem przytłumionej, w całej stanęły nagości. Wszędzie słyszał podnoszące się rady i napomnienia, które mu matka i każdy powtarzał:

— Teraz Janku musisz się ustatkować; o graniu trzeba zabaczyć, a wziąć się do pracy, bo przy żonie łatwo o dzieci, a dzieci raz-wraz chleba wołają. Pamiętaj także wszystkie niepotrzebne wymysły porzucić, bo co ujdzie parobczakowi, to *nieładno* wydaje się u gospodarza. Pamiętaj Janku, że dotąd wolno ci było *nikiej* ptakowi latać po świecie, po weselach, po karczmach, po graniach różnych, ale teraz wszystko to trzeba zabaczyć, bo to wszystko jako gospodarzowi jużby było i *nieładno*, i chleba nie przyniosłoby do domu. Pamiętaj Janku, że żonę się nie bierze dla samej *ino* uciechy, bo choćta bez niój nie będzie, ale zawdy więcej frasunku i starunku jak rozkoszy: *nikiej* nieprzymierzając jak w tygodniu, co sześć dni jest ciężkiej pracy, a jedna ino niedziela, a i w tę często dęszcz pada, że człek wołałby, żeby to nie było święto, aby mógł pójść do jakiej roboty.

Janek wszystkiemu temu nadśluchując, w początkach nie mógł się wydziwić, że mu ludzie przyszłe jego szczęście tak dziwnie przedstawiają, jakby ono nie było takim, jak je pojmował i pieścił w duszy swojej.

Później, przy chłodniejszej rozwadze, pomału z każdym dniem więcej zaczął odkrywać, że w tém wymarzoném szczęściu mieszczą się istotnie i owe kolce, o których ludzie wspominali, a o jakich wprzódy ani pomyślał; dlatego czując konieczną potrzebę odmiany całego siebie i pożegnania się z tém wszystkiém, co go przedtém tyle robiło swobodnym, spoważniał, posmutniał, jakby zawczasu układał się do roli, która go w przyszłości czekała.

Miłość jednak dla Basi, choć to dziwném zdawać się będzie, nie na swojej potędze nie straciła; była tylko więcej spokojniejszą, nietyle gorączkową i szamotaną wichrem bujnej jego wyobraźni: jak płomień lampy, gdy rzucany na wszystkie strony cią-

giem poruszanego powietrza, przeniesiony zostanie w miejsce osłonięte, i paląc się spokojnie, i żywiołu nietyle niszczy, jaki mu daje życie, i migotaniem nie razi przypatrujących mu się oczu.

Miłość ta najlepiej się objawiła, gdy dnia jednego Basia przy zniwie okropnie się przypadkiem skaleczywszy, krzycząc z bólu i ze strachu nagle zemdląca; wówczas Janek sądząc w pierwszym zamieszaniu, że Basia umarła, w taką wpadł rozpacz, takiej znów samym sobą wrzawy narobił, że otaczające osoby były pewne, że Janek oszalał. Lecz rozpacz Janka zupełnie była naturalną, bo gdy zobaczył Basię martwą i zbroczoną, w jej utracie widział i stratę owego czekającego go szczęścia, które wobec zemdlonej dziewczyny z całym dawnym urokiem poezyi błysnęło mu przed duszą, i podwójnej znowu nabrało wartości.

Gdyby w tym uroku zawsze się przyszłość do Janka uśmiechała, nicby mu do życzenia nie pozostawało; ale czyż tak mogło być? Czyż nasza ziemia zasłana jest samemi kwiatami poezyi? Czyż ich nie stara się przygłuszać pokrzywa i oset prozy!

Dnie więc do wesela przechodziły Jankowi rozmaicie: czasem w osmutnieniu i jakiegoś tęsknocie za przeszłością, czasem cokolwiek weselój, zawsze jednak we wszystkich jego sprawach przebijająca się wielka zmiana, która przez nikogo właściwie niepojęta, uważaną była za ustatkowanie się i przyjście Janka do rozumu.

W dniach przygotowawczych do uroczystości weselnej i w samo wesele, Janek na chwilę stał się znowu dawnym Jankiem: tańczył, śpiewał, rozśmieszał żartami, ale oko badacza łatwo by dostrzegło, że w tém wszystkiém nie ma owój swobody, owój naturalności, która niegdyś cechowała wszystkie jego czyny, i że więcój wygląda na pieśń pożegnalną minionój bezpowrotnie przeszłości, jak na prawdziwe weselenie się dawniej tyle uciesznego Janka.

Po weselu zmiana całego usposobienia Janka z każdym dniem była widoczniejszą: stał się cichym, łagodnym, posłusznym wszelkim rozkazom Sierpnia, jak człowiek, co się poddał zestaniem nań nieszczęściu, i bez szemrania w pokorze chrześcijańskiej znosi los, jaki mu okoliczności zesłały.

I nic dziwnego:—jak u poety. Codzienny widok Basi, owa tyle wabna rozkosz, przedstawiająca mu się dawniej tylko w marzeniach niepodobnych do urzeczywistnienia, wszedłszy w rutynę

codziennego życia, musiała tém samém stracić cały urok poetycznego uniesienia i wyrodzić ten niesmak, to niezadowolenie, jakich doświadczamy po zawiedzionej nadziei.

Janek więc smucił się, choć sam nie wiedział dokładnie dlaczego. Czuł, że kocha Basię, a jednak zdawało mu się, że ona temu winna, iż nie ma takiego szczęścia, jakie mu się zdawało że przy niej otrzyma, jakie marzył, gdy bujał po świecie niezwiązany słubami małżeńskimi. Stary Wojciech zmianę Janka uważał bardzo naturalnie, i ciesząc się z tak poczciwego i kochanego zięcia, mówił:

— Dobrze powiedział kum Łaza, że kto się ożeni, to się odmieni: bo i z Janka taki się zrobił potulny chłopaczysko, że ino go do rany przyłóż. O! Ziemia miał dobry nos, że pragnął go na zięcia; byłby téż nim orał nikiéj szkapiną.

Gdy Wojciech tak się cieszy, serce Basii instynktowo przezuwało, że Janek nie jest dla niej takim, jak zdawało się, że nim będzie, sądząc po jego tak czułym i statecznym przywiązaniu, gdy była jeszcze dziewczuchą. Wprawdzie nie mogła mu nie zarzucić ani braku przywiązania, ani sposobu obchodzenia się z nią, ani własnemu jego postępowaniu; ale czuła, że ta zmiana więcej jest smutkiem chociaż nieodgadnionym, jakby żalem że się z nią połączył, niż naturalną przemianą z przekonania wypływającą.

Smucił się więc Janek, smuciła się i Basia, starannie przed ojcem smutek swój ukrywając; lecz ten im więcej duszę jej opamowywał, tém więcej odstręczała od siebie Janka, jako coraz większą upatrującego różnicę między dzisiejszą ponurą, małowózną Basią, a dawniejszą tyle uroczą dziewczuchą.

I tak małżonkowie w kilka miesięcy po ślubie w coraz większym żyli od siebie oddaleniu; wprawdzie bez wyrzutów, bez swarów, ale i bez tego wzajemnego zlania się w jedność, jakie nam małżeństwa dobrze dobrane przedstawiają.

Tak znowu ubiegło kilka tygodni, i oziębłość między małżonkami tak się nareszcie stała widočzną, że nawet zwróciła uwagę Sierpnia. Zapytany Janek i Basia złożyli to wszystko na przywidzenie ojcowskie, i choć uspokoili troskliwość Wojciecha, zostali jednak zawsze w jedném od siebie oddaleniu.

Nareszcie Basia nie mogąc już dłużej wytrzymać, czyszcząc jednego dnia z Jankiem w stodole pszenicę na targ do miasta, gdy po upływie blisko całej godziny i jednego prawie słowa do siebie nie przemówili, nagle położywszy przetak na klepisku, sama oparła

się o zapoźnicę i zasłoniwszy oczy fartuszkiem, rzewnym zalala się płaczem.

Janek z początku nie rozumiał co znaczy tak nagłe poruszenie Basi, lecz gdy po łkaniu poznał że płacze, zbliżył się do niej i w pół ujmując zapytał:

— Basiu, co tobie jest? czegoż płaczesz? czyś chora, czy cię tatuś połajali? Basiu! gadajże przecie; moja Basiu i czegoż płaczesz?

Ale Basia tylko łkaniem odpowiadała na zapytania Janka; czém ten poruszony przysunął ją bliżej siebie i mówił dalej:

— Moja Basiu, i czegoż płaczesz? ja cię tyła Kocham.....

— Albo to prawda?—przerwała Basia z jednym zawsze płaczem—żebyś ty mnie kochał, toby ja tak nie płakała, toby ty więcej zważał na mnie....

— Basiu, a do ciebie co znowu przystąpiło?—odezwał się Janek zmieszany cokolwiek takim dość trafnym zarzutem—Czyż cię nie szanuję? czy tatuś mogą na mnie powiedzieć jakie uzalenie? Zkądże ci znowu takie rzeczy przyszły do głowy, czy to my nie z kochania pobrali się z sobą?

— Juścić ja-ta wiem że z kochania, ale teraz to wszystko inaczej. Dawniej, mój Boże—mówiła Basia odejmując fartuszek od oczu i z załamaniem rękoma smutnie potrząsając głową—to gdzieśmy się zeszli, trudno nam było nagadać się z sobą; zawsze w *gudce* umiałeś co nowego wywieść, że ludzie wydziwić się nie mogli, jak nam gęby do rozgadek nastarczy. Dawniej *kaj* ino ja byłam, kaj się obróciłam po świecie, czy do karczmy, czy do kościoła, *zawdy* ty mnie znalazteś i ludzie wtedy tyła mieli z tobą uciechy, tyła *zawdy* było śmiechu, że się-ta o wszystkim zabaczało: a teraz...—W tém miejscu Basia znowu zasłoniła oczy fartuszkiem i zalewając się łzami, mówiła dalej: — O mój Boże jedyny! o Matko Boska cudowna!....

— Moja Basiu—przerwał rzewnym głosem Janek—prawda, masz *racyję*; wszystko tak było jak powiadasz, ale teraz jakoś mi się wszystko tak *przeinaczyło*, tak mi jakoś dziwno.... Ale moja Basiu ja cię *zawdy* jednako Kocham, ino widzisz.... ot... tak... sam nie wiem, czy-ta złe jakie do mnie przystąpiło, czy co? czy urok? czy Boskie naślanie?

— O! dobrze ludzie mówili—odezwała się Basia—że u ciebie wszystko jak wiatr, nikiój jaki głupi; ale jakbyś takim *zawdy*

miał jak dzisiaj zostać, tobym wolala się zatracić, wolałabym się utopić, jak *zawdy* chodzić w takim zmartwieniu jak dzisiaj. Kiedyś mnie zagubił, bo te oczy dosyć się teraz po nocy napłakać nie mogą, to idź se lepiej gdzie w świat między ludzi, kiedy ci tak źle przy Baſce, jak masz mi robić tyle zmartwienia. Ja przecieć nie z majątku chciałam ciebie, *ino* z prawdziwego pokochania, a ty zabaczasz o tém i codzien taki się robisz dziwny, jakbyś nie wszystko miał dobrze w głowie. Jeżeli nie masz baczenia na mnie i na ludzi, to zważaj se na Boga, i jakbyś nazawdy miał zostać takim, to lepiej ruszaj se w świat, żeby cię i oko moje nie widziało, a ja i tak przecieć nie zginę, przecieć dam sobie radę.

Scena ta przerwana wejściem Wojciecha nie została bez wpływu na Janka. Oziębiona znacznie jego miłość nagle ożywioną została wyznaniem tak szczerém prawdziwego przywiązania i wspomnieniem owych błogich chwil, w których mu się obecność w tak czarodziejskiej przedstawiała barwie, w jakiej marząc o niej nie śmiał nawet spodziewać się urzeczywistnienia. Przytém pogrożka utracenia życia, jak również i zachęta do odstąpienia Basi, gdyby miał i dalej równie obojętnym pozostać, sprawdzając naturalną myśl utraty tego, co z taką wytrwałością i po tylu przeszkodach zaledwie zdobyć potrafił, wywołując wrażenie nowe zupełnie, przedtém mu nieznanie: stało się dla jego ziębnącej miłości jakby iskrą elektryczną, która raptownie wstrząsając całą moralną stroną, przynajmniej na jakiś czas zdołała przywiązanie jego do Basi dawnym poruszyć ogniem i życiem.

Tak też było w rzeczy saméj: Janek udobruchany ucałowawszy Basie, po licznych wzajemnych wymówkach z odwoływaniem się do minionéj przeszłości, przyrzekł więcéj już nie być takim nurkiem milczącym, i cały wieczór tak był wesołym i swobodnym, jak za dawnych czasów: bo i pośpiewywał, i żartował, i wygrywał na skrzypcach skoczne obertasy, o czém zdawało się, że już zupełnie zapomniał.

Basia cała promieniła szczęściem, a stary Wojciech z matką Janka, która po jego ożenieniu wraz z nim do synowéj się przeniosła, nie mogąc pojąć tak raptownéj przemiany, chociaż podzieliali dzieci swych niezwykle uweselenie, nie bez pewnéj obawy poruszając ramionami odezwali się do Janka:

Co tobie Janek się zrobiło, żeś taki wesoły? czyś się upił czy co?

— Oj! opilem się, opił— odpowiedział Janek chyląc się do nóg rodziców— ale kochaniem, mój serdeczny tatusiu i moja droga matusiu.— Starzy wzruszyli tylko ramionami nie mogąc Janka zrozumieć, ale więcej nie badali ciesząc się zobopólném szczęściem ukochanych dzieci. Stan jednak taki rzeczy w umyśle tak niespokojnym jak Janka, nie mógł się długo utrzymać. We dwa miesiące po odbytej scenie z Basią, pomału znów wróciła dawna tęsknota, dawny smutek, tém straszniejszy dla Basi, że w wymówkach poprzednio użytych nie znajdowała już tyle skutecznego środka, jak to się jój raz tak pomysłnie udało. Gdy Basia robiła porównanie przeszłości z terażniejszym jego postępowaniem, Janek słuchał, wzdychał, skrobał się w głowę, a ujrzawszy łyżę płynące po ładnym jój buziaku, tuląc do siebie odpowiedział:

— Cicho Basiu, cicho moje dziecko, nie płacz; przecieć ja cię jednako zawsze szanuję, i już lepszej szczeroci dla nikogo nie będę miał, jak mam dla ciebie. Ale widzisz, ty tego nie rozumiesz, ty tego nie wiesz, co się we mnie dzieje; a choćbym ci opowiedział, gdybym umiał, wszystko jak mi się przewraca w głowie, tobyś się może i nie śmiała, i powiedziała, że Janek napięknę ogłupiał. Bo widzisz, że i ja *se* nieraz tak myślę: chociaż Boga chwalić mam wszystko co mi potrzeba: i dojadek uczciwy, i okrycie na siebie, i ciebie moja Basiu, i matusia już się nie walają po świecie, a jednak takie dziwności chodzą mi po głowie, tak mi smutno kaj ino spojrzę, tak mi się zdaje, że w dawności wszystko było lepiej, że czasem gdybym nie zważał na siebie i na tatusiów, to *ino ino* cobym się nie rozplakał. Dlatego moja Basiu nie miéj złego serca dla mnie; przecieć może Bóg to wszystko jako odmieni, bo jakby tak na *zawidy* miało pozostać, to chyba przyszłoby człekowi oszaleć. Moja Basiu, moje dziecko, nie płacz już, nie płacz.— I Basia uspokojona chwilowo, z nadzieją w sercu oczekiwała zmiłowania Bożego, a Janek z małemi odmianami jednym zawsze pozostawał.

I czyż mogło być inaczej? U poety, u téj nieszczęsnej istoty goniącej zawsze myślami za ideałem piękna, wszędzie go się domyślającej, a nigdzie nieznajdującej wiernéj kopii utworu swojej wyobraźni, każde wrażenie póty działa, póki młode i świeże; raz poznane, traci prawie całą swą dzielność, zaledwie stając się słabym odblaskiem owego piérwszego wywołanego przez siebie uczucia.

Dlatego téż przywołane przez Basię wspomnienie dawnéj ich miłości, owych błogich bez końca pogadank, jako nowość dla

Janka tak rzewnie przez Basię przedstawiona, i w nieznaną mu dotąd formę słów ujęta, raz pierwszy silnie zrobiła wrażenie; więcej użyta przestawszy być nowością, zamieniła się dla Janka w nudzącą wymówkę. Gdyby Basia była dzieckiem naszej cywilizacji, poznawszy tak chorobliwe usposobienie swego męża, wyrozumowaną zalotnością, pobudzaniem zazdrości lub innymi podobnymi środkami, używając kolejną dzielnych tych broni, możeby umiała na jednym stopniu utrzymać gasnący zapal dawnego kochanka; ale Basia prosta córka wioski, poprostu myśląca i działająca, czując tylko że się jój serce ściska na każdą myśl o powiększającej się dla siebie obojętności Janka, naprzemiانى to smutniała, to się gniewała, albo téż nieraz gdzie na uboczu doskonale się wyplakała, a tém samém jeszcze go więcej od siebie odstręczała.

Janek bowiem patrząc na Basię, zobaczywszy albo oczy od płaczu zaczerwienione, albo pełną dąsów, całą spochmurniałą, zmarszczywszy brwi z niezadowolenia, mówił do siebie:

— Co ta kobieta chce odemnie? co ona dokazuje? Widać, że się jój już naprzykrzyłem, bo żeby ona miała dla mnie dawne kochanie, toby nie chodziła tak po izbie nikiéj ślepa i głucha, *inoby* zważała co się ze mną dzieje, i miałaby jakie ulitowanie. A tu ona ani spojrzy na mnie, ani powie co przyjemnego: wszystko ino stronami. Mnieby się prawie ptak naplakał, a ona żadnego nie daje pocieszenia. O! niech cié Bóg kocha, i niech ci da jakie upamiętanie, bo człękowi wypadnie chyba w świat pójść na potyrkę.

Uwagi takie, już kilka razy były przez Janka robione w milczeniu, aż dnia jednego Janek jakoś więcej rozgniewany kilkodniowém posmutnieniem Basi, potrząsnąwszy z gniewem głową i szepnąwszy w myśl:

— Nigdzie żadnej przyjemności: ni z kim pogadać, ni się uzalić; a róbtą sobie co chceta — nagle wybiegł z izby i prosto pobiegł do karczmy.

Wypadek chciał, ponieważ to było wieczorem, że znalazł tam dwóch parobczaków dawnych swych towarzyszy, którzy powracając z miasta, gdzie kosy kupili, wstąpili na odpoczynek i na pokrzepienie się kieliszkiem kartoflówki. Rozpoczęło się zaraz witanie, żartobliwa gawęda, jak zwyczajnie między młodemi, i gdy po jednym i drugim kieliszku coraz się więcej języki zaczęły rozwiązywać, Janek chociaż nie pijany, ale zupełnie rozweselony, po



godzinnéj zabawie powrócił dopiero do domu. Zapytany przez Basię z pewnym rodzajem gniewliwego wyrzutu za tak nagle odalenie się:

— I gdzieżeś-ta był tak długo, żeśmy z wieczerzą na ciebie czekali aż na piękne wystygła?

— Gdziem był, tom był—odpowiedział z równém ofuknięciem Janek — bo tobie wszystko jedno, kaj ja się obracam. Poszedłem tam, kaj mnie nic nie smuci, kaj mi weselój, kaj ludzie nie tak jak ty na mnie się boczą.

Janek to powiedziawszy, zaczął sobie poświstywać przechadzając się po izbie, potem zdjął skrzypki ze ściany gotując się do grania. Ale zaledwie brzdąknął kilka razy palcami po strunach, zaraz dał się słyszeć niecierpliwy głos Basi:

— Czy ty oszalał, czy co? Tatuś i matusia już dawno się pokładli, i gdy ludzie o spaniu myślą, to jemu pogwizdywanie i chodzenie wtedy dopiero do głowy przychodzi. Nie było latać Bóg wie gdzie, tobys był grał co ino sam chciał; a to oczywiście coś mu do głowy przystąpiło!

Janek nic nie odpowiedział, oczy mu się tylko od tłumionego gniéwu iskrzyły, i ze złością cisnąwszy skrzypce na łóżko, siadł na skrzynce wspierając głowę na rękę.

— Oj! udało mi się, udało—mówił sam w sobie Janek—bo-daj takiego ożenienia nikt nie zaznał na świecie: ni w domu żadnej uciechy, ni wesołości. Kiedy człowiekowi i to i owo przyjdzie do głowy, że go *ani weź* do rozgadki, zaraz wszyscy na niego: a czegoś taki nurek, a czego się smucisz? Kiedy *znowuj* człek się zacznie weselić, to mówią, że się opitem. Jak pójdę trocha między ludzi, to mnie przezywają zem latawiec i zaraz: kajżeś był, cożeś robił? Chcę pograć trocha na skrzypcach, juścić w krzyk: czy ty oszalał, czy zgłupiał, czy ci co do głowy przystąpiło? A to wszystko ino dlatego, że nie ma w domu dla mnie żadnej przyjaźni, że Basia ze wszystkiém się odmieniła, i anita trocha nie jest taką, jak była dziewuchą: wtedy wszystko się jój podobało, a teraz byle co, to zaraz jest z przeszkodą.

O! biédny ja biédny! Przyjdzie się chyba człękowi zmarnować, bo tak teraz mi wypadło, nikiéj nie przymierzając szkapinie, co ją spętają i jeszcze za nogę na postronku uwiążą, żeby ino tam chodziła. kaj się ludziom podoba. Oj! Baśka, Baśka! zagubiłaś mnie napiękné! Powstajesz *zawdy* na mnie, że ja nie taki jak da-

wniej byłem; mój Boże! jakże tu być takim, kiedyś ty się ani umywała do dawniej Baśki, co za kawalirstwa miałem tyła dla niej kochania. Wtedy zawdy ino ze śmianiem i wesołością patrzała na mnie, a oczy to nikić gwiazdy w nocy, tak kochaniem świeciły; a teraz co? to się boczy, to płacze, a zawdy: a tego nie rób, a owego nie rób. A czy Boskie nastanie, żeby....

— I czegożta tak mruyczysz? — przerwała w tém miejscu Basia, już leżąca w łóżku, przytłumionym głosem, żeby śpiących rodziców nie pobudzić — nie możesz iść spać?

Janek tylko potrząsł z niezadowoleniem głową i mruknawszy pod nosem:

— Ot nie mówiłem: jedno *zawdy* w gębie i *juści* — i wyszedł z izby na nocleg do stodoły.

Naturalnie po takiej scenie małżonkowie coraz się więcej od siebie oddalali. Basia gryzła się, martwiła, po nocach szczerze płakiwała, a wycieczki Janka do karczmy coraz częstszymi i dłuższymi się stawały, na które czasami zabierając i skrzypce, nieraz dobrze podchmielony wracał późno do domu.

Gdyby Basia stan swego cierpiącego serca, swego żalu za zawód w miłości, w dobranej formie słów mogła była Jankowi przedstawić i siłą rozumowania okazać całą przepaść, do której sam dążąc, tak nieoględnie i ją pociągał za sobą; być może, że Janek wezwawszy całą siłę woli możeby się i upamiętał, i choć z trudnością wszedłby na drogę prawości i wiernego wykonywania przyjętych obowiązków, jaką każdy poczciwy człowiek postępować winien. Gdyby znów Janek umiał się głębiej zastanawiać, możeby także sam poznał właściwą przyczynę swego niezadowolenia i choć nie z serca, ale z głowy wyprowadzając każdy czyn domowego pożycia, Basi dałby szczęście, a sobie przynajmniej wewnętrzzną radość z dumy wynikającą, że w tak niebezpiecznej z samym sobą walce stał się zwycięzcą, i dał dowód potęgi silnej woli. Ale Basia i Janek oboje nieuczni, więcej czujący jak rozumujący, jeżeli przemówili do siebie, to zawsze z wyrzutami, z fukiem, z gniewem; co naturalnie jeszcze więcej zniechęcając, zdawało się z każdym dniem większy robić rozdział w przywiązaniu między małżonkami.

Taki był stan rzeczy do chwili rozpoczynającego się na nowo przerwane opowiadania. Widzimy więc Basię zmartwioną, smucącą się, a Janka na bardzo złej drodze, bo dążącej do rozpusty. Czy jednak cofnie się z niej lub coraz szybszym krokiem

posuwać się będzie do widocznej zguby?—w dalszych wypadkach to zobaczymy. Ale zaiste szeroka to droga co wiedzie do zatracenia, a wązka i pełna cierni, prowadząca do cnoty i prawości.

Trzebaby więc, aby Janka uderzyła jakaś idea nowa tak wielka i piękna, że poruszywszy całą jego duszą w dążeniu do celu przez siebie wskazanego, zamknęłaby zarazem konieczność zupełnej siebie odmiany.

Czy jednak myśl taka dla prostej głowy Janka znaleźć się potrafi? Czy on ją zrozumie i pojmie i będzie miał dosyć siły do pójścia w każdym razie za jej rozkazem? Nie uprzedzajmy wypadków, a te słów kilka dlategośmy przedstawili, aby przynajmniej zawczasie wyrok potępienia nie padł na biednego Janka, jeżeli w przyszłości na potępienie zasłuży.

Całe to postępowanie Janka, tyle zmartwienia Basi przynoszące, osłonięte było największą tajemnicą. Raz, że Wojciech potulnością i ochoczym wypełnianiem prac gospodarczych jak najlepiej się uprzedził względem urwipołcia Janka, jak go niegdyś nazywał; powtóre, że Basia przez wstyd i wrodzone uczucie własnej godności, nietylko żadnym słowem nie zdradziła moralnego cierpienia, ale nawet wszelkie pod tym względem, choćby najmniejsze, starała się usuwać podejrzenia.

Zresztą i bywanie Janka w karczmie nie było tak częste i po większej części trafiało się z soboty na niedzielę, jako w porze poprzedzającej dzień wolny od wszelkiej pracy.

Kilka razy tylko się zdarzyło, że z bałamuceniem zawadził o dzień powszedni, z którego naturalnie, chociaż przy najszczerszym wyznaniu prawdy łatwo się wytłumaczywszy, nie wzbudził niczem obawy Wojciecha.

Sierpień więc nic nie wiedząc i niczego się nie domyślając, spokojny o los jedyniej córki, przemyślał tylko dzień i noc, jak zamiar osadzenia synowca na swoim ojczystym gospodarstwie przyprowadzić do skutku, żeby i Basia biedy nie znała, i ojcowizna, stare Sierpniów gniazdo, w cudze nie przeszła ręce.

Ziemia zaś jak jastrząb, gdy bujając w powietrzu krąży dookoła i upatruje z wysoka zdobyczy, aby się na nią rzucić z największą szybkością, milczkiem, w cichości, z chytrą lisa a węchem ogara, śledził każdy krok tak Sierpnia jak i Janka. Piérwszego, żeby mógł odgadnąć właściwe względem rozporządzenia majątkowego zamiary; drugiego, żeby lepiej poznać i w razie potrzeby

stosownych użyć środków do wyzucia z drugiej połowy własności, na całość której czyhał z taką wytrwałością.

Pierwsze niczem nieskazone Janka postępowanie cokolwiek go trwożą przejęło; ale Ziemba nie był z tego rodzaju ludzi, aby lada czém zaraz się zrazić, i pomyślawszy w duchu: poczekajmy, „kto chce psa uderzyć, to kij znajdzie”, czekał cierpliwie. Ale gdy drugi i trzeci miesiąc upływał, a w Janku żadnej zmiany nie dopatrywał, bo co się działo w nim samym, tego nikt nie wiedział; gdy robione mu oświadczenia z gotowością wszelką pożyczania pieniędzy spełzły na niczem, bo Janek szlachetną uniesioną dumą powiedział, że ma swego tatusia Sierpnia i do niego tyłkoby się udał z takim interesem: Ziemba coraz się więcej zaczął niecierpliwić, nie tracąc jednak nadziei, że prędzej później, tym lub owym sposobem musi swego dopiąć. Dowiedziawszy się zatem o częstszym nawiedzaniu karczmy przez Janka i tém samym o powolnym zwracaniu do dawnego trybu życia, aż się rozśmiał z radości i zaciérając ręce, wyrzekł sam do siebie:

— Bogu dzięki, kiedy się zaczęło, to i pójdzie dalej, a ludzie gotowi potem powiedziéć, że ja go zgubił; ale to wszystko *bez zazdrość*, bo że ja staranniejszy i ubiegne drugich, kiedy Pan Bóg kogo za zbytki i grzechy karząc zabiera mu majątek, to zaraz wszyscy na mnie, jak na psa cudzego. Oj! wie Pan Bóg co robi, i dlatego tak mi jakoś radośno... tak mi ucieszno...—i Ziemba ująwszy się ręką za serce, aż się rozśmiał głośno, jakby konwulsyjnie.

Ale radość z tego doniesienia nie była długą, bo na drugi dzień dowiedział się, że Wojciech zaprosił do siebie pana Józefa, proboszcza, Łazę i miejscowego wójta gminy, aby zrobić rozdział majątku i wprowadzić jeszcze za życia w wykonanie dawno względem swego synowca ułożony zamiar.

Ziemba na tę wieść ledwo nie zemdlał. Zbladł cały, wargi mu się zatrzęsły, oczy aż zaświeciły ogniem dawno w nich niewidzianym, i ściskając pięść zawołał ze wściekłością:

— Szelma nie taki człowiek! i powiadają, że Sierpień poczciwy? A bodajesz... kiedy tak o mojej krzywdzie czyli o krzywdzie mego wnuka myślisz; ale poczekaj, z Ziembą taka się sztuka nie uda: ja znam prawo, ja ci pokażę, co to Ziemba znaczy.

I cały trzęsąc się ze złości, ujął kij w rękę i udał się prosto ku chałupie Sierpnia. Byłoto w jego życiu drugie zdarzenie: jedno, kiedy straciwszy przez pożyczkę pieniądze lat kilka ciułane porwał się do ekonomy, i dziś drugie, kiedy widząc się już blizkim celu

kilkoletnich marzeń, nagle zagrożony został zupełną ich utratą. W obu wypadkach wychodząc z granic zwykłej mu ostrożności i umiarkowania, szedł za głosem poruszonych namiętności: w pierwszym przypieczętował skórą, w drugim sądził jednak, że nie mogąc już dłużej czekać, powinien stanowczo w imieniu małoletniego wnuka wystąpić i bez żadnych ogródek zadać stanowczy cios wszelkim projektom Wojciecha.

Idąc, miał czas cokolwiek ochłodnąć i upamiętać się, a chociaż wewnątrz burzyło się w nim wszystko, powierzchownie zdawał się być zupełnie spokojnym, jedném tylko febryczném trzęsieniem warg odpowiadając poruszonym namiętnościom.

Gdy otworzył do Sierpnia drzwi, zastał Basię zajętą porządkowaniem w izbie, zapewne na przyjęcie spodziewanych gości. To go do reszty oburzyło, bo chociaż słabą, lecz miał jeszcze nadzieję, że otrzymane doniesienie może być prostą tylko bajką.

Widokiem czynionych przygotowań wątpliwość została rozwiązana, tém bardziej, gdy przy wejściu usłyszał polecenie Wojciecha, aby stół dobrze wytarto, bo na nim będą pisać.

Ziamba widząc, że to nie przelewki i spodziewana zdobycz wymyka mu się prawie z ręki, musiał użyć całej mocy duszy i zbiranego po świecie doświadczenia, aby nie wybuchnąć z wraskiem i przekleństwem na mniemanego winowajcę, i o ile można w spokoju i umiarkowaniu całą rzecz załatwić. Do takiego uspokojenia się chwilka czasu dostateczną była; ale mimo największej usilności nie mogła wyrzucić tak wielkiego wpływu, aby w ruchu i w mowie Ziembę nie wyrażało się choć w setnej części to, co się wewnątrz niego działo.

Jak tylko wszedł do izby, nie powiedziawszy nawet zwykłego wszystkich włościom pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, stanął na środku izby i przyjrząwszy się wszystkiemu, po pauzie milczenia przemówił, ale głosem jakby nie swoim:

— A kogoż to się sąsiedzie dzisiaj w gościnę do siebie spodziewacie?

Ton mowy, gest twarzy Ziembę tak były dziwne, tak niezwykłe, tak gburowatością swoją nawet oburzające, że Sierpień w pierwszej chwili oniemiał, nie rozumiejąc nawet, co się to znaczy, sądząc, że Ziamba albo się upił, albo zwaryował. Ale gdy tymże samym tonem drugi raz usłyszał powtórzone pytanie, gdy w części zaczął się domyślać powodu tak niemiłych mu nawie-

dzin; Wojciech zmarszczył brwi i z powagą cechującą każde jego poruszenie, odpowiedział:

— A i cóżto wam mój sąsiedzie po téj ciekawości? Co wam na tém zależy choć się dowiedzie, kto będzie dziś u mnie?

— Co mi na tém zależy?—powtórzył jednym tonem Ziembra, ale nagle powstrzymując się w wzrastającym uniesieniu, mówił dalej coraz spokojniejszym głosem, jakby inny Ziembra rozpoczął rozmowę, a inny ją teraz prowadził.—Widzicie, mój sąsiedzie, juścić musi mi coś na tém zależec, kiedy was o to zapytuje: bo ja sły-  
szałem, *ino* nie wiem, czyta można wierzyć ludzkim gadkom, bo przecieć wy mój sąsiedzie macie swój rozum, swoje kalkulacyą i przecieć....

— No i cóżeście słyszeli?—przerwał z widoczną niecierpliwością Sierpień.

— A dziwne rzeczy, mój sąsiedzie, ale to nieprawda, bo wy nie krzywdziciel, wy zawsze Boga macie w sercu, wy pamiętacie.....

— Ale cóście słyszeli?—zawolał powtórnie Sierpień uderzając w stół pięścią z taką gwałtownością, że aż Basia ze strachu krzyknęła.

Ziembra cały także gniewem zawrzał i krtuszac się, jakby go dławily słowa, które określały myśl tak dlań niemiłą, zaledwie odpowiedział trzęsącym głosem:

— Oto tom 'słyzał, że wy ojcowiznę chcecie zapisać swemu bratunkowi, a własne dzieci ukrzywdzić.

— A wam co djabli do moich dzieci? Czyto nie moje, czy co?

— Ani słowa że wasze, ale ja mam wnuka po waszój córce a swoim synie, i nie dam mu krzywdy zrobić.

— Co? ty stary trupie!—wrzasnął stary Sierpień—a zacie tobie od mojej pracy, bo....

— Zacie albo i nie zacie, bo wy Sierpień a ja Ziembra, a kiedy wy dbacie o *familią*, to i moja także nie ostatnia....

— Co? twoja *familia* i zgniłego jabłka niewarta! Urodziłeś się może gdzie pod płotem, i w co sę ty *dufasz*? Może w krzywdę ludzką? może w te *prowizyje*, co złoty pożyczysz, a pięć odbierzesz;.... może.

Prawda w oczy kole. Ziembra słowami temi dobodzony do żywego stracił całą powstrzymywaną dotąd cierpliwość, i jak ten dzik w kniei, co już nie patrząc na skutki i tylko rąbie klami na

prawo i lewo, przerwał nagle Sierpniowi i wyciągając przed siebie ręce, jakby niemi groził, zawołał:

— Ty stary ośle, ja ciebie i całą twoją *familię* mam u siebie pod podeszwą w bucie, i.....

— Co, ty?—zawołał Sierpień w gniewie wyszłym ze wszelkich granic, z twarzą nabrzęklą żyłami, z których zdawało się, że krew tylko co nie trysnie—ty se będziesz pysk ucięrał moją *familię*? O Matko Boska cudowna! a ty światowcze, obieżyświecie, pańszczyzniaku, ty w moim domu będziesz mi z taką gadką wyjeżdżał.....

I tak w słowach buchając gniewem, Sierpień choć staremi, ale jeszcze krzepkiemi rękoma porwał Ziembę za bary, wypchnął naprzód do sieni, a potem ujawszy jedną ręką z tyłu za szyję, tak, że z dławienia Ziembra aż oczy wytrzeszczył, a drugą silnie oparłszy o plecy, wyrzucił na podwórze jak wiecheć słomy, dopomagając jeszcze uderzeniem kolana.

Ziembra tak szybko i niespodzianie napadnięty, nie miał nawet czasu do obrony, i dopiero się opamiętał, jak wypchnięty z sieni siłą samego rzutu podbiegł kilka kroków podwórzem, utykając głową na kupie wpół zgniłego słomska. Tu dopiero wrócił cokolwiek do przytomności, wydobył czapkę głęboko utkwioną, sam się otrzepał co z większa z oblepiających go nieczystości, i podchodząc pod drzwi sieni zasuwą wewnątrz zapartych, grożąc pięścią wołał:

— Poczekaj ty stary ośle! Poznasz dopiero Ziembę co on znaczy i czyja będzie górą: czy twoja, czy moja! Przecież ja cię jeszcze dostanę kiedy w swoje pazury, to cię tak zbije, tak sponiewieram, a potem rzucę na ziemię i póty będę deptał, aż *para* z ciebie wyjdzie. Chce ci się ojcowiznę dla Sierpnia zostawić; ja nie dam, ja pójdę w prawo, ja i dwieście i trzysta złotych stracę, a muszę postawić na swoim, i Ziembra wyżej stanie jak wszyscy Sierpie. Już nietylko ludziom, ale się i Bogu ze swoją dumnością naprzykrzyłeś, bo i syna nie masz i dostałeś takiego zięcia, co ci wnet wszystko na marność z doma wyprowadzi; ale ja mam wnuka i zobaczymy, kto będzie lepszy: czy Ziembra, czy Sierpie *szpitalniki*.....

Dalsze słowa jego przerwane zostały nieprzewidzianym wypadkiem, jakby się wszystko przeciw niemu uwzięło: bo gdy Basia przełęknięta nieznanym dotąd tak wielkim gniewem ojca, zasunąwszy zasuwę i zasłaniając drzwi sobą, ze łzami w oczach błagała, żeby nie wychodził, i żeby się tak strasznie nie gniewał; Ja-

nek będący wówczas w stodole usłyszawszy krzyki, a nie rozumiejąc co mogą znaczyć, wszedł na podwórze na sam koniec mowy Ziemby.

Jednocześnie z krzykiem jego usłyszał w sieni płacz Basi i głos Sierpnia:

— Baśka puść, Baśka nie zastępuj. On ma krzywdzić moją *familiją*? ja jemu wszystkie kości połamię. Puszczaj, żebym i ciebie po próżnicy nie skrzywdził.

W jednej chwili poznał, że jakaś nadzwyczajna zaszła kłótnia, ale o co, dlaczego? Nie mając czasu badać, przystąpił do Ziemby właśnie wtenczas, kiedy wymawiał:

— Co mi znaczy twoja familija? u mnie ta trzoda co się wala po gnojowisku, to lepsza, jak cała twoja familija.

I zwracając starego zapamiętałca twarzą ku sobie, zapytał się głosem gniewnym:

— I cóżto wam nasza familija zawiniła? Ruszajcie z Bogiem do doma pókiście cali, bo.....

— Co i ty tu urwipoleciu będziesz dojadal? — przerwał Ziemba z podwójną wściekłością — poczekaj, ja cię tu zaraz nauczę — i prawie nieprzytomny, raz drugi dopiero w życiu doznając tak gwałtownego uniesienia, musiał mu uleść bez żadnej oględności na skutki; porwał więc Janka za gardło, chcąc na nim wyrzucić całą wściekłość swego gniewu. Ale Janek choć usposobieniem duszy podobny był do naszych poetów, siłą jednak fizyczną o wiele ich przewyższał: dlatego zręcznie wysunąwszy się z rąk szalonego starca, ujął go przy piersiach za koszulę i kamizelę, trząsnął jak gruszką, wyrzucił na ziemię i wlekąc przez podwórze ku otwartym wrotom, wrzeszczał:

— A ty stary niedołęgo, żebym nie zważał na twoje stare lata, tobym cię zbił na kwaśne jabłko; ale że mam Boga w sercu, to masz iho tyła na pamiętne, żebyś wiedział, coto jest nos wtykać do naszej famihi i wydziwiać na nią.

Przy ostatnich słowach Janek dowlóknął Ziembę aż do samej drogi, i tam dopiero postawiwszy za nogi, mówił dalej:

— Ruszajcie se do domu i niech wasza noga u nas nie postanie, bo ja nie będę krzywy, jakbyta z wami inaczéj jako wypadło: ruszajcie, ruszajcie.

Stary Ziemba uczuwszy tak wielki dowód siły, już się nie zrywał do bicia, chciał coś przemówić, ale tylko mu wargi zadrgały od gniewu i wściekłości, i ze ściśniętymi pięściami załedwie wybetkotał:



— Poczekajta, zapłacita mi za wszystko; czyto ja pies, żeby mną tak poniewierać? Poczekajta, nauczę ja was co to Ziembra znaczy.

I jeszcze jakiś czas podobnie odgrązając, czego Janek nie słyszał, bo zaraz po tak niegościnném obejściu się z Ziembą ruszył ku domowi, stary sponiewierany lis poprawiwszy w szamotaniu rozmamanego odzienia, na którym widoczne pozostały znaki podróży przez okólnik Sierpnia, zaczął szybszym krokiem jak zwykle postępować drogą.

Tak więc Ziembra, choć taki mądry spekulant, choć umiejący dobrze kryć się z gniewem jak z radością, słowem ze wszystkimi odbieranemi wrażeniami, dwa razy dopiero przez długi swój żywot nie umiał panować nad wzbudzoną namiętnością, i ulegając jój z całym szaleńszem nierozwagi, w obu razach i przykrą i bolesną odebrał naukę.

Scena ta tak rzadko trafiająca się między starszemi gospodarzami i jedynie wywołana tyle drażliwą sprawą, jeżeli traicznie zakouczyła się dla Ziembę, niemniejszy wpływ wywarła i na Sierpnia, podwójnie udrażonego takiem poniewieraniem i lekceważeniem swojej familii, którą on wyżej kładł nad wszystkie w okolicy, a nawet i w całym kraju, nie wyłączając prawie i szlachty, i objawioną przeszkodą w utrzymaniu jednéj zawsze świetności nazwiska Sierpniów, i ghurowatém wtrąceniem się Ziembę w interes, który uważał jako wprost od siebie jedynie zależący. To wszystko, połączone z gniewem, jakiemu tak silnie dotąd jeszcze nie uległ nigdy w życiu, przy usposobieniu z natury prędkiem i porywczém, poruszając burzą całą moralną stronę, musiało równie oddziaływać na cały fizyczny organizm Sierpnia.

Gdy Janek wrócił do chałupy zastał Basię z płaczem dalej zajętą uprzątaniami dla spodziewanych gości, a Sierpnia z niespokojnością chodzącego po środku izby.

Aż przykro było spojrzeć na poczciwego, chociaż prędkiego starca, jak w jednéj chwili zmienił mu się tyle dawniej poważny i szlachetny wyraz twarzy. Oczy niby mgłą pokryte zdawały się nie widzieć, jakby słupem stały; twarz sina prawie nabrzękła, brwi zmarszczone, nad któremi czoło raz-po-raz nowemi pokrywało się zmarszczkami, włosy rozczochrane jasno wskazywały o wewnętrzném cierpieniu i walce, jaka się toczyła w sercu Wojciecha. Chodził w milczeniu, kiedyniekiedy sięgając ręką ku głowie, jakby tam cała

się boleść mieściła; czasem usiadł na ławie, znów się przeszedł, spojrzął przez okno i tak ciągle bez końca.

Janek z Basią z przerażeniem przyglądając się niespokojności ojca, którego nigdy takim nie widzieli, sami nie wiedzieli co robić, jak sobie radzić. Nareszcie Sierpień odbywszy kilkorazowy kurs po izbie, jakby znużony, usiadł na ławie przy łóżku i jedną ręką ująwszy się za głowę, a drugą wyciągając ku dzieciom, która mu zaraz bezsilnie opadła, zawołał nawpół niezrozumiałym głosem:

— Wody, wody!

Basia z Jankiem natychmiast poskoczyli ku cebrzykowi, lecz jakąż była ich rozpacz i przerażenie, gdy Sierpień zaledwie wymówił wyraz: wody, zachwiał się wtył i padł nieżywy na łóżko. Basia z krzykiem rozdzierającym serce rzuciła się ku umierającemu ojcu, Janek stanął jak wryty na środku izby, a Wojciech wszelkie okazywał znaki, że go atak apoplektyczny uderzył.

Gdy tak tylko krzyk Basi rozlega się nad umierającym Wojciechem, roztworzyły się drzwi do izby i wszedł pan Józef. Jeden rzut oka wszystko mu wyjaśnił, czémprędzej kazał przynieść byle jaką brzytwę, i przy pomocy Janka i Basi zlewającą ciągle ojcu głowę zimną wodą, zajął się puszczeniem krwi.

Tymczasem na krzyk Basi przybiegła jedna i druga sąsiadka, a zobaczywszy martwego Wojciecha, poczęły lamentować co tylko gardła starczyły:

— A mój mocny Boże! takiemu człowiekowi tak nagle umrzeć bez spowiedzi, bez *kommunii*. A Matko Boska!

Za jednymi przybiegły i drugie, a wkrótce cały okólnik, sieni i izba przepelnily się zbiegłym zewsząd ludowiną. Wszyscy wzdychali boleśnie, każdy nie mógł odżalować zmarłego, a szczegóły śmierci powtarzane z ust do ust, wkrótce się rozbiegły po wsi całej, ma się rozumieć z tysiącznemi najdziwaczniejszymi dodatkami.

Na prośby pana Józefa wyparowana z izby cała chmara nieproszonych gości zaczęła się rozchodzić pomału do domów w rozprawie o wypadku, przystając po drogach, bloniu i pod chałupami.

Wiść szybko doszła i do Ziemby, który w pierwszej chwili tak dotykalmiej znikomości życia ludzkiego, ogromnie się przeraził, bo pomyślał sobie, że jego to samo kiedyś także czeka. Później jednak, gdy pierwsze wrażenie minęło, omało z radości w ręce nie klasnął, pomyślawszy sobie w duchu:—Ot, widoczna Opatrzność Pana Boga. Kiedy starego djabli wzięli, to z tym młokosem jakoś już łatwiej sobie poradzę; ino czy tylko to tak jest jak ludzie mówią:

bo ludzie lubią strasznie bajki roznosić.— Gdy jednak spotkawszy się ze znajomą nam już Frankową, która przejęta nieklamany zalem, opowiedziała mu, że Wojciecha trochę się wprawdzie dotrządziłi, ale ino patrzeć jak Bogu ducha odda; że Janek zaprzął do wozu z wasągiem, i co koń wyskoczy, pojechał do proboszcza, żeby go przygotował do wieczności: Ziomba nie mógł już wątpić o prawdziwości pogłoski, zawczasu namyślając się nad sposobem działania w imieniu swego wnuka, gdy Wojciecha mogiła przykryje. Jeszcze był w najlepszym zapale rozmowy, tak bowiem nie mógł się nasycić opisem wszystkich szczegółów nieszczęśliwego wypadku Sierpnia, gdy zobaczył z największym płaczem i lamentem wychodzącą z sieni Basię i z rozpaczą tarzającą się po ziemi:

— O! mój tatusiu, drogi, kochany! O! mój Boże jedyny!—wołała nieszczęśliwa Basia—O! cóż ja biedna sierota teraz se pocznę....

— Musiał Wojciech umrzeć —odezwiała się Frankowa—kiedy Basia tak wykrzykuje. O, jak to idą za nią kobiety.

I ciekawa kobieta nie pożegnawszy się nawet z Ziombą, dyrdakiem pobiegła ku chałupie Sierpnia. Ziomba jeszcze chwilkę postął z twarzą zwróconą ku miejscu, w którym przed godziną niespełna, tak poniżającego doznał obejścia; jakby nasycić nie mógł uszu płaczem rozpaczliwym Basi, a oczami chciał przeniknąć ściany, i napaść ich widokiem umierającego Sierpnia.

Po téj niemój scenie, okrywającój mu pomarszczoną i chytrą twarz, jakby tryumfem zwycięstwa nad zawistnym mu nieprzyjacielem, Ziomba potrząsając ręką w pięść ściśniętą ku chałupie Sierpnia, mówił sam do siebie przytłumionym głosem:

— A co, lepij ci teraz? a czyja teraz góra? Wyrzuciłeś Ziombę ze swoich śmieci i potem go wywlekali jak psa na drogę; teraz Ziomba was wyrzuci, i jak raz wywlecze, to w ludzkiej pamięci ani Sierpień nie postanie już w gadce, ino wszystko znaczyć będzie Ziomba i zawdy Ziomba i juści. A ty zgnijesz, w ziemię się obrócisz, boś o Bogu nie pamiętał, boś zabaczyć chciał, że mój wnuk Jaś, to i twoim jest wnukiem; boś mnie obnosił między ludźmi, zem oszukiwaniem, że duże biore prowizyje, zem chytry, i Bóg już wie nie co. Ale Bóg nie chce, żeby kto bez niewinności cierpiał, i jakeś se już nadto dziś ze mną pozwolił, to i Panu Bogu się naprzykrzyło, i ot! zaraz karę zesłał.

W mowie téj pomieszanej z Opatrznością Boską własnych samolubnych widoków i srogiej zemsty, Ziomba przewidując wszystkie

następstwa z tak nagłej śmierci Sierpnia, doszedł do swoich gospodarskich zabudowań.

Mały wnuczek Jaś bawił się z dużym psem na podwórzu. Dziadek przechodząc koło niego, rzucił okiem dumy na tę przyszłą latorośl odrodzić się mającego Ziembów nazwiska, a poniżenia hardych Sierpniów, i usiadłszy na ławie przed domem, zdawał się z zachwyceniem przyglądać niewinnym igraszkom dzieciны.

Chłopaczyna wiele podobny do Basi, ciągnął psa za uszy: to siadał na niego jak na konia i poganiał małym batożkiem, to mu niby wędzidła zakładał w pysk, a psisko choć niekiedy mruknął, z największą jednak cierpliwością poddawał się nie nader mu przyjemnej zabawie. Nareszcie znudzony wyrwał się spod chłopaczka, który jakby na ukaranie zbuntowanego czworonoga, w biegu poczęstował go uderzeniem z bicia słabiej swęj ręki.

— Dobrze robisz Jasiu — odezwał się Ziembra z radością do chłopca, z frasunkiem pogładającego za uciekającym psem — dobrze robisz, że chociaż mały, a nie dasz grać sobie na nosie; chodź tu do mnie, mój wnuku, mój mały i kochany Ziembo; wszak prawda żeś ty Ziembra? — zapytał stary sadzając wnuka na kolana.

— A juści że Ziembra — odpowiedział chłopaczek.

— A czy ty wiesz co to Ziembra znaczy? — mówił stary dalej z prawdziwem zajęciem przypatrując się ładnej buzi wnuka — to nie Sierpie, nie Federaki, ani Wypłosy; oni co mają, to z dawien dawna od ojców i dziadów, a twój dziaduś urodził się biédny, i od ojców w jednej prawie wyszedł koszuli, a dzisiaj Bóg mu w pracy tak pobłogosławił, że majątkiem wszystkich zakasuje. Widzisz, twój dziaduś jest teraz najpiérwszy we wsi, bo tamtego (to miało znaczyć Sierpnia) już Bóg za grzechy ukarał; więc i ty po mnie będziesz najpiérwszy, a po tobie twoje dzieci, wnuki i tak het! a ja zawdy będę pracował, zabiegał, to połowę tych *szpitalników* głupich wygnawa ze wsi.....

— A po co dziadusiu? — zapytało naiwnie dziecko — przeciećta oni nic nam nie krzywi.

— Krzywi moje dziecko, bo zawdy na nas złém patrzą okiem; zawdy im się zdaje, że Ziembra gorszy od nich. Ho! ho! ino się dostaniem do Sierpniów śmieciska, to wszystko zaraz będzie inaczej, to do starego Ziemby i szlachta będzie zaglądać, i proboszcz, i pan Józef.....

— Czy i ten mały Władys, co to był na weselu Janka?

— A jakże, mój kochany wnuku, i Władys i każdy kogo tylko będę miał w pomyśleniu: bo widzisz, jak na nas teraz ludzie niewiele zważają, tak potem dopiero będą szanować, i jak teraz wszystko ino Sierpień i Sierpień, tak potem wszystko Ziembowie będą znaczyć.

— A to dobrze będzie dziadusiu.

— O! dobrze, zobaczysz. Sprawię ci taką samą czapkę jak tamtego modrą, bo mnie tam staremu nie uchodzi tak się przystrajać, i będziesz taki Ziemba, żeta do ciebie żaden Sierpień ani się umywać będzie. Patrzaj, o, tak będziesz wyglądał. — Przy tych słowach, stary włożył własną czapkę rogatywkę granatową na głowę malca.

— A to dobrze, a to ładno mi będzie — mówiła dziecina z zadowoleniem, poprawiając nowy przystroj głowy — ale kajże się podzieją wtedy tamten dziaduś, Sierpień?

— O! tamtego moje dziecko już nie ma, już....

— A cóż im się takiego zrobiło? — z przerażeniem zapytał Jaś.

— Co zrobiło? a umarł, moje dziecko — odpowiedział z zadowoleniem Ziemba, w zapomnieniu sądząc, że każdy tak uważa nagłą śmierć szanowanego przez wszystkich starca.

— Jako? dziaduś umarł? — zapytał z boleścią chłopczyk zeskakując równemi nogami z kolan dziadka — a i cóż im się zrobiło? przecież rano byłem u ciotki Jankowej i nic mi nie mówili.

— Tak, tak, umarł; ale to fracha moje dziecko, bo ty nie Sierpień, ino Ziemba, to.....

— A! mój dziaduś kochany — w bolesnym płaczu mówił chłopczek — a! mój jedyny dziaduś. O! mój dziadusiu, pozwólcie, ja pójdę do ciotki, ja jeszcze popatrzę się na dziadusia Sierpnia. Mój dziadusiu, mój złoty jedyny dziadusiu!

Ziemba niebardzo ucieszony objawionym żalem wnuka, w pierwszej chwili nie chciał pozwolić, ale namyśliwszy się, że za powrotem dzieciaka, chociaż cokolwiek będzie się mógł dowiedzieć o szczegółach tyle go obchodzących, zezwolił na oddalenie, polecając mu tylko jak najprędzy powrót. Dzieciak z płaczem ciągle wymawiając: — o mój dziaduś kochany! o mój jedyny dziaduś umarł; o! Boże, Boże! — pobiegł drogą ku zabudowaniom Sierpnia. Ziemba zaś popatrzawszy chwilę za biegnącym w płaczu wnuczkiem, odezwał się:

— Oj! głupi dzieciuchu, płakać, że kto umiera! A niech umiera; dlaczego *se* nie umiał na długi żywot zasłużyć u Pana Boga. Ale to przejdzie, bo co młode to głupie; jak dojdzie do lat, to nabierze takiego rozumu, co i mnie zakasuje; już ja w tém zawczasu go będę

uczył, jak ma się między ludźmi obracać, i będzie z niego Ziemba co się nikaj między ludźmi nie powstydzi. Ino żeby mi go Pan Bóg wychował, bo choć Boga chwalić zdrowia mu nie brakuje, aleta różne po ludziach chodzą przypadłości, a jakby mi go Pan Bóg miał zabrać..... och! — i w tém miejscu Ziemba cały aż się wzdrygnął, a obejrzawszy się wokoło wzrokiem ponurym, jakby w obłąkaniu, że aż dreszcz przejmował, mówił dalej znacznie znizonym głosem:— Jakbym go miał stracić, już niechbym lepiej wszystko postradał czegoś się dorobił, jak... miał doczekać takiego zmartwienia. Da Bóg niedzieli, zaraz dam na nabożeństwo do Opatrzności Boskiej na jego intencją; boćto mój majątek, to moje wszystko, to cała moja pociecha.—I przed izbą podumawszy jeszcze chwilę, wszedł później do chałupy.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

*Juliana Bartoszewicza.*

---

## b) ODDZIAŁ SYSTEMATÓW.

(Ciąg dalszy).

**Rogalskiego: Panowanie Jana III i Dzieje Krzyżaków.**

Pominiemy lat dwieście i przejdziemy do czasów króla Sobieskiego. Tutaj czeka na nas trzeci historyk (1).

Do opisu panowania Jana IIIgo mamy pełne garści materiałów, które jeszcze się mnożą pod ręką; więc obraz tego wieku i tych ludzi co za Sobieskiego znaczyli w Rplitej, może być i musi być dobrze i pięknie skreślony.

Gdzieindziej brak materiałów na przeszkodzi; tutaj dosyć schylić się, żeby je napotkać. To też historia Jana IIIgo nie może być tak bardzo domysłami zepsuta, jak powieść np. o czasach Krzywoustego, albo jakiego Leszka. Za Rplitej po-Zygmuntowskiej, już każdy szlachcic był świadkiem i sędzią tego, co się działo; kiedy za Pinstów, ten obowiązek pełnili tylko kronikarze i kanclerze, wydając dyplomaty książęce.

(1) Dzieje Jana III Sobieskiego, króla polskiego, W. Ks. L. przez Leona Rogalskiego. Warszawa. Nakład Gustawa Leona Glücksberga księgarza. Druk S. Strąbskiego, w 8ce, str. 535.

Na nieszczęście w dziele pana Rogalskiego nie znajdziem także obrazu, a to dla wcale odmiennych przyczyn, jak w Krajewskim albo w Gołębiowskim.

Stareto już i nawet dosyć znane imię w bibliografii polskiej: Rogalski wydał niezawodnie sam kilkadziesiąt dzieł i dziełek, bardzo rozmaitej treści. Dawniej nawet pisywał wiersze. Tłumaczył po największej części, teraz i oryginalne dzieła pisze, ale jeżeli kto z autorów naszych zasłużył na zarzut zbytcej pracowitości, to niezawodnie pan Rogalski. W jego rękach piśmiennictwo stało się prędzej jakimś zatrudnieniem mechaniczném jak pracą szlachetną, podnoszącą umysł i serce; niepodobna jednakże winić za to autora. Jeżeli mu czasu zbraknie na samodzielne własne badania, używa go przynajmniej z pożytkiem literatury, bo tłumaczy i przerabia dzieła czasami ważne, czasami mniej znaczące, ale zawsze jak dla nas niepróżne zajęcia, więc pożądane. Owszem, są nawet prace pana Rogalskiego w swoim rodzaju pierwsze w naszej literaturze, za które mu należy się szczerze wdzięczność: mówim o *Dziejach Krzyżaków*.

Dlatego, że Rogalski nie należy do literatów jako literatów jedynie, i charakterystykę jego skreślić trudno. Człowiek najlepiej się zawsze wydaje w oryginalnych badaniach: tam się dopiero pokazują jego zdolności i jego myśli kierunek. Ale Rogalski ma styl dosyć ożywiony, uczył się historyi pod mistrzem wielkim, a przynajmniej był podaniami jego szkoły; pracuje teraz za nowój już epoki, w czasie, w którym się wszystkie pojęcia o sztuce i dziejach zmieniły: pan Rogalski więc jest już postępem względem Krajewskiego i Gołębiowskiego. Rogalski rozumie sztukę dziejopisarstwa i wie jakie są wymagania epoki; nie ma tylko czasu sam tworzyć, a przerabia zwykle, i dodajmy do tego przerabia niezawsze wzór szczęśliwy, więc grzeszy, ale z dobrą wolą, czego nie mieli i Krajewski i Gołębiowski. Tamci starali się przynajmniej i sądzili, że chociaż w części odpowiedzi założeniu swojemu; co do Rogalskiego, wie on sam najlepiej, jakie są wady jego prac dziejowych. W każdym razie, lubo nieszczęry, o całe morze talentu wyższy jest od poprzedników swoich.

Tak i w dziejach Sobieskiego. Rogalski przerabiał dzieło sławne francuzkiego ministra, który, już można to seryo powiedzieć, pisał o Polsce tak, jak w bajce ślepy rozprawiał o kolorach. W innym miejscu wskazaliśmy już wady pana hr. Salvandy, i grubą jego nieznajomość stosunków naszych (1); powtarzać się tutaj nie

(1) Athenaeum Kraszewskiego 1850. Tom IIgi, w recenzji dziełka: *Dzieje panowania Michała Wiszniowieckiego* i t. d.



będziemy. Wszystkie wady dzieła pana Rogalskiego popłynęły prosto z historyi Salvandego; wszystkie jego zalety, jakie są w tój przeróbce polskiej, są własnością już naszego autora. Nam tylko to dziwno, czemu pan Rogalski za kanwę do swojej tkanki nie wybrał raczej *l'abbé Coyer*, jak Salvandego? Coyer znał lepiej Polskę jak pan minister. Coyer czerpał z listów Żółuskiego, sam badał i sam układał dzieło swoje; kiedy Salvandy kompilował francuzkich pisarzy o Polsce, jak np. Solignaca i psuł ich jeszcze, nie rozumiejąc ani praw, ani ducha narodu. Coyer podawał nam swoją pracę z pierwszej ręki, a Salvandy już z drugiej i trzeciej, więc wykoszlawiona do niepoznania.

Główną więc wadą, którąśmy widzieli w przerobieniu polskiém dzieła Salvandego, jest ten ogólnie ton pochwalny, z jakim się autor zawsze o Sobieskim odzywa. To wielki panegiryk z XVIIIgo wieku dla zwycięzcy zpod Wiednia, w którym nie ma i cienia wad bohatera. To nie historia. Jeżeli tak pojmował postać Jana IIIgo Salvandy, nie powinien był tak ją przedstawiać autor polski, bo nie mógł nie wiedzieć i o złej stronie wybranego przez siebie bohatera.

Francuz romansowy upiększał dzieje czułemi frazesami, a zwłaszcza pod niebiosą na każdym kroku wynosił piękność M. Kazimiery. Te uniesienia powinnyby zniknąć w przekładzie.

Nareszcie pan Salvandy bardzo wiele faktów opuszczał, i nie dziwim się temu wcale: zkądże miał je brać, a gdyby i miał, zkądże znowu zdolność potrzebna, żeby je dobrze wybrać? Tak np. powieść zaczyna być nieco ciekawszą, więcej ożywioną od czasów wstąpienia na tron Jana IIIgo; ale czémże jest powieść przed rokiem 1674?—zbiorem fraz wymownych i rozumowań, ale nie faktów. Pan Salvandy robi tylko jakieś napomknienia. Widzimy dopiero Sobieskiego w Paryżu, i ni ztąd ni zowąd wraca on z bratem już z Konstantynopola do Zamościa, gdzie się matka jego zamknęła, *niemiasta cnót spartańskich*. Nie wiemy jak się dostał z Paryża do Carogrodu. Dalej na elekcyi Jana Kazimiérza, młody Sobieski pojedynkuje się z Pacem. Za co? gdzie? z jakim Pacem? także nie wiemy. Bystro migają te pierwsze lata zawodów wojennych młodego kasztelanica krakowskiego: dopiero był rok 1651, a na drugiej stronnicy już rok 1653 i 1654, nawet 1660. Cały ten okres lat dziesięciu najmnie, auter zamknął w opisie kilkudziesięcio-wierszowym i zamknął całą powieść swoją znowu napomknieniem, że w *parę lat potem* został Sobieski chorążym wiel. koronnym.

Dzieła Jana IIIgo na tronie, to oczywiście dzieje Rplitéj, więc nie zbraknie do obrazu rysów; ale co właśnie zasługuje na większą uwagę, to dzieje Jana Sobieskiego chorążego wojsk koronnych, marszałka i hetmana. Salvandy nie wskazał na trudy młodego Jana za lat dziecinnych i nie pokazał jego zasług; jednakże on już za czasów ostatniego króla Wazy, ważną rolę odgrywał. Chorążym koronnym był tylko, a bił się na Ukrainie pod buławą Czarnieckiego i króla, już po wojnie szwedzkiej. I w czasie wojny szwedzkiej, czytelnik radby coś wiedział o bitwach młodego kasztelanica krakowskiego. Te właśnie jego dawne zasługi pokazałyby nam, co spowodowało króla, że mu pierwszy oddał stopień i dygnitarzem zrobił Rplitéj. Tamby miejsce było ukazać na serdeczne stosunki Sobieskiego z panną d'Arquien, boć to fakt, że się oni oboje jeszcze przed ślubem Zamojskiego (w roku 1657) kochali, czego jednak nie zna pan Salvandy, powtarzając fałszywą powieść o poznaniu się Jana już z wdową po wojewodzie sandomierskim. Tamby znalazło się miejsce na określenie charakteru Jana, namiętnego, zazdrosnego, ambitnego. Później już nawet, kiedy ten młody jeszcze chorąży koronny został hetmanem, jak niedbale wystawiony jego zawód wojskowy! Salvandy w ogólnych terminach rozповіда, że Sobieski był tu, był tam, a nie mówi nic co zrobił. Taki bój, który jak np. pod Podhajcami wslawił hetmana w Rplitéj, prawie pominiony. Widzimy wszędzie usilność autora, żeby nam przed oczy stawić bohatera; ale doprawdy nie wiemy, czemu Sobieski ma być tym bohaterem: i dlatego kiedy później w ręku jego widzimy buławę, doprawdy nie rozumiemy powodów, dlaczego bohater ma być hetmanem wojsk Rplitéj, dlaczego potrafi zwyciężać nieprzyjaciół ojczyzny? Odrazu zjawia się król na scenie, a gdzież był człowiek? gdzie młodzian? gdzie mąż dojrzały?

Stosunki hetmana z królem Michałem wystawione są nadzwyczaj stronniczo.

Pan Salvandy zrobił Sobieskiego wodzem, politykiem, literatem, artystą, wszystkiém czém chcecie. Nadał mu bardzo sielankowe przymioty. Ten namiętny hetman miał być najszczerszym obrońcą swobód szlacheckich i nigdy przeciw nim nie powstawał. Jeżeli walczył na stronie M. Ludwika przeciw Lubomirskiemu, to działał rozsądnie, jak mądry obywatel: dla téjże saméj potém przyczyny rzucał w łono Rplitéj zarzewie niezgody, kiedy synów swoich otaczał jakimś królewskim blaskiem, jakby się do niego porodzili. Ten hetman był najpopularniejszym człowiekiem Rplitéj: jego samo odezwanie się godziło massy, tłumilo walkę w łonie prawodawczego sej-

mu. Oskarżano go o spiski na Michała; ale Sobieski tylko stanął, uzbrojony w cnotę swoją, a sejm potwarców kuł w kajdany, i lud szalał z radości i wołał hetmanowi: „niech żyje!” Tyle razy te sceny powtórzone w panu Salvandym, że niejednenby uwierzył; chociaż gdyby się zastanowił chwilkę, zobaczyłby i to, że lud najmniejszego powodu nie miał się unosić, a przynajmniej zasług hetmańskich nie wskazał autor, i nie usprawiedliwił niczém téj popularności Sobieskiego. Ileto on razy przemawiał, ileto razy sejm, Rplita, szły za jego zdaniem w dziele pana Salvandego! Pytanie się rodzi, czy Jan IIIci stracił wymowę kiedy osiadł na tronie, bo za czasów jego królowania w Polsce, wszystko szło w Rplitęj na opak: nikt go nie słuchał, a Sobieski żadnego prawa nie przeprowadził, żadnego pomysłu swojego w czyn nie wcielił. Gdybyć użył on téj wymowy chociaż do najdroższej Marysienki swojej! Hetman mową wojsko do boju zachęcał i gromił bunty, wymową obronił się od zarzutu zbrodni stanu, wymową nabył popularności. Nie dziw téż: Sobieski ciągle czytał i czytał Moliere, Kornela, Paskala. Pan Salvandy widzi go ciągle z książką w ręku: w boju pod Chocimem, pod Wiedniem, pod Parkanami. Powiada, że król Jan IIIci wiele się do rozwoju literatury polskiej przyczynił (?). Jednocześnie bijąc się z bisurmanami, zajmował się malarstwem, filozofią i muzyką. Filozofia cześć słowo w ustach Polaka XVIIgo wieku, a muzyka i malarstwo! Mój Boże! co tutaj fraz wymownych, żeby w pięknym świetle wystawić bohatera! Z pilną ciekawością Sobieski zgłębiał doświadczenia i odkrycia społecznych, jakoto: Gassendego, Huygensa, Wallisa, Dekarta i t. d. Zajmował się téż roztrząsaniem sekt wylęgłych na łonie kościoła: Kwaków, Menonistów, Preadamitów i t. d. Musimy wierzyć tym wszystkim podaniom pana Salvandego, bo powtórzone są po kilka razy. Tylko nam zły duch szepcze,.... że to zabardzo idealny obraz, w którym nie ma wcale Polski XVIIgo wieku.

Autor francuzki nie wyłożył dziejów Polski za Sobieskiego, ale dzieje społecznej jemu polityki francuzkiej. Rplita o tyle wchodzi do jego objaśnień, o ile tego potrzeba do historyi intryg i wojen Ludwika XIV. Uroił sobie Salvandy, że wpływ tego *wielkiego* króla owładnął zupełnie naszym zakątkiem ziemi, że Sobieski był tylko prosto narzędziem Ludwika. Posuwa się nieraz do komicznego zapomnienia. Rozpowiada z najszczerzą wiarą w swoje przekonanie, że dziejów polskich za Sobieskiego zrozumieć niepodobna, bez obrazu intryg wersalskich (u Rogalskiego str. 117), i z dumą francuzką głosi, że Ludwik prawie *buntownika* w Sobieskim upatrywał

(u Rogalskiego str. 118). Uroił sobie dalej w Polsce jakieś stronnictwo francuzkie, ale to sercem i duszą zaprzędane Francyi, niewolnicze i drugie austryackie, które wyprowadza na scenę. Myślałby kto, że w samą rzecz cesarz i Ludwik XIV mieli w Polsce stronnictwo, które się nawet nazywało sprzymierzeńcem tego albo owego monarchy. Tymczasem jedni chcieli u nas wojny z Turcyą, drudzy jęj nie chcieli; podług tego wzrastała nadzieja Austryi albo Francyi w Rplitą; i sam przecie Salvandy widział, że Polska postępowała jak chciała, że nie odbierała rozkazów z Wiednia ani z Paryża. Prędzj było u nas stronnictwo dworu i przeciwdworskie, a i między temi bywały odcienia: jedni szli za popędem Maryi Kazimiéry, drudzy trzymali się króla, albo innych poddmuchów. Na to formowanie się stronnictw w narodzie wpływały więcej niechęci osobiste, jak wpływ obcy. A stworzyć Austryaków i Francuzów w Polsce, podnieść ich do znaczenia politycznego w historii, znaczy naprzód odbierać samowolność Rplitej, a potém fałszować dzieje.

Pan Salvandy do takiego jest stopnia Francuzem, że do obrazu panowania Sobieskiego płacze i edykt nanteński, i powieści o romansach w Wersalu, i anegdotkę o jakimś panu Brisacier, synu niby naturalnym Jana IIIgo. Nie rozumiemy dlaczego to wszystko, ale Salvandy rozumiał, bo Polskę za jakąś prowincyą pośrednią wielkiego króla (*grand roi*) uważał. Żywi się tóż pamiętnikami pana Choisy i gazetami francuzkiemi z czasów Ludwika XIVgo; ale nie ma wcale pojęcia o źródłach polskich. Listy Załuskiego zna tylko z nasłuchu: to tóż są rozdziały obejmujące okresy po lat 6 czasu (np. okres od roku 1676—1682), o których niczego dowiedzieć się prawie nie można. Czasem wzmianka robi się o sejmie, ale ten sejm trwa np. pięć miesięcy, i wszystkiego o nim dziesięć wyrazów. Za to anegdotki są, jak o walce studentów z żydami o kozubalec, ale za to opis wyprawy wiedeńskiej obszerny. Rok tóż 1683 zajmuje przeszło sto stronnice, kiedy całe życie Jana IIIgo od roku 1629 do 1696, mieści się tylko na stronicach 192. Do historii wyprawy wiedeńskiej miał Salvandy piękne źródło: listy króla do Marysienki, które sam na język francuzki tłumaczył. Dzięki tym listom, a raczj ogromnym z nich wypisom, nie ma tam w całym tym opisie rażących błędów historycznych; owszem, rozdział ten dosyć przyjemnie się czyta, i wygląda jak poemat o wyprawie wiedeńskiej, bo napisany z pewną uroczystością i rozrzewnieniem; ale co rzecz nadzwyczajna, nie ma w tym opisie scen czułych, rozumowań romansowych, których tyle po całej książce pana Salvandy.

• Jest jeszcze jedna dobra strona w dziele francuzkiem; zachował ją pan Rogalski w tłumaczeniu. Opis bezkrólewia po Janie IIIcim obszerny i dokładny, jest powieścią historyczną w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dramat tam na większą skalę rozwinięty i pelen życia. Już nie mówim o błędach historycznych, ale tam wykończony, prawdziwy i piękny obraz kilku chwil życia Rplitéj. Jak całe dzieło pana Salvandy nikczemne, tak opis bezkrólewia wybija się na czoło przedewszystkiemi miernościami literackiemi. Jest tam i znajomość prawa polskiego i charakteru narodu. Tylko to niestety, że koniec ten cały panowania króla Sobieskiego, pan Salvandy przepisał z Bizardiera, autora dzieła: *Histoire de la scission en Pologne dans 1696*. Nie mówimy, żeby Salvandy użytkował z Bizardiera, żeby go przytaczał w textcie i żywił się jego podaniami; ale on go żywcem wypisywał, słowo w słowo, bez najmniejszej zmiany, czasem tylko co wyrzucił i zmniejszył obraz. Byłoby bezwstydnie przepisać całego autora, a nie przyznać się wcale do kradzieży. Salvandy jednak liczył na to, że we Francyi nie poznają się na tém, bo mało znają Polskę i Źródła jój dziejów; i pewno do dziś dnia Francuzi się na tém nie poznali, a dzieło Salvandego położyli w rzędzie znakomitych utworów literackich. Nie wiedzą o ile w tém wszystkiem było złej wiary, ile błędów, pretensyj, niedołęztwa w całej pracy. Dla Francuzów dosyć wiedzieć o Sobieskim, że bił się pod Chocimem i Żórawnem, że chciał być w synach udziałnym księżciem w Prusach i w Multanach; ale dla Polaków te wiadomości nie wystarczą i tłumaczyć ich nie było warto. Z całego dzieła zostanie tylko dobry obraz bezkrólewia w roku 1696—7; ale i ten obraz wychodzi za ramy historii Sobieskiego. Jan IIIci skończył życie, a co się po nim działo, niesłusznie nosi tytuł jego panowania, w Rogalskim. Jestto epilog do żywota wielkiego wojownika, to prawda, bo jestto historia upadku jego rodziny, jego dzieci; ale to zawsze już nie dzieje czasów Jana IIIgo, które w panu Salvandy nie znalazły historyka.

Nie możemy i tego zamilczć, że w bardzo wielu miejscach, Rogalski niechcący pogmatwał wypadki i ludzi, i to do takiego stopnia, że zsylać się na jego dzieło w żaden sposób nie można, jeżeli dba się o pewność historyczną. Takto piszą się dzieje, kiedy idzie o samę tylko powierzchowność. Autor polski powinien był wady cudzego opowiadania sprostować, błędy radykalne usunąć i najmniej dwa razy tyle oryginalnego textu przysporzyć. Nie zrobił tego, i potworność dzieła pana Salvandy razi oczy. Miał tyle materyałów pod ręką

i miał klucz do nich, na którym autorowi francuzkiemu zbywało; w całym ciągu pracy nie widać jednak, żeby pan Rogalski jakich innych źródeł używał. Cytuje tylko z początku rękopism ciekawy króla Jana o zaszczytach rodziny Sobieskich, drukowany przed kilką laty w Athenaeum Kraszewskiego (z roku 1842), a potem broszurę, czyli raczej instrukcyę, którą dał kasztelan krakowski panu Orchowskiemu za granicę. I jedno i drugie łatwo wpadło pod rękę tłumaczowi, bo wydane zostało tak niedawno. Gdyby autor polski przejrzał choć cokolwiek pisma o czasach Jana IIIgo, byłby rozumowanie zastąpił faktami. Gdyby wczytał się w te pomniki i zastanawiał się sam nad ludźmi; gdyby ocenił trafniej charakter i zasługi Sobieskiego, jak to mógł zrobić Salvandy: byłby usunął z pisma swojego wszystko, co tylko trąciło tonem pochwalnym i panegirycznym. Nawet wyboru nie potrzebował robić co do źródeł. Mielibyśmy książkę więcej wartującą, nawet oryginalną w części, ale nie przerozbieńnię ladażakie nic wartego oryginału.

Błąd swój wynagrodził pan Rogalski choć w części przez dodatki, któremi uzupełnił swoje dzieło. Dodatki te w samej rzeczy zbogaciły skarbiec historyczny, ale i one należą zupełnie do oddziału materyałów. Panu Rogalskiemu liczy się tylko wdzięczność, że dał je poznać z nieznanych rękopisów.

*Dyaryusz prawdziwy, bo bez imienia autora*, wszystkich rzeczy i dziejów, które w Polsce się działy od śmierci Jana IIIgo króla polskiego aż do obrania Augusta IIgo jest osobną broszurą, zawierającą najmniej ze sześć arkuszy druku (od stronnicy 412 do 516). Zawiera dzień za dniem, ciekawe wiadomości o epoce, którą Salvandy przepisał z Bizardiera, i jest doskonałym uzupełnieniem ostatnich rozdziałów książki pana Rogalskiego. Ciągnie się aż do dnia 5 lipca 1697, a więc przez rok cały. Nie ma tam historycznego talentu, jak w każdym dyaryuszu, który oderwane zawiera szczegóły, ale znać po wszystkiém, że ktoś pisał te szczegóły blizki głównego teatru i rozważny bardzo spostrzegacz. Nie zna on tajemnic stanu, nie zna intryg panów, ale notuje wszystko co widzi i słyszy. Wiele dokumentów urzędowych, uniwersałów, ogłoszeń na piśmie, jak np. obietnice starających się stron, spisuje on żywcem do swojego dyaryusza. Pisze wciąż językiem makaronicznym.

Gdyby pan Rogalski wydał ten jedynie dyaryusz, jużby zasłużył się dobrze historii swojego kraju. W istocie, tyleśmy się naczytali rozmaitych dyaryuszów, tu i owdzie drukowanych, ale żaden z nich nie objaśnił nam tyle tajemnic swojej epoki. Wielka szkoda, że

dyaryusz ten nie wyszedł w oddzielnych odbitkach; przyłączony do dzieła o panowaniu króla Sobieskiego, ukrył się jakby za osłoną i stał się droższym, bo dla niego trzeba razem szukać i nabywać do bibliotek przerobione dzieło p. Salvandy.

Za tym dyaryuszem idą inne dodatki i uzupełnienia, jak opis bitwy pod Montwami, skreślony przez samego Sobieskiego w liście do żony, jeden list jego romansowy do Marysienki, kiedy jeszcze żoną hetmańską nie była, wypisy z Oconnora, z Collektanei Sękowskiego i t. d. Wszystko to mniej ważne.

Kończy znowu dzieło: *Drugi dyaryusz negocyacyj Jaśnie Wielmożnych, Wielmożnych Ichmościów Panów Posłów od Rplitej do Króla Jegomości, obranego Fryderyka Augusta, cum denunciatione wyprawionych z Warszawy 15 julii roku 1697*, który jest jakby dalszym ciągiem pierwszego dyaryusza, i uniwersał króla Augusta z dnia 11 października 1697 przeciw Contemu: rzeczy bardzo ciekawe.

Kiedy się wyda historia bezkrólewia po Janie IIIcim napisana przez Bizardiera w tłumaczeniu polskiem, całe dzieło pana Rogalskiego, li tylko dla tych dwóch dyaryuszów, któreśmy przytoczyli i uniwersału, poszukiwane będzie przez historyków (1).

\* \* \*

Jak dzieje króla Sobieskiego są tylko przerobieniem książki p. ministra Salvandy, tak i *Dzieje Krzyżaków*, które także wydał Leon Rogalski są przerobieniem dzieła niemieckiego de Fahla. Więc jak w tamtém miejscu nie naszych rodzinnych historycznych źródeł, tak i w tém dziele ich nie znać. P. Rogalski nie bada samodzielnie, a widocznie za cel życia wziął sobie, rzucić w łono społeczeństwa naszego wiele różnostronnych wiadomości. Te wiadomości ma dopiero przetrwać w sobie nauka polska, żeby wyciągnąć z nich pożywne soki dla wyrozumienia przeszłości (2).

*Dzieje Krzyżaków* odniesione do ogółu historyi narodowej, jako dzieje prowincyi jednej i jednego stanu mieszkańców (bo Krzyżacy na Pomorzu byli tak stanem oddzielnym, jak gdzieindziej szlachta albo mieszczaństwo), należałyby właściwie do monografij polskich. Ale z drugiej strony zważywszy, że tam, w tych dziejach tkwi histo-

(1) Tłumaczenie to wychodzi w Wilnie, z objaśnieniami i przypisaniami, nakładem znanój chlubnie z pięknych przedsięwzięć literackich księgarni Rubena Rafałowicza. (2) *Dzieje Krzyżaków* oraz ich stosunki z Polską, Litwą i Prusami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych, czerpane z najlepszych źródeł i ozdobione 12 rycinami. Warszawa. 1846. Nakład i druk Orgelbranda. 2 tomy.

rya powstania i rozwoju, siły, a wreszcie i upadku potężnego wpływu obcego narodu; zważywszy, że Krzyżacy stanowili prawdziwe państwo: obraz ich wzrostu i śmierci stanowić będzie piękny i żywy systemat dziejowy. Dlatego i o tém dziele p. Rogalskiego mówim pod *systematami*.

Gdyby ta praca była oryginalną, zasługiwałaby na szczegółowy rozbiór i studia; ale tak, jak jest, podaje nam tylko zbiór faktów często w niejasném, a często w nieprawdziwém świetle wydanych. Czuł to autor i dlatego w przypiskach pierwszego tomu obiecywał oddzielne dodatki, w których rozprawiał o znaczeniu Prus dawnych podług Szulca i o zakonie braci Dobrzyńskich: dał téż jeszcze rys chronologiczny historii litewskiej i wiadomość o kronice Piotra Duisburga. Byłyto narodowe, polskie wiadomości, czerpane ze źródeł naszych. Samo z siebie wynika, że podane w nich zdarzenia i wnioski były wprost przeciwne wywodom i wnioskom tekstu dzieła oryginalnego. De Fahl sądził o ludziach i wypadkach na Pomorzu ze swojego niemieckiego stanowiska; nie miał wcale współczucia dla narodowych polskich żywiołów, które tak długo opierały się Krzyżakom. De Fahl gotów był nawet zaprzeczyć narodowości ziemi, i widzieć w niej wszystko gotyckie, jako pozostałość dawnych plemion niemieckich. De Fahl nie zważył siły krajowców, a na Krzyżaków patrzył jak na lud błogostawiony, który wśród *barbarzyńskie* słowiańskie plemiona niósł ziarno cywilizacji. Ztąd jednostronny jest i nie może być inaczej. Autora polskiego było zadaniem wystawić tę walkę dwóch wraźych pierwiastków na Pomorzu, ze strony słowiańskiej narodowej. Autor polski winien był dzieje naszych Krzyżaków poprzedzić wiadomością o ziemi, o jój historii. Musiał badać życie jój ubiegłe przedhistoryczne, wskazywać na stosunki, które ją z innymi pokoleniami lechickimi łączyły. Musiał wystawić nam obraz wpływu *polskich* książąt i królów na te strony, wskazać jak wojował okolice około ujścia Wisły i Prusaków Bolesław W., który w Ossie bił słupy żelazne. Autor polski powinien był rozwinąć historią rozszerzania się chrześcijaństwa na Pomorzu i nakreślić uroczy obraz św. apostoła Wojciecha. Dalej musiałby nam opisać powierzchowność téj ziemi i jój wewnętrzne życie, wskazać na ślady jój cywilizacji, które pozostały, odkreślić jój widok od widoku innych ziem leskich. Tego jednakże nie ma nic w Rogalskim, bo nie ma nic w de Fahlu.

Nagle zamiast tego uczonego ustępu, któryby nas wiele oświecił, a który naturalnie wieleby mozołu kosztował autora, po ustępie o wojnach krzyżowych, czytamy zyciorysy pierwszych mistrzów za-



konu, naprzód malutkie, potem coraz rozciąglejsze od czasu, jak stale usadowili się na Pomorzu. Autor polski mówi, że Krzyżaków wezwał do Polski Konrad książę mazowiecki, któremu nie udało się wcale zakon braci Dobrzyńskich. Tak objaśnić wielki fakt historyczny, to zbyt mało do niego przywiązywać wagi. Taki ustęp dla Niemca dobry, który historią Pomorza gdańskiego zaczyna od czasu, kiedy ujrzał tam braci swoich krzyżowych, ale niedobry dla Polaka, który chce mieć całą historią Pomorza. Można odpowiedzieć na to, że autor polski chciał dać li tylko dzieje Krzyżaków. Dobrze to jest, ale żadna historia tak odrazu się nie zaczyna: wczoraj nic jeszcze nie było, a dzisiaj jest i naród i jego dzieje.

Ustęp o wojnach krzyżowych, który zaczyna się od Grzegorza Hildebranda i soboru w Clermont, wcale tutaj nie na miejscu. Co te rzeczy mają za związek z dziejami naszymi? Gdyby autor polski wydał tę historią krucyat w oddzielnój broszurce, nie zasłużyłby na te wyrzuty, które mu robimy. Rzecz to zawsze ciekawa a tak mało znana u nas, te dzieje wypraw krzyżowych! Klassyczne dzieło Michauda upowszechniłoby się u nas chociaż w skróceniu (bo cały ten ustęp do Dziejów Krzyżaków jest tylko skróceniem Michauda); ale tutaj wolelibyśmy inne szczegóły, nas więcej obchodzące, nad te powieści o Saladynach, Barbarossach i Ludwikach. Cały ten ustęp dlatego napisany i gwałtem przyczepiony do dzieła, żeby nauczyć nas, kiedy, jak i dlaczego powstał w Palestynie zakon krzyżowy. Ale ta wiadomość tak mało ma związku z ziemią pomorską i z historią jój, którą nam tytuł obiecuje, że mogłaby być rozwiniętą na dwóch, trzech stronicach, a ogólny interes nieby na tém nie stracił.

Ale pominąwszy to główne opuszczenie, trudno przebaczyć p. Rogalskiemu drugich. Pojmujemy, że trudną rzeczą mu było zrobić wstęp narodowy do dziejów Pomorza: na to trzeba było badaczem być, a p. Rogalski przerabia tylko i tłumaczy. Pojmujemy, że obraz cywilizacji Pomorza, przed pokazaniem się na ponadwiślu Krzyżaków, wymagał wyższych, twórczych zdolności; ale kiedy już Krzyżacy usadowili się, kiedy zaczęli walkę z narodowością słowiańską podbijanej ziemi, walkę, która trzy wieki przetrwała i srożyła się z nieudaną wściekłością ze stron obydwóch: nie pojmujemy dlaczego autor szedł tak ślepo za de Fahlem i nie przerabiał go wcale. Dziwnie to uderza: na Pomorzu walczą przeciw Niemcom naczelnicy słowiańskiego ludu, a mają niemieckie nazwiska; walki tę odbywają się pod osadami, nad jeziorami i rzekami, które mają niemieckie na-

zwiska. Zdaje się, że to Niemcy bili się z Niemcami, że tam na Pomorzu srożyła się druga jakaś wojna domowa. Tylko nazwiska takich wodzów i książąt, jak Świętopełk i Mestwin brzmią po polsku, a reszta wszystko nielawiańskie. Autor wiedział, że źle robi i chciał się zasłaniać powagą Szulca i źródłami polskimi; ale kiedy uwięził to swoje przekonanie w dodatkach, o których mówiliśmy, dopuścił się ogromnego błędu. Tekst poprawiał w dodatkach: to się znaczy, że w tekście wszystko złe, a w oddzielnych rozprawach pomieszczonych w końcu drugiego tomu, wszystko dobre. Tak dwa dał nam dzieła, dwie historye: jedną prawdziwą, a drugą nieprawdziwą. Wystawił nam posąg dwulicowy Janusa.

A jednakże tutaj, jak mało potrzeba było pracy, jak mało zastanowienia, żeby dzieło wielkiej zasługi dla literatury ojezystej zbudować! Sama książka Szulca: O znaczeniu Prus dawnych, którą ceni tak autor, nastęrczyłaby mu wiele drogich wskazówek. Jakkolwiek wiele tam jednostronności, jednostronności wprost przeciwniej tej, jaka znajduje się w Voigcie, jaka jest w de Fahlu, bo polskiej; ale powtarzamy, wiele tam wskazówek. Już z tego samego, co Szulc tam powiedział, wzięwszy z ostrożnością należyta jego wywody, dałby się utworzyć mały obrazek cywilizacji Pomorza przedchrześcijańskiej i przedkrzyżackiej. Jednostronność taka pochwalna w uczuciu godności narodowej, ale nie w historyi, bo zaciemnia podania. Ale pominawszy i Szulca, w ostatnich czasach tyle pokazało się dyplomatarjuszów, tyle pomników, które rozświetlają tę pomorską przeszłość, że doprawdy, grzechem nie znać ich; tém bardziej, kiedy się o Krzyżakach pisze. Dzieje Kujaw, kraju tak blisko związanego z Pomorzem, tak z nowej strony przedstawione są w Dyplomatarjuszu Ryszczewskiego; Stronczyński we Wzórach pism dawnych wydrukował kilka donacyjnych przywilejów Konrada maz. z r. 1228—30: jeden z nich osadzający Krzyżaków w ziemi chełmińskiej, znany był dotąd w treści z dzieła Naruszewicza; wydał też i wiele innych dyplomatów, które rozwidniają stosunki Krzyżaków z Polską: że potrzeba było ręką tylko schylić się do ziemi, żeby znaleźć to, czego się szukało nadaremnie. I dawniejsi autorowie, jak Łojko i Naruszewicz, dostarczyliby ciekawego materiału; ale w każdym razie nic nad dyplomatarjusze, któremi dzisiaj tak obficie z bogaciła się nauka.

W Dziejach Krzyżaków nie widać więc nic polskiego życia. To też kiedy nadchodzi epoka zawiązania się towarzystwa jaszczurki, kiedy wybiła godzina wyjarzmienia się ziemi zpod Niemców, kiedy Pomorzanie poddali się Polsce i królowi Kazimierzowi: z dzieła p. Ro-

galskiego sądząc, zdaje się, że to ucisk niemiecki popchnął ich do tego gwałtownego kroku. W poddaniu się Pomorza widzimy tylko akt czystego egoizmu: źle nam było, nie możemy być samodzielni, postaramy się zatem, żeby nam pod inną opieką było lepiej. A jednak, w tym akcie hołdu Pomorza było coś i rodowego uczucia. Posłowie ziem tamtych w Piotrkowie i w Krakowie przemawiali do brodatych senatorów Jagiellońskich po polsku; Słowianie pomorscy przypomnieli sobie, że zdrada krzyżacka rozerwała na kawałki pierwotną ich ojczyznę. Nasze *Dzieje Krzyżaków* naturalnie tych tajemnic wcale nam nie objaśnia, bo ich nie ma także w de Fahlu.

Jaka to nieoceniona szkoda jednakże, że w tych krwawych, stanowczych zapasach nie widzimy nic pierwiastku rodowego? Przyjmujemy na dobrą wiarę to, co Niemcy o nas pozmyślali. Mamy np. obraz, że już dawniejsze wypadki pominiem, sporów Mikołaja Tungena z królem Kazimierzem Jagiellończykiem; widzimy wdzierstwo Wincentego Kielbasy i Jędrzeja Oporowskiego, ale to już wpływ polski, więc postronny; a nam o to głównie chodzi, żeby ocenić pobudki tego np. oporu Tungena, żeby dowiedzieć się, jakie społeczenie znajdował on w zniemczalnej ludności warmińskiej. Po jego śmierci tylko napomknięty wypadek, że król Kazimierz chciał syna swojego Fryderyka (potém kardynała) osadzić na biskupstwie warmińskim, tak, żeby Heilsberg trzymał razem z Krakowem; ale Łukasz Wejselrod się utrzymał. Nowsze badania p. Adryana Krzyżanowskiego wykazały, że ród Wejselrodów był słowiański, czysto polski, pochodzący od dawnych rodzin przedkrzyżackiego Pomorza, że w tym rodzie nic a nic krwi niemieckiej nie było. Jeżeli to prawda, to lepiej przez to samo odkreślają się stosunki Łukasza do Krzyżaków: wiemy dlaczego był on wrogiem zakonu, wiemy dlaczego trzymał z Polską. Wejselrod interesuje nas i z tego względu, że był rodzonym wujem Kopernika. Sam astronom odegrywał rolę wielką na Pomorzu i stał jakby na czele stronnictwa polskiego, odcinając się zwawo Krzyżakom. Wejselrod i Kopernik nie byli więc Niemcy, którzy przeciw innym Niemcom broń podnieśli w obronie praw swoich: byli to razem i Polacy, którzy mieli społeczenie dla wielkiej ojczyzny ukoronowanej w Krakowie. Tej strony walki nie ma w Rogalskim. Nawet nie ma imienia Kopernika. Kiedy po śmierci biskupa Luzyńskiego (ten i nazwisko nawet ma polskie), wójt hejlsbergski obawiając się niemieckich prałatów wypędził ich z miasta, które zajął na imię króla polskiego, mimowolnie myśl się rodzi, że to także musiał być jaki Pomorzanie, a Rogalski podaje nam imię jego niemiec-

kie. Były na Pomorzu rodziny polskie: Bazeńskich, Mortęskich, Konopackich, Czemów, Kostków, Wejherów, których Niemcy pochrzcili po swojemu nazywając: Baysen, Mortangen, Konopat, Zehmen, Sternberg i t. d. Tak wielu dawnych biskupów pomorskich, wielu obywateli występujących przeciw zakonowi w XIVtym do XVIgo wieku Niemców z nazwiska, Polakami być mogło. Trzeba to było przewidzieć i dzieło niemieckie poprawić. Kosztowałyoby to zachodów, ale jakaż inna byłaby wartość pracy historycznej! Dla tego, co najmniej, musiałby autor polski odbyć podróż na Pomorze, i przejrzeć chociażby tylko archiwum kapituły warmińskiej, które zebrał, uporządkował, i w osobne tomy oprawił Krasicki, złożywszy tym sposobem nowe *acta Tomicianu*, niemniej jak tamte ciekawe.

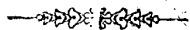
Od czasu zupełnego owładnięcia Pomorzem przez Niemców, zaczęła się reakcja niezmierna przeciw słowiańskiemu żywiołowi. Wiele miast i osad w tamtych stronach, winno swój początek Niemcom, bo z Westfalii i znad Renu, ciągnęli tutaj nad Wisłę w zbrojnych massach rycerze i osadnicy. Ludność ta napływowa była tak niezmierna, że pomimo trzechsetletniej unii krajów tych z Polską, wyraźne ślady niemczyzny pozostały na Pomorzu. Ale przed Krzyżakami i cienia Niemców na ponadwiślu gdańskim nie było. Historyk zatém Pomorza naszego, powinienby wystawić nam obraz postępnego wynarodowiania się ziemi: nie krajowcy przemieniali się na Niemców, ale rząd wprowadzał nowe zasady, jakby nową krew wlewał do żył narodowych. Zniemczano nazwiska ludzi i osad, a myśmy tych ludzi mieli za Niemców, a osady nasze stare uważano za nowe niemieckie. Rys tego odstepu od jedności z Polską, przez lat przeszło sto, aż do czasów Kazimiérza W., objaśniłby nam i ten fakt dziwny o życiu Pomorza, że w Rzplitej polskiej tworzył oddzielną małą Rzplitą przez przeciąg trzech wieków. Byłato myśl, byłato jakaś dążność do samoistności plemiennój; jeżeli więc Niemcy nie złego nie zrobili na Pomorzu, to już przynajmniej za to nie możemy im być wdzięczni, że nas rozdzielili w uczuciu narodowém, że z jednego ludu, dwa zrobili. Prawda, że Pomorze stanowiło coś odrębnego zawsze od Polski, że Bolesław W. chrzcił je orężem, że tameczne ludności zawsze się na nas z Prusakami łączyły i napastowały granice mazurskie; ale historia Krzyżaków, winna nam była i te szczególności żywota tych ludów na jasnie wystawić.

Mówiliśmy o tém, czego książce pana Rogalskiego nie dostaje, żeby nas zupełnie zaspokoila. Powiemy teraz o zaletach tych Dziejów krzyżackich; ale tym razem wszystko, co tylko w nich znajdziemy dobrego, odniesiemy do oryginału, nie do tłumaczenia. Autor polski przerabiał de Fahla po swojemu, to jest, to w nim jedynie zmienił i rozwinął albo opuścił, co mógł, o czém miał pewne wiadomości pod ręką, i to w chwili, w której pisał.

Dzieje Krzyżaków przedstawiają obraz chronologiczny wypadków. Autor zamknął wszystko w życiorysach pojedynczych mistrzów, ale życiorysy te wypełnił, zrobił je wcale zajmującemi. W pierwszych chwilach zakonu na ziemi naszej, zdaje się, że jesteśmy świadkami boju, jaki dzisiaj Francuzi prowadzą w Algierji. Co rok tam nowe wyprawy, nowe zdobycze, nowe osady, nowe powstania, które uśmierzać potrzeba. To jakaś dorywcza, błędna walka, jacyś błędni rycerze w pancerzach i przyłbicach. Nie widać wprawdzie z opisu autora marsowych postaci: Pomorzanie po ich odwadze, Krzyżaków nie poznasz po chytrności, ale bo nie jestto i artystyczny obraz, to nie malowidło. Ale za to z drobiazgową punktualnością autor wyliczy ci wszystkie pożary, wszystkie budowane i niszczone twierdze, wszystkie przymusowe nawrócenia, wszystkie zdrady krzyżackie, morderstwa zakonu, nie widząc, że to co kręśli, jest zbyt okropne. Ale nie dziw: na Pomorzu była walka ras i plemion; jedno mając siłę i Europę za sobą, chciało zgnieść drugie, które tylko ufało swojemu męż-twu i dobrej sprawie, a gdzieniegdzie i opiece bogów, którzy zamilkli. Te wielkie wojny wytepienia odbywały się wszędzie jednakim sposobem, zawsze na wielką skalę, dawniej jak i dzisiaj; odbywać się będą i potem, po nas, jeżeli takie wojny będą możliwe. Potem, kiedy się rozbujało na Pomorzu życie, kiedy zgębiona ziemia poznała się na własnej sile i widziała, że ślepo uległa; widzimy w dziejach Krzyżaków ciekawą historją wojen i związków z Polską, ciekawsze rysy towarzystw wyswobodzenia, najciekawsze dzieje upadku moralnego zakonu. Kiedy zakon umierał, nierząd okropny panował w całych Prusiech: miasta walczyły z rycerzami, rycerze z w. mistrzem, mistrz z Polską, kapituły z biskupami, biskupi z zakonem, Niemcy z ludnością miejscową. Wpółród tak ożywionego obrazu, rysują się wybitnie postaci historyczne: biskupi warmińscy i chełmińscy, należą całkiem do dziejów Polski; pomezkańscy i sambieńscy walczą to z Rzplita, to z władzą swoją—zakonem.

Dat massa, wypadków massa, a wszystkie są zupełną nowością dla literatury historycznej polskiej. Jużcić nie mogę porównać historii de Fahla z dziejami Voigta, opowiedzianemi na wielką skalę: tam obraz kolosalniejszy, lubo więcej jeszcze niemieckością i stronnością przyćmiony. Ale w każdym razie, pan Rogalski *Dziejami Krzyżaków* wypełnił próżnię oddawna już panującą w naszej historii, próżnię, która dzisiaj bardziej jak kiedykolwiek poczuwać się daje. Pokolenie Stanisławowskich literatów i poprzednie i następne po niém, nie zwracało w te strony uwagi. Jeżeli pracował kto dla Prus, to jaki Niemiec spolszczony, przywiązany do pamiątek ziemi, i to zupełnie prywatnie, bez odgłosu, bez obudzenia współczucia nawet w szlachcie pomorskiej, która miała swoje sejmiki, generały i senat, a której wiele praw sięgało jeszcze czasów krzyżackich. Byłto jaki Lennich, Lauterbach, Hartknoch. A przecież i w naszej literaturze była chwila, że Krzyżakami się zajmowano: Strykowski znał ich dobrze, Murinius napisał kronikę Pomorza i mistrzów przedrukowaną w Bibliotece Starożytnej Wojcieckiego, Hylzen potomek inflanckich rycerzy pisał o mistrzach Mieczowych, więcej jak o ziemi, która łotewską była.

Dzieło pana Rogalskiego wystawia nam historią, że tak się wyrazim, wojenną, dyplomatyczną Pomorza. Pod tym względem, zaspokaja tymczasowo wszystkie oczekiwania. Jednakże na tém nie koniec: myśmy powinni mieć jeszcze Voigta po polsku, ale Voigta przejrzanego, poprawionego podług źródeł naszych, oczyszczonego z niemieckich wtętów. Historia Voigta tak przerebiona, byłaby wzorem dla innych monografij polskich.



### *Książki elementarne.*

Do systematów dziejowych policzmy jeszcze elementarze, to jest książki traktujące o dziejach polskich dla młodzieży.

Jestto rzecz bardzo pożądana w każdej literaturze takie książki elementarne. My ani ilością, ani dobrocią pochwalić się nie możemy. Nowe usiłowania nic nie wydały w tym względzie, coby zaspokajało potrzeby, chociażby w pewnej mierze. Z dawniejszych prób znamy tylko dwie książeczki prawdziwie klasyczne, które wybornie służyć mogą dla swego celu: nie idzie prze-

cież za tém, żeby nie starać się jeszcze o coś dokładniejszego. Mówimy o historii Wagi, ale w ostatniem przerobieniu z 1824 r. i o Dziejach, do których autor skreślił dwanaście krajobrazów. Piérwsza książka dla starszych dzieci jest prawdziwym systematem dziejów: ma tablice genealogiczne książąt polskich, ruskich, litewskich; zawiera dzieje krain połączonych, albo sąsiadujących z Polską; przedstawia nietylko byt polityczny zewnętrzny, ale i wewnętrzny, społeczny Rzplitej. Pod koniec obrazy pojedynczych panowań nawet rozwinięte dosyć, w takiej pełni, że prawie nic do życzenia nie zostawiają. Druga książka jest przewybornym elementarzem, ale dla małych dzieci, i zawiera wszystko, co tylko zainteresować je może i ciekawość obudzić: jest powieść tam o zwyczajach i obyczajach, ubiorach, powozach, a co nade wszystko, styl prosty, tak przemawiający do przekonania i duszy małoletnich czytelników.

Elementarze historyczne polskie oceniał już przed nami w jednej z rozpraw swoich autor Ksiąg Bibliograficznych. Od czasów jego namnożyło się więcej tych dziełek i pism, które zasługują także na ocenienie i przegląd. Mamy zamiar w innym artykule powiedzieć obszernie o tych przewodnikach dla młodzieży; oprócz nowych, weźmiemy pod miecz krytyki i dawne: znajdzie się tam niejedna uwaga, którą pominął autor Ksiąg Bibliograficznych. A potem my będziemy patrzyli na te dziełka z innego stanowiska, jedynie ze stanowiska praktyczności ich i użytku dla młodzieży, sztuki z jaką pisane być powinny, żeby w sobie przedstawiały zupełną całość wewnętrznych i zewnętrznych dziejów; wtenczas, kiedy autor Ksiąg o których mówim, w swoim przeglądzie miał inne cele i więcej wskazywał na błędy historyczne, które weszły do elementarzy i niepotrzebnie męciły głowy dziecinne, więcej szukał opuszczeń i wskazywał złe daty, jak pisał recenzye. Wtenczas obszernie zastanowim się nad tym przedmiotem. Tutaj nam wypada wspomnieć o elementarzach, które w téj nowój epoce światło dzienne w naszym mieście ujrzały. Tam więcej o nich powiemy; tutaj o tyle, ile wypada dla związku literackich faktów.

W naszych czasach książkę taką ułożył Michał Baliński (1). Nie rozumiemy celu pisania, jeżeli autor znając prace poprzedników, nie ma zamiaru zrobić co od nich lepszego. Jeżeli książka

(1) Historia polska przez Michała Balińskiego. Warszawa. 1844. Nakładem G. L. Glücksberga, druk Strąbskiego. 8ka. Str. 248, i wstępu str. VII. Zlp. 10.

gorsza od dawniejszych, to po co czas tracić? P. Baliński mógł jednak dobrą książkę napisać, i to bez żadnych poprzednich poszukiwań albo przygotowań. Kto już tyle lat zajmował się pracą około dziejów polskich, ma podostatkiem faktów w głowie na elementarną książkę i dawno już powinien był mieć swój systemat gotowy. Człowiekowi badającemu ciągle lat kilka te stare urywy przeszłości, mimowolnie do głowy przychodzą myśli, że tak a tak wartoby, tak a tak możnaby obraz dziejów wypracować. Niepotrzeba się schylać, szukać systematu, on sam się znajdzie, sam się uprzedzie jak należy. Jeżeli się coś kolosalnego buduje dla ogółu, dla uczonych, jeżeli to coś ma stanowić nowy przybytek dla nauki, ma odkrywać nowe światy, a przynamniej nowe zjawiska; wtenczas co innego: wtenczas trzeba myśleć, bo od tego myślenia zależy przyszłość całego dzieła i jego wartość. Ależ w książkach elementarnych, dla człowieka, który ma lat trzydzieści zasług na polu poszukiwań historycznych? — Tylko się trzeba i pisać.

W elementarzu p. Balińskiego nie znać nawet tego, żeby autor w sobie jakie pojmowanie dziejów wyrobił tak, żeby je potrafił odlać w pewien systemat dla dzieci. Juźciż każda książka historyczna, będzie książką historyczną i zawierać fakta; ale tu o to nam idzie, że książka p. Balińskiego nie przedstawia całości dziejów, i więcej się bawi światem faktów; a te fakta poplątała tak niezręcznie, że oprócz samych imion, wojen i lat, nic tam nie widać. Jesteśmy pewni, że żadne dziecko polskie z tej książki nie nabierze ciekawości do obszerniejszego poznania dziejów. Trzeba to raz zrozumieć, że chronologia i fakta są dobre, ale że dopiero poświęcający się nauce i kochający ją, zrozumieć w pełni tę harmonię lat i faktów. Dla dzieci potrzeba koniecznie powieści, koniecznie obrazu. Bolesław Chrobry co słupy kuje żelazne po rzekach, zniknie, nie odrysuje się w wyobraźni dziecińskiej, jeżeli autor powie tylko, że to z Rusią, to z Niemcami wojował. Jadwiga czémże będzie, jeżeli autor powie, że wstąpiła na tron po ojcu mocą ugody, i że nową dynastją zaczęła dla Polski? Małyto obraz Bolesława w dziejach krajobrazowych, ale jaki pełny! W stosunku więcej tam o nim, jak o innych królach; więcej, jakby wypadło na obszerność książki. To też dzieci pojną i pokochają łatwo tę postać Bolesława W., którym autor rozpowiada, jak się przed Niemcami uniać nie chciał w Mersburgu, jak cesarza przyjmował w Gnieźnie, jak św. Wojciecha polubił i wyprawiał na Pomorze, jak szczerbcem w zło-



tą bramę uderzał, jak kraj objeżdżał z dwunastą panami, jak polował, jak kraj zaludniał, jak się ukoronował. Toż samo o Jadwidze: interes wzrośnie, kiedy autor rozpowie dzieciom, jak była piękną i młodą, jak ją Wilhelm rakuski kochał, jak księżniczka poświęciła się dla kraju i dla wiary, jak przestraszyła się kiedy jój pierwszy raz rzucono myśl o Jagielle, jak potém ślub nastąpił i koronacya króla Władysława, jak ten dziki Litwin nagle przemienił się w bojaźliwego i pełnego przesądów pana. Takie obrazy wybrane z historyi uderzają jakąś wielkością, pięknnością, majestatem; wywierają wpływ na umysł dziecinny i nigdy, nigdy nie wygluzują się z pamięci. Około nich, już gruppować się powinny inne, mniej wybitne postaci.

U p. Balińskiego są i te fakta, bo juźcić ich opuścić żadna historya nie może; ale tam tylko głuche o nich wspomnienie na zimno i nie ma obrazu. Jeżeli autor powie, że Jadwiga oddała rękę Jagielle i poda sam fakt, a potém że Jadwiga biła się na Rusi i odbierała z rąk Węgrów czerwieńskie grody wtenczas, kiedy mąż był na Litwie: dla dzieci taka Jadwiga będzie toż samo, co jakby powiedzieć Małgorzata, Krystyna. Jak jedna, tak druga i trzecia mało znaczyć będą i wbijać się w pamięć, kiedy całą zasługą ich będzie fakt jeden, albo sucha data. Inaczéj się pisze historya dla dzieci, inaczéj dla dorosłych. Co w historyi za wagę mieć będą dla młodego pokolenia dzikie imiona Demostenesów, Romulusów, Cezarów, kiedy jednych wielkość, drugich zbrodnia nie staną dzieciom na myśli jak mary?

O całą wysokość wspaniałego zamku od biednej chałupy zagrodnika, niższą jest w takich powieściowych szczegółach książka Balińskiego od Dziejów krajobrazowych.

A same fakta jakże są podane w Balińskim? Pobrane na chybił trafił, pierwsze lepsze, z pierwszej lepszej książki. Zda się, że jakby autor wziął Bandtkiego, Wagę z r. 1824, albo kogokolwiek i wypisywał z nich. Są rzeczy ważniejsze a pominięte, są mniejszej wagi, a opisane. Stanowisko książąt nawzajem do siebie z czasu podziału Polski, słabo, nadzwyczaj słabo oznaczone. Leszek Biały a Czarny, a Bolesław Wstydlivy, do prawdy, nie wiemy, czy sympatyzować z niemi, czy ich potępiać. Nawet Łokietek, Kazimierz W. zbyt zimno wyglądają z ram książki p. Balińskiego. Systemat podziałów od r. 1139, ciągnący się aż do Jagielly i dalej, jest w takimże samém pomieszaniu, i nieładzie faktów. Biją się książęta jedni z drugimi, nie wiemy za co,

po co, dlaczego?—nie wiemy jaki ich stosunek, jakie związki familijne? Do tego na nieszczęście nie ma żadnych tablic genealogicznych, jakże mają pojąć to wszystko dzieci?

Trzeba też zauważyć, że prawie wszyscy poprzednicy p. Bałińskiego, źle pisali dzieje Lechii podzielonej na księstwa. Im się zawsze śniło jakieś królestwo i król w Krakowie, który panował nad *całą* Polską, a książęta szląscy, poznańscy, płoccy, gdańscy, kujawscy, rusczy, byli tych królów nieposłusznymi hołdownikami. Tak nie jest jednak, tego widoku nie przedstawiają nam dzieje. Arcybiskup w Gnieźnie więcej jedność Lechii wcielał w siebie, jak np. Leszek Biały, albo syn jego Bolesław. W Krakowie panowała młodsza linia: stryjowie i starszego pokolenia bracia, niełatwo słuchać chcieli rozkazów z Krakowa, a nawet o tém wcale nie myśleli całe swoje życie. Bolesław W. z różnych żywiołów złożył wielkie państwo polskie, które się orężem trzymało aż do Krzywoustego, poczem się rozpadło na składowe pierwiastki. W tém rozumieniu rzeczy, Kraków nie był tak stolicą całej Polski, jak Poznań, Kalisz, albo Wrocław. Trwała walka lat długo, dopiero Łokietek pierwszeństwo przyznał Krakowu, a niewiele brakło, żeby stolicą został Poznań. Gdyby który książę mazowiecki znękał Łokietka i zjednoczył Lechią jak on ją zjednoczył, kto wie, czyby stolicą Lechii nie był Czersk albo Płock na pograniczu pruskiem, zamiast Krakowa na pograniczu Węgier.

Dzieje Lechii w podziałach trzeba więc inaczej wyklądać jak wykładano je dotąd. W Polsce ówczesnej było coś podobnego do świętego państwa: cesarz na czele, to niby naczelny książę w Krakowie, ale inne stany cesarstwa, jak Saksonia i Hessya niepodległe; tak w Polsce niepodległe Czersk i Wrocław pod cieniem lekkiego bardzo poddaństwa.

Nie można zatem przywiązywać historią Polski od r. 1139 do historyi li tylko Krakowa. Trzeba przechodzić chociaż pokrótce dzieje książąt i księstw, rozwijać systemat podziałów. Oto w daniej epoce np. było tyle systematów, to jest tyle rodzin żywo związanych jedną polityką: tu grupa szląskich, tu oddzielna grupa mazowieckich, tam kujawskich. W tych gruppach te a te miasta były stolicami książąt, któremi byli ci a ci; potem narysowaćby potrzeba postaci znaczniejszych książąt, czyto potęgą, czy zdolnościami, czy niespokojnością charakteru i wskazać na powody ich niechęci pomiędzy sobą. Każda grupa miała coś z sobą wspólnego, a coś oddzielnego od drugiej grupy: za ojcem

szli synowie i ziomkowie, a tak się wyrażała w różnych dzielnicach Polski jakaś polityka rodzinna, która miała swoje cele, charakter i historią. Pokaże się wtenczas, że np. w r. 1200 tyle było w Lechii podzielonej księstw, a tyle grup, takie a takie było życie książąt. Rozwidni się wtenczas w umyśle dzieci i lepiej one pojmą, z kąd te częste wojny, gdzie leżały powody tych ciągłych nieporozumień domowych?

Monografie wiele uczą ludzi dojrzałych, nowe okolice nam ukazują; ale historia dla dzieci w okresie Lechii podzielonej, ma być koniecznie zbiorem krótkich monografij.

Otóż wracając do p. Balińskiego, cała jego książka pod żadnym pozorem nigdzie wymagań nie zaspokaja, a w rozwoju dziejów XII—XIV stulecia, zamiast światła, cienie rzuca na przeszłość. Sąto jakieś wypisy, jakieś ogryzki z przeszłości. Zdaje się, że p. Baliński nic nie korzystał z prac poprzedników. Jako znamię całego postępu nauki, wchodzi do téj historii wiadomość z Maciejowskiego zaczerpnięta, że Lachowie przybyli do nas z Saksonii w wiekach przedhistorycznych, to jest w II do VI w., i że uorganizowali społeczność naszą po szlachecku, to jest, kasto-wo, z niemiecka. Jeżeli p. Baliński przyjął już za pewnik te wywody Maciejowskiego, należało mu skreślić za nim stan obywatelstwa polskiego za czasów Wielkiego Bolesława; wtenczas dzieje pierwotne zamknęły się, a wszystko stanęło na nowój podstawie, podług warunków nakreślonych z góry przez największego człowieka, jakiego kiedykolwiek wydała Polska. Ale nie widać tego w dziełku, zatém cały ten wywód pochodzenia szlachty naszej od Lachów do niczego nie wiedzie i niepotrzebny, chyba dlatego wtrącony, żeby nie dzieciom, ale ludziom dojrzałym, którzy książkę p. Balińskiego czytać będą, dać poznać, że autor obeznany jest z nowemi badaniami, które odkryła nauka. Oprócz téż tego jednego faktu, nie ma nic w całym dziełku p. Balińskiego o wewnętrznej historii narodu. W zewnętrznej, są nawet myłki, które w inném miejscu wytkniemy. Wszystko darować można, ale błędów w historii elementarnej darować nie można. Dowodzi to jakiejś nieogłędności, naturalnie pomimowolnej.

W dziejach zewnętrznych zatém, książka p. Balińskiego o wiele niższą jest od Historii królów i książąt polskich Wagi z r. 1824. Pomnożyła sobą tylko spisy bibliograficzne. Takie książki łatwo pisać, aby tylko systemat obmyślc; ale p. Baliński nic nie pomyślał, kiedy pisał. To zaraz widać.

Inny pisarz z pewnym artystycznym pojęciem wziął się do wystawienia takiego obrazu, jakiegośmy oto w tej chwili poządali. Ale artyzmem trąca tylko ramy, w które ustroił swój obraz: naśladował on myśl autorki Pielgrzyma w Dobromilu. Otóż wyobraził sobie, że staruszek pewien, dawniej wojak i legionista nawet, który wiele bywał i wiele widział na świecie, za kątek do śmierci i kawałek chleba spokojny; bawi małą drużynę dzieci powiastkami z historii narodowej. Jak pielgrzym, tak i ten wojak bywalec skreślił w swoich opowiadaniach cały rys dziejów: tamten jako prosty człowiek mniej wiedział, a mówiąc do dzieci gospodarza wiejskiego, mniej im prawił szczegółów ciekawych, jak nasz wojak, który ma więcej treści, a zatem i więcej nauki. Od pierwszego wejrzenia zaraz to poznać można. Pielgrzym jeszcze dawał rady higieniczne, gospodarskie, chodził z dziećmi na spacer i uczył ich historii świętej; a wojak wyłącznie opowiada dzieje polskie na *Domowej zagrodzie*. Otóż ta jedynie postać wojaka, jest artystyczną i dramatyczną w całej książce p. Miniszewskiego. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, pierwsze stronnice z talentem skreślone. Autor ma dość talentu do powieści, ale nie do historycznych. Historii wcale nie zna, to widać w części elementarnej jego *Domowej zagrody* (1).

Jeżeli to prawda co mówią o autorze, że dzieło swoje napisał bez żadnego poprzednio przygotowania, jakby na zadany temat w przeciągu dwóch tygodni w tutejszej bibliotece rządowej, to dziwić się nie należy, że książka niedojrzała. Takie dzieło elementarne mógł napisać w dwa tygodnie Baliński, mógł każdy inny badacz, który, jak powiedzieliśmy, studyował długo nad przeszłością Polski; ale nie mógł tego zrobić w żaden sposób autor taki, jak p. Miniszewski, który pisząc *Domową zagrodę*, sam się uczył historii. To też więcej książka jego dowodem jest niezmierniej łatwości pisania, z jakiej pomiędzy nami słynął p. Miniszewski. Cóż z tego, że język piękny i styl ożywiony, kiedy rzeczy fałszywe? Autor nie znał faktów historycznych, a jakże miał pojąć całość, zrozumieć stronnictwa w Polsce, które wystawia, walkę wzajemną dwóch sił, dwóch oddzielnych pojęć? To

(1) *Domowa zagroda*. Rysy z dziejów polskich w opowiadaniu powieściowym dla młodzieży, napisał Józef Alex. Starża. Warszawa, w drukarni Strąbskiego. 1847 r. T. I, str. 282. T. II, str. 220. Przedmowa datowana w Dzierżązny 1845 r.

téż wiele błądzi nietylko już w przedstawianiu faktów, ale w ich ocenianiu, które u niego dowolne jest, co nie jest wpływem namysłu, krytyki, rozwagi, ale jakiejś dyktatorskiej zarozumiałości. Jeżeli kto, to p. Miniszewski nie mógł pisać historyi bez poprzednich studyów nad ludźmi i rzeczami.

Wskażem kilka uchybień i co do faktów i co do rozumienia rzeczy, bo rozszerzać się nad tym przedmiotem nie mogę.

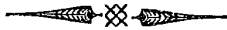
Wolski kanclerz został za Zyg. Augusta kasztelanem krakowskim, to chyba Dębiński; po nim nastąpił zaraz w urzędzie Jan Zamojski; tutaj dwie osoby pomieszane w jedno (Tom 2gi str. 21). Tenże Zamojski miał starać się dla siebie o koronę po Batorym (tamże str. 27 — 29). Dwie daty uwolnienia arcyksięcia Maxymiliana są: 1579 i 1589. Jan Kazimierz miał być biskupem warmińskim. Regimentarzami przeciw Chmielnickiemu mianowani: Władysław Ostroróg wojewoda sandomierski, drugi Mikołaj Ostroróg podczaszy koronny i Alex. Koniecpolski. Rzecz dziwna, że dwóch Ostrorogów cytuje p. Miniszewski; na błędzie się nie poznał. Wojewoda sandomierski Ostroróg byłto Władysław Dominik książę Zasławski na Ostrogu. (Jednak mylą się nasi autorowie elementarni i księcia zwą zawsze Ostrorogiem, również jak na sejmie r. 1569 księcia Ostrogskiego także zwą Ostrorogiem, tak jest nawet i w Wadze przerobionym w r. 1824). P. Miniszewski potem wielką jakąś wagę przypisuje Karolowi Ferdynandowi biskupowi płockiemu, o którym mówi, że gdyby był na tron wybrany po Władysławie IV, byłby zbawił Rzplitą, bo rozumiał plany brata, a te plany były zbawienne. Jan Kazimierz niecierpiał Władysława i szedł w kontr im; obrali go różnowiercy, którzy bali się biskupa jako księdza. To nowe rzeczy dla nas i nie wiemy dlaczego różnowiercy więcej ufali Janowi Kazimiierzowi, który był Jezuitą, a miał być biskupem warmińskim (autor tu poplątał dwóch braci: J. Kazimierza z Olbrachtem). Niecierpiał zaś brata Jan Kazimierz, bo za jego sprawą siedział dwa lata w więzieniu we Francyi, to jest przez jego opieszałość, czy słabość. Radziejowski dalej gotuje drogę do tronu królowi szwedzkiemu, który ma spełniać plany Władysława. Wielkopole, którzy poddali się Karolowi pod Ujściem, wchodzili w plany i zamiary Radziejowskiego i t. d. Dalej jest o tém, jak Czeszochowa opierała się Szwedom i jak postanowiono, żeby koronacja N. Panny w tamecznym kościele powtarzała się regularnie co lat sto; jak Jan Kazimierz wrócił do Warszawy po zawarciu

pokoju z Prusami, Danią i Moskwą, jak książę Jeremi powinien być zostać demokratą! (str. 105), jak konfederacya gołąbska podnieść chciała monarchizm w Polsce, i t. d.

Massa błędów w nazwiskach, faktach, pojęciach. Autor błędnie wypisywał, albo ze źródeł bardzo podejrzanych. Gdyby książkę swoją po jej napisaniu pokazał komuś więcej się na tém znającemu, wiele błędów dałoby się jeszcze poprawić. Ale cały ton i rozumowanie błędne: już to grzech pierworodny książki. Autor wcale nie rozumie ostatnich chwil Rzplitej i dlatego co krok, to się potyka fatalnie.

Taka historia nikogo nie nauczy nic, a masę błędów rzucić może w młodociane umysły. Taki elementarz jakim jest książka Balińskiego, oprócz kilku niedopatrzonych błędów, przynajmniej ogólnych dziejów nie skrzywi; jeżeli nie nauczy historii, to przynajmniej poda dzieciom niektóre prawdy: następstwo królów, daty ważniejszych wypadków, co już samo stanowić może jej stronę dodatnią.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# PODRÓŻ PO FRANCYI.

PRZEZ

Ora C. Tripplera.

---

## WSTĘP.

Francya, *la belle France*, jak ją wielomówne jój dzieci nazywają, ma być wyłącznym przedmiotem niniejszego oddziału ze wspomnień moich podróży. Przyzna mi każdy, jak drażliwem jest opisywać przedmiot znany ogółowi, albo téż wiadomy mu przez ciągle nim zajmowanie się. Z nowego stanowiska obejrzyć go potrzeba, wywołać na widownią nowe szczegóły, pokazać w czém mylnie zapatrywanie się dotychczasowe, żeby potrafić nim zająć korzystnie i mieć ojcowską pociechę autora: zadowolenie z dziecięcia bez uprzedzeń i zbytcej miłości własnej. Dlatego téż obawiam się, czy praca obecna wyglądana będzie z tą niecierpliwością i czytana z tą ciekawością, jaką się poprzednie zaszczycały. Obawę, a raczej pewność moję pod tym względem uzasadniam na trzech głównych powodach:

Pierwszy, a o nim już powyżej nadmienilem, iż opisuję Francją, o której czerpią u nas ciągle wiadomości z plodów jój piśmiennictwa, dziennikarstwa i wyłącznych opisów, których jednak w ojczystej mowie nie tak wiele posiadamy.

Drugi, że wielu z nas w tym kraju przebywało. Trzeci narazcie wypływa z trudności ustalenia stanowiska, z jakiego na jój polityczne położenie zapatrywać się można. Zaczęsto kształt jego zmieniając, nie daje rękojmi, odbiera wiarę w trwałość zasad i wyobrażeń, wiążących społeczną jój budowę, i temu przypisać należy, że ów kraj tak umiejący rozszerzać panowanie swoje

umysłowe świątobliwością języka, płodami literatury, ruchliwością dowcipu, smakiem form, pomysłowością mody, nie tak już nas obecnie zajmuje jak dawniej; nas, najgorliwszych jego zwolenników!....

Mimo to nie chcę odrywać od wspomnień moich sześciu lat spędzonych na ziemi francuzkiej; chętnie pragnę się podzielić z czytelnikami wrażeniem i spostrzeżeniami, jakie na mnie wywarło to wszystko, czemu się przyglądałem zblizka i uważnie.

Znaczny to peryod życia mojego! Wywarł on wpływ niezaprzeczony na ciąg jego dalszy i na terażniejsze usposobienie; a prawda nakazuje mi wyznać, że wiele zawdzięczam pobytowi w tym kraju, w którego zakładach naukowych kształciłem się, i gdzie niejednen człowiek niezatartemi głoskami wpisał się w moje serce. Na owe zaś główne powody, mogące ujemnie oddziaływać na sprawozdanie z wrażeń i postrzeżeń moich, a zwłaszcza na dwa pierwsze, nieco obszerniej odpowiedzieć muszę, chcąc zwrócić uwagę czytelników na to, co głównie mną kierowało w napisaniu tego ustępu z wędrówek.

Co do pierwszego. Zacznę od téj powszechnie znanéj, ale zdrowéj zasady, że każdy przedmiot inaczej wygląda zdaleka jak zblizka, i że jak z jednéj strony z płodów piśmienniczych francuzkich, a zwłaszcza z romansów i powieści, któremi się u nas tak nietościwie karmią, nie można powziąć dokładnego wyobrażenia o obyczajach we Francyi; tak z drugiéj strony artykuły dziennikarskie, a nawet poważniejsze prace, poświęcone opisowi jéj stosunków politycznych, społecznych, urządzeń naukowych, przemysłowych i t. d. dostatecznie z nią obznajmić nie zdołają. Trzeba być wtajemniczonym w domowe życie rozmaitych warstw społeczeństwa, z których się składa naród ten jednolity pod pewnym względem, pod drugimi zaś względami rozpadły na nieskończoną liczbę wydatnych niejednolitości; trzeba przez długi czas oddychać powietrzem Francyi, i nietylko w Paryżu własnymi oczyma potwierdzić ogromną różnicę między ubogą ludnością wiejską, a proletaryatem miejskim; trzeba być wplątany w koło jéj codziennych dziejów, uznać na miejscu dolegliwość cierpień, słusność wymagań od chaty aż do zamku, od poddasza do pałacu, znać wiele indywiduów, typów wiele, żeby powziąć o niéj dokładniejsze wyobrażenie. A i to jeszcze zupełnie dokładném nie będzie!...



Co do drugiego: wielu z nas zapewne przebywało w tym kraju, ależ jak różne do niego zwabiały nas powody, potrzeby i dążności, jak różne z pobytu tego wynikały następstwa i korzyści!

Zamożniejszych synów kraju naszego wabią głównie do Paryża: potrzeba odświeżenia umysłu, przewietrzenia się, chęć zabaw i rozrywek, ponętne wieści o cudach *Chaumièr'y* i wdziękach Aspazji w tój stolicy pracy i rozpusty, bogactwa i nędzy, wielkości i drobiazgów. Czasem téż smakowniejszy popęd nabrania manieri i tój czysto francuzkiej gadaniny, tak często u nas za dowcip starczącej; czasem tęsknota do fraka od Humana, do truflowanych potraw w *Café de Paris*, i niczém niepohamowana żądza stracenia za granicą na ucziwój naszej pszenicy zarobionych pieniędzy. Chopin, opera włoska, pani Sand, kapelusze i obuwia paryzkie, polka drżączka, polka mazurka, wabią do siebie urodne i bogate córki naszej krainy.

Ci lub te, coby w celu kształcenia się dla swojego i ziomeków pożytku udać się tam pragnęli, po większej części nie mają zasobów lub sposobności odbycia tój podróży. Przemysłowcy, spekulanci, kupcy i różnego rodzaju agenci dążą do Francyi, jako do źródła nieprzebranych pomysłów, wynalazków, towarów, mód, drobiazgów i nowych nowości. Zajęci i zwarunkowani powołaniem swoim, to jest aby osiągnąć największe korzyści i zyski, obracają czas na to, co im tylko zapewnić je może; przyspieszają jak najbardziej powrót z nowemi sposobami wprawiania pieniędzy naszych w obrót wschodnio-zachodni, szybszy jak obrót ziemi koło osi swojej, bo grunt jakoś pozostaje na miejscu, gdy krew jego i pot na zachód się przelewa.

Zapędzony burzą losu lub pragnieniem polepszenia go sobie, niejeden młodzieniec zawita do Francyi ogołocony ze środków do życia, nie posiadając sposobów zdobycia ich sobie łatwą, do sił swoich fizycznych i moralnych zastosowaną pracą. Taki biedny młodzieniec albo musi się poddać znojom, wyczerpującym zasoby życia, by nie umrzeć z głodu, lub téż w wierze jakiej szlachetnej a na niczém pewnem nieuzasadnionej, wegetując z łaski pracujących braci, musi zatracać od dnia do dnia w gronie jemu podobnych, poza towarzystwem praktycznych ludzi, wszelką wiedzę istotnych sprężyn życia i prawdziwych węzłów społeczeństwa.

Otóż na te trzy główne i odrębne obozy rozpada się cała liczba rodaków bawiących we Francyi; i żadnej nie ma styczności pomiędzy jednym a drugim, najmniejszej nawet pomiędzy pier-

wszym a ostatnim, bo ludzie szukający zabaw, skwapliwie unikać będą czoła zasepionego cierpieniem, lub twarzy znojem zniekanój.

Poza temi trzema wyliczonemi obozami, bawi wprowadzie we Francyi jakaś liczba rodaków, poświęcająca się szczerze naukowości lub sztukom: ten się kształci na lekarza, ów na farmaceutę, tamten na inżyniera, na mechanika lub przemysłowca, inni pracują w szkołach malarskich lub rzeźbiarskich. Czasem też zjawi się jaki lekarz spragniony odświeżyć sobie w dni kilkanaście zapomniane od lat tyłuż sposoby leczenia, lub też przekonać się, czy ten lub ów jest istotnie jasnowidzącym.

Nie ma też prawidła bez wyjątku. Niejeden z bogatych widząc przed sobą szeroko otwarte gościnne wrota, prowadzące do słuchalni, księgozbiorów lub muzeów, wstąpi w nie czasem i zasmakuje w nauce, tak wdzięcznie i łatwo do pojęcia wkradającej się; niejeden przemysłowiec zajdzie do fabryki i umiejętniej się wpatrzy w jej ruchy i ułatwienia; niejeden w znoju pracujący, znajdzie w współzawodniku przyjaciela, i pod strzechą jego, w gronie rodziny, nabierze szacunku dla poczciwych ludzi z pracy żyjących. Ale to pewna, że beczynny marzyciel, choćby najszlachetniejszą ludził się wiarą, najpiękniejszymi nadziejami kołysał duszę, nigdy nie pojmie ducha, języka nawet narodu, ani w lat kilka, ani w lat kilkanaście, jeżeli z urojeń swoich nie zstąpi do pracy, a przynajmniej ruchu. A takich niemało pomiędzy nami, i to wielkie nieszczęście! Siły niewiele probowane tępieją, albo też odrazu bezrozumnie wprawione w ruch nagły, niespodziany, ze szkodą dla ogółu działać mogą.

Najczęściej tedy wywiezione z Francyi wyobrażenia o wartości Francuzów są powierzchowne, niedostateczne, lub też wizjonerstwem, teoryzmem, chorobliwie nacechowane. Przemysłowiec, spekulant, modniarka, kupiec, muszą w pewnym względzie chwalić kraj i naród, z którego czerpią zasoby własnego bytu, uzasadnionego na owój tyrance świata, tyle szczęścia i pieniędzy kosztującej,—na modzie. Człowiek, który się długo z biedą we Francyi pasował, lub co w niej lat kilkanaście beczynnie spędził, ocenia wartość lat strawionych opodal od własnego kraju, w społeczeństwie tak zwaném oświeconém, według cierpień, któremi zapłacił za przyjemności tego towarzystwa, owój oświaty i cudzej ziemi powietrza! Wraca nieraz uzdolniony w fachowości niemogącej znaleźć zastosowania na naszym gruncie; wraca

z rozrzewnieniem na ziemię rodzinną i zdolności tyłu trudami zdobyte, w tyłu cierpieniach rozwinięte chce obrócić na dobro, poświęcić na korzyść swojej kolébki; a tu często kraj jego własny, jeszcze potrzebować go niemogący, zużytecznie tych zdolności nie potrafi.

Że więc sławi ziemię, gdzie za uczciwą pracę znalazł kawałek chleba honorowego, to łatwe do pojęcia; że ją czasem i przechwala, kiedy rozpacz biędne serce rozżali:—to rzecz do darowania!

Najsilniejsze są wrażenia, doznane w porze najzdolniejszej do ich odebrania; a choć słabości ludzkie często prowadzą do potępienia tego, co dawniej było kochaném: szlachetniej jest pochwalić w uniesieniu zgryzionego serca *to*, za co się długo cierpiało.

Inni wiele cierpieli, mało widzieli, nic się nie nauczyli we Francyi, ale ją chwalą i nad nią się unoszą: bo to Francya, *la belle France*, owa kolebka mądrych, mężnych ludzi, których sława nie przebrzmi tak prędko, chociaż dzwon głoścący ją przytłumionym odzywa się brzękiem. Mniemają, że samo powietrze tak silnej i wszechstronnej cywilizacji wcisnąć się musi porami w skórę, w krew i w nerwy, chociażby o tém mózg, ów sumienny kontroler czynności umysłowej wcale nic nie wiedział. Przez kontrabandę przekradła się tajemnica cywilizacji w te poczciwe serca; ale dalibóg bez wiedzy kontrolera umysłowego, bez woli i pracy wśliznąć się nie potrafi zdolność służenia bliźnim.

Nie samemi tylko przesadzonemi pochwałami grzeszymy w ocenianiu ludzi i miejscowości, narodów i krajów; grzeszymy także zbyt, nieuzasadnioną, czasem sumienną, a częściej jeszcze najniesumienniejszą naganą.

Nie mówię o tych oszczercach jeżdżących po obczyźnie dlatego tylko, żeby albo mimowoli własném niedobrém usposobieniem ściemniać, przeinaczać co im się przedstawia, lub też systematycznie wyszukiwać złej jedynie strony i głościć o niej światu. Ileżto chorobliwych umysłów poczytuje sobie za zaszczyt ganić to, co inni chwalą, lub mają za sławę pozostać przez całe życie wiernymi jednemu płocho wyuczonemu zdaniu; ileżto nareszcie przewrotnych serc lubiących plwać na to, co inni cenią i ubóstwiają! A zresztą niejeden oddający się wyłącznemu zawodowi temu lub owemu, mógł w nim widzieć samo złe, i wyrokując o wszystkiém z jednego punktu widzenia, sumiennie, a przecie

nieśluszenie mógł potępić wszystko. Mało kto o tém wie, a przecież prawdą to jest odwieczną i często powtarzaną, że człowieka trudno zbadać, kiedy go się ciągle, bezustannie nie mierzy z sobą samym; a trudno znów znać samego siebie bez długiego przedstawiania z bliźnim i bez doznawania owych poczciwych chwil sumiennego, głębokiego rozmysłu, który jest rosą rozumu, słońcem serca, niebem sądu naszego.

Co do trzeciego powodu: nie chcę być obwinionym o chęć obudzania na nowo współczucia dla téj ziemi, ani téż o chęć schlebiania popędowi obecnemu, zanadto może nieprzychylnemu dla dawnego przedmiotu uwielbienia. Zmalenie współczucia dla konstytucyjnej monarchii Ludwika Filipa, dla kapryśnej Rzplitej Cavaignaca, Lamartina i synowca wielkiego człowieka, wywołały dwie przyczyny: wewnętrzną i zewnętrzną. Piérwsza leży w ruchliwej niestałości kierunków społecznych kraju tego, którym żadnego kresu domniemanego i celu dodatniego naznaczyć nie można. Wprawdzie ostatecznie wyrokować o losach ziemi jakiej z dziejów jój kilkoletnich nie wypada: rok w życiu człowieka pojedynczego, to zaledwie dzień w życiu zbiorowego. Przebiegłszy jednak uważniej historją Francyi od lat kilkudziesięciu i według niej spojrzawszy na to, co się dzieje i co dziać się może, trzeba przyznać, że gdy często następstwa nie odpowiadały założeniom, gdy nieraz bez potrzeby, krew tylu ofiar zrumieniła bruk paryzki: -- niegodzi się wierzyć w tryumf jakiego systematu, w przewagę idei, coby się głębiej w mieszkańców téj ziemi wkorzenić zdołała.

Krwawe przejście Wielkiego Napoleona przez Europę, nadzieje, któremi się łudzili najgorliwsi jego sprzymierzeńcy, nawet opór bohaterski co go osłabił na Południu, a pod którym uległ na Północy, przyczyniły się tém bardziej do rozpowszechnienia imienia francuzkiego. Byłato poniekąd druga, głośniejsza połowa podstawy, na której naród ten pretensye czy téż prawa do przodkowania drugim ugruntować sobie mniemał. Znajomość prawie powszechna w Europie świetnego a dowcipnego języka Francyi, smakowanie w obfitój, choć często nieodpowiadającej celowi literaturze, sympatyczny ów rozum francuzki, *esprit*, *spryt* (tak się najlepiej da przepolszczyć), szlachetna energia w działaniu, rycerskość wrodzona, ruchliwość nieustająca: służyły mu poniekąd za rekojmię polegania na wrażliwej bierności innych ziem europejskich. Mógł śmiało współzawodniczyć z dumnym Albionem, pra-

gnącym zawładnąć tak handlem jak i umysłowością stałego lądu; przewyższyć Niemcy zanadto w sobie zatopione, zamało obdarzone sympatycznym owym urokiem myślenia i działania. Oczy wszystkich obrócone były na Francją, jak na słońce. W niej jak na zegarku, według słów dowcipnego niemieckiego autora, zawsze można było zobaczyć najwłaściwszą godzinę wypadków europejskich. Za Ludwika Filipa przewaga umysłowa Francji doszła najwyższego szczytu, mimo przesadnych i często niemoralnych piśmienniczych utworów, mimo kramarskiego ducha zamożniejszej ludności. Pękło jedno ogniwo i sztuczna mechanika, runęła. Wstrząśnienie wywołane tą przemianą rzeczy, a któremu logiczną naznaczano dążność i przypisywano ważność nietylko szczegółową, silnie odezwało się w zwolenniczych krajach Europy. Gdy jednak zamiast organizacji zobaczono dezorganizację; zamiast zgody—stronnicze niesnaski; zamiast dążności—chaos: ofiary, naśladowcy, zwolennicy i myśliciele przekonywać się zaczęli, że ten wzór nieporównany złożony z ludzi, pełen wad ludziom właściwych ma także ujemną stronę. Chwilowa, jakby wulkaniczna energia Francuzów, z nią idąca w parze drobiazgowa wrażliwość i płochy lekceważenie, brak prawdziwie chrześcijańskiej podstawy, zgody i ufności: dozwoliły Francji zejść z piedestału przewodnictwa i zamknąć się w wypadkach wewnętrznej działalności. Pierzchnął urok przewagi nawet aż do piśmiennictwa, aż do gadatliwego ich narzecza. Otóż jest pierwsza przyczyna, którą nazwałem wewnętrzną.

Druga poniekąd na korzyść, poniekąd na niekorzyść innych narodów da się wyrozumić. Przekonawszy się, że wzór nie odpowiedział ich oczekiwaniom, zmuszone były spojrzeć na siebie i w sobie obliczyć żywioły własnego życia; przypatrzeć się innym narodom prócz Francji. Koniecznością spowodowany ten pogląd czy doprowadził ich do uznania własnych zasobów i do chęci obrócenia ich na korzyść działalności w rodzinnych podstawach czerpiącej źródło, czy też przekonać zdołał, że nietylko Francja ma prawo przewodniczenia; dosyć, że od czasu zmalenia wpływu teorii i piśmiennictwa znad Sekwany, zaczyna się zwrot bardziej miejscowy, we własnych lub też bliższych sobie wspomnieniach śledzący popędu do życia umysłowego. I otóż druga przyczyna, którą nazwałem zewnętrzną, ale mimo jój względnej słuszności niegodzi się bezwarunkowo potępiać ojczyzny Henryka IVgo, Mollera, Hocha i Napoleona. Zasługi położone przez Francją w roz-

woju ogólnej oświaty są niezaprzeczone; a urzeczywistnienie natchmiastowe i smakowniejsze jak w Anglii olbrzymich pomysłów przemysłu ludzkiego, rozwinięcie oświaty materialnej, część stosowalna i utylitarna jej piśmiennictwa, nie wspominając o wzroście olbrzymim wielu sztuk i rzemiosł: nadają jej prawo niezaprzeczone do służenia za wzór podziśdzień wielu innym społeczeństwom. Trudno jednemu człowiekowi wygórowanemu nad innych utrzymać się przez cały ciąg życia na tym samym stopniu doskonałości lub potęgi: czemużby narody miały być nieskończenie szczęśliwsze od jednostek składających go? Francya przez czas dość długi godna była przewodniczyć w bardzo wielu względach wszystkim innym narodom; ale że nie zbudowała swój wielkości na podstawie czysto chrześcijańskiej, zstąpić z niej musiała, i tylko w pewnych, daleko mniej licznych względach, warta służyć za wzór innym społeczeństwom.

W czém jeszcze Francuzi zasługują na poważanie u ludów, to wykazać właśnie będzie zadaniem tej książki. Sześć lat strawionych we Francyi w ciągłej a blizkiej styczności z wszystkimi klassami społeczeństwa, w ciągłej walce z wszelkimi rzeczywistościami życia, choroby i śmierci, nadaćby winny pewną wartość memu sądowi. Nikt o tém nie wątpi, że bezstronnie będę wyrokował o narodzie, w którym żadnego nigdy nie pokładałem zaufania, a któremu jednakże jako szkole, *indywidualnie* wiele winienem.

## I.

### **Podróż z Barcelony do Perpignan.**

Już nam znika Barcelona za wysoką bramą *Puerta de Francia*, i droga prowadzi przez ogrody przecudnej świeżości i woni, a potem ciągnie się wzdłuż brzegu morskiego, ale nieraz tak blisko, że cię aż piana szumiącego oceanu obryzgnie.

Taka droga ciągnie się aż do samego Mataro, miasta odległego o 3 mile od Barcelony i 15,000 ludności liczącego. Jestto właściwie tylko rękodzielnicze miasto, ale znajdują się w niem i starożytności i ma wodę mineralną bardzo skuteczną, oraz dobry hotel.

Jeszcze za Mataro nie tracimy z oka oceanu, ale tu już, pod Arenys del Mar, miasteczkiem słynnym z swych kuźni kotwiczych, brzegi morza są otoczone wysokimi skałami. Jednym z najpię-

kniejszych punktów téj bogatéj w drzewa i w żyzną ziemię krainy jest miasto Callela. Wznosi się ono na wysokiéj skale i używa cudnego widoku na Pyrenee i na morze Śródziemne. Z drugiéj strony obszernéj, kwiecistéj i żyznéj doliny rzeki Fordera (nad którą leży miasteczko tegoż nazwiska, sławne z wysokości wież swoich) droga skręca się w wewnątrz kraju i wiedzie między góry, pokryte najrozkoszniejszych drzew bujną vegetacyą. Za temi górami i gajami, w których umyślnie wstrzymywaliśmy konie, aby się lepiej przypatrzeć tym cudom natury: powojom jak kapelusze, bżom tak pachnącym, że głowę zawracały, pomarańczom i tysiącnym akacyom; za tą mówię górą i za gajem spostrzegamy Geronę pośród obszernego błonia, a otoczoną licznym poczem pagórków.

Gerona, dawna *Gerunda* Rzymian, leży na wzgórzu otoczoném rzeką Ter. Niegdyś sławną była warownią, nim ją Francuzi zniszczyli. Liczy 14,000 mieszkańców, posiada kilka rękodzielni jedwabiu, ale przedewszystkiém słynna jest z swéj czysto-gotyckiéj katedry, w której spoczywają zwłoki bohaterskiego komendanta Alvarez, i ze swéj kollegiaty pyszną ozdobionéj wieżą, a mieszczącój w sobie kości św. Narcyza patrona Gerony. Wielki tu ruch panuje wszędzie; przed każdym domem siedzą kobiety i dziewczyny zatrudnione wyrabianiem koronek, lub téż tkaniem sieci, wszędzie usłyszysz klekotanie warsztatów tkackich, trzaskanie młotów i tłuczenie holendrów w piapierniach.

Jest tu i piapiernia parowa z dwiema maszynami bez końca, nadzwyczaj zajmującemi. Papiér tu ciągnie się z massy, do której dokładają znaczną część włókna aloësowego, taniego bardzo w Hiszpanii artykułu, przez co i papiér taki do druków równie dobry jak i inny papiér ze szmat, jest tanim nadzwyczajnie. Ryza, to jest 500 arkuszy papieru formatu gazety *Indépendance*, tylko cokolwiek cieńszego i ciemniejszego, kosztuje złp. 15.

Gerona nim została wziętą przez Francuzów i częściami w powietrze wysadzoną, trzymała się znakomicie przeciw nim i straciła w swéj obronie połowę mieszkańców. Wiele doświadczyło oblężeń to bohaterskie a nieszczęsne miasto; w przeciągu jednego stulecia wycierpiało ośm długotrwałych oblężeń. Do naj-sławniejszych należy oblężenie, którem dowodził w r. 1653 marszałek francuzki Hoquin-court. Trwało ono dni 62; ale marszałek odstąpić musiał. Nieprzeliczone chmary *mosquitów*, to jest wielkich, jadowitych i skrzydlatych komarów zwały się na wojsko oblegające i zmusiły je do ucieczki. Ten fenomen poczciwi mie-

szkańcy za cud uważają. i lasce patrona swego św. Narcyza przypisują.

Od Gerony pnie się droga wolno i kręto aż do Coll de Oriols, pasma pagórków, zkąd po raz pierwszy przyjemnie zostałem zadziwiony widokiem całego łańcucha wschodnich Pyreneów, owój potężnej srebrnej krystalizacyi, lśniącój jak zwierciadło w promieniach słońca.

Łańcuch pagórków oddziela od siebie dolinę Teru od doliny Fluvia, którójto rzeki wody oblewają obszerną nizinę Ampurdan. Tu na podnóżu pyrenejskiego przedgórze leży miasteczko Figueras, a na sąsiedniej górze wznosi się sławna, na rozkaz Ferdynanda VI wystawiona cytadella, zwana: *Castillo de San Fernando*. Jestto istotnie jedna z najpotężniejszych twierdz Hiszpanii i Europy. Mury i baszty ciosane z kolosalnych bloków zastanawiają swym ogromem: jedne piętra są nad drugimi, jak olbrzymie jakie tarassy. Tyle zaś jest miejsca w tych bombo-trwałych tarassach i magazynach, że 16,000 wojska trzymać się tu może całe dwa lata, byleby miało żywność.

W wschodzącem słońcu pławił się stary śnieżny Canigou, wskazujący nam drogę do Francyi; już za wałami cydadelli zniknęły wieże miasta Figueras, przebiegamy gaik oliwny barwiący dolinę Ampurdan od Figueras aż do samego krańca Pyreneów. Jeszcze jedna dolina zewsząd granitowemi skałami opasana, kwitnąca wszystkimi barwami, a nad nią wyniesione jakieś miasteczko. To Junquera ostatnie miasteczko hiszpańskie; tu po raz ostatni wizujemy nasze paszporta. Ale już za Junquera góry skaliste zarosłe ogromnym dębem; zimno, nad naszymi głowami wiszą lawiny śniegu, i każdej chwili spaść mogą. Jesteśmy w Pyreneach, to łatwo poznać: już się widokrąg na poziom ścieśnił, najeżył stromemi skałami; patrzysz pomimowolnie w górę i końca nie spostrzeżesz tych opok, chyba w krainie wiecznych śniegów.

Na lewo, na wysokiej i łysej skale gród jakiś potężny, licznemi działami najeżony wspina się w powietrze, a na baszcie tego grodu powiewa trykolor francuzki.

Trykolorze francuzki! powiem ci tu szczerze zaraz przy wstępie do kraju nad którym powiewasz, a czasem i nie powiewasz, żeś nigdy nie wzbudzał we mnie uniesienia: ani gdym cię spostrzegł w obcych krajach na szczycie masztu, ani gdym cię niegdyś widział w Calais i Boulogne na wałach miast, odmawiają-



cych choremu cudzoziemcowi przytułku. Bo widok twój przedstawia mi zaraz ludzi targanych chciwością, pogrążonych w materializmie, zmiennych w przyjaźni, a zasłaniających się przed wyrzutami piękną barwą kawałka płótna.

Tak jest: twierdza Bellegarde wzbudzała w mej duszy tylko smutne myśli, jakieś tęskne przeczucia. Wzrosły w pracy, od lat dziecinnych jedyny pan mego losu, mierzący się ciągle z rzeczywistością życia i z siłami pracującej ludzkości, żyjąc długo w krajach, w których się wykazały skutecznymi pewne gruntowne własności charakteru: nie mogłem żadnym sposobem tak się na ślepo pokochać w Francuzach, których znalazłem po największej części miało wykształconych, i tém więcej posiadających zaradumiałości, im mniej byli zdolni sądzić o prawdziwej wartości serca lub rozumu ludzkiego.

Takie już wówczas miałem wyobrażenie o Francuzach; w dalszym ciągu tego dziełka wykaże się, o ile się myliłem lub o ile dobrze odgadywałem.

Warownia Bellegarde broni przejścia przez Pyrenee, znanego pod nazwiskiem Col de Perthus, a na jego podnóżu leży coś nakształt wioski, czyli raczej osady. Jedną ją składa ulica, przedzielona zaraz z wejścia na część hiszpańską i francuską mostem przez strumyk rzuconym. Na tym moście stoją dwie kolumny: na jednej z nich lew Kastylii, na drugiej kogut Gallii: to granica, to wioska Perthus. Już nas czujni celnicy Francyi wzięli w swe obroty, już nam rzeczy przetrząsają. Mało ich było, jak zwyczajnie u wojskowych, ale i te podpadały bardzo ścisłemu przeglądowi. W osobnym tłumoczku znajdowały się moje papiery i książki.

— A nie masz tam zagranicznych przedruków dzieł jakich francuskich?— spytał się grzecznie jeden z tych panów, *le douanier bouquiniste*, protektor literatury krajowej.

— Deklarujesz pan wobec tu zgromadzonych świadków, że żadnych nie zawiera przedruków ta paczka?— spyta dalej poczciwy celnik.

— Ja nic nie deklaruje, ani nie przeczę; może się coś wśliznęło zakazanego: przekonaj się pan, ot tłumoczek otwarty— rzekłem z obawy, ażeby nie przyszło do jakiego procesu lub do szynkany, bo o to nietrudno z celnikami francuskimi.

Pokazało się wkrótce, że *douanier bouquiniste*, protektor literatury krajowej, nie umiał czytać. Tymczasem zbliżył się

do mnie poważnym krokiem w świetnym mundurze i kapeluszu srebrnym galonem obszytym, brygadyer żandarmeryi francuzkiéj, i spytał się uprzejmie: Kto i z kąd jestem, dokąd jadę?—Oto mój paszport, jadę do Perpignan.

Poszedł go wizować brygadyer do swego biura, a ja odda-  
liłem się od szopy celnej, gdzie woźnica, eskorta, celnicy fran-  
cuzcy i hiszpańscy, żandarmerya obu narodów najnieznośniej z so-  
bą w katalońskim, zupełnie mi nieznaném i brzydkiém narzeczu  
fraternizować zaczęli.

Wstąpiłem na wysokie wzgórze i boleśnie wzruszony spo-  
glądałem na południe; tam, gdzie modre szczyty gór Gerony mi-  
goczą się i wyzierają z pomiędzy grupp granitów pyrenejskich.

Żegnałem cię piękna Hiszpanio, żegnałem was biedne dzieci  
ogrodów Hesperyjskich, w nieszczęściu jeszcze tak dumne, od  
lat tylu pokoju wyglądające, a poświęceniem swych zasad okupić  
go niechcące. Żegnałem was z ściśniętém sercem, obiecując so-  
bie, że was jeszcze raz ujrzę, gdy kosztować będziecie owocu  
tylu poświęceń i wytrwałości.

Już deklaracye podpisane, paszporty wizowane, rzeczy upa-  
kowane, konie przeprzęgnięte, eskorta wynagrodzona. Dalej do  
Erancyi! Jesteśmy na najwyższym punkcie wąwozu zwanego  
Col de Perthus. Na lewo od strony północnej stanęły przed nami  
w groźnym szeregu oświetlone rześistym promieniem północne  
Pyreee. Ostatnie góry Hiszpanii zanurzyły się szybko poza ich  
szczytem granitowym. Bądź zdrowa Andaluzyo, Murcyo, Walen-  
cyo i Arragonio! a czekaj mnie Nawarro, Kastyljo i jeszcze raz  
Andaluzyo!

Szybkim krokiem spadamy po wybornéj drodze w żyzną, bo-  
gatą dolinę Roussillonu.

Tak jak Alpy w środku Europy, tak Pyreee w zachodnim  
jéj krańcu, są wrotami prowadzącemi do Hesperyjskich ogrodów.  
Wprawdzie Katalonia i Langwedocya nietyle się różnią od siebie  
jak Bawarya i Lombardia; ale jednak i pomiędzy piérwszemi kra-  
inami przyroda już innym zupełnie znamionuje się charakterem.  
Katalonia chociaż o całe pięć stopni geograficznych wyżéj ku pół-  
nocy zbliżona jak Andaluzya, niewątpliwie południową cieszy się  
naturą. Wzdłuż całego brzegu morskiego kwitnie tam aloes  
i figa indyjska, drzewo świętojańskie, oliwne i figowe wszędzie  
najpiękniej wyrasta; w ogrodach Katalonii w zimie jeszcze udają  
się pomarańcze, a w dwóch dziedzińcach klasztornych Barcelony,

wysmukła palma pyszni się swą dumną koroną. Drzew oliwnych co niemiara nawet jeszcze w chłodnych dolinach Ampurdanu.

Nic już z téj południowej wegetacji z drugiej strony Pyrenejów. Dolina Perpignanu tylko o trzecią część stopnia wyżej położona od doliny Ampurdanu, taką posiada wegetacją, jaką się i Burgundya lub francuzka Szwajcarya cieszy. Wprawdzie tu i owdzie zoczysz kilka jeszcze plantacyj oliwek, migdałów lub fig, lecz te do nizkiego tylko dochodzą wzrostu; widać, że to nie ich ojczyzna, że tu zpod lepszego przesadzone nieba. Tylko morwo-we drzewo dobrze się udające w całym Roussilionie, przywoła jeszcze w pamięć cudną huertę Walencyi; ale zresztą jeden rzut oka przekona każdego, że daleko ztąd do ogrodów Hesperyi. Mnóstwo pięknych, naturalnych łąk, północną wegetacją przypominających, zdobi wprawdzie hrabstwo Roussilionu, ale podobne zobaczymy i u nas, choć mniej okazałemi barwami obdarzone. Krajobraz ten musi zastanowić, zwłaszcza w porównaniu z Prowancją, o pół stopnia wyżej leżącą, a jednak wegetacją swoją do południa daleko więcej zbliżoną. Ale to w oczy wpadające zjawisko nie tak trudno wytłumaczyć, jak się zdaje. Powietrze Prowancyi opławiane morzem Śródziemnym czerpie swój ciepłik z powiewów dochodzących aż z Afryki; Roussilion zaś i część Langwedocyi w mroźnych wiatrach pyrenejskich tracą część życia pochodzącego z wewnątrz ziemi. Alpy morskie zastaniają Prowancją od zimnego wiatru północnego; Langwedocya zaś staje się pastwą tegoż, góry bowiem Ceweńskie i Owerniackie są zbyt niskie, ażeby zdołały odeprzeć natarczywość zdaleka wymierzoną. Ale téż Langwedocya właśnie tym okolicznościom pozornie niekorzystnym zawdzięcza swą świeżość i żyźność, udzielającą jój tyle powabu. Klimat jój jest więcej umiarkowanym: rzadko kiedy wielkie gorąco lub dotkliwie zimno nawiedza Langwedocyą; bardzo rzadko żary piekącego Mistralu niszczą świeżość liścia, i tumanami drobnego a gęstego pyłu obsypują ziemię, liście i kwiaty.

Droga z Col de Perthus do Perpignanu bardzo jest przyjemną: schodzi ona gzygzakiem po stromiej ścianie góry raz w lewo, drugi raz w prawo. Raz mamy przed oczyma olbrzyma Canigou i północne Pyrenee, drugi raz wielką płaszczyznę hrabstwa Roussilionu i morze Śródziemne. Ale za wyniosłością Boulen zwaną, morze nagle się zapada, i już nie wyziera ani w Perpignan, ani

później na drogę z tego miasta do Montpellier; Pyreneów zaś widok towarzyszy nam wszędzie.

Wjeżdżamy na skrzypiący, łańcuchami brzęczący, zwodzony most twierdzy; już jesteśmy w długiej i krętej bramie, już i w miasto wjechaliśmy. Odbierają nam paszporty, by je przesać do prefektury, gdzie nam będzie wydany paszport tymczasowy, służyć mogący na cały pobyt we Francyi. Paszporta zaś zagraniczne bezzwłocznie odsyłają z prefektury departamentu, do prefektury policyi w Paryżu.

Perpignan, położone na płaszczynie, dość brudnym jest miastem, i nie posiada godnego widzenia.

Stajemy przed hotelem *du Midi*, i z wielką trudnością uzyskujemy mieszkanie. Wielki bowiem był ruch w mieście: dwustu przeszło oficerów najróżniejszych broni z armii afrykańskiej zjechało się tutaj do Perpignan, dla osądzenia generała francuzkiego Brossard, obwinionego przez ministeryum wojny o nadużycie zaufania i przekupstwo w sprawie traktatu Tafny, który generał Bugeaud zawarł w r. 1837 z emirem Maskary Abd-el-Kaderem.

Wiadomo, że traktat ten przyznający Abd-el-Kaderowi monarchiczną władzę nad najznacniejszą częścią Algieryi, zawartym został w celu osiągnięcia pokoju w reszcie prowincyi. Znękaną była długotrwałą wojną armia francuzka; szybki jak błyskawica oręż Abd-el-Kadera nie dał jej nigdzie wypoczynku: wniwecz obracał swemi niesłychanie śmiałymi i niespodzianymi ruchami, wszystkie z największą odwagą i mądrością przeprowadzone zamiary Francuzów, i zmusił ich do ofiarowania pokoju swemu dzikiemu wrogowi. Generał brygady Brossard upoważniony od naczelnie dowodzącego generała Bugeaud, prowadził układy z Abd-el-Kaderem, mało napozór dbającym o pokój z Francuzami, lub o samych Francuzów. Ale chciano okupić pokój wszelkimi ofiarami. Brossard wystawił położenie Abd-el-Kadera jako nadzwyczaj świetne, bogactwa jego jako wielkie, wpływ jego na umysły ludów arabskich jako nadzwyczajny. Zawarto tedy traktat z walecznym, energicznym i przebiegłym Arabem. Oddano mu trzy-czwarte części całej posiadłości Algieryi, przyznano mu tytuł emira czyli niezależnego księcia, pod tym jedynie warunkiem, żeby nowy emir trzymał w klubach niesforne plemiona Kabyłów Jurjuryi i innych okolic i zasłaniał nadbrzeża Algieryi, na których Francuzi założyli osady i kolonie, od napadów hord zbójceckich. Ale co najlepsze, dla ułatwienia emirowi

zwycięstwa nad niesfornemi Beduinami i Kabyłami, obdarzono go porządnym parkiem artyleryi i amunicją, wystarczającą na lat kilka; nadto pozwolili swym inżynierom pozakładać w jego państwie warowne zamki i wyszukać wszystkie słabe a ważne miejsca dla ich ufortyfikowania. Tak dalece zawierzyli Francuzi z przyrody tak nieufni, słowu śmiertelnego wroga ich narodowości i wiary.

Wiadomo, że Abd-el-Kader umiał korzystać z nadanej mu powagi i potęgi ze szkodą swych chrześcijańskich protektorów. Przez kilkanaście miesięcy posługiwał się Francuzami, nauczył się ich taktyki i wojennych przebiegów, a potem zbogacony w siły materialne i intelektualne, niespodzianie na nich napadł, i o mało co nie wypędził z Afryki. Teraz dopiero spadły łuszczyki z oczu Francuzów. Bugeaud obwiniony o zawarcie niekorzystnego traktatu, składa winę na swego podwładnego Brossarda, oskarża go, że był przekupionym, i w grożącym świetle wystawił położenie emira. Brossard aresztowany i pod sąd oddany. Sąd obecnie odbywa się w Perpignan. Bugeaud zwołuje stu świadków, z pomiędzy oficerów wszystkich broni i narodowości. Tyłuż przyzywa i Brossard. Mogłeś widzieć w tej gromadzie oficerów z piechoty, jazdy, artyleryi, strzelców afrykańskich, zefirów, żandarmów maurytańskich, spahisów, Maurów, Murzynów, Arabów, służących w wojsku francuzkiem. Wszystkie hotele były pozajmowane, wszystkie kawiarnie napelnione oficerami najrozmaitszych wzrostów, barw, narodowości i cer nawet. Zgiełk na ulicy, bo wszyscy w tém małym mieście zadowoleni z niespodziewanych wzruszeń i widoków, patrzyli tylko na synów i pseudo-synów Afryki, ogorzałych, buńczucznych, pieniędźmi szafujących. W jednej z najpiérwszych kawiarni, siedział sędziwy szeik Mustafa Ben Ismail, ośmdziesięcioletni starzec, a rangę generała w wojsku francuzkiem posiadający, komandor legii honorowej, z swym sztabem i najmłodszym synkiem zaledwie lat 10 mającym, brunatnym z cery jak kasztan i w biały burnus, w którym jak widemko wyglądał, ubranym. Mnóstwo go otaczało i bawiło młodszych Arabów w służbie francuzkiej i oficerów francuzkich z armii algierskiej.

Był to sędziwy starzec; biała jak mléko a gęsta, starannie uczesana broda, spadała mu po pas na piersi, tak, że zasłaniała dekoracje i bogaty haft purpurowego kaftana. Burnus nosił bieluteńki, do głowy odzianej w batystowy czepiec złotym sznu-

rem przytwierdzony. *Dziabbadony* miał zielone, szerokie, do kolan spadające, a na nogach buty z czerwonego, bogato złotem haftowanego safianu.

Ten Arab miał dostojną, dobrocią i energią tchnącą twarz; już w późnym wieku szczerze Francuzów pokochał, walczył ciągle w ich obronie, i w osmdziesiątym siódmym roku życia swego zginął bohatersko na placu boju. Abd-el-Kader w którego ręce dostało się ciało sędziwego szeika, kazał mu ściąć głowę, i dla zastraszającego przykładu, na włóczni po duarach arabskich obnosić.

Kilku było młodszych muzułmanów, także dekorowanych, w orszaku szeika Mustafy Ben Ismaila, ale ci mniej mi się podobali, bo odstąpili od dobrych zwyczajów, które im religia nakazywała:—od skromności w mowie i w napoju; owszem kleli po francuzku od najbrzydszych słów jak prawdziwi poganie, a pili haniebnie. Zadziwienie ztąd moje wyjawilem jednemu wojskowemu lekarzowi z armii afrykańskiej, siedzącemu około stołu, na którym odbywała się orgia ponczowa.—„To nie synowie pušczy i duarów, ci panowie poczynający cywilizacją od klątw i pijaństwa, to Maurowie; wielka pomiędzy niemi a Arabami różnica. Maur z wielką łatwością przejmuje nałogi europejskie, a cnót nie nabędzie; zupełnie odwrotny stosunek z Arabami: Arab niełatwo na naszą przejdzie stronę, lecz gdy przejdzie, cnót swych nie pozostawi w duarze.” Trafne było zdanie mego kolegi; sto miałem sposobności przekonać się o tém później.

*A propos* procesu generała Bugeaud przeciw generałowi Brossard, winienem tu dodać, że słabszy został tu poświęcony mocniejszemu.

## II.

### Z Perpignan do Narbonne.

Z pół godziny przed zejściem słońca za śnieżne pasmo Pyreneów, opuszczam Perpignan przez okazałą bramę *Notre Dame*, najezoną wiezami, wieżyczkami i niezliczoném mnóstwem zębanych strzelnic. Piękny to pomnik architektury gotycko-normandzkiej. Dążymy ku Montpellier przez Narbonne i Beziers, ale przede-wszystkiém przez Rivesaltes, miasteczko słynne z dobroci swych

win, a w żyznej okolicy o dwie mile od Perpignan położone. Podróżuję w towarzystwie dwóch tuzinów uczestników najrozmaitszych płci, wieków i stanów, rozdzielonych jak można najsumienieńniej na *Imperiule* i *Cabriole*, w *Coupé intérieur* i rotundzie jednego z najstarszych i najcięższych dylizansów Francyi i Nawarry. Miejsca właściwie było tylko na 20 osób, i w tym komplecie wyjechaliśmy z domu pocztowego; ale za miastem w pierwszej oberży czekało nas jeszcze czterech, listą dylizansową nie objętych passażerów. Konduktor kazał stanąć i wciągnął dwóch przybyśzów na *Imperial*, jednego zapakował do *Intérieur*, pomimo protestacyi innych passażerów, a czwartego używszy do téj operacyi rąk i nóg wcisnął gwałtem pomiędzy cztery ogromne mamki, podróżujące z pokarmem do Montpellier dla wyszukania sobie miejsca. Takie się bezprawia działy jeszcze we Francyi i w chwili gdym do niej przybył w r. 1839, i w chwili gdym ją ostatecznie opuścił w r. 1848.

Dobrze przynajmniej, że nam do *Coupé* nie wciśnięto jakiego nieproszonego gościa, ale tego byłby się nie odważył zrobić konduktor. Miejsca w *Coupé* są najdroższe: jest ich tylko trzy: jedno dla konduktora, dwa dla gości. Konduktor ma tu swoje korbę do hamulca, którą obraca prawie bezprzestannie gdy dylizans idzie z góry, i odkręca znów, gdy idzie pod górę. Siedzimy tedy w *Coupé*: konduktor, ja i ksiądz jakiś w średnim wieku, długiego nosa, ciemnego oblicza, i chudój, suchój postaci, jedném słowem, byłto ksiądz Południa.

Konduktor wsadzając nas na miejsca przeczytał nazwiska nasze, przekrzywiając je należycie według francuzkiego zwyczaju. Mnie nazwał doktorem Trolein, panią jakąś nazwiskiem Verandat, *Madame Ver-à-soie*, a księdza Annesson, *labusiem* Hanne-ton. Ztąd gniew i reklamacye, mianowicie ze strony księdza, bardzo obrażonego w swój godności z tego porównania go do chrabąszcza. Ale wszystko nareszcie ucichło. Słońce zapadać zaczęło, wieśniacy wracają z pól do chatek brzydkich, niemalowniczych, z kamienia nieociosanego, po największej części na piętro wzniesionych, a łupkowym kamieniem pokrytych. Wieśniacy noszą tu jeszcze owę katalońską jaskrawą czapkę, do długiej szlafmycy podobną, a *gorro* zwaną; ale zresztą manta katalońska i przepaska ustąpiła bluzie w całej Francyi tak upowszechnionój, że wszelki strój narodowy z niej zniknął. Dylizans suwał dosyć szybko po dobrze utrzymanej szosie, chociaż go niebardzo tęgie

dandrygi francuzkie ciągnęły. Zpod rogatego kapelusza i czarnego płaszcza strzelał na mnie ksiądz Annesson, niepewny czy warto się wdać ze mną w rozmowę, czy nie; francuzka ciekawość przemogła nareszcie. Labuś wiedząc już, że jestem lekarzem, zaczął z medycznój beczki: mówił wykwintnie, ostrożnie i dobrze, i postępując najdelikatniej wywiedział się jednakże w krótkim czasie gdzie się urodził, zkąd przybywam, dokąd i po co jadę, i to chwalać mnie w wyrazach pełnych namaszczenia za zamiar wypożyczenia na ławach uniwersyteckich po trudach wojennych, przeżycia razy kilka otrzymanych wrażeń, nim je przetrawię i część najlepszą we własną zamienię substancją.

— Zapał religijny jeśli trwa jeszcze, to tylko dlatego, że massa narodu nie prześlą dotąd wiarą w swe własne siły, nie przeszła ową zarozumiałością, która największą jest nieprzyjaciółką religijnej wiary; ale mniejsza o tę tam rzewność religijną, objawiającą się częstokroć i w najgorszych sercach, u bałwochwalców nawet; tu idzie o świetność, o potęgę téj wielkiej ojczyzny, którą my nazywamy ogólnym kościołem, a ta ucierpiała bardzo wiele w Hiszpanii od czasu zniesienia inkwizycyi i klasztorów, od konfiskaty dóbr kościelnych. Kościół dzisiaj nie jest potęgą, lecz proletaryuszem zebrzącym jak inny jaki zakład dobroczynny o swą istność.

Teraz dopiero pojąłem do czego zmierzał ksiądz Annesson kapłan religii, ale przedewszystkiém urzędnik powszechnego, w uosobnieniu najsubtelniejszém pojętego kościoła; i kwestyi téj bardzo drażliwej dalej nie rozwijałem, bo na tém polu daleko mniej byłem mocnym jak ksiądz Dobrodziój, mający pod wszystkiemi względami bardzo jasne wyobrażenia o swym osobistym interesie. Ksiądz francuzki posiada pełną wiedzę swych obowiązków i pełni je, jeżeli nie w duchu chrześcijańskim, to przynajmniej z skrupulatnością rafinowaną; ale téż obok téj wiedzy obowiązków, czuwa ciągle w duszy księdza francuzkiego wiedza praw, przywilejów, powinności, zaszczytów i swobód jemu i kościołowi należnych. Broń Boże! żebyś mu w czémkolwiek naruszył własności, nie oddał tego co mu się należy, zaniedbał w najmniejszej rzeczy kościoła dla religii: wówczas ujrzysz w księdzu nie kapłana boskiego, lecz prostego stróża kościelnego, umięjącego upomnieć się *ungue et rostro* o swój materyalny interes.

*Abbé Annesson* wywiadywał się, co się tam dzieje w Hiszpanii z owym *padrem* Cynillo biskupem Ptolomaidy i spowiednikiem Don



Karlosa, co porabia ksiądz Merino i święty braciszek Saturnino. Ja odpowiedziałem: że *padre* Cynillo ów biédaczek o którym z takim pogardliwem politowaniem ksiądz Annesson mówił, jest dobrym świętym księdzem, który infanta już oddawna nakłaniał do zaniechania swych pretensyj, tyle krwi niewinnój kosztujących; zaś poczciwości człowiek ksiądz Merino, choć ma lat przeszło 60 i przytém dwie ruptury, i choć go na konia wsadzać muszą i do niego przywiązywać powrozami: chętnie jednakże ugania się dniem i nocą za gwardzystami narodowemi królowej Izabelli, a chętniej jeszcze ich wiesza, poczciwiec. Miły zaś *frayle* Saturnino niedawno z oddziałem bandytów otoczył dom brata swego oddanego sprawie donny Izabelli i spalił go wraz z jego żoną i pięciorgiem dzieci; ale podczas téj operacyi klęczał, bił się w pierś i prosił, aby Bóg raczył wybaczyć grzesznikowi, którego sroga sprawiedliwość ludzka już dosięgła.

— Oh! jakato silna wiara w tych dzikich, namiętnych ludziach! Przyznaj Pan, że jest coś poszanowania godnego w téj zawziętości — rzecze dumnie ksiądz Annesson.

— Człowiek, przejęty prawdami przez Chrystusa objawionemi, dzikim być nie powinien; kapłan poświęcający życie największego zbrodniarza jest potworem, mój dobry księże—odpowiedziałem. A *Abbé* Annesson widząc, że się na jedno nie zgodzimy, życzył mi dobrej nocy, w płaszcz się systematycznie otulił, paciérz zmówił i usnął snem sprawiedliwych.

Tak jest: we Francyi południowój, nawet pomiędzy kapłanami więcéj znalazłem nietolerancyi, fanatyzmu i zawziętości, jak pomiędzy wieloma księżmi hiszpańskimi. Księża Karlistowscy, zakonnicy czy świeccy, doznawali serdecznego spółczucia ze strony duchowienstwa francuzkiego w prowincyach południowych. W samym Montpellier przeszło 200 takich księży żyło w swobodzie i opływało w dostatki; przez szpary patrzano na ich częstokroć bardzo niemoralne życie, na ich prawdziwie gorszącą gnusność i zawziętość.

Ksiądz zasnął; konduktor korbą kręcił i po katalońsku szwargotał z pocztylionem; ja owioniony jakimś nieprzyjaznym wiatrem, zasnąć nie mogłem. W Rivesaltes przeprężono konie, i tu jeszcze pocztylioni, wieśniacy, a nawet pocztmistrze po katalońsku mówili, i na dwóch czy trzech innych stacyach jeszcze toż samo. Zniecierpliwiony tém narzeczem, którego ani słowa nie pojmo-

łem, pytam się konduktora, rychło staniemy we Francyi, przynajmniej w kraju, w którym lud po francuzku mówi.

— Ho, ho! daleko ztąd do takiego kraju: tu mówią po katalońsku, w Langwedocyi po langwedocku, w Prowancyi po prowensalsku, w Aveyront po owerniacku, w Nawarze po basku, w Bretanii po bretońsku. Nie każdy Francuz zna język francuzki: ledwo trzydziesta ich część go rozumie, ledwo setna nim mówi, ledwo dziesięcio-tysięczna nim pisze; pozna to Pan później. Raz, zdarzyło mi się widzieć jedénastu Francuzów razem, z których jeden drugiego nie a nie nie rozumiał. Był w tém szanowném gronie: Roussilionczyk, Langwedok, Prowansal, Nawarrczyk, Owerniak, Bretończyk, Normandczyk, Burgończyk, Alzaczyk, Lotaryńczyk i Wallon. Nigdy w mojem życiu nie widział coś ciekawszego, jak ów gabinet naturalny, złożony z Francuzów niemówiących po francuzku i nierozumiejących się pomiędzy sobą. Było to w czasie wojen cesarskich, gdzie najróżnorodniejsze żywioły narodowe częstokroć w skład jednego plutonu wchodziły—ciał dalej konduktor, stary wojskowy, który raz się rozgadawszy, przestać nie był w stanie.—Ale i dziś pod tym względem nie poprawiła się oświata; chłop nasz przymuszony pracować z wielką usilnością, żeby choć trzeci procent wydobyć z téj urodzajnej ziemi, nie ma czasu kształcić się, a nawet dzieci swe, zdolne pomagać mu w uprawie gruntu i podczas żniwa, niechętnie posyła do szkółki. Chłopa francuzkiego pod względem naukowości, ani równać można do chłopca niemieckiego; ale znów z drugiej strony, choć mniej posiada oświaty książkowej, duszę ma szlachetniejszą każdy Francuz od Niemca. Wojsko niemieckie bez kaprała z kijem obejść się nie może; a najgorszy nasz rekrut, bohaterem jest jeszcze w porównaniu z najlepszym niemieckim żołnierzem. A tak z méj mowy najoczywiściej wykazuje się, że choć wielu Francuzów po francuzku nie mówi, lub tak źle mówią, jak krowa hiszpańska: przecież duszą i męstwem każdy tu urodzony człowiek wyższym jest od cudzoziemca, chociażby się ten nawet za drogie pieniądze nauczył po francuzku. *Voilà ce qui est prouvé et bien prouvé.*

Tak skończył swą mowę konduktor, spojrział się na mnie z tryumfem, dumny jak indyk z swéj wymowy, i znów zaczął kręcić korbą jak mógł najspieszniej, bo z góry zjeżdżaliśmy w obszerną dolinę.

To dolina Narbony, błyszcząca wszystkimi odcieniami kolorów majowych w świetle świeżo wschodzącego światła słonecznego. Rozkoszne są te lany pokryte purpurowym kwiatem konieczyny (*Trifolium incarnatum*. Lin.), i różowo kwitnącą esparcetą (*Onobrychis sativa*. Lanck.), urozmaicone szmaragdowym liściem topoli, wiązu i dębu, i przypruszone śniegiem drzewa owocowe. Ach! to dawno nie widziane rośliny Północy! Tak wyglądają okolice rodzinnej zagrody mojej, tylko okazalsze; skowronek nuci tęsknięj, i bocian ukochany przyjaciel mój krainy, stąpa po łące poważnym krokiem, a połowica jego na wysokim drzewie strzeże zadatków przyszłego potomstwa.

Witajcie mi drzewa i kwiaty Północy, znużonego żarem Południa przyjmijcie pod cienie wasze! Chłódźcie Eole północne krew wrzącą wspomnieniami uroczych ogrodów Hesperyi, abym nie zatęsknił nigdy do stron dalekich, do widowni lat młodości mojej.

Zbliżamy się do miasta; to Narbona, dawna *Narbo Martius*, *Julia Paterna*, *Colonia Decumanorum*, dziś stolica departamentu. Z jednej strony jeziorem styka się ze Śródziemnym morzem, a z drugiej kanał przezwany południowym (du Midi) łączy ją z oceanem. Narbona pierwszą była kolonią wysłaną r. 121 przed Chrystusem z Rzymu do Gallii, liczyła 40,000 mieszkańców i zawierała traktaty kupieckie z Konstantynopolem i Alexandryą. Później była stolicą królów saraceńskich przez lat 45, i wiele pomników z czasów rzymskich i maurytańskich w sobie zawiera. Dziś Narbona jest tylko miastem zaledwie 11,000 ludności mającym, bo dała się wyprzedzić innym później powstałym, co z czasu i sposobności lepiej korzystać umiały. Ale dlatego Narbona nie jest ogołoconą z zakładów świadczących o rzeźwości umysłowej mieszkańców: biblioteka, ogród botaniczny, muzeum, szkoła żegluggi, towarzystwo archeologii i estetyki: wszystkie te zakłady kwitną i udzielają miastu choć szczupłemu, uroku wyższej umysłowości.

Jak niegdyś Kreta w Grecyi, tak dziś we Francyi słynie okolica Narbony z pracowitości pszczół tamecznych i z dobroci miodu. Kształtem zewnętrznym, poczeiwe te pszczoły nie różnią się wprawdzie od naszych, chyba tylko świetniejszą barwą. Zdają się, jak gdyby z listków złota były ulepione; ale miód za to, wszystkie inne mi znane przewyższa smakowitością. Przesiąkły aromatami, jak gdyby zaprawiony jakimi subtelnymi olejkami, cztery razy do roku w różnych porach zbiera się tutaj, a za każdym razem

innemi pachnie kwiatami i inne nawet posiada własności lekar-  
skie, bardzo cenione przez ludzi nielubiących wymysłów farma-  
ceutycznych.

Najwięcej pasiek i ulów napelnionych sławnym miodem nar-  
bońskim znajduje się w pobliskich górach *Corbières*. W tychże  
górach, uczony geolog Tournal odkrył kości skamieniałe przed-  
potopowych zwierząt, nie bez interesu dla nauki.

Samo miasto nieokazałe; mieszkają w niem tylko ci, co  
sobie pałacyków i willij w bliskości wystawić nie mogli. Fran-  
cuzi południowi najbardziej lubią się skupiać na spacerach, publi-  
cznych placach i kawiarniach; w familijném życiu odosobniają się  
jak mogą najbardziej; gościnności nie pojmują: ani owéj kosztow-  
nej, hucznej jak na Północy, ani owéj taniéj, wesołej jak w Hi-  
szpanii. Lękają się wydatków, komerażów i plotek; żyją w do-  
mu jak mruki, ale w kawiarniach i w salach posiedzeń, rozwi-  
niają życie i czynność, któremi ich natura obdarzyła.

Narbona, siedlisko arcybiskupa, posiada gotycką katedrę  
wcale piękną, ale co do okazałości i bogactwa, równać się nie-  
mogącą z katedrami hiszpańskimi, nawet trzeciego rzędu. Na  
35 kobiet, ledwo jeden był mężczyzna w kościele; wnioskować  
z tego należy, że we Francyi kobiety nabożniejsze. Tak téż jest  
w istocie: mężczyźni jeśli chodzą do kościoła, to po największej  
części dlatego tylko, żeby ich żony w wierze i w religijnych obo-  
wiązkach nie ostygaly.

Po dwugodzinnéj wycieczce po Narbonie, wracam do hote-  
lu dylizansów, gdzie właśnie konduktor krzyczy:—*En route Mes-  
sieurs! en route! le quart d'heure de grâce s'est écoulé; en  
route!*

Zostawiwszy połowę obiadu, zapłaciwszy zaś za cały, wsia-  
damy. Labusia już obok mnie nie ma: został widać w mieście,  
a kto inny jego miejsca nie zajął. Niezmiernie z tego zadowolony,  
rozpiéram się do woli po bezsennie strawionéj nocy. Ale  
szczęście mi niedługo sprzyjało. Wyjechawszy za miasto i przed-  
mieścia, zapuszczamy się w drogę żywemi płotami gęsto zarosłą,  
gdzie na prawo i lewo, wpośrodku pól i ogrodów, pełno nado-  
bnych willij, pałacyków, małych folwarków i karczemek. Sta-  
jemy przed jedną z tych karczemek, na której szyldzie napisane:  
„*Au St. Chrysostome. Vin, lait, miel, fromage, pain, foin et  
avoine, et rien de plus, jamais!*” Gospodarz karczemki stał  
przed szanownym tym zakładem z mnóstwem kufereków, pak i pa-

czek. Byłto jegomość dostojny, objętości dwurocznego słonia, ozdobiony na płaszczu, paltocie i spancerku, wstążką orderu legii honorowej. Już niemłody, miał cokolwiek szpakowate, kędzierzawe i krótko strzyżone włosy, faworyty gęste jak szczotki, ale krótko, na czerstwych policzkach na wysokości linii ustnej zatrzymane; wąsy w górę zaczesane, groźnie sterczące; w brwiach najezonych, w oczach wielkich sino-niebieskich żywość, bystrość, cały ocean przytomnej, ciągle czuwającej roztropności i nieufności zarazem; w ustach niepohamowana gadatliwość i wyraz przebiegłości; w brodzie fioletowo wygolonej, oho! ogromna krnąbrność i siła woli, ale w nosie nieproporcjonalnie małym, coś drobnostkowością i egoizmem tchnącego.

Poznałem zaraz z pierwszego wejrzenia, że to musi być *un vieux de la vieille* i nie omyliłem się, bo skoro go tylko zoczył nasz konduktor stary podoficer, zaraz zaczął mu oddawać ukłony wojskowe i witać słowami: „*Salut capitaine!*” Na co mu jegomość z wstążkami odpowiedział:

— *Bonjour mon brave, bonjour, faites monter mes paquets*, tylko ostrożnie, bo tam same szkła, jak to widzisz z kieliszków wymalowanych na wieku i z wyrazu *fragile*, wypisanego na nich bardzo kaligraficznie.

— *Connu, connu* mój kapitanie; żeby te paki zawierały kule i kartacze, toby kapitan malował na nich kieliszki, lękając się, żeby się nie potłukły. Znamy się na tych figlach, ale to nie nie szkodzi taka ostrożność, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże; nie obawiaj się kapitanie o te séry i plastry miodu, dowieziemy je zdrowe do twych dzieci do Montpellier.

— Słuchaj konduktorze, niech mnie djabli biorą, tak jak się nazywam kapitanem Bourdan z gwardyi grenadyerów konnych, to *Rivalsalles*, najszlachetniejszy *Rivalsalles*, a nie bomby, kartacze, placki i séry. Ostrożnie z niemi, na Boga! Każda butelka warta trzy franki, a jest tego z pięćdziesiąt, co stanowi summę nie lada.

Wciągnięto paki na dylizans, kapitan jeszcze raz, może po raz dziesiąty, polecił swemu zastępcy w karczmie, żeby nikomu na kredyt nic nie dawał, w rachunkach się nie mylił na swoje niekorzyść, gościom częstym dawał lepsze, przypadkowym gorsze jadła i napoje, żeby psy regularnie wypuszczał na dziedziniec, łapserdaków pieszo podróżujących nocną porą do domu nie wpuszczał, ognia pilnował, krowie ocielonej dawał pić *biało* (to jest otręby z wodą), koniom krew puścić kazał, dziewczki z oka nie

spuszczał, i nareszcie przeżegnawszy dom i pole, wpakował się nie bez wielkiej trudności do *Coupé*, którego ogromną postacią zajął więcej daleko jak dwie-trzecie miejsca.

Już miała ruszać ciężka maszyna, ale ją wstrzymał kapitan tubularnym *halle lu*; wychylił głowę za okienko dyliżansu i rzekł do gospodarza swego: „Słuchaj stary *Jean Pierre*, zostawiam ci i wszem to wobec głoszę, wzywając na świadka Boga i tu przytomnych ludzi, zostawiam ci stary grzeszniku w moim domu: pięćset funtów siana, sto garncy owsa, pięćdziesiąt butelek starego pieczętowanego, 150 młodego pieczętowanego, dwa antaiki pikiety, osmdziesiąt funtów séra, trzydzieści miodu, sągów drzewa cztery, dwa konie, jedenaście krów, cztery cielęta, pięćdziesiąt dwa ulów pszczół i dziesięć franków na nieprzewidziane przypadki. Słuchaj stary grzeszniku, ani mi się upijaj, ani się nie daj oszukać; dziewczki trzymaj w rygorze, żandarmom nigdy nic więcej jak pół butelki wina, funt chleba i ćwierć funta séra, ognia pilnuj, pieniądze ściskaj. Wybiéram się na cały tydzień, ale może jak *Lomba* już jutro tu wpadnę; a niechże cię jasny piorun trzaśnie, bądź zdrów stary panie *Pietrze*: wiedz, że interes służącego jest interesem pana, czyli raczej, że interes pana jest interesem... Ruszaj w imię Boga! Ach! co to za biéda mieć syna notaryusza w uniwersytecie; dalibóg oddam go do wojska, niech służy *Ludwikowi Filipowi*, *au Roi po-po*, *au Roi pu-pu*, *au Roi lai-lai*, *au Roi populaire*, *au Roi citoyen!*“

Nim skończył kapitan Bourdon, pocztylion zaciął konie, a *Jean Pierre* stał ciągle z gębą otwartą, udając może większego głupca niż nim był w istocie.

— Coś papa Bourdon w niedobrym humorze?—odezwie się konduktor do ogromnego przybysza, ocierającego pot czoła jedną ręką, a zażywającego tabakę drugą.

— Oto—na spostrzeżenie odpowie nasz podróżny—ciekawym w jakim byłbyś humorze, gdyby ci syn zrobił w jednym roku 115 franków, 75 centymów długu, a przytém stracił jedną inskrypcyą (wpis uniwersytecki), co pociąga za sobą stratę trzydziestu franków i całego kwartału czasu?—odpowie kapitan — To niemała kłeska, *sabre de bois* dla mnie.

— Nie wiem, kapitanie, wiem tylko, że syn mój niewiele starszy od pańskiego, jest porucznikiem artyleryi, i zem nigdy grosza złamanego na wychowanie i na spłacenie długów jego nie wydał.

— *Cré nom de Dieu!* — krzyknął kapitan i gniew na jego wyrazistój twarzy błysnął jak piorun na zachmurzoném niebie — *cré nom de Dieu*, ale twój syn składał przysięgę *au Roi Po-po!*

— A my składali przysięgę *au Roi Fi dom*, pamięta kapitan, już w roku trzynastym, po abdykacyi w Fontainebleau, a Bóg tam wie ile przysięg jeszcze składać będziemy. U nas grunt rzeczy: — żeby nie było biedy w kraju: reszta to fraszki, mniejsze lub większe fraszki, ale dalibóg zawsze fraszki w porównaniu z nędzą osobistą i z nędzą w kraju.

Stary sierżant trafił jakoś staremu kapitanowi właśnie w ceno; zamilkł téż odrazu stary wiarus jak trusia i aciekł się do fortelu, którym Francuzi chcąc nie chcąc kończą nieraz wszystkie dysputy na politykę zakrawające: zaczął nucić Marsyliankę pod nosem wprawdzie tylko, ale wyraźnie. Zrazu i konduktor siedział cicho, potem wolniuchno nosem, nie otwierając ust wtórował, potem jakoś zwrotka wyraźniej wydierać mu się zaczęła z ust ściśnionych, nareszcie ni ztąd ni zowąd kapitan i sierżant razem zaryknęli stentorowskim, choć djabło chrapowatym głosem: *Marchons! marchons!* i już była zgoda w obozie. Kapitan sięgnął po butelkę do *sac de voyage*, odkorkował ją, napełnił dobrym *Rivesaltes* szklanke, bez której nigdy nie miał zwyczaju puszczać się w podróż, i rzekł: *à Vous vieux de la vieille!*

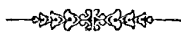
A wychylił dobrze.

— *Me voilà donc enfin en France!* — krzyknąłem pomimowolnie głosem, jak gdyby z procy wyrzuconym.

— *Tiens!* powie kapitan, *mais voici donc un tiers*, tak jak gdyby mnie jeszcze nie był widział.

Rozumié się samo przez się, że po króciuteńkich objaśnieniach, młody, z dalekich krain przybyły kolega, przyjętym był *à bras ouverts* do grona starych wiarusów, niedowierzających, egoistów, ale doprawdy z zapału szlachetnego w wielu względach jeszcze nieogłoconych. Strona żołnierska w tych starych zabytkach czasów bohaterkich zupełnie była czystą i nietkniętą, egoizm jeszcze w nich do tego stopnia nie owionął pamięci, żeby w niej nie pozostała pewna serdeczność względem dawnych towarzyszków broni, lub dla ich dzieci.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# O BURZACH GRADOWYCH W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

PRZEZ

Józefa Sapalskiego.

---

Przyroda otwiera przed nami księgę, w której sam  
Stwórca myśl swoją nakreślił.

nie masz podobno kraju na kuli ziemskiej, któryby nie ulegał nadzwyczajnym zjawiskom fizycznym. W jednych bywają silne i niszczące trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne, w drugich niestłuchanej siły i potęgi orkany, w innych znowu ulewne deszcze i grady. Nasz kraj lubo nie może się policzyć do okolic gdzie panują trzęsienia ziemi lub wybuchy wulkanicznej lawy, wszakże często podpada burzom gradowym, a niekiedy i trąbom powietrznym.

Jedną z największych plag, która każdego lata trapi naszych rolników, a przez podrożenie żywności, daje się czuć we wszystkich gałęziach przemysłu krajowego, jest bez wątpienia gradobicie, prawie zawsze połączone z silną burzą, która szerokimi pasami niszczy lasy i wyrwaca budowle, te nawet, które według wszelkich zasad budownictwa były wzniesione. O ile nam można w zebraniu faktów dozwoliła, poszczególnimy tu wypadki, zasze w dziewięciu latach, to jest od roku 1843 do 1851.

## *Okolice w których panowały burze.*

Śledzącemu pilnie i z uwagą wypadki gradobic, oraz bieg i kierunek chmur gradonośnych, potrzeba wskazuje nasz kraj po-



dzielić na okolice, w których bezpośrednio i odrębnie przebiegały burze. Burze gradonośne, szczególnie te, które przypadają w okolicach: północnej, zachodnio-północnej i wschodniej, do których także policzyć można okolicę zachodnią, zwykle nie zajmują wielkiej przestrzeni i nie tak są częste.

W okolicy *północnej* chmura gradowa w kierunku od zachodu północnego czyli od morza Bałtyckiego, roku 1843, dnia 13 czerwca przebiegła powiaty augustowski, sejneński i kalwaryjski.

W okolicy *zachodnio-północnej* chmura gradowa w kierunku od zachodu ku wschodowi, roku 1845, dnia 9 lipca, przebiegła wązkim pasem powiaty: przasnyski, pułtuski, stanisławowski, aż do łukowskiego położonego w okolicy wschodniej.

W okolicy *zachodniej* podobnież w kierunku od zachodu ku wschodowi, roku 1849, dnia 17 sierpnia przebiegła powiaty kaliski, koniński, łęczycki i gostyński.

Inne jest wcale położenie okolicy *południowo-zachodniej*: mając przed sobą góry Karpackie, Bieskidy, Małe Karpaty, góry Olbrzymie, Luzackie, Kruszcowe, najwięcej jest wystawiona na potężne i niszczące burze, które przechodząc szerokimi i długimi pasami w okolicę *południowo-wschodnią*, sięją bardzo często niezmierną masę gradu.

Roku 1848, dnia 19 i 20 czerwca chmura gradowa przebiegła powiaty: wieluński, sieradzki, piotrkowski i opoczyński, olkuski i stopnicki, z kąd przeszła w okolicę południowo-wschodnią, to jest: w powiat sandomierski, kielecki, opatowski, radomski, lubelski, zamojski i hrubieszowski.

Roku 1849, dnia 17 czerwca, druga chmura gradowa przebiegła w téjże okolicy południowo-zachodniej, a mianowicie powiaty: wieluński i sieradzki, piotrkowski i opoczyński, z których przeszła w okolicę południowo-wschodnią, jakoto: część radomskiego, opatowskiego, i nieco lubelskiego, i jednocześnie w okolicę zachodnią, gdzie przebiegła cały powiat rawski, część warszawskiego, szczególnie okrąg czerski (1), część stanisławowskiego; dalej poszła w okolicę wschodnią, to jest powiat radzyński, którego nawiedziła stronę północną, łukowski cały, siedleckiego gminy południowe, a bialski prawie cały.

(1) Jak widać z dostrzeżeń zebranych przez *Magiera* od r. 1804 do 1828, oraz z pism peryodycznych, okolice Czerska w powiecie warszawskim najwięcej ulegały gradobiciom.

Jeszcze w tój samėj okolicy południowo-zachodniėj chmura gradowa roku 1851, dnia 12 maja przebiegła powiaty olkuski, opoczyński i miechowski, z których przeszła w okolicę południowo-wschodnią, jakoto: w powiat sandomierski, kielecki, opatowski, lubelski, zamojski, krasnostawski i hrubieszowski.

Oczywistą więc jest rzeczą, że okolica wschodnia i zachodnia, oraz południowo-wschodnia, prawie zawsze bywają, nie miejscowemi chmurami gradonośnemi niszczone, ale naszłemi z okolicy południowo-zachodniėj. Burze zaś miejscowe, które przebiegają po kilka mil wzdłuż i poprzek, mniej więcej zdarzają się we wszystkich okolicach, kończąc gradobiciem w jednej lub kilku gminach.

Według zebranych wiadomości od roku 1843 do 1851, gradobicie było w okolicy północnej 21; zachodnio-północnej 20; zachodniėj 39; południowo-zachodniėj 54; południowo-wschodniėj 52; wschodniėj 24 (1).

Średnia więc liczba gradobicie przypada na rok jeden w okolicy północnej 2,3; zachodnio-północnej 2,2; zachodniėj 4,3; po-

(1) Gradobicia były w następujących powiatach:

a) *Okolicy północnej.*

maryampolski . . . . .	3
kalwaryjski . . . . .	6
sejneński . . . . .	3
augustowski . . . . .	4
łomżyński . . . . .	5

b) *Okolicy zachodnio-północnej.*

włocławskim . . . . .	5
lipnowskim . . . . .	4
płockim . . . . .	2
mławskim . . . . .	3
przasnyskim . . . . .	1
pułtuskim . . . . .	3
ostrołęckim . . . . .	2

c) *Okolicy zachodniėj.*

kaliskim . . . . .	7
konińskim . . . . .	2
łęczyckim . . . . .	4
gostyńskim . . . . .	6
łowickim . . . . .	1
rawskim . . . . .	8
warszawskim . . . . .	6
stanisławowskim . . . . .	5

d) *Okolicy południowo-zachodniėj.*

wieluńskim . . . . .	10
sieradzkim . . . . .	9
piotrkowskim . . . . .	8
opoczyńskim . . . . .	9
olkuskim . . . . .	11
miechowskim . . . . .	2
stopnickim . . . . .	5

e) *Okolicy południowo-wschodniėj.*

sandomirskim . . . . .	5
kieleckim . . . . .	3
opatowskim . . . . .	7
radomskim . . . . .	5
lubelskim . . . . .	11
zamojskim . . . . .	7
krasnostawskim . . . . .	7
hrubieszowskim . . . . .	7

f) *Okolicy wschodniėj.*

radzyńskim . . . . .	8
łukowskim . . . . .	6
białskim . . . . .	2
siedleckim . . . . .	8

łudniowo - zachodniej 6; południowo - wschodniej 5,7; wschodniej 2,6.

W téjże epoce było dni w których szkodliwy grad padał w miesiącach: kwietniu 1; majowych 10; czerwcowych 38; lipcowych 31; sierpniowych 18.

Średnia zatem liczba dni w całym kraju przypada na miesiąc kwiecień 0,1; maj 1,1; czerwiec 4,2; lipiec 3,4; sierpień 2.

Począwszy od połowy maja do połowy sierpnia, grady spadają zwykle połączone z silnymi burzami i uraganami. Od połowy sierpnia do 1go września rzadko pada grad, jednak bywa dla plonów szkodliwy (1).

Wedle dostrzeżeń zebranych w obserwatorium astronomicznym warszawskim, od roku 1843 do 1851 było burz gradowych w miesiącu kwietniu 10; maju 4; czerwcu 7; lipcu 9; sierpniu 4.

Średnia zatem liczba przypada na kwiecień 1,1; maj 0,4; czerwiec 0,7; lipiec 1; sierpień 0,4.

Rzecz godna uwagi, że kiedy w powiecie warszawskim od r. 1843 do 1851 było dni 6, w których grad poczynił wielkie szkody; w samej Warszawie w téjże epoce w ogrodzie botanicznym jedynie raz spadł wielkości laskowego orzecha d. 18 lipca 1851 r.; zresztą bywał nie większy od ziarnka grochu (2).

### *Pasy chmur gradonośnych.*

*Tessier*, jeden z uczonych francuzkich, opisując burzę gradową, która roku 1788, dnia 13 lipca, powstała w południowej Francji w *Touraine* około *Loches* i ciągnęła aż do *Utrechtu*, powiada, że chmura gradonośna posuwała się w dwóch oddzielnych i równoległych pasach w kierunku od południowego wschodu, do

(1) Był przykład, że w marcu 1823 r. padał grad w Warszawie, a d. 4 września t. r. między Szczucinem i Stawiskami (p. łomżyński), na przestrzeni  $3\frac{1}{2}$  mili pokrył pola na kilka stóp wysokości. Tegoż dnia padał w Kurzelowie w Krakowskiem, poczem wielkie nastąpiło zimno.

(2) Znajdujemy w dostrzeżeniach meteorologicznych *Magiera*, że grad większy od laskowego orzecha padał w Warszawie r. 1820, d. 19 maja o godzinie 2 po południu i leżał do 9 w wieczór; r. 1822, d. 16 lipca o godzinie 3 po południu, wyrównywał wielkości włoskiego orzecha. Spadł on nie na wszystkich ulicach; na jednym końcu ulicy Długiej padał, na drugim wcale nie.

północnego zachodu. Jeden z tych pasów miał długości 175 mil francuzkich (licząc na stopień 25), drugi 200. Szerokość pierwszego, to jest zachodniego, wynosiła 4 mile; drugiego 2. Przestrzeń między dwoma temi pasami wynosiła 5 mil, i pokryta była chmurami, które skrapiały okolice obfitym deszczem. Burza ta podług dokładnych obliczeń ubiegała na godzinę 16 1/2 mil. Grad w jedném miejscu padał od 7 do 8 minut.

Pas chmury gradowej u nas, który jak można wnosić nadsięgnął z W. K. Poznańskiego dnia 17 czerwca 1849 roku w powiat wieluński i sieradzki, i przebiegł do granic gubernii grodzieńskiej, wynosił na szerokość mil geograficznych (licząc na stopień 15) od 7 do 8, nie licząc w to krawędzi pasa od strony południowej i północnej, które przebiegając ponad okolice, zlewały je niesłychanemi potokami deszczu, jak to miało miejsce od strony północnej w Warszawie, a od południowej w Modrzejowicach (p. radomski). Długość pasa poczynając od granic W. K. Poznańskiego do granic gubernii grodzieńskiej wynosiła mil geograf. 75. Jeżeli weźmiemy za epokę godzinę 5tą po południu, jako początek burzy w gminach Zajączki, Rudniki (wieluński), położonych na granicy W. K. Poznańskiego i godzinę 10tą w nocy końca jej w gminie Litewnik, położonej na granicy gubernii grodzieńskiej: można wnosić, iż chmura w ciągu jednej godziny ubiegła mil 15. Grad w daném miejscu padał od 5 do 10, i od 10 do 15 minut.

*Grad niekiedy pada w nocy i z rana.*

Niegdyś utrzymywali znakomici nawet meteorologowie, że grad w nocy wcale nie pada; późniejsi uwierzyli, że pada, ale dodają, iż bardzo rzadko. U nas, w epoce od roku 1843 do 1851 padał o godzinie 4 z rana dnia 21 lipca 1843 roku w gminie Kupiska powiecie łomżyńskim, i wyrównywał wielkości kurzego jaja. W nocy dnia 9 lipca 1845 roku w powiatach przasnyskim i pułtuskim, a stanisławowskim i radzyńskim o 3 z rana; w łukowskim o 4 z rana. O godzinie 2 i 3 z rana dnia 20 czerwca 1848 roku, w powiatach: wieluńskim, sieradzkim, piotrkowskim, opoczyńskim, opatowskim i radomskim, a w nocy o godzinie 11 w lubelskim, zamojskim i hrubieszowskim. Roku 1851, dnia 11 sierpnia o godzinie 8 z rana, padał w gminie Piesia-Wola w powiecie radzyńskim.

*Wielkość spadłego gradu.*

W przedziale od roku 1843 do 1851 grad padał w królestwie polskiem rozmaitego rozmiaru: począwszy od wielkości laskowego orzecha do włoskiego; od wielkości kurzego jaja do gęsiego; od 1 cala średnicy do 2 cali, i od 16 lutów do 24. Bryły większe od gęsieh jaj niewszędzie padały i bardzo rzadko. I tak naprzykład: roku 1849, dnia 17 czerwca, w gminie Kłobucku (wieluńskim) gradówki przewyższały wielkość jaj gęsieh, a w gminie Budziszewo (piotrkowskim) wielka liczba ze spadłych gradówek ważyła po funcie jednym. Roku 1844, dnia 25 czerwca w gminie Charlejew (radzyński) w godzinę po spadnięciu, mnóstwo gradówek ważyło po funcie jednym z ćwiercią. Gradówki wyrównyujące wielkości kartaczy, granatów, głowy małego dziecka, spadały w roku 1848, dnia 20 czerwca, w gminie Mieszyń (wieluński); w roku 1849, dnia 17 sierpnia w gminie Woli Świnieckiej (kaliski); w roku 1848, dnia 20 czerwca w gminie Bolesławicach (sieradzki); w roku 1850, dnia 2 sierpnia w gminie Ocina (kaliski). W roku zaś 1843, dnia 30 maja o godzinie 1 po południu, w gminie Kłobucku we wsi Białej (wieluński), spadła bryła lodu, która, wedle brzmienia raportu wójta gminy, wyrównywała wielkości kuchennego szaflika.

Wprawdzie przykład taki jest uderzający, ale dla meteorologów nie stanowi nowości, gdyż w roku 1823 na początku lipca, w gubernii wileńskiej spadły gradówki ważyły po kilka funtów. Znajduję w *Meteorologii Kaemtz*, że w Hiszpanii w Casorta roku 1829, dnia 15 czerwca, między spadłym gradem, który poniszczył dachy i porujnował domy, wiele gradówek było takich, co ważyły po 4 funty. Roku 1822, dnia 8 maja spadły w Węgrzech w czasie burzy bryły lodu, które miały długości 3 stopy, tyleż szerokości, a 2 wysokości. „Bryły te—dodaje *Kaemtz*—widocznie pokazywały, iż spadając pozlepiały się w powietrzu.” Podobnej wielkości grad niegdyś spadł blisko Seringabatman, w końcu panowania *Tippo Sahiba*. W Rosyi, w powiecie tambowskim, niedaleko Nowopokrowska w roku 1829, dnia 1 czerwca, w czasie burzy gradowej spadła na róg chaty bryła lodu nie okrągła, lecz kątowa, wielkości przetaka. U nas w roku 1823, dnia 5 sierpnia we wsi Dobkiszkach w powiecie kalwaryjskim, spadł grad, między którym, wedle urzędowych doniesień, były gradówki ważące po 4 funty,

a we wsi Cyganowie w czasie burzy gradowej, spadła bryła lodu, która miała ważyć blisko *centnar*.

Nakoniec spadłe masy lodu podczas burz gradowych, wyrównyujące wielkości słoń, o czém wspominają dawne kroniki, jako wychodzące za obręb rzetelnych zjawisk, odsyłamy do powieści *Tysiąc nocy i jedna*.

### *Czas, przez który grad pokrywa ziemię.*

Niekiedy grad pokrywa ziemię warstwą bardzo grubą i leży dość długi czas: roku 1844, dnia 25 czerwca spadły grad o godzinie 8 po południu w gminie wola Skrumowska w powiecie lubelskim, pokrywszy ziemię na  $\frac{1}{2}$  łokcia, leżał do rana. W Kocku spadł o godzinie 6 po południu, a jeszcze na drugi dzień zrana o godzinie 9 pokrywał pola na pół łokcia.

### *Kształt gradu.*

Powierzchnia i kształt gradu bywają rozmaite. Prawie zawsze pada okrągły, rzadziej nieco podługowaty, zawsze jednak z powierzchnią chropowatą, a czasem najeżoną kolcami. Taki grad padał w Wilnie roku 1817 dnia 6 lipca. Z podobnemi kolcami i nieco podługowaty widział *Tessier* roku 1788, dnia 13 lipca we Francyi. Bardzo rzadko pada w kształcie piramidalnym lub soczewki. W kawałkach z kątami jak porąbany cukier padał dnia 18 czerwca 1848 roku w Mławie. Sześcienny padał dnia 26 kwietnia 1822 roku w Borowie w okręgu czerskim, a dnia 17 lipca wśród wielkiej burzy w Krasnem padał grad podobny z kształtu do rozkwitającego pączka *centyfolii*.

*Eliasz de Beaumont* utrzymuje, że gradówki czasem mają kształt małych piramid z kątami i współśrodkowemi kulkami. *Delcros* inżynier francuzki, badając przez lat kilkanaście stan zewnętrzny i wewnętrzny gradówek, znalazł, że różnorodny kształt gradu pochodzi od pękania na ziemi przez silne spadanie, lub od uderzania się jednych o drugie w powietrzu. Pierwotny kształt gradu, twierdzi on, nie jest inny, tylko kulisty. Gradówki obejmują wewnątrz małe jądro, otoczone drugiem jądrem śnieżnym, nieprzezroczystem, na którem widać ślady warstw współśrodkowych. Masa złożona z promieni rozchodzących się od środka ku powierzchni i pokrywająca śnieżkę jest przezroczysta, przy świetle oka-

zuje się mniej białą i koloru błękitnawego, nakształt zbitego lodu. Powierzchnia gradówki zwykle najeżona ostrosłupami. W końcu *Delcros* temi słowy kończy swoje uwagi o kształcie gradu: „Wyobraźnia moja blakając się od téj zmarzłej bryłki lodu, zaszła aż do epoki tworzenia się pierwotnego kuli ziemskiej, i zdawało mi się, że widział rozwijający się przedemną cały obszerny system formacyi kulistój.”

Wreszcie wedle dostrzeżeń *Pouillie'a*, temperatura gradówek wynosi od 0,5 do 4° niżej zera.

### *W gradówkach znajdowano obce ciała.*

W środku gradówek znajdowano niekiedy obce ciała, jak na przykład części roślinne, a mianowicie źdźbła słomy lub trawy, albo co większa ciała mineralne, które zapewne bywają porywane wihrem z ziemi i unoszone w wyższe warstwy powietrza, gdzie się tworzy grad. W Islandyi, kiedy po wybuchach wulkanicznych spadną grady, w gradówkach dostrzegają czasem wulkaniczny popiół.

Ale przedewszystkiém ważném jest zjawiskiem, że w gradzie spadłym w Orenburgu, znaleziono, powiada *Kaemtz*, *piryt* i *wodnik niedokwasu żelaza*. *Gustaw Rose* mineralog i geolog chcąc bliżej zbadać ów fenomen, nie mógł zebrać pewnych i dokładnych faktów.

Roku 1822 na początku czerwca w Irlandyi w hrabstwie Moyo spadł grad na przestrzeni 4 mil kwadratowych, którego jądro było z metalicznej masy. W nadesłanych chemikom paryżkim ziarnach, znaleziono *siarczyk żelaza* krystalizowany w dwunasto-ściany pięciokątne. Wystawione na płomień lampy paliły się ogniem, wydając zapach siarki, a pozostała po spaleniu reszta, łatwo się rozpuszczała w kwasie wodochlorowym, z którego roztwór przez sinek żelaza i potażu, tworzył osad błękitny, co niezawodnie okazywało obecność żelaza.

Były także przykłady, że jednocześnie z gradem spadły kamienie meteoryczne. Roku 1815, dnia 29 maja o godzinie 4 popołudniu w Wilnie, po przejściu burzy gradowej znajdowano między gradem na ziemi i po dachach *kamyki* koloru ciemnosiarczanego i kawowego, za potarciem lub złamaniem którego z nich dawał się czuć mocny zapach siarki. W roku 1817, d. 3 marca niedaleko Manhejmu w czasie okropnej burzy gradowej, spadła z łoskotem *bryła ognista*, poczem także dał się czuć zapach siarki.

W Czechach roku 1823, dnia 28 czerwca, w czasie gwałtownej burzy i grzmotów, spadły wraz z nadzwyczajnie wielkim gradem ziarna, które chciwie pożerały kury; ludzie nawet po ugotowaniu jedli je jak kaszę. Przypominały one smak ryżu. Badacze utrzymywali, że to są *Ranunculus ficaria*. Mieszkańcy pod przysięgą zeznali, że już trzeci raz w dzień św. Piotra spadają podobne ziarna (1).

Wnoszę, że obce ciała spadłe z gradem lub znajduwane w gradówkach, szczególnie siarczyk żelaza, powinny zwrócić uwagę tych badaczy, którzy utrzymują, że aerolity są drobnymi okruchami wielkich rozbitych planet. Podobną uwagę już robił *Pictet* fizyk genewski, który także analizował ziarna metaliczne, znalezione w spadłym gradzie w Irlandyi.

### *Zmiany barometru i termometru przed burzą i w czasie burzy.*

Prawie zawsze barometr w czasie burzy gradowej opada, a nawet opadaniem swoim zapowiada burzę, jak to miało miejsce we Francyi. Burza nastąpiła d. 13 lipca 1788 r., a już dnia 11 opadł barometr w Bruxelli, Midelburgu i Rochelli, dnia 12 w Bawaryi, a 13 z rana w Holandyi. Były wszakże przykłady, że podczas burzy podniósł się barometr, co zależało, jak *Kaemtz* utrzymuje, od kierunku wiatru.

Termometr w czasie burzy gradowej zwykle opada i to bardzo znacznie, nie przechodząc jednak pod zero. Dowodzą tego dostrzeżenia meteorologiczne czynione przez lat 10 w Monachium, Genewie, Padwie, gdzie o godzinie 2 po południu, kiedy wskazywał termometr *Celsyusza* 20°, a drugi raz 30°, przy powstaniu burzy gradowej spadł nagle bardzo nisko. W dostrzeżeniach meteorologicznych *Magiera* znajdujemy, że w roku 1822, dnia 16 lipca o godzinie 3 po południu termometr *Reaumur'a* wskazywał 24°, a przy spadaniu gradu opadł do 16°.

(1) Roku 1821, dnia 15 września, wpośród wielkiej burzy, zupełnej ciemności i piorunów, na pokład okrętu angielskiego stojącego na kotwicy przy Neufundland, spadł w wielkiej massie grad *muszli*.



### *Szum przy spadaniu gradu.*

Szum, który przy zbliżaniu się burzy gradowej i w ciągu spadania gradu daje się słyszeć, był już dostrzegany przez *Arystotelesa* i *Lukrecyusza*. O tym szumie mówią także tegocześni meteorologowie, dodając, że niekiedy jest tak silny, iż nie słyhać nawet huku grzmotów; o czém szczególnie wspomina *Tessier* w opisie burzy we Francyi 1788 roku, dnia 13 lipca, a *Kalm* w Moskwie 1744 roku, dnia 30 kwietnia.

„Szum ten, powiada *Kaemtz* w swój meteorologii, powstaje zapewne przez silne ścieranie się w powietrzu gradu, lub też przez potężne starcie się przeciwnych sobie prądów wiatru, przezco nawet grad zaczyna padać prostopadle. Ci zaś, którzy więcej zwracali uwagę na ten pustoszący meteor, dostrzegli, że kiedy po nagłych przerwach silnego wiatru, powstanie gwałtowny wichur, spada ogromna masa gradu z towarzyszeniem błyskawic i piorunów. W przerwach podobnego wichru, grad spada prawie poziomo, następnie zaczyna padać przeplatany deszczem i przybiera kierunek zupełnie ukośny, a nakoniec pada prostopadle.”

### *Trąby powietrzne i orkany.*

Trąby powietrzne i orkany bez deszczu i gradu, bywają u nas, lecz nadzwyczajnie rzadko. Na szczególną uwagę zasługuje trąba powietrzna, która miała miejsce roku 1722, dnia 5 sierpnia o godzinie 7 po południu w Kaszycach około Pułtuska. Najprzód pokazała się od zachodu czarna chmura z grzmotami, podobnemi do pękających granatów. Nadciągnąwszy do Kaszyc, wlokła się przez pola, łąki, role, a cokolwiek w drodze napotkała, częścią obaliła lub wypaliła, częścią z sobą uniosła, wyrzucając chwilowo siarczyste kule. Przeprawiwszy się przez rzekę Narew, utworzyła z dymu pokład; woda wrzała dziwnym sposobem i rozstępowała się, jakby po wrzuceniu w nią wielkich rozpalonych kamieni.

Druga trąba powietrzna powstała roku 1819, dnia 10 sierpnia o godzinie 2 $\frac{1}{2}$  po południu między Jarochohem i Mazewem w powiecie łęczyckim. Niewielka chmura kiedy spuściła się na grunta mazewskie, groch na polu zupełnie spaliła, owies z korze-

niem powyrywała, na łąkach kamienie ważące po dwa centnary z ziemi wyrwała i wyniosła w górę. Posunąwszy się do wsi Głogowa, dwie murowane stodoły ze stu kopami zboża wysadziła w powietrze, wozy w górę porwała, drzewa z korzeniem powyrywała. W Kopytkowie cały dom uniosła także w powietrze. Z niej było słycać huk, szum i siarkę.

W roku 1845, dnia 10 lipca w gminie Szeromin w powiecie płockim, trąba powietrzna ze szczeniem zniosła budowle, w których konie i bydło przez rozwaliny zostały pozabijane; w lesie drzewa z korzeniem powyrywała, a między temi trzydzieści sosnowych, które można było uważać za stuletnie; kamienie po kilka centnarów ważące jak piłkę po polu taczała, przez co zboża zupełnie na pniu zostały stratowane.

Roku 1851, dnia 12 maja o godzinie 4 po południu w powiecie miechowskim we wsi Charznicy, kiedy w całej okolicy wrzała burza gradowa, orkan prawie wszystkie budowle w ruiny zamienił, konie i bydło pozabijał, w polu pług z końmi unióś w powietrze i pogruchotał. W chwili tak nagłego i niespodzianego wypadku, siedmiu ludzi zostało niezmiernie pokaleczonych, a jeden postradał życie.

Orkany niewypowiedzianej siły często bywają w Ameryce, szczególnie na wyspach Antylskich. Nazywają je tam powszechnie *Tornados*. Z dostrzeżeń czynionych przez lat 157 na wspomnianych wyspach, średnia liczba przypada ich na miesiące: czerwiec 1; lipiec 4; sierpień 17; wrzesień 11; październik 10.

Jeden orkan w Indyach Zachodnich, szczególnie na wyspie Martynice, roku 1817 zrzucił szkód na 24 miliony franków, przyczem tysiąc osób utraciło życie.

Sledząc wszelkie wypadki i następstwa trąb powietrznych, widać, że zwykłe burze przeistaczają się w trąby. Przedewszystkiem zbierają się dwie chmury: jedna górna nieruchoma, druga dolna wolno się posuwająca, która w swym biegu spotyka się z chmurą górną. Ponieważ chmury te naładowane są jednimienną elektrycznością, zatem wzajemnie się odpychają: to jest dolna chmura odpycha górną w wyższą sferę, a górna odpycha dolną ku ziemi, której niższe warstwy opadają tak nisko, iż za pośrednictwem kurzu, piasku lub wyniosłych drzew, wchodzą z ziemią w granicę wzajemnego na się wpływu elektryczności. Ztądto pochodzi, że częstokroć nagle przebiegając elektryczność przez środek drzew, pali je na węgiel, wysusza, soki zamienia w parę,

która swoją sprężystością rozsadza na najdrobniejsze cząstki drzewa. Takiemu starciu się żywiołów towarzyszą płomienie wypalające, kule ogniste, dym siarczany, który po zjawisku daje się czuć czasem kilka dni, a rozmaite przedmioty, szczególnie płocienne, pokrywają się rdzą.

Trąba czyto na wodzie, czy na lądzie, nic innego nie jest jak tylko łącznik, który utworzył się między chmurą a ziemią, i służy za przebieg silnemu strumieniowi elektryczności, podsycającej wyładowywaniem wyższych warstw dolnej chmury burzowej. Różnica między zwyczajną burzą, a burzą z trąbą powietrzną, zależy od obecności tego przewodnika. Gdyby nie było tej trąby, a raczej przewodnika, burza rozładowałaby się drogą błyskawic i piorunów. Trąba zatem powstaje w skutek zbliżenia się chmury do ziemi, oraz różnoimienną ich elektryczności. Zbliżenie się zaś chmury do ziemi, pochodzi od jednoimiennego naelektryzowania się chmur górnej i dolnej, które przez to się odpychają. Na morzu chmura zamiast podnoszenia piasku, kamieni, podniosłaby wodę w kształcie słupa, który tu także stanowiłby łącznik. Dlatego marynarze zwykli mówić, że chmura pije wodę.

Taką teorią tworzenia się trąb powietrznych, teorią wspartą doświadczeniami w gabinetach fizycznych i przyjętą przez cały świat uczony, podał znakomity naturalista *Peltier*.

### *Wpływ położenia geograficznego na burze.*

Z najzawilszych, najtrudniejszych pytań podanych do rozwiązania w tegoczesnej meteorologii, jest zagadnienie: czy położenie okolic wywiera wpływ na wielość burz i ich jakość? Najznakomitsi meteorologowie, użalają się na brak dowodów, z którychby można wyprowadzić wnioski oparte na doświadczeniach, stwierdzonych nauką. W samej rzeczy, epoka zebranych tu wiadomości o burzach gradowych jest zbyt mała: nie można więc położyć wniosku chociażby zbliżonego do prawdopodobieństwa; nadto składane raporta przez wójtów gmin, z których najwięcej czerpaliliśmy wypadków, donoszą przedewszystkiem o tych burzach, które zrzędziły szkody, słowem o gradobiciach.

*Levis Weston Dyllwyn* w tablicach swych meteorologicznych, robi uwagę, że okolice obejmujące wapienne górotwory, bywają częściej nawiedzane silnymi burzami. *Blavier* w swój statystyce mineralogicznej i geologicznej, czyni wzmiankę, że w departamen-

cie Mayenne, kiedy się chmury burzowe zbliżą nad pewne wioski, szczególnie wieś Niort, gdzie są skały dyorytu (zielenca,) wnet rozpraszają się w różne strony. Dyoryt jest mocno spojny, zawiera w sobie mnóstwo żelaza wpływającego na igłę magnesową.

Okolice pokryte górami i poprzeryzane dolinami, podobnie mają związek z ilością burz. *Scheuchzer* mówi, że w pewnych dolinach alpejskich, szczególnie rozciągających się w kierunku od zachodu ku wschodowi, jak na przykład Walis, Glarus, grad w ciągu lat 20 wcale nie padał; a *Leopold Buch* dodaje, że wychodząc z owych dolin na płaszczyznę około Borgofranco, prawie każdego roku pada.

W Cressier położoném wyżej jeziora Neufchatel, grad bardzo często pokrywa winnice; w Ligniers zaś, wiosce rozciągającej się u stóp góry Chaumont, a położonej wyżej o 1,200 stóp od Cressier, pada tylko deszcz pomieszany niekiedy z drobnym gradem.

W Clermont około Auvergne, u stóp rozciągającej się góry powszechnie bywają burze gradowe, a wioski tam znajdujące się, jakoto: Blanzat, Chateaugué, Sayat, prawie co rok ponoszą klęski od gradobicia. Przeciwnie, podług słów *Savign'a*, proboszcza wioski Vernet położonej na górze, grad między Mont d'Or i Puy-de-Dome bardzo rzadko bywa, tak że w ciągu 23 lat, raz szczególnie go widział. Okolica wiosek Blanzat, Chateaugué, Sayat, oddalona jest od parafii Vernet tylko na pół mili drogi, z tą różnicą, że pierwsza położona jest niżej o 1,200 stóp.

Widzę potrzebném nadmienić, że wysokie góry także nie są wolne od burz gradowych. *Saussure* powiada, że w czasie swego pobytu przez dni 15 na górze Col de Géant, wyniesionej nad poziom morza 10,000 stóp, widział jak padał grad, kiedy w okolicach robiąc obserwacje przez 140 dni dostrzegł, że raz tylko padał grad wielki, a 11 razy krupy.

*Balmat* będąc na górze Montblanc, lecz nie na samym wierzchołku, był świadkiem raz w nocy wielkiej burzy gradowej. *Paccard* na téj samej górze u wierzchołka znajdował pod śniegiem duże gradówki.

Roku 1822, dnia 12 lipca na górze Monte Rose wyniosłej 14,000 stóp nad poziom morza, *Zumstein* patrzył na burzę gradową z silnym wiatrem. *Welden* dodaje, że podobne burze na górach alpejskich szkodliwe są dla wegetacji roślin, bo kiedy po dolinach padają deszcze, na górach bywają grady lub śniegi. *Peytier* na Pyreneach był także świadkiem burz gradowych.

*Straty poniesione w Królestwie Polskiem od burz gradowych.*

Przychodzę teraz do przedmiotu najwięcej nas obchodzącego, ale zarazem i smutnego; przychodzę do wykazu strat poniesionych przez burze gradowe. Pożary, pomór bydła, owego dzielnego motora gospodarstwa wiejskiego, gradobicia: oto są jedne z największych klęsk, które kraj nasz częstokroć ponosi. Pomór bydła, miejmy nadzieję, może przy usiłowaniach sztuki lekarskiej, a raczej przez umiejętne utrzymywanie i hodowanie, z czasem przestanie ubożyć rolnika (1). Pożaru, tego pożerczego żywiołu, przy ostrożności, przy urządzeniu stosownej na ten cel administracji, przy rychłym użyciu środków zapobiegających szerzeniu się ognia, można jeśli nie uniknąć całkiem, to przynajmniej zmniejszyć opłakane jego skutki; nareszcie dzięki ekonomii politycznej, dzięki władzom krajowym za urządzenie instytucji, która w pomoc przychodzi poszkodowanym.

Burzy gradowej nic nie zdoła wstrzymać: na nic ostrożności, niczym usiłowania pragnących ocalić mienie. Patrzcie, oto przed chwilą te łąki zielone, te kłosa bujne, błoga nadzieja rolnika, te harmonijne barwy kwiatów, wabiące oko przechodnia, w ciągu kilku minut zostały ze szczerem zniszczone, wbite w ziemię, z błotem zmieszane. Te sosny, te dęby odwieczne, szumiące, pyszne wyniosłością i siłą, odarte z liści, gałęzi i kory, a jednym powiewem porywającego wichru, uraganu, z korzeniem wyrwane, zgniecione. Widzieliście tu budowle ręką ludzką wzniesione, które miały wiele lat przetrwać, w mgnieniu oka wyrzucone ze swych posad, złamane, zgruchotane, rozniesione. A tam konie, bydło, trzody owiec pasące się po łąkach, dzikie zwierzęta po polach i lasach, dzikie ptactwo pokrywające jeziora, stawy, rzeki, padły pod ciosami gęstych kuł gradu. Ryk burzy, głuchy szum ścieraających się w powietrzu brył lodu, wycie wichru, trzask lasu, łoskot walących się budowli, to istny obraz zgrozy i zemsty, pojowiska i zniszczenia; a uderzające pioruny, ciągły hurkot grzmotu, przerywane migotanie pałających błyskawic, jakby przywodziły téj złowieszcząj katastrofie, téj, że tak powiem, piekielnej, szatańskiej walce żywiołów. Patrzcie jeszcze na ten widok:

(1) Dziwna rzecz jednak: ciągle wynajdują sposoby leczenia chorób bydła, a nie starają się tym chorobom zapobiegać drogą stosownego utrzymywania, hodowania i pojenia bydła.

oto macie następstwa po krwawej, usilnej pracy rolnika; oto macie zawiedzione nadzieje jego, oto macie nakoniec lzy, boleści, ciężkie westchnienia i jęk zrujnowanych rodzin.... Och! niech kto inny kończy ten obraz, obraz surowości, obraz upadku; dreszcz pióro mi z rąk wytrąca.

Biore do ręki *Mémoires de l'Académie des sciences* z r. 1790: odrzucam kartę 273 i znajduję, gdzie *Tessier* powiada, że w południowej Francji roku 1788, dnia 13 lipca, jedna burza gradowa, wedle urzędowych wykazów, spustoszyła 1,039 parafij, przez co poniesiono strat na 24,629,000 franków.

Straty ponoszono w Królestwie Polskiem podczas burz gradowych z silnymi uraganami, mieszczą w sobie: zboża zniszczone na pniu, obalone zabudowania, lasy wytrzebione, konie, bydło, owce tak na polach jak i walącemi się budowlami pozabijane lub pokaleczone, drób od gradu pobity i t. p. (1).

Pominę tu wszelkie szkody poczynione w gminach do wysokości 5, 10, 15, 20 tysięcy rubli srebrnych, a wspomnę niektóre tylko z tych, co poniosły straty na większe summy, jak naprzykład: w powiecie lubelskim gmina Kozłówek roku 1848, dnia 20 czerwca na rsr. 24,379; w powiecie wieluńskim gmina Panki roku 1849, dnia 17 czerwca na rsr. 33,405; gmina Kłobuck na rsr. 45,000 (tu spadały bryły większe od gęsich jaj); w powiecie łukowskim gminie Prawda, na rsr. 33,904; w powiecie białskim gminie Biernaty Szlacheckie, na rsr. 25,928; w gminie Kobylany, na rsr. 42,574; w gminie Łosice, na rsr. 52,178; w gminie Konstantynów, na rsr. 75,574; w powiecie siedleckim w gminie Zbuczyn, na rsr. 75,000.

A cóż dopiero za straty są tych gmin, i to bardzo wielu gmin, które z kolei rok po roku przez lat dwa lub trzy, były nawiedzane od burz gradowych? Cóż powiecie o takich klęskach gradobicia, które w jednym roku, co mówię, w jednym miesiącu się powtarzały, jak to miało miejsce w powiecie włocławskim gminie Koneck roku 1850, dnia 28 maja i dnia 3 czerwca; w powiecie olkuskim, gminie olkusko-siewierskiej roku 1848, dnia 12 i 20 czerwca; gminie Leśniów roku 1851, dnia 19 i 26 lipca, w mieście Pilicy roku 1848, dnia 20 i 24 czerwca.

Roku 1848, dnia 19 i 20 czerwca, burza gradowa w jednej gubernii radomskiej, w której, jak opiewa raport Rządu Guber-

(1) W powiecie stanisławowskim około Latowicz, roku 1849 po burzy gradowej znajdowano mnóstwo zwierzyny po polach, lasach i stawach.

nialnego, poprzednich lat chybiły urodzaje, zniszczyła sto gmin i miast, które poniosły strat na rsr. 384,765.

Roku 1849, d. 17 czerwca, wedle wykazów rządów gubernialnych, przez gradobicia i silne burze poniosły szkody powiaty:

Wieluński . . . . .	rsr. 252,550	Opoczyński . . . . .	rsr. 109,120
Sieradzki . . . . .	— 745	Opatowski . . . . .	— 3,000
Piotrkowski . . . . .	— 247,916	Łukowski . . . . .	} — 500,000
Rawski . . . . .	— 71,017	Siedlecki . . . . .	
Warszawski . . . . .	— 22,752	Radzyński . . . . .	
Stanisławowski . . . . .	— 53,049	Bialski . . . . .	
Radomski . . . . .	— 84,524		

Roku 1851, d. 12 maja, w gubernii radomskiej w 158 miastach i wsiach, burza gradowa przyprowadziła do upadku 4,488 rodzin przez poniesienie strat na rsr. 101,742, a mianowicie: w zasiewach 95,208, w budowłach 6,534; w samym powiecie kieleckim wynoszą szkody na rsr. 9,690. W gubernii lubelskiej ta sama burza w 37 gminach pozbawiła sposobu do życia 1,500 rodzin, a szkody zrządzone wynoszą 149,908 rsr.

Słowem, w epoce od roku 1843 do 1851, w epoce, którą objęliśmy niniejszą rozprawą, burze gradonośne zrządziły szkód na rsr. 2,933,438; dodawszy do téj summy poniesione straty także od gradobicia roku 1840, dnia 24 sierpnia, w powiatach hrubieszowskim i zamojskim na rsr. 90,050 (1): a zatem przez lat 10 w przecięciu, przypada na I rok strat rsr. 302,348 kop. 80; oprócz szkód wynikłych z gradobicia roku 1851 w guberniach warszawskiej, płockiej i augustowskiej, w których, jak widać ze sprawozdań, były straty, lecz nie są pokazane w liczbach (2).

Dodajcie do téj summy: stracone korzyści, procent od wyłożonych kapitałów na kupno zboża, na zasiów, na odrestaurowanie budowli lub postawienie nowych; dodajcie jeszcze podwyższone ceny produktów niezbędnie potrzebnych do życia we wszystkich warstwach społeczeństwa; nakoniec nędzę, łzy i jęk zrujnowanych rodzin, a zobaczycie, jak wielka, jak przerażająca wzrośnie cyfra, która w każdym szlachetném sercu wzbudzi przykre i bolesne uczucie!

(1) W roku 1840, 1841, 1842 jak zawsze były gradobicia.

(2) Liczba ta z lat 10 bez porównania byłaby większa, gdybym się trzymał wykazów szczegółowych.

## Wykaz szczegółowy, obejmujący straty poniesione od gradobić od r. 1843 do 1851.

W guberniach	W l a t a c h									W ogóle
	1843	1844	1845	1846	1847	1848	1849	1850	1851	
	R u b l e s r é b r e m									
warszawskiej. . . . .		48,645	51,283	3,282	21,735	239,048	648,031	57,250		1,069,274
radomskiej. . . . .		121,050	62,837	3,239	11,982	384,765	196,644	45,850	101,742	928,559
lubelskiej. . . . .		43,386	75,025	1,635		56,510	500,000	2,600	149,908	829,064
płockiej. . . . .			21,500	5,000	1,870	22,439	18,700	200		69,709
augustowskiej. . . . .			7,912	11,586		4,828	12,306	200		36,832
Razem . . . . .	69,104	213,081	218,557	24,542	35,587	707,590	1,375,681	106,100	251,650	2,933,438

**Uwaga.** Poszczególnionych strat z r. 1843 nie ma. W roku 1851, jak widać ze sprawozdań rządów gubernialnych, gradobicia miały miejsce w gubernii warszawskiej, płockiej i augustowskiej, ale straty nie są pokazane w liczbach.



### Teorya tworzenia się gradu.

Zródła rodzą strumienie, a te rzeki. Niech stérnik w górę płynie jak tylko można, jeszcze nie znajdzie początku,

*Linneusz.* Empir de la Nature.

Powiedziałem już, że grad jest jedną z największych plag dla rolnictwa; nie koniec na tém: jest jeszcze jednym z najtrudniejszych do rozwiązania zadań, w tegoczesnej atmosferologii. Każdemu, nawet nie z powołania meteorologowi, przychodzi na myśl pytanie: z kąd powstaje w dniach skwarnych w chmurach tak wielkie zimno, zamieniające wodę w lód?

W odpowiedzi na podobne pytanie, pragnę ile możności ograniczyć się na wyjaśnieniu krótkim, wszakże jasnym i zrozumiałym, tak, by objąć ogół przedmiotu, i dojść do zamierzonego celu. Że grad powszechnie pada w miesiącach gorących, utworzono ztąd liczne a dziwne wnioski, które nie będziemy powtarzać. Jedną teorią *Volty*, jedynie *Volty*, tłumaczy wszelkie zjawiska towarzyszące tworzeniu się gradu.

Jakim sposobem w upały, w warstwach atmosfery położonych daleko niżej od granic wiecznych śniegów tworzą się bryły lodu? jaką drogą w owych warstwach następuje zimno? Teorya czyniąca zadość wszystkim podobnym zjawiskom, polega na warunkach następujących:

- 1) potrzeba, ażeby działanie promieni słonecznych na powierzchnię górną chmury, ułatwiło parowanie;
- 2) potrzeba, ażeby było suche powietrze ponad chmurą, jak to *Saussure* i *de Luc* kilkakrotnie doświadczeniami stwierdzili;
- 3) potrzeba, ażeby odbywało się parowanie pęcherzyków wodnych, przechodzących w stan sprężysty, usiłując oddalić się jedne od drugich;
- 4) potrzeba, ażeby stan elektryczny chmury, przyspieszył parowanie.

Przy takich warunkach, utworzą się śnieżki, które są zarodkiem gradówek. Bytność warstwy powietrza suchego jest konieczna dla utworzenia się śnieżek, gdyż bez takiego stanu, para wodna zgęszczałaby się w miarę jej tworzenia się, i wyrzucałaby wielką ilość ciepłika utajonego, a tém samym oziębienie nie zwiększałoby się.

Dla utworzenia się i powiększenia gradu, potrzebna jest także koniecznie jednoczesna bytność dwóch chmur jedna nad drugą, z których górna powstaje w skutek zgęszczania się pary, wznoszącej się z chmury dolnej. Obie te chmury silnie są naelektryzowane, to jest: dolna *ujemnie*, górna *dodatnio*.

Teraz aby łatwiej pojąć jak ze śnieżki tworzy się grad, *Volta* kładzie za przykład znane w fizyce zjawisko tańczących *djabelków Kartezjusza*. Jeżeli do konduktora elektromachiny przytwierdzimy poziomo jeden krążek metalowy, a drugi bezpośrednio złączymy z ziemią, tak, iżby zewnętrzne powierzchnie obu tych krążków w pewnym oddaleniu były od siebie; następnie jeśli położymy na dolnym krążku gałki ze rdzenia bżowego, natenczas po nadaniu obrotu elektromachinie, gałki zaczną do góry skakać.

Ruch ten oscylacyjny gałek niestrudno wytłumaczyć. Krążek górny połączony z konduktorem jako dobrym przewodnikiem, staje się częścią konduktora, przez co rozkład elektryczności idzie w nim ciągle ujemny. Gałki bżowe na dolnym krążku mając związek z ziemią, a zatem rozkład elektryczności idzie w nich ciągle dodatni. Ponieważ krążek górny jest naelektryzowany ujemnie, pociąga więc gałki będące w sferze elektrycznego działania do siebie, które są naelektryzowane dodatnio. Górny krążek ściągawszy dodatnią elektryczność z gałek, odpycha je do krążka dolnego, gdzie powtórnie elektryzują się dodatnio i powtórnie są pociągane elektrycznością ujemną górnego krążka. Doświadczenie to nosi także imię gradu elektrycznego.

Właśnie podobne działanie odbywa się ze śnieżkami w chmurach. Utworzone śnieżki na górnej powierzchni chmury dolnej, są naelektryzowane ujemnie tak jak i chmura, dlatego odpychane są do góry. Górna chmura jako naelektryzowana dodatnio przyciąga je i elektryzuje swoją elektrycznością, a zatem i śnieżki stają się naelektryzowane dodatnio, przez co napowrót są odepchnięte do dolnej chmury, w której już cokolwiek głębiej się zanurzają, z kąd znowu odpychane są do góry. Z powodu różniemienniej elektryczności dwóch chmur, śnieżki są w ciągłej oscylacji, co może trwać kilka godzin. Ze śnieżki mają dość niską temperaturę, otaczająca je woda przez dotykanie się oziębia, i na powierzchni ich omarza, przez co tworzą się bryłki lodu, które w objętości swój powiększają się i pokrywają współśrodkowymi warstwami. Takim tedy sposobem tworzą się gradówki.

Nakoniec, kiedy grad przez kilkakrotne przeskakiwanie z dolnej do górnej chmury i z górnej do dolnej, znacznie się powiększy, tak, że elektryczność nie będzie w stanie go utrzymać: spadnie na ziemię w bryłkach lodu rozmaitego kształtu, wielkości i objętości. Oczywiście, że im silniejsze będzie napięcie elektryczności różnoimiennój dwóch chmur, tém liczniejsze będą przeskakiwania gradówek, przez co obmarzając w każdym przejściu wodnemi cząstkami, staną się większe. W miarę powtarzających się przeskakiwań, napięcie elektryczności w chmurach przez wzajemne łączenie się stopniowo słabnie, aż nakoniec siłę przyciągającą i odpychającą, siła ciężkości gradówek przewyższy. Przeskakiwanie to potwierdza się jeszcze i tém, że zawsze przy spadnięciu gradu, bywa słyszany w chmurach szum podobny do stukotu mnóstwa suchych ziarn grochu uderzających się o siebie. Szum ten dowodzi jasno, że gradówki w chmurach w przechodzie swym spotykając się z sobą, ścierają się jedna o drugą.

Wprawdzie niektórzy fizycy czynią zarzuty teorii *Volty*, jednak nie podają lepszej i pewniejszej, a teorią profesora z Como stawiają w rzędzie najcelniejszych pomysłów, albowiem ma ona tę zaletę, że zadość czyni wszelkim zjawiskom towarzyszącym tworzeniu się gradu. Takto wielcy prawodawcy w naukach przyrodzonych, chociaż niekiedy przez brak na jaw wyprowadzonych wielu ukrytych zjawisk, mogą i uchybić w formie wyjaśnienia, w zasadzie nigdy, albo prawie nigdy. *Volty* teoria, przeszło lat 70 stoi na piedestale, jako świecznik naukowy, a żaden z badaczy przyrody, przy mnóstwie nowych odkryć na polu badań i doświadczeń nie przyszedł do tej potęgi, by ją stracić do rzędu pamiątek historycznych. Dotąd zgadzają się wszyscy, że źródłem tworzenia się gradu jest elektryczność, której niezwyčajne napięcie przy spadaniu gradu, nawet bez burzy daje się dostrzegać w powietrzu.

Z tej więc zasady wychodząc, powiemy w dalszym ciągu, jakby należało zapobiedz, iżby elektryczność tę, jako główną przyczynę gradobici, pozbawić siły, która staje się powodem tylu strat na tym padole płaczu i śmiechu, nędzy i rozkoszy, ciemności i światła.



# KRONIKA LITERACKA.

---

*Odpowiedź na Ocenę Mowni, napisaną przez p. Kudasiewicza, w Biblijotece Warszaw. na miesiąc marzec b. r. umieszczoną.*

(Dokończenie).

## B. O P O M Y S Ł A C H.

### *Stopniowanie jimion.*

Kopczyński widząc, że prawie wszelkie rzeczowniki zmieniać mogą swe jądro z dodaną końcówką dla wydania różnego przymiotu w téj samej rzeczy, nazwał je wyrazami *zdrobniałemi*, których końcówką jest *ek, ik. eczek, iczek*; *zgrubiałemi* z końcówką *yisko, isko*, od najwybitniejszego przymiotu małości i zgrubiałości. U Kopczyńskiego więc najwidoczniejsze jest stopniowanie rzeczowników, ale nazwą swą wskazujące tylko przymiot małości i zgrubiałości. Okazał się on w téj mierze człowiekiem myślącym i głęboko czującym swój język, chociaż w swym czasie, jako pierwszy nie mógł podoląć wszystkiemu. Cześć mu i uwielbienie za to, co zrobił, bo dał popęd do myślenia swym następcom. Gdy jednak w podobny sposób zmieniane rzeczowniki wiele przymiotów sobą jednocześnie obejmują, np. *konik* znaczy konia pięknego, zgrabnego, ślicznego, rączego, młodego, małego, wielkiego nawet, byle jego wielkość nas zachwycała i t. d. bez liku; nie zatym dziwnego, że podobną własność języka nazwałem *stopniowaniem*, to jest, że tak się zmieniają, iż swoją przemianą swoje rozliczne przymioty najdobitniej, najwyraźniej malują. Co za bogactwo! co za czucie głębokie pierwszych twórców języka, którzy jednym wyrazem przemienionym tyle pojęć od razu malować nas nauczyli. I czyliż to cieniowanie nie najlepiej nazwać stopniowaniem? Sam Kopczyński innéjby dziś nazwy nie nadał. Chociaż w swym czasie nazwał takie wyrazy *zdrobniałemi* i *zgrubiałemi*; nie podciągnął jich jednak pod żadne правило i wtenczas sama nazwa z wymienieniem kilku przykładów wystarczała.

Lecz, co w jego czasach było dobre, to dla następców niedosyć; dla tego wzięłem tę rzecz pod ściślejszą rozagę, i wyrobiłem, jak jój dotąd,

muszę wyraźnie powiedzieć, nikt lepiej ani obrobił, ani stosowniej nie nazwał. Stopniowanie rzeczowników—to wielkie bogactwo języka,—to wielka bezden językowa! Na téj wielkiej rzece trzeba unieć rozpoznać, co płynie głównym korytem, a co jój odnogami, łachami; co się zatrzymuje po przystaniach i rozmajitych zakrętach. Tu, aby wypłynąć szczęśliwie, trzeba koniecznie dwóch sterników: dokładnej znajomości języka, nabytej ciężką pracą i trudem, tudzież uczucia z mlékim z piersi wyssanego i nauką ustalonego. Nauka sama jest tu martwa, bo nie ma w sobie żadnej wiary, żadnego natchnienia, któreby ciągle w ucho szeptało: nauko! szukaj, badaj, a znajdziesz skarby! Samo znowu uczucie marzy, przeczuwa coś, jakby jakiś sen, ale nieoświecone nauką, wyda tylko same marzenia, same błędne światełka, które za najmniejszym podmuchem wiatru nikną i przepadają. Wsparty i umocniony temi dwoma przewodnikami puściłem się na tę rzekę, gdzie poznałem, że pięć stopni, które nazaczyłem, płyną samym nurtem języka, w całej jego rozciągłości; inne zmiany mają swoje ostoje w przystaniach i łachach. Co więc żyje w całym języku, to stanowi główne prawidło; co znowu objawia się w niektórych okolicznościach, to jest wyjątkiem.

P. K. tego wszystkiego nie rozważył i nie mógł, mówię najwyraźniej, rozważyć; dla tego pochwycił szczegółki i niemi wojuje. I tak powiada, że *Bóg* nie da się stopniować. Skoro sam wie, na cóż za przykład przytacza? Dalej mówi, że wyraz *bożek* już ma inne znaczenie; i o tym wiemy, lecz jeszcze nie wygrał, bo między *Bóg* i *bożek* z bardzo daleka zaczerpuje się podobieństwo. Jistoty Najwyższej w naszym rozumieniu stopniować nie można, bo jakżeż to stopniować mamy, czego sami najpotężniejszym myśłem śmiertelnika uchwycić nie możemy. *Bóg* jest więc święty u nas i nietykalny; mimo to jednak wyraz *bożek* zewnętrznie powstał z pierwotnego wyrazu *Bóg*. Ten, który pierwszy rzekł: *bożek*, tak niezawodnie rozumował: „Czym mój *Bóg* jest dla mnie, tym samym jest *Bóg* pogański, ten ociosany głaz, lub drewno dla poganina. Ja mam prawdę za sobą, bo *Bóg* mój jest prawdziwy i rzeczywisty; poganin wyraźnie trzyma się fałszu, ale ma najmocniejszą wiarę w swego boga i w głazie go widzi. Ja wnिकam w myśl jego, ja znam jego wiarę w bóstwo fałszywe, któremu cześć oddaje; przecież jego boga, który jest ciałem martwym, ze swoim Bogiem porównać mi się nie godzi; z tego powodu bóstwo jego nazywam *bożkiem* na znak, że on w niego tak wierzy, jak ja w swojego Boga prawdziwego, ale oraz niech wie, że jego *bóg* jest *bożkiem*, to jest: *małym bogiem*.” I niezawodnie wyraz *bożek* powstał wtenczas w języku naszym, gdy się chrześcijaństwo u nas rozszerzyło i oświeciło swoją nauką. To tylko chrześcijanin mógł wyrzec *bożek* i pozwolić sobie zbliżyć do wyrazu *Bóg*.

Końcówki *ek*, *ka*, *ko* nie zawsze malują przymioty dobre, bo niekiedy także pogardliwe, mówi p. K. i daje przykłady: *Pietrek*, *Szymek*, *Bartek*, *Maciek*, *Marynka*, *Francka*. Pan K. nie rozumie rzeczy, powiadam bez żadnej ogródki. Najprzód trzeba te wyrazy podług tych sądzić, którzy jich pomiędzy sobą używają. Tak zmienionemi jimionami nazywają starsi włościanie parobków, czyli po naszymu się wyrażając, wszystkich bez wyjątku ludzi młodych, kawalerów; następnie ludzie żonaci używają

po między sobą tych nazw w przyjacielskim tonie. Czyżby ci ludzie używali tych wyrazów, gdyby to miało być pogardą? czyżby swoich synów i córki najukochańsze takim pośmiewiskiem okrywali? To być nigdy nie może i nie jest, a na dowód radzę p. K. przeczytać: *Obrazki Wiejskie* Jana Kantego Gregorowicza, gdzie się niezawodnie nauczy, że *Wojtek, Bartek, Szymek* w karczmie, lub na okrężnym wyrzeczony, mają więcej powabu, przyjemności, téj serdecznej szczerości, niż *panie Adolfe* w salonie przez zęby na zimno przecedzone. I dla tego lud prosty stoi tu na zupełnie dobrej drodze. bo w duchu swojego języka urabia te wyrazy, które żadnej zgrubiałości w jego sercu i ustach nie oznaczają. Że zaś lepiej wychowanym co innego do głowy przyszło; temu ani lud, ani język nie winien. Powtóre, pierwotnikami tu są: *Szymon, Maciej, Bartłomiej*; gdy do nich dodasz końcówkę stopnia, otrzymasz: *Szymonek, Maciejek, Bartłomiejek* i t. p., to jest: stopniowanie. Toż samo ma się rozumieć o wyrazach: *dziadek, babka, ciocia* i t. d. Dalej p. K. mówi: „mamy końcówki *uś, usia, dzio, cio, cia, cię, unio, unia, ulo, ula, ulko, ulka, uleńka* i mówimy: *Piotruś, Maciuś, Bartuś*. Lud prosty ślicznie zdrabnia *chleb* na *chlebus*. Mamy dalej: *Stefcio, stryjcio, dziadzio, babcia, ciocia, dziadunio, matusia, matula, matunia, matuleńka, Marynia, Frania, Franulka, Franuleńka, Franusia*. Tego wszystkiego w stopniowaniu p. Z. nie zobaczysz, a przecież to jest w języku.” O święta prostoto niewiomości! stanęłaś w jednej przystani języka, wprawdzie bezdennéj, a, kręcąc się w miejscu, sądzisz, że obejmujesz rzekę całego stopniowania! Podaj rękę, a wydobędę cię z téj dla ciebie zaczarowanej toni i pokażę ci samę rzekę!

Głębokie i delikatne uczucie, jakie ludy słowiańskie w malowaniu przymiotów w sobie rozwinęły, objawia się najwidoczniej na jimionach chrzestnych i pokrewieństwo oznaczających. Miłość, uszanowanie, powaga, grzeczność, delikatność parły to uczucie, które, nie mogąc poprzestać na nazwie pierwotnej, tworzyło coraz nowe i jeszcze dalej bez końca tworzyć będzie, a nawet takie, o jakich nam się dziś ani śni jeszcze. Okażmy to przykładami. Wyraz *mac*, najpierwsza nazwa, wydał z siebie stopnie *matka, mateczka*. Sam pierwotnik się zużył i przyjął nawet inne znaczenie; stopień więc drugi *matka* go zastąpił i do dnia dzisiejszego pełni ten obowiązek. Lecz to dla słowiańskiego uczucia nie dosyć; urabia więc sobie nowy wyraz *matula*, a z niego stopnie: *matulka, matuleczka*. Lecz to nie dosyć; wydobywa więc z swéj piersi przepelnionéj: *matunia*, a z niego stopnie: *matuńka, matunieczka*. Lecz to nie dosyć; zdobywa się na wyraz *matusia*, a z niego stopnie: *matuśka, matusieczka*. Czy już koniec? O nie jeszcze! Uczucie nasze udaje się do stopniowania bezwzględnych przymiotników, pożyczają od nich sobie końcówki i wywodzi na świat nowe wyrazy: *matulenia*, z którego stopnie: *matuleńka, matulenieczka*. Lecz to nie dosyć; spostrzegamy znowu *matachna*, z którego stopnie: *matusieńka, matusienieczka*. Może tu koniec? O! mylicie się! To toń niezgłębiona, w której uczucie nasze bujając, chwycił obcy wyraz *mama*, z którego tworzy stopnie z innym znaczeniem: *mamka, mameczka*. Lecz to nie dosyć, bo mamy *mamunia*, skąd stopnie: *mamuńka, mamunieczka*. Lecz to nie dosyć; jidzie więc *ma-*

*mula*, skąd stopnie: *mamulka*, *mamuleńka*. Lecz to nie dosyć, bo jest *mamusia*, skąd stopnie *mamuśka*, *mamusieczka*. Lecz to nie dosyć, bo przybrany wyraz w końcówki stopniowania bezwzględnych przymiotników w nowym stroju przedstawia się *mamuleniu*, skąd stopnie *mamuleńka*, *mamulenieczka*. Lecz to nie dosyć, bo tuż za nim postępuje *mamuchna*, skąd stopnie: *mamusieńka*, *mamusienieczka*. Przypuśćmy na chwilę, żeśmy już wszystko aż do dna wyczerpali; wyczerpięcie przecież to jest względne, bo następne pokolenia dla siebie wyrobią inne nazwy na wyraz *matka*, bo i sam już spostrzegam: *mamcia*, *mamucia* i t. p. Otóż widzimy, że tu stanąć nie można; jednakże to wszystko nie sprzeciwia się mojemu stopniowaniu, ale z nim harmonijną zgodę stanowi. Albowiem wszystkie wyrazy: *mac* (z innym dziś znaczeniem), *matula*, *matunia*, *matusia*, *matulenia*, *matuchna*, *mama*, *mamula*, *mamunia*, *mamusia*, *mamulenia*, *mamuchna*, należy uważać za jimiona zastępujące wyraz pierwotny *mac*; składają tym samym zbiór wyrazów do etymologii należących, których się z użycia, lub słownika uczyć musimy i są niejako pierwotnikami, o których mownia to tylko powiedzieć może, że dla niej są wyrazami pierwotnymi, czyli stopniem pierwszym zasadniczym. Tak urobiona zasada przez naród wchodzi w obręb mowni, która z niej, jako z zasady wywija następne cztery stopnie, czyli wskazuje prawidłą na stopniowanie rzeczowników, jak tu dla krótkości na drugim i trzecim stopniu musieliśmy się ograniczyć, chociaż należało wszędzie dodać stopień czwarty i piąty, to jest: *matczyzna*, *matczyisko*, *matulina*, *matulisko* i t. p. Wyrazy przeto: *mac*, *matula*, *matusia* i t. d. wyrobiły się w kole rodzinnym z powodu uczucia, o jakim już wspomnieliśmy, i są wyrazami względem siebie jednoznaczniemi; a wyrazy: *matka*, *matulka*, *matusieczka* i t. d. będąc stopniami z pierwszych urobionemi przelewają się z przystani szczególniej w główne koryto języka, płyną razem ze wszystkimi innymi wyrazami, i wyprowadzają p. K. z toni zaczarowanej. Pan K. żąda obszernego wyluszczenia téj rzeczy; jestem posłuszny i tłumaczę się dalej. Że wyrazy: *matka*, *matula*, *matusia*, *matunia*, *mamunia* i t. d. oznaczają tylko *matkę* i są jednoznaczne; potwierdzają też samą prawdę inne w języku wyrazy różne, które tylko jedną i też samą rzecz znaczą, jako to: *klacz* i *kobyła*; *baran* i *tryk*; *byk*, *buhaj*, *bujak*, *mędak* i *stadnik*.

Ponieważ powiedziałem, że jimiona ludzkie chrzestne i pokrewieństwo malujące, takie z czasem powstaną, których dziś nie znamy; usprawiedliwiam się teraz ze zdania wyrzeczonego wyżej bez żadnego dowodu. Znakomity nasz pisarz Gregorowicz tak się wyraził: „Czy ty uważasz Poldziu, jak Walerka bez żadnego gustu zawsze się ubiera? (Obrazki Wiejskie T. IV, str. 317). Co wyraz *Poldzia* ma właściwie oznaczać? nie wiem; domyślam się tylko, że może być: *Apollonija*, *Leopolda*, *Paulina*, — lub może się nawet myłę. Mimo to, nie potępiam go, bo jest dobry, na analogiji z innymi wyrazami, w téj samej przystani znajdującemi się urobiony. Czy autor sam go sobie utworzył, czy go gdzie zasłyszał w kole rodzinnym? to wszystko jedno; dosyć, że jest wyraz *Poldzia*, który uczucie mówiącego wydało. Uczucie to, mianowicie matkami, do tego stopnia miota, iż ony jimiona swoich najukochańszych pieszczotek

tak zmieniają, że tylko od nich samych dowiedzieć się możesz, jakie jest właściwie jmię; ale to jmię, aczkolwiek do niepoznania przetworzone, jest zawsze tylko stopniem pierwszym, służącym za zasadę do jego stopniowania. Pan K. ponieważ sobie z *kunktatorstwa* (jego wyraz) czyni igraszki, nie zgłębił, nie odróżnił wyrazów przez samo uczucie wyrobionych od wyrazów, które są stopniami; dla tego powstało wielkie zamieszanie w jego głowie, dla tego nie zgodził się na stopniowanie rzeczowników, bo go sam znaleźć nie mógł, a Muczkowski Józef tu mu nie przewodniczył; dla tego więc koniecznie wyrzec musiał: „Tęgo wszystkiego w stopniowaniu p. Ż. nie zobaczysz, a przecież to jest w języku.” Dalej w skutku swojego usposobienia, musiał, ale to koniecznie musiał stopniowania zaprzeczyć i bardzo ubogiego w rodzinę *Jana* wystawić: „Przedstawiamy rzędem zmianę końcówek wyrazu: *Jan, Janek, Janeczek, Janio, Janisko, Jasiek, Jaś, Jasiunio, Jasioczek, Jasińeczek, Jasińsko, Jasiątko*. W tym wykazie ani tych wszystkich końcówek widać, które p. Ż. podaje, ani tak mało jak u niego. Czegożeśmy przez to chcieli dowieść? Oto, że zjawisko zmiany etymologicznej wewnątrz wyrazu pozostającego przy swójim znaczeniu, żadnym nie jest stopniowaniem.” P. K. skończył, ja teraz mówię. W wykazie wyrazu *mac, matka* i t. d. wszystkich wyrazów daleko więcej widać, niż p. K. podaje w swoim przykładzie: *Jan* i t. d. Czegożeśmy przez to dowiedli? Oto, że p. K. zmiany etymologicznej wyrazów nie umie odróżnić od wyrazów stopniujących się, że jich wszystkich wynaléźć nie zdołał; a tym samym nie może przypuścić, aby stopniowanie jmiion rzeczownych jistniało: a przecież jest, bo z rody języka je otrzymaliśmy, a tak widoczne i wyraźne, jak jasne jest słońce na niebie.

W dalszym ciągu zbijając, że końcówki *yna, ina* nie malują nędzy i słabości jistoty, przytacza przykłady; *okruszyna, dębina, baranina* i t. p. Mimochodem wspominam jego obawę, iż *matczyzna, mamina* mogą być przymiotnikiem i rzeczownikiem, boć takich zdarzeń dosyć naliczyć się daje w języku, np. *rada* (rzeczownik i przymiotnik); *strój* (rzecz. i słowo); *broń*, (rzecz. i sł.) i t. p; zwracam uwagę na: *okruszyna, dębina, baranina*. Kto tak pierwszy wyrzekł, głęboko myślał, bo nędzę w nich widział; albowiem czymże są części chleba, lub innych rzeczy, jeżeli nie nędzą, nie mogącą dać pożywienia? części więc te, okruschy te nazywał *okruszyną*. Drzewo wielkie, całe, w kłocu, w sztuce nazywał *dębem, sosną, brzozą, klonem*; lecz to samo drzewo popłatané w części, w kawały, pozbawione, że tak powiem, swojej rody, swego życia, a zatem przywiedzione do nędzy, nazywa się *dębiną, sosniną, brzezina, kloniną* i t. p. Podobnie młode drzewa otrzymały tę nazwę, ponieważ, nie przyszedłszy do swój dojrzalosci zupełnej, muszą w sobie słabość zawięrać. Ostatecznie najpiękniejsze mięso: *baranina, wieprzowina* i t. d. czymże jest, jeżeli nie błotem, nie trupem? Słowem, baran, któremu życie odebrano, zamienia się w nędznego barana, czyli *baraninę*; a zatem pobudzającego do litości. Ta niezawodnie okoliczność pobudzała naszych pierwszych twórców języka, iż nędznego barana i mięso baranie nazywali *baraniną*; a myśl cała wyraźnie pokazuje, o czym jest mowa.



Niech p. K. myślą przebieguie wyrazy z końcówką *yna, ina*; niech raczy wniknąć w ich rodę cokolwiek głębiej: a niezawodnie się przekona, że powodem, choć odległym, zawsze była słabość, nędza, które za sobą politowanie pociągały, a które oddawano w końcówce *yna, ina*. Jeżeli wyrazy przez analogiją tworzone z końcówką *yna, ina* pobudzają do litości; wyrazy stopniujące się też samę własność na téj saméj zasadzie objawiają. Kto jednak na końcówkę tylko patrzy i z niej rozpoznaje wyrazy, temu oczywiście najfałszywsze wnioski wypadną. Gdyby komuś przyszło na myśl tak zawnioskować: ponieważ stopnie drugie i trzecie przymiotników stopniowania względnego zawsze się na *szy* kończą; stąd wynika, iż wszelki wyraz z końcówką *szy* jest stopniem drugim, lub trzecim, to jest: ponieważ wyrazy; *słabszy, twardszy, najlepszy* są stopniami wyższymi, więc i wyrazy: *pieszy, dyszy, słyszy, uszy, myszy, ruszy, otarłszy, uciwwszy* są także stopniami. Czy język tu winien, że ma różne wyrazy z podobnemi końcówkami? czy ten, kto taki wniosek wyprowadził? Osądźcie sami. Ależ powiecie zapewnie: to niepodobieństwo, aby ktoś tak utrzymywał! to są czyste żarty! Na nieszczęście, muszę odeprzeć, że to nie żarty, że to prawda! bo takich rozumowań, niestety! mnóstwo spostrzegać się daje.

Nakoniec mówi p. K. „Kończówka *sko* nie znamionuje zawsze zwiększenia przedmiotu, ale sama czasami politowanie wyraża, np. *biędne matczyisko!* W wyrazach *panisko, panusko* końcówka ta jest obojętnego znaczenia.” To prawda, że: *biędne matczyisko*, politowanie oznacza, ale skąd ta końcówka, nie zaś *yna*? Ta zagadka tak się rozwiązuje. Kończówkę *yna, ina* język przeznaczył do oznaczenia słabości wewnętrznej, w samym już przedmiocie leżącej, a zatym od niego nieodłącznej. Kończówkę zaś *yisko, isko* do wyrażenia zarysów niezgrabnych, silnie nasze uczucie uderzających. Człowiek, uderzony jakimś zewnętrznym wielkim nieszczęściem, zmienia natychmiast rysy twarzy zwyczajne i przybiera okropne, które nas przerażają. Uczucie nasze przejmując się tym przerażającym obrazem człowieka silnego budową i mocą, przecież złamanego zewnętrznym ciosem; a chcąc wyrazić, czego samo doznaje, musi powiedzieć: *nieszczęśliwe człowieczyisko, biędne matczyisko*, Człowiek ten był silny sobą, ale jego nieszczęście silniejsze, bo go zważyło; dla tego więc wyraz *człowieczyyna* na odmalowanie tego obrazu wcale byłby niestosowny.

Obojętności wyrazów w języku nie pojmuję, bo za nią idzie obojętność pojęć, która wynika z niezrozumienia rzeczy. Zdaje mi się, że każdy uczuje różnicę odcieni w następujących przykładach: *Biedny Adolf upadnie pod ogromem nieszczęść*, i: *Biedne Adolfisko upadnie pod ogromem nieszczęść*. W pierwszym przykładzie *Adolf* oznacza człowieka silnego wolą i charakterem duszy, odpiérającego gromy, które w niego uderzają, ale on stoi, jak skała, nieporuszony. W drugim przykładzie ten sam *Adolf*, chociaż walczy jak lew, chociaż odpiéra od siebie z mężką wytrwałością wszelkie pociski, jednak już sam wątpi o wygranéj; dla tego musieliśmy powiedzieć: *biędne Adolfisko*, wynurzając swe politowanie z bliskiego upadku jego. Tak ja pojmuję stopniowanie rzeczowników!

*O liczbie podwójnej.*

Jistotnie dla tego liczbę podwójną wprowadziłem, że jistnieje w ustach ludu, ale i dla tego, że może wszyscy używać jój będziemy. Pisarze nasi dzisiejsi, skreśliwszy obrazy i charaktery najwyższej warstwy towarzystwa naszego, zaczynają się spuszczać do coraz niższej, a nawet, chociaż w ogóle jeszcze nie wyraźnie, jeszcze nieśmiało, i do najniższej w oświeceniu zaglądną warstwy, to jest: do ludowej. Można powiedzieć, że w tej mierze wyprzedził wszystkich p. Gregorowicz w dziele: *Obrazki wiejskie*. Doskonale on uchwycił mowę ludu prostego, przesłicznie i najwierniej ją oddał z temi samemi zboczeniami i uchybieniami, jakie lud usty swemi wyraża. Tu spostrzegamy bardzo często formę podwójną, użytą w znaczeniu liczby mnogiej. Lecz kto temu winien? Zapewnie że nie lud, ale ci, którzy mu w tej mierze przewodniczyć przestali; dla tego do nas należy się poprawić i uchybienia sprostować, aby potomność nad nami się nie litowała! Zważmy jeszcze i tę okoliczność. Jeżeli dziś, przy szybszej zamianie myśli, wiele sposobów i zwrotów mówienia, w jednej prowincyi krążących, przechodzi w zakres języka piśmiennego, co jest bardzo słusznie, sprawiedliwie i mądrze; dla czegoż ma się wykluczać i nie mieć tego prawa liczba podwójna, żyjąca w ustach najliczniejszej klasy całego narodu? Gdy tak wszystko za nią przemawia, utwierdziło się we mnie to mocne przekonanie, że nie uchybił, gdym ją w mowni pomieścił, albowiem moment historyczny jój przyjęcia napowrot do języka piśmiennego najwyraźniej już nadszedł. Nie sprawi ona najmniejszego uszczerbku liczbie mnogiej, która, powiadam, chociaż z innego powodu, także jeszcze jeden obowiązek na siebie przyjąć musi. Z resztą, komu się liczba podwójna nie podoba, niech ją opuszcza; to mu wolno, bo jest jednostką. Mowni inne przeznaczenie; jój obowiązkiem jest wszystkie pojawy w języku wymieniać, obrabiać, objaśniać i w to głównie godzić, aby ogółowi dogodzić, a nie pojedynczej jednostce, lub jakiejś uprzywilejowanej kaście. Pojedyncze jednostki—to samoluby obstarujące przy swoim widzi mi się; mównik, godnie odpowiadający swemu powołaniu—to sędzia polubowny mówiący z powagą: Ustap' bracie, bo w tej rzeczy, o którą tak zacięty bój toczysz, twój brat ma słusność. Godłem jego:

Ego fungar vice cotis, acutum

Reddere quae ferrum valet, exsors ipsa secandi.

Munus et officium, nil scribens ipse, docebo.

.....

Quid deceat, quid non, quo virtus, quo ferat error.

*Haratius de Arte poëtica.*

*O pisaniu ym, im za ém w przymiotnikach nijakich.*

Ponieważ p. K. przyznał, że pisarze Zygmuntojscy *ym, im* pisali; ponieważ sam wyrzekł: „To, że przed *m* nie pochyla się nigdzie samogłoska *e* w imionach, jest niezbita prawda”; stąd wniosek oczywisty wy-

nika, iż nie mam się z czego usprawiedliwiać. Tu zatem tylko na sofizmaty p. K. muszę zwrócić uwagę, aby jich bezzasadność widoczną uczynić.

1) Dowiadujemy się od p. K. że duch języka i duch pisowni jest zupełnie co innego. Dotąd wiedzieliśmy, że mowa ustna i pisana jest obrazem myśli. Skoro są obydwie obrazem rzeczy jednej, muszą mieć podobieństwo; a tym samym duch jeden je przenika. Z resztą Kopczyński, którego broni, tak powiedział: „w języku polskim jak się mówi; tak się prawie pisze.”

2) „W pisowni, mówi p. K. nie można się zastaniać duchem języka tworzącego formy, układającego po swojemu brzmienia, ale trzeba mieć na uwadze dogodność i łatwość wprowadzonych znaków, oddających też brzmienia i formy w najjaśniejszym odróżnieniu.” To sofizmat obosieczny, raniący swego autora, bo język tworząc brzmienia, patrzy współcześnie na łagodność. I dla tego dogodniejsze, łatwiejsze i stosowniejsze jest brzmienie *ym, im*, niż *ém*; stąd też przez wieki pisano *ym, im*. Dopiero Kopczyński tę nowość do szczegółu zastosowaną wprowadził i współcześni jego nierozważnie (z przeproszeniem) przyjęli, a p. K. jeszcze nierozważniej i płoszej popiera.

3) „Gdy Kopczyński podał prawidła odróżniania w jmieniu przymiotnym przez pisownią innych przypadków, odrzuciła je powszechność, jako niepotrzebny ciężar pamięci.” Albo osłonięcie siebie od pocisków strony przeciwniej tę myśl podyktowało, albo niewiedomość tak zarozumiale wyrokuje. Iluż to dzisiejszych pisarzy używa w piśmie: *wielkimi mężami, szanownymi urzędnikami*, chociaż ci sami niezawodnie mówią: *wielkiemi, szanownemi urzędnikami*? Czyż oni do powszechności nie należą? Co większa! czyż nie są znakomitościami i przedstawicielami tej powszechności? Podług p. K. są wyjątkiem gdzieś na uboczu, bo piszą: *Trudno sobie dać radę z tymi upartymi krytykami*. Końcówki *ymi, imi* ustalił Kopczyński; kącól ten zaczął śmiało wyrwać najpierwszy Feliński; w jego ślady poszli inni: przecież dotąd nie wypiolli tego chwastu z pszenicy; p. K. jednak z jakiegoś powodu pokrywa to wszystko wyrażeniem: „odrzuciła je powszechność.”

4) Za innych nie odpowiadam, tylko siebie bronię. Pan K. chwytając omyłki drukarskie i niemi zastaniając się, wpada sam z sobą w sprzeczność. Wyznał, jakeśmy wyżej widzieli, że *e* nie pochyla się pod *m*; jednakże, aby uludnie dopiął swego, głosi, że *Ł* pisze *é* kreskowane w słowie *jjem*. W uwadze o słowie *jeść* (Mownia str. 128, 129), trzykroć znajduje się powtórzony wyraz *jjem* i raz jeden rzeczywiście przez omyłkę znajduje się *é* ściśnione; p. K. czy nie widzi, czy nie chce widzieć, pisze więc: „Zochowski w słowie *jjem* kreskuje *e*.” Bolesna rzecz dla nauki, gdy krytycy, że się tak już wyrażę, łapinuchami zostają!

5) Nie pojmuję nie tylko praw fonetyki, ale żadnych praw, w których logiki nie ma; nasz przecie autor mówi: „Pochylenie się z powodu fonetycznego i pochylanie się z powodu logicznego także pewną stanowi różnicę.”

6) Więcej bez wątpienia ludzi wyraża swe myśli głosem i przesyła w siebie uchem, niż piśmem i okiem; p. K. dla mniejszej części poświęć

ogół i wbrew jidzie duchowi języka. Dla odróżnienia spadków i uniknięcia dwójznaczności w myśli każe *é* pisać; pozwalam, ale jakże to *é* kreskowane w głosie odróżni od *y*, kiedy te brzmieniem są równe? Dał nam przykład, gdzie podług niego, napisawszy *é* kreskowane, unikniemy dwójznaczności; i na to jeszczebym pozwolił: lecz jakże tam postąpi, gdzie pod żadnym względem *é* kreskowanego napisać nie można? On przykład sztuczny wymyślił i, że tak powiem, sforsował go do swego widoku; ja mu go przytaczam z pisarza, a zatył nie swój, nie indywidualny: „*Niechaj tedy Bóg, jako źrenice oka, strzeże W. K. M.; niechaj skrzydłami wszechmocności swojej okryje i ociszy majestat panowania twego; niechaj na stolicę królestwa twego szczęśliwie prowadzi i postawi, abys ją rządził rządem Bogu miłym, RZĄDEM nie jednemu, nie dwiema, ale wszystkim poddanym swym POŻYTECZNYM; rządem takim, którymbyś u przyjaciół miłym i przyjemnym, u nieprzyjaciół strasznym był.*” (Goślicki w mowie do Zygm. IIIgo). Tu wyraz *pożytecznym* odnosi się do wyrazu *rządem*; dla odróżnienia go jednakże od spadków trzecich: *wszystkim poddanym swym* nie można na żaden sposób w nim *y* na *é* zamienić, bo wyraz *rząd* jest rodzaju męskiego. I czyż przez to myśl Goślickiego opacznie wzięto? Pewno, że nie. Jednak, aby i tego uniknąć, czyż nie możemy użyć innego toku, kroju, zwrotu? czyż jesteśmy w nie ubodzy? Także nie! Gdyby p. K. zamiast wyrażenia: *tym wszystkim*, położył wyrażenie: *przez to wszystku*, które miał pod ręką w przykładzie przez siebie przytoczonym; uniknęlibyśmy najniepotrzebniejszej gadaniny.

7) P. K. utrzymuje, że szóste spadki z końcówką *ém* są delikatnym przejściem do medły rzeczowników i daje przykład: *To pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim*, tudzież wyrazy: *komorném, pogłówném*. Najprzód trzeba przypomnieć, że Jan Kochanowski niezawodnie napisał: *To pan zdaniem moim, kto przestał na swoim*, o czym p. K. sam się przekona, gdy zajrzy do wydania pierwotnego dzieł tego autora. Dalej wie każdy, że mnóstwo znajduje się wyrazów w języku naszym, które mają postać przymiotników, a oznaczają rzeczy, i do takich należą wszystkie imiona własne na *ski* i *cki* zakończone; jednak nie potrzebują występować z swój pierwotnej postaci i przybierać innej. Następnie, jak części mowy nieodmienne, brane w znaczeniu rzeczowników, np. *to ale, to nie, to tak* i t. p. nie potrzebują się zmieniać; tak podobnie wyrazy: *swoje, komorne, pogłowne*, tylko u p. K. zrywają się i wlatują do przemiany w rzeczowniki; albowiem nikomu innemu dotąd o tym się nie śniło. Wreszcie, gdy przypuścimy na chwilę, że *komorném* ma podobieństwo z *ziarnem*; że to podobieństwo zdąży do kształtu rzeczownikowego; wypadnie stąd, jidąc rakiem, to jest wstecz, na spadek pierwszy: *to komorno, to pogłowno, to swoje*; na drugi: *tego komorna, tego pogłowna, tego swoja* i t. p. Mówię: koniecznie wypadnie: *to komorno*, jak *ziarno, wiano, gumno*, bo spółgłoska przybierająca twarda musi mieć po sobie samogłoskę *o*. Zasady przez p. K. rozwinięte do takich wypadków na przyszłość doprowadzają. Widocznie zapomniał o sobie, gdy tę myśl pisał: „*Nam na przyszłość niewolno jest żadnych praw (dodać trzeba: niedorzecznych)*, rozciągać, bo ta nie nasza, a po swo-

jemu, nie po naszymu urobi się zawsze, lecz pomagajmy pisownią naszą (swoją) rozumowi do odróżniania wątpliwości, aby pismo było obrazem języka." Przypominamy, że w tym ustępie dowodzimy ciągle fałszywych zasad i sprzeczności widocznie rażących. Gdybyśmy zamiast wyrazu: *komorném, pogłówném*, mieli przytoczone rzeczowniki: *zimno, gorąco*, tudzież: *piękno, ciemno, ujemno*, które się dziś, jako konieczne, w dziełach pojawiają; gdybyśmy widzieli, że autor Oceny tworzy wyrazy: *komorno, pogłowno* na zasadzie analogiji wyrazów: *zimno, piękno* i t. d., a nie nicuje przymiotników na rzeczowniki, i to jeszcze poczynając od spadku szóstego, co się wbrew zdrowemu rozsądkowi sprzeciwia: musielibyśmy sobie w duchu powiedzieć: „Tu p. K. ma prawdę za sobą; tu nakazał nam wieczne milczenie.” Lecz zupełnie inaczej postąpił. On, przenicowawszy przymiotniki na rzeczowniki, zniszczył pierwsze; gdy tym czasem wyrazy: *gorąco, zimno, piękno, ciemno, ujemno*, po swoim utworzeniu się, nie zniweczyły i nie wykluczyły z języka przymiotników: *gorący, zimny, piękny, ciemny, ujemny*.

8) Na początku tego artykułu czytaliśmy u p. K.: „*Należałoby już dzisiaj starannie rozróżnić te dwa całkiem pojęcia, mianowicie ducha języka i ducha, że tak powiem, pisowni. Każdy z nich ma swoje państwo, nad którym drugi żadnej jurysdykcji nie rozciąga.*” W końcu zaś tego samego artykułu mamy: „*aby pismo było obrazem języka.*” Już samo zbliżenie tych zdań wyraźnie pokazuje niemoc rozumowania i chwiejność logiki p. K., która równie tak się objawia w jego wywodach rozumowych, jak w przytaczaniu dowodów historycznych. Zdeptał on tu ducha języka, za nie poczytał całą historyczność, która przez wieki na trwałych zasadach się opiera, aby błędowi obecnemu poklasnął. Chwilowa sława!

### *Pisownia słowa jeść w czasie terażniejszym.*

Jak daleko język polski się rozciąga, wszędzie w mowie ustnej najwyraźniej się wybija podwójne *j* w czasie terażniejszym słowa *jeść*, to jest: *jjé, jjész, jjem; jjéta, jjéwa, jjécie, jjemy*. Wyjmuje się tylko trzecia osoba liczby mnogiej, w której brzmienie ustne jedno *j* wydaje, to jest: *jedzą*. Jest to pojaw tak wyraźny, tak oczywisty, tak uchem dotykalny, iż go nawet dla ziomeków dowodzić nie potrzebuje, bo każdy z nich: czy oświecony nauką, czy prosty wychowanek rody wyssał z młkiem ten pojaw języka, i żadna go okoliczność nie zmusi, aby wbrew swemu uczuciu i nieodgadniętemu dla siebie samego przeczuciu wymówił bez przycisku, to jest: *jem*; on niezawodnie powie z nateżeniem na spółgłoskę *j*, aby jój brzmienie podwoił, to jest: *jjem*, jak mówi: *sse*. Podwójne więc *j* w czasie terażniejszym słowa *jeść* najwyraźniej żyje w ustach każdego Polaka, czyli w jego mowie ustnej. Jakież tu moje było zadanie? Oto, prawdę żyjącą w mowie ustnej wyrazić pismem, aby o jój życiu nie tylko ucho, usta, ale nawet i oko świadczyło; aby stwierdzić, że to, co jistnieje w umyśle, maluje się w mowie i pismie; aby pokazać, że nie uchybił, ani przeciw zdrowemu rozumowi, ani przeciw przepisom Kopczyńskiego, który mówi: *Mowa jest dwojaka: ustna*

ź pisana; przez obydwie zarówno malujemy, że tak rzekę, to, co myślemy. Jakim zaś sposobem dowiodłem, że należy koniecznie podwójne *j* pisać: *jjé, jjész, jjem, jjéwa, jjéta, jjécie, jjemy*; dla czego osoba trzecia liczby mnogiej stanowi wyjątek, że się pisze jedno *j*, to jest: *jedzą*, odsyłam czytelnika ciekawego do *Mowni*, w której znajdzie zaspakajające dla siebie objaśnienie (*Mownia*, str. 126), chociaż p. K. inaczej o tym prawi i na nieszczęście tylko, bez sensu prawi; na dowód czego oto jego słowa: „Z przedstawienia obrazu wyrabianego słowa *jesć* za pośrednictwem słowa *być* (którego [obrazu] prawdopodobnej wierności nie zaprzeczam wcale), nie widzimy, aby gdzie na początku występowało lub mogło występować podwójne *j*, lub do jednego *j* od słowa *jesć*, drugie ze słowa *jest* przybywało; mimo to więc, że samo przedstawienie jest dowcipne, wcale do tego na nic nieprzydatne, gdyż nam tu nie o formę końcówek, które nateraz są obojętne, ale o *jj* chodzi.” Usunąłem na bok wszelkie uprzedzenie, wypartłem się miłości własnej, dołożyłem wszystkich usiłowań na uchwycenie myśli w przytoczonym ustępie; jednakże ze wstydem wyznać muszę, że dla mnie jest to gromadka wyrazów, z której ten domysł wyprowadzić zdołałem, że p. K. nie pozwala pisać dwóch *j* w słowie *jjem*, i właśnie ten domysł tylko mnie spowodował, iż swojego zdania w tej rzeczy bronię. Wy przeto czytelnicy osądźcie sami, czy moje pojęcie tak słabe, iż nie może przeniknąć i zbadać myśli mojego przeciwnika, czy też p. K. naumyślnie go w ciemność ustroił, by w tej tajemniczój, zagadkowój szacie więcj powagi i uroku sprawił.

Po okazaniu rozumowaniem, że koniecznie pisać powinniśmy *jjem*, gdy wymawiamy *jjem*, to jest: najwyraźniej brzmienie podwójne *j* oddajemy w mowie ustnej; przystąpiłem do dowodu historycznego na poparcie dowiedzionego twierdzenia, aby pokazać, że i w ten czas, gdy jeszcze pisowni zastosowywać dobrze nie umiano, już objawiały się usiłowania w zbliżaniu pisma do mowy. Otóż przykład historyczny przeze mnie przytoczony popiera prawdę, której rozumowanie dowiodło i na jaśnią wyprowadziło; czyli, gdy się wytłumaczymy zwrotem p. K. co filozofija rozwiązała i w prawdę zamieniła, to samo historyja w tym względzie sprawdziła i poświadczyła, że tak dawno już było. Śmiało zaręczyć mogę, iż w badaniach, jakie dotąd czynilem nad językiem, nigdy inaczej nie postępowałem i dla tego nie potrafi mi nigdzie p. K. pokazać, abym bez poprzedniego wyrozumowania wyłącznie polegał na dowodach historycznych. Gdy zaś zechce bezstronnie patrzeć, przekona się, że u mnie rozumowanie jest główną posadą rzeczy, a historyczność, ostateczną jego pieczęcią do dokumentu przyłożoną. Takie jest moje zapatrywanie się na rzeczy w zakresie działania obranym i dla tego nigdy historyczności na pośmiech nie wystawiłem. P. K. dał najwyraźniejsze o sobie świadectwo, że nie wie warunków, pod jakimi można historyczne dowody przytaczać i z nich korzyści odnosić; dla tego też kilka dał przykładów na pozór podobnych. Przykłady te przecież są błędne i dowodu na żaden sposób stanowić nie mogą, bo prawdy za sobą przez rozum dowiedzionej nie mają. Działanie p. K., nie przekonywając o rzeczy, uszczerbek przynosi dawnym pomnikom, bo cóż łatwiejszego, jak w starych pi-

sarzach niejednostajność pisowni pokazać? Cóż dziwnego, że starzy pisarze się wahali, kiedy my dziś doskonale się w tej mierze chwiejemy!

Skończywszy swoje rozprawianie o dowodach historycznych, tak mówi p. K.: „Następnie odwołuje się p. Z. do tradycyi ustnej i mówi: że brzmienie to w podaniu ustnym wieki przetrwało, i że dopiero p. Skibiński w Rozmówkach p. Bocquel, szanując je (to podanie), pierwszy dobrze pisać zaczął.” Tu mam sobie za obowiązek przedewszystkiem nadmienić, iż p. K. użył strategiki literackiej i rzecz z innej strony przedstawił, czego, jako sprawozdawca, czynić nie powinien. Podanie ustne, które było początkiem badania, położyłem na miejscu pierwszym. Ono było dla mnie źródłem, z którego rozumowanie wypłynęło; za rozumowaniem dopiero poszedł przykład historyczny, jako wskazówka pismem stwierdzona, że i dawniej tak mówiono, gdy to w piśmie oddać usiłowano. P. K. najprzód mówi o historyczności, a dopiero później o tradycyi, przez co wprowadza w błąd czytelników, którzy bardzo łatwo przypuścić mogą, iż z pochwyconego przykładu starego chcą dowodzić jakiejś tradycyi dawno zamarłej; a zatym cały obrot rzeczy w innym zupełnie przedstawił się światłu.

Tradycją, o której tu mowa, przeszło dziesięć milionów ust codziennie głosi i daje o niej świadectwo, że żyje i żyć będzie, dopóki tylko tych stanie, którzy ją dotąd w mowie ustnej przechowywali. Nie ma ona ani jednego nieprzyjaciela, bo każdy członek tej dziesięciomilionowej rodziny wymawia ją swemi ustami, a słyszy ją uchem; więc ma najsilniejsze o jej istnieniu przeświadczenie. Gdy jednak idzie o oddanie jej na piśmie,—inna rzecz! cała postać się zmienia! z przyjaciół powstają zastępy najsrońszych przeciwników wołających: „Największa niedorzeczność pisać *jjem* przez dwa j! To obłąd jakiegoś szaleńca!” O zapewne, że obłąd! ale nie jego; dla tego całą jego odpowiedzią: O Ty Wielki Panie! daj upamiętanie; zdejm' łuskę z ich oczy, włój w nich wzrok proroczy; niech zawsze tak piszą, jak mówią i słyszą!

W liczbie przeciwników znajdujem p. K., który podanie ustne całym oceanem płynące porównywa do rzeki w piasek zapadającej, który z podziwienia wyjść nie może, jak jeden tylko p. Skibiński mógł je uchem zasłyszec i pismem oddać? Wzywam tu na świadectwo historyją czynów, nauk, sztuk i rzemiosł; niech ona powie, kto poczynił wszelkie odkrycia i wynalazki,—massy, czy pojedynczy ludzie? Ona ani jednego świadectwa nie przytacza za massą, wszystkie idą na uwielbienie i cześć pojedynczych jednostek, a na korzyść moralną lub materyjalną mass całych! Massy zasłabają zawsze do gotowej uczy, poją się rozkoszą i używają darów bożych; gdy tymczasem jednostka, która jim te gody sprawiła, częstokroć marła głód, żywiła się nędzą, pojiła się łzami i tyła zgniłą wilgocią, bo ją okryli obelgami, a za pomieszkanie dali jej bezpłatne komorne, z którego wychodzić nie mogła. Kiedy historyja wszelkie wynalazki jednostkom przyznaje; dla czegoż więc w tym razie miałoby się stać inaczej? dla czego nie mamy przyznać p. Skibińskiemu, że on pierwszy spostrzegł, czego inni przed nim nie widzieli? Gadanina przeto p. K. zupełnie, jako bezzasadna, upada.

Aby jeszcze widoczniej okazać bezzasadność dotychczasowój ogólnej pisowni słowa *jeść*; aby przekonać, że p. K. nie trzyma się prawdy, ale tylko strony mocniejszej, weźmy sobie przykład następujący. Przypuśćmy, jeżeli to być może, iż ktoś zamierza zjeść znaczną ilość soli; przypuśćmy, iż tę jedną myśl swoją, odrębnie wziętą, pismem chce wyrazić i trzyma się pisowni p. K.: niezawodnie więc napisze: *dobrze się najem soli*. Pytam się teraz, prosząc o bezstronność, czy każdy czytający tak tę myśl zrozumie, jak ją piszący pomyślał? Pewno, że nie! albowiem będzie mnóstwo takich, co pomyślą: prawda, że teraz *dobrze się najem soli*, bo roboty co niemiara, a najemników ani weź, trzeba tego solić (dobrze płacić), i jeszcze dostać nie można! Otóż skutki niestosownej pisowni! Gdy zaś napiszemy: *dobrze się najjem soli* i *dobrze się najem soli*; każdy na pierwszy rzut oka pozna, że w pierwszym przykładzie jest mowa o zjedzeniu soli, w drugim o trudności w najmie.

Po wszechstronnym obejrzeniu rzeczy, pod rozbiorem będącej, utwierdziłem w sobie to najmocniejsze przekonanie, iż mam prawdę za sobą, iż się wcale nie mylę, gdy piszę: *jjem, jjesz, jje, jjemy, jjecie* i dla tego zawsze tak pisać będę, naśladowując poetę, który, aby uniknąć dwójznaczności słowa *wyc* ze słowem *jeść* wyniknąć mogącej, najwyraźniej dwa *jj* napisał: „Pono, nim słońce wzejdzie, rosa oczy *wyjje*”; a panu K. zostawiam na wzór innego, który napisał: „Przysłowie nasze doskonale tę rzecz maluje, że nim słońce wzejdzie, rosa oczy *wyjé*. Oj! prawda, odezvano się chórem, że *wyjé*, bo już dziś, codzien to lepiej dogryza.”

### O słowie posiłkowym mieć i czasach terażniejszo-przeszło-i przyszło-przyszłych.

Że słowo *być* jest pierwotne, zgadza się p. K; przeczy tylko, że nie może się posiłkować drugim, bo przestałoby być pierwotnym, znalazłszy obok siebie jakieś inne współpierwotne. Na tak blahe zarzuty odpowiadać, jest to Tantala i Danajid cierpienia ponosić! Ale cóż robić? leźmy wodę w bezdenne naczynie!

Pierwsi twórcy języka w trzech głównych ostopach czasu, to jest terażniejszego, przeszłego i przyszłego, wyrobili dla słowa *bytu* wyrazy: *jestem, byłem, będę*. Na tym widocznie stanęli, bo potrzeba nazywania innych czynności w drugą ich stronę zwróciła, aby również na rozmaite czynności wynaléć w trzech chwilkach czasu odpowiednie znaki. Do tego działania użyli słowa *być*, którego końcówki już urobione, a nawet samo słowo przenosili do słów innych; stąd słowo *być* słusznie otrzymało nazwisko posiłkowego, i na tym skończyła się pierwsza epoka tworzenia słów. Tak urobione dotąd słowa nie wystarczały późniejszym potrzebom, bo rozwój myśli daleko obszerniejszego zakresu wymagał. Jak sobie więc zaradzono? Oto pochod rozwijania się dalszego w drugiej epoce zwrócił się od słów innych na powrot do słowa *być*, które się wyraźnie posiłkuje słowem *mieć* w jmiestłowie: *mający być*. Tego jmiestłowu *mający być* żadna dotąd mownia nie pominęła, nazywając go jmiestło-



wem czasu przyszłego, (choć to nazwisko jest niestosowne), i w tym względzie postąpiła bardzo dobrze; w tym zaś uchybili wszyscy, że tego rozwoju słowa nie posunęli do wszystkich czasów. Czego oni, czy nie widzieli, czy uczynić nie śmieli, to ja spostrzegłem, a tym samym uzupełniłem całą modłę słowa, a gwiazdą przewodniczącą, przyświecającą mi w tym postępowaniu były jimiestowy; *mający być, mający mieć, mający kochać* i t. p. których pp. grammatycy wyprzeć się nie mogą. Owi wszyscy zaczęli iść za duchem języka; jam poszedł, dokonałem dzieła w tej mierze i wystawiłem wszelkiego słowa obraz modły zupełny, jaki się dotąd w języku rozwinął. Widziemy z tego, że w pierwszej dobie czyli epoce tworzenia się słów, słowo *być* zasila i końcówkami swemi i samym sobą wszelkie słowa; w dobie drugiej słowo *mieć* przybywa na pomoc słowu *być*, tudzież wszelkim innym: jest więc słowem posiłkowym. Że zaś słowo *mieć* jest jedynym słowem posiłkowym w dobie drugiej, to jest najsilniejszym dowodem, że ono, a nie inne posilkuje nie tylko innym, ale nawet samemu sobie, czego żadne inne słowo dokazać nie może, np. *mający być, mający mieć, mający pisać; mam być, mam mieć, mam pisać* i t. d.

Pozwalamy sobie rozwój słów w takim przedstawić obrazie. Słowo *być*, jako rodzic słów wszystkich, daje swym dzieciom życie, moc, wychowanie i dzielność, jakie samo posiada; słowa więc inne, jako dzieci żyją z początku zapomoga rodzica, ale wzmógłszy się na siłę, same myślą o dalszym rozwoju, bo je zagnała potrzeba, dotąd rodzicowi nieznaną. Najstarsze z rodzeństwa słowo *mieć*, poczuwając się do obowiązków wdzięczności, przyjmuje ciężar opiekuństwa, wspiera ociężały wiek rodzica, samo sobie wystarcza i swojej pomocy młodszym braciom udziela.

Staralem się najdotykalniej okazać, że tylko słowo *być* i *mieć* mogą nosić nazwę posiłkowych; jednak na potwierdzenie tego rozważmy: jakie warunki tej nazwie przystoją; jak zrozumiano, gdy po pierwszy raz wyrzeczono: *słowo posiłkowe*. Słowa *być* i *mieć*, wchodząc w złożenie słów innych, zupełnie tracą swoją rodę, swoje wewnętrzne znaczenie, np. *będę mówił, będę miał mówić*. Choć oko widzi, a ucho słyszy słowa *być* i *mieć*; przecież umysł nasz pojmuje tylko słowo *mówić*, którego czynność w przyszłości ma się spełnić, — nie więcéj; o żadnej tu bytności lub posiadaniu, czyli mieniu nikt nigdy nie pomyślał i myśleć w podobnych zdarzeniach nie będzie. Otóż najwidoczniejszym znamieniem słów posiłkowych jest utrata własnego istnienia, gdy w pomoc innym przychodzą. P. K. tego nie rozważył, dla tego zaprzeczył posiłkowania słowu *mieć* i połączył je ze słowami: *zamierzać, pragnąć, chcieć* i t. p., dowodząc, że roda wszystkich też sama. Zobaczmy to w wyrażeniach np. *mam mówić, zamierzam mówić, pragnę mówić, chcę mówić, mam pójść za mąż, pragnę pójść za mąż*. Czyż to wszystko jedno? Każda panna śmiało powie: *mam pójść za mąż*; zwrot drugi skona w jej ustach i rumieńcem wstydu ją obleje. W wyrażeniu *mam mówić*, nie widzę mienia, bo to jest słowo rzeczywiście posiłkowe; w następnych przykładach każde słowo w złożeniu będące objawia swoje indywidualną czynność; a zatem nie pomaga, ale współdziała: słowa przeto *mieć* nie mo-

żna na żaden sposób do nich włączać. Gdy się przypatrzymy cokolwiek rozważniej, spotrzeżemy wielkie podobieństwo w działaniach słów do działań ludzi na świecie, słowem: ujrzymy też same cnoty, też dumę, butę i miłość własną w słowach, co i w ludziach. Słowa *być* i *mieć* są to prawdziwie najszczerzy przyjaciele, niosą oni pomoc bliźniemu, poświęcają się dla niego; ale zapierają się nawet swego jistnienia, aby nie dać uczuć, że oni to zdziałali; słowa znowu *zamierzać*, *pragnąć*, *chcieć* i t. p. są to owi głośni przyjaciele, z pomocą jawną w ustach, a z ukrytym własnym interesem w sercu, którzy w tym jedynie celu pomagają, aby, jak mówi przysłowie, przy cudzym ogniu swoją pieczeń upiekli, nie dbając na to, czy się kto czasem nie sparzy.

P. K. ciągle mnie skierowywa na drogę, po której, jak to wyraźnie widać, sam się jeszcze kroczyć nie nauczył. Wszystkie czasy słów, posilkujących się słowem *mieć*, czyli czasy z rozwoju dalszego w drugiej dobie wynikłe, każe mi nazywać *formą omowną*. Przypatrzymy się bliżej, co też to ma znaczyć ta *forma omowna*. Tak mistrz pana K. Józef Mucz-kowski o niej mówi: „Jeżeli do wszystkich osób, liczb i czasów sposobu oznajmującego słowa posilkowego *mieć* sposób bezokoliczny *być*, lub innego jakiego słowa dodamy, utworzymy czasowanie *omownym* zwane dla tego, że stan lub czynność, którą wyrazić chcemy, kilką słowami opisujemy, czyli omawiamy.”

„Słowo w sposobie bezokolicznym przy czasowniku *mieć* położone, w grammatyce słowem *celniejszym* nazywamy. I tak w wyrażeniach: *mam czytać*, *miałem pisać*, słowa: *czytać*, *pisać*, są celniejszemi.”

„Wszystkie te czasy wyrażają postanowienie, zamiar, a zatem przyszłość niepewną, która się do obecności, przeszłości, lub przyszłości odnosi. Dla tego też czasy tej odmiany nazywamy czasami *przeszłemi względem obecności, przeszłości lub przyszłości*.” (Grammatyka Jęz. Pol. przez Józ. Mucz-kowskiego, 1849 r. str. 173 § 283).

Nie wdaję się w szczegółowy rozbiór definicyji *formy omownej*, objawiam tylko swoje uczucie, jakie się w mój duszy z nią zrodziło, słowami J. N. Kamińskiego, a czytelnicy łatwo sobie dopełnią resztę obrazu: „Kto w swoją pamięć kładzie słowa, których z dna jistoty rzeczy głęboko nie zrozumie i sobie wyobrazić nie może; tego pamięć,—iż tak powiemy,—cmentarzem, w którym same tylko trupy chowa; które chociaż przypomnieniem wygrzebać może, przecież mu one nigdy z martwych nie wstaną; bo, jako nieżywe, do duszy jego duszą swoją przemówić nie mogą.” (Dusza uważana jako myśl, słowo i znak. Str. 150).

Wszystkie okoliczności wymienione nakazują mi pozostać przy nazwie czasów *przeszło-teraźniejszo, i przyszło-przyszłych*, których definicyją znajdzie czytelnik w Mowni (str. 137 § 197).

### *O czasie zaprzeszłym i warunkowym.*

Józef Maks. Ossoliński po utracie wzroku przełożył na język polski dziesięć ksiąg Liwijusza. Przekład ten odznacza się wiernością, dosadnością, treściwością wyrażenia, mocą, czystością i jednością języka, a mianowicie tukiem prawdziwie na duchu języka naszego opartym. Krótko

mówiąc,—jest to doskonały wzór prozy polskiej. Z pewnością ręczyć mogę, że, gdyby czasy zaprzeszłe były taką koniecznością w języku naszym, jaką są w łacińskim, pewnieby ich nasz tłumacz nigdy nie pomijał. Ale i tu znajdujemy małe zboczenia i tu gdzie nigdzie pozostały czasy zaprzeszłe, które należy uważać za niedostrzeżone, albowiem tych, które pozostały, nie stale używał tłumacz, o czym p. K. przekonać się raczy, gdy zechce oryginał z przekładem w kilku lub kilkunastu miejscach porównać, a trudy te nie będą bez korzyści.

Gdyby p. K. wniknął w myśl autora, gdyby definicyją czasów warunkowych względnych i bezwzględnych lepiej poznał (Mownia str. 137 § 197); nie potrzebowałby znaków zapytania na papier przelewać, bo te znikłyby w jego przeświadczeniu i usunęłyby dla niego dotychczasową zagadkę. A że sam nie umie używać czasu zaprzeszłego, oto dowód z tego artykułu: „Zgodziłbym się na to, aby téj jego formy nie nazywać czasem zaprzeszłym, bo to jest służalczym tłumaczeniem obczyzny do naszego języka nieprzystającym: ale *wolałbym był*, gdyby autor, zamiast nas raczyć swojemi czasami warunkowemi bezwzględniemi, warunkowemi względno-bezwzględniemi *był słowo powiedział* o czasach względnych.”

*O przedjmkach stunowiących przejście do przysłówków i o przysłówkach* wśród, około, wzdłuż, podług, zamiast, względem, nakształt.

W tym ustępie zwrócę uwagę na głównejsze okoliczności, aby wyjaśnić, że p. K. przysiągłszy *in verba magistri*, ani na krok postąpić dalej nie chce; aby pokazać, że niczego bez namysłu nie napisał.

„Co do przyjмка *dla*, mówi p. K. gdy twierdzenie autora na żadnej zasadzie nieoparte, dosyć mu zaprzeczyć, to już walny przeciwdowód.” Zdanie to naprowadza mię na myśl, iż autor Oceny do rzędu tych ludzi należy, którzy cudzą ręką zarzewie grzebać lubią i przysłowie to dla upartego mogłoby być walną przeciwdowiedzią; lecz ponieważ nam jidzie o wyjaśnienie prawdy, załosyć uczynię gorącemu żądaniu i wyzwaniu.

Wyraz *dla*, uważany dotąd za przedjimek jest właściwie spadkiem drugim liczby pojedynczej rodzaju nijakiego rzeczownika *dle*, który jako jimię wyszedł z użycia, a tym samym zaginął. Szczątki jednak jego, czyli niektóre spadki żyją dotąd w języku, to jest: w wyrazie *dla*, tudzież w wyrazach: *podle*, *wedle*, *wpodle* (*po-dle*, *we-dle*, *w po-dle*) i pokrewieństwo między niemi objawia się najwidoczniejsze; albowiem *dla* jest spadkiem drugim, a *wedle*, *podle*, *wpodle* są spadkami czwartymi, spojonymi w jeden wyraz z przedjmkami je poprzedzającymi. Z powodu, że to *dla* jest spadkiem drugim, mówiono dawno: *tego dla*, jak dziś mówimy: *tego pola*. A ponieważ w języku naszym wolno dziś przełożyć wyrazy i powiedzieć: *pola tego*; toż samo dawno czyniono i mówiono *dla tego*. Wyrażenie to, jako szczątek rzeczownika, skostniało, stało się martwe i pozostało w postaci: *dla tego*, nie mogąc się przemieniać więcej w wyrażenie: *tego dla*. P. K. tego wszystkiego nie zrozumiał, nie wiedział, jaką jest częścią mowy wyraz *dla* i stąd najnierozważniej dowodził pod artykułem: *Przedjimek za przyjimek*, mówiąc: „wiadomo

bowie n, że dawniej i przyimki niektóre po imieniu kładziono, np. *tego dla*, zamiast *dla tego*." (Muszę tu nawiasem napomknąć, że w obrobie artykułu: *Przedimek za przyimek* wyraz *dla* spowodował mię do następnego zdania: *To względna do czasu prawda, o czym się później przekonamy na właściwym miejscu*. Tam nie chciałem uprzedzać czytelnika, dopóki sama rzecz nie przyjdzie; dla tego zezwoliłem niejako na to, co p. K. twierdził). Pytam się teraz, czy spadek drugi jakiego rzeczownika, np. *pola*, *miasta*, *drewna*, *dziecięcia* i t. d. może być przedimkiem? (przyimkiem). Z największą pewnością odpowie każdy, że nie; a zatem drugi spadek *dla* także być nim nie może. Czymże są dzisiaj szczątki rzeczowników w rozmaitych spadkach pozostałe: np. *do cna*, *z dawien dawna*, *wniwecz*, *z wysoka*, *hurtem*, *nurkiem*, *chyłkiem*, *na hytu*, *na wznak*, *bez liku* i t. p. jeżeli nie przysłówkami? wyraz więc *dla*, będący takimże szczątkiem, tylko przysłówkiem być może i jest nim rzeczywiście.

Wyprowadźmy teraz napomkniętę pokrewieństwo wyrazów: *dla*, *wedle*, *podle*, *wpodle*, bo samo jich podobieństwo, jak podobieństwo nazwisk ludzkich, nie jest żadnym dowodem tożsamości jednej rodziny. Szukajmy rodowodu. Przedimki: *z*, *do*, *od*, rządzące spadkiem drugim, tę pokazują własność, iż nietylko rzeczowniki rządu jich słuchają np. *pole*, *ziela*, *serce*; *z pola*, *z ziela*, *z serca*; *do pola*, *do ziela*, *do serca*; *od pola*, *od ziela*, *od serca*: ale nadto dziś martwe, bo niezmiennie przysłówki na rozkaz tych przedimków budzą się, zmartwychwstają i przyjmują końcówki spadku drugiego, np. *wysoko*, *z wysoka*; *daleko* *z daleka*; *dawno*, *z dawien dawna*; *od dawien dawna*; *tyła*, *do tyła* i t. p. Trąemy także tą czarnoksiężką różczką wyraz *podle* (wpodle); a natychmiast drgnie życiem i przybierze końcówkę spadku drugiego, np. *poszedł podle*, *wpodle*; *wrócił z podła*. Czyż teraz wyraz *podła* nie jest tym samym, co i *dla*? Czyż ony nie są spadkami drugimi i dla tych samych przyczyn? Czy wyrazowi *podła* złożenie jego przerywa pokrewieństwo z pojedynczym *dla*? I to nie, bo natychmiast musielibyśmy wyznać, że, dajmy na to, między wyrazami: *dział działu* i *podział podziału*, *most mostu* i *pomost pomostu*, i t. d. zniszczyło się pokrewieństwo. Skorośmy okazali, że wyrazy: *dla*, *wedle*, *podle*, *wpodle* są szczątkami jednego rzeczownika; skorośmy się przekonali, że wyraz *dla* jest przysłówkiem: wyrazy przeto: *wedle*, *podle*, *wpodle*, jako spadki czwarte, są także przysłówkami.

Wiem, że na tę prawdę tak oczywistą, tak jasną p. K. rozprawiający o przedimkach nie zgodzi się, chociaż znowu ten p. K. prawiący w artykule: *o pisowni słowa jeść*, przystać koniecznie powinien, jeżeli swoich myśli za czczy dym i marnienie poczytywać sobie nie życzę. Tę dwubarbność w jednym cieple pokazują jego słowa. Gdy chce przekonać, że *przeciw* jest przedimkiem, tak mówi: „Dalej sam ten wyraz od słowa *przec* pochodzi, niby: *przezczyć*, *zapięrać*, mógł być rzeczownikiem niegdyś, bo są ślady w języku, iż się odmieniał przez przypadki z przyimkiem, np. Petrycy mówi: *Jest z przeciwi rozumowi*, za: *sprzeciwi się rozumowi*, ale od najdawniejszych czasów za przyimek uchodził nietylko u nas, ale i u innych pobratymczych języków.” Jak się

tu przedstawia p. K.? Widziemy go najwierniejszym wyznawcą powa-  
gi, jakakolwiek ona jest; on tu wcale nie myśli, myśleć nie chce, i tak da-  
leko w tym naśladownictwie utonął, iż go przykład z Petrycego zupełnie  
przeciwny jego dowodzeniu z téj toni wydobyć nie zdołał. Mówiąc  
o przysłówku *mimo*, tak się wyraża: „*Mimo* nie jest przysłówkiem dzi-  
siaisj, ale przyjimkiem. W grammatyce dzisiejszój, powtarzam zawsze,  
nie chodzi nam o to, czym co było i być mogło, ale czym jest.” Jaka  
treść tych wyrazów? Oto następująca. Ponieważ nam i poprzednikom  
naszym pp. grammatycy (Panie odpuść jim), w głowę wkuli, że podob-  
ne wyrazy są przedjimkami; my dziś nie mamy prawa jój odgwałdzać;  
oni już dobrze umyśliłi, kiedy tak powiedzieli. Po co mamy się pytać,  
badać, czym to lub owo było, albo jest, kiedy wiemy, jak się to nazywa,  
to dosyć. Skoro się nazywa przysłówkiem, przedjimkiem, to już pewnie  
jest przysłówkiem lub przedjimkiem. *Risum teneatis amici!*

Lecz p. K. nie zawsze tak sądzi; słyszeliśmy go w artykule: *o pi-  
sowni słowa jeść*, tak mówiącego: „Historija nauk powiada nam  
w ogóle, jak co było, i że nie mogło być inaczej, jak było, ale nie mówi  
wcale, jak być powinno; to filozofija rozwiązuje, podobnie jak dzieje wy-  
kazują nam czyny dopełnione, ale daleko do tego, aby ony miały być dla  
nas bezpośrednią nauką moralności.” Czemuż, mówiąc o przedjimkach,  
nie poszedł drogą filozofiji, któraby mu czystą prawdę pokazała i niezawo-  
dnie do tych samych wypadków, co i mnie, doprowadziła? Czy nie  
mógł? czy nie umiał? Tego rozwiązać nie potrafię; ale to wiem, że, gdy-  
by poszedł, chybiłby swego celu. Jakież cel jego, jeśli nie wykrycie pra-  
wdy? P. K. jój wyjaśnienie zostawił komu innemu; sam zaś zamierzył  
w interesie całej archandryji (wyrażenie Trębeckiego) pobić, zetrzeć,  
zniweczyć, w proch obrócić *Ż.* na wszystkich punktach. Dla tego téż,  
gdzie *Ż.* dowodzenia swoje przykładami historycznymi podpiéra, tam mu  
trzeba rzucać w oczy filozofiją i deptać nogami przytaczaną historyczność;  
gdzie *Ż.* idzie drogą rozumowań i przychodzi do wypadków prawdziwych,  
których jednak ogół dziś z nim nie podziela, tam go uderzyć całą powagą  
historyczności; gdzie *Ż.* wyprowadzi wniosek prawdziwy, tam mu go za-  
raz przekręcić, jak to ma miejsce przy przysłówku *nie* i *bez*. Co wię-  
ksza, sprzeciwia się nawet samemu sobie, aby dopiął swego, co wyraźnie  
pokazał przy przysłówkach: *wśród*, *podług*, *zamiast*, *naksztalt*. które,  
choć w właściwą jim nazwę przyznaje, przecież zamieszca do przedjim-  
ków. Tak on mowi: „*przysłówki i wyrażenia przysłówkowe* mogą  
pełnić usługę przyjimków, to nie nowina, ale te przysłówki przez zwy-  
czaj, długie używanie i przedawnienie w takim stosunku i takiój atrakcyji  
do jimion stanęły, iż już jich dzisiaj do przysłówek policzać nie można.”  
Słowem postanowił wybierać te miejsca, te wyobrażenia, na które ogół  
inaczej się dotąd zapatruje i zbijać je czymkolwiek, bez wyboru, choćby  
fonetycznymi wyrazami—i wygrana będzie pewna, bo *vox populi*. To  
jistny Zojil dziś zmartwychwstający!

### *O rządzie przyjimków (przedjimków) podwójnym.*

Przedjimki wewnętrznym znaczeniem malują jakieś ogólne miejsce,  
które, ażeby wyraźnym i pewnym uczynić, trzeba przedjimki określić

rzeczownikiem. Określenie to nazywa się powszechnie rzędem dla tego, iż przedjimki, stosownie do swojej rody różnych, wymagają spadków jimienia, którym je określamy, np. *do kościoła, przez kościół, za kościołem, przy kościele*. Własność ta przedjimek, które po sobie różnych spadków wymagają, nazywa się rzędem, i słusznie, o czym nikt nie wątpi; stosunek więc przedjimek do jimion najwidoczniej okazany.

Rozważmy teraz stosunek przedjimek do słowa. Przedjimki nierozłącznie z jich określeniami należy uważać za miejsca, za ostoje dla wszelkiej czynności. I inaczej być nie może, albowiem żadnej czynności bez miejsca, czasu i jakości pomyśleć nie możemy, to jest: musimy wiedzieć koniecznie: *gdzie, kiedy i jak?* czynność się odbywa. Prawo to ogólne, powszechne często się tam zwłaszcza przemilcza, gdy czynność, wykonywając się w swojej ostoji, do drugiej zmierza, np. *dążę do kościoła*. Tu mówiący przemilcza ostoję działania, z której dążenie wykonywa, jako wiadomą; on wie już o tym, że, skoro jest czynność, musi być jej ostoja, jej *konieczne gdzie*: wymienia więc drugą ostoję, do której zmierza, aby w niej był, aby ją zamienił na ostoję swojego działania, to jest: *dążę do kościoła, abym w nim był, abym działanie swoje w kościele wykonywał*. Podobna mu się obie te ostoje wymienić: jedną, w której działa, — drugą, w której ma działać, powie: *Z domu dążę do kościoła*. Nie chce wyrazić żadnej ostoji, opuszcza je i mówi: *dążę*, bo ogólne *skąd i dokąd* łatwo się domyślają. Czynność więc wyrażana słowem ze względu do przedjimek może się znajdować w dwóch zastosowaniach, to jest: albo może się mieścić w ostojach przedjimekami oznaczonych, albo może być po za obrębem tych stanowisk, do których swą czynność kieruje. Na obydwie te względy wyrobił język odpowiednie przedjimki, np. *dążę z domu, dążę do domu* i t. p. Ale rozmaijtość przedjimek do wskazania tych dwóch względów nie jest naszym zadaniem; zwracamy się przeto wprost do swojego.

W języku naszym jest kilka takich przedjimek, które w obydwóch zastosowaniach do słowa ostać się mogą, to jest: są ony taką ostoją dla słowa, w której to swą czynność wykonywa; jak są również ostoją, gdy słowo, działając w innej przemilczanej ostoji, (jakeśmy wyżej widzieli), do niej, jako do swęgo drugiego środka, czynność swą kieruje. Przedjimekami temi są: *pod, nad, przed, za, między, w, po, na, o*. Gdy przedjimki te w takim się znajdują stosunku do słowa, iż działanie jego, odbywając się po za jich obrębem, dopiero do nich zmierza; wtenczas ony wymagają określeń w spadku czwartym, czyli niemi rządzą: gdy znowu czynność słowa odbywa się w miejscu, temi przedjimekami wskazanym; natenczas jedne z nich wymagają określeń w spadku szóstym, drugie — w siódmym, np.

SŁOWO ZA OBREBEM PRZEDJIMKÓW, SŁOWO W OBREBIE PRZEDJIMKÓW,  
OKREŚLENIA JICH W SPADKU CZWAR- OKREŚLENIA JICH W SPADKU SZÓ-

TYM.

*Kopie pod ziemię.*  
*Leci nad miasto.*  
*Biega przed bramę.*  
*Pędzi za góry.*

STYM,

*Kopie pod ziemią.*  
*Leci nad miastem.*  
*Biega przed bramą.*  
*Pędzi za górami.*

*Wiózł za rzekę.  
Jedzie między drzewa.*

*Rzuca w ogród.  
Lézie w błoto.  
Strzela w pokój.  
Pnie się po drabinę.  
Pisze o pieniądze.  
Niesie na wschody.  
Kupuje na targ.*

*Wiózł za rzeką.  
Jedzie między drzewami.*

LUB SIÓDMYM.

*Rzuca w ogrodzie.  
Lézie w błocie.  
Strzela w pokoju.  
Pnie się po drabinie.  
Pisze o pieniądzach.  
Niesie na wschodach.  
Kupuje na targu.*

W danych przykładach widzimy też same słowa, też same przedjímki i określenia. Czymże się różnią? Tym jedynie, że w pierwszych przykładach czynność zdąża do przedjímków, jako do swojej ostoji; w drugich przykładach czynność się odbywa w przedjímkach, jako w swoich stanowiskach. Skoro przy okoliczności dążenia do miejsca, przedjímki rządzą spadkiem czwartym; przy okoliczności miejsca, w którym się czynność odbywa, rządzić powinny także jednym. Przecież tak nie jest, bo jedne z nich, jak widzimy, rządzą szóstym,—drugie siódmym. Tak różny rząd z jednego wynikający powodu zrodził we mnie pytanie: skąd taki pojaw wyniknął w języku? I rozwiązałem je wpływem języka łacińskiego na polski, opierając swoje dowodzenie na rozumowaniu. Cóż robi p. K.? Prawi o absurdach, których nie popełniłem; wyśpiewawszy jeremijadę nad językiem łacińskim, odrzuca jego wpływ, (w jakim zaś sposobie? to później zobaczymy) i na usprawiedliwienie tego rządu różnego tak mówi: „Dla tego przyjímki rządzą przypadkami, ale niemi samemi znowu rządzą słowa; dla tego jeśli te słowa mają przy sobie pojęcie spoczynku, przyjímki wtedy z przypad. 6<sup>ty</sup>m lub 7<sup>ym</sup>m kłaść się muszą, a z 4<sup>ty</sup>m mimo rządu przyjímków, jaki mają, nie mogą.” I w drugim miejscu: „Z tego widać, iż język w urabianiu form przypadkowych i dobieraniu do przyjímków stosownych przypadków, szedł za poradą wewnętrznego instynktu, za natchnieniem własnego ducha, tylko praw fizjologicznych głosu słuchającego; a w wytworze swoim wewnętrzym żadnych napływów, lub zewnętrznych nanosin do rady nie wzywał. Owszem artykułował brzmienia swoje organicznie do zasad fonetyki, symfoniji, harmoniji i lojiki. Tych wszystkich zasad stale sformułować nie można do każdego danego przypadku, ale jich przewagę wszędzie ujrzysz w mechanizmie naszego języka.” Jakaż więc stanowcza przyczyna wpłynęła na rząd w dwie różne drogi się rozchodzący? Oto jakiś instynkt wewnętrzny, jakies zasady fonetyki, symfoniji, harmoniji, lojiki, których sformułować nie można! I ty, lojiko! mistrzyni, przewodniczko w myśleniu, jakże nisko stanęłaś! Wszakże tu należysz do zasad, które się w żadne prawidła ująć nie dają! Żal mi ciebie, biedna lojiko! ale zapewne to twoja wina, żeś się nie postarała o lepsze względy dla siebie. Tyś powinna dawać ład, skład, porządek, a tym samym życie prawdziwe, a teraz służysz za zasadę marzeniom, które wołają: „po co chcieć ściągać wszystko do jedności formy, która jest dopiero w grobie, a tam gdzie życie płynie, jest rozmajitość!” Leżysz w grobie biedna lo-

jiko i dla tego nieład życiem nazywają. Bez ciebie w zapale nawet zapomniano, że tu nikt nie zamierzył ściągać wszystkiego do jednej formy, tylko wskazać, dla czego ten pojaw w języku dwiema drogami popłynął; widzisz więc, że wyjaśnienie prawdy jest grzechem!

Przypatrzmy się teraz, w jaki sposób p. K. ogranicza wpływ łaciny na nasz język. Tak on mówi: „Trzeba nam wiedzieć, że jeśli język polski z częstych bardzo a koniecznych historycznie stęsków z łaciną, winien jej swoje syntaktyczne wyrobienie, to nie form przypadkowych, a tym bardziej rządu przyjmików.” Co do składni, zgoda z nami, bo wyraźny wpływ łaciny widać w tych wyrażeniach p. K. np.

„*Książka 18tu lat pracy winna być godnie rozpoznana.*”

„*On tylko może być użytym do oddania tego pojęcia.*”

„Co do wyrazów *wśród, podług, zamiast, naksztalt* i innych, które już autor nie *przejsciowemi* wyrazami do przysłówków, ale *przystówkami* tylko być *sądzi*, nadmienię te uwagi.”

„*Winno być* do niej *przywiązane* brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić, czyli uzewnętrznić nie da, jeśli ją jakoś nie nazwiemy.”

„*Abstrakcyja* w tym podziale *podniesiona jest*, że tak powiem, do kwadratu.”

„Radbym jakoś sprowadzić myśli *moje* do pewnych w tej mierze obrębów.”

„Pomagajmy pisownią *naszą* rozumowi do odróżniania wątpliwości.”

To jest czysty tok łaciński; po polsku tak należało powiedzieć:

*Książkę 18tu lat pracy winniśmy (lub należy) godnie rozpoznać. Jego tylko można użyć do oddania tego pojęcia.*

Co do wyrazów: *wśród, podług, zamiast naksztalt* i innych, które już autor nie *za przejsciowe wyrazy* do przysłówków, ale *za przysłówki uważa* (*poczytuje*), nadmienię te uwagi, (albo: *nie przejsciowemi wyrazami* do przysłówków, *ale przysłówkami mianuje*.)

*Powinniśmy* do niej *przywiązać* (lub *powinno się* do niej *przywiązać*) brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić, czyli uzewnętrznić nie da, jeśli *jej* jakoś nie nazwiemy.

*Abstrakcyją* w tym podziale *podniosł*, że tak powiem do kwadratu.

Radbym jakoś sprowadzić myśli *swoje* do pewnych w tej mierze obrębów.

Pomagajmy pisownią *swoją* rozumowi do odróżniania wątpliwości.

Zobaczmy teraz, czy język łaciński nie wpłynął na formy spadków. Gdyby tak było, jak recenzent utrzymuje, mówilibyśmy: *Na egzaminie tłumaczono Plata i Cycera, słuchano o Ceresie i Junie, tudzież rzucono kilka pytań o poemacie Homerusa; przecież mówimy: Na egzaminie tłumaczono Platona i Cycerona, słuchano o Cererze i Junonie, tudzież rzucono kilka pytań o poemacie Homera*, gdzie wyraźnie to spad-



kowanie opiera się na rodzie języka łacińskiego. W wyrażeniu: *czyta Horacyjusza i Wirgilijusza*, jest duch języka polskiego; a znowu w wyrażeniu: *czyta Horacego i Wirgilego lub Wirgila*, wieje duch łaciny, chociaż z końcówką przymiotnikową. Czyż *byłem doma* nie jest łacińskim: *fui domi*; co większa, w wyrażeniu nawet: *w domu* zobaczy łacinę, kto patrzeć umie. Jidźmy dalej, P. K. słowy zaprzecza wpływu łaciny na przedjímki polskie, a czynami przekonywa inaczej, na co dajemy z niego przykłady, jakoto: „Autor tworzy *zeń* rodni. Aby nam przypominały znaczenie *doń* przywiązane. Wszedłszy *weń*, stracił swoje odrębność.” Czyż wyrażenia: *zeń, doń, weń* nie przywodzą nam na pamięć łacińskich: *mecum, tecum, secum, nobiscum, vobiscum*? Co większa, łacińskie bez porównania mają widocznieszą wyższość nad polskimi, bo oznaczają spadek i liczbę: polskie nie wyrażają ani liczby, ani rodzaju, ani nawet spadku, jeżeli przedjímki rządzą spadkiem podwójnym. Co więc prawda, to nie grzech; trzeba zatem oddać *suum cuique*. Dla tego do brzy nasi pisarze, umiejący czuć rodę swego języka, unikają takich zwrotów, które tylko myśl zaciemniają.

Dotąd wskazałem wpływ łaciny we wszystkich punktach, przez p. K. wytkniętych, nie pomijając nawet przedjímków, do których sam recenzent dostarczył przykładów. Czegóż więc potrzebujecie? Skoro własne jego przykłady pokazują, że łacina wpływała na przedjímki polskie: dla czegóż nie miała tego samego działania na jich rząd wyrzéc? i rzeczywiście najwyraźniejsze zostawiła ślady swojego wpływu, jak to widocznie w Mowni okazałem, czego tu powtarzać nie widzę potrzeby.

Mówi dalej p. K. „Jeśli łacina działała na język polski, to nie działała, przyznamy, w tój napiętości na język np. ruski i inne. Jeślić w nich formy przypadkowe są te same, co u nas, choć nieco różne, jeślić przedjímki u nich rządzą temi sami przypadkami, co u nas, gdzie jest wina łaciny?” Mając przed oczyma język polski, mówiąc do ogółu, wziętem fakt historyczny najwidoczniejszy, o którym stary i n.łody wie doskonale; to jest: chwilę wprowadzenia chrześcijaństwa, a z nim oraz łaciny. Fakt ten dla mnie wystarczał, bo, powtarzam, miałem na celu język polski, a nie słowiański. Lecz ponieważ mnie teraz p. K. zagnała wyjść na rozleglejsze pole, muszę mu wskazać źródła, z których się dowiéd, że łacina wpływ mogła wywierać na całą Słowiańszczyznę. Niech raczy sobie z uwagą przeczytać: *Wstęp Krytyczny do Dziejów Polski* przez Augusta Bielowskiego; co większa nawet, niech przebiegnie, chociażby dla rozerwania umysłu: *Przygawkę do nowój póczyj* przez Józefa B. Zaleskiego; a niezawodnie się przekona o silnym wpływie Rzymian na Słowiańszczyznę i na odwrot, sięgającym aż do morza Czarnego; z tych dzieł się nauczy, że Słowianie, czym się szczyć powinniśmy, nie siedzieli sobie spokojnie, — ot tak, — podług przysłowia, jak u Pana Boga za piecem!. Wzajemne więc stosunki polityczne i ciągle zapasy, na tak rozległej linii odbywane, dały przystęp zwrotom języka, które aż do naszych czasów przetrwały.

Zwróćmy jeszcze uwagę na wyrażenie się p. K. następujące: „Z tego powodu i dziś waleśają się po języku naszym wyrażenia, w których nie umiejemy zdać sobie sprawy z rządu przyjímkowego, a które nam przy-

pominają pierwotny rząd, dopóki stałego nie nabrały, np. *jiść za mąż, wsiadać na koń*." Wyrażenia te sięgają pierwszego zaczęcia się naszego; malują sobą dwie główne czynności przodków naszych, wskazując zwyczaj, obyczaj, sposób życia i działania; dla tego więc ony, chociaż język ustalił później końcówki spadków, ani uległy, ani nie ulegną nigdy żadnej zmianie, aby nie utraciły wyłącznego znaczenia, jakie do nich przy kolebce narodu przywiązano. Wyrażenia przeto: *jiść za mąż, wsiadać na koń*, mając przeznaczenie dla siebie odrębne; są święte i nietykalne; nie są więc żadnymi włóczęgami: kto zatył mówi o nich, że się wałęsają; ten nie rozumie rzeczy. Wałęsa się to tylko, co wlecze życie bez celu, bez czego wybornie obejść się możemy, co nawet koniecznie na cztery wiatry usunąć i wygnąć potrzeba. Takiego wałęsającego się jeszcze włóczęgę, który się i do p. K. przywাকrojił, mamy w następującym jego ustępie: „Autor nie przejściowemi wyrazami do przysłówków, ale przysłówkami tylko *być sądzi*." To *przysłówkami być sądzi*, jest intruzem, czyli niepotrzebnym wtępem; musimy go przeto koniecznie z języka raz na zawsze wyprosić czyli wykluczyć.

### C. Co do układu i sposobu przedstawienia dzieła.

Ustęp ten stanowi część trzecią i składa się z samych, jakby dogmatycznych wyroków, dla tego na głównejsze zwróć uwagę, które mogą więcej ogół obchodzić, tudzież pokazać sposób zapatrywania się p. K.

1) „Język jest niezgorszy, tylko bezużytecznymi neologizmami najeżony i nie ma dosyć jedności i należytej ścisłości naukowej”, mówi p. K. Tak się nawet przy poprawie ćwiczeń dzieciom mówić nie powinno, bo się z tego niczego nie nauczą. Są to słowa bez treści,—nic więcej; pokazują ony, że recenzent sam nie wie, na czym właściwie dokładność, dobroć i wysłowienie w języku polega. Nie wykładam tu teoryji stylu, nie potrzebuję szeroko się rozwódzić, przytoczę przykłady z Oceny autora; niech sami czytelnicy rozważają, jeżeli chcą, zalety stylu p. K. i wyprowadzą sobie wnioski; niech i oni pomyślą nad łomigłówką.”

„Kaźde pismo dydaktyczne ma być postępem nauki, albo z powodu przybytu nowych, nieznanych dotąd pojęć i pomysłów, albo z powodu rozjaśnienia miejsc wątpliwych i nowych dowodów na stare twierdzenia lub hipotezy, albo nareszcie z powodu nowego systemu i układu znane (?) dotychmiast prześcigającego jasnością wyrażenia (?) loiczną kolejnością rozwijanych wyobrażeń i treściwym zbiorem wszystkiego, co znane w przedmiocie obrabianym” (?). (Str. 560).

„W zbiegu powagi złotego (?) czasu pismiennictwa, świtającego, z postępem pisowni nie wahamy się ani na chwilę przejść pod sztandar ostatniego (?), aby nam dziwactwa i uporu nie przypisywano.” (Str. 570).

„Z przedstawienia obrazu wyrabianego (?) słowa *jeść* za pośrednictwem słowa *być* [którego (obrazu) (?) prawdopodobnej wierności nie zaprzeczam wcale], nie widziemy, aby gdzie na początku występowało lub mogło występować podwójne *j*, lub do jednego *j* od słowa *jeść*, drugie ze słowa *jest* przybywało; mimo to więc, (?) że samo przedstawienie jest dowcipne, wcale (?) do tego na nic nieprzydatne, gdyż nam

tu nie o formę końcówek, (?) które nateraz są obojętne, ale *jj*, chodzi” (?). (Str. 571).

„Dlatego przyjmki rządzą przypadkami, ale niemi sameimi znouwu rządzą słowa; dla tego jeśli te słowa mają przy sobie pojęcie spoczyku, przyjmki wtedy z przyp. 6 lub 7 kłaść się muszą, a z 4 mimo rządu przyjmków jaki mają, nie mogą” (?). (Str. 576).

Szyk najnaturalniejszy, czyli najrodniejszy nazywa *szukiem mieszanym*, i w tym względzie zgadza się z swoją definicyją, bo niekiedy tak układa, chciałem powiedzieć, tak miesza wyrazy, iż jak w tomigłowie sztuczki, tak w jego okresie trzeba wyrazy przymierzać, przykładac jedne do drugich, aby uchwycić i zgadnąć to, jeżeli jeszcze można, co właściwie zamierzył powiedzieć.

2) Karci mię w ogólności za niedokładne definicyje, a w szczególności wymienia, że zamiast definicyji *wyrazu* dałem jego opis. (Mownia str. 2). Gdyby sprawiedliwie sądził, gdyby się trzymał swego niejako godła: *Książkę 18stu lat pracy winniśmy należycie rozpoznać*; znalazłby definicyją *wyrazu* (Mownia § 206), orazby się dowiedział, co mnie spowodowało, żem ją tak daleko usunął. Nie bronilby braku metafizyki w wyrazach: „Wiadomo bowiem jest, że chęć sama za uczynek nie stanie, ale prócz rzeczy, albo jój obrazu w głowie, winno być do niej przywiązane brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić, czyli uzewnętrznić nie da, jeśli jój jakoś nie nazwiemy.” (Str. 578). Nie ganilby jój zbytku w słowach: „Następnie zawiele metafizyki i uwag niepotrzebnych w elementarzu grammatycznym, a niektóre tak ciemne, jak nauka o działaniu ducha (§ 299) i w następnych paragrafach przy tworzeniu się myśli, iż, przepraszam za wyrażenie, ale (?) trzebaaby je podać poprzednio do przetłumaczenia na polskie, bo w niej prócz miotów i jaźni, żadnej nie dojdiesz myśli.” (Str. 580).

3) „Podział mowni na mownią zewnętrzną i wewnętrzną jest nadzbyt abstrakcyjny, któryto podział tym jest niewłaściwszy w nauce grammatyki, abstrakcyji oderwanej od człowieka i zewnątrz niego jako przedmiot postawionej. Tu bowiem abstrakcyja w tym podziale podniesiona jest, że tak powiem, do kwadratu, a uczący się, chcąc go zrozumieć, musiałby dopiero z niej pierwiastek kwadratowy wyciągnąć.” (Str. 578). To dziecinna słów igraszka, dowodząca słabości myślenia; bo, gdybyśmy nawet przypuścili, iż podział mowni na zewnętrzną i wewnętrzną, (*na etymologiczną i składnią*) jest abstrakcyją podniesioną do kwadratu; to przecie w kwadracie rozwinięty staje się widoczniejszy, niż w pierwiastku. Dowcipniejby uczynił, chociaż nie rozumniej, gdyby wprost podział ten nazwał wyciągniętym pierwiastkiem z abstrakcyji. Pokazałby przynajmniej, że, jak jész zwinięty, ze wszech stron zręcznie i boleśnie kłóć umie. Z resztą najnieszczęśliwsze zrobił porównanie. Rzeczy do porównania wzięte muszą mieć podobieństwo. Skoro podział mowni jest abstrakcyją; wynoszenie do potęg i wyciąganie pierwiastków musi być abstrakcyją, — inaczéj porównania nie będzie. Matematyk zaś powiada: wynoszenie do potęg i wyciąganie pierwiastków są

najjaśniejszą rzeczywistością; kto je zatem chrzci mianem abstrakcyi, — ten plecie fałsz wierutny.

4) Mający znać dzieje języka, jak to gdzieś komuś podobało się bez namysłu dla zaokrąglenia okresu słowko pochwalne wystrzelić, nie wie wcale, jakie zasługi w słowie położyli, mianowicie: Kopczyński, który ma model 4; Mroziński — sześć; Sierociński — trzy (trzecia i czwarta Kopczyńskiego zbita w jedną); Deszkiewicz — sześć z jednym podwzorem; nawet Józef Muczkowski w ostatnim wydaniu ma model sześć, lecz jich pożyczył, ile mi się zdaje, od Cegielskiego. Ilość model Kopczyńskiego i p. K. taż sama, ale tylko ilość, albowiem modły i jich cechy zupełnie różne. U Kopczyńskiego zasada model jest jedna i stała. Co większa, p. K. patrzy tylko na trzecią osobę czasu teraźniejszego liczby pojedynczej; co się dzieje dalej w słowie, wcale go to nie obchodzi. Niech sobie inni głowy łamią, bo to wyjątki, zboczenia, zwyczaj narodowy; dosyć, że model jest cztery, nie dziesięć. — a co krótsze, to lepsze. Na tej zasadzie mógłbym śmiało powiedzieć, że jedna jest modła na słowa i rzecz, że byłaby lepsza od 4 p. K., boby sobą objęła słowa niemodelne: *wiem, umiem, powiem* i t. d. których p. K. nie umie pomieścić w modle właściwej. Doprawdy tuśmy podobni do dziecięcia, które, zasłoniwszy sobie oczy, woła na swoich towarzyszących; szukajcie mnie! szukajcie! Z tych przeto powodów nie zadziwia mnie jego wyrażenie: „Prócz tego niedokładnie obrobiony przedmiot.”

5) Definicją bezwzględnego stopniowania przymiotników tak sięgnąłem, iż po za jej obrębem znalazły się przykłady, które przecież sobą obejmować powinna. P. K. mi je pokazał; z nich więc na przyszłość będę korzystał i tak definicją zmienię, aby swojemu odpowiedział przeznaczeniu. Jestto więc jedyne ziarnko, jedyna rzeczywistość ofiara na ołtarzu Mowni złożona, z której plon wyrośnie. Zadziwia mnie jednak niemało następująca okoliczność. Wiadomo, że stopniowanie bezwzględne przymiotników i stopniowanie rzeczowników po pierwszy raz pojawiły się w *Częściach Mowy* na horyzencie mówniczym; obydwie te stopniowania mają jedno i toż samo źródło, jedne i też same zasady; wiadomo nam także z Oceny p. K. iż na żaden sposób nie chce uznać stopniowania rzeczowników: gdyby zatem myślał sam przez siebie; zdrowy jego rozsądek nie powinien był zezwolić, aby także bezwzględne stopniowanie przymiotników w mowni polskiej jistnieć mogło. Za hipotezę uważa stopniowanie rzeczowników, za hipotezę poczytywać powinien bezwzględne stopniowanie przymiotników, bo są to jednego ojca i jednej matki dzieci; co większa, są to zrosłe bliźnięta, których rozrywać nie można. Kto tu nie chce być sprzecznym samej sobie, musi albo oboje odrzucić, albo oboje przyjąć. Innego tu nie ma środka; zostawiamy więc panu K. wóz i przewóz.

Za najstosowniejszą sposobność uważam tu dodać, iż ks. Józef Łoziński w dziele [*Grammatyka Języka Ruskiego (Małoruskiego) Przemysł 1846 r.*], skreślając prawidła tego narzecza, upatrzawszy podobieństwo i też same własności przymiotników w obydwóch narzeczach, nazywa także to stopniownie *bezwzględnym* na str. 71 i przytacza źródło, z którego czerpał, za co mu publiczną składam podziękę. Com ja zoba-

czył w polskim, to on spostrzegł w języku ruskim i tym dowiódł, że rzecz doskonale pojmuje. Pan Józef Muczkowski w wydaniu drugim (r. 1836) tę własność przymiotników nazywa: *Natężliwe przymiotników zakończenia* (str. 87), najmniejszej nie czyniąc wzmianki o stopniach. W wydaniu dopiero trzecim (r. 1849) już występuje nazwa: *Bezwzględne stopniowanie za pomocą pewnych zakończeń przymiotników*, (str. 85); już są więc stopnie, chociaż niedokładne, ale źródło, skąd napój zaczerpnięty, przemilczane podług zwyczaju, rody i sposobu postępowania autora. P. K. sądząc zapewne, że ugodzi swego mistrza, gdy będzie na mnie powstawał za stopniowanie bezwzględne przymiotników, opuścił ręce i wstrzymał swój wyrok; a tak p. Muczkowski widocznie mię osłonił od jednej niesprawiedliwej chłosty, za co mu także dziękuję, powtarzając sobie: nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło.

6) Ponieważ tryb bezokoliczny jest najdawniejszy w każdym słowie, wypadło o nim najprzód mówić; ponieważ znowu ten tryb, chociaż najdawniejszy, nie może pokazać sobą wszystkich części wyraźnych, słowo składających, np. *pleść, bość, paść, tłuc, przec, widzieć*; trzeba było szukać innej gałęzi, w którejby pierwiastki jądra słowa były widoczne. Tą gałęzią pokazała się trzecia osoba rodzaju męskiego liczby pojedynczej czasu przeszłego, np. *plót-t, bód-t; pad-t, pas-t, tłuk-t, par-t, widzia-t*. Drugą więc rzeczą pod względem dawności jest czas przeszły, ale do rozwicia całej modły otrzymuje pierwszeństwo nad trybem bezokolicznym; dla tego za zasadę model wzięty stawa na miejscu pierwszym, a tryb bezokoliczny ze swoim starszeństwem po nim jise musi. Nie moja zatym wina, że p. K. moje działanie nazywa sprzecznością, że nie może się domyślić „jakie to części słowa w trybie bezokolicznym się znajdują.” Wszystkie, odpowiadam, tkwią w trybie bezokolicznym, jak w żołędzi cały dąb przyszły! Tryb bezokoliczny w porównaniu—to człowiek niemowlę, które nic, a nic nie pokazuje, czym na przyszłość będzie, bo jego władze w nim jeszcze leżą uspięne; czas przeszły—to człowiek mąż, który działaniem swym dał poznać, że jest filozofem, bohaterem, lub niedołągą wiecznie przeczącym!

7) Cały układ w składni, jaki uczyniłem, pozostawię nietknięty, jeżeli zdołam wykończyć na obszerniejszy rozmiar, z tą jedyną odmianą, iż przykłady za każdym znakiem przestankowym tuż się dołączają, czego w Mowni ze względu na krótkość uczynić nie mogłem. Zostawiam panu K. zupełną wolność bronienia Józefa Muczkowskiego, który, mam to najmocniejsze przekonanie, nie wiedział, dla czego składnią szyku na ostatnim umieścić miejscu.

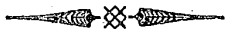
8) Zdaje się, jakoby p. K. żałował, że mało naganął pracę moje w szczególności; z tego powodu w końcu pomija usprawiedliwienie zdania wyrzeczonego i same daje wyroki: że wszystko złe, bez związku, dolepiane, zszywane, potrzebujące przekładu na polskie, (Na Boga zaklinam! aby nie językiem recenzenta); najgorsze zaś złe, że potępia drugich, przez co uczy zarozumiałości i mędrkowania. Słowom wszystkim, na wiatr wyrzeczonym, trudno opór stawiać; niech więc lecą i głoszą sławę p. K. te zatym tylko odeprę, które mają pozór zasady.

Składnią rządu, a mianowicie słowa obrobiłem zupełnie z nowego stanowiska; sięgnąłem głębiej, powawy zewnętrzne wyjaśniłem działaniem ducha naszego, który jest główną ich sprężyną. Wydobyte na jaśnią przyczyny stały się podścieliskiem niewzruszonym dla pojawów wewnętrznych, które, jako wyniki, zgromadziłem razem w następnych paragrafach (§ 303, 304) i objaśniłem przykładami. Jakiż sąd pana K. o tym wszystkim? Oto, prócz miotów i jaźni niczego nie zrozumiesz, żadnej nie znajdziesz myśli. Równie się wstydzę za p. K., jak nad nim ubolewam; nigdy albowiem przypuścić nie mogłem, aby przeciwnik, pragnąc ugodzić w nieprzyjaciela, tak śmiertelne samemu sobie zadawał ciosy! Przyznaje on, na co się zgadzam zupełnie, że nauki o działaniu ducha nie pojmuje; mimo to jednak spodziewam się, że bezstronni czytelnicy za to winić mnie nie będą. Powiada dalej, że *jaźń* i *mioty* rozumie; tego najuroczyściej zaprzeczam, bo, jak wyraźnie pokazał w artykule *Miot*, że najmniejszego nie ma o nim pojęcia; tak podobnie o wszystkich przedmiotach, które rozbierał, wsteczny i opaczny sąd rozwinął. I nie mógł inaczej; obrał sobie bowiem za gwiazdę przewodniczącą tego, o którym, za Krasiczkiem jidąc, powtórzyć można: *wiódł ślepy kulawego*. Pan Józef Muczkowski w upływie lat 24 (od r. 1825 do 1849) wydał aż pięć grammatyk! Wyraźnie mówię, wydał, albowiem nie pisał, tylko przepisywał do każdego wydania i niezręcznie kompilował na téj niwie kolejno po sobie pracujących; jest więc wydawcą cudzej pracy bez żadnego kosztu: dla tego wydania te nie mają myśli cechującej samodzielność autora i tylko po tym je poznasz, że noszą na sobie jimię i nazwisko Józefa Muczkovskiego, który częstokroć nie raczy nawet słówkiem, wspomnieniem nagrodzić autora, chyba, gdy mu się co złego zdaje, bo to książka elementarna; zarazby się podług p. K. młodzież zrywała do mędrkowania i uczyła bez dna rozumować.

Taką znakomitość grammatyczną obrał sobie p. K. za głównego przewodnika przy ocenianiu mojej pracy; nie dziwny się przeto, iż wyrok jego tak okrutny zapadł na Mównią. Co większa, musimy go nawet uniewinnić, bo, jidąc za naśladowcą, czyż mógł co innego objawić? Naśladowca w potędze musi tak powtarzać, naśladować, przestrajac i całą rzecz przedstawiać, jak jego mistrz mu poleca, dyktuje. Gdyby nie szedł tą drogą, stałby się drugim Żochowskim, który samochoćac taką sobie łaźnią sprawił.

Łażnia taka, powtarzam,—to fraszka, bagatela, furda nawet, jak się Maks. Ossoliński zwykł w podobnych okolicznościach wyrażać; ale ta myśl okropnieby mię bodła, dręczyła, dokuczała i piekła, gdyby choć na chwilę przypuścić można, że sąd p. K. jest odgłosem wszystkich bez wyjątku moich współziomków. O! wtenczas, wierzajcie mi, wolałbym nigdy nie zaznać teki, którą dziś dla swojego recenzenta zamykam. Może on teraz, jak ów niegdyś Warro, znaleźć słowa pociechy u swoich przyjaciół; niechaj go obsypią za to oklaskami, że po tak strasznej klęsce jeszcze nie upadł na duchu i nie zwątpił o ocaleniu swojej i jich sprawy.

*Feliks Żochowski.*



## ROZMAITOŚCI.

---

O życiu i pismach don Leandra Fernandez de Moratin hiszpańskiego autora dramatycznego, oraz kilka słów o stanie teatru hiszpańskiego od początku XVIII wieku do jego czasów.

Przeszły już były świetne czasy teatru i piśmiennictwa kastylijskiego, przeszła epoka Kalderona, Lopeza Vegi, Rojas, Moreta, Solisa Tirsa de Molina; a lubo z jednej strony wielkie te imiona wzniecały zawsze słuszny zapal w hiszpańskiej powszechności, uwielbiającej wzniosłe ich pomysły, dla których o błędach zapominała: z drugiej strony zrodziły one zastępy naśladowców, pigmejezyków, rwących się do dzieł olbrzymich, nieodpowiednich całkiem ich siłom, którzy przejęli wszystko złe, wszystkie wady swych wzorów, nie pomniąc, że ani gieniusz, ani żadne wyższe zalety nie usprawiedliwiały ich zdrożności. Mnożyły się przeto potworne dzieła, treścią, dążnością i językiem.

Inna przytém okoliczność jeszcze zgubniej wpłynęła na teatr hiszpański. Krwawe wojny o następstwo za Filipa V, i ponury charakter tego monarchy, nie dozwalały dworowi zajmować się sceną lub jej postępiami. Szukano przeto u obcych tego, co u siebie tworzyć dopiero trzeba było, i wprowadzając do dworskiego teatru *Buen retiro* i pierwszego madryckiego *Canos del Peral*, włoską truppę *los Trufaldines*, wyrugowano z nich niebacznie obok utworów tuzinkowych pismaków, i arcydzieła dawnych mistrzów, zaszczyt i chlubę narodowego piśmiennictwa.

Wstąpienie na tron Ferdynanda VI i przywrócenie pożądanego pokoju żadnej nie przyniosło korzyści hiszpańskiemu teatrowi. Monarcha ten, lubiący sztuki piękne i tych, co im się poświęcali, powierzył dyrekeyą swych teatrów i zabaw słynnemu wówczas włoskiemu śpiewakowi Carlo Broschi, człowiekowi, zdaniem współczesnych, niepospolitych zdolności, który sprowadziwszy z kraju swego pierwszych mistrzów muzyki, malarstwa i dekoracyi, nie szczędząc przytém skarbów pana swego,

rozwinął w urządzanych przez siebie festynach i widowiskach niesłychany i bajeczny blask i przepych, połączone z najwykwintniejszym i najwyszukańszym smakiem.

Gdy takowe zabawy odbywały się w salonie zwanym *de los Retiros*, posadzki jego pokrywały się przepyszniemi kobiercami, ściany draperjami ze złotej tkaniny, zwierciadłami, płaskorzeźbami i malowidłami. Oświetlenie odpowiadało téj wspaniałości. Kapela wystrojona była w szkarłatne mundury ze srebrnymi galonami. W jednej z oper śpiewanych na teatrze, przedstawiono raz kryształową dekoracją; w innej znowu okoliczności oświecono salę 200ma świecznikami. W operze *Armida placcata* widziano rozkoszną okolicę z ośmioma fontanami z prawdziwej wody i wodotryskiem na 60 stóp w górę bijącym. Pomiedzy drzewami latało mnóstwo ptaszków, których śpiewy i świegotania do niepoznania były naśladowane. Bogactwo sprzętów, ubiorów i przyborów teatralnych, wspaniałe ubiory chórzystów (których wchodziło 200 mężczyzn i 50 kobiet), widok wojsk i licznych hufców kawalerji, słońców, wozów, machin wojennych, broni, oznak; muzyka wojskowa, sztuczne ognie, które po skończeniu widowiska palono na scenie, (przyczém, aby dym nie dokuczał widzom, oddzielano ich od sceny szklaną ścianą z dwóch tafli, w fabryce *San Ildefonso* ulaną): wszystko to godnym było wielkiego monarchy, co w taki sposób używając swych bogactw, rozsiewał zamożność pomiedzy uboższe warstwy poddanych.

Poeci, którzy pisywali przez ten czas opery, serenady i intermezza, byli: *Pico de Mirandola*, *Piotr Metastasio*, *Miglia Vacca*, *Guiseppe Bonelli* i *Paolo Rolli*. Opery śpiewane w *Retiro* i *Aranjuez* były następujące: *La Clemenza di Tito*, *Angelica e Medoro*, *Il Velloccino d'oro*, *Polifemo e Galatea*, *Artas jerse*, *Armida placcata*, *Demofonte*, *Demetrio*, *Didona abbandonatta*, *Siroe Niteti*, *Il re pastore*, *Adriano in Syria*. Serenady: *L'assilo d'amore*, *la Festa chinese*, *la nascita di Giove*, *le Mode*, i t. d. Intermezza: *Il Cavalier Bertoldo*, *la Burla da vero* i t. p.

Taki był stan teatru dworskiego. Zobaczymy teraz, jakim torem poszedł teatr ludu, teatr hiszpański.

A najprzód: teatrem w Hiszpanji nazywano wówczas plac obszerny, opasany potrójną galeryą, drewnianemi przegrodami na loże podzieloną. Z tych największa w głębi (*gallinero*) była dla kobiet; pod temi galeryami były wzniesienia; na dole bliżej sceny kilka rzędów ławek, a za niemi znaczna przestrzeń (*patio*) dla tak zwanych *mosqueteros*, to jest publiczności pieszej. W razie deszczu, rozpościerano ponad galeryami ogromny namiot. Jeśli deszcz się wzmagał, *mosqueteros* zwykle chronili się na gradusy pod galeryami; przy tłoku jednak, i to czasami nie pomagało, a wtedy publiczność się rozchodziła i widowiska nie kończono. Dekoracje stanowiły draperje i festony ze starego adamaszku, jedyne, jakich było potrzeba do tak zwanych komedj *de capa y espada*. Do sztuk *del teatro*, czyli z wystawą, używano dekoracyj malowanych na płótnie, kulisów i przystawek, jakich sztuka wymagała. W takich razach, podwyższano opłatę przy wejściu. Światła nie potrzebowano, bo teatr zaczynał się o 3ciej po południu w zimie, a o 4tej w lecie. Niepotrzeba téż było le-



pszych teatrów dla dziwacznych a częstokroć nawet bezecnych dzieł ówczesnych dramatycznych autorów, pomiędzy którymi ledwie na wzmiankę zasługują *Zamora* i *Camizares*. Ten ostatni zwłaszcza odznaczał się obfitością i łatwością w pisaniu. W 80ciu jego drukowanych pseudo-komedyach, znajdujemy komedye historyczne, czarodziejskie, mitologiczne, religijne; pisywał także tak zwane *zarzuelas* (krotochwile) i *Autos sacramentales*, rodzaj dyalogów religijnych.

Smutny ten stan rzeczy zwrócił na chwilę uwagę Ferdynanda Vgo. Polecił on porzucić drewniane rusztowania, a natomiast wystawił dwa wygodne teatra: *de la Cruz*, i *del Principe* (1745 i 1747 roku), gdyż trzeci *de los Cannos del Peral* jeszcze w początkach panowania Filipa Vgo przybrał był regularniejszą postać. Wszystkie trzy oddał pod zarząd korregidora Madrytu i na tém skończyła się monarsza opieka.

Stały przeto wygodne i okazałe teatra, lecz powierzchowna ta zmiana bardzo mało a raczej nic nie wpłynęła na wystawę i wewnętrzne ich urządzenie; pozostały się draperye adamaszkowe i perkalikowe, sufler jak dawniej błakał się po scenie, siadając to z przodu, to z tyłu, to z boku aktorów w okrągłej swój czapeczce. Alcalde, czyli kommissarz, rozsiadał się przed sceną z pisarzem i dwoma algazysami: orkiestrę wicznie składało pięciu skrzypków i kontrabas, a do śpiewek zwanych *princesus* w zakulisowym języku, wyłaził z gitarą stary grajek na scenę. I ubiory nie odznaczały się ani blaskiem, ani wiernością. Dość powiedzieć, że Semiramida wychodziła do publiczności w papilotach, kolczykach, staniku *glacé*, rękawach z potrzebami i jedwabnej mantylce, fartuszkowi, robionemu i trzewiaku na korkach. Juliusz Cezar na perukę z pakul sadzał nieodstępny swój wieniec laurowy, kapelusz z piórami miał pod lewą pachą, do tego ogromna tkana kamizelka, kurtka aksamitna, trykoty, szpada z perłowej macicy, i krawat obszywany koronkami. Arystoteles (duchowny) *en abbé*, w peruczce, okrągłej krymce, kurtce pod szyją zapiętej, kołnierzyki, trzewiki ze złotymi sprzączkami, i pastorał w ręku.

Zamieszanie i nieład ogarnęły do szczytu hiszpańską scenę. Tłum bawgraczy już nawet nie trzeciego rzędu, naśladowców Zamory i Camizaresa zupełnie nią zawładnął. Zarzucono nie tylko dawnych autorów, ale nie chciano nawet słuchać głosu tych, którzy na to rozprzeżenie powstawali. Główną przyczyną tego był nietylko zły smak publiczności, (którą głównie pospólstwo składało), jak raczej duch stronnictw, władających krytyką, a który najskuteczniej na współczesnych działania swe wywierać może. Rozmaite były te stronnictwa, odznaczające się różnemi znakami u kapelusza. Nie dbając o wartość sztuki, upierała się publiczność tego lub owego teatru o zasadę, wygwizdywała rzeczy dobre autorów przeciwnych teatrów, przyjmując z zapalem najlichsze utwory swoich pisarzy. Starcia takowe żywsze wzbudzały zajęcie, gdy ich przedmiotem był człowiek a nie imię. Kto przeto żył garnął się do pióra, będąc pewnym, że cokolwiekby utworzył, mógł zawsze rachować na zawziętych przeciwników i żarliwych przyjaciół.

Pomiędzy nadużyciami teatralnemi najbardziej raziło przedstawienie: *Autos sacramentales*. W jedném zwiastował anioł Gabryel Najświętszej Pannie (którą grała sławna *Mariquita Ladoenant*) wcielenie

słowa, a na wyrazy: „*Quomodo fiet istud quoniam viram non cognosco?*” uczciwie po kastylsku wyrabane, przerywały widowisko świętokradzkie i nieprzyzwoite wykrzykniki, z których niejedna biedna matka zapóźno poznawała, że nie było jój po co sprowadzać z sobą córki. To znów kobieta z monstrancją w ręku chodziła po scenie śpiewając: *Tantum ergo*. Wiosna, żądze, pory roku, ciało, grzech, łaska, cedr, róża, niedziela, poniedziałek, wtorek, wdzięk, świat, powonienie: słowem wszystkie rzeczowniki ze słownika brano za osoby do tych potwornych baśni. To znowu św. Paweł uczył św. Magdalenę fechtowania, albo mówiono, że Samarytanka mieszka przy ulicy *del Pozo*, że Chrystusa Pana ukrzyżowano przy *trzech krzyżach*, to doradzano św. Augustynowi żeby poszedł do szpitala *de San Juan de Dios* i t. p.

Zaczynała jednak w powszechnej pomroce ukazywać się jutrzienka odrodzenia sztuki w Hiszpanii. Coraz liczniejsze głosy powstawały na wszystkie te nadużycia. Wreszcie *Mikołaj Moratin*, autor kilku lepszych dramatycznych prac, które właśnie dlatego powodu przez rozpuszczonych aktorów odrzucone zostały, stanowczo oświadczył w 1762 roku, w peryodycznym ówczesnym piśmie: *El Pensador*, że *Autos Sacramentales*, tak Kalderona jak i inne są widowiskami niegodnymi narodu oświeconego i katolickiego. Następca przeto Ferdynanda, Karol IIIci, osobnym rozporządzeniem wzbronił ich przedstawiania i raz nazawsze uwolnił od nich teatr hiszpański.

W tymże samym czasie hr. *Aranda* zajmował się szczerze madryckimi teatrami. Urządził w nich policją, a ta usuwając wrzaskliwych podżegaczy stronnictw, uwolniła publiczność od narzucanych gwałtem sympatyj. Protegował znakomitych autorów swego czasu i pierwszy wprowadził prawie gwałtem dzieła poważniejszej treści na scenę, mimo sarkau i niezadowolenia aktorów, którym istniejący stan rzeczy zdawał się być najlepszą rękojmią pomyślności i powodzenia. Za jego to czasów ukazywały się obok wzorowych utworów *Moratina*, *Lopeza*, *de Ayala*, *Jovellanosa* i *Sedana* autorów tragicznych, i piękne tłumaczenia zagranicznych słynnych pisarzy. Dla komedyi nic nie uczyniono; podnoszące się uczucie piękności nie pozwalało Hiszpanom znosić na scenie dzieł, wówczas komedyami się mieniących. *Zarzuele* (krotochwile), którym pod nazwą *Sainetes*, potrafił nadać miejscową i charakterystyczną barwę twórca ich *don Ramon de la Cruz*, przyjmowane były z powodzeniem, na które w samej rzeczy zasługiwały. Jednocześnie książę *Grimaldi* utworzył poza murami Madrytu kilka letnich teatrów, które starannością wystawy i doбором nawet aktorów przewyższały nie tylko prowincjonalne, lecz nawet madryckie teatry.

W roku 1770 skończyło się prezesostwo hr. *Aranda* i zamknęły się teatry *Grimaldi*. Madryckie zaczęły zstępować z drogi, którą tak szczęśliwie postępowały i wpadać w dawne usterki. Popęd jednak raz już był nadany, a chwilowa ta przerwa nie mogła żadnych już zgubnych wyrzucić skutków. I tak, pomimo wielu starań, niepodobna było znowu wprowadzić na scenę *Autos Sacramentales*, do których teraz publiczność czuła odrazę. Naśladowcy Kalderona znikali jak meteory, zostawiając pole reformatorom hiszpańskiego teatru. W r. 1788 ukazała się na scenie

piérwsza komedia oryginalna hiszpańska, wedle zasad sztuki napisana. Byłato: *El sennorito mimado* (wypieszczone paniątko) Iriartego. W ślad za nią ukazało się mnóstwo dzieł nowój szkoły, i lubo niezawsze wzorowe, służyły przynajmniej za dowód kształcącego się smaku w Hiszpanii. *Jovellanos, Cienfuego, Huerta, La Cruz, Gorostosa d. Juan, Melendez, y Valdes, Commella, Cadalgo, Vorona*, sąto imiona autorów, którzy z pomyślnym skutkiem nowym postępując torem, postawili dramatyczną sztukę w Hiszpanii na wysokiem i zaszczytném stanowisku.

W tym także czasie między reformatorami sceny ukazał się *don Leandro Fernandez de Moratin*, o którego ojcu tak chwalebnią uczyniliśmy wzmiankę.

Ponieważ życiorys tego męża może nam posłużyć za dalszy ciąg historyi teatrów w Hiszpanii; obszerniej tu przeto rozpiszemy się o nim.

*Don Leander Fernandez de Moratin*, potomek szlacheckiej asturyjskiej rodziny, urodził się w Madrycie dnia 10 marca 1760 r. Ojcu swemu *don Mikolajowi de Moratin*, o którym wyżej była wzmianka, winien był nietylko moralne, lecz i literackie wykształcenie. Jakoż, żaden mistrz lepijby go po téj ścieszee wówczas poprowadzić nie potrafił. Przyrodzenie obdarzyło go przytém niepoślednimi zdolnościami i skłonnością do poezyi, gdyż w szóstym czy siódmym roku już pisywał wiersze; a że staranność przewodników wyrównywała zdolnościom ucznia, nie więc dziwnego, że w 18tym roku życia otrzymał nagrodę, przeznaczoną przez akademią hiszpańską za najlepszy poemat heroiczny, o zdobyciu Granady. Nieinało to zadziwiło ojca, który pragnąc zapewnić synowi swemu utrzymanie, niepodlegające żadnym zawodom, radził mu lepij uczyć się złotnictwa, niż poświęcać się autorstwu i literaturze; ukradkiem przeto pisał młody wieszcz swe dzieło, i pod obcém nawet podał je nazwiskiem. Utracił w roku następnym ojca, a tak zostawszy sam podopieczną matki, biédnej wdowy, pracą rąk swoich jako jubiler, zaradzał szczerpłym obojga potrzebom. Wkrótce jednak i ją zabrała mu śmierć; wtędy udał się do stryja swego jubilera królewskiego. Nie zaniedbywał jednak tak przedtém jak i teraz piśmienniczych swych zatrudnień, do czego niemialo także przyczyniały się znajomość i stosunki przyjazne, jakie go łączyły z *don Juanem Antonim Melon* i ojcami *Estala* i *Naverete*. Ci ostatni byli lekarzami, wszyscy zaś ludźmi znamienitych zasług i zdolności. W następnym konkursie powtórna otrzymał nagrodę hiszpańskiej akademii za satyrę na nadużycia, wkradające się w piśmiennictwo hiszpańskie. Przedstawił ją pod tytułem: *Leccion poetica*, a autora jej pod Anagramem. Przykre było jednak położenie Moratina, gdyż wciąż pracą rąk na utrzymanie swoje zarabiał musiał. Ztąd wszelkiemi sposobami starał się o płożenie odpowiednie zdolnościom, ażeby mógł stosowniej poświęcać się muzom; a że powszechnie znanemi już były jego wartość i zasługi, udzielono mu przeto za wstawieniem się *don Gaspara Melchiora de Jovellanos* posadę sekretarza przy ambasadorze francuzkim hrabi *de Cabarrus*, wysłanym przez rząd roku 1787. Niezadługo potrafił zjednać sobie zaufanie swego przełożonego. Z nim bawił w Paryżu i powrócił do Hiszpanii; w téj stolicy zapoznał się blisko ze sławnym komikiem włoskim *Goldonim* i prowadził korespondencyę z li-

teratami: *Jovellanos, Llaguno, Cean. Fornez, Signorelli i Conti*. Wtenczas już zaczął probować sił swoich jako pisarz dramatyczny, i lubo nie jemu samemu należy się palma reformacyi sceny hiszpańskiej, niezaprzeczenie jednak mało który ze współczesnych sprostął mu w licznych jego zaletach. Po dwakroć oddawał i odbierał z teatru dla niewiadomych nam przyczyn komedią swoją *El viejo y la Ninna* (starzec i dziewczyna), w której założył sobie wykazać niedogodności z małżeństw zawierających się częstokroć pomiędzy osobami nierównych lat. Publiczności znany on był wówczas tylko z wyżej wzmiankowanych dzieł i z broszurki prozą p. t.: *Derroto de los Pedantes* (Porażka pedantów) wydanej bez nazwiska autora w 1789 r. dla wyśmiania ówczesnych złych poetów, wedle planu sławnego *Viaje al Parnasso* (Podróż do Parnassu) Cervantes'a. Otrzymał pod te czasy za odę napisaną na wstąpienie na tron don Carlosa IVgo dochody z probostwa w arcybiskupstwie *Burgos*, wynoszące 300 dukatów. Szczupły ten dochód nie odpowiadał potrzebom Moratina; ale polepszyła się wkrótce jego dola. Przedstawiony przez *don Francisca Bernaben* i *don Ludwika Godoy, don Manuelowi Godoy*, bratu ostatniego, otrzymał za jego staraniem probostwo w *Montora*, przynoszące tyleż co i poprzednie, nadto 600 dukatów rocznego dochodu z biskupstwa *Oviedo*. Wtenczasto ukazał się publiczności na właściwem stanowisku dramatycznego autora, dając do teatru i do druku w r. 1790 *Starca i dziewczynę*, a dwa lata później, komedią *la Comedia nueva*, dzieło równie dowcipne jak oryginalne, wolne od wszelkich niedokładności dzieł współczesnych komicznych. Powodzenie, jakiego doznawały sztuki jego, powinno było dać nowy popęd do literatury dramatycznej. Pragnął wprzód jednak poznać obce sceny, i dlatego żądał pozwolenia do podróży; otrzymawszy je, udał się do Francyi, Anglii, Holandyi, Niemiec, Szwajcaryi i Włoch. Zwiedził w nich wszystkie główne miasta, i zatrzymał się na czas dłuższy w Bolonii. Rękopism podróży swoich pozostawił w Paryżu u *don Manuela Silveta*, nigdy go nie ogłaszając. Wreszcie w roku 1796 po długiej i przykrzej wyprawie, wylądował szczęśliwie w *Algeiras*. Nagrodziła mu wszystkie przeszłe trudy wiadomość, że przyjaciel jego *don Juan Antonio Melon*, w czasie jego niebytności wyrobił dlań posadę sekretarza do tłumaczenia języków. Przybył więc w początku lutego roku następnego do Aranjuez i Madrytu dla objęcia swęj nowęj posady. zwiedziwszy przedtém Kadyx, Seville, Kordobę i inne miasta Hiszpanii. Tutaj zaczął się oddawać naprzemian zatrudnieniom swęgo urzędu i literaturze. Uczęszczał do don Juana Tineo na tertulie, tojest na zgromadzenia osób poświęcających się sztukom pięknym, które Moratin żartami nazywał *Sociedad de Acalófilos*. Wyprawiając podobnie w wolnych chwilach w domku swym letnim w *Pastrana*, w roku 1798 ogłosił drukiem swe tłumaczenie *Hamleta Shakspeara* z uwagami, według zasad ściśle klassycznych, od których nigdy nie odstępował. Wierne to a jednak słabe tłumaczenie nietyle mu przynosi zaszczytu, co oryginalne sztuki jego, w których objawiają się niepospolite zdolności dramatyczne i styl ozdobny i jedrny, lub inne jego prace metryczne w różnych epokach dokonane, z których część drukiem ogłoszona, część pedziśdzien niewydana. Potrafił rząd ocenić usiłowania Moratina w celu

ulepszenie sceny narodowej, mianując go najpierw członkiem towarzystwa do poprawy teatrów, a następnie prezesem tychże. Niedługo jednak piastował Moratin pierwszą tę godność, a wcale nie przyjął drugiej, zważywszy, że powołaniem jego było bardziej kierowanie powszechnością ze sceny, jak kierowanie samą sceną.

Głównie przyczyniły się do jego sławy ciągle z powodzeniem grywane dzieła jego. W roku 1803 przedstawiono w teatrze de la Cruz komedią *El Baron*, przerobioną z krotochwili (zarzuela), napisanej jeszcze w 1787 r. Krotochwila ta znacznie powiększona i pod stałe prawidła podciągnięta, satyra na panoszących się dorobkowiczów, z podobnym zapałem jak i inne utwory jego przyjęta została. Towarzystwo teatru *Canos del Peral*, obruszone pierwszeństwem, jakie Moratin udzielał teatrowi de la Cruz, wszelkimi sposobami chciało szkodzić autorowi; a dowiedziawszy się, że istniała komedia na ten sam przedmiot napisana p. t. *la Lugarena orgullosa* (dumna mieszczka), pospieszyło się z jej wystawieniem, starając się z jednej strony stawić konkurencją Moratinowi, a z drugiej utworzyć mu stronnictwo przeciwne. Lecz wszystkie te zabiegi ustaliły tylko, jak to z początku przewidywano, wziętość i tryumf prawdziwej zasługi. *La Lugarena orgullosa* sztuka bez barwy i interesu upadła za pierwszym przedstawieniem, kiedy tymczasem *el Baron* podziś dzień wznieca zapał publiczności madryckiej. Następnego roku przedstawiono podobnie w teatrze de la Cruz komedią *la Mojigata*, od dawna napisaną, w której sztych z bigoteryi i udanej serdeczności starych świętoszek. Krytyka i publiczność zarówno dobrze ją przyjęły, a zawiść nie śmiała nawet podnieść ohydnej głowy przeciw takiemu powodzeniu. Żadna jednak ze sztuk Moratina nie wzbudziła takiego zapału jak *el Si de las Ninas*. Wszystkie odcienie krytyki i stronnictw z jednakowem o niej wyrażały się uwielbieniem. Miała 26 przedstawień po sobie następujących, którym tylko nadchodzący post i zamknięcie teatrów koniec położyć mogły; cztery wydania sztuki drukowane, tegoż samego roku rozerwane zostały. Tęm bardziej rozjątrzeni zawistni, nie mogąc zgubić go w opinii powszechnej, starali się zaszkodzić mu przynajmniej w opinii jego protektora Manuela Godoy. Nie osiągnęli wprawdzie ich intrygi pożądanego skutku, lecz Moratin już z przyrodzenia nieśmiały, zniechęcony wreszcie ciągłymi zasadzkami, jakie na niego zastawiano, postanowił porzucić literaturę dramatyczną i zaniechał obrabiania czterech czy pięciu komedyj, których plan już był skreślił. Zamierzał wyłącznie poświęcić się obowiązkowi swego urzędowania, kilku wiernym przyjaciółom i uprawie ogródka, który wraz z domem nabył przy ulicy *Fecencarral*, zbierając przytęm powoli materiały do dzieła swojego: *Origines del teatro Espanol* (pierwotne dzieje teatru hiszpańskiego). Na niczem natenczas nie powinno być zbywać na pozór człowiekowi skromnemu, bez żądzy i chciwości, oddanemu tak miłym i niewinnym zatrudnieniom; ale los właśnie z tej strony zbroił na niego przeciwności, z której najmniej mógł się ich spodziewać.

Nadszedł wreszcie rok 1808 obfity w ważne wypadki, spowodowane wkroczeniem Francuzów do Hiszpanii. Upadł przywłaszczyciel; na tron wstąpił książę Ferdynand. Powstała Hiszpania dla zmycia zniewagi jej

monarsze wyrządzonej. Nieprzyjaciel porażony pod Baylen, murami Saragossy i Walencyi, cofnął się za Elbro i porzucił Madryt. W takich okolicznościach sądził Moratin, że może mu zaszkodzić przyjaźń łącząca go z Manuelem Godoy i innymi osobami mniej lub więcej skompromitowanymi, i, bez żadnej rozwagi, z Francuzami opuścił dwór w towarzystwie przyjaciela swego *Józefa Antoniego Conde* i skrył się naprzód w swym letnim domku w *Pastrano*, zkąd się następnie schronił do Wiktoryi. Następstwem tego nierozważnego kroku było fałszywe położenie, w jakim się przez dalszy ciąg wojny znajdował. Wrócił z Francuzami do Madrytu pod koniec tegoż roku i napowrót w r. 1812 cofnął się z niemi do Walencyi, a wreszcie do *Peniscola*. Na chwałę Moratina zapewnić jednak nam wypada, że w prawém i szlachetném sercu jego nie powstała nawet myśl zdrady przeciw monarsze. Szedł machinalnie ścieżką, jaką los go prowadził, i nietylko że nie brał czynnego udziału przeciw obrońcom praw Ferdynanda VII, lecz nawet całym swym wpływem bronił stronników tego monarchy, którzy dostali się w ręce Bonapartyistów. Urząd głównego bibliotekarza, udzielony mu przez tych ostatnich, a o który bynajmniej ze swój strony nie ubiegał się, nie mógł go pod żadnym względem czynić podejrzanym. Wstawiał się za niektórymi z patryotów z *don Manuelem Silvela*, alka-dem dworu i członkiem junty kryminalnej madryckiej, człowiekiem godnie wypełniającym obowiązki swego urzędowania. Jednakowy sposób myślenia i zgodność uczuć, zrodziły między niemi przyjaźń wzrastającą z postępem czasu, a téj nie następnie zachwiać nie zdołało. Trudno było wymagać, ażeby w tak trudnych okolicznościach miał wolny umysł do pisania, i dlatego, pomimo usilnych nalegań, ledwo na nim wymożono, żeby dał do teatru i druku swoje tłumaczenie Szkoły mężów, *la Escuela de los Maridos*, ukończone jeszcze w 1808 roku, z komedyi sławnego Moliera, pod tym samym tytułem powszechnie znanéj. Dochody jego co chwila się zmniejszały; z rozstrojoném zdrowiem i umysłem, znękany tylu trudami i niespodziewanemi wypadkami, postanowił w skromném jakim zaciszu przepędzić resztę skołatanych dni swoich. W téj myśli poddał się wojskom hiszpańskim w *Peniscola*, zkąd uciekwszy przybył do Walencyi, podobnie w ręku Hiszpanów zostającéj i jako człowiek z czystém sumieniem przedstawił się tamecznemu wojennemu naczelnikowi. Ten uprzedzony o Moratinie, że był zagorzałym Bonapartyistą, obszedł się z nim surowo i kazał go odstawić wraz z innymi przestępcami feluką do Barcelony. Tam go łaskawiej przyjęli baron *de Eroles* i markiz *Casacagigas*, oraz Franciszek Xawery *de Castanos* i markiz *de Campo Sagrado*, komendanci placu, którzy po sobie następowali w Barcelonie.

Tymczasem wojna od sześciu lat prowadzona z zaciętością, w której Hiszpanie rozwinęli wszystkie zasoby poświęcenia w obronie swego kraju, zbliżała się do końca; i kiedy z jednéj strony wojska hiszpańskie pędząc przed sobą już nieliczne wrogów hufce, docierały granic francuzkich, z drugiejj złączone siły państw północnych groziły upadkiem cesarstwu Bonapartego. Runęło wreszcie: wstąpił Ferdynand na tron przodków swoich i Europa zaczęła oddychać po krwawych trudach i niezliczonych znojach. Powracająca spokojność zachęciła Moratina

do powtórnego przekładu z francuzkiego komedyi Moliera p. t. Doktor z inusu *El Médico á palos*, przeznaczoną na dochód artysty dramatycznego Filipa Blanco, z którym podobnie łączyły go stosunki przyjazne. Ztémwszystkiem w tak smutném znajdował się położeniu, że mu częstokroć zbywało na opędzenie pierwszych potrzeb życia. Szlachetny monarcha nie dozwolił pozostawać mu długo w tak opłakany stan i od dawszy go pod sąd, który niewinność jego wyjaśnił, wszystkie zasekwestrowane dobra i dochody powrócił mu rozkazał. Nie na tém skończyły się dlań oznaki łaski monarchy: w kilka lat później ofiarowaną mu została wysoka posada ze znaczną pensją. Lecz Moratin z umysłem silnie skołatany zeszłymi wypadkami i niedolą, wszędzie upatrywał zasadzki i podstępny, i pomimo najsilniejszych nalegań, ofiarowanej sobie godności przyjąć nie chciał. Ścigająca go obawa nie dała mu pozostać w Barcelonie, gdzie żył lubiony i poważany od wszystkich co go otaczali, i gdzie do wszystkich teatrów wolne miał wejście.

Opuścił Barcelonę na trzy lata w 1817 r. bawiąc przez ten czas w Paryżu przy *Juanie Antonim de Melon*, i w Bolonii przy *Antonim de Robles y Monino*. Towarzystwo było niezbędnym warunkiem życia Moratina, gdyż za powrotem do Barcelony mieszkał ciągle razem z *d. Manuelem Garcia de la Pradu*, a za okazaniem się morowego powietrza w Barcelonie, schronili się obadwaj do Bayonny, ztąd po jakimś czasie udał się Moratin do Bordeaux do przebywającego tamże *Manuela Silvela*. Roku 1824 sprzedał ukończone swe dzieło: *Origines del Teatro Espannol, Wincentemu Gonzales Arnao*, który wydał je w następnym roku w Paryżu. Roku 1821 przeniósł się z Silvelą do Paryża. Zdrowie i siły jego już i tak nadwątlone, szybko niknąć zaczęły, i 21 czerwca roku następnego, po krótkiej słabości, skonał na rękach swego przyjaciela, w wieku lat 68, miesięcy 5, do ostatniej prawie chwili używając przytomności umysłu. Spadkobierczynią swego majątku zostawił wauzkę Silwela. Domek i ogród letni w Pastrano zapisał dworskiej ochronie ubogich dziatek, 2,800 fr. rocznego dochodu Julianowi *Aquilino Perez*, i mniej lub więcej znaczne kwoty pieniężne dalekim swym krewnym.

Każdy pojmie zasługi Moratina, gdy powiemy, że był chlubną ozdobą świetnego już wówczas kastylijskiego Parnassu. Wyrównał w zdolności, a przeszedł w dobrym smaku ojca swego Mikołaja Moratina, którego pamięć, jako dobrego syna, przekazał potomności w przedmowie i życiorysie zamieszczonym przy zebranych dziełach jego, a wydanych 1821 r. w Barcelonie.

*Maurycy Halpert.*

### *Legenda o Wideradzu pod Wieluniem.*

Na rogu Rynku i ulicy Barycz, w piwnicy Jędrzeja Kiełbasy, siedziło dwóch ichmościów za dzbanem piwa.—„Nie! założyłbym się o gąsior miodu, że nie przyjedzie nasz podchorążyc!”—„A ja o dziesięć przeciwko jednemu, że go tylko co nie widać!

— Gdzie zaś panie Idzi, deszcz jak z wiadra, a wiatr, jak wycie psów przed pomorem!

— To nic nie znaczy! mało znasz naszego pana Olewińskiego, onby i do piekła po sznitek wina poleciał!

— Ale, ba! Ten djabeł wideradzki może mu być na przeszkodzie!

Jeszcze sławetny Kiszka z haustem piwa nie połknął ostatniego wyrazu, kiedy nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi austeryi i wpadł jegomość z czupryną podgoloną i harapnikiem w rękę. Jego kontusz amarantowy przemokły od deszczu, wyglądał jak czaprak wypłowiały na koniu, a bóty żółte napełnione wodą, zamieniły się na ranne pantofle.

— Ha, nasz *Illustrissimus Vexillifer*. Ha, nasz *Dominus in Olevin, Niedzielsko, Ruda, Wideradz* etc. etc.—zawołali chórem pan Idzi i jego przyjaciel kuflowy, sławetny Kiszka.

— Do stu tysięcy Tatarów! żadna łaźnia nie sprawiła mi takiej waporyzacyi, jak ten deszcz z wichrem i gradem; chociażby mnie i z wierzchu nie oblewał, byłbym jednak przemokły do nitki!

— Ale wierzymy temu, wierzymy!

— I cóż tu sami dwaj porabiacie?

— A! sobie, jak zwykle po dziennj pracy przyszedliśmy na szklanke piwa i śpiewamy naszą wieluńską piosnkę:

Pan Marek na Wideradzu,  
Był kasztelanem w Sieradzu;  
A że nie opłacał sługi,  
Djabeł go porwał za długi.

— I w rzeczy samj—przerwał pan Olewiński, otrząsając swą czapkę i wyzymając żupan—w tym Wideradzu musi siedzié jakiś djabeł; ot i teraz... Ale ho! ho! ho! nie taki to ja dudek!... znam się na historyi, jak żaden z waszych jurysprudentów... To Tatarzy narobili tego bigosu... wiadomo bowiem, że oni byli w tych okolicach r. 1240 i we dwadzieścia lat potém i odtąd, jak ojciec mój ś. p. sprawił im tu frycówkę, tak i djabeł wideradzki poszedł na suche lasy!...

— Oj prawda—rzekł Idzi, pokręcając węża i głaszcząc czuprynę—jeszcześ Jaśnie Wielmożny Pan, jak to powiadają trzymał koszulkę w zębach, kiedyśmy tutaj z ś. p. ojcem JWgo Pana ścigali tych wrógów chrześcijaństwa!

— A i ja byłem na piérwszj wyprawie—przerwał mu sławetny Kiszka—i dosyć daliśmy się im we znaki, ale pod Wideradem okropnąśmy ponieśli klęskę, i oto z tą raną—tu podniósł gesty kosmyk na głowie i pokazał głęboką bliznę—zaledwieśmy w 15 koni zdążyli do Wielunia i zatarasowali się bramą dąbrowską, gdyż przed krakowską i szlązką bramą były mosty zniszczone; chmara zaś Tatarów puściwszy się za nami, a byłoto już dobrze ku wieczorowi, wleciała po większj części do kanałów, rozumiejąc, że je można na koniu przeskoczyć i tak je napełniła trupami końskimi i ludzkimi, że aż rzeczka Bobrek wezbrała!

— Ale cóż do stu tysięcy Tatarów, z wierzchu mokro, a w gardle sucho!—krzyknął p. Olewiński.



Hej czempredzėj dajcie wina,  
 Poki staje Olewina!  
 Niech djabeł porwie mą duszėj,  
 Jeśli garnca nie wysuszėj!

Pani Kielbasowa z miną na ten raz niezupełnie wróżącą gościnnosć, wyniosła z komory sztof półgarncowy węgierskiego wina i postawiwszy go na stole, skwapliwie skryła swe wdzięki w sypialnej komnacie.

— Cóż za djabeł—krzyczał za odchodzącą pan Olewiński—zawsze mi gąsior garncowy stawiała, a teraz nie wiem, czy kwartę przyniosła; dziś mam ochotę cały antał wypróżnić!...

— Eh! przecież znajdzie się wino u naszego Kielbasy—odparł sławetny Kiszka—a ponieważ my dziś upredzieliliśmy JWgo *Vexilliferum Velunensem, Heredem in Olevin, Videradz, Niedzielsko, Ruda etc. etc.* parą garncami piwa, przeto nie możemy jemu być *socii ad trahendum vinum!*

— Ho! ho! ho! nie z tego! Jako *commilitones i commilitares* mojego ś. p. ojca musicie *ad extremum suspirium* i jego nieodrodnemu synowi assocjować. „Hej czempredzėj dajcie wina, poki staje” i t. d.

Na to powtórne hasło p. Olewińskiego, otworzyły się drzwi pobocznego alkierza i p. Kielbasa w towarzystwie swėj żony i córki wtoczył się do oberży. P. Kielbasowa trzymała męża pod prawą pachą, a córka ze smolném łuczywem w ręku, kierowała jego lewą nogę, która jakby niechętna podróży, zawsze mu w tyle zostawała. Kuczbajowa jego kiereja z prawej strony wytarta, lśniła się jakby pociągniona pokostem, i razem z głową, na której ani jednego włosa nie było, tworzyła słup szarego marmuru, przedziwnie szlifowanego. Ale wasy długie wypomadowane szpikiem wołowym spadały mu na piersi jak dwa ślimaki zpod nosa, dla których się tyle razy musiał na prawo obracać, ażeby się od łuczywa nie zapaliły, ile razy dla bólu artrytycznego chwytał się za lewą nogę.

— A! upadamy do nóg p. Kielbaso!...

— A! najniższy sługa p. Olewiński.

— Przyszedłem Acińdziejowi podać rachuneczek; bo od śmierci ś. p. ojca, co już prawie... a tak, tak... co już prawie będzie... około lat?... jak mi się zdaje... Hm... jak się panom zdaje?... Żono, jak ci się zdaje, bo jeszcze Krzychny nie było na świecie...

— A to przypađło—odezwał się p. Idzi *Jurisconsultus—anno milesimo ducentesimo sexagesimo quinto*, a teraz jest: *annus salutis mundi milesimus ducentesimus octogesimus tertius*, a zatém będzie... he...

— A zatém będzie—odezwał się sławetny Kiszka prokonsul—5 od 3, dwa!...

— Ale gdzie zaś—przerwał p. Olewiński—przecież 3 od 5 jest dwa; a pięć od trzech nie mogę! pożyczam od liczby decymalnej, a zatém 5 od 13... ośm.

— Ośm!—zawołał dygotając na swych artrytycznych nogach p. Kielbasa—tak, rychtyg jest 18 lat, jak umarł p. chorąży, czy podchorąży ziemi wieluńskiej i ostrzeszowskiėj, a od téj chwili JWny suksessor ciągle pije moje wino na kredyt; oprócz 397 grzywien groszy pragskich, które po

ś. p. ojcu zostało na remanencie: lecz oto jest rachuneczek — To mówiąc, podał p. Olewińskiemu zwiniątek papieru, a p. Kietbasianka zawczasu odkomenderowała lewą nogą w tył. Błyskawica gniewu mignęła w oczach regenta i burgrabiego, p. Olewiński skłonił głowę na piersi jak zbrodniarz, któremu dekret śmierci przeczytano.

— Eh co tam, mości chorąży! zadumałeś się i zasmuciłeś, jakbyś drugi raz był na pogrzebie swego ojca—rzekł *Jurisconsultus* głaszcząc swe wąsy.

— To prawda—odrzekł z westchnieniem Olewiński — że nie mogę już drugi raz być na pogrzebie mego ojca, ale zdaje mi się, że jestem na pogrzebie mej żony i dzieci.

— Dajmy pokój pogrzebom, póki sami jeszcze żyjemy—zawołał sławetny Kiszka—jeśli nie będziemy mieli jak zwykle wina *Illustrissimi Vexilliferi*, to również dobrze pić możemy i z naszej kieszeni.

— Hej! wina a conto *Proconsulis Vielunensis!*—Hej! wina a conto *Jurisconsultis Vielunensis!*—zawołał pan Idzi.—Hej! wina a conto *Jurisprudentialis notarii Vielunensis!*—zawołał wpadając raptem pan Świnka, również jak i pan Olewiński przemokły od deszczu. Przybycie czwartego kolegi od kufła, rozjaśniło nieco zachmurzone czoło trzech pierwszych; jednak pan Olewiński, jak z cyrografem na swojej duszę, z ową fatalną kartką chodził niespokojny i mało pił wina; wreszcie korzystając z gwaru swoich towarzyszy, usiadł w kącie, i jak Kopernik na Krakowskiém-Przedmieściu siedzący, zasnął z kartką i ze szklanką w ręku. Chrapanie rozległo się po całej izbie. Towarzysze ostrzeżeni tém hasłem spoczynku, poszeptali, mrugnęli po sobie, i wymknęli się cichaczem z oherży.

Około północy, dźwięk młotem o blachę miedzianą przy bramie Krakowskiej dał poznać, że wychodzący z miasta życzy otworzyć bramę.

— Kto tam!—zawołał odzwierny, wychyliwszy nieco głowy przez szczupłe okienko.

— To my *Juris prudens, Juris consultus* i *proconsul Vielunenses!*

— Bodajście karki pokręcili—mruknął pod nosem odzwierny. —Hej! Bartku! leć co żywo do zamku, bo klucze każe zawsze do siebie oduosić pan starosta.

— Przecież teraz przyjechał pan kasztelan, to starosty władza upada—odezwał się pan *Jurisconsultus*.

— Ech! gdzie tam Panie; daj Boże, gdyby starosta samego kasztelana nie zamknął—odrzekł drapiąc się w głowę odzwierny.

— Czy nikt przed godziną nie przejeżdżał tędy konno z miasta?—zapytał prokonsul.

— Nikt Panie, żywa dusza od 18tej godziny jak bramy pozamykano i jak lunął ów deszcz fatalny, po którym jeszcze szumią strumienie.

W pół godziny, znów ten sam dźwięk wywołał odzwiernego z łózka.—Kto tam!

— Dziedzic na Olewinie.

— Bodajes zginął w tój godzinie! Leć Bartku po klucze do zamku. Długo musiał czekać pan Olewiński, nim mu otworzono bramę, gdyż most był zwiedziony i w zamku wszyscy już spali; jednak wyrwawszy się z murów miasta, puścił w galop kucyka, który jakby zgadywał myśl swego paña, wiatrem zaczął lecieć do domu; ale tuż koło Wideradza rozległ się głos ponury jakby z grobu:

Takżeto pan Olewina  
Wysuszył dziś garniec wina?  
Za to na wieki z hołotą,  
Złopać odtąd będzie błoto!

Grom piorunu nigdy nie był dla niego straszniejszym; włosy się najeżyły, kołem stanął język, a kucyk dał dęba, i z miejsca się ruszyć nie mógł. Przy blasku błyskawicy, która co chwilę migala, spostrzegł dwóch strasznych murzynów, którzy go chwycili w powietrze i z góry kilka razy ciskając w błoto, zanurzali aż po uszy, a trzeci pluskał się gdzieś tam w błocie z kucykiem.

Na dworze olewińskim cichość głęboka panowała, kiedy nagle babka pani Olewińskiej:—Anioł Pański zwiastował!—wrzasnęła.—Słyszysz Wichno tętent koni? Wideradz, Wideradz!

— Oto ja służebnica Pańska—odezwała się pani Olewińska.—Wideradz, Wideradz!

— A słowo ciąłem się stało—krzyknęła wpadając do ich sypialni kucharka—czy widzicie Panie, jaki koń skrzydlaty tętni po dziedzińcu?—Wideradz, Wideradz!

Księżyc wypłynawszy z obłoków, dozwolił im ujrzeć kucyka, który wyrwawszy się z torfowój topieli, latał po dziedzińcu szukając ręki, któraby mu stajnię otworzyła.—Wideradz, Wideradz!—wrzasnęły wszystkie trzy razem, a na to hasło, zerwali się wszyscy słudzy i dzieci z łóżek.—Wideradz, Wideradz!—piszczały dzieci, tuląc się do łona matki i prababki.—Czy widzisz mamó, jaki djabeł straszny z rogami i z ogonem biega za tym koniem skrzydlatym?—I w rzeczy samej przez szparę okiennicy, ujrzeli pana Olewińskiego, który z harapnikiem w rękę latał za kucykiem, aby go złowić.

Ta trójka hultajska, aktorowie tój sceny, nie powrócili razem do miasta; jeden tylko *proconsul* zjawił się nagle w komnacie swój żony, i wyjaśnił, że go Wideradz przez całą noc męczył. *Jurisconsultus* w Niedzielsku zbudził wszystkich wieśniaków nad ranem, wrzeszcząc na całe gardło, że go Wideradz dzień i noc męczył. A *Jurisprudens* stanawszy w Rudzie oznajmił, że od tygodnia trzymał go Wideradz w błocie. Nazajutrz więc rozmaite gruchnęły wieści o Wideradzu, i na to się wszyscy zgodzili, że wczoraj wieczorem, jeździł on na kucyku pana Olewińskiego. To tylko pewna, że kucharka pani Olewińskiej unierając, testamentem zapisała na kościół rudzki 5 grzywien groszy szerokich pragskich, ażeby w czasie supplikacyi dodawano: „Od powietrza, głodu, ogaia, wojny i od Wideradza, zachowaj nas Panie!”

C. Leonowicz.

## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

#### CHEMIA.

**Sorbina.** W owocu jarzębiny wykrył Pelouze nowy pierwiastek cukierny, który nazwał sorbiną. Otrzymał go zaś w następujący sposób:

W końcu miesiąca września zebrał powyższe owoce, utłukł je i przez płótno wycisnął. Sok otrzymany zostawił przez 13 do 14 miesięcy w naczyniach glinianych. W ciągu tego czasu tworzyły się w nim rozmaite osady i roślinność, ale nad tém wcale się nie zastanawiał. Ciecz dobrowolnie przejaśnioną zlał z wierzchu, odgotował w wolnym ogniu do gęstości ulepu, z którego osadziły się kryształy ciemno brunatne, te zaś za oczyszczeniem dwukrotném węglem, utraciły powyższą barwę. Za następném zgęszczeniem tegoż samego ulepu powstała nowa ilość kryształów, które tak łatwo jak i pierwsze oczyścić się dały.

Z trzech rozbiorów zupełnie czystej *sorbiny*, która po spaleniu nie okazała najnniejszej pozostałości, doszedł P., że to ciało składa się z 40,00 węgla, 6,66 wodorodu, i 53,34 kwasorodu.

Sorbina łączy się z solą kuchenną, z którą wydaje kryształy, te zaś uważane za pośrednictwem dróbnowidu, zdają się być sześcianami.

Powyższy pierwiastek (*sorbina*) jest bezbarwny, smaku słodkiego, zupełnie takiego, jak ma cukier trzcinyowy. Kryształy jej są zupełnie przezroczyste, twarde, trzeszczące w zębach na podobieństwo cukru lodowego. Woda rozpuszcza ich podwójną swą wagę; przeciwnie zaś wysok wrzący bardzo mało, a ztąd za oziębieniem osadzają się kryształy ośmiościenne. Roztwór zgęszczony *sorbiny* jest podobny do ulepu z cukru zwyczajnego; ale po przyzwotém rozrzedzeniu wodą i dopełnieniu innych warunków, nie okazuje on żadnych śladów fermentacji (1), nawet po wystawieniu go przez 48 godzin na ciepło 20° do 30°C.

(1) Przed kilką laty donieśliśmy w Bibliotece Warszawskiej, idąc za powagą dziennika *Erdmanna i Marschanda (Journal für praktische Chemie)* o otrzymaniu wódki z jarzębiny. Gdy terazniejsze doświadczenia Pelouza zdają się temu przeczyć, może przeto być, że w jarzębinie obok *sorbiny* znajduje się i cukier owocowy, lub też *sorbina* w pewnych okolicznościach w niego się przemienia. Rzecz ta zasługuje na wyjaśnienie.

Kwas siarkowy roztworzony wodą nie zmienia wcale sorbiny, i nie sprawia tego, aby zafermentować mogła. Kwas siarkowy stężony działa mocno na nią, ubarwia ją na żółto-czerwonawo, i za mierném ogrzaniem zmienia w ciało czarne węglatego pozoru, które nie było dochodzone przez p. P. Kwas saletrowy stężony lub roztworzony połową swęj wagi wody, ogrzewany z sorbiną, wywiązuje obfite czerwone pary, i tworzy kwas szczawiowy, w postaci pięknych bezbarwnych kryształów zupełnie czystych. Roztwór sorbiny ogrzewany z alkaliarni ubarwia się mocno na żółto, i wydaje woń cukru przypalonego. Niedokwas ołowiu rozpuszcza się na gorąco w sorbinie, z którą wydaje roztwór żółty zapachu cukru przypalonego. Sorbina rozpuszcza wodan niedokwasu drugiego miedzi, a z roztworu tego bardzo mocno pięknie błękitnego, osadza się powoli osad czerwony niedokwasu Igo miedzi: winian miedzi i potażu, podobnież się zachowuje z sorbiną, czyto na gorąco, czy téż na zimno. Sorbina ogrzewana na blasze platynowej, lub palona na węglu rozżarzonym zachowuje się jak cukier zwyczajny, to jest roztapia się, żółknie, wydaje mocny zapach cukru przypalonego, i pozostawia obfity węgiel. Przy wolném ogrzewaniu, wychodzi z niój para wodna lekko kwaskowata, poczem zmienia się w kwas ciemno-czerwony, który nazwano kwasem sorbinowym (jarzębinowym) (1). Kwas ten nie rozpuszcza się w wodzie, ani w wyskoku, ani téż w kwasach słabych, ale jest bardzo rozpuszczalny w potażu, sodzie i amonii. Z zasadami solnemi mineralnemi tworzy sole, z których wiele ma barwę żółto-czerwonawą.

Wreszcie p. P. tak kończy swoje sprawozdanie:

Wynalezienie sorbiny w jarzębinie nie jest rzeczą w nauce drobiazgową, bo zapewne znajdzie się to ciało w owocach kwaśnych i słodkich innych roślin téżże samėj gromady. Może być, że wykryją, iż ta istota nadaje niekiedy smak słodki cieczom, które uległy fermentacyi wyskokowej, lubo dotychczas przypisywano to nadmiarowi cukru ze względu na ferment. Sorbina od cukru różni się tylko tém, że nie przechodzi w fermentacyą wyskokową, ale jest słodką, a w własnościach swych innych, jest podobną do cukru owocowego czyli glukozy. Należy zaś do ciał obojętnych, jak cukier, guma, mączka i t. d. (Treść z pisma *L'Institut* z 17 marca 1852 r.)

\* *Usiarkowanie kauczuku.* P. Payen czytał w Akademii umiejętności paryzkiej rozprawę o wulkanizowaniu kauczuku. Treść jój tu przytaczamy.

Przypisują p. Hancock fabrykantowi angielskiemu wynalezienie w r. 1845 powyższego sposobu, nazwanego *wulkanizowaniem kauczuku*, za pośrednictwem którego, to ciało nabiera szczególnych własności.

Utrzymując przez 2 do 3 godzin pasek kauczukowy gruby na 2 do 3 milimetrów w siarce roztopionėj w cieple 112° do 116° C.; ciecz ta wsiąknie w dziurki jakby woda lub wyskok, a pasek ważyć będzie więcj 15 do 20 na sto. Żadna zaś inna zmiana widocznie nie nastąpi w własnościach kauczuku, bo można go tak urabiać i spajać, jak poprzednio:

(1) Dawniej kwas jabłkowy otrzymywany z jarzębiny, nazywano także, lubo niewłaściwie, kwasem jarzębinowym. J. B.

rozpuścić w jego rozpuszczalnikach zwyczajnych, ale wtedy mniej jest dziurkowanym. Skoro dłużej w ciepłe  $150^{\circ}$  do  $160^{\circ}$  C. utrzymuje się kauczuk przy napawaniu siarką, zrobi się twardym i kruchym.

Jest jeszcze inny sposób wulkanizowania kauczuku, polegający na zanurzeniu pasków kauczukowych w mieszaninie złożonej z 100 części siarczku węgla, 2,5 chlorku pierwszego siarki. Ciecz wchodząc w kauczuk, sprawia jego pęcznienie. Ponieważ części zewnętrzne byłyby bardzo zwulkanizowane i kruche, należy kauczuk wyjąć z roztworu po 1 lub 2 minutach, a potem zaraz namoczyć go w wodzie. (Treść z pisma *L'Institut* z 31 marca, 1852 r.).

\* *Szczegóły dotyczące się dyamentu znalezionego w Nizam, większego niż dyament zwany Regent, przez kapitana Fitzgerald.* Przed 12 lub 14 latami, znaleziono w kraju Nizam wielki dyament wśród dosyć szczególnych okoliczności. Kawalek z niego ukruszony, sprzedany został za 70,000 rupij. Główna zaś bryłka jest własnością księcia Nizamu.

W następujący sposób odkrycie to nastąpiło. Dyament ten spostrzeżono nasamprzód w rękach dziecka indyjskiego, które się nim bawiło, a nikt nie odgadł jego natury. Ofiarowano 8 *annas* rodzicom tego dziecka, którzy byli biedni; a to obudziło ich podejrzenie, i sprawiło, iż starali się objaśnić o rzeczywistej wartości ciała, które uważali za prosty kamień. Z tych objaśnień okazało się, że to był prawdziwy dyament i to jeden z największych, znanych w dzisiejszym czasie.

Wymiary tego kamienia w miarach angielskich, są:

Długość. . . . .	2 cale, 45
Największa szerokość. . .	1, — 35
Grubość średnia. . . . .	0, — 92
Ważył zaś . . . . .	1164, gran. 50
A ciężar gatunkowy miał	3, gran. 70

Przypuszczając, że przy szlifowaniu dyament ten straci około połowę swęj wagi, ważyć będzie po obrobieniu jeszcze około 138 karatów; gdy dyament zwany Regent waży  $136\frac{3}{4}$  karata, a dyament W. księcia toskańskiego 139 karatów. Gdyby zaś nie był odtłuczony, ważyłby po wygładzeniu  $155\frac{3}{4}$  karata, czyli trzymałby środkowe miejsce między dyamentem toskańskim i rossyjskim, ważącym 195 karatów, który także pochodzi z Indyj.

Zapewne powyższy dyament musi być bardzo piękny, gdy za odłamek dano 70000 rupij; w tym razie wyrachowano, iż wart będzie 3,836,450 franków. (Treść z pisma *L'Institut* z d. 14 kwietnia, 1852 r.).

\* Z prac p. Damour pokazuje się, że metal *Donar* (Donarium), o którego odkryciu donieśliśmy w Bibliotece Warszawskiej, powinien być z listy pierwiastków wykreślony; ponieważ ciało zwane *donaryn*, okazało się być toryną. (*L'Institut* z 5 maja, 1852 r. w treści).

J. B...a.

## FIZYKA.

*James Thomson* w następnym sposobie stwierdził ważny wniosek z teorii wypadający, że temp. topienia się lodu zniża się w skutek sztucznego ciśnienia. W tym celu użył termometru bardzo dokładną mającego podziałkę (dlatego, że przy ciśnieniu wynoszącym 10 atmosfer różnica temp. dopiero okazuje się w  $\frac{1}{10}$  części stopnia), w tym termometrze na miejsce merkuryusza brał eter siarczany, płyn rozszerzający się 8, 9 razy mocniej od merkuryusza, a posiadający gęstość 20 razy mniejszą. Aby termometr ochronić od uszkodzenia zalutował go w mocnej szklanej rurze. Wodę uciskał za pomocą sympiezometru Oersteda, napełnionego kawałkami lodu i wodą, a mającego w środku wyżej opisany termometr. Przed rozpoczęciem ciśnienia, termometr wskazywał 67 podział, przy ciśnieniu 10—12 atmosfer termometr opadł do 61 podział, a po usunięciu ciśnienia wrócił do 67 podział. To powtarzało się za każdym ponowieniem ciśnienia. W ten więc sposób stwierdzono, że temp. ścinania się wody zniża się wyraźnie od ciśnienia kilku atmosfer, a mianowicie 8 atmosfer sprawiają zniżenie temp.  $0,106^{\circ}$  F., ciśnienie 16 atmosfer zniżają o  $0,232^{\circ}$  F. Teoria przewidziała ten wypadek dając na te ciśnienia, zniżenia temperatur równe  $0,109$  i  $0,227^{\circ}$  F. (*Bibl. de Genève. Nov. 1850*).

\* Dotąd wiadomym było, że gorenienie ciał obudza wydzielanie się elektryczności wolnej; teraz *Hankel* przekonał, że w płomieniu istnieją dwa przeciwiemne stany elektryczne w różnych częściach płomienia, podobne do tych, jakie znajdujemy w blaszkach cynkowej i miedzianej; i skoro opór płomienia w przewodnictwie elektryczności dozwoli im utworzyć obwód zamknięty, te dwa stany mogą być powodem strumienia galwanicznego. Przy swych pracach doświadczał płomieni z wysokości i eteru, a do zbadania strumienia powstającego w płomieniu z powodu wielkiego jego oporu dla elektryczności, używał multiplikatora o bardzo wielu zwojach. Aby się przekonać że w płomieniu rzeczywiście mają miejsce znaczne napięcia przeciwiemnych elektryczności, dosyć połączyć lampę o podwójnym ciągu nałaną wysokości z ziemią i dolnym krążkiem kondensatora, a jednocześnie w płomieniu jej utrzymywać blaszkę platynową, komunikującą z górnym krążkiem kondensatora. Ostatni krążek przybiera ujemną elektryczność. Ustalając połączenie lampy z górnym krążkiem, a blaszki z dolnym i z ziemią, górny krążek staje się dodatnio-elektrycznym. Ilość jej jest tak znaczną, że może na kilka linii odsunąć od siebie blaszki złote wiszące w elektroskopie *Bonenberga*. *Bequerel* wyjaśnia to różnicą temperatur, na jakie wystawioną jest blaszka rozpalona i metal z którego wyrobioną jest lampa: jednakże według poszukiwań *Hankela*, mniemanie to utrzymać się nie może.

Napięcie elektryczne płomienia jest bardzo różne i zależy od kształtu i wielkości płomienia. To okazać można za pomocą małego płomienia palącego się wodorodu. Naczynie szklane z którego wywiązywał się wodoród, opatrzone było krążkiem metalowym złączonym z ziemią; gdy w czasie palenia gazu blaszkę platynową w poziomym położeniu nad płomieniem trzymaną, zbliżamy do końca płomienia, kondensator z nią

złączony wskazuje ciągłe zwiększanie elektryczności, a dotykając się końca płomienia kondensator okazał największe dodatnie napięcie. Skoro zaś blaszka weszła w płomień, elektryczność zmniejszać się zaczęła, a prawie w środku płomienia zmieniła swój znak. Łącząc koniec multiplikatora z lampą, a drugi trzymając na kilka linii nad płomieniem, igła wskazała  $1^{\circ}$ ; przerywając i zmieniając kierunek strumienia igła wskazywała  $15^{\circ}$  do  $16^{\circ}$ . Przystęp strumień biegł po płomieniu z góry na dół, to jest od blaszki platynowej nad płomieniem ku lampie przez płomień. Siła strumienia zależy od wielkości płomienia i żywości gorenia. Kierunek jego zmianie ulega; bywa albo z góry na dół, lub z dołu do góry płomienia, gdy końce platynowe drutu multiplikatora stawiamy w różnych jego częściach. (*Bibl. Genève. Maj*).

\* M. August dostrzegł, że igła metalowa swobodnie zawieszona w bliskości obracanej taflii szklanej maszyny elektrycznej, po kilku oscylacjach przybiera szybki ruch obrotowy. Kierunek ruchu przeciwny jest względem kierunku obrotu taflii; stąd ruch igły zmienia się gdy ją ustawiamy nad, pod, z prawej lub lewej strony osi obrotu. Chcąc aby to zjawisko było wyraźnym, potrzeba aby poduszki maszyny leżały na poziomie osi i nie komunikowały się z ziemią. Przyczyną tego zjawiska jest przyciąganie elektryczne wywierane między taflią a igłą metalową, którego maximum ma miejsce w kierunku ukośnym między osią obrotu igły, a częściami taflii przyległymi poduszce, a więc najmocniej naelektryzowanymi.

Za tém tłumaczeniem przemawia uważanie tego zjawiska w ciemności; wtedy bowiem daje się widzieć koło świetne z dwóch łuków zupełnie równych złożone: jeden bliższy taflii koloru czerwonego, powstały z elektryczności ujemnej, wyrzucanej przez koniec igły; drugi żółtawy z elektryczności dodatniej kształtu pędzla, płynie z przeciwległego końca igły. Linia przechodząca przez środki tych dwóch łuków i oś obrotu igły nie jest prostopadłą, lecz ukośną do powierzchni taflii.

Czyniąc to doświadczenie, należy maszynę obracać z jednostajną prędkością, a przystęp pamiętać należy, aby przez pewien czas przed doświadczeniem maszyna nie była w użyciu, czyli, aby powietrze otaczające, nie było zbyt naelektryzowane.

\* Matteucci śledząc przewodnictwo ziemi dla strumienia galwanicznego przekonał naprzód, iż stosunek przewodnictwa żelaza do miedzi jest jak 1: 5,152; że zwiększenie współczynnika oporu w skutek podniesienia temp. dla żelaza środkuje między 0,00467 a 0,00437 na każdy stopień ciepła; że przewodnictwo wody morskiej przy temp.  $+11^{\circ},5$  C. jest 2,134,172 razy mniejsze od przewodnictwa żelaza, a 100 do 120 razy większe od wody rzecznej lub źródlanej. Następnie wykonał kilka doświadczeń w celu oznaczenia przybliżonego przewodnictwa glin, piasków, gładów i t. d. względnie do wody, i wywiódł wniosek, że krążenie elektryczne po skorupie ziemskiej, przypisywać należy wodzie zawierającej ślady soli i oblewającej cząstki stałe, poprzedzielane między sobą mniej lub więcej znacznymi przestworami, tworzącymi w zetknięciu z elektrodami warstwy przerywanego przewodnictwa.

Oznaczył także wpływ, jaki na przewodnictwo warstw ziemskich wywiera rozległość, kształt samych warstw, powierzchnia elektrodów,



stopień przewodnictwa cienkiej warstewki przylegającej do elektrodów, nakoniec długość warstwy ziemi uważanej przy różnych warunkach. Ztąd otrzymał takie wypadki:

Przewodnictwo warstwy ziemi, uważane względnie do przewodnictwa jakie daje takąż sama warstwa ziemi odosobnionej, z temiż samymi elektrodami, tém jest większe, im użyta warstwa posiada większą długość, a mniejszą sposobność do przepuszczania elektryczności.

Powiększając powierzchnią elektrodów albo otaczając ją cienką warstwą ciała dobrze przewodzącego elektryczność, np. piaskiem napojonym wodą słoną lub siarczanem miedzi, zmniejsza się znacznie opór warstwy ziemskiej, niekiedy sprowadza się do połowy, a nawet i części trzeciej.

Opór warstwy ziemi, w ogóle zmniejszający się z jej grubością, pozostaje prawie jednaki od 10 do 100. 200 metrów, a nawet do 8 kilometrów; począwszy od téj liczby aż do 77 kilometrów opór jakkolwiek o małą ilość, wyraźnie się pomniejsza stosunkowo do przyrostu długości.

Opór warstwy ziemskiej dłuższej na 77 kilometrów, środkującej między wszelkimi elektrodami, prawie wyrównywał oporowi warstwy wody grubiej na 0,5 metra, zawartej w naczyniu odosobnioném.

Warstwy wody morskiej długie od kilku metrów do 8 kilometrów, stawiają zawsze jednakowy opór. W wodzie rzecznej opór zmniejsza się szybko z powiększaniem długości warstwy, a przy 100 metr. tak jak 8 kilometr. okazał się jednaki. (*Bibl. de Genève. Mai*).

\* Od pewnego czasu dostrzegano w kilku domach w New-York szczególnie zjawisko elektryczne: zbliżając rękę do klamki, do ramy złoczonej zwierciadła, lub do innego metalowego przedmiotu, szczególnież téż dobrze połączonego z ziemią, wyskakiwały znaczne iskry. W jednym takim domu, który zwiedził Loowis, dziecko za dotknięciem klamki, doznało tak silnego uderzenia, że się mocno przestraszyło; a kobieta chcąc za pomocą rury głosowej przesłać polecenie, doświadczyła w usta bardzo nieprzyjemnego elektrycznego wystrzału, i chcąc uniknąć ponawiania się tego uczucia, musiała zawsze poprzednio dotykać się rury ręką. W niektórych domach wyładowania elektryczne były tak silne, jak z dobrze nabitjéj butelki lejdejskiej.

Loowis po staranném zbadaniu wszelkich okoliczności wniósł, że elektryczność wywiązuje się z tarcia obuwia o kobierce rozesłane w pokojach. Bezpośrednio przekonał się, że tarcie skóry o materyą wełnianą a szczególnież o kawałek kobierca rozdziela naturalną elektryczność, przyczém na skórze zbiera się dodatnia, a na wełnie ujemna elektryczność. Aby jednak z téj przyczyny mogła powstać aż iskra, potrzeba szczególnie sprzyjających okoliczności.

Kobierzec, a przynajmniejż zwierzchnia jego powierzchnia, musi być z samjéj wełny i mocno zbity. Zwiększenie grubości przyczynia się do lepszego odosobnienia kobierca.

Kobierzec, równie jak i posadzka, powinny być bardzo suche, aby w miarę powstawania elektryczność nie mogła uchodzić. To właśnie rzadko ma miejsce, chyba w pokojach mocno ogrzewanych podczas zimy. Najobszernszą była elektryczność w domach dobrze zbudowanych i ogrze-

wanych piecami w porze chłodnej; w czasie dni ciepłych, można było otrzymywać zaledwie słabe ślady elektryczności. Podeszwa winna być także suchą i tarcie przez nią wykonywane dość mocne.

Osoba, która raz lub dwa razy przeszła po pokoju, przez tarcie nogami, tak mocno była naelektryzowana, że po przybliżeniu palca do przedmiotu metalowego dobrze złączonego z ziemią, wydawała iskrę.

Powyższe źródło elektryczności jest zapewne przyczyną wielu zjawisk, które dotąd uważano jako pochodzące z ciała ludzkiego, czyto w skutek działania fizyologicznego, czy w skutek tarcia powierzchni ciała o jedwabne lub sukienne ubranie.

Zdaje się, że najprostszym środkiem usunięcia nieprzyjemności, jakie tak mocne wywiązywanie elektryczności przy sprzyjających okolicznościach atmosferycznych sprawia mieszkańcom podobnych domów, byłoby utrzymywanie powietrza pomieszczeń w pewnym stopniu wilgotności, za pomocą naczyń z wrzącą wodą lub innego podobnego przyrządu. Zresztą przytoczony środek miałby i tę zaletę, że poprawiałby niezbyt przyjazne zdrowiu warunki, powstające z oddychania w zimie zbyt suchym powietrzem. (*B. d. G. Jouillet*).

\* Plücher bańkę szklaną, opatrzoną takimże koreczkiem, napełnioną różnemi gazami przytwierdzał do bardzo delikatnych szalek, a następnie przybliżając do niej elektromagnes, oznaczał za pomocą ciężarków przyciąganie wykonywane przez elektromagnes na gaz doświadczany. Z podobnych poszukiwań wypadło, że magnetyzm gatunkowy kwasorodu, uważany względnie do magnetyzmu żelaza branego za jedność, wynosi 0, 0035. Ta liczba zgadza się ze znalezioną dawniej przez Faradaya dla tego pierwiastku. Kwasoród utracą swój magnetyzm w gazach z którymi wchodzi w połączenie chemiczne. Magnetyzm kwasorodu, niedokwasu 2go azotu, i innych magnetycznych gazów, proporcjonalnym jest do gęstości tychże gazów. Gaz magnetyczny przez pewien czas przyciągany przez biegun elektromagnesu, po zmienienu w tym ostatnim położeniu biegunów objawia bardzo wyraźne odpychanie. Ztąd Plücher wnosi, że gazy podobnie jak stal, posiadają siłę zatrzymującą rozłożony naturalny magnetyzm. (*L' Institut. Sept.*)

\* Tyndall przekonał się, że woda spadająca ciągłym strumieniem do innego naczynia napełnionego także wodą, nie wywołuje ani kulek powietrznych, ani żadnego dźwięku; skoro jednak oddalimy otwór z którego płynie strumień wody tak daleko, aby koniec żyły wodnej przerwał się i porozdzielał się na krople, wtedy na wodzie w naczyniu ukazują się bulki powietrza i dźwięki bardzo zmiennej mocy. Okazał także, że poruszanie z dostateczną chyżością ciał stałych w wodzie w kierunku poprzecznym, podobne powoduje zjawiska. Przyczyną tych fenomenów, według Tyndalla, jest próżnia tworząca się za spadającą kroplą lub ciałem poruszającym; powietrze zawierające się w tych bezwodnych miejscach popychane zrazu w kierunku ruchu kropli lub ciała, w końcu podnosi się nad powierzchnię wody, pęka i tym sposobem wywołuje dźwięki. (*L' Institut. Nr. 924. Sept.*)

S. P.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

88. *Christoph Schmid's Kleine Erzählungen mit einem vollständigen deutsch-polnischen Wörterbuche versehen, herausgegeben von J. E. 16. Warschau, 1852. Verlag von B. Lessmann, Druck v. St. Strąbski.* Str. 104, kart 2 i słownika str. 38. Złp. 2 gr. 15.

89. Dyrektor Ambrożewicz. *Gawędy Michała Kałkowskiego.* 16ka. Wilno. 1852. Druk J. Zawadzkiego. Oddział I str. 139, II 110. Złp. 8.

90. *Głos duszy. Zbiór nabożeństwa katolickiego, mieszczący w sobie: Kilka sposobów słuchania Mszy Ś., Nabożeństwo na Wielki Tydzień, Nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszej, do Najświętszej Maryi Panny, do Świętych Aniołów Bożych, Nowennę o śmierć szczęśliwą, Modlitwy na głównejsze uroczystości roczne, oraz Pieśni kościelne. Z godłem:*

Czujcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokusę. Duch-ci wprawdzie jest ochotny, ale ciało mdłe. (Mat. XXVI, 41).

Proście a będzie wam dano: szukajcie a znajdziecie; kołaczcie a będzie wam otworzono. (Mat. VII, 7).

I wszystko o cobyście prosili w modlitwie wierząc, weźmiecie. (Mat. XXI, 22).

Wydanie nowe poprawne. 16ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 736. Złp. 11.

91. *Kazanie o wielkości powołania życia zakonnego, w dzień Ś. Franciszka Salezego, przy professji Panny Kazimiéry Balińskiej, miane w kościele PP. Wizytek w Wilnie 1852 roku, przez X. S. Kozłowskiego, M. S. Th. Rektora Seminarjum Dyecezalnego Wileńskiego.* 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 23. Złp. 1.

92. *Historja nowożytna. Ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki, aż do rewolucyi francuzkiej. Przełożył na język polski L. J(enicke).* 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1852. Nakład H. Natansona, druk Ungra. Tom I, kart nap. 2, str. IX i 328. II, str. X i 424. Złp. 18.

93. *Marynka Czarownica (.) Opowiadanie mojej piastunki. Przez Bronisławę Kamińską.* 16ka. Warszawa. 1852. Druk Strąbskiego. Str. IV i 224. Złp. 5.

94. *Podania i baśni ludu w Mazowszu (z dodatkiem kilku szląskich i wielkopolskich) spisał Roman Zmorski.* 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk Nischkowskiego. Str. XIV i 199. Złp. 8.

95. *Rok Chrystusowy czyli rozmyślenia na każdy dzień roku o życiu i nauce Pana naszego Jezusa Chrystusa przez X. M. Awancina. Z łacińskiego przerobił i do użytku wszystkich zastosował Xiądz \*\*\*.* Wydanie drugie. 12ka. Berlin. 1852. W księgarni Behra. Złp. 13 gr. 10.

96. *Sokraszczennaja Niemieckaja Grammatika. (po Heinziusu).* 8. Wilno. 1852. Druk J. Zawadzkiego. Str. 152. Złp. 2 gr. 20.

97. Wody lekarskie Szawnickie opisał Michał Zieleniewski Doktor Medycyny, Chirurgii i Mag. Akuszerzy, Adjunkt Kliniki położniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ska. Kraków. 1852. Nakładem autora, czcionkami drukarni Czasu. Nadpisów i przedmowy str. liczb. VII i 127.

98. Zaraza. Obrazek obyczajowy. Przez Adama Pługa. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Kart nap. 2 i str. 255. Złp. 6 gr. 20.



### Doniesienia literackie.

#### WARSZAWA.

K. Wł. Wojcicki zamierzył wydawać *Archiwum domowe* do dziejów i literatury krajowej, złożone głównie z rękopismów dotąd zupełnie nieznanymi. Dla badacza dziejów krajowych, domowego żywota przodków naszych i literatury, znajdują się tu bardzo ważne zasoby. W zbiorze tym obszernym, którego najmniej sześć tomów rocznie wyjdzie, mieścić się będą i przedruki dzieł nadzwyczaj rzadkich, ale tylko takie, które są konieczne do poznania zarysów dawnego wewnętrznego życia; wszakże przedruk tych pomników nie zajmie i  $\frac{1}{4}$  części całego Archiwum.

— Pisma krajowe doniosły w r. z. o wyjściu dwóch tomów dzieła pod tyt.: *Opis Królestwa Polskiego* pod względem historycznym, statystycznym, przemysłowym, handlowym i zwyczajów. Dalszy ciąg tego dzieła, to jest tom IIIci już prasę opuścił, i za wykończeniem rycin, głównie dotąd wydanie tamujących, natychmiast prenumeratorom doręczonym zostanie. Tom ten obejmuje opis powiatów: opatowskiego i sandomierskiego, również jak poprzednie bogatych w piękne krajowidy, pomniki historyczne, rękodzielnie i zakłady przemysłowe. Lud dawniej ziemi sandomierskiej niepoślednie też między resztą współbraci trzyma miejsce; opis więc tej części kraju dla wszystkich obojętnym nie będzie.

— Księgarz S. *Orgelbrand* wkrótce wyda pierwsze poszyty Historii powszechnej *Cantu* (ogromnego dzieła, bo z 10 wielkich tomów złożonego).

— Księgarz Henryk Natanson ogłosił: „Wybór przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych” i wydał na początek powieść z szwedzkiego Fryderyki Bremer p. n.: *Sąsiedzi*, we 2 tomach. Następnie wyjdzie powieść Lady Fullerton w 2 tomach p. n.: *Zamek Grantlej*, a w dalszym ciągu mają być wydane przekłady z oryginałów najświetniejszych powieściopisarzy angielskich, amerykańskich i. t. d. Przedsięwzięcie to kierowane myślą i smakiem wykształconego nakładcy, powinno znaleźć w czytającej publiczności i zachętę i współczucie.

— Władysław *Syrokomla* pisze wielki poemat p. n.: *Kanonik Przemyski*. Głównymi osobami działającymi jest Orzechowski i Rej. Część większa ukończona. Obecnie pracuje nad *Wędrówkami po moich stronach*; jest to opisanie Nieświeżskiego i całej Radziwiłłowszczyzny. Nadto tłumaczy Heidenstejna, który wyjdzie w zbiorze historyków B. M. Wolffa w Petersburgu.

— A. E. *Odyniec* ukończył swój dramat w 5 aktach wierszem, pod nadpisem: „Barbara Radziwiłłówna.”

— T. Glücksberg w Wilnie drukuje Filozofią Max. *Jakubowicza* w trzech tomach.

— Maxymilian Fajans wykończył dwa następne poszyty *Wizerunków Polskich*; między innymi będą portrety Szopena, Jana Królikowskiego artysty dramatycznego, Rastawieckiego autora Słownika Malarzy polskich i Mapopografii, Michała Oczapowskiego i t. d.

— W drukarni Piotra Pillera we Lwowie wyszły: „Sprawa ortografii polskiej w Galicyi,” przez Franciszka Rychlickiego z Wilczej Woli, w Sce; tudzież: „Kartofle i maszyny parowe,” przez *tegoż*.

— W b. m. rozpoczął się w drukarni uuiw. w Krakowie druk dzieła, pod tyt. „Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich”, napisany przez ks. Ludwika Łętowskiego biskupa Joppejskiego, dziekana kap. kat. krak. Wielkie to dzieło składać się będzie z trzech tomów, z których 1szy będzie miał napis: „Biskupi krakowscy”, dwa zaś ostatnie: „Prałaci i kanonicy krakowscy”. W tomie pierwszym, mającym przeszło 40 arkuszy druku objąć, umieszczone są przy każdym biskupie po r. 1500 dyplomata i transumpta, z wypisem daty i przedmiotu, a często i ciekawszych szczegółów.

— R. Zmorski przygotował w dwóch dużych tomach przekład: „Pieśni serbskich” rymowanym i miarowym wierszem.

— W tłoczni Winiarza we Lwowie wyszło: „O nomenklaturze chemicznej; wyjątek z najnowszego dzieła Regnaulta: *Cours elementaire de Chimie*, przetłumaczył i do nomenklatury chemicznej zastosował J. P. M. Duniecki” Lwów. Ska. Str. 17.

— Wspomniany w zeszycie kwietniowym na r. b. Biblioteki Warszawskiej: „Zbiór spraw kryminalnych, zebranych w sądach i archiwach krajowych” przez L. Tripplina, a wychodzący w Wrocławiu nakładem księgarza Schlettera, zawierać będzie między innymi: 1) Sprawę przeciwko Kazimierzowi Łyszczyńskiemu, straconemu w r. 1689. 2) Sprawę między księciem Adamem Czartoryskim gen. ziem podol. a Janem Komarzewskim generałem i Franciszkiem Ryxem starostą, oskarżonemi o zamysł otrucia księcia Czartoryskiego. 3) Zgon dwóch ostatnich książąt mazowieckich. 4) Sprawy przeciwko czarownicom: a) relacya naoczego świadka stracenia razem 14 mniemanych czarownic, w drugiej połowie XVIII wieku: b) inkwizycye i wyroki wydane przeciwko czarownicom w r. 1699, 1719, 1731 i 1732. 5) Sprawę Patkula. 6) Zamach Piekarskiego na życie Zygmunta IIIgo, i wiele innych spraw i nieznanych dotąd wypadków historycznych, objaśnionych nowemi dokumentami.

— Ukazał się już, wydany przez Tytusa hr. Działyńskiego *Rodowód Szydłowieckich*, cały z przedmową i dopisem w języku łacińskim ogłoszony. Ma on właściwie tytuł: *Liber Geneseos Illus. familiae Schidloviciae MDXXXI* (Typis Crapelet, via dicta de Vaugirard, 9.) Cena Złp. 120. Książka ta wyszła w małym arkuszu, na grubym papierze, ma razem 17 kart druku bez liczbowania i 17 tablic rycin. Druk i ryciny należą do najpiękniejszych wyrobów swego rodzaju. Naprzód idzie tytuł, z dużym w pośrodku wizerunkiem herbu Szydłowieckich, Odrowąż, naśladujący suadź wstępną kartę

rękopisu z r. 1531, który ze swoim tekstem i z 12 rycinami stanowi główny przedmiot niniejszej publikacji. Następuje przedmowa p. hr. Działyńskiego, pisana w Kórniku r. 1848. Dowiadujemy się z niej, iż ogłoszony teraz rękopis, wraz z całym skarbem innych starych kodexów, jeszcze przed 30 prawie laty zakupiony został przez p. Dz. za 2,000 dukatów. Po przedmowie zaczyna się text rękopisu z r. 1531, drukowany dla większego podobieństwa do oryginału pismem gotyckim, obejmujący na 5 kartach (10 str.) bardzo zwięzły rodopis Szydłowieckich, który ogranicza się skromnie na wyszczególnieniu głośniejszych jego członków, kwitujących w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu od Kazimierza Jagiel. do jego syna Zygmunta 1go, a w następującym szeregu 12 rycin w większej części osobiście wyobrażonych. Te dwanaście wizerunków, jak sam wydawca w dalszym dopisie wyraża się, stanowią wszelką wartość tego dzieła. Piękność całej obrazowej części wydania, ozdobność jego powierzchowności, nic do życzenia nie pozostawiają.

— W drukarni Zakładu narod. Ossolińskich wyszły: „Obserwacye należące do koni i stad polskich,” napisane r. 1705 przez Jerzego Dzeduszyckiego.

— Nestor słownikarzy polskich, sędziwy starzec, pastor Mrongowiusz w Gdańsku, który przed rokiem wydał „Śpiewnik” dla użytku ewangelików polskich, wygotował nowe wydanie Słownika niemiecko-polskiego, który wyjdzie nakładem księgarni Borntraegera w Królewcu.

— W letniem półroczu w uniwersytecie wrocławskim Dr. Kraiński wykłada: 1) literaturę słowiańską; 2) literaturę polską; 3) grammatykę polską dla Polaków; 4) grammatykę polską dla Niemców; 5) ćwiczenia dla uczących się pisać i mówić po polsku. P. lektor Fritz wykłada zaś: 1) grammatykę polską łącznie z ćwiczeniami dla uczących się pisać i mówić po polsku i 2) początki języka rosyjskiego.

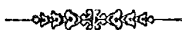
— W posiadaniu p. Kraszewskiego znachodzi się bardzo ważny rękopis do dziejów kościoła katolickiego w prowincjach ruskich i do historii literatury. W formacie arkuszowym obejmuje on dwa duże tomy o 513 i 734 stronicach, a ma napis: *De rebus gestis in provincia Russiae S. Hiacinthi Odrovonsii Ordinis Praedicatorum historicus commentarius etc.* p. Clemente Chodykiewicz. A. MDCCLXIV. Tom 1szy zawiera cztery księgi traktujące: I. O przybyciu św. Jacka do Polski. II. O braciach pielgrzymujących. III. O stanie zakonu Kaznodziejskiego na Rusi. IV. O ogóle zakonu Kaznodziejskiego w Polsce i Rusi. Siedm dalszych ksiąg tomu 2go opisują szczegółowo klasztory dominikańskie we Lwowie, Mościskach, Jaworowie, Żółkwi, Busku, Brodach, Podkamieniu, Lachowicach, Konstantynowie i t. d. aż po Kijów i Mińsk. W ten sposób skreślona jest historia 79 klasztorów z przytoczeniem dokumentów fundacyi i innych ważnych aktów. W końcu jest rozdział o mężach sławnych zakonu Kaznodziejskiego. Wylicza nadto porządkiem abecadłowym przeszło 160 imion, po większej części literaturze zasłużonych. Rękopis ten może dla historii kościelnej i historii lit. bardzo znamienitem stać się uzupełnieniem.

— Druk tomu 4go: „Wiadomości historyczno-krytycznych Józefa Maxym. Ossolińskiego, w drukarni Zakładu tegoż imienia znacznie już postąpił. Odbite są na czysto żywoty następujące: Hozyusza, Dantyszka,

Niemojewskiego, Modrzewskiego i Kryckiego; wkrótce wydrukowane będą i dalsze. Tom tego dzieła znacznie pomnoży szereg biografij pisarzy polskich, i poda o wielu z nich wiadomości takie, jakie tylko wielostronna nauka i długolétne poszukiwanie razem zebrać i przedstawić są w stanie.

— Kommissya archeologiczna w Petersburgu (Komissia dla razbora driewnich aktow) zamierza zająć się wkrótce pracą nadzwyczajnie dla dziejów pożądaną, t. j. wydaniem II i IIIgo tomu Kodexu dyplomatycznego Dogieła, które dotąd w rękopisie zostają. Tamże ma się ukazać Skarbczyk poe-  
tów polskich. Piérwszy tom zawierać będzie poezye Kazimierza Brodzińskiego, następne zaś wszystko, co tylko znakomitszego aż do najnowszych czasów w dziedzinie poezyi pojawiło się.

— Antoni Oleszczyński od lat kilku pracuje nad monumentalną ryciną Kopernika; będzie téż to, śmiało powiedzieć można, najpiękniejsza rycina polska. Dla jój wykonania p. Olesz. robił długie studia nad życiem wielkiego astronoma.—Piérwsza rycina już ukończona na stali, w wielkim arkuszu, zajmuje we środku popiersie Kopernika wedle portretu z r. 1530. Na tle portretu dwanaście figur zodyaku znaczą powołanie astronoma. Ramy obrazu ułożone w guście *renaissance*, a w nich autor zamiast kopiowanych, jak zwykle bywa, ozdób, zamieścił dzieje naszój astronomii. Jest w nich 38 figur prześlicznie wykonanych. Na wierzchu anioł w promieniach i napis: *Sta sol ne movere*, trzyma księgę z wrytymi nazwiskami celniejszych astronomów od Ptolomeusza, aż do Lagranża i Arago; na lewo Brudzewski mistrz Kopernika w towarzystwie kilku spółczesnych figur. Na prawo Heweliusz rysujący na niebie tarczę Janiny, przed którym ukazuje się cień Sobieskiego. Obok: wydawcy dzieł, komentatorowie i mecenas Kopernika. W drugim rzędzie przy figurach czterech królów założycieli i protektorów uniwersytetu Jagiellońskiego, figura St. Jabłonowskiego wydawcy dzieł Kopernika, i druga St. Staszycy, jako męża, któremu pomnik warszawski Kopernika najwięcej poniekąd winniśmy. W trzecim rzędzie dwie poważne postaci ks. Poczobutta i Jana Śniadeckiego otoczone gronem słuchaczy, w środku kilka osób współczesnych Kopernikowi, a po bokach z jednéj strony Puzynina, założycielka obserwatorium wileńskiego, z drugiey Adryan Krzyżanowski obrońca narodowości i biograf uczonego astronoma. W czwartym rzędzie: we środku medal Kopernika, obok ośm najcelniejszych znanych jego portretów, jakoto: ze zbioru Cichowskiego, z Muzeum brytańskiego, z edycyi Gassendego, z Walhalli bawarskiej, ze zbioru Lubomirskiego i t. d. Co nadewszystko uderza, że z tłumu osób figura Kopernika odbija wydatnie, tak, jako gieniusz jego zabłysnął w poczecie astronomów, i że obraz aczkolwiek tak pełny, nie jest bynajmniej przeciężony ozdobami, ani nie traci całości i harmonii. Druga rycina odpowiedniej wielkości, ma zamieszczać dom Kopernika, kościół w którym był pogrzebany, i objaśnienie piérwszój. P. Oleszczyński odrywany pracą zarobkową od dzieła swego, pracuje nad niém już trzy lata, i nie ma nadziei ukończenia drugiey ryciny tak prędko. Oprócz tego, zajęty on jest obecnie sztychami prześlicznych obrazów do Album Wilczyńskiego.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Czerwiec, 1852.***



Czerwiec 1852.

Dostrzeżenia w Obserwato

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom m  
czyli w łuku 18°41'25,5'' na w

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				cz. sredn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1		751.62	752.27	752.73	753.72	+11°.4	+14°.3	+17°.0	+13°.2	5.
2	☉	754.80	754.96	753.84	753.72	12.9	17.6	21.2	14.3	5.
3		754.20	754.39	752.85	752.69	14.5	19.8	23.4	17.6	4.
4		752.28		750.58	750.56	15.1		21.3	13.1	5.
5		750.70	750.23	749.91	750.09	13.8	16.4	14.5	12.3	6.
6		749.55	749.86	749.09	749.41	12.3	18.5	20.6	16.5	6.
7		750.17	750.25	748.97	749.64	16.0	21.0	24.7	16.4	6.
8		749.20	749.09	746.90	747.45	18.9	22.5	27.3	19.7	6.
9	☾	746.45	745.58	742.75	740.69	20.2	25.4	28.3	21.3	6.
10		739.58	738.33	737.06	737.95	19.7	24.3	15.7	15.3	8.
11		740.75	742.35	742.74	744.36	17.0	19.5	24.4	16.5	6.
12		744.35	744.16	742.71	741.52	18.7	21.2	24.2	18.8	6.
13		737.95	740.08	742.14	743.48	13.9	16.2	19.6	12.0	7.
14		744.40	743.74	741.73	740.50	13.9	18.5	21.7	14.2	6.
15		738.95	738.60	737.80	739.03	13.3	19.6	21.9	15.2	6.
16		740.69	741.97	743.40	745.47	14.7	19.1	20.8	14.3	6.
17	☉	748.18	749.29	748.97	749.78	14.7	21.3	25.5	17.8	3.
18		750.49	750.65	748.53	748.59	17.5	23.8	27.4	19.0	3.
19		747.20	746.25	744.76	744.54	19.0	25.7	29.6	21.9	3.
20		745.98	747.30	748.68	749.56	18.1	20.0	19.4	13.7	3.
21		750.03	750.08	749.71	750.19	16.0	21.8	20.7	14.8	6.
22		749.90	749.46	748.45	748.35	12.3	20.8	26.4	18.4	3.
23		746.97	747.54	748.25	749.01	17.6	23.0	24.7	18.7	6.
24	☾	749.32	748.81	747.39	747.12	18.2	25.4	25.7	19.7	3.
25		747.77	748.46	748.36	749.33	17.7	19.5	18.5	17.6	3.
26		749.61	749.63	748.83	749.33	12.9	17.2	20.3	15.7	3.
27		750.42	750.55	750.56	750.82	13.6	18.8	22.0	16.5	3.
28		750.13	749.23	746.53	745.87	17.1	22.4	24.5	17.0	3.
29		744.82	746.97	748.79	750.38	16.2	17.7	22.4	14.3	3.
30		750.56	751.15	749.27	748.57	16.1	21.3	25.6	17.9	3.
Sre.		747.567	747.629	747.076	747.391	+15°.78	+20°.43	+22°.64	+16°.46	



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.416	27	7.326
Najwyżej dochodził — d. 2 o g. 10 r.	754.96	27	10.621
Najniżej — d. 10 o g. 4 w.	737.06	27	2.736
Średnia zmiana dzienna barometru	2.723		1.207
Największa zmiana dzienna barometru d. 30 maja—1 czerwca o g. 6 r.	12.20		5.408
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	748.597	27	7.850
Średnia temperatura Czerwca wynosi: +	18° 827 C.	+ 15° 062 R.	
i ta jest wyższa o	1.276 „	1.021 „	
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	17,551 „	14.041 „	
Największe ciepło dochodziło d. 19 o godz. 4 wiecz.	29.6 „	23.68 „	
Najmniejsza temperatura była d. 1 o godz. 6 rano.	11.4 „	9.12 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.692 „	2.153 „	
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 9—10 o g. 4 w.	12.6 „	10.08 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: +25° 3 R. d. 24 po połud.

Minimum: +7° 2 „ d. 1 i 2 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 81,4 milim. czyli 36,08 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 8,01 lin. par. od tej jaka u nas w czerwcu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 65,17 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10,38 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,05 od normalnej.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 11, pochmurnych 13.

— deszczu 13 (d. 4, 5, 7, 10, 11, 12, 13, 21, 24, 25, 26, 28, 30).

— grzmotów 6 (d. 7, 10, 12, 24, 25, 28).

— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 8, 12, 24).

Wiatrów mocnych 2 (Pn. PdW.).

Wiatr panujący: Zachodni.

Czerwiec r. b. był pogodny, suchy i bardzo ciepły osobliwie przy końcu; średnia jego temperatura jest przeszło o jeden stopień R. wyższa od normalnej. Najcieplejsze dni były: 8, 9, 12, 18, 19, 23, 24, 28, 30; najmniej ciepłe d. 1, 5, 13. Pod względem pogody czerwiec zbliżał się do stanu normalnego. Deszcze padały często i obficie. Dzień 24 a osobliwie noc z d. 24 na 25 odznaczały się częstymi grzmotami, błyskawicami, piorunami i deszczem ulewnym kilkakrotnie padającym, ilość wody spadłej w przeciągu 12 godzin wynosiła 11 lin. par. to jest blisko trzecią część ilości wody z całego miesiąca.

D. 1, 22, 27, 30, ukazywały się plamy na słońcu.

WYCIĄG ZE WSTĘPU DO DZIELA:

## OBRAZ LITWY (\*).

PRZEZ

Józefa Jaroszewicza.

---

*Najdawniejsze wzmianki o plemionach letońskich.* Na 300 z górą lat przed naszą erą miał wiedzieć Pitheasz sławny marsylski żeglarz, że za ujściem Renu, dalej na wschód, mieszkają *Ostiowie*. Tak nam donosi Pliniusz, żyjący 400 lat później od Pitheasza (1). Gdybyśmy w nazwisku tego ludu upatrywać mogli późniejszych *Estów*, byłby to najdawniejszy ślad bytności narodów letońskich w północnej Europie; bo rzeczywiście wśród *Estów*, *Wendów*, i *Finnów*, albo w ich sąsiedztwie, na południowych i wschodnich brzegach morza Bałtyckiego szukać nam *Letów* w późniejszych wiekach wypada. Lecz zostawmy to przypuszczenie owym badaczom, co na domysłach budując, lada podobieństwo brzmienia biorą już za dowód historyczny; przenieśmy się raczej do czasów bliższych ery naszej i zbierzmy podania Rzymian i Greków, ażali nie znajdziemy w nich jakiej pewniejszej o naszych przodkach wzmianki.

Zostawili nam wprawdzie starożytni pisarze niemało wiadomości o wielu krajach i ludach północnej Europy; jednakże

(\*) Zajmując się przygotowaniem nowego wydania *Obrazu Litwy*, udzielałam czytelnikom Biblioteki Warszawskiej ten wypis z przerobionych pięciu pierwszych §§ mojego dziełka. Wdzięczny będę jeśli się znajdzie taki, co dostrzeżone uchybienia w tych wstępnych badaniach sprostować zechce. Byłoby to z korzyścią dla nowego wydania.

(1) Pliniusz IV, 5, 14.

o plemionach letońskich, pod późniejszymi ich nazwiskami, długi czas żadnej u nich wzmianki nie było. O jednych tylko Herulach, wątpliwego cokolwiek pochodzenia, których jednak za Letów, na zabytkach ich mowy opierając się, bierzemy; o Herulach, mówię, wplątanych w stosunki z państwem rzymskim, a ztąd lepiej Rzymianom i Grekom znanych, cokolwiek więcej z tego źródła wiemy. Pomiaru ogromnego państwa rzymskiego za Cezara i Augusta czasów przedsiębrane, mogły wprawdzie wyjaśnić siedziby ościennych, ale nie tak odległych ludów (2), Pliniusz pisząc około 78 r. po Chr., zajął się był zebraniem wiadomości o krajach i ludach północnych, Wiedział on ze słuchu o morzu Bałtyckim, o Wiśle i wyspach bursztynowych (*glesariae Insulae*). Od niego dowiadujemy się, że Rzymianie znali nawet drogę lądem od Karnuntum nad Dunajem, do ujścia Wisły, zkąd za czasów Nerona, jakiś wędrowiec stanu rycerskiego sprowadził w znacznej ilości bursztyn, którego przy igrzyskach w Rzymie użyto. Wylicza wreszcie narody na wschód Wisły siedzące, lecz między nimi żadnego jeszcze nazwiska plemienia letońskiego nie upatrujemy, chyba że jego *Scirrow* za późniejszych Kurów czyli Kuronów weźmiemy (3). Tacyt o 19 lat od Pliniusza późniejszy,

(2) W czasie pomiaru państwa rzymskiego, który się rozpoczął z polecenia Juliusza Cezara, a trwał do Augusta, wysłany na północ *Theodotos*, skończył swą pracę na lat pięć przed naszą erą. (*Aethici Cosmogr. ed. Gron. p. 26. int. Geogr. edit. a Henrico Stephano 1577, p. 107*). Czy za krańce państwa miernik ten zaglądał, nie uczą nas geograficzne wiadomości Rzymian, ale wspomnieć o nim zdało się nam na tym miejscu z tego powodu, że w kronice biskupa pruskiego Chrystyana, we XII wieków później żyjącego (pisał około r. 1237) miały się znajdować wyjątki z podróży jakiegoś wędrowca *Diwojnesa*, który także za czasów jakoby Augusta wysłany dla mierzenia krajów północnych, dziennik swój zostawić miał w Płocku gdzie umarł, a Jarosław proboszcz katedry płockiej, wyjątki z tego dziennika po rusku pisane, Chrystyanowi udzielił. Mówią o tym późniejsi kronikarze pruscy, Szymon Grunau i Łukasz Dawid, którzy też kilka wyjątków z owej kroniki Chrystyana do swoich kronik wcielili. Jakkolwiek cała ta relacya nie ma podobieństwa do prawdy, bo chociażbyśmy nawet przypuścili, że to nie był dziennik miernika, ale jakiś może nieznan nam dzisiaj egzemplarz latopisu Nestora, w którym o owym pomiarze mogła być wzmianka, boć Płocka w pierwszym wieku po Chrystusie, a nawet długo jeszcze potem nie było; jednakże dziwna rzecz, że nazwiska obu mierników są z sobą w związku, bo jak jedno z greckiego *theos*, tak drugie z litewskiego *diemas*, co w obu językach znaczy Boga, są utworzone.

(3) Pliniusz IV, 12, 27; XXXIII, 11, 2.

mówi już wyraźnie o Estach, gdzieś koło ujścia Wisły, bo w kraju bursztynowym osiadłych, co nam przypomina późniejszą ogólną nazwę letońskich ludów (4); lecz ten dziejopis wspomniawszy kilką słowy o ich wierze, niedostatku u nich żelaza (5) i skrzętniejszém zajmowaniu się rolnictwem niż było u Germanów, dodaje: że z obyczajów podobni są do Swewów, z mowy do Bretonów, a bursztyn swoim językiem nazywają *glesum* (6). Taki opis Tacyta mimowolnie naprowadza na domysł, że albo jakiś germański lud obok Estów letońskich siedział jeszcze wówczas nad Bałtykiem, albo całą tę wiadomość miał dziejopis od Germanów, który kraj wschodni i bursztyn swoim językiem *Estum* (Ost, wschód) i *Glesum* (od Glas, szkło) nazwali, a mowę tamecznego ludu do również sobie niezrozumiałej mowy Bretonów porównywali (7). Widzimy zatem, że i Tacyt niewiele nas nauczył.

W mnóstwie nazwisk przy opisie stron północnych przez Ptolomeusza (około 160 r. po Chr.) przywiedzionych, natrafiamy

(4) Tacitus de moribus Germaniae c. 45.—Litwę ze względu na położenie dzielono na Żmujdź, po litewsku Ziemajcioj czyli Żomojt, t. j. kraj dolny, od wyrazu *żemes* nizki, i na Auksztotę, właściwą Litwę czyli kraj górny, od *auksztej*, górny. Ostatnie nazwisko strony litewskiej dało powód niektórym, że już w Ostiach Pitheasza i Estach Tacyta Auksztotów t. j. górnych Litwinów widzieć chcieli, kiedy Ostiów jako nadbrzeżnych, raczej Żmujdzinami nazwaćby wypadało. Komu się podoba, wolno bawić się podobną etymologią.

(5) Wzmianka o niedostatku żelaza przypomina nam Żmujdzinów, którzy, lubo dobrze już żelazo znali, jednak do lemieszów drewnianych tak byli przywykli, że jeszcze za Zygmunta Augusta, z uporem do uprawy roli ich używali. Zwyczaj ten musiał bardzo dawnych sięgać wieków.

(6) „... Ergo jam dextro Svevici maris litore Aestiorum gentes alluuntur: quibus ritus, habitusque Svevorum lingua Britannicae propior. Matrem deam veneratur, insigne superstitionis, formas aprorum gestant. Id pro armis omnique tutela: securum deae cultorem, etiam inter hostes praestat. Rarus ferri, frequens fastium usus. Frumenta ceterosque fructus patientius quam pro solita Germanorum inertia, laborant. Sed et mare scrutantur, ac soli omnium succinam, quod ipsi *Glesum* vocant, inter vada atque in ipso litore legunt. (*Tacitus l. c.*)

(7) To podobieństwo mowy Estów do mowy Bretonów napomknięte u Tacyta, dało powód do uczonych badań i różnych wniosków i domysłów, a przy pomocy wyrazów od *lit* albo *let* zaczynających się, dopatrzono Litwinów i w Anglii i w Armoryce czyli późniejszej Normandii. (*Szaffaryka Staroż. słow. I, 874 id. Zeuss. Jahrbücher des Vereins für meklenburgische Geschichte und Alterthumskunde p. 577—578. Maciejowski, Pierwotne dzieje Polski i Litwy str. 23—25*).

już na kilka letońskim stronom właściwych. Wymienione u niego rzeki *Chronos, Rubon*, odpowiadają Niemnowi i Dźwinie zachodniej, a w jego Boruskach, Golindach, Sudenach i Kareotach, godzi się upatrywać, pod temiz lub podobnego brzmienia nazwiskami znane i później ludy *pruskie, kurońskie, Sudawów*; tylko o Litwie i Litwinach nie masz tu jeszcze wyraźnej wzmianki (8). Również ich nie wymienia Alańczyk Jornandes (r. 550 po Chr.), chociaż mówiąc pod r. 370 o północnych zdobyczach Ostrogockiego Ermanryka, niemało narodów nadbałtyckich, przez Nestora później powtórzonych, wylicza; między którymi jego *Karis* odpowiadają Nestora *Korsom* czyli *Kuronom*, a *Boiski, Boruskom* czyli *Prusakom*; trudno bowiem w Jornandesa *Athuolas* upatrywać Litwinów, przypuściwszy, że to wyrażenie nie jest u niego zepsute (9). Nie zapomniały i w następnym wieku letońskie ludy o Ostrogotach; dowodzić tego może owe poselstwo r. 495 wyprawione od Estów z darami bursztynu do króla Teodoryka: co właśnie w rok po powrocie Herułów nad Jure przypadło, jeśli tylko tę wędrówkę za fakt pewny przyjmiemy.

Dotąd więc nie było jeszcze literalnej wzmianki o samych Litwinach, chociaż nazwiska ich pobratymców Kuronów i Prusaków już się dawno ukazywały. Toż samo milczenie postrzegamy jeszcze i w pisarzach następnych kilku wieków. Einhard biograf Karola W. żyjący w IX wieku, zna tylko kraj *Estów*, który na Prusy, Litwę i Inflanty rozciąga (10). Pod koniec tegoż wieku Other i Wulfstan, przez Alfreda W. króla Anglii wyprawieni, zwiedzając nadbrzeża Bałtyku, wszystkie kraje plemion letońskich, podobnie ogólnym tylko wyrazem *Estum* oznaczają, chociaż ostatni, obyczajem, z litewskimi po części zgodne, mieszkańców dolnej Wisły opisał (11). Również Adam Bremeński (r. 1076), a za nim geograf bawarski (r. 1100) widzą tylko Estów na południowym brzegu Bałtyku; prócz tego pierwszy z nich Estonią, Kurlandją i Samlandją z Prusami, nawet na wyspach osadza (12). Przyczynę tak długo trwającego milczenia dawnych pisarzy o kraju i narodzie litewskim upatrują dzisiejsi badacze naszych starożytnych czasów: to w ukrywaniu się imienia Litwy pod ogólnym nazwiskiem Prusaków (13), to w nadawaniu zbyt rozległych

(8) Ptolomeusz III. 5. (9) Jornandes de reb. Gothicis XIII. (10) Einhard in vita Caroli M. 12. (11) Nestor Schlezera II, 6, 7. (12) Adam Bremeński de Situ Daniae p. 220—221. Geograf Raweński u Poteckiego fragm. histo. et geogr. XXXVI, 4. (13) Baliński w Starożytnej Polsce.

granic krainie Kuronów, która jeszcze u Duisburga, a zatém w XIV wieku, sięgała Niemna, Kurońskiej zatoki i Prus (14). Wszystko to bardzo być mogło, jednakże i tę jeszcze godziłoby się dodać przyczynę: że Litwa w małej tylko przestrzeni dotykając morza, a może nawet w dawnych czasach przez Kuronów od niego odcięta, za to zaś więcej niż Prusy i Inflanty w głąb kraju posunięta, dłużej téż, niż jój nadbrzeżni pobratymcy, przed ciekawością obcych ukrywać się mogła.

Nie idzie jednak za tém, żeby Litwa nawet wtenczas, kiedy obcy pisarze nie jeszcze o niej nie mówią, pod właściwém sobie nazwiskiem sąsiadom nie była znaną. Trudno bowiem zgodzić się na to, jak niektórzy chcą utrzymywać, że Litwa nazwanie swoje winna dopiero była jakimś różnoplemiennym służebnym drużynom, które na trzy wieki przed naszą erą, otrzymawszy jakoby w Grecyi *Laitów* nazwisko, we cztery po téj erze, jako *Licianie* czy *Litycianie*, składały nadgraniczne pułki rzymskie, w VII zakładały państwo litewskie *Letowicjon* w Armoryce czyli Normandyi, a rozsypane po Europie pod imieniem *Litów*, w państwach franko-germańskich niemieckiej, nad Bałtykiem zaś Rusów przemocy uległy; nakoniec niewiadomo, czy od Sasów czy Russów uchodząc, bo jedno i drugie jest przypuszczane, przedarłszy się w XI wieku z orężem w rękę a pieniędzmi w kieszeni do okolic trockich, od wzgardzonego imienia swego *Litów*, *Liudow*, stan niższy społeczeństwa u Niemców i Russów oznaczający (gdz to miało być dla nich korzystniej?) nową swą ojczyznę Litwą nazwały (15). Prawda, że dopiero w kronice kwedlenburgskiej, (z po-

(14) J. L. rzut oka na dawność litewskich narodów, r. 1808 str. 25.

(15) Wszystko to znaleźć można w Piérwotnych dziejach Polski i Litwy p. Maciejowskiego str. 68, 69, 100, 105, 405, 411, 412, 421 i t. d. Do tych pracowitych, ale dla początkowej historyi Litwy, kto wie czy pożytecznych, bo tylko na upatrzoném podobieństwie głosek opartych badań, powodem był p. Szaffarzyk, który w swoich Starożytnościach słowiańskich (I, 375) piérwszy rzucił pytanie: czy nie zachodzi jakie pokrewieństwo między narodowém imieniem Litwa, a staroniemieckim nazwiskiem *Litus*, *Letus*, szczególną klasę ludzi służebnych oznaczającym? Owi *Laites*, *Lites*, *Licianie*, *Liticianie* p. Maciejowskiego, z brzmienia do wyrazów Litwa, Litwin, tak podobni, żaduój historycznej nie mają podstawy. Gdyby zaś i były jakie tego nazwania różnoplemienne z Germanów, Słowian i Litwinów złożone drużyny, z nimi wszakże franko-germańskich Litów i Lassów (co jedno znaczyło) bratać nie móżna. Litowie bowiem i Lassy, nie z obcego ujarzmionego pochodzili ludu, ale mieli swą ojczyznę, składali częśćkę na-



czątku XI wieku) pojawia się po raz pierwszy, pismem wyrażone imię Litwy. Powiedziano tam, iż S. Bruno r. 1000 poniósł śmierć męczeńską od pogan na granicy Litwy i Rusi (16). To jednak bynajmniej nie obala powyższego naszego twierdzenia. Ojciec słowiańskich latopisców mnich kijowski Nestor, pisał wprawdzie w wieku dopiero XII, lecz z miejscowego podania, a może i z dawniejszego jakiego latopisca wiedział o rzeczach daleko ważniejszych. Onto wymieniając, jakie narody jeszcze przed przybyciem na północ Słowian (wiadomo, że tę wędrówkę Nestor przy-

rodu, tylko w niższym umieszczonej stanie, t. j. po Edilingach i Frilingach (nobiles, ingenni v. ingenniles) i nie obcym językiem, ale narodowym; może od *Last, letzte, Lütthe v. Leute* (ciężar, pośledni, lud pospolity) Lassami albo Litami nazwani, pod względem praw porównani byli z ludźmi królewskimi i kościelnymi (homo regius, fiscalinus, ecclesiasticus), i z Aldionami włoskimi. (*Pertz. I, 361; II, 668, 669. Specul. Saxon. art. 44, § 7. Corpus juris Germanici wyd. 1738, p. 37, 39, 63, 77, 175, 474, 581, 669, 781, 785, 803, 1155. J. L. Polska wieków średnich I, str. 258, 259 i do niej poprawki*). Nie przyjmując Litów, tém bardziej śmieszném byłoby dzisiaj powtarzać z Erazmem Stellą i Kojalowiczem wywód imienia Litwy od Allanów (Lit-Alani-Litvani) a jeszcze śmieszniej z Duisburgiem od wyrazu prusko-litewskiego *letas* prosty, głupi, któryto epitet jakoby zład przeszedł w nazwę i kraju i ludu, że kiedyś przed wieki, część Prusaków dała się namówić, do wyniesienia się z ojczyzny i zamieszkania w Litwie: „Letvo, denotat hominem simplicem, quia ab aliis persvasus, patriam reliquit terram” (*Petri Duisburg Chron. Prussiae*). Toż samo powtórzył Pretorius i Hartknoch. Komu się podoba, może jeszcze jeden wywód pochodzenia nazwiska Litwinów znaleźć w artykule p. Sękowskiego, umieszczonym z okoliczności wydanego tłumaczenia *Odyssei* na język rosyjski przez p. Bazylego Żukowskiego w Bibliotece do czytania (1849, *lutu str. 74, 75*), i zapewne nie mało się zdziwi, gdy się dowiędzie, że w Herodota *Antropophagach* t. j. *Ludojadach*, kryje się nazwisko Litwinów. P. Sękowski powiada, że wtenczas, kiedy Herodot swoje dzieje spisywał, t. j. na 4 wieki przed naszą erą, Gotowie już szeroko panowali na północy; że ten dziejopis grecki, prawie wszystkie swoje wiadomości o Scytyi otrzymał od swego przyjaciela Tympy, peloponezkiego Greka, który był *epigraphos* czyli nauczycielem albo dozorcą u króla Scytów, prawdziwego jednak Gota, bo nazwiskiem Erika, Orika, a zatém Henryka; że Tympa znając po gocku, wszystkie scytyjskie imiona własne objaśniał Herodotowi gocką mową, a ten przekładał je na wyrażenia greckie. Takim więc sposobem i gockie nazwanie Litwinów, Lit-citis, znaczące w gockim ludojad, zamieniło się u Herodota w *Antropophaga*. Biedni Litwini więc i za Herodota czasów nie mieli własnego, ale od Gotów narzucone sobie nazwisko, a choć takowe więcej ich poniżało, niż od służebnych Litów pożyczone, wiernie go jednak dla późnych zachowali potomków!

(16) In confinio Russiae et Litvae. (*Pertz V, 80*).

puszcza), a zatem około IVgo wieku zajmowały południowe i wschodnie nadbrzeża Bałtyku, obok ludów po większej części wspomnianych już przez Jornandesa (Czud. Merya, Mordwa, Muro-ma, Wer, Perm, Peczora, Jam), wyraźnie kładzie *Litwę*, *Żymegole* (Semigalia), *Kors* (Kurony), *Sietgotę* (Letgalia v. Leti) i *Prusaków*. Jak zatem letońskie ludy Kurony, Łotwa i Prusacy, tak i Litwini, których Nestor od Żmujdzinów nie odróżnia, byli narodem miejscowym, od wieków pod tém nazwiskiem Słowianom znanym.

*Pochodzenie Letów i stosunki ich najdawniejsze z innemi ludami.*

Czy plemiona letońskie wkładnąd w te strony przyszły, czy już od czasów niepamiętnych też same co dzisiaj zajmowały siedziby? sęto pytania, na które przy zupełnym braku historycznych danych, nic pewnego odpowiedzieć nie umiemy. Powszechniej przeważa zdanie tych, którzy jak Celtów, Słowian i Germanów, tak również i Letów biorą za przybyszów z Azji, ze starego Iranu, krainy między Kaspią, Indyjskim oceanem, rzeką Indus i Eufratem położonęj. Domysł swój opierają szczególniej na poznaniu natury mowy owych ludów, w której pierwiastki indogermańskięj chcą upatrywać. Na poparcie tego domysłu i nasi badacze starożytnych dziejów ojczystych przywodzą za dowód: że i w języku litewskim znajdują się oryginalne nazwania przedmiotów, których Litwa nigdy nie wydawała, jak np.: *Lutas* lew, *Szlapis* słoń, *Stumbras* bawół, *kupranugaris* wielbłąd (co jednak jest tylko opisem postaci zwierzęcia od *kupra* garb, *nugara* grzbiet), *Bezdziona* małpa, *Silkai* bawełna, *Auksar* złoto, *Warys* miedz; że i w dawnych mytach litewskich dostrzegać można powinowactwo z religijnemi Indyan wyobrażeniami, i że wreszcie zachowuje się z pogańskich czasów między ludem podanie: jakoby pałac słońca znajdował się na Wschodzie, gdzie leżała kraina święta i błoga, dziedzina przodków litewskich zwana *Ausztuma Žeme*, t. j. kraj wschodu (17). Zdaje się więc, że już na tym wywodzie, mającym dość wyrozumowaną zasadę, przestać możemy; ale mówiąc o pierwiastkach Litów, nowe się nastęrczają pytania: dlaczego w mitologii litewskięj obok indyjskich, jeszcze greckie i rzymskie wyobrażenia religijne postrzegać się dają, i dlaczego język litewski nietylko w szczególnych wyrazach, ale nawet pod względem składni, iloczasu i innych grammatycznych prawideł,

(17) Narbutt Dzieje narodu litewskiego I, str. 126.

do mowy Greków i Rzymian ma podobieństwo (18)? Odpowiadając na te pytania, jedni w powszechności tylko przez domysł twierdzili: że zetknięcie się ludów letońskich po ich przyjsciu z Azji do Europy z Grekami, wywołało silny wpływ nietylko na ich mowę, ale i na wschodnio-religijne ich wyobrażenia, które się upiększyły wykształconą Greków i Rzymian mitologią (19); drudzy zaś pragnąc okoliczności, szczególnież wpływu greckiego, bliżej oznaczyć, usiłowali nas przekonać, że Budyni, przodkowie jakoby Litwinów (20), naród szczepu kolcho-indyjskiego, w wędrówce swój zmieszał się między Donem i Dnieprem z Gelonami, potomkami helleńskich nad morzem Czarném osadników, a z tego zlewku dwóch różnoplemiennych ludów utworzony naród litewski, po przeniesieniu się swoim na północ, do późnych wieków w swych mytach i mowie pierwotnego pochodzenia zachował ślady (21). Lecz odłożywszy te i temu podobne domysły na stronę, niejednego to zastanowi; dlaczego w mowie litewskiej spotykają się rzeczywiście wyrazy, które nietylko z brzmienia, ale i wewnętrznego znaczenia zupełnie odpowiadają takimże wyrazom łacińskim? Nie zagłębiając się w wyszukane jakieś wywody, zdaje się nam, że z wielkiem podobieństwem do prawdy możemy sobie tę okoliczność w ten sposób wyjaśnić: iż owe okruchy łaciny, a nawet greczyzny (22), wrzucili do mowy litewskiej Heru-

(18) O tém podobieństwie mowy litewskiej do greckiej i rzymskiej, pisali: Vater, Sprache der alten Preussen etc. Michelon Litvanus de moribus Litvanorum etc. wyd. Elsev. p. 265. Hartknoch, Alt und neues Preussen s. 97, i w rozprawie: de lingua veterum Prussorum p. 78, 108. Jenisz, w przedmowie drugiej do słownika litewskiego Milkego. Ks. Xawery Bohusz O początku narodu i języka litewskiego, r. 1808. Czacki o prawach polskich i litewskich I, str. 50. Narbutt Dzieje II, str. 272, 273.

(19) Szaffarzyk, Starożytności Słowanskie I, str. 218, 360, 371. Maciejowski w Bibliot. Warsz. 1841. Kwiecień str. 173. 174.

(20) Dowiadujemy się od p. Sękowskiego (*l. c. str. 138 i d.*), że w sagach normandzkich często jest wzmianka o *Utgardzie* mieście *Utów*, *Udów* czyli *Wutów*, i że podobnież nazywają siebie *Wotjaki* czyli *Wotyni*, którzy wedle pisowni Herodotowej są *Wudyni*, *Budyni*. Postrzeżenie to nie jest do odrzucenia, tylko że w takim razie pierwotnych Litwinów do rodu fińskiego wypadałoby policzyć, gdyż Wotjaki do tego właśnie uależą plemienia. Ale nie wiem, czyby się na to zgodził p. Narbutt, który, jak się zdaje, Budynów swoich w rządzie narodów fińskich nie kładzie.

(21) Narbutt: Dzieje T. I, w różnych miejscach. T. II, str. 67, i d., 271 i d. (22) Niesłusznie utrzymywał Bielski pod koniec swojej kroniki, że w języku litewskim najmniejszego nie masz śladu łaciny (*A. Wiszniewski*

lowie, którzy po kilkowiekowym w państwie rzymskim pobycie, obeznawszy się z mową tameczną, wprost z tego państwa i potem od dolnej Elby, w różnych czasach wracali do pobratymców Letów, dla zajęcia siedzib swoich naddziadów. O tych wędrownikach Herulów mamy świadectwa spólczesne (23); podania zaś ludowe głoszące również, że kiedyś w dawnych czasach osiadali w Litwie z dalekich stron przybysze, nie do samych Gotów, Saksów, Skandynawów i Waragów, ale i do owych Herulów zastosowane być mogą. Lecz na taki wywód nie zgodziliby się dawniejsi nasi pisarze. Dostrzeżone ślady łaciny w mowie litewskiej, stały się dla nich niezaprzeczoną dowodem, że przybyszami owymi byli niewątpliwie rodowici Rzymianie, którzy porzuciwszy Włochy czy za Nerona, czy za czasów Atylli, to morzem od Baltyku, to znowu jakoby od brzegów Euxynu przez Ukrainę, Podole i t. d. pod wodzą Palemona (może zresztą i historycznej postaci) przerobionego na Publiusa Libona, dostali się do Litwy i tam nad morzem założyli Lipawę, a przy ujściu Dubissy, Nowy Rzym czyli Romowe. Że zaś trudno było cały na-

*Hist. liter. VII, str. 125*), lecz i p. Maciejowski zawiele przypuszcza, twierdząc, że mowa litewska składa się szczególniej z łacińskiego i polskiego języka, tylko że ostatni przeważa. Za dowód przywodzi słownik Konstantego Szyrwidą (*Pierwotne Dzieje str. 184, 543*). Dla przekonania przytaczam tu wszystkie wyrazy do łacińskich podobne, jakie się tylko i w rzeczonym słowniku i w żywej mowie znajdują, a których wcale niewielka pokaże się liczba; takimi są: Bóg, Deus, *diewas*; bąkam, bubio, *baubiū v. bubiju*; bluję, vomito, *wemiu*; brona, occa, *akiecias*; bronuję,occo, *akieju*; buk, fagus v. esculus, *eskulus*; ciągnę, traho, *trankiu*; dawny, vetus, *wetuszas v. senus*, przypomina senilis; droga ubita, callis, *kielas*; gont, scandula, *skindelus*; waga, pondus, *pundas*; jarzmo, jugum, *jungas*; z kości słoniowej, eburnens, *eburinis*; mruczę, murmuro, *murmu*; mąż, vir, *wiras*; młody, juvenis, *jaunas*; morski, marinis, *marinis*; orzę, aro, *arju*; oś, axis, *asis*; oś u kłosa, *akuoras*, może od acus, kolec; owca, ovis, *awis*; pokrewieństwo, *gintis* może od gens, genus, ród; powietrze, aër, *oras*; przybywa czego, augetur, *auga*; ród, genus, *gimine*; starzec, senex, *senis*; starość, senectus, *seniste*; stopa, ślad, *pedas v. peda* może od pes, noga; ul, alveus, *awilis*; ząb, dens, *duntis*; żart, jocus, *juokos*, złąd i kuglarz *juokadoris*; złączam co, conjungo, *sujungu*. Wszystkiego zatem, nie licząc pochodnych, jest trzydzieści kilka wyrazów do łacińskich podobnych. Przykład podobieństwa języka litewskiego do mowy greckiej, znaleźć można w drugiej przedmowie Jenischa do słownika Milkego.

(23) Przywiedzione są te świadectwa w piśmie mojem: O Herulach pobratymcach Litwinów.

ród od Rzymian wyprowadzać (choć po części do tego zmierzał ten wymysł), spokrewnili go przynajmniej z nimi, upatrując w towarzyszach Palemona protoplastów najznakomitszych rodzin litewskich: Prospera Cezaryna herbu Kolumny, Ursyna i Hektora herbu Roża; niepotrzebnie tylko między tych improwizowanych Rzymian wcisnął się Julian Dorsprung herbu Centaur, z nazwiska swego (może Dornsprung, Thiersprung albo Thorsprung) widocznie na Skandynawa zakrawający (24). Wszystko to się pisało w widokach oczywiście heraldycznych, a zatem nie wcześniej jak po sejmie horodelskim.

Letów uważamy za naród samobytny. Dowód na to mamy w ich mowie, która sama z siebie będąc rodowitą, posiada też na oznaczenie nauk, sztuk, rzemiosł, sprzętów rycerskich i rolniczych, i nieskończonej liczby przedmiotów umysłowych i zmysłowych, oryginalne sobie właściwe i z nikkąd niepożyczone wyrazy. Wszakże przez ocieranie się i mieszanie z innymi ludami, Letowie dość wcześnie silnego doznawszy ich wpływu, i język swój do tyła przepelnili słowami z mowy Gotów, Finnów, Niemców, a szczególnie Słowian wziętymi, że prawdziwie dziwić się nie trzeba, jeżeli niektórym przyszło na myśl, uważać Letów: już za szcep słowiański, już germański lub gocki, który około IV czy V wieku zlawszy się z Estami i Finnami, znany być począł pod imieniem: Scyrrów, Hirrów, Herulów, Widywaryów, Wid-dów, przodków jakoby Litwinów (25). Że taka mieszanina w dzisiejszej mowie Letów oczywiście postrzegać się daje, to rzecz niezawodna; lecz to jest tylko jój zepsuciem, bo pierwotnie taką nie była, a nawet i dzisiaj mogłaby być znacznie oczyszczoną, gdyż owe przybrane, szczególnie z białoruskiego i polskiego narzecza wyrazy, a tych jest najwięcej, są tylko naddatkowym zasiłkiem w późniejszym czasie wtrąconym; Litwin zaś dobrze swój język znający, ledwo że nie na każde z owych słów obcych, swoje narodowe znajdzie wyrażenie (26).

(24) Kronika Bychowca u Narbutta. Dzieje II, str. 269. Joan. Łasicil de Dlis Samagitarum, wyd. Elzew. p. 292. Strykowski Kronika p. 57. Kojalowlcz, Histo. Lit. I, p. 3.

(25) Keppen o początku języka i o literaturze narodów litewskich w Dzienniku wileń. 1828 nr. 1. M. Baliński w Hist. miasta Wilna, 1836; później jednak w Starożytniej Polsce odstąpił p. Baliński tego mniemania.

(26) Ks. Xawery Bohusz O początku narodu i języka litewskiego, 1808, w Roczn. Tow. Warsz. Przy. Nauk. 1811, t. VIII, str. 152 i t. d. Narbutt: Dzieje II, str. 281.

Pierwotnie więc Letowie byli narodem samobytnym, ale w kolei czasu tak silnemu ludów obcych ulegli wpływowi, że ten wpływ nietylko w ich języku, ale i w stanie ich socyalmym, jak niżej zobaczymy, niezatarte po sobie zostawił ślady. Pewniejsze historyczne data odnoszą się do ich stosunków z Gotami. Już w roku 235 naszej ery, król Gotów *Friedlief I* miał zdobywać kraje, wzdłuż południowych brzegów Bałtyku położone, z kąd Goci robili najezdnicze wycieczki do Mezyi i Tracyi (27). Jak obszerne było panowanie Ermanryka Ostrogotów króla, jużesmy wyżej o tém wspomnieli. Ztąd téz zapewne poszło, że Alfred W. w swoim anglo-saskim tłumaczeniu Orosiusa, granice państwa gockiego na wschód rzeką Donem, na zachód Renem, na południe Dunajem, a na północ morzem Białém oznaczył (28). Czy pamiątka władzy Ostrogotów, Grotungów zachowała się na Żmujdzi w miasteczku nadmorskiem Kretyndze, trudno dowodzić; zwłaszcza, że i od wyrazu litewskiego *Akrotos* znaczącego okręt, mogło otrzymać swoje nazwanie; lecz tozawsze zostanie faktem, że przemocy Ermanryka doznały wówczas (r. 370) wszystkie plemiona letońskie. Może więc już od owego czasu tak się wraziło w pamięć Litwinów nazwisko Gotów, że u nich każdy, co i później niemiał pamięć po sobie śród Litwy zostawił: Skandynawczyk, Niemiec czy Słowianin pod rządem ruskich Waragów i wreszcie Rusin, zarówno Gotem (*Gudas*) był nazywany.

Po klęskach zadanych Ostrogotom przez Bolamira wodza Hunnów (r. 375 i d.), wiele narodów na północy, a w ich liczbie zapewne i Lety, dawną swą odzyskały niepodległość. Zdaje się, że w téj niepodległości utrzymały się nawet przez całe trwanie przemocy Hunnów, bo nie ma przekonania, żeby ci tak daleko z téj strony na północ sięgali (29). Śmierć Atylli (r. 453) i upa-

(27) *Jornandes de reb. Got. I, 99.* Saxo Grammatyk p. 12. P. Sękowski już na 6 wieków wprzód robi Gotów władcami ludów letońskich (*v. przyp. 15*); my tak daleko nie sięgamy, i zostawiamy innym sprawdzenie wywodów na etymologii głównie opartych.

(28) I, 19, Fischer: *Gesch. des dent. Handels, I, str. 193—195.*

(29) Mówią dziejopisowie, że Atylla miał pod swą władzą Scytyą i Germanią: „*Potentissimorum gentium dominus, qui in audita aute se potentia, solus scythica et germanica regna possedit.*” (*Jornandes c. 49, p. 684. Priscus p. 64, 65*). Mówią nawet, że podbił wyspy oceanu i królestwa Skandynawii otoczone i poprzerynane wodami morza Bałtyckiego. (*Gibbon de la decad. de l'Empire Romain. w tłumaczeniu Guizota VI, p. 249*); nie wymieniono jednak owych ludów wschodnio-północnych, do których, podług *Jornandesa*, władza Ermanryka sięgała.

dek monarchii Hunnów (r. 497) czy miały jaki bezpośredni wpływ na losy plemion letońskich?—nie wiemy. To jednak pewna, iż w tych czasach i cokolwiek później daje się postrzegać między temi ludami pewien ruch siłą, już wewnątrz nich zrodzoną, już zewnątrz działającą sprawioną, który wprowadzając śród Letów różnorodnie żywiły obczyzny, niemało mógł wpłynąć na przekształcenie ich politycznego i socyalnego bytu. Ruch ten rozpoczynają Herulowie, którzy zostając w służbie rzymskiej, lub pogranicze tego państwa czasowo zamieszkując, to się znoszą ze swemi braćmi na północy (po r. 527), to częściami zupełnie do nich wracają, lub téż nowe dla siebie u dolnej Elby zajmują siedziby (r. 493, 552), z kąd znowu w VIII wieku, w czasach przewagi Karola W. czy do Prus, czy do Litwy się przenoszą. Ciz Herulowie pod koniec V i na początku VI wieku, szukając przyjaznych stosunków z Eurykiem Wizgotow i Theodorykiem Ostrogotów królami, gdzieś od oceanu wyprawiają posłów do Bordo i Rawenny. W tychże czasach i w podobnym celu, zwiedza Włochy poselstwo Estów, jak o tém jużesmy wyżej wspomnieli, niosąc bursztyn w darze gockiemu władcy Italii; gdy tymczasem inni Prusacy, łącząc się z Anglo-Sasami, Frajzami, Rugami i Duńczykami, płyną do Brytanii, szukając tam łupów i osiadłości (30). Są ślady, że w tychże prawie czasach i w innej stronie, plemiona letońskie nie siedziały spokojnie. Kurony i Łoty-sze posuwając się coraz dalej ku północy, wzdłuż brzegów morza Bałtyckiego, wypierają Finnów czyli Czuchnow z ich dawnych siedzib i przymuszają ich przenosić się za prawy brzeg Dźwiny; tylko Angary w dawnych swych Kilegundach zostali i zmieszali się z Łotwą i Kuronami. Ale śród tego ruchu spotkały się ludy letońskie z groźnym dla siebie wrogiem: bylito Normanny, Skandynawi, wojownicze Danii, Szwecyi i wysp przyległych mieszkańcy, którzy swój przewagi i wpływu, choć nieliczne, wiekami jednak niezatarte śród Letów zostawili ślady.

Starożytne źródła dziejów skandynawskich niemało mówią o wyprawach tych północnych ludów do nadbrzeżnych siedzib letońskich. Początek tych wypraw sięgać ma VII wieku, lecz wyraźniejsze ślady zjawienia się ich na brzegach Żmujdzi nie przechodzą połowy wieku IX. Według podobieństwa do prawdy,

(30) O Herulach pobratymcach Litwinów str. 29, 34, 35, 36, 40, 46, 65, 68 i źródła, które tam przywodzę.

najdawniejsze Skandynawów wycieczki oparły się o Sambię i Ruśnią czyli okolice dolnego Pregla i Niemna; lecz wkrótce potem do dalszych stron letońskich, a nawet fińskich już łądem od Niemna, już morzem ze Szwecyi i Danii trafiać musieli. Takie Skandynawów handlarsko-rozbójnicze drużyny (bo oba te cele łączono z sobą), które pod naczelnictwem wybranych wodzów (*Wittingów*), szukały albo zysków kupieckich, albo łupu i panowania na obcej ziemi, a niekiedy nawet służby aż w Carogrodzie, znane były pod nazwiskiem *Waryngów*, *Waragów*, może od staroniemieckiego wyrazu *Warge*, znaczącego i łotra i zbiega (31). Właśnie pod témże nazwiskiem zna ich i Nestor, który wspomniawszy o najzdach Waragów, donosi nam: że tym wojownikom i łupieżcom płacili dań w IX wieku, oprócz różnych ludów fińskich; Litwa, Neroma, Semigola i Kors (32). Tu więc u tego latopisca powtórnie Litwa po imieniu jest nazwaną. Jak daleko w głąb kraju rozciągała się władza Waragów, z pewnością oznaczyć nie możemy. Powiadają, i może tak było rzeczywiście, że w naszych stronach naprzód koło Płotel na Żmudzi się rozgościli, z kąd brzegami Niemna, Jury, i Niewiaży wewnętrznych sięgali okolic. W ułamku życia św. Brunona (apostołował r. 1000) czytamy: że Nethimer książę ruski czyli normandzki, panował w dzisiejszej Żmudzi i Kurlandyi (33). Jeżeli w akcie darowizny Ody wdowy po Mieczysławie I (r. 994 lub 995) krainę Rusów, stanowiącą tam granicę Polski od wschodu, weźmiemy za ziemię Jadźwingów (34): tedy daleko za Niemen władza się ich rozciągała; a jeżeli znowu to prawda, że podróżnik islandzki Snore Sturlesohn mógł w XII jeszcze wieku

(31) Narbutt, Dzieje III, str. 83.

(32) Daniłowicza Latopisiec, str. 81.

(33) Pertz, VI, 579, 580. P. Maciejowski utrzymuje, że Nathimer jest słowiańska nazwa Nieczmierz i że tej nazwy Norman nie przyniósł z sobą, lecz jej nabył panując tu nad Litwą pomieszana ze Słowianami. (*Pierwotne dzieje*, str. 186). Że Słowianie wśród Łotwy mieszkali w Inflantach, są na to dowody, lecz żeby normandzkie nazwisko zakończone na *mer* lub *mir*, koniecznie od Słowian było pożyczone, nie chciałbym za rzecz pewną powtarzać, kiedy nazwiska z podobnym zakończeniem były bardzo upowszechnione między Ostrogotami, np. Widmir, Walemir, Theodimir; kobiece: Waladimesia; zdarzały się i u Frąnków, np. Klodomir, a nawet u Olunnów np. Bolamir. Prędzej zwyciężony od zwycięzcy, niż ten od zwyciężonego, a takimi podczas przemocy Gotów byli Słowianie, pożyczony nazwisko.

(34) Tygodnik wileń. t. II, str. 5. J. L. Polska średnich wieków, t. II, str. 67, 73 i d.



cokolwiek rozumić osadników koło Velni i Trik (ma to być Wilno i Troki) (35), więc i z téj strony ludność skandynawska dość daleko rozbiegła się po kraju. Ale czy to była jeszcze wówczas ludność panująca, czy już spokojni pod władzą litewską osadnicy, o tém wędrowiec zamilcza. Ostatnie jednak zdaje się potwierdzać czy mnich Meinhard, który r. 1158 z piérwszemi kupcami niemieckimi do Inflant przybył i Łotwę nawracał, czy téż kto inny, co te strony w XII wieku poznał i opis geograficzny krajów Inflantom przyległych papieżowi Innocentemu II podał; powiedziawszy bowiem: że Ezelia, Inflanty i Łotwa zostawały pod panowaniem Russów, Litwę, o której wyżej wspomina, nietylko pod tę uległość nie podciąga, ale owszem uważa za kraj wielki i potężny (36). Pamięć przybycia Skandynawów w te strony zachowała się w podaniu gminném o osiadaniu śród Letów wędrowców z za morza, a ślady ich pobytu, zwłaszcza na Litwie, upatrzeć można: w nazwiskach rzeczy, osób, urzędów, i godności (37); w tak nazwanych mogiłach olbrzymów (Milżiniu kopaj) do których lud różne przywiązuje tradycje (38) i wreszcie w niektórych mytach. Zdaje się, że stosunki Litwy ze Skandynawami zmniejszać się zaczęły od czasu, gdy około r. 862 albo raczej podług lepszej chronologii 852 nad-lmeńscy Słowianie i inne sąsiednie im ludy, wezwali do siebie z Rusi, t. j. ze Skandynawii trzech

(35) Czacki, I. str. 8.

(36) Chron. Ord. Theut. w Mathaci Annales med. aevi, T. V, p. 701, 703. Fischer: Gesch. d. deut. Hand. I, str. 417, 418.

(37) Zobaczymy niżej, że laska pogańskich na Litwie kapłanów, zwała się ze skandynawska buthstukas, butas. Niektóre familijne nazwiska przypominają wyraźnie pochodzenie gockie, jakoto: Ejmund, Ejsymunt, Dodigold, Dowmunt, Døwgird, Gastold, Gintowt, Mongird, Mindolf (tak Strykowski Mendoga raz nazwał str. 17). Misztold, Milwid, Narbut, Norwit, Skirmund, Wikind. Ich brzmienie bardzo odbija od właściwych litewskich: Jagaiło, Jundził, Kulwiec, Rymgailo, Swidrygailo, Sągailo, Radziwiłł, Swirtun, Styrpejko, Szukszta i t. d. Niektórzy jednak nazwiska zakończone na *gird*, *min*, *mund*, do litewskich policzają. (*E. hr. Tyszkiewicz: O kilku nowo odkrytych monetach litewskich, w Athenaeum 1845 r. zeszyt IV, str. 12, 13*). Również w skandynawskiej mowie szukać należy źródłosłowu wyrazów: Tiwun, Bojar a może i Kunigas, lecz o tém na swoim miejscu obszerniej powiemy.

(38) Co do mogił zwanych *Milżiniu kopaj* (Olbrzymów mogiły), o których wspomniano w Starożytnéj Polsce pp. Balińskiego i Lipińskiego, str. 580, p. Maciejowski pewnieby w nich nie upatrywał normandzkich pamiątek, kiedy utrzymuje, że Litwini dlatego nazwali olbrzymów Milżinis, iż

braci Waragów: Ruryka, Synousa i Truwora, a przynajmniej od-  
tąd nie była już wystawiona na tak częste jak wprzód najazdy  
Normanów. Wielu nawet z nich może pod tę porę opuściło Li-  
twę szukając lepszego szczęścia w bogatszych stronach słowiań-  
skich nad Wołchowem i Dnieprem. Ci zaś z dawnych zdobyw-  
ców, co na miejscu zostali, splątani spólnym z krajowcami inte-  
resem, a mniejsi liczbą, wsiąkli powoli w ludność miejscową  
i zamienili się w krajowców, zostawiwszy tylko w niektórych na-  
zwiskach familijnych ślad pierwotnego pochodzenia. Tak za-  
wyczaj kończyli wszędzie Normanie: w północnej Francyi, w Ka-  
labryi, Sycylii, Anglii i Rossyi, co może posłużyć za dowód, że  
ci niespokojni, odważni i boju chciwi wojownicy, pomimo poe-  
tyckiego entuzjazmu który ich ożywiał, na niższym znajdowali się  
stopniu kultury od mieszkańców krain przez siebie zhołdowa-  
nych. W takim też stosunku musieli być i względem dawnych  
Litwinów, których za takich barbarzyńców, jak nam ich przedsta-  
wiają kronikarze nasi i obcy, wcale brać nie myślimy. Najzu-  
chwalsze morskie i lądowe wyprawy, krwawe boje, pożogi, brań-  
ce i łupy, od dzieciństwa zajmowały serce i umysł Normana:  
o nich we śnie i na jawie marzył, one bytu jego głównym były  
żywołem, co też sprawiło, że w wojenném rzemiośle nie miał so-  
bie równego, lecz w cnotach pokoju niezawodnie z Letem rów-  
nać się nie mógł. W części więc dlatego, a w części i z tego  
powodu, że w niewielkiej zazwyczaj drużynie wśród obcych osiadał,  
prędzej cudzą przyjmował, niż swoją narodowość innym narzucał.

Inaczéj się rzecz miała ze Słowianami. Ludy te z powodu  
wyższej swojej cywilizacyi, czy w pokoju, czy w wojnie, czy jako  
zwycięzkie, czy zwyciężone, zawsze na Letów silnie wpływały.  
Wpływ ten odbił się już w języku, już w prawach i zwyczaj-  
ach, już wreszcie w wewnętrznych socyalnych porządkach. Naj-  
bliższymi sąsiadami byli Mazowszanie, Czarno-Rusini i liczne ple-  
miona Krywiczów. Od południa i wschodu jakby wieńcem ota-  
czały te ludy kraje letońskie. Lecz i wśród Letów i to od bardzo

Milczanie, jedno z plemion polskich mieszkające nad Łabą, z którem ze-  
tknęli się jakoby Litwini, tak się im dało we znaki, iż od jego imienia dali  
nazwisko olbrzymom (*Pierwotne dzieje, str. 408*). Czy Litwini mieszkali  
kiedy koło Milczan, rzecz do dowiedzenia; że zaś Skandynawowie byli na  
Żmudzi i na Litwie i niezawodnie dali się Litwinom we znaki, to fakt nie-  
wątpliwy. Ale każdemu wolno mieć swoje zdanie. O mytach pożyczonych  
u Skandynawów, powiemy przy religii pogańskiej Litwinów.

dawna okazywały się osady słowiańskie. Winidy czy Wendy, częśćka tego samego zapewne ludu, który od I już wieku po Chr. obszerne zajmując posady, dotykał południowych brzegów Bałtyku, a w IX za Ostiami miał swoje siedziby, Wendowie ci jeszcze w XIII wieku mieszkali wśród Kuronów i Łotwy. W dawniejszych czasach może nawet gęste były ich osady w Kurlandyi i Inflantach, kiedy w pierwszój rzekę, koło której mieszkali, Windę czyli Windawą nazwano, drugie zaś u Łotyszów nosiły nazwisko ziemi Wendów, *Wedde zeme*. Wyparci zpod Rygi, przenieśli się Wendowie do Letgalów czyli Łotwy i tam miasto Wenden założyli, gdzie ich jeszcze r. 1224 od Niemców i Łotyszów odróżniał spółczesny kronikarz Henryk Łotwak (39). Ponieważ i część Finnów czyli Czuchnów z którymi od północy stykały się kraje Letów, pośród Łotwy została, z takowego więc pomieszania się z Łotyszami Słowian Wendów i Finnów, wyrodziła się niezawodnie owa różna od innych Litwinów cecha, Łotwy obyczajów, fizyognomii i wreszcie narzecza, bardziej niż inne pierwiastkami z mowy Finnów i Słowian przyjętemi, zarzuconego.

Dotąd idąc za śladem najdawniejszych wspomnień historycznych, mówiliśmy o Letach w powszechności, widzieliśmy jakie są mniemania o ich pochodzeniu, i jakie ich były najpierwsze z obcemi stosunki. Zdaje się, że z tych wszystkich badań mogliśmy już powziąć przekonanie, dodające mocy wyżej przytoczonemu twierdzeniu: że Letów pomimo ich zmieszania się z innymi ludami i pomimo utworzenia się kilku ich narzeczy, w rozmaitym stopniu obczyzną skażonych, uważać zawsze należy za naród samobytny, pochodzeniem i mową od Germanów, Finnów i Słowian różny. Od wieków dzielili się Lety na kilka pobratymczych plemion, jakoto: Herulów, Prusaków, Łotyszów z Kuronami, Jadzwingów i Litwinów ze Żmojdzia. Nim zatem wyłącznie zajmujemy się Litwą i Litwinami, choć pokrótce o tych plemionach letyckich wspomnieć nam jeszcze wypada.

*Heruli.* Przodkami Herulów mieli być Hirry (?), którzy sami siebie jakoby nazywali *Juhrei, Juhrelei*, albo *Girej Girelej*, od wyrazów *giria, girre, girelis*, znaczących: puszcza, las, leśny. Mówią, że ich pierwotne siedziby były na Żmojdzi wzdłuż Niemna do brzegów Bałtyku (40). Herulowie równie jak Skirry, Anti-scyrry i Turcylingi, których wywodzą z kraju War i Thidos

(39) Henrici Leton. Origines Livoniae etc. wvd. 1740, s. a. 1203, str. 14, s. a. 1224, str. 173, 174. (40) Narbutt Dzieje IV, str. 376, 378.

(Czudy) w trzecim wieku ery naszej (r. 245) ukazali się spólnie z Gotami w granicach państwa rzymskiego. Jużemy na inném miejscu wyłożyli obszerniej, jakie były Herulów z tém państwem stosunki i czyny ich wojenne: jak pod dowództwem Rugianina Odoakra przy pomocy Scyrrów i innych barbarzyńców, zachodniemu państwu położyli koniec (r. 475-489), i jak nakoniec wyparci ze Scyrrami przez Gotów, opuścili Włochy i na północ wrócili (41). Scyrry, zapewne fińskiego plemienia, zaszli, jak mówią, około r. 500 do Hirryi (Rewal, po estońsku *Tullin*, może starożytnych *Thule*) Turkilanii (Abo) i Kirelii nad odnogą fińską położonych; Herulowie zaś oparli się u dolnej Elby nad Bałtykiem w bliskości Rugii. Dlatego może nie wrócili odrazu do swych pobratymców, że i tu znaleźli ludy niezupełnie obce dla siebie, a takimi byli Lutytyczy czyli Weletaby nad Peną mieszkający. Między tym bowiem szczepem Słowian, a plemionami letońskimi zachodziły oddawna już jakieś stosunki, przynajmniej pod względem religijnym; bo jak na Litwie i u Prusaków, tak i u Lutyków kapłani jednostajne *kreów* nosili nazwisko, a posążki bóstw lutyckich mają na sobie imiona bóstw litewskich i żmudzkich i modlitewki żmudzkie. Takie więc powinowactwo religijne, mogło w tych stronach zatrzymać Herulów. Podania powtórzone przez kronikarzy naszych o owym Palemonie czy Palimonie, który z 500 drużyny, od ujścia Niemna dostał się w głąb Litwy, dały powód do domysłów, że to mogli być Herulowie. Mówią zatem, że unikając przemocy Karola W. i gwałtem narzucanej wiary, pod koniec VIII czy na początku IX wieku z Meklemburga lub dolnej Saxonii uszli w części morzem do swoich braci nad wschodnim Bałtykiem, i po obu stronach dolnej Dźwiny, między Łotwą osiedli; co téż owemu podobieństwu narzecza letgolskiego, do mowy Herulów miało dać powód; w części zaś przenieśli się do Słowian Wendów nad Odrę, z kąd znowu pewien ich oddział (ów Palemon z towarzyszami) udał się w drugiej jakoby połowie X wieku do Litwy i osiadł między Niemnem, Dubissą i Jurą w dzisiejszym rosieńskim powiecie. O tych wędrówkach Herulów nie mamy wprawdzie dostatecznych w dziejach dowodów, być jednak może, że przynajmniej jedna z nich około r. 777 miała miejsce. Niemale bowiem jest podobieństwo do prawdy, że kiedy część

(41) O Herulach pobratymcach Litwinów, tamże zebrana wiadomość o ich obyczajach i religii.

Saxonów uchodząca przed Karolem W. przybyła do Estyi czyli Prusyi i wpłynęła na urządzenie Prusaków; wtenczas również unikając przemocy Franków i Herulowie z okolic Werli, od dolnej Elby, mogli się przenieść w strony Pregla, Niemna dolnego lub Dźwiny. Co się tyczy reszty Herulów pozostałych nad Odrą, mianowicie w Luneburgu prowincyi Marchii Brandenburskiej, takowa doznawszy przewagi Słowian i z nimi w części zmieszana w ostatkach przetrwać miała do początku przeszłego wieku (42).

*Prusacy.* Dwa ludy znane u obcych (43) pod ogólném nazwiskiem Prusaków (44), różnego jednak pochodzenia i mowy, a tyl-

(42) Narbutt: Dzieje II, str. 129, 131, 136, 142. III. str. 103, 104, 163, 165. Tamże dodatek XI, gdzie wypisany Ojciec-nasz luneburskich Herulów z dzieła Bekmanna: Historische Beschreibung der Chur und Mark Brandenburg. Berlin. 1751. Th. I, s. 83 bardzo różny od tego, jaki z Lasiusa przywiedliśmy w piśmie o Herulach str. 3. Jakie następują się wątpliwości względem autentyczności herulskiego Ojciec-nasz i pobratymstwa Herulów z Litwinami, znaleźć to można w piśmie J. L.: Rzut oka na dawność litewskich narodów. Wilno, 1808 r.

(43) Sami mieszkańcy Prus, polskiego i letońskiego pochodzenia, nie nazywali siebie, przynajmniej w dawnych czasach, Prusakami, ale przybierali nazwiska od szczególnych prowincyj, których było 11 czy 12, jakoto: Kulmia czyli ziemia chełmińska, Pomezania to jest prowincya nadgraniczna od *po-mezas*, Pojezania czyli kraj po rzekę Jessę, Warmia, Galindya, Nantangia, Bartnia, Sudawia, Samlandya czyli Sambia, Nadrawia, Szalowia od wyrazów *szalin* opodal lub *szalis* okolica i Sudargia (*Narbutt: Dzieje II, str. 153, 358, 369*). Düsburg, Sudargii nie wymienia. Nawet sąsiedni Litwini nie dawali im Prusaków a krajowi Prus nazwiska, lecz gdy potrzeba było o nich mówić, wymieniali prowincyą. Tak uczynił Mendog ustępując Krzyżakom r. 1257 Nietrowe (Nadrowii), a r. 1259 Szalowe (Szalawii). Drugićj z rzędu prowincyi nie nazwalimy Pomorzem, albo z mazowiecka Pomezania, jak ją p. Szule chce mianować (*O znaczeniu Prus, w Bibl. Warsz. 1845. wrzesień i osobne wydanie*). Chociaż bowiem ta ziemia sąsiednia z Pomorzem gdańskiem, kilka razy oznaczoną była imieniem Pomorza, jak nas o tém p. Szule ostrzega (*l. c.*), wszakże zwyczajne jój nazwisko było zawsze Pomezania. Nawet Krzyżacy wyrazu tego nie przemienili na Pomeru, jak to uczynili z Pomorzem gdańskiem, ale zachowali dawne miane Pomezanii. Ziemi téj, która węższym tylko bokiem dotykała morza, i kronikarz Albert nie nazywa Pomorzem, owszem od Pomorza odróżnia: „In Prussia vero (mowa o Pomezanii) quae ultra Poloniam et ultra Pomeraniam” (*v. Voigt'a Gesch. Preus. I, 460*). Dlaczego w dyplomatach Rzysszczewskiego nie natrafiamy nigdzie nazwiska Pomezanii, choć w aktach z lat 1264 i 1272, gdzie mowa o biskupie i dziekanie kwidzińskim, mogła być o nięj wzmianka?—wyjaśnienie tego zostawiam innym.

(44) Voigt, w swoim: Handbuch der Gesch. Preussens Th. I, s. 49; nazwisko Prus wywodzi od Po-Russen, t. j. że Polacy swoich północnych

ko spólnością bałwochwalstwa, przed wieki z sobą bliżej złączone, dzisiejsze zaludniały Prusy. Północną część Prus ponad morzem zajmowali Litwini pruscy, i ten cały pas kraju był niejako przedłużeniem Żmujdzi, południową zaś pruscy Polacy. Gdzie w całej długości była granica zetknięcia się obu tych ludów, trudno dzisiaj oznaczyć, bo się w kolei czasu zmieniać musiała. Że jednak osady Litwinów pruskich pierwotnie nierównie dalej sięgały, niż w XIII wieku, mamy na to dowody nietylko w dziejach zapisane, ale i do ziemi, że tak powiem, przykute; dochowały się bowiem, choć z czasem spolszczone lub zmienzone, litewskie nazwiska okolic, stojących i płynących wód, które niezaprzeczone składają świadectwo o pobycie niegdyś litewskiego na téj ziemi plemienia. Wulfstan IX wieku żeglarz, poznał przy ujściu Wisły Estów: byli to Litwini, bo niektóre ich zwyczaje przez niego skreślone, w części i później wśród pruskich Litwinów postrzeżać się dały, jak zaraz niżej zobaczymy. Strona ta nadwiślańska była Ukrainą pruską, *po-mežas*, a ztąd Pomezanią nazwana. Należące do Pomezanii morze błotne, z trzech odnóg wiślanych

sąsiadów Prusaków i ich kraj, tak nazwali dlatego, iż graniczył z Rusią czyli że był po-Ruś, ponieważ Russy czyli Waragi przed 800 laty panowanie swoje aż do Prus rozciągali. Inni zaś, a podobno i tenże sam Voigt (zob. *Maciejowski Pierwotne Dzieje str. 415*), nie w Russach, lecz w ramieniu Niemna, zwaném Rus, który do zatoki morskiej Rusny czyli kurońskiego hafu wpada, upatrują źródło nazwiska Borussyi czyli Prussyi. Ależ widzieliśmy, że już Ptolomeusz wspomniał o Boruskach obok Galindów i Sundenów, czyliż więc i wtenczas już nazwisko to było w związku z Rusną lub Rusami? Być może: posłuchajmy tylko co mówi p. Sękowski, który w całej północno-wschodniej Europie, już za czasów Herodota upatrując panujących Gotów, w ich téż języku szuka źródłosłownu nazwiska Prus. Podług p. Sękowskiego: wyrazy *Bo*, *Boh*, *Bogg*, we wszystkich narzeczach gockich znaczą wielko-luda, olbrzyma. Wszędzie gdzie Goci władali, nazwiska krajów, a nawet rzék od tych wyrazów zaczynały się. Ztąd jedna ze starożytnych siedzib Gotów *Boje-Heim* albo *Bo-Heim*, znana jest w przekładzie niemieckim pod nazwiskiem *Riesen-Gebirge*, t. j. górnej okolicy wielko-ludów; ztąd Dniepr, u Greków *Boristenes*, wymawiał się po gocku *Bo-ruis-dana*, t. j. wielkich Rusów rzeka; ztąd i sami siebie, dla oznaczenia zapewne swojej potęgi, nazywali Wielkimi-Russami, *Bo-Russy*, gdyż Rus toż samo znaczy co Got. Kraj zatem przez nich zamieszkały był *Bo-Rusią*, a tych *Borussyj* mogło być kilka. Były więc *Borussyą* i Prusy, bo i te do nich należały (*Biblioteka do czytania 1849, luty*). Możeby ten wywód lepiej niż każdy inny trafił do przekonania, gdyby go tylko badania nad pierwotnemi dziejami Gotów i ich mową, potwierdzić mogły.

utworzone, zwało się u pisarzy krzyżackich jeziorem *Hejlibo* (45), co wyraźnie pochodzi od litewskiego wyrazu *Gillibe*, znaczącego głębia; Polacy zaś z tego zrobili *Chelba*. W zniemczalój Pojeźnii leżące niedaleko Frisch-Hafu miasteczko Perschken, po polsku Parcin, od tychże pisarzy krzyżackich zwane Portigalen (46), przypomina z podobnym zakończeniem wiele wyrazów litewskich (47). Wszystko to dowodzi, że posady Litwinów pruskich, kiedyś okolic ujścia Wisły dotyczyły. Lecz i z innych stron dalej od morza niż cheiano przypuszczać, znajdziemy ich ślady. Adam Bremeński piszący w XI wieku, Ruś i Polskę daje za granicę Sambii (48). Jeżeli to wskazanie nie jest mylne, więc Sambia z jednej strony oblana morzem, z drugiej otoczona Litwą, z trzeciej dotykać się jeszcze musiała Rusi grodzieńskiej, a z czwartej Polski, czyli tych okolic, gdzie leżą Biskupice, Lipka i inne miejsca przez lud polski zamieszkane (49). Według tego zatem pisarza, Sambia gniazdowe siedlisko Litwy pruskiej, nie ograniczała się późniejszą ziemią królewiecką, ale obejmowała przynajmniej znacniejszą część Sudowii, Galindyi i Bartnii. Lecz i w XIII a nawet po XIII wieku Pregel (50) nie był jeszcze ostateczną granicą litwinów pruskich. Według przywileju wydanego w Toruniu r. 1243 przez Wilhelma papieżkiego legata, rzeka Alla czyli Łania, wpadała do Pregla w kraju jeszcze litewskim (51). Kraj zatem z lewej strony Pregla był wówczas jeszcze osiadły Litwinami, bo wiadomo, że Alla nie z prawej, ale z lewej strony łączy się z Preglem przy Wehlau. Również między Allą i rzeką Angerap czyli Angigrabbe, która także z lewej strony, ale nierównie wyżej wpada do Pregla koło Insterburga, musiały być osady litewskie, do których liczby należały Darkiainy (52). Samo nawet nazwanie rzeki Angerap, którą Gwagnin nazywa Angigrapa,

(45) Szulc l. c. (46) Voigt II, s. 340. (47) Np. *gałas*, granica, koniec, *pirmigalas* przód nawy, *atgalas*, nazad i t. d. (48) „*Samland contigua Prussia*” de situ Daniae p. 138. (49) Szulc l. c.

(50) Pregel w częściach wyższych zwał się po litewsku Prigore, z czego Niemcy zrobili Pregel, przy ujściu zaś jeszcze r. 1231 nazywano go Lipiec (*Gebhardi Geneal. Gesch. T. I, s. 209, cf. Szulc l. c.*). Czy ta ostatnia nazwa była polską czy litewską? trudno oznaczyć, gdyż w obu językach można upatrywać jój źródłosłów; w wyrazach polskich: lipa, lipiec, lipień ryba, i litewskich toż samo znaczących: liepa, liepas, lipinis.

(51) Acta Borussiae T. II, str. 613.—Dreger nr. 158, p. 242.—Voigt II, s. 469, cf. Szulc l. c. (52) Po niemiecku Darkhenen. Szulc l. c.

pokazuje początek litewski; gdyż *angis grabbe* znaczy wężowy rów. Jak daleko litewskie osady rozciągały się ku południowi, z pewnością dzisiaj oznaczyć już niepodobna; że jednak po całej Notangii były rozrzucone, dowodzi tego dokument Jakobsona z r. 1444, który mówi o parafianach w tej ziemi Litwinach i Polakach (53), jako też postanowienie księcia Alberta, którym r. 1545 dla Litwinów ten kraj zaludniających, katechizm na ich język przełożyć polecił (54). Jeżeli jednak w kolei przemian, którym uległy Prusy, zmniejszyły się osady litewskie, a nawet przy coraz bardziej pomnażającej się liczbie Polaków a potem Niemców, z czasem zupełnie w zachodnich tego kraju stronach znikły; z tém większą siłą występuje narodowość litewska na wschód od Pregla. Tu cała masa ludności była letycką, szczególnież zaś w Sambii, Nietrowie, Szalowie i Sudargii, gdzie Krzyżacy mimo wszelkich usiłowań, przemarodowienia wprowadzić i języka litewskiego przytłumić nie mogli (55). Wspomniany wyżej Wulfstan znalazł Estyą czyli Prusy podzielone na drobne królestwa z licznymi miastami. Napojem ubogich był miód sycony, bogatszych mleko; znali też i piwo. Ciała zmarłych umieli zamrażać, i w takim stanie przez kilka miesięcy zachowywać, potem je z wielą rzeczami do podróży potrzebnymi palili. Przy pogrzebach opijali się i odprawiali konne gonitwy, upędzając się o rzeczy zmarłego, na milowej przestrzeni porozkładane (56). Adam Bremeński mówi o Saubach czyli Prutzach, że słyną ludzkością, dają pomoc nieszczęśliwym, gardzą złotem; skór i zapachów (bursztynu) dostarczają; mięsem i mléką żyją; są modrawi, ogorzali, włosem obrośli, kryją się w bagnach i wszyscy są wolni, bo żyją bez panów i rządców (57). We trzy wieki później piszący Duisburg (r. 1326) rozdziela Prusy na 11 ciele narodów, z których Sambi ludnością, a Sudawi potęgą i dostatkiem inne przemagali. Narody te, powiada Duisburg, czciły słońce i księżyc, ubóstwiały zwierzęta i ptaki, którym poświęcały gaje i wody; lecz wierzyły w nieśmiertelność duszy. Z ciałem zmarłego palono u nich konie, sługi, odzież, żeby swym panom i po śmierci służyły. Najwyższym kapłanem był Kriwe; Romnowe w Notangii jego siedlisko. Prusy,

(53) Dzieje kościoła katolickiego w Prusiech. (54) Szulc<sup>o</sup> l. c.

(55) Ostander notae ad cap. 2. Actor. Apost.—Hartknoch: Neu und alt Preus. p. 90. (56) U Jana Potockiego Fragm. histor. et geograph. sur le Scythie et Sarmatie XLII. 8. (57) De Situ Daniae p. 223—227.



Litwa i Inflanty słuchały jego wyroków. Część łupów wojennych jemu oddawano. Kriwe duchy zmarłych wywoływać umiał. Prusacy w odzieniu skromni, wodę, miód i mleko końskie za napój używają; podczas biesiad oddają się pijaństwu; do łaźni nie wszyscy chodzą, a wielu pływanie i jazdę konną na chwałę bożą obraca. Żonami kupczą i jak sług ich używają; są przytém gościnni. Za zabójstwo jeśli morderca sam sobie życia nie odjął, prawo odwetu musi koniecznie nastąpić (58). Taką tylko mamy najdawniejszą wiadomość o Prusakach, przed i wkrótce po opanowaniu ich przez Niemców, bo wiadomo, że w drugiej połowie wieku XIII jak Prusacy rodu polskiego, tak i Litwini pruscy, ulegli przemocy Krzyżaków i swą samodzielność stracili. Dzieje ich obszernie wyłożył Voigt w swój historyi Prus, i Narbutt w Dziejach Litwy (59).

*Łotysze i Kurony.* Łotysze, którzy sami siebie *Latwis* a kraj swój *Latwežu žeme* (łotewska ziemia) nazywają, najdalej ku północy posunięci, do jednego z Litwinami należąc rodu, oddzielnego tylko narzecza używają, do mowy jakoby herulskiej najbardziej zbliżonego. Litwin niełatwo rozumie Łotysza, co ztąd zapewne pochodzi, że język ostatniego, oprócz przybranych słów czuchońskich, ze wszystkich dyalektów letskich najobficiej przepelniony jest wyrazami słowiańskimi (60). Dzisiaj mieszkają Łotwacy w Kurlandyi, po lewej stronie Dźwiny w Semigalii (żeme gałas, ziemi koniec), w hrabstwie Piltyńskiem i po prawej stronie Dźwiny nad rzeką Lebą, w części Inflant zwanój Letgołą (*Latwin gals*, Łotwy koniec). Rozciągają się zatém po obu brzegach Dźwiny dolnej, a na wschód sięgają Połocczanów. Prócz tego natrafiamy ich siedziby i w Litwie nad kurlandzką granicą, szczególniej w parafiach luterskich Szajmy i Birze, i wreszcie w kilku osadach nad hafem kurońskim w Prusiech (61). Chori, Kors albo Kurony, dla bliskości narzecza i osiedlenia, za jeden naród z Łotwą uważani być mogą. Mieszkali oni i dotąd mieszkają ponad morzem po obu stronach rzeki Windawy, prawie od ujścia Niemna do ujścia Dźwiny. Ustąpili im niegdyś tych miejsc, jak wiemy, Finnowie i Wendy. Szczupłe są nasze wiadomości o dawnych Kuronach i Łotwie. Z życia św. Ansgarego, które zaraz po

(58) Petri de Duisburg Chron. Prussiae III, 4, 5. (59) Narbutt: Dzieje, III, str. 378 i d. (60) Narbutt: Dzieje II. str. 463. II. str. 388.

(61) Stender. Litt. Gram. u Narbutta Dzieje II, str. 396.

r. 865 przez jego dyakona Ramberta było spisane, dowiadujemy się: że Kuronowie mieli dwa bogate miasta: Apulia i Seburg, które tak miały być ludne, iż pierwsze do 15u, drugie zaś do 7miu tysięcy wojownika wystawić mogło. Apulia może odpowiada żmujdzkiemu Ampille, niedaleko Kłajpedy czyli Memla położonemu, a może téż dzisiejszemu Piltynowi; drugie zaś brzmieniem swoim zbliża się do znanego dotąd Selburga nad Dźwi-  
ną (62). Jeżeli już w tak ludnych żyli miastach, wnosićby wypadało, że na znacznym téż stopniu byli kultury. Tymczasem Adam Bremeński wystawia nam jeszcze Kuronów jako naród dziki, bałwochwalczy, wszakże w złoto obfitujący, a zatem handlowy, wróżbami zaś w całym świecie wstawiony (63). Z Niemcami, którzy w XII wieku brzegi Inflant zwiedzać zaczęli, prowadzili handel zamienny; pieniądze im dawane odrzucali i woleli za swój towar przyjmować różne drobne małej wartości rzeczy, jakoto: noże, wstążki do kapeluszków, śpilki i t. d., a szczególniej sól i jakąś kosmatą tkaninę, przez Niemców *wetmal* zwaną; często nawet za te przedmioty swojemi pieniędzmi płacili (64). Łotwacy jak i inne ludy letońskie ulegli Russom czyli Normandom; płacili im dań w wieku IX, a ś. Bruno, jak wiemy, widział u nich r. 1000 normandzkich władców. Pod Russów panowaniem zastali ich Niemcy w XII wieku, lubo stopnia téj uległości nie znamy. Mówią jednak, że u nich Meinhard, który był pierwszym w tych stronach biskupem, tylko za pozwoleniem jakiegoś księcia połockiego r. 1186 apostołował w Inflantach. Księciem tym miał być Włodzimierz, ale pod oznaczonym rokiem takiego w Połocku nie było. Z początku nawracanie Łotwy i Kuronów nierównie łatwiejszą niż w Prusiech szło drogą. Aby ich do chrześcijaństwa łatwiej przyciągnąć, usiłowano wyobrażenia chrystyanizmu przez sceniczne nawet widowiska między nimi upowszechniać (65); lecz i tu skończyło się podobnie jak w Prusiech. Już

(62) Maciejowski: Pierwotne Dzieje str. 77, 367.

(63) Adam Bremeński de Situ Daniae p. 223 i d.

(64) Franz Niestädts Nachrichten bei Arnds Liefländ. Chron. Th. II. Halle, 1753, s. 3.—Lief. Chron. Th. I, § 11, s. 12. Th. II. § 11, s. 3.—Fischer Gesch. d. deut. Handels I, s. 324, 420.

(65) Oto są słowa kroniki inflanckiej pod r. 1204, § 14 w tłumaczeniu Arndta: „Denselben Winter führte man mitten in Riga ein sehr wohlgeordnetes Prophetenspiel auf, so die Lateiner Comödie nennen, damit die Heidenschaft die Anfangsgründe des christlichen Glaubens, auch durch einen

w XIII wieku, z mniejszém tylko wypłenieniem narodu, nawrócono pogan orężem i ostatecznie pod władzę Niemców podbito. Jak powierzchownie jednak obeznawać musiano neofitów z zasadami nowój wiary, już z tego wniesć możemy, iż w żadnej stronie le-tońskiej nie pozostało tyle szczątków wyraźnej czci bałwochwalczej, ile ich między Łotwą dodziśdnia jeszcze postrzegać można. Ten fakt zadziwiać nas w rzeczy samój powinien: bo i rząd miejscowy od XVI już wieku usiłował język łotewski zamienić w piśmienny, nakazując książki religijnej treści po łotewsku wydawać, i świątli pastorowie inflandzcy nie zaniedbują zapewne przepisów wiary chrześcijańskiej z gorliwością wyklądać, i wreszcie żaden Łotysz do konfirmacyi czyli bierzmowania przypuszczonym nie bywa, jeśli się dokładnie katechizmu na pamięć nie wyuczy. Wszystko to jednak, jak się pokazuje, było i jest jeszcze niedostatecznym do przełamania wiekami wkorzenionych nałogów. Jakoż lud ten zachowuje dotąd niektóre święta z pogańskich czasów datujące; ma swoich wieszczków do spełniania pogańskich obrzędów, ma ołtarze poświęcone *Ziemenikasowi*, inaczéj zwanemu *Mahias Kungs* (dosłownie pan domu), opiekującemu się domostwem i dobytkiem, któremu różne składa ofiary; co większa dostrzedz miano, iż niedawno jeszcze cześć słońcu oddawał (66).

anschauenden Glauben lernen möchten. Der Inhalt dieses Spiels und der Comödie, ward durch einen Dolmetscher sowohl den Neubekehrten als den Heiden, die dabei Zuschauer abgaben, aufs Umständlichste, erklärt.— Wie aber die gewaffneten des Gedeons mit den Philistern stritten, wurde den Heiden bange, sie möchten mit todgeschlagen werden, und flugen an auszureissen (cf. Fischer l. c I, s. 418—419).

(66) Ciekawą wiadomość o tych praktykach pogańskich między Łotyszami, umieścił Paweł Karblom pastor inflancki z Ermes, w miejscowych pismach peryodycznych. Oto są główne szczegóły: Łotysze mają różnego rodzaju wieszczków i czarowników, o których mniemają, że są w stosunkach z duchami ziemnymi, którym w pewne dni roku składają ofiary i że mają moc czynienia źle i dobrze każdemu, kto przepisy ich wierzenia zaniedbuje lub zachowuje. Dla nich spadają z nieba kamienie, za pomocą których cudów jakoby dokazują. Choroby ludzi i bydła, narzuczone przez nieprzyjazne duchy, zamawiają przy szeptaniu i dmuchaniu, solą i wódką. Z temi gusłami łączą niekiedy Ojczenasz, lub jakie miejsce z pisma św. albo psalterza. Wieszczek taki umierając, przekazuje swą nankę i władzę przysposobionemu przez siebie uczniowi, bo jeśli tego nie uczynił, nie byłby wolnym od związku z duchami. Łotysze w niektóre dni wstrzymują się bardziej od zatrudnień gospodarskich niżeli w niedziele, gdyż mniemają: że praca w dzień św. Gertrudy (15 listop.) sprowadza węże do

Po téj krótkiej wzmiance o Herulach, Prusakach, Łotwie i Kuronach, nim przystąpimy do Litwy, wypada nam cokolwiek obszerniej zastanowić się nad Jadźwingami, którzy w tak ścisłym z Litwą zostają stosunku, że chociaż zaczęto już odmawiać im rodowości litewskiej, i choćby nawet na obronę téj rodowości niewiele powiedzić się dało, zamilczć o nich nie możemy.

*Jadźwingi.* Wywodem pochodzenia Jadźwingów (Jatwiałgów, Jatwieziów) zajmował się niejedyn z dawniejszych naszych kronikarzy i dziejopisów i niejedyn z nowszych badaczy. Z wyjątkiem jednego, wszyscy niemal na to się zgadzają: że oni do

domu; w dzień św. Wawrzyńca (10 sierp.) pożary, a we dwa dni czwartkowe przed Wniebowstąpieniem, grady. Poprzednik naszego autora Paweł Emil Sokołowski, który w parafii ermeńskiej przez lat 47 był pastorem, opowiadał mu przed śmiercią, że w początkach wstąpienia swego w ten obowiązek, byli jeszcze czciciele słońca i że ołtarze ich poniszczą w lesie hamelnickim. Sam autor dowiedziawszy się, iż Łotysze w jego parafii oddają cześć duchom opiekującym się gospodarstwem, zwanym *Mahias-kungs* (wspomina o nich i p. Narbutt I, str. 32), i że uważając ich za duchy złośliwe, dla ich ułagodzenia i zrobienia przychylnemi sobie, dwa razy do roku: na św. Jerzy (23 kwiet.) i św. Michała (29 wrześ.) składają im ofiary i to nocą, a sam gospodarz jest ofiarnikiem; wyprawił się 13 maja 1836 r. na niszczenie tych zabytków pogaństwa. Jakoż przy kilkunastu dworach chłopskich (Gerinde), odosobniono zwyczajem kurlandzkim zbudowanych, znalazł miejsca ofiarne *Mahias-Kungs*'om poświęcone. Większa część tych ołtarzy była w ogrodach, inne zaś na polu, przy łąkach, w gajach, albo pod starożytnymi drzewami, a wiele z nich było mocnym płotem ogrodzonych. Nizki zrąb przykryty broną, lub zwalone na kupę kamienie, stanowiły samo miejsce ofiarne. Świeża krew, pierze i kości z drobiu, świadczyły, że na niektórych i w tym roku na św. Jerzy składana była ofiara. Prócz tego widziano tam jako przedmioty ofiarne, porozrzucone kawałki czerwonej włóczki, nowe i stare monety miedziane, fertyngi, drobną monetę srebrną, ale niekiedy, jak mówiono pastorowi, bywały i talary. Na jednym tylko ołtarzu znalazł bułeczkę chleba jeszcze z przeszłego roku. Bobu i grochu, jadła przez duchów nielubionego, nie składają w ofierze, ale za to czasami kaszę, jaja, kawałki mięsa i nasienie rozsady, aby się kapusta rodziła. Z badań czynionych na miejscu przekonał się pastor, że sposób składania ofiar bywał rozmaity: jedni na wierzchu ołtarza wylewali samą tylko krew drobiu z dodaniem piérza i kości; drudzy zakopywali pod ołtarzem żywych kogutów, inni znowu składali pod kamienie kawałki mięsa i jaja. Zpod wielu ołtarzy po rozrzuconiu zrębu i kamieni wyłaziły ropuchy; autor jednak nie wie, czy i te były jakiej czci przedmiotem. Niektóre ołtarze były już oddawna zaniedbane, i tak zarosłe trawą, chróstem i drzewem, iż żadnego do nich nie było przystępu. Z wielką tylko trudnością dali się wieśniacy skłonić i to nie wszyscy, do

jakiegoś innego nie lechickiego należeli szczepu; ale gdy przyszło oznaczyć gdzie była ich kolebka, zdania tak dalece między sobą się różnią, że przejrzawszy to wszystko co o tém dotąd powiedziano, podobno w rezultacie to mieć będziemy: iż Jadźwingowie będą dla nas jeszcze narodem niezupełnie odgadnionym. Kolejno upatrywać chciano przodków Jadźwingów to w Kostobokach, to Jazygach i Sarmatach, to w Getach i Prusakach, to w Gotach i Skandynawach, to wreszcie w Słowianach. Każdy z badaczy mniemanie swoje starał się poprzeć jakim dowodem; najczęściej jednak wszystkie te śledzenia kończą się na do-

ułatwienia przystępu siekierą, ale i to wtenczas dopiéro, kiedy sam pastor piérwszy tego dał przykład; lubo i tak robota szła leniwo, bo zabobonne wyobrażenia przejmowały ich zgrozą i strachem. Ten sam strach okazowali, gdy oczyszczone miejsca zaorywać im kazano. Byli jednakże i tacy, co stanowczo oświadczyli: że się do niczego nie dotkną i koni swoich do orania nie użyją; co większa, nogą nawet stąpić na miejsca ofiarne nie chcieli; jeden zaś z nich prostodusznie zapytał się: w co się teraz ich konie obróćcą, kiedy Mahias Kungs zniszczono? Prawdziwie czytając to, zdaje się nam, żeśmy na Żmudzi w czasach Witolda i Jagiełły. Po zrównaniu z ziemią ołtarzy, wziął się pastor do nawracania czarowników i wieszczków łotewskich, którzy rzeczywiście byli niejako kapłanami zachowanego dotąd bałwochwalstwa, i pięciu z nich przywiódł do tego, że publicznie w kościele wyrzekli się swoich błędów. Mówiąc o trudnościach jakich doznał w wytępianiu przesądów pogańskich, wyznaje pastor Karlblom, że duchowny w téj walce powinien nieraz przybrać dyktatorską św. Bonifacego władzę, samo bowiem nauczanie z ambony, nie zawsze i nie w wszystkich pożądanym owoc przynosi. Jakoż trzymając się tego prawidła, przy pomocy siekiery i pługa wytępił (w swojej parafii) pamiątki dawnego bałwochwalstwa (*Inland. Jahrg. 1836. Nr. 39 o zniszczeniu pogańskich miejsc ofiarnych w parafii ermeńskiej—Mittheilungen und Nachrichten für die evangelische Geistlichkeit Russlands. Dorpat. 1839. B. I 4 Heft p. 22. Środki zwalczania zabobonów ludu i t. d.*) Tak właśnie czynili nasi katolicy duchowni i dlatego téż dzisiaj w Litwie i na Żmudzi mniej postrzegamy owych zabytków dawniej wiary, a nigdzie prawie takiej wyraźnej czci pogańskiej, jaka się dotąd może w niektórych zakątkach Łotwy praktykuje. Może odosobnienie wiejskich mieszkań w Inflantach, niemało się do tego przyczynia, że jak z jednej strony pogaństwo łatwiej się ukryć może, nie będąc wystawione na ciekawy wzrok sąsiada; tak z drugiej, trudniej go téż odkryć nawet miejscowym pastorom. Jednakże i inne jeszcze mogą być przyczyny, dla których dłużej w tych stronach przetrwała pamięć dawnych przodków wiary, a z tych niemałej jest wagi i to: że pastrowie innego zazwyczaj będąc narodu, innego wychowania i sposobu życia i myślenia, nie zawsze znajdują społeczenie u swoich wiejskich parafian; przez co pomimo może najlepszych chęci, nie mogą mieć wielkiego wpływu na ich wykształcenie, i nadto: że dla zbytnej rozciągłości tamecznych parafij, pastorom nie-

myślach, a przynajmniej wątpliwych faktach. Przejdźmy pokrótce te rozmaite mniemania i zobaczymy, co z tego wszystkiego więcej do przekonania przemawiać będzie. Zostawiwszy na stronie Kostoboków, o których nic pewnego nie wiemy (67), zaczniemy od Jazygów.

Jazygowie, Jasiges Sarmatae, Jasiges Metonastes, Vagi, przez starożytnych pisarzy wspomniani (68), lud błędny, ze sposobu życia i obyczajów do Tatarów podobny, którego szczątki w Węgrów zamienione, pod imieniem jednak Jazygów zachowały się dotąd nad Cissą; Jazygowie mówią, przez podobieństwo swego nazwiska, dali powód: że wielu od nich zaczęło wyprowadzać Jadźwingów, którzy, czyto już przed naszą erą z niewiadomych powodów, czy też około r. 377 po Ch. przez Hunnów z Węgier jakoby wyparci, w nasze dostali się strony (69). Ten wywód

tylko trudno wglądać zbliżka w domowe życie parafian, ale nawet często nie są w stanie nieść im najpotrzebniejszych duchownych usług, zwłaszcza w godzinie śmierci. Szkoda, że pastor Karlblom, niszcząc między Łotwą oszcątki pogaństwa, nie zachował nam więcej szczegółów, tyczących się czci Mahias Kungs'ów. Ciekawi byłibyśmy czytać modlitwy, a może i pieśni, jakie z obrzędem łączono. Sąto materiały do wyjaśnienia dawnych wyobrażeń ludu, a tych materiałów właśnie niewiele jeszcze posiadamy.

(67) Ptolomeusza geografa Kostoboki i Juliana Capitolina Costobohy, tak niby od sąsiednich Słowian dla czczenia wielu Bogów (Czastobohi) nazwani, mieli to być Jadźwingi, którzy za czasów wzmiankowanych pisarzy, a zatem już w II i III wieku, zajmowali jakoby polesie nadbużańskie. Chcą nawet między wyrazami Czastoboh i Jazycznik (bałwochwalca po rusku), a Jazwing, Jatwing upatrywać jakieś podobieństwo (*Naruszewicz: Hist. I. 125. Narbutt Dzieje II. 166, 167, 170*). O tém plemienu zupełnie słowiańskim, miał wiadomość i Wapowski, kiedy o Brześciu Litewskim powiada: że leży w Czystobokach. (*Dzieje Kor. Pol i W. Ks. Lit. Księg. II, str. 198 w tłumaczeniu M. Malinowskiego*).

(68) Owidyusz, Ammian Marcellin, Strabo, Pliniusz, Florus, Tacyt i Ptolomeusz, mówią o Jazygach, chwalą ich jazdę i łuczników, i obszerne im naznaczają koczowiska, bo od morza Azowskiego po za Karpaty do Cissy. Zapewne w różnych czasach te miejsca zajmowali.

(69) Naruszewicz Hist. I 125. IV, 82. Narbutt: Dzieje II. 166—170, każą Jadźwingom przed Hunnami do nas uchodzić. Szaffarzyk w Starożyt. Słowian. I, 283—285, w tém się różni, że tych Sarmatów już na 400 lat przed naszą erą na Podlasiu osadza, a panowanie ich do Karpat rozciąga. Śladem Szaffarzyka poszedł p. Maciejowski, lecz późniejszych sięgając czasów, Sarmatów Jadźwingów robi od r. 97 — 400 po Chr. władcami Nenrów i Tacyta Ligiów Naharwałów czyli Nahonarwałów, którzy niczem innym nie mieli być, tylko Słowianami nad Nurcem i Narwią zamieszkałymi, a zład i o różnicowej narodowości Jadźwingów wyprowadza wnioski.

Jadźwingów od Jazygów, albo w powszechności od Sarmatów, znalazł niejako wsparcie w kronice Kromera, gdzie autor wspomniawszy również o pochodzeniu Jadźwingów od Jazygów Metanastów, dodaje (nie zaręczając wszakże za pewność): iż za jego czasów miały być na Litwie i na Rusi jeszcze szczątki tego narodu, który zupełnie innego niż Słowianie i Litwini używał języka, a tak do żadnego z tych dwóch nie należał narodu (70). Lecz biorąc rzeczy ściślej, samo podobieństwo i to jeszcze niezupełne nazwisk dwom ludom służących, jestże już dostatecznym do zbratania ich między sobą? Jeśliby takich tylko trzeba było dowodów, toczyłbyśmy równym prawem, wezwawszy tylko na pomoc wędrówki narodów od Kaukaskich Zechów i Lasów, wyprowadzić mogli Czechów i Lachów, a od germańskich Lazów i Litów, Lachów i Litwinów. Gdybyśmy przynajmniej mieli choć mały jaki oszczałek mowy tego ludu, rzecz miałaby się wcale inaczej; ależ magiarski język dzisiejszych Jazygów, nie był mową Jazygów Metanastów, a tém bardziej Jadźwingów. Śród takich właśnie niepewności zabłysła jakaś nadzieja, że ta zagadka da się nakoniec rozwiązać. R. 1799 w komitacie węgierskim terontalskim, niedaleko miasta św. Mikołaja w dobrach p. Nakó, znaleziono w ziemi, przy kopaniu winnicy, różne kosztowności, a między innymi puhar złoty lub temu podobne naczynie, mające na sobie napis greckimi literami oddany. Napis ten dawał się łatwo odczytać, lecz najbieglejsi starożytnicy niemieccy Schönwisner, Al-

Tenże autor utrzymuje, że niegdyś na Podlasiu mocne były ślady sarmatyzmu, jak to widać z nazwisk osad i mężów jatwiazkich, w okrucach dziejów nam dochowanych. (*Pierwotne Dzieje str. 361—420*). Nam się jednak zdaje, że nie mamy jeszcze przekonywających na to dowodów, bo w nazwiskach owych nie sarmackie brzmienie (którego, nie znając mowy sarmackiej, nawet oznaczyć nie możemy), ale inne przebija się.

(70) „*Quaquam feruntur, adhuc tenues quaedam eorum reliquiae superesse in Litvania et Russia, diversa prorsus a Slavis et Litvanis lingua utentes*” (*Kromer. Polonia etc. ed. Coloniae. 1589, p. 51. 6*). Wątpię, czy za czasów Kromera, prócz Cyganów, mógł jakiś inny podobny lud znajdować się w Litwie lub na Rusi. Sam Kromer jednak wyznaje: że nie wie, czy Jadźwingów uważać ma za Jazygów Metanastów, których resztki pod témże imieniem zachowały się w Węgrzech nad Cissą, czy za naród zupełnie inny (*l. c.*). W innym zaś miejscu dodaje, że również nie wie, czy Jazygowie Metanasty, Daków i Pannonów sąsiedzi, ztamtąd do nas, czy ztąd do Węgier przeszli (*l. c. p. 147, b.*). Widzimy, jak się wahał Kromer z oświadczeniem swego zdania, mówiąc o pochodzeniu Jadźwingów.

ter, Hammer i czeski Szaffarzyk dojść nie mogli, do jakiego języka należą wyrazy. Dopiero nasz rodak p. Tadeusz z Wolań Wolański, który od lat trzydziestu poświęca się badaniom starożytności słowiańskich i wyczytywaniu runicznych i innych odwiecznych napisów, w wykładzie swoim okazał, że napis ten w mowie litewskiej przez Jazygów był ułożony. I w rzeczy samej, ktokolwiek rozumie język litewski, przyznać musi, że ów napis, czytany rozumie się w ten sposób, jak go pan Wolański czytać każe, rzeczywiście słowami litewskimi, choć niezupełnie z grammatyką i sensem zgodnie, jest wyrażony (71). Rozjaśniła się więc ciemność, jesteśmy u kresu naszych badań! Jazygowie wydobyli się z pod zbyt ogólnego nazwania Sarmatów (72), bo się okazują być Letami, a Jadźwingowie już teraz niezawodnie od nich pochodzą, a tém samym również letyckiego są rodu. Wstrzymajmy się jednak na chwilę w naszym zapędzie. Nie odmawiaj-

(71) Wiadomość o tym napisie winniśmy p. Narbuttowi, który ją umieścił w Tygodniku Petersburskim z r. 1846, nr. 25. Znalezione w Węgrzech pubar, ma się znajdować dzisiaj w Wiedniu, w zbiorze składającym gabinet starożytności cesarsko-królewskich. Napis oryginalny czyta się jakoby w ten sposób:

Wuld Zoopan tесе duge,  
Toige bu taul Zoopan,  
Tagrogetzige taise.

P. Wolański stosując się do dzisiejszój mowy litewskiej, tak go wyczytuje i tłumaczy:

Walda Zupan teise dauge,	Rządź Zupanie prawnie, wielce,
Taigi tagul bus Zupan,	Takim bądź Zupanie,
Tagro-Getzyge taise.	Tagro-Jadźwingi zrobił!

Znawcy litewskiego języka łatwo postrzegą, że pierwszy wyraz *walda* nie jest położony w trybie rozkazującym jak chce p. Wolański, ale w czasie teraźniejszym oznajmującego. Co się zaś tyczy wyrazu *tagro*, jeżeli za przykładem p. Wolańskiego pozwolimy sobie małej zmiany, i położymy na to miejsce *taure*, co znaczy po litewsku kielich, kubek; pozbędziemy się zagadkowych Tagrów, a przybędzie wyraz do przedmiotu, o którym mowa, stosowny. Warto, żeby jaki miłośnik rzeczy ojczystych będąc w Wiedniu, postarał się widzieć ten zabytek starożytności i takowy nam dokładnie opisać, z dołączeniem jak najwierniejszój podobizny napisu.

(72) Nie wiemy, czy starożytni Sarmatowie sami siebie tak nazywali, czy też otrzymali to miano od sąsiadów. Szukano znaczenia téj nazwy w języku greckim, i zrobiwszy z Sarmatów Sauromatów, powiedziano, iż tak się nazywają od jaszczureczych oczu. Tym sposobem byłoby im dane nazwisko od Greków. Autor artykułu: „Najdawniejsze zabytki mowy polskiej” umieszczonego w Bibliotece Polskiej (styczeń r. 1827), utrzymuje, że dotąd na Kaukazie wyraz Sarmata znaczy górala, od słów *sar* góra i *mat*



my p. Wolańskiemu zasług, do jakich ma prawo przez swą niezmordowaną pracowitość w mozolnych badaniach; lecz kiedy nam jest wiadomo, jak nieraz zbyt jest śmiałym w domysłach, i jak często trudne do uwierzenia gotów wyprowadzać wnioski, kiedy przez miłość Słowiańszczyzny nawet Eneaszowi mówić i pisać po słowiańsku każe: któż nam zaręczy, że po litewsku i Jazygom nie kazał przemówić. Póki więc autentycznej podobizny owego nadpisu nie ujrzę, sąd mój w tej mierze w zawieszeniu zostawiam, a tymczasem do innych przechodzę wywodów.

Mateusz herbu Cholewa (r. 1144+1166.), Wincenty syn Kadłubka (r. 1218+1223), Boguchwał czy też Baszkon w niektórych kodexach (sięga r. 1273), którzy kroniki swoje wtenczas pisali, gdy Jadźwingowie bytu politycznego jeszcze nie stracili, jednostajnie pochodzenie z Prus im przyznają (73). Wszyscy oni powtarzają że: „*Polexiani* (t. j. Jadźwingi, Podlasianie) byli *Getarum seu Prussorum genus*”, gdyż Getami a niekiedy i to właściwiej Gotami (jak na nagrobku Bolesława W.) nazywano wówczas Litwinów pruskich. Gdyby wzmiankowani kronikarze wiedzieli o tém, że Polak Jadźwinga tyleż zrozumieć co Kaszuba, Pomorzycyka, Czecha lub Rusina, czyżby go Getem nazywał? Owszem widoczna, że do tego wyrazu przywiązywano wyobrażenie obcej nie słowiańskiej narodowości; tém bardziej, że nie o Getach południowych, którzy już dawno w massie ludów słowiańskich zniknęli, była tam mowa, ale o Getach albo raczej Gotach, co tak szeroko niegdyś w tych stronach panując, ludowi z którym się mieszały, po ustąpieniu swoim nazwiska téż swoje Gotów i Borussów, przynajmniej w ustach sąsiadów zostawili w puściznie; bo wyznać trzeba, że wywód nazwy Prusaków czyli Borussów od gockich wyrazów Bo-rus, co znaczyć ma wielki Rus (Rusem zaś był i Got i Skandynawczyk), do przekonania dość trafia (74). Wszakże wymienieni kronikarze nie byli pierwszymi, co mieszkańców ziemi Jadźwingów za jedno z Rusami czyli Borussami brali. Mniemanie to sięga nierównie dawniejszych czasów. Jadźwingowie

mąż, tylko nie dodaje w jakimto języku kankazkim, bo tych jest kilka, jak kilka różnych narodów: Gruzyni czyli Georgianie, Czerkiesy, Abhazy, Lesgynie, Osety i t. d. Nazwisko Horwata, może złożone z wyrazów *hora* góra i *wataha* drużyna, a przerobione na Chrobata, Kroata, czy nie będzie toż samo co kankazki Sarmat?

(73) Mateusz II, 15. III, 31. Wincenty c. 19. Baszkon z kodexu wilanowskiego, tłumaczenia Kownackiego 1822.

(74) Sękowski w Bibl. do czyt. 1849. Luty.

w X wieku niezawodnie już dotykali granic Polski, ale wówczas znani być musieli jeszcze tylko pod ogólném imieniem Borussów lub Russów. Przekonywamy się o tém z opisu granic Polski w darowiznie Gniezna i innych krajów polskich przez Ode wdowę po Mieczysławie I w Rzymie r. 994 lub 995 stolicy Apostolskiej uczynionej, gdzie powiedziano, że Polska z północnej i wschodniej strony graniczy z Prusami i Russami (75).

Kiedy więc takie u nas było najdawniejsze o pochodzeniu Jadźwingów mniemanie, cóż dziwnego, że Długosz (pisał około 1455), a za nim Miechowita (r. 1517) starali się jeszcze wyrazić rodowość tego ludu nielechićką oznaczyć. Jakoż piérwszy z nich powiada: że Jadźwingowie pochodzeniem, mową, wiarą i obyczajami wielkie mają podobieństwo do Prusaków, Litwinów i Żmujdzinów (76), drugi zaś wyliczając dyalekta litewskie, kładzie w ich rzędzie i narzecze Jadźwingów (77). W tém się tylko obaj między sobą różnią: że Długosz nie wie, czy za jego czasów byli jeszcze gdzie Jadźwingowie, drugi zaś twierdzi, że zostały ich szczątki z tych, co mieszkali koło Drohiczyna; czemu jednak trudno wierzyć, bo jeśliby i tak było, tedy gdzieindziej nie koło Drohiczyna wypadaloby ich szukać. Za Długoszem i Miechowitą poszedł Strykowski (78), ale Kromer dotknawszy się tegoż przedmiotu, choć powtarza słowa Długosza, policzającego Jadźwingów i Słoweńczyków do ludów pruskich, sam jednak waha się w oznaczeniu ich rodu, owszem wyznaje: że nie wie, czy ich brać za Jazygów Metanastów, których resztki koło Cissy w Węgrzech zostały, czy za inny jaki naród; miesza wreszcie wszystko co dotąd o Jadźwingach wiedziano, donosząc, jakośmy wyżej wspomnieli, że na Litwie i Rusi zostało jeszcze cokolwiek Jadźwingów, którzy jednak zupełnie innego niż Słowianie i Litwini używają języka (79). Wszakże pomimo tego, że w miarę

(75) Muratori antiquit. medii aevi T. I, p. 381, z wyjaśnieniem tego zapisu przez J. L. w jego dziele: Polska wieków średnich, T. II, str. 67, 73 i d. (76) „Gens autem Jacvingorum natione, lingua, situ, religione et moribus magnam habet cum Lithvanis et Pruthenis, et Samogitiis conformitatem, cultui idolorum et ipsa dedita.” (*Kronika wyd. Lips. 1711, str. 394*).

(77) „Linguagium lithvanicum est quadripartitum, primum linguagium est Jacvingorum, ut horum, qui circa castrum Drohiczyn inhabitant, et pauci supersunt.” Inne trzy narzecza podług Miechowity są: litewskie ze żmudzkiem, pruskie i łotewskie. (*Sarmat. Europea*).

(78) Strykowski, Kronika p. 55, 167.

(79) Kromer wyd. koloń. 1589, p. 51, 147.

oddalania się od epoki bytu Jadźwingów, mąciło się pierwotne o ich pochodzeniu wyobrażenie; zawsze jednakże przemagało zdanie, na najdawniejszych kronikarzach oparte: iż do prusko-litewskiego należą plemienia. Jakoż i autor *Dziejów Litwy i Rusi do czasów unii* nie wahał się utrzymywać: że Jadźwingowie w północnej części ich kraju *Sudawami* zwani, byli *niezawodnie* szczepu letońskiego, choć piękniejszém wejrzeniem, a nawet wyższą materialną cywilizacją, różnili się od Litwinów (80). Nie samo więc Długoszowe przekonanie i nas skłoniło w pierwszym wydaniu *Obrazu Litwy*, do uważania Jadźwingów za szczep letońskiego plemienia; wzorem dla nas nie był sam Długosz, ale najdawniejsi kronikarze i zdanie świeżego historyka, któremu nikt zapewne badawczego ducha i zdrowej krytyki odmówić nie zechce.

Takie było powszechniejsze mniemanie o pochodzeniu Jadźwingów, kiedy dwóch z najnowszych pisarzy zaprzeczyło im wszelkiej rodowości letońskiej; trzeci zaś chcąc godzić rozdzwojone zdania, dostrzega w Jadźwingach pierwiastków kilku razem ludów. Zobaczmyż więc, co w téj mierze powiedzieli pp. Szulc, Sękowski i Maciejowski. Pierwszy z nich nie wątpiąc zgola, że Jadźwingowie byli Lechami, twierdzenie swoje wspiera całym zapalem erudycyi i krytyki swojej; lecz głównie dowód swój opiera na kronice Baszkona podług starożytnego odpisu zachowanego w archiwum królewieckim, gdzie zamiast wyrazów: „sunt autem Polesiani *Getarum*...” czyta się: „*Lechitarum* seu Prussorum genus (81).” Miejsce to posłużyło autorowi nietylko do policzenia Jadźwingów w rzędzie plemion lechickich, ale nawet (przy innych jeszcze rozumie się źródłach) wszystkich niemal bez różnicy Prusaków. Gdybyśmy tychże wyrazów tyczących się Jadźwingów, z odmianą tylko jednego (zamiast *Lechitorum*, *Getorum*) nie mieli w dawniejszych od Baszkona kronikach, i gdybyśmy nie wiedzieli, że żadna z kronik naszych, tylu zmianom i przerobieniom co Baszkona nie uległa, trafiłby może do naszego przekonania autor

(80) J. L. *Dzieje Litwy i Rusi do unii*. 1844, str. 105—107. Już i Henning *Sudawów i Jadźwingów* brał za jeden naród (*de Jasig. p. 85*). Za letońskiem ich pochodzeniem oświadczył się i p. Felix Zieliński w *Opisie latopiscu Hipotiewskiego*. (Bibl. Warsz. 1845. Październik, str. 17).

(81) Szulc, *O znaczeniu Prus*, przywodzi *Zbiór Sommersberga T. II*, c. 49 i *Voigt'a I*, str. 56.

nader interesującego dzieła o *Znaczeniu Prus*, gdyż wyznaczyć trzeba: że dla nadania lechickiej barwy i krajowi i ludowi Jadźwingów, nie zaniedbał uczony badacz korzystać z każdej okoliczności, jaka mu się tylko czyta w dziejach, czy w dyplomatach, czy wreszcie w nazwiskach miejsc i osób w których dopatrzył brzmienie lechickie, nastęrczyć mogła. Wszakże pomimo tego przynajmniej w części pogodzi nas p. Maciejowski z p. Szulcem, jak się to zaraz niżej pokaże. Z przeciwnym zupełnie zdaniem wystąpił p. Sękowski. Oparłszy swoje badania na starożytnych dziejach Gotów, ich mowie i sagach skandynawskich, i wysnuwszy z tego to przekonanie: że w odległych wiekach, w czasach jeszcze Herodotowych, panowanie i przeważny wpływ Gotów rozciągały się szeroko po całej północno-wschodniej Europie, w Jadźwingach nie inny lud tylko Gotów upatruje; dla lepszego zaś dowodu przytacza: że wyrazy: *Jet, Jatwing, Jot, Jut, Gete, Gita, Got, i Gud*, bez różnicy w sagach skandynawskich użyte, są tylko zmianami słowa *Got* (82). Nim jednak to odkrycie było zrobione, zajął się p. Maciejowski rozwiązaniem kwestyi pod sporem będącej, a godząc rozdwojone zdania, oświadczył: że nikt się nie pomyli upatrując w Jadźwingach czy sarmackie, czy lechickie, czy wreszcie letońskie pochodzenie, jeżeli tylko tę lub owę narodowość części, nie zaś całemu przyznać zachce narodowi; co tak dowodzi: Jadźwingowie, mówi p. Maciejowski, byli ludem troistego plemienia, który zrzeszywszy się pod ogólną, dotąd nieodgadnioną nazwą, wsiąkł następnie w masę otaczających go Litwinów, Rusinów i Polaków, aż się nakoniec cały spolszczył, z tej snąć przyczyny, że pierwotne kraje Jadźwingów głównie ludność polska zamieszkiwała (83), do której się następnie sarmacka (84), a nakoniec ruska i litewska przyłączyła (85). Sarmaci mieli się w te strony dostać w czasach jeszcze przedhistorycznych, około 419 r. przed naszą erą (86), a na poparcie tego faktu miano dostrzedz ślady sarmatyzmu w nazwiskach osad i mę-

(82) Sękowski l. c. mówi na str. 107 o Jadźwingach.

(83) Mielito być owi Tacyta Ligowie Naharwale czyli Neury (v. przyp. 69) t. j. niby Nadnarwianie i Nadnurzanie, polsko-mazowieckie jakoby plemię, już w r. 97 po Chr. w tych stronach osiadłe.

(84) Podług Szaffarzyka I, str. 284.

(85) Maciejowski. Pierwotne dzieje str. 420.

(86) Szaffarzyk l. c.

zów jatwiazkich (87). Wszystko to bardzo dobrze, tylkoż godzi się zapytać, do jakiego narodu policzyć mamy Sarmatów w skład ludności Jadźwingów wciśnięty? Bo nazwisko Sarmatów, jak się ze wszystkiego okazuje, było zbiorowém i do różnych zapewne ludów, ze sposobu tylko życia do siebie podobnych, stosowaném. Jaki był ich język? Czyto po nich zostali Połowcy, Pieczmieg lub jaka inna tatarszczyzna (88)? Czém nas wreszcie historycznie przekonać można, że Sarmatowie dlatego iż w IV wieku zupełnie znikli z dziejów europejskich, koniecznie się przenieść mieli ze swemi wozami, trzodami i tabunami, nie w stepy zadońskie lub zawożańskie, ale do lasów podlaskich, na błota narewskie i biebrzańskie? Zdaje się więc, że bezpieczniej będzie Sarmatów zostawić w pokoju. Lecz jeżeli na ich miejsce postawimy Gotów, albo raczej późniejszych Skandynawów, którzy od południowych i wschodnich brzegów morza Bałtyckiego, posuwając swoje panowanie w głąb krajów letońskich, z Litwy lub Prus dostać się mogli do Jatwiezyi: przypuszczenie p. Maciejowskiego o troistój różnoplemiennój narodowości ziemi Jadźwingów, da się zrozumieć. Bo jeżeli zaprzeczyć już dzisiaj trudno, żeby część ludności tych stron nie była słowiańską, wielkiém jednak jest podobieństwem do prawdy, że ona uległa przemocy Jatwingów, jakiemś oddzielnemu szczepowi, lub drużynom Skandynawów, tą nazwą oznaczonym (jak Witingi, Waringi, mogli być i Jatwingi); przemocy owychto Rusów, w donacyi Mieczysława spomnianych, którzy wciskając się do Litwy, przez długi tam pobyt już w części mogli się zlitwinić, a osiadając w coraz nowo napadanych to litewskich, to słowiańskich ziemiach, albo do reszty litwinieli, albo słowaczec zaczęli. Południowi Jadźwingowie mieszały się z Rusią, środkowi z Mazurami, w stronie północnej ku Sudawii, w miarę oddalania się od Mazurów, przemagał coraz bardziej li-

(87) Maciejowski l. c. czego trudno dowieść nie znając języka sarmackiego, a wiedząc z drugiej strony, jak latopiscy niemłosiernie nieraz kaleczyli imiona własne.

(88) Według Herodota. koczowiska Sarmatów były na wschód Donu powyżej morza Azowskiego o 15 dni drogi nad Scytami czyli Skolotami, z którymi ich łączyła mowa, choć niezupełnie czysto-scytyjska. Sarmatowie zatem mogli być jednego ze Scytami szczepu, którzy się tém od innych odznaczały ludów, że pili mleko końskie, a dla pozyskania nagrody, urzynali głowy poległym nieprzyjaciołom. (*Herodot. ks. IV, 2, 64, 117*); co wszystko na tatarszczyznę bardzo zakrawa.

twinizm, póki w Zapuszczańskim i dalej w Prusiech nie stał się wyłącznym. Ci przybysze, zaborcy, stanowili zapewne wówczas czoło narodu, byli niejako szlachtą, kunigsami, bojarami (Boi-uär-wielki mąż). Ichto nasi kronikarze nazwali królikami, kniaziami, wodzami, których nieraz po kilkudziesięciu ginęło w walkach z Rusią i Polską. Onito wyłącznie szczególnym odznaczali się mężstwem od reszty czerni, która piszących o zaciętych Jadźwingów bojach, mniej zajmowała. Z takiego stanowiska uważając Jadźwingów, nietrudno byłoby już pojąć, dlaczego niektóre wsi i rzeki ich kraju noszą nazwiska słowiańskie, dlaczego w imionach ich wojowników, to normandzkie, to litewskie, to wreszcie słowiańskie przebija się brzmienie (89), a zawsze bardzo różne od brzmienia nazwisk połowieckich (90).

(89) Za skandynawskie nazwiska uważałbym: Stekind, Stegut, Skomont, od którego i osada w Sudawii Skomontuo pochodzić może. Zali-tewskie oprócz Jundziłto i Jaszczolta: Mintelia (od *mintu* żywię siebie), Pestilo (od *pestis*, kania); Szurpa (od *szurpoć*, najeżony); Szutr (od *szutras*, zwiczny). Słowiańskich jest najmniej, może: Mudiejko, Nebjast, Borut. Pozostałe dwa nazwiska: Ankat i Komat, nie wiem do jakiego rzędu wypadaloby policzyć.

(90) Wspomniałem o Połowcach, bo i tych dzieci stepów niegdys sarmackich czy podgórze kaukazkiego, chciano z Letami, a tém samym i z Jadźwingami spokrewnić. Powtarzano nawet, jakoby język litewski dochował się do naszych czasów w dawniejszych siedzibach połowieckich, przy ujściu Dniepru, między Tatarami cerkielskimi czyli białogrodzkiemi, dokąd chyba może jaki Tatarzyn litewski go zaniósł. (*Strykowski str. 167. Gwagnin Kron. lit. str. 3, i Opisanie ziemi ruskiej, str. 30. Kojalowicz Hist. lit. I. p. 25. Narbutt, Dzieje II, str. 157—165*). Nie ma już dzisiaj wątpliwości, że Połowcy i Pieczyngi byli tureckiego szczepu, a ich język komański, mowa szczególniejsz Polowców, zbliżał się bardzo do dzisiejszego dyalektu konstantynopolitańskiego. Słownik i grammatykę połowiecką ułożone przez Petrarchę r. 1303 dla Włochów, którzy z tym ludem handlowe mieli stosunki, wydał z rękopismu weneckiego Klaproth r. 1828 w t. III, str. 122—254, swych: *Memoires relatifs à l'Asie* (cf. *J. L. Polska wieków średnich, t. II. Omyłki do poprawienia, str. IV*). Ale gdybyśmy i tego zabytku mowy połowieckiej nie mieli, same nazwiska ich wodzów, nieraz dziwnie zbliżone w brzmieniu do imion używanych dotąd w stepach Kirgiz-kajsackich (*Alexego Lewszyna: Opisanie Kirgiz-kajsackich ord i stepów, T. II*), porównane z nazwiskami mężów jatwiazkich, o różnym pochodzeniu obu tych ludów, każdego przekonać mogą. Tych nazwisk połowieckich mnóstwo przywodzi Iatopisiec ipatiewski połączony z wołyńskim; częściej wspominaue są: Aepa, Akusz, Azup, Baszkord, Biabok, Basty, Barak, Boniak, Biehbars, Byrcz, Czuhaj, Czernieres, Czulkbuk, Eltuk, Eteb, Harsznałok, Izali Bilukowicz, Itohl, Izaj, Kamos, Koncak, Ko-

Na tém kończymy dzisiaj nasze badania o pochodzeniu Jadźwingów. Czas i okoliczności może odkryją nowe ślady, nowe jakie źródła, które za lub przeciw naszemu będą mniemaniu. Zdaje się nam jednakże, że w jakikolwiek sposób rzecz się ta wyjaśni, pierwotnych, niezmiyszanych, i nieprzenarodowionych Jadźwingów, trudno będzie za Lachów poczytać.

Z nazwiskiem zniknęli już w naszych stronach Jadźwingowie. Inne ludy zajęły ich miejsce i depcą kamieniem okładane groby jatwiezkie po całym Podlasiu rozrzucone. Lecz naród, którego męstwo podziwiali sąsiedzi, a nawet wrog; naród prawdziwie heroiczny, który, bez wiarołomstwa Krzyżaków, niedbalstwa Polaków, przewagi Rusi i jakiegóś ku niemu odrazy samych Litwinów, świetniejszą zapewne odegrałby rolę: naród mówię taki zasługuje bez wątpienia na to, abyśmy go bliżej poznali. Zobaczmy więc gdzie właściwie były Jadźwingów siedziby, jaki był ich stan socyalny i religijny, jakie obyczaje w pokoju i wojnie, czém się od innych odróżniali ludów, od jakiego czasu zaczęli się ukazywać na scenie dziejowej i jakie nakoniec politycznego ich losu były koleje?

biak, Kuzab, Kiltanop, Kuman, Kutlak, Koc, Kozel Sotanowicz, Kunjaczuk, Kozubur, Kołob, Kza, Kołdeczy, Koban, Koczan, Kotian, Osałuk, Selcuk, Subor, Sarnak, Sekel, Semohur, Tinrak Osułkowicz, Thły, Totur, Towłaj, Tareb, Toksob, Urus, Zdwak i t. d. Czemu tyle nazwisk jatwiazkich nie można było zebrać; bardzoby się przydały do naszych badań. Nic zatém wspólnego, jak się pokazuje, nie mieli Połowcy ani z Litwą, ani z Jadźwingami, chociaż książęta zapewne haliccy podsunęli im połowiecką osadę. Mogło to nastąpić albo po roku 1223, gdy Połowcy od Tatarów z okolic dolnego Dniepru wyparci, szukali schronienia u książąt ruskich, i często już odtąd przebywali wśród obozów książąt halickich i wołyńskich, którzy właśnie aż za Bielsk podlaski rozciągali swoje panowanie (*Karamzyn, Hist. Ross. III, str. 215*); albo też po wyprawie na Jadźwingów r. 1251 Daniela, któremu Połowcy dopomagali. Główna wieś téj osady, przy granicy dawnego Podlasia w powiecie brzeskim położona, jako też i dwór, dotąd zowią się Połowcami. Oprócz tego jednak, okoliczni wieśniacy témże nazwiskiem oznaczają mieszkańców wiosek: Suchory, Stawiszczce, Piszczata, Hola v. Hoła, Suchodół i Wólka połowiecka, może dlatego, że kiedyś wszyscy do dworu połowieckiego należeli. Dzisiaj żadna już cecha szczególna Połowców tych nie odróżnia od sąsiednich Rusinów, tylko powtarzane dotąd między ostatnimi przysłowie: *Połowców siem siół, a odin tolko woł*, nie nader korzystnie świadczy o ich przemyśle rolniczym lub zamożności wiejskiej.



# WIECZÓR PRZY KOMINKU.

(Opowiadanie).

---

Mieszkam na samym krańcu Królestwa; naturalnie mógłby kto wnioskować, że na pograniczu Wielk. Ks. Poznańskiego, Prus starych, dawniej Rzeczypospolitej krakowskiej lub Galicyi. Inaczej jest przecie. Z okien domu mego patrzę na kraj, którego nazwa jest zagadką dla wszystkich, którego granic próznobyś szukał na najdokładniejszej karcie Europy, a jest zamieszkały przez naród, o którego nazwie przed kilką laty nikt nie słyszał. Nie znam ja ani kraju tego, ani jego mieszkańców; lecz czegoż nie przebije siła podania? O tym więc kraju, jak o oazach poza Atlasowych, krążą różne powieści; jedną z nich przytoczę.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, że w kraju tym panuje potężne plemię Rudolfa z Habsburga, tego protoplasty wielkiego rodu, co zstąpił ze szczytu gór tyrolskich, by osiąść jeden z najpotężniejszych tronów Europy. Niezmierne są posiadłości domu tego: od dawniej siedziby Daków, prawie do bram świętego miasta ciągnie się dziedzina jego; dwunastu językami mówią wassale potężnego władcy; na jednej głowie spoczywa dyadem Cezarów, korona Stefana, Podiebrada, longobardzkich królów, a szereg mitr książęcych i hrabiowskich koron, zamyka biret proboszcza salcburskiego. W wielkiej liczbie tytułów mieści się także spadkowa korona Luzinianów, i królestwo Lodomeryi, które widzę z okien moich, a o którego położeniu geograficznem i jego mieszkańcach nieco wspomnę.

Lodomerya tedy, *alias* Wladimiria, jestto kilkanaście wsi ponad granicą rossyjską leżących, wązkim paskiem równoodległe od Drużkopola ku Brodom ciągnących się. Wielkiemi wassala-



mi tego królestwa jest kilku szlachty, a lud tę krainę zamieszkujący zowie się *Ruteny*. Jest on słowiańskiego pochodzenia, były więc i urzędnicy słowiańskie; lecz z nazwą, którą przed kilkoma laty dostał, zmieniły się i stosunki dawne, bo z wieczystego dzierżawcy, został on właścicielem ziemi. Ztąd w każdej wsi wznosi się krzyż kamienny uświęcający tę emanypację, i powstała uroczystość tej nowej narodowości, nazwana Święty Maj, czyli rocznica, w której kommissarz cyrkulowy ogłosił owej ludności, iż ziemia, która dotąd należała do większych właścicieli, stała się własnością dzierżawców.

Takito kraj na wschód, południe i północ otacza wioskę w której mieszkam. Jedyne tudy wylot na zachód. A że z Zachodu cywilizacja, to też w pierwszej majętności jaką napotykam, na gruzach starego dworca stanął piękny pałacyk wśród ogrodu i gustownych zabudowań, a wewnątrz nagromadzono wszystko, na co zamożność zdobyć się może, ale nie zamożność epissyera, ale znawcy i artyści. Z tego początku wniesćby można, że to koteż jakiego lorda, albo willa kosmopolity;—wcale nie: bo choć miejsce starego dworca zastąpił ładny pałacyk, to zwyczaję zostały staropolskie. Jak w starym dworze drzwi sieni otworem stoją, bo gospodarz rad odwiedzającym; jak w starym dworze gościnność i prynuka do lampki węgrzyna; jak w starym dworze sług i sierot pełno. Patryarchalne obejście w domu, swoboda na wszystkich twarzach; a ilekroć myślące czoło gospodarza osiadzie troska, to w wesółem oku nadobnej towarzyszki życia, czerpie pociechę i zachętę. Na tę zgodę domową patrzą poważne staropolskie twarze, błyszczą ich pamiątki na ścianach, spoczywają na licznych pułkach ich sława i dzieje. I cóż dziwnego, że częstym gościem tam jestem, że nieraz wśród długich wieczorów jesiennych zapomnę o spóźnionej porze? Bo wszystko co mnie otacza w harmonii, bo wszędzie na pamiętce oko moje spocznie, bo jak się chce nauczyć, to tam jechać muszę.

Jednego z takich wieczorów obsiedliśmy komin i rozmawialiśmy o nowém dziełku autora Listopada, któremu dał nazwę *Nie bajki*. Wszyscy w tym utworze znajdowali dużo fantazyi, a gospodyni domu nie ze stanowiska filozoficznego, ale z usposobienia wrażliwego, przeczyła istnieniu nadnaturalnych wypadków. Każdy z nas na poparcie tego zdania: „że są rzeczy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się naszym filozofom” coś opowiadał, aż przyszła kolej i na mnie, i zaraz na dowód, że

moje opowiadanie nie wymyśl, zacząłem od historyi, jakim sposobem doszło to wydarzenie do uszu moich.

Przed laty kilkunastu prowadziłem handel drzewem towar-  
nem z domem handlowym Bressler et Comp. w Szczecinie, a na-  
czelnik tego domu p. August K....., odwiedzał mnie raz do roku  
dla zrobienia obrachunków. Kilkoletni stosunek, dobra komity-  
wa w jakiej żyliśmy, zawiązały między nami zażyłość z liczbami  
związku niemającą; to też p. K..... nie robił sekretu przedemną,  
opowiadał postęp swoich interesów, pewny, że rad będę pomyśl-  
nym skutkom jego zabiegów handlowych. Jako dowód pocz-  
nionego kupna, pokazywał mi kontrakta i listy. Jeden z tako-  
wych zawierał korzystne bardzo propozycje od jakiegoś własci-  
ciela z Pomeranii, który się zwał baron F.... (poprzestane na li-  
terze początkowej jego nazwiska, bo zapewne żyje dotąd). Otóż  
baron F..... był głową majoratu, chociaż żył starszy brat jego,  
a to odziedziczenie i majątku i tytułu braterskiego, winien był  
następującemu wypadkowi.

Było to jakoś w roku 1813; gwiazda potężnego władcy Za-  
chodu błędnie poczęła; w śniegach Rossyi zginęły dzielne jego  
zastępy; z niedobitkami cofał się ku Renowi. Na odgłos tej po-  
rażki, młodzież uniwersytecka Niemiec, naczytawszy się Rozbój-  
ników Szyllera, zelektryzowana proklamacyami słynnego naów-  
czas partyzanta majora Schilla, zapalę pięknej królowej i opo-  
wiadana wszędzie bohaterską śmiercią królewicza Ludwika pod  
Saafeld, ruszyła tłumnie w szeregi obrońców uciśnionych Nie-  
miec, i młody baron F..... naówczas uczeń w Jena, zaciągnął od-  
dział ochotników i sam stanął na ich czele. Miał on towarzysza  
lat swoich dziecinnych i prac akademickich, a tym był syn pasto-  
ra parafii, w której leżały dobra barona, a zwał się Ernest Klejst.  
Najściślejsza przyjaźń łączyła ich od lat najmłodszych: jedne  
gusta, jedne nadzieje; nie dziw więc, że razem i wojaczkę roz-  
poczęli.

Któż nie zna szczegółów tej pamiętnej wojny? któż nie  
przyzna, że od kampanii we Włoszech nigdy szczytniejszemi po-  
myślami nie jaśniał gieniusz wielkiego bohatera? Wstrzymywał  
też zwyciężkie zastępy koalicji, śmiało ruchami dwoił swe siły  
i wolno ustępował ku Renowi. We wszystkich spotkaniach tej  
pamiętnej kampanii brali udział oba przyjaciele; to też obadwa  
byli już oficerami w pułku huzarów i świetna przyszłość otwiera-  
ła się przed niemi.

Byłoto już gdzieś niedaleko Renu, w téj krainie dawnego rycerstwa, gdzie co wzgórze to zamczysko, a o każdym straszna legenda. Przednia straż korpusu Blüchera spotkała silny rekonesans francuzki, i wszczęła się zacięta walka, która przeciągnęła się ku wieczorowi. Pułk w którym służył młody baron i Ernest, trzy razy w dniu tym szarżował; Ernest odniósł lekką ranę pałaszem i przedstawiony został do krzyża.

Słońce schylało się już ku zachodowi, kiedy obaj przejeżdżali pobojuwisko, szukając miejsca gdzie stały ambulanse, a to dla opatrzenia Ernesta. Mnóstwo trupów i rannych okrywało plac boju; młodzieńcy ze wzruszeniem patrzyli na męczarnie tyłu ofiar, kiedy zpoza krzaków doszło ich przytłumione boleścią wołanie:

— Na Boga! dobij mnie! dobij!

Zwrócili się więc w kierunku głosu i ujrzeli oficera od dragonów francuzkich rozciągniętego na ziemi. Ogromne cięcie w głowę otworzyło mu czaszkę; zranioną piersią obficie krew uchodziła, a on ją tamował trawą, którą rwał wkoło siebie. Niemłodyto już był człowiek, wydatnych rysów twarzy, na której dawne blizny widać było. Z rezygnacją starego żołnierza widział zbliżający się koniec; czuł, że ratunek byłby próżny, chcąc więc uniknąć męczarni, wołał, żeby go kto dobił. Na widok téj twarzy konwulsyjnie wykrzywionéj, na to pasowanie się ze śmiercią, zgroza przejęła obu młodzieńców i zaraz baron zawołał na przyjaciela:

— Erneście! sprowadź ambulans.

— Nie tego żądam od ciebie—wołał Francuz—dobij mnie, bo męczarnie cierpię!—Ale młody oficer powtórzył zlecenie przyjacielowi, a kiedy ten pędem poskoczył za wyszukaniem pomocy, baron zsiadł z konia, chustką starał się zatamować krew ranemu, wzywał do cierpliwości i zapewniał, że pomoc niebawem nadejdzie; ale Francuz zdał się nieczuły na to wezwanie, bo kiwnął ręką i rzekł do pochylonego nad nim młodego oficera:

— Słuchaj młodzieńcze! nie pierwszato kampania moja, nie pierwsza i rana: znam ja się na tém; wiem, że ratunku dla mnie nie ma, jeżeli więc masz uczucie ludzkie, uwolnij mnie od cierpienia: błogosławić ci będę.

Wzdrygnął się na to młodzieniec.

— Ja nie kat, nie zbójca—mówił—żebym zabijał bezbronych; ratować cię chcę, ale nie dobić.

— Jakiś ty niewinny!—mówił Francuz — dziesięciubym mózg roztrzaskał, gdyby mnie o to prosili, a ty się obawiasz jednego dobieć! O! gdybyś wiedział, com ja w twoim kraju dokazywał, co ja twoich rodaków na tamten świat wyprawilem; może którego z twoich krewnych.... przyjaciół!.....

Na te wyrazy krew zawrzała w żyłach młodego oficera, miał bowiem kuzynkę, którą kochał namiętnie, a która wpadłszy w ręce Francuzów, w skutek zniewagi jakiej doznała, postradała zmysły. Jak szalony poskoczył do konia, drżącą ręką wyciągnął pistolet z olstra, kiedy go ktoś za ramię powstrzymał. Obrócił się i ujrzał Ernesta, który zdziwiony jego zaognionym wzrokiem:

— Co robisz? — zawołał—ambulans nadchodzi!

Jakoż wkrótce głuchy turkot zbliżającego się wozu i przeciągły jęk rannych zapowiadał nadchodzącą pomoc, i ostudził mściwy zapał młodzieńca. Francuz z uśmiechem prawie patrzył na barona, kiedy dobywał pistolet; ale gdy zobaczył, że Ernest nie dopuścił zbrodni i potem z pomocą chirurgów, położywszy go na noszach, pomagał nieść do ambulansu; wtedy wpadł w wściekłość: lżył, przeklinał Ernesta, a w końcu już leżąc na wozie:

— Bodajes zginął z najdroższej ci ręki!—zawołał i upadł na posłanie, a wóz ruszył naprzód.

Boleśnie wzruszeni, długo w milczeniu jechali oba przyjaciele i późno w noc o tym wypadku rozmawiali. Na drugi dzień ruszyło wszystko naprzód, a w kilka dni później przeszli wielką rzekę i byli w téj Francyi, która tak długo ciążyła nad Niemcami. Co dzień prawie toczyła się walka i coraz w głąb kraju posuwały się ogromne zastępy koalicji; a kiedy z wyniosłości Montmartre ujrzeli Paryż, radość armii pruskiej była nie do opisania: bo oni najwięcej krzywd mieli do powetowania. To téż wódz ich domagał się tryumfalnego wejścia dla wojska swego; a kiedy wspańiałomyślny cesarz Alexander zgodzić się na to nie chciał, wtedy Blücher oświadczył, że jeżeli mu nie dozwolą wejść rogatkami Paryża, wejdzie wylomem przy łunie pożaru. Jeżeli stary wódz upojony szczęściem nie zachował miary w uniesieniu radości, jakież uczucia musiały być młodéj jego armii? Nie dziw więc, że i nasi dwaj przyjaciele upojeni zwycięstwem, w rozkoszach téj nowéj Kapui zapomnieli o drobnym epizodzie rannego oficera dragonów.

Długo gościli w Paryżu, gdzie młody baron odebrał wiadomość o śmierci ojca. Był więc teraz głową rodziny, pociechą stra-

panionej matki, opieką młodszego rodzeństwa; umyślił też opuścić służbę i zamieszkać rodzicielski zamek. Przedstawił to swoje przedsięwzięcie przyjacielowi, i namawiał go, żeby z nim powrócił w rodzinne strony. Ernest pochwalał zamiar jego; co zaś do siebie, jakkolwiek nigdy dawniej o karierze wojskowej nie myślał, teraz, kiedy miał już i stopień i oznakę honorową, nie chciał opuścić służby: bo kiedy dla młodego dziedzica szerokiej fortuny, wojskowość byłaby niejako rozrywką, to syn biednego pastora upatrywał w niej sposób do życia. Z niewypowiedzianym smutkiem usłyszał baron to postanowienie przyjaciela, robił więc co mógł, żeby go nakłonić do wyjścia ze służby, bo do ich stosunków dziecińczych, do koleżeństwa szkolnego, przybył nowy łączący ich węzeł—braterstwo w boju. Długo opierał się tym namowom Ernest, aż widząc głęboki smutek przyjaciela, nabywszy przekonania, że towarzystwo jego było niejako warunkiem pomyślności dla barona, przyrzekł podać się do dymissyi. Po kilku miesiącach pobytu we Francyi opuścili Paryż, a że się rozłączyć nie chcieli z ulubionymi końmi, które ich unosiły wśród niebezpieczeństw, wolno więc podróżowali.

Jednego dnia ku wieczorowi, ujrzeni wśród mnóstwa akacyj wznoszącą się ładną oberżę; stanęli przed nią, żeby dać wypoczynek koniom, i wkrótce przy butelce Johannisberga siedząc przed domem, rozmawiali z gospodarzem oberży. Kampania ostatnia była przedmiotem ich rozmowy, a z toku jęj poznali obaj młodzieńcy, że są gdzieś niedaleko miejsca, gdzie ratowali owego rannego oficera dragonów. Myśl zwiedzenia raz jeszcze placu boju, gdzie Ernest odznaczył się, nasunęła się obu młodzieńcom i zaraz ją do skutku doprowadzili. Wzięli przewodnika, który nie wiedząc, że mówi z naoczniemi świadkami tu zaszłej bitwy, opowiadał im przez drogę najdrobniejsze jęj szczegóły. Po niedługiej przechadzce poznali błonie, na którym pułk ich szarżował; nieco dalej kępę drzew, zpoza których Francuz wywał ich pomocy, a w końcu miejsce, gdzie Ernest przedstawiony dowódcy korpusu dostał pochwałę i zapewnienie nagrody. To wspomnienie wywołało uścisk przyjazny, naturalne przypomnienie niebezpieczeństwa na jakie narażeni byli i strasznego przekleństwa Francuza. Przewodnik choć się z ich mowy mógł domyślić, że byli aktorami w dramacie przez niego opowiadany, ciągnął dlatego narracją, wskazał palcem na wzgórze przed niemi będące i rzekł:

— Tam stały kolumny francuzkie.

Wzrok obu młodzieńców idąc w ślad za kierunkiem ręki, zatrzymał się na niedużym zamku, co zawisł niejako na stromej skale. Promienie zachodzącego słońca łamały się na blaszanym daszku wieżyczki i małych szybach wązkich okien, a herbowna chorągiewka kręciła się za powiewem wiatru. Nie byłato ruina, ale na pustkę coś wyglądało, bo wązka, głęboko wyżłobiona droga wijąca się po górze, w wielu miejscach kamieniami zawalona i cała trawą porośnięta była. Dziedziniec zamku murem był obwiedziony, ale w sklepionej bramie połowa wrót na dolnej tylko wisząc zawiasie, chwiała się od wiatru; szyby okien w wielu miejscach wybite nie odbijały promieni słońca; chwast porastał mur obwodowy, ostry dach budynku świecił gdziegdzie dziurami. w fosach i na blankach pasły się kozy i owce, a dwóch chłopaków, zapewne pasterze tej małej trzody, rozciągnięci na trawie igrali z psami. — Zapewneto ślady ostatniej kampanii—pomyśleli oba przyjaciele, i pytali przewodnika:

— Czyto Francuzi zniszczyli ten zamek? i dlaczego tak dobry budynek, w tak ładnym miejscu dotąd pustką stoi?

— Nie ludzka ręka zniszczyła go—mówił przewodnik;—dzieckiem ja byłem, kiedy zamek był zamieszkały, ale nie mógł w nim wysiedzieć właściciel dzisiejszy, bo straszne w nim rzeczy się działy. Długo nie zważał na to pan zamku, aż kiedy żona jego zachorowała z przestachu, jedyna córeczka konwulsyj dostała; wtedy opuścił piękną naszą krainę i gdzieś w piaskach Łuzacyi zamieszkał.

To wspomnienie o strachach wprowadziłoby każdego w ciekawość, a cóż dopiero ucznia uniwersytetu niemieckiego, co się naczytał fantastycznych powieści i legend, którego ideałem bohaterowie Rozbójników, co sobie wymarzył jakiś świat rycersko-idealny, co strojem dziwnym, miną butną, niby German średniowieczny zda się wyzywać świat cały.

Z zajęciem też oba młodzi wypytywali przewodnika o szczegóły tych nadzwyczajnych wydarzeń; a ten im prawi: że przed wiekami mieszkał tu Widam z Hochbergu, który wróciwszy z krzyżowej wojny, zastał młodą małżonkę, fałszywie uwiadomioną o jego śmierci, żoną innego; a że Widam nie uznawał innej władzy nad sobą prócz Boga, za którego grób walczył w Palestynie, a spory wszelkie mieczem rozstrzygał: niedługo się też namyślał, zebrał wazalów, dobył zamek szczęśliwego rywala,

zamordował go własną ręką, niewierną żonę osadził w więzieniu zamkowym i głodem zamorzył, a potem, jakby na ubłaganie jedynej władzy, która karać mogła potężnego burgrafa, mnichem został.

I odtąd duch nieszczęśliwej ofiary przechadza się po salach zamku; przeciągłym jękiem wzywa pomocy i straszy śmiałków, co tu poważą się zamieszkać.

— Jak zmrok nastaje — mówił przewodnik — nikt się do zamku zbliżyć nie śmie, bo niejednemu na złe to wyszło.

Kiedy to mówił, słońce w tej chwili schowało się za górę, a młodzieńcy uważali, że dwa pastuszki spieszenie zganiaли rozpierzchną trzodę i oglądając się na zamek, zstępowali z góry.

Jakaś myśl szalona przyszła widno obydwom do głowy; spojrzeli na siebie jak ludzie nawykli czytać w oczach swoich, a kiedy Ernest zawołał:

— Słuchaj Wilhelmie! walczyliśmy z ludźmi, ale to nie jednemu przytrafiło się w tych czasach; wojnę z duchami zakończymy naszą karierę wojskową.

— Zgadłeś myśl moją, kochany Erneście — mówił baron — będzie to nowy przedmiot, którym uprzyjemniać będziemy długie wieczory zimowe. Chodźmy do oberży, wybierzmy się jak należy, i noc przepędźmy w starym zamku; zobaczymy, czy wiarołomna żona Widama zaszczyci nas swoją wizytą.

Przewodnik z uśmiechem niedowierzania słuchał rozmowy młodzieńców i szedł za nimi do oberży; ale kiedy stanąwszy na miejscu oświadczyli i gospodarzowi i służbie dziwny swój zamiar, przestach wszystkich był wielki: gospodarz zaklinał obu przyjaciół, żeby zaniechali tej niebezpiecznej wyprawy, a i stary Hanz, dawniej sierżant w pułku huzarów, dziś sługa swego porucznika, ze łzami w oczach prosił go, żeby odstąpił od swego zamiaru. Bo Hanz urodzony w Olbrzymich górach, od dzieciństwa karmiony powiściami o strachach, jak paciérz umiał balladę o złotym osiołku w Kinau i o Kunegundzie z Künastu, i wierzył w to co opiewa, jak w zbawienie duszy. Ale próżne były prośby obu: Ernest kazał przynieść kosz, włożono w niego dwie świece w lichtarzach i dwie zapaśne, dalej zimną kolacją, a kiedy usłużny oberżysta postawił kilka butelek wina, Ernest spojrzął na etykietę:

— Nie tego — zawołał wesolo — przecież zapowiadacie nam odwiedzinę pięknej damy: tuzin więc dobrego *Liebfrauenmilch* włóż do kosza.

Gospodarz westchnął na te niewczesne podług niego żarty; nie uszło to uwagi Ernesta, z umysłu więc dodał:

— Ale może piękne widmo zechce posilić się także żołnierską naszą kolacją? Dla damy trzeba coś słodkiego, a więc *Strohweinu* butelkę jeszcze.

I śmieli się do rozpuku obaj młodzi, a stary Hanz mruczając pod nosem, wkładał do kosza oprócz kolacyi i napitku: dwie fajki i kapszok z tytuniem, talią kart, a w końcu parę pistoletów nabitych; potem wzięwszy kosz, przy bladém świetle letniej zorzy postępowali we trzech ku zamkowi.

Zawalona kamieniami droga w wielu miejscach przykrą była do przebycia; z niemalym téż trudem przeszli ją i stanęli na dziedzińcu. Ernest wziął kosz z rąk starego huzara, który wołałby, jak mówił, uderzyć na czworobok gwardyi Napoleona, jak wejść do tych zaklętych murów. W dużej i wysokiej sieni zapalili świecę, i po kamiennych stromych wschodach weszli na górę; zaraz bez oporu baron otworzył drzwi na lewo, i znaleźli się w dużej sali. Ogromny komin kamienny, cały w rzeźbie, miał nad gzymsami herb poczwórny; wyżej nieco w ścianę wpuszczony portret jakiegoś rycerza: widać krzyżowca, bo na pancerzu błyszczało znamię zbawienia, a przy pasie wisiał różaniec zakonny. Długie pióra szyszaka ocieniały twarz rycerza, a w małym otworze usuniętej przyłbicy świeciło parę ocz jak dwa karbunkuly. Byłeto portret owego Widama krzyżowca....., mordercy..... i pokutnika? Ta myśl nasunęła się obu młodzieńcom; długo téż przypatrywali się téj namiętnej postaci, a potem obszedłszy dokoła pustą salę, weszli do mniejszej nieco, widno biblioteki, bo wokoło były pułki, na nich nieco książek i pargaminów.

— Tu byśmy nocować mogli—mówił Ernest do przyjaciela—ale usiąść nie ma na czém; szukajmy dalej.

I obchodząc wokoło, ujrzeli drzwi wązkie, zaryglowane, które z ciężkością otworzyli; a kiedy przestąpili próg, Ernest podniósłszy świecę do góry:

— Otóż mamy, co nam potrzeba—zawołał uradowany, wskazując na kilka sprzętów stojących w tym pokoju.

Sprzętami temi był stół z czarnej dębiny, misternej roboty, kilka wysokich krzesel z niskim siedzeniem, dalej klęcznik między dwoma wązkiemi oknami, w rogu łóżko na wzniesieniu, bronzową ballustradą otoczone. Wszystko w tym pokoju miało cechę dawności: zbutwiałe obicie gobelinowe przedstawiało jakąś



scenę mitologiczną, na wypukłym suficie błyszcząły złocenia, wpośrodku wisiała lampa metalowa, okna okiennicami starannie zamknięte, sztabami żelaznymi przytwierdzone były. Jakiś zaduch pleśni napełniał pokój; widać dużo dawniej niż reszta zamku miejsce to nie było zamieszkałym. Niemile wrażenie zrobiło to wszystko na baronie, więc radził przyjacielowi szukać innego schronienia; ale Ernest ze wstrętu przyjaciela śmiał się i mówił wesoło:

— Właśnie to miejsce najstosowniejsze do naszej wyprawy; bo te mocno zaparte okna, te sprzęty odwieczne, w końcu nie-tykalność w jakiej dotąd zostały: wszystko mi wnosić każe, że zapewne tu okrutny Widam musiał więzić niewierną małżonkę, a strach lepiej strzegł to ustronie od zniszczenia, niż rygle i zamki. Siadajmy...! śmiało!...

Z utajoną niechęcią dopomagał baron przyjacielowi w ustawieniu stołu, siedzeń, prowizyi; zasiedli naprzeciw siebie, dwie świece gorzały na stole, pistolet spoczywał pod ręką każdego, a oni nalawszy szklanki zanucili hymn burszewski, i dobranemi głosy znane *Gaudeamus igitur* rozlegało się po salach zamku. Któż nie wie, że pieśniami urozmaicają akademicy niemieccy bankiety swoje? To też długo śpiewali obydwaj przyjaciele; po każdej pieśni spełniali kielichy, w końcu na znak braterstwa splekli ręce, a kiedy Ernest wykrzyknął:

— *Schmolis!!!*

— *Fiduit!* — odrzekł baron i wychyliwszy do dna uściskali się.

— Pamiętasz Wilhelmie — wołał Ernest — jak ten utrapiony Francuz, któregośmy ratowali, szereg złorzeczeń, jakimi mnie utraktował, zakończył przekleństwem, żebym zginął z najdroższej mi ręki? Któż więc ma być zabójcą moim? Jużciż nie stary mój ojciec; nie jakaś zdradzona kochanka, bo nasze Niemki czule, sentymentalne, ale nie mściwe; nie ty, mój drogi, boby się wprzód świat skończył, nimbyśmy jako wrogi wystąpić mieli: z czyjjej więc ręki mam zginąć? pytam.

Zamyślił się, a po chwili z wesołością, którą podwajały częste toasty:

— Bierz go diabli! — zawołał — i jego przepowiednie, a my zagrajmy lancknechta.

I tak naprzemian, to rozmawiając, to pijąc, grali.

Po niejakim czasie Ernest spojrział na zegarek:

— Północ dochodzi — zawołał — to godzina duchów; może też przecie pokaże nam się ładna żona Widama.

I odsunawszy karty spartł się łokciem na stole i z fantazyą pijanego wyzywał duchy, przypominał wydarzenia kampanii, rozkosze Paryża, a mowa jego była coraz bardziej przerywana, niektóre wyrazy niezrozumiałe; byłto niejako drugi peryod pijaństwa. Nie uszło to uwagi barona, który, mocniejszą mając głowę od przyjaciela, z przykrością widział, że go przytomność odchodzi; różne mu téż naumyślnie zapytania czynił, na które z początku urywkowo odpowiadał Ernest, potem stopniowo coraz rzadszemi były odpowiedzi, nareszcie żadnych nie odbierał, a baron spojrzawszy na niego widział, że oparł głowę na poręczu krzesła i zasnął. Strach go przejął widząc się sam w tym starym gmachu; spoglądał trwożliwie dokoła, potem świecę objaśnił, pistolet odwiódł i sam z myślami dumał. Cichość panowała wokoło, którą przerywał przyspieszony oddech Ernesta i krzyk nocnego ptaka gdzieś w dali. Baron sparty na ręku nieruchomy siedział, kiedy zdało mu się, że słyszy jakiś szelest w bibliotece. Zimny pot wystąpił mu na czoło; instynkt zachowawczy kazał mu szukać obrony, drżącą ręką sięgnął po pistolet i z bijącym sercem czekał...

\* \* \*

Słońce już było weszło, a promienie jego z ciężkością przebijając gęstą zastłonę zwilżonych rosą gałęzi akacyj, zazierały ciekawie do okna mieszkania gospodarza oberży, w której Hanz i reszta służby oczekiwali powrotu zuchwałych młodzieńców. Powstał téż zaraz skrzętny gospodarz, a troskliwy o swoich gości, poszedł obudzić Hanza i dowiedzieć się, czy wrócił baron z przyjacielem; ale jakież było zadziwienie jego, kiedy odebrał odpowiedź, że ich dotąd nie ma. Zamyślił się nieco:

— Panie Hanz! — mówił po chwili — po smacznej kolacyi i mojem *Liebfrauenmilch* pewnie zasypiają twardo; oj! będą żartować za powrotem z obawy naszej. Ale mniejsza o to, ja tymczasem każe przygotować śniadanie, bo zapewne niebawem wrócą.

I zaraz ruch był w oberży, bo służba miejscowa zajęła się przygotowaniem śniadania dla młodzieńców, a Hanz i towarzysz jego czyścili ulubione wierzchowce obu przyjaciół.

Godziny mijały, wyglądał często ku górze zamkowej troskliwy gospodarz, stary Hanz niemniej niespokojny stał od dwóch godzin z założonemi rękoma i oka nie spuszczał z wijącej się zamkowej drogi, ale kiedy 8ma wybiła, a młodzieńców nie było:

— To coś nadzwyczajnego — zawołał — pójdę do zamku.

Gospodarz dzielił widać jego obawę, bo oświadczył, że towarzyszyć mu będzie; i zaraz Hanz i masztalerz barona przypasali szable, pistolety olstrowe za pas wężknieli, gospodarz wziął stary sztuciec, dwóch hausknechtów, jeden siekierą, drugi widłami uzbroili się i tak ruszyli ku zamkowi.

Przeszli wąską dróżyną, której zakręty znał dobrze Hanz, bo ją już przebywał dwa razy, a kiedy stanęli na dziedzińcu zamkowym, uformowali szyk bojowy: Hanz z pistoletem w rękę i szablą na temblaku szedł w awangardzie, masztalerz i dwaj knechty stanowili korpus, a pochód zamykał przezorny gospodarz oberży. W tym szyku przeszli wschody i zaraz otwarte drzwi na lewo wskazały im drogę poszukiwań. Przeszli więc salę, stanęli w bibliotece; po krótkim przeglądzie Hanz odkrył małe drzwiczki, zakręcił więc klamkę, ale drzwi zaledwie się uchyliły, bo jakiś ciężar wewnątrz zawałił je. Pchnął więc silnie stary huzar, drzwi z łoskotem uderzyły o framugę i zaraz krzyk zgrozy i podziwienia wydali obecni, bo przy drzwiach, nurzając się we krwi własnej leżał zabity Ernest: jegoto ciało zaparło wejście. Na środku pokoju stał stół z resztkami kolacyi, koło wywróconego stołka leżał baron blady, jakby go życie opuściło. Poskoczył Hanz do niego, spojrzał na głowę, potem rozwarł suknie, ale pierś jak i głowa żadnej nie przedstawiały rany; położył rękę na sercu, a kiedy słabe uderzenia przekonały go, że żyje:

— Wody! — krzyknął — wody prędko! to tylko zemdlenie!

I zaraz wszyscy krzatali się koło chorego, trzeźwili go, a kiedy otworzył oczy, stary Hanz boleśnie ręce załamał, bo to był wzrok waryata. Zrobiono naprędce nosze, czterech go dźwigało na nich, a jeden z knechtów biegł przodem do oberży, żeby wysłać po pomoc lekarską i zawiadomić sądową władzę blizkiego miasteczka o popełnioném morderstwie.

Lekarz i urzędnicy sądowi jednocześnie prawie przybyli, a z niemi wielu ciekawych, bo wieść o zaszłym wypadku w zamku rozeszła się po okolicy. Kiedy w skutek puszczenia krwi, osłabiony obfitém jój ujściem chory, usnął, urzędnicy sądowi udali się do zamku, i tam, obejrzawszy ciało biednego Ernesta, przekonali się, że kula weszła prawym bokiem, przeszła serce i strzaskała rękę, ale nic im nie wskazywało mordercy. Czekali przebudzenia chorego, żeby się od niego o prawdzie dowiedzieć.

Ku wieczorowi obudził się, spojrzął spokojniejszym wzrokiem na siedzącego koło łóżka Hanza, a kiedy doktor wchodząc otworzył drzwi, chory widząc w przyległym pokoju dużo ludzi, pytał, co był za powód tego zbiegowiska. To zapytanie upewniło doktora, że zmysły odzyskał, i pomatu, z obawy powtórnego ataku uwiadomił go, że żądają od niego zeznania o strasznym wypadku, który go o zemdlenie przyprzewodził. Chwilę pomyślał chory, a potem najprzyciemniej prosił, żeby wprowadzono członków sądu i obecnych. Zaraz napełniła się sypialnia, a on zaczął od znanych nam już wypadków, to jest epizodu oficera od dragonów, dalej wyprawy do zamku, potem kolacyi, pijatyki i snu Ernesta.

— Siedziałem tedy strachem przejęty — mówił baron — fantastyczne widziadła przesuwaly mi się w myśli, i kołysany dziwnym jakimś marzeniem, usnąłem. Nie wiem jak długo trwało uspienie, kiedy zdało mi się, że słyszę szelest w bibliotece, potem stapanie, a po chwili postać wynędzniała, blada, nihy zagłodzona żona Widama, ukazała się na progu. Twarz miała zapadłą i gorączkowy wzrok dziwnego był blasku, a nieruchome oczy zdały się z ciężkością mieścić rozwarte powieki. Sznur pokutniczy opasywał ją, i suknia była zakonnego kroju, a włosy w nieładzie okrywały ramiona. Wolno zbliżyła się do stołu, jedną ręką wzięła świecę, drugą dotknęła mnie po ramieniu:

— Chodź za mną! — rzekła. — Ja, jakby pchany nieznaną potęgą, nie szedłem, ale sunąłem raczej w ślad za nią. I tak przez puste sale i krużganki spuściłem się na dół gdzieś w lochy podziemne, które przebywszy znalazłem się w grobach zamkowych. Postać w bieli podniosła świecę do góry, a ja ujrzałem dużo wspaniałych trumien rzezbą i złoceniem błyszczących; potem wywiedłą ręką wskazało mi widmo jedną na boku stojącą, skromniejszą od innych; zbliżyłem się do niej, postać biała zrzuciła wieko, a ja ujrzałem owego oficera dragonów. Też same rany, to spojrzenie straszne; powstał z trumny:

— Poznajesz mnie? — zapytał grobowym głosem; a wylekły wzrok mój musiał wymownie mówić, że go poznaję, bo po małym przestanku: — Nie chciałeś mnie dobić!... — wołał — wahałeś się!... a wiészże kto ja jestem?... Jam uwodziciel twojej narzeczonej, teraz waryatki, ...szalonej!... — I śmiech piekielny wyszedł ze zranionej piersi Francuza. Krew mi się ścięła w żyłach na to wspomnienie, chciwy zemsty podniosłem pistolet, ściągnąłem cyngiel!...

i zaraz huk wystrzału wstrząsnął sklepienia starego zamku i zbudził mnie z uspienia. Błędni oczyma spojrziałem przed siebie; jakż widok, o Boże! uderzył oczy moje! Przedemną był Ernest blady, skrwawiony, z wysileniem tulił pierś zranioną, chwiejącym krokiem zatoczył się po pokoju, i głosem, którego nigdy nie zapomnę:

— Sprawdziło się przekleństwo!—zawołał i upadł nieżywy, a mnie zmysły opuściły i nie wiem, co się dalej stało...

Tu przestał, niespokojnie patrzył na obecnych. Doktor i Hanz zbliżyli się do łóżka.

— Kto mnie tu przyniósł?—pytał —gdzie ja jestem?... co wy za jedni?...—wołał nieszczęśliwy, i szalony wzrok wiódł dookoła. Potém z krzykiem przeraźliwym wyskoczył z łóżka, a gdy go pochwyciono, to gryzł, drapał przytrzymujących, że go aż związać musieli.

Opowiadanie tego niewinnego morderstwa było jedyną chwilą przytomności dla nieszczęśliwego młodzieńca; odtąd szaleństwo go nie opuściło i w tym opłakanym stanie zawieziono go do rodzinnego zamku, gdzie starania doktorów tyle mu ulgi przyniosły, że z szalonego został nieszkodliwym waryatem.

\* \* \*

W roku 1836, to jest w lat blisko dwadzieścia trzy po tym wypadku, interesą handlowe zawiodły p. Augusta K... do domu barona F..., brata i spadkobiercy nieszczęśliwego zabójcy Ernesta; a że już od lat kilku pan K... bywał w okolicy, gdzie mieszkał baron F..., słyszał więc nieraz opowiadaną tragiczną historią starszego brata jego; nigdy jednak z nim o tém nie mówił, nie chcąc odnawiać bolesnej rany.

Zwykłe odwiedziny pana K... były w zimie, jako porze wyróbki drzewa; kiedy jednak skończył się kontrakt, a baron nowe czynił propozycje, przybył w lecie i dłużej jak zwykle gościł. Z chępliwością właściciela oprowadzał gospodarz gościa swego po ogrodzie, który był i ładny i obszerny, i opowiadał projektowane upiększenia, a słuchający unosił się nad pięknymi widokami i staranném utrzymaniem parku. Tak rozmawiając doszli do miejsca, gdzie ogród z lasem się stykał, a pan K... widząc wznoszący się mały pawilonik osnuty pnąciami krzewami, nie mógł po dziwienia swego ukryć, że tyle razy bywając w domu barona nie wiedział o jego istnieniu; pytał więc ciekawie, przez kogo ten ładny domek zamieszkały? Ale baron niechętnie i krótko odpowie-

dział na to pytanie i zwrócił kroki w inną stronę. Zastanowiło to pana K...; wniósł, że zapewne to miłe ustronie kryje skarb jaki, którego strzeże zazdrość barona. Przez delikatność nie zadawał mu więcej pytań i w milczeniu szedł obok niego po ścieszcze, wijąc się pomiędzy cienistemi klombami. Na jednym zakręcie, o kilkanaście kroków przed nimi stał wiąz ogromny, a pod jego cieniem siedział ktoś pochylony i kijkiem kreślił drogi po drobnym piasku. Na ten widok, dziwne jakieś wzruszenie wystąpiło na twarz barona, wahał się czy ma iść naprzód; ale jedyna ścieżka tuż koło drzewa przechodziła; niepodobna było ominąć go.

W milczeniu szli tedy obydwaj, a pan K... miał czas przypatrzeć się siedzącemu pod drzewem. Byłto człowiek średniego wieku; długa broda i ogromne wąsy zakrywały mu połowę twarzy, na nisko ostrzyżonej głowie kaszkiecik wojskowy spoczywał, a na ramionach miał dołman huzarski suto wyszywany. Siedział na darniowej ławce, i, jak mówiłem, coś po piasku kreślił. Tuż za nim, z rękoma założonemi stał starzec barczysty, czerstwy; długie wąsy i starannie uczesane faworyty jak śnieg były białe, a wysokie czoło zmarszczkami i blizną miał zorane. Za zbliżeniem się barona podniósł rękę do furazerki, wyprostował się, wzrok wlepił w niego i w tej postawie czekał widać zapytania; a kiedy baron postępując spieszenie:

— Jak się ma?—spytał, wskazując głową na kreślącego po piasku.—„Spokojny” była krótka odpowiedź, i nie zmieniając postawy stał nieruchomy starzec. Po chwili siedzący pod drzewem podniósł głowę, niespokojny wzrok zatrzymał na baronie.

— A cóż Karl?—zapytał—kiedy przyjedzie? powiedz mi.

— Niebawem, mój drogi, niebawem—mówił baron.—Pisze mi, że go interesa zatrzymują w Berlinie, ale teraz już je załatwił; przybędzie uściskać cię.

Radość wystąpiła na twarz pytającego, zerwał się z ławki, zwrócił się do starca.

— Słyszysz!—zawołał. — Wraca!... mój drogi Ernest wraca!... A więc to nieprawda co mówili, że zginął, że go zabił przyjaciel.... O! pójdziem znowu do wojska... dzielny Blücher poprowadzi nas... zdobędziem Paryż... pobijem Francuzów....

I kijkiem, niby pałaszem wywijając, potem kaszkiecik na ucho nasunął, i nastroiwszy żołnierską postawę, maszerował. Starzec nawykły do tego widoku, badawczym okiem śledził kroki jego; baron boleśnie westchnął i odwrócił głowę, a pan K...

patrzył z politowaniem na biednego maniaka. Krótka była chwila wesołości, bo zaraz usiadł, głowę na pierś opuścił, chwilę podumał, a potem dziwnie dźwięcznym głosem zanucił pieśń jakąś, ale tak smutną, że baron wzruszony uchwycił za rękę gościa swego:

— Chodźmy — zawołał — nie mogę znieść tego śpiewu! — I szli spiesznie w milczeniu, dopóki smutne tony słyhać było; a kiedy z oddaleniem ucichło śpiewanie, baron stanął, pot z czoła ocięrał, a potem odwracając się do towarzysza przechadzki:

— Wiészże pan, kto ten nieszczęśliwy? — pytał.

— Domyślam się! — odrzekł zapytany.

— A więc znana panu oplakana historia jego?

— Opowiadano mi ją ze wszelkimi szczegółami; nigdy jednak panu o tém wspomnieć nie śmiał.

— Od lat już dwudziestu kilku — mówił smutnie baron — jest on w tym stanie obłąkania, a ja jednak oswoić się nie mogę z tém nieszczęściem. Ile razy mnie widzi, zawsze pyta o przyjaciela, ja mu odpowiadam, że przybędzie; wtedy przychodzi chwila pociechy i radości, jakiej pan byłeś świadkiem, a potem jeszcze cięższy smutek, zawsze zdrowiu jego zgubny. To też doktorowie każą unikać mi widzenia się z nim i ztąd wahanie się moje, kiedy go ujrzał siedzącego pod drzewem. Polubił on ten mały pawilonik, który zwrócił pana uwagę; w nim też go umieściłem ze starym sługą, który go nie odstępuje.

— Ten stary — pytał pan K..., — czy to nie ów sierżant, o którym powiadają, że go znalazł zemdlonego w owym nadreńskim zamku?

— Onto, on — odrzekł baron — jedyna to istota, którą lubi i której słuca biedny Wilhelm; to też jak stary zachorował przed kilką laty, brat mój widząc się pozbawionym jego towarzystwa, wpadł w wściekłość i w tym stanie zostawał, póki nie wyzdrowiał chory. Ależ poczciwy Hanz już bardzo stary; jak mi go braknie, nie wiem doprawdy, kto mi go zastąpi.

I smutny, długo w milczeniu postępował baron, a potem zawołał z żalem:

— Mój Boże! któżby mógł myśleć, że uczucie ludzkości, że niesiona pomoc cierpiącemu, będą nagrodzone takim upośledzeniem moralném!... taką męczarnią!...

Ale tajemne są sądy Boskie, a nam z pokorą należy przyjąć Jego wyroki.

S. K.



# LATOPIS MIASTA ŻYWCA,

WIADOMOŚCIĄ HISTORYCZNĄ O SZLĄZKU, A W SZCZEGÓLNOŚCI O KSIĘZTWACH OŚWIECIMIE I ZATORZE

POPZEDZIE

*Stanisław Krauss.*

(Dokończenie).

---

*4. Stanowcze oddzielenie Oświęcima i Zatora od ziemi cieszyńskiej. — Nieprawość a swawolność książąt oświęcimskich, zatorskich i toszczyńskich. — Anarchia w Oświęcimie. — W Polsce jako w państwie nadzieja porządku i bezpieczeństwa. — W zajązdach pierwszy początek i powód połączenia Oświęcima, Zatora i Żywca z Polską napowrót.*

Po zejściu r. 1344 Jana oświęcimskiego, scholastyka kapituły krakowskiej, który pierwszy, jak się zdaje, kościelne sprawy w ziemi oświęcimskiej uporządkował, objął Kazimierz III książę cieszyński, Oświęcim, a r. 1345 oddał go synowi swemu Janowi II.

Małżonka Jana Salomea de Reus et Sonneberg opuściła r. 1384 nierządnie żyjącego księżęcia, który jęj uczynił zapis *dotalicii nomine* 5000 grzywien groszy pragskich na mieście Zatorze, na warownym grodzie Wołek, na wsiach: Spytkowice, Przepiszów i Przewóz, ubezpieczonych (1).

(1) Sommersberg T. III.



Jan II nadał także dziesięcinę mucharskiemu probostwu, a zeszedł ze świata r. 1402 (1), w którym Oświęcim znów odpadł do Cieszyna, gdzie wówczas Przemysław albo Przymko po skonie Kazimierza III r. 1356 rządy sprawował.

Przemysław podzielił się r. 1357 z bratem swym Konradem księżciem na Olszy, spuścizną po Bolesławie Kozlickim pozostałą tém prawem, aby Konrad Kozle i połowę Bytomia posiadał, połowa zaś wtóra ziemi bytomskiej, dalej Toszcz i Gliwice, miała do niego należeć. Córkę po nim pozostałą mieli wspólnie 3000 grzywnami srebra uposażyć, zagodziwszy także wierzycieli zeszłego księcia (2).

Przemysław otrzymał za wierne swe usługi około królów czeskich: Jana, Karola IVgo i Wacława: Falkenberg, Neusztadt i Grolków, a po śmierci brata swego Wielki Głogów. Wziął także od Spytka wojewody krakowskiego, Orlów i Górz w zastaw.

Podzielił dzierzawami swemi dwóch synów: Bolesław objął Cieszyn, Wielki Głogów, Górów i połowę Bytomia; Przemysław zaś posiadał Oświęcim, Zator, Kenty i Żywiec.

Młody Przemysław chcąc na leciech zeszłego i chorobą złożonego ojca Przymka, którego lud od noszów, na których go noszono, Noszakiem nazywał, na Nowy Rok 1401 nawiedzić; został, przejeżdżając przez las gliwicki do Cieszyna, od sześciu zbójców pod hersztem Maciejem Chrzanem szlachcicem z Czech, z naprawy Janusza mistrza, księcia raciborskiego, zdradą zabitym (3).

Tenże Janusz, człowiek okrutny, a w Czechach dla usług świadczonych Wacławowi IV znieprawiony, pełnił na Karlsztynie urząd burgrabiego. Janusza tedy siostrę (4) pojął był za żonę Bolesław, syn Przemysława starego, i zapisał jęj na dożywocie Oderberg. Dowiedziawszy się jednakże o jego okrucieństwach w Czechach Bolesław, rozwiódł się z Małgorzatą nie chcąc być pokrewnym oprawcy (5). To dało powód, że Janusz mistrz żywo dotknięty zniewagą tą, a przeniesieniem składu solnego

(1) Sommersberg T. III, p. 335. (2) Sommersberg T. I. p. 805.

(3) Długosz, a po nim w wyjątkach Kromer i Bielski opisują obszer-  
nie ów napad zbójcki, jako też rodzaj wymierzonej kary.

(4) Gebhardi: Genealogie T. III, str. 88.

(5) Właściwa zaś przyczyna, że była niepfodną. Gebhardi Genea-  
logie T. III.

z Raciborza do Cieszyna, mniemając się być w prawie swoim nadwierzonym, w zemście się zanurzając, nasadził Macieja Chrzana właściwie na Bolesława, lecz Chrzan o śmierć Przemysława przypawił.

Jeden tylko dworzanin ratował się ucieczką i smutną odniósł wieść staremu księżęciu Przymkowi, który nie spoczął piérwój, póki Macieja Chrzana nie dostał pod moc swoją, i na nim krzywdy syna swego nie pomścił.

Za wielkim zachodem bowiem dowiedziano się o ukryciu Chrzana w zamku morawskim jednego z panów przedniejszych; jedni mówią, że to był Stary Tyczyn, drudzy, że Hellsztyn. Tam czatował na niego dworzanin, wysłaniec księżęcy w 60 koni, i zniósłszy się z załogą, Chrzana na polowanie wywabionego, pojmał i do Cieszyna odstawił.

Rodzaj kary wymierzonej na Chrzana, może dać miarę o wyobrażeniach owoczesnych o wymiarze sprawiedliwości.

Przymko kazał ukuć konia z blachy, wewnątrz ogień rozniecić, a na rozpalony koń onego zbójcę posadzić, aby sobie tył i nogi piekł. Tak sprawionego oprowadzało czterech oprawców po całym Cieszynie, a przy każdym rogu ulicy wrywano mu rozżarzonemi klęczkami mięso z brzucha i plec, dopóki wśród tych katuszy nędznego ducha swego nie wyzionął.

Między Przymkiem a Januszem stanął pokój r. 1407, a r. 1410 (1) umarł Przemysław Stary.

Janusz zaś walczył z własnej woli w rycerstwie polskiem przeciwko Krzyżakom r. 1414 (2). Poprawiwszy żywota swego fundował kościół kollegialny w Raciborzu r. 1416, a w pokorze i w pokucie przed r. 1428 Bogu ducha oddał.

Zamordowany książę Przemysław oświęcimski pozostawił małżonkę Jadwigę, księżnę z Brzegu, z małym synem Kazimierzem, który Oświęcim odziedziczył. Odtąd ziemia oświęcimska nigdy nie przeszła więcj do Cieszyna.

Kazimiérz uczynił zapis ojcu Maciejowi oltarzyście w Zatorze do Wniebowstąpienia N. M. P. 5 grzywien srebra, które z Żywca brano. *De dato in festo post natiuitatem B. M. V. 1432* (3).

(1) Gebhardi: Genealogie T. III, str. 110.

(2) W aktach dekanatu żywieckiego w odpisie.

(3) W aktach kościelnych dekanatu żywieckiego.

Zrzekłszy się swych praw do cieszyńskiej ziemi r. 1414, którą objął Bolesław, syn starego Przymka, Strzełę sprzedał, a sam poległ w bitwie pod Rybnikiem r. 1433, którą Bolesław opolski i Mikołaj raciborski, o graniczną sprawę spór tocząc, zwiedli, a gdzie księżę raciborskie na placu się ostało.

Synowie Kazimiérza objęli na się dzierżawy tém prawem: że Przemysław Toszcz i Żywiec, Waclaw Zator, a najmłodszy Janusz Oświęcim i Kąty odziedziczył. Krom tych trzech synów, miał Kazimiérz córkę Zofią, którą poślubił Victorynus opawski księżę, r. 1450 (1).

Księżęta rozwiązyły wiodąc żywot, za nic sobie wając prawa Boskie i ludzkie, a wojując także z kościołem, exkomunikowani, podkopali z gruntu powagę prawa w dzierżawach swych, sprowadzili anarchią, a z nią dając Polsce, jako państwu, powód przywrócenia powagi prawa i bezpieczeństwa, utracili pierwsi z Piastów szlązkich ziemie swe, a ztąd zniweczyli nawet możność istnienia dalszego familii swojej.

Jakoż zaledwo objęli dzierżawy swe księżęta oświęcimskie, a już ciż wplątali się do siewierskiej wojny z kardynałem Zbigniewem Oleśnickim biskupem krakowskim.

Waclaw bowiem, syn Bolesława cieszyńskiego, objąwszy Cieszyn r. 1442, sprzedał księstwo siewierskie małoletnim braciom jego należące, za zezwoleniem matki Eufemii Zbigniewowi biskupowi za 6,000 grzywien srebra r. 1445. Jednakże księżęta Mikołaj raciborski i Bolesław opolski sądząc, że małoletnim dwom księżętom, Przemysławowi i Bolesławowi krzywda się dzieje, starali się kupno ono unieważnić. Księżęta oświęcimskie zgadzając się z nimi na to, wyruszyli do Siewierskiego, chcąc biskupowi zabronić posiadania. Biskup zaś wysłał podkomorzego Piotra Szafranca, aby się mocą w posiadanie wdarł.

Gdy tedy tak w Polsce jak w Szlązku łupiono i kraj niszczone, stanęła wreszcie ugoda w Głogowie r. 1445 między Bernardem i Bolesławem opolskim z jednej, a Zbigniewem biskupem z drugiej strony. Jednakże pokoju nie przywrócono, kiedy po dwukrotnie powtórzonej ugodzie, dopiero r. 1447 godząc się księżęta: opolskie, raciborskie, cieszyńskie i oświęcimskie stanowią, z zastrzeżeniem sobie sądu króla Władysława na przypadek powrotu z wyprawy, aby wspólne sądy w Skawinie

(1) Gebhardt: Genealogie T. III, str. 108.

z polskiej, a w Oświęcimie z szląskiej strony, skargi i spory rozstrzygały. Zgodzono się także na główną zasadę wydania tak łupieżców, jako téż łupów; również na to, aby książę Wacław r. 1447 z własnego zagodził młodszych braci, poczem ci 17 lutego t. r. odstąpili (1).

Podczas tych rozruchów złupiono krakowskich kupców, z wrocławskiego targu na św. Jan powracających, w ziemi oświęcimskiej na 2,000 złp. Winowano wtedy o to księcia Janusza.

W czasach tych niespokojnych jednak szerzyło się osiedlanie Niemców w ziemi zatorskiej, a książęta udzielali gminom miejskim i osadom prawa niemieckie. Dyplomata te poczynszy od drugiej połowy XIVgo wieku są już w ziemiach szląskich niekiedy w niemieckim pisane języku.

Od księcia Przemysława dostąpiło Żywiec miasto odnowienie przywileju r. 1448, gdyż dawniejszy zabrali nieprzyjaciele z sobą do Lednicy, zamku zbójeckiego w górach Bielawach, między Trenczynem a Morawą położonego. Ztamtąd bowiem wypadali pod koniec XIVgo wieku w czasach zajazdowych dwaj bracia Ryczo i Hync (Henryk) łupiąc na Szlązku i Morawie miasta i wsie; podobna tedy przygoda padła na Żywiec.

Przywilej ten, dający dokładne wyjaśnienie stosunków miejskich, jest co do treści jak następuje (2).

(1) Sommersberg T. III, mant. dipl.

(2) Dyplom ten znajduje się w aktach magistratu żywieckiego. Privilegium. Wir Primislaw Herzog zu Auswitz und Herre zu Tost, bekennen offentlich mit diesem Briff allen und jeglichen, die ihn sehen, oder hören, lesen, dass zu uns kommen seynd, unsere getreuen lieben Inwohner unsrer Stadt Seubusch, die gauze Gemeind arm und reich, und haben unterrichtet und vorgelegt, wie dass ihnen ihre Handschrift durch Feinde genommen ist auf die Lednic, dessen uns laut der obigen Handfeste Wort zu Wort eine Ausschrift gezeigt haben, die wir verglichen, gesehen und gehört haben. Nun haben wir, obgenannter Fürst und Herre ihre fleissigen Bitten und getreuen Dienste angesehen, die sie uns manigfaltiglichen gethan haben, und ihnen die Handfeste auf die obengenannte unsre Stadt Seybusch in Kraft und Macht dieses Briefes erneuert, und bestätigten nach der Ausschrift der alten Handfeste Wort für Wort bedeutendlichen. Also dass wir obgenannter Fürst und Herre geben und erlauben den obgenannten Bürgern und Inwohnern zum Seubusch unsern getreuen lieben alle Stadtrecht, mit allen ihren Rechten und Genüssen Nutzbarkeiten, Fruchtgenussen mit allen Zugehörungen, mit welchen Worten sie genaunt werden mögen, zu haben, zu halten, zu genüssen, und mit gerublichen Rechten zu besitzen in allem dem

Dozwołił miastu wszelkich praw miejskich, z wszystkimi prawami używania i pożytkowania wszystkich przynależności, jakiemiby tylko słowy mogły być objęte, a to w téj saméj rozciągłości i znaczeniu, w jakim miasto stołeczne jego Oświecim te prawa używa i użytkuje.

Nadał miastu siolo Kabat z lasem miejskim wraz z przynależnościami, w granicach między dwiema rzekami, Kimlichowicą i Sienną położone, w którym siec, paść, rznąć i rąbać mogą, ile im się podoba. Pozwołił także miastu w środy i piątki w rybnikach książących ryby łowić, dla stołów swych.

Ustanowił, aby ani wieśniak, albo inny wolny, ani sołtys, nie trzymali ze szkodą miasta w obrębie jednéj mili: krawca, szewca, rzeźnika, piekarza lub słodownika; aby nikt po wsiach lub w okręgu żywieckim mytów nie zakładał, lecz wszystko niósł i prowadził na targ do miasta; aby wszelkie kary i cięża, tak jak

Mass und Gestalt, als unsre Hauptstadt Auswicim hat und besitzt in allen Maasse geniessen und gebrauchen ganz und vollkomentlichen Niss-Recht aufs zu neuem verliehen. Verleihen wir der obgenannten Stadt Seubusch den Flecken und Winkl genant Kabath mit Burgerwald in seinen Gränzen gelegen mit ihren Zugehörungen, zwischen den zween Flüssen, namlich Kimlichowic, und Schenna bis zu den vordersten Laiden, den die obgenannte Stadt Seybusch, und alle Inwohner daselbst von Alters bis jezt, und von Alters vergangenen Zeiten gehabt haben und daher gehalten haben, und der vorgenannte Winkl Kabath mit dem Walde, in sein jetziglichen Aren und Rainsteinen soll seyn, also dass niemand sie daran hindern soll im Genusse. Auch verleyhen wir obgeschriebener Fürst und Herre arm und reich, dass sie ohn allen Einspruch und Wiederrede grasen, weiden, schneiden, hauen gemeinlich sollen und mögen. Auch verleyhen wir der obgenannten Stadt Seupusch und Inwohnern, dass sie frey an Freytagen und in der Mitwoche sollen in unsern Wasser fischen zu ihrem Tischen. Auch verleyhen wir der obgenannten Stadt Seupusch den Viechweg zu schücken, zu enden und zu machen, als von ihren Viehwegen eigen und frey, so viel als sie mögen und wollen. Auch verleyhen wir vorgenannter Stadt Seupusch, dass kein Landmann oder sonst gemeener Herre und Schultheiss wider die Stadt nicht soll halten keinen Schuster, Fleischer, Schneider, Bäcker, Kratschem, Malzmaacher, das gut wäre darinnen, mit allen Rechten einer Meile. Auch verleihen wir obgeschriebener Fürst und Herre der Stadt Seupusch, dass niemand in den Dörfern weder in dem Lande und Gebieth Seupusches keinen Mauth nicht soll machen noch halten, sondern zum Markte führen und tragen in die Stadt Seupusch. Auch verleyhen wir der Stadt Seupusch und geben mächtiglichen zu thun und zu lassen alle Stadt-Busse, und Errungen, als die obgenannte Hauptstadt Auswicim oder die andern Staedte haben, zu nehmen und anwenden an der Stadt Beste. Auch verleihen wir der Stadt Seupusch

w książęcém mieście Oświecimie ku dobru i pożytku miasta obrócone były. Pozwolił miastu, mieszkańcom i mieszczanom na dziedzictwie i ziemi swój rybniki i ogrody zakładać, i pożytek, jakiby jeno wymyślić mogli, z wszech rzeczy ciągnąć; takż pozostał miastu, wszystkim i każdemu z osobna, używającemu praw miejskich, wolną moc urządzania myta; odpuścił téż miastu ku mnożeniu szczęścia i powodzeniu dusz, poduszne. Nakoniec najtłaskawiej nakazał, aby ani wieśniak, albo mieszczanin, ani gospodarz, albo gość, bądź swój, bądź obcy nie mogli być przyjęci do innéj gospody, albo domu innego, nie zapłaciwszy lub nie ugodziwszy się wprzódy za to, co w innéj spożytkowali.

Dla bezpieczeństwa i mocy tego pisma dodano pieczęć książęcą.

Pisano w Toście i Oświecimie w dniu po narodzeniu Najświętszój Panny r. 1448. Przytomni temu byli: Czaków z Płotnic, marszałek; Adam Kyczka; Krzysztof de Zommentig, Żegota ze Słupska; Mikołaj z Czechowic; Herrmann z Chotulin, i Michał z Raciborza, pisarz nadworny.

und Inwohnern und Bürgern, dass sie ihre Erbe besser machen, und zu bereiten mögen, mit Teichen, Hofstätten und andern Genussen und Vogtbarkeiten, und alles was sie zu ihrem Nutzen auch Genussen mögen auserdenken. Auch verleyhen wir der Stadt Seupusch allen und jeglichen, die so das Stadt Recht gebrauchen mit allen ihren Gütern und Habe an Zoll hin und wieder eine freye Macht; auch zu einem ewigen Seelgeräthe, und möglicher Mehrung unserer Seelen Seligkeit und Schicksal in unsrer genannten Stadt Seupusch lassen wir frey und ledig. Auch verleyhen wir der Stadt Seypusch drey Tischheller von dem S... hauern, dass sie mit denen Wäge, Stege, Brücken, Stangen ewigen bessern. Zulezt verleihen wir obbeschriebener Fürst und Herre der Stadt Seupusch, dass je kein Landmann, Bürger, Gastwirth oder Gast, er sey Inwohner oder Ausländer, in keine gemeine Herberge genommen, Geld verzehren und nicht bezahlend er in eine andere Herberge käme oder eingehen wolle, so verbiethen wir und wollen gnädig, dass keiner einen solchen in sein Haus aufnehmen wolle, wenn er noch gut machen kann, so lang bis das vorige wird bezahlt seyn, und ihm genug geschehe. Darumb wir obgeschriebener Herre und Fürst, dass dieser Brief Sicherheit habe, unser fürstliches Amtsigel, und Bekenntnuss zu diesem Brief lassen anhängen. Sigillirt und geschrieben zum Tost und Ausweim nach Nativ. Mariae im tausend vierhundert vierzig und achten Jahr. Dabey seynd gewesen unser getreuër lieber Tschokof v. Plotnic, unser Marshal. Adam Kyczka von Plausnig; Christoph v. Zommentig; Żehota von Słupsko; Nikiel von Tschechowic Herrman von Chotulin, und Michal von Ratibor unsers Hofes Schreiber, dem dieser Brief von uns befohlen war, und den wir hiemit firmirt haben und extradirt.

R. 1449 sprzedaje Waclaw oświecimski ksiązę, opatowi tyńnickiemu poradne i krowne z niektórych wsi zatorskiego księztwa. W tymże roku Przemysław, Waclaw i Janusz ksiązęta uwalniają dzierzawy opactwa tyńnickiego od wszelkich ciężarów: „Wolne są a *stationibus, et quibuscunque exactionibus, vulgo pomocne ac wojenne, ab omni jure ducali, Dacia, tributo, Suffragio, nec non a Crowne, poradne ac wojenne.*“

Wsie należące do opactwa Benedyktynów tyńnickich były w ziemi zatorskiej następujące: Turza wieś, Jurczyce, Polanka, Łącze (Lincze) wielkie, Łącze małe, Kleczu połowa należała do opactwa, a druga miała dwóch sołtysów szlacheckich Korczaków, z którymi klasztor w XIVtym wieku długie wiódł spory. Rybołówstwo i bobry w rzece Skawinie należały także do zakonu (1).

Już wtedy, a nawet może o dwa wieki wcześniej, stało gospodarstwo w ziemi zatorskiej na tym samym stopniu, jak dzisiaj; z tą różnicą wszakże, że dzisiaj poznikały już barcie, bobry, a sokoły do polowania wprawne. Takoz o kopalniach ołowiu, i o innych kruszcach, które dawniej dobywano, nie ma teraz ani śladu (2).

Prawie pomimo woli swojej wciągnięte zostały ksiązęta w wojny z Polską i najazdy nieustanne, a to z następnej przyczyny.

Dierzsław herbu Radwan, mając spadek niemający po wuju swym Wojciechu arcybiskupie gnieźnieńskim, przyjął kilka rot jazdy i piechoty, zamysły swe tając; pozwan od króla Kazimierza o powód uzbrajania, odpowiedział, że nic przeciwko ojczyźnie wszczynać nie myśli.

Jakoż nagle wieść się rozchodzi o najściu nocném warownego Zatora; jako do twierdzy, po kamieniach przed murami nawalonych wdarł się, a nie znajdując oporu miasto złupik, bo się wcale na pokoju ubezpieczano r. 1438.

To Dierzsław na Zatorze wskórawszy, w piérwszym zapędzie naszedł Berwald i Lanckoronę, a w niebytności załogi, bo na czaty zbójeckie była wyszła, wziął oba zamki, kraj cały ztamtąd aż po rzekę Białą łupiąc.

(1) Szczygielski: *Tinecia seu etc. Ex authentico libro Benef. Cracov. dioec. p. 148, 176.*

(2) Dyplomata w zbiorze Sommersber. umieszczone str. 807, 808. T.I.

Wtenczas Janusz ksiązę oświęcimskie ściąga do siebie zbrojne hufce Gielsa i Skrzyńskiego, którego był Berwald i gród Turzec, napada nocną porą na Dzierzława nad Solą, u Siewiora obozem rozłożonego, i do uciezki przywodzi. W Krakowie oddał potém Dzierżek królowi Zator i Berwald z tém, aby mu 1,000 grzywien srebra za straty zwrócono.

Król wysłał tedy podkomorzego Szafranca dla zajęcia Zatora i Berwaldu, lecz ksiązeta oświęcimskie założyli protest przeciwko temu, a król nie chcąc wojny z Czechami, jako panami lennemi Oświęcima, dał moc Szafranowi, aby ugode z Oświęcimm zawarł, wedle której złożyć mieli ksiązeta 2,000 złp., poczém do ich rąk, a osobliwie do Wacława Zator i Lanckorona powinny powrócić. Berwald jednak, gdzie był stek rozbójców miał królowi puścić, i być z bracią swą młodszą, Przemysławem i Januszem, hołdownikiem króla polskiego.

Ta wymuszona ugoda i najazdy Dzierzka Rytwiańskiego stały się powodem ksiązutom oświęcimskim do najazdu Podgórza krakowskiego. Przemysław bowiem z Toszczu i Janusz z Oświęcima wywiedziawszy się, że zaraza morowa, która r. 1452 (1) Wielkopolskę nawiedziła, także na Podgórzu szerzyć się poczęła, a ktokolwiek może z życiem uchodzi: zebrali 900 zaciężnych, jezdne i piesze, i pomknęli się przez Skawinę do Myślenic i Wieliczki. Sprzymierzona zaś z niemi Skrzyńskiego banda złupiła klasztor Cyżyce aż ku Szońcowi podchodząc.

Wielkie oni łupy z sobą z wyprawy téj uprowadzili, bo wtenczas dwory szlacheckie opuszczone, bez obrony stały otworem. O czém, gdy wieść do Piotra Szafranca doszła, że najezdniczy owi nim obmawiali się, uprosił króla, by mu zatargi one na rzecz własną oddał, nie mieszając się w nie, by na Polskę wojny nie ściągać: co téż król uczynił. Szafraniec zebrał tedy 500 ludzi, wyruszył do Osieka, a na wzgórzu przy folwarku Malcu na Bendzinie okopami zabezpieczywszy się, po oświęcimskiej ziemi wojnę roznosząc, aż pod bramy miasta Oświęcima podstąpił, póki mu Janusz nie przyrzekł, krom dawnych 2,000 złp. dopłacić jeszcze 800 za szkody.

W takim więc ciężkim razie postrzegłszy się ksiązeta, opamiętali się, i o pokój traktowali z Szafranem. Ten zaś położył im nad wszém, aby wobec świata publicznie oświadczyli, jako

(1) Długosz L. XIII. ad<sup>o</sup> a. 1452.



ani on, ani król nie dał przyczyny do wojny; aby niewolnika wszelkiego na wolność puścili. A że to w zimie było, zawarto więc rozejm na 6 miesięcy do sierpnia, poczem mieli się książęta dopraszać u króla pokoju.

Tak książęta zagony łupieżkie w ziemię krakowską zapuszczając, a boskie i ludzkie prawa mając w poniewierce: srogo także nawiedzali w najeździe tym dobra klasztorne opactwa tynieckiego, a między innymi Skawinę. Był wówczas opatem tynieckim Matyas Skawinka, mąż znamienity, na dworze króla Kazimierza Jagiellończyka sekretarzem, a gorliwy obrońca praw duchownych i klasztornych, bowiem utracone dobra uzyskał zakonowi napowrót. Opat więc tyniecki pozwał książęta oświęcimskie przed sądy dyecezyi; gdy jednak książęta wyrokiem kościoła pogiębieni w obronie niby praw swoich jęli się miecza: stało się, że listy papieżkie przeciwko książętom występnyim wojujące, pogorszyły położenie książąt.

Jakoż aby interdykt papieżki doszedł rąk książąt, nie stawających uporczywie do sądów, wysłał biskup krakowski Strempiński z opatem tynieckim Maciejem Skawinką, ojca Marcina zakonnika do książąt, który wypełniając rozkazy papieżkie uderzony zelżywie od jednego z dworzanów książęcych, wkrótce życia dokońił (1).

Zbrodnie te a bezprawia nie uszły kary, jakoż niezadługo wyrokami sądów kościelnych potępieni książęta, obiecali poprawę i zadośćuczynienie szkód poczynionych.

Więc od Szafranca zawojowani, a potęgą kościoła ukorzeni książęta udali się do króla, który nareszcie nakłonił się do pokoju, warując sobie wypłatę 2800 złotych, z których książęta do sierpnia uiścić się mieli, inaczéj bowiem miał król wziąć Oświęcim w zastaw. Jakoż ujrzano r. 1453 wojsko przed Oświęcimm, a Janusz ratował się ucieczką. Udał się znów do króla, ale ten żądał, aby książę stanęło pod opieką Polski i hołdowało królowi. Cały rok przeminął na układach bezskutecznie, dopóki się Janusz nie przekonał, że Podiebrad czeski nie może bronić jego sprawy.

(1) Szczygielski *Tinacia seu historia etc.* p. 89 sequ. Roku oznaczonego dokładnie u Szczygielskiego nie ma, wszakże przytacza on fakt powyższy w żywocie opata Mathiasza Skawinki, który, jak się pokazuje, od r. 1451 do 1477 tę godność piastował. Ponieważ zaś fakt ten nie mógł się stać przed nastaniem tego opata, ani po r. 1457, bo potem żadnego najeźdu książęta nie czynili: musiał zatem interdykt nastąpić w wyprawie z r. 1452, tém bardziej, że dobra klasztorne spustoszone.

Począł tedy żywić tę myśl, czyby nie mógł Oświęcima odzyskać napowrót. Rozumiał on, że mu się najlepsza nagodziła sposobność do tego wówczas, kiedy król zaprzysiągłszy w Piotrkowie r. 1455 koronę i sprzymierzywszy się do 2 lat z Przemysławem toszczyńskim i z książętą opolskimi, odjechał do Litwy na łowy.

Lecz Jan Kuropatwa z Łaniuchowa Śrzeniawczyk, który natenczas trzymał zamek oświęcimski, miał się na baczości, i ścigał posiłki z Krakowa, tak, że Janusz uderzywszy niespodzianie na Oświęcim, odgromiony odstąpił.

Upatrzył sobie tedy Janusz w górach obwaliny grodu Wolko pod Ponikiewem, kazał je uprzętnąć i naprawić. Gród Wolko zburzon już był od Kazimiérza księżęcia, ojca Janusza r. 1415, a byłato jaskinia opryszków karpackich. Na przyległej górze grodowi, na Bukowcu, obrąbawszy się na lesie, rozstawiał czaty zbójckie. Tamto chciał Janusz zbierać skarby, któremiby mógł wykupić Oświęcim. Pomagali mu w tém rzemiośle Bożywoj Skrzyński z Turzój-góry i Włodyga Skrzyński, brat jego wraz z żoną Katarzyną z Berwaldu i Lanckorony.

Kuropatwa dawał o tém wiadomość do Krakowa, czém poruszeni senatorowie polscy i dworzanie królewscy, z Janem Tenczyńskim wojewodą krakowskim wyruszyli ku Wolce, i oblegając kilka dni ów gród, zmusili obleżonych głodem do poddania. Janusza zaś zapytano się, czyby nie sprzedał Polsce Oświęcima, na co tém chętniej zezwolił, im w przykrzejszém zostawał położeniu. Tą miarą tedy wróciła się ziemia oświęcimska, jakoby po długim oderwaniu swoim znowu do dzierżaw polskich; a zaraz na początku r. 1455 obowiązała wszystka szlachta oświęcimska wiarę i posłuszeństwo królowi polskiemu przysięgą. Janusz jednak książę wicherzył jak wprzódy.

Byłoto na schyłku r. 1455, kiedy podczas wojny z Krzyżakami zebrała się banda łotrów zbójckich na Szlązku, której przewodzili Jan i Kawka Sweberzowscy bracia, także za sprawą Jerzego Stosa Morawianina, zapuszczając pustoszące zagony w ziemi olkuskie i sławkowskie, pod pozorem jakoby jemu i jego bandzie żołdu zaległego, w Prusiech pod królem zasłużonego, nie wypłacono.

Do onój bandy tedy zbójckiej nacisnął się Janusz książę, obwarował górę, Żebraczym zwaną, nieopodal Oświęcima zamczkiem, by mieć Oświęcim na oku, gdzie był wówczas Jan Syno-

wiecki starostą. Ztamtąd roznosili łupieztwa i rozboje na wszystką okolicę. Umocnili także obronnie górę Wapienną, niedaleko Dobczyc, a ku temu i Mysłowice zamek.

Nareszcie uznano Sweberowskiego żądania za słuszne, a chcąc także Janusza do pokoju przywieść, zawarto z nim nową ugodę o sprzedaż Oświęcima, za zezwoleniem braci Przemysława toszczyńskiego, a Waclawa zatorskiego książećcia. Summę kupna oznaczono na 50,000 grzywien *latorum grossorum pragensium, numeri polonicalis, 48 grossos in qualibet marca computando, in vim totalis ac integrae solutionis. Datum feria V post Cinerum a. 1457 (1).*

W ugodzie téj, jako dobra książećce wymienione są: miasta Oświęcim i Kąty z mytami i młynami, także wsie: Bielany, Łącki, Babice, Lipnik, Osiek, Brzeście, Monowice i Dwory (2).

Po zejściu r. 1458 Waclawa książećcia zatorskiego, który r. 1453 (3) udał się pod opiekę króla Kazimierza Jagiellończyka, z zachowaniem sobie jurysdykcyi, objął Janusz zatorską ziemię.

R. 1475 zagodził Przemysław książeć toszczyńskie spór graniczny z Przemysławem cieszyńskim, zagroziwszy karą 2,000 zł. niedotrzymującego pokoju (4). Również zawiera Przemysław z książećciem cieszyńskim i z Podiebradzkim Wiktorynem książećciem Monsterbergu ugodę successyjną.

Jednak pomimo téj ugody posiadał po skonie 1484 r. Przemysławowym Janusz toszczyńskie księztwo, a mając z Barbarą, córką Mikołaja opawskiego, jedną tylko córkę, sprzedał r. 1494 Janowi Albrechtowi królowi polskiemu także zatorskie i toszczyńskie księztwa za 80,000 florenów węgierskich (dukatów), warując sobie dla siebie i małżonki swój dożywotnie posiadanie. Dostawał rocznie 200 grzywien srebra, i 16 bałwanów soli z krakowskich salin (5).

W późnym wieku już będąc, zabitym został od Myszkowskiego za to, że mu wodę ku pędzeniu młynów potrzebną, do rybników swych spuszczał. Myszkowski ratując się ucieczką, później od króla uzyskał przebaczenie.

Barbara księżna opuściwszy ziemię zatorską r. 1498 przeniosła się do Karniowa (Jägerndorf.)

(1) Sommersberg T. I, 808.

(2) Jeszcze do 1800 r. należały dobra te do kamery austriackiej; potem przeszły na własność prywatną.

(3) Sommersberg T. I, 810.

(4) Sommersberg T. I, 735. (5) Sommersberg T. I, 811.

## II.

### LATOPIS MIASTA ŻYWCA (\*).

#### 1. *Dolina żywiecka. — Ród góralski Żywczaków. — Ruch miejscowy.*

Dolina żywiecka jest największą z zamkniętych międzygórskich dolin na zachodniem skrzydle Karpat. Legła ona w ostępie trzech pasm górzystych, a mianowicie otacza ją na południu pasmo węgierskiego czyli orawskiego Beskidu od źródeł Soły aż po Babią-górę; od zachodu odgranicza ją od Szlązka, od źródeł Wisły, Beskid szlązki; od północy tak zwany andrychowski albo polski Beskid, a od wschodu w końcu łęk poprzeczny, który od górskiej kępy Babięj-góry przechodzi ku północy, ku polskiemu Beskidowi, rozgraniczając górny obszar Soły, od obszaru górnej Skawy.

W ostępie tedy tych działów granicznych legła głęboka zaciszna kotlina, która się przeciągnęła za biegiem Soły i wpadającą do niej Koszarawy w kształcie podłużnej doliny. Wody te zlewają się z sobą pod miastem Żywcem, w miejscu, gdzie niegdys Turzy gród, albo zamek Turzec leżał.

Od źródeł słonych, znajdujących się w okolicy źródlowisk rzeki Soły, otrzymała ona niezawodnie nazwisko swoje.

Nizka przełęcz, którą Beskid orawski na południu opada, odkrywa żywiecką dolinę ku południowi, a zakrycie jej wyniosłym polskim Beskidem od północy, przyczynia się niemało do jej ocieplenia.

Na tę południową przełęcz, przypadają odwieczne szlaki handlowe, prowadzące z doliny Wisły w górę Sołą na dolinę Wagi.

Ku północy prowadzą trzy szlaki od Żywca na dolinę Wisły.

Pierwszy, stary, do Białej miasta. Drugi szlak wodny za biegiem Soły do Kąt, który jest wyłomem, poczynającym się około wsi Ładziele, gdzie jest przystań dla flisów, a z kąd już począwszy, Soła w poprzeczną wstępuje dolinę.

(\*) W opisie geograficznym i etnograficznym doliny żywieckiej poszedłem za wykładem zeszytowanym uniwersyteckim pana pr. Pola.

Trzeci nakoniec szlak prowadzi na grzbiety polskiego Beskidu z Żywca do Andrychowa, okolicą bardzo górzystą, przypadającą na górę Kocierz; z tym ostatnim szlakiem łączy się bity gościniec, prowadzący na wschód w dolinę Skawy.

Prześliczny jest pozór téj doliny, bo wszystkie górzyste pasma, w których ostępie legła, są okryte jednostajnymi lasy, a żywe porzeczka i spleziste równie kotliny, poszły pod pług.

Malownicze zabrzeża samej Soły, okryte dębami i mieszanym lasem, świadczą o miejscowém ociepleniu doliny, a świeża zieloność jej łąk, świadczy jeszcze o jedrnym oddechu gór. Postęp zaś rolnictwa i przemysłowego życia, przyłożył się także niemało do okraszenia przyrodzonych wdzięków téj górskiej krajiny, po której także i historia nasza nie przeszła bez śladów.

Gospodarstwo miejscowe widzimy bowiem tu już w odległej starożytności na wysokim postawione stopniu, tak w samejże dolinie żywieckiej, jako téż i w północnych częściach oświęcimskiego i zatorskiego księstwa, do których Żywiec należał.

Wszystkie prace około naprawy i splawności rzek przedsięwzięte w dolinie Wisły, zwykliśmy odnosić do czasów Kazimiérza W. Na dolnym wszakże obszarze Soły znajduje się cała okolica daleko dawniej sztucznie nawodniona strugami, które do niej wpadają, a która widocznie przypomina kanalizacją doliny lombardzkiej (1).

W groble, tamy i śluzy znajdujemy tu ujętą tak zwaną „Królewską wodę”, która sztucznie rozprowadzona zalewa wielkie stawy. Te wodą zalane i użyźnione namulcem, dają wielkie pożytki naprzemian z ryb i z posiewów pszenicy dla dworów, kiedy przeciwnie hodowaniem potrzebnego narybku do tych stawów, zajmuje się cała ludność miejscowa, która stosownie do posiadania swego, pomniejsze sadzawki na téj samej utrzymuje wodzie.

Jak tedy na dolnej Sole gospodarstwo rybne świadczy o wysokim stopniu starożytnej cywilizacji, tak nosi na sobie cechy dzisiejszego przemysłu ruch pracowity w dolinie żywieckiej na górnym obszarze Soły, gdzie huty szklane i żelazne, fabryki sukienne, walcownie, papiernie, blechy płócienne zatrudniają ludność miejscową.

(1) O takim bowiem gospodarstwie świadczą dyplomata z r. 1327, a 1457 w zbiorze Sommersberga T. I, str. 807, 808 zamieszczone.

Pod względem etnograficznym osiadł żywiecką dolinę oddzielny ród góralski, zwany Żywczakami.

Żywczaki, czyli górale od Żywca i Ujsola, osiedli kotlinę górnej Soły, i wpadających doń rzek i potoków na przestrzeni doliny żywieckiej i rzeczki Koszarawy, biorącej swój początek pod górską kępą Babięj-góry na podbabi. Od górali szlązkich, osiadłych na źródłowiskach Wisły, a zwanych Wislanami, oddziela ich grzbiet Beskidu szląckiego.

Od Babigórców, albo górali suskich oddziela ich łąk poprzeczny, którym się łączy Beskid orawski z Beskidem polskim, a który się najbardziej zniża pomiędzy wioskami Kocień i Las, tak, iż właściwie ten jedyny punkt służy za linię przeprawy z doliny żywieckiej do doliny suskiej.

Ku północy przesunęły się najdalej siedziby Żywczaków wzdłuż tego wyłomu, który pomiędzy szlązkim i polskim Beskidem prowadzi do rzeki i do miasta Białej pogranicznej.

Żywczaki wraz z Babigórcami zdają się należeć do najstarszych rodów góralskich; poświadczą to i miejscowe ich uobyczajenie i przeludnienie tych okolic, i roślinność miejscowa, która w porównaniu sąsiedniej, nierównie większym uległa zmianom. Nawet Nowotarzanie i Podhalanie są w znacznej części tylko osady późniejsze Żywczaków i górali od Babięj-góry, których za centralny punkt siedzib góralskich uważać należy na zachodniem skrzydle Karpat.

Obszar żywieckiej doliny wraz z przyległemi zboczami granicznych Beskidów i wyłomem północnym ku Białej, zajmuje mil  $\square$  17.

W 13 parafiach znajduje się kościołów 18, filij 7, kaplic mszalnych 2; przy nich księży 25; 2 szkoły trywialne a 1 parafialna.

Wsi 78, a ludność całej doliny 76,700; ludność zaś miasta Żywca 4,700.

## II. *Turzy gród i zajazdy. — Poświęcenie się Komorowskiego za królewicza. — Żywiec Komorowskich dzierżawą.*

Na Turzěj górze, u której stóp Soła płynie, na górze szerokim wód rozplawem uczynionėj, stał gród Turzec. Miejsce zaś, kędy gród stał, jak wszędzie w Polsce grodziskiem, tak i tu w górach późniėj Grojcem nazwano.

Ztamąd i z Berwaldu, najeżdżali obyczajem zbójckim r. 1457 Bożywój i Włodyga Skrzyńscy wszystką okolice, wojnę wszędy roznosząc. Na uśmierzenie onych zbójców, zebrał Mikołaj Pieniążek starosta krakowski szlachtę czyżką, wezwawszy także Piotra Komorowskiego orawskiego grabi na pomoc. Przewiedli oni nakoniec Bożywoja i Włodygę r. 1460 do pokoju, warując sobie zwrócenie kosztów wojennych; aby się zaś tém bardziej na pokoju ubezpieczyć, zburzono Lanckoronę.

Jednakże niezadługo umocnili sobie bracia obwałiny starego grodu na Wolce, obrąbawszy się także na przyległej grodowi górze, na Bukowcu, na czaty zbójckie zasiadając. Wówczas Pieniążek starosta krakowski, z czyżką i orawską szlachtą nadchodzą r. 1462 wspólnie z Brzetysławem Dmosickim ze Śpizu onych łotrów, oblegając ich na Bukowcu, gdzie wszystkich, krom Bożywoja, ujęto zbójców. W Krakowie Włodygę i Katarzynę w sukniach męzkich, w butach i ostrogach, na gardło w grodzie skazanych, powieszono. Żywieckie i berwaldzkie hrabstwo stało się tedy własnością królewską, którą potem król Kazimierz Piotrowi Komorowskiemu z następną oddał przyczyny.

Panowie węgierscy, uprzykrzywszy sobie rządy Macieja Korwina, upraszali r. 1471 Kazimierza Jagiellończyka, aby syna swego 13letniego Kazimierza dał narodowi za króla. Kazimierz ufając obietnicom, jakie mu osobliwie arcybiskup strzygoński czynił, wysłał młodego królewicza z wojskiem do Węgier, który nie znajdując pomocy u Węgrów, osadziwszy Nitrę i Stropków, przed nadciągającym Maciejem uchodził. W ucieczce tej przyjął go Piotr Komorowski liptowski i orawski grabia do grodów swoich, za co go potem Maciej Korwin z kraju wywołał, odebrawszy mu grody: Ilawę, Likawę, Chradek, Rosenberg, Żabiniec, Staryhrad, Liptowę i Orawę.

Orawska stolica, wzdłuż doliny Wagi, stała się własnością rodziny Abaffi, a później przeszła na własność familii Turzów. Liptowską zaś stolicę posiadał Jan Korwin, syn naturalny Macieja.

Za takie więc usługi świadczone królewiczowi, oddał Kazimierz Jagiellończyk Żywiec Komorowskiemu.

Tenże zastawszy lud ciemny i gruby, jął fundować kościoły, zagodziwszy scholastyka kapituły krakowskiej, że także nadal jak wprzód, pobierać będzie dziesięcinę.

Podług *liber taxationum* pobierał scholastyk krakowski z następnych wsi dziesięcinę:

Vetus Żywiec debet . . . . .	scotos	14	latos	grossos	60.
Novum Żywiec seu Rudza et Sparysz	—	9			
Pietrzykowice . . . . .	fertones	23			23.
Zabłocie mediam marcam . . . . .					11.
Moszczanice. . . . .	scotos	8			32.
Radziechowa . . . . .	—	8			32.
Cięcina . . . . .	—	8			32.
Łękawice. . . . .	—	8			32.
Rychwałd, gdzie podług errekcyi fundował Komorowski kościół	—	8			32.
Wieprz minor . . . . .	—	8			
Wieprz major . . . . .	—	8			
Lipowa . . . . .	—	8			

Media marca, fertones 23, scotos 87 latos grossos 254.

Zapis ten był powodem, że nie dbano o powodzenie dusz, albowiem scholastyk jednym wikaryuszem wszystką obolicę opatrywać dawał.

Nie skuteczniejszy wszakże zamiarów swych Komorowski, pan dobry, a żywieckiój dolinie wielce zasłużony, zeszedł ze świata r. 1476.

Pomni na pamięć przodka, wystawili Piotrowi w kilkadziesiąt lat później potomkowie nagrobek, którego napis następny (1).

Epitafiu. Magnifici Domini Petri Comorowski de Komorow, Comitis Araviae et Liptoviae Żywyecz sepulti, cum filiis suis Joanne et Alexandro. Qui obiit anno salutis nostrae 1476.

Mole sub hoc jacco tumulatus Comoro-centis Petrus,  
 Qui comes Araviae Liptoviaeque eram,  
 Cor mihi virile animosumque natura dedit,  
 Victoriaeque Mathiae Pannoniae regis pars imodica fui.  
 Interea Casimiro nato regis duce Polon. Pannonia. intrante,  
 Profligatumque per Ungaros ad sua castra misi,  
 Incolumemque patri Casimiro regi reportavi,  
 Hoc percipiens Mathias rex se movit in iram.

(1) Napis ten i następny, które tu dosłownie zamieszczam, znajdują się nad drzwiami zakrystyi na czerwonym marmurze.

D. O. M. | Gnosus. et. Mancq. D. Joannes Spytek | De Komorow. et. In.  
 Żywiecz ho: | nestis: foeminae: et Annae Walaskow: | nae. cojugi. optatiss: et  
 benemerenti | quae. etiamsi. civis. Crac: nec. locu. ples. esset. tame. pie-  
 tate. pudore. vi | tae. moruq. integritate. et. coeteris. | virtutib. adeo. dotata.  
 ut. ea. sibi. prae. | coeteris. nobilib. foeminis. uxore. ele | gerit. monumentu.  
 hoc. erigi. curavit. | In. quo. ut. viva. simul. vixit. ita mor | tua. juxta requies-  
 ceret. Obiit anno. | Salutis. M. D. LXXX. aetatis XXXVI. die XV. mensis Julii.



Cuncta mihi abripuit, e castrisq. abscedere jussit,  
 Hinc a Casimiro rege Poloniae Żywiecz dotatus,  
 Cum filiis meis Joanne et Alexandro sum tumultatus.  
 Igitur quicumque es immemor mei aevi,  
 Precor pro me digna vota, velis reddere Jovi,  
 Et quicumq. vacuum veneris ante sepulchrum,  
 Dicere non te pigeat, moliter umbra cubet.

Herbem Komorowskich były trzy błękitne rzeki w białém polu, z czapką u wiérzchu, z którój wystawała psia głowa z wywieszonym ozorem.

Po zejściu Piotra, któremu śmierć dwóch synów wydarła, objął Mikołaj brat jego, również od Macieja Korwina z Węgier wywołany, Żywiecczyznę wzdłuż rzeki Soły, wraz z Lanckoroną w posiadanie.

Udał on się na dwór Macieja Korwina, dopraszając się przywrócenia do utraconych swych dzierżaw w liptowskiéj i orawskiéj stolicy, dając, jakoby w zamian za nie, Żywiec i Lanckoronę. Król węgierski chętnie się na to zgodził, upatrując w tém oczywistą dla Węgier korzyść, gdyż tym sposobem stałby się panem drogi wiodącój do Polski.

Gdy więc o zdradzie téj doszły wieści Kazimierza Jagiellończyka, odprawującego natenczas sejm w Piotrkowie, wysłał Spytkę Jarosława wojewodę ruskiego, także Mikołaja Wątróbkę wojewodę bełzkiego, do Komorowskiego, by go od przedsięwzięcia tak zgubnego dla Polski odwieść, bowiem Turzec i Lanckorona były kluczem do ziemi krakowskiéj.

Na skargi Komorowskiego, że żywieckie hrabstwo złą jest zamianą za utracone dobra orawskie i liptowskie, przyobiecano mu od króla wynagrodzenie w innych dobrach, któreby stracie w Węgrzech poniesionéj wyrównywały, z warunkiem oddania Żywiecczyzny królowi.

Jednakże Komorowski zadaleko posunąwszy się w układach z królem węgierskim, nie cofnął się od raz powziętego zamiaru. Ztąd poszło, że za rozkazem króla, Jakób Dembski starosta krakowski, wyruszył z wojskiem, aby zbrojno tak ważny dla Polski punkt posiąść. W wojnie téj Lanckoronę zburzono, a gród Turzec przez 50 dni dobywany zburzon ze szczętem, więcéj nie powstał z gruzów (1).

(1) Dzisiaj na grojcu nie ma śladu tego, co było. W r. 1839 kopano w tém miejscu i odkryto mury podziemne zapadłe; także dobyto mnóstwo kul kamiennych, z których trzy znajdują się, wraz z grotem tamże znalezionym, w zbiorze archeologicznym biblioteki uniwer. Jagielloń.

Komorowski ratując się ucieczką do króla Macieja Korwina, nie odzyskawszy tam ani utraconych dóbr napowrót, ani przyobiecanych posiłków, stracił wszystką nadzieję.

\* \* \*

Odtąd już za jedyne źródło do historyi rodziny Komorowskich, a zatem co do historyi wewnętrznego urzędzenia Żywca, co do praw miejskich, obyczajów goralskich, także do ponawianych dosyć często wypraw opryszków karpackich i zajazdów tak Komorowskich, jako też Wielopolskich, za jedyne źródło poczytać należy owę wyż przezemnie wymienioną kronikę Żywca Jędrzeja Komunieckiego; gdyż wszystkie napisy, pomniki i nagrobki Komorowskich, wyjaśniające niejednen zwyczaj i wypadek w rodzinie téj zaszyły, zgorzały, wyjąwszy dwa przezemnie przywiezione Epitafia w r. 1711 wraz z kościołem żywieckim.

Nadmienić tu wypada, iż kronika ta jest ważnym zabytkiem, a nawet stanowiącym źródło do ogólnego toku dziejów narodu polskiego, wśród tak nielicznych pozostałych nam z otrętwienia XVIII wieku zabytków; z niéj czerpać można daty co do rzemiosł, podziału cechów, a później co do missyi ks. Jezuitów, które opisuje dokładnie z całą wiernością i drobiazgowością kronikarską. Żałować tylko wypada, że wydaniem tego tak znakomitego pomnika historycznego, nie zajął się żaden z naszych uczonych, chociaż to nieobojetną jest rzeczą, starać się o to, by w dawném społeczeństwie polskiem wskazać właściwe miejsce gminnemu pierwiastkowi i miejskiemu, by wynaléźć drogi i sposoby, któremi germańskie prawa i zwyczaje miejskie wchodziły do miast i wsi polskich.

Ważność pod tym względem miast ziemi zatorskiej i oświęcimskiej, jako na zetknięciu się z tą ziemią, na której żywioł niemiecki najwyrazistsze wybił piętno swoje, położonych, jest aż nadto widoczną, a do śladów historycznych pod tym względem, tak okwite posiadamy źródło piśmienne.

Podany przezemnie latopis żywiecki, poprzedzony wiadomością historyczną o Oświęcimie i Zatorze, może być uważany jako wstęp do owéj kroniki Komunieckiego, z której mógłbym wprowadzić, mając tłumaczenie niemieckie pod ręką, przytaczać wyjątki; nie chcąc wszakże w niczém psuć wierności i charakteru téj kroniki, wolałem poprzestać na tém, oczekując rychło kto posiadający tę kronikę w oryginale, nie umiesci, niejako w dalszym ciągu mojego latopisu, wyjątki z niéj uporządkowane, dające dokładny i wierny obraz całości.



# WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

*Jana Kantego Gregorowicza.*

---

## VII.

### Zabiegi ludzkie.

(Ciąg dalszy).

Gdy tak Ziemia oddaje się przedwczesnej radości spełnienia planu dawno już układanego, tymczasem Sierpień po silnym upuszczeniu krwi, zupełnie wrócił do przytomności. Przybycie pana Józefa ocaliło poczciwego, chociaż dumnego starca, który jak tylko otworzył oczy i mniej więcej poznał co się około niego działo, natychmiast objawił chęć przygotowania się duchownego na drogę wieczności.

Niedługo dał się słyszeć głos dzwonka oznajmujący przybycie proboszcza z Panem Jezusem; każdy klęczący w upokorzonej postawie przyjmował tego posłannika niebios, a gdy rozpoczęła się spowiedź, wszyscy ustąpili z izby. Smutnyto widok patrzeć na człowieka stojącego już na przejściu do innego życia; ale jakież mimowolne wzbudza w nas poszanowanie i uwielbienie, z największą czcią połączone, jeżeli taki pokrzepiony na duszy wszystkiém tém, co tylko religia dać może człowiekowi, z męztwem chrześcijańskim, z pogodą umysłu, niemal z uśmiechem na twarzy patrzy na zbliżający się koniec.

Ten sam widok po przyjęciu komunii wobec zbiegłego ze-wsząd ludu przedstawiał nam Sierpień. Błady jak trup po znaczném upuszczeniu krwi, ze zmoczoną w zimnej wodzie chustką na głowie,

leżał biedny starzec na łóżku trzymając rękę mówiącego proboszcza, którą często do ust przykładał.

W nogach siedział pan Józef, w środku klęczała Basia patrząca z niespokojnością w oblicze ojca, a Janek wprost Sierpnia podparty ręką na krawędzi łóżka, z boleścią wodził oczami po wszystkich. Pomimo udzielanych napomnień przy samej spowiedzi, pomimo dokładnego przedstawienia znikomości rzeczy ludzkich i marności światowych, proboszcz ciągle udzielał jeszcze stosowną naukę, opartą na prawdach ewangelicznych, której Sierpień słuchając z największą uwagą, przerywał tylko kiedy niekiedy potwierdzającym wyrazem: —prawda, prawda; a jużcić; tak, tak, i t. p.

—Widzicie więc moi kochani—kończył proboszcz—jako człowiek nigdy nie powinien zapominać o Bogu, bo nie wie ani dnia, ani godziny, kiedy go Bóg z tego świata powoła. Pracować, aby być użytecznym dla swojej rodziny i całego społeczeństwa ludzkiego; żyć uczciwie, nikogo nie krzywdzić, modlić się i bez szemrania przyjmować z pokorą tak złe jak dobre od Boga zesłane, przytém dopomagać, ile tylko można bliźnim swoim: oto są obowiązki każdego chrześcianina, każdego prawdziwego wyznawcy nauki Chrystusa. Reszta wszystko: zbieranie pieniędzy, rozkosze światowe, ubieganie się za zaspokojeniem wszystkiego tego, co tylko nęci nasze zmysły, co dogadza cielesnej naszej naturze, jest próżnością, marnością, którą niestety! najczęściej gdy już śmierć stoi nam w oczach, dopiero prawdziwie poznajemy. Z prochu człowieka powstałeś i w proch się obrócisz; pieniądze, godności, zaszczyty, znaczenia, wszystko zostawisz na ziemi, a z jedną tylko duszą pójdziesz do Boga, tak jak i ten ubogi żebrak, po jałmużnę rękę wyciągający. Czyż więc warto, aby człowiek dla takich marności nurzając się w kale brudów ziemskich, tém samym gubił duszę i zadawał fałsz własnej zacności, własnej naturze i oddalał się od oblicza Boga, na którego obraz i podobieństwo został stworzony? Chrystus Pan powiedział: „kto się wywyższa, będzie ponizony“, a wy Wojciechu zanadto wiele myśleliście o swojej familii, zanadto byliście nieraz hardzi, zanadto wywyższaliście się; dlatego Bóg was tak ciężką karą dotknął, bo w obliczu Boga wszyscy od najmoźniejszego pana aż do ostatniego biedaka, wszyscy jedno znaczą i jednakowo są uważani. Bóg na straszajm sądzie nie będzie się pytał czém ty byłeś człowieku, jakie na ziemi miałeś godności, jakie majątki, z jakiej pochodzisz familii; tylko jak żyłeś: czy poczciwie jak Bóg przykazał i użytecznie dla bliźnich, czy téż jak to

zwierzę całą rozkosz czujące w zaspokojeniu chuci zwierzęcych? Pokora chrześcijańska jest jedyną drogą do nieba, ale nie wywyższanie się nad drugich. Szatan tylko był pełnym pychy i dumy: miał-żeby człowiek iść za jego przykładem?

— Prawda, prawda dobrodzieju—odezwał się osłabionym głosem Sierpień—a ja do pana Józefa zawdy mówił panosko; czy i to grzech, dobrodzieju?

— Jeżeli mój Wojciechu mówiłeś tak przez dumę, to grzech....

— O, mój Wielmożny Panie —przerwał Sierpień wyciągając rękę do pana Józefa—wybacz staremu, któremu się zdawało, że nad jego familią nie ma już lepszéj na świecie: ani między chłopami, ani między szlachtą; wybacz, wybacz—mówił dalej z największą serdecznością całując podaną sobie rękę—bo człek był strasznie głupi, a to wszystko marność. Jak ja stanąłbym przed obliczem Boga, gdyby ta człek był z taką dumnością poszedł do wieczności? Wszak prawda dobrodzieju, że człowiek mógłby nawet zbawienia nie dostać.

— Wielkie są grzechy człowieka, ale wielkie i miłosierdzie Boga; zawsze jednak zbawienia nie będzie mógł człowiek inaczej dostać, tylko zupełnie oczyszczony ze wszystkiego, co tylko od ziemi, od materji pochodzi. Dlatego téż człowiek tak żyć powinien, aby z przychodzącym stopniowo rozumem, z każdą chwilą czystszy, lepszym się stawał: bo nie wiemy dnia, ani godziny, ani chwili nawet w której Bóg nas do siebie powoła. A wy Wojciechu, czy jesteście zupełnie oczyszczeni? czy serce wasze i dusza samym tylko Bogiem i wiecznością są przepelnione? czy w nich nie gości jeszcze jaka myśl ziemská, jaka zawziętość?

— Mój dobrodzieju, chociaż późno, bo dopiero przy śmierci poznał człek, że familia to niewielá znaczy.....

— Powiedźcie że nic nie znaczy, zgoła nic, mój Wojciechu —przerwał proboszcz—bo czy familiant, czy nie familiant, jednakowo przez Boga będą uważani.

Wojciech przez chwilę w milczeniu zdawał się rozważać słowa proboszcza, i po małej pauzie odezwał się:

— Tak, juścić nie, to prawda, boć to nie Boski, ino ludzki wymysł; otóż Dobrodzieju jak to poznałem, jak to dokumentnie Dobrodziej mi przelożył, tak mnie zaraz opuściło to, co człek dawniej ino zawdy miał na myśli, żeby bratanka osadzić na ojcowiznie, i teraz wszystko pójdzie do równości między Baškę i....— jakby z ciężkością dodał—i wnuka mego młodego Ziembę.

W tém miejscu Basia aż zalkała głośnym płaczem, a Wojciech kładąc rękę na jej głowie mówił dalej:

— I czegoż Basiu płaczesz? nie płacz; niedługo to się znowu zobaczewa, bo człękowi życie to ino się mignie: nikiéjby kto z bicza trzasnął. Bóg ci dał takiego opiekuna co cię kocha i szanuje, to choć starego ojca nie będzie, to Janek będzie i mężem i ojcem.....

— O! będę mój tatusiu—zawołał rozczulony Janek i ukląkł tuż przy Basi, coraz się więcej od płaczu zanosząc—Chybaby mnie Bóg odstąpił, żebym *bez* całe życie nie miał waszych słów na baczeniu.

— Mój synu i moja Basiu, niech was Bóg błogosławi—odezwał się Sierpień cokolwiek unosząc się na posłaniu—a zawdy żyjta z sobą tak, jakbym na was patrzył: bo ja se uproszę u Wszchemocnego Boga i będę z tamtego świata na was często poglądać. Nie płacz Basiu, przecież masz poczciwego męża i obrońcę dla siebie. Jak to on dzisiaj ujął się za naszą familią i nie dał krzywdzić Sierpniów. Będiesz miała moje dziecko dobrego dla siebie opiekuna, bo kiedy on tak umie szanować naszą familią i wie co to ona znaczy między ludźmi, to i ciebie uszanuje i zawdy każdemu tak jak dziś Ziembie o.....

— Wojciechu — przerwał proboszcz — czyż nawet na progu wieczności nie zapominate o próżności, i zawsze wam familia będzie siedzieć w głowie i na ustach?

— O mój Dobrodzieju — odezwał się Sierpień całując proboszcza po rękach—przepuściła już ten ostatni raz staremu, boć to nie łatwo *bez* jedną godzinę *wyperswadować* se to z głowy, co człek nauczny był tyła lat mieć zawdy na baczeniu i w *aprensji*. Chociaż—ta wszystko co Dobrodziej mówił o *familii* trudno zaraz tak dobrze pomiarkować, ale widać, że familia nic nie znaczy, skoro Dobrodziej tak powiada; a że człek spotka się z nią często w gadce, to sama lazie do gęby, choćby się—ta i nie miało tego w pomyśleniu. Bo mój Dobrodzieju, nasza familia to nie lada jaka; już od dawnych lat.....

— Człowieku upamiętaj się—przerwał proboszcz—czyż z myślą i sercem przepelnionemi próżnością światową masz stanąć przed obliczem Boga?.....

— Przepuść Dobrodzieju, przepuść — przerwał rzewnym głosem Sierpień—człek grzeszny. Matko Boska cudowna Częstochowska ratujże mnie, ratuj!

— Prawda, że Bóg jest miłosierny, i podług serca sądzić będzie o człowieku; ale jeżeli to serce przepelnione jest nienawiścią ku bliźniemu i z taką nienawiścią stanie na tamtym świecie: to w takim razie będzie można spodziewać się zmiłowania Boskiego, kiedyć sam Bóg przykazał kochać bliźniego jak siebie samego?

Wojciech z niespokojnością poruszył się na łóżku i ciężko odcchnawszy, cichym głosem, jakby się wstydził tego co mówił, odezwał się po małej pauzie:

— Kiedyta mój Dobrodzieju nie mogę; a kiedy człek bez całe życie swoje co miał w pomysłeniu, to i w mówieniu, a trudno żeby w gębie miał tak, a w sercu inak: ja Dobrodzieju nie na to nie poradzę, bo on bez cały czas jak ino poswatał się z naszą familią.....

W tém miejscu Wojciech nagle uciał i spojrzawszy na proboszcza błagającym wzrokiem, jakby go prosił o przebaczenie, po małej pauzie mówił dalej:— Jak ino syna z nieboszką Marysią ożenił, tak od tego czasu zawdy mi stoi na zdradzie, zawdy jest moim nieprzyjacielem, i zawsze radby mi źle zrobić; to i jakże do takiego człowieka być z przyjaźnią?

— Chrystus Pan—przemówił proboszcz—nakazał abyśmy miłowali nietylko przyjacioły, ale i nieprzyjacioły, abyśmy za złe dobrem się wyplacali; bo jeżeli tylko dla dobrych jesteśmy dobrmi, to jakaż nasza zasługa? czyliż takimi nie są i faryzeusze? Dlatego Chrystus Pan nauczał, abyśmy starali się być tak doskonałymi, jak jest doskonałym sam Ojciec w niebiesiach, co tak dla złych jak dobrych jedném przyświeca słońcem i jedne dla ich użytku pomieścił w ziemi dary, powiadając: że człowiek starać się tylko winien jak najwięcej dobrego robić dla braci bliźnich swoich, a zemstę zostawić Panu Bogu. A taka wasza zawziętość do Ziembry czy to nie zemsta? czy to może podobać się Panu Bogu, który wymaga tylko czystego serca, przepelnionego najczystsza miłością, aby człowieka otoczył swoim błogostawieństwem? A nie mając tego błogostawieństwa, czy można się spodziewać zbawienia? Czyż człowiek samowolnie nie dąży do zguby, oddając się prawie sam w ręce szatanowi?

— O Dobrodzieju — odezwał się nawpół z płaczem Sierpień—cóż ja poradzę, kiedy tak serce moje *zawzieno* się...; ale Dobrodzieju módlcie się, proście Boga, to może Bóg jako odmieni. Moi ludzie—mówił dalej obracając się do dzieci kłęczących i pana Józefa—mój Pano.... mój Wielmożny Panie, módlcie się moi ludzie,

prośta naszej Najświętszej Panny Maryi, żeby się za mną grzesznym człowiekiem wstawiała, i żebyta człek o zawziętości zabaczył.

Jak tylko Sierpień przestał mówić, natychmiast proboszcz ukląkł, a przy nim p. Józef, i rozpoczął głośne odmawianie modlitwy, przez wszystkich w niewyraźnym szepcie powtarzanój. Na całym Wojciechu znać było wielkie wzruszenie: oczy to zamykał, to wznosił do góry, jakby myślą zagłębiał się sam w sobie, albo szedł z nią do Pana nad Pany. Przez usta poruszane powtarzaną za proboszczem modlitwą wydobywało się często westchnienie, a ręka podnoszona do głowy lub serca, jakby chciała z nich wydrżać i zamęt myśli i nienawiść bliźniego, ciężko potem opadała na łóżko.

Pięknyto, uroczysty, chociaż bardzo bolesny widok odmawianój modlitwy przy łożu umierającego. Jakżeż wtenczas czujemy się małemi, jak nędznemi istotami; jak obiegłszy myślą po świecie widzimy całą marność, a nawet śmieszność zabiegów ludzkich, goniących kosztem sumienia i z podeptaniem praw miłości bliźniego za dostatkami, godnościami, dumą i innymi fraszkami, które wobec takiej chwili tak nikną, tak gasną, jak płomień małego kaganka przy wschodzącém słońcu, gdy potokami światła obrzuci nieba i ziemi obszary.

Wszyscy téż zgromadzeni przy łożu chorego Wojciecha czuli widać to dobrze, bo klęcząc z podniesionemi do góry oczami, takie wyrażali przejęcie się wielkością uroczystój chwili, tak wszyscy podnieśli się duszą do Boga, jakby ziemi nie było pod ich nogami; że spojrzawszy na nich, mimowolnie prawie padłbyś na kolana i w głębi skruszonego serca powtarzałbyś ostatnie słowa modlitwy sędziwego kapłana: „Panie! spójrz z wysokości swoich niebieskich na słabe Twoje stworzenia, napełnij ich serca miłością i tém uczuciem, jakiém był przejęty Jezus Chrystus, gdy przebaczał swoim nieprzyjaciółom, mówiąc: „Panie wybacz im, bo nie wiedzą co czynią.“ Gdy kapłan wymówił ostatnie słowa modlitwy, uchylił kornie głowy i wszyscy nachyleni w milczeniu szli dalej za śladem pobożnych swych myśli; wówczas Sierpień zalewając się łzami, łkając przemówił:

— Dobrodzieju!..... kochany panie!.... moje dzieci!.... Bóg i Najświętsza Marya zmiłowali się nad grzesznikiem.... Nie mam do nikogo zawziętości.... i żeby tu był sąsiad Ziembę, tobym mu nogi ucałował.... Bóg wam zapłać za wasze modlenie.... a ja grzeszny człowiek.... o Boże, Boże! wybacz grzesznikowi....

Całował po rękach proboszcza, a Janka z Basią błogosławił polecając ich pamięci małego wnuka Jasia, który wszedłszy do izby w czasie modlitwy, stał przy łóżku jakby odurzony, nie mogąc się utulić w coraz więcej podnoszącym się płaczu.



Wtém drzwi się otworzyły i wszedł doktor z poblizkiego miasta, po którego pan Józef natychmiast po przybyciu do Sierpnia właśnie posłał konie z bryczką. Obejrzawszy chorego nie pozwolił dalej przedłużać sceny tyle wzruszającój i wzbronit przywołania Ziembby, po którego już chciano posłać, oświadczając, że lubo atak był silny, przy puszczeniu jednak krwi i dalszych środków lekarskich, a mianowicie przy zupełnej spokojności, można być niemal pewnym wyzdrowienia chorego. Nadzieja wstąpiła w zbolełe serca przytomnych. Lekarz zajął się przyrządzeniem stosownych lekarstw, z którymi przybył już zaopatrzony. Janek z Basią wypełniali z pilnością wszelkie wydawane im w tym względzie rozporządzenia, a Sierpień znacznie uspokojony przymknął oczy i zasnął.

Zgromadzeni ludzie zaczęli się pomału rozchodzić. Jaś mały udarowany kawałkiem sera przez ciotkę Basię z poleceniem odwiedzenia jutro rano chorego dziadusia, ruszył z drugimi, i w izbie Sierpnia przed chwilą tak gwarnój, zaległa zupełna cichość, przerywana tylko stłumionym szeptem mówiących i cichém stąpaniem krzątających się po izbie domowników.

Gdy tak po scenie pełnej wzruszeń i boleści Sierpień ujęty snem sprawiedliwego, spokojnym i regularnym oddechem pokrzepia zwątlone siły; Ziembra tymczasem pelen niespokojności przechadza się po izbie oczekując przybycia małego Jasia. Słońce od pół godziny już skryło się w zachodzie; szary zmrok spuścił się na ziemię przytulając do niej ciszę wieczorną, przerywaną tylko dalekiem rechotaniem żab i coraz słabnącą wrzawą zabierającój się do spoczynku wioski.

Córka i żona Ziembby zajęte były sianiem łózek na nocleg, a on jak jaki duch błakający: to wychodził na podwórze, to przechadzał się po izbie ustami szepcząc pacierze, a myślą rozpamiętując wrażenia z dnia ubiegłego. Nareszcie postawszy małą chwilkę przy oknie, jakby wypatrywał przybycia oczekiwanego wnuka, z niewyraźnym szmerem na ustach, zdradzającym wewnętrzną niecierpliwość, wyjął klucz z kieszeni skórzanego pasa i wszedł do komory, zamykając za sobą drzwi starannie.

Byłato niewielka izdebka z małym, kratami żelaznemi opatrzonym okienkiem, zapchana beczkami i faskami różnej wielkości, między którymi pełno znajdowało się zużytych już rupieci gospodarskich. Na środku stały trzy skrzynie, kłódkami dużemi zaopatrzone, a na drągach u belek zawieszonych mieściły się pierzyny, poduszki i kożuchy tak męzkie jak i kobiece, na pewnośc zaciągniętej pożyczki

w zastaw oddane. Ziemia z małym kagankiem wszedłszy do komory, zasunął okienko kawałkiem deski, rodzaj zasuw formującej, podniósł światło w górę przepatrując troskliwie, czy wszystko w właściwym jest miejscu, i tak popatrzwszy chwilę, przemówił sam do siebie:

— No, Boga chwalić wszystko dobrze, a wszystko to przez człowieka stąrunek i zabieganie. Bóg oczywiście pobłogosławił, i za Jegoto łaską przenajświętszą, człek się tyła dorobił, co zakasował i Sierpnia i wszystkich Szpitalników. Aby ino Bóg dał teraz zdrowia i długiego życia, to się będzie czém na starość obrządzać... Tu przyszła Ziemi na myśl mniemana śmierć Sierpnia, wzdrygnąwszy się więc cały, cichym głosem mówił dalej — Boćto człek nie wieczny; ot i ten stary ani się spodziewał, żeby mu się oczy zamknęły. Aleto oczywista kara Boska: wyrzucił mnie z izby, poniewierał nikiój psa; własnego wnuka, własną krew, a chciał skrzywdzić, ot i Bóg nie dopuścił, bo Bóg sprawiedliwy.—Mówiąc to, uchylił czapki, i w pokornej postaci mówił dalej:—Ale ja Bogu dzięki nie taki, bo i nie poniewieram nikogo, chociaża ludzie Bóg wie nie co na mnie wydziwiają, i z pokorą katolicką wszystko znoszę, i zawdy mam na baczeniu małego Jasia i wszystko to ino tak dla niego zabiegam: boć po mojej śmierci.... aleć jeszcze czas o tém będzie myśleć—mówił dalej po raptowném ucięciu mowy, spowodowaném mimowoli nasuniętą przykrą myślą niechybnego zgonu—boćto człek jeszcze krzepki, i drugie tyła lat mogę żyć co się już przeżyło. A niech ino *wlazę* w Sierpniową zagrodę, dopiero *se* spocznę, bo póki zdrowie służy, to trzeba pracować jak Bóg przykazał.

Ukończywszy ten faryzeuszowski panegiryk, postawił kaganek na skrzyni, i obejrzawszy się dokoła czy go czasem kto nie wypatruje, otworzył jedną skrzynię. Do połowy zajęta była świętecznym ubraniem, które wyjęte, okazało na dnie kilkadziesiąt sznurków różnej wielkości koralu i kilka dużych medali złotych, przez zameżne żydówki noszonych.

Drugie dwie skrzynie napchane były chustkami, sukmankami i wełnianymi szorcami kobiet, sukmanami mężkami, kożuchami i innym kosztowniejszém, już do zbytowego stroju wieśniaków służącym ubraniem. Byłato wszystko zdobycz zdarta z biédniejszych włościan, którzy przyciśnieni koniecznością, nieśli na zastaw do Ziemy co kto miał w domu najlepszego, aby choć za trzecią część wartości, otrzymać w pożyczce parę złotych na sól i podatek, albo ćwiartkę zboża na chléb w ciężki dokuczający przednowek. A że

z biedy zawsze bięda wyrasta, biędacy dobrawszy jeszcze co się dać podobają Ziembie, pozostawiali fanty przyniesione na wyłączną jego własność, napelniając serca goryczą, a usta klątwą na bezlitośną chciwość lichwiarza.

Popatrzawszy chwilkę na tyle kosztowności, które w spieniężeniu przedstawiały wartość przeszło pięciuset złotych, Ziemia z ukontentowaniem na twarzy i jakby odpowiadając na mimowoli szepezące mu sumienie o łzach i przekleństwach ludzkich, które napelnianiu tych kufrow towarzyszyły, mówił półgłosem:

— I to przecieć coś znaczy, a ludzie płakali i przeklinali; ale psie głosy nie idą pod niebiosy, bo czy ja kogo ciągnął, żeby przychodził do mnie z fantem o pożyczanie? Dlaczego każdy nie taki staroświaty jak ja, toby Bóg każdemu jak mnie pobłogosławił; ale ludzie więcej myślą o zbytkach jak o zabieganiu, to i cóż ja im winien? Jak se kto pościele, tak się i wyśpi.

Popatrzawszy jeszcze chwilkę, dodał zamykając kufry:

— Jutro mają być Josek i Urys z Klimontowa, trzeba im wszystko poprzedać, bo czegoż to ma się niszczyć w zamknięciu; zawsze lepiej pieniądze mieć w schowaniu, nie tak łatwo *luzę* w oczy, a zbierze się za nie kilka rubli. Szkoda, trzeba było wczoraj sprzedać, pewnie już się-ta więcej z nich nie wyciągnie, a ludzie jak często napotykać będą żydów u człeka, to Bóg wie co se do głowy przypuszczają. No, ale jutro pewnikiem koniec się zrobi.

Ziemia znowu obejrawszy się troskliwie po wszystkich kątach i omacawszy zasuwę u okienka czy dobrze zastania, przystawił małą drabinkę, za beczkami troskliwie ukrytą, do głównej belki wpoprzek komory pod pułapem idącej, i wysunął z niej jakiś stary łachman wkrąg zwinięty. Z konwulsyjnym ruchem zaczął go odwiązywać i odjąwszy parę szmat zabrudzonych i potarganych, podciągnął ku sobie małą czworograniastą z czarnej blachy skrzyneczkę, bez przykrycia, pełną rubli i pięciozłotówek. Gdy ujrzał tyle nęcący dla siebie widok, oczy takim sypnęły ogniem, jakby mu kto w osady pokładł węgle rozżarzone, ręce drżały febrycznie, a głowę mimowolnie zwrócił za siebie: tak się lękał świadka tajemnej swój czynności.

Wpatrując się potem w rozłożone przed nim srebro, z zapalem olbrzymiego węża ładującego się do skoku na zdobycz, Ziemia nie mógł się dosyć nacieszyć tyle lubym mu widokiem. To delikatnie przesuwając palcami po monecie, żeby brzęku nią nie robić, to sztuki więcej nowością błyszczące brał pod światło, wpatrując się w nie z zapalem kochanka, czytającego miłość w oczach ulubionej, to je

przykładał do ust, czoła i piersi, to znów cały przytulał się do skrzyneczki, jakby ją chciał wcielić w siebie: słowem bawiąc się i pieszcząc jasno wyobrażał człowieka, co dla pieniędzy wszystkoby oddał, a nawet duszę djabłu zaprzedał, gdyby w téj chwili stanął za nim i bręknawszy kiesą, uczynił podobne przedstawienie.

Po małej chwili i w milczeniu odbytej scenie, Ziemia wsunął znowu skrzyneczkę, i obwiązując ją łachmanami, mówił półgłosem:

— Przeniosłem ją wczoraj z ogrodu, bo Kubę kilka razy spotkałem pod płotem, jak się ciekawie *przypatrował*. Kto wie, czy mnie kiedy nie wypatrzył; ale jutro jak tylko popprzedaję fanty, razem wszystko zaniosę do pszczoł między ule, to już tam niczego nikt nie dojdzie, bo tu trzymać niebezpieczno. Może Maryna albo kobiéta dopatrzeć się przypadkiem i mnie ukrzywdzić, albo się i wygadać; a po co ludzie mają wiedzieć, wiele ja mam swojej pracy? A ta praca chociaż ciężka była, ale teraz *letko*, uciesznie, wesolo. O! aż człek zdrowszy, kiedy se pomyśli, że ma przecie jaką taką groszowinę w domu, bo bez pieniędzy to źle, bardzo źle na świecie. Wolałbym żeby mi Bóg życie odebrał, jak te parę złotych, co przy Boskiej i Najświętszej Maryi Panny pomocy, człek se pomału uzbierał.

Niedługo Ziemia schowawszy drabinkę i podstuchawszy pod drzwiami, czy kobiety już śpią, lub czy go nie szpiegowały, cichaczem wemknął się do izby. Zraz zwrócił się do posłania Jasia, ale go jeszcze nie było w domu. Niespokojny o tyle ukochanego wnuka, zadmuchał kaganek, i wzięwszy kij w rękę, ruszył na wieś po chłopacynę. Niebo całe zasłane było czarnymi chmurami, czasem tylko gdzieś wymknęła się gwiazda, ale tylko chwilkę poświeciwszy, znów się kryła w ciemnych płynących falach.

Wiatr czasem zaszumił po gałęziach licznych sadów, okalających każdą wsi siedzibę, a zakręciwszy pyłem i kurzem z drogi zebranym, hasał po kalenicach słomianych, wyrrywając mniej utwierdzone do łat snopki.

Ciemność tak była przerażająca, że drogi trudno było rozeznąć; ale Ziemia znajomy dobrze miejscowości, choć wolno, szedł jednak krokiem pewnym, a dowiedziawszy się od jednego z powracających włościan, że mały Jaś wyplakawszy się przy umierającym dziadku, poszedł potem z innemi do karczmy, i uspokoiony przez szynkarę, zasnął na jej posłaniu: obrócił kroki ku miejscu wskazanemu. Darma chłopacyna rozespany prosił i płakał, aby go nie ruszano z poscieli, darma szynkarka obiecywała wszelką nad nim opiekę; Ziemia

rozniewany doświadczoną o chłopca niespokojnością, która go na ciemnicę wywołała z domu, skarciwszy surowo wnuka, a nawet uderzywszy kilka razy postronkiem lekko przez plecy, wygnał go z izby, i z płaczącym przyszedł do domu. Mały Jaś równie rozniewany na dziadka, jak tylko wszedł do sieni nie udał się do izby, tylko po drabinie dostał się na górę, i mimo wołania Ziemby, ułożwszy się w sianie, wkrótce twardo usnął.

— Kiedyś taki uparty— mówił Ziemba pozasuwawszy starannie drzwi i zabiérając się do spania, to śpij tam dzieciuchu, bo tam i siano jest, i chłodniej, i muchy nie tak lażą do gęby.

I niedługo cicho się zrobiło w domostwie Ziemby; ciemność na dworze coraz się powiększała, a wiatr z większym szumem hasał między zabudowaniami wiejskimi.

Tak więc dwaj starcy zbiegiem okoliczności zbliżeni do siebie, tyle różni uczuciem serca i w praktycznym życiu pojmowaniem własnej zacności, jednakim snem ujęci wypoczywali po dniu walki, która się o mało śmiercią jednego nie zakończyła. Spał sprawiedliwy Sierpień wolny od dumy i zawiści, z jakich się otrząsał w uniesieniu religijném: spał również twardo i samolubny Ziemba; lecz gdy u pierwszego wypogodzone czoło i mały na ustach półuśmiech świadczyły o czystości duszy i sumienia; u drugiego choć przez sen dopatrzyłeś się łačno téj obłudy, fałszu i hipokryzyi, jakimi cechował każdą myśl i czyn z nich wychodzące. Północ tymczasem dochodziła ostatecznego kresu, wiatr z coraz większym szumem wył między budynkami, a Ziemba marzył jakieś sny niemiłe, bo często wybąkiwał słowa niezrozumiałe, niespokojnie przewracając się na łóżku.

Ciężko oddychając, przedstawiała się Ziembie w marzeniu cała kłótnia, odbyta z Sierpiem. Zdawało mu się, że w szamotaniu z przeciwnikiem słyszy gdzieś około siebie płacz małego Jasia wzywającego ratunku, i gdy z rozpaczą i boleścią w sercu chce biedz wnukowi z pomocą, Sierpień go przytrzymuje nie dając ani jednego kroku postąpić naprzód. Darmo Ziemba wydziéra się, darmo ostatnich sił dobywa, ale wszystko naprózno; niezwykła siła zatrzymuje go w miejscu, a tu płacz dziecka pełen jęku i rozpaczony ciągle się rozlega wskróś przejmując serce. Ziemba ostatnie robi wysilenie, wydziéra się z żelaznej ręki Sierpnia, już jest blizki ukochanego wnuka, już wyciąga do niego ręce, za chwilę przytuli do serca: gdy się czuje uchwycony za gardło przez Janka; chce krzyknąć, głos mu ni knie w piersi, chce się bronić, ale czuje coraz większe dławienie, siły go zupełnie opuszczają, a jęczący płacz dziecka staje się coraz bo-

leśniejszy, coraz cichszy, jakby pełny wyrzutu, jakby ginął wraz z życiem małej dzieci. Dławienie tymczasem u Ziemby z każdą chwilą się powiększa; już się i bronić nie może, czuje jak mu oczy o mało nie wyskoczą z głowy, a czaszka ledwo nie pęknie. Prosi myślą Boga chociaż o chwilkę odetchnienia wolną piersią i świeżem powietrzem, choć o kilka takich odetchnień, choćby zresztą o jedno, ale wszystko napróżno: śmi mu się już w oczach, zaczyna szumić w uszach, wokoło niego wznoszą się jakieś krzyki, przeraźliwe stukanie, hałas. Pogląda i okropny uderza go widok: zdaje mu się, że patrzy na swoje domostwo jak ze wszystkich stron obleżone przez ludzi z dzikiem wejrzeniem, rozpada się na drobne kawałki. Jedni rąbią siekierami, drudzy plądrują po komorze rozrywając między siebie rzeczy z takim mozolem zgromadzone, inni nareszcie wydobywają owę skrzyneczkę z pieniędzmi i rozsypują je między tłum niżej się rojący. Słyszy brzęk pieniędzy, widzi jak sypią się ruble i pięciozłotówki, chce krzyknąć na rabusiów, ale głos zamięra mu w ustach; chce poskoczyć ku nim — nie może; z rozpaczą załamuje ręce, chociaż okropne dławienie gardła co chwila zdaje się go życia pozbawić. Spogląda ku niebu, jakby od Boga wzywał ratunku i widzi ukochanego wnuka, jak w kornój postawie z anielskiem obliczem i ze złożonemi do modlitwy rękoma unosi się w powietrzu nad jego zabudowaniami i płynie w górę coraz wyżej i wyżej. Ziemba wyciąga ku niemu ręce, ale Janek zaczyna go szarpać, trząść, wrzeszcząc w uszy: „Ziembo, Ziembo, wstawajcie.“ Pada wysiłony na ziemię, czuje coraz większe szarpanie i jeden ciągly ten sam głos „wstawajcie, wstawajcie!“ Nareszcie sen okropny znika i wraca do przytomności.

O! nie był to sen: — wszystko się to działo na jawie. Ziemba istotnie widzi Janka jak go wpół trzyma i wlecze po ziemi. Izba pełna dymu, cała bucha płomieniem. Wrzawa, trzaskanie ognia, wycie wichru dokoła się rozlegają. Powoła w kilku miejscach z łoskotem się zapada, sypiąc zarzewiem i węglami. Wszystko trawi żywioł niszczący, sienią już wyjść niepodobna. Janek dociąga chwiejącego się Ziembę ku oknu, wypycha go otworem i sam poparzony, zabrudzony wyskakuje za nim na podwórze.

Pomiędzy płomieniem palących się budynków, po stosie upadłych z dachu łat i krokwi, prawie niosąc wyprowadza Janek Ziembę ku drodze, gdzie żona i córka zanosząc się od płaczu, z rozpaczą poglądają na zniszczenie całego posiadanego mienia.

Ziemba owiany świeżem powietrzem, jak tylko mógł zebrać myśli, zaraz zapytał:

— A Jaś, gdzie mój wnuk kochany? Ludzie ratujcie! bójcie się Boga, może on został na górze?

— Mój sąsiedzie—odezwał się jeden z gospodarzy, gdy kobiety w miejsce odpowiedzi głośnym odezwały się płaczem—mój sąsiedzie, waszego wnuka ofiarujcie Panu Bogu....

— Więc się spalił?—przerwał z przerażeniem Ziemba; a widząc, że mu nikt na to nie odpowiada, a kobiety z coraz większym płaczem tuliły się do siebie, popatrzawszy po wszystkich wzrokiem obłąkanym wyjąkał skłaniając głowę na piersi:

— O Boże! o Boże! a ja go sam wczoraj przyznał z karczmy do domu, chociaż niebożatko jakby przeczuwał co go czeka, prosił, żeby go zostawić. O Boże! wszystko mi zabrałeś: i moje pociechę i tyła pracy i te kilka groszy co ich wczoraj z ziemi wydobyłem i jakby na swoją szkodę przeniosłem do komory. O Boże zmiłuj się nademną!

Ziemba wyszeptawszy do siebie powyższe słowa, usiadł na ziemi przy żonie i córce, okrywając się podaną sobie płachtą, w które opatrzyła litość zgromadzonych włościan w jednych zaledwie koszulach wyratowanych pogorzalców. Tymczasem ogień dokonywał zupełnego zniszczenia. Drzewo i słoma z jakich zwykle składają się zabudowania wiejskie pabły się z szaloną wściekłością. Wiatr dął wyrzucając daleko płomieniste snopki ze strzech i grożąc zapaleniem innych sąsiedzkich zabudowań. Każdy rozpaczał. Kobiety i dzieci na wyścigi zносиły wodę w konewkach i garnkach: jedni odbierali, drudzy siedząc na dachach zlewali je obficie, broniąc tym sposobem od zajęcia; słowem, kto żył każdy się krzątał i czynem lub radą wstrzymywał postęp pożaru.

Jeden tylko Ziemba niemy, błądzący jak trup, z rozczochranym włosem na głowie, zdając się nic nie widzieć ani słyszeć, z trzęsąciami od zimna i przerażenia wargami, przypatrywał się z rozpaczą płonącej siedzibie, w której przed dwiema zaledwie godzinami pasąc oczy widokiem tylu dóbr, cudnie snuł marzenia przyszłego wyniesienia swojego rodu z postawieniem się na czele wsi całej i przy dobrém mieniu spokojnego bytu w starości. W dwie godziny wszystko się zmieniło: i Ziemba ów bogacz pokorny w postawie, a dumny myślą, ze słowami świętymi na ustach, a z hipokryzyą i fałszem w sercu, pod maską miłości bliźniego i mniemaną opieką Boga z tysiącem łez i przekleństw ludzkich na sumieniu, siedzi na ziemi prawie nagi, przeziębły, patrząc jak płomień obraca w perzynę i ukochanego wnuka Jasia i całe mienie z takim mozołem przez lat tyle zbierane.

Wkrótce wszystko uległo zniszczeniu, gwałtowne bowiem dęcie wiatru szerząc postęp pożaru w jednej chwili objęło płomieniem całą siedzibę Ziemy, paląc co tylko się w niej znajdowało z taką szybkością, że gdyby nie pomoc Janka, który siedząc przed chałupą pierwszy ogień wypatrzył, byłby Ziembra wraz z kobietami i drobiem, trzodą, bydłem, końmi i wszystkimi porządkami gospodarskimi niezawodnie się spalił.

Ogień nie przepuścił niczemu: za budynkami poszły płoty, ule ze pszczołami, sad z owocowem drzewem okalający chałupę, słowem w niespełna godzinę z zamożnego Ziemy stał się nędzny starzec napół nagi, okryty cudzym łachmanem, a z jego mienia została tylko kupa gruzów, popiołu i niedopalonych kawałków drzewa, z których buchający dym wijąc się po wsi całej zdawał się opowiadać ukaranie Ziemy, jakim Bóg sprawiedliwy prędzej czy później ludzi podobnych jemu dotyka (1).

I biędny grzesznik nawpół żywy, z okiem ciągle wlepioném w zgliszczą gasnącego pożaru, bez dachu, gdzieby mógł resztę smutnej nocy przepędzić, bez odzienia, bez kawałka chleba na jutro, bo mu tylko na własność kawał ziemi z zieleniejącém zbożem pozostał, i bez litośnego współczucia, gdyż miłości u ludzi samolubstwem nie mógł uzyskać:—siedział ciągle w milczeniu, ani jedném słowem nie wydając tłumy myśli, które nim całym poruszały. Nareszcie jak dziecko posłuszne rozkazowi, usłyszawszy nad sobą wymówione słowa:

— Chodźcie do nas, bo tatuś jak się *przecknęli* i dowiedzieli się o waszém nieszczęściu, kazali was z waszą kobietą i Maryną sprowadzić do siebie; chodźcie.

Ziembra powstał, a ujrawszy przy sobie Janka pomagającego mu powstać, aż zadrzał z przerażenia. Cały okropny sen sprawiony wdychaniem w siebie dymu, stanął mu w myśli; odpychając więc rękę pocziwego chłopaka, przemówił:

— Człowieku, ulituj się! nie duś, miej Boga w sercu, nie duś, już nie będę stał więcej na twojej zdradzie, *ino* nie duś!

Aż okropnie było patrzeć na tak ciężko ukaranego grzesznika, odzywającego się myślą zaczynającego działać sumienia.

Wymówiwszy te słowa, odwrócił się twarzą od Janka i postąpił parę kroków, jakby w ucieczce chciał szukać ratunku. Oto-

(1) Cała opisana scena pożaru, jak również główne wypadki i osoby działające w naszym opowiadaniu są ściśle prawdziwemi.



czony dopiero żoną i córką, wrócił do przytomności, i pojawwszy zrobione mu przedstawienie, głosem rzewnym, w którym się wyraźnie już skrucha przebijała, odezwał się:

— Sierpień, stary Sierpień przygarnia mnie do siebie? Och Boże! a ja.... Czy *ino* nie bez kpiny; ale cóż mu przyjdzie ze mnie, kiedy mi Bóg wszystko zabrał.

I nie mogąc jeszcze zrozumieć téj wielkiej nauki Chrystusa, aby dobrem za złe oddawać, i bez zysku coś zrobić dla drugiego; Ziemba otuliwszy się starą płachtą, boso, z gołą głową, w towarzystwie żony, córki i Janka, ruszył wolnym krokiem ku zagrodzie Sierpnia. Wojciech przebudzony ze snu i czując się znacznie lepiej, leżał na łóżku odmawiając głośno pacierze. Jak wszedł Ziemba do izby, podniósł się cokolwiek i wyciągając rękę, przemówił:

— Bóg wam zapłać mój sąsiedzie, żeście nie pogardzili moją chudością; wszystko oddajcie Panu Bogu i tak se poczynajcie, jakbyście byli we swojej własności.

Ziemba chciał coś odpowiedzieć, ale głos zamarł mu na ustach i boleśnie westchnąwszy, siadł na ławie przy piecu, a przy nim kobiety. I cisza zaległa gościnną izbę Sierpnia; dwaj bowiem przeciwnicy przygniecenii ręką Opatrzności, nie przemówiwszy do siebie już i jednego słowa, więcej we wzajemném utonęli milczeniu: jakby rozważali wypadki dnia ubiegłego, które powstałe pod wpływem wzburzonych namiętności, na łonie religii znalazły tak chrześcijańskie rozwiązanie.

Niedługo za staraniem Basi, jako-tako odziane zostały kobiety. Ziembę ubrano w kamizelę Sierpnia, bo jak powiedzieliśmy, pogorzeli cy zaledwie w jednych tylko koszulach zdołali się wyratować z pożaru; a gdy Janek wciągnął do izby sporą wiązkę słomy, wszyscy zajęli się przygotowaniem do spoczynku.

Zanadto jedaak czułe serce Janka poruszone zostało silnemi wrażeniami, aby mógł myśleć o spoczynku ciała, gdy dusza wrząc rozdrażnioném czuciem, gnała myśli jakby wichrem w poetycznej jego głowie. Siedząc na ławie przed chałupą, oparty plecami o ścianę, z gołą głową i z osmoloną twarzą patrzył w niebo, po którym dosyć często czarne przepływały chmury. Milcząc, przyglądał się temu wzniosłemu widokowi, któremu towarzyszyła uroczą ciszą wioski, przerywana wyciem wiernego psa Ziemby nad pogorzeliiskiem, i małym dalekim gwarem wieśniaków, w gawędzie rozchodzących się do domów.

Janek przywodząc sobie do myśli to kłótnię z Ziemką, to jego odgródki, to chorobę Sierpnia tak nagłą i nauki proboszcza, to znowu żal Basi i wiarę ojca w jego do niej stateczne przywiązanie, a nareszcie okropny pożar, z którego zaledwie swoją przytomnością wyratował Ziemkę, gdy tyle ukochany przez niego wnuk w płomieniu śmierć znalazł okropną; Janek rozważając sobie to wszystko i łącząc z dziejami własnego postępowania, nieraz z lekkim widocznym wzruszeniem wydobywał z piersi westchnienie, jakby sumienie dręczyło wyrzutami pełne czucia jego serce. Wtém dała się słyszeć rozmowa wracających od pożaru dwóch włościan, i w miarę jak się zbliżali drogą ku chałupie Sierpnia, stawała się coraz wyraźniejszą, tak, że w cieniu siedzący Janek dokładnie mógł słyszeć:

— Oczywiście mój sąsiedzie kara Boska—mówił jeden—jak przyszło tak i poszło: krzywda ludzka nigdy nie wyjdzie na pożytek; i ta choć nie zaraz, bo Bóg cierpliwy czeka, żeby się człek poprawił, ale zawdy prędzej, później nie minie ukaranie. Ot na ten przykład Ziemka: długo wojował, krzywdził, brał *prowizyje*: grosz dał a złotówkę odebrał. Ludziska płakali, przeklinali, on nie na to nie zważał, i aby ino zarobić, to reszta wszystko u niego było fracha; i cóż?—poszło wszystko z dymem. Pan Bóg jakby śladu nawet nie chciał zostawić z takiego krzywdziciela, jakby się na wszystko zagniewał co do niego należało, nietylko że nie przepuścił niemym stworzeniom, chociaż cóżta było winno takie biedactwo? nietylko mój sąsiedzie zesłał ogień na wszystkie budynki, na sad i ule ze pszczołami, ale i wnuka wziął mu do swojej chwały; i żeby nie Janek, toby z Ziemką, z jego kobiety i Maryny możeby do tego czasu i węgla już nie zostało.

— Oj! prawda mój sąsiedzie—odezwał się drugi cokolwiek przystając dla wzajemnego ucześnieństwa się tabaką—że człowiek ani wie, kiedy spadnie na niego ukaranie Boskie. Ot wczoraj Ziemka każdegoby z nas z duszą zapłacił, a dziś gorszy od dziada proszącego; bo ni dachu, ni ubrania, ni pożywienia, i choć mu gruntu dosyć zostało, ale cóż? przecieć go kawalka nie ugryzie, i żeby nie Sierpień...

— Ale wiecie co, mój sąsiedzie—przerwał pierwszy—choć Wojciech hardy, ale uczciwie se począł.

— Oj! prawda, i pomyśleć se o tém, to tak dziwno się człekowi robi, że aż.....

— No, mój sąsiedzie, nie ma w tém żadnej dziwności, bo Sierpień dobry katolik i juścić, i zawdy mu to Pan Bóg wynagrodzi.

— Ej! mój sąsiedzie, wielebyta o tém można jeszcze mówić. Co prawda to prawda, Sierpień poczciwy człowiek, ani słowa, ale że zahardy, to nie ma gadania: zawdy siebie miał za pierwszego we wsi. Ojcowiznę chciał oddać bratankowi (1), żeby i po nim Sierpień nastął, Baśkę wydał za Janka; ale zobaczycie, że póki stary Sierpień żyje, tota wszystko jeszcze się trzyma kupy, ale jak oczy zamknie, ojcowizna rozleci się po świecie jak pierze: bo Janek do karczmy, do uciechy, do tańca to dobry, ale nie do roboty, i poradziłby nie takiemu *ino* majątkowi.....

— Ej! pomału, pomału to się przecie może ustakuje. Janek ma Boga w sercu i wie, że nie szanować cudzej pracy, to grzech śmiertelny, a po dzisiejszém ukaraniu Ziembry to powinien przecie przyjść do rozumu.

— Ha! dałby to Bóg, ale jeżeli nie *zabaczy* gorzałki, to wspomnicie moje słowo, że źle będzie z Jankiem.

— A może to być; a szkodaby było chłopaczyska, bo to dobry i uczciwy dzieciuch.

— Ani gadania, mój sąsiedzie, ani gadania; niech go Matka Boska Częstochowska ma w swojej opiece.

Rozmowa idących włościan coraz niewyraźniejszą się stawała, aż pomału zupełnie ucichła. Janek słuchając to bladł, to czerwienił się: serce tak mu biło gwałtownie, że zdawało się wyskoczyć z piersi; a gdy ostatnie wyrazy włościan rozplynęły się szmerem niewyraźnym w ciszy wieczornój, on zsunął się z ławki na kolana i napół z płaczem mówił rzewnym głosem:

— O! Boże, Boże! o Matko Boska cudowna! o ja biedny sierota co poradzę z sobą? We mnieta w głowie tyła siedzi dziwności, a kajsić tu—biorąc się za serce mówił dalej—tak czasem ściska, że człek o *zdrę* co nie zwaryuje. Moja Basiu, mój tatusiu, miéjcie nademną zmitowanie. O! Boże, Boże! ratujże mnie, ratuj!

I długo jeszcze potem podobnie urywanemi słowami Janek wyrażał przytłaczającą go boleść serca, aż nagle zerwał się raptem z kolan, chwilkę pomyślał i radośnie powieźdźwawszy:

— Wiém co zrobię, Pan Bóg może się nademną ulituje—wszedł do sieni zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

(1) Czyli synowcowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# PODRÓŻ PO FRANCYI.

PRZEZ

Orca G. Crippina.

(Ciąg dalszy).

---

## III.

**Béziers.—Pézénas.—Montpellier.**

Dobryto był człowiek ten pan Bourdon dawny kapitan wojsk cesarsko-francuzkich. Wszystkiem się interesował dopóki był młodym, to téż zestarzawszy się o wszystkiem wiele wiedział i mógł mówić rozsądnie. Gospodarstwo szczuplutkie, bo zaledwie włókę kwadratową ziemi zajmujące, tak umiejętnie prowadził, że z niego rok rocznie, z pszczoł i krów 5000 franków czystego dochodu, z wielkim wprawdzie mozolem wydobywał. Pięknyto procent od kawałka gruntu, kosztującego zaledwie 37,000 franków; ale co to kosztowało pracy, znoju i zachodu, nim ten mały kawał w własnościach swych, częśćka po części rozpoznano; nim się tu założył sad, owdzie pole, a tam łąka; nim system irygacyjny zaprowadzonym został skutecznie; nim się udało zakupić u sąsiadów stróżkę od rzeczki płynącej w pobliżu; nim się drzewa zasadziły, domek postawił, konsens na szynk wyrobił! *Grand Dieu!* zaręczał kapitan do żywego rozczulony wielkością dokonanych przedsięwzięć—*Grand Dieu!* pięć lat mego życia poświęciłem na przeistoczenie tego kawałka gruntu, na ów raj, któryś pan oglądał; a co najtrudniejszym było do osiągnięcia, tego pan

pewno nie odgadniesz za nic w świecie. Ale panu powiem odrazu, zaspokoje pańską ciekawość. Najtrudniój było założyć pasiekę. Może pan myślisz, że to z powodu niełaski ze strony pszczół? Nie, bynajmniej:—to z przyczyny niechęci sąsiadów. Zaraz panu rzecz wyłuszcze w trzech wyrazach. Według jakichsiś niespisanych, lecz zwyczajem oddawna ogólnie uświęconych praw, u nas w kraju, gdzie wszystko pod kródkę biorą, ledwo nie powietrze: niewolno właścicielowi gruntu zakładać w zagrodzie swojej tyle ulów ile mu się podoba, tylko tyle i tak wielkich, ile w pewnym stosunku na przestrzeń wypada; a to dlatego, żeby się pszczoły nie przekradały na grunta okoliczne i tam nie wysysały sąsiadom kwiatów. Nie bacząc na to prawo, postawiłem sobie na mym gruncie dwa razy większą ilość ulów, niż mi się z prawa należało. Spostrzegli to dobrzy sąsiedzi, zmówili się z sobą, i nuż mnie skarżyć przed sędzią pokoju. Wołają mnie, stają przed trybunałem. Oskarżenie mi przeczytano, oskarżyciele w liczną kupę zebrani stoją i skargę popierają. Sam się bronię, sam bez pomocy adwokata, w ozdobnej, tkliwej, przeświadczałej mowie i z dowodami niezaprzeczalnymi w rękę. Mowa moja drukowaną była w dzienniku towarzystwa rolniczego w Narbonne: mogę ją panu z drukowanego przeczytać od deski do deski.

Istotnie nieubłagany kapitan nim się spodziałem, wyciągnął papier drukowany z kieszeni i odetchnawszy, zaczął czytać co następuje:

„Panie sędzio i kochani sąsiedzi, co mnie oskarżacie o krzywdy wyrządzone ogrodom waszym przez pszczoły moje! Święta religia, którą wszyscy w tym kraju wyznajemy, głosi nam, że ludzi na to Bóg stworzył, aby się mnożyli i rozkrzewiali po ziemi. Ród ludzki mnoży się, ale ziemia nie rośnie jak pączek w maśle, ani się rozciąga jak gumlastyka, tylko w téjże samój pozostaje wielkości. Dlatego téż aby wystarczyła na wyżywienie coraz liczniejszego rodu ludzkiego, staramy się uszlachetniać nasz padół, użyźniać zasy, piaski, błota, jary i krzemieniste grunta, a nakłaniać już użyźnione pola do wydawania daleko obfitszych i lepszych płodów. Bóg nam téż łaskawie przychodzi w pomoc i pozwala, żeby pod ręką umiejętnego ogrodnika nawet rośliny z Jego wszechmocnej dłoni wyszły, wyborniejszą jeszcze postać przybierały i lepsze wydawały owoce. W dobrym bycie przecież się nawet sama trawa i krzewy polne uszlachetniły, okazalsze i słod-

sze kwiaty przybrały. Patrzcie panie sędzio i kochani oskarżyciele na ten pęk kwiatów polnych, co go mam w ręku; widzicie te kłosa purpurowej koniczyny na trzy cale długie, owe esparcety wielkie jak centyfolie, wyki gdyby motyle, kopry, anyże, piołuny, dziewanny, rozchodniki, lilie: — wszystkie polne kwiaty, a tak piękne i pełne, jak w oranżeryi, ogrodnika ręką pielęgnowane, dostojne córki Flory. Patrzcie panowie przez lupę na te kwiaty, a spostrzeżecie, że i pęcherzyki zawierające słodycz, większe jak u pospolitych niepoprawnych kwiatach tego samego rodzaju, rosnących na inném miejscu. U mnie każdy kwiat wyda, nim opadnie i ustąpi owocowi, kilka kropli miodu do mego ula, a mam ich tyle poprawnych, uszlachetnionych, ile jest piasku nad morzem; jedna część gdy okwitnie, wnet druga jeszcze piękniejsza, kielich rozwijać zaczyna. To téż i pszczoły moje nie lada pszczoły, tak mało podobne do waszych, jak moje kwiaty i woły do waszych, — jak ja tłusty, ogromny i czerstwy, do was chudych, śniadych i znekanych. Proszę spojrzeć na te pszczoły, które wam tu w staréj latarni przyniosłem; pewno żem ich nie wybiéram, tylko te z sobą zabrałem, które mi się piérsze nawinęły. Ot jakie lube stworzenia, pełne zdrowia, życia i piękności; widać, że to uszlachetnione plemię, że to poprawna rasa! Sam Bóg krajowi temu z niczego innego niewsławionemu powierzył pszczołę, dawną mieszkankę wyspy Krety; a my dar ten cenić winniśmy, bo plonem pracy i zabiegów tego lubego owadu sprowadzamy dostatek do kraju, i wypowiedamy skuteczną wojnę płodom ziem ościennych, a nawet zwalczamy własnościami do naszego miodu, w pewnych porach roku przywiązaniem, mannę Kalabryi, rumbarbarum chińskie i trzcinę cukrową kolonij zamorskich. Zaszczyt nam robi pszczoła narbońska we wszystkich aptekach Europy, a my, cośmy światu całemu udzielili pojęcie o godności człowieka i jego swobodach, targnąć się chcemy na wolność i godność naszych dobrych pracowniczek, określać ich liczbę, nie dozwałać życia jak tylko pewnej liczbie na metr kwadratowy, rachować je i liczyć jak psy lub barany, i może jeszcze na każdą głowę pszczoły, nakładać podatek klassyczny od zarobkowania?“

Ogromna tu sensacya— przerwie sobie kapitan Bourdon— nastąpiła pomiędzy włościanami: jedni klaskali w ręce, drudzy ocierali pot z czoła, trzecim łzy jak groch z rozczulonych spadały oczu. Ja spostrzegłszy, że tu właśnie czas kuć żelazo i nadać mu

kształt dowolny, stentorowskim krzyknąłem głosem, nadając mu patetyczność nieporównaną:

„Francuzi! do tegoż przyszło w naszym kraju, żeby ja Bourdon (*bourdon* znaczy *bąk* po francuzku), żeby bąk stawał w obronie rasy pszczolnej i to przeciw ludziom! Ach, wierzajcie mi, jeśli tak długo potrwa, to się doczekamy, że lis przeciw wam ludzie będzie bronił zająca, i niebawem cały świat obróci się do góry nogami i pograży was w nieszczęściu. Oskarżać me niewinne pszczoły, że się do waszych przekradają ogrodów! ach, to niesłuszność krzycząca! Albo im to źle w mój zagrodzie, albo czyż znajdują w waszych takie wyżywienie? Takżeto idziecie z postępem oświaty w waszych gospodarstwach? Nie, nietylko me pszczoły są zadumne, żeby się na wasze łakomiły kwiaty, ale nieraz widziałem jak wasze pszczoły całymi chmarami osiadały w mych ulach, bo u was głodu doznają i zazdrośném patrzą się okiem na me dobrze tuczone piękne owady. Lecz daleka odemnie myśl sobkostwa: jestem tutaj nietylko dlatego, żebym obronił me pszczoły od napaści na ich sławę i byt godzących, ale także dlatego, żebym wam kochani sąsiedzi udzielił *gratis* tajemnice sposobów, któremi podwyższyłem me gospodarstwo i uszlachetnić zdołałem nasze pszczolnictwo tyle wzniecające w was zazdrości i niepokoju. Każdy z was to samo zdoła osiągnąć, byleby siał i sadił w swoich grüntach kwiaty i krzewy poprawnej wartości. Nasienia dostać można u mnie za umiarkowane ceny, a rad zupełnie *gratis*.“

„Skończyłem, zdając się na sąd prześwietnego trybunału.“

I takim sposobem obroniłem me pszczoły, sprzedałem w jednym miesiącu za 2,000 franków nasienia koniczyny, esparcety i innych ziół aromatycznych, zyskałem sobie współczucie sąsiadów, którzy odtąd przychodzili często po rady *gratis* i konsumowali za pieniądze me wina i miody: słowem, stałem się głośnym i modnym. Towarzystwo rolnicze narbońskie umieściło moją mowę w swym pamiętniku i obdarzyło mnie, w nagrodę za emancypowanie pszczół zpod tyranii wieśniaczej, medalem srebrnym, na którym przedstawiono pszczołę i wypisano napis: *L'abeille de Narbonne à son protecteur Bourdon*.

— Aha! panie doktorze! to mi to kraj, w którym człowiek, słowem publicznie wyrzeczonym, zdoła w minut kilka zyskać tyle i takich korzyści! To pole dla intelligencji, dla światła i dla zaślugi, to mi zawód dla pracowitych i obywateli. I tém się właśnie różni kraj nasz od wielu innych, że żadne ulepszenie, żaden

wynalazek, żadna zasługa ujść nie zdoła ucha publiczności, wiedzy rządu: bo gdy Bóg obdarzy Francuza rozumem, to mu najczęściej udzieli i dobry język, i zbytnią go nigdy nie obciąża dozą skromności, niepozwalającą rozwinać się przyrodzonej ambicyi.

— O pewno kapitanie! co do samochwalstwa, toście niezawodnie przeszli wszystkie inne narody— rzekłem najnaiwniej w świecie, jak mi się często, niestety! wydarza.

— Tak jak je przeszliśmy w wielu godnych pochwały rzeczach—odpowiē pan Bourdon, i nie dając się zbić z tropu, mówi ciągle dalej:—Otóż i Béziers tam na widnokręgu, otóż wjeżdżamy do rajy langwedockiego.

— Jakto kapitanie? ta kupa szarych, niekształtnie napiętrzonych kamieni, gdzie nie sterczą ani zamki, ani wieże kościołów, gdzie żadne drzewa nie wyzierają z poza murów, dachów i tarassów, to Béziers? miasto o którym mówicie, że gdyby Bóg mieszkał na ziemi, mieszkałby w Béziers?.

— Tak, to Béziers, to raj nasz życiodawczy. Nie wiem czy w mieście są baszty, wieże i ogrody wiszące, ale wiem, że okolice przechodzą żyznością najżyźniejsze strony południa; że w samym mieście na 17,000 mieszkańców jest przynajmniej 30 ludzi władających milionem; że pieniądz tu na dobre poręczenie zawsze pewny, a procent mały. Słynie nasze Béziers z win, wódek, konfitur, jedwabników i węgla ziemnych.

Wszystko prawda, co mi kapitan o przymiotach ubóstwianego Béziers mówił, ale i to prawda, że prócz pałaców, zamków ukrytych po części w nieprzejrzanym ogrodach, a otaczających przedmieścia, samo miasto nie przedstawia zachwycającego ani też wesołego widoku. Ruin wprawdzie wyszukałem kilka rzymskiego, gotyckiego i maurytańskiego pochodzenia: resztki dawnych murów i baszt, amfiteatru i wodociągu. Okropne przechodziło koleje to miasto. W V stuleciu ery ch. zdobyte przez Gotów na Rzymianach, w IX stuleciu Karol Martel odebrał je Maurom hiszpańskim, a na początku XIII stulecia w wojnie Albigeńskiej okrutny Szymon hrabia Montfort zdobył Béziers i wyrzniął w tém mieście przeszło 60,000 mieszkańców. Później podczas prześladowań wymierzanych przeciw protestantom, Béziers znów zostało widownią częstych okrucieństw i ofiarą kilku obleżeń. Bywały i sławne konsylia w Béziers w dawnych czasach; warto także dodać, że miasto leży już w Langwedocyi, w miejscu gdzie kanał langwedocki łączy się z rzeką Orbe.



Garnizonem stał w Béziers najpiękniejszy pułk kawaleryi francuzkiej, karabinierów konnych. Konie różnej maści, ale wszystkie rosłe i krwi szlachetnej normandzko-angielskiej; ludzie wyborowi, mundur świetny, szafirowy z wyłogami ponsowemi i spodnie czerwone; puklerz i hełm powleczoney mosiądzem, broń kirasyerska: wysoki karabin z bagnetem. Piérwszyto raz w życiu widziałem kawaleryą francuzką, o której koniach i sztuce jeźdzenia z opowiadań niekorzystne powziąłem mniemanie; ale prawdziwie, przyznać muszę, że miałem pułk karabinierów konnych Francyi nad wszelkie spodziewania zachwycił. Później jednakże rozpoznawszy się bliżej z armią francuzką wyznać musiałem, że tylko mała część jej kawaleryi, i to wyłącznie ciężka kawalerya, pięknemi szczyci się końmi. Kawalérista na nich okazał wygląda, zwłaszcza że kulbaczy konia i ujeżdża na przednich nogach, co podwyższa wysokość jego o cali kilka.

W Béziers jedliśmy śniadanie, wyborne europejskie śniadanie za franków trzy, złożone z wyśmienitych befsztyków, kotle-tów baranich, ryb morskich, zwierzyny, sałat, przypraw, z najwyszukańszych legumin, i z winem St. Georges aromatyczném jak Bordeaux, a daleko mocniejszém *à discrétion*. Szczęśliwa ta okolica obfituje w wszystko, co tylko smakowi miłe, a zdrowiu pożyteczne!

Około 1ej po południu opuszczamy Béziers i na Pézénas dążymy do Montpellier, odległego tylko o ośm i pół mili.

Kapitan Bourdon tylko co siadł do dylizansu, zaraz znów zaczął opowiadać i brzęzczyć:

— A tak zbliżamy się do miłego Montpellier; ściągają się czarne chmury na firmamencie mego ukochanego syna. Doprawdy nie chciałbym być w jego skórze, bo coś mi się zdaje, że spotkanie będzie dla niego nienajmilsze. Ale téż proszę sobie wystawić: w jednym roku zrobić 115 fr. 75 centymów długu, przytém skrócić łeb jednej inskrypcyi, co pociąga za sobą stratę trzech miesięcy czasu i trzydziestu franków! Niecierpię dłużników: już to i Napoleon powiedział, że kto zaciąga długi, to zastawia część swój przyszłości!

— Ale i Napoleon zniewolony był zaciągać długi, gdy mu niedza dokuczała—odpowiadam kapitanowi.—Księżna Abrantes opowiada nam, że Napoleon Bonaparte dymissyjonowany generał a przyszły cesarz Francuzów passował się z biędą, i raz nie miał

czém zapłacić śniadania w kawiarni chińskiej. Raz nawet od swego dawnego adjutanta Junot pożyczył pieniędzy na zapłacenie butów, a wiadoma jest przecie powszechnie pożyczka kilku ludorów od aktora Talmy.

— Bóg wie czy to prawda — odpowie Bourdon. — Księżna Abrantes nie napisała ewangelii, to rzecz pewna; często się mijała z prawdą, przechwalając się w sposób dosyć śmieszny. Przecież się tém chełpiła, że w Malmaison Napoleon będąc już konsulem dożywotnim, kochał się w niej na zabój; a przecież całemu światu wiadomo, że Napoleon miał gust dobry, a księżna Abrantes nigdy piękną nie była. Potém jeśli Napoleon zaciągał długi od Junota, toć później stotysięczny procent za nie płacił. Niech sobie będzie jak chce, ja do tego stopnia dłużników nienawidzę, że nigdy nikomu złamanego grosza nie pożyczę: to mój system i system wszystkich porządných ludzi naszego kraju.

— Pan zapewne widząc potrzebującego woli darować, jak pożyczyć — ozwę się.

— Darować, darować! a niechże pana!... Darować? nigdy! Pożyczać źle, ale i darować niedobrze, może nawet gorzej. Darować! *comme Vous y allez! Cré nom d'un petit bon homme!* A mnie kto co darował? Wykuć sobie musiałem jak z kamienia wszystko co posiadam; uczciwą pracą wszystko zarobiłem, ryzykując sto razy me życie w bojach, w znoju i w ciągłej bezustannej czynności. Darować! dalibóg nie pojmuję co pan pod tym wyrazem rozumiesz. Kiedy jestem w kościele, to dam *susa* do skarbonki, czasem i żebrakowi dam idąc za popędem mego miłosiernego serca, choć wiem, że źle robię, bo jestem członkiem towarzystwa przemysłiwającego nad sposobami wytepienia żebractwa. *Aide toi, et Dieu t'aidera*: pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże, to moje godło. Darowizną zuboża się i dawca i obdarzony, bo mu się przez to odbiera piękna wiara w skuteczność pracy i szlachetne zadowolenie, pochodzące z niezawisłości. Ja lepiej powinności moje względem bliźnich pojmuję: daje im pracę, nastroczam ją, wyszukuję, gdy mnie o co proszą. Powiem panu do jakiego stopnia pojmuję filantropią. Otóż niedawno udał się do mnie stary wiarus z cesarskich czasów, żołnierz z pańskiego kraju, może go pan znasz? Imię mu Jakób, a nazwisko kończy się jakoś na vich?

— Może Szczypczykiewicz? — zapytałem.

— A tak, tak! Jakoś Sipsiguievich. Lampasy ma żółte u spodni, wąsy ogromne, nos cokolwiek zadarty, oczy małe, ale bystre jak zapalone cygara; przytém *une fisionomie un peu forte pour ne pas dire un peu diablement forte*, fizyognomią cokolwiek djabelsko-dziarską.

— To, to! zdaje mi się że go znam, to zapewne Jakób Chrzęszczewicz?

— *Cré nom de bataillon!* alboż się można tak nazywać! Ale co kraj to obyczaj, może się i tak nazywał. Dosyć, że raczył mnie odwiedzić tam w méj karczmie pod świętym Chryzostomem, *bouche de miel*, i wypiwszy dwie butelki *rivesaltesu*, wszedł ze mną w rozmowę. Przypomniał mi, że w téj i w owéj bitwie byliśmy z sobą razem, że się grenadyery konne dobrze bili, prawie tak dobrze jak ułani polscy w których służył, i na zdrowie cesarza Napoleona raczył wychylić jeszcze dwie butelki, zjeść półtora funta séra i ośm jaj na twardo ugotowanych, a na obiad dla mych czterech parobków przygotowanych. Poczciwy człowiek, niebrakło mu ani serca, ani apetytu. Potém gdy przyszło do zapłaty, zaczął coś szukać w kieszeniach, ale nic w nich nie znalazł, tylko przypomniał sobie, że w tydzień wydał owe 16 franków, które mu rząd na cały miesiąc daje, i że mu nic nie pozostaje jak stara pięcio-frankówka, którą on uważa za numizmat dlatego, że popiersie *du petit Caporal* na niej wybite, i że trudnoby mu było rozstać się z nią z tego powodu.

*A la bonne heure!* stary wiarusie, nie rozstawaj się z popiersiem tak ci drogiém, ale mi to odrób, coś mi wypić i przejadł na zdrowie oryginała twego popiersia. Wiem, że każdy z was coś umieć zrobić: jeden z wiciny uplecie matę, drugi siéc robi, trzeci plecie koszyk, inny wóz naprawi; oh! wiem że tego pracować umiecie, gdy chcecie. — Naszego wiarusa wbiło to w ambicyą, oczy mu się zaiskrzyły. Wstał, bluzę zdjął i udał się na łąkę, gdzie właśnie mych czterech parobków siano kosiło. Odegnął od łąki owych parobków, kazał im ostrzyć kosy, a sam porwawszy jedną, jak nią zacznie machać i machać umiejętnie tuż nad ziemią, silnie i potężnie, to dalibóg nic podobnego nie widziałem w życiu, jak mu szła praca dobrze i prędko. W półtrzeciéj godziny zwałił mi całą łąkę, którąby moje parobki i w czterech nie byli skosili; potém rozrzucił trawę grabiami tak ślicznie, że na jedną stopę nie padło więcéj ani mniej jak na drugą. Nakoniec spojrzawszy na zachodzące słońce, powiedział, że jutro o téj

samój godzinie siano musi być w stodole, sam zaś poszedł spać na bojowisko na słomie. Nazajutrz skoro świt, już mój wiarus na łące przerzuca siano, potem dalej sporządzać wóz, wstawiać szprychy do drabin, podpierać drzewa, znów przerzucać siano, potem sporządzać służę; parobków użył na wyszlamowanie sadzaweczki, potem znów przerzucił siano, a słońce paliło żarem okropnym, i trawa schła jak na piecu piekarskim. Nareszcie nadszedł wieczór, dalejże wszyscy razem: i ja, i parobcy, i dziewczki na łąkę; nim jeszcze słońce zapadło, trzydzieści pięć centnarów najwyborniejszego siana było w stodole. A dobrze przewidział wiarus: słońce krwawo zapadło, i deszcz lunął w nocy, i trwał dni kilka; wielką byłby mi wyrządził krzywdę, gdyby moje siano było pozostało na łące. Nie koniec na tém; wiarus skończywszy z sianem, jął się do koni, wychędożył je, wystrzygł, do kowala poprowadził, przekuć je kazał w nowy sposób; potem mi posporządzał szleje, szorki i siodło. Istotnie przez te trzy dni nie przebrał miary ani w picciu, ani w jedzeniu, ani też nawet niewiele mówił; czwartego dnia swego pobytu, byłato niedziela, ubrał się czysto, poszedł do kościoła, mszy wysłuchał z przykładnym nabożeństwem, wrócił do mnie, i zjadłszy dobre śniadanie, bom szczerze mu był rad za jego usługi i dolewać nie przestawałem, porwał kij i tłomoczek i pożegnał mnie.

— Jakto panie Jakóbie, opuszczasz mnie? Zostań, zostań; tyś dobry pracownik. Rząd daje ci 16 franków zadarmo, ja ci dodam wszelkie wygody i 14 franków: będziesz miał o sześć franków więcej na miesiąc, jak najlepszy z mych parobków. — Ale on odpowiedział:

— Dobrzeto na raz jeden, panie kapitanie, ale na długo, to-bym i tu stęsknił. Idę do Montpellier, gdzie mnóstwo moich panów pomiędzy uczniami medycyny; obiecali mi tam miejsce, będę im usługiwał: lepiej jakoś ze swojemi choćby w biędzie, jak z obcemi choćby w dobrym bycie.

Z największą trudnością zezwolił na przyjęcie dziesięciu franków na drogę, i zaraz połowę téj kwoty przehułał z dziewczkami i parobkami w méj karczemce. Potem sobie poszedł serdecznie rozczulony, i krzyżąc *vive l'Empereur!* Teraz jest infirmierem w szpitalu wojskowym w Montpellier, w sali oficerskiej, gdzie zawsze kilku z pańskich rodaków leży, bo ich tam przysyłają z wszystkich departamentów południowych, niestety! prawie zawsze na śmierć, bo na suchoty bardzo łatwo zapadacie. Nieda-

wno tam umarł na tę samą chorobę doktor jeden polski tu w Béziers osiedlony, bardzo dobry doktor: żałują go tu wszyscy. Wkrótce jednak przybędzie na doktora inny Polak do Béziers. Ależ oto i Pézénas!

*Pézénas* w pięknej, żyznej okolicy, otoczone pagórkami, wyborném winem gęsto pokrytymi, ledwo 8,000 liczy mieszkańców, ale z powodu licznych fabryk i nadzwyczajnej ilości winnic, sławne na całą Francją a nawet na Europę. Tutaj ustanawia się cena win rok-rocznie, a całą ją Europa przyjmuje jako prawo. Jeszcze za czasów rzymskich *Pézénas* słynęło z win, kaparów i z wełny. Od dwóch wieków nowa przybyła temu miejscu sława: *Molière* tu przedstawiał w jeszcze istniejącej sali ratuszowej pierwsze sztuki dramatyczne; tutaj w *Malade imaginaire* wyszydział fakultet medyczny montpellijski, do którego ja po pokarm umysłowy dążyłem. Niech ci jednakże będzie lekką ziemią, o przedziwny gieniuszu! coś mnie tyle razy w mém życiu uśmieszył, zabawił i nauczył. Niejednego wyleczyłeś hipokondryka i mizantropa twemi dowcipami: miałeś tedy prawo szydzić z lekarzy, co tylko niesmacznymi miksturami i dotkliwym bólem leczyć umieją, a często jeszcze nie wyleczą.

Przebywamy rzekę *Hérault*, od której cały departament bierze nazwisko; wpada ona do morza Śródziemnego pod *Agde*, tylko o dwie mile od tego miejsca. I to zamożna miejscina, chociaż tylko 4,000 liczy mieszkańców; wiele tu handlu, fabryk i niemało wrzawy, a wszędzie kraj dobrze uprawny i żyzny.

Kapitan *Bourdon* jeszcze nie zamilkł, owszem, widząc mnie chętnie słuchającego, opowiadał kto mieszka w owym zamku na lewo, w owój willi na prawo; jak ten się majątku dorobił, a tamten go stracił; czemu *Monsieur Martin* nazywa się dziś *Monsieur de St. Albin*, a dlaczego panna *de Mont Sévérin* poszła za pana *Doulasse*. Wszystko wie, o wszystkiém mówi, ale przedewszystkiém zna to wszystko, co daje pieniądze i więtość, a co je odbiera.

Ta część Francyi, to istny ogród! Każdy kawałek gruntu spożytkowany i dobrze uprawny. Wielkich, szczytnością porywających krajobrazów nie posiada, ani też lud nie znamionuje się poezią: pracowity, dość ugrzeczniony; w staraniach o chleb codzienny skąpo rozdzielony na tak wielką ludność, stracił żywość i wesołość, z której w dawnych czasach słynął.

Jeszcze kilkanaście kilometrów prawie wyrównywających naszym wiorstom w długości, a stajemy na wysokim pagórku, z ką

odrazu odsłania się widnokrąg bardzo obszerny. Na lewo niezbyt wysokie, ale ciemno-zieloném gęstém drzewem pokryte *Cevenny*, na prawo rozciąga się morze Śródziemne, naprost ku wschodowi na nizkiém wzgórzu pośród ogrodów i plantacyj, rozrzuconych zamków i willij, miasteczko jakieś sino-szare z niewysokimi wieżami, jak stos ruin i opok.

To Montpellier! tak, to Montpellier, siedlisko muz i nauk, przytułek, w którym chciałem spocząć po wielu burzach i trudach, w którym pragnąłem używać wspomnień czasu, tak prędko w świetnej poezji i pięknocią Hiszpanii uszłego, przeżyć razy sto i tysiąc doznane rozkosze.

— Nie tak sobie wystawiałem Montpellier. Wyobraźnia malowała mi to siedlisko muz założone przez Maurów, białém jak śnieg, pełném wysmukłych minaretów i drzew wykradających się zpośród śmiejących się ogrodów—rzekłem do kapitana Bourdon.

— Nie! takimi nie są miasta naszej południowej Francji: zawsze ten sam koloryt brudno-kamienny. Świątynie u nas skromne, niczém nieimponujące zdaleka, wewnątrz tylko zawierają ozdoby, a domy chociaż z pozoru niekształtne, w środku piękne i wygodne, zamożnemi ludźmi zaludnione.

Coś mi serce okropnie ścisnęło; utaić przed sobą nie mogłem, że *la belle France* nie zachwycała mnie dotąd wcale: tyle w niej egoizmu i chciwości, tyle prozaiczności w tym niegdyś tak poetycznym Langwedoku!

Smutne mnie ogarnęły myśli. Spozrzegł się na tém mój towarzysz, ale przyczyn mego smutku nie pojął.

— Coś Pan zamyślony i smętny—rzecze kapitan Bourdon—ale wierz Pan staremu bywalcowi, szczwanemu lisowi, słyszacemu jak trawa rośnie: nie lękaj się Pan w Montpellier biędzy. Tam ludzi naukowych cenić umieją, chociaż ich nie przepłacają pracy, bo ich jest wiele; każdy rad się zbliżyć do tego ogniska nauki i czerpać z niego żywioł dla rozumu. Ja z méj strony ofiaruję panu pomoc, to jest dobre rady i rekomendacye; kredytu nie, bo pożyczać nie lubię, anibyś pan chciał zasięgać go u kogokolwiekbądź. Ho, ho! znam ja pana, pod tym względem jesteś nieubłaganie dumnym, sam sobie dotychczas wystarczałeś. Ludzi nie poważasz w ogóle dosyć, żebyś im coś chciał być winien, a przyjaźń cenisz zanadto: nie chciałbyś jój zrywać lub kalać jakimiś tam stosunkami pieniężnemi. Już Pana wstępną ogarnia na samo wspomnienie tych rzeczy, brr! widzę to jasno. Mnie dosyć spojrzeć na twarz człowieka, żeby widzieć, co się w jego duszy dzie-

je. Jak widzę człowieka zdrowego, wesołego, spoglądającego śmiało i odważnie na mężczyznę, z uszanowaniem na kobietę, z rozrzewnieniem na dziecko, a z uniesieniem na piękną przyrodę i na niebo: oho! wówczas znam jego przeszłość i przepowiedzieć mogę jego przyszłość; niezawsze ona będzie wolną od zawodów i zmartwień, ale zawsze wolną od skarg i wyrzutów. Wiem, że tacy ludzie pielęgnujący uczucie piękna ciągle w swęj duszy, wołają zginąć, jak ugiąć się pod owemi tak zwanemi koniecznościami życia, w których słabe, mdłe, pospolite natury, utracają codziennie jego urok. Nie troszczę się tedy o pana, da sobie pan radę w Montpellier, zwłaszcza za pomocą przyjaciół, których umiesz zyskiwać z łatwością. Ani téż pana nie zapraszam do domu mego w Montpellier, w którym mieszka *madame* Bourdon z mym urwisem synem i pannami Bourdon memi córkami. U nas tu na Południu nie ma zwyczaju przyjmować gości w domu: dobrzy przyjaciele widują się na spacerach, na esplanadzie, w kawiarni i w *foyer* teatralném. Zresztą mam tam w domu dwie młode córeczki: jedną piętnasto, drugą szesnastoletnią, a ładne jak pszczołki. Panbyś to traktował zwyczajnie jak dzieci; naiwnie, wesoło, serdecznie, a tu między nami naiwność i serdeczność tak są rzadkimi przymiotami, że wielki wywierają urok, zwłaszcza na młode kobiety. O! gotowa się która z nich w panu pokochać, a najpewniej żeby się obie rozkochały. Tak, nie znając interesów majątkowych pana kochanego, przytém wiedząc, że jesteś cudzoziemcem, trudnoby mi było zapraszać pana do rodziny mojej. Ale się dlatego będziemy widywali. Codziennie przesiaduję z ośm godzin na esplanadzie i w *Café de Pavillon* kiedy jestem w Montpellier; spotykać się będziemy często tu i owdzie. *A propos*, panie doktorze, wjeżdżamy do Montpellier! Widzi pan ten wielki gmach na prawo?

— Ten na którym wypisano: *Institut orthopédique*? Cóż w nim nadzwyczajnego?

— Tu panie doktorze przed tym domem lat temu kilka, zastrzelonym został najświetniejszy chirurg Francyi, Delpech, przez swego własnego pacyenta.

— Ach przypominam sobie wszystkie szczegóły tego okropnego morderstwa, dokonanego przez człowieka młodego, bogatego, z takim rozmysłem szatańskim.

— Tak panie, z tego strzelił okna i w tym się zastrzelił oknie dokonawszy zbrodni. Wiele fakultetowi montpellijskiemu

ubyło przez stratę Delpesza, ale też niejednen pojął od czasu jego śmierci, że niedosyć być dobrym lekarzem, lecz trzeba być przytém i dobrym człowiekiem. Delpech wiele zawinił względem młodego swego mordercy.

Przedmieścia miasta Montpellier nie są powabne z téj strony; wlekliśmy się niemi przez kwadrans, nareszcie dylizans zajechał do hotelu Messazeryi, prawie równo z zachodem słońca.

Kapitan Bourdon zaręczając mi, że zachwycony jest moją znajomością i że ją będzie uprawiał *à sa manière* na esplanadach i w kawiarniach, pożegnał mnie. Nikogo nie znałem w Montpellier prócz dra Broussonet, z którym w Barcelonie przez dni 15 jedno zajmowaliśmy mieszkanie. Ten mnie wprawdzie usilnie prosił, abym stanął u niego, jeśliby mnie przypadkiem los zawiał do Montpellier; ale że ten los aż zanadto prędko się wydarzył, i że od czasu mego pobytu we Francyi południowej poznał, jak oni tam gościnność pojmują: wolałem stanąć w hotelu, do którego dylizans zajechał i pójść nazajutrz złożyć wizytę doktorowi Broussonet. I dobrzem też zrobił, że na pamięć méj barcelońskiej znajomości niewiele liczył.

Mieszkam tedy w jakiejś izdebce niebardzo wykwintnej na drugim piętrze, i smutno mi bardzo. Na miasto żadnego widoku, tylko na dole na placyku wysadzonym morwowemi drzewami, tańczy lud montpellijski przy odgłosie szalamajki i bębna.

I cóż tańczy? Może jakie namiętne fandango, jakąś wściekłą tarantelę?

Bynajmniej! tańczy najszkaradniejszego *langsamer* — walzera, jakiegom kiedykolwiek widział wykonanego na Bierknejpie w Niemczech.

— Francyo, Francyo! gdzie jesteś? — krzyknąłem do żywego zgorzony tym widokiem *langsamera* w Langwedoku.

— Francyo! gdzie jesteś? Co nam to o tobie gadali! Czemu młodość naszą żywili ponętnemi obrazami przedstawiającemi cudzoziemczyne w tak świetnych a kłamliwych barwach? Czemuście budzili naszą wyobraźnię, drażnili naszą ciekawość?! Nie bylibyśmy zalali Europy gorzkiemi łzami!....

Położyłem się spać na łożu wysokiém, wypchaném słomą kukurydzy. Znużony byłem; myślałem, że natychmiast kamiennym snem usnę, ale mi piskliwy *langsamer* niemiłosiernie w uszach tętniał; nawet wtenczas, kiedy szalamajka i bęben ucichły, kręciły się jeszcze przed oczyma wyobraźni dzieci Langwedocyi ubrane w pół-fraczki na cienkich nóżkach. Gdym nareszcie usnął,



taniec ten niemiecki ciągle mnie prześladował: widziałem jakieś wielkie pająki hasające na długich cienkich nogach, przedrzyżniające mnie, pokazujące mi czerwone języki; widziałem ogromną jak słoń pszczołę z twarzą kapitana Bourdon, zbierającą miód na najpyszniejszych kwiatach naszego ogródka w Pińczowie; widziałem i biédnego Delpesza w chwili, gdy go pistoletem zabijał młody pacjent, któremu serce wycinał. Takie mnie fantastyczne sny ściagały piérwszej nocy pobytu mego w Montpellier.

#### IV.

##### Szpital Śgo Eligiusza w Montpellier.

Z powrotem słońca nad widokrąg, fantastyczne sny przestały mnie nękać. Światło zawsze było moim przyjacielem, dlatego téż może ciemności żadnego rodzaju znieść nie mogę. Wstaję tedy bardzo rano i wojskowym obyczajem ubieram się natychmiast od stóp do głów. Ale co tu robić tak rano, kiedy całe prawie miasto we śnie pogrążone? Naprzód zapoznać się z fizyognomią miasta, potém pójść do szpitala wojskowego, gdzie zapewne rannych i chorych znajdę rodaków.

Miasto w szczegółach doprawdy niewiele przedstawia godnego widzenia, prócz kilku gmachów publicznych, które później opiszemy, i prócz swych promenad nad wszystkie wyobrażenia pięknych, o których w właściwém miejscu więcej powiemy. Nie brakuje wprawdzie wielkich domów, w których mieszkają bogate rodziny legitymistów, poswarzone z Ludwikiem Filipem i dlatego trzymające się zdala od zgiełku na ustroniu; ale gmachy te z zewnątrz okopcone, ponure, żaluzyami bezustannie zasłonięte, wyglądają raczej jak mauzolea czasów przeszłych, albo jak siedziby zaklętych duchów. Niektóre ulice cokolwiek odległe od środka miasta, całe zajęte były owém smutném, zimném, niegościnném przedmieściem St. Germain; tu mieszkało z czterdzieści rodzin, których nazwiska pachnęły krucyatą i emigracją. Na wielu z tych domów napis: *Sainte Vierge conçue sans péché priez pour nous*, ale na gankach żadnych nigdy kwiatów, w oknach ciemnymi zasłoniętych kurtynami żadnych wysokich, bladych, czarnookich, wachlarzem rozmawiających aniołów. Nie, niestety! to nie Hiszpania, choć to jeszcze Południe!

Prawie wszystkie te ulice są wąskie i kręte, a domy pięcioletowe, silnie zbudowane, lecz z zewnątrz niczém nieozdobne. Wewnątrz tak jak u Arabów, są piękne ogrody, pyszne, wykwiłtnie przystrojone sale. Brzydki system tajenia bogactw i serca w tój dzielnicy arystokracji urodzenia. Inną dzielnicę zajmuje arystokracja pieniężna. Domy jój na ludnych, szerokich, magazynami napelnionych znajdują się ulicach. To *la Chaussée d'Antin* miasta Montpellier, błyszczące nie herbami, lecz bogactwem, mniej może dobrym smakiem jak przepychem, znamionujące się większą gościnnością, ale nie mniejszą dumą.

Szpital cywilny i wojskowy świętego Eligiusza jest gmachem potężnym, w którym bez żadnój trudności tysiąc chorych wygodne może znaleźć pomieszczenie. Coś uroczystego w tych pawilonach poważnych, cichych, wysokich, kolumnami ozdobionych, a zamykających w sobie trzy wielkie dziedzińce i ogród. Czterdzieści kilka siostr miłosierdzia nadzór tu ma nad służbą i administracją; ksieni piastująca tę godność, od lat trzydziestu opuściła świat z własnego natchnienia, i to będąc młodą, bogatą, szlachetnie urodzoną panną, i cały swój majątek i całą swą przyszłość oddała ubogim chorym. A fanatyczną, tępą rozumem, bigotką z serca nie była ta dama, tyle poświęcająca dla Boga i ludzkości, bo nawet w szarej szacie klasztornej świetniała rozumem i jakimś cudnym wyrazem roztropnój dobroci.

Wiele tóż używała poszanowania. Wysocy dygnitarze odwiedzający szpital, nawet książęta z domu królewskiego, gdy miasto i szpital odwiedzali, składać zwykli byli ksieni siostr miłosierdzia uszanowanie i dziękować za wyborny porządek panujący w całym zakładzie. Orleanów nie lubiła ksieni siostr miłosierdzia, i nieraz im uszczypliwością w odpowiedziach dokuczyła.

Piérwsza sień szpitala przedzieloną była na dwie połowy sztachetami żelaznymi i bramą. Obok tych sztachet okienko prowadzące do loży szwajcara, a z tego okna wyzierał stary cerber, dawny jakiś wojak z cesarstwa, twarzą oprawną w ogromne faworyty i nakrytą malutką wojskową furazerką, z oczami napiętemi jak pistolety do wystrzelenia gotowe.

Poznał we mnie osobę nigdy jeszcze niewidzianą i spytał: Co tu pan chcesz?

— Jestem lekarzem, wczoraj do miasta przybyłem, pragnę zwiedzić szpital.

— Dobrze, dobrze!—odpowié wiarus odsuwając mi ze środka skobel—wejdz pan do wnętrza i spoczniij na ławce; wnet tu przybędą uczniowie pełniący służbę *externów* w szpitalu.

Czekałem tedy. Od czasu do czasu wchodzili czarnookie Francuziki, z wąsikami na rumianéj twarzy i wesolo rozmawiając biegli daléj, do chorych i umierających. Nareszcie wszedł jeden, także z teką pod pachą, wysoki, blady, z twarzą cierpieniem napiętnowaną i już niemłody. Za tym pospieszyłem, pewny, że mnie do zamierzonego celu doprowadzi. I nie omyliłem się. Przeszedłszy schody, korytarze i sale, stanęliśmy przed jedną i do niéj weszliśmy. Smutny tu mnie widok czekał. Zaraz przy wstępie ujrzałem wybladłe, śmiercią tknięte lica passującego się ze śmiercią znajomego. Stałem przy łóżku i ubiegającego życia resztki w niespokojnéj umierającego kolegi szukałem ręce. Już puls prawie nie bił. Obok inny leżał nieznanym mi, także na suchoty chory, jeszcze żywy, jeszcze nie konający, ale niedaleki kresu życia. Przemówił do mnie, widząc, że się zajmuję umierającym, a gdy się dowiedział że go znałem, wyrzekł ze smutkiem: „On szczęśliwy, ma tu brata i kilku kolegów, ja zaś żadnego tu nie mam dawnego znajomego. O mych rodzicach i krewnych nie mogę mówić z nikim, coby ich znał: przykro jest tak umierać.”

Tak jest: stęsknieni umierającym zazdrościli, nie śmierci, lecz świadków dawno przeszłych czasów.

Na inném łóżku siedział stary, prawie sędziwy wojskowy z siwiuteńką głową i z wąsami białymi, a czerstwą twarzą, w której jak na śpiżu malowały się uwaga, mars i jakiś głęboki, rozczulający smutek. Siedzi z książką w ręku i zdaje się w nią patrzeć. Ale istotnie nie patrzy, bo całkiem niewidomy: oczy mu zjadło zapalenie ócz egipskie. Tylko młody oficer na poblizkim łóżku leżący, na lewém ramieniu rozparty, a ręki prawéj pozbawiony czyta z téj książki; niewidomy starzec stronnice przewraca, gdy młody kaleka do ich końca dojdzie. Jakąto książkę czytają z takim zajęciem?... Szczęśliwa książka, która z tak dalekiej ziemi do tych odległych okolic świata doszła i koić umie chwile tęsknoty!

W całej sali leżało 20 chorych, po większej części służących w legii zagranicznej lub téż ex-wojskowych; siedmiu było francuzkich oficerów. Kilku było na tyfus chorych, majających lub téż już konających; muchy krążyły chmarami około nich: zły to znak doprawdy, śmierć zapowiadający.

Na samym końcu sali, tuż obok ołtarza pod oknem stało łóżko, na którym siedział z związaną głową i ręką lewą w temblaku, młody, piękny, ale wynędzniały oficer. Na kolanach trzymał reisbrett, a prawa ręka na nim kreśliła kontury jakiejś powabnej młodej kobiety z wysokim grzebieniem, z mantyllą na głowie, i z wachlarzem w ręku.

To Andrzej, takjest, to mój poczciwy kolega z Hiszpanii Andrzej, a ta postać to niezawodnie owa tajemnicza donna Julia, za którą tyle cierpiał i o mało co życia nie stracił przez powieszenie.

— Andrzeju! ty tutaj, i znów pokrajany, postrzelany, pocięty, a zawsze rozkochany?

— Tak bracie! ja tutaj, a ty wracasz z tego boskiego kraju, w którym lepsza połowa mego jestestwa pozostała; wracasz świeżo jeszcze przesiąknięty wonią hesperyjskich ogrodów, jeszcze ogorzały promieniami słońca Hiszpanii. Ach pozwól niech cię serdecznie uściskam, ach jaka szczęśliwa niespodzianka!

— Naściskajże mi się dowoli, kochany Jędrusiu, ale powiedz mi na Boga, gdzie tę nową zdobyłeś bliznę na głowie i tę ranę w ramię lewe? Dalibóg krótsze od prawego.

— A krótsze w istocie. Wszystkiego się dowiesz, tylko przedewszystkiēm powiedz co robi Flinter, Kersausie, Vigo? Dalej, gadaj, błagam cię.

— Flinter zdrow, kocha cię jak Orestes Pylada, a broni jak Achilles Patrokla. Kersausiego rannego sprowadziłem do Francji, a Vigo? przecież wiedzieć musisz z gazet, co się z nim stało w Walencji.

— Nie wiem; wiem tylko, że Walencya obleżona. Chorowałem mocno, dzienników przez kilka tygodni nie czytałem, i cóż z generałem Vigo?

— Zemścił się na nim za ciebie lud Walencji, i srogo się zemścił niestety! Potargano go w kawałki tak, jak niegdyś Quesadę w Madrycie.

— Ach to zanadto srogo, w istocie—rzekł poczciwy Andrzej i szczerym żalem przejęty zapłakał rzewnie—to zanadto srogo, on mnie wprawdzie chciał zgubić, ale miał do tego powody. Tak srogiej nie pragnąłem zemsty, Bóg moim świadkiem. Los jego zakrwawi serce tego anioła, którego cudne formy kreślić całą mą rozrywką.

— Teraz wiesz wszystko, i uspokój mą ciekawość: gdzieś zdobył tę bliznę a postradał z ćwierć łokcia ramienia?

— Półpięta cala tylko; dowiesz się potem całego toku rzeczy. Piękna to była operacya: Lallemand ją wykonał; to kartacz hultaj pod Mostaganem. A dragoni żalowaliż mnie?

— I tam znów aż do Algieryi bogowie cię zanieśli? Zlituj się, jeszcze się nie nasycił wojną, kapitanie?

— Już ja nie kapitan, mój drogi doktorze—powie ze smutną miną Andrzej.

— Tém lepiej, że cię przynajmniej awans nie minął, majorze!

— Tak awansowałem, ale z pieca na łeb: z kapitana dragonów hiszpańskich na podporucznika piechoty legii zagranicznej w Algierze. Zająłem w niej dawne stanowisko, którem posiadał pięć lat temu w chwili, gdy nas pod generałem Bernellem królowej Izabelli darowano.

— Wielki Boże! i te upokorzenia nie wyleczyły cię przyjacielu z chęci wojowania dla obcej sprawy?

Gdy jeszcze rozmawialiśmy, wchodzi do sali liczny hufiec lekarzy, a na ich czele gienialny operator Lallemand, ozdoba Francyi, książe chirurgii, jak go zwano.

— Patrz jak cię mierzy oczyma ten czerwony, gruby z czarną brodą; patrz jak w ciebie wlepił wzrok ów blady podtatusiały z wygoloną twarzą. To twoi dawni koledzy—rzecze Andrzej.

Za chwilę byłem w ramionach dawnych współuczniów. Jak mnie serdecznie witali i przedstawiali kolegom, nawet profesorowi, co nam był opatrznocią w Montpellier, ojcem naszego rozumu! Podobnych chwil uroki słodzą męczarnie lat kilku. Już samotnym nie jestem na tym świecie, wstąpiłem jednym krokiem w grono rodzinne pierwszych przyjaciół.

Ta pierwsza wizyta w szpitalu, w którym od téj chwili prawie bez przerwy codziennie przez lat półtora kilka godzin trawiłem, miała się wpisać niezatartemi śladami w mą pamięć. Światłem i cieniem, radością i smutkiem, odbiła się głęboko w méj duszy. Już kończył swą wizytę professor Lallemand, gdy znać dały Siostry Miłosierdzia, że generał kommanderujący dywizją departamentu, zmierza do sali na inspekcją z licznym poczetem wojskowych lekarzy, intendentów i adjutantów. Niebawem téż nadszedł generał margrabia Piré w świetnym mundurze gwiazdami okryty. Professor Lallemand dyrektor kliniki chirurgi-

cznej, do której należały sale cywilne i wojskowe, nieoficerskie i oficerskie, przyjął generała z godnością, na jaką nietrudno się zdobyć lekarzowi francuzkiemu, wszędzie wysoko cenionemu. Margrabia Piré żołnierz restauracyi, zwolennik starszej gałęzi Burbonów, przez lat ośm czekał ich powrotu i nie chciał służyć Ludwikowi Filipowi. Ale straciwszy swój majątek w podróży, grze i wystawności, a nie mogąc się doczekać Henryka Vgo, wstąpił napowrót do służby, i w niej się odznaczał bezprzykładną surowością, a tém dotkliwszą, że z niezmierną łączyła się dumą.

Przebiegał tedy salę od łóżka do łóżka pan generał, pytając się profesora bez żadnego względu na uczucie pacyenta o stan jego choroby: czy bardzo słaby? czy żyć może? czy zdatnym będzie do służby? Pytał się nawet każdego chorego, czy ten mógł lub nie mógł odpowiadać o jego narodowość; Francuzów grzecznie witał, ale cudzoziemcom oczywiście okazywał lekceważenie. Odbywszy rewizyą od pierwszego do ostatniego pacyenta, pan generał stanął w środku sali, i z taką wyruszył mową w stylu Napoleońskim:

— Panowie! na dwudziestu chorych w sali oficerskiej, trzynastu jest cudzoziemców, a z tych trzynastu, zaledwie czterech w służbie francuzkiej pozostających. Zła proporcya, bardzo zła. Budżet wojny dokłada dwa franki dziennie na utrzymanie cudzoziemca w szpitalu wojskowym. Pozostaje ich zaś w przecięciu 300 w całej Francyi w szpitalach wojskowych, co znaczy 600 franków codziennęj straty dla budżetu wojny. Czemu panowie tak często chorujecie? Niegdyś odznaczaliście się silnym zdrowiem, wytrwałością: czemu dziś jest inaczej? Zniewieścieliście oczywiście może dlatego, że się zająć nie umiécie, że się rozpaczy i gnusności oddajecie. To źle! W pracy i czynności cała wasza przyszłość, całe szczęście. Nakłaniam do poprawy. Inaczej, marszałek Soult minister wojny, będzie się widział zniewolonym wyzuć panów z tak kosztownego dla budżetu przywileju opiekowania się waszém zdrowiem.

Biędni cudzoziemcy zgruchotani byli tą srogą, upokarzającą przedmową; żaden z nich nie śmiał podnieść głosu w własnej obronie: trudno choremu na łożu złożonemu cudzoziemcowi domagać się sprawiedliwości od dygnitarza przemawiającego w imieniu ministra. Znalazł się jednak opiekun chorych pomiędzy same-mi Francuzami. Spojrzał on okiem jak niebo pogodném, otuchę wlewającém na nas wszystkich umierających, chorych i zdrowych, a tak porażonych surowemi słowami pana generała, i rzekł:

— Panie generale, w imieniu moich pacyentów, moich uczniów i w obronie honoru Francyi, ja tutaj głos mój wznieść winienem. Francya gdy gościnność udziela swym nieprzyjaciołom, wymawiać jéj niezwykła; wstydzic się winna cała od Pyreneów aż do Rodanu, od oceanu aż do Śródziemnego morza, gdy jeden Francuz głos podniesie na swego gościa i przyjaciela.

Takimi życiodawczemi słowami pokrzepił świetny professor Lallemand, członek instytutu, kommandor legii honorowej, serca skrzywdzonych cudzoziemców, a rumieniec wstydu i zapalczywego gniewu wstąpił na lica margrabiego. Byłby się może do szpady porwał, gdyby nie siostry miłosierdzia, co choć w ogóle legitymistki, uznały przecież w téj chwili, że prawda, honor i ludzkość są tym razem całkiem na stronie obrażonych cudzoziemców i ich zacnego protektora.

Zejsć nie chciał jednakże z placu pan margrabia bez pozostawienia po sobie jakiego śladu swego pobytu, a zarazem dowodu nienawiści przeciw rekomendowanym mu przez ministra osobom, i po niejakiéj chwili rzekł:

— Nie wiedziałem, że dziś lekarze stali się adwokatami i deklamatorami; dobrze będzie o tém rząd zawiadomić. Ale *à propos*, doszły mnie słuchy, że panowie cudzoziemcy tutaj w szpitalu dla kuracyi przebywający bardzo są głośni w swych wygodnych łózkach, i ciągle rozprawiają pomiędzy sobą swym językiem niezrozumiałym dla Francuzów; co naprzód niebardzo grzecznie, potém niewygodnie dla tych, co razem z nimi leżą w jednéj sali, a głosów tych zrozumieć nie mogą. Mozeby w interesie *naszych* rodaków dobrze było odłączyć cudzoziemców na osobną salę? Podaję ten projekt do rozsądzenia panu Lallemand, który z taką sumiennością umie przejmować się położeniem powierzonych mu pacyentów.

Już pan Lallemand chciał odpowiedzieć, ale ubiegł go stary jeden major francuzki, *un vieux grognard*, leżący w łóżku, który rzekł:

— Nie wiem kto się mógł żalić na cudzoziemców za to, że przemawiają do siebie własnym językiem: to pewnie nie żołnierz francuzki.

— Prawda! prawda!—odpowiedzieli wszyscy bez wyjątku oficerowie francuzcy leżący w swych łózkach.

Teraz pan margrabia zbladł jak dworak z pantaląku zbity, jaszczurczém rzucił spojrzeniem na starego majora i spytał o jego nazwisko.

— Oto mój adres! — rzekł spokojnie major, podając adjutantowi generała kartkę wizytową — za dwa tygodnie da Bóg być zdrowym i gotowym....

Panu generałowi dotarły te słowa do téj kryjówki serca, w której jest złożone pojęcie, że szlachcic przede wszystkim winien być człowiekiem dobrego tonu; przybliżył się więc grzecznie do majora, oddał mu kartkę wizytową i rzekł półgłosem:

— Panie majorze, dopóki jesteś w wojsku, szanuj szlify generalskie, nawet gdybyś niecierpiał osoby je noszącej. Gdy ochłoniesz z gniewu, wyzdrowiejesz i przestaniesz być mym podkomendnym, sam mi przyniesiesz twój bilet, a wówczas pomówim z sobą.

Jeszcze nie na tém skończyły się sceny w téj sali, która powinna była być świątynią pokoju, a była widownią tylu i tak sprzecznych a żywych namiętności. Otwarły się oba skrzydła drzwi i weszli niemi chłopcy kościelni w czerwone komże ubrani z dzwoneczkami w rękę, potem pod baldachinem niesionym przez dziadów ksiądz z Panem Jezusem, nareszcie organista i orszak pobożnych siostr miłosierdzia.

Ostatnie dano namaszczenie rodakowi, który zazdrościł umierającemu, a teraz umarłemu koledze.

Wszyscy klękli, nawet i dumny margrabia, uczony profesor i hardy major: wszyscy się ukorzyli i w głębokim milczeniu przeczekali na klęczkach wzruszającą ceremonią religii, tyle do serca przemawiającą. A potem modlili się za duszę wyrwać się poczynającą z powłoki ziemskiej i hołd złożyli temu, który umrze i za chwil kilka stanie przed najwyższym sądem.

Otóż jestem we Francyi i wiem gdzie mam szukać jój egoizmu, jój honoru i jój religii, i nie dziwię się już, że jedno, drugie i trzecie istnieć może w jedném społeczeństwie obok siebie, razem w jednéj klasie, a nawet w jednéj osobie. Dodać jednak muszę dla zaokrąglenia rozdziału, że w kilka tygodni major wziął dymisję i postrzelonym został przez generała; że Francuzi za miesiące kilka odłączeni byli od cudzoziemców i otrzymali rozkaz przerwania z niemi wszelkich styczności; że w rok potem marszałek Soult wyzuł cudzoziemców nieliczących się w służbie francuzkiej z przywileju używania w wypadku choroby korzyści szpitala wojskowego i zaszczytu pogrzebów wojskowych.

A tak egoizm jednak zwyciężył!

(Dalszy ciąg nastąpi).





# WIELKI PAN.

POWIASTKA.

NAPISZE

Włodzimierz Wolski.

---

Tedy vzpomineyme casu dawnych  
Vzpomineyme doby velebné,  
V nichž se nám tech postav veleslavnych  
Jako sosen v lesich našich pne.

*Vocel (Mec i Kalich).*

## I.

**B**ytło sobie wielki Pan,  
Dzień w dzień wypił wina dzban.  
Miałci malowany dwór,  
Tysiąc koni, dwieście sfór,  
Rój hajduków, strzelców, sług,  
Dwie kapele, gości huk.

Biały żupan nosił wciąż,  
Złotój szablł kręty wąż  
Od kamieni drogich lśniał,  
Jakby oczu tysiąc miał.  
A kolasą w koni sześć,  
Gdy się wkoło kazał wieźć:  
Każdy pan brat czapkę zdjął,  
Chłopek każdy w duszy kłął.

Wielki Pan dość młody był,  
Bładych lic, lecz pełen sił.  
Nieraz kiedy bywał sam,  
Myślał: cóż że wszystko mam?

Jestem jak ten w polu bróg:  
 Wszystkich moich zabrał Bóg,  
 Świat wokoło i ja sam.  
 Na djabłaż mi to, co mam!—  
 Nie próżnował wina dzban,  
 Gdy tak myślał wielki Pan.

A przy dworze owym żył  
 Stary szlachcic, w łaskach był.  
 Walny lizacz kuflów, mis,  
 Zwał się Wyga, herbu Lis.  
 Widząc, że tak panu czczo,  
 Myśli: ja rozruszam go.  
 Rzekł więc: „Jaśnie Pan czy zgadł,  
 Jak na koncept dziwny wpadł  
 Cześnik? Aż mi szkoda słów!  
 Toć szlachciura mściwy ów,  
 Że mu chamów każem bić,  
 Jaśnie Pana, łotr, śmie lżyć!

— „Lżyć? Ej! myśl co mówisz Waśc,  
 Boć co z reszty może spaść!”

— „Jasny Panie! toć nie sen!  
 Po sejmiku cześnik ten  
 Śmiał do braci szlachty rzec:  
 Że wolałby dać się spiec,  
 Pieczonego djabła zgryźć  
 I z dziadowską torbą iść,  
 Niż gdyby Jaśnie Pan doń.  
 Dłoń wyciągnął, podał dłoń!—  
 Gdyby też, wypadki są,  
 Chciał za żonę córkę twą?”  
 (Tak zagadnie łowczy go).

A tu cześnik nagle: „Co?  
 Córkę córkę?... Waścina żart  
 Razem z wami djabła wart.  
 Zaubogi chaty próg,  
 By swat pański wstąpić mógł.  
 Zresztą, wolę dziewczkę tę  
 Piérw w śmiertelném widziéć żgle,  
 Boże odpuść! niżli w tém  
 Panie bracie, gnieździe złém.  
 Prawda, że nalewał w czub,  
 I że marny jego ślub  
 Tyle w uchu wagi ma,  
 Co szczekanie złego psa.

I choć niby, mówią to:  
 Szlachcic z panem braćmi są,  
 Ale z kąd szlachecka złość,  
 Śmie dotykać pańską mość?  
 Więc luminarz naszych stron,  
 Co to równych stanem żon,  
 Z tylu dziewic, paniów z pań,  
 W krwi magnackiej czeka nań,  
 A tak trudno chęć mu mieć,  
 Szlachcianeczki miałby chcieć?  
 Cóżby na to nagle rzekł,  
 Antenatów cały stek,  
 Antenatek cały rząd,  
 Na ten w pańskim łożu trąd?  
 Brzęczysz Wasze, jakby ul,  
 Radzę także buzię stul!"

— „Jasny Panie! trudno znieść!"

— „Przestańże Waść, przestań pleść!"

— „Bo gdy ludzie tacy żyją ..

— „Do stu czartów oilezcę mi!"

Nagle wstając, pęk mu wrzasł,  
 Ręką ujął się za pas,  
 I w podłogę tupnął tak,  
 Że na ziemi został znak.

Wyga głowę schylił w dół,  
 I szczękami tylko żuł.  
 Wzdychał, sapał, jakby miech,  
 Snadź coś trawił: strach czy śmiech;  
 Prędzej drugie, bo pan znów  
 Mniej już gniewnych użył słów:

— „No, a piękna-ż dziewczka ta?"

— „Jaśnie Panie! jakby skra!"

— „Piękna, mówisz. Wiem, że Waść  
 Lubisz konie; jaką maść?"

— „Gniadą, panie jasny!"

— „No, jakiej maści dziewczę to?"

— „Jaśnie Panie! ciemny włos,  
 Mała rączka, kształtny nos,  
 Zęby perły, z ognia wzrok,  
 Biała i szesnasty rok."

— „Kiedy gniadą lubisz maść,  
 To ze stajni weź-że Waść  
 Na podarek gniadych pięć,  
 Za tę dobrą ku nam chęć.  
 No, a teraz można precz!"

— „Panie z panów jasny! Lecz  
Gdyby piérwszy z jego sług,  
Jakiém słówkiem drasnąć mógł.  
Czasem-bo się wypsnie rzecz....”

— „Potém o tém! Teraz precz!”

Odszedł dworus. Wielki pan  
Kazał podać wina dzban,  
Popił i najeżył was:  
Twarz mu bladą oblał pons,  
Potém pobladł, ażę strach!  
A od stąpań trząsł się gmach.

## II.

Dwa miesiące przeszły już,  
A to czasu kawał!  
Wielki pan i wszérz i wzdłuż  
Chodził, to znów stawał.  
Płowy, potém szary mrok  
Na komnatę spada.

— „O! tak, tak... szesnasty rok.”  
Nagle pan zagada.

— „Cha! przekłety Wyga ów!  
Dawniej puhar, dawniej łowy  
Nie trapiły serca, głowy:  
Człek był smutny, ale zdrów!  
Dziś do czarta i pioruna!

W sercu pożar, w głowie łuna!

Nieraz, gdy na łowach wpadł  
Tuż pognany na mnie dzik,  
Wkoło przestrach, wkoło krzyk;  
Czyli zadrzał, albo zbladł?

Teraz, gdy jał szatan kusić,  
Nielepij-ż to było zmusić,  
Porwać dziewczkę, zawieść, gdzie  
Djabeł nie wynajdzie sam,  
I tam rozmilować się,  
I swobodnie szaléc tam.

Całe życie teraz marne  
Zlać w lubości jednym śnie,  
Śnić o oczach, że tak czarne  
I na jawie patrzéc w nie.  
Gdyby zaś kto śmiał się żalić,  
To go zrąbać, to go spalić,  
Bo tak mogłem, bo mój stan  
Nie zna przeszkód, ho ja pan!

By wywołać wilka z lasu,  
 Nie tak wiele trza hałasu.  
 Gdy szlachciura marny śmiał  
 Do żywego dopiec mi;  
 To on wzbudził gniew i szal,  
 To on winien, że tak chciał,  
 Po co gada, na co drwi?

Lecz w ubogiej gdy komnacie  
 Widzę smutne dziewczę to,  
 Jak ku świętej Boga Matce  
 Wznosi modłów czystych woń;  
 Czemu oko zajdzie łzą,  
 Czemu zadrży mężka dłoń?  
 Zkąd tak nagle i tajemnie,  
 Głos nieznany zabrzmiał we mnie:  
 Jak opryszek chciałeś podle,  
 Dzikich pragnień tłumić zdrój,  
 Na herbowym twojem godle  
 Krwawy napis dodać: zbój!  
 Wszak u mego tam klejnota,  
 Co to zawsze świecił wprzód,  
 Stoi rzymski napis: *enota*,  
 A gdzie znamię moich enót?"

I pan chodził po komnacie  
 W białym swym żupanie,  
 A w obrazach, co na ścianie  
 Patrzy przodków szereg długi,  
 Zbrojnych i w kościelnej szacie.

Gdzie złożone znów podwoje,  
 Różne bronie, różne zbroje.

Wszystko mężnych to zasługi,  
 Krwią je swą broczyli.  
 Oszczep, Piastów co pamięta,  
 Ku tarczy się chyli.  
 Tu kołczuga, tu rozpięta  
 Cała zbroja pod przyłbicą,  
 Owdzie kopia nad zbroicą.  
 Tam tatarski przybór cały:  
 Lśnią kołczany, strzały, łuki,  
 Tam demeszki i buńczuki  
 Od klejnotów połyskały.  
 Owdzie rzędy dwa tureckie,  
 Owdzie miecze tkwią niemieckie,  
 A przy końcu godła sławy,  
 Buzdygany i buławy.

Wraz pan stanął przed obrazem,  
 Topiąc w niego wzrok ponury.  
 Byłto przodek jego, który  
 Zginął w więzach bisurmana.  
 I choć coraz większy mrok,  
 Groźna postać kasztelana  
 Jakby żywa, lśni żelazem.  
 Zda się mężny, bystry wzrok  
 Samym blaskiem wroga depcze.

Pan odwrócił nagle lice,  
 Zapłonęły mu źrenice.  
 Znowu chodzi, znowu szepcze:

— „Nadaremne moje chęci,  
 Próżno sercu robię gwałt,  
 Już nie wyjdzie mi z pamięci  
 Téj dziewoi cudny kształt.  
 On się wszczepił w istność moję,  
 Jak w dębinę wrasta mech,  
 Ja zeń czerpię życia zdroje  
 I zapału święty dech.”

Stanął, pot mu z czoła ciekł,  
 Chwilę milczał, nagle rzekł:

— „Mam lirnika, który śpiewa  
 Cudne pieśni. Gdy nastroi  
 Dźwięczne struny, czy je zrywa?  
 A pieśń smutna lub wesoła  
 Czy się przy mnie śpiewać boi?  
 Mam się dręczyć wciąż i smucić!  
 I ja lirnik: chcę zanucić  
 Jak w dziewicy białolicój,  
 Co ma tęskny wzrok anioła,  
 Kłólewic się rozmiłował.  
 Prawda, prawda, że to daléj  
 Smutku lirnik nie żałował,  
 Bó się krótko miłowali.  
 Gdy niestały gaszek młody,  
 Dziewczę kona gdzieś w klasztorze.—  
 Dość mam smutku, chcę swobody,  
 Więc téż inną śpiewkę złożę.”

Nagle czapkę na stół ciska,  
 Z oczu zamiar jakiś błyska:  
 Już mu czoło namysł daje,  
 Już go w pewność uśmiech zmienia;  
 Lecz znów nagły cich powstaje  
 Zamyślenia czy zwątpienia.  
 Coś go trapi, coś go dąsa,  
 Bo wykrzyknął, kręcąc wąsa:

— „Cha! A gdyby za złe wzięli,  
 To do djabła afekt bratni  
 Całej mojej paranteli.  
 Z méj gałęzi, jam ostatni!  
 Gdyby jednak w chęci złój  
 Cześnik wtedy jeszcze trwał,  
 Lekceważyć gdyby śmiał:  
 Hola! mimo córki twój,  
 Niechno Waszmość się nie drażni.  
 Aniś śnił o takiej łaźni,  
 Jakąbym ci sprawił, stary!  
 Ja-ć karmazyn dobrej wiary!”

Do podwojów pobiegł wraz,  
 Tam pacholków cały rój.  
 „Wołać Wygę!” nagle wrzasł,  
 Aż wśród starych brzękło zbrój.

### III.

Już na północ kury piały,  
 Księżyc bujał się w jeziorze,  
 Bór szeleścił, sad przy borze,  
 A we środku dworek biały.  
 Dalej,—kilka chat, co szare  
 Tu i owdzie się rozbiegły,  
 Przy nich szemrzą grusze stare,  
 Słychać młyna szum odległy.

Zatętniło nagle w boru,  
 Przez płot nagle ktoś przeskoczył,  
 Potém sadem zwolna kroczył  
 Aż pod samo okno dworu.

A w tém oknie, co się całe  
 Otworzyło, jakby czarem,  
 Błysły na tle nocy szarém  
 Jak dwa z kwiatów wieńce białe,  
 Dwa ramiona. Potém, chwila!  
 Cała postać się wychyla,  
 Wiotko, giętko biejąca.

Lubisz brzozę, gdy płacząca,  
 Ze smukłego zwiesi drzewa  
 Gałęzisty strój przezroczy;  
 I tak gnie się, tak omdlewa,  
 Kiedy w stawie go umoczy?  
 Księżyc, jakby na meczecie,

Lśnił pół-licem z za drzew ciągu,  
 Jakby kształtną twarz posągu,  
 W promieniste światła siecie  
 Ujął białą twarz postaci.

Nocy, nocy, tyś macocha  
 Dla spojżenia, co nie kocha,  
 Co się zbędzie w ciźbie miejskiej  
 Utud tkanki czarodziejskiej  
 I wspomnienie jój utraci.

Lecz niech czoło twoje świeci  
 Ciszy wiejskiej urokami,  
 Lecz chciej darzyć twoje dzieci,  
 Jakby matka—pieszczotami.  
 To na cieniów twych pościeli  
 Choć wesołość sposepnieje,  
 Lecz się smutek rozweseli,  
 A marzenie wyświetnieje.

Wychylona postać biała,  
 Coś powoli zaszepiała  
 Do przybysza, który w ciemnej,  
 Długoj burce osłoniony,  
 Jakby jaki duch podziemny  
 Stał posepny, zamyślony:

— „Cóż mnie począć, mnie, niewieście  
 Że wciąż smutni tak jesteście?  
 Czym już niedość nagrzeszyła,  
 Że szlachecka ja dziewica,  
 Tylem z Wami słów mówiła,  
 A bez wiedzy to rodzica.  
 Więc zlitujcie się nademną,  
 Pożegnajcie—to daremno!

Wy Pan wielki, ja uboga,  
 Tak! Wy w radość niebogaci,  
 Lecz ja modłę się do Boga  
 Za cierpiących wszystkich braci.  
 Więc pomodłę się ze łzami  
 Za Wasz smutek, za Was, bracie!  
 Choć zapomnieć mnie zdołacie,  
 Będę modlić się za Wami.”

— „Łatwiej tobie znieść cierpienie,  
 Lecz mnie trudniej już, Heleno!  
 Nie znam ceny, którą ceną  
 Można kupić zapomnienie.  
 Gdy znasz sposób niepamięci,  
 Nie wymodlisz mi sposobu:



Mężkie serce, gdy co święci,  
To już święte mu do grobu!"

I Heleny spojrzeń śledzi.  
Ona w swém okienku stała  
Jak kapłanka owa biała,  
Która w duszy udręczeniu,  
Kiedy pragnie myśl spowiedzi,  
Promienieje nam w sumieniu.  
To rozdrażnia, to osłania  
Tajne rany zadawniałe,  
A oblicze ma tak białe,  
Ta kapłanka przekonania.

Jakoś smutno okiem rzucił,  
Przykrą pewno myśl odpycha.  
Nagle burkę z siebie zrzucił,  
Mówił prędko chociaż zeicha:

— „Wszak o dworskość jam niedbały,  
Czeze jój miękkie świegotanie;  
Bo nie młodzik ja niestały,  
Co mu starczy lubowanie.  
Lecz w twój świętej niewinności,  
Czy twa młoda myśl ogarnie  
Całą prawdę méj miłości,  
Jój płomienie i męczarnie?  
Może pojdziesz—więc posłuchaj.....

Miałem w borach mych baguisko,  
Niedostępna gąszcza głucha;  
Starój baszty tam zwalisko,  
Jak przeszłości smutną marę,  
Podnosiło gruzy szare.  
Nieraz gdy się gnało zwierza.  
Dobrze mając go na oku;  
To już ani rusz ogarów  
Skoro bagnisk tych dotarły:  
Tylko żarły się, a darty.  
Ale dalej, jak od czarów,  
Szczuj, zabijaj—ani kroku!  
Wiejska gawiedź wciąż prawila,  
Że tam złe ma swoje leże:  
Smutnabo téż ustron była!

Myszę: zniszczę starą wieżę,  
Ogniem strachów z niej dostanie,

W zrębie boru, na polanie  
 Będzie nowe potém sioło.  
 Więc na staje dobrą wkoło,  
 Sosny legły jak pokosem,  
 I potrójnym drzewa stosem,  
 Starą basztę obłożono.  
 Ot, po strachach było pono,  
 Gdy ćma puciek, nietoperzy,  
 Sów—frunęła z starój wieży.

Płomień bucha, i czerwoną  
 Wstęgą ima szare mury:  
 To wystrzela raz do góry,  
 To węzami ognistemi  
 Z dymem pełźnie aż po ziemi;  
 To spojony nagle w kupie,  
 W krwawym pasie, w żółtym słupie,  
 Wściekłym chwyta ją uściskiem,  
 Ślizga, gniew się nad zwaliskiem.

Wreszcie wszystkie swe płomienie  
 Skupia w jedno rozjątrzenie:  
 Trzeszczą belki, rozetłone  
 Węgłe z wiatrem lecą wkoło;  
 Lecz zwalisko niewzruszone,  
 Śród płomieni wznosi czoło.  
 I ni cząstka starój wieży  
 Nie runęła—płomień pała,  
 Płomień gaśnie;—znowu stała  
 W osmalonój swój odzieży.

Więc żal było mi zwaliska,  
 Myślę: niech zostanie sobie,  
 I nie sioło, lecz kaplicy  
 Mur bielony dziś połyska,  
 Jak nie biała przy żałobie,  
 Złotym krzyżem przy wieżycy.”

Wraz mu oczy zmiękły rzewnie,  
 I zabrzmiały słowa śpiewnie:

— „Tak Heleno! Jak wieżyca  
 Ocalona śród pożaru,  
 Dusza moja samotnica,  
 Pośród szumu, huku, gwaru,  
 Czezych uniesień grzązkie gwiazdo,  
 Rozkiełznana i zdziczała,  
 W ciągłej nocy, żadną gwiazdą  
 Nieośnionój—głucho spała.

Jak kaplica z białym murem,  
Gdzie blask krzyża słońce wita,  
Przy zwałisku tém ponurém  
Biała postać twoja swita.  
Śród grzmiącego mego dworu,  
Jam się tułał, jak śród boru.  
Noc,—śnieg z wiatrem w oczy szczypie,  
Sosny straszą jak zjawiska;  
Pośród sosen coś połyska,  
Może wilków chciwe ślępie.  
A wędrowiec sam, bez bronii,  
Wkoło puszcza i wyboje:  
Gdzie przyjaznej szukać dłoni,  
Gdzie pomocy, dziewczę moje?”

Cichych, kształtnych kwiatów stroje,  
Pocieszają wody mętne:  
Lilli wodnej wieńce smętne  
Na jeziora ciemnych falach,  
Jak pociechy łyzy po żalach,  
Miękkie liście rozkładają.  
Gdy myśl smutna u piosenki,  
To smutniejsze pewno dźwięki,  
Co jęć słowom pomagają.  
Więc wrażliwa myśl dziewczęcia  
Zrozumiała bluszczu zgięcia,  
Gdy po gruzach pnie się—szary—  
Lecz wnet serce myśl zagłuszy,  
I powstaje w młodej duszy  
Myśl pociechy i ofiary,  
Taka tęskna i tak miła,  
Jak łagodny wdzięk oblicza,  
Jako głowa ta dziewicza,  
W ciemnych włosów wonnym cieniu,  
Co nieznacznie się schyliła  
Ku obliczu i ramieniu.  
Te choć silne,—nagle drżały,  
Bo w tej piersi rozuzdanój,  
Która w żądze była chora,  
Niewinności wonie wiały.  
Tak—ciemnawa drzewa kora,  
Gdy ją powój rozkochany  
W liście, w kwiatów strój obleje,  
Zapachnieje, wybieleje.

## IV.

— „Panie! dawno piał już kúr.  
 Snadź dzieweńka temu gwoli,  
 Siwek czeka przy topoli  
 A kolasę-m cofnął w bór.“

— „Więc Waśc żwawo prowadź tam,  
 A w kolasie odjedź sam!“

— „Co? sam Wyga, Panie Jasny?  
 Nie pojedziem samotrzeci?  
 To—piechotą będzie szła?“

— „Pilnuj Waszmość skóry własnej,  
 Co snadź świerzbi już Waszeci:  
 Rób co każę, zresztą sza!“

— „Ależ, widzę—nie przelewki  
 Jasny Panie! Dla téj dziewczki  
 Tyle marnych ceregieli!“

— „Jak Waśc słówkiem jeszcze strzeli  
 I zaprawi słówko jadem;  
 To, dalipan, płazem skroję,  
 Aż się Waści przyśnią troje:  
 Dziad i pradiad z prapradziadem!“

— „Jasny Panie! śmiałym prosić.  
 Jedno słówko—toć nie zbytne!“

— „Do stu czartów! rzekłem dosyć!  
 Bo naprawdę nosa przytnę!“

Wyga żwawo poszedł wprzód,  
 Tylko cicho coś mamrota;  
 Pan za cugle konia jął,  
 Zapiął burkę, wskoczył, spiął,  
 Sunął strzałą wedle płota;  
 Ale potem zwolnił chód,  
 I zawrócił, kędy sad  
 Zdala w mroku nocnym bladł.  
 I tak długo w miejscu stał  
 I wzrok tęskny wodził wdal,  
 Jakby było jemu żal  
 Chwil uroczych, jakby chciał  
 Ciąg utworzyć z wrażeń tych,  
 Nieprzerwany nigdy czar.  
 Bo na ustach siadł mu śmiech,  
 Ten ułudny, luby dar,  
 Którym szczęście uczucie chce  
 Tych, co mogą wierzyć w nie.

Bo choć biada długo dręczy,  
 Losu tęcza niech zaświfa:

Niebo śmielszej nie ma tęczy,  
 Jak jój wstęga różnolita.  
 W chmurnej duszy, gdy połyska  
 Jój barwisty łuk wspaniała:  
 W świetle jego i zwaliska  
 Dumniej będą wyglądały.  
 A promienne światła skronie,  
 Patrząc w serce, co tęskniło,  
 Gdy rozjaśnia to ustronie,  
 Gdzie najciemniej przedtém było;  
 Wtedy głos niebiański dzwoni  
 Ponad tęskną, dawną ciszą,  
 Puchy światła, dźwięki woni,  
 Ciągły urok w niém kołyszą.  
 Śród tęczowych, kształtnych zgięci,  
 Szczęście wszystkie barwy zmieści,  
 Tam wielkości szkarłat nęci,  
 Tam różowa miłość pieści.

Gdy więc dusza zwolna zmierecha,  
 Szczęsny, co swą barwę chwycił!  
 Bo ta tęcza różnolita  
 Lśni cudownie, ale pierzcha!  
 W sercu jednak, śród cierpienia  
 Gdy zabłyśnie, gdy zadźwięknie:  
 Jakże duszę rozpromienia,  
 Jakże postać barwi pięknie!

Tęczo szczęścia! Czemuż, czemu  
 Dla jednego świetniąc jasno,  
 Wszystkie barwy twoje gasną  
 I zostawiasz cień drugiemu?  
 Dla nas, ziemskich siostr i braci,  
 Takież wyrok głosu twego:  
 Za twą radość,—ból drugiego,  
 Za śmiech—łza drugiego spłaci?

Patrzcie! Jezdziec urodziwy,  
 Taki dumny, tak szczęśliwy,  
 Cwałem pędzi w nocnej ciszy.  
 Jak mgła lekki, rumak chyży,  
 Ledwo słysząc że zadyszy;  
 Coraz prędzej, coraz bliżej,  
 Coraz bliżej, coraz ciszej,  
 Bieli, pędzi w nocnej ciszy.

Strzałą przemknął rów głęboki  
 I bagniska grzązki pasek;

Choć zpod kopyt kłębi piasek,  
 Głuchną w piasku ręczę kroki.  
 Już, już widać, czernią śliwy,  
 Grusze czernią w blizkim sadzie;  
 Lecz u jeźdźca myśli w zwadzie,  
 Jeszcze nie wie niecierpliwy:  
 Czy zawrócić, czy mknąć dalej.  
 Coś go ciągnie, coś go nęci,  
 Oko błyszczy, oko pali,  
 Serce tęskni, serce smęci.

Uniesienie niedość wniosło  
 Snadź ochłody,—więcej łaknie;  
 Szczęściu zawsze-ż skrzydeł braknie,  
 By do nieba wprost uniosło?

Chwilkę jeździec dumy roił,  
 Koń ni parska, ani liga,  
 Zda się jeźdźca myśl rozdwoił,  
 Niecierpliwość w krwi mu bije:  
 Tylko nogą grzebnie częściej,  
 W łuk wygina kształtną szyję.

Nagle cały wyciągnięty,  
 Jak na Wiśle żagiel wzdęty,  
 Z wichru świstem naprzód ściga.  
 Tylko szabla krzywa chrzęści,  
 Tylko żupan biały miga.

Na nim jeździec wraz się widzi  
 Jakiś śmielszy, jakiś większy.  
 O! bo szczęście wszystko piękniejszy,  
 Tylko biada wszystko hydzi.

Już zabielał dworek w cieniu,  
 Zwalnia kroku rumakowi;  
 Myśli, pieści się w marzeniu,  
 Jak ją ujrzy, co jój powie?

## V.

A tam w sadzie, gdzie w uboczu  
 Gęstsze cienie drzewa kładą,  
 Chodził młodzian z twarzą bladą,  
 Jasnych włosów, ciemnych oczu.  
 A te oczy—błyskawice,  
 Oświeślały blade lice.

Nad młodzieńczą jego wargą  
 Jeszcze wąż nie błądził śmiały,  
 A już oczy jakąś skargą,  
 Skargą bólu spoglądały.

Snadź nietylko myśl, marzenie  
 Potrząsało umysł młody,  
 Mary nie émią ócz pogody,  
 Myśl da czołu nateżenie:

Widać serce w nim już grało.  
 I zranione zabolalo,  
 A zbolalo z tego wzroku,  
 Jak skaliste dno z potoku  
 Czasem smutno spogladało.

Pięknie! gdy na młodem czole  
 Wianek ulud lśni ogniście!  
 Choć w nim róza i zakole,  
 Lecz lśni lilia promieniście.

Smutno! kiedy kwiaty zbladną,  
 Kiedy z wieńca wraz opadną,  
 Na samotne spojrzéc liście!

Młoda krew drży w skroni twojej,  
 W życiu tobie, jakby we śnie;  
 To-ć liść żaden nie przystoi,  
 I w wawrzynie ci zawcześnie!

Któż ten młodzian, dziecko prawie,  
 Który cierpi już na jawie?  
 Co go dola już zaznała  
 Z fałszem życia, z czczym pozorem,  
 Co uludy gwiazda biała  
 Już mu pierzchła meteorem?

Z wiatrem igra mu włos płowy,  
 Szybkim krokiem wkoło zmierza;  
 Byłto krewniak cześnikowy,  
 A miał imię Kazimiérza.

Żył mu rodzic, miał i braci,  
 Szlachta rzkomo niebogaci;  
 Lecz bogate gniazdo stare  
 W dobrą sławę, dobrą wiarę.

Cześnik z ojcem towarzysze  
 I na radzie i we zbroi,  
 Jeszcze z Sasem szli na ostre.

A gdy w wojnie krwią się pisze,  
W ogniu wroga przyjaźń spot:  
To dozgonną masz z niej siostrę,  
Z którą-ć tylko śmierć rozdwoi.

Ich téż domu koligátka,  
Cześnikowi rękę dała;  
Lecz Heleny gładkiej matka,  
Na tyra świecie rankiem trwała.

Miło, kiedy choć dziewczyna  
Cieszy ojcu smutek wdowi;  
Lecz bez syna jak bez wina,  
Źle staremu wojakowi.

Boć to męzki umysł wszelki  
W chłopca chęci rad się wciela;  
Trudniej z córką mu niebogą...  
Ni przyuczyć do szabelki,  
Ni do konia włożyć kogo!

Więc téż cześnik chorążego,  
Co mu synów Bóg dał dosyć,  
Jął w przyjaźni imię prosić,  
By powierzył mu jednego.

Chorążemu los nie skąpił,  
I chudoba mu dostatnia;  
Lecz do serca prośba bratnia  
Głosem żalu silnie zmierza...  
Więc mu oddał Kazimiérza,  
Aby ojca dla-ń zastąpił.

Cześnik wielce umiłował  
Dorodnego wychowańca.  
Chłopiec, wierę, się wychował  
Do różańca i do tańca.

Oczy—w bystry strumień płyną;  
Jakby topól smukły, giętki:  
Umysł żywy, namysł prędki,  
Z koniem, z szablą.... dawaj ino!

Teraz... ledwo z szkolnej ławy  
Wyrzał na ten świat ciekawy,  
Pono niedość dla téj głowy,  
Nim chorągwi strój przywdzieje,  
Koń a rola, kord a łowy.



Umysł młody i hartowny  
 Lubił zmarłych ludów dzieje:  
 Znał Cezara komentarze,  
 I Plutarcha głos wymowny.  
 Miał przytomne przodków twarze,  
 I wiadome mu koleje  
 Ziemi własnej.

Serce miększe było może,  
 Bo gdy ludu słyszał pienie,  
 Hymn pokory: „Święty Boże!”  
 To wilgotne krył spojrzenie.

Cześnik pisał rodzicowi:

— „Gdy kto konia nie znarowi,  
 Rzadko schybi w jakim względzie:  
 Miał być rzeźnik, wojak będzie.  
 Gracz do korda, mur na hestrze,  
 Lepiej w zbroi, niż w pelestrze!”

A niejedną raz bywało:  
 Słońko już się nachylało  
 Na jeziorze złocąc trzcinę.  
 Siadła córka przy kądziołach,  
 Cześnik w duszy się weseli.  
 I spojrzeniem jakby matki,  
 To spogląda na dziewczynę,  
 To spogląda na Kaźmierza.  
 Wtém zawoła: „A wieczera  
 Waszmość Panno? Do dom, dziatki!”

Zadrzał Kaźmierz po tém słowie,  
 Gdzie ich cześnik razem łączył;  
 Jakiś żar mu płonął w głowie,  
 W sercu nieba zdrój się sączył.

Kiedy dziećmi się bawili,  
 Śpiewka szczęścia brzmiała miłej;  
 Lecz młodzieńcem odkąd wrócił,  
 Wraz i śpiewkę swą zasmucił.  
 Bo piękniejszą od niej dziewczynę,  
 I cudniejszą jemu śpiewkę  
 Czarne oczy zanuciły.  
 I anielski wdzięk uśmiechu,  
 I woniący kwiat oddechu  
 Młode serce rozogniły.

A dziewczynka?—Jak dziewczynka,  
 Co nie pomni pieszczot matki.

Jéj uczuciem: Bóg, piosenka;  
Jéj pieszczotą: niebo, kwiatki.

Kocha ojca, kocha brata,  
Bo tém zwała go imieniem;  
I motylem myśl jéj lata,  
Dźwięku echem, kwiatu cieniem.

On ognisty, lecz nieśmiały,  
Próżno pragnień mary gonia;  
On się poi lili białej  
Tylko blaskiem, tylko wonią.

Zda się, bystry wzrok cześnika  
Wychowańca myśl przenika.  
Gdy na córkę patrzy swoją,  
Wraz mu w oczy spojrzysz żywiój:  
A ci młodzi tak szczęśliwi,  
Tacy piękni są oboje!

Cześnik obok młodej pary,  
Szczęścia napój szczodrze pije;  
Bo przy młodych, wojak stary  
W młodym wdzięku ich odżyje.  
Myślom dwojga tak radosna  
W zdrojach oczu jasność wórzy,  
Bo nie wiedzą, że i wiosna  
Nie uchroni się od burzy.

Masz uczucia w sercu promień  
A lat życia dziewiętnaście;  
To skocz nieraz lepiej w płomień,  
Niżli miłuj się w niewiaście.  
Choć jéj dusza, jak łza, czysta,  
Choć jak ponik, przezroczysta:  
W słońca wschodzie on szeleści,  
Wabnie płąsa w światła ślady,  
Lecz tak marzy, gdy go pieści  
W ciszy nocy księżyc błady.

I nie wiedział młodzieniaszek,  
Jak Helenę umiłował;  
Aż szczęśliwszy drugi gaszek  
Pod jéj okno przywędrował.

Jak? z kąd poznał tę dziewicę?  
Kto jéj tyle dał śmiałości? —  
Otóż szczęścia tajemnice,  
Które stwarza dla miłości.

Już rozmowy ich niejednej  
 Z szablą w dłoni Kaźmierz słucha;  
 I szaleje umysł biedny,  
 I rozpaczy mara głucha  
 Szarpie serce, hukiem gromu  
 Jęk dotkliwych razów głuszy.  
 Biada, biada młodej duszy,  
 Gdy już może zajrzeć komu!

By dać poznać jej męczarnie,  
 Na to chłopiec był zadumny:  
 Lepiej żywcem wleźć do trumny!  
 Przed cześnikiem wydać marnie,  
 To już zemścić się opacznie.  
 A nuż gaszek dziewczę zgubi,  
 Nuż ją porwie nim zaślubi....  
 Biada, biada, gdy nieznacznie  
 Z twarzy znika śmiech weselny,  
 Kiedy zemsty wróg piekielny  
 Z młodem sercem wojnę zacznie!

Chodzi, błądzi w nocy cieniu:  
 Ogień z smutkiem tli w spojrzeniu,  
 A zgryzota tkwi na czole.  
 I zalsniało mu oczyma,  
 Że przysięgi swój dotrzyma,  
 Gdy chce mówić: „Nie pozwolę  
 Na zhańbienie téj dziewczynki,  
 Póki starczy mojej ręki,  
 Co wypełni serca wolę.”—  
 Z boku szabla mu zabrzękła,  
 Ale w oku coraz smętniej:  
 Czy łza cicha w rzęsy wsiękła?

A wtém nagle coś zatętni...  
 Schyla gałąź, co mu wadzi:  
 Ktoś na siwym koniu sadi.  
 Czarna burka, żupan biały,  
 Z szabli iskry połyskały.

Wraz pierzeł smutek chłopcu z czoła.  
 Jak do lotu orzeł młody  
 Śmiało spojrział i zawoła:

— „Jak na syna wojewody,  
 Ponoć gach ten zazbyt tkliwy:  
 Dwakroć nocą mierzyć błonia,  
 Dwakroć pragnie być szczęśliwy!  
 Pierw na sprawę, szczęście potem!”  
 Jednym susem był za płotem,  
 I za cugle schwycił konia.

## VI.

— „Hola, hola! Gdzie i poco  
Koło sadu późną nocą?”

— „No, no, z drogi zejdz mi Waść,  
Bo do rowu możesz wpaść!”

— „Hola, mości paliwodo!  
Ni pogróżki mnie ubodą  
Ani żarty samochwalcze.  
Ja szkodnika łatwo zwalczę,  
Co to z sadu, w ciemnej nocy,  
Darmo dostać chce owocy.”

— „No, no,—młody zuchu, dość!  
Bo i mnie też porwie złość!”

— „A mnie, myślisz, ujmiesz zgodą?  
Mów, kto jesteś, paliwodo?”

— „Wara! milczćć, chłopcze ty,  
Do stu czartów, bom już zły,  
Bo ci godło nazwy méj  
Szablą wpiszę w głowie twój!”

— „No, no, nieszurz Waszeć się:  
Marne słowa mnie nie zmogą.  
Lecz chcesz w szable? Daléj w nie!  
Ale nie tu, bo tu kogo  
Zbudzić mozem. Tam w pobliżu  
Stary cmentarz przy tym krzyżu:  
Tam zmierzymy szabli moc,  
Droga widna, jasna noc!”

— „Zgoda! Ależ pono to  
Kawał drogi?”

— „No więc co?”

— „Więc Waść piechty będziesz iść,  
A ja wszakże konia mam.”

— „W samą porę zdążę tam.”

— „Lecz ja z konia muszę zléćć.  
Gdy się z Wami będę bił,  
Na szlachetną szabli broń;  
Chcę być równych z wami sił.  
Młodszyś Waszmość, siadź na koni!”

— „Nie szafujcie zbyt szczerotą  
Czczéj dworskości;—doléćć mogę.”

Lecz Pan wielki w dalszą drogę,  
Z Kazimierzem szedł piechotą.

I na trzęzli siwka trzymał,  
A koń parskął, koń się zżymał  
I niechętnie laźł za panem.

Zaczął tęsknić zwiastuu brzasku  
Światłem wątlém, przerywaném;  
Zapaśnicy brnęli w piasku,  
Jak widziadła dwa milczące.

A wkoło nich pola nasze  
Trawą ciemno zieleniące;  
Piękne, gdy je bór opasze  
W niebieskawych sosen strachy.  
Bo i suche nasze piachy  
Wdzięcznie żółty pas unią,  
Gdy obejmą Narew chyżą,  
Gdy im płynie u wybrzeży  
Bug, lub szara Wisła bieży.

Lecz są takie ziemi szmaty,  
Kędy weale nieradośnie;  
Gdzie dziewanny mdławe kwiaty  
I jałowiec ciemny rośnie;  
Albo z trawy suchój, płowój,  
Wyrzy głóg i krzak cierniowy.

Pośród takiej szmaty lichój,  
Osypany wałem z ziemi,  
Smęci wiejski cmentarz cichy  
Mogilami zielonemi.

Czy wędrowca lekka stopa,  
Śród tych mogił gdy zagości,  
Pojmie ilu plemion chłopa  
W matce ziemi leży kości?  
Czy ich żywot opłakany  
Biędny cmentarz ten wypowie?  
Nawet wielki krzyż drewniany,  
Co spogląda na pustkowie?

Patrz, pod chwastem i pod trawą,  
Gdzie mogiłka dla dzieciny,  
Nieśmiertelnik żółci łzawo—  
I stroskana dłoń niewiasty  
Zasadziła krzak wierzbiny.  
Dalej...same zioła, chwasty:  
Tam łopianu liść dziwaczny,  
Tu kolczate ostu ziele,  
Tam pokrzywa wieńce ściele: —

To po śmierci! A nieznacznym  
Pęd ich życia, cierń ów czarny,  
Głóg lub suchy chwast cmentarny.

— „Ot tu miejsce!” — Kaźmierz rzecze.  
„Wiążcie konia, bo uciecze!”

Pan mu na to: — „Jedno słowo:  
Gdy nałoży kto z nas głowę,  
Pomnij Waszeć: — twe wyrazy  
Dały pochop do obrazy.”

Kaźmierz żwawo: — „Przecż gadacie?  
Pora w szable, pańe bracie!”

Kord uchwycił i zdaleka  
Wprzód w powietrzu go sprobował;  
Zgiął o ziemię, wyprostował,  
I już gotów, już go czeka.

Panu ogień błysł w źrenicy,  
Zrzucił burkę, kręci węża,  
I demeszka w dłoni płasa;  
Już się zwarli zapaśnicy.

A obadwa siebie godni:  
Miny śmiałe, nie junacze;  
Wzrostem, twarzą tak dorodni,  
Nie partacze to, a gracze!

Raz po razie brzęczy, dźwięczy:  
To przy głowie, to nad głowę.  
Raz po razie dźwięczy, brzęczy,  
Lecz nie młyńcem, ni krzyżową,  
W oczach obu, w ręku obu  
Więcej sztuki i sposobu.  
W ich żylastej wprawnej dłoni,  
Szabla w szablę głośnień dzwoni.

Już niejedna krwią rumiana  
Kręsa; kręsa — to nie rana!  
A splecione dwa oręża  
Skoro ujmą się ostrzami;  
Jak dwie żmije, jak dwa węże  
Sieka, błyszczą zygzakami.

Raz pan więcej ma zapału,  
Cofa wroga do cmentarza;  
Znow, jak się to graczom zdarza,  
Ów nastaje nań pomału.

Jeden, drugi się nie zmęczy;  
 Snadź nie kręsy im na celu.  
 Raz po razie brzęczy, dźwięczy,  
 Lecz wtém użył pan fortelu.

Bo gdy wschodu promień żywszy  
 Nagłym blaskiem spadł na ziemię:  
 Pan był w cieniu, więc zmieniwszy  
 Boczne cięcie, kroi w ciemię.

Pomieszany tą zaczepką,  
 Kaźmiérz odparł zazbyt krzepko,  
 Bo niebacznie się odsłonił:  
 Krew trysnęła mu na czoło.

A Pan wielki się uklonił,  
 Spuścił szablę; lecz wesoło  
 Rzecz Kaźmiérz: „Choć krew cieknie,  
 Toć się rana potém zlepi;  
 A już skończyć—to niepięknie:  
 Na drugi raz tnijcie lepiej,  
 Więc do korda!”

#### Znów oręż

Skoro ujmą się ostrzami,  
 Jak dwie żmije, jak dwa węże  
 Sieką, błyszczą gzygzakami.

W chłopca oku nie ten zapał,  
 Co za krwi i bólu nieco  
 Dziko wrogaby rozdrapał.  
 Szlachetniejsze iskry świecą,  
 Bo uzacni oko męztwa,  
 I upartą chęć zwycięztwa.

Coraz bliżej się stykali,  
 Raźniej wpada stal do stali.  
 Pan się cofa, Kaźmiérz woła,  
 Mierząc z boku cięciem chyżém:

— „No, Waść teraz ustrzeż czoła!”

Strąca szablę jemu krzyżem,  
 Utnie skośnie—żupan biały  
 Krwawe krople obryzgały.  
 Biała czapka z głowy spadła,  
 Mgła na chwilę w oczy siadła,  
 Całe ciało przeszły dreszcze.  
 Myślał Kaźmiérz, że nie żarty,  
 Lecz szlachecki łeb uparty.

Pan gdy otarł krew ciekącą,  
Nagle spytał nawpół drwiąco:

— „No cóż? będziem grali jeszcze?”

— „Choć mi w głowie wre jak w piekle,  
Wasza rana więcej warta.“  
Rzecz Kaźmierz.

— „Lecz u czarta!  
O co rąbiem się tak wściekle?”  
Pan zapytał,— „bo nie wierzę,  
Wy obrazę inną macie:  
Mówmy szczerze!”

— „A więc szczerze!  
Znam Was dobrze, panie bracie!  
Wy pan, dziedzic wojewody,  
Ja szlachcica syn z zagrody  
I w cześnika goszczę domu,  
Bom mu krewniak. Lecz tu wolę  
Krew mą przelać, ale sromu  
W zacném gnieździe nie dozwolę.

Cześnik nie wie, że panienka  
Szepce z Wami u okienka;  
Żeście dla czechój krotochwili,  
Czy dla wdzięków jój powabnych,  
Już biedaczkę usidlili  
W siatkę waszych słów jedwabnych.

Kiedy słaby zmysł niewieści,  
Ja pilnuję domu cześci.  
Boć nie pora to, ni sposób,  
U szlacheckich, zacnych osób,  
Gdy szanowna cnota dziewczki,  
Nocą smalić do-ń cholewki.  
W domu ojca kto nie gości,  
Nie śle swata,—zdrada blizka!  
Cześnik nie Wasz podstarości,  
Ni Helena Wam zbyt nizka.

Podśluchałem, mówię śmieć,  
Waszych rozmów; a to wiele  
Szeptać z Wami w porze nocnej;  
Jój nie chciałem wstydzic biednej,  
Ale z gachem dość-em mocny  
Bój rozpocząć—choć sam jeden!

Więc stan równy czy nierówny,  
Wręcz zapytam: panie bracie!



Jaki afekt w sercu macie  
Dla Heleny cześnikównej,  
Dla przezacnej mojej krewnej?"

Głos na ustach mu zamiera,  
O cmentarny mur się wspiera,  
Oko błyszczy, lecz twarz blada;  
A pan nagle doń przypada,  
Chwyta za dłoń, głos brzmi rzewny:

— „Panie bracie! żeś mi w czaszkę  
Szablą płaćnął i naznaczył,  
Żeś mnie zelżył, jam wybaczył:  
Lecz za marną brać igraszkę  
Afekt dla téj gładkiej pani,  
To obraza,—bo to dla niéj!  
Waszmość może nadto młody,  
I nie pojdziesz w swoim gniewie,  
Jak pokorne przy téj dziewie  
Serce syna wojewody?  
Przede szlachtą, pokryjomu  
Cześnik dla mnie był oszczerca;  
Zelżył zacność mego domu:  
Jam obrazę wziął do serca.  
Bo bezkarnych ze mną żartów  
Być nie może, do stu czartów!  
Lecz anioła gdym zobaczył,  
Jam zapomniał i wybaczył.  
O! w gorącej kąpieli wodzie  
Pan brat cześnik na zagrodzie.  
A nuż, gdyby memu swatu,  
Jak rzekł, dał harbuza z batu;  
To powolność moja cała  
Już na wieki rozburzona,  
Choć afektem serce pała,  
Co ja pocznę, a co ona?  
Więc...”

Lecz Kazimiérz mu przerywa.  
Mowa jego prędką, żywą,  
Z rozburzonej płynie piersi:

— „Gdyśmy szczerzy, bądźmy szczerzi!  
Chociaż dziwnie się poznałem  
Z tak mościwym panem bratem;  
Duszą całą, sercem całym,  
Chcecie, ja wam będę swatem.  
Gdy ja stanę przed cześnikiem,  
Nie ofuknie mnie on krzykiem.”

I do pana wraz podchodzi,  
I w prawicy już prawica;  
Bliziej patrzą sobie młodzi  
W dziarskie, chociaż zbladłe lica.

I ciekawie spoglądali,  
Jakby oceniali siebie.  
Obaż wiedzą, że na niebie  
Jedną gwiazdę ukochali?

Oczy obu po raz piérwszy  
Czulój z sobą się poznały;  
Wzrok jednego coraż szczerzy,  
Tamten smutny, ale śmiały.

Bo choć ulżyć serca męce,  
Próżno Kaźmierz chce swobodą;  
Lecz, gdy szczerze ręka w ręce,  
Oczy szczerzą spojrzą zgodą.

— „Zgoda, zgoda, panie bracie!  
Macie ufność moję, maciel!”

— „Gdyśmy zgodą zakończyli,  
Im bój krwawszy, tém z nią milój!”

— „A więc zgoda, zgoda szczerza!  
Ale rany djable pieką,  
I czas pono do felczera;  
On tu u mnie niedaleko:  
Siądź Waśc na koń!”

— „Wam trza sporzój!”

— „Siądźmyż razem, gdyśmy chorzy!  
Mniej będziemy ciężyc ciałem,  
Krwi mniej mamy, więc na konia!”

Wsiedli oba i hop cwałem  
Przez zarośla łąki, błonia.  
Siwek parską rozjuszony,  
Jak wiatr pędził przez zagony.

## VII.

W alkierzyku pachną kwiatki,  
Cicho, miło. Pośród cieni  
Tylko lampka się promieni  
Przed obliczem Boga Matki.

Smukłe dziewczę krasnej twarzy,  
Zlekka wsparte na klęczniku,

To się modli, to znów marzy,  
W wonnym, cichym alkierzyku.  
Niezasłane w głębi łożko  
Lśni tak świeżo, lśni tak biało.

— Biedneż, biedne me serduszko!  
Co się teraz z tobą stało!  
Ciagle-ć smutek ćmi ponury,  
W oku łyzy gorące świecą:  
Święta Panno z Jasnój-Góry  
Módl się za twą służebnicą.

Ojciec nie wie, Kaźmierz nie wie,  
Gdy im wyznam, już się trwożę;  
Oszczędź, oszczędź w swoim gniewie  
Mnie sierotę, wielki Boże!  
Choć on prosi, choć on błaga,  
Nie opuszczę ja rodzica;  
Nad me siły ta odwaga:  
Biedna, biedna ja dziewczica!”

Łzy ociéra białą dłonią,  
Młode serce silnie bije,  
Wkoło cisza, wkoło wonią  
Lilie, róże, konwalie.

### VIII.

Słońce, jakby oko ızawe  
Tłące szklisto w licu chorém,  
Tonie w chmurach. Przede dworem  
Cześnik smutno siadł na ławę,  
Utęsknioném okiem śledzi  
Po gościńca żółtym pasie.  
A Helena przy nim siedzi,  
Tém złudniejsza w młodój krasie,  
Że technie dziecka szczerłość z lica,  
A już w oku tajemnica.

Cześnik ostro wása kręci,  
I poprawia wciąż kontusza;  
Snadź mu jedna myśl w pamięci,  
Więc się jedną trapi dusza.

Przecz niepokój i tęsknica,  
Ćmi sędziwość cnego lica;  
Jego szramom czy nie lepij,  
Gdy je męzki spokój krzepi?  
Lecz gdzie męztwo w licu żyje,

Gdzie te dziarskie wąsy siwe,  
Pono w piersi zawsze bije  
Serce mężne, ale tkliwe.

— „Spójrz sam, dziewczę!”—starzec woła—  
„Aścki oczy bystro płoną.  
Spójrz tam smugiem od wądola:  
Toćto jeździec jakiś pono.  
Chłopiec, panie, dni już kilka  
Wpadł jak kamień do jeziora;  
Na niedźwiedzia, dzika, wilka,  
Toć, u licha, to nie pora!  
Do rodzica-ż mu tęskniło?  
Wyrzec słówko—toć był w stanie!  
Czy mu u nas się przykrzyło  
Nie kochamyż go, mospanie?  
W pierwszym pierzu ledwo płaszę,  
Z gniazda lecieć wraz gotowe;  
Ale czekaj ino, Wasze!  
Kiedy wrócisz, zmyję głowę!”

Nagle starzec ku dziewczynie  
Wzrok i słowa bliżej zwróci:

— „Boćże przecie on nie zginie,  
Boćże przecie do nas wróci;  
Wtedy ostro, pani sestro!  
i nie bacząc na łzy czyje,  
Jakem pocziw, głowę zmyję!  
Ale Aścka jakoś płonie.  
Cha, cha, widzę koło młyna  
Coś tumani; widzę... konie...  
Widzisz dziewczę?”

Lecz dziewczyna

Wpół rumiana i wpół blada,  
Ledwo piersią oddech chwyta,  
Ledwo z trwogi nie upada;  
Ale milczy,—bo kobiéta!

Jak te kwiaty, co w dnia blasku  
W szat swych kryją się osłonę,  
Lecz gdy pieści zwiastun brzasku,  
Przez rozwarte ich kielichy  
Dojrzysz barwną ich koronę;  
Tak w mgłę czystych marzeń tleje  
Pierwszy serca płomień cichy.  
Niech go żal, niech łzy podsycą,

Próżno tłumisz go, dziewico!  
 On namiętniej zajaśnieje.  
 A gdy wionął wiatr bojaźni,  
 Serce zadrży ci w pośpiechu,  
 Cichy płomień łśni wyraźniej  
 Łzą w pozornym twym uśmiechu,  
 Bólem w dźwięcznej głosu nucie.  
 Ale w duszę twą dziewiczą,  
 Perłę rosy tajemniczą  
 Gdy wlał czucia świt—przezucie;  
 To ci blaski jego spłyną,  
 Szepcąc: nie bój się dziewczynol  
 W niepokoju szczęście marzy  
 A radością smutek darzy.

Widać, widać, jak od krzyża  
 Trzech się jeźdzców klusem zbliża;  
 Dwaj zostali, jeden wprzody  
 Zwróci konia kole wody  
 I tnie łąką w stronę gumna.

Ależ nieco od kłopotu  
 Pono spadnie mina dumna.  
 Stanął, kędy wał zielony  
 Gęstą siatką żywopłotu.  
 Wróć się jeźdzcze! Nie z téj strony  
 Do cześnika trafisz drogą!  
 Lecz u jeźdzca dziarska mina;  
 Nagle w kabłak się przegina,  
 Ulży trenzli, spiął ostrogą,  
 Kilka kroków puści cwałem,  
 Już przy wale...klasnął, cmoknął,  
 I...hop! stanął poza wałem.

— „Niech go kaci! jakże skoknął”,  
 Nagle zabrzmiał głos wojaka,  
 „Bywaj, bywaj Kazimiérzu!”

A pan Kaźmiérz zawadyaka,  
 Gdy mu szpaczek dęba smali,  
 Jakby, panie, na talérzu,  
 Na dwóch nogach zwraca szpaka—  
 I w wolniejszym, równym biegu,  
 Gładko, pięknie czesze dalej.

— „A witajże, mości zbiegu!  
 Marnotrawny panie synu!  
 Lecz zkąd na nim? Niech go kaci!  
 Tak się błyszczy, tak szkarłaci?”

Patrzy cześnik i dziewczyna:  
 Na czapeczce z karmazynu  
 Płynie obok białej kity  
 Żupan biały, a pas lity.  
 Granatowy kontusz spina.  
 Szabla lśniąca spada tęczą  
 Na amarant od czapraka.  
 A na koniu rząd złocisty,  
 Kółka, sprzączki—świecą, brzęczą,  
 A koń, klejnot wody czystej,  
 A u jeźdźca mina jaka!

Cześnik wąsów srożyć ima,  
 Lecz gdy jeździec z konia skoczy,  
 Radość błysła nad oczyma  
 I łzą cichą zaszyły oczy.

— „A zkądżeto wróciliście  
 Tak szkarłatnie i siarczyście?”

Każmiérz ściska za kolana,  
 I przeprasza stryja pana.  
 Potém blade swoje lica  
 Ku Helenie gładkiej skłoni  
 Smutno, tęskno..... Drży dziewica,  
 Czuje, jak się nagle płoni  
 Nie jutrzeńką tą zarania,  
 Co raj serca na twarz złoży,  
 Lecz rumieńcem tym zmieszania,  
 Co twarz pali, serce trwoży.

Każmiérz zacznie: „Stryju pante!  
 Czasem dziwniebo przygoda  
 W przekór ludzkiej woli stanie  
 I przygody inne doda.

Ot pędziłem był za kotem—  
 Pal do niego!—już farbował;  
 Pal raz jeszcze! gdym spudłował,  
 Gdzieś mi zniknął. Wtém nad błotem  
 Stado kaczek wpada w oko:  
 Nuż za niemi na bagnisko!  
 Nie wiedziałem, że tam ślisko  
 I zdradliwie i głęboko.

Więc wbród; nogą w dno uderzę,  
 Niby twardo..., stępel wbiję,...  
 Jak na dłoni kaczki... zmierzę,  
 Wtém ugrzążłem aż po szyję.

Choć nie tracę animuszu,  
Lecz mnie błoto djablo ziębi,  
Nogi grzęzną coraz głębiej,  
Woda bębni koło uszu.

Próżno ziół się mokrych czepię,  
Głos oddźwięknie, to się zgłuszy;  
A wokoło, jak na stepie,  
Ani śladu żywěj duszy!"

— „Gdzieżeś Waść tak wpadł do nory?  
Toć nie w boru!"

— „O nie zblizka!  
Jam się het zapędził w bory  
Kędy same już bagniska.  
Więc... już źle z méj duszy władzą,  
Lecz coś przerwie nagle ciszę:  
Zabrzmi rogu odgłos żywy  
I gałęzi łoskot słyszę.  
Pędzi łania, za nią sadzą  
Tuż ogary i myśliwy.  
Nuż doń wołać: ratuj bracie,  
Ratuj!—Nie wiem co się stało.  
Sen, noc, w głowie mi szumiało,  
I bujałem jak na morzu.  
Wtém zbudziłem się w komnacie,  
Na kominie węgle tłały  
I ktoś siedział przy mém łożu.  
Patrzę: smukłój był urody,  
Czapka biała, żupan biały..  
Toć mnie pamięć nie omija,  
Toćże to syn wojewody,  
Pan stu włości, sąsiad stryja."

— „Co u licha? Waścin zbawca  
Ów buńczuczny marnotrawca?"

— „Gdy mu niosę dank wdzięczności,  
Mówiąc z rana o podróży,  
On mi na to: „Kto tu gości,  
Panie bracie, gości dłużej.  
Nie dziękujcie, jam dłużnikiem,  
To Bóg zrządził, żeście cali.  
Toćże rodzic mój z cześnikiem  
Pod namiotem jednym spali.  
Więc, mospanie, jam nie chłystek,  
I za nadto cześnikowi  
Mój szacunek oddał wszystek,

Bym go nie dał krewniakowi.  
 A gdy Waszmość niecierpliwy,  
 Gwałtem do dom ciągnie chętką,  
 U mnie, panie, rada prędką:  
 Ja nie puszcę, jak Bóg żywy!  
 Darmo drogi szukać śladu!”

Więc na łowach i w rozmowach  
 Człek się dla mnie odkrył cały,  
 I tak jakoś gadu, gadu,  
 Serca nam się pobratały.”

A wtém cześnik:... „O! do kaszy  
 Zuchto panie! a przy czaszy  
 Serce miewa na języku!”

— „Toż, przezacny mój cześniku,  
 Jam serdecznie się zasmucił,  
 Że się stryj na-ń czasem sroży.  
 On swój wózek z złych bezdroży  
 Już do lepszej drogi zwrócił.  
 Nie ukrzywdził zbyt nikogo,  
 Bo mu zazbyt była drogą  
 Ojców pamięć...”

— „Tere fere!  
 Waści młode serce szczere  
 Rade w innych stać obronie.  
 Nie prorokuj Waść zawczasu—  
 Co ma wisieć—nie utonie,  
 Wilk powróci znów do lasu.

O! i Aścka raka spiekła,  
 Bo i Aścka takóž rzekła,  
 Że w kościele pan wielmożny  
 Tak pokorny i nabożny  
 I że gładki jest z oblicza.  
 Co wam, dzieci, do panieza?”

Wtém w Heleny wzrok uderza  
 Bystre oko Kazimiérza,  
 Myślą w duszy głąb' się nurza  
 I o prawdę całą pyta.  
 Ona stoi jakby wryta.  
 A naprzemian w licu: róža,  
 Lilia biała, malwa blada,  
 Znowu róža. Gdy on bada,  
 Prawdę duszy w oku czyta.  
 W sercu bólu wrą płomienie,



Ale wiara słowa—święta!  
Zabłysnęło mu spojrzenie,  
I spólcuciem i zachętą.

Rzekł:—„Cześniku, mozem zbłądził.  
Sąd mój młody; lecz, na Boga!  
Toćże bacznie jam go sądził.  
O! nie sercem, co miłuje,  
Ale jak szczerego wroga  
Wróg szlachetnydy osądził;  
A po sądzie sercem całym  
Jak brat brata go miłuję.  
Więc wybaczcie, stryju panie!  
Ja tu nie sam przyjechałem,  
On tam czeka przy polanie:  
Odmówicie-ż mu gościny?”

— „Waści we łbie pono świta,  
Czy Waśc wątpi, kiedy pyta?  
Czy jój komu odmówiono?”

— „Lecz, cześniku, toćże pono  
Piérwsze jego odwiedziny.“

— „Cóż Waśc myślisz, panie młody!  
Toć w téj chaty nizkie progi  
Wstępowali wojewody  
Na kołacza kęs ubogi.“

— „Wiem, cześniku mój mościwy!  
Lecz racz słuchać próśby innój:  
Wszakże będąc dla-ń gościny,  
Będiesz równie dla-ń prawdziwy.  
Kiedy z czcią on piérwszy bieży,  
To obrazy, gdy ją macie  
Zapomnijcie, jak w komnacie  
Sładziem razem do wieczerzy.“

— „Co Waśc taki świegotliwy?  
Jać obrazy osobliwój  
Nie mam, lecz mi krwie téj szkoda.  
Rodzic jego, wojewoda,  
Kiedy ino był starosta  
Już był człowiek co się zowie!  
A gdy zacni są ojcowie,  
Smutno, że im syn nie sprosta!“

— „Więc na znamię zgody świętój,  
Gdyby z winnym Wam respektem

Wyznał, jakim czezym afektem  
On rzetelnie jest przejęty?‘

— „Przy polewce się nie zmienię,  
Będę słuchał...”

— „W wielkiej cenie  
Jemu dobre wasze słowa,  
Bo po Bogu i Helenie,  
Wam najwięcej czci on chowa.“

— „Co, co? niechno Waśc powtórzy,  
Co trzy po trzy Waśc bańdurzy?  
Komu afekt, co to znaczy?“

— „Miłościwy cześnik raczy  
Bez zbytecznej alteracyi  
Wręcz wysłuchać méj oracyi.  
Tak! syn pana wojewody,  
Co śród dalszych znana światów  
*Gloria* jego antenatów,  
Ponad przeszłych wieków torem,  
Dziwnie pańskim lśnią splendorem,  
Swojej matki cudne lice,  
W konterfekcie mając zdobne,  
Kiedyś ujrzał był dziewicę,  
Kubek w kubek doń podobną.  
A zobaczył ją w kościele,  
Bo nabożnych cnót ma wiele.  
Odtąd wzrok od konterfektu  
Nie mógł podnieść bez afektu,  
Serce mając wskrós przeszyle,  
Strzałą syna Afrodite.  
Poprzysięga, tylko onę  
Gładką pannę wziąć za żonę.

Cnych płomieni jego gwiazda  
Z przezacnego idzie gniazda,  
I nadobne stworzą sploty  
Połączone dwa klejnoty.  
Tam—krzyż bieli na purpurze,  
Tu—dwie kopie lśnią w lazurze;  
A więc o to sprawa chodzi:  
Wojewodzie, pan stu włości,  
A szczególny mój dobrodziój,  
Pewny waszój gościuności.  
Mówiąc: z tego konterfektu  
Cześnikówna jakby zdjęta.  
Czy ubliży Wam respektu?  
Czy ujrzawszy konkurenta,

Cny cześniku, pośród gości  
 W smak on wpadnie Jegomości?  
 Czy, gdy powie, że przymioty  
 Tój dziewoi już go mogą  
 Same wieść po drodze cnoty,  
 Gdyby szedł był inną drogą.  
 Taki afekt ku niewieście,  
 Wy do serca swego weźcie!

Mnieć przysła—chorążyca,  
 A krewnego Wam szlacheica,  
 Bym cześniku mój mościwy.  
 Waszój myśli prawdę zgłębił,  
 Przez trafunek osobliwy  
 Dlań u stryja dziewosłębił.  
 I ułożył z panem bratem,  
 Czy mnie godnym uzna swatem?  
*Dixi.*”

— „Wasć bizunów warty,  
 By powtarzać czyjeś żarty!  
 Wilk chce w lisa się farbować,  
 I tu ze mną śmie kuglować.  
 Śle mi w Waści poplecznika,  
 Pyta niby gościnności.  
 Drzwi się pod nos nie zamyka;  
 Bo gość w domu z Bogiem gości.  
 Lecz wiedz, pański podkomorzy,  
 Cześnik drzwi dziś nie otworzy.  
 Precz z panami! Ja napaści  
 W odwiedzinach nie chcę razem;  
 Płocha, marna młodość Waści  
 Winna, że ci ujdzie płazem.  
 O! chcą rozum mieć kurczęta,  
 Służą komuś za igraszki.  
 Wstydz się Wasze!”

— „To nie fraszki,  
 To nie kłamstwo, prawda święta!”  
 Nagle Kaźmierz śmielój woła.

Zrzuci czapkę a od czoła,  
 Sina szrama w włosach ginie.  
 Myśl cześnika gniewem zdjęta,  
 Więc nie widzi; lecz dziewczynie  
 Jakby serce się rozdarło.  
 I troskliwe siostry słowo  
 Drżące usta już otwarło,  
 Już ku niemu podbiedz pragnie.

Lecz mrok jakiś ponad głową  
 Smukłą lilię zaćmi, nagnie;  
 Jakby obłąd patrzy okiem,  
 Nagle krzyknie i omdlewa.  
 Jak ów anioł, co to mrokiem  
 Na mogiły dziewie spływa,  
 Kaźmiierz ze łzą do-ń się rzuci,  
 Lecz służebna już ją cuci.  
 Łzą mu w oku się zakręci  
 Serca siostry popęd żywy.

— „Patrzaj stryju miłościwy,  
 Snadź w jój sercu i w pamięci  
 On nabożny panicz gości!”

Ale gniewne starca słowa:

— „Toćto podstęp, niecna zmowa,  
 Myśl rodzica podejść zradnie.  
 Waść—co mi tam! Lecz w tkliwości  
 Swój ta dziewczka niech przepadnie!  
 Przecz bogdanę moję, Boże!  
 Wcześniej zabrał do Twój chwały,  
 Przecz me oczy nie dojrzały,  
 Co wzrok matki dojrzyć może  
 Za me grzechy snadź, o Panie!  
 Zsyłasz na mnie ukaranie.  
 Lecz załacno i zażywo  
 Ta niewiastka jest kochliwą.  
 Bez rodzica—to wyboru!  
 Trza zhartować tkliwą duszę  
 W rekollekcyach, postach, skrusze—  
 Do klasztoru! do klasztoru!”

Kaźmiierz do nóg mu się ściele:

— „Ojcze, ojczel! to zawiele!  
 Toć nie było w naszym domu,  
 Brońże Panie! ciężnia sromu.  
 Ot, w kościele się poznali  
 Raz i drugi—traf, przygoda  
 Że się zacie miłowali:  
 Toć on młody, ona młoda.  
 Czysty płomień nje wygaśnie,  
 Gdy w klasztorze ją zamkniecie;  
 Co Wam winno bićne dziecię?  
 Na jój matkę, coś miłował  
 Stryju!”.. Lecz wtém cześnik wrzaśnie:

— „Któżto Waści łeb zrysował?”

— „E, ta szrama, toć kruszyna!  
 Et, ni żartem, ni prawdziwie...”

- Niby mała rąbanina...  
 Lecz i ja-m go ciął uczciwie!"
- „Ciąłeś Waszmość?"
- „Ciąłem tego!"
- „A gdzie?"
- „Po łbie!"
- „No, a kogo?"
- „Muszę milczyć pod przysięgą,  
 A w szlacheckim słowie srogo,  
 Nieżna złamać!"

W chłopca oczy  
 Cześnik długo swoje wlepił.  
 Żal z uczuciem w piersi rośnie:

— „No! że Waści nie oślepił  
 Cud! bo rąbnął djablo skośnie!"

Lecz wtém starca pierś wezbrana  
 Z oczu łzą na wąsy pada;  
 Kaźmierz ściska mu kolana,  
 I spojrzeniem łzawém bada.  
 W łzach tych oba się pojęli,  
 Bo synowiec błagał śmielój:

— „Stryju! bądźcież lepszej chęci,  
 Na co marne udęczenie?  
 Wola Boskiéjto opieki  
 Snadź przeznacza tak Helenie—  
 A ta wola niech się święci!"

Starzec zcicha rzekł: „na wieki!"

## IX.

Mrokiem—lepiéj ci w spokoju  
 Cichy dworku modrzewiowy!  
 W szare chaty z za lip stroju  
 Patrzysz sobie tak wesoło,  
 Jakby starzec siwéj głowy  
 Na skupioną dziatwę wkoło.

Teraz światło w twych okienkach,  
 Wkoło rejwach, krzątani,  
 Cześnik gdéra jak na mękach,  
 Boćto, panie, odwiedziły.  
 Od lamusa do piwnicy,  
 Od piwnicy do apteczki  
 I narady i rozmowy,

Szepty, śmiechy, płacze, sprzeczki:  
 Bo téżto nie lada głowy  
 Cześniównój i klucznicy.  
 Ledwo słyhać głos Kaźmierza,  
 Co za sobą gości wie dzie.  
 Jużci prawie jest wieczerza,  
 Niepokazna to —nieznaczną,  
 Niezbyteczną, ale smaczną:  
 Aż obliźniesz się, sąsiedzie!

Ciche dworki z licem białém!  
 W modrzewiowe wejdzie ściany  
 Gość: pan, szlachcic i ubogi,  
 Zawsze będzie obdzielany  
 Duszą całą, sercem całym,  
 Czém wystarczą wasze progi.  
 A gdy runą wasze ściany,  
 Nowe dworki zalśnią biało:  
 Będąż z serca tak gotowe  
 Przyjąć gością duszą całą  
 Jak wy, dworki modrzewiowe?

Już na ganku cześnik czeka,  
 A pan kłania się zdaleka.  
 Starzec nieco sfrasowany,  
 Wie dzie gości w nizkie ściany.  
 Ale pańskie to fortele  
 Słówkim skromnie naprzód strzelić,  
 W którym gładko coś się powie,  
 Potém głasnać, rozweselić;  
 A gdy radzi już gościowi,  
 Mówić mało, słu chać wiele.  
 Cóż gdy serce, co nie radzi,  
 Szczerze w oku ci zalśniło,  
 To-ć się wszystko tak ugładzi,  
 Udobrucha, że aż miło!

Zdawna szczeróść w szlachty kole.  
 Na dębowym, gładkim stole  
 Węgrzyn złoci im puhary  
 A rej wodzi cześnik stary.  
 Poszramiona twarz mu sucha,  
 A w postaci widać zucha;  
 Jak dąb stara a żylasta,  
 Ponad innych głowy wzrasta.  
 I niedarmo na sejmiku  
 Weiaż wołają: praw-cześniku!  
 Pan mu siedzi po prawicy,  
 A zwyczajnie ma ubranie:

Żupan biały, lecz w żupanie  
 Obacz spinkę u petlicy!  
 Toć za drogie jój kamienie  
 Dwa folwarki w równej cenie.

W jego twarzy mężkie wdzięki,  
 Rysy ostre, silne szczęki  
 I policzki wystające;  
 Ależ czarne oczy lśniące,  
 Jakież światło w nich się mieni,—  
 Czucie z smutkiem je zbratało,  
 Jakby cudnych swych promieni  
 Oko lubój mu dodało.

Od Cześnika w lewo głowa,  
 Dumne czoło Kazimierza,  
 Twarz młodzieńcza i surowa,  
 Oczu bystry blask uderza  
 Nie ten, co to igra żywy:  
 Lecz już ostry, przenikliwy.

Ale czyj przy końcu stoła  
 Kontusz pyszni się papuzi,  
 Twarz pulchniutka a wesoła,  
 I rumiany nos kobuzi?  
 Choć w puharze nektar złoty,  
 Wciąż na gąsior okiem miga,  
 I zarzuca wciąż wyloty,  
 Muska łysa—pan brat Wyga.

Cześnik prawi: — „At, mospanie!  
 Dwaj tu młodzi, więc kazanie!  
 Gdy magnacka krew młokosa,  
 Niech ostrożnie będzie z nosem,  
 Boć ten w górę nie pnie nosa,  
 Co zwycięzca nad swym łosem,  
 Pracą głowy lub krwie swojej,  
 Z ojców mianem glóryą spoi.  
 Jeszczeć, panie, gdy w kontuszu,  
 To i podnieś w górę uszu!  
 Lecz pocieszni błazenkowie,  
 Co to na nich pstré kawałki,  
 Z boku szpadka, pyza gładka,  
 Ni to wása, ni źdźbła włosa,  
 A pstry czepiec tkwi na głowie—  
 I to w górę piąć chce nosa:  
 A do budy, świszczypałki!  
 Wasza miłość choć tam hucznie  
 Żywot pędził a buńczucznie,

Grzmiał i pułał, lecz Mospanie  
 Toćże widzę was w żupanie.  
 Ot i *dixi!* Lecz sąsiedzie,  
 Gdy z magnatów ród kto wiedzie  
 A na myśli mu niewiasta,  
 Niech się łączy z swoim stanem.  
 Boć szlachecka żona z panem,  
 Wlazłszy między matadory,  
 Toć się trocha tam i szasta!  
 Miłój parce czas niespory.  
 Kędy Jaśnie Oświeceni  
 Niech się magnat z swoją żeni.  
 Jeszczeć miło czas przeleci,  
 Gdy dziatkami Bóg obdarzy;  
 Lecz, broń Panie, niéma dzieci,  
 Nuż małżeństwo się poswarzy,  
 Nuż kłopoty i frasunek.  
 Djabło licha pogadanka,  
 Djabło kruchy to rachunek:  
 Ja pan wielki, ty szlachcianka.  
 Więc kulawo szczęście chodzi:  
 Ona służka, on dobrodziej!...  
 Choć mi zaszczyt nad zaszczyty,  
 Że z téj nazwy, co tak droga,  
*Et in sago et in toga,*  
 Naszój sprawie pospolitój,  
 Cny potomek żąda ręki  
 Dzięwki mojej—szczęre dzięki  
 Składam; lecz wy magnat sobie,  
 A ja szlachcie na chudobie.  
 Chcesz się z biędą spoić ściślej,  
 Sprawa, wierę, to nielada!  
 Niech się jeszcze Waść namyśli,  
 Otóż, panie, moja rada!"

— „Ja słowami nie szafuję,  
 Lecz cześniku, ja miłuję.—  
 Jeszcze-ż pan brat nie dowierza?"

A wtém zabrzmiał głos Kaźmierza:

— „Czy możniejsza szlachta traci  
 Gdy się z niższą koligaci?  
 To-ć to, panie, z jedną żoną  
 Całe plemię zyszcze pono.  
 Niech zawezwie! Na sejmiku  
 Tysiąc krzyków w jego krzyku.  
 Jakby drzewa wiatr po lesie  
 Dęciem w jedną stronę kłoni.



Na ruch jeden jego dłoni  
 Tysiąc dłoni się podniesie.  
 Tylko panek ów przewodny,  
 Niech za serce sercem płaci,  
 Niech się stara, by był godny  
 Cnych afektów panów braci.  
 Idąc prosto, nie z ukosa,  
 Niech i zadrze w górę nosa,  
 Bo-ci szlachta nie jest dziatwą,  
 Boć nad jednymto powiatem  
 Nie tak skoro, nie tak łatwo  
 Być przewodnym panem bratem:  
 Waszeć słowa to, cześniku."

— „Święta Panno Częstochowska,  
 Erudycya-ż w tym młodziku,  
 I dar dziwnej elokwencyi:  
 Toć Pales raby piotrkowska  
 Nie wycięła téj sentencyi.”  
 Wyga szepta niby zeicha,  
 I wysącza pół kielicha,

Każmiérz znowu:— „Niech Waszmoście:  
 Cześnik i przezacni goście  
 Mi wybaczą, że choć młody  
 Głos podniosłem—alem swatem,  
 Więc już starszym panem bratem.  
 Stryju panie! w dłoń puhary,  
 Na co próżne korowody?  
 Piję zdrowie młodej pary!”

I choć puhar swój wychylił,  
 Lecz na słowa się wysilił;  
 Choć mu ostrzój lśnią źrenice,  
 Ale blédsze coraz lice.

Cześnik nieco marsem słuchał,  
 Lecz się potém udobruchał;  
 Dotknął czarą pana czary,  
 „Vivat! szczęście przyszléj pary!”

Ale któżto tam przez szpary  
 Wciąż zaziéra do komnaty,  
 Rąbek czyjéj białéj szaty  
 W mroku bieli się niepewnie?  
 To Helena w szacie białéj.

Czemu w duszy jéj tak rzewnie  
 Kazimiérza słowa brzmiały?

Czemu jakiś żal stłumiony  
W czarnych oczach łzami spływa;  
Toćże tam jój narzeczony,  
Jego pamięć, w sercu żywa!

Ale w głosie Kazimiérza  
Jakiś rozdźwięk ją uderza;  
Jój żal śmiechu, co się żali,  
Bolu, co się w słowach tłumi:  
Chociaż inni nie poznali,  
Lecz kobiéta poznać umie!  
I w jój młodej wyobraźni  
Ta braterska postać znana,  
Jakoś jaśniej i wyraźniej  
Barwą dzięków jój ubrana.  
A twarz blada z szramą siną,  
Obok dumnej twarzy pana,  
Choć i tamta porąbana,  
Lecz ta młodsza. Ej dziewczyno!  
Bujasz myślą, póki pora.  
Czekaj! W smutne jutro twoje,  
Rajem wspomnień będzie wczora,  
Które w lekkich marzeń roje,  
Zwijaj, stulaj, póki pora,  
Cho! już głośny rum u stoła.

— „Vivat cześnik” — pan zawoła,  
„Panie bracie! w ręce czyje?”

— „Jasny Panie toćże w moje”  
Huknie Wyga. „Niechaj żyje!”  
Zawołało głosów troje.

— „Kochajmy się, dzieci moje!”

— „Kochajmy się” znów wrzasnęli.

Każmierz smutniej czy weselój,  
Gdy głos przebrzmiał po toaście  
Szepnął: „aby nie w niewiaście!”  
Biesiadnicy nie słyszeli,  
Ale od drzwi toć złudzenie  
Jakby ciche szło westchnienie.

— „Cny cześniku, przecie zgoda!  
Toć dopiero teraz żyjem”.  
I weselszym głosem doda:  
„A z trzewika nie wypijem?”

— „Cho! za-rychło coś mospanie!  
Niech wam na dziś puhar stanie!”

Więc rad nie rad pan się skłoni  
Cześnikowi i dłoń w dłoń  
Z Kazimierzem przed nim stawia.

— „Cny cześniku! jeszcze sprawa!  
Mości Wygo! niech Waśc wyzna,  
Zkądeś w łbie swym ubrdał wieście,  
Że mnie cześnik zelżył w mieście?  
Toć dla Waści nie pierwszyczna  
Takie brednie wyssać z palca.  
Więc cichaczem na dywanie  
Pono skarcić trza zuchwalca.”

Wyga kornie:— „Jasny Panie!  
Choćby się téż i zmyśliło,  
Odtąd prawdy robię *votum*;  
Lecz gdy gracko się skończyło,  
*Bonus finis bonum totum*.  
A wam zacny gospodarzu,  
Najświatniejszy luminarzu,  
Powiem, żem-ci ja za młodu  
Palestrował; lecz zawodu  
Nie kończyłem, bo on cały  
Między butle a szpargały.

Gdy od drugich mądra głowa,  
To od piérwszych djable słowa.  
Piérwsze, dobre na gorąco,  
Ale drugie pyłem trącą.  
Bierz je djabli, lecz w pamięci  
Coś się zawsze tam zakręci.

Wiem, prababka wasza z rodu,  
To się Prusem znamionuje,  
A i mego dziada matka,  
Prusem się téż pieczętuje.  
Toć być musi koligatka.  
Bo prababek owych dzieci  
Krwia związani—toć już mus,  
Boć Prus drugi, czy Prus trzeci,  
Zawsze, ci to jednak Prus.  
Więc z namysłem się nie chwale.  
Cny cześniku panie! Ale  
Mówią: szpaczek Wyga stary.  
A więc zdrowie młodój pary!”

— „No Kaźmierzu! napełń czasę.  
Mości Wygo, zdrowie wasze,  
Bo wam djablo we łbie czmera.”

— „Konfuzya, radość szczerą!”

— „Bracia, dzieci, zgoda szczerą!”  
Cześnik rzewnie już zawoła—

I zabrzmiało dookoła:  
„Hej panowie bracia, zgoda!”

A w powolnym cześnik słowie:

„Bodaj was też moi młodzi!  
Rzecz, — już to nie mnie czasy,  
Słońce człeka już zachodzi.  
Lecz wam w duszy tyle krasy,  
Serce u was tak na wierzchu,  
Że mi widniej w moim zmierzchu.  
Obym z stopni mego grobu  
Mógł tak zawsze ujrzyć obu!

Przy was zda się, żem znów młody,  
Pierś wre ogniem, hufiec świeci.  
A my w tańcu i w zawody,  
Do stu biesów — całą ławą  
Tniemy w lewo, sieczem w prawo!  
Bóg wam zapłać moje dzieci!  
Już minęły te koleje,  
Teraz wasze przyjdą dzieje.

A więc zdrowie Wasze za to!  
Twoje chłopcze, mój jedyny!  
I Waścine — byś dziewczyny  
Nie zinaczył mi bogato.  
Bo jej rodzic w swój zagrodzie,  
Stary żołnierz na chudobie  
Równy panu wojewodzie!  
W kaszę dmuchać nie da sobie.  
Czy rozumiesz panie zięciu?”

Młodzi do nóg mu się ścięła,  
On Kaźmierza ma w objęciu,  
A za rękę pana trzyma.  
Oczy wszystkich się wesela,  
Choć łzy płyną im oczyma.  
Nawet Wyga, stare lichy,  
W kącie łzę obciera cichą.

## X.

Tęskność duszę twą sierocą  
Wiąże — jakby pasmem czaru;

Czyliś słuchał wtedy nocą  
 Lasów szumu, borów gwaru?  
 Widział—jak dąb drżmie stary,  
 Jak dziwacznie śni wierzbina  
 I podsłuchał—jak do pary  
 Z olch szelestem drży osina?  
 Przy srebrzystym białodrzewie  
 Jak buk chwieje liść ciemnawy,  
 A cień liści w strugi zlewie,  
 Jak marzenia twoje—łzawy.

Choć nie zoczysz śladu ludzi,  
 Nie samotne twe godziny;  
 Bo drżmiący gaj się budzi  
 Na tęsknoty odwiedziny.

W chwili swego snu pieszczoty,  
 Pod twą stopą kwiaty mdleją,  
 Choć ich wonie nocne wieją  
 Jakby tchnieniem twój tęsknoty.

Oko zwilży się niechcący,  
 Piers westchnienia darmo tłumi,  
 Gdy szept gaju szeleszczący  
 Zda się boleść twą rozumieć.

Lecz gdy biada duszę mroczy,  
 Gdy do serca rozpacz pnie się,  
 Wzrok twój mało w gaju zoczy:  
 Idź w gęściejszym dumać lesie.

Błądź po boru, gdzie z żalobą  
 Cień konarów zwiesi jodła;  
 Gdzie iglastą sieć rozwiodła  
 Smukła sosna ponad tobą.

Drzój się śmiało, gdzie gąszcz głucha  
 Kędy świerku ciemne ramie;  
 Gdzie pod stopą twą się łamie  
 Mech poźólkły, gałąź sucha.

Gdzie malina stroi dzika  
 Grzązkich bagien brzeg ponury;  
 Kędy kawał tylko chmury  
 Znaczą drogę samotnika.

Łam gałęzie gniewną dłonią,  
 A gdy gąszcz już nieprzebrana:  
 Nagle tęszą, dzikszą wonią  
 Westchnie twoja pierś stroskana.

Lub poczekaj, gdyś odważny:  
Bo niedługo się zanurza  
W ciszy nocy bór poważny,  
Czekaj! Toć go zbudzi burza!

Ten spokojny sosen szaniec,  
Wnet gałęzie swe rozpuści;  
Z wiatrem sunie w wściekły taniec,  
Gdy grom zajrzy do czeluści.

Ruch namiętny, gorączkowy,  
Dziko wkoło zaszaleje;  
Dąb sędziwój schyli głowy,  
A ły brzoza biała leje.

Jodła smutna trzeszczy w gniewie,  
Z kolców krople deszczu sączy;  
Choina młoda, topiel grzązka,  
Trawy listek, mchu gałązka:  
Wszystko w jednym dzikim śpiewie,  
W hymnie burzy się połączy.

W sercu, w duszy ci szalało  
Jak w tańczących drzew tych kole;  
Młodą duszę twą zbolełą  
Wpij w przyrody nagłe b lóe,  
Słuchaj burzy!

Burza wyła,  
Grzmot i piorun naokoło.  
Pędzi Kaźmiérz—młode czoło  
Kąpie w wichrze, w deszczu nurza.

Goście padli już na łoże,  
Duszno, przykro mu w komorze.  
Młoda dusza dała wiele,  
Bo marzenia i wesele  
Dla cudzego dobra dała  
I nad gorzką swoją stratą,  
Lzy ni jednéj nie wylała.  
Ależ w sercu piekło za to!  
Gdy go anioł już nie łudzi.

Precz od ludzi!—w dzikie bory!  
Bo nieznośnie duszy choréj  
Między ludźmi—precz od ludzi!  
W bory!—Kiedy pędzi sadem,  
Zdradne owe okno minie,  
Nie zamknięte! W téj godzinie  
Kto zeń patrzy licem bladém?  
— „Ty, Heleno?” wraz zapyta.

Wtém dłoń miękka dłoń mu chwytła,  
 Ust pieszczotę na niéj czuje  
 I lez dwoje—i przemija  
 Cichy słowa szept: „dziękuję!”

Wraz przymknęło się okienko.  
 Chłopiec zadrżał, zda się ręką  
 Anioł dotknął—usty żmija.  
 W drżące dłonie stulił lica,  
 Rzekł boleśnie: czarownica!  
 Dumął chwilę, serce bije  
 Rychlój, mocniój; z marzeń zdroju  
 Żłudne krople myślą pije.

Lecz trucizna snadź w napoju,  
 Bo mu serce żarem pali.  
 Pierzchnął urok mgłą na fali,  
 I znów brzmiało w duszy chorój:  
 Precz od czarów! dalej w bory!

Biegnie, pędzi.—Burza wyje,  
 Wiatr mu z deszczem czoło myje.  
 On zgryzioną myślą bada,  
 I na jeden cios ogarnie  
 Wszystkie bóle i męczarnie  
 Z których wstaje rozpacz blada.  
 A gdy w młodém sercu nieci  
 Zimną dłonią swe płomienie:  
 Błędem ogniem ciągle świeci  
 W dalszych bólach—jéj wspomnienie.

Pędzi, bieży po murawie.  
 Wreszcie burza zda się prawie  
 Od własnego nużyć szalu.  
 Pędzi piaskiem i sam nie wie,  
 Że jest obok tego wału,  
 Przy tém czarném krzyża drzewie,  
 Gdzie niedawno krwią zbryzgana  
 Szabla z szablą się złożyła,  
 Gdzie od szabli pierwsza rana  
 Krew gorącą ochłodziła.

Na mogiłce, kędy wrota,  
 Postać wiejskiej jakiejś baby  
 Nuci śpiówkę, dźwięk sierota,  
 Z chórem burzy—drżący, słaby  
 Płynie, niknie, i Kaźmierza  
 Rozbolały słuch uderza.

— „Nędza z biędą do nas idą.  
I któż nędzę z biędą zmoże?  
Czemu zsyłasz, panie Boże  
Ciągłe na nas nędzę z biędą?”

— „To-ć uszyłam ci sukienkę,  
Położyłam cię w trumienkę,  
Zakopałam cię do dołku,  
Przecz-e-ś zmarła mi, aniołku!

Chyba koniec z łzami memi,  
Kiedy sama się położę  
Obok ciebie w matce-ziemi.  
Bo na świecie, Panie Boże,  
I źli ludzie, i wciąż idą:  
Bięda z nędzą, nędza z biędą.”

I przebrzmiały piosnki dźwięki,  
Tylko słyszeć łzy a jęki.

Jak przesila się choroba,  
Tak w młodego bólu serca—  
Lada pięknych ocz żaloba,  
Lada marny śmiech—szyderca  
W otchłan duszę młodą wtrąca,  
Gdzie się kala konająca.

Lecz gdy biada ludzkiej doli  
Jakby swoja w niej zaboli,  
Gdy myśl wielka lub ofiara  
Nie ustraszy duszę młodą:  
Te z otchłani wraz ją wiodą,  
I na gruncie swój zacości  
Już ję stawia dom przyszłości.  
Jak w chorobie—w jednej chwili  
Młode serce się przesili.

Chłopcu ogień lśni w źrenicy,  
Jakby mówił słowy temi:  
Toć biedniejsi męczennicy  
Niż ja błądzą po tej ziemi.

Wtém dwie bliźnie błyskawice  
Zalśnią w groźnym burzy mroku;  
Ujął Kaźmierz za szablicę,  
Co brzęczała mu u boku,  
I rzekł, patrząc w nawałnicę:

Serce-ć tkliwie się ochoci,  
Chcesz miłości—raz zaświta,



Wierz w nią, pij woń, gdy rozkwita,  
Ow precudny kwiat paproci.

Miłość dziewczki?—Cień marzenia  
Gdzie przecucie nieba gości.  
Toćże bliższe méj miłości  
Ludzka biada i cierpienia.  
A gdy płonna miłość słowa,  
Szabla ostra, ręka zdrowa!

Kląkł przy krzyżu, duma chwilę,  
Kładzie szablę na mogile,  
I modlitwy myśl skrzydlata  
Z rozbolałych ust wylata.

— „Panno święta! toć twe lica  
W ostrzu szabli ryte złotem;  
Spraw, niech cnoty mi klejnotem  
Będzie w ręku ta szablica!  
Boć to Matko wszech miłości!  
Jedna družka méj młodości.

Z nią ślub serca dziś mnie brata  
I przysięgam Matko Pana!  
Że gdy wezwie zła prywata,  
Będzie w pochwach nieskalana;  
Lecz ciąc będzie w krzyża znamię  
Gdy skrzywdzony ręk załamie.

Więc ślubuję wiarę Tobie,  
Że szabelko cię nie złożę  
Chyba czystą na mym grobie:  
Tak mi pomóż Panie Boże!”

Wstaje z ziemi. W nieba szlaku  
Wtém piorunu wąż pogoni,  
Huk i cisza!... Z szablą w dłoni  
Stoi Kaźmiérz, młoda głowa  
Tam na krzyża wsparta znaku,  
Pewność włada mu oczyma.  
Komu piorun świadkiem słowa,  
Ten przysięgi swéj dotrzyma.

## XI.

Sam ksiądz biskup pary młodej  
Szczęsne dłonie stułą złączył.  
Ależ gody były, gody!  
Wyga prawil, że nie z ziemi,

Chyba z nieba złocistemi  
Kropelkami węgrzyn sączył.

Niedość, panie, powiat cały!  
Z województwa kasztelany,  
Wojscy, łowczy, starostowie,  
Podkomorzy, chorążowie,  
O! i szlachty zjazd niemały  
Pije, hula naprzemiany.

Świeca jasno się paliła  
Młodej parze: dobra wróżba!  
Lecz się parka zasmuciła,  
Że po ślubie pierwszy drużba,  
Pan chorążyc w obce strony  
Pierzchnął, jakby oparzony.  
Tylko Wyga się uśmiechał,  
Że chorążyc tak odjechał.

Cześnikowi w smak to nie szło,  
Nie chcąc zostać u Jójmości,  
Że żywota część podeszłą  
Będzie pędził w samotności.

Księżyc pięć kroć zmienił lica,  
Ni na oko chorążycą!  
Cóż u licha! Gdzież on bywa?  
I coś stary podejrzywa.

\* \* \*

Upłynęło parę latek.  
Bóg-ci państwu nie dał dziatek,  
Ale żona kasztelana  
Jeszcze gładsza od dziewicy  
A jój śnieżna gładkość znana  
I u dworu aż w stolicy.  
Jakby, panie, odrodzony  
Pan kasztelan obok żony,  
Nie zagląda już do dzbana.

## XII.

Smutno ziemi, kiedy susza  
Macierzyńskie łono pali:  
Trza jój burzy, trza jój fali.  
Smutniej kiedy ludzi dusza  
W jakimś marnym śnie się nurza  
Lub w gorączki płasa szale.  
Ją ochłodzą inne fale:  
Okrzyk wojny, ludzi burza!

Wojna, wojna! Ziemią całą  
 Snu trąb głosem zahuczało.  
 Lecz na czyje młode lice  
 Wkłada głośny wieniec z liści,  
 Komu sława czysta iści  
 Bohaterskie obietnice?  
 Czyje imię w krwawym krzyku,  
 Coraz głośniej, pędzi, rośnie?  
 Toć niedarmo to, cześniku!  
 Łzy ci w oczach lśnią radośnie,  
 Toć niedarmo stare kości  
 Jeszcze wleciesz rad do tańca.  
 I gorąca chęć Waszmości,  
 I poświęcisz wszystko dla niej,  
 Stać przy boku wychowańca,  
 Gdy on dziarsko tam hetmani.

Piękna żona kasztelana  
 Jakoś smutna, zadumana,  
 Na dźwięk młodej owjej sławy.  
 Wzrok na męża wznosi łzawy.  
 Kasztelana myśl wyniosłą,  
 Łzawe oko to przeszyje,  
 Toć wojenne mu rzemiosło.  
 Krwi dziedzictwem w tętnach bije.  
 Toć nie boju wir daleki,  
 Ale ona, bez opieki  
 Tkliwą duszę jego smuci;  
 Kto wie, z teściem czy powróci?

Lecz nie dla łez to Jójmości  
 Rzuca żonę, urząd, włości,  
 I po pańsku z hucem mierza  
 Pod znamiona Kazimierza.

Różne wojny są koleje:  
 Na cześnika rękę mdleje  
 Mężna jego zięcia głowa.  
 A z ust ciche płyną słowa:

— „Tam! Helena! biédna wdowa!  
 Nie ma dzieci, jam ostatni  
 Z mego rodu.—Uścisk bratni  
 Kazimierz! — Teściu, ona,  
 Ta sierota’... słowo kona.  
 Tylko usta jeszcze drżały,  
 Bóg wziął duszę do swjej chwały.

## XIII.

Wielka pani była to!  
 Samych włosów miała sto.  
 Białolica, młodych lat.  
 Choć jój dziątek nie dał Bóg,  
 Gach nie wstąpił za jój próg  
 I nie zdjęła wdowich szat.

Pośród pysznych komnat swych,  
 Jak w więzieniu żyła łą;  
 Blade lice, tęskny śmiech,  
 Chyba wspomnień dotknął mgłą.

A nabożnych pełna cnót,  
 Dzień w dzień kroki smutne śle,  
 Gdzie mogiły smęcą dwie  
 U cmentarza wiejskich wrót.  
 Brzóz płaczących cienie dwa  
 Dotykają gładkich płyt,  
 Tam w marmurze napis ryt  
 Z blaskiem słońca dziwnie gra.

Tu jój rodzic, tam jój mąż,  
 Śpią w wieczystym śmierci śnie;  
 Łzami groby skrapia wciąż,  
 I przyklękłszy, modły śle.  
 Dalej, krzyż drewniany stał,  
 Gdzie mogiły niskie tam,  
 Zdała od nich—czernił sam.

Czemu bólem serce drga,  
 Gdy u krzyża wdowa ta?  
 Czemu jakiś gorzki śmiech  
 Wstrząsa piersią, tłumi dech.  
 W ławém oku czemu łśni  
 Gorączkowy, dziki błysk?  
 Jakby wspomnień dziwnych ścisk  
 Stała pamięć dawnych dni.

Czemu, gdy chce odejść już,  
 Zda się płynie gdzieś zza mórz  
 Młoda postać bladych lic:  
 Wzniosłe czoło dumą łśni,  
 W dziarskiej dłoni szabla tkwi,  
 Jakby w cieniu ze dwu świec  
 Z ciemnych oczu jasność łśni:  
 Twarz ta znana śmieje się.

Boże, Panie! zmiłuj się.  
Wraz niewiasta błędny wzrok  
To na krzyża zwróci znak,  
To w daleki pośle mrok.  
Darmo szuka błędny wzrok,  
Tu mogiły jednej brak.  
Pośród obcych, innych ziem  
Śpi bohater wiecznym snem.

Zniszczał, runął biały dwór.  
Dzisiaj sosen gęsty bór  
Ciemne swe rozściela mgły.  
Ale cmentarz ten-ci sam,  
I mogiły na nim trzy,  
I napisy jeszcze lśnią.

Lecz wędrowcze tam się zbliż,  
Gdzie drewniany stary krzyż  
U spróchniałych stoi bram.  
Jeśli marzeń zacnych dech  
Wzrusza młodą duszę twą,  
Na tym krzyżu zżółkły mech  
Odwilż młodą swoją kszą.



## SPOMINKI HISTORYCZNE I ARTYSTYCZNE.

---

### V.

*Sztuki piękne za Władysława Jagielly, przy schyłku XIVgo wieku. Muzyka, malarstwo, złotnictwo.* Niespracowany w dochodzeniach pomników i zabytków historycznych przeszłości rodzinnego kraju, Alexander hr. Przezdziecki, wykrył w ostatnich czasach niepospolitej ważności materiały dziejowe, odnoszące się do czasów panowania króla Władysława Jagielly. Sąto rachunki podskarbiowskie przychodów i wydatków królewskiego domu, które, jako w najrozmaitszych szczegółach stosunków i potrzeb ówczesnego potocznego życia dotykające, jasne rzucają światło na wewnętrzne domowe życie w tamtej epoce. Część ta właśnie ogólnych dziejów krajowych najslabiej przedtém bywała badaną: zlekceważyli ją dawniejsi dziejopisarze; przekazaną więc jest staraniu i usilności pracowników nowszych, którym każdy tym końcem niosący objaśnienie materiały, wielce pomocnym i pożądanym się staje. Do liczby takowych należą niezaprzeczenie z odznaczeniem rzeczzone księgi wydatków króla Jagielly; wkrótce téż zapewne uczony hrabia z zwykłą swą gruntownością obznajomi z niemi publiczność, w wszelkich przez nie a różnorodnych potraconych przedmiotach. Jedna z ksiąg tych, życzliwie mi w wyciągach udzielona, obejmująca rachunki przychodów i wydatków królewskich, prowadzona przez podskarbiego Hinczka w dwóch latach 1393 i 1394: „*Regestrum Domini Hinczonis Vice Thesaurarii ad annum primum suae intromissionis in Vice-Thesaurarium, videlicet anno D. 1393*”; księga ta mówię podaje wcale mnogie, a tém cenniejsze, że dotąd nieznanne wskazówki, co do ówczesnego stanu i kwitnienia sztuk nadobnych w Polsce. Zebrać je przeto i do ogólnych sztuki naszej dziejów zaciągnąć, skwapliwie przedsięwzięjemy.

*Muzyka.* Okazuje się, że pod te czasy król Władysław i królowa Jadwiga trzymali na dworze swym muzykantów: piszczałków czyli fletników *fistulatores*, trębaczy, to jest grających na trąbach *tubicinatores*, oba więc te rodzaje instrumentów dętych, nadto cytarystów, *citaristae*; że podobne kapele utrzymywali także książęta litewscy, jak niemniej możni panowie krajowi.

R. 1393 otrzymują koledy sześć grzywien piszczałkowie i cytarzyści króla i królowej pani: „Item. *Fistulatoribus et citaristis Regis et Domine Regine pro kolenda honore solito ex m(andatu) D.(omini) R(egis) VI marc.*“

Piszczałkom czyli fletnikom księżnej Ziemowitowej z rozkazu króla 2 grzywny: „Item. *Fistulatoribus Ducissae Semoviti ad m. R. II marc.*“

Piszczałkom i trębaczom królewskim w drogę za królem do Wielkiejpoli: „Item. *Fistulatoribus D. Regis ad viam post Regem versus Poloniam magnam, ad m. D. R. III marc.*—Item. *Fistulatoribus. D. R. similiter III marc.*“

Piszczałkom pana Scibora z rozkazania królowej: „Item. *Fistulatoribus D. Scziborij ex parte D. Regine ad m. eandem D. Regine II marc.*“

Wychodzą nawet na jaw nazwiska trzech takowych piszczałków królewskich: *Aulon*, *Nespehon* i *Sinczo*. Dwom pierwszym kazał król wypłacić podróżne, wysyłając ich do księcia Witolda: „Item. *Duobus fistulatoribus D. Regis Auloni et Nespehoni missis per D. Regem ad Ducem Witholdum, ad viam IV marc.*—Item. *Sinczoni fistulatori pro balista (kusza), et ejus attinenciis ad mandatum D. Regis II marc.*“

W r. 1394, z rozkazania królewskiego dane było sukno czerwone i żółte łokci 21 cytarystom ruskim: „Item. *P. XXI ulnis panni rubei et flavei dati cyredis cytharistis ruthenicis ad v. D. R. VI marc. X scot.*“

*Malarstwo.* Że sztuka malarska znaną i znacznie rozwiniętą była już pod tę porę w Polsce, mamy na to wcale liczne dowody. W Krakowie istniejący z dawna cech malarzki, za panowania właśnie Jagiełły w początku samym wieku XVgo otrzymał dokładniejsze urządzenie i prawa. Malowano już wtedy obrazy treści historycznej, kościelne i wizerunki. Pruszczył widział jeszcze w katedrze krakowskiej nad ołtarzem św. Kazimierza obraz współczesny nawrócenia Litwy przez Jagiełłę, tudzież fundacyi akademii krakowskiej przez Jadwigę; szczęśliwem, pomimo tylu kłesk a odległości

czasów rządzeniem, dochował się podziśdzień w Nowym - Sączu okazały portret króla Władysława w r. 1409 malowany; inny portret jego posiadała królowa Jadwiga, przed ślubem jeszcze jej przywieziony; był w Trokach wizerunek współczesny księcia Witolda; w kaplicy Grecką zwaną katedry krakowskiej, malowania ściennie i obrazy ołtarzowe odnoszą się do téjże epoki, a przedstawiać mają oblicza królów, zwłaszcza téż Władysława Jagielly. Z zaciemnień owéj przeszłości występują nawet niektóre nazwy samych malarzów, jak o tém w inném miejscu mieliśmy i mieć jeszcze będziemy sposobność mówić obszerniej. Tak wzmiankowani są w aktach radzieckich krakowskich pod r. 1374 jako tameczni malarze i mieszczanie: *Krzystof* i *Marcin*; téż akta przechowały umowę z malarzem *Mikołajem* o malowanie sklepienia u P. Maryi r. 1397. Co więcéj, król Jagiello miał na swym dworze malarza Litwina rodem *Jakóba Wężyka*, co wizerunki królewskie i różne zdarzenia malował, a chwilowo r. 1392 z pracy ociemniał. Wszystko to przemawia jasno, a wątpić nie można, że przy usiłowaniach dalszych nowe coraz odkryją się napomknienia i twory same. Tak i obecnie rzeczony rachunki podskarbiowskie pouczają nas, że w r. 1393 król Władysław sprowadził był malarzy ruskich, którym poruczył przyozdobienie kościoła Święto-Krzyżkiego na Łyséj-górze, tudzież sypialni swojéj na krakowskim zamku. Na ich czele był jak się zdaje niejaki *Władycz*, *Władicze*, a było ich podobno jedénastu, przez lat dwa około powierzonych im prac bawiący; musieli zaś wielce być królowi mili i pożądani, kiedy opatrywał wykwintnie potrzeby ich życia i do samego odjazdu miał o nich staranie. Wykonywali oni naprzód roboty w kościele na Łyséj-górze w r. 1393 i części roku 1394, w tymże zaś roku pracowali podobnie w Krakowie na zamku w sypialni królewskiej, poczem tego jeszcze roku do swego kraju odjechali.

R. 1393 zakupiono dla malarzy na Łyséj-górze pracujących beczkę wina czerwonego, inną białego: „Item. Pro duabus barillis vini rubei et albi pictoribus pingentibus in Lisecz ad mandatum literale D. R. sex marcas.“

Tegoż roku posyłano tamże do Liszea do kościoła św. Krzyża dla robót malarskich farby i złoto, płacono utrzymanie w gospodzie malarzy. „Item. Pro rubrica missa cum auro ad Sanctam Crucem in Lisecz XX scot. — Item. Pro auro percusso vid(elicet) dicto Klepane slotto ad ecclesiam Sancte Crucis in Lisecz dato et misso summa II marc.—Item. Pro coloribus diversi generis propter indigentias



pictorum ad ecclesiam in Lissecz emptis et pro expensis per eosdem pictores factis in hospitio XVI marc.“

R. 1394 wysyłano dla malarzy w kościele Św. Krzyżkim na Łysěj-górze robiącym figi, migdały, ryż, rodzynki i cynamon. „Item. Pro ficibus, amigdalibus, rijszijo, rosinis et cinamonio pictoribus ad Sanctam Crucem Lissecz. II marc.“

Płacono za utrzymanie w gospodzie Rusinów z malarzami przybyłych. „Item. Pro exemptione de hospitio ruthenorum qui cum dictis pictoribus venerant, ad vocem D. R. in Niepolomicze factam IX gr.“

Dla malarzy w Liszcu posyłano wino: „Item. Facta ratione cum cauponibus pro vino“..... w różne miejsca, a między innemi „in Lissecz pro pictoribus“.....

Kupowano dla nich farby i naczynia, do prac już malarskich w sypialni króla na zamku krakowskim i jeszcze u ś. Krzyża. „Item. Pro 4 talentis cynobrii ad depingendum dormitorium D. Regnis in castro Cracoviensi I Sexag.—Item. Pro vasis scilicet oleis et in quibus colores varii per pictores ruthenicos servantur I scot. XIV de.—Item. Fer. 4 p. diem Assumptionis per II talent. cinobrii ad depingendum dormitorium D. Regis in castro Cracoviensi III fer. Item. Pro IV libris cynobrii ad depingendam Ecclesiam Sancte Crucis in Lissecz rei d. libr. p. fl. I marc.“

Po ś. Michale tegoż roku 1394, zatém już w jesieni, opłacono koszta utrzymania w gospodzie *Władycza* z innemi malarzami ruskimi, kupiono dla nich 11 koni i 11 futer czyli szub, pokryto wreszcie koszta powrotu onych do swego kraju. „Item. Fer. 3 ipso die s. Michael. Archangeli. Pro exemptione de hospicio *Wladicze* cum aliis pictoribus Ruthenicis VI marc. III ff.—Item. Pro 11 equis (konie) datis ad mandatum D. Regis Ruthenis pictoribus, dormitorii in Castro Cracoviensi V marc.—Item. Pro 11 pelliciis (futra, szuby) eidem pictoribus 11 marc.—Item. Pro expensis eidem cum reversi sunt ad proprium II marc.“.—Tyle wysledzić się dało, co do owych malarzów ruskich w kościele Łysogórskim i na zamku krakowskim malujących. O *Jakóbie Weżyku* nie ma w rzeczonych rachunkach wyraźnego wspomnienia, chociaż pod te czasy znajdował on się jeszcze w Krakowie, a później dopiero wyniósł się do Sokala, gdzie na resztę żywota osiadł. Wszakże natrafiamy tu podobnego nazwiska dworzanina albo pokojowca, *cubicularius*; czyli zaś byłbyto tenże sam malarz *Weżyk*? — w obecnym stanie wiadomości zaręczyć przecie nie można. „Item. Hermano et *Wansziconi* cubiculariis pro

calceis (obuwie) et cirotecis (rękawice) ad mandatum D. Regis vocale gr.

*Złotnictwo.* Księga rachunków przerzeczonych z dwóch lat 1393 i 1394, przekazuje atoli najzasobniejsze wskazówki względem świętnego pod te czasy w kraju naszym rozwoju sztuki jubilerskiej i złotniczej, przywołując mnogie tego rodzaju kosztowne królewskie obstalunki w przyborach, stroju, roztruchanach, puharach, misach i innych naczyniach, w ozdobach zbroi, pasów, bogatych siodeł i rzędów i t. p., wszystko w złocie i srebro; zwłaszcza też wymieniając z nazwiska wielu artystów samych, w kraju naszym w mieście Krakowie zapewne osiadłych i pracujących. Ciekawym będzie poszczególny ich wykaz, jaki z rozpięchłych spominków o każdym z nich, tudzież o ich robotach, zebrać i ułożyć się nam udało.

1) *Janusz z Olkusza, czy może Hanusz Ilkusz, rozmaicie pisany lubo pewno ta sama osoba: Hanusso Ilcuss dictus Ilkuser, Hanusszo Ilkuser, Hanuscho Ylkussar, Hanusso Ilcusz. Hanusz Ilcus.* Bywał on jak się okazuje wielce zatrudniony przez króla. R. 1393 otrzymywał obstalunki następujące: „Item. Hanussoni Ilcuss aurifabro pro paratione cupponis (kubek, puhar) deaurati III marc.—Item. Aurifabro dicto Ilkuser pro labore duorum Cupconum Regalium ex mandatu D. Regis III marc.—Item. Pro paratione Cupconis novi alti Hanussoni Ilkuser Aurifabro D. Regis III marc.—Item. Pro paratione aliorum duorum cubconum Hanussoni Ilcus Aurifabro III marc.—Item Hanuschoni Ylkussar aurifabro pro paratione cornuum (rogi), cubconum et specialiter unius aurei cubconis, cum attentis selle (siodło) consorti ducis Semoviti, et reformatione cinguli (pas), Regine XXXI marc.“ Obstalunki przywiedzione pod r. 1394. „Item. Pro paratione V Scutellarum magnarum (misy), et vasis dicti patenicze D. Regis Hanussoni Ilcusz XV marc.—Item. Fer. 5 prox. Hanus Ilcus aurifabro pro paratione bine scutelle magne, Instrumentorum yoziczky duplicum et puklonum ad attinencias selle D. Regine Ungarie XXV marc.“

2) *Sijnai.* R. 1393. „Item. Aurifabro Sijnai a labore unius Cornu regalis IV marc. et pro reformatione cantri (dzban) magni argentei I marc.“

3) *Rolle.* R. 1393. „Item. Pro paratione duorum Caputiorum Regalium (nakrycie głowy, czapka, czepiec) aurifabro dicto Rolle racione mercede ipsius III marc. III ff.“

4) *Mikołaj Mensterberg czy Munsterberg.* R. 1393. „Item. In sequenti septimana fer. 3 post diem s. Dorothee. Pro paratione

duorum cubconum Regis *Nicolao Munsterberg* aurifabro III marc. III ser.“ Tenze r. 1394: „Item. *Nicolao Munsterberg* aurifabro pro paratione IV dosthuchanorum (roztruchany) et reformatione unius cubconis antiqui IV marc.“

5) *Arnold*. R. 1393. „Item. *Arnoldo* aurifabro pro paratione cornuum, unius cubconis et reformatione Scutellarum Regalium XI marc.“ Tenze r. 1394. „Item *Arnoldo* aurifabro pro paratione unius cubconis et reformatione patencze et cornuum antiquorum Regalium II marc.“

6) *Hanusz* czyli *Janusz Sax*, zapewne *Saxończyk*. R. 1394. „Item. *Hannusz Sax*: aurifabro pro paratione IV cupcon. argenteorum deauratorum IX marc.“

7) *Hanusz* czy *Janusz Sweyn*. R. 1393. „Item. *Hanussoni Sweyn* pro paratione duorum cubconum II marc. III ser.“

8) *Kunczlo*. R. 1394. „Item. *Cunczloni* aurifabro pro paratione duorum cantrorum, puklonum in pretextis sericeis, ad frena et attinentias Sellarum D. Regis et D. Regine Ungarorum et pro paratione feruncze et naconcze ad cingulum gladialem (pas mieczowy) D. Regis, nec non puklonum ad alium cingulum ipsius D. R. XIII marc. XVI scot.“

9) *Jan Swinde*. R. 1394. „Item. *Swinde Johanni* aurifabro pro paratione X scutellarum, duorum flascolorum (flasz) et duorum cubconum, que omnia simul pondebunt IX marc. puri argenti XXX marc.“

10) *Marcin Czech*. R. 1394. „Item. *Martino Bohemo* aurifabro pro paratione duorum cubconum et instrumenta de auro puro ad linguas draconum (języki smocze) V marc. I f.“

11) *Andrzej*. R. 1394. „Item. *Andree* aurifabro pro paratione attinenciarum ad sellam D. Regine de argento deaurato, et reformatione unius cornu. VII scot.“

Do powyższych z téj epoki złotników, przypada jeden jeszcze w inném równoczesném źródle natrafiony, w księdze podobnie rachunkowej „*Regestrum Distribute Cracoviensis D. Cristini Canonici Cracov. 1393—1395.*“

12) *Mikołaj Klaw*s. „*Nicolao dicto Claws* aurifabro, in Castello Castri laboranti metquarto.“

Otóż co o rozwoju sztuk w kraju naszym za króla Jagielly w tak krótkim zakresie czasu, bo w ciągu niespełna dwóch lat tylko, wysledzić się dało z owego arcyważnego dokumentu rachunków podskarbiowskich królewskiej szkatuły. Przybywają ztąd nowe dowo-

dy, jak dalece sztuki w dawnéj Polsce od wieków już odległych upowszechnione i znamienicie uprawiane bywały. Nie może to już dziś ulegać najmniejszemu zaprzeczeniu, a wątpić o tém mogłaby jeszcze tylko szczególna chyba obca niechęć, lekkomyślność, czy też gruba rzeczy dziejowych niewiadomość. Nie idzie przecież za tém, że i my wiemy już o tém wszystko: bardzo wiele pozostaje nam do odkrycia, bo dzieje sztuki przeszłości krajowej z zapomnienia odgrzebywać dziś przychodzi, a pokrywa je po większej części prochami wieków obciążony całun grobowy. Śledząc dalej troskliwie pomniki i wszelkie zabytki czasów ubiegłych, zdobędą się nowe wiadomości, zasoby, odszukają same sztuk najcenniejsze może twory.

*E. Rastawiecki.*

*Regestra wydatków królewskich w Krakowie i w okolicznych zamkach, z końca XIV (1388 — 1395) i początku XV wieku (1403—1417).*

W regestrach tych przedstawia się nader szczegółowy i ciekawy obraz domowego życia przodków naszych. Znajdujemy w nich:

1) Wzmianki o rozmaitych, często nieznanym wydarzeniach; i szczegóły z podróży króla i królowych, i pobytu ich w zamkach około Krakowa.

2) Wymienione osoby składające dwór królewski, lub mające jakąkolwiek styczność z dworem.

3) Szczegóły o zbrojach i porządkach wojennych.

4) O koniach, powozach i porządkach stajennych.

5) O sztuce złotniczej, i o innych rzemiosłach w kraju.

6) Cokolwiek o malarstwie.

7) O muzyce ówczesnej, złożonej z *flecistów* (*fistulatores*), z *trębaczy* (*tubicinatores*), z *lutnistów* (*citariste*), i *bębniarzy* (*timpaniste*).

O malarstwie, muzyce i złotnictwie dał wiadomość baron Rastawiecki w powyższym rozumowanym artykule.

8) O ubiorach, zwłaszcza męzkich, i rozmaitych przedmiotach i porządkach do ubrania służących. Król Władysław Jagiełło nosił się wprawdzie tylko w czarnym i w szarym kolorze, ale używał mnóstwo sukni rozmaitego kroju.

9) O kuchni, artykułach żywności, korzennych przyprawach, ziołach, napojach, oraz sprzętach kuchennych i domowych.

10) O sposobie życia, częstowaniu się wzajemném, zwyczajach dworskich. Król pościł o chlebie i o wodzie co piątek; trzymał wiele Rusinów i Litwinów przy dworze, zwłaszcza przy koniach, sokolach i psach myśliwych.

11) Ceny wszystkiego wyrachowane na różne monety, i wzajemny stosunek tych monet i tych cen do siebie.

12) Dość liczny zbiór *słów polskich z pisownią XIVgo wieku*, z których ułożyłem słowniczek.

Sądzę zatem, że wydrukowanie wyciągów z tych regestrów po łacinie, wraz z tłumaczeniem polskiem i objaśnieniami, posłuży wielce do obeznania się z tak odległą epoką dziejów naszych; zwłaszcza, że możemy dodać do tego kilka listów w ruskiem narzeczu do Władysława Jagiełły pisanych, i inne dokumenta oryginalne dotyczące tegoż króla.

Pisałem w Falentach,  
d. 10 sierpnia 1852 r.

*Alexander Przezdziecki.*



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Krajowe obrazki i zarysy, skreślił Leon Kunicki. Warszawa. Nakład księgarni Zawadzkiego i Węckiego. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1852. W 12ce. Str. 227.*

Zdaliśmy już sprawę z pierwszego dziełka p. Kunickiego: *Dwór i dworki*; przychodzi nam mówić o nowym utworze p. n.: *Krajowe obrazki i zarysy*.

Tło, na którym maluje swoje obrazki p. Kunicki i kreśli zarysy, jest stare nasze Podlasie, a głównie nadbużne okolice. W szczupłych ramach zawiera je zwykle, i ze starannością, jak malarz miniatur, wykończa.

Każda postać, która z pod pióra młodego pisarza występuje jest brana z życia, i dlatego ma w sobie tyle prawdy, tyle właściwej cechy, że nietylko ujmuje dorazu czytelnika, ale zarazem i przywiązuje do siebie. Postaci te sąto już figury ludowe, jak Dyak, Daniłko flis, Stary sługa, już zbliżone do ludu lub należące do ziemiańskich dworów. Jak przedstawione postaci pełne są prawdy, tak i obrazki rysowane z natury. Jakżeżto piękne wybrzeża nad Bugiem, gdy śniegi stopnieją, a lody pokrywające rzekę, „poblizkie jeziora i rzeczki ujdą gdzieś daleko, pozostawiawszy powierzchnie wód czyste jak zwierciadło; gdy wierzby i topole pierwsze zielone zaczną puszczać pączki, i świeżą, czystą woń rozsiewać po nadwodnych brzegach.” Po tej rzece galary i tratwy spływają, pluskając drygawkami; noclegują na brzegu i ogniska palą wesołe flisaki. Po wybrzeżach Bugu rozrzucone wioski, i w nichto znajduje zasoby p. Kunicki do swych zarysów: czy opowiada smutne dzieje życia Daniłka flisa, czy podaje rzewny wizerunek *Dyaka*, który do najpiękniejszych w tym rodzaju utworów należy, czy nam w zarysie daje kilka obrazków z pożycia domowego we dworkach ekonomskich, które mogłyby posłużyć do skreślenia obszerniej powieści. Nie znajdzie tu czytelnik żadnych dramatycznych wypadków, treści powieściowej intrygowej, ani zdarzeń zadziwiających osobliwością swoją: bo tu prosty wiejski żywot w różnych zmianach malowany. Ludowe postaci bierze p. Kunicki z mieszkańców nadbużnych ruskiego plemienia, a tak ściśle językiem i oby-

czajem splecionych z naszym, jako najwięcej pobratymcze sobie. Podlasie to, czyli Podlasze nasze dawne, od wieków osiadłe ruskim rodem, którego język w istocie swojej spolszczał, i stanowi jakby ogniwo pośrednie między narzeczem ukraińskim a polskim.

Oto *prażnik* mamy we wsi jednej czyli odpust; „a nadzieją jego cieszyły się po siółach okolicznych *mołodyce*, bo będą się mogły stroić, kupować paciorki, obrazki i *mentaliki* w kramach, umyślnie w ten dzień z miasteczka przybyłych i rozstawionych, i potańczyć z parobkami w karczmie. Cieszyli się gospodarze i *baby*, bo ochoczej przy półkwatku wódki w karczmie będą się mogli nagadać z licznie zebranymi z sąsiednich wsi kumami i krewnami. Kłopotał się ksiądz proboszcz, przygotowaniem na przyjęcie licznych spodziewanych księży, sąsiadów i gości. Pocił się dyak cerkiewny, przystrojeniem i oczyszczeniem zawczasu cerkiewki. Z upragnieniem wyglądały *prażnika* dziady i baby żebrzące, miejscowej i sąsiednich wiosek, gdzie wywodząc rozmaite pieśni, sówitęj spodziewać się mogli jałmużny. A oto, od samego prawie wschodu słońca po drogach wiodących z rozmaitych stron do wsi, ciągną gromady pobożnych. Gospodarze i parobcy w dużych czapkach baranich, w nowych sukmanach i butach; baby owinięte w świeże, białe *rańtuchy*, z małymi dziećmi na rękach; *mołodyce* w białych koszulach z *życzką* i paciorkami u szyi, w pstrych chustkach na głowach, idące bosą, a niosąc *czerewyki* z życzkowemi kokardami w rękę, które dopiero przed samą włożą cerkwią: słowem każdy w najlepszym o ile być może odzieniu, spieszy w stronę cerkiewki, której dzwony bezustannie o rozpoczęciu nabożeństwa gloszą.”

„Przed cerkwią cały ruch, całe życie objawia się *prażnika*. Przy drodze około cmentarza otaczającego cerkiew kilka kramów, szafasów płótnem nakrytych, z medalionikami, krzyżkami, bohomazami, piszczałkami i t. p. wabią mnóstwo ciekawych i kupujących. Niemniejszy także odbył mają obwarzanki przez żyda lub żydówkę z poblizkiego miasteczka sprzedawane; garnki, sita i inne gospodarskie narzędzia, a nawet sery i mleko z miejscowego lub sąsiedniego dworu wysłane, które wystrojona w jaskrawe kokardy szafarka, siedząc na wysokim wozie, spienięża. Dalej gwar targujących i *dziwujących* się, odgłos piszczałek już kupionych lub dopiero probowanych, śpiewy i prośby dziadów, pieśni z wnętrza cerkiewki wychodzące, i odgłos dzwonów zlewają się w jeden ogromny chaos, rozchodzący się daleko po błoniach i polach.”

„W tej ogólnej panoramie, na szczegółowe sceny warto zwrócić uwagę: oto, przy tym kramie młody i rażny parobek targuje sznurek niebieskich paciorków: po wielu obracaniach i obejrzeniach na wszystkie strony tego sznurka, po długim skrobaniu się w głowę, gdy wreszcie targ został dobity, odwrócił się i zawołał: *Maryno! czujesz?* I świeża choć ogorzałej twarzy dziewczucha, przybliżyła się z tłumu do niego i zapytała: „*czoho chcesz?*”—„*Na tobi hostyńcia, Maryno*” odpowiedział parobek, i oddał jej podarek z giestem pełnym prostoty, dalekim od gracyi naszych salonowych narzeczonych. „*Boh wam zapłać*” odpowiada z rodzajem pewnego wstydu dziewczyna, biorąc jedną ręką dar narzeczonego, a drugą zasłaniając sobie oczy”.

Daliśmy tu mały obrazek prawnika wiejskiego, skreślony słowami autora, aby czytelnik mógł poznać, jak badawczo wpatrywać się on umiał i chwycić najdrobniejsze odcienia do zarysów swoich. To też z tą troskliwością miniaturzysty p. Kunicki wykończy każdy swój obrazek, i w zbyt nieraz szczupłe ramki, przedmiot godny rozmiaru większego, skupia. I to w pewnym względzie mamy za wadę w naszym młodym pracowniku, bo niezawsze jak należy postać wybraną rysuje. Nie jesteśmy zwolennikami ani zbyt gwałtowności, ani owój umiejętności rozciągania przedmiotu drobnego na liczne tomy; ale wymagamy, aby przedmiot wybrany był należycie oddany i wyczerpany. Niezawsze jednak umie go wyczerpnąć p. Kunicki, chociaż mu niebraknie ani na zbadaniu go, ani na oddaniu artystyczném.

*Dyak* to obrazek cudny, wykończony jak *Danilko flis*, *Stary sługa*, *Rezydent domowy*, i *Salony wiejskie*. *Krewni* i *Stare panny*, to dopióro lekkie szkice, jakby materiały wstępne do obrazku, a nie mogące wypełnić żadnego obrazka. *Panna ekonomówna*, to powiastka największego rozmiaru w całym zbiorze p. Kunickiego, ale nie powiemy, że utwór ten trzyma przed innymi pierwszeństwo. Jeżeli wiele ustępów odznacza się świeżością pomysłu, odmalowaniem zręcznym i opracowaniem pięknych postaci ludowych; to nie ma tej całości artystycznej, jaką widzimy w *Dyaku* i innych.

Mała ta książeczka musi zwrócić uwagę prawdziwie miłującego o czysty język i literaturę; bo jeżeli z jednej strony nadaje jej niepoślednią wartość treść sama, z życia narodowego pochwycona, to z drugiej i obrobienie przedmiotów artystyczne, niewiele pozostawia do życzenia, a język czysty, obrazowy, zwięzły, dodaje więcéj jeszcze barwy i uroku.

Życzyć należy, aby te *Krajowe obrazki* i *zarysy* mogły być zapowiedzią niezwodną prac dalszych, w obszerniejszym zawodzie p. Kunickiego.

K. W. W.





# ROZMAITOŚCI.

---

## WSPOMNIENIA KONCERTOWE.

*Kellermann.—Panna Barbier-Christiani.—Mahler.—Servais.—Kosowski.—Biernacki.—Serwaczyński.—Ludwika Bärwolf.—Krzyżanowski.—Volange.—Panny Dulcken.—Tropiański.—Małgocki.—Libera me Domine Quattrini'ego.—Święty Boże Dobrzyńskiego.—Troschel.—Panna Danielewicz.*

**K**tóreś z pism peryodycznych dziennych w Warszawie wychodzących donosiło niedawno, że w przeszłym roku było w naszym mieście dziewiętnaście koncertów. Kto wie, jak trudno u nas przychodzi dać koncert choćby dlatego tylko, że trudno o słuchaczy, a raczej o kupujących bilety wejścia; ten zrozumie ile prac, zachodów, mozołów, a w końcu zawodów dziewiętnaście koncertów wywołać musiało! Ale mniejsza o to: nie bez mozołu nie przychodzi, a więc nietylko danie koncertu, ale i opisanie go nawet. To gorsze, że niepotrzeba i roku, by się pamięć koncertu zatarła. Dostyc miesiąca, dni kilku nawet, by zapomnieć o istocie, która przejęta miłością sztuki i koniecznością obrania sobie zawodu, chciała jedno z drugim połączyć: jeła się muzyki, a napracowawszy się nad nią jaki lat dziesiątek, znajduje często najzuppełniejszy swych nadziei *zawód*, —została zapomniana. Dopóki się koncert agituje, objawia się jakiś ruch w pewnych kółkach towarzystwa, w pewnych koteryach; obawy, nadzieje, życzenia, zabiegi, niechęci, przedwczesne sądy, wszystko to w grę wchodzi. I jeszcze po koncercie trochę pogadanki i uwag nad sposobem prezentowania się publiczności, parę wniosków o przyszłości muzycznej koncertanta, czasem kategoryczny wyrok w tém lub owém piśmie wywołujący zwykle niezadowolenie jednych, ziewnięcie obojętności drugich: oto co z większej części, z wszystkich niemal koncertów zostaje. A i to nakoniec gdzieś przepadnie do tego stopnia, że wiele osób przytomnych koncertowi nie wie po niej jakim czasie, czy on nawet miał miejsce. To rzecz naturalna; wrażenia się zacierają wzajemnie: które silniejsze, to dłużej zostanie. Więc rzeczą jest koncertanta żeby o tém pomyślał, bo sam nie zapomni, choćby chciał nawet. Dla niego każde wystąpienie pu-

bliczne ma wagę ery w jego życiu, bo odliczywszy długie lata najczęściej mozolnych przygotowań, kosztujących nielada pracę, wytrwałość; odliczywszy zabiegi i kłopoty przedkoncertowe, (których jednak baszowie muzyczni nie doświadczają już nakoniec), pokaże się jeszcze, że w chwili decydującej wołałby niejeden rzucić się na armaty, że wołałby się pod ziemię schować, jak się mówi, niż przejść drewnianą lub płócienną granicę, która go od sali koncertowej oddziela. Sala pełna dodaje mu otuchy; zupełnie pusta odważny gniew zapala; ale sala z rzadka publicznością posiana—przeraża: półśrodki zawsze mało warte. Więc nim zmuszony afiszem granicę owę przekroczy, zachwieje się kilka razy, wysunie stopę i cofnie ją znowu, jak musiał robić Cezar, gdy nad Rubikonem stanął. Ale Cezar spokojnie wszedł do wiekiściego miasta (szczęście jego, że to nie w naszych czasach, boby mu się może nie udało), a koncertant! Naraz w niego tysiąc ócz strzela, a jeśli go puklerz okłasków w tej chwili nie osłoni, zginął! tak mu się przynajmniej zdaje. To też każdy mniej więcej stara się o przyjazne i silne dłonie. Czasem i to niewiele pomaga, a rotowy ogień spojrzeń ciekawych, obojętnych, czasem zazdrosnych, jakby było o co, ciągle go razi. Ach przez litość przesłońcie go ścianą choćby tak wątlą jak pajęczyna, rzadką jak sieć rybacka lub koronka damska, wątlą jak zasługa modnych kompozytorów, pół życia za nią odstąpić gotów i jeszcze grać wam będzie. Ale darmo: widzieć chce każdy, to do słuchania konieczne, a nieraz ciekawsze; więc patrzą, jak zbierając wszystkie siły, nadrabiając miną biedny koncertant ima się czynności, którą zapowiedział; czynności, powtarzamy, bo cóż w takim razie więcej być może? A jak Cezar wysyłał wojska, by mordowały przeciwników; tak nieraz koncertant uważając wszystkich za wrogów, wysyła na nich tłumy tonów, sięgając niemi do najodleglejszych sali zakątów, albo się mści na biednej muzyce, nową rzeź niewiniątek wyprawiając. Mniej mściwy, a więcej nad sobą umiejący panować charakter, przez innego rodzaju próby przechodzi. Przymotni okiem i uchem śledzą każdy ruch, każdą nitkę misterniej tkanki kompozycją zwaną, chłoną życie i uczucie z niej wiejące, a ciągle narzekają że mało; niepomni, że życie całe prawie zbiegło się do głowy, by ją ochronić przed naciskiem kłopotów chwili, a uczucie podobne do owiej rośliny, zamykającej ukryte w swym kielichu skarby za zbliżeniem się ciekawego. Zaiste, najfałszywszém położeniem dla wielu muzyków jest chwila, w której im własną grą nadstawić przyjdzie; inaczejby ich osądzono gdyby ich podsłuchano samotnych w objęciu sztuki, albo gdy w przyjacielskiem nieliczném kółku oddać się mogą myśli swobodnie bujającej. To też żeby ją przywołać, pozbyć się przymusu, różnie różni do koncertu się gotują; ten jagodą znaną ludziom od czasów Noego (jeżeli nie pierwój jeszcze) męstwo w sobie krzepi; ten cztery żywioły Szyllera na pomoc przyzywa (Punschlied), ów zimną wodą, krew zimną utrzymuje i t. d. A każdy mniej więcej podobny do owego pajazzo Nep. Kamińskiego, który tańczył, hejsa! wykrzykiwał i silił się na koncepta, by zarobić na grosz, by miał za co umierającą żonę pochować i dzieci swoje od głodnej wyratować śmierci. Bo bieda i rozpacz umieją maskę przywdziać; znałem matkę, co zmarłe niemowlę swoje pod jedwabną wynosiła salopą, by je komu do pogrzebania podrzucić.—Ale mówmy o czémś

weselszém, o muzyce. Nieprawdaż? kto gra, ten szczęśliwy! A po wszystkiém co było komedią, wzrosłą na trosce i westchnieniach jak na drożdżach, czytamy, że w Warszawie tyle a tyle koncertów było, z tém samym uczuciem, jak gdybyśmy czytali: zjedzono tyle a tyle wołów. Widać, że rzeczy idą naturalnym trybem; wół musi prawie być zjedzonym: trzeba mu było być czém inszém, to mógłby do jedzących należeć. Kto daje koncerta i liczy na nie, ten prawie musi być zawiedzionym; trzeba mu było należeć do tych, co słuchać są przeznaczeni, toby zyskał słuchając darmo, albo nie słuchając wcale. Ale wszyscy słuchać nie mogą, boby nie mieli kogo; więc koncerta są, były i będą. Szkoda tylko, że koncercisci mogąc się obejść bez ukształcenia, jak im to Kremer w swoich Listach z Krakowa wmawia (a dowody jego silne być muszą, gdy mu tylu uwierzyło); szkoda powtarzamy, że się bez chleba powszedniego obejść nie mogą i nie żyją samém tylko słowem Bożém, choć po większej części tak wyglądają, jakby tém tylko żyli. To téż najczęściej giną strawieni konsumpcją; niekoniecznie tą, która niszcząc chorego, lekarzom i aptekarzom grosza napędza; nie tą, którą urzęda municypalne puszczaają w dzierżawę, bo na jednej i drugiej ten i ów utyc może: ale trawią się własną myślą, palą własnym ogniem, własną niszczeją troską. O niejednym z nich po jakimś czasie powiedzić można to, co poeta o upiorze wyrzekł: co to za człowiek?—umarły! Ale i to rzecz całkiem naturalna! Więc nie ma na co narzekać, tém bardziej, że każdy z nas trawiąc się sam w sobie, innym pożywienia dostarcza i tém więcej, im z większém działą poświęceniem, i, by do muzyki wrócić, im czuliej gra i śpiewa, bo to się znaczy, że się tém serdeczniej innym oddaje. Strasznyto kannibalizm cząstka po cząstce się pożerać, by resztę do jakiegoś tam czasu utrzymać. A takiém wszyscy żyjemy życiem. Niezmierna ilość prac duchowych ginie w jakiejś otchłani, przerabia się i pod nową formą wnikając w tysiączne życia, do nowej pracy; do nowego przerabiania się gotowa staje; istna metempsychoza. Więc jak w naturze materyalnej, tak i w duchowej nie przepada, tylko się przekształca, oddziaływa na siebie, pobudza się wzajemnie i niszczy. Tak poeta natchnąć może malarza, budowniczy snycerza, muzyk recenzenta. Recenzja téż do sztuki należy: tego już dowodzić niepotrzeba, nie każdemu przynajmniej; ta, którą tu spisać zamierzamy będzie pobudką czy zniszczeniem? O to mniejsza, bo jedno i drugie symptomatem jest życia, inną jego formą, a życie niszcząc nawet—buduje, choć i budując—niszczy znowu.

Ale nie o owych dziewiętnastu koncertach mówić mamy, bośmy już o niektórych mówili dobrze przed rokiem (Bibl. War. na luty 1851). Od owej daty wiele upłynęło czasu: nowe wyniosł nazwiska i w otchłani je pograżył; pozwólcie je sobie przypomnieć, rozważyć, jaką kto dań do wspólnego złożył dobra, ile wpłynął na ogólne życie i pojęcia. Zmiana być musi, bo nie stoi. My sami w ostatnim artykule rozprawiając o duchu Bożym, posłannictwie artystów, wielkości sztuki, tu zaczynamy od statystyki i chleba. Brnąc coraz dalej w to arytmetyczne i realne usposobienie, policzmy imiona koncertantów, i by łatwiej do końca trafić, skupiamy ich w gromadki około instrumentów, którym się poświęcali. Otóż z fortepianistów mieliśmy pannę Zofią Duleken, panią Fechner, panów

Krzyżanowskiego, Volange i Mahler; ze skrzypków pp. Serwaczyńskiego, Biernackiego i dziesięcioletnią (jak mówiono) Ludwikę Bärwolf. Panna Izabella Dulcken melofonem nas czarowała, p. Tropiański swój klarnet dał słyszeć; basetę zalecali: panna Barbier-Christiani, pp. Servais, Kosowski, Kellermann. Śpiew najubożej był przedstawiony, nie dlatego jednak, by pani baronowa Rupplin temu winna była, ale dlatego, że żadna śpiewaczka więcej, ni żaden śpiewak do nas nie zawitał, wyjąwszy tych, co zasilić naszą operę włoską przybywali; wiadomo o nich, że to zawsze są *prime donne, primi nomini*, więc o nich nie mówimy, nie mogąc nic zganić. Ale tak polscy jak włoscy artyści opery płci obojga, a nawet kilka amateerek oddawali swe głosy na usługi cierpiącej ludzkości w kilku wielkich instrumentalno-wokalnych koncertach; i gdyby osoby zliczyć, pokazałoby się, że śpiew najszerzej się rozwinął w koncertach danych u nas w czasie, który wspomnieniem niniejszém objąć pragniemy. Za to my tu nad nim rozszerzać się nie myślimy, ani nawet nad wszystkich koncertami poszczególne, bobyśmy cały poszyt biblioteki War. w rekwizycyą zabrali, i brakłoby miejsca na jaki artykuł o brukach lub o sztuce ubierania się dam do twarzy. Byłaby to szkoda, której wyrządzić nie jesteśmy zdolni, przekonani o ścisłym łączeniu się z sobą wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej, i o konieczności ich opracowywania. Bo złe bruki mogą śpiewających na utratę głosu narazić, dlatego, że narażają język (lubo i tak wielu ich wymawia jakby języka nie mieli), a niestosowne lub nie do twarzy ubranie, może śpiewaczkę o *fiasco* przyprawić. Uwalniamy się też z góry od cytowania dat wszystkich: to rzecz gazet i kalendarzy, a chcielibyśmy wyżej się podnieść; nadto, idąc za nabierającą wziętości w dziedzinie nauk historycznych metodą nową, pozwolimy sobie zacząć od ostatnich koncertów rzecz naszą, a więc od wiolonczelisty Kellermana, nie obowiązując się jednak pilnować porządku. Fantazyja przecieć modna jest dzisiaj w świecie muzykalnym.

I oto o Kellermanie nie mamy co powiedzieć, a przynajmniej mało co więcej nad to, cośmy w ostatniém naszym wspomnieniu mówili. Najważniejszém z nowych spostrzeżeń jest to, że p. Kellerman pisze się pierwszym wiolonczelistą króla duńskiego; to nas wprowadza na domysł o istnieniu jakiejś hierarchiczności między wiolonczelistami duńskimi (snadź wiele przywiązują ludzie wartości do sztuki, skoro artystów sortują). Że p. Kellerman jest pierwszym, można mu tego powinszować; zawsze to coś znaczy, choć nietyle co pierwszy minister: lubo i do tego przyjść może, jak się już w Hiszpanii zdarzyło kiedyś gitarzyście. Panna Barbier-Christiani wiolonczelistka dworu duńskiego... Jakto? więc w Danii żadnej nie ma pierwszej wiolonczelli w téj chwili? boć i panna Christiani pierwszą być musi, jak nią istotnie być godna, choćby drugiej nie było; co tém prawdopodobniejsze, że wiolonczelistek na świecie bardzo mało, a tak znakomitych pewnie mniej jeszcze. Ton ma piękny, a nawet silny; intonacyą w ogóle czystą, mechanizmu cokolwiek mniej niż potrzeba jój niekiedy, a raczej niż sama od siebie wymaga, a do tego prześlizną basetę. Gdy jój każe w swém imieniu przemawiać, to miło posłuchać: i pięknego śpiewu i rozlicznych akcentów, wyjąwszy w rytmie mazura, a nawet niektórych biegników; a wszędzie dojrzyć można pewną samodzielność, tę nie-

omylną cechę prawdziwych artystów. Samodzielność ta lubi się objawiać niespodziewanemi rzutami fantazyi niechętniej więzom, jakie jój fantazyja kompozytora nafzucić pragnie, wybuchem gwałtownego smyczkowania, lub nagłą zmianą w szybkości ruchu muzycznego. Już to takamania wirtuozów; zawsze się im zdaje, że autor nie pojmował swego dzieła dokładnie, i biorą na siebie pokazanie jego piękności, ale pod warunkiem, że je przerobią, pokurczą, rozwloką i z autora zrobią swego najniższego sługę. Ale cóż robić! ręka rękę myje, noga nogę wspiera; panna Christiani pokazała nam nieznanego u nas a znakomitego kompozytora Offenbacha (Modlitwa i Bolero), więc Offenbach musiał choć w części ponieść kosztą.

Razem z panną Chr. występował p. Mahler fortepianista, „członek cesarskiego konserwatorium w Wiedniu”. Znów jakaś godność czy tytuł, ale tak niejasny, że i ucznia znaczyć może, choć ucznia nie znaczy; bo widocznie p. Mahler o własnej stąpa sile w świecie muzycznym, co do wykonania przynajmniej, lubo nie tak ona wielka, by go mistrzem zrobiła. Odbierzcie mu kilka biegników ulubionych, odbierzcie melancholią ogólny koloryt gry jego, zastępujący bogate życiem uczucie: a z mechanizmu nic podobno nie zostanie godnego uwagi, z cieniowania nic pociągającego. Unosić się więc nie ma nad czém, ale słuchać można z przyjemnością, mianowicie gdy na dźwięcznym fortepianie każe *jaskółkom* lotném skrzydłem rozcinać powietrze, albo huczyć *burzy*. Wprawdzie łatwo się pomylić i wziąć jedno za drugie: tak podobne do siebie obie te kompozycye, a z wieloma innemi do znanego utworu Willmorsa: *Sehnsucht am Meere*. Z kompozycyj pana Mahler wspominamy jeszcze duet na fortepian i wiolonczellę, wykonany przez autora i pannę Christiani, z którą na kontraktach wileńskich i warszawskich losy koncertowe dzielił. Duet to wcale zgrabny, osnowany na naszej muzyce domowej, i tém miłszy, że nam przypomniał zapomniane już poniekąd polonezy Michała Ogińskiego. Zapomniane, mówimy, mimo nowój ich edycyi wydanej niedawno w Petersburgu, ozdobionój jeszcze winiętą, przedstawiającą tańczących poloneza, ale niesłychanie drogiój, bo złp. dwadzieścia; to zawiele, mianowicie obok niewyczerpanego jeszcze wydania wiedeńskiego, trzy razy tańszego. Ale wróćmy do duetu pana Mahler. Wszystko szło jak najlepiej, dopóki nie nadeszły krakowiak i mazur; tylko po znanych motywach i zapowiedzeniu domyśleć się ich mogli słuchacze, bo krakowiak wyszedł na angiela, a mazur zrazu jaki taki, od połowy jał zmykać jakby go kto gonił i skrył się nareszcie w końcowe duetu formuły, jakby się wstydził czego; to pewnie ze złości, że tak nieosobliwie się z nim obchodzą. Już to zwykle cudzoziemcy nawiedzając nas, chcą nam okazać, że uznają naszą narodowość, jakbyśmy tego potrzebowali, a może dworują nam tylko. Bóg ich tam wie! dosyć, że nam to śpięwają (a jakim językiem), to grają najczęściej mazura (szczęście, że skakać nie każą), a my się z tego cieszymy, jakbyśmy go lepiej od nich zagrać lub zaśpiewać nie umieli. Boże odpuść i zapłać im za dobre chęci jeśli je mają!

Mówiliśmy wyżej, że miło było postuchać nawet niektórych biegników panny Christiani, a więc nie wszystkich. Cóż dziwnego? to się nawet i Kellermanowi, chociaż pierwszemu wiolonczeliście dworu duńskiego

go niezawsze udaje. Jeden tylko Servais piérwszy wiolonczelista króla belgijskiego mistrzem się okazuje w pokonywaniu wszelkiego rodzaju trudności. Mistrzostwo gry jego nigdy niezachwiane pod względem mechanicznym, daje mu swobodę niezmierną w pojmovaniu wykonywanych kompozycyji; a że to są najczęściej własne jego utwory, zawsze zgrabnie utoczone, przyzwocie prowadzoną przygrywką zręcznie podparte i wykazujące doskonałą znajomość instrumentu głównego: więc niepodobna, by zadowolony słuchacz nie powiedział sobie: Servais, to piérwszy z piérwszych wiolonczelistów. Ma jednak i on swoje ujemną stronę wedle naszego widzenia. Niezmierna łatwość z jaką pokonywa największe trudności, chłodnym go nieco robi, zbyt panem samego siebie; a ztąd przebija się w grze jego pewne lekceważenie nie słuchaczów, ale rzeczy wykonywanych, muzyki nawet, że tak powiemy; nie go prawie nie uniesie, nie nie rozplómieni. Widać, praca jego była tak niezmierna i sumienna i taką zdolnością wrodzoną poparta, że znikła zupełnie, zostawiając miejsce prostocie i igraszce, w dobroduszną nieraz przechodzącą. Dodajcie do tego uczucie i melancholiczny ton basetli, a będzie z tego lekka humorystyka, rys przeważny kompozycyji Servais'go, któregośmy dotąd poznali, rys uszlachetniony chwilami tkliwości, co właśnie humorystykę dokładniejszą czyni. Więcej łez nie zaszkodziłoby jój wcale.

Kto chciałby niemi słuchaczów swoich zatopić, to Kossowski Samuel, ostatni wiolonczelista o którym tym razem mówić mamy, którego ktoś nazwał Servais'm polskim, a drugi i trzeci ktoś powtórzył, a wszyscy ktosie nie pojmovali, że jeśli Kossowski ma jakie zalety, to zapewne nie z tego rodzaju, które Servais'go wywyższają. Od ktosów rzecz do gazet się dostała, a jakże się dziwić naszym gazetom, które dla chwały narodowej i pożytku duchowego ziomków powtarzały to, co urzędowe i nieurzędowe (1) gazety zagraniczne niemieckie i słowiańskie krzyczały, a co się da streścić w tych kilku wyrazach: nie ma jak Kossowski! I przybył nareszcie długo wyglądany i dał dwa koncerty. Na piérwszym pełna

(1) To jest te, które się wyłącznie muzyką zajmują, i te, które niektórymi tylko jój symptomatami feuilleton swój zasilają. Że w tych ostatnich nie zawsze sprawozdania muzyczne powierzane bywają ludziom specjalnym, dowodzi wszechstronności i emancypacji dziennikarstwa; że zaś istotnej, treściwej, pouczającej krytyki szukać tam nie można, dowodzić niepotrzeba. Przysnać też należy, że i same te pisma do tego nie mają pretensyi, i mówią dlatego tylko, że im mówić wypada. Że jednak i specjalnym pismom przez specjalnych ludzi redagowanym, niezawsze ufać można, przekonał się każdy, kto je czytywał czas jakiś, i miał sposobność sąd swój do ich sądu przymierzyć. Gdy chodzi o rzeczy ważne i znakomite dzieła, znajdują się ludzie wytrawni z głębokim poglądem, erudycją stosowną; ale takie artykuły jak i powód do nich rzadkie bywają. Słynęły z nich niegdyś Cäcylija w Moguncyi pod redakcyą Webera, berlińska, gdy przez kilka lat pod kierunkiem była Marxa, ale nad wszystkie lipska *Allgemeine musikalische Zeitung*, przez lat pięćdziesiąt przez firmę Breitkopfa i Härtla wydawana. Ustała i ta w 1848 r.: tak polityka głowę zawróciła Niemcom słynnym z muzykalności i zamiłowania w teoryi i badaniu. Z francuzkich zasług położyło niegdyś *Revue et gazette musicale* Fétisa, ale po przeniesieniu się jego na dyrektora konserwatorium w Bruxelli sfraciło wiele, choć od czasu do czasu przez byłego redaktora i kilku zdolnych ludzi zasilane. W ogóle mówiąc o całej literaturze peryodyczno-muzycznej za granicą, powiedzieć można, że niemiecka ciężka, sucha, drobiazgową, ale po większej części bezstronna. Francuzka lekka, ele-

sala teatralna zabrzmiała oklaskiem powitania, tak powszechnym i przeciągłym, jakby każda dłoń z zapalem w drugą bijąca, do rodzzonego brata artysty należała. Tak też było w owój chwili; albożto nie ma węzłów równie silnie jak krew ludzi łączących, iskier świętych, co w okamgnieniu wszystkie serca obiegną i poruszą? Albożto człowiek nie jest pierwój obywatelem niż artystą? Więc te poklaski, to dowód serdecznej sympaty, wiary w gieniusz domowy, żądza zbudzenia słodkich marzeń, czasem smutnych pamiątek. Kogo przyjął taki poklask, jaki się tylko ludziom zasłużonym i ustalonój wziętości zwykł dostawać, ten bez zasług być nie może, choćby chwilowych, przechodnich, może ze sztuką nie wspólnego niemających, albo bardzo mało. Pamięć takiego przyjęcia powinna w sercu przyjmowanego wzbudzić myśli i dążności, gdyby można przypuścić, że ich nie miał jeszcze, bo niezmierna odpowiedzialność ciąży na nim zaczęła. Kto ufa swój zastudze, szczęśliwy w takiój chwili! ale biada mu, jeśli natychmiast dowieść jój nie potrafi. Udałoż się to Kossowskiemu?

Nazajutrz po koncercie spotkało się dwóch ludzi. Jednemu z nich naiwni od czasu do czasu pragnęli narzucić katedrę krytyki muzycznej, dlatego, że śmiał głośno zdanie swoje wypowiadać nie oglądając się na nikogo, ani na siebie nawet, i że mu się zdawało, że pojął różnicę między *f* i *fis*. Drugi pracował zupełnie w innój gałęzi, ale że ładnie kiedyś tańczył (co mu podobno karierę zrobiło), a tańczy się z muzyką, i posiadał wielonczellę o którój mówił, że ją chłop robił, ale że za nią nie przyjąłby najlepszej basetli Servais'go, więc mu się zdawało, że się zna na muzyce, szczególniej gdy o basetle chodzi. A niezłe widać miał serce, bo się tamtemu pierwszemu na szyję rzucił i składając dłonie jak do modlitwy, zawołał: „A niechże Duch Święty zstąpi na ciebie, byś nam godnie opisał cośmy czuli wczoraj na koncercie, bom widział, żeś i ty bił *bravo!* I pobiegł dalej nie czekając odpowiedzi, tak jój był pewny. A więc i drugi poszedł w swoją drogę. Niebawem ktoś go ciągnie za poję: „A co Kossowski? *zmiłuj się!* zbiczuż go *bez miłosierdzia!* a też to straszna rzecz! nieprawdaz?... Widziałem, jakeś się wczoraj złościł!” Hmhu! — była odpowiedź nagabanego, bo tamten biegł na jakiś kwartet, jak mówił i pilną mu było, boby nie miał kto wielonczeliście kart przewracać i kiwać nad nim głową w takt; grał przytém na harmonijce, którą od czasu panny Dulcken melofonem nazywał, i biegły był w wydobywaniu tonów z grzebienia, które żona jego passyami lubiła. Zafrasował się biédny recenzent i spotkawszy nas na ulicy, zwierzył się kłopotu swego, a my czytelniku, tobie.

Dla nas z tego tyle korzyści, że to nas uwalnia już od bliższego wchodzenia w zasługę pana Kossowskiego; dwoiste owo spotkanie odbiciem

gancka, grzeczna, choć niekiedy w poważniejszym artykule przyznaje wartość tego ballastu pisma. Że się do purytanizmu muzycznego nie skłoni nigdy duch narodu i literatury bieżącój, zaręcza; zalecają np. w piśmie muzyczném okulary od popiołu i dymu na kolejach żelaznych chroniące, bo wzrok do muzyki potrzebny! Sądy w pismach ulotnych polskich, niech charakteryzuje kto chce. Specjalnych dziś nie ma, choć dawniej przy mniejsz rozszerzoném wychowaniu muzyczném, wychodziły pod redakcyą K. Kurpińskiego, a potem Józefa Cichockiego.

jest zdań sprzecznych pod tym względem. Tak samo zupełnie było przed siedmioma laty, gdy Kossowski już po raz drugi z Berlina do nas zawitał; więc aby się nie powtarzać, pozwalamy sobie odesłać ciekawych do tego, cośmy wówczas napisali (Bibl. Warsz. 1845, t. I). Że jednak coś się przez ten czas zmienić musiało, więc i my kilka wyrazów dodamy. W wykonaniu, p. K. zyskał cokolwiek na czystości intonacji: pewniejsza jest teraz; w mechanizmie taką odrobinę, że nie ma o czém mówić. Jestto widoczne, że do téj strony techniki instrumentu nie ma usposobienia z natury, boć musiał pracować. Do efektów, jakie lubił dawniej z basetli wydobywać, dodał jeszcze jeden, ale nie estetyczniejszy od niektórych dawniejszych. Nazwać go nie umiemy, ale przyrównawszy go do brzęczenia owadów skrzydlatych, może go przypomnimy tym, którzy słyszeli, i opiszemy tym, którzy go nie znają. W śpiewie, za pomocą którego dawniej podbijał serca, bodaj czy p. K. nie stracił, bo przesadza tkliwością: zbył się wszelkiego jędrności pozor, jakby mniemał, że wiolonczella tylko łzawe akcenta wydać umie, a każdy śpiew koniecznie *adagio* być musi. W cóż się zamienił dzielny Szopena mazur (dzieło 6te nr. 1szy), w co krakowiak gracki w wieńcu melodij słowiańskich?

Niech p. K. posłucha dobrej rady, jeśli wyrazy nasze do niego doleca, i przestanie przekreślać charakter melodij, bo charakter właściwy mieć muszą, więc niech wszystkim jednego nie narzuca. Niech pomni, że im melodia rozleglejsza, tém więcej urozmaicenia potrzebuje, bo ztąd właśnie płynie ów charakter ze sprzeczności w częściach uwydatnienie zyskujący. Niech przestanie być jednostronnym i odda się rodzajom muzyki za klasyczne uznany, a mianowicie autorów, którzy rozumieli dobrze wiolonczellę; to mu umocni smyczek i przekona go, że rozmaitość akcentu siłę jego stanowi; to mu wreszcie mechanizm wszechstronny wyrobić musi. Niech porzuci czeże igraszki smyczkiem, dobre dla ciemnej gawiedzi, nie publiczności oświeconej, pragnącej prawdy uczucia. Igraszki te stosownie zażyte, mogą jednak zająć np. w karnawale weneckim, który tym razem postny nam się cokolwiek zdawał, może po Kątskim i Kellermanie. Nadto niech p. K. wyrzeczy się swych kompozycij dotychczasowych, niech przyszłe staranniej wypracowywa, nada im formę, rozmaitość ducha; a gdy zechce nam spleść jaki wieńiec melodij, bez zadania sobie pracy w jego układzie: niechże go przynajmniej kompozycją nie nazywa, ale poprostu pot-pourri;—to skromniej i prawdziwiej.

Tak zrobił p. Nikodem Biernacki, gdy nam dla urozmaicenia bogatego programem koncertu, zagrał „Pot-pourri z pieśni gminnych”. Wielu przytomnych piérwszy raz wówczas słyszało kołomyjkę i to wykonaną z zapalem, jaki się ma zwykle dla pieśni, która nam w dzieciństwie nianęczyła, bo p. B. jest Galicyanin rodem. Dziwna rzecz! w kołomyjce nawet skrzypce rosły w siłę, której im w innych utworach brakło. A przecież mimo braku téj siły, jakże wysoko podnosił się p. B. duchem i mechanizmem, wykonywając np. koncert Spohra i Sen Artôtá! Dwa te ostatnie numera jego koncertu, zyskały mu wszystkie głosy, jeśli poprzednio wszystkich jeszcze nie pozyskał. Spohr pokazał się głębokim, szerokim, szlachetnym, poważnym mistrzem, jakim jest właśnie w kompozycyi i wykonaniu; Artôt, któregośmy krótko przed śmiercią jego słyszeli wykonywa-



jącego utwór, który p. B. także wykonywał, Artôt wskrzeszony został przez naszego ziomka: dzielny, namiętny, tkliwy, fantastyczny! Niepodobna się tu omylić; p. B. jest dziś znakomitym, a będzie wielkim skrzypkiem. Ale mu gwałtem dzielniejszego tonu trzeba, czy też skrzypiec innych (1).

A że mówimy o skrzypkach, nie możemy pominąć p. Serwaczyńskiego, jednego z weteranów szkoły skrzypcowej, który wystąpieniem na korzyść ubogich dowiódł miłości bliźniego i miłości dla sztuki. Szczęśliwy, że prócz rozkoszy artystycznych nic od niej żądać nie potrzebuje, choć ma prawo żyć z kościoła, kto kościołowi służy.

O dziesięcioletniej Ludwice Bärwolf, o której mówią powszechnie że już daleko zaszła na drodze, którą wielcy skrzypkowie chodzić zwykli, nic powiedzieć nie umiemy, bośmy jęj nie słyszeli. Mamy za zasadę unikać koncertów dzieci, gdy do naszych rodaków nie należą, bo w *dzieci-artystów* nie mamy wiary. Nie skutek to uporu, ale przekonania, opartego w części na doświadczeniu, w części na rozumowaniu. A gdy nam mówią, że dziecko gra jak człowiek dojrzały, to sobie myślimy: że to już nie dziecko duchem przynajmniej, jeśli jeszcze laty, i smutno być świadkiem jakiegoś zbłąkania natury. Chyba, że muzyka niczem jest dla ducha, skoro go i dziecko przedrzęźnić może; a to znów nie zgadza się z całym naszym pojęciem o życiu, duchu i sztuce. Więc raczej nie wpływać między Scyllę i Charybdę, niż tu lub tam się rozbić.

Sięgnijmyż teraz pamięcią koncertu p. Ig. Krzyżanowskiego. Ziomek to nasz, Krakowiak rodem, uczeń zrazu tamtejszych nauczycieli, dalej konserwatorium paryzkiego; artysta, który choć nie umiał tego rozgłosić, umiał zwiedzić o własnych siłach najznakomitsze Europy strony, dać się poznać mocą swego talentu i zjednać sobie dobre imię u tych, którzy wiedzą, co się należy prawdziwemu artyście, żyjącemu więcej w sobie i swęj sztuce, niż służącemu jęj manierom i próżności ludzkiej. Więc nieliczne musiało być grono tych, którzy go ocenili, bo tylko częsty rozgłos choćby najsztuczniejszy, choćby najwidoczniej szarlatański, wziętość u nas zjednać może. Że jęj p. K. nie zyskał, niemniej dlatego prawdziwym artystą został, a może czystszy od wielu innych, którzy umieję zabiegać,

(1) Może wreszcie i tych samych, ale *dostrojonych*. Dostroić narzędzie smyczkowe znaczy się części jego tak urządzić, by wszystkie razem złożone, wydawały w drzewie samem tylko pewny ton, który sobie korektorowie za podstawę biorę. Wielu z nich, a więc i skrzypków uważają to za chimere, ale tak nie jest, jak dowodzą badania szczegółowe przez uczonych francuzkich (np. Savart'a) podjęte i praktyka artystów. Tak w Kur. Warsz. 1837, nr. 345 czytamy podziękowanie Artóta za dostrojenie i wyregulowanie jego skrzypiec przez warszawskiego korektora Kanigowskiego. Po tēm poważnem świadectwie gdy dodamy, że nasi artyści, jak Bielawski, Baranowski i Frankenstein grywali lub grywają na skrzypkach roboty lub korekty Kanigowskiego, że Artôt, Ghys, Ernst kupowali od niego smyczki, że prócz wzmianek krajowych i zagraniczne pisma zachwalały lakier pomysłu jego: oddajemy tym sposobem co się zasłudze należy. Skrzypce jedne z najlepszych jakie Warszawa posiada z fabryki J. C. Rogerius ucznia Mikołaj Amati (Brixia, 1695) własność p. Kanigowskiego i korrygowane przez niego, za wysokocenne przez znawców uznane, mogłyby w potrzebie używane być do koncertów przez artystów, którzy własnych tak doskonałych nie mają, a mniemamy, że właściciel nie przeciw temuby nie miał, bo, jak nam wiadomo chętnie już ich używał.

by sławę do hałasu zmusić. Świat to praktycznością nazywa; niepomny, że to ocieranie się o niego zaraża serce brudem, a przynajmniej strząsa ideały jak liście z drzewa powiew jesiennego wiatru, i zostaną nagie konary. Artysta tego rodzaju jak p. K. mniej wykonywaniem błyszczy, bo gra choć nieraz znakomicie, ale nigdy dlatego tylko; lecz by została myśl jakaś, jedno z uczuć na widownię weszło. Ale taki artysta jest zawsze kompozytorem sumiennym, głębokim, samoistnym; tak też p. K. Jego prace nie opierają się na bawidłach i świecidelkach (choć umie i to pokazać gdy zechce), ale z meżką dzielnością wysnute są z duszy: więc treść ich poważna i szlachetna potrzebuje znawcy, by być ocenioną, wsłuchania się, by być pojętą. Szczególniej odnosi się to do prac większego rozmiaru, z których dwie na swoim koncercie nam przedstawił i które choć nazwę fantazyi noszą, nie z fabrycznemi tego nazwiska wyrobami nie mają wspólnego. Jedna z nich osnuta na pieśni o Żółkiewskim, przeznaczona jest do wykonania z pomocą chóru; że to pięknie byęby musiało, wnosimy z owęj modlitwy Rossiniego, którą Kątski z podobną pomocą na swoich koncertach w Warszawie wykonywał. Inne drobniejsze kompozycje p. Krzyżanowskiego znane są pewnie, a przynajmniej znaneby być powinny tym, których domowe rzeczy obchodzą, i choć z rozgłosu tym, którzy Bibl. Warsz. z 1850 r. t. III czytali, a w nięj sprawozdanie nasze o pracach niektórych polskich kompozytorów; lubo wiemy, że jeśli liczba pierwszych bardzo mała, co rzecz smutna, to drugich pewnie nie większa: co dla piszącego i opisywanych także niepokojące.

Z cudzoziemców oprócz wspomnianego wyżej p. Mahler, słyszeliśmy na fortepianie p. Volange Belgijczyka, który z Servais'm do nas zawitał i jako biegły wirtuoz dał się nam poznać, i pannę Zofią Dulcken, mniej wprawdzie panującą nad fortepianem niż jęj kuzynka Bohrer, którą niedawno podziwiała Warszawa, odznaczającą się jednak. Ztémwszystkiem nie myślimy zastanawiać się nad nią i p. Volange; cóż bowiem mówić o zdolnościach średnich na dzisiejsze czasy, gdy znakomitsze nawet powszednie już zaczynają, gdy pamięć tak mało zatrzymała wrażeń, że zbierać ich nawet nie ma ochoty! Nawet melofon Izabelli Dulcken kryje się w mgłę zapomnienia, ale go gwałtem wywlecemy do światła, by mu się jeszcze przypatrzeć. Myśmy tak chciwi nowości: oto instrument nowy, a z nim nowa rozkosz dla świata! Gdzie tam! toćto zwyczajna harmonika ręczna, której brzmienie rozlega się po tylu ulicach Warszawy, po tylu przedpokojach i pokojach; tylko, że to harmonika uszlachetniona, ulepszona, powiększona, a nadewszystko czyścięj wystrojona. Wystawcie sobie ten instrument w ręku młodego dziewczęcia, a raczję zawieszony na jęj giętkięj szyi; wystawcie sobie jak go z wdziękiem trzymając chwije się w tę i owę stronę niby trzcina powiewna; dodajcie do tego mechaniczną biegłość bez porównania wyższą, niżeliście kiedy na harmonice widzieli i słyszeli, nakoniec zgrabny przekład czy tam układ kilku fantazyj ze znanych tematów i z towarzyszeniem fortepianu: a będziecie mieli obraz melofonu i tego, czém się wydać musiał. Głos podobny do głosu narzędzi dętych drewnianych; jakkolwiek do wielu odcieni w sile jest zdolny, nigdy ich głosu nie zastąpi w orkiestrze, bo ma i skalę dosyć ograniczoną, (jak miał przynajmniej melofon panny D. lubo temu łatwo zaradzić) i nie

może być tak wyrazisty jak w tamtych bezpośrednio technieniem człowieka ożywianych, a długo słuchany głos ten zbyt brzmi miękko, zbyt jest syczący, by mógł zajmować. Nie mniemamy też aby się upowszechnił, z powodu manipulacji odrębnej przy użyciu jego potrzebnej. Fis-harmonika i Eoli-melodykon upodobnione pod tym względem do znanego powszechnie fortepianu, przystępniejsze więc dla wielu, niebardzo się jednak rozszerzyły. Więc i melofon minie podobno jak tyle różnych narzędzi muzycznych, które kiedyś wiele hałasu narobiły, ale w użycie nie weszły, jako nie przedstawiające nic nowego w głosie i zasadzie, a więc i w charakterze. Zresztą narzędzia dęte, które melofon naśladuje, tak ważnym zaczynają dziś ulegać ulepszeniom, że tém silniej z muzyką się spleją, i tém lepiej potrzebom jej dogodzą (1).

Szczególniej pomoże to klarinetowi, lubo i teraz gdy p. Tropiański gra na nim, zdaje się on należeć do tych narzędzi, którym nie lub mało co braknie. Ton słodki, tkliwy jak pieśczoła: to śmiały jak mąż czujący swą siłę, to ledwie słyszalny jak westchnienie, a zawsze szlachetny, jest może dowodem dobroci klarnetu, który p. Tropiański posiada, niemniej jednak dowodem jest wielkiej sztuki zadęcia, nie tak pospolitą i łatwą jakby się zdawało. Bo klarnet, to jedno z najkrzykliwszych narzędzi dętych, gdy kto nad niem panować nie umie. Gra pełna inteligencji i expressyi zaleca p. Tropiańskiego, i by został nienagannym, potrzeba mu wyrzec się jednego tylko efektu, którego nazwać nie umiemy, bo podobno nie ma nazwiska jako nieużywany, a polega na przesuwaniu palca nad jedną z dziurek klarnetu. Ton przez to staje się chwiejący i jakieś *mlaskaniu* podobny, co, zdaniem naszym, z dobrym smakiem się nie zgadza.

Z wielkich koncertów instrumentalno-wokalnych, których kilka było, niech nam wolno będzie wyróżnić jeden tylko i to ostatni. Nie dlatego jednak, by tamte bez interesu były, ale dlatego, że ten wszystkie pod tym względem przewyższał, więcej miał numerów, nowsze w ogóle mówiąc, i daleko potężniejszymi przedstawiony był siłami, dlatego też i rozmaitszy; a oprócz tego wszystkiego odznaczał się kompozycjami rodaków jeśli nie co do liczby, to co do rozmiaru i polotu. Ostatni ten szczegół jest nam prawie najważniejszy, bo jeśli wysoko cenimy pracę i zdolność do wykonania zwrócone, wyżej stawiamy zawód kompozytora. Raz dlatego, że jego twórczość wykonanie poprzedza i powód mu daje, drugi raz dlatego, że ważniejszą jest i rzadszą rzeczą pomyśleć i stworzyć, niż zrozumieć i odtworzyć. A dotąd jeszcze mimo licznych na tém polu pracowników naszych (obacz Doręcznik muzyczny), zaledwie jednego na stu zagranicznych słyszeć możemy. A przecież w sztukach pięknych doszli już ludzie do tego przekonania, że narodowość jest jednym z najważniejszych ich przymiotów, bo nietylko prowadzi za sobą nowość pomysłów, ale i oryginalny pogląd na wszystko czego dotyka. Zaledwie widzimy potrzebę ostrzedz, że nie mówimy tutaj o nędznym zlepku nieudolnie w łachmany muzyczne odzianym, co jednak, niestety! zarozumiałość, bez-

(1) Kto ciekawy dowiedzieć się czegoś więcej, niech w Doręczniku muzycznym poszuka w słowniku wyrażenia: Narzędzia muzyczne dęte.

czelność, ciemnota podają za kompozycyę oryginalną i narodową; ale o tém, co istotnie godne tego nazwiska. Wówczas nietylko szlachetniej i zręczniejsze jest wszystko co trzeba było, ale nawet nie ma naśladownictwa cudzych manier, bo się to nie zgadza z oryginalnością, nie ma mozolnego zszywania pomysłów choćby i własnych, boć to zawsze się rozłązić będzie. Nie przeto wymagamy tu arcydzieł, bo terażniejszość podobno nigdy ich nie posiada, żywiąc się pracami przeszłości, a swoje pod uznanie przyszłości oddając; ale pragniemy twórców z których przemawia samoistność, sumiennosc, pojęcie rzeczy, władanie techniką, a więc uczucie i wiedza. Oboje mogą być niedojrzałe i błędzić, ale czują swoją siłę, a gdy się wyrobiją, to arcydziełami mogą przyszłość zasympać. Jużto zawsze większej nadziei jest człowiek rozumujący, choćby paradoxa popierał, niż inny powtarzający potulnie za panią matką paciérz. Lecz siłę i wiedzy trzeba dać czas i miejsce, by się rozwinąć mogły; trzeba im publicznie się pokazać, by téż bracia mogli powiedzieć co o nich trzymają. To téż gdy który wirtuoz-kompozytor występuje, zwykł swoje twory przedstawiać, bo pewnie nikt inny pod opiekę ich nie weźmie; bliższa koszula ciała niż sukmana. Ale cóż robi biedny kompozytor, gdy mu do wykonania jego pracy dziesięciu własnych palców i jednego narzędzia niestarczy, gdy pisze na orkiestrę, gdy mu potrzeba śpiewaków solowych i chóru? U nas to wszystko znajduje się tylko przy teatrze i na jego usługi (1), teatr zaś wszędzie, a więc i u nas mało przystępny dla kompozytora, bo każda dyrekcya woli być pewną swego niż ryzykować, bo ję obowiązkem jest utrzymanie mnóstwa osób. Nie jedynym przeciż: drugim jest trafne pojęcie potrzeb publiczności, obudzenie powszechnego interesu, uznanie domowych talentów, a mniemamy, że spełnienie tego obowiązku wiele ułatwia spełnienie pierwszego. Z radością téż widzimy, że od niejakiego czasu dyrekcya naszych teatrów na tę drogę weszła: — oto dowody.

Koncert ów, który dał nam powód do tych uwag, rozpoczął się uwerturą pana Małgockiego. Przy ję zaczęciu zaraz można było poznać,

(1) Gdzieindziej w krainach istotnie muzykalnych, każde większe nieco miasto ma orkiestrę i śpiewaków dostateczną liczbę, by wykonywać twory liczne nawet obsadzenia wymagające. Miasta wielkie tak są pod tym względem zamożne, że w kilku miejscach równocześnie to samo czynić mogą. Gdzie brak muzyków z powołania, tam amatorowie stają w szeregi. Więc i u nas mogłoby to być jako tako, boć przecie na tylu muzykalnych coś dałoby się zebrać, lubo o orkiestrze amatorskiej marzyć niepodobna. Ale trzeba uznać potrzebę zjednoczenia sił rozproszonych i zachość wspierania się wzajemnego, a nadto pozbyć się dwóch uprzedzeń: żądzy błyszczenia jako *solista*, jak gdyby tylko *solo* było muzyką godną słuchania; i fałszywego wstydu wystąpienia publicznego, jeśli nie na ubogich; jakby artyści niemi nie byli! Wtenczas muzykalne życie pewnieby się u nas podniosło. Dowodem Wilno, w którym niespracowany Moniuszko przywodząc połączonym artystów i amatorów siłom, robi więcej i częściej, niż pięć razy ludniejsza Warszawa. W niej ledwie gdzieindziej zbierze się kwartet amatorski, lub chór nieliczny głosów ludzkich, szczególniejsz gdy się dam do uczestnictwa nie wzywa. A przecież tyle ich śpiewa! Wiele z nich nigdy byśmy może nie postyszeli, gdyby nie istniały włoskie arye, z których, mówiąc nawiasem, ani słowa nieraz nie rozumieją. *Se peut-il qu'il y aie des chants polonais?*

że autor posiadał ów wielki instrument orkiestrą zwany; wydobył zń kilka tak świeżych efektów, że za nowe ujęćby mogły, ale ich zawiele używał. Gdyby zadaniem téj uwertury było otworzyć jakąś uroczystość publiczną, pewnieby nie mogła silniej być instrumentowaną, a i takby jeszcze przeładowaniem grzeszyła. Ogólny więc jój koloryt jest siła nie pomysłów, ale siła z massy dźwięku pochodząca, a tak często i długo używana, że prawie w monotonią przechodziła. Więcej sprzeczności—bo to wydatnia szczegóły; więcej cieniowania—bo to urozmaica obraz i lepij prawdę przedstawia; więcej umiarkowania—bo siła w porę użyta, większy skutek czyni. Formie téj uwertury prócz rozwlekłości wstępu nie zarzucić nie można; podobna jest używanj powszechnie, a nie tak to młody kompozytor zwykł nowj dla swych pomysłów wyszukiwać, a raczj nie zwykła ona w piérwszych pracach pokazywać się oryginalną. Bo to potrzebuje niezmiernego wyrobienia, owdadnienia z góry całości i odlania jój jednym niemal zapędem, a nadto poglądu oryginalnego na świat, poglądu zapowiadającego nowość samém przedstawieniem tematu. Ten, który p. Małgocki za osnowę do swj uwertury wybrał, z jakiejś piosenki ma być wzięty. Może tak nie jest, ale choćby tak było, oryginalności na przeszkodzie nie staje: bo rzecz dobrze już nawet znana może być w oryginalny sposób przedstawioną, a używane w kompozycyi na orkiestrę prowadzenie tematu tak może być rozliczne, że łatwo je odznaczajacem się zrobić. Przecież o wydatności przedewszystkiem pamiętać trzeba, a téj tu i owdzie brakło panu M. z powodu zbyt massowego orkiestry użycia. Drobnie to wady w porównaniu z zasługą widoczną z całości; autor zbyt dobrze włada orkiestrą, zbyt dobrym jest muzykiem, by nie polubił prac tego rodzaju; i może doczekamy się chwili, że wolno nam się będzie pochlubić kotlistą naszym, jak się chlubi niejedna z zagranicznych orkiestr ludźmi do jój składu należacemi, a oddajacemi się kompozycyi.

Jedném z trudniejszych dla orkiestry zadań jest naśladowanie efektów jakiego narzędzia, bez jego pomocy; tak każdy z instrumentów używanych mniej więcej ma własny, wydatny charakter. W tym właśnie przypadku jest fortepian. Trudność ta, powiedzmy szczerze niepodobienstwo, wyszło na jaw w przekładzie znanego marsza żałobnego z Sonaty Szopena (op. 35) dokonany przez p. Quattrini na orkiestrę, śpiew solowy i chór z tekstem: *Libera me domine de viis inferni etc.* Rozpoczynające akkorda naśladowujące dzwon pogrzebowy nie mogły mieć tego rozdźwięku, jaki mają w oryginale: za to ciąg dalszy odział pieśń Szopena uroczystością i głębokością, jakiej fortepian nie sprostą. Szczególniej téz część druga i trzecia powierzone głosom solowym, mimo skręcenia w inną niż w oryginale tonacją (tamta byłaby zawysoką dla śpiewajacych), pięknie się wydały. Dwie te części zawsze się nam zdają ostatniem pożegnaniem ulatujacj na łono wieczności duszy, rozkliwicznj żalością pozostalych; prawieby do nich powrócić chciała widząc łez, słysząc łkań tyle. Bolejąc nad nimi zdaje się im opowiadać błogi odtąd spokój i nadzieją pragnie utulić smutki mające wkrótce się ozwać. Szopen umiał litować się nad temi, co pozostali i płakać po tych, którzy ich wyprzedzili. Dziś i on już do ich liczby należy; niech dusza jego używa spokoju jedynejo, jaki

istnieje, a muzyka jego niech jak największej liczbie tych, co za nim pójdą, przygrywa:—ziemia lżejszą im będzie. W tej pracy pana Quat, miło nam Polakom widzieć uznanie wielkiej straty, jakąśmy w osobie Szopena ponieśli i podziękować mu że nam ją przypomina. Smutnato przysługa, a jednak istotna; wszak boleść rada karmi się łzami, a w tym marszu Szopena tyle łez smutku ze łzami nadziei zmieszanych! A więc do każdego muzycznego o Szopenie wspomnienia melodia tego marsza konieczną się zdaje. Tak zrobili Niemcy, gdy pod przewodnictwem Hillera wyprawili muzyczno-pogrzebową uroczystość pamięci Szopena, tak zrobił p. Dobrzyński w marszu swoim na uczczenie pamięci wielkiego ziomka napisanym. Może go w jaką smutną rocznicę posłyszycie.

Wspomniawszy już raz pana Dobrzyńskiego przeskakujemy mnóstwo numérów dopiero co rozpoczętego przeglądem koncertu, by pomóc o hymnie religijnym tego autora, ułożonym na głosy solowe, chór i orkiestrę, z prostej naszej pieśni Św. Boże i t. d. wysnutym; z pieśni prostej, ale tak wielkiej i głębokiej, jak prostota natchniona. Któż jej nie zna, skoro od tylu wieków rozlega się po naszej Polsce od chatek do pałaców? Błogosławiona pierś, z której tyle modlitwy i pokory muzyką się wyrwało! wielkie serce, które umiało zestrzelić w sobie boleść całego ludu: pękłoby od niej, ale ją pieśń wyniosła i na progu Pana złożyła jako ofiarę, a miliony do coraz nowych pokoleń należące, mnożą ją swą boleścią i żebrzą liłości. Czyjażto pierś, czyjeżto serce? Gdybyście zapytali historyi o wielkich zbrodniarzy, albo o tych, co posiadają sztukę mordowania tysięcy, a wyciskanie łez milionom, to skwapliwa historia na każdej karcie sto imion wam pokaże; ale nie wie o dobroczyńcy, który pieśń stworzył, by ludzkość miała czém odetchnąć, czém łzy otrzeć. Oto czém dotąd była historia!—oby się poprawiła. Trudno jednak jej będzie dawne zatrzeć winy, bo tak zapomniiała, że może nieraz daremnie szukać będzie.

Wojciech Sowiński muzyk, Polak rodem, w dziele zbiorowém: *la Pologne et les Polonais* (Paris, 184...) mówi, że muzykę do pieśni Św. Boże przypisują niejakiemu Marcinowi Lwowianinowi organście króla polskiego Zygmunta Augusta, a tekst ma być pomysłu Kochanowskiego z Czarnolesia; ale tego niczém nie popiera. Artykuł jego o muzyce w Polsce wyraźnie wzięty jest z Przyjaciela Ludu z 1837 r. i skrócony z zamieszczonego tam ustępu pod tytułem: Kilka słów o muzyce kościelnej, poprzedzonego wprawdzie wizerunkiem Marcina Lwowczyka, bez objaśnienia jednak z kąd go wzięto, i bez żadnej wzmianki co do obchodzącej nas w tej chwili pieśni. Jasna rzecz, że i Sowiński nie wie na czém swój domysł opiera, a że wszystkiego co wiemy o Marcinie Lwowczyku, nie wnieść nie można. Urodził się on r. 1540, a umarł 1589, jak nas uczą różni pisarze nasi, a niektórzy dodają, że jest autorem pieśni nabożnych na rok cały. Pytanie, co tu znaczą *pieśni*: tekst czy muzykę? Być może że tę ostatnią, bo że był w muzyce biegłym, na to się zgadzają wszyscy; ale byłyż kiedy wydane, widział je kto? Na te pytania ani Wiszniewski, ani Wojcieki bogaci zwykle w szczegóły hymnologii dotyczące, odpowiedzieć nie umieją. Siarczyński (Obraz panowania Zyg. III) opierając się na Zimorowiczu mówi, że Leopolda Marcin było muzyk sławny i organmistrz) a to co inne-

go znaczy niż organista) (1), kwitnął za Zyg. Augusta w naukach i sztuce swęj biegły, nowe instrumenta muzyczne wynalazł; a w szkołach lwowskich towarzyszem był Tucheleyka, który tam przez lat pięć był prefektem. Z Siarczyńskiego widać, że i Zimorowicz opiera się na Starowolskim, który *in elogiis centum illustrium Poloniae scriptorum* § LVI mówi „że lubo wielu jego (Marcina Lwow.) ziomeków w Rzymie się ćwiczyło, a nawet nowe instrumenta muzyczne wynajdywało, jakoto Krzysztof Kircher, Adam Warka, Mosiązek, i t. d. żaden jednak do tęg sławy w Polsce nie przyszedł co Marcin, który prócz domowęj nauki, tojest w akademii krakowskieję, żadnego nie miał innego nauczyciela”. Że Starowolski znawca i teoretyk muzyczny wysoko cenil Marcina, widać z jednego miejsca w *Erotemata musices etc.* Crac. 1650, gdy podając przepis używania konsonansów, mówi: jak też robi Marcin Lwowianin jeden z najdoświadczeńszych naszych kompozytorów (ut videre est in compositionibus Martini Leopoltiae musici nostratium consumatissimi). Oto już wszystko, co o Marcinie wiemy, a ze wszystkiego nie widać, czy był istotnie autorem muzyki do pieśni Św. Boże. Ambroży Grabowski w książce pod tytułem: „Dawne zabytki miasta Krakowa”, mówi str. 170, że za czasów Zygmunta Augusta (r. 1566) żył Martinus Andreopolitanus, który był oraz mansyonarzem przy kościele Panny Maryi. Podobieństwo przydomka mogło uwieść Sowińskiego, jeśli co o tym drugim Marcinie wiedział, a przykład tęg pieśni jaki w nutach podaje, pominąwszy błędy drukarskie łatwe do sprostowania znajdujemu się na rzeczy, ma jeszcze inne usterki widocznie już nie drukarskie, które nie mogły wyjść zpod pióra takiego mistrza, za jakiego Starowolski Marcina Lwowczyka podaje. Uderzające to jednak, że Grabowski na liście muzyków Zygmunta Augusta nie znalazł go, skoro go nie wymienia (2). Szczęśliwym okolicznościom

(1) Starowolski mówi *organarius*, co u słownikarzy różnych znaczy i organistę i organmistrza.

(2) Nie ma jak notatki, bo pamięć zawodna; a jednak nie możemy się opędzić posz ptom naszej pamięci, utrzymującej, że bliższa wiadomość o melodyi do Święty Boże znaleźć się powinna w dziełku Sobestyana z Fulsztyna (nauczycielem był Marcina Lwowczyka) *Opusculum musices noviter congestum*, czy też w jednym z pism Marcina Kromera (de concentibus musices quos chorales appellamus i musica figurata), które z wymienioném wyżej dziełkiem Sobestyana z Fulsztyna wydrukowane być miały. Krak. 1534. Wprawdzie Sowiński mówi w miejscu wyżej przywiedzioném, że muzyka którą załącza, wypisana jest z kantyczek XVI wieku; nie określa jednak bliżej i dlatego wierzyć mu nie można. Na czym pamięć nasza przypuszczenia swoje opiera powiedzieć nie umiemy; gdyby się jednak nie myliła, to pieśń Święty Boże byłaby jeszcze starożytniejsza, i nie dziełem Marcina ze Lwowa, który się dopiéro w r. 1540 urodził. Żeśmy zaś dotąd nie sprawdzili, nie nasza, lecz okoliczności wina, które nam nigdzie nie dały widzieć dzieła Sebastjana z Fulsztyna. Nie należyć ono pewnie do białych kruków, ale rzadkie być musi niezmiernie, a przynajmniej nieodszukane, jako mające tylko o muzyce mówić. Jestto przedmiot dosyć obojętny dla historyków, a może zbyt specjalny, by chętnie za nim gonili. Bez zgłębienia go atoli zdaniem naszym, że je poważamy się tu objawić, nie będziemy nigdy mieli ani dokładnego obrazu literatury naszej, ani rozwoju sztuk pięknych u nas, ani więc znajomości istotnej domowego życia ludu naszego. Mieliśmy tylu znakomych rodaków i cudzoziemców poświęcających się muzyce u nas, i dla nas; każdy historyk rzeczy domowych pisze o nich, a raczćj jeden drugiego przepisu-

zdając wynalezienie autora pieśni nas zajmującej, przyjrzyjmy się jój bliżej. Starożytności nikt jój nie zaprzeczy, kto zna historycznie rzeczy muzyczne. Z niój, jak i z tylu innych pobożnych szczególniej pieśni dawnych i dotąd przechowanych widać, że podanie umie obronić od zatury nietylko tekst, ale i melodyą do niego, może jedno i drugie zmieniając w drobiazgach, w główném zachowując. Więc niedaremnie poeta powiedział:

O pieśni gminna, ty arko przymierza  
Między dawnymi i młodszymi laty!...

Pieśń jak mowa, jak obyczaj spręga odległe czasy, a nawet silniej od nich; bo gdy obyczaj gubi dawne szaty, mowa się gładzi, rozszerza i przemienia: to pieśń jako tekst zachowała pamięć pogańskich czasów, jako melodia prawie nie zmieniła się przez wieki. Mówimy prawie, bo tu i owdzie lekkie spotykamy jój odmiany, które dalekie od zatarcia cech tożsamości melodyi, są tylko wypadkiem miejscowego lub chwilowego usposobienia śpiewających, albo kaprysem, może dowodem nawet, że w niój choć już ulanej da się pomieścić jeszcze mnóstwo odcieni tego rodzaju, jakie deklamacya do tekstu wprowadzić zdoła. Że nieraz jedna i ta sama okolica różne może mieć sposoby śpiewania, dowodem melodia owa do pieśni: Święty Boże. Dostyć porównać wydany w Krakowie Śpie-

je, ale kto widział ich prace, znajdują się kiedy? Wprawdzie i pod tym względem coś zrobiono (Wiszniewski prawie tu jedyny), ale co znajome potrzebuje roztrząśnienia i ocenienia, a mnóstwo odszukania. Więc niech dla pracowników naszych na polu badań o rzeczach polskich nietylko malarstwo, snycerstwo i architektura, słowem to, co się da namacać, sztuką będzie; bo dźwięk jest także dowodem życia. Ludzie zapominają, że słuch równie jak wzrok im potrzebny, jakby się im tak łatwo było obejść bez niego!

Widząc z tej strony tyle braku, zapragnęliśmy go choć odrobinę usunąć, o ile nam słabe dozwolą siły. Zbierając więc stosowne materiały należało przedsiębrać w tym celu wycieczki po kraju, a to rzecz niełatwa z różnych powodów, przynajmniej nie dla każdego. Wielu i szczęśliwych trzeba okoliczności np. by pozwolono tu i owdzie poszukać. To cię wezmą za podejrzanego ajenta przed którym kryć się należy, to za człowieka, który z próżnej ciekawości byle powód sobie wynalazł dla przezierania cudzych kątów, to za szalonego, który szuka kwiatu po światu. Nieraz szczęśliwe odkrycie pójdzie wniwecz albo się zamieni w drobnostkę. Tak się nam stało z dziełem Sebastjana z Fulsztyna, celem gorliwych poszukiwań tak dla teoryi ówczesnej, jak dla owój pieśni Święty Boże. W jednym z klasztorów mimo zaręczeń i zaklęć uczonego ojca bibliotekarza, mimo oburzenia na nieufność i natarczywość, udało się nam zyskać nakoniec pozwolenie na przejrzenie biblioteki. Ale ojciec bibliotekarz zwłócząc dzień cały to dla nabożeństwa, to z powodu lekcyi dla młodziej braci, to potrzebą posiłku i wytchnienia, zapowiedział z góry, że tylko pół godziny czasu zostawia na szukanie, a i tak poświęca czas drogi na dzieciństwo; tém bardziej, że przekonany jest o daremnem poszukiwaniu czegokolwiek bądź *in materia musices*, i tylko dlatego, by nas zawstydzić i nauczyć ufności w słowa starszych. Przerażeni tą jego surowością ze zwątpieniem w sercu jeliśmy się przeglądu. Uczynny ojciec postawił kałamarz jak maźnicę z wielkością i tego co w sobie zawierał, pióro zacięte jak do wyktówania zębów, dla kompletu zaś kawał żółtkiego papieru oddał z jakiegoś rękopisu. Szczęściem, że zaopatrzeni we własne materiały piśmienne, nie potrzebowaliśmy kłopotać się gościnnymi, i dalej do czytania regestrów. Ojciec bibliotekarz stanął założywszy ręce, a na jego twarzy zbierały się groźne chmury, mające spaść burzą na upartego szperacza, jeśli nic nie znajdzie. Ale znalazł, a gdy nic nie mówiąc



wnik ks. Mioduszewskiego z Chorałami Gorączkiewicza tamże wydanemi, a oboje z melodyą jak ją lud w warszawskich śpiewa kościołach. Mimo wszystkiego, coby się na niekorzyść miast wielkich powiedzieć dało o czystości serc i żywiołu narodowego zachowaniu, pieśń nasza i ks. Mioduszewskiego (być może, że ją z naszych podań notował), podobniejsza prostotą do téj, jaką Sowiński napisał; Gorączkiewicza gładza i płynniejsza, jakby wykształceńsza; więcej może błagająca, mniej jednak jest silna i serdeczna, jeśliby się tak powiedzieć godziło. Pieśń jakiej się p. Dobrzyński (Wołynianin rodem) w dzieciństwie swoim nasłuchiwał i do hymnu użył, jeszcze więcej jest miękka; bo łącząc potocznością tonów pośrednich główne, zaciera ich raptowne spadki; ale stała się tym sposobem dogodniejsza do kombinacyj harmoniczno-kontrapunktycznych, którym poddana być miała. A w téj pracy mistrzowstwo pana D. na jaw wyszło, bo pieśń oddawana kolejno każdemu z czterech głosów solowych albo całemu chórowi za podstawę, w innych coraz stosunkach harmonicznym występuje: to jest, tych samych używając tonów, w innych się tonacjach widzi. Utrzymać się przy tém wszystkiém w świeżości, zachować płynność i naturalność, nie każdemu by się udało z równém szczęściem. Tém to trudniej, że budowa owéj melodyi mimo prostoty wiele ma własnego charakteru i każdej, by téż mniejszój zmianie opór stawia; i owszem wszystko jój towarzyszące do nagięcia się ku sobie zmusza. Oto w czém pomogły kompozytorowi owe płynące stopień po stopniu tony, pozwalając

zapisywał tytuły, ojciec zawsze hm-kał tylko. Nareszcie, o fortuna! Sebastyna z Fulsztyna *Opusculum musices* w rejestrze załtyso; porwał się ze swego miejsca tryumfujący poszukiwacz, a ojciec bibliotekarz ciekawie się przysunął i czytał uważnie.—„A! tak! to było kiedyś, ale dziś nie ma; ojciec Anzelm zabrał przed dwudziestoma laty jeszcze i gdzieś zatracił, a potem umarł.”—„Ale zmiłuj się Ojcze, katalog ma dopiero lat dziewięć!”—A wtem zegar na klasztornej wieży ozwał się poważnie. „Wój panie, ja tu dla głupstwa siedzieć nie myślę; natrapieś mnie dzień cały i teraz gdy godzina minęła nie dasz spoczynku. Możesz tu pan sobie zostać, ale ja pójdę.”—Dobrze ojcze. „Ale po czém wleźć? ni schodków ni drabinki, a to wysoko pewnie będzie, a potem tu niewolno nikogo obcego zostawiać; jużeśmy na tém źle wychodzili.” I miał się ku drzwiom nietłosiwy bibliotekarz z miną tak determinowaną, że trudno było co robić innego jak błagać. „Jutro, kochany panie, jutro, ale dziś już późno; pan wiész—dodał łagodniej widząc że upór jego zbit z terminu nalegającego—teraz już wszyscy w refektarzu a *tarde venientibus ossa*.” Dziś piątek ojcze—mówił żalonym głosem na kurytarzu już stojący, wypędzony z biblioteki jak Adam z raju, szepcząc. „Mamy ryby”—śmiejąc się i kręcąc kluczem w zamku, odezwał się duchowny. „Do jutra.”—Niestety, jutra nie każdemu dożyć, albo dosiedzieć na miejscu, gdy kto na cudzym wózku jeździ.—Podobnych awantur więcej moglibyśmy opowiedzieć, lubo i gościnność i usługność jak dotąd chwalić sobie możemy, mianowicie księży Benedyktynów pułtuskich i duchownych kollegiaty łowickiej.

A kiedyśmy już publicznie wyznali nasze zamiary i kłopoty, odzywamy się do wszystkich, którzy je uznać zechcą, a których oko między wyrazy nasze za błędzi, by nam pomagali, bo ustne prośby tylko obietnice wywoływały niespełniane zazwyczaj, a listowne bez odpowiedzi zostawały. Jeden tylko p. Łukasiewicz wówczas jeszcze bibliotekarz księgozbioru imienia Raczyńskich w Poznaniu, inaczej postąpić raczył. Dzięki mu za to. On jeden czuł potrzebę podobnej pomocy, tém bardziej, że go także zawiodła, na co się téż w swojej Historji szkół w Polsce użala.

zastosować do siebie akkorda, które ściśle wiązały to, co chwilowo odległe z większą trudnością bez nich spoićby się mogło.

Przeprowadzając tę melodyą przez kilka warstw głosu ludzkiego, przedstawił kompozytor tyleż warstw ludzkości; każdy wiek, każda płeć znalazły właściwe sobie wyrażenie, bo któż nie potrzebuje wołać: zmiłuj się nad nami? A jak różne są boleści stopnie do westchnienia i modlitwy podługające, tak różne uczucia chwile kompozytor uwydatnił w towarzyszących tematowi głównemu głosach ludzkich lub narzędziowych. Tak zręcznie przeplatał chór i sola, śpiew i przygrywkę; tak różnych odcieni siły używał; tak umiejętnie stopniowo harmonią się posługiwał: że jeden i ten sam temat wciąż słyszany, wciąż świeżym się zdawał, nowe odcienia uczucia budził, starczył na poemat cały. Poemat ten zyskał oryginalną formę; świętość pieśni mu ją natchnęła, cześć nie dozwoliła jęj opuścić, a zdrowe pojęcie zadania dokonało reszty. Oto jak się temat opracowywać powinien, oto co stworzyć można z pieśni narodowej i znanąj wszystkim oddawna!

Chcąc zdać sprawę z rozlicznych wrażeń jakie nas przejmowały podczas wykonywania tego dzieła, musimy wyznać, że wielkość pieśni uznajemy za tak niezmierną w krótkim rozmiarze, tyleśmy razy w różnych epokach życia przy niej kruszeli we łzy się rozpluwając, tyle wiąże się z nią pamiątek smutnych lecz drogich: że może błędnie, ale szczerze uznajemy tę pieśń za coś tak potężnego, że w tylu znanych nam pieśniach podobnej nie widzimy; wąpićbyśmy prawie chcieli o istnieniu drugiej równie wielkiej. Dla tych wszystkich, którzy w naszym są położeniu, praca pana Dobrzyńskiego niezawsze zadowolenie przyniosła. Zdawało się nam tu i owdzie dostrzedz chłodniejsze miejsca od innych, za mało przejęcia się, a raczej nie z równą siłą niezmiernością zadania. Przyjęty przez kompozytora system przeprowadzania tematu, zmuszał go do zastanawiania się zimnego; to spłoszyło pobożny zapal, a bez niego niepodobna utrzymać się ciągle na tej samej wysokości: wyobraźnia choćby też najsilniejsza zastąpić go nie może. I owszem, mniemamy, że ona to dramatyzujące uczucie, osłabia je tylko, bo potężny liryzm nie może się rozpadać na okruszyny dramatyczne, które go stanowią, jako pochłonięte przezeń; nie ma się więc na czém oprzeć, by przejść w natchnienie: słabnie rozdrabniając. Czysty i ściśliwy liryzm uważamy za potężniejszy od dramatu pod względem wielkości wrażenia, jakie jeden i drugi sprawia. Pierwszy niezawsze dokładniejszy bywa, ani tak rozciągle się rozwija, ale dosadniej, treściwiej przedstawia. Ztąd najpotężniejsze miejsca w dramacie te bywać zwykły, w których uczucie zestrzelone lirycznością się wygłasza, albo w jęj rodzaj jeden, patetyczność, przechodzi. Więc w poemacie lirycznym dramatyczne ustępy zawsze słabiej wyglądać będą, mówiąc w ogóle, mianowicie gdy jedno i to samo przedstawiają, i obok siebie. To samo uczucie, które wstanie z obrazu dramatycznego ze skończoną przedstawioną prawdą, dałoby się streścić w jedną chwilę potężną lirycznością, kilkoma rysami przedstawić, i będzie podniesieniem siły, która oczywiście ciągle wzrastać powinna. Postępowanie odwrotne, wprowadzając dramatyzowanie tego, co już liryzm jak najpotężniej wygłosił, osłabia interes

a w najszcześniejszym razie staje się pewnego rodzaju pleonazmem. Zastosujmy to do pieśni, która nas zajmuje.

Potęga jej zdolna w prostocie oryginalnej unieść na sobie modlitwę każdego wieku i stanu, modlitwę wszystkich stanów i wieków razem połączoną, a więc tworząca z niej najpotężniejszej liryczności wyraz, czyni ją tém samém jakby historycznym obrazem dramatu, który w życiu ludzkim ozwanie się téj pieśni poprzedził. Kto ją posłysz, zgadnie odrazu ile cierpień, utrapień i trwogi być musi tam, gdzie się taka pieśń podnosi. Tém bardziej, że tekst błagalny sam z siebie wszystkie fazy modlitwy przedstawia, więc na tyleż wspomnień doświadczeniem w życie wpisanych, naprowadza. Ale przygody już minęły, a modlitwa obecna z pamięcią na nie wprawdzie, ale nie o nich, lecz o przyszłości mówi. Pod nawątem boleści, które nasyciły całe epoki życia, nikną i muszą niknąć drobne przypadłości utrapień, przygodnymi okolicznościami spowodowane. Tak gdy nam wojna na myśli staje, nie liczymy ran odniesionych, nie mierzymy krwi wylanéj, nie widzimy płonących osad, nie litujemy się popłochu bezbronnego ludu ani rozpaczy rodzin żałobą okrytych; słowem, nie dramatyzujemy sobie obrazu wojny, ale wszystkie te nieszczęścia i wiele innych zbieramy w jedno pojęcie klęski, jeśli niezmiernéj dla pojedynczych, niezmiernéj dla ogółu. Cóż dopiéro, gdy nie jedna klęska, ale kilka ich razem wspomnieniami nas naciśnie, wywoła jakby spowiedź powszechną cierpień życia całego i całego ludu! Wtenczas wstaje w duszy naszej jakiś zamęt, skrzyżowanie obrazów—szczegóły nikną. A gdy w to chaos spojrzysz, jak we mgle nic nie wyróżnisz prócz jednéj wielkiéj boleści, rozpacz tak wielkiéj, że pamięć jej sama taką pieśń jak nasze Święty Boże wywołać może i musi; do tego zdolna tylko siła prostoty. Dlatego powiedzieliśmy wyżej: błogostawionato pierś, wielkieto serce, które taką pieśń stworzyły: bo musiały boleć niezmiernie własném i cudzém cierpieniem. Mniemamy więc, że to owe błyski dramatyczne, któreśmy w pracy pana Dobrzyńskiego dostrzegli, ogólne osłabiły wrażenie. W lamentacyi tegoż autora wykonanéj roku zeszłego w Wielki Piątek w kościele Śgo Jana w Warszawie, tenże sam kierunek ku dramatyzowaniu dostrzedz można było, ale jeszcze więcej rozwinięty. Więc wyobrażnia u pana Dobrzyńskiego silniejsza jak uczucie?—Nie, ale jej zwykł dozwalać polotu tam, gdzieby ją w uczucie wcielić powinien. Że to umie, dowodem jeden ustęp hymnu w mowie będącego, gdzie chór jakby po przepaściach harmonii się przewijający z coraz nową siłą, rys za rysem, chwila za chwilą przegląd nieszczęść odbywa. Co do nas, praca ta pana Dobrzyńskiego najpotężniej na nas działała, gdy się chórem tłumaczył; tak dalece pieśń ta dla mass przedewszystkiém stosowną się być zdaje, jako wyrażenie na oznaczenie cierpień i modlitwy ogółu wynalezione. Nie idzie za tém, byśmy wymagali wszędzie chóru; i owszem, ustępy solowe muszą mieć także swoją dzielność, mają swoje cechy, i potrzebne są do urozmaicenia muzycznego poematu. Ale do formy chóru takeśmy już w téj pieśni nawykli, że tak najsilniejsza się nam zdaje, jak téż nią jest w istocie. Mimo liczne go dosyć obsadzenia w wykonaniu o którym mówimy, wielmożność tematu niezupełnie jeszcze na wierzch wyszła. Brakło jeszcze potężnego *unisono* wszystkich głosów i narzędzi, które do tego

stosowne. Wprawdzie chór na głosy rozłożony, głębiej i filozoficzniej rzecz przedstawia niż *unisono*, ale ono prościiej a potężniej. Taki jest stosunek między temi dwoma sposobami użycia chóru, jak ów, któryśmy wykazali wyżej między lirycznością i dramatyzowaniem, z właściwemi przecież względami. Takie *unisono* szerokie na sam koniec zachowane, byłoby zdaniem naszym do najwyższej potęgi liryzm podniosło, całą jego zestrzeżło siłę; tém pewniej, że *unisono* tłumy artystów niczem nie razi, czém niemuzyczny i nieogłędny lud w kościele wykracza.

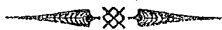
A gdy o kościele mowa, to dodamy tu jeszcze, że pierwsze wykonanie tego hymnu przed wielkim ołtarzem u śgo Jana mniej zająć mogło słuchaczów, bo zarazem i widzami byli pracy wykonywających, mniej zgodnej z powagą miejsca. Czemuż przy tak kosztownym a niedawnym odnawianiu całej téj świątyni, nie pomyślano o rozprzestrzenieniu chóru dla muzyki! Słuchać i widzieć razem, jestto niekiedy odwracać baczność, rozdzielać ją, a więc tępić wrażenie. Co innego w sali koncertowej: tam patrząc nawet, można nie widzieć.

Szczęśliwato myśl wprowadzenia w ten sposób pieśni ludu w sztukę, a z nią i sztuki do kościoła. To jest muzyka, którą każdy pojmie, bo ją od urodzenia słyszy i wyrazi jój rozumie, jako ojczystą wypowiedzianą mową. Bo nie zapominajmy, że tekst i muzyka do niego, są nierozłączne nawet w liryczności, a oboje dopiéro stanowią pieśń zdolną z podwojoną potęgą podźegnać ducha. O ileż słabsze dla ogółu po téj pracy pana D. wydadzą się utwory najznakomitszych nawet mistrzów, gdy im tekst łaciński podłożą, albo melodyą choćby nie wiem jak doskonałą, ale nietyłe zrosłą z życiem! Wyższość obojga niedopiéro dziś spostrzegać się daje. Tak: (że nie wymienimy innych autorów, którzy tę myśl pielegnowali) w spisie muzykaliów będących kiedyś w posiadaniu kościoła dzisiejszego księży Benedyktynów w Pułtusku, między polskich kompozytorów nazwiskami czytamy: Lencki z Myszeńca pieśń: U drzwi Twoich stoję Panie, *ex F. uv* (ertura?), *a vocum 7* z klarnetami. Co to było, trudno powiedzieć, bo muzykalia spisem tym objęte, w końcu XVIIIgo wieku pożyczone zostały za kwitem opatowi zgromadzenia w Horodyszczu (podobno na Wołyniu) i dotąd jeszcze do dawnych posiadaczy nie wróciły. Czy kiedy wrócą? czy nie zginą nazawsze? Może już i nie istnieją, bo książkę choćby tylko o muzyce mówiącą, każdy więcej szanuje niż nuty, szczególnie pisane, a do tego dawne. W Częstochowie np. porobiono z nich tekturki na teki do nut z zagranicy świeżo sprowadzonych. Barbarzyństwo!

Rozszerzywszy się tyle nad jedną pieśnią, albo z jój powodu, nie mamy już ochoty długo rozpowiadać o reszcie koncertu, choćby się jeszcze wiele i co ważnego nawet powiedzieć dało. Ale nas już nie zatrzyma i *Stabat Mater* Rossiniego w połowie religijne, w połowie teatralne; mówiliśmy już o niem nieco, gdy za sprawą przebywającego u nas Litofa, wykonane było w téj samej sali (patrz Dziennik Krajowy). Ani nas zatrzymać zdołają różnej wartości dzieła innych kompozytorów wokalnych, z różnym wykonane szczęściem; ni talentem Zimmermana przedstawione na flecie filigranowe solo Briccialdego, ni twardo na wiolon-

czelli p. Szablińskiego brzmiała Serwais'go Romanesca, ani nawet część nonetu Spohra, w którym dęte narzędzia ożenione ze smyczkowemi (nie zapomnijmy między niemi o skrzypcach Baranowskiego), to solo naprzemian, to razem występując, wiodły słuchaczów po różnych fantazyi kompozytora skrętach i przypomniały nam rodzaj tak bardzo gdzieindziej upowszechniony, tak mało u nas znany; ani nakoniec *Addio*, śpiew kompozycyi naszego Troschla i wykonany przezeń z towarzyszeniem czterech wiolonczelli. W szczególe ma on tę wadę, że tekst jego włoski, a w ogóle zbyt wiele monotonii, bo i głos śpiewającego i głosy towarzyszących basetli zbyt do siebie podobne były kolorytem, a nadto numer ten koncertu najnieszcześliwiej pomieszczono między dwoma; w pierwszym wiolonczella główną grała rolę, w drugim znakomitą. W innych ramach utwór ten inaczejby wyglądał, a zyska niezawodnie zmianą tekstu na polski; wtenczas może i jednostajność barwy stosowniejszaby się wydała. Niech p. Troschel stara się przelać słuchaczom najwłaściwszemi do tego środka swój zapał do sztuki. Dowiódł go szanując człowieka, który styrał swój wiek na postugach artystycznych. Gdyby nie pp. Troschel i Dobrzyński, jakżeby wyglądała ze strony muzykalnej jubileuszowa uroczystość pana J. Elsner (1)! Ale i to drobne rzeczy w porównaniu z tém, co być było winno. Dajmy temu pokój: to do wspomnień koncertowych nie należy. Ale należy do nich imię panny Danielewicz, która występując na fortepianie w naszym teatrze, w odegranych kompozycyach Kąskiego Ant. i Goryi, dowiodła i mechanizmu i czucia, i poparła nadzieje, jakie przytomni na owój uroczystości Elsnera o jój przyszłości muzycznej powzięli. Młodość poczynająca, chciała uświęcić swemi siłami owe chwile, w których część wielbicieli Elsnera hołdy mu swoje składała. Niech młodość pracuje, by także kiedyś na uznanie przyszłych zasług zarobiła.

(1) Marsz p. Dobrzyńskiego na tę uroczystość ułożony, wyszedł z litografii, nakładem Ig. Klukowskiego w Warszawie.



*Doniesienia literackie.*

## WARSZAWA.

K. Wł. Wojcickiego powieść obyczajowa w 2ch tomach p. n.: *Powieść domowa*, w r. b. drukiem ogłoszoną zostanie.

— W dalszym ciągu księgarza Natansona: „Wyboru przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych” wyszła powieść Lady Georginy Fullerton: *Zamek Grantley* w 2ch tomach (ogólnego zbioru tom 3ci i 4ty). Następnie wyjdą: pani Bremer, *Córki prezydenta*; Bulwera, *Familia Caxton*; Dickensa, *David Copperfield* i t. d.

— Nakładem J. Bernstejna księgarza wyszło użyteczne dziełko p. n.: „Dra E. J. Arnolda krótkie powiastki dla wprawy młodzieży w polskim i niemieckim języku,” przez znanego z wielu pism dla nauki młodzieży Teofila Nowosielskiego.

— P. Rulikowski młody obywatel z Ukrainy, zaczął opisywać Ukrainę powiatami, uważając każdy pod względem statystycznym, geograficznym i historycznym. Szczegółowo opisuje lud tamtejszy, jego zwyczaje, obyczaje i charakterystykę. Zbierał sam podania i pieśni, których liczba 2,000 przechodzi. O tej ważnej, szacownej i użytecznej pracy, obszerniej zdamy sprawę w następnych zeszytach.

— Druk powieści J. I. Kraszewskiego w 4ch tomach, p. n.: *Złote jabłko*, nakładem S. Orgelbranda już się rozpoczął.

— W Peszcie bogaty księgozbiór Jankowicza nabyli głównie na publicznej licytacji hr. Teleky i baron Pronay. Pierwszy kupił pierwszą węgierską książkę, która wyszła w Krakowie r. 1469. Wiadomo, że Węgrzy w XV wieku uczęszczali na akademię w Krakowie, a rejestra *Bursae Cracovien.* z r. 1560 podają 328 uczących się tam Madziarów.

— Przed kilką miesiącami dzienniki rossyjskie doniosły o otwarciu na nowo Cesarskiej bibl. publicznej w Petersburgu. Oddział rękopisów tego wspaniałego księgozbioru, liczy przeszło 20,000 sztuk. Między innymi zwracają uwagę: Ewangelia słowiańska zwana Ostromira z XI wieku; Fragment listu Śgo Pawła pisany w wieku V; Ewangelia grecka cesarzowej Teodory, pisana literami złotymi i srebrnymi na pergaminie purpurowym; rękopisy wschodnie z Ardebilu i Ahałcyku. Z drukowanych dzieł są tam: Psalterz moguncki z r. 1457; Pismo św. z r. 1462; słynne pierwsze wydanie włoskie Dantego, z rycinami (1480); okazałe wydania Elzewirów; zbiór dzieł o Rosyi w językach zagranicznych, i zbiór historycznych dzieł kupca Larina.

— Do nader ważnych materiałów historycznych, jakie w tych czasach uczeni nasi na wszystkich punktach zbierają i przyszłemu dziejopisowi przygotowując, takowe częścią w porządnym rękopiśmiennym zbiorach, częścią zaś drukiem ogłaszają, należą następujące zgromadzone w Poznaniu: Korrespondencye rozmaitych posłów angielskich przy dworze polskim z lat od 1629 do 1714. Kopie korrespondencyj Stefana Batorego z cesarzem Rudolfem II z r. 1578—1580. Wypisy z ówczesnej gazety lejdejskiej. Negocycacye Polski z Rosyją za Jana Kazimiérza. Relacya wyprawy francuzkiej pod Gdańsk w r. 1733, przez naocznego świadka. Pamiętniki wła-

snoręczne Jundziłła prof. botaniki przy uniwersytecie wileńskim od r. 1761 aż do niedawnych czasów. Wszystkie te wypisy starannie zrobione i chronologicznie rozłożone, napełniają kartonów 40.—Korrespondencya Piotra de Noyers sekretarza królowej Ludwika Maryi, oddana została do druku i w znacznej już części odtłoczona.

Również zebrano dla przyszłego dziejopisa następujące materyały: Dyaryusz podróży p. Roe ambasadora angielskiego z Gdańska do Warszawy, a w nim wiadomość o negocyacych jego z Zygmuntem III w czasie sejmu r. 1629.—Korrespondencye dotyczące się elekcyi Władysława IV, wyprawy jego pod Smoleńsk, i przeciw Turczynowi nad Dniestr.—Projekta zaślubin księżniczki Elżbiety palatynowej.—Listy: Franciszka Senderson agenta angielskiego w Gdańsku; Roberta Jard sekretarza przy pośle sir Peter Wyche z r. 1669; ks. Brunelli sekr. króla Jana III.; p Hyde ambas. ang. przy dworze polskim z r. 1676; Tomasa Parker agenta w Gdańsku r. 1679; J. Robertsona z r. 1703; Jakóba Scott r. 1714—1715; Edwarda de Fink r. 1725, 1726; Jana Robinsona r. 1705—1706; Jakóba Jefferyes posła przy Karolu XII z lat 1707—1709; Hr. Staer r. 1710; Jakóba Mankenzie r. 1710-1711.

— Nakładem księgarni zagranicznej w Lipsku wyjdą: „Jeremi Wiśniowiecki”, dramat z XVII wieku; i „Dzieje Polski pod panowaniem króla Michała” (Klimakter IV), przez Wespazyana Kochowskiego. Z wizerunkiem króla Michała. (Księgę 1 i 2 przełożył śp. J. D. księgi 3, 4, 5 spolszczył i przyp. objaśnił A. Mosbach).

— Towarzystwo *Maticy czeskiej* liczy obecnie 3,694 członków. W r. 1851 przystąpiło do niego 746 nowych członków. Nakładem tej *Maticy* wyszło teraz dzieło prof. Czelałkowskiego, p. n: „Filozofia słowiańska w przysłowiaach.” Jestto zbiór przeszło 14,000 przysłów we wszystkich narzeczach słowiańskich, a osobliwie w czeskim. Kosztuje 2 złr.

— *Acta Tomiciana* w dwóch razem zebranych tomach, nakładem hr. T. Działyńskiego z Kurnika, w drukarni Poplińskiego już wyszły zpod prasy. Sąto dwa grube folianty pięknie wydane, ozdobione na tytule śliczną ryciną Zygmunta Starego, zdjętą z medalu i opatrzoną licznemi przy końcu objaśnieniami. Pan Działyński dedykował to dzieło synowi swemu, oddającemu się z chwalebą, a między obywatelskiemi synami rzadką gorliwością naukom, szczególnie historyi i literatury polskiej.

— W Kalisz w Morawii wykopano naczynie pełne srebrnej monety polskiej z r. 1598.

† Dnia 1go sierpnia b. r. w Krakowie rozstał się z tym światem mając lat 68: Alojzy-Rafał Estrejcher b. professor i rektor uniwersytetu Jagiellońskiego.

† Dnia 12 sierpnia b. r. w Warszawie, po krótkiej słabości zakończył życie: Abraham Paprocki nadzorca szkół elementarnych wyznania Mojżeszowego, nauczyciel szkoły Rabinów, autor kilku dziełek w języku polskim, napisanych dla Izraelitów.

† Dnia 21 sierpnia b. r. w Warszawie, zgasł na panującą epidemią, przeżywszy lat 65: Adryan Krzyżanowski professor emeryt b. uniwersytetu warszawskiego.

† Dnia 23 sierpnia b. r. w Warszawie umarł na grasującą epidemią: Felix Bentkowski, naczelnik Archiwum Głównego Król. b. dziekan i professor b. uniwersytetu warszawskiego. Urodził się w Lubelskim w m. Lubartowie, dnia 27 maja 1781 r. Żył lat 71.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Lipiec, 1852.***



Lipiec 1852.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,  
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1	☉	750.33	750.58	751.08	752.13	+17°0	+20°8	+22°7	+16°4	73.2
2		753.25	754.00	754.43	755.80	16.4	19.5	21.0	14.2	63.8
3		757.39	757.86	756.77	756.94	12.7	19.5	23.7	15.8	62.7
4		756.41	756.15	754.63	754.18	17.1	22.8	23.3	17.3	59.5
5		752.93	751.63	750.61	750.53	14.4	19.4	20.2	15.4	62.5
6		748.95	746.92	746.76	747.63	14.7	19.4	16.4	11.9	78.8
7		748.19	749.48	749.79	750.67	13.3	17.4	23.5	18.7	74.7
8		752.22	752.51	751.93	751.52	17.0	21.5	24.7	20.4	58.5
9	☾	751.36	750.77	749.07	750.21	17.1	22.0	25.2	18.1	66.5
10		751.04	750.98	750.25	750.75	15.6	21.6	25.5	20.1	57.5
11		751.24	751.25	749.51	749.98	19.0	25.5	29.4	22.1	51.0
12		750.43	750.45	749.20	750.52	17.3	24.0	28.6	19.2	64.8
13		750.80	750.86	749.81	751.51	18.3	22.8	26.4	19.4	59.2
14		752.90	753.23	752.03	751.05	15.9	22.2	26.9	19.2	48.5
15		750.00	750.06	748.85	749.60	17.9	25.0	24.9	19.3	61.5
16		750.25	750.31	741.96	749.33	15.4	22.2	25.2	19.4	48.5
17	☉	749.40	749.44	747.86	748.21	18.8	23.5	28.4	20.6	54.0
18		747.77	748.18	747.26	748.25	18.1	23.8	26.6	17.8	51.5
19		749.23	749.70	749.94	751.18	14.2	18.5	22.3	14.8	54.8
20		752.61	753.16	752.72	753.57	14.1	17.8	20.7	14.0	55.2
21		753.63	752.89	750.75	749.59	14.0	20.4	23.9	15.3	54.3
22		747.64	747.06	745.34	744.10	14.2	18.7	15.5	14.8	84.0
23		742.99	744.01	744.08	746.13	14.6	18.3	23.8	16.7	77.2
24	☾	747.43	748.25	748.75	749.61	14.4	18.9	21.9	17.9	69.8
25		750.43	750.64	749.35	748.84	15.6	18.4	22.5	18.0	66.5
26		747.72	747.36	746.66	746.51	14.8	21.4	21.2	15.4	73.2
27		745.82	746.07	745.15	745.79	13.4	20.2	20.2	15.5	80.0
28		745.84	746.17	745.40	746.83	15.2	21.2	24.7	16.4	62.3
29		747.80	748.14	747.44	747.76	12.6	19.3	21.8	17.6	61.0
30		748.67	749.12	747.58	748.38	13.0	20.4	24.3	16.3	60.5
31	☉	748.50	748.41	747.24	747.48	15.5	20.7	25.4	18.3	64.0
Śre.		750.102	750.182	749.332	749.825	+15°54	+20°87	+23°57	+17°30	63.2



	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.861	27	8.410
Najwyżej dochodził — d. 3 o g. 10 r.	757.86	27	11.957
Najniżej — — d. 23 o g. 6 r.	742.99	27	5.365
Średnia zmiana dzienna barometru	1.985		0.880
Największa zmiana dzienna barometru d. 21—22 o g. 6 r.	5.99		2.655
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	1.062		0.471
Średnia temperatura Lipca wynosi:	748.799	27	7.939
i ta jest wyższą o	+ 19° 32	C.	+ 15° 456 R.
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	0.66	„	0.528 „
Największe ciepło dochodziło d. 11 o godz. 4 wiecz.	+ 18.66	„	+ 14.928 „
Najmniejsza temperatura była d. 6 o godz. 10 wiecz.	29.4	„	23.52 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	11.9	„	9.52 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 21—22 o g. 4 w.	1.900	„	1.520 „
Termometrogaf wskazał:	8.4	„	6.72 „

Maximum: +24° 3 R. d. 11 po połud.

Minimum: +6° 6 „ d. 3 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 41,9 milim. czyli 18,61 lin. par.; czyli o 19,94 lin. par. mniej od ilości jaka zwykle u nas w lipcu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 63,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10,43 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,07 od normalnej.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 13, pochmurnych 8.

— deszczu 10 (d. 1, 5, 6, 12, 15, 22, 23, 26, 27, 30).

— grzmotów 6 (d. 6, 11, 15, 22, 26, 27).

— błyskawic bez grzmotów 5 (d. 6, 15, 17, 22, 26).

Wiatrów mocnych 5 (3 PnZ., 2 Pn.).

Wichrów 2 (2 Pn.).

Wiatr panujący: Północno-Wschodni, częste były północne.

Lipiec r. b. był pogodny, suchy, gorący, przeszło o pół stopnia R. cieplejszy jak zwykle. Pierwsze siedm dni były ciepłe, następnie dziesięć gorące, ostatnie dwanaście równie ciepłe. Dni najcieplejsze były: d. 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18; najmniej ciepłe d. 7, 20, 22. Dwa dni t. j. 7 i 22 do południa były ciepłe, po południu zaś chłodne. W tym miesiącu zwykle panujący wiatr jest zachodni, w tym roku był północno-wschodni i ten był przyczyną suchego stanu powietrza. Deszcze padały rzadko i nie obficie; wody z deszczu spadło o połowę mniej jak zwykle.

Od dnia 8 zaczęła się w Warszawie szerzyć epidemia cholery.

D. 3, 19 widziano plamy na słońcu.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

**BIBLIOTEKA**  
**WARSZAWSKA.**

**PISMO POŚWIĘCONE**

**NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.**

**1852.**

**Tom czwarty.**

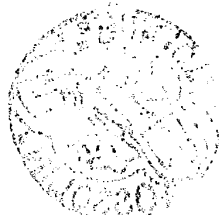
**OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVIII.**

**WARSZAWA.**

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

**1852.**

**P**  
**117152**



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu,  
prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 10/22 września 1852 roku.

*Starszy Cenzor,*

**RADCA DWORU, H. T. Tęczyński.**



# HETMAN ŻÓŁKIEWSKI.

PRZEZ

*Seweryna Gołębiowskiego.*

---

Mając przygotowany rękopism obejmujący żywot hetmana Żółkiewskiego i jego listy, puszczam w świat gońca, który o zjawieniu się jego zawiadomi. Zbiór całkowity, nie licząc w to przedruków, składa się ze 130 listów hetmana Żółkiewskiego, z 13 listów jego żony i 14 listów rozmaitych osób. Prawie wszystkie zostały przepisane z oryginałów, drukiem nieogłoszonych, a mających znaczenie historyczne, albo z własnoręcznych odpisów Żółkiewskiego. Przewagę w tym zbiorze stanowią listy pisane do Jana Zamojskiego od roku 1582 do 1604, i do Tomasza Zamojskiego od 1606 do 1620; prócz tego dziesięć listów z r. 1610 pisanych do króla podczas wyprawy, ważnych treścią i wyjaśniających szczegółami wypadki, o których Żółkiewski wspomina w swoim Pamiętniku, wydanym przez JW. Pawła Muchanowa Kuratora Warszawskiego Naukowego Okręgu. Tych listów udzielił mi ze zwykłą sobie poczciwą uprzejmością Józef Kraszewski, z odpisów znajdujących się w jego zbiorze. Ważne są także listy do Alexandra Koniecpolskiego, do Kiryka Rożyńskiego, Konstantego Ostrogskiego, do hetmana kozackiego Sawuły, do krymskiego hana Gazi Giraja, do Piotra Tylickiego, Józefa Cielkińskiego, Lwa Sapiehy i t. d. Uzupełniają całość: tranzakcja zawarta z bojarami, którzy obrali carem królewicza Władysława, mowy hetmana na sejmie inkwizycyjnym 1592, na sejmach 1618 i 1619 roku, i dwa testamenta z roku 1606 i 1618. Układ przy-

jąłem chronologiczny, pisownią dzisiejszą, z zachowaniem starych form językowych, wyrazy łacińskie zastąpiłem polskimi, zachowując je w odsyłaczach.

Wydanie pierwszego znakomitego materiału do dziejów żywota hetmana Żółkiewskiego, winni jesteśmy światłej troskliwości o zachowanie pamiątek starego wieku JW. Pawła Muchanowa Kuratora Warszawskiego Naukowego Okręgu. Prócz tego znajduje się kilkanaście listów hetmana drukiem ogłoszonych i rozsypanych po rozmaitych dziełach: w Dziejach panowania Zygmunta IIIgo, w tomie VIym Pamiętników o dawniej Polsce, w Starożytnościach polskich Ambrożego Grabowskiego, w Źródłach do dziejów polskich wyd. p. Michała Grabowskiego i Alexandra Przeddzieckiego. W archiwum zasławskiém Romana księcia Sanguszki, jak zapewnił mnie Alexander hr. Przeddziecki, znajduje się księga listów własnoręcznych hetmana do rozmaitych osób od r. 1613 do 1619. Z téj wiadomości nie byłem w stanie korzystać; może kto drugi będzie odemnie szczęśliwszy.

Hetman w testamencie objawił życzenie, żeby mu usypano mogiłę, gdyby zginął w Wołoszech; nie dla próżnej chluby, ale żeby służyła za kopiec graniczny. Dziwna rzecz, że dotychczas nikt się nie znalazł, coby mu w dziejach chciał usypać mogiłę. Michał Baliński chwycił ostatnią tylko chwilę i wiernie ją przedstawił. Nawet źródła do napisania jego żywota niewiele mamy wydanych, a byłto żywot bogaty w wypadki, przeważny wpływem. Trzeba więc zacząć od wydawania źródeł. Z dobrą wiarą, z głębokim poszanowaniem przynoszę garść ziemi na mogiłę.

( Wyjątek z rękopisu ).

## ROZDZIAŁ IV.

### Obrońca granic południowych.

Proszę was, jeśli ja zginę, bądźcie na moim pogrzebie.  
Słowa Żółkiewskiego do rycerstwa.

Przyczyną zająć i wojen z Turkami, były wyprawy panów polskich na Wołoszczyznę i napady Kozaków na państwa cesarza tureckiego. Szczęście odstąpiło od chorągwi królewskich, wszystko poszło z pieca na łeb, poganie wzięli serce i zajuszyli się, lekceważąc lud nasz rycerski.



Po śmierci Jeremiasza Mohiły hospodara mołdawskiego, objął rządy starszy syn jego Konstanty (1). Niepłaceniem haraczu obraził na siebie cesarza, który oddał chorągiew Stefanowi Tomży i wyprawił go na państwo. Tomza opanował Mołdawią, a Konstanty z życiem zaledwie zdołał schronić się do Chocima. Stefan Potocki szwagier Konstantego, bez wiedzy króla i sejmu, w 6,000 ludzi wkroczył do Mołdawii na początku sierpnia 1612 r. Wojsko ciągnęło w nieładzie, bez zachowania żadnej ostrożności; w widłach między Prutem a Dziezą, na dolinie zwanéj Sasowym Rogiem, Iskiender pasza sylistryjski, Madziar zturczony, z Tomzą hospodarem wołoskim i z Tatarami otoczył je, i bez boju prawie zabrał w niewolę: mała liczba z szablą w ręku przebiła się przez nieprzyjaciela. Stefan Potocki odesłany został do Carogrodu, Konstanty Mohiła ukrywając się między prostemi jeńcami, nieprzyzwyczajony do nędzy, głodu i chłodu, w kilka miesięcy życia dokonał. Brat jego Alexander przeszedł na wiarę muzułmańską.

Zaraz w kilkanaście dni po téj porażce przyszedł Mehmet i spustoszył Podole. Hetman, który wtenczas umawiał się z konfederatami, pospieszył na Ukrainę do wojska; pomogli mu i konfederaci, zatem wstrzymany został dalszy postęp nieprzyjaciela (2).

Hetman zatoczył obóz w Tatarzyskach o milę od Dunajgradu. Wielu panów senatorów i szlachty ze swojemi pocztami skupiło się do obozu; wojsko konfederackie z marszałkiem Józefem Cieklińskim stanęło o pięć mil pod Szerlejowem; zatem sława poszła o wielkiéj gotowości do obrony. Iskiender zatrzymał się niedaleko Jass, i wyprawił swoich czauszów z logofetem i wiszternikiem

(1) Mohiłowie spokrewnili się z domami polskimi: jedna siostra Konstantego była za Samuelem Koreckim, druga za Stefanem Potockim, trzecia za Michałem Wiśniowieckim, czwarta za Krzysztofem Radziwiłłem.

(2) Car tatarski odwrócił z państw koronnych do Wołoch, gdzie złączył się z Mehmet Girajem sułtanem, który koło Kamieńca plądrował, i z murzami, którzy gromili Polaków na Wołoszczyźnie. Hetman obawiając się nowego napadu, wezwał Józefa Cieklińskiego marszałka konfederacji wojska stołecznego, który wraz z towarzystwem oświadczał ochotę do służby Rzplitej, żeby zajął stanowisko pod Szerlejowem, o pięć mil od obozu hetmańskiego. Sam wyjechał do Kamieńca, dla zawiazania układów z hospodarem wołoskim. Stanisław Żółkiewski do Józefa Cieklińskiego, 20 sierpnia 1612 r.

wołoskim dla traktowania z hetmanem o pokój. Żółkiewski ze swojej strony nazначył pięciu kommissarzy: Jerzego Zbaraskiego krajczego kor., Tomasza Zamojskiego starostę knyszynskiego, Pawła Piaskowskiego, Macieja Leśniowskiego i Stefana Grudzińskiego. Kommissarze zatrzymali się z tej strony Dniestru w miasteczku Braki. Turcy każdego dnia przewozili się do nich w trzyśta koni; równa liczba naszych bywała na straży przy namiotach, a insi ludzie o kilkoro strzelenia z łuku pod gajem w szyku. Częstoowano Turków wódkami rozmaitemi, małmazjami i winami. Szósteo dnia po zjechaniu się kommissarze zawarli postanowienie, a hetman wojsko na leże rozpuścił.

Ledwie wojsko się rozeszło, BATERBEJ wtargnął z Tatarami we 40,000 i położył się koszem pod Morachwą, 30 października 1612 r. Tomasz Zamojski, który przybył do Szarogrodu, nie spodziewając się nieprzyjaciela, zaczął ludzi kupić, i poszedł w ślad za Tatarami znosząc pojedyncze zagony. W drodze łączyły się z nim kwarciane chorągwie; przybyło też 400 ludzi z Morachwy na koniach i pieszo z Golińskim, tamtejszym dzierzawcą. Wojsko polskie liczbą daleko nie dorównywało Tatarom, jednak za radą starych żołnierzy, Zamojski doścignąwszy BATERBEJA 2 listopada, wyprawił na harc 130 ochotników, dawszy im za starszego Mikołaja Marchockiego, któremu kazał od prawego skrzydła czynić z nieprzyjacielem. Na lewém skrzydle, za kolasami, postawił ludzi z Morachwy. Na czele dwie chorągwie kozackie: Jana Zamojskiego strażnika kor. i Gorzyckiego; za niemi chorągwie hussarskie i piechotę z armatami. BATERBEJ plon i chałastę puścił w dalszą drogę; sam zatrzymał się z wyborem wojska, i rozdzieliwszy je na pułki; jednemu z nich kazał skoczyć na Morachowców, sam ze swoim dworem uderzył na harcowników. Morachowcy nieźle wytrzymali natarciu, a gdy Tatarzy ustępować zaczęli, porzucili wozy i w pole zapędzili się za Tatarami, którzy ich ze wszystkich stron ogarnęli i srodze nasiekli. Za drugim razem, gdy bez rozkazu chłopstwo znowu wymykać się zaczęło, Zamojski skoczył z hussarską chorągwią i ratował ich, nie zapędzając się daleko. Harcownicy nie wytrzymawszy natarcia umknęli pod płot, i ztamtąd odstrzelowali się dość szczęśliwie. Dobrzyniecki towarzysz postrzelił BATERBEJA, z dział puszczoneo gęstą strzelbę, więc Tatarzy ustąpili i stanęli pod Morachwą, a o północy puścili się w dalszą drogę. Tymczasem do obozu nadciągnął Piotr Łaszcz starosta lityński we 200 koni, Alexander Kalinowski we 400 koni i 200 piechoty

z armatą, Lewikowski rotmistrz z chorągwią dobrze okrytą, barskich ludzi 400: tak, że nazajutrz zrana było już koło 4,000 ludzi. Ruszyli o świcie, lecz nim przybyli do Morachwy, strażę znać dały, że już nieprzyjaciel z plonem cztery albo pięć mil ubiegł; więc na radzie postanowiono, żeby dalszej pogoni zaniechać.

W r. 1613 pod niebytność hetmana, który we Lwowie umawiał się z konfederatami, regimentarzem w obozie był Alexander Kalinowski starosta kamieniecki. Chodził za Tatarami, którzy plondrowali w okolicach Braclawia i Winnicy; ale jak spieszenie wpadli, tak spieszniej jeszcze uciekli, a regimentarz w gorące dni natrudziwszy koni, z niczém wrócił. Hetman przybył do obozu i sześć tygodni zetrwał, a upewniony przez szpiegów, że nietrzeba się obawiać nawalnego niebezpieczeństwa, wojsko na leże rozpuścił. Wkrótce potem Tatarzy pokazali się w okolicach Kamienca, za któremi chodził z ludem zebrany naprędce Alexander Kalinowski i Tomasz Zamojski.

Na początku lata w r. 1614, hetman udał się na Ukrainę, gdzie zastał wielką trwogę i po zamkach przygotowania do obrony. Jeszcze w drodze doszły do niego wieści, a potem i list przyniesiono od Bossego, że Tatarzy pogromili go na Teligoli (1). Co jako się stało, wypisuję.

Szahin Giraj puściwszy głos że pojechał do Persyi, ukrywał się w dzikim polu, z miejsca na miejsce przechodząc, a nie mając z sobą więcej nad 80 ludzi. Umówił się z Bossym osadcą Berszady, że mają się zjechać na Teligoli. Tymczasem stryj jego han krymski, słysząc o tém, że Szahin ukrywa się w stepie, postanowił na niego polowanie wyprawić: rozdzielił ordę na pułki, i po całym polu kazał szukać Szahina. Jeden oddział pogromił Bossego na Teligoli, który stracił kilkudziesięciu ludzi, a sam ledwie uszedł pod zastoną nocy. Na Szahina sam han natrafił: mężnie się stawił hanowi choć w nierównej liczbie; pogromiony i raniony, uszedł za Dunaj na Dobrucze. Z powodu takiej bliskości Tatarów, trwogi były na Ukrainie; szpiegi z różnych miejsc jeden o drugim nie wiedząc, zgodne przynosili wieści, że hana z całym wojskiem tylko co nie widać.

Obrona Rplitéj zależała na samém tylko wojsku kwarcianém. Janusz Ostrogski pan krakowski, ofiarował się dosyć chętnie; za jego przykładem poszłoby wielu innych, i obejrzeliby się po-

(1) Dolina na polu białogrodzkim.

ganie słysząc o takiej potędze, ale panowie deputaci z trybunału nie chcieli pozwolić, żeby sprawy Janusza Ostrogskiego na drugie roki były odłożone; więc został przy trybunale pilnując prawa.

Hetman osadził strażami pola i szlaki; rotmistrzów zwołał do Baru i radził z nimi, gdzie stanąć jaką taką gromadą dla obrony Rplitej. Najspodobniejsze miejsce zdało się między Kamieńcem a Barem, tuż przy samej Kuczmeni (1).

Tatarzy naprzykrzali się czambułami ruskim krajom. Ode-mścili za te łupieże Kozacy, kiedy we sto czajek, a każda po czterdziestu mołojców, wyprawili się na morze Czarne do sławnego portu Synopy, i wielką szkodę wyrządzili Turkom. Sułtan wojnę z Polską postanowił, i kazał się ruszyć dwom wojskom: Ali baszy na morze Czarne, a Bejlerbejowi urubelskiemu ziemią. Ali basza zasadził się w porcie oczakowskim; Kozacy wracali nie wiedząc o tém, w ostatnich dniach sierpnia r. 1614, a kiedy Turcy ognia z dział dali, poszli w rozsypkę: 18 czajek Dnieprem wróciło, drudzy wyskoczywszy na brzeg z życiem uszli, zostawując w rękach Turków zdobycz i czółna. Bejlerbej poszedł lądem ku Tehini; Tomza przestrzegał o tém hetmana, a hetman odpisał: bądź Waszmość spokojny, nie na niewiasty trafi. Bejterbej poszedł ku Tehini, potem ślad odwrócił ku Oczakowu, i nic nie sprawiwszy, wrócił nazad.

Nadszedł rok 1615. Kozacy w 80 czólen wybrali się na morze i uderzyli na brzeg blisko Konstantynopola między Missewną i Archioką. Cesarz tam był na myśliwstwie: widział z pokoju swęgo dymy, a zdjęty gniewem, wyprawił przeciw nim flotę. Przy ujściu Dunaju dogoniły ich galery; Kozacy okrążyli je stadem czajek, pojмали paszę, wzięli kilka galer i spalili je pod Oczakowem. Cesarz w sierpniu posłał cara tatarskiego, który splądrował Podole i Wołyń (2).

Na początku listopada, nastąpiła druga wyprawa naszych do Mołdawii, prawie jako olój na ogień. Samuel Korecki i Mi-

(1) Stanisław Żółkiewski do króla, 12 czerwca 1614.

(2) O drugim napadzie Tatarów w 1615 r. jest wzmianka w Pamiętnikach do panowania Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza wyd. p. Wojcickiego. Białoskurski, który chłopięciem wzięty w niewolę zbisurmanił się i u Dewlet Giraja kałgaja wszystkiem rządził, podczas tegiej zimy wpadł na Wołyń i na Podole, stanął koszem pod Sulżyńcami, i całą krainę koło Międzyboża, Zinkowa i Sałanowa, ogniem i mieczem spustoszył.

chał Wiśniowiecki porazili Turków, i wyparli Tomzę z gospodarstwa. Skoro w Konstantynopolu odebrano wiadomość o wtargnięciu Polaków do Mołdawii i o zamysłach pana Humieńskiego przeciw wojewodzie siedmiogrodzkiemu, obeszło to bardzo baszę, i wstrzymał hana tatarskiego od perskiej wojny. Bardziej mu leżały na sercu te trzy ziemie: Siedmiogród, Multany i Wołoszczyzna, niż owa wojna (1). Więc uradzili w Konstantynopolu, żeby wołoską ziemię Turkami obsadzić, Kamieniec zająć i ruskie kraje aż po Kijów. Wojna z Persami wstrzymywała ich do czasu, wyprawili jednak Ali paszę morzem przeciw Kozakom, a Iskiendera paszę do Mołdawii. Szedł Ali pasza na początku r. 1616; Kozacy porazili go na Limanie, wzięli kilkanaście galer i do sta człon, spalili Kaffę i spustoszyli brzegi. Iskienderowi paszy szczęśliwiej się powiodło na Wołoszczyźnie. Michał Wiśniowiecki umarł, a Korecki opuszczony od niepłatnego żołnierstwa, w 500 ludzi bitwę stoczył; został wzięty w niewolę, i w Carogrodzie do więzienia wtrącony. Iskiender pasza nie posuwał się dalej, bo na granicy stał hetman z wojskiem; Tatarzy tylko wpadli na Pokucie, ale ich zegnał Wrzeszcz wysłany z pułkiem. W tymże roku z godnością Rzplitej odprawiła się kommissya pod Chocimem (2).

Kozacy wyprawili się na morze; do Sumszunu płynąć chcieli, ale wiatr ich uniósł do Miner; potem brzegiem szli do Trapezuntu. Nie było ich więcej nad 2,000, jak powiadał Kwiliński szlachcic, który z Koreckim pojmany, uciekł wtedy do Kozaków. Dowiedziawszy się, że Ibrahim pasza drogę im zastąpił, weszli w morze Azowskie, potem w Don, i pieszo dostali się do domu, na świeże zgliszcza i gruzy. Ibrahim pasza spalił sicz, ogołocną z obrońców.

W r. 1617 krymski kałgaj w czasie zapust wszedł na Ukrainę i zniósł Kozaków, którzy mu zastąpili drogę. Potem Alimandziar pasza podjął się tego, że zniszczy zamki ukraińskie, gniazda rozbójnicze z których wychodzą Kozacy. W post przyszedł do Tehini; hetman pod Bar ściągnął chorągwie, zatem Turcy zaniechali swego zamiaru, a Kozacy o środopociu wypadli na morze.

(1) Stanisław Żółkiewski do Zygmunta IIIgo, 23 czerwca 1616 r.

(2) Stanisław Żółkiewski zebrawszy wojsko w pół lata (1616) obóz zatoczył nad rzeką Usiczą, i umówił się ze starszyzną turecką, że z Polakami wojny prowadzić nie będą, jeśli Kozacy przestaną wpadać do państwa tureckiego. (Pamiętniki do panowania Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza wyd. p. Wojcieckiego).

Latwały nowiny, że będziemy mieli Turków w gości. Hetman przestrzegał i listy przykre pisał; królewicz ciągnąc na wyprawę do Moskwy, Marcina Kazanowskiego z częścią wojska do niego odsłał. Niemałeto było wsparcie, więc też znaczne poczty ochotników nadciągały ze stron rozmaitych, a wszyscy poddali się z dobrą chęcią na wszystkie posługi wojskowe, i razem z kwarcianami strażę odprawiali: Jan Daniłowicz wojewoda ruski, więc Janusz książę Zasławski wojewoda wołyński z niemałym poczem ludzi, i z ksiązęciem Jerzym Radziwillem, i z panem chorążym Tyszkiewiczem; Marcin Krasicki pan lwowski, Adam Hieronim Sieniawski podczaszy koronny i Jerzy książę Zbaraski potężnie przyszli; więc Jan Zebrzydowski starosta lanckoroński, panowie: Stadniccy Marek i Mikołaj, z dobrymi szlacheckimi pocztami. Nieobecni też przysłali swoich ludzi: Janusz Ostrogski pan krakowski, młodzi książęta Ostrogscy, Jan Radziwiłł kasztelan trocki, Tomasz Zamojski, Krzysztof Sieniński i inni panowie rusnacy. Skoro się tak potężne wojsko skupiło, hetman napisał do Iskiender paszy, że gotów do pokoju i do wojny (1).

Przy paszy nie było wielkiej potęgi: Turków mógł mieć 15,000, Tatarów 20,000; Raduł gospodar wołoski i Alexander multański przyprowadzili 14,000 Wołochów; oczekiwał także na przybycie paszy senderowskiego i wojewody siedmiogrodzkiego. Zbiwszy w kupę wszystkie siły, nie miał więcej nad 60,000 ludzi (2).

Iskiender pasza od Tehini idąc, stanął pod Raszkowem, dosyć lichą zamczyną i ladajako opatrzoną; uparcie téj zamczyny dobywał, konia stracił, sam o mało gardła nie dał i odstąpić musiał. Dopiero we trzy dni potém, za praktyką hospodara wołoskiego, załoga w znacznej części z Wołochów złożona, opuściła zamek, a Iskiender spalić go kazał.

Hetman 7go września stanął obozem u Jarugi nad Dniestrem, a Iskiender z drugiej strony Dniestru u Soroki. Obsyłali się nawzajem listami. 12 września z godziną na dzień, podbiegli Tatarzy pod nasz obóz; hetman wysłał przeciw nim ze 200 ochotnika. Trwały harce do południa: zbito kilku Tatarów z koni, zbito też kilku naszych. Potém nadbiegł Turczyn z listem od Iskiendera, a nazajutrz przyjechał w kilkanaście koni Ali

(1) Mowa Stanisława Żółkiewskiego na sejmie 1618.

(2) Stanisław Żółkiewski do Zygmunta IIIgo, 28 września 1617.

aga. 14go września hetman dał mu posłuchanie. Kiedy się zeszli senatorowie i siła ludzi do namiotu hetmańskiego, wprowadzono Ali agę, który przywitał hetmana, list oddał i usiadł na stołeczku. Powiedział, że Iskiender pasza z polecenia cesarza tureckiego przybył nad Dniestr, żeby się z panem hetmanem umawiał, i że prosi o przystanie posła. Zatem hetman zgodził się na wyprawienie w poselstwie Piotra Oźgi starosty trembowelskiego, Ali agę w zakładzie zatrzymał i odesłał do Jarugi.

Pan starosta 15go września przybył nad Dniestr w wielkiej asystencji ludzi zacnych, którzy go do brzegu odprowadzili; na drugiej stronie stały dwie chorągwie Turków, chorągiew Wołochów i pułk niemały Tatarów; a że jeden tylko prom był i to bardzo zły, przyszło się długo zabawić na przewozie. Na tamtej stronie powitali go bekowie tureccy, potem przyjechał Aliszach murza, więc hetman wołoski; Kantemir stał przy pułku tatarskim gniewny, że pan starosta nie witał go, i do niego nie jeździł. Pan starosta puścił się w drogę z dwoma bekami, z Aliszach murzą i z hetmanem wołoskim. Kiedy nadjechali na stanowisko Kantemira, tłumacz powiedział panu staroście, że go uraził. — Alboż tu był? — zapytał pan starosta z zadziwieniem i jechał dalej. Wzięty w niewolę pacholek z rotty Kazanowskiego uchwycił się jego strzemienia, on mu nie kazał od konia odchodzić, i tak go z kosza wywiódł.

Nad wieczorem przyjechał do obozu, a nazajutrz otrzymał posłuchanie. Przyszli do niego czauszowie i towarzyszyli mu do namiotu, w którym byli zebrani paszowie i gospodarowie. Wkrótce nadjechał Kantemir z bratem swoim Achtymirem. Pasza tak do niego przemówił: „Nie witał cię wczora pan poseł, a to cię teraz wita.” I tak przywitali się. Zaczął potem pasza mowę, długo wywodząc, jako cesarz turecki statecznie trzyma przyjaźń z królem JM., król zaś jako wielką daje przyczynę do rozerwania przymierza, że z jego ziemi wychodzą Kozacy, palą, pustoszą ziemię cesarską, tak blisko od Konstantynopola, że z okien pałacowych widać dymy. Mówił o tém długo i wymownie.

Pan starosta dowodził, że król nie dał przyczyny do rozerwania przymierza, i owszem, kiedy cesarz turecki był zabawiony wielką wojną węgierską, król wojskami swemi zniósł jego nieprzyjaciół, Ryzwana w Wołoszech, Michała w Multanach, i na tych ziemiach osadził ludzi dobrze życzliwych cesarzowi tureckie-

mu. Kozacy że wojują, nie może tego nazwać naruszeniem przymierza pan basza, bo Kozacy od wieków na Czarném morzu robiją. Czyniono z nich sprawiedliwość, łapano, ścinano, Nalewajka w kilku bitwach zniósł pan hetman; ale w rękę to u cesarza tureckiego, żeby byli i nie byli Kozacy.

— Jakto w rękę? Cesarz radby, żeby z rodem zginęli.

— A to tak w rękę: Kozaków nikt nie mnoży jedno Tatarowie, którzy państwa koronne najeżdżają; komu oni dom spalą, żonę i dzieci w jassyr pogonią, idzie w Kozaki i rozbojem żyje. Otóż niech ujmie cesarz Tatary, Kozaków jak raz król J. M. wygładzi: nigdy już ich nie będzie. Po cecorskiej umowie, kiedy Kazy Gieriej czołem królowi uderzył, a Nalewajka pogromiono, nie było Kozaków; dopiero po śmierci Kazy Gierieja, kiedy poczęli Tatarowie najeżdżać, a to się znowu Kozaków namnożyło.

— Panie pośle, o Kozaki masz wymówkę, a tu co za wymówka, że nie Kozacy, ale ludzie wasi najeżdżali Wołochy. Potocki, Michał Wiśniowiecki z Koreckim Samuelem, panowieto byli zacni w waszej ziemi, u was się zbierali. Nuż Humanajego synowi wasi ludzie na siedmiogrodzką ziemię pomagali, Serbanowi na multańską.

— Dziwuję się, że to wspomina pan basza i kładzie na króla, kiedy sam inaczej o tych rzeczach wie, i listy w onym pogromie znalezione czytał, w których król J. M. srogo im zakazuje do Wołoch wchodzić; więc i sami w więzieniu będąc, to co ja mówię, zeznali.

— Nie listami ich było wypędzać, ale nie dopuszczać, żeby weszli.

— Zda mi się, że niepotrzebnymi rzeczami czas trawimy. Jeśli chce się przekonać pan basza, że to niemiło królowi, niechaj odeśle Koreckiego i tych co przy nim pobrano, a ujrzy, jako ich król J. M. będzie karał.

— O! jużci im dobrze u nas.

— Mówmyż co gruntowniejszego. Ujmijcie Tatary, niechaj nam nie przyczyniają Kozaków, a pan hetman ujmie Kozaki, że nie będą chodzili na morze.

— Dajcie dań powinna Tatarom, albo kiedy oni was wojują, nie wojujcie wy państw cesarskich, ale ich samych.

— Kiedy to będzie bez naruszenia przymierza z cesarzem tureckim, my sobie prędki koniec z nimi uczynimy.

— A cóż uczynicie?



— To uczynimy: pośle król wojska swoje do ich ziemi i będzie ich wojował, a tam już nie ukradkiem wojna będzie, ale odkryta.

— To być nie może, ziemia to cesarska; ale dajcie to, coście dawali Tatarom, a cesarz ich zahamuje.

— Za króla Zygmunta Augusta i za Stefana, Tatarzy za upominki dwie rzeczy byli powinni: pierwsza służyć, druga nie najeżdzać państw królewskich.

— A kiedyż wam służyli?—zapytał Aliszach murza.

— Z wojskiem króla Stefana chodzili na wojnę inflancką, a za króla Augusta sam Dewlet Gierej chodził pod stolicę carską na służbę.

Przemówienie się między nimi rozwiódł pasza. Zniesienie Kozaków nie może być gruntowne aż pałanki zniesiecie Berszad, Kaniów, Korsuń, Czehryń, Czerkasy i Białocerkiew. Dla dwóch przyczyn tego trzeba: raz, żeby się tam nie chowali Kozacy, a druga, że te pałanki na gruncie cesarskim zasiadły.

Pan starosta milczał. — Czemuż nie mówisz?—zapytał pasza.

— A cóż mam mówić? Dowiódłbym ja tobie, że Dniestr granica jest w tej krainie; ale nie graniczyć tu jestem przystany, a o takim sposobie znoszenia Kozaków pan hetman nic mnie mówić nie poruczył.

Szeroko o tém pasza rozprawiał, a gdy skończył, starosta tak się odezwał:

— Panie basza, a tośmy szeroko mówili, i pokazało się, że król J. M. nie daje przyczyny do rozerwania przymierza. Sam dałeś przyczynę: idąc na traktowanie pokoju zburzyłeś Raszków, a teraz napuściłeś Tatarów, którzy naszych picowników pobrali.

— Sami Raszkowanie dali przyczynę; kiedy ich wojsko miało, wypadli z zasadki, porwali dwa wozy i ludzi kilku zabili. Więźniów teraz pobranych odesłałem przez Ali agę; Tatarowie nad moję wolę wypadli, trudno ich hamować.

— Wierzę ja temu, że trudna rzecz ludzi swawolnych hamować, i ty wierz, że królowi J. M. trudno zatamować swawolę kozacką. Jeśli ty utrzymać nie mogłeś tych, którzy na twoje namioty patrzą, jakże zahamować Kozaków, którzy tak daleko od Warszawy mieszkają?

Roześmiał się pasza. Pan starosta wstał i odszedł do swego namiotu, a oni w radzie siedzieli więcej niż trzy godziny. A ci w radzie byli: Iskiender pasza, Ibrahim Semendry pasza,

opodał Tatarzyn Krymkozyja złodziej stary; po prawej stronie Ibrahim pasza sylistryjski, Ali pasza, gospodar wołoski i gospodar multański; Kantymir i Achtymir nie byli obecni. Iskiender posłał po pana starostę i czekał na niego w pokojowym namiocie. Kiedy przyszedł, kazał pasza postawić stołeczek blisko siebie, i tak zaczął mówić:

— Panie pośle, cóż mówisz na te rzeczy o których mówiliśmy zrana?

— Jedne są dobre, ale drugie, żeby niemi pokój stanąć miał, niepodobna.

— Ja obiecuję zahamować Tatarów kiedy im upominki dadcie, a wy zahamujcie Kozaków, więc i tych, którzy najeżdżają na Wołochy i Multany, i na siedmiogrodzką ziemię dają pomoc Humanajego synowi.

— Dopóty dobrze, ale o pałanki rzecz niepodobna.

— Panie pośle—rzekł pasza wzięwszy go za suknię—kiedyś ja tobie wziął tę suknię a ty moje, twoja warta sto talarów, a moja pięćdziesiąt, i mówiłbym: jednajmy się, jam tobie wziął suknię, a ty mnie. Prawda, mówiłbyś że twoja suknia lepsza? Otóż i tu tak: Kozacy wiele szkód poczynili w państwach cesarskich, wiele miast popalili, czemuż wy aby jednego pałanka, Berszady mianowicie nie macie znieść, żeby się cesarz ukoił. Odstąpię ja innych pałanków, tylko Berszad znieście.

— Na Berszad podwodzi cię gospodar wołoski, bo tak-rok, kiedyś był kommissarzem pod Chocimem, skarżyli się Wołochy na Bossego, który w Berszadzie mieszka. Ale jak wtenczas tak i teraz powiadam, że król J. M. uczyni sprawiedliwość, a kogo dobrze go tam posadzi.

Wstał pasza, wyjął książkę do nabożeństwa i tak powiedział:

— Panie pośle, oto są książki na których się Bogu modłę.— Położył palce na nich i tak dalej mówił:—Przysięgam na niebo, na ziemię, i na ten stołek na którym siedzę, że nie gospodar, ale mufty to sprawił, a to z téj przyczyny. Pojmał Bossy czterech Turków, których potem dał na okup, między nimi był blizki krewny muftego, a drugi krewny pana pokojowego; ci ustawicznymi prośbami sprawili to u cesarza.— Potem długo mówił po węgiersku, bo Węgier był rodem, perswadując, żeby Berszada była zniesiona.

Schylało się już ku wieczorowi. Iskiender oddał panu staroście artykuły ledwie nie jednakowe z temi, które przywiózł,

i pozwolił mu jechać. Kiedy wyjechał z obozu, Turcy zaczęli go namawiać, żeby na bród poszedł, i starosta nie był od tego, jedno że miał rydwan, a bród był głęboki. Zapytał ich, dlaczego nie chcą jechać na przewóz?

— W nocy przyjdzie nam wracać na kosz tatarski— odpowiedział bek przełożony nad chorągwią— boję się, żeby się na nas Tatarzy nie rzucili.

— Przecież wy jesteście ludzie jednego pana i jednego języka.

— Te psy niewiele na to uważają: samemu paszy wóz strzegli i konie zabrali.

Kiedy przez kosz przechodzili, Tatarzy bardzo zalecali się do rydwanu, ale Turcy otoczyli go wkoło i dobrym klusem przez kosz przeszli. Stanąwszy w obozie starosta zdał sprawę przed hetmanem, który żadnym sposobem na zniesienie Berszady pozwolić nie chciał. Dowiedział się o tém dziedzic Berszady Jerzy książę Zbaraski, więc pokazał co może cnota obywatelska: oświadczył, że dla jednego miasteczka pokoju zrywać się niegodzi, i zaraz kazał spalić Berszadę. Tym sposobem trudność została usuniętą, a pan hetman wyprawił znowu starostę do Iskiendera dla zawarcia pokoju. Po drodze starosta wstąpił do Jarugi i odwiedził Ali agę, który skarżył się na przystawów; ale wnet go tęsknica odpadła, gdy Otwinowski oświadczył, że pan hetman chce mu dać upominku sto talarów.

Starosta prosił o posłuchanie, które Iskiender przyrzekł udzielić, by jenó wrócił od Betlem Gabora wojewody siedmiogrodzkiego, do którego właśnie z wielką pompą wyjeżdżał. Powróciwszy zasiadł w radnym namiocie i wezwał starostę. Nalegał, żeby pan hetman dał kartę, że Polacy Berszady zabudowywać nie będą, zapewniając, że i on od siebie wyda taką kartę. Podziękował mu starosta, ale na to zgodzić się nie chciał. Potém odszedł, a oni sami radę uczynili. W ślad za nim do namiotu przyszedł Aliszach murza i nalegał o upominki. Starosta wręcz odmówił i dodał:—A co panie Aliszach murza, grozisz wojowaniem, mniej o to dbamy. Kiedy han nie posłucha rozkazu cesarza tureckiego, a cesarz pozwoli mścić się na was, wojska króla J. M. pójdą do Krymu i uczynią z wami wieczny pokój.

Porwał się z furią Aliszach murza i wyszedł z namiotu. Starosta powtórzył paszy jaką miał z nim rozmowę.— „Będą oni

to trzymać, co się postanowi — powiedział pasza — a jeśli han nie zechce, cesarz odbierze mu państwo i da Mehmet Girajowi.“

Domawiał się, że pójdzie z panem hetmanem na uśmierzenie Kozaków: — „Wszak ja teraz z panem hetmanem brat.“

— Kain z Ablem bracia byli — odpowiedział starosta — a przecie się poszarpali. Lepiej, że ty pójdiesz w swoją drogę, a pan hetman w swoją.

Domawiał się także i o to, żeby pan hetman zjechał się z nim dla rozmowy i uciechy przyjacielskiej po zakończeniu traktatów.

— Jakim sposobem ten zjazd się odbędzie? zapytał starosta.

— Na wołoskim brzegu naprzeciw Jarugi każe rozbić namiot i tam przyjadę z wojewodą siedmiogrodzkim i z gospodarzami, a pan hetman niech się do mnie przewiezie.

— Trudnato rzecz, kto się do kogo będzie miał przewieźć; ale jako każesz, powiem panu hetmanowi (1).

Hetman jechać do niego nie chciał, ochraniając powagi króla i Rplitęj, żeby Iskiender przed ludźmi potem nie udawał, że Polacy prosili go o pokój. Mieli zjechać się na wyspie, w równiej od brzegów odległości; wtém woda wielka przypadła i zjazdowi temu przeszkodziła (2).

Oto są warunki umowy, zawartęj przez Żółkiewskiego pod Buszą 23 września 1617 r.

1) Łotrowstwa kozackie zostaną powściągnięte.

2) Tatarom zwyczajne upominki na przyszłe lata dawane będą.

3) Siedmiogrodzkiej, wołoskiej i multańskiej ziemi Polacy najezdzać nie mają, ani wspierać Humanajego syna, Serbana lub kogokolwiek bądź uwiedzionego chciwością panowania (3).

Chocim zamek trzymany przez spadkobierców Mohity i osadzony polską załogą, hetman zwrócił gospodarowi wołoskiemu, a Mikołaja Iwonię starostę chocimskiego ściągć kazał za to, że rozkazu nie usłuchał i ustąpić nie chciał (4). Inaczęj sobie postą-

(1) Tranzakeya Stanisława Żółkiewskiego ze Skinder baszą w 1. VI Pamiętników o dawnęj Polsce.

(2) Mowa Stanisława Żółkiewskiego na sejmie 1618 r.

(3) Pismo od Stanisława Żółkiewskiego Skinder baszy dane d. 23 września 1617 r.

(4) Do posiadania Chocima hetman nie przywiązywał żadnej wagi. Jeszcze w 1614 r. prosząc o wybrańców żeby osadzić Kamieniec i Chocim, tak pisał do króla: „Po Chocimiu, że go dierzym dawno mem zdaniem nie,

pił Iskiender, wszystko na nieszczerości i obłudzie. Zawierając traktaty pozwolił Kantymirowi i Achtymirowi z Tatarami odejść na pohulankę. 17 września wyruszyli z obozu, a 21 uderzyli na Halicz o 60 mil odległy.

Zawiść idzie za prawdziwą zastugą jak cień za światłem. Wielka wrzawa powstała w Polsce na hetmana, że Wołoszczyznę oddał w ręce Turkom. Nie było tak gwałtownej potrzeby, powiadano, ani sił nieprzyjacielskich tak wielkich, żeby go przymusiły do tego traktatu z ohydą narodu polskiego i z utratą krainy hołdowniczej. Ten traktat wszystkie sławne czyny Żółkiewskiego w niepamięć pogrążył. Czemu hetman bitwy nie stoczył? wołali na sejmikach. Bitwy nie stoczył, bo jedna bitwa przegrana mogła za sobą pociągnąć straszliwe następstwa; rzekł się wpływu na Multany i Wołoszczyznę, wywalczonego przebojem przez Jana Zamojskiego, dlatego, że Rplita z Zygmuntem IIIcim na czele i z nieładem w rządzie, nie była w stanie tego wpływu utrzymać; dlatego, że zajęta wojną z jednym potężnym sąsiadem Michałem Teodorowiczem, nie była w stanie współcześnie drugiej wojny prowadzić.

„Służąc niewdzięcznemu światu, tyle było szacunków rozmaitych i obmowisk — pisał hetman do kanclerza Gembickiego — rzeczą się samą ukazało, jeśli na fortele albo figlarstwo jakie, przestrogi o nieprzespieczeniach po koronie rozsyłał... Mam wiadomość pewną z tajemnej rady cesarza tureckiego, że byle się jedne z Persy uspokoił, ze wszystką potęgą zwali się na naszą Rplitę. Niech to sobie kto jako chce waży; moja nadzieja w tém zem stary, i że Pan Bóg skończy dni moje, żebym nie patrzył na złe czasy ojczyzny miłej” (1).

Kozacy gorącego sadła Turkom za skórę zaleli; morze Czarne rozbojami napelnili, kilkadziesiąt miast wyrócili z gruntu, w okna seraju potyskiwali pochodniami. Można było się spodziewać pewnej wojny z Turkami, jeśli najazdy kozackie nie zostaną wstrzymane. Te były ostatnie słowa Iskiendera do Piotra Oźgi starosty trembowelskiego: „Panie pośle! jeśli będziecie cho-

tylko pogany tém najbardziej irytuje przeciw nam gospodar. Wedle rozkazanja W. Kr. Mei żywnością co mogę posiłę ten zamek; ale jak mi się poda okazyja, uczciwie rad go zbęde.” Stanisław Żółkiewski do króla d. 12 czerwca 1614 r.

(1) Stanisław Żółkiewski do kanclerza Gembickiego, d. 1 października 1617 r.

wać umówione warunki, przysięgam wam, że do lat stu i dalej pokój będziecie mieli; ale jeśli przekłeci Kozacy nie przestaną najeżdżać na państwa cesarza pana mego, pokój się złamie i pewna wojna będzie (1).

Swawola kozacka przeszła miarę; niedosyć, że na Polskę o mało nie ściągnęli groźnej wojny z Turkami, ale kiedy hetman do nich posyłał i król ich swojemi listami napominał, żeby posilkowali wojsko królewskie, uczynić tego nie chcieli, tylko drapieżyli po Ukrainie udając przed ludźmi, że grabią i wydzierają z rozkazu hetmańskiego (2).

Hetman posyłał do nich sługę swego Derewińskiego, dając im znać o pokoju zawartym z Turkami i żądając od nich, żeby przysłali kilku statecznych ludzi, z któremiby się rozmówił o woli królewskiej. Kozacy dosyć lekko przyjęli Derewińskiego i odpowiedzieli: „jeśli hetmanowi tego potrzeba, niechaj sam do nas przyjedzie.”

Hetman w październiku ruszył z wojskiem przeciw Kozakom. Przybyli do obozu: Jan Daniłowicz wojewoda ruski, słudzy Janusza Ostrońskiego pana krakowskiego, słudzy Jerzego Zbaraskiego krajczego kor., więc i obywatele województwa kijowskiego, którzy wtenczas mieli okazowanie. Posłyszawszy o takiej potędze wojska, Kozacy zwłaszcza starsi powiedzieli, że się nie chcą z hetmanem koronnym potykać; więc i drugim serce upadło (3).

Do obozu nad Rosią na uroczysku Starój Olszance przybyli posłowie kozaccy, a następnie między kommissarzami królewskimi: Stanisławem Żółkiewskim wdą kij. het. pol. kor., Janem Daniłowiczem wdą ruskim, Stanisławem Koniecpolskim podstolim kor. i Janem Żółkiewskim starostą hrubieszowskim, a Piotrem Konaszewiczem hetmanem zaporozkim i starszyzną kozacką ostatniego października 1617 r. zawarta została następująca umowa. Kozacy przyrzekli zachować się spokojnie, na państwa sąsiednie a mianowicie cesarza tureckiego nie najeżdżać, słuchając we wszystkiém starszego, któryby przez nich samych był obrany, a przez pana hetmana koronnego potwierdzony; przestrogi o nieprzyjacielu krzyża św. dawać, przepraw bronić, z miejsc zwykłych na włość bez woli i rozkazu hetmańskiego nie wychodzić, nowoprzybyłych,

(1) Mowa Stanisława Żółkiewskiego na sejmie 1618 r.

(2) Stanisław Żółkiewski do króla d. 16 września 1617 r.

(3) Stanisław Żółkiewski do króla d. 28 września 1617 r.

którzy wylamawszy się z juryzdykcyi urzędowej, od lat dwóch przyłączyli się do wojska, oddalić. Wdzięcznie przyjęli łaskę królewską, że ich chce groszem i suknamy opatrywać; jednak, że te pieniądze 20,000 zł. i 700 postawów karazyi, ledwie na tysiąc ludzi wystarczą, zastrzegli sobie że im wolno będzie podać prośbę do króla i do stanów na blisko przyszłym sejmie, o zatrzymanie i opatrzenie większej liczby ludzi, równie jak o zatwierdzenie wolności nadanych od króla Stefana (1).

Wspomniałem wyżej, że zazdrośni cudzej sławy, zlemi językami nicowali czynności hetmana. Na sejmie walnym w Warszawie 1618 r. tak się tłumaczył: „Zawzdydym to czynił, zem dawał liczbę z czynności moich; jednak radniej to przy stanach koronnych uczynię, i to nie jako senator siedząc, ale jako sługa stojąc według dawnych zwyczajów. Dawałem ja zawsze wiadomość W. Kr. Mci, dosięgałem rady, i wołałem rozkazaniem W. Kr. Mci się sprawować, niż zdaniem swoim: mało bowiem rozumu mego. A wiem, że przy W. Kr. Mci anioł boży, i serce W. Kr. Mci w rękach bożych, jako to kapłan onegdy wywiódł; miałem zawsze w powinném poszanowaniu rozkazanie W. Kr. Mci, i błogosławił mi Pan Bóg.” Mowę zamknął temi słowy: „Oskarżają mnie ludzie; zem pana Koreckiego nie ratowałem, lecz nie mogłem bez woli i wiedzy W. Kr. Mci; druga, zem nie stoczyłem bitwy i nie poraziłem Skinder baszy. Z młodości mojej nie byłem na to skąpy; oświadczałem ochotę moję w krwawych bitwach z Kozakami, z Michałem wojewodą; pod Rewlem zwiódłem bitwę z Karolusem; pod Carowem Zajmiszczem już mnie i winowano, zem nazbyt skoro poszedł, więc i pod Kłuszynem zwyciężywszy nieprzyjaciela na szyję, wziąłem hetmana i do stolicy przywiódłem, bom się nie bał jedno o wojsko. Wiedziałem, że jeślibym szwankował, drugie wojsko było gotowe przy W. Kr. Mci, a jeślibym wygrał, zem wszystko wygrać miał. Ale gdy szło o bezpieczeństwo Rzplitej, musiałem się hamować; kiedyby pod Adryanopolem albo Konstantynopolem, ważyłbym śmiało, ale w granicach koronnych, gdzie posiłku żadnego, nie mogłem narażać trochy téj wojska, na które się Rzplita ubezpieczyła.”

(1) Pismo Kozaków zaporozkich do Stanisława Żółkiewskiego i panów kommissarzy d. 31 października 1617 r. w VI tomie Pamiętników o dawnej Polsce.

Wszyscy ganili traktaty zawarte pod Buszą, lecz publicznie nikt się nie odezwał. Żółkiewski wynosił potęgę turecką i odradzał wojnę z Turkami: „Lepiej wstrzymać się do czasu, a za pożądaną porą może się Rplitej strata odwetować.“ O Mołdawii powiadał, że kość dostała się Turkom do paszczki, niechże się nią zabawią, a Rplitej dadzą pokój. Zdanie jego przyjęto i stanęło prawo, żeby pod karą wygnania i utraty dóbr, nikt nie ważył się wzruszać pokoju zawartego pod Buszą (1).

Wakowała wtenczas pieczęć wielka koronna: nad spodziewanie wszystkich król oddał ją Żółkiewskiemu. Ci, co we wszystkim chcą widzieć złą stronę powiadali, że nietyle miał na myśli uczcić zasługę, jak zrobić przykrość Jerzemu i Krzysztofowi Zbaraskim, którzy przewodzili w izbie poselskiej, a którym Żółkiewski był niemiły.

Tatarzy wielkiem wojskiem wtargnęli w państwa koronne; hetman nastąpił ku Rohatynowi. Wkoło go ogarnęli, przecie zdał się im straszny, bo stał w polu na widoczném miejscu. Krążyli zdaleka, a skoro nasi ku nim poszli, to łotrostwo uciekało, pierzchało, a gonić daleko niegodziło się w téj małości wojska. W kilku jednak miejscach spotkali się z nimi żołnierze, położyli dosyć trupem i dostali 20 więźniów. Czyniło się ile siły i możność pozwalała; ale przecie za nasze nie stało, bo Tatarzy wielką szkodę i spustoszenie wyrządzili, szeroko zasięgając aż do Brzeżan i do Stryja (2).

Zawzięło się na Polskę pogaństwo. Jeszcze chmary tatarskie z najazdu nie wróciły, kiedy dano znać hetmanowi, że znowu Sołtan Badi przyszedł z niemałym wojskiem i już jest na Botni, że Skinder basza bardzo się armuje. „Stanę zastaniając Rplitą—pisał hetman—jakom i teraz uczynił w jakim takim orszaczku: nie kryłem oczu, nie zamykałem się, stawilem zdrowie na szanć. Daj tylko Panie Boże, bym położeniem go mógł Rplitej posłużyć” (3).

Przyszły potem świeże wiadomości z Konstantynopola, że Iskiender zbliży się niezawodnie ku Ukrainie, i jeśli hetmana zastanie w dobrej potędze, będzie traktował; jeśli nie, trzeba, żeby

(1) Pamiętnik do panowania Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza wyd. p. Wojcickiego.

(2) Stanisław Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 19... 1618 r.

(3) Stanisław Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 26 maja 1618 r.



się go Polacy jak szatana strzegli. „Byle jedno pieniądze kwarciane przyszły—pisał hetman—rozdawszy je żołnierzom, zaraz przyjdzie wybrać się w pole, ile nas tyle nas” (1).

Wielka orda tatarska przysłała do Wołoch przebywszy Boh na Piosczanym 30 lipca; można było wnosić, że pokuckim szlakiem wtargnąć zechce (2).

Hetman stanął obozem o dwie mile od Kamieńca, pod Oryninem, w czystym polu, zataborowawszy się wozami. Wielu panów przybyło ze swemi pułkami, jakoto: Zbarascy, Czartoryscy, Sieniawski, Zamojski, Kalinowski. Była gotowość wielka do boju: 5,000 hussarzy, 12,000 Kozaków, 6,000 piechoty, ale nie było zgody i posłuszeństwa rozkazom hetmana. Dewlet Giraj i Kantemir murza stanęli nad wojskiem w kilkadziesiąt tysięcy przebrakowanej ordy. Żółkiewski wojsko sprawił w taborze; sam stał przed wojskiem na oczu wszystkich, czapka nad nim z pierzem dosyć znacznie wydana. Trzymał się odpornie, wydawać bitwy nie myślał; lękał się tego, że jeśli odejdą od strzelby i od piechoty na kilkoro strzelenia z łuku, Tatarzy ogarną ich wielością swoją z czoła, z tyłu, z boków, rozerwą zkądkolwiek i w proch zetną. Dewlet Giraj uderzył na obóz 29 września 1618 r. Taborek księcia Poryckiego, który nie pośpiał złączyć się z wielkim obozem, ogarnął i rozgromił, a księcia ranionego wziął w niewolę. Spotkał go los zasłużony za to, że się wyłamywał zpod władzy hetmańskiej. Nieprzyjaciel próbował szczęścia na prawym skrzydle, gdzie stali ze swemi pocztami Stanisław Lubomirski, Jerzy i Krzysztof Zbarascy, Janusz Ostrogski wojewodzie wołyński i Jerzy Zasławski. Gdy mu dali dobry odpór, całą siłą wyteżył na lewe skrzydło, gdzie Zamojski stał osobnym obozem, na górze, z ludem własnego zaciągu, i z armatą porządną. Razem z nim stanął także dziad jego Stanisław Tarnowski kasztelan sandomirski, mający lat z górą 70, który w ostatniej starości swojej nie litował odwagi i zdrowia dla posługi krajowi, i Gratus Tarnowski kasztelan żarnowiecki, stary, doświadczony żołnierz, który zęby zjadł na wojaczce. 1200 ludzi przyprowadził Zamojski, 400 Stanisław Tarnowski, 400 oddał Janusz Ostrogski kasztelan krakowski pod rozkazy Gratusa Tarnowskiego. Nieprzyjaciel ruszył zrazu Kozaków, którzy czoło trzymali; odparły go chorągwie hus-

(1) Stan. Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 15 czerwca 1618 r.

(2) Stan. Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 19 sierpnia 1618 r.

sarskie i petyhorskie, i dały czas pokrzepić się Kozakom. Kan-temir i sam kałgaj szturmowali potężnie: dziewięć razy w ciągu jednego dnia wracali do szturmów. Hetman nie pozwolił nikomu ruszyć na pomoc, pod gardłem zakazał wyjeżdżać z szyku. Dopiero w ostatniej potrzebie za zezwoleniem hetmana Krzysztof Zbaraski posłał 200 koni strzelców we zbrojach, nad którymi przełożonym był stary Kozak Jan Bielecki; a hetman dodał dwie chorągwie hussarskie Andrzeja Firleja i Jana Bełzeckiego, ale już późno, gdy zachód słońca następował. „Niechaj się nauczy młodzieniec—powiedział—pierwój słuchać, a potem rozkazywać.” W nocy wojewoda podolski zwinął swój obóz i przyszedł do obozu hetmana.

Spodziewano się, że na drugi dzień Dewlet Giraj znowu będzie do taboru szturmował. O stoczeniu bitwy w otwartym polu nikt ani bąknął; aż gdy czaty znać dały, że Tatarzy odeszli, dopiero narodziło się siła mężnych. Hetman czasu nie tracąc w bęben kazał uderzyć, zwołując do koła rotmistrzów. Proponował, żeby porzuciwszy wozy wielkie, z kolas tabor sprawić i iść w pogoń za nieprzyjacielem. Nie było w kole zgody: wozów zostawiać nie chcieli, gadek była moc, a idąc z temi woziskami rozwlekliby się i nie uszli więcej jak milę na dzień, wówczas kiedy kałgaj tego dnia dziesięć mil ubiegł. Tak więc z pogoni nie było nic, a nieprzyjaciel w biały dzień przeciągnawszy mimo obozu, poszedł w ziemię dalej na mil 30, kosz położył pod Zastawiem, zagony rozpuścił aż do Tarnopola, potem przewaliwszy się na Czarny Szlak, wrócił z wielką korzyścią, urągając rycerskim ludziom, co się w waśni rozdarli. Wielkie przymówki i narzekania hetman ponosił od szlachty, która siedziała po domach ubezpieczwszy się na wojsko w obozie będące. W biały dzień Tatarzy przeciągali mimo obozu, powiadano, a nasi patrzyli na nich nie jako rycerscy ludzie, ale jako baby właśnie, i żaden z obozu nie śmiał ruszyć; patrzyli, jak nieprzyjaciel pędzi w ciężką niewolę żony, matki i braci, i nie było tam w wojsku cnotliwego męża, coby szablę w wodzu utopił, za którego sprawą o taką szkodę przyszli (1). W instrukcyach od wielu województw, polecono posłom zapytać na sejmie hetmana, dlaczego Tatarowie w państwo Rzplitej wtargnęli.

(1) Dyaryusz Samuela Maskiewicza.

Wybierającego się do Warszawy zatrzymała podagra, choro-  
ba nie tak wprawdzie niebezpieczna jak przykra, a przedtém  
niedoświadczana. Hetman puścił się w drogę nie uważając na  
stan zdrowia, ani na rady przyjaciół, którzy go chcieli w domu  
zatrzymać — „gdyż jechać na sejm potrzeba, a żyć niepotrze-  
ba (1).”

Na sejmie hetman tak się tłumaczył: — „Zarzucają mi, że  
był nieśmiały, niedbały, w powinności swój nieczuły. Ja nieczu-  
ły, gdym pierwszy o wszystkich krokach nieprzyjacielskich prze-  
strzegali! Ja niedbały, gdym sam tabory zataczał i obozy wyty-  
kał! Ja nieśmiały? niech to powiedzą ci, co byli ze mną pod  
Kłuszynem. Obwiniają mnie, że Tatarów nie gromił, że kra-  
je Rzplitej pustoszyć dozwolił; lecz mógłżem z jedném niewiel-  
kiém wojskiem na wszystkie rozerwać się strony? Miałżem to  
jedyne wojsko, które było szczytem fortuny publicznej, podzieli-  
wszy na części, wszystko na zatracenie narazić? Kiedyśmy stali  
przy Jarudze, prócz rozbiegłych po kraju, otaczało nas 60,000  
Turków i Tatarów. Wiedziałem, że Kantemir murza wyszedł  
z obozu, widziałem dymy, domyślałem się, że to u nas się pali.  
Odszedł Kantemir od wojska Skinder baszy 17 września, a 21  
o 60 mil na Halicz uderzył. Mógłżem go ścigać? Pod Oryninem  
całym usiłowaniem nieprzyjaciela było złamać lewe skrzydło, hur-  
mem potem wpaść w obóz, ogarnąć nas i zetrzeć. Stał na tém  
skrzydle pan sandomierski (Panie Boże, racz duszy jego być mi-  
łościw): w ostatniej starości swojej nie litował on pracy, odwagi  
i zdrowia swojego, dla pożytku téj miłej ojczyzny, aż odparliśmy  
nieprzyjaciela ze znaczną jego stratą; poległ tam Dziurlun gałga  
siostrzeniec hana. Tu powstają na mnie, że nawzajem nie na-  
tartał, nawzajem nie wyszedł w pole; lecz gdybym był na krok  
szańców moich odstąpił, zgubiłbym wojsko, zgubiłbym Ruś  
i Rzplite całą.... Tu tedy Miłościwy Królu jest pole, tu miejsce,  
aby mię każdy śmieie w oczy w sprawach moich winował: dostoję  
mu prawa bez pozwów i mandatów.”

Hetman przestał mówić, a gdy nikt się nie odzywał, tak  
dalej mowę swoją ciągnął: — „Rzetelną sprawę z czynów mych  
zdałem, niech wedle nich zgromadzone stany sądzą o mnie. Ufam  
miłościwy Królu, że W. Kr. M. nie uznając mnie winnym, pań-  
skim rozsądkiem uznać atoli raczysz, jako mi już na latach, a co

(1) Stan. Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 11 stycznia 1619 r.

więcej na siłach i zdrowiu zchodzi. Takem się już schylił do ziemi, że mię więcej na żadne usługi Rzplitej dogodnym mieć nie może. Czas zaprawdę, abym przed śmiercią w téj chwili zesłomości mojej użył wytchnienia, abym wypoczął po tylu trudach i po tylu cierpieniach od zelżywych języków. Jażto na harcach, bitwach i szturmach krew moję dla Rzplitej rozlewając, czterdzieści i cztery obozy służyłem, a przecież ja żyły, przeto zem na ramionach moich bezpieczeństwo Rzplitej dźwigał, a ci tylko dobrzy, co Rzplitej tylekroć w niebezpieczeństwo podali. Pokornie więc i uniżenie W. Kr. Mości pana mego miłościwego upraszam, abys ten urząd hetmański z dobrotliwości swojej odemnie odebrać raczył. Dostałem go nie dla zasług, nie przez ambycją, lecz jedynie z łaski króla mego; dziś, gdy dla zawiści i obmowy już go dłużej dla W. Kr. Mości i Rzplitej godnie sprawować nie mogę, w te ręce, które mi go dały, składam pokornie.”

Gdy skończył mowę sędziwy starzec, podkanclerzy odpowiedział od tronu, oświadczać, że hetman na urządzie swoim dobrze się Rzplitej ojczyźnie swój zasłużył, i co uczynił, wszystko było podług woli i rozkazania króla JM.— „Nie tak jeszcze zchodzi Waszmości na siłach—mówił dalej—abyś téj miłej ojczyźnie pożytecznym być nie mógł; zacem życzy Król JM., abyś Waszmość nie opuszczając Rzplitej w tak ciężkim razie, posługi swoje skończył na polu marsowém, z nieśmiertelną sławą narodu i swoją.” Potem zabierali głos prymas Gembicki i inni senatorowie, składając dzięki i wyrażając cześć dla wielkiego meza.

Dochodziły wieści, że poganie potężnie się gotują. Hetman wybierał się do obozu, oczekiwał tylko na kwartę z Rawy (1). Po zawarciu listu do Tomasza Zamojskiego, z którego wiadomość powyższa została wzięta, w samą wieczrę, gdy i pacholę Zamojskiego razem z rodziną hetmańską u stołu siedziało, przyjechał posłaniec od Gracyana z Jass i oddał hetmanowi listy. Gracyan pilne czynił starania o zawarcie pokoju między Polską a Turkami, bo przewidywał, że w razie wojny byłby jak między młotem a nakowalnią. W tym celu miał się zjechać w Tehini z Iskienderem paszą (2).

Dla poparcia układów, Żółkiewski udał się do obozu pod Berlińcami. Podejrzane były te rokowania; ze wszystkich stron

(1) Stanisław Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 26 maja 1619 r.

(2) Stanisław Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 26 maja 1619 r.

ściągały tureckie wojska, morzem dowożono strzelbę. Kozackie łupieżę ciągle drażniły Turków; choć niewielkim orszakiem, bo tylko czterema czólnami, poszedł na morze niejaki Czeczuba; zatém hetman obawiał się zerwania traktatów i rozsyłał uniwersały, wzywając żołnierzy powiatowych, żeby jak najspieszniej ciągnęli do obozu. Uczyniła się wielka sława o gotowości Polaków, którą umyślnie Gracyan powiększał (1).

Zatwierdzenie pokoju nastąpiło w Konstantynopolu przez wielkiego posła Piotra Ożgę starostę trembowelskiego. Ze strony cesarza tureckiego dołożono wyraźny warunek: jeżeli przekłęci Kozacy na Czarne morze chodzić nie będą (2). Hetman ruszył wojsko na ich uśmierzenie.

Nad Rastawicą zjechali się kommissarze królewscy i posłowie od wojska zaporozkiego, i 8 października 1619 r., zawarli postanowienie, jak się mają zachować Kozacy na służbie króla i Rzplitej (3). Panowie mołojcy zobowiązali się zwyczajem przodków służyć, broniąc przepraw za porohami, przymierza z sąsiadami, a osobliwie z cesarzem tureckim nie wzruszać, czółna morskie popalić; żeby zaś mieli o czém żyć, naznaczono im żołdu 40,000 złp. Starszy nad wojskiem miał być wybrany zpośród Kozaków, przysięgły i postawiony z ramienia hetmana w. koronnego jak niegdyś bywał Oryszowski. Tę umowę zaprzysiął Piotr Konaszewicz starszy z assawułami, pułkownikami i inném rycerstwem wojska zaporozkiego (4).

W zimie 1619 r. z łaski Boga, a za pilném staraniem pana hetmana, pokój był na Ukrainie od Kozaków i od Tatarów. Cicha chwilę trwała, potém znowu zerwała się burza. Kozacy ciągnęli rozbojami wyzywali do wojny Turków. 90 czółen poszło na morze, Warnę zdobyli, miasto i zamek spalili, a kilkaset janczarów w pień wycięli (5).

(1) Stanisław Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 13 lipca i 2 sierpnia 1619 r.

(2) Piotr Ożga do Stanisława Żółkiewskiego d. 26 kwietnia i 25 maja 1619 r. w tomie VI Pamiętników o dawniej Polsce.

(3) Ze strony królewskiej ci byli kommissarze: Stanisław Żółkiewski het. w. koron., Stanisław Koniecpolski het. pol. koron., Tomasz Zamojski wojewoda kijowski, Jan Danilowicz wojewoda ruski, Walenty Alexander Kalinowski starosta kamieniecki i braclawski, Jan Szkliński starosta żygwulski, Tyburcy Złotnicki rotmistrz i Jan Bielecki.

(4) Tranzakeya z Kozakami zaporozkimi d. 8 października 1619 r. w tomie VI Pamiętników o dawniej Polsce.

(5) Jan Czerniszewski do Teodora Jelca d. 11 września 1620 r.

Hieronim Otwinowski goniec królewski z Konstantynopola pisał a pisał, że nie ma żadnej nadziei pokoju (1); wojsk tatarskich pełno było w Wołoszech, na cara tylko czekali, który z Krymu wyszedł i wielką mocą do Polski się gotował. Hetman wyglądał go pokuckim szlakiem i kupił wojsko pod Haliczem (2). Pona- wiały się wieści, że trzeba się spodziewać nawalnych wojsk ture- ckich i tatarskich. Pojmano w Jaroszwie szpiega Serbina Po- tuńnaka, którego potem stracono w Berlińcach. Iskiender wypra- wił go, żeby przepatrywał jaka jest gotowość na zamkach i mia- stach ukraińskich (3). Sam pomknął się ku górze Dniestrem, próbując czy mu się nie uda dostać Kamieńca. Hetman wojsko obrócił w tamtą stronę. Owo zgoła z Turkami wojna była od- kryta (4).

Do wywołania jej niemało się przyczynił Gracyan gospodar wołoski, wierny sprzymierzeniec Polski, który przejmował listy Betlem Gabora i przysyłał je hetmanowi. Betlem mszcząc się za to, najpotężniej przyczynił się do strącenia go z gospodarstwa i mianowania na jego miejsce Alexandra gospodarza multańskiego (5). Gracyan poddał się pod opiekę Polski, obiecując, że we 25,000 połączy się z hetmanem (6). Hetman postanowił wkro- czyć do Mołdawii i rozpocząć kroki nieprzyjacielskie.

Wiedział Żółkiewski, że to rzecz szalona, z garścią ludzi, polegając na chępliwych obietnicach, zawiązywać walkę z pań-

(1) Stanisław Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 7, 19 i 21 czerwca 1620 r.

(2) Stan. Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 7 czerwca 1620 r.

(3) Stan. Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 21 czerwca 1620 r.

(4) Stan. Żółkiewski do Tomasza Zamojskiego d. 4 sierpnia 1620 r.

(5) Hammers: Geschichte des Osmanischen Reiches.

(6) Relacya prawdziwa o wejściu wojska polskiego do Wołoch i o po- trzebie jego z pogaństwem w r. 1620, przez Teofila Szemberka sekretarza króla J. M., który w potrzebie tej był obecny i odwagą zdrowia ojczyźnie służył. Przedrukowana w Przyjacielu Ludu z 1842 r.— Kiatib Czelebi przy- wiedziony w Rocznikach Naima Efendego, przeszłość Gracyana w ten spo- sób opowiada. Gaszpar (Graziani), Frank rodem, przemysłny i pełen dowcipu niedowiarek, wynalazł nowy rodzaj handlu: zakupywał w Frenkistanie (w Europie) jeńców muzułmańskich i dawał im swobodę, w nadziei zwróce- nia na siebie uwagi rządu osmańskiego. Dywan za radą Iskiender paszy bejlerbeja uzyjskiego (rządcy Bessarabii), dwakroć poruczał mu poselstwo do Niemiec, i zasługi jego nagroził księstwem Naksos. Gaszpar za pomo- cą złota hojnie sypanego między członków dywanu i za staraniem Iskiender paszy został gospodarzem mołdawskim. Po dwóch latach podniósł znamię buntu i szukał pomocy w Lehistanie. Collectanea Sękowskiego.

stwem tureckim. A jednak nie było rady: starzec postanowił stanąć na wyłomie i zginąć. Z Baru, gdzie ściągali się chorągwie, napisał list do króla: jestto zdanie sprawy przed narodem i przed potomnością. Wyznawał otwarcie, że odważa się na niebezpieczne przedsięwzięcie, żeby zmusić do milczenia zazdrościwe języki.

„Wypisałem dawniej przyczyny—powiada Żółkiewski—dla których opuściwszy pewniejsze, chwyciłem się silniejszych środków. W Rzplitej nierządnej i krnąbrnej trudno też inaczej. Urągano mnie obmowiskami, i teraz gdyby się Wołochom nie dało ratunku, wielka do obmowiska materya, i pewnieby mnie to nie chybiło. Do tego przychodzi, że albo zwyciężymy nieprzyjaciela, albo on nas zwycięży. Padnieli co przeciwnego, tegom nie szukał nad wolą swoją: rad żywot położyć dla wiary świętej, dla króla i Rzplitej, choć to od niej za wiele prac miasto wdzięczności, wielkiem ponosił żale. Nie mogę jednak, jeno najlepiej życzyć ojczyźnie swój, com dobrym umysłem uczynił. W niebie będzie za to, da Pan Bóg, zapłata. Jeśli też Pan Bóg raczy dopomódz przeciw nieprzyjacielowi, umilkną zazdrościwe języki. U Pana Boga w tajemnicy jako rzeczy padną.“

O sposobie prowadzenia wojny tak się wyraża: „Masz Najjaśniejszy Królu wielką sprawę przed sobą: wojna z Turki nie igraszka. Jest z łaski Bożej wiele sposobów w tej zacnej koronie, są dostatki, których wojna potrzebuje. O sposobie prowadzenia wojny mam cokolwiek doświadczenia, czytałem siła przykładów, mam ich pełną głowę, mógłbym nieco zdania dać, ale nie listowna rzecz z tém się szerzyć. Będzieli Rzplita, ojczyzna moja miła obronną ręką w ziemi swój wojnę odprawować, stało się, zginęliśmy. Jeśli z nieprzyjacielem w jego ziemi czynić i najeżdzać go będziemy, jest nadzieja wygranej. Czynił król Stefan tajemne praktyki o wojnie z Syxtem V tym papieżem, z Filipem II gim królem hiszpańskim, z Moskwą; skrycie, tajemnie się te rzeczy toczyły: Polaków nie było jedno czterej, cośmy o tém wiedzieli. Jeszcze były rzeczy nie dojrzały, żeby je stanom proponować. Śmierć króla wszystko rózerwała. Król z wojskiem, książę Parmy z morskimi siłami mieli się zejść w Grecyi, jednocześnie morzem i lądem naciskając nieprzyjaciela. Przez Wołochy nie myślił król JM., strzegł się zatrudnienia na przeprawie przez Dunaj, czego my teraz mając wielką liczbę Kozaków, mo-

głębysmy się nie bać; natenczas nie było Kozaków setnej części. Otóż ten sam sposób prowadzenia wojny, jedyna nadzieja ocalenia.”

Iskiender pasza ściągnął wojska pięciu sandzaków, pomnożył je hordami Tatarów białogrodzkich i krymskich, i wkroczył do Mołdawii. Z drugiej strony nadciągał Żółkiewski. 1,200 Lisowczyków otwierało pochód, mając na czele Walentego Rogaskiego. Dalsza jazda liczyła 1,500 hussarów, 200 rajtarów, Stefan Chmielecki prowadził konnych 800 Ukraińców, Alexander Kalinowski 400, Jan Tyszkiewicz 400, jazdy barskiej było 300, a Kozaków pieniężnych 1,600. Piechoty było 2,000. Całe wojsko 8,400 wynosiło, nie licząc w to obozowej czeladzi (1). Panowie hetmani rozdzielili jazdę na trzy pułki i postanowili pułkowników: Samuela księcia Koreckiego, świeżo oswobodzonego z tureckiej niewoli, Michała Strusa starostę halickiego i Alexandra Kalinowskiego starostę kamienieckiego; kapitanem piechotnym mianowali Trzechuchowskiego, Szemberkowi powierzyli strzelbę (2).

Ledwie wojsko polskie przez Dniestr przeszło (3 września), gospodar kazał wyrznąć Turków i Tatarów, a mianowicie posłańców Iskiendera paszy, którzy go mieli odwieźć do Carogrodu. Potem jak pies, co zjadł sadło, zabrawszy skarby przebierał się ku Chocimowi, żeby przez Pokucie dostać się do Niemiec; stawiał się jednak w kilkaset koni na surowe wezwanie hetmana (3).

12 września wojsko stanęło na Cecorze w starym okopie, na stanowisku Jana Zamojskiego, który szczęśliwie ukończył wyprawę 1596 r. Nazajutrz przyszli Wołosi z orhijowskiego powiatu oświadczając, że chętnie połączyli się z wojskiem królewskim, gdyby im nie szło o bezpieczeństwo domów, żon i dzieci. Co jedno znaczyło jak gdyby mówili: pobijcie Turków, a my wam pomagać będziemy (4).

17 września kilkaset Tatarów przypadło pod obóz. Uderzono z dział dając znać picownikom żywność zbierającym, żeby się wracali do obozu; większą część jednak Tatarzy pochwytali. Zginęło takiej czeladzi rozesłanej po kraju około tysiąca (5).

18 września równo ze słońcem ukazały się dwa wojska: tureckie od 7 do 8 tysięcy, i tatarskie od 25 do 30. Turcy sta-

(1) Michała Balińskiego Opis wyprawy cecórskiej.

(2) (3) (4) i (5) Relacya Szemberka.



nęli między wschodem a północą, po prawej ręce mogiły wielkiej, Tatarzy od północy na górze, która jest nad Delidoliną. Przed południem zaczęły się harce gęste i chorągwiami jeli się ścierać; potem poszli w rozsypkę, gdzie aż do samej nocy znacznie Polakom Pan Bóg pomagał (1). Chyzyr pasza, syn byłego hospodara Michała, dowodzący przednią strażą, zapędził się, został zwyciężony i wzięty w niewolę. Muhamed pasza Sarimsak (Czoszkożerca), nie czekając rozkazu serdara, poprowadził 500 śmiałków dla odbicia Chyzyra, co mu się udało; za powrotem wyrzucił mu serdar, że bez rozkazu posunął się naprzód, ale odpowiedź Czoszkożercy tak była gryząca jak jego nazwisko; serdar więc łagodził go pochlebnemi słowy (2).

Rycerstwo polskie uwiedzione szczęściem rwało się do bitwy. Towarzysze zgromadzili się koło hetmańskiego namiotu, a uderzając szablami po zbrojach, przy tej wojennej muzyce wołali, że jeśli ich hetman nie poprowadzi, oni sami wydadzą bitwę. Hetman widząc chęć dobrą, nazajutrz wyprowadził wojsko z okopów. Szły naprzód czterema rzędami dwa tabory wozów, po 50 do 60 w każdym rzędzie: między wozami po kilkaset piechoty; od czoła i z tyłu i z boków po cztery działa i po kilka wozów ze szmigownicami (3). Skoro się tabory rozdzieliły dla zajęcia prawego i lewego skrzydła, ruszyła się jazda, czoło linii bojowej stanowiąca, i uszykowała w przedziale między dwoma taborami, które miały rozkaz równo z czołem wojska postępować, żeby gdy nieprzyjaciel uderzy, mogły działami swemi strychować nakrzyż pole bitwy; w razie uderzenia na tabor z boku, działa utrzymywałyby krzyżowy ogień z armatą na okopach zostawioną. W linii bojowej stanęły na prawej stronie pułki hussarskie, na lewej roty księcia Koneckiego, Chmieleckiego i Kalinowskiego; Lisowczyki rozsypali się na przodzie i po bokach. Tabor lewy zatrzymał się niedaleko od okopów, tabor prawy nazbyt się wysunął, i bok wojska szeroko odstąpił. Skoro to nieprzyjaciel zobaczył, uderzył nań potężnie całą siłą. Jednocześnie zawiązała się bitwa z hussarzami; dzielnie stawali zagrznani głosem i przykładem Żółkiewskiego, którego odwaga zamieniła się w zuchwałość żołnierską (4). Konecpolski chorągwie obiegał, dodając serca i rząd

(1) Relacya Szemberka. (2) Wypisy z Roczników Naima Efendego, w Collectaneach Sękowskiego. (3) Relacya Szemberka. (4) „O starszym hetmanie, na którego zbytnią śmiałość i gorącość z dawnych czasów ojezyzna się skarżyła, niepotrzeba mówić; nie pokona go w tém nikt.” Relacya Szemberka.

czyniąc; a gdy widział własną chorągiew szwankującą w polu, drugą chorągiew poprowadził na pomoc i własną ręką dwóch nieprzyjaciół z koni zwałił (1).

Walczone przez sześć godzin z największą zaciętością. Tatarzy zachodzili w tył wojsku, dzielnie tam od Kozaków odparci. Hussarze wiele ucierpieli: chorągwi kanclerskiej poganin niepierwój dostał, aż samego towarzystwa mało nie połowę zbil; przy téj chorągwi dwaj Zólkiewscy: Jan i Łukasz, syn i synowiec hetmana, wiarę i męstwo krwią swoją zaświadczyli. Denhofowi ze 200 rajtarów ledwie 16 zostało. Hetman polny kazał cofnąć prawy tabor, ale wśród walki i postrachu tak się w kupę zmieszał, że nie można było ruszyć go z miejsca. Ciurowie, którzy kołasy prowadzili, jedni powyprzegawszy konie pouciekali, drudzy pod kołami woleli zginąć, niż się pokazać. Dopóki stało wojsko, dopóty stał i tabor; ku wieczorowi kiedy wojsko ustąpiło, przelamali go Tatarzy, wycięli ze 300 piechoty i niemało ludzi zabrali w niewolę. Jeńcom polskim natychmiast przed namiotem serdara głowy pościnało (2). Trzy hakownice i dwa lekkie działka z kół niezdjęte zdołano uprowadzić. Część piechoty wczas uszła ku obozowi. Almady, który z oddziałem węgierskiej piechoty stał na czele, bronił się długo, i z dwudziestu kilku ludźmi, ranny dwa razy, przebił się szczęśliwie. Lepiej się powiodło na lewém skrzydle, które w porządku cofnęło się ku obozowi (3).

Bacząc hetman mniejsze siły swe niżby mógł podolać nieprzyjacielowi, nie mając sposobu dostania żywności, nie spodziewając się odsieczy: kazał wojsku sposobić się w drogę, chcąc taborem uprowadzić je do ojczystej granicy, a za Dniestrem okopawszy się, czekać posiłków. Skutek pokazał, że to było dobrze pomyślano, ale znaleźli się taey, którzy zaczęli między żołnierstwem szerzyć burzliwego ducha. Hetmanowie chcą uciekać, powiadali, a nas wydać na mięsne jatki: niechże sobie sami radzą z taborami, z piechotą, z choremi, a my przez Prut konno ruszajmy na Bukowinę. Powodem do tego był gospodar, który zasłyszawszy o układach, a bojąc się, żeby jego nie wydano, zapewniał, że znajdą wolne przejście, i z zachodem słońca 20 września, na żalną śmierć ukazał drogę do Prutu. Na wojsko padła trwoga; wśród wieczornego zmierzchu powstało straszne za-

(1) Relacy a Szemberka. (2) Wypisy z Roczników Naima Efendego, w Collectaneach Sękowskiego. (3) Relacya Szemberka.

mieszanie: tłumnie wychodzili z obozu. Próżno zwoływano do szanćów; oni z hospodarem wołali: do Prutu! do Prutu! Opuściło wtedy obóz ze trzy tysiące ludzi, a między innemi Samuel Korecki, Kalinowski, Chmielecki, Odrzywolski. Gdyby uderzył nieprzyjaciel, pewnieby nie znalazł żadnego wstretu. Hetmani dopadłszy koni rzucili się w odmet uciekających, usiłując nawrócić jednych dobrymi słowami, drugich grozą i szablą. Gracyan w ucieczce został od chłopca zabity (1), a głowę jego sultan hospodarowi Alexandrowi odesłał; w podarunku, czy jak przestroge? Kalinowski utonął, ci co się przeprawili znaleźli na tamtej stronie Tatarów, i głowy pod miecz poddali, albo poszli w łyka. Wśród cizby Samuel Korecki, który od Prutu wrócił, cały jeszcze zmoczony, stanąwszy przed hetmanem zaczął mu wyrzucać, że był przyczyną trwogi. Żółkiewski odpowiedział spokojnie: „Ja tu stoję, a woda ze mnie nie ciecze.”

Tymczasem ciurowie rozbiegli się na rabunek; Żółkiewski wróciwszy znalazł swój namiot splondrowany. Konięcpolski udał się do szanćów, których całą noc strzegł od napadu. Dla pokazania, że hetmani nie rzucają wojska, Żółkiewski kazał buławę przy pochodniach po obozie obnosić. Niesforne żołnierstwo kołem otoczyło jego namiot; hetman i słudzy kijami i obuszkami ich bili, żeby zsiadali z koni i szli do okopów do hetmana polnego. Woleli dać się bić sromotnie, niż z miejsca ustąpić, powiadając: „byś nas zabić miał, ciebie się nie puścimy, z tobą i za tobą umierać chcemy.” Trwał ten tumult do samego świtu. Na drugi dzień Żółkiewski przysięgał publicznie na ewangelią, że wojska w niebezpieczeństwie nie rzuci (2).

Rycerstwo zniewazyło władzę hetmanów, ciurowie rabowali i zbijali z koni swoich panów. Za upadkiem karności idzie upadek wojska; sprawców rozruchu należało na miejscu ukarać. Na radzie odłożono wymiar sprawiedliwości. Pogłoska, że za Dniestrem każdy odbierze na co zasłużył, przygotowała następną klęskę.

Hetman dla uspokojenia strwożonych, jeszcze kilka dni trzymał się w źle oszańcowanym obozie. Wał był mały, niestawało prochu, konie z głodu jedli, z dział nieprzyjacielskich kule gęsto leciały. W Bogu tylko zostawała nadzieja (3).

(1) Naim Efendi utrzymuje, że zabili go bojarowie mołdawscy, chcąc zmyć z siebie plamę rokoszu. (2) Relacya Szemberka. (3) List Łukasza Miastkowskiego z obozu na Cecorze, d. 25 września 1620 r.

Żółkiewski posłał do Iskiendera z oświadczeniem, że uwiadziony przez hospodara sądził, że ma do czynienia z Tatarami, którzy ziemię mołdawską najechali; że Polacy z dworem Osmanów pragną zachować przymierze, a gdy Gaszpar uciekł, nie ma o co wojować; że gotów dać kilku znakomitych zakładników, jeśli mu przyślą Kantemira i Husejna paszę, których zatrzyma dopóki wojsko Dniestru nie przejdzie. Zarazem ofiarował serdarowi 100,000 czerwonych złotych, znakomitą summę dla padyszacha i jurgielt dla Tatarów. Iskiender zwołał radę wojenną, wszyscy dawali zdanie za potwierdzeniem pokoju, gdy wszedł Kantemir zakuty w żelazną zbroję, z potrzaskanym hełmem na głowie, podobny do wściekłego słonia; dowiedziawszy się o co idzie, zmierzył wezyra krwią zabiegłemi oczyma i wrzasnął: „Cóż to? dla miłości złota giaurem zostałeś wezyrze? Trzydzieści lat szabla moja broczy się we krwi ich ojców i synów, a teraz mamże się w ich ręce oddać, żeby mnie żywego na rożen wsadzili i piekli? Z niewiernemi nie ma innój umowy, jak ostrze szabli!“ Zerwał się i wyszedł rozjuszony z namiotu. Słowa jego przeważyły szalę narady; posła polskiego wtrącono do więzienia, a wziętego w niewolę Boczuka, namiestnika Gracyana, na pal wbito (1).

29 września sprawiwszy tabor w siedm rzędów, hetman wyprowadził wojsko z okopu. Tabor miał 600 kroków wzdłuż, 300 wszérz; srodkiem wieziono rannych i chorych, prochy i potrzeby wojenne; wszyscy pieszo szli pod chorągwiami, uszykowani i zawsze do boju gotowi. W ciągnieniu taki był porządek, że dniem zatrzymywali się dla odpoczynku, a w nocy posuwali się dalej, idąc i bijąc się razem. Okropne to były utarczki: wśród ciemnej nocy tu i owdzie błyskały płomienie strzelby, słychać było tętent przypadających koni i przeraźliwe wrzaski Tatarów.

Pomimo przeszkody od nieprzyjaciela, 29 września przebyli rzekę w Delidolinie, 30 nad Prutem odpoczywali do wieczora, 1 października był nocłóg, a to się raz tylko trafiło. Kałgaj czekając na posiłki udawał, że chce układów; ale nie wadziło dać się oszukać, bo wojsko było spracowane. Ze świtem kałgaj z nowemi siłami natarł całą potęgą, a nic nie wskórawszy, odszedł

(1) Roczniki Naima Efendego. Hammers: Geschichte des Osmanischen Reiches.

i stanął o pół mili na drodze; wieczorem ustąpił, gdy nasi prosto ruszyli na jego stanowisko. Oswoili się z ciągłym niebezpieczeństwem, a nabrawszy serca wypadali nawet z taboru. 3 października pochód był bezpieczny, mimo zwykłych harców; szli przez noc całą, zatrzymali się po południu 4 października w polu gołym, zasłanym szarańczą, wśród dymów pożarowych, bo nieprzyjaciel wkoło palił wsie i zabudowania. Wody nawet dostać nie mogli, chociaż rzeka Reut była niedaleko. Popaśli ze dwie godziny i ruszyli w drogę. Pogaństwo uderzyło na nich ze wszystkich stron: za czernią ziemi nie było widać, słońce utonęło w kurzawie, a nacierali tak potężnie, że nasi siekli ich toporami, wtykali w boki rusznice. Było tego dzieła z półtrzeciej godziny, za czem noc i dalej w drogę. Bóg pokazał swoją wielmożność za to, że w posłuszeństwie, z dobrą wolą spełniali rozkazy starszych, że ruszali ze stanowiska nie pijani, ale trzeźwi i głodni, nie ubogie ludzie drąc, ale klękawszy pod chorągwiami nabożne pieśni śpiewając (1).

Głód zawziął się między naszymi, bo choć konie byliby jedli, ale nie było kiedy piec ani przy czem. Więc niespanie i głód najbardziej ich męczyły: jedni padali jak martwi, drudzy wpadali w szaleństwo, inni kładli się na wozy, a miejsca koło taboru zostawały próżne. Ciągłego pochodu i bitwy bez żadnego odpoczynku było dwie nocy i półtora dnia, a im dalej, tém bardziej wojsko zemdlone (2).

Nadeszła noc z 6 na 7. Tabor był tylko o milę od Mohilowa. Już widać ziemię polską, wołali dowódcy, za kilka godzin będziemy bezpieczni, będziemy mieli żywności i wody i prochu podostatkiem. Niestety mieć chciało, że kiedy strudzeni zatrzymali się na popas, znaleźli opodał gumno z sianem i ze zbożem: wielu z taboru rzuciło się do gumna, żeby konie popaść. Za nastąpieniem nocy tabor z miejsca ruszył niesprawiony należyte; ci, co przy gumnie zostali, objuczywszy konie pędzili co tchu w nich stało, żeby dostać się do taboru, a głuchy odgłos cwałem pędzących koni rozchodził się po stepie. W taborze powstało zamieszanie, jak gdyby nieprzyjaciel uderzył. Luźna czeladź, która za rabunek pańskich wozów lękała się kary, zwłaszcza że Koniecpolski tego wieczora odgrażał się na nią: „pocze-

(1) Relacya Szemberka.

(2) List do Tomasza Zamojskiego o zniesieniu wojska.

kajcie, jak za Dniestr przejdziemy wtenczas, każdego strzęsiem”, zaczęła mieszać szeregi, wyprzęgać konie z wozów, rabować co zostało. Kantemir z Tatarami wieszał się z tyłu i do północy nacierał na tabor; ale nie był tak potężny, żeby go mógł rozerwać: Lisowczyki i piechota dawali mu dzielny opór. Tymczasem nieład i zamieszanie wzrastały, nikt nie słuchał hetmanów, którzy chcieli tabor zmniejszyć i małą kupą uchodzić: każdy o sobie tylko myślał i w swój głowie szukał rady. Garść wojska, której nie przełamały głód, praca ani przemagająca siła, dobrowolnie poszła w rozsypkę i gromadami uchodziła ku Dniestrowi. Tatarzy rozerwali tabor i zabierali uciekających jak ptaki w sieci (1). Niewolników ciągnęli za sobą, jeden koniec pasów uwiązawszy u szyi, a drugi u ogonów końskich: rozespani, strudzeni dusili się i padali (2).

Zółkiewski widząc, że wszystko stracone, ścisnął syna za rękę i wziął od spowiednika rozgrzeszenie. Kiedy Tatarzy w tabor wpadli, oba hetmani byli na przodzie taboru, a przy nich jeszcze ze trzysta koni. Pocziwi bracia krzyknęli: „my wszyscy z koni, konie pobatożyć, i tak od koni odstrzeliwając się będziemy uchodzić”, co też uczynili. Zółkiewski zsiadłszy z konia przebił go szablą, na znak, że uciekać nie myśli, i szedł tak piechotą ćwierć mili. Przyskoczyło ze 2,000 Tatarów; pocziwym braciom nie stało bohaterskiego ducha: wszyscy prawie co konie mieli wpadłszy na nie poczęli uciekać, zostało tylko 11, a pan hetman polny z panem kanclerzem 12 i 13. Szli pieszo na kilkoro strzelania z łuku, prosząc wodza, żeby na konia wsiadł i równo z drugimi uchodził; ale nie chciał, mówiąc: „Nie wsiądę, miło mi przy was życie położyć: niechaj Pan Bóg nademną wyrok swój kończy.” Mało co postąpiwszy poczęli go znowu prosić. Złotopolski zbił jakiegoś towarzysza z konia i wsadził nań pana kanclerza; wtém z boku naszych kilkaset koni przypadło, i jużem go więcej nie widział, — powiada Złotopolski.

Zółkiewski broniąc się poległ, jak świadczyły rany na rękę, na piersiach i na głowie. Turek obciął mu rękę w której broń trzymał, a powtórném cięciem raz śmiertelny zadał, głowę jego zatknął na spisie i poniósł do Iskiendera. Obnoszono ją po obozie, wystawiono na widowisko przed namiotem serdara, a potem

(1) Relacya Szemberka. (2) Wypisy z Roczników Naima Efendego, w Collectaneach Sękowskiego.

do padyszacha odesłano, który kazał ją zatknąć na bramie serajowej. To był rycerski i przeżycy koniec sławnego żywota.

Z porażki w rozbitym taborze na jednym wozie uciekali ranni dwaj młodzi Żółkiewscy, Alexander Bałaban i Michał Strus. Woznica posłyszawszy że doganiają Tatarzy, wyprzągnął konia, sam zemknął, a panów losowi zostawił. Na tym wozie razem dostali się do niewoli.

Po rozstaniu się z Żółkiewskim, hetman polny z owemi jedenaściami udał się w bok pieszo; od strzał tatarskich siedmiu poległo, a w téj liczbie Denhof. Pozostali wszyscy ranni schronili się do lasu: tam ich Wołochy obdarli, a hetmana polnego uprowadzili w niewolę (1).

Dostał się także do niewoli Samuel Korecki i wielu innych. Marcin Kazanowski, który położył wielkie zasługi w tym odwrocie, utrzymując rząd nad taborem, udał prostego żołnierza i za mały okup został wypuszczony.

Wykupienie ciała i okup syna kosztowały wdowę hetmańską 200,000 czer. zł. Rplita pozwoliła jój bić monetę w Żółkwi; poszły na ten cel zgromadzone od kilku pokoleń srebra Uchańskich, Herburtów i Żółkiewskich. Zwłoki hetmana poległego śmiercią walecznych zostały złożone w grobie rodzinnym w kolegiacie żółkiewskiej i uczczone długim napisem. Król Jan prawnuk jego po kądzieli, kazał zetrzeć dawny napis, a natomiast następujący wiersh położył: *Exoriare aliquis ex ossibus nostros ultor*. Na tém miejscu gdzie poległ, wdowa kazała wznieść pomnik z ciosowego kamienia, który dotrwał do naszych czasów; napisy ryte na marmurze zniszczyła ręka ciemnych ludzi.

## ROZDZIAŁ V.

### Krótko rodzinne.

Koń jeźdzcem, żona mężem stoi, a z dobrego gniazda dobre dzieci bywają.

Na cecorskiém polu hetman odebrał list od żony i natychmiast odpisał; w tym liście przesłał ostatnie pożegnanie ziemi rodzinnej.

(1) List Abrahama Złotopolskiego do Wojciecha Miaskowskiego d. 25 października 1620 r. wyd. M. Balińskiego.

*Miłościwa jejmość pani a pani  
małzonko ma sercem ukochana i wieczyście miła!*

„Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła. Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Jego świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciółom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż, kiedyśmy się zabierać radzi do utarczki z poganem, tego świtania odebrałem pisanie od Waszmości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małzonki; toż pociechą słówek kilka, a kto wie, może być i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że Waszmość ukochana i miła małzonka, czytając to moje pisanie, nie będziesz żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzplitej i chrześcijaństwa. Toż ta pociecha będzie sercu memu.— Tu w obozie mym jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcę koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Skinder basza i gałga nie chcą już wiedzieć o układach, i gotują się dać stanowczą bitwę. Przetoż nie turbuj się Waszmość najukochańsza małzonko, Bóg czuwać będzie nad nami, a choćbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzplitej już niezdatny, a Pan Bóg wszechmogący da, że syn nasz miecz po ojcu wzięwszy, na karkach pogan zaprawi, i chociażby tak było jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jako bądź, zalecam Waszmości najukochańszej małżonce miłość dla dzieci, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem na usługę Rzplitej. Co Pan Bóg chce z swój łaski dać, niech się stanie, a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tém mnie modlitwom i łasce Waszmości najukochańszej jejmości polecam, i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. W obozie pod Cecorą d. 6 października, 1620 r. (1).

Jéjmości do zgonu kochający małżonek i ojciec

*Stan. Żółkiewski*

kan. i het. w. kor.

(1) Data i oznaczenie miejsca są fałszywe. D. 29 września Żółkiewski wyszedł z okopu na Cecorze, d. 6 października był niedaleko od Dniestru. Cecora jestto rozległa płaszczyna o 2 mile od Jass; hetman nie mógł pisać pod Cecorą, ale na Cecorze. Tak też jest oznaczone miejsce



Młodość Żółkiewskiego wypada w epoce największego wzburzenia umysłów pod względem religijnym. Wychowany w zasadach wiary katolickiej, zachował ją stale do zgonu: rozmnażał chwałę Bożą przez zakładanie kościołów, szkół i szpitalów (1). Wiara bez dobrych uczynków martwa jest; żywot hetmana był ciągłym wyznaniem wiary jaśniejącej w czynach. Wielkie zaszczyty i wielkie zasługi nie wbiły go w dumę; w pokorze schylał czoło przed Bogiem, i wielki był w prostocie ducha.

Rzplitej służył z zapomnieniem o sobie. Z krwawej wysługi miał dochód niemały: wszystko obracał na posługę publiczną i część majątności ojcowskiej sprzedał. Odplata u Pana Boga za to, co kto dobrém sercem, dobrą chęcią czyni dla braci. Ci, za których siwą głowę położył, szarpali go na sławie, najdroższej puściznie jaką ma człowiek poczciwy, napoili goryczą, nakarmili potwarzami. Trzeba miłości Chrystusowej, żeby się nie poddać zniechęceniu, żeby do ostatniej chwili pracować dla tych, którzy za chleb płacą kamieniem, za krew wylaną—obelgami!

Do praktyk przeciw królowi nigdy się nie przymieszał. Zygmunt IIIci nieprędko się na tém poznał, że w całej Polsce nie ma tak wiernego poddanego, ani tak gorliwego obywatela, jak hetman Żółkiewski. Po śmierci Zamojskiego buława wielka sprawiedliwie jemu się należała. Podejrzany o sprzyjanie rokoszanom, darmo wyglądał jój z ręki króla, który wahał się w wyborze między Żółkiewskim a Janem Potockim wojewodą braclawskim, i było do prawdy podobne, że Potocki buławę wielką pochwyli. Kiedy król pytał hetmana: czy wziąć z sobą wojewodę na wyprawę do Moskwy, albo czy na Ukrainie zostawić; Żółkiewski nie uwodząc się zawiścią, tak odpowiedział: „O panu wojewodzie braclawskim rozumiem, że potrzebnie z W. Kr. Mością pojedzie. Jako z człowieka dobrze w tych sprawach doświadczonego, możesz W. Kr. Mość mieć dobrą podpórę. Toż człowiekiem w leciech, i zdrowie ustawicznymi pracami zwątlone

w liście rozejmowym między Gazi Girajem a Janem Zamojskim, który mam w zbiorze moim przepisany z własnoręcznej kopii Żółkiewskiego. List powyższy został udzielony przez Wacława Maciejowskiego Michałowi Bałińskiemu.

(1) Między innemi w Żółkwi szpital założył, w Barze kollegium Jezuitów.

mam; jeśliby Pan Bóg na którego z nas co dopuścił, niech wzdry drugi będzie do służby W. Kr. Mości" (1).

Wytykał błędy otwarcie, ale bez namietności; radził zwięzle i prosto. W boju z odwagą żołnierską łączył zimną krew i rozważę starego wodza. Siebie nie oszczędzał, wojska bez potrzeby nie narazał, i z małemi siłami wygrywał bitwy, w których jeden bił ośmiu.

Miał przeczucie, że śmierć w boju go spotka; nieraz o tém powtarzał, i takięj śmierci pragnął, jak łaski od Boga. „Daj to Boże—powiadał—żebym się tak fortunnie urodził, żebym położeniem żywota mógł posłużyć Rzplitej i zacnej sławie narodu naszego" (2). „Proszę was—mówił do rycerstwa—jeśli ja zginę w boju, bądźcie na moim pogrzebie." W testamencie tak o tém wspomina: „Zdarza się to i wielkim ludziom, że ciała ich bez pogrzebu zostają. Sławniejszy żywot i śmierć Władysława co u Warny zginął, niż wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy. Życzę sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej... ale nie wiem, jeślim tęj łaski od Pana Boga godzien. Jąkożkolwiek Pan Bóg przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów. Jednak jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna pokryta będzie szkarłatem, na znak wylania krwi dla Rzplitej. A to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiątki i pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się... Nagrobek tóż bez chlubnych słów; radzić się pana Simonidesa. Domowe rzeczy tobie kochana żono lepiej niżli mnie są wiadome, bom swe myśli w sprawach Rzplitej utopił, własnych zaniedbawszy. Stado proszę cię niech będzie w dobrej opatrności, bardzo jest rzecz potrzebna" (3).

W późniejszym testamencie ta sama myśl się powtarza: „A jeżeliby w Wołoszech albo gdzie za granicą śmierć mi Pan

(1) Stanisław Żółkiewski do Zygmunta III d. 11 maja 1609 r. Buławę wielką otrzymał dopiero w r. 1618. Jan Ciołek Drzewicki sekretarz królewski tak o tém pisze do Tomasza Zamojskiego d. 6 lutego 1618 r.: „Cobyh nowego i godnego miał oznajmić WM. memu mił. panu, to rozumiem za rzecz niepoślednią: że król J. M. raczył już dać wielką buławę koronną J. M. panu wojewodzie kijowskiemu; ten, kogo będzie na hetmaństwo polne promowował, łączniej domyslać się mogą niż wiedzieć.

(2) Respons pana lwowskiego na list z rokoszu pisany, d. 19 sierpnia 1606 r. (3) Testament z d. 12 stycznia 1606 r.

Bóg posłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje, a na tém miejscu wysoką mogiłę usypać. Nie dla ambicyi jakiej tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem granicznym, żeby wick potomny szanując pamięć moję, wzbudzał się do nowych prac i zasług (1).

Swoich spraw nie przestrzegał nader pilnie, w prawo się nie wdawał, procesów unikał; ale kiedy szło o cudze dobro, wtedy ząb za ząb prawa się trzymał. Nieraz się zdarzało, że bracia szlachta powietnicy udawali się do hetmana, żeby ich rozsądził i pogodził. Więc sądził, i godził, i graniczył, dopełniając posługi obywatelskiej. Do pana hetmana na sprawę odwoływał się pokrzywdzony, panu hetmanowi zwierzał się rotmistrz obcięty w burdzie z tém, że zemstę chowa w sercu i zemści się jak się zrzeczność poda; a pan hetman stawał między ludźmi jak anioł z nieba zesłany ze słowami świętej prawdy i pokoju, wlewał im Boga w serce, prowadził do zgody i miłości braterskiej. I stare zajścia szły w niepamięć, świeże spory winem zalewano, kojarzyły się związki rodzinne tam, gdzie krew lać się miała.

W kole domowém nieraz widziano hetmana na szeroki stół piwa nalewającego, a sługę Bożego na pierwszym miejscu obok jójmości. Przyjechało pacholę od zacnego pana z listem, starym obyczajem wzywano je do hetmańskiego stołu: bo równie zacna krew w żyłach jego płynęła, jak u hrabiów na Tęczynie albo u książąt z Ostroga. Pamiętał o tém, że sam za młodu trzymał się dworskiej kłamki i w orszaku starosty bełzkiego jak sługa występował.

Pod dobrym panem dobrze się działo ubogim poddanym: mieli bytła dostatek, chleba tyle, że i na przednowku głodu nie znali, a który był rządny, to i grosz miał w zapasie. Do pana łatwy był przystęp, więc sprawiedliwość wymierzona, jeśli kogo urzędnik pański pokrzywdził; a kiedy hetman chciał bliżej rozpoznać rzecz jaką, wzywał do siebie doświadczoną pocziwość i wytrawionego zdania gospodarzy, i prawda na wierzch wychodziła jak oliwa: bo z łaski Bożej było to od wieków w obyczaju naszego ludu, że kłamstwem się brzydził. Pod niebytność pańską do jójmości jak do matki przychodzili poddani z uzaleniem albo z prośbą; a w każdej przygodzie oglądali się na zółkiewski zamek, bo w tym zamku siedziały nie drapieżne barony jak sępy na skale, ale szlachcic polski z pocziwego gniazda, który miał ser-

(1) Testament z d. 18 sierpnia 1618 r.

ce dla ludzi i dłoń chętną w potrzebie. Więc ubogiej ludowinie dobrze się działo pod dobrym panem; prosili też szczerém sercem Boga za żywe i za umarłe.

Podobna z charakteru była żona hetmana, Regina z Herbur-tów Żółkiewska. Czysta, szlachetna, przejęta duchem poświęce-nia, dla dobra drugich gotowa była na wszelkie ofiary. Za mło-du dobre i serdeczne dziewczę, zajaśniała blaskiem wdzięków w kwiecie wieku; a kto spojrział w jasne jej oczy i na pogodne czoło, odgadywał zamknięte w duszy skarby uczucia, łagodno-ści, dobroci. Miłość dla wielkiego człowieka rozwinęła w niej potęgę woli. Obdarzona prostym a zdrowym rozsądkiem, jasne miała pojęcia o rzeczach; wiedziała o tém, że Bóg stworzył ludzi na pracę, nie na lzy i nie na uśmiechy; że te szczęśliwe chwile które daje, jak dobrodziejstwo powinniśmy przyjmować z jego rę-ki. Więc chwaliła Boga pracą, starając się o wychowanie uczi-we dzieci, o dobry rząd w domu; pod niebytność męża przy niej zostawał nadzór nad gospodarstwem w rozległych dobrach.

Dobra matka, syna jedynaka nie psuła zbyt niemiłą. Pisał do niej z obozu prosząc, żeby się wstawiła do jegomości, żeby mu pozwolił do nauk wrócić, a miał szczególne zamiłowanie w naukach matematycznych. „Widzę, że mu się już wojaczka sprzykrzyła, pisze Regina Żółkiewska, ale nie wadzi mu jeszcze przycierpieć nędzy w dymnej izdebce, żeby wiedział co nędza, a potem żeby umiał swoje szanować, jeśli będzie miał co kiedy. Nauka jest bardzo pożyteczna, i sama jestem za tém, żeby wrócił po jakimś czasie do nauk, aczci i tam nie próżnuje; widząc takie wojska i dzieła rycerskie, może się też nauczyć czego (1).”

Kiedy Tomasz Zamojski wda kijowski upominał się u Miko-łaja Zebrzydowskiego wdy krakowskiego o dług narosły z nie-wiernego zarządu ordynacją zamojską w czasie jego małoletności, Regina Żółkiewska tak się odezwała: „Trudna to sprawa, kiedy jeden chce wziąć, a drugi nie ma czego dać. Między Waszmościa-mi przyjdzie pono do tego, że wojewoda będzie się z bochenka chleba wyliczał. Nie żałował go nieboszczyk dobrodziej nikomu i Waszmość tak czyn, a Pan Bóg Waszmości będzie błogosławił. Proś nas raczej na wesele, niż się długów upominaj, mój panie wojewoda (2).”

(1) Regina Żółkiewska do Tomasza Zamojskiego d. 2 grudnia 1609 r.

(2) Regina Żółkiewska do Tomasza Zamojskiego d. 4 lutego 1620 r.

A kiedy się ożenił, w ten sposób zachęcała go żeby w domu pola nie zalegał; i razem z rycerstwem wybierał się na wyprawę, w której padła szlachetna głowa jój męża: „Rad jesteś W. M. starym obyczajom w Polsce, coby to rok po ożenieniu nie jeździć z domu; ale nie wytrwasz W. M. wierę, gdyż teraz przystało pilniejszym być, broniąc towarzysza, którego Pan Bóg W. M. dał. Weź błogosławieństwo od swego pasterza, księdza biskupa chełmskiego, mój drogi, a pojednaj się z nim. W miłości ku Panu Bogu i bliźniemu trzeba żyć. Opuść mi W. M. moje rady; miłość którą mam ku W. M. do tego mię wiedzie (1).”

Nieraz po dwa lata nie widziała męża, kiedy odjeżdżał na miejsca wojenne i niebezpieczne. Córka Herburtów z Bogiem wyprawiała go w tę drogę. Każdy co się rodzi umrzeć musi, a czasu i godziny nikt nie wie; chlubniejsza śmierć w boju, jak na łożu boleści. A gdy ciężka niedola spadła na jój głowę, przyjęła z poddaniem się wolę Bożą. Bóg dał, Bóg wziął, niechaj się dzieje Jego święta wola. Rozdzierające dusze są jój słowa, kiedy się dopomina o oddanie należącego sobie długu dla wykupienia syna z niewoli: „Jeśli mi Waszmość téj summy nie oddasz, ja syna tracę (2).” „Tu summa za syna tak wielka, tu kwarta druga, co ja mam sierota z sobą czynić. Już mi i zdrowia i sił niestaje i słów do pisania (3).”

\* Żyli z sobą w zgodzie i miłości; za życia męża żadna chmurka nie powstała na jasném czole Żółkiewskiej. Bóg dał jój tę swobodę ducha, która z uśmiechem na świat spogląda; wielkich nieszczęść trzeba było, żeby ją złamać i przed czasem do grobu wpędzić. Bóg wziął jój przyjaciela i opiekuna, wziął potem dziedzica, syna jedynaka.

Szczęśliwe było pożycie i piękny koniec dwojga szlachetnych ludzi. Hetman poległ w boju—od czoła jego żony blask bije jak od głowy świętych. Bóg opasał jój skronie wiankiem cierniowój zasługi. Miłość i cnotę rodziców pobłogosławił w dzieciach. Jan Żółkiewski był zrenicą oka, nadzieją rodu; matka z dumą na niego patrzyła, a ojciec powiadał, że miecz wyszczerbiony na karkach pogańskich, weźmie po nim w spadku. Bóg nie dał pomścić krwawój śmierci rodzica.

(1) Regina Żółkiewska do Tomasza Zamojskiego, w czerwcu 1620 r.

(2) Regina Żółkiewska do Tomasza Zamojskiego d. 1 stycznia 1621 r.

(3) Regina Żółkiewska do Tomasza Zamojskiego d. 6 lipca 1621 r.

W akademii zamojskiej, gdzie zaczęła się nauka godna dzieci szlacheckich, otrzymał staranne wychowanie razem z panem Tomaszem, synem człowieka, którego Żółkiewski nazywał swoim dobrodziejem. Wolął go w Polsce uczyć, niż dawać do obcej ziemi, z kąd wielka liczba młodzieży wracała z zepsutemi obyczajami, a rzadko który z czém dobrém powrócił. „Wszystko na inspektorze zależy—utrzymywał Żółkiewski—jakiego kto chce mieć syna, takiego niech mu da inspektora. Potrzeba człowieka cnotliwego, bogobożnego, dobrego rozsądku, do tego aby był człowiek rycerski. Doma syna nie chowaj, do buty i powagi nie przyzwyczajaj. Za domowém mieszkaniem próżnowanie, za próżnowaniem wszystko złe idzie. Byś go w zanadrzu chowała, przygody, jaką Bóg przejrzał, nie uchronisz.”

W testamencie z r. 1606, tak do syna zwraca mowę: „Janie, synu mój najmilszy, do ciebie teraz mowa moja. Tego świata mi nie żal z innej miary, jeno żebym ciebie był rad wprowadził do bogobożności i spraw uczciwych. A jakom cię miał za żywota ćwiczyć, zostawuję na piśmie tę krótką instrukcją. Przedewszystkiém najpiérwój wiarę chrześcijańską, powszechną, mocno i statecznie trzymaj, dla niej krwie rozlać, żywota położyć nie żałuj. Nie zostawiam ci włości i majątności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód niemały: wszystkom obracał na służbę Rzplitej, i część majątności ojcowskięj uprzedalem, ale mi tego nie żal. I mnie i tobie to nie zginie, odpłata u Pana Boga za to, co kto dobrą chęcią, dobrém sercem czyni dla Rzplitej. Młodsze lata swe naukami poleruj, nie daj się nikomu od tego odwozić. Mnie wierz: z nauki wielką pomoc do godności, do służby Rzplitej i do uczciwego życia mieć będziesz. Historyki koniecznie czytaj. W biegu spraw siłam się tém ratowałam, zem przeszłych wieków sprawy wiedział. Rycerskie ćwiczenie szlachcicowi jest najprzystojniejsze, tém się paraj; próżnowania strzeż się jak powietrza. Mistrzem zaraz nie chciój być, byś nie pobłądził; przy hetmanie się piérwój baw, rzeczom się przypatrzywszy, dopiéro téz rotę możesz wieść. Kiedy Rzplita była w potrzebie, nie zostawałam za drugimi; nie dla chluby to wspominam, ale żebym obudził w tobie większą chęć do naśladowania cnoty ojcowskięj. Z przednimi się bierz do pokazania cnoty szlacheckiej, do uczciwój sławy. W kupie nie będzie cię znać, liczbą będziesz. Pomnij na to, że człowiekowi włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej. A byś téz i umarł przy tém,

nie osobliwszego spotkać cię nie może. I poganie tak rozumieli, że śmierć dla kraju słodka; nuż jeszcze dla wiary świętej trafi się okazya czynienia przeciwko Turkom, Tatarom. Takim umysłem położyć żywot i u ludzi sławno, i u Pana Boga odpłatno. Jakom ja za najprzedniejszą część dziedzictwa wziął ten umysł od ojca, tak i tobie go przekazuję. Niech przez ciebie nie będzie polżona, ale owszem pomnożona uczciwa sława moja.”

„Pana Boga między innymi rzeczami prosz, żeby do odmian w Rzplitej nie przychodziło za wieku twego, jako za mego żywota wiele tego Pan Bóg dopuszczał. Daj Boże, żeby tego nie było, ale skażony wiek, siła złych, niebacznych ludzi. Z tymi się nigdy nie łącz, jeśliby kto chciał do odmian rzeczy przywozić, i owszem, przy królu się zastawiaj. Takowe odmiany panów, daleko nie chodząc, węgierską i wołoską ziemię do ruiny przywiodły; i u nas najciężej raz począć, nie byłoby temu końca, jeno upadkiem Rzplitej. Lepiej znieść w królu niedostatki, niż jedność rozrywać. Gdyby król umarł, nie daj się sprowadzić z prawej drogi, pożytków swoich nie szukaj. Za wieku mego dom Rakuzki osobliwie zażywał przekupieństw; najdziesz i w szkatule mojej listy z ich obietnicami. Alem ja tego do umysłu nie przypuszczał, i z tém przekonaniem umieram, że panowanie domu tego byłoby zgubą koronie polskiej, zgubą wolności szlacheckiej.”

Jan Żółkiewski przy boku ojca wczesnie zaprawiał się do rycerskiego rzemiosła i do spraw publicznych; własnym zasługom winien był uposażenie starostwem hrubieszowskiem, którego mu ojciec odstąpił w r. 1605 za zezwoleniem królewskiém. W bitwie na Cecorze raniony w nogę, po rozerwaniu taboru dostał się do niewoli. Wykupiony przez matkę, posługując na sejmie 1623 r., w malignie z powodu źle zagojonej rany życie zakończył. W rok potem, za synem poszła matka. W Żółkwi ze ścian zamkowych żaloba zdzierała żalobę.

Z dwóch córek hetmana, starsza Zofia była za Janem Daniłowiczem wojewodą ruskim; młodsza Katarzyna, za Stanisławem Koniecpolskim hetmanem w. koronnym. Zofia tak była miłosierna, że ją nazywano matką ubóstwa. Wnukiem Zofii był Jan Sobieski urodzony z Daniłowiczównej. Ze krwi hetmana powstał mściciel, a duch jego w sercach dalekich pokoleń rośnie i olbrzymieje.



# WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

*Jana Kantego Gregorowicza.*

(Dokończenie).

---

**Wieś Świątniki.**

**VIII.**

*W lat dziesięć.*

„Wszystko tak jak było,  
Tylko się ku starości nieco pochyliło.“

*Powrót na wieś.*

Otóż i tyle czasu upłynęło od wypadków opowiedzianych w ostatnim rozdziale, a my znowu zajrzemy do wsi Świątniki, aby spojrzeć na znane twarze owych aktorów, tak traicznie rozwiązanego dramatu. Ale czy wszystko znajdziemy jak to było kiedyś? — Jedna chwila wieleżto zmian nieraz sprowadza, a cóż dopiero mówić o latach dziesięciu! Lecz tutaj na oko nic się prawie nie odmieniło: też same chałupy, stodoły, też same szumiące drzewa, tylko znać, że się przemknęło nad nimi dziesięć lat czasu, bo w zabudowaniach dopatrzysz się i ściany spaczonój albo w ziemię zakłęśtj, strzechy mchem poroślej, gdzieniegdzie znowu świeci białością nowa naprawa, albo nowo zupełnie postawiony budynek; a wierzbina, grusze, jabłonie i śliwina, jedyne drzewa okalające siedziby świątnickie, jakoś spoważniały, rozrosły się wyciągając daleko



owocem okryte gałęzie, jak te wysmukłe dziewice, co stawszy się matkami, obywatelkami, zapominają chichotek i z powagą poglądają na figle małych, wokoło nich płasających dziecin. Tylko na polu tak jak i dawniej falowały zielone niwy żyta i pszenicy, ten sam promień słońca złocił ich powierzchnią, a szary skowronek wesolo, radośnie płynął w górę ze śpiewaniem tak jak i dawniej, chwając pieśnią Pana nad pany.

W większej połowie miesiąca maja, przed samym zachodem słońca, pod krzyżem fundacyi Wojciecha Sierpnia klęczał starzec z siwą brodą, z siwymi na łysój głowie włosami, zatopiony w gorącej modlitwie. Ubrany był w kamizelę z grubego płótna, z przewieszoną przez ramię skórzaną torbą, a obok niego na ziemi leżał słomiany kapelusz i gruba laska, z ponabijanemi w sęczkach gwoździkami. W rękę trzymał rozaniec, głowę wsparł o małe sztachetki krzyż okalające, i widać, że szczerze i rzewnie się modlił, bo i westchnienie często można było usłyszeć i bijąc się w piersi gdy wymawiał: „Boże bądź miłościw mnie grzeszemu”, tak się nisko pochylał, jakby się chciał schować pod ziemię przed gniewem Bożym, gdyby prośba jego o zmiłowanie nie została wysłuchaną. I długo się tak modlił nie dając na nic najmniejszego baczenia, gdy po téj samej drodze około której krzyż był postawiony, dało się słyszeć tętnienie kopyt końskich. Starzec modlący się nie zwrócił nawet głowy w stronę słyszanego głosu; złożył pobożnie ręce i dalej szeptał odmawiane pacierze.

Wkrótce pomiędzy dwóch ścian podmuchem wiatru poruszanego zboża wysunął się dziarski na koniu młodzian. Dzielny kasztan potrząsając łbem dzwonił wędzidłami, rwąc się niecierpliwie do szybszego biegu, a młody jeździec zgrabnie powstrzymując go jedną ręką, drugą muskał małe, dopiero wysypujące się czarne wąsiki, jakby chciał je przynaglić do szybszego wzrostu, i nadać całej osobie więcej marsową postawę.

Mała rogata z pąsowego aksamitu czapeczka, z pewną fantazyą umieszczona na głowie, ładnie odbijała przy gęstych puklach ciemnych włosów i przy twarzy choć opalanej, zdobnej jednak rumieńcem zdrowia; granatowa zaś suto wyszywana czamara tak smagle i zgrabnie przedstawiała młodego jeźdźca, że każdy spojrzawszy na niego zaraz miał pytanie na ustach: coto za zuch, co tak gracko śmiga na koniu?

Młody jeździec zrównawszy się z modlącym starcem, cokolwiek wstrzymał niecierpliwego rumaka, ciągłym kręceniem

okazującego swoje niezadowolenie, i uchylając czapeczki odezwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków—odpowiedział starzec i nie zważając na nowo przybyłego, dalej prowadził przerwana modlitwę.

— Mój dziadusi —odezwał się znowu młodzian—wybaczcie że wam przeszkadzam, ale chciałbym się dowiedzieć, czy ta droga od wsi nie jest zagrodzona, i czy nią dojedzie do chałupy Wojciecha Sierpnia?

Na usłyszane nazwisko Sierpnia starzec dopiero podniósł ciągle opartą głowę o sztachetki, popatrzył chwilę na młodziana, jakby chciał poznać tego z kim rozmawia; ale widać że nie poznał, że twarz pytającego zupełnie była mu obcą, bo odpowiedziałwszy:

— Dojedzie, dojedzie, nie przegrodzona —oparł głowę o poręcz sztachetek i znowu zajął się szeptaniem pacierzy.

Młodzian odebrawszy objaśnienie dotknął lekko konia ostrogą, i małym galopem ruszył prosto ku wsi Świątniki. W siedzibie Sierpnia ani na jotę nic się nie odmieniło: taż sama chałupa, też same chlewy, stodoła, ten sam gwar gdakającej, gegającej i kwaczącej rzeszy na podwórzu, i tak samo, jak to poznaliśmy na początku naszego opowiadania, szybowało ponad domowstwem stadko niewielkie gołębi, pstrząc różnobarwną krasą strzechę słomianą, ile razy z szumem obsiadło ją na spoczynek.

Młodzian dobrze widać obznajmiony był z miejscowością, bo z pola zaraz skręcił na prawo, przejechał przez drogę wokół wsi idącą i nie wahając się, nie zapytując nikogo, prosto skierował koniem ku roztwartym wrotom, służącym za wjazd do zagrody Sierpniowej. Na podwórzu przewracając się po murawie igrało dwóch małych chłopczków w jednych tylko koszulach, za ledwie lat cztery i siedm mieć mogących, a pod ścianą skulony w krąg spał pies podwórzowy, przytlumioném warczeniem odganiający od siebie naprzykrzonego prosiaka; kurę, gęś albo kaczkę, gdy nieproszeni podsuwali się bliżej ku czujnemu stróżowi.

Jak tylko wjechał młodzian przez wrota, ruch niezwykle natychmiast zrobił się na podwórzu. Pies w ciągłym naszczekiwaniu opuścił legowisko, skrzydlata rzesza na różne tony i głosy objawiając przestrach furknęła pomiędzy budynki, a dwa chłopczki zaprzestawszy igraszek, małą chwilę popatrzyli na nowo przybyłego, i jak dwa spłoszone zajaczki zerwali się z murawy.

Jeden młodszy z płaczem pobiegł ku chałupie, a drugi starszy wołając:—dziadusiul! dziadusiul!—udał się do stodoły.

Na klepisku pomiędzy kłosiastą słomą siedział znany nam Andrzej Łaza, wykrecając snopki na poszywkę. Dziesięć lat czasu, które przybyły do jego sześciu krzyżyków, żadnym prawie śladem nie naznaczyły swego przejścia. Ten sam wyraz łagodności i poczciwości malował się na twarzy, tylko włosy cokolwiek szpakowaciały; ale widać, że ich nie ubyło, bo w gestych puklach wijąc się przy skroniach, opasane były wokoło głowy cienkiem ze słomy owiązaniem, aby przy robocie oczu nie zasłaniały.

— Dziadusiul, dziadusiul!—wołał chłopaczek wpadając na klepisko—chodźcie *ino*, bo-ta jakieś żołnierzysko na koniu przyjechało.

— Kiedy przyjechał?—zapytał Łaza, powstając i biorąc chłopaczka za rękę.

— A ja z Jędrkiem bawiłem się na murawie, a tu wjeżdża na podwórze jakieś żołnierzysko; takem się okropnie przestraszył i prostota do was pobiegłem. Ale mój dziadusiul, żebyście widzieli jak *galanto* ubrany. Szkapa taka *wielga*, tak nogami przebiéra, żeta nie w miejscu ustać nie mogła! Chodźcie to zobaczycie, bo Jędrzek z płaczem poszedł do matysi do chałupy, ino ja to nie płakałem, bom nie taki dziwny jak Jędrzek. Ale chodźcie dziadusiul prędzój, bo tak pomалу laziecie: chodźcie, chodźcie!

I podobnie szczebiocząc mały chłopaczek wprowadził dziadka na podwórze. Jednocześnie z Łazą pokazała się w sieni młoda, bo jeszcze trzydziestu lat nie mająca kobiéta. Byłato owa znana nam dobrze Basia, a dzisiejsza Jankowa Gruzdowa, z tą samą urodą, z tym samym wdziękiem na twarzy, tylko pełniejsza i nie tak smagła jak to było niegdyś; więcej podobna do róży rozkwitłej, jak do pączka, co stulonemi listkami ogląda ku niebu, jakby się skarżył, że przed światem nie może krasą zabłyszczyć.

Jak tylko młodzian zobaczył nowoprzybyłych, zwawo zeskoczył z konia i założywszy trenzle na rękę, posunął się ku Andrzejowi:

— Jak się macie Andrzeju! cóżto mnie nie poznajecie?

— Ej! jakoś uznaje Wgo Pana—odpowiedział Łaza fraso-bliwie skrobiąc się w głowę, i bacznie przypatrując się młodzieńcowi—aleta dla starój głowy, to jakoś niełaeno zaraz pomiar-kować.

— A ty Basiu, czyli Janowa—mówił dalej młodzian odwracając się do niej—nie będziesz z lepszą pamięcią?

— O mój Boże!—odpowiedziała Basia, tuląc do siebie zastraszonego malca—to Wny Pan wie jak my się nazywawa, chociaż przecie nietutejszy, a my.....

— No, moi kochani, to już zapomnieliście, jakemto pocziwemu Sierpniowi wyśpiewywał, ot w tej samėj chałupie:

Hej! tam w karczmie za stołem....

— A, to pan Władys! a, to nasz panicz kochany!—zawołali razem Łaza z Basią, i podeszli z radością ku młodzieńcowi całując go serdecznie w ręce.

— A, ten sam, ten sam, tylko ze dwa łokcie mnie przybyło, i wąsy, i faworyty, i takie ubranie.....

— A ktobyto Panicza mógł poznać: tak urósł, tak zesłuszniał.

— Wny Pan—odezwał się Łaza z niskim ukłonem—jak wyjechał od nas, to nie przymierzając taki był mały dzieciuch, jak ot nasz Wojtuś.

— A widzicie, jakto urosłem, jakto się zmieniłem, kiedyście mnie nie mogli odrazu poznać. Ale i wy mój Andrzeju trochę pobieliliście sobie włosy, i Basia także zmężniała, jakby jaka zasiedziała gospodyni; taka poważna...

— Alboto już nie lata, proszę Panicza: już mnie babstwo dobrze przyciska do ziemi.

— Oj! ty moja babko! A dzieciaki czy twoje?

— A, naprzód Boskie, proszę Panicza, a potem moje; a leto ino przeszkody do roboty. Wojtuś—mówiła dalej Basia, obcierając fartuszką buzię chłopaczyny—powitaj Panicza za nogi, tak ładno, jak cię dziaduś uczyli; i ty Jędrus, idźże.

Gdy cały ceremoniał powitania dziecinnego ze szczegółowym opowiedzeniem wszystkich figlów i dowcipów, z prawdziwym uczuciem tak przez matkę jak i dziadka odbytym został; małe grono tak niespodzianie zesłych się znajomych weszło do izby, a Basia poszła przygotować świeżego mléka na posiłek dla gościa. I w izbie żadna zmiana nie zaszła: przybyło tylko kilka nowych obrazów ze świętami Pańskimi, między którymi zawieszoną była na umyślnie wbitym gwoździu granatowa rogata czapka, pyłem cała obsypana. Oko młodzieńca zaraz ją dostrzegło i porzucając ton wesołej rozmowy, odezwał się głosem rzeźwym:

— Poczciwy Wojcieszysko! Pamiętam, jak mnie stroił w tę czapkę, dziękując na weselu Basi za piosnki, które mu wyśpiewałem; a jakito on był szczęśliwy wtenczas, jaki wesoły; jakto mnie ścisnął, całował, jak kazał z radości wielkiej wszystkich częstować!

— O! gdyby Bóg im pozwolił—odezwał się Łaza—doczekać dnia dzisiejszego, to już nie wiem coby z uciechy wielkiej zrobili, gdyby zobaczyli Wgo Pana w takim przebraniu....

— Poczciwy Wojcieszysko! Szkoda wielka człowieka! Dawnoto jak umarł?

— A będzie na jesieni, zaraz jakoś po żniwach już trzy lata.

— To nie wtenczas, kiedyto u Ziembry zabudowania się spaliły?

— O! nie, wtedy się *wylikowali* i byli tacy *krzepcy*, jakby imta nic nie było, i dopiero w siódmym roku jak zasłabiali, to już nie pomogło ani doktory, ani różne léki. Ale Bogaćta ma co komu pomódz, kiedy kto na śmierć się rozchoruje: to już ludzie nic nie pomogą, i choćby człek nie chciał, to musi umierać.

— Zapewne, zapewne; ale gdzież Janek?

— A! orze ugór od klina Bieleckiego; ino go patrzeć, bo-ta zawczasu miał wrócić do domu. Posiało się już wszystko, to trzeba myśleć o ugorze.

— No, i jakże się tu wam powodzi? Janek czy dobry gospodarz?

— Ha! Boga chwalić, proszę Wgo Pana powodzi się nam jako-tako. Jak Wojciech pomarli, tak się przeniostem z kobiętą na ich miejsce, bo co mi Bóg dał, to już ofiarowałem wszystko dla Janków.

— A wasza kobiéta zdrowa?

— O! zdrowa, Bogu dzięki, ino się trochę przygarbiła; ale i nie dziwota: od młodości w ciągłej i ciężkiej pracy, to się kości połamiają, a i teraz choć jój-ta nikt na to nie niewoli, nie mogła usiedzieć, i poszła w pole len pléć.

— To chwala Bogu, kiedy zdrowie służy. Ale powiedzcie mi mój Jędrzeju o Janku: jak się obrządza? Pamiętam, że to był bardzo poczciwy chłopiec, i mnie szczególniej lubił, kiedy byłem dzieciakiem; zawsze miał dla mnie jakąś zabawkę: to skrzyпки, to płużek. Ale, ale, a grywa téż na skrzypcach?

— Grywa, ale nieczęsto, czasem w sobotę wieczorami. Że poczciwy, to ani gadania, ale jakiś strasznie potulny, jakbyta

głowy u niego nie było. Bo proszę Wgo Pana nic z siebie samego nie robi, ino jak mu powiem to zrób, trzeba pójść orać, albo młócić, to nikiéj dziecko idzie, robi, i żadnego nie powie przeciwnego słowa.

— A to dobrze; a bardzo się téż odmienił, nie lubi czasem pohulać?

— Ej, nie! bo i wódki wcale nie pija; ale jakoś bardzo zmizerowany, jakbyta Bóg wié w jakiej pracy i bez dojadku uczciwego; a-ta przecieć przy Boskiej pomocy my nie znawa co postne jedzenie: wieprz na wieprza ciągle się w chléwie pasie, i krów kilka Pan Bóg trzyma w oborze, i mięsa się przecieć czasami od żyda kilka funtów przyniesie, a on proszę Wgo Pana tak staro wygląda, jakby Bóg wié nie jakie miał lata: i trochę ołysiał, bo włosy ma takie rzadkie i nikłe, nikiéj żytko na jałowym gruncie, i na twarzy skóra mu się pościagała, i oczy jakby za mgłą były.

— Może chory? — przerwał młodzian.

— Ej! *kaj*-ta ma być chory, proszę Wgo Pana: zdrów jak ryba, aleta od tego czasu jak Ziembie gospodarstwo się spaliło, to tak jakoś zdziwniał, tak się odmienił, że nigdy Wny Pan nie powiedziałby, że to ten sam Janek, co zdawało się, że u niego nie krew w żyłach, ino żywy ogień płynie.

— A i dlaczegóżto tak, mój Andrzeju: czy Basi już nie kocha?

— Ej! nie, zawsze-ta dla niej z jedną przyjaźnią, z jedną szczerością, ale ja-ta tego tak nie umiem Wmu Panu opowiedzieć, jak Basia. Ot idzie z mlékem ona, to wszystko dokumentniej Wmu Panu przełoży.

Jakoż istotnie w świeżym fartuszk, w świeżej chustce na głowie weszła do izby Basia, trzymając na misie glinianej mléko, czém wszystkiém przy radością błyszczącój twarzy taką ustroiła się niewinną zalotnością, że gdyby nie małe chłopaczki, trzymające się z obu stron spódnicy i cokolwiek większa tusza, każdemu by się zdawało, że do izby weszła owa dawna hoża dziewoja Basia, co krasą buzi i smagłą postawą, niejednego parobczaka ciągnęła oczy za sobą.

— A moja Basiu — odezwał się młodzian z zadowoleniem przyglądając się urodziwej gosposi — tak mi ładnie wyglądasz, że mi zaraz do myśli przyszły dawne czasy, kiedyto moja Basiu brałaś mnie na kolana i serdecznemi całusami obdarzałaś; gdybyto tak dzisiaj....

Basia tylko się uśmiechnęła, i małym rumieńcem wstydu ukrasiwszy buzię, zajęła się w milczeniu zaścielaniem stołu białą serwetą. Łaza widząc zakłopotanie się młodej kobiety, odezwał się żartobliwie:

— Ha! bez urazy Wgo Pana, nie byłoby w tém żadnego grzechu: bo to nie przymierzając Wny Pan i Baśka, to nikić brat i siostra.

— Prawda, mój Andrzeju, bo nieboszczyk Wojciech i mój ojciec tak żyli z sobą, jak dwa przyjaciele, to słusznie ja z Basią możemy się nazwać rodzeństwem.

— Ani słowa, że się z sobą szanowali — odezwał się Łaza — i nieboszczyk kum nic bez porady rodzica Wgo Pana nie zrobili; bo téżto rzadki taki człowiek, jak rodzic pański i sam Wny Pan, co nie gardzą chłopską chałupą, i tak nas nawiedzają, nikić sobie równych.

— O, mój Andrzeju, albo to tak co wielkiego, alboto nas nie jeden Pan Bóg stworzył? Zaręczam wam mój Andrzeju, że gdyby okoliczni dziedzice znali was tak dobrze jak my znamy, to taki byłby do was nacisk, żeby izby wam czasem zabrakło.

— Ej! proszę Wgo Pana, tak się to mówi, ale zawdy szlachta lubi swoje prywatę przestrzegać.

— No, mój Andrzeju, zwyczajnie jak ludzie; a nieboszczyk Wojciech czy nie miał choć poczciwój, ale hardój duszy?

— Prawda, prawda, ani słowa; ale od tego czasu kiedy tak zasłabieli, kiedyto rodzic Wgo Pana brzytwą krew im puścili, to już w hardości swojej bardzo *sfolgowali*; a od tego czasu, jak im proboszcz nagadał po spowiedzi, to nigdy do rodzica Wgo Pana już nie mówili Panosko, ino jak Bóg przykazał Wny Panie, ale rodzic Wgo Pana nie chciał na to pozwolić i powiedział kumowi: — mój sąsiedzie, mówcie mi całe życie panosko, ino w sercu szanujcie, to ja nigdy *krzywy* na was nie będę — i od tego czasu zostało już nazawdy panosko.

— Bardzo dobrze, bardzo pięknie ojciec mój zrobił: bo widziacie, jakto młode znów panosko zawija wasze mléko, sér i chléb z masłem z wilczym apetytem.

— A niech Paniczowi — odezwała się Basia, a Łaza: — niech Wmu Panu będzie na zdrowie.

— O! będzie na zdrowie; bom głodny jak chart. Ale gosposiu kochana nie uciekaj, pogadajmyno z sobą trochę, bo jak patrzę na

ciebie, to mi się zawsze zdaje, że ja siedzę na twoich kolanach i jestem całowany i ściskany.—A obracając się do Łazy dodał:—o mój Jędrzeju! strasznie wtenczas byłem jeszcze dziecinny, nieprawda?

— Ej! juścić Bogiem i prawdą powiedziawszy—odpowiedział Łaza zupełnie w niewinnej myśli—to znów nie tak bardzo.

— No, ale troszkę?

-- No, troszkę, zwyczajnie jak dzieciuch.

— O! strasznie dziwni jesteście—odezwała się Basia strofująca—takie przykładki robić do Panicza; to dobrze, że Panicz się nie rozgniewa, ale nie każdy byłby znów taki.

— No, no, Basiu—śmiejąc się odezwał młodzian—ja wiem najlepiej że tak było, bo i Janek może nie byłby taki powolny, gdyby był wiedział, że mam taki rozum jak dzisiaj; nie masz więc za co strofować Andrzeja, bo u niego zawsze co w głowie, to i w mowie.

— O! tak proszę Wgo Pana, ale z kobietami trudna rada: już człowiekowi trudno od tego odwyknąć. Z Basią to jeszcze pół biędy, gorsza sprawa z moją kobietą, i gdyby tu była, ho! ho! miałbym dopięro za swoje.

— To widzę, że was kobiety okulbaczyły i tego za nos wodzą; a Basia Jankowi nosa jeszcze nie urwała?

Łaza nie się już nie odezwał, tylko podniósł rękę do twarzy jakby próbował, czy nos jest jeszcze w swoim miejscu, a Basia odpowiedziała:

— Ej! proszę Panicza, chłopci nie tacy potulni, żeby kobiety nad nimi przewodziły; a Janek ma swój rozum, żeby nie wiedział, że co się mu powie, to wszystko z przyjaźni.

Łaza kiwnął tylko ręką jakby przeczył słowom Basi i szepnął cichaczem:

— Z przyjaźni, a tak nad nim przewodzą, nikić nad starą szkapiną.

— No, moja Basiu—odezwał się młodzian—powiedz mi, jakże Janek gospodarzy? Pamiętam, że to wiele było kłopotu, niż nieboszczyk Wojerech zezwolił na wasze małżeństwo, a ja potem wkrótce wyjechałem do szkół do Warszawy, i już nic nie wiem co się działo między wami.

— O! proszę Panicza, Boga chwalić nie mogę się na niego skarżyć: pracowity, nie utratny, ino jakiś jakby słaby i tak się postarzał, jakbyta Bóg wie wiele miał lat.

— Ho! ho! chciałabyś zawsze mieć młodego; ale i ty moja Basiu nie młodszej także, i choć dzisiaj wyglądasz jakby róża, to i róża



za jakiś czas jeszcze jest ładna, a potem listki po liściu spadają i zostaje sama łodyga.

— No, to się wie, proszę Panicza, ale ja nie mówię tego *woli* urody, bo przecieć wiem, że człek codziennie starszy; ino tak *woli* tego, że choć Janek zawdy mnie jednako szanuje, ale to już nie to wszystko, jak to bywało dawniej. Teraz i posmutniał, i śmieszki go opuściły, i czasem to i słowa ciężko się z nim dogadać; a przecieć przy Boskiej pomocy nic nam nie brakuje: jest i grosz zawdy w domu i przednowku nie znawa, i ja też staram się, żeby wedle niego zawdy wszystko i cało i czysto było, ale on na to wszystko mało zważa, jakby ja żadnej wedle niego nie miała dbałości. A przecieć Bóg świadkiem — i to mówiąc Basia poniosła fartuszek do oczu w których dwie łzy błyszczały — a przecieć Bóg świadkiem, że się w niczym nie opuszczam: dzień i noc ino myślę o tém, jakby mu w czym zrobić jakie dogodzenie, a to wszystko u niego fracha, zawdy jakiś dziwny i juście.

— W takim razie, moja Basiu, najlepšíj nic na to nie zważać: pomału, pomału i ani będziesz wiedziała, kiedy się zupełnie odmieni.

— Ja też to samo mówię — odezwał się Łaza — ale z kobietami kto poradzi? Już kiedy mu Bóg tak przeznaczył, to trudno się woli Boskiej przeciwiać, a Jankowi popróznicy ino głowę turbować; a narzecie co wy chceta od niego? Nie hultaj, nie utraty, dzień w dzień u roboty.....

— Przy was prawda, mój *ujku*, ale żeby nie moje gadanie, toby dziś z Janka Bóg wie coby było.

— Albo to prawda?

— Cóżto? — zapytał się młodzian — czy Janek miał ochotę rozhultaić się?

— A ino, proszę Panicza. Jakeśwa się pobrali, to z początku było wszystko jako tako. Nie mówiłam nic nieboszczykowi tatusiowi, ino się w nocy wyplakała i na tém był koniec, bo Janek żadnego prawie dla mnie nie miał kochania; ale potem jak się zaczął wdawać w wódkę, jak mnie zaczęły ludzkie posłuchy dochodzić, *ila* to on czasem w karczmie pieniędzy zmarnował: takem się okropnie zalekła, bom se zaraz miała w pomyśleniu, że póki tatuś żyją, to fracha, bo jeszcze będzie się jakoś wagował, ale jakby ich Bóg zabrał z tego świata, takby wszystko poszło na marność, bo jakż jaby se dała radę bez gospodarza? Aleta nic nikomu nie mówiłam, ino wszystko dusiłam w sobie, bo mi było wstydno ludzkiego oka. I tak się wszystko wlekło: ja się martwiłam, płakałam, a Janek coraz częściej wda-

wał się z karczmą. Czasem ze skrzypkami jak poleciał, to i całkiem nie przyszedł do domu, *ino* się cisnął gdzie w stodole, albo w chlewie między bydłem i dospał do rana. Chociaż czasem z płaczem zaczęłam mu wymawiać, że dla karczmy o wszystkim zabacza, to zrazu słuchał i nic nie mówił, *ino* się skrobał w głowę, ale potem zaczął się gniewać i ze złością wyrzekłszy:—a bójta się Boga ludzie, co robita; nie kłopotzta mi głowy, bo chyba przyjdzie człowiekowi zwaryować—brał czapkę na głowę i jak jaki głupi leciał gdzie tam albo na wieś, albo na pola, i o dojadku, o robocie i o wszystkim zapominał. A i tak wlekło się, ale wszystko w skrytości przed tatusem; a choć się czasem czego domyślali, to ja zawdy wszystko inaczej przełożyłam, żeby tatuś frasunku nie mieli: bo zawdy myślałam, że przecieć może to Pan Bóg jako odmieni, a tu tymczasem codzien gorzej było. Dawniej Janek *ino* w święta bałamucił, potem i powszedniemu dniowi nieraz się dostało, a odemnie coraz więcej był zdaleka, i jak mówił, to zawdy ostro, jakby się na mnie gniewał. Aż dopiero tego wieczora, kiedy to Ziembą pogorzał i tatuś mało nie umarł, co się z Ziembą *przemówili*, Janek przyszedł do mnie w nocy, zaczął mnie całować, przepraszać za wszystkie zmartwienia, jakie miałam z jego *okazyi* i powiedział, że uprosił se u Pana Boga, aby go złe odstąpiło i że odtąd żadnej z nim nie będę miała *turbacyi*. Na drugi dzień ogarnęliśmy się schludnie i oboje poszliśmy do kościoła; Janek dał na mszę świętą, wysłuchał się (wyspowiadał) i odtąd, proszę Panicza, jak ręką odjął, wszystko go odstąpiło, jakby to był nie ten Janek co wczoraj, *ino* zupełnie inny. Od tego czasu *ino* mu już robota była w głowie, gorzałki ze szczeniem *zabaczył*, i żeby mu Bóg wie co kto dawał, choćby ćwierć dukatów, toby już nie wypił kieliszka wódki.

— A to dobrze, a to tęgi Janek, z męzkim prawdziwie hartem duszy.

— Prawda, proszę Panicza, że dobrze, bo gorzałka nikomu ani rozumu, ani chleba nie da, *ino* go odbierze; dlatego choć na jedno dobrze się stało, że *zabaczył* o gorzałce, to znowu od tego czasu tak dziwniał, taki się zrobił mruk, jakbyta w gębie u niego nie było języka. Między ludzi rzadko go można napędzić i choć zdarzyło się, że nas prosili na wesele albo w kumy gdzie do jakiego sąsiada, to zrazu niby się Janek rozweselił, wywiódł jaką gadkę śmieszoną, ale go wnet odstępowało i jak zasiadł se gdzie w kąciku, to siedział jak nieżywy. Ludzie tańczyli, dokazywali, śmieli się, a on nic; choć go wyciągnęli do tańca, to się trocha pokręcił i juścić szust gdzie do kąta, i już go

nie ma. Czasem chycił się za skrzypki, ale i na skrzypkach już mu się nie wiodło, bo zrazu trafila dobrze w nutę, ale wnet mu się myliło i jakoś tak smutno zagrał, tak nijako, że ludzie postawali, co nie mogli całkiem po jego graniu tańcować.

— A jakże, na weselach, na chrzcinach pił wódkę?

— Gdzie tam, ani odrobiny. Zrazu to ludziom strasznie było dziwno, i niejeden przypił do niego; on tylko odrzekł Boskie słowo, odebrał kieliszek do ręki, żebyta nie było z czyją obrazą, i oddał drugiemu, ale sam ani pokosztował.

— A to chwata, a to tęgi Janek! (1).

— O! proszę Wgo Pana, poczciwy i potulny chłopak; żeby mu i w nocy co kazać robić, to się ani skrzywi, ino wstanie i zaraz się chyta roboty. A jaki nabożny! Żadnego święta nie opuści, żeby nie był w kościele i to od samego rana, a do spowiedzi to czasem i sześć razy idzie do roku.

— Ano, to chwala Bogu, nie masz się więc o co martwić, moja Basiu. Kocha cię, pracuje, i czegoż chcesz więcój?

— No, ani słowa, proszę Panicza, ale zawdy mi smutno, że on nie taki jak był dawniej. Co tézto ludzie mieli z niego śmiechu, co zawdy uciechy!...

— Oj! bajbugo, bajbugo—przerwał Łaza—tybyś zawdy chciała, żeby Jankowi wróble świtały w głowie; że pomału przyszedł do rozumu, to ci źle, bo nie taki wartogłowy jak był dawniej. Oj! z temi kobietami, proszę Wgo Pana, to zawdy trudno poradzić: niczém im nie dogodzi, wszystko im wnet się naprzykrzy.

— Prawda, prawda, mój Andrzeju—odpowiedział młodzian z uśmiechem—ja téz dlatego nie myślę się żenić; już ożeniłem się,

(1) Możemy zaręczyć za autentyczność podobnego wypadku, jaki dosyć często natrafić się daje między naszymi włościanami. Wprawdzie niekażdy na cały bieg swego życia pozostał wierny pierwiastkowemu zobowiązaniu, ale wielu z godną podziwienią stałością; tém bardziej, że tylko prawdziwa oświata zdolna jest wyrobić podobny hart duszy, od jakiej tak dalekim jest nieukształcony włościanin. Podobne wypadki najlepsze wydają świadectwo o tęgości charakteru i mocy duszy tych prostych synów wioski, które rozumem przewodniczących im panów i wszystkich oficyalistów ekonomicznych (nb. gdyby ciż oficyaliści zbiorowo byli w posiadaniu tego rozumu, bo wyjątki są niczém), gdyby skierowane zostały na drogę moralnej poprawy, wkrótce prawdziwe cuda zobaczylibyśmy. Nawet i jedno pokolenie nie przeminęłoby, a z większej połowy swych błędów ta najliczniejsza i najpracowitsza klasa społeczeństwa naszego wyzwolonaby została.

ot.... — i przy tych słowach brzęknął ostrogami, a jakby na wtór tego głosu, dzielny kasztan zarżał na podwórzu.

— Abo dobrze Wny Pan powiada; i ja żebym miał ten rozum dawniej co teraz, tobym tego nie miał ani w pomyśleniu....

— Tak gadacie — odezwała się Basia — a jak uina kaj pójdą, to się już tak kręcicie, tak wyglądacie, jakbyta już z rok w domach ich nie było.

— A bo już tak człek nawykł — odpowiedział z uśmiechem Łaza — nikić wół do jarzma, to już dźwiga i dźwiga: i cóż ma nie-szczęśliwy robić?

— Dobrze i sprawiedliwie mówicie, mój Andrzeju — odezwał się zartobliwie młodzian — i póty się nie ożenię, póki mnie która nie będzie chciała. Ale powiedzcie mi, co się zrobiło z Ziemba? Podobno ogromnie zbiédniał?

— Na bogactwie, proszę Wgo Pana, to ani słowa, bo mu Pan Bóg wszystko zabrał i wyprowadził go tak, jak na dziady; ale na duszy, na sumieniu, to znowu pobogaciał, i teraz nie ma prawie lepszego człowieka we wsi, jak Ziemba.

— Czy może być? Wszakżeto on dawniej przez nikogo prawie nie był lubiony. Ogromnym był chciwcem, lichwiarzem i derusem, i z ołtarza byłby zdjął, aby tylko zarobek otrzymać. A Siępień, to podobno na niego patrzeć nawet nie lubił.

— Tak było, proszę Wgo Pana, ale od tego czasu, jak Pan Bóg ogień spuścił na Ziembowe pobudynki, tak wszystko się w nim odmieniło, wszystko go dawne opuściło, i anibyta nikomu i bez głowę nie przeszło, że to ten sam Ziemba, coto go ludzie we wsi prawie palcami wytykali.

— Czyto może być, żeby się człowiek tak przez jedną noc odmienił?

— Ej! bez urazy Wgo Pana, tu się nie mówi, aby się to wszystko zrobiło bez jedną noc, ale wtedy jak się zaczęło, to i dwóch lat całkowych nie wyszło, a Ziemba jakby się ze skóry wylecił: zupełnie innym został człowiekiem. Bo nie wiem, czyta Wny Pan to pamięta, że Ziemba o tém ino myślał, jakby zakasować nieboszczyka kuma, Janka z Baską zbyć byle czém, czego u niego wtedy nie było kupić, samemu wejść do takiego majątku, a wszystko to ni-by dla swego wnuka, co mu został po siostrze Basinój. Coto on się nie naprzemyślał, nie nazabiegał; coto on nie nagubił się duszy krzywdą i płaczem ludzkim, a wszystko dla takiej marności, dla pieniędzy, jakby człowiekowi tak wiele trzeba było. Ale proszę Wgo

Pana, i kum Sierpień choćta już na Boskim sądzie spoczywają, wiela w tém chybili, że zawdy w głowie mieli swoje *familiję*, jakbyta z *familii*, Panie odpuść ciężkie grzechy, przyszło co człowiekowi, albota nie z jednéj ziemi wszyscy byli ludzie. To téż Pan Bóg jednéj godziny tak Ziembie, jak i nieboszczykowi kumowi pokazał, że wszystko co *ino* od ziemi, od człowieka pochodzi, to jest niczém, co nie warto nawet, ot! téj śliny. Kum nieboszczyk zawinili, że może częściej myśleli o swojej *familii*, jak o *pacierzu*; Ziemba znouu dla majątku i bogactwa, toby był duszę djabłu zaprzedał. A że złe łatwo lgnie do człowieka, jak się zapatrzył na nieboszczyka kuma, że w ich *familii* zawdy Sierpień po Sierpniu bez dzielenia się siedział ot, w téj chałupie, i że wszystkich Sierpniów ludzie z dawien dawna mieli w obserwacyi i zawdy szanowali: tak i jemu się zachciało takiego między ludźmi uważania, i duchem chciał zgubić Janka, byle czém wykpić od niego pół ojcowizny, i potém na krwawéj pracy Sierpniów obsadzić swego wnuka, młodego Ziembę. Ale Pan Bóg choć cierpliwy, ale *ino* do czasu; probuje człeka na wszystkie strony, niby mu folguje, ale prędzej czy później złego nie przepuści bez kary. Ludzie tylko, z przeproszeniem Wgo Pana, bez głupstwo swoje nie widzą tego, i zdaje im się, że jak złe łatwo przed światem ukryją, tak i Boga oszukają; ale Bóg patrzy, i choćby w największej skrytości, to tak widzi, jak na jawie.

— Prawda, prawda, mój Andrzej, pocziwie i rozsądnie mówicie; ale ludzie zawsze będą ludźmi, i złe lepij się im podobać będzie, jak dobre.

— Takjest, i bez urazy Wgo Pana nietylko to w chłopskim stanie, ale i w pańskim tak się dzieje; albo ja mało takich rzeczy się natpatrzył? Ołóž, proszę Wgo Pana, czyto ja mało się kumowi nagałdał, że dumność jego, to marna rzecz; ale oni anita słuchać tego nie chcieli, czasem mi nawet i przymówili, ale ja na to nic nie zważał, bo wiedziałem, że to nie z serca, *ino* ot z głupiego rozumu. To téż Pan Bóg naprzód nie dał im syna, *ino* same dziewuchy, jakby *familią duchem* im chciał wybić z głowy. Ziembie znouu odjął Pan Bóg rozum, że go zaprowadził wtedy do kuma, kiedy oni chcieli zapis zrobić na bratanka; i cóż się z tego zrobiło? Ziembę naprzód kum, a potém Janek dosyc się naponiewierali, a kum Wojciech z wielkiego gniewu i zmartwienia, że zawada mu stanęła do zrobienia tego, co już oddawna mieli w pomyśleniu, omało śmierci nie ponieśli. Ale jeszcze się nie na tém skończyło, bo kiedy kum nawpół żywy leżeli na łóżku, Pan Bóg ogień zesłał na Ziembę, i nie-

tylko wszystko zrównał z ziemią, ale i ukochanego jego wnuka, co bez niego myślał, że zabierze starą Sierpniów ojcowiznę, zabrał do swojej chwały. Czyżto, proszę Wgo Pana, nie oczywista kara Boska?

— O! zapewne, mój Andrzeju; ale mówcie dalej: cóż się potem stało?

— Tak potem, proszę Wgo Pana, jak w kumie po spowiedzi, tak i w Ziembie wszystko się odmieniło. Kum choć może jeszcze mieli w pomyśleniu czasami, ale już nigdy nie wspomnieli o bratan-ku, *ino* mówili:— „ha! trudno się przeciwiać woli Boskiej; kiedyć tak padło, kiedy i proboszcz tak powiada, to cała ojcowizna pójdzie już dla Basi; *ino* czapki nikt po mnie nie będzie już nosił, bo ona *ino* dla Sierpniów przystoi, i jak będę umierał, to ją zawieszę między obrazami świętymi, żeby tam póty wisiała, póki sama nie spadnie, a wy pamiętajta, żebyście się nie ważyli jój zdejmować.“ To też proszę Wgo Pana, jak ją zawiesili sami przed chorobą, co z niej już nie powstałi, tak i wisi, i nikt się jój jeszcze nie dotknął.

Tu nastąpiła chwila uroczystego milczenia; każdy spojrział na okurzoną czapkę, która niegdyś chociaż dumną, ale pocziwą, dziś już ziemią pokrytą okrywała głowę. Basia łyż fartuszkiem otarła, i Łaza po małym przestanku mówił dalej:

— Jużta proszę Wgo Pana o kumie Wojciechu nie mam co więcej powiedzieć; żyli potem jeszcze *bez* lat siedm przykładnie, uczciwie, po katolicku, aż też ich Pan Bóg zebrał z tego świata. Ja się przeniosłem do Janków z kobietą, bo mnie o to duchem prosili, i radziwa sobie jak możewa. Ale z Ziembą to się na tém nie skończyło, bo to kara Boska dopiero się zaczęła i Pan Bóg chciał pokazać dla ludzkiej nauki, że *ino* w pracy i pocziwości człek powinien majątku szukać, a nie w krzywdzie ludzkiej. Otóż proszę Wgo Pana jak Ziembra *ino* w jednej koszuli wyszedł z pogorzelska, jak każdemu stał na zdradzie, żeby *ino* co wykpić, tak potem od ludzi niczego się nie mógł spodziéwać, i nikt mu też w niczém nie pomógł. A tu trzeba do gospodarstwa konia, wozu, pługa, odziewku dla siebie, kobiety i córki, a z kądże tu wziąć na to, kiedy się wszystko spaliło. Ziembra powiadał, że miał trocha grosza srebrem, i szukał w popiele, aleta jakby kamień w wodę wszystko przepadło. Tak Ziembra nie mając się czego *chycić*, jedną część gruntu sprzedał, a *bez* ten czas póki się sam na nowo nie obrządził, siedział z kobietą u kuma i kum ich na swoim *wichcie* utrzymywali.

— I długo tego było?

— O! proszę Wgo Pana blisko ze cztery tygodnie. Już prawie przed same żniwy Ziembowie wynieśli się dopiero na swoje gospodarstwo.

— A to szlachetnie Wojciech sobie postąpił, prawdziwie po chrześcijańsku; i Ziemba Wojciechowi nic za to nie zapłacił?

— A niech Bóg bron! Ziemba chciał dać kawałek za to gruntu, powiadając: „mój Wojciechu, waszą poeziwością ino mi wstyd między ludźmi robicie; bo tak mnie obserwujecie, nikić waszego najlepszego przyjaciela, a ja wam tyła zmartwienia narobiłem;” ale kum Wojciech ani słyhać o tём nie chcieli i Ziemba siedział póki mu się samemu podobało. Jak odebrał pieniądze za przedany grunt, tak pokupował i dobytku trocha i statków i zboża na życie, ale tego wszystkiego nie długo było, i jakoś tak mu się w niczém nie wiodło, jakby go P. Bóg ze wszystkiém odstąpił. To mu krowa przy cieleniu zepsuła się, to znowu drugą z cielakiem ukradli; konia jednego w lesie przerwali, a drugi znowu znosiali; gęsi choćta u nas bardzo trudno o to, ale wilk potłukł na ugorze, a inną razą ktoś wszystkie wybił w szkodzie; w polu padło na lata suche i nie mu się prawie nie urodziło, chociaż drudzy przecieć coś coś przedali. Jak mu się téż nareszcie kobiéta z tego wielkiego zmartwienia rozbałamuciła, tak wszystko z domu przechodziło do karczmy, że czasem nie mieli co do garnka włożyć. A na to wszystko znikąd nie było żadnego *profitu*, bo nie z obory, nie z drobiu, nie z pola, nie z gospodarstwa ani z pracy; kobiéta o tём ino myślała, jak co złapać i przepić, więc het! sprzedawał grunt za gruntem, a tu wszystko szło na marność. Co jedną dziurę zatkan, zaraz dziesięć innych się otworzyło, i tak ciągle, aż téż nareszcie jak wszystek grunt zmarnował i ino mu pozostał grunt kobiéty jego, tak jakoś wtedy trafiło się córce wesela i zięć zabrał grunt jak swój, wziął matkę do siebie, gdzie nie długo Bogu ducha oddała, a Ziemba w jednym ino *dziarganie* kózuszyńie został jak palec goły. — Wtedy kum wzięli go do siebie i powiedzieli, że u mnie będziecie mieli przytulisko, a za to pomożecie mi co wedle gospodarstwa. Byłem wtedy kiedy kum tak mówili, to Ziemba, proszę Wgo Pana o mało się z kumem jak dzieci nie popłakali; ale nie już więćej do siebie nie przemówili i drugiego dnia Ziemba nie nikomu nie powiedziawszy wziął kij w rękę, i że to było jakoś z wiosny, poszedł na odpust do Częstochowy. Jak wrócił w kilka tygodni, takeśmy go ledwo poznali: osiwiat prawie jak gołąb, brodę zapuścił i torbę dziadoską miał przez ramię przewie-

szoną. Od tego czasu został pokorniuśki jak baranek: w dacie pasał gromadzkie bydło, a w zimie walał się po wsi pomagając w robocie to temu, to owemu, ale zawdy u kuma najwięcej przesiadzał.

— To może ten dziadek, com go spotkał pod krzyżem modlącego się był Ziemba?

— A tak, proszę Panicza—odezwała się Basia—bo oni po śmierci tatusia znów byli w Częstochowie, i jak wrócili tak powiedzieli, że ksiądz na spowiedzi kazał im wiele razy ino przejdą wedle krzyża bez całej swoje życie, żeby za duszę tatusia zmówili pięć Ojcze nasz, pięć Zdrowaś Marya, pięć Wierzę i pięć Wieczny odpoczynek, i od tego czasu ani razu o tém nie zabaczyli.

— No, no, to mi ciekawe rzeczy opowiadacie; ale prawdziwie dziwić się potrzeba, żeby człowiek taki chciwy, i tak bez sumienia jak Ziemba, zupełnie się odmienił? A potem po ogniu i po straceniu wszystkiego, czy nie objawiła się w nim chętką zbierania pieniędzy i na nowo robienia majątku?

— Ej! proszę Wgo Pana, prawdę powieźdźawszy, jakta z pustego garnka nikt nie naleje, tak i trudno zbierać, kiedy nie ma z czego. Możeby i do Ziembę złe było przystąpiło, żeby była potemu okazy; ale sam mi się potem przyznał, że to widzi dokumentnie, iż Bóg sam chce tego, żeby resztę życia swego między ludźmi na wysłudze przepędził, bo powiedział: że ile tylko razy pomyślał o zbieraniu grosza, za każdą razą nieszczęście mu się. I tak raz, proszę Wgo Pana, oszczędził se, jak to sam powiadał, dwa ruble, kiedy mu gromada za pasenie wypłacała; a że miał drobnemi i chciał zmienić na grubsze, więc poszedł do miasta i wymienił u żyda. Jak wrócił do domu, do paśa, a tu rubli nie ma. Dalejże on do żyda, bo był pewny, że ma dać *inkluzy*, co nauczne zawdy wracać do tego, czyje są. Od słowa do słowa przyszło do zwady, i potem z krzykiem, z hałasem, z wymyślaniem zaprowadzili się do burmistrza. Burmistrz jak wysłuchał, zaczął się śmiać; naprzód delikatnie tłumaczył Ziembie, że to wszystko są bajki, ale potem jak się zniecierpliwiał, bo duchem Ziemba przy swoim obstawał, tak podobno przylepił mu coś na plecy i wypchnął z *kancellaryi*. Potem drugi raz troszkę się napił w karczmie przybysławskiej, ale nie za swoje, ino mu jakiś pan kupił półkwaterek, co go na drogę wyprowadził; a że wypił na czczy żołądek, tak mu zawieruszyło trochę głowę, więc położył się na trawie i usnął, a w kieszeni w węzélku miał coś ośm złotych. W karczmie byli różni ludzie, zwyczajnie jak w karczmie na gościńcu: jedni wchodzili, drudzy wychodzili. Jak się Ziemba przebudził, patrzy, a chustki



w kieszeni nie ma. Dalejże szukać, gdzie! przepadło; znowu narobił termedyi w karczmie i dalejże z szynkarzem do wójta. Ale proszę Wgo Pana ktota mógł zgadnąć kto wziął; a nareszcie Ziemba zawdy się krył z groszem, jakbyta z kradzionym. Do tego po dziadosku ubrany, to ktota mógł wiedzieć, że on miał pieniądze i jeszcze tyła przy sobie. U wójta podobno się skłócili, a jak Ziemba w tém rozłószczeniu powiedział, że wójt musiał się z szynkarzem podzielić: takta podobno i po pysku go się wójt doskonale nabił i o plecach nie zabaczył, bo mi mówił, że więcej jak dwie niedziel tęgie na nich miał basiory. To już dwa razy; ale powiadał, że jeszcze na to wszystko nie zważał, i ino o tém ciągle myślał, aby się jeszcze z téj biedy wyratować, i choćby przyszło ino oczy zamknąć, ale zawdy już w swój chalupie. Tak powiadał mi, że raz znowu miał dwa ruble pieniędzy i jeszcze mu się u ludzi za pasenie należało, boto jakoś wtedy dosyć w Świątnikach było bydła, i leciał z jarmarku już w listopadzie z nowemi butami i myślał ino o tém, że pożyczycy te pieniądze Walasowi, od niego dostanie za to przysiwek i tym sposobem znowu przyjdzie do jakiego takiego grosza. Zwyczajnie jak to w jesieni: było zimno, on głodny, bo sobie pewno i za grosz nic w mieście nie kupił, okrycie-ta na nim było niebogate, boso, bo na błoto żal mu było nowych butów, tak się widać przeziębził i jak zachorzał na drodze, o mało potém nie umarł, a pieniądze na leki, na to, na owo, zwyczajnie jak w chorobie poszły między ludzi, że nawet buty musiał zostawić, a ludzie to go znaleźli na drodze leżącego i z litości wzięli do Borku, gdzie coś bez pięć tygodni leżał bez pamięci. Już i ksiądz był u niego do wystuchania, ale się mu odmieniło i wrócił znowu do Świątnik blady, wychudzony, że go ledwo poznać można było. Od tego czasu powiedział, że poznał dopiéro, iż P. Bóg widać nie chce tego, aby on się znowu dorabiał, i teraz jakoś szczególniej od śmierci kuma taki się zrobił pokorniuśki, taki potulny i poczciwy, a na pieniądz nie chciwy, że aby ino miał, to się nikomu nie wymówi i zaraz pożyczycy: czyta na sól, czy na podatek kiedy kto prosi, i już bez żadnej prowizyi i bez naprzykrzania się o oddanie.

— A proszę Panicza— domówiła Basia— jakto zgodnie żyli z nieboszczykiem tatusiem, co się to nieraz o wojsku, o Częstochowie z sobą nagadali wieczorami w zimie, to myśwa się dosyć nadszywić nie mogli; ino nigdy żadnej nie wywiedli gadki o ogniu i o chorobie tatusia, bo jakta bez przypadek co podobnego rozpoczęli, to tatuś w izbie dosiedzieć nie mogli, ino się zmarszczyli i zaraz z izby

na podwórze i potem już długo, długo, czasem i z kilka tygodni ciężkota z nimi było przyjść do jakiej rozgadki.

— To też bez to kum i zeszli ze świata. Choć już nie wspominali, ale się zawdy w sobie gryzli, zawdy w głowie mieli jedno, że to nie Sierpień, ino Gruzda będzie w ich ojcowiznie; i choć nie byli tak w wielkich latach, to pomarli, bo-to proszę Wgo Pana niedarmo starzy ludzie powiedzieli: czego się skorupka za młodu napije, tém na starość traci; myj nie myj, zawdy będzie przypominać. Choć kum w głowie swojej mieli przekonanie, że nie familia, ino poczciwość człowieka wszystko znaczy, ale już z samego od młodu przyzwyczajenia choć nie w gadce, to w pomyśleniu zawdy swoje mieli, i dlatego z tej niespokojności, z tego zawdy gryzienia się, ot, i poszli z tego świata przed czasem, bo to wszystko nie idzie człowiekowi na zdrowie.....

— Prawda, mój Andrzeju; namiętności poruszające sercem ludzkim, nadzwyczaj wyczerpują życie, i dlatego często śmierć napotyka ludzi, gdy im dopiero na świat iść wypada, albo tak się przed czasem zmieniają, że nieraz trudno uwierzyć, abyto jedne i też same były osoby, któreśmy np. znali przed laty kilkoma.

— A bo wszystko bez głupstwo, proszę Wgo Pana; żeby ludzie więcej rozumu mieli, jak go-ta dotąd mają, toby więcej myśleli o duszy, o wieczności, jak o ziemi i o ciełe, co z prochu powstało i w proch się obróci; ale co-ta! zawdy dla ludzi dumność, pieniądze i wszystkie inne takie marności więcej będą znaczyć jak dusza, chociaż każdy dowodnie to widzi, że wszystko tu człowiek zostawi na ziemi, a ino z jedną duszą pójdzie do Boga. A coto frasunku, co to zabiegania, żeby na swoim postawić; a jakto wszystko, proszę Wgo Pana zdrowie człowiekowi odbiera. Ot, nie przymierzając rodzic Wgo Pana albo i ja grzeszny człowiek, chociaż prawda mamy swoje lata, ale dlatego nic się w nas po nagłości nie odmieniło: potroszku, po jednym zmarszczku zaczęła się twarz kurczyć, potroszku znowu poczęły włosy siwieć, a dlaczego?—bo nie psujemy sobie niczém próżnicy głowy, pracujewa, starawa się, a zresztą wszystko zdajemy na wolę Boga. Kum zaś Wojciech, albo i Ziembra, co myśleli zawsze ten o *familii*, a drugi i o *familii* i o pieniądzech, to tak jakoś pręciusko się postarzelili od tego czasu, kiedy im Pan Bóg zagniewanie swoje okazał, że ta wszyscy dosyć się nadziwić nie mogli; a Ziembra cota nigdy żadnej na twarzy nie miał przyjemności, to tak poczerniał, tak mu oczy zapadły.....

— Ale teraz — przerwała Basia — od tego czasu jak zachorze-  
śmiertelnie, to tak jakoś wybieleli, tak *galanto* wyglądają, jakby im  
lat nie przybyło, ino ubyło.

— A bo więcej teraz o Bogu myśli, jak o marności, to i Bóg  
o nim pamięta — zakończył Łaza; a młodzian dołożył jakby do siebie:

— Za szlachetną myślą, przyszedł i szlachetny wyraz twarzy;  
oblicze bowiem człowieka, jestto zwierciadło i wierny obraz duszy  
i myśli ludzkiej. Cierpienie, zadowolenie z życia, duma, zawiść, sa-  
molubstwo, miłość bliźniego, wszystko to czas jak pędzlem mala-  
rza niestartemi rysami oznacza na twarzy ludzkiej: bo to, co jest wy-  
robkiem moralnego naszego jestestwa, musi mieć objaw i w cieles-  
snych kształtach. Dlatego z twarzy poznasz, czy się człowiek smu-  
ci albo weseli, i w téj twarzy wyczytasz jak z książki całą wartość  
duszy ludzkiej.

Młodzian chciał jeszcze zrobić jakieś zapytanie, ale na podwó-  
rzu dało się słyszeć piszczenie kótek płucznych i potrzask bicia po-  
wracającego Janka z pola. Jednocześnie drzwi się otworzyły i ze  
słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — wszedł do  
izby ten sam starzec, któregośmy modlącego przy krzyżu poznali.

Było Ziemia, ale miała Basia słuszność, że i wybieleł, i jakoś  
*galanto* wyglądał. Pominąwszy siwą brodę i także po bokach głó-  
wy włosy, gdyż na wierzchu łysina świeciła jak kolano, w całej twa-  
rzy malował się pewien wyraz szlachetności i powagi, który mimo-  
woli wzbudzał w patrzącyin poszanowanie dla starca wiekiem obar-  
czonego. Nie byłoby oblicze pocziwego Łazy, co każdego odrazu  
serce do siebie ciągnęło, ale widne w niém były pokora chrześciań-  
ska i cierpienia przebyte wraz z tryumfem odbytej samej z sobą wal-  
ki, które jeżeli odrązu serca nie zyskiwało, to wpatrzywszy się, niepo-  
dobna było poprawionemu grzesznikowi współczucia i litości odmó-  
wić. Kłamana potulność, uśmiech faryzeuszowski, oko wiecznie po  
bokach błędzące, przygarbienie całej postawy, do czego Ziemia na-  
łogowo był przyzwyczajony, chociaż jeszcze nie znikły zupełnie, ale  
otrząśnięte z dawnéj szaty świeciły prawdą i nie służyły już na pokry-  
cie myśli, jak to było dawniej, lecz na ich szczerze, szlachetne wyja-  
wienie.

Takoto jest potęga wiary i religii, która szczególnież w ludzic  
wieśniaczym tylko rozsądną pokierowana ręką, moj Boże! wieleżby-  
to dobrego mogła zdziałać dla całego społeczeństwa!

Jak tylko Ziemia wszedł do izby, pierwsze zaraz spojrzenie  
ofiarowane było dla Władysia, a dziś już całą gębą Władysława.

Wchodząc zatrzymał się na środku, a myśli widać rozpierzchyły się po całej minionej przeszłości, bo chwilę w milczeniu przypatrywał się urodziwemu młodzieńcowi. Dopiero na zrobione mu za pytanie: — Cóżto Jakóbie nie poznajecie małego Władysia? — rzewny uśmiech mignął mu po twarzy, oczy łzami zabłyszczały i przystępując do kolan młodziana, przemówił trzęsącym od wzruszenia głosem:

— O! uznaję Panicza, chciałem powiedzieć Wgo Pana, bo se później pomiarkowałem, że to musi być Pan Władys, kiedy się pytao domostwo Sierpnia; ale jakem spojrzal na Wgo Pana, tak mi zaraz przyszedł do myśli mój wnuczek Jaś kochany, co..... dziś mało coby był młodszy od Wgo Pana.

— Takim myśłom dajmy lepiej pokój, mój Jakóbie; co się stało, to się już nie odstanie. Ot lepiej mi powiedźcie jak się macie, jak się wam powodzi?

— Prawda, mój Paniczu, że Bóg wie co robi, i niech będzie święte Imię pochwalone; a z łaski Boga i Najświętszej cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej co nie zabaczyli o grzesznym człowieku, powodzi mi się zwyczajnie jak biednemu, ale przynajmniej zdrowo, nie chłodno i nie głodno.

— No, to chwała Bogu, bo też i więcej człowiekowi niepotrzeba.

— Święte słowa Wgo Pana; ja też zgadzam się z wolą Boską, chociaż bez tyła zmartwienia przeszedłem na ziemi; ale zawdy jak se człek wszystko to przypomni, to i niedziwota, że mu smutno jakoś zrobi się na sercu.

Drzwi się znów otworzyły i z okrzykiem radosnym: „nasz Panicz kochany!“ wbiegł Janek.

Serdeczne, a nawet rozrzewniające było powitanie naszego wieśniaka-poety, z tak dawno znajomym sobie młodzianem. Całował po rękach, po kolanach, z czułością przywiązania rodzicielskiego przyglądał się urodziwemu Władysławowi, powtarzając: — Nasz Pan Władys, Boże drogi! ktoby się spodziewał takiej uciechy! Jakito Panicz pocziwy, że o nas nie zabaczył; o mój Boże jedyny!

Gdy minęło pierwsze wzruszenie, w którym człowiek nie wie jakiej myśli płynącej z serca, aby ją ucieleśnić wyrazem, dać pierwszeństwo; rozpoczęła się ta rozmowa prędką, krótka i urywana, co chce w sobie zamknąć dzieje upłynionego czasu, w której myśli wyprzedzają słowa, a słów tych taki nawał, że aż usta choć chwilowem krepują się milczeniem.

Ziemba zadumany, z opartą głową na ręku siedział na ławie, rzucając tylko kiedyniěkiedy przelotne spojrzenie na Janka i Władysława, jakby się dziwił, że między ludźmi może być tyle serdeczności. Basia rozpalala ogień na kominie, około której kręciły się dzieciaki, naprzykrzające się piszczącym głosem o podwieczorek, a Łaza wyszedł na podwórze oporządzić około koni, które Janek, żeby prędzej powitać panicza, niewyprzężone pozostawił u pługa.

I długo jeszcze rozmawiano, nieraz śmiechem kraszając wzajemne opowiadania, że ani się spostrzeżono, jak wieczór zajął bladym światłem księżyca w okna chałupy. Wówczas Władysław pożegnał gościnnych gospodarzy, obiecując przed wyjazdem jeszcze ich odwiedzić, i wraz w towarzystwie Janka, który się ofiarował odprowadzić go kawałek, dosiadł z niecierpliwości grzebiącego kopytem kasztana i udał się prosto drogą do wsi swojego ojca idącą.

Wieczór był cudowny. Księżyc w pełni, duży, jasny, przyświecał ziemi, noc prawie na dzień zamieniając. Na zachodzie szerokiemi pasmem unosił się brzask od promieni zapadłego słońca, zlewając się z ciemną barwą widnokręgu. Na niebieskim lazurze nieba gdzieniegdzie tylko migotała gwiazda, a niewielkie białe przezroczyście chmurki, jakby z powagą przyglądały się ziemi, posuwały się w przestrzeni, zasłaniając czasami oblicze księżyca.

— Mój Boże! jakto ładno na świecie—mówił Janek oglądając się dokoła.—Pamiętam, że po takiej nocy nieraz Paniczowi, kiedyto jeszcze u rodzica służyłem za parobka, wygrywałem na skrzypkach, a Panicz potupywał nóżkami, wyskakiwał, pośpiewywał nikiéjby w tańcu. O! jakto wtedy wszystko u człowieka było radośnie, wesoło, jakbyta żadnego frasunku nie było na świecie; a teraz nic człeka nie cieszy, i ino wtedy jakoś raźniej się robi, kiedy se człek o dawności pomyśli.

— A mój Janku, i w czémże ci dawniej lepiej było jak teraz? Dawniej i biédys się nieraz nacierpiał i kąta nie miałeś własnego, i o Basię dobrze się namartwiłeś, co ci z nią i widywać się nie pozwolił nieboszczyk Sierpień, a dziś przecieć wszystko inaczej: jesteś gospodarzem, masz bydło i konie, i gruntu dosyc, i Basię za żonę, którą tak kochałeś; nie znasz już coto biéda, coto niedostatek, nie tak jak dawniej: więc cóż ci brakuje? Dawniej ludzie Bóg wie co o tobie nie gadali, a teraz cię szanują tak w domu jak i za domem, i powiadają, żeś poczciwy i pracowity człowiek. Widać, że ci mój Janku zadobrze.....

— O! bodaj ja mój Paniczu—przerwał Janek ciężko wzdychając—nigdy był nie zaznał takiej *dobrości*. Chociaż Boga chwalić nie mi nie brakuje, ale ja—ta nigdy, proszę Panicza na dojazd nie byłem *chciwy*: było co, to zjadłem, nie było, to se zagrałem na skrzypkach i juścić mi się jedzenia odechciało; a teraz, Boże kochany, jakos tak nudno, tak dziwnie, tak nijako, tak mi czasem coś do głowy przystępuje, że.....

— Ależ mój Janku, Basia, z którą się ożeniłeś z prawdziwego pokochania, powinna być dla ciebie szczęściem prawdziwém, bo dobra i kochana żona osładza i łagodzi wszystkie gorycze i ciernie ludzkiego życia.

— Ej! Basia, mój kochany Paniczu zwyczajnie jak Basia, jakta wszystkie inne kobiety, nie mogę na nią nic powiedzieć przeciwnego; ale to już proszę Panicza nie ta sama Basia, jakto wtedy, kiedy była dziewczuchą. Teraz wszystko się w niej zmieniło: ni—ta spojrzenia takiego, ni gadki takiej jak dawniej, ino jakos wszystko takie, co nic człowieka nie cieszy, co zawdy przychodzi do głowy, jakto Basia była dziewczuchą, co dobrze że człek dla niej się nie zagubił.

— To ci wszystko tak się zdaje, bo.....

— Oj! nie zdaje się, nie zdaje, mój kochany Paniczu, bo ja próżnicy nie postarzałbym się tak i nie odmieniłbym, jak się odmieniłem. Bo proszę Panicza, jak *ujek* Łaza powiadają, że ino *turbacyje* człowiekowi zdrowie odbierają.

Istotnie Janek wyglądał jak gdyby nie o dziesięć, ale przynajmniej o dwadzieścia lat był starszy od chwili, w której rozpoczęliśmy nasze opowiadanie. Na głowie włosy przerzedziały, w twarzy doły się porobiły, tylko oczy dawnym świeciły blaskiem, ale już nie tém życiem pełném swobody, tak zdobiacém oko młodości, ale jakimś hartem, jakąś męzkością, jakby odwagą, gotową do walki, którąby dusza wskazała.

Władysław po odpowiedzi Janka mimowoli spojrział w twarz mówiącego i sam dosyć się nie mógł nadziwić odmianie, jaka w nim zaszła od tak niezbyt znów dawnego czasu, i ulegając działaniu przeciwnego swego serca, czułym odezwał się głosem:

— Mój Janku, czy ty nie jesteś chory? bo istotnie dosyć mizernie wyglądasz.

— Ej! proszę Panicza, na cielsku Boga chwalić nie mi nie brakuje i od śmierci tatusia Sierpnia ani razu nie zachorzałem; ale ta wewnątrz mnie, to się dziwności dzieją i możeby się był człowiek na piękne rozhultał, żeby nie ludzkie gadki, co ich o sobie wysłu-

chałem zaraz po ogniu u Ziembę, nie gadanie tatusia Sierpnia, kiedy to zastabiali z przemówienia się z Ziembą, i nie święte słowa proboszcza przy spowiedzi. Jak mi to wtedy proboszcz dokumentnie przełożyli i jakoś tak ładno, że ja już tego nie umiem Paniczowi przełożyć: że jak nie *zabaczę* o graniu, karczmie i wódce, to naprzód tu siebie na ziemi zagubię, a potem duszę na tamtym świecie; tak jakoś poszedłem po rozum do głowy, i chociaż Boże kochany—mówił Janek dalej z bolesnym westchnieniem—mnie *zabaczyć* o graniu, o śpiewaniu i o ucieście między ludźmi, to tak, jakby rybie wodę odebrać albo ptakowi skrzydła; ale jednako wyrzekłem się wszystkiego, przysięgłem na św. spowiedzi, że wszystko niepotrzebne z głowy se wyperswaduję i dotrzymałem, Bóg świadkiem, że dotrzymałem.

— To pięknie, bardzo pocziwie z twojej strony, mój Janku, bo hultajstwo nigdy nikogo na dobre nie wyprowadziło.

— Ej! proszę Panicza, ja jeżeli czasem poszedłem do karczmy albo i wypilem parę kieliszków wódki, to nie z żadnego hultajstwa, ino ot człowiek zafrasował się w domu, bo wszystko nie tak było, jak se myślałem że będzie. To jak wypilem kieliszek wódki, wszystkie mnie zaraz *turbacyje* odstępowały, a jak zagrałem, to mi się tak jakoś dziwno robiło, jakby to wszystko było dawniej, kiedy człek był wolny i bujał jak ptak po świecie. Więc się też brałem do kieliszka wódki i garnałem do skrzypków i do karczmy między ludzi nie dla żadnego hultajstwa, choć proboszcz mówił, że pomalutką takbym przywykł do wódki i karczmy, że potem ino wódka i karczma byłyby u mnie w głowie, a duchownemu ojcu trzeba wierzyć; ino dlatego, żeby choć *bez* kilka pacierzy mieć taką w sobie wesołość, jak to bywało dawniej. Ale ludzie czyta znają taką rzecz? Oni ino tak gadają jak widzą, a to, co się w człowieku dzieje, to i nie pomiarkowaliby inoby się naśmiali i trudnoby im tam było tak wszystko przełożyć dokumentnie, bo człowiek nie ma żadnej nauki, to i o gadkę taką trudno. Od tego jednak czasu, mój kochany Paniczu, jakem zaprzysięgł o wszystkich zbytkach, jakta ludzie nazywają, *zabaczyć*, tak w początkach rady se nie mogłem dać. Nieraz złe jakby mi szeptało do uszów, żeby pójść troszka się ucieszyć; ale jakem se wspomniął, że tém obrażę P. Boga i złamię przysięgę, że tém zbawienia duszy na tamtym świecie nie dostąpię, tak ani weź: ludzie lecieli do karczmy, a ja het! w pola, żeby nie mieć pokuszenia. Pomaluśku, proszę Panicza, potroszku człowiek jakoś nawykł do siedzenia w domu, *ino* bez roboty to już dosiedzieć nie mogłem, a jak mi się naprzykrzyło bez ludzi być zdaleka, to poszedłem do spowiedzi i znowu dobrze wszystkie

było. Otóż tak po roku to mi się już nie tak przykrzyło, a potem to i w kumy i na wesela nas prosili; ale choć człek poszedł, to choćby mógł tańca i grania *chycić się*, ale już żadnej do tego nie miałem ochoty, bo mi zawdy z *dawności* wszystko przychodziło do głowy, jak człek wszystko robił co chciał: grał, śpiewał, gadki różne ludownie wywodził i nie byłota żadnego stróżowania nad człkiem, a teraz, o Boże, Boże! Żeby to Panicz wiedział, co się to ja nafrasował, namartwił nimem się przecie trocha do *tego* przyzwyczaił, to żeby tak wszystko można było dokumentnie przełożyć, to i nieme bydlę z żalności byłoby się człeka napłakało. Bo mnieta ino nogi dygoczą, ino palce świerzbią, co się tak wydzierają do grania i do gadki z ludźmi, a tu nie można, bo człek zaraz wspomina se przysięgę na spowiedzi. Potem znowu, proszę Panicza, to mi się odmieniło: jak wprzód ledwo mi serce nie pękło z żalu, że nie mogę się z ludźmi ucieszyć i uciekałem het! daleko w pola, żeby nie słyszeć jak się w karczynie wesełają, i nieraz dobrzem się napłakał, że nie mogę się cieszyć jak drudzy; tak znowu potem umyślnie szedłem do karczmy, kiedyta w niej najbardziej dokazywali i jakoś mi przyjemno było, że ja choćbym ich zakasował we wszystkiem, chociaż mnie ochota ciągnęła, że nie chciałem, to nie szalałem jak drudzy. Ale jednak z tych wszystkich *frasków*, z *tęj turbacyi*, z tego zabaczenia o wszystkiem, co w *dawności* tak było człowiekowi przyjemne, ot! człowiekowi i włosy z głowy wypadły i na twarzy pochudniałem; ino tu — i to mówiąc Janek położył rękę na piersi — zawdy jedno jak było, a w głowie jedno pomyślenie: że wszystkie te lata po ożenieniu to i jednego dnia nie *warta są* mego kawalirstwa. Oj! tak, tak, mój Paniczu: człek aż weselszy, że się wygadał, bo tu, to nawet i *tęj* człek nie ma pociechy, żeby się mógł przed kim uzalić. *Ujek Łaza* poczciwy człowiek, *Basia* dobra kobieta o jaką trudno; ale oni nie do takiej rozgadki, bo by nawet wszystkiego tak dobrze nie pomiarkowali, Panicz to co innego: bo choć ja co i głupio może powiem, tota Panicz wszystko zrozumie i nie naśmieje się z człowieka.

— No, mój Janku, widzę, że u ciebie jest główna wada: iż nigdy nie jesteś kontent z tego co masz, i zawsze to lepsze, co było, a nie to, co jest. To niedobrze: trzeba koniecznie się odmienić, bo napróżno tylko życie sobie trujesz.

— O! kochany Paniczu, już to nie pomoże, zawdy takim zostanę; już mnie P. Bóg takim stworzył na świat, to i cóż robić: trzeba cierpliwie wszystko znosić, co Bóg spuszcza na człowieka. Ale kochany Paniczu dzieciom swoim, to nawet do garści *bez żart skrzypków* wziąć



nie dam, bo wszystko u mnie ze skrzypków się *poczęno*. Jak ino kupiłem *se* skrzypki i *zaczonem* na nich wygrywać, a najczęściej nocami po księżycu, to jak się zagrałem i zasłuchałem jak granie leciało po rosie, to czasem już dobrze koguci przepiali północek, a ja ani se pomyślałem o spaniu. I wtedyto, proszę Panicza, coś *zaczęno* do mnie przystępować i pomału, pomału zrobiłem się taki dziworaczny człowiek, co się ludzie nieraz nadziwić nie mogli. Leżeliśmy na pastwisku przy koniach: to inni spali, a ja grał, a jakem się nagrał, to jak zacząłem poglądać po stronie, po gwiazdach jak się migaly, po chmurach co raz wyglądały nikiéjby kto pędził przed sobą stado owiec albo gęsi, to znowu nikiéj jakie duże pobudynki, jakby wiatraki, stodoły i ta Bóg wie nie jakie już różne rzeczy chodziły mi po głowie; to jakem się zaczął w tém wszystkiém rozpatrować, to tak coś duchem ciągnęło mnie za język, że jak jaki głupi musiałem sam do siebie rozgadywać się. Ludzie się śmiali, podrwiwali, a ja smutniał, bo cóż człek temu winien, proszę Panicza, że nie taki jak inni? A jak téż człek nawykł do tego wszystkiego, tak teraz trudno było odwyknąć i aż zawczasu postarzał się i zdrowiem przyplacił, żebyta zrobić tak, jak ojciec duchowny kazał na spowiedzi. Oj! żeby nie skrzypki, nie siedzenie po nocy, toby człek był nie przechodził przez tyle *turbacyi*; i dlatego wolałbym żeby moje dziecko nie żyło, jakżeby mu tak miało *paść*, jak mnie ze skrzypkami. Ale nie o tém gadka, bo ja nie na to Panicza wyprowadził, żeby mu psuć głowę memi frasunkami, ja to po interesie zrobił.

— No, po jakim? mój Janku. Powiedz mi, a wszystko zrobię co tylko w mojej mocy.

— Tylko mój paniczu kochany, żebyta o tém co powiem nic ani *ujek*, ani moja kobiéta nie wiedzieli, aż dopiéro przyjdzie czas na to.

— No, bądź o to zupełnie spokojny — odpowiedział młodzian wstrzymując cokolwiek konia.

— Oto widzi Panicz, kiedy ja zasłyszałem o tém i o owém, kiedy mi rodzic panicza wszystko dokumentnie przełożył i rozpowiedział mi wszystko o Paniczu, co Panicz teraz porabia; to jakem wyszedł w nocy na dwór, choć to było w zimie i spojrział se po gwiazdach, to mi się różne różności roily po głowie, jakby te gwiazdy gadały mi to, cota het! daleko się dzieje. I coraz bardziej przykrzyłem się w doma, i coraz bardziej smutniałem. Aż dopiéro jak teraz Panicz przyjechał i rozpowiedział wszystko, tak se umyśliłem żeby pójść z Paniczem, bo téż to *warta*, żeby

człek zabaczył o sobie, a o drugich pomyślał. W domu dadzą sobie bezemnie radę, boćta jest przecie czém przed biędą się oganiać, a mnie się zdaje, że jakby człek potem powrócił, jeżeliby się wprzód co z człkiem złego nie zrobiło, toby się może wszystko na dobre odmieniło. Bo ja tu nie wysiedzę: ja się zamartwię, co tak duchem dusza radaby pójść między ludzi. Mój złoty, drogi Paniczu—i tu Janek zaczął Władysława całować w kolana—poratujże mnie, poratuj, a ja Paniczowi nie zrobię wstydu między ludźmi.

— Mój Janku—po małym namyśle odpowiedział młodzian—w tój rzeczy sam nie mogę stanowczo radzić, ale się rozmówię z ojcem, i zdaje mi się, że można będzie wszystko tak zrobić, jak sobie życzysz, a jutro przyjdź do nas, to ci powiemy, co z naszój narady wypadnie.

Janek nie posiadał się z radości, i jakby w odpowiedzi zanucił znaną wszystkim piosnkę, której wtorował dźwięcznym głosem Władysław.

— O! widzisz Paniczu, jak ja nie zabaczyłem, a to mnie nieboszczyk tatuś Sierpień nauczył.

I znowu piosnka powtórzoną została. Janek śpiewając potupywał, czapkę na bakier przekręcił, nogę wyciągnawszy oparł na pięcie, a pod bok ręką się podparł. W takiej postawie śpiewając z buńczuczną postawą poglądał na Władysława, który w takt podrygując na koniu prowadził wtór zawodzonej pieśni. Pięknyto był widok, patrzeć na młodych ludzi, tak nierówne zajmujących w świecie stanowisko, zbratanych z sobą.

Janek zdawał się nowego nabiierać życia; nawet rumieniec dawno niewidziany pokazał się na jego licu i porozmawiawszy jeszcze chwilkę, rozstali się z sobą z wzajemném przyrzeczeniem stanowczego porozumienia się w dniu jutrzejszym.

Potém jakiś czas z jednej strony drogi było słyhać tętent cwałującego konia, a z drugiej śpiew idącego z wesołością Janka, aż wszystko coraz niewyraźniej niesione na skrzydłach wiatru, zamieniło się w uroczyste milczenie.



# NOWA EPOKA

## LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

*Juliana Bartoszewicza.*

(Ciąg dalszy).

---

### ODDZIAŁ MONOGRAFIJ.

**Historya miast.—Starożytna Polska, Balińskiego i Liptńskiego.**

**N**ajobszerniejszą dziedziną warszawskiej literatury historycznej są monografie. Nic dziwnego: ten fakt nietylko u nas, ale wszędzie się spotyka. Monografia pisze i o wszystkiém, i nie ma granic, któreby sobie położyła; zatem najrozmaitsza treść i forma w monografii się mieści. Można pisać o części prędzej jak o całości, piękniej i lepiej. Krytyka dziejów jest trudna i wcale nie każdemu dostępna; na systemat potrzeba także pewnych zdolności: a monografią zająć się może i zdolność, i praca chociaż niezdolna. Może kompilacya być twórczą i nietwórczą. Są ludzie, którzy całe życie przemarnowali na samo zbieranie wiadomości i porządkowanie ich według planu, który sobie nakreślili. Nie oceniają oni faktu, rzeczy, zjawiska, ale wszystkie szczegóły o nim podadzą. Juźci i to zasługa, ale bierna; na którą zdobędzie się każdy mający odwagę do pracy, chociażby, jak powiadamy, żadnych nie posiadał zdolności: sumienność jednak w każdym razie potrzebna. A monografisci zbierają, sami nie wiedząc o tém, materiały dla następców, którzy z ich prac przygotowawczych potrafią coś le-

pszego i piękniejszego, jak oni, napisać; ale że, jak powiedzieliśmy, i treść najrozmaitsza i forma, i że sama zdolność może z korzyścią pracować na tém polu: nie dziwnego, że monografij najwięcej.

Zbiorem takich pojedynczych, oderwanych monografij jest z wielu bardzo względów znakomite dzieło Balińskiego i Lipińskiego, które nazwano *Starożytną Polską*. Nazwaliśmy je zbiorem monografij, bo opisy pojedynczych miast i wiosek są tutaj nawiązane jeden za drugim jakby na nitce, i stanowią całość, która ani do krytycznych dziejów, ani do systematów rachować się nie może.

Kładziemy zaś to dzieło na czele naszych monografij warszawskich, bo pomysłem, obszernością, treścią nawet przodkuje innym pracom. *Starożytna Polska* ma wejrzenie jakiegoś kolosu. Ludzie zajmować nas wprawdzie powinni więcej, jak gmachy i mury: ale lubo pisaliśmy dosyć w Warszawie o sztukach, osobach, literaturze, najwięcej napisaliśmy jednak o miastach, w których także mieszkali ludzie. Ztąd o Starożytnej Polsce mówimy naprzód, i oddajem pierwszeństwo téj pracy przed innymi monografiami społecznymi.

Znakomite to dzieło zasługuje bez wątpienia na rozbiór obszerny i szczegółowy, na studia. W historii miast naszych, to położony kamień węgielny, to pierwsza proba na wielką skalę dokonana i lepiej pojęta. Czém dla literatury była kiedyś *Historia Bentkowskiego*, tém dla miast koronnych i litewskich będzie *Starożytna Polska*. To punkt naszego wyjścia. Ojcowie nasi czytali i dopełniali książkę Bentkowskiego; co się w téj *Historii* nie znalazło, było niesłychaną rzadkością i stanowiło bogactwo. Otóż i *Starożytna Polska* położyła posady gmachu wielkiego: będziemy ją teraz rozwijać i dopełniać, a czego w niej późniejszy badacz nie znajdzie, to poda społecznym swoim także za nowość i rzadkość. Przecież i w tém porównaniu, przy Starożytnej Polsce zostanie pierwszeństwo. Bentkowskiego *Literatury* dzisiaj wydać drugi raz niepodobna, tyle ma *Historia* jego opuszczeń i tak wszędzie brak w niém sądu i krytyki; dzieło Balińskiego i Lipińskiego jest klassycznym dziełem, które będziemy cytować zawsze bez obawy, że błąd kiedy przywiedziem. Bentkowski postawił na swojej drodze krok pierwszy wprawdzie, ależ i nasi autorowie na swojej postawili znowu krok pierwszy.

Prawda i to, że wiele lat chwile nasze przegradza od czasu Księztwa Warszawskiego. Dojrzałe pojmovanie naukowych potrzeb wieku wpłynęło znakomicie na Starożytną Polskę; ztąd, lubo ona postawiła dopiero krok pierwszy, zawszeto krok od dawnego pewniejszy. Dlatego pożytecznąby rzeczą było studyować nad tém dziełem, przeglądać w niem artykuł za artykułem, wskazywać na zatarte ślady i na opuszczenia. Nie wątpimy, że téj pracy podejmie się kto później, i wyda Starożytną Polskę z dopełnieniami; a kiedy to mówimy, sądzim, że najpiękniejszą piszemy pochwałę dla dzieła, którego wartość zginąć nie może. Bentkowskiego potrzebaby *de radice* przerabiać; Starożytną Polskę dość będzie nowemi odkryciami i faktami zbogacać.

Dzieło pp. Balińskiego i Lipińskiego oprócz tego, że zbiorem jest oddzielnych monografij, jest do tego całą biblioteką. Również więc i z tego względu na studia zasługuje. Starożytna Polska jest czémś w guście Obrazu Jochera, w guście Korony Niesieckiego. Jocher i Niesiecki pozostaną nazawsze źródłowém pismem dla wszelkich dziejów naszych; tak i Starożytna Polska niedość że otwiera nam podwoje zapoznanéj przeszłości, czego w swoim miejscu wskażemy dowody, ale zawiera po większej części i naszą własną historiją, wskazując na prace, na przygotowania nasze, na ruch umysłowy obecnej chwili, chociaż pod jednym tylko uważane względem.

Nazwaliśmy to dzieło biblioteką, bo jakaż np. tutaj massa wiadomości bibliograficznych i literackich! Gdyby ktoś pilnie przewertował całe dzieło przekonałby się, na jak wielką skalę rozwija się u nas poszukiwanie pamiątek rodzinnych. Oto p. Zienkiewicz zbiera wiadomości o powiecie oszmiańskim, Felix Siesicki o wilkomierskim, Franciszek Wilczyński pisze o Ucianie, Ignacy Chodźko o Swirze, Jan Gwalbert Rudomina gotuje nam dzieje Werek i t. d. Sąto fakta dla działalności epoki: historyk je kiedyś zanotuje. Nie sądzim, żeby wiele z tych obietnic spełniło się; domyślamy się, że wiele materyałów zebranych przejdzie kiedy w inne ręce i zachowa się dla nas w ułamkach: zawszeto jednak dobrze, że pamięć o nich zachowano. Starożytna Polska obok tego, że jest dziełem historyczném, będzie więc jeszcze materyałem bibliograficznym, w którym poszukiwać może nieraz przyjdzie następcom naszym wiadomości o pracach autorów, dowodów zasług obywatelskich. Wyliczyliśmy kilka tylko takich prac i dowodów wziętych z Litwy, z trzeciego tomu Starożytnej Pol-

ski, bo tam jest ich téż najwięcej; nie idzie za tém, żeby i gdzieindziej, w innych częściach dzieła, podobnych wskazówek nie było: autorowie przywodzą z wdzięcznością każdy nabytek, każdą pracę, każde społeczenie jakie dla dzieła swojego zyskali. Oto Rzyszczewski wydawca *Dyplomatarjusza* dał wiele szczegółów, oto Maciej Bajer do opisu województwa lubelskiego wiele podań dostarczył; każdy kto umiał a mógł, przynosił swoją cegiełkę autorom. Trudno wyliczać wszystko, bo na to, powiedzieliśmy, trzeba osobnych studyów.

Wracamy więc do przedmiotu.

Święckiego *Opis Starożytnéj Polski* poprzedził Balińskiego i Lipińskiego latami, ale nie sposobem przedstawienia przedmiotu i pojęcia. Święcki żył jeszcze za czasów, kiedy w całej pełni panowała w historyi naszej metoda, którą Ursynowską nazwaliliśmy; więc jak inni dziejopisarze téj chwili, błędy robił, brał *qui pro quo*, nie znał prawideł krytyki, nie zaglądał do źródeł i rękopismów, i dlatego pod żadnym względem za punkt wyjścia i pewnej opory uchodzić nie może. Dał tylko przykład, stworzył myśl. W dziejach téj myśli będzie on świecił w literaturze, ale początek pracy nie on założył. Całą zasługę wzięli inni po nim.

Z prac historycznych warszawskich, niewiele obok *Starożytnéj Polski* Balińskiego i Lipińskiego mieścić się może. Historya tego dzieła obchodzi nas wielce; ale tym, którzy studia będą nad tą pracą pisali, zostawiamy sposobność wejrzenia w każdy szczegół pojedynczo: my tylko skreślim kilka myśli naszych o *Starożytnéj Polsce*, czém jest, a czém być mogła i powinna. W uwagach naszych jednak, nie pominiem pewnych szczegółów, które nam pokażą ten świat zaczarowany nieznanymi bogactwami historycznymi. Objąsnim i pewne fakty dotyczące się historyi samego dzieła.

Prawie przypadkiem zrobiło się, że Starożytna Polska tak świetne stanowisko zajęła w naszej literaturze. Już oddawna poczuwano niedostatki dzieła Święckiego, którego drugie wydanie poprawić nie mogło: chorobliwe w poczęciu, nie mogło być zdrowém nawet po zażyciu silnego lekarstwa. Trzeba było na nowo budować. P. Lipiński oddawna zbierał materiały do historyi miast dawnéj Małopolski, którą znał dobrze, bo przebiegł ją we wszystkich prawie kierunkach, poszukując wszędzie tego, za czém serce tęskniło. Otóż p. Lipiński miał spore wypisy z kronik i notaty różnych wiadomości pozbiéranych na miejscu,

i mógł bardzo dobrze wypełnić choć w części ogólne ubóstwo nasze. P. Lipiński chciał pisać geografią dawnąj Polski; geografia, to dzieło zawsze elementarne, zatem nie wiemy na coby się przydały jego notaty: boć w opisie ziemi trudno było pomieścić historią małych osad, których tak pełno w Starożytnéj Polsce, a które z tego jedynie względu zasługują na uwagę, że stanowiły królewszczyznę posiadaną czasem przez hetmanów, albo były stolicą jakiego tam dumnego magnata. Daleko praktyczniejszą myślą było napisać dykcyonarz geograficzny polski, o jakim z kolei myślał p. Lipiński; ale w dykcyonarzu za to, że można było pomieścić wszystko, trzeba było podciągnąć miasta i wsie pod alfabet. Szkodaby znowu było tych materyałów. Literatura nasza i historia mogła zyskać jeden słownik więcej, ale nie systematyczno-artystyczny opis ziem dawnéj Rzplitej.

Kiedy powzięto w Warszawie myśl wydania na nowo opisu Starożytnéj Polski, p. Baliński podjął się pomocy Lipińskiemu. Pierwszą myślą autorów było przelać dzieło Święckiego, ale to okazało się niepodobieństwem. Dziwimy się nawet, że pp. Baliński i Lipiński jakiś czas o tém myśleli: wszakże niepodobieństwo tego przedsięwzięcia odrazu uderzyć ich było powinno. Przekonali się o tém naocznie, kiedy odrzucając rzeczy nienależące do głównego przedmiotu, zaledwie połowa dzieła Święckiego przydałaby się na coś. Autor dawniejszy miał za zbyt wielkie ramy; oprócz właściwéj Polski opisywał jeszcze krainy złączone niegdyś z Rplitą, które potem odpadły, a które w konstytucjach naszych odznaczają się techniczném nazwiskiem *awulsów*. Do planu Święckiego wchodziły więc Inflanty całe aż po Estonią, Kurlandya, Mała Ruś przynajmniej w części, oraz Multany i Wołoszczyzna. Dalej Święcki przy opisie Pomorza rozwiódł się cokolwiek nad dziejami marynarki polskiéj, które poprzednio już przedstawił w oddzielnéj broszurce. Autorowie nasi chcieli zaś przedstawić całą Polskę właściwą, jaką była w ostatnich czasach, za Stanisława Augusta w r. 1772; dlatego odrzucili ze swego opisu krainy odpadłe, dlatego marynarką nie zajmowali się. Święcki za punkt wyjścia wybrał sobie epokę Jana Kazimierza, i dlatego jego ramy są obszerniejsze; byłyby jeszcze obszerniejsze, gdyby wziął czas np. Kazimierza Jagiellończyka, bo wtedy Rzplita panowała jeszcze w portach nad Czarném morzem, a płodami ziem swoich zasilala brzegi Azyi Mniejszej i Włochy. Świę-

cki takim sposobem zmniejszony został do jednego tomu. Autorowie wzięli go tedy jako dzieło pomocnicze i zaczęli budować własną *Starożytną Polskę*.

Oczywiście materiały przez Lipińskiego zebrane stanowić miały jądro przyszłego dzieła, ale p. Baliński znał Litwę, której nie widział p. Lipiński, zatem praca na dwie ręce iść mogła. Trzy były prowincye w dawniej Rzplitej, ale dwóch pracowników: jeden był Litwin, drugi Małopolanin; piérwszy zatem wziął Litwę, drugi Małopolskę. Wielkopolski i Pomorza obadwaj nie znali, zatem się podzielili tą prowincyą koronną, która szła od Wieprza i Liwca aż do Odry, i od Pilicy aż do morza.

Praca szła jednocześnie z drukiem. Autorowie przerzucali znane dzieła historyczne, rzadkie druki, a nawet rękopisy, które pod rękę trafiały się. P. Lipiński wiele czasu poświęcił na nowe prace w Metryce Koronnój, z której bogate robił wypisy. Z tego właśnie spółczesnego studyowania wynikło wiele wad samego dzieła. Trzeba było się spieszyć, żeby na czas wydać; zatem nie przeglądało się tego, co przeglądać się mogło i było powinno. A nawet samo dzieło rosło niewidzialnie pod ręką. Piérwszą np. myślą wydawcy było, żeby *Starożytną Polskę* wydać w dwóch obszernych tomach, większych od Święckiego; potem dzieło rozwinęło się na trzy, stosownie do trzech prowincyj Rzplitej, nareszcie Małopolska tak pokazała się ważną prowincyą i tyle materiałów dla jój opisu znaleziono, że powstały cztery ogromne tomy. Żeby jednakże nie psuć całości, tom drugi, w którym właśnie ta prowincya opisana, rozbito na dwie ogromne połowy, które razem wzięte stanowią do 1200 stronnic ścisłego druku; jestto nieproporcjonalność wielka, jestto dowód, jakiéjsiś niby sympatyj dla Małopolski. Jeżeli ta jedna prowincya zasługiwała na dwa grube tomy, należał się ten sam wzgląd i dla Wielkopolski i dla Litwy. Zamiast czterech, mielibyśmy sześć tomów. To wszystko jednakże dowodzi, że autorowie przystąpili do wykonania planu, nie porachowawszy się z materiałem i siłami. Nikt za złe p. Lipińskiemu mieć nie będzie, że dał najwięcej i że tak drobiazgowo Małopolskę opisał; ale kto spojrzy na dzieło, każdy za winę położy p. Balińskiemu, że współpracownikowi nie wyrównał pracą. Bo gdybyć wreszcie i te dwie drugie prowincye mniejsze były od trzeciój, możnaby to opuszczenie darować, ale tak nie jest. Kto zna jednakże bliżej tajemnicę, wie, że być inaczej nie mogło; p. Lipiński zanim myśl jeszcze



powstała opisu starożytnej Polski, posiadał już bogate materiały; p. Baliński nie miał żadnych, oprócz erudycyi biblioteki i swojej pamięci. To też jeżeli powiadamy, że dzieło wychodząc już z druku rozwijało się nadzwyczaj, całą zasługę z tego powodu oddajemy p. Lipińskiemu, który mógł swobodnie tu jeszcze i tam zajrzeć, kiedy miał dość przygotowanego wątku, a Baliński musiał to pisać dopiero, co na dołę jego przypadło. Różnica też pracy jednego od drugiego na pierwszy rzut oka ogromna i widoczna. Postaramy się tego dowieść. Ale wprzód zobaczymy, co zrobił jeden a co drugi autor.

Tom I zawiera opis Wielkopolski. Baliński zajął się województwami: poznańskiem, kaliskiem, gnieźnieńskiem, sieradzkim i dwoma na Pomorzu polskiem, których stolicą były Gdańsk i Malborg. Lipiński opisał Kujawy, Mazowsze, Łęczyckie, Inowrocławskie, ziemię Dobrzyńską i województwo chełmińskie. Jedną tylko historią Warszawy, najobszerniejszy artykuł tego tomu, za Lipińskiego napisał Baliński.

Ogromny tom Hgi zajmujący opis Małopolski, cały jest prawie pióra Lipińskiego. Baliński zajął się tylko ziemią chełmską i województwem lubelskim.

Tom Hci o Litwie cały jest pióra Balińskiego.

Autorowie chcieli dołączyć, i bardzo sprawiedliwie, krótki zarys wypadków historycznych w Polsce za Piastów i Jagiellonów, a osobno takż zarys wypadków na Litwie, wszystko aż po rok 1794. Ogólny rzut oka na cywilizacyą obudwu narodów, miał dopełniać historią. Temi częściami dzieła zajął się Baliński, a Lipiński za to z notat swoich dorzucił niejednen fakt do opisu ziem i powiatów, które w podziale dostały się Balińskiemu.

Ze wszystkich trzech prowincyj Rzplitej, Wielkopolska jest najslabiej obrobiona i byłby nawet ten cały tom pierwszy bardzo mało zrobił dla nauki, gdyby nie części tej prowincyi, które opisywał Lipiński; tam zaraz więcej widać faktów, więcej drobiazgów, więcej osobliwości i wspomnień. Baliński miał zaledwie kilka książek pod ręką, z których czerpał. Już przed nim na kilka lat opisywał tę stronę dawniej Polski Edward Raczyński w swoich Wspomnieniach. Wziąwszy do tego Kodex Dyplomatyczny, który wydał również ten zasłużony dla literatury mąż, wziąwszy dzieła Łukaszewicza, księdza Jabczyńskiego Archiwum, Przyjaciela Ludu, którego gdzieniegdzie przywodzi, a z dawniejszych ksiąg Świat Łubińskiego i Starowolskiego rozmaite dzieła: zdaje się, że

p. Baliński skończył już na tych źródłach wszystkie swoje poszukiwania. Łubieński i Starowolski jeżeli o miastach wielkopolskich zanotowali fakt jaki, to fakt ten, znany dzisiaj, nie uderza niczém; zatem całą nowość, wszystko na co się zdobyła nauka XIXgo wieku, wszystko co nam dali spótcześni badacze o przeszłości, ma się zamknąć prawie tylko w Raczyńskim i Łukaszewiczu. Mógł p. Baliński wygotować z tych źródeł opis ziem wielkopolskich, nie przyłożywszy nic a nic pracy; mógł z nowych ksiązek wyciągać treść, ale z tego nie wypada, żeby zaspokoił sprawiedliwe oczekiwania temi wyciągami. To kompilacja rzeczy, które inni znać dali, ale gdzież zasługa autora? co nam powiedział nowego? za co zasłużył na wdzięczność? Na te pytania trudna odpowiedź. Owszem, Baliński nie ma nawet zasługi dobrej kompilacyi.

O Poznaniu np. miał autor obszerne i ważne dzieło, a trudno zrobić z niego wyciąg mniej treściwy i więcój bezbarwny. Łukaszewicz zostawił historyczne opisy wielu miast i miasteczek, w których były kościoły braci czeskich. Tego nieznać w Balińskim. Ubóstwo to *Starożytnéj Polski* wydaje się tam szczególniej, gdzie wspomnień w innych autorach mało. Nie sztuka streścić obszerną historiją, ale sztuka napisać samemu historiją, tam, gdzie jój nie ma. Cóż znaczą np. wspomnienia p. Balińskiego o Witkowie, Szubinie, Mroczy, Złotowie, Konarach sieradzkich, że innych wiele miejscowości pominiem? Szubin był gniazdem sławniej za czasów jeszcze Piastowskich rodziny, Konary były stolicą kasztelana, więc miały zamek i jakieś przywileje. P. Baliński powie nam o tych miejscach tyle, co o nic nieznaczących, jak Witków i Mrocz; czasem zamiast historyi, wskaże na położenie geograficzne, czasem jaką rzeczkę wymieni i na tém koniec. A właśnie myśmy szukali historyi polskiej w monografiach miast, dziejów wewnętrznych, rozpierchnionych po całej ziemi, a tkwiących w gmachach i rozwalinach. Co to komu z tego przyjdzie wiedzieć, że Września np. była własnością książąt Ponińskich, a więc w drugiej połowie XVIIIgo wieku? Autor powinienby nam odślonić dawniejsze dzieje téj Wrześni. P. Baliński dał nam geografią dawnéj Polski, nie historiją wewnętrzną, której po jego dziele mieliśmy prawo się spodziewać.

Są historyczne miejsca w Wielkopolsce, ogniska światła narodowego, siedziby starych zakonów, Benedyktynów i Cystersów; są opactwa: Łęd, Biechów, Przemęt, Lubień i Paradyz.

Nic nowego o tych miejscach nie wiemy. Dzieje Łędu zaczynają się w Starożytnéj Polsce w wieku XIIIym, i kończą się już w XIVym. A przecież tyle sławnych opatów tutaj było! a przecież cały kodex łędzki wydrukowany w Rzyszczewskim, a przecież współwydawca tego kodexu p. Muczkowski posiada całą bibliotekę przywilejów i nadań dla tego wspaniałego miejsca, które dzisiaj nową epokę swoich dziejów rozpoczyna. Do Łędu wiążą się wspomnienia dwóch naszych znakomitych pisarzy: Bartosza Paprockiego i Miaskowskiego. W opisach Starożytnéj Polski ani znać o tém, żeby to miejsca były ważne historyczne. Toż samo powiemy o Sulejowie, w którego opisie jest tylko data założenia, jak i o Witowie pod Piotrkowem, w którym odbywały się sądy trybunalskie wtenczas, kiedy powietrze grasowało w mieście, z którego co rok, a przynajmniej bardzo często, odbywały się wjazdy trybunalskie do Piotrkowa. Witów uświetnił jeszcze długim pobytom swoim sławny Mateusz Kraszewski historyk zakonu. W Sulejowie gościł nuncyusz Commendoni, potem był pod tém miasteczkiem bój ze Szwedami za Jana Kazimiérza. Dzieje opactw tych, pan Baliński znalazłby w samych wspomnieniach o opatach; niesposób, żeby ich nie znalazł, choćby o Łędzie, Paradyzie, Lubieniu poszukał tylko w Niesieckim. Ale my napamięć snujem te wspomnienia, które zna każdy, choć cokolwiek obeznany z dziejami; pan Baliński jednakże nie znał wcale tych śladów, bo napchał tom piérwszy wcale niezajmującemi artykułami.

Piotrków trybunalski, gród ważny i sejmami sławny, nędznie bardzo obrobiony. Toż samo Wolbórz siedlisko biskupów, niegdyś stolica kasztelanii, której imię zagasło, a której wspomnienia pozostały po dyplomatach.

Dla dwóch województw pruskich, autor nic więcéj nad Święckiego nie zrobił. A powinien był chociaż cokolwiek rozszerzyć się o narodowości ziemi: nowszych badań, któreby go tutaj wsparły, miał tak wiele! Zamiast tego, w niemiecką sukienkę ubrał zupełnie p. Baliński nasze Pomorze: szczególniéj to pokazuje się w Warmii. Zdaje się, że czytamy o jakichsiś osadach nawpół polskich, wpośród ludności oddawna niemieckich. A i w dziejach Krzyżaków znalazłby autor bardzo wiele faktów, któreby się przydały dla opisu miejsc historycznych; troszczy się jednakże tak mało o dokładność, że nie widzi w swoim dziele bardzo ważnych opuszczeń. Baliński ni mniej, ni więcéj ma też sa-

me nazwiska, co Święcki, toż samo i o nich co w Święckim; a jednak np. Szrop, starostwo Łojka, jużby zasługiwał na wspomnienie, chociaż go nie ma w dawnym autorze: powiemy więcéj, taki jeden, taki drugi opis nieopisanéj jeszcze osady, byłby z bogacił dzieło nieznanemi faktami, przydał mu świeżości i barwy.

Dodajmy do tego błędy, których w dziełach p. Balińskiego zawsze bardzo wiele, jak to niżej jeszcze zobaczymy. P. Baliński powie w prostocie ducha, że Wałcz był stolicą kasztelanii, i wierzy temu, że powiedział prawdę; a błędto gruby w człowieku, który tyle lat zasługiwał się względem obrabiania dziejów ojczystych; błąd, którego nie darowałoby się początkującemu autorowi. P. Baliński powie także np., że Rozprza była dziedziectwem Zaremby marszałka konfederacyi barskiej, i sądzi, że wiele rzecz objaśnił, a to *qui pro quo* nigdzie uchodzić nie może, tém bardziej w historii. Takich myłek wiele i w opisie Warszawy.

Pan Baliński niewiele zadawał sobie pracy, bo nie wertował dosyć książek i rękopismów, któreby mu wątku dziejowego dostarczyły: wiadomości dostawały mu się same do ręki, i musiał z nich zrobić jaki użytek. Do opisu Przygodzic, Grabowa, Mixtata i t. d., przysłał mu notaty wyjęte z papierów familijnych Leon Rzyszczewski; to téż artykuły o tych miastach mają szczególność, które z bogaciły naukę. Rzadkito jednakże, bardzo rzadki wypadek w opisie téj części Wielkiéj polski, która przypadła na dział Balińskiego.

Pod Wielkopolską było téż miejsce poświęcić stronnice kilka archeologicznemu opisowi najstarszych okolic naszéj ojczyzny, okolic, które widziały początek i wzrost państwa Piastowego, zanim się w ogrom chrobacko-lechicki pod Bolesławem rozlało. Mamy wprawdzie w dziele historyą Gniezna i Kruszwicy, ale to dla nas niedosyć. To są miasta późniejszój już Polski, a nam poszukać trzeba śladów owego Popiela z Gniezna, który gościł na postrzyżynach u Piasta w Kruszwicy. Dzisiaj zwłaszcza, kiedy powiedziano, że Gniezno, to nie jeden wyłącznie gród, ale tylko książęcy dworzec, i że każdy taki książęcy dworzec był gnieznem: te archeologiczne wątpliwości same się nastreczają. Długosz zachował nam podanie, że Lech przyszedł do Polski i osiadł tutaj nad jeziorem, zbudowawszy Gniezno na kilku górach: na jednéj z tych gór, zwanéj górą Lecha (lenna?) miał stać kościół gnieźnieński od r. 1000. Góra ta leżała na małej wyssepce, która się Lednicą nazywała za czasów Długosza. Autor,

który w opisie Litwy korzystał z kilku następczących się wątpliwości i zdobył się na piękny pomysł archeologiczny, miał tutaj piękniejsze jeszcze pole i mógł porozprawiać cokolwiek o miejscach, piérwszej starożytności na ziemi polskiej (1).

Lipiński przeciwnie wyczerpał do szczeru swój przedmiot, przynajmniej o tyle, o ile mógł on być wyczerpany w dziele, które obejmując opis ogromnej ziemi, samo nie miało stanowić ogromu, ale powinno się było stać podręczną książką, potrzebną każdemu badaczowi przeszłości. W Lipińskiego artykułach często oprócz zimnych cytów, spotykamy się z wiadomościami zaczerpniętymi z Metryki koronnej, albo jakimiś rękopismami nieznanymi, np. gazetami, których moc latała po rękach, pomiędzy przyjaciółmi, nie będąc przeznaczona do druku. Znaczna część naszej literatury spoczywa w tych rękopisach; nie znajdzie się w nich wiele dla sztuki pisania, dla właściwej literatury, ale mnóstwo znajduje się tam podań o przeszłości. Klasztory nasze, biblioteki, poddasza zawałone są często temi papierami, które marnieją bez użytku. Nie ma zapewne literata pomiędzy nami, a zwłaszcza historyka, któryby jakich rękopisów nie widział i nie miał, albo

(1) Raczyński we Wspomnieniach Wielkopolskich (tom IIgi, str. 375), odrysował jezioro Lednicę i wyspę na niej, a na wyspie zwałiska zamków Chrobrego. Maciejowski rozpiisał się o piérwszym Gnieźnie polskim w Rocznikach i kronikach polskich i litewskich (str. 216—223). Nie dla rozwikłania więc ciemności historycznych, ale dla objaśnienia cokolwiek samego faktu, zacytuję tutaj pewną lustracyą o Lednicy. Spodziewamy się, że to obudzi pewien interes w czytelnikach naszych. Długosz w ks. I, str. 25, wyraźnie mówi: „Lednica lacus, insulam non mediorem habens, in sui corpore in qua Gnesnensis ecclesia metropolitana primum a veteribus *memoratur* magis quam *scribitur* fundata fuisse: quod murorum ruinae et reliquiae testantur, et processu temporis propter difficultatem accessus Gnesnam translata.” To ślady piérwszych podań o Gnieźnie, które stało na Lednicy. Pilnie przeglądaliśmy opisy W. ks. poznańskiego, żeby znaleźć tę Lednicę, do której najdawniejsza pamiątka polska przywiązana jest, ale nadaremnie; w ostatniem nawet i najdokładniejszym pod tym względem dziele Platera, o Lednicy nie ma wzmianki. Ale p. Ant. Muezkowski współwydawca Dyplomatarjusza naszego, piérwszy zwrócił uwagę na to, że Lednica w późniejszym czasie przeszła w Latalice, od wsi tegoż nazwiska położonej nad jeziorem, która również także zwała się dawno, bardzo dawno Lednicą. Pokazało się, że Latalscy mając w zastawie od królów od roku 1442 Lednicę, i wyłączne prawo rybołówstwa w jeziorze, nazwiskiem swoim całą prawdę historyczną zaplątali. Latalscy władali już Lednicą za czasów Długosza, zatem przemiana piérwszego nazwiska na drugie, jeziora i wsi, nastąpić musiała nie prędkiej, jak w XVIym wieku. Długo panowie jednej rodziny władali tém jezio-

nie czytał takich nonat, których inni nie znają. Miał wiele ich pod ręką p. Lipiński, miał pewno i Baliński; ale pierwszy przeglądał je i wyciągał sobie notaty, które się przydały; p. Baliński pożytkować z nich nie umiał. Ztąd w opisie Wielkopolski spotykamy dwie redakcy: jedna autora Pamiętników Barbary, widzieliśmy, że nic prawie dla dziejów nie przyniosła; druga p. Lipińskiego, dała nam same nowości i zbogaciła naukę. Już

rem i tą ziemią, więc samo przedawnienie odegrało tutaj ważną rolę: czasy Zygmunta Augusta np., zapomniały już zupełnie o Lednicy, i tylko uczeni mogli się troszczyć o to, że nie ma Lednicy. Na tém jeziorku, a raczej na wyspie, pod górą, usadowił się Lech, jak mówią podania. Dowód tego cośmy powiedzieli, w lustracyach, z których wyjątki przywodzimy:

*1<sup>sza</sup> lustracya. Wielkopolska Revisia 1564 r.*

*Województwo kaliskie.*

Jeziora ku Pobiedziskam należące y pozitek s nich z niewodu.

*Lednicza* Jezioro nawiętsse przy wssi rybitwach poczinassie (1) od goscincza kthory idzie s Pobiedzisk do Thorunia, a lezy miedzi wssiami (2) po lewej stronie Gorą, Lataliczami, Golanką (3) y Ribithwy, a po prawej stronie Siemianow, Dziekanowicze, Xiężei Gnieznienskiei, a idzie asch (4) do granicz Walissowa, y do granicz wssi Jemiolki, tham (5) gdzie s tego jeziora odnoga wysła wesswana (6) Wiescza, kthora odnoga iesth wssithka krolewska. Thego jeziora zaden s tych (7) slacheziczow, czo ich wssi nad nim leżą nie uziwa (8), tilko Latalski, kthori ma sumę, za kthorą ma wolne lowienie wsselakemij sieczkami okrom niewodu. Jesth (9) tego jeziora wzdłusz (10) snurów 105, wsserz gdzie na sersse, snurów 19 łokei 28, a na drugich mieiszczach sązon (11) 12, 9, 8, 6, 5, 4, 3, y mniej, a gdzie naglemsze sązon 9. A na drugich mieiszczach  $1\frac{1}{2}$  sązenya (12) y mniej. Jesth na nim thoni 33, na ktorich niewodem robiją. S ktorijch trzidziesci y trzech (13) thoni iest iedna spolna s Capitulą Gnieznienską, są w nym szuki, kleszcze, okunie, sumy, ukleije y pospolite ryby. Cziny (sic) do roku naymem, yako tho iesth przy rybitwach (14) wssy wissey opissano flor. gr. den.

A s toni niewodowych lońskiego roku uczinilo. . . 10 24

A za Gonzewskiego czynilo fl. 32 yako on sprawę dał.

*2<sup>ga</sup> lustracya 1566 r.*

*Wioska Rybitwy.*

Przi thei wszi iest jezioro Lednicza nazwane z ktorego Krol JgoM. czynss bierze od naymu i Capitula Gniezneńska ma do niego interesse y ma naznaczoną na niem wodę. Jednak przedsie ziemianiu niejaki Liathalski

*Waryanty téjże lustracyi w drugim egzemplarzu.*

(1) nawiętsse przy wsi Rybitwach poczyna się. (2) między wsiami. (3) Latalczami, Volankj y Rybitwy. Po prawej stronie Siemianów i t. d. (4) asz. (5) tam. (6) wezwana. (7) s tych. (8) nie używa thilko Latalski kthory. (9) Jesth. (10) wzdłusz. (11) snurów. (12) sązenia i mniej. (13) 33. (14) ribitwach.

w opisie Mazowsza znać zaraz innego badacza. Pominąwszy Warszawę, do której wkradły się błędy i ważne opuszczenia, nie ma osady na Mazowszu, którejby historyi nie zbogacił p. Lipiński przez jakieś nowe dane; w najdrobniejszych szczegółach znajdziesz coś ciekawego, co mile zajmie i zastanowi uwagę. Nie mozem wyliczać tych wszystkich faktów, któreśmy tam spostrzegli, bobyśmy napisali księgę ogromną, studia, na które, jak powiedzieliśmy, ze wszech miar zasługuje Starożytna Polska. Ale jednakże dla dowodu, zacytuję kilka przykładów. Okolice Warszawy np. opracowane są bardzo starannie, a to tém bardziej uderza, że znamy już kilka, jeżeli nie kilkanaście tych opisów, większych i małych, porozrzucanych po różnych książkach i pi-

mieni sie miecz wolnoscz lowicz w niem, y lowi wszelakiemi sieczkami, kromia niewodu, opowiadayacz ma sumę zapissaną starą na tho wolne lowienie, na którą listhu nie okazował.

Item od p. Stanisława z Górki thedy tess lowia (łowia) i statki stawia. Na czo nie ukazał listhu żadnego.

*3cia lustracja 1564 r.*

*Latalski*

*Lethnicza.*

Zapissanie 200 florenorum Ungaricalium na wszi Lethniczi ku Pobiedziskam nalleżącei, wedlie listu Władysława Crolla anni 1442, który ukazał inserowany w liscie crolla Zigmunta 1542 dobre. A wsakże wiesz na skupie.

Wyciągi te, zrobione są z ksiąg Lustracyi nr. 5, str. 113: dalej nr. 6, str. 157 i nr. 7, str. 283, oraz str. 301, które się znajdują w Metryce koronnej.

Dzisiaj jezioro Latalice leży w powiecie szrodzkim, w którym znajdują się inne jeszcze jeziora: Stęszewo, Wronczyn, Iwno, Jezioro wielkie, Jezioro małe, Zaniemyśl. Opisanie historyczno-statystyczne W. ks. Poznańskiego. Lipsk. 1846 r. str. 384.

Podobnież zarzuciłyśmy mogli autorowi, a raczej p. Balińskiemu znowu, bo ziemia chełmska na dolę jego padła, małe zwrócenie uwagi na starożytności ruskie. W częściach dawnego ruskiego województwa, które należą dzisiaj do Królestwa, leży mała wioseczka Czerwień, dziedzictwo Ronikierów, która kiedyś grodem była potężnym; są dowody, że ta biedna wioseczka nadawała kiedyś nazwisko swojej całej okolicy: grody Czerwieńskie, Ruś Czerwona idą od tego Czerwieńska. Pierwszy na to zwrócił uwagę, o ile wiemy, p. Pawliszczew w pięknym artykule swoim: „Pojezdka w Czerwonnuju Ruś,” drukowanym w Dzienniku Ministerstwa Oświecenia narodowego w Petersburgu 184.... Rozprawa ta u nas nieznaną, a ma bardzo wiele pięknych rzeczy i dla starożytności naszych, i dla wspomnień niedawnej przeszłości, i dla obecnej chwili.

smach peryodycznych. Ale te wszystkie dawniejsze wypracowania, to ćwiczenia dziecinne, postawione obok prac p. Lipińskiego: z niego pierwszy raz dowiaduję się, że Mokotów dawniejszy jest od *Mon coteau* księżnej Lubomirskiej, że Wilanów, to nie naśladowanie z włoskiego, nie *Villa nuova*, ale Milanów, siedlisko stariej mazowieckiej rodziny i t. d. Takich przesądów historycznych bardzo wiele upowszechniło się pomiędzy nami. Lipiński zbija je krytyką historyczną, porównywaniem dat i wypadków, a już tém samém przynosi rzeczywistą korzyść dla nauki; Baliński zaś je pomija i w dobrej wierze przyjmuje to, co powtarzali dawni, chociaż to częstokroć rażące błędy. Rzecz dziwna, że błędów tych nie spostrzegł p. Lipiński. Tak bardzo widać, że w Starożytnj Polsce są dwa dzieła w jedném.

Ta okolica Warszawy jakoś się zaludniła, wypełniła starymi faktami. Co osada, spotykamy tutaj gniazda rodzinne, stolice nazwisk szlacheckich: to Nadarzyńscy, Milanowscy, Radziwińscy, to Czerniakowscy, Fałęccy, Opacy, Nieborowscy rodzą się na tej ziemi. Mamy herbarze rodzin polskich, ale niewiele nazwisk przechodzi za czasy Zygmuntofskie; ani myśleć zatém o rodzinach mazowieckich, o które tutaj jednak w Starożytnj Polsce p. Lipińskiego potrącamy co chwila. Lipiński pisał dzieje osad, nie ludzi, to prawda; jego nie obchodziły stosunki panów z panami, rodziny z rodziną; jego zajmowały tylko sprzedaże, kontrakta i działy: a jednak nie wiedząc o tém, dostarczył rysów, z których imaginacja poetyczna stworzy sobie obraz dziejowy odległych wieków. Widzimy, jak tutaj np. podkomorzy czerski dzieli synów swoich wioskami, a tutaj jak otrzymuje od księcia na Warszawie przywileje, a tam kanclerz sądzi sprawy pomiędzy dwoma jakimi dygnitarzami książęcimi. Kiedy myśl dana, to dany i popęd; jak nam się marzyły obrazy dawnych mazowieckich panów, którzy o miedzę tylko z księciem dziedziczyli, a i na dworze jego piastowali wielkie godności, niby później dygnitarze w koronie polskiej i W. Ks. Litewskiem; tak potém drugiemu i trzeciemu staną przed oczy: a może się wtenczas kto pokusi rozpowiedzieć nam historją wewnętrzną okolic Warszawy, zdejmie szkic z dawnych ludzi, z rycerskich ich zabaw, z towarzyskiego życia, z obywatelstwa. Mazur wtenczas, to było coś jeszcze odrębnego od Polaka. Historje Polski i Mazowsza odmienném obie-dwie płynęły korytem, i od czasów Konrada, a nawet dalej jeszcze od czasów Zbigniewa, Masława nawet, Mazowsze nie zapomniało



swojej niepodległości. Wyradzała się w niem zatem narodowość na tle polskiem, ale swoja własna, mazowiecka. Rzplita Batorych zniosła tę różnicę, ale zawsze wątpliwości nie ulega, że w XIV i XV wieku trwały w całej sile zazdrość plemienna, emulacya prowincjonalna. Te rysy zdjąć potrzeba póki się dadzą, póki czas jeszcze. P. Lipiński pokazał, że istnieją, każdemu który umie patrzeć; ale kto się lepij zastanawiał nad rzeczą i badał przeszłość, widział to również.

P. Lipiński nie odłonił nam jednak pięknego obrazu, ale dał tylko poznać lekkie jego zarysy. Dlaczego? — Bo p. Lipiński jest w całym znaczeniu tego wyrazu kompilatorem, i nad kompilacją nic więcej nie widzi. Podaje moc faktów nowych, ciekawych, ale zawsze faktów tylko. Ducha on nie ukaze, tylko ciało. P. Lipiński nie umie się zachwycać pięknoscią natury, pięknoscią wypadków dziejowych: ma serce tylko dla dat i kamieni. Pod tym względem Świecki już wyższy uczuciowoscią od niego. W Świeckim są błędy, których w Lipińskim nie ma; ale za to jest rzetelnosc, uczucie, jest miłość do tego, co się opisuje, a przywiązanie to traci poezją. Ma i p. Lipiński swoje miłość, bo juźcie inaczej nie zbierałby pamiątek i nie napisałby Starożytniej Polski; ale ta jego miłość jakaś zimna, jałowa. Zkąd to pochodzi? — ztąd, że autor nasz nie ma nic imaginacyi, nic twórczego w swoich zdolnościach. Ogromna pamięć, żelazna praca, nie zastąpi nigdy tój wszechmocnej potęgi umysłu, która tworząc obraz, potrafi wpływ wyrzeć i kształcić nowe pokolenie pisarzów.

W Starożytniej Polsce właśnie pole było dla malowniczej historyi. Ruiny wielkich domów i wielkich miast mają swoje poezją. Nie można ich opisywać na zimno. P. Baliński dobrze to rozumiał, ale mało się przygotował, a potem nie miał cierpliwości: brał wszystko co pod rękę podpadło, i to co warto, i to, co niewarto było. P. Lipiński miał cierpliwość, ale nic rzeczy nie rozumiał. Ztąd obadwaj autorowie dzieło swoje zrobili tylko zbiorem wiadomości dla cytacyj, a Starożytna Polska powinna się być dać czytać wszystkim, jak powieść. Dobrato np. myśl była, w opisy historyczne miast naszych, powsadzać lustracye z różnych lat. Lustracya zwykle wylicza ilość domów i rzemieślników, dzieli mieszkańców podług wiary i sposobu życia; czasem, jeżeli to królewsczyzna, wskazuje ilość dochodu i przychodu dla starosty, oznacza kwartę. Wszystko to rzeczy ciekawe, wskazują stan miejsca w daniej chwili. Jeżeli takich lustracyj

kilka mamy przed oczami, wiemy, kiedy miasto się wznosiło, a kiedy upadało; czasem z lustracyi dowiadujemy się o przyczynie jednego albo drugiego, czasem się tam jakie naprawdę historyczne wspomnienie zaplącze; ależ to wszystko nie historia — to statystyka historyczna, to rachunki. Liczba nie przemówi nigdy do wyobraźni i do serca, liczba przemówi tylko do głowy. Słyszeliśmy wielu uskarżających się na te lustracye w Starożytnój Polsce. W skardze téj wiele nieprawdy i prawdy. Nieprawda, żeby dla człowieka myślącego nauczającą rzeczą nie było śledzić tak na gorącym uczynku każdy upadek sił żywotnych narodu, bo wszystko się oprze rozumowaniom, nic się nie oprze wymowie cyfr; ale wielką prawdą w tém narzekaniu to było, że lustracye te, zabijały Starożytną Polskę. Myśmy się w dziele spodziewali życia, a nam dawano rzeczy tak martwe, tak niezmiernie martwe!

Lustracye mogłyby znaleźć miejsce, ale w dopiskach; wsunięte w text, kaziły text każdy, tam zwłaszcza, gdzie historyk nagromadził dość faktów znaczących. Dwie, trzy, czasem cztery lustracye, dane w opisie jednego miasta, przerywały czytającego uwagę: od rzeczy poważnych, szlacheckich, pociągały ku mniej zajmującym przedmiotom. Bo nie zapominajmy o tém, że Rzplita dawniejsza *per excellentiam* szlachecką była; historyk jój przedewszystkiém szukałby wspomnień o szlachcie. Gdyby miasta u nas miały swoją reprezentacyą, wtenczas rzecz inna: niejeden wypadek wydarzony w mieście wpłynąłby na losy kraju; ależ u nas tego nie było. Gdyby zresztą p. Lipiński miał tak bardzo miasta na uwadze, obok herbów, które czasem w dziele swoim poumieszczał w rycinkach, dałby nam wiadomości o ich wewnętrznym rządzie, o burmistrzach, wójtach, byłby nam prawil o porządkach miejskich. Ale tém się nigdy p. Lipiński nie zajmował, ale instynktem pojmował historycją miast tak, jak my ją po szlachecku pojmuem: nam idzie o to jedynie, jaki w tém a tém mieście zaszedł historyczny wypadek, jaki sejm albo bitwa, a jeżeli to miasto prywatne, chcemy wiedzieć, jakie rodziny nióm i kiedy władały, jakie w nióm żyły, jak go zabudowały i upiękniły. Gdybyśmy dla wyrozumienia losu dawnych mieszczan polskich badali nad historycją osad, to i wtenczas lustracye powinnyby bardzo małą cząsteczkę zajmować w tym obrazie. Powiadamy: autorowie pojmovali to wszystko instynktem, bo o czémże mówili w historii miast? czém są w Starożytnój Polsce artykuły o Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie, Wilnie, jeżeli nie histo-

ryą tych miast szlachecką? Autorowie wykazali skrzętnie kościoły i fundatorów ich, liczyli zjazdy szlachty i sejmy, pobyt królów notowali za każdym razem; pisali o zakładach naukowych i dobroczynnych, o konfederacjach, ale nie o miastach samych. Pod Warszawą nie ma kilku słów nawet o wewnętrznym rządzie miasta, a to byłaby rzecz zajmująca; toż samo powiedzieć o Piotrkowie i t. d. Bardzo wiele miast polskich, prawie wszystkie miały swoje wolności municypalne, to jest magdeburgią, ale w każdym przepisy obowiązywały inne, co do rozciągłości władzy burmistrzów, a nawet co do samego składu rządu. Te osobliwości potrzeba było ponotować. Rodziny mieszczan krakowskich często dostawały się pomiędzy szlachtę i wychodziły nawet na magnackie; na to autorowie nie zwrócili uwagi. Ale o Krakowie mamy już monografij tyle, to mniejsza. Za to w Warszawie, jak w każdym mieście znaczniejszym Rzplitej, były rodziny magnatów miejskich, ludzi wsławionych w swoich murach od kilku z kolei pokoleń przez sprawowanie urzędów, albo pobożne fundacye. Jeżeli zajmować się miastami, to potrzeba wnikać w to życie znaczniejszych rodzin mieszczańskich. Ci ludzie nie mieli wpływu prawnego na losy Rzplitej, ale często wywierali wpływ poboczny, który się podnosi aż do tronu.

Dziś piszą powieści historyczne, ale szlacheckie; mieszczańskich nie tykają, bo w Rzplitej jedna klasa zaćmiewała wszystkie. Za szlachtą nic w Rzplitej nie widzimy. A jeżeli czyj wzrok głębszy sięgnie niżej poza herby i klejnoty, ujrzy i miasta, to prawda, ależ dla miast u nas dzisiaj nic jeszcze nie ma. Przyjdzie czas i na nie; autorowie Starożytnej Polski zajmować się tym przedmiotem nie mogli. Jeżeli kto napisze kiedy po nich dzieło opisujące miasta dawniej Rzplitej, będzie to książka więcej prawna, więcej obyczajowa, a nam chodziło o dzieło historyczne. Szlachta nie lubiła miasta, ale wieś; jednakże zbierała się do miast, bo tam były kościoły, ogniska rządu w powiecie i ziemi. Wsie mają swoją historią, choćby dla rodzin; jakże nie mają mieć swojej miasta Rzplitej? I nam nie szło bynajmniej w Starożytnej Polsce o roztrząśnienie praw, bo to rzecz inna wcale, ale nam szło o fakta szlacheckie, o historią Rzplitej.

Lustracye, to czysty pomysł p. Lipińskiego, ale naśladował go drugi spół-autor. Metryka koronna dostarczyła moc faktów: można z niej było czerpać do przesyty. Ale te lustracye, chociaż dobre, powtarzamy, zabiły życie księgi pięknej, przypo-

mniały nam, że miasta były siedliskiem rzemieślników i kupców, a myśmy chcieli w nich widzieć ułamki dziejów Rzplitej, rozrzucone w przestrzeni. Lustracye zbierać, to rzecz Surowieckiego, rzecz niezawodnie i p. Lipińskiego; ale to już wtręty do Starożytnéj Polski, jak my przynajmniej te rzeczy pojmujem.

Małopolska przesłicznie jest obrobiona. Więcej tutaj treści i różności jak gdzieindziej. Autor opisywał najdrobniejsze nawet osady, aby tylko czémkolwiek historyczne. Materiał tutaj nieprzebrany, jak we wszystkich dziełach źródłowych: czerpać możesz bogactwa wiecznie, czerpać jakby ze składu, a nigdy ich nie wyczerpniesz. P. Lipiński wznosił sobie w opisie Małopolski pomnik, który świadczyć będzie o jego sumiennosci i pracy, której taki ogrom niezmierny. Tom IIgi Starożytnéj Polski najlepszy. Dziwném zrządzeniem losów, w opisie województwa lubelskiego poprawił się nawet p. Baliński, i zawarł tyle w artykułach swoich różności, życia i faktów, jak gdyby umyślnie dlatego, żeby Małopolski nie zepsuć. Poznajemy całe rodziny Aryanów, gonimy za nimi ślad w ślad po ich kościołach i dworcach. Żałujem tylko, że niepewne i krzyżujące się podania nie pozwoliły p. Lipińskiemu województwa bełzkiego rozdzielić na powiaty i ziemie; to jedna w Starożytnéj Polsce niedogodność dla uczonego i dla czytelnika. Są i w tym tomie wady, które wskazaliśmy, bo one cechują całe dzieło; ale w ogóle powiedzieć musim, że o ile Starożytna Polska góruje nad innymi pracami podobnej treści, o tyle tom drugi zajmuje świetne stanowisko w Starożytnéj Polsce.

Wprawdzie i Baliński poprawia się bardzo w opisie Litwy. Już to nie na chybił trafił, lotem pochwytnane fakta i kompilacye, ale pewien zbiór systematyczny. Autor nietylko że znał osobiście te strony, ale przeszłość go ich, widać, zajmowała, bo więcej dzieł cytuje i więcej zagląda do rękopisów. W tomie trzecim w istocie położył p. Baliński zasługę względem Starożytnéj Polski, ale za to jakież znalazł współczucie dla swojej pracy, ile pomocy w oświeconém obywatelstwie! Prawda, że szperał, ale téż i to prawda, że materiały same za nim goniły. Lipiński wszystko co podał, sam znalazł, ledwie gdzie indziej cytuje przyjaciół dzieła; ale p. Baliński ma ich moc niezmierną. Zawsze pod jego firmą wychodzi tom trzeci: on obejrzał i uporządkował fakta dostarczone sobie, a sam pisał całkowite monografie np. o Wilnie, którego był historyografem.

Jednakże znać i tutaj wszędzie systemat autora, który lubi często zasłaniać się dziwaczną w historii powagą i rozumowaniami, w braku faktów. Lipiński jeżeli nie wie nic o miejscu, nie o nim nie powie: a p. Baliński je zacytuje, napisze o nim artykuł obszerny, a w tym artykule nic,—poezya często. Tak np. w opisie Litwy, ciekawi jesteśmy co znaczą Druskieniki, kiedy to miejsce niehistoryczne, kiedy jego sława sięga epoki naszój, epoki odkrycia wód mineralnych, kiedy to nowa zupełnie osada, jeżeli nie nazwiskiem, to budowlami swojemi i znaczeniem? (str. 386). Ciekawi jesteśmy, co za powagę historyczną, pod opisem Kowna, mają przytoczone wiersze Mickiewicza i Dyzmy Tomaszewskiego (str. 398), a pod Rumszyszkami, .co znaczy wyjątek z Grażyny? (str. 425). Czy Mickiewicz w Starożytnój Polsce z przed r. 1794 nie jest czystym anachronizmem? Pojmujemy wiersze Klonowicza z Flisa wyjęte, w opisie miast nadwiślańskich, bo oprócz poezyi, cały ten poemat jest faktem, jest historyją; alez Grażyna? Gdyby autor opisywał dzisiejszą Litwę, byłoby to opuszczeniem pominąć wielkiego narodowego wieszca, który to miejsce opiewał; ale wyjątki z Grażyny, z Konrada, już dlatego samego nas razią w Starożytnój Polsce, że ich zacytować jako historii nie można, a nie mają na sobie piętna starożytności; są nasze uczuciem, obrazowaniem i myślą. Obszerny artykuł p. *Dubois de Montpereux* o kopcach, kurhanach i okopach Rossyi zachodniej, samym tytułem zwiastuje, że jest także anachronizmem w Starożytnój Polsce; tém bardziej, że autor francuzki nie znał przeszłości Litwy. Gdyby ją znał, byłby cośkolwiek nam napomknął o zabytkach czasów pogańskich, o archeologii; byłby może kilka faktów przyrzucił do systematu religijnego ludów, które te strony zamieszkiwały. Nie miałoby to wprowadzić żadnego związku z opisem Starożytnój Polski, który miał nam podawać historyją miast, ale miałoby jakiś związek z Litwą, którą p. Baliński opisuje. Zamiast historyi, autor do dzieła swojego wprowadził geologiczne badania.

Za to chwalimy bardzo prześlizny pomysł, że autor opisał nam starożytne zamki i miasta w województwie trockiém, których nazwiska pozostały w kronikach, ale których położenie jest zupełnie albo niepewne, albo wątpliwe. Litwa później już dobrze poznała cywilizacyją Europy; nie miała pisma, zatem wiadomość o jēj dziejach dawnych zostawili nam Niemcy. Od Prus ku Wilnu i Żmudzi ciągnęło się tysiące dróg, które ci Niemcy

wdziérali się w serce Litwy. Spotykali wszędzie zameczki, osady warowne, które dla nich były zawadą. O te zameczki często boje się opierały. Gdyby to były miasta polskie XIII i XIV wieku, oparłyby się i czasowi i pochodze Niemców, ale to były zapewne drewniane nędzne zabudowania, ściśnięte w pewien okrąg, obok wyniosłej wieży na jakim pagórku, nad jaką rzeką w obronnym i strategicznym położeniu. Dlatego Niemcy palili te zameczki, a dzisiaj śladu ich nawet nie ma, oprócz kilku ziemczonych nazwisk w kronikach. Znajdą się takie miejscowości zapomniane, i w Polsce nie tylko na pograniczu od Krzyżaków; ale w Litwie więcej zagadnień historycznych do nich jest przywiązanych, ztąd ważność ich względna nierównie większa: Gilbert de Lannoy w swoich podróżach po Polsce za czasów pierwszego Jagielly, także wiele zostawił zagadek, które rozbięrał już znakomity autor *Ksiąg Bibliograficznych*. Ale kiedy chętnie przyznaję p. Balińskiemu zasługę, że wpadł na pomysł prawdziwie piękny, żałuję że go nie rozwinął: w samym województwie trockim tylko siedm takich zameczków opisał, a znalazłoby się miejsce dla większej liczby. Podług nas, takie tylko archeologiczne badania mogłyby wejść do Starożytnej Polski, a nie geologia p. Dubois de Montpereux.

Mówiliśmy o szczegółach; teraz powiemy o dziele w ogólności, o tém, co mu według zdania naszego, co do samych faktów brakuje. Starożytna Polska jest książką takiego rodzaju, żeśmy wszyscy nią interesować się powinni, i wszyscy myśleć, jakby ubogacie wiadomościami to dzieło, tak, jak w arcydzieła sztuki upiększa się gmach okazały. Widzieliśmy co jest, zobaczymy co być mogło.

Nie taimy tego: autorowie mieli wielki zamiar do spełnienia i dlatego w żaden sposób nie mogli zaspokoić wszystkich oczekiwań. Nędza wszelkiego rodzaju leży w naturze ludzkiej. Opisali jednakże osad 1696, stworzyli ogrom (1).

Ale za to p. Lipiński nie przejrzał jeszcze dobrze akt *Metryki koronnej*, jakby należało. Pojmuję to, że wszystkiego wypisywać nie mógł. Zdumiewające także ogromem akta téj metryki, składające się z kilkunastu tysięcy ksiąg rękopiśmiennej.

(1) W ogólnym spisie miejsc na końcu 3go tomu jest wprawdzie wymienionych osad 1758. Od tego odchodzi jednakże osad 62 z podwójnymi nazwiskami; pozostaje zatem 1696.

nych in folio, zawierają w sobie wiadomości li tylko o ludziach i miejscach. Na przejrzenie więc tego dobre i życie krótkie nie wystarczy, i na wydrukowanie miliona wiadomości, życie ludzkie także nawet kilku pokoleń nie starczy: boć i na to trzeba zwrócić uwagę, że nie każdy potrafi zbierać i wieć, co zbierać potrzeba. Ależ w starożytnej Polsce taką jak była, jaką być powinna w dziele, mieścić się przynajmniej winny *wszystkie* miasta Rzplitej. Prawda, że szlacheckie życie nasze upływało na wsiach, ależ starożytna Polska to opis osobliwości ziemi, to historia okolic, a ta historia, jak to już zwróciliśmy uwagę, wiązała się wspomnieniami swojemi więcej do miast, jak do wsi, i być inaczej nie mogło. Tam gdzie się zebrała większa ludność na mieszkanie, gdzie był handel i przemysł większy jak na wsi, gdzie biło tętno bogactw narodowych, tam było życie. Święcki do niczego się nie zobowiązywał: pisał o tém, co zasługiwało podług niego na jakąś uwagę, pisał bez wyboru, notował to, co w kronikach natrafił, opuszczał nieraz rzeczy ważniejsze dlatego, żeby mówić o drobnostkach albo o rzeczach, których związku z opisem Rzplitej na pierwszy raz upatrzeć niepodobna. Ale *Starożytna Polska* Balińskiego i Lipińskiego zajmując wyższe stanowisko w literaturze i pokazując się w naszych czasach, już tém samém zaciągała pewne zobowiązanie się względem tych wszystkich, co z niej korzystać mieli na przyszłość.

Otóż mieszcząc monografią Wilanowa, tém jedynie sławnego, że w nim król Jan mieszkał; Marymontu, że był pani Sobieskiej pałacikiem; Królikarni, dla pałacu pana hrabiego Tomatis: autorowie powinni byli przynajmniej *wszystkie* miasta Rzplitej wliczyć w swoim zbiorze. Niechajbyśmy choć o liczbie ich dowiedzieli się. Na gorącym uczynku łapaliśmy Starożytną Polskę robiąc historyczne poszukiwania w Metryce koronnej. Panowie nasi mieli w tém jakąś dumę, żeby dziedziczyć miasta a nie wioski, i dlatego często gęsto swoje osady podnosili do godności miast, chociaż nowe miasto, niczém się przed erekcją i po erekcyi od wsi nie różniło. Nie było ani jednego roku, żeby król nie był zmuszony wydawać jakieś nowe przywileje dla panów. Za erekcją szły jarmarki i targi nadawane nawet osadom miejskim. Nie może nikt sądzić o bogactwie faktów pod tym względem, kto np. Sygillat w Metryce kor. nie przeglądał. Te fakta trzeba było wydobyc z zapomnienia; co to szkodzi, że erekcyja nie znalazła potem

execucyi, że wpośród zamieszkań krajowych ginęły przywileje i ślady ich, kiedy fakt był, a wiejska osada zwała się miastem choćby przez kilka miesięcy? Wiskitki sławne dzisiaj odpustami, a dawniej łowami królów, Stanisław August podniósł na miasto, (31 stycznia 1775 r.). Kobyłkę, drugie uświęcone pobożnością miejsce, król raz drugi podniósł także na miasto i przezwiał Załużczynem, (18 grudnia 1731 r.). Ledwie która większa osada nie pozyskała tego zaszczytu; więcej przykładów nie cytuję, bo trudno wszystko wyczerpać. Artykuły o Wiskitkach i Kobyłce są jednak w Starożytnéj Polsce, tylko p. Lipiński nic nie wie, że to były miasta, nie wioski już; a ileż takich osad, o których wcale nie ma wzmianki w Starożytnéj Polsce, a które miastami były (1)? Co do historii różnych okolic naszej ziemi, autorowie nie przejrżeli dobrze np. dyplomataryszów, a właśnie za pomocą tych akt starych, monografie dałyby się bardzo uzupełnić faktami, co

(1) Dla pokazania, jak wielkie pod tym względem bogactwa można było znaleźć w Metryce koronnéj, bierzemy pierwsze lepsze fakta, na jakie napotykamy w téj chwili w notatach naszych, bo nie możemy wyczerpać wszystkiego, a tém bardziej nie mamy wcale zamiaru dopełniać wiadomości zawartych w Starożytnéj Polsce. Stawiając te kilka faktów na dowód naszego twierdzenia, dajemy zawsze fakta nowe, wydobyte z tajemnicy papierów. Trzymamy się chronologicznego porządku. Oto spis włości, podniesionych różnemi czasy do rzędu miast:

1. R. 1644, d. 20 lipca, wieś *Gorczyzna* w ziemi wschowskiej, dziedzictwo Jana Szlichtynga sędziego ziemi wschowskiej, podniesioną została na miasto *Szlichtyngowo*. Metr. kor. syg. 189, fol. 115.
2. R. 1686, d. 6 lutego, *Warszyce*, wieś Warszyckiego miecznika w. k., miastem; syg. 14, fol. 45.
3. R. 1688, d. 15 lipca, *Tygienhoff* na Pomorzu, miastem; syg. 14, 142.
4. R. 1690, d. 15 maja, *Niwiska* w ziemi liwskiej, miastem; syg. 15, 30.
5. R. 1706, bez daty, *Krzywe* w ziemi halickiej, wieś Szymona Barworowskiego podczaszego halickiego. Syg. 16, 221.
6. R. 1715, d. 18 lipca, *Nowe Kutry* ze wsi królewskiej Kutry, w ziemi halickiej, podnosi Józef Potocki wojewoda kijowski. Syg. 18, 158.
7. R. 1718, d. 17 listopada, *Kulczyni wielkie* na Wołyniu, wieś Wyżckiego podkoniuszego litewskiego. Syg. 19, 144.
8. R. 1728, d. 16 czerwca, ze wsi *Pietraszówki* w ziemi przemyskiej, Teodora Lubomirskiego starosty spiszkiego, miasto *Boguchwała*. Syg. 20, 234.
9. R. 1729, d. 7 września, *Konstantynów*, dziedzictwo Karola Siedleckiego, leżące w ziemi mielnickiej (dzisiaj w królestwie polskiem). Syg. 20, 277.



dla nas nierównie ważniejsze, za czasów Piastowych. Zrobi to po nich kto inny, dopełniacz Starożytnéj Polski; ale zawsze ile miast opuszczonych w dziele, tyle w niém, nie powiemy mieści się błędów, ale niedostatków.

W opisie Małéjpolki widać także próżnię jakąś. Powiedzieliśmy, że to najznakomiciej obrobiony tom Starożytnéj Polski; nie cofamy słowa i żałujem dlatego, że autor nie zwrócił wcale uwagi na cywilizacyą Rusi i jéj ślady. Patrzmy przez właściwe szkło na rzeczy: rodowość ruska była integralną częścią narodowości naszéj. W Polsce zlewały się trzy oddzielne pojęcia, trzy języki, trzy religijne obrządki (liczym tutaj i Litwę

10. R. 1729, d. 7 września, *Michałowice*, wieś Stefana Czackiego łowczego woł. na Wołyniu. Syg. 20, 277.

11. R. 1731, d. 3 marca *Willanów* pod Warszawą, wieś Maryi Zofii z Steniawskich Denhoffowéj. Syg. 22, 109.

12. R. 1731, d. 18 grudnia, z *Kobyłki*, wioski pod Warszawą, miasto *Zaluszczyzn* za prośbą księdza Marcina Zaluskiego suffragana płockiego. Syg. 22, 134.

13. R. 1732; d. 18 października, *Zaremby kościelne* w ziemi nurskiej dziedziczne Szymona Zaremby łowczego piotrkowskiego, ze wsi Borkowa. Syg. 23, 60.

14. R. 1737, d. 24 lipca, *Klementynów* z gruntu Majorowszczyzny Jana Klemensa Branićkiego hetmana polnego koronnego.

15. R. 1738, d. 20 listopada, ze wsi *Gończyce* w ziemi stężyckiej dziedzicznéj Franciszka Kazimierza Grabowskiego, *Augustywil*. Syg. 26, 79.

16. R. 1745, d. 5 stycznia, *Kuźniczka* w starostwie krzepickim. Syg. 29, 185.

17. R. 1745, d. 5 stycznia, *Alexandropol* ze wsi Błonie, Alexandry Odrzechowskiej, wdowy po Mikołaju Wieniawskim podczaszym przemyskim. Syg. 29, 189.

18. R. 1745, d. 5 stycznia *Guździec* w ziemi liwskiej, dziedzicznéj Kamlińskiego sędziego gr. mielnic. Tamże.

19. R. 1745, d. 16 stycznia, *Gruszki* w Krakowskim, wieś Zielińskiego. Syg. 26, 190.

20. R. 1746, d. 28 listopada, *Ludwilpol* na gruntach Józefa Połockiego hetmana wielkiego koronnego w ziemi halickiej. Syg. 27, 16.

21. R. 1746, d. 12 grudnia, *Oleszno* w powiecie wiślickim, wieś księcia Stanisława Czartoryskiego łowczego w. kor. Syg. 27, 51.

22. R. 1746, d. 12 grudnia, *Piczów* w Kijowskim, wieś dziedziców Marcina Aksaka stolnika żytomierskiego. Tamże.

23. R. 1749, d. 25 sierpnia *Ostromęcko*, wieś Pawła Mostowskiego, generał-adjutanta. Syg. 28, 223.

24. R. 1750, d. 10 lipca, *Dorousk* w ziemi chełmskiej, wieś Suchodolskiego podczaszego krasnostawskiego. Syg. 27, 172.

zprzed r. 1386). Ztąd, kiedy p. Lipiński wylicza nam po miastach Rusi kościoły łacińskie, żałujem, że nie liczy razem cerkwi słowiańskich. Łapiem za nim wpływ i ślady cywilizacji polskiej, ale nie widzimy, jak się przed nią cofa obyczajowość stara tych ziem, które ojczyznę naszą składały.

Nie ma w całej Polsce, jak długa i szeroka była, ani jednego niehistorycznego miejsca. I nie dziw: Rzplita szlachecka w każdy

25. R. 1752, d. 10 grudnia, *Kochanów* wieś Xawerego Kochanowskiego w Krakowskiem. Syg. 27, 288.

26. R. 1757, d. 14 stycznia *Nowy Potok* w dobrach krzesłowych wojewody bełzkiego Potockiego (drugi raz też sama erekcyja pod d. 15 marca t. r.). Syg. 29, 118.

27. R. 1757, d. 15 marca *Pawłowe*, wieś Michała Pawła z Ostromęcka Mostowskiego starosty piotrkowskiego, generała majora wojsk saskich. Syg. 29, 18.

28. R. 1758, d. 16 grudnia, *Mikulińce*, wieś dziedziczna Ludwiki Potockiej kaszt. krakow. het. wiel. kor. w woje. ruskiem. Targi, jarmarki i magdeburgia. Syg. 29, 123.

29. R. 1760, d. 1 lutego ze wsi *Pulzyszcz* w ziemi czerskiej, *Gawęłopol* miasto Joachima Potockiego generał-lejtnanta. Syg. 29, 199.

30. R. 1761, d. 15 maja, *Lisice* w ziemi przemyskiej Michała Kobelnickiego. Syg. 29, 288.

31. R. 1763, d. 26 marca, *Ślubice*, w ziemi gostyńskiej, Józefa Miłkorskiego cześnika gostyńskiego.

32. R. 1763, d. 25 kwietnia, ze wsi Buczniowiec, miasto *Podole* w powiecie latyczewskim, w dzierżawie Emeryka Stanisława Ostrowskiego horodniczego braclawskiego. Syg. 29, 409.

33 i 34. R. 1767, d. 13 lutego *Biezuń* i *Żuromin*, wsie Jędrzeja Zamojskiego kanclerza.

35. R. 1767, d. 1 października, *Oleszki*, wieś Eustachego Potockiego.

36. R. 1774, d. 6 października, *Czarnielówka* w powiecie krzemienieckim, wieś Michała Onufr. Hryniewieckiego cześnika witebskiego. Syg.

37. R. 1775, d. 31 stycznia, *Wiskitki*.

38. R. 1776, d. 2 sierpnia, *Magnuszew*, wieś Jędrzeja Zamojskiego (tego nazwiska nie ma nawet w Starożytniej Polsce). Czytać o tém artykuł księdza Gackiego w Pamiętniku rel. mor. T. XV, str. 382.

39. R. 1778, d. 9 czerwca, *Poczajów* w powiecie krzemienieckim, wieś Jana Amora Tarnowskiego kasztelana konar. łączyckiego. Syg. 34, 73.

40. R. 1779, *Terespol* pod Brześciem Litewskim, wieś księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Metryka kor. 415.

41. R. 1779, d. 20 maja, *Krasienin* ze wsi tegoż nazwiska w Lubelskiem, Felixa Łosia starosty wyszyńskiego. Syg. 39, 136.

42. R. 1785, d. 18 czerwca, *Tatarzyszcze* ze wsi tegoż nazwiska, należącój do starostwa mukarowskiego, będącogo w dożywociu księżnej Karolowej Nassau Siegen. Akta kanclerza Okęckiego, ks. 79, fol. 67.

zakątek ziemi rozniosła światło i życie. Ztąd Polska niewyczerpane ma źródło w sobie samój dla powieści historycznych, ztąd niewyczerpane i same jój dzieje, których ogromu żaden, choćby największy gieniusz, w ich rozwikłaniach różnych nie schwyci. Talent znajdzie zawsze przedmiot dla siebie, i dlatego nie wierzymy w ogóle w żadne wyczerpanie żadnej historyi; ale gdyby to rzeczą możebną było zamknąć takie źródło, jako już wyschnięte, gdyby wszystkie historye różnych ludów wyschnęły: Polska jeszcze otworem stanie. Dlaczego? — bo tutaj w każdym zakątku biło życie, każda osoba odzielne z siebie rozwijała życie.

Był jednakże w Rzplitej lud cały, lud *en masse*, przywiązany do roli, więc poddany, który się urobił po szlachecku, zupełnie na wzór Polski i miał chwile swojej hetmańszczyzny. W Polsce Piastowój szlachta robiła historyą; na Rusi, — lud ten, o którym mówim. Nie było pomiędzy tym ludem stanów, nie było szlachty. Szlachta tego ludu oddawna się spolszczyła i zapomniała o swoim pierwiastkowym urodzeniu; dlatego na Rusi ogromne bywały dobra, dziedzictwo jednego i drugiego pana, a szlachty drobnój nic wcale. I kiedy nastaly bolesne chwile wojny domowój, kiedy Jezuci pokłócili nas i narodowości polskie, lud ten powstał przeciwko panom i często zwyciężał, bo był sam u siebie, a nad nim ciążyło tylko wojsko koronne. Tysiące bitew grzmiało więc na tój ziemi, jak niegdys na Pomorzu; — tam, na Pomorzu jednak bili się Polacy z Niemcami: tutaj kawał jednéj Rzplitej z drugim kawałem.

Tom Hgi jest obszerny, to prawda, ale tutaj brak wiele, tutaj brak zawsze widocznych studyów. Walki te więcéj uhistorycznyły Ruś, jak wszelkie lustracye. Gdyby p. Lipiński był tak oględny i o tém pomyślał, Małopolska jego byłaby areydzieniem, jako materyał.

Bo ileż tam znowu opuszczeń, zwłaszcza na Rusi zbliżonój do teatru wojny, jak Wołyń, Podole, Ukraina. Tyle pochodów w tój ziemi Koniecpolskiego, Potockich, króla Jana i innych hetmanów, każdą wieś zapewne czémś upamiętniło. Trzeba było wziąć jakie plany kampanii, których tak wiele, i z nich kompilować świadectwa. P. Lipiński przepisał cały Dyaryusz Naruszewicza podróży kaniowskiej, powyciągał daty z każdój wycieczki Stanisława Augusta do Wiśniowca, Nieświeża, Grodna, Siedlec; mógł zrobić toż samo i z dyaryuszem wojen, a rzeczy z nich czerpane byłyby ważniejsze i więcéj stosowne dla Starożytnéj Polski. Jużcié więcéj interesują miejsca, w których się krew lała, w któ-

rych ważyły się losy Rzplitej, jak te, w których nocował, albo jadł obiad król Stanisław August. Przypominamy sobie np., że do czasów zajęcia Podola przez Turków za Michała Korybuta, bardzo szczegółowe opisy, dyaryusze i listy, czytaliśmy w Ojczystych Spominkach Ambrożego Grabowskiego i w Pamiętnikach Chrapowickiego wojewody. Jest w nich dzień za dniem oznaczone stanowisko to hetmanów, to Turków, to konfederatów połebskich, to Haneńka i Doroszeńka. Co za bogactwo! Nieprzemierzone, niewyrachowane! Tutaj znajdzie się wiele opuszczeń ważnych, któreby zająć mogły miejsce mniej znaczących wiadomości.

Wielka szkoda, że p. Lipiński nie ma klucza do źródeł ruskich, miejscowych. Zwróciliśmy już w inném miejscu uwagę, że Dzienniki Gubernialne rossyjskie poświęcają się badaniom historycznym i archeologii krajowej. Wiele pięknych zabytków takim sposobem uratowano przed zagładą. Gdyby do źródeł polskich, na które wskazujem, autor użył był pomocy dzienników gubernialnych: byłby odkrył prawdziwe dla siebie skarby. Miałby wiele gotowego, potrzebowałby tylko tłumaczyć, a ileż przez to dokładności przybyłoby Starożytnej Polsce! Tak często znajdujem w niej wiadomości o miejscach, niczém niezastługujących na sławę, o miejscach, które chyba stanowiły rezydencją, gniazdo historycznej rodziny, ale o politycznych wypadkach często nic nie słyhać. Na tę już okoliczność przecież powinien był uwagę p. Lipińskiego zwrócić p. Baliński (1).

A kiedy mówim o Rusi, żałujem bardzo, że nie ma nic w Starożytnej Polsce ani o Smoleńsku, ani o Czerniechowie. Smoleńsk należał do Litwy, Czerniechów do Małopolski. Żeby chociaż p. Baliński miał cierpliwość i wskazał nam źródła do historii pierwszego miasta i całego księstwa. Kiedyś w wiekach dawnych, Smoleńsk odgrywał niezmierną rolę pomiędzy małemi państwami Rusi; tutaj odcinał się szlak graniczny Rzplitej od Moskwy, tutaj była stolica jednego z najważniejszych księząt litewskich, kiedy dynastia Rurykowiczów wygasła. Nie może się p. Baliński tém zastawić, że wziął granice Rzplitej takie, jakie były w r. 1772, bo w r. 1772 było jeszcze województwo smoleńskie, chociaż *in partibus infidelium*: był wojewoda, kasztelan i biskup. Mógł p. Baliński nie dać opisu miast tego województwa, lubo i to rzecz była przydatna, ale powinien był napisać coś o samym Smoleńsku.

(1) Porównaj artykuł w Dzienniku Warsz. z r. 1851 nr. 73: Materiały do opisu Starożytnej Polski.

Wszakże i tak herb województwa położył i o nim samym słów kilka powiedział. W Karamzynie znalazłby do tego dat wiele nie robiąc wiele poszukiwań, a zresztą mógłby użyć Murzakiewicza. W każdym razie winien był zacytować chociaż źródła dla ciekawych.

Ale załujemy więcej jeszcze jak Smoleńska, Czerniechowa; dlatego, że bez tego województwa opis Małéjowski chociaż tak dokładny, nie jest przecie zupełny. Na Małéjrusi, hetmańszczyzna reprezentowała prawo i obyczaje polskie; dodziśdnia szlachta małoruska nosi wiele w swoim charakterze naszego, chodziła niegdyś w kontuszach i żupanach, niedawne temu czasy jak burmistrz kijowski chodził jeszcze w kontuszu i przy karabeli. Czerniechów odpadł od Rzplitej razem ze Smoleńskiem; ale i tutaj znowu wojewoda i kasztelan żyli do ostatnich chwil Polski w senacie, a kijowski biskup był i czerniechowskim razem. Smoleńsk przez Litwę więcej oddalony od cywilizacji polskiej, był bardziej dla nas obcy; Czerniechów miał nawet arcybiskupów swoich nieunickich, którzy pisali po polsku: przywiedziem np. znane powszechnie imię Łazarza Baranowicza. Akademia duchowna kijowska za Piotra W. jeszcze mówiła po polsku; Teofan Prokopowicz sławny potem metropolita w Rosyi pisał kazania polskie. Tutaj znowu w Czerniechowskiem, na Małorusi, gdzie tyle pomników greckiego obrządku, pożyteczną rzeczą byłoby śledzić postęp wyobrażeń zachodnich. W Metryce koronnej czytaliśmy wiele przywilejów, mocą których król Władysław IV, założyciel województwa czerniechowskiego z księstwa, nadawał obszerne ziemie panom polskim i ruskim, na Ukrainie zadnieprskiej. W ślad za panami wdzierali się tam Jezuici którzy mieli tam kilka swoich kolegów; Władysław także ich sam uposażał. Dla wojen wiele, a może ani jeden zakład tego rodzaju nie stanął na ziemi zadnieprskiej, ale dla historii trzeba było ponotować te osady: samo to w sobie byłoby już i nowością i oddzielną monografią. Obraz czerniechowskich stron byłby dopełnieniem obrazu Rusi: bo jeżeli zarzucamy p. Lipińskiemu, że nie o wszystkich miasteczkach upamiętnionych walkami z kozaczną dał nam wiadomość na Rusi przeddnieprskiej, ten sam zarzut słusznie i do Rusi zadnieprskiej odnieść musimy, a Zaporozie już zupełnie dla Rzplitej w obrazie jego nie istnieje.

Jeszcze rzecz jedna. Dla zwiększenia interesu ślicznieby było, żeby autorowie na Rusi i Litwie pod opisami stolic

księstw rozdrobnionych, dali nam spisy panujących książąt. To nadzwyczaj objaśnia rzeczy. Mówim tylko o Rusi i Litwie, bo w ogóle o Litwie mało wiemy, a o Rusi jeszcze mniej. Dla Litwy znalazł się kiedyś Strykowski, dla Rusi nikt; nie trzeba zawsze tychże samych błędów popełniać. Dzieje polskie mniej więcej przetorował już Naruszewicz i jemuśmy winni rozwikłanie niejednej wątpliwości. Dobrzeby zapewne było, żeby autorowie pod Warszawą np. wyliczyli panujących książąt na Warszawie; ale zresztą to rzecz mniejsza, tutaj prędzej sobie poradzim. Te spisy po części już porobione, ale zupełną nowością byłoby dla Litwy. W *Historii Wagi* z r. 1824, jest wprawdzie i ta myśl wcielona w czyn, aleć to już trzydzieści lat upłynęło od r. 1824, i niejedna zmiana weszłaby do tych spisów. Dalej rozwijając myśl naszą, mybyśmy bardzo byli za tém, żeby nawet prowadzić taki ciągły szereg książąt po miastach litewsko-ruskich, książąt, którzy od Ruryka albo Gedymina pochodzą. Takbyśmy rachowali książąt Ostrogskich, Zasławskich, Słuckich i t. d. Nawet opisy bogatych rodzin stolic, mybyśmy takim poczetem jakby panujących zdobili; np. Sapiehów w Kodniu, Zamojskich w Zamościu. Ordynacye do tego szczególne miałyby prawo. Niejeden czytelnik ciekawy byłby z jakichto rąk do jakich przechodził Nieśwież albo Ołyka. Póki ci panowie władali szerokimi dobrami, i któż zaprzeczy, że na dworze ich była historia miast, w których prawie panowali udzielnie? Starożytna Polska nie zdobywała się na twórczość: dawała same daty. Wielka szkoda, że interesowniejszych dat z tłumu innych nie brała.

Tak samo życzylibyśmy sobie, żeby w następném wydaniu *Starożytnej Polski*, gromadzić i ile możności spisy starostów grodowych i niegrodowych. W dodatku do dzieła zdałoby się przedrukować same nazwiska królewszczyzn, które stanowiły chleb *bene merentium*. Rzecz to niewielka, a nie wymaga żadnych prac, bo, pamiętamy, w którymś kalendarzyku politycznym z czasów Stanisława Augusta, czytaliśmy spisy starostw rozdzielonych podług ziem i województw. Zresztą rozprawa Duńczewskiego dopomoże, a nawet jest osobne dziełko, jakby inwentarz starostw, podające obok spisu, dochody i kwartę płacną z królewszczyzn (1). Wspominamy tu o tém wszystkiém,

(1) To rzadkie bardzo dziełko widzieliśmy niegdyś w zbiorze p. Antoniego Muczkowskiego.

bo sądzim, że Starożytna Polska powinna być encyklopedyą miast Rzplitej.

Autorowie powinni by się zdobyć jeszcze na tom dodatkowy o Inflantach, Wołoszczyźnie, Kurlandyi, Prusiech wschodnich i t. d. Do tego tomu powinien by wejść i opis historyczny tych przynajmniej okolic dawnego Szlązka, które się nie zniemczyły. Wszakże, tak jeszcze Szlązk stracony dla Rzplitej Zamojskiego, bardzo wiele i pod niejednym względem interesował Polskę, bo zachodziły na nim wypadki ważne dla dawnych pokoleń. Tam leżała Byczyna, pod którą zgniótł Maxymiliana Zamojski, tam góry Tarnowskie, przez które szedł August IIgi do Polski, tam Opawa długo będąca dziedzictwem Sobieskich. Opole i Racibórz zastawne księstwa Wazów, Cieszyn i t.d. Na północy, na granicach Marchii, szkoda Drohimia, że opuszczony. Lawenburg i Bytów były księstwami przydzielonemi do województwa pomorskiego, a królom pruskim puszczone w maństwo. Jeżeli nie było tych miast w Starożytnej Polsce, mogły się mieścić w tomie dodatkowym; bo kiedy dzieło rozwinęło się tak wspaniale, czemuż nie rozwinęło się w pełni?

To opuszczenia, które jednakże nie odejmują dziełu wysokości bardzo zasługi. Starożytna Polska jest już w ręku wszystkich, którzy się zajmują historją polską, i będzie w ręku wszystkich, którzy nią zajmować się będą. Ruch literacki tak się rozwinął u nas, że wiele rzeczy nowych już jest starych. Po Starożytnej Polsce pokazało się już wiele pojedynczych monografij, opisów, które dopełniają wiadomości, zawartych w znakomitęm dziele. Starożytna Polska już się starzeje, chociaż wyszła tak niedawno, a jednak nic przez to na wartości swojej nie traci. Sam autor opisu Małopolski uważa to, kiedy w nowym artykule o Brodach, poprawił błędy swoje i opuszczenia. (Biblioteka Warsz. 1851 r. m. marzec).

Wstępy do dzieła napisał p. Baliński. Skrócił tylko swoje Historją Polską dla dzieci. Jest tutaj także z Maciejowskiego fakt wzięty, że Lachowie sascy uorganizowali naszą społeczność. Jest tutaj wszechogrom słowiańsko-polskiego państwa za Ziemowita, który zdobywa Kraków i panuje w czerwieńskich grodach; Bolesław Wielki zeszedł zatem do rozmiarów nierównie mniejszych: to naśladowca pradziada swojego Ziemowita, który jeden z Piastów uderza wielkością pomysłu i czynu. Ale obeznany

z Maciejowskim, Baliński nie zna wcale Lelewela; u niego Bolesław Śmiały przedstawia się zawsze w czarnych kolorach, jako rozpuśtnik niesprawiedliwy, kiedy szlachetniejszą postać zacnego króla, rysuje autor Ksiąg Bibliograficznych. Śmiały tam staje w obronie ludu przeciwko uciskom szlachty, w obronie zasad starodawnych przeciw nowym, napływowym. Baliński nie także nie wie o słowiańskim obrządku w Polsce; przyjąwszy nawet jedną myśl Maciejowskiego, drugiej nie przyjął: zkądże taka ufność dla jednych wywodów uczonego, a nieufność dla drugich? Baliński myśl podziału Polski pomiędzy Zbigniewem a Bolesławem Krzywoustym nazywa *nieszczęsną* myślą. W tém znowu odzywa się duch dawniej szkoły, która miała *a priori* swoje pojęcia. Baliński zapomina, że te podziały były konieczne, że wtedy pojęcia nawet wspólnej ojczyzny nie było, i że dlatego samego, te podziały nie mogły być w swoim czasie tak nieszczęśliwe. Kiedy Bolesław Wielki budował ogromne państwo, gieniusz jego trzymał na wodzy różne odrębności polskie; ale nie każdy przecie ma gieniusz, nie każdy mógł pojmować, że ta jedność wszechogromu mogła być zdać się dla czegoś, i stać się wcieleniem wielkiej myśli i t. d.

Miałyto być dzieje cywilizacji polskiej i litewskiej, jako wstęp do dzieła. O Rusi zawsze zapominają nasi historycy. Ale zamiast dziejów cywilizacji, jestto raczej zbiór kilkudziesięciu faktów przyczepionych do panujących Piastów i Jagiellonów, nawet czasami błędnych (np. Konrad mazowiecki za Leszka Czarnego występuje. Tom I, str. 29). W takim drobnym systematycznym rysie, czytelnik może się spodziewać dwojga rzeczy: albo nowego zupełnie ogólnego poglądu na przeszłość, albo znajomego obrazu, ale streszczonego umyślnie, żeby zrozumialszym był, żeby w nim początek zbliżony do końca, dał prędzej obejrzyć całe dziejowe oblicze. P. Baliński nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Nowości w tym rysie żadnych, streszczenie błędne i koteryjne. Bez takich wstępów bardzo mogła się obyć Starożytna Polska, a ileżbyto wolnego miejsca zyskała dla monografii!

W żadnym jednakże razie, te wstępy psuć nie mogą piękności samego dzieła, które, jak powiedzieliśmy, zostanie kolosalnym pomnikiem epoki naszej.

D. 3 stycznia, 1852 r.





**CHARAKTERYZOWANIE HISTORYCZNE,**  
**W PRZYKŁADZIE**  
**CHARAKTERYSTYKI KRZYŻAKÓW.**

---

**P**omiędzy pracownikami na polu dziejów krajowych odznacza się świetnie p. Karol Szajnocha.

Stanowisko z jakiego snuje swoje badania, bystry pogląd, szczęśliwa umiejętność wpatrywania się artystycznie w przeszłość, odgadywanie jej i obudzenie do życia, śmiałe pióro w malowaniu obrazów z zamierzchłych wieków, a wszystko oparte na źródłach pierwotnych, należących do każdego właściwie okresu, który pod uwagę bierze:—to są niezwykłe zalety, któremi się prace jego szczególną świeżością i artyzmem historycznym odznaczają. Zanim pismo nasze obszerny ustęp z dziejów krajowych p. Szajnochy ogłosi, podajemy nateraz rozprawę obejmującą głównie charakterystykę Krzyżaków, która miała być ogłoszona w jednym z pism lwowskich.

*P. R.*

---

Całe prawie nowoczesne, a zwłaszcza nasze dziejopisarstwo, ustrzega jeszcze w więzach drobiazgowego badania. Sąto więcej potrzebne i nieuchronne, z których jednakże z czasem, gdy główne kwestye dzisiejszych badań specjalnych, monograficznych, należytemu opracowaniu i rozstrzygnięciu ulegną, będzie mógł dziejopis bogdaj w części wyzwolić się. Dopiero wówczas otworzy się talentowi historycznemu możność odwrócenia swęj uwagi i pracy od spornych dziś kwestyj i studyów genealogicznych, terytoryalnych, chronologicznych i t. p., to jest od wątpli-

wości zewnętrznych, a skierowania ich ku zbadaniu wątpliwości wewnętrznych, ku łatwiejszemu podówczas rozświeceniu niezrozumiałego dziś znaczenia wielu wypadków i zjawisk historycznych, ku odmalowaniu właściwej fizynomii każdego czasu, ku odświeżeniu tego, co pospolicie, acz przedwcześnie, nazywają *duchem historii*. Dopiero też naówczas zamieni się dziejopisarstwo w sztukę prawdziwą; a umniczo traktowana, swoim drugim okiem, okiem wewnętrznego widzenia uzbrojona historia, stanie się w rzeczy „pochođnią prawdy, mistrzynią życia.”

Aż dotąd ileżto zółci dolewa do waśni pojęć dzisiejszych fałszywe rozumienie dziejów i czasów! Najpoważniejszy w tym sporze głos wychodzi od mniemania, jakoby ród ludzki w nowszych stuleciach był w stanie moralnego upadku. Szerzonym przezeń skargom na dzisiejszy brak ducha religijnego, na ugrzęźnięcie zmysłów w kale materyalizmu, na niedostateczność oświaty rozumowej, spieszą w pomoc dowody czerpane z porównania wieków dawnych z nowymi. Pomimo okrzyczanego barbarzyństwa tych minionych stuleci, ileżto w nich religijnego zapału! jaka wyższość wiary! co za nierównie większa podniosłość umysłów ludzkich! —prawi nam głos ten. Prawi spokojnie, bo znając tylko nader powierzchownie one stulecia, zasłyszawszy tylko gdzieś nieco o ich pobożności, romantyzmie, rycerskim duchu, nie możemy dostrzedz fałszu twierdzenia. Śmiało więc ciska dłoń wielbiciela klasztornej średnich wieków oświaty dalej klątwę po klątwie na grzeszną ludzkość dzisiejszą: żarliwość jego wmawia w nią istotnie mylne a upokarzające przekonanie o jej zniczemnieniu moralnym; a rozum jego zapomina, że jednym z głównych środków podniesienia ducha czyto w pojedynczym człowieku, czy w całym rodzie jest okazanie mu jego postępu w dobrém; jedną z najniebezpieczniejszych pobudek do zupełnego upadku, przeświadczenie się o swém skończonym ładactwie. Któratu szkodliwość ponizania moralności dzisiejszej obrazem wyższości czasów dawniejszych tém więcej razi, iż obraz ten należy do najjaskrawszych przesądów niedojrzałości popularnego dziejopisarstwa naszego. Gdy przyjdzie czas, kiedy wszechstronne badania specjalne wydobędą na wierzch wszystkie potrzebne szczegóły zdarzeń i obyczajów; gdy bystre oko dziejopisa umniczego w jedną organiczną zwiąże je całość, a praca badacza i owoc twórczego zmysłu jego następcy w powszechne wnikną pojęcie: —wtedy okaże się cała mylność zdania o większej niż dziś

podniosłości ducha ludzkiego w średnich wiekach, cała niesprawiedliwość upokarzania czasu naszego przeciwstawieniem mu złudnych obrazów moralnej niegdyś wyższości. I w tymto względzie, w ten sposób może dziejopisarstwo, jak ponoś nikt zaprzeczać nie zechce, wpłynąć zbawiennie na sprostowanie mnogich opacznych wyobrażeń dzisiejszych, złagodzić zaciekłość pewnych przesadnych pojęć, rzucić garść światła, ująć życie cierń jeden.

Aby nowoczesne prace historyczne, zwłaszcza prace przedstawiające obraz dawniejszych czasów, taki wpływ wyrzecz mogły: potrzeba bystrego z ich strony wpatrzenia się w obrazowany kęs dziejów, potrzeba niepoprzedzenia na ogólnikach, lecz dokładnego ujęcia i uwydatnienia indywidualnych rysów każdej postaci i okoliczności historycznej; potrzeba jednem słowem ucharakteryzowania przedmiotu. Przedwczesna chęćka takiego charakteryzowania, niezasilona jeszcze dostatecznym zbadaniem wszystkich zewnętrznych przypadłości danego wypadku, zamienia księgę historyczną zwyczajnie w lichy utwór fantazyi. Wszakże gdzie badania zewnętrzne przynajmniej w głównej części zadanie swoje spełniły: tam najdokładniejsze zgromadzenie wszelkich zbadanych szczegółów historycznych nie może zwać się historią swego przedmiotu, dopóki te szczegóły kunsztem dziejopisarskim w pewne organiczne, indywidualne oblicze ucharakteryzowane nie skryształizują się kształty. Tymczasem nawet w takich częściach historyi, których materiał źródłowy, erudycja dziejopisarska dowolnie już zbadała, jakże rzadko czyni kunszt historyczny zadość swojemu obowiązkowi, domagającemu się wewnętrznej charakterystyki! Podobnie jak to często w dramatach bywa: zamiast oryginalnych, indywidualnych, a tém samym prawdziwych charakterów osób, czynów, instytucyj historycznych; otrzymujemy pospolicie jakieś ogólnikowe, czcze, fałszywe ceniorysy, mieszające z sobą czasy, miejsca, narodowości. Skutkiem tego, co jednego tylko okresu, jednego zakąta ziemi, jednego plemienia wyłączną jest właściwością, przenosim bez wahania na długie wieki, szerokie obszary świata, całą w pewnej epoce ludzkość; co nieraz tylko jaskrawym pozorem, mamiącą powierzchownością świeci, bierzem snadnie za światło bijące z ducha, kładąc tém złudne podwaliny do jeszcze złudniejszych wniosków. O te podwaliny opiera się z kolei jedno z pojęć naszych po drugiem, a wnioski te służą nam za miarę moralnego szacowania czasów dzisiejszych, tak wrzкомо niereligijnych w porównaniu z religijnością epoki średnio-

zną, proszą w krajach dalekich o skuteczne w wojnie z poganami relikwie, i dzięki łatwowierności cudzoziemców gromadzą w klasztorze oliwskim mnogie świętości cudotworcze: strzępy z sukni N. Panny, kilka zębów Maryi Magdaleny, szczątki ognistego krza Mojżeszowego i t. d. Błagani o cząstkę relikwii św. Liboryusza, biskup i kapituła paderbornska odpowiadają we trzy lata po oném tajném za Kazimierza Wgo porozumieniu się Krzyżaków z Litwą, iż mimo gorących prośb wielu książąt, arcybiskupów, biskupów i prałatów o dar podobny, nie dali nikomu ani szczypty, „lecz wam, którzy bez ustanku, w krwi i znoju walczyście z saracenami litewskimi za wiarę chrześcijańską, wam dwa kawałki relikwii św. Liboryusza przesyłamy” (V. 131, 132). Oprócz relikwii przybywali z najodleglejszych krajów ochotnicy rycerzcy, których Krzyżacy zamiast istotnej wojny, różnemi ceremoniami i obrzędami wojennemi bawili. Jednym z takich obrzędów było pasowanie możnych przybyszów u wstępu w ziemię pogańską na rycerzy; najzaszczytniejszy ze wszystkich rodzajów pasowania, acz tylko istną krotofilą będący, bo z żadném zwyczajnie rzeczywistém nie połączony niebezpieczeństwem. Drugim obrzędem było przyjmowanie możnych zagranicznych książąt i rycerzy, nawet królowych i księży, do niższych stopni zakonu, wiążących je nazawsze, w najodleglejszój oddali, ściśłem z Krzyżakami powinowactwem. Trzecią wreszcie najświetniejszą uroczystością był tak zwany stół honorowy, reminiscencya bajecznego stołu Artusa, zastawiany z niezmiernym przepychem na ziemi nieprzyjacielskiej, dla niewielu, honorowym sądem jako najświetniejsi rycerze oznaczonych gości, którzy takim honorowém umieszczeniem u stołu, uświetnionego cesarskimi przywilejami, nabywali sławę pierwszych w całym chrześcijaństwie rycerzy. Przy jednéj z takich uczt honorowych w r. 1391 za w. mistrza Konrada Wallenroda, który krocie grzywien na ich wystawność szafował, przyznano pierwsze miejsce przy uczcie, a tém samém w całym obecnej chwili rycerstwie chrześcijańskim, ubogiemu rycerzowi z Austrii, a to z powodów, mogących dać wyobrażenie o wymaganiach onego sądu honorowego: popierwsze, ponieważ w dopełnieniu ślubu odbył lądem (dokoła Czarnego morza) konną do grobu Chrystusa Pana pielgrzymkę; powtóre, iż wraz z kilku towarzyszami zapuścił się śmiało w jaskiniowy głęb jakiejś góry i cały dzień i noc całą tam spędził. „Wszyscy jego towarzysze, prawi kronika, poginęli tam, a on wrócił zwycięzko. Lecz dopóki żył, nie chciał

nikomu powiedzieć, co wewnątrz góry widział lub słyszał" (V. 598). Im dziwaczniejszymi były podobne tytuły do sławy, tém szerzej rozchodził się ich odgłos, rozchodziły się wieści o honorowym stole krzyżackim. Skutkiem tych różnych nęt obrzędowych, tego pochrześnictwa rycerskiego, powinowactwa zakonnego, rozramienili Krzyżacy po całej Europie swoje konnexe i stosunki. Głośny cesarz Zygmunt, książę austriacki Albrecht, wielu książąt niemieckich, włoskich, sycylijskich było tercyarzami zakonu. Angielski król Henryk IV mieni się z chlubą „piastunkiem pruskim." Nie ma prawie księżęcia panującego, któryby dla jednej z powyższych nęt rycerskich nie stawiał się raz w Prusiech do walki z poganami. Wyprowadzano ich zwykle w pole zimowe, uraczono na granicy pogańskiej pasem rycerskim i ucztą, a potem korzystając z odelgi, albo kilka pobliskich osad spaliwszy, nazad z uradowanemi powracano. Interesem każdego gościa było, szerzyć w domu wieści o strasznej wojnie z „saracenami", a Krzyżacy tymczasem grzali się wygodnie na słońcu swojej potęgi i zamożności, którą rzeczywiście z dziwną organizować umieli przemyślnością.

Ten talent organizatorski bywa téż nierzadko jako jedna z ich głównych zalet podnoszony. Jednakże zważając z jak „beprzykładną w dziejach świata łatwością" (VII. 102) wszystkie stany opuściły Krzyżaków, skoro im noga się powinęła; jak w chwili niebezpieczeństwa wszystko nagle z korbów wymknęło się: niepodobna w ich mnogich, wszechstronnych urządzeniach widzieć rzeczywistą organizacyą, któraby całe społeczeństwo istotnemi spoić zdołała węzłami, widzieć cokolwiek innego, jak właściwą krzyżackiej narodowości przesadę administratorstwa i biuralizmu. W tém Krzyżacy zaprawdę odznaczyli się. Obok ich zwyczajnych godeł, krzyża i miecza, zasługuje na umieszczenie trzecie, — pióro kancelaryjne. Owszem, to trzecie godło ledwie nie najznakomitsze pozostawiło pomniki. Religią zaszczepił kto inny w Litwie, podboje ich poszły później w rozsypkę: wszakże archiwum królewieckie, jedno z najbogatszych w Europie, zachowuje dotąd z przeciągu stu kilkudziesięciu lat kwitnienia zakonu krzyżackiego więcej aktów, korespondencyj, rachunków, regestrów, inwentarzów, ksiąg wydatków wojennych, ekonomicznych, kuchennych i t. p. niż inne archiwa z lat tysiąca. Połączonemu z tém biuralistycznemu wielopisarstwu poświęcali Krzyżacy nierównie więcej czasu niż wojowaniu pogan, które późniejszym zwyczajem na dwie kilkutygodniowe co roku wyprawy na Litwę

ograniczało się. Nagromadzone zaś tą kancelaryjną skrzętnością materiały piśmienne, w rzezoném dziele Voigta po raz pierwszy w rozciąglejszej mierze użyte, przedstawiają nam charakter i obyczaje Krzyżaków w daleko wyraźniejszym niż w dotychczasowych opisach oświetleniu. A gdy ułatwione tém dokładniejsze ucharakteryzowanie Krzyżaków, oprócz ich blizkiego z historią polską związku, także na charakter całej historii średniowiecznej jaśniejsze rzuca światło; przeto niech nam wolno będzie obficie z tego nowego obyczajowego źródła zaczerpnąć.

Wielopisarstwo krzyżackie rozciągało swoje kontrolę kancelaryjną na wszystkie stosunki życia. Każdy łut pieprzu i imbiru, użyty do potraw przy uczcie honorowej, każdy grosz dany w napitek miejskim trębaczom, którzy w mistrzowi podczas przeprawiania się przez rzekę przygrywali, każda sztuka rogacizny i nierogacizny, wypasana po mnogich folwarkach krzyżackich, każdy korzec żyta, leżący na składzie w bogatych spichrzach krzyżackich: wszystko bywało starannie zapisywane. Przy każdym układzie kupna lub wzięcia w zastaw nie było końca opisem i zapewnieniom. Nawet zdarzające się w sporach wojennych rozpedzenie robotników polskich, którzy pod ochroną straży wojskowej na pograniczu pruskim niebezpieczny dla Krzyżaków gród budowali, poprzedzał szeroki na piśmie z robotnikami i strażą ciągnięty przez Krzyżaków protokół, podający do wiadomości, jako w tém miejscu zamek stać nie powinien; poczem dopiero następował napad zbrojny i zburzenie wszczętej budowy (V. 134). W tak przedwczesnej na owe czasy skłonności do zapisywania każdej drobnostki życia wpadli Krzyżacy na trop wielu piśmiennych urządzeń i wynalazków, którychbyśmy w epoce mniemaniej prostoduszności średniowiecznej bynajmniej nie spodziewali się. I tak: na wszelkiej buchalteryi znali się zakonnicy urzędujący nierównie lepiej, niż na formułach nabożeństwa, z których zwyczajnie tylko Ojciec nasz i Zdrowaś Marya umieć musieli. Aby w każdej sprawie zawczasu dokładne na piśmie mieć doniesienia, zaprowadzono osobną służbę gończą, tak zwanych *Zeitungsboten*, przeznaczonych do spiesznego zewsząd przywożenia najświeższych nowin, jako też roznoszenia ich po wsze strony, (VI 241). Dla bezpieczeństwa tajemnicy poufnych nieraz korespondencyj, w razie popadnięcia w ręce przeciwników, wymyślili Krzyżacy osobne pismo tajne, składające się z pewnych umówionych znaków dla pewnych pojęć (V. 111). Ku tém nieszko-

dliwszemu pochodowi z wojskiem w ziemię litewską, ułożone były staranne drogokazy, wyszczególniające każdy trakt, każdą ścieżkę, każdy przesmyk leśny w głąb Litwy, z dokładnym oznaczeniem każdej w pewnym kierunku przeszkody, jakoto bagien, przekopów, zasiiek i t. p. Surowo zaś przestrzeganemu zamiarowi niewpuszczania w własne granice żadnej nieprzyjacielskiej lub tylko podejrzaną osobą, służyło urządzenie policyjne, tchnące wyraźnie duchem najnowszych czasów, a obowiązujące każdego gospodarza do zameldowania każdego gościa natychmiast u burmistrza miejskiego, który według swojego zdania udzielał lub odmawiał pozwolenia pobytu (VI. 17). Szpiegostwo wśród wojny i pokoju kwitnęło w średnich wiekach u wszystkich ludów i rządów, a u Krzyżaków, jak to łatwo wnosić możemy, doszła jego organizacja w najrozmaitszych kształtach, najpowszechniej w postaci tak zwanych ostrzegaczy, *Warner*, do najwyższego szczebla doskonałości (VII. 64).

Te wszystkie rysy charakteru świadczą, że wojna z wszelkim swoim bezładem nie była właściwym zakonowi niemieckiemu żywiołem. Używał on jej do zwiększenia swojej potęgi, lecz tylko wtedy, gdy innych środków zabrakło. Najmilszym ku temu środkiem było zgromadzanie rzadkich na one wieki bogactw przez skąpstwo, ucisk monopolistyczny i lichwę. Skąpstwo krzyżackie utrzymywało ogół kościołów i klasztorów krajowych w niesłychanej nigdzie podówczas nędzy (VI, 762), równającej się tylko moralnej ciemnocie (V, 385; VI, 764) ubożego, do ręcznej robocizny skazywanego (V, 469) duchowieństwa świeckiego w Prusiech. Ucisk monopolistyczny zagartywał wszelki prawie handel obfitymi zapasami ziemiopłodów, jako wyłączny przywilej zakonu, i już w czasach największej świetności i trwałości rządów krzyżackich, wkrótce po śmierci Kazimierza Wielkiego, do tego stopnia handlowe miasta pruskie przeciwko zakonowi oburzył, iż szeroce pomiędzy sobą nad zrzuceniem jarzma krzyżackiego obradowały (V, 343). Nad wszystko jednak przypadała do smaku lichwa. Pomimo wszelkich zakazów i klątw papieżkich, nie prosperowała osławiona w onych czasach pod nazwą „kupno rentowe” spekulacja lichwiarska nigdzie tak bezpiecznie i bujnie, jak u Krzyżaków (V, 466). Skąpstwem, zdzierstwem, monopolem handlowym ogromne gotowizny zebrawszy, stał się zakon krzyżacki dla całej północno-wschodniej Europy otwartą ciągle lichwiarnią, obleżoną od tłumu większych i mniej-

szych do zaciągnięcia długu na zastaw konkurentów. Nie mogąc zapuszczać się w wyszczególnienie całego roju drobniejszych zastawicieli, wymienim tylko kilku możniejszych, pokrewnych, albo pobliskich narodowi i dziejom polskim. Takiemi są np.: mazowiecki książę Ziemowit, przeciwnik Jadwigi, opolski książę Władysław, pan Rusi a potem Kujaw i Dobrzynia, wreszcie król rzymski Zygmunt. Ile razy który z nich pieniędzy potrzebuje, a prawie każdy panujący w średnich wiekach książę był rozrzutnikiem, zawsze dla każdego pewna u Krzyżaków pożyczka, a dla Krzyżaków łatwe u nich wzięcie czyto zamku, czy ziemi, czy nie rzadko całego księstwa w zastaw, to jest zwykle w wieczystą, z powodu nieuiszczenia się na termin z długu, posiadłość. Zachowywana przez zakon przy każdym takim interesie praktyka, nadaje w wyobraźni naszej owym rycerskim Krzyżakom „z mieczem u boku, a rozańcem w rękę” zupełne podobieństwo do zgrai dzisiejszych rodu Jakóbowego lichwiarzy. Oto np. młody książę Ziemowit zapotrzebował w roku 1370 nagle pieniędzy, za któreby chętnie pograniczny gród Wiznę z całym powiatem dał w zastaw. Spieszy więc do Krzyżaków, którzy pytają, ile żąda. Ziemowit chce 14,000 złotych. Nie, tyle dać mu nie mogą; jeżeli przestanie na połowie, wygodzą mu. Chcąc nie chcąc, musi Ziemowit wziąć 7,000 złotych i to jeszcze w kilku w przeciągu lat kilkunastu ratach (V, 228, 413). Niebawem roku 1384 potrzeba mu znowuż pieniędzy, 3,600 kop groszy pragskich, za które Krzyżacy znowuż ziemię Sakrze zastawem obejmują (V, 442). Po sześciu latach r. 1391, przestaje Ziemowit na 1,500 grzywnach, a po dalszych siedmiu, przy coraz trudniejszych okolicznościach, musi r. 1398 osobiście w Maryenburgu za 2,000 kop groszy zastawić znowuż cały powiat Pluntzke, jak go Krzyżacy w dokumencie pożyczki nazywają (VI, 88). Gdy jednak okoliczności, jak np. grożąca z Polską wojna, przyjaźń i przymierze Ziemowita pożądanymi dla Krzyżaków uczynią: natenczas Krzyżacy sami (VII, 34) r. 1408 z nieżądaną ofiarą pożyczki spieszą, a Ziemowit zawsze gotów pożyczyc! Takim sposobem nabywa zakon lichwą szerokie ziemie, zyskuje sobie nią przymierzeńców, dzierży zadłużonych u siebie książąt w sromotnej zawisłości. Ujętego w pęta dłużnictwa Władysława Opoczyka straszą Krzyżacy (V, 571) co chwila żądaniem zwrotu pieniędzy, i coraz głębiej ze szkodą Polski w swoje poddaństwo go pogrążają. A im mniejszy w podobnym razie kredyt dłużnika,



tém szersze natenczas poręczycielstwo wikła całą jego rodzinę, wszystkie stany ludności ziemi jego, w spółnictwo długu. W zawieranych w takim wypadku układach, szukalibyśmy napróżno rycerskiej prostoduszności średnich wieków, ich religijnej wiary i wierności, mającej zadowalniać się prostém słowem; owszem, razi w nich jak najszkaradniejsza nieufność i lekliwość prostactwa, gotowego zawsze do zdrady i wietrzącego ją wszędzie. Przejrzyjmy tylko dokumenta zastawienia Złotoryi Krzyżakom przez Opolczyka. Wykupując zastawioną za 800 kop groszy pragskich bardzo kosztowną koronę, pożyczca Władysław Opolczyk 6,632 złotych węgierskich i 320 kop groszy pragskich, dając za to w zastaw gród Złotoryą z 5 włościami. Heżto różnych podpisów musi z nim razem poświadczyć tę pożyczkę! Naprzód wymieniony jest zięć i prawdopodobny spadkobierca Władysławów Henryk książę sagański. Następnie ręczą za księcia Władysława jego własni urzędnicy dworscy i panowie możniejsi. Dalej, co do grodu Złotoryi, który Krzyżacy tym zastawem na wieczność posiąć chcieli, zniewoloną była małżonka Władysława, księżna Ofka, podpisać zapewnienie, jako ze swojej strony nigdy Złotoryi z rąk Krzyżaków wykupić nie zechce, „ile, że obecne zastawienie tegoż grodu nastąpiło bez żadnego przymusu, jedynie w skutek gwałtownej potrzeby pieniędzy,” którą na względzie mając, sama księżna Ofka upraszała męża o danie Złotoryi w zastaw Krzyżakom, i czyniła to „z uśmiechem na ustach, z własnej woli, z własnej pobudki, z własnego umysłu i z własnego natchnienia.” Niedosć na tém: w końcu jeszcze znaczna ilość rycerstwa, szlachty i miast musi wystawić spółzaręczające świadectwo, jako powyższe zapewnienie księżnej, było ze wszechmiar dobrowolne (V, 592—594). Co wszystko przecież nie zniechęca Opolczyka do wdania się następnego roku w nowe z Krzyżakami lichwiarskie targi o Dobrzyń, za który w dalszym przeciągu czasu mnogię księciu płyną pieniądze. Naostatek liczba ochotników do zastawu lub sprzedaży przewyższyła liczbę gotówki w kassach krzyżackich; w takim razie miewali Krzyżacy niemłą trudność, nim się powiodło opędzić się od takich chciwych grosza natrętów. Jednym z najnieznośniejszych był czeski i węgierski król Zygmunt. W ciągle kłopoty pieniężne pogrążony, miał on przyległą Krzyżakom krainę, tak zwaną Nową Marchią, do zastawienia lub sprzedania. Ponieważ zastawienie zazwyczaj z nader wielką krzywdą dłużnika łączyło się,

przeto pragnął Zygmunt gorąco, aby Krzyżacy kupili sobie Marchią. Jakoż oświadcza się z tém wielkiemu mistrzowi Zolnerowi, a powodując się lichwiarskim duchem onego czasu, żąda za Marchią naprzód milion złotych węgierskich. Krzyżak wzbrania się i puszcza rzecz w odwłokę. Po niewielu latach Zygmunt odnawia sprawę, żądając już tylko połowę, 500,000 złotych węgierskich. I to jeszcze zdaje się nowemu mistrzowi, Konradowi Wallenrodowi zbyt wiele. Spuszcza tedy Zygmunt po niedługim czasie na 300,000. Wówczas robią mu Krzyżacy nadzieję kupna. A ileżto jeszcze śledztw, sprawdzeń, kommissyj krzyżackich musi wprzód przejść cała sprawa! Na niecierpliwe Zygmunta do zakończenia targu wezwanie, odpisuje mu Konrad Wallenrod, iż przedłożony zakonowi przez Zygmunta inwentarz Nowej Marchii spisany jest przed laty pięćdziesięciu, zatém prawdopodobnie z jój dzisiejszym majątkowym stanem niezgodny, z kąd wynika potrzeba, „abyśmy przed zawarciem kontraktu wysłali do Nowej Marchii jednego z dostojników zakonu, któryby tam wespół z pełnomocnikiem Waszój Wielmożności jeździł od domu do domu, od kołka do kołka, od duszy do duszy, i spisał dokładnie wszelkie dochody, czynsze, daniny i należitości, jakie Wasza Wielmożność w Nowej Marchii posiadasz” (V, 636). Zapewne z powodu niepomyślnego rezultatu téj kommissyi poszło kupno Marchii w kilkoletnią znowu odwłokę. Dopiero niespodziewana ze strony Zygmunta pogróżka sprzedania Nowej Marchii Polakom napawa zakon przestraczem, a przestrach do łagodniejszych wieździe warunków. Nie zapomniał jednak późniój cesarz Zygmunt Krzyżakom téj nieużytój dla siebie chęci, i korzystając z nagłego ich upadku, począł jako mocniejszy wysysać z nich bezwstydnie resztę ich krwi—pieniędzy...

Przypominając sobie szczegółowo te wszystkie średniowieczne zajścia obyczajowe, te owych czasów sprawy pieniężne, tę powszechną podtenczas chciwość pieniędzy i zysku, która np. w najświetniejszej chwili rycerskości i bogobojności sprawiała, iż kwiat romantycznego rycerstwa, króla Ryszarda Lwie serce, gdy w Niemczech popadł w niewolę, pomiędzy książętami z ręki do ręki za gotowe sprzedawano sobie pieniądze; iż w stolicy apostolskiej, według listu prokuratora krzyżackiego, pisanego z Rzymu do mistrza Konrada Wallenroda (V, 632), jako téż według tysiąca innych świadectw, „kto ma i daje, ten otrzymywa i zyskuje.... przeto godzi się pomyśleć o podarunkach dla czterech kardynałów i reszty tajnych przyjaciół;” iż na-

wet w mieszczańskim świecie mniemaną rzetelności kupieckiej, według słów najznamienitszego dziejopisa kupiectwa średniowiecznego (Sartoryusz: *Historya Hanzy*. 1802, II, 456)”, z statutów komptuarowych jawnie przekonać się można, jakiego oszustwa (w łokciach, miarach i wagach) dopuszczali się kupcy niemieccy:— przypominając sobie te wszystkie rysy charakterystyczne, przebijające nawet w najidealniejszych napozór zjawiskach historycznych, nie można zaprawdę nadziwić się uprzedzeniu umysłów, oskarżającemu naszą epokę o większy niż kiedykolwiek materyalizm, o mniejszą niż dawnymi czasy moralność.

Jakoż spekulując na tę powszechną chciwość, gotową w każdej chwili do sprzedajności, praktykowali Krzyżacy w każdym razie na wielką stopę system przekupstwa; a gdzie albo żal było pieniędzy albo zachodziła niemożność użycia onych, tam zastępowano je niewinnemi z pozoru podarunkami, obliczonemi na czyjś miłośnictwo szczególne, czyjąś słabość, mającą służyć za tajną krzyżackiemu wpływowi do serca każdego furtkę. Nie można odmówić uznania przemyślności, z jaką Krzyżacy według usposobienia osób obdarzanych urozmaicali te co chwila na wszystkie strony przez niezliczonych posłów rozstawiane dary i upominki. I tak Władysławowi Jagielle i Witoldowi wkradają się Krzyżacy w łaski częstą nadsyłką rzadkich psów gończych (VI. 379), mnogich sokółów (VI. 266), a czasem jednego osobliwego ptaka, poleconego osobnym listem, w którym szeroki a miły dla znawcy opis jego cnót i przymiotów „jakiemi w tej chwili, jak to śmiało powiedzieć możemy, żaden w całej ziemi pruskiej nie poszczyci się sokół; co nam daje otuchę, że pokorny dar nasz Waszę Królewską Miłość w jej oby jak najweselszych łowach nieraz miło ubawi” (VI. 198). Kobietom przypochlebiali się w mistrzowie darami ulubionych łakoci, jak np. kilku rzadkich ónemi czasy głów cukru, (VI. 380), przysłanych żonie Witolda Annie, kilku baryłek słodkich win (VI. 266, VII. 34). powszechniejszego niżli dziś trunku damskiego, przeznaczonego dla drugiej żony Jagielly, młodej królowej Anny; albo wreszcie przesyłką jakiegoś muzycznego brzękadła, nazwanego już wówczas klawikordem (clavicordium. VII. 34) lub jakiegoś „miluchnego pieska z srebrną obwódką na szyi”, przekazanego sentymentalnie testamentem téżże królowej polskiej (VI. 380). Miłośników sztuk pięknych, malarstwa, jak np. króla i cesarza Zygmunta, miały ująć przepyszne w złoto i klejnoty oprawne, z dalekiej Flandryi spro-

wadzone obrazy (VII, 34, 147), a arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Mikołajowi Kurowskiemu, wiedząc co komu miłe, starano przypodobać się dzielnym rumakiem (VII. 34).

Przy którychto wszystkich sprawach, listach, podarunkach, przeciwko powszechnemu wyobrażeniu, złudzonemu kilku rządami, lecz głośnemi wypadkami żołnierskiej zuchwałości, przybieżeli Krzyżacy zwyczajnie minę prostych, pokornych i nieuczonych ludzi. Zostały nam w tej mierze własne Krzyżaków słowa o sobie, zachowane w zabytkach korespondencyjnych, a ujmujące zręcznie nastrojonym tonem mniszej, kwestarskiej dobroduszności, okraszonej humorem, nadrabiającym wesołemi dykteryjkami. Tak poetyczną u nas aureolą opromieniony Konrad Wallenrod, zawezwany na polubownego w drażliwej sprawie sędziego, wyprasza się od przymusu wyrokowania pomiędzy spornemi stronami, zapewniając pokornym listem, „iż doprawdy, jest zbyt niemądrym do tego (wir werlich czu unvise darczu sin“... „Bo od moich lat młodych“ — pisze dalej nasz kochanek Aldony — „wychowałem się tu w ziemi pruskiej, nie bywając po świecie, i nie miałem do czynienia w podobnych sprawach. Rzeczy, które tak wysokiego rozumu potrzebują, nie są u nas w zwyczaju“ (V, 582). W kilka lat później umiera piękna Jadwiga. Z jakimże pierwszym po tej bolesnej wieści słowem odzywa się jej romantyczny kochanek Wilhelm? Oto, pisze do nowego mistrza Krzyżaków, Konrada Jungingen, z prośbą o tajną radę: jakim sposobem mógłby teraz swoje prawa do tronu polskiego przeciw Jagielle skutecznie poprzeć? Krzyżak odpowiada jadowitą poduszczeniem Wilhelma przeciw „Jagielle litewskiemu, który się polskim zowie królem“, lecz co do współwinowajczej rady w tak ślizkiej sprawie „tej panu i dobrodziejowi naszemu“ — pisze mistrz w. — „dać nie śmiem, ani też Łaskawość Waszą rozumem naszym w tej sprawie wesprzeć możemy, bo jesteśmy niestety zbyt wielkimi w tym prostakami, ile że nie mając światowego zachowania, potrzebowalibyśmy daleko więcej niż posiadamy nauki, aby w tak pańskich rzeczach (vornemelichen sachen) umieć dać radę“ (VI. 173). A biorąc tak chętnie prostactwa i głupoty pozór na siebie, nie wahają się dalej Krzyżacy przywdziać także w razie potrzeby minę nieśmiałości i tchórzostwa. Ów heroiczny Konrad Wallenrod, ofuknięty przez rzymskiego króla Wacława, dlaczego o pewnej niemiłej Krzyżakom sprawie wcześniej nie dał wiadomości, tłumaczy się lekliwie z zadaną sobie winy „której względem Waszej Łaskawości (üwern

gnaden) dopuściłem się, ponieważ doprawdy rzecz ta była mi niewiadomą, i ponieważ, jak Wasza Łaskawość wie dobrze, niedawno urzędu mojego dostąpiłem, i z téjto przyczyny ogarnęła mię taka wstydlivość i bojaźń (schemede und furchte), że nie śmiałem Waszej Łaskawości donosić o tém“ (V. 631). W innym razie służy Krzyżakom wobec rozgniewanych przeciwników ton żartobliwej dobroduszości. Gdy porywczy Jagiello z powodu doraźnego sądu, wykonanego w Prusiech przez jednego z kompturów krzyżackich na schwytanym przy kradzieży wieśniaku polskim, wojnę zakonowi zagroził; w. mistrz Jungingen, upraszając Witolda o uspokojenie polskiego króla, przedstawia mu: „Że jakiego złodzieja z Prus w państwie polskiém albo jakiego złodzieja z Polski w ziemi pruskiej powieszają, czyż warto, abyśmy przez to u naszego miłościwego króla jegomości w niełaszkę popaść mieli!“ (VI. 174). — Tenże sam ton uśmiechającej się niewinności miał udobruchać nieprzyjaznych zakonowi wartogłówów rycerskich. Po sprzymierzeniu się jednego z takich niespokojnych sąsiadów z Polską przeciw Krzyżakom, pisze w. komtur do niego: „Wina, jaką nam zadajecie, wiemy to dobrze, jest podobną winie, jaką wilk osłowi zadawał; bo gdy wilk żadnej innej winy nie umiał zadać osłowi, tedy zadał mu winę, iż gryzie trawę przy drodze“ (V. 573). Takiz sam ton szczeroty starał się wprawić w lepszy humor niezadowolonych z zakonu przyjaciół. Na list Władysława Opolczyka, pisany w ciągu układów o kupno ziemi dobrzyńskiej, gdy Opolczyk swój towar gwałtem narzucić chciał Krzyżakom, a Krzyżacy z przyczyny prawdopodobnych ztąd zatargów z Polakami i w chęci tańszego kupna, wstręt ku targowi okazywali, odpowiada w. mistrz ks. Władysławowi: „żądaś Wasza Wielmożność, abyśmy koniecznie Dobrzyń kupili. Te gośmy się przecież nie spodziewali, abyś Wielmożność Wasza zakonowi naszemu radził, kupić sobie wojnę i niepokoje. Jakbyś Wielmożność Wasza nie wiedział, że wojny i niepokojów mamy dość i bez kupna“ (VI. 82). Najczęściej jednak nadrabiali „brodacze z czarnym krzyżem”, jak Krzyżaków pospolicie w mowie potocznej zwano, pokorą, łaszeniem się i pochlebstwem. Obdarzając wszystkich hojnie tą nętą, zwłaszcza na nieoświecone umysły tak silnie działającą, cukrzyli nią Krzyżacy osobliwie każde Witoldowi przesłane słówko. Jeszcze w zenicie swojej potęgi i chwały pisze doń w. mistrz Konrad Jungingen: „Wy całą naszą

jesteście radą. Choćbyśmy, Bóg wie jak, tędy i owędy myśleli i radzili, na nic się to nie przyda. Bo nakoniec zawsze okaże się, że wszelka nasza pomyślność i nadzieja jeszcze pomyślniejszej przyszłości spoczywa naprzód w Bogu, a po nim zaraz w waszej łasce i woli” (VI. 332). Sam niemiecki dziejopis i panegirysta zakonu, Voigt, przyznaje, iż w drugim jeszcze uniżeńszym liście „w. mistrz prawie nazbyt się upokarza” (VI. 332, 334). Toż nawet podrzędne osoby, urzędnicy polscy, zwyczajna szlachta, jak wojewoda kaliski Sędziwoj, jak Bartosz z Wessenberga, doznawali najśłodszych serdeczności i pochlebstw ze strony w. mistrzów krzyżackich. „Kochany przyjacielu” „szczególniej ukochany przyjacielu” „najukochańszy przyjacielu” (allirlibster frünt) jest zwyczajnym nadpisem mnogich od Wallenroda przesyłanych im listów, pełnych zapewnień „zrobienia dla nich wszystkiego, co tylko sami rozkażą” (V. 575, 584). Którato pokora i dobroduszość nie dozwalała nigdy nadstawiać marsa, poczynać sobie zuchwale. Przeciwnie, w całym kilkudziesięcioletnim przeciągu kwitnienia zakonu, byli wszyscy w. mistrzowie serdecznymi miłośnikami pokoju. Celował w tém mianowicie następca Wallenroda Konrad Jungingen. Właściwa owoczesnemu rycerstwu junakerya, która zwłaszcza pod koniec średnich wieków stanowczą w obyczajach rycerskich przewagę wzięła i już nawet do umysłów pewnej części bractwa krzyżackiego tajny znalazła przystęp, wyśmiewała wielokrotnie zbytnią w w. mistrzu Konradzie miłość spokoju, niechęć do wojny; docinano mu z tego względu przymówkami, że raczej na zakonnice niż w. mistrza rycerzy niemieckich urodził się, prześladowano go przylepianemi do drzwi satyrycznymi wierszami i obrazami. Sam nieprzyjazny Władysławowi Jagielle kujawski biskup Władysław, książę opolski, znany w Polsce pod imioniskiem Kropidło, a u Krzyżaków pod niemieckim przekręceniem tegoż przezwiska, *Grapidla*, ośmielał go do wojny z Polakami; w. mistrz przecież „wolał znosić szyderstwa i pośmiewisko, dać się malować po ścianach”, niż w niebezpieczną z Polakami i Litwą uderzyć wojnę (VI. 92, 381). Jakoż widząc na śmiertelném już łożu, iż zakon ku wybraniu po nim jego rodzonnego brata Ulryka, poległego w trzy lata później na grunwaldzkiem pobojuwisku, widocznie przechyla się; zaklinał Konrad Krzyżaków, aby mu władzy nie powierzali, ponieważ jest nazbyt „ochoczym i porywczym” (VII. 8).

Temi wszystkimi przymiotami, tym blichtrzem pobożnej pokory, tym fortem serdecznej dobroduszości, nętą pochlebstwa, wreszcie pozorem rycerskich w wojnie z poganami trudów i niebezpieczeństw, ujmowali sobie Krzyżacy osobliwie płęć białą. Można śmiało powiedzieć, iż obok materyalnych środków potęgi, obok przemyślności moralnej, trzecim filarem, na którym wielkość zakonu spoczywała, był wpływ kobiet. Umieili też Krzyżacy nadzwyczajnie z ręcznie korzystać u nich z uroku, jaki już sama obłudna maska ich charakteru wywierała na umysły niewieście. Po-zawiazywawszy ze wszystkimi stronami świata, ze wszystkimi stanami, korzystne dla siebie stosunki i konexye, wikłali Krzyżacy szczególnie serca wszystkich pań koronnych, wszystkich matek, małżonek, córek królewskich i książęcych, w sidła pobożnej przyjaźni z zakonem, jako instytucją duchowną, zasługującą na względy dusz pobożnych, mogącą odwdzięczyć się im licznemi nagrodami modłów dziękczynnych, ceremonij kościelnych, rozańców i obrazków, pewną do zbawienia pomocą.

Ze wszystkimi postronnemi królowemi i księżnami wiązała „brodaczków czarnego krzyża” częsta korespondencya, osładzana ze strony Krzyżaków zwyczajniem załączaniem pobożnych pochlebstw, ciekawych nowinek, miłych podarków. Otrzymywały je z kolei królowa angielska (V. 589), matka pomorskiego księcia Warcisława Adelheidis (V. 580), Małgorzata królowa duńska, odwdzięczająca się w. mistrzowi za przysłanie sobie najnowszych wieści z Polski i Litwy upominkiem ślicznego pierścioneczka (ein gar schönes fingerlein. V. 530). Szły także listy dalej: do wdowy Olgerdowej księżnej Julianny (V. 580), do małżonki Witolda w. księżnej litewskiej Anny (VII 34), do księżnej mazowieckiej, żony Ziemowitowej, Anny (VII. 202), do naszej Jadwigi żony Jagiełły i do drugiej jego małżonki królowej Anny (VI. 380). A każdą z nich umieili Krzyżacy odmienną ujmować sobie sztuką. Księżnę Witoldową Annę, ciekawą widoku uroczystych obrzędów, obcych miejsc i zwyczajów, zaprasza w. mistrz Konrad Jungingen do pobożnego zwiedzenia krzyżackich relikwii i kościołów, a przybyłą w rzeczy na ziemię pruską zachwyca nadmiar świetnym przyjęciem, połączonym z mnogiem kościelnymi ceremoniami, z mnogością darów, z światowemi ucztami, w końcu z przepysznym „stołem honorowym”, za który księżnę jako pierwszą z cnotliwych dam chrześcijaństwa sadzają (VI. 187, 188). Olgerdową wdowę, matkę Władysława Jagiełły, w. księżnę Juliannę, wraz z synem Jagiełłą, sprzymierzonym zrazu z Krzy-

zakami wrogiem, a później nawet zabójcą stryja Kiejstuta, przez tegoż Kiejstuta za karę odkrytej zdrady wyparciem z wielkoksiążęcego tronu zagrożoną, kłonią Krzyżacy ku sobie spólnością swojej nienawiści ku Kiejstutowi i zręcznym schlebaniem jej macierzyńskiej miłości przez okazywane jej synom Skirgielle, a osobliwie ulubieńcowi matki, księciu Jagielle, pieszczoty. Cóż za kosztowy z tego względu list skreślił do niej w. kommandor Wilhelm roku 1382 (Narbut V, dod. 6)! Z jak miłosną troskliwością opisane tam są wszystkie szczegóły gościnnego przyjęcia Skirgielly przez zakon w Prusiech, jego uczenie tam „dworskimi festynami i rewerencyami”, jego wyprawienie się ztamtąd w swaty do ziemi mazowieckiej, a wreszcie potrzebne z téjże przyczyny wystrojenie się w nowe szaty za pomocą Krzyżaków w zamku toruńskim! Z jak gorzkim jadem podusza księżnę ten list przeciwko Kiejstutowi „temu rozjuszonemu psu wściektemu, który nietylko chrześcian, lecz i Litwinów w złości swojej zgubiłby pragnął, który, jak już szeroko przestrzegaliśmy o tém Waszę cnotliwość, i jak o tém ciągle tajemne mamy wieści, zwłaszcza waszego przesławnego syna Jagiellę wraz z całym państwem litewskim zdradą w moc swoje przywieść dysze.” Naszę szlachetną Jadwigę rozrzewniają Krzyżacy na swoje korzyść wspomnieniami o jej „najukochańszym ojcu, królu Ludwiku, świętej pamięci, u któregośmy—pisze Konrad Wallenrod (V. 576)—zawsze w największych byli łaskach. O! dałby Bóg, iżby on dziś żył jeszcze! Natenczas wiedzielibyśmy z pewnością, że się nam krzywda nie stanie. Bo byłto książę sprawiedliwy, gorący miłośnik słusności i łaskawy po wszystkie czasy pan nasz i obrońca nasz ile razy potrzebowaliśmy go, i przeto modlimy się téż za niego do Pana Boga we dnie i w nocy.”—Jakoż dzięki tym sercowym fortelom były wszystkie koronowane panie serdecznymi przyjaciółkami zakonu. Jakkolwiek mężowie i bracia przeciw Krzyżakom srożyli się, one zawsze w obronie zakonu stały. Co nam dzieje w téj mierze o naszej Jadwidze mówią, jest daleko szczerzą niż przypuszczamy prawdą. Przez całe życie chroniła ona zakon od wojny z Polską; godna zaiste owéj za to wdzięczności, jaką jej Krzyżacy długo po śmierci solennymi eksekwiami i modłami okazywali (VI. 170). Jednym nawet z głównych powodów ciągłego między Władysławem Jagiellą a Jadwigą nieporozumienia, przyczyną jej niełaski u męża, było według listu w. mistrza Jungingen (VI. 90) nieustanne gorliwe odwodzenie króla od wojny z Krzyżakami. Taką samą przyjaciółkę, odradzają-



cą im z największą usilnością wojnę grunwaldzką i wojnę późniejszą, mieli Krzyżacy w mazowieckiej księżnie Annie, siostrze Jagielly i w wielu innych.

Owoż wsparci tak skuteczném przymierzem, okryci płaszczkiem dobrodusznój pokory; swojemi bogactwy, swoją wierzytelką zwierzchnością nad większą częścią zadłużonych u zakonu książąt postronnych, potrzebni i groźni wszystkim, ubezpieczeni grubą ciemnotą umysłów, pozwalającą im przybierać bezwstydnie pozór religijności i cnoty: mogli Krzyżacy na cztery lata przed onym strasznym sądem bożym w Grunwaldzie nadąć się pychą swojej pomyslnój obludy, i jak ów Faryzeusz, wyliczający Bogu głośno swoje dobre uczynki, wypisać w liście do Władysława Jagielly następującą, pokornie-dumną spowiedź cnót swoich, świadectwo ostatecznego zepsucia moralnego: „Zawsześmy słusność i sprawiedliwość, prawdę i równość miłowali i takowe z wszelką gorliwością w wszystkich krajach naszych w wykonanie bez przerwy wiedli. Wszystkie nasze miasta i gminy żyją pod rządym sterem; prałaci, szlachta i lud mają pokój publiczny i sprawiedliwość; nie gnębimy nikogo, nie nakładamy żadnych ciężarów, nie pożądamy niczego, co nie jest nasze, lecz pod skrzydłem łaski Bożej pożywają wszyscy, nawet poganie i cudzoziemcy, spokojnie owoce słusności, równości, sprawiedliwości” (VI. 374).

Na nieszczęście ta sama księga dziejów, która tę spowiedź obludną mieści, zachowała także kilkokrotne świadectwa jawnego kłamstwa, zawierającego się w najświętszych zapewnieniach Krzyżaków, najuroczystszych ich dokumentach. I tak np. zdradnemu aktowi wypowiedzenia wojny Litwie w r. 1383 towarzyszy jawnie sfalszowany dokument (V. 420). Innym razem sam dziejopis i pagnirysta zakonu musi chcąc nie chcąc w solenném słowie w. mistrza dostrzedz kłamstwa, nie poratowany w tym gorzkim obowiązku nawet pocieszném krztuszeniem się w jak najoporniejszém wyznaniu, że to słowo „jest właściwie (eigentlich) nieprawdą, którą w. mistrz, że tak powiemy, chciał się zasłonić (so zu sagen sich decken wolte.” VII. 686). Zresztą, gdybyśmy tu nie moralną charakterystykę, lecz historią krzyżackich braci pisali, przytoczylibyśmy co najstosowniejszą na ów głos pychy odpowiedź, późniejszy całego kraju dokument, spisany w czasie ucieczenia się Prus zpod złamanego jarzma zakonu w nieszukającą ich opiekę dość potężnej już Polski, a wyliczający Krzyżakom w siedmdziesięciu i kilku paragrafach wszelkie przez nich przeciw wszystkim stanom poddanėj sobie ludności popełniane

od wieków grzechy i zbrodnie (VII. 747). Mając tę pod świecącym pozorem ukrytą grzeszność na względzie, nie mogła i nie może prawdziwa charakterystyka Krzyżaków przyjaznym przemawiać tonem. O żaden z publicznych interesów ludzkości, ani o interes narodo-wości, ani interes oświaty, w duszy nie dbając, sobie tylko samym, tylko prywacie własnego nienaturalnego jako zakonni mocarze istnie-  
nia służąc, nie mogli i nie mogą Krzyżacy wzbudzić szczerze żadne-  
go-moralnego współczucia.



ROZMAITE SPOSOBY  
UŻYWANE CELEM ZABEZPIECZENIA PÓL  
OD GRADOBIĆ.

PRZEZ

Józefa Sapalskiego.

---

*Środki, które miały zabezpieczyć od burz gradowych.*

Nim powiemy o środkach zaradczych przeciw gradobiciom, o środkach opartych na teoryi i doświadczeniu praktycznym, poszczególnymy tu różne sposoby, używane w rozmaitych czasach i w wielu krajach. Opierając się na terażniejszym stanie nauki, wiele z tych sposobów okażą się bezzasadnymi; ale czyż mamy o nich zamilczeć? czyż nie mieliśmy przykładów, iż przenikliwy um mędrca, w popiele przesądów, domysłów, odkrył całą prawdę? Ileżto razy bezowocne usiłowania marzyciela, doprowadziły innych do wielkich i niezbitych prawd!

*Ktezyasz z Gnidu* jeden z towarzyszy Xenofona, powiada w pewnym ustępie dochowanim przez Photiusza, że otrzymał dwa pałace: jeden od Parisatis matki Artaxerxesa, drugi od samego króla. Kiedy utkwi się jeden z nich w ziemię obracając ostrzem do góry, natenczas oddali on burze i grady. I kończy temi słowy: „Król sam w mojej przytomności robił doświadczenia, narażając własne życie na niebezpieczeństwo.”

Ustęp ten wielce jest ciekawy. Ale czy pałasze *Ktezyasza* rzeczywiście miały taką własność? Dowiedziono dziś, że nie powiem pałasz, lecz słupek metalowy cienki, zaostrozony i utkwiony na dachu nie rozproszy chmur; opinia więc Persów, nie opierała się na wywodach rzeczywistych. Czyliż nie należy wnosić, iż lekarz Artaxerxes, uposażając pałasze swe taką własnością, poszedł za zdaniem ogólném? Podobno nie pierwszy raz i nie ostatni, prawda cierpi obok fałszu! (1).

Za panowania Karłomana wbijano na polach żerdzie, celem zabezpieczenia się od gradobić. Żerdzie te dopiero wówczas miały być skuteczne, gdy wierzchołki ich obwinęto w pargamin. Pargamin nakreślony był znakami magicznymi. Karłoman postanowieniem wydaném w r. 789 zakazując podobny środek od burz, uważa go za przesąd.

#### a) *Palenie ogni w polu.*

„Czynione ofiary przez starożytne ludy pod gołym niebem, gorejące ognie na ołtarzach, czarne słupy dymu wznoszące się pod obłoki z ciał ofiarnych, wszelkie obrzędy uważane za środek łagodzący gniew bogów i rozbijający piorunującą, prawicę Jowisza, były prostém doświadczeniem fizyczném, wyłącznie znaném kapłanom, a razem środkiem, który stopniowo zmniejszał siłę burz gradowych.“ Tak utrzymywało wielu ze szperaczy starożytności.

W istocie pewne doświadczenia naprowadzają na wniosek, że wielkie ognie ściągają z obłoków znaczną masę elektryczności atmosferycznej. „A więc płomienie—powiada *Volta*—byłyby najlepszym środkiem przeciw burzom, a przynajmniej klęskom przez nie zarządzanym.“

W liście pisanym przez *Matteuci* do *Arago* roku 1838, znajdujemy, że w Romanii blisko Césèn w okręgu sześciomilowym, za poradą miejscowego proboszcza, kiedy ma się na burzę, w polu podpalają co 50 stóp ponakładane kupy słomy. Sposób ten przeciw burzom powtarzany był przez lat trzy. W ciągu tego peryodu, kiedy w sąsiednich okolicach grady zrzędały wielkie szkody, w owym

(1) Po ustępie o *pałaszach*, z tém samém przekonaniem powiada *Ktezyasz* o studni, która co rok napełniała się płynem złotym, którym napełniano sto naczyń glinianych. Kiedy w naczyniach stwardniało złoto, dla wydobycia go, naczynia rozbijano.

okręgu, wcale nie było burz gradowych, które przedtém bywały co rok.

Czy podobne zapalanie słomy przed burzą, dotąd zachowują w Romanii, nie wiadomo; w zupełności więc na tym przykładzie polegać nie można, albowiem lat trzy nie są jeszcze dostatecznym przeciągiem czasu, by rozniecanie ognia w polu było nieomylnym środkiem przeciw gradobiciom (1).

Pan *Arago* w rozprawie swój: *Pochwała historyczna Volty*, powiada, że znakomity ten fizyk już miał wyobrażenie o korzystnym wpływie, jaki mogą wywierać rozniecane ognie na wzgórzach. »Dotąd jednak—są słowa jego—nie uczyniono tego. Możeby powzięto zaspokajającą wiadomość, gdyby porównano dostrzeżenia meteorologiczne hrabstw angielskich rolniczych z hrabstwami zamienianemi dzień i noc przez mnogie piece hutnicze i fryszerki w ogniste oceany» (2).

Wprawdzie porównania te były czynione i dowiodły, że w okolicach rolniczych częściej bywają burze, niż w obfitych w kopalnie kruszców (3); jednak jeszcze nie można stanowczo utrzymywać, ażeby to zdanie zostało rozwiązane. W Anglii, gdzie są kopalnie, tam są i piece hutnicze, a więc rzadkość burz może pochodzić nietylko od własności gruntu, ale i od wpływu niezmiernych ogni ciągle gorejących.

Za pomocą doświadczeń, które miały miejsce w Romanii i Kornwallii, chciano ocenić, jaki skutek wywiera mnóstwo gorejących ogni płomieniem; bo co do ognia w jednym tylko miejscu, który chociażby i wielkim był, to wpływ jego nie jest dostatecznym do rozpędzenia chmur burzowych. Przykład tego mieliśmy roku 1810 d. 1 lipca w Paryżu, w hotelu Montesson, gdzie wśród nocnych ciemności wszczął się pożar. Niezmierne słupy płomieni wcale nie przeszkodziły okropnej z grzmotami i błyskawicami burzy, której ulewny dészcz zalał ogień.

(1) W czasie czynionych doświadczeń r. 1848 w sierpniu i wrześniu nad elektrycznością atmosferyczną w Obserwatorium astronomiczném warszawskiem, za pomocą odosobnionego konduktora, kiedy elektroskop nie okazywał żadnego śladu elektryczności, po owinięciu kolca konduktora bawełną, zmazaniu jój alkoholem i zapaleniu, pokazało się mocne napięcie elektryczności. Podobnego sposobu używają fizycy angielscy przy ocenianiu napięcia elektryczności atmosferycznej.

(2) Biblioteka Warszawska r. 1843. T. IV, str. 575.

(3) Biblioteka Warszawska r. 1849. T. IV.

b) *Strzelanie z dział.*

Wielu żeglarzy utrzymuje, że strzały z armat rozpedzają burze; mało jednak stawia wiarogodnych przykładów. W pamiętnikach *Forbina* znajdujemy pod rokiem 1680 następujące słowa: „W czasie naszego pobytu—powiada ten przedsiębiorczy żeglarz—w Indjach na brzegach Kartageny, codzień o godzinie 4 po południu powstawała burza, która zrzędzała wielkie szkody w okolicach. *D'Estre* w licznych podróżach do Ameryki, będąc często świadkiem groźnych uraganów, strzelaniem z armat rozpedzał chmury. W Indjach podobnież po drugim lub trzecim wystrzale zupełnie rozpraszaly się chmury. Hiszpanie, którzy byli świadkami tak skutecznego środka, wpadali w zadziwienie i przestach.“

W niektórych krajach rolnicy polegając na zdaniu wojskowych, przed burzą strzelali z armat. W pierwszym wydaniu Encyklopedyi francuzkiej roku 1760, znajdujemy w artykule „*Burza*“ przez *Jaucourt'a* następujące słowa: „Słyszeliśmy od wojskowych, że huk armat rozpedza chmury, i że grad w miastach będących w oblężeniu nigdy nie pada. Cóż więc przeszkadza do zrobienia próby? Kilkadziesiąt funtów prochu, spodziewam się nie narazi na wielkie koszta. Może przez poruszenie powietrza strzałami, uda się rozpedzić, rozdzielić, rozproszyć chmury gradonośne.“

W rzeczy samej znajdujemy w dziele *Richarda* pod tytułem: *Historja naturalna powietrza i meteorów*, że „w maju 1769 roku w hrabstwie Chamb w Bawaryi wielkie gradobicia zupełnie spustoszyły pola, wyjąwszy w tych okolicach, gdzie za pierwszym usłyszeniem grzmotu, nie zanedbują wielokrotnie strzelać z dział i ręcznej broni.“

Okolo roku 1769 markiz *Chevrier* oficer marynarki francuzkiej powróciwszy do swych dóbr, zużywał rocznie do 3,000 funtów prochu, celem rozpedzania chmur burzowych. Markiz umarł na początku pierwszej rewolucyi, mieszkańcy jednak w jego dobrach i okolicach przyległych, nadal nie zanedbywali powtarzać podobnego środka przeciw burzom. W pamiętnikach *Leschvin* czytamy, że w r. 1806, dla rozpedzania chmur gradowych w kilkunastu merostwach strzelano z armat, zwykle ustawianych na pagórkach. Na ten cel rocznie zużywali do 500 kilogramów prochu. Pomimo tego mer z Blois, tojest z tych okolic, gdzie przed burzą strzelają, zapytywał pana *Arago*, czy nauka podobny środek uznaje za skuteczny? Zapyta-

nie to dowodzi, że doświadczenia jeszcze nie usprawiedliwiły wystrzałów, jako pewnego środka przeciw gradobicom.

Środki zapobiegające burzom, niegdyś używane w Bawaryi i we Francyi, oparte są na doświadczeniu zrobioném przez żeglarzy w okolicach Kartageny. Doświadczenia te jednak nie mogą służyć za ogólną zasadę, ponieważ znajdujemy przykłady przeciwne, i, rzecz godna uwagi, podane także przez admirała z czasów Ludwika XIV, oraz że okolice, w których przykład miał miejsce, podobnie położone są na wschód Ameryki.

Na wodach Rio-Janeiro eskadra francuzka pod dowództwem admirała *Dugay-Trouin*, złożona z 6 okrętów liniowych, 4 fregat i kilku mniejszych statków, roku 1711 dnia 12 września usiłowała wejść do przystani bronionej 4 okrętami linjowemi, 3 fregatami i potężną artyleryą z mnóstwa odosobnionych warowni. Począwszy od 12 do 19 dniem i nocą strzelano z armat i ręcznej broni, a galioty wyrzucały bomby. Portugalczycy wysadzili w powietrze miny, zapalili kilka okrętów i magazyny prochowe. W dniu 20 września pod dowództwem samego admirała, 2 okręty liniowe, bateria na wyspie *Chèvres* najeżona 5 moździerzami i 18 działami dwudziesto-cztero-funtowemi, utrzymywała ciągły ogień, który w perzynę obrócił szanice miasta, a w nocy za daném hasłem, nastąpiła ogólna kanonada ze wszystkich baterij i okrętów. Jednak podczas tak silnego ryku dział, powstała straszna burza, jak mówi *Dugay-Trouin*, z przerażającym hukiem grzmotów i bez przerwy ukazującemi się błyskawicami.

Szczególném zdarzeniem, angielski liniowy okręt uzbrojony 90 działami, rażony został od piorunu roku 1793, w chwili zobopólnej kanonady z baterią na wyspie *Martynice*.

W roku 1806, dzień 25 sierpnia był dniem szturmowania wyspy i fortecy *Dannholm* blisko *Stralsund*. *Fririon*, celem niepokojenia załogi szwedzkiej, kazał strzelać przez cały dzień; wszakże pomimo ciągłej kanonady, zerwała się gwałtowna burza około godziny dziewiątej w wieczór. Nie ulega wątpliwości, że w pamiętnikach wojen, moglibyśmy znaleźć mnóstwo podobnych przykładów.

W braku gruntowniejszych doświadczeń, następujący wypadek może posłużyć za dowód pod względem wpływu strzałów armatnich na rozpędzenie chmur burzowych.

Dwie mile od obserwatorium paryzkiego przy lasku *Vincennes* jest strzelnica, gdzie artylerzyści odbywają ćwiczenia. Strzelnica ta uzbrojona jest 6 moździerzami i 18 pozycyjnemi działami, z któ-

rych przez kilka dni w tygodniu strzelają z rana od 7 do 10. Liczba strzałów w jednym dniu wynosi 150. Ponieważ huk armat daje się dobrze słyszeć w obserwatoryum, a zatem jeśli na atmosferę wywierają wpływ strzały, to niebo w dniach ćwiczeń artylerzystów czyli szkolnych, nierównie mniej powinno być pokryte chmurami, niż w dniach w których nie strzelają. Takie jest założenie podane przez *Arago* pod rozbiór szczegółowy.

General *Duchan* na żądanie *Arago* ułożył wykaz dni, w których odbywały się ćwiczenia, poczynając od 1815 roku do 1835. Ogólna liczba dni wynosi 662. Tablice meteorologiczne wykazują, że w pomienionych 662 dniach było dni 158 zupełnie pochmurnych z rana o godzinie dziewiątej. Czy bez wystrzałów liczba dni podobnych byłaby większą? Dla uniknienia wszelkiej wątpliwości podaje *Arago* stan nieba w każdym dniu poprzedzającym dzień szkolny i w każdym dniu po strzelaniu. Następnie biorąc średnią liczbę tych dwóch dni za stan normalny dni szkolnych, to jest za stan dni wolnych od wszelkiego wpływu huku armat, wykazał, że: między 662 dniami poprzedzającymi dni szkolne, było dni pochmurnych 128; między 662 dniami szkolnemi było dni pochmurnych 158; między 662 dniami po strzelaniu było dni pochmurnych 146.

Średnia więc liczba dni 128 i 146 tyle jest mniejszą od 158, iż możnaby wnosić, że strzały armatnie miasto rozpędzać chmury, zgęszczają je i zatrzymują. Oczywiście, że liczby na które powołuje się *Arago*, nie są tak znaczne, by można w zupełności polegać, jednak bardzo on powątpiewa, ażeby strzały mogły wywierać wpływ na rozpędzenie chmur burzowych.

Obserwacje meteorologiczne były czynione prawie o dwie mile od strzelnicy; można więc wnosić, że niebo nad strzelnicą, w czasie strzelania zupełnie mogło być pogodne, nad obserwatoryum zaś zasute chmurami, które, gdyby nie strzelano, może rozciągałyby się i nad strzelnicą. W podobnych dostrzeżeniach koniecznym jest warunkiem, ażeby mieć na względzie stan nieba dni poprzedzających szkolne, dni szkolne i dni po strzelaniu, i to w jednakowych godzinach. Jeżeliby poprzestano na notowaniu stanu nieba tylko w dniach ćwiczeń artylerzystów, widoczny byłby błąd, bo wypadłoby wnosić, że huk armat rozpędza chmury, które prawie każdego poranku nikną w miarę zbliżania się słońca ku południkowi.



c) *Bicie w dzwony.*

Zwyczaj dzwonienia podczas burzy istnieje od dawnych czasów. Nawet przy poświęcaniu z wielką uroczystością dzwonów, zwykle odmawiane są następujące modlitwy:

„Pobłogosław mój Boże i t. d... niech tylekroć, ile razy dzwonić będzie, odpędzi złośliwe szatanów wpływy ciemności, w których się one ukazują, napady wichrów, uderzenia piorunów, szkody od gradów, klęsk, z uraganów i wszystkie duchy nawalnic.“

„O Boże! któryś przez błogosławionego Mojżesza i t. d... oby mogły być odparte zasadzki naszych nieprzyjaciół, zniszczenia od gradu, burze, napady wichrów i wściekłości uraganów, niech okropne pioruny stracą na swój gwałtowności.“

„O Boże Wszechmogący i Nieskończony i t. d... spraw, by echo tego dzwonu odpędzało ogniste strzały, uderzenia piorunów, gwałtowny spadek kamieni, klęski burz“ i t. d.

Mniemano nawet dawniej u nas, że mały nawet dzwonek może uchronić od burzy i piorunu. *K. W. Wojcicki* w swoim dziele: *Stare Gawędy i Obrazy*, powiada: „Niegdyś do Polski sprowadzano z Rzymu mnóstwo loretańskich dzwonek, które lud i szlachta chętnie rozkupowali. W czasie burzy wybierano młode i niewinne dziewczę lub małego chłopca, który dzwoniąc obiegał wokoło domostwo; przez ten czas kadzono w komnatach poświęconemi ziołami. To chroniło domostwo od ognia piorunowego” (1).

Powszechna opinia, jakoby dzwonienie chroniło od burzy, spotkała wielu przeciwników w uczonych i administratorach, którzy mniemali nawet, że wstrząśnione powietrze przez bicie w dzwony sprawia uderzenie piorunu. Akademia Umiejętności w Paryżu roku 1747 wyrzekła, że dzwonienie w czasie burzy grozi niebezpieczeństwem. Postanowienie parlamentu z dnia 21 maja 1784 roku, zatwierdza zakaz mera z Langres dzwonienia podczas burzy. Przed-

(1) Dotąd u nas zachowuje się zwyczaj, iż w oktawę Bożego Ciała, podczas solennego nabożeństwa, kładą ewangelie czterech ewangelistów pod monstrancją, które po skończonem nabożeństwie z wielką uroczystością, processją i nabożeństwem niosą na granice parafii, gdzie zakopują jedną na wschodniej granicy, drugą na zachodniej, trzecią na południowej, czwartą na północnej. Uroczystość podobna niedawno odbyła się w Ciechanowie w powiecie przasnyskim. Ma to być pewny środek przeciw burzom gradowym.

tém na lat dwa elektor Palatynatu wydał podobny zakaz. Można by przytoczyć tu mnóstwo okólników wydanych w podobnym duchu w wielu dyecezyach francuzkich.

Nie ma dowodu, jaki wpływ bicie w dzwony wywiera na chmury (1); mając wszakże wzgląd na dzwoniących, zalecamy, aby podczas burzy nie dzwoniono. Dzwonić kiedy jest burza lub kryć się pod wyniosłe drzewo, zagraża wielkiem niebezpieczeństwem. Piorun zwykle uderza w wysokie budowle, a nadewszystko w dzwonnice. Sznury przy dzwonach bywają wilgotne od deszczu, a tém samém stają się dobrymi przewodnikami elektryczności, czyli materyi piorunowój, która uderza w dzwoniącego. Ztąd tyle wynika opłakanych wypadków.

### Srodki zapobiegające gradobiciom, wsparte doświadczeniami.

Nigdyby nie zrobiono kroku ku prawdzie, gdyby zawsze powaga panowała nad rozumem.

*Duclos.*

Bez względu na porządek chronologiczny wypadków, odkryć i zastosowań, poszczególnie skutki wypływające z przyczyn, ażeby tym sposobem stanąć na właściwym gruncie i przyjść do niewątpliwój zasady.

### *O elektryczności atmosferycznej.*

Główną przyczyną nadzwyczajnego napięcia elektryczności atmosferycznej w daném miejscu jest parowanie. Elektryczność znajdujaca się w chmurach wyniesionych do znacznej wysokości, nie jest w stanie oddziaływać bez przerwy na kulę ziemską, a zatém warstwy naelektryzowanych chmur, kiedy zniżą się nagle do ziemi, równo-

(1) W roku 1781 Needham w Bruxelli chciał dowieść, że dzwonięcie żadnego nie wywiera wpływu na atmosferę. Zrobił on drewniany model dzwonnicy 3 stopy wysoki, opatrzony dzwonkiem mającym 5 1/2 cala średnicy, który mógł być wprawiony w ruch za pomocą korby. Na wierzchołku tej dzwonnicy umieścił kulę miedzianą, która miała związek z ziemią, albo jak uczeni mówią, z ogólnym rezerwoarem elektryczności. Kula ta ustawioną była na jednej linii z kulą konduktora czynnej elektromachiny. Kiedy kulę konduktora zbliżono do kuli dzwonnicy na 1/4 cala, iskry wypadały

waga plynu elektrycznego natychmiast zniknie, a przedmioty znajdujące się na powierzchni ziemi, szczególnie wyniosłe, naelektryzują się stosownie do swęj własności przewodnictwa i według stopnia napięcia elektryczności w chmurach. Warstwa powietrza między chmurą a przedmiotem rozdziela się, skutkiem usiłowania różnoimien-nych elektryczności dążących do połączenia się z sobą. Rażące iskry czyli strugi światła, uderzenia piorunu, oznaczają gwałtowne połączenie elektryczności chmury i przedmiotu. Przypuśćmy, że wyniosły przedmiot jest doskonałym przewodnikiem elektryczności, to jest z takiego ciała, po którym ona może bez przeszkody w mgnieniu oka przebiegać w ziemię: wówczas otaczające je inne przedmioty, wcale nie ucierpią od szkodliwego działania piorunu. Jest więc środek ułatwiający elektryczności atmosferycznej przebieg swobodny i szybki, albo innymi słowy: można wyładować naelektryzowaną chmurę za pomocą doskonałego przewodnika elektryczności.

Jeszcze przy piérwszych doświadczeniach nad elektrycznością atmosferyczną dowiódł *Franklin*, że ostro zakończony metal doskonale ściąga z atmosfery elektryczność i służy jęj za kanał komunikacyjny z ziemią. Któż dziś nie wie, że tym kanałem, tym środkiem wyładowania chmury jest konduktor?

Piérwszy *Bertholon* biorąc na uwagę, że główną przyczyną tworzenia się gradu jest elektryczność, próbował więc zabezpieczyć się od niego prętem żelaznym, zaostrzonym, na 25 stóp długim, osadzonym w ziemi z temi warunkami, jakie służą piorunociągóm. Taki przyrząd nazwał on gradochronem (*paragrèle*), rozumiejąc, że za pomocą niego dokaze, iż grad padać będzie na wskazane miejsce (1). Doświadczenia jednak, jak niżej zobaczymy, nietylko że nie potwierdziły, ale owszem pokazały, iż celem gradochronów nie jest ściąg-

z maszyny, ale gdy oddalono je od siebie na  $\frac{1}{2}$  cala, chociaż dzwontono mocno i ciągle, żadna iskra, żaden wpływ elektryczności nie dał się dostrzedz. Doświadczenie to *Needham'a* nie jest stanowczo uzasadnione, albowiem elektryczność wspomnionych dwóch kul pochodziła od stałych ciał; w atmosferze zaś jest ona w obłokach, których rozmaity kształt i kierunek biegu pochodzący od zmiany wiatru, może zmienić także kierunek prądu będącej w nich elektryczności.

(1) Kiedy *Bertholon* powziął myśl, a było to około roku 1787, zabezpieczenia konduktorami pól od gradobici, znakomity professor z *Como* niezmiernie był tém oburzony. „Entuzyaści—woła—nie dosyć, że nadal mieszkania swoje mają zabezpieczone od piorunu konduktorami, pragną jeszcze niemi ochronić pola od burz gradowych.” (*Volta, Meteorologia elettrica, lettera cinqua*).

gnięcie gradu na pewne miejsce (1), ale raczej zapobieżenie tworzeniu się chmur gradonośnych, a przynajmniej uformowaniu się w naelektryzowanych chmurach gradu ze śnieżki przeskakującej jak *bzowe gałki* kilkakrotnie z dolnej do górnej chmury i odwrotnie, dopóki nie obmarznie wodnemi cząstkami, i skutkiem nabytej ciężkości nie spadnie na ziemię. Słowem, przeznaczeniem zaostzonego metalu czyli konduktora, jest rozładować naelektryzowaną chmurę.

### *O własności, wpływie i przeznaczeniu konduktora.*

Z kolei rzucimy teraz pytanie do rozwiązania: czy elektryczność znajdująca się w chmurach jest w znacznej ilości ściągana przez konduktor? czy przyciąganie to może wywierać wpływ na zmniejszenie burzy? Spodziewam się, że doświadczenia *Beccaria* dostarczą nam *danych* dla wyjaśnienia tych zapytań.

Znakomity ten fizyk urządził na zamku Valentino w Turynie w dwóch punktach znacznie od siebie oddalonych dwa pręty osadzone na ciałach zwanych przez fizyków odosobniającemi. Każdy z tych prętów stykał się z drugim prętem nieodosobnionym, który spuszczał się po murze zabudowania w ziemię do znacznej głębokości. Pierwszy pręt jak widzimy jest konduktorem, a drugi przewodnikiem. Podczas burzy wielkie iskry, a nawet śmiało można powiedzieć błyskawice, ciągle ukazywały się między pierwszym prętem odosobnionym a drugim nieodosobnionym. Oko i ucho zaledwie mogły przekonać się o przerwach między wypadającymi iskrami. Niezmiernie trudno było dostrzedz przerw w świetle, a odgłos zdawał się być ciągłym.

Zaden z fizyków nie zaprzeczy, że uderzenie jednej takiej iskry sprawiłoby ból, dziesięć odjęłyby władzę w ręku, a sto byłyby dostateczne do utworzenia silnego piorunu (2). Sto iskiek ukazywało się w dziesięciu sekundach, a zatem w każdym dziesięciu sekundach przebiegała z jednego pręta do drugiego ilość elektryczności dostateczna do zabicia jednego człowieka, w minucie sześć razy tyle, w godzinę sześćdziesiąt razy więcej jak w minucie. Przez godzinę więc

(1) *P. Arago* w rozprawie swój o „*Gradzie*” téż utrzymywał, że grad pędzony od gór wichrem tam spadnie, gdzie będą gradochrony.

(2) Roku 1821 w lipcu we wsi Brzostowicy około Błonia, jeden piorun uderzył w łąkę, gdzie z 50 wołów zabił 48. *Dostrzeżenia meteorologiczne Magiera.*

każdy pręt na zamku Valentino podczas burzy ściągał z chmur tyle elektryczności, iż ta mogłaby zabić 360 ludzi. Ponieważ ustawiono dwa pręty, liczbę zatem 360 możemy podnieść do 720. Zamek Valentino składa się z siedmiu wież piramidalnych, pokrytych blachą połączoną z-rydami mającemi związek z ziemią. Wypada ztąd wnosić, że każda z pomienionych wież ściągała z chmur przynajmniej tyle elektryczności, ile dwa pręty urządzone przez *Beccaria*. Siedm więc pomnożone przez 360, wyniesie 2,520, do czego dodawszy 720 uczyni 3,240. Jeśli przypuścimy, że na zamku Valentino jedynie wywierają wpływ pręty zaostrome, znajdziemy, że ilość elektryczności ściągniętej z chmur w przeciągu jednej godziny, bez przesady byłaby w stanie zabić 3,000 ludzi.

Potrzeba mieć teraz na względzie, że chmury są w pewnym z sobą związku, tak, że stan elektryczny jednej nie może być zmienionym, ażeby drugie chmury, nawet w oddaleniu, nie doznały zmiany. Następujący przykład wyjaśni to twierdzenie:

Patrzmy podczas burzy na konduktor z przewodnikiem przerwany. Iskry co chwila zapełniają przerwę. Prawie wszystkie uderzenia piorunu silne czy słabe, blizkie czy oddalone, zrzędzą nagłą zmianę w ilości i szybkości tych iskier, a chwila zmiany zgadzać się będzie z chwilą ukazania się błyskawicy (1). Jeżeli chmura z której wypadł piorun bardzo jest oddalona, naówczas w przerwie przewodnika zmniejszenie się iskier o  $\frac{1}{2}$  o  $\frac{3}{4}$  lub o całą minutę poprzedzi chwilę, w której trzask piorunu ma dojść do naszego ucha.

Wielu fizyków, a między innymi powiada *Toaldo*, że widział w Nümphenburgu chmury z ciągłemi błyskawicami, które kiedy przebiegły nad zamkiem uzbrojonym konduktorami, stały się zwyczajnym obłokiem bez żadnych błyskawic; słowem: „stały się, według słów *Toaldo*, jakby zgasłym węglem”.

Ksiądz *Cosson* proboszcz z Rochefort pisał w r. 1785 do *Bertholon'a*, że w dniu 4 grudnia chmura z błyskawicami i grzmotami pędzona wiatrem zachodnim, po przejściu nad konduktorem kościoła, zupełnie ucichła i przestała migotać błyskawicami. Ostrze konduktora błyszcząc żywem światłem, widocznie okazywało silne i obfite ściąganie z chmur elektryczności.

Własność konduktorów, o której tyle już mówiliśmy, tém jest dzielniejsza, im wyżej kolec wyniesiony. Najlepiej dowodzą tego

(1) Zmiany te przy doświadczeniach z elektrometrem są wlecej dostrzegalne i mogą być mierzone.

liczne doświadczenia czynione z latawcami, a szczególnie wypadki otrzymane w Nerac przez *Romas'a*. Śmiały ten fizyk puścił raz latawca na 130 do 160 metrów (400 do 500 stóp) wysokości, którego sznurek był okręcony drutem jak bajorek u skrzypców. Podczas burzy, *Romas* zdołał wydobyć z końca sznurka nie tylko same iskry, ale co większa, smugi światła długie na 9 stóp, a na 1 cal grube. Płomienie wydawały huk podobny do strzałów z pistoletu. W jednej godzinie było takich smug 30, nie licząc mnóstwa innych, dochodzących do 7 stóp długości. Zauważył przytém *Romas*, że jednocześnie zupełnie ustały w chmurach grzmoty i błyskawice (*Mem. des Savants*, T. VI).

„Doświadczenia podobne — mówi p. *Arago* — otwierają rozległe i świetne pole do zbawiennych odkryć; z żalem jednak wyznaje, iż mały w nich zrobiono postęp. Tworzenie się gradu, bez wątpienia odbywa się w chmurach naładowanych wielką ilością elektryczności; pozbawiwszy chmury téj materji, grad się nie utworzy, albo pozostanie w stanie pierwotnym i spadnie na ziemię *śnieżką* w kształcie *krup*, wcale nieszkodliwych. Godziż się więc wątpić o wielkich korzyściach, jakieby odniosło rolnictwo w wielu krajach, przez zapobieżenie gradobiciom?”

„W roku 1764, pewien światły mieszkaniec południowej Francji napisał w *Encyklopedyi*: że nie masz roku, w którymby grad nie zniszczył połowy plonów, a nawet  $\frac{3}{4}$  części w naszych okolicach.”

„Wiem bardzo dobrze, że doświadczenia z latawcami nie są wolne od niebezpieczeństw; wiem, że burza powstaje, wzmaga się i rozwija zwykle podczas ciszy; że wiatr potrzebny do uniesienia latawca pod obłoki wszczyna się w chwili, kiedy grad pada; dlatego téż nie należy używać latawców do tych pięknych i ważnych doświadczeń. Wolałbym raczej *balony*, utrzymywane na wodzy linką okręconą drutem, balony, które mogą się wznieść daleko wyżej, niż latawce *Romas'a*. Jeżeli za pomocą latawca wzniesionego o sto metrów wyżej nad zwykle konduktory, dobywamy nie iskry, ale *strugi światła* długie na trzy, cztery metry: jakieżby otrzymano skutki, gdyby aparat wyniesiony trzy, cztery, dziesięć razy wyżej, dotykał, albo prawie dotykał niższej powierzchni chmur? gdyby kolec metalowy ściągający elektryczność, przytwierdzony na szczycie balonu i połączony z ziemią za pomocą długiego sznurka *półmetalicznego*, sterczał pod chmurami naksztalt zwykłego piorunociągu? Można być pewnym, że podobny przyrząd rozbrajałby chmury i uśmierzał najsil-

niejsze burze gradowe. Doświadczenia tyle obchodzące naukę i bogactwo rolne, zasługują na wykonanie. Używając do tego balonów średniej wielkości, koszt byłby niewątpliwie mniejszy od wydatku na wystrzały z armat; wydatku, jaki ponoszą bez żadnego pomyselnego skutku mieszkańcy winodajnych okolic we Francyi."

Nareszcie w lat 10, licząc od roku 1828, w którym wyszła rozprawa *O gradzie*, przyznał p. *Arago*, że konduktory wyładowują naelektryzowane chmury gradonośne, a nie przyciągają grad pędzony od gór wiatrami. Życzenie wszakże jego, ażeby wynosić konduktor za pomocą balonów do niezmierniej wysokości, celem wyładowania chmury jest niepraktyczne, albowiem zachodziłaby wielka trudność, szczególnie po wsiach, w umiejętnym urządzeniu balonów; niemniej w dniach pogodnych puszczać je dla uchronienia się od burzy gradowej, która przy najściślejszych obserwacjach barometrycznych niewiadomo, kiedy i czy nastąpi, byłoby tylko bezowocną zabawką, a nadewszystko zakosztowną; nareszcie puszczać je w czasie burzy, kiedy już wre około nas—zapóźno: bowiem chmura, w której się utworzył grad, nagle w danym miejscu wyrzuci ogromną masę gradu, który skończy na zniszczeniu pól, a może i podziurawieniu balonów. *Dalibard* dla wyśledzenia elektryczności atmosferycznej nie widział potrzeby wznosić konduktor do niezmierniej wysokości, o jakiej mówi p. *Arago*; ustawił on w ogrodzie w czasie burzy pręt metalowy ostro zakończony, który wydawał takie iskry, jakie wydaje konduktor zwyczajnej elektromachiny; a *Lemonnier* jeszcze w roku 1752, kiedy podobny pręt odosobnił od ziemi, wnet ukazały się mu kitki elektryczne nietylko w czasie burzy, ale i w dniu zupełnie pogodnym (1).

Zresztą porzućmy wszelką myśl o balonach, trudną do urzeczywistnienia, a spieszmy do wyszukania doskonałego przewodnika, któryby sprowadzał do ogólnego rezerwoaru, to jest do ziemi elektryczność ściąganą za pomocą konduktora z niższych warstw atmosfery, a tém samym i ze znacznie wyniesionych chmur burzowych, które mają bezpośredni z niemi związek (str. 130 wiersz 15), jak uczą nas doświadczenia *Beccaria*, *Toaldo*, *Cosson'a*, *Romas'a* i wielu innych. W piorunochronach za dobry przewodnik służy pręt metalowy, ale ten jest zakosztowny; nam zaś do gradochronów potrzeba materiału, z któregooby można mieć doskonały przewodnik elektryczności i bardzo tani.

(1) Pochwała historyczna *Volty* przez *Arago*; przekład *Bełzy*, w Bibliotece Warszawskiej na r. 1843, T. IV.

*O dobrym przewodniku elektryczności i jego własnościach.*

*Lapostolle* professor fizyki w Amiens usiłując wynaléć niekosztowny materyał, któryby mógł posłużyć za doskonały przewodnik elektryczności, jak naprzykład żelazo lub miédź, robił mnóstwo doświadczeń; nareszcie po wielolicznych poszukiwaniach odkrył niespodzianie, że zwyczajna słoma łączy w sobie wszelkie pożądane własności przewodnictwa. Przekonawszy się drogą doświadczeń o rzeczywistości swego odkrycia, niemniej czując całą wartość jego, w roku 1820 wydał dzieło pod tytułem: *Traité des parafoudres et des paragrèles en cordes de paille, précédé d'une météorologie électrique*, w którym na nieszczęście nie uniknął błędów zwykle zdarzających się prawie wszystkim wynalazcom ukrytych tajemników przyrody. Uniosłszy się, zanadto rozprzestrzenił znaczenie i następstwa swego odkrycia. Między innymi utrzymywał, że drzewa pęcznieją więcej zimą, niż w innej porze roku, co przypisywał wpływowi elektryczności; a jakby na przekór w owe czasy panującej opinii, dowodził, że deszcze, tworzenie się rzek, strumieni, źródeł, wegetacya roślin, wzrost istot żyjących, zależy od elektryczności. Dzieło swoje złożył ministrowi spraw wewnętrznych, który przesłał je do przejrzenia akademii paryżkiej. Oczywiście, wyznaczona na ten cel oddzielna kommissya, wnet na wstępie dzieła dostrzegła błędy, z których osądziła, iż zbyt wiele by było wchodzić w szczegółowy rozbiór cytowanych w niém faktów, co większa, wyłożonych bez najmniejszego ładu. Kommissya uwiadomiła akademię, iż całe dzieło nie zasługuje na żadne względy. Akademia nie wchodząc we wszelkie usiłowania autora, by upowszechnić odkrycie, skazała dzieło na wieczne zapomnienie.

*Lapostolle* długą i zaciętą prowadził walkę z jednym z grona członków akademii, a chociaż odniósł nad nim zwycięstwo, jednak nic na tém nie wskórał. Pomimo tego, nie wchodząc, że akademia wydała nieprzychylny wyrok; wielu naocznie przekonawszy się o rzeczywistym użytku z odkrycia fizyka z Amiens, zwołało słomę jako dobry przewodnik w zastosowanie we Francyi, we Włoszech i Rossyi.

W takim tedy stanie było odkrycie *Lapostolle'a* do roku 1828. Około tego czasu ukazała się jego odpowiedź na wyrok akademii, odpowiedź, która przypadkiem wpadła w ręce *Vinzen'a*, znanego światu z wielu prac użytecznych dla nauki, a tém samym i ludzkości.



Fakta poszczególnione w téj odpowiedzi były tak jasne i przekonywające, że *Vinzen* zdecydował się nawet odczytać odrzucone dzieło. Po przeczytaniu przekonał się, że autor nie mylił się, szczególnie w tém, że słoma jest doskonałym przewodnikiem elektryczności. Powtórzył doświadczenia *Lapostolle'a*, i zrobił jeszcze kilka innych.

Z doświadczeń czynionych w roku 1834 przez *Andrejewskiego* w uniwersytecie petersburskim osądzicie, czy słoma posiada własność przypisywaną jój przez fizyka z Amiens.

*Pierwsze doświadczenie.* Po nadaniu elektromachinie obrotu, elektrometr wskazywał, że konduktor jest mocno naelektryzowany, o czém przekonano się przez otrzymywanie wielkich iskier. Następnie każdy z obecnych wzięwszy mały pęczek słomy i przytykając go do konduktora, nie czuł najmniejszego wstrząśnienia, chociaż konduktor nadzwyczajnie prędko się wyładował. Kiedy w chwili ruchu maszyny dotykano się jój pęczkami słomy, niepodobna było utrzymać z konduktora najmniejszej elektryczności. Ciągłe elektryczność przebiegała do słomy, ze słomy do ciała, z ciała do ziemi. Zaledwie odjęli pęczki od maszyny, konduktor wnet się naelektryzował, który po przytknięciu pęczka zupełnie się wyładował; a zawsze bez iskier i huk.

*Drugie doświadczenie.* Wielka butelka lejdejska kilkakrotnie naelektryzowana i wyładowana, przy rozładowaniu której dawał się słyszeć silny huk i trzask rażącej iskry, która z łatwością na wylot przebijała gruby kajet papieru. Nareszcie naelektryzowali tę samą butelkę jeszcze mocniej, tak, że jeśliby kto odważył się był rozładować ją ręką, niezawodnie nie chciałby już powtórzyć podobnego doświadczenia. Jeden z obecnych trzymając w ręku pęczek słomy długi na  $2\frac{1}{2}$  cala, wyładował nim butelkę, nie uczuwszy najmniejszego wstrząśnienia. *Andrejewski* powtórzył to samo i otrzymał podobny wypadek. Pierwszy raz butelka była naładowaną 75 obrotami elektromaszyny, drugi 100ma tak mocno, iż rozładowując rękoma małą butelkę naelektryzowaną tylko trzema obrotami, od silnego wstrząśnienia w ciele, ledwie można było ją utrzymać.

*Trzecie doświadczenie.* Jeden z obecnych stanawszy na osobnym stoleczku, położył rękę na konduktorze; ciało więc jego stało się rezerwoarem elektryczności: włosy mu się na głowie najeżyły, a za dotknięciem do jego ciała klucza, wydobywano z niego iskry, ale jak w miejsce klucza przytknięto pęczek słomy, wszelkie oznaki elektryczności w jego ciele wnet znikły, bez uczucia przejścia jój z ciała do słomy.

*Czwarte doświadczenie.* Złożywszy razem metalowy cylinder i pęczek słomy równy objętością cylindrowi, przytykali je do silnie naelektryzowanego konduktora. Elektryczność ciągle spływała na słomę, a nie na metal, który wcale nie ściągał z konduktora iskier. Sam cylinder bez słomy wydawał rażące iskry.

*Piąte doświadczenie.* Jeden z obecnych wzięwszy w jedną rękę mały pęczek słomy, a w drugą klucz żelazny, stanął na odosobnionym stołeczku znajdującym się blisko stołu, na którym stały dwie butelki lejdejskie: jedna duża, a druga bez porównania mniejsza. Do drutu pierwszej butelki mocno naładowanej, przytknął pęczek słomy, a do drugiej nienaładowanej, klucz; wszystka elektryczność z pierwszej przeszła po słomie, następnie przez ciało i po kluczu do maliej. Ponieważ ta ostatnia w porównaniu z pierwszą była mniejsza, elektryczność więc z dużej nie mogła się w niej zmieścić: przepelniona, kilkakrotnie sama się wyładowywała, a elektryczność z niej spływała do ziemi.

*Szóste doświadczenie.* Przywiązawszy do drewnianej laski długiej na trzy stopy, takiéjże długości słomianą linkę, na której porobili co 3 cale przerwy od 2 do 3 linii wycięte nożykiem; kiedy przytknięto laskę do silnie naelektryzowanej butelki lejdejskiej, na-przód do zewnętrznej metalicznej jej powłoki, a potem bez téj: elektryczność z nadzwyczajną szybkością spływała do ziemi bez najmniejszej iskry i trzasku w przerwach. Wiadomo bowiem, że w podobnych przerwach metalowych prętów, elektryczność okazuje się dotykalnie (str. 128, wiersz 22). Nareszcie znane doświadczenia elektryczne z balonami, domkami, wieżyczkami, strzelcami, illuminacjami i t. d. wskazują, że podobne zjawiska pochodzą od przerw między metalicznymi drutami lub blaszkami.

Wszystkie te doświadczenia powtarzane stokrotnie, dowiodły: że słoma jest ledwie nielepszym przewodnikiem elektryczności od metali, a przynajmniej tak doskonałym jak żelazo.

Kiedy *Vinzen* przekonał się o rzeczywistości odkrycia *Lapostolle'a*, używał wszelkich środków, by zważyć wyrok akademii; wszakże napotykał wielkie trudności do zwalczania, albowiem nie chciano wierzyć, ażeby *wysoka mądrość* akademików mogła tak grubo się omylić, odrzucając wynalazek, którego użyteczność stałaby się oczywistą. Wszelkie przeciwności znakomitego uczonego nie zachwiały; napisał artykuł o własnościach słomy i umieścił go w *Journal du génie civile de sciences et des arts* tom XI, a przytém upraszał pewnego weterana matematyki, ażeby jego doświadczenia powtórzył

i jeśli okażą się mylne, zbił przeciwnymi dowodami. Na podobne wezwanie rozgniewany matematyk, dotąd nie raczył odpowiedzieć.

W kilka lat później, to jest w roku 1829, kiedy piorun wysadził w powietrze magazyn prochowy w Bayonie, opatrzony piorunochronem metalowym, minister wojny zażądał od akademii wyjaśnienia przyczyn tak niespodzianego wypadku, a razem wskazania środka, by uniknąć na przyszłość podobnych zdarzeń. *Vinzen* złożył ministrowi żądane wyjaśnienie, a przytém podał mu projekt na piśmie, zrobienia doświadczeń z piorunochronami słomianymi. Projekt odesłał minister do komitetu artylerji, który uznawszy go za godny uwagi, komunikował następnie swemu członkowi. Chciał los, ażeby ów członek był jednym z tych, co należeli do kommissyi wyznaczonej dla przejrzenia i ocenienia dzieła *Lapostolle'a*. Domyślcie się zapewne jaki obrot wziął projekt *Vinzen'a*. Oczywiście, nie chciano go nawet przejrzeć.

Nareszcie Towarzystwo zachęty przemysłu we Francji znużone, że tak powiem, ciągłymi naleganiami *Vinzen'a*, o wyznaczenie oddzielnéj kommissyi w celu powtórzenia doświadczeń ze słomą, poleciło wykonać je *Pouillet'owi* professorowi konserwatoryum sztuk i rzemiosł.

*Pouillet* powątpiewając o rzeczywistości faktów poddanych pod rozbiór, różnemi sposobami usiłował dowieść *Vinzenowi*, że słoma nie może być doskonałym przewodnikiem elektryczności, a wpływa na nią o tyle tylko, ile ciało ludzkie, linka z przedziwa konopnego, sierć i t. p.; pomimo tego przystąpił do sprawdzenia doświadczeń wraz z *Vinzen'em*. Każdy z nich przejęty był mocném przekonaniem, że wnioski swe usprawiedliwi autentycznymi dowodami. Doświadczenia były wykonywane w gabinecie konserwatoryum na elektromachinie z kręgiem  $4\frac{1}{2}$  stopy średnicy. Oto są wypadki:

*Pierwsze doświadczenie.* W chwili, kiedy *Pouillet* otrzymywał z elektromachiny drogą łącznika mocne iskry, *Vinzen* przytknął do konduktora pęczek słomy długi na 2 stopy, a gruby na  $1\frac{1}{2}$  cala. Przy piérwszém zaraz dotknięciu, machina wyładowała się i przestała wydawać iskry. *Pouillet* rozkazał jak można najszybciej obracać kręgiem, jednak i przy powtórném przytknięciu pęczka, otrzymano podobny rezultat. Wypadek ten nietyko zdziwił wielce szanownego profesora, ale nawet zmieszał. Ciągłe dotykał konduktora, to ręką, to łącznikiem, ale nie mógł ściągnąć żadnej iskry. Przymuszony był nareszcie przyznać, że machina została zupełnie rozładowaną.

*Drugie doświadczenie.* Przy tém doświadczeniu użyto linkę ze słomy, mającą długości 5 stóp, a grubości 2 cale. *Pouillet* zwrócił uwagę, iż doskonały przewodnik elektryczności nie tylko powinien za dotknięciem go do konduktora ściągać elektryczność, ale nawet będąc od niego w pewnym oddaleniu, jeśli chcemy, ażeby mógł być korzystnie zastosowanym przy urządzeniu piorunochronów; albowiem chmury zwykle są wyniesione dość znacznie nad poziom, przez co konduktory wcale się ich nie dotykają. Na dowód, że słoma i tę własność posiada, *Vinzen* silnie naelektryzował konduktor elektromachiny i zbliżył do niego linkę ze słomy na odległość sześciu cali. Konduktor rozładował się, z tą tylko różnicą, że na nim została jeszcze mała część elektryczności. Za oddaleniem linki na 1, 2, 3 stopy od konduktora, własność słomy stopniowo słabła. Nie należy jednak wnosić, by słoma nie mogła być we względzie piorunochronów i gradochronów pożyteczną. Jedne tylko ostrza mają własność z oddalenia ściągać elektryczność (str. 127 wiersz 16). Gdybyśmy wzięli nawet 40 lub 50 cienkich blaszek metalowych jednakowej długości i razem je związali, podobnie nie wyładowują maszyny będącej w oddaleniu od nich na kilka stóp. *Pouillet* przyznając owo twierdzenie za słuszne, dozwolił włożyć w koniec słomianej linki zaostrzony cienki i mały pręt metalowy; natenczas linka stała się zupełnym piorunociągim; z tą tylko różnicą, że ją można było trzymać w ręku, nie czując w ciele najmniejszego wstrząśnienia, kiedy żelazny pręt trzymany w podobnej odległości, koniecznie należało połączyć z ziemią, gdyż inaczej nie można go było utrzymać w ręku, tak silnie wstrząsał, szczególnie kiedy dwie elektromachiny razem dostarczały większej ilości elektryczności.

*Trzecie doświadczenie.* Wyładowali oni butelkę lejdejską za jednym dotknięciem słomianą linką. Metalowym prętem potrzeba było dotykać kilkakrotnie.

*Czwarte doświadczenie.* Ażeby o ile można zrobić większe porównanie słomy z metalem, oddalili od konduktora na pewną odległość pręt żelazny długi na 5 stóp; podobnie postąpili z linką słomianą opatrzoną ostrzem metalowem. Linka i pręt jednakowo się naelektryzowały, tak, że otrzymywano z nich iskry jednakiego napięcia (I). Szczególnie to doświadczenie jasno dowiodło *Pouillet*owi,

(1) Przy powtórzeniu doświadczeń w uniwersytecie petersburskim, była jeszcze więcej uderzająca wyższość własności słomy. Niepodobna było ani jednej iskry otrzymać ze słomy. Za zbliżeniem ręki, dawał się czuć tylko słaby wietrzyk, który dowodził, że elektryczność rzeczywiście sphywała do ziemi.

że słoma posiada własność dobrego przewodnictwa elektryczności, o czém chociaż zupełnie się przekonał, życzył sobie jednak wykonać jeszcze jedno doświadczenie.

*Piąte doświadczenie.* Na zakończenie chcąc zrobić porównanie działania piorunociągu metalowego ze słomianym, wzięli linkę słomianą długą na 24 stopy a grubą na  $4\frac{1}{2}$  cala i takżeże objętości i grubości pręt żelazny. Powtarzające się zjawiska były jednakie, z tą zawsze różnicą, że słomiany pręt można było trzymać w ręku, a żelazny niepodobna.

A więc po wszystkich wyżej poszczególnionych doświadczeniach nie podpada wątpliwości, że przy urządzeniu piorunochronów słomiana linka może być użytą za przewodnik od konduktora do ziemi, zamiast metalu, ale nadto pierwszeństwo trzyma przed żelazem. *Lapostolle* opierając się na odkrytej przez siebie własności słomy, słusznie utrzymywał, że ta działa nietylko jako pewny środek dla ochrony budowli od piorunu, a tém samém od pożaru, ale że może być jeszcze użytą w urządzeniu gradochronów, które zasłonią pola od gradobić, jako głównej przyczyny w ponoszeniu strat przez kraje rolnicze.

Gdybyśmy nawet przypuścili, że elektryczność nie jest główną przyczyną tworzenia się gradu, zawsze jednak musimy przyznać, że w tém *meteorycznym* zjawisku niepoślednią odgrywa rolę. Tak utrzymując, winniśmy uważać chmurę gradową jako kulę powietrzną silnie naelektryzowaną, którą jeśli wyładowujemy za pomocą dostatecznej liczby gradochronów, zapobiegniemy albo przynajmniej zmniejszymy skutki burz gradonosnych. W tém właśnie zawiera się rozwiązanie jednego z największych *fizyko-ekonomicznych* zadań, na które pragniemy zwrócić uwagę naszych rolników.

### *O urządzeniu gradochronów.*

*Lapostolle* w dziele swém o własności słomy, oraz zastosowaniu jęj do piorunochronów i gradochronów, tak radzi urządzać szczególnie gradochrony, które składać się mają z żerdzi, z kolca metalowego i linki słomianej.

I. Żerdź, która stanowi podstawę kolca metalicznego, powinna trzymać przynajmniej 25 stóp wysokości. Może być z jakiegokolwiek drzewa, byle była prosta i mocna; można ją zrobić z jednej sztuki lub złożyć z kilku; w ostatnim razie spajać nie żelaznemi gwoździemi

lecz drewnianemi. Ażeby ją zrobić trwalszą, należy obrać z kory i pociągnąć masą, złożoną z wapna i oleju, lub téż każdą inną olejną farbą.

2. Kolec metalowy, który tu jest konduktorem ściągającym elektryczność atmosferyczną, powinien być z miedzi (mosiądz w powietrzu prędko się oxyduje), długi na 10 cali i grubszy od trzonka zwyczajnego pióra; o ile możność dozwoi ostro zakończony (1). Kolec wbija się w wierzchołek żerdzi, tak, ażeby przechodził w drzewo przez koniec linki.

3. Linka słomiana, która tu stanowi doskonały przewodnik elektryczności od konduktora w ziemię, powinna trzymać średnicy 15 linii (1 $\frac{1}{9}$  cala). Ukręca się ona ze czterech słomianych skrętów czyli powrozów, z jednego cienkiego sznurka ze lnu surowego, który otacza się skrętami. Słoma powinna być żytnia lub pszenna, zupełnie dojrzała. Dla ułatwienia roboty i lepszego ukręcenia linki, można słomę poprzednio zwilżyć. Linka ta leży wzdłuż na żerdzi, rozciągając się od konduktora aż do ziemi, w której na cztery stopy winna być zapuszczoną. Należy ją przywiązywać do żerdzi co 2 stopy łyżkiem, albo sznurkiem ze słomy ukręconym.

Takim sposobem przyrządzone gradochrony wkopują się w ziemię na polu, które przeciw gradobiciom chcemy zabezpieczyć, tak głęboko, by je wiatr nie obalił. Dla nadania im większej trwałości, wypada je nieco u dołu zwęglić (opalić), tak daleko, jak w ziemię idą. W jesieni po zbiorze plonów zbierają się one z pola i pod dach składają (2). Dla ułatwienia orki, gradochrony powinny być ustawione, o ile możność dozwoi, w prostej linii. Gdy przypadkowo w miejscu, gdzie gradochron przypada, stoi drzewo, można go do niego przymocować, albowiem im jest wyższy, tém bardziej przeciw gradobiciu zabezpiecza. Unikać także trzeba wkopywania żerdzi na opoce, lub stawiać na skale.

Kolec metalowy o którym już mówiliśmy, potrzeba doskonale wygładzić i wypolerować, co zabezpieczy go od rdzewienia. Dobrze jest także nie wbijać kolców w górny koniec żerdzi, ale wśrubowy-

(1) Smirnow obywatel w Rosyji kazał u siebie robić tak małe i cienkie kolce, że do 28 gradochronów wyszło miedzi tylko za rubel srebrny; ale za to stawiał je gęściej.

(2) Nie potrzebuję tu ponawiać, że w Królestwie Polskiem gradochrony winny być tylko w polu od maja do końca sierpnia. Jestto peryod burz gradowych.

wać lub wsuwać, ażeby po zebraniu konduktorów z pola, można je było z łatwością wyjąć, oczyścić, przytępiony koniec odostrzyć i schować osobno do dalszego użytku. Przedewszystkiém wśrubowywać kolce nie w środek górnego końca żerdzi, ale przy brzegu, aby przez to uniknąć przykrego zgięcia linki słomianej, która się ma poprowadzić od niego; albowiem przez to zgięcie może słoma tracić na własności szybkiego przewodnictwa elektryczności, jak się zaraz przekonamy.

W budowlach na samym brzegu okapu lub na gzymsach, pręt żelazny jako przewodnik poprowadzony od konduktora, częstokroć bywa zgięty tak, że zamiast znajdować się na przedłużeniu linii prostopadłej, robi kąt  $90^{\circ}$ , a niekiedy kąt ostry. Liczne przykłady dowiodły, że gwałtowne uderzenie piorunu przez przykre zgięcia w przewodniku, sprawiło znaczne uszkodzenia w zabudowaniach. „W St. Méry (Hayta) piorun — powiada *Moreau* — przebiegłszy po konduktorze aż do punktu zgięcia tworzącego kąt ostry, nagle go opuścił, i uderzył w przedmiot, znajdujący się na przedłużeniu pierwszego ramienia kąta.” W pamiętnikach akademii w Lausanne, podobne znajdujemy przykłady.

Ztąd pokazuje się, że nagle zgięcia w przewodnikach stanowią opór elektryczności, przebiegającej po nich z niepojętą szybkością. Unikać więc należy nagłych zgięć w kąt ostry, a poprzestać na lekkich zgięciach tak w piorunochronach, jak i gradochronach.

W ogólności, słomiane przewodniki od deszczu lub mgły stają się wilgotne, i to właśnie spowodowało fizyków rosyjskich, powtórzyć doświadczenia ze słomą mokrą. Doświadczenia te pokazały, że słoma wilgotna słabszym jest przewodnikiem nizeli sucha, a tém samém nie lepsza od metali. Słoma mokra naelektryzowana wydaje iskry podobnie jak metal, ściąga z innych ciał naelektryzowanych iskrę, przyczém czuje się w palcach lekkie drganie, prawie takie, jakie doświadczamy przy otrzymywaniu iskry za pomocą metali. Butelka lejdejska podobnie rozładowuje się z iskrą i sprawia w ciele drganie, słabsze jednak od tego, kiedy wyładowujemy butelkę metalem. W mokrój ze słomy lince z przerwami, tak jak i w przerwach żelaznego pręta, daje się widzieć światło elektryczne. Słowem, mokra słoma i metal okazują jednaki zjawiska.

Oczywiście, że przy urządzeniu piorunochronów ze słomianymi przewodnikami, dla pewności skutku należy zachować wszelkie ostrożności, jak zachowujemy przy stawianiu konduktorów z przewodnikami metalowemi. Unikać przerw w linkach słomianych, jak się

unika w prętach żelaznych; koniec linki połączyć z ziemią, jak się zwykle robi z prętem żelaznym. Nareszcie można linkę pociągnąć po wierzchu farbą lub smołą, która tu stanowić będzie pewne odosobnienie, albowiem smoła jest jednym z najgorszych przewodników elektryczności. Że zwykle gradowe burze poprzedzają upały, podczas których linki słomiane przy gradochronach są suche, nie ma więc potrzeby, a raczej byłaby zbyt duża ostrożność pociągać je smołą.

### *O zastosowaniu gradochronów czyli konduktorów i ich użyteczności.*

We Francyi pierwszy *Tollard* professor fizyki w Tarbes w departamencie wyższych Pyreneów, według systemu *Lapostolle'a* roku 1821 pokrył gradochronami grunta obejmujące 3,000 hektarów ( $178\frac{1}{3}$  włók), które przedtém w ciągu dziesięciu lat siedm razy pustoszył grad. Kiedy niezmierne chmury burzowe przechodziły nad pomienionemi gruntami, wcale grad nie padał; na polach sąsiednich gdzie gradochronów nie było, zboże na pniu od gradobicia zupełnie zostało zniszczone. Za pierwszą linią postawionych konduktorów spadło tylko kilka gradówek. Zauważano przytém, że chmury przechodząc nad przestrzenią pokrytą gradochronami, zmieniły kierunek biegu, który nawet nieco zwolnił.

Następnie *Tollard* powiększył swoje doświadczenia; pokrył on gradochronami pola 18 wsi z sobą graniczących. W roku 1822 sześć burz gradowych spustoszyło większą część departamentu wyższych Pyreneów, wcale nie dotknąwszy tych pól, gdzie były konduktory, chociaż grunta przypadały w pasie, ponad którym przebiegały chmury.

*Beaune Larivier* professor fizyki z Vigeois, oraz *Tollard* w r. 1823 prowadzili szczegółowy dziennik czynionych obserwacyj nad burzami gradowymi, i nad wpływem gradochronów, ale nie mamy pod ręką tych tak ciekawych spostrzeżeń, które mogłyby posłużyć do uwag i badań w tym przedmiocie. Poprzestaniemy tylko na niektórych faktach wyciągniętych z rozmaitych źródeł.

*Annales des Sciences Economiques.* Roku 1825 d. 7 maja w departamencie Ain w majątności Mollat'a około miasta Belley, kiedy czarne chmury zbliżyły się do gradochronów, kilka ziarn



tylko spadło przy nich, poczem wnet burza wzięła inny kierunek, jakby odparta zastępami konduktorów.

Na posiedzeniu Towarzystwa badaczy natury w Waadt (Szwajcarya), czytał *Chabané* rozprawę o gradochronach zaprowadzonych w Medyolanie i Bolonii; między innymi wspomniał o liście *Krudego* biegłego agronoma w kantonie bazylejskim, w którym mu donosił, że sam i wielu włóścian było naoczniemi świadkami, jak chmury zbliżywszy się do linii konduktorów, rozdzieliły się na dwie części i obiegiły pola pokryte gradochronami.

*Astolsi* inżynier pisał do *Orioli* profesora list następującej treści:

„Dnia 19 czerwca 1824 roku powstała w okolicach Bolonii silna burza gradowa. Na przestrzeni grantów, ponad którą przechodziły chmury, było ustawionych 50 gradochronów. Wobec zdziwionych mieszkańców spadł grad tylko między dwiema liniami konduktorów, i to w małej ilości; między drugą i trzecią linią padał śnieg. Następnie ta sama burza nadciągawszy nad grunta Szenefa, obejmujące przeszło włók ośm, podobnież pokrytych konduktorami, zupełnie się rozproszyła.”

„Dnia 24 t. m., powstała powtórnie burza, a kiedy nadeszła nad gradochrony postawione na przestrzeni 32 włók, grad przestał padać, a zaczął pruszyć śnieg. Nareszcie gdy chmura jakby zawisała nad przestrzenią pokrytą konduktorami, zauważono, że obłoki zdawały się wrzecz, z których dęszcz lunął rzęśisty. W końcu chmury się rozpierzchły.”

„Na drugi dzień znowu skupiły się nad okolicą gęste chmury, rozciągające się długim pasem. Z ruchu ich można było w nosić, że przyciągało je mnóstwo konduktorów, któremi pokryta była tamtejsza cała okolica. Chmury nadzwyczajnie szybko wyładowały się, co wszyscy, nawet wieśniacy dostrzegli to zjawisko. Widoczném było jak chmury zgęszczały się, potem nieco zniżyły się, nakoniec zwolna tracąc barwę, powszechnie dostrzeganą w chmurach gradonośnych, stały się płowemi i pruszyły przez dwie minuty śniegiem; po śniegu padał cztery minuty ulewny dęszcz. Po tém zdarzeniu tak uderzającym, mieszkańcy 14 parafij około Bolonii, naocznie przekonawszy się o skuteczności gradochronów, bezzwłocznie przedsięwzięli pokryć niemi rozległą przestrzeń.”

Towarzystwo badaczy przyrody w Szwajcaryi, około tego czasu przedsięwzięło stosowne środki, celem upowszechnienia gradochronów, tak zbawiennych przeciw burzom.

*Journal des Débats* z dnia 19 sierpnia 1833 roku:

„Magistrat m. Monachium donosi, że w upłynionym miesiącu czerwcu, wielka burza gradowa poczyniła niezmierne szkody w okolicach miasta, oszczędzając tylko własność Leguinger'a, który pokrył swoje grunta słomianemi gradochronami nowego wynalazku.”

*Journal du Commerce de Lion* z 3 sierpnia 1833 roku:

„Podczas padania gradu na niwy i łąki położone za obrębem gradochronów, na ogrody winodajne pokryte konduktorami padał tylko śnieg. Po upływie godziny, nad temiż ogrodami przeszła druga chmura, ale tak jak piérsza, jedynie śniegiem popruszyła.”

W Bernie d. 1 czerwca 1833 roku otrzymano o działaniu gradochronów urzędowe doniesienie następującej osnowy: „Mieszkańcy parafii Duan i Glores w maju pokryli ogrody winodajne konduktorami; mieszkańcy zaś wioski Neuville położonej między powyższemi parafiami, a zajmującej przestrzeń ćwierć mili na szerokość, dla różnych przeszkód nie mogli pójść za przykładem swych sąsiadów. Dnia 2 lipca niebo pokryło się chmurami, z których w wielu miejscach wypadł grad i poczynił znaczne szkody w winnicach nieochronionych konduktorami, szczególnie w Neuville. Duan i Glores wcale nie uległy gradobiciom.”

„Dnia 13 lipca od strony północnej parafii Duan, silna burza mnóstwo wyrzuciła gradu na sąsiednie grunta, kiedy na grunta wspomnionéj parafii wcale nie padał; możnaby sądzić, że jego pochód wstrzymała piérsza linia gradochronów. Winnice skropił tylko rześisty dęszcz. Świadkowie tego zjawiska mówili, że chmury wyszedłszy z poza gór w massie czarnej i gestéj, po zbliżeniu się nad ogrody, widocznie się zatrzymały, rześistym dęszczem skropiły i zwolna rozpierzchły.”

Библиотека для чтения. Rok 1837, t. VIII:

„Przybiegunowe zorze—powiada *Bajkow* dyrektor szkoły agronomicznej—które dwa razy były widziane w końcu roku 1836, oraz panujący wiatr wiosenny od strony północnej i północno-zachodniej w b.łr. zapowiadały lato zimne i gradonośne. Biorąc na uwagę taki stan atmosfery, postawiłem na gruntach szkolnych 4 gradochrony, a obok tego kazałem powbijać ćwieki długie i zaostrzone w słupy mające się użyć przy składaniu siana w sterty, ażeby mogły służyć i za gradochrony. Stogów było 30, a zatem przysposobiono na 20 desiatyn (39 ½ morgów) obejmujących

orne grunta i ogrody, konduktorów 34. Dnia 9 lipca nadeszła z północy ciemna chmura, wpośród której był szarawy obłok w kształcie piramidy obróconej wierzchołkiem ku ziemi, która oznaczała trąbę powietrzną. Chmura z silnym szumem, błyskawicami i grzmotami, nadciągnęła ponad grunta szkolne, z której począł padać dęszcz i drobne ziarna gradu; następnie zrobiło się ciemno i powstała ulewa. Zboża na pniu, szczególnie żyto dość bujne i owoce w ogrodzie wcale nie ucierpiały. Wokoło naszych gruntów aż do wyspy aptekarskiej, zboże, owoce i drzewa mocno ucierpiały od gradobicia. Grad był tak duży, że na drugi dzień jeszcze o godzinie 8 z rana, rybacy na toni Strogonowskiej zbierali dość duże gradówki, nadmieniając, że nie pamiętają tak wielkiej burzy. Woda rzeki Newki wzniosła się na dwa arszyny i w takim położeniu zostawała przez kilka minut. Zjawisko to ostatnie bez wątpienia pochodziło od trąby powietrznej."

„Podobny wypadek miał miejsce d. 12 lipca. Chmury nadeszły od zachodu i przebiegły ponad grunta szkoły agronomicznej. Grad padał wokoło, szczególnie na trzęsawiskach poobił krzaki z liści i gałęzi, a nawet w znacznej ilości spadł na młyn i inne zabudowania agronomiczne; tam wszakże, gdzie były gradochrony, nie spadła ani jedna gradówka.“

Земледельческая Газета. Rok 1845.

Pan *Smirnow* właściciel posiadłości ziemskiej w Rosyji, przysłał list następującej treści: „Gradochrony u mnie zaprowadzone sporządziłem podług metody *Stojkowicza* (1). Pola moje orne rozciągają się na przestrzeni 3 wiorst; jedno z nich obejmuje 30, a drugie 10 desiatin (włók 2 $\frac{1}{3}$ ). Na pierwszym polu postawiłem dwa, a na drugim jeden konduktor. Skutki ich były nadzwyczajne; częstokroć nasuwało się pytanie, czy w rzeczy samej gradochrony tak silnie działają, lub też jaka inna jest tego przyczyna? Przez całe lato w r. 1842 nie było ani grzmotów, ani gradu, pomimo że w mojem sąsiedztwie o 1 $\frac{1}{2}$  wiorsty, częste grady znaczne poczyniły szkody. Niekiedy się zdarzało, iż mocna burza zbliżyła się do méj granicy, lecz za wejściem w obręb działania konduktorów, powiał silny wiatr, spadł mały dęszcz

(1) W Rosyji piérwszy *Stojkowiez* wyłożył dokładnie sposób urządzania gradochronów podług *Lapostolle'a* w dziele pod tytułem: *O piorunochronach i gradochronach słomianych, z dwoma rysunkami*, wydaném w Petersburgu 1826 r.

„pomieszany ze śniegiem, chmura rozdzieliła się na dwie części, obiegła moje pola, jakby gradochronami rozdzielona i tylko ich krańce mniej więcej skropiła.”

„Podobne rozdzielanie się chmur, dwa razy upłynionego lata, było tak widoczne, iż żadnej wątpliwości nie ulegało, a mianowicie d. 19 maja i 26 sierpnia. W obydwóch razach o ile mogłem dostrzedz gołem okiem, połączyła się znowu chmura w małej odległości za granicą pól moich. Ażeby się przekonać jak daleko połączenie to miało miejsce, udałem się konno w jedną stronę w kierunku wiatru, a w przeciwną stronę, z której burza nadeszła, udał się goszczący u mnie uczony cudzoziemiec. Znalazłem grad w odległości 3 wiorst od méj granicy; mój zaś gość napotkał go o 1 1/2 wiorsty.”

„Podczas drugiej burzy w sierpniu, nie mogłem powziąć podobnego przekonania. Tymczasem osoba powracająca od strony w którą burza ciągnęła, upewniała mnie, że w odległości 9 wiorst od mego pomieszkania, padał grad wielkości laskowego orzecha. Byłoby zapewne miejsce, gdzie się już rozdzielone chmury złączyły. U mnie nie było wcale gradu.”

„W ciągu całego lata 1843 nie padał grad na moje pola opatrzone konduktorami, a nawet nie postrzegano rozdzielania się chmur. W odległości zaś jednej wiorsty od moich gradochronów, na gruntach wsi Tehumanówki, podług zapewnień tamtejszych włościan i mierniczego zajętego pomiarem gruntów, d. 16 maja 1843 roku padał grad 3 minuty.”

„Doświadczałem także na sporządzonych przezemnie gradochronach, za pomocą elektromachiny skutku elektryczności. Kiedy gradochron opatrzony był kolcem metalowym połączonym z linką słomianą i stykał się z machiną, nie spostrzegłem ani jednej iskry, ani najmniejszego wstrząśnienia; bez tego kolca ukazał się świecący strumień elektryczności.”

„Wnoszę, że prócz chronienia pól od gradobić, konduktory jeszcze mają własność powiększania żyzności gleby; przy równiej bowiem dobroci gruntu, jednakowej uprawie, zboże na polu opatrzonem konduktorami nierównie było bujniejsze od tego, na których nie było gradochronów. Wprawdzie jest to jeszcze hipoteza, lecz ma ona bardzo wiele podobieństwa. Dla doświadczenia, czy rzeczywiście gradochrony wywierają wpływ dobroczynny na wzrost roślin, stawiam je tego lata na gruncie zupeł-

nie płonnym, oddzielnie położonym, który prócz chwastów nic więcej nie wydaje (1)".

O ile możność nam dozwoliła zebrać wiadomości o wpływie gradochronów na burze gradowe, poszczególniliśmy je w porządku chronologicznym. Pomysł więc *Bertholona* ażeby zabezpieczyć pola konduktorami od gradobić, a *Lapostolle'a* odkrycie, że słoma jest doskonałym przewodnikiem elektryczności atmosferycznej, długoletnimi doświadczeniami zostały potwierdzone.

Rzecz godna uwagi, a mało uważana, że wszystkie naukowe odkrycia prowadzą do porządku i stwierdzają prawa natury; wszystkie są wyrazem potęgi i objawem rozumu ludzkiego. Złośliwy gieniusz nic na postępie nauk nie zyskał: każda obserwacja ścieśnia jego panowanie, każdy promień światła umniejsza jego ciemności.

### *Liczba mających się stawiać gradochronów na danej przestrzeni.*

Zagadnienie to niepodobna dotąd stanowczo rozwiązać.

I. B. *Leroy* utrzymywał, że pręt metalowy od 4 do 5 metrów wznoszący się nad dachem, ochrania budowę wokoło na 16 metrów. Można więc wnosić, że konduktor ściąga elektryczność we wszystkich kierunkach, a zatem i w górę trzy razy wyżej od wysokości piorunociągu wystającego nad dachem. Wydział fizyczny akademii nauk w Paryżu, granicę tę ścieśnił; w roku 1823 zapytany przez ministra wojny, podziela zdanie p. *Charles*, że piorunociąg ochrania naokoło przestrzeń równającą się podwójnej wysokości konduktora; ale wcale nie powiada, na jakiej zasadzie zdanie swoje opiera.

*Lapostolle* podobnież bez żadnej zasady utrzymuje, że jeden gradochron dostatecznym jest na 30 hektarów (53 morg.), z warunkiem jeśli te są rozstawione na przestrzeni od 2 do 3,000 hektarów (od 2350 do 3524 morgów); w przeciwnym razie każe stawiać je gęściej, ażeby były w możności spieszenie wylądować

(1) Czy elektryczność wpływa na wegetacją i bujność roślin? *Felkierzam* obywatel w Kurlandyi robił doświadczenia, ściśle w tym względzie trzymając się zasad opartych na teorii. Doświadczenia te okazały zadziwiające skutki wpływu elektryczności na bujność roślin. Ciekawych odsyłam do *Земледельческой Газеты* z roku 1846, dnia 6 września nr. 73.

naelektryzowane chmury, to jest zapobiedz utworzeniu się burzy gradowej. *Tollard* i wielu innych dowolną liczbę stawiali; *Beaune-Larivier* radzi ustawiać w odległości jeden od drugiego na 250 łokci, a *Smirnow* od 80 do 100 sążni (od 296 do 375 łokci); *Bajkow* na 40 morgach ustawił ich aż 34.

Dla większej pewności skutku pomyslnego, należałoby powiększyć liczbę gradochronów proponowanych przez *Lapostolle'a*, bo im więcej ich będzie na daném miejscu, tém prędzej rozładują naelektryzowaną chmurę, tém z mniejszą gwałtownością i bez silnych wstrząśnień, wróci napięcie elektryczności do ogólnej równowagi. Gdybyśmy naprzykład chcieli prędzej wypróżnić napełnione cieczą naczynie, pomnożylibyśmy w niem liczbę otworów. Naostatek przy stawianiu gradochronów przedewszystkiém potrzeba mieć na względzie miejscowość: tam ich więcej stawiać, gdzie częściej bywają gradobicia.

Jeszcze jedna okoliczność, której pominąć niepodobna. Wszelkie skutki gradochronów, które wyżej poszczególniliśmy, są wprawdzie zadziwiające, ale wyznaję, iż niezupełne w nich pokładam zaufanie. Jak można przypuścić, ażeby kilkadziesiąt, kilkaset, tysiąc nawet konduktorów, mogło przeszkodzić wielkiej burzy, wyrzucić potężny wpływ, rozładować chmury gradonośne, które niekiedy zajmują przestrzeń wszérz na 6, 7, 8, a wzdłuż przebiegają na 50, 100, 200 mil, siejąc nadzwyczajną masą gradu? Dla zupełnej pewności środka jaki tu podaliśmy, *Lapostolle* radzi cały kraj konduktorami pokryć, a Towarzystwa agronomiczne we Francyi wnosily przed laty do rządu, ażeby ten porozumiał się z ościennemi krajami, względem jednoczesnego przedsięwzięcia środków ochronnych przeciw burzom gradowym.

Gdyby kiedy projekt *Lapostolle'a* miał być urzeczywistniony w Królestwie Polskiem, obejmującym rozległości pod gruntami ornymi włók 358,332, licząc więc na włókę w okolicach, a mianowicie: północnej, zachodnio-północnej, zachodniej i wschodniej po 5 gradochronów; południowo-zachodniej po 7 i południowo-wschodniej po 6 (1), potrzeba byłoby w ogólności gradochronów 2,010,960, których koszt wynosiłby rub. sr. 603,288,

(1) Które powiaty obejmują okolice tu poszczególnione, czytelnik znajdzie w *Bibliotece Warszawskiej* za miesiąc sierpień, w artykule „O burzach gradowych w Królestwie Polskiem.”

biorąc za zasadę, iż jeden gradochron składający się z drzewa, linki słomianej i kolca miedzianego, może kosztować kop. sr. 30.

### Zakończenie.

Filozofowie rozprawiali o wielu pięknych i dowcipnych rzeczach, a kiedy skończyli i zapytali go: *Mości Pantofids!* jakże ci się te prawdy wydają? — „Jakże mi się mają wydawać— odpowie— są piękne i dobre, ale bezużyteczne, bo nic z nich nie robicie.”

Plutarch o *Lacedemończykach*, str. 570.

Nakoniec po tém wszystkiém wytknijmy nasze błędy, powiédźmy sobie szczerą prawdę, bo któż z obcych ją nam powiédź? Żle nasze przysłowie powiada: „prawda w oczy kole.” Nie—prawda jasna jak słońce przyciera oczy, prawda zdejmuje z nich kataraktę—połudę. Jużto ćwierć stulecia upłynęło, jak reszta Europy robi usiłowania, ponosi koszta, ażeby swoje mienie zabezpieczyć od gradobici. My *miliony* ponosimy strat od burz gradowych, a czyliż aby jedno usiłowanie, aby jedno doświadczenie wprowadziliśmy w życie praktyczne, by tym sposobem ocalić od zniszczenia nasze chlebotajne, dobroczynne niwy, których każdą skibę znojem obleliśmy? Spadło nieszczęście, burza niespodzianie jak piorun całe dobro, całą pracę w perzynę obróciła. I cóż!... załamaliśmy ręce, głęboko westchnęliśmy, gorzko zapłakaliśmy, a wzięwszy kij pielgrzymi w ręce, poszliśmy żądać ulgi w podatkach, wsparcia od rządu; wsparcia, które pomimo najszczerzej chęci dawców nie jest w stanie zagoić ran klęską zadanych, nie jest w stanie powrócić w setnej części tego, cośmy na wiele, bardzo wiele lat, bez powrotu, bez powetowania stracili.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Lucyana Siemieńskiego Powieści. Petersburg. Nakładem  
B. M. Wolffa, w drukarni Wejmara.*

**W** owych czasach, kiedy felietony pism francuzkich najgłośniej brzmiały olbrzymiemi kompozycjami pp. Sue, Dumas, Soulié, Féval i t. d., zajmując całą Europę czytającą powieści machiawelskimi zamachami stanu Rodin'a lub dziwnemi Hrabiego Monte-Christo przygodami, najgłośniej narzekano u nas na skąpe produkowanie oryginalnych powieści, na powolny rozwój przystępnego tego utworu. Narzekań tych słuszość uznawała i poważniejsza sfera literackiej społeczności, a między innemi głos autora Prolegomenów, radą a obietnicą usiłował dać bodźca i zachętę powieściowym autorom. Mimo jednak tym podobnych usiłowań i kilku utalentowanych imion, już wtedy poczesne miejsce w tym oddziale piśmiennictwa zajmujących, narzekania nie ustawały. Kiedy nareszcie przebrzmiała w felietonach francuzkich wziętość olbrzymich kompozycji, peryodyczne pisma nasze zaczęły rozpowszechniać powieściowe utwory miejscowych talentów, i produkeya, której tak pragnęliśmy lat temu kilka, znacznie płodniejszą się stała. Postęp czasu rozwiąże kwestyą, czy zjednanie większej liczby czytelników dla powieści, zjednywa ich zarazem dla głębszych utworów rozmysłu wyobraźni lub wiedzy; czy każdy rodzaj powieści może odegrać tę trudną pośredniczącą rolę; czy nakoniec powieści obecnie u nas ogłaszane dostatecznym a strawnym są pokarmem dla czytelników, poprzestających na tém, w co im każe wierzyć pismo przez nich prenumerowane? W każdym razie zyskaliśmy już na tym ruchu powieściowym kilka utworów, mogących współzawodniczyć z wielu zagranicznemi; są i takie, co rzeczywiście wzbogacają piśmiennictwo nasze. Cieszymy się więc z tego co mamy, oczekując lepszej przyszłości.

W epoce powszechnego utyskiwania na brak oryginalnych powieści, znakomity tłumacz Królodworskiego rękopisu dał nam już poznać, prócz kilku udatnych szkiców, w rozmaitych pismach umieszczanych, zbiór obszerniejszych powieści swoich, usiłując w nich na rodzimą widownię czysto-rodzime wyprowadzić postacie. Mało-dbanie jednak o sztuczny



związek powieściowy, pożyczanie nawet intrygi od obcych autorów, powszedniość pomysłu, a czasem i obrobienia razity w Muzamerycie obok ustępów pełnych wdzięku i łatwości, których tajemnicę zna tak dobrze talent Siemińskiego. Obecny zbiór szkiców w zgrabnym wydaniu Wolfa powieściami nazwanych, czyta się nierównie z większą przyjemnością od powieści *przy świetle księżycy*. Złożony on z siedmiu utworów, które po kolei przeglądać będziemy.

Pierwszy, pod napisem: *Powieści w podróży*, jest jakoby przygotowawczym do dalszych; w nim autor stanowisko swoje uwydatnia i zakreśla. Pędząc koleją żelazną po obczyźnie, woła z Bürgerem: „O! umarli prędko jadą!” Okrzyk ten poety wydałby się jeszcze bardziej splecnicznym lub chorowicie-marzycielskim, gdyby zniechęcony podróżny nie umiał tęsknić tak wymownie do rodzonych drózek, gościńców, borów, łąnów zielonych i bryczek. Wspomnienie ziemi ojczystej przypomina mu, jak podróżował na Podolu z woźnicą Rusinkiem i starym szlachcicem gadułą. I otóż trzy powiastki, a raczej trzy dykteryjki: o panu Kaniowskim, o krzywoprzysięctwie i o upiorze. — Dwóch OO. Bernardynów zaniemogłszy w skutek wilczej choroby, to jest nazbyt utywszy, jechali do Krzemieńca do doktora. Droga wypadła na Począjów, gdzie s. p. starosta kaniowski swoim kosztem bazyliński klasztor wznosił. Posilając na popasie żołądek skromną faską bigosu, pośladkiem cielęcym i sztofen węgryzna, uskarżają się przed kozakiem ze służby Kaniowskiego na widoczny brak apetytu z powodu wileczej owiej choroby. Kozak, a raczej sam starosta za niego przebrany, obiecuje ojcom, że ich Kaniowski prędej od Niemca krzemienieckiego wyleczyć potrafi; na co mnisi odpowiadają, żeby lepiej zaczął od wyleczenia własnej swojej głowy. Kozak zdawał się to puścić mimo uszu, ale gdy ojcowie w dalszą ruszyli drogę, otrzymują zaprosiny starosty, które radzi nieradzi przyjąć muszą. Kaniowski dotrzymując lekarskiej obietnicy, ojcu gwardyanowi każe fartuch przypasać i murować, a drugiemu ojcu cegłę wozić do budującego się wspaniałego klasztoru. Potrzymawszy ich tak ruski miesiąc na skromnym wikcie i w ustawnym ruchu, sprawił, że owe piętrzaste podbródki i ogromne brzuchy poznikały jak kamfora; apetyt zaś do dawniej wrócił dzielności.

Przypuściwszy, że ta dykteryjka wyjść mogła z ust gaduły szlachcica, pan kaniowski widocznie zeszedł się w pomysłę z Fryderykiem W., który tym samym sposobem brzuchatego *Commercial* czy *Legations-ratha* do zdrowia przyprowadził. *Les beaux esprits se rencontrent*. Przypuściwszy, że ta dykteryjka w polskie tylko odziana suknie, a pomysł jéj obcy, to krój tych sukien prawie nie nie pozostawia do życzenia. Bardziej miejscową ma cechę ludowa gawędka Rusinka o kopcu, a facecya szlachcica o upiorze, może niezupełnie właściwie w jego usta włożona, a raczej niewłaściwie z nich wychodzi; podanie to bowiem krąży w sferze nieszlacheckiej.

— „Bodajto stare czasy! ilekroć je wywleczesz i postawisz z nowemi, rzekłbyś, dwa obrazy, których mistrzowie wiecznie o prym się kłóca. Jeden będzie malowany ręką jakiego Rafaela; nie widziałeś tych ludzi na oczy i może ich nigdy nie było, a oni ci zakrzyczą w duszę; drugi będzie odbijał w zwierciadle flamandzkim rzeczywistością znane ci osoby. Po-

dobne!—zawołasz i odejdiesz zimny. Otóż przyczyna, dlaczego je lubię, mimo że tyle złego na ich karb nakładzono; lubię je choćby dla ich całości, terażniejszość bowiem jest tylko fragmentem, a ja na zabój niecierpię fragmentów. Lubię je choćby nareszcie dla owjej butelki dobrze zakorkowanej, dla prostych i czerstwych uczuć!

Tym wykrzyknikiem z pełnej piersi rozpoczyna autor nawpół rubaszną, nawpół wesołą powieść pod napisem: *Jak to dawniej kochano!* Pan Szczuka, dworzanin marszałka Lubomirskiego, po długim wzdraganiu i małowolności białychgłówek, kocha się na zabój w pannie respektowej księżnej, w gładkiej, wabnej i romansowej Basi, która Koleandra i Leonildę od deski do deski pracowicie przeczytała. Napróżno oddawna smali cholewki, a na Basi wyznania miłości wyprosić nie może. Nareszcie ostatni atak wymierzywszy, płocha dziewczyna każe mu pod Janowcem wezbraną Wisłę wplaw tam i nazad przepłynąć, i po dokonaniu tej niebezpiecznej próby, jeszcze drwinek sobie z niego pozwała. Rozjuszony szlachcic wydobywa z pochw serpentynę, i gładkie lice syreny, fatalną kręszą naznacza. Ucieka, srodze pokutuje potem w Częstochowie. Powieściowym trafem, zjeżdża tam z dworem marszałek. Szczuka z radością poznaje w kaplicy Basię z blizną na twarzy, którą myślał, że zabił. Przeprosiny, zgoda, wesele i koniec.

Powiastrka ta nader zgrabnie obrobiona. tok jej zamaszty i prawdziwie szlachecko-polski, ale gdyby nawet z prawdziwego wzięta była zdarzenia, autor powinien był zamiast cięcia szablicą wpaść na inny pomysł. Ojcowie nasi, wprawdzie, podchmieleni węgrzynem, strzelali do korków naszych prababek, pewni, że nie chybią; ale zresztą pełni byli uczciwości i należnego szacunku, a nawet słabi dla płci pięknej, tém bardziej w tych czasach, które autor wyprowadza na scenę, gdzie wrodzoną rycerskość zalotna dworskość francuzka zmiękczyła, a pan Szczuka, ulubiony dworzanin księcia Lubomirskiego i zfrancuziałej księżnej, musiał mieć o nią wyobrażenie. W najmniejszym obrazku z przeszłości, piętna ogólnego charakteru epoki prawdziwie uwydatniać się muszą. Wszystko co wyjątkowe, wypadkowe, osobiste a pjemne, o tyle obudza zajęcie, o ile służy za tło, na którym się dobra owoczesna strona rysuje, albo o ile ta wyjątkowość niepospolitą oryginalnością uderzyć może; a zaciekle Szczuka, nawet, kiedy mu krew do głowy uderzyła, kiedy już nie był panem samego siebie, jeszcze nie mógł w Basi lice szabłą niegodziwie płać.

W trzecim obrazku: *Miejsce rodzinne* mniej rodzimój barwy jak w poprzednich, bo téż to owa znana, wiecznie powtarzana, a nigdy niezżyta pieśń odczarowania — ostatnie przebudzenie się z ostatniej ułudy życia, ujęte w opowieść: zawsze jedną i tę samą nad brzegami Po, Loary, Mississipi, lub Wisły. Za to w czwartym obrazku pod napisem: *Sarneczka*, podziwiać trzeba talent autora, który z drobiazgu taką miasterną a kunsztowną powiastrkę utworzył.

Za czasów saskich stynał w Warszawie niejaki pan Gasztold, który strwonił majątek na pańskie niespodzianki dla pięknej kasztelanowej Mścislawskiej, do której nieborak daremnie wzdychał a wzdychał. Został mu tylko z całych dostatków mały przysiołek w moczarach i piachach, z którego chciawszy wyżyć, trzeba było jeszcze dolożyć, stary koń

czerkieskiej rasy, którego wierzyciele wziąć nie chcieli i sarneczka faworytka. Przeniosłszy się do tej chudoby, zacny kawaler zabijał czas polowaniem chartami, uczeniem sarneczki faworytki sztuczek rozmaitych i rozmyślaniami o swoich dawnych amatorach. Wtém kasztelan umiera, kasztelanowa z synkiem jedynakiem przenosi się do dóbr swoich w sąsiedztwo strapionego Gasztolda. Synek w wycieczkach swoich na kucyku zapoznaje ex-adoratora swojej rodzicielki i pokochał się w nim bardzo, a bardziej w sarneczce, o którą sam nie śmiać prosić, tak się jój u matki napierał, że dumna pani Mściławska sama w odwiedziny pojechała do kawalera, chcąc koniecznie kapryswi dziecięcia zadosyć uczynić. Skonfundowany pan Gasztold nie wiedząc jak przyjąć tak dostojnego gościa, a spiżarkę nader licho mając zaopatrzoną, sarneczkę, owę jedyną pociechę w niedoli swojej, na rożen skazuje. Następuje wyluszczenie prośby, wyznanie kawalera, synek kasztelanowej umiera, matka dziedziczy po nim ogromne włości i pełnemu poświęcenia kawalerowi rękę oddaje. Obrobienie tego obrazku mistrzowskie, zwłaszcza też odwiedziny pani Mściławskiej u kawalera ze skrupulatną dokładnością i sztuką wykończone; nawet kasztelanie mógł być nie umierać, a wdowa mająca dożywocie na męzowskim majątku, mogłaby śmiało oddać rękę stałemu a dworskiemu kawalerowi.

Najbardziej wykończonym jednak ze wszystkich obrazków tu zamieszczonych jest ustęp pod napisem: *Przygoda podróżnika*. Drukowany był kiedyś w Warszawie i tłumaczony zarazem na ruskie w Jutrzence, piśmie pod redakcją Dubrowskiego, wychodzącem przedtém w naszej stolicy. Zoryan Dołęga Chodakowski (Czarnecki) ów pierwszy poetyczny a głęboki badacz rodzinnych starożytności, autor rozprawy O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej—głównym jój bohaterem. Wyratowawszy z rzeki tonącego Emila wychowanego i wychuchanego przez Matkę marszałkową i labusia Francuza, z gburowatością nieco za teatralną choć naumyślną, na prośby Emila zjawia się w salonie marszałkowej, gdzie nadrwiwszy w duszy z drobiazgowej pretensjonalności do dobrego tonu i niedorzeczności labusia, a nastraszywszy wykwintne towarzystwo swoim obejściem, nie chce przyjąć noclegu w pałacu, ale idąc do chaty wieśniaczej żądać gościnności, trafem spotyka wieśniaka żołnierza z jego dawnego plutonu. Zdziwienie wieśniaka, radość, i wieczornica w chacie i piosneczki:

Aj tycho ne Petrus  
 Bile tyczko, czorny wuś—  
 Sołowiju maleńkij  
 Majesz hołos toneńkij  
 Zaszczebeczi ty myni,  
 Bo ja w czużyj stori.

Jaka szkoda, że tak szczupłe ramy tego szkicu! Pan Siemiński tak umiejętnie przedstawiając zfrancuziałemu towarzystwu pałacowemu, tęskną i rodzinną poezją strzechy wieśniaczej, byłby niezawodnie szczegółowej postacie ludowe obrobił i więcéj tak pięknych, jak dwa poprzednie ustępy, piosneczek przytoczył. Jeden tylko Chodakowski uwy-

datnia się na tle wieczoru i poniekąd Ostafi, a inni uczestnicy wieczornicy tak zlekka dotknięci, że czytelnikowi bardziej w głowie utkwić musi Labuś, marszałkowa i Emil. Dowód, że tamte typy wydatniej odrysowane i że te obok nich tracą, a przecież tam cudne rzeczy śpiewano.

„Cały świat poezyjny ludu, na którym leży pieczęć tajemnicy dla niepoświęconych, ów świat taki świeży, woniący, przejrzysty, stubarwny, jak na dniu stworzenia przebiegał się przed nim; on słucha, on patrzy w to panorama i widzi: gdzieś w dalekiej głębi, zpod mgły siwawej, co wisi na górach, lasach, wyzierają jakieś postacie mistyczne; Did-Łady Czernobocha, niby bóstwa kamienne w swoich kontynach, ale nie rozpoznają rysów dłuta—czy się zatarły, czy ich nie było? bo tylko kawał granitu pozostał, od którego nazwa, echem długim odtętnia i późnym wiekom wciąż dzwoni.” Katastrofa zakończyła tę powieść. Chodakowski wykopał żalnik słowiański z uroczyska, denuncjowany przez żyda, wzięty za złodzieja, przytrzymany. Zjeżdża kapitan sprawnik, a ujrawszy paszport pana Dołęgi i pismo polecające kanclerza Rumiancowa, rzecz się cała wyjaśnia. Labuś jednak, który wiedział, że każdy uczonego powinien być upudrowany i nosić mankietki jak hrabia Buffon, uczcił Zoryana mianem uczonego *à la manière Tartare*.

Trembecki na dworze pana Szczęsnego, nizkie dworactwo poety, pycha pańska założyciela Sofiówki, płaskie pochlebstwa autora Zofiówki, piękność Zofii i znana pieśń gminna o Szczęsnym są przedmiotem obrazku pod napisem: *Ogrody i poeci*. Tu także jak w poprzednim *porównanie dwóch światów*, dwu warstw społeczności. Obrazek ten ma następującą dewizę Szlegla: „autorstwo jest, stosownie do tego jak je kto wypełnia, niegodziwością, wybrykiem, zarobkowaniem, rzemiosłem, sztuką, cnotą.”

Pośród tylu zjawiających się u nas powieści, pan Siemiński oddzielną od innych, swoją własną idzie drogą, do której mu talent jego wszelkie daje prawo. Niejeden czytelnik większą korzyść odniesie z tych ulotnych szkiców, niż z wielotomowych przygód jakich romansowych lub nieszczęśliwych bohaterów czy bohaterek. Ale szkoda, że tylko ten jeden tomik mamy do czytania, i że w nim wiele dawniej już drukowanych rzeczy, bo jeżeli poetyczna a raczej liryczna natura tłumacza Rękopisu Królodworskiego nie smakuje w obszerniejszych powieściowych utworach, niechże nam przynajmniej obficie udziela tych ognistych szkiców, które z taką łatwością muszą płynąć z pod wprawnego pióra znakomitego autora.

Włodz. Wol.

---

*Wody lekarskie szczawnickie, opisał Dr. M. Zieleniewski. Kraków.  
W drukarni Czasu. 1852.*

Zpomiedzy lekarstw, któremi medycyna poszczycić się może, wody lekarskie, czyli jak je dawniej mineralnemi (niewłaściwie) nazywano, niepoślednie miejsce zajmują. Sama ich wielość rozrzucona po całej zie-

mi, bardzo dawne, bo jeszcze u starożytnych narodów empiryczne używanie budzi uwagę myślącego; a jeśli dołączymy do tego ich szczególniejszy skład chemiczny i stopień przechodowy od jednych wód rodzimych do drugich: w zadumienie wpaśćby nam wypadło, jak i tutaj mądra przyroda nic nie tworzyła bez pewnych prawideł, bez wyraźnego celu i zbawiennych owoców. Naukowa i umiejętnicza jest wartość a potrzeba zbadania tych darów przyrody; ich bowiem skutki tyle niezaprzeczenie dobrego cierpiącym przyniosły, iż obowiązkiem staje się dzisiaj dla lekarza gruntowne poznanie i ocenienie wód uzdrawiających: wszakże nieraz dla chorych są one *ostatnią nadzieją* przywrócenia zdrowia. Każde przeto nowe w tym kierunku usiłowanie jest pożądanym dla nas przedmiotem w dziedzinie nauk, tém większego dla nas interesu, jeżeli zadaniem pracy był lub jest przedmiot krajowy. Z tą myślą i uczuciem witamy dziełko dr. Zieleniewskiego, opisujące wody lekarskie szczawnickie w Galicyi w cyrkule sandeckim położone.

Ponieważ zewnętrzna forma dziełka naprzód pod oczy podpada, daruje czytelnik, iż od tego uwagi nasze zaczynamy. Dziełko o 127 str., 8ka śred. drobnym drukiem odbite, okrywa kolorowa okładka ozdobiona 4 drzeworytami do przedmiotu się odnoszącymi (rzadkość u nas), okolice szczawnickie przedstawiającymi, a narysowanemi z smakiem i lekkością. Ich odbicie jak równie czystość i poprawność druku, rzetelną a znaną już dobrze zasługę drukarni Czasu stanowi. Na odwrotnej stronie okładki jest drzeworyt, wewnątrz jednego źródła szczawnickiego przedstawiający; szkoda, że bez podpisu, bo jest wiernym miejscowości obrazem. Umieszczone w samym dziełku 6 rycin w Wiedniu przez Sandmanna wykonane, przedstawiające oprócz ważniejszych miejsc Szczawnicy widoki jej rozkosznych okolic, jakoto: widok na Pieniny, przejażdżkę po Dunaju, Czerwony Klasztor, zamki Niedzic i Czorsztyn, nietylko są ozdobą książki, ale zarazem nic do życzenia nie zostawiają. Według nas sąto pierwsze ryciny tak piękne i zgodne z rzeczywistością, jakie w polskich hydrografiach widzieć się dają.

Teraz wróćmy do rzeczy samej, do ocenienia wewnętrznej naukowej wartości pracy autora. Po krótkiej przemowie wyjaśniającej kierunek pracy autora, rozpoczyna opis podróży do Szczawnicy, którą z Krakowa albo bitym cesarskim gościńcem na Bochnię i Nowy Sącz, albo na Nowy Targ stanowczo kierować należy. W pierwszym razie podróżny zapozna się z Starym-Sączem, powita pełen ruchu i igrzyska Dunajec, a nakoniec wśród dziko-romantycznej okolicy 4½ mili pojedzie. W drugim razie zwiedzić może Czorsztyn i miasteczko Krościenko, zanim do Szczawnicy przybędzie. „Obie te drogi, zdaniem autora, zarówno malownicze, odślaniają mieszkańcom dolin niewymowne piękności i zajęcia w podróży, budząc ustawiczną ciekawość poznania kraju tak wyniosłego nad poziom morza. Tu inna powietrzność, inne podniebie, odmienne roślinie, sam nawet mieszkanięc ubiorem i zatrudnieniem różny—wszystko to następcza zajmujący co krok przedmiot nieustannych spostrzeżeń.”

W opisie topografii i geognozyi Szczawnicy, uczone badania profesora dra Zejsznera głównym dla naszego autora były przewodnikiem.

Przedmiot ten stanowczo rozstrzygnięty, iż Szczawnica niewątpliwie wulkanicznego jest początku, nie potrzebuje więc dowodów nad te, które autor zamieścił. Jeżeli język ma stanowić jakową zasługę piszącego, zaiste nigdzie to tyle nie waży, co w pracach ściśle naukowych. Tutaj bowiem obok gruntowności i dokładności w wypracowaniu przedmiotu, wymagamy łatwego a *zastosowanego* wystąpienia, treściwości i wdzięku naszej mowie tak właściwych. Właśnie też z przyjemnością wyznajemy, iż praca autora, jakkolwiek ściśle naukowa, temi zaletami poszczycić się może. W każdym niemal wierszu spostrzedz możemy łatwo w autorze wychowanka szkoły lekarskiej krakowskiej, której czystość języka naukowego, prawdziwą cześć przynosi. Dokładność, z jaką autor pracę swą prowadzi, towarzyszy wszędzie, szczególnie (prócz hydrografii wód słodkich tamtejszej okolicy) w osobnym ustępie źródeł lekarskich Szczawnicy. W części botanice miejscowej poświęconej, autor nie podając źródeł, pozwole nam się domyślać, iż mu Besser, Walenberg i Zawadzki przewodniczyli. Klimatologia miejscowa i jej wpływy na ustrój ludzki dokładnie oznaczone; przywiedźmy tu wyrazy samego autora: „W ogromnej przestrzeni świata powietrze największą część téjże stanowi; człowiek wraz z całą przyrodą potrzebuje go niezbędnie, wszędzie jest niem otoczony, a wszelkie działania siły żywotnej tylko wśród powietrza miejsce mieć mogą. Za pomocą niego odbywają się wszelkie objawy żywotne, bo je ciągle pożywamy tak wewnętrzną jak i zewnętrzną ciała naszego powierzchnią (tu za pomocą powłok powszechnych, tam przez błony śluzowe narzędzi oddechów i trawienia); ono utrzymuje wszelkie przyswojenie, pośredniczy wnikaniu, wydzielaniu, przywodzi do zmysłów naszych brzmienie, światło, a nawet czucie ogólne: jest przeto bezsprzecznie najważniejszą dźwignią życia organicznego. Jak dla pojedynczego człowieka największą jest wagi powietrze; tak wpływ jego równie jest wielki na całą ludność i t. d.” „Wszakże to morze powietrzne wraz ze wszystkimi jego czynnikami, przez które na ustrój działanie swe wywiera, ulega nieustannej zmianie nietylko pory czasu, różnicy krajów i geograficznego ich położenia, ale nawet szczegółowym miejscowościom. Przecież ta różna mieszanina składowych części powietrza, jego ciepłoty, stopnia nasycenia wilgocią wraz z siłą ciśnienia i sprężystości, własności jego elektryczne, wszystkie razem przedstawiają tak silne zespolenie, iż tylko wspólnie i zbiorowo w skutkach swych uważanemi być muszą. Sprawiedliwie zatem starożytni tę niepojętą istotę w przyrodzie, którą my wraz z niemi ogólnem mianem powietrza zowiemy, podnieśli do godności samodzielnego żywiołu (elementu). Mimo niezmiennego składu części powietrza, mimo trudności, a nawet niepodobieństwa w ich ocenieniu za pomocą narzędzi fizycznych, różne są uczucia z działania na zmysły nasze różnych odmian powietrza, bo zmysły nasze daleko dzielniejszymi są narzędziami do ocenienia różnic i wszelkich jego objawów, od wszystkich najdelikatniejszych nawet instrumentów. Ucho, oko, a nawet zmysł powonienia odkrywa różnice, których ani fizyka, ani chemia analityczna wykryć nie zdoła.” Stosunki ziemnicze (telluryczne), które zdaniem autora stanowią drugi czynnik klimatyczny każdej miejscowości, równie dobrze i treściwie skreślone. Obznajomiwszy czytelnika poszczegóło o ile sama

powietrzna, a ile wpływy ziemnicze (telluryczne) są warunkami życia i zdrowia; autor wyprowadza wnioski, radząc pobyt dla chorych w Szczawnicy „przedewszystkiem tam, gdzie cierpienia skutkiem tak zwanych poniżających wpływów i pobytu w ciasnym, ciemnym, wilgotnym i niezdrowym powietrzu powstały lub przyczynę swoją mają. Dlatego powietrze tutejsze mimo tożsamości składowych części chemicznych, zawsze i wszędzie będzie korzystnym, i niezawodnie zbawienne skutki przyniesie, gdzie tylko ciągłego działania czystej, lekkiej i ożywczej atmosfery potrzeba. Wpływy tutejszego powietrza na utkanie włókna i tkaniny zwierzęcej są niezaprzeczone; onoto wzmacnia i utrwala nadwątlone części dróg oddechowych (dla których Szczawnicę najczęściej radzimy) i to nie tylko w pierwotnym, ale i tym więcej następowym działaniu za pomocą podniesionego do wyższej potęgi umiażdżania, umleczenia i odżywiania. Po kilkotygodniowym pobycie w Szczawnicy, osoby niezdolne do żadnego ruchu, wycieńczone na siłach, bez pożądania pokarmów, przerażające woskową bladeścią swój twarzy i bezsenne nocy przepędzające, wracają na łono rodziny, dzieląc szczęście i rozkosz między ukochane osoby.”

Po krótkiej wzmiance o etnografii Szczawnicy, gdzie autor swe usiłowania wspiera na znakomitych poszukiwaniach w tym rodzaju przez profesora Pola poczynionych (Północne stoki Karpat. Kraków 1851), podaje nam w następnym rozdziale rys historyczny Szczawnicy i jej wód uzdrowiających, z którego dowiadujemy się, iż osada tutejsza już w roku 1491 miała swój kościół, jak tego dowodzi zdanie sprawy z wizyty Kazimirskiego, który w roku 1596 z rozkazu kardynała Jerzego Radziwiłła tę okolicę zwiedzał. Wieś Szczawnica zaś stanowiła część starostwa czorsztyńskiego, którym hojność królewska wynagradzała Zawiszę Czarnego, Firlejów, aż do ostatniego hr. Józefa Potockiego, po którego zgonie dobra starostwo składające, stały się własnością skarbu (cesarstwa austriackiego). Kiedy jednak pierwszy raz wód tutejszych używać zaczęto, tego nam autor nie podaje, bo początek wszystkich tego rodzaju zakładów kąpielnych i lekarskich ginie w odległej przeszłości, do którego czysty empiryzm statecznie drogę torował. Wspomina jednak, iż około roku 1790 przybywali tutaj liczni mieszkańcy okoliczni, co podanie ustne dochowało. Dalsze koleje i losy źródeł tutejszych, autor porządkiem chronologicznym przechodzi i poznaje nas z dzisiejszym stanem zakładu, jaki obecnie istnieje. Poczem przystępuje do ocenienia fizycznych i chemicznych własności źródeł. Znajomość przedmiotu i staranna dokładność z jaką tutaj w pracy idzie, zasługuje na naśladowanie. Ustęp o działaniu i skutkach fizyologicznych osiągniętych z użycia wody szczawnickiej u zdrowych, jako wzorowy i samodzielny, mocno nas zająć potrafił. Według bowiem naszego zdania skutki lekownicze (terapeutyczne) tylko na zasadach fizjologii opierać się winny. Nie mogąc bez uszczerbku streścić tego przedmiotu, odsyłamy czytelnika do pracy autora. Co się tyczy świadectwa skuteczności wód, autor dowodzi, że doświadczenie w nauce lekarskiej prawdziwym jest źródłem: i wiadomości swoje i wnioski co do orzeczenia o skutkach w pojedynczych chorobach, gruntuje na zdaniu wielu swych poprzedników, uzasadnia ich prawdę aktami instytutu klinicznego krakowskiego, a na zakończenie podaje ostatnie doświad-

czenie z tą wodą w Wiedniu po szpitalach czynione, i przytacza dosłownie, jak je dr. Flechner skreślił do dzieła: *Zeitschrift d. K. K. Gesell. d. Aerzte zu Wien. Redacteur dr. Hebra. 1851.* Dalsze rozdziały poświęcone są dla nielekarzy, gdzie jest o przygotowaniu do leczenia wodą szczawnicką, o leczeniu właściwem i t. d. Jasność, zrozumiałość, dokładność w tym dziale tak konieczna, najdobitniej się tu pokazują. Praca przeto autora podwójnego jest użytku: w rękach bowiem nielekarzkiej publiczności będzie bezpiecznym przewodnikiem w zachowaniu się chorych przy użyciu wody.

Ostatni rozdział swego dziełka<sup>e</sup> poświęcił autor porównaniu wód szczawnickich z odpowiedniami szczawami alkalicznymi innych krajów, a mianowicie z wodą selterską i salzbruńską, z czego się okazuje, iż wody szczawnickie hojnie częściami składowymi uposażone, pomiędzy innymi alkalicznymi pierwsze zajmują miejsce. W końcu dołączył autor przypisy objaśniające przeszłość, korzystając z prac pp. Łepkowskiego i Jerzmanowskiego, jakie w Bibliotece Warszawskiej (T. III r. 1850) zamieścili. Dołączona literatura mieści najmożliwsze wyszczególnienie wszelkich pism, monografij, jakie kiedy o Szczawnicy ogłoszone były. Treściwe a trafne ocenienie każdej, dowodzi, iż autor nie bez zasobu i doświadczenia w przedmiocie swoim rozpatrzył się. Małe usterki, które jako omyłki drukowe lub pisemne wydawać się mogą, obok tylu zalet, są prawie bez znaczenia. I tak: droga do Szczawnicy od Nowegotargu idzie po lewym brzegu Dunaju, gdy autor mówi po prawym. Co do daty zgonu ś. p. Stefana Szaleja i odbioru zarządu zakładu przez następcę zachodzi dwuznaczność. Toż nie wiemy, dlaczego autor w tak sumiennym wyliczeniu pism o Szczawnicy, pomija ostatnie uwagi dra Flechnera p. n.: *Bericht ü. die im J. 1851 in Wien beobachteten Wirkungen der Mineralwassers von Szczawnica in Galizien, vorgetragen in d. ther. Section d. k. k. Ges. d. Aerzte am 28 Febr. 1852 v. dr. Flechner w. Zeitschrift d. k. k. Gesell. der Aerzte zu Wien.* Wszakże drobne braki nie ujmuja wcale zasługi dra Zieleniewskiego, jaką położył w hydrografii wód lekarskich krajowych. Bodajby tylko jak najprędzej i inne wody podobnymi monografiami poszczycić się mogły, skoro, jak mówi autor, dobroczynna przyroda daleko hojniej nas pod tym względem uposażyła, niż inne kraje.

---

*O wpływie, jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak i leśne w ogólności, a w szczególności o owadach lasom szkodliwych, przez Kazimierza Wodzickiego. Leszno. 1852.*

Mała ta broszurka, bo zaledwie 48 str. licząca, z wielu względów zasługuje na uwagę publiczności. Dotyczy naprzód ważnego dla naszego kraju przedmiotu; niezadługo bowiem z powodu coraz więcej czuć dającego się braku drzewa, gospodarstwo leśne (szczególniej w prywatnych



dobrach) podniesione być musi do stanowiska, na jakim widzimy je w innych zachodnich krajach. Powtóre, autor, zaszczytnie znany badacz ornitologii krajowej a zarazem gospodarz, przy wydaniu téj pracy powodowany był tą myślą, że „drukowanie pism przystępnych dla leśniczych o ile możliwości zajmujących i zmuszających do czytania, w których dokładne opisanie owadów i ich nieprzyjaciół w lasach żyjących, obznajomi ich z pierwszym zarodkiem i uczyni możliwem zapobieżenie zarazie. Taniść tych pism, *przyłożenie chętnéj ręki* właścicieli do pożytecznego dzieła, rozpowszechni w kraju początki historii naturalnéj, tak niezbędnéj do gospodarstwa.”

Wielce trafna myśl, która w ościennych krajach tak wszechstronie została urzeczywistnioną i tyle błogich przynosi owoców, u nas jednak bardzo powolnie w czyn zostaje wprowadzana.

Podobnych pism oprócz ścisłości naukowej, ważną jest zaletą sposób traktowania, *o ile możliwości* zajmujący. Obudwu tym właśnie warunkom wspomniona broszura w zupełności czyni zadosyć; za stronę naukową ręczy znane powszechnie imię szanownego autora, co się zaś tyczy sposobu pisania, to można powiedzieć, że ta broszura choć treści naukowej, z przyjemnością i zajęciem przez wszystkie osoby czytana być może. Szczęśliwie dobrane historyczne anegdoty, przytoczone przykłady głównie z okolic naszego kraju, przytém trafny sąd gospodarza znającego stosunki miejscowe, język czysty i piękny, mogą i powinny służyć za przykład, jak pisać należy dziełka, aby najpewniej osiągnęły cel, upolaryzowania nauki. Pożądaną byłoby tylko rzeczą dołączenie rycin, lecz przez to cena znacznie podniesionaby została.

O ile z przyjemnością czytaliśmy to dziełko, o tyle zasmucił nas jego koniec, w którym szanowny autor rzuca w części prawdziwą, lecz bolejącą uwagę o obojętności rodaków do nauk przyrodzonych, tyle dla nich potrzebnych. Ta obojętność innych, zdaje się zniechęcać autora do dalszéj pracy. Trudną jest do wytłumaczenia ta obojętność współziomków na własne ich dobro; dodamy wszakże, że nie jest już powszechną: ustępuje ona jeżeli nie zamiłowaniu, to przynajmniej uznaniu potrzeby nauk przyrodzonych do gospodarstwa postępowego. Dlatego poczytujemy za obowiązek zapewnić szanownego autora, że tak ta, jak i inne prace zpod jego pióra wyszłe, niezaprzeczenie swój cel osiągną; bo prace uczonego umiającego się tyle zniżyć w wykładzie, choć powolnie, ale pożądany odniosą pożytek. A więc pozostaje nam tylko życzenie, aby autor nie zrażał się na téj drodze; przedmiot zaś, któremu tyle lat poświęcił, może jeszcze liczne przedstawić miejsca, z których nasza publiczność przekona się o użyteczności i ważności dla nas zoologii, a ztąd pośrednio pobudzi się do jéj zamiłowania.

S. P.



# ROZMAITOŚCI.

## *Rzut oka na Herzogowinę.*

Nie posiadamy jeszcze do obecnej chwili żadnych pewnych i dokładnych wiadomości, któreby nam zdolne były przedstawić Herzogowinę w rzeczywistym jej stanie; szczegóły bowiem, których nam o niej udzielili podróżujący cudzoziemcy, zawarte są zwykle w ogólnych o Bośni i Herzogowinie, pomimo tego, iż Herzogowina teraz stanowi zupełnie oddzielną turecko-europejską prowincją, mającą swój własny i zupełnie odrębny od Bośni rząd polityczny i kościelny. Znaleźliśmy w niektórych słowiańskich pismach peryodycznych niewielkie ustępy o Bośni i Herzogowinie, dość nawet ciekawe, z powodu zawartych w nich spostrzeżeń i uwag tamiecznych duchownych nad obecnym w tych krajach stanem katolicyzmu. Cośmy więc ważniejszego i ciekawszego z pism ich wyczerpnąć mogli, pośpieszamy podać w krótkim opisie do wiadomości czytelników.

Herzogowina obecne swoje nazwisko otrzymała w r. 1440 od pierwszego w niej księcia Stefana Čhronicza czyli Kosacza. W starożytności były tu trzy oddzielne prowincje, z których północna, jak wnosić należy z tytułu królów węgierskich, oraz serbskich dyplomatów, nazywała się *Rama* (1); środkowa, według twierdzenia niektórych historyków nosiła nazwisko *Zachulma* (2), trzecia zaś, południowa, otrzymała nazwanie

(1) Bela król węgierski, jak twierdzi Lucyusz (de regno Dalmatiae et Croatiae) nosił w tytule swym w 1133 r. nazwisko króla Ramy (Rex Ramae), które następnie zamienionem było na Rex Bosnae; a jakkolwiek niektórzy pisarze, jakoto: *Petrus de Reva* (in monarchia et s. corona Hungariae) wywodzą nazwisko to od Ramy w Palestynie, podając, jakoby Andrzej IIgi król węgierski, nie chcąc za otrzymane zwycięstwa przyjąć tytułu króla palestyńskiego, pokorą powodowany, zgodził się na przyjęcie tytułu królewskiego w jednym tylko z miast Palestyny, Ramie, dokładniejszym i właściwszym być się zdaje wywód tegoż nazwiska od Ramy, istniejącej podówczas w Herzogowinie, w czasie, gdy około 1080 r. Władysław król węgierski został królem Dalmacyi, a Węgrzy opanowali Bośnię wraz z Herzogowiną.

(2) *Zachulmi dicti sunt*, pisze Konstantyn, *a monte Chlumo nuncupato, et alias Slavorum dialecto, Zachulmi dicuntur ii, qui post collem habitant* i t. d. Marko Orbin zaś, uczony pisarz słowiański XVII stulecia, w dziele swém: *il regno degli Slavi*, podaje, że *Zachulma* nazywała się u Słowian *Zachliwno, Zaliwno*,

*Terbunii* i *Konalii* (1). Granice ich rozciągały się na wschód do rzeki Neretny (*Orontius*), na zachód aż do brzegów morza Adryatyckiego. Jako części starożytnego Illiryku, prowincye te zamieszkałe były pierwotkowo przez narody trackiego i galijskiego plemienia. Jeżeli zaś pomiędzy nimi znajdowały się słowiańskie pokolenia pod nazwiskiem *Wenetów*, *Awarów*, lub *Gotów*, to według świadectwa wiarogodnych badaczy Słowiańszczyzny, takowych była bardzo mała liczba. Nie pierwój, jak w pierwszej połowie VII wieku nastąpiło zaludnienie się *Ramy*, *Zachulmy* i *Terbunii* plemieniem czysto-słowiańskiem; wówczas, gdy wyparci z niższej *Mizyi* przez *Bulgarów* *Boosy*, zaludnili dzisiejszą *Bośnię*; a *Chorwaty*, którzy przybyli od gór *Karpackich*, zajęli brzegi morza Adryatyckiego. Plemię czysto-słowiańskie zostawało pierwotkowo pod władzą cesarzów bizantyjskich. Po śmierci cesarza *Herakliusza* oddzieliło się od *Grecyi* i rządzone było przez niepodległych *zupanów*. Z liczby *zupanów* przetrwały do naszych czasów nazwiska: *Wusewuca*, *Michała* i innych *zupanów* w *Zachulmie*, *Beli*, *Kraina*, *Chwalimira*, *Czudomira*, *zupanów* *terbuńskich*. Wreszcie, niepodległość ich nie była stałą i ciągłą. W skutek dawnych wojen i wojny z *Grekami*, niejednokrotnie ulegać musieli władzy, to *mieszkańców Dalmacyi* lub *Greków*, to *znowu Bulgarów* za królów *bulgarskich* *Samuela* i *Jana*, to *Kwatów* lub *Węgrów*, a z tego powodu przez przeciąg trzech lub więcej wieków, historia ich trudną jest do zbadania (2). Z początkiem XI wieku, wiadomości w tej mierze stają się nieco pewniejsze. O *Ramie* i *Zachulmie* niesie podanie, iż wówczas, gdy *banowie bośnijscy* zostali uznani za niepodległych, władza ich rozszerzać się zaczęła i nad temiż prowincjami. Takim sposobem *ban bośnijski* *Barycz* w 1154 roku odbił od *żupana* *Demi* znaczną część *Zachulny* i *Terbunii*, i połączył ją z *Bośnią*; a lubo potomkowie *Braniwoja* wkrótce odłączyli ją od *Bośni*, *Stefan IV* *ban bośnijski* na nowo je opanował, następny zaś król bośnijski *Twrtko* zagarnął i *Ramę* pod swoją władzę. Od této właśnie epoki, terażniejsza *Herzegovina* przyłączoną została do *Bośni*, a rząd w niej poruczono *domowi Chraniczów*. *Włatko Chranicz*, syn *Wuka Chrany* *zupana*, urodzony w 1379 r. otrzymał od *Twrtka Igo* króla bośnijskiego godność pierwszego *wojewody*, i w 1389 r. z 20,000 ludzi udał się na pomoc *księciu serbskiemu Łazarzowi* przeciwko *Turkom*. *Turcy* zwyciężywszy *Serbów*, pustoszyli *Bośnię*, lecz 20go czerwca tegoż roku, *Włatko* otrzymawszy nad nimi świetne zwycięztwo, wypędził ich z *Bośni*. Król *sowiecie* za czyn ten wynagrodził *wojewodę*, ofiarując mu *Zachulmę* w *dziedziczną*

i wywodzi nazwisko to od miasta *Liwno*. Inny pisarz w dziele: *de Istro*, pisze także *Zachlivni*, *corruptite Zachlumi*, *ab Hliwno alias Clinovo*, *Bosnae superioris seu Ramae oppido*. Zdaje się przecieź, iż zdanie *Konstantyna* przyjęte przez *Słowian* jest najzasadniejszém.

(1) Cumque ea, quae nunc Servia dicitur et Pagania, quaeque Zachlunorum terra vocatur, item Terbinia et Canalitorum regio, quae Imperatoris Romanorum ditiones erant, propter Abarum excursiones deserta essent, expulsis inde Romanis regiones illas Servii habitandas Imperator dedit. Nazwisko *Terbunia* wyprowadzają od wyrazu słowiańskiego *twerdynia*.

(2) Szaffarzyk *Starożytności słowiańskie*.

własność jego rodu. Włatko miał 4ch synów: Sandala, Wukszę, Wuka i Wukicza. Wuk i Wukicz zabici zostali przez krewnych Pawła Radinowicza, zabitego przez Wuka. Godność ojcowska przeszła na starszego syna Sandala. W charakterze wojewody walczył tenże w 1410 r. z Zygmuntem królem węgierskim. Za zwycięstwo nad Węgrami otrzymane, król Ostoja darował Sandalowi na własność dziedziczną Ramę, czyli województwo św. Sabby (1). Sandal umarł w 1435 r. nie zostawivszy po sobie potomstwa, a rządcą Ramy i Zachulmy został synowiec jego Stefan, syn Wukszy. Stefan zmienił nazwisko swe z Chranicza na Kosacza od miejsca swego urodzenia i zaszczyconym został przez cesarza niemieckiego Fryderyka IIIgo dostojenstwem książęcóm (Herzog). Od tego więc czasu Rama i Zachulma zostały nazwane Herzogowiną. Stefan powiększył swe posiadłości na wschód do Nowego-Bazaru, na zachód do Raguzy, i z tego powodu miał wiele sporów z sąsiednimi władcami, a szczególnie z Raguzanami. Z postępem czasu powstał przeciw niemu syn jego Władysław, i Stefan zniewolonym był po kilkakroć wzywać pomocy sułtana i królów węgierskich, dla uśmierzenia podległej mu prowincyi. Stefan umarł w 1466 r. i pozostawił po sobie 3ch synów z piérwszój żony Anny Kantaguzen: Władysława, Władkę i Stefana. Ostatniego oddał ojciec sułtanowi jako zakładnika, gdzie tenże przyjął wiarę islamizmu, starsi dwaj bracia Władysław i Władko, po śmierci ojca rozdzielili między siebie Herzogowinę na dwie części: jeden z nich wziął Ramę, drugi Zachulmę; lecz właśnie podział ten stał się ich zgubą, Bajazet IIgi albowiem napadłszy na nich w 1483 r. wygnał ich z Herzogowiny i opanował takową. Dalsza historia Herzogowiny nie przedstawia nam żadnych godnych uwagi politycznych wypadków i lepijby ją nazwać można historią ciągłych nieszczęść narodu serbskiego, pod rządem wezyrów i paszów. Wiele osób piérwszych rodzin serbskich przyjęło islamizm, drudzy, z poduszczenia Jezuitów i rzymskiej propagandy porzucili wiarę swych ojców i stali się papistami. Najlicniejsza wszakże część mieszkańców Herzogowiny pozostała wyznawcami religii prawosławnej. Herzogowińczycy od czasu zwyciężenia ich przez Turków zostawali pod rządem paszy w Mostarze, i w podległości wezyrowi bośnijskiemu. W 1832 r. Bośniacy powstali przeciwko wezyrowi swemu Muratowi paszy, wygnali go z Bośni i obrali z pomiędzy siebie na wezyra Hussejn-Paszę. Pasza mostarski Ali-Aga Rizwanbegowicz, nietylko że nie przyjął żadnego udziału w poruszeniu, ale nadto użył siły przeciw Bośniakom, którzy go chcieli zmusić do przyjęcia uczestnictwa w powstaniu. W nagrodę wierności mianował sułtan Ali-Aga Rizwanbegowicza wezyrem mostarskim. Takim przeto sposobem od r. 1834 Herzogowina na nowo od Bośni odłączoną została.

Dzisiejsza Herzogowina graniczy na południe z częścią Albanii i Czarnogórzem, na zachód z Dalmacją, na północ z Bośnią (turecką Krainą i Bośnią właściwą); ku północo-wschodowi z wązkim pasem Bo-

(1) Tak się nazywała owa prowincya, na pamiątkę pochodzenia z Ramy rodu Nemaniczów, piérwszych potężnych królów serbskich, z czego powstało i województwo św. Sabby.

śnii oddzielającym Herzogowinę od księstwa serbskiego; na wschód z okręgiem nowo-bazarskim. Powierzchnia jęj w przybliżonym stosunku rozciąga się na 300 mil kwadratowych.

Główne pasma gór Herzogowiny są: Szardag (Mons Scardus), zachodnie pasmo gór Bałkańskich, leżące na granicy Albanii, i Montes Adrii, ciągnące się ku północo-zachodowi od Szardag do Dalmacyi i oddzielające właściwą Bośnię od Herzogowiny. Gęste odrośle tych gór przerywając Herzogowinę w rozlicznym kierunku, stanowią w wielu miejscach naturalne granice okręgów. Z zachodu, od granicy czarnogórskiej, w kształcie pasma postępują góry Kłobuk i Guszenica. Główniejsze wzniesienia na całej przestrzeni, poczynając od zachodu, są: Dobra Stryecka i Zernica, na granicach Dalmacyi przy Bokko di Kattaro, Borowa głowa, Bor, Lisac, Pusztiszac i inne na granicy Czarnogórza. Następnie Zła-góra, Czyzme, Kukawica. Na wschód Albanii: Dormitor, Jawor i inne; na zachód od Złej-góry idzie pasmo gór Grodina, oddzielając granicę trebińską od innych okręgów północnych; na północ od Kukawicy wznosi się góra Woin, łącząca w tém miejscu Scardus z pasmem adryatyckiem. Zpomiedzy najwyższych wzniesień pasma adryatyckiego, poczynając od południa, głównejsze są: Gergut, Hum, Biełosok, Weliak i Weleż. Od Weleża w dół rzeki Orontius czyli Neretwy idzie pasmo Wrabac, naprzeciw zaś w tymże kierunku po granicy bośnijskiej, góra Iwan i inne; ku północo-zachodowi od Kognitz oddzielają się od pasma Adryatyckiego, wewnątrz Herzogowiny: Lubusza, Midiana i Puszenica, formujące okrąg duweński. Na zachód od granicy Dalmacyi, w okręgach północnych, w kierunku Mostam, idą środkiem kraju, góry: Zawidin, Czarna-góra; w okręgu lubużskim: Terkla i Podweleż, koło bagien mostarskich.

Z rzek, Neretwę (Noro, Orontius) można nazwać główną w Herzogowinie. Wypływając z góry Weliak, w okręgu kognickim, płynie najprzód na północ przez miasto Kognitza, dzieląc je na dwie części, z których jedna należy do Bośnii, druga do Herzogowiny; dalej kierując swe wody ku południowi, przyjmuje w siebie rzekę Ramę, następnie pod miasteczkiem Brus, rzeczkę Neretwicę, a w okręgu mostarskim rzeki: Gradowicę, Dreznicę i płynie ku Mostarowi, dzieląc go na dwie części. Niżej od Mostaru przyjmuje ze wschodu rzeki Bunę i Bregawę; z zachodu, Jessinicę i Bigawę, a wpływając pod wsią Mętkoniczem do Dalmacyi, wpada do morza Adryatyckiego. Od ujścia do Mostaru jest spławna, lecz dalej spław jęj się kończy. Dryna, w okręgach piwskim i foczańskim, oraz Lim płynący po wschodniej granicy, biorą swój początek od Szardagu (Mons Scardus), lecz z powodu swęj rozciągłości, a mianowicie piérwsza, należy już i liczy się właściwie do rzek Bośnii. Szunco w południowo-zachodniej Herzogowinie zraszając pola Duwno, niknie niżej Żupańca i znowu ukazuje się, lecz już w Dalmacyi przyjmując w siebie Milackę, Breźnik i Nosdrac. Znaczna część tych rzek, będąc w rozlicznych miejscach poprzedzielanemi wysokimi górami, na wiosnę, podczas topnienia śniegów, sprawiają tu wielkie zniszczenie, gdyż zalewając wodą obszerne pola, przerywają na kilka miesięcy komunikacyę po-

między mieszkańcami. W wielu miejscach możnaby zapobiedz wylewowi, położwszy tamę biegowi rzeczek, lecz ręka ludzka ociąga się, i długo jeszcze, zdaje się, ociągać się będzie, aby nałożyć więzy na dziewiczą Herzogowiny naturę.

Obecnie Herzogowina dzieli się na 17 następujących sądowych okręgów:

1. *Priepolski* z miastami *Priepol*, *Bielopole* i *Mitoszew*. Mieszkańcy tych miast wyznają po większej części wiarę prawosławną. W *Mitoszewie* był niegdyś klasztor prawosławny z drukarnią słowiańską, gdzie odbijały się księgi religijne. Prócz tego, miasteczko to godnym jest uwagi, z powodu, iż w niem obrano pierwszym królem bośnijskim *Twrtka*; w starożytności zaś złożone zostały tamże relikwie świętobliwego *Sabby*, oświeciciela Serbii.

2. *Foczański*, z miastem *Focza*, niegdyś rezydencją paszy.

3. *Czajnicki*, z miastami *Czajnicz* i *Rud*.

4. *Taszlicki*, z miastem *Taszlica*.

5. *Gaczański*, z twierdzą *Gasho*, tudzież miastami *Kłobuk* i *Moracz*.

6. *Drobnicki*, z miastem tegoż nazwiska.

7. *Nikszycki*, z twierdzą *Nikszyczy*, na granicy czarnogórskiej.

Trzy ostatnie okręgi osiedlone są tylko przez prawosławnych mieszkańców. Z *nikszyckim* okręgiem łączy się okręg *trebiński* z miastem tegoż nazwiska, będącym niegdyś rezydencją biskupa rzymskiego.

8. *Piwski*, z miastem *Piwa*, nad rzeką tegoż imienia.

9. *Kulaszyński*, z miastem *Kulaszyn* (*Culasino*), nad rzeką *Tari*.

10. *Newesiński*, z miastem *Newesinie*.

11. *Lubiński*, z miastem *Lubinie*, rezydencją starszego kadego Herzogowiny. Do tego okręgu należy także północna twierdza *Kognitza*, przy rzece *Neretwie*.

12. *Poczytelski*, z miastem *Poczytel*.

13. *Stołacki*, z głównym miastem i twierdzą *Stolac*, u spodu góry *Gerguda*, przy rzece *Bregawie*. Twierdza ta, jedna z najwarowniejszych w Herzogowinie, sławną jest pamiętnym oblężeniem jej w latach 1833 i 1834, przez zbuntowanych Bośniaków, którym się nie poddała. W tymże okręgu znajdują się miasta: *Hutowo*, *Czaplina*, *Struge* i wieś *Gabella* słynna z handlu solą; oraz *Popowe-pole*, piękna i urodzajna okolica, obejmująca do 300 wiosek, zamieszkałych przez chrześcian, oraz jeden z klasztorów prawosławnych: *Zuwala*.

14. *Blagajski*, z głównym miastem *Blagaj*, u spodu góry *Chołma* i przy rzece *Bonie*, dawną stolicą pierwszego księcia *Stefana Kosacza*, z rodu *Chraniczów*. Dziś jeszcze w pobliżu miasta widzieć można zwaliska starożytnej twierdzy pierwszych książąt.

15. *Mostarski*, z miastem *Mostar*, stolicą Herzogowiny, oraz rezydencjami wezyra i biskupa prawosławnego. Miasto to zbudować miał, jak twierdzą badacze słowiańscy, w 1440 r. zostający przy dworze *Stefana Kosacza*, *Radiwa*. Mieszkańców ma 18,000; nazwisko swe zaś otrzymało od olbrzymiego mostu, postawionego na rzece *Neretwie*, mającego 450 stóp wysokości i 24 szerokości i przerzuconego sklepieniem

z jednego brzegu na drugi, tak, iż pod spodem przechodzić mogą swobodnie największe okręty. W samym mieście znajduje się wiele pięknych meczetów i innych budowli, tudzież kościół prawosławny i serbsko-prawosławna szkoła dla 130 dzieci.

16. *Lubużski*, z miastem i twierdzą *Lubuszki* przy rzece *Trebiżati*, blisko granicy Dalmacyi; okręg nadzwyczaj urodzajny.

17. *Duweński*, z miastem *Duwno*, starożytném *Dalwinium*, niegdysź stołeczném Dalmacyi, która od tegoż miasta otrzymała nazwisko. Okręg ten posiada do 30 wiosek z 7,500 mieszkańcami, w liczbie których jest 2,000 Turków, 5,000 katolików podzielonych na dwie parafie: *Seonicę* i *Mokronogi*, oraz 1,500 prawosławnych, mających swego księdza w *Župance*.

Podajemy tu odległość miast znaczniejszych od głównego miasta *Mostar*:

Kognitza . . .	na 12 godzin drogi,	na północ
Duwno . . . . .	— 12 — —	ku północo-zachodowi.
Lubuszki . . . . .	— 6 — —	ku południo-zachodowi.
Poczytel . . . . .	— 6	} — — na południe.
Stolac. . . . .	— 6	
Lubinje . . . . .	— 10	
Trebinie . . . . .	— 18	
Kłobuk . . . . .	— 22	
Nikszyczy . . . . .	— 28	} — — ku południo-wschodowi.
Blagaj . . . . .	— 2	
Gasko . . . . .	— 14	
Newesinie . . . . .	— 6	
Telecz . . . . .	— 18	
Focza . . . . .	— 24	
Goražd . . . . .	— 30	
Czajnicz . . . . .	— 30	
Rudag . . . . .	— 36	
Poslidź . . . . .	— 38	
Priepole . . . . .	— 44	} — — na wschód.

W zachodnich okolicach Herzogowiny, postępując ku Dalmacyi, klimat jest ciepły i umiarkowany, a szczególnie w okręgach mostarskim, blagajskim, lubużskim, poczytelskim, stolackim, lubińskim i trebińskim, lecz na wschód i ku granicom Bośni staje się nieco ostrzejszym. Na kilka godzin drogi od rzeczonych okręgów nie dają się spostrzegać drzewa figowe, których w zachodniej Herzogowinie wielka obfitość. Drzew oliwnych i cytrynowych bardzo tu mało. Lato zwykle bywa suche, a ztąd często głód i nieurodzaj; upał w czasie lata nieznośny, mianowicie podczas wiania Sirocco; jesień zmienna, zima w okręgach zachodnich niebardzo mroźna, lecz dalej ku północy i wschodowi ostra i surowa. Bardzo często podczas zimy bywają huragany i nagromadzają tyle śniegu, szczególnie między górami, iż przerywają wszelką komunikacyą, począwszy niekiedy od listopada, aż do miesiąca maja i dalej.

Szczególным urodzajem celują pola przy Dmonie, Lubuszkach, Gubelli, Trebinie, Popowem-polu, Newesinie i innych. Rodzi się tu obficie zbo-

że wszelkiego rodzaju, a mianowicie to, co służy do zaspokojenia głównych potrzeb tamecznych mieszkańców—jęczmień i kukurydza. Ryż zaczęto siać w r. 1834, i to tylko w jednym okręgu lubużskim. Nadto mieszkańcy trudnią się wyrabianiem bawełny, indygo, tytoniu, farb, sieją len i konopie. Mieszkańcy Herzogowiny zachodniej, oprócz uprawy roli, zajmują się wyrabianiem wina i pszczolnictwem. Wino mostarskie i miód znajduje się w wielkiej obfitości nietylko w całej Herzogowinie, lecz i w przyległych jej ziemiach. Bez względu na to, iż wojowniczy duch tego ludu pozostawia im mało czasu do zajmowania się rolnictwem, w urodzajnym roku Herzogowianie nie cierpią niedostatku. Obok europejskiego pojęcia o rolnictwie, obok nadziei na osiągnąć się mogące zyski, oraz na własność już posiadaną, nigdyby może i nie zasłyszeli o potrzebach życia; lecz pewność, że im inni nie pozostawiają więcej nad ilość potrzebną do własnego ich wyżywienia, a niekiedy i wcale nic nie pozostawiają, przytém nawiedzająca ich częstokroć paląca susza, zmuszają ich nieraz do znoszenia okropnego głodu, i rzadko bardzo zdarza się rok taki, żeby nie byli zmuszeni posyłać po zboże do sąsiedniej Bośni.

Hodowaniem bydła zajmują się najwięcej mieszkańcy północno-wschodnich i górnych okolic. Zwyczajnemi zwierzętami tam są: krowy, kozy, owce, świnie, konie, muły i osły. Konie służą głównie do wierzchowej jazdy i przy armii, ciężary zaś zwykle na mułach i osłach przewożone bywają. Do robót rolnych posługują woły. Obok tego, znaczna liczba mieszkańców zajmuje się myśliwstwem, polowaniem na niedźwiedzie, wilki, lisy, zające, kuny, dzikie kozy i dziki, których tu jest bardzo wiele i stanowią znakomity przedmiot handlu mieszkańców z cudzoziemskimi krajami.

Handel swój prowadzą Herzogowianie za pośrednictwem domów handlowych w Raguzie, z Wenecją i Tryestem, dokąd posyłają wosk, wełnę, surowe skóry i bydło, otrzymując w zamian sukno, płótna, bawełniane i jedwabne materye, stal, ołów, naczynia miedziane, mydło, papier, cukier, kawę, korzenie, szkło i t. p. Place do wspólnej zamiany służące, urządzone są na granicy Dalmacyi przy kwarantannach, co wiele uciążało handel; obecnie zaś przepisy kwarantanny w wielu szczegółach są zmienione, a główny plac handlowy przeniesionym został w inne miejsce. Rzemieślnicze i rękodzielnicze wyroby stoją jeszcze na niskiej stopie i ograniczają się w ogóle do potrzeb domowych; zresztą, kobiety tamtejsze ze szczególnym talentem tkają piękne w deseń bawełniane i jedwabne materye, szale dla swych mężów, pasy i t. p., wyszywają jedwabiem i złotem chustki, ręczniki, kapciuchy i różne inne rzeczy, które czasem dość korzystnie spieniężają. Zagraniczni podróżnicy twierdzą, że w Mostarze kują wyborowe damasceńskie szable, lecz mieszkańcy tamtejsi sami powiadają, iż najdoskonalszą broń nabywają od Turków. W ogóle, co się tyczy kruszców, można powiedzieć, iż ich wcale kraj ten nie posiada, a jeżeli zdarzy się czasem słyszeć o przedsięwziętych w Herzogowinie poszukiwaniach srebra, żelaza, miedzi, lub o rzekach posiadających w swém łonie piasek złoty, zjawiska te należy więcej odnosić do Bośni, jak do Herzogowiny. W Herzogowinie, obfitującej szczególnie w marmur i węgiel kamienny, znaleziono pewne ślady rudy żelaznej w północnych



okręgach, lecz dotychczas nie odkryto jeszcze żadnej rudy szlachetnego metalu.

Ludność Herzogowiny wynosi 300,000 ludzi i składa się z samych prawie Serbów. Wiele z główniejszych familij serbskich po zawojowaniu ich kraju przez Turków, w obawie utracenia swych ziem i przywilejów, zmuszonych było przyjąć islamizm; dlatego między samemi begami, agami, spahami, mollami, effendami i t. p. napotkać można najwięcej czysto-serbskich nazwisk Lubowiczów, Filipowiczów, Babiczów i t. p. Właściwi Turcy znajdują się najliczniej pomiędzy spahami, czyli obywatelami, przy dworze wezyra lub przy twierdzach obronnych; bardzo mała ich część zamieszkuje po wsiach, pod nazwiskiem baliów, na tychże samych prerogatywach, jakie posiadają rajowie, lecz nie płacąc podatku pogłównego. Żyjąc w umiarkowanym i ciepłym klimacie, spożywając prosty, lecz zdrowy pokarm, nieznając namiętnych żądź i zniewieściałości, Herzogowianin zwykle bywa wysokiego wzrostu, składny, silnej budowy ciała, żywy i zręczny. tak, iż go można z łatwością poznać pod jakąkolwiek europejską odzieżą. Czy cierpi głód, czy trapią go potrzeby i ucieszczenia od spahy, nigdy nie rozpacza: nadzieja pomyślniejszej przyszłości pociesza jego serce. Obdarzony od natury żywym i ognistym charakterem, często zapala się gniewem, nieprędko zapomina urazy, mściwy, lecz w przyjaźni zawsze stały i ściśle dotrzymujący danego słowa; honor i niepodległość osobistą uważa za najdroższy skarb w życiu. W stosunkach z towarzyszami jest gościnnie, dzielający ich troski, dla starszych zawsze z uszanowaniem, za wiarę i duchowieństwo gotów zawsze narazić swe życie; w domu bywa dobrym, lecz surowym ojcem rodziny. Żony nadzwyczaj uległe są woli mężowskiej, nieograniczenie wierne, i tak dalece skromne i wstydlive, że nawet w obecności mężów nie pokazują się bez pokrycia na głowie. Nigdy nie ujrysz kobiety siedzącej przy jednym stole z mężczyzną; mężowie jedzą obiad naprzód, żony, jako gospodynie, im posługują. W uroczystości familijne i domowe, na które zbierają się mężczyźni i kobiety, pierwsi zazwyczaj siedzą na początku stołu, gdzie ich częstuje sam gospodarz, drugie w końcu, a poczęstnkiem zajmuje się gospodyni. W kościele płęć żeńska także stawa oddzielnie. Co się tyczy wiary małżeńskiej, Herzogowianin gotów na miejscu zabić tego, któryby zamierzył naruszyć jego pod tym względem szczęście domowe. Turcy najczęściej wieszają lub kamienują każdego, któregoby znaleźli na uczynku cudzołóstwa, żona osądzaną bywa na śmierć męczeńską, i gdyby sam mąż nawet błagał o darowanie jej życia, nie otrzymuje nigdy ułaskawienia. Wreszcie wypadki podobne bardzo rzadko miewają miejsce, z powodu iż mieszkańcy tamtejsi żenią się li tylko z miłości i wzajemnego przywiązania, Turcy zaś, pomimo dozwolonego przez koran posiadania żon kilku, rzadko bardzo mają więcej nad jedną żonę. Herzogowianin jest walecznym, jak wszystkie prawie południowe ludy słowiańskie, a mianowicie tureckie; marzy tylko o tém, jakby okazać męstwo swe na polu bitwy, w ustach brzmia mu tylko pieśni o znakomitych czynach serbskich bohaterów. Szkoda, że te szlachetne bohaterskie uczucia niezawsze bywają powodowane zdrowym rozsądkiem. Herzogowianie i Bośniacy w porównaniu z innemi naddunajskimi i adryatyckimi Słowianami, stoją

na niskim jeszcze stopniu oświaty. Lekkomyslniejsi od tamtych, niezawsze mogą sądzić zdrowo o rzeczach, a ztąd często wypika, iż najwaleczniejsze ich czyny posiadają tylko wartość w oczach ludzi podzielających ich sposób myślenia.

Domowe, rodzinne życie Herzogowianów, czysto patryarchalne. Każda familia lub rodzina zamieszkuje osobny dworek i nie rozłącza się nigdy. Synowie się żenią, lecz nie opuszczają domu rodzicielskiego; wstępując przeto do każdego dworku, znaleźć można kilka rodzin, lecz wszystkie te rodziny stanowią jedną familią i jedno gospodarstwo, złożone niekiedy z 50 do 80 osób. Członkowie familii podlegają *głowie domu*, zazwyczaj osobie najstarszej wiekiem, a rozkazy jej wypełniane bywają bezwarunkowo. Rozkaz dziada lub pradziada jest świętym. Zwykle w każdym dworku urządzone jest wielki familijny pokój, z ogromnym na środku ogniskiem, gdzie zbierają się wieczorem członkowie całej familii, przyrządzają sobie pożywienie, zajmują się pracą w czasie zimnych i wilgotnych wieczorów i przepędzają czas we wspólnym zebraniu. Posiwiatły dziad lub pradziad, głowa domu, wypuszczając zwolna dym z fajki, siedzi pomiędzy nimi w osobnym, przeznaczonym dla siebie miejscu i słucha sprawozdania każdego z dziennej pracy i postępów, a następnie wydaje polecenia na dzień jutrzejszy. Majątek całej familii stanowi wspólną własność, a rozporządzać nim ma prawo sam tylko zwierzchnik. Za najwięcej zhańbionego poczytują członka rodziny, który wykluczonym został z zebrań familijnych. Wszelkimi interesami wewnątrz domu, tudzież wszelkimi sprawami z rządem i władzami rządowemi trudni się jedynie sam zwierzchnik. Aby nie ścieśniać przyzwoitością domowego pożycia małżonków, zwykle obok rzeczonych familijnej izby znajduje się kilka osobnych alkierzów, w kształcie naszych komor urządzonych, gdzie się mieści każda z osobna familia. Dzieci mieszczą się wszystkie razem w ogólnej familijnej komnacie, pod nadzorem jednej lub kilku żon (co zależy od ilości dzieci), które także z tytułu swego obowiązku stają się głowami rodziny. Dla starszych urządzoną bywa osobna izba, do której nie ma wstępu nikt z familii; chyba tylko duchowny, wezwany czasem z odległych okolic do odprawienia religijnego obrzędu, lub spaha, mogą w takowej przenocować. W lecie, mieszkańcy budują dla siebie w polu szałas, gdzie obiadują i spią, nie troszcząc się o wygody życia. Jeżeli tylko posiadają słomę z kukurydzy lub siano na pościel, już są zadowoleni. Pokarmu używają bardzo prostego. Główne ich pożywienie stanowi tak nazwana *kulja*, rodzaj kaszy, zrobionej z mąki i mleka, tudzież *pita*, małe chlebki okrągłe, na podobieństwo jaja, które zwykle pieką na węglach przed każdym obiadem. Mięso przygotowują także na węglach i w ogóle żadnego o kuchniach i przyrządzaniu potraw nie mają pojęcia. W zimie karmią się najczęściej wędzonym mięsem i kwaśną kapustą; wreszcie w tej porze roku można niekiedy znaleźć u nich ciepłe potrawy, lecz w lecie, zwyczajnym ich pożywieniem bywają: mleko, sér, dynie, arbuzy, ogórki, rzepa i inne produkta. Można być łatwo lekkim i zdrowym przy podobnym sposobie życia!

Czysto serbskim językiem mówi tylko gmin, lecz Serbowie, którzy przyjęli islamizm, zamieszkali po miastach, pstrzą go tureckimi słowa-

mi. Byłoby to jeszcze do wybaczenia Serbom mahometańskim, lecz dziwna próżność opanowała zarazem i chrześcian tamecznych. Zaledwie dorobi się cokolwiek i osiadzie w mieście, zaczyna się już wstydzic swego rodzinnego języka. Gdy wieśniak przyjdzie np. do sklepu kupca serbskiego, ostatni udaje, iż nie rozumie nazwisk przedmiotów przez wieśniaka żądanych i uczy go nazywać je po turecku. Tam, gdzie mówią czystym językiem serbskim, grammatyczne formy języka zachowane są w zupełności; dzieci nawet odróżniają w mowie rodzaje i przypadki w rzeczownikach i przymiotnikach, trzy osoby i trzy czasy w słowach.

W samém wymawianiu wyrazów zachodzi różnica, która powstała z prowincjonalizmu, między mieszkańcami rozlicznych okręgów: tak np. w północnej Herzogowinie mówią: *widiechom swiet istinnyj priachom Ducha nebesnaho, obrietochom* i t. p.; na południu zaś litera *h* opuszcza się zupełnie, lub zamienia się w literę słysząc się niedającą: *widziéom, priaom, Dua*. W innych północno-zachodnich stronach, *h* zamienia się na *k*: *widiekom, priaakom, Duka*. We wsiach graniczących z posiadłościami Turcyi, *h* wymawia się tak długo, jak gdyby przed niem stało kilka samogłosek: *saachat*, zamiast *sachat*; w innych słowach, w których mieszkańcy miast używają *f*, wieśniacy wymawiają *w*: Stefan Stewan, Anafora Anawora, Fała Wała. Niektóre wyrazy jedni zmiękczejają, drudzy wymawiają twardo: *Diewojka*, zamiast *dewojka*, *idje*, zamiast *ide*; mieszkańcy sąsiadujący z Czarnogórcami, tak jak rzymscy katolicy w północno-zachodniej Herzogowinie, kończą czas przeszły na *a* opuszczając *o*: *dosza, reka*, w miejscu *doszao, rekao*. Czarnogórcy zamieszkali w Herzogowinie nie mogą wymawiać *z*, lecz zawsze *ż* wymawiają: *żnam, żemla*, zamiast *znam, zemlia*. Najwięcej dotykałną jest różnica w wymawianiu wyrazów przez katolików i prawosławnych, w okręgach mostarskim, lubużskim i duweńskim. Katolik wymawia: „*newista pita diwera: mój diwera! di si bua? szto si radia? kad si owdi dosza? Stipan, Joso, Iwo.*” Prawosławny zaś: „*niewista pita djewera: mój djewera! dje si buo? szta si radjo? kad si owdje doszo? Szczepane, Josif, Jowo.*” Wnosić należy, iż różnica ta pochodzić musi głównie ztąd, iż katolicy używają pisma łacińskiego, i że jedni z nich *je* wymawiają jak *e*, drudzy jak *i*, inni jak *je, ji* i t. p.

Główny rząd polityczny i kościelny Herzogowiny koncentruje się w osobie wezyra, rezydującego w Mostarze; przy boku jego zostaje wielki kady, zwierzchnik wszystkich ulemów i kadych okręgowych, który posiada prawo zmieniania na żądanie strony wyroków przez nich wydanych, tudzież wielki wojewoda allai-bek, wybierany przez kapitanów okręgowych na naczelnika wojska narodowego. W każdym okręgu pierwszą osobą dzierżącą ster rządu jest kady, piastujący władzę sądową i wykonawczą. Onto wzywa prawujących się do sądu, przez swych *metczemów* czyli urzędników. Jeżeli sędzi się sprawa między chrześcianinem i Turkiem, Turek pospolicie zasiada wspólnie z kadym, pije kawę i pali fajkę, chrześcianin zaś stoi przed nim z rękami związanymi, i trzeba nader rzadkiego wypadku, aby się uniewinnić potrafił. Kady nie pobiera żadnej płacy, utrzymuje się tylko z dochodów, jakich mu strony sporne dostarczają; drugim źródłem jego dochodów jest pośredniczenie

w ślubach zawieranych między poddanymi tureckimi, przyczem pełni zarazem obowiązki mołły. Drugą osobą po kadym jest musselin, czyli kapitan okręgowy, którego obowiązkiem jest pobieranie podatków, oraz prowadzenie spraw w pierwszej instancji. Czego nie może załatwić sam musselin przedstawia od siebie kademu, kady zaś wysłuchawszy obydwie strony, odsyła winnego napowrot do musselina, który wyrok wprowadza w wykonanie, dopóty, dopóki winowajca nie ofiaruje mu kubana. Musselin, podobnie jak kady, utrzymuje się tylko z dochodów postępowania sądowego. Trzecią prawodawczą władzę reprezentują spahowie, czyli właściciele dóbr. Spahowie sąto po większej części serbsey begowie, którzy otrzymali od Achmeta Igo rozmaite posiadłości, na własność dziedziczną. Każdy spaha otrzymując dziedziczną posiadłość, płaci sułtanowi umówioną summę, tytułem wprowadzenia go w jej posiadanie; w czasie wojny zaś, przyjmuje na się zobowiązanie obrony ojczyzny, jako osoba pierwsza w swoim okręgu. Dawniej, władza spahów nie była tak uciążliwą dla włościan, czyli *rajasów*. Spahowie pobierali od nich dziesięcinę, używali ich do robót, lecz nie mieli po wsiach ani domów, ani nadzorców; mieszkali w miastach, i raz w rok tylko posyłali swych zaufanych po odebranie podatku. Włościanie nie byli zależni od ziemi, a jeżeli nie podobało się któremu z nich postępowanie spahy, mógł sprzedać ziemię i wydalic się ztamtąd. Spahowie niegdyś byli, że tak powiem, obrońcami i tarczą *rajasów* od ucisków wezyra i innych władz niższych, sprzeciwiali się nakładaniu na włościan większych kontrybucyj, poczytując obciążanie niemi włościan za uszczerbek własnych dochodów; wezyrowie zaś ze swjej strony, obawiając się wzrość mogącej z czasem potęgi spahów, prowadzili także ściśle nad *rajasami* kontrolę. Tym sposobem obiedwie władze prawodawcze działały wzajemnie przeciw sobie w widokach osobistych, a lud nie był jeszcze wówczas tak dalece jak dziś ucziemionym. Od czasu, gdy Porta zamieniła dotychczasowe dziedziczne posiadłości spahów na ich własność, i gdy tém samém mieszkańcy tychże stali się własnością swego pana, a przez to pozbawieni zostali możności przesiedlania się; nowi dziedzice zaczęli być dla nich okrutnym biczem, władając niemi despotycznie i samowolnie, pozbawiając ich nawet ostatnich zasobów ojcowizny. Obecnie z pism publicznych posiadamy wiadomość o wybuchłém powstaniu w Bośni i Herzogowinie, i z pewnością zaręczyć możemy, że powód do niego podały nie uciski rządu, lecz nieograniczony despotyzm wyuzdanėj władzy spahów, wezyrów i t. p. Rząd tureczny pobiera wyznaczony na ludność podatek, lecz wymagania właścicieli ziemskich są nieograniczone i niesłuchanie wyuzdane.

Z 300,000 mieszkańców Herzogowiny, 60,000 wyznają wiarę Mahometa, 50,000 religią katolicką, a pozostałe 190,000 są wyznawcami wiary prawosławnej. Turcy mają trzech muftych, pod władzą których pozostaje wyższe duchowieństwo. Jeden z nich mieszka w Mostarze, drugi w Trebinie, a trzeci w mieście Focza. Muftowie duchowni, jako pierwsze osoby w duchowieństwie, obierani bywają zwykle z pomiędzy uczonych Turków, kończących nauki w Konstantynopolu. Pod ich zarządem zostają szkoły, gdzie, oprócz innych nauczycieli, oni sami tru-

dnia się wykładem religii i tłumaczeniem młodzieży jej obrządków. Podobne szkoły, oprócz miejsc wyżej wyrażonych, znajdują się nadto i w innych miasteczkach oraz wsiach Herzogowiny, gdzie udzielane są dzieciom lekcye przez *chadzów*, czyli professorów pobierających pensye z funduszów stowarzyszenia. W każdej parafii znajduje się jeden *imam* kapłan i muedzin. Turcy herzogowińscy, a mianowicie sturczeni Serbowie, uważani są za najzapaleńszych wyznawców islamizmu. Trzeba to wszakże zauważyć, iż islamizm tutejszy zatrzymał w sobie wiele jeszcze zwyczajów chrześcijańskich. Tak np. każda turecko-serbska rodzina ma, stosownie do zwyczaju, dziś jeszcze ściśle i wszędzie pomiędzy Serbami przestrzeganego, swego świętego patrona, którego dzień obchodzi corocznie z jak największą uroczystością; tak obchodzą święta apostoła Piotra, św. Jerzego zwycięzcy i męczennika Prokopa. Gdy zastabnie mużulmanowi dziecię, posyła zaraz do najbliższego prawosławnego kościoła, z prośbą do zakonnika, aby zasłał modły do Boga o uzdrowienie chorego; młodzi begowie często posyłają tajemnie po kapłana, dla odprawienia exekwii przy grobie zmarłych swych rodziców. Jeżeli dodamy i to jeszcze, że dozwolone wielożeństwo nie znajduje naśladowców między herzogowińskimi Turkami i Serbami, śmiało można twierdzić, iż czyste uczucie wiary przodków nie wygasło jeszcze zupełnie w ich sercu, a może nawet, gdyby się znajdowali w innych okolicznościach, nie zostaliby na zawsze wyznawcami islamizmu.

Rzymscy katolicy mają dwa biskupstwa: bośnijskie w północnej, i trebińsko-mrkańskie w południowej Herzogowinie. Bośnijscy biskupi zaczęli zarządzać północną dyecezyą Herzogowiny w roku 1735, poprzednio zaś zarządzali nią biskupi duweńscy w mieście Duwnie. W dyecezyi tej znajduje się 12 parafij, wszystkie w okręgach: mostarskim, lubużskim i duwońskim. Katolicy posiadają wiele udzielonych sobie prerogatyw od rządu na zaprowadzenie szkół, klasztorów i t. p.; w wielu miejscach pobudowali piękne i okazałe świątynie, i otrzymują nawet znaczne zasiłki z Włoch, Austrii i innych państw rzymsko-katolickich (1). Duchowieństwo ich wychowuje się w kollegiach rzymsko-katolickich we Włoszech i Austrii. Biskupstwo trebińsko-mrkańskie, po zrujnowaniu Mrkana, przeniesionem zostało do Dubrownika. Ostatnim biskupem mrkańskim był Mikołaj Ferycz, zmarły w 1812 r.; po jego śmierci obranym został wikaryuszem Dominik Sokołowicz, który zmarł w roku 1837, a gdy posada wikarego długo nie miała następcy, propaganda rzymska wcieliła w r. 1839 dyecezyą tę do biskupstwa dubrownickiego. W dyecezyi tej jest 5 parafij, a duchowieństwo ich utrzymywane przez rzymską propagandę.

Kościół prawosławny pozostaje pod zarządem biskupa mostarskiego. Początek tej dyecezyi sięga jeszcze czasów św. Sabby, pierwszego arcybiskupa serbskiego. Katedra biskupia pierwotnie znajdować się miała w nadmorskiem mieście Dalmacyi *Stagno*, lecz Raguzanie opanowawszy

(1) Nawet biskupi słowiańscy rzymsko-katolickiego wyznania posiadają zapisy wieczyste na udzielanie zasiłków dla bośnijskich katolików. Np. jest zapis dla Bośniaków biskupa Haulika z Agram.

je w 1333 r., zaczęli zmuszać prawosławnych do przyjęcia ich religii, biskup przeto oddalił się ztamtąd, i osiadł w klasztorze *Dużi*. Według kronikarzy serbskich, katedrę biskupią w Herzogowinie do r. 1778 zajmowali Serbowie. W r. 1750 biskupem mostarskim był Awksenty Janowicz Palikucza, po nim Stefan Markonicz. Po śmierci ostatniego i za następnych biskupów, cierpiał kościół prawosławny rozliczne prześladowania, mianowicie podczas zasiadania na katedrze biskupiej Jeremiasza rodem z Konstantynopola; zarządzający bowiem przy nim dyecezyą dyakon Ignacy, bezustannie uzbrajał Turków przeciw chrześcianom, i w przeciągu lat 13stu jego władzy, chrześcianie bardzo wiele ucierpieli, wiele przelali krwi niewinnej, dopóki dzuma, która wybuchła w r. 1815, nie położyła końca bezprawiom przez śmierć metropolity i administratora jego Ignacego. Błoga epoka dla cerkwi prawosławnej w Herzogowinie rozposzęła się za biskupa Awksentego Piotrowicza rodem z Bułgarii, lecz biskupstwo jego krótko trwało.

Dla kształcenia dzieci wiary prawosławnej, są tylko trzy szkoły w Herzogowinie: jedna z nich w Mostarze dla 130 dzieci; druga w mieście Focza dla 30, a trzecia w mieście Taszlica dla 45. Tu uczą się czytania, psalterza, oraz cokolwiek kaligrafii i arytmetyki; lecz szkoły te zaprowadzone są li tylko dla dzieci handlarzy i rzemieślników; do kształcenia duchownych nie ma żadnej szkoły.

D. 18 marca 1851 r.

---

*O ogrodzie botanicznym w Krzemieńcu, przez profesora E. R. Trautvetter w Kijowie.*

Spadkobiercy zmarłego profesora, doręczyli mi rękopis jego pod tytułem: „*Historia botanicznego ogrodu w Krzemieńcu na Wołyniu*” z 17 przeszło arkuszy ścisłego pisma złożony, zawierający rozległy wywód okoliczności, acz poniekąd niezupełnie wyjaśnionych, dotyczących się losu i bytu tego ogrodu, do 1834 r., w którym Besser opuścił Krzemieniec i zdał bezpośredni zarząd nad ogrodem. Wspomniony rękopis nie okazywał jeszcze tego wykończenia, którym się odznaczać powinny pisma przygotowane do druku; potrzebował wyrobienia w wielu szczegółach, które samemu tylko Besserowi mogły być znane i jego obchodzić: jednak mniemam, że uczynię przysługę dla botaniki chroniąc od zatrażenia wiadomość i o tych Bessera pracach, gdyż krzemieniecki botaniczny ogród znany jest nie tylko botanikom w Rosyi; imię jego jest umieszczone w historii botaniki, a dla krzemienieckiego ogrodu nie było gorliwszego męża jak Besser.

Świetny byt krzemienieckiego ogrodu już dziś przeminął: wkrótce on i całkowicie zniknie; tém potrzebniejsza jest przeto historyczna o nim wiadomość. Skreślając ją szedłem za podaniami Bessera, dochodzącemi

w jego rękopisie do 1834 roku, odkąd zarząd nad tym zakładem sobie poruczony miałem.

Ogród botaniczny w Krzemieńcu na Wołyniu powstał jednocześnie z byłym tamecznym gimnazjum, później liceum, i do niego należał. Urządzając gimnazjum przeznaczono mu na ogród plac przyległy gimnazjalnym gmachom, lecz gdy ten plac okazał się za szczupły, przykupiono inne, i tym sposobem miejsce na ogród rozszerzyło się blisko do 8 morgów powierzchni a 460 sążni obwodu. Założenie na niem ogrodu w 1806 roku poruczono ogrodnikowi Myklerowi (M'Claire) Irlandczykowi, który właśnie w tych okolicach zatrudniał się zakładaniem parków. Mykler urządził ogród spacerowy, w którym zbudował trzy cieplarnie mające 16 stóp szerokości, sześć stóp wysokości z przodu, wszystkie trzy razem 124 stóp długie; założył także murowane inspekta mające 40 arszynów długości.

Te pierwiastkowe przygotowania były już prawie skończone, kiedy Besser do Krzemieńca przybył 1809 r. i zajął w gimnazjum miejsce nauczyciela zoologii i botaniki. Zamierzwszy on połączenie ogrodnictwa z botaniką, uznał za potrzebę zmienić pierwiastkowy plan ogrodu, i zmianę tę stopniami uskutecznił tak, iż potem z zakładu Myklera mało co zostało. Odmieniono kierunek dróg i chodników, niektóre części ogrodu wywyższono lub zrównano, nowe obrano miejsca na szkółki, nawet budowle na rośliny zostały przez Bessera odmienione i powiększone; stawiane zaś przez Myklera dwa domy 1814 i 1815 tak podniesiono, iż tylna ściana stała się wysoką stóp 20, a z przodu wprowadzono więcej słońca; przy tych cieplarniach wystawiono jeszcze mieszkania dla ogrodników i wiele innych zabudowań, nadto, wzniesiono osobny budynek, na młode flance z łagodnej strefy, 33 arszynów długi, 10 szeroki, a 5 wysoki. W roku 1821 podniesiono trzecią starą cieplarnię, dając jej wysokość dwóch pierwszych i przedłużając dwoma oknami. W roku 1823, przybudowano jeszcze jedno mieszkanie dla ogrodników, następnie zaś poczyniono wiele popraw i ulepszeń w rośliniarniach. Uboczne także budynki i inspekta z upływem czasu ulegały przemianom, a nawet nowe przybýwały. We wszystkich tych przerabianiach i odmianach chodziło najwięcej o uzyskanie miejsca tak w ogrodzie jako i rośliniarniach. Mała tylko część ogrodu miała powierzchnię równą, wzniesienia czyniły więcej niedogodności jak ozdoby lub użytku; nadewszystko zaś czuć się dawała ta niedogodność ogrodu, że się w nim nie znajdowała woda, którą potrzeba było sprowadzać z odległego miejsca. Cieplarnie okazały się wkrótce nietylko za szczupłe, lecz i za niskie; wszakże mimo te niedogodności, krzemieniecki ogród nie był bez znaczenia, co po większej części należało się usilnym staraniom Bessera, jego gorliwości i wreszcie stosunkom ciągle wówczas utrzymywanym z botanicznemi ogrodami zagranicznymi, przez które krzemieniecki, będący głównym zbiorem roślin dla Rosyi, ze względu na bogate zbiory roślin i wzorowe ich hodowanie, równał się wielu krajowym i cudzoziemskim, jak się to z następnego okaże.

Mykler opatrzył krzemieniecki ogród 760 gatunkami cudzoziemskimi i 460 krajowych roślin, które były darem miłośników ogrodnictwa, życzli-

wych temu zakładowi. Besser wszedłszy w stosunki tak z krajowemi jako i cudzoziemskimi ogrodami botanicznymi, prędko i znacznie powiększył w nim ilość roślin. Pierwszej jesieni 1809 r. i na wiosnę 1810 r. otrzymał nasiona z Göttingi (Schrader), Paryża (Thouin), Wiednia (Schott), Krakowa (Polaczek), Wilna (Jundziłł); w roku 1811 z następujących miejsc przysłano rośliny: z Gorenki (Fischer), Pragi (Mikan), Dorpatu (Weinmann), Charkowa (Delavigne), Pestu (Kitajbel), Hali (Sprenzel), Landshuth (J. H. Schultes), Równy (Rochel); w roku 1812: z Berlina (Wildenów), Erfurtu (Bernhardi), Zürich (Römer); 1813 r. Nikity (Steven); 1816 r. Warszawy (Szubert); 1817 r. Królewca (Schweigger), Wrocławia (Treviranus); 1819 r. Heidelberga (Metzger); 1820 r. Kopenhagi (Hornemann), Madrytu (Lagasca), Moguncyi (Seitz), Parmy (Jan), 1821 r. Drezna (Reichen); 1822 r. Bonn (Nees von Esenbeck), Genewy (Decandolle), Modeny (Brignoli); 1823 r. Hamburga (Lehmann), następnie z Petersburga (Fischer) i wielu innych, a nawet od osób różnego stanu i z mniejszych ogrodów w znacznej ilości przysyłano nasiona i rośliny. W skutek tak rozległych stosunków Bessera, krzemieniecki ogród w końcu 1810 r. miał przeszło 2406 gatunków i podgatunków roślin; w 1811 roku było już przeszło 3632; 1816 r. 5,000; 1823 r. 9,000. W roku 1827 wychowano w krzemienieckim ogrodzie we własnych cieplarniach roślin 1,527, drzew i krzewów strefy umiarkowanej 600, zimotrwałych ziół 3,033; z nasion 4,000. W roku 1834 liczono z własnych rośliniarni wyhodowanych 1,466, drzew i krzewów 585, ozdobnych zimotrwałych roślin umiarkowanej strefy 2,452, a nasion 3,920.

Pomnażała się tym sposobem ilość gatunków i podgatunków aż do r. 1823, lecz zdaje się że nie przenosiła liczby 9,000 (lubo podług spisu Bessera miała dochodzić do 12,000), gdyż nie było miejsca do utrzymywania większej.

W ciągu tego czasu krzemienieckie gimnazjum 1818 r. wyniesione zostało na stopę liceum, lecz to 1831 r. zamknięto, a nauczycieli i zbiory większego znaczenia przeniesiono do Kijowa, zatem i krzemieniecki ogród stał się przynależnością uniwersytetu Sgo Włodzimierza w Kijowie, i jest fundamentalnym zakładem nowo tam zaprowadzonego botanicznego ogrodu. W tém położeniu rzeczy przestano w Krzemieńcu myśleć o pomnażaniu roślin, szło już tylko o to, aby exemplarze mniejszej wartości, nie zasługujące na koszta przewozu do Kijowa, mogły być jeszcze utrzymywane w Krzemieńcu, aż póki w Kijowie nie zostaną przygotowane w ogrodzie miejsca i wystawione rośliniarnie. Lecz w Kijowie, założenie ogrodu, dla wielu nadspodziewanych przeszkód bardzo się zwlekąło, przez co byt krzemienieckiego ogrodu musiał się przedłużyć w części aż dotąd, a chociaż Besser 1835 r. przeszedł do Kijowa, nie dało się mu jeszcze 1838 roku kijowski ogród przyprowadzić do życia. Powołany w tymże 1838 roku na miejsce Bessera, przez wiele jeszcze lat z trudnościami walczyłem, zakładając i regulując ten ogród, nakoniec w 1839 roku doprowadziłem ten tymczasowy botaniczny zakład w Kijowie do tego stanu, że mogłem już przystąpić do umieszczania i wychowywania w nim cudzoziemskich krzewów i w ogólności zimotrwałych gatunków, co ułatwiło dalsze postępy w pracach i popęd



im nadało. Dopiero więc od 1844 r. można było wszelkie drzewa, krzewy i zioła gruntowe przydatne do ogrodu kijowskiego, z krzemienieckiego sprowadzić, poczem krzemieniecki ogród, z wyjątkiem rośliniarni, oddano natychmiast duchownemu seminaryum, które zajęło gmachy byłego liceum. Jeszcze dotąd utrzymują się w Krzemieńcu niektóre rośliny z byłego tam botanicznego ogrodu, ale trzeba się spodziewać, że i te wkrótce do Kijowa przeniesione zostaną.

Od jesieni 1841 roku pracuję w Kijowie nad założeniem właściwego botanicznego ogrodu przy uniwersytecie, który tak postąpił, iż już w jesieni 1842 r. otworzyłem wstęp do niego. Rośliniarnie jednak, których wcale dotąd nie ma, wybudowane być mają w następnym roku.

Widzieliśmy zatem, że krzemieniecki botaniczny ogród w 1806 r. założony, we wszystkich częściach starannie był utrzymywany do r. 1841; teraz zaś (1844), pozostają jeszcze tylko dawne rośliniarnie po nim. Od roku 1806 do 1809, to jest przez czas pierwotnego założenia krzemienieckiego ogrodu, zarządzał nim Mykler, bo professor Scheidt, który do przybycia Bessera był nauczycielem historii naturalnej w gimnazyum, do ogrodu wcale się nie wdawał.

Besser wkrótce objął bezpośredni kierunek nad ogrodem i powinien być uważany za istotnego założyciela jego, gdyż dopiero on urządził go na cel tym zakładom właściwy, i nadał mu naukowe dążenie. Besser zarządzał tym ogrodem do roku 1838, odkąd ja kierunek nad nim objąłem. Od r. 1835 bezpośredni główny nadzór nad krzemienieckim ogrodem miał Hoffmann, gdyż Besser przeniósł się już do Kijowa. Co do ogrodników, wspominałem już Myklera, po którym nastąpił Ignacy Grabowski, i ten do 1807 roku jako pomocnik służył; od roku 1818 pełnił tę służbę Witzell, który gdy w roku 1827 oddalił się do Wilna, miejsce jego zajął J. E. Hoffmann, dotąd jeszcze tam zostający. Wspomnieni ogrodnicy mieli w różnych czasach osobnych pomocników, niektórzy do 1824 r. stałych czterech podogrodników, inni przez czas dłuższy czterech, a następnie i więcej uczniów; w końcu zdaje się nie było nad czterech parobków. Oprócz tego latem dawano w pomoc pańszczyznę z licealnego majątku.

Nie wiadomo jakie, w pierwszych latach dyrekcji Bessera, wyłożono koszta na założenie i utrzymywanie tego ogrodu. Na utrzymanie jego przez długi czas nie było przeznaczonęj summy stałej, a co tylko było potrzebnem, o tém dyrekcya uwiadamiła ekonomiczny główny rząd gimnazyum, który wszystkiego dostarczał. Fundusze na to szły z generalnej kassy; w ogrodzie zaś nie utrzymywano żadnych rachunków.

Dopiero od roku 1813, zaprowadzono rachunkową dla ogrodu księgę, w której się zapisywał przychód i rozchód, ale oprócz tego wiele potrzeb ogrodu, jakoto: robotników, opału, karmu koni, załatwiano w naturze z dóbr licealnych; niepodobna przeto ściśle wyrachować kosztłożony w pierwszych latach na założenie i utrzymanie tego ogrodu. Besser mniemał iż około 1817 roku koszta na utrzymanie krzemienieckiego ogrodu wynosić mogły 2,500 rubli srebrem. Już od r. 1818 przeznaczano na te wydatki corocznie 1,500 rub. sr., a oprócz tego dostarczano z licealnych dóbr do 1823 r. robotników, drzewa, paszy dla koni i t. p., od r. 1824 już tylko z etatowęj summy 1,500 rub. sr. załatwiano wszy-

stkie potrzeby. Po przeniesieniu krzemienieckiego ogrodu do uniwersytetu św. Włodzimierza, przeznaczono na utrzymanie jego rocznie 6,000 rub. assyg., którą summe potem w 1841 r. podwyższono do 3,000 rub. sr., z tój jednak summy od r. 1839 załatwiano potrzeby i nowo zakładanego ogrodu w Kijowie.

W 1841 roku jeszcze bardziej uszczuplono summe przeznaczoną na utrzymanie krzemienieckiego ogrodu, kiedy w skutek postanowionego przeniesienia ztamtąd do Kijowa roślin krajowych, w ogrodzie zostały tylko rośliniarnie.

Do opisu ogrodu botanicznego w Krzemieńcu, pod historycznym względem dołączył Besser, wykaz dzieł przez niego drukiem ogłoszonych, które zawierają przekonywające dowody jego starań o postęp i powodzenie znakomitego naukowego zakładu. Wykaz ten obejmuje:

1. Catalogue des Plantes du Jardin botanique de Krzemieniec en Volhynie . . . . . 1810 a.
2. Catalogue des Plantes du Gymnase de Volhynie à Krzemieniec . . . . . 1811 a.
3. Supplement au Catal. des Plantes du Jardin botanique du Gymnase. . . . . 1812 a.
4. Supplementum II ad Catalogum Plantarum in horto botanico Gymnasii Volhyniensis Cremeneci cultarum . . . 1814 a.
5. Supplementum III etc. . . . . 1814 a.
6. Dtto „ IV „ . . . . . 1815 a.
7. Catalogus plantarum in horto botanico Gymnasii Volhyniensis Cremeneci cultarum. Cremen. . . . . 1816 a.
8. Fünf Kataloge von Samen für den Tausch für die Jahre: 1819, 1820, 1821, 1823, 1830.
9. Verzeichniss von Zierpflanzen (Spis roślin ozdobnych) 1830 r.

Kijów d. 7 czerwca 1843 r.

„Z Bulletynów moskiewskiego towarzystwa badaczów natury. T. XVII, 1844 r.“

Przełożył z niemieckiego  
*Leon Tchórzewski.*

### *Wiadomość do życia Jana Tarnowskiego i Piotra Kmity.*

Wiadomo z dziejów, że Jan Tarnowski i Piotr Kmity poniechęcili się za młodu, z tego powodu, że Jan Tarnowski zajechał Kmicie dobra szczebrzeskie. Kmity ich nie odbierał, ale w sercu chował zawziętość, która nieraz zaburzyła obrady publiczne.

Przeglądając summaryusz papierów prawnych odnoszących się do dóbr szczebrzeskich, znalazłem kilka szczegółów rzucających światło na zajścia majątkowe między temi dwoma panami.

Dobra szczebrzeskie były własnością Gorajskich, następnie Tarnowskich. Jan Amor Tarnowski kasztelan krakowski miał trzech synów:

Jana Amora wojewodę sandomińskiego, drugiego Jana, który zginął na Bukowinie i trzeciego także Jana, który umarł w sędziwym wieku hetmanem wielkim koronnym i kasztelanem krakowskim; i trzy córki, z których jedna Elżbieta wyszła za mąż za Dobiesława z Kurozwek kasztelana rospirskiego, później wojewodę sandomińskiego, druga Katarzyna była żoną Stanisława z Wiśnicza Kmity, kasztelana przemyskiego; trzecia Zofia pozostała w stanie panińskim. Ojciec przeznaczając synom majątek ziemski, córki bardzo skąpo wyposażył; każda z nich odbierając posagu 3,000 złotych, zrzekła się wszelkiego prawa do dóbr ojczystych i macierzystych, a *mianowicie* do dóbr szczebrzeskich, które znać matka ich wniosła w dom Tarnowskich. Zrzeczenie się Elżbiety i Katarzyny zapisane było w r. 1480 przed aktami krasnostawskimi.

Po śmierci ojca, córki uważając się za pokrzywdzone, dopominały się o spadek. W r. 1515, w Krakowie podczas sejmku, przez zdanie się na sąd polubowny, nastąpił podział dóbr pod zakładem 20,000 złotych węgierskich, między najstarszym bratem i siostrami, mocą którego, przy Janie Amorze Tarnowskim został Tarnów z przyległościami, a dobra szczebrzeskie, Januszkowice i Glinnik, zostały ustąpione Elżbiecie z Kurozwek i Zofii Tarnowskiej córkom kasztelana, i synom trzeciej córki Katarzyny, Piotrowi i Stanisławowi Kmitom. Zofia Tarnowska zrzekła się swojej części w Szczebrzeszynie w zamian za Januszkowice, a między Elżbietą i siostrzeńcami w 1516 (feria 3 post domenicam iudica quadragesimalem), już po śmierci Jana Amora Tarnowskiego wojewody sandomińskiego nastąpiła umowa, że połowa zamku, miasta, dóbr i wszelkich dochodów ma należeć do ciotki, połowa do siostrzeńców.

Znać Jan Tarnowski hetman, który prawem rozpierać się nie lubił, a prawników pieniaczy niecierpiał i powiadał, że póty w Polsce dobrze nie będzie, dopóki król nie każe ich piętnować podług statutu; nie uważał za ważną umowy przez starszego brata zawartą, kiedy dobra szczebrzeskie zajechał i oddać ich nie chciał. W summaryuszu nie ma śladu, jaki obrot wzięła ta sprawa. Dopiero w r. 1555 (feria 2 intra octavas Corporis Christi Dni) na sejmie w Piotrkowie zapadł wyrok królewski, przyznający Łukaszowi, Andrzejowi i Stanisławowi Górkom dziedzictwo dóbr szczebrzeskich, prawem spadku po matce Barbarze z Kurozwek, która była córką Dobiesława i Elżbiety z Tarnowskich.

*Seweryn Gołębiowski.*

---

### *Ślady prawa feudalnego w Polsce.*

Władysław książę opolski będąc panem ziem ruskich z łaski Władysława węgierskiego, starał się wprowadzić prawo feudalne w podległym sobie kraju. Między innymi nadał rycerzowi Prokopowi Gorajskiemu powiat szczebrzeski, z prawem zwierzchniej władzy nad szlachtą

trzymającą pojedyncze wioski, z prawem wydawania sądowych wyroków i pociągania szlachty do służby wojskowej. Przywilej księcia opolskiego, potwierdził Władysław Jagiełło w Krakowie *feria 3 festa solennia Panteconsten. a.* 1388. Ten przywilej zgorzał w czasie pożaru zamku szczebrzeskiego; odnowił go król Stefan w Lublinie 12 grudnia 1583, na żądanie Andrzeja Górki kasztelana międzyrzeckiego. Na takim prawie były posiadane wioski Topornica, Zrebce, Nielisz, Sułowiec, Radecznicza, Pniów i Mokre.

Sietlewski z Sułowca, Nieliscy z Nieliza, Kaczkowscy z Radeczniczy i Falbowski z Pniowa, toczyli spór z Andrzejem i ze Stanisławem Górką, a następnie z Janem Zamojskim, nie uznając prawa wasalatu i zastaniając się przywilejem Ludwika węgierskiego, który zniósł wszelkie uciski nakładane na szlachtę polską. Sprawa została wytoczona do sądu ziemskiego w 1583 r., potem na trybunał, nareszcie na sejm, który przyznał dziedzicom Szczebrzeszyna najwyższe sądownictwo i władzę zwierzchnią nad wassalami 21 maja 1596 r.

W archiwum zamojskiem znajdował się przywilej na pergaminie, rozdarty na dwoje, z podpisem, ale bez pieczęci, wydany przez Jana Zamojskiego szlachcie powiatu szczebrzeskiego 21 czerwca 1596, w miesiąc po uzyskaniu wyroku sejmowego. Tym przywilejem Jan Zamojski szlachtę uznaje za równą sobie przed obliczem prawa, przyrzeka jej obronę w sądach, uwalnia ją od wszelkich obowiązków służebnych; przy sprzedaży wiosek trzymanyh na prawie wasalatu, zastrzega, żeby otrzymane było zezwolenie zwierzchniego pana, a przez nabywcę uznana jego władza.

W kraju, gdzie gminowładztwo szlacheckie uzyskało przewagę, ustawy feudalne rozwinąć się nie mogły; władza zwierzchniego pana była nominalna, a obowiązki wassalów prawie żadne, chyba na wojnę byli obowiązani stawać pod chorągiew z trzema włóczniami. Wioski ze wszystkich stron otoczone przez dobra ordynackie, przeszły na własność ordynatów, którzy częściami wykupywali je od spadkobierców; dzisiaj w Nielizu tylko zostało kilku cząstkowych posiadaczy, którzy są dziedzicami gruntu na prawie zwyczajném krajowém.

*Seweryn Gołębiowski.*

### *Przyczynek do wiadomości o Jeremiaszu Falck, rytowniku polskim.*

Ten znakomity nasz rytownik na miedzi, należy do poczetu najslawniejszych w tej sztuce mistrzów. Autorowie niemieccy piszący o sztukach pięknych, między tymi A. Hagen królewiczanie, w wiadomości o życiu jego zamieszczonej w piśmie *Kunstblatt* wychodzącém w Stuttgardzie, w n. 16 z r. 1848, mieni go być urodzonym Gdańszczaninem, żadnego na to nie dając dowodu, a przeto nie znosząc przekonania naszego, że Falck

jest rodowitym Polakiem: bo najprzód że on sam na wielu swych rycinach podpisuje się *Polonus*, a powtóre, że tém samém prawem a na lepszej zasadzie, moglibyśmy go nazwać Krakowianinem, z powodu, że Falckowie już w wieku XVI byli rodziną krakowską, i księga tutejszego archiwum: *Liber juris civilis inceptus a. 1493*, już takie nazwisko jako przyjmującego prawo miejskie okazuje: *A. D. 1545 Stanislaus Falck hic oriundus, jus civitatis habet, juravit, nil dedit.* (Według zwyczaju, urodzony w Krakowie wpisując się do liczby mieszczan, nie z tego tytułu do kassy miasta nie płacił, kiedy obcy przychodził opłatę jakąś do dochodów miejskich wnosil.)

Rozprawka ta A. Hageny, wcześnziej może ważną dla nas byłaby, gdyby ją późniejsza o życiu i pracach Jer. Falcka, przez naszego polihistora J. I. Kraszewskiego napisana, w Athenaeum na r. 1850 umieszczona, w szczegóły biograficzne o wiele zapaśnieszka i okwitszy spis rytowniczych prac jego podająca, w tył nie usuwała. Hagen, zwyczajem wielu pisarzów niemieckich, którzy zawiścią rodową kierowani każdą znakomitosc naszą, o ile im do tego najdrobniejszy powód posłuży, do siebie przygarnąć usilują; nieprzychylnie się o nas w kilku miejscach wyraża, a mianowicie z ckaży wystawienia Kopernikowi, podług niego *dem Preussen*, pomnika w Warszawie.

Pomijając powód do polemicznój z Hagenem poswarki, ograniczam się wzmianką, że imię tego pisarza mylnie może w spisie autorów, którzy o Falcku pisali, w Athenaeum nazwiskiem Haacke jest oznaczone. A gdyby to jego pismo autorowi naszemu życiopisma Falcka znaném być nie miało, wtedy dogadzając jego wezwaniu o sprostowania i dodatki, dołączam tu spis niektórych rycin, rozprawką Hageny objętych, a w rejestrze robót Falcka w Athenaeum niezamieszczonych; jakoto:

a) Ludwik XIII konno, z krajobrazem; wielkie folio.

b) Kardynał Richelieu na koniu, z krajobrazem.

*H. David pinx.* folio takież.

c) *Adolphus Johannes comes Palatinus*, bez nazwiska malarza.

d) *Pontius Comes de la Gardie, Capitaneus generalis, et Livoniae Gubernator. D. Beck pinx.*

e) *Joh. Mueller Theologus.*

f) *Martius.—Martius hic a Marte &*

g) *Dies.—Pulchra dies pulchram &*

Z wątpliwoscią przywiedziony w Athenaeum Arwed Wittenberg pod nr. 133, jest u Hageny oznaczony r. 1653.

Spis Hageny robót Falcka, tylko obejmuje Nrów 107., i datowany jest: *Königsberg im Oktober 1847.*

*Ambroży Grabowski.*

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

120. Rys historyczny wraz z zbiorem przywilejów towarzystwa strzelców Lwowskich. Wydany przez Tomasza Kulczyckiego, mieszczanina Lwowskiego, członka tegoż Towarzystwa. Ska. Lwów. 1848. Drukem Piotra Pillefa. Str. XII i 159. (Z widokiem Lwowa). Kop. 75.

1849.

91. Opisanie roślin skrytopłciowych lekarskich i przemysłowych przez Ignacego Raf. Czerwiakowskiego Doktora Medycyny, Profesora Botaniki w Uniwersytecie Jagiell. i Członka Towarzystwa naukowego z tymże złączonego. Botaniki szczególnej część pierwsza. Ska. Kraków. 1849. W drukarni Uniwersytetu. Napisów i przedmowy str. VIII i 262. (Wydanie Towarzystwa nauk. krak.).

92. *Statuta nec non Liber Promotionum philosophorum ordinis in Universitate studiorum Jagellonica ab anno 1402 ad annum 1849. Edidit Josephus Muczkowski Bibliographiae Professor et Bibliothecae Universitatis Praefectus. Svo. Cracoviae. 1849, typis Universitatis.* Napisów, przedmowy i wstępu str. 19, str. CCXL, i 562. Rsr. 4 kop. 5.

93. Synowie Gedymina. Przez Kazimierza Stadnickiego. Tom I. Mowid.— Narymunt.— Jawnuta.— Koryat. Wydanie drugie przerobione i poprawione. Ska. Lwów. 1849. W drukarni Zakładu nar. Ossolińskich. Str. 111, i przypisków str. LXVIII. Rsr. 1 k. 20.

94. Zdanie sprawy z czynności Towarzystwa Naukowego krakowskiego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego, dokonanych w r. 1848/9. Odczytane na publicznym posiedzeniu w d. 27 paźdź. 1849 r. Przez Prof. Dra Józefa Majera Prezesa tegoż Towarzystwa. Ska. Kraków. 1849. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Napisów kart 2 i str. 46. (Oddruk z Rocznika Tow. Nauk.).

1850.

110. Wykład nauk dla ludu staraniem Wydziału rozpowszechnienia oświaty Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego. III. Nauka rolnictwa. 12ka. Kraków. 1850. Druk uniwersytetu. Napisów i przedmowy kart 2 i str. 216.

1851.

134. Elementarny wykład Matematyki przez Jana Kantego Steczkowskiego Profesora Wszechnicy Jagiellońskiej. Część I. Arytmetyka. Ska. Kraków. 1851. W drukarni uniwersyteckiej. Napisów i przedmowy str. VIII, rejestru i omyłek kart 4, i str. 321. (Wydanie Towarzystwa naukowego, z uniw. Jagiel. złączonego). Rsr. 2.

135. Krótkie przepisy używania słonych wód ciechocińskich. Przez P. S. Z godłem: Und noch niemand hat's bekundet,  
Wie die grosse Mutter schafft,  
Unergründlich ist ihr Wirken,  
Unerforschlich ist die Kraft.  
Schiller.

Ska. Warszawa. 1851. Nakładem R. Friedleina, druk Ungra. Str. 2 i 35. Kop. 60.

136. Lesława Łukaszewicza Rys dziejów Piśmiennictwa polskiego. Wydanie przerobione. Cena Złp. trzy. Ska. Kraków. 1851. Nakład własny, druk J. Czecha. Str. 121, i karta 1. Kop. 75.

137. Wykład Farmakomorfiki i Katagrafologii napisał Dr. Fred. Kazimierz Skobel, Professor p. z. Farmakologii i Terapii ogólnej w Uniwersytecie Jagiellońskim, Członek Towarzystwa naukowego z tymże Uniw. złączonego, Członek Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, ces. lekarskiego w Wilnie, fizyczno-lekarskiego w Królewcu i Akademii lekarsko-chirurgicznej w Madrycie. Ska. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Napisów i przypis. kart 3, przedmowy str. IV, rejestru kart 3 i str. 420. (Wydanie Towarzystwa Naukowego, z uniw. Jagiell. połączonego). Rsr. 1 k. 65.

## 1852.

99. Bajki i przypowieści Augusta Zaleszczyńskiego. Ska. Płock. 1852. Nakładem K. Dobrzańskiego księgarza, druk Edwarda Pauli. Napisów i przedmowy kart 2 i str. 159. Rejestru kart 2.

100. Dzieje Polski które stryj synowcom swoim opowiedział. Przez J. L. Wydanie siódme. Ska. Wrocław. 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk R. Nischkowskiego. Str. 199. Rejestru kart 2. (Tablic drukowanych 2 i mapp 12). Rsr. 1 kop. 80.

101. Dziewica Orleańska. Ustęp z dziejów Francyi. Wydanie drugie. Ska. Poznań. 1852. Nakład J. K. Żupańskiego, druk L. Merzbacha. Napisów kart 2 i str. 419. Rejestru kart 1. Rsr. 3.

102. Elementarny wykład Matematyki przez Jana Kantego Steczkowskiego Profesora Wszechnicy Jagiellońskiej. Część II. Algebra. Ska. Kraków. 1852. W drukarni uniwersyteckiej. Napisów, przedmowy i rejestru kart 5 i str. 327. (Z tablicą litografowaną). Rsr. 2.

103. Humoreski (,) szkice, fraszki i inne szpargaly z mózgowicy własnej pozbiarał i wydał Jacek Burczymucha (Xawery Edward Wojniłowicz). (Pismo pośmiertne). Z dodaniem powieści historycznej Danota. 12ka. Wilno. 1852. Nakładem i drukiem T. Glücksberga. Kart napis. 2 i str. 280. Rsr. 1 kop. 20.

104. Jana Krasieńskiego Polska czyli opisanie topograficzno-polityczne Polski w wieku XVI, oraz materiały do panowania Henryka Walezyusza, przetłumaczone, zebrane i objaśnione przez Stanisława Budzińskiego. 12ka. Warszawa. 1852. (Nakład Ig. Klukowskiego). Druk Strąbskiego. Kart napis. i rejestru 7. i str. 250. Rsr. 1.

105. Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik spisany podczas wojny szwedzkiej od roku 1655 do 1660. Wydał K. Wł. Wojcicki. Ska. Warszawa. 1852. W księgarni G. Sennewalda, druk Kom. Rząd. Sprawiedliwości. Str. 203. Rsr. 1.

106. Jeremi Wiśniowiecki (.). Sceny dramatyczne z XVII wieku. W dwóch częściach. Przez \*\*\*. Wydanie J. N. Bobrowicza. Ska mała. Lipsk. 1852. Nakładem księgarni zagranicznej, druk F. A. Brockhousa. Kart napisowych 2 i str. 234. Rsr. 1 kop. 20.

107. Kapitałiści. Powieść Józ. Sym. Boguckiego. 12ka. 4 tomy. Warszawa. 1852. (Na okładce rok 1853). Nakładem i drukiem J. Unger. Tom I, str. 197, T. II, 203. T. III, 244. T. IV, 259. Rsr. 3.

108. Kartofle i maszyny parowe. Przez Franciszka Rychlekiego z Wilczej Woli. Ska. Lwów. 1852. Drukiem Piotra Pillera. Str. 42. Kop. 25.

109. Każdy był sobie sam sprawcą upadku swego. Mowa Ś. Chryzostoma Arcybiskupa Carogrodzkiego. Przełożył X. Ludwik Łętowski Biskup joppejski, dziekan kapituły krakowskiej. Ska. Lwów. 1852. Nakład J. Millikowskiego, w drukarni zakł. nar. Ossolińskich. Str. 45 (do str. VIII znacząco rzym. liczbami). Kop. 30.

110. Kobieta-dziecię, dziewczica, żona i matka. Opowiadanie syna, napisał Jakób Rydecki. 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem autora, druk Adolfa Kretblow. Kart napis. 2, str. 365 i listy prenum. kart 3.

111. (Do Nr. 21 Kroniki z r. 1848).

Kodex Dyplomatyczny Polski, obejmujący przywileje królów polskich, Wielkich książąt litewskich, bulle Papieżkie, jako też wszelkie nadania prywatne mogące posłużyć do wyjaśnienia dziejów wewnętrznych krajowych, dotąd nigdzie niedrukowane, od najdawniejszych czasów aż do roku 1506. Wydany za staraniem i pracą Leona Rzyszczewskiego i Antoniego Muczkowskiego Adjunkta Archiwum Głównego Królestwa Polskiego. Tom drugi, część druga. 4ka. Warszawa. 1852. Druk St. Strąbskiego. (Obok tytuł łaciński.). Napisów kart 2, dedykacyi kart 2, przedmowy i omyłek kart 5. Indexów str. XVII. Część ta zaczyna się od str. 479 do 981. Rsr. 5 kop. 40.

112. Mnemonion fragment wydał Antoni Bronikowski. Ska. Ostrowo. 1852. Druk T. Hoffmanna. Kart 2 i str. 160. Rsr. 1 kop. 20.

113. Obraz słowa polskiego i jego odmian przez X. P. Semeneńkę (Przedruk z Przeglądu Poznańskiego). Ska. Poznań. 1852. U J. K. Żupańskiego, druk W. Deckera i Spółki. Str. 57. (Z drukowaną tabellą). Kop. 55.

114. Obrazki z życia ludu wiejskiego dla szkółek wiejskich. Przez ks. Karola Antoniewicza. Ska. Leszno. 1852. Nakład i druk E. Günthera. Str. 85. Kop. 25.

115. O rolnictwie. Przez Dezyderya Chłapowskiego. Wydanie trzecie przejrzone i pomnożone. Ska. Poznań. 1852. Nakładem J. K. Żupańskiego, drukiem L. Merzbacha. Napisów kart 2 i str. 248. Rejestru karta 1, tabell kart 3. Z mappa. Rsr. 2 k. 25.

116. O wpływie jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak i leśne w ogólności a w szczególności o owaljach lasom szkodliwych, przez Kazim. hrabię Wodzickiego, Członka czynnego Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego. 12ka. Leszno. 1852. Druk i nakład Ernesta Günthera. Str. 48. kop. 25.

117. Pamiątki miasta Żółkwi, zebrał ks. Sadok Barącz, Dominikan. Ska. Lwów. 1852. Druk Piotra Pillera. Str. 139. Kop. 45.



118. Pan Deputat. Powieść obyczajowa przez Ewę Felińską (ą), autorkę Wspomnień z podróży do Syberyi i t. d. 16ka. Wilno. 2 tomy. 1852. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 240. II, 228. Rsr. 1 kop. 35.

119. Panowie niemieccy na dworze Stanisława Augusta. Wizerunki osób historycznych skreślone przez Juljana Bartoszewicza. (Część I). 16ka. 1852 (Warszawa). Druk J. Ungra. Str. 228. (Część IIga): O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego. Str. 120. (Oddruk pięciu biografij i rozbioru dzieła Bielowskiego z Dziennika Warsz.). Cena 2 części rsr. 1 k. 35.

120. Powieści domowe (.) (Na okładce dodano: przez autora Bigosu Hultajskiego) Seriy)a druga (.) Tom I. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 175. (Do str. 18 znaczone liczbami rzymskimi). Kop. 75.

121. Prawidła obyczajności ku zachowaniu uprzejmych w świecie stosunków, według dzieła francuzkiego przez J. Miłkowskiego. 16ka. Kraków. 1852. W księgarni i wydaw. dzieł katol. i nauk. Str. 174. Rejestru karta 1. Kop. 40.

122. Przez krzyż do nieba. Przypomnienie missyi w W. Księstwie Poznańskim odbytej, przez ks. Karola Antoniewicza. 8ka. Leszno. 1852. Nakład i druk E. Günthera. Str. 35. Kop. 10.

123. Sąsiedzi. Powieść przełożona na język polski z szwec(dz)kiego Fryderyki Bremer. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1852. Nakład H. Natanson, druk Ungra. Tom I, str. 242. II, 262. Rsr. 1 kop. 50.

124. Sprawa ortografii polskiej, w Galicyi. Przez Franciszka Rychlickiego z Wilczej Woli. 8ka. Lwów. 1852. Drukiem Piotra Pillera. Str. 40. Kop. 25.

125. Sylwandira. Romans Aleksandra Dumas. Przełożył z francuzkiego J. B. 12ka. 3 tomy. Warszawa. 1852. Druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 164, II, 308. III, 258. Rsr. 2 k. 25.

126. Wiadomość historyczno-statystyczna o morowém powietrzu w Warszawie w latach 1624 i 1625 panującym. Z ryciną. Podał Alexander Wejnert wydawca Starożytności Warszawskich. (Odruk z Bibl. Warsz.) 8ka. Warszawa. 1852. Nakład autora, druk St. Strąbskiego. Kart 2 i str. 42. Kop. 30.

127. Zasady ekonomji politycznej czyli wykład głównych wiadomości tej nauki, przez Józefa Garnier Professora w Szkole królewskiej Drog i Mostów, Głównego Redaktora „Dziennika Ekonomistów” i t. d. Z drugiego wydania, znacznie powiększonego, przełożył na język polski A. S.

Z godłem: Que la nation.....  
8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 398. Rsr. 2 kop. 25.



### *Doniesienia literackie.*

#### WARSZAWA.

Nakładem G. L. Glücksberga wyszła zuana z prawdziwej wartości: „Książka kobiety chrześcianki” przez księdza F. E. Chassay; przekład z francuzkiego.— Nakładem tegoż wyjdą w r. b.: 1) Ostatni książęta mazowieccy, powieść historyczna w 3 tomach, Ad. Am. Kosińskiego. 2) Teatr dla dzieci,

2 tomy. 3) Księga natury (początki fizyki, chemii, botaniki, zoologii i mineralogii w jednym tomie w 8ce). 4)<sup>1</sup>/<sub>2</sub> Powieści dla dzieci, Bolesława Rotuła. 5) Czystość serca, (dzieło religijno-moralnej treści, przez autora: „Książka kobiety chrześcianki”). 6) Komedye wierszem L. Niemojowskiego.

— A. Chodźko napisał grammatykę perską, która już wyszła z pod prasy drukarskiej.

— Nakładem księgarza J. Bernstejna następane dzieła wkrótce opuszczą prasę drukarską: 1) „Nowy elementarz warszawski” z rycinami kolorowanymi. 2) „Ziemioznawstwo powszechne”: dzieło treści astronomicznej, popularnie wykładające tę naukę i wszelkie zjawiska natury. Z rycinami kolorowymi i drzeworytami. Z niemieckiego dr. F. W. Hoffmana. 3) „Nauki rozumowanej praktyki przemysłu gospodarskiego” przez dra F. J. Otto i K. Siemens wyszedł zeszyt dziesiąty. Całe dzieło w ciągu przyszłego miesiąca w zupełności ukończonem zostanie.

— W Poznaniu Marcelli Motty przetłumaczył wierszem miarowym i wydał w drukarni Pawickiego: „Bukoliki Wirgiliusza.” We wstępie mówi: „Niniejsze tłumaczenie Bukolików Wirgiliusza zrobione jest na wzór tłumaczeń Vossa. Starano się w niem przedewszystkiem o najwierniejsze ile możności oddanie oryginału tak pod względem języka, jak pod względem miary. Wiersz, którego budowa tutaj wiele jest ściślejszą niż w „Pieśni Wajdeloty” i kilku mniej znanych poezjach, jest wierszem sześćcio-miarowym, składającym się z daktyłów i trocheów.”

— W piśmie *Illustration* z dnia 11 września r. b. czytamy oddawane wielkie pochwały p. Maxymilianowi Fajans, z powodu wylitografowanego przez tegoż obrazu *la Joconde* utworu p. Couture. Artykuł ten wyliczając poczet znakomitszych litografów Francyi, mieści pomiędzy nimi i naszego ziomka p. Fajansa.

— Druk tomów 9, 10 i 11 „Wspomnień z podróży” dra Teodora Tripplina już ukończony; tom 12 wyjdzie w miesiącu grudniu.

— Ks. Maciej Maliszewski ogłosił: „Zapowiedź wydania nowego dzieła pod *gramotem* (sic): Dzieje rodowych braci Lecha, Mecha i Czecha, toż ich bratanka Rusa, trzech założycieli państw nowych na plemionosłach ludów słowiańskich, w pierwszej połowie IIgo wieku po narodzeniu Chrystusa Pana, które z rzeźb pozostałych na Widawie Trajana w Rzymie zdjął i objaśnił ks. Maliszewski.” (Mają to być badania dziejowe Polski, sięgające wieków przedchrześcijańskich, i wracające naszej historii tradycyjnego Lecha).

— Z drukarni St. Strąbskiego wyszła książka do nabożeństwa przez księdza Jana Bogdana p. n.: „Chrześcijanin w obec Boga”. Obszerniejsze o niej sprawozdanie podamy w jednym z następnych zeszytów.

— *Athenaeum*, pismo zbiorowe, przestało już wychodzić. Szósty tom obecnie wydany za rok 1851, zamyka cały poczet złożony z 66 tomów. Czytamy tu rzewne pożegnanie wydawcy J. I. Kraszewskiego ze swemi czytelnikami i współpracownikami. Przywiedziem tu z niego mały wyjątek:

„Biorąc pióro do ręki, by tych słów kilka pożegnania nakreślić, czynię to, wyznam, nie bez jakiegoś żalu i tęsknoty! Obracam się myślą ku temu czasowi nadziei, kiedym przed laty dwunastą poczynął *Athenaeum*, wierząc we wszystko, w co dziś wiarę straciłem, ku tym chwilom zapалу dla literatury, dla sztuki, dla wszystkiego co nasze; potem spoglądam dokoła na

wielką zmianę ludzi, myśli i gorliwości, i smutno mi, bardzo smutno. Ale są koleje nieublagane, są losy nieprzemodlone! Woła Boża—mówmy sobie, żeby się trochę pocieszyć—wola Boża i koniec!”

„Czas spocząć, czas umilknąć i czas was zaciń towarzysze i was mili czytelnicy moi pożegnać. Przyjmijcie cichy, smutny, serdeczny uścisk dłoni, którą poruszała chęć dobra, która mogła być bezsilną, ale była wiedziona zapalem dobrego i szlachetnego. Przenieście współczucie wasze do godniejszych pracowników, ale w niem nie ostygajcie. Pracy nam potrzeba dla odrodzenia moralnego, do poprawy:—pracy nam potrzeba i wytrwałości.”

Przyjmujemy ze szczerym żalem tę wiadomość o zamknięciu Athenaeum, a tem więcej widząc w szanownym wydawcy, tak długo wytrwałym, zniechęcenie. Trudno wymagać po panu Kraszewskim, aby prowadził dalej to pismo zbiorowe, nie będąc wsparty ani współpracownictwem innych, ani prenumeratą, mogącą pokryć koszta nakładu. Pragniemy tylko, aby zniechęcenie, którego nie tai, nie wpłynęło na dalsze prace ulubionego autora.

— Adam Gorczyński napisał dwie nowe komedye dla teatru krak. z których pierwsza odegraną była, pod tyt. *Esterka i Ojciec chrzestny*.

— Nakładem księgarni katolickiej w Krakowie wydane zostały: „Sześć tygodni na Wschodzie; podróż do Carogrodu odbyta w r. 1846 i opisana przez ks. Antoniego Waśniewskiego.”

— W drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wyszedł „Rocznik Towarzystwa Nauk. z uniw. Jagiel. połączonego” oddziału nauk moralnych zeszyt I, i zawiera: 1) J. Majera: Zdanie sprawy z czynności Tow. Nauk. z r. 1851-2.—2) W. Pola: Zasługi Długosza pod względem geografii. 3) J. Zielonackiego: Dwa szczegóły w przedmiocie nauki o posiadaniu. 4) F. K. Skobla: Wiadomość o życiu Fr. Hechla prof. uniw. Jagiellońskiego.

— Pieśni ludu serbskiego, których zbiorem *Wuk Karadzicz* tak wielką przysługę literaturze słowiańskiej wyświadczył, znalazły teraz dwóch znakomitych i wybornych tłumaczy. Bohdan Zaleski, który w zbiorze swoich poezyj wydania M. Wolffa przekładowi tych cudnych utworów poświęcił tom IV, i Roman Zmorski, który przygotował dwa obszernie tomy tłumaczonych pieśni serbskich już wierszem miarowym, już rymowym. Przekład p. Romana Zmorskiego odznacza się nie tylko wiernością ścisłą, ale i ślicznym językiem, którym ten pisarz z prawdziwym talentem po mistrzowsku włada.

— Nakładem i drukiem J. Glücksberga wyszła: Taryfa domów miasta Warszawy i Pragi z planem ogólnym, i 128 szczegółowych planików ulic i domów; ułożona przez inżyniera miasta Warszawy H. Świątkowskiego. Ska. Textu str. 74. Na czele umieszczony zwięzły: „Pogląd na postać miasta Warszawy w rozmaitych czasach i zmianach aż do dnia dzisiejszego.” W poglądzie tym, dzieli autor dzieje dawnego grodu Mazowsza na trzy epoki: 1) Początek i wzrost Warszawy. Zostaje stołecznym miastem księstwa mazowieckiego; następnie po przyłączeniu do Polski, głównym całego Mazowsza, czyli od najdawniejszych czasów do r. 1596; 2) Warszawa zostaje stolicą dawniej Polski. Postać jej zewnętrzna i stan wewnętrzny, czyli zmiany, jakie od roku 1596 do 1794 nastąpiły; 3) Stan i postać Warszawy od początku XIXgo stulecia, aż do naszych czasów. Dalej następuje: podział miasta Warszawy na parafie; tabella średnicy ilości wody spadłej z powietrza w każdym miesiącu, począwszy od r. 1840 do 1851;

spis ulic podług porządkowego numeru, wraz z wymienieniem właścicieli każdego domu (ulic 208, domów 3159); przedmieście Praga (domów 457, ulic 21); podział domów miasta Warszawy na 12 cyrkułów; podział Warszawy pod względem sądownictwa; wykaz lokalów przez biura rządowe zajętych. Kończy text: spis alfabetyczny ulic.

— Dwie rozprawy Wincentego Pola: 1) *Opis Dniestru*; 2) *Zasługi Długosza pod względem geografii*, umieszczone w Rocznikach krakowskich, wyszły w oddzielnych odbitkach, równie jak rozbiór dzieła Michała Grabowskiego: *Ukraina dawna i teraźniejsza*.

— J. Kremera: „Wykład systematyczny filozofii, obejmujący wszystkie jej części w zarysie”, którego tom Iszy wydany został w Krakowie 1849 r., tom IIgi drukuje się nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie. Nakładem tegoż księgarza wyjdzie wkrótce: „Rys chronologiczno-historyczny państw nowożytnych p. Alex. Zdanowicza,” wydanie drugie znacznie powiększone.

— We Lwowie ogłoszono przedpłatę na dzieło p. n.: „Najnowsze pszczelnictwo ozdobione drzeworytami w texcie” przez Hippolita Witowskiego, który równocześnie toż dzieło wydać zamierza we francuzkim i niemieckim języku.

— P. Szwarz, dyrektor lasów w służbie księcia Leona Sapiehy wydał: 1) Kontrolę i rachunkowość leśną. 2) Ważność i istota uregulowania lasów.—Ogłosił zaś przedpłatę na dzieło p. n.: „Należyte użycie produktów lasowych.” Wyjdzie z drukarni zakładu Ossolińskich we Lwowie.

— Zygmunt Helcel znany redaktor Kwartalnika naukowego, napisał obszerną i nader ważną rozprawę o klasztorze jędrzejowskim, i będącym tam nagrobku Pakosława kasztelana krakowskiego, i umieścił takową w tomie 1szym Rocznika towarzystwa naukowego krakowskiego oddziału sztuk i archeologii.

— Jan Lucyan Libera nauczyciel szkoły początkowej we wsi Morawicy w Wielkiem księstwie krakowskiem, pomiędzy wielą pismami dla szkółek wiejskich wypracował: „Arytmetykę dla szkół początkowych wiejskich, zupełnie nowym ułożoną sposobem.”

— Alexander Groza, znany z pięknego talentu poetycznego, przygotował do druku „Godzinki” na chwałę Matki Boskiej słynącej z cudów w Berdyczowie, poprzedzone obszerną, pełną erudycyi wiadomością o klasztorze OO. Karmelitów. Nasze Kantyczki, a głównie téż szopki zapustne, oczekują na poetę, aby je podniósł na stanowisko dzisiejsze.

— Julian Kotkowski ukończył Psychologią polską.—Cezary Turzyna Perro powieść p. n.: „Parafialna kronika.”

† Dnia 10 września r. b. we wsi Borzeniu pod Płockiem umarł dotknięty epidemią ś. p. Wincenty Hippolit Gawarecki, b. prezes Trybunału cywilnego gub. płockiej i t. d. Urodził się dnia 12 października r. 1788 w powyższej wsi Borzeniu.

† Dnia 28 września r. b. w Warszawie, zmarł w 57 roku życia Wilhelm Malcz, doktor medycyny i chirurgii i t. d.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAŃSKIÉM.**

*Sierpień, 1852.*

Sierpień 1852.

Dostrzeżenia w Obserwator

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza  
czyli w łuku 18°41'25,5" na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano.	god. wiec.	god. wiec.	
1		747.89	748.67	747.59	748.14	+16°5	+21°4	+24°0	+16°2	68.0
2	☺	748.04	747.84	745.58	745.64	16.6	20.0	21.4	15.8	70.7
3		745.24	745.33	743.26	742.85	16.1	21.3	25.5	16.9	68.0
4		741.97	741.73	740.93	741.46	15.5	23.0	26.0	21.8	62.3
5		743.66	745.14	745.75	746.37	16.5	19.5	24.0	18.6	68.5
6		745.36	744.13	742.69	742.31	16.9	25.0	26.6	19.0	72.5
7		741.27	739.41	739.82	741.73	17.1	25.4	22.2	16.4	75.2
8	☾	745.33	746.46	746.85	748.30	13.7	21.6	26.4	20.0	63.0
9		747.26	748.27	744.61	743.95	17.9	25.0	28.8	20.6	58.8
10		739.24	739.42	740.42	741.29	19.8	26.8	23.0	16.7	70.0
11		741.89	743.63	745.58	746.23	15.4	18.3	22.4	15.4	79.7
12		747.41	747.31	746.35	745.30	14.6	22.4	23.7	18.1	69.0
13		744.05	744.19	744.08	744.28	15.7	17.3	21.7	15.7	78.5
14		745.06	746.10	746.20	748.11	14.2	20.6	21.6	15.4	72.5
15	☉	749.24	749.22	747.43	747.08	13.3	18.6	22.0	14.2	71.8
16		746.82	747.21	747.88	749.57	13.1	17.5	22.0	15.6	73.2
17		753.25	754.51	754.10	754.95	11.7	20.0	23.4	17.3	60.3
18		755.51	755.80	754.42	754.47	13.8	19.4	22.2	16.4	70.7
19		754.26	753.04	751.03	750.30	13.9	21.3	25.9	19.7	65.5
20		748.46	748.01	746.79	746.94	16.9	22.3	22.2	17.6	74.8
21		746.08	746.24	745.41	745.76	15.8	21.9	21.9	17.2	82.0
22	☾	746.25	747.20	747.00	748.83	17.5	19.1	20.9	17.0	85.2
23		749.23	749.89	749.82	751.19	15.8	16.4	21.5	14.5	71.0
24		752.14	752.83	752.43	753.54	8.8	14.1	16.7	10.8	66.5
25		754.02	754.41	753.71	754.13	10.3	14.2	16.9	10.7	62.0
26		754.58	752.63	750.61	751.88	8.6	16.0	20.7	14.0	79.8
27		753.13	754.54	755.78	757.02	13.3	17.8	19.5	16.8	85.0
28		759.79	760.88	760.82	760.83	13.0	17.2	19.8	13.7	73.0
29	☺	761.83	761.45	759.95	759.61	11.2	18.5	21.8	14.4	63.0
30		757.76	757.14	754.45	753.41	11.8	19.1	27.7	18.7	69.2
31		752.20	751.90	750.13	750.10	15.5	18.9	25.5	19.9	73.8
Śre.		748.975	749.178	748.434	748.889	+14°54	+16°01	+18°28	+13°29	71.1



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.867	27	7.970
Najwyżej dochodził — d. 29 o g. 6 r.	761.83	28	1.716
Najniżej — — d. 10 o g. 6 r.	739.24	27	3.703
Średnia zmiana dzienna barometru	3.013		1.336
Największa zmiana dzienna barometru d. 9—10 o g. 10 r.	8.85		3.823
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.645		0.284
Średnia temperatura sierpnia wynosi: + 18 <sup>o</sup> .50 C. + 14 <sup>o</sup> .80 R. i ta jest wyższą o	749.512	27	8.254
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	0.40	„	0.32
	18.10	„	14.48
Największe ciepło dochodziło d. 9 o godz. 4 po połud.	28.8	„	22.84
Najmniejsza temperatura była d. 26 o godz. 6 rano	8.6	„	6.88
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.029	„	1.623
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 10—11 o g. 10 r.	8.5	„	6.80

Termometrograf wskazał:

Maximum: +24<sup>o</sup>.3 R. d. 9 po połud.

Minimum: +5<sup>o</sup>.3 „ d. 26 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 37,9 milim. czyli 16,80 lin. par.; ilość ta jest mniejszą o 16,34 lin. par. od ilości jaka zwykle u nas w sierpniu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 71,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11,31 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,02 od normalnej.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 8, pochmurnych 14.  
— deszczu 13 (d. 1, 4, 10, 11, 12, 13, 19, 20, 21, 22, 26, 27, 31).  
Dni mgły 1 (d. 7). — Dni grzmotów 5 (d. 4, 14, 20, 21, 26). — Dni błyskawic bez grzmotów 5 (d. 4, 10, 21, 26, 27).

Wichrów 3 (2 Z., 1 PdZ.). — Wiatrów mocnych 5 (2 PnW., 2 Z., 1 PnZ.). — Wiatr panujący: Zachodni i Północno-Wschodni.

Sierpień r. b. był pogodny, suchy, blisko o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze dziesięć dni były gorące, następne trzynaście ciepłe, dwa dni 24 i 26 osobliwie z rana chłodne. Najcieplejsze dni były: 3, 4, 6, 7, 8, 9, 10; średnia temperatura tych dni wynosiła 16 stop. R., najmniej ciepłe dni: 24, 25, 26. 28 przy wietrze północno-wschodnim. Barometr pomimo pogodnego stanu nieba utrzymywał się nisko; dnia 29 z rana wznosił się bardzo wysoko i stanął na 28 cali 1.72 lin. par. co się rzadko w tym miesiącu zdarza. Dni najwilgotniejsze były: 11, 13, 22, 26, 27; najmniej wilgotne: 4, 8, 9, 17, 25. Pod względem wiatrów panujących miesiąc ten różnił się od stanu normalnego; w pierwszych siedemnastu dniach wiatry były zmienne, jednak zachodnie przeważały nad inne; od d. 18 do 25 wyłącznie panował północno-wschodni. Elektryczność atmosferyczna osobliwie w pierwszej połowie była bardzo słabą; od d. 20 coraz silniejszą się okazywała. W ogóle miesiąc ten odznaczał się suchym, niekiedy parnym powietrzem, niskim stanem barometru i wiatrem północno-wschodnim. W tym miesiącu w Warszawie cholera silnie grassowała i do d. 13 (sześć tygodni od czasu jej zjawienia się w d. 8 lipca) powiększała się, odtąd zaczęła się zmniejszać; najsilniejszą była od d. 5 do 25; w ciągu 20 dni umarło na cholere w Warszawie 3,034 osób; w całym zaś miesiącu 3,739 osób.

Dnia 1 o g. 6 min. 36 i 3go o g. 6 w. widziano tęcze świetne.

Dnia 29, 30, 31 pokazywały się plamy na słońcu.



# POSZUKIWANIA

## DO HISTORII ROLNICTWA KRAJOWEGO.

### Oddział IIgł. — Część IIga.

Przeszkody jakie spotyka rolnictwo w początkach XVIII wieku. — Dalszy rozbiór przyczyn, które wzniesienie się jego tamowały. — Podzielność i ruch własności ziemskiej. — System dzierżawny. — Niebezpieczeństwa, jakimi groziły latifundia. — Wady gospodarstwa czysto zbożowego trzechpołowego. — Podniesienie się produkcji w drugiej połowie XVIII wieku. — Przyczyny tego.

#### I.

Wypadki publiczne, któremi rozpoczął się wiek XVIII, nie były wcale sprzyjające nowemu rozwinięciu lub przynajmniej pokrzepieniu sił krajowych tak w przemyśle, jak wzroście bogactwa i ekonomice. Owszem, wszystko co może je utłumić i zniszczyć, zebrało się naraz w ową epokę: zamieszki domowe na Litwie, długa wojna, której Polska stała się widownią i ofiarą, rozdzielenie narodu na dwa bojujące stronnictwa, głód i zaraza. Jak za najścia Karola Gustawa, tak i teraz wojska szwedzkie utrzymywały się w kraju kontrybucjami wojennymi i łupieństwem. Przeciwne stronnictwa nawzajem niszczyły, paliły i łupiły majątki przeciwników swoich, w czém cudzoziemskie wojska gorliwie im dopomagały. Jeżeli wojny z czasów Karola XIIgo mniej krwawo i boleśnie zapisały się w pamięci narodu jak poprzednie, to ztąd chyba pochodzi, że wojny te były walką stronnictw, prowadzone były przez mniej liczne i w karności większej utrzymywane wojska; kiedy przeciwnie pierwsze wojny szwedzkie były walką narodową, walką na śmierć z jednej strony całego powstałego narodu, z drugiej zbiegającego się zewsząd na łup niepłatnego żołdactwa. Karol XII ochraniał kraje swojego pupilla

i sprzymierzeńca przynajmniej w jego stronnikach; Karol Gustaw zmuszony opuścić kraj, który uważał już za zdobyty, wywarł na nim całą srogość zawiedzionej ambicyi i wywróconych rachub i nadziei. Wreszcie pierwsze wojny szwedzkie kraj kwitnący, bogaty i ludny zasypały zgorzeliskami, ruinami i mogiłami; drugie, w kraju spustoszonej nie mogły już zostawić tak wielkich śladów zniszczenia.

Powoli jednak uciszały się burze zewnętrzne i wewnętrzne zatargi, chmury się rozchodziły i horyzont wyjaśniał; ale dawne życie i czynność nie wracały do skołatanój burzami osady. Po wstrząśnieniach gwałtownych nastąpił spoczynek do letargu podobny. Żaden już ważniejszy krok prawodawczy, ekonomiczny lub finansowy nie oznaczył reszty panowania Augusta IIgo i całego panowania Augusta IIIgo. Trudno powiedzieć i odgadnąć nawet, w jakim kierunku zwróciła się siła życia narodowego — tak w niczem widomych jej śladów nie pozostało z owój epoki. Zaprawdę, jeżeli rzeczywistą ma być teoria tych ludzi, którzy utrzymują, że wieki wstrętu dla pismactwa są wiekami czynu; że praca odwrócona od nauk i literatury, wciela się w żywe fakta: to nigdzie widocznieszego zaprzeczenia téj teoryi znaleźć nie można, jak w owój epoce. Prawie ucichła muza narodowa, bo przecież nikt seryo poematu o bitwie olkieniickiej, na równi z naszymi utworami poetycznymi innych wieków kłaść nie będzie. Język polski nie zbogacał się dziełami znamienitemi. Bogate z innych epok materiały do historyi swego czasu, ograniczają się do małej nader liczby. Aby poznać bliżej te czasy, trzeba do obcych często uciekać się źródła. Jednakże wśród téj ciszy literackiej i naukowej nie spotykamy czynów. Nie spotykamy śladów, aby przemysł, rolnictwo, finanse, wojskowość, prawodawstwo, nabrały nowego życia. Nie spotykamy ludzi przewodniczących krajowi na drodze materialnego odrodzenia nawet.

Duch stronnictwa rozdzielił naród na przeciwne obozy, walczące z sobą skrycie o wpływ, znaczenie i korzyści. Niewykonanie praw szerzyło anarchią. Nie zbywało na znakomitych zdolnościach, wielkich charakterach i najlepszych chęciach; ale trawił je i zbezużyteczniał wpływ zgubny okoliczności i położenia ogólnego. Od powagi i prostoty dawniejszych wieków, brzydko poczęła odbijać skłonność do zbytku, która się w jakiejś części narodu rozlała. Sławne przysłowie: „za króla Sasa” jest najdobitniejszą przymówką do skłonności owego wieku. Jakieś

rozstrzelanie na jednostki panuje w narodzie. Moźniejsi tworzą wielkie, ale oddzielne ogniska, skupiając, często bez żadnego pożytku, około siebie roje mniejszych i maluczkich. Nie masz życia publicznego, narodowego; jest życie stronnictw, indywidualów. Dwór nawet jest głową partyi, nie głową narodu; nic nie zbiera, nie łączy podzielonych jednostek. Ten brak życia zbiorowego dośrodkowego, nie mógł pozostać bez śladu na położenie kraju ówczesne: rozprężenie i niemoc wszędzie były widoczne. Tyle tylko pozostało czerstwości i ruchu, ile go nadać mogły indywiduala w zakresie swojego działania. Że jednak potęga, dostatki i zakres działania pojedynczych ludzi były rozległe i niezawiste; zastępowali oni niekiedy i do pewnego stopnia brak siły, wpływu i działania państwa. Z tego źródła płynęło nieco życia do skołatanego kraju. Dźwigały się tu i owdzie spalone miasteczka, podnosiły się tu i owdzie spustoszone osady, uprawiały tu i owdzie zaodłożone niwy; ale te wszystkie usiłowania pojedyncze nie mogły być dostateczne: kraj nie powracał do tego, czém był dawniej, bo brakowało dawnych sprężyn nadających ruch i bieg całości. Lepszy nieco był jednakże wracał skutkiem pokoju; zablizniały się niedawne rany, powietrze i głód, następstwa zwyczajne długich i ciężkich wojen, wypuścili z swych szponów nie-szczęśliwą ziemię, dozwolili nieco odetchnąć zdziesiątkowanej ludności i z większym nieco zaufaniem powrócić do pracy około ziemi. Z tychto zapewne przyczyn pozostało u ludu przyjazne wspomnienie owych czasów. Porównane z tém co je poprzedziło i co po nich nastąpiło, były one chwilą wytchnienia, odpoczynku po dawnych klęskach, jakby przygotowaniem i zebraniem sił do nowych. Po ciężkich burzach, sam pokój już jest dobrodziejstwem; tak jak chwila ustąpienia cierpień w długiej i dolegliwej chorobie, chociażby bez żadnej nadziei zupełnego wyzdrowienia. Bo zresztą nic się w stosunkach wewnętrznych nie zmieniło na lepsze: przyczyny upadku miast i rolnictwa istniały tak samo, jak poprzednio; żadnej nie usunięto i nie usiłowano usunąć. To téż pomimo pokoju i bezpieczeństwa, silnego popędu do wzrostu ani przemysł, ani rolnictwo wzięć nie zdołały; tych nawet rozmiarów odzyskać nie mogły, z których niedawno były spadły.

Przyczyny, które temu stały na zawadzie, godne są bliższego rozbioru. Wskazaliśmy już niektóre, jak: upadek targu wewnętrznego; niżenie moralne i materialne ludności rolniczej;

stopienie się małej, własnej, niepodzielnej i niezawistej; wzrost nieproporcjonalny latifundyów, wreszcie wpływ praw przymusowych, które wielką uprawę podpierały. Niektóre z tych przyczyn wypadnie nam bliżej nieco objaśnić. Ale oprócz tego, spotykamy inne niższego rzędu, ale nie bez wpływu w swoim zakresie będące. Nad temi teraz zatrzymamy się, ale do tego potrzeba nam jeszcze cofnąć się w oddalenszą epokę i przejrzeć pierwotne kształcenie się instytucyj z ziemią w stosunku będących.

## II.

Od czasów, jak stosunki ziemiańskie poczynają u nas wyraźniej występować w pomnikach historycznych, widzimy je zaraz kształć się pod wpływem widoków wojennych i względu na obronę kraju. Wyobrażenia dawniejsze ściśle łączyły posiadanie ziemi z obowiązkiem służby wojennej. Jeżeli ziemia była nagrodą rycerza, wkładała zarazem na niego ciągły i niezbyty obowiązek służby osobistej. Ta myśl zasadnicza i organiczna wieków średnich, pozostała u nas nietknięta przez cały ciąg pasma historycznego. Chociaż powoli stosunki lenne upadały i ustępowały miejsce czystej własności, ta zasada utrzymała się w nowych stosunkach z tej zmiany wynikłych. Zawsze obowiązek rycerski przywiązany pozostał do własności ziemskiej. Ta myśl i ten wzgląd przeważały w całej formacji późniejszych urzędów: widocznymi są w prawach spadkowych, w ograniczeniach legatów na korzyść klasztorów i duchowieństwa. Tego pozoru używali różnowiercy, chcąc za Zygmunta Augusta wymóżyć, aby opactwa, rozległe posiadłości ziemskie mające, na dobra narodowe zamienić, jak wspomina o tém w listach swoich Commendoni. Później obowiązek osobistej służby z tytułu posiadania, coraz więcej wychodził z praktycznego użycia. Pospolite ruszenia coraz stawały się radsze; niekiedy monarchowie lękali się ich, aby się nie zamieniły w rokosz; to znowu w niektórych wojnach uważano je za niedosyć skuteczne i składano pieniądze na nadzwyczajne zaciągi, i ten zwyczaj ostatni coraz więcej przeważać zaczął w miarę tępienia się ducha rycerskiego. Zawsze jednak zasada pozostała w zwyczajach i prawie, tém więcej, że służyła za pozór do odmawiania stałych podatków.

Obok tego głównego względu, wzgląd na potrzeby i korzyści ekonomiczne, grał zawsze rolę podrzędną w urządzaniu stosunków wewnętrznych. Kraj nasz pierwotnie był przede wszystkim rycerski; później nawet, kiedy więcej był nim w prawach, księgach, mowach i wyobrażeniach niż w rzeczywistości i życiu praktycznym, a istnienie kraju oparto się istotnie i wyłącznie na rolnictwie: względy ekonomiczne nigdy przewagi otrzymać nie zdołały. Wszystko, co prawodawca robił w wiekach XV i XVI robił więcej dla rycerstwa, jak dla rolnictwa. A lubo pośrednio ważne korzyści spływać ztąd mogły i spływały na samo rolnictwo; jednakże bezpośredni wzgląd na korzyści tego ostatniego, byłby może prawodawców na inną drogę wprowadził. Może też sposób widzenia był w tej materii u naszych przodków odmienny. Co bądź, to jednak jest rzeczą pewną, iż prawodawcy mieli dwie drogi przed sobą w czasie, kiedy stosunki ziemskie się kształciły, to jest: albo prawa, przywileje i obowiązki przywiązać do ziemi i zrobić je nieodłącznymi od niej; albo też prawa, przywileje i obowiązki przywiązać do osób i używanie ich posiadaniem ziemi uwarunkować. Czyli: uprzywilejować ziemię, albo osobę rycerza.

Tę drugą drogę wybrano u nas. Rycerstwo czyli klejnot szlachecki, co pierwotkowo nie znaczyło jedno, a później stało się jedną i tą samą rzeczą, był istotnym przywilejem; ziemia sama przez się nie miała żadnych. Rycerz wchodził tylko w używanie najważniejszych praw z szlactwa płynących przez posiadanie ziemi. Ważne ztąd korzyści, jak już powiedzieliśmy, spływały na samą ziemię; ale taż ziemia w ręku nierycerza wkładała obowiązek służby wojennej, a była pozbawiona korzyści i przywilejów, które dla stanu rycerskiego były zawarowane. Później, ziemia stała się wyłączną własnością stanu rycerskiego; nikt jej na własność dzierżyć nie mógł, wyjąwszy kilku mieszczan niektórych miast większych, osobnemi przywilejami do tego upoważnionych, ale to właściwie w skutkach nie poszło na korzyść rolnictwa i ogólnego bogactwa kraju. Albowiem chociaż rolnictwo swobodniej i bujniej mogło się rozwijać w ręku stanu posiadającego znakomite przywileje, to zato w reszcie ludności upadała skłonność i zamiłowanie do pracy i oszczędności w braku możności korzystnego użycia i swobodnego obrotu owoców tej pracy.

Ziemia wszędzie i zawsze jest głównym i końcowym celem materialnych starań i zabiegów człowieka. Do niej najusilniej

dąży, ją najmocniej może ukochać, na niej najswobodniej spocząc po trudach długiej i mozolnej pracy, w niej wreszcie z największym bezpieczeństwem umieścić może zasoby w burzliwych i niepewnych kolejach innych zawodów zebrane. Odjąć licznej części narodu drogę do nabywania ziemi, jestto zniszczyć jeden z ważnych bodźców do pracy i oszczędności. Handel i przemysł mogą prędzej z bogactw, łatwiej nasycić gorączkę bogactw; ale zubożony kapitalista tęskni do ziemi, jużto z powodu większego bezpieczeństwa, jużto z powodu tego niedającego się określić uroku, jaki ona posiada, a który może w części pochodzi z tej przyczyny, że z ziemią łączyła się idea uzacnienia, która tradycyjnie w wyobrażeniach pozostała. Tak jest wszędzie, tém bardziej musiało to mieć miejsce u nas, kiedy własność ziemi dawała korzyści znakomite, swobodę zupełną, i bezpieczeństwo dla kapitału. Kiedy miasta przeciwnie, były ścieśnione, upokorzone, pozbawione swobod i wpływu, a handel i przemysł giął się pod coraz większym naciskiem przepisów i urzędzeń dla niego szkodliwych; kiedy jednem słowem dla mieszczan i przemysłowców utrudzoną była, a prawie zamkniętą, droga ambicji i droga zubożenia.

W innych krajach, jak np. w Niemczech, a mianowicie w Anglii inną drogę prawodawca obrał. Bez względu na to, czy były i jakie były różnice i przywileje oddzielnych klas mieszkańców, ziemię otoczył przywilejem. Przywiązując do niej prawo substytucji i pierworodztwa, posiadłościom ziemskim nadał nietykalność i niepodzielność. Różnym klasom narodu nie wzbronił prawa nabywania ziemi; owszem, tém ponętniejszą ją dla nich uczynił, że kupując ją stawali się uczestnikami tych samych przywilejów, jakie posiadali innych klas właściciele. Ze droga, którą wybrał prawodawca angielski była korzystna dla rolnictwa, piękności i bogactwa kraju, a nawet dla interesu wszystkich klas mieszkańców, dowodem tego jest obecny stan Anglii, dla której od lat może 700 w tej mierze nic się prawie nie zmieniło. Pod takimi urządzeniami stała się krajem nie tylko najpiękniejszym, ale najwyżej posunęła kulturę rolniczą.

U nas nie dopuścili ustalić się podobnym stosunkom prawa dawniejsze, wyobrażenia i obyczaje. Sam zawiązek nawet organizacji ziemskiej i rycerskiej, która początkowo była zasadą tamtej, był inny u nas jak w kraju o którym właśnie mówiliśmy. Tam obce plemię wojownicze usadowiło się na ziemi podbitej

i wszelkich dołożyło usiłowań w obmyśleniu i ustaleniu praw, któreby jego władzę polityczną uwiecznić były zdolne. Wszelkie względy na osoby i na stosunki rodzinne odłożone zostały na bok, a wzgląd polityczny jedynie był miany na oku. Tylko indywiduala możne, przeważny wpływ posiadające przez dostatki, liczbę lenników i obszerność posiadanej ziemi, mogły zapewnić przewagę stałą i ciągłą gruntującemu się plemieniu wojowniczem, i utrzymać ich na wysokości przewodników wojskowych i politycznych narodu. Wprowadzili więc zasady, które im takie położenie zapewniały. W kraju podbitym, jak w czystej księdze łatwo było pisać i robić wszystko, co się podobało.

Nasze pierwotne stosunki powstawały i kształciły się inaczej. Pomimo skłonności niektórych pisarzy do nadania im podobnego początku i dopatrzenia i rozróżnienia u nas kasty podbijającej i podbitej, nigdy ten domysł pozoru prawdy historycznej nie nabierze, bo język zawsze ten sam, zwyczaje, charakter, wskazują jeden początek, ród, pochodzenie; a różnice jakie się dostrzedz dają, pochodzą jedynie z wychowania, tradycyj rodzinnych, piastowania długiego władzy i t. p. okoliczności. Rycerstwo i szlachectwo, podług największego prawdopodobieństwa, powstało ze stosunków, potrzeb, wyobrażeń i organizacyi społecznej, właściwej owym oddalonym wiekom. Może wpływ wyobrażeń i instytucyj sąsiednich krajów do tego się przyczynił; może duch wieku łączący pewnym solidarnym, tajemnym węzłem oddawna różne kraje Europy, wywołał te instytucye u nas, równie jak gdzieindziej. To pewna, iż niejaki ślady dawniej przedchrześcijańskiej wspólności gminnej, uwijają się jakiś czas w pomnikach prawodawczych, urzędzeniach i stosunkach wiejskich, wskazując niejako powolne przekształcanie się, a nie gwałtowne wywrócenie dawnych podstaw społecznych. Pojedyncza odrębna własność widać powoli podnosiła się z dawniej własności gminnej i rodowej. Ta ostatnia nawet długi czas przetrwała i niewątpliwe jej ślady spotykamy długo jeszcze w czasach historycznych. Była ona podstawą naszego dawnego prawa spadkowego.

Zarówno wspólność gminna jak wspólność rodowa, do pewnego stopnia pozostawiła ślady w umysłach i zwyczajach, i tym sposobem stawać musiała na przeszkodzie wejściu prawa pierwotności i substytucyi. Wspólność rodowa przypuszczała równość praw; polegała na pojęciu prawnym, iż nie masz różnicy pomiędzy synami jednego ojca, co do zdolności dziedziczenia. Długo-

wieczne wkorzenie się tych pojęć i wejście w zwyczaj powszechny, stało się niejako prawem moralnym. Prawodawca chcący co innego wprowadzać, mógł być być pomówionym o przekroczenie wrodzonych zasad sprawiedliwości; tak dalece zwyczaje stają się z czasem obyczajami, a obyczaje wpływają na prawa. Później wspólność rodowa zatarła się i zupełnie zniknęła, ale natomiast weszły inne urządzenia ten sam niemal wpływ wywierające. Przywileje zyskane przez stan rycerski, jak to już powiedzieliśmy, były niejako przywilejami osób i ziemi, a to w ten sposób, iż do używania większej części i to najważniejszej tych przywilejów, przychodziło się dopiero przez posiadanie ziemi. Stan rycerski tylko mógł posiadać ziemię, ale rycerz albo szlachcic nieposiadający ziemi, choć równym był w szlachetności pomiędzy bracią, to jednakże upadały dla niego ważne prerogatywy, bo pozbawiony był rękojmi, którą prawa krajowe za konieczną uznawały do piastowania godności i wykonywania ważniejszych czynów obywatelskich. Tym sposobem prawodawstwo niejako zmuszało do posiadania ziemi i wkładało obowiązek na głowę rodziny do dzielenia ziemią synów; nie dopuszczało obdarzania jednego z wyłączeniem innych, bo tym sposobem krzywda stawała się istotną, krzyżującą. Odfłaczony od swego udziału w ojcowiznie nie tylko byłby pozbawiony został swego kawałka ziemi, ale zamknięta mu do służenia krajowi droga dosługi i zasługi. Właściwie nie było w państwie dawnym u nas miejsca nawet dla młodszych synów z rodzeństwa, na przypadek gdyby najstarsi wolą prawa, lub wolą zwyczaju, powołani byli wyłącznie do dziedziczenia ziemi. Jeden stan duchowny tylko bogato uposażony, mógł otwierać jakieś widoki wynagrodzenia za stratę ojcowizny, ale ten nie był dość liczny, iżby wszystkich na łonie swym pomieścić, ani też wszyscy do niego mogli uczuwać powołanie. Oprócz tego, do stanu duchownego pomimo wszelkich obostrzeń prawa, zawsze wchodziła jakaś część plebejuszów znakomitych pracą i zdolnością, których nawet chętnie garnęło pomiędzy siebie duchowieństwo, lubiące i potrzebujące się zasilać dla wpływu i znaczenia nauką i wysokimi talentami, bez względu na urodzenie pomiędzy ludzi przez Opatrzność rozdawanemi. Stan więc duchowny jako potrzebujący wokacyi i nauki, nie dla wszystkich mógł być przystępnym. Oprócz tego zaś nie było miejsca dla wydziedziczonych; wojsk stojących i stałej obrony kraju bowiem nie bywało, a do urzędów nieomal wszystkich, zagradzał im właśnie drogę warunek dzier-



żenia posiadłości ziemskiej. Dla tych zapewne przyczyn, prawo starszeństwa albo raczej pierworodztwa nigdy u nas zasadą prawa ogólnego stać się nie mogło, a nawet jako wyjątek dla szczególnych zasług i wpływów, rzadko było w użyciu, pomimo tego, że ani w prawach, ani w usposobieniu umysłów wyraźnej ku temu zawady dostrzedz nie można.

Z odmiennych zasad, odmienne muszą płynąć skutki i następstwa. Gdzieindziej, np. w Anglii na zasadach praw starszeństwa i substytucyi oparte majątki ziemskie, z wiekami nabierały trwałości i niezmienności: chłonęły w siebie wszelką drobną posiadłość; urządzały się w sposób odpowiedni ich wiekuiściej podstawie. Wznosiły się zakłady, budowle i urządzenia rolnicze, nie szczędzono olbrzymich nakładów pracy i kapitału na podniesienie rolnictwa i upiększenie siedzib. Urządzały się i regulowały długoletnie dzierżawy. Udoskonalenia narzędzi i maszyn skracaly pracę i oszczędzały ręk, a ludność rolnicza popychaną była powoli do przemysłu i fabryk. Ziemia za to skupiała się w małą liczbę rąk; tytuły jej posiadania otoczone zostały ciemnością tajemniczą; nabycie małej jej części stawało się niepodobieństwem dla wysokości kosztów i zawilosci form, których nie starano się usunąć. Włości tymczasem dochodziły do niezrównanej piękności, a rolnictwo do najwyższego stopnia udoskonalenia. Ale zarazem też włości coraz mniej rąk potrzebując, wyludniały się, a to obnażenie stawało się pod pewnym względem niebezpieczeństwem ogólnym, i siłę prawdziwą kraju przenosiło na przemysł, fabryczność i handel.

U nas tymczasem z odmiennęj zasady wychodząc, inaczej się stosunki rolne kształcić i rozwijać musiały. W miejsce trwałości i niezmienności, panować musiał ruch i przechodzenie częste własności z rąk do rąk. Skupianie się ziemi w wielkie posiadłości szło powolnie i tylko przy pomocy praw i przywilejów, a i tak w małą bardzo liczbę rąk zgromadzić się nie zdołały. W miarę rozradzania się domów ziemia się dzielić musiała. Podzielność ta byłaby z czasem musiała dojść do nieskończoności, gdyby prawo wyposażenia siostr, system starostw i usunięcie plebejuszów od ziemi, nie były temu zapobiegły. Teto trzy środki zdołały nietylko ocalić wielką własność, ale dozwoliły jej wziąć przewagę stanowczą w wieku XVII, a w wieku XVIII przerość do zbytku ze szkodą rolnictwa i ogólnęj pomyślności. Ale że staro-

stwa i tenuty prawie dziedzicznie w pewnej liczbie rodzin najznakomitszych przebywały, tworząc w ich rękę pewien rodzaj sztucznych majoratów: na posiadłości więc szlachty, mianowicie mniejszej, były bez wpływu. Tamte więc częściej jak większe z rąk do rąk przechodziły, i częstokroć dzieliły się na części i częścieczki nader małe. Szkodliwym zwłaszcza pod względem ekonomicznym był podział wsi, bardzo w użyciu u nas dawniej będący, każdym polem, każdym kawałkiem łąki i lasu z osobna, tak, iż powstawały nieraz w jednej wiosce części i części, z nieskończoną liczbą kawałków złożone, które jeszcze dzieliły się w drobne okruchy tu i owdzie rozsiane. Takie części koniecznie dążyć musiały do połączenia się napowrót, a takie łączenie i dzielenie musiało szkodzić trwałemu i systematycznemu ich urządzeniu pod względem ekonomicznym. Przed wiekiem XV strzegły całości wielu majątności ziemskich prawa lenne monarsze, na nich rozciągające się, które rozrządzalność niemi ograniczały. Ale odkąd monarchowie pozwolili wszystkim posiadłościom rycerskim zamienić się w czyste i bezwarunkowe dziedzictwo, ruch i podzielność musiały się powiększyć; i prawie też w owej epoce nazwy osób brane dotąd od posiadanego dziedzictwa, zaczynają ustępować miejsca stałemu nazwisku familijnemu: bo na zmieniających się coraz i niestałych stosunkach z ziemią, niepodobna było już więcej nazwy ludzi opierać. Ten ruch posiadłości ziemskich, pociągnąć musiał za sobą uproszczenie form kupna i sprzedaży i otoczenie tytułów posiadania jak największą jawnością i przejrzystością; jakoż formy i zwyczaje przyjęte oddawna u nas w tej mierze zbliżały się nieco, lubo z mniejszą systematycznością i dokładnością, do dzisiejszych form hipotecznych. Ale idąca z tego samego źródła niestateczność losu majątków ziemskich, uleganie nieustanne zmianom co do rozmiarów i natury, miały ważne niedogodności ekonomiczne. Niedosyć ściśle złączony był interes posiadacza z ziemią przez to, iż to złączenie nie było nierozzerwanym i wiekuistym prawem. Ztąd nakład pracy i kapitałów nie mógł być z odwagą prowadzony, ani polepszenia i upiększenia z nieograniczonym zaufaniem robione. Każdej włóści groziły rozdział lub sprzedaż w razie rozrodzenia się familii, a to musiało tępić odwagę i ochotę.

Miał jednakże ten porządek rzeczy swoje dobre strony: już to że godził się więcej z odwiecznymi wyobrażeniami, które stały się niejako prawem i zobowiązaniem moralnym, zwłaszcza przy

formach społecznych, które żadnego wynagrodzenia nie obmyślały dla pozbawionych części spadków; jużto że lepiej odpowiadał przyjętym wyobrażeniom o obronie kraju; jużto że stwarzał większą liczbę czynnych pracowników w przysporzeniu bogactwa krajowego, interesowanych o los, trwałość państwa i instytucyj. Wreszcie, że po zniesieniu średnich i małych posiadłości plebejuszowskich mnożył średnie i małe, choć mniej korzystne, jako do nieskończoności podzielne, posiadłości szlacheckie i nie dozwolił ziemi skupić się w zbyt małą liczbę rąk.

Byłto system mieszany, pośredniczy pomiędzy nieograniczoną wolnością posiadania wszystkich klass i dowolnego dzielenia, a przywilejem do ziemi jużto dla pewnych klass, jużto dla jednej z osób rodzinę składających. Był pośrednim pomiędzy dzisiejszym francuzkim albo amerykańskim, a angielskim. Łączył więc jak wszystkie systemata mieszane korzyści i niedogodności obudwóch. Tę największą miał zaletę, iż nie dopuścił żadnej z ostateczności, w jakie wpadać zwykły systemata jednostronne. Ale ważnym tego stanu rzeczy następstwem i złą jego stroną był system dzierżawny, jaki u nas z tego źródła powstał. O tém cokolwiek obszerniej.



Zdaje się, iż dzierżawa w ogólności w dawniejszych wiekach nie była u nas w użyciu. Jój miejsce zastępowały wyderkafy czyli wyderki albo umowy reempcyjne i zastawne na pewne lata lub do wykupu. Przynajmniej w starych źródłach arendy albo dzierżawy właściwej nie zdarzyło nam się napotkać, natomiast umów reempcyjnych albo wyderkafowych najwięcej, a tu i owdzie zastawy. Brali i dawali na wyderkaf dobra, ziemię, summy, książęta, panujący, duchowieństwo i prywatni (1); pełno takich

(1) Przytoczymy kilka podobnych dla przykładu: Wł. Jagiełło zapisuje Janowi z Kalinowy w nagrodę zasług grzywien 200, a zabezpiecza takowe na wsi Malszowice i folwarku téj wsi w powiecie kaliskim położonej, do spłacenia téj summy. R. 1410. K. N. 407. M. S. A. Gł. Władysław III zapisuje 100 grzywien na mieście Radomsku w zamian za płaszcz aksamienny sobolami podbity, i toż miasto aż do spłacenia zapisu w posiadanie oddaje; tamże K. N. 363. Zastaw 2 włók do lat 6 za 38 kop. każda po 60 g. licząc; tamże. Zastaw 7 łanów we wsi Pożegowie powiecie poznańskim w summie 70 grzywien, z prawem odkupu; tamże.

zapisów i umów mianowicie w XV wieku. Jak powiada Czacki (w przypisie o wyderkach) pozwolenia kupowania przychodu czyli wyderkafu, wychodziły od królów polskich aż do panowania Zygmunta Augusta; przytacza na to kilka przykładów i wspomina list będący w aktach Tomickiego przez Zygmunta I pisany do Łaskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, że wyderkafy bez pozwolenia królewskiego zaciągnięte, nie są prawne. Wszelako nie musiało się to rozciągać do dóbr i osób prywatnych; nietylko w wielu tego rodzaju umowach nie masz wzmianki o sankcyi królewskiej, ale są zbyt liczne i częste, i noszą cechy umów zwyczajnych. Ten rodzaj tranzakcyi był odpowiedni ówczesnej naturze i organizacyi własności ziemskich, w których po większej części gotowe dochody łatwo było obliczać i na odpowiednią summę kapitałną zamieniać. Przy małej ówczesnej rozciągłości rolnictwa, rachuba pomiędzy umawiającemi się mogła być nader łatwa i prosta. Nabywca dochodu albo zastawnik wchodził we wszystkie prawa właściciela i zostawał nim rzeczywiście aż do chwili wykupu, mając ten sam interes w troskliwości o całość dochodu i dobre włości, co rzeczywisty właściciel. Jakoż te formy umów utrzymały się długo u nas, nawet wówczas, kiedy już arendy weszły były w zwyczaj.

Trudno, a nawet niepodobna jest oznaczyć, kiedy powstać i ustalić się mogła dzierżawa; ale od pierwszójw zmianki w początku wieku XVI spotykamy ją trzechletnią i nigdy innój jak trzechletnią (1). Dlaczego tylko taka? Czemu nigdy innój? Nie można przyczyny tego szukać w zwyczajnym i powszechnie używanym trzechołowym gospodarstwie, bo z niem godzi się zarówno arenda trzech jak dwudziesto-cztero-letnia. Nie można kłaść tego na karb zwyczaju, bo zwyczaj widocznie szkodliwy może trwać przelotnie, chwilowo; nie utrzyma się długo bez jakiejś przyczyny, która go podpięra. Sądzimy, że system trzechletni dzierżawy raczójby należało odnieść do całości stosunków ziemskich, do ogółu urządzeń i zwyczajów, które własność, spadki, prawa i przywileje przywiązane do posiadania ziemi regulowały. Właściciel, który nie mógł majątku swego ziemskiego ochronić od podzielności i utrwalić go w posadach jakie miał w rękę, nie mógł téż wstępować w prawa przyszłych pokoleń. Któż kiedy długość życia zmierzyć naprzód potrafił? Rozporządzać zaś

(1) Statuta R. P. Inscriptionum variae formae st. 194.

ziemią na długie lata naprzód, byłoto na przypadek śmierci kłaść na spadkobierców ograniczenie w użyciu i rzędzie ich własności. Takie ograniczenie było zaś tém dotkliwsze, im mienie było mniejsze, a przy większych i znacznych nawet fortunach dotkliwe, gdyż, jak wyżej powiedzieliśmy, wszyscy bracia zarówno do udziału ziemi przychodzili, i wszyscy zarówno walny mieli w tém interes, aby wejść w jej posiadanie. Zostawiano więc dzierżawę w granicach nader krótkiego czasu, aby dać wolne pole do rozrzędzalności i podzielności ziemi w każdej chwili tak właścicielom térażniejszym, jak przyszłym.

W każdym razie nie sądzimy, abyśmy się mylili przypuszczając związek pomiędzy prawami i zwyczajami regulującymi własność i spadkowość, a stosunkami dzierżawnymi. Ostatnie muszą odnosić się do tamtych, a nawet na tamtych się opierać. Prawa mogą wprawdzie dać wszędzie dostateczne bezpieczeństwo umowom dobrowolnym, ale jest pewna moralna rękojmia, mogąca zmianom ulegać; rękojmia, która pochodzi z położenia, stanowiska, osobistych stosunków wydzierżawiającego ziemię. Właściciel téż téj ostatniéj nie lęka się, aby nadużywał praw swoich i wyrządzał krzywdę przyszłości, skoro rozporządzenia jego długie lata przetrwać mające, dotyczą osoby, której położenie i stosunki w niczém od jego położenia i stosunków odmieniami nie będą.

Chociaż jednak przypuszczamy pewien związek pomiędzy ustaleniem się jako zwyczaj długoletnich dzierżaw, a urządzeniami ziemi, własności i spadków dotyczącymi; nie sądzimy bynajmniej, iż te stanowczo u nas zdołałyby były stanąć na przeszkodzie, gdyby pomyślano istotnie o wprowadzeniu w życie rozległego systematu dzierżawnego, na długoletnich umowach opartego. Dziwić się nawet należy, że wówczas, kiedy już wielkie własności ziemskie potworzyły się, kiedy w ręku pewnej liczby rodzin, skutkiem podpory przychodzącej ze starostw i tenut, niemniej skutkiem samego ogromu fortun, podzielność nie mogła zagrażać pojedynczym wsiom, a nawet kluczom całym, bo w razie większego rozrodzenia się, jeszcze ogromne posiadłości w ręku każdego ze spadkobierców zostawały; że mówię wtenczas nie chwycono się dzierżawy długoletniéj, jako najkorzystniejszego środka do podniesienia rolnictwa i osiągnięcia regularnego i najwyższego dochodu z ziemi. Sama obszerność majątków i trudny niemi zarząd, mógł być na tę myśl naprowadzać i korzyści

jój wykrywać. Trudno zaprawdę odkryć, czemu to się nie stało, zwłaszcza, że była liczna bardzo klasa dzierżawców z drobniejszej szlachty, to mających summkę spadkowe, to dorabiających się na różnych posługach i funkcjach, które pełnili po dworach i majątkach bogatych magnatów. Może przyczyną tego było, iż dla szlachetki dzierżawcy nie było i nie mogło być dostatecznej rękojmi w prawie, co do trwałości umowy, naprzeciw właściciela, który często posiadał nadworne wojska, którego kreaturami nieraz były napełnione sądy, którego kaprys był prawem. Może też wielcy właściciele dla zachowania sobie ciągłego wpływu na drobną szlachtę (której mimo całej swój przewagi, potrzebowali), trzymali w ręku ciągle szafunek ziemi i jój zarządu, aby mieć ciągle możność mieścić, lokować, nagradzać, karać, i ztąd umowy długoletnie, jako szkodliwe swojemu interesowi uważali, a jako takich unikali.

Jakiegokolwiek bądź mogły być istotne przyczyny, żałować trzeba, iż zaniedbano wezwać w pomoc dla rolnictwa system, któryby był ziemi większą cenę nadał; kulturę do najdrobniejszych jój zakątków zaniósł; nacisk do wielkich kapitałów dla potrzeb rolnictwa zmniejszył; system pańszczyzniany powoli pomógł usuwać:—a temi wszystkimi środkami łagodził i goił zło, które przerost wielkiej uprawy, pomyślności ogólnej przyniósł.

W XVIII wieku spotykamy dzierżawę emfiteutyczną w dosyć powszechném użyciu, zwłaszcza co do starostw w obszerném zastosowaniu.

#### IV.

Tymczasem żadne ważniejsze organiczne zmiany nie wchodziły w pierwszój połowie XVIII wieku ani do prawodawstwa, ani do ekonomiki rolniej. Szła ona torem zwykłym, rozwijając następstwa z poprzednich przyczyn, które tém swobodniej się snuły, że jak powiedzieliśmy żadne nowe prawa, urządzenia, odmiany nie wchodziły im w drogę i wzrostu ich nie tamowały. Wielka uprawa rozszerzała się ciągle. Czacki jeszcze mówi, że coraz więcej przybywa gruntów przez karczowanie, i dodaje: że celna różnica pomiędzy naszym sposobem gospodarowania od dawnego, jest, że mamy więcej gruntów, niż miejscowa pańszczyzna wystarcza (1). Tak

(1) O dziesięcinach, str. 69.

więc do zbytku wzrosła wielka uprawa: naprzód system pańszczyzniany do ostatecznych granic doprowadziła, prawami przymusowymi nieruchomość ludności wiejskiej utwierdziła, wreszcie przerosła nawet stosunek ludności miejscowej. Przyczynić się do tego mogły klęski wojenne i za nimi idące klęski powietrza, które ludność rolną wyniszczały i opustoszone grunta wielkiej uprawie oddawały. Po pierwszych mianowicie wojnach szwedzkich całe przestrzenie ziemi leżały puste i nieobsiadłe. Toż samo było w stronach w których dosięgły wojny kozackie. Obcy koloniści począwszy od epoki ścieśnień, które względem ludności rolniczej zaprowadzono, ani przychodzili, ani byli sprowadzanymi. W rzadkich tylko razach, niektórzy właściciele miasteczek dla urządzenia jakiej fabryki lub zakładu przemysłowego sprowadzali obcych rzemieślników, szczególni nęcąc ich dobrodziejstwami. Mnożyły się więc przestrzenie ziemi oddane wielkiej uprawie, przyczyniwszy się poprzednio do przerzedzenia ludności, a teraz olbrzymiejac w miarę wyludnienia. Pomimo jednakże takiego wzrostu latifundyów, system ten nie doszedł do tych ostatecznych granic, jakie w niektórych innych krajach osiągnął; nie mógł się też okazać i nie okazał ze wszystkimi swymi następstwami i właściwościami. W instytucjach, zwyczajach i stosunkach ówczesnych spotkał zapory, których do szczętu skruszyć nie mógł: szczęściem dla późniejszych nawet pokoleń. Gdziein-dziej inaczéj się stało, i nad tém chwilę się zatrzymamy, aby wskazać: jakie w tym kierunku były niebezpieczeństwa, których uniknąć zdołaliśmy.

„Był kraj” mówi jeden z publicystów „sławny z doskonałości swego rolnictwa i czei jaką wyznawał dla nauki rolniczej. Tym krajem była starożytna Italia, ojczyzna Catona, Varrona i Columelli. Kiedy Rzym miał trzy miliony mieszkańców, kiedy Ostya była pierwszym portem świata, kiedy Baja, Neapol, Herkulanum i Pompeja na małej rozciągłości ziemi mieściły 400,000 mieszkańców, kiedy Tarent, Brunduzium, Bolonia i pięćdziesiąt innych municypalności, przepelnione były mieszkańcami i bogactwem, czém były wówczas wsie rzymskie? Od czasu ostatnich lat Rzplitej, klasa małych właścicieli znikła, ich udziały ziemi posiadał patrycyat, a Maryusz nie szukając już posiadaczy ziemi do zapelnienia szeregów swojej armii, musiał wpuścić do legionów obywateli nieposiadających żadnej własności,

Już i rzymscy agronomowie doradzali, aby dostarczanie płodów zbożowych zostawić Sycylii, Egiptowi i innym częściom Afryki, a ziemię uprawną zamienić na pastwiska dla oszczędności rąk. Za czasów Pliniusza ta przemiana już była dokonana; ludności wiejskiej już nie pozostawała inna alternata, jak zaciągać się pod sztandary pretendentów wojskowych, albo iść pomnażać w Rzymie i innych wielkich miastach te tłumy pospólstwa, które żyły z largicyi Cezara i jego dygnitarzy. Wokół ogromnych parków patrycyuszowskich, rozciągały się nieprzejrane okiem pastwiska, na których dosyć było kilku niewolników do dozoru licznych stad. *Latifundia perdidere Italiam*, powiedział jeden ze starożytnych pisarzy. Jeśli jest prawdą, że to podstawienie wielkiej własności wyłącznie w miejsce małej, to wygaśnięcie powolne ludności rolniczej, ostatecznie wycieńczyło i osłabiło Italią do tego stopnia, iż ją prawie bezbronną oddało barbarzyńcom: to, co od pół wieku dzieje się w Anglii, winnoby również dać powód do zastanowienia”.

W Anglii rzeczywiście, równie jak w starożytnej Italii wielkie własności są w ręku patrycyatu. Angielscy pisarze sami przyznają, że począwszy od wieku blisko w tył, mała własność zaczęła znikać. Niektórzy z publicystów źle wróżyli Anglii, jeśli dozwoli zniknąć małym właścicielom; téj użytecznej, moralnej i prawdziwie konserwacyjnej części ludności rolniej, która dotąd stanowiła siłę jej i bezpieczeństwo (1). To jednak nie wstrzymało biegu rzeczy: obecnie zupełnie już ona zniknęła. Wielcy właściciele skupowali małe posiadłości po cenach przesadzonych często, już to dla zaokrąglenia, już to dla ułatwienia dozoru lasów i polowania, już to dla zapewnienia sobie rozleglejszego wpływu przy wyborach, już to wreszcie dla podniesienia konkurencyi do dzierżaw, co koniecznie ze zmniejszenia liczby drobnych własności wynikać musi. Niepodobieństwo współubiegać się przy kupnie o ziemię, za którą wielki posiadacz sąsiedni nie waha się dać ceny przechodzącej jej wartość.

Zajmującą jest rzeczą śledzić, jak w skutek tego skupienia się wielkiej własności i łączącej się z nią wielkiej uprawy, różne warstwy ludności wiejskiej usuwały się i znikaly. Szczegółowo

(1) Archibald Alison: *England in 1815 and 1845*. Edim. and Lond. 1845. *The social Condition of the People in England and Europa*, by J. Kay. Lond. 1850.



i dokładnie jest ta materya traktowana w wielu pismach; tutaj w krótkości ją tylko dotkniemy (1).

Nadmienić wprzód jeszcze musimy, iż wielka własność wzrosła jeszcze w Anglii wcieleniem do niej wszystkich gruntów nieuprawnych we wspólności gmin będących, które rozdzielone i oddane zostały w części parafiom, jako wynagrodzenie, w części wielkim dominiom, prawo zwierzchnicze posiadającym. Od 1800 do 1820 r. przeszło trzy miliony akrów w ten sposób oddanemi zostały wielkiej uprawie, bo i części, parafii własnością będące, więksi właściciele odkupili.

Widoczną było korzyścią tych ostatnich kilkudziesięciu małych dzierżawców, zastąpić kilką większemi, których majątek znacznieszy dawał także większe rękojmie wypłacalności, a wyższe naukowe usposobienie nadzieję umiejętniejszego obchodzenia się z ziemią. Łączyli więc w większe dzierżawy znaczną ilość mniejszych. Umniejszenie liczby dzierżaw pomnażało konkurencyą, w której mniej zamożni padali ofiarą: rujnowali się, albo swój zawód porzucać byli przymuszeni. Wielu z nich przeszło w skutek tego do klasy wyrobników dziennych, wielu rozeszło się do miast, wreszcie inni zgromadziwszy mienie, wyemigrowali do Ameryki.

Natomiast liczba wyrobników powiększyła się jużto przyływem dzierżawców zubożałych, jużto sługami folwarcznemi, których zwinięcie małych dzierżaw miejsca pozbawiło; ale i oni dotkliwie uczyli nowe stosunki: im od mniejszej ilości osób zależeli, tém łatwiej narzucane im były warunki najmu. W niektórych okolicach przedsiębiorcy poczęli się godzić z dzierżawcami o zbiór zbóż i siana, i zebrawszy gromadę najemników, obrabiali prędko całe folwarki i posuwali się na inne, oglądając miejscowych wyrobników. Zamiana gruntów orných na pastwiska z powodu wysokiej ceny mięsa, pociąga za sobą zmniejszenie potrzeby najemnika i sług, których w wielu razach dla taniości kobietami zastępują. Dziś już  $\frac{3}{5}$  ziemi ornój zamieniono w łąki sztuczne i pastwiska, a  $\frac{2}{5}$  pod uprawę oddano; obfitość nawozu nagradza urodzajem zmniejszone wysiewy, ale ludność wyrobników nie znajduje zarobku.

(1) Obszerniej o tém, oprócz pism wyżej powołanych, w piśmie C. Clarigny: l'Angleterre et la Société Anglaise.

Tak więc liczba dzierżawców, sług i wyrobników zmniejsza się ciągle w Anglii. Od 1800 do 1840 r., kiedy reszta ludności wzrastała w stosunku 23 do 30 na 100 co lat 20, ludność rolnicza pomnażała się tylko w stosunku  $7\frac{1}{2}$  na 100. Ale od 1840 r. roczna emigracya wyrównywa przewyżce nowonarodzonych nad zmarłemi, bez wątpienia więc nowe spisy ludności okażą ubytek ludności wiejskiej. To jednak jest niewątpliwe, że od r. 1800 stosunek ludności rolniej do ludności ogólnej był z kolei jak: 33—31—29—27 na sto, a dziś jest  $\frac{25}{100}$  tylko. Dzieląc liczbę mieszkańców Anglii przez ilość akrów jęj powierzchni, mamy 3 na jednym akrze; hrabstwa najludniejsze, które zawierają jeszcze kilka miast przemysłowych, nie liczą w zupełności  $2\frac{1}{2}$  mieszkańców na akrze, a hrabstwa wyłącznie rolnicze dwóch nawet nie liczą.

Próżnia więc powstaje we włościach angielskich. Równowaga pomiędzy ludnością rolniczą a przemysłową ginie. Interesa tych dwóch class niezawsze są też same; często nawet mogą być wprost sobie przeciwne, jak to obecnie widzimy w kwestyi protekcyi. W razie takich i tym podobnych starć, ludność przemysłowa będzie miała teraz przewagę środków i liczby, a interes jęj będzie musiał przeważnie ciężyc na szali prawodawczej ze szkodą rolnictwa. Ale większe jeszcze zle leży w pomnożeniu proletaryatu, a z nim nędzy i demoralizacyi, w wycieńczeniu kraju, który tylko w wielkiej liczbie interesowanych o los i całość ziemi, praw i instytucyj obywateli, znajduje prawdziwą siłę. Zresztą utrata targu wewnętrznego dla przemysłu angielskiego, z upadkiem, zubożeniem i zmniejszeniem się ludności rolniczej będzie dla niego ciosem dotkliwym. Przesilenia będą częstsze i trudniejsze, bo z przyczyn zewnętrznych pochodzące. To jednak jest niewątpliwem, iż porównanie, jakie z tego powodu chcą wyprowadzać między dzisiejszą Anglią a starożytnym Rzymem, jest przesadzone, a przynajmniej przedwczesne; bo Anglii ludność przemysłowa nie jest jeszcze dotąd tém, czem był proletaryat miejski rzymski, który zamiast pracy wołał chleba i igrzysk. Anglia jest dotąd dostarczycielką pldów przemysłowych dla większej części świata; ale jeśli nią być przestanie, albo duch ludności miejskiej ulegnie zepsuciu: wtenczas niebezpieczeństwo będzie istotném, a podobieństwo większém. Ale ludy mające tyle rozumu praktycznego co Anglia, umieją się ocalać i wydźwigać z toni w chwilach grożących.

U nas rozszerzenie się latifundiów do tych rozmiarów, jakie w dwóch wyżej pomienionych krajach zyskały, byłoby nierównie groźniejszym i szkodliwszym; kraj bowiem nie miał przemysłu ani miast: jego podstawę stanowiła ludność wiejska. Jeżeli samo zbyteczne rozszerzenie wielkiej uprawy już bolesny cios zadało położeniu tej ostatniej, poniżyło ją moralnie i materialnie i jej ubytku po części stało się przyczyną: to system ten do ostatecznych granic doprowadzony, byłby krajowi nieobliczone szkody przyniósł. Na szczęście nie dopuścił tego brak kapitałów, który wielką uprawę ograniczał i na wodzy trzymał, a więcej jeszcze system rolniczy zbożowy, którego się trzymać wszyscy musieli, dla braku targu wewnętrznego, w niektórych miastach. Nie mógł się więc rozwinąć system rolniczy pastwiskowy, który najwięcej pociąga za sobą oszczędności rąk i zmniejszenia nakładów, a w następstwie najwięcej się przyczynia do wyludnienia. Wreszcie przyczynił się do tego, jak wyżej wspomnieliśmy, podział równy majątków.

## V.

W związku z wyludnieniem miast, zniknięciem targu wewnętrznego, systemem wielkiej uprawy i systemem pańszczyznianym, było niezmiennie u nas utrzymujące się gospodarstwo trzechpolowe, na produkcją wyłącznie zboża obliczone. Właściwie system trzechpolowy jest odwiecznym trybem rolniczym tak w starożytności, jak we wszystkich późniejszych gospodarstwach, aż do czasów nowszych, w których rolnictwo angielskie zwróciło na siebie uwagę. Dawniej jednakże ten system u nas ulegał modyfikacyom. Modyfikacye te polegały na tém, iż znaczna część gruntów nie podlegała uprawie. Rozległe lasy, niziny nieosuszone, zarośla, dostarczały bujnych i obszernych pastwisk i sianożęć. Była więc równowaga jakaś pomiędzy polami siewnymi a pastwiskami i sianożęciami. Dlatego kraj w XVtym i XVItym wieku tak liczne i piękne mógł wychowywać stada, a z ich pomocą cieszyć się taką żywnością i obfitością; mógł Europę zaopatrywać swojemi płodami i sam opływać we wszystko, dostarczając mięsa i chleba z łatwością dla wszystkich class mieszkańców. Wówczas téż cena łąki i pola była jednaka. Ale ze zmniejszającym się targiem wewnętrznym, więcej musiano zwrócić uwagi na targi obce. Wysokie ceny zboża zachęcały do je-

go uprawy; prawa przymusowe ułatwiały jego produkcją, zwrócono się więc głównie do uprawy zbożowej. Z ubytkiem lasów, nizin, zarośli, które obficie dostarczały sianożęć i pastwisk, a teraz poddane zostały uprawie, chów stad upadał. Cena łąki już w końcu XVIgo wieku spadła więcej jak o połowę. Świeżo poddane uprawie ziemie wydawały obfite plony, ale powoli rodzajność ich wyczerpywać się musiała. W obszerności pól szukać poczęto wynagrodzenia za ubytek produkcji. Rozszerzano się z uprawą, potrzeba rąk i nakładów wznosiła się stosunkowo. Widocznie jednak tą drogą rolnictwo dążyło ku nieuchronnemu upadkowi. Zamknęło się w fałszywem kole, z którego wyjść było trudno. Im więcej obszarów poświęconych uprawie zbóż, tém mniejszy targ wewnętrzny; tém więcej trzeba było produkować na wywóz, ścieśniać łąki, pastwiska i wychów stad, rozszerzać obszary pól. Połączenie ciągłe systemu pastwiskowego i zbożowego byłoby produkcji pomogło i dozwoliło nietylko osiągnąć te same plony na mniejszych przestrzeniach, ale i oszczędzenia pracy zaprowadzić; ale coraz więcej targi zagraniczne kierowały rolnictwem. Pszenica i inne zboża były głównym przedmiotem wywozu; urządzano się w sposób, któryby ich produkcją jak najwięcej pomnażał. Jakoż wywóz pszenicy wzrastał, chociaż ogół wywozu się nie powiększał. Widzimy z tablic wywozowych gdańskich np.: w dziesiątku lat od 1670 do 1680 przecięciowa liczba wywozu wszelkiego zboża wynosiła rocznie 28,907 łąsztów; w dziesiątku od 1700 do 1710, tylko 19,358 łąsztów; w tymże samym przeciągu czasu od 1730 do 1740, 15,106 łąsztów. Od 1750 następuje korzystniejszy stosunek i dalszy ciąg drugiej połowy XVIIIgo wieku znacznie wyższe cyfry przedstawia. Ten ubytek w wywozie w końcu XVIIgo i w pierwszej połowie XVIIIgo wieku tém jest bardziej zadziwiającym, gdy się weźmie pod uwagę obszary gruntów świeżo poddane uprawie; gdy się weźmie pod uwagę zmniejszenie spożycia wewnętrznego, z powodu nienickiego ciągu ludności przemysłowej po miastach; wreszcie wielkie siły robocze, jakimi ówczesne rolnictwo rozporządzało. Lubo w tym ubytku mogły brać ważny udział wypadki polityczne i klęski wojenne, to jednakże wielka część odpowiedzialności spada na system zbożowy i oparcie się wyłącznie na targach zagranicznych.

Jak dalece wychów bydła, koni i owiec był nieodpowiedni rozległej uprawie zbożowej, jak żadnej nie miał wagi w rolnic-

twie XVIIIgo wieku, widzimy z dochowanych inwentarzy ówczesnych. Inwentarz np. klucza Ossolińskiego (1) wykazuje, iż: na wysiów 1594 korce zboża, utrzymywano w dobrach całych rogacizny sztuk 106, owiec sztuk 142, kóz 10, koni folwarcznych 8. Może w innych fortunach inaczej było, ale że w ogóle wychów stad był nieproporcjonalny do uprawy zbożowej, przekonywa jeszcze stosunek łąk do roli ornój. Z robionych w r. 1798 na 218 milach □ około Warszawy obliczeń statystycznych pokazuje się, iż gdy płaszczyznę tę podzielono na 51 równych części, z tych zajęły lasy części 16, drogi, nieużytki części 12, łąki części  $3\frac{2}{3}$ , ziemia orna  $18\frac{1}{3}$  mieszkania i ogrody 1. Jaki był stosunek w całym kraju, trudno wiedzieć; Staszyc ze zbliżeń podaje go w następujących cyfrach: pola orne  $\frac{23}{120}$ , łąki  $\frac{9}{120}$ , z ogółu zaś rozległości ziemi tylko  $\frac{1}{6}$  poddana uprawie. Te obliczenia jednak nie mają żadnych pewnych podstaw; zawsze jednak w nich stosunek łąk lubo nieco lepszy, jest dla rolnictwa niekorzystny. Wielka tylko i prawie cudowna żyzność ziemi, mogła ocalać produkcją krajową przy takim systemie rolniczym.

System ten tę jeszcze miał niekorzystną stronę, iż mnożył nakłady i niezliczonej liczby rąk wymagał. Jakoż widzieliśmy, iż cała ludność wiejska skonfiskowana na jego korzyść, potrzebom jeszcze nie wystarczała. Również rosły nakłady na budowę, odkrywanie ziemi, przymnażanie ciągłe sił roboczych. Czacki oblicza, iż tam, gdzie w wieku XVI nakład na gospodarstwo wynosił 5 do 6 procent, tam w wieku XVIII wynosił 16 procent na Wołyniu, a do 34 w Krakowskiem. Ze te nakłady, przy małych w ogólności dochodach, wyczerpując trzecią ich część niewiele zostawiały właścicielowi, jest rzeczą widoczną. Zupełna tylko swoboda od wszelkich ciężarów publicznych i możność rozporządzania całą masą ludności rolnój, niemniej wolność od ceł, sól bezpłatna i inne tym podobne dogodności, zapewniały jeszcze właścicielom ziemi korzystne położenie.

(1) Umieszczony przez p. Wójcickiego w Album Lit. za rok 1848. Z tego samego inwentarza dowiadujemy się, iż wartość pańszczyzny obliczona była na 16,146 złp., a ogół intraty z dóbr wynosił 18,010 złp. Intrata zaś składała się z dochodu ze zboża, wynoszącego podług cen ówczesnych 13,970, pachtu krów złp. 540, propinacyi złp. 3,600. To wykazuje, iż cały wysiów 1,594 korce nie zwracał nawet wartości nżytój do jego obrobienia pańszczyzny. Jaki ogromny nakład sił użytych bez żadnego rezultatu!

Czacki i Staszyc zdają się jednak upatrywać ciągly postęp rolnictwa u nas; ale widocznie uwiiodły ich pozory. Wzrastające rozmiary wielkiej uprawy, odkrywanie nowych gruntów, wzrastający stosunek produkcji i wywozu pszenicy, podnoszenie się ceny ziemi, zwiększanie wartości pracy ludzkiej: te mówię okoliczności wprowadziły ich w błąd. Massa wysiewów rzeczywiscie się powiększała, ale siła produkcyjna ziemi się zmniejszała z uwiecznianiem się systemu zbożowego trzechpołowego; jakoż widzieliśmy, iż wywóz ogólny malał zamiast wzrastać. Podwyższenie cen zboża wypadalo nie ze stosunków krajowych, ale regulował je targ zagraniczny, a za tém podwyższeniem szło naturalnie podniesienie ceny ziemi i pracy ludzkiej. Obniżenie wartości pieniędzy, kierunek konieczny, jaki miały do ziemi kapitały w ręku szlachty będące, a nigdzie nieznajdujące dla siebie nie mówię korzystnej, ale możebnej lokacyi: miały w tém również udział niemaly. Jednakże niektóre części kraju w wieku XVIIIym wółdziej i niewiele zaludniane, pod względem zaludnienia i kultury znakomite uczyniły postępy. Podlasie np., które dopiero za Zygmunta Augusta; Wołyń, który dopiero za Augusta IIgo; Ukraina, która dopiero około roku 1780 doszły do tych cen żyta, jakie w Krakowskiem były za Kazimiérza Wielkiego: były w rzeczywistym postępie. Żyżność téż ziemi względną stanowić mogła różnicę. Podole, Ukraina, nawet niektóre okolice Korony, mogły mniej cierpieć na praktykowanym systemie rolniczym, bo właściwe tym ziemiom bogactwo gleby nie wyczerpywało się uprawą samych zbóż, ani potrzebowały one zasilku nawozów do utrzymania się w swój żyżności. Wreszcie okolice stepowe, oddalone od brzegów rzek splawnych, niedostatecznie zaludnione, miały właściwy sobie tryb gospodarstwa, którego zmiany zachodzące w innych prowincyach nie dotykały zarówno. Tam wychów stad utrzymał się jak poprzednio, a nawet w miarę upadku jego w reszcie kraju, podnosił się. Bylyto jednak w stosunku do całości kraju wyjątki.

Od drugiej jednak połowy XVIIIgo wieku daje się spostrzegać postęp ogólny produkcji; a lubo zawsze odległość pomiędzy liczbami w XVIIIym i piérwszej połowie XVIIgo wieku jest wielka: wzrost korzystny jednak nie ulega wątpliwości. Zmianę tę przypisać należy skutkom dłuższego pokoju, następstwu lat urodzajnych, powiększeniu się ludności i różnym ulepszeniom, które i prywatni i prawodawstwo w téj epoce wpro-

wadzić usiłowali. O tych właśnie usiłowaniach, probach, pismach w téj mierze ogłaszanych, wreszcie urządzeniach ogólnych i prawach zapadłych pomówić nam wypada.

## VI.

Położenie, w jakim znalazło się rolnictwo krajowe z upływem pierwszej połowy XVIIIgo wieku, było skutkiem rozlicznych przyczyn i wyrobem długiego pasma wieków. Składały się na to i zwyczaje sięgające odległej starożytności, i prawa późniejsze, i potrzeby okolicznościowe, i namiętności, i błędy, i instytucje w całość budowy organicznej wplątane, i wypadki historyczne całego kraju. Wiele było do naprawienia w tém dziele wieków; ale węzeł tak spleciony, można było tylko powoli, nitką za nitką rozwiązywać; a co ważniejsza, każda zmiana nawet ekonomiczna, ściśle złączoną była ze zmianami ogólnymi i pociągała coraz ważniejsze. Wszystko w tym splocie odwiecznym tak łączyło się ze sobą, iż tylko w obszerniejszj naprawie mogło rolnictwo spodziewać się istotnego polepszenia. Pojmowali to wszyscy; ważniejsze téż względy na ważniejsze przedmioty zwracały uwagę ogólną. Nagromadziło się złego, wiele z karbów wypadło przez sam wpływ czasu, błędy ludzi i klęski publiczne. Myśli ulepszeń przebiegały umysły, krążyły niejako w atmosferze. Jak druga połowa XVIgo wieku, tak druga połowa XVIIIgo tchnęła reformami. Pod względem kierunku ogólnego umysłów do naprawy rzeczy publicznej, te dwie epoki mają pewne podobieństwo pomiędzy sobą. Tylko że naprawa za czasów Zygmunta Augusta ograniczona była w węższych granicach, dotykała bardziej wykonania praw jak ich zmiany, skrócenia nadużyć i wprawienia w karby tego, co z nich wypadło, jak wytknięcia nowych dróg dla administracji, finansów i sprawy wojennej. W tych granicach naprawa łatwiej mogła być do skutku doprowadzona; tém więcej, że zdrowsze ciało Rzplitej łatwiej leczyć przychodziło. Chęci jednak i dążenia wielu daleko wybiegały poza te granice wązkie, jakie naprawa przybrała. W pismach ówczesnych widać, iż daleko obszerniejszych reform domagano się i oczekiwano. Namiętności poruszone sprawami religijnymi; wrzenie umysłów sprawione niejednością umysłów i zdań w téj kardynalnej materji; nienawiści jakie ztąd wynikały: nie dopuścily naprawie ówczesnej przybrać rozmiarów obszerniejszych.

Wiele jednakże myśli, które już poruszono w wieku XVI poczęły odżywiać się w wieku XVIII. Uspłyły je i jakby pod popiołem zagrzebały wypadki publiczne, wojny i nadeszła po nich epoka letargu; wpływ okoliczności znowu je zaczął rozszerzać i rozżarzać. Upływ dwóch wieków wiele odmienił, wiele potrzeb nowych wywołał, wiele wyobrażeń przekształcił; pomimo tego widać jednak nie łączącą projekta i dążenia publicystów XVI wieku z temi, które się poczęły pojawiać w początku drugiej połowy XVIII stulecia. Niejedno czego tamten wiek nie zdołał dokonać, ten stara się dopełnić. Widzimy to na prawie o główszczyznach, silnie napastowaném wówczas przez Modrzewskiego, Rojzysza, Orzechowskiego i innych, teraz ulegajacém zupełnej zmianie; dalej na dążeniu do wyrwania tenut, starostw i królewsczyzn z użytku prywatnego; na zajęciu się po dwóch wiekach zapomnienia szkołami, szpitalami i zakładami dobroczynnemi, i na wielu innych, ale zwłaszcza na silném obstawaniu za zmianą w położeniu ludności rolniczej. Zdaje się jakby wiek XVIII chwycił tradycyę XVI, a jednakże dzieje się to mimo wiedzy. Cała różnica ducha jaki ożywiał te dwa oddalone wieki, i sprężyn, jakie niemi poruszały, nie może zatrzeć pewnych podobieństw. To ztąd bez wątpienia pochodzi, że obie epoki w pomysłach naprawy wychodziły z ducha swojskiego i istotnych potrzeb miejscowych; nie natchnął ich podmuch zewnętrznych wpływów ani przelotna pokusa nowości. W obudwóch znajdowały się przeszkody odmiennie wedle odmiennych czasów i okoliczności, i obie dwie w małej tylko części swój program spełniły; zawsze jednak więcej pierwsza jak druga. Zatrzymamy się pokrótce nad niektórymi ze zmian prawodawczych, projektów i prób z tej ostatniej epoki, mającemi bliższy związek z naszym przedmiotem.

Ważnóm było dla rolnictwa wszystko co uczyniono, a raczej co robić poczęto w owój epoce dla miast. Wskazaliśmy już na solidarność jaka łączy interes wsi z interesem miast, i jak na upadku i wyludnieniu tych ostatnich pierwsze głęboko ucierpiały. Nawzajem miasta cierpiały na upadku ludności rolniczej. Wiele jednak przyczyniały się do złego ówczesnego położenia miast: zły zarząd, nadużycia, ciężary zbyteczne i t. p. okoliczności; tego przyczyny naprzód usiłowano usunąć. Nie będziemy rozbierali środków, jakie ku temu użyto, ani wytykali niedostateczności pierwszych na tej drodze kroków; nie należy to do naszego przedmiotu. Dosyć nam wskazać tak zwrot opinii w tej materji, jak ważność każdego kroku choćby najmniejszego ku te-



mu celowi zrobionego. Pierwsza w téj materji uchwała pod tytułem: ubezpieczenie miast, zapadła w r. 1764 (1), później nastąpiły inne.

Z myślą podniesienia miast ściśle łączyła się myśl o fabrykach i przemysłowości. Wiele na tém polu robili prywatni, a najczynniejszego z nich Tyzenhauza zasługi w téj mierze, niepowodzenia i przyczyny tych ostatnich, zasługiwałyby na bliższe opisanie, jako mało znane, a dzieje przemysłowości krajowej obchodzące. Prawodawstwo usiłowało podpiierać te dążności. Jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu przez wpływ, jaki mogła wywrzeć na rolnictwo, była fabrykacja wyrobów wełnianych; zawiązała się w tym celu kompania, a prawo z r. 1768 ważne jój nadało przywileje (2).

Oprócz tego dozwolono się tworzyć spółkom albo kompaniom handlowym, zarówno z szlachty, mieszczan, obywateli krajowych i cudzoziemców składać się mogącym, do wywozu produktów krajowych, jakoto: zboża, skór, wosku, łożu, saletry i t. p. (3). „A że te najwięcej” jak mówi konstytucya „rzekami Bug, Narew, Wisła, Wieprz i Pilica wyprowadzane zostają, dozwala się przy zbieżeniu tych rzek, w Zakroczymiu lub okolicy, a to przykładem Kazimierza W., byle na gruntach królewskich, tymże kompaniom, składy, śpichrze zakładać, akcyę wypuszczać” i t. d. Dodać wypada, że już poprzednie prawa uznały handel i przemysł jako niewłączające szlacheckiej zacności.

Wreszcie dla podniesienia kredytu i ruchu pieniężnego, do ożywienia przemysłu, handlu i rolnictwa nieodzownie potrzebnego, w r. 1775 wprowadzonym zostało tak ważne wszędzie i zawsze prawo wexlowe (4).

Kommunikacye i spławy nieomal podstawę przemysłu rolniczego stanowiące, po długim zapomnieniu zwróciły na siebie uwagę prawodawców. A chociaż to, co zrobiono, było nader małych rozmiarów; zawsze jest dowodem troskliwości i smutnego niedostatku środków. Urządzenia w téj materji zapadłe odnoszą się do rzek: Wskry czyli Działdówki, Obry, rzeki Ruz wpadającej do Narwi (5); dalej do rzek Żyzmi i Gawi wpadających do Niemna, wreszcie do rzeki Piny i Muchawca (6). Uznano

(1) Vol. leg. VII, str. 81. (2) Vol. leg. VII, str. 75. (3) Vol. VIII, str. 895. (4) Vol. VIII, str. 193. (5) Vol. VIII, str. 208 i 209. (6) Vol. VIII, str. 649 i 650.

oprócz tego zasługi Ogińskiego w utworzeniu kanału zwanego kanałem wielkim Pińskim czyli portem Ogińskiego, za co wystawienie statuy temuż w dziedzińcu zamku wileńskiego stany nakazały, a na utrzymanie kanału dobra Mysłowce i miasteczko Łahyszyn temuż Ogińskiemu prawem wiecznym nadały (1).

Pod względem przysporzenia krajowi ludności rolniczej zapadły także pożyteczne prawa. Naprzód prawa kardynalne z r. 1768 dozwoliły nadawać prawem emfiteutycznym grunta prawdziwie puste i to nietylko krajowcom ludziom wolnym, ale i przychodniom z obcych krajów (2). Prawodawcy w r. 1775 poszli dalej: „Chcąc puste i nieosiadłe w W. X. Litewskim ziemie” mówi uchwała „do należytego i użytecznego przyprowadzić stanu, oraz pomnożyć bogactwa krajowe przez wprowadzenie pieniędzy i ludzi zagranicznych, pozwalamy prawem niniejszym ludziom stanu miejskiego (żydów i chłopów niewolnionych wyjąwszy) grunta, wsie i wszelkie dobra dziedziczne, prawem wiecznego dziedzictwa, zastawnym lub arendownym nabywać, które prawo i cudzoziemcom w krajach Rzplitej osiadłym służyć ma; jednak takowe nabycie dziedzictw, zastaw i dzierżaw tytułu szlachectwa one nie posiadającym dawać nie będzie” (3).

Co do zabezpieczenia osoby rolnika, znaczne także zaszły zmiany prawodawcze. Wspomnieliśmy poprzednio o główszczyznach, jako o przedmiocie którego reformą zajmowano się już w XVI wieku. Obecnie poddany rozbiorowi, zupełnemu uległ przekształceniu. Ponieważ nie wszyscy mają pod ręką tom VII *Vol. Leg.* przytaczamy więc w całości paragraf 19 i 20 praw kardynalnych z r. 1768, jako do téj materji się odnoszące:

§ XIX. „Całość *dominii et proprietatis* stanu szlacheckiego nad dobrami ziemskimi dziedzicznymi i ich poddanymi, według praw statutowych nigdy odejmowana ani zmniejszana być nie ma. *Jus* jednak *vitae et necis* poddanego w ręku dziedzica być nie ma, lecz gdy poddany kryminal popełni, do sądu grodzkiego lub ziemskiego lub miejskiego w miastach większych oddany być powinien.”

§ XX. „Gdy nietylko prawa bozkie, ale téż ustawy ojczyste, mianowicie Statut Wiel. X. Litewskiego w art. 1 roz. XII, i konstytucya 1726 r. *sub titulo* „mężobójstwa” mieć chcą i nakazują, ażeby się nikomu swywolnie, zuchwale, rozmyślnie i dobrowolnie w nadzieje okupu pieniężnego, krwi ludzkiej rozlewać i za głowę

(1) Vol. VII, str. 845. (2) Vol. VII, str. 599. (3) Vol. VIII, str. 650.

zabitego szacunku stanowić niegodziło, waruje się jak najuroczyściej: iż odtąd jako szlachcic za szlachcica, a chłop za chłopą gardłem karany być ma, tak gdyby się trafiło, żeby szlachcic chłopą złośliwie i nie przypadkowo, dobrowolnie, rozmyślnie na śmierć zabił, tedy takowy nie już zapłaceniem i główszczyzną temu komu on był poddanym, lecz utratą własnej głowy swojej karany w sądzie przyzwoitym być powinien. Zachowując w tej mierze dowód i postępek prawny, oraz obrony stronom *in toto* według przepisów w tymże statucie Wiel. X. Litewskiego i konstytucyj sejmowych etc.”

Powołany w powyższém prawie Statut litew. mówi, że szlachcic lekkomyślnie lub rozważnie zabijający człowieka pospolitego stanu i na gorącym uczynku złapany, śmiercią karany być ma; ale jako dowód wymaga, aby skarżący z szczęścią świadkami wiarogodnymi jako siódmy rzecz całą zaprzysiął. Pomiedzy temi świadkami chciał, aby dwóch było szlachty również wiarogodnych i niepodejrzanych; w takim tylko razie szlachcic śmiercią mógł być karany. Gdyby zaś żadnego szlachcica jako świadka nie było, a skarżący zaprzysiął samoczwart, główszczyzną tylko winowajca opłacał. W razie zeznania szlachcica winowajcy, iż z pobudki zabitego popełnione zostało morderstwo i dowiedzenia tego dwoma świadkami szlachtą lub nieszlachtą, zostawał wolny od kary pieniężnej nawet. W razie poszlak ze złego poprzednio postępowania szlachcica, a braku żadnych poprzednio świadków, niewolno było szlachcicowi odprzysiądz się. Gdy zaś skarżący nie miał zupełnych dowodów i samotrzeć poprzysiął, wolno było szlachcicowi odprzysiądz się.

Konstytucya litew. 1726 r., na którą również powołuje się wyżej cytowane prawo, mówi: że odtąd żadna kwietacya ze strony successorów mężobójcom służyć nie może, ale wszyscy winowajcy do sądów oddawani być mają; urzędy zaś i sądy wszelkie *pro officio* takowych kryminalistów, bądźto przy delatorze, bądź i bez delatora, przed i po wyroku sądowym, łapać, w jawnym kryminale sądzić, główszczyzną successorom, delatorowi wszystkie szkody, expensa przysądzać, wszelkie uchylając kwietacye, zapisy na uniżnienie kar zasłużonych i t. d. (1).

Widoczną jest niedostateczność praw powyższych i słusznie im to zarzuca Skrzetuski, a za nim Bandtkie (2), obszerniej te nie-

(1) Vol. VI, r. 1726. (2) Historische Analec. str. 46.

dostatki wyluszczać; jakkolwiekbądź zawsze były krokiem naprzód w tój ważnej prawodawczej materji.

Reklamacye zbiegłych wychodziły także powoli z użycia i przepisy tak surowe w tój mierze, uważać počęto za upadłe zabytki przeszłości (1). Dwie rezolucye Rady nieustającej czyniły je pośrednio prawie niepodobnemi. Jedna 1776 r. nie dozwalała reklamować poddanego, który w taryffę lustracyi podymnego wciągnięty został (2). Druga 1777 r. zmuszała reklamującego szukać forum u sądu tam, gdzie znajdował się winny (3). Zważając rozległość kraju, taniość ziemi, pożądanie przybyszów w wielu nieludnych okolicach, można się domyślić, jak te rozrządzenia ułatwiać musiały tajne przechodzenie z miejsca na miejsce i skłaniać do łagodności i wyrozumiałości.

Ustało téż już było ohydne pławienie i palenie czarownic, w usunięciu czego nie opóźniliśmy się za Europą, bo jeszcze w roku 1780 w Glarus w Szwajcaryi publicznie spalono czarownicę (4). Ważna także poprawa weszła do procedury kryminalnej zniesieniem konfessaty przez tortury.

Do ulepszeń odnoszących się do ludności rolniczej zaliczyć jeszcze należy reformę sądów zadwornych, i połączone z tém uregulowanie i opisanie bliższe sądów referendarskich. Konstytucya w tym przedmiocie zapadła r. 1766 tak mówi: „Sprawy gromadzkie, to jest wsi naszych królewskich z starostami, dzierżawcami uprzywilejowanymi, przedtém do referendaryi należące, pomienioną ordynacyą pod jedną assessoryjną jurysdykcyą lubo złączyliśmy, gdy jednak takowe złączenie dla pomienionych poddanych przyspieszenia nie sprawuje; przeto wspomnianej ordynacyi rozrządzenia polepszając, te spraw rodzaje referendarzom oddajemy: sprawy poddanych wsi naszych królewsk. przeciw starostom i dzierżawcom uprzywilejowanym, *et e converso*, o pomiar gruntów, robocizny, czynsze, spy, daniny, tudzież sprawy między wybrańcami” i t. d.

Do tegoż rzędu zaliczyć należy starania około podźwignienia i rozszerzenia zakładów dobroczynnych i wzniesienia szpitali wojewódzkich; usiłowania Kommissyi edukacyjnej około rozszerzenia sztuki ratowania zdrowia, o których zaświadczają ówcześni pisarze; wreszcie przykład dany przez województwo sieradzkie w usunięciu żydów od propinacyi.

(1) Hist. An. str. 78. (2) Ibi. (3) Zbiór rezolucyj Rady nieustającej Nr. 322, str. 52. (4) Hegel: Philosophie der Geschichte cz. IV, roz. III, str. 427.

Takie naprawy częściowe, jakkolwiek ważne każda w swoim rodzaju, nie mogły być uznawane za dostateczne, wszystkie potrzeby zadowalniające i wszystkie niemocy leczące: uczuwano powszechnie potrzebę całkowitej rewizyi księgi praw, a raczej zbioru praw jako zlewka różnych czasów, wyobrażeń i okoliczności, niekiedy w sprzeczności ze sobą będących. Czynność tę poruczono w r. 1776 kanclerzowi Andrzejowi Zamojskiemu, z ogółowem upoważnieniem „ażeby sprawiedliwość naturalną biorąc zawsze za pierwszy przedmiot, nie przywiązywał się koniecznie do żadnej z dawnych legislatur, ale żeby uważając naturę okoliczności w których się naród znajduje, i obyczaje onego, wszystko *in formando novo codice* zachował z dawnych praw, cokolwiek zamierzonemu przez nas ulepszeniu sprawiedliwości nie znajdzie przeciwném; to zaś wszystko żeby odmienił, przez co obywatele i sędziowie w wątpliwości o powinności ich zostawać mogą.“

Wywiązał się Zamojski z zaszczytnego wezwania i w roku 1778 złożył projekt pod napisem: Zbiór praw sądowych. Nie tutaj jest miejsce rozbiierać to interesujące przez swój wpływ moralny dzieło prawodawcze; widać jednak, że zanadto odbiegało od granic jakie projektowi wytknięte zostały, i zanadto wyobrażenia ówczesne wyprzedzało, skoro je z oburzeniem odrzucono.

Nader ważnym pod względem ekonomicznym był w owéj epoce projekt, który Joachim Litawor Chreptowicz podał, to jest: normalnego rozgraniczenia, przy przeniesieniu każdéj wsi na szczególne i całego kraju mappy i umorzeniu wszelkich granicznych sporów. Kolejne tego projektu, jego treść i zasady podaje Czacki.

Wreszcie myślą obszerną, którą we wszystkich kierunkach poruszano w drugiej połowie XVIII wieku, a wpływ której najbliżej dotykał ekonomiki krajowéj, było przejście z systematu pańszczyznianego do czynszowego i poprawa położenia klass robotczych. Wspomnieliśmy już o kilku urządzeniach i prawach w tym celu zapadłych, jakoto: o zmianie prawa główszczyzny, o zakładach dobroczynnych, o pewnej modyfikacyi w dochodzeniu zbiegłych. Zdaje się, iż to nie zaspokajało wszystkich żądań i potrzeb, bo zaczęto w téj materyi wiele pisać. Jedne z tych pism i pisemek ulotnych przypominając dawne prawa, kreśliły ich upadek i zapomnienie; inne dopytując się u przodków czułości ku poddanym, przeglądają dawniejsze w téj materyi pisma. Jedne

deklamowały, drugie rozumowały: te w imieniu praw natury, te ze stanowiska historycznego, inne wreszcie w imię religii. Podawano różne projekta reform, zmian, napraw; z tych śmielsze i głębiej sięgające wywoływały obrońców dawnego porządku rzeczy, których nowości trwogą przejmowały: widocznie jednak myśl naprawy przeważała. Ówczesnym pismom w tej materji to można zarzucić, iż w rozbiornie i ocenieniu jej na stanowisku ekonomiczném rzadko chciały się stawiać; właściwie jednak ta ważna kwestya głównie z tego punktu powinna była być rozbie-raną. Wszystkie jednak szanują prawa nabyte i czasem uświęcone, a tém poszanowaniem dla prawa i własności zbliżają się do pism, które w tej materji w XVI i XVII wieku u nas wydano. Nie będziem ich ani wyliczać ani rozbierać; ciekawsze są próby praktyczne oczynszowania, które wówczas zrobiono, i nad tém zatrzymamy się chwilę.

Robili różne próby oczynszowania większe lub mniejsze Czartoryscy, ordynat Zamojski w jednym z kluczów ordynacyi, i Stanisław Poniatowski podskarbi W. X. Litewskiego. Ostatni całe rozległe dobra całkowicie na czynsze dyzmembrował (1). Systematyczną i gruntowniej obmyślaną reformę zaprowadził w jednych ze swoich ludnych dóbr Joachim Chreptowicz podkanclerzy W. X. Lit. Taki spotykamy opis tego rozcynszowania (2): „Przywołał komisarza swego i zwierzył mu się z swą chęcią oswobodzenia swych poddanych, zlecając oraz, aby się od nichże samych o własnej ich chęci i zdaniu wywiedział. Lecz jakież było podziwienie jego, gdy zastępca przeciwną szlachetnym zamiarom jego przyniósł mu odpowiedź. Zimniejsza rozwaga odkryła mu natychmiast osobisty interes oficjalisty, który w nagrodę swój podłóści miejsca pozbawionym został. Następca jego był ostrożniejszy, a lubo spólny z poprzednikiem powodował nim interes, obawa atoli doznania podobnego losu, z ręczniejszym w wyborze i użyciu środków być mu kazała. Gdy więc tych skutkiem jeszcze przeciwności doznał, właściciel zalecić mu był przymuszony, aby z jednym przynajmniej folwarkiem dokazać tego postarał się, z dodatkiem, że niedogodzenie zamiarom jego poczyna za niedostatek zadanych sobie usilności, co mu będzie po-

(1) Wyszło o tém oczynszowaniu pismko z portretem podskarbi Poniatowskiego. (2) Z korespondencyi z powodu statystyki Polski pod redakcyą Szaniawskiego.

wodem do oddalenia go ze swój służby. Nie było tu więcéj czasu do wyboru i gromada całkiem się jego i swemu szczerzszemu poddała przekonaniu.”

„Tę chęć swych poddanych przez wójtów także otrzymawszy, kazał wszystkie ich grunta jak najdokładniej wymierzyć; poczem poprowadzić linią zupełnie od wschodu ku zachodowi i w oddaleniu od niej po 10 sznurów linie równoodległe przez wszystkie grunta. Do tych linii prowadzone potem były prostopadłe, czyli mające zupełny kierunek od północy ku południowi, w oddaleniu po 9 sznurów, tak, że wszystkie grunta podzielone zostały na prostokąty po 9 sznurów  $\square$ , czyli po 30 morgów, albo po jednej włóce w sobie mające, czyniące więc  $\frac{1}{3}$  łanu i przeto trzecinami nazwane. Miedze w nich miały zupełnie położenie równoleżników i południków tego miejsca, tak, iż laska na ostatnich we środku pionowo postawiona, dawała rolnikom swym cieniem na środek miedzy padającym doskonały znak południa.”

„To uczyniwszy, podzielił grunta co do ich dobroci na trzy gatunki: najgorsze, średnie i najlepsze, i stosownie one ocenić kazał. Poczem zwoławszy wójtów, zlecił im podać imiona tych zpomiedzy swych poddanych, którzyby one nabyć chcieli, oddając im do woli wybór, czy chcą gotowizną, czy ziarnem, czy robotą ich nabycie nagrodzić. Trojaki rodzaj gruntów był bardzo dogodny trojakiemu rodzajowi kupującym, co do ich majątku; i grunta w krótkim czasie rozkupionemi zostały. Przynosiły panu corocznie trzecią część otaxowanej swój wartości. W kupnie ich nie kazał mieć względu na inwentarz poddanych, co mu wielką w nich ufność i miłość zjednało. Pomocy dworu i zasiłki pierwiastkowe najbardziej w kupnie narzędzi rolniczych, nie przyniosły mu w pierwszym roku korzyści w dochodach, ale raczej stratę, i dochód dawny z 14,000, czynił tylko 9,000 złp., ale wkrótce zamienił się na 30,000 złp. i coraz się bardziej powiększał. Mają to do siebie wszelkie prawdziwe ekonomiczno-spekulacyjne przedsięwzięcia, że korzyści z nich wynikające potrzebują czasu, zaczęć cierpliwości i przetrwania, którego nam niedostatek przypisują.”

„Jakoż przykład niniejszy zupełnie nas o tój prawdzie przekonywa. Sąsiedzkie gromady widząc szczęśliwość, swobodę i przemysł z nowego rzeczy porządku wynikające, garnęły się ochoczo do pana z prośbami, aby z nimi podobne poczynił odmiiany.”

Jeden z pisarzy dotykający krótko tego przedmiotu, nieco odmiennie i niezupełnie korzystnie całe to przeistoczenie włości Chreptowiczowskich opisuje. Mówi on, iż wszystkie chaty odbudowane zostały podług obmyślanego planu, każdy dom stanął osobno jak piękny folwark z ogrodem. Że pan sam doglądał w nich porządku, dał chłopom bydło, konie i wszystko czego było potrzeba; że nie wymagał od nich więcej nad dwa dni robocizny, płacąc za to nawet kwitami, które potem przyjmował do kassy dwornej na podatki. „Dostać grunt, zabudowanie, uprząż—robi dalej uwagi ten autor—być obowiązany do lekkiego odrobku, mieć jeszcze dziedzica, który brał na siebie opłatę podatku: byłoby to najwyższem szczęściem dla osadnika Niemca lub Holendra. Lud miejscowy narzekał jednak strasznie na tę reformę. Przypomnijmy sobie, że przy zakładaniu najlichszej chałupy u Słowian, zachowują się pewne obrządki tajemnicze. Włościanie nawykli przed obraniem nowego miejsca na siedzibę długo badać wolę Bożą, zasięgać rady starców i pełnić praktyki religijne; nie mogli już ścierpieć tego, że domy ich przeniesiono odrazu na sam rozkaz pana. Nadto życie gromadne również będąc niezbędną potrzebą ludu słowiańskiego, zostało zniszczone. Między mieszkańcami rozrzuconymi na wielkiej przestrzeni, komunikacja była trudna, chłop swój domek piękny uważał za więzienie, myślał tylko o tém, jak wymknąć się z niego, pogadać, zabawić się w towarzystwie sąsiadów. Tak tedy chcąc materialnie uszczęśliwić włościan, hrabia Chreptowicz obraził ich skłonności najżywotniejsze, i nie dopiął swego celu.”

Jednakże świadek naoczny Józef Łęski pułkownik i profesor matematyki w Liceum warszawskiem, który umyślnie dla zbadania powyższej reformy zwiedził majątki Chreptowiczowskie w roku 1807, przeszło w 30 lat po dokonanej przemianie, a zatem w przeciągu czasu, w którym miała ona czas dojrzeć i rozwijać się dostatecznie, tak mówi o niej w swoim liście:

„We wszech względach uwieńczonemi zostały zamysły pana zupełną pomyślnością. Grunta dworskie, które zrazu odłogiem leżać musiały, wkrótce znalazły z sąsiedzkich dóbr osadników. Wszędzie rozkrzewiać się zaczęła pracowitość i przemysł, w miarę korzyści, które jednały, a ich skutkiem szczęśliwość domowa, uwielbianie pana, którego dochody w kilka lat potem w trójnasób zostały powiększone. Synowie pana tego zupełnie



w ślady ojca wstępują i podobnie odnoszą korzyści, z ducha ludzkości, porządku i przemysłu, które po swym dziedziczą ojcu.”

Przeciwko odosobnionemu kolonizowaniu przemawiają ważniejsze względy, aniżeli tajemnicze praktyki i tęsknota do pogadanki, a temi są: trudność utrzymania policyi w pojedynczych mieszkaniach, co może dać sposobność do wielu zbrodni, które wiekuista tajemnica pokryje; niesposobność robienia gminnych zakładów, które tylko wspólnym kosztem wznoszone być mogą i do wspólnego użytku służyć. Takimi są: szkółki, szpitale, domy ochrony; rozrzucone - zbytecznie osady rzadko albo z trudnością mogą z nich korzystać. Co najważniejsza, że zbyt rozrzucone osady tracą ducha zjednoczenia, ducha wspólności, rozpręgają się na jednostki niespojne niczém; przestają formować prawdziwe gminy, które wspólny interes łączyć, użyteczne przedsięwzięcia jednoczyć i masę sił większych do jednego celu skierować mogą. Drobnymi posiadaczami najmniejszego ulepszenia, jakich cywilizacya codziennie więcej nastęrcza, nie są w stanie pojedynczo przeprowadzić; potrzeba do tego wielkiej liczby indywiduów, którychby wspólny interes łączył. Duch stowarzyszenia stał się jedyną dźwignią handlu, przemysłu i wszelkich przedsięwzięć na większą i na mniejszą nawet skalę zaprowadzanych. To dzieje się w miarę, im więcej posiadłości drobnieją, a wielkie fortunny przyskają; im mniej znakomite rody starają się o przewodniczenie w wielkiem dziele cywilizacyi, i im więcej wielkie kapitały, nerw większych przedsięwzięć, zbierają się w ręku spekulantów, bankierów, szachrajów, niezawsze a nawet rzadko ożywianych pobudkami, które w minionych wiekach ludźmi kierowały, jak: dumą rodzinną, nadzieją władzy i znaczenia, duchem prawdziwie chrześcijańskim. Zbytecznym rozrzuceniem osad, niszczyć tego ducha stowarzyszenia i możliwość łączenia wspólnych sił do użytecznych zamiarów jest błędem nie do przebaczenia; ależ i to mieć na uwadze należy, że to wszystko, co powiedzieliśmy, odnosić się tylko może do osad rozrzuconych w pustkowiu, zupełnie związku ze sobą pozbawionych; nie stosuje się zaś do osad sposobem kolonij urządzanych, w których domy chociaż odosobnione, niezbyt jedne od drugich odległe, łączą korzyści oddzielonej własności i zjednoczenia gruntu z korzyściami łączności gminnej.

Okolo tegoż czasu jak Chreptowicz, inny reformator śmielszy, ale mniej praktyczny, bogaty prałat ks. Brzostowski przedsię-

wziął dokonać zamiar rozleglejszy. Wśród Rzplitej założył on z dóbr swoich drugą Rzplitą. Nadał poddanym wielkie przywileje, gmina sama zawiadowała swoim dochodem, miała jurysdykcją w kształcie sądu przysięgłych, miała nawet siłę zbrojną. Założony został arsenał, ustanowione ćwiczenia w mustrze. Słowem, mówi jeden z pisarzy, byłato gmina starożytna VI w. urządzona militarnie; charakter rycerski oznaczał całą tę organizacją. Właściciel sam pozostał jednak zawsze panem, niby głową téj społeczności. Nie można odmówić całemu temu pomysłowi oryginalności; ale bez związku z ogólném prawodawstwem kraju nie mogła się ta organizacja obstać, a jako wzór do naśladowania nie była dostępną dla większej części; nie opierała się zresztą na względach ekonomicznych. Byłoto więc dzieło excentryczne (1).

Są jeszcze wzmianki rozrzucone o innych probach tego rodzaju, ale że te albo były częściowe, albo nie w sobie charakterystycznego nie mając, nie mogą posłużyć do wskazania postępu wyobrażeń i porównania przebytych prób, uważamy za stosowniejsze je pominąć.

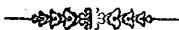
Tę tylko uwagę musimy tutaj zrobić, iż próby powyższe są jeszcze jednym dowodem, jak umysł ludzki skłonny jest do przechodzenia z jednéj ostateczności w drugą; wprzód nie umiano granic położyli tiffundjom, w nowych tych urządzeniach całkowite folwarki oddane są małej uprawie. Wszystkie nieomal znoszą folwarczne gospodarstwo i zaprowadzają ogólne rozczyńszowanie i zupełną dyzmembracją. Oba kierunki jednostronne, a w swéj jednostronności do odmiennych, ale szkodliwych dobru ogólnemu prowadzące rezultatów.

Jakkolwiek cząstkowym i nierozległym mógł być wpływ i pism i prób o których mówiliśmy, działać on jednak musiał na wyobrażenia, a tą drogą i na stosunki praktyczne. Najlżejsza zaś naprawa w tych ostatnich była już ważnym nabytkiem. Oprócz tego, powstał większy w owym czasie ruch naukowy i większa uprawa umysłów. Czynność i ruch większy zjawily się tak w sferze moralnej, jak i materyalnej. Pomiedzy liczniejszemi nowemi książkami zjawiać się znowu zaczęły i książki rolnicze. Lubo nieco dawniejsza, ale nańder pożyteczna do praktycznego użycia

(1) Wydana była broszura opisująca całe to urządzenie, teraz trudna do odszukania.

była książka ks. Jabłonowskiej: Instrukcyja dla rządców dóbr moich. Księża Sierakowskiego dzieło o rolnictwie lubo jest przeobrażeniem dzieła nieznanego francuzkiego agronoma, pod tym względem ma pewną cenę, iż pierwszy raz zwróciło uwagę na ważność łąk i na ich uprawę sztuczną. Wreszcie przybyło dzieło agronomiczne księża Bystrzyckiego i inne.

Wszystko to razem wzięte przyczynić się mogło do tego postępu rolnictwa, który w drugiej połowie poprzedniego wieku jest widocznym.



## SŁÓWKO

O NARODOWYCH PIEŚNIACH SERBSKICH I NOWYM ICH PRZEKŁADZIE (1).

---

Wśród różnojęzycznych narodów, zamieszkujących dzisiejszą Europę, słowiańskiemu plemieniu należy słusznie nazwa narodu-poety. Niezawodnie wykształceniem poezji jako sztuki, wszechstronném jój rozwinięciem i mnogością znakomitych utworów, inne narody o wiele Słowian przewyższyły i prześcigły; wszakże gdy u tamtych li przedmiotem sztuki się stawszy, zawarła się wyłącznie w szrankach piśmiennictwa: u ostatnich jest ona powszednim chlebem, powszednią skłonnością, potrzebą i zdolnością całej massy ludu. „Gdzie tylko, mówi Szaffarzyk (2), znajdziesz słowiańską niewiastę, tam razem znajdziesz i pieśń. Domy i gumna, góry i doliny, lasy i łąki, ogrody i winnice rozlegają się jój dźwiękami. Nieraz po całym dniu pracy w skwarze i znoju, w pragnieniu i głodzie, pieśń orzeźwia wracających po cichym zmierzchu wieczornym robotników, budząc milczenie wdzięcznemi tony swojemi... Bez zaprzeczenia twierdzić się godzi, że u żadnego innego narodu nie znaleźć pierwotnej poezji w takiej pełni, czystości, serdeczności i gorącości uczucia.”

Czém wpośród obcych plemion Słowianie, tém jest wśród nich naród serbski: — *poetą całego plemienia*, jak się wyraził wielki wieszcz nasz. Piśmienna poezya jego porównana z innemi pobratymczemi, zwłaszcza téż z polską, ledwie niezupełnie niknie; ale natomiast pieśń gminna leje się tu tak wspaniałą, tak szeroką i ja-

(1) Jestto wyjątek z przygotowanego rękopismu do druku, przekładu pieśni serbskich Romana Zamarskiego, który ma być wydany nakładem G. Sennewalda.

(2) Schaffarik: Geschichte d. slavisch. Sprache und Literatur, str. 52.

sną rzeką, że niepodobna wobec niej nie podziwiać twórczego ducha ludu, z którego piersi wynikała i wciąż żywą płynie krynicą.

Pieśni serbskie są zbiorowym owocem narodowych usposobień i skłonności. Najświeższych nawet i najbardziej wziętych twórcy mało komu są wiadomi, i mało też kto o nich pyta. Utworzona pieśń o tyle przechodzi na własność powszechną, o ile odpowiada ogólnym uczuciom, pojęciom i tonowi narodowemu; jeśli w czém od nich odstępuje, bywa dopóty odmienianą i przerabianą, aż wreszcie zupełnie typowy charakter uzyska. To też lud uważa je za niemal przyrodzony plód swego kraju, wschodzący i rozwijający się nie wiedzieć zkąd, jak kwiaty i lasy na jego górach. Jestto niby druga mowa tego plemienia, łącząca wspólnym ogniwem wszystkie jego członki, porozdzielane granicami państw, różnicami praw, kultury i nienawistnych lub niechętnych sobie wyznań: — niby powietrze, które tu wszystko przenika i ożywia.

Wagę i rozległość serbskich pieśni wymownie i treściwie wskazał uczony W. A. Maciejowski, w swój *Historji literatury polskiej*: „Potężny niegdyś naród serbski, uległszy tureckiemu jarzmu, zasklepił się we własnej narodowości jak ślimak w skorupie, i odtąd dla niej żył tylko, jój oddychał powietrzem. W rozkosznej nad Dunajem przemieszkując krainie, natchnął się nader wczesnie wysokim poezji duchem, w jój tworach złożył narodowych pamiątek wspomnienia, w niej zamknął swoje dzieje; zgoła uczynił poezją składem swojej narodowości.... Lutnia stała mu za księgę, za pismo, za pomnik sztuki; zgoła tém dlań stała się, czém są dla nas biblioteki, drukarskie prasy, pracownie sztukmistrzów. Na niej wyśpiewał całą swoją przeszłość, pogańskie zarówno jak chrześcijańskie objawszy czasy; w pieśniach zamknął religią, życie polityczne, domowe, duchowość, moralność, a nawet zmysłowość: zgoła wszystko, czém naród jakowy, bogobojnie, prawnie, skromnie, pracowicie, i t. p., „żyje, czém swoje utrzymuje narodowość”.

Ustęp naszego poety o pieśni gminnej tylekroć przywodził, nigdzie właściwiej jak wobec pieśni serbskich przytoczonym byćby nie mógł. Jaki był ich los, takie posłannictwo — którego też chlubnie dopełniły. Ichto głęboko wpojonemu wpływowi zawdzięcza niezawodnie naród serbski tę moc ducha i bohaterki popęd, które go, po tylu latach zupełnego poniżenia i najcięższego służebnictwa, uczyniły zdolnym odzyskać, choć na

szczupłej przestrzeni ziemi, istotną chociaż nieimienną niezawisłość; im zawdzięczać będzie, jeżeli mu jeszcze kiedy dni świetniejsze zajaśnieją. Tymczasem w pieśniach swoich mają Serbowie do wyrobienia i rozwinięcia wyższego narodowego życia nieocenioną podstawę i środek, którychby wykształceni przewodnicy ludu na chwilę z uwagi spuszczać nie powinni.

Wuk Stefanowicz Karadzicz, zbieracz serbskich śpiewów, podzielił całą ich masę na dwa rodzaje: na pieśni męskie (junackie) i żeńskie. Podział ten oparł on na zewnętrznej i budowie, z której wszakże głębsze wysnuwają się różnice.

Pieśniami *żeńskimi* nazywa W. S. K. te wszystkie, które przeznaczone do właściwego śpiewu, odstępują od jednostajnego rytmu pieśniom męskim przyrodzonego. Największa téż ich część napotyka się w uścieniach kobiet, a nawet im powstanie zawdzięcza. Najobfitszy dział ten ma za przedmiot życie domowe i rodzinne, powszednie w jego kole wydarzenia i uczucia, nade wszystko zaś miłość w różnych jej objawach, stosunkach i przejściach. Piosnki te jak formą i treścią, tak również wadami i zaletami pokrewnią się z najliczniejszym naszych gminnych pieśni rodzajem. Piękność ich polega głównie w czystości i prawdzie uczuć, prosto z serca płynących: czego skutkiem jest doskonała zgoda języka z rzeczą, i „naiwny wdzięk, niepodobny do naśladowania przez sztukę, jak niepodobna naśladować naiwnych ruchów dziecka.” Szczęśliwe porównani, obrazek żywymi barwami schwycony, zwrot świeży mowy: dodają okrasę tym samorodnym tworum. Piękności podobne przecież znajdują się rozprysnięte, najczęściej obok jałowej pospolitości i trywialnej płaskości; piosnka w zupełności zdarzona, w którejby się nie czuło żadnego braku żadnego fałszywie brzmiącego tonu, jest nie mniej u Serbów jak u nas rzadkością. Dlatego téż Göthe miał zupełną słusność, utrzymując, że: aby uczuć piękność tych pieśni, brać je trzeba w całej ich massie.

Prócz powyższego rodzaju, między pieśniami żeńskimi napotykamy pewną ich ilość mniej więcej wyraźne ślady narodowej mitologii mieszczące, których treść i charakter fragmentowy niewyraźny, pozwalają uważać je za powyrywane i uszkodzone szczęty śpiewów, pogańskich jeszcze czasów sięgających. rozmaite także i liczne pieśni obrzędowe należą z natury swojej do oddziału żeńskiej poezji.

O ile rodzaj żeńskich pieśni jest wspólną wszystkich plemion słowiańskich własnością, o tyle tak zwane *męzkie* są wyłączną jedynie w poezyi serbskiej, której stanowią główną chlubę i wagę. Jakaśmy wyżej wspomnieli, mają one właściwy sobie rytm, wielce wprawdzie monotony, ale w prostocie tej niezmiernie silny i wspaniały. Każdy wiersz, zwykle zawierający w sobie myśl całą, składa się z pięciu trocheów, ze średniówką po drugiej przypadającej stopie. Budowa taka oczywiście mało jest zdatną do śpiewu; to też tak zwany śpiew ich jest istotnie tylko skandowaną recytacją, przy jednostajnym dźwięku *guśli* (2), który zawsze na przedostatnią przypada zgłoskę.

Podobnie jak za czasów Homerycznych w Grecyi, piastunami niejako urzędowemi poezyi tej są starzy śpiewacy błędni, najczęściej na wzór Homera ślepi. Przez nich starożytne rapsody utrzymują się w ciągłym obiegu, i od jednego do drugiego krańca serbskiej mowy rozchodzą się nowe, po największej części ichże samych utworami będące. W okolicach łagodniejszych, więcej zaludnionych i wpływom zachodu dostępnych, mianowicie wśród serbskiej ludności pod Austryą, pieśni *męzkie* napotykają się jedynie w ustach takich *ślepców*; ale w krainach górzystszych i odludniejszych, w południowej Serbii, Hercegowinie, Bośni, Czarnogórze, w każdym domu znajdują się *guśli* i pieśń jest duszą każdego zebrania u rodzinnego ogniska. Zwykle starzy ojcowie, którzy mając dorosłe dzieci od pracy się usunęli, sprawują urząd opowiadaczy. Zajęcie to uważaném jest za tak poważne i dostojne, że nawet mnisi i przełożeni monasterów sami nie mają sobie za ujmę godności w powtarzaniu narodowych powieści szukać rozrywki i chluby.

Tak budowa jak i tok całej *męzkiej* pieśni serbskich nie ma nic wspólnego z żadnym rodzajem poezyi gminnej, bądź u Słowian, bądź u innych dzisiejszej Europy ludów; natomiast widoczném jest ich podobieństwo ze starożytnymi rapsodami greckimi, z których zbioru powstały *Odyssea* i *Iliada*. Obok tegoż samego tonu spokojnego, jasnego i porządnego, stanowiącego właściwość starożytnej epepei, uderzającym jest w nich tenże sam plastyczny charakter, niemający żadnego pokrewieństwa

(1) *Guśli*, sąto wielkie skrzypce, do naszych wiejskich basów podobne, na których jedna tylko napina się struna. Śpiewak opiera je między kolanami na ziemi, dźwięk zaś wydobywa za pomocą smyczka.

z resztą w całym nowoczesnym narodziu pieśniarstwie. Gdy bowiem wszystkie te poezye przeważnie malarskiej bywają przyrody, serbska, podobnie jak starohelleńska, nie zna owych środków perspektywy, grupowania i cieniowania swych obrazów; wszystko w niej, jak na dawnych płaskorzezbach, dzieje się na pierwszym planie i każdy szczegół z rzeźbiarską oddany jest wyrazistością. Rzecz można: jestto ciąg płaskorzezb, powlęczonych żywymi farbami. Podobieństwo pomiędzy greckimi i serbskimi rapsodami, nie ograniczając się na tych głównych charakterystycznych rysach, przebija się jeszcze bezustannie w drobnych nawet szczegółach: w używaniu tychże samych trybów i poetycznych figur, aż do jednakich zwrotów mowy i pojedynczych wyrazów. Jednym słowem powiedzieć można: serbskie są greckich dalszym ciągiem i dopełnieniem; są niem jednak o tyle tylko, o ile późniejsze malują czasy i wyobrażenia; nie zaś pod względem rozwinięcia i doskonałości samych utworów. Co do tego ostatniego są wprawdzie między nimi niektóre tak szczęśliwie zdarzone, że najściślejsze krytyczne wymaganie nie mogłoby im uznanja na równi z Homerycznymi odmówić; przeważna jednakże masa grzeszy, jak z natury rzeczy wynika, zwykłemi samorodnego a niewykształconego gieniuszu usterkami: obok bogactwa wyobraźni hiedostatkami w szczegółach, obok prawdziwie epicznej powagi i wspaniałości przesada, pospolitością, trywialnością, nie naturalnym naciąganiem i innymi podobnemi. Dodać wszelakoż należy, że wady te nie są tak częstemi, ażeby wdzięk reszty czytelnikowi truć aż miały; przeciwnie, po największej części sąto pojedyncze plamy, gdzieniegdzie rzucone, psujące wprawdzie ogólne wrażenie całości, ale wśród bujnie rozsianych piękności śnadne do przejrzenia i zapomnienia.

O ile zewnętrzna mezkich pieśni serbskich budowa jednostajna, o tyle rozmaita jest treść ich. Ogrom ich cały podzielić mniej więcej można na trzy wielkie działy: *legendy*, na wyobrażeniach moralnych, tradycjach narodowych, wyobrażeniach i przesadach ośnute; *pieśni bohaterskie*, wypadki dziejowe, rycerskie przygody lub losy historycznych osób za przedmiot mające; *romanse*. Charakter największej starożytności noszą niektóre z legend, prawdopodobnie do pogańskich jeszcze narodu tego odnieść się dające czasów. Bohaterskie najdawniejsze pieśni sięgają panowania silnego cara Duszana, to jest epoki najwyższej chwały Serbii i potęgi. Wyroczna walka na Kosowém polu i dzieje nieszczęśliwego



Łazara; czyny królewicza Marka; w późniejszych zaś czasach sprawy i losy hajduków, są przedmiotami, które następnie największej liczbie pieśni dostarczyły wątku. W najświętszych latach boje pod Czarnym Jerzym i Mikołajem Obrenowiczem z Turkami zwodzone, zostały w pieśniach uwiecznionemi; a nawet z ostatniej z Węgrami wojny w 1848 i 1849 roku miałem sposobność poznać pieśń jedną, zwycięstwo serbskiego generała, Kniczanina opiewającą. Romanse, rozmaitej barwy, najwięcej miłosne wypadki opowiadające, po największej części z bliższych lub obecnych pochodzą czasów i stanowią ogniwo, przez które rodzaj męzki z żeńskimi łączy pieśniami.

Tak obfita i szacowna dla poezyi, równie jak dla krytyki i historycznych badań, szyba serbskich pieśni, niedawno dopiero temu literackiemu światu znaną i dostępną się stała. Przed stu około laty uczony podróżnik włoski Fortis, w zajmującym opisie podróży swój po Dalmacyi, podał był wiadomość o starych sagach i pieśniach Morlaków, jednego ze szczepów serbskiego narodu, wraz z przekładem całego romansu o śmierci żony Hassan-agi. Göthe znalazłszy ją tutaj w 1789 r., uderzony szlachetną i wdzięczną prostotą, przełożył utwór ten na niemiecki język, a tém samém dał go poznać całej wykształconej Europie, dodając gorące życzenie, ażeby ktoś zebraniem i przekładem pieśni ludu tego zająć się zechciał. Wuk Stefanowicz Karadzicz, serbski uczony podziśdzien żyjący, uczynił piérwszój części życzenia tego zadosyć w 1814 roku, wydawszy w Wiedniu trzy tomiki serbskich narodowych pieśni; zbiór ten jednakże dorywczo spisany i w lichy niezmiernie ogłoszony edycyi, przeszedł prawie niespostrzeżony. Dopiero drugie, w 1824 r. wyszłe, o wiele pomnożone, systematyczniej ułożone i pouczającą przedmową poprzedzone, z czterech tomów złożone, wydanie, dopełniło celu swego. W rok za niem, w 1825, zjawiony zaraz niemiecki przekład przez Talvi, zaznajomiwszy z częścią ich świat literacki, powszechne dla nich obudził zajęcie. Odtąd wychodziły ciągle i wychodzą w różnych językach przekłady, bądź pojedynczych utworów po czasopisach i pismach zbiorowych, bądź mniej więcej obszernie wybory. Wymienić tu należy francuzkie tłumaczenie przez pannę Vojart w 1834 roku i angielskie *Servian Populary Poetry* przez Bovringa w 1827. O ile jednakże sposobność mieliśmy je poznać, ze wszystkich przekładów jako najobszerniejsze i najdokładniejsze

zaleca się niemieckie Talviego, w drugim wydaniu pod tytułem: *Volkslieder der Serben uebersetzt von Talvi*, w 1835 r., w dwóch tomach, w Lipsku i Halli, ogłoszone. Dziwnym zjawiskiem w żadnym z słowiańskich narzeczy nie ukazał się osobny zbiór serbskich pieśni. U nas, jeżeli się nie mylimy, pierwszy Brodziński z próbkami ich publiczność obeznał; za nim po czasopisach i zbiorach poezyi różnych autorów ukazywały się dotąd rozrzucone pojedyncze pieśni, po największej części z drugiej ręki tłumaczone, a raczej wolno obrabiane. Najwięcej niezawodnie do poznania przedmiotu tego przez publiczność polską przyczynił się wykład naszego poety, jakkolwiek i ten z niemieckiego tylko czerpiąc przekładu, niewszędzie wiernie rzecz objaśnia (1).

Co do niniejszego zbioru, oprócz jedynej legendy: *Zaklecia*, którąśmy z niemieckiego serbskich pieśni wyboru pod tytułem: *Wila* wzięwszy, tu przyłączyli, cały dokonany został z oryginalnego języka; i jeżeli mu na wszelkich innych zbywa przymiotach, wiernością zalecić się może. Oprócz niektórych utworów, które wykończeniem swym w oryginale zachęcały do starannego i bardziej artystycznego obrobienia w przekładzie, usiłowaniem jedynym naszym było przelanie jak można najdokładniejsze każdej pieśni, z zaletami jej i błędami tak pod względem wewnętrznej myśli lub treści, jako i zewnętrznej formy na język polski. Trzymaliśmy się w tém najprostszego sposobu: pisania po polsku czytając po serbsku, i w ten sposób powstały przekład niekniętym prawie zostawując. Może być, że przez to został on zanadto ścisłym i chropowatym, ale też tylko tym jednym sposobem mógł zachować tę swobodę dykcji i prostotę, która oryginalne pieśni charakteryzuje, i o którą głównie chodzić nam tu musiało. Oddanie wierne toku serbskiego wymagało częstokroć użycia skrótów mniej używanych dotąd w języku naszym, i nagięcia go do zwrotów i form mniej zwykłych; nie mniemamy jednakże, ażeby nam ktoś mógł ztąd słuszny uczynić zarzut; owszem sądzimy, że jak użycie pierwszych jest nieodzowną i nawet przyczyniającą niejakiego wdzięku wierszowi wolnością, tak wprowadzenie niektórych form słowiańskich, a tém samém przyrodzie ojczystej nie przeciwnych, jest wzbogaceniem go i ozdobieniem.

(1) Nie wiedział nasz tłumacz o pięknym przekładzie pieśni serbskich J. B. Zaleskiego, wydanych w Petersburgu nakładem B. M. Wolfa. P. R.

## PIOSNKI SERBSKIE

PRZEKŁADU H. Z.

## I.

## Chłopiec i dziewczyna.

— „Oj dziewczyno! różo malowana!  
 Na coś ty się rosnąc zapatrzyła?  
 Czyś na sosnę patrzyła zieloną?  
 Czy na jodłę smukłą, wybująą?  
 Czy na mego najmłodszego brata?”

— „Oj junaku! jasne słońce moje!  
 Ni ja rosnąc na sosnę patrzyła,  
 Ni na jodłę smukłą, wybująą,  
 Ni na twego brata najmłodszego,  
 Tylkom młoda dla ciebie tak rosta.”

## II.

## Dziewczę chłopcom winem służy.

Tam w dolinie, nad cichym Dunajem,  
 Ponad brzegiem stoi namiot biały.  
 Pod namiotem zeszli się junacy,  
 I rumiane piją w kolój wino.

Krasne dziewczę wino im nalewa,  
 Co któremu czasę z winem poda,  
 Każdy chce ją przycisnąć w objęcie.  
 Tak przemówi dziewczę urodziwe:

— „Oj junacy! paniczowie młodzi,  
 Jako mogę być dla wszystkich sługą,  
 Tak nie mogę dla wszystkich być lubą,  
 Tylko temu, kogo serce lubi!”

## III.

## Mętny Dunaj.

- „Oj Dunaju! cicha wodo!  
 Powiedz, czém tak mętny cieciesz?  
 Czy cię jeleń maści rogiem?  
 Czy Mirczeta wojewoda?”
- „Ni mnie jeleń maści rogiem,  
 Ni Mirczeta wojewoda;  
 Tylko dziewczęta djablice,  
 Z każdym rankiem tu przychodzą:  
 Maćą, bijąc pralnikami,  
 Umywając jasne lice.”

## IV.

## Służba źle nagrodzona.

Dwie tam rzeki chłodną wodą cieką:  
 Jedna Sawa, a druga Morawa.  
 Sawa toczy drzewa i kamienie,  
 Czółn kowany Morawa unosi.  
 Na tém czólnie brat ze siostrą płyną;  
 Brat zasypia, a siostra powozi.  
 Siostra brata ze snu śpilką budzi:  
 — „Wstawaj bracie, Biełograd się pali!”  
 Z snu nie wstając brat jój odpowiada:  
 — „Niech się pali, niechaj ogniem zgorze!...  
 Służyłem w nim przez trzy całe lata:  
 Piérwszem lato służył za broń jasną,  
 Oddali mi starą, zardzewiałą;  
 Jak mi przyszło odbierać rumaką,  
 Oddali mi lichą szkapę starą;  
 Jak mi przyszło odbierać dziewczynę,  
 Starego mi koczkodona dali.”

## V.

## Owczarz i dziewczyna.

Żniwo żęło dziewczę urodziwe,  
Srebrnym sierpem, złotą ręką swoją;  
Kiedy było około południa,  
Zaśpiewało dziewczę krasawica:

— „Żeby za mnie powiązał kto snopy,  
Dałabym mu białe lice moje.  
Żeby świeżój pić mi przyniósł wody,  
Dałabym mu oczy moje czarne.  
Żeby mi kto cień uczynił chłodny,  
Jabym jemu wierną, lubą była.”

Ona myśli, że jój nikt nie słyszy;  
Lecz słyszał ją pastérz za owcami.  
Rogoziną powiązał jój snopy,  
Z gałęzi jój cień uczynił chłodny,  
Świeżój wody przyniósł pić z krynicy.  
Tak dziewczynie krasawicy rzecze:  
— „Daj, dziewczyno! cożś obiecała!”

Ale chytre dziewczę mu odповіć:

— „Idź, odczep się mój pasterzu młody!  
Kiedy dla mnie snopy związywałeś,  
Owce twoje na rżysku się pały.  
Kiedy wody doniosłeś mi świeżój,  
Sam się także napiłeś ze zdroju.  
Kiedyś dla mnie uczynił cień chłodny,  
I sam także pod nim odpocząłeś.”

## VI.

## Prorocze tkanie.

Płótno tkało dziewczę urodziwe  
W dzień sobotny, przed niedzielą świętą.  
Ale wszystko złe się jakoś darzy:  
Białe nici wystarczać jój nie chcą,  
Ani płocha srebrzysta uderzać,  
Ani czółtoko przebiegać złoczone.  
Tak do matki przemówi dziewczyna:

— „Oj, na Boga, miła matko moja!  
Co to znaczy? matulu jedyna!  
Że mi nici nie chcą starczyć białe,  
Ani płocha srebrzysta uderzać,  
Ani czółnko przebiegać złocone?  
Co to wszystko znaczy? matko moja!”

Matka córce zcicha odpowiada:

— „Milcz, dziewczyno! kukulko złowieszcza!  
Twój jedyny brat w carowém wojsku,  
Strach mnie bierze: aza nam nie zginął?”

Ale dziewczę matce odkazuje:

— „Nie tak, matko! nie tego się boję.  
Lecz mam w wojsku Imbra oblubieńca,  
Strach mnie bierze: aza mi nie zginął?”

Kiedy obie tak ze sobą gwarzą,  
Pojrzy z okna dziewczyna na drogę,  
I zobaczy dziewierza Omera,  
Całkiem w czerni i na koniu wronym.  
Naprzeciwno wybiegła doń młoda,  
Ręce ściśli, usta sobie dali,  
O zdrowie się, witając, pytali.

— „Jakoś zdrowy? Omerze dziewierzu!  
Jakoś zdrowy i jakoś wesoly?”

Ale Omer smutnie odpowiada:

— „Dobrzem zdrowy, miła snacho moja!  
Dobrzem zdrowy, ale nie wesoly.  
Brat mi Imbro srodze poraniony;  
Niedługo mu rozstać się z żywotem.  
To orędzie przeze mnie ci daje,  
Byś go żywym oglądać zdążyła.”

## VII.

**Cieężko siostrze bez brata, a bratu bez siostry.**

A w Budymie grodzie, dziwny dziw się dzieje;  
Cieężko na mołodźce, cieężko na dziewczęta!  
Mołodźcom tam każą prząść cienkie kądziele,  
Prząść cienkie kądziele, dziać tkaniny białe.  
A dziewczętom każą Budym gród budować,  
Budym gród budować, wyprowadzać wieże.

Który ma tam siostrę, błogo bratu temu!  
 Siostrzyczka za niego cienką kądziel sprzedzie,  
 Sprzędzie kądziel cienką, dzieje tkanie białe.  
 Szczęśliwa dziewczyna, która ma tam brata!  
 Brat za siostrę miłą Budym gród buduje,  
 Budym gród buduje, wyprowadza wieże.

## VIII.

## Klątwy dziewczęce.

Umarł Konda, jedynak u matki,  
 Ciężko matce rozstać się ze synem,  
 Zakopać go zdaleka od dworu;  
 Lecz go grzebie w ogrodzie zielonym,  
 Pod złocistój pomarańczy cieniem.

O poranku nawiedza mogiłę:

— „Synu Kondo! ciężyli ci ziemia?  
 Ciężali ci deski jaworowe?”

Konda z grobu matce odpowiada:

— „Matko miła! nie ciężka mi ziemia,  
 Ani ciężkie deski jaworowe,  
 Lecz mi dziewcząt bardzo ciężą klątwę.  
 Bo gdy westchną, to aż w niebie słychać;  
 Kiedy zaklną, to się ziemia trzęsie;  
 Kiedy płaczą, żal Bogu samemu.”



# PRZYSŁOWIA I WYRAŻENIA OD MIAST I WSI.

ZEBRAŁ

*Cymoteusz Lipiński.*

---

Od lat nieprzerwanie ośmiu zajmując się nagromadzeniem przysłów, przypowieści i sposobów mówienia, znaczny onych przysporzyłem zasób, wyczerpnięty z rozlicznych ksiąg, broszur i rękopisów znajdujących się w Warszawie, Krakowie i Lwowie. Niedosć na tém: pilnemu nadstawiał ucha na szczególne wyrażenia i trafne zwroty w ustach ludu żyjące; zasilany też byłem obficie przez łaskawych zbieraczy w różnych stronach kraju osiadłych, którzy chętnie nieśli mi swą pomoc, i dotąd nawet nie przestają przyrzucać ziarenka do ziarenka. Przy téj życzliwej pomocy, zbogaciłem zbiory moje tak zamarłej, jako i żyjącej mowy; lecz ileżto jeszcze pozostaje do czynienia w tym tyle rozległym zawodzie? Zaiste niezmiernato jest przestrzeń i obszar do wykarczowania, na co wiele rąk i czasu niemałegołożyć trzeba, by ta niwa należycie obrobioną została. Bądź co bądź, przystąpiłem do uporządkowania uzbieranych plonów, a dla dogodniejszego na nie poglądu, uszykowałem cały mój zbiór o ile się dało systematycznie, poczyniwszy w nim dość mnogie działy czyli kategorye. Owoż jedną z nich, dotyczącą się miast i wsi poniżej zamieszczam, dołączając stosowne objaśnienia, jakoteż niezbędne przypisy treści jeograficznej i dziejowej. Nie zapuszczam się tu, że tak rzekę, gwałtem w dociekanie: kiedy i z jakiego powodu powstało przysłowie? gdyż domysły, skoro nie mają pewnej podstawy, lub krytycznej powagi, są czczemi marzeniami, i miasto wyjaśnienia, rzecz tylko gmatwając, łatwowiernych w błąd wprowadzają. Lepiej, mojem zdaniem, zostawić przysłowie zupełnie martwém, niż je koniecznie na swoje



naciągnąć kopyto; może bowiem z czasem jakie przypadkowe zdarzenie, jaka szczęśliwa okoliczność (czegom sam doznał), posłuży do wyjaśnienia tajemniczości przysłowia i rozwiąże ukrytą w niém myśl, która dotąd istną dla nas była zagadką.

Podający się tu ustęp z mojej pracy, aczkolwiek niemaléj jest objętości, znacznie wszakże powiększony być może, jeśli znajdą się życzliwi, którzy wiedząc o jakim przysłowiu do miast lub wsi odnoszącém się, raczą mi o tém udzielić wiadomości. Również wielce pożądane są przezemnie przypowieści, w które wchodzi nazwy gór i rzek. Oby choć w małej części moje *pia desideria* odniosły skutek, a niniejsza odezwa nie była głosem wołającego na puszczy!

Dla zrozumienia przytaczanych skrótów, podaję przy zakończeniu niniejszego artykułu spis dzieł i autorów, z których korzystałem przy obrabianiu li tylko téj części; autorowie zaś w przypiskach wzmiankowani, nie są tu objęci.

---

*Ma miasto swe zalety, ma i wieś: mają téż i swe ale.*

### 1. A to droga, jak na Bałdrzychów do Rzymu.

Nie po drodze; wstąpił do piekła, po drodze mu było. — Bałdrzychów wieś nad Nerem, pół mili od Poddębic. Wyrażenie to, jak i wiele tym podobnych, w przyległych tylko okolicach jest znane.

### 2. A to Sodoma i Gomora!

Sodoma, Gomora, Sochet, Amona i Sebion, miasta żydowskie nad morzem, a raczéj jeziorem Martwém (*Mare Asphalticum*) leżące, które dla zbytich cielesnych grzechów, siarczystym z nieba deszczem zniszczone zostały. Podług innych świadectw zapadły się te miasta. Wyrażenia o dwóch pierwszych używa się na oznaczenie sprośnych obyczajów, o pojedynczym zaś człowieku lubieżnym, mówi się: a to Sodomczyk!

### 3. A ty smorgońska dudo! *Zabł.* (Dudku, gapiu, głupczel!)

### 4. A zkądś to w téj sukmanie?

Od Skalmierza, Mości panie.

Jestto właściwie początek piosnki w Krakowskiém powtarzanej. Miasteczko Skalmierz, Szkalbmierz nad Nidzicą, przez samych chrześcian jest zamieszkane. Okoliczni włościanie

noszą czapki niskie czworograniaste, z karmazynowego sukna, wązkim czarnym barankiem obwiedzione; sukmany ich są kafeowego koloru, długi kołnierz całe osłaniający plecy, wyszywany jest białym sznurkiem w różne wzory, czasem zaś świecącymi blaszkami.

5. **A zkądęście ojczy? — Z Wilanowa. — A czapka skurczypalko! — Ha, i copka z Wilanowa.**

Chłopek wilanowski, więcej od innych włościan zuchwały i hardy; nie jest skorym do odstąpienia głowy i niskiego ukłonu. Może przyczyna tego polega w tradycyjnie przechowywającej się pamięci: że obrońca chrześcijaństwa i syn jego Konstanty byli ich panami, a następnie znakomite i możne rodziny dziedziczyły tę majątność.

6. **Abos z Gluchowa? *Rn.* (Czy nie dosłyszysz).**

7. **Akademia Krakowska, zacny klejnot korony polskiej. *Fal.***

Zwykle tak się wyrażano o tej głównej szkole, wysławiając jej zacność i zasługi. Głośny w swym czasie Tomasz Ormiński medycyny Dr., akad. zamojskiej prof. i JKMcI sekretarz, w kalendarzu swoim na rok 1703 wyrzekł: „Przesławna akademia krakowska, córka królów polskich, prawa synów koronnych karmicielka, a moja ulubiona matka.”

8. **Akademia smorgońska.**

Smorgonie miasteczko w b. Wtwie wileńskim, pow. oszmiańskim, dawna własność ks. Radziwiłłów. Mieszczanie trudniąc się uczeniem niedźwiedzi tańczyć, popisywali się z swemi wychowañcami po różnych Europy krajach. Słynęła więc po całej Polsce taka szkoła, żartobliwie akademią smorgońską zwana, a jej tytuł nadawano zakładom naukowym na niskim stopniu oświaty będącym. Jan Jabłonowski wojew. ruski, w swoich *Sto i oko bajkach*, w jednej z nich: Dwór lwa, użył wyrażenia: aż od Smorgoni wałą się niedźwiedzie.

9. **Ani w samym Paryżu,**

**Z owsianej kaszy nie urobją ryżu.**

Odpowiednie temu wyrażenia: kto głupi, rozumu nie kupi; kto rozumu mieć nie będzie, we Włoszech go nie nabędzie; kto się kpem urodzi, ten i kpem zginie.

10. **Anioł nowogrodzki. *Rkp.***

Województwo nowogrodzkie używało w herbie anioła czarnego w czerwonym polu, z rozciągnionemi skrzydłami, który jedną rękę prosto na dół spuszczoną trzyma, drugą zaś podpiera się. Niezwykle wyobrażenie anioła czarnej postaci, dało powód do powyższego wyrażenia, zamiast powiedzenia po prostu: czart, djabeł, bies, szatan, co się zwało politycznie mówić.

11. **Apelacya pod Jeziernę.**

Wyzywanie na pojedynek.—Jezierna, Jeziorna, wieś o dwie mile od Warszawy, słynęła za rządów Stan. Augusta miejsce, dokąd udawano się ze stolicy dla odbywania pojedynków; czyniono to, chcąc uniknąć władzy marszałka K., która dalej nie sięgała wykraczających przeciw prawom.

12. **Będziesz w Błędowie. *Rn.***

Poblądzisz, w błąd wpadniesz, to, jako też i powyższe, pokpisz sprawę.—Wyrażenie, mniej do miejscowości, ani żadnego nie ma z nią związku, ale prosta jest tylko wyrazów igraszka, jak to i poniżej o różnych posągach zobaczymy.

13. **Bójka pod Zwaniec,****Durnia z pohąncem.**

Dodaje się też i inne gminne, nieprzyzwoite zakończenie, z urąganiem zastosowane do bijących się pięściami, kijmi, a nawet i do pojedynkujących się.—Miasteczko Zwaniec nad Dniestrem, w b. Wtwie podolskiem, pow. kamienieckim, pamiętne jest w dziejach naszych gnuśnem przez kilka tygodni obozowaniem Jana Kazimierza 1653 r. Zwodzono w okolicy nie nieznaczące utarczki z Kozakami i Tatarami, aż nakoniec zawarło z nimi ugodę w grudniu. Zdaje się, iż zwyż przytoczone wyrażenie ma związek z zwaniecką wyprawą, którą ohydzić lub wysmiać chciało.

14. **Boćkowskiego prawa artykuły,****Niejedną cnotę wykuły.**

Boćki nad Nurcem w b. Wtwie podlaskiem, ziemi bielskiej, słynęły wyrabianiem w znacznej ilości dyscyplin, kańczuków i harapów. Utrzymuje się podanie, iż większą część nałożonej przez Szwedów daniny, zastąpili mieszczanie wzmiankowanymi wyrobami. Dyscypliny tutejsze znane dobrze były w całej Polsce młodzi szkolnej, pod nazwą *monitora boćkowskiego* (upominacza), który rozum do głowy napędzał i karał zdrożności młodociane.

15. **Bodaj cię krowami na Powązki wywieźli!**

Złorzeczenie li tylko w Warszawie używane, miejscem bowiem wiecznego spoczynku mieszkańców jest cmentarz na Powązkach.

16. **Bodajes nie miał chleba inszego, jak w Oliwie!**

Bodajes z głodu umarł.—Oliwa w b. Wtwie pomorskiem, o milę od Gdańska, opactwo Cystersów, pamiętne zawarciem pokoju ze Szwecją 1660 r. dnia 3 maja. W tamiecznym klasztorze przechowywano od niepamiętnych czasów chleb skamieniały. Podanie niesie, iż podczas wielkiego kiedyś głodu, zasilali zakonnicy chlebem ubóstwo. Zdarzyło się, że wynędniała kobieta z dzieckiem na ręku, spotkała mężczyznę

z Oliwy idącego, i błagać go poczęła o posiłek; na co tenże odpowiedział: że ani kęsa chleba nie ma przy duszy. „A cóż tu masz za pazuchą?” zapyta owa niewiasta. „To kamień”, odrzekł i poszedł w swą drogę. Aliści gdy następnie sięgnął po bochenek, ujrzał go zamienionym w kamień, na którym pozostał ślad wielkiego palca wyciśnięty.

### 17. Być w Rzymie, a papieża nie widzieć—był w Rzymie i papieża nie widział.

Być tam a tam, i nie widzieć miejscowej osobliwości, co godnego uwagi. Przysłowie to da się zastosować do niejednego turysty, utworzone zaś jest na wzór łacińskiego: *Athenas intrasse et Solonem non vidisse*. Rysiński 1619 r. zaczyna je: W Rzymie być i t. d.

### 18. Był w Łowiczu.

Umieć łowić, t. j. kradnie, złodziej z niego, także: szuler.—Łowicz nad Bzurą, w b. Wtwie rawskim, ziemi sochaczewskiej, własność przedtęm arcyb. gnieźnieńskich. Na sławne jarmarki tameczne przybywali kupcy niemieccy z różnemi towarami; lubo od dawnego czasu straciły jarmarki na znaczeniu, zawsze jednak są one najznamienitsze w kraju, mianowicie jarmark na ś. Mateusz przez tydzień trwający, zwabia gromadnie obywateli ziemskich i wszelkiego rodzaju łowców na cudze kieszenie.

### 19. Był w Pacanowie, wie jak kozy kuja.

Bywalec, mądry on, przebiegły, arcyfilut—Pacanów w b. Wtwie sandomierskim, pow. wiślickim. Miasteczko to o milę od Wisły odległe, głośnie jest przez różne z siebie urągowiska, do których należy i powszechnie utrzymywane okucie kozy, szkodę w ogrodzie kowala czyniącej; co wszakże inaczej rozumieć należy. Koza jest wyraz techniczny w żegludze, jakoż Haur (*Oekonomia ziemianńska* 1675 r.) mówi: „statki wszelkie na defluitatią mają być: szkuty, dubasy, komiegi, byki, kozy, wiciny, lichtony, galery, czolny.” Linde zaś w swoim *Słowniku* przytacza z pewnego rękopisu: „koza ma od 4 do 6 ludzi, a łasztów bierze od 8 do 10.” A że koza ta potrzebuje dla mocy lub naprawy pewnego skucia, co zapewne najlepiej wykonywał biegły w swém rzemiośle kowal w Pacanowie, ztąd powstało przysłowie przez podobieństwo wyrazów żartobliwie do kozy zwierzęcia zastosowane.

### 20. Bywał on widać w Bywalicach.

Nielada bywalec; ma doświadczenie; wycierał on kąty po świecie; nie z jednego pieca chleb jadł.

### 21. Cegła, jak toruński piernik.

Czerwona, dobrze wypalona, arcydobra, przedziwna.

**22. Ceni drogo, a krakowskim targiem za połowę przeda.**

Najwięcej mamy miejscowych wyrażeń i przypowieści ściągających się do odwiecznego tego grodu. Kochowski zaś w swoich *Fraszkach* 1674 r. tak na str. 82 mówi o Krakowie:

Zacne to miasto wielce, ale ma tę wadę:

Iż wniwecz obraca miechowską osadę.

To jest: mieszki czyli worki z pieniędzy wypróżnia, a jak autor w dalszym wyraża ciąg: mieszki patroszy. Powyższe przysłowie ostrzega kupujących, ażeby umieli się targować, a dostaną za połowę żądanej ceny.

**23. Chcesz dobrze spać: więc myśli z swojej wyżeń łbice;**

**Zła droga do Leżajska, gdy na Myślenice. *Epig.***

Alluzya do myślenia, druga do leżenia, legania, noclegu, czyli: źle ten śpi, kto ma frasobliwe myśli na głowie. Myślenice nad Rabą w b. Wtwie krakowskiem; Leżajsk zaś blisko Sanu, w b. Wtwie ruskiem. Oba te miasteczka leżą teraz w Galicyi.

**24. Chłop stokłosny chleb tak smaczno je, jak piernik toruński.**

Stokłosa, rodzaj trawy, jest żytna, owsiana i t. p. Chciano przez to powiedzieć, że chłop w jadle nie wybredny, że nie potrzebuje specyałów, że obejdzie się bez pierników, jakimi odwiecznie słynie Toruń.

**25. Chłop z Dysa:**

Kupił psa za lisa. *Dach.*

**Chłop z Dysa:**

Przedał psa żydowi za  
(lisa. *Jarz.*

Jak pierwsze wyrażenie oznacza głupca, gapia: tak drugie franta, przebiegłego, czyli jak mówią; szczwanego, kutego na cztery nogi. Obu takich rodzinnem miejscem była wieś *Dys*, leżąca o 1½ mili na północ od Lublina.

**26. Choć nie widział Kalwaryi Góry, jednak mu Kalwaryya z oczu patrzy. *Rkp.***

Śmierci blizki; śmierć na nosie; chodząca z niego śmierć.— Stefan Wierzbowski bis. poznański, kupiwszy 1666 r. wieś Górę nad Wisłą, blisko Czerska leżącą, począł urządzać Kalwaryę według wymiaru jerozolimskiego; wznosił kaplice, świątynie i domy, poczem wyjednał u króla Michała przywilój 1670 r. na miasto *Nowa Jeruzalem* zwać się mające. Nazwa ta atoli nie przyjęła się, pozostała dawna Góra z przydaniem Kalwaryi.

**27. Choć się często widział z Paryżem i Rzymem.**

Częściej jeszcze w swęj głowie zostaje pielgrzymem. *Nar.*

28. **Chudy pacholek w Nieświeżu, jak we śnie.**

Nieśwież w b. Wtwie nowogrodzkim, miasto główne ordynacyi ks. Radziwiłłow, ustanowionej 1586 r. Moźni dziedzice żyli na zamku futejszym z monarszą okazałością; nie więc dziwnego, że chudy pacholek mniemał się być we śnie, ujrzawszy dwór tyle świetny, przepychem i bogactwy jaśniejący.

29. **Chudzino z Kleparza,**

**Niech ci Bóg przysparza! *Rys.***

Chudzina=nieborak, biédak, hołota. Kleparz, przedmieście Krakowa, gdzie wielkie odbywają się targi na zboże. Przytoczone przysłowie jest alluzją politowanie oznaczającą nad takim, który nędzę klepie, t. j. biédne wieździe życie.

30. ***Civitas Cracovia,***

**Kup sobie, jako i ja. *Dudź.***

Wyrażenie to należące do tak zwanych makaronizmów, których jest znaczny poczet w mowie naszej, oznacza niepodobieństwo, niemożność, czemu odpowiednie są: głową muru nie przebijesz; trudno przeciw wodzie płynąć. Rysiński w przypowieściach 1619 r. zamieścił: *Cracovia*, kup sobie jako i ja.

31. **Co dom: to Sodoma; co komora: to Gómora. *Rkp.***

Wszędy niecnota, złe obyczaje, bezprawia, jawnogrzeszników pełno; co skok: to do piekła.—Ob. przypisek do nru 2.

32. **Co we Lwowie:**

**To nie w Krakowie.**

Trzeba się umieć zastosować do miejscowości, gdyż: co kraj, to obyczaj, a co chałupa, to zwyczaj. Kochowski w swoich *Epigrammatach* 1674 r. podobną przestrożę zawiera: w wszelkim kraju, trzeba się trzymać zwyczaju.

33. ***Comes de Wątory:***

**Gdzie jeden kmieć,  
a trzy dwory. *Rys.***

***Comes de Wątory:***

**Kędy dwie chałup, trzy  
dwory. *Epig.***

Oba te makaroniczne wyrzeczenia mają na celu uraganie się z tych, którzy podszyci próżnością, używają tytułów przy nieodpowiednim majątku; o takichto mówi się: hrabia de golis, graf de socha. Wątor, wątory, sąto doine brzegi u kufy, u beczki.

34. **Cóż po tem wieździeć: co się w Rzymie działo, a nie wieździeć: co się dzieje doma? *R.***

Nie wieździeć, co się dzieje w własnym kraju, czyli: mądry po łacinie, a po polsku głupi. Ileżto niestety znajduje się takich, co mniej więcęć obeznani są z ojczemi dziejami, a o rodzinnego kraju ani się ich pytaj. Inni zaś zwiedzili dalekie zagraniczne okolice dla nasycenia oka cudnymi widokami, a nie widzieli na własnej ziemi zachwycającego Ojcowa, Pieskowej Skaly i tym podobnych osobliwości.

## 35. Czerwieni się—czerwony, jak Łęczycą.

Musiąło niegdyś miasto odznaczać się swemi dachami czerwoną dachówką pokrytymi, a przynajmniej tarczami świętymi i zamek. Używa się tego wyrażenia, kiedy kto zapłoni się od wstydu, lub kiedy ma policzki od trunku rozgrzane.

## 36. Czerwony, jak toruńska cegła—jak toruński piernik.

Czerwony jak rydz, jak ówika, jak burak, jak ówik, jak upiór, jak krew.—Toruń nad Wisłą w b. Wtwie chełmińskim; różnemi wypadkami głośny, a mianowicie zawarciem pokoju z Krzyżakami 1466 r. i urodzeniem Mikołaja Kopernika 19 lutego 1473 r., niepośledniej używał wziętości z wyrobów piernikarskich i z wypalania doskonałej cegły pod względem materiału i trwałości.

## 37. Częstochowski poeta, rym, wiersz—częstochowskie kadencye—częstochowskie pisać wiersze.

Czyli poprostu powiedziawszy: ladajskie, liche, tuzinkowe, tandetne, bez sensu, bez ładu i składu; ni w pięć ni w dziesięć.

## 38. Częstochowski żołnierz.

Nie ćwiczony, niedołężny, niebitny.—Na załogę do twierdzy klasztoru Paulinów w Częstochowie odsyłano starych, wysłużonych wojaków. Byłito niejako emeryci; służba ich lekka, bez należytej karności, pozbawiona pola okazania męstwa i odwagi, stała się urąganiem z bezczynnych i nieznających, czyli niewąchających prochu żołnierzy za rządów Augusta IIIgo.

## 39. Czy wiesz gdzie Jeziorna?

Odgródka ta junacka wyzwaniem na pojedynek, lub w zamiarze tylko zastraszenia swego przeciwnika, trwała do końca panowania Stanisława Augusta. Ob. przypisek do nru 11.

## 40. Daleko, jak św. Michał od Nieświeża.

Położenie kościoła Jezuitów pod wezwaniem św. Michała, o ćwierć mili od miasta, dało powód do tego przysłowia, które oznacza małą odległość lub bliskość jakiego miejsca, albo rychło nastąpić mogącą chwilę spełnienia swych życzeń, oczekiwań, nadziei; słowem: jeśli się jest czego niedalekim.

## 41. Dalisz, dalisz!

Aż pod Kalisz.

Kadencya wcale niegrammatyczna, ale zważyć należy, że i w autorach dawniejszych widzimy zupełną nieświadomość pisowni; zamiast bowiem ż kładziono częstokroć sz, np.: łyszka, książka, tesz, cós, asz, jusz, jakiesz, i t. d.

## 42. Data z Mixtata.

Nie wiadomo, nie wiedzieć zkąd.—Mixtat (*Mixstadt*) pierwotnie Komorów, w b. ziemi wieluńskiej, powiecie ostrzeszowskim, teraz w W. ks. poznańskim. Nazwa tego mia-

steczka pochodzi od staropolskiego wyrazu *mixtat*, co znaczy tret, czyli miejsce gdzie stawają *mixtatnicy*, *mistatnicy*, t. j. nosarze, tragarze, ludzie zajmujący się do przenoszenia ciężarów. Być może, że znaczna tamże ilość trudniących się tego rodzaju pracą, stała się powodem do zmiany pierwotnego nazwiska rzeczonój posady.

**43. Deraźnia na garnki, Klewań na dziady, Olyka na łyka.**

Miasteczka blisko siebie na Wołyniu leżące; 1sze słynie garnkami, 2gie znaczną ilością dziadów zgromadzających się na święta i odpusty; 3cie łykami i rodzajem obuwia, łapciami zwanego, które pakownemi wozami dowożą z Polesia na jarmarki.

**44. Djabeł wenecki—djable weneckie.**

Oznaczyć przez to chcemy dziwaka, cudaka, bądźto co do stroju, bądź też i w postępkach jego. Maszkary ukazujące się podczas sławnych zapust w Wenecyi, wywołały w mowie naszój tę nazwę złego ducha. Odzywamy się w gniewie: a ty djable wenecki! Żartem zaś: czysty z niego djabeł wenecki.

**45. Do Koryntu przyść, nie każdemu snadnie. Koch.**

Wysłowienie to wieszca z Czarnolesia, zamieścił Rysiński w swych przypowieściach, chociaż nie jest rodzime, wyrzekł je bowiem Horacy: *Non cuivis contingit adire Corinthum*; co przełożył Mączyński (*Lexicon*, 1564 r.): nie każdemu się może wszystko stać.

**46. Do Leżajska, jak zdawna stare świadcą kwity:  
Na Chmielnik i Winiary jest gościniec bity. Epig.**

Igraszka wyrazów od nazwiska miejsc, co znaczy: stare poświadczają dowody, że kto piwem albo winem mózg sobie za-  
leje, ten i leży; chmiel i wino z nóg obala.

**47. Do Paryża, głupiego niech kto osła pośle:  
Nie wróci koniem, jeśli miał tu uszy osłe. Min.**

**48. Do Smorgoni go posłać.**

Niezgrabiasz, nieumiejący się ruszyć, nieokrzesianiec.—Obacz przypisek do nru 8.

**49. Dobre miejsce:  
Dało Bejsce.**

Marcin Badeni plenipotent dóbr Stan. Augusta i jego rodziny, a następnie szambelan, kupiwszy wieś Bejsce w pow. wiślickim, pałac tamże wybudował, na którym ktoś owe dwa wiersze napisał, czyli też ironicznie tylko wyrzekł, dosyć, że powtarzane są dotąd sposobem przysłowiovym. W całym znaczeniu prawy ten mąż, zostawszy senatorem wojewodą, był oraz i ministrem sprawiedliwości; zmarł 13 listopada 1824 r. w 75 roku życia.



50. **Dobre panom lwowskie ryby,  
Chudakom: z kapustą grzyby. Kal. 1699.**

Przez lwowskie ryby rozumieją się tameczne szczupaki, z okolic dowożone, któremi znaczny handel po całej dawniej Polsce prowadzono. Uniwersał poborowy uchwalony na sejmie 1618 r. kazał pobierać: „od bezcki szczuk lwowskich po groszy dwunastu”.

51. **Doktor od Złotój Bani. (Nieuk, tuzińkowy).**

Wyraz węgierski *bania*. znaczy kopalnię, góry kruszcowe. Miasto *Złota Bania* miała sławną lekarnią, z kąd wynosząc leki Węgrzy, tak zwani olejkarze, wędrowali po Polsce i wielki mieli odbył, zwłaszcza że apteka (żartobliwie kuchnia łacińska) była u nas osobliwością, i dopiero za rządów Stan. Augusta poczęły się więcej te *oficyny sanitatis* upowszechniać, o czém świadczą wydawane przez króla przywileje na założenie aptek.

52. **Dopiero to Kozienice, a ty już pytasz się o Warszawę.**

Odpowiednie temu: Jeszcze daleko ztąd do onąd; wiele jeszcze wody upłynie; nie tak to rychło będzie; bardzoś gorąco kapany.

53. **Drogi Kraków za grosz.**

Wieśniak mówi: drogi Kraków za gros, kić go nie ma zaros. Gdy kto nie ma i grosza przy duszy, kto goły jak turecki święty, to wszystko będzie mu się zdawało zadrogie, choćby było i najtańsze.

54. **Dryja w Szmiglu konia wygrała, a chłopą obieszono. Rys.**

Dryja=trójka, np. na kostkach do grania. Szmigiel miasto w b. Wtwie poznańskim, pow. kościańskim. Nie wiadoma jest okoliczność, która stała się powodem utworzenia przypowieści, a nawet co ona miała za znaczenie i jakie zastosowanie.

55. **Duszno, gorąco: jak w kaliskim piecu.**

56. **Francuz z Mokotowa—z Kołomyi—z Mosiny.**

Odwieczną włość Mokotów (*Mokotowo*) tuż przy Warszawie, zaczęła około 1770 r. przyozdabiać Elżbieta ks. Lubomirska marszałkowa W. K., obsadzając swój dwór Francuzami wedle istniejącego zwyczaju. Co zrazu w prostém było znaczeniu, np: kto to, co za jeden?—odpowiadano: Francuz z Mokotowa; tak następnie przeistoczyło się w przysłowie szydercze z tych, co zamiast rodzinnej mowy, po francuzku się wysłowiali, a zwłaszcza ladajako.—Kołomyja nad Prutem, miasto przedtém główne powiatu w ziemi halickiej, należącój do Wtwa ruskiego.—Mosina, miasteczko o 2½ mili od Po-

znania. Widzimy, że różne części kraju miały swoich Francuzów, którzy od miejsc przez nich osiadłych, służą za ironiczne wyrażenie zastosowane do rodaków, co liznąwszy trochę francuzczyzny, popisują się z tem, jak nie wiem z czém.

57. **Gada jak w Częstochowie.**

Prawi niezrozumiałe, niepojęte, niestworzone rzeczy; plecie jak opętany.—Do miejsc cudami słynących, a mianowicie do Częstochowy, ściągali tak zwani opętani, z których czarta wypędzano, czyli exorcyzmowano ich z mniej więcej pomyslnym skutkiem. Autor opisu koronacji obrazu Bogarodzicy u Bernardynów w Leżajsku 1752 r. odprawionej, mówi: „podczas tego aktu, szatanstwo w opętanych przedziwnie wrzeszczało, i z niektórych ustępowało”.

58. **Gagatek smorgoński.**

Przez to wyrażenie rozumie się gap, gach niepocieszny, źle wychowany młodzieniec, niezgrabiasz.

59. **Gdańsk, koniec państw. Lek.**

60. **Gdańska gorzalka, toruński piernik,  
Krakowska panna, warszawski trzewik.**

Domyślny wyraz: najlepsze, nieporównanej dobroci. Też samą myśl ob. poniżej: Warszawski trzewiczek, i t. d.

61. **Gdyby nie było Rzymu: tedyby Kraków był Rzymem.**

Wielka liczba bogatych i okazałych świątyń w Krakowie, wywołała to zdanie, które dajemy w tłumaczeniu z włoskiego; rodzime bowiem zaginęło, a przynajmniej nie jest mi wiadome. Opisujący poselstwo kardynała Gaetano do Polski 1596 r. przytacza je jako dawne krajowe przysłowie, i acz cudzoziemiec wyznaje, że sprawiedliwie tak mówią. Ob. Pamiętniki o dawniej Polsce II, str. 140.

62. **Gdyby nie drwa i grzybki,  
Zginęłyby dawno Lipki.**

Kilka jest wsi tegoż nazwiska, lecz tu jest mowa o Lipkach leżących między Węgrowem a Bugiem.

63. **Gdyby nie ryby i raki:  
Zginęliby Bieżuniaki.**

Bieżuń nad Wkrą, w płockim. Ryby i raki stanowią główne źródło zarobkowania mieszkańców.

64. **Gdyby nie Wilno, Grodno, Kowno;  
Toby Litwa była g.....**

65. **Gdzie papież: tam Rzym. Skarga.**

Odpowiednie temu: nie pan domem stoi, ale dom panem; nie miejsce człeka, ale człek miejsce zdoła. Wiersz napisany 1766 r. z powodu bytności Stan. Augusta 19 maja na wypra-

wionej przez niego świetnej zabawie na Bielanach, zaczyna się: „Gdzie papież, tam jest i Rzym, powiadają Włosi.”

66. **Gęba z Otręba, a pysk z Mościsk.**

Jeden, jako i drugi; oba lepsi; oba wyszczekani; rodzeni bracia.—Obrąb, wieś o pięć mil od Warszawy, w pow. staniślawowskim; własność Wilhelma Beyera, graniczy ze wsią Mościska zwaną.

67. **Głową jest królestwa Kraków, a zamek czołem.**

*Radaw.*

68. **Głową korony Kraków, zamek jest Krakowa. Pocz.**

Właściwe królestwo polskie, składające się z Wielko i Małopolski, mianowano jednym wyrazem *Korona*. Stojący na górze Wawel zwaną zamek w Krakowie, majestatycznie panuje nad miastem.

69. **Głuchy, by od Szamotuł.**

Głuchemu próżne słowa; głuchemu piosnkę śpiewać.—Szamotuły, miasto w b. Wtwie i pow. poznańskim. Powyższe przysłowie wziąć miało początek w XVI wieku, od czasów usadówienia się tamże wyznania Braci Czeskich.

70. **Głupi, i w Paryżu rozumu nie kupi.**

Czego Bóg nie dał, kowal nie ukuje; kowal nie ukuje, czego natura nie dała; głupi głupim zginie; głupim wyjedzie, głupim wróci się do domu.

71. **Godni wieszczkowie Jasnejgóry i Sokala.**

Apostrofa do wierszokletów. Klasztor Paulinów na Jasnejgórze (*Clarus Mons*) w Częstochowie i Bernardynów w Sokalu, słynące cudownemi obrazami N. Panny i odpustami, miały swoich domowych wieszczów, którzy układali nabożne pienia kantyczkami zwane, licze co do myśli i rymu. Dotąd wytlacza Częstochowa w znacznej ilości tego rodzaju poezyi książki do modlitwy.

72. **Góralu od Żywca!**

**Pożyczże mi krypta.**

Żywiec po niemiecku *Seypusch*, nad Sołą wśród gór Karpackich, w b. Wtwie krakowskiem. Okolice tutejsze głośnie były z rozbojów. Kryptec, gatunek obuwia właściwy góralom.

73. **Gorsza sprawa, niż w Osieku. Rys.**

Osiek, ekonomia czyli dobra stołowe królewskie w b. Wtwie i pow. sandomirskim. Miasteczko to sławne jest urąganiem się z niesprawiedliwości miejscowych sądów magdeburgskich. Podanie niesie: iż słusarz za popełnioną zbrodnię na śmierć skazanym został; lecz zważywszy przezorny magistrat, że sam jeden był w mieście, a dwóch kowali, jednego z nich przeto stracono.

74. **Harcuje cnotą swą, jako siwym na Kleparzu. *Rej Zw.***  
 Popisuje się, jak na siwym koniu podczas targu na Kleparzu. Bliskoznaczne wyrażenie o samochwalcy brzmi w potocznej mowie: wyjeżdża z tém, jak z łysą—jak z ślepą kobyłą na targ.
75. **I w Częstochowie tego nie widać.**  
 Osobliwość nad osobliwościami; cudo niepoślednie; wielki rarytas.
76. **I w Paryżu.**  
 Nie zrobią z owsa ryżu.
77. **I w Paryżu, głupi**  
**Rozumu nie kupi.**
78. **I w Rzymie ludzie. *Kn.***  
 Nikt bez ale, nikt bez błędu, wady; i jasne słońce ma chmury; i na słońcu są plamy; gdzież jest róża bez ciernia?
79. **I w Rzymie świat. *Kn.***  
 I tam nie lepij; i tam nie raj; wszędy człowiek ma swe kłopoty, mozoły, frasunki, dolegliwości, swego mola co go gryzie; na tej ziemi nie ma kącika, gdzieby nie było krzyżyka.
80. **Ilżeckie drzwi podobno. *Kn.***  
 Słabe, niemocne, jakby z gliny zdziałane.—Ilża w b. Wtwie sandomirskim, pow. radomskim, odwiecznie zatrudniała mieszczan robieniem garnków i różnych naczyń z gliny. Wyroby te z dobrego materiału i kształtnie udziałane, wysyłano w XVI i XVII wieku do Gdańska, a nawet i do Szwecyi. Dotąd trudnią się mieszkańcy głównie tego rodzaju przemysłem, który wszakże nie jest już na takim doskonałości stopniu. Przed kilkunastą laty istniała tu fabryka fajansów.
81. **Istny Hawryło z Połocka.**  
 Hawryło, imię chrzestne na Rusi, znaczy Gabryel. Miano to służy na oznaczenie nieokrzesanego, niedołęznego, niezdare, głupca, gapia; np. jaki téż z ciebie Hawryło!—wielki z niego Hawryło, i t. p. Słowem, Hawryło odpowiada zupełnie naszemu Bartkowi, ale dlaczego ten dodatek z Połocka?
82. **Ja mówię: w Wielkiej Polsce, tu żyć jest szczęśliwie,**  
**Przy krajankach tutejszych, przy grodziskim piwie. *Kal. 28 r.***  
 Grodzisk, miasto w b. Wtwie poznańskim słynęło oddawna i dotąd jest głośnie warzeniem wyborowego piwa. *Krajanki*, tak Kluk objaśnia: kwaśne mleko zgrzawszy wlewa się w płótno i prasą przyciska, zkąd wybrawszy, na części nakształt cegły krają i suszą, a takie sery zowią krajankami.

**83. Jak po zburzeniu Troi. *Rkp.***

Naśladowanie łacińskiego: *nec locus ubi Troja fuit*, czyli: zniszczenie zupełne; nie pozostało śladu; pustki, jakby po Tatarach; i trawa tam nie rośnie.

**84. Jarmark w Radzyminie:**

**Na dziewczki i świnię.**

Radzymin o trzy mile od Warszawy, w pow. stanisławowskim, na którego jarmarkach gospodarskich najwięcej się rzeczonych znajduje przedmiotów. O wielu innych jarmarkach to samo powiedzieć można.

**85. Jarmarkowa Łęczna:**

**Nie każdemu wdzięczna.**

Łęczna nad Wieprzem, w Lubelskiem, słynęła dwuniedzielnym jarmarkiem na ś. Idzi I września, na który Wołyń, Podole i Ukraina dostawiały tysiącami wołów i koni, kupcy nawet ze Wschodu nieraz przybywali. Dotąd jarmarki tutejsze należą do znaczniejszych w kraju, ale nie są tem, czém dawniej bywały; a że na nich niejeden źle sprzeda, inny oszuka się na kupnie, ów zgra się w karty lub dozna jakiej inniej przygody, z tego więc powodu powstała przypowieść: że Łęczna, nie każdemu wdzięczna, t. j. przyjemna, miła, nie każdemu słodka w niej pobyt.

**86. Jechał z Krakowa do Warszawy na Lublin.**

Z drogi wystąpił; po drodze mu było; rzemiennym jechał dyszlem; a geografia gdzie została?

**87. Jeden Wiedeń, Praga maga, Kraków miasto. *Rys.***

Mag (*magus*)=mędrzec. Kapłani i mędrcy dawniej Persyi zwani magowie, zajmowali się gwiazdarstwem. Bałamutna ta nauka rozkrzewiwszy się po całej Europie, zakwitła i w Pradze czeskiej. Jagiełło przyzwał do akademii krakowskiej nauczycieli z Pragi, a będąc zabobonnym, sprowadzał oraz ztamtąd gwiazdowieszczbierzy i mistrzów w magicznych sztukach biegłych. Być więc może, że dawano Pradze epitet *maga* (mądra, mistrzyni), która to nazwa z upadkiem astrologii i z upływem wieków zatarłszy się, stała się dla nas niezrozumiałą w przywiedzioném przez Rysińskiego wyrażeniu. Co się zaś dotyczy Krakowa, chciała może przypowieść wyrazić: iż dla swych gmachów, okazałych świątyń, warownych bram i potężnych dokoła murów, w całym znaczeniu było to miasto.

**88. Jeden z Krakowa,**

**Drugi ze Lwowa.**

Oznacza niezgodność, niejednostajność; zbierana drużyna; każdy z inniej wsi.

89. Jedno być w kraju Turków, co wróblem w Powązkach.

Dla zrozumienia tego wyrzeczenia z czasów Stanisławowskich, z jakiego powodu przykrym był żywot wróblów w Powązkach, objaśnić wypada: że wioskę tę tuż przy Warszawie leżącą, upiększać zaczęła około 1768 r. Izabella z Flemingów Czartoryska gener. ziem podolskich. Jakoż wkrótce zmieniły się płonne piaski we wzgórze i powabne ogrody, a trzęsawiska i błota w sadzawki lub śliczne trawniki. Otoczona właścicielka rodziną i licznym dworem, zwykle tamże lato przepędzała, coraz nowo ustroniu temu przydając powaby. Kwitnący atoli stan Powązek, nie trwał dłużej nad lat dwadzieścia.

90. Jęła się ciebie babilońska konfuzya.

Przyswojony obcy wyraz konfuzya, znaczy zawstydzenie, srom, zamieszanie, odmet jak przy stawianiu wieży Babel.

91. Język, i do Rzymu doprowadzi.

Pytając się, wszędy zajdziesz, trafisz; na końcu języka droga.

92. Język, i Kijowa — i Krakowa dopyta.

93. Już mu i sędmirski doktor nie pomoże. *Rys.*

Któż był tym sławnym lekarzem? czy nie ów, o którym Sebastian Petrycy (*Etyka Arystotelesowa* 1618. r.) na str. 297 pisze: „za naszych czasów są do pocztu szlacheckiego przyjęci kilka zacnych doktorów, którzy z podłego powstawszy stanu, nauką się osławili, jako Stanisław *Bortolan* doktor sędmirski, Jakub doktor przemyski, Stan. Zawadzki.” Co się tyczy Sandomierza, od najdawniejszych czasów pisano nader zasadnie *Sędmirz*, gdyż w nazwie tej wchodzi wyraz sędzi, sędzia (z czego sędztwo, *sędzić* sprawy), również jak w nazwiskach posad: Sędzice, Sędzirowice, Sędzin, Sędziszów, które złączeniściono na Sandzice, Sandziszovia, a Sędmirz na Sandomiria. Od końca XVI wieku wyrażano naprzemian Sędmirz i Sędmirz, aż nareszcie około 1790 r. wyrodził się Sandomierz i pozorny wykład jego nazwy: że *San* do Wisły *domierza*, którego wszakże ujście jest o półtoręj mili od miasta odległe.

94. Już też to przeszło osiecką sprawę. *Rkp.*

W Osieku nawet takby nie osądzono. Ob. przypisek do Ntu 73.

95. Już to przez Kalisz,                      Zawsze w złym czasie,  
Trzeci raz walisz,                      Bywaj zdrów Sasie!

Wierszyk ten ściąga się do epoki najścia Szwedów, którzy uganiali się za Sasami i wyparowali ich nakoniec z kraju; lecz księżka Karola XII pod Póltawą 1709 r. znowu sprowadziła wojska saskie do Polski, gdzie przebywały aż do 1717 r.

## 96. Kamieniec: do Polski klucz.

Kamieniec Podolski nad oblewającą go dokoła prawie Smotryczą, zbudowany na stromej, wysokiej skale, uważany był za niezdobytą i za przedmurze przeciw potędze tureckiej. Rej w *Zwierzyńcu* tak o nim pisze na str. 110:

Kto widział, jaki tam dziw Bóg sprawił z natury?

Jakie przykre przekopy, jakie twarde mury?

Że tam wszędy około ledwie ptak przeleci.

Tenże Rej znowu w *Zwierciedle* na str. 248 wyraża się o Kamieńcu: „dziwna baszta krześcijaństwa wszego.” Uchwala zaś sejm 1764 r. zowie go: *forteca antemurale christianitatis*.

97. Kamieniec, Naokoło woda,  
Jak wieniec; A we środku bieda.

Toż samo prawie powtarza wieśniak wołyński w swoim narzeczku ruskiem o Łucku, oblany rzeką Styrem: *W tom Łucku, Wse ne połudźku; Na okoł woda, A w seredyni bida.*

## 98. Karczewianka:

Nie ma wianka.

Wyrażenie to musiała spowodować moralności dotycząca okoliczność, a nie prosta końcówka rymu, co może w ten sposób da się objaśnić. Karczew nad Wisłą, w b. Wtwie mazowieckiem, ziemi czerskiej, o  $2\frac{1}{2}$  mili od Warszawy, należał do Fran. Bielińskiego marsz. W. K., który przemierzając letnią porą w bliskości leżącym Otwocku, podejmował często Augusta III zjeżdżającego z licznym orszakiem dworzan na łowy do otaczających borów. Wtedyto mogło powstać owo zdanie o Karczewiankach; wiadomo bowiem, ile dworzanie wpływają na skażenie obyczajów ludu.

## 99. Katarzyna z Nadarzyną.

Nadarzyn, miasteczko w b. Wtwie mazowieckiem, w ziemi i pow. warszawskim. Druga część tej przypowieści mówi: Jakóbek z Łubek, zapowiedź pierwsza. Czy była istotnie kiedy taka zapowiedź ubogiej pary, nie wiadomo; dosyć, że całe to wyrzeczenie dotąd jest powtarzane, a zastosowanie onego rozmaite, mianowicie zaś służy niejako za ironią z tytułomanii.

## 100. Kiedy sprawa kiepska:

Odesłać ją do Witebska.

Czy nie będzie temu odpowiednie, a przynajmniej blizkoznacze: jaka sprawa, taka odprawa.

101. Komu akademia krakowska nie jest matką: temu  
pewnie jest babką.

Tak mawiali pradziadowie nasi, chcąc przez to dać do zrozumienia: że jeśli kto nie pobierał nauk w akademii krakow-

skiej, to pewnie jego nauczyciel był uczniem tej głównej szkoły.

102. **Kradniej, rozbijaj:**

**Ale Kraków mijaj.**

Postępuj ostrożnie, przezornie, gdyż o głowę twoją idzie. Przestroga ta dowodzi, że magistrat Krakowa surowo karząc przestępstwa, postrachem był dla złoczyńców; jakoż prawo miecza w częstym tamże było użyciu, a małodobry t. j. kat nie próżnował.

103. **Kraków chcieć kupić za złoty.**

Autor pisma 1773 r. pod tytułem: *Satyr przeciwko zdaniom i zgorszeniom wieku naszego*, G(racyan) P(iotrowski) S. P., przytacza to wyrażenie, jako używany sposób mówienia, co znaczy: próżna myśl, niepodobieństwo.

104. **Kraków pan, Lwów ociec, Warszawa matka, Lublin jest siostra tobie. *Brat.***

Lakoniczne te a zagadkowe dziś dla nas wystowienia o rzeczonych miastach, objaśnia w kalendarzu na rok 1730 Duńczewski; ob. poniżej wyrażenia zaczynające się od: Panem, Matka, Lublin; o Lwowie zaś zwanym tu ojcem, zamilcza.

105. **Krakowski trzewik, poznańska panna, wiślicka ziemia, przemyskie piwo. *Rys.***

Zemta=bułka pszenna, strucla, z niem. *die Semmel*. Znane z swęj dobroci zemły, wypiekano w Wiślicy nad Nidą w b. Wtwie sandomierskiem; Petrycy zaś (*Oekonomika* 1618 r.) wychwała na str. 29 piwo w Przemyśle robione, które miastu znaczny dochód przynosi. Musiały również słynąć w swym czasie i mieć wielką zaletę krakowskie trzewiki i poznańskie panny, ale wszystko się na tym świecie zmienia.

106. **Krakowskim targiem kupuje. (O połowę tanięj jak inni).**

107. **Krakowskim targiem na połowicy przestanie. *Rys.***

Zdaje się, że powinno być tylko: krakowskim targiem; dalszy zaś ciąg służy za objaśnienie. Dotąd bowiem, targując jaki towar, mówi się: krakowskim targiem; co znaczy: dam ci połowę tego, ile żądasz.

108. **Król sobie królem w Krakowie, a Radziwiłł w Nieświeżu.**

Któryś z Radziwiłłów ozwał się z temi dumą technącemi wyrazami, gdy o królu mówiono. Zaiste, kto miliony liczył, świetny utrzymywał poczet dworzan i liczne miał hufce zbrojne na swym żołdzie: ten w Nieświeżu stolicy ordynacji (utworzonej 1586 r.) mógł w przeszłych wiekach przywłaszczać sobie niejako miano panującego, a przynajmniej w całym znaczeniu tego wyrazu ozwać się: każdy w swoim domu pan.



109. Kto chce mieć wierną kochankę:  
Niech wybierze Kaliszanę.
110. Kto do Paryża pojedzie osłem: nie powróci koniem.  
Głupiego próżno uczyć; głupiego trudno wynicować; głupie-  
mu, i łopatą rozumu w głowę nie nakładzie.
111. Kto dziewice chce widzieć: niech do Kolna idzie.

Gaw.\*

Myśl wzięta z wiersza Jana Kochanowskiego, który chcącego pojąć pannę za żonę, odsyła po wybór do Kolna, gdyż w Polsce napróżnoby takiej szukał. Miasto Kolonia (*Köln, Cologne*) w dawniej polszczyźnie Kolno, leży nad Renem. Była to osada rzymska, założona przez Agrypinę żonę Germanika, od której otrzymała nazwę *Colonia Agrippina*. W tamtecznym kościele ś. Urszuli spoczywają zwłoki 11,000 dziewczyc, które towarzyszyły tej świętej z Anglii do Francji.

112. Kto ma Bejsce, Podolany:

Może siadać między pany.

Wsie blisko siebie leżące, w b. Wtwie krakowskiem, pow. proszowskim. Siadać między pany, używa się w przenośnym znaczeniu, t. j. może zostać kasztelanem, zasiąść miejsce w gronie senatorów.

113. Kto ma Chrobrz, Książ, Pińczów, Szaniec:

Może iść z królową w taniec.

Miasteczko Książ Wielki, główne powiatu w b. Wtwie krakowskiem, wraz z wsiami: Szańcem i Chrobrzem nad Nidą w b. Wtwie sandomierskiem, należały do ordynacji pińczowskiej, utworzonej 1601 r. przez Piotra margrabię na Mirowie Myszkowskiego wojew. rawskiego. Posiadacz przeto tej ordynacji był całą gębą, w całym znaczeniu pan, i królowa mu ręki do tańca nie odmówiła.

114. Kto ma język: ten do Rzymu zajdzie. *Jabł.*

115. Kto ma Tęczyn, Mogielany:

Ten się liczy między pany.

Tęczyn, gniazdo znakomitej i dobrze ojczyźnie zasłużonej rodziny, której ostatni potomek Jan Tęczyński Wda krak. zmarł 1637 r. Szczątki zamku na górze leżą o trzy mile od Krakowa na zachód, wieś zaś Mogielany o dwie mile w stronie południowej.

116. Kto przy Obrze:

Ma się dobrze.

Obra, rzeka w b. Wtwie poznańskim, uchodząca do Warty. Przytykające do koryta Obry obszerne łąki i bujne pastwiska, wynagradzając trudy rolnika około mniej dobrej roli, przynoszą mu znaczne korzyści.

117. Kto świętych nie widział: niech do Rzymu zajdzie.  
*Gaw.\**

118. Kto w domu łotr z natury: takiż w Rzymie będzie.  
*Gaw. Dw.*

119. Kto w Polsce, albo w Rusi głupi:  
Ten w Rzymie sobie rozumu nie kupi.

120. Kto z przyrodzenia głupi:  
I w Paryżu sobie rozumu nie kupi. *Rys.*

121. Kwita z sokalskiej bitwy.

Sokal nad Bugiem w b. Wtwie bełzkiem, pamiętny przegraną bitwą z Tatarami 2 sierpnia 1519 r. Wojcicki (*Przysłowia* 1830 r.) przytacza z rękopisu 1715 r. Jana Jabłonowskiego: „Wiśniowiecki Wda ruski doścignawszy *wkrótce* Tatarów, przeważnie ich zniósł, i rzekł po potrzebie: teraz chwała Bogu, kwita z sokalskiej bitwy. Tego przysłowia zażywają Polacy, kiedy kto komu wet za wet odda”. Musiał to kto inny powetować przegraną pod Sokalem i wyrzec owe wyrazy, gdyż około tego czasu, a nawet przez cały XVI wiek, żaden Wiśniowiecki nie był Wdą ruskim.

122. Lepsza wody szklanka,  
Niżli Warszawianka.

123. Lublin jest siostrą, kto do niej przyjedzie:  
Prosi, pochlebia, świadczy przy obiedzie. *Duń.*

Dodaje tenże w swoim kalendarzu na rok 1730: „taki za pośrednictwem owęj siostrzyczki dostanie jurystę, agenta i instygatora, którzy mu do marszałka trybunału drogę utorują”.

124. Lwów: nie każdemu zdrów.

Wyrzeczenie to nie ściąga się do niezdrowego powietrza, ale raczej w przenośnym znaczeniu odnosi się do niezdrowia kieszeni, mieszka, kalety, t. j. że pieniądze we Lwowie, jako w mieście w rozliczne towary i trunki obfitem, z łatwością się wyszeptają, że niejednemu tam mieszek zapadnie na suchoty. Może też chciano w tym przysłowiu określić i drogość chwilowego pobytu w tej stolicy Czerwonąj Rusi.

125. Marymontczyk z razowej mąki.

Jaki mi delikatniś!; zapomniał czém był niedawno. Zastosowywa się też ów Marymontczyk i do spanoszonych, czyli jak dziś mówią parweniuszów. Marymont (*Marie-mont*) za rogatkami Warszawy leżący, otrzymał nazwę od pałacyku przez królowę Maryą Kazimirę Sobieską zbudowanego. Przyległe młyny wietrzne, dostarczają słynną ze swęj dobroci mąkę, marymoncką zwaną.

126. Matka mądrości, przesławna akademia krakowska.  
*Lir.* (Ob. Nr. 7).

127. **Matka Warszawa, gdyż najwięcej tam matek. *Duń.***

Przez to wyrażenie chciano cierpką powiedziéć prawdę i dobitnie wykazać skalane obyczaje kobiet stolicy. Duńczewski w kalendarzu na rok 1730 przydaje w dalszym ciągu o Warszawiankach:

Wiele się matką dobrodziejek stanie,  
Tylko zapłacić trzeba Mości panie.

128. **Maxymilian stracił więcej pod Byczyną. *Jov.***

Niewielka to szkoda; inisi większe ponoszą straty, i t. p. Maxymilian arcyks. rakuski, brat cesarza Rudolfa II, ubiegał się o koronę polską z Zygmuntem III. Odparty z pod Krakowa i ścigany przez Zamojskiego hetmana W. K., przegrał bitwę pod Byczyną na Szląsku 24 stycznia 1588 r., poddał się i na zamku w Krasnymstawie osadzonym został. Spółczesny Stan. Grochowski opiewając czyny Zamojskiego (*Pieśni Kalliopy Słowieńskiej*) wyraża o nim: Rozsławił światu Byczynę, Na smutną Niemcom nowinę.

129. **Mężny, jako rycerz z babińskiej wyprawy.**

Junak, tchórz; ucieka, choć go nikt nie goni.— Babin, wieś o dwie mile od Lublina, blisko Bełżyc. Dziedzic Stan. Pszonka sędzia lubelski, zamierzywszy bronią żartu skarcić zdrożności, powściągnąć wady i ułomności spółobywateli, ustanowił z przyjaciółmi około 1560 r. towarzystwo żartobliwe pod nazwą Rzplitej Babińskiej. Tu Polska cała była dla dowcipu polem popisu, a zbawienna poprawa obyczajów głównym celem. Na wzór krajowych, rozmaite rozdawano tu dygnitarstwa i stopnie wojskowe; Pszonka sprawował urząd burgrabiego czyli starosty, Kaszowski zaś kanclerza. „Byli to dwaj starcowie w żarty obfici, że ich ludzie za rajskie delicye i marcypan mieli” (1). Miejsce zgromadzeń zwano giełdą; najznakomitsi w dostojęństwach męzowie i uczeni, mieli w téj Rzplitej udział (2). Pierwotne protokoły obrad zaginęły, te zaś, które ze Szwecyi 1811 r. odzyskano, obejmując przeciąg lat od 1601 do 1677 r. dowodzą: że zapomniano o zasadach założycieli, że światło i dowcip odbiegły *Babiniunów*, a płaskie tylko koncepta i niezgrabne żarty zajęły ich miejsce. Kochowski (*Epigrammata* 1674 r.) taki skreślił obraz owéj Rzplitej:

Tac to knieja, te pola i ta jest równina,  
Stawnego w dziejach polskich niekiedy Babina;

(1) *Morocozmea Babińskie* Jana Achacego Kmity, przy wierszu tegoż autora: *Monogamia* Imp. Mik. Stradomskiego i Im. Panny Katharzyny Pszomkowny, JP. Jakuba Pszomki z Babina córki. Kraków 1617 r.

(2) Wymienia ich Kmity, jakoto: Mik. Rej, And. Trzeciecki, Jan Kochanowski, Bartosz Paprocki i Sęp wierszem smaczny byli członkami; o starym zaś Sewerynie Bączalskim mówi: że jest w Babinie polskim nowiniarzem.

Tu eni oni Pszonkowie, co i dotąd żyją,  
 Fundowali w dobry rząd trwałą monarchiją.  
 Indya niechaj złoto swym mieszkańcom daje,  
 Tu się ostrzą doweipy, także obyczaje.  
 Hetman tu, kto w dyskursie z wojnami się szerzy;  
 Kto zbyt o publikach: aż on podkanclerzy;  
 Kto o psach: aż on łowczy; kto przy pełnej mównicą;  
 Aż go tu wnet babińskim nazwą krasomównicą;  
 I z jaką kto do rzeczy wydaje się chęcią,  
 Na to mu wnet oddadzą przywilej z pieczęcią.  
 Póđź za stół, a tam księgi wzięwszy w rękę śmieie,  
 Monarchiej obaczysz tój obywatel;  
 Więc przymiej z nimi prawo, a zaniechaj zrędy.  
 Polska szlachta może mieć w Babinie urzędy (1).

**130. Mościa z Zamościa.**

**131. Mniemacie wy podobno, że to wam bajano:**  
 Kiedy w objazd Kijowa siedm mil powiadano;  
 Albo: iż na kościelech złote były dachy,  
 A białym alabastrem budowane gmachy. *Koch.*

**132. Musiał to w Babinie słyść. *Rys.***

Rzeczy nadzwyczajne i niezgodne z prawdą, bajki, brednie, duby, i t. p. Wzniankowy Kmita w *Morocozmeach* wyraża: „Kto co niepewnego rzekł, mówią i dziś w przypowieści, iż słyść to w Babinie”. Tenże autor przytacza, iż pewien otrzymał tytuł historyka babińskiego za powiedzenie: „jest dzwon w Krakowie, co go zdun urobił z ilżeckiej gliny; gdy weń uderzą, słyść go w Rzymie za ośm niedziel będzie”.

**133. Musiał w smorgońskiej terminować akademii.**

Nieokrzesany, gap, drałgal.

**134. Myśleć o wieży babilońskiej.**

O rzeczach niepotrzebnych i do prawdy niepodobnych; myśleć o niestworzonych rzeczach; o niebieskich migdałach.

**135. Na tępym ostrzu, choć do Krakowa zajechać.**

Mówi się o tępym nożu, zamiast: choćbyś na nim jechał, jak na koniu, nie skaleczysz się.

**136. Nad hamburskie kanary, słodsze twe słowo. *Zim.***

Pełna słodyczy mowa, słodsza nad cukier; miodowe słówka. Kanar, Kanarya, jedna z wysp Kanaryjskich przy zachodnich brzegach Afryki, obfitująca w trzcinę cukrową. A że Ham-

(1) Oprócz Achacego Kmita, pisał o Rzplitej Babińskiej spóczesny jój założenia Sarnicki w swych *Annales* pod tytułem: *Descriptio Reipublicae Babinensis exhilarandi lectoris gratia*. Obszerniejsze zaś podał szczegóły ks. Szaniawski 1818 r., ob. Roczniki Tow. P. N. tom XII.

burg głównie zasilał nas cukrem, powstała przeto nazwa hamburskie kanary.

137. **Najciężej, jak choć raz czém sobie zdrowie zgubisz,**  
**Chociażbyś i Kraków zjadł, więcej go nie kupisz.**  
*Kal. 27 r.*

138. **Najdobitniejsze prawo w Boćkach.** (Ob. przypisek do Nru 14.)

139. **Napisano we Lwowie pod figurą lwa:  
 Nie czekają dwóch, na jednego kpa.**

Rysiński zaś mówi grzeczniej: Napisano u białego lwa, nie czekają jednego dwa.

140. **Nie doczekasz się cudu galilejskiej Kany:  
 Kędy winem na godach płynęły fontany.** *Pocz.*

141. **Nie jednego Rzym zbudowano roku.**

Nie od razu, pomału, począć najciężej, cierpliwości i wytrwania potrzeba. Różne mamy téj treści przysłowia odnoszące się do Rzymu i Krakowa, czém bowiem pierwszy był dla świata chrześcijańskiego, tém drugi dla Polski; oba te święte grody wywoływały jednoż współzucie i braterstwa duchowego łączyły się węzłem.

142. **Nie karmią łyżką nauk w Krakowie;  
 Kto tam ma dziatki, snadnie się dowie.** *Fac.*

Autor dziełka pod tytułem: *Żarty abo krotosłtne facecye, Toruń 1695 r.* mówi: nie kładą łyżką nauk w Krakowie, t. j.: że bez pracy same nauki nie przyjdą; że pracować należy; pieczone gołąbki, nie wleczą same do gąbki.

143. **Nie masz dać, nie trzymaj mię na twych obietnicach:  
 Bo wolę być w Dzierżkowie, a niż w Myślenicach.**  
*Epig.*

Alluzya czyli igraszka wyrazów, z nazwiska posad utworzona, co ma znaczyć: wolę co dzierżić, posiadać, niż dopiero myśleć o tém; każdy bowiem przyzna, że: lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku.

144. **Nie na raz Krakowa zbudowano—nie od razu Kraków zbudowano—nie razem Kraków stanął.**

Cierpliwości!; trzeba na to czasu; nie bądź gorąco kapany; dobre dzieło wymaga czasu i wytrwałości, gdyż: co nagle, to po djable.

145. **Nie pomogą *vota*, ani droga do Częstochowy.** *Opal.*  
 Wielkiś grzesznik; nie zmyjesz tego z siebie.

146. Nie świeci się przez ciebie, jak przez miechowską kukielkę.

Miechów w b. Wtwie krakowskim, pow. księżkim. Podług tameczne bułki zwane kukielkami, także przezroczkami dla zbytnej swój dziurkowatości. Z tego powodu ironicznie o nich wyraża się przysłowie, stosując do człowieka, zamiast powiedzenia: nie zasłaniaj mi światła, widoku, boś nie przezroczysty.

147. Nie w jednym dniu Rzym wybudowano. Ob. 152.

148. Nie wiesz ty gdzie Kozanów w którym kozy kuja?  
*Rkp.*

149. Nie z Modlinam.

Nie głupim, nie dam się oszukać, nie wywiedziesz mię w pole. Modlin, włość przy ujściu Narwi do Wisły, umocnioną została 1655 r. przez Szwedów w chwili najścia ich na Polskę. Zwrócono na tę strategiczną posadę większą uwagę 1807 r. i odtąd w twierdzę zamieniać się począła. Przedsięwzięte prace od lat 20 doprowadziły miejsce to do stanu należytej obrony, a ogromnego rozmiaru warownia otrzymała nazwę *Nowy Georgiewsk*.

150. Nie za jeden dzień Kraków zbudowano. *Rys.*

151. Nie za raz Krakowa zbudowano. *Rn.*

152. Nie za raz Rzymu zbudowano.

Nierazem wszystko zrobić, umieć; począć najciężej; daleko do tego; nie jednego to dnia sprawa; w jednym dniu tego nie zrobisz.

153. Nie zasłaniaj światła, boś nie miechowska kukielka. (Ob. przyp. do Nru 146.)

154. Nie żmudzką beczką furą mierzą: krakowskim korcem, i to pod strych. *Rys.*

W zapale i gniewie miarę zachować trzeba. Na Żmudzi i w Litwie, beczką zboże wymierzają; wileńska zawiera 144 albo 160 garnców.

155. Niech ci fortunne niebo, tyle pociech daje:

Ile choiny mieć mogą niepołomskie gaje. *Lir.*

Niepołomice nad Wisłą, w b. Wtwie krakowskim, pow. szczyrzyckim. Wieś ta należała do stołowych dóbr królewskich i składała starostwo niegrodowe. Obszerne puszcze tutejsze, mające podostatkiem różnego zwierza, sprowadzały na łowy naszych królów, dopóki Kraków był stolicą kraju, t. j. po koniec XVI wieku. Wyjątkowym sposobem, zabawiał się tamże po kilka dni łowami jeleni Władysław IV w lipcu 1644 i 1646 r.

156. **Niedaleko Sokal Buga:**  
**Nie będziesz ty, będzie druga.**

157. **Niegdyś był cały Tusk,**  
**Teraz tylko Pultusk.**

Miejscowe podanie niesie: iż pierwotna nazwa miasta była *Tusk*, i że znaczną zajmowała przestrzeń, lecz jakieś przygody i klęski tak dalece do upadku miasto przywiodły, że zaledwo połowa Tuska została, którą odtąd *Pół-tusk* przezwano. Wbrew tej legendzie, najdawniejsze piśmienne zabytki mianują to miasto Pultowsk (*Pultovia*), i tak do początku jeszcze naszego wieku drukowano.

158. **Nie każdemu w drogę do Koryntu. Rej. Zw.**

Wyrażenie to, tak autor na str. 112 objaśnia: „Bo tam trudne przejazdy, więc się o nim na miejscu dowiedzieć, to jest: nie ruszając się nawet z domu, czytać opis Koryntu, a wiarą mocno ostatka dołożyć, tedyć wszystko, zajedno stanie, jakobyś tam był.”

159. **Nieporównane w Polsce ma Toruń zaloty:**  
**Iż w nim porządek miły, iż w nim pokój złoty.**  
*Burl.*

160. **Norymberskiej roboty pacholek. Rys.**

Wymuskany, lala z niego, w całym znaczeniu dandy.—Norymberga, *Nürnberg*, w królestwie bawarskim, słynie odwiecznie wyrobami lalek różnego kształtu i w różne szaty przybranych, które w znacznej ilości do nas dostarczano.

161. **O dla Boga, co się dzieje!**  
**Za Pultuskim Bartdzieje.**

To prawda, że za Pultuskim w odległości mili, leży wieś Bartdzieje, ale wątpię, żeby ten wykrzyknik podziwienia, czyli też przerażenia, z dołączeniem drugiej części, miał jakie znaczenie; zdaje się, iż li tylko dla rymu wtrącone są Bartdzieje.

162. **O Ryczywole,**  
**Zamilczć wołę. Kras.**

Ryczywół nad Radomką w b. Wtwie sandomierskim, pow. radomskim, liche, ubogie miasteczko wśród wielkich piasków. To, co o nim żartobliwie wyrzekł biskup warmiński w opisanu podróży z Warszawy do Biłgoraja 1782 r., zamieniło się w przysłowie: „A jeżeliby się kto (dodaje autor) koniecznie przyczyny milczenia mojego pytał, ta jest a nie insza: iż najlepiej milczć, gdzie nie masz co powiedzieć.” Jest jeszcze i inne równie lakoniczne, lecz nieprzyzwoite o Ryczywole wyrzeczenie, które oznacza niedołęgę, niezdarę, człowieka do niczego, czyli: ani z nim w lewo, ani w prawo.

163. **Odstrychnął się, jak św. Michał od Nieświeża.**  
Odstąpił od rzeczy; oddalił się od przedmiotu w mowie będącego. Ob. przysłowie 40.
164. **Odsunął się, jak św. Krzyż od Pułtuska.**  
Pułtusk nad Narwią w b. Wtwie mazowieckim, ziemi zakroczymskiej. Za obrębem miasta spory kawał drogi, wznosi się na wzgórzu kościół św. Krzyża, fundowany 1531 r.
165. **Osoliłeś, by Pragę. *Rys.***  
Jednym wyrazem: przesoliłeś, np. potrawę, kupno, towar, mówi się bowiem: słońś kupić, zapłacić. Co się zaś Pragi naszej dotyczy, znajdował się tam wielki magazyn soli, o którym tak mówi Adam Jarzemski opisując 1643 r. Warszawę: „uderza najbardziej na Pradze ogromny skład solny, obok mieszkanie dla żupnika.” Nie wiedząc Linde tego szczegółu, nie zrozumiał tém samém i znaczenia powyższego przysłowia, gdyż zamieścił obok niego znak zapytania.
166. **Oszmiana z Lidą:**  
**Razem kraść idą.**  
**Wilno z Troki:** albo: **Wilno z Trokami:**  
**Za niemi w kroki.** **Temież szlakami.**
167. **Oto krakowskim targiem: damy wam połowę.**
168. **Pan Turwi i Gołębina,**  
**Może pijać stare wina.**  
Turwia i Gołębin, duże włości leżące w okolicy miasta Kościan w b. Wtwie poznańskim.
169. **Panem jest Kraków, ma dostatkiem wszego. *Duń.***
170. **Panna z Modlina. (Sprosnych obyczajów).**
171. **Pardubieckie rucznice, klatowskie sery. *Rys.***  
Zachodzi tu domyślny wyraz: najlepsze. Pardubice na pograniczu Szlązka i Morawii, Klatów zaś (*Klattau*) przy granicy Bawaryi, miasta w Czechach. Rucznica, rusznica, ruśnica = strzelba, muszkiet.
172. **Piotrkowski świadek za łyżkę barszczu.**  
Piotrków miasto powiatowe w b. Wtwie sieradzkiem. Stefan Batory ustanowiwszy 1578 r. najwyższe ostatecznej instancyi sądy pod imieniem trybunałów, przeznaczył tu miejsce dla wielkopolskiego. Odtąd począł być Piotrków *Trybunałskim* zwany, dla różnicy od innego w Kujawach leżącego. Mnóstwo ubogiej szlachty wieszając się przy trybunale, stało za świadków w sprawach, nie wiedząc nawet o co rzecz idzie. Szczupły datek pieniężny, albo pożywienie się przy pańskiej kuchni, całym było ich wynagrodzeniem; z tego więc powodu mawiano: że w Piotrkowie dostanie świadka za łyżkę barszczu.



**173. Piskorek łęczycycki.**

Łęczycza nad Bzurą, stolica b. województwa. Miejsce to pamiętne w dziejach świeckiego i duchownego prawodawstwa, miało i zkadąd głośne imię. Otaczające rozległe bagna, utworzone przez zalewy rzeki, tak znaczną posiadały obfitość drobnych węgorzy, iż je rzeszotem lub cebrem z łatwością poławiano. Właściwość ta miejscowa, posłużyła do żartobliwego wyrażenia, połączonego z urąganiem: mieszczan bowiem i okoliczną szlachtę zwano piskorkami; lecz biada temu, kto by się z tém odezwał w obec Łęczyczanina, lub smuknął tylko ustami, naśladowując głos piskorka! R. 1823 zajął się rząd osuszeniem tych przestrzeni, które w lat kilka zamieniły się w bujne łąki i pastwiska, piskorki zaś swęj ojczyzny na zawsze pozbawione zostały.

**174. Pisuj na Berdyczów!**

Berdyczów w b. Wtwie kijowskiém, pow. żytomirskim. Przytoczone przysłowie rozmaite ma znaczenie i zastosowania do okoliczności, jakoto: nie chcę z tobą w żadne wchodzić stosunki, lub mieć do czynienia; nie dbam o ciebie; nie oszukasz mnie; przepadło nazawsze; nic z tego nie będzie; już się z tém nie zobaczysz. Powód do tego przysłowia mógł być następujący: Berdyczów dotykający krańców Ukrainy, wystawiony na niebezpieczeństwa podczas wojen z Kozakami, a później na napady hajdamaków, nie miał do końca prawie zeszłego wieku urządzonych pocztowych związków; przesyłka pism w tamte strony odbywała się przez tak zwane kresy, t. j. stójki wojskowe; dojsście przeto za takim pośrednictwem listów, było niepewne i częstokroć na zatrąte onych narażone.

**175. Po częstochowsku wiersze pisać — składać. (Licho.)****176. Po krakowsku na burku. Weresz.****177. Pod Guzowem:**

**Zmieszała się krew z ołowiem.**

Guzów wieś w b. Wtwie sandomierskiém, o mil dwie od Radomia, pamiętna rozlewem krwi braterskiej. Mikołaj Zerbrzydowski wojewoda krak. na czele rokoszanów, niepomyślną stoczył 6 lipca 1607 r. bitwę między Guzowem, Orońskiem i Krogulczą z wojskiem Zygmunta III, który stał na odwodzie. *W obrazach starodawnych* Wojcickiego I, s. 217, przytoczona jest pieśń o rokosz, w której piewca głosi:

Niechaj guzowskie powiedzą mogiły,  
Jak wiele trupów pobitych zakryły.

**178. Podobny, jak Wersal do Białegostoku.**

Białystok nad Białą, w b. Wtwie podlaskiém, ziemi bielskiej. Jan Klemens Branicki kaszt. krak., hetm. W. K. za rządów Augusta III i Stan. Augusta (zmarł 1771 r.), tak dalece przy-

ozdobił dziedziczne swe miasto gmachami, ogrodami i okazałym zamkiem, iż je Wersalem podlaskim słusznie nazwano, mówi Wyrwicz w swój *Geografii powszechnej* 1773 r. na str. 283—Zbyt śmiało zaiste porównanie z rezydencją monarchów Francyi, wywołało ironiczne wyrażenie: podobny, jak Wersal do Białegostoku; czyli poprostu powiedziawszy: podobny, jak pięść do nosa; jak niebo do ziemi, t. j. bynajmniej niepodobny.

**179. Pojechał do Pacanowa, gdzie kozy kują.**

Daleko gdzieś, niewiadomo dokąd, ot tam w świat. Ob. przypisek do Nru 19.

**180. Pośleli do Paryża osielka głupiego:**

Jeśli tu był osłem, tam nie będzie koń z niego. *Rys.*

**181. Poszły Rudki Strzałki,**

Na dudki, Na piszczalki.

Rudki i Strzałki, dwie włości tuż przy sobie leżące, blisko rzeki Piłicy, w b. Wtwie i ziemi rawskiej, w parafii Żdźary, które właściciel postradał wyprawując huczne biesiady i tańczące zabawy. Okoliczność na téjże zasadzie oparta, przypomina znane na Wołyniu wyrażenie: już po Tarnorudzie. Krótko mówiąc: hulki hulki, potem bez koszulki.

**182. Poszły zbiory: jak częstochowskie skarby.**

Przepadły, nie wiedzieć gdzie się podziały, ani ich śladu nie masz, znikły z dymem. Częstochowa *Stara* nad Wartą w b. Wtwie krakowskim, pow. lełowskim, należała do starostwa olsztyńskiego; *Nowa* zaś była własnością klasz. Paulinów na Jasnej Górze. Do téj to ostatniej ściąga się powyższe przysłowie, którego początek zbrodnią i świętokradztwem jest nacechowany. Jakób Nadobny z Rogowa i Jan Kuropatwa z Łańcuchowa, zebrawszy tłuszczę łotrów z Czech, Moraw i Szlązka, złupili świątynię w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego 1430 r. i oblicze Bogarodzicy dwukrotnym cięciem szabli naznaczyli. Powtórnie zrabowany został klasztor 1466 r. przez oddział wojsk czeskich.

**183. Potrzebny: jak bis — jak djabeł w Częstochowie.**

Wcaleś niepotrzebny; potrzebny jak dziura w moście; jak pies w kościele; jak pilat w kredzie; jak piąte koło u wozu, jak tarń w pięcie; tylko zawadza.

**184. Powiadają w Morawicy:**

Ze nie chwyci za czub w rękawicy.

Morawica, wieś o pięć ćwierci mili na zachód od Krakowa. Rękawica chłopska jest o jednym palcu.

**185. Powiadają, że i w Rzymie,**

Szlachcic chłopą wędził w dymie.

186. Pożyczył butów do Częstochowy. (Boso chodzi).

187. Prawdziwa wieża babilońska.

Nieporozumienie się w rozmowie; zamieszanie, odmet, zgiełk, szurum burum; jeden krzyczy, drugi wrzeszczy, trzeci trzeszczy.

188. Prawo, jak w Osieku. (Ob. przyp. do Nr. 73.)

189. Przepadł, Jak Szwed pod Półtawą.

Zeszczętem, doszczętu, zupełnie, z kretesem zginął, i krty po sobie nie zostawił. Półtawa nad Worskłą, stolica gubernii. Piotr I zniósł i pokonał na miążgę pod tém miastem Karola XII króla szwedzkiego 27 czerwca (8 lipca) 1709 r.

190. Przyjechała nędza,  
Do Swarzędza. *Rys.*

Swarzędz, miasteczko o milę od Poznania. Może chciało przywiedzione to 1619 r. przysłowie wyrazić pomyslny niegdys stan mieszkańców, nim ich nawiedziła nędza. Swarzędz przez samych dziś osiadły jest żydów, którzy trudnią się drobnym handlem, lichwą i pożyczką na zastaw.

191. Przyjechawszy do Kalisza: w piec. *Rys.*

Opuszczając naciągany i zupełnie nietrafny wywód tego przysłowia przez Jabłonowskiego (Wójcicki II, s. 280) i nie zgadzając się z tém co mówi: że imię Kalisza od kału, albo błota srogiego nam zostało—przyznamy: że miasto nader było błotniste i pełne kałuż, zasilanych częstym wylewem rzeki Prosnny. To więc co mawiano: „przyjechawszy do Kalisza, w piec” znaczyło: suszyć się trzeba, choćby w piec wlaższy. Od lat dwudziestu kilku przypowieść ta należy do tak zwanych zmarłych przysłów, gdyż miasto zmieniawszy dawną swą postać, stało się jedném z najporządniejszych w królestwie polskiem pod względem gmachów, porządku i czystości.

192. Reszta z Bukareszta.

Otóż i stolica Wołoszczyzny znalazła gościnne przyjęcie w narzeczcu naszym, lecz czy nie będzie to, jakieśmy już powyżej rzekli, li tylko dla rymu? Używa się tego wyrażenia grając w marysza, zamiast powiedzenia: reszta ze dwudziestu.

193. Rozgniewał się, jak burmistrz gdański na króla polskiego.

Słyszałem odmienne nieco wysłowienie, jakoby z niemiecka: rozgniewał się burmistrz gdański na król polski, wielka wojna będzie. Zdaje się, że to odnosi się do sporów Gdańszczan ze Stefanem Batorym, którzy wzbraniając się uznać go królem, ściągnęli na się wojnę i oblężenie miasta 1577 r.

194. Rząd—sprawa jak w Osieku. *Rin.* (Ob. przyp. do Nru 73.)

195. Sądy pijane, rząd pijany jak w Osieku. *Opal.*

Znakomity nasz satyryk, oburzony skażeniem obyczajów i bezrządem na początku panowania Jana Kazimierza coraz wzrastającym, wyrzucał gorzką prawdę rodakom na oczy; lecz niestety! znalazł ich na wszystko głuchemi.

**196. Siedz, kto chcesz na Ujazdowie,  
W tój chatce dobrze mój głowie. *Lir.***

Ujazdów tuż przy Warszawie, gmach okazały, mieszczący dziś koszary i lazaret, zwał się pierwotnie Jazdów, i był wioską z mieszkaniem letniem książąt mazowieckich. Po wcieleniu Mazowsza do korony 1526 r., przebywał tu czasowo Zygmunt I; od chwili zaś przeniesienia stolicy do Warszawy 1596 r., począł być Jazdów częstszym i dłuższym pobytom królów zaszczytany, którzy zabudowania dworcu swego, czyli tak zwanego zamku, coraz rozprzestrzeniałi i ozdabiali. Mimo to, nie pozazdrościł Wesp. Kochowski okazałej tój siedziby, skoro wyznaje (1674 r.), iż zadowolony jest z swój chatki, czyli: że na małym przestaje. Padobna myśl odbija się i w bajce Krasickiego: miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny, i t. d.

**197. Spiesz, jak szewc z Zakliczyna.**

Zakliczyn nad Dunajcem, w b. Wtwie krakowskiem, powiecie czechowskim. Szewcy tutejsi, których jest znaczna liczba, roznoszą swe wyroby po jarmarkach o mil kilka odległych; muszą przeto szybkim iść krokiem, czyli: dobrze nogi zbierać.

**198. Sprawiedliwość jak w Osieku: ślusarz zawinił, kowala powieszono.**

Autor dzieła: *Czarownica powołana*, 1639 r. przytaczając wyrażenie: „sprawa, by w Osieku” innego rzemiosła podaje winowajcę, o sędziach zaś ówczesnych miejskich tak mówi na str. 55: „Woleli kowala, choć wierutnego złodzieja uwolnić od szubienice, a miasto jego kołodzieja bezwinnego obiesić, czyniąc dosyć prawu za złodziejstwo kowalowe; bo jednego tyło w mieście kowala mieli, a dwóch kołodziejów. Dopieroż obiesiwszy go, posłali na radę do innego miasta: jeśli się dosyć stało świętój sprawiedliwości.” Duńczewski w kalendarzu na rok 1731, opisując osiecką sprawę w sześciu rymowanych wierszach, mówi o stelmachu i dwóch kowalach.

**199. Srocza panna z Krakowa,  
Kochaneczka Maćkowa.**

Zwykle nauczają sroki wymawiać te wyrazy, albo téż: srocza panna z Krakowa, faworyta panowa.

**200. Środa, Piątek w sieradzkiem, Czwartek przy Lublinie,**

A ostatek tygodnia: w której jest krainie? *Epig.*

*Sroda*, lub *Srzoda* w b. Wtwie kaliskim, pow. pyzdrowskim; *Piątek*, nie w sieradzkim, ale łączycykiem; *Czwartek*, przedmieściem jest Lublina; ostatek zaś tygodnia miasteczko *Sobota*, w b. Wtwie łączycykiem.

**201. Starsza słucka fara:  
Niż kalwińska wiara.**

Słuck nad Słuczą, w b. Wtwie i pow. nowogrodzkim, główne miasto księstwa należącego do domu Radziwiłłów. Fundowany tu zbór dla wyznania reformowanego, dał powód w epoce waśni religijnych do przysłowia mówiącego o dawności fary słuckiej, zbudowanej z modrzewia 1419 r.

**202. Stawiać wieżę babilońską.**

Odpowiednie temuż co do myśli i znaczenia: stawiać zamki na lodzie; na powietrzu zamki budować; dziwaczne tworzyć pomysły; nadzieją się próżną karmić; marzyć o niestworzonych rzeczach; przez imaginacyą, pojechał na koronacyą.

**203. Świadek lidzki.**

Nieważny, na wiarę niezastępujący. Lida, miasto naczelne powiatu b. Wtwa wileńskiego.

**204. Świadek piotrkowski.**

Na zawołanie; świadczy o czém nie wie; a biało? biało, a czarno? czarno. Ob. przyp. do Nru 172.

**205. Świętemu Piotrowi dobrze w Rzymie, a mnie tu.**

**206. Szczurów stolica, od ich imienia sławne Szczurowice.**

Szczurowice nad Styrem, w b. Wtwie bełzkiem. Wiersz umieszczony w piśmie czasowém: *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, wychodzącém od 1770 — 77 r. zowie miasteczko to, czy żartobliwie, czyli téż na jakiej pewnej zasadzie: szczurów stolicą.

**207. Szlachcic z Barcic, pana Łabajaja syn.**

Ironiczne wyrażenie o chudym pachółku chępiącym się ze szlachectwa. Wieś Barcice nad Bugiem, leży między Serockiem a Wyszkowem, w okolicy przez drobną, tak zwaną zagonową szlachtę zamieszkaną. Łabaj, a raczej Łapaj, nazwą jest psom dużym dawana.

**208. Szukać bagna w Ostrowie, co po tym kłopotcie,  
Gdy i w Wielkiej Kalinie możesz ulgnąć w błocie.**

Ostrów, miasto o 3 mile od Kalisza, dziś w W. ks. Poznańskim, słynne z wielkiego przyległego bagna; wieś zaś Kalina Wielka o milę od Miechowa, błotniste mająca wąwozy.

**209. Tak daleko, jak z Piątku do Soboty.**

To jest: dwie mile. Ob. przypisek do Nru 200.

210. Tak ten świat umie, i chłop ze wsi Dysa,  
Przedał w Lublinie Żydu psa za Lisa. *Brat.*  
Ob. przypisek do Nru 25.
211. Tęgo, jak pod Marego.  
Wyrażenie z czasów legionów polskich we Włoszech, przypominające świetne zwycięstwo Bonapartego nad Austryakami 14 czerwca 1800 r.
212. Ten ukradł, ów obwieszon, sprawa jak w Osieku;  
Taka to sprawiedliwość jest naszego wieku. *Min.*
213. To cud większy, niż częstochowski!  
Dziw nad dziwy; a to ósmy cud świata!; ani oko widziało, ani ucho słyszało.
214. To dobra tabaka, bo zpod Kijowa.  
W domu kijem wiercona, tarta, domowej roboty.
215. To największe misterstwo: kto do Brzegu z woły,  
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły. *Koch.*  
Czyni tu autor przytyk rodakom, iż całe ich misterstwo, t. j. kunszt, sztuka, przemysł, na tém tylko zależy. Brzeg (*Brieg*) miasto nad Odrą w Szlązku, dokąd z głębi Polski pędzono woły na sprzedaż; do Gdańska zaś oprócz zboża, splawiano popiół i potaż w znacznej ilości. Produkta te niepoślednio zasilały krajowców w gotowy grosz, słusznie przeto Krasicki mówi:  
Gdyby nie było potażu: Skarb to niedość wielbiony,  
Nie byłoby ekwipażu; Z popiołów mamy galony.
216. To pan Częstochowa—to panosko prawdziwie Częstochowa.  
Wielki z niego liczykrupa, liczygrosz, łowiszeląg, źmindak, skąpiec, sknera, kutwa, czupryny tylko workom zawiązuje—  
Rej w *Zwierciedle* dobitnie o takim wyrzekł człowieku:  
Skąpiec i z dębu radby odarł tyka,  
Aby dosypał konopnego ówika.  
To jest: aby tylko worek napelnił, czyli: zkąd wziąć, byle mieć.
217. To prawdziwa Babilonia.  
Nieład, chaos, nieporozumienie się, jak z pomieszania języków przy stawianiu wieży babilońskiej; jeden mówi zamknij! drugi otwórz.
218. To tak trudno, jak Częstochowy obronić.  
Rzecz snadna. Obronę klasztoru Paulinów na Jasnój Górze przeciwko oblegającym w znacznej sile Szwedom 1655 r. przyznawano opiece i łasce N. Panny, tamże odwiecznie cudami słynącej. Po pięciu tygodniowym przeszło miotaniu z dział ognia, odstąpił nieprzyjaciel 25 grudnia, widząc niepodobieństwo zdobycia.

## 219. To tyle warto: co bić się za Wiedeń.

Kiedy liczne tłumy Turków i Tatarów obległy Wiedeń 1683 r., wezwany na odsiecz Jan III, przybył z wojskiem i świetnie 12 września odniósł zwycięstwo. Jaką za tak wielkie dobrodziejstwo odebrał wdzięczność, świadczą dzieje; król też w listach do swojej Marysienki pisanych wyrażał: że oswobodziciele Wiednia, o głodzie i boso wracali do ojczyzny.

220. Toruń budowny i bogaty w enotę. *Fl.*

Autor poświęca spory ustęp na pochwałę miasta pod względem jego ozdoby, pracowitości mieszczan, ich spokojnego zachowania się i wszelkich cnót domowych.

## 221. Trzeba jechać do Wiednia.

Przysunąć się do okna, do światła, do widna.

222. U Baranową wielka woda, każdy się tam wozić musi. *Rys.*

Baranów miasteczko i piękny zamek nad Wisłą (zgorzał zupełnie 1851 r.), w b. Wtwie i pow. sandomierskim, dziś w Galicyi. Otaczające niziny, częstym podlegając zalewom, zamieniają się w rozległą przestrzeń wodną. Oprócz prostego rozumienia o przewozie u Baranowa, czy się też nie ukrywa i przenośne, allegoryczne jakie znaczenie?

## 223. U niego w głowie:

## Jak w Pietuchowie.

Pusto, głupio, zielono, brak krokiewki, brak piątój klepki, u niego w głowie nie wszyscy doma, fiu fiu we łbie, szumi łeb z niego, szydłem mu we łbie układano, i t. p. Pietuch = kogut.

## 224. Uczeń akademii pacanowskiej.

Niedowarzony a zarozumiały młodzieniec; mniema, że wszystkie rozumy pojadł, a głupi na cztery boki; a głupi, choć mu zęby wybierz.

## 225. Uczeń ze smorgońskiej szkoły.

Nieuk, gburowaty, niezgrabiasz, niedźwiedziowaty. Ob. przypisek do Nru 8.

## 226. Udaje humańskiego durnia, co z cudzego wozu na swój przekłada.

Udaje solonego mudia, albo: ty solony mudiu; wyrażenia na Wołyniu, Podolu i Ukrainie używane, oznaczające gapia, głupca. Humań, miasto w b. Wtwie braclawskim, pamiętne w czasie powstania tamże chłopstwa 1768 r. wycięciem w pięć mieszkańców przez Iwana Gontę.

## 227. Umić oszukać, zmyśleć figiel nowy: w tym go defekcie, cała Padew nie uleczy.

Tak się wysłowia Fran. Niewieski dok. fil. w swoim kalendarzu na rok 1705, chcąc przez to okazać: że na matacza, machlarza, szalbierza nie masz lekarstwa, czyli: że łotr zawsze łotrem będzie. Padew (*Padua*) w dzisiejszém król. lombardzko-weneckim, słynęła w XVI mianowicie wieku wszechnicą nie mającą sobie równą, do której mnóstwo uczęszczało Polaków, zaszczytnie się odznaczających w naukach.

**228. Urząd w Wieliczce trwały, jak przepiórcze pole.**

*Epig.*

Pole=polowanie, łowy, np. zdarz Dyano pole szczęśliwe!— Wieliczka odwiecznie sławna z rozległych i bogatych kopalń soli, leży o 1½ mili od Krakowa. Dlaczegooby tam urzędowanie było nietrwałe, wyluszczy może okoliczność odnosząca się do czasu panowania trzech Wazów. Za nichto dochody z solnej skarbnicy królom składane, coraz przeciążano pensyonarzami, t. j. przekazami dla osób duchownych, dygnitarzy i dla gracyalistów, na wydawanie im darmo soli lub wypłaty pensji z żup solnych. Tracąc takim sposobem żupnicy na soli, usuwali się po krótkim czasie od swego zarządu, skutkiem czego następowała i zmiana ich podwładnych (1).

**229. Ustrojony, wystrojona jak lalka gdańska.**

Suto, bogato, ozdobnie a bez gustu, wyczupierzyła się jak lalka.

**230. W Czersku,**

**Na złem piwsku.**

Jestto odpowiedź na pytanie: Mazurowie mili, gdzieście się popili? w wierszu pod tytułem *Kiermasz wieśniacki*. Wyrażenie to musiało powstać po zupełnym upadku Czerska, który sływał niegdyś wyborném piwem. Przyznaje mu jeszcze tę zaletę Wacław Potocki piszący około 1680 r.; w wierszu bowiem do walecznego rotmistrza Piwo (*Jovialitates* II, s. 19.) odzywa się:

„Bodajże się rodzili tacy piwowarzy!

Nie byliby nam srodzy Turcy i Tatarzy.

Acz co chłop, to piwowar w Polsce; lecz bez kadzi,

Chociażby był z samego Czerska, nie poradzi”.

Chłop w dawniej polszczyźnie znaczy człowiek; dotąd nawet mówi się: tęgi, rosły chłop, walny z niego chłop. Przez piwowara rozumie się: piwosz, opój, pijak piwny.

**231. W Dorohuczy,**

**Młyn miele,**

**Woda huczy,**

**Chleba niewiele.**

(1) Objasnienia tego udzielił mi p. Hieronim Łabęcki, autor dzieła: *Górnictwo w Polsce*.



Uszczypliwa przymówka o plonach rolnych wsi *Dorohucz* zwanój, nad Wieprzem w Lubelskiém, leżącój na połowie drogi między Krasnymstawem a Łęczną.

232. W jesieni i w zimie:

**W wężozach szkalnierskich furman nie zadrzymie.**

233. W każdój roku porze:

**W wężozach szkalnierskich pilnuj się nieboże.**

O Szkalnierzu ob. przyp. do Nr. 4; tu tylko dodamy: że wjeżdżając do tego miasteczka, mianowicie z jednój strony, długie i niebezpieczne w przykrój górze trzeba przebywać wężozy.

234. W Pacanowie, gdzie kozy kuja — i kozy kuja.

235. W Paryżu: rzeka mleczna, brzegi jaglane, a wół pieczony nad nią i nóż w nim. *Rys.*

Otóż wyrażenie zupełnie niezrozumiałe, i pole do domysłów otwarte.

236. Wpół nawpół, krakowskim targiem.

Żadasz cztery: dam ci dwa, i będzie z nami zgoda.—Widać, że się Krakowianie w całym znaczeniu trzymali tój zasady: drożej ceń, a w miarę zapłaca.

237. W Poznaniu poważni, we Lwowie wymowni, w Krakowie ludzcy ludzie.

Taką skreślił charakterystykę mąż obszerną nauką słynący, głęboki badacz i filozof Sebastyan Petrycy, znakomity lekarz i professor akad. krak., w przekładzie *Ethyki Aristotelesowej* 1618 r. na str. 139.

238. Warszawiak w pracy, a wilk u pluga:

**Jednaka z obu postuga.**

Jak wilkiem orać trudno, a raczej niepodobna: tak i Warszawiak do pracy nie najlepszy i zła z niego postuga, gdyż: gdzie nie ma ochoty, niespore roboty.

239. Warszawski trzewiczek,                   Gdańska wódeczka,  
Toruński pierniczek,                    Krakowska dzieweczka.

Cbciano przez to oznaczyć najlepsze, nieporównanój dobroci rzeczy, któremi każde z tych miast słynie.

240. Weselej byłoby, kiedyby były Dudy. *Trzstyp.*

Dudy=gajdy, multanki, piszczałki do grania, i *Dudy* starostwo w b. Wtwie wileńskim, pow. oszmiańskim, które sobie pewien tą dwuznacznością u Jana III wyjednał. Przytoczony autor tak pisze na str. G. I. o tój okoliczności: „Po z nieba daném zwycięstwie nad Turkami, wracając się jeden monarcha, w Jarosławiu od księżnój tamecznój ochotnie

przyjęty i hojnie podjęty. Był tam pewien wojewoda, mąż i dworzanin wielki, a wakowały natenczas Dudy, dzierżawa w Litwie. Monarcha chcąc wesolą twarzą dobrej myśli dodawać, rzeczy do senatorów, aby ochotniej i weseliej było. Co słysząc wojewoda, odpowie: byłoby N. królu ochotniej i weseliej, kiedyby były dudy. Zaczém monarcha zrozumiawszy, co to za muzyka była, acz za zasługami, wszak téż i za oném piękném a pogodném dworstwem, zaraz mu Dudy przyobiecał”.

**241. Wiersze ze skrzyni jasnogórskiej.**

Liche, tuzinkowe, nakształt kantyczek drukowanych w klasztornej drukarni na Jasnej Górze.

**242. Wiesz: że Kraków daleko większy, niżeli Brzeście?**

*Opal.*

Blizkoznacze temu wyrażenia: jeszcze z ciebie fryc; starszy król polski, jak pan Baranowski; starszy pan Kozłowski, niż pan Baranowski; jaśnie, przed jaśnie oświeconym gaśnie.

**243. Wolalbym w Markowej świnie paść. *Rys.***

Wieś Markowa na Pokuciu w b. Wtwie ruskiém, należała do starostwa halickiego; w przyległych jój lasach dębowych, paszono nierogaciznę, licznemi z okolic spędzaną trzodami. Inwentarz starostwa z roku 1627 wyraża: „Kiedy żer zrodzi, powinni się zewsząd, kto chce gnać na paszę świnie do lasów, w zamku halickim wpisować, a dawać powinni dziesiątą świnie albo wieprza”.

**244. Wrocław, co przywieziesz: to ostaw. *Lek.***

Autor przywołując to wyrażenie na str. B. 4 dodaje: „niedarmo u nas rymują.” Poczém ubolewa na zwyczaj prowadzenia zboża, skór, łojów i innych towarów, jako téż na pędzenie wołów, koni i skopów do Szlązka, gdzie Niemcy jak sami chcą, tak płacą, a tém samém o szkodę nas przygotowują, bo niełża naz d wieść.

**245. Wszędzie częstokroć mylą się zegarze,**

**Lecz te w Lublinie najpewniejsze łgarze. *Brat.***

**246. Wybiera się w podróż do Krakowa.**

Jeżeli jest mowa o kobiecie, to proste te wyrazy przybierają przenośne znaczenie, zamiast: spodziewa się połogu. Przypowieściowy ten sposób mówienia, może ztąd powstał: że zamężniejsze panie podróżowały czyli udawały się dla odbycia połogu do ówczesnej stolicy, mającej najlepszych lekarzy. Frau. Niewieski fil. Dr. JKMcI sekretarz, w kalendarzu na rok 1737 pisze: „Panie w ubyszowym roku życie swoje prowadzące, niechaj się tém nie smuć, iż nie boleją, albowiem mogłaby druga Kraków obaczywszy, na tamten powędrować świat.”

247. **Wyćwiczony w akademii smorgońskiej.**  
Gach niepocieszny, nieokrzesany, gburowaty, gap, grundal.  
O téj akademii ob. przyp. do Nru 8.
248. **Wygadana— wyszczekana, jak przekupka warszawska.**
249. **Wygląda, jak toruńska cegła.**  
Rumiany, czerstwy jak rydz.
250. **Wyjechał do Kozienic.**  
Od miasteczka Kozienice zwanego, blisko Wisty w b. Wtwie sandomierskiem a pow. radomskim, utworzono igraszkę słów, która znaczy: dostał się do kozy, aresztowany, kota pasie.
251. **Z Krakowa wróciła—przyjechała.**  
Porodziła, została matką. Ob. przypisek do Nru 246.
252. **Zabierać się do Leżajska.**  
Do legania, spania, do łóżka. Ob. przypisek do Nru 23.
253. **Ząda sum neapolitańskich.**  
Bardzo wiele; sam nie wie ile.—Bona Sforeya wdowa po Zygmuncie I, opuszczając Polskę 1556 r., uwiozła z sobą ogromne skarby; osiadłszy w Bari mieście Apulii, pożyczyła Filipowi II królowi Hiszpanii i Neapolu 430,000 czer. zł. Summa ta na Zyg. Augusta i siostry jego spadająca, znana jest pod imieniem sum neapolitańskich. Część ich na Zygmunta III po matce spadającą, darował król Rzplitej, która w późniejszych czasach kilkakrotnie u dworów madryckiego i neapolitańskiego o odebranie onychże nalegała, lecz zawsze bezskutecznie (1).
254. **Zamieszanie babilońskie. (Nieład, zamęt, odmęt.)**
255. **Zbladł, by toruńska cegła. *Rys.***  
Zczerwienił się, jakby go we krwi umoczył; zapłonął ze wstydu; raka upiekl; spiekl ogromnego-raka; gore mu twarz przed wstydem; twarz mu szkarłatem gore; twarz mu krwią zapływa od wielkiego sromu.
256. **Zdała odemnie stój, jak św. Krzyż od Pultuska.**  
Opodał, przydałój; wara! nie nawijaj mi się; nie nadstawiaj mi się; nie léz mi w oczy. Ob. przypisek do Nru 164.
257. **Zginał—zginiesz, jak Berek pod Kockiem.**  
Zginał zeszczętem, z kretesem, jak mucha, jak Kozak za Dunajem; zginiesz marnie, niechybnie.—Berek Josielewicz mianowany 1794 r. dowódcą tworzącego się z starozakonnych pułku lekko-konnego, służył następnie w wojsku ks. warszawskiego w stopniu szefa szwadronu. Podczas wojny z Au-

(1) Mamy także blizkoznacne powyższemu wyrażenie *summy bajońskie*, które przybrawszy charakter przysłowia, używa się w różnych zwrotach mowy. Konwencją zawartą w Bajonie 10 maja 1808 r. przekazał Napoleon znaczne kapitały pruskie lokowane w ks. Warszawskiem na rzecz tegoż księstwa.

stryakami 1809 r., przybywszy z małym oddziałem do rodzinnego miasta Kocka nad Wieprzem w Lubelskiem, oskoczony od liczniejszych nieprzyjaciół, poległ śmiercią walecznych. Pamięć jego uczcił Stan. Potocki w mowie mianej na posiedzeniu Tow. P. N. 22 grudnia 1809 r.

258. **Zginał, jak Szwed pod Póltawą.** (Ob. przyp. do Nru 189.)

259. **Zgrał się, jak kolbuszowskie skrzypce.**

Zgrany, jak włoskie skrzypce, zgrał się do koszuli; zgrał się jak szewc.—Kolbuszowa w b. Wtwie sandomierskiem, pow. pilzneńskim, należała do obszernej ordynacyi Ostrogskiej. Miasteczko to osiadłe zdawna tokarzami i stolarzami, którzy swe wyroby w dalekie kraju rozsyłali strony. Skrzypce tutejsze wielką miały wziętość u włościan i u flisów, a okoliczne jarmarki obficie zaopatrywane bywały w te narzędzia muzyczne.

260. **Zkąd data?—**

**Z Mixtata.**

Jakie pytanie, taka odpowiedź; odpowiadaj głupiemu podług jego głupości, aby go nie miano za mądrego. Ob. przypisek do Nru 42.

261. **Zkąd idziesz?—Z Pacanowa, gdzie kozy kuja.**

Jestto żartobliwa odpowiedź, ażeby się pozbyć ciekawego natręstwa; przeciwnie zaś, zapytany mieszkaniec Pacanowa zkąd jest? dla uniknienia szyderstwa z rodzinnego swego gniazda, częstokroć odpowiada, że zpod téj a téj wsi lub poblizko leżącego miasteczka. Jeśli bowiem wręcz powie, że z Pacanowa, może być pewnym, iż usłyszy owo: *gdzie kozy kują*; na co niejedyn śmielszy Pacanowianin odrzeknie: już tam teraz nie kozy, ale pyski kują. Ob. przyp. do Nru 19.

262. **Złote wieki minęły, a ledwo gliniany nam dziś został, i to nie ilżecki.** *Opal.* (Ob. przyp. do Nru 80).

---

#### SKARÓCENIA.

- Brat.* Świat po części przejrzany. Kraków, 1697. Daniel Bratowski Podczaszy wendeński *author operis.*
- Burl.* Burleszki abo żarty dla poczciwych kompanów. *Tristitiae antipharmacum*, pisane w Peredmirce od Cadasyłana Nowokrackiego, roku nad tysiąc lat pułsiedmsetnego bez jednego. (1649 r.).
- Dach.* Żona wyćwiczona i t. d. od Jana Kar. Dachnowskiego N. B. światu ukazana.

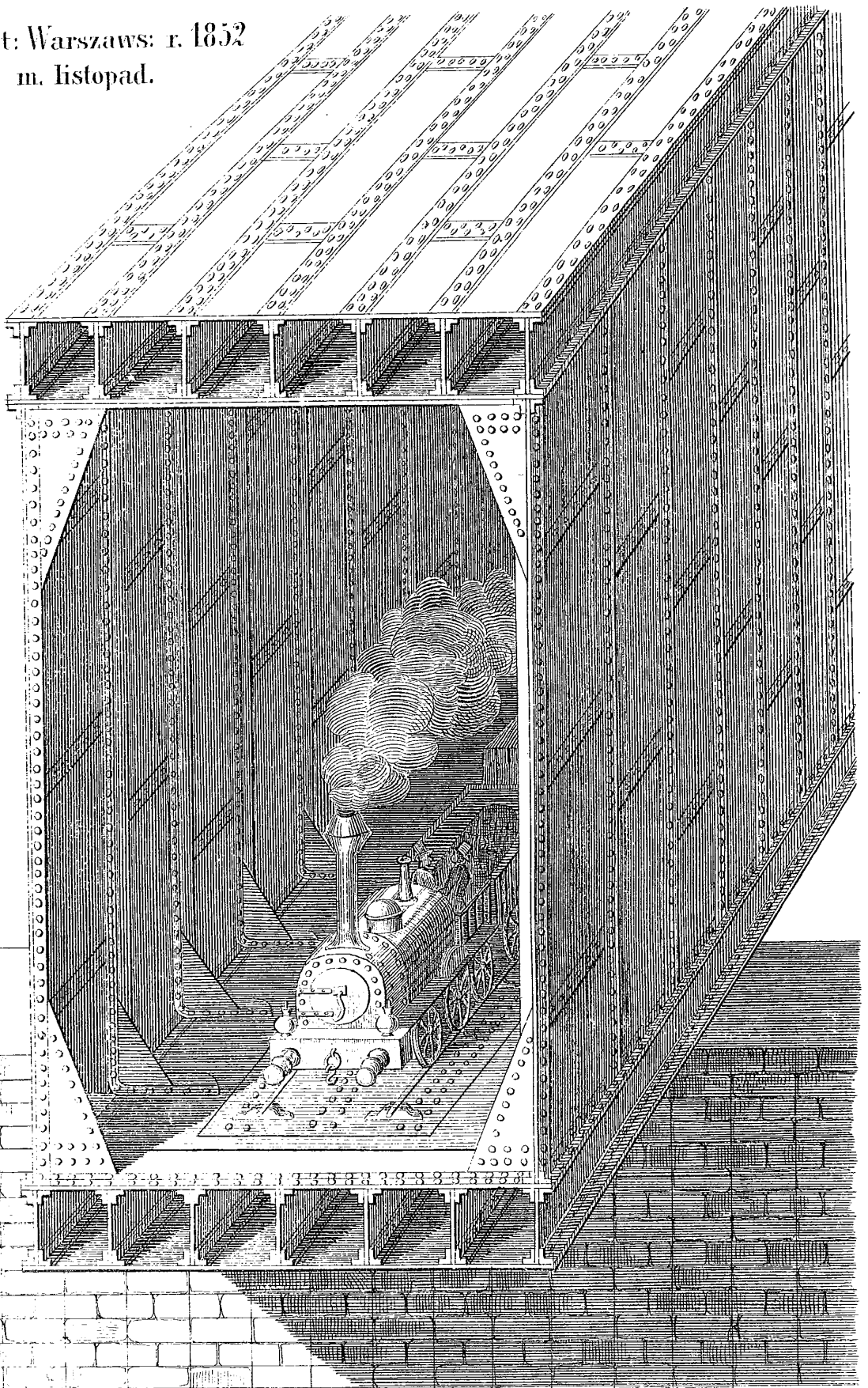
- Dudz.* Dudziński Michał: Zbiór rzeczy potrzebniejszych do wydoskonalenia się w ojczystym języku. Wilno, 1776.
- Duń.* Stanisław z Łazów Duńczewski prof. matem. w akademii Zamojskiej, trybunału koronnego geometra przysięgły, wydawał kalendarze od 1725, aż do swego zgonu 1767 r.
- Epig.* Wespasiana z Kochowa Kochowskiego Epigrammata polskie, po naszymu fraszki. Kraków, 1674 r.
- Fac.* Facecye abo żartowne i krotofilne powieści, z rozmaitych authorów zebrane, dla zabawy biesiadnej służące, oraz przy dobrej kompaniej i konwersacyej serca i myśli ludzkie uweselaające, a melankolią wypędzające. R. P. 1650.
- Fal.* Discurs marnotrawstwa i zbytku korony Polskiej, przez Krzysztopha Fran. Falibogowskiego. R. P. 1625.
- Fl.* Flis, t. j. spuszczenie statków Wisłą i inszemi rzekami do niej przypadającymi, Sebas. Fab. Klonowica z Sulmierzyc. R. 1595.
- Fr.* Andrzeja Max. Fredra kaszt. lwows. przysłowia mów potocznych, albo przestrogi obyczajowe, radne, wojenne. R. 1664.
- Gaw.\** Helikon Jana Gawińskiego. Liber compactus et comparatus ad scribenda et describenda ociosae mentis diverticula. Die 31 octobr. 1682 in Vigilia Festi Omnium Sanctorum. (Rękopis własnoręczny autora, znajdujący się w bibl. rządowej w Warszawie).
- Gaw. Dw.* Dworzanki Jana Gawińskiego.
- Jabl.* Polityka włoska i polska, albo przysłowia włoskie na polski język przetłumaczone, polskiem i różnemi reflexiami i przysłowiami przyczynione, Polakom na naukę, sobie na zabawę, Bogu i N. Pannie na chwałę. W Königstajnie anno 1715. (Rękopis Jana Jabłonowskiego Wdy ruskiego, który osadzony był przez Augusta III w rzeszkiej twierdzy).
- Jarz.* Złote Jarzmo małżeńskie.
- Jov.* Jovialitates albo żarty i fraszki rozmaite pracą niegdy JW. Wacława Potockiego Podczaszego krakow. zebrane i napisane, a dla uweselenia i rozrywki światowego czytelnika z manuskryptu przedrukowane. R. P. 1747.
- Kal.* Kalendarz.—(Rok wydania obok położony, w skróceniu zaś oznaczają dwie ostatnie liczby wiek ósmnasty).
- Kn.* Gregorii Cnapii (*Knapski*) e Societate Jesu, Adagia Polonica. Cracoviae, 1632.
- Koch.* Jan Kochanowski. Kraków, 1585.
- Kras.* Ignacy Krasicki bis. warmiński.
- Lek.* Lekarstwo na uzdrowienie Rzplitej, z uniwersałem poborowym na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy domowe, i t. d. napisane przez P. Vi. Wę.—R. 1649.
- Lir.* Wespasiana z Kochowa Kochowskiego Niepróżnujące próżnowanie ojczystym rymem na lyrica i epigrammata polskie rozdzielone i wydane. R. 1674.
- Min.* Zbiór rytmów polskich Józ. Epifaniasza Minasowicza JKMci sekretarza. R. 1756.

- Nar.* Naruszewicz Adam, wiersze różne.
- Opal.* Satyry albo przestrogi do naprawy rządu i obyczajów w Polsce należące, na pięć xiąg rozdzielone. R. P. 1650. (Autorem utajonym jest Krzysztof Opaliński Wda poznański).
- Pocz.* Poczet herbów szlachty korony Polskiej i W. X. Lit. i t. d. przez Wacława z Potoka Potockiego Podczaszego krakowskiego. R. 1696.
- Radaw.* Prawy szlachcic, w kazaniu na pogrzebie ś. p. Andrzeja Stadnickiego, w osobie jego ukazany we Zmigrodzie 23 września r. P. 1614, przez x. And. Radawieckiego Dominikana dok. teol.
- Rej Zw.* Zwyciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawam jako we zwierciadle przypatrzeć. R. 1567.
- Rkp.* Rękopis z roku 1744, obejmujący sentencye, zdania, przysłówia i t. p.
- Rys.* Przypowieści polskie przez Salomona Rysińskiego zebrane. R. 1619.
- Trztyp.* Co nowego abo dwór, mający w sobie osoby i mózgi rozmaite, z których wydworne powieści, abo dworstwa, jakoby nowe tegoż wieku apophtegmata zebrane i na pospolity pożytek i uciechę są wydane, przez Maurycyusza Trztyprztyckiego Radopatrzka Gładkotwarzkiego.
- Weresz:* Publika x. Józ. Wereszczyńskiego z łaski Bożej bis. kijows. a opata sieciechows. Ich M. rzeczyposp. na sejmiki przez list objaśniona, i t. d. Kraków, 1594.
- Zabl.* Zabłocki Franciszek (poeta i komedyopisarz z czasów Stan. Augusta).
- Zim.* Roxolańki t. j. ruskie panny i t. d. przez Simeona Zimorowicza. R. 1629.

Pisałem w Warszawie, 25 sierpnia 1852 r.



Bibliot: Warszaws: r. 1852  
m. listopad.



Widok w przecięciu jednej z rur mostu Britannia na odnodze morskiej Convaj  
w Anglii.

Widok w przecięciu jednej z rur mostu Britannia na odnodze morskiej Convaj w Anglii.

# MOST RUROWY BRITANNIA

NA ODNODZE MORSKIĘJ CONVAY W ANGLII.

(Z ryciną).

---

**D**o pomysłów, jakimi wiek nasz szczyć się ma prawo, policzyć należy most rurowy nad odnogą morską Convay, w ciągu ostatnich lat czterech w Anglii zbudowany, a w roku 1850 do przejazdu otworzony.

Wyobraźmy sobie rurę czworoboczną wielkich wymiarów, z blachy żelaznej kutęj  $\frac{1}{2}$  cala grubiej wyrobioną, którejby płyty czyli arkusze nitowane były w taki sposób, jak w zwyczajnych kotłach parowych; wyobraźmy sobie rurę taką zawieszoną dwoma końcami nad odnogą morską, po której żeglują liczne okręty i statki, i jednocześnie lokomotywę z całym pociągiem ładownych wagonów przez wspomnianą rurę przebiegającą: a będziemy mieli most Brytannia, zadziwiający zarówno swą oryginalnością jak i śmiałością budowy.

Następujący opis bliższe czytelnikom naszym poda objaśnienia téj szczególniej w swoim rodzaju komunikacyi.

Droga z Londynu do Dublina, przechodzi przez wyspę Anglesen, oddzieloną od zachodnich brzegów Walii odnogą morską 900 do 1500 stóp angielskich szeroką (1).

Podróżni z Londynu do Dublina udawali się zwykle drogą żelazną do Chester, ztąd zaś drogą kołową przez most łańcuchowy Telford, niedaleko miasteczka Bangor na odnodze Convay

(1) 952 do 1587 stóp polskich.



zbudowany, do miasta Holyhead na wyspie Anglesea, gdzie wsiadali na statki, dla przebycia morza Irlandzkiego, poczem z Kingstown drogą żelazną do Dublina zamierzoną kończyli podróż.

Przerwy takie, zwłaszcza dla krajowców przywykłych do spiesznej i łatwej komunikacyi, wywołały potrzebę bezpośredniego połączenia wyspy Anglesea z brzegami Anglii drogą żelazną.

Admiralicya angielska jednak nie chcąc pomnażać na odnodze Convay przeszkód, na jakieby budowa zwyczajnych mostów żeglugę narazić mogła, stawiała nieprzeliczone trudności w przywiedzeniu do skutku powyższego zamiaru, i niejeden projekt, niejedna mozolna praca technika, nie znalazły tutaj spodziewanego przyzwolenia.

Nareszcie inżynier Robert Stephenson po długiej pracy, zaprojektowaniem mostu rurowego zaspokoił troskliwość admiralicyi angielskiej, a sztukę inżynierską nowym i zadziwiającym wzbogacił płodem.

Most albo raczej wiadukt Brytannia unosi się nad odnogą morską Convay w miejscu Menaj zwaném, w odległości przeszło jednej mili angielskiej na północ od wspomnionego wyżej mostu łańcuchowego Telford.

W pośrodku tej odnogi znajdują się raffy skaliste Brytannia, które lubo wodą splukiwane, posłużyły jednak za fundament do środkowego filaru 62 stóp angielskich długości, 52 szerokości w podstawie i 230 stóp wysokości mającego (1).

Do budowy tego olbrzymiego filaru spotrzebowano 148,625 stóp kubicznych kamienia wapiennego i 144,685 stóp kubicznych kamienia piaskowca, (2) które razem przeszło 400,000 centnarów ważyły, nie licząc w to 7,750 centnarów żelaza lanego i kutego na ankry, formy, platy fundamentowe i różnego rodzaju wzmocnienia użytego.

W odległości 460 stóp angielskich (3) po obu stronach dopiero opisanego filaru znajdują się dwa inne filary, mające w podstawie 62 i 52 stóp angielskiej szerokości i tylko 190 stóp wysokości.

Do wzmocnienia każdego z tych bocznych filarów użyto 4,200 centnarów żelaza lanego i kutego.

(1) 65 st. p. dług., 54 st. p. szer., 243 s. p. wys.

(2) 176,173 st. kub. m. p. i 171,500 st. k. m. p.

(3) 486 st. p.

W odstępnie 230 stóp od każdego z tych ostatnich filarów, znajdują się mury oporowe, do których przytyka grobla drogi żelaznej. Mury te łącznie z filarami wyżej opisanymi, zawierają  $1\frac{1}{2}$  miliona stóp kubicznych roboty murowej, (1) i przyozdobione są czterema olbrzymiami lwami spoczywającymi na podstawach i wykutymi z kamienia wapiennego. Środkowy zaś filar nosi na sobie ozdobnie wyrobioną kolosalną figurę wyobrażającą Brytanię.

Nad czterema otworami, między pięcioma dopiero opisanymi filarami znajdującymi się, położone są wspomniane na wstępie rury czworoboczne żelazne w liczbie sztuk ośmiu, z których cztery w jednym, a cztery równolegle od pierwszych w drugim rzędzie, tworzą tym sposobem komunikacją dla podwójnej drogi żelaznej.

Rury te, jak się to już wspomniało, wyrobione są z blachy żelaznej  $\frac{1}{2}$  cala grubiej, której platy czyli arkusze walcowane, nitowane są starannie pomiędzy sobą.

Długość tych rur zastosowana jest do szerokości otworów między filarami, i z tego też względu cztery środkowe są najdłuższe i zawierają każda po 472 stóp angielskich długości, 30 stóp wysokości w środku a 22 stóp w końcach.

Sześcioma stopami swjej długości z jednej i drugiej strony, każda z tych rur spoczywa na filarach, reszta zaś zawieszoną jest bez podparcia w powietrzu.

Jak czterech środkowych, tak i czterech skrajnych rur długość zastosowana jest do szerokości otworów, wysokość zaś nie przechodzi stóp 22.

Spód i wierzch wszystkich rur, składających ten osobliwszy tunel, dany jest z dwóch rzędów podwójnych plat żelaznych, połączonych i nitowanych z sobą innymi platami, tworzącymi szereg podłużny rur mniejszych.

Takie wzmocnienie spodniej i wierzchniej części każdej rury, wiąże w jedną całość jej półcalowe ściany boczne, nadaje im niewzruszoność i moc, tak, że całą rurę uważaćby można za jedną belkę żelazną tych samych co i ona wymiarów.

Powyższe urządzenie spodu i wierzchu rur zmniejsza wysokość wewnętrzną całego tunelu, która w świetle nie więcej jak  $18\frac{1}{2}$  stóp wynosi przy 14stym stopach szerokości.

(1) 1,777,954 stóp kub. m. p.

Dla zapobieżenia skutkóm, jakie kurczenie się żelaza, lub powiększenie objętości w czasie zmian temperatury powietrza zrządzić może, dane są w punktach oparcia rur na filarach skrajnych walce spizowe, ułatwiające ruch całej masy zrzadzany zmianami temperatury.

Wreszcie w podniebieniu każdej rury, pozostawione są w pewnych odstępach otwory, tak dla światła, jako i upuszczenia pary i dymu, w czasie przejścia lokomotywy wydobywających się.

Budowa tego mostu, którego tylko ogółowy opis skreślić staraliśmy się, zajmuje z wyłączeniem robót murowych właściwie trzy peryody:

Pierwszym jest konstrukcja samychże rur. Szczegóły jej mniej są zajmujące i przechodziłyby zakres niniejszego artykułu; dlatego ograniczamy się wzmianką, że konstrukcja ta, przedmiotem roboty kowalskiej będąca, wymagać oczywiście musiała przyrzędu odpowiedniego wielkości całego dzieła. Jako rzecz najlepiej malującą dzieńne zatrudnienie 700 robotników profesyi kowalskiej przytoczymy, że do nitowania płyt i spajania ich klamrami użyto gwoździ ryglowych (4 cale długich, a blisko 1 cal grubych) przeszło 2 miliony sztuk; — które razem ważyły około 18,000 centnarów.

Każda z rur na przygotowaném do tego na wybrzeżu odnogi morskiej rusztowaniu złożona i wykuta, oczekiwała przeniesienia swego na filary wyżej opisane, a czynność ta stanowiła drugi peryod robót.

Odgłos przeniesienia na filary przysposobionej rury tego olbrzymiego kolosu, 40,000 centnarów wagi mającego, sprowadził z Londynu i okolicy drogą żelazną do 15,000 ciekawych, których zaledwie małe miasteczko Bangor pomieścić zdołało.

W chwili tego przedsięwzięcia, którego hasłem był przyływ morza, zalegli patrzący oba wybrzeża odnogi morskiej, częścią na przygotowanych do tego pomostach, częścią na statkach, wreszcie na obu stronach grobli drogi żelaznej.

Do przeniesienia każdej z rur użyto sześć okrętów, połączonych z sobą mocnym wiązaniem z drzewa i opatrzonych odpowiednióm do przyjęcia na siebie tego ciężaru rusztowaniem. Tysiąc robotników podzielonych na gromady pracowało około trzech ogromnej wielkości wind, nadających ruch okrętom.

Całą czynnością kierował osobiście inżynier Stephenson, na okrętach zaś kapitan Clarton ze stu majtkami.

Na dany znak flagą przez Stephensona i odgłos trąby kapitana Clarton, wspomniane sześć okrętów posunęło się pod przygotowaną rurę i takową za przyływem morza podniosło, a następnie wśród okrzyku i zdziwienia patrzących majestatycznie do filarów zbliżywszy, zwolna ją przy upływie morza w miejscu oznaczoném złożyło.

Tym sposobem postępowano z każdą z ośmiu rur składających most Brytannia, a praca ta Herkulesowa odbyła się bez żadnego wypadku.

Trzeci i ostatni peryód robót stanowiło umieszczenie rur na filarach w przeznaczonym kierunku, podmurowanie ich i wzajemne między sobą połączenie.

Do téj czynności użyte były ogromne prasy hydrauliczne, z których jedna uległa zaraz ciężarowi rury.

Pęknięcie dna cylindra prasy w czasie podnoszenia rury spowodowało uszkodzenie jéj części spodniéj i było przyczyną, że inżynier Stephenson zmienić musiał we wszystkich prasach kształt dna płaskiego w cylindrze i kształt tłoka, na kulisty.

Po ukończeniu nareszcie robót tym ostatnim peryodem wskazanych, ułożeniu wewnątrz rur podłogi, a na niéj kolei żelaznych, stanął w całej swéj okazałości ów zadziwiający i piérwszy w swoim rodzaju most.

Jakkolwiek rachunek techniczny upewniał o jego mocy i wytrzymałości, brakowało mu jednak dotąd siły moralnéj, to jest przekonania ogółu, że tak wąta napozór budowa odpowie w zupełności swemu przeznaczeniu.

Dzień 5 marca r. 1850 był dniem wskazanym na odbycie prób nad mocą i wytrzymałością mostu; było dzień, w którym pewność zajęła miejsce niedowierzania i wątpliwości, dzień tryumfu i chwały dla Stephensona.

W dniu tym niezliczony tłum ciekawych wraz z znakomitemi technikami i uczonemi otoczył most Brytannia.

Znaczna liczba znawców udała się na statki, ażeby rozmaitemi narzędziami optycznemi, ze środka odnogi morskiéj uważać na najmniejszy ruch, jaki by nastąpić mógł w budowie. O godzinie wpół do siódméj zrana, zbliżyły się do otworu mostu rowowego trzy ciężkie razem sprzęgnięte lokomotywy: Cambrya, Dawid i Pegaz. Waga tych trzech lokomotyw wynosiła razem 1,800 centnarów.

O godzinie siódmój, Stephenson wsiadłszy na pierwszą lokomotywę, sam poprowadził wszystkie trzy razem na most.

Ponura cichość nastąpiła między patrzącemi; każdy z niepewnością i trwogą zdawał się śledzić postęp lokomotyw, które ukryte wewnątrz rur, dymem tylko i parą wychodzącą otworami, wskazywały miejsce swego pobytu i przejścia.

Lokomotywy te prowadzone były z prędkością dwóch mil angielskich na godzinę, a zatem prędkością wolno postępującej osoby.

Na środku każdej rury Stephenson zatrzymywał pociąg. Przejście przez most trwało minut 10, a obserwatorowie najmniejszego ugięcia lub ruchu w budowie, narzędziami swemi dostrzedz nie mogli.

Do drugiej próby z powrotem przez most, przypięto do wspomnianych wyżej lokomotyw 24 wagony naładowane węglem kamiennym, których ciężar wynosił 6,000 centnarów.

W przejściu tego pociągu przez most z prędkością 8 do 10 mil angielskich na godzinę, nie dostrzeżono również najmniejszego ugięcia lub ruchu w rurach.

Zaledwie pociąg ten minął most, nadzwyczajny okrzyk radości zgromadzonego ludu, był dowodem wzrastającej w nim ufności w moc i wytrzymałość téj budowy.

Do trzeciej próby użyto pewną liczbę wagonów naładowanych węglem kamiennym, których ciężar 4,000 centnarów wynosił. Wagony te zaprowadzono na środek jednej z rur większych i pozostawiono przez godzin dwie. Obciążenie to rury ciężarem martwym, zrzuciło w niej ugięcie się w środku dochodzące do 0,4 cala.

Z ugięcia tego wszakże Stephenson powziął przekonanie, że rura jego mostu, bez doznania najmniejszego w nitowaniu blach uszkodzenia, mogłaby się do 13 nawet cali w środku opuścić.

O godzinie 12 w południe, nastąpiła czwarta i ostatnia próba. Do trzech lokomotyw z wagonami obładowanemi 4,000 centnarów węgla, przypięto 30 do 40 wagonów, w które wsiadło 600 do 700 osób. Byłto prawdziwie wspaniały i zajmujący widok, kiedy cały ten pociąg tak długi jak sam most rurowy, przy śpiewie hymnu: *Rule Britannia.....*, wpośród okrzyku zgromadzonego ludu, przy huku dział z mnóstwa okrętów na odnodze sto-

jących przebiegł most, i pierwszy dopiero raz przybył do stacji miasta Holyhead na wyspie Anglesea, gdzie również powitany został z okrętów w przystani morskiej stojących.

Po umieszczeniu pierwszych rur na filarach mostowych, powzięte zaraz zostało bliższe przekonanie o skutkach wpływu atmosfery na powierzchnię rur, a szczególnie o działaniu wiatrów.

Nadzwyczajny orkan wiatru, jakie w tamtych stronach często w porze wiosennej się przytrafiają, z prędkością 18 mil niemieckich na godzinę i siłą 33 funtów na stopę kwadratową działający, wywierał ciśnienie na ścianę boczną każdej rury wyrównywające 4,000 centnarów wagi.

Przypuściwszy zamiast 33 funtów, 50 funtów ciśnienia na 1 stopę kwadratową, wypadłoby na ścianę boczną rury 6,200 centnarów ogólnego parcia wiatru, a zatem mniej, niż  $\frac{1}{6}$  wagi całej rury, która, jak się już wyżej powiedziało, 40,000 centnarów wynosi.

Dla wszelkiego jednak bezpieczeństwa i trwałości, leżące obok siebie rury, mocnym ankrowaniem wzmocnione zostały.

Czas czteroletni do budowy mostu wyżej opisanego użyty, w porównaniu czasu, jakiego tego rodzaju budowie zwykle wymagają, nadzwyczajnie był krótki.

Most łańcuchowy telfordski wymagał 8 lat czasu do swego ukończenia, a cóż powiedzieć o innych tunelach lub mostach, jakich piękne i liczne wzory Anglia posiada.

Ośmiu tylko ludzi, i to po większej części skutkiem własnej nieostrożności postradało życie przy budowie mostu rurowego, gdy tymczasem przy wykonywaniu innych podobnych dzieł, przypadki śmierci robotników nierównie bywają liczniejsze.

W pomyśle mostu rurowego Stephensona, widzimy z prawdziwym talentem inżyniera pokonane wszelkie trudności, jakie miejscowość przedstawiała; widzimy w nim nowe i obszerne pole do licznych zastosowań: pogląd jednak estetyczny na tę nadzwyczajną i szczególną w swoim rodzaju budowę, oprócz podziwu nad jej kolosalnością, nie przyzna nigdy, aby ona mogła sprawiać to zachwycające wrażenie, jakiego każdy doznaje patrząc i przebywając okazały most odkryty.

Przejeżdżający mostem rurowym Brytannia nie widzi wcale, że się znajduje na 200 przeszło stóp wyniesiony nad morzem, że przebywa odnogę, po której w tej samej chwili tysiące żagłów

przepływa, stracił nadto odrazu widok jasnego dnia, a z nim i cały urok podróży.

Wątpić jednak nie możemy, że budowla tego rodzaju na drodze ciągłego postępu, osiągnie z czasem pożądane pod tym względem ulepszenia.

Do niniejszego opisu mostu rurowego Stephensona, dołączamy rysunek, wyobrażający widok i przecięcie poprzeczne rury, w chwili przejazdu pociągu drogi żelaznej.



# CÓRKA POETY.

POWIĘŚĆ.

---

Droga wiedząca z Kutna do Łęczycy sunęła szybko parokonna pocztowa bryczka. Odgłos trąbki rozlegał się po obszerném polu, przerzniętém zaledwie małym dębowym laskiem. Złote kłosa dojrzewającej pszenicy kołysały się na niwie po obu stronach drogi. Opoдал nieco, żyto poukładane w kopy, wznosiło się w długich szeregach, a bydło bujało ochoczo po rżysku, karmiąc się pozostawionym gdzieniegdzie kłosem, lub bujną trawą, zieleniejącą wpośród rżyska. Wielkie półtoraczne wozy, ciągnięne w cztery konie toczyły się zwolna polem ku stodołę, a dziarskie parobczaki potrzaskując długim biczem, śpiewali mazowieckie piosenki, kończące się za każdą zwrotką ulubionym okrzykiem: dana! dana!

Pod samą wsią, do której zdążała pocztowa bryczka, gromadka ludzi dożywała żyta na polu. Robota szła z niesłychanym pośpiechem, bo słońce chyliło się właśnie ku zachodowi, a kilka jeszcze zagonów pozostało nietkniętych sierpem; karbowy siedział na przewróconym snopie, paląc krótką fajeczkę.

Na odgłos trąbki pocztowej dziewczęta podniosły głowy pochylone ku ziemi, otarły z potu uznojone czoła, odgarnęły włosy i popatrzały chwilę.

— No zwawo, zwawo dzieci! — zawołał karbowy łagodnie, — wszakże wiecie zem przyrzekł naszej pani, że dziś dożniemy resztę żyta. Pan Bóg dał przecież pogodę, trzeba łapać co można.

— Oj! to téz spieszywa się co siły — odparła młoda jeszcze kobieta, zajmując sierpem dobrą garść zboża. — Boć tézto dla takiej pani jak nasza, nie żal człowiekowi pracować, ba! i krwi zpod serca nie pozatowałoby się w potrzebie.



— Bogać nie — odparła podeszła Frąckowa — Oj! nie wszędzie to tak, jak w naszej wiosce. Pan Bóg miłościwy nad nami sierotami: roboty ma człowiek zawsze podostatkiem, jak przyjdzie przednówek, to jest za co kupić kawałek chleba, a choć ci wej zabraknie, to pójdiesz do dworu jak do swojej własnej komory.

— To téż ludzie trzymają się Zadola — rzekł gospodarz Paweł, nie przerywając pracy — bo i dlaczegóżby się trzymać nie mieli, kiedy ci tu jak u Pana Boga za piecem. Zimą znajdzie się i gałązka na ogień, latem pastwiska dostatkim dla bydła i trzody, w czasie nieurodzaju zapomoga, w chorobie lekarstwo i rada, a zawsze dobre słowo i święta sprawiedliwość. Oj dzieci, dzieci, powinniście na kolanach Panu Bogu podziękować za waszą dolę!

— Toć my téż i nie narzekamy! mój gospodarzu — odparł młody Franek — ale powiedzta sami, czy to tak wszędzie być nie powinno? Pan Bóg przecie dał wszystkiego podostatkiem dla wszystkich, jeno ludzie jakoś popsuli: jedni wzięli zawiele, to téż nie dziwota, że drugim zostało się zamało.

— Powinno, powinno — pomrukiwał Paweł pod nosem — juźcić zapewne że powinno, ale czyto zawsze na świecie tak się dzieje jak się dzieć powinno. Koniec końcem, u nas lepiej jest jak gdzieindziej; dziękować za to Panu Jezusowi i Matce Najświętszej, a prosić ich Majestat o najdłuższe zdrowie i życie naszej pani.

— Oj prosiemyć-wa, prosiemy, co dzień rano i wieczór — przerwała Frąckowa — cóż, kiedy jakoś Pan Jezus prośb naszych słuchać nie chce. Byłam wczoraj rano we dworze, widziałam naszą panią jak się krzątała koło ogrodu, ale jakoś niedomaga niebożatko: taka blada i chuda, istny trup.

— Wiécie co dzieci — rzekł Paweł — złóżwa się po parę groszy, toćto przecie nikogo nie zuboży, a jak jeno sprzątniewa co pilniejsze, to pojedziem z księdzem proboszczem do Topoli. Może téż Matka Najświętsza cudowna weźmie nas sieroty pod swoją opicę, i powróci zdrowie naszej kochanej pani.

— Święte wasze słowa gospodarzu — odparła Frąckowa — ale spieszcie się, radzę wam, bo już chyba jeno Pan Bóg może wszystko przemienić na dobre; ludzie tu podobno niewiele poradzają.

To mówiąc, podeszła niewiasta otarła nieznacznie łzę płynącą po zwiędłym licu, grubym rękawem od koszuli.

Bryczka tymczasem zbliżała się do wsi szybkim kłusem. Pocztylion przygrywał na zwykłą nutę. Na bryczce siedział mężczyzna około trzydziestoletni, znaczących pociągłych rysów twarzy, ale blady i nieco zamyślony.

Na tle zrumienionego blaskiem zachodu nieba rysowała się niewielka wioska, rozrzucona małowniczo po obu stronach drogi.

Chaty wieśniacze nikły w cieniu grusz, śliw i jabłoni, okalających je z trzech stron. Jedną stroną tylko każda z nich dotykała do podwórka zagrodzonego płotem, które służyło gospodarzom za skład drzewa i różnych porządków rolniczych. Lekki dym unosił się ponad wioską, połączony z mgłą wieczorną. Na prawo wznosiła się szara wieżyczka drewnianego kościołka, otoczonego wiejskim cmentarzem, na którym wpośród pomniejszych krzyżyków i mogił, odznaczał się krzyż kamienny, napół ukryty w cieniu zielonych świerków. Na szczycie stariej gruszy spoczywało gniazdo bocianie, puste obecnie, bo chwilowy jego mieszkaniec uleciał niedawno do cieplejszych krajów. Z lewej strony wioski, na wzgórzu, rysowały się rozłożyste śmigły wiatraka, a blisko niego przy drodze stał krzyż pochylony laty. W głębi, naprzeciwko drogi, widać było zdala biały niewielki dworek o czterech oknach, z zielonemi okiennicami; przed nim ładne podwórze, pokryte jak kobiercem bujną zieloną trawą, osadzone po bokach krzewami, okrążone żywopłotem ze strzyżonej wierzbiny; za dworkiem zaś rozciągał się dosyć obszerny ogród, zakończony strugą płynącą wśród pięknej olszyny. Ładną to była wioska, choć przyroda nie była dla niej szcudrzejszą, jak dla innych w okolicy. Ale tu co krok znać było rękę baczną i smak wykształcony. Wyniosłe topole otaczały spichlérz, stodoły i inne gospodarskie budowle. Droga idąca środkiem wsi wysadzona była akacją i jarzebiną uwieńczoną w pęki korali, jaśniejące w tej chwili całym swym blaskiem. Ptastwo zbiegało się do dojrzałych jagód, i szczebiotaniem swoim dodawało życia owój cichój i nadobnej ustroni.

Zadole od lat wielu należało do niezbyt zamożnej rodziny Z.... Poprzedni właściciele owój wioski znani byli w okolicy jako ludzie prawi, poczciwi, przyjacielscy, a nadewszystko dobrzy i łagodni dla włóścian, wyrozumiali na ich potrzeby, nie chciwi na korzyści okupione krzywdą ludzką, lub też zbyt uciążliwą pracą i znojem. Kilka lat temu umarł właśnie ostatni właściciel

Zadola sędzia Z. pozostawiwszy żonę i jedyną córkę, która obecnie zostawała w posiadaniu wioski.

Joanna w siedemnastym roku wkrótce po śmierci ojca poszła za młodego Waclawa. Sędzia krzywem okiem patrzył na ten związek. Długo, długo nie chciał dać przyzwolenia, a na końcu pokonany prośbą córki i żony przystał, ale niechętnie. W chwili śmierci nawet nie okazał się łaskawszym; skonał zanim się namyślił dać ostatecznie błogosławieństwo narzeczonemu. Nie odstręczało go bynajmniej ubóstwo Waclawa, ostrzegał go raczej jakiś niewytłumaczony rodzicielski instynkt, który mówił mu wyraźnie, że jego Joasia nie będzie z Waclawem szczęśliwą.

Po kilkoletniem pożyciu, Waclaw umarł na aneurizm serca. Joanna pozostała sama z małą córeczką Wandzią. Sędzina, która po zamęciu córki zamieszkała w Warszawie, na jej usilne prośby i nalegania przeniosła się do Zadola. Minęło już lat sześć od śmierci Waclawa; mała Wandzia tylko co zaczęła jedenasty rok życia.

W chwili o której mowa, Joanna siedziała na ławeczce przed dworem, otulona w watowany płaszczyk, mimo że wieczór ciepły był i pogodny; twarz jej blada była i wynędzniała, czoło porysowane przedwcześnie, kilka zmarszczek okrążyło jej ciemne i piękne oko, płonące dziwnym blaskiem. Obok niej siedziała podeszła sędzina, przebierając zwawo drutami od pończoszki. Milczały obiedwie, tylko krótki kaszel Joanny przerywał co chwila głęboką ciszę. Nieco opodal na miękkiej murawie, siedziała dziesięcioletnia Wandzia. Oko błękitne dziewczęcia ścigało ostatecznie promienie słońca, przebijające różowo zpoza obłoków, rozproszonych po niebie jakoby złote stada gołębi. Smutna była i zamysłona, spoczywała nieruchomie, drobne ręce splotła na piersi, a rysy dziecięcej jej twarzyczki zapowiadały myśl rozwijającą się przedwcześnie.

— Wandziu! Wandziu! — zawołała sędzina — przeleć się aniołku po podwórzu. Złap oto jakiego ładnego motyla, a tyle ich w południe latało tu dokoła.

— Motylki śpią babulku — odparło dziecko — przytuliły się do gałązek róży: poco im przerywać spoczynek.

— To idź do ogrodu, urwij ładnych kwiatków i postaw w szklance na stoliku mamy.

— Pozwól im babciu droga, niech sobie kwitną w ogródku, im tam tak dobrze i miło. Nieprawdaż mamu kochana?

Joanna uśmiechnęła się smutnie, i w miejscu odpowiedzi, objęła tklawie okiem jasnowłosą dziewczynkę.

— Ależ tak siedzisz, mój aniołku; w twoim wieku trzeba koniecznie ruchu i zabawy—rzekła sędzina.

— O! moja babciu, mnie tak miło jak poglądam w to prześliczne niebo, gdzie, jak powiadasz sama, mieszka Pan Bóg z aniołkami. A jeszcze dziś, patrz, jakie piękne, jaki blask różowy bije z owego okienka, które aniołowie zamkną za chwilę.

— Z jakiego okienka? moja Wandziu.

— A czyż to słońce nie jest okienkiem nieba — odparła dziewczynka. — O jakże tam być musi wewnątrz, kiedy przez okienko tyle bije blasku i ciepła!

— Mylisz się, moje dziecię; słońce to takie ciało, jak i ziemia.

— Żartujesz babciu—odpowiedziała dziewczynka z uśmiechem—tu tak czarno i zimno, a tam tak jasno i cudnie, i mogłoby to być jedno? Nie gniewaj się babciu, ale ja ci nie wierzę.

— Uwierzysz moje dziecię, jak będziesz starsza, jak wyższa nauka dostępną będzie dla twego umysłu.

— O! już ja wolałabym nic nie umieć, jak wiedzieć że słońce to nie okienko od nieba. Mój Boże, a ja się tak cieszyłam myśląc sobie, że może Pan Bóg tém okienkiem wygląda czasem na swoje ziemię, i patrzy na nas sam niewidzialny.

I twarzyczka dziewczynki posmutniała widocznie; spojrzała w ziemię, a cień długich rzesów odrysował się w dwóch ciemnych półłukach na białém tle jój lica.

— Poetka!—rzekła półgłosem sędzina, skinęła smutnie głową i ciężkie westchnienie wy dobyło się z jój piersi.

— Biędna, biędna poetka!—powtórzyła Joanna, i łza zabłysła w ciemném jój oku.

W téj chwili trąbka pocztowa odezwała się opodal. Turkot zrazu słabo, niewyraźnie dał się słyszeć na drodze, i w kilka minut, poza żywoplotem z wierzbiny ukazała się bryczka, otoczona gęstym tumanem kurzu; skreśliła w bramę na dziedziniec, zajęchała przed biały dworek, i mężczyzna dosyć jeszcze młody, wyskoczył z niéj spiesźnie.

— Stanisław!—zawołała Joanna, wyciągając do przybyłego białą i wychudłą rękę.

Stanisław ujął ją z uczuciem, przycisnął do ust w milczeniu, rzucił okiem na zmienioną postać Joanny i westchnął ciężko, boleśnie.

— Mój Stasiu, mój dobry, poczciwy Stasiu—mówiła sędzina, całując go w głowę prawdziwie po macierzyńsku—czyż się należało tak o nas zupełnie zapominać? Jakes się zasiedziało w Warszawie, tak cię już ani zobaczyć na wsi.

— Przebacz droga ciociu, radbym był szczerze nieraz zajrzeć do Zadoła, ale obowiązki urzędowania mego zatrzymywały mnie dotąd w Warszawie; sercem jednak, wiercie mi, przebywałem zawsze z wami.

— O! my też nie wątpimy o twém sercu, mój poczciwy Stasiu—rzekła sędzina.

Stanisław tymczasem zbliżył się do Wandzi, przycisnął ją do piersi, pocałował gładkie czoło dziewczęcia, i smutnym okiem objął nadobną jej postać.

— A cóż Wandziu, nie zapomniałaś wujaszka?—zapytał tkliwie.

— Ja nigdy nie zapominam tych, których kocham—odparła z cicha dziewczynka.

Wietrzyk wieczorny zawiał w tej chwili nieco mocniej.

— Joasiu!—rzekła matka—pójdźmy do pokoju; powietrze wilgotne od rosy, może ci zaszkodzić.

— Dobrze, moja mamo—odparła młoda kobieta, i wszyscy razem weszli do pokoju.

Sędzina zaprowadziła Stanisława do bawialnego pokoju; Joanna tymczasem poszła z sieni w przeciwną stronę, a Wandzia pobięła za matką.

— Stasiu, mój Stasiu!—rzekła podeszła sędzina do siostrzeńca, ujmując jego rękę—cóż ty mówisz na stan jej zdrowia? jakżeś ją znalazł po kilku miesiącach niewidzenia?—To mówiąc, przenikliwym okiem patrzyła biedna matka w oczy zagadnionego, chcąc zbadać myśl jego tajemną.

— Bądź spokojną, droga ciociu—odparł nieśmiało Stanisław spuszczać powieki w ziemię dla ukrycia lzy krążącej mu w oku—mizerna cokolwiek, ale przecież wiek sam zwalczy chorobę.

— Wiek!—odparła matka z westchnieniem—o nie, mój Stasiu, właśnie im wiek młodszy, tém choroba tego rodzaju działa gwałtowniej; biedna, biedna Joasia!

— Ciociu, ufaj w Boga, On cię nie opuści, On wróci zdrowie twój córce.

— Powiedz raczój: On mi doda siły do zniesienia strasznego ciosu, na jaki skazała mnie wola Przedwiecznego.

To mówiąc, sędzina zapłakała gorzko. Stanisław w miejscu odpowiedzi, otarł nieznacznie łzy spływające wzdłuż meżkiego i bladego jego lica.

W téj chwili Joanna wróciła do pokoju. Łzy matki, pomieszanie Stanisława, nie uszły bacznego jój oka; udała jednak, że tego bynajmniej nie spostrzega: uśmiech nadobny rozjaśnił nawet łagodne jój rysy. Wandzia trzymała matkę za rękę.

Niedługo wniesiono świecę i herbatę. Sędzina wyręczając córkę, podała filiżankę Stanisławowi, sama wzięła drugą; Joannie nalata ziółek i wszyscy posilali się; rozmawiając swobodnie. Wandzia tylko jeść nic nie chciała; usiadła w oknie i błękitne oczy wlepiła w niebo zasiane milionem gwiazd, wpośród których księżyc w kształcie świetnego sierpa, rozsiewał srebrne promienie i odbijał jasno o krzyż blaszany, zakończający dzwonnice kościołka.

— Wandziu, Wandziu! — zawołała sędzina.

Dziewczynka drgnęła widocznie; zdało się, że przykrym jój był głos ludzki, który odrywał duszę jój z błękitnego marzenia.

— Co rozkażesz babuniu? — zapytała zwracając na sędzinę swe piękne błękitne oczy.

— Weź pończoszkę, aniolku, i siadaj tu z nami przy stoliku; a pamiętaj kochanko, że kobieta powinna sobie wziąć za zasadę w życiu, żeby nigdy ani jednej chwili nie zmarnować napróżno. Praca, Wandziu moja, to cała mądrość i cała zasługa kobiety.

— Droga babciu, albożto tracimy czas wtedy, gdy pogłędamy na świat Boży, gdy dusza nasza leci do nieba i myślą modli się do Boga.

— Nie zapewne — odparła babka z widocznym pomieszaniem — ależ moje dziecię, na wszystko jest czas właściwy. Praca nasza miłą jest także Panu Bogu.

Stanisław z smutnym uśmiechem zbliżył się do dziewczynki, ujął drobną jój rączkę i przycisnął do piersi.

— Cóż tam zobaczyła, droga Wandziu — zapytał wskazując na okno — co tak oderwało duszę twą od ziemi?

— Patrz wujaszku, patrz — odparło dziewczę wskazując na niebo iskrzące gwiazdami — jak tam pięknie, cicho i błogo. Gwiazdy, to oczy aniolków, któremi patrzą z wysokości swój na świat Boży; nieprawdaż wujaszku?

Stanisław uśmiechnął się.

— Nie, moje życie—odparł—aniołki, to czyste duchy bez ciała; oko ich nasze nie dojrzy, tylko dusza nasza czuje ich wpływ tajemniczy, dopóki sama czysta i niewinna jak one.

— O! to już ja wiem — odparła dziewczynka — gwiazdki, to zapewne łzy, któremi Pan Bóg i święci płaczą nad nędzą ludzi; nieprawdaż wujaszku?

— Nie, kochanko; w niebie wieczna panuje radość i wesele, tam łzy nieznane, bo łzy, to smutny przywilój ziemi.

— Żartujesz chyba, wujciu; a przecież Pan Bóg kocha człowieka, miałby więc nigdy nie zapłakać nad jego niedolą i nędzą? Wszakże i Chrystus był Bogiem; a płakał w ogrodzie Oliwnym, gdy się modlił do Ojca swego w niebie.

— Bo wówczas ciało ludzkie gniotło go swym ciężarem, bo był na ziemi, moje dziecko.

— Wandziu, Wandziu, dałabyś już pokój—przerwała sędzina.—Co tobie tam w to wchodzić, co robi Pan Bóg i aniołowie w niebie; nie człowieka to rzecz suszyć sobie nad tém głowę daremnie.

Joanna założywszy ręce na piersi, okiem pełném miłości i smutku patrzyła na dziewczynkę, która odeszła zwolna od okna, wzięła pończoszkę w rękę i usiadła w milczeniu opodal nieco od stolika.

— Poetka!—rzekła zcicha sędzina do Stanisława podając mu drugą filiżankę herbaty—Oj! ciężko, ciężko nas Pan Bóg dotyka. Stanisław skinął głową w milczeniu.

\* \* \*

Na drugi dzień, Joanna ożywiona przybyciem Stanisława, czuła się zdrowszą i silniejszą. Sędzina obchodziła od samego rana kobięce gospodarstwo, zastępując słabą córkę. Wandzia uczyła się zadanej przez matkę lekcji. Joanna wsparta na ramieniu młodego krewnego, wraz z nim, upatrzawszy stosowną chwilę, udała się drogą ku niewielkiemu laskowi.

Poranek był cudowny, prawdziwie letni. Ani jedna chmurka nie ćmiła jasnego błękitu nieba, wszystko na Bożym świecie oddychało błogą ciszą i spokojem. Ptastwo śpiewało ranną piosenkę, pszczoły przelatowały swobodnie z krzaczka na krzaczek, pszczoły brzęcząc wysysały miód z wonnych kielichów, zapach rozkwitłej lipiny mile nęcił zmysły: wszystko żyło, wszystko pie-

śnią lub wonią dziękować się zdawało Stwórcy, za krótkie chwile istnienia.

Długo, długo Joanna postępowała w milczeniu obok Stanisława; chciała widocznie coś mówić, ale słowa konały w jej ustach, głos nie chciał się przedrzeć z piersi. Stanisław z swęj strony lękał się być natrętnym; czuł on, że zwierzenie miało być przykre i bolesne, pragnął więc jak mógł oddalić jego chwilę.

Zaszli nakoniec do lasu; woń żywiczna sosen orzeźwiła nieco płuca Joanny, cień rzucony na ziemię rozłożystemi gałęziami dębów dodał jej śmiałości. Usiadła na zielonej murawie, posłuchała chwilę owego leśnego szumu, tak pełnego dziwnego jakiegoś uroku, powiodła okiem po owych białych brzozech chylących ku ziemi płaczące swe gałęzie; nareszcie po krótkim namyśle, zebrawszy dostateczną siłę, wyciągnęła do Stanisława drżącą i wychudłą rękę.

— Przybyłeś bracie na wezwanie moje — rzekła zcicha — dzięki ci za to.

— Każdęj chwili, Joanno, gotów jestem i będę na wezwanie twoje; rozkaż tylko, a uczynię czego zażadasz.

— Bracie! — rzekła młoda kobieta spuszczaćc oczy ku ziemi — Bóg policzył dni moje: niewiele mi ich pozostaje. Wezwałam cię jedynie, chcąc ci oddać w opiekę dziecię moje, moje biędną Wandę.

— Porzuc te smutne myśli, siostró ukochana. Bóg pozwoli ci życia, nie wątpię o tém; będziesz jeszcze patrzeć na szczęście twojęj córki.

— Bóg oszczędzi mi widoku jęj łez i niedoli — odparła Joanna zcicha, lecz stanowczo. — Tak Stanisławie, czuję śmierć tu w piersi mojęj; chwila krótka, a zerwie się wątła nić życia, która mnie jeszcze wiąże do ziemi.

— Jeżeli taka wola Przedwiecznego — odparł smutnie Stanisław — czemu, przebacz Joanno, ale wierzyć nie mogę: wówczas bądź pewną siostró, Wanda znajdzie we mnie ojca.

— Nie wątpię o tém, bracie drogi, dlatego tęcz śmiało udałam się do ciebie. Ale Stanisławie, uprzedzić cię powinnam, że ciężki, bardzo ciężki obowiązek wkładam na twoje barki. Wanda nie jest takiem dzieckiem, jak inne: wyobraźnia jęj chorobliwa odrywa ją nieustannie od ziemi, a pcha ją w krainę dumania i poezyi, gdzie nie ma podobno szczęścia, zwłaszcza dla kobiety.



Wanda, to wierny obraz Wacława — dodała drżącym i cichym głosem.

— A przecież Wacław uszczęśliwić cię potrafił, droga siostrze—odparł Stanisław—a przecież sam był szczęśliwym.

— Stanisławie—rzekła Joanna zwolna, uroczyście—na grobie męża poprzysięgam wieczne milczenie; serce moje było do tej chwili grobem, w którym cicho, tajemniczo spoczywały dotąd lzy moje, cierpienia i zawody. Dziś po raz pierwszy postanowiłam ci uchylić ową zasłonę, i nie mam wyrzutu, bo czynię to jedynie dla szczęścia mego dziecka, dziecka Wacława.

— Jakto? tyś nie była szczęśliwą Joanno?—zapytał zdziwiony Stanisław—byćże to może?

— Byłam szczęśliwą, bracie, ale niestety zaledwie krótką chwilę. Ojciec umierając nie dał mi błogosławieństwa, o które błagałam ze łzami, klęcząc z Wacławem u stóp jego łóża; to też i Bóg odmówił w życiu pociechy. Wacław był poetą: duch jego krążąc w nadziemskich sferach nie umiał się zniżyć do potrzeb codziennego życia. Wychowanie moje, jak wiesz, skromne było i proste, umysł mój nie sięgał daleko; ale serce moje było żywo i gorąco, sercem odgadywałam szczytne marzenia Wacława. Jemu to jednak nie wystarczało. W kilka miesięcy po ślubie—dodała, coraz bardziej drżącym i zmienionym głosem—uczulam wyraźnie, że miłość męża mego stygnąć zwolna poczyną, i zamienia się nie w tkliwą przyjaźń jak zwykle, ale raczej w chłodną obojętność, a kto wie czy nie w pogardę. Wacław kochał we mnie ideał, który w własnej wymarzył duszy; bliższe pożycie związało urok, który mnie niegdyś w oczach jego otaczał. Ileżto ja wylałam łez gorzkich, błagając Boga, aby oświecił mój umysł, aby mnie uczynił godną miłości Wacława. Wszystek czas, zbywający od koniecznych zatrudnień domowych, poświęcałam nauce. Postępowałam codziennie, myśl moja wznosiła się coraz wyżej, koło wyobraźni mojej rozprzestrzeniało się nieskończenie, ale Wacław już tego nie dostrzegał. Już serce jego ostygło dla mnie na zawsze, ja zaś wobec niego nieśmiała i drżąca, nie umiałam nawet dać poznać rzeczywiściej mojej wartości.

Urodzenie Wandzi wzmocniło nieco osłabiony już węzeł. Zdawało mi się chwilę, że Wacław kocha mnie więcej niż kiedy. I znów byłam szczęśliwą, szczęśliwą bez miary. Ale było ostatni odblask zachodzącego słońca. Miłość moja, której nie umia-

łam być panią, znudziła Wacława. Wówczasto właśnie wydrukowano jego prace, które zyskały poklask powszechny. Dawni znajomi i przyjaciele wczwiali go do Warszawy. Wacław wyjechał zostawiwszy mnie samą, łzami oblewającą kolebkę dziecka. Biedna Wandzia wraz z mlékim ssała z piersi mojej ból i gorycz zawiedzionego i znękanego serca. Zdrowie dzieciny wątłe było i słabe: drżałam nieustannie o jój życie. Warszawa, jak wiiesz, świetnie przyjęła Wacława: pisma i dzienniki brzmiały pochwałą jego pracy. Odblask sławy jego spadał i na mnie, ależ o Boże! jakże gorzko okupiłam jego sławę! Wyprawiano dla Wacława uczy, zabawy i wieczory; kobiety ubiegały się na wyścigi o każde jego słowo lub spojrzenie. Jedna z nich nawet, piękna i rozumna, a nadto próżna i lekkomyślna, opanowała umysł jego tak skłonny do wrażeń. Wacław powrócił: wybiegłam naprzeciw niego niosąc na rękę moję małą Wandzię. Powitał mnie obojętnie, dziecię popieścił zaledwie. Odtąd smutny był, zimny i milczący. Z większym niż kiedykolwiek zapalem oddał się literackiej pracy; poranki całe trawił w swoim pokoju, wieczory i nocy przesiadywał przy biurku, otoczony zapyłonemi księgami i rękopisami. Gospodarstwo szło źle i niedbale. Książki i ryciny pochłaniały zbyt wielkie na nasz majątek summy. Znaglona koniecznością, bacząc na przyszłość biednej Wandzi, musiałam wyjść z obrebu właściwego kobiecie: musiałam się zająć nietylko zarządem domowym, ale nadto rolą i interesami. Okoliczność ta więcj jeszcze oddaliła odemnie Wacława. Żyliśmy obok siebie, obcy prawie i samotni. Wacław nie domyślał się nawet, co się dzieje w mojej duszy. Co do mnie, godziłam się z życiem jak mogłam, poświęcając Bogu łzy moje i boleści.

— Biedna, biedna Joanno! tyś cierpiała, a my wszyscy mniemaliśmy żeś szczęśliwa; matka twoja nawet nie wiedziała o niczém.

— Domyślała się ona wprawdzie że serce moje cierpi, widząc mnie niktąca prawie codziennie; ale cicha i pobożna, składała u stóp krzyża nieszczęście, na które nie było ratunku. Praca zbyteczna nakoniec (ciągnęła Joanna), obok wewnętrznego udręczenia i niepokoju, strawiła Wacława: umarł z piórem w rękę, skutkiem pęknięcia żyły w sercu.

Tu młoda kobieta otarła łzy, płynące po bladém i zapadłym licu.

— Po śmierci jego — dodała z cicha — znalazłam między papierami listy téj, która mi odebrała resztę mojego szczęścia. — To mówiąc zaszlochała głośno.

— Biedna, biedna Joanno! — rzekł Stanisław z westchnieniem, cisnąc do ust skostniałą rękę młodej kobiety.

— Wówczas dopiero otworzyły mi się oczy — mówiła dalej Joanna — nie wiedziałam bowiem wcale o słabości Wacława. Chłodną jego obojętność brałam dotąd za skutek zbytowego zamiłowania pracy; mniemałam, że sztuka jedyną jest moją współzawodniczką; przekonałam się, że było inaczej. Com cierpiała, Bogu to tylko wiadomo. Bóg uchronił mnie od rozpacz, Stanisławie — dodała po chwili — u stóp jego złożyłam wieniec uwity z cierni życia, ale zdrowie moje stargało się nazawsze; dotąd wiek młody walczył ze zbliżającą się śmiercią, dziś zrywa się nić nazbyt długo wyteżona.

Stanisław w miejscu odpowiedzi ocierał nieznacznie łzę, wydzierającą się gwałtem spod powieki.

— Bracie, oto wszystko, co ci powiedzieć miałam: czuwaj nad moim dzieckiem, czuwaj nad biedną Wandą. Odziedziczyła ona burzliwy umysł ojca, marzącą jego duszę. Zwracaj zawczasu myśl jój młodocianą do Boga i religii. Nie wydzieraj jój nazbyt gwałtownie z krainy poezyi, w której jój tak błogo i dobrze, jak to czyni niebacznie matka moja. Podrażniony umysł tém bardziej lgnie do tego, czego mu bronią. Wskaż jój raczej bracie, że poezya nietylko w mglistych spoczywa obłokach, ale że ziemia cała zarówno jój przybytkiem; że i na niój rosną kwiaty, które pielęgnować i sercem ukochać należy. Bracie, w twoje ręce oddaje dziecię moje; przyrzecz mi, że jój nie opuścisz, a wówczas umrę spokojna.

— Nigdy, nigdy Joanno! Dziecię twoje będzie dzieckiem moim. Bądź spokojną, biedna, biedna kobieto!

— Dziękuję ci, drogi bracie, wierny przyjacielu!  
Milcząc oboje, zwolna wrócili drogą ku domowi.

\* \* \*

W kilka dni potem Stanisław odjechał do Warszawy.

— Bracie — mówiła słabym i ledwie dosłyszonym głosem do odjeżdżającego — nie zapomnij twego przyrzeczenia.

— Nie czyn powątpiewaniem krzywdy sercu memu—odparł Stanisław zeicha.

— Podaj mi bracie rękę, bo to już podobno raz ostatni.

To mówiąc, ścisnęła z uczuciem rękę krewnego. Stanisław chciał coś odpowiedzieć, ale słowa pociechy skonały mu na ustach, gdy rzucił okiem na wychudłą i woskowej bladości postać Joanny, podobniejszej do grobowego zjawiska, niżeli do żyjącej istoty. Zbladł tylko, zadrżał, łzy stanęły mu w oczach i wskoczył czémprędzej na bryczkę, chcąc ukryć pomieszanie przed oczyma obecnych.

Joanna po odjeździe Stanisława czuła się coraz słabszą: siły opuszczać ją widocznie zaczęły; krzepiła się jednak jak mogła, nie chcąc zdzierać ostatecznej zastony z oczu sędziwej matki, która z swój strony tajiła przed córką boleść, dręczącą macierzyńskie jéj serce.

\* \* \*

Żniwa zbliżały się do końca. Już resztę pszenicy zwieziono do stodoły; pozostało już tylko na pniu nieco późnego owsa i jęczmienia. Paweł najstarszy gospodarz wioski, naradziwszy się z Frąckową, umyślili przywieść do skutku zamierzoną pobożną pielgrzymkę do Topoli. Zajęli się więc oboje zbieraniem składki na wotywę i świecę do Najświętszej Panny, za pomocą których mieli nadzieję okupić zdrowie dobrej pani. Każdy we wsi, nie wyłączając i najuboższych, przyłożył się chętnie do ofiary; a w niedzielę ksiądz proboszcz ogłosił z ambony, że da Bóg doczekać w następny czwartek, pójdzie sam na czele pobożnej gromadki.

Nadszedł czwartek. Od samego świtu włościanie z Zadola, niewiasty i dziewczęta gromadzić się poczęli za bramą na drodze; proboszcz miejscowy stał na ich czele. Pobożna sędzina wyszła ze dworu z głową pochyloną pod brzemieniem smutku i troski, prowadząc za rękę małą Wandzię. Połączyła się z gromadką witając ze łzą w oku poczciwych włościan, skłaniających się do jéj kolan. Ksiądz proboszcz zaśpiewał drżącym nieco głosem:— *Pod Twoję obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko!*—wszyscy chórem śpiewali dalsze słowa modlitwy; zjednoczone głosy płynące z rosą poranną, rozlegały się po obszerném błoniu, a echo niedalekiej dąbrowy powtarzało je stokrotnie.

Poranek dnia tego był cudowny; lekka mgła unosiła się ponad okolicą. Minąwszy przyległy las, pobożna nasza gromadka

ujrzała się w niezmięzionej okiem przestrzeni, wśród której sianiały przymglone mury oddalonej o mil kilka Łęczycy. Na lewo odznaczały się na bladym tle nieba dwie wyniosłe wieże kollegiaty tumskiej, bliżej nieco sterczała góra Świętej Małgorzaty uwieńczona maleńkim kościołkiem, a po obu stronach rozciągały się szeroko-słynne łęczyckie błota, przerzniete bystrym korytem Bzury.

Okolo ósmej godziny, grono naszych pobożnych wchodziło z pokorą w niskie podwoje drewnianego kościółka. Dziadek kościelny odkrył zasłonięte oblicze Najświętszej Panny prostego pędzla, lecz według miejscowego podania słyżące rozlicznymi cudami. Zapalono na ołtarzu przyniesione w darze cztery jarzące świece: kapłan odprawił ofiarę mszy świętej, pobożny lud wznosił do nieba prostą modlitwę pełną nadziei i wiary, a usta wszystkich powtarzały, wskazując na klęczącą u stóp ołtarza Wandzię:—Matko Najświętsza! nie zostawiaj jój sierotę!

Nie podobało się jednak Bogu wysłuchać modłów wdzięcznego ludu. Joanna w miesiąc potem skonała, tuląc jedną ręką rękę sędziwej matki do zapadłej piersi, drugą zaś składając na jasnej główce Wandzi, podczas gdy kapłan odmawiał akty przy konających, a pobożni włościanie klęcząc kornie pochyleni, błagali Majestat Boski już nie o zdrowie swój dobrej pani, ale o wieczny i rychły pokój jój cnotliwej duszy.

\* \* \*

Stanisław powróciwszy z Zadola do Warszawy, podał się natychmiast o uwolnienie ze służby, którą pełnił w sądownictwie od lat kilku. Przewidując zbliżającą się smutną chwilę, w której będzie zmuszonym uczynić zadosyć przyrzeczeniu danemu Joannie, postanowił uwolnić się z uciążliwych obowiązków, któreby mu stanęły na zawadzie do sumiennego zajęcia się wychowaniem sieroty. Gdy go więc doszła wieść o śmierci ciotecznej siostry, wyjechał spiesznie do Zadola, zajął się pogrzebem, powrócił na czas krótki do Warszawy, a urządziwszy ostatecznie własne interesa, opuścił miasto nazawsze. Do następnego świętego Jana umyślił mieszkać wraz z ciotką w Zadolu; później zaś chciał zadzierżawić w sąsiedztwie maleńką wioseczkę, aby nie spuszczać z oka ani na chwilę powierzonego mu skarbu.

Nadeszła niebawem zima. Sędzina uspokajając się zwolna zaczęła, godząc się z wolą Stwórcy. Oko jój zachodziło często jeszcze łąką gorzką i bolesną, ale usta nigdy żadnej nie wymówiły skargi. Biedna Wandzia zrazu wybladła, wychudła i co chwila

zalewała się łzami na wspomnienie matki; ale czas i ciągle zajęcie pod troskliwem okiem Stanisława, przyniosły jój nakoniec błogie zaspokojenie.

\* \* \*

Cicho, spokojnie, jednostajnie upłynęło lat cztery, a żadna zmiana nie zaszła w Zadolu. Wandzia coraz bardziej z dziecka wyrastała na dziewicę; sędzina tylko pochyliła się kuziemi pod brzemieniem lat i troski, a pan Stanisław wyłysiał, spowaźniał, i reszta pozostałych włosów pokrywać się poczęła siwizną.

Sędzina znać niezupełnie była zadowoloną z kierunku, jaki brało wychowanie Wandy. Pragnęłaby była zawieźć ją na czas jakiś do Warszawy, dla nadania jój pewnego poloru i oglady, i oddawna już zbierała się, aby o tém stanowczo pomówić z Stanisławem.

Dnia jednego o szaręj godzinie, siedzieli oboje przy kominku. Sędzina robiła pończoszkę podług zwyczaju, Stanisław poglądał w dogorywający płomień.

— Mój Stasiu — rzekła podeszła niewiasta przystępując odrazu do rzeczy — trzebabyto na seryo pomyśleć o dalszém wychowaniu Wandy. Dziewczyna rośnie jak na drożdżach; dzięki tobie przybywają wprawdzie ile-tyle nauki w głowę, ależ przyznaj sam, że oprócz nauki, trzeba przecież trochę oglady, trochę otarcia w świecie, a i talencik jaki-taki nie zawadziłby dziewczynie. Rysuje wprawdzie niezłe, ale co do muzyki, nie ma o niéj wcale wyobrażenia; a i po francuzku nie potrafiłaby się zapewne rozmówić jak należy.

— Przebacz droga ciociu — rzekł Stanisław całując rękę sędziny — że ci śmiem stawić opór; ale winienem przedewszystkiém uczynić zadosyć wewnętrznemu memu przekonaniu. Co do mnie, nie sądzę, ażeby kobieta przeznaczona na to, aby całe życie spędziła w wiejskiej zaciszy, potrzebowała koniecznie mówić paryzkim akcentem po francuzku. Język przecież zna dokładnie; piérwsze dzieła francuzkiej literatury, dziś już nie są jój obcemi; rozumie doskonale, co czyta; w razie potrzeby potrafi nawet napisać list bez błędu, a jeżeli uchybi niekiedy przeciw warunkom czystej wymowy, wierz mi ciociu, nie w tém tak dalece zdrożonego.

— Już cię ja nie mówię, żeby to była zbrodnia względem społeczeństwa — odparła sędzina zażywając tabakę — ale widzisz mój

kochany, świat wymaga tego od kobiety, a i wymaganiom jego, choćby i trochę niedorzecznym, uczynić niekiedy zadosyć wypada.

— Co do mnie, wcale nie widzę tego potrzeby— odparł Stanisław— owszem, za bardzo błędne w wychowaniu zwłaszcza kobiety uważam, zbytek stosowanie się do wymagań świata. O! wierz mi ciociu, więcej ztąd wypływa złego, niż się napozór zdaje. Cóżbyśmy powiedzieli o ogrodniku, któryby pielęgnując drzewa w sadzie, zwrócił głównie uwagę na to, aby kwiat bujny wydały, nie troszcząc się o owoc? Uznalibyśmy, że szalony— i słusznie. Tak się jednakże dzieje z wychowaniem kobiet, a świat przyszedł do tego stopnia zaślepienia, że go powszechne szaleństwo razić nakoniec przestało. Ztądto tyle widzimy smutnych ofiar pomiędzy kobietami; ztąd takie ogólne rozprzężenie w społeczeństwie; ztąd tyle okropnych dla ogółu skutków. I któraż dziś kobieta potrafi stanąć wobec rzeczywistości, zmierzyć się z życiem, wyrzec się osobistego szczęścia, żyć wyłącznie życiem drugich, bez względu na siebie?— żadna, żadna; chyba ta, której nieszczęście nie oszczędziło ciężkiej chłosty, która przez wieloletnią boleść, przez łzy i tysiącne zawody, doszła przypadkiem do poznania prawdy. A ileżto zatonię wśród burzy, zanim się ręka Opatrzności, choćby nad jedną uzali, i wyrwie ją z otchłani!

Umilkł Stanisław, a oko jego ścigało gasnący płomień ogniska, oświecający słabo ściany pokoju.

Sędzina tymczasem zażywała zwolna tabakę i kiwała smutnie głową, znać niezupełnie jeszcze przekonana.

— Mój Stasiu — rzekła nakoniec — tobie nieboszka powierzyła wychowanie córki. Umierając błagała mnie ze łzami, abym się w niczym nie sprzeciwiała twój woli; czyni więc jak ci się podoba, ale nie miej mi za złe, że ci niekiedy objawiam moje zdanie. Gdyby to jednak odemnie zależało, chciałabym, żeby można wychować Wandę i dla Boga i dla ludzi.

— Tak, i dla Boga i dla ludzi— odparł stanowczo Stanisław — to jest mój cel jedyny. Ja też chcę usilnie wychować Wandę dla ludzi, ale nie po to, żeby im służyła za chwilowe bawidelko, jak tyle innych kobiet; raczej na to, żeby uczuła w własnym sercu, żeby pojęła własnym umysłem, że ją Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje, że jest człowiekiem zdolnym podzielać z drugimi brzemie życia, a nie lalką przeznaczoną do zabawy dorosłym dzieciom. O! wierz mi ciociu, ja wychowam Wandę

dla Boga i dla ludzi, choć może nie nauczę jęj mówić czystym akcentem po francuzku.

— No, mniejsza już o francuzczyznę— odparła ciotka— ale czemuż się dziewczyna nie ma nauczyć choć trochę muzyki? Przyszajże sam, że to wcale miły talent, dziś zwłaszcza tak upowszechniony.

— Moja ciociu, kto chce wszystko umieć, ten się niewątpliwie niczego nie nauczy. Życie ludzkie zbyt krótkie, czas zbyt drogi, żeby go można z równą korzyścią wielu przedmiotom poświęcić. Wanda ma znakomity dar do rysunku; do muzyki zaś żadnej nie okazuje zdolności. Brak jęj zupełnie słuchu: poco więc czas trwonić daremnie, i męczyć ją próżno nauką tego, czego się nigdy dokładnie nie nauczy?

— Czyń jak chcesz, mój Stasiu— odparła sędzina— wszakże przyrzekłam Joasi, że ci w niczém woli tamować nie będę. Co do mnie jednak, wyznam ci szczerze, że nie dałabym dziewczęciu tylu książek do czytania. Nauka nie powinna być wyłącznym zajęciem kobiety, ba! i mężczyźnie niezawsze przyniesie szczęście. Masz oto przykład w Waclawie: cóż mu z tego przyszło, że gonił za jakimciś próżnym urojeniem? Gdzież go zaprowadziły książki?— do grobu oto, do grobu mój Stasiu, a z nim i biędną moję Joasię, która choć Bogu duszę winna, niczego przecież dobrego nie użyla na świecie nieboga.

To mówiąc sędzina otarła łzę splywającą zwolna po bladém i zwiędlém licu.

— Moja ciociu, nie utrzymuję ja tego bynajmniej, żeby książka miała być wyłącznym celem życia kobiety; bo według mnie, nic wyłącznego nie powinno być w życiu ludzkim. Bóg użyczył nam wiele darów, i z każdego z nich zażąda kiedyś rachunku, każdego bowiem winniśmy użyć na chwałę jego, a na pożytek bliźnich; a potém szczęśliwsza zapewne kobieta, która życie swoje w jak najmniej zamknie kółku, której istnienia świat się nawet nie domyśla, która cicho, nieznacznie, jak wianek z drobnych kwiatków, zaplata życie z drobnych, nieznaczających wypadków. Takiego istnienia życzę z serca każdej kobiecie; ale jeżeli która z nich uczuje, że Bóg naznaczył myśl jęj piętnem wybranych, że ją przeznaczył na to, aby wskazywała innym drogę, aby dla sióstr swoich prostowała ścieżki Pańskie, aby przemówiła do nich wyjętami wprost z serca a zatém zrozumiałemi słowy: powiedzże sama ciociu, czy taka kobieta nie ma obowiązku żywić wszelkimi siłami



w duszy swojej, święte ognisko, którego promienie mają kiedyś ogrzać i oświecić drugich? Ci zaś, którzy czuwają nad wychowaniem podobnej istoty, byłiby występni wobec społeczeństwa, gdyby lękając się narazić jej osobiste szczęście, narzucać mieli jej myśli zbyt krepujące wędzidła, gdyby ją gwałtem usiłowali zwrócić z drogi, jaką jej Bóg przeznaczył.

— Prawda to wszystko co mówisz, mój Stasiu—odparła sędzina—nie przeczę ci bynajmniej; ależ nie dziw mi się mój drogi: ja ją kocham, chciałabym więc żeby była szczęśliwą.

— I ja ją kocham—odparł Stanisław—to też chciałbym, żeby odpowiedziała godnie powołaniu swemu, a wówczas dopięro prawdziwie, jak ja rozumiem szczęśliwą i zadowoloną być może.

Sędzina skinęła głową.

— Szczęśliwi—dodała po chwili—ci tylko, którzy średnią obrali drogę.

— Szczęśliwi—odparł Stanisław—ci, którym Bóg odkrywa tajnie swój woli, z których czyni narzędzie do świętych celów swoich.

Rozmowę tę przerwało przybycie Wandy; weszła smutna, cicha i nad wiek swój poważna, a błękitne jej oko jaśniało dziwnym ogniem.

— Cóż cię tak długo zatrzymało, moje dziecko—zapytał Stanisław—możem ci dać nazbyt trudne zadanie, ów rozbiór pieśni Bogdana?

— O! nie mój, wujciu; choć, jeśli mam wyznać prawdę, nie lubię rozbiorów. Myśl poety według mnie wówczas tylko świeci pełnym blaskiem, kiedy jej nie zaczniemy rozdrabniać na części: inaczey rozwiewa się cały jej urok. Błędy nawet i usterki dodają powabu niejednemu poecie, jeżeli utwór jego uważać zechcemy zbiorowo; gdy tymczasem rozebrane, są niewątpliwie błędami.

— Źle zrozumiałaś mnie Wandziu—odparł Stanisław z uśmiechem—a może ja sam złem się wyraził. Ja nie żądałem od ciebie rozbioru, ale raczej ocenienia owych prześlicznych poezyj; żądałem, abys mi wskazała ich wydatną piękność.

— O! to trudniej jeszcze wujaszku; łatwiej podobno wytknąć błędy, niż określić ów dziwny urok, jaki nas zachwyca. Łza mimowoli wywołana z oka, westchnienie bez wiedzy wydarto z serca, po których ci w duszy miło, błogo i jasno, jakby

ci ręka niewidzialna otworzyła tajniki nieznanego świata: oto jedynie godne, według mnie, ocenienie poety. Nie ma podobno słów na określenie piękności, jak nie ma słów na określenie szczęścia. O! dla mnie — dodała z zapalem — nie ma wyższego szczęścia nad to, gdy widzę myśl piękną, owiniętą w nowe, nieznanne dotąd szaty!

— Toć to jest szczęście artysty! — odparł Stanisław, a uśmiech zadowolenia rozjaśnił męzkie jego rysy.

— Artysty! — odparła Wanda. — O dałby Bóg, żebym zasłużyć kiedyś mogła na to błogosławione imię!

— Jesteś nią już w części; boć nie ten tylko artystą, kto tworzy i wysnuwa piękność, ale i ten, kto ją czuje i pojmuje.

— Dzięki ci, dzięki wujaszku! Tobiem to winna, bo ty usposobiłeś mój umysł do ocenienia prawdy i piękności.

I dwie łzy pełne i czyste jak dusza dziewczęcia, wytrysły zpod ciemnej powieki i spłynęły zwolna po zbladłym licu.

— Poetka — szepnęła z cicha do siebie sędzina, otrząsając palce z tabaki, którą zażyła w tej chwili. — Na co się to wszystko zdało? — dodała ciszej jeszcze.

\* \* \*

Wanda rozwijała się codziennie. Nadobna jej postać stroiła się nieznacznie w coraz to nowe powaby; umysł jej bogacił się skutkiem ciągłej a usilnej pracy i szczęśliwego kierunku nadanego jej przez Stanisława, a serce mimo to pozostało zawsze proste, czyste, nieskażone. Stanisław dumnym był z swego dzieła, i z czcią i poszanowaniem poglądał na piękną dziewicę, z której usiłował utworzyć ideał kobiety, o jakim marzył od lat młodych.

Upłynęło jeszcze lat kilka. Wanda zaczęła ośmnasty rok życia.

Nadeszła właśnie siódma rocznica śmierci Joanny. Od samego rana dzwonek kościelny wzywał mieszkańców wioski na żałobne nabożeństwo za duszę nieboszki. Włościanie gromadzili się tłumnie w podwoje skromnego kościółka, i szczerze a gorące zanosili modły za duszę zmarłej, bo pamięć jej żyła jeszcze w sercach wszystkich. Pięknyto zaiste przywiléj dobroci, że nie umiera wraz z śmiercią. Wielkościom świata stawiają pomniki z marmuru: dobrym w głębi cichych serc zakładają niezatarte grobowce.

Sędzina, Wanda i Stanisław udali się także do kościółka. Podeszła matka zapłakała rzewnie nad grobem córki, córka łzą

obląła macierzyńską mogiłę, a Stanisław rzekł zcicha w głębi duszy patrząc na grobowiec: — Joanno! dotrzymałem ci przyrzeczenia.

Dzień cały tak pamiętny przeszedł smutnie, cicho, uroczyście. Sędzina włożywszy na nos okulary, czytała psalmy pobożne w swoim pokoju. Wieczorem, gdy słońce chylić się poczęło ku zachodowi, Wanda ujęła rękę Stanisława, i wraz z nim udała się w stronę kościółka. Niebawem stanęli na cmentarzu. Ostatni promień zachodzącego słońca zrumienił w tój chwili blaszaną dzwonnice, i przedzierając się przez ciemne gałęzie jodeł i świerków, odślaniał krzyż bielejący w ich cieniu. Usiedli oboje u stóp krzyża. Wieczór był ciepły, pogodny, lubo jesienny; głęboka cisza panowała w powietrzu, przerywana tylko kiedyniekiedy szelstem pożółkłego liścia, spadającego z wierzchołka drzew rozsadzonych po cmentarzu.

Chwilę trwało milczenie.

— Jak tam jój dusza cieszyć się musi — rzekła zcicha Wanda, i umilkła, bo łzy zatamowały głos w jój piersi.

— Ciesz się zapewne — odparł Stanisław. — Wando! — dodał uroczyście, biorąc rękę dziewczęcia — ilekroć tu przyjdiesz w dzień tak pamiętny dla ciebie, staraj się dziecię, niech serce twe zawsze będzie tak czyste i niewinne, jak w tój chwili; niech dusza twa pełną będzie zawsze świętego i błogiego uczucia, usta twe nieskalane nigdy jak dotąd kłamstwem i obłudą, a tym sposobem uczcisz najlepiej pamięć dobrej i kochającej matki.

— O! tak, wujciu drogi; przyjdziemy tu co roku i zawsze z sercem czystym i zadowolonym, z myślą błogą jak teraz — odparła Wanda ujmując rękę Stanisława — nieprawdaż?

— Moje dziecię — rzekł Stanisław — przyszła chwila, że nam się kiedykolwiek rozłączyć wypadnie. Wiek twój Wando wzywa cię do nowego życia, nowa droga otwiera się przed tobą.

— Nowa droga? — odparła Wanda — O nie, wujaszku, ja nie porzucę nigdy tój, którąś mi wskazał, którą rozpoczęłam wsparta na twém ramieniu: tą drogą jedynie dojdę do szczęścia.

— Ja też nie wątpię o tём, moje dziecię, że nie zboczysz nigdy z prostój drogi; ale świat włoży na ciebie nowe obowiązki, którym zadosyc uczynić będziesz musiała. Będzieto taż sama droga, ale rozleglejsza, może trudniejsza; a ramię, które cię poprowadzi, inne będzie, mój aniołku!

— Nie, nigdy, nigdy!—odparła płoniąc się lekko Wanda— ty mnie nigdy nie opuścisz, mój wujciu; inaczej duch matki zasmutiłby się w niebie.

Stanisław uśmiechnął się tklawie.

— Czuwać nad tobą będę zawsze, moje dziecię, choć zdaleka.

— Czemuż zdaleka? — odparła Wanda — czemuż zrzekasz się dobrowolnie opieki, którąś zaprzysiągł umierającej matce?

— Ja się jęj bynajmniej nie zrzekam— odparł Stanisław— owszem, dochowam jęj wiernie, dopóki cię nie oddam w godne cię ręce, w ręce człowieka, który cię ocenić i ukochać potrafi.

— A jak się omylisz, wujaszku; a jak cię uludzą pozory, czyż ci nic sumienie nie wyrzuci?

— Człowiek odpowiada za chęci: —przyszłość Bóg jeden przewidzieć może.

— A jeżeli jest w mocy człowieka uprzedzić wątpliwe skutki przyszłości? — odparła Wanda bardziej jeszcze zapłonią.

— Nie rozumiem cię, drogie dziecię; wytłumacz się jaśniej — rzekł Stanisław.

Wanda milczała chwilę. Lica jęj zakwitły niezwykłym rumieńcem, lekka zasłona na jęj piersi chwiała się od przyspieszonego uderzenia serca.

— Żadna inna kobięta nie powiedziałaby tego, co ci powiedzieć pragnę — rzekła Wanda zwolna, stanowczo — bo tęż wychowałeś mnie inaczej, jak zwykle wychowują kobiety. Nauczyłeś mnie nie kryć żadnej myśli w głębi duszy: stłumić ją, jeśli zła i naganna; wyjawić, jeśli prawa i szlachetna, bez względu na mniemane prawa przyzwoitości, jakie nam świat narzuca. Żadnemu tęż innemu mężczyźnie, oprócz ciębie, nie powiedziałabym tego, co ci powiem: bo żadenby może tego ocenić nie potrafił. Te okoliczności upowazniają mnie do wyjątkowego postępowania. Wuj! — dodała biorąc rękę Stanisława — pozwól mi życie całe poświęcić dla ciębie, jeżeli pragniesz, o czém nie wątpię, szczęścia mego w przyszłości. Duch matki mojęj pobłogosławi nasz związek.

To mówiąc, wskazała na grobowiec.

Stanisław odurzony słowy Wandy, milczał chwilę.

— Dziecię moje — rzekł nakoniec wzruszonym głosem — oceniam szlachetność twego serca, dziękuje ci za zaufanie jakiego

dajesz mi dowód, ależ przebaczone aniele, ja nie mogę przyjąć twój ofiary.

— Nie możesz? i dlaczego? Czyliż mnie sądzisz niegodną ciebie?

— Nie, Wandziu, żadna z kobiet, jakiegokolwiek znałem w mém życiu równać się z tobą nie może. Kilkanaście lat temu, złożyłbym Bogu na kolanach dzięki za tak niespodziewane szczęście; ale dziś, znękany i pochylony wiekiem, gdybym przyjął poświęcenie twoje, przestałbym być godnym ciebie.

— Boże! — zawołała Wanda wznosząc do nieba piękne oczy — natchnij go światłem swoim, skieruj jego wolę, niech nie rozdziera serca, które go czci i kocha. Wuju — dodała zwracając się do Stanisława — tyś mi poświęcił wiek młody, a wzbranasz się przyjąć ofiarę życia mego; ofiarę, która mnie nic nie kosztuje, bo przyjmując ją, uszczęśliwisz mnie. Tyś obudził w duszy méj nowe pojęcia, tyś podniósł myśl moję wysoko, tyś zapalił w mém sercu świętą iskrę, a dziś chcesz mnie porzucić na pastwę pierwszego lepszego, który mnie uczyć ani ocenić nie potrafi; chcesz mnie porzucić samą na walkę z życiem, której może nie podoba ma siła. Jeżeli będę nieszczęśliwą, duch matki mojej zażąda od ciebie rachunku, żeś mi usunął rękę, gdy cię błagała o pomoc i wsparcie.

To mówiąc zapłakała gorzko.

— Wando! — odparł Stanisław drżący i blady od wzruszenia — serce twe szlachetne łudzi cię, uczucie przyjaźni i wdzięczności bierzesz za inne tkliwsze uczucie. Wando — dodał — zbyt wielka różnica wieku rozdziela nas. Ależ odzywam się do ciebie jako do téj, której usta nigdy nie skłamały: powiedz, powiedz aniele, czy ty mnie kochasz?

— O jaką miłość zapytujesz mnie Stanisławie? — odparła Wanda z niewieścią godnością. — Jeżeli o ów szalony i chorobliwy zapal mącający umysł, odbierający działalność woli, rzucający nas bezrozumnie na walkę z sobą i otaczającym nas światem; takiéj miłości nie znam i znać nigdy nie będę: twoja czujna opieka, twe właśnie słowa, twe rady i napomnienia uchroniły od niéj nazawsze serce moje. Jeżeli miłością zwiesz owe tklive uczucie, wiodące serce do poświęcenia się temu, kogo obiera rozum, owę szczerą chęć wsparcia się na ramieniu człowieka godnego czci i szacunku, i przejścia z nim przez życie, czystą i nieskalaną stopą; jeżeli miłością nazwiesz owe gorące pragnienie

wspólnego z nim pożycia na chwałę Bogu, na pożytek bliźnim, owę chęć znoszenia z nim wspólnie nietylko pociechy i radości, ale i trosk i trudów życia: jeżeli to nazwiesz miłością, wówczas kocham cię Stanisławie!

Oko pięknej dziewicy płonęło niezrównanym blaskiem. Stanisław z czcią i podziwieniem patrzył na natchnioną jej postać; wziął zwolna drżącą rękę Wandy, przycisnął ją do ust i serca.

— Wando! — rzekł — a gdyby w sercu twém ocknęły się inne pragnienia? a gdybyś kiedy mimowoli uledez miała wpływowi innej silniejszej miłości? Znam cię, wiem, żebyś wołała umrzeć, niżeli zdradzić położoną w tobie ufność; ale biedna! biedna! jakże smutną byłabyś ofiarą!

— Opatrzność szczerą była dla nas Polek — odparła Wanda — uchroniła serca nasze od zbyt gwałtownych uczuć; dozwoliła, aby rozum trzymał zawsze straż nad sercem naszym, nad wolą naszą. Miłość nigdy podobno nie powstaje w nas nagle, niezwykczona, chyba, że skrzywiona i wynarodowiona wyobraźnia usposobi nas wprzód do chorobliwych marzeń. Spójrzj w przeszłość: cnotliwe prababki nasze wychodziły za mąż prosto zpoza klasztornej kraty, bez miłosnych uniesień, a jednak żyły cnotliwie i poczciwie. Polka, Stanisławie, wtenczas tylko pokocha, gdy pokochać zechce; mówię tu o takich, której umysł nie został zboczony złém i przewrotném wychowaniem. Tyś mnie wychował — odparła z lekkim uczuciem dumy — wiész zatem do jakich policzyć mnie należy.

— Wando! droga Wando! — zawołał Stanisław z młodzieńczym uniesieniem — podaj mi rękę aniele: przyjmuję twoją ofiarę.

— Dzięki ci — odparła Wanda podając mu rękę, upadła na kolana i wzniosła obie ręce do góry.

— Matko, matko! pobłogosław z nieba dzieciom twoim! — zawołała z uczuciem obejmując krzyż wieńczący grobowiec matki, a strumień łez spłynął po bladém i piękném jej licu.

Stanisław ukląkł obok Wandy; milczał głęboko, a wyraz natchniony oblicza zapowiadał, że i myśl jego wraz z myślą Wandy wzniosła się wysoko do nieba.

Słońce tymczasem zaszło zupełnie. Wanda wsparta na ramieniu Stanisława, postępowała zwolna obok niego drogą wiodącą przez wieś ku dworowi. Dzwonek kościelny zadzwonił w tej chwili na Anioł Pański. Lekka mgła zawisła ponad wierzchołkami drzew wieńczących wioskę. Włościanie powracali do chat po

całodziennęj pracy z kosą na ramieniu; konie ciągnęły za sobą brony, któremi tylko co zawlekły posiane dopiero zboże; było wracało zwolna poważnie do obory. Błoga cisza panowała dookoła; zdało się, że Bóg rad pogląda na ciche ustronie, gdzie dziatki jego w prostocie ducha, żyjąc w pracy, modlitwie, w zgodzie i miłości, pełnią ojcowską jego wolę.

Sędzina chodziła samotnie po dziedzińcu podpierając się kijem, w chwili gdy Wanda wchodziła w bramę obok Stanisława.

— Babuniu! — rzekła młoda dziewica przyciskając do ust pomarszczoną rękę babki — on mi był ojcem i opiekunem — to mówiąc wskazała na Stanisława — tyś mi była matką, dobrą i tkliwą matką: w imieniu zmarłej matki błagam cię, pobłogosław nam, ja mu przyrzekłam mą rękę.

— A toż co znowu? — odparła babka — zkadże tak nagłe postanowienie? moje dziecko. Upamiętajże się Wandziu; ale cóż tu poradzić z szaloną głową! — Stasiu, zastanów się; jesteś już przecie człowiek rozważny i stateczny.

Stanisław milczał nie mając co odpowiedzieć.

— Babciu — rzekła Wanda — wola twoja będzie wolą moją. — Jeżeli mi zabronisz być żoną Stanisława, uczynię co zechcesz; ale znasz mnie babuniu, wiesz, że nic nigdy nie zwykłam mówić napróżno. Jeżeli nie będę jego żoną, żadna siła ludzka nie zmusi mnie do innych związków.

— O! wiem ja dobrze o tém, że ty masz swoje wolę; ale pomyśl moje dziecię, że to nie na rok, ani na dwa, ale na całe życie.

— Zastanowiłam się już dobrze, babciu droga — odparła Wanda — w twém ręku los mój dalszy spoczywa.

— Niechże was Bóg i Matka Najświętsza błogosławi — rzekła sędzina skłaniając głowę, i to mówiąc drżącą ręką skreśliła w powietrzu krzyżyk.

Wanda z uczuciem objęła kolana babki. Stanisław poszedł za jęj przykładem.

— Ciociu, ufaj mi, ja ją uszczęśliwić potrafię — zawołał z zapalem.

— Nie mogliśmy godnięj uczyć dnia zgonu biédnej matki — rzekła Wanda zcicha — dusza jęj zapewne rozraduje się w niebie.

\* \* \*

W kilka tygodni potém, przed samym adwentem, w małym i skromnym kościółku stanęła przed ołtarzem Wanda obok Sta-

niśława. Zanim weszli oboje w podwoje poświęconego przybytku, ukłękli przed grobowcem rodziców. Łza błyszczała w błękitnym oku Wandy; a jednak Łza ta nie émiła bynajmniej błógiego wyrazu szczęścia, jaśniejącego na dziewiczym jój czole. Spojrzała w niebo z wiarą i ufnością, i zdawało się, że Bóg wysłuchał jój próby, albowiem blady promień słońca wysuwając się w tój chwili z poza ciemnych obłoków, oblał światłem nadobną jój postać. Włóścianie Zadola zgromadzeni w kościółku, obecni byli uroczystemu obrzędowi. Wanda bez trwogi, bez pomieszania oddała rękę narzeczonemu, który przyjął ją z wyrazem czci i poszanowania, a w oku jego czytać można było te słowa:—wesprij się na mnie śmiało, a nie doznasz zawodu.

Sędzina modliła się gorąco za przyszłe szczęście swój wnuczki, w głębi duszy myślała sobie jednak:—pocoto taki pośpiech: byłaby się może zdarzyła lepsza partya, a na tętó było jeszcze aż nadto czasu.

Dzień ów uroczysty zakończył się ucztą wyprawioną we dworze dla włóścian z Zadola. Radość jaśniała na wszystkich obliczach. Zewsząd spływały na nowo zaślubionych życzenia i błógosławieństwa.

\* \* \*

To tétó szczęście najzupełniejsze stało się udziałem Wandy. Stanisław czuwał okiem miłości nad owym rozwijającym się kwiatem, o którym pieczę Bóg mu powierzył. Kształcił z niezmordowaną gorliwością umysł i duszę młódej kóbiety, kierował umiejętnie poetyczną jój wyobraźnią, chronił ją od chorobliwój egzaltacyi. Wanda pod tarczą i opieką rozumnego małżonka, umiała użyć korzystnie owych wyższych, lecz niebezpiecznych darów nieba, których jój Bóg hojną udzielił ręką. Rozsiewała ona, że tak powiem, dokoła siebie nadobne kwiaty poetycznej swój duszy, otoczyła ich urokiem i wonią prozój powszedniego życia; pracą nieustającą chroniła się od niepotrzebnych i niebezpiecznych marzeń, a dając szczęście drugim, czuła się sama zupełnie szczęśliwą.

Stara sędzina dziękowała Bogu za pomyślność wnuczki, a modląc się, powtarzała codziennie:—Panie! Twoja Opatrzność mędrsza nad wszelkie przewidywania i rachuby ludzkie!

\* \* \*

Ale jestże szczęście zupełne na ziemi? Jeżeli zabłyśnie niekiedy, to na krótką zaledwie chwilę, jak marny błysk meteora,



jakby dla pokazania ludziom, że trwała pomyślność nie należy do świata.

Po sześciu latach najszcześniejszego pożycia, zdrowie Stanisława niknąć zwolna poczęło. Rady umiejętnych lekarzy okazały się bez skutku. Choroba coraz groźniejszy przybierała wyraz, postać jego zmieniała się do niepoznania, wzrok zapadł, oko zapłonęło gorączką, oddech stał się ciężki i krótki.

Wanda dnie i nocy trawiła przy łożu męża, ale nie przewidywała jeszcze bynajmniej grożącego niebezpieczeństwa. Choroba Stanisława postępowała zwolna, oko więc obecnych nie mogło dośledzić niepozornej, lecz złowrózbnj zmiany. Stanisław z swj strony tał jak mógł cierpienie. Wstawał jeszcze na chwilę, wsparty na ramieniu żony, wychodził na dziedziniec lub do ogrodu, spoglądał na świat Boży tęskno, łzawo, ale nigdy słowo skargi i narzekania nie wydobyło się z ust jego.

Byłoto właśnie w początku czerwca; dzień był jasny, ciepły i pogodny, jak zazwyczaj w tój porze.

— Wando!—rzekł Stanisław do żony—przejdźmy się do lasku; dawno już tam nie byłem, a czuję, że powietrze i przejażdżka dodadzą mi siły i zdrowia.

Wanda wybiegła spiesźnie, kazała zaprządz do pojazdu, otuliła męża starannie, chroniąc go od zaziębienia mimo ciepła i pogody. W pół godziny potém, była już wraz z nim w głębi zielonej dąbrowy.

Wysiedli oboje. Stanisław jedną ręką wspierał laską chwiejące swe kroki, drugą oparł się na ramieniu żony. Szli oboje po miękkiej murawie zwolna, w milczeniu. Ptastwo świegotało ponad ich głowy, ukryte w cieniu gęstych zarośli; wiewiórki skakały swobodnie z drzewa na drzewo; woń sosen rosnących gdzieniegdzie pomiędzy dębami, rozchodziła się wraz z wonią macierzanki i innych ziół leśnych; złote muszki przelatały w powietrzu, snując się dokoła niższych krzewów; rumiana jagoda, koralową swą barwą błyszczała nierzadko, otulona w szerokie liście; słońce przedzierając się przez zielone konary drzew, świetne, jaskrawe, rzucało na ziemię jasne i ciepłe promienie. Z jednj strony, przez las nieco przerzedzony, z poza brzóz okrytych białą korą, chylących ku ziemi długie swe warkocze, widać było niebiesko-zielone żyto, kołyszące się zwolna na obszernych łanach.

Stanisław zatrzymał się chwilę, spojrzął dokoła, westchnął, i cicho, w milczeniu postępował dalej obok żony.

Doszli nakoniec do owego znanego nam dobrze ustro-  
nia. Stanisław spoczął na małym wzgórku, Wanda usiadła  
u stóp jego.

Długo, długo milczeli oboje. Stanisław zasłonił twarz rę-  
koma, pochylił głowę ku ziemi, a pierś jego unosiła się zlekka  
cichym łkaniem.

Wanda spojrzała baczenie na męża, dostrzegła jego łzy, do-  
słyszała tłumione łkanie.

— Boże!... co ci jest?—zawołała rozdartym głosem i zbladła  
śmiertelnie; prawda bowiem straszna, stanęła jęj po raz pierwszy  
przed oczyma.

— Wando!—rzekł Stanisław zwolna, uroczyście—niech cię  
ma słabość nie zadziwia. Dzięki tobie aniele, życie zbyt mi jest  
drogiem, bym je mógł żegnać bez łez, bez boleści.

— Żegnać! maszże je żegnać mężu? O! nie mów tego Stani-  
sławie; Bóg dobry ulituje się nad nami. Zkąd ci te myśli tak  
smutne?

— Dawno już poznałem stan mój dokładnie—odparł wstrzą-  
sając smutnie głową—nie chciałem tylko przedwcześnie rozdzie-  
rać tkliwego twego serca. Dziś przyszła pora: dłużej tać się  
przed tobą nie mogę. Wando, Wando! za chwilę będziesz znów  
siórotą.

Wanda zapłakała głośno; Stanisław otarł łzy w milczeniu.

— Zbierz siłę i odwagę—rzekł po chwili—umięj być czło-  
wiekiem w tak ważnej i stanowczej chwili, uchyl głowę przed  
koniecznością, a raczej przed niezłomnym wyrokiem Boga.

Ona w miejscu odpowiedzi, cisnęła z rozpaczą do ust wy-  
schłą i gorącą rękę małżonka.

— Wando!—mówił dalej Stanisław—tu, w témże samém  
miejscu, kilkanaście lat temu, umierająca matka powierzyła mi  
ciebie, jako zakład święty, błagając, abym czuwał nad tobą jak  
nad rozkwitającym kwiatem, abym chronił młode twe lata od  
szkodliwego wpływu, abym cię wprowadził czystą i nieskażoną  
na drogę życia. Później, wobec rodzicielskiego grobowca żada-  
łaś ty sama, abym ci nie usuwał ramienia mego, abym cię wiódł  
dalej drogą, którą ci z pierwszjej młodości wskazałem. Powie-  
rzyłaś mi się z wiarą i ufnością, chcąc tym sposobem nagrodzić

poświęcenie moje dla ciebie. I dotrzymałem świątę zobowiązania. Dziś Wando, złamany chorobą, wobec zbliżającej się śmierci, w témże samém miejscu, gdzie cię odebrał z rąk matki, oddaje cię naprzód Bogu w niebie, a potem tobie saméj. Kobięto! zbierz mężką siłę w twój duszy, stań mężnie do walki z życiem, którego pasmo długie jeszcze rozwija się przed tobą, prosz Boga, ufaj Mu, On cię nie opuści.

Wanda padła na ziemię, głowę wsparła na kolanach Stanisława, głuchy jęk wydzierał się z jéj piersi.

Stanisław umilkł, zmęczony długą mową, przerywaną kaszlem co chwila.

— Przysięgnij mi Wando, że czuwać będziesz nad sobą; jakęś czuwała dotąd; że głęboka rozwaga przewodniczyć ci będzie w każdym kroku twego życia.

— Przysięgam ci, przysięgam Stanisławie—odparła młoda kobięta wznosząc obie ręce do nieba, jakby je brała na świadectwo.—Ale na cóż mi rozwaga i czuwanie, mężu drogi, gdy życie moje zerwie się wraz z twojém, jeżeli już taka niezmienna wola Boga? Gdybym nawet nie uległa pod wpływem ciężkiej boleści: takie istnienie, złamane i stargane jakie mnie odtąd czeka, możnaż nazwać życiem?

— Wszystko na ziemi żyje i odradza się Wando. Patrz na te drzewa i pola: niedawno czarno tu było, pusto i chłodno; dziś jasno i zielono. Tak i w życiu człowieka: nowe życie, nowe złudzenie następuje po boleści i rozpaczy.

— Nigdy, nigdy! — zawołała z oburzeniem Wanda — duch twój patrząc z nieba na mnie pogardziłby mną i słusznie, gdybym cię zapomnieć miała, gdybym po śmierci odważyła się stargać święty węzeł, który nas połączył na wieki.

— Duchy z nieba, inném zapewne poglądują okiem na czynności ziemi—odparł łagodnie Stanisław.—Duch mój nie pogardzi tobą Wando, dopóki serce twoje czyste będzie i święte, choćby nowe uczucie miało w niem kiedyś zakwitnąć.

— Mężu! nie rozdieraj mi serca daremnie.

— Czemuż w ostatniej chwili bronisz mi otworzyć ci myśl moję? Słuchaj Wando: jeżeli znajdziesz człowieka, który będzie godnym ciebie, oddaj mu rękę, a przysięgam ci, nie obrazisz tém moję pamięci. Zaklinam cię tylko, bądź baczna i strzeż dopóty serca twego od uczucia, dopóki głos rozwagi nie potwierdzi twego wyboru.

To mówiąc przycisnął silnie do piersi płaczącą gorzko kobietę, drżącą ręką pobłogosławił jej pochyloną głowę, spalone gorączką usta zbliżył do gładkiego jej czoła i złożył na niem tkliwy, prawdziwie ojcowski pocałunek.

\* \* \*

Od tego dnia Stanisław nie opuszczał już łoża; w kilka tygodni potem skonał na rękę Wandy. Dzwony wiejskiego kościołka zajęczały znowu żałobnie. Zgromadzeni włościanie ponieśli na barkach trumnę dobrego pana i złożyli w wspólnym grobowcu na cmentarzu, obok zwłok Joanny. Wanda blada postępowała za zwłokami, podając ramię zgrzybiałej babce; i lubo oddawna umilkły żałobne dzwony, ona z łzą w oku i boleścią w duszy, długo jeszcze, długo klęczała na grobowcu rodziców i małżonka.

\* \* \*

Przeszło znów lat kilka od śmierci Stanisława. W Zadolu wszystko było jak dawniej; sędzina bardziej jeszcze pochyliła się ku ziemi, zdrowa jednak była i przytomna. Wanda nie zdejmowała dotąd żałobnej szaty; umysł jej jednak nie upadł pod wpływem cierpienia: swoboda wróciła znowu na gładkie jej czoło, oko jej od niedawnego zwłaszcza czasu zatliło na nowo dawnym blaskiem.

\* \* \*

Na samym końcu wioski, niedaleko kościołka, w chacie stariej Frąckowej płonął suty ogień na kominie, choć to było wśród lata. Podeszła gospodyni krzątała się około przyrządzenia skromnej wieczerzy dla wnucząt i czeladki. Skoro wszyscy spożyli dar Boży, Frąckowa przysypała głównie zarzewiem, sprzątnęła miski i naczynia, a wyszedłszy przed chatę usiadła na progu, i dumiała poglądając zdala na bielejące przed kościołkiem krzyże i na blaszaną kopułkę, o którą odbijał się srebrny promień księżyca.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł gospodarz Paweł, zaglądając przez uchylone wrota.

— Na wieki wieków, amen — odparła stara Frąckowa.

— Cóż tam tak przemyślcie kumó? — zapytał gospodarz, odmykając furtkę i zbliżając się do chaty.

— Ot tak sobie siedzę i dumam. Siadajcie i wy Pawle, spocznicie sobie chwilę. — To mówiąc usunęła się nieco zostawiając miejsce próżne obok siebie.

— Albożto nie ma o czém myśleć?—dodała Frąckowa, gdy Paweł usiadł obok niej—Człowiek nie od wczoraj kołacze się po świecie; przeżyło się i to i owo, i dobre i złe przeszło pospół, a teraz wej oto, pozostała jedno starość i bięda.

— No juźcić starość jak starość—odparł Paweł—ale co na bięde, nie narzekalibyście daremnie kumo.

— Panu Bogu dziękować—odparła niewiasta—jać téż nie narzekam na głód, ani na niedostatek: obraziałabym daremnie majestat Boski; ale przecież i to bięda, kiedy człowiek zostanie sam jeden, jak stary pniak na miedzy. Pochowałam oto zeszłego roku męża i syna, drugi poniewiera się po świecie, i wy mówicie kumie, że mi nie bięda.

To mówiąc stara niewiasta westchnęła ciężko z głębi serca i grubym fartuchem otarła w milczeniu łzę, spływającą po zwiedłej twarzy.

— No, juźciż prawda, moja kumo; ale cóż robić? taka wola Pana Boga. Dziękujcie lepiej Najwyższemu za to, co wam w miłosierdziu swoim pozostawił. Macie oto córkę, co wam pilnuje chaty, drugą oddaliście w służbę do dworu: dziewczyna dobra i statek; widzicie oto, że opatrność Boża niezupełnie was zabaczyła.

— Oj! święte wasze słowa, kumie—odparła Frąckowa—ale cóż, kiedyto juź taki człowiek: zawsze mu żal tego co było, a czego juź nie ma.....—to mówiąc z westchnieniem powiodła okiem po cmentarzu.

— Juźciż należy pamiętać o umarłych: toć tego i ksiądz nie broni na ambonie. I ja przecie niejedno pogrzebałem w życiu, to téż wiele razy spojrzę na cmentarz zmówię wieczny odpoczynek za ich dusze; ale żeby wiecznie płakać i narzekać na swą dolę, toćto moja kumo ciężki grzech przed Panem Bogiem.

— Co tam wam, mój kumie, to jeszcze pół biędy; ale nam niewiastom, to ciężej jakoś na świecie, kiedy nas Pan Bóg osieroci: cała pociecha jak sobie człowiek kiedyniekiedy zapłacze.

— Alboćto biędna nasza pani nie więcej jeszcze od was pochowała?—odparł Paweł dobywając z brzoźowej kory tabakierki.

— Zostało niebożątko samo jedno na świecie, a jednak cóż ma począć? Taka wola Pana Boga; trudno człowiekowi głową przebijać mury.

— Biędna panisko—odparła Frąckowa—a dobre i pocziwe, istna nieboszka. Otóż wiecie co Pawle—dodała—o panić ja to my-

ślałam, jakeście mnie zagadnęli. Powiedziałabym wam coś—to mówiąc obejrzała się dokoła, czy kto nie słucha—jeno boję się, żebyście nie wypletli.

— Alboż ja to baba, albo co— odparł śmiejąc się Paweł— nie przymawiając wam kumo.

— Proszę, jaki mi wej— rzekła urazona Frąckowa— alboż to i u was język nie miele jak we młynie? Aleć to tak zawsze: na pochyle drzewo i kozy skaczą. Oj! biędna nasza dola!

— Nie gniewajcie się matko, bo nie macie o co; powiedzcie mi lepiej co wiecie o naszej pani; już ja wam mówię, że mi nawet para z ust nie wyjdzie.

— Otóż nic z tego nie będzie; powiedzielibyście, zem się wygadała, zwyczajnie jak baba. Będę trzymać język za zębami, choćbyście mnie i świętymi słowami prosili.

— Oj matko, matko, kiedybo z wami pozartować nawet nie można! Jużciż ja was znam nie od wczora, wiem żeście poczciwa niewiasta, Bogu duszę winna. Powiedziałem słowo ot tak na wiatr, a wy-ta zaraz bierzecie do siebie, i gniewacie się sami nie wiecie o co.

— Ja się nie gniewam, ale co nie powiem, to nie powiem.

— Ej! powiedzielibyście matko, bez takich korowodów: bo widzicie, jeżeli się was pytam, toć nie przez próżną ciekawość; aleć i ja kocham naszą panią tak jak i wy.

— A któżby jój nie kochał? Taka dobra, jedno do rany przyłożyć. Oj! bodajby się takie na kamieniu rodziły!

— A wiecie wy kumo— rzekł Paweł— dlaczego was się tak dopytuję? Onegdajszej nocy, z poniedziałku na wtorek, śniły mi się niestworzone rzeczy o naszej pani; choć ja tam bardzo w to nie wierzę, boć to babska rzecz sny, a i ksiądz proboszcz zabrania dawać w to wiarę: jednak ogniście markotno zrobiło mi się na sercu, jakem się obudził o świcie.

— No i cóż wam się śniło, mój kumie?— zapytała zafrasowana Frąckowa.

— A powiecie mi, coście mówić mieli?

— No jużciż: co mam robić z wami— odparła Frąckowa, u której ciekawość przemagała wszelkie inne względy.

— Oto widzicie— rzekł Paweł— zdało mi się, że jestem w boru, jakby w tój oto dębinie za wsią, kejto nasza pani zawsze chodzi. Obejrzę się, aż tu słonko świeci jasno, dębniaki zielonią się aż miło patrzeć, a pełno na nich złocistych żółędzi; brzo-

ki białą się zdaleka, ale takie białe jak śnieg w zimie, zanim go zbrudzą marcowe flagi; na ziemi pełno rośnie kwiatów, a takie krasne i modre, że aż się w oczach mienia.

— Oj! zły to sen, zły—przerwała Frąckowa smutnie kiwając głową—kwiaty to znaczą ciężki frasunek. Oj biedna nasza pani! Wielki Boże! pociesz niebogę.

— Ale dajcież mi dokończyć kumie! Owóż nasza pani leżała sobie na zielonej murawie pod największym dębem, tam, kiedyto zawsze siaduje, i spała; a taka była śliczna, jakby istny cudowny obraz. Błada tylko była ogniście, nie przymierzając jak jej biała sukienka.

— Oj! biała sukienka—i to nic dobrego, mój kumie.

— Ale posłuchajcie jeszcze. Przystępuję nibyto bliżej, bo widziało mi się, że byłem w boru z siekierą, i zaglądam, bo mi się jakoś zdało, że pani umarła. Wtém, słuchajcie no dobrze, patrzę, aż tu wąż zbliża się pomiędzy trawą, i już ma się okręcić dokoła paniniej ręki.

— Boże wszechmogący zmiłuj się! odwróć nieszczęście!—zawołała przerażona Frąckowa—bo że w tém jest coś złego, to jak słońce na niebie. No i cóż dalej Pawle?

— Owóż powiadam wam, pani nibyto otworzyła trochę oczy, spojrziała, ale zamiast coby miała odrzucić ręką gadzinę, uśmiechała się do niej, i chciała przycisnąć do siebie. Ale ja niewiele myśląc, jak się zamierzę, tak jednym zamachem rozplatałem ją siekierą na dwoje. Pani zapłakała niby przez sen, ale wnet ocknęła się na dobre, przetarła oczy, podała mi bieluchną rękę i powiedziała: „dziękuję wam, mój poczciwy Pawle!” A i wy byliście tam, kumie—dodał—siedzieliście opodal na murawie, i kiwaliście głową, istnie oto jak i teraz.

— Oj kumie, i jakże nie mam się frasować, kiedyćto sen zły, okrutnie zły; a ja wam powiadam, niech sobie ludzie mądrzejsi co chcą mówią, jednak we śnie to zawsze Pan Bóg daje człowiekowi ostrzeżenie. Kiedy gadzina chce ukąsić, to jak Bóg na niebie, zły człowiek stoi na zdradzie. To tylko wielkie szczęście, żeście zabili tego straszego węża.

— No, teraz powiedzcież mi kumie, coście tam słyszeli o naszej pani?

— Oto widzicie kumie, moja Maryśka, coto służy we dworze przy pokoju, powiadała mi, że nasza pani myśli pono iść za męża.

— A to za kogo?— zapytał Paweł ciekawie.

— Adyc za tego panicza z Woli, coto od godów przyjeżdża kiedyniekiedy do Zadola.

— Widziałemci go w kościele na odpuscie w Kutnie, dwie niedziele temu, na Podniesienie świętego krzyża; ale-mu jakoś nie-dobrze z oczu patrzy.

— A co gorsza—odparła Frąckowa—powiadają ludzie, że to był wielki hulaka i niestatek. Panie zmiłuj się nad niebogą! Terazci się jakoś ułożył, istnie jakby lis; ale wiadomeć to rzeczy: czego się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci.

— Oj! prawda, święta prawda—odparł Paweł kiwając głową.

— Widzicie kumie, jak się to układa z waszym snem: wasza gadzina, to istnie jakby ten pan z Woli.

— Prawdę mówicie, kumo, prawdę, jak Bóg w niebie. Ale powiedzcie mi jeno, jak to być może, żeby nasza pani, coto taka mądra niewiasta, miała iść za takiego hulaka?

-- Ej, bo to widzicie kumie, że pan Jatanazy, jak go tam ludzie nazywają, nie taki hulaka jak inny. On źle robi, ale pokryjomu, a na oko, toby się zdało, że to najlepszy pan w świecie.

— Oj! najgorsi to tacy, moja kumo.

-- Zapewne, zapewne; przed wściekłym psem to każdy opodal ucieka, ale najgorszy taki, co milczkiem chwyta: takiego się nikt nie ustrzeże.

— A zkądże wy wiecie, że on zły, kiedy go wej wszyscy ludzie mają za dobrego?

— Ej! nie ukryjeć się szydło w worku, mój kumie; są tacy, co się zmiarkowali co się święci, i pogadują zwyczajnie jak to ludzie.

— Wiécież wy co?— rzekł Paweł po chwili namysłu— a żeby téż to naszej pani powiedzieć, że o nim ludzie źle mówią?

— Już ja to o tém i bez was myślałam, ale i cóż jój powiedzieć, kiej sami nie mamy przekonania? Wiemy że dzwonią, ale nie wiemy w którym kościele.

— Prawda i to — odparł Paweł zażywając tabakę.

— Pani myślałaby jeszcze—dodała Frąckowa— że nam chodzi o własną skórę, bo się bojemy nowego pana; a tu Bóg świadkiem mojej duszy, że to co mówię, świętą jest prawdą.

— A wiécież wy co zrobić?

— No i cóż? mówcie.



— Ofiarujemy się do Matki Najświętszej do Topoli i idźmy oboje; może ta święta opiekunka nasza ulituje się nad nami i natchnie, jak sobie w tém poradzić.

— Święte wasze słowa, gospodarzu—odparła uradowana niewiasta—a kiedyż się wybierzema?

— Choćby i jutro; ale poczekajcie, jutro nie mogę: Szymek idzie z siekierą do boru, muszę sam dosiać resztę jęczmienia.

— No, to idźmy w sobotę. Toćto dzień Matki Najświętszej: wszystko się lepij jak się układa.

— No, a teraz trzeba odpocząć starym kościom—rzekł Paweł powstając z progu.—Szczęść wam Boże, kumo.

— Bóg zapłać, Pawle.

I rozeszli się oboje. Paweł poszedł do swojej chaty, Frąckowa weszła do izby, zamknęła drzwi na kolek, i po chwili pusto było i głucho w wiosce, jakby makiem zasiał; tylko księżyc w pełni roztaczał krąg wspaniały po niebie, a miliony gwiazd cicho, tajemniczo, zdawały się z wysokości swojej spoglądać na ziemię, i kołysać marzeniem dusze tych, którzy dzień Boży w pracy i modlitwie jak Bóg przykazał, strawili.

We dworze tymczasem światło jaśniało rześisto we wszystkich oknach; nikt nie myślał jeszcze o wieczornym spoczynku. W pokoju bawialnym, przed stolikiem, na kanapce siedziała Wanda, piękna jak dawniej, jaśniejąca zdrowiem i swobodą; obok niej, na fotelu, siedział dorodny młodzieniec, starannie i ze smakiem przybrany: ciemne włosy spływały w pierścieniach na wysokie jego czoło, twarz nieco blada i ogorzala przedstawiała piękny wzór dla malarza, tak rysy były kształtne i wykończone; oko pociągłe, ciemne, długą otoczone rzęsą, pełne było życia, w ustach tylko raział niemile lekki wyraz ironii, ale i to znikало przy ogólnej piękności.

Sędzina w okularach na nosie, drżącą ręką układała kabałę, powtarzając zeicha: „tuz, król, kralka, wyżnik, niżnik, szóstka” i niekiedy zpod oka spoglądała z uśmiechem na młodą parę, siedzącą obok siebie.

Wanda ubrana była w szlafroczek ciemny, starannie przystający do zręcznej i udatnej kibici. Włosy gładko uczesane, wijąc się bujnym splotem dokoła kształtnej głowy, stanowiły całą jej ozdobę. W rękę trzymała robótkę, ale oko błękitne młodej kobiety chętnie odrywało się od niej, i z widocznym zajęciem odpowiadało niekiedy na pełne zapалу spojrzenia młodziana.

— Pani—mówił p. Atanazy półgłosem—nie zwłócz dłużej chwili mego szczęścia: powiedz jedno słowo, to słowo, które stanowić ma o moim losie.

— Jedno słowo—odparła Wanda—mała rzecz niby napozór, a jednak trudno wymówić je lekkomyślnie; albowiem słowo to związać ma całą mą przyszłość, całe życie na wieki. Pozwól mi pan chwilę jeszcze namysłu.

— O! gdybyś pani wiedziała, jak każda chwila oczekiwania i wątpliwości okrutną jest dla mnie, miałabyś litość przecie. Wando! Wando! ja cię kocham nad życie—dodał ze zwichla głosem.

Wanda zapłonila się lekko: znać, że słowa młodziana mile brzmiały w jój uchu, bo piękne jój oko nie zdradzało gniewu; przeciwnie, dziwna słodycz odbijała w jasnym jego błękitcie.

— A ty kochasz mnie Wando? Powiedz, powiedz—dodał młodzian ośmielony łagodnym spojrzeniem młoděj kobiety, i to mówiąc przycisnął do ust białą i drżącą jój rękę.

— Bądź pan cierpliwym, powtarzam raz jeszcze—odparła Wanda z godnością—za kilka dni powiem panu ostateczne słowo.

— Ja téż już nie śmiem prosić o stanowcze przyrzeczenie; powiedz tylko, że mnie kochasz.

— Skoro wyznam że kocham, panie Atanazy, wówczas żadna siła nie oderwie mnie od tego, komu powiem to słowo.

— O pani! jakże jesteś zimną i wyrachowaną! Nigdyż ani jedno słówko niechący, mimowoli nie uleci z ust twoich? zawsze ta nieszczęśliwa rozwaga przewodniczyć ma każdemu uniesieniu ducha?

— Zawsze—odparła Wanda—to moja zasada; winnam ją człowiekowi, którego czciła, szanowała i kochała, dopóki Bóg mnie z nim nie rozłączył.

— I który cię owiał grobowym chłodem, zimnego i wystudzonego serca.

Wanda surowo spojrzała na Atanazego; lica jój zbladły, oko zapłonęło oburzeniem.

— Nie znieważaj pan wspomnienia tego, którego pamięć droższą mi nad wszystko—rzekła ze zwichla, lecz stanowczo.

Atanazy spuścił oczy w ziemię, jakby nie mógł zniesć groźnego spojrzenia Wandy.

— Przebacz mi pani, przebacz; pod wpływem uczucia trudno być zawsze panem siebie, i mierzyć własne słowa szatą rozważli. Ja tego przynajmniej nie umiem.

— To źle, bardzo źle—odparła—wola silniejszą być powinna nad wszystko.

— Nad wszystko, [tak, nad wszystko, ale nie nad miłość moją dla ciebie pani.

— Nawet i nad miłość—odparła Wanda.

— Co mi to za miłość—rzekł Atanazy wstrząsając zlekka głową—która wiecznie i wiecznie ulega sile rozumowania.

— O! nie żartuj pan z takiej miłości—odparła Wanda—miłość taka, skoro ją raz potwierdzi rozum i wola, silną jest, i trwa równo z życiem.

Oko Wandy jaśniało niezrównanym ogniem. Atanazy przejęty był mimowoli dziwnym poszanowaniem.

— Przebaczaszże mi pani?—zapytał nieśmiało.

— Przebaczam, ale daj mi pan słowo, że ostatni raz w życiu popełniłeś zniewagę.

— Zareczęm honorem—odparł Atanazy—a jeżeli to niedosyć, gotowym przysiędz na miłość moją dla ciebie pani.

— Poprzestaję na słowie—odparła—ale na owym słowie, którego siła miłości nie zwalczy—dodała z uśmiechem.

Dziesiąta godzina w tej chwili wybiła na zegarze. Wanda spojrzała na podeszłą babkę, która zdrzymnęła się, układając karty kabały. Atanazy spostrzegł poruszenie młodej kobiety, powstał, pożegnał ją lekkim ściśnięciem ręki i kilkakrotnym w tę piękną i drobną rękę pocałunkiem.

— A więc w sobotę wieczór otrzymam twe ostateczne słowo, Wando—rzekł z cicha.

— W sobotę—odrzekła młoda kobieta za ledwie dosłyszonym głosem.

Atanazy wyszedł z pokoju, lekki koczyk zaturkotał głośno na bruku, i znowu wszystko było cicho i spokojnie jak przed chwilą. Sędzina podpierając się kijkiem przy pomocy wnuczki udała się na nocny spoczynek. Wanda usiadła w otwartym oknie wychodzącym na ogród: odetchnęła pełną piersią chłodnym, nocnym powiewem, powiodła okiem po niebie zasianym w miliony gwiazd, wśród których księżyc w pełni świecił poważnie srebrnym swym promieniem, i odbijał uroczo o blaszaną kopułkę

kościółka. Młoda kobieta zwróciła wzrok na bielejące w oddaleniu wśród cmentarza krzyże, i westchnęła.

— Matko! Stanisławie! — wyrzekła z cicha — wy, których tak kochałam, a których już nie ma: nie odmawiajcie mi opieki waszej w chwili tak ważnej i stanowczej, i niechaj duch wasz czuwa nademną.

Wanda nie zdążyła jeszcze przymknąć okna, gdy puszczyk odezwał się dziko na gruszy, rosnącej nieopodal domu, a psy zawyły boleśnie, przeciągle, jakby czuły wilka, lub przewidywały nieszczęście. Zimny dreszcz przebiegł żyły młodej kobiety, padła na kolana, i po długiej modlitwie udała się na nocny spoczynek.

\* \* \*

W sobotę, skoro tylko świtać zaczęło, stary Paweł zapukał do chaty Frąckowej. Podszła niewiasta krzątała się już od pół godziny po izbie, rozżarzyła ogień przysypany na noc popiołem, ustawiła na kotlinie garnek barszczu i drugi pełen skrobanych kartofli, posiliła się nieco, zawinęła w czystą szmatę pół bochenka czarnego razowego chleba i dobrą krajanek sera, i przybrała się chędogo w czerwoną chustkę na głowę, w kaftan granatowy kamlotowy i spódnicę wełnianą w pasy, domowej roboty. Fartuch przytwierdziła jeden do pasa, drugi przewiesiła przez głowę i plecy, trzewiki i pończochy białe dla oszczędności umieściła w płachcie obok szmaty z posiłkiem, i ów niewielki tłomoczek zarzuciła na ramię.

— Szczęść wam Boże! — rzekła do domowników — a sprawujcie się tu po Bogu. Baśka — dodała, zwracając mowę do córki — pilnujże mi chaty jak należy, strzeż od ognia i złych ludzi, sporządź uczciwie strawę; ja przed wieczerzą, da Bóg doczekać, powrócę do chaty.

Basia objęła kolana macierzy.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, matulu — rzekła z poszanowaniem.

Czeladka poszła za przykładem dziewczyny.

W chwili, gdy Paweł zapukał, Frąckowa w podróżnym swym przyborze otwierać miała drzwi chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł gospodarz. — Gotowiście już matko?

— Ha, jak mnie widzicie, kumie: komu w drogę, temu i czas.

I wyruszyli oboje. Paweł podpierał się sękatym kijem, który więcéj był mu potrzebny do obrony od psów, niżeli do wspierania krzepkich jeszcze kroków, pomimo wieku i długoletniej pracy. Frąckowa postępowała obok niego z wawo i ochoczo. Smutne myśli, które niedawno dręczyły podeszłą niewiastę, ustąpiły znać zupełnie, a oko jéj jaśniało nawet niezwykłą ufnością i nadzieją.

Słońce nie weszło jeszcze, tylko rumiana zorza roztaczała się po wschodnio-północnej stronie nieba. Drobné pierzaste chmurki rozpierzchły się na wszystkie strony pod świeżym powiewem rannego wietrzyka; obszerne pola i rozrzucone w oddali laski ginęły w sinawéj barwie; grusze dzikie rosnące na miedzy malowniczo rozkładały swe ciemne konary na złoto-różowém tle nieba; ptastwo świegotało na najrozlicniejsze tony, zwiastując dzień nowy, a powietrze było ciepłe i łagodne jak zazwyczaj w czerwcu.

Już minęli znany nam dobrze lasek dębowy, gdy słońce w kształcie ognistej kuli ukazało się świetne i jasne: naprzód częściowo, aż w końcu zabłysło w całym swym majestacie, i rozradowało ich oczy i serca jakąś tajemniczą otuchą. Milczeli oboje, tylko po lekkim poruszeniu ust znać że się modlili. Nareszcie Frąckowa cienkim, drżącym nieco głosem zanuciła pobożny psalm „Kto się w opiekę”. Paweł wtórzył jéj równie drżącym basem, a pieśń ich rozlegała się po obszerném błoniu. Oddalony odgłos dzwonu zadolskiego kościółka, wzywający w téj chwili pobożnych mieszkańców wioski na modlitwę, łączył się wdzięczną harmonią z ich uroczystym śpiewem.

Umilkli nareszcie zakończywszy psalm, umilkł i dzwonek kościelny.

— Słuchajcieno ojcze—rzekła Frąckowa—mnie się jakoś widzi, że Matka Najświętsza przyjmie naszą ofiarę, i uprosi nam u swego Najświętszego Syna łaskę i błogosławieństwo.

— Bogać nie: a kiedyć ta nasza Orędowniczka nie usłuchała głosu lichego stworzenia?—odparł Paweł z wiarą.

— No! juścić czasem i modlitwa nic nie nada, kiej tam już inaczej zapisane w niebie—rzekła Frąckowa potrząsając głową. —A pamiętacie wy jak my się to modlili za zdrowie nieboszki pani, a jednak inaczej znać chciały święte wyroki.

— Moja matko, niezbadane sądy Boskie—odparł Paweł—trzeba uchylić przed niemi głowę i nie tracić ufności.

— Zapewne—rzekła Frąckowa — a potem błogość tam już zapewne duszy nieboszki w niebie; a choć prośby nasze nie wyjednały jej życia, sprawiły jednak to, że sierota nie zmarnowała się między ludźmi. Toć też i teraz nie traćmy otuchy, że wszystko dobrze będzie.

— Kto z Bogiem to i Bóg z nim, mówili zawsze ojcowie nasi.

— Oj! święte wasze słowa, gospodarzu.

Tak gawędząc zaszli dobrą milę. Słońce przygrzewać zaczęło, więc usiedli oboje pod krzyżem wznoszącym się ponad drogą. Paweł dobył chleba i séra z podróźnej torby, Frąckowa chciała równie dostać posiłku z płachty, ale stary gospodarz podzielił się z nią własnym; nadto poczęstował ją wódką, którą w flaszcze miał na dnie torby.

Pokrzepiwszy zwątlone nieco siły, powstali i zwawo ruszyli w dalszą drogę. Już błonia łęczyckie szoroko rozścielały się przed ich okiem, a w oddaleniu, tuż pod murami Łęczycy widnemi zdała, rysowały się na niebie piramidalne topole, od których wioska będąca celem ich podróży, otrzymała zapewne miano.

Dochodzili właśnie, gdy dzwonek kościelny odezwał się uroczyście z wieżyczki topolskiego kościółka. Paweł opuścił towarzyszkę, która dobywszy z zanadru zawiązane w szmatku kilka dziesiątek, wsunęła mu w rękę, aby wraz z swoją ofiarą dał na mszę księdzu proboszczowi. Podeszła niewiasta usiadła tymczasem w cieniu pod kasztanem, rosnącym w rogu cmentarza, dobyła z płachty trzewiki i pończochy, i obuła się, chcąc przyzwolicie wystąpić przed oblicze cudownej Matki Zbawiciela. Niebawem powrócił i Paweł z oznajmieniem, że msza święta wychodzi natychmiast. Weszli oboje do znanego nam kościółka, modlili się z wiarą i ufnością, a po skończonej świętej ofierze, odeszli w pokorze, pełni dziwniej jakiegóś otuchy.

Udali się oboje do gospody. Frąckowa odwdzięczając Pawłowi za otrzymany od niego w drodze posiłek, rozłamała z nim chleb własny, podała mu pół krajanki świeżego i białego séra, i za pozostałą dziesiątkę kazała dać szynkarce parę półkwatekó w anyzó wki.

Paweł tymczasem położył się na ławce, aby dać wypoczynek strudzonym członkom. Frąckowa usiadła na niskim zydelku, i zmiatając z kolan okruchy chleba i séra, posypywała je kurczętom biegającym swobodnie po gościnnéj izbie.

W téj chwili młody i raźny parobek, z rumianą twarzą, błękitném okiem i spadającemi na ramiona włosami, przystrzyżone-  
mi tylko ponad czołem, wszedł ochoczo we drzwi gospody.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— rzekł zdejmując z głowy kapelusz opasany krasną zyczką.

— Na wieki wieków, amen— odparł Paweł, a za nim Frąckowa.

— A zkądżeto pan Bóg prowadzi? bo widzę, żeście podróżni—zagadnął przybyły.

— Ha, na święte miejsce—odparła niewiasta—przyszliśmy dopełnić ofiary, a teraz wej oto wybieramy się rychlikiem do domu.

— A którądyż wam droga?

— Prościuchno gościńcem ku Kutnu.

— Toć was i podwozę trochę—rzekł uczynny parobek—bo widzę, żeśta letni oboje. Jużci wasze nogi nie rok, ani dwa stąpają po świętej ziemi, toć wam się i należy trochę spoczynku.

— Bóg zapłać—odparli razem oboje. Paweł powstał i kupił kwaterkę wódki, chcąc się według możności wypłacić za doznaną przysługę.

Przy trunku zawiązała się bliższa znajomość pomiędzy podróżnemi.

— A wy gdzieżto jedzicie?—zapytała Frąckowa.

— Jadę z Łęczycy, kędy odwoziłem doktora, do Załęcina; ogniste ztąd trzy mile i to z ogonem. Do Witoni jedna wypada nam droga, tam dopiero zawrócę na prawo.

— A nie będziecież mieli biędzy bracie za to, że zabieracie po drodze obcych ludzi? Wasze koniska tego się pewno zmachały.

— Nic im nie będzie—odparł parobek.—Mój pan dobry i sprawiedliwy, choćby się o tém i dowiedział, toby nie powiedział za to marnego słowa. A potem patrzy wam z oczu, żeście stateczni i poczciwi ludzie, a od tego, jak mówicie sami, wędrujecie ze świętego miejsca; toć warto się chociaż obetrzyć o was człowiekowi: możeć za to na duszę spłynie choć kropelka niebieskiej rosy. Napasłem téż kasztany golutkim owsem w Łęczycy, i nie byłbym tu nawet wstępował, jeno że mi *łysa* zgubiła wej podkowę.

To mówiąc młody parobek zawiął się żwawo i zapytał szynkarkę o kowala.

— Siedzić ot tu za stołem—odparła wskazując na człowieka niskiego, chudego, z posmoloną sadzami twarzą, z rzemiennym fartuchem przed pasem, i blademi od trunku i znużenia oczami.

— Chodźcieno, chodźcie bracie, jeno żwawo—rzekł parobek—przybijcie kobyłce podkowę.

Kowal ocknął się jakby ze snu, przeciągnął się, ziewnął kilkakrotnie, i rad nie rad powstał z za stołu i poszedł ku drzwiom, nie trzymając się zupełnie prostej linii.

— Mój Boże! — rzekł Paweł lekko potrząsając głową — jakto trunek zrobi z człowieka nieboskie stworzenie.

— Ej, nie gadalibyście gospodarzu—rzekła młoda szynkarka, wyszczerzając białe zęby—żeby nikt nie pił, w coby się obrócili gospody? Przecież i kieliszek jeden i drugi nie zawadzi człowiekowi po pracy.

— Tak, po pracy—odparł Paweł—toć i ja nie od tego; aleć od samego rana spić się jak bydlę, toć i grzech i sromota. Oj! nasza pani nie trzymałaby we wsi takiego pana majstra.

— Nie chciałabym ja tam szynkować u waszój pani—rzekła szynkarka podnosząc z pogardą ramiona w górę.

— Oj zapewne, że karczma nietęgi u nas przynosi dochód—rzekła Frąckowa—aleć za to wszystkim u nas jak w niebie.

— Woleć ja nasze piekło, niżeli wasze niebo—rzekła szynkarka.

— Siedźże sobie w błocie, kiedy ci w niém dobrze — rzekł Paweł w miejsce pożegnania, łącząc do swego przysłowia niepolityczną nazwę zwierzęcia, której powtórzyć nam się niegodzi.

I stary gospodarz nasunawszy kapelusz na oczy wyszedł z izby, opędzając się kijem czarnemu psu, którego karczmarka niewyraźnie podszczuła, wskazując na niegrzecznego gościa, który się ośmielił powiedzieć w oczy prawdę. Frąckowa wyszła za Pawłem.

Młody parobek Stacho, bo tak mu było na imię, okuł tymczasem wraz z kowalem kobyłkę, i niewiele myśląc, wszyscy troje wyruszyli w drogę. Bryczka turkotała po kamieniach, a konie paskając, biegły spiesznie, czując, że idą ku domowi.

— To wy służycie w Załęcinie?—zagadnął Paweł Stacha.

— A takci, gospodarzu.

— A dobregoż aby macie pana?

— Oj, co dobrego, to dobrego—rzekł Stacho—bodałby się tacy na kamieniach rodzili. A i pani, nie przymierzając, istnieje jakby jaka święta: dobra, miłosierna, nikogo nie pokrzywdzi, każdemu by nieba uchylić rada. Aleć ich oto ciężko Pan Jezus nawiedził.

— A toć czém? pewnie chorobą, kiedy oto odwoziliście doktora.



— A juści nie czém—odparł Stacho.— Nasza panienska zaniemogła dwie niedziele temu, a ślicznato panienska, istny aniołek.

— A czy jednę tylko panienkę mają wasi państwo?

— Bogać jednę. Oj! żeby jednę, toby pewno była zdrowa jak rybka, boćby ją pan Jatanazy nie porzucił dla innéj.

— Jaki pan Jatanazy?—zapytała żywo Frąckowa, spoglądając ze znaczeniem na Pawła.

— Adyc jeden jest pono w okolicy. A tenci pan Jatanazy z Woli, jeśli go znacie matko.

— Widziałamci go w Kutnie na Podniesieniu Krzyża świętego. Coś mu nie tego z oczu patrzy; ja zaraz mówiłam, że to nic dobrego.

— Oj, zgadliście matko—rzekł Stacho—choć ludzie mówią, że to pan mądry i dobry, ale ja wam powiadam, że to chytry lis.

— To on opuścił waszę panienkę?—zapytał Paweł ciekawie.

— A takci, gospodarzu, opuścił niebożátko. A kochała go ogniście biédaczka, aż jéj się krew puściła ustami, jak się dowiedziała, że pan Jatanazy postanowił ożenić się z inną.

— A jegomość cóż na to?—zapytała Frąckowa—jakié on tak pozwolił wyrządzić krzywdę swemu dziecku?

— Oj, jegomość nie zaspalby pewno gruszek w popiele—rzekł Stacho—aleć on podobno o niczém nie wie.

— Jakto, nie wie co się w domu dzieje?

— Bo to trzeba wam wiedziéć, że nasz pan jeździł niedawno gdzieś daleko, aż pono na Ukrainę do krewnych; tymczasem pan Jatanazy zaczął często-gęsto zaglądać do Załęcina i paniencie jakoś ogniście przypadł do serduszka; a i pani nasza nie była od tego, bo ludzie mówili, że to człowiek dobry, a do tego nieubogi. Aż tu jakby uciął: pan Jatanazy jeszcze przed powrotem jegomości przestał bywać w Załęcinie; powiadają, że mu matka inne naraiła ożenienie. Biédne nasze pannisko wychudło, wymizerniało, jakby je złe urzekło, albo wiedźma nawiedziła. Jak jegomość powrócił z drogi, aż zapłakał sobie z żalu i ręce załamał, spojrzawszy na niebogę. Ale mi mówiła moja siostra Baśka, co służy za dziewczynę we dworze, że pani nasza ani pisnęła jegomości z jakiej przyczyny panienska tak choruje; nie chciała go znać martwić nieboga, a nadewszystko bała się jakiej *hawantury*. Baśka powiadała mi, jak sama panienska prosiła i *molestowała*, żeby się ojciec o niczém nie dowiedział.

— Nic to już nie pomoże—mówiło niebożátko do matki—choćby go ojciec zmusił, na cóżby się to zdało, kiedyć już kocha inną!

— Oj, zapewne, zapewne—odparła Frąckowa kiwając głową. —Mój mocny Boże, jakto ci panowie sumienia nie mają, choć się uczą Bóg wie w nie jakich tam szkołach; w naszym prostym stanie, niktby sobie tak nie poważył postąpić.

— Oj, że nie, to nie—odparł Stacho.

— Toć im téż i Pan Bóg nie błogosławi—rzekł Paweł, który dotąd milczał uporcezywie, jakby się namyślał, co tu czynić wypada. —Oj! krzywda ludzka zawszećto jakoś sprowadzi Boską karę. Wspomnicie moje słowo, że i panu Jatanazemu nie wyjdzie to na dobre.

— Jak Bóg na niebie—rzekł Stacho.—Radbym jeno wiedzieć, kogo mu to tam stara jójmość upatrzyła: pewnoć jaką bogatą; ale co lepszej i śliczniejszej jak nasza panienka, to pono nie ma na całym świecie.

Ani Paweł, ani Frąckowa nie odrzekli słowa; spojrzeli tylko po sobie, podczas gdy Stacho zwawo zacinął kasztany.

Po chwili dojechali wreszcie do krzyża, stojącego przy rozstajnej drodze, od którego wążka drożyna skręcała się na prawo. Stacho zatrzymał konie, Frąckowa i Paweł zsiedli zwolna z bryczki.

— Bóg ci zapłać, bracie — rzekł gospodarz — żeście poratowali starych.

— Bóg wam zapłać — powtórzyła Frąckowa.

— Szczęść wam Boże! — odparł parobek uchylając kapelusza — a poproście tam Boga o zdrowie naszej panienki. — To mówiąc, skierował lejce, zawrócił na prawo, bryczka potoczyła się szybko, a tuman kurzu okrył ją, jakby obłokiem.

— Cóż wy na to, gospodarzu? — zapytała Frąckowa, postępując zwolna obok Pawła.

— Ha, i cóż — odparł Paweł kiwając głową — dziękować Bogu, że Opatrzność Jego święta tak wszystko mądrze urządziła.

— Ej, nie gadalibyście kumie; a toć tu chyba prędzej złe się w mieszało i brzdzi.

— Złe, złe — pomrukiwał gospodarz — co wam się u licha dzieje matko; a toć rzecz oczywista, że Matka Boska topolska obróciła wszystko na dobre; żebyśmy nie byli poszli do Topoli, nie spotkali byśmy Stacha, a nasza pani nieświadoma niczego, byłaby poszła za tego niecnotę.

— Advć co prawda, to prawda ojcze; ale jak tu sobie w tém poradzić? Już ja tam, choćbyście mi obiecywali złote góry, nie pśnie do pani ani marnego słowa.

Porzucilibyście te babskie ceregiele; wielkie mi rzeczy powiedzieć, kiedy tu idzie o pokój całego życia. Oj! baba z was, baba.

— Juści nie co innego— odparła Frąckowa—toć sobie gadajcie sami, kiedy z was taki zuch.

— Ej! wam toby jakoś było składniej—rzekł Paweł, dobywając brzożową tabakierkę—przeciećto rzecz wiadoma, że babski język lepiej jakoś miele, jak chłopski.

— Zaczynacie już widzę ze mną — odparła urażona niewiasta.

— No, nie gniewajcie się matko; ale oto radźmy co tu począć. Widzicie ot tam nasz lasek za górką? Za dobrą godzinę będziemy w Zadolu.

— A pamiętaciez kumie co wam się śniło onegdajszej nocy? Toćto było wyraźnie Boskie ostrzeżenie.

— Bogać miałem zapomnieć? Jeszcze mnie ciarki przechodzą, jak sobie wspomnę tę paskudną gadzinę.

— A śniło wam się przecie, żeście ją sami zabili.

— To i cóż z tego?

— To z tego, że musicie sami wszystko powiedzieć; ja się tymczasem przyczaję zdaleka: tak istnie, jak było i we śnie.

— Niechże i tak będzie, kiedyć taka wola Pana Boga—odparł Paweł skłaniając głowę.

— Ale bo to widzicie kumie, ja się ogniście boję, żeby nasza pani nie myślała, że my sobie ot tak zmyślili całą rzecz, żeby się pozbyć nowego pana.

Paweł zamyślił się nieco. Twarz jego oblekła się wyraźnym smutkiem, ale myśl pocziwa przemogła w sercu starego.

— No i cóż — rzekł— wolno pani myśleć co jej się podoba; wolno jej słuchać albo i nie; ale my dlatego powinniśmy zrobić co nam przykazuje Bóg i sumienie.

— Święte wasze słowa, ojcie— odparła Frąckowa i szli oboje w milczeniu, układając w myśli jak tu sobie postąpić. Słońce paliło gorącym płomieniem, istnie jakby żywy ogień leciał z nieba; spoczywali co chwila, ocierając z potu i kurzu uznojone czoła.

Doszli nareszcie do znanój nam dobrze dębiny, i usiedli na murawie pod cieniem rozłożystej gruszy.

— Poczekajcieno kumie— rzekła Frąckowa — pobiegnę do chaty gajowego i przyniosę wam garnuszek wody, boć was pewno pali pragnienie; mnie już aż język stanął kołem.

— Bóg wam zapłać, matko; spieszcie się jeno jak możecie, bobym już rad jednéj chwili stanąć doma.

Frąckowa pobiegła spiesznie. Paweł położył się na murawie, spojrział w błękitne niebo, po którym przesuwały się jasne, przejrzyste obłoczki. Dzięki ci Panie — pomyślał w głębi ducha — adyc to wszystko sprawa twojej Opatrzności!

W kilka minut nadbiegła podeszła niewiasta, niosąc w ręku w miejscu wody garnuszek mleka, którego jej chętnie użyczyła poczciwa żona gajowego.

— Kumie, kumie, wiécież wy co? — rzekła pomieszana — nasza pani jest tam w dębinie. Widziałam zdaleka między drzewami, jak mi przemignęła biała jej sukienka.

— To chyba kto inny; wiécie przecie, że pani od śmierci nieboszczyka pana zawsze chodzi szaro; a potém taki upał, gdzieby jej się tam chciało wychodzić z domu.

— A ja wam powiadam, zem ją widziałam jak słońce na niebie; przecieżem jeszcze dzięki Bogu nie ślepa.

— Ale wam się mogło przywidziéć.

— Oj! że nie, to nie; chodźcie jeno sami.

Paweł powstał, wypił mleko i skierował kroki w stronę, którą mu wskazała Frąckowa.

Na małym wzgórk z zielonej murawy, w cieniu rozłożystych drzew, siedziała a raczej napół leżała Wanda. Twarz jej nosiła ślad głębokiego zamyślenia; na czole znać było niepokój i jakby lekką troskę; na licu jednak kwitł żywy rumieniec, a zasłona na piersi częstém poruszeniem zdradzała przyspieszone nad miarę bicie serca.

Paweł i Frąckowa podeszli zcicha, a poznawszy dokładnie swoją panią, spojrzeli znacząco po sobie.

Wanda tymczasem sądząc się sama bez świadka, powstała, upadła na kolana, pochyliła się kornie ku ziemi, ręce wzniosła ku niebu, jakby wzywając ztamtąd rady i pomocy.

— Biedne, biedne panisko — rzekła zcicha Frąckowa — módl się biedactwo, żeby ją Pan Jezus oświecił. Nie wie nieboga, co ją czeka. — To mówiąc otarła fartuchem łzę, dobywającą się mimowoli z oka.

— A patrzcie no Pawle jaka śliczna — dodała po chwili — istnieje jakby jaka święta.

— No w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego — rzekł Paweł stanowczo — trzeba już raz skończyć rzecz; kiedyć taka wola Pana Boga.

— Niech wam Matka Najświętsza topolska dopomoże — rzekła Frąckowa kreśląc w powietrzu znak krzyża świętego.

Paweł postąpił kilka kroków; suche liście i gałązki zachrzęściały mu pod nogą. Wanda posłyszała szelest, obejrzała się nagle i w okamgnieniu powstała przełęknioma.

— A to wy Pawle — rzekła łagodnie poznając zbliżającego się starego gospodarza.

— A tak, to ja, proszę Wielmożnej Pani — odparł stary, obejmując z uczuciem nogi Wandy. — Pójdźcieno tu matko — rzekł skinąwszy na Frąckową, która stała opodal przyczajona za drzewem.

— I wy tutaj także? — zapytała młoda kobieta — zkądżeto was Pan Bóg prowadzi, bo widzę, żeście zmęczeni — dodała obejmując głowę pochyloną do jej stóp niewiasty.

— Idziemy sobie ze świętego miejsca, gdzieśmy się ofiarowali — odparł Paweł.

— Z Topoli zapewne — rzekła Wanda. — O! pamiętam, pamiętam, jak małą będąc chodziłam tam razem z wami prosić Matki Najświętszej o zdrowie mojej matki; ale inaczéj wówczas zrzędziły wyroki Opatrzności.

— Oj! ale co teraz, toć nas wej Opiekunka nasza wysłuchała — rzekł stary nieśmiało.

— Jakto? tak prędko? a zkądże wiecie, że próśby wasze otrzymały pożądany skutek.

— Długoćby o tém mówić Wielmożna Pani — rzekł Paweł.

— Opowiedzcież mi wszystko, moi kochani; ale widzę, żeście zmęczeni, odpocznujcie sobie na murawie.

To mówiąc usiadła sama. Paweł i Frąckowa na powtórne jej naleganie spoczęli zarówno; jednak mimo szczerego postanowienia, stary gospodarz milczał uporczywie, sam nie wiedząc od czego by zacząć.

— No, nie lękajcie się niczego, znacie mnie przecie dobrze, a jak sądzę i kochacie cokolwiek — rzekła Wanda, a miły uśmiech rozjaśnił łagodne jej lica.

— Oj! że kochamy, to kochamy — odparła Frąckowa i rozplakała się głośno.

— Co wam jest? — zapytała z wzrastającym zajęciem Wanda.

Frąckowa w miejscu odpowiedzi zasłoniła oczy fartuchem.

— Otóż ja powiem wszystko Wielmożnej Pani — rzekł Paweł — boć trzeba raz zrzucić z serca ten kamień, co je tak ogniecie gniecie. Jeno niech Wielmożna Pani będzie cierpliwa, bo to rzecz długa, a człek niebardzo wej nauczny obracać językiem.

— Mówcie, mówcie jak umiecie, ojczu.

— Owoż, proszę Wielmożnej Pani, onegdajszej nocy śniło mi się, że tu, jakby w tém samym miejscu, zbierałem razem z Frąckową suche gałęzie na opał; wtém, zobaczyłem Wielmożną Panią *takusieńko* ubraną jak i dziś, w białej kieby śnieg sukience, jeno że koło Wielmożnej Pani wiała się straszliwa gadzina.

Wanda zbladła, jakby złowieszczém zatrwożona przeczuciem.

— I cóżeście z nią zrobili?—zapytała drżącym głosem.

— Zabiłem ją, proszę Wielmożnej Pani.

— Dobry, poczciwy Pawle, to wy i we śnie myślicie o mnie i czuwacie nad mojem bezpieczeństwem.

— Albożto i Wielmożna Pani zawsze o nas nie myśli?—odparł stary.

— No, i cóż dalej?—zapytała ciekawie.

— Ha! jakeśmy jeli radzić z kumą, takeśmy i uradzili, żeby iść do Topoli i błagać Najświętszą Panienkę, żeby wzięła Wielmożną Panią pod swoje świętą obronę.

— Dziękuję wam, dziękuję z serca — odparła rozrzewniona Wanda — No, aleście mówili, że Matka Najświętsza wysłuchała waszej prośby.

— Otóżto sęk, jak to tu powiedzieć — pomrukiwał Paweł — kumo, gadajcie, już ja zacząłem.

— Jaceście zaczęli, tak i kończcie — odparła Frąckowa.

— Mówcie, mówcie, nie lękajcie się niczego — rzekła Wanda.

— No, toć i powiem krótko a węzłowato; owóż koniec końcem — rzekł wreszcie nieśmiało, obejmując nogi Wandy — dowiedzieliśmy się przypadkiem w drodze, że ten pan Jatanazy coto tu bywa, to wielkie ladaco, z przeproszeniem Wielmożnej Pani: zbałamucił panienkę z Załęcina, co teraz niebożątko może i śmiercią przypieczętuje wszystko.

Wanda zbladła jak śmierć; słowa Pawła, jakby gromem razily serce młodej kobiety. Przez chwilę nie była zdolną wymówić słowa. Frąckowa tymczasem siedziała nieruchomie, owinąwszy twarz do połowy fartuchem.

Niedługo jednak trwało pomieszanie Wandy. Bóg dodał jej siły, jak dodaje każdemu w stanowczej chwili, ktokolwiek błaga o nią w wierze i szczerzej prostocie ducha. Młoda kobieta wybadala dokładnie Pawła i Frąckową, której nakoniec rozwiązały się usta.

— Dziękuję wam — rzekła nakoniec, podając obojgu po kolei drżącą rękę — sprawdził się sen wasz poczciwy Pawle, zabiliście gadzinę.

Paweł ścisnął w milezeniu nogi swój dobrej pani; Frąckowa płakała rzewnie.

— No, pójdźmy już kumie—rzekła stara niewiasta, ciągnąc Pawła za połę od siermięgi—jużeśmy powiedzieli, cośmy mieli powiedzieć; nie przeszkadzajmy dłużej naszej pani.

— Moje dzieci, wy mnie nigdy nie przeszkadzacie—odparła Wanda—mnie z wami najmiliej podobno, bo i gdzież szukać takich serc prostych, szczerych a kochających, jak wasze?

— Ba! któżby też nie kochał takiej pani—odparła Frąckowa—Mybyśmy i krwi naszej nie pożałowali w potrzebie.

— Oj! zapewne—dodał Paweł.

— Dziękuję wam z serca, dziękuję—rzekła Wanda ocierając z łez swe błękitne oczy.—Ale nie odstępujcie mnie, za chwilę pójdę i ja z wami.

To mówiąc, zbierała rozrzucone po murawie rękawiczki i zbliżyła się do pochylonej brzozy, chcąc odwiązać kapelusz słomkowy zawieszony na jej gałęzi.

Wieśniacy usunęli się nieco na bok. Paweł oparł się o spruchniały pniak dębu, Frąckowa zbierała kozłarki, rosnące obficie dokoła.

Oddalony turkot dał się słyszeć na drodze. Wanda zadrżała, a lica jej bardziej jeszcze zbladły, jak przed chwilą.

Niebawem wpośród gestwiny zaszeleściło coś zblizka. Piękna postać pana Atanazego ukazała się w półcieniu.

— Znajduję cię przecie, pani!—zawołał z uczuciem spostrzegając Wandę.—O! dzięki ci, dzięki za tę białą sukienkę, która cię istotnie podobną czyni do anioła. Dzięki ci Wando!—dodał, biorąc rękę młodej kobiety—w tej jasnej barwie odgaduję wróżbę mego szczęścia.

Ręka Wandy zimna była i drżąca; milczała, słowa bowiem zamarły w jej piersi pod wpływem zbytniego wzruszenia.

— Co ci jest pani... drzysz cała... takas blada i zmieniona?—zapytał Atanazy niespokojnie.

— Nic, to nic—odparła z cicha, niewyraźnie.

— Pojmuję pomieszanie twoje, pani: chwilato ważna i uroczysta, kiedy mamy stanować o losie całego życia. Ale nie lękaj się przyszłości, Wando! ja cię uszczęśliwić potrafię; przysięgam ci to u nóg twoich—dodał padając na kolana.

— Mylisz się pan—odparła chłodno i stanowczo, lubo słabym głosem—jeżeli czynisz sobie nadzieje, której ja żadnym nie potwierdziłam słowem.

— Ależ twój ubiór, pani, czyliż nie jest dla mnie zapowiednią najmilszych nadziei? Wszakżeś dotąd nie porzuciła żałobnej szaty, mimo prośb moich i nalegań.

— Na słabój podstawie budujesz pan przyszłość—odparła.— Przynależam panu, że dziś wyznam mu ostateczne postanowienie moje; otóż dotrzymując słowa, powiadam panu, że nasz związek nie nastąpi nigdy.

— Nigdy? byże to może!—zawołał Atanazy.

— Nigdy!—odparła Wanda.

— A toż dlaczego? powiedz mi pani, zaklinam.

— Dlatego: naprzód, że nie chcę szczęścia okupionego łąką i cierpieniem, a może i życiem drugich; powtóre, że nie mogę łączyć się z człowiekiem niezastługującym na moję cześć i szacunek!

— Nie rozumiem cię, pani: wytłumacz się jaśnieję, na Bogo!

— Jaśniejsze tłumaczenie byłoby dla mnie zbyt bolesném i zupełnie bezużyteczném dla nas obojga; wiesz pan dobrze, o czém mówię, a jeśli nie wiesz, uderz się w piersi, a sumienie własne dopowie ci resztę.

— Pani!—zawołał błądy od wstydu i upokorzenia Atanazy— domyślałam się o co rzecz idzie: mówiono ci zapewne, że niegdys, zanim cię poznałem, bywałem w Załęcinie, że młoda Marya zajęła mnie chwilowo. Nie myśl jednak pani, zaklinam cię, żebym ją miał zdradzić; nie czyniłem jęj bowiem żadnego stanowczego przyrzeczenia. A potém—dodał z zapalem—gdybym ją nawet i kochał, mógłbym być panem siebie i nie uledez tylu wdziękom, takięj niewieścięj wyższości, jaką znalazłem w tobie. O! nie oskarżaj mnie pani: twoja w tém wina jedynie.

— A gdzieżby była rękojmia mego szczęścia, męj przyszłości?—odparła Wanda z godnością—gdybym zaufała człowiekowi, który nie umie być panem swego serca?

— W miłości mojęj, Wando!

— W miłości, którąby nowe wrażenie zdmuchnęło jak bańkę na wodzie? O nie, panie Atanazy, dla mnie taka miłość nie wystarcza: inaczej ja pojmuję święte uczucie, na którém śmiało kobieta opiera swą przyszłość; a jeżeli takie uczucie nie istnieje dziś na ziemi, mam dosyć siły, aby przed inuém zamknąć serce hazawsze.

— Pani! zaklinam cię, mięj litość nademną: pragniesz chyba mojęj śmierci. Wando! jeżeli postanowienie twoję niezmiennę; powiedz, powiedz, a zakończę dobrowolnie życie, któreś takim zaprawiła bólem i goryczą.



— Taka miłość, jak pana, nie zaprowadzi do grobu; spokojną jestem zupełnie—odparła Wanda zimno.—Żądasz pan stanowczej odpowiedzi; dałam ją już przed chwilą, i raz jeszcze powtarzam, że nigdy nie zwykłam zmieniać raz wyrzeczonego słowa.

— A więc żegnam Panią!—zawołał z stłumionym gniewem Atanazy, i nasunawszy na głowę kapelusz biegł jak szalony przez gestwinę. Wkrótce potem bryczka zaturkotała na drodze.

— Bogu Najświętszemu dzięki—rzekł Paweł do Frąckowój, która w chwili przybycia Atanazego zbliżyła się do starego gospodarza i stanęła obok niego, wspierając się o drzewo.

— Najświętsza Panno topolska, twojać to tylko sprawa—odparła Frąckowa wznosząc oczy ku niebu.

Wanda pozostała chwilę jeszcze nieruchoma. Wtém dzwonek kościelny jak zazwyczaj w sobotę, odezwał się wzywając pobożnych do modlitwy. Młoda kobieta padła z pokorą na kolana, jasne oko wzniosła z ufnością w niebo, po którego błękitie przepływały białe obłoki.

— Przebaczcie mi, przebaczcie duchy opiekuńcze, które czuwacie nademną; przebaczcie, że chciałam zdać od was znaleźć szczęście na ziemi; podnieście ducha mego, ukażcie mi ów świat tajemniczy niezależny od walk i burzy ziemskich, gdzie nie ma łez, bólesci i zawodu!

I umilkła, a dziwna pociecha wstąpiła w skołatane jój serce. Uczuła nieznaną dotąd siłę, a na bladém jój czole spoczął wyraz prawdziwie natchniony.

Powstała pokrzepiona, zwróciła się ku drodze wiodącej do wioski. Przechodząc spostrzegła Pawła i Frąckowę stojących pod wyprućniałym dębem, podała im rękę, którą oboje ucałowali z głębokim uczuciem.

Słońce tymczasem ognistą barwą zachodu zrumieniło pół nieba; ostatnie jego promienie drżały na szczycie wyniosłych konarów dębiny; białe brzozy, chyląc ku ziemi płaczące gałęzie, drżały za powiewem wieczornego chłodu. Wanda przesunęła wśród nich zwolna, wątpia i chwiejąca, a biała jój szata długa i powiewna, ciemne jój włosy spływające w nieładzie na ramiona, nadawały jój z niemi dziwne podobieństwo.

Mrok szary zapadał już coraz bardziej na niebie, gdy młoda kobieta wyszła z dębiny i zwolna udała się ku wiosce. Paweł i Frąckowa postępowali za nią w milczeniu. Dzwonek kościelny znowu

się odezwał na Anioł Pański. Wanda objęła okiem cudownie piękne niebo letniej nocy, na którym, wraz z rozścielającą się ciemnością, coraz to nowe pojawiały się gwiazdy, jakby je niewidzialna zapalała ręka. Nakoniec księżyc w pełni, jakby ognista kula, ukazał się na niebie naprzód częściowo, następnie w pełnym blasku, mała blaszana kopułka zajaśniała świetnie od srebrnych jego promieni, a białe krzyże cmentarza ukazały się w oddali napół ukryte w cieniu świerków i jodeł. Wanda powiodła po nich tęsknym i wilgotnym okiem, westchnęła, zatrzymała się chwilę, skinęła nakońiec głową, pożegnała mileząc Pawła i Erackową i weszła w bramę podwórka.

Sędzina siedząc w pokoju przy stoliku układała karty, i drżącymi ustami powtarzała: tuz, król, kralka, wyznik, niżnik, szóstka. Wanda zbliżyła się z poszanowaniem do babki, i pocałowała jej suchą i pomarszczoną rękę.

— A cóżto, sama jesteś, moje dziecko?—zapytała niespokojnie.

— Sama, zawsze odtąd sama—odparła młoda kobieta—ale co mówię, nie sama, bo ty jesteś ze mną, droga, ukochana labciu!

— Co tam ja, moje dziecko, wiek mój już niedługi; dziś, jutro przyjdzie połączyć się z temi, co na mnie czekają. Ale powiedz mi, gdzie Atanazy? Był tu niedawno, powiedziałam mu, żeś w dębinie i pojechał do ciebie; myślałam, żeście razem powrócili.

— Widziałam go, babciu, i pożegnałam nazawsze.

— Jakto! czyto być może? Inne przecież miałaś zamiary.

— Tak, alem je zmieniła, i słusznie; przebacz babuniu, że ci dziś nic więcej powiedzieć nie mogę: zbyt wieleby mnie to kosztowało. Wierz mi tylko, że on nie był mi niegodzien.

— Oj! poetka, poetka—odparła babka wstrząsając głową—istna córka Waclawa...

— I Joanny—odparła Wanda z lekkim uczuciem dumy—a wychowanka Stanisława.—To mówiąc, przycisnęła do ust rękę babki.

\* \* \*

Ktoby chciał wiedzieć o dalszym losie Wandy, powiemy mu tylko, że pomimo wielokrotnych nalegań podeszłej babki, wcale za męża iść nie chciała. Dopóki żyła sędzina, tkliwe około niej starania, oraz szczegółowe zajęcie się losem włościan, nauka i praca, wypełniły jej życie; kiedy zaś w kilka lat potem, na cichym cmentarzu w Zadolu przybyła jedna więcej mogiła, a na ziemi ubyłoby jedno ser-

# KRONIKA LITERACKA.

## PISMA FILOZOFICZNEJ TREŚCI.

*Wykład systematyczny filozofii przez Józefa Kremera. 1851. Kraków.*

Jestto tom pierwszy wykładu filozofii przez p. Józefa Kremera, i obejmuje *fenomenologią* i *logikę*. — P. Kremer dawniej bezwarunkowy zwolennik Hegla, odstąpił tu od swego wzoru i mistrza. Hegel zaczął swój wykład systemu od *loiki*, to jest od rozbioru naszego *pojęcia*, które poczynając się w sobie, czyli wychodząc z idei *bezwzględnej*, odbija się o przedmioty świata i kończy na poznaniu swego początku, *pojęciu idei bezwzględnej*. P. Kremer w obecnym wykładzie nie podzielił tego widoku. *Loika* jest historią *pojęcia*, lecz pierwszy moment którym poznajemy stworzoną rzecz nie jest ich jeszcze *pojęciem*; (przedmioty o nasze zmysły i umysł uderzają najpierw tylko machinalnie); pierwszym momentem poznania naszego jest więc prosta rzecz *świadomość*, świadomość zjawisk, *fenomenów*. Dlatego początkiem wykładu u autora jest *fenomenologia*. Treść tej fenomenologii zajęła się wykładem historii *świadomości* naszej, aż do podniesienia jej do stopnia *rozumu* (bezwzględnego) czyli *pojęciu*. *Loika* objęła znów historią tego rozumu (*pojęcia*). Jak w zaczęciu, tak też odstąpił autor Hegla w zakończeniu swój *loiki*. Uważanie za ostatni moment *pojęcia: idei bezwzględnej*, autor uznał obecnie za błąd w systemacie Hegla; błąd wielki, który bezpośrednio wieść musi do zaprzeczenia jednostkowości odrębnej Istoty najwyższej, bytu dusz jednostkowych i t. p. Ostatecznym wypadkiem *loiki* winna być, według autora, nie *idea bezwzględna*, ale *osoba bezwzględna*, i ostatnie rozdziały *Loiki* autora obejmują wykład dojścia na polu *loiki: pojęcia Istoty najwyższej, odrębnej w sobie, oraz jednostkowych a nieśmiertelnych dusz ludzkich*.

Gdybyśmy w filozofii szukali jedynie sporów o wyrażenia i dyalektyki, moglibyśmy pomysł fenomenologii autora, w *Wykładzie systematycznym*, z góry potępić. *Świadomość*, moglibyśmy rzec, jestto już z samego brzmienia wyższa, to jest *siebie-wiadomość*, a i sama *wiadomość* niczem być innem nie może, jak tylko już stopniem *pojęcia*; sfera

*świadomości* nie może więc być zewnątrz loiki. Życzylibyśmy jednak, iżby już dziś filozofia nie mogła ściągnąć zarzutu, jaki np. ścigali filozofowie greccy z czasów św. Pawła, iż się zajmują „gadkami około słów”. Nie dostało się nam ludziom (przynajmniej w dzisiejszych naszych warunkach) w podziale, poznanie rzeczy najwyższe, poznanie bezwzględne; dlatego więc jak wszystko, tak i wykłady filozoficzne nie według *subtelności*, ale według *prostoty sądu* sędzić winniśmy. Wychodząc z tego kryterium przyznać musimy, iż autor miał słuszość odróżniając treść *fenomenologii* od treści *loiki*; istotnie bowiem inne jest poznanie bezwiedne rzeczy (jako np. dzieci, zwierząt i t. p.) a inne *poznanie umiejętne*, które ma stanowić treść loiki.

Lecz co do loiki, nie podzieliliśmy co do nas wypadku autora, to jest postawienia w niej *osoby bezwzględnej* za *ideą bezwzględną*. Loika jest historią poznania, a nie skutku poznania. Osoba, Istność najwyższa i t. p. sąto przedmioty, które być mają dopiero skutkiem poznania, które przeto nie mogą być uważane za organiczną część loiki. Loika p. Kremera jest zkadinał w wykładzie swym powtórzeniem prawie dosłownym (to jest z niewielkimi zmianami) momentów i podmomentów Loiki Hegla, a odróżniają ją tylko ostatnie karty. Te ostatnie karty ze względu na żywotne w nich myśli i wykład, są najpiękniejszą częścią książki autora; lecz wyznajmy, nie przystają wcale do kart poprzednich. Owe momenta i podmomenta Loiki Hegla o tyle były z sobą związane, o tyle w swych następstwach loiczne, o ile za ostatni wypadek miały pojęcie *idei bezwzględnej*; postawienie *osoby* zamiast *idei*, jak się nie stało wypadkiem loicznym, tak uczyniło próżną harmonii całą poprzednią dyalektykę, zabiło w niej myśl tę przewodnią, którą ma tekst. Jeżeli p. Kremer chciał kończyć swą loikę na *osobie bezwzględnej*, jak autor *Loiki krajowej*: na *samodzielności poznania*, powinien był zdaniem naszym uczynić jak tenże autor, to jest z gruntu dać nową loikę.

Tak jak jest, książka autora jest jednak świadectwem, iż jedną z głównych cech ukazujących się u nas pism filozoficznych, jest zawsze *zwrot do praktyki*. Jeżeli w literaturze niemieckiej ci, którzy dotykali w swych pismach filozoficznych przedmiotów najwięcej praktycznych, zostawali zawsze w sferze teoryi; u nas przeciwnie: myśli filozoficzne, które lubują nawet we wszystkich subtelnościach teoryi, w gruncie swym gonią zawsze za praktyką. Loika Hegla zdziwiłaby się, ujrzawszy w jak wdzięczne i praktyczne zwroty jej oderwane wyrazowe teorye, odziały się tu, przy wykładach każdego momentu i podmomentu. Zwrot do czynów, do dziejów, sztuki, religii, był tu ciągle przed myślą pisarza polskiego przy każdej części wykładu; zwrot ten do praktyczności widny jest wreszcie w samym stworzonym przez autora nowym momencie wypadkowym.

*Historja serca i rozumu (uczucia i wiedzy) przez Jana Majorlkiewicza.*  
1851. Warszawa.

Treść książki tej obejmuje całość przebiegu ludzkości w najgłówniejszych jej rozumu i serca fenomenach (*ustaw, filozofii, religii i t. p.*),

czyli owę jedną z najświeższych i mało jeszcze której literaturze znaną naukę *historyzofią* w rysie. Jesteśmy wdzięczni wydawcom za uratowanie tej pracy autora, młodo zmarłego. Autor ten czyto przez przecucie swęj wczesnej śmierci, czyli przez rodzaj umysłu potrzebującego obejmować przed sobą przedmiot w jego pełni, w wykonaniach swych lubił zawsze odrazu do wykładów całości, a nie cząstek obieranego przedmiotu, przystępować. P. Majorkiewicz napisał *Historię krytyczną całości naszej literatury* i tę sam jeszcze ogłosił. *Historia uczucia i wiedzy* była, jak się zdaje, pisaną przed *Historią literatury*, autor jednak czuł wagę tego zadania i wstrzymał się był jeszcze z jej ogłoszeniem. Sam układ tej historii rozumu i serca tak jak go mamy, wskazuje jasno, iż autor nie przyłożył był jeszcze do niego ostatniej ręki; inne tu założenia w rozdziałach wstępnych, inny ciąg dalszy, a inne wnioski. Dodajmy, że nawet rozległe i tak znaczące gałęzie w historii rozwicia ludzkości jak wszystkie gałęzie *sztuk*, i cały szereg *umiejętności*, ani pomienione nawet zostały w tej historii *uczucia i wiedzy*; mimo to jednak ta książka p. Majorkiewicza, to podarunek piękny dla piśmienności. Z treści jej nikt zapewne nie nauczy się ani historii krajów, ani historii filozofii, ani historii religii, jeśli ich pierwej nie znał; lecz jeśli znał je, znane fakta ujrzy tu podniesione nieraz do porównań i względów nowych, do uwag i wniosków żywotnych. W ogóle myślą przewodnią autora, która od początku do końca towarzyszy tu jego wykładowi i ożywia go, jest: iż każdy który jest stworzonym na życie, winien jest *żyć*, to jest być czynnym, według *słowa życia* objawionego. Od początku do końca książki autor wychodzi tu z wiary w prawdy, i powołuje do praktyki prawd chrześcijańskich; w powoływaniu zaś tém, w podawanych przepisach, w każdej uwadze, wniosku, odbija istotnie społeczny charakter tych prawd to jest: *miłość* i *niesienie pociechy*. Myśli o miłości chrześcijańskiej i praktyce chrześcijańskiej (jakkolwiek po większej części wzięte z *Filozofii objawienia* Szellinga) w rozdziale *religia*, należą do najpiękniejszych kart książki. Autor tém wychodzeniem jawnym z chrześcijaństwa i powoływaniem do jego praktyki, pewną poezją słowa, powoływaniem do *czynu*, okazał spólność z innymi na polu filozofii krajowej powstałymi spólczennie myślami; różnica jest, iż autor w historyzofii tej nie mówi o wierze swęj w okres trzeci ludzkości, któryto okres jest jednak wiarą i punktem wyjścia każdego prawie z naszych pisarzy filozoficznych.

*Dusza uważana jako słowo, myśl, znak, przez J. N. Kamińskiego.*  
1852. Lwów.

Jestto pismo autora oddawna zasłużonego w naszej literaturze, i wkracza także bezpośrednio w gałąź filozoficzną. Pismo to, już nie na polu sztuki lub dziejów, ale na polu *lingwistyki* dotyka do tej gałęzi; Zadaniem jego nie jest dochodzenie z zasad filozoficznych do praktyki, ale dochodzenie z praktyki zasad filozoficznych. Słowo, myśl, znak, sąto zjawiska i formy, przez które się objawia *dusza* człowieka; autor

więc z tych zjawisk, znaków, a mianowicie słów języka naszego stara się czynić wnioski i dochodzi istoty *duszy* człowieka.

Jestto metoda dobra i droga żywotna w sobie, i piękne są wnioski, jakie autor zapisał na końcu książki. Autor po nici badań swych doszedł, jak twierdzi, iż idea, myśl, słowo, pojęcie, są od materji wolne, i że: „duch ludzki zaczęciem tego wszystkiego z tego ducha, przed którym żadnego nie było, i którym wszystko jest i stoi.” Co mówimy o metodzie i wnioskach, nie możemy rzec jednak o wykonaniu. Do badań swych autor używa wiele stworzonych przez siebie wyrazów nowych, lub już znane wyrazy bierze w inném od powszechnego znaczeniu; autor np. *zmysł*, *zmysły*, pisze wszędzie *mysł*, *mysły*, przez *um* rozumie *Vernunft*, przez *umysł* uczucie, używa nieobjaśnionego przez siebie wyrazu *mysł* i t. p. Autor z użycia powszechnego wyrazów miał dochodzić powszechnej myśli, i zaczął od przemiany tychże wyrazów, więc od zatarcia własnego *kryterjum*.

Między użyciem wyrazów i znaków i naturą duszy, która je sprawia, jest zapewne związek i bezpośredni, lecz im więcej ograniczona jest liczba tych dźwięków lub znaków piśmiennych, któremi się wyraża myśl ludzka, tém drażliwszą być winna loiczność w upatrywaniu podobieństw, stosunków, któreby być mogły twórcami niemylnych wniosków. Jest zapewne powód, iż np. w wyrazie łacińskim *tremor* i polskim *drzenie* lub *turkot* jest głoska *r*; lecz kiedy autor uczy np. iż: „dla tego pod znakiem *y* ciągną u nas wodę ze *studni*, iż litera ta jest na Wschodzie *Ens docens* i *studens*”, iż „mówiąc *wzdryga* się, oznaczamy, iż przy tém uczuciu *grają dryady* naszych członków”, iż „*natura* tak nazwaną została, iż prawo rzeczy musi iść przez swój *tór na tór*; iż niemieckie *ich* znaczy *ja-duch*, a *Geist* że *jest* i tym podobnie:— dowodzenia te raczej za igraszki jak dowodzenia brać tylko możemy. Nie przeczymy, że przez wyrazy każdego języka wyraża się jeden i tenże duch ludzki, lecz nie rozumiemy, dlaczego w jednej tylko mowie zpośród tysięcy chciał być loicznym lub swych tajemnic udzielać duch; dlaczego np. tylko ludowi niemieckiemu chciał powiedzieć, *że jest*.

Im poważniejsze są te wnioski, które na końcu swój książki autor zapisał, im więcej szczegóły pisma świadczą o zapasie myśli i wiadomości autora; tém więcej odpowiedzialnym jest za kroki, któremi stapał. Autor zwolennik Kanta nie ceni zapewne nowych pokoleń filozoficznych, i nie ma śladu, iżby znał nawet jakie pismo filozoficzne krajowe; owszem, samo odrębne użycie najpowszechniejszych w tych pismach wyrazów, świadczy, iż nie zaglądał do nich; mimo to jednak już w samej metodzie swojej, jak to widzimy, oddycha praktyką (to jest chęcią praktyki); i owszem, wyznaje to nawet parękroć w książce, iż większą rzeczywistością jest *czyn*, niż *idea*.

*Humor i Prawda*, przez Karola Libelta. 1852. Petersburg.

Humor i prawda jestto pismo autora *Systemu umnictwa*, pisane zapewne w kilka miesięcy po tym Systemie, lecz powiedzmy z góry za

excentryczne na autora tój książki. Pismo to składają częścią powiastki, częścią rozprawy z celem psychologicznym. Nie mamy bynajmniej za złe pisarzom poważnej myśli, gdy piszą powieść; powieść owszem, to forma nauki i sądu najżywoźniejsza, łączy się bowiem z dramatem życia (rzeczywistością) i jest formą we wpływie swym popularną. Pisarze najpoważniejsi i najsurowsi pisali nieraz powieści, i wykładali w nich spekulacye swojej nauki (Montesquieu np. *Sylle i Lizymacha*, Jacobi *Waldemara* i t. p.), lecz w powiastkach p. Libelta nie widzimy bynajmniej autora *Systemu umnictwa*: ani psychologia, ani poezya, ani wzgląd na wewnętrzny układ w rozwiciu wypadków, nie odznaczyły utworów tych powieściowych; sąto wyraźnie nie ręki powieścio-pisarza powieści.—Wszakże brak spekulacyi w drugiej połowie książki wynagrodziła obfitość jój w trzech piérwszych rozdziałach.—Piérwszy i drugi rozdział poświęcone tu są oznaczeniu powołania płci żeńskiej; trzeci obejmuje przestrogi dla męskiej.—W rozdziale piérwszym (*Kobiety i uczoność*), autor uważa, iż jak trójkąt do koła, tak przymiotnik uczony przystać nie może do rzeczownika kobieta; „głębią ducha swojego—mówi autor—żadna z kobiet umiejętności naprzód nie posunęła; co treściwszego wyda, to kompilacye z dzieł męczyzn; dzieła kobiet są jak przedruki, tylko prawem niezakazane.” Autor boi się, iżby nie powiedziano, że *niewiasta* dlatego tym wyrazem przez duch ludzki nazwaną została, iż *nie wie*.—Wszakże nie tylko *uczoność*, nawet sztuka nie jest udziałem kobiety; nie było dotąd żadnej poetki znakomitej; nie ma nawet, zdaniem autora, żadnego znakomitego romansu ręki kobiety, nawet listów. To znane zdanie Seneki: „*Vita sine litteris mors est*” kobiety—mówi autor—tłumaczą: „iż nie ma życia *bez listów*,” ale treść główna tych listów zawartą jest zwykle w przypiskach; (pewna np. wdowa—przycacza autor objaśniając tę myśl—pisząc do *nieżonatego* męczyzny w interesie spadku, dodała w przypisku: „coż mi po moich 100,000 i mojej młodości, kiedy moje dziecko, ostatnia pociecha po moim mężu, śmiertelnie słabe”).—Rozważywszy w rozdziale piérwszym jaką kobieta być nie ma, w następnym mającym napis: *Kobieta i rozsądek*, rozważa autor jaką ma być. Jeżeli *uczoność i mądrość* (uważa a la Saphir) są rodzaju żeńskiego, przez co duch ludzki poświadczył, iż mają być żonami rozumów męskich; przeciwnie *rozum i rozsądek* przeznaczone zostały na mężów duchów niewieścich. „Nic nie brzmi tak wdzięcznie i tak czcigodnie, jak kobieta rozumna, kobieta rozsądna.” Cechą zaś tego rozumu i rozsądku będzie, gdy: „w całym znaczeniu pojmie się kobietą i uzacni w sobie to, co w niej jest kobiecego.” Różność płci, różny mieć musi zakres działania. Spólność zatrudnień dla płci obojgich, byłaby taką anarchią w świecie społecznym, jakby była w świecie moralnym spólność żon i mężów. Ukształci zaś co kobiece kobieta, gdy najprzód będzie w sobie wyniszczać to, co ma ujemnego (jak kokieterya, próżność i t. p.), i ukaże dodatnie przymioty, a temi są: dobry rząd w domu, oszczędność, zawód matki, żony, obywatelki, a obywatelki—powiada autor—nie w tém znaczeniu, iżby sama prawa stanowiła, lecz iżby mogła pochlubić się, iż jest matką synów, którzy przynoszą sławę krajowi.

Wyraziwszy jaką ma być płeć żeńska, autor w rozdziale 3, noszącym napis: *Jak się przedstawia dzisiejsza massa literatury niemieckiej*, przystępuje do płci męskiej, i wyjaśniwszy, iż massa dzisiejszej literatury niemieckiej przedstawia się jako chaos; zapisuje na końcu wniosek, iż powinniśmy już zarzucić uprawę piśmienną, a zacząć istotnie żyć, to jest czynami żyć.

Kwestye takie, jak oznaczenie obowiązków płci jednej i drugiej do najżywoźniejszych zapewne należą, tém bardziej, gdy dotykane są piórem téj powagi jaką ma autor *Umnictwa*; dlatego téż zwróciliśmy tu bliższą uwagę na nie. Odpowiedzi jednak które na nie zapisał autor, nie sądzimy, iżby je z rzeczywistego przekonania zapisał. Jeżeli bowiem istotnie obowiązek powściągnięcia się płci pięknej od uprawy nauk i sztuk, a zaniechanie przez płeć męską w ogóle gałęzi piśmiennéj uważa autor za prawdę i prawdę poważną; dlaczego sam dał napis swéj książce: *Humor i prawda?* Przymiot humoru nie stosuje się zapewne do rozdziałów następnych, które są treści wyłącznie posepnej, a odnosi się oczywiście tylko do tych pierwszych. Zdradza téż dalej autora użyty rodzaj dowodów. Mówiąc np. przeciw uczoności kobiet autor przytacza już przykłady z przesadą wyszukane, już nawet które wcale nie istną. Pewna dama mająca pretensyą do uczoności, przytacza np. autor, nie wątpiła iż autorem Wirgiliusza był Horacyusz, inna sądziła, iż Lukrecyusz byłto mąż Lukrecyi, inna dostawszy w texcie *Opera Ciceronis* dziwiła się, iż tak sławny mówca i konsul pisał opery; inna (czytająca snąc same napisy na nutach) dziwiła się jak płodnym był kompozytorem muzycznym *Ducapo* i t. p. Kobieta kiedy pisze, dodaje autor, tedy zamiast kobieta pisze *kobieda*, zamiast kawa *kafa*, zamiast zamek *samék* i t. p.—Przytaczać i wytykać w dowodzeniach wady, które nie istną, jestto, mógłby ktoś powiedziéć, wyznawać: iż się nie znalazło do zarzucenia wad, które istną. Demokryt (przypomina autor popierając swe zdania obcemi) kiedy go zapytano dlaczego wziął żonę drobnego wzrostu, odpowiedział: „iż zawsze wybierać należy złe najmniejsze.” Konsul *Metellus* mówił: „szczęśliwi byliby obywatele rzymscy, gdyby ludność rzeczypospolitéj mogła się mnożyć bez kobiet: wolniby byli natenczas od przykrych towarzyszek życia.” Te i tym podobne zdania, zwracamy uwagę, są w ogóle przeciw kobietom, a nie przeciw uczonym kobietom; są przeciw 2u rozdziałowi autora, (który jest najlepszym w książce), a nie poparciem 1o.

Jakież są zarzuty autora przeciw literaturze niemieckiej? Autor przytacza, iż w literaturze téj na raz wychodzi w jednym przedmiocie kilkaset rozpraw, a ztąd, iż jeden autor o drugim wiedziéć nie może; iż ojciec chcąc kupić książkę dla dziecka, mając przed sobą 15,000 książek dla dzieci, nie wie jaką ma wybrać. Zarzuty te sąto raczej wskazówki niedogodności, a raczej cech literatury obfitéj, a nie zarzuty; autor ma prawo narzekać, iż ilość wydawanych dzieł w Niemczech nie odpowiada wartości ich, ale nie narzekać (jak to uczynił) na ilość jako na ilość. Przed okiem *chwili* nietylko w literaturze niemieckiej, ale we wszystkiém widzi się chaos.

Jak dowodzeń, tak téż nie podzielamy bynajmniej wniosków autora. Nie podzielamy zdania, iżby płeć piękna koniecznie oddaloną być miała od



uprawy nauk i sztuk. Płeć piękna jak swą fizyczną, tak też istotnie ma i swą moralną właściwość, a uprawa tej właściwości, w nową też musi odziać cechę kształcone i rozwijane (w ogólnem rozwinięciu się ludzkiem) gałęzie moralne. Fakt mówi, iż danem było kobietom wywrzeć moralny wpływ. Kształcenie to podnosi też wartość tej płci jako płci, która od niektórych nie za część nawet ludzkości rzetelnej była mianą. Nie twierdzimy bynajmniej, iż każda kobieta winna być artystką, albo uczoną, iż każda u nas winna być np. panią *Hofman* lub panią *Stael*; lecz uzacnienie płci przez dane jednostki, wpływa na podniesienie szacunku drugich jednostek. Kobieta oddana jedynie przebywaniu mechanicznie momentów życia, zmieniałaby się w kobietę wschodnią, t. j. byłaby tak cenioną, jak jest na Wschodzie („każdy Turek, powiedział ktoś dowcipnie w opisie stron wschodnich, ceni swą żonę więcej trochę niż swoje fajkę, i mniej trochę jak swego konia”). A nawet i na Wschodzie u Hebrajczyków kobiety były rycerki i wieszczki (*Judytt, Deborah* i t. p.). Ś. Paweł nie dopuszczał wprawdzie kobietom mówienia kazań (1. Korynt. 14), w mowie wszakże św. Piotra znajdujemy przepowiednię wznowioną, iż „prorokować będą synowie wasi i córki wasze.” (Dz. Apost. 2.).

Za żart także poczytywać musimy twierdzenie autora, jakoby piśmienność, okres piśmienności, już dokończonym został, że zamkniętym być winien. Niektórzy filozofowie niemieccy wychodząc z zasady protestanckiej twierdzili, iż główną jest rzeczą *nauczać*, a mniejszą *czynić*; autor stawia tu wprost przeciwną zasadę, i mówi, iż jest niepotrzebną nauka, a trzeba czynić. My co do nas wychodzimy z wiary w ten werwet ewangeliczny: iż „ktokolwiek *czyni* i *naucza* ten będzie zwany wielkim w królestwie niebieskiem” to jest, iż równiej są potrzeby i wagi i czyn i nauka. Jakie są następstwa w rozwiciu ludzkim zaniedbania moralnej uprawy, świadectwem są wieki średnie: najżywsza wiara nie mogła powściągnąć od upadku ducha ludzkiego; wypadkiem ich była: rozpusta powszechna i massami odstępstwa za pierwszym hasłem. Moralne, piśmienne życie dla wielu krajów jest jedynem życiem społecznem, w tym tylko kierunku obowiązek miłości bliźniej dającym kształcić; im poważniejszy jest głos który daje rady przeciwne (a rady, dodajmy, tak powabne i łatwe do wykonania), tém więcej odpowiedzialnym jest.

Autor czyni uwagę na którejś stronie, iż Niemcy swym światem piśmiennym jak murem chińskim odgradzili się od reszty Europy. Niemcy nie odgradzili się od reszty Europy, nawet w gałęzi filozoficznej, sam Szelling np. pisał przedmowę do przekładu *Cousina* przez Beckera; ale jeżeli p. Libelt znając wartość swych pism, ma za złe literaturze niemieckiej, iż nie miały w niej należnego rozgłosu: tedy żąda rzeczy przeciw naturze. Lud, który ujrzał u siebie pierwej kwitnienie literatury, nigdy nie przyzna znaczenia późniejszej literaturze; lud włoski w ogóle, dotąd uważa Francuzów za barbarzyńców z czasów Tassa; filozofowie i dyalektycy francuzcy mówią tylko o Kartezjuszu, Condillaku i eklektykach, pisząc o smaku wymieniają tylko traktaty Bateux'go i Marmontela; jeżeli zaczną kiedy o nazwiska estetyków i filozofów niemieckich, to tylko dla ironii. Dlatego też piszący filozof winien myśleć o swoim przedmiocie, nie o swojej sławie; kto myśli więcej o swojej sławie jak o swoim

przedmiocie, nie jest filozof. Rozumowania autora *Systemu umnicstwa* poczytujemy więc w tém piśmku za jakoweś zwiechnienia chwilowe. Autor uczyniłby trafniej, gdyby dał był napis tym swoim rozdziałom (w których zkadinał tyle jest rozrzuconych myśli pierwszego rzędu) nie *humor i prawda*, ale *sły humor i prawda*. T.

*Listy Annibala z Kapui arcybiskupa neapolitańskiego, nuncjusza w Polsce, o bezkrólewiu po Stefanie Batorym i pierwszych latach panowania Zygmunta III; przetłumaczył z włoskiego i wydał Aleksander Przezdziecki. Warszawa, 1852.*

Aleksander hrabia Przezdziecki, zasłużony pracownik na polu dziejów krajowych, znalazł w 1846 r. w bibliotece brankaczańskiej w Neapolu rękopism, pod tytułem: *Primo tomo del negotiato del ill. e rev. monsignor Annibal di Capua arcivescovo di Napoli, legato residente nel regno di Polonia, nel anno 1587*, obejmujący z górą trzysta listów pisanych do kardynałów Azzolini i Montalto od 23 listopada 1586 r. do 29 maja 1589 r. Zbiory tego rodzaju rzadko zasługują na wydanie w zupełności; pomiędzy starymi listami wiele bywa śmieci i gruzu, który badaczowi drogę zawala; ale między śmieciem zdarzają się diamenty czystej wody. Człowiek życie swoje objawia czynami, a żeby te czyny zrozumieć, potrzeba mu w duszę głęboko zajrzeć. Sąd o ludziach bardzo często zależy od osobistego zapastrywania się na rzeczy; nie ma postaci, którejby prześwietni historycy nie wykrzywili, jak na szyderstwo temu, który znaczenie dziejów spotęgował w kilku wyrazach: *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*. Autor nieraz podaje utwory własnej wyobraźni za ludzi takich, jak byli z krwią i z kośćcami; nie uwodząc się jego talentem, wracamy do źródeł, bo tysiąc razy lepsze rozczarowanie, jak oddawanie czci takim, którzy na nią nie zasłużyli. Pod toporem krytyki wała się mniemane znakomitości, a słońce prawdy wschodzi w całym blasku.

Wracam do listów, od których zapędziłem się w inną stronę. Bogate to źródło. W listach znajdujemy nie sąd świata, ale własne wyznanie wiary, spowiedź podsłuchaną po upływie wieków; listy rzucają wielkie światło na charaktery osób, na tajemne pobudki ich działania. List napisany przez osobę biorącą czynny udział w wypadkach, w chwili obudzonego zajęcia, pod wpływem świeżych wrażeń, więcj mówi jak wiadomości bardzo prawdziwe zapisane w kronikach i dokumentach.

Z licznego zbioru który dostał się w ręce p. Przezdzieckiego, te tylko listy zostały wybrane, które nas ze względu na dzieje nasze zajmować mogły. P. Przezdziecki zbiór swój wzbogacił listami agentów tokańskich pisanymi z Niemiec, dwoma listami Zamojskiego pisanymi do króla w wilią bitwy pod Byczyną, listem komtura Pucci, który żywcem

chwytu szczegóły pobytu arcyksięcia w Krasnymstawie, i niezmiernie zajmującym i malowniczym listem Filipa Talducci ajenta tokańskiego w Polsce, w którym opowiada krwawą śmierć Podkowy gospodarza wołoskiego. Tém wydaniem p. Przędziecki prawdziwie zasłużył się literaturze, dla pożytku ogólnego otworzył źródło zasypane i niedostępne. Zebrać i wydać byłaby to połowa zasługi: listy są tak wydane, że każdy z nich korzystać może; mówię tu o przypisach, w których wydawca, z gruntowną znajomością przedmiotu, wzmiankę zrobioną w liście o osobie lub o wypadku dziejowym, uzupełnia wiadomościami czerpanymi z innych źródeł.

Listy Annibala z Kapui były pisane z największą ostrożnością; lękał się, żeby nie wpadły w obce ręce, a co było rzeczywiście ważnego, pisał cyframi. W rękopiśmie z którego tłumaczył p. Przędziecki, brakuje prawie wszystkich kart pisanych cyframi. Nuncyusz dobrze ważył słowa nim je papierowi powierzył; skarżył się, że ściętniono wolność korespondencyi (1), że dwóch gońców jego przejęto i listy im odebrano (2). Nigdzie nie wybija na jaw charakter piszącego, ani charaktery osób działających, nigdzie nie wykrywa tajemnych sprzeczności, nie rzuca nowego światła na wypadki; słowami pisał to, co było powszechnie wiadome,—cały interes w cyfrach został ukryty. Wiadomo, że całkiem był oddany stronnictwu arcyksięcia Maksymiliana, że z polecenia papieża wybór jego popierał. W listach mówi z największą bezstronnością o kandydatach do korony, nie zdradza się z przychylnością dla domu rakuzkiego, jak gdyby jednej rzeczy tylko pragnął: wyboru króla katolika. Ze krzywymi drogami chodził, fakta same dowodzą; wiążąc się z różnowiercami nie mógł im nie przyrzekać spokojnego wyznania wiary i poszanowania praw obywatelskich, a pokątnie starał się wszelkimi siłami, żeby zniesiona została ustawa o zachowaniu pokoju między różnowiercami. Ta ustawa jest wieńcem braterstwa, które wiązało stan szlachecki i utrzymywało starą społeczność. Bronili jęj zarówno katolicy jak protestanci. „Połowę życia oddałbym, powiadał jeden z najgorliwszych wyznawców starej wiary, żeby bracia moi, którzy oderwali się od kościoła katolickiego, wrócili na jego łono; ale raczej całe życie oddam, nim pozwolę, żeby ktokolwiek miał być za wiarę prześladowany.”

Żeby poznać całą wartość zbioru ogłoszonego przez p. Przędzieckiego, trzeba wiadomości rozrzucone w listach i przypisach w jedną całość związać. Najważniejszym wypadkiem o którym nuncyusz wspomina, a którego był naocznym świadkiem, jest podwójna elekcya Zygmunta III i Maksymiliana.

Posłom obcych mocarstw zabronione były przejażdżki po kraju i praktyki z obywatelami. Nuncyusz zatrzymany został pod murami Krakowa przez Andrzeja Zborowskiego, który zastępował miejsce wojewody. Nie wpuścił go do miasta i odwołał się do senatorów zgromadzonych w Warszawie; za ich pozwoleniem nuncyusz puścił się w dalszą drogę i przybył do Warszawy 19 marca 1587. W Warszawie docze-

(1) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 22 lipca 1587 r.

(2) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 29 stycznia i 10 lutego 1588.

kał się sejmu elekcyjnego. Zjechali się senatorowie świeccy, a każdy prowadził lud zbrojny; zjechali się senatorowie duchowni, nie ze słowami pokoju na ustach, ale z protestacją przeciw pokojowi między różnawiercami. Kanclerz Zamojski przybył do Warszawy 30 czerwca, z tysiącem piechoty, z czterema tysiącami jazdy i z działami. Przechodząc przez środek miasta zatrzymał się przed zamkiem, złożył uszanowanie królowej i dosyć długo u niej bawił. Z zamku udał się do nuncjusza, i zapewnił go o gotowości swój na usługi Ojca Ś. i stolicy apostolskiej; potem z ludem swoim udał się w pole i stanął obozem niedaleko miejsca przeznaczonego na elekcyą. Tego dnia senat zebrał się po raz pierwszy, żeby zabezpieczyć surowemi ustawami bezpieczeństwo publiczne. Bardziej jak ustawy strzegła go starodawna cnota. Pomimo takiego mnóstwa zbrojnych ludzi i ścierania się przeciwnych interesów, pole elekcyjne nie było krwią oblane. Ogół zawsze był dalekim od krwi rozlewu, od wojny domowej, a ludzie dobrze myślący pracowali nad tém szczerze, żeby zapobiedz wybuchowi wzburzonych namiętności.

Na posiedzenie senatu przybyli posłowie od panów litewskich, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł kasztelan trocki i Albrecht Radziwiłł marszałek w. lit., przekładając imieniem Litwy, że z wielkiem zadziwieniem widzą na polu elekcyjnym tłumy ludu, przygotowane raczej do bitwy jak do spokojnej obrady z dobrem Rzplitej. Oświadczyli przytém, że Litwa dopóty nie przystąpi do elekcyi, dopóki nie będą zaspokojone krzywdy wyrządzone jej przez naruszenie przywilejów. Na to senatorowie polscy odpowiedzieli, że z całą usilnością starać się będą o uśmierzenie niezgód prywatnych, a krzywdy na które się Litwa skarży, na pierwszym sejmie po elekcyi będą zaspokojone. Tegoż dnia wysłano czterech senatorów dla zawiązania układów między Zamojskim a Zborowskimi, między Opałińskim a Stanisławem Górką (1).

Daremne były usiłowania. Zborowscy nie chcieli się jednać z kanclerzem; Litwa i Prusy stały osobnemi obozami, nie chcąc do elekcyi należeć, dopóki nie będą zaspokojone ich żądania. Zborowscy z zaciętością domagali się, żeby zostały utrzymane postanowienia zjazdu konwokacyjnego wymierzone przeciw Zamojskiemu, a mianowicie, żeby mu odebrano władzę nad wojskiem i kazano odpowiadać przed sądem za śmierć Samuela. Uradzili, żeby szlachtę powołać i zawiązać rokosz. 27 lipca dali o tém znać senatowi, stronnikom Zamojskiego, Litwie i Prusakom. Senat odpowiedział, że nie mają prawa samowolnie zawiązywać rokoshu, Litwa i Prusy do niczego mieszać się nie chciały, Zamojski z ludem zbrojnym i z działami wystąpił jak do boju. Zborowscy i inni panowie także zbrojno przybyli, szlachta stanęła pod chorągwiami, i było na polu do 40,000 koni i 12,000 piechoty. Zdawało się, że do bitwy przyjdzie; w Warszawie pozamykano bramy, porozstawiano strażę; nuncyusz, chociaż kulawy, wdrapał się na sam wierzch wieży św.-Jańskiej, żeby ztamtąd na spodziewaną bitwę wygodniej mógł patrzeć. Piasecki oddaje mu sprawiedliwość, że podzegał niezgodę i był głową stronnictwa różnawierców, Górki i Zborowskich. Za usilnem staraniem Stanisława

(1) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 4 lipca 1587 r.

Karnkowskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana Dymitra Solikowskiego arcybiskupa lwowskiego, Andrzeja Tęczyńskiego wojewody krakowskiego i drugih senatorów, nie przyszło do zbrojnej rozprawy, dano pokój rokoszowi, a obie strony wróciły na swoje stanowiska. Tęże nocy prymas kazał podpalić szopę, w której zbierał się senat, z tego powodu, że była bliżej obozu Zamojskiego jak Zborowskich, a posiedzenia senatu przeniósł na inne miejsce. Za zmianą miejsca nie przybyło ducha zgody (1).

Dzień 14 sierpnia został wyznaczony na uroczyste przyjęcie posłów zagranicznych. Senat zebrał się w polu pod namiotem. Naprzód miał mowę nuncyusz, zalecając króla katolika, bez względu na osobę; potem zabierali głos posłowie: cesarski, hiszpański, arcyksiążąt, moskiewski i siedmiogrodzki.

Po spaleniu szopy, koło senatorskie zasiadło w inném miejscu; ale gdy zwady ciągle były w senacie, panowie rady dla nieposzanowania swego do onego koła zjeżdżać nie chcieli. Książd prymas, na którego słowy się targano, w nocy przed świtem 19 sierpnia przybył do Zamojskiego oświadczając gotowość mianowania królem Zygmunta. Zamojski, który w największej zostawał wątpliwości co ma czynić w dniu nadchodzącej elekcji, za nadejściem prymasa natychmiast przez Hejdensztejną warunki książąt Ferdynanda i Maxymiliana odrzucił.

O południu Zygmunt został ogłoszony królem. Zamojski nie był obecny, dla pokazania, że przewodzić nie chce, i owszem, chętnie miejsca ustępuje innym (2). Potem wszyscy tłumnie udali się do fary dla odśpiewania *Te Deum laudamus*. Wiele ludzi płakało, Pana Boga chwalać, a o zgodę z drugą bracią prosząc.

We trzy dni później, 22 sierpnia, Zborowscy i Górka postanowili królem ogłosić Maxymiliana; zaprosili Litwę do swego koła, ale przyszedł tylko Jerzy Radziwiłł kardynał i Mikołaj Krzysztof Radziwiłł kasztelan trocki; wszyscy inni trzymali z Wielkim księciem moskiewskim. Wpół godziny po zachodzie słońca, Woroniecki biskup kijowski okrzyknął królem Maxymiliana, żołnierze zaczęli strzelać i wołać wiwat! a potem wszyscy się rozeszli. Nazajutrz u Bernardynów za miastem odśpiewano *Te Deum*. „Wiem dobrze i z wielkim żalem to piszę, wyznaje stronnik Maxymiliana, że niepodobna, aby elekcja tego księcia utrzymać się mogła, tak silna jest nienawiść szlachty dla imienia niemieckiego” (3).

Maxymilian zaprzysiął pakta konwenta w Ołomuńcu, wobec posłów polskich: Woronieckiego nominata kijowskiego, Jana Zborowskiego kasztelana gnieźnieńskiego i Alexandra Prońskiego starosty łuckiego. Z wojskiem wszedł do Polski i stanął pod Krakowem w Mogile; miasto było w ręku Zamojskiego. 23 listopada uderzył na Kraków, ale odparty został ze stratą 2,000 ludzi. 30 listopada odstąpił od Krakowa i w Krzepicach obwarował się na zimowe leże. Z Krzepic przed zarazą ustąpił do Wielunia.

(1) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 28 lipca 1587 r.

(2) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 20 sierpnia 1587 r.

(3) Szymon Genga inżynier włoski w polskiej służbie do Belizaryusza Vinta sekretarza księcia toskańskiego d. 25 sierpnia 1587 r.

Tymczasem Zygmunt 29 września przybył do portu gdańskiego (1), 7 października na ląd wysiadł otrzymawszy obietnicę od posłów polskich, którzy byli wyznaczeni na jego przyjęcie, że dopóki żyć będzie jego ojciec, o Estonią dopominać się nie będą. Tydzień odpocząwszy w Gdańsku, wyruszył w drogę. Z Piotrkowa zбочzył na Rawę, ztamtąd odesłał do Warszawy królowę ciotkę i swoją siostrę, sam puścił się na Korczyn ku Krakowu. W Korczynie na przewozie odebrał list od ojca, który pod posłuszeństwem synowskiem rozkazywał mu do Szwecyi wracać. Wiedząc o ustąpieniu Maxymiliana zpod Krakowa, pospieszył na koronację, a ojcu przez Eryka Bielke kazał powiedzieć, że gotów jest ustąpić królestwo polskie razem z ręką siostry arcyksięciu Ernestowi. Wjechał do Krakowa 9 grudnia; 28 został koronowany i zaprzysiął pakta wraz z wolnością religijną dla dyssydentów. Rzeczy wyraźnie skłaniały się na jego stronę: Rusini na zjeździe lwowskim za sprawą arcybiskupa Solikowskiego przychyliłi się do Zygmunta, Litwini uznali go królem i wysłałi do Krakowa Jana Chlebowicza wojewodę trockiego i Lwa Sapiechę podkanclerzego.

Po odbytej koronacji, Zamojski z wojskiem wyruszył z Krakowa i z wielkim pośpiechem zmierzał ku Wieluniowi. 22 stycznia w nocy z czwartku na piątek Stanisław Stadnicki uderzył na straż jego przednią o trzy mile od Wielunia w Parzymiechach. Stoczył z nim bitwę Wojciech Kiral i przepędził go do blizkiego lasu. Po tej utarczce, Maxymilian o pierwszej godzinie nocnej cofnął się na Szląsk ku Byczynie (2), gdzie połączył się z nim Prepostfazy w 1,400 piechoty węgierskiej i 300 jazdy; Morawców też i Szlązaków miał 800. Tak wzmocniony postanowił bitwę stoczyć, jeśli Zamojski odważy się przejść przez granicę. Zamojski rozłożył obóz o dwie mile od Wielunia, a ponieważ Maxymilian gęste straże rozstawił, nie mógł wziąć języka, i dopiero za dnia dowiedział się o tém jego cofnieniu. Ruszył z wojskiem pomijając Wieluń ku Byczynie; część wojska na całą noc posłał w pogoń, żeby go jeśli można w Byczynie oblegli. Przednia straż rozbiła kilka rot Maxymilianowych, a jak tylko księżyc zeszedł, Zamojski w ślad za nią pospieszył (3).

Maxymilian wzmocniony przybyciem Węgrów, Morawców i Szlązaków pod Byczyną nadstawił szosa. Miał wojska pewnie do 6,000, które wyrównywało co do liczby wojsku królewskiemu, a dwoma hufami arkabuzerów było bardzo potężne (4).

O milę i ćwierć od Byczyny była grobla przez staw nad Prosną, tak wązka, że więcój nad troje ludzi konno jechać nie mogło. Kanclerzowi trzeba było przeprawiać się przez tę groblę. Melchior Reder radził arcyksięciu groblę osadzić wojskiem i działami, albo natrzec na nieprzyjaciela wtedy, gdy się przeprawiać będzie; ale Prepostfazy ze Stanisławem Stadnickim zganili tę radę dlatego, że nie od nich wyszła, i owszem usta-

(1) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 2 października 1587 r.

(2) Wychodząc z Wielunia w mieszkaniu swoim na szynie brylantem wrył napis: *Veniens veniam et non tardabo. Maxymilianus electus Rex Poloniae* 22 *januarii* 1588. Relacya umieszczona w Mrówce poznańskiej z 1821, T. II, s. 173.

(3) Jan Zamojski do króla d. 23 stycznia 1588 r.

(4) Jan Zamojski do panów rady d. 25 stycznia 1588.

pili miejsca, żeby kanclerz przeprowił się ze wszystkim ludem, tak byli pewni wygranej. Wojsko polskie stanęło w trzech wielkich hufach: pierwszy był hetmański, drugi sprawował starosta sandomirski, trzeci był węgierski, prawie równej mocy, a ten sprawował Baltazar Batory. Po stronach było po kilkadziesiąt koni Kozaków i eligierów, którzy przed wojskiem zwodzili harce. W wojsku Maxymilianowém lewém skrzydłem dowodził Stadnicki, prawém Prepostfazy, w środku stanął sam arcyksiążę z Niemcami.

W pierwszym natarciu Hołubek zginął, Żółkiewski został postrzelony z arkabuzy, chorągwie ich cofnęły się w nieładzie. Maxymilianowi już wieszowano zwycięstwa. Srogię było starcie towarzyszków i pacholików z temi zwłaszcza hufy arkabuzerskimi. Bitwa przeważała się na stronę kanclerza. Maxymiliana ostrzeżono, żeby usunął się z niebezpiecznego miejsca, a gdy on się usunął, rajtary w ślad za nim i wszystko pierzchać zaczęło w zawody. Ludzie królewscy nieprzyjaciela na dwie mile bili w pogoni. Stratę trudno było dokładnie oznaczyć, gdyż z obu stron Węgrzy i Polacy walczyli. Na pobojowisku znaleziono głów podgolonych, a zatém Polaków i Węgrów 1800, ostrzyżonych zwyczajem niemieckim 1200. Stadnicki i Prepostfazy uciekli, Maxymilian zamknął się w murach Byczyny.

Baltazar Batory z Węgrami podstąpił strzelając z dział nieprzyjacielowi zabranych. Przedmieścia już się paliły, żołnierze siekierami wyrąbywali bramy, gdy z wieży wywieszono białą chorągiew i wysłano trębacza z oświadczeniem, że miasto chce się poddać. Ciołek wychyliwszy się z muru, zaczął wołać na Piaskowskiego, żeby mu wyjednał miejsce z poselstwem, a gdy przyszedł, tak począł mówić: „Miłościwy panie hetmanie! Król J. M. Maxymilian dziwuje się temu, żeście śmieli wjechać w dzierzawy cesarza brata jego.”—Zamojski odpowiedział na to: „Ja o żadnym królu nie wiem, jedno o królu koronowanym Zygmuncie III.” Poprawił się Ciołek: „Arcyksiążę J. M. prosi, abys W. M. udał się z nim w rokowanie.”—Na to hetman: „Jam tu nie na rokowanie przyjechał, jedno żebym nieprzyjacioly koronne wespół z tymi, którzy je na koronę nawiedli, kończył ludem króla J. M., a wszakoż się zatrzymam do kilku godzin.”

Zamojski podał warunki, a że nie było pod ręką pióra ani atramentu, ołówkiem na karcie napisał, zapewniając, że arcyksiążę nie dozna poniżenia, że gmin po złożeniu broni wolno będzie puszczone, znakomitsi Niemcy za okupem, Polakom zaręcza zachowanie życia, czci, a o utrzymaniu ich przy majątkach dobrą wiarą u króla starać się będzie.

O piątęj w noc kanclerz znowu kazał strzelać. Ciołek z Prońskim znowu do niego chodzili, a potem Maxymilian wyjechał sam trzynasty, ze znakomitemi panami polskiego i niemieckiego narodu. Przed wyjazdem trzy skrzynie listów kazał spalić, wymazał wszystko co miał zapisane w pugilaresie i okazywał jak największą troskliwość o los Polaków przy nim będących.

Kanclerz przyjął go z wielkiem uszanowaniem, ustąpił mu swójęj gospody, zaprosił go na wieczerzę, a sam chociaż proszony usiąść nie chciał i stał z głową odkrytą przed swoim jeńcem. Kazał mu téż oddać

srébra stołowe. Potém wyjechał arcyksiążę do Krasnegostawu, żalony bardzo, w małej karetkce, parą koni białych; razem z nim siedział w karetkce Drohojowski starosta przemyski. Oszczędzając arcyksięciu upokorzenia, kanclerz kazał Kraków w drodze ominąć.

Pod Byczyną dostali się do niewoli: Andrzej Górka wojewoda poznański, Woroniecki bis. kijowski, Andrzej Zborowski mar. nad., Czarnkowski dziekan poznański, książę Alexander Proński stary, Stanisław Ciołek, Prokop Pękoślowski, Tomasz Żołądź, Frykacz, Jan Herbert, Chlipalski; tego wolno puszczono że chudzina i nie broił nie (1).

Lud Maxymiliana złożył broń w bramie miejskiej. Brama była otwarta, a na polu stało wojsko królewskie uszykowane, pod rozwiniętymi chorągwiemi. Kanclerz siedział na białym koniu, w fioletowej czammarze lisami podszytj; za nim dworzanin trzymał kopią na której była magierka z trzema strusiem i piórami. Z obu stron stała hussarya z dobytymi szablami, koń przy koniu długim szeregiem, jeńce przechodzili pieszo przez tę długą ulicę, trzymając w ręku białe laski, a było przechodzących do 1500. Kanclerz kazał przebrakować co najprzedniejszych żeby się okupili, a resztę wolno puścić, dodawszy im sto rajtarów i sto Kozaków, którzy ich bezpiecznie przeprowadzili do Namysłowa (2).

Żołnierze królewscy złota, srébra, dzielnych koni, bogatych sprzętów nabrali co niemiara. Działa i chorągwie kanclerz sobie zatrzymał, a wartość ich pieniądźmi zwrócił wojsku. Inne łupy kazał znieść za miasto dla równego podziału, ale żołnierze nie słuchali rozkazu i rozerwali jak się komu udało; miasto zrabowali i spalili.

Kanclerz odwiedził arcyksięcia w Krasnymstawie; tydzień tam zabawił (3), potém odjechał do Zamościa, dokąd zaprosił go na zapusty. Zjechali się do domu kanclerza kardynał Batory, Baltazar brat jego, Opałński mar. kor., i ci tylko jedli u jednego stołu z Maxymilianem, a pan kanclerz, jego żona i wszyscy inni, u osobnego stołu (4). Maxymilian trzymał mu do chrztu córkę, która w tymże roku umarła.

Mieszkanie arcyksięcia w Krasnymstawie składało się z dwóch pokoi. Każdego dnia wychodził zrana na mszę, potém przechadzał się i grał w piłkę za miastem. Na straży w zamku stało 300 ludzi (5). Pilnie go strzeżono, zwłaszcza po odkryciu spisku Zborowskich, którzy chcieli go oknem spuścić, i rozstawionemi końmi dostawić do granicy węgierskiej.

Papież wyprawił do Polski kardynała Aldobrandini z poleceniem, żeby starał się o uwolnienie Maxymiliana. 27 lipca 1588 kardynał odbył wjazd uroczysty do Krakowa. Król wyjechał na jego spotkanie i cześć mu taką okazywał, jak gdyby to sam Ojciec Ś. wjeżdżał (6). Za staraniem kardynała z obu stron zostało mianowanych po ośmiu kommissa-

(1) Potrzeba pod Byczyną, w Starożytn. polskich Amb. Grabowskiego.

(2) Relacya o bitwie pod Byczyną w Mrówce poznańskiej r. 1821. T. 2.

(3) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 28 lutego 1588 r.

(4) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 20 marca 1588 r.

(5) Komtur Pucci do Gwibalda księcia Urbino d. 2 października 1588 r.

(6) Książdz Bernard jezuita do Stanisława Reszki, d. 28 lipca 1588 w Star. pol. Amb. Grabowskiego T. II str. 128.



rzy, którzy 15 października mieli się zjechać na granicy od Szlązka: cesarscy w Bytomiu, a polscy w Będzynie. Zjazd rzeczywisty nastąpił dopiero w styczniu 1589 (1). Długo toczyły się układy—cała waga téj sprawy ciążyła na Zamojskim i Rozenbergu. 22 lutego zjechali się w Starzynie między Będzynie a Bytomiem. Zamojski orszak w polu zostawił, a sam w nieliczném towarzystwie przybył do miasteczka; w tym samym czasie z drugiej strony nadjechał Rozenberg. Zamojski mówiąc do Czecha, starał się w nim obudzić słowiańską dumę i współczucie dla pobratymczego ludu. Czech odpowiedział, że przedewszystkiém winien wierność swemu monarsze. Aż do nocy ucierali między sobą sporne punkta. 9 marca 1589 r. umowa została zawarta.

24 maja król w obecności posła cesarskiego Andrzeja Gerinusa wykonał przysięgę, że zachowa umowę będyńską; dla odebrania przysięgi od cesarza wyprawił posłów: kardynała Radziwiłła i Mikołaja Firleja wdę krak.

Król jadąc do Rewla dla widzenia się z ojcem wstąpił do Krasnegostawu; było z nim dworu sześć tysięcy, strojno i huczno. Zajechał prosto do zamku i zsiadł z konia; arcyksiążę wyszedł przeciw niemu do schodów, i zatrzymał się chcąc powagę swoją utrzymać; ale Opaliński marszałek kor. nie dał królowi dalej kroku zrobić, póki arcyksiążę na dół nie zejdzie. Powitali się na dziedzińcu z wesołą twarzą i uprzejmie. Król odwiedził Maxymiliana w jego pokojach, przyczém był nuncyusz papieżki, poseł cesarski, i kilku senatorów. Oba stali z głowami odkrytemi; rozmawiali po łacinie. Król bardzo ubolewał nad przeszłemi targami, które nie wygładziły w duszy jego miłości winnej pokrewnemu. Arcyksiążę złożył dzięki za to oświadczenie; zatém usiedli i czas jakiś z sobą poufale rozmawiali. Wtém zatrabiono do stołu; król poszedł się przebrać i wstąpił po Maxymiliana. Idąc z nim i u stołu dawał mu prawą rękę, chociaż Maxymilian się wzbraniał; król jako gospodarz gościowi tę cześć okazywał. Rozmawiali z sobą, pili do siebie prze zdrowie Ojca św., prze cesarskie, prze królewskie, prze arcyksiążęce, prze królowej, prze rady koronne. Z nimi razem u jednego stołu siedział tylko nuncyusz i poseł cesarski, a senatorowie których było blisko 20, osobno. Były téż i stoły poboczne, gdzie nasi z Niemcami sporo tryncząc potwierdzili przyjaźń. Po obiedzie król odprowadził arcyksięcia do jego pokoju, a arcyksiążę nawzajem odprowadził króla i oddali sobie dobranoc.

Nazajutrz rano na wyjeźdném król odwiedził Maxymiliana i pożegnał go, a Maxymilian odprowadził króla na ostatni stopień schodów na dziedzińcu. Król poszedł na mszę do kościoła, a potem siadł na koń i puścił się do Litwy. Maxymilianowi przystał w darze jarekę kosztowną i ośm białych woźników farbowanych żółto, prawie cudnie, cztery konie tureckie i dwa jednochodniki. Maxymilian tym, co je przyprowadzili, dał 400 dukatów oduzdnego.

5 września 1589 r. zajechali arcyksięciu drogę za Olkuszem w polu: Wawrzyniec Gościński biskup chełmski, Mikołaj Firlej wda krakowski, Mikołaj Zebrzydowski wojewoda lubelski i drudzy senatorowie, którzy

(1) Legat przybył do Będzyna d. 12, Zamojski d. 26 stycznia.

go mieli odprowadzić do granicy, i odebrać od niego przysięgę, że zachowa umowę będącą. Kiedy się zjechali, senatorowie wysiedli z karet, arcyksiążę zstąpił na stopień od karety i stojąc witał się z nimi. Potem jechali do miasta, a przed nimi wojewoda lubelski w 60 usarzów i 60 piechoty. 8 września przebyli granicę; oprócz senatorów odprowadzało arcyksięcia rycerstwo z województwa krakowskiego, około sta kocznych, i stu konnych. Poczet wojewody lubelskiego tak konny jak pieszy, idąc na przódzie, przeprowił się przez rzekę na granicy za miasteczkiem Czela-dzią, jazda wprost przez wodę, a piechota przez most, z rozwiniętymi chorągwiami. Wtém na polu ukazało się kilkuset rajtarów niemieckich, którzy z biskupem wrocławskim i innemi panami wyjechali na spotkanie arcyksięcia. Niemcy bronili dalszego ciągnięcia z rozwiniętymi ehorąg-wiami. Strasz porucznik roty przyjechał do wojewody lubelskiego, opowiadając się od towarzystwa, że nie radzi by związać chorągwi i prosił o pozwolenie starcia się z Niemcami. Senatorowie kazali służebnym cofnąć się na drugą stronę rzeki; sami towarzyszyli arcyksięciu do Bytomia, gdzie miał wykonać przysięgę. Wezwał ich do swojej gospody, ale ponieważ rota przysięgi którą chciał wykonać, nie zgadzała się z tą, do jakiej się zobowiązał; po różnych z obu stron mowach i odpowiedziach, senatorowie wyjechali z Bytomia. „Na śmiech ludziom wracamy do Polski, powiedział wojewoda krakowski do biskupa chełmskiego. Łatwo piwa nawarzyć, ale nie wiedziéć jeszcze kto je wypije.” Pomiędzy innemi powodami dla których arcyksiążę odmawiał przysięgi, był i ten, że zdawałoby się, że przysięga kanclerzowi, bo kanclerz tego po nim wymagał; i jasnie zapowiedział arcyksięciu przez Trautsona, że gdyby nawet król téj poręki nie żądał, onby jój koniecznie wymagał: nie król bowiem, ale on na sejmie sprawę zdawać będzie musiał.

Rzuciwszy ogólny zarys wypadków, które główną treść listów stanowią, przejdźmy do postrzeżeń szczegółowych. Pan Przędziecki utrzymuje (przypis 30), że Jerzy Radziwiłł w r. 1574 był koadytorem biskupa wileńskiego, i na dowód przytacza zalecenie króla Henryka wydane 3 kwietnia 1574 r. Mogło być zalecenie, ale Jerzy Radziwiłł jeszcze w r. 1578 wahał się w wyborze stanu i sam wyznawał, że do duchownego ślubu nigdy chęci nie miał, i owszem, byłoby zawsze przeciwne jego naturze; obrał ten stan przywiedziony fortelami tych, którzy więcej pożytku swego, niż chwały Bożej patrzyli. Prawdziwie pobożny, uznawał, jako pożyteczna jest rzecz i zacna być duchownym; ale uczynić tego nie chciał dla nędznej sławy tego świata, ani dla pożytku swego, ale dla szczerzej chwały Bożej. Gdy Jan Zamojski jego szwagier zapewniał, że mu wyrobi znaczne i możne biskupstwo; Jerzy Radziwiłł zgodził się, że zostanie duchownym, ale potem taka go tęskność napadła, że rady sobie dać nie mógł; więc postanowił odwołać swoje zezwolenie. Ulżyło mu jak ręką odjął, nie czuł żadnej tęskności, lekki był i swobodny, jak gdyby na świat się narodził. Będąc z kanclerzem w Grodku, kilka razy chciał mu to wyznać i nie mógł się zdobyć na odwagę. Po wyjeździe Zamojskiego znowu go tęskność napadła, a jeszcze większa, tak, że wpadał w melancholię i czasem omdlewał. Dopiero widząc, że to nie żart, przed Pragą wtory nocleg obiecał Panu Bogu, że skoro do Pragi przybędzie,

napisze o tém do Zamojskiego, a na spowiedzi wyznał wszystko spowiednikowi, który mu téż nie radził, jedno odwołać swoje zezwolenie. Po spowiedzi znowu mu się ulżyło i zaraz list napisał (4 sierpnia 1578), prosząc kanclerza, żeby z królem już o tém nie mówił. A co się tyczy postanowienia żywota, jeszcze był w wątpliwości, czy zostać duchownym, czyli wrócić do stanu świeckiego; do namyślenia się założył sobie termin, dopóki dojedzie do św. Jakóba z Kompostelli. Tam jeśli go natchnie Pan Bóg, wstąpi do zakonu; jeśli umysł jego do stanu świeckiego odwróci, będzie służył królowi i ojczyźnie. Skarżył się na braci, że go pokrzywdzili dzieląc się majątkiem. Starszy brat Mikołaj Krzysztof Sierotka wszystkich oszukał, tak, że gdy on z ojcowizny miał dochodu 15,000, a dwaj drudzy po 10,000, Jerzemu dostało się tylko 7,000. „Acz i z tegom ja kontent, i siła to na mię, ale nie idzie mi o intratę, jak o zły umysł jego przeciwko mnie, co mu Panie Boże odpuść. A jeszcze jako niesprawiedliwie, cośmy obadwa z panem Albrychtem w Rzymie trawili, to te imiona, które natenczas spólne były zastawiwszy, mnie je wykupywać każą; i co jeszcze większa, że i drugie długi pana Albrychtowe płacić muszę, gdyżem zań ręczył, a iżem od niego cyrografu żadnego nie wziął, wierząc mu jako bratu, on teraz płacić nie chce. Dłaczego muszę jeszcze jedno imienie zastawić; nie zostanie mi jeno jedno, bo już troje zastawne, które mi czyni 2,600 zł., co wszystka moja intrata będzie, i to na tém imieniu zapisałem się WM. inemu miłościwemu panu na posąg za półtora lata, i to stracę, bo nie mając Waszmości czém posagu zapłacić, będziesz musiał WM. w nie wjechać. Tak ja, nie będąc łaski WM. m. m. pana, będę musiał z łaski tych dwu panów braci mych prze Bóg prosić. Wszakże u nich nie będę, by mi téż i od głodu umrzeć, abych ich w tém nie pocieszył, czego widzę, że mi życzą: jeden oszukawszy mię w dziale, drugi w długi. Wierzę, że się albo obadwa na mię zmówili, albo się młodszy od starszego uczy. Wiem, żebych temu wszystkiemu łącno zabezpieć mógł chcąc być duchownym, ale cóż na tém? Wolę Bożej woli a conscientiej swój folgować, niżli pożytkowi.”

Jerzy Radziwiłł byłto człowiek z najlepszym sercem, z lekką głową, niepraktyczny w całym znaczeniu tego wyrazu. Występował z wielką paradą, pieniądze rozrzucał, a potem jak nie miał za co jeść, z wielką biedą dostawał sta dukatów. „Złe się rządzi, jest w niedostatku, powiedział nuncyusz do Piotra Tylickiego, i nie wiem co to jest, że tak bardzo się oglądają ludzie na tego kardynała, że tak mu wiele przypisują, ano nie masz nic, dzieciak, głowy nie masz.”— „Nie jego wartość to sprawuje— odpowiedział Tylicki— ale łaska królewska.— Nie masz nic, zna go król; kiedy ztąd kardynał odjeżdżał, powiedział mi, że ludzie na mnie nalegają, proszą o przyczyny, a ja im czynić dosyć nie mogę, i prosił mnie, żebym to królowi powtórzył. Kiedym słowa jego powtórzył; król na to: Bardzo dobrze.”

Pan Przezdziecki mylnie używa wyrazów: Multany i Wołoszczyzna. To, co nazywa Multanami, jest właściwie Mołdawia czyli Wołoszczyzna; to, co nazywa Wołoszczyzną dalszą czyli południową, sąto Multany (Valachia transalpina). Przekonać się o tém można z listów pisanych po polsku przez gospodarów wołoskich i multanskich, i z dzieł współczesnych, w których stale nazwania obu krajów są w ten sposób używane,

W przypisie 193 p. Przeddziecki powiada: „O Brutim i o jego rodzinie nie znalazłem nigdzie żadnej wzmianki, jak tylko o jego zgonie i t. d.” Takie słowa są wezwaniem do każdego, żeby przyniósł ze swojej strony grosz jałmużny do skarbonki literackiej. Szczęśliwym trafem zdarzyło mi się znaleźć kilka szczegółów nieznanych, które wiążą się z wiadomościami rozrzuconemi [w listach i w przypisach.

Bartłomiej Bruti, Włoch rodem z Epiru, ulubieniec Piotra hospodara wołoskiego, był starostą łopuszańskim i podkomorzym nadwornym. Za jego radą hospodar wypędził heretyków, postanowił wprowadzić wiarę katolicką i wezwał nuncjusza, żeby mu przysłał z Polski Jezuitów i Bernardynów. Ponieważ między koronnemi Bernardynami nie było ludzi zdatnych na missyonarzy i obeznanych z językiem niemieckim i węgierskim, Annibal z Kapui wyprawił dwóch Jezuitów: Jana Kuniga i Justa Raba, z jednym laikiem. Zaprowadził missyja Stanisław Warszewicki, rektor kollegium jezuickiego w Lublinie. Ojcowie przybyli szczęśliwie i bardzo łaskawie zostali przyjęci przez hospodara, którego zastali obozującego pod namiotem z powodu rozszerzonej zarazy. Wdał się z nimi w rozmowę o pierwszeństwie św. Piotra i o wprowadzeniu wiary katolickiej. Nie lękał się przeszkody ze strony Turków, którzy byli swój haracz pobierali, i nie więcej dbają o jedną, jak o drugą wiarę. Warszewicki radził, żeby założyć seminaryum dla usposobienia parochów i przyrzekał wyrobić zasiłek pieniężny od stolicy apostolskiej. Powrócił do Polski z dobrym duchem, chwając usposobienie hospodara, szlachty, metropolity Giorgia i biskupów Agatona i Gedeona (1).

W tym czasie wygnano Jezuitów z Siedmiogrodu; pięciu z nich udało się do Mołdawii (2). Bartłomiej Bruti silnie ich protegował, pragnąc tego, żeby Ojciec Św. zaszczycił go tytułem protektora katolików na Wołoszczyźnie, a synowi żeby dał jurgielt albo beneficyum (3).

Na tém się kończą wiadomości znajdujące się w listach o Brutim i o missyi katolickiej, za jego staraniem zaprowadzonej w Wołoszech. Jakie były dalsze jój losy, znajdujemy wzmiankę w liście Świętosława Drożenckiego, który jadąc do Konstantynopola jako goniec, 7 października 1590 r. z Jass pisał list do Stanisława Karakowskiego arcybiskupa gnieź. Oto jest wyjątek z tego listu:

„Ze strony Jezuitów WM. memu m. Panu oznajmuję, iżem sam już nie zastał, jedno jednego, to jest: *patrem Nicolaum Karwathum*, a ksiądz Jan Schonovianus trzeci dzień przed moim przyjazdem umarł; chorował kilka niedziel, i listy którem od WM. miał do niego i od JM. księdza legata dałem *patri Nicolao*. Potrzebaby mu więcej towarzystwa, bo sam jeden tylko tych dwu kościołów pilnuje, to jest jeden tydzień w Jasiach, a drugi w Komarze. Ze strony wina, jakoś mi WM. mój m. Pan rozkazać raczył, starałem się; te wina które przychodzą na *patres* z Komaru będą, ale ten *pater Nicolaus* przedawać ich nie chce, aż sam albo *pater*

(1) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 22 czerwca i 14 października 1588, d. 25 stycznia 1589 r.

(2) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 13 kwietnia 1589 r.

(3) Annibal z Kapui do kardynała Montalto d. 7 kwietnia 1588 r.

*Justus* przyjedzie, albo jeśli mu kogo innego poszłą; wszakże terazby już zaraz posłać z pieniędzmi potrzeba, bo jeszcze w Komarze temi czasy dostanie go tanio; po chwili będzie droższe. Prosiłem pana Benedykta, pana Bruthego brata, aby go tam co był stargował, który co mi odpisuje, WM. memu miłościwemu Panu posyłam. Będą wina tego roku dobre, ale ich niebarzo wiele, przeto będą przydroższe.”

Piotr został zrzucony z gospodarstwa, a missya wołoska, która ledwie dwa lata trwała, znikła bez śladu. W kilkanaście lat później, jak powiada p. Przędziecki, papież Klemens VIII utworzył biskupstwo wołoskie w Bakowie, poddając je metropolii kołoszańskiej w Węgrzech i patryarsze katolickiemu w Konstantynopolu. Biskupów podawali jednak królówie polscy i prawie samych Polaków.

Bartłomiej Bruti z Jass 10 stycznia 1590 r., donosząc Janowi Zamojskiemu o usługach jakie czynił posłowi polskiemu w Konstantynopolu, prosił, żeby tę jego przychylność i gotowość do usług, tak podczas wojny jak podczas pokoju, kanclerz królowi zalecił. Wspomina o tém, że chociaż od dzieciństwa między Turkami wychowany, uważa za rzecz zgodną ze swoją sławą i honorem, żeby resztę życia poświęcił służbie którego z panów chrześcijańskich. A zasługi jego te były: że posła polskiego z Chocima prowadził do hospodara, potem odprowadzał do beglerbega do Sylistryi; brata w Konstantynopolu listem wezwał, żeby wszelkimi siłami posłowi służył.

W tymże roku Bruti jeździł do Polski wysłany przez hospodara, a gdy długo nie wracał, hospodar ze smutkiem powtarzał: „Już mię Bruti zapomniał, albo już nie ma woli do mnie się tu wrócić.” Brutego w Polsce zatrzymało zbliżanie się sejmu, na którym miało być zatwierdzone postanowienie królewskie względem pokoju z Turkiem. Z wiadomością o tém wyprawił do hospodara sługę swojego Bernata (1). Bardzo być może, że podczas tego sejmu otrzymał indygenat. Wiadomy jest koniec życia Brutego. Aaron hospodar wołoski kazał go utopić w Dniestrze, gdy do Polski jechał w r. 1592, nie z żadnej innej podobno przyczyny, jedno, że mu się zadłużył, gdy na państwo wchodził.

Z treści wyżej przytoczonej łatwo można poznać bogactwo przedmiotów zawartych w zbiorze wydanym przez p. Przędzieckiego. Dziękujemy mu szczerze za wydanie listów Annibala z Kapui, prosimy, żeby nas częściej obdarzał dziełami tak ważnemi, objaśnionemi i wydanemi tak starannie.

*Seweryn Gołębiowski.*

(1) Świętosław Drożencki do Stan. Karnkowskiego d. 7 październ. 1590.

*Kilka uwag nad rozprawą o Starożytnej Polsce, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej na m. październik b. r.*

Wysokie rozumienie o sobie: jest wielką zawadą do prawdy.  
*Bieniasz Budny.*

Po ukończeniu dzieła *Starożytna Polska* pod względem historycznym, jeograficznym i statystycznym, z upragnieniem wyglądaliśmy rozbiór krytycznego i wyrzeczenia o naszej pracy, którego z gruntownie uczonych naszych ziomków. Próżnią tę zapelniał nakoniec świeżo występujący w piśmiennictwie pracownik, szczególnie w dziejowości zamilowany p. Julian Bartoszewicz, którego płodne pióro z młodzieńczym zapałem mnóstwo od lat pięciu napisało artykułów, monografij, biografij, recenzyj i t. p. Ołóż tedy podał tenże w przeszłym miesiącu do Bibl. Warsz. rozprawę: *Nowa epoka literatury historycznej polskiej*, obejmującą przegląd Starożytnej Polski. Jak zrazu oddaje dziełu i współpracownikom aż nazbyt przesadzone pochwały, tak następnie ostreimi wyrazy gromi i natrzasa się; czyli poprostu powiedziawszy: jedną ręką głaszcze, drugą bije. Cały ten artykuł, jak i inne tegoż autora, skreślony jest stylem łatwym, potoczystym i pełnym życia; a że przytém niepośledni rozwija zasób erudycyi, niejednego przeto z czytających łačno może omamieć i olśnieć, zwłaszcza tych, którzy nie znając Starożytnej Polski, odczytują tę sarkastycznie napisaną recenzją. Wypadałoby nam za wspólném porozumieniem się odpowiedzieć; ale że mój współpracownik Michał Baliński jest nieobecnym, sam przeto występując w szranki, poczynię niektóre uwagi nad wzmiankowanym artykułem, o ile czynione tamże zarzuty bliżej mnie się dotyczą. Przedewszystkiém zaś powiedzieć mi wypada, że źle był pan B. zawiadomiony, skoro na str. 73 wyraża: „Lipiński chciał pisać geografią dawnąj Polski”. Nigdy nie powziął był tego zamysłu, lecz zbierałem li tylko materyały do dykcyonarza geograficznego dawnąj Polski. Poniżej na tójże stronnicy wmawia w nas: że pierwszym zamiarem naszym było wydać nanowo czyli przelać dzieło Święckiego, i dziwi się, że jakiś czas o tém mogliśmy myśleć. Uręczam, że nie było to naszym pomysłem, ale raczej wydawcy, który chciał ponowić Święckiego ze stosownemi poprawkami i dopełnieniami, na co wszakże nie przystaliśmy.

Recenzent często jest w sprzeczności z samym sobą; snąc, że nie odczytał tego, co napisał, gdyż raz mówi na str. 79: „Lipiński wyczerpnął do szczeru swój przedmiot, i t. d. Małopolska przeszlicznie jest obrobiona (str. 86); autor opisywał najdrobniejsze nawet osady, aby tylko czémkolwiek historyczne. Materyał tutaj nieprzebrany”, i t. d. To znowu *vice versa* na str. 93 czytamy: „Tom II (Małopolska) jest obszerny, to prawda, ale tutaj brak wiele, i t. d. Bo ileż tam opuszczeń, zwłaszcza na Rusi, zblizonéj do teatru wojny”. Na jedném znowu miejscu uniewinnia nas, żeśmy *awulsa* opuścili (str. 73), jako niewchodzące w ramy obrazu naszego; to przepomniawszy o tém, wyrzuty mi czyni na str. 95,

że nie podałem wiadomości o Rusi zadnieprskiej i o Zaporozu. Niejednokrotnie wyznaje p. B. żeśmy stworzyli ogrom, a na str. 88 mówi: „Nie taimy tego, autorowie mieli wielki zamiar do spełnienia i dlatego w żaden sposób nie mogli zaspokoić wszystkich oczekiwań”. I wbrew temu ma nam za złe, żeśmy nie skreślili życia szlacheckiego i mieszczańskiego, nie podali spisu rozdrobionych panujących książąt w Mazowszu, na Rusi i Litwie; żąda nawet genealogii ważnych rodzin, a przynajmniej Sapiechów na Kłodniu, Zamojskich w Zamościu, i wiele jeszcze innych rości wymagań; poczem z małym odzywa się żądaniem na str. 89: „że w starożytnéj Polsce, taką jaka była, jaką być powinna w dziele, mieścić się przynajmniej winny *wszystkie* miasta Rplitéj.” A że częstokroć powtarza, co już raz powiedział, przeto poniżej na téjże stronnicy, znowu się dopomina: „autorowie powinni byli przynajmniej *wszystkie* miasta Rplitéj wliczyć w swoim zbiorze.” Jak można wymagać tego, co prospektem objęte nie zostało?—Mógłby nam każdy podobny uczynić zarzut, gdybyśmy nie dopełnili naszego zobowiązania; ale że roszczenia te recenzenta nie wchodziły bynajmniej w zakres naszej pracy, szkoda więc było tyle rozprawiać.

Dziwne téż jest wymaganie pana B., który żąda w Star. Pol. jakiegoś poezyi i zachwycenia się nad pięknością natury (83), a nie opisów na zimno; poczem odzywa się: „Starożytna Polska powinna się była dać czytać wszystkim, *jak powieść*”. To wyraźne z jego strony żarty, gdyż dzieło treści naukowej, a przynajmniej jako zbiór materiałów do dziejowości miejscowych, wcale nie potrzebuje przemawiać do imaginacyi, do jakichś sentymentalnych uczuć, ale wprost do głowy.

We wszystkich pana B. recenzjach i rozbiorach, przebiega się widoczna dążność popisywania się z erudycją, której mu bynajmniej nie zaprzeczamy, i tak wysokie o sobie rozumienie, że wszystkich ma za nic: każdego potępia, każdym pomiata; dwóch tylko głośnych w obecnym stanie piśmiennictwa imion dotknąć się dotąd nie považył, lecz może i na nich przyjdzie kolej. Owoż tedy zarzuca mi, że nie korzystałem z Ojczystrych Spominków Grabowskiego, z Pamiętników Chrapowickiego, z rosyjskich Dzienników Gubernialnych (mianowicie Kijowa i Podola); zdrowe to wszystko rady, ale szkoda, że pan B. nie spojrzzał na lata ich wychodzenia, a przekonałby się, że pojawiać się zaczęły po ukończeniu udziału mego w Starożytnéj Polsce.

Lecz czém się sam recenzent wiele potępia i niczém usprawiedliwić nie zdoła swoje przechwałki, to kiedy na str. 89 wykrzykuje zwycięzko: że robiąc historyczne poszukiwania w Metryce koronnéj, na gorącym uczynku łapał Star. Pol., znalazł bowiem znaczny poczet wiejskich osad obdarzonych przywilejem miasta, a w téj liczbie *Wiskitki*, które podniósł Stanisław August 1775 r. na miasto; ale o tém Lipiński *nic nie wie*. Otóż odpowiada tenże: iż wiedział w tym względzie więcej, niż jego potępiciel, przytoczył bowiem w T. I, str. 583 pierwotny przywilej lokacyjny Zygmunta III wydany 1595 r.—Dalej na str. 90 popisuje się z tém, że podobnie wykrył w téjże Metryce przywilej wyniesienia wsi *Kuty* na miasto, a nie wie o tém, że zamieściłem go dosłownie w T. II, str. 748; o *Konstantynowie Podlaskim* jako mieście, znajdzie w T. II, str. 1293; o wsi *Buczniowce* zamienionéj na miasto *Podole*, tamże na str. 1031.

Co do *Bieżunia* zaś, nietylko że mam w T. I, str. 381 nietylko dopiero przez p. B. wynaleziony przywilej 1767 r., ale i pierwotny 1406 r., o którym tenże wcale nie wiedział; również i o erekcyi *Poczajowa* na miasto jest powiedziane w T. II, str. 1422, jako też i o *Tatarzyskach* tamże str. 958. Co się zaś dotyczy innych wsi przez p. B. wyliczonych, a do rzędu miast wyniesionych, wiem o nich oprócz *Kobyłki* i *Wilanowa*, i posiadam wypisy z *Metryki koronnéj*; ale czyż sposób było wymienić wszystkie w dziele, które nie miało przeznaczenia dykcyonarza geograficznego?

Czynić podobne zarzuty niegodzi się krytykowi, co stanąwszy na trójnogu jako wyrocznia, wziął sobie za główny cel wszystkich nauczać i ironicznymi wyrazami pognębiać. Chcąc innych zoilowskim zębem docinać, trzeba samemu być należycie uczonym, być pewnym swego, a co nadewszystko, z literacką sumiennością postępować. Powtarzamy, że co tylko p. B. napisze, daje się z przyjemnością czytać; posiada bowiem niepośledni dar wysłowienia i ubarwienia różnolitemi okrasami; ale tu idzie o rzetelność i dokładność faktów, z którymi niestety częstokroć się mija; dość będzie na dowód tego przywieść jego opisy pałacu *Kazimirowskiego*, *Krasińskich* i kościoła ś. *Andrzeja*. Heż tam błędnych podań, zwłaszcza tém więcej dotykanych, im opowiadane rzeczy bliższe są naszych czasów, i które każdy z nas zapamięta. Dobrze to zdawien dawna powiedziano: niewszystkoć to złoto, co się owo błyszczy.

Zakończę uwagi moje nad przeglądem p. B. jeszcze jednem spostrzeżeniem, które również dla niego jest niekorzystnem. Na str. 81 zarzuca memu współpracownikowi, że pominął w b. ziemi chełmskiej małą wioseczkę *Czerwień*. „Są dowody, mówi recenzent, że ta biedna wioseczka nadawała kiedyś nazwisko swojej całej okolicy; grody *Czerwieńskie*, *Ruś Czerwona* idą do tego *Czerwieńska*”. Otóż sam znowu w błąd popadł, a mimo to swoim zwyczajem drugiego potępia (1). Ów *Czerwień*, także *Czerwń*, *Czerwieńsk* przez latopisów mianowany, od niepamiętnych czasów nosi nazwę *Czermno*, i jest sporą włością przy *Tyszowcach*, nie w ziemi chełmskiej, ale w b. *Wtwie bełzkiem*. Napróżnobyśmy przeto szukali w dzisiejszym obrębie król. polsk. wsi *Czerwień*, gdyż miano to odwiecznie się zatartło, a na téjże posiadzie istnieje *Czermno*, o czém podałem wiadomość w T. II, str. 1187, idąc za *Karamzy-nem*, który zeznaje, że *Zoryan Chodakowski* udzielił mu wiadomości o tym niegdyś grodzie słowiańskim, od którego *Czerwona Ruś* zwać się poczęła. Świadcstwo takich dwóch znakomitych w dziejowości mężów, więcej zaiste na wiarę zasługuje, niż owo wyrzeczenie naszego recenzenta.

*Tymoteusz Lipiński.*

(1) Podobnie postąpił sobie wydając dziełko *Królewicze biskupi*, gdzie na str. 134 wieś *Pańkowce* na *Wołyniu*, wzięwszy za *Paniowce* na *Podolu*, wymawia mi, jak mogłem przepomnieć tę posiadę i istniejącą w niej niegdyś drukarnią? Nie zajrzał do *Star. Pol.*, gdzie znalazłby w T. II na str. 952 wieś *Paniowce* ze swą drukarnią dyssydencką.





## ROZMAITOŚCI.

### *Kościoły olkuskie.*

Początek Olkusza, pierwotnie zwanego Ilkuszem (Ilcussia, Ilkus), przypadać może między pierwszym a drugim napadem Tatarów na polską ziemię. W nazwaniu tém upatrywać można ślady górniczego początku tej miejscowości, jakoby od kucia ilów marglistych, które tu wśród wapieni pod piaszczystą powłoką kurzawek, rudy kruszcowe w sobie przechowują. Zdaje się bowiem, iż inny powód nad korzystanie z daru łona ziemi nie byłby nigdy ściągnął żadnych osadników na płonne pola piaszczystego morza koło Olkusza, gdy w rozległym obszarze krakowskiej dzielnicy na urodzajnych nie zbywało niwach.

Już za Bolesława Wstydliwego w Olkuszu rudę ołowianą kopano, czego dowodem, iż monarcha ten w przywileju fundacyi klasztoru Klaryssek w Zawichoście w r. 1257 (Metr. kor. ks. ZK. str. 415) zapisał im wartość dwóch grzywien złota z kopalni ołowianych olkuskich.

Olkusz był jeszcze wsią naówczas, gdyż w początku panowania Władysława Łokietka, około r. 1300, założony został we wsi Olkuszu klasztor na 10 zakonników św. Augustyna pustelnika, z kościołem czci Najświętszej Panny poświęconym, a to z upoważnienia Jana Muskaty biskupa krakowskiego, który nadał pewne odpusty, potwierdzone bullą Bonifacego VIIIgo papieża; jeżeli przywilój ten i potwierdzenie jego nie są podrobione (1).

Musiła osada ta wzrosnąć na miasto za Władysława Łokietka, gdyż tenże sprzedając za 100 grzywien wójtostwo olkuskie niejakiemu Janowi, poprzednio wójtowi wielickiemu, przywilejem z r. 1331 w wilią św. Agaty, każe mu się rządzić témże co i samo miasto prawem magdeburskiem (quo ipsa civitas gaudet); a tak Olkusz byłby już miastem w końcu panowania Władysława Łokietka.

(1) Wprawdzie w r. 1300 był biskupem krak Jan Muskat (1295—1320), a papieżem Bonifacy VIII (obraný d. 23 grudnia 1294, † 5 października 1303 r.), lecz data na kopii posiadanej jest r. 1377, a na potwierdzeniu papieża *decima Kal. januarii pontificatus anno XII*; co się z powyższém nie zgadza, bo w roku 1377 nie było Jana biskupa krak., a Bonifacy VIII nie był 12 lat papieżem.

Jednakże Długosz w opisie dyecezyi krakowskiej (Liber beneficiorum zwany), donosi, nie wskazując wprawdzie roku, iż Kazimierz Wielki dostrzegłszy, że kopalnie ołowiu pod miastami biskupiem Sławkowem i Bytoniem coraz mniej dostarczały rud kruszcowych, a pod wsią Olkuszem, królewskie kopalnie okazywały się coraz obfitszemi: założył tamże miasto, opasał murem z wieżami czyli basztami, którego to muru szczątki od strony zachodniej istnieją przy domie naczelnika powiatu. Kościół farny na cześć św. Andrzeja, wystawiony także za Kazimierza Wielkiego.

To pewna, iż w r. 1356 Kazimierz Wielki, ustanawiając na zamku krakowskim sąd najwyższy miejski z wójta i siedmiu ławników prawa magdeburgskiego dla miast i osad teutońskich w ziemi krakowskiej, wskazał, aby miasto Olkusz dostarczało także ławnika, równie jak Kraków, Sandecz, Bochnia, Wieliczka i Kazimierz (Bandtkie Jus. Polon. str. 161).

Obok tych wiadomości, które również podaje Długosz, tenże w Historji swój pod r. 1370 wspominając znów o Olkusz, tylko odbudowanie i opasanie murem miasta tego ogniem spłoniętego Kazimierzowi Wielkiemu przypisuje.

Trudno dziś sprawdzić data, gdyż przywileje zasadzenia Olkusza spłonęły w pożarze; i dlatego Władysław Jagiełło w Wiślicy w sobotę po św. Agacie 1386 nanowo upoważnia Olkusz do używania praw magdeburgskich.

Z powyższych danych zdaje się zatem to pewnym, iż kopalnie olkuskie w XIII wieku otworzone, iż w początku panowania Władysława Łokietka założony klasztor Augustyanów we wsi Olkusz poprzedził zasadzenie tamże miasta, które ku końcowi jego panowania powstać mogło, i że Kazimierz Wielki miasto ogniem spłonięte odbudował i murem opasał.

Rzączyński (Hist. Nat. Cur. R. Pol. str. 46), w rozdziale o srebro przytacza, iż Dryacki w żywocie błogosławionego Izajasza Bonara twierdzi, iż jakiś Grzegorz Olkuszanin, zakonnik augustyański za Kazimierza Wielkiego miał pierwszy odkryć kruszce drogie w polach olkuskich. W podaniu tém jest wyraźnie pomyłka co do tego Grzegorza, która bliżej objaśnić się daje z opisu beneficjów dyecezyi krakowskiej Długosza z r. 1448. Tenże bowiem mówi, iż za jego czasów (zatem za Kazimierza Jagiellończyka), Augustyanin nazwiskiem Grzegorz de Goldsthain, za pozwoleniem przełożonych, kilka lat z korzyścią poszukiwał i prowadził roboty kopalniane pod Olkuszem, i tak dalece się wzbogacił, że go lud zwał bogatym mnichem, a dla osobliwości, iż zakonnik żebrzący zbierał bogactwa, białym krukiem (dives monachus, albus corvus). Pieniądzy zebranych użył na naprawę klasztoru, powiększenie i ozdobę kościoła przy tymże w Olkusz i potrzeby braci zakonnych w Olkusz i Krakowie u św. Katarzyny.

Kościół i klasztor OO. Augustyanów, położony był w wschodniej stronie miasta Olkusza; kościół zaś farny św. Andrzeja dodziśnia istniejący wystawiony za Kazimierza Wielkiego, stoi w rynku miasta od strony północnej.

Gmach kościoła z kamienia piaskowego wystawiony, kształtem zbliżony do budowli gotyckich, ma 70 łokci długości, 28 łokci szerokości; wewnątrz na trzy nawy podzielony przez 8 słupów, które sklepienie podpierają. Zewnątrz 18 skarp wzmacnia budynek; później one przybyć musiały, aby mu dodać trwałości. W trzech oknach prezbiterium szyby okrągłe na olów osadzone, z boków ośm okien wązkich wzniosłych, dach wysoki dachówką kryty, posadzka kamienna. W wieży dzwonnicy dwa tylko dzwony pozostały, trzeci 40-centnarowy w r. 1831 rozbity i zabrany. Dzwonnica ta wznosi się oddzielnie naprzeciw wielkich drzwi.

Do parafii olkuskiej należały: miasto Olkusz z przedmieściami i górnkami, wsie: Parcze, Pomarzano, z zamkiem Rabsztyńskim, Bogucin, Klucze; dalej wsie miasta Olkusza: Żurada, Starczynów, Witeradów i w końcu wieś Ujków, niegdyś miejska, potem dziedziców Bolesławia własność.

Probostwo to przy farze w Olkuszu należało do beneficjów akademii krakowskiej i proboszczami bywali akademicy krakowscy, doktorowie ś. teologii a zwykle zarazem kantorowie od św. Floryana na Kleparzu, i dlatego obowiązkiem ich bywało utrzymywać dwóch wikarych w Olkuszu, a wicekantara u św. Floryana.

Św. Jan Kanty był przez lat 8 proboszczem w Olkuszu (około r. 1420—1430). Pamiątkę tego przechowuje napis przy domie probostwa dotychczasowa świadczący, iż tu mieszkał: *domus residentialis divinisissimi Joannis Cantii quondam loci istius parochi. A. D. 1738* (rok położenia napisu). W r. 1483 do 1506 był przeorem Augustyanów Dr. Mathias. Z początku XVI wieku od r. 1519 był proboszczem Dr. Marcin rodem z Olkusza (Dr. Martinus Ilkusch), znany pracownik około poprawy kalendarza, poprawy, która dopiero po śmierci jego, w r. 1582 za Grzegorza XIII weszła w wykonanie.

W kościele farnym Św. Andrzeja były następujące ołtarze:

1. Trójcy Przenajświętszej fundowany przez Zbigniewa Oleśnickiego kardynała r. 1441, z bractwem Najświętszej Maryi Panny posiadającym znaczne zapisy z lat 1440, 1446, 1509, potwierdzone w r. 1535 i 1559.

2. Św. Doroty i Św. Barbary.

3. Św. Katarzyny.

4. Bożego Ciała.

5. Św. Bartłomieja.

6. Św. Maryi Magdaleny.—Te wszystkie ołtarze dziś już nie istnieją.

7. Nawiedzenia Najś. Maryi Panny, oraz

8. Św. Mikołaja. Dwa ostatnie wystawione przez Tomasza Szperkę r. 1448, burmistrza miasta i gwarka kopalń, które poświęcone zostały przez królewicza Fryderyka kardynała i biskupa krakowskiego. Z tych tylko ten drugi ołtarz istnieje.

9. Trzech Króli, którego dzisiaj również nie ma.

Dochody na te ołtarze szły z zapisów na domach, i wioskach: 14 grzywien z Bochni i 6 grzywien od rajców wielickich.

Później jeszcze przybyły:

10. Ołtarz Najś. Maryi Panny Bolesnej wystawiony przez z Pieniążków Chełmską r. 1602.

11. Wreszcie kaplica Amendowską zwaną, Najś. Maryi Panny Loretańskiej, wystawiona czyli raczej do kościoła przybudowana r. 1620 przez Stanisława Amenda, który w młodości przy poselstwie wysłaném przez cesarza Maxymiliana do sultana Solimana, odbył podróże do Turcji; był u tegoż sultana w Konstantynopolu, potem w Egipcie, Palestynie. Za powrotem osiadł w mieście Olkuszu; był tamże rajcą i olbornikiem królewskim, t. j. poborcą dziesięciny z kopalń dla króla; przytém będąc gwarkiem, to jest przedsiębiorcą kopalń, doszedł do zamożności, a na podziękowanie Bogu wznosił kaplicę i zaopatrzył ją wiecznym funduszem złp. 300. Zmarł r. 1627 (3 lipca), i w tój kaplicy leży pochowany.

O córce tegoż Amendy, przytoczymy wypis z notat Ks. Wawrz. Strzeżowskiego proboszcza olkuskiego: „Zuzanna Amendówna, córka Stanisława, przy ofierze przenajświętszój, którą natenczas miał JMX. sufragana krakowski Thomasz Oborski biskup laodycki, przy samój komunii przystąpiła ta osoba z ślubem do ołtarza z wielką ozdobą prowadzona, z świecami powinnych swoich płci obojój i innych ludzi znacznych. Niesiono przed nią wieniec kosztowny z pereł i kamieni drogich złożony, z osobna pierścień ślubny, serce złote kształtnie zrobione z napisem: *Christo immortalis sponso Suzanna Amenda se per hac signa dicat sacratque in perpetuum* (Zuzanna Amendówna w tych znakach wiecznie się oddaje). Co wszystko biskup z ręki w rękę odebrawszy, ku wiecznej pamięci zawiesił na monstrancyi przy Najświętszym Sakramencie, Roku Pańskiego 1628 d. 5 marca”.

Po pożarach 1553 r. i innych, w miejsce dawnych zniszczonych nowe powstały ołtarze, tak, iż dziś oprócz *jednego* wielkiego ołtarza z obrazami ś. Trójcy, są jeszcze następujące: Obok prezbiterium jest kaplica dotykająca prezbiterium, z *drugim* ołtarzem zamykanym na drzwi, w którym stoi posąg Najśw. Maryi Panny z Panem Jezusem z drzewa; w samym zaś chórze większym jest jeszcze z prawej strony *trzeci* ołtarz Jezusa ukrzyżowanego i po lewej *czwarty* ś. Mikołaja. W nawach zaś kościoła po lewej stronie *piąty* ołtarz św. Jana Kantego, fundowany przez proboszcza Sleczkowskiego, *szósty* Przemienienia Pańskiego i *siódmy* św. Stanisława, fundacyi Jakóba Gwardzińskiego. Z prawej strony *ósma* kaplica Amendowska, a dalej *dziwiasy* ołtarz św. Antoniego i *dziiesiąty* św. Jana Chrzciciela, oba dość stare.

Przy drugim filarze na prawo od wielkich drzwi jest kazalnica snycerską robotą bogato malowana i złocona, z napisem w stropie, dowodzącym, iż wystawiona przez Pawła Rudawskiego rajcę olkuskiego 1631 r., a w środku niój monogram tegoż PRR (Paweł Rudawski rajca).

Chrzcielnica jest ołowiana na kamiennych stopniach, ma nakrywę miedzianą, i stoi po lewej stronie od wejścia do biblioteki w wieży, pomieszczonej nad skarbcem i zakrystyą.

Organy o 22 głosach zbudował Hans Humel z Norymbergi.

Pomników grobowych dosyć: jedne tu wystawione, inne przeniesione z kościoła OO. Augustyanów po jego upadku. Opisał je Starowolski w *Monumenta Sarmatorum*. Godniejsze uwagi są: Adama Rogosza rajcy i gwarka r. 1594, na drugim filarze północnym; Bartłomieja Zbytniego † 1598 sztolmistrza sztolni ponikowskiej, na pierwszym filarze północnym;

Adama Bernka rajcy i gwarka † 1606 w łęczy; Stanisława Amendy † 1627 w kaplicy Loretańskiej; Bartłomieja Horlemesa † 1677; Jana Motczyńskiego rajcy i gwarka olkuskiego z wybornym portretem olejnym, na blasze i długim napisem wierszem polskim † 1691; na pierwszym filarze północnym, Jakóba Gwardzińskiego rajcy olkusk. i gwarka † 1694 i t. d.

Do kościoła farnego należały: szpital na północ kościoła leżący, wraz z kaplicą drewnianą św. Jana, przy drodze do Sławkowa; dalej kaplica św. Urszuli. Na przedmieściu w stronie południowo-wschodniej kościołek św. Krzyża, przy którym za Zygmunta Augusta urządzono szpital luterski; nieco dalej w tejże stronie przy drodze ku Ojcowi kościołek czyli kaplica św. Stanisława i inna św. Elżbiety. W stronie wschodniej przy drodze sławkowskiej, a w położeniu w bliskości linii sztolni pileckiej, na gruncie zwanym Starym Olkuszem, był wymurowany kościołek albo raczej kaplica św. Jana Chrzciciela, jak się zdaje za Zygmunta Augusta, której dziś tylko ściany stoja w ruinie.

Wspomnieliśmy, że przy kościele farnym było bractwo Najśw. Maryi Panny, przy kościele zaś augustyańskim górnicy olkusecy mieli także bractwo pobożne, którego ustawę zawiera przywilój kardynała Zbigniewa Oleśnickiego biskupa krakowskiego z r. 1446: „*Fraternitas fossorum seu operariorum montium ilcussiensium alias Copaczkię bracthwo.*” Przywilój ten uzyskał potwierdzenie Zygmunta I r. 1509. (Metr. kor. księga Q. 24 str. 146).

Z pobożności górników olkuskich był zwyczaj oddawania pewnych jałmużn w rudzie ołowianej na kościoły olkuskie, pod nazwą „Sypania kruszcu;” a gdy szło o rozdział tych jałmużn, zapadł wyrok polubowny sporządzony przez ks. Jana Elgota w zastępstwie biskupa krak. i niektórych rajców krak. do tego wybranych, aby jałmużny te dzielone były po połowie między kościół farny św. Andrzeja i OO. Augustyanów Najświętszej Panny. Kardynał Zbigniew Oleśnicki potwierdził wyrok ten r. 1449. Wysokość tych dobrowolnych zrazu jałmużn, następnie stale oznaczoną została, a to tym sposobem, iż górnikom olkuskim dozwoloném zostało przez list Jana Rzeszowskiego biskupa krak. z dnia 14 maja 1473, kopanie w górach nawet w dni niedzielne i świąteczne uskutecznić, zwłaszcza tam, gdzie napływ wód tego wymagał lub trzeba było ciągłego wód ściągania; lecz za to obowiązani byli składać jałmużnę (eleemosyna) w rudzie ołowianej dla obu kościołów: farnego i augustyańskiego.

Ten list potwierdził papież Innocenty VIII bullą dnia 3 *nonas Augusti* 1488. Później uchwała gwarków olkuskich z r. 1566 z środy po św. Trójcy, postanowiła, iż na fare, klasztor, szkołę i szpital (xenodochium) dawane być ma po korczyku czyli  $\frac{1}{4}$  niecki od każdego rusztu (24 niecek) ukopanej rudy, zatém  $\frac{1}{96}$  część urobku.

Uchwała ta gwarecka potwierdzenie zyskała Zygmunta Augusta na sejmie warszawskim dnia 20 maja 1572, i odtąd aż do upadku kopaln olkuskich ciągle była wykonywaną.

Okolo roku 1580 Łukasz Słomkowski gwarek i rajca olkuski ofiarował na korzyść kościoła farnego swą część czyli tak zwany firachcentel

( $\frac{1}{64}$  część czyli akcja) na sztolni pileckiej, staro-olkuską także zwanęj; lecz dochód z tego firachcentela ustał z upadkiem kopalń olkuskich.

Jeszcze o jednem pobożnym zapisie wspomniéć tu wypada, tojest: że w kościele farnym św. Andrzeja, Jan III zatwierdził utrzymywanie spowiednika dla górników (poenitentiarium) pod dniem 30 września 1676, przeznaczając na ten cel wieczny fundusz złp. 300 dodziś, dnia pobierany, pochodzący z zapisu ks. Strzeżowskiego Fil. Dra. ówczesnego proboszcza olkuskiego, zmarłego r. 1677 i pochowanego w Olkuszu w tymże kościele, w przbyterjum.

Z kilku powodów głównie ponosiły szkody kościoły olkuskie, tojest w skutek pożarów, przez odszczepieństwo Lutra i później przez zbliżenie się kopalń pod mury kościelne.

Pożary wielokrotnie srodze miasto pustoszyły, przycém i kościoły cierpiały; a nadewszystko r. 1553 fara, a 1583 augustyański.

Zapobiegając upadkowi miasta i domów chwały Bożej, uchwała (laudum) gwarków dnia 9 maja 1583 postanowiła względem jałmużn w rudzie przez górników składanych, aby te w  $\frac{1}{3}$  szły na farę czyli kościół św. Andrzeja, w  $\frac{1}{3}$  na szpital katolicki św. Ducha, a w  $\frac{1}{3}$  na szpital luterski przy kościołku św. Krzyża. To dowodzi, jak się wyznawcy Lutra wówczas rozszerzyli w Olkuszu; wnot atoli wizyta dyecezyalna kościołów w tém mieście, wytknęła to wzmożenie się różnowierstwa między mieszczanami i gwarkami, i dawanie jałmużny na ten ostatni szpital zakazane zostało postanowieniem królewskiém Zygmunta III z dnia 15 czerwca 1595, jako z krzywdą katolików dziejące się: co więcj, zwrócono wówczas katolikom kościółek św.-krzyżki w którym luterscy wyznawcy modlitwy swe odbywali.

Następna wizyta kościelna przez biskupa krakowskiego w r. 1598 zesłana, imiennie wyznania luterskiego mieszczan wymieniając, między innymi wylicza: Andrzeja Lichowskiego z *zonami* (cum uxoribus), Stań. Wojnarowskiego, Jana Lembocha, Szymona Kalduszkę, Walentego Słankę, Samuela Pękałę, i t. p.; ci będąc zamożnemi gwarkami, byli podporą nowj wiary, a tak odszczepienie to za Zygmunta III wykorzenioném zostało.

Celem wzniesienia miasta, a nadewszystko naprawy kościołów ogniami podniszczonych, postanowił Zygmunt III dnia 4 sierpnia 1588 (Metr. kor. księga WM. 135 str. 198), aby od każdego centnara ołowiu lub glejty sprzedanych, pobierano od kupców w Olkuszu opłatę półgroszków czyli 9 denarów, przeznaczając połowę tój opłaty na korzyść miasta, a drugą połowę na kościoły farny i augustyański. Postanowienie to ponowił jeszcze tenże król dnia 4 marca 1598, i w tym roku wzięto się silnie do wyrestaurowania kościoła farnego św. Andrzeja.

Za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego rozpoczęli gwarkowie różne sztolnie, tojest chodniki podziemne, podkopujące się w głąb kopalni; z miejsc w położeniu niższém na zachód miasta leżących poczynały się one i szły w kierunku ku wschodowi czyli ku miastu. Gdy więc tym sposobem roboty górnicze postępowały za kierunkiem dwóch sztolni: Ponikowskiej od r. 1564, a Pileckiej od r. 1577 ku Olkuszowi, wówczas szczególniej opolni gwarkowie, tojest kopiący w odległości 24 łatrów (sążni górniczych 7miostopowych), od linii sztolniów, zbliżali się podzie-

mnie do murów miasta i budowli w témże; zagrożone nawet były mury świątyni, nadewszystko św. Krzyża i augustyański.

Uchwała gwarków dnia 20 lutego 1616 (Górn. w Polsce tom II str. 373), stanowi, aby roboty kopalniane podziemne nie zbliżały się do murów miejskich lub kościelnych na łatrów 8; lecz uchwała z dnia 30 maja 1631 obostrza ten przepis, wymiar ten na łatrów 24 ustanawiając, pod karą na przekraczających, gdy niemi będą obywatele osiedli 2000 dukatów węgierskich, a na niepossessyonatów ścięcia głowy, (sub privatione colli); przytém kopalnie istniejące w odległości mniejszej jak 24 łatrów od murów zasypywać nakazała.

Władysław IV wydał dnia 15 maja 1646 r. (Górn. w Pol. tom II str. 379), mandat do żupnika olkuskiego Starskiego, zastrzegając, aby kopalnie murom kościelnym OO. Augustyanów i ich klasztorowi nie szkodziły; a gdy z powodu zbliżenia się kopalniami pod też mury pokazały się popekania czyli szczeliny w murach, aby takowe naprawiono.

Zastrzeżenie to ponowił Jan Kazimierz d. 3. sierpnia 1658 (Górn. w Polsce t. II str. 395) już po wojnie szwedzkiej, zabraniając prowadzenia pewnych mianowicie gór, i nakazując ich zasypianie, jakoto: Magdaleny, grożącej kościołowi św. Krzyża na przedmieściu, który już dziś nie istnieje.

Roboty podziemne kopalń zbliżyły się wkrótce potém do kościoła i klasztoru OO. Augustyanów przez pędzenie skrzydła od sztolni pileckiej, i dlatego król Michał w d. 14 marca 1672 zakazał kopania w tych miejscach i polecił naprawę kościoła, a Jan III rozkaz ten d. 21 czerwca 1682 ponowił; lecz reparacya nie nastąpiła, i z téj przyczyny w końcu kościół ten augustyański wiele ucierpiał w ostatniej wojnie szwedzkiej za Augusta II, i po pożarach w Olkuszu r. 1737. Blizko wiek cały bez naprawy chylił się do upadku i coraz gorzej niszczał aż do r. 1815, w którym zgromadzenie klasztor z kościołem opuściło; wtedy postanowił rząd do szczeru go rozebrać, jako ruiną grożący, i to spełniono r. 1821. Pomniki z niego w Starowolskim opisane, przeniesiono do kościoła farnego.

Pod kościołem ś. Andrzeja nie wstrzymywały nakozy od zaprzestania robót podziemnych górników zapędzających się za rudą ołowianą; jednakże w r. 1687 wyroki sądowe i wdanie się biskupa krakowskiego piękny ten kościół od upadku zachowały, a niedawno wyrestaurowany i odświeżony za terażniejszego proboszcza ks. dziekana Cwiklińskiego, do piękniejszych w dyecezyi krakowskiej należy.

H. Ł.

### Bonifacius Papa VIII.

Iis qui pro Divini cultus augmento et Sacrae Religionis sub qua dilecti filii Prior et fratres ordinis eremitarum Sancti Augustini devotum et sedulum exhibent Domino famulatum, propagatione provida facta sunt, ut illibata consistant libenter, cum a nobis requiritur Apostolici luminis adjicimus firmitatem. Exhibita siquidem Nobis nuper pro parte dictorum Prioris et fratrum petitione continebat, quod Carissimus in Christo filius Vladislaus Noster Rex Poloniae, illustris, nec non dilecti

fili consilium ac communitas civitatis de Ilkus zelo devotionis accensi ac cupientes terrena in coelestia et transitoria in aeterna felici commercio commutare, ad laudem et honorem Omnipotentis Dei nec non ob reverentiam Beatae Mariae Virginis gloriosae, pro hujusmodi cultus augmento, quoddam Monasterium infra muros in Ilkus, districti cracoviensis, accedente consensu fundari et constitui fecerunt, et per eundem Episcopum certis indulgentiarum muneribus obtinuerunt decorari, prout in literis authenticis inde confectis ejusdem Episcopi sigillo munitis, quarum tenorem de verbo ad verbum praesentibus inscriptam fecimus, plenius continetur. Quare pro parte dictorum prioris et fratrum Nobis fuit humiliter supplicatum, ut sic gestis et ordinatis per praedictos, Regem et communitatem, ac omnibus et singulis in ejusdem literis contentis robor Apostolicae confirmationis adjicere de benignitate Apostolica dignaremur. Nos igitur hujusmodi supplicationibus inclinati, hujusmodi foundationem et erectionem, ac omnia in dictis literis contenta et ordinata, non irrita habentes et grata, illa autoritate Apostolica ex certa scientia confirmamus et praesentis scripti patrocinio communimus. Supplentes omnes defectus, si qui forsitan intervenerint in eisdem, volumus insuper et autoritate praedicta concedimus, quod Prior et fratres qui in dicto Monasterio commorantur, et pro tempore morabuntur, omnibus exceptionibus, immunitatibus, privilegiis, libertatibus et indulgentiis gaudeant et utantur quibus alii fratres dicti ordinis in aliis locis commorantes gaudent et quomodo potiuntur. Tenor vero dictarum literarum est talis:

In nomine Domini Amen.

Nos Joannes Divina et Apostolicae sedis gratia Episcopus cracoviensis, Notum facimus tam praesentibus quam futuris, praesentium notitiam habituris, quod ad instantes petitiones Serenissimi Principis Vladislai Regis Poloniae illustrissimi, nec non consulum et totius communitatis civitatis de Ilkus, ad honorem omnipotentis Dei et Sacratissimi Corporis ipsius, nec non Beatae Mariae Virginis Gloriosae, monasterium seu coenobium intra muros ejusdem civitatis de ordine Sti Augustini Eremitarum, decrevimus fore fundandum et erigendum, et ut laus Divina temporibus nostris multiplicetur in terris abundantius et populus Christi fidelis ardentius ad devotionem invitetur, per venerabilem virum Dominum Sullislaum Archidiaconum Sandomiriensem, in vigilia Beati Jacobi Apostoli per nos ad hoc deputatum, dictum coenobium prima die dominica ante Assumptionem Beatae Mariae Virginis procuravimus consecrari. Statuentes singulis annis Dedicationem ejusdem coenobii die dominica proxima infra octavas ipsius Assumptionis Beatae Mariae Virginis, perpetuis temporibus celebrandam, et ut major devotio accrescat populi, et frequens recursus habeatur ad coenobium supradictum, omnibus vere penitentibus et confessis, qui ecclesiam seu coenobium supradictum causa devotionis accesserint, seu qui pro fabrica et ornamentis ejusdem ecclesiae vel coenobii manus suas porrexerint adjutrices, autoritate praedicta de injunctis vobis poenitentiis, nos quadraginta dies impartimur, et alios XL dies per ipsum dominum Venceslaum suffraganeum nostrum consecratorem datos, ac per alios Dominos episcopos communionem Sacrae Romanae Ecclesiae habentibus, temporibus Nostris similiter XL dies



dandos ratos gratos habentes, tenore praesentium confirmamus. In cujus rei testimonium et evidentiam pleniorum Sigillum nostrum praesentibus est appensum. Datum et actum Cracoviae, feria tertia proxima post diem beati Bartholomaei Apostoli, anno Domini millesimo trecentesimo (septuagesimo) septimo.

Nulli ergo homini liceat hanc paginam Nostrae Confirmationis communicationis supplementi et voluntatis infringere vel cum ausu temerario contraire. Si quis autem hoc attentare praesumpserit, indignationem Omnipotentis Dei et Beatorum Petri et Pauli Apostolorum ejus se noverit incursurum. Datum Romae apud S. Petrum Decima Calend. Januarii, Pontificatus nostri anno duodecimo.

**Uwaga.** Bonifacy VIII papięz obrany d. 23 grudnia 1294 r., umarł d. 5 października 1303 r. Zatem 12sty rok papieztwa i ów styczeń przypadają po jego śmierci. Jan (Muskat) biskup krak. od r. 1295, przez całe panowanie Władysława Łokietka do r. 1320; zatem rok 1377 nie zgadza się, a nawet w roku tym nie było Jana bisk. krak. Ztąd wynika, że dokument ten zdaje się być podrobionym.

*List Jana Rzeszowskiego biskupa krakowskiego względem jałmużn  
górnicych i ich podziału między kościoły olkuskie.*

Joannes Dei Gratia Episcopus Cracoviensis.

Universis et singulis status et sexus utriusque Christi fidelibus Dioecesis nostrae, praesentibus et futuris, in plumbi fodinis montium civitatis Ilcussiensis pro tempore laborantibus et ad ipsos labores impendentibus, in Christo dilectis, Salutem in Domino sempiternam. Attentis pluribus incommodis damnis et jacturis, quae ex intermissione et cessatione laborum, praesertim diebus dominicis et festivis in montibus eisdem fiendis ipsis laboratoribus et impendentibus eveniunt et evenire solent; inhaerendo aliis antecessorum nostrorum et concilii Basiliensis indultis desuper factis et concessis, receptoque primitus fidedignorum testimonio quod dum ab hujusmodi laboribus diebus dominicis et festivis occurrentibus antedictis cessarentur, contingeret procul dubio rupturam magnam et damnum irrecuperabile dictis impendentibus in montibus praefatis evenire et committi, quae non sine magnis impensis vix vel nunquam possent restaurari. Vobis igitur qui alias ex consuetudine dicti loci per Vestros Praedecessores in ipsis montibus laborant observata praefatis licentiis et indultis positi, in dictis montibus diebus dominicis et festivis a populo et Ecclesia celebribus laboribus operam dare consuevistis. Attento quod ipsum opus laborum piis operibus rediment, singulis diebus sabbativis dummodo se minera plumbi offert, et quam diu de montanis trahitur a quolibet monte notabilem eleemosynam pro ecclesiis, videlicet parochiali S. Andrae Apostoli et Regulari Sanctae Mariae Virginis fratrum Eremitarum Ordinis S. Augustini ab antiquo acquamiter contribuere et largiri soliti estis. Eleemosyna eadem ipsas ecclesias utrasque pro laude Divina

decoranda. Omnes et singulos labores humanos supra et infra in montibus eisdem plumbifodinis in Ilkus singulis diebus Dominicis et festivis celebribus ab ecclesia et populo festivitibus tamen solennibus videlicet Paschae, Ascensionis, Pentecostis, Sanctissimae Trinitatis, Corporis Christi, Circumcisionis, Epiphaniarum Domini et omnibus Festivitatibus Beatæ Mariæ Virginis ab Ecclesia et Populo celebrari consuetis duntaxat exceptis, continuare et exercere ac eisdem laboribus insistere possitis et valeatis tenore præsentium. Indulgemus absque tamen examine minerae alias kurtowas et lotione, ejusdem in massam, quod per ignis examen reductione quorum laborem et operam, omni die Dominico et celebri ab Ecclesia et Populo dioecesis Nostræ Vobis districte prohibemus faciendam. Mandamus et committimus Honorabili Domino N. Rectori Ecclesiae Vestrae Parochialis in eadem Ilkusz et ejus Vicesgerentibus pro tempore existentibus, ut vos laborantes et ad labores hujusmodi impendentes præsentibus et futuros supradictos, præfatis diebus dominicis et festivis præter festa solennia et labores superius expressos per Nos exceptis et prohibitis, qui alio die sine damno poterint consumari laborare et laboribus insistere tollerent et in laborando non impediunt quovis modo. In cujus rei testimonium sigillum nostrum præsentibus est subappensum. Actum et datum Cracoviae, die decima quarta mensis Maji, Anno Domini millesimo quadringentesimo septuagesimo tertio. Præsentibus ibidem Venerabilibus et honorabilibus Dominis Arnolphi de Mierzyniec Decretorum Doctore Picensi, Joanne de Schelma Custode Kielcensi et ejusdem ac Sandomiriensi et Scarbimiriensi, Johanne Łochocki Culmensi Canonice, Joanne de Kand plebano in Siemonia, Joanne Borzycki et Jacobo Nicolao de Widawa, Notariis Curiae Nostræ Episcopalis et aliis quam pluribus testibus ad præmissa.

*Bulla Innocentego VIII względem jalmużn górniczych dla kościołów olkuskich z r. 1488.*

Innocentius Episcopus, Servus Servorum Dei.

Ad perpetuam rei memoriam.

Innocentius Papa VIII. Romani Pontificis consueta benignitas singulorum fidelium necessitates provida discretione ponderans, rigorem juris interdum mansuetudine temperat, præcipue dum Catholicorum Regum id exposcit devotio, et pro eorundem fidelium commoditatibus id salubriter expedire cognoscit. Hinc pro parte Carissimi in Christo filii Nostri Casimiri Poloniae Regis Illustrissimi nobis nuper exhibita petitione continebat, quod in territorio oppidi de Ilkus cracoviensis dioecesis sunt multae plumbifodinae, a quibus ut plumbum haberi possit, necesse est ut aqua continue non sine magnis laboribus extrahitur, et si contingat per unum diem ab extractione aquae et evacuatione fodinarum hujusmodi cessare, fodinae ipsae aqua adeo replentur, quod absque magnis laboribus et expensis evacuari non possunt in maximum damnum et detrimentum illorum, qui circa fodinas hujusmodi laborant. Verum si sta-

tueretur et ordinaretur quod aqua hujusmodi dominicis et aliis festivis diebus extrahi et alias in hujusmodi opere laborari posset profecto eorum, qui fodinas hujusmodi pro tempore tenerent, et in eis laborarent et etiam Reipublicae commode et utilitati non parum consuleretur. Quare pro parte praefati Casimiri Regis nobis fuit humiliter supplicatum, ut quod fodinas praedictas pro tempore tenentibus et in illis laborantibus aquam hujusmodi dominicis et aliis festivis diebus absque alicujus poenae vel clausurae ecclesiasticae incursu extrahere et alios necessarios labores perficere liceat, statuere et ordinare, ac alias super hoc opportune providere de benignitate Apostolica dignemur. Nos itaque hujusmodi supplicationibus inclinati auctoritate Apostolica, tenore praesentium statuimus et ordinamus, quod deinceps perpetuis futuris temporibus liceat dictas fodinas, pro tempore tenentibus et in illis laborantibus, aquam ex illis dominicis et illis festivis aliis diebus, praeterquam in majoribus anni solennitatibus, absquae aliquarum poenarum vel censurarum Ecclesiasticarum, tam a jure quam ab homine latorum incursu extrahere et alios necessarios labores inibi perficere. Non obstantibus Apostolicis ac in provincialibus et synodalibus conciliis editis generalibus vel specialibus constitutionibus et ordinationibus caeterisque contrariis quibuscumque. Volumus autem quod tenentes pro tempore fodinas praefatas ex lucro quod diebus dominicis et festivis hujusmodi ipsis exinde provenerit, congruam portionem circumvicinis ecclesiis et Christi pauperibus facere teneantur. Nulli ergo omnino hominum liceat hanc paginam nostrorum Statuti ordinationis et voluntatis infringere vel ei ausu temerario contraire. Si quis autem hoc attentare praesumpserit, indignationem Omnipotentis DEI ac Beatorum Petri et Pauli Apostolorum ejus se noverit incursurum. Datum Romae apud Sanctum Petrum, Anno Incarnationis Dominicae Millesimo Quadringentesimo Octuagesimo Octavo, Testio Nonarum Augusti. Pontificatus Nostri Anno Quarto.

Subscriptio SS. Pontificis, italice.

Locus sigilli.

Effigies Sti Petri et Pauli cum inscriptione hac:  
Innocentius Papa VIII.

*Wies Gozdowo w powiecie plockim, gubernii plockiej polożona,  
opisana topograficzno-historycznie.*

Wszystkiemu co los zmienia, co czas pożera,  
Człowiek tkliwém spomnieniem znikomośó odbiera.  
\* \* \*

Podając do wiadomości publicznej opis Orłowa i Murzynowa, w ziemi kujawskiej położonych siól (1), wyraziłem, iż w obowiązku zostajemy, ile możność dozwala, śledzenia starodawnych osad kraju tutej-

(1) Umieszczony jest w piśmie zbiorowém pod nazwą: *Dzwon literacki*, odd. II, T. I, str. 53—71. Warszawa, 1848, w druk. Jaworskiego.

szego, i przez opisy ich stanu dawnego i obecnego, niemniej położenia i zdarzeń historycznych nastąpionych, zachowania od całkowitego zatracenia.

Z téj zasady wychodząc, przedsięwzięję opisanie jednej z najdawniejszych osad w Mazowszu, a tą jest dziś Gozdowo, niegdy zwana Gazdawa, lub Gozdawa, prywatna i szlachecka wieś, dawniej w województwie, obecnie w powiecie płockim i gubernii téjże nazwy położona, o mil trzy odległa od Płocka.

Nazwa jęj znana jest w odległej starożytności. W czasie rządu Mazowszem przez Konrada I niezawodnie była już znakomitą osadą, z powodu dziedziczenia jęj przez jednego z panów odznaczającego się powagą, godnością, i dostojenstwem. Lubo był on zbliżony urzędem swoim do osoby panującego w Mazowszu, i przebywał z tego względu w stolicy księstwa; mimo to, wypoczynku po wrzawach wojennych, trędach i pracach dla dobra kraju podjętych w głównej swojej posiadłości Gozdowie, niezbyt odległej od Płocka szukał, i takowy znajdował wśród ozdobnej przyrody, kwiecistych łąk, okrytych zbożem bujnym niw, na łonie rodziny, przyjaciół, sąsiadów i przychylnych kmieci. Gozdowo dla Krystyna było gniazdem i ojczystym mieniem, pełną rodzinnych i młodocianych wspomnień włością.

Domek w którym się rodził, droższy mu był nad wszystkie czeze honory, tytuły i względy ziemskie! W nim przebiegł dziecinny zaranek życia: dobry ojciec i czuła matka uczyli go, jak w dalszym życiu pełnić ma obowiązki względem Boga i ludzi, jak przy niewielkim majątku, byle nie żyć nad skalę możności, i nie żyć z ucisku innych, można zostać szczęśliwym, i zjednać sobie mimo zawiści ludzi, najpiękniejsze imię cnotliwego człowieka.

Nienadaremne nauki i przestrogi były rodziców Krystyna; wiedział on, iż błogosławieństwo dawców życia jedna nam łaskę Niebios, a ta zrządziła, iż z czasem najwyższej w kraju osiągnął godności, był jego podporą, nieraz zbawcą, i przez to imię zacnego obywatela pozyskał. Lecz niestety! jakież smutny koniec życia męża tego podała nam historia. Stwierdziła ona tę nieomylną prawdę: iż nie ma nic pewnego i stałego na tém świecie.

Marne szczęście ludzkie! Trzebaż, ażeby zawsze boleść ci towarzyszyła, i aby za chwałą światową postępował zawsze smutek? Czas jest, abyśmy czytelnika obznajmili pokrótce z rysem żywota niegdy wstawionego dziedzica Gozdowa.

Krystyn urodził się w XI wieku w Gozdowie, i był potomkiem rodziny, która za herb używała *lilią białą* w polu czerwonym (1). Młodość jego, miejsce pobieranych nauk i ćwiczeń rycerskich, odległość czasu i brak rodopisma zakryły przed wiadomością późniejszych pokoleń. Roczniki krajowe wystawiają go jako znakomitego czynami

(1) Jestto familia własna polska. „A bywali to ludzie wierni zawdy panom swoim i mężni” mówi Bielski w Kronice swojej wyd. Gałęzowskiego, w Warszawie, 1829, w ks. II, str. 73.

i cnotą męża, w działaniu i wykonywaniu wszelakich poruczonych sobie spraw szczęśliwego. Za jego staraniem i radą kwitnął pokój w Mazowszu i Kujawach, dochody książęce pomnażały się, występni karani, a cnotliwi w poszanowaniu byli.

Onto był sprawcą zwycięstwa przeważnego na Romanie księciu halickim, w dniu 19 czerwca 1205 roku, pod Zawichostem otrzymanego. (1). Onto sprawował opiekę nad synami Kazimierza *Sprawiedliwego*: Leszkiem *Białym* i Konradem, których w nieletności tenże monarcha obumartł.

Z podziału krajów polskich po zejściu Kazimierza dopiero wspomnianego, młodszy z synów jego Konrad objął w rząd Mazowsze i Kujawy. Jednak i wtenczas Krystyn nie przestawał wglądać w czyny niezależne Konrada. Jako wojewoda płocki i pierwszy w Mazowszu senator, gromił początkowo na osobności, a później na zebraniu się senatu młodego księcia, by porzuciwszy złe nałogi skłonił się do cnotliwych postępów. Niecierpiał atoli Konrad zbawiennych upomnień, a nieprzyjaciele i zawistni sławy Krystyna, na czele których Jan Czaplą scholastyk płocki a kanclerz książęcy stanął; donosili skłonnemu do okrucieństwa panu temu rozmaite potwarze i obwinienia, szczególnie mniemaną wojewody ambycją do opanowania Mazowsza i zrobienia z prowincyi udzielnego dla siebie księstwa. Popędliwy Konrad kazał wojewodę w własnej jego wsi Kowalach oślepić, a potem do więzienia płockiego wtrąciwszy, nieprzekonanemu o żadną winę odebrał życie; zwłoki jego jednak przystojnie w kościele katedralnym płockim pochować dozwolił. Nie na tém atoli skończyła się zemsta jego, albowiem i niewinne potomstwo z imienia rodzicielskiego wydalone zostało. Działo się to w roku 1217 (2).

Pogromca ten Prus, Litwy, Jadźwingów i innój dziczy pogranicznej, tyle sobie sławy pozyskał, że go krajowcy *wielkim wojewodą*, a pogaństwo *bożkiem polskim* nazywali. Potęga sprawiła mu zazdrosnych i zgubę niewczesną, a ta klęskę dla kraju. Po śmierci męża tego świetny dotąd stan Mazowsza i Kujaw odmienił się, i do upadku księstwa te nachylać się zaczęły. Uwiadomieni o jego zejściu Prusacy, widząc się być uwolnieni od zwycięzcy, z najwyższą natarczywością wpadli do Mazowsza, pustosząc kraj ten ogniem i mieczem; i zburzywszy 250 kościołów i kaplic, aż ku Płockowi stolicy księstwa zagony swoje puszczali.

Teto najazdy często wznawiane dały powód Konradowi do wezwania w kraj swój Krzyżaków, dla wojowania pogan i zastąpienia od ich napaści Mazowsza i Kujaw. Czyn takowy Konrada I później stał się zarodem niezliczonych i opłakanych wypadków, jakich kraje Polski doświadczały, z usadowienia się w Prusach zakonu krzyżackiego.

(1) Zwycięstwo to otrzymane było w dzień poświęcony śś. Protazemu i Gerwazemu męczennikom, którym ówczasowy monarcha polski Leszek *Biały* ołtarz w kościele na zamku krakowskim dał wystawić i nadaniem uposażył. Tęże Kroniki str. 75.

(2) Długosz w ks. VIII Dziejów polskich, pod rokiem 1217.

Niebaczny władca nie przewidywał, iż ci, którzy kraje jego chronić od klęsk rozlicznych zobowiązali się, sami się staną ich sprawcami.

Skreśliwszy szczegóły życia Krystyna, wróćmy się do ulubionej przez niego włości.

Każdą osadę sielską w kraju, w której wznosi się kościół parafialny, za znaczniejszą uważać przystoi, i takowego odznaczenia się nie jest pozbawione Gozdowo; zgoła mienie jej dobre i zacność, odległą przeszłość oznaczają. I dziś stan jej co do porządku, gospodarstwa rolnego i przemysłowego jest zaspokajający. Widok jej przywodzi na myśl podróznego przychodnia w tutejsze okolice wspomnienia historyczne.

Sama jej nazwa dała początek herbowi *Gozdawa*, do pierwszych oznak rycerskich liczącemu się.

Herb ten, inaczej zwany *lilii białej*, jest starodawny, nadany przez Władysława Hermana żołnierzowi z Gozdawy, mężnie w kilku wojnach potykającemu się z nieprzyjacielem. Król będąc świadkiem czynów jego zaszczytnych, nadał mu herb mający oznakę: dwie lilie ku sobie końcami obrócone, w polu czerwonym; na hełmie pawie pióra.

Dziś jest Gozdowo własnością pana Floryana Tuchołki, herbu Korzbok (1). Obejmuje domów z drzewa 22, zamieszkałych od 200 osób; rozległość gruntów, łąk, pastwisk, lasu wynosi włók 60 miary nowopolskiej, a między temi samego lasu włók 15.

Grunt w ogóle urodzajny, do siewu pszenicy przydatny; młyn na wielkim stawie tuż przy wsi, nadto wiatrak, gorzelnia z aparatem Pistorysza, propinacya, zwiększają przychody tutejszej włości.

Dwór dziedzica urządzony wygodnie otacza ogród owocowy, przyjemność z pożytkiem łączący; prócz niego okalają go liczne zabudowania ekonomiczne.

Domy wiejskie dwoma rzędami stawiane tworzą piękny plac środkowy, kształtu podłużnego; zamyka go z jednej strony dworzec właściciela, z drugiej kościół. Na tymto placu przed trzydziestą latami odbywały się każdomiesięcznie jarmarki, z nadania Stanisława Augusta IV króla; przedmiotem ich była sprzedaż i kupno koni, inwentarza rogatego, narzędzi rolniczych i towarów łokciowych, dostarczanych z sąsiednich miast. Jarmarki te, dla zaszytych ogólnych w kraju urządzeń, ustały.

Niegdyś, bardzo dawno, przed kilką wiekami, zdobył Gozdowo zamek; obecnie ani śladu jego nie dostrzegamy, samo tylko miejsce w którym wznosiły się mury jego, podania z ust do ust przechodzące mieszkańców rodzinnych zachowały w pamięci, a reszty cegieł i kamieni znajdujących obficie przekonywają, iż budowa jego z materiału trwalszego nad drzewo, uskuteczniiona była. Miejsce to zajmuje przestrzeń około dwóch morgów gruntu, jest wywyższone nad otaczające go pola orne, i leży za wsią w stronie wschodniej, dziś za sadem.

Jak się daje widziéć, otaczały warownię tu wzniesioną błota niedostępne na żywych zdrojach, i obecnie szczątki tychże pozostają.

(1) Familia ta osiadła początkowo w województwie pomorskiem. Nieśięcki w dziele Korona i t. d. T. IV, str. 398.

Może zamek ów był siedzibą sławnego Krystyna, może był świadkiem szczęśliwych chwil życia jego, a w końcu fatalnego upadku?

Mógł być przez niego wystawiony, lub też tegoż nazwiska i herbu Krystyna z Gozdawy wojewody płockiego, za świadectwem Długosza godność tę w roku 1372 piastującego. Później nie znajdujemy w dziejopisach naszych żadnej wzmianki o rodzinie Krystynów Gozdawskich; bez wątpienia na tym senatorze bezpotomnie zesłym ród ten starożytny wygasał, słynny niegdy znaczeniem i historyczną sławą.

Siedlisko jego zniszczyła siła czasu, albo też wola ludzi, i zatarła wszelakie spełnione w gmachu tym sprawy i czyny. (1).

O zamku tutejszym możnaby powiedzieć, iż nie żyją ci, co go widzieli, lecz żyją, co od nich, a raczej od ich prawnuków o istnieniu jego słyszeli.

Kościół parafialny w Gozdowic w r. 1305 erygowany przez Krystyna wojewodę czerskiego, (per palatinum Czyrnensem) 15 *Calendas Augusti*, a przez Stanisława Niszczyckiego kasztelana raciańskiego, dóbr Gozdowa, a Antoniego Karskiego dóbr Rempina dziedziców wybudowany, do dawniejszych liczyć się może. (2).

Pierwiastkowy kościół spalił się, a dziś istniejący w r. 1735 wystawiony został; lecz dojść trudno przez kogo. W roku 1847 nakładem składkowym parafian wypořádzony został.

Założony pod tytułem *Wszystkich Świętych*, liczy trzy ołtarze, sycerskiej roboty. W głównym obraz patronów tegoż domu Bożego, w górze nad tymże wizerunek ś. Józefa są umieszczone, a w dwóch bocznych obrazy Przemienienia Pańskiego i ś. Michała. W dniach, w których obchodzi kościół pamiątkę świętych Pańskich, którym ołtarze są poświęcone, odprawiają się w tutejszym kościele odpusty.

Kościół sam jest płotem z kamieni ogrodzony, lecz takowy zwolna niszczeje wypadaniem głazów; cmentarz zaś do chowania zmarłych parafian o wiorstę odległy jest od tegoż domu Bożego, przy drodze prowadzącej do Sierpeca, jadąc ku wsi Kurowu. Miejsce jego oznaczone wizerunkiem Zbawiciela świata na krzyżu: znamieniem zbyt drogiem dla chrześcianina.

Do parafii tutejszej należy wsi 21, jakoto: Gozdowo, Golejowo, Koleczno Wielkie, Koleczno Małe, Zakrzewko, Czachorowo, Czarnomino Wielkie, Czarnomino Małe, Czachowko, Dziegielewo, Rycharcice Gaały, Głuchowo Grady, Głuchowo Bieroały, Kowalewo Skorupki, Kowalewo Boguszycie, Kowalewo Podborne, Lisewo Wielkie, Lisewo Małe, Rempino, Budy Rempiańskie i Rękawczyno. W roku 1848 parafia ta liczyła 1,500 dusz.

(1) Autor powieści pod tytułem: *Mściwy karzeł i Masław ks. mazowiecki*, zamieszczonej w tomie I *Pamiętnika dla poci pięknej*, w Warszawie 1830. roku wychodzącego, objawił dziwne i niestychane zdarzenie, dzikością wieków tchnące, jakoby spełnić się miane w zamku gozdawskim za czasów Masława, przywłaszczyciela Mazowsza. Jestto utwór fantastyczny, ani czynem, ani podaniem niezgodny z historią.

(2) Errekeja jego znajduje się w archiwum biskupów płockich w Puttusku.

Uposażenie probostwa obejmuje: a) Gruntu na Gozdowie wynoszącego włók trzy miary chełmińskiej, acz ten nie jest w oddzielnym wydziale, lecz łącznie z dworskimi ciągnie się plusami. b) Dziesięciny *snopowej* żyta-kop. 15 snop. 7, owsa i grochu po 30 wiezi. c) Dziesięciny złotych 145. d) Procentu od summy tynfów 2,000 na wsi Schabajewie i Zarzycu zabezpieczonej złotych 120; z tych pobiera organista złp. 20, a za resztę proboszcz obowiązany jest do odprawiania w każdym tygodniu jednej mszy ś.

Uważając w ogóle wieś Gozdowo, ta do zamożniejszych, i rozległością inne okoliczne włości przynoszących w powiecie plockim liczyć się może. Gospodarstwo rolne troskliwie prowadzone, najcelniejszą daje zaletę starożytniej téj nazwy osadzie szlacheckiej.

Położenie jój równe prawie, otwarte, przyjemne, umajone zielonością gaju liściowego i kolcowego, ożywione wodą.

Jestto krajobraz obfity w przyrodne piękności, jakie na równinach Mazowsza spostrzegać dość często możemy.

W zakresie mil dwóch, a może nieco więcej od Gozdowa, znajdujemy aż trzy osady w dawnych wiekach znane i głośne, jakoto:

I. *Niszczyce*, pograniczna wieś miastu Bielskowi, o mil dwie od Płocka odległa, niegdy gniazdo znakomitej w kraju rodziny Niszczyckich, h. *Prawdzie* (1), z których kilku godność wojewodów plockich w latach 1380, 1460, 1408, 1577 i 1708 piastowało; dziś jest w posiadaniu p. Jakóba Trzcńskiego referendarza stanu, b. kommissarza obwodu lipnowskie-

(1) Byli w bełżkim i plockim województwach osiedli Niszczyccy i składali dom starożytny w Polsce. Z tych pochodził około r. 1380 Paweł Niszczycki wojewoda i starosta plocki, dziedzic na Niszczycach, wielce się kochający w myślistwie. Za parę ogarów dwie wsie: Kopystki i Mątvice puścił w dzierżenie książętom mazowieckim. Od tego dom Niszczyckich rozrodził się. Jędrzej Niszczycki wda plocki w r. 1460; syn jego także Jędrzej, naprzód wda plocki, potem bełżki w r. 1480. Pascho Niszczycki wda plocki; tego córkę zaślubił Jan książę mazowiecki; pierścień ślubny długo był chowany w domu téj rodziny, za świadectwem Niesieckiego. Jędrzej wda plocki w r. 1517; temu żona z domu Oporowskich, h. *Sulima*, powiła pięciu synów: a) Mikołaja wdę bełżkiego i starostę; b) Bartłomieja kanclerza plockiego i kanonika gnieźnieńskiego, zmarłego w r. 1557; ten ma nagrobek w kościele katedralnym plockim, z napisem pochwalnym, wzniesiony obok kaplicy ś. Piotra; c) Jana, w młodym wieku zmarłego; d) Piotra, od króla Zygmunta Augusta wysłanego w poselstwie do Baru; był naprzód kasztelanem, później wojewodą bełżkim; e) Krzysztofa starostę przasnyskiego i ciechanowskiego. Ten ostatni trzymał się sekty aryańskiej i miał w dobrach swoich Niszczycach zbór, który Niesiecki nazywa kalwińskim. Późniejszy od niego tegoż imienia Krzysztof Niszczycki z Radzanowa, plocki i gnieźnieński kanonik, uczył się we Włoszech w Maceracie, sposobiąc się do stanu duchownego; tam wydał rozprawę: *Actiones academicae duae de religione*, z przypisem do Władysława królewicza. Inną: *Conclusio juris universalis*, tamże: *De remedio recuperandi contra vitiosum successorum* i t. d. przypisaną Szczęsnemu Kryskiemu, podkanclerzemu koronnemu, z piękną ryciną. Napisał oprócz tych mowę na powitanie Firleja biskupa plockiego r. 1618.

*Niesiecki* T. III, str. 370—371 i *Siarczyński* w Obrazie panowania Zygmunta III, we Lwowie wydany 1828 r., T. II, str. 16.

Prócz tych pisarzy jest wspomnienie historyczne W. H. *Gawareckiego*: *Rodzina Niszczyckich*, zamieszczone w *Piśmiennictwie krajowém* w dodatku *Gazety Porannej*, wychodzącej w roku 1840, w Warszawie, w odd. II, nr. 30, str. 1—3.



go. Zdobi ją pałac z muru wzniesiony przez niegdy Tomasza Trzcickiego, radcę wojewódzkiego i pośta z powiatu płockiego, z przyległym ogrodem i kanałami.

II. *Goślice*, o milę od Płocka odległa wieś, dziedziczna obecnie p. Klimkiewicza, dawniej gniazdo domu *Goślickich* h. *Grzymała*, z którego wielu mężów odznaczających się dzielnością oręża i nauką wyszło. W r. 1392 Ziemowit ks. mazowiecki niektóre przywileje nadał temu domowi; w tych wspomina Henryka Goślickiego, który wystąpił będąc z wojskiem do Prus, mężstwa swego dał dowody. Franciszek Goślicki rotmistrz wsławiony w potrzebie z Tatarami r. 1556, walcząc do tchu ostatniego, poległ. Marcin Goślicki archidyakon płocki, dla biegłości w prawie królom polskim miły, u królowej Bony, żony Zygmunta I, zasłużony. Wawrzyniec Goślicki, naprzód proboszcz krakowski, dziekan płocki, potem biskup kamieniecki, chełmski, przemyski i opat mogilski, nakoniec poznański pasterz, zakończył życie r. 1607, blisko ośmdziesiątletni starzec. Chwałą go z biegłości w naukach, w języku greckim, w astronomii i teologii. Będąc w Padwie wydał dzieło *de optimo senatore*, w Wenecyi roku 1568, a w Bazylei powtórnie 1593 wytoczone. Znowu napisał dziełko: *de optimo cive*. Prócz tych wydał *Witanie rad i stanów koronnych*, do króla Zygmunta III r. 1587 w Krakowie, w 4ce. Święcki w *Opisie starożytnej Polski*, w T. I str. 300 wyd. II nadmienia: iż dzieło *de optimo senatore* zjednało wydawcy szacunek u Zygmunta Augusta, oraz senatorskie krzesło. Dzieło to u nas mało widziane, na język angielski przełożył Adelsworth (1).

III. *Proboszczowice*, włość rządowa i parafialna, dawniej do biskupstwa płockiego, obecnie do ekonomii rządowej Brwilno należąca, dobrze zabudowana. (2).

Przy trakcie z Płocka wiodącym do Prus, w odległości półtoręj mili od tegoż miasta postrzegać się dają ogromne okopy pod wsią Proboszczowicami, najznakomitsze w tutejszych okolicach, a mianowicie w gubernii płockiej; były one utworzone na obronę Płocka przeciwko najazdom pruskim, a później krzyżackim (3).

Położenie miejsca tego jest przyjemne: równiny wieńcami wzgóreków w różnych kierunkach i odległości urozmaicone; od południowej strony wąwóz, a przy nim wznosi się okop główny, formy owalnej, którego boki mają przeszło 15 sążni wysokości. Otacza go z trzech stron głęboki przykop, a w odległości stają od wschodu, północy i w części zachodu wzmocniają wały pomniejsze, w kształcie półksiężyca zakresło-

(1) Siarczyński w przytoczonem już dziele, T. I, str. 150—152, wymienia inne pisma biskupa Goślickiego, a nadto jego życiorys.

(2) W roku 1829 liczyła dymów rolnych 16, nierolnych 5 i osadę młynarską. Ludność jej wtenczas wynosiła osób 239. W roku 1851, w miesiącu maju kościół i szpital ogniem od pioruna powstałym, spłonęły.

(3) Opisana ta warownia została przez W. H. Gawareckiego, w artykule pod nazwą: *Okopy starożytne pod wsią Proboszczowicami*, znajdującym się w T. II *Pamiętnika historycznego płockiego*, w Warszawie, w druk. rząd. 1830 r. wyszłego z druku.

ne, ze strony zaś południa ubezpieczały go błota, rzeczką płynącą wężykiem przetrnięte; dziś lubo w części są osuszone, przecież ślady ich niedostępności niegdy widoczne pozostały.

Mikołaj Goślicki, namiestnik sierpskiego wojewody i starosty plockiego, tu poraził Krzyżaków za Zygmunta I w roku 1529.

*Wincenty Hippolit Gawarecki.*

### *Emilian Jenike.*

(Wspomnienie pośmiertne).

Życie artysty, to droga zasłana cierniami, na której w ludzkiej bliskości, a rzeczywiście niezmiernie gdzieś daleko, błyszczy widziadło sławy. Jak wędrowiec pustyni za zjawiskiem *fata morgana*, tak młody zacieźnik sztuki goni za sławą, wiecznie spragniony jej świetności, wiecznie do niej wyciągając ramiona. Ale w chwili gdy mniema, że już ją ujął, i chce ją przytulić do piersi pałającej: ona, lekko jak mara, wynyka mu się z objąć, by znów z niedościgłej dali przynęcać go ku sobie. Rzadko, bardzo rzadko artyście sięgnąć u nas wolno po sławy aureolę, rzadziej jeszcze, choć ją zdobędzie, bijące z niej promienie materialnie go zagrzeją.

Ogólne te uwagi nastęrczyła mi śmierć człowieka, z którym kilkunastoletnia łączyła mię przyjaźń, a który, mimo rzetelnej zasługi, prócz pocziwego imienia i szacunku w ściślejszej sferze artystycznej, nic po sobie nie zostawił. Od wieku młodocianego nieodstępny prawie towarzyszył ś. p. Emiliana, świadek wszystkich prac jego, znałem jak na dłoni tę duszę wrażliwą, poetyczną, i lepiej może jak kto inny ocenić w nim potrafię artystę.

Emilian Jenike urodził się dnia 5 kwietnia 1815 roku w Warszawie, gdzie ojciec jego był urzędnikiem Najwyższej Izby Obrachunkowej. Odznaczający talent do muzyki weześnie bardzo w nim się rozwijał: pięcioletni chłopczyna wybierał na fortepianie posłyszane melode, a w 9. roku ułożył i napisał marsz na obchód imienin ojca. W 15. roku życia, ulegając życzeniu rodziców, poświęcił się kupiectwu; lecz wśród zatrudnień nawet obowiązkowych nie przestawał marzyć o sztuce. Po czterech latach przepędzonych w zawodzie do którego nie był stworzonym, postanowił oddać się całkiem ukochoanej muzyce. Wtenczas to bliżej go poznałem, a sympatyczne dążenie ku jednemu celowi, młodzieńcze serca nasze ściślejszą skojarzyło przyjaźnią. Jednocześnie prawie znaleźliśmy się w Berlinie, i tu, pod kierunkiem kapelmistrza Birnbach'a, ś. p. Jenike przez dwa lata kształcił się w grze fortepianowej i nauce kompozycji.

Po powrocie do kraju zajął się nauczycielstwem, nie przestając wszakże pracować i nad sztuką. Oprócz kilkunastu tańców, w przeciągu

od 1840 do 1850 r. wydał następujące dzieła: 1) Dziewięć pieśni do śpiewu, w dwóch poszytach. 2) Waryacye na temat oryginalny (ofiarowane JW. ministrowi Turkull). 3) Deux chansons sans paroles. 4) Deux pensées. 5) Marsz pogrzebowy na zgon Szopena.—Nadto zmarły pozostawił w rękopiśmie do dwudziestu, ile mi wiadomo, numerów, a mianowicie: trzy tarantelle, trzy wielkie polonezy koncertowe, sześć mazurków à la Chopin, sześć etudów, jeden marsz żałobny, kilka śpiewów i niektóre myśli ulotne.

Nie mówiąc już o części technicznej jego utworów, mianowicie niewydanych jeszcze, bo ta wszędzie dowodzi gruntownej znajomości zasad harmonii i sumiennej pracy, widać że pisał takowe nagłony wewnętrzną potrzebą, a ztąd noszą one na sobie cechę prawdy, na której właśnie zbywa wielu dzisiejszym wyrobkom pseudo-muzycznym, zalecającym się jedynie błyskotką lub igraszką. Koloryt tych kompozycji, jak koloryt wieku, jest bardziej burzliwy i huczny, niż tkliwy i łagodny; nie zbywa wszakże i na ustępach pełnych rzewności.

Gra Jenike'go, wobec przesadzonych wymagań tegoczesnego mechanizmu, nie odznaczała się wprawdzie nadzwyczajną biegłością, ale było w niej życie i natchnienie. To też pierwsze jego publiczne wystąpienie w Warszawie, na koncercie wiolonczellisty Nowaczka, d. 27 listopada 1841 r. zasłużone zjednało mu oklaski. W latach 1843 i 1844 robił wycieczki artystyczne po kraju, dając się słyszeć w Łomży, Płocku, Włocławku, Kutnie, Kaliszu, Radomiu, i Busku; o czém pisma warszawskie nader pochlebnie w swoim czasie uczyniły wzmiankę. Tę jesienią jeszcze nieboszczyk zamierzał ze znanym u nas skrzypkiem p. Szletyńskim udać się w podróż za granicę, i tylko śmierć niespodziana przeszkodziła wykonaniu tego planu.

Umarł ś. p. Emilian dnia 25 sierpnia r. b., zawczasie dla pozostałej rodziny, zawczasie i dla sztuki, której gorliwym był piastunem. Nie jeden jeszcze owoc zdrowy i posilny mógł dojrzeć w tak krzepkim umyśle; ale i skromna już dzieł wiązanka, jaką nas obdarzył Emilian Jenike, stawia go w szeregu zasłużonych muzyków krajowych.

O. K.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

121. Lesława Łukaszewicza Rys dziejów piśmiennictwa polskiego, przejrzał i uzupełnił D. K. Wydanie trzecie. 8ka. Kraków. 1848. W drukarni uniwersyteckiej. Str. 210 i XI. Kop. 90.

1849.

95. Ezopa Bajki zastosowane dla młodzieży i nauką moralną wierszem objaśnione; po niemiecku i po polsku, przez J. A. K. Lwów. 1849. U Edwarda Winiarza. Str. 135.

96. Święty Izydor Oracz. Podarek dla szkółek ludu naszego, przez X. Karola Antoniewicza. 12ka. Leszno. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. 1849. Str. 58. Kop. 15.

97. Wykład nauk dla ludu staraniem Wydziału rozpowszechnienia oświaty Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego. I. Zjawiska napowietrzne. 12ka. Kraków. 1849. W drukarni uniwersytetu. Str. 135. Kop. 20.

98. Żywoty świętych polskich przez X. Karola Antoniewicza. (Na drugiej karcie) Wspomnienie pierwsze o świętej Kunegundzie. Z godłem:

I rozkorzeniłam się w zacnym narodzie.....

16ka. Gniezno i Leszno. 1849. Nakładem i drukiem E. Günthera. Str. X. i 20. (Z ryciną).

1850.

111. Bajki i powiastki dla dzieci, z cenniejszych bajko-pisarzy polskich wybrane. 16ka. Leszno. 1850. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. Kart 2 i str. 115. Kop. 45.

112. Dzieci wdowy. Powieść moralna dla dojrzałej młodzieży, z niemieckiego na polski język przełożona. 18ka. Gniezno. 1850. Nakładem i drukiem J. B. Langiego. Str. III i 100. Kop. 30.

113. Kalwarya Zebrzydowska i jej okolice pod względem dziejowym i archeologicznym, napisał Józef Łepkowski. 8ka. Kraków. 1850. W wydawnictwie dzieł katolickich. Str. 111.

114. Wojna Chocimska. Poemat bohaterki w dziesięciu częściach przez Andrzeja Lipskiego podwojewodzica sandeckiego, podczaszego chełmskiego. Z rękopismu współczesnego wydał Stanisław Przyłęcki. Z trzema portr. (J. K. Chodkiewicza, Stan. Lubomirskiego i Jakóba Sobieskiego), tudzież z dwoma drzew. i podobizną. 8ka. Lwów. 1850. (Nakład ks. H. Lubomirskiego) Druk zakładu nar. Ossolińskich. Str. XXXV i 427. Rsr. 2.

1851.

138. Książka do nabożeństwa katolickiego, zebrał W. W. 12ka. Kraków. 1851. Str. 261.

139. Nauka chrześcijańska obejmująca wykład prawd religijnych w dokładnym katechizmie, z załączeniem wypisów biblijnych, w pytaniach i odpowiedziach, z niemieckiego na język polski przełożona. Gdańsk. 1851. U księgarza Kabusa. Str. 14.

140. Sześć tygodni na Wschodzie. Podróż do Carogrodu, odbyta w roku 1846, i opisana przez ks. Antoniego Waśniewskiego. Na korzyść zakładu małego Seminarjum. Ska. Kraków. 1851. Za staraniem wydawnictwa dzieł katolickich, druk J. Czecha. Str. 286.

141. Prelekye o filologii klassycznej i jej encyklopedyi miane w półroczu letniem r. 1851 przez A. Małeckiego Doktora Filoz. Profes. Uniw. Jagiellońskiego, Czł. Tow. Nauk. Krak. Ska. Kraków. 1851. W drukarni uniwersyteckiej. Kart napis. 2 i str. 252. Rejestru kart 1. (Wydanie Tow. Nauk. Krak.).

142. Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850, przez Kazimierza hr. Wodzickiego. Ska. Leszno. 1851. Druk E. Günthera. Str. 100.

## 1852.

128. Bnkoliki Wirgiliusza wierszem miarowym przetłumaczył Marcelli Motty. Ska. Poznań. 1852. U J. K. Żupańskiego, druk Pawickiego i Gube. Kart 2 i str. 22. Kop. 30.

129. Chrześcijanin w obec Boga. Książka do nabożeństwa przez księdza Jana Bogdana. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Strąbskiego. Napisów kart 2, str. VI i 256. Rejestru kart 2. Rsr. 1.

130. Ćwiczenia rozumu i mowy czyli katechizacye. Przewodnik dla nauczycieli, guwernerów, rodziców, bon, zgoła dla wszystkich którzy się szczerze zajmują kształceniem młodego pokolenia, napisał nauczyciel przy szkole katolickiej w Gnieźnie. Gniezno. 1852. U Langiego. Str. 81.

131. Duch Świętego Wincentego. Z francuzkiego dzieła ks. Ansarta przełożone. Leszno. 1852. Nakładem i drukiem E. Günthera. Str. 254.

132. Dziejowa wiadomość o cudownym obrazie Przemienienia Pańskiego, w kościele Farnym w Nowym Sączu, z duchownym nabożeństwem tegoż. Nowy Sącz. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Pizsa. Str. 69.

133. Katolickie nabożeństwo na wszystkie niedziele, święta uroczyste i kościelne, oraz modlitwy po większej części z pisma świętego i Ojców Kościoła wyjęte, na większą chwałę Boga i dla dogodności wiernych zebrał Józef Łubieński. (Z godłem)

Poddanie się woli Boskiej. Tego pragnę, co Bóg każe ...

Część pierwsza domowa. 16ka. Warszawa. 1852. W księgarni H. Natanson, druk Ungra. Kart napis 2 i str. 490. Rejestru str. XIV. Część druga kościelna, kart 2, str. 369 i rejestru str. IX.

134. Książka kobiety chrześcianki, przez księdza Fryderyka Edwarda Chassay, professora teologii przy wielkiem seminarjum w Bayeux. Przekład z francuzkiego. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład G. L. Glücksberga, druk Ungra. Str. 332 (do str. XI znaczone liezb. rzym.). Rsr. 1 k. 35.

135. Nauka moralna obyczajowa dla ludu wiejskiego, przez A. C. K. nauczyciela szkoły wiejskiej. Kraków. 1852. W wydawnictwie dzieł katolickich. Str. 37.

136. Tadzysz Bezimienny. Powieść Józefa Korzeniowskiego. 12ka. 3 tomy. Petersburg. 1852. Nakładem B. M. Wolffa, druk Wienhöbera. Tom I str. 174. II 187. III 205. Rsr. 3.

137. Wielki Pan. Powiastka. Napisał Włodzimierz Wolski. 16ka. Warszawa. 1852. W komisie u Ig. Klukowskiego, druk Strąbskiego. Napisów i przypis. kart 2, i str. 93. Kop. 75.

138. Zamek Grantley. Powieść napisana przez Lady Georginę Fullerton. 16ka. 2 tomy. Warszawa. 1852. Nakład H. Natanson, druk Ungra. Tom I, str. 228, II, 222. W każdym nap. kart 2. Rsr. 1 k. 50.

139. Zasady geometryi napisane przez Józefa Mazurkowskiego. Kaud. filozof. Cesarskiego St. Petersburg. uniw., naucz. mat. w gim. real. warsz. Część I. Planimetrya (Epipedometrya). 12ka. Warszawa. 1852. Nakład autora, druk Ungra. Kart. napis. 2 i str. 309. (Z 8 tabl.). Rsr. 1.

### 1853.

1. Dzieje Polski, które stryj synowcom swoim opowiedział, przez J. L. Powiększone dodatkami oraz rysem historyi literatury polskiej, przez L. R. Z 12stu mapkami i tablicami genealogicznymi. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów i wstępu kart 8 i str. 531. Rejestru str. V. Rsr. 2 k. 25.

2. Komedyje Alexandra hr. Fredra. 5 tomów. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 344. II, 331. III, 335. IV, 434. V, 336. W każdym napisów kart 2 i rejestru karta 1. Rsr. 6 k. 75.

3. Prozerpina czyli historia o stu trzydziestu kobietach (.) Najnowsza powieść Leona Gozlan, przełożona z francuzkiego przez W. (acława) S. (zymanowskiego). 12ka. Warszawa. 1853. Nakładem F. Blumenthal, druk Ungra. Kart 2 i str. 179. (Oddruk z Dziennika Warszawskiego, gdzie była wydrukowaną pod tyt. Niagara). Kop. 75.

4. Zamek Krakowski. Romans historyczny z wieku XVI przez autora Listopada. Z godłem:

Et dulce moriens meminiscitur Argos.  
*Virgilius.*

Wydanie drugie poprawne. 12ka. 2 tomy. Petersburg. 1853. Nakładem B. M. Wolffa, druk Pratz. Tom I str. 276, II 307. W każdym napisów kart 2. (Z wizerunkiem Stefana Batoiego i Jana Zamojskiego). Rsr. 3 kop. 30.



### Doniesienia literackie.

#### WARSZAWA.

— J. Korzeniowski pisze powieść p. n. „Garbaty”.

— Zygmunt Kaczkowski autor znanej powiastki „Bitwa o Chorażankę”, którego zbiór powieści wydaje obecnie B. M. Wolff w Petersburgu, drukuje powieść dwutomową w Gazecie Warszawskiej p. n.: Murdelio.

— Seweryn Gołębiowski ukończył ważną dla dziejów naszych pracę. Jestto w obszernych ramach życiorys Stanisława Żółkiewskiego. Obecnie pracuje nad życiorysem Jana Zamojskiego. Do obu prac używał wiele źródeł nieznanych, głównie w rękopismach, które obiedwie te znakomite postaci historyczne w innem świetle przedstawia.

— Wyszedł trzeci zeszyt oddziału „nauk przyrodzonych i lekarskich” Rocznika Towarzystwa Naukowego krakowskiego, zawierający w sobie: Dra Majera rzecz o zębie jeżowca, jako przyczynek do histologii zębów; prof. Dietla o chininie pod względem fizyologicznym i terapeutycznym; prof. Bierkowskiego o główniejszych, na samém doświadczeniu opartych sposobach leczenia wrzodów; Dra Szokalskiego: o leczeniu złamań obojczyka przez podparcie ramienia; prof. Kwaśniewskiego: o sztuczném beczuciu u rodzących; Spostrzeżenia meteorologiczne od kwietnia do końca r. 1851; dwie tablice litografowane objaśniające szczegóły histologiczne zęba jeżowca i osady chininy w moczu. Zeszyt ten uzupełnia piérwszy tom oddziału nauk przyrodzonych i lekarskich, a XXI ogólnego zbioru Rocznika.

— Nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu drukują się: „Zuamienici mężowie polscy XVII i XVIII wieku” we trzech tomach, Juliana Bartoszewicza. Tegoż nakładem wyjdzie powieść J. I. Kraszewskiego „Dziwadła”, której tylko początkową część czytaliśmy z takim zajęciem w Tygodniku Petersburskim.

— Henryk hr. Rzewuski pisze nową powieść p. n. „Zaporożec”. Ma być drukowaną w Dzienniku Warszawskim.

— Komedia J. Korzeniowskiego p. n. „Wąsy i Peruka” przedstawiana kilkakrotnie na teatrze krakowskim, już jest wydrukowaną w Wilnie nakładem i drukiem J. Zawadzkiego.

B. M. Wolff ogłosił w Petersburgu prenumeratę na drugie nowe wydanie dzieła: Pielgrzymka do ziemi świętej p. ks. Ignacego Hołowińskiego arcybiskupa mohylewskiego, metropolitę wszech rzymsko-katolickich kościołów w cesarstwie rosyjskiem. Dzieło to wydaném będzie poszytami. Tenże księgarz ogłosił, iż wyda w ciągu r. b. następne dzieła: S. G. Podróż do Karpat. T. I.—Mętlewicza kazania 2 tomy.—Pamiętniki Jerlicza, wydane p. K. Wł. Wojcickiego 2 tomy.—Libelta „Estetyka” część ogólna, wydanie drugie. Część szczególna: „Piękno natury”.—Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego kazania wydane staraniem ks. arcybiskupa Hołowińskiego—A. Tyszyńskiego: Rozbiory i krytyki 3 tomy—Triplina wydanie drugie w 4 tomach.—J. Kraszewskiego: Interesa familijne, 4 tomy. Komedyanci tom 3 i 4. Dziwadła 2 tomy.—Korzeniowskiego dramata. Serya Ilcia 2 tomy.—Wicherskiego „Nowy harpagon” komedia w 1 tom. Wiszniewskiego Michała: Piérwsze początki Logiki 1 tom.—Zygmunta Kaczkowskiego: Ostatni z Nieczujów, 2 tomy.

— Katalog biskupów i kanoników krakowskich, w 4 tomach, ks. biskupa Łętowskiego znacznie postąpił w druku: tom 1 już jest zupełnie ukończony. — Professor i bibliotekarz akademii krakowskiej J. Muczowski pracuje nad ustępem z dziejów Krakowa, przedstawiającym w szczególności historią oblężenia miasta przez Szwedów w r. 1655. Wiele współczesnych rękopismów miejscowych i innych, pomiędzy nimi „Dyaryusz obsydycy zamku i miasta Krakowa” spisany przez ważnego w tój katastrofie świadka ks. Szymona Starowolskiego, dostarczyło mu bardzo ważnych i zajmujących szczegółów.

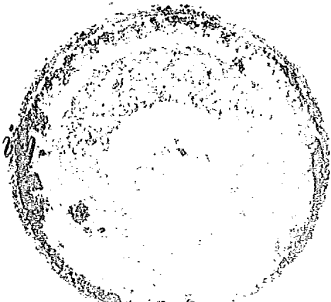
— Przekładów poetów polsko-łacińskich Władysława Syrokomli wyszły 6ty tomik zamyka seryą piérwszą. Zawiera dodatki i uzupełnienia do poprzednich: I. Pienia liryczne Mikołaja Smoguleckiego na cześć Zy-

gmunta III (przekład wierszem). II. Korrespondencya Sarbiewskiego ze Stanisławem Łubieńskim biskupem płockim (przekład): ważny materiał do życiorysu Sarbiewskiego. III. Roxolania, poemat Sebastyana Klonowicza w oryginale łacińskim, z edycji Jędrzeja Piotrkowczyka 1584 r. (z łacińską przemową Mikołaja Malinowskiego), który tłumacz tak dla porównania ze swym przekładem, jako też dla zachowania tego rzadkiego pomnika, wydrukował. IV. Zamknięcie pierwszej seryi Przekładów poetów polsko-łacińskich. Tu p. Syrokomla objaśniając, iż z powodu ważnych prac nowych zmuszony przerwać do czasu swoje przekłady, w drugiej seryi zapowiada danie nam przekładów poetów: Dantyszka, Krzyckiego, Szymona Szymonowicza, Andrzeja Zbylitowskiego, Joachima Bielskiego, i nie bez talentu naśladowcę Sarbiewskiego Wojciecha Inez Jezuitę. „Brnąć głębiej (mówi w końcu szanowny tłumacz) w epokę jezuicką łacińską XVII i XVIII wieku, gdzie igraszka słów uchodziła za poezyą, gdzie mniej więcej kunsztowna dykcya zastępowała talent, gdzie nie smaku nie wykształci, serca nie poruszy; brnąć w tę epokę nie mamy zamiaru. Żywotniejsza chwila polsko-łacińskiej poezyi da nam aż nadto materiałów do pracy.”

— Od kilkunastu miesięcy ogłasza Gazeta Lwowska w swoim dodatku tygodniowym starożytne dokumenta, dotyczące się największej części miast i miasteczek Galicyi, a umieszczane tam przez p. Fr. Wolańskiego. Nieocenioną tedy korzyść przynosi Dodatek tygodniowy, podając badaczom możliwość poznania coraz większej ilości tych szacownych zabytków dawnego prawa, zwłaszcza dla historii tej prowincyi, która nie ma żadnego osobnego zbioru dyplomatycznego. P. Franciszek Morawski zadaje sobie jeszcze pracę tłumaczenia tych dokumentów na język polski, które umieszczone jest obok tekstu łacińskiego. Dotąd przechodzą liczbę 40, a sięgają od pierwszych lat XIII wieku, aż do XVIII wieku. Mianowicie do wieku XIII odnoszą się trzy dokumenta, do XIV 10, do XV 18, do XVI 10, do dalszych reszta. Żałować tylko należy, że przy tej sposobności redakcya Gazety nie formuje osobnego tomu tych dokumentów, co bardzo łatwo i małym nakładem można było skutecznie, a przez to przystępniejszemi uczynić ogółowi.

— P. Julian Korsak pracuje obecnie nad olbrzymim dziełem, bo nad przekładem całej „Boskiej Komedyi” Danta. Zaczął tłumaczenie nie z oryginału, lecz z niemieckiego przekładu. W ciągu atoli pracy, tak się do niej przywiązał, że już od połowy Czysta był w stanie tłumaczyć resztę z włoskiego języka. A nie przestając na tém, skończywszy ostatnią pieśń „Raju” t. j. całe dzieło, wrócił do samego początku, do właściwego włoskiego „Piekle” i pierwszej połowy „Czysta”, i wytłumaczył wszystko na nowo z oryginalnego tekstu.

— Professor uniwersytetu petersburskiego Antoni Czajkowski wypracował „Dzieje prawa polskiego”. Dzieło to już jest zupełnie skończone. Zwłokę w wydaniu jego sprawiają jedynie potrzebne jeszcze poprawki i uzupełnienia, do jakich skłania autor ciągłe pojawianie się nowych źródeł i materiałów do historii dawnego prawodawstwa polskiego.





**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIÉM.**

***Wrzesień, 1852.***

Wrzesień 1852.

Dostrzeżenia w Obserwator

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza  
czyli w łuku  $18^{\circ}41'25''5$  na ws

Dnia	Odmiany Księżycyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 <sup>o</sup>				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				cz. Sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano.	god. wiec.	god. wiec.	
1		749.95	750.37	750.50	752.40	+15 <sup>o</sup> .9	+21 <sup>o</sup> .8	+21 <sup>o</sup> .9	+16 <sup>o</sup> .3	77.
2		754.24	755.76	756.42	757.24	15.5	17.5	18.7	15.2	93.
3		758.12	758.27	757.36	757.64	13.1	18.6	21.8	15.2	68.
4		757.16	756.56	756.24	756.60	12.9	19.4	21.6	14.6	72.
5		756.98	756.88	755.54	755.94	12.9	19.0	21.0	13.7	61.
6	☾	755.76	755.96	755.12	755.64	11.4	18.5	21.0	14.2	58.
7		756.18	756.54	755.90	756.23	11.6	18.6	20.0	13.9	58.
8		756.39	756.69	755.90	756.41	9.7	17.7	20.8	15.4	63.
9		757.06	757.35	755.49	755.39	10.0	18.5	21.2	13.5	66.
10		754.20	753.72	750.80	749.10	9.7	17.7	22.3	13.9	66.
11		745.16	743.94	740.50	739.83	11.8	19.3	21.7	13.4	73.
12		738.72	739.67	738.71	740.11	12.5	15.0	13.0	11.0	79.
13		742.21	743.34	744.88	745.01	7.9	12.7	13.9	10.1	71.
14	☉	744.90	746.24	746.28	747.84	10.6	13.3	14.7	6.5	69.
15		748.49	749.58	748.14	748.03	5.2	12.8	16.5	9.3	72.
16		744.58	742.73	742.07	741.08	9.1	16.9	13.2	11.8	80.
17		742.71	743.93	743.45	744.74	10.3	13.9	16.0	10.2	72.
18		745.53	747.09	747.44	748.15	7.2	10.4	14.0	8.5	81.
19		744.73	741.70	739.05	739.86	3.9	12.3	16.4	15.7	83.
20	☾	741.59	745.45	748.56	750.52	14.9	12.4	14.7	8.3	78.
21		750.12	750.42	748.62	747.95	9.9	14.9	20.9	15.4	78.
22		749.45	750.46	752.27	754.71	11.6	14.2	12.9	6.9	69.
23		758.30	759.99	760.46	761.76	6.3	10.1	12.5	5.7	68.
24		762.34	762.83	762.17	762.69	5.5	12.1	16.7	10.4	76.
25		762.65	763.31	760.86	759.66	8.1	13.7	14.9	8.7	84.
26		756.60	755.61	752.37	750.72	5.4	13.9	18.4	13.9	75.
27		749.07	749.27	748.56	749.96	12.0	16.8	18.3	12.0	76.
28	☺	750.32	751.09	749.38	749.11	6.3	13.3	16.4	9.5	80.
29		746.50	746.45	744.66	743.17	10.9	16.8	18.8	15.9	75.
30		741.78	744.39	745.18	745.88	16.3	16.1	18.3	11.2	65.
Sre.		750.726	751.186	750.429	750.779	+10 <sup>o</sup> .28	+15 <sup>o</sup> .61	+17 <sup>o</sup> .75	+12 <sup>o</sup> .01	73.3



	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.782	27	8.818
Najwyżej dochodził — d. 25 o g. 10 r.	763.31	28	2.372
Najniżej — — d. 12 o g. 4. w	738.71	27	3.466
Średnia zmiana dzienna barometru	3.225		1.430
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 w.	10.66		4.726
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.146		0.065
Średnia temperatura września wynosi:	750.928	27	8.883
i ta jest wyższą o	+ 13 <sup>o</sup> .91 C.	+ 11 <sup>o</sup> .128 R.	
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	0.22 „	0.176 „	
Największe ciepło dochodziło d. 10 o godz. 4 wiecz.	+ 13.69 „	10.952 „	
Najmniejsza temperatura była d. 19 o godz. 6 rano	22.3 „	17.84 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.9 „	3.12 „	
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 19—20 o g. 6 r.	2.4625 „	1.970 „	
Termometrograf wskazał:	11.0 „	8.80 „	

Maximum: +22<sup>o</sup>.6 R. d. 1 po połud.

Minimum: +2<sup>o</sup>.7 „ d. 19 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 32,4 milim. czyli 15,36 lin. par.; ilość ta jest mniejszą o 5,74 lin. par. od ilości jaka zwykle u nas we wrześniu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8,94 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,06 od normalnej.

Dni pogodnych było 11, napół pogodnych 7, pochmurnych 12.

— deszczu 11 (d. 1, 2, 11, 12, 13, 16, 17, 19, 20, 21, 22).

— gradu 2 (d. 1, 12).

— grzmotów 3 (d. 1, 11, 21).

— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 1, 11, 21).

— mgły 2 (d. 2, 28).

Wichrów 3 (2 Z., 1 Pd.).

Wiatrów mocnych 11 (7 Z., 3 Pd., 1 Pn.).

Wiatr panujący: Zachodni, częste były Południowo-Wschodnie.

Wrzesień r. b. był pogodny i suchy. Pierwsze jedenaste dni przy wietrze południowo-wschodnim były ciepłe, następne siedemnaście osobliwie z rana, przy wietrze zachodnim chłodne; dwa dni ostatnie znacznie ciepłe, w ogóle miesiąc ten był o 0.18 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11. Najchłodniejsze: d. 13, 14, 15, 18, 22, 23, 24, 25, 28. Stan powietrza w tym miesiącu był bardzo suchy, wilgotność średnia jest o 6 setnych mniejsza niż zwykle. Wody z deszczu spadło o trzecią część mniej, niż w stanie normalnym. Elektryczność atmosferyczna w ciągu całego miesiąca, osobliwie w dniach 1, 2, 3, 9, 10, 19, 20, 21 była znaczna.

Dnia 7, 24, pokazywały się plamy na słońcu.

# DANTE ALIGHIERI.

## I.

### EPOKA DANTEGO.

Rok 1300 był rokiem odpustnym dla całego chrześcijaństwa. Papiież Bonifacy VIII ogłosił wówczas pierwszy wielki jubileusz w Rzymie, i całe chrześcijaństwo usłuchało wezwania. Zupelne odpuszczenie grzechów zapowiedziane było każdemu pobożnemu pielgrzymowi, który po spowiedzi i ze szczerą skruchą zwiedzać będzie przez dni trzydzieści kościoły św. Piotra i św. Pawła. W przeciągu całego roku był nieustanny ze wszystkich krańców ziemi przyływ i odpływ pobożnych pielgrzymów w stolicy apostolskiej, a liczba ich wynosiła do 200,000. Ani domy, ani kościoły nie wystarczały dla schronienia przybyszów; wielka ich część zajęła ulice i publiczne place, i szukała mieszkania pod namiotami świeżo i naprędce rozłożonemi, lub pod tym namiotem, który Bóg od wieków nad ludźmi roztoczył: — pod niebem, pięknym niebem rzymskim. Uroczystość i wspaniałość tego święta, według świadectwa naocznego widza, była nad wszelkie opisy. W tym zgietku tylu narodów (turba gentium), tylu języków, w tej stolicy tak przepelnionej ludnością, że nieraz żywności zabrakło i głód w groźnej stawał postaci: nie było sporu, nie słyszano o żadnej kłótni — pokój boży rozlany był na wszystkich. Wszystkie świątynie Pańskie były pełne śpiewów i kadzidel. A najwyższy wieszcz chrześcijaństwa, gdy wybiegłszy myślą za świata krańdziej stanął w duchu przed Matki Boskiej obliczem: porównywał swoje uczucie nadludzkiego podziwu i nadziemskiego uwielbienia w owiej chwili, z uczuciem, które w pielgrzymie z dalekich

stron przybyłym „w przychodniu może z Kroacyi” obudzała twarz Chrystusa Pana na chustce świętej Weroniki, którą właśnie przez ciąg jubileuszu w Rzymie pokazywano pobożnym (1)!

W tłumie tych pielgrzymów było dwóch ludzi, którzy mieli uświetnić wspólną swą ojczyznę, Florencyą, najwyższą chwałą poezyi i historyi: Dante Alighieri i Giovanni Villani. Przyczyny, przemawiające za pobytem wieszczki Boskiej Komedyi podczas jubileuszu w Rzymie, poznamy później; Villani świadczy to sam o sobie, i jego właśnie słowa służyły tu w części do opisu owego roku. Później też poznamy, jaki zaród w wielkim jubileuszu leżał dla Boskiej Komedyi; poznamy, że owa wspaniała uroczystość całego chrześcijaństwa objawiła florenckiemu wieszczowi prawdziwą formę do nieśmiertelnego jego dzieła. O bezpośrednim zaś wpływie jubileuszu na powstanie sławnej historyi florenckiej, świadczy znowu sam Villani:

„Znajdując się, powiada on (2), podczas téj błogiej pielgrzymki w świętej stolicy; widząc wielkie i starożytne pamiątki, które w sobie zamyka i czytając wielkich jéj dziejopisarzy...: pozyczyłem od nich formy i stylu, aczkolwiek niegodny ich uczeń. Widząc wszakże, że Florencya, ojczyzna moja i córka Rzymu, jest w ciągłym wzroście, gdy tymczasem *Rzym ma się ku upadkowi*: umyśliłem zebrać wszystko to, co się tyczy dziejów i początków mego miasta, i, o ile będzie w moich siłach, dać obraz przeszłych, obecnych i przyszłych wypadków.”

Jedno słowo uderza i zadziwia w tym ustępie Villaniego, tak pełnym prostoty i trzeźwości; słowo: *upadek Rzymu*. Zdawałoby się, że jeśli kiedy, to wtenczas ten krzyk złowieszczy nie powinien się był wyrwać z ludzkiej piersi; że najmniej w owéj chwili, gdy stolica chrześcijaństwa tak wielkim i niebyłym otoczyła się blaskiem, nie powinna była powstać myśl o jéj upadku.

- (1) Quale é colui, che forse di Croazia  
 Vene a veder la Veronica nostra,  
 Che per l'antica fama non si sazia,  
 Ma dice nel pensier, fu che si mostra,  
 Signor mio Giesù Christo Dio verace,  
 Or fu si fatta la sembianza vostra?  
 Tale era io....

Paradiso. XXXI. 103.

cf. Villani Stor. Florenz. apud Muratori ad ann. 1300. Biblioth. Max. Patrum XXV, 936: De Jubilaeo—Raynald. Ann. Eccles. s. a.

- (2) Villani, ubi supra.

Gdy po długim tułactwie arka przymierza znalazła wreszcie stałe schronienie i godne siebie miejsce spoczynku; gdy ów król mędrzec skończył budowę tego świętego gmachu, który miał być podziwem dla całego świata, a świątynią dla jedynego Boga: w jakież on słowa uświęcił swoje dzieło, o jakież dłań łaski błagał Najwyższego, jakieżo sobie ideał marzył w duchu dla Pańskiego przybytku?...

„Gdyby téż—błagał Salomon (1)—zgrzeszyli przeciwko Tobie, bo nie ma człowieka, któryby nie zgrzeszył, a upamiętaliby się w sercu swoim, a przepraszaliby Cię, mówiąc: zgrzeszyliśmy i złeśmy uczynili, nie pobożnieśmy się sprawowali; a tak nawróciliby się do Ciebie z całego serca swego, i z całej duszy swój, a modliliby się obróciwszy się ku miastu, któreś obrął, i ku domowi, którym zbudował imieniowi Twemu . . . . wysłuchajże tedy z nieba, z miejsca mieszkania Twego, modlitwę ich i prośbę ich, a wykonaj sąd ich. Nadto i cudzoziemiec, który nie jest z ludu Twego izraelskiego, przyjdzie i z ziemi dalekiej dla imienia Twego, a będzie się modlił w tym domu . . . Ty wysłuchaj z Nieba, z miejsca mieszkania Twego, a uczynь wszystko, o co zawoła do Ciebie on cudzoziemiec”....

Nie w starym zakonie, ale w nowym, nie w Izraelu, ale w chrześcijaństwie, nie w Jerozolimie, ale w Rzymie, nie w 1004 przed Chrystusem, ale w 1300 roku po narodzeniu Zbawiciela miały się ziścić prorocze błagania owego izraelskiego króla. Bo kogóż, co przytoczone słowa Salomona porówna z opisem pierwszego chrześcijańskiego jubileuszu, nie uderzy ta myśl, że owe słowo stało się teraz ciałem, owa prośba teraz spełnieniem; że się teraz powtórzyła, ale w daleko szerszym kole, w nieskończonym kole całego chrześcijaństwa, ta wielka uroczystość, do której syn Dawidów wezwał cały lud Izraela, w myśli, w duchu i w hymnie, w téj mądrości, jak mówi Dante (2) „w której tyle widziéć nie było daném drugiemu”, wszystkie świata ludy? I w onéjto właśnie chwili, gdy Rzym stał się prawdziwém i widomém miastem chrześcijaństwa, gdy codzien doń 200,000 ludzi z różnych stron przybywało świata, by tu szukać najwyższego szczęścia co nas czeka na ziemi, a już nadziemskiego szczęścia jest przecuciem; by tu szukać oczyszczenia serca i ducha:

(1) Regum III, Cap. 8, r. 41—3. 46—9.

(2) A veder tanto non surse'l secondo.

Parad. X, 114.

i w onéjto chwili mógł ktoś wróżyć, mógł pomyśleć o tego Rzymu upadku! I przy téjto Wieczery Pańskiej wszystkich wiernych mogła tajemnicza ręka historyka napisać straszne: *Mene tekell*....

Za starożytnych jak za średniowiecznych czasów, za pogaństwa jak za chrześcijaństwa, za Scypiona jak za Wirgilego, za Karola Wielkiego jak i za Dantego, tajemnicza Roma miała dwa znaczenia: znaczyła miasto i świat, *urbs* i *orbis*. Bo w wiekach średnich nietylko papież był rzymski, rzymskim był i cesarz; rzymskiem było nietylko chrześcijaństwo, rzymskiem było i imperyum. Rzymem był cały czas: i upadekto i koniec średniowiecznego czasu rozumiał Villani pod upadkiem Rzymu.

Rok 1300 jest ostatnim rokiem prawdziwych średnich wieków. W tém XIIItém stuleciu skończoną została ta wielka gocka budowa, a odtąd następuje epoka jój rozkładu i rozpadu. Odtąd wszystko się przekształca i przetwarza: nowe prace, nowe myśli i nowe cele powstają dla ludzkości; nowe formy objawiają się w dziedzinie polityki, społeczeństwa, wiedzy i sztuki, aż narreszcie w XVI wieku wszystko się stanie....nie we wszystkiem lepszym, ale we wszystkiem inném.

Na samym końcu XIII i na samym początku XIV wieku okazują się głównejsze objawy tego wielkiego przesilenia, i każdy ważniejszy wypadek zdaje się być ostatniem wydzwiczaniem jednéj po drugiéj myśli, które konającą teraz epokę niegdyś ożywiały. Budowa napozór stoi jeszcze cało i sztucznie się utrzyma przez dwa wieki; ale prąd nowych czasów już teraz zaczyna nurtować jój podstawy, i jeden jój węgielny kamień po drugim wyrzywa.

Była sprawa, była *potrzeba*, jak pięknie się wyrażali niegdyś nasi przodkowie, która wyobrażała najwyższe zadanie, najświetniejsze dzieło wieków średnich:—wojny krzyżowe. Dotąd jeszcze czas ów i czyn ów mają w naszej pamięci to samo znaczenie, są ściśle z sobą złączone w naszej wyobraźni. I nie inaczej je uważał poetyczny duch dawnych pokoleń. Około wojen krzyżowych kupiała fantazya ludowa wszystkie wielkie dzieła i wszystkie wielkie figury minionych czasów; i krzyżowcami w poezyi średniowiecznej byli nietylko Godfryd i Tankred, ale Karol Wielki i Roland, Alexander i rycerze Arthusa. Walka o grób święty była Iliadą chrześcijaństwa, a pielgrzymka do Jerozolimy „królewską drogą” żywota. Lecz jakaż różnica już była między pierwszą wojną a drugą; jak różni już byli ci, których ś. Bernard



sztucznie elektryzował od tych prostaczków w duchu, którzy idąc za biédnym Piotrem przy każdym zamku i przy każdej mieścinie pytali dobrodusznie: czy-to Jeruzalem? I jaki téż inny skutek był téj wyprawy od tamtéj! Odtąd ruch ten cały coraz bardziej tracił na zapale, natchnieniu i powadze; polityka książąt zastąpiła czysty popęd ludów, awanturniczość błędnych rycerzy, cudotworną prostotę męczenników. Nie o groby, lecz o państwo już chodziło; nie korony niebieskiej, ale ziemskiej szukano, i Wschód brał górę przed Zachodem, krzyż ustępował przed znakiem księżyca. Roku wreszcie 1291, dziewięć lat przed owym jubileuszem, zdobycie Akry położyło koniec panowaniu chrześcian w ziemi świętej. Próżne były wołania papieżów, nadaremne obietnice królów: „nikt nie poszedł odzyskać Akry”; „nikt się nie uniósł myślą do Nazaretu, gdzie niegdyś archanioł swe skrzydła roztoczył”, powiada z goryczą Dante (1), a wzięcie drugiej stolicy wielkiego państwa rzymskiego przez barbarzyńskie hordy miało zakończyć wieki średnie, jak wzięcie piérwszój je zaczęło.

Był zakon, który w sobie łączył dwie naczelne myśli owéj epoki: myśl wiary i męztwa—zakon Templaryuszów. Cnoty tu chrześciańskie wiązały się z dzielnością dawnych bohaterów; dwa najwyższe poświęcenia: duchowe i cielesne, zakonnika i rycerza, spotkały się tu w jednéj osobie; dwa najwyższe wyrazy chrześciaństwa i rycerstwa w jednym się tu ślubily dźwięku. Broń i modlitwę, pochodnią wiary i miecz zwycięzcy w jednéj tu dzierzono dłoni: ta sama ręka walczyła i chrzcila, dobywała szabli i liczyła różaniec. Lecz już w XIIIym wieku zakon ten był podkopany: potęga i bogactwo, przepych i okazałość były jego wewnątrzniemi wrogami. Dziwne, straszne o nim chodziły wieści. Powiadano, że na tajnych schadzkach rycerze jego nieludzkim, krwawym się oddawali lubieżnościom; że tam plwali i deptali krzyż, który ich był godłem, i czcili jakiś potworny, ze Wschodu przyniesiony posąg Bafumeta.... Któż, co zna całą podstępność, z jaką proces Templaryuszów był prowadzony, całą podłość ich sędziów, całą okrutność środków przeciwko nim i na nich dla wymęczenia zeznań użytych, któż wów-

(1) E nessuno era stato a vincere Acri.

Inferno. XXVII. 89.

Non vanno i lor pensieri a Nazzarette,

La dove Gabbriello aperve l'ali.

Parad. IX. 137.

czas będzie śmiał zatwierdzić prawdę owych zarzutów i podpisać wydany na nich wyrok? Lecz któż i temu zaprzeczyć zechce, że ten bogato uposażony, i po większej części z nieżonatych członków najświetniejszych rodzin złożony związek rycerski, który swoje główne siedlisko miał w tych krajach południowej Francyi, co wykwinnością i rozwiązłością oddawna słynęły, nie mógł choć w części upaść i uleść temu zepsuciu, które zawsze wyradza przepych i próżniactwo? To pewna, że zakon ten dla historyka zawsze tém pozostanie, czém go sam papież ogłosił w swojej bulli: zostanie *ordo valde suspectus*. To pewna, że nie sami zawzięci i interesowani nieprzyjaciele zakonu te skargi nań podnosili, i że dawno, przed gromem królewskim, który w niego uderzył, zbierały się nad jego głową chmury ludowych podejrzowań. To pewna, i na co nie wiem czy dotąd należną zwrócono uwagę, że Dante, który tak surowo sądzi Filipa Pięknego, i z taką ostrością wszystkie jego kreśli zbrodnie, żadnego przycisku na prześladowanie Templaryuszów nie kładzie, i w jedyném miejscu, w którym o tém wspomina, w tak krótkich i allegorycznych się wyraża słowach, jak gdyby unikał zgłębienia sprawy, na której dnie może leżało pewne wytłumaczenie dla nienawistnego monarchy (1). Przeciwko temu zakonowi powstał wreszcie wróg zewnętrzny, tajemniczy, którego narzędziem tylko był ów „nowy Pitał” przeklęty przez Dantego. Wrogiem tym była instytucya nowych czasów, która pierwszy raz wówczas, acz w przypadkowej objawiła się formie: instytucya ekonomii państwa, nieznaną wiekom średnim, a wypływająca z ustalającego się teraz monarchicznego porządku i politycznej centralizacji, i która pod różnemi następnie nazwami, fisku, podatku, budżetu, miała się stać główną sprężyną rządowej maszyny w następnych czasach. Ekonomia państwa zabiła w XIV wieku duchowne rycerstwo, jak później miała zabić i świeckie. Dnia jednego wyszedł cichy, tajemniczy rozkaz, który wtrącił do więzień wszystkich braci zakonu i zabrał wszystkie ich dobra. Rozpoczęło się śledztwo, sławne w dziejach z podłości i okrucieństwa sędziów, z nieubłaganności łupieżcy, z bezsil-

(1) Veggio'l nuovo Pilato si crudele

Che ciò uol sazia, ma senza decreto

Porta nel tempio le cupide vele. Purg. XX, 91.

Godném zastanowienia jest téż wyrażenie „ma senza decreto”. Dante zdaje się tém nietyłe prześladowanie Templaryuszów w ogóle potępiać, ile ich złupienie bez upowazniającego papieżkiego dekretu.

nych protestacyj i smutnej wreszcie kapitulacyi zwierzchnika kościoła. Dnia 13 marca roku 1314 używał lud paryzki tak częstego mu widoku upadku wielkich: wielki mistrz Templaryuszów, Jakób de Molay, umierał na stosie wyzywając króla i papieża przed sąd Boży.

Dwie były naczelne moralne potęgi, które świat średnio-wieczny, dźwigały „dwa słońca,” jak mówi Dante, które ludzkości przyświecały:—cesarz i papież. Walka tych dwóch potęg napelnia wprawdzie cały wiek XI, XII i XIII; szala się wciąż to z téj, to z tamtéj przeważała strony; upokorzenia raz kościoła, a drugi raz państwa nawzajem po sobie następowały. Ale ta walka była znakiem życia, ten spór był wyrazem siły, i w tém wzajemném zaprzeczaniu się leżało jednak wzajemne uznawanie siebie: i tam i tu była ta sama dążność do uniwersalności. Na końcu dopiéro XIII w. ta walka ustaje, ale tylko z wycieńczenia, z niemocy, z obopólnej rezygnacyi. Bo jakżeż się i porysowały te dwa filary, na których gmach chrześcijański spoczywał! Fryderyk IIgi był ostatnim z prawdziwych cesarzów rzymskich „*ultima possanza*”, jak powiada wieszcz Boskiej Komedyi (1); a i ten *rzymskim* tylko był z imienia: wyznawcami koranu się otaczał; nie taił się ze swą dla chrześcijaństwa niechęcią, uchodził za pisarza osławionego dzieła: „*De tribus Impostoribus*”; i sam Dante, mimo uwielbienia, które jako Ghibellin miał dla niego, mimo tego znaczącego świadectwa, które w usta prześladowanego przezeń *Pier delle Vigne* o nim kładzie, że był godnym cześci (2), w piekielném go jednak kole kacerzy zamieścił. Po świetnym domu Hohenstaufów nastąpił dom Habsburgów, który się już w XIII w. rzekł wszelkich uniwersalnych zamysłów rzymsko-niemieckich cesarzów, jak później w XIX, miał się rzec i ich tytułu, i horyzont chrześcijaństwa dawnych imperatorów, ścieśnił do granic rakuzkich posiadłości (3). Na początku wreszcie XIV w., roku 1307 dała ojczyzna

(1) Paradiso III, 120.

(2) Che fu d'onor si degno. Inf. XIII, 75.

(3) O pierwszym Habsburgu powiada Dante:

Colui, che più sied' alto, e fa sembianti

*D' aver negletto ciò, che far dovea...*

Ridolfo Imperador fu... Purg. VII, 91.

Podobnież się wyraża o następcy Rudolfa:

O Alberto Tedesco, *ch'abbandoni*

Costei, *ch'è fatta indomita e selvaggia...* Purg. XVI, 97.

Tella piérwszy przykład oderwania się od wielkiego uniwersalnego państwa, i objawiła światu słabość tych cesarzów, którym się niegdyś nikt oprzecz nie mógł, nikt oprzecz nie śmiał, nikt—oprócz papieża. I ten papież, jakżeż był inszym teraz, jakżeż odmiennym od owego Grzegorza, u stóp którego klęczał niegdyś w pokutnej koszuli najwyższy władca ziemi, i który, acz przesładowany, wygnany, mógł i miał prawo wyrzec konając te słowa: „*Dilexi justitiam et odivi iniquitatem; propterea morior in exilio!*” Roku 1300, w czasie jubileuszu, przed chrześcijaństwem zgromadzonem w odwiecznym mieście, występował jeszcze Bonifacy VIII w *insigniach cesarskich*; przed nim noszono miecz i berło na kuli świata, a herold wołał „dwa tu są miecze; Piotrze, widzisz twe-go następcę; Chrystusie, patrz na Twego Namiestnika!” Trzy lata później widział lud miasteczka Anagni starca więzionego przez siepaczy, znieważonego świętokradzką ręką służalca Nogareta, pożeranego rozpaczą i szaleństwem... Ten starzec, ten „Job”, jak sam siebie nazywał, było Bonifacy VIII! „I widziałem, powiada Dante (1), Chrystusa znieważonego w swoim Namiestniku; i widziałem jak Mu odnowili żółć i ocet, i jak go zabili łotry co żyją!”

Było miasto, któremu już pogański wieszcz niegdyś wołał: *Tu regere imperio populos memento*, i które w chrześcijaństwie stolicą było świata, i które niegdyś było celem zwyciężkich marzeń synów Gallii i Germanii, jak teraz, w roku 1300, pokutnych wyteskiwań jubileuszowych pielgrzymów. To miasto chowało prochy piérwszych chrześcijańskich męczenników i było skałą, na której Zbawiciel oparł swój kościół. Od piérwszego apostoła panowali tu Namiestnicy Chrystusa w nieprzerwanym szeregu, a wydawali z Watykanu ludom wyroki, królom rozkazy. Wśród wszystkich burz wieków średnich tron papieżów dotąd wytrwał w Rzymie; napady barbarzyńców, jak wojska cesarzów niemieckich, zastały dotąd zawsze Ojca niewzruszonego na chrześcijańskim krześle kurulskim. Epoka, o której mówimy, i tą niewstrząśniętą skałą wstrząsnąć miała. W rok po śmierci Bonifacego VIII, 1308, przeniósł Klemens V apostolską stolicę do Avi-

(1) Veggio in Alagna entrar lo fiordaliso,  
E nel vicario suo Christo esser catto.  
Veggiolo un' altra volta esser deriso:  
Veggio rinnovellar l' aceto e' l fele,  
E tra' vivi ladroni essere anciso. Inf. XX, 86.

gnonu i zaczęło się *babilońskie wygnanie* papieży. „I siedziało samotne miasto tak ludne, i stało się jako wdowa”; a gdy po 70 latach powitało znowu w swych murach Namiestników Chrystusa, nie poznało już dawnych władców ziemi i potężnych sędziów świata w tych pasterzach, co zrzekłszy się państwa, już tylko kościół bronili, i wrócili do Rzymu z królestwem, które nie jest z téj ziemi....

I kogóż teraz jeszcze dziwić będą słowa Villaniego o upadku Rzymu, o końcu świata średniowiecznego?....

Dwa następne wieki, które jeszcze do téj epoki zaliczamy, XIV i XV, były już tylko przejściem do nowych czasów, były mostem rzuconym przez Opatrzność nad przepaścią, co dwa odrębne światy przedzielała. Pod zewnętrznymi dawnymi kształtami wszystko w tych dwóch stuleciach przybiera treść nową i odnawia się postać rzeczy, chociaż jeszcze pod starą powłoką się ukrywa. I te dwa wieki mają swoją wielką epopeę w wojnach Francji i Anglii, jak ją poprzednie miały w wojnach krzyżowych. Ktoby tylko z powierzchni chciał sądzić, myślałby, że w dawnych jeszcze żyje czasach, że się oprócz miejsca nic nie zmieniło. I jakżeż to w rzeczy samej olbrzymia walka, jakież tytaniczne wyteżenia, jakież tragiczne wypadki! Ci rycerze, co się przed bitwą wiążą, by placu boju nie opuścić; ten ślepy król czeski, co na czele swego rycerstwa walczy i ginie; ten czarny książę, którego wielki cień okrywa zarówno Wschód i Zachód, Palestynę i Akwitanią...; a wreszcie owa natchniona pasterka, która na głos Boga opuszcza swe owieczki, by na czele wielkiego stanąć ludu, która wstrzymuje niewieścią ręką kraj lecący w przepaść i w wielkim tumie kładzie koronę na głowę króla: nie zdajeż się ona jeszcze być srebrną wizją z pierwszych wieków chrześcijaństwa, mistyczną lilią ożywioną z katakumb?... Ale gdy głębiej wejrzymy, gdy usuwając te świetne zasłony, poznamy prawdziwą istotę rzeczy; jakież odmienne się nam tu pokażą czasy, myśli i cele! Jakież się zdziwimy, gdy znajdziemy, że główną sprężyną tych Epigonowych bojów była wełna angielska i wino francuzkie, że główną ich bronią były zakazy wprowadzenia lub wywożenia towarów, i że główny węzeł sprawy leżał w kantorach flamandzkich fabrykantów! A ta wieszczka i bohaterka jest już tak dziwném, tak obcém i niezrozumianém zjawiskiem w tych czasach, że się znajdzie sąd duchowny, który ją potępi; że się znajdą księża i teologowie, któ-

rzy ją czarownicą ogłaszają; że się znajdzie władza, która ją odda płomieniom, jak o wiek przedtém oddała wielkiego mistrza Templaryuszów. Rycerz i niewiasta, te dwie najpoetyczniejsze postacie średniowiecznej wiary splonęły w osobie Jakóba de Molay i Joanny d'Arc na stosie ofiarnym: i spełniły się czasy, i nowy porządek rzeczy nastąpił. — I te dwa wieki cechuje, jak poprzednie, ta sama dążność w dal, ten sam pociąg do odległych krain i nieznanych światów, ta żądza objęcia całych ludzkości obszarów, ten popęd w nieskończoność przestrzeni i czasów, który zaszczerpiły wojny krzyżowe, którego nie znały czasy starożytne, i który tak wyłącznym i tak znamienitym zdaje się być przymiotem chrześcijańskiej myśli i chrześcijańskiego ducha. Marco Polo i Henryk portugalski, Vasco i Krzysztof Kolumb zdają się dalej prowadzić dzieło Godfryda i Tankreda; jak tamci Wschód moslemiński, tak ci Wschód mongolski, i dawno niezwiędzane kraje i zapomniane ludy i niewiadome świata części odkrywają zdumionemu chrześcijaństwu. Ale jakż znowu różnica w zamiarach, środkach i celach! Tamci chrzcili, ci opisywali; tamci pragnęli zbawienia dla innych, ci wiadomości, bogactwa i panowania dla siebie; tamci dróg niebieskich, ci szukali dróg handlowych; i Europa zdobędzie Amerykę za przewodem tych wędrowców, a straci święty grób tamtych. W lat dwadzieścia po wielkim jubileuszu, trzydzieści po zdobyciu Akry, r. 1321, pisze Wenecyanin Marino Sanuto dziełko, które samo przez się już jest erą, i w skromnej swój treści zapowiedzią nowój epoki. Tytuł tego dziełka: *Secreta fidelium Crucis* zdaje się je jeszcze do dawnych odnosić czasów, a Bongars w swoim zbiorze dziejopisarzów krzyżowych: *Gesta Dei per Francos* zamieścił je. Myliłby się jednak ten, coby w tém pisemku boskich czynów szukał; a jeśli tu znajdzie tajemnice, nie będą to tajemnice krzyża, ale handlu. Piérwszeto dzieło ekonomii politycznej i handlowej w Europie, piérwszy początek téj nieznanój średnim wiekom nauki, którą w naszych czasach Smith i Say do godności ziemskiego zakonu podnieśli. W tém niezmiernie ciekawém dziele rozbiera Sanuto źródła bogactwa Wschodu i wskazuje kanały, któremi je na Zachód sprowadzićby się dało; wylicza z wielką znajomością rzeczy wszystkie potrzebne Europie płody Azji i Egiptu; daje ciekawą ich statystykę, katalog szczegółowy wszystkich produktów Ziemi świętej z oznaczeniem wartości każdego, kosztów transportu; i dowiódłszy w końcu, że droga przez Egipt jest lepszą i wygodniej-

szą niż przez Syryą, zaleca *handlowe blokowanie* Egiptu, obiecując z tego ruinę sultana i całego mahometanckiego świata... Krucjata zamieniona w handlową blokadę!—to jedno już wypowiada i streszcza całą różnicę minionych i następujących czasów.

Czasy to nastają rozkładu i rozdziału; synteza dawnego życia ustępuje przed jego analizą w nauce, sztuce, w polityce i religii. Czasy to odkryć i wynalazków, handlu i przemysłu, monarchii i mieszczaństwa, centralizacji i fisku, historyografii i prawnictwa. Bądźmy wszakże sprawiedliwi, i nie unosmy się stronniczym zamiłowaniem. Obudzona w naszym stuleciu przez ruch religijny i romantyczny sympatya dla średnich wieków, dla krucyat i dla gotyku, zrobiła nas zbyt pobłażliwymi i dla ciemnych stron owój epoki, a przedewszystkiém bardzo niesprawiedliwymi dla czasów następnych. Czasy te mimo obrazu rozprzeżenia, który przedstawiają, mimo swego chłodu i swojej prozy, nie tylko były konieczne w rozwoju historycznym, ale mają i swoje wielkie zasługi względem ludzkości, swoje wielkie dzieła w dziedzinie ducha. Jeśli z jednej strony wstrząsnęły wiarą wiekami ustaloną, jeśli ośmieliły zmysł powątpiewania, i namnożyły odszczepieństwa i apostazy; obudziły one z drugiej strony i w samym kościele tak długą uległością uspioną czujność, ożywiły w nim ducha trudów i poświęceń, i wywołały wielkie zakony, które prostotę, surowość i czynność dawnego chrześcijańskiego życia odnowiły, i świetne sobory, które kościelną dyscyplinę zaostrzyły, prawdziwe i zbawienne, wspaniałej tradycji przeszłości nieburzące reformy zaprowadziły i ustaleniem dogmatów zatrwożone uspokoily sumienia wiernych. W życiu politycznym nadały one w silnej władzy centralnej niższym i upośledzonym klasom, tak długo feodalnymi tyraniami ciemionym, troskliwą opiekę, surową stróżcielkę praw i ich wykonania, skuteczną obronę przeciw gwałtom i nadużyciom miejscowych potęg, i utorowały drogę do cywilnej wolności, do równości w obliczu prawa, i do tych wszystkich wielkich zdobyczy nowszego postępu, któremi się wiek nasz szczyci. W sferze nauki i wiedzy zaprowadziły ścisłość badań i jasność poglądu, systematyczność wykładu i podział pracy, i tę przedewszystkiém metodę konstrukcyjną, co na gruntowném i wszechstronném opierając się doświadczeniu, ze szczegółowej analizy do powszechnej postępuje syntezy; metodę, o której nawet pojęcia nie miały całe wieki średnie, a bez której jednak wszelka prawdziwa umiejętność jest czystém niepodobieństwem,

„snem na jawie”, jak to trafnie nazwał nasz Grzegorz z Sanoka. Czasy te nietylko świat nowy, Amerykę odkryły, ale i świat dawny, świat starożytny, od którego poznania zaczyna się u nas wielka epoka odrodzenia, którego dzieła stały się dla nas wzorami wszelkiej prawdziwej nauki i sztuki, którego piękność i harmonijność tak zbawiennie wpłynęły na ukształtowanie, urzeźbienie i wcielenie tych wszystkich myśli i uczuć, zamiarów i zasobów, które wieki średnie w olbrzymich wprowadzie, ale nieskończonych i niespojonych zostawiły rozłamach. I możnaż wreszcie brak wiary i uczucia, chłód i prozę, owym czasom zarzucić, które przygotowały lub wydały największe dzieła sztuki i najwyższych mistrzów malarstwa i poezyi; które mogą wskazać na imiona jak da Vinci i Rafael, Michał Anioł i Tizian, Ariosto i Shakespeare? I te czasy mają swoje wielkie i świetne strony, swoje piękne przymioty i wiekopomne zasługi. Bądźmy dla nich sprawiedliwi i nie unośmy się stronnictwą miłością dla gotyku. Nie znieważajmy ich, oznaczajmy tylko ich prawdziwy charakter; nie odrzucajmy ich, oddzielajmy je tylko starannie od czasów poprzednich, od wielkiej średniowiecznej epoki.

Epokę tę wiele przygotowało wieków, jak wiele innych później pracowało nad jej rozkładem. Początki jej sięgają czasów od ustalenia się narodów barbarzyńskich po wielką wędrowcę, a wiek cesarza Karola już ukrywa w swém tajemniczym łonie wszystkie zarody przyszłych świetnych jej płodów. Ale prawdziwem swém życiem i całą swoją siłą napełniła ona tylko trzy wieki: XI, XII i XIII. Trzy te stulecia stanowią jedno wielkie i zupełne koło, które obiegł twórczy duch wieków średnich: one poczynają i kończą prawdziwy czas uniwersalnego cesarstwa i uniwersalnego kościoła, czas Grzegorza VII i Innocentego III, Henryka IV i Filipa Augusta, Hohenstaufów i Ludwika św., czas wojen krzyżowych Gotfryda i Ryszarda, pustelnika Piotra i św. Bernarda, czas scholastyki, św. Anzelma i Abelarda, św. Tomasza i św. Bonawentury. Rok 1000 tę epokę otwiera, a rok 1300 ją zamyka. Na samym jej początku, 1001, wydaje papież pierwszą odezwę do chrześcijaństwa w sprawie świętego grobu (1); na samym jej końcu, 1291, ze zdobyciem Akry, wydzwiera się potężny głos krucyat, który trzy stulecia zappełniał. Dziwna, że te

(1) Cf. ciekawy list papieża Sylwestra II: „Ea quae est Hierosolymis. universali Ecclesiae sceptris regnorum imperanti etc.” Gerberti Epist. 107, Apud Scr. rer. franc. X, 426.



dwa graniczne lata téj wielkiej epoki, rok 1000 i 1300, cechuje ten sam wielki moralny i psychologiczny fenomen! Powszechna była wiara w Xym wieku w koniec świata z r. 1300; kroniki współczesne ciekawe nam przechowały świadectwa o ogólném usposobieniu chrześcian w owym roku: odbywano pielgrzymki, spowiadano się uroczyście w świątyniach, przepraszano za urazy, naprawiano bezprawia w oczekiwaniu sądu ostatecznego, i kościół ogłasza wówczas piérwszą *treuga Dei*, jak 300 lat późniéj miał ogłosić piérwszy jubileusz (1). To samo usposobienie, to samo oczekiwanie napęłnia chrześcianstwo i w roku 1300; te same powtarzają się pielgrzymki i odpusty, i to samo przecucie zdaje się dyktować Villanieniu owe bolesne słowo: o *upadku Rzymu*.

Villani słusznie przeczuł: piérwszy chrześciański jubileusz, którego był świadkiem, był ogólną spowiedzią, ostatnim rachunkiem sumienia schodzącego do grobu świata; rok 1300 zakończył uroczyście prawdziwe średnie wieki, a na grobie téj wielkiej epoki powstały trzy wielkie pomniki, trzy nieśmiertelne dzieła: Tum koloński, Summa św. Tomasza, i Boska Komedia Dantego.

## II.

### ZNACZENIE BOSKIEJ KOMEDYI.

Nic fałszywszego, nad owe, acz bardzo upowszechnione zdanie, że tylko epoki w całej pełni życia kwitnące i w samej apogii swéj świetności są w stanie wydać epopeę. Epopea prawdziwa nie na początku, ani w środku, ale na samym właśnie końcu jakiegoś wielkiego historycznego zwrotu powstaje. Pojedyncze fragmenta, świetne rapsody kształcą się i rozwijają przez ciąg całego peryodu; ale w pełny i wielki akkord epopei łączą się one i zamykają dopiéro, gdy cała epoka jest spełnioną; gdy o tyle się jeszcze nie usunęła, że świeże zostawia wrażenie w umyśle narodu i w duchu poety, i odblaskiem swych gasnących promieni może ozłocić unoszące się za nią lekkie mgły wyobraźni, ale o tyle już zapadła, że wszechstronny na siebie pogląd i na zupełne objęcie dozwala. Tu, jak we wszystkich dziełach sztuki,

(1) Cf. szczególniej Radulphus Glaber s. a.

według głębokich słów wieszczą, co ma ożyć w pieśni, powinno zaginać w rzeczywistości.

Epopea jest *zidealizowaniem* życia jakiegoś wielkiego czasu odlamu, w całej jego pełni i szerokości. *Idealem* zaś tylko to być może dla człowieka, co jeszcze nie jest lub co już było. Homer, czy jakbądź się ten nazywał, co melodyjne dźwięki dawnych rapsodów w te dwa pełne harmonijne akkordy Iliady i Odyssei związał, na początku czasów Heraklidowych, jak to niezbitcie dowiódł Ulrici, uświęcił pieśnią minioną epokę trojańską, i z obywatelskiego i demokratycznego już świata Dorów rzucał tęsknym wzrokiem za zagasłym heroicznym i monarchicznym światem Achałów: chwalać minione wieki i sławić dawnych ludzi. Na końcu dopiero wielkiej epoki republikańskiego Rzymu wyśpiewał Mantuańczyk swoją Eneidę w tym tłumionym żalu po zapadłej świetności, co tak dziwny urok na jego poemat jeszcze dziś roztacza, i w tém tajemniczém przeczuciu nowo wschodzącej ery i nowego rzeczy porządku (*novus rerum ordo*), które proroczym wiekom średnim zdawało się być natchnieniem. Śpiew Rolanda, w najczystszej i najdawniejszej formie, w jakiej go nam tekst Bodlejański przechował, datuje z wieku XI, z wieku, w którym ostatnie ślady Karłowingskiej epoki się zacierały, i nowy odmienny świat stanął na zrębie. Po ostatecznym dopiero zwycięztwie chrześcijaństwa nad skandynawskim pogaństwem, które się przed niem aż na odludną wyspę Islandyi schroniło było, zbiegły się ponure pieśni Voluspy i Hava-mala, Volsungów i Sigurda, w mglisty śpiew Eddy Saemundar; jak przeciwnie, po pokonaniu znaku krzyża na polach Kossowa i po upadku wolnych Serbów, powstała cudowna epopea Łazá i Marka, Miłana i Jugowiczów. Na samym schyłku potęgi germańskich ludów, za Hohenstaufów, skrytykowała się epopea germańska w olbrzymie kształty Nibelungów i Gudrun; na samym schyłku religijnego i mistycznego ducha średniowiecznej rycerskości, na którego upadek tak głośno narzekał, uchwycił go i uwiecznił Wolfram von Eschenbach w mistycznym poemacie Parcevala; a w XVIym wieku, gdy i świeckie i światowe, błędne i awanturnicze życie tego rycerstwa u ostatecznego stanęło kresu, znalazło i ono swoje przepyszne mauzoleum w brylantowym śpiewie Aryosta. Cudowny to wymiar opatrnej Sprawiedliwości, że gdy jakąś epokę przed swój sąd powoła, wielkiemu gieniuszowi stawienie jej pomnika porucza,

wiecznia w pamięci, co w czasie zatracą, i śmierć w rzeczywistości wynagradza nieśmiertelnością w pieśni!

I takie jest znaczenie pomnika, który nad samym grobem średniowiecznej epoki wzniosła Opatrzność rękoma Dantego. Boska Komedia jest prawdziwą epopeją średniowiecznego chrześcijaństwa.

Jest w Watykanie sala zwana *Stanza della segnatura*, która jest skarbnicą najwyższej chrześcijańskiej sztuki, i w której zachwycone oko widza może śledzić boski gieniusz Rafaela w całej pełni jego rozwoju, poczynawszy od mistycznej fazy perugińskiej tradycyi w *Dyspucie*, aż do plastycznego wydoskonalenia pod wpływem florenckich mistrzów i wzorów antyki w *Szkole Atenskiej*. Na czterech ścianach tej sali wywołał Urbinata cztery figury, cztery wielkie symbole ludzkiego ducha: teologią, filozofią, prawo i sztukę; i pod każdą z tych czterech figur roztoczył wspaniały, historyczno-symboliczny obraz, który dziejowy rozwój każdej tej potęgi ducha przedstawia, i w jedno grono łączy najświetniejszych jej wyobrazicieli na ziemi. Z tych ścian i z tych fresków dwa razy się wychyla twarz Dantego w znanych wszystkim rysach ostrych: wielkim, cichym, dumnym nacechowanych smutkiem. Na *Parnasie* witamy go w otoczeniu wielkich mistrzów starożytności i wieków średnich, w czarownym kole Boga śpiewów i cudownych muz Hellady. A gdy oko spocznione od tego obrazu odwróci się i na drugim zawisnie fresku, na tej wspaniałej *Dyspucie*, w której Rafael mistyczność i wielkość wiary natchnionym skreślił pędzlem, i między roztwartym niebem, gdzie w tęczowym kole tajemniczą Trójcę otaczają wszyscy aniołowie i wszyscy święci, a ziemią głoszącą chwałę Pana w tłumnym orszaku największych papieżów i doktorów kościoła, zawiesił promieniejący złotem kielich ofiary i śnieżnego gołąbka, świętego Ducha — i tu znowu, w gronie świetnych wiary wyznawców, widzimy nieśmiertelnego wieszczą Boskiej Komedyi. I zamieszczenie tej figury w tym obrazie i pod tym znakiem nie nazwie tylko czystym przypadkiem, trafowym rzutem artystycznej swywoli ten, który wie, że Dante całą teologią i scholastykę średnich wieków objął i ukształcił w swoim dziele, i wielkiego autora Summy tak poufale „dobrym braciszkiem Tomaszem” (1) nazywał; który zna ów wiérz: „Theologus Dantes, millius dogmatis experts”, od

(1) Il buon fra Tommaso.

którego się zaczynał epitaf przeznaczony grobowi wieszczu w Rawnie przez Guidona da Polento (1); i który wreszcie, spojrzawszy w górę owego fresku na tronującą nad nim figurę teologii, pozna, że Rafael jój tego samego symbolicznego użył stroju, tój płomienistej sukni i zielonego płaszcza i białej zasłony z oliwnym wieńcem, którego Alighieri użył misticznej swój oblubienicy, Beatrycy (2). Ten co to wie i co pojął całą uniwersalność ducha Dantego i jego dzieła, ten się może będzie oglądał za jego postacią i w dwóch następnych freskach; temu ona może zabraknie w tych obrazach, które Rafael pod godłem filozofii i prawa rozwinął. Bo zaprawdę, nie byłże godnym stanąć pod kolumnadą *Ateńskiej Szkoły* ów wieszcz-filozof, co w takiej pełni ujął wiedzę dawnych i swoich czasów, i nieśmiertelne jój nadał kształty sztuki; co tak kornym był uczniem owego Arystotela, a tak gorącym zwolennikiem owego Platona (3), którzy na tym obrazie górują i wszystkim wielkim przewodniczą myślicielom? I nie byłże także godnym i olbrzymim wyobrazicielem prawa, prawdziwym *Grande Judico* ów poeta, co z mocy swego gieniuszu i swego charakteru zasiadł na roki nad całym światem obecnym i przeszłym, umarłym i żyjącym nieśmiertelne wyznaczał kary i nieśmiertelne nagrody, i któż wie, ile to wieków przed boskim, swój sąd wykonał ostateczny?

Lecz co tu przedewszystkiém godne jest zauważania, to owo znaczące stanowisko, które Dantemu w *Dyspucie* nadał wielki mistrz urbiński. W tém wspaniałém kole świadków wiary i doktorów kościoła, co swym blaskiem całe napełnili średnie wieki, stoi wieszcz Boskiej Komedyi na samym jego końcu prawie, trochę w dal zasunięty i jak gdyby bolesnym wzrokiem wodził za odchodzącym orszakiem. W tój malowniczej eposie wia-

(1) Epitaf ten napisany był przez Giovanniego da Virgilio. Ten sam wiersz położony jest pod znanym obrazem Dantego, który dla franciszkańskiego kościoła w Monte-Falco zrobił roku 1450 Benozzo Gozzoli, uczeń Tiesolego i jeden z wielkich mistrzów Campo Santo. Dante na tym obrazie w towarzystwie Giotta i Petrarki.

(2) Sovra candido vel, cinta d' oliva,  
Donna m'apparve, sotto verde manto,  
Vestita di color di fiamma viva. Purg. XXX. 31.

O symboliczném znaczeniu tego stroju następnie.

(3) O tém niżej: § Wiedza i Symbol.

ry okazuje się Dante, jak jego własna epopea w średniowiecznej epoce, na samym prawie krańcu obrazu: jako *Deus Terminus* wielkiego dziejowego okresu, wielkiej *dysputy* nieba i ziemi, kościoła i państwa.

Świat średniowieczny żadnej niwy z niezmierzonej dziedziny sztuki nie zostawił odłogiem i w każdej złożył wielkie zarody bujnej przyszłości. Śpiew Gregoryański już ukrywał w swoim łonie ten tajemniczy przestwór tonów, nad którym się później twórczym słowem unosiły gieniusze Palestryny, Paesiella i innych. W rzeźbach katakumb z pierwszych czasów chrześcijaństwa śledzi oko znawcy inkunabułów owę sztukę, którą mistrzowskie dłuta Ghibertych i Della Robiów, Buonarottych i Cellinich uświetnić miały. Miniatury rękopismowe, mozaiki i szklane malowidła zamykają już w sobie te idealne myśli i nadziemskie uczucia, które później pędzel Rafaela w skończone ujął kształty. Pieśni trubadurów wyrobiły tę subtelną dyalektykę uczuć i form, której Petrarca następnie tylko pieczęć doskonałości nadał. W tych niezliczonych *Maeren aventures* i *chansons de geste* z dawnego cyklu Karola i Arthusa, znalazł Aryosto już wszystkie te czowe farby, soczyste kolory i lśniące arabeski, któremi wymalował romantyczny swój poemat. A w mysteryach, passyach i burleskach grywanych po kościołach i rynkach, leżały początki wielkich dramatów Shakespeara, Lopego i Calderona. Lecz wszystkie te żywioły w chaotycznym i nieukształconym jeszcze przez cały ciąg średnich wieków spoczywały stanie; wszystkie te wielkie zarody w słabe tylko i nietrwałe wykwiwały liście, i czekały dojrzewającego słońca Odrodzenia, aby pełne i świetne wydać owoce. Świat średniowieczny wszystko przygotował, ale niczego nie wykończył i nie ukształcił; wszystko zostawił czasom późniejszym. Dwa jedyne tylko wydał dzieła organiczne i zupełne, które całą jego istotność w sobie zamknęły, i gdy go przeżyły, po nim się już dalej nie kształciły; do których czasy późniejsze nie miały do dodania, bo je zastały uosobnionemi, i żadnemu dalszemu nieulegające rozwojowi: —epopeę Dantego i gocką świątynię; i oba te utwory właśnie na samym końcu téj epoki, którą organicznie sformułować miały, ścięły się w swoje olbrzymie i wieczne kształty. Architekturę gocką wiele wprawdzie przygotowywało wieków (jak wiele ich téż przygotowywało i epopeę Dantego, o czém się zaraz przekonamy), ale pełnia jęj rozwoju i osta-

teczone pokonanie dawnego romańskiego stylu leży w epoce Alighierego, między XIII a XIV stuleciem. Rok po śmierci wiejsza Boskiej Komedyi, 1322, poświęconém zostało najwyższe typowe dzieło gockiej budowy: wielki tum koloński.

Bo téż ścisły i znaczący jest związek między epopeą a architekturą; i ta ostatnia to samo zajmuje miejsce w sztuce przestrzennej, jakie pierwsza w poezyi. Obu kolebką jest Wschód; obu równoległy jest rozwój w świecie klasycznym, jak później w chrześcijańskim. Obie nie dają plastycznych kształtów w ścisłym znaczeniu; nie mają téj dośrodkowej konieczności, tego jednolitego celu i indywidualnego wykończenia, które są tak niezbędnymi warunkami rzeźby i malarstwa w sztuce przestrzennej, a dramatu w poezyi. Obie więcéj myśl oznaczają, niż ją w jej kształty wcielają; dają bardziéj typy niż indywidualności; wyobrażają bardziéj ogólną epokę, niż szczególne jej charaktery; przedstawiają raczéj stan jak czyny, naturę jak kulturę, organizm życia jak jego analitykę i dyalektykę. Obie symbolizują ducha całej epoki; obie mają ten sam charakter uniwersalności i encyklopedyczności; i to samo główne przeznaczenie przechowania myśli twórczej minionych czasów dla następnych pokoleń. Jedna jak druga jest cichém i przeciąglém dziełem wieków; tworzy się bardziéj anorganicznie i naturalnie przez agregacyą i kryształizacyą, niż wolno i duchowo przez aktualną wolę i myśl indywidualnego ducha. Jedna jak druga niezliczone przechodzi przetworzenia; nim do ostatecznych dostąpi kształtów; obie są tak zupełnemi *zbirowemi* wyrobami epoki i narodu, że najczęściej w sobie i indywidualność twórcy, aż do jego imienia i czasu zawierają. Architektura jest epopeą w innym tylko materyale; i ona dawne opowiada czasy, i zatracone dzieje, i zaginione plemiona, i żywo acz kamiennemi zgłoskami do oczu duszy przemawia. *Magistri de vivis lapidibus* nazywały wieki średnie swoich wielkich budowniczych.

Między dziełem Dantego a gocką świątynią zachodzi szczególniej pokrewność i rodzinność, którą łatwo uczuje każdy, acz nie każdy łatwo ją sobie wytłumaczyć, a nigdy prawie ściśle określić nie potrafi: bo wspólność tu nie cielesna, ale duchowa, nie zewnętrznych kształtów, ale wewnętrznej myśli. Wspólny im obu jest przedewszystkiém ten charakter spirytualny i spiralny, który tak znacząco je odrębnia od podobnych dzieł świata klasycznego, i w których właśnie obopólném zestawieniu i porówna-

niu można najlepiej poznać nie tylko różnicę obu, ale i każdego z osobna właściwość. Stosunek Parthenonu do tumu kolońskiego, i Iliady do Boskiej Komedy, daje nam prawdziwą, prawie-bym powiedział matematyczną proporcją: i ten sam charakter odróżnia epopeę Homera od epopei Dantego, co świątynię grecką od chrześcijańskiej. Jedne są tak zewnętrzne, jak drugie wewnętrzne; jedne tak przedewszystkiemi mistrzowskiemi dziełmi zmysłu, jak drugie myśli. U tamtych oko spoczywa na powierzchni kształtów i na nich zaspokojone przestaje: nie zaglądając do głębi, gdzieby nic nieznaczącą tylko znalazło celę i ciasne niebo, cieszy się tu samemi formami; u tych przeciwnie wzrok wcale się prawie na powierzchni nie zatrzymuje, i nigdy samą formą nie zadowolony ucieka do wnętrza, i szuka tam nieskończonej myśli i niezmiernego ducha. Tamte wygodnie i pogodnie na ziemi się poziomo rozlegają; te się ascetycznie od ziemi odrywają, i spiralnemi liniami i spirytualnemi myślami unoszą do nieba. Tamte ludzkie dają stosunki i naturalne wyobrazają potęgi; te w nadludzkie dążą sfery i nadnaturalne objawiają wysiłki. Tamtych wrażenie przedewszystkiemi plastyczne, tych przedewszystkiemi muzyczne; tamte ducha lekko kołyszą, te go w niezmierny rzucają przestwór, gdzie wieczne i coraz szersze toczy koła.

Lecz nie tylko we wspólniej tej różnicy od architektury i epopei klasycznej—która w gruncie jest zasadniczą różnicą wszelkiej sztuki chrześcijańskiej od starożytniej—leży to pokrewieństwo Boskiej Komedy i gockiej świątyni; ale w organizmie, w estetycznej fizjognomicie, w całej ich formacyi ta sama twórcza działa siła. W obu tych utworach rysy wspólnego pochodzenia, tej samej ducha emanacyi uderzają wszędzie. W obu panuje ta głęboka symbolika liczb, która się w dziewięciu sferach Dantego, w ich zestawieniu z siedmią sferami wiedzy (trivium i quadrivium) i z dwiema filozofii i moralności, w mistycznym znaczeniu, które matematycznym nadaje pierwiastkom i t. p., tak uniwersalnie objawia, jak w znanych matematycznych rozmiarach, w typowych liczbach, w ścisłych wielokątnych podziałach i rozkrzewach, i w całej owej rytmiczności „boskiej geometryi” gockiej architektury: fenomen dziwny i obecnym naszym pojęciom zupełnie obcy, ale, jak później poznamy, charakterystyczny, i immanentny płód średniowiecznego ducha, szukającego właśnie w liczbach tajemnej syntezy *piękna* i *prawdy*, znaczącej formy, któraby mistyczną dowolność i scholastyczną surowość jego cywilizacyi zaró-

wno objąć mogła. Innym, niemniej ważnym i z tego samego pochodzącym źródła objawem jest ów ciekawy symbolizm farb, owe tajemnicze znaczenie przywiązane do tak nazwanej „perspektywy” czyli optyki, w której wieki średnie mniemały znaleźć pewne *organon* wiedzy, w której współczesny Dantemu wielki Roger Bacon widział ogólny obraz boskiej czynności; i ta też myśl znowu panuje zarówno w dwóch wielkich dziełach średniowiecznej sztuki, które tu zestawiamy. Wiadomo, jakie wielkie ma znaczenie w architekturze gockiej gra farb i światła: ożywia ona nie tylko malowidła okien i filarów, ale całe tu zestawienie architektonicznych części spoczywa na ciągłej alternacji i modulacji światła i cienia; i konstytucyjnym prawem całego gockiego porządku jest perspektywa. W poemacie zaś Dantego Raj stanowi czystą skalę farb w muzyce sfer; siła światła oznacza siłę błogości; według prawideł jakiejś niebieskiej optyki wymierzają się boskie nagrody, i trwanie promienia oznacza stopień zbawienia w światłej hierarchii dusz.

Jeśli oprócz tego symbolizmu liczb i farb, nad którym się jeszcze później obszerniej rozwodzić myślimy, zechcemy szukać dalszych i charakterystycznych podobieństw między naszą chrześcijańską epopeją a gocką świątynią, uderzy nas przedewszystkiem to wspólne im obu zestawienie świata spirytualnego obok realnego, najduchowniejszych pojęć obok historycznych, najostrzejszymi konturami życia uwydatniających się postaci; a gdy w Boskiej Komedyi wśród allegorycznych figur i w najlżejszą tkankę kształtów oblekanych abstrakcyj stają postacie historyczne i realne, w pełnej plastyce jestestwa, żywe i żyjące: jakżeżto często zarówno i w gockich świątyniach z tłumu allegorycznych posągów i personifikacyj wiary i zakonu, świata i stworzenia, cnót i grzechów wyglądają znowu figury realnym oddychające życiem, „twarze ostre, malowane” pobożnych fundatorów, żyjących donatorów i t. p. A co dla nas najważniejsza, to, że i w tym rysie, jak i w dotkniętej wyżej symbolice liczb i farb, wybita jest jedna z najgłówniejszych cech średniowiecznego ducha: bo to ciągle i ostre obokstawienie najgrubszej realistyki z najsubtelniejszym spirytualizmem, bez harmonijnego i idealnego ich zlewania i stopienia, jest może najcharakterystyczniejszą właściwością całej owjej epoki; i wystarczy tu tylko sobie przypomnieć główny i tak stanowczy rozdział całej wiedzy średnich wieków na *Realizm* i *Nominalizm*, aby się tak o prawdziwości tego zdania w ogóle, jak o duchowym pokrewieństwie tych dwóch



sztuki utworów przekonać, które ową cechę najwyraźniej i najkonsekwentniej na sobie odbiły. Tak w Boskiej Komedyi jak w gockiej świątyni uderzy nas następnie ta ciekawa ornamentyka ze świata zwierzęcego i roślinnego, ta, prawiebym rzekł panteistyczna encyklopedyczność, która całą naturę zagarnia i wszystkie jej płody, jakby do nowej arki Noego dla ocalenia ich przed wzbierającym czasem potopem, gromadzi; i to nietylko w samym celu urozmaïcenia i upiększenia, lub utworzenia sobie tła dalszego, jak w greckich Metopach czasem lub w Homerze, ale w jakimś allegorycznym i tajemniczym często powiązaniu natury i człowieka, Stwórcy i stworzenia, świata niewidomego z widomyim. A i ten rys znowu nie jest tylko przypadkowym i tym dwóm utworom wyłącznie właściwym, ale charakterystyczną cechą średniowiecznej epoki, która nawet osobną, jak wiadomo, przedtém i potém bezprzykładną epopeę ze świata zwierzęcego w Isengrimie i Reinhardzie wykształciła. Ileżto razy na ścianach, filarach i portykach gockiego tumu napotykamy takie lwy, pantery i wilczyce, takie naturalne i potworne, prawdziwe i bajeczne zwierzęta, jakie Dante w swojej zaziemskiej spotykał wędrowce; a jeśli nawet usuniemy z uwagi wątpliwe domysły uczonych o kształceniu się gockiego stylu według praw roślinnej formacji (1), ileż za to w nim pojedynczych kształtów ze świata krzewów przypomina podobne w poemacie Dantego, w tych porównaniach wziętych z roślinnej natury, w tych różnobarwnych allegoryach róż, lilij i kwiatów, a przedewszystkiém w owym przepysznym ustępie o lesie krzaków, dusze samobójców w sobie zamykającym, który tak często bywa przytaczanym, który tylokrotnie był naśladowanym przez późniejszych poetów i przez wielkich, dosłownie prawie przez Aryosta (2). Wspólną dalej jest obu tym dziełom średniowiecznej sztuki ta prawie wyuzdana wyobraźnia w tworzeniu najfantastyczniejszych figur, w zlewaniu najróżnorodniejszych i najdzikszych kształtów, w nadnaturalnym i nienaturalnym stopieniu wszelkich form kreacyi, które natura tak starannie rozgraniczyła, w tém, jedném słowem, zmieszaniu wszelkich prawideł ziemskiego świata dla oddania nadziemskiego. Komuż, co na portalach i rzeźbach gockich świątyn widział te figury djabłów

(1) *Metzger*: Gesetze der Pflanzen und Mineralienbildung, angewendet auf den altdutschen Baustyl. 1835.

(2) *Inferno* XIII, 40. *Ariosto*: *Orlando* VI, stanz. 32.

i grzeszników w fantastycznych i potwornych postawach, te dziwaczne a straszne zarazem grupy z nawpół ludzkich, nawpół zwierzęcych logogryfów i arabesków, te bezładne i bezkształtne rzuty rozognionej wyobraźni,—komuż się wtenczas nie przypomniały podobne personifikacye djabłów i grzeszników w Boskiej Komedyi; któż w nich nie odkrył nieraz tych samych prawie nieforemnych form, a prawie zawsze tych samych prawideł formacyi, nawet aż do tego *naiwnego cynizmu*, z którym gocki mistrz zarówno jak Dante najluźniejsze oddawali sytuacye, w najgrubszych, niczego nieoszczędzających rysach (1)? Niebrak też w naszej epopei na szczegółach jakby żywcem z gockiej przeniesionych architektury, a przedewszystkiem uderza ten kształt wielkiej promieniejącej *Róży* z przezroczystymi liśćmi, w którym się naszemu wieszczowi na najwyższym szczyśle Raju okazuje cała „święta milicya, którą Chrystus krwią sobie poślubił” (2), i który tak wyraźnie przypomina podobną figurę gockiej budowy pod témże nazwiskiem *Róży* znaną, co tak znaczące i symboliczne zajmuje miejsce w promieniejącem kole i z przezroczystymi z szyb liśćmi na wspaniałych facyatach chrześcijańskich świątyń; jak znowu przeciwnie na tympanach ich portyków znajdujemy obraz tego *Sądu ostatecznego*, który zasadniczą jest myślą, formą i treścią, prawdziwą duszą wielkiego poematu Dantego. I czémże jest w gruncie i w najwyższem swoim znaczeniu świątynia chrześcijańska, jeśli nie nadziemskim już światem, w który wstępuje grzesznik, co jak Dante „z prostej zszedł drogi” (la diritta via era smaritta), i gdzie, jak Dante, pod litościwą opieką „wielkiej w niebiesiech Pani” (Donna gentil nel ciel) przechodzi, jak on, myślą ludzkie grzechy i występki, jak on się w skrusze i pokorze przed „bożą mądrością” (Beatrice) spowiada, jak on wreszcie do najświętszego miejsca przed boski obraz dochodzi, i jak on tu słyszy o swém oczyszczeniu i przyjmuje „ten chleb anielski, co wiecznie żywi, a nigdy nie nasyca” (3)? I w takim-

(1) Porównaj między innemi wiersze jak:

Ed egli avea del cul fatto trombetta. *Infern.* XXI, 139.

Rotto dal mento insin dove si trulla. *Inf.* XXVIII, 24.

i wiele podobnych.

(2) *Parad.* XXX i XXXI.

(3) .....pan degli Angeli, del quale

Vivesi qui, ma non sen' vien satollo. *Parad.* II, 11.

to znaczeniu nie będziez tum gocki kamienną tylko *transkrypcją* wielkiej epepei chrześcijańskiej?

Gocko-architektoniczny ten charakter Boskiej Komedyi przebija się aż w najzewnętrzniejszej jej formie, aż w owych *terze rime*, które sobie Dante wynalazł dla swojej chrześcijańskiej epepei. Nie tu miejsce obszerniej się rozwodzić nad pytaniem o znaczeniu i historycznym kształceniu się *rymu*, które tyle już zajmowało umysłów. Wystarczy tu tylko w krótkości oznaczyć, że *rym* jest tak czystą i konieczną formą chrześcijańskiej poezji, jak *rytm* klassycznej; i że te dwie zasadniczo od siebie różne formy wierszowania w tym samym do siebie znajdują się stosunku, w jakim architektoniczne formy chrześcijańskie do klassycznych. Wiersz klassyczny zasadza się na regularnie przeprowadzonej odmianie długich i krótkich sylab; i na tém samym prawie regularnej odmiany spoczywa klassyczny porządek słupów. Słup każdy w architekturze greckiej jest równy drugiemu jak jedna stopa miarowego wiersza drugiej, ma równą zawsze wartość co drugi, ma swoje jednostajne znaczenie i jest regularnym i skończonym w sobie członkiem z całego rzędu równych mu i w regularnych odstępach postawionych jednostek. Insze tymczasem prawo kieruje gockim porządkiem jako téż i rymowym wierszem. W architekturze chrześcijańskiej słup traci to swoje indywidualne i w sobie skończone znaczenie; nie ma on równej wartości co drugi; nie odmienia się on regularnie i w regularnych odstępach; formy i przedziały filarów, różnie się w gockim rzędzie zmieniają, i dopiero przez *muzykalny* że tak powiem zwrot tych samych form i odstępów, po chwilowém przerwaniu i krzyżowaniu, przywraca się architektoniczny porządek. I taka sama jest zasada rymowego wiersza, w którym podobnież nie każda już stopa ma swoje indywidualne znaczenie, i wartość już nie na regularnej odmianie krótkich i długich sylab polega; wszystko to w tym wierszu się usuwa przed muzykalnym zwrotem pewnych form po chwilowém przerwaniu i krzyżowaniu. W porządku i rytmie greckim słowa i słupy *plastycznie się szykują*; w porządku i rymie gockim natomiast *malowniczo się grupują*. *Rząd* téż i *gruppa* są najcharakterystyczniejsze zasady, odróżniające porządek i rytm grecki od porządku i rymu chrześcijańskiego; a jeśli-bysmy to głębiej wziąć chcieli, cały świat starożytny od świata nowszego. I w tém znaczeniu *terze rime* Dantego są najdokładniejszym w poezji odbiciem najdoskonalszej formy gockiego porządku w architekturze. Te wiersze, które w ciągle i przerwa-

ne rymy się wiążą, które się nieustannie krzyżują i łączą, które się w potrójną spóldźwięczność splatają i rozplatają, i tak wyraźne, już dla samego oka, tworzą grupy: przedstawiają ten sam obraz splątanej rozłożystości, pozornej zawilości przy ścisłym wewnętrznym porządku, odśrodkowej dowolności przy najsurowszej dośrodkowej konieczności, co te lekkie filary chrześcijańskich świątyń. Tak w jednych jak i w drugich ta sama panuje *perspektywna eurytmiczność*.

W takimto ścisłym związku stoją te dwa najwyższe i najuniwersalniejsze utwory średniowiecznej sztuki; według takich to samych praw formacji powstały gocka świątynia i Komedia Dantego. Jedna jak druga objęła w całej pełni twórczą myśl wielkiej epoki; jedna jak druga jest najzupełniejszym i najwymowniejszym pomnikiem jej ducha; jedna jak druga jest prawdziwą epopeą średniowiecznego chrześcijaństwa.

A jednak nazwa ta epopei niezupełnie jeszcze określa poetyczne i historyczne znaczenie Boskiej Komedyi; definicya ta bynajmniej jeszcze nie wystarcza dla oznaczenia stanowiska i zakresu tego wielkiego poematu; a jeśli doń jedyną, prawdziwą i *czystą* miarę przyłożym, miarę greckiej epopei, pozostaną nam reszty, które osobną znowu i wielką całość stanowią i osobnej znowu wielkiej klasyfikacyi koniecznie żądać będą. Jestto właśnie charakterem nieskończoności chrześcijańskiego ducha i jego prawdziwie wielkich objawów w twórczej wyobraźni, że się te pod jedną formę sztuki wyłącznie podciągać nie dają, że się z plastycznych acz tak koniecznych rozgatunkowań ciągle wyrývają, i w inne postronne i przestronne wybiegają dziedziny. Tak i dzieło Dantego obok epicznego, do innego jeszcze wielkiego rodzaju poezyi należy, i w tym równie wielkie i znaczące zajmuje stanowisko, tak pod względem wewnętrznej poetycznej wartości, jako téż i zewnętrznego historycznego rozwoju.

Dwie są właściwie tylko główne *czyste i odrębne* formy poezyi: epopea i dramat, i one téż tylko uznał Arystoteles w swojej, i dotąd jeszcze prawodawczej Poetyce, godnemi prawdziwego zastanowienia i rozbioru. One jedne dają czyny i charaktery, tworzą pełne objawy i prawdziwe kształty, i mają istotną plastykę życia i sztuki. Liryka, którą jako trzecią formę obok tych dwóch głównych stawiać zwykliśmy, nie odpowiada tym warunkom, i w gruncie téż jest tak mało samodzielna, że wiecznie oscyluje między epopeą i dydakcją, że w Epinikiach Pindara tak

się o historią, jak w Odach Horacego o refleksją opiera, i że nawet obcą zupełnie sztukę, muzykę, w pomoc przyzywa, wiążąc się z nią z utratą własnej samodzielnej wartości w śpiewie, lub wcielając ją w siebie przez naśladowanie jej ducha muzykalną swoją dźwięcznością w sonnetcie, dumce i t. p. Wszystkie zaś inne podrzędne gatunki poezyi: elegia, idylla, satyra, bajka, dydakta, opisowość i t. d., bardziej jeszcze niż liryka na refleksyi i subiektywném uczuciu oparte, mniej jeszcze od niej mają prawdziwej samoistności i siły plastycznego kształtowania. I dlatego téż wszystkie te gatunki, efemerycznej i trochę pasożytnej natury, są ze wszech czasów i miejsc, i właściwego i absolutnego historycznego rozwoju, właściwej sobie pory i temperatury nie mają; gdy tymczasem epopea jak dramat są przeciąglami i mierzalnymi wyrobami wieków i narodów, mają swoje epoki i klimata, wyłączne i wielkie historyczne warunki swego kształcenia się i rozkwitu, i nigdy wspólnie obok siebie nie powstają, ale w rozległych odstępach nawzajem się zmieniają. Każda z tych wielkich form tak wyłącznie zwykła posiadać i absorbować twórczość epoki, że nietylko drugiej obok siebie powstawać i rozszerzać się nie pozwala, ale nawet na długi czas po sobie wszystkie żywotne soki wysysa, i dopiero po dość znacznym przedziale zasilony odpoczynkiem gieniusz narodu może przystąpić do nowych poetycznych kreacyj w odmienniej formie.

W tymto właśnie czasie przejścia z epoki epicznej do dramatycznej i naprzemian, w tym okresie przygotowania i przetworzenia, wykształcać się zwykła trzecia wielka forma poezyi, forma, która dla mieszanjej swój i połowiczjej natury wprawdzie téj estetycznej wartości czystego dzieła sztuki co epopea i dramat nie ma, ale dla znaczącego miejsca, które w rozwoju poetycznej twórczości zajmuje, dla organicznej regularności swego powstania i *psychologicznej konieczności* swego objawu, to samo *historyczne* przynajmniej ma uprawnienie. Mało ten dotąd poznany i umiejętnie określony rodzaj poezyi, jak to trafnie powiedział genialny badacz, co pierwszy uwagę zwrócił na jego historyczne znaczenie, łatwiej się daje zcharakteryzować, niż nazwać: nie mamy powszechniejszej i właściwszej dlań nazwy, jak *allegoryi*. To, co powszechnie pod allegoryą rozumiemy, obrazowanie intelektualnych i moralnych abstrakcyj, stanowi tylko jeden żywioł téj wielkiej kategorii, której charakterystyczną właśnie cechą jest, że *wszyst-*

kie poetyczne gatunki obejmuje: allegoryą w ściślejszém znaczeniu jak lirykę, elegią jak satyrę, dydakse jak opisowość, epopeę jak dramat, i wszystkim tym z mniejszém lub większém wykończeniem narysowanym i zamieszonym formom daje zazwyczaj lekkie ramy bądź samotnej przechadzki, bądź podsłuchanej rozmowy, bądź wreszcie snu lub *wizyi*: to jest tego poetycznego zmyslenia, w które i Dante oprawił Boską Komedją. Liryczny w oddaniu subiektywnego uczucia i usposobienia duszy; elegiczny i idylliczny w przedstawieniu spokojnych sytuacji i nieplastycznego życia; opisowy w skłonności do ciągłego obrazowania, i allegoryczny w zamiłowaniu w abstrakcyach i personifikacyach; dydaktyczny i satyryczny w mniej lub więcej wyraźnej chęci nauczania i poprawienia: rodzaj ten poezji styka się zarówno z epopeją i dramatem, od których, jeśli sobie nie przywłaszcza tego, co właściwą ich duszę stanowi: czynu i akcji, używa jednak tego, co ich zewnętrzném jest ciałem: opowiadania i dialogu. Pandemonium wszystkich poetycznych form — allegorya, nietyle jako czysty utwór sztuki, ile jako historyczny fenomen ma swoje przeważne w rozwoju twórczej wyobraźni znaczenie; jest ogólną formą, z której się rozchodzą i wykształcają wszystkie plastycznie rozgraniczone gatunki poezji, i do której znowu po pewnym okresie, po obieżeniu koła, które im wewnętrzna, jak to nazywa Arystoteles *energia* zakreśliła, wracają, aby z odświeżoną siłą z jęją łona napowrót się wynurzać. Fenomen to, powtarzamy, niezmierniej wagi; odsłania on nam, że to samo prawo rządzi tym napozór tak fikcyjnym i dowolnym światem wyobraźni, co i rzeczywistym; ten peryodyczny zwrot poetycznych form do jednego punktu wyjścia objawia nam ten sam zakon w dziejach poezji, co w dziejach narodów. Macchiavelli *ritorno al segno*, a Vico w dziejach całego moralnego świata *corsi e ricorsi* nazwał. Allegorya jest tym, jeśli chcemy, chaotycznym stanem twórczej wyobraźni, w którym wszystkie żywioły poezji nierozłącznie drzemią, nim się rozdziela i rozgraniczą, i do którego później, po wypełnieniu swego uroczego posłannictwa wracają, aby się przemienić i w odnowione kształty wyrębnić.

W tém znaczeniu, któreśmy allegoryi nadali, Wschód będzie naturalną jęją kolebką: bo w ogólnym rozwoju ludzkości, świat wschodni przedstawia właśnie ten stan chaotyczny ducha, w którym żadne funkcyje społeczne i moralne jeszcze się nie wyszczególniły, i wszystko w panteistycznej niejako zanurzone jest uni-

wersalności. Bóg, człowiek i natura są tu w tém samém niezindywidualizowanym i nierozgraniczonym powiązaniu, w jakim się znajduje cała sfera materialnego i moralnego życia, i wszystkie wyższe objawy ludzkiego ducha w wierze, w wiedzy i w sztuce. I dlatego téż, nietylko tu spotykamy tę wielką i uniwersalną formę allegoryi, ale, rzecz nawet można, że cała poezya wschodnia w téj formie uwięzła i nigdy za nią somodzielnie nie wyszła. Epopea jak dramat, Mahabarata jak Sakuntala, nie mają tu rozgraniczonych plastycznych kształtów, jak podobne im dzieła poezyi greckiej: pełne one jeszcze są lirycznych, dydaktycznych, opisowych żywiołów i téj zawilėj encyklopedyczności poetycznych gatunków, która dla poezyi wschodniej jest tak charakterystyczną, jak zawilēja encyklopedyczność całego życia dla całego Wschodu w ogóle. Świat natomiast klasyczny, który tak ostro we wszystkiém przeciwstawiony Wschodowi, którego nietylko sztuki, ale życia całego zasadą jest czystość kształtów, rozgraniczenie wszelkich potęg moralnych i materialnych, najwyreźbniejsza plastyka myśli i uczuć, czynów i dzieł; świat ten musiał koniecznie zaniechać téj poetycznej formy, która tak obcą była jego duchowi; i tu jednak Hesiod tak regularnie stoi w pośrodku między Homerem a Eschylem, między epopeją a dramatem, jak romans grecki na samym schyłku i upadku helleńskiej cywilizacji. Insze znowu i większe są losy allegoryi w świecie chrześcijańskim. W świecie tym, który tak plastyczne rozgraniczenia helenizmu, jak uniwersalną dążność Wschodu zarówno objął i *uduchowił* je, w nim znowu i z większym znaczeniem jak u Greków występuje rodzaj allegoryi: ale już nie w tym charakterze jedynéj prawie i dominującej formy, który miał na Wschodzie, ale tylko, jakéśmy to już powiedzieli, w kształcie peryodycznie wracającego gatunku, reasumującego niejako *wschodnią* uniwersalnością wszystkie w duchu *greckiego* rozgraniczenia wykształcone lub nadal kształcić się mające czyste poetyczne gatunki. Ze względu na samę poetyczną tylko stronę i jój wpływ, można powiedzieć, że *Biblia* stoi jako najpełniejsza allegorya u samego początku całej chrześcijańskiej poezyi. Cudowna ta księga, jak życiu wszystkie moralne i religijne prawdy, tak twórczej wyobraźni wszystkie przyszłe objawiała formy: lirykę i allegoryczność, dydakse i opisowość, epikę i dramatykę: cały dramat chrześcijański powstał z biblijnej myśli passyi. Później każdy naród chrześcijański wykształciwszy jedną lub drugą formę wracał znowu w peryodycznej rytmiczności do tego wielkiego rodzaju

allegoryi, jako do punktu odpocznienia i dalszego zarazem rozwoju. Gdy średniowieczna liryka Prowensalów znalazła swój ostateczny wyraz i najwyższe wydoskonalenie w rymach Petrarcki, dał Petrarca sam hasło zwrotu do allegorycznego rodzaju w swoich *Trionfi*, i za nim poszedł Boccaccio nie tylko w *Trionfi*, w *Ninfale Fiesolano*, nie tylko w *Fiamecie* i *Teseidzie*, ale nawet i w *Decamerone*: bo cała nowelistyka daje się słusznie policzyć do téj wielkiej pośredniej formy poezyi, której i romans nawet nowoczesny jest prozaiczną i pragmatyczną tylko stroną; a gdy dwa wieki później epika włoska najwyższego szczytu swego możebnego rozwoju dostąpiła w dziełach Aryosta i Tassa, naznaczył znowu sam Tasso to historyczne znowu zejście do allegoryi, tak przez nie-szczęśliwą wprawdzie, ale pod tym względem niezmiernie charakterystyczną próbę przelania Jerozolimy w allegoryą, jak przez ten poemat o stworzeniu, *Le sette giornate*, który natchnął Milтона. Allegoryczny Raj Milтона stoi w dziejach poezyi angielskiej tak historycznie w pośrodku między wielką dramatyką Shakespeara, a późniejszą epiką Scotta i Byrona, jak przedtém między Shakespearem a dawną epiką angielską, z której nam drobne ale znaczące w *Beowulfie* i *Travellerssong* przechowały się ułamki, stały allegoryczno-idylliczne twory Louglanda, Gowera Chaneera, Sidneya i t. d. Wymienieni tu na ostatku angielscy pisarze kształcili się prawie wszyscy na owym osławionym *Roman de la Rose*, który znowu w poezyi francuzkiej to samo historyczno-pośredniczące stanowisko allegoryi między dawną francuzką epiką, a późniejszym teatrem Corneilla i Racina zajmuje, jakie w hiszpańskiej zajęli Hita, de Mena, Santillana i inni między epicznym cyklem Cyda, a wielką dramatyczną epoką Lopego i Calderona. Tak następnie w poezyi niemieckiej między wielką epoką Nibelungów, Gudrun, Wolframa, von Eschenbach, Gottfryda von Strasburg, a dramatyką Hans Sachsa i liryką z epoki reformacyi, rozlegają się szerokie allegoryczne utwory XIVgo i XVgo wieku, a Reinhard szczególnie tak zarówno za czystą epopeę, jak za czystą allegoryą uchodzić może; po wydzwignieniu się zaś dramatycznej i lirycznej poezyi z czasów reformacyi wraca znowu przeważnie rodzaj allegoryczny, który się ostatecznie reasumuje w sławnej *Messyadzie* Klopstocka, i po którym znowu w orszaku wszystkich wielkich niemieckich dramatyków z przeszłego wieku następuje ów Lessing, co tak charakterystycznie przy najściślejszém rozgraniczeniu poetycznych gatunków obstawał, i tak konsekwentnie



przeciw bronionej przez Winckelmanna allegoryi się oświadczył. I według tych samych praw formacyi rozwijała się wreszcie nawet i nasza polska poezya, acz tyle przeszkód w swoim normalnym wykształceniu doznawała. I u nas także między dawnymi epicznymi rapsodami, których słabe się tylko echa w naszych historycznych przechowały jeszcze podaniach, i chrześcijańską hymnologią, która od św. Wojciecha aż do Andrzeja ze Słupia poetyczną naszą twórczość w średnich wiekach absorbowwała; a tą liryką z drugiej strony, która w epoce Kochanowskiego tak bujnie rozkwitła, i dramatyką, której pierwsze wówczas zjawily się próby w Józefie, w Odprawie posłów i t. d.: znaczniejsze twory Reja stoją jako historyczno-pośredniczące *allegorye*, i pod tym właśnie względem, o ile się nam zdaje dotąd mało zauważanym, mają swoje główne i ciekawe znaczenie. Szczególniej godnym tu, choćby i krótkiego tylko zastanowienia jest Reja *Wizerunek żywota*. Poeta prowadzi młodzieńca do różnych filozofów pogańskich, od Zoroastra do Hippokrata, Dyogena, Epikura, Sokrata i Arystotela, którzy mu wszyscy systema swój etyki wykładają; potem przechodzi z nim do potępionych w piekle, do tych „co sobie zjeżonej nie zagłaskali - czupryny”, i między którymi widzi wiele panów i księży; w raju nakoniec „Heliasz” objawia nieśmiertelne chrześcijańskie prawdy „o dusznej radości” i naucza jak się staje „w ogrodzie u Pana”. Pełno w tém dziele mytologii i teologii, astronomii i filozofii, najrozleglejszej jedném słowem dydakty; pełno tu idyllicznej opisowości: każdy niemal rozdział zaczyna się od poetycznego opisanja natury w różnych dnia porach; satyra wreszcie, jak we wszystkich dziełach Reja, tak i tu w całej swojej szorstkości i jadowitości rozkosznie się rozposciera. Czytelnik widzi wszystkie tu zebrane żywioły, które według danej definicyi poemat allegoryczny składają; jak w Boskiej Komedyi „tekst się tu rozciąga od ziemi do nieba”, według tych własnych słów Reja, które tylko w większej suchości wypowiedają myśl tak szczytnie w sławnym wierszu Dantego oddaną (1); a kiedy współczesny biograf Mikołaja, Trzycieski, tego naszego poetę z Dantem porównał: więcej w tém zdaniu leżało prawdy, niżeli może myślał sam Trzycieski. Rozumié się: pod względem tylko wspólnego im obu poetycznego rodzaju; pod względem bo-

(1)

. . . . . poema sacro,

Al qual ha posto mano e cielo e terra. Parad. XXV, 1.

wiem poetycznej wartości, allegorya Reja tak mało lub jeszcze mniej jak wszelka inna może iść w porównanie z nieśmiertelnym dziełem florenckiego wieszca.

Wielki utwór Dantego obejmuje w całej pełni wszystkie poetyczne gatunki, i objawia we wszystkich głębokość uczucia, prawdę natchnienia, siłę wyobraźni i potęgę twórczości w rozległości i mistrzowskiej dzielności, w jakiej żaden inny poemat alegoryczny nietylko z nim mierzonym, ale nawet zestawionym być nie może. Liryka nie jest tutaj chwilowym i przechodnim ustępem, refleksem osobistego uczucia i subiektywnego zwrotu; przenika ona wskrós swoim wyostrzonym akcentem całe dzieło, które, jak z jednej strony jest epopeją ludzkości, całego średniowiecznego świata, tak z drugiej jest najsubiektywniejszym poematem duszy, jednym szczytnym hymnem jednej wielkiej indywidualności. Opisowy i elegijny element objawia się tu w tak ciągłych i wielkich obrazach i dźwiękach, w takiej malowniczości i muzyczności poetycznego uczucia, z tak niewyczerpanym nigdy darem przyjmowania i oddawania najstraszniejszych i najmiłszych, najgroźniejszych i najłodszych wrażeń, jakichby się podobnych przykładów razem tylko z całej poezji całej ludzkości, od wybujałych płodów gorącego Wschodu aż do powiewnych i powietrznych bladów Północy, może zebrać dało. Allegoryczność nie jest tu tylko igraszką rozumu i bawidełkiem dowcipu, ale najsilniejszą dźwignią twórczej wyobraźni; i oddaje całą świetną symbolikę chrześcijańskiego ducha i chrześcijańskiej sztuki w wielkości i uniwersalności, w systemie i konsekwencji, w jakich to tylko gocka jeszcze architektura była w stanie przeprowadzić. Satyra następnie, ale nie ta, o której rzymski ów poeta powiedział, że jej niepisać tak trudno; ale ta trudna i szlachetna, która powstaje na zepsucie nie w chęci wyszydzenia, ale poprawienia, która ze skrwawionym sercem robi wyrzuty w czystej myśli, i drżącą ze współczucia, acz silną przekonaniem ręką trzyma przed obecnością zwierciadło Meduzy; ta satyra i w tém najwyższym i najpiękniejszym znaczeniu, stanowi jeden z głównych żywiołów Boskiej Komedyi: gromi potęgą Tytana i jęczy żalem pokutnika, wyzywa niebiosą o pomstę, a piekło o litość, i karci kochanych i kochankarconych, z ironią tak pełną miłości, i z szyderstwem tak pełnym wzniosłości, o jakich tylko wyobrazenie dać może zlany razem gieniusz Juwenala i Jezajasza, najostrzejszego satyryka Rzymian i najszczytniejszego cenzora Izraela. Dydaksa w tém dziele

nie ogranicza się na pewnej drobnej tylko nauce, na jakiejś urwanej części ludzkich badań; obejmuje ona całą wiedzę epoki, odtworza całą chrześcijańską scholastykę w wielkich kształtach sztuki, i daje *poetyczną* sumę średniowiecznej mądrości, jak święty Tomasz dał jej filozoficzną. Przedewszystkiém zaś ważny jest stosunek tego poematu do dwóch najgłówniejszych i najczystszych form poezyi. Znaczenie epicznego żywiołu w Boskiej Komedyi już nam wiadome: widzieliśmy jak prawdziwie epicznie utwór Dantego obejmuje i zamyka jedną z największych epok ludzkości, i jak znakomitym i uniwersalnym jest wyrazem średniowiecznego ducha. Ale i dramatyczny element przeważnie w nim zajmuje miejsce i uzupełnia tę całość poetycznych gatunków, którą najwyższa ta allegorya nam przedstawia. Sama zewnętrzna forma dyalogu, która się tu nam ciągle objawia w rozmowach Dantego z Wirgilim, z Beatricą i z potępionemi lub zbawionemi mieszkańcami zaświata, nie wyczerpa jeszcze bynajmniej tego dramatycznego charakteru Boskiej Komedyi, równie jak epicznego jej charakteru nie wyczerpa sama zewnętrzna tylko forma opowiadania. Cały bowiem wewnętrzny układ tego poematu, cała jego fizyognomika i patologia, cały rozwój, i jeśli tak rzec można, sceniczne urządzenie noszą cechę prawdziwej dramatyczności. Figury i sytuacje nie rozwijają się tu w tej spokojnej rozwlekłości i powtarzającej się rytmiczności epopei; ale przemijają krótko i pospiesznie w tej skąpej charakterystyce i ciasnym obwodzie, w tém streszczeniu głównych tylko rysów, w tej aktualności i momentalności, które są tak wydatnemi przymiotami dramatu. Dante nie jest tylko opowiadaczem, ale zarazem widzem i współdziałającym: i „czas mu ściśle wymierzony”, (1) jak każdemu widzowi i aktorowi scenicznego dzieła. Jeśli to prawda następnie, że podstawą epopei jest przeszłość, dramatu zaś terażniejszość: to i pod tym względem dzieło Dantego do tej drugiej poetycznej formy zbliżonóm będzie: wszystko się w niem bowiem odbywa nietylko *formalnie* w czasie, ale i *realnie* w charakterze terażniejszości, i wszystko zamiast w perspektywniej dali podania, w bezpośredniej tu leży akcji. A gdy do głębszych jeszcze psychologicznych cech sięgniemy, łatwo się przekonamy, że w całym tym poemacie panuje patetyczność i perypetalność, dyalektyka

(1) Lo tempo é poco omai, che n'è concesso,  
E altro é da veder. Inf. XXIX, 11.

uczuc i analityka wrażeń, gwałtowna i skokowa klimaks scen i objawów, które wszystkie bardziej tragiczne niż epiczne jemu nadają atrybucye. I jakież wreszcie poetyczne dzieło wypełnia wierniej te dwa wielkie warunki obudzenia zgrozy i litości, które Arystoteles wszelkiej prawdziwej przepisał tragice, jak ta Boska Komedia, co „wieczne cierpienie i pierwszą miłość” (1) zarówno objęła, i z tą samą siłą nieskończone katusze piekła, jak wieczne uciechy raju skreśliła?

Jeśli tak pod względem wewnętrznej swój poetycznej wartości dzieło Dantego przewyższa wszystkie tego rodzaju allegoryczne poemata, niemniej góruje ono nad niemi pod względem zewnętrznego historycznego stanowiska; a gdy sobie przypomniemy, że cała ta w ogóle poetyczna forma nierównie większe jako historyczny fenomen, niż jako czyste dzieło sztuki ma znaczenie, lepiej jeszcze zmierzym całą ważność *tego* właśnie przymiotu Boskiej Komedyi. Poezya chrześcijańska w całym swoim ogólnym wzięcia rozwoju, rozpada się na dwa wielkie, ściśle od siebie rozgraniczone okresy: epiki i dramatyki; i każdy z tych okresów charakterystycznie korresponduje z równoległemi dwoma dziejowymi zwrotami chrześcijańskiego świata. Uniwersalne i we wszystkich życia objawach *katolickie* wieki średnie były tak naturalną i historyczną dziedziną epiki, jak analityczne i dyalektyczne nowsze czasy dramatyki; do tamtych też należą wyłącznie wszystkie wielkie cykle Karola i Arthusa, Sygfryda i Dytrycha, Alexandra, Cyda i Łaza; jak do tych znowu wyłącznie należy scena Shakespeara, Lopego i Calderona, Corneilla, Racina i Moliera, Lessinga, Schillera i Goethego i t. d. Można powiedzieć, że jak wieki średnie nie wydały jeszcze prawdziwego dramatu, tak wieki nowsze żadnej już prawdziwej nie wydały epopei. Czas przesilenia tych dwóch najwyższych poetycznych form jest wiek XIVsty i XVsty: ten historyczny okres, któryśmy już pod tyłą innemi względami jako epokę przekształcenia i przetworzenia poznali. Jak z jednej strony zagłusza się coraz bardziej w tym okresie dawna średniowieczna epika, tak z drugiej w dramatycznych misteryach, passjach i allegoryach pokazują się w nim coraz przeważniej początki przyszłej nowoczesnej sceny: i nic charakterystyczniejszego pod tym względem nad tę nazwę i for-

(1) „eterno dolore..... e'l primo amore” ze znanego napisu piekła.

Inf. III, 2—6.

mę *allegoryi*, którą tak wydzwiczająca się teraz epika, jak powstająca dramatyka w tym czasie przybiera. I w tymto właśnie okresie, w tej chwili przesilenia się całej chrześcijańskiej poezyi, gdy z jednej głównej formy w drugą się przelewa, powstaje Boska Komedia Dantego, zamykając jedno wielkie koło średniowiecznej epiki i roztwierając zarazem drugie większe jeszcze koło nowoczesnej dramatyki, dając zarazem epiczną *wizyą* uniwersalnego świata i dramatyczną *passyą* indywidualnej duszy. To przeważne miejsce, które każda allegorya w szczególnych dziejach szczególnej poezyi każdego narodu zajmuje, to miejsce zajmuje allegorya Dantego w ogólnych dziejach ogólnej poezyi całego chrześcijaństwa. Boska Komedia jest uniwersalną i absolutną allegoryą w uniwersalnym i absolutnym rozwoju twórczej wyobraźni chrześcijańskiego świata.

I tu się nam może wytłumaczy także ten tajemniczy i zagadkowy tytuł *Boskiej Komedyi*, którego objaśnienia najmniej w Dantem samym i w znanym ustępie z jego listu do Cane Grande della Scala szukać wypada. *Boskiem* wprawdzie nie wieszcz sam, ale późniejsza dopięro uwielbiająca potomność nazwała to dzieło: mimo swego wielkiego gieniuszu i zupełnej o nim świadomości, lub może właśnie dlatego, był Dante dalekim od tej gorszącej manii naszych nowoczesnych poetów, wspinających się każdej chwili Bogami na paluszkach wzdętej pychy. Ale nazwy *Komedyi* udzielił już sam wieszcz nieśmiertelnemu swemu dziełu (1). Gdybyśmy na objaśnieniu poprzestać musieli, które sam Dante podaje, małoby nam zaiste na tém zależało. Trzy są, według niego, główne formy poezyi; tragedia, satyra i komedia, z których pierwszą cechuje szczęśliwe wyjście a nieszczęśliwy koniec; ostatnią zaś przeciwnie nieszczęśliwe wyjście a szczęśliwy koniec: komedią więc nazwał swój poemat, bo ze smutków piekła prowadzi do błogości raj... Ale cały ten dziwny wywód, który jeszcze w XVtym wieku wiernie powtórzył Santillanna w swojej *Comedieta de Ponza* (2), jest jedynie nam ważnym pod względem świadectwa, jakie daje o zupełnie mylnych

(1) W samym poemacie. Inf. XVI, 128 i XXI, 2.

(2) Yo comenzé una obra à la qual Elame Comedieta de Ponza, e tituléla deste nombre, por quanto los poetas fallaron tres maneras de nombres à aquellas cosas de que fablaron, es a saber: tragedia, sátira, comedia. Tragedia es aquella que contiene en si caydas de grandes Reys ó Principes.... cuyos nascimientos e vidas alegremente se comenzaron. e gran

i scholastycznych wyobrażeniach, które tak Dante jak i wiek jego miał o gatunkach poezji; nie usprawiedliwia on w niczem dziwnego, a jednak tak znaczącego tytułu. Usprawiedliwienie to dopiero dać nam jest w stanie pogląd na cały rozwój chrześcijańskiej poezji i na historyczne stanowisko, jakie w niem zajmuje Boska Komedia. Tu dopiero poznajemy, że poemat ten, jak epiczną swoją formą zamyka epikę średnich wieków; tak dramatycznym swym tytułem zapowiada dramatykę nowszych czasów; i że nazwa komedyi, jaką tu allegorya przybrała, jest tak charakterystyczną i historyczną, jak nazwa znowu allegoryi, którą naprzemian i w tym samym własnym czasie przybierała powstająca komedia.

Epopeją więc i allegoryą jest wielki śpiew Dantego. Obejmuje on całość poetycznej myśli średniowiecznego chrześcijaństwa i całość jego poetycznych form; jest ostatecznym słowem schodzącego świata i pierwszą zapowiedzią nowo powstającego: przeszłość i przyszłość, tamta w swych owocach, ta w swych zarodkach, zarówno w nim złożone. Poemat to najuniwersalniejszy twórczego ducha ludzkości; poemat, jak sam wieszcz raz w uczuciu swój wielkości powiada, „święty, do którego przyłożyły ręce niebo i ziemia“: niebo i ziemia całego chrześcijańskiego świata.

\*

Na dzieło tak rozległe jak świat, stanowiska zapatrywania się tak są liczne i różnorodne, jak na świat samy. Od pojawienia się też tego wielkiego poematu aż do najnowszych czasów nie brakło mu na mozolnych badaczach i świetnych umysłach, z których każdy z różnego i odmiennego punktu szukał pojęcia i objęcia tego najwyższego utworu średniowiecznej poezji. Kilkadziesiąt już lat po śmierci florenckiego wieszca, wzniesiono w różnych miastach włoskich publiczne katedry dla wyjaśnienia i wykładania Boskiej Komedyi: Florencyja, ojczyzna tego wielkiego męża i ta, co za życia na sromotne go wskazała tułactwo, pierwsza po jego zgonie dała przykład takiego wielkiego uczczenia; i pierwszym, co tę godność tłumacza Boskiej Komedyi w tém mieście piastował, był ów Boccaccio, co własnym już światłem tak wspaniale na gwiaź-

tiempo se continuaron, e despues tristemente cayeron.... Comedia es dicha a quella cujus comienzos son trabajosos, e despues el medio e fin de sus dias alegre, gozoso e bien aventurado; e deste usò Terencio Peño, e Dante en el su libro, donde primero dize aver visto los dolores e penas infernales, e despues el Purgatorio, e alegre e bien aventuradamente despues el Parajso.

Santillana, Comedieta de Pouza (ed. Ochoa) p. 2.

dzistém niebie włoskiej poezyi jaśnieje, i którego niedokończony niestety komentarz jest jedném z najbogatszych źródeł dla obszernych studyów nad naszym poematem. Jeśli to w większej części prawda, co powiedział niemiecki filozof, że wielki gieniusz wskazuje małe umysły na wyjaśnienie siebie: Dante i pod tym względem od reszty się gieniuszów odznacza, że zaszczytny trud explikowania jego wzięły na siebie wielkie umysły i wielkie nawet gieniusze: objaśniali go Boccaccio i Filippo Villani, Benvenuto da Smola i Mario Filelfo, Giovanni de Serravalle i Schelling; objaśniał go i ten pod tylą względami podobny mu wielki Michał Anioł, chociaż to w odmienny od innych, sobie właściwy i twórczy sposób uczynił: wykonywając do Boskiej Komedyi *illustracye*, których zatraty każdy miłośnik sztuki i wielbiciel tych dwóch gieniuszów wiecznie żałować będzie. Indywidualne i zbiorowe prace nagromadziły się wiekami koło tego wielkiego pomnika wielkiej epoki. Roku 1350 wyznaczył arcybiskup medyolański Giovanni Visconti „dwóch teologów, dwóch filozofów i dwóch mieszkańców Florencyi” do wspólnego opracowania Boskiej Komedyi; a na soborze Kostnickim, na początku XVgo stulecia zajmowali się wielcy ustawodawcy kościoła w wolnych godzinach studyami nad Dantym. Odtąd nie ustawały umysły w rozbiórach i badaniach, i wieki pracowały nad poznaniem poematu, na którego utworzenie wieki się przedtém składały: sama bibliografia o Dantym, samo wyliczenie tytułów dzieł o nim traktujących, dały jeszcze w najnowszych czasach powód do osobnego, objętością swoją prawdziwie przerażającego dzieła. I do jakichże drobnych poszukiwań i mikroskopicznych badań zeszła ta chęć poznania florenckiego wieszczka! O samych zewnętrznych faktach jego życia spisał Pelli cztery pełne najgruntowniejszej pracy tomy; o samej jego miłości, prócz tylu innych, traktuje Arrivabene w osobném piśmie; nawet o tym raz jedyny w Boskiej Komedyi wzmiankowanym *psie allegorycznym* (*veltro allegorico*) znalazł Carlo Troja sposób napisania mozolnego i szacownego dzieła! Bo i czegoż nie dokaze miłość — nawet miłość uczonego, dla wielkiego przedmiotu! Boska Komedyja, powiedział trafnie jeden z jój badaczy, podobną jest do wielkiej spuścizny, którą słabe i zubożale potomstwo, któremu się dostała w udziale, musi rozdrabniać, by ją uprawić. Lecz i ci nawet, co nad masę szczegółów się wzniesli do ogólnego poglądu i *całość* tego wielkiego utworu objąć się starali, z ilużto i oni znowu różnych stanowisk na dzieło Dantego się

zapatrywali; ileżto i oni osobnych do tego poematu podawali kluczków! I że tylko o nowoczesnych i celniejszych wspomnę badaczach, wystarczy już powiedzieć: że Rosetti i Ugo Foscolo szukali w Boskiej Komedyi polityczno-religijnęj allegoryi; że Schlosser do nięj czystą miarę historyi przykładał; że Ozanam przedewszystkiem na zawartą w nięj scholastyczną filozofią zwrócił uwagę, a Schelling etyczno-estetyczne jęj stanowisko starał się oznaczyć; że Kopisch w nięj głównie mistyczną i symboliczną stronę wyjawiał, a Labitte ją na legendarne pierwiastki chrześcijaństwa rozłożył (1).

Ta *ubiquitas*, jakby tu powiedział scholastyczny Dante, w wybieraniu sobie stanowiska, z którego się na dzieło jego zapatrywamy, znajduje niezawodnie swoje wytłumaczenie w uniwersalnem znaczeniu samego dzieła, w jego nieskończonym widnokregu, w niezmierzonej encyklopedyczności uczuć i myśli, faktów i kształtów, dogmatów i teoremów, które w sobie objęło. A jednak łatwo to każdy uczuje i uzna: dzieło, które z natury swojej właśnie tak niepodobnem jest do objęcia ze wszystkich punktów na raz, powinno zarazem i z natury swęj właśnie mieć jedno główne *punctum saliens*. Ten utwór, który *dozwala*, by go z różnych stron oglądano, musi jednak *żądać*, aby to przedewszystkiem z jednéj strony głównie czyniono. Obok téj *dowolności* poglądu, która wypływa z jego rozległego obwodu, musi znowu wypływać z jego dośrodkowego znaczenia pewna *konieczność* poglądu, konieczność, którą ma w sobie każde dzieło twórczęj wyobraźni. Jednem słowem: Boska Komedia nie jestże przedewszystkiem dziełem sztuki? a jako takie, nie wymagaż ona, aby do nięj przedewszystkiem téż i miarę przykładano sztuki?... Że ta miara jęj jeszcze *całkiem* nie wymierzy, że zostawi wielkie reszty téj nieskończoności, którą wszelkie dzieło chrześcijańskiego ducha, a tém bardzięj takie w sobie zamyka... któżby o tém śmiał powątpiewać! Ale wystarczaż wszelka inna miara pod tym względem: i czyż historyczne, filozoficzne, mistyczne i t. p. zapatrywanie się nie zostawia wiele jeszcze, a może najwięcej do życzenia? A w takim razie miara sztuki nie będzież dla dzieła sztuki najwłaściwszą, najstosowniejszą, *najwięcej wymierzającą*?

(1) Nie odwołujemy się szczegółowo do tych i wielu innych prac, którym tyle zawdzięczamy; bo nie chcemy bez prawdziwęj potrzeby obciążać pracy czytelnikom. Wytłumaczy nas zresztą i wyłączny sposób naszego zapatrywania się.



Poemat Dantego, powiedział jeden z jego głębokich znawców, jest jak ta bazylika rzymska, na której zewnętrznem i wewnętrznem zwiedzaniu nie poprzestawamy, ale której nadto i podziemne pokłady poznać chcemy: przy blasku pochodni zstępujemy w jej świętą kryptę, która nas w coraz głębszą, rozgałęzioną i zawiłą katakumbę prowadzi; a gdy bez cofania lub zagubienia się stąpamy do końca, wychodzimy.... w pole dalekie, daleko od miejsca wejścia — i bazylikę nawet z oczu tracimy. Porównanie trafne: ale nauka, którą *my* sobie ztąd wyciągnąć pozwolimy, będzie ta: że, aby siebie i czytelników w takie pole nie wyprowadzić, najlepszem jest zawsze patrzeć na bazylikę rzymską jako na dzieło architektury, a na Boską Komedję jako na dzieło poezji — bo jako takie przedewszystkiem swoje wielkie i  *pewne* mają znaczenie.

Ze stanowiska więc przedewszystkiem sztuki i poezji, jakśmy się dotąd starali zrozumieć znaczenie poematu Dantego jako epepei i allegoryi, tak w dalszym ciągu będziemy usiłowali poznać jego składowe żywioły i wewnętrzny organizm.



## ŻYCIE I NAUKA.

---

Lepszy jest gniew niż śmiech: bo przez smutek twarzy poprawuje się umysł występnego. — A serce mądrych — kędy smutek; a serce głupich — kędy wesele.

*Ecclesiastes* r. 7—4, 5.

W białych ramach marmurowego kominka palił się suty ogień. Cztery świece osadzone w srebrnym świeczniku przeglądały się w ogromném zwierciadle, a wielka lampa świeciła wspaniale na bogato rzeźbionym palisandrowym stole.

Przy tym stole siedział zanurzony w miękko wystaném krześle były pan prezes, a naprzeciw niego świeżo i z *konceptem* przystrojona pani prezesowa. Oboje ludzie nie młodzi, ale i nie starzy; dzieci nie mieli, więc i lat nie było komu rachować! Zresztą, na tym starym świecie starych ludzi mało: takich mówię, którzy lat upłynionych nie ukrywają, ani się ich wstydzą; którzy są bogaci doświadczeniem bez krzywdy cudzej, a chociaż sami bliżcy grobu, wierzą w zmartwychwstanie żywych i umarłych.

O! mało takich starców na tym starym świecie!!

Pani prezesowa dla skrócenia czasu układała karty do *cierpliwości* (patience), a chociaż za każdym pomyślnym wypadkiem rozjaśniało się jęj oblicze, przecież po raz piąty i dziesiąty znowu zaczynała od początku. Przynajmy, że to wyborna rozrywka dla starych niewiast, które straciwszy oczy na czytaniu francuzkich romansów, nie nauczyły się w dzieciństwie jakiej machinalnej roboty — choćby tylko przewijania nici z kłębka na kłębek.

Pan prezes poziewając czytał ostatni Nr. Gazety Warszawskiej, niecierpliwil się nad Kuryerkową szaradą, głośno zażywał tabakę, spoglądał co chwila na zegarek, i był co się zowie w naj-silniejszym paroksyzmie nudów. Panowie medycy! czy nie macie jakiego lekarstwa dla znudzonych ludzi; dla tych biędnych

suchotników, w których życie z duchem wysycha? Znałem ludzi, którzy przez kilkadziesiąt lat na tę chorobę umierali— a umrzeć nie mogli! Ależ prawda! medycyna leczy tylko ciało: co jęj do duszy? — w anatomii nie ma o nięj wzmianki. Dawnięj— powiedział jakiś poczciwy człowiek—inaczęj traktowano pacjentów: lekarz najsamprzód wybadywał ducha, zaczynał od spowiedzi, od poznania skłonności, nawyknień i całej przeszłości swego pacjenta; wmówił w nięgo wiarę, pobudził do skruchy i wyjednał obietnicę poprawy. Tak uleczonemu i usposobionemu na duszy, pomagała najniewinniejsza mieszanina zwykłych pokarmów; recepta bez żadnęj komplikacyi cudowne sprawiała uzdrowienia. I były istotnie cuda, póki świat w nię wierzył, i prawdziły się na ludziach słowa Mistrza: „Wiara twoja uzdrowiła cię”. Dziś, kiedy zaginęła wiara w moc uzdrawiania, kiedyśmy nauką wytłumaczyli sobie cudowność, bez mocnęj wiary w naukę: cóż nas uleczy?—wiara? czy nauka? Mnieby się zdawało, że do wszystkiego najprzód wiary potrzeba; ani duszy, ani ciała bez nięj zbawić nie można. Więć najprzód wiara w życie, a potęm w naukę!

Widzieliście może kiedy jak się nudzi człowiek oderwany nagle od zwykłych czynności swoich, i niewiedzący odtąd na co go Pan Bóg stworzył, ani co dalej ma począć z czasem swoim i ze sobą. Przyzwyczajony do porządku, do obowiązkowęj zależności, do przestrzegania form miejsc i czasów, gdy się ujrzy nagle wyrwany z kółka zwyczajnych zatrudnień swoich, poczyna tęsknić i szukać czegokolwiek ku rozrywce. Nie znalazłszy nic godnego siebie, nie upatrzywszy sobie żadnego rozumnego celu, wymyśla nowy porządek życia, wedle zasad najnowszej higieny i najtańszego sposobu leczenia urojonych chorób; krótka recepta: ruch i zimna woda. Dzień się wtedy rozkłada na godziny, godziny na sekundy, i reguluje się, nie zegar do życia, ale życie do zegarka, tak, iż na każdą dnia godzinę przypaść musi odmienne usposobienie ducha, tego biędnego ducha! który stosownie do uczynionęj z samym sobą konwencyi, zmuszony jest w danym czasie pracować, myśleć, modlić się lub nudzić; musi o pewnych dnia godzinach czuwać i zasypiać; i tak w jarzmo głupięj woli wprzężony, on, boski promień, staje się niewolniczem narzędziem jakiegoś mechanicznego porządku. Dlaczego? Alboż ja wiem!

Godzina nudów w rozkładzie dziennym p. prezesa przypadała właśnie o tęj porze, pomiędzy zmrokiem a wieczorem, pomiędzy czarną kawą a herbatą. Byłato godzina nieprzyjmowania

nikogo i wypoczywania po trudach, godzina słodkiego rozmyślenia—o niczém. Wieczory tygodniowe miały także swoje specjalne przeznaczenie: jedne były dla serdecznych przyjaciół, drugie dla osób znakomitych!! trzecie, byłyto arcywładne literackie wieczory, na których szczęściem dla piśmiennictwa najmnieję się niém zajmowano.

Nudy p. prezesa i *patience* pani prezesowój, poprzedzały tym razem wieczór dla serdecznych przyjaciół, których gospodarz z widoczną niecierpliwością oczekiwał.

— I cóż kochasiu wypadło? — zapytał prezes z głośném poziewaniem — kiedyż powraca nasz pan Stanisław ze swego uniwersytetu? Z ostatniego listu miarkuję, że mu się już nauki sprzykrzyły, lub że zateśknął do nas; być może jedno i drugie. Nic dziwnego: młodemu chłopcu tyle lat siedzieć nad książką!.. i po co? i na co?—dodał wzruszając ramionami.

— As, dwójka, trójka i t. d.— mówiła prezesowa kończąc odrzucać karty, a odrzuciwszy ostatnią:—Wypadło! —zawołała—przewybornie! dziś, jutro, powitamy naszego doktora....

— I cóż znowu, doktora?!—przerwał niechętnie prezes.

— No, rozumié się doktora filozofii, fizjologii, filologii, teologii, i tego wszystkiego, czego się tam nauczył.

— To co innego!.... I spodziewam się, że nam wstydu nie zrobi, że przecież niedaremne były długie jego wędrówki po świecie: bo *entre nous soit dit*, to nas przecież dużo kosztowała ta mądra edukacya; ale za to będziemy mieli uczonego synowca!..

— Lękam się tylko, żeby francuzkiego akcentu nie stracił, żeby całkiem nie wyszedł na niemieckiego studenta; bo Niemcy szkaradną mają wymowę, rozumié się francuzką.

— Ale za to, powiada świat, mają naukę....

— Co po takiej nauce, kiedy jój w salonach naszych pokazać nie można; kto ma piękną wymowę, to o niczém będzie gadał, a wszystkich zachwyci....

— Bez wątpienia! bez wątpienia!—powtórzył prezes z coraz głośniejszém poziewaniem.

— Nasza Joasia, naprzykład, szkaradnie mówi po francuzku, i chociaż jój przyznają że ma dużo rozumu, z niczém się nigdy w towarzystwie nie wyda. Zawsze mi żal, żeśmy jój w dzieciństwie bony Francuzki nie przyjęli.

— Co tam! co tam! i tak męża dostanie; a może i lepiej, że się wychowała bez pretensyi i bez wielkiego zachodu; i po-cóż ma być koniecznie tak, jak wszystkie?....

Pan prezes zrobił niechcący bardzo trafną uwagę, szkoda wielka, że jej nikt więcej nie słyszał prócz jego żony, która we względzie wychowania zawołaną była konserwatystką i pragnęła serdecznie wszystko co żyło, na jedną skroić miarę, i pod jeden wyciągnąć sznurek. Pomiedzy wielką liczbą dziwnych utopij jestto jedna z najdziwniejszych: aby wyzucie się z indywidualnej samodzielności ducha, mogło być podwaliną ogólnego szczęścia!? Trudna rada! Co głowa to rozum!

Odgłos dzwonka u drzwi przedpokojowych przerwał tę pedagogiczną rozprawę, a po chwili wszedł mężczyzna, którego prezesowa lekkim skinieniem głowy powitała, zaś p. prezes wyciągnął doń rękę nie podnosząc się z krzesła.

— Witamy pana Kazimierza! Cóż się stało, żeś sobie o nas przypomniał? Już od kilku tygodni wyglądają cię tu nasi czwartkowi goście z wielkiem upragnieniem. To się niegodzi!...

— Przepraszam tych, którzy mnie wyglądali, lecz istotnie przyjść nie mogłem. Zbyt wiele miałem zatrudnienia.—Kazimiérz uściskał grzecznie, ale zimno, podaną sobie rękę prezesa, a na skinienie p. prezesowej głębokim odpowiedział ukłonem, tak, iż powitanie wyrażało dostatecznie zachodzący między osobami stosunek.

— Czy się znowu co pisze?— zapytała p. prezesowa.

— O! broń Boże! Mojém zdaniem, kto życie rozumie, ten mówi niewiele, a pisze mniej jeszcze.... Albożto życie ludzkie tłumaczy się samém pismem a mową?

— Ale kto ma talent i sławę autorską, ten pisać powinien; bo i cóżbyśmy zresztą czytali, gdyby się tego zdania wszyscy uchwycili?

— Gdyby mniej pisano, tobyśmy mniej czytali, i na tém koniec! A co do pożytku, nicby na tém świat nie stracił; przeciwnie, zyskałby nawet na zdrowiu, na siłach, gdyby mu zamiast niedojrzałych owoców, zawsze sumiennie sporządzony dawano pokarm. Boć zaprawdę, głodni jesteśmy na dziś, na teraz; a cóż mówić o jutrze?

— Trudno panu zaprzeczyć; tém trudniej, kiedy literat gniewa się na literaturę; lecz ja przy swoim zostaje, że kto umie, ten pisać powinien koniecznie.

— Jeżeli może, i jeżeli chce: potrzeba mu bowiem koniecznie tych dwóch warunków do utworzenia czegokolwiek na świecie. Wola i możność w połączeniu najściślejszém miejsca

i czasu, są tu wyobrażeniem owéj tajemniczo przepowiedzianéj dźwigni Archimedesesa, co ziemię z odwiecznéj posady ruszyć miała, i pchnąć ją na wielki gościniec Boży. Jeszcze się dotąd nigdy te dwie potęgi w danym czasie i miejscu z sobą nie zeszły; przeznaczeniem ich krążyć naokoło siebie, pożądać się wzajem a spotkać się... może nigdy. Świat, od czasów Archimedesesa „marzy o cudownéj dźwigni, a ziemia, starym zatacza się kręgiem!..

Kazimierz byłby daléj głosem wołającego na puszczy opowiadał królestwo niebieskie, gdyż oboje państwo ani o Archimedesie, ani o jego dźwigni nie słyszeli jako żywi; byłby im może dowiódł, przechodząc w najwyższe abstrakcyi rozumowania, że wynalazek druku zgubniejszym jest dla duszy, niż wynalazek prochu dla ciała ludzkiego: ale szczęściem, przybycie nowego gościa przerwało rozprawę.

— Witamy szanownego referendarza!—odezwał się prezes do wchodzącego; tym razem do połowy podniósł się z krzesła, a pani prezesowa poważniejszym powitała go ukłonem.

— Wybaczcie mi łaskawi państwo, że się nieco spóźniłem; żadną miarą wymówić się nie mogłem od obiadu danego na cześć nowo-zaślubionéj pary. A te proszone obiady, to istny zamach na zdrowie systematycznie żyjących ludzi! Po takim obiedzie recepta i doktor idą na wety; toć istne morderstwo!

— Trudno! — westchnęła p. prezesowa — nie byłoby życia społeczeńskiego bez osobistych poświęceń; sąto przykrości, których żyjąc w świecie uniknąć niepodobna: trzeba je znosić dla miłości Boga i bliźniego!

Kazimierz spoglądając w książkę ironicznie się uśmiechnął; czy z tego co przeczytał? czy z tego co usłyszał? — nie-wiem.

— To jeszcze hrabstwo nie wyjechali? — rzekł prezes, rozkładając karty na stole.

— Zatrzymała ich nowa opera i ostatni koncert sławnego skrzypka.

— Podobno sala była natłoczona, a bilety sprzedawano na kilka tygodni przed koncertem. Bodajto być artystą! nie ma lepszéj *karyery* pod słońcem. Ścisk był niesłychany!

— To nic nowego. Tak zawsze bywa, ilekroć się u nas jakiego zagranicznego talentu pojawi.

— O! wybacz pan, niekoniecznie zagraniczny; wszak mieliśmy tu i swoje rodzime talenta. O stronność we względzie oceniania artystów nie można obwiniać Warszawy.

— I to właśnie przynosi jój zaszczyt.

— Niewielki!—dodał z niechcenia Kazimiérz. Nikt nie zwrócił uwagi na ten przycinek, bo w téj chwili znowu zadzwoniono w przedpokoju. Wkrótce potém wszedł pan sędzia z synowcem, i jakiś cywilny, tytułowany pułkownikiem. Po bardzo serdecznych powitaniach i dopytywaniach się wzajem o szanowne zdrowie, starsi państwo zasiedli we czwórkę do wista i gra się rozpoczęła głębokiem milczeniem. Pan Xawery, synowiec sędziego, zasiadł za krzesłem stryjaska i pilnie spoglądał w karty; Kazimiérz założywszy ręce stanął przed kominkiem i czekał ko- goś więcej.

— A panna Joanna, czy wyjechała?—zapytał sędzia, któremu p. Xawery coś szepnął do ucha.

— Oh! Joasia wiecznie na usługach całego świata; jak wyszła przed obiadem, dotąd jój nie ma.

— Zapewne sprawuneczki damskie! Jużto nasze miejskie panie toby od rana do wieczora skupowały stroje i cacka; one więcej żyją w sklepach i na ulicy, niż w domach własnych.

— Co do mojej synowicy—przerwał pan prezes—rzecz ma się inaczej. Ona z domu mało wychodzi: dla własnej przyjemności prawie nigdy, dla własnego interesu rzadko; ale ma tam zawsze jakieś cudze interesa, za którymi i o północy wyjść gotowa.

— Oh! faworytka! faworytka kochanego stryja!—zawołał pan sędzia.—Prezes zawsze obrońcą płci pięknej.

— Niezawsze, niezawsze, mości sędzio dobrodzieju; co złe, to złe; ale co dobre, tego bronić muszę.

— Jestto sobie oryginalna kobieta, ta moja chrzestna córka—rzekł referendarz:—zawsze się z nią o coś wytkóć. A taki zuch! tak się niczego nie boi, aż miło! Lubię takie kobiety...

— Ja tam śmiałychkobiet nie lubię—rzekła sentymentalnie p. prezesowa.—Lękliwość jest nader ujmującym wdziękiem w panience i najwięcej się mężczyznom podoba. Co mi to za kobieta, która się niczego nie boi....

— No, zapewne!—dodał prezes—ale nasza Joasia jest sobie roztropne i odważne dziewczę, bez żadnych tam nowomodnych wybryków. Przecież z pistoletu nie strzela, fajki nie pali, wina nie pija i konno nie jeździ; a kiedy się z niéj nasze młode lvice śmieją i do swego bractwa namawiają, ona im odpowiada: że bez tego żyć można, a bez czego żyć można, to niepotrzebne.

Brawo! brawissimo! — zawołał pułkownik. — Gdybym był młodszy o jaki dziesięć, tobym się o rękę panny Joanny starał.

— Starać się, jak starać; ale niełatwo jój będzie dostać.

— No, proszę! A to dlaczego? — zapytał pułkownik zakręcając w górę szpakowate wąsy.

— Czy tam już kto zajechał do serduszka? — dodał sędzia spoglądając na p. Xawerego, którego baranie oczy nie odwracały się ani na chwilę od wachlarza dam, królów i asów w ręku stryja rozłożonych. Kazimierz tupnął nogą jakby zniecierpliwiony, że starzy ludzie o świętém sercu dziewicy tak lekkomyślnie rozprawiają; że nie szanują świętych tajemnic uczucia, oblekając je w brudną szatę głupich zalotów. Brwi jego zsunęły się ku sobie z chmurnym wyrazem, ale nie rzekł i słowa.

Na szczęście, w tój właśnie chwili weszła bocznemi drzwiami Joanna z zawiniątkiem i paczką książek pod ręką.

— No, przecież! To już czas Joasiu, już ciemno. Nie wypada samój kobiecie zmrokiem po ulicy chodzić....

— To prawda; ale ja nie sama wróciłam: odprowadzili mnie dobrzy ludzie aż do bramy....

Powitawszy każdego jak wypadło, odwiązała kapelusz i wszystko złożyła na stole. Kazimierzowi podała rękę, którą serdecznie uściskała.

— Jak się macie, panie Kazimierzu?.. Co tam u was nowego?... Ja wracam ze świata i dużo przynoszę nowin; tylko że one nie wszystkich obchodzą — dodała ciszej.

— Odemnie nic się pani dobrego nie dowiesz. Jak ptak złowrogi znad pobojuwiska, ja tylko zwiastuję walkę, lub przegraną po niej.

— Więc znowu? i jeszcze? i bez końca? — zapytała z wyrazem boleści Joanna.

— Jeszcze, znowu, i bez końca — powtórzył Kazimierz. — Albożto może być inaczej na świecie? — rzekł młodzieniec spoglądając na wistowe towarzystwo.

— Mogłoby — wymówiła Joanna z przyciskiem — lecz na taką chorobę trzeba czasu i silnej woli.

— Czasu nam Pan Bóg nie uskapił, możemy z nim czynić co nam się podoba; i bodajbyśmy uczynili wedle dobrej, a nie wedle złej i głupiej woli naszej.

— Oh! bodajbyśmy; a tymczasem nietrzeba się krzywić na lekarstwo, dlatego, że gorzkie i kwaśne; wypić je raczej od-



ważnie z nadzieją uzdrowienia i z wiarą w Tego, który zesłał chorobę ciała na pokrzepienie ducha. Nateraz zamiast płonnych życzeń, czynmy co można. Nie marnujmy życia wyczekiwaniem śmierci, lecz pracujmy jak mrówki, a módlmy się nadzieją jak ludzie.

I byłoby dziewczę utonęło w myślach dalekich a smutnych, gdyby jej Kazimiérz na nowo nie zagadał.

— I cóż dalej?

— Otóż zapomniałam. Nasze pocięchy i radości tak są podobne do smutku, a nasze nadzieje do rozpacz, że zawsze prawie jedno uczucie znajduje się w drugim.... Ból w rozkoszy, uśmiech we łzach, w smutku radość.... Oto odebrałam, pomiędzy innymi, list od naszego Stasia. Ale to list z innego świata, w którym *Sapientia* niby sól niesłona, martwo w księgach spoczywa. Aż się lękam o chłopa! Widzę z listów jego, że on dotąd żyje jedną tylko władzą swój istoty ludzkiej; że tam wszystkie najjaśniejsze promienie ducha skupiły się w zamgloną soczewkę rozumowania i dociekania rzeczy zaświatowych, a o życie, o nasze ludzkie życie nie widzę najmniejszej troski.... Powiadam wam, że się boję... i myślę nad tém, jak my też do siebie przystaniemy....?

Kazimiérz się uśmiechnął.

— Nie śmieję się pan z tego strachu; nie sądź, ażebym komukolwiek zazdrościła nauki, rozumu, talentu, nabytku wiedzy. Owszem, pragnę tego dla wszystkich jak dla siebie, tylko chciałabym lepszego, mędrszego skierowania tych Bożych darów ku powszechnój potrzebie. Przypominam sobie, jak ucząc się niegdyś historyi, gniewałam się zawsze na magów i kapłanów egipskich, na doktorów i nauczonych w piśmie, że przez głupią zazdrość pochowali klucze od skarbnicy, że sami nie odnieśli pożytku i drugim doń przystępu wzbronili, i że martwą naukę wszczepili w życie, aż samo życie obumarło!.... Ja się właśnie téj rozumnej śmierci najwięcej dla nas boję!

— Nie lękaj się pani o naszego Stacha: jak wróci do nas, to ożyje, i pogodzi panią ze spekulacyjnym kierunkiem rozumu i abstrakcyjną wybujałością nauki, i z tém wszystkiém, co nie będąc wprawdzie chlebem żywota, jest przecież solą chleba naszego powszedniego; a przyznaj pani sama, że bez téj soli chleb ziemski byłby mdły i niesmaczny.

— Daj Boże! — westchnęła Joanna — bo to, com dotąd widziała wracające z Zachodu, mało we mnie budzi miłości, a jeszcze mniej nadziei! I gotowam dziś uwierzyć, że piérwsi będą ostatniemi, a ostatni piérwszemi, jeżeli mądrość mądrych pozostanie jako teraz, wyrazem bez znaczenia w stosunkach ludzkich.

— Miałbym ochotę zaprzeczyć temu, ale pani rozpraw nie lubisz, a i tak jest na dziś ważniejszy przedmiot do rozbierania.

Joanna zapaliła świecę, wzięła robotę z koszyczka i zasiadła w pewnej odległości od wistowego towarzystwa.

Kazimierz zrozumiał to wezwanie i zajął miejsce przy stoliku naprzeciw Joanny.

Towarzystwo wistowe już drugiego rozpoczynało robra. Prezes w coraz lepszym był humorze, bo dał referendarzowi dwa szlemy; pułkownik niecierpliwił się roztargnieniem sędziego, który odrzucając karty bez względu na zasadę wistową, układał myślą ostateczne rozstrzygnięcie arcyważnej sprawy. Pan Xawery spoglądał milczkiem, zukosa na siedzących w drugim kącie salonu dziewicę i młodzieńca, a w głowie jego rosły jak na drożdżach zaloty, oświadczenie, zaręczyny i wesele. Słów wprawdzie nie dosłyszał, bo rozmowa toczyła się zcicha, poważnie; lecz łzawe spojrzenie Joanny i wyraziste oblicze Kazimierza, na wielkie doprowadzało go domysły. Bowiem pan Xawery ze zwykłą ludzi tego rodzaju przenikliwością, patrząc na świat i ludzi widział to tylko, co mógł, a nie widział tego, co było w istocie.

I nic w tém dziwnego.

Rozmowa toczyła się nad roztwartą książką; a treścią jój był podobno jakiś straszliwy dramat w umarłym świecie przez żyjących odegrany. Osnowa dramatu była straszliwie wzniosła i piękna, chociaż dla wielu niezrozumiała, dzika, przerażająca: jak prorocstwo Ezechielowo, jak skarga Jeremiego! Świat umarły kazał się żywym w grób poukładać, aby tam dnia sądu czekali; potem zasiadł na grobie ich i rozmyślał nad skonem własnym, a żywi płakali pod ziemią, pili łzy i krew swoją, tęsknili sercem do życia, do słońca, i modlili się nadzieją!... Lecz i tam znalazły się pokusy: bluźnierstwo rozpaczy głuszyło modlitwę nadziei. Jedni sercem, drudzy głową, a inni ręką podważyć chcieli wieko żelaznej trumny, rozbić nad nią skorupę ziemi, — i nie podolali!

A tymczasem psalm śmiertelny, żałobny przewiewał ponuro nad mogiłami ziemskimi . . . . .

W głosie młodzieńca, który opowiadał treść onego dramatu, odzywał się niekiedy jęk żalu, grom skargi i zgrozy; ale temu gromowi przydzwaniał nadzieją cichy głos Joanny, tworząc harmonią precudną i niewypowiedzianą w najśłabszych i najsilniejszych dźwiękach, łącząc w niej to wszystko, co dusza wyspiewać może z tajni swoich Bogu na chwałę, ludziom na zbawienie!

— Bracie! dajmy pokój tym żalom! To, czego odwrócić nie można, znieść trzeba. Zapobiegać złemu i odtrącać je od siebie całemi siłami—to nasza święta powinność; od żalu do rozpacz tylko krok jeden, a rozpacz to śmierć nierównie straszliwsza od tej, która tylko ciało nasze usypia na łonie ziemi... Zresztą—dodała z wyrazem świętego spokoju—czy nam trochę lepiej, czy trochę gorzej na tę jedną sekundę życia; czy mamy na ziemi, czy pod ziemią oczekiwać zbawienia, to wszystko jedno: kto po pracy legnie jako człowiek, wstanie człowiekiem; kto legnie jako bydlę, bydlęciami wstanie. Dlaczego, patrząc w niebo pogodne, za lada wiatru powiewem myślimy o burzy? a kiedy burza gromem zahuczy, rozdieramy duchem chmurne niebios a sercem płyniemy po jasnych błękitach przyszłości?... Dlaczego? —Bo człowiekowi odkupionemu krwią niewinnego, umrzeć rozpaczą niewolno!...

— W jednej jesteśmy zrodzeni wierze, i nawracać się nie mamy potrzeby. Ale kto chodzić musi po ziemi mgłą pokrytą, jak nasza, wśród skał stromych i bezdennych przepaści: ten niedaleko wzrokiem dosięgnie, ten bliższy ziemi na której stoi, niż nieba, którego pożąda... Może zbluźnię... lecz temu, chwila obecna jest wszystkiem, a przyszłość marzeniem, na ukołysanie boleści jego zesłanem!

— Oh! nie tak! nie tak bracie! Ja takięj wiary ani uczestniczką, ani współdziedziczką nie będę; ja z apostołem przeciw *nadziei, w nadzieję uwierzę*. Alboż to co jest, może kiedykolwiek nie być, zaginać na wieki, choćby nawet z błota lub gliny ulepione było? A jeżeli błoto i glina mają swą nieśmiertelność przeobrażeniem zawarowaną, jakżeż zaginać może to, co z Boga w nas poczęte, w imię światłości ochrzczone, w imię siły na męczeństwo bierzmowane; jakżeż, mówię, zaginać może to, co się stało ciałem wiary naszęj, i duchem życia naszego?

Kazimierz głowę na rękę pochylił, i sięgnął myślą na dno własnej duszy, a słowa Joanny spadały w nią jak krople chłodnej rosy w kielich pięknego kwiatu, który omdlał pod skwarem słońca.

Ci ludzie kochali się w sobie, najczystsza ludzką miłością; kochali się w sobie, ale *nie dla siebie*, nie dla jakichkolwiek osobistych widoków, nie z wyrachowanemi rozumnie następstwami, ale tak, z potrzeby serca, z myślą o Bogu i o ludziach. O takiej świętej miłości aniołowie w niebiesiech tylko zamarzyć mogli, a ludziom dano ją urzeczywistnić na ziemi, aby się miłością wzniesli nad aniołów samych. Świat umarły nic o tém nie słyszał; on, co powstał z ziemi i w ziemię powracał, z kądże miał słyszeć o miłości, która spłynęła po gwiazdach nie na ziemię, lecz w święte serca wybranych?

W starych księgach pisali o tém ludzie bardzo dawni, których później dzieci zimnego rozumu wysmiali; a wzięwszy uczucie na wagę osobistego zysku, wyrachowali najściślej, jakie ztąd wyniknąć mogą następstwa, jakie korzyści dla stron obudwóch; ni mniej, ni więcej, jak kiedy wypuszczamy w dzierzawę młyn, ziemię czy budynek. Pod prawem zimnego rozumu przerobiło się uczucie w lodowatą bryłę, wcale nieprzezroczystą, w bryłę zmarzniętego błota. Idealizm i materjalizm dobijali się o panowanie nad *próżnią*, nad tém czego nie było, nad ciałem bez duszy. Pierwszy porwał za sobą myśl ludzką w zaświatową tajemniczą przepaść; drugi, przybił nieśmiertelną do krzyża, poił żółcią i octem, najgrawał się z niej bluźnierstwem, i wołał głosem Saduceuszów nowego świata, głosem ludzi przeczących nieśmiertelności: „Gdzież jest zbawienie?” Gdzie to, co daje szczęście i spokój ziemskim jestestwom?... Myśl? czy świat w którym się ona przegląda?... Pytajcie serc waszych; jeśli one milczą, tedy nie ma dla was ani szczęścia, ani spokoju, ani zbawienia!

Powiedzcie temu światu, że dwoje ludzi, duchem rodzeni, sercem pokrewni kochają się miłością rzeczywistą, bratnią, nie myśląc bynajmniej o przekształceniu tego uczucia w żadną prozę osobistych stosunków, bez żadnych dla siebie widoków; powiedzcie światu, że wśród nas są takie dusze, takie serca: a ja wam przysięgam, że on nie uwierzy temu, i że się od was ze wzgardą odwróci, spotwarzy świętość jadem zawiści, i przed sądem ludzi obłudnych na wieki potępi!... I dlatego też nie rzu-

cajcie perel przed wieprze; ja wam powiadam: nie rzucajcie! bo je zdepcą nogami, nie poznawszy się na nich.

To, co jest święte, niech pozostanie w was do czasu. Wszak wiecie, że świętość wszelaka jest tajemnicą, której słowo ostateczne wypisane jest w niebiesiech ducha naszego.

O ludzie! bracia moi: czyliż wam wszystko przerobić trzeba na glinę i błoto, abyscie uwierzyli? Czy się wiecznie zastawiać będziecie bożyszczami rąk własnych przeciwko świętym ideałom, które są ziarnem wszelkiej doskonałości i wszelkiego piękna na niezmiernój niwie ludzkiego żywota! Glina się w proch rozsypie, błoto się w kał rozleje; ale czysty, święty ideał zapamiętuje duchowemu światu i przewodniczyć mu będzie w ogromnym jego pochodzie ku najwyższej światłości! Wtedy miłość gliny i prochu, błota i kału przepadnie na wieki wieków, gdy ujrzyte w ideale najwyższego piękna i dobra, to, czego nawet Mistrz wszelkiej mądrości ze względu na niedołęztwo serca waszego objawić wam nie mógł.

Takie chwile serdecznego rozmyśłu nad sobą, takie bierne wyczekiwanie lepszosci, jest tém dla duszy, czém sen dla ciała: przerwą życia i pracy. Jeżeli w tym śnie usłyszysz głos Pański, słowa prawdy przedwiecznej, a nie odpowiesz im natychmiast modlitwą czynu; tedy usniesz na wiek cały, aż przebudziwszy się nie zrozumiesz mowy żyjących, i zgorszysz się pracą synów światłości, którzy czuwali przez wiek cały! Wiek życia dla nich — wiek snu dla ciebie!

Lecz kto, jak mężowie galilejscy, usłucha głosu Pańskiego i weźmie na się moc Ducha, ten usnąć na wieki nie może. I będzie świętym, świętością usiłowań swoich; wielkim, ową niewypowiedzianą żądzą, która go za sobą w inny świat porywa, a porwać nie może; bo on ciałem przykuty do teraźniejszości, żyć w niej musi jako człowiek, i paść na ziemię Bożą jako najczystsze wysiane ziarno Chrystusowej prawdy, i zejść na niej kwiatem, owocem, chlebem duszy i ciała.

— O tak! strasznie nam ciężko pod tę górę doskonałości, — rzekł Kazimierz niby odpowiadając własnej myśli swojej, — a jeżeli nie poratujemy się wzajem, to wiek upłynie, a my jeszcze u jej podnóża pełzać będziemy.

— Szczyt góry niknie w zamglonych obłokach, to prawda, lecz z wysokości słyszymy głos wołający, abysmy przedewszystkiem zbudowali Panu świątynią wewnątrz ducha naszego.

— Gdyby nas tu podśluchał jaki znakomicie poważny człowiek, niewątpliwie rzekłby z politowaniem: Marzenie! poezya! ani odrobiny praktycznego życia!... Coś im się po głowie roi... Aż litość bierze! Ot, wypuście takich ludzi w świat, tożby piękne rzeczy zbudowali: domy bez drzwi i okien, kuchnie bez kominów, — wsie bez karczem, — miasta bez... różnych koniecznie potrzebnych rzeczy... Sąto po prostu romanse, niedowarzona polemika między głową a sercem, i nic więcej.

— A cóżby nam te ludzkie sądy szkodziły? — rzekła spokojnie Joanna. — Co do mnie, wolę ja moję poezyą, niżeli ich prozę; wolę czasem płacz, niż śmiech; bo śmiech i proza są przeżyciem, a łzy i poezya narodzinami wielkich rzeczy w ludzkości... Poezyą w życie wprowadzić, piękno duchowe uwidomić świętością czynu, aby to co jest bezkształtne i bezbarwne znalazło w mowie ludzkiej nazwanie i wypełniło się w życiu terażniejszym najświetniejszą i najświętszą prozą: w tém cała potęga myśli i uczucia, w tém zakon i prorocत्व!

— Nie przeczę. Lecz nim ideały wezmą na siebie kształt ziemski, nim się myśl oblecze w ciało, wprzód ziemia i ciało przeobrazić się muszą. A któż nie wie, czém było, jest i będzie wszelkie przeobrażenie?

— I cóż ztąd? Wiemy, że ono jest dla nas, dla wszystkiego co żyje, męką krwawą, straszną, niewypowiedzianą;... biczem, krzyżem, pokusą nad wszystko straszniejszą, walką szatana przeciwko Bogu i ludziom!... I cóż ztąd? Patrzmy, nim ziarno pszeniczne stanie się chlebem, nim wykruszone ze źdźbła dojdzie do ostatecznego przeobrażenia jakie mu myśl i wola człowieka nazaczyła; ileż to biędne ziarno ucierpieć musi pod sierpem, cepem, młyńskim kamieniem, i bezpośredniem działaniem wszystkich narzędzi męki swojej!... Pytajcie, co ucierpiał ów kamień, owa bryła kruszcu pod młotem i dłutem snycerza, nim się przeobraziła w kształt cudnego posągu, nim się artysta przejrzał w arcydziele myśli swojej, w ideale ziemskiego piękna!... I tak cała natura w boleściach się odradza; męką do coraz piękniejszych przychodzi kształtów, w coraz doskonalszą przelewa się modłę wedle myśli Bożej i ludzkiej. Lecz natura cierpi,

bezwładna celów swojej męki; ona pracuje bez nadziei, dlatego, że musi i że inaczej być nie może. Cierpienie każde nieświadome kresu swojego, nieuświęcone wiedzą i wolą, jest jak ono cierpienie głazu i ziarna: pożytkiem, lecz nie zbudowaniem ani poświęceniem życia. Kto cierpi z wiedzą o sobie, i z myślą o wielkiej a nieomylniej przyszłości; kto chce wprowadzić ideał świętości w życie ludzkie: ten niech zaczyna od przeobrażenia, niech krzyż weźmie na barki i pójdzie męczenników drogą.....

— Otóż właśnie ta droga jest dla mnie wielką, niepojętą tajemnicą, czasem pokusą zwątpienia, probierczym kamieniem wiary. I nieraz pytam Boga w gorącej modlitwie serca: „Na co? i dlaczego? Czém zawiniła ta biedna dusza ludzka, którąś Panie z łona twego wytrącił i na takie skazał męczarnie? Czemu potrzebne piekło ku zrozumieniu sprawiedliwości Twojej? Ty, któryś miłością świat stworzył, miłością go odkupił i samo piekło miłością pokonać obiecał!“

Wyrazy: *miłość*, *miłością*, wpadały jak najwyraźniej w ucho p. Xawerego, który mimowolnie wstał z krzesła, ażeby przerwać tę rozmowę, albo ją usłyszeć słowo w słowo, bez domysłów. Trzeba się było o coś zamówić, żeby się ni z tego, ni z owego przeprowadzić na drugą stronę salonu. Położył najprzód kapelusze i laskę na stole, potem dobywszy zegarka przystąpił do konfrontacji z zegarem domowym, następnie wziął jakąś książkę ze stołu, spojrział na pierwszą i ostatnią kartę, i znów ją położył. Wszystko razem było bardzo niezgrabne.

Tymczasem rozmowa po lewej stronie salonu na chwilę przerwana, zaczęła się z innego końca.

— Wystaw sobie pan, że nic a nic stosownego znaleźć nie mogę dla naszej Olesi! Prawie równie trudno znaleźć nauczycielkę uzdatnioną i sumienną w dopełnieniu swoich obowiązków, jak wynaleźć w domu prywatnym pomieszczenie dla kobiety pracującej z powołania nad wykształceniem młodego pokolenia.

— Co ma znaczyć: że się sami ze swoimi zejść nie mogą na tym świecie; że lepsi napotykalają najczęściej gorszych, a gorsi, lepszych;—i że to stanowi pewną równowagę pomiędzy złem a dobrem. Tylko że ta równowaga utrzymuje się prawie zawsze kosztem lepszych na korzyść gorszych.

— Czyli kosztem osób pojedynczych na rzecz ogółu. Niech i tak będzie! Toć oczywista korzyść. Gdyby się tak zawsze do-

brzy z dobrými, a gorsi z gorszymi spotykali, tedy jedni i drudzy pozostaliby tém, czém są, i ziemiaby się nagle na swój osi zatrzymać musiała; a coby ztąd wynikło?...

— Śliczne to rozumowanie na zimno, kiedy nas ogień nie parzy. Lecz niedarmo jesteśmy ludźmi, i niewolno nam się wyrzec całkowicie swój indywidualności na rzecz ogółu, ani wypożyczyć duszy swój na niepewną hypotekę i żywić się lichwą w przyszłości obiecaną. Wszystko na jutro! To niepodobna; kto głodny na dzisiaj, ten o chlebie jutrzejszym nie myśli; zresztą, nam biędnym żyjątkom czegoś więcej potrzeba, niż samych nadziei.

Pan Xawery słuchał téj rozmowy jak niemieckiego kazania, i nie a nie rozumiał.

— O coto państwu chodzi?—zapytał zwracając się do Kazimierza.

— O nic w świecie!... prócz tego, coś pan słyszał.

— Słyszałem wprawdzie, ale nie rozumiem.

— Tém gorzej. Oto panna Joanna utrzymuje, iż należało Panu Bogu tak sprawy ziemskie urządzać, aby się złe z dobrem nigdy nie spotkało.

— Ale proszę tak słów moich do swój myśli nie nakręcać! —przerwała z uśmiechem Joanna— i nie bawić pana Xawerego łamigłówką, bo się na nas pogniwać gotów.

— Nie jestem obrazliwy, i znam się na żartach; ale istotnie w łamigłówkę bawić się nie lubię.

— Ani ja— rzekł Kazimiérz podając Xaweremu rękę — więc zgoda!

— I owszem. A teraz czy wolno zapytać, co pan Kazimiérz przed chwilą tak pięknego, tak ciekawego czytał?

— Więc pan słyszałeś?

— Słuchałem, ale nie słyszałem, i dlatego się pytam.

— To co innego. Teraz ja znów zapytam, dlaczego pan nazywasz piękném i ciekawém to, czego nie znasz? Wszak piękno i dobro są rzeczy nader względne, rozmaicie przypadające do naszych indywidualnych usposobień; to, co u jednych jest piękném, być może szkaradném dla drugich: jak twarze czarne dla Europejczyków, a białe dla murzynów. Pojęcia estetyczne tak we względzie materyalnym jako i we względzie duchowym rozmaicie się kształcą, wyrabiają się różnostronnie, i dlatego to nic bezwzględnie dobrem i pięknem nazwać niepodobna, oprócz.....



— Otóż tego *oprócz* jestem bardzo ciekawy.

— Oprócz wielkiego, poświęceniem i miłością natchnionego czynu!

— Spodziewałem się czego innego.

— Nic dziwnego. Ja mam dzikie wyobrażenia o ludziach i rzeczach; już mi to nieraz na świecie powiedzieli.

Trzeba przyznać, że pan Xawery był człowiekiem rzadkiej cierpliwości, i znakomicie dyplomatycznej powagi, kiedy mu ta zimna, docinkowa ironia krwi nie zamącała. Ale i to prawda, że są na świecie ludzie bardzo szczęśliwi, o których się objija wszystko złe i dobre, jak o pancerz stalowy, i nie draśnią ich nawet. Oni w siebie nic nie wezmą, i nic też z siebie nie dadzą: są na świecie, jak gdyby ich nie było; przejdą na ziemi bez śladu, i nie zostawią po sobie ani łzy, ani westchnienia! Biedni ludzie! Cóż oni temu winni, że w nich życie zmartwiało, i że nie rozumieją owych świętych szaleńców, którzy płaczą cudzemi łzami i cudzą troską boleją?... Cóż oni winni, że ich w księdze żywota czytać nie nauczono?

Dziewiąta godzina wybiła. Sędzia spoglądał to w karty, to poza siebie na pana synowca; prezes już wcale nie poziewał, referendarz po raz dziesiąty powtórzył swoje ulubione przysłowie; pułkownik milczkiem pokręcał węża, a prezesowa dzwoniła, ażeby podano herbatę; kiedy nagle rozległ się przed domem odgłos trąbki pocztarskiej, a po chwili, w szeroko rozwartych drzwiach salonu, zamiast tacy z herbatą ukazała się postać młodego człowieka, który zatrzymawszy się w progu, niby olśniony blaskiem nagłego światła, powiódł wokoło badawczym wzrokiem, i zdaje się nic nie zobaczył przez swoje zielone okulary. Nie powiem wam, jakie ten człowiek miał oczy, usta i włosy, bo i co to kogo obchodzi. A jeżeli chcecie poznać człowieka, to zawsze najprzód patrzcie mu w serce, a potem patrzcie na ręce, jakie tam na nich ślady; z tego dwojga poznacie wszystko.

Ku temu co stał we drzwiach poskoczyła najprzód Joanna, i z serdecznym uściśnieniem zawołała:

— To ty Stanisławie! ty!

Kazimiérz wyciągnął do niego ręce, spojrzeli sobie w oczy, i jeden drugiemu rzucił się na szyję, i znów spojrzeli na siebie, i znów się uściskali, jak brat z bratem, jako rodzeni myślą i sercem. A co tam uczuć na raz zagrało w piersi młodzieńczej, tego wam nikt nie wypowie!

Próżność próżności i wszystko próżność.

*Ecclesiastes, r. 1—2.*

Od kilku tygodni dom pana prezesa z całą swoją systematyczną powagą i zegarkowym porządkiem nadwyzwyczajnie uległ przemianie. Godzinyienne i wieczory tygodniowe rozmaicie bywały zajęte; zaprzestano się rachować z czasem, zegary domowe zaczęły bruździć, wszystko się działo naódwrot, służba straciła głowę, a pan prezes wyraźnie odmłodził. Cóż było przyczyną téj cudownej metamorfozy w domu pana prezesa? Oto powrót doktoryzowanego synowca, którym się chciano popisać w obec areopagu literackiego, oto *próżność próżności*, która krąży w powietrzu, niby płyn elektryczny, i wypełnia piersi nasze mimo woli, mimo wiedzy, tak, iż dziwném zrządzeniem samą oddychamy próżnością. I gdybyśmy nawet w najlepszej wierze uniknąć chcieli jój wpływu, gdybyśmy się od niej murem obwarowali, nic to nie pomoże, ona się przecież jaką tajemną szczeliną w duszę zakradnie, i tak nam zapanuje, że się serce z rozumem obliczyć nie potrafi.

Owóż wieczory literackie podwoiły się w tygodniu, a uczeni wszelkiego rodzaju, młodzi i starzy autorowie, nudni i dowcipni ludzie, badacze nauk przyrodzonych, anatomici systemów filozoficznych, krytycy, poeci, artyści, zbierali się tłumnie w salonie p. prezesowej, najprzód dla zaspokojenia własnej ciekawości, dla zobaczenia się z tym lub z owym, a nakoniec wracając do początku, dla dogodzenia kochanej próżności, i oznajmienia najmniej tego ciekawym, że się było na literackim wieczorze.

Bogiem a prawdą trudno powiedzieć, jaki był cel rozumny tego peryodycznego zbiegowiska, czego ci ludzie od siebie chcieli. W tak różnorodném zgromadzeniu wszystkiego kupić było można za tanie pieniądze: były tam plotki miejskie, nowinki brukowe, zakulisowe anegdoty, bardzo dowcipne *reparties* jakiegoś milionera; dalej, wskrzeszono wystawę londyńską, rozwodzono się *da capo* nad przeszłorocznemi mazurkami Kontskiego, nad nową operą, nad ostatnim baletem, nad krojem fraków i najpiękniejszą suknią balową; słowem, nie zapomniano o nicém. Najważniejsze kółko w tém zgromadzeniu zajęte było estetycznym rozbiorem dzieł p. Chateaubriand'a, a mianowicie pośmiertnych jego pamiętników, których najwyższą zaletą jest właśnie to, że są pisane nad grobem, czyli zpoza grobu, i że nam *dalejszym ciągiem* nie grożą. Wieczny odpoczynek niebo-

szczykowi, co sobie przed *śmiercią* taki pomnik wystawił, i z taką pychą w grób się położył! Człowiek, który się sam za życia *wielkim* nazywa, zaledwie litości godzien. . . .

Tu jacyś państwo spierali się żywo o *Humor i prawdę* autora *Krytyki filozofii* K. L. Ktoś utrzymywał, że autor w najwyższym stopniu miał słuszność, zaprzeczając kobietom twórczości, i dowodził z jakiejś tam fizyologicznej zasady, że duch ludzki w ciało niewieście ubrany, traci najwyższe namaszczenie swoje, nie z siebie wypłatać nie potrafi, i zaledwie posiada zdolność przyswajania sobie tego, co duch męzki z trójnoga nieomylności swojej wypowiedział zdumionemu światu.

Wszyscy przyklasnęli tak oczywistej prawdzie.

— Za pozwoleniem, o jaką tu idzie twórczość? — przerwał Kazimiérz.

— O jaką? — odezwał się ktoś pogardliwie, — wszak pan slyszales, o twórczość gieniuszu, o plastykę. . . .

— Aha! rozumiem! Ale jabym powiedział, że to, co w najuczniejszym pokładzie uczonego świata zowie się twórczością, arcydziełem plastyki, bywa częstokroć zaledwie bardzo mierną kompilacją z różnorodnych złożoną pierwiastków, niezręcznym przerabianiem pożyczonych myśli, i niczym więcej. Zkądże mamy prawo przywłaszczania sobie tego, czegośmy nie otrzymali? Zresztą, przyznam się państwu, nie chodzi nam tak dalece o dar tworzenia ladajakich dziwolągów, i nie chcemy tego nikomu za niedostatek umysłowych zdolności pocztać, jeżeli takowych nie stworzył. Wszak natura cała, ono wielkie dzieło boże, jest niczym więcej, jedno niezmierną, różnorodną kompilacją, jest wiecznym przetwarzaniem i rozwijaniem się na łonie wiekuistej potęgi, która sama jedna jest twórczością bezwzględną i niewyczerpaną. Dajmy temu pokój! Bo i cóżeśmy stworzyli kiedykolwiek o własnej sile, *cóż posiadamy, czegobyśmy nie wzięli?* i gdzie jest dzieło myśli, któreby własnością człowieka nazwać można? . . . Wieki i pokolenia składały się na nas; na to, co my dziełem swoim zwiemy, a co wszakże nie jest ani dziełem naszym, ani przeszłości, ani przyszłości, ale trudem i pracą wszystkich, a dziełem Pańskim. Wszystkiegośmy sobie u Boga pożyczyli, a najprzód świętej myśli, którą się wzajem obdzielamy; dostawszy ją w spadku po innych, znów ją innym przekazać musimy: aleśmy jej nie stworzyli, nie wzięli na własność doczesną, ani na osobiste dziedzictwo! . . .

Wszyscy słuchali uchem, a nikt rozumieniem.

Istotnie Kazimierz urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Ludzie, do których mówił, albo go nie słuchali, albo go nie rozumieli. Najświętsze uniesienia, najlepsze chęci, przyjmowane były obojętnie, z szyderstwem, jeżeli nie z oburzeniem; jednem słowem byłto człowiek nieznośny, pedant, zarozumiały, który całemu światu wypowiedział wojnę, i porwał się nań, jak z motyką na słońce. *Vox populi vox Dei* było może prawdą kiedyś, ale nie teraz, i jeszcze być może prawdą, ale niezawszel.

— Dostyc na tém, że ów niedostatek umysłowy w rodzie niewieścim, nie jest ani tak wielkiem dla nich upokorzeniem, ani takim dla nas nieszczęściem, ani taką dla ludzkości stratą, izby warto było tego dowodzić, lub temu zaprzeczać. Niech sobie będzie jak jest!

— Niegodziło się tak sztuki zakończyć! — odezwał się rozparty w krześle mężczyzna — do czego to podobne, żeby publiczność z teatru zaszlochana wychodziła, kiedy tak łatwo mógł ją autor w dobry humor wprowadzić pomyslném rozwiązaniem intrygi, na rzecz przesładowanych kochanków.

— Ale zapewne, koncept najniedorzeczniejszy! Dostyc rzeczywistych smutków na świecie, po co ich szukać w złudzeniu, i smuć się za swoje pieniądze. . .

— Bodajto owe precudne bajki o zaczarowanych królewnach, któremi nas pocziwe nianki usypiały; tam się wszystko działo po myśli naszój! „*Ożenił się król z królewną, jedli, pili, na wiewat z armat strzelali, i długo szczęśliwie żyli*” (1). Niegdyś byliśmy z tego bardzo zadowoleni, ale już teraz, nierównie mniej, bo nawet w bajce szukamy prawdy, gorzkiej czy słodkiej, byle prawdy. Dlatego i w książkach i w utworach scenicznych usiłujemy wiernie przedstawić świat ludzki jakim jest, aby się z tego dowiedział jakim być powinien; nie ludzimy go szczęściem, którego nie ma, ani cnotą, której nie posiada: wolimy go przedstawić w całym jego niedostatku, i podać mu sposoby okrycia swój nędzy, niż go usypiać pozorami szczęścia i chwały. Bajka o tym dziwnym olbrzymie jest innój zupełnie treści! Tam epopeje i epizody nie rozwiązują się weselem; koniec ich najczęściej krwawy, dziki, szalony! Dlatego właśnie, że przez długie czasy usypiano dzieci bajkami o zmyśloném szczęściu, o czarodziej-skiej lasce, mocą której złe pokonywało się dobrem, a życie szło składnie i pięknie; dlatego, mówię, nie mogli się ludzie pomiarkować

(1) Taki, o ileśmy słyszeli, jest koniec wszystkich bajek o zaklętych królewnach.

z rzeczywistością, gdzie wszystko działo się naodwrot, i uznali, przechodząc z praktyki do teorii, że owe Mojzeszowe: „...Aby ci się dobrze działo, i abyś długo żył na ziemi”, miało pod pewnym względem niemoralną zasadę.

— To, z czém się pan odzywasz, jest właśnie niemoralne!—odezwał się jakiś zapérzony jegomość.—A to zkąd i dlaczego?..

— Oto dlatego, widzisz pan dobrodziej, że się ludziom onego czasu zachciało nagrody za poczciwość, i to jeszcze bardzo prędkiej nagrody, bardzo osobistej i bardzo materyalnej; a jeżeli jój się doczekać nie mogli, tedy tracili wiarę i szemrali przeciw Opatrzności, zamiast poczuć się w błędzie i być poczciwym dla samej poczciwości, nie myśląc, czy za to gdzie zapłaca... Amen!—dodał uroczyście Kazimierz i przesiadł się do innego kółka.

— Za pozwoleniem, p. Kazimierzu, mam panu coś powiedzieć.

— Słucham panią... .

— Czy wiesz pan, że jego ostatnia powieść narobiła niemało hałasu, wrzawy i gniewu?

— Jakto?... nie rozumiem wcale.

— Utrzymują powszechnie, że to, coś napisał, jest poprostu paszkwilem na jakąś znaną ci osobę.

— To dla mnie rzecz zupełnie nowa! Przyznam się pani, że w téj mierze nie poczuwam się do grzechu, że nietylko uczynkiem, ale nawet złą myślą nie zawiniłem. Pisaniem paszkwilów nie radbym się wsławić, bo to coś zakrawa na osobistą zemstę, a ja zemsty za osobistą urazę nie rozumiem.

— Wierzę temu! Jednak to rzecz pewna, że powstało przeciwko panu, jako autorowi, zawzięte stronnictwo, z którém jeżeli nie kopię, to pióro skruszyć przyjdzie w obronie własnej.

— Szkoda czasu na takie szermierstwo, a ja go nie mam do zbycia! Jeżeli malowałem ludzi, i ludzie się w obrazach moich poznali, to rzecz nader prosta; tém gorzej dla tych, którzy się w nich szpetnie przejrzeni. Jam rysował z natury, niechże natura za siebie odpowiada.

— Ale co jeszcze, oto wydawca narażony jest na skargi i narzekania strony, która, jak pan powiadasz, szpetnie się przejrzała w obrazku z natury zdjętym. Czy to pretensya uzasadniona, o tém stanowczo wyrokować nie będę, ale że dosyć śmieszna, temu trudno zaprzeczyć... .

— I cokolwiek więcej niż śmieszna!—przerwał Kazimierz.—Rzecz niesłychana w kronikach powieściopisarskich, ażeby autor, czy

wydawca jakiegóś ramoty, musiał wprzód, niż ją wydrukuje, okólnikiem po całym kraju rękopism obesać, z zapytaniem, czy tam ktoś z żyjących nie znajdzie podobieństwa swego w jakim szpetnym lub śmiesznym obrazku; bo co do pięknych, każdy rad się przyzna...

— To prawda! Jednakże radzę panu mieć się na ostrożności!...

— Oh! ja jestem człowiekiem aż nadto ostrożnym... bądźcie państwo o mnie spokojni! A tymczasem, dziękuję za przestrożę.

Kazimierz usiadł za krzeselkiem Stanisława, który ze spuszczoną głową zdawał się przysłuchiwać rozmowie dwóch pedagogów. Obadwaj dowodzili bardzo umiejętnie wbrew przeciwnych sobie zasad wychowania; im więcej dowodzili, tém bardziej rozjeżdżali się zdaniem, nie tracąc wszelako nadziei wzajemnego przekonania się. Potrzeba zaiste wiele zimnej krwi do takiego niepożytecznego szermierstwa, gdzie więcej chodzi o przegadanie, niżeli o przekonanie strony przeciwniej.

Błada i wynędzniała twarz Stanisława przy jego zielonych okularach jeszcze była bledszą; przebijała się tam jakaś martwota, bez życia, bez zapału! Siedział jak mumia wśród ruszających się nokoło niego maryonetek. Kazimierz szepnął mu do ucha:

— Co ci to Stasiu? — Czy cię to bawi?...

— Mnie? mnie głowa boli.... Czy to się prędko skończy?

— Widzę, żeś jakiś nie swój. Joanna patrzy ku nam z widoczną niespokojnością; jeżeli chcesz, to ci pomogę wycofać się z placu bitwy: zabalamucę tych panów jaką *kontrowersyją* o niczem, a ty się tymczasem wynieś na spoczynek.

— Istotnie, byłbym ci niewymownie obowiązany; lekarz zalecił mi przedewszystkiém spokojność i....

Jak rzekli, tak zrobili: Stanisław ścisnął za rękę Kazimierza i wyszedł, niczyjój na siebie nie zwróciwszy uwagi.

Rozprawa pedagogiczna rozwijała się dalej jako twierdzenie i przeczenie w najpiękniejszym syntetycznym porządku, i skończyło się na tém, że każdy został przy swoim.

Na boku siedzieli dwaj przyjaciele domu, sędzia i referendarz, a ponieważ to nie był dzień wistowy, trzeźwili się tabaką, i opowiadali sobie dosyć nędzne epizody z życia współczesnych, poczawszy od najserdeczniejszych przyjaciół. Referendarz spoglądając na Stanisława, przysłuchującego się w głębokiem zadumaniu rozmowie dwóch szanownych professorów, rzekł do sąsiada:

— Podoba mi się chłopiec! Nie pedant, niewiele mówi, zdałby się na prawnika...

— Ale gdzież tam! prawnikowi właśnie potrzeba wymowy, i to nieladajakięj. Omyliłeś się referendarzu.

— Mniejsza o to, może nie być prawnikiem, może być i niczém, ale słyshałem od mojego siostrzeńca, który z nim słucał filozofii, że to był jeden z piérwszych uczniów uniwersytetu berlińskiego. Szalona głowa do nauk! I podobno z pracy popadł w okropną chorobę, zakrawającą na pomieszanie zmysłów...

— Patrz pan!.. tak mi się téż zdawało, że mu czegoś brakuje. Wzroku wprawdzie za okularami nie widać, od rzeczy téż nic nie powiedział, ale tak wszystko razem, ni w pięć, ni w dziewięć... Pytać go o co, ledwie odpowieć, albo tłumaczy się niewiadomością rzeczy, które znać powinien. Czy to dziwactwo umyślne? czy choroba?—trudno powiedzieć. Może téż chłopcu gdzie Niemki głowę zawróciły. Może się pokochał w jakiej biédnej szwaczce, i nie chce nam się ze swojej miłości wypowiadać, ani zrobić *mezaliansu*, przez wzgląd na stosunki familijne?...

— Na zakochanego żadną miarą nie wygląda, — rzekł referendarz tonem znawcy. — On chory, ale nie na serce; chybaby chorował na to, czego nie ma... Patrzę na niego od kilku tygodni; pytałem lekarza który go leczy, pytałem Joanny, która zna tajemnice jego lepiej może, niż spowiednik, pytałem nawet tego opryskliwego Kazimierza, który tam wciąż z nim przesiaduje: oni nie wiedzą... Lekarz wzrusza ramionami, i nazywa ten stan chorobą nerwową, a zdaje mi się, że on w téj mierze niewiele mędrszy odemnie; z tą różnicą, że on ma patent na doktora, a ja go nie mam. Joanna powiada, że mu miejskie powietrze nie służy, i że radby wyjechać na wieś; a Kazimierz odpowiedział mi swoim zwyczajem tak, aby go nikt nie rozumiał. I zabij mnie pan, nie potrafię ci tego powtórzyć.

— Otóżto z tą przekłątą filozofią, to taki koniec! Dopóki o tém na świecie nie słyshano, to i ludzie byli jacys inni. Jeżeli na kogo przyszła waryacya, to było zaraz i lekarstwo skuteczne... Ale kto dziś wyleczy taką np. chorobę? Sąto skutki téj nieszczęsnej dzisiejszej cywilizacyi.. Oplakane skutki!.. Ja, gdybym miał syna, napisałbym w testamencie... .

— Nicbyś nie napisał, kochany sędzio; mybyśmy na to nie zezwolili!..

— A to czemu? — zawołał sędzia, odwracając się w stronę, z której go te wyrazy doleciały, a nie spostrzegłszy nikogo poza sobą, dodał: — Cóż to znaczy?

— To nic, kochany sędzio! To zapewne ten półgłówek, który wiecznie coś ludziom przygania i wiecznie się wszystkiemu sprzeciwia. Ale trudno się gniewać na niego, bo istotnie dobry chłopiec, tylko kawałek oryginała. Znałem ja niegdyś jego rodziców, o matkę się nawet kiedyś starałem: śliczna była panienska! Syn do niej kubek w kubek podobny. Ojciec był professorem przy uniwersytecie: uczony człowiek! zapracował się nieborak! Umarł w rok po żonie, a chłopiec, tak się ot wychował, na Boskiej opiece, wzięwszy w spadku umysłowe zdolności po ojcu, a po matce, jak widzisz, ujmującą powierzchowność....

— To zrobi karierę, jeżeli zechce.

— Gdzie tam zrobi; albo to mało jemu podobnych bez chleba! Do zrobienia kariery, potrzeba przecież czegoś więcej, a tego więcej, on właśnie nie posiada.

— Podobno coś pisze i drukuje?

— Tak, pisze jakieś powieści, poezye, i tym podobne brednie, ale przy takim zatrudnieniu można z głodu umrzeć; gdyby za pieniądze nie uczył, toby nie miał czém obiadu zapłacić.

— A cóż, nie mówiłem, że ta nowomodna nauka, to licha warta! Chleba nie da i rozum odbierze!

— No, no, kochany sędzio, tak mówisz, jak gdybyś się w życiu swoim niczego nie uczył; a przecież razem siedzieliśmy na szkolnej ławce i pamiętam, że nienajgorszym byłeś uczniem. Wszakże obadwa jesteśmy ludźmi XIXgo wieku, i nie możemy jak sowy lub nietoperze gardzić światłem dzienném.

— Niech sobie będzie co chce, ja przy swoim obstaję; a i nasz poczciwy prezes, patrząc na swego ukochanego synowca nieraz żałować musi, że go nie oddał do szkoły agronomicznej, a potem nie wyprawił natychmiast na wieś do gospodarstwa. Byłby chłopiec zdrów i wesół, byłby się ożenił jak i drudzy, byłby siał i zbierał jak wszyscy. A teraz cóż z sobą pocznie? Ni to do gospodarstwa, ni do urzędu, ni do wojska, ani nawet na księdza, bo mu tam Niemcy zapewne wiarę z korzeniem wyrwali z serca, a natomiast zaflancowali swoją heretycką filozofią. Oto chyba książki będzie pisał; a te książki, jak sam powiadasz, na licha się zdały!

— Ciszéj! ciszéj sędzio, bo oto patrz, podniósł się i wychodzi nasz student niemiecki, a wygląda jak mara; może i usłyszał naszą rozmowę.

— A niech słucha! Gdybym go mógł zdrową radą wyleczyć i naprowadzić na praktyczną drogę życia, tobym się wielce ucieszył.



— Zostawmy to czasowi. Jak on się cokolwiek wokoło siebie rozpatrzy, jak sobie wypocznie, jak się bliżej z ludźmi zapozna, to choroba sama z siebie ustąpić musi.

— Daj Boże!—rzekł sędzia i wstał z krzeselka.

Połowa zgromadzenia wyniosła się za drzwi cichaczem, druga połowa podzielona na gromadki, kończyła stojąc różnego gatunku rozmowy. Świece się dopalały, zegar wydzwonił jedenaścą godzinę. Wieczór literacki usypiał. Dobranoc.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## WYJĄTEK Z POEMATU IZAJASZA TEGNERA

### FRITHJOF'S - SAGA.

---

#### USTĘP III<sup>ci</sup>.

#### FRITHJOF DZIEDZICZY PO OJCU.

**W**reszcie, jak pragnęli sami, w grobach złożeni spoczęli  
Król *Bele* i *Torsten* stary. Po obu stronach zatoki  
Wznoszą się krągłe mogiły rozdzielonych śmiercią druhów.  
*Helge* i *Halfdan* (1) objęli, po woli ludu, dziedzictwo  
Społem nad państwem ojcowskiem; Frithjof zaś jako jedynak,  
Nie dzieląc z nikim, sam objął dwór rodzicielski w Framnös.  
Na trzy mil długą dziedzinę ze trojga stron graniczyły  
Doliny i góry strome, z czwartej oblewało morze.  
Brzozy wieńczyły gór szczyty, a na pochyłościach wzgórzy  
Złoty kołysał się jęczmień i bujnie wyrósł żyta.  
We zwierciadłach jezior licznych gór odbijały się kształty  
I ciemna zieloność lasów, w których łoś wysokorogi,  
Z setnych się rzeźwiąc potoków, błądzi wspinałemi kroki.  
Zaś wpośród dolin, na łąkach mnogie pasły się stada  
Ze lśniącą siercią, z pełnemi, zwałcami doju wymiony.  
Między niemi, niezliczone owiec przeciągały trzody,  
Okryte runem śnieżystym, podobne białym obłokom  
Z wiosny nastaniem po jasnym niebios błękanie błędzącym.  
Dwakroć dwanaście rumaków, istnych wichrów okiełznanych,  
Bijąc ziemię, stało w stajni rzędami około żłobów,  
Z grzywą czerwono plecioną, błyszczącą stalą podkute.  
Gmach w sobie samym udzielny tworzyła sala, ogromna,  
Ze sosen twardych zrębiona; sześciuset w niej godowników

(1) Synowie dwaj króla *Bele*.

Biesiadowało swobodnie w uroczysty obchód *Julu* (1).  
Przez całą wzdłuż jój ciągnął się stół ze drzewa dębowego,  
Gładki i jako stal lśniący; u górnego stołu końca  
Stały dwa słupy; na słupach dwa, z drzewa rzeźbione, bóstwa:  
*Odyn* królewski i *Freja* (2) z słońcem błyszczącym na czole.  
Niegdyś tu, między obiema, na czarnej skórze niedźwiedziej,  
(Paszczka jój była z szkarłatu, pazury ze srebra kute),  
Wpółśród przyjaciół i gości, *Torsten* zasiadał gościnnie.  
Nieraz, gdy księżyc przeświecał z za chmur, opowiadał starzec  
Dziwy: o obcych narodach, o swoich wyprawach zbrojnych  
Daleko, na wschodzie morza i ku zachodowi słońca.  
Wszyscy natenczas milczący, cisnęli się wkoło niego  
Jak pszczoły do pełnej róży; a Skaldowi się zdawało  
Że to sam *Brage* (3) ze srebrną brodą, z run pełnym językiem,  
Pod zielentącym jesionem, przy wiecznym źródle *Mimera*  
Siedząc, opowiada sagi — sam saga wiecznie żyjąca. —  
Wśród słomą sianej podłogi, na murowanym ognisku,  
Bezustanny gorzał ogień; w górze przez dymnik otwarty,  
Złociste gwiazdy patrzyły z nieba do sali biesiadnej.  
U ścian, na gwoździach żelaznych, wkoło porządkiem wisały  
Hełmy, pancerze, a wśród nich mieczy brzeszczoty, błyszczące  
Jak smugi gwiazd spadających nocą po zimowym niebie.  
Więcej jeszcze niżli mieczy i hełmów, było tarcz w sali,  
Srebrnych i lśniących, jak jasne kręgi miesiąca lub słońca.  
Kiedy bywało dziewczyna, do stołu nalewać rogi  
Przechodząc, spuszczała oczy: tarcze twarz jój odbijały  
Oblaną wstydu szkarłatem, k' uweseleniu rycerzy.

Dostatek w domu znać było; kędyś tylko rzucił okiem:  
Piwnice, komory, spichrze bogatych zapasów pełne!  
Nie zbywało na klejnotach, zdobytych w walkach zwyciężkich,  
Złocie runami ozdobnym i kunsztownie kutym srebrem.  
Z między wszystkich wszakże bogactw troje szacowano rzeczy;  
Ze trojga najszacowniejszy był miecz, rodzinne dziedzictwo,  
*Angurwadel* miał nazwisko (co znaczy: brat błyskawicy).  
Kędyś, na dalekim wschodzie, w mieszkaniu karłów podziemnym  
Ukuty, jak mówi saga: *Björn Blauzahn* pierwszy go posiadał.  
*Björn* stracił go razem z życiem, ległszy w ciasninie *Gröningi*

(1) Święto *Jul*, jedno z głównych u dawnych Skandynawów, na uczczenie zimowego przesilenia, (podobnie jak u starych Słowian *Kolada*), odpowiednie uroczystości letniego przesilenia (słowiańskiej *Kupale—Sobótce*). Bogu płodności, *Frej* poświęcone, obchodzone bywało przez kilka tygodni, z wielką okazałością, w końcu stycznia i początku lutego. Rozpocynało ono Nowy Rok skandynawski.

(2) *Odyn*, Bóg najwyższy; *Freja*, bogini miłości.

(3) *Brage*, bóg poezji; język jego był run pełen. Jesion, o którym w następnym wierszu, jest *Yggdrasill*, wieczne drzewo, sławne w skandynawskiej mitologii; zpod jednego z trojga jego konarów płynęło źródło mądrości, którego stróżem był *Mimer*.

Z rąk przesilnego *Wifella*. *Wifell* miał syna *Wikinga*.  
 Za tego dni w *Ullerloker* mieszkał książę jeden stary,  
 Kaleka, jedną córkę kwitnącą mając przy sobie.  
 Stało się, że z głębi lasów zjawił się olbrzym potworny,  
 Nieludzki kształtem, kosmaty na całym ciele i srogi;  
 Córki i państwa żądając do pojedynku wyzywał.  
 Nikt nie śmiał wyjść przeciw niemu, nie wierząc, by się znalazła  
 Stał dosyć twarda rozwalić żelazną czaszkę potwora.  
 Aż *Wiking*, piętnastoletni młodzian podówczas, wystąpił,  
 W sobie i mieczu swym ufny, i jednym cięciem rozwalił  
 Łeb ryczącemu straszylu, oswobadzając dziewicę.  
 Po *Wikingu* przeszedł spadkiem miecz w ręce syna *Torstena*.  
*Frithjof* wziął go po rodzicu. Kiedy go było wyciągnąć  
 Z pochwy, cała sala pałała, jakby od błyskawic łuny.  
 Złota rękonoś, brzeszczot zaś cały był pisany w runy  
 Dziwne, nieznane Północy, znane tylko gdzieś na Wschodzie,  
 W dziedzinie ojców, przed wielką *Assów* na północ wędrówką (1).  
 W chwilach błogiego pokoju przyćmionym lśniły się blaskiem;  
 Lecz gdy *Hildur* (2) dała hasło, wyskrzone wtedy gorzały  
 Czerwono, jak grzebień kura w boju, i niechybnie zginał,  
 Kto się w bitwy zawierusze z płonącym spotkał żelazem.  
 Miecz to był sławy niezmiernej, pierwszy na całej Północy.

Po mieczu w cenie najwyższej stał naramiennik potężny,  
 Niegdyś wulkana Północy, chromego *Wanlundra* (3) dzieło.  
 Troje grzywien wagi trzymał, z najczystszej kuty złota;  
 Okryty w rzeźby rozliczne: obrazy zmysłowe walki  
 Światła z ciemnością, w przyrodzie i duchu ludzkim zwodzonej (4).  
 Przepyszny guz rubinowy zdołał wypukłość obręcza,  
 Jako słońce obłąk nieba. Od *Wanlundura* począwszy,  
 Przodka z macierzystej linii, własnością był on rodziny.  
 Raz, skradziony, stał się łupem korsarza, który po morzach  
 Północnych błądziwszy długo, nareszcie zniknął bez śladu.  
 Aż z czasem wieść się rozeszła, że na wybrzeżach *Bretlandu* (5)  
 Z łodzią i skarby zawarł się żywo w sklepionym kurhanie,  
 Lecz nie znalazłszy pokoju, pokutuje ciągle w grobie.

(1) *Assy*, bogowie skandynawscy; historycznie zaś przodkowie panującego na północy plemienia, pochodzili z Azji.

(2) *Hildur*, bogini wojny.

(3) *Wanlundur*, *Wölundr*, *Baulundur*, tradycyjny bohater i kunsztmistrz. (Sage o nim, podług *Oehlenschlägera* przełożyłem w Bibl. Warsz. na rok 1850). Naramienniki bohaterów w mitologii skandynawskiej grają wielką rolę, i nieraz występują jako talizmany tajemniczego wpływu.

(4) Tu 16 wierszy, zawierających opis tych rzeźb i ich wykład, jako zbyt ciemne dla polskich czytelników, opuszczono.

(5) *Bretland*, Brytania. Do zrozumienia następnego wiersza należy wiedzieć, że obyczajem skandynawskim grzebano ciała zmarłych w grobach sklepionych, wraz z wszystkimi co im za życia drogiem było. Mogiły takie, często niezmierniej wielkości, znajdują się dotąd w Szwecyi i Norwegii.

Torsten, skoro to usłyszał, wraz z *Belem* dosiedli smoka (1),  
 I szybko przebywszy morze, na brzeg wskazany wysiedli.  
 Ogromny, jak kościół jaki, lub gród królewski przysuty  
 Żwirem i trawą zieloną, kurhan podnosił się krągły.  
 Zpośródka błyszczało światło. Przeze szpary wrót potężnych  
 Rycerze zajrzeli w środek: czarny, jak smoła, stał w głębi  
 Smok, z wiosły swemi i maszty; u szczytu masztu, na rejach,  
 Siedziała postać straszliwa, w płaszcz płomienisty okryta.  
 Ponuremi świecąc oczmi krwawe czyściła żelazo;  
 Lecz płamy nie chciały zniknąć. Złupione skarby leżały  
 W stosach; sam zaś naramiennik straszdyło miało na sobie.  
 — „Wejdziemli?” poszeptnie *Bele* „samodwój tylko, przeciwko  
 Ognistej walczyć potworze?” — Na to mu *Torsten* wpółgniewnie:  
 — „Jeden przeciwko jednemu, tak każe zwyczaj. Ja pójdę.” —  
 Chwilę trwał pomiędzy nimi spór o zaszczyt niebezpieczny  
 Pierwszeństwa; nakoniec *Bele*, hełm stalowy zdjawszy z głowy,  
 Rzucił do niego dwa losy; — a w wyciągniętym *Torsten*,  
 Przy brzasku nocnym, swój poznał. Jednym uderzeniem włóczni  
 Wysadził ze zapór wrota i wstąpił w głębinę ciemną.  
 Później, badany co widział w noc tę, zgrozą zdjęty, milczał.  
*Bele* zasłyszał śpiew naprzód, jak głos złych duchów huczący;  
 Potem chrzęst stali, jak gdyby dwojga skrzyżowanych szabli;  
 Wreszcie krzyk straszny... i zcichło! Z jaskini wyskoczył *Torsten*  
 Wybladły i bezprzytomny; znać śmiertelną zwałczył walkę.  
 Naramiennik wyniósł jednak. „Drogom go opłacił” mawiął:  
 „Raz jedyny drżałem w życiu, w chwili, kiedy go odbierał”.  
 Klejnot to był wielkiej sławy, pierwszy na całej Północy.

Trzecim drogim sprzętem w rodzie był okręt, *Ellida* zwany.  
 Jak mówią, *Wiking*, wracając kiedyś z wojennej wyprawy,  
 Zobaczył około brzegów, na błędzącym pustym wraku, (2)  
 Jakby na igraszkę falom porzuconego człowieka;  
 Podpłynął k' niemu z łodzią ocalić nieszczęśliwego.  
 Mąż był wspaniałej postaci i oblicza otwartego,  
 Lecz zmiennego, nakształt morza powierzchni słońcem olśnionej.  
 Płaszcz miał błękitny, pas złoty, koralami nasadzany;  
 Brodę, jak piana fal, białą, a zielonopłowe włosy.  
*Wiking* wziął zziębłego do dom, gościnném rzeźwił staraniem;  
 Lecz gdy go wieść chciał do łoża, gość, śmiejąc się, odpowiedział:  
 „Wiatr dmie pomyslny, i czołu mój, nie myśl, że godziem pogardy!  
 „Sto mil, zaczem zajdzie słońce, dziś jeszcze na nim upłynę.  
 „Serdeczny dzięk za gościnne przyjęcie!... radbym ci wzajem  
 „Wdzięcznym odpłacił się darem, lecz skarbiec mój na dnie głębi.  
 „Jutro przecież ujrzysz może mój upominek u brzegu”.

(1) Smok znaczy tu okręt, od kształtu jaki zwykli Skandynawi statkom swoim nadawać; porównać nieco dalej opis *Ellidy*.

(2) Wrak, kadłub zniszczonego okrętu.

Nazajutrz *Wiking* nad brzegiem morza gdy stał, do zatoki  
 Wpłynął okręt, pędem orła ścigającego za łupem.  
 Nikogo, nawet sternika nie było widzieć na statku;  
 Jednak cudnie wił się węzem pomiędzy rafy i skały,  
 Jakby w nim mieszkał duch żywy. Kiedy się zbliżył do brzegu,  
 Żagle spadły same z siebie i bez pomocy człowieczeń;  
 Kotwica, runawszy w wodę, zaryła się w dno piaszczyste.  
*Wiking* patrzył, niemy dziwem; wtém śpiewne fale zabrzmiały  
 — „*Aegir* (1), którego przyjąłeś, tym ci się odplaca darem”.  
 Dar był prawdziwie królewski. Wygięte bale dębowe  
 Nie, jako zazwyczaj, zbite, lecz zrosłe były ze sobą.  
 Na podobieństwo morskiemu smokowi czółn był podłużny:  
 U sztaby sterczała głowa, z rozwartą paszczą szkarłatną;  
 Kadłub niebieski, z centkami żółtymi; w tyle, u steru,  
 Długi, kręty wisiał ogon, łuską srebrzystą błyszczący.  
 Skrzydła miał czarne, z brzegami czerwónemi; gdy je było  
 Napiąć, wiatrem szumnym wzdęte, wyprzedzały orła w locie.  
 Napełniony mężem zbrojnym okręt zdał się niby twierdzą  
 Lub pływającą jakiego wielkiego króla stolicą.  
 Sławy wielkiej łódź to była, pierwsza na całej Północy.

To wszystko, i wiele innych rzeczy wziął *Frithjof* po ojcu.  
 Trudno, by się znaszedł dziedzic bogatszy nadeń w Północy,  
 Chybaby z synów królewskich, bo królów moc jest najwyższa.  
 On, jakbądź nie syn królewski, iście królewski miał umysł:  
 Dobry, szlachetny, otwarty, co dzień rósł w wziętość u ludzi.  
*Torsten* zostawił mu także towarzyszy swych dwunastu,  
 Osiwiałych bohaterów, w stal zakutych, z czołem całym  
 W szczerbach. Wpóśród nich u stołu ostatni zasiadał młodzian,  
 Róża pomiędzy liśćmi wędnącemi, *Björn* na imię:  
 Wesół jak dziecko, lecz jak mąż dzielny, roztropny jak starzec.  
 Razem wyrósł był z *Frithjofem*, i obyczajem północnym  
 Krew swą mieszając, obaj się zaprzysięgli pobratymstwo  
 W boju, w niedoli czy szczęściu, i zemstę wspólną do grobu.  
 I oto na smutnej stypie, wśród wojowników i gości,  
*Frithjof*, żałobny gospodarz, z oczyma łzami zasłzemi,  
 Wstąpił i osterocone po ojcu zajął siedzenie  
 Między *Odynem* i *Freją* (*Thora* to miejsce w *Walhalli*);  
 I obyczajem ojczystym, pijąc na pamięć rodzica,  
 Słuchał *Skaldów* grzmiącą *Drapę* (2) ku czci zmarłego wznoszących.

(1) *Aegir*, bóg morski.

(2) *Drapa*, uroczysty rodzaj pieśni, czci zmarłych bohaterów poświęcony,  
 (podobnie jak litewska *Rauda*).

U S T Ę P   X I <sup>sty.</sup>

## P R Z Y B Y C I E   F R I T H J O F A   D O   A N G A N T Y R A .

Teraz słuchajcie dalej!  
W dobranych mężów kole,  
W wysokiej siedział sali  
*Angantyr* Jarl (1) przy stole.  
Pijąc, pełen ochoty  
Patrzył na wód zwierciadło,  
Kędy, jak łabędź złoty,  
Zachodząc słońce spadło.

Przy oknie, przy wysokim,  
Straż trzymał *Halwar* stary;  
Po falach wodząc wzrokiem,  
Wychylał miodu czary.  
Raz po raz duszkiem spełniał  
Ogromną czasz rogową,  
I milcząc ją napełniał  
I wychylał na nowo.

Naraz ciska róg próżny  
W środek sali, i prawi:  
„Okręt jakiś podróżny  
Koło brzegów się jawi.  
Otóż ładu dościga!...  
Olbrzymich dwu mocarzy  
Na barkach z łodzi dźwiga  
Opadłych z sił wioślarzy.”

Wskazaną stronę nagle  
Jarl wejrzawszy, ś odzywa:  
„*Ellidy* sąto żagle,  
*Frithjof* to k' nam przybywa.  
Po kroku i po wzroście  
Do poznania on snaden;  
Obojgiem mu niesproście  
W Północy całej żaden.”

Na to rzeško od stoła  
Skoczy *Wiking* sędziwy,  
Groźnie strząsa włos z czoła,  
Wzrok płonie mu straszliwy.

„Dziś doświadczeń, na Bogi!  
W rzeczyli *Frithjof* młody  
Nie zna co prosić zgody,  
Żaden mu miecz nie srogi?”

Z nim ode stoła razem  
Dwunastu mężów skoczą:  
Wiatry sieką żelazem,  
Pałkami groźnie toczą.  
Biegą, gdzie w brzegów ciszy  
Łódź się zwątlona chyli,  
A *Frithjof* w towarzyszy  
Otuchę tchnąc się sili.

— „Mógłbym cię wziąć w niewolą”  
Pocnie stary przewodzić:  
„Lecz daję ci na wolą,  
Walczyć, lub precz uchodzić.  
Lub, przeniesieszli może  
Prosić zgody i mira?  
To pójdziem społem w dworze  
Ucztować *Angantyra.*”

— „Strudżonym drogą srodze”  
Odeprze *Frithjof* w gniewie:  
„Wszak czy podle uchodzę,  
Odpowie-ć miecza gléwie.”  
I miecze w obu dłoni  
Błysną, jak dwa pioruny...  
Na *Frithjofa* się broni  
Krwawo wyskrzyły runy.

Bój wszeczyna się zacięty,  
Groźnie na siebie sieką:  
Rozrabanych tarcz szczęty,  
Gradem lecą daleko.  
Rycerze stoją cali,  
Jak dwie niezżyte skały.  
Wtém na *Frithjofa* stali  
Pękł miecz *Wikinga* biały.

(1) Jarl udzielnny hrabia, z rodu dawnych królów skandynawskich.

— „Nigdy piersi bezbronnéj  
 Nie tknął żelazem mojem;  
 Więc, jeśliś jeszcze skłonny,  
 Innym zmierzmy się bojem.”  
 I jak wezbraną falą  
 Powódź, ku sobie skoczą;  
 Pięćmi w pancerze wałą,  
 Piersi o piersi tłoczą.

Jak dwa niedźwiedzie w śniegach  
 Tak się nawzajem włóczą,  
 Prą i wiją po brzegach,  
 I łamią się i tłuczą.  
 Nieraz już pod słabszemi  
 Ciosy drżały skał zręby,  
 I wydarte ze ziemi  
 Stare padały dęby.

Pot zimny ciecze z czoła,  
 Tchem ciężkim gardła chrapią;  
 Żwir i ciernie dokoła  
 Walczących twarze drapią.  
 Gromada wojowników  
 Kręgiem stoi zdaleka,  
 I sławiąc zapaśników,  
 Za końcem bitwy czeka.

Nareszcie *Frithjof* zmiecie  
 Wroga pod swoje nogi;  
 Kolanem pierś mu gniecie,  
 I krzyczy, gniewem srogi:  
 „Teraz mi tu szeroką  
 Mić przy boku mą szablę,  
 By ją twoją posoką  
 Napoić, stary djable!”

— „O to zgryzoty nie miéj”.  
 Odpowie stary dumnie:  
 „Idź, podnieś miecz ze ziemi,  
 I powracaj z nim ku mnie.  
 Otworem w każdej porze  
 Walhalli stoi brama;  
 Mnie dzisiaj, jutro może  
 Tobie droga też sama”.

*Frithjof* podniósłszy lśniący  
 Brzeszczot, do ciężcia bieży;

Nieruchomo, milczący,  
 Czekał stary leży.  
 Ten widok gniew ukróca  
 Srogi w zwycięzcy łonie;  
 Wzniesiony miecz odrzuca,  
 Padłego ciśnie dłonie.

Wtém, wznosząc łaskę białą,  
 Wykrzyka *Halvar* stary:  
 „Zadość męztwu się stało;  
 Czas do jądła i czary.  
 Dawno już tam na sali  
 Dym z mis srebrnych się dźwiga,  
 Ryba, mięso wystyga,  
 Pragnienie gardziel pali”.

W dwór zatém modrzewiowy  
 Idą wrogi zjednane.  
 Tu to syn Torstenowy  
 Dziwy ujrzał nieznane!  
 Nie nago tu zrębiona  
 Z pni grubych, ściana stoi;  
 W złote liście i grona  
 Miękka ją skóra stroi.

Nie wśród podłogi pryska  
 Skrami stos z szczap sosnowych:  
 W kominach marmurowych  
 Jasne gorzą ogniska.  
 Dym nie snuł się kłębami,  
 Z ścian sadze nie ściekały;  
 Okna były z szybami,  
 Podwoje klamki miały!

Nie drzazgi tu żywiczne  
 Jaskrawą świecą łąną;  
 Z srebrnych świeczników liczne  
 Wesoło świece płoną.  
 W pośrodku się na stole  
 Wznosił jeleń z kopyty  
 Złocistemi, na czole  
 Róg mając w bluszcz obwity.

Rycerzowi przy boku  
 Każdemu dzięwa stała,  
 Jak wodna lilia biała,  
 Z gwiazdą w błękitném oku.



Ciemnych włosów kędzierze  
Kryją barki śnieżyste;  
Z lic kwitną róże świeże,  
Usta—korale czyste.

W srebrnym krześle, wysoko,  
Zasiadał Jarl wspaniały.  
Jak słońce, ćmiące oko  
Hełm jego ciskał strzały.  
Złotą na piersiach zbroję,  
Płaszcz miał we gwiazdy lite;  
Purpury były kroje  
Hermelinem obszyte.

Od stołu kroki trzemi,  
Przeciw gościowi wstaje;  
Witając dłoń podaje:  
„Pozdrowiony bądźże mi!”  
Woła: „Torstena synie!  
Niegdyś ojciec twój stary

Spełniał tu ze mną czary:  
Weź miejsce jego ninie”.

I czasę pełno leje  
Po brzeg winem, płonącym  
Jak niebo, kiedy doteje,  
Jak morza prąd, kipiącym.  
— „Synu druha starego,  
„Piję we twoje ręce!  
Bohaterskiemu jego  
Wspomnieniu czasz tę święcę”.

Od *Morwenu* więc strony  
Śpiewak dźwięk harfy cuci,  
I gallickimi tony  
Mglisty swój rapsod nuci.  
Zatém w Normanów mowie,  
Po dawném ojców prawie,  
Zaśpiewali Skaldowie  
Pieśń ku Torstena sławie.

R. Z.

# UKRAINA

OPISANA POWIATAMI, PÓD WZGLĘDEM HISTORYCZNYM, OBYCZAJOWYM  
I STATYSTYCZNYM.

SKRĘŚLIE

*Edward Rulikowski.*

---

Zbogaca się coraz więcej literatura nasza opisami różnych okolic starożytnej Rplitej polskiej, ale zbywa nam dotąd na dokładnym obrazie owej Ukrainy, która tyle kart w dziejach naszych zajmuje, której dumy ludowe niejednego wieszczu natchnęły. P. Edward Rulikowski tą piękną zajął się pracą, i zacząwszy od opisu powiatu wasylkowskiego, takowy w zupełności wykończył. W obszernych ramach stawia nam przed oczy całą okolicę stanowiącą dzisiejszy wasylkowski powiat; maluje jego przeszłość dziejową dawną, i stan dzisiejszy; osobne ustępy poświęca opisowi ziemi, płodów roślinnych i zwierzęcych, starożytnościom historycznym i osiedleniu; podziałowi własności, dawnym ziemiańskim rodzinom; wspomnieniu miejsc znakomitszych; ogólnej fizjonomii kraju, ludowi, jego ubiorowi, zwyczajom, przesądom, podaniom i pieśniom, które sam autor zbierał; bytowi dawnemu i terażniejszemu, gospodarstwu dawnemu i terażniejszemu tak u właścicieli, jak u włościan: zamyka wreszcie swoją pracę charakterystyką ogólną. W takim sposobie powiat po powiecie przedsięwziął p. Rulikowski opisać. Opis ten jego tém więcej ma ceny, że jest kreślony ręką tego, co zna dokładnie i tę ziemię i ludzi, że w niej mieszka, że starał się i umiał zbliżyć do ludu, poznać go i zbadać; a sięgając wspomnień historycznych, z archiwów familijnych, z nie-

znanych rękopismów, wielą szczegółami i zupełnie nowemi wiadomościami pracę swoją ubogacił.

Korzystając z uprzejmości autora, podajemy ustęp z opisu powiatu wasylkowskiego:

---

*Lud, charakter jego, ubiory, zwyczaje, wierzenia, podania, pieśni  
i byt teraźniejszy.*

Pan Michał Grabowski w opisie swym *Ukrainy dawniej i teraźniejszej* rzuca ważny domysł, jakoby lud zamieszkujący obecnie powiat czehryński, miał być nierównie dawniejszego osiedlenia, niż się to wydaje, zważając na późniejsze i napozór jawne dowody, o świeższym już daleko stron tutejszych zaludnieniu. „Zapewne nie powie nic nam nowego (mówi p. Grabowski) kto oświadczy, że w ogólności lud ten nie jest odwiecznie miejscowy. Znamy dokładnie historią zaludnienia tej okolicy, zaludnienia wcale niedawnego; ale czy też różnoczasowi przybysze w te strony, którzy powiększali osiadłość, nie zastawali w tych kątach szczętów ludności, w których duch wrodzony przemagał, wkorzeniał się w przybylców?... przeciwko temu żadnych także dowodów niema.” Uwaga ta jest godną zastanowienia, i każdy, ktokolwiek zaprzętał się pilnie ludu naszego rodowem pochodzeniem, niewątpliwie słuszność jej przyzna. W ustępie o osiedleniu powiatu wasylkowskiego mieliśmy sposobność wykazać kolejne ludu tutejszego kolonizacye, a także ustawiczne rozprzeganie się onych za ciągiem czasów; głównym atoli poszukiwań tych stało się wypadkiem, iż epokę ostatniego i zupełnego stron naszych osiedlenia, dopiéro w połowie XVIII wieku naznaczyć przychodzi. Pomimo to jednak niepodobnym być się zdaje, iżby za każdym wyludnieniem, rozejściem się osad, zamieszkujący następnie już składać się mieli z nowych wcale przybyszów; ile, że część jakaś stariej miejscowej ludności, lubo na chwilę rozpedzana, potem wszakże do siedziby dawniej a opuszczonej powracać musiała: bo całkowitemu zaginieniu, lub nazawsze w dali od siedzib rozproszeniu jej, wierzyć niepodobna. Na tém się przeto twierdzeniu opierając, godzi się wnosić, iż lud, jak w czehryńskim, tak i w powiecie wasylkowskim dziś zamieszkały, jest niewątpliwie starożytnego wielce osiedlenia, i wcale nie będąc przybyszem, jest on raczej dawnym stron tych, rodzimym mieszkańcem. Wszelako dodać tu należy, iż część tylko północna powiatu wasylkowskiego, leśna lub też zbliżona do lasów, szczycić się może tą sta-

rą ludnością; reszta zaś osiadła dziś w południowych częściach powiatu, już jest napływową i świeżęj osady. Z tego przeto względu, ludność całkowita powiatu naszego na dwie odrębne części łatwo się daje rozklassyfikować: to jest na mieszkańców *przed-roskich*, którzy są starą ludnością osiedloną na północy przed rzeką Rosią, i na *za-roskich*, już południową stronę powiatu zamieszkujących. Jakkolwiek bądź, podział ten nie podaję za absolutnie prawdziwy; być on może istotnym tylko względnie: zważywszy na trudność wynalezienia pierwiastków składowych wszelkiej ludności, ze samej istoty swojej tak ruchomej i tak łatwo amalgamującej się. Mimo to jednak, za tym naszym podziałem wszystko się zdaje przemawiać: a mianowicie mowa ludu tutejszego, fizyonomia jego, zwyczaje, stroje, wybitnie między sobą różne. Nadto, sam lud miejscowy przekonany jest dostatecznie o niejednolitości swojego pochodzenia: wieśniak okolic tutejszych, każdy prawie, zapytany w tym względzie, oznaczy z łatwością różnice dwóch ludności, i tak: mieszkaniec północnej strony powiatu, nazywa się prawdziwym Ukraincem; utrzymuje, że się wyraża czystym, niezłamanym językiem krajowym, śmieje się on z dyalektu sąsiadów swoich, z przekąsem nazywając ich *bucami* i *hesztakami*; bo ci za każdym wyrazem mają we zwyczaju powtarzać wyraz „heta”, na sposób poleski. W dyalekcie ich taka zachodzi różnica: że kiedy pierwszy powiada *owes*, a w drugim przypadku *owsa*, to drugi mówi *owes*, *wiwsa*. Nadto, w mowie mieszkańców *za-roskich* jest wiele wyrazów nieużywanych powszechnie (1). Również i w stroju ich zachodzą różnice, a to w kroju sukien, w sposobie ich noszenia, w kolorze, i acz drobne napozór, przecież lud po tych odcieniach doskonale poznaje siebie; tak dalece, iż po nich odrazu ci zgadnie z jakiej kto jest okolicy. Mieszkaniec *przed-roski*, od święta w czarną się święte ubiera, pasem żółtawym wołoskim się okracając; przeciwnie zaś, włościanina *za-roskiego* świątecznym strojem jest świta biała i pas czerwony. Różnice takowe i między strojem kobiet zachodzą. Na zgromadzeniach jarmarkowych szczególnież dwie te różnice kolorów uderzają: jeżeli bowiem jarmark jest w okolicy *przed-roskiej*, to w tłumach czarny kolor przeważa, i odwrotnie. Nadto, lud *przed-roski* zaleca się wzrostem okazałym, prawidłowością rysów twarzy i kształtną budową ciała: mężczyźni tu są atletycznie zbudowani, pleczyści, przystojni; kobiety

(1) Naprzykład: *Pater*, po polsku majster; *wydzigorny*, sprytny; osiańska hora, góra stroma, przykra; *kwota*, liczba; *mizeria*, mająteczek; *gezund*, zdrowie, i wiele innych.

wzrostu wzniosłego, a rumianego i gładkiego lica. Kolor włosów u płci obojgiej jest jasny, a lubo są i bruneci, blondyni wszelako są w liczbie przemagającej. Przeciwnie mieszkańcy za-roscy, rysami twarzy wcale się różnią od poprzednich: pospolicie mężczyźni są tu krepni i małego wzrostu, cery śniadój, bruneci, kobiety zaś często brzydkie, a parobcy rzadko przystojni.

Z tego pobieżnego rzutu oka na rys drobnych różnic między jedną a drugą ludnością, sądzymy, iż teraz dostatecznie możemy już być utwierdzeni w naszym powyższem mniemaniu, że rodzima dawna tutejsza ludność, lubo w małej części, zatrzymała się przecież w tych stronach i dotąd je zasiedla. Głównym przeto wypadkiem tego, cośmy dopiéro wyrzekli, będzie to spostrzeżenie: iż lud przedroski jest tutejszą, starą, może jeszcze polańską ludnością, mimo burz wiekowych pozostałą, aczkolwiek dziś już w gromadzie niewielkiej. Wszakże ta mała gromadka przeważny zawsze wpływ miała na ludność nowo-osiadającą, przygodnią: zacierała ona tej ostatniej obce, przynośne zwyczaje, i niejako przyswajała ją sobie. Dodać tu bowiem należy, iż niekoniecznie za Rosią tylko, ludność obca, napływowa osiadała; ale też i przed tą rzeką w stronie dawnego zaludnienia, wielu się przybyszów osiedliło potem, tylko za wpływem mieszkańców starych, pochłonięci i wcieleni zostali do ogółu. Godną jest uwagi rzeczą, jak przeważnym był ten wpływ wywarły ze strony krajowców na przybyszów: kiedy ci mimo swój różnoplemienności, tak zdołali się zlać wybornie w powszechną bryłę tubylców, przyjąć ich dyalekt, zwyczaje, wyzuwszy się z własnych; tak dalece, że dzisiaj lud ten z dwoistego żywiołu złożony, napozór wydaje się jednolitym. Dowodem zaś jasnym różnoplemienności tych późniejszych osadników, przymieszanych do stariej ludności okolicy, są podziśdzien nazwiska rodowe, spotykane między chłopstwem tutejszém: naprzykład Mazurenków, Mazurów, Litwinów, Litwińczyków, Poleszuków, Cygańczuków, Tatarczuków, i od miast a wsi pochodzące: Kołomyjców, Samborczyków i t. d. Nazwiska te bowiem przechowują dotąd pamiątkę pierwiastkowego rodu tych przybylców.

Włościanin powiatu wasylkowskiego ogólnie jest przedsiębiorczy, przezorny i pojętny, a gdyby uprawę intelektualną posiadał, nie brakowałoby mu zaiste na wyższych zdolnościach umysłowych. Zdradza się w nim szczególnie wielka zdatność do robót mechanicznych: znajdują się między tym ludem wyborni majstrowie, iż tak rzekę samorodni, którzy bez żadnej nauki, z samej praktyki, do wiel-

kiej wprawy mechanicznej przychodzą. Wydatnym rysem charakteru włościanina tutejszego jest przywiązanie do swych panów: odznaczał się on zawsze szczególną przychylnością i wiernością dla nich, a to może otrzymał jeszcze w spadku po przodkach swych Polanach, którzy według świadectw Nestora, w patryarchalnym życiu wielce się kochali. Lud tutejszy w panach swych widział zawsze ojców, opiekunów i przewodzców swoich: kochał ich dzieci, widząc w nich przyszłych dziedziców; uważał je za swych wychowawców, przeznaczonych do przewodztwa w przyszłym czasie nad potomstwem własnym. Dobro materialne swych władców, zarówno ze swoim strzegł i szanował, a jeśli go takim dziś już nie widzimy jakim był dawniej, mniej go o to winić potrzeba, ale raczej samych dziedziców. Właściciele terazniejsi po większej części odstąpiwszy dawniej patryarchalności ojcowskiej, opiekuńczej, bogobożnej, uważają dobro swe nie jako trwałą podstawę funduszów na ziemi opartych, lecz raczej za przedmiot spekulacji; ztąd zmiana własności tak dziś częsta, majątki z rąk do rąk przechodzą, a włościanie widząc tak często zmieniających się dziedziców (1), dawną tradycyjną dla nich wyziębiają w swych sercach przychylność, nowych nabywców nienawidzą, i niedarmo pomimowolny głos z piersi im się wyrывa: „*To Pan z Panyw, a to Pan z Pankiw*”.

Ubiory włościan powiatu tego, jak to już widzieliśmy, różnią się między sobą, jednej tylko czasem okolicy będąc właściwemi; lecz ogólnie biorąc, różnice te nie są tak bardzo uderzające, i od mało kogo bywają dostrzegane, bo wiele mają podobieństwa między sobą. Lubo z postępem czasu, zmiany w strojach u ludu naszego zbyt wolno przychodzą, bo téż i zmienna moda, tak szeroko panująca nad wyższymi klasami społeczeństwa, jeszcze się do ludu wiejskiego nie zniża, i żadnego wpływu nań nie wywiera; jednakże dostatki lub ubóstwo wielce wpływają na ubiory gminne, a ztąd wielkie zmiany w nich w przeciągu lat 60 okazały się. Pamięć dawnych chcemy wskrziesić następującym opisem. Przed epoką blisko sześćdziesięcioletnią, syn majątnego włościanina, powołany na kozaka ekonomicznego, własnym ekwipował się kosztem. Przystojny, pięknych rysów twarzy, z wąsem zawieszistym, głowę miał podgoloną, *oseledec* bujny, zwinięty, okręcał mu się poza uchem prawym; *jołom* z czarnych baranków drobnych z *wiliszkiem* (2) długim,

(1) Lud nasz dawniej tylko tym panom przyznawał tytuł dziedzica (didyca), który wioskę od dziada dziedziczył.

(2) Wiliszkiel, wierzch sukienny lub aksamitny baranięj czapki.

barwy takiej jak żupanik, przysparzał wzrostu kozakowi. Żupanik był z wązkim kołnierzem na haftki zapinany, z którego wyglądał kołnierz od koszuli wąziutki, spiwką z jakąkolwiek błyskotką spięty; na obudwu stronach żupanika po sześć ładunków od pistoletu lub janczarki. Żupanik wchodził w szarawary obszerne na oczkurze, podpięte na cholewach bóta, a spadające aż do kostek; szarawary te zastępowały mantelzak, i służyły do chowania bielizny i innych drobnych potrzeb. Ukrainiec nie używał kobiałki lub torby; cały jego zapas podróżny ukrywał się w szerokich kieszeniach szarawarów. Pas rzemienny ponad biodra opasywał go, do którego przytwierdzony był róg potężny wołowy w krążek zakręcony na zapas prochu, nabijany sztyftami mosiężnymi we wzorki, lub sadzony perłową macicą w centki; torebki ze stron obu były jedna na kule, a druga na skałki i krzesiwo; nóż spory na długim łańcuszku mosiężnym wisiał u pasa. Z drugiego boku zatykał kozak łyżkę drewnianą lub mosiężną, którą też chował w kieszeni; za pas także na smyczy przez plecy wziętej, pistolet był wetknięty. Na wierzchu żupanika był kontusik czerkieski z ładunkami, krótki, niespięty, z wylotami i rękawami zarzucanymi na ramiona. Kiedy kozak siedział na koniu, miał za plecami janczarkę na taśmie, i nahajkę za pasem lub w ręku; burka zwieszona po lewej stronie dopełniała stroju kozaka, będącego na *stójce* u pańskiego dworu. Wszelakoż byłto strój od parady; powszedniem ubraniem był żupanik sukieny i hułka z kapturkiem.

Ubiór kozaków przydwornych przy boku będących samego dziedzica, jeszcze bywał wytworniejszym i bogatszym. Żupany były ze sukna sajety, zamiast pasa skózanego z *terefelami*, brał już lity kosztowny; szarawary również kosztowne z lampasami. Kontusz był na wyloty, po szwach bramowany złotem lub srebrem, jolom z baranków kosztownych, wiliszkiat miał zwieszony, sznurkiem galonowym obszty, a na końcu kutasem złotym lub srebrnym ozdobiony.

W owe czasy gospodarze wiejscy nosili się, lubo mniej wystawnie, lecz zawsze w ubiorze nieubogim. Od święta i parady przybierali żupany do kolan długie, z sukna granatowego, wyrobu *Gierlickiego* na Szlązku, niekiedy po szwach obsztyte galonem złotym lub srebrnym; czapki były siwe z drobnych baranków. Ubiór takowy cechował bogatszych gospodarzy, niejako arystokracją wiejską; dorobkowiec nie śmiał przybrać czapki siwej, bo byłby zawstydzony.

Kobiety wiejskie w owych czasach również strojnie i bogato się ubierały. Na dni uroczyste i uczyły wdziewały kaftaniki w kolorowe wzory, *zapaski* z kupnej *kałamajki* w cienie kolorowe, z włóczki cienkiej wyrabiane, tudzież owijały się pasem stambulskim w pregi kolorowe; szyja bywała zawieszona mnóstwem koralu, a niekiedy zdobił piersi dukat węgierski, lub krzyżyk metalowy, co się dotąd nazywa *namysłem*. Jupka sukienna granatowa, z kołnierzem wykładanym z materji jedwabnej lub lamy złotej; czepiec był z materji również bogatej, lecz od większej parady używały *namitek* z przędzy lnianej, szarej, świeżo nakrochmalonych; przywiązane do czépca (oczepka) spadały na plecy, aż do kolan prawie i zawracały się ku pasowi. *Namitki* były najokazalszym strojem Ukrainek: wybielone traciły na swój wziętości. Bóty ponsowe z safianu, albo trzewiki na wysokich korkach i pończochy wełniane uzupełniały narzecie strój odświętny niewiast ukraińskich. Dziewczęta miewały ubiór podobnyż, lecz w stroju głowy się różniły: warkocze zaplecione wstążkami spadały na plecy, głowa zaś niezgrabnie była ustrojona i przeładowana kwiatkami, barwinkiem, lub też przetykana kwieciem sztucznym, z kawałków sukna, złoczonego i farbowanego pierza i papieru (1).

Strojów tak wystawnych między ludem powiatu wasylkowskiego dziś już nie widać. Oto są stroje dzisiejsze:

Ubiór mężczyzn zwyczajny składa świta czarna lub biała, według miejscowości. Za Rosią bowiem, jak to już namieniliśmy, codziennym odzieniem jest świta czarna, a świątecznym biała, gdy przed Rosią dzieje się naodwrot. Zimową porą na wierzch świty biorą tu kożuch biały, krédą natarty z wierzchu, z okrągłym kołnierzem z czarnych drobnych baranków. Czapka z baranków siwych jest cechą arystokratyczną, a z czarnych plebejuszowską. Mężczyźni tu noszą wąsy, brody golą, a czuprynę podgalają na dawny wzór polski.

Kobiety noszą tak nazwane *zapaski*. Jestto rodzaj spódnicy wyrabianych ze samodziału wełnianego, niezgrabnie kibić opasujących. Pospolicie są one barwy czarnej lub granatowej. Koszule u rękawów i kołnierza są wyszywane bawełną czerwoną. *Namitki* bardzo rzadkie: natomiast u mężatek na głowach chustki kramne po-

(1) Wszystkie te szczegóły o ubiorach dawnych ukraińskich udzielone mi łaskawie zostały przez sędziwego obywatela, który już od 50 lat mieszka w powiecie.



wszechniejsze. Po miasteczkach lub w ich pobliżu, zamiast świt ze sukna grubego, od święta kobiety noszą kaftaniki różno-kolorowe z kramnego płócienka, tudzież spódnice i fartuchy podobne. We wsiach zbliżonych do Kijowa, dziewczęta noszą pończochy i trzewiki z wysokimi korkami, na połowie stopy umieszczonemi.

\* \* \*

Co się tyczy obrzędów i zwyczajów, te mniej lub więcej są wspólne i właściwe wszystkim mieszkańcom Ukrainy. Oznaczyć tu chcemy te tylko, co są znaczniejsze i ciekawsze, omijając podrzędne. Pospolicie obrzędy i zwyczaje ludowe stosują się do pór roku, do świąt uroczystych, do prac gospodarskich i innych spraw i zdarzeń potocznego domowego życia, jakimi są wesela, chrzciny, pogrzeby i t. d.

Przed Nowym Rokiem dziatwa wiejska zbiera się gromadnie i chodzi pod oknami chat, śpiewając piosenki tak nazwane *Szczedrowki*; w nagrodę za odśpiewanie gospodarz chaty wynosi jej piéróg lub téż inny jaki datek. W sam dzień Nowego Roku ciż chłopcy wiejscy obiegają znów sióło, a idąc téż do dworu, posypują zbożem komnaty, nucąc śpiewkę stosującą się do zwyczaju: „Rody Boże żyto, przenyčiu i t. d.”

Na Nowy Rok inny jeszcze zwyczaj zachowują gospodarze sielscy: starsi i poważniejsi zbierają się i idą do pana z powinszowaniem, niosąc mu w podarku chleba bochenek i sól, tudzież wianek z kłosów żyta lub pszenicy, co się u nich nazywa *ralcem*. Czeladź dworska w dniu tym również się udaje do pana z życzeniem Nowego Roku; woźnica przyprowadza ze stajni pańskiej wierzchowca w rzed strojny ubranego, pastuch dworski przypędza na dziedzińiec najpiękniejszą z dobytku krowę, inni parobcy ciągną z wołami, owcami, słowem każdy z czeladzi z tém, nad czém ma dozór, przychodzi do pana. Pan dziękując za to, hojnym nagradza ich datkiem. Przed laty wszystko to było zaprawiane szumnemi oracyami, dość pociesznemi, na które gminne dowcipy się siliły.

Zaledwie przejdą marcowe niepogody i słońce promieniem gorętszym ociepliwszy ziemię, odsłoni ją zpod śniegu, wnet się tłumnie gromadzą dziewczęta wśród wsi na wygonie, i już odtąd na śpiewaniu i zabawach całe nocy trawią. Schadzka ta nazywa się *ulicą*, a pieśni śpiewane w tymże czasie *wiośniankami*. *Ulica* jest dalszym ciągiem zimowych wieczornic, tylko już nie pod strzechą chaty, lecz na wolném obchodzonym powietrzu; trwa ona aż do 24 czer-

wca, kiedy już kośba, a za nią inne roboty w polu, koniec tym zabawom położą.

Wielkanoc świętkują suto: w święconém głównie występuje pascha i jaja, po nich dopiero inne następują przysmaki; jaja farbowane nazywają się *pisankami* i *kraszankami*. Resztki z obiadów wielkanocnych, to jest łupiny z jaj i kości z mięsiwa, rzucają do strumieni, utrzymując, że one popłyną do dalekiego miasta *Rachmanca*, i gdy tam dopłyną, wtedy dopiero w tém mieście nastąpi Wielkanoc (Wetykdeń Rachmański). Co zwyczaj ten ma oznaczać, co znaczy Rachman, i gdzie jest?— dotąd pozostaje zagadką, ile, że i lud sam jak się zdaje stracił już wiedzę o tém. Na Podolu w miasteczku Fulsztynie przypada jarmark na tak zwany *Rachmański-wetykdeń*, a koło Cudnowa na Wołyniu nie *Rachmańskim*, lecz *Nawskim* go nazywają; *Nawskij-wetykdeń* przypada w poniedziałek po Przewodniej niedzieli. Tamże na Wołyniu mają obchodzić święto *nawskiej* trójcy w tydzień po Trójcy Świętej, a lud wołyński utrzymuje, że gdyby kto w te dni ręczną pracę podjął, to za karę martwa mu kość na ręku porośnie i nadal do roboty już niezdatną ją uczyni.

Na *Przewody* cała ludność wiejska zgromadza się na mogiłki (cmentarz) i tam zastawiwszy stoły z jadłem rozmaitem, częstuje się wzajemnie przy częstém gestém płukaniu ust gorzałką: obiady te są dawane na uczczenie i pamiątkę umarłych, którzy tuż podle w mogiłkach spoczywają, a nazywa się to w mowie ludu: „spomynał bat'kiw.”

Święty Jerzy przypadający na dzień 23 kwietnia jest uroczystością rolniczą. Gospodarze sielscy wychodzą na pola młodocianém zbożem umajone, wyjeżdża i paroch dla poświęcenia młodych posiewów, każdy za swą rodziną udaje się na własne pólko, a tam przyniesiony spożywa obiad, gorzałką się częstując. Na Św. Jerzy zasiewy tak już wzrosć mają, iżby się w nich całkowicie wrona schować mogła.

Niemniej jest dla młodzi wiejskiej znakomitą uroczystością dzień 24 czerwca, albowiem w dzień ten przypada święto *kupały*. Wieczorem w kilku zakątach wioski nagle błysną rozpalone drzewostosy, przy których młodzież płci obojęd gromadnie się skupiwszy, przy śpiewach rozgłosnych, zawodzi wesołe pąsy: dziewczęta przybrane w wieńce z rozmaitych ziół, skaczą przez gorejące ogniska, parami za ręce się trzymając. Jestto rodzaj wróżby, bo jeśli parze

jakięj podczas skakania przez ogień ręce się nie rozejdą, ma to znaczyć prędkie za mąż wyjście. Wience są, mówiłem, z różnych ziół wite, lecz ziele *chwoszcz* (*Equisetum hyemale*, po polsku *skrzyp*) w nich przemaga. Według mniemania ludu, ziele to zasuszone w tych wiankach, potem użyte do kadzenia, ma chronić bydło od zarazy, a na grządkach ogrodu warzywnego położone, ma też zachować kapustę od gąsienic. Piosnki towarzyszące temu obrzędowi nazwane są *kupalnemi*, i po większej części miłosnej treści. Po długiej zabawie przy ogniu, w noc późną spieszą do stawu lub rzeki, a kąpiąc się, rzucają wianki na wodę, i ztąd o swym przyszłym losie rozmaite wróżby ciągną. Dodać wypada, iż za Rosią ognisk nie rozkładają: wbijają natomiast w ziemię świeżo ściętą wierzbę, a na gałęziach takowej zawiesiwszy wience, dziewczęta biorą się za ręce, śpiewają i płasają wokoło.

Gdy już sprzęt z łanu ukończono, dziewczęta z wieńcem zbożowym na głowie i ze śpiewami idą do dworu, kędy dziedzic lub ekonom przyjmuje wieniec, i gorzałką, tą oznaką gościnności gminnej, częstować je każe: wówczas zaczynają się śpiewy i płasy, a zwyczaj ten zowią *obżynkami*.

Na dniu 27 lipca lud święci uroczystość *Pałykopy*. Rozповідаją, jak w dzień św. Pałykopy za karę tym, co tego dnia nie obchodzą albo w inne święta w polu robią, piorun zapala domy, tuki i kopy na łanie. Noc ciemna, straszna, z piorunami, którą nazywają wróblową (horobinną), powszechnie w lipcu przytrafiająca się, powstaje właśnie według mniemania ludu, za sprawą tegoż św. Pałykopy, który w sposób takowy karze ludzi za nieuszanowanie świąt.

Wesela pospolicie mają miejsce przed wielkim postem, po Wielkiéjnocy, przed żniwami i w jesieni: obchodzą się suto i są pozostałością zwyczajów dawnych słowiańskich, mimo przerwę wieków ocalałą. Pan-młody nazywa się *kniaziem*, panna-młoda *kniahinią*, swaci *bojarami*. Panna-młoda przed weselem w towarzystwie drózek, obiega wieś całą, każdemu z przechodniów wybijając pokłony i prosząc o błogosławieństwo. Kiedy panna-młoda po ślubie i pożegnaniu rodziców na wozie parą wołów zaprzężonym, udaje się wieczorem do chaty młodego, jest zwyczajem wtedy z drogi nikomu nie ustąpić, bo gdyby ustąpiono, stałoby się to wróżbą wielce nieszczęśliwą dla nowego stadła. Powiądają, że jedną razą dwa wesela spotkały się w przeciwnym kierunku: jedno drugiemu nie chciało ustąpić, przyszło z obu stron do bitwy, i jedno towarzystwo zwalczonym zostało; jakoż niebawem nowożeńcy téj zwalczonej strony

śmiercią nagłą pomarli (1). Śpiewy towarzyszące obrzędom weselnym są liczne.

Pogrzeby obchodzone bywają bez żadnej wystawy. Bogatsi jednakże włościanie dają obiad, stypę, sowiecie na takiej ubogich podejmując. Śpiewy właściwe pogrzebowi, są tak zwane *holoszenija*, które wśród płaczu najczęściej udanego, stare baby wyjąkują, będąc płatne za to.

\* \* \*

Przesądna wiara w czarownice, głęboko między ludem tutejszym jest wkorzeniona. Na uproszenie deszczu, jeszcze przed 60 laty po stawach czarownice pławiono, albo też palono je na stosach, pomówiwszy o sprowadzenie moru, zarazy na bydło, suszy i głodu. Lud nasz z wyobrażeniem o czarownicach łączy też ściśle pojęcie o *wiedmach*; wszelako między temi istotami zachodzą różnice pewne, które tu oznaczymy. Znajdują się niewiasty takie, według wiary ludu, co już z urodzenia są *wiedmami*, drugie zaś dopiero w ciągu życia przechodzą do tego stanu, a to przez naukę i zapisanie się sile nieczystej; do ich rzędu należą tak nazwane czarownice. Pierwsze zła wiele nie czynią i swoje wiedzę złego ograniczają na psotach niektórych, jakoto: na urzekaniu cudzej własności, zamawianiu mléka od krów i t. p.; znają też wszystkie sposoby ustrzeżenia się od napaści szatańskiej, wiedzą jak djabła w pole wyprowadzić, oszukać. Drugie są nierównie złośliwsze; bo nietylko że psot szkodliwych używają, lecz jeszcze nastają na zdrowie człowieka; te ostatnie są przeto

(1) W dziele „O litewskich i polskich prawach” powiada Czacki: że „ciasne drogi, oprócz niewygody jadących, były miejscem szermierstwa podróżnych. Z takiego wzajemnego przymuszania, aby jeden drugiemu z drogi ustępował, wynikły te mordy, które jeszcze w różnych imionach mogił, uwieczniają albo dwóch wesel jadących potyczki, albo spotykających się junaków zapaly: podobno te sławne Perepiata i Petepiatychy, mogiły na Ukrainie, innego nie mają początku.” Chociaż o mogiłach tych inne wcale między ludem krąży podanie, wszelakoż nie przeczę, domysł Czackiego dość jest do prawdy podobnym, tylko jeżeli tu dwa wesela przyszły do potyczki, to zapewne nie ciasność zbyteczna drogi stała się tego powodem, ale raczej ów przesąd i dziś tkwiący między ludem, a o którym mówimy. Na Ukrainie, ciasność drogi nie mogła nigdy dać pochopu do kłótni, zważywszy, iż na obszernych tutejszych stepach, dziś jeszcze o drogę niebardzo się podróżni troszczą: każdy ją obiera tam, kędy mu się lepszą wydaje; ztąd pochodzi, że przy głównych stepowych drogach, pospolicie są dróżki małe, *objazdowe*.

wielkim postrachem dla gminu. Każda wieś niemal kilka ich posiada. Sławne są wiedmy kijowskie; ma się znajdować tamże *Lysa-góra*, na którą ze wszystkich stron nocną dobą zlatują się na łopatach lub na ozogach, te nieczystej sile zaprzędane niewiasty. Wszelako tak nazwanych *gór łysych* wszędzie jest podostatkim. Lud utrzymuje, że wiedmy wybierając się na nocną po łysych górach schadzkę, wprzód smarują ramiona sokiem ziela *tyrlicz* (*Volantia minor*); ma to pomagać do lotu.

O zamawianiu mléka przez wiedmy tysiąc krąży między ludem powieści. Pewna niewiasta idąc na niedzielny targ do miasteczka, uprosiła sąsiadę, aby w czasie jej niebytności zgotowała obiad dla dziatki, które w domu zostawia. Kiedy przyszło już do gotowania obiadu, sąsiada pyta się dziatwy: „I cóż wy jadacie, bo w szpizarni matki waszej nie ma żadnego zapasu.“ „My mléko jadamy“—dziatki odpowiedziały. „A z kądże mléko u was, kiedy krowy nie macie?“ Dzieci pobiegły do *kluni*, tam stała socha, a wyjąwszy jeden kołek, jak z beczki w donicę mléko się polało. Matka tych dzieci była *wiedmą*, i snąc mléko jakiejś krowy w sochę zamówiła.

Wiedmy są niesłuchanie mściwe: rozgniewane na człowieka, ześlą nań chorobę, kalectwo i śmierć samą. Zaklęcia ich są straszne i mocą ich sprowadzą do siebie kogo zechcą, chociażby się to jego sprzeciwiało woli. Rozповідаją, iż nieraz widywano w powietrzu lecącego człowieka, który zmordowany wołał: „pić, pić!...“ Lecił on bez odpoczynku, a to na wezwanie wiedmy.

Pospolicie sztuki swe szkodliwe płatają one w nocy, kiedy księżyc w pełni świeci; ubrane natenczas w bieli stają się niewidomemi: jest wszakże sposób, aby je rozeznąć. W takim razie trzeba nosić przy sobie sér z pierogów zapustnych; sér ten, posiadający moc odkrywania widem niewidomych, w zapusty zaszywają w jakąś część odzieży, a rozwiązują go dopiero w pierwszy dzień Wielkiénocy.

Czarownikom również lud przypisuje wiedzę złego przez zaprzędanie się nieczystej sile; pospolicie téż czarownika złym człowiekiem nazywają. Czarownik jest wielce szkodliwy i wzbudza między ludem postrach niemały; on posiada moc zamieniania ludzi w wilkołaków, a w tak nazwaném *daniu*, ludzi o śmierć przyprawi. Danie, jestto trucizna wydobyta z jadowitych roślin lub gadu, która w zaprawie z wódką się podaje. Czarownik atoli przed śmiercią winien wyzuc się ze swych czarów, naukę ich przelewając na kogoś drugiego, chcącego się wyuczyc. Musi to uczynić nieodbitcie, jeśli tylko

ży czy sobie umierać spokojnie; w przeciwnym razie śmierć jego straszna, bo męczy się niesłychanie. Przeto téż jeszcze w ciągu życia każdy czarownik ku temu się sposobi, o ucznia starając się zawczasu. Dawniej hajdamakom przypisywano znajomość sztuki czarodziejskiej: oni umieli zamawiać kule, że nigdy ich dosięgnąć ani szkodzić im nie mogły; nieraz téż widziano hajdamakę, jak rozesławszy na wodzie burkę, płynął na niej jakby w łodzi. Dzisiaj lud pospolicie Litwinom przybywającym tu na letnie zarobki, znajomość czarów przypisuje.

Tak zwani znachorowie mają niejaki stosunek z czarownikami, wszakże pomiędzy nimi zachodzi wielka różnica: bo znachor znajomości czarów używa na dobre i przez to u ludu w wielkiem jest poszanowaniu. Znachor we wsi jest znakomitą osobą: w chorobie, w nieszczęściu, wszyscy doń spieszą po radę, proszą o pomoc; on wie o wszystkiem, na każdą chorobę lekiem się przysłuży, w nieszczęściu zaś poradą. Wszystkie własności lekarskie ziół są mu znajome; przytém posiada naukę gwiazd, z ich obiegów wróżby ciągnąć i wpływy ich złe lub dobre oznaczyć umieć. Według mniemania gminnego, dziecię przeznaczone kiedyś zostać znachorem, rodzi się zawsze w poniedziałek, bo w przeciwnym razie własność znachorstwa, którą dziecię na świat przyniosło z sobą, niechybnieby zniszczoną była. Znachor téż zawsze poniedziałki suszy. Znachor i przyszłość częstokroć przepowiada. Oprócz znachorów są i znachorki, równie od ludu szanowane, i dla swych wiadomości lekarskich poszukiwane.

Młodzieńcza a bujna wyobraźnia ludu naszego, przyrodę otaczającą zaludnia dziwnymi i nadprzyrodzonymi tworam: do rzędu takich należą zwane przezeń wilkołaki, rusalki, miawki, nocnice (nyczki) i niewiasty uosabiające bądź morową zarazę, zimnice (febry), bądź inne choroby ludzkie.

*Wilkołak* jestto istota nadprzyrodzona, pochodząca z przedzierznięcia się człowieka w postać wilczą; pospolicie czarownice lub wiedmy swemi zaklęciami to sprawiają. Mówią, że matka jedna chcąc ratować synów swych od rekruta, zamówiła ich w wilkołaki; blakali się lat ze cztery po lasach i stepach, aż nareszcie taż matka odmówiwszy ich, napowrót w ludzką postać odczarowała.

Lud wierzy, iż niechrzczone dzieci po śmierci przeobrażają się w rusalki. *Rusalki* według wierzenia ludu sąto istoty wodne, a ulubionem ich siedliskiem, rzeki: sąto dziewice zachwycającej urody, a przytém niesłychanie żywe i puste. W noc odprawiają tańce,

korowody. *Miawki* są im pokrewne, lecz te tylko po zbożach widziane bywają; zstępują one na ziemię z chmur. Około Zielonych Świątek najwięcej dokazują: biada temu, kogo spotkają w zbożu; schwyciwszy swą ofiarę, gwałtowném loskotaniem życia ją pozbawiają. W ostatni dzień przed *Petrowką* (postem), pastuszkowie wystrzegają się w polu zasnąć, boby ich miawki załechtały.

Nocnice (nyczki) sąto niewiasty, które nocną porą tysiące psot nawykły wyrządzać, a mianowicie w dzień piątkowy. W każdy też piątek kobiety wiejskie pilnie chowają swą kądziel, zabierając się do spania, bo jeśli ją tylko zostawią wieczorem w świetlicy, zaraz nocnice wyprzedzą ją całkowicie, a to dla psoty jedynie czyniąc.

W wierze swój zabobonny lud wszelkie choroby uosabia. Staruszek jeden opowiadał mi, że jeszcze za Polski, w czasie powietrza morowego, niewiasta jakaś obiegała okolice, ze wsi do wsi przechodząc; na czyjś chacie węglem krzyż nakreśliła, tam już całą rodziną wymierała ze szczeniem; niewiasta ta uosabiała pomór. Niedawno nawet, cholere w 1848 roku w tych stronach grassującą, lud w postaci niewieściej przedstawiał sobie. Zimnice (febry) również według przesądu gminnego noszą postać ludzką, tudzież ospa w postaci kobiecej widywaną bywa. Nadto, fantazyja ludu naszego uosabia pory roku, święta i dni pewne, w które jakkolwiekbydź pracą zająć się lud grzechem poczytuje. Zima jego na białym jeździ koniu, wiosna na siwym, a jesień na pstrokatym. Niedziela albo piątek (piatnycia) niekiedy zjawiają się w postaci dziewic niesłychanie pięknych; ale to tylko wtedy, gdy kto w dni im poświęcone, pracą się zajmuje. Wówczas niedziela prządkom powiada, że one nie przedają lnu jak się im zdaje, lecz przedają jej włosy, i wskazuje na swój warkocz potargany; mlóącym zaś na toku odslania białe ciało mnóstwem okryte sińców, i powiada im, że to oni cepami tak jej ciało kaleczą. Pomysł wcale piękny!

Duchy złośliwe piekielne w zabobonach ukraińskich niepoślednią rolę wygrywają: *satan*, *czort*, *did'ko*, *neczystaja syła*, *perelstnyk*: wszystko to są nazwiska na oznaczenie duchów piekielnych, nieprzyjaciół-rodu człowieczego. Ukrainiec przeklinając, ciągle czarta wspomina. Według mniemania jego, djabła ulubioną siedzibą są kępy na błotach; a dlaczego? O tém z ust ludu takie podanie usłyszysz, które z tradycją biblijną widocznie pomieszał.

Na samym początku świata Pan Bóg był stworzył tylko niebo i wody, a ziemia jeszcze nie istniała. Zatem Stwórca rzekł do dja-

bla: „Idź na dno morza i przynieś mi garść piasku.“ Djabeł, ciekawa sztuka, zapytał: „Na co?“ „Nie pytaj—odpowie Stwórca—idź tylko na dno morskie, a tam biorąc piasek, rzeknij: pobłogosław mu Bóże.“ Djabeł się zanurzył, lecz jakby na przekór Stwórcy powrócił z niczém, bo był gniewny, że ciekawości jego nie zaspokoił. Powtórnie z rozkazu Stwórcy djabeł poszedł na dno, lecz jak przedtém, piasku w dłoni nie wyniósł. I Stwórca rzeknie: „Oto z tego piasku uczynię ziemię, a potém stworzę ludzi, i ziemia ta stanie się ich mieszkaniem.“ Djabłu ta mowa bardzo się podoba, pownie zatém w morze i tą razą już nabrał garść piasku, lecz i o sobie przekłety nie zapomniał: napchał piasku w gębę i powciskał w pazury, mówiąc do siebie: oszukam ja Boga, i ja sobie ziemię stworzę. Uradowany, z piaskiem w dłoni wypłynął z głębi morza. Stwórca przyjął ów piasek do rąk swoich i cisnął na morze: wnet wody ziemią się powlekły, a w gębie przekłętego djabła ziemia jak zacznie rość i rość.. Wypłuł ją zatém, wyrzucił; gdzie jeno padła, na wodach, jeziorach i błotach potworzyły się wyspy, i dlatego dzisiaj jeszcze po kępach rad djabeł przemieszkiwa.

Oprócz kęp, również ulubioném mieszkaniem jego są wierzby stare; przenosi się także z miejsca na miejsce w wichrze kręcącym się w polu.

Djabeł nazywanym bywa *perelestnikiem* wtedy, kiedy przybrawszy na się postać nadobnego chłopca, zwodzi młodą zakochaną w nim niewiastę. Lud mnóstwo przytacza przykładów, jak od *perelestnika* niejedno dziewczę lub młodycy bywały nagabane. Dla odegnania tego nieczystego ducha, znachorki używają ziela *perelet*, okadzając niém osobę napastowaną. Kiedy z niebios meteor spada, ma to być oznaką, że *perelestnik* udaje się na schadzkę miłosną. *Perelestnik* bywa także zwany zmijem, latawcem.

Mnóstwo podań krąży między ludem tutejszym o przeistaczaniu się ludzi we zwierzęta, w ptaki i nieżywe twory nawet, a dzieje się to z mocy zaklęcia, której wielką dają wiarę. Jedną razą matka do córki w oddaleniu mieszkającej, w gościnę przybyła; córka powitała ją serdecznie i w przyjęciu hojną dość była; lecz następnie, gdy pobyt matki wydał się przydługim, zaczęła skąpić w jój podejmowaniu i wyraźnie głodem ją morzyła, niedostatkiem a ubóstwem składając się, sama zaś kryjomo jadła niezłe. Aż pewnego razu matka ją zaszła, gdy ta ukradkiem kurę w rosole gotowała dla siebie; rozgniewało to matkę i za niegościnność córkę swą zaczęła strofować; lecz córka utrzymywała, że to nie była kura którą gotowała,



bo zdobyć się nawet na kurę ubóstwo jej nie pozwala, lecz że chcąc się posilić, żółwia zamiast kury zgotowała. Oburzona do reszty matka tą mową nieszczerą, zakląła ją w żółwia, i odtąd ta niedobra córka w postaci żółwiój zostawać musi, a lud żółwia zwie dotychczas *kurą*.

Robota w polu w święta uroczyste lub w niedziele ściąga wielką karę na tego, kto się jej dopuszcza. Podają, że wieśniak pewien w czasie żniw we święto pracował, a za to od jakiegoś potworu nakształt żmija pożarty został: to znowu, że w stózek niedzielą użęty, piorun uderzył i spalił. Duńczewski powiada: że między Chwastowem i Owruczem (przestrzeń atoli niemała), dają się widzieć kamienie, które człowieka, pług i woły należycie udają, a jakoby we święto orzący gospodarz, tą kamienną został ukarany postacią.

Wieśniak tutejszy wielce przesądny, obdarzony bujną a płódną fantazyą, widzi wkoło w przyrodzie coś takiego, co ma związek z duchem nieczystym i siłą jego. Rozpowiada naprzykład: że na stepach i po lasach są pewne miejsca, w których djabeł rad gości, i gdy się jaki człowiek w ten szatański manowiec popadnie, to już go djabeł tak otumani, że choćby najlepiej był obeznany z miejscowością, błąkać się będzie, i drogi nie odszuka, aż póki się nie przeżegna. Na miejscu takowém jeżeli kto nieświadom chatę zbuduje, to i on z całą rodziną wymrze i chudoba wyzdycha. Wieśniak wierzy téż w uroki nasyłane od złego człowieka, a ten według mniemania ludowego niewątpliwie w mocy szatańskiej zostaje. Opowiadania o ukrytych skarbach, są powszechnie lubione od wieśniactwa: skarby te hajdamacy mieli ukryć w ziemi, ale dziś trudno ich dostać, bo nieczysta strzeże ich siła. Bajają, że gdzieś w lesie pleseckim stoi grusza, a przy niej dąb z gałęziami pokręconemi; pod niemi zakopane być mają skarby przez hajdamaków, którzy dla poznaki wyrznęli na drzew tych korze widła i krzyż; ale nikt się tych skarbów nie dokopie, aż póki *zastupa* (rydla) nie znajdzie, który także przez tych samych hajdamaków zakopany i zaklęty został.

Zwierzęta, a ptastwo szczególnie, wielką grają rolę w zabobonach ludu. Kto na wiosnę pierwszy raz usłyszy śpiewającą kukulkę, a ma grosz jaki w kalecie, to już rok cały zostanie przy pieniądzach; w przeciwnym zaś razie, bięda mu w oczy zajrzy. Na wiosnę, jeżeli Ukrainiec widząc kluczem lecące żorawie, powie że to lecą *weselyki*, to już rok cały pomyślnie

i wesoło mu przejdzie; jeżeli zaś niechęć wymówi wyraz *żórawli*, jak się te ptaki pospolicie nazywają, to już mu zwiastuje smutek; odtąd będzie się martwił (żurytsia). Wieśniacy tu-tejsi bardzo się dobijają o gniazdo bocianie; albowiem są tego przekonania, iż ono od ognia ochrania: kto je posiada na swém podwórzu, temu zły człowiek, bojąc się zemsty bocianiej, chaty lub stodoły podpalić nie śmie.

Nieraz widziano, jak bocian niósł w dziobie głównie płomienną, i rzucając na chatę podpalacza, nikczemny jego wykrywał postępek.

Ptakami złej wróżby są: kruk, wrona, puszczyk. Lud twierdzi, że paw' i puszczyk są w blizkich stosunkach z djabelem; ostatni służy mu nawet. O wróblach powiadają, że na św. Szymon wylatują one ze wsi do lasów, a tam w gromadzie między sobą radzą, bo podtenczas djabeł daninę z nich wybiera. Nazywa się to *sejmem wróblecym*. Szczęśliwszy kur, bo jest ptakiem bożym; utrzymują, że ptak ten posiada jedno pióro ze skrzydła aniołów, które mu daje ten przymiot, iż słyszy anielskie chóry w niebie i kiedy pieje, to ma znaczyć, że usłyszawszy święte głosy, na nie odpowiada.

Lud nasz posiada niektóre wiadomości astronomiczne; ma on pewne wyobrażenia o świecie, niebieskich ciałach, o słońcu, gwiazdach niektórych i t. d. nadaje im téż nazwy swoje, a z ich obrotów i wpływów ciągnie wróżby gospodarskie. Tęczę nazywają *weselką*, utrzymując, że ona naksztalt żórawia krynicznego, z wód jezior, rzek, ciągnie wodę do chmur. Słońce, według wyobrażeń gminnych, wstając na wschodzie, codziennie świat półokrężny obiega, a wieczorem na kąpiel zapada do morza. Ziemia zaś jest kształtu płaskiego i spoczywa na mórzu. W mórzu tém jest potwór ryba, która na grzbiecie swoim świat cały dźwiga; gdy czasem potwór ten wstrząśnie się lub ogonem ruszy, to wtedy bywa trzęsienie ziemi. Wyobrażenie to zostaje w widoczném powinowactwie z pojęciem o Lewiatanie biblijnym. W plamach będących na tarczy księżyca w pełni, lud widzi człowieka, który drugiego w powietrzu zawieszzonego na widłach ma trzymać, i tak to sobie tłumaczy: że dawno temu, brat widłami przebił brata i zabójca ten od Boga został skazany zostawać wiecznie w téj postawie na księżycu. Oto są nazwiska gminne niektórych konstellacyj: *kwoczka z kurczętami* (Plejady), *wózek*

z *koñmi* (ursa major), *zoria* (jutrzienka) i gwiazda *Lelowa* (1).  
Kometa zwie się *watosozur*.

Lud ukraiński dzieli swój czas nie na miesiące, lecz na tygodnie (*nedili*), rachubę ich zaczynając od Bożego Narodzenia, potem od Wielkiénocy, następnie od postu Spasówki. Jest tego przekonania, że klimat w tych stronach przed laty był daleko łagodniejszym: zimy nie były tak długie i mroźne jak teraz; dowodem czego, że dawniej w dzień 17 marca (na ciepły Ołexy) już wystawiali w polu pasiekę, a przysłowie mówiło, iż w tymże miesiącu na *dwinatcatoj nedili i wdowyn pluh wyjde*: miało to znaczyć, że o téj porze oranie kończono. Dziś około tego czasu trwają jeszcze mrozy, i śniegi po polach leżą; wczesna wiosna rzadko się teraz zdarza.

(1) *Lelum potelum*: czy nie *Castor* i *Pollux*?



# O UTWORZE

## WĘGLA BRUNATNEGO W POLSCE,

### I ZWIĄZKU JEGO Z POKŁADAMI SOLNEMI.

PRZEZ

*H. Labęckiego.*

---

Znakomity europejski geolog Leopold v. Buch napisał świeżo ważną bardzo rozprawę: o utworze węgla brunatnego w Europie, zamieszczoną w ostatnim zeszycie pisma czasowego: *Archiv für Mineralogie, Geognosie, Bergbau und Hüttenkunde*, wydawanego w Berlinie przez Karstena i Dechena, w tomie XXV str. 143.

Wprawdzie Leopold Buch zamierzywszy mówić o węglu brunatnym w Europie, głównie o Niemczech mówi i dalej na wschód nie sięga; lecz gdy i u nas utwór ten się znajduje: rozciągając przeto jego rozumowania, zamierzylismy nietylko w treści przywieść pracę niemieckiego geologa, ale pomówić i o naszych węglach brunatnych.

W węglakach czyli węglach kopalnych, odróżnić należy najzupełniej *węgle kamienne czarne*, tworzące same przez się pokłady należące do najdawniejszych okresów geologicznych kuli ziemskiej, czyli utwór węglowy, od *węgli ziemnych*, to jest: *węgli brunatnych* i *drzewiaków* (lignites), które znajdują się wśród nowszych daleko utworów. Ostateczne spostrzeżenia nad pokładami i szczątkami organicznymi okazują, iż wszystkie węgle brunatne w Europie należą również do jednego i tego samego okresu i jednej formacji, która jest daleko późniejsza od węgli

kamiennych, i utworzyła się po osadzeniu się pokładów obfitujących w nummality czyli eocennemi zwanych.

Ówczesne strumienie i prądy zaniosły w doliny eocennego okresu, lasy, drzewa i liście z miejsc podniesionych, i tak powstały pokłady węgla ziemnych brunatnych.

Znamionują okres ten, natrafiane w węglu brunatnym liście z pozoru podobne prawie do liści grabu (*Carpinus betulus*), leszczyny (*Corylus avellana*), ostrokrzewu (*Ilex aquifolium*), olchy (*Betula alnus*), klonu (*Acer*), do dębu zwłaszcza meksykańskiego także i liści palmowych; w szczególności zaś są one z rodzajów i gatunków paleontologicznych: *Ceanothus polymorphus*, *C. americanus*, *Daphnogene cinamomifolia*, *Dombeyopsis*, *Quercus drymeya*, *Liquidambar europaeus*, i *Flabellaria* (palmowe). Te znaki, a szczególniej wszelkie skamieniałości skorup mięczaków, które w pokładach bezpośrednio z węglem brunatnym stykających się są napotymane, utwór tegoż węgla brunatnego odnosić każą pośrednio pomiędzy eocenne i podapenińskie pokłady, a zatem wyraźnie do miocennych policzyć je należy.

Takimi są niewątpliwie pokłady węgla brunatnych niedaleko Szybnika (Sebenico) w Dalmacyi, w górze Promina zwanęj odkryte, takimi pokłady w Krainie między biegiem Sawy i Mury, i w Styryi między Marburgiem i Leoben, w Austryi nad Enszą w Thalern, Eillingsdorf i Glognitz; we Włoszech w Stradelli niedaleko Tortony i przy Monte Bolco; dalej w Alpach szwajcarskich od jeziora Genewskiego do Konstancyńskiego.

W Niemczech L. v. Buch oznacza takich miocennskich zagłębi z węglem brunatnym siedm, t. j.:

1. Od Bazylei między pasmem Wogiezów i Czarnego Lasu (Schwarzwald).

2. Pomiedzy górami Odenwaldu i Taunusu przez Westerwald do góry Rhön, czyli przez kraje heskie od Moguncyi nad Renem do Kasselu nad Fuldą i do Wezery.

3. Niższego Renu od Bonny do Kolonii.

4. Turyngsko-Saskie koło Altenburga ku Lipsku.

5. Brandeburskie od Magdeburga nad Elbą przez Berlin do Frankfurtu nad Odrą, gdzie głównie są kopalnie pod Rüdesdorf.

6. Czeskie u podnóża gór Rudnych (Erzgebirge), od Egry przez Żatec (Saatz) kopalnie Lauterbach, Rychnów (Reichenau),

Litomierzyce (Leitmeritz) i znakomite kopalnie w Bilinie, Aussig, Lautersdorf aż do Görzdorf. Wreszcie:

7. Szląskie zagłębienie u wschodniego podnóża gór Olbrzymich (Riesengebirge) i Sudetów, w całym dolnym Szląsku, mianowicie: Mużaków (Muskau), Schmarke, Striepe, Langenöls koło Lauban, Laasan, Popłowice (Popelwitz) koło Niemczy (Nimptsch), w Zielonej górze (Grünberg), Strzygow (Striegau), Blumenthal, Łęczy (Lentsch) koło Nissy (Neisse), z kąd do Szlązka górnego przechodzi (1).

Daléj już o węglu brunatnym w Europie nie ma wzmianki, a przecież i u nas w utworach trzeciorzędowych, a mianowicie średnich czyli miocennych, pośród gliny wyciskowej (argile plastique) natrafiają się ślady węgla brunatnych. Są one przy wpa-dnięciu Nidy do Wisły pod wsią Winiary przy Nowém-Mieście Korczynie, daléj pod miasteczkiem Opatowcem i to na 24 do 60'' grubości, a nie głębiéj jak 5 do 7 sążni pod łożami i gliną.

Po znacznej przerwie znów nad brzegiem Wisły są węgle brunatne między Dobrzyniem a Płockiem. O nich mówi już ks. Jezuita Rzączyński (Hist. Nat. Curiosa Reg. Pol. str. 3) iż są lekkie, kruche, łatwo palne (carbones fossiles, leves, friabiles non difficulter ignem recipientes).

Za rządu pruskiego w r. 1805 i 1806 robił poszukiwania radca gór. pruski Mielecki, i wyszedził pokład węgla brunatnych pod Dobrzyniem, w długości 300 sążni, w jednym miejscu 6 do 12'', w drugim 10 do 50'' gruby.

Od r. 1816 i 1818 rząd zaprowadził roboty górnicze i wy-dobyto do 900 korcy węgla brunatnych. Powtórnie rozpoczęto tu kopać między r. 1836 a 1838, w widoku użycia tych węgla dla warzelnii ciechocińskiej. Wydobyto ich tylko 2000 korcy; lecz koszta odbudowy były znaczne w porównaniu z korzyścią, gdyż odbytu na miejscu nie miały, a odwóz do warzelnii byłby przypadł drogo. Korzec tych węgla po zwykłym przeschnięciu na powietrzu ważył fun. 185.

Wśród pokładu węgla napotykają się częstokroć: krystalizo-wany gips, czasem iskrzyki (siarki żelaza), siarczan żelaza jasno-zielony, i niekiedy siarka włoskowa.

(1) Patrz rozprawę profesora Göpperta o węglu brunatnym w Szlązku, w Archiwach Karstena z r. 1850, tom XXIII, str. 451.

Tych węgla brunatnych są ślady pod Brwiniem i Płockiem, a po drugiej stronie Wisły aż do Torunia i dalej napotykać je można.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem począwszy od Międzychodu (Birnbaum) i Sierakowa (Zirke), idąc w górę Warty aż do Poznania, jest utwór węgla brunatnego; ten przeciąga się w Królestwie przez Konin i Koło aż do Łęczycy.

W r. 1804 i 1805 czynił rząd pruski poszukiwania w Poznańskiem nad Wartą, równocześnie jak i pod Dobrzyniem. Odnowiono je w r. 1841 pod kierunkiem Nöggeratha (syna), i skutkiem tego rozpoczęto w r. 1842 pod Wronkami (w pow. szamotulskim) kopalnię węgla brunatnego, nazwaną Boską Opatrznością (Gottes Fügung) na pokładzie 60'' grubym, którą zaniechano w 1845; także kopalnię Karola (Carls Fund) pod Stanowem (w pow. obornickim).

Tu także wśród węgla brunatnych znajdują gips i włoski siarki (1).

Tak więc to rozerwane rozpołożenie trzech zagłębi z węglem brunatnym wśród utworów miocennych, t. j.:

1) nad brzegiem Warty, od zetknięcia się z zagłębiem brandeburskiem (dochodzącem do Frankfurtu nad Odrą), aż do spotkania z zagłębiem u dolnej Wisły;

2) nad płocką częścią Wisły aż do Torunia;

3) u górnej Wisły między wpadnięciem do niej Nidy i Nidzicy czyli od Nowego-Miasta Korczyna i Opatowca w górę dwóch tych rzek;

niejako równoodległe od zagłębia węgla brunatnych w dolnym Szlązku u podnóża Sudetów, domyślać się dozwala, iż one zapewne łączą się z ciągiem tego utworu rozłożonym u podnóża Karpat.

To popiera to, co w tej mierze twierdzi Leopold Buch o przeciąganiu się formacji miocennej zpod Sudetów i połączeniu z taką pod Karpatami.

Powołuje się on dla poparcia swego zdania na ważne poszukiwania prof. Goeperta (z Wrocławia) nad naturą pokładów

(1) Ciekawem byłoby rozwinięcie związku z tym utworem, jemu zapewne składem swym odpowiadających wysp miocennych: jednej nad rzeką Omulewem od Ostrołki ku granicy Prus, gdzie kopią bursztyn przy napotykanii pni drzewiaków; drugiej nad Niemnem od Prus ku Druskienikom w okolicę Trok.

węgla brunatnych w Szlązku i skamieniałościami w nich znajdowanymi, które się napotykają i w Szlązku górnym.

„Węgla brunatne, w górnym Szlązku napotykanne, mówi L. Buch, wyciągają swe ramię aż w okolice Krakowa, do Wieliczki, gdzie składy soli; i to, coby przed 20stym laty uważano za marzenie, dziś jest dowiedzionem jednozgodnie z liści, muszli i wymoczków, że nawet masy solne Wieliczki należą do téjże formacji co węgle brunatne, czyli do średniej trzeciorzędowej, miocenną zwaną. Nawet głębiej w Galicyi koło Żółkwi (1) i pod Lwowem, i w wielu innych miejscach leżą węgle brunatne wśród iłów solnych; niekiedy pokryte są warstwą dwusążniową, zawierającą też same muszle, co w wapieniu z Leitha (pod Wiedniem) lub Teglu, jakoto: *Trochus patulus*, *Natica epyglottina*, *Mitra scrobiculata*, *Cerithium Latreillii*, *Buccinum reticulatum*, *Pectunculus insubricus*. Ważne to dostrzeżenie stwierdza jak najdobitniej, jakie jest położenie i wiek węgla brunatnego, to jest że nie inne, jak je oznaczyliśmy”.

Niech nam wolno będzie zwrócić tu jeszcze uwagę na tę okoliczność, że w Wieliczce natrafia się dość często na drzewiak czy węgiel brunatny z wydatną budową słoików, który na miejscu górnicy *wąglem solnym* zowią.

Jest zatem niewątpliwie łączność i odpowiedniość pokładów solnych i węgla brunatnego, jako obu mieszczących się w utworze średnim trzeciorzędowym czyli miocennym. Co więc, uważać należy, że u nas węgle brunatne znajdują się albo niedaleko znanych pokładów solnych, albo przynajmniej wiadomych źródeł słonych. Albowiem od Nowego-Miasta Korczyna utwór miocenny przeciąga się w okolice za Wiślicę, gdzie są znane źródła słone Buska, Solca, i gdzie były czynione poszukiwania przez radcę gór. Beckera w Szczerbakowie, Nękanowicach, Brzesku i t. p. Podobnie Dobrzyń wskazuje na solanki w Kujawskim aż do źródeł ciechocińskich, i na całą przestrzeń kraju od Łęczycy do Inowrocławia, która i dalej w Poznańskie się przeciąga aż do Szubina i Keyni (Exin), w okolicę, którą przeszło wiek temu ks. Rzączyński jako posiadającą słone źródła oznaczał, bo ich wiele

(1) Pusch w Opisie geognost. Polski tom II, str. 441 mówi o węglach brunatnych koło Rawy Ruskiej, Plińska pod Żółkwią ku Lwowu, tudzież od Szczerzeca pod Huciskiem i Janowem aż do Mikołajewa nad Dniestrem, a nadewszystko w pasmie solnem od Solca nad rz. Wiarem przez Telszyn do Samborza i dalej aż do Bukowiny i Siedmiogrodu.



tamże jest znanych; a nawet bywały tu i warzelnie za Kazimié-rza Jagiellończyka, koło Pinku w Wielkiej Polsce (Długosz, str. 569 pod r. 1478); przy końcu zaś zeszłego stulecia we wsi Solczy pod Łęczycą (1780 do 1795) warzył sól kasztelan Jezierski.

Tak to łączą się z sobą obserwacye, wspierają i uzupełniają; a co niegdyś zdawało się odrębne, kiedy mniemano:

*a)* że solne pokłady są w utworach jakichś juraskich lub nadjuraskich zagadkowych (problematische Kalk und Sandstein Formation, Pusch); później, że one leżą wśród piaskowców zielonych (Greensand), zatém spodnich kredowych;

*b)* że węgiel brunatny należy do spodnich ogniw formacji trzeciorzędowej, a w szczególności do pietra gliny paryzkiej czyli eocennéj;

dziś powstanie soli uznane zostało za nowsze, wszędzie bytność soli kamiennéj oceniona jako należąca do jednego okresu osadów, czyto u stóp hiszpańskich Pirenców (Cordona), czy neapolitańskich Apeninów (Salina di Langre w Kalabryi), czy w Alpach Salcburgskich w Tyrolu, czy w siedmiogrodzkich kopalniach Parjadu, Okna i Ronasek, czy nasz ciąg podnóża Karpatów od Wieliczki i Bochni do Bukowiny: wszędzie też same warstwy i skamieniałości, wszędzie jednozgodnie uważane za średnie trzeciorzędowe czyli miocenne, nad nummulitowym piaskowcem leżące, a spólcześnie z węglem brunatnym, bo też same w nich i towarzyszących im warstwach znajdują się szczątki organiczne.

Nie zapominajmy, że czyto sól kamienna się kopie, czy źródła słone tryszczą, gdy te ostatnie są tylko opłókiwaniem soli, utwór jest tenże sam, a zatém dziś wiedzieć powinniśmy, że kiedy w miocennym okresie osiadała sól kamienna w jednych zagłębieniach, równocześnie w tychże lub w innych pobliskich rośliny ówczesne nagromadzały się, pędami strumieni naniesione.

Uposadzenie więc soli i węgla brunatnego blizkie jedno od drugiego być może; łączą się one z sobą, dlatego téż jedne bytność drugich niedaleko w téjże okolicy wskazywać mogą, bo są spólczesne, bo niegdyś także sąsiadowały.

Warszawa, d. 26 października. 1852 r.

# MICHAŁ JERZY MNISZECH.

PRZEZ

*J. Bartoszewicza.*

---

Do rzędu znakomitszych obywateli za panowania króla Poniatowskiego i pod względem nauki i pod względem stanowiska, jakie zajmował w kraju, należy bez wątpienia Michał Mniszech. Byłto światły mąż stanu, biegły minister, i uczony literat. Nie zasługami wszakże rzeczywistemi, zaraz i z początku swojego zawodu wznosił się wysoko Mniszech w społeczeństwie polskiem, a nawet i w dziejach piśmiennictwa zostawił po sobie pamiątkę: droga, po której w życiu swoim stąpał, kwieciami była usłaną i dlatego zewsząd lały się na niego zaszczyty, jedynie przez wzgląd na ród możny, z którego pochodził.

Michał był drugim z kolei synem Jana Karola podkomorzego wielkiego litewskiego i posła rzeczypospolitej do Turcyi. Po ojcu wiódł ród od ulubieńców króla Zygmunta Augusta i od Jerzego wojewody sandomierskiego, ojca pięknej Maryny. Matka Michała, Katarzyna z Zamojskich wojewodzianka smoleńska, córka ostatniej księżniczki Wiśniowieckiej, nosiła historyczne imiona tyłu sławnych hetmanów i kanclerzów. Michał Mniszech miał dwie siostry i dwóch braci. Siostra Elżbieta była za Janem Dąbskim generał-adjutantem króla Poniatowskiego, i zmarła bardzo młodo (w roku 1767); druga Ludwika była za księciem Augustem Sulkowskim, później wojewodą poznańskim. Z braci jego, starszy nazywał się Józef, młodszy Stanisław. Obydwaj byli przez całe życie dygnitarzami tytularnemi Korony; sam tylko Michał posiadał rzeczywisty urząd i znaczenie.

Narodził się Michał zapewne w Wiśniowcu, który przeszedł na Mniszchów w spadku po ostatnich Wiśniowieckich książętach: Januszu kasztelanie krakowskim i Michale Serwacym hetmanie i kanclerzu. Był to bardzo prędko po śmierci ostatniego właściciela zamku, bo w lat cztery. Michał Serwacy umarł 1744, Mniszech zaś urodził się w roku 1748. Ale jeżeli nie w Wiśniowcu ujrzał światło dzienne, to w zamku książęcym wychował się i spędził dziecinne lata. Ojciec jego był z wielkim przywiązaniem do miejsc tych wiele sławnych w dziejach polskich, i mieszkał ciągle w Wiśniowcu. Zbudował nawet tam farę wielkim nakładem.

Zaledwie żyć zaczął Michał Mniszech, a już do ogromnej gotował się podróży z ojcem. Podkomorzy wielki litewski wybierał się właśnie do Turcyi, gdzie go posyłały stany rzeczypospolitej i król August, celem wyjednania nowych swobód dla handlu polskiego i dla upomnienia się o ściślejsze wykonywanie traktatów karłowickich. Rok przeszło bawił podkomorzy w Carogrodzie, a z nim i syn jego Michał. Nie było jeszcze wiek przysposobiony do odbierania wrażeń z podróży; słabe zawiązki nauki, jeżeli miał już jakie wiadomości młodziutki pątnik, nie rozwinęły jeszcze jego zdolności do tyła, żeby pod wpływem tych wrażeń cywilizacyi Wschodu rozwijać się mógł umysł dziecinny. Ojciec wziął Michała do Carogrodu więcej przez przywiązanie, żeby mieć kogoś przy boku swoim z dzieci i z rodziny; i nie myślím, żeby chciał przez tę podróż zaczynać naukę syna. Nie wywiózł zatem Michał z tych lat dziecinnych, które spędził nad Bosforem, przy szumie morza w Dardanellach, żadnych pojęć o życiu Wschodu, to jest o jego historyi; wyobraźni dziecinnej nie uderzało jeszcze przeciwieństwo cywilizacyi muzułmańskiej, z oświatą chrześcian: ale że mógł już w siódmym roku swojego życia odbierać wrażenia zewnętrznego świata i chować je w pamięci jak w skarbnicy rozumowej, myślím, że w samej rzeczy w Carogrodzie i w Turcyi i w ciągu całej podróży, musiał już się budzić umysł dziecka, obdarzonego prawdziwie zdolnościami i rwącego się z zapalem do nauki.

Wróciwszy do ojczyzny, Michał utracił ojca, który niedługo po zdaniu sprawy królowi ze swojego poselstwa, umarł w Warszawie (1759 r. we wrześniu) (1). Osieroczone rodzeństwo dostało się pod opiekę matki, kobiety rzadkiego dowcipu i rzadkiej

(1) Kuryer Polski r. 1759, nr. 38.

nauki, jak na owe czasy i jak na niewiaścę; przyjemnej w towarzystwie, ozdoby matron polskich za czasów drugiego Sasa. Ta kobieta była rodzoną siostrą Jędrzeja Zamojskiego, zacnego ze wszech miar obywatela, który z wojewody inowrocławskiego, został już za Stanisława Augusta kanclerzem koronnym i pierwszy wystąpił z kodexem reform prawnych. Człowiek to był światły i spartańskiej cnoty. Pod okiem matki i wuja upłynęły Michałowi dalsze lata dziecinne: od matki wziął przyjemność i łagodność i cały wdzięk, jakim błyszczał później w towarzystwach; od wuja cnotę i przywiązanie do kraju, a więc obywatelstwo. W dzieciństwie też jeszcze, za te przyszłe zasługi dla rzeczypospolitej otrzymał młody podkomorzyc dwa starostwa: jaworowskie i starzawskie, dziedziczne prawie w domu Mniszców od śmierci Sobieskich. Matka miała wprawdzie na nich dożywocie po mężu, ale tytuł już wtedy nosić zaczął syn jej młodszy, bo starostwa ojcowskie rozposażyla zaraz pani Mniszcowa pomiędzy swoje dzieci (1). Został też Michał i pułkownikiem w regimencie królowej po starszym bracie, który objął już sam teraz na siebie komendę po ojcu (d. 20 września 1759 r.). Było znowu dziedziczny tytuł w rodzinie, bo pułkiem królowej kilku już przedtem Mniszców dowodziło (2). W rok potem, starosta starzawski dostał drugi list królewski na chorągiew pancerną kor. (d. 29 lipca 1760 r.) (3).

Kiedy dorósł już tyle starosta jaworowski, że mógł z korzyścią przedsięwziąć podróż za granicę, matka wyprawiła razem trzech synów swoich pod dozorem ludzi, na których zupełnie spuścić się mogła, i dała im wszystkim swoje macierzyńskie błogostawieństwo na drogę. Opuścili tedy dom ojczysty: Józef starosta sanocki, nasz Michał i Stanisław, który miał się poświęcić stanowi duchownemu i był już wtedy kanonikiem przemyskim. Każdy z nich

(1) W r. 1765 płaciła podkomorzyna W. L. z Jaworowa kwarty przeszło 18,800 złp. W Sygillatach znajduje się pozwolenie wydane pod d. 2 grudnia 1766 r. Brygicie z Głowińskich Radgowskiej, ustąpienia z wójtostwa w dobrach Nowy Jazów, w starostwie jaworowskiem na osobę Michała Mniszcza. Ks. 30, str. 134. Od tego czasu, lat pięć tylko brał tytuł od Jaworowa podkomorzyc lit., bo w r. 1771, otrzymał to starostwo Fran. Xawery Branicki. Staroż. Polska, tom II, str. 567.

(2) Sygillaty w Metr. kor. ks. 29, str. 177. Michał wziął pułkownikostwo po bracie Józefie.

(3) Tamże; dostał ją po abdykacyi Ad. Mniszcza chor. nadw. kor.

miał osobnego mentora. Z Józefem był Cieciszowski, ze Stanisławem Mateusz Korzeniowski, Michałowi dodała matka Eliasza Bertranda (1). Bertrand rodem Szwajcar, zdaje się, że w charakterze domowego nauczyciela do języków, bawił wtenczas przy młodych Mniszechach w Wiśniowcu. Byłto człowiek uczony, przetrawiony życiem, zdatny i gorliwy. Lat kilka wszérz i wzdłuż po Europie pod dozorem Bertranda jeździli młodzi jego uczniowie. Zawiódł ich naprzód przewodnik do swojej ojczyzny, obwoził po górach i wąwozach, i pokazał im Bern, stolicę związkową, rodzinne swoje miasto, gdzie był niegdyś professorem. Ze Szwajcaryi pojechali młodzi do Włoch, ztamtąd do Francyi, zwiedzili Niemcy i przeprawili się do Anglii, gdzie podziwiali ogromny Londyn i opactwo Westminsteru. Bertrand pokazywał im wszędzie po drodze osobliwości, zwracał uwagę na ludy i obyczaje, na kształt rządu, jaki napotykali podróżnicy w ciągu swoich wycieczek. Józef Mniszech zbywał te postrzeżenia i uwagi nauczyciela, ale Michała uderzało wszystko co widział. Wybierając się w podróż młody Mniszech, nakreślił już plan przyszłych swoich zatrudnień w drodze, i postanowił spisywać w osobne księgi wszystko, co tylko uderzyć miało jego umysł, i dla pamięci i dla nauki. W stolicach więc i miastach europejskich, często siadał za stół podróżny i naprędce zapisywał swoje wrażenia, żeby nie ulatały razem z czasem, a zatrzymywały się, jakby uwięzione piórem. Tak z dnia na dzień prowadził Michał swój dyaryusz pełen ciekawych spostrzeżeń, interesujących opisów. Nie notował tylko dla siebie, ale i dla znajomych, dla matki i dla rodziny. Chciał ich przekonać wszystkich, że z podróży odniósł rzeczywistą korzyść, bo ukształcił swój umysł, nauczył zastanawiać się, nabył wiele wiadomości. Mniszech pisząc swój dziennik, kształcił się razem i w stylu, bo notatki jego nie byłyto spostrzeżenia powiązane bez ładu, a owszem w układzie, w wykonaniu przewodniczył Michałowi plan pewien, jakieśmy to już powiedzieli. Najwięcej zwracały młodzieńca uwagę na siebie prawa, które widział, kształt rządu i obyczaje narodów. Tym trzem głównym przedmiotom najwięcej kart w swoim dyaryuszu poświęcał. A że pisał już nie dla siebie, starał się zatém o wyrażenia ja-

(1) *Litterae liberi passus*, po naszymu paszporty za granicę wydane były trzem Mniszechom i ich nauczycielom pod duiem 8 maja 1766, z kancelaryi królewskiej. Sygillaty w metr. kor. 30, str. 105—106.

sne i piękne, o styl potoczysty, gładki i malowniczy, na jaki mógł się zdobyć za czasów Stanisława Augusta.

Z plonem wiadomości, z politycznym dyaryuszem w rekopisie, wrócił Michał Mniszech do Polski. Panował wtedy już od lat kilku Stanisław August Poniatowski. Przywitawszy się z matką i rodziną, Michał wyjechał do Wiśniowca i osiadł na książęcym zamku. Chciał krajowi ofiarować teraz owoc dotychczasowych prac swoich i spostrzeżeń. Dał się natychmiast poznać obywatelom Wołynia i rodzinnym miejscom: w Zamościu i Wiśniowcu. Na prowincyi niedługo mieli go wprowadzić pomiędzy sobą obywatele, ale kłaniali mu się przez pamięć dla ojca. Był to w życiu szlachty, że jeden pochlebiał drugiemu: senatorowi dygnitarz, dygnitarzowi urzędnik powiatowy. W tym wieku uwielbień i panegiryków, historyczne imię było majątkiem, a ród bogaty i możny zasługą obywatelską. Mniszech zajmował jednak Wołyn, skromnością swoją i nauką. Opowiadał wiele o zagranicy, a umiał tak opowiadać, że nigdy nie uczył starszych od siebie, a tylko jakby im przypominał to, co oni sami w młodszych latach widzieli. Zaskarbił sobie też szacunek obywateli Wołynia, a kiedy wybierał się do stolicy popisać się przed królem ze swojemi wiadomościami, żalowali go wszyscy. Nieprędkoby może jednak przywiódł do skutku swoje młodzieńcze zamiary, gdyby nie zbieg nieszczęśliwych okoliczności, które zatrwały wstęp jego na świat, a myśl i serce popchnęły na pole zasługi obywatelskiej.

Michał Mniszech ożenił się za powrotem z podróży z Pelagią Potocką wojewodzianką kijowską, siostrą Szczęsnego. Sądził, że długo na łonie pokoju używać będzie przyjemności małżeńskiego pożycia. Chciał wytrawić się doświadczeniem, ukształcić się jeszcze więcej czytaniem, a dopiero potem zdolności swoje ponieść na ofiarę rzeczypospolitej. Nie dzieckiem już, ale mężem chciał działać dla kraju. Spotkał też błogosławieństwo niebios, bo mu się syn urodził: zdawało się, że młody ojciec oddychać będzie szczęściem, kiedy nagle spadły na niego cios za ciosem. Najprzód umarła matka, potem żona, syn wreszcie, a Michał Mniszech skłopotany tym szeregiem nieszczęść przekonał się, że powinien szukać ulgi dla serca w pracy dla dobra kraju powziętej, że jedynie obywatelstwo i spokojność sumienia, myśl wreszcie, że dopełnił powinności, zatrą w nim pamięć strat tyłu i tak bolesnych.

Porzucił zatem ustronne zacisze w Wiśniowcu i obywatele wołyńskich, a przyjechał do Warszawy na dwór Stanisława Au-

gusta. Dziwne wtedy miała wejrzenie stolica rzeczypospolitej, to źródło intryg i ognisko zepsucia. Mniszech dla imienia swojego, nawet i tam, na dworze znalazł przyjaciół. Król Stanisław polubił go i zawsze z przyjemnością widywał na zamku młodego dziedzica Wiśniowieckich książąt. Nie ubiegając się jednak zawczasu o godności, przekonany, że go same znajdą, Mniszech zasiadł znowu przy stoliku do pracy w stołeczném mieście. Zgadł rzeczywiście: dwór i panowie nie zapomnieli o nim. Zawód wojskowy, oczywiście, nie był dla niego. Dla zaszczytu tylko przyjął pułkownikostwo w regimencie królowej, której wprawdzie nie było wtenczas, ale być mogła. Czas zatém pozostały od obowiązków trawił na czytaniu książek i badaniu przeszłości polskiej. Zresztą dzielił się pomiędzy rodzinę, i przyjaciół. Było czas bardzo burzliwy w dziejach rzeczypospolitej. Takiemu człowiekowi jak Mniszech, co nie należał do stronnictw politycznych rozdzierających kraj, właśnie chwila była potemu, żeby popracował nad samym sobą pożytecznie, bo ta praca była razem i zasługą względem ogółu (1). Wszzechstronnie wykształcony Mniszech znał się na naukach przyrodzonych i czytał historiją; zajmował się téż teorią sztuki pisania, i zgłębiał systemata edukacyi narodowej. Statut wiślicki Kazimierza Wielkiego umiał na pamięć, i prawa ojczyście znał doskonale. Tylko co skasowano Jezuitów, a umysły dobrych obywateli szczerze zajęte były zacnym projektem, żeby dobra upadłego zakonu poświęcić na rzecz edukacyi młodzieży pólskiej. Projekt przyjęty był i stanęła Kommissya Edukacyjna pod prezydencją księdza biskupa wileńskiego.

Król postanowił użyć teraz zdolności Mniszcha. Umieścił go, chociaż był bez zasługi, w Kommissyi w liczbie innych członków. Młody konsyliarz edukacyjny miał zaledwie dwadzieścia sześć lat wieku. Nic to jednak nie ubliżało jego znaczeniu w radzie, bo z nim także zasiadało w Kommissyi wielu młodych ludzi, ale doświadczonej myśli, zacnego serca. Na tém pierwszém urzędowaniu publiczném Mniszech pokazał wiele gorliwości, tak, że wszyscy widzieli jak wszędzie rozwijał niezmordowaną czynność. Sprawa téż edukacyi narodowej nie była sprawą małej wagi. Czuł młody konsyliarz całą godność swojego urzędu. Kommissya więc

(1) W tymże czasie wydany był konsens Józefowi Popielowi kasztelanowi sierpskiemu i Euzebii z Ledóchowskich jego żonie, ustąpienia na rzecz podkomorzycy lit. Michała Mniszcha z dóbr Kołosowy i Spikołos, na Wołyniu, w powiecie krzemienieckim, pod d. 19 lutego 1772 roku. Sygillaty ks. 30, str. 156.

odznaczyła go pomiędzy innemi swojemi członkami. Kiedy rozdzielala szkoły narodowe na departamenta i w każdym departamencie stanowiła naczelnych rządców; Mniszchowi oddała wydział podolski i wołyński, to jest strony w których leżał rodzinny jego Wiśniowiec. Każdy z członków Kommissyi, który miał pieczy swojej poruczony departament, winien był dbać jako właściwy gospodarz o dobro swoich podwładnych i o to, żeby ziarno zbawienne na grunt rzucone, plonem poczeiwym zajaśniało. Mniszech więc był szkół wołyńskich i podolskich wizytatorem, opiekunem, i jakby ministrem oświecenia.

Przyznaje mu téż Naruszewicz, że rządził swoim wydziałem *pilnie i mądrze* (1).

Ale pomimo wizyt i rozległej korespondencyi ze szkołami, Mniszech i w łonie Kommissyi pracował ciągle i użytecznie. Miał dozór nad wszystkiemi kassami edukacyjnemi w Warszawie i na prowincyi (2). Gotował nadto projekta i rozprawy; podawał uwagi swoje na posiedzeniach w zamiarze, żeby z tych uwag kommissya wyciągała wnioski, i postanowieniami swojemi zamieniała je w prawo. Napisał wtedy rozprawę w jaki sposób pożytecznie możnaby ułożyć porządne muzeum, czyli zbiór rzeczy do fizyki i historyi naturalnej należących, jak dozorować to muzeum i jak zapelniać. Dalej wygotował rozprawę o guście w pisaniu i w czytaniu, i drugą czysto specjalną teoretyczną, w której wykazywał: jakim sposobem powinna być prowadzona w szkołach i akademiach młodź narodowa pod względem nabywania różnych umiejętności. Zdaje się, że nawet używała go Kommissya do prac w języku francuzkim, mających obznajmiać Europę z systematem edukacyjnym, jaki rzeczpospolita w krajach swoich zaprowadziła. A może Mniszech przez gorliwość obywatelską sam z własnego pisał natchnienia; dosyć, że wiele artykułów posyłał za granicę do dzienników francuzkich i niemieckich, w których opowiadał fakta albo rozwijał swoje rozumowania. Z wielką szkodą dla literatury naszej, rozprawy jego nie były drukowane, a posyłane do gazet za granicę artykuły są za zbyt porozrzucane i bez podpisu, żebyśmy z nich jakąś całość uprząść mogli i poznać rzeczywiste zasługi Mniszcha w Kommissyi Edukacyjnej na téj drodze położone. Gdybyśmy te jego rozliczne projekta, rozprawy i opowiadania

(1) W Rozmaitościach Warszawskich r. 1826, patrz niżej.

(2) Łukaszewicz, Historia szkół T. II, str. 249.



gazeciarskie potrafiliby kiedy szczęśliwym trafem zgromadzić w jedno, wystawilibyśmy młodemu komisarzowi pomnik sławy przenajzaniejszy. Dzisiaj o wielu jego pracach możemy tylko sądzić z odgłosu, i z tych nielicznych wieści, które nam przekazali współcześni. Zresztą historyk Kommissyi Edukacyjnej, w jej aktach, które rozproszyły się po wielu rękach, znajdzie niejedyn ślad gorliwości Mniszcha (1).

Jedna tylko znajoma nam praca Mniszcha, co właśnie wtenczas opuściła prasę warszawską, praca poświęcona dziejom ojczystym nosi następujący tytuł:

„Kazimierz Wielki.” — W Warszawie, w drukarni Piotra Dufoura, 1777 r. w ćwiartce, str. 68.

Druk piękny, jak nazywano wtenczas, okazały. Sąto dzieje Kazimierza W., a raczej, jak chce autor, żywot tylko króla chłopków. Ze podług pojęć ówczesnych w żywocie monarchy była razem i historia narodu, więc to historia narodu za panowania króla Kazimierza W. Była to praca pierwsza w swoim rodzaju dla dziejów polskich. Dzieło Mniszcha z rozprawami Łojki zwiastowały epokę Naruszewicza. Łojko zajmował się tylko krytyką, objaśnianiem faktów; Mniszech oczyszczał także fakta, ale wiązał już je w pewną całość, bo opowiadał o czasach Kazimierza W. Zastanawiał się najwięcej nad statutem wiślickim; zdaje się, statut był nawet powodem, że pisał żywot znakomitego króla. Naruszewicz w badaniach swoich czerpał z Mniszcha i cytował go nieraz, a nawet w kilku miejscach skracał opowiadanie swoje, zsyłając się na dzieło o Kazimierzem W., chociaż, to dziwnie wyglądało, opierać się na takię powadze (2).

Dotąd jak widzimy, ród pański torował drogę Mniszchowi; teraz miał i on już swoje zasługi położone w Kom. edukacyjnej.

Król Stanisław na trzy lata jeszcze przedtęm ozdobił Mniszcha orderem św. Stanisława (1774). Teraz (w r 1777, 16 października) mianował go czesnikiem wielkim koronnym (3) i w tym-

(1) Naruszewicz pisze o tych artykułach do niemieckich pism; zdaje się, że to więcej były statystyczne wiadomości o stanie szkół polskich, jak rozprawy oddzielne. Ze zaś Mniszech nie był historykiem rzeczywistęj zasługi, wskazuje to jego *Kazimierz Wielki*.

(2) Dzieło to przedrukował w roku 1805 Mostowski w Wyborze pisarzy polskich.

(3) Po śmierci Tadeusza Dzieduszyckiego. Sygillaty ks. 33, str. 99. Po Mniszchu, czesnikiem w tymże roku urzędowania został Stanisław Kostka Bieliński, starosta garwoliński, d. 14 maja 1778 r.

że zaraz czasie w kilka miesięcy, po Jędrzeju Ogińskim, który się posunął na kasztelanią łożecką, sekretarzem wielkim litewskim, w maju 1778 r. Dał mu następnie król order Orła Białego, potem na sejmie w roku 1778 mianował sekretarzem rady nieustającej do spraw zagranicznych na dwa lata; nareszcie pomieścił go w sądach assessoryi litewskiej. A widząc wysokie zdolności Mniszcha polityczne i ekonomiczne, z których nawet już za granicą szeroko zaczął być znajomy, mianował go członkiem Kommissyi skarbowej. Przywiązał się król osobiście do młodego i zacnego obywatela; zapraszał go na obiady czwartkowe; kazał malarzowi Marteau zrobić portret Mniszcha jako znakomitości swojego czasu i panowania; portret ten zawiesił razem z innymi na zamku w komnacie znajdującej się przed pokojem marmurowym i Naruszewiczowi kazał napisać biografią Mniszcha do swojego własnego archiwum. Niedosć na tém: przychylnosć króla jeszcze dalej sięgała. Kiedy umarł w maju 1780 r. Jacek Ogródzki sekretarz wielki koronny i naczelnik przybocznej kancelaryi królewskiej, nie komu innemu tylko Mniszchowi powierzył Stanisław tajemnice swojego serca; bo jemu powierzył nowe obowiązki szefa nadwornej kancelaryi. Doprawdy, dziwić się potrzeba, jak mógł Mniszech na tyle powinności wystarczyć i odpowiedzieć takiemu zaufaniu króla, Rzeczypospolitej, Kommissyi Edukacyjnej i spółobywateli. A jednak znalazł Mniszech dosyć jeszcze czasu, że mógł bywać i na aktach uroczystych szkół warszawskich, i na otwarciu ich po wakacjach, i na egzaminach pod koniec roku (1).

Kiedy Naruszewicz napisał królowi biografią Mniszcha, sekretarz wielki litewski w dniu 30 listopada 1780 r. miał dopiero 32 lat wieku (2). Stanisław August, jako naczelnikowi swojej kancelaryi, mieszkanie w zamku wyznaczył. Tam więc sekretarz wielki litewski jako prezes limitował w tym roku (20 kwietnia

(1) Podług Naruszewicza i gazet warszawskich 1779 r. nr. 78 i 1780 r. nr. 33.

(2) Jestto ta właśnie biografia przez Naruszewicza napisana do portretu Marteau, a z rękopisów willanowskich przedrukowana w Rozmaitościach warszawskich, pisma dodatkowego do gazety Korrespondenta Warszawskiego 1828 r. nr. 30. Jestto treściwa wiadomość o życiu Mniszcha, którą sam król własną ręką poprawił. Podanego faktu w tej biografii, że Mniszech był kommissarzem skarbowym, nie mogliśmy sprawdzić z kalendarzyków politycznych, a dyaryuszów sejmowych nie mamy pod ręką. Ale być jednak musiał tym kommissarzem, kiedy tak pisze Naruszewicz.

1780 r.) sądy assessorskie w. księstwa, w zastępstwie kancle-rza do przyszłej kadencji. Prezydował na nich. Takim sposobem młody człowiek najważniejsze urzędy pełnił podówczas w Rzeczypospolitej. Wykrywały się powoli tajemnice pań-skiej. Król postanowił wynieść Mniszcha jeszcze na znakomitszy stopień i zbliżyć się do niego węzłem pokrewieństwa, tak się już bez tego ulubieńca obyć nie mógł. A młody jego przyjaciel cieszył się coraz więcej, zyskując dla siebie coraz nowe łaski dworu. Patrzał już nie na Rplitą, ale na króla, na świetne słońce Rplitéj.

Bawiła w Zamościu i na dworze warszawskim osoba młoda i bardzo przyjemna i bardzo bogata, a już jakby wdowa od niejakiemu czasu, bo rozwódka. Ojciec jéj był ordynatem na Zamościu i wojewodą podolskim. Dawnym mężem był Wincenty Potocki, podkomorzy wielki koronny. Ta pani miała teraz podzielić losy i serce Mniszcha. Król był kontent z tego wyboru; zdaje się, że nawet sam wiele wpływał do tego związku, bo Urszula Potocka była rodzonąj jego siostry Ludwiki Zamojskiej córką.

Więcej widoki jak serce, wpływały na ten wybór Mniszcha. Czegóż chciał jeszcze młody panicz? Miał wszystko na zawołanie: i rzeczy i ludzi. Ale człowiek nigdy niesyty: kto ma pieniądze, chce godności; kto ma godności, chce czci i wpływu. O wpływ tedy na losy Rplitéj i spółobywateli szło zapewne panu Mniszchowi.

Łączyły téż Mniszcha z panią Potocką blizkie związki pokrewieństwa; on się rodził z Zamojskiej, a ona z domu Zamojską była; dla zawarcia ślubów małżeńskich potrzeba aż było prosić o dyspensę z Rzymu, bo nikt dać ślubu w Polsce nie mógł bratu z siostrą wujeczną. Pozwolenie to, stosownie do życzeń, nadeszło. W dniu zawarcia ślubów Urszula Zamojska miała lat niespełna 21; Mniszech o lat dwanaście był od żony starszy. Przygotowania niedługo trwały. Ślub odbył się u Teatynów na Długiej ulicy, w Warszawie w dniu 19 lutego 1781 roku. Książę biskup płocki brat królewski, a drugi wuj pani młodéj, sam błogosławił Mniszcha sakramentem małżeńskim.

Na posag ustąpił zięciowi z córką wojewoda podolski starostwa rostockiego w ziemi chełmskiej i dóbr królewskich Porosiattkowa na Podolu (1).

(1) Król pozwolił na te ustąpienia d. 14 lutego 1781 r. Jan Zamojski z żoną Ludwiką ustępowali Mniszchowi i Urszuli. Nazwisko dóbr podol-

Z powodu tego ślubu, w kwietniu 1780 r. Grell drukował wierszyk następujący nieznanego pisarza:

„Wesele, sielanka z okoliczności ślubnego aktu JW. Michała hrabiego z Wielkich Kończyc Wandalina Mniszcha, sekretarza W. Ks. Lit. z JW. Jójmość panią z Zamojskich Potocką podkomorzyną w. koronną, od szkół wołyńskich”. Kosztował ten wierszyk groszy 15 (1).

Wszedł takim sposobem Mniszech do rodziny królewskiej i zajął znakomite w niej miejsce. Ale małżeństwo jego modne było. Chciał sekretarz wielkich względów królewskich i znalazł je w ręku siostrzenicy Stan. Augusta. Ale sam Mniszech był łagodny, grzeczny i cichy; przystępny dla każdego, nie myślał że się zniża kiedy przestawał z innemi; a wcale z rodu swojego nie był dumny i nie przechwalał się związkami familijnemi, przekonany, o ile wtenczas mógł być przekonany pan polski, że wartość osobista jest rzeczywistą wartością człowieka. Ale żona jego pod tym względem była w całym znaczeniu tego wyrazu kobietą wyniosłego umysłu, dumną i nieprzystępną wyobrazeniom więcej ludzkim. Pamiętała ciągle że jest Zamojską z ojca, Mniszchową z męża, i że jój rodzony wuj siedział na tronie. Dumą swoją nieraz i samemu królowi się naraziła, kiedy z góry traktowała panią Grabowską, i ubliżała jój na każdym prawie kroku. Mniszech był człowiekiem spokojnym, a jego żona pragnęła ciągle zaszczytów, wyniesienia się, pochwał i przepychu. Życie jój powinno było przepływać na dworach, wpośród kwiatów pochlebstwa. Dobrze było, że można sam z siebie pan Mniszech, nie potrzebował ulegać grymasom żony, a jednak nieraz pomyślałby o troskach domowych, gdyby nie dla widoków zawarł swoje małżeństwo. Przyzwalał więc na wszelkie życzenia siostrzenicy królewskiej, żeby nie pomiarkował świat prawdy i nie mówił głośno, że pomiędzy niemi niebardzo dobrane małżeństwo. Dla świata kochali się oboje, ale w tém kochaniu więcej było słodkiej grzeczności, jak prawdziwego uczucia. Miała przecież i ta żona znakomite swoje zalety: uderzała wspaniałością postaci, miała talenta i edukacją pańską, znała świat wielki; na dworach znano ją powszechnie i przyjmowano z szacunkiem. Zresztą

skich, które były starostwem, jest Prosiądków, Prosiatków albo Porosiadków. Sygillaty ks. 36, str. 3—4.

(1) Gazeta Warszawska nr. 16 i 30.

była osoba dobra, uczynna, miłosierna, nie skąpa na wspieranie nędzy, prawdziwa matka ubogich; a w dziejach polskich tę jeszcze zostawiła pamiątkę wieczną, że pierwsza do Polski sprowadziła ospę krowią i szczerze dbała, żeby jej użycie rozszerzyć. Dlatego lekarzom swoim nadwornym kazała szczepić ospę ludziom biédnym w niezmiernych dobrach Wiśniowieckich, sama pilnowała i sama przestrzegała wypełniania swoich poleceń, kiedy jeździła po wsiach i chodziła do chat dymnych, rozsypując i dary hojne i prowadząc za sobą wszędzie środek zdrowia dobroczynny. Dla tych powodów, Mniszech mógł się pogodzić ze swoją żoną; żyli więc z sobą bardzo przykładnie.

Niedługo, bo w trzy niespełna miesiące po tym ślubie, zaważowała laska litewska przez śmierć księcia Józefa Sanguszki. Marszałkiem wielkim został po kolei starszeństwa Władysław Gurowski, a do laski mniejszej, podług praw obowiązujących, miała Rada nieustająca przedstawić królowi trzech kandydatów. Odstąpiła jednak tą razą Rada od przywilejów swoich i laskę mniejszą do szafunku królowi zostawiła, bo król miał także pewne swoje przywileje. Marszałkiem nadwornym litewskim mianowany tedy Michał Mniszech (1).

W jednym prawie czasie nowy minister otrzymał laskę mniejszą, co i drugi urząd znakomitój powagi i znaczenia. Na dniu 11 maja 1781 r. król ustanowił Kommissyą Ekonomiczną, która miała zajmować się sprawami jego własnego skarbu i dobrami stołowemi. Myśl do téj Kommissyi, jak się zdaje, podał królowi sam Mniszech: jego téż król mianował prezesem nowej władzy i dodał mu pięciu członków za assessorów (2).

Nazajutrz po téj nominacyi i ogłoszeniu Kommissyi, umarł książę Sanguszko, a sekretarz W. L. jednocześnie został marszałkiem. Jak zawsze tak i teraz miał dwa obowiązki do spełniania: publiczny jeden, to jest ojczysty, i prywatny drugi, to jest królewski. Kończyła się właśnie jego funkcyja sześcioletnia w Kommissyi Edukacyjnój i mógł się nowym obowiązkiem poświęcić.

Jako marszałek nadworny litewski niewiele miał do czynienia w Warszawie; za to z tém większém zamiłowaniem pracy oddał się nowym zatrudnieniom w Kommissyi Ekonomicznój,

(1) Gazeta Warszawska z r. 1781 nr. 42. (2) Tamże nr. 43.

kiedy król w reskrypcie swoim z dnia 16 sierpnia 1781 roku wskazał członkom téj władzy dalszy zakres ich działań (1).

Na łaskę marszałkowską przysiągł Mniszech w niedzielę 27 maja na zamku w Warszawie (2). Minister, rzucić wtedy musiał urząd sekretarza w wydziale zagranicznym Rady nieustającej.

Na początku jesieni porzucił Mniszech stolicę i wrócił do swojego Wiśniowca, bo znakomitych w swoim książęcym zamku spodziewał się gości. Przymioty umysłu, bogactwa rodzinne, nauka i szlachetność, jaka się przebijała w każdym kroku marszałka, jak powiedzieliśmy, już rozstawiła za granicą jego imię. Cesarzowa Katarzyna wiele w Petersburgu mówiła o Mniszchu, i cały jój dwór patrzył na młodego magnata, jak na znakomitego obywatela rzeczypospolitéj. Nie mniejszym szacunkiem oddychali dla Mniszcha ministrowie Katarzyny. Właśnie podówczas następca rosyjskiego tronu, Wielki Książę Paweł miał odbyć podróż za granicę razem z żoną. Cesarzowa poleciła synowi, żeby na Wiśniowiec się udał; król Stanisław miał go tu spotkać i zjechać umyślnie dlatego z Warszawy. Otóż dla powitania tych gości, Mniszech opuścił stolicę.

W październiku pośpieszył i Poniatowski na Wołyń. Marszałek nadworny litewski z żoną wyjechali naprzeciw niemu aż do Krzemieńca, poczem wszyscy razem odbyli wjazd świetny do Wiśniowca na dniu 16 października. Długi tutaj czas bawił król Poniatowski, bo przeszło trzy tygodnie. Podejmował go hojnie i z wystawnością Mniszech. Zjechało się do Wiśniowca nadzwyczaj wiele gości ze stron nawet więcej oddalonych. To przejażdżki na spacer w okolice, a najczęściej do Łazów, to zwiedzanie zamku, przeglądanie osobliwości, to teatr i muzyka w komnatach marszałka, to uczyty, bale i zabawy, na których panowała nieprzymuszona wesołość a zbytek prawdziwie książęcy, zajmowały czas królowi i gościom, tak, że nie spostrzegli aż upłynęły dwa tygodnie i hrabia Północy, Comte du Nord, to jest Wielki Książę zawitał ze swoim orszakiem do Wiśniowca w dniu 31 października. Król Stanisław przedstawił gościowi dobrych swoich znajomych a gospodarzy w Wiśniowcu, poczem Poniatowski wziął pod rękę hrabię du Nord, a hrabia panią marszałkową litewską i udali się do komnat przeznaczonych na wypoczynek dla przybywającego orszaku. Tamże i obiad nastąpił. Przyjęcie Mniszcha zawsze gościnn-

(1) Gazeta Warszawska nr. 69. (2) Tamże nr. 43.

ne, zawsze serdeczne było. Zdarzyło mu się to, co nie zdarzyło się jeszcze żadnemu obywatelowi w Polsce za króla Poniatowskiego:— częstował książąt panujących i królów.

Sześć dni bawili w Wiśniowcu hrabiostwo du Nord; wyjechali nareszcie d. 5 listopada. Ale przed odjazdem, hrabina zawiesiła na piersiach marszałkowej swój portret brylantami wysadzany, a hrabia dał także Mniszechowi tabakierę brylantową ze swoim portretem, na pamiątkę. Król Stanisław w trzy dni potem d. 8 listopada opuścił Wiśniowiec, udając się w drogę na Podole, bo chciał przy zdarzonej sposobności zwiedzić jeszcze kawałek kraju.

Mniszech tymczasem wrócił do Warszawy, a króla jeszcze nie było. Znalazł w stolicy nadesłane dla siebie z Petersburga znaki najstarszego w Rosyi orderu, s. Jędrzeja. Byłto dowód wyraźnych względów Cesarzowej Katarzyny, bo tego orderu nie miał nawet sam król Stanisław. Mniszech postanowił odwiedzić Petersburg naprzód z podziękowaniem, a potem chciał wypełnić obietnicę daną w Wiśniowcu hrabiemu du Nord, który go do stolicy swojej matki serdecznie zapraszał. Król wróciwszy z Podola w grudniu zawiesił na piersiach Mniszcha nadesłany order, i sam go namawiał do téj podróży.

Na wiosnę zatem następującego roku (d. 30 kwietnia 1782 r.) wyjechał do Petersburga z żoną marszałek nadworny litewski. Pożegnał króla na dwa miesiące i w samęj rzeczy bawił przeszło dwa miesiące. Miał kilka razy posłuchanie u Cesarzowej; odwiedzał ministrów i ministrowie go odwiedzali. Był w stolicy rosyjskiej przedmiotem wielu uroczystości. Kosztowała znaczne summy oczywiście ta odległa podróż, bo trzeba się było koniecznie na nięj pokazać; Mniszech zatem zadziwiał wystawnością i starczyły mu na to ogromne fundusze. Późno już w lecie powrócił do Warszawy, narobiwszy sobie wielu przyjaciół na dworze rosyjskim.

Na sejmie Kazimiérza Krasińskiego, wyborem posłów na dniu 9 października 1782 r. Mniszech został konsyliarzem Rady nieustającej, jako minister litewski. Król mu powierzył wtedy wydział policyi. W tym wydziale pod Mniszchem sześciu konsyliarów zasiadło (1). Wysoki ten urząd oddawał marszałkowi

(1) Szydłowski wojewoda płocki; Walicki wojewoda rawski; Lipski kasztelan łęczycki; Zabięto łowczy litewski; Witosławski obożuy polny koronny i Miaskowski starosta gnieźnieński.

obszerną władzę w całej Rzeczypospolitej; ale potrzeba mu jeszcze było jednego tylko wyżej stopnia, żeby stanął na szczycie dostojeństw, bo dotąd, chociaż prezesem był wydziału policyjnego, zawsze zachowywać musiał pewną względność względem starszych od siebie towarzyszków. Ograniczali go we władzy marszałkowie wielcy, a on tém jedynie górował nad niemi, że zasiadał sam tylko z czterech marszałków w Radzie nieustającej.

W roku 1783 zaszedł właśnie wypadek, który mu i tę przeszkodę usunął. Umarł książę Stanisław Lubomirski marszałek wielki koronny; król postanowił ten urząd najwyższy ministerjalny zatrzymać dla Mniszcha. Dlatego potrzeba było dwie przewyciężyć trudności. Zwyczajem dawno przyjętym, którego się łamać niegodziło bez narażenia się na wielką odpowiedzialność, albo wielkie nieprzyjemności, król łaskę większą osieroczoną oddawał pospolicie marszałkowi nadwornemu. Tą razą po Lubomirskim w Koronie następował Franciszek Rzewuski i jemu należała się łaska wielka. Przełożyć Mniszcha nad Rzewuskiego zdaje się niepodobna było; tém bardziej, że przez podobną nominacją król mógł naruszyć prawa etykiety pomiędzy obudwoma narodami. Mniszech był marszałkiem litewskim i dlatego nie mógł przed koronnym brać pierwszeństwa, a tém bardziej w stolicy. O takie spory nieraz się rozbiły ważne sprawy Rzeczypospolitej. Druga trudność w tém spoczywała, że potrzeba było wprzód zjednać dla Mniszcha Radę nieustającą, bo król mógł nominować tylko jednego ze trzech przedstawionych przez Radę. Łatwo było Stanisławowi zwalczyć te obie trudności: podług zwyczaju mianował Rzewuskiego marszałkiem wielkim dnia 19 sierpnia; ale zaraz nazajutrz, podług umowy, złożył Rzewuski wysoki swój urząd w ręce Stanisława. Wtedy Rada nieustająca podała królowi trzech kandydatów do łaski wielkiej, trzech do małej koronnej, trzech do litewskiej po Mniszchu. Stanisław na dniu 22 sierpnia oddał Mniszchowi łaskę wielką koronną, a mniejszą powierzył Kazimierzowi Raczyńskiemu marszałkowi Rady nieustającej; litewską jeszcze zatrzymał i dopiero w kilka miesięcy, miejsce po Mniszchu pomiędzy ministrami Rplitej zajął Ignacy Potocki (1).

W trzy dni po tej nominacji (25 sierpnia) odbył się obrząd, przez który marszałek wielki koronny obejmował należną sobie

(1) Gazeta Warszawska. W sygillatach ta nominacja Mniszcha pod datą 23 sierpnia 1783 r.



władzę. Dawni Polacy nazywali taki akt zafundowaniem jurysdykcyi. Około 10 z rana przybyło wiele znakomitych gości powozami do zamku na komnaty marszałka wielkiego. Tutaj Mniszech oczekiwał na deputacye magistratów Starego i Nowego miasta Warszawy, które go miały powitać jako najwyższego rządcę i gospodarza miasta. Nadeszły wkrótce i rozwodziły się z życzeniami. Odpowiedział im marszałek krótko a pięknie, że będzie się starał być użytecznym dla miasta i zasłużyć sobie na miłe z tego powodu wspomnienia. Zabawiwszy gości z godzinę, Mniszech o 11 wyjechał do pałacu Potockiego wojewody ruskiego na Krakowskiem-Przedmieściu, z kąd miał odprawić wjazd do zamku; za nim goście w poszóstnych karetach, dwór cały i orszak marszałka. Z Mniszchem w karecie siedzieli: Lipski kasztelan łęczycki i dwaj obywatele ziemscy, których wybrał sobie pan Wiśniowiecki do pomocy w marszałkowskim urzędzie. Byli to: Cieciszewski sędzia ziemski liwski, i Kossecki pisarz grodzki kamieniecki z Podola. Kawalerya koronna zaczęła i kończyła orszak, jechała w przedniej straży; w tylnej prócz tego znaczna liczba szlachty na koniach otaczała karetę marszałka. Na dziedzińcu pałacu Potockich stała już chorągiew laski wielkiej i komenda pułku przedniej straży. Kiedy wysiadł marszałek z karety, wojsko robiło honory, a moc gości zebranych na dziedzińcu pałacowym złożyła mu swoje życzenia. Toż samo było w komnatach pałacowych przepelnionych od ciżby ciekawych. W sali wisiał portret dziada ojczystego Mniszcha: było także kiedyś za Sasów marszałek koronny, a potem kasztelan krakowski, zmarły w roku 1747. Zasiadł na przygotowanym dla siebie krześle Mniszech i zagaiwszy piękną mową, wezwał do sęstwa Cieciszewskiego a Kosseckiego do pióra. Poczém odebrał od nich przysięgę i podziękowania. Rejentami laski wielkiej zostali: Chronowski b. rejent marszałkowski i Sosnowski komornik ziemski ciechanowski. Przysięgli i ci, a po nich rotmistrz i oficerowie chorągwi wielkiej laski. Nastąpiły powinszowania od palestry, imieniem której przemawiał Kacperski. Marszałek raz jeszcze odpowiedział palestrze, wspominając z czułością w dobranych wyrazach o księciu Lubomirskim poprzedniku swoim na urzędzie. Następnie powrócił do swoich pokojów na zamku w tymże samym orszaku. Król chciał oczywiście uczcić swojego ministra. Wypadły właśnie imieniny siostry Stanisława Aug. Ludwiki Zamojskiej, a matki pani Mniszchowej teraz marszałkowej wielkiej koronnej:

ztańd w Łazienkach grano komedyą francuzką, potóm nastąpiła kolacya wielka, świetna illuminacya nad wodą i fajerwerk.

Nominacya Mniszcha i pod tym jeszcze względem uderza, że drugito dopiéró był przykład w dziejach polskich podobnej zamiany urzędów. Dotąd nie było zdarzenia, żeby minister litewski stawał się koronnym, a koronny litewskim. August Mocny, piérwszy raz wspomnianego wyżej dziada naszego Mniszcha, z marszałka wielkiego litewskiego mianował koronnym, a teraz powtórzył ten wypadek król Stanisław z mężem swojej siostrzenicy. W całej przeszłości naszej dwa te jedynie znajdują się przykłady i obadwa na korzyść Mniszchów. Zdarzały się przejścia z urzędów koronnych na litewskie i nawzajem; ale nie było tego jeszcze zdarzenia względem posad ministeryalnych. A zresztą, Michał Mniszech był obywatelem koronnym, panem z Wołynia, i dlatego właściwiej mógł się liczyć do ministrów koronnych.

Nazajutrz po zafundowaniu swojej władzy (d. 26 sierpnia), przed sessyą w Radzie nieustającej, Mniszech ze zwykłemi uroczystościami oddawał łaskę mniejszą Raczyńskiemu.

Dotrzymał słowa nowy marszałek wielki: zajął się szczerze dobrem Warszawy i w samej rzeczy epoka jego władzy odznaczyła się wybitnie w dziejach naszego miasta. Wspomnimy tylko o główniejszych faktach. Zjawił się wtenczas w Warszawie samozwaniec generał francuzki baron Lefort, który podał królowi projekt usunięcia zupełnie żebraków ze stolicy. Zamiany generała były bardzo filantropijne; Mniszech zatem wziął się czynnie do pracy, i ulice Warszawy oczyścił z żebraków, odesławszy ich wszystkich Lefortowi. Pokazało się potóm, że niepotrzebne były zabiegi króla i marszałka, bo generał baron wymknął się z groszem dobrze zarobionym z Warszawy.

D. 30 marca 1784 r. zapadła uchwała sądu Kommissyi brukowej, żeby Warszawę całą przemierzyć dla lepszego zastosowania prawa o poborze podatków od mieszczan. Wtenczaso zaczynając od zamku, uregulowano wszystkie nieruchomości znajdujące się w Warszawie, przemierzono kamienice i dworki, ponumerowano domy, ponadawano ulicom stałe nazwania, pobrukowano wszędzie zaułki nawet i sporządzono taryffę. Za Mniszcha to dokonano wielkiego przedsięwzięcia, które dla Warszawy w pewnym względzie stanowi epokę. Mniszech wydawał uniwersały, ordynacye, kierował magistratami i zaprowadzał wszędzie porządek po oddzielnych jurydykach.

W maju tegoż roku marszałek wielki na prośby mieszczan rugował żydów z ulicy Senatorskiej, Krakowskiego-Przedmieścia i okolic, żeby oczyścić miasto z nieczystości i brudów. Drukowane są jego rozporządzenia w tym względzie.

Już te trzy same fakta pokazują, jak wiele znaczenia dla życia Warszawy miało urzędowanie Mniszcha. W samej rzeczy, oczyścić ulice z żebractwa, urządzić miasto samo, spisać jego taryfę, rozdzielić stosowniej na domy i ludzi podatki, wypędzić żydostwo: wszystko to były wypadki w dziejach Warszawy, które jej pomyślniejszą zapewniały przyszłość, a roku na te zmiany było dosyć.

W połowie czerwca 1784 roku, wyjeżdżał marszałek wielki koronny z żoną na niejaki czas do Wiśniowca, pożegnawszy króla; kiedy wrócił do stolicy w dzień doroczny elekcji Stanisława, dawał u siebie wspaniałą kolacyą na zamku dla posłów cudzoziemskich i gości. D. 15 września wyjechał na sejm do Grodna.

Na sejmie większością głosów 159 przeciw 58 obrany został powtórnie członkiem Rady nieustającej, ale już z Wielkopolski nie z Litwy. Król go znowu nad departamentem policyi przełożył (1). D. 20 listopada powrócił do Warszawy, a w dwa dni objął na nowo urząd marszałkowski. Nowém postanowieniem odznaczył tę chwilę ważną dla Warszawy: dla bezpieczeństwa miasta, kazał ulice latarniami oświetlać (2).

W roku 1785 został Mniszech starostą lubelskim po Wincentym Potockim, podkomorzym wielkim koronnym; odbywał zatem wjazd świetny do Lublina, dawnego trybunalskiego grodu. Minęła już epoka wielkich i szumnogłośnych wjazdów Augustowskich, na starostwa i kasztelanie; rzeczpospolita bawiła się jeszcze i za Poniatowskiego w uroczystości i wystawność, ale wiele już wtedy straciła smaku do tych dawnych kalwakat, w których udział miały niegdyś całe powiaty, ziemie i województwa. Nie bywało za Stanisława Augusta ani kapeli nadwornych na wjazdach, ani wojsk magnatów, ani lasek i buław, ani dział tak wiele, jak niegdyś, za dobrych czasów królów saskich. Dziwnie jakoś zmalowały te pańskiej dostojności tryumfy. A je-

(1) Zasiadali w tym departamencie: Zyberg wojewoda brzeski; Bilewicz kasztelan mścisławski; Oborski kasztelan ciechanowski; Straszewicz marszałek upicki; Miaskowski starosta gnieźnieński; Radzicki podkomorzy zakroczymski; Ustrzycki poseł wołyński.

(2) Rozkaz wydany d. 30 grudnia 1784 r. obowiązywał od d. 1 lutego 1785 r. Znajduje się w Gazecie Warszawskiej 1785 r. nr. 5.

dnak, za Stanisława Augusta nie było wjazdu tak wspaniałego, jak był wjazd Mniszcha do Lublina, jak nie było pogrzebu przez lat 30 przeszło tak wielkiego, jak pogrzeb Młodziejowskiego kanclerza. Wjazd lubelski i pogrzeb w Warszawie, były najpiękniejszymi paradami Rzeczypospolitej po czasach saskich.

Starzy Polacy z rozrzewnieniem przypominali sobie dawne czasy, bo też od lat już wielu, rzeczpospolita nie cieszyła się widowiskiem, jakie teraz ziemi lubelskiej dawał marszałek W. K. Stanął w Lublinie d. 29 sierpnia wieczorem, a 31 odbył wjazd konno z mieszkania swojego na Tatarach. Działa go witały i odgłosy ręcznej broni, i cudna muzyka kilku dworów, i uszykowane cechy przed bramą miejską. Tłum panów konno otaczał Mniszcha. Na ich czele jechał Hryniewiecki wda lub. Szlachta, obywatele przybyli aż z Ukrainy, z kijowskiego, Rusi i Podola, ale najwięcej było Lublinianów i szlachty z Wołynia i Czerniechowa. Kasztelan wołyński Młocki jechał na czele swoich ziomków, których było do 150 (1). Można pan, krewny króla jegomości, występował tutaj jak jeden z dawnych Mniszców, co to nie żałowali nigdy wydatków dla utrzymania sławy rodu i blasku imienia.

W roku 1786 wydawał Mniszech nowe obwieszczenia względem żebraków warszawskich (d. 3 czerwca), których koniecznie chciał uprzętnąć z miasta. Cały ten rok przesiedział w stolicy i tylko ledwie na dwa miesiące zrobił wycieczkę do dóbr swoich Demblina w Lubelskie. Powrócił d. 15 września.

(1) Znajdowali się na tym wjeździe: Granowski sekretarz w. k., Maniecki pisarz w. k., Młaczyński inspektor jłny wojsk Rplitej; podkomorzowie: lubelski, chełmski i buski t. j.: Dłuski, Kunicki i Strojnowski. Przy bramie, zsiadłszy Mniszech z konia z całą kalwakatą, szedł piechotą na ratusz. Tutaj witał starostę trybunał, który następnie ze wszystkimi udał się do kolegiaty. W kolegiacie witali go professorowie i szkoły. Po wotywie, nastąpiło *Te Deum*. Z kościoła szli wszyscy na zamek, przed którym zebrany magistrat oddał Mniszechowi klucze miasta. W izbie sądowej przemawiali wojewoda lubelski i kasztelan wołyński, starosta odpowiadał im; poczem przysięgał w ręce wojewody. Na zafundowaniu jurysdykcyi, Mniszech potwierdził urzędników dawnych. Obiad dawał Hryniewiecki, a kolacją Młocki; nazajutrz obiad wyprawił Mniszech, a kolacją i assamble marszałek tryb. Jan Nep. Małachowski. Następnie w sobotę wyjechał marszałek w. k. z Lublina i pożegnał go huk z dział powtórzony sto razy. Gaz. Warsz. nr. 74. Do Warszawy z Demblina wrócił Mniszech d. 21 września; tamże nr. 77.

Kiedy Mniszech nie był w Warszawie, obowiązki jego pełnił i zastępował jego miejsce Gurowski marszałek wielki litewski. Ten ostatni działał według planu, jaki nakreślił pan z Wiśniowca, a stolica przez nieobecność Mniszcha nic nie straciła. Sam ciągły pobyt jego w stolicy, rzadko przerywany wycieczkami, sprawiał, że miasto widocznie upiększało się i rosło. Oko Mniszcha wszędzie zajrzało. W samej rzeczy, panowanie Stanisława Augusta było epoką dla naszego miasta, a w ciągu tego panowania, czas rządów Mniszcha był najświetniejszą może chwilą Warszawy w XVIII stuleciu.

W roku 1787 na dłuższy czas marszałek wielki opuszczał stolicę: miał znowu w Wiśniowcu oglądać króla Stanisława swoim gościem, a w Kijowie miał się widzieć z Cesarzową Katarzyną, która jechała do Krymu. D. 28 stycznia zdał władzę swoją w Warszawie Gurowskiemu, a 30 tegoż miesiąca wyjechał na Wołyń. Król przed wyjazdem oddał Mniszchowi order Orła Białego, żeby go wręczył łowczemu wielkiego księstwa Łażnińskiemu, który właśnie bawił w Łabuniach. Na Łabunie szła droga Mniszchowi; mieszkał tam teść jego wojewoda podolski. D. 5 lutego stanął tam marszałek wielki, serdecznie przyjęty, i dopełnił względem Łażnińskiego rozkazów królewskich.

Jeszcze więcej miał teraz gości u siebie w Wiśniowcu marszałek wielki, jak niegdyś przed sześcią laty. Król Stanisław stanął dopiero u niego d. 9 marca. Mniszech musiał konie i koniuszego naprzeciw króla wysyłać aż do Złobow, tak szła niegodziwa droga po śniegach i błocie do Wiśniowca. Odpoczął przecież cokolwiek tutaj Stanisław po niewygodach zimowej podróży. Trzeba czytać Dyaryusz Naruszewicza, żeby się przekonać z jak pańską godnością występował wtedy Mniszech, i jaka szczerść panowała w serdeczném przyjęciu. Cały wielki świat rzeczypospolitej bawił wtedy w Wiśniowcu: przyjeżdżali jedni, odjeżdżali drudzy. Potoccy i Lubomirscy stali na czele szlachty co witała króla na Wołyniu. Wszyscy obywatele, senatorowie z okolic, krewni gospodarza i niekrewni spieszyli się na powitanie króla. Zjechali tutaj Platerowie, i sławny magnat książę de Ligne z synami, i Dillon kawaler francuzki, który tylko co wracał przez Stambuł i Lwów z Egiptu. Ale tą razą tylko sześć dni zabawił król w Wiśniowcu. Marszałek z żoną i z gośćmi swojemi pospieszył za Stanisławem i zastał go jeszcze w Chwa-

stowie. Poniatowski wziął do karety siostrzenicę i jechał z nią razem aż do Mietnicy. Tutaj marszałek pożegnał Stanisława, bo udał się prosto z księciem de Ligne do Kijowa, a król inną drogą pospieszył nad brzegi Dniepru.

Przytoczymy ze spółczesnego dyaryusza pisanego po francuzku szczegóły o pobycie państwa Mniszechów w Kijowie, i o względności jaką okazywała dla nich Cesarzowa Katarzyna. Są domysły, że dyaryusz ten pisała sama pani marszałkowa, dla przypodobania się królowi jegomości.

„D. 26 marca. Mniszech, pisze nasz dziennik, miał prywatne posłuchanie u Cesarzowej z powodu listu króla Stanisława, który miał jój oddać. Jój Cesarska Mość pytała się marszałka z wielkiem zajęciem o szczegółach dotyczących się naszego króla, i zadawała mu często pytania o jego zdrowiu, o jego drodze i o jego ostatnim pobycie w Wiśniowcu. Cesarzowa raczyła téż rozmawiać długo z panią Mniszechową o tymże samym przedmiocie, pokazując zawsze jednakowy interes dla naszego króla. Niepodobna wyrażać się było z większym wdziękiem i dowcipem jak Cesarzowa. Pan i pani Mniszech byli tegoż dnia na obiedzie u Jój Cesarskiej Mości, a sam marszałek odbierał i oddawał małe wizyty, jak niegdyś w Petersburgu w czasie piérwszej swojej podróży do Rossyi.“

„D. 2 kwietnia w Kijowie. Za powrotem z cerkwi Cesarzowa kazała wnijsć pani Mniszechowej do swoich komnat sypialnych, i ozdobiła ją w nich z dobrocią która jój tak przystoi, orderem Św. Katarzyny. Wtenczas, kiedy panią Mniszech ubieraną w oznaki orderowe, Cesarzowa wyszła ze swojego pokoju i spytała się pana marszałka, czy nie jest niespokojny o swoją żonę; dodała przytém, że pani zaraz nadejdzie, bo zajęta jest w téj chwili swoim ubiorem. Cała osada polska w Kijowie, która jest bardzo liczna, składała z tego powodu Cesarzowej swoje podziękowania. Pan i pani Mniszech byli także i tego dnia na obiedzie u Cesarzowej z całém jój zwyczajném towarzystwem. Wieczorem pożegnaliśmy Cesarzową i pytaliśmy się Jój, czy ma jakie rozkazy do Kaniowa.“

D. 3 kwietnia Mniszech z żoną był już w Kaniowie i przynosił podarunki od Katarzyny w tabakierach złotych i brylantowych. Sam dostał takąż samą tabakierę. W Kaniowie, jak niegdyś w stolicy, marszałek wielki objął zarząd naczelny na dworze królewskim i wydawał ceremoniały, układał porządek przy

rozmaitych obrzędach Wielkiego Tygodnia; od niego wszystko w tym względzie zależało. Ale d. 5 kwietnia znów Mniszech z żoną wyjechał do Kijowa i znowu dziewięć dni bawił przy boku Cesarzowej.

Kiedy nastąpiła wielka ceremonia na Dnieprze, marszałek koronny niepoślednie świecił między tłumami polskich, rossyjskich i cudzoziemskich panów. Dużo jest o nim i jego żonie w dyaryuszu Naruszewicza i w dzienniku francuzkim, któryśmy przytaczali. Sadzono się nawzajem na dowcip i na wystawność. Cesarzowa ciągle zajęta była panią marszałkową. Nawet przy uroczystém spotkaniu się z królem na galerze, spostrzegłszy ją w swojej komnacie, skinęła ku pani marszałkowej palcem, żeby się do niej zbliżyła: „bo niepodobna, szepnęła do ucha siostrzenicy królewskiej, na pierwszą chwilę oprzeć się uczuciu jakiegoś pomieszania.“ A marszałkowa dodała wtedy: „Uczucie to nie może być nieprzyjemne dla Waszój Cesarzowskiej Mości w tej chwili, bo król nasz przychodzi swoje okazać wdzięczność“. Cesarzowa uściskała wtedy serdecznie panią marszałkową i mówiła z wdziękiem: „Jesteś bardzo miła, kiedy mnie zapewniasz o tém uczuciu króla: lubię o tém myśleć“.

Po wyjeździe z Kaniowa, marszałkowstwo podróżowali z królem Stanisławem. W Korsuniu Poniatowski przedstawiał ich oboje Józefowi II<sup>mu</sup>, i na tym dniu właśnie 11 maja zakończył się dziennik francuzki, który przypisują pani marszałkowej. Naza jutrz pożegnali oboje króla na dni kilka, bo w Tulczynie znowu z nim razem czas jakiś bawili. D. 26 maja Stanisław był u nich z powrotem w Wiśniowcu. Trzeci to już raz, w ciągu swojego panowania, odwiedzał ustronie rodzinne Mniszcha.

„Nieprzerwane w tém miejscu zabawy, a bardziej miłe i wygodne przez J. W. marszałkowstwo każdego przyjęcie, w dziwnie wesołym wszystkich utrzymując humorze, postrzednie dały jak rychło zeszyły dni pięć przepędzone w Wiśniowcu“, pisze Naruszewicz. I w samój rzeczy: ciągle przejażdżki, codziennie nowi goście, codziennie komedye odgrywano w teatrze nowo wystawionym, to polskie, to francuzkie; codziennie balet tańczony przez kasztelanki i kasztelaniców i starościanki lat dziesięciu nie mające, codziennie 18 stołów do obiadu, a 400 zawsze przeszło osób: pokazywały, jak serdecznie i gościnnie przyjmował król w Wiśniowcu pan marszałek koronny.

W końcu dopiero września 1787 roku, po ośmiomiesięcznej niebytności wrócili do Warszawy Mniszechowie.

Tu nagle zachodzi gwiazda Mniszcha. Za wielkiego sejmu bronił swobód szlacheckich i *liberum veto* z innymi panami, ale uspokoił się cokolwiek i potem popierał reformy, a przynajmniej wcale im się nie sprzeciwiał. Przewidywał skutki i do ostatniej chwili radził sejmującym, żeby trzymali się gwarancji rosyjskiej. Niknie jednak sam osobą swoją Mniszech w tłumie innych mężów, co myśleli wtedy o przyszłości Rzeczypospolitej. Mamy z tego okresu list, jaki do niego pisał Rohan wielki mistrz kawalerów Maltańskich d. 13 kwietnia 1790 r. prosząc, żeby się wstawił do Stanisława Augusta o protekcję króla do rządu francuzkiego w interesie zakonu. Ten list dowodzi tylko szerokich stosunków Mniszcha i znaczenia, jaki e imię jego miało poza granicami Rzeczypospolitej.

Mniszech trzymał ciągle z nową ustawą i jej przyjaciółmi; ale w ostatnim razie, kiedy król postanowić musiał pomiędzy nią a Targowicą, marszałek wielki doradzał Stanisławowi przystąpić do konfederacji. Sądził, że takim krokiem król ocali rzecz publiczną. To sławne posiedzenie straży odbyło się na dniu 22 lipca 1792 roku. Rozmaite zdania głosili ministrowie: ci tak, a tamci inaczej radzili. Król poszedł za temi, którzy chcieli niby zgody, i przystąpił do konfederacji; nie opuszczał jednak wcale Warszawy.

Mniszech może żałował swojego kroku, ale już po niewczasie. Widząc na co się zanosi, złożył urząd marszałkowski d. 8 lipca 1793 r., kiedy i inni jego spółtowarzysze w straży, składali pieczęci i laski i klucze od skarbów Rzeczypospolitej. Był to w czasie sejmu grodzieńskiego, na którym przecież nie postął. Jego laskę w łakome ręce pochwycił Fryderyk Moszyński sekretarz wielki litewski. Mniszech zszedł zupełnie z widowni: naród go prześladował.

Odtąd były marszałek wielki osiadł na ustroniu w Wiśniowcu i złożył przysięgę na wierność cesarzowej Katarzynie. Ukończył się jego zawód publiczny. W zamian za ministeryum polskie został rzeczywistym tajnym radcą cesarstwa rosyjskiego.

Jak żył odtąd w osamotnieniu, tak i umarł w roku 1806 w swoim kochanym Wiśniowcu. Miał lat 58 życia. Wdowa po nim Urszula z Zamojskich w lat dziesięć dopiero po śmierci męża zakończyła życie we Lwowie w r. 1816. Miała lat 56.



Starszy brat Michała, Józef, prowadzi przez syna swojego Stanisława linię galicyjską Mniszchów; co do młodziej zaś, wołyńskiej linii, marszałek wielki koronny, prócz wyżej wspomnianego syna z Potockiej, którego zaraz utracił, z Zamojskiej zostawił kilkoro dzieci.

Z tych córka jedna urodziła się w Warszawie 30 listopada 1781 roku o 8 wieczorem (Gazeta Warsz. 97 suppl.) Drugi syn Michał Jan Filip Neryusz urodził się 12 grudnia 1784 roku także w Warszawie (Gazeta Warsz. 100) i córka Pelagia Marya urodziła się 26 kwietnia 1786 r. w Warszawie (Gazeta War. 35) Trzecią z kolei córkę Elżbietę Maryą Filipinę trzymał do chrztu w Warszawie w pałacu Zamojskiej wojewodziny podolskiej w dniu 18 listopada 1792 r. w niedzielę o 5tej popołudniu sam król jegomość z siostrą swoją Izabellą Branicką. Był przy tym akcie i książę prymas, a Sakramentu chrztu udzielał ksiądz wikary od św. Jana Zaboklicki (Gaz. Warsz.). Czwarta córka Paulina Konstancya urodzona d. 17 kwietnia 1798 r. poszła za księcia Antoniego Jabłonowskiego w roku 1818. Elżbieta Marya córka Mniszcha była także za Dominikiem Radziwiłłem, ostatnim ordynatem na Nieświeżu, synowcem Karola *panie kochanku*. Rozwiedziona z nim poszła powtórnie za mąż we Francji za markiza de Ville. To wiadomość dla przyszłego herbarza szlachty.

Syn Karol Filip narodził się 1794 roku: miłośnik i znawca dziejów polskich, który pałac swój w Wiśniowcu uczynił składem pamiątek, twórca bogatej biblioteki, sam namiętny pracownik na polu heraldyki i historii, człowiek ogromnej pamięci i ogromnych wiadomości, autor rękopisów wielu, które pozostały w Wiśniowcu, umarł już za dni naszych, 24 kwietnia 1846 r. Z Eleonory Cetnerówny dwóch synów zostawił: Jerzego i Jędrzeja.

### III.

Mamy teraz mówić o dziełku marszałka Mniszcha. Powieździeliśmy wyżej, że z pracami dziejowemi Łojki, dziełko to zwiastowało epokę Naruszewicza. Mówiąc tak, nie chcieliśmy jednak twierdzić, że to, co Mniszech o Kazimierzu W. napisał, ma dzisiaj jeszcze jaką wartość. Dzisiaj Naruszewicz już dobrze stary, i gdyby kto zadał sobie mozolną pracę poprawiać go albo dopełniać, lepiej użyłby czasu, na wystawienie własnego systemu dziejów. W Naruszewiczu dzisiaj najmniej dwie trzecie części wy-

rzucić potrzeba: i jakąż więc zasługę może mieć marszałek koronny Mniszech! Dziełko jego w naszych czasach byłoby anachronizmem. Autorowi takiego dziełka mybyśmy żadnych zdolności literackich nie przyznali. Życie Kazimierza W. napisane dzisiaj tak, jak je Mniszech napisał, byłoby w oczach naszych szkolnym tylko wypracowaniem i to wypracowaniem biednym, niezwracającym na siebie wcale uwagi poważnego dziejopisa. A jednak będziemy pisali o tym dziełku, bo myśli nasze o zdolnościach literackich Mniszcha, zaokrąglą samą wiadomość o jego życiu, przydadzą kilka rysów do charakterystyki osoby i czasu. Dziełko to ma nawet znaczenie w historii literatury. Ten, kto nam nakreśli obraz piśmiennictwa za czasów Stanisława Augusta, kiedy będzie mówił o kunszcie dziejopisarskim, kiedy nam faktami wskaże na jego rozwój: będzie musiał wspomnieć i o broszurce Mniszcha. Wszakże wszystko potrzeba brać w ramach właściwego czasu. Przodkowie nasi wcale temu niewinni, że postąpiła sztuka wykładania dziejów, że my mamy inne pojęcie o historii. Z kolei, praca Mniszcha ukazała się przed dziełem Naruszewicza, wtenczas jeszcze, kiedy znakomity biskup zbierał materiały i rysy do przyszłego budynku. Książka ta jednak ani treścią swoją, ani wykładem nie przypominała już panegiryków epoki przed-Konarskiego: ztąd znać już na niej tchnienie nowego życia, jakie się pojawiało. Dzieciństwo to może, ale już i dzieciństwo więcej rozumne.

Styl miał Mniszech ciężki, chropowaty, wcale niepiękny. Dziełko jego nie błyszczy obrazami, potocznością wyśłowienia; pisał tak, jakby tylko przypominał dawne zdarzenia świadomym. Nie wdaje się w opisy klęsk i wojen, obyczajów i urzędzeń, a napomyka o nich zlekka. Ztąd też styl urywkowy nuży uwagę jednostajnością swoją i nudzi. Widać wszędzie myśl zmęczoną, która się siliła na ozdoby krasomówskie, na historyczne obrazy, ale zadaniu nie sprostała. Ztąd nawet często marszałek Mniszech jest w myślach swoich przesadny i ciemny.

Zaczyna wstępem, w którym dowodzi, że narody winny wdzięczność dla wielkich swoich ludzi. Z tego wypada więc, że Polska winna wdzięczność Kazimiérzowi W. Następuje opis wieku XIII. Mniszech wskazuje, że nowi ludzie zjawili się wtenczas dla szerzenia nowego życia. Jednym z takich wielkich ludzi był właśnie Kazimiérz syn Łokietkowy. Krótko bardzo mówi Mniszech o jego dzieciństwie, a jako jedyną charakterystykę zna-

komitego króla; podaje nam tę okoliczność; iż król ten nie miał nauki, bo dopiero Włochy budziły się w XIIIym wieku z długiego umysłowego uśpienia. Od małżeństwa więc z Aldoną, przechodzi Mniszech do wojen Łokietka z Krzyżakami, mówi o sejmie checińskim i Płowcach. Po śmierci Łokietka obrany Kazimiérz, zasiada wreszcie na tronie. Mniszech zatem wierzył w elekcyę królów z pokolenia Piastów; w czasie sejmu czteroletniego, musiał zatem przeciw Ignacemu Potockiemu i Kollatajowi odzywać się za Sewerynem Rzewuskim. Ta elekcyja w dziele powtórzona razy kilka, za każdą zdarzoną sposobnością.

Nie będziemy opowiadali więcéj treści dziełka. Jako historyczny wywód, podaje ono niby rys dziejów panowania Kazimiérza W., ale wszędzie jest tak suche i krótkie, że niewiele rozjaśnia ciemny przedmiot. Psują to opowiadanie częste a niepotrzebne wstawki, w których się autor popisował z erudycyą: to porównanie Krzyżaków z Templaryuszami, to powieść dziwaczna o losach Rusi, w której niéma nic prawdy, a tylko przyjęte konwencyonalne pojęcia o téj Rusi Stanisławowskich pisarzy; to nareszcie najdziwniejsze rozumowania o początku praw polskich. Autor sięgał nawet erudycyą swoją bajecznego Krakusa i dwunastu wojewodów. Rozbiorowi statutu wiślickiego, Mniszech najwięcéj stronnie swojego pisemka poświęcił. Wskazuje na myśl króla, na jego reformy prawne, dążące do ustalenia czystych pojęć o cnocie i sprawiedliwości. Ta część pisma Mniszcha stanowi całkiem oddzielny ustęp, w którym także nie możemy dojrzeć zdolności historyka; a przecieź Naruszewicz, kiedy doszedł w swojej historii do roku 1347, odsyła czytelników swoich; do rozbioru statutu zrobionego przez Mniszcha. Widać, w pojęciu Naruszewicza rozbiór ten był wykończonym obrazem, ile, że biskup nie przyznawał się do tego, żeby znał prawo ojczyste i jego dzieje; bo wtenczas historyk nie był obowiązany do znajomości postronnej, niby z jego przedmiotem, nauki. Może téż Naruszewicz był zmęczony pracą około dziejów polskich podjętą i znużony nią, odsyłał dlatego czytelników swoich do broszurki, która ich oświecić miała o zasługach Kazimiérza W. pod względem prawodawstwa. Mniszech był jednakże w saméj rzeczy człowiekiem światłym, znał dobrze prawo rodzinne, miał miłość do starych pieśniaków, zbierał je i oceniał; na czele nawet dziełka dwa pieniążki odbite pomieścił i w jednym z przypisków zastanawiał się nad ich historyą. Łaskiego Statut cały przewertował, i z tego zbioru

objaśniał prawo Kazimiérza W.; co doprawdy zabawnie wygląda, bo mógł przecież mieć oryginał pod ręką, a używał tylko łacińskiego tłumaczenia statutów Kazimiérzowych.

Miał doprawdy marszałek kor. skarbnice wiadomości i nauki w umyśle swoim, ale téż obok tego i zdolności zbyt małe, żeby z nich strzelił promieniem nowych pojęć, żeby mógł posunąć naukę, rozjaśnić dawne dzieje krytycznym poglądem w przeszłość.

Zdobywa się czasami Mniszech i na krytykę dziejową. Poprawia Schmidta, i pojąć nie może, czemu Kazimiérz W. na pieśniach nazywany jest Kazimiérzem Iym, kiedy podług jego rachuby powinien być trzecim, a drugim najmniej. Ważną, jak widzimy rozstrzygał kwestyą. Ale zajmował się nią później znakomity badacz Tad. Czacki. Przytaczał Mniszech La Combe'a zbiór chronologiczny historyi polskiej, a ta okoliczność dowodzi, że na bardzo niskim stopniu była wówczas znajomość dziejów narodowych.

Dziełko Mniszcha pod żadnym względem nie może być uważane za historyą Kazimiérza W.; sam marszałek koronny nie miał téj pretensyi, i nie myślał wcale, że dzieje napisał. Ciągłe przeskakuje od jednego do drugiego przedmiotu, a opowieści swojej nie potrafi ułożyć w pragmatyczną całość. Więcój to dzieło krasomówstwa, jak historyi. Są nawet i lekkie zboczenia w tym rysie, który już ze swojej natury, dlatego że mały, nie powinien mieć żadnych błędów. Charakterystyki króla nie nakreślił nam Mniszech; znaczenia téj ważnej epoki w dziejach nie rozumiał. Opisawszy przypadek w Przedborzu i śmierć króla, Mniszech tak pisał: „Umiéra Kazimiérz: że kruszą chorągwie na pogrzebie jego, to okazałości widok; że płacze naród cały, to czułości dowód. Przesady XIVgo wieku przeważały go były królem chłopów; <sup>przez</sup> szyderstwo; ~~z~~ światło XVIIIgo wieku upoważnia ten spodlony tytuł”.<sup>4</sup> Wić Mniszech razem ze światłem XVIIIgo wieku, tytułu króla chłopów nie uważał za uszczerbek pamięci wielkiego króla, chociaż go nazywał spodlonym.

Inne prace naukowe marszałka wielkiego koronnego musiały mieć podobną wartość. Jeżeli mógł sobie rościć prawo Mniszech do jakiej zasługi literackiej, to przez swoje ogłoszenia o postępie edukacyi narodowej w pismach zagranicznych, jeżeli jeszcze te ogłoszenia nie były rozumowaniem, wykładem zasad, a prosto podawały fakta i wskazywały na życie.

D. 11 października 1850 r.



4) M. Mniszech, K. Wielki, s. 66.

# O UROCZYSKACH I ZWYCZAJACH LUDU PIŃSKIEGO,

o r a z

O CHARAKTERZE JEGO PIEŚNI.

PRZEZ

*Pomualda Zienskiewicza.*

---

Pracujmy jak kto może,  
A Bóg nam pomoże!

Wiadomo powszechnie, iż opisy uroczysk i zwyczajów nietylko krajów, ale i ich prowincyj, są przydatne do historyi i sztuk pięknych, a mianowicie poezyi. Zwyczaje ludów porównane z sobą i wzięte pod jeden pogląd, przedstawiają ciekawy obraz pojęć o rzeczach najbardziej obchodzących człowieka, i wywodzą na jaw prawdy odwieczne, zawsze też same, choć różnemi czasy, w rozmaitych postaciach w ciało przyoblekane były przez rozmaite narody.

Strony pińskie oprócz tych względów, zwracają jeszcze na siebie uwagę z powodu czwartej księgi historyi Herodota. W nich b. professor wileński Ejchwald, uczony wykładacz tej księgi, widzi siedziby Budynów czyli Wudynów, na 6 wieków przed Chrystusem przez Herodota opisywanych; postrzega tu ich rzeki, i w miejscowem położeniu Pińszczyzny przypuszcza ślady Herodotowego Budynów niegdyś jeziora czyli morza (1). Mnie-

(1) Wykład ten p. Ejchwalda znajduje się w Athenaeum na rok 1847, w zeszycie Hgim.

manie to dzielają: professor Sękowski, (1) M. Baliński w Starożytnej Polsce, i znajduje ono odgłos w Podróży Kontryma po Polesiu. Nadto, T. Narbutt w swych skróconych Dziejach litewskich (od stronnicy 1 do 8), z Indyj Wschodnich wprowadzwszy Litwinów do Europy, nim zawiódł nad brzegi Niemna i ponad Bałtyckie morze, osadza ich i wzdłuż Prypeci w okolicach Śniatynia (2), nad rzekami Łunią, Marocz (3) i Naczą.

Ztąd więc szczegółowe wiadomości o stronach pińskich są ze wszech miar pożądane. I tu właśnie o uroczyskach i zwyczajach stron tych, o ile wiem, powiem, zajmując pod to opowiadanie okolice nad Piną, Cną, Prypecią położone, to jest część Polesia litewskiego, czyli część teraźniejszego powiatu pińskiego i mozyrskiego.

## I. UROCZYSKA.

1. *Poboiszcze*. Jestto pasmo wzgórków pokrytych lasem ponad błotami, ciągnące się w majątności pp. Korsaków, zwanój Stoszany, znajdującój się od Pińska o mil 5 drogą letnią, a o dwie zimową, położonój w bliskości rzeki Jasiołdy od południa; na zachód o milę od miasteczka Łahiszyna; mającój na północ gościniec z Pińska do Mińska; a na wschód *Jeziorze Nowodworskie*. Do tego uroczyska, Poboiszcze zwanego, odnieść można walną bitwę 1160 r. wygraną przez W. ks. litewskiego Skirmunda, i Kukowojtisa nad Mściśławem księżciem Rusi, której wypadkiem było przyłączenie stron tych do Litwy. Bitwę tę właśnie T. Narbutt (w skróconej Historii litewskiej na stronnicy 34) umieszcza nad rzeką Jasiołdą pod Stoszanami.

2. *Wały*. Od Pińska na wschód o mil 5 drogą zimową, udając się do Kozangródku na Bohdanówkę, zbliżywszy się już na pół mili pod Łunin, z prawej strony traktu w lesie o dwie wiorsty, między tartakiem, awulsem Perzechreście, wsią Łobczem i Dubnowiczami, ciągnie się od wschodu na południo-zachód pasmo wzgórków zwane Wałami. Wzgórki te noszą na sobie ślady

(1) W Athenaeum na rok 1847, w zeszycie IIIcim.

(2) Śniatyni wieś w mozyrskim powiecie, odległa o mil 9 od miasteczka zwanego Kozangrodek, a w powiecie pińskim nad rzeką Cną znajdującój się.

(3) Marocz rzeka w powiecie mozyrskim odległa o mil 10 od miasteczka Kozangródku.

pracy około nich ręki ludzkiej, i mają podobieństwo do obronnych okopów wojennych. Mieszkańcy tameczni nazywają je dziś jeszcze Wałami, lecz podanie historyczne do tego miejsca przywiązane zatarło się już zupełnie w ich pamięci. Od tych Wałów dalej na południo-zachód wznoszą się w rozmaitych kierunkach i przerwach wzgórki, więcej jak na milę rozsiane. Sąsiednie to Wałom uroczysko nazywa się Horyniec; jednakże między temi poleskimi górami, z dwóch największych, jedna ma wysokości mało co więcej nad sążni 10, długości sążni 50 i szerokości 22 sążnie; druga wysokością niewiele co wznosi się nad sążni 7, licząc od powierzchni błotka niewielkiego, tuż przy niej na południo-wschód, i od powierzchni błota dużego na zachód od niej ciągnącego się przez dwie wiorsty ku Dubnowiczom. Naokoło tych gór i na nichże samych rosną rozmaite drzewa, a najbardziej sosny odwieczne i niebotyczne. W bliskości tych uroczysk, pośrodku błota, znajdują się dość wysokie dwa wzgórza obok siebie, mające podobieństwo do kurhanów czyli mogił wielkich; ale tameczny lud nic o nich nie wie: tylko powiada, iż przed rokiem, włościanin wsi Dubnowicz znalazł kartacz na uroczysku zwaném Wałami.

3. *Dziówka*. Od Pińska na północo-wschód o mil 11 drogą letnią, udając się na Łunin, od Łunina o milę, jadąc przez lasy ku Bostyniowi, i od bostyńskiego Białego jeziora o milę, znajduje się w najpiękniejszym borze równina, *Dziwką* zwana. Wedle miejscowego podania miała w tym lesie zabłąkać się przed laty dziewczyna; nie mogąc znaleźć wyjścia z lasu, z głodu tam umarła. Znalezioną pogrzebiono na témże miejscu; teraz tam krzyżyk stoi, a przy nim wznosi się kurhan z chrustu. Lud przechodząc tamtędy, coraz dorzuca gałązek na tę mogiłę, i kurhan ciągle wzrasta. Od tego zdarzenia, uroczysko to nazwano *Dziwką*; kiedy zaś to zdarzenie zaszło, nie wiadomo.

4. *Swacha*. O milę od uroczyska *Dziówka*, znajduje się uroczysko *Swacha*. Jestto bardzo obszerne błoto bujną trawą porośnięte, którą jednak w suchych latach na siano i wiesz na podściół zbierać można. Rozciąga się ono na milęj równinie, otoczonej najpiękniejszymi lasami z drzew rozmaitych. Uroczysko to otrzymało nazwisko *Swacha*, wedle jednych dlatego, iż swacha wracająca z dziewosłębów tam zaginęła; wedle podania drugich z ludu: kiedy przed dawnymi czasy mieszkańcy tameczni schronili się w tych lasach od napadów nieprzyjacielskich, to na

tém błocie miało odbyć się wesele ze wszystkimi obrzędami ludowi właściwemi, a od tego obrzędu i uroczysko samo otrzymało nazwę Swacha. Jedno zaś i drugie zdarzenie wszyscy odnoszą jednozgodnie do bardzo dawnych czasów.

Wymienione uroczyska: Wały, Horyniec, Dziewka i Swacha, są w dobrach książąt Hieronimów Druckich-Lubeckich.

5. *Owidyuszowa góra.* Od Pińska na wschód o mił 14cie drogą lądową letnią, leży miasteczko Kozangródek, dziedzictwo dawniej Tarnowskich, a dziś własność rodziny Szczyttów. Za miasteczkiem i dworem, na posadach obronnego niegdys zamku wzniesionym, wije się piękna rzeka Cna, a tuż nad nią, o półtoréj zaś wiorsty od jéj ujścia do Prypeci, bieleje obszerna piaszczysta góra, Owidyuszową zwana.

Leży ona na rozległych błotach, otaczających ją ze trzech stron aż do rzeki Cny. W odległości kilkunastu kroków od zewnętrznego swego obwodu, góra ta opasana jest w półkole pasmem pagórków, na dwa sążnie wysokich, sośninami porośłych. Zdaje się, iż powstała z piasków przez wielkie wody naniesionych. Była dawniej znacznej wielkości, ale przed kilką dziesiątkami lat, miejscowy rządcą wytrzebił na niéj porośle drzewa, i młyn wietrzny na jéj wierzchołku wystawił; wiatry wkrótce młyn zniosły, zaczęły górę rozwiewać, piasek ruchomy od czasu do czasu usuwał się i roznosił coraz więcej; dzisiaj na wiorstę już prawie błota przyległe zasypał, koryto rzeki Cny posunął, a góry piaszczystéj, zaledwie już tylko trzecia część pozostała. Podanie miejscowego ludu jednozgodnie za rzecz najpewniejszą głosi, iż uroczysko to jest zabytkiem wyschłego, a istniejącego tam przed dawnymi laty morza; pokazują nawet w bliskości téj góry topiel bezdenną, nigdy niewysychającą, a półkolem pagórków, rzeczoną górę opasujących, objętą, w której miały przystawać okręty. Od tego miejsca na północ leżą wielkie błota Hryczyńskie, tylko około trzech i pół mili od niego odległe. Wiadomo już z opisu Polesia, w Starożytnéj Polsce M. Balińskiego i Tym. Lipińskiego w tomie 3cim znajdującego się, iż lud tameczny przechowując wieść od przodków swoich sobie przekazaną, uważa błota Hryczyńskie za wyschlą odnogę jakiegoś morza. Opowiada o wynajdywanych tam kotwicach okrętowych, i o połączeniu podziemném tych błot z morzem Czarném. Tu tylko można dodać, iż w Pińszczyźnie na wielu miejscach znajdują się głębokie zasy piaszczyste, w znaczne wzgórza podnoszące się, pomiędzy roz-



ległemi błotami. Piaski pod wsią Bizurewiczami, na zarzeczcu utrudniają drogę, gdy tymczasem niezbyt daleko znajdująca się okolica Lemieszewicze stoi nad błotami, na mil kilka, aż pod sam Pińsk zalanemi.

Piaszczystą górę Kozangrodecką, w mowie tu będącą, nazywają pospolicie Owidyuszową górą; lud zaś miejscowy nazywa ją Widusz-hora, a samo miasteczko Widusz-horod. Nazwanie więc téj góry Owidyuszową jest niewłaściwe. I w rzeczy saméj: kilka jeszcze innych gór Pińszczyzny, a mianowicie płotnicka między rzekami Styrem i Horyniem, leżąca o mil sześć od Pińska ku Horodnowi, i znajdująca się na ziemi horodeckiej pp. Kieniewiczów, o milę od Dawidgródka, nazywają się Owidyuszowemi. Czyż mógł na nich wszystkich Owidyusz Nazo mieszkać? Zwłaszcza, gdy jak wiadomo powszechnie, na wygnaniu był ponad morzem Czarném, w bliskości którego jest nad ujściem Dniestru i Owidowe jezioro i Owidyopol, a w Temeswarze i grób jego odkryto (1). Mógł Owidyusz z wygnania zwiedzać Polesie, ale czyżby to dało powód do nazwania Owidyuszowemi wszystkich gór tu wymienionych? Gdyby lud kozangrodecki nazywał swą górę Witusz-hora, możnaby w takim razie przypuścić, że była poświęcona Rugiewitowi czyli Witowi, słowiańskiemu bożkowi wojny, jak to było obyczajem za bałwochwalstwa, cześć oddawać bogom na wyżynach. Wit właśnie miał siedm głów i mieczów siedm u bioder, a liczba ta bardzo często się wspomina w pieśniach gminnych pińskich.

Ale wyraźnie lud kozangrodecki swą górę Widusz-hora, a miasteczko Widusz-horod nazywa. Bardzo więc można uroczyście to i jego nazwę Widusz-hora i Widusz-horod uważać za zabytek po Widach czyli Normandach, Skandynawach, którzy od IV czy Vgo wieku po Chrystusie, od morza Bałtyckiego nachodzili na Litwę, i dalej na południo-wschód, w różnych czasach swoje najścia rozszerzali, i w zajętych krajach gródki warowne wznosili. Wedle p. M. Balińskiego opisu Polesia w Starożytnéj Polsce, Turów był IXgo wieku przez Normandów założony, a to miasto o mil tylko 8 jest od Kozangródka odległe. Tak więc kozangrodecką jak i wszystkie poleskie wyżej przerzeczone góry, zamiast Owidyuszowemi, możnaby nazywać Widowemi. O Wi-

(1) O miejscu pobytu Owidyusza obszernie mówi bezimienny autor w Ondynie na rok 1845, w zeszytce IVtym.

dach mówi professor Jaroszewicz (w Obrazie Litwy, w tomie I, na str. 2giéj). Zdaje się nie od rzeczy będzie jeszcze tu namienić, że Kozangródek o mil tylko 10 jest odległy od rzeki Marocz, a o dziewięć od wsi Śniatyn zwanéj, to jest: od miejsc mozyrskiego powiatu, około których p. T. Narbutt osadza pierwotnych Litwinów.

6. *Bobrownia*. Na północ Kozangródką, o wiorstę od niego szumi piękny las czarny, a przezeń Cna srebrzysta przebiega. Tam na niej przebywały bobry; w 1840 roku jedną ich parę jeszcze złowiono, ale było już ostatnia; od tego czasu już więcej ich tam nie ma, i samo tylko wspomnienie o tych pracowitych, przemyślnych i pożytecznych stworzeniach, w nazwisku tego uroczyska, bobrownią nazywającego się, pozostało.

7. *Moroczna*. Od Pińska na południo-wschód o mil 9, na terazniejszym rozgraniczeniu powiatu pińskiego od mozyrskiego, we wsi Małe-Orły, znajduje się uroczysko Moroczna zwane. Jest to wyschłe łożysko; lud tameczny powiada, iż była niegdyś w niem rzeka. Wychłe to koryto leży o pół wiorsty od rzeki Horyń zwanéj, a około mili od wsi Wielkie-Orły, nad rzeką Wietlicą położonéj. Wietlica bierze początek z Horynia pod wsią Uholcem, niezbyt daleko od Małych-Orłów znajdującą się, a za wsią Ladcem o mil 2 od Uholca, wpada do rzeki Prypeci.

8. *Wał*. W powiecie mozyrskim, o mil 24ry od Mozyra, a o trzy od Ladca, wsi książąt Radziwiłłów, jadąc z Ladca do Dawidgródka, znajduje się wał kwadratowy z wjazdem, 25 przętów obwodu zawierający. Wedle podań miejscowych, miało to być schronienie królowéj Bony.

Od tegoż Ladca o wiorst 3, udając się do Dawidgródka, na polu przy drodze po prawéj stronie wznosi się usypana górką, zwana Skomorowa, mająca obwodu stóp 9, a wysokości 4 łokcie. Mieszkańcy tameczni powiadają, iż tam z rozkazu Bony zakopany został żywcem skomorosić, czyli niedźwiedź, ze swym niedźwiedziem, za to, że konie wiozące Bonę, miały się ołknąć niedźwiedzia uniosły i pojazd rozbiły.

9. *Okop i łożysko Peredól*. W tymże powiecie, w Turowszczyźnie, dobrach niegdyś Sołohubów, a od 1806 roku już skarbowych, od Turowa o milę, od wioski Chilezyc o wiorstę, jadąc piaskami z Turowa do solwarku Marylina, po prawéj stronie drogi, tuż przy niej, daje się widziéć okop okrągły, obwodem blisko morgę przestrzeni zawierający, wysoki jeszcze na łokci 3; po-

stać ma twierdzy niewielkiej. Niedaleko tego okopu znajduje się rów dość znaczny i obszerny, czerotem i łożą zarosły, a Peredół zwany. Miejscowe podanie utrzymuje, iż rów ten jest wyschlém korytem jakiś rzeki, i głosi, że w niém znajdowano części statków dawnych; bagna przez które przechodziła ta rzeka, jeszcze są i teraz przy tym okopie. Peredół ten leży od Prypeci w jednych miejscach o trzy, a w drugich o dwie wiorsty; od wielkich zaś błot Hryczyńskich odległy jest na 6, 7 i 8 mil, wedle różnych punktów na jego brzegu branych.

Na tych zaś błotach, jako i na innych powiatu mozyrskiego, oraz po lasach tamecznych, znajduje się wiele kurhanów.

\* \* \*

Takie są wiadome mi uroczyska w stronach wziętych tu pod opis; inne ich zabytki dawne, w Starożytnéj Polsce opisane, pomijam, jako już znane. Tu tylko nie od rzeczy zdaje się będzie przywieść jeszcze niektóre godniejsze uwagi imiona własne miejsc i wsi tych okolic. I tak:

1) Wieś Ozaryszcze, od Pińska na północ, na trakcie do Żurowic, znajduje się między Łahiszynem a Kolońskiem. Od Ozaryszcz o wiorst kilka płynie rzeka Jasiołda. Podobne nazwisko nosi wyschłe jezioro między głębokimi piaskami okolicy Wylaz. Wylazy leżą od Pińska na północo-wschód o mil 4 drogą zimową. Położone są u stóp wysokich, jak na Polesie, gór; mają obszerne, na milę rozciągające się jezioro, które znacznie coraz się zmniejsza, i w bliskości rzekę Bobryk. Miały zaś być przed laty główną i jedyną stron tych przystania. Do tego tylko punktu można było dawniej z Polesia dostać się ładem; tu już trzeba było z pojazdów przesiadać na łodzie, aby przybyć gdzie dalej. Nazwisko pińskich Ozaryszcz przywodzi mimowolnie na myśl nazwisko dawnéj siedziby Ozaraniata zwanéj. Siedziba ta przed 200tą przeszło laty istniała w powiecie oszmiańskim, na ziemi łodwígowskiej, niegdys grauzyskiej, a teraz do pana Mateusza Zdanowskiego należącój. Na trakcie z Oszmiany do Olszan, o 5 wiorst od niéj, na prawo od drogi o wiorst półtora, na zachód dwóch kurhanów znajdują się jeszcze ślady téj przed laty tam siedziby.

2) Porochońsk, wieś książąt Hieronimów Druickich-Lubekich, niedaleko od Wylaz, leży nad rzeką Bobrykiem; grunt ma piaszczysty i krzemieniem usiany. Na rozległych téj wsi błotach zbiera się manna na bujnych trawach rosnąca.

3) Horodyszcz, klasztor OO. Benedyktynów, na wyniosłej górze nad dwoma obszernymi jeziorami i rzeką Piną, wpadającą o wiorstę do Jasiołdy, leży o półtoręj mili od Pińska na północ-wschód Horodec, na zarzeczu, wieś pp. Kieniewiczów, na południe od Pińska o mil 10, Kożanhorodek czyli Kożangródek wyżej już spominany. Dawidhorodek czyli Dawidgródek, nad rzeką Horyniem, miasteczko w powiecie mozyrskim, należące do ks. Radziwiłłów.

4) Pohost, miasteczko książąt Druckich-Lubeckich, od Pińska na północ-wschód o mil 4 drogą zimową, a o 7 letnią, leży nad rzeką Bobrykiem i obszerném jeziorem, w którym orzechy wodne trójróżne rosną i wydry przebywają. W okolicach tego miasteczka, przed kilkudziesięcią lat, znaleziono skielet ludzki olbrzymich rozmiarów, i teraz jeszcze na drzwiach pohoskiego pałacu można widzieć wizerunek tego olbrzyma, wedle jego szczątków namalowany. Między Żyrowicami a Słonimem znajduje się w lesie przy samym trakcie wielki kamień, a lud tameczny utrzymuje, iż pod tym kamieniem pogrzebiony był przed laty także olbrzym; nazywają zaś go Siemierykiem.

5) *Wieś Kamień* nad rzeką Bobrykiem, w bliskości Pohosta, a o mil 4 od Pińska drogą zimową. To imię własne Kamień znajduje się także i na Żmudzi. P. T. Narbutt w skróconej Historii litewskiej, na stronnicy 70 mówi: „w roku 1236, Ryngold pobit na głowę rycerstwo niemieckie w Litwie, między wsiami Tyłtagołą i Korsakiszkami, nad rzeką Ławenną, i dziś małą rzeczulką zwaną *Kamenka*, ztąd nazwanie bitwy pod Kamieniem, raczej Tyłtagołą (poszło)”.

6) Płotnica mała, o milę od rzeki Bobryk, wieś p. Zawadzkiego sąsiednia Pohostowi, a przy niej rozlew błotnisty Konotop zwany. Druga Płotnica, miasteczko między rzekami Styrem i Horyniem, o mil 6 od Pińska na południo-wschód na zarzeczu, w bliskości której wieś Brocz i góra Owidyuszową zwana. Nazwisko Płotnicy przywodzi na myśl Płotele, późniejszy Jurborg, pierwszy warowny grodek na Żmudzi, założony, według p. Kraszewskiego Historii litewskiej, (tomu I, stronnicy 495tęj), przez Normandów czyli Skandynawów.

7) Chmielnik, Łobcz, Łunin, wsi niedalekie od siebie książąt Hier. Druckich-Lubeckich. Łunin zaś na północ-wschód od Pińska, leży o mil 7 drogą zimową, a o 10 letnią. W okolicach Łunina znajdują się dwa gatunki roślinek, zpod korzonków

których zbierają się przyczepione tam ziarnka czyli kokony czerwca, robaczka purpurodajnego. Jeden z tych gatunków rzadko gdzie się znajduje; w języku tamecznym nazywa się smolką, wyrasta mało co więcej nad ćwierć łokcia, ma listki drobne i kwiatki białawe; roślina ta daje się widzieć tuż za dworem na wzgórku piaszczystym, przy samej drodze do Kozangródka, nie dojeżdżając jeszcze do Krystynowa. Drugi gatunek wszędzie tam się znajduje na miejscach niskich, rozścielając się po ziemi; jest białawy tak jak mech, listki ma wąskie, podłużno-ząbkowane; mieszkańcy tameczni nazywają go brodawką, a zbiera się obficie na dziedzińcu Krystynowa, folwarku łunińskiego. Roślinki te będą li tém samém co rośliny czerwcodajne: *Seleranthus perennis* (to jest czerwiec czyli grzmiotek, kosmaczek) i *Hieracium pillosellum* (to jest jastrzębiec)? — możność przekonania się o tém jest mi odjęta. Opisanie grzmiotka czyli kosmaczka, jako téż jastrzębca, znaleźć można i w Małej Encyklopedyi Polskiej przez S. P. pod artykułem: Czerwiec (*Coccus polonicus*).

Łuniniec, wieś takż od Łunina niedaleka.

8) Jazwinki, gdzie włościanie opasują się pasami sinemi z siatki wełnianej; Drepsk, Jazówki przypominające wyraz litewski żuwias (ryba), i Wiczyn, nazwiskiem swoim przywodzący na pamięć dawne gminy *Vicinia* czyli Opole zwane, sąto wsi klucza kozangrodeckiego.

9) Brodnica, wieś i rzeczka na ziemi kozangrodeckiej, na północ o dwie mile od samego Kozangródka. Minąwszy Wiczyn i Dworzec, rzeczona Brodnica znajduje się w lesie z prawej strony drogi między bagnami, nad rzeczką tegoż imienia. Nazwisko Brodnicy znajdujemy i w Prusiech; pan Narbutt w skróconej Historji litewskiej, na stronnicy 129 powiada, iż przy samym końcu XIII wieku Litwini napad na Prusy aż do Brodnicy uczynili.

10) Mohilna, wieś o mil kilka od Kozangródka, w stronie południowo-wschodniej.

11) Ladec, nad rzeką Wietlicą, wieś książąt Radziwiłłów, przypominająca swém nazwiskiem boginię Lado.

## II. ZWYCZAJE.

Czas, niszczyciel wszystkiego co śmiertelne, w niepowściągniętym locie obala grody, państwa całe, i same nawet ich zwaliska sterczące znosi przed oczu przyszłych pokoleń. Czynność jego niszczą-

ca i odmieniająca wszystko co ziemskie, nie przepuszcza i wyobrażeniom, zwyczajom i obyczajom ludzkim. Z otchłań jego, do których ofiary swego zniszczenia strąca, słabe i poplątane dochodzą tylko wieści o przeszłości—echo niewyraźne z ruin pustkowie, zaledwie już przez nas dosłyszane i zrozumiane. Może wprowadzie człowiek obaczném postępowaniem i silną wolą moralną opierać się czasowi, ale najczęściej sam naprzód mu zabiega, i drogie spuścizny na zniszczenie wydaje. Lud wiejski, pilnujący jednego miejsca, myślą i sercem nierozrzucony po świecie, nie tak jest skłonny do odmian i nowości. Szanuje to wszystko, co po naddziadach otrzymał. Pielęgnuje, odżywia w sercu i umyśle ich podania, wyobrażenia i uczucia; przestrzega zwyczajów i obyczajów od swych ojców przejętych. Zaczynny ten i godny naśladowania przymiot kmiotków wspólny jest i zagrodowej szlachcie, obczyzną nierazonej. Do nichto wyobrażenia z przeszłości przyległy i ocalały. Lud piński, miejscowém położeniem od natrętnego napływu obczyzny zabezpieczony, zachował ich jeszcze tém więcej. A nie można tu pominąć i wyrozumiałości panów i duchowieństwa, pozwalających im cieszyć się swobodnie rozrywkami i niewinnymi obrzędami, przestrzeganemi przez ich naddziadów.

### 1) Zwyczaj Kolendowy.

1) W Pińszczyźnie, w wigilię Nowego Roku, zaledwie wejdzie zorza wieczorna, gromady wieśniaków przychodzą z pieśniami kolendowemi pod okna lub drzwi dworów i do chat kmiecych. Wymowniejszy przewodzca gromady odzywa się w te słowa: „Szczodry wieczór! dobry wieczór, panie gospodarzu! czy każesz kolendy dać, czy pieśń zaśpiewać?” Pieśń rozlega się, a po skończonej pieśni i otrzymanym darze, przewodzca domawia: „Dziękuję tobie panie gospodarzu! pozwól Boże za rok doczekać Nowego Roku i kolendę dawać.“ Pieśni te już są treści religijnej, już światowej, a nawet i w tych ostatnich chór brzmi czią dla Pana Boga, i przyzywa człowieka do radości z narodzenia Zbawiciela. Gromady kolendowe wieśniaków zmieniają się pod oknami ciągle przez noc całą, i nazajutrz aż do południa. Choć świece już pogaszone, okiennice pozamykane, spięwy nie ustają; gospodarz rad nie rad budzi się co chwilę ze snu błogiego, jeżeli zasnął, i wysyła gościom śpiewakom szczodre przyjęcie. Miłośnik snu i oszczędności jedną tylko ma ucieczkę: wynieść się na tę porę do jakiego zabudowania, w którémby nie spodziewano

się go znaleźć; wtedy jednakże tylko zupełnie wygra, kiedy nazajutrz nie spotka się gdzie do południa ze śpiewakami, bo nie obdarzyć ich niczem, nie uchodzi w tych stronach.

2) W szczodry w wigilią Nowego Roku wieczór, oprócz kolen-dowania, jest jeszcze tu zwyczaj uczenia ostrożności. Któż ję kiedy pożałował, a w jakimże czasie właściwiej ją przypomnieć, jeżeli nie na początku roku, w tym nowym peryodzie życia naszego? Zręczni więc wysłańcy do tego użyci zazierają do cudzych stajen, obór i mieszkań. Jeśli zastaną je nieobwarowane dostatecznie, zabierają, co najdroższego znajdują. Ten spostrzeże, iż mu w przeorynach zabrakło najdzielniejszego wierzchowca; ów w swęj oborze nie doliczy się najmłeczniejszej księżycorogiej krówki, a niejeden pieszczoszek ze swém miękkim łódeczkiem postrzeże się, zadziwiony, w niespodziewaném miejscu. Ale te zabory robią się tylko na chwilę: wszystko to rychło wraca na miejsca swoje, do swych właścicieli prawych, ze sławą zręcznego nauczyciela ostrożności, a z zawstydzieniem niebacznego. Zwyczaj ten nie powinien dawać złego wyobrażenia o tych stronach; owszem, widać tu wyraźne znaki dobrej wiary sąsiedzkiej: sterty zbożowe na polach, stogi siana po łąkach, bez żadnej straży stoją i po lat kilka bezpiecznie, przez nikogo nietknięte. Trzody wieprzowe przez całe lato i jesień wypasają się po lasach samopas, a na zimę do domów swych gospodarzy wracają, nietylko w liczbie zupełnej, ale jeszcze z przychówkiem. Przywłaszczenie cudzego, bardzo jest tu rzadkie.

3) Ciekawi swęj przyszłości mają zręczność tego wieczora, o tém co ich czeka, dowiedzieć się od cyny, wosku, talerzy i zwierciadeł. Roztopioną cynę lub wosk wylewają szybko do zimnej wody; płyn wrzący zasyczy w chłodnym żywiole, rozbije się na mnóstwo drobnych i kilka większych odlewków. Tu zaokrągliły się kule, a wokoło nich rozsypał się szrót drobny; tam zaostrzyły się śpilki, dzidy, zakrzywiły się szable i koń ognisty z jeźdźcem wyskoczył. Owdzie postać z wiankiem na głowie, a przy niej tuż druga; na drzewie kolébka zawisła, i okręt żagle pod wiatr rozwinął. Wszystko to wyraźne: przyszłość jasna a pomyślna. Ale oto ten większy odlewek nieco powikłany: czyto studnia, jama, czy dół grobowy z chwastami dokoła? Smutna myśl: może to jeszcze naprawi, lepiej wyjaśni zbliżenie odlewka do ściany. Zbliżają się tam ze świecą, odlewek cień rzucił na ścianę, a cień wyraźną zarysował jamę. To jeszcze niedostateczne; trzeba wykładacza wyroczeni, aby tę zawilóść rozwiązał. Usłużny a grzeczny tłumacz na cień popatrzy, obejrzy odlewek, i z dołu grobowego,

porastającego chwastem dokoła, wyobrazi piękną, modną karétę. Byłaby karéta bez wierzchu?—Wierzch czyli niebo rozsunięto na pogodę.—Ale czemuż kół nie ma i dyszla?—Karéta ze swego spodu zdjęta, aby ją łatwiej tu przywieźć z za morza na tym okręcie, co się odlał.—Ależ chwasty, chwasty dokoła karéty?—Gdzie tam! to nie chwasty, to promienie, wiązki jasne od lakieru karéty rzucone. Wróżba pomyślna; możnaż lepszej doli jeszcze pożądać? Karm' ta obfita dla wyobraźni i nadziei wystarczy przez całe 11 miesięcy, aż do wigilii Śgo Andrzeja. Wprawdzie nie dowiedziano się od cyny, jakich będzie włosów przyszły: jasnych, czy ciemnych? Ale o tém śnieg powie w wieczór przed Trzema Królami. Wyjdzie się wtedy na dziedziniec, weźmie się przygarść śniegu, otworzy się pulchna rączka, i jeżeli przy odblasku nieba śnieg w rączce będzie jasny, to i narzeczony będzie o włosach jasnych; jeżeli zaś śnieg wyda się ciemny, to przyszły będzie włosów ciemnych. Kto w wigilią Nowego Roku chce wyraźnie i zupełnie ujrzeć osobę sobie przeznaczoną na dożgonny związek, nakrywa do stołu o północy, stawia po talerzu na dwóch jego końcach przeciwległych; przed jednym talerzem siada, w drugi wpatruje się nieruchomie, a kogo przy nim przez rozmazaną wyobraźnię ujrzy, ten ma być przyszłym. Zasiadają téż, także o północy, między dwoma zwierciadłami, w jedno, oświetlone dwiema świecami, patrząc, a drugie mając poza sobą na podwyższeniu; narzeczony powinien już niezawodnie ukazać się w zwierciadle, z namiętną uwagą w nie patrzącój. Badająca twój przyszłości, wróżko! krzyknęłaś przeraźliwie; przeraziła cię z lustra wychylająca się straszliwa mara grobowa; ale nie trwóż się, to psotnik przebrany stanął przed tobą, niebaczny na to, iż mogłabyś i ten żart jego i ciekawość swoje życiem opłacić.

4) Tak przechodzi wieczór i noc przed Nowym Rokiem. Poranek bieleje, ochotni śpiewacy, chociaż już podchrzypili, śpiewają jeszcze pod oknami; weszło słońce, oświetliło nowy dzień pierwszy; budzą się ze snu bezsennego ci, co spać pokładli się. Ten ze spokojnym sercem coła się myśla w przeszłość swą minioną; nie ztamtąd na niego przekleństw nie miota, nie rzuca się nań żaden robak zgryzot, aby mu toczył sumienie, a jednak, chociaż sprawiedliwy, bije się w piersi i prosi Pana Boga, aby go zachował przez rok cały od zła moralnego.—Tamten żałuje przeszłych swych lat zmarnowanych bez żadnego użytku dla siebie i innych; w myślach jego rozkwitają już dobre chęci, dobre zamiary zbierają się na zawięzi: oby tylko nie-stałość nie zwarzyła ich, nie poobijała; gdybyto one dojrzały w o-



woc!—Inny rozmyśla o swéj nowéj sukni, w którą ma ubrać się dzisiaj, dlatego, aby i przez rok cały starczyło go na coraz nową. A ów o niczém nie myśli, i roztrzepany, wnet coś niedorzecznego robi, nie myśląc nawet o tém. Wtém pode drzwiami lub oknami dworów ukazuje się kolendowa koza. Jestto najrzęczniejszy kmiotek z wiejskiéj młodzieży: z czoła wyrosły mu rogi faliste, stulone i zagięte, ubrane we wstążki i dzwonki; grzbiet mu pokryła długa, miękka sierć biała, a końce nóg i rąk zrogowaciały i rozpekły się na podwójne łuskające po ziemi racice. Mniemanéj kozie towarzyszy orszak śpiewaków i skrzypek. Skrzypek rzempoli, chór opiewa zalety kozy, rozliczne z niéj pożytki, ubolewa nad jéj niedolą, nad napaściami jakich doznaje od wilka, i daje jéj rady; a koza, do każdego słowa pieśni stosując pocieszne ruchy, okazuje iż wszystko to rozumie. Od czasów najdawniejszych: Polacy, Słowacy i Serbowie nędzę uciskanego gminu wyobrażali pod postacią kozy, do połowy ze skóry odartéj i pozartéj przez wilka.

O tém allegoryczném kozy znaczeniu, włościanie tutejsi, zdaje się, już nie wiedzą, i przychodzą do dworów ze swą kolendową kozą jedynie dla złożenia pozdrowień, okazania swéj życzliwości i zjednania jéj nawzajem dla siebie.

Od wigilii Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli, przez całe dwa tygodnie wstrzymują się tu po wioskach od ciężkich robót wieczorami, święcą je i nazywają świętami wieczorkami (swiatyje wieczorki). Po Trzech Królach rozpoczynają się wesela.

## 2) Obrzędy weselne.

1) Czerstwy, pełen zdrowia wioskowy młodzian, nie na chwiejących się nogach, nieosłabiony próżnowaniem i rozpustą, wypatrzył sobie również czerstwą i zdrową dziewczynę, niewycieńczoną miękkiém łódeczkiem i rojeniami beczynności. Rosa poranna, niezepsute świeże powietrze, strumień przejrzysty i ruchawa praca wyhodowały ją, wzmocniły i rozwinęły na jéj licach kwiat siły i zdrowia, nie bledszy od stokrotek jéj ogródka. Janek jest pewny z nią szczęścia, chociaż ubogie jéj wiano, a nie może téż wątpić i o jéj skłonnościach dla niego. W gumnie podając snopy, podrzucił jeden aż na nią samą; ona odrzuciła nawzajem z wysokiego storpu na niego tak szczerze, iż ziarna na tok z kłosów się posypały, a tak się śmiała, iż Jankowi było aż wesoło. Wylał jéj wodę z wiader u krynicy,

Hanna i z tego śmiała się szczerze. Wysła więc Janek dziewosłębów raz, drugi i trzeci do rodziców Hanny. Idzie tam nakoniec i sam ze swatami. Wołają rodzice córkę z komory. Hanna wyniść nie śmie; wyprowadzają ją ztamtąd drużki, a i to nie na wiele się przydaje. Hanna ze spuszczoną głową obraca się do ściany, i na zapytania rodziców: czy chce poślubić się Jankowi? nie odpowiada, tylko paluszkami wciąż dłubie ścianę. Nareszcie, po długich pytaniach i naleganiach rodziców, daje odpowiedź, iż tak robi, jak jój ojciec i matka każą. Już więc pewny jest Janek swój Hanny, ale dla pewności większej trzeba jeszcze to zapisać. Idzie zatem kielich w kolój przy oświadczeniach i zaręczeniach, a obrząd ten nazywa się zapoinami czyli zaręczynami. Rozstrzygnięta tedy już doła Hanny: popłakała pod jarzębiną domek jój ocieniającą; już nie będzie wplatała różnobarwnych wstążeczek w swój warkocz bujny, już tu nie będzie się bawiła z dziewczętami młodemi; trzeba porzucić i ojca, i matkę, i domek rodzinny, a do tego wszystkiego serce jój przyrosło. Poszła do ogródka i tam zapłakała: zazieleni się wiosną na jój grządkach ruta i mięta, i zaczerwienią się stokrotki; ale już ani ich polować, ani zrywać nie będzie. Łzy otarła fartuszkami: może Bóg da, że Janek dla niej będzie dobry, pracowity i trzeźwy jak dotąd. Krząta się zatem, wstaje jeszcze raniiej, przedzie, tka, kroi płótno na dary weselne. Janek dał już na zapowiedzi, czesze koniką, zaplata grzywę, myśli o jego podkuciu i o podkówkach dla siebie; sporządza bóciki z długimi aż za kolana cholewkami. Kupuje krasną chusteczkę, zdobywa się na siwą lub czarną świtkę i kożuch kędzierzawo-wełnisty. Często zdejmując z kolka, opatruje obłożoną siwym barankiem czapkę i pas czerwony, jeżeli jest kmiotkiem; jeżeli zaś okolicznym szlachcicem lub bojarem, to ogląda swą czapkę baranią, wysoką, na boczném rozcięciu spiętą trzema kolorowemi kokardami, i wygładza pas swój czarny, jedyną tylko, w tych stronach, różnicę ubioru zagrodowego szlachcica od kmiotka.

2) Nadszedł dzień wesela. Zbiérają się drużki do młodój: jedne zacesują i splatają jój warkocz, drugie biegną do ogródka po rutę; choćby to było i zimą, znajdą tam pod głębokim śniegiem na grządkach rutę zieloną. Młoda już ubrana w złocistą sznurówkę, w spodniczkę ponsową, którą sobie sama zebrany czerwcem ubarwiła, i w kwiecisty fartuszek. Zwierzchnia jój odzież, czysta, siwa świtka z domowego sukna, przystaje do jój ramion i stanu, a zataczając się po stronach w półkolną wyniosłość, rysuje wydatnie kształtną jój uro-

dę, i daje widzieć spływające buchaste fałdy spodniczki i trzewiczek nieuciskający nogi, chociaż drobny. Od sznurówki różnobarwne wstążki spadają na jej łono i falują z niemi razem. Na jej okrągłej, lśniącej puchem młodości szyi, czerwienią się i zielenią liczne rzędy paciórki. Warkocz jej złotawy, w wstążki zapleciony, buja ponad ziemią, nad nim wianeczek ruciany; a po jej licach świeżych i kwitnących biegną z błękitnych oczu dwa źródła jasnych łez perlistych.

Przepasany z lewego ramienia pod prawe przez piersi długim ręcznikiem marszałek, z laską w jednej ręce, a w drugiej z buńczukiem rzemiennym, przemawia wymownie, rozprawia stosownie do okoliczności, i ożywionym dowcipem śmieszy zgromadzonych. Wtém przyjeżdża młody ze swym orszakiem: wszystko więc gotowe do ślubu. Panna-młoda pada ojcu i matce do nóg, obmywa je łzami, a jej warkocz tuli się do ziemi domowej na której urósł. Skrzypek zakroił po strunach skrzypiec, wywiódł z nich rzewne jęki wyjazdu. Państwo-młodzi kłaniają się wszystkim nisko: pokora szlachetna bez widoków nikczemnych przebija obłoki; a dla czegożby oni nie mieli jednać sobie serc i błogosławieństw współbraci swoich, w tak stanowczej chwili? Siadają wszyscy do wozów. Skrzypek rżnie jeszcze raz po strunach na otwartym powietrzu, družki i swachy zanuciły donośniej, młoda głośniej zapłakała: wszystko to zmieszało się i zlało w jeden głos gwarliwy, w muzykę różno-dźwięczną, w echo muzyki życia zbiorowego człowieka, i wszystko to razem pociągnęło długim taborem do kościoła. Tam u ołtarza rozściełają pod nogi młodych ręczniki i kładą na nich pieniądze; družki rozplatają kosę pannie-młodej, i odbywa się obrząd chrześcijański zaślubin. Przysięga nawzajem złożona, błogosławieństwo przyjęte. Wracają również huśtać, a jeszcze weseliej tymże taborem do domu młodej; po obiedzie młody odjeżdża do siebie, a tak u niego jak i u młodej zajmują się upieczeniem korowaja, czyli piéroga weselnego.

3) Sproszone korowajnice w liczbie od 4ch do 12tu, z powagą kapłanek, ze śpiewami, i nie szczędząc komiczności dowcipnej, urządzają, przy świetle świeczek woskowych, piéróg pszenny, około puda wazący; opasują go u dołu grubą a szeroką obręczą ciastową, i umiejętnie wyrabiają z ciasta ozdoby do niego. Ta krzyż wielki ulepia, ta krzyżyki małe; w tój rękę księżyc rogi swe zaostrzył, zpod tój palców wylęgły się ptaszki ciastowe, a zpod innój zaokrągliły się i urosły makówki. Wyrzał rozkami ze skreconej skorupki ślimaczek, i potoczyła się opasana obręczami baryłeczka; krzyż wielki rozcią-

gnie ramiona na całej korowaja powierzchni, przyjmie na swe łono księżyc z krzyżkami na różkach i w środku; płaszki, makówki i inne utwory naprzemian obsiadają całą przestrzeń krzyżem niezajętą. Taki jest korowaj panny-młoděj. Korowaj młodego różni się nieco. Obręcz właśnie tam niegladka, ale z trzech walców ciastowych zpleciona, a na powierzchni piéroga, oprócz krzyża, księżyc a i innych wiadomych już ozdób, są jeszcze gałązki trzyćwierci-łokciowe, jedno o trzech, a drugie o dwóch ramionach. Wtykają się one naokoło powierzchni, a stawiają się naprzemian, tak, aby po trzyramiennój zawsze dwuramienna następowała. Gałązek tych najczęściej 7 widzieć się daje; biorą się z drzew owocorodnych: ze śliw, grusz lub jabłoni. Ramiona ich, z kolców okzesane, obwodzą się ciastem na gładko, albo nasuwają się na nie drobne obwarzaneczki. Rószczki te na swych wierzchołkach dźwigają gałki czyli makówki, u spodu ozdabiają się jagodami kaliny lub jemioly, a w środku wstążkami. Pas zaś czerwony otacza ten gaik dokoła, i zwisłemi frędzlami dokończa ozdoby całego korowaju. Jest jeszcze trzeci rodzaj korowaju w tych stronach, a ten spostrzega się w samym tylko Pińsku u mieszczan. Na nim obręcz szeroka wygina się w ząbki lub w zygzaki w obwodzie górnym; ze środka zaś powierzchni piéroga podnoszą się utkwione tam widłowate rogi, gładko, lub w obwarzaneczki ciastem obwiedzione. Rogi te wyrabiają się z drzewa, a ich ciastowe pokrycie jako téż i obręcz pozłaca się bogato. Na upieczenie korowaja, piec wypalony zamiata się téż uroczystym obrzędem. Czy to u młodego, czy u młoděj, zawsze ich brat, lub najbliższy krewny bierze kiciastą z gałęzi sosnowych pomiotłę; na długim kiju osadzoną, miotnie nią żaru i popiołu z pieca i przemówi: „Nowa hrydnia, stara sielidźba; czy jest otiec i mati? Błohosłowite dar boży w piecz wsadity.“ To jest: nowa chato, stara siedzibo! czy jest ojciec i matka? pobłogosławcie sadzeniu daru bożego do pieca. Wszyscy obecni odpowiadają mu chórem: „Boh błohosławit!“ Pobłogosław Boże! Ofiarnik miotnie pomiotłą żar i popiół raz, drugi i trzeci, i za każdym razem w téż same słowa jak wyżej przemawia, a chór obecnych téż samą daje odpowiedź i żegna się. Wtém głośnie rozlega się zapowiednia: „Anholi na radoszczach!“ to jest: weselą się aniołowie;—i korowajnice już same piec zamiatają i oczyszczają. Korowaj pełném lśniaco-bielejącém brzemieniem zaległ ogromną łopatę, dźwignięto go przy śpiewach, klaskaniach i płaszach, i wsadzono go wygrzewać się do pieca. Korowajnice podają opróżnioną łopatę ofiarnikowi, ten z nią na środku izby okręca się trzy razy i oddaje za drzwi ciekawie patrzącój gawie

dzi, a ona ją schwytawszy, nie wprzód z rąk swych wypuszcza, aż zostanie ujętą szczerze napojem. Tak zawsze wyżsi godnością ustępują korzyści niższym. Wsadzają się do pieca: krzyż, księżyc i inne części składowe korowaja; piec się zaślania, korowajnice śpiewają, klaszczą i płasają. W tym czasie przychodzą marszałkowie weselni od młodego do młodój, wykupują ją od druzek, otrzymują od nich dar nawzajem i rozpatrują, czy nie czas już młodemu tu przybyć. Rozeszła się z pieca woń przyjemna po chacie, doświadczone korowajnice odgadły już zmysłem powonienia w jakim stopniu zarumienił się w piecu korowaj i upiekł, wołają radośnie: „dajcie miecz, dajcie miecz, rąbać, rąbać piec! korowaja dobyć!” Piec otworzono, korowaja dobyto, okręcają się z nim na środku izby trzykrotnie; wieko od dzieży wyściela się pachnącemi pączkami chmielu lub sianem, na wieku stawia się korowaj, przystraja w swe części i ozdoby, nakrywa się białym obrusem i wynosi się do świernia czyli kleci.

4) Taki jest obrząd pieczenia korowaja czyto u młodego, czy u młodój. Po jego upieczeniu u młodego zasiada za stołem cały orszak godowy: tu młody zamysłony marzy o swój Hannie, obrząd dla niego przydługi, chciałby już być przy niej; tu swatowie poważni, tu starości wymowni; zasiadły śpiewne swachy, marszałkowie skoczni i grajkowie óchoczy zasiedli. Postawiono na stole korowaj młodego, wysłańcy wieść już przynieśli od młodój, iż tam korowaj gotowy: ruch więc weselny się wzmagą. Z zaplecionemi grzywami, z podwiązanemi w wiązki ogonami zaprzęgają drobne, złotawe bieguny na podwórku, a w izbie śpiew rozlegający się zagłusza grajków rznących po strunach w zawody, przypomniat wieczór już późny, napomina swata, aby pospieszał w drogę z drużyną, aby ją spóźnieniem nie naraził nocować w dąbrowie zielonej. Młody odchrząknął, poruszył się z niecierpliwości. Starosta wymownie przełożył zaprosiny króla do siebie całej weselnój gromady; doradza, aby królowi podziękowała i odmówiła, bo tam tną, rąbią, ścinają, a zachęca ruszyć gromadnie do teścia pana młodego, bo tam, dodał, bawią się weselo i swobodnie. Wynoszą tedy korowaj do wozu młodego, cały orszak rusza z zastolu, młody pada do nóg rodzicom, kłania się wszystkim nizko; już na podwórku, a jeszcze przed wszystkiemi swą głowę schyla, jak giętka wiszeńka z czerwoną jagodą zgina się rószezkami ku ziemi. Śpiew wychwała Jasia, śpiew daje Jasiowi przestrogi: nie bierz, powiada, dziewczyny choć w złocie, bez cnoty; weź rozumną i poczciwą choćby ubogą. Taka przestroga od brata; śpiew daje młodemu prze-

strogą i od matki: matka, co ciebie karmiła, co ciebie ze swych kolan na konia sadzała, do spraw rycerskich ducha w tobie budziła, ta matka dzisiaj cię, Jasiu, upomina, abyś pospieszał do teści, bo ona ciebie pożąda, wypatruje na swém podwórku i zniecierpliwiona chwileje na prawej jej dłoni siedzącym sokolem. Ale Jaś usiadł już przy korowaju na wózku i pędziłby chyżo, gdyby mu to dzisiaj przystało ująć wodze w ręce. Powtłaczał się orszak cały do wozów; śpiewy z niemi, skrzypce z niemi, i pojechali po młodą huczno, głośno i wesolo. Tymczasem u młodój korowajnice śpiewają na podwórku, družki utulają płaczącą Hannę, a matka nadstawia ucha i wygląda zięcia. Zastyszano daleki odgłos wrzawy weseloj orszaku pana-młodego. Brat, lub blizki krewny panny-młodój, jako kapłan godowy, wynosi z ukrycia korowaj; korowajnice, družki i goście mu towarzyszą, wchodzą do sieni i tam czekają na przyjazd młodego. Muzyki, śpiewów i wykrzyknień wesolych głosy coraz to rosna na ulicy: wzmożły się najwyżej, zatrzęsły chatką. Młody ze swym orszakiem wpadł już na podwórko. Wałą godownicy tłumnie do sieni, ale u jej progów silny odpór znajdują: korowajnice, družki i ciżba mężną pierśią zasłaniają od napadu i porwania pannę-młodą w komorze ukrytą. Zastęp młodego objaśnia śpiewem, iż nie przybywa tu po nieprzyjacielsku, nie dla zaborów, przywłaszczeń i zniszczeń, a jedynie dla przypatrzenia się Hannie i wzięcia jej, jeśliby ich ujęła za serce. Wszystkie te uręczenia naprózno: tenże silny odpór w sieni. Znowu śpiewy na podwórku, nawzajem śpiewy w sieniach, a młody z orszakiem przełamać oporu i wniść tam nie może: jednomyślność i przywiązanie do młodój nieprzedajne stają za opoczystą twierdzą; ani złotem, ani żelazem zburzyć jej nie można. Nakoniec, po długiej przewłoce, wychodzi młodój matkę w kozuchu, kędziorami welny nazewnątrz, z chlebem, solą i wódką, i przypija przyjaźnie do przybyłych godowników. Młody trzykroć podawane mu kieliszki wylewa przez głowę na ziemię, a czwarty wypija, posuwa się ze swą drużyną do sieni, tam korowajnice jeszcze ich odpierają i grożą: „Nie nachodź Litwo! stoczym krwawą bitwę! bić będziemy i wojować:—Hanny wam nie damy!” Ale już opór przełamany, marszałek zaciął już szczerbiec krzyżowy na progu toporem, lub, jak dziś najpospolicij, uderzył laską, czy z surowca splecionym buńczukiem: weszli zwycięzko do izby. Zasiadają za stołem, młody z czapką na głowie dumnie poważnie; na stole postawiono jego korowaj, i korowaj młodój. Družki wyprowadzają z komory pannę-młodą zapłakaną i zasiadają z nią za drugim stołem. Starosta wzywa błogosławieństwa gospodarza, śpie-

wy rozlegają się naprzemian to z za jednego, to z za drugiego stołu: śpiewy swach i drużbów brzmią żartobliwością chłodniejszego już wieku, śpiewy drużek tchną rzewliwą tęsknotą i czułością młodości. Ich przyjaciółka zażądała kalinowego wianeczka: jeździł ojciec po kalinę, kalina nie rozkwitała; jeździła matka po kalinę, nie rozkwitała kalina; Jaś na dolinę pojechał, i kalina rozkwitła. Przywiózł grona kwiatu kaliny śnieżyste Hannie, i ją zabierze. Żal drużkom: tracą Hannę, przyjaciółkę młodą; żal Hannie: opuszcza ojca, matkę, domek rodzinny i wyhodowany ogródek. Kocha ona Jasia, ale czyż zawsze Jaś będzie takim jakim zalecał się do niej?—Brat lub blizki krewny młodój prowadzi ją do młodego na ręczniku na znak, czyto niewoli i poddaństwa jemu? czy dla okazania, że skromność dziewicza nie zbliża się sama choćby i do ukochanego mężczyzny? Posadziwszy ją przy panu-młodym, tenże ofiarnik rozpuszcza z zaplotów jój warkocz; łyzy młodój po różanych licach spadają jak rosa powiewem porannym strącona z zielonej brzożki płaczącej. Już bujna, sążnista kosa okrywać jój nie będzie, nie będzie splywała do kolan; już w nią nie zaplecie wstążek różnobarwnych, ani utkwi w niej ruty, mięty i bławatnych wasilków. Najbliższa krewna, zamężna, panny-młodój zbliża się do niej z dwiema woskowemi świecami nakrzyż zlepiionemi: świeca Jasia płonie radośnie, świeca Hanny gore żałośnie; ofiarnica podpala temi świecami kosę panny-młodój. Swachy wśród śpiewu wykrzykują: Ranóm! Ranóm! Drużki zawodzą żałośnie swoje i Hanny żale. Zmarniała młoda i hoża dziewczyna! zaprzędano ją Tatarzynowi! Od ojca, od matki, od przyjaciółek pójdzie na obczyzną! Co jój sercu drogie, on może tego nienawidzić będzie, nienawidzić jój Boga, jój braci; a może na ziemię, na której urodziła się i urosła, najedzie z nieprzyjacielem! Już Hannie śmiać się i żartować z młodzieżą niewolno. Dla Jasia tylko jój spojrzenia, uczucia, a i z Jasiem skromnie i uczciwie, bo Bóg karze srogo rozpustę, rozwiązłość, karze aż na dzieciach niewinnych. Po podpaleniu kosy, ofiarnica zawija namiotkę na głowie młodój, a namiotką drugą jój oczy i twarz zakrywa.

Drużki wyśpiewują rzewnie żal Hanny: rzeczka bystra i nieukrócona biegła swobodnie po łąkach, a dziś jój szeptów nie słychać, jój igraszek nie widać. Na jój czyste niezmacone łono czołna naległy, nad jój przejrzystemi wodami łozy nawisły. Hanna była wesołą, igrała swobodnie, a dzisiaj smutna i cicha, bo ją cudzy obsiedli, a nie ojciec i matka.—Tu następuje obrząd podarków dla panny-młodój. Nietylko jój rodzice i krewni, ale i wszyscy obecni składają

jój na wiano: to dobytek, to płótno, to pieniądze; sami mają niewiele, a i z tego jeszcze, chętnie część niosą dla złożenia jój na ołtarzu miłości braterskiej. Marszałek starszy z laską w jednej ręce, a z talerzem zboża w drugiej, stawia na ławie: na jego talerzu szczerzy kładą pieniądze, na lasce zawieszają płótno, a darowany dobytek opowiadają ustnie. Marszałek po każdym darze złożonym uprasza gospodarza, państwa-młodych i całej rzeszy o głos; obwieszcza dar złożony, błogosławi zań; państwo młodzi kłaniają się, a rodzice panny-młodej dziękują. Po obrzędzie podarków jedzą wieczerzę; pan-młody zawsze w czapce, a panna-młoda z oczami zakrytymi siedzą téż za biesiadnym stołem, ale oboje nie tkną ani jadła, ani napoju.

Wstąpili oni w zawód ważny i święty: powściągliwość w jedzeniu i picciu, jako i we wszystkiem cielesném, we wszystkich namiętnościach jest im konieczna: i dla ich samych zdrowia i szczęścia, i dla zdrowia i szczęścia przyszłych pokoleń. Po wieczerzy, młody zabiera już pannę-młodą do siebie. Ona pada po raz ostatni rodzicom do nóg, żegna się z družkami, kłania się wszystkim. Drużki żalé jój serdeczne rozstania się z rodziną głoszą, marszałek z korowajem młodego postępuje na czele, za nim pan-młody z młodą i z dziewczętami wychodzą z chatki, a za nimi rzesza. Swachy na wsiadaném pocieszają młodą rozwiniem w śpiewie powabnych obrazów miléj podróży, a konie ruszyły i ze śpiewami, swachami, muzyką, i całym weselem. Pozostałéj matce żal koją družki i korowajnice. Już nie ma jój córki w chatce: Hanna nie pomoże już matce w gospodarstwie, nie uprzedzie, nie utka płótna i nie wybieli na wiosennéj rosie. Zgluchnie ogródek, podwórko, cały domek umilknie: nie postyszć już tam śpiewów. Ale może Hanna będzie szczęśliwa: kocha ona szczerze Jasia, poszła za sercem, i Jaś ją kocha; po nią z nim miłość, a nie chciwość chodziła. Janek wierny jest swojemu Bogu, czerstwy, zdrowy, pracowity; na cudze nie godzi, a zapracowanego nie przehula grosza, może z nim Hanna i będzie szczęśliwą.

Tak rozmyśla matka przy śpiewach korowajnic i družek; przebrzmiała wrzawa weselna, szum godowy rozlega się tylko w uszach, a za uwiezioną córką wypierają się z piersi matki westchnienia i oczy łzami zachodzą. Tymczasem młody, wioząc pannę-młodą do swojego domu, spogląda na gwiazdy, na drzewa przydrożne: szybko-li wstecz biegną? O czém myśli młoda, co teraz w jój sercu? — nie zgadniemy tego, a swachy w swych śpiewach nie rozgłaszają o tém. Błysnął ogień rozniecony na ziemi we wrotach domu młodego, śpiewy swach, družbów i głosy ze wszystkich wozów zagrzmiały, aż skrzypiec pod-



chrzypłych już nie dosłyszeć; woźnice skierowali rączę bieguny na ognisko: młody z młodą przez płonący we wrotach ogień domowy przejechali. Wtém matka młodego z chatki wychodzi odziana kożuchem wełną na wiérzch, w ręku z chlebem, solą, miodem przasnym i wódką. Daje młodym do ust po łyżeczce miodu, częstuje napojem i wprowadza do izby ohoce wesele. Zasiadli za stołem, zaśpiewali; ale już wszyscy znużeni, czas do spoczynku. Odprowadzają tedy państwa młodych do ściernia czyli kleci; swachy, na prośbę dziewosłębów, zdejmują młodą z oczu zasłonę i odchodzą z całym orszakiem, zostawując młodych gospodarzy w pokoju błogosławieństwu bożemu. Po spoczynku, swachy dowiadują się o pannę-młodą; pan młody prowadzi ją na ręczajku do chaty, a tam w sieniach śpiew ogłasza, iż Hanna wstąpiła już w *jury-dzień*, i sławę jej cnoty roznosi z jednego na drugi koniec świata. Jeżeli zaś panna-młoda na dobrą sławę nie zasłużyła, wkładają chomąt na jej szyję na podwórku, a w nim pozostaje przez czas niejakiś, wytrzymując, wśród wstydu, wzrok politowania i wyrzuty tłumnej gromady.

5) Trzeciego dnia wesela, pan-młody z dziewosłębami i swachami idzie do matki panny-młodej, prosi ją do siebie. Matka, zagniewana za uwięzienie córki, nie przyjmuje zaprosin; napróżno zięć na nią nalega. Nakoniec myśl ta: że córkę u zięcia zobaczy, rozbija matkę zaaloną, nakłania ją do przyjęcia zaprosin, czyli, jak tam zowią, *perezwy*. Matka więc z korowajnicami i družkami swój córki łączy się z orszakiem przybyłym i udaje się do domu młodego. Zaledwie ukaze się tam na podwórku matka zaproszona czyli *perezwianka*, śpiew ją wita zdaleka; córka wybiega na spotkanie, przyjmuje ze wszelkimi oznakami gościnności tak matkę jak i wszystkich. Matka widzi na twarzy córki radość, spokój, a może i szczęście z wybranego sobie Jasia; żal z serca składa, zapomina urazy do zięcia i podarkami z płótna obdarza jego rodziców. Znowu ochota, śpiewy, zabawy i tańce, ale już na podwórku, a całe wesele trwa najmniej dni cztery.

Śpiewów weselnych tak jak i innych obrzędowych, przy tym opisie nie umieszczam, abym się nie powtarzał, bo umieściłem już je w zbiorze piosnek gminnych ludu pińskiego, który i drukiem ogłoszony już został w 1851 r.; tam więc ciekawych zapraszam.

Ludowe tańce weselne u Pińszczan są takie:

1) Młody bierze młodą za rękę i rodzajem poloneza poważnie z nią tańczy. Poczém kobiety z młodą stawają w jednej linii, a mężczyźni z młodym w linii drugiej, i obie te przeciwległe linie tancerzy mocno tupiąc nogami zbliżają się do siebie, i znowu nazad w tychże

pląsach odsuwają się na pierwsze stanowisko. Mężczyźni dla odmiany kroków, oprócz tupania podrzucają też nogami, zakrawając na dawniejszy taniec węgierski. Przetanłowawszy w ten sposób kilka razy, mężczyźni biorą kobiety za ręce tak, aby prawa ręka w prawej, a lewa w lewej była, i okręcają się z sobą po kilkakroć; w okręcaniu się, dla różnaitości, krzyż rąk na ich koło zmieniają, podając tancerka swemu tancerzowi rękę prawą do lewej, a lewą do prawej. Nakręciwszy się, stawają znowu na swój linii kobiety, a na swój mężczyźni, i okręcają się z sobą po parze, kobieta z kobietą, a mężczyzna z mężczyzną.

2) Drugi taniec, na godach ludu pińskiego, także najpospolicij jak i pierwszy postrzegać się dający, podobny jest do dawnego tańca, poduszczką zwanego. Mężczyźni z kobietami biorą się za ręce, wiążą jedno wspólne koło, zamykają w niem tancerza lub tancerkę, i silnie tupając nogami okrążają osobę ich kołem zamkniętą. Osoba ta wewnątrz koła pląsa też współcześnie; ochoczemi nogami narobiwszy dziwów, porywa sobie parę z koła, z nią się okręca, a koło, przy zwyczajnych uderzeniach stopami w ziemię, posuwa się powoli to w tę to w owę stronę. Wtém rozrywa się koło, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami stawają na dwóch przeciwległych stronach, tańczą spolem ku sobie i wstecz od siebie, zawsze wybijając nogami i mordując się do upadłego. Oba te tańce dają się dziś widzieć i w Jewii, wsi blizkiej miasteczka tegoż imienia, znajdującego się o pięć mil od Wilna, na drodze do Kowna.

Opisany tu obrząd weselny przypomina w wielu częściach weselny obrząd starożytnych Litwinów. U nich godziło się porwać dziewczycę w zamęcie, za jój przyzwoleniem; i w Pińszczyźnie przybycie młodego po pannę-młodą ma pozór najazdu i porywania. W dziele: „Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów, skreślona przez Ludwika z Pokiewia,” w opisie wesela, między innymi rzeczami na stronnicy 302 znajdujemy, iż pannę-młodą sadzano na dzieży dnem do góry przewróconej, rozczesywano jój kosę, i podsmalano jój włosy zapaloną świecą woskową; stawiano na kolanach młodej kubek i kładziono weń podarki, co nazywało się postrzyżynami. Po ukończeniu postrzyżyn, *pirszlis* (swat) wypijał czasę piwa i dawał nowożeńcom. Nowozamężną, po trzykrotném wprowadzeniu około stołu i około ognia, sadzano naprzeciw rozpalonego ogniska, umywano jój nogi, a wodą tą skrapiano wszystkich obecnych i bydło (zapewne przez cześć jaką mieli dla niepokalanój czystości i niewinności obyczajów). Potém zawiązywano oczy, mazano

usta miodem, i tak prowadzono nowozamężną przez wszystkie progi domu, do których ona powinna była dotknąć się nogą. Po zjawieniu się młodego odwiązywano oczy pannie-młodój. Obrząd ten tu przywiedziony, chociaż różni się nieco od widzieć się dającego jeszcze i teraz w Pińszczyźnie, jednakże w niejednym ma z nim podobieństwo uderzające: i Pińszczanie pannie-młodój na postrzyżyny podpalają kosę woskowemi świecami, zakrywają jęj oczy, a później zdejmują z nich zasłonę. Nie obwodzą wprawdzie młodój około ognia, jednak ją przezeń do młodego przewożą, a tam także jęj dają do ust miodu, i oprowadzają po trzykroć około stołu.

(Dokończenie nastąpi).



## KRONIKA LITERACKA.

---

Jana Wągilewicza *wywód początków Słowian od Trako-Illyrów*,  
z powodu *Wstępu krytycznego do dziejów Polski*, przez  
Augusta Bielowskiego.

Zbierając materiały w celu ułożenia tablic chronologicznych do powszechnej historii, że mi szło nietylko o odniesienie zdarzeń ile możliwości pod pewne data, ale także o bliższe ich poznanie, gdy w tym względzie znalazłem pełno sprzeczności w historykach: uczułem potrzebę bliżej rozpatrzeć się w historycznych źródłach. I oto znalazłem w tychże częstokroć wcale coś innego, jak to podali historycy. Najwięcej sprzeczności w tym względzie postrzegłem w dziełach traktujących o trako-illyrskiej plemiennosci. Bo źródła o niej nietylko że nie są należycie wyczerpnięte, ale częstokroć zupełnie mylnie pojęte. To mi dało powód, że począłem pilniej zapisywać wszystko, cokolwiek się tej plemiennosci tyczyło, zwłaszcza, że prawie ogólnie uznaną była jej ważność do historii Słowian. Gdy więc *Wstęp krytyczny do dziejów Polski* przez A. Bielowskiego wydany, wniósł kwestyą o pochodzeniu Polaków i wszystkich Słowian na pole pod pewnym względem zupełnie nowe, i tak mało, nietylko przez rodaków i pobratymców, ale i przez najuczestniejszych cudzoziemców uprawiane: zdało mi się na czasie przyczynić się z méj strony do stanowczego rozstrzygnięcia tak ważnego pytania, dając treściwy pogląd tego, co w źródłach wiarogodnych o dziejach Trako-Illyrów przechowało się; złożyłem oraz odnoszenia plemiennosci trako-illyrskiej z słowiańską, oceniłem wszelkie objaśnienia początków Słowian, i w końcu przyłożyłem kilka szczegółowych uwag nad *Wstępem krytycznym do dziejów Polski* A. B.

Między starożytnymi narodami zasługuje na szczególną uwagę trako-illyrski: nietylko bowiem rozwinął on w czasach przedhistorycznych byt społeczny, iż obok wspomnień dziejowych wiele zostawił instytucyj tak pod względem urządzenia społeczeństwa, jak religii; ale także, co jest najważniejsza, dał początek cywilizacji europejskiej, tak co do jej zasady, jako i co do kierunku. Jakoż, gdy takowa bardzo wczesnie przeniosła się do Grecyi i Italii, przybierała tylko większy rozmiar i bogaciła się zbiorem nauk, umiejętności i wynalazków na już przyjętej zasadzie. Dla nas

naród trako-illyrski ma jeszcze prócz tego inne, może nawet ważniejsze znaczenie ztąd, że z niego powstała plemienność słowiańska.

Historja Trako-Illyrów sama przez się ciekawa i zajmująca tém, że podaje dziejowe wspomnienie znamienitego i wielkiego plemienia, z których czerpać można niemało nauki; któreto wspomnienia należy rozważyć, pojąć można tém snadniej zdarzenia zaszłe u innych narodów. Była ona w czasach starożytnych starannie uprawiana, zajmowali się nią z wielkiem zamiłowaniem ludzie uczeni, i jak mniemam, pisali dzieła na większy rozmiar nietylko w greckim i rzymskim języku, ale nawet w ojczystym (1). Doszły one do nas tylko w drobnych ułamkach. Jest wprawdzie kilka próbek do historyi Trako-Illyrów, ale są one tak płytko i ladażako opowiedziane, że nie zasługują na nazwę historyi. Działo się to przeto, iż niemal wszyscy badacze plemienności trako-illyrskiej, zamiast oględnie i sumiennie rozważyć niepośledni materiał, i z danych tworzyć wyniki; woleli roić najdziwaczniejsze widzimisie. Jakoż, samo naczelne zadanie co do jej rodowości, prócz Gatterera, nikt rozumnie nie rozwiązał. Nie dziw przeto, iż pojedyncze zdarzenia są niedostatecznie i mylnie opowiedziane, i trudno dojrzeć związku jaki między niemi zachodzi. Cóż mówić o systemacie, czyli o owym związku jaki zachodzi między przyczynami i skutkami w dziejach!

(1) Oto jest szereg historyków, którzy dzieje Trako-Illyrów i ludów z niemi spowinowaconych spisywali: Agatarchides z Knid. pisał dzieje Frygów, prócz tego geografią; Aretades z Knid. pisał dzieje Frygów, prócz tego macedońskie i wyspiarskie; Arryan z Nikomed. pisał dzieje Bitynów, prócz tego Dyadochów, Anabasis Alexandra i inne pisma filozoficzne i t. d. Asklepiades pisał dzieje Bitynów; Demaratos pisał dzieje Frygów; Demetrios z Skepsis pisał o przymierzeniach Troi; Dositheos pisał dzieje Lydów, prócz tego italskie, sikulskie i o Pelopidach; Dyon z Prussej pisał dzieje Daków i Bitynów, prócz tego mowy i listy; Filip z Teangeli pisał dzieje Karów i Lelegów; Hegesianax z Alexandr. pisał dzieje Teukrów i Lydów, prócz tego lybijskie; Hellanikos z Mitylen. pisał dzieje Teukrów, Pelasgów (Toronide), prócz tego deukaliońskie, eolskie, i perskie, Altyde i Atlantyde, nareszcie o kapitaństwie Junony argiwijskiej; Jason z Byzant. pisał dzieje Traków, prócz tego chorografią; Idomeneos z Lampsaku pisał dzieje Teukrów i Samotracyi, prócz tego o sławnych ludziach i o sokratykach; Hallistenes z Olynt. pisał dzieje Traków, prócz tego helleńskie, macedońskie, perskie, o świętej wojnie z Fokejami i inne pisma filozoficzne; Kefalios z Gergety pisał dzieje Teukrów; cesarz Klaudyusz Iszy pisał dzieje Tyrrenów, prócz tego kartaskie, rzymskie od śmierci Cezara, autobiografią, mowy i pisma grammatyczno-krytyczne; Klitonymos pisał dzieje Traków, prócz tego italskie, sybaryockie i o polowaniu; Kryton z Pieryi pisał dzieje Daków, prócz tego messeńskie, sycylijskie i perskie, także kosmetykę; Leo z Alaband. pisał dzieje Karów i Lyków, prócz tego o świętej wojnie z Fokejami i peryplos; Menekrates z Xant. pisał dzieje Lyków, prócz tego o zwycięztwach; Metrodoros z Chios, pisał dzieje Teukrów; Metrofanos z Eukarpu pisał dzieje Frygów, prócz tego pisma retoryczne; Palefatos z Abydu pisał dzieje Teukrów, prócz tego teologią egipską i myty; Sokrates pisał dzieje Traków; Sostrates pisał dzieje Traków i Tyrrenów, prócz tego bajeczne, także o myślistwie i rzekach; cesarz Trajan pisał pamiętniki o wojnie dackiej; Trassylos z Mendesii pisał dzieje Traków, prócz tego egipskie, i o kamieniach; Tymolaos pisał dzieje Frygów; Xantes z Sardu pisał (zapewne w języku lidyjskim) dzieje Lydów i Teukrów. Dodać tu można historyków, którzy bądź w greckiej i rzymskiej historyi, bądź w powszechniej, wielokrotnie wspominali dzieje trako-illyrskie, mianowicie: Efora z Kymy, Teopempa z Chios, Tymeora z Tauromeni, Dyllosa z Aten, Psaona z Pla-

Zaczątek plemienności trako-illyrskiej jest zagadkowy; to wszakże pewna, że odkąd najdawniejsze podania dziejowe zasięgają, zajmowała ona wzgórze Olymp w Małej Azji, równie jak w Europie Rodopę (1).

Plemiennosc ta objęta pod nazwą ojcystą Trausów (2), która oczywiście przypomina nazwę biblijną Tyras (Genes. 10, 3), bardzo wczesnie składała się z mnogich szczepów, ludów i narodów, już to dla rozległej miejscowości, odmiennego położenia, jak także przez dziejowe uosobnienie.

Między narodami trako-illyrskimi najpierw zawiązali się w społeczność głównie, jak się zdaje, Frygowie (3), podobno dlatego, aby oprzec się najezdniczemu tłumom Kimmeryan i Arameów. Jakoż z przedpotopowych jeszcze czasów myty zachowały pamięć o Nannaku (Suid v. *Ναννάκος*; Steph. Byz. v. *Ιζοντιον*), Termerze, Ogygu i Kadmonie (Suid v. *Ογύγια* kaka) (4). Pod któremi plemiennosc trako-illyrska rozszerzyła się w Małej Azji do wzgórza Tauru, zagartując w to Armenią (5) i Milyadę

tei, Posidoniosa z Apam., Strabona z Amas, Nikolaosa z Damask; Troga Pompeja, Fenestellę, Aufidyusza, Bassa i t. p. Z tego wykazu przekonać się można, że nazwa Peonii i Illyrii, jest nazwą, tylko miejscową, nazwą ziemi a nie ludu i jego rodowości. Uważali dobrze starożytni pisarze tę różnicę; dlatego żaden z nich nie pisał ani historyi Peonów, ani Illyrów, chociaż i w Peonii i w Illyrii były osobne społeczności. Działo się to przeto, iż traktowano je w historyi trackiej lub dackiej. Jeszcze jeden uderzający dowód na poparcie tego twierdzenia wskazać tu mogę w tém, że kiedy jedno z dzieł Appiana, które XXIII księgę jego historyi rzymskiej stanowi, nazwali jego wydawcy Illyryka, Focyusz, który znał pisma Appiana jeszcze kiedy były zupełne, powołując się na tę księgę, nazywa ją nie Illyryca, ale Dacia. Różnica między nazwami krajów i ludów uszła haczności nowszych historyków, a dlatego czytać w nich można rozmaite bałamuctwa, jak naprzykład: że rodowość illyrska była od trackiej odmienną. Dlatego też i uczony Joachim jest w błędzie, utrzymując, że „starożytnosc nigdzie się nie wyraziła, czy Illyrowie tegoż byli co Dakowie rodu.” *Polsk. sredn. wiek. IV, stron. 487.*

(1) Działo się to w tych czasach, gdy morze Czarne podobno zostając w związku z Bałtykiem, nie wylało się było do agejskiego: *Diod. V, 47; Aristot. in Schol. ad Apoll. Rhod. I, 917.*

(2) Traus, nazwa ludu trackiego ma wielkie podobienstwo do Thrax, Thracis, Threissa, Thressa, nawet Fryg. Phryx, Phryssa (?), będzie tylko narzeczową zmianą jednéj i téj saméj nazwy: znów: Bryg, Bryk, Breuk i Bryss. Tu, jeśli się nie mylę, należy nazwa Tyrren, Tyrsen. Znaczenie téj nazwy było już dawno niejasnym, co dowodzi podane objaśnienie Jobasa (ap. Steph. Byz. v. *Βρυγες* to jest „wolny” a to dlatego, że jest zbyt oderwanym.

(3) Według pojęcia ojców kościelnych, Frygia najpierw oszła po topie. Arkę i górę Ararat upatrywano w stolicy frygijskiej Kylenie (Orac. Sibyll. I. 196, 262 i VII 12—15). Do czego także odnosi się przyznanie wyższej starożytności Frygom przez Egipcyan podczas Psammetycha. (*Herod. II. 2., Paus. I. 14. 2.*)

(4) Ogyges był synem Termera, a ojcem Kadmona; rządy dzierzył w Beoty i Attyce nad Hektenami (*Paus IX. 5 1.*), równie jak w Lykii, które to kraje zowią Ogygią. (*Steph. Byz. v. Ογύγια*). Stare podanie głosi o nim, iż miał on być niegdyś królem bogów. (*Schol. ad Hesiod. Theog. 806.*)

(5) Ormianie byli potomkami Frygów (*Herod. VII, 73; Eudox. ap. Steph. Byz. v. Αρμενοι*). Co nabiera tém większego podobienstwa, że w sąsiedztwie ich mieszkają ludy trackie: Sarapary (*Strab. X, 531*) i Amazony (*Hekat. Geneal. II, fr. 352*), które podobno tylko nazwę zmieniły na Mosynków (*Xenoph. Anab. IV, 4. 17; V. 4, 15, 26, 32*). Że istotnie w Frygii był szczep Mosynów (*Plin. H. N. V. 33. 4.*)

Herod. I, 173), a w Europie zaś: Ematyą (Peonią), Makednę, Ogygią Ese (Epir. Suid. v. *Αἰθα*) i Lichnityą (1).

Wedle nich w Grecyi powstała społeczność Pelasgów pod królem Inachem r. 2,183 (Euseb. Chron. str. 125, ed Auch; Jerzy Synkell. p. 105; Diod. ap. Malal. IV. p. 83). I pomyślnie się jęj wiodło, bo nietylko przeważnie wpływała na uobyczajenie ludów garaących się do nięj z Italii i Fenicyi, ale także licznych osadników wysyłała do Epiru, Macedonii, na Odeę (Krete) (2) i inne wyspy (3), a nawet do Italii (4). Nadto zachowała się w całości podczas wałnej wyprawy Egipcyan pod królem Ramsesem Wielkim do Kimmeryi i Tracyi (Herod. II, 103). Jakkolwiek coraz więcj rozpadała się na działy w Arkadyi, Hemonii (Tessalii), Sikyonie, Mykenach i Attyce. Gdy na wierzchowinach Eufratu i Tygrysu powstała silna społeczność assyryjska pod Ninusem r. 2,222, która bardzo wczesnie zagarnęła pobratymcze ludy Medów i Persów; w Frygii pod wzgórzem Tauros rozpoczęła się długa i uparta walka o niepodległość (Strab. XII, 559). Z tychto czasów są wspomnienia o Manesie Wielkim (Plutar. Isis et Osir. 24), który zwyciężył Ariosa króla assyryjskiego (Kedr. I p. 30. 5), ale z nim ustają wszelkie wieści dziejowe (5). Bo gdy stają się głośne narody Meonów (Lydów), Karów i Mesów, o Frygach niewiele wspomnień zachowało się.

Nie wiadomo, co dało powód do wielkiego ruchu między plemiennością trako-illyrską; domyślałbym się, że się on łączył z wychodźstwem Greków pod Deukalionem od Kaukazu (6). I oto w jednym czasie osiedlają się w Teukryi Trakowie pod Dardanem, r. 1564 (Diod. V. 48; Apoll.

(1) Tak ja pojmuję stosunek Kadmona do Enchelejów (Strab. VII. 326).

(2) Na Odei (Krecie) mieszkali pierwotnie Frygi Ideje (Schol. ad Apoll. Rhod. I. 1126, następ.; Klem. Alex. Strom. p. 420), późnięj przybyli tamże fenickie Krety (Diod. V. 64; Strab. X, 475), Pelasgi (Diod. V. 80), nareszcie Grecy (Homer. Odys. XIX w. 174 i następ.)

(3) Z tych przypomnę znaczniejsze: Lesbos, które osiedlity Pelasgi pod Xantem, 7 wieków przed potopem Deukaliona (Diod. V. 81). Mytilene (Steph. Byz. v. *Μυτιλήνη* Diod. V. 81—82), Paros (Herakl. Pont. fr. 8) i Skyros wspólnie z Karami i Dolopami (Thelkid I. 98; Diod. XI. 60); nareszcie Rodos, gdzie gdy pierwotni mieszkańcy frygijscy Telchiny znikli (Strab. XIV, 653, następ. i Diod. V. 55), zaludniły je z Egipcyanami. (Diod. V. 58). Fenicyanami (Athen. VIII. p. 630. E.) i Karami (Konnarr. 47), także Pelasgi (Diod. V. 58; Hygin. Poet. astr. II. 14).

(4) Byłoto podobno najdawniejsze osadnictwo Pelasgów, że się wydarzyło XVIII wieków przed wojną trojańską czyli r. 1880 pod przewodnictwem Ynotra i Peuketiosa (Dion. Arch. I. 9—11 i Paus. VIII. 3. 2; zrówn. Strab. VI. 253 nast.)

(5) Ten albo późnięszy Manes, lub, co na jedno wynosi, Meon (Diod. III, 58), stoi jako patryarcha na czele ludów: Meonów (Lydów), Tyrrenów, Karów i Mesów (Herod. I, 7, 94, 171, i IV, 45; Dion. Arch. I. 27). Co jasno dowodzi brak dziejowych wspomnień, że jest z różnych czasów niezgrabnie ułożoném poczuciem plemiennęj jednolitości tych ludów.

(6) Tu tylko przypomnę, iż Prometeos ojciec Deukaliona mieszkał w Kolchidzie, (Schol. ad Apoll. Rhod. II, 1249). I oto pod Kaukazem do greckięj plemiennosci należały: Heniochy (Pomp. Mel. I. 19. 4; Plin. H. N. VI. 5. 2; Just. XLII. 3; Paus. III. 19. 7; Dion. Perieg. w. 694; Lucan. Phars III, w. 269; Isidor. Orig. XIV, 1). i Achiwy (Strab. IX. 416; X, 495; Dion. Arch. I. 89; Appian Mithr. 102; Ammian. Marcell. XXII. 8. 25).

Bibl. III. 12. 1. 2) i w Beoty pod Kadmem (1) r. 1530 (Diod. V. 49 Steph. Byz. v. *Δαόρια*), Otóż społeczność teukryjska bardzo wczesnie stanęła na czele sąsiednich narodów pobratymczych w Małej Azji, zagartując w to Mesów, Meonów (Lydów), Karów, Lyków i Frygów (2), ostatnich po długiej i upartej wojnie z Tantalem i Pelopem (Diod. IV. 74; Paus II. 22, 4), który uszedł do Pelasgów w Apii (Peloponesie) (Paus, II. 34. 3). Społeczność beocka, rzeczona Kadmeońską objęła Hemonią (Tessalią), Makednę, Ematyą i Lichnityą (3), przeważnie wpływając na ludy iber-sko-italskie i greckie przez instrukcyą (Herod. VII, 10; Lykophr. w. 741—743).

Jednakowy los spotkał Teukrów i Kadmeonów w walce z Grekami: i podobnie był płodny w następstwa. Teukrowie po dziesięcioletniej wojnie, od r. 1270 do r. 1280, gromadnie opuścili ojczyznę, wydalając się do Tracyi, Italii, Gallii, nawet Lybii; a ci, którzy zostali, ulegli Frygom, (Nikand. ap. Athen. XV. 31, p. 603; Strab. X, 471). Kadmeonowie wyszli do Illyrii (Herod. V, 61; Paus. IX, 5, 6), gdy ich kraj zajęli Grecy, r. 1309. Lecz i sami Grecy po tych wojnach o tyle byli osłabieni, iż ulegli naciskowi plemienności iber-sko-italskiej, która przez Epir wylała się do Tessalii; gdy znowu czysto grecki naród Dorów, że ciasno mu było w domu, z orężem w rękę wdarł się do Peloponesu r. 1190, gdzie przetrącił do Jonii i tak dokonał ostatecznie zgreczenie pelaskich: Eolów, Jonów i Achiwów (Herod. I. 57).

Jakoż gdy wychodzący z Grecyi: Eole i Jony wyleli się do Teukryi, poczynają się z rozszerzeniem się działania politycznego czysto historyczne czasy, a w nich także cywilizacya przybiera coraz większy rozmiar i obejmuje wszystkie warstwy społeczeństwa.

Plemienność trako-illyrska w Małej Azji jakkolwiek jeszcze raz zajaśniała pod Midasem II, który podobno rozszerzył był swoją władzę do Teukryi, Lydy, Karyi, Lycyi, Tracyi i Ematy (4). Z nim atoli kończą

(1) Stoł on na czele ludów trackich, jak jego brat Fineos, i obaj są Trackami (Steph. Byz. v. *Δαόρια*; Strab. XIV. 680; Soph. Antig. w. 953; Schol. ad Apoll. Rhod. II. 177. 178. 140; Apoll. Bibl. III. 15. 3). Jakoż twierdzenie że oba wyszli z Fenicyi nie ma żadnego oparcia; chociaż istotnie cisnęły się żywioły fenickie, tak samo jak egipskie, do Grecyi.

(2) Do Teukrów należały: Frygia, Mesia i Lesbos. (Hom. II. XXIV, w. 543—546). Gdy znowu pod ich zwierzchnictwem byli: Pelasgi, Kykonie, Peonie, Paflagonie, Meonie (Lydy), Kary i Lyki (Hom. II. II. w. 840—875).

(3) Sam wzgląd na stosunki Kadmeonów z Enchelejami w Illyrii i Peonami w Tracyi potwierdza, że Grecy ścierając się z Pelasgami w Tessalii, w ciasnych granicach mieszkali w Makednie (Herod. I. 57), a później nawet w uległości Kadmeonów; i bynajmniej nie dali powodu do walnego ich wychodźstwa, jak się przywidziało Dyonizemu (Arch. I. 17), bo to nie było tak bardzo potrzebnem, że ludność pelaska, jakkolwiek liczna, sama przez się przeistaczała się w grecką swoim własnym ciężeniem.

(4) Dziwna rzecz, iż dotąd nieuwzględniono ruchów trako-illyrskich po wojnie trojańskiej; przecież Strabo XII. 572, wyraźnie mówi, iż Frygi z Tracyi przybywszy „władców Troi i sąsiednich okolic wzięli jeńcami,” a za Xantem powtarza, XIV, 680, że „po wojnie trojańskiej przybyli Frygowie z Europy i z lewej strony Poatu.” To samo wiemy o Bitynach (Appian. Methr. 1), że przybyli do Bebrycyi znad Strymonu (Herod. VII. 76). Gdy znowu w Tracyi osiadły Enety z Paflagonii. (Strab. XII. 572).



się dzieje Trako-Illyrów, tak dalece, że nietylko ustają wszelkie wspomnienia historyczne o Frygach i Teukrach, ale są pewne świadectwa, iż wówczas dopiero Assyrowie podbili Lydyą, r. 1238 pod królem Chalaosem (Herod. I, 7, 95; Appian. Praef. 9) (1). I podobno po długiej i upartej wojnie skłonili byli na jakiś czas do uległości Frygów (2), którzy jednak z osłabieniem państwa Assyryjskiego nietylko uzyskali swobodę, ale także weszli z témże w przyjazne stosunki. I nawet podówczas rozszerzyli swoją władzę do Ematy. Jednakowo już wtedy wiele włości uronili przez nacisk ludności aramejskiej, Syrów i Kilików, którzy ponad Halys aż do morza się zbliżyli, gdy Ematyą zabrał im Perdykas I król macedoński, a nareszcie najazd Kimmeryan pod Kobuzem dał powód do ostatecznego rozprzęgnięcia ich państwa.

W tych czasach w Italii wychodźcy meońscy pod Tyrrenem między Pelasgami tworzą rzeszę tyrreńską, r. 1255 (Wellej I, 1, 4); gdy znowu wychodźcy teukryjscy pod Euryalonem-Askanim (3) między Aborygenami tworzą rzeszę latyńską, r. 1176 (Dion. Arch. I, 70—71), które odpowiednio swoim siłom żywotnym rozwijały się i krzepiły, zagartując żywioły pelaskie i ibersko-italskie.

Z upadkiem państwa Assyryjskiego pod królem Sardanapala, roku 819, gdy Belesys zajął Assyryą i Medyą; w Małej Azji wzmogła się społeczność frygijska, a wedle niej nowe społeczności powstały z Bajtynii i Lydy.

Z tych bityńska szczęśliwie odpierała najazdy Kimmeryan, a przeto coraz silniej się wzmagała (Arrian. ap. Eust. Odyss. p. 1671; Eust. ad. Dion. Peneg. w. 322). Zato lidyjska szybko się rozwinęła, zwłaszcza, gdy z Gygesem nowa dynastia Mermnadów rządy objęła, roku 717; w skutek powszechnego powstania Lydów, przeciw obcym rządóm (Plutar. Quaest. gr. 17; Cicer. de offic. 9; Plat. Rep. II, p. 211 ed Bip.; Herod. I 6—25). Bo nietylko podniosła się przez wszechstronną cywilizacyą, ale także podbiła wszystkie ludy okoliczne, gdy po kilkonastoletniem ciemnieniu Kimmeryan, mieszkańców Małej Azji, król Alyattes, roku 617 podbił Jenów, i przegnawszy najeźdźców, rozszerzył swoje granice do rzeki Halysu, gdzie stoczywszy bitwę roku 608, (Herod. I, 16, 73, 74), wszedł w przyjazne stosunki z Medami i Babilończykami; syn jego Krysos objął rządy roku 571, szczęśliwie wojując, przywiódł do uległości (4) re-

(1) Herodot zowie Agrona (u Appoll. Bibl. II, 16. 3. Agelaos) synem Nina, wnukiem Bela, prawnukiem Alkeosa; jest on naczelnikiem dynastji Heraklidów, która panowała przez 505 lat, czyli od roku 1223 do 717.

(2) Ktesiasz ap. Diod. II 1—28, mówi wprawdzie o podboju Małej Azji przez Ninusa; ale tak samo zowie Kotysa przymierzeńcem Sardanapala, który do niego posyła dla schronienia swoich synów; wspomina on téż o uczestnictwie Assyrów w wojnie trojańskiej, ale wszystkie jego wiadomości nietylko są bez krytyki, lecz także zdradzają boczne dążności. Więcej na uwzględnienie zasługuje wyprawa Memnona z Susy, że Pausaniaszowi (X. 31. 7), pokazywano w Frygii jego szlaki stacy; ale jakkolwiek sam czyn jest historyczny, oczekuje on jeszcze wyjaśnienia.

(3) Jest wielkie podobieństwo do prawdy, że Eneasza przesiedlił się do Makedny, jak Strab. (XII. 572) to podanie między innemi podnosi, a dopiero jeden z jego potomków przybył do Italji.

(4) Appian (Mithr. 2) powiada, iż w Bitynii było wszystkich królów 49, ale podobno liczy nie rodowych, lecz także miejscowych; przeto i tych, którzy

szę Jonów, Eolów, Dorów, podbił Bitynów, Frygów (1), Paflagonów, Karów i Panfylów; także czuł się do tyle potężnym, iż wystąpił do walki z Cyrusem perskim, która skończyła się upadkiem państwa lidyjskiego, i podbiciem Małej Azji przez Persów r. 545 (Herod. I, 71—88).

W Europie powstała na żywiołach narodowości ibersko-italskiej, trako-illyryjskiej i greckiej w Makednie pod Perdyką (2), przybyszem z Argos, nowa społeczność. I jakkolwiek nikłe były jej początki, bogaciła się zaborami w Ematy, i coraz silniej urządziła.

Gdy znowu Massagety przerzuciwszy za Don Skytów, dały powód do wychodźstwa Kimmeryan, osłabionych przez długą wojnę domową, do Małej Azji, (Herod. IV, 11). Kobos i Lygdamis przewodzili tym wychodźcom, których tłumy oparły się o Kilikję. (Strab. III, 61, 186; Hesyeh v. Λύγδαμις). Z powrotem osiedli oni w Tracyi, gdzie ich oszczątkami byli Trerowie, gdy większa ich część wyszła do Germanii, (Plutar. Mar. 11), nie mogąc oprzeć się Skytom, nowo przybyłym z wyprawy do Medyi.

Oczywista, iż ta włóczęga Kimmeryan, przerzuciła wiele ludów trako-illyryjskich na nowe siedliska. Jakoż właśnie w owych to czasach Illyry niepokoiły Macedonią (Polyen. IV, 1), i Traki wdzierały się w jej granice (Just. VII, 2). Wtedyto zapewne dopięro osiedliły się Sinty lub Syopy i Enety w Italii, przetrącając w Alpy Ligurów (Liw. I, 1,) a Liburny szukały zdobyczy w Umbryi (Plin. III, 19, 1), i na Jońskich wyspach (Strab. V, 296.)

Szeroko rozprzestrzeniała się rzesza Tyrrenów, objąwszy Nadpadzie ku Istrii, gdy znowu w południowej Italii nad Sagrem nowa rzesza ich tworzyła się, zagartując drobne ludy ibersko-italskie, albo też przerzucając je na wyspy i do Epiru lub Hemonii (Tessalii) (3). A nawet na Sardynii uczyniły początek do nowej rzeszy.

Wedle nich w szczuplejszych granicach krzepiło się państwo lатыńskie, objąwszy pobratymcze ludy. Otóż w sąsiedztwie Tyrrenów nad Tybrem powstało lатыńskie miasto Rzym, r. 752. Samo położenie jego w sąsiedztwie mnogich obcych ludów, nadało mu nadzwyczaj wiele żywiołów społecznych; dlatego już w samym początku jego istnienia wieści głośzą o wielkim w niemu ruchu i wojnach szczęśliwych z Lатыnami

panowali nad Behrykami. Więcej szczegółów podał Fotyusz z Memnona, bo nie tylko zachował pamięć przodków Zipyty, który roku 284 poczyna szereg królów bityńskich, ale także mówi, iż około 17 olymp. (709) rządził w Bitynii król Dydalsa. (Phot. Bibl. p. 722—727).

(1) W Frygii panowali: Kotys II współczesny Sardanapalowi, Midas III współczesny Karana i Perdykki królów macedońskich, a wtedy podobno jeszcze także w Ematy, znowu Midas IV podczas najazdu Kimmeryan, ostatni król był Gordios, (Herod. I. 35).

(2) Przed Perdyką panowali od r. 792: Karanos, Kynos i Tyrymas (Jerzy Synkell p. 198), jednakowo Herod. (VIII, 137 nast.) nic o nich nie wie. Otóż nie wiem gdzie czytałem domysł bardzo stosowny, że Karanos musi być krajowa nazwa Perdykki.

(3) Że istotnie ludy ibersko-italskie zajęły Epir, Tessalią i Macedonią, mówi Laaon Chalkoll. p. 13 i 283. Do tej plemienności w Macedonii należeli: Elimeje i Oresty, stanowiąc rdzeń państwa macedońskiego.

i Tyrrenami. Z zaprowadzeniem nowój formy rządu pod dwoma konsulami, roku 509, po długich waśniach i niesnaskach, uporządkowawszy stosunek między szlachtą i ludem, i urządziwszy się jak najlepiej przez ustawy i instytucye, Rzym wojnami wznosił się i stanął na czele rzeszy latyńskiej.

Wtedy, jak mniemam, w skutek osiedlenia się Kimmeryan nad morzem germańskim, liczne ludy celtyckie przesiedliły się do Hiszpanii, gdzie jednak wyczerpawszy swoje siły w walce z potężniejszą plemiennością iberską, złąły się z nią. Inne znowu zajęły Brytanią. Zanim nie nastąpiło wolne wychodźstwo do Italii pod Bellowesem, a pod Sigowesem do Germanii około roku 600 (Liw. V, 34).

Z osiedleniem Celtów w Italii, gdy tłumy wychodźców po upartėj wojnie z Ligurami i Tyrrenami zajęły Nadpadzie; nie tylko Umbry i Liguria uszły do Karnii, ale także rzesza Tyrrenów w Nadpadziu, uległszy w bitwie nad Tycynem, roku 525 (Liw. V, 33), rozwiązała się (Polyb. II, 17), jakkolwiek Enety, podobno mając oparcie o Illyrów, im się oparły. Otóż w tychto czasach Tyrreny z Nadpadzia osiadły w Recyi (1).

Rzesza ich nad Sagrem marnowała swoje siły w ciągłych wojnach z osadnictwem greckim. Że, gdy w roku 524, Tyrreny z Umbrami i Daunami były od Kumów odparte (Dion. Arch. VII, 3), a przy powtórnym najeździe roku 474, przez Hierona rozbite (Diod. XI, 51), były o tyle osłabione, iż uległy wzmagającemu się żywiolowi Sabelów, roku 420. (Liw. IV, 37).

W samėj Tyrrenii wprawdzie spotężyła się była rzesza tyrreńska pod Porseną, który Rzym do uległości skłonił roku 507, (Dion. Arch. V, 21—35; Tacit. Histor. III, 72; Plin. H. N, XXXIV, 39; Oros. II, 5). Ale z nim kończą się świetne czasy tyrreńskie. Jakóż powstała długa i uparta wojna Rzymian z Wejami, która osłabiła Tyrrenów. Wojna ta wybuchnąwszy roku 482, przybrała większy rozmiar, i objęła całą Tyrrenią roku 477, a po wielu klęskach z obu stron, zakończyła się 40-letnim rozejmem roku 473 (Dion. Arch. IX, 1—25; Liw. II, 45—54). Gdy znowu przyszło do wojny roku 437, toczyli ją Tyrreny wspólnie z Wolskami i Ekwami, zanim nie zakończyli roku 424 20stoletnim rozejmem, (Liw. IV, 22, 32—34, 40). Aż nareszcie Weje opuszczone przez rzeszę, o własnych siłach walczyły przez 10 lat, zanim Rzymianie pod Fur. Kamilem je wzięli i zburzyli roku 394, (Liw. V, 13—24). Poczém Rzymianie rozszerzyli się w Tyrrenii, roku 392, pomusiwszy Felsinę (Volsini) do 20stoletniego rozejmu, (Liw. V, 31—32); i odparli napaść Tyrrenów po zniszczeniu miasta Rzymu przez Sennonów roku 388, których pod Satryum zwyciężyli roku 386. (Liw. VI, 2, 3). Wtedy także Dyonizy Wielki złupił Cysrę (Kery) roku 385, (Diod. XI, 51). Czy były jakie ruchy z powodu osiedlenia się Celtów w Germanii, niewiadomo; tyle tylko można wnosić, że zajęły one pod nazwą Wolsków, Tektosagów. (Jul. Caes.

(1) Nie ulega wątpliwości, iż mieszkańcy gór Alpejskich składali się z Celtów, Ligurów, a nawet Illyrów (Breuków i Genaunów), ale że Retowie byli wychodźcami tyrreńskimi znad Padu, świadczą: Liw. V. 34; Just. XX 5; Plin. H. N. III. 23 5. Mimo tych świadectw powtarzają dotąd nowsi uczeni uparcie za Müllerem: Die Etrus. I, str. 163, jakoby Tyrrenowie z Recyi wyszli do Italii.

B. G. VI, 24), albo Bojów lasy hercyńskie, przetrąciwszy wiele ludów germańskich (1).

Z objęciem rządów Persyi przez Daryusza królewicza baktryjskiego roku 521, gdy tenże urządził państwo pod względem administracyjnym i politycznym, granice jego dotykały w Europie wzgórze Olympu, obejmując Tracyą, Peonią i Macedonią. Stało się w skutek wyprawy Daryusza przeciw Skytom roku 513, bo chociaż Skyty wzmocnione związkiem ludowym pod Idanturem, wyrzuciły Persów i najechały Tracyą, nie pociągnęło to za sobą żadnych skutków; przeciwnie, perska władza w krajach Tracyi, Peonii i Macedonii większy rozmiar przybrała.

Powstanie Jonów pod Arystagorą roku 500, chociaż w niem prócz Karów i Bitynów, żywy udział brały ludy peońskie i trackie, po upartej walce było uśmierzone; za to dało ono początek do wojny z Grekami w Europie. Daryusz posłał Mardoniego z ogromnym wojskiem na Greków, lecz tenże zostawszy przez Brygów zniesiony, (Herod. VI, 45), chociaż pomścił się, z powodu niedostatecznych sił, z Tracyi powrócił roku 492. Drugie wojsko pod Darysem i Artafarnem najechało Attykę, gdzie je w bitwie zwyciężył Miltiades, roku 490.

Xerxes następca Daryusza, przedsięwziął wałą wyprawę przeciw Grekom; szły zbrojne tłumy z całego państwa i w Europie złączyły się z nim Traki, (prócz Satrów), Peony, Macedony, i cokolwiek było mu na drodze. Gdy Leonidas w przesmykach Termopyłów poległ, Grecya już miała uleść Persom. Wtedy Temistokles zręcznie skorzystawszy z okoliczności, powiódł Greków do zwycięstwa pod Salaminem nad flotą perską roku 480. Zaczęło się już pospolite ruszenie greckie zebrało się do bitwy pod Plateą, gdzie wojsko perskie lądowe pod Mardonim było zniszczone przez Pausaniasza, równie jak oszczałki floty pod górą Mykale przez Leotychida, roku 479. Później wojna po świetnym zwycięstwie Kimona pod Aspendem, roku 469 już przeniosła się do Azji.

Odtąd państwo perskie chyliło się do upadku. Jakoż odrywały się jego prowincye, i uzyskiwały coraz więcej swobód, a nawet według okoliczności, stawały się niezawisłymi. Tak prócz Egiptu i Fenicyi, plemię trako-illyrskie w Małej Azji zawiązało społeczność bityńską pod Dydalsem II, roku 450, (Memn. ap. Phot. Bibl. p. 722) i karską roku 470. (Herod. 5, 118).

Podówczas powstało w Tracyi państwo Odrysów, około roku 500 (2), które jako jądro trackiej plemiennosci (3), objęło liczne ludy tra-

(1) Te to ruchy podobno dały powód do wychodźstwa Gallasów czyli Ormeów w Afryce. Podanie ich opiewa tak: „Przed wiele tysiącami lat wyszli ich przodkowie z głębokiej Północy z za szerokiego stonęgo morza, zwrócili potem na Wschód i osiedli po wielu walkach w pięknym kraju. Po mnogich latach wyszli ztamąd wyparci przez innych na południe i przeprawili się morzem do Afryki i osiedli wewnątrz tego kraju na wysokich górach. A że się przeciw rozkazom ojców z czarnymi mieszała, płeć ich, bywszy białą, także czerniała. Ztamąd znowu wyparci, osiedli na granicach i w samym Habeszu.” Patrz Pierrera: Uniwers. Lex. XI, str. 376.

(2) Według świadectwa Teopompa (ap. Luc. Macr. 10), mając na względzie tę okoliczność, iż umarł on w 92 roku życia swojego.

(3) Podnoszę to dlatego, że gdy Thukid. II 29, zalicza Odrysów do najdawniejszych ludów trackich, podając, iż mieszkali one niegdyś w Fokidzie; co

ekie i peońskie. Co było tém łatwiej, że Grecy osadzali pomorskie okolice, (Plutar. Kim. 7, 14; Thukid. IV, 102), gdy znowu Alexander I król Macedonów, podbiwszy Ematyą, mnogie ludy przerzucił w głąb Tracyi, (Thukid. II, 99), i podobno dał powód do wychodźstwa Brygów i Satrów (Antarów) do Illyrii (1). Teraz utrzymywał przyjazne stosunki ze Skytami (Herod. IV, 80) i Grekami. Syn jego Sitalkes roku 445 urządziwszy państwo, rozszerzył jego granice do Dunaju, i przeważnie wpływał na Macedonię. A że to było podczas wojny peloponeskiej, został wspólnie z Perdykką II królem macedońskim przymierzeńcem Aten. Najazd jego do Macedonii roku 428, (Thukid. II, 95—101), załatwił stosunki obu państw. Gdy zginął na wyprawie przeciw Tryballom, (Thukid. IV, 101), jego synowiec Seutes I, roku 424 wznosił państwo Odrysów na szczyt potęgi (Thukid. II, 98). Podobno przeto, iż objęło ono wszystkie ludy trackie i peońskie. Z jego następcą Amadokiem I, roku 405, poczęły się w państwie Odrysów domowe waśnie, iż udzielnicy księżęta mniej ulegali królewskiej władzy, a nawet wybijali się na niepodległość, (Xenoph. Anab. VII, 2, 18, 5, 1, 7, 2, Histor. Hell. III, 2, 2). Kotys I roku 382, wznosił państwo Odrysów, bo nie tylko wygnał udzielnych księząt, ale także zabrał był Ateńczykom Chersones, (Demosth. c. Arist. p. 663, 669; Polyen. VII, 38). Przeciwnie syn jego Chersobleptes, roku 358, już władzę dzielił z Amadokiem II i Berysadem; a gdy w ogólnym rozprzęgnięciu przyszło do wojny domowej, Filip IIgi król macedoński miał dogodną porę czynić zabory w Tracyi, roku 347, a nareszcie podbił Odrysów roku 343. (Diod. XVI, 71; Just. VIII, 3).

Z osłabieniem państwa Odrysów powstało państwo peońskie pod Agisem około r. 400; rdzeń jego stanowili Dardanie (2). Obejmowało ono wszystkie ludy peońskie, i podobno odzyskało Ematyą: iż się bogaciło łupami macedońskimi (Diod. XVI, 2). Jego następca Andaleon I r. 359, wyparty przez Filipa II króla macedońskiego z Ematyi, r. 358 (Diod. XVI, 4) zawarł związek przeciw niemu z Illyrami i Trakami; r. 355 (Diod. XVI, 22); jednak po długiej i upartej wojnie został dannikiem państwa macedońskiego (Just. VIII, 6).

Wolki Tektosagi lub Boje wzmogli się o tyle w potęgę, iż zajęli wzgórze karpackie. Gdy podobno w górach Alpejskich wspólnie z Insu Brami toczyli nieustanną wojnę z Ligurami, Tyrrenami (Retami) i Umbriami, która z przybyciem Sennonów większy rozmiar przybrała, że się o Istrię oparli (3). W tych okolicznościach powstała wojna między Illyrami i Bojami. Bardylis dowodził wojskiem illyrskim. Otóż gdy on nie tylko Bojów odparł od granic illyrskich, ale także podbił Taurusków

iż popierają Paus. IV. 33 4; Konon. ap- Phot. p. 140, ed Bekk; ujęto się bezzasadne zdanie między archeologami, jakoby Odrysy przybyły do Tracyi dość późno z Germanii lub Skytyi.

(1) Herodot liczy Brygów i Satrów do głównych ludów w Tracyi; Tukidydes już ich tamże nie zna.

(2) Tak oczywiście okazuje się z Liw. (XLV 29), jeśli miejsce to złożym z Just. VIII 6 i XXIV, 4.

(3) Do tych czasów należy wejście Wolków Tektosagów czyli Bojów do Istrii (Just. XXIV, 1); gdy późniejsze ruchy celtyckie odbywały się przez Peonię (Tenże XXV, 1).

i posunął się do Wenecyi i Recyi; ziomkowie obwołali go królem, około r. 400. Późem, gdy z powodu następstwa w Macedonii Amyntas i Argeos wojnę z sobą toczyli, r. 392, Bardylis, dawszy temu pomoc, wciął ją do swojego państwa, a gdy podobno przeniewierzył mu się Argeos, tamtemu porучzył godność królewską, r. 390, jako zwierzchni władca (Diod. XIV, 92). Gdy zaś Sennony wtargnąwszy pod Brennusem do Tyrrenii, dobywały Klusium, nierozsądek posłów rzymskich był powodem wyprawy ich przeciw Rzymian, r. 390 (Liw. V, 36). W skutek czego, po bitwie nad Allą, Brennus wziął i spalił Rzym r. 389. Wtedy Bardylis z wielkiem wojskiem najechał posiadłości celtyckie w Umbryi, r. 388 (Polyb. II, 18). W tych okolicznościach Illyry z Celtami pokój zawarli, roku 387, w którymto ostatecznie były załatwione nietylko ich stosunki plemienne, ale także wzajemném przymierzem przyszłość sobie zabezpieczyli. Otóż Bardylis na wezwanie Dyonizego Wielkiego wprowadził na tron epirski wygnanego Alketę r. 385 (Diod. XV, 3). Późem rozszerzył swoje państwo ponad Dunaj do Czarnego morza (Just. IX, 2). Gdy zaś Perdykkas II król macedoński, dla odzyskania niepodległości zerwał się do wojny, Bardylis, w wielkiej bitwie zwyciężywszy go, zagarnął Macedonią i osadził licznemi załogami warownie, r. 360 (Diod. XVI, 2; Polyen. X, 10, 1). Z objęciem rządów w Macedonii przez Filipa II, Bardylis w bitwie pokonany, był pomuszony ściągnąć swoje załogi z Macedonii r. 358 (Diod. XVI, 4, 5). Później, gdy znowu pod niebytność Filipa najechał Macedonią, wyrzucił go Parmenion r. 356 (Plutar. Alex. 4), a za odwracającym, Filip sam wkroczył do Illyrii i zabrał Lichnityą (Diod. XVI, 8). Gdy znowu Bardylis przeciw Filipowi zawarł przymierze z Peonami i Trakami r. 355, na wieść o tém Filip nieprzygotowanych jeszcze, pojedynczo pobił (Diod. XVI, 22). Jeszcze raz najechał był Filip Illyryą r. 344, a to ile się zdaje głównie dlatego, aby Bardylemu odjąć możliwość stawiania mu przeszkód w podboju Peonii i Tracyi. Lecz tenże był zajęty wojną ze Skytami, r. 343, którą poczęli Tryballi (Front. II, 4, 22), gdy zakończył czynne życie w 106 roku swojego wieku (Just. IX, 2). Klitos r. 342, objąwszy ster rządu w Illyrii, który jednak dzielił z Glaukiaszem, Syrmem i Andeą, pobił wracającego ze Skytyi Filipa r. 340 (Just. IX, 3) i dokuczał Epirotom (Front. II, 4, 22). Że zaś Filip II król macedoński był wyłącznie zajęty uzyskaniem hegemonii w Grecyi, miał najdogodniejszą porę rozwinać wszystkie siły swojego rozległego państwa.

Alexander III Wielki, postanowiwszy zrobić walną wyprawę przeciw Persom, aby zabezpieczyć się pod swoją niebytność w Macedonii, poszedł wojną na Illyrów r. 335. Otóż z orężem w rękę przeszedłszy Hemos, najechał Tryballów i zwyciężywszy Syrma nad Liginią, gdy mu się nie udało zająć tegoż przytulisko, wyspę Peuke, najechał Getów za Dunajem, i spalił ich miasto Sirmium (?). To spowodowało Syrma do zawarcia ugody (Arrian. Anab. I, 1, 4). Zaczem Alexander przez Peonią szedł do Illyrii; tu Klitos z licznem wojskiem opierał się o Pelonią, rozbiwszy go zmusił szukać schronienia w mieście, i w niem go obległ. Wtém Glaukiasz przybywszy z odsieczą rozbił Alexandra i wzięwszy jego obóz, pomusił ukryć się w górach. Zabezpieczył sobie Alexander

przez nocny napad nad Eordyakiem wolny odwrót do Macedonii, i podobno rzucił popłoch na Illyrów, bo Klitos, spaliwszy Pelonią wszedł do Taulantów. Za Alexandrem przybył także do Macedonii po niepomysłnym najeździe Autaryctów Langaros król Peonów (Arrian. Anab. I, 5, 6). W tych więc okolicznościach zawarł Alexander przymierze z Celtami przeciw Illyrom (Strab. VII, 302; zrówn. Polyb. II, 19). W skutek czego już podobno za rządów Glaukiasza, r. 333, przyszło między nimi do długiej i upartej wojny. Dopiero gdy Kassander król macedoński wziął Apollonią, stoczył on z nim bitwę niepomyslną nad Hebrem, r. 314 (Diod. XIX, 67). Późem już za pomocą Korkyran, r. 312, zwyciężywszy go, odzyskał nietylko Apollonią (Diod. XIX, 78), ale zabrał podobno część Peonii, r. 311 (Just. XV, 2; Diod. XX, 19). Ostatnim czynem Glaukiasza było posadzenie na tron epirski swojego wychowawca Pyrra, r. 307 (Plutar. Pyrr. 3). Jakkolwiek nieobojętnie przypatrywał się on wojnie Dyadochów z Antygonem (Polyen. IV, 12, 1).

Pod niebytność Alexandra III, kiedy tenże był zajęty podbojem Persów, powstała społeczność dacka pod królem Aryofarnem, około 332, który Zopyryona namiestnika trackiego w walnej bitwie zniósłszy, r. 330 (Curt. X, 1, 45; Just. XII, 1), dał tём samém powód do powstania Odrysom pod Seutą II (Curt. X, 1, 45). Że zaś wtedy zrywali się Grecy do powstania, Antypater jak mógł układał się z Trakami (Diod. XVII, 63). Aryofarnes wspólnie z Skytami dzielną pomoc dawał Odrysom i miastom greckim na wojnie z Lysimachem (Diod. XIX, 73; Strab. VII, 296). Tak samo r. 311 pomógł Eumelesowi w wojnie z bratem Satyrem do wstąpienia na tron bosforski (Diod. XX, 22 nast.). Jego następca Dromichetes r. 300, w szczęśliwej wojnie z Lysimachem, r. 292, że wzięwszy go jeńcem, wspaniałomyślnie na wolność puścił, uzyskał w nim przymierzenia (Strab. VII, 305).

Śmierć Alexandra dała hasło w Grecyi do lamskiej wojny, w której udział brały Illyry i Traki (Diod. XVIII, 11), z nienawiści do Macedonów. Za rządów Dyadochów, Lysimachos objął władzę w Tracyi i Mezii. Gdy w samej Macedonii rządził Antypater, znowu inni zarząd objęli w pojedynczych krajach rozległego państwa Alexandrowego, które dla samego swojego ogromu rozpadło się, a przez niezgodę i wojny dało początek nowym społecznościom w Syryi, Egipcie i indziej. Trako-illyrska plemienność w Małej Azji wzmocniona przez Basa i Zipytę (Memn. ap. Phot. Bibl. p. 722), uzyskała zupełną niepodległość jako społeczność bityńska, r. 320.

W samej Tracyi Lysimachos wyczerpał swoje siły na wojnie z Odrysami. Rozbity przez Seutę r. 322 (Diod. XVIII, 14; Arrian. ap. Phot. Bibl. p. 69, 6 ed. Bekk.), a później pod Hemem pokonawszy go, r. 313 (Diod. XIX, 73): gdy wojna przybrała większy rozmiar przez udział Daków i Skytów, wzmocnił się przymierzem z Dyadochami. I chociaż r. 299, Agatokles, syn jego, przez Odrysów rozbity i jeńcem wzięty, na wolność był puszczony (Diod. XXI, exc. Peir. p. 559), Lysimachos coraz więcej szerzył się w Tracyi i rozpoczął wojnę z Dakami. Skończyła się ona zupełną klęską jego, tak, iż sam został jeńcem króla Dromichety, r. 292; i tylko wspaniałomyślności swojego przeciwnika, który go uczcił jak

ojca, zawdzięczał swobodę (Strab. VII, 305; Diod. XXI ex. Peir. p. 559; Plutar. Demetr. 52; Polyen. VII, 25, 3). Powiodło się Lysimachowi, gdy wprowadzał wygnanego króla Peonów Arystona, r. 287, gwałtem i zdradą zabrać Peonię (Strab. VII Taf. fr. p. 36; Polyen. IV, 12, 3), a nawet wspólnie z Pyrrem zająć Macedonię, r. 187, zład Demetriosa Poliork. wygnał, a potem i samego Pyrra wyrzucił; lecz po jego śmierci w bitwie pod Kuropedyonem, r. 281, Tracya została swobodną tak samo jak Peonia, gdzie objął rządy Dropion (Polyen. IV, 12, 3; Paus. X, 13, 1), w Macedonii zaś zabójca Seleuka Ptolomeos Keraunos.

Potężyło się państwo bityńskie, gdy Nikomedes, r. 279 sprowadzwszy Celtów pod Leonorem i Lutarem, r. 275, którym wyznaczył siedziby w Frygii (Liw. XXXVIII, 17) mógł wystąpić do walki z Antyochem I, królem syryjskim. Poczém Prusiasz I, r. 235 wznosił Bitynię na szczyt potęgi, że nie tylko upokorzył z Rodyjczykami Bizantyum, r. 219 (Polyb. III, 2), ale także zniszczywszy Celtów pod Arysbą, r. 213 (Polyb. V, 111) zmusił ich zaniechać włóczęgi i najazdów. Poczém już w wojnie z Pergamem mógł granice swojego państwa rozszerzać, r. 205 (Liw. XXVII, 30; XXVIII, 7; XXIX, 12). Za to z jego następcą Prusiaszem II, r. 186, chociaż i on szczęśliwie wojował z Eumenem II. królem Pergamu, r. 183 (Polyb. XXVI, 6, 7), po upadku Perseosa weszło ono w skład państwa rzymskiego. Jakoż gdy Prusiasz począł wojnę z Attalem II, królem Pergamu, roku 156, (Appian. Mithr. 2), senat nakazał mu oręż złożyć. Nikomedes IIIci roku 90, najechawszy Pont, dał powód do wojny z Mitrydatem III; rozbity nad Amniem, szukał przytułku w Pergamie, roku 88, (Appian., Mithr. 11, 18, 19). I dopiero przez Sullę wrócił do swojego państwa, (Appian. Mithr. 60). Z jego śmiercią Bitynia została rzymską prowincją, roku 75, (Appian. Mithr. 7).

Tyrreny wyparte za las cymnijski, gdy z upadkiem Wejów, roku 394 (Liw. V, 13—24), Rzymianie zabrali im Nadtybrze, podobno że garnęli się do nich wychodźcy znad Padu i Sagru, wzmocniły swoją rzeszę. To téż wojna z Rzymem przybrała większy rozmiar. Tarchiwin (Tarchinii) zerwał się do wojny roku 356, a pokonany w bitwie pod Salinami, roku 355 przez Marcyusza Rutyła, (Liw. VII, 17), zakończył je 40stoletnim rozejmem, roku 350 (Liw. VII, 15—22). Poczém przyszło roku 311 do wojny z całą rzeszą; jakkolwiek Tyrreny odniosły zwycięstwo pod Sutryum, (Liw. IX, 32), Fabiusz Maxym zwyciężył ich roku 310 (Liw. IX, 35) i pomusił do 30stoletniego rozejmu Perusią, Kortonę i Arretyum, (Liw. IX, 39), poczem gdy przeszedł las cymnijski wystąpiły do bitwy nad wadymońskim jeziorem i klęskę poniosły, (Liw. IX, 39—40). Poczém najazd Decyusza Musa do Tyrenii po zwycięztwie Fabiusza Max. pod Perusią, pomusił rzeszę do zawarcia pokoju roku 308 (Liw. IX, 42). Że był tenże bardzo uciążliwy, Tyrreny toczyły wojnę już w związku z Sabinami, Samnitami, Umbrami i Celtami, roku 302. I chociaż zwyciężyły pod Arretyum (Liw. X, 3), klęskę poniosły na russellańskim polu, przez Walerego Maxim. (Liw. X, 4, 5), pod Felatrym (Volaterrami) roku 299 przez Scypiona Barbat. (Liw. X, 12), nareszcie pod Sentynum przez Fabiusza Maxim. roku 295 (Liw. X, 27—29); że miasta Felsina (Volsini) i Perusia zawarły 40stoletni rozejm (Liw. X,



37). Wtedy Spuryusz Karwil najazd uczynił do Tyrrenii, i pomusił do uległości Faliske, roku 293 (Liw. X, 45—46), aż nareszcie w drugiej bitwie nad wadymońskim jeziorem roku 283, Kornel Dolabella, Tyrrenów i Bojów zwyciężywszy, (Polyb. II, 20; Liw. Epit. X, XII), zakończył wojnę. Jakkolwiek trwała ona podjazdowo do roku 280, jakoż Mark. Filip roku 282 najechał Tyrrenią (Liw. Epit. XII, XIII), która dopiero po upokorzeniu Felsiny (Volsini) i Wolków przez Tyberysza Kerunkan. roku 280, weszła w skład państwa rzymskiego, (Zonar. VIII, 4).

Podówczas, gdy Wolki Tektosagi lub Boje (1), przerzucili za Karpaty Agatyrów, z osiedleniem się Bastarnów (Apian. Illyr. 3), schronili się między niemi niedobitki Bojów i Sennonów. Wtedy wzmocniwszy się przez przymierze z Illyrami, gdzie Munoni wspólnie z braćmi Mytylem i Pleuratem rządy dzierżył roku 300, (Dio Kass. fr. Peir. 31) dla łupów wyleli się do Grecyi. Ruch ten począł Kambauls roku 282, ale skończył się on już w Peonii, (Paus. X, 19, 2). Za nim Brennus najechał Peonią, lecz także był odparty; za to Bolgios wszedł do Macedonii, gdzie zwyciężywszy w bitwie Ptolomeosa Kerauna, który zginął, zajął ją roku 279, (Paus. X, 19, 7; Just. XXIV, 4). Wprawdzie Sostenes wyrzucił był Celtów z Macedonii, ale za to najechał Keretryos Tracją (Paus. X, 19, 7). Nareszcie Brennus roku 278, wspólnie z Munonim królem illyrskim, złączywszy swoich wodzów: Kambaula, Akichoryosa i Keretryosa, poszedł wojną na Greków, i zająwszy Macedonią, gdy Sostenes poległ, wylał się do Tessalii. Zgromadzili się Grecy pod Termopyłami, i walne zwycięstwo pod Kallipem nad nim odnieśli. Lecz kiedy Brennus wysłał Kambaula i Keretryosa do Etolii, a sam obszedł przesmyk, wojsko greckie rozwiązało się. Zatem Celty przybyły pod Delfy; tu gdy w ciągłych utarczkach z Grekami przeredzały się ich tłumy, Brennus ranny oddawszy dowództwo Akichoryosowi, życie sobie odebrał. Poczem Akichoryos z wielką stratą wrócił do Peonii z niedobitkami, gdzie prawie do szczętu był zniesiony, (Paus. X, 19, 24; Just. XXIV, 6; Diod. XXII, 131). Celty podczas tej wyprawy zostawione na strzeżenie granic, najechały były sąsiednich Daków i Tryballów, roku 277, ale za to wyprawa ich do Macedonii zakończyła się ich zupełnym zniszczeniem, przez Antygona Gonata, (Just. XXIV, 1—2). W tym ogólnym osłabieniu wodzowie celtyccy, gdzie mogli osiedlali się, roku 276: Akichoryos nad Sawą w Pannonii, znowu Komontoryos pod Hemem w Tracji (Just. XXXII, 3; Polyb. IV, 46). Nareszcie Leonor i Lutar przy sposobności przeprawili się do

(1) Nie jest rzeczą obojętną wyjaśnić, z kąd wziął początek trzeci ruch celtycki. Wiadomo, że około r. 600 poczęto się wychodźstwo celtyckie, przyczem wychodźcy osiedli w Germanii i Italii, (Liw. V. 34; Strab. IV. 178, 203). Otóż tylko do Italii z powodu upartej walki z Ligurami, Tyrrenami i Umbrami, nareszcie z Rzymianami przybywały świeże tłumy z Gallii i podobno z Germanii, mianowicie około r. 400, drugi ruch Bojów i Sennonów. Oczywiście, że ten trzeci ruch wyszedł z Germanii, bo nietylko wtedy Celty w Italii przez Rzymian były w znacznej części zniszczone, ale także w samej Gallii toczyły wojnę z Ligurami. I oto Just. (XXV. 1) wyraźnie mówi, iż tychże siedziby graniczyły o Daków i Tryballów. Nareszcie w Małej Azji, gdzie się ich wychodźstwo oparło, znajdujemy Tektosagów i Bojów (Tolistobojów), (Strab. X 567), nieznanych w Galii i Italii.

Małej Azji, gdzie Nikomedes I król bityński, za pomoc sobie udzieloną, wyznaczył im siedziby w Frygii, (Liw. XXXIII, 17; Memn. 16—20).

Otóż w tych ruchach, jedni tylko Autoryoci z powodu morowej zarazy przesiedlili się z Illyrii do Dacyi, w sąsiedztwo Bastarnów (Appian. Illyr. 3). Poczém Ardyjeje stanowili rdzeń społeczności illyrskiej pod Pleuratem, roku 265. Jego następca Agron, roku 254, zabrał Tesprotyą, i jako przymierzeniec Demetryosa II króla macedońskiego, pobił pod Myndyonem Etołów, roku 239. (Polyb. II, 3). Skirdelaides, roku 232, dzielił rządy wspólnie ze swoim synowcem Pinnesem, który zostawał pod opieką matki Teuty. Objąwszy rządy, wysłał Demetryosa do Pelopenesu, który w powrocie zawinął do Fenike, gdzie zwyciężywszy Epirotów, pomusił ich do zawarcia przymierza (Polyb. II, 5). Gdy zaś Achiwy w sprawie obleżonej Korkyry, roku 230, wojnę poczęły z Illyrami; Demetryos walne zwycięztwo odniósł nad nimi pod Paxos (Polyb. II, 10). Z powodu zabicia jednego z posłów rzymskich, którzy skarżyli się na rozboje Illyrów, na rozkaz Teuty wdowy po Agronie, przyszło do pierwszej wojny illyrskiej, roku 229. Gdy Fulco Centumalus wziął Nutryą i Demetryos poddał się na Korkyrze, Atyntaury i Partyny weszły w związek z Rzymianami roku 228 (Polyb. II, 11). Teuta obleżona w Rizanii, uznała zwierzchnictwo Rzymian roku 227, (Appian. Illyr. 7; Zonar. VIII, 20). Gdy zaś Skirdelaides w Naupakcie zawarł związek z Etołami przeciw Achiwom, roku 221, a Demetryos złupił wyspy Kikladzkie, (Polyb. IV, 16), Rzymianie, aby powstrzymać w uległości Illyrów, wojnę poczęli z Demetryosem, roku 219, którą zakończył Liwiusz Salinat. wzięciem Dimala, roku 218, (Polyb. III, 18; 19). Poczém Skirdelaides, kiedy po zerwaniu przymierza z Filipem II przeciw Etołom (Polyb. IV, 26), począł wojnę z Macedonami, roku 216, że ją niepomyślnie toczył, straciwszy Lichnytyą (Polyb. V, 108), słaby opór mu stawiał do przybycia Rzymian. Jego syn Pleurates Hgi roku 201 za pomoc daną Rzymianom w drugiej wojnie macedońskiej, roku 200 do 196, uzyskał Lichnytyą i Partynów. (Liw. XXXIII, 34). Poczém podbił Epir, i najechał jako przymierzeniec Rzymian wybrzeża etolskie, roku 190. (Liw. XXXVIII, 7). Jego następca Gentios, roku 180, chociaż zabił współrządców Platona i Artotaura, że Delminion oderwało się i obwołało się rzeczpospolitą, (Polyb. XXXII, 18), niewiele poczuwał się na siłach zerwać się do wojny z Rzymianami, na wezwanie Perseosa króla macedońskiego. Otóż, aż ujęty darami i obietnicami wtargnął w posiadłości rzymskie, wysławszy swego brata Karwantyosa przeciw Kawijom, który wziął Darnion; sam dobywał Bassanię. Gdy zaś Annicyusz rozproszył flotę illyrską pod Apollonią, Gentios schronił się w Skodrze, gdzie po słabym oporze, poddał się roku 168. (Liw. XL, 30, 31; Appian. Illyr. 9). Na nim kończą się dzieje illyrskie,

Spółeczność peońska podobno dla sąsiedztwa z Celtami przyszła do znacznej potęgi. To też godna tém większej uwagi, że nikt jój dotąd nie znał. Dropion, roku 261 (Paus. X, 13, 1), był zajęty podobno upartą walką z Celtami. Longaros II, roku 240, już najazd uczynił do Macedonii, gdzie pobił Demetryosa Hgo, (Trog. Pomp. Prol. X, XXVIII), a nawet wpływ wywierał na Illyrów, że Ardyjeje w powstaniu o niego się opierali, roku 231 (Polyb. II, 5). Znowu najechawszy Macedonią roku

229, był przez Antygona wyrzucony, (Just. XXVIII, 3). Jego następca Bato, roku 225, pod niebytność Antygona łupił Macedonią, z kąd wyparty roku 222, (Polyb. II, 70 Plutar. Kleom. 27), najazd powtórzył roku 218, (Trog. Pomp. Prol. X, XXIX). Filip II król macedoński wzięwszy Bykzore roku 217, (Polyb. V, 108) zagarnął niższą Peonią, i témże dał powód do zaciętej walki wyższym Peonom: jakoż Dardany i Medyje najechali roku 212 Macedonią, (Polyb. X, 38). Poczém przez związek Dardanów, Illyrów i Etołów z Rzymianami, wojna przeciw Macedonom przybrała większy rozmiar. Dlatego Filip roku 211 wtargnął do Dardanii i Medyi, gdzie wziął Jamforynę, z której jednak wnet się ustąpił (Liw. XXVI, 25), i gdy najechali Macedonią Dardanie, roku 208, wyrzucił ich, (Liw. XXVIII, 33). Podczas wojny macedońskiej, Dardanie łupili Macedonią, roku 198, i pod Hobą z stratą wielką byli odparci, (Liw. XXXIII, 19). Jego następca Honun, roku 195 oparty o Rzymian, wzmocnił się przez przymierze z Illyrami. Gdy zaś Filip przeciw nim sprowadził był Bastarnów, roku 179, rozbili ich pod górą Doukką, (Liw. XL, 58). Abrupolis objawszy rzędy roku 175, gdy znowu Bastarny przybyły do Dardanii, skoro rozeszli się ich współnicy, Skordyski, tychże wyrzucił, (Liw. XL, 23). Poczém najazd uczynił do Macedonii pod Amphipolis roku 174, (Liw. XLII, 41). Wygnany z swego państwa przez Perseosa i Kotysa, roku 173 (Liw. XLII, 13) odzyskał je za pomocą Korraga i Atlesbisa, roku 171. Chociaż Perseos najechał Dardanię roku 170, (Liw. XLIII, 5), działo się to już pod koniec wojny macedońskiej. Jednakowo z ukończeniem jęj, nie odzyskawszy zabranego kraju przez Filipa, Abrypolis był zniechęcony przeciw Rzymianom (1). Z nim podobno ustało państwo peońskie, bo podczas wojny z Dalmatami roku 155, Scypio Nasika zniszczywszy rzeczpospolitą Delminion. (Liw. Epit. X. XLVIII; Strab. VII, 305; Zonar. IX, 25), podbił także Skordysków, Medyjów i Dardanów (Appian. Illyr. 5).

Z upadkiem państwa celytyckiego w Tracyi, które Kuwaros rozprzestrzenił był pod Byzantyum, powstała społeczność odryska pod Seutą III, około r. 219 (Polyb. IV, 46). Jednakowo słabe były jęj zaczątki, że po długiej uległości obcej władzy niełatwo było podnieść naród do poczucia politycznego, a tém mniej rozwinąć jakiegokolwiek siły. Do tego jeszcze przyczyniło się to, że wtedy Filip II, król macedoński, w Tracyi zamierzał podbojami wzmocnić się, aby mógł począć wojnę z Rzymianami. Otóż gdy zabrał on r. 201 Egipcyanom Chersones, Seutes dał mu pomoc w wojnie z Rzymianami r. 199, że wziął i spalił Lysimachią (Liw. XXXIII, 38). Poczém r. 190 jawnie wystąpił do wojny z niemi. To też r. 188 pobił Manliusza Wulson, wracającego z wyprawy przeciw Celtom w Małej Azji, i łupy zabrał (Liw. XXXVIII, 60; Appian. Syr. 34). Jego następca Kotys II, r. 185, w wojnie z Filipem II, gdy tenże najechał Tracyą (Liw. XXXIX, 23), a następnie rozbił i jeńcem wziął Ama-

(1) Słowa w tym względzie Liw. (XLV, 29) są bardzo ważne: „Dardanis repetentibus Paenoniam, quod et sua fuisset, et continens esset finibus suis, omnibus dare libertatem pronuntiavit, qui sub regno Persei fuissent. Post non impetratam Paenoniam, salis commercium dedit.”

doka, r. 184 (Liw. XXXIX, 35), potem pokonawszy Odrysów, Denteletów i Bessów, osadził Filippopol, r. 183, i nie tylko że z tegoż wyrzucił załogę macedońską (Liw. XXXIX, 53), ale także przy powtórnym najezdzie do Medyjów, r. 181, odparł Filippa (Liw. XL, 22). Perseos król macedoński wszedł w ścisłe stosunki przyjaźni z Kotysem; jakoż z nim wspólnie zająwszy Dardanią, r. 173, począł wojnę z Rzymianami, r. 171. A gdy Korragos i Atleshis najechali Odrysów, do Mareny (Liw. XLII, 67) nie tylko ich wyrzucił, ale z wielkiem wojskiem poszedł do Macedonii. Jakoż w bitwie pod Pydną, r. 168 był przytomny, przyczem syn jego Betys został jeńcem wzięty (Liw. XLIV, 50, 51). W skutek czego zawarł związek z Rzymianami, r. 167, że ci w podbitych królestwach wprowadzali wolne instytucje (Liw. XLV, 42). Syn jego Byzas (Betys) r. 150 pomagał Andryskowi w wojnie z Rzymianami, później jednak był pomuszony wydać go Metellowi, r. 148 (Zonar. IX, 28). Gdy zaś Alexander r. 147 stanąwszy na czele powstania, z Trakami najechał Macedonią, a potem rozbity schronił się do Tracyi; ścigał go także Metellus (Zonar. IX, 28). Ta wojna wyczerpała siły Odrysów, że Atallus w powstaniu Tynów, zabijwszy udzielnego księcia Degilida, mógł tę krainę z swoim państwem złączyć, r. 140, i obojętnie na to patrzył Byzas (Strab. XIII, 624; Trog. Pomp. Prol. X, XXXVII). Jego następca Sotymos r. 117, z Sordyskami i Tryballami najechał Macedonią, r. 111, z kąd go wyrzucił Liw. Drusus (Liw. Epit. X, LXIII; Flor. III, 4), a gdy znowu najazd powtórzył, r. 100, był wyparty przez Tyt. Dydyusza (Oros. V, 23; Flor. III, 4). A nawet Medyjów podbili Rzymianie, r. 97 (Jul. Obseq. 88, 47). Jeszcze raz Sotymos, rozbiwszy Geminiusza r. 92 (Liw. Epit. X, LXX; Jul. Obseq. 92, 52), zajął był Macedonią, a nawet zagroził Grecyi r. 90; i tylko za pomocą Denteletów zdołał go wyrzucić Sentyusz (Oros. V, 18; Cicer. in Pis. 34, 84). Z nim kończą się dzieje Odrysów przez ogólne rozprzęgnięcie się.

Z upadkiem państwa macedońskiego i illyrskiego powstały także słabe ludowe związki, które jednak ulegały Rzymianom, albo raczej weszły w skład ich państwa. To też marniały w domowych waśniach, ubożały i przeredzały się. Miała wprawdzie w Illyrii żywotne siły rzeczpospolita Delminion, o które poniekąd opierały się sąsiednie ludy, że po zerwaniu się do wojny z Rzymianami, r. 156, gdy Marc. Figulus zdobył i zburzył Delminion (Appian. Illyr. II; Liw. Epit. X, XLVII; Jul. Obseq. 75, 14) uległszy Scypionowi Nasice r. 155 (Liw. Epit. X, XLVII; Zonar. IX, 25; Front. III, 6) znowu przyszła do potęgi i uzyskała swobodę. Nareszcie, gdy Fulwiusz Flak, zwyciężywszy Ardyjejów i Pleurejów, przesiedlił ich w głąb kraju, że byli silni na morzu, r. 136 (Appian. Illyr. 10; Liw. Epit. X, LVI) podbił Metellus Dalmatów r. 135 (Appian. Illyr. II), Semproniusz Tudyt. Japydów r. 129 (Appian. Illyr. 10; Liw. Epit. X, LX), i nareszcie Metellus Segestanów r. 119 (Appian. Illyr. 10; Liw. Epit. X, LXII). W skutek czego rozwiązała się rzeczpospolita Dalmacka, gdy Rzymianie silnemi załogami zabezpieczyli swoje posiadłości w Illyrii.

Autaryoci przesiedliwszy się do Dacyi, powoli do sił przychodzili, zanim mogli stanąć na czele społeczności dackiej. Do czego jeszcze przyłączyła się i ta okoliczność, iż Boje, wyrzuceni z Italii przez Scypiona Na-

sikę, osiedlili się w Illyryi r. 191 (Strab. VII, 318), gdzie poczęli długą i upartą wojnę z Dakami (Strab. V, 212—213). I jakkolwiek Autaryoci pomagali Perseosowi w wojnie z Rzymianami (Appian. Maced. fr. 16) wspólnie z Bastarnami i Odrysami, działo się to podobno tylko dla sąsiedztwa z Celtami. Za to już znaczną potęgę rozwinęli r. 110, gdy wspólnie z Skordyskami i Tryballami najechali Macedonią; jakkolwiek rozbici przez Minucjusza Rufa nad Hebrem, uchodzić musieli (Liw. Epit. X, LXV; Flor. III, 4; Eutr. IV, 33; Wellej II, 8, 3).

Wtedy obrany był w Dacyi na króla Byrebistas Sitalkes około r. 90. Byłto mąż bardzo ogłędny i umiał nietylko zręcznie użyć okoliczności do spotężenia się, ale także głównie starał się podnieść moralne uczucie swoich poddanych. To téż zawarłszy przymierze z Mitrydatem VI, królem Pontu (Appian. Mithr. 67) złupił z Trakami i Celtami, r. 87 Macedonią, Epir i Grecyą pod Dodonę i Delfy (Liw. Epit. X, LXXIV, LXXVI, LXXXI; Appian. Illyr. 5; Dio Kass. fr. Peir. 116). Gdy zaś Sulla podbiwszy Skordysków, Sintów i Medyjów r. 85 zapędził się do Pannonii, nietylko go odparł (Liw. Epit. X, LXXXIII; Appian. Mithr. 55; Illyr. 14), ale także był objęty w pokoju Rzymian z Mitrydatem. Ze śmiercią Sulli zajął Tracyą i Illyryą, i podobno także wyrzucił Rzymian z Macedonii. Jakoż Koskoniusz zaledwie po trzech latach, od r. 78 do 75, odzyskał Illyryą (Eutr. VI, 4, 1). Gdy Appiusz Klaud. z wielu trudnościami toczył z nim wojnę w Macedonii r. 78 (Flor. III, 4; Liw. Epit. X, XII; Oros. V, 25; Eutr. VI, 2), którą dopiero zakończył Skryb. Kuryo r. 73, wyrzuciwszy Dardanów, Odrysów, Medyjów i Amantynów z Macedonii, i posunąwszy się nad Dunaj (Liw. Epit. X, XCII, XCV; Eutr. VI, 2; Flor. III, 4). Poczém już Mark. Lukullus r. 70 toczył wojnę podbojową w Tracyi, wzięwszy Pulandnę, Uskudamę i Kabale, podbił Bessów i Tryballów, i pomusił miasta greckie do poddaństwa (Liw. Epit. X, XCVII; Flor. III, 4, 7; Eutr. VI, 8). Gdy jego brat Luc. Lukullus toczył wojnę z Mitrydatem w Małej Azyi, rozbiły Daki r. 67 Fabiusza (Dio Kass. XXXV, 10), i wkroczyły do Macedonii, zkad ich wyrzucił Luc. Torkwatus r. 66 (Cicer. in Pis. 14, 44). Ale pomoc udzielona przez Byrebistę upadającemu Mitrydatowi (Appian. Mithr. 69), uszczupliła jego siły. Zostawszy w ten sposób przez Rzymian za Hemos przerzucony, zajmował się podbojem Bastarnów i Skytów. Jakoż w tych czasach przesiedliły się Skiry nad morze Bałtyckie (Plin. H. N. V, 13, 97. Zrówn. Stéph. Byz. v. Σκίροι; Böckh corp. inser. XI, p. 122 i 1023); znowu Auchety nadmeockie (Plin. H. N. VI, 5, 2). Poczém Byrebistas najechał Skordysków r. 61 (Strab. VII, 303). Gdy zaś w walnej bitwie nad Cysą zniszczył Bojów, Daki zajęły wszystką połać kraju na północnym stoku Alp, r. 60, od pustyni bojskiej (Strab. VII, 303) do wierzchowisk Odrzy i Wisły. Poczém rzucił się do podboju greckich miast nad Czarném morzem, od r. 60 do 55 (Dio Pruss. Orat. XXXVI p. 76, 81). I zajął już całą Tracyą, gdzie oddał rządy swojemu synowi Kotysowi, poczém wszedł w przyjazne stosunki z Juliuszem Cezarem, wyprosiwszy dla niego siostrę tegoż Julią, wdowę po Pinarym Skarpusie, r. 59. Dla téjto przyczyny Bessów podówczas niepodległych, we własnym kraju mógł napastować Oktawiusz, r. 60 (Seut. Oct. 3); gdy znowu Antoni zapędziwszy się nad Dunaj pod Istropelem,

był na głowę pobity przez Dardanów i Bastarnów r. 59 (Liw. Epit. X, CIII; Dio Kass. XXXVIII, 16; Jul. Obseq. 123). Kotys zaś przekupiwszy Pisona do zabójstwa Rabokenta króla Bessów, r. 57, użył dogodnej pory do zajęcia całej Tracyi (Cicer. in Pis. 44; Flor. III, 4). Późem z Denteletami poszedł wojną do Macedonii r. 56 (Cicer. in Pis. 44). Gdy sam Byrebistas r. 54 najechał był Liburnów (Jul. Caes. B. G. VI, 1). Z powodu rozvodu Kotysa z Julią przyszło do nieporozumienia między nim i Juliuszem Cezarem, późem Kotys pobił Rzymian w Illyrii r. 50 (Appian. Illyr. 12). A gdy wszczęła się wojna domowa między Pompejem i Juliuszem Cezarem, Kotys orzekłszy się stronnikiem senatu, wysłał swojego syna Sadalesa z posiłkami do Pompeja; a sam pobił Gabiniusza pod Synodyonem, r. 48, i wyrzucił go do Salony (Appian. Illyr. 12, 27; Hist. Bell. Alex. 42 nast.). I rozszerzył swoje władzę w Illyrii, gdy z drugiej strony Daki najeżdżały Macedonią (Cicer. De prov. cons. 4; Suet Jul. Caes. 44; Octav. 8). W skutek poddania się Illyrów Juliuszowi Cezarowi r. 45, wysłał był tenże dla objęcia rządów Watyniusza, ale ów znalazł tam otwartą wojnę, którą z wielkiem wyężeniem toczył (Cicer. Ep. fam. V, 10). Tego roku zakończył życie wielki król Byrebistas w rokoszu (Strab. VII, 303). I w parę miesięcy, r. 44, ten sam los spotkał Juliusza Cezara. Kotys objawszy władzę po ojcu, zniszczył wojsko rzymskie pod Bebiuszem, i samego Watyniusza do Dyrrachium wyrzucił, r. 44 (Appian. Illyr. 13). Podobno także najechał był Macedonią (Appian. B. C. III, 25), gdy synowie jego, Raskuporis pomagał Brutusowi na wojnie z Bessami r. 43 (Dio Kass. XLVII, 25), Raskus pomoc udzielił Oktawianowi (Appian. B. C. III, 87). Było wielu synów u Kotysa, prócz howiem Raskupora i Raska, Kotys i Rymetalkes mieli osobne udziały; gdy znouu wedle nich rządzili w Tracyi, Sitas u Denteletów, w Dacyi Roles u Antarów i Deldo u Bastarnów, prócz tego w Dacyi naddunajskiej Dapyx i Zyrax. Sam Kotys stał na czele państwa, mając pomocnika w najwyższym kapłanie Komosie (Jornand. Get. II; Plutar. Ant. 63). W takim składzie politycznym Oktawian począł wojnę podbojową w Illyrii, zwłaszcza gdy Asinius Pollio już był podbił Partynów r. 39 (Dio Kass. XLVIII, 41; Flor. IV, 12). Kotys zorganizował wielką siłę zbrojną w Illyrii pod Saurem i Testymem. Salassów i innych góralów upokorzył Waler. Messala, na Dalmatów poszedł wojną Agryppa, potem sam Oktawian ich wojował, wkroczywszy z wielkiem wojskiem do Liburnii r. 36, wziął Promonę, Synodyon i Setowie, resztę poruczył podbić Statyliuszowi Taur. (Appian. Illyr. 25—27). Udał się do Japodów r. 34 gdzie wziął Terponos i Metulon, które spalił (Appian. Illyr. 18—20), gdy Helwiusz podbił Posenów (Appian. Illyr. 21). Późem wtargnął do Pannonii, gdzie Siskią wzięwszy, wojnę zakończył (Appian. Illyr. 22—24). Zerwały się do wojny Pannoni, i Fufiusza Gemin. oblegały w Siskii, ale zostały odparte (Appian. Illyr. 28; Dio Kass. XLIX, 38). Nareszcie Wibiusz, r. 33 podbił całkiem Illyryą (Flor. IV, 12; Liw. Epit. X, CXXXI).

Tymczasem przyszło do wojny o władzę państwa rzymskiego między Oktawianem i Antonim. I jakkolwiek tenże umiał rozwinąć ogromne siły; zostały one bez użytku. Wyleli się Dakowie do Italii i zagro-

zili pod niebytność Oktawiana Rzymowi, ale byłoby to niewczasie, że u nich wybuchnęła wojna domowa, r. 31, wydarzyło się to po bitwie pod Aktyum (Horat. Od. III. 6, w. 13—16). Jakoż r. 29 Deldo król Bastarnów podbił Tryballów i Dardanów, i przeszedłszy Hemos, zagroził Sitasowi królowi Denteletów, który się udał o pomoc do Oktawiana. Poczém Krassus, przez tegoż posłany, podbił Skordysków, zwyciężył Bastarnów nad Hebrem i wsparty przez Rolesa, za Dunaj ich przerzucił. W skutek czego Dardanie, Medyje, Serdy i Bessy zostali podbici, a nawet Dacya zadunajska zajęta, gdy Dapyx po wzięciu stolicy z mieszkańcami zginął, znowu Zyraz z Genukli wydalł się o pomoc do Sarmatów (Dio Kass. LI, 23—26). Nareszcie, r. 27 podbił on także Artaków (może Antarów), (Dio Kass. LI. 27). Poczém Prymus najechał Odrysów, r. 22, za co gniewał się August (Dio Kass. LIV, 3). Gdy zaś objął rządy u Odrysów r. 20, Rymetalkes, począł wojnę częstemi podjazdami do Mysii i Pannonii Kotys, która była tém niebezpieczniejsza dla Rzymian, że władza ich tamże nie była wzmocnioną. To téż podczas powstania Besów i Pannonów najechał on Macedonią i Istrią r. 16, i dopiero po upartej wojnie był przez Licinjusza Nerwę wyparty, gdy Lolliusz uśmierzył Bessów (Dio Kass. LIV, 20). Tymczasem Drusus i Tyberyusz podbili Recyą i Windelicją r. 15. (Liw. Epit. X. CXXXVI, Dio Kass. LIV, 22; Wellej II. 95). Zaczém w Pannonii wybuchło powstanie r. 14, które jakkolwiek uśmierzone (Dio Kass. LIV, 24), przybrało większy rozmiar r. 13 (Dio Kass. LIV, 28—31; Oros. VI, 22), nawet r. 12 rozszerzyło się do Dalmacyi, że je dopiero po trzech latach mógł uśmierzyć Tyberyusz (Dio Kass. LIV, 31—34). Że Kotys podtrzymywał je całą swoją potęgą i wszystkimi środkami, zanim był przerzucony za Dunaj przez Lentula, r. 10. (Flor. IV, 12; Horat. Od. III, 8 w. 17). Znowu na wezwanie Wologesa powstały Bessy i wyrzuciły Rymetalka do Chersonesu, r. 11, których także po trzech latach Piso pokonał i do Dacyi przerzucił (Dio Kass. LIV, 34). Przyczém Sellety złupiły Macedonią r. 11 (Dio Kass. LIV, 34). Otóż gdy Kotys umarł r. 9, przerzucił Daków z Pannonii Tyberyusz (Suet. Oct. 21), a z Mysii Piso (Dio Kass. LIV, 36), przyczém dla powstrzymania ich najazdów brzegi Dunaju były twierdzami obwarowane. Rymetalkes Iszy objąwszy władzę w Dacyi, dzielił ją z swoim bratem Raskuporym. Wtedy, r. 5 po nar. Chr. powstała prowincya Mysia (Dio Kass. LV, 29). Zresztą, już obaj byli poniekąd weszli w skład państwa rzymskiego. Jakoż podczas powstania Pannonów i Dalmatów, które objęło całą plemienność trako-illyrską, dzielną pomoc dawali Rzymianom. Wybuchło ono pod dwoma Batonami i Pinnesem r. 6 i oparło się o Istrią i Macedonią (Wellej II, 110), gdy Daki zajęły Mysi (Dio Kass. LV, 30). Po zwycięztwie nad Drawą, Bato oparł się o Apollonią, gdzie zwyciężył Waler Messalina, poczém odwróciwszy osadził wzgórze Almas i pobił Cecynę Sewera. Atoli Germanikus w bitwie nad Wolkejskiem bagnem pomusił do uległości Mazeów, r. 7. Z upadkiem Pinnesa, gdy Bato bryski został za zdradę na śmierć skazany, Bato desydyacki wyrzucony z Pannonii przez Aul. Cecynę, Plaut. Silwana i Rymetalka, przerznął się do Dalmacyi; tu coraz więcej ściśnięty, gdy Plaut. Silwanus podbił Brygów, Mar. Lepidus Piru-

stów i Desytyatów r. 9, długo bronił się w zamku Anderyon, aż nareszcie poddał się Tyberyuszowi r. 10 (Dio Kass. LV, 29 do 34; LVI, 12; Wellej II, 112—116). Kotys II r. 13 nastąpił po swoim ojcu, który wyznaczył mu na opiekuna brata swojego Raskupora i cesarza Augusta. Wtedyto w wyludnionym kraju osiadły Sarmaty, które wspólnie z Dakami łupily Mysią r. 15 (Suet. Tiber. 41; Histor. miscell. VII, p. 53). I podobno Mazeje i Ozije przesiedlili się do Dacyi i Germanii (Tacit. Germ. 28); tak samo jak Krobyzy do Skytyi (Plin. H. N. IV, 26, 1). Klótnia Kotysa ze stryjem Raskuporym, gdy tenże na uczcie uwięził tamtego, a potem kazał go zabić, dała powód do zajęcia Tracyi przez Tyberyusza, gdzie chociaż rządy objął Rymetalkes II, rzeczywiście rządził prefekt Trebellienus Rufus, r. 19 (Tacit. Annal. II, 65—67). Traki były ciemiężone, tak że Odrusy, Dyjeje i Kelety r. 21 wypowiedziały posłuszeństwo Rymetalkowi, którego obległy w Filippopolu, i uśmierzone przez Publ. Wellejusza (Tacit. Annal. III, 38—39), powtórnie powstały pod wodzami Dynem i Tarsą r. 26, i dopiero po długim oporze uległy Pop. Sabinowi (Tacit. Annal. IV, 46—51). Ze śmiercią Rymetalka. Tracya została rzymską prowincją, r. 47, (Dio Kass. LX, 15); chociaż urządzenie na stopę rzymską nastąpiło dopiero w kilkanaście lat później pod Wespasianem (Suet. Vesp. 8; Eutr. VII, 19). Czy Dacya uległa Rzymianom podczas jego rządów, wątpliwa. Ale i w niej tak samo się wiodło, jak w Tracyi. Pustoszyły ją Sarmaty i Bastarny; a nawet osiedlali się w niej Alanie. Jakoż Plaut. Silwanus odparłszy ich najazd, wielką ilość Daków osiedlił w Mysii, (Grater. Thes. insor. p. 453).

Okolo r. 63. Duras objął rządy, i podobno aby zabezpieczyć kraje swoje od napaści pogranicznych ludów, zawarł przymierze z Rzymianami (Jornand. Get. 13), chociaż stosunki z nimi przez najazd Daków do Mysii r. 69 zostały zerwane (Tacit. Histor. III, 46). Wojewodą dackim był Darpan de Cebal; odznaczał się on nietylko jak wódz i polityk, ale miał także wyższe pojęcie religijne, będąc chrześcianinem; to skłoniło Durę oddać mu rządy okolo r. 72. Darpan starał się najpierw moralne siły narodu wykształcić i podnieść, poczem rozwinąwszy ogromną potęgę, gdy rozprzestrzenił granice swojego państwa do Dniepru i Wisły, a nawet wzmocnił się przymierzem ze sąsiadami, poszedł wojną na Rzymian. Wtargnął do Misii, gdzie Sabinus w bitwie poległ r. 88, i zniszczył twierdze naddunajskie (Jornand. Get. 13). Gdy zaś Domicyan przybywszy do Mysii, posłał przeciwko niemu Kornel. Fuska, pod Tapami zniósł jego wojsko, i samego zabił, r. 89. (Eutr. VII, 15; Jornand. Get. 13). Wprawdzie Julian pobili Daków pod Tapami i podstąpił pod Zarmizegutę, z kąd fortelem Darpana odparty, odwrócił r. 90 (Dio Kass. LVII, 10); ale w przesmykach zniósł go Darpan i samego zabił, (Tacit. ap. Paris. Sarmat III, p. 42; ręk. Inst. Ossol. CVI). Gdy zaś jeszcze do tego pobili Domicyana Markomanie, zawarł pokój z Darpanem z obowiązaniem płacenia dani, r. 92 (Dio Kass. LVII, 7). Trajan objąwszy rządy, aby uwolnić Rzymian od zwierzchnictwa Daków, przedsięwziął przeciw nim wyprawę. Darpan najechał Mysią r. 101. Pod Tapami po dzielnym oporze rozbity przez Trajana r. 102, gdy Lusus Kwiet. i Maxim. Norbanus ponad Alutę weszli w głąb Dacyi, słaby



opór mógł stawiać, i lękając się o Zarmizegetusę, zawarł pokój uznawszy zwierzchnictwo rzymskie r. 103 (Dio Kass. LVIII, 6—7). Gdy zaś groziła mu druga wojna, wezwał do związku z sobą Germanów, Sarmatów, ludy kaukazkie, a nawet Pakora II króla Partów (Plin. Epp. X, 16). W téj wojnie wyczerpał Darpan wszystkie środki do swojej obrony. Gdy mu się nie udało zabójstwo Trajana, który był zajęty budowaniem mostu na Dunaju, przy każdój warowni staczał zacięte bitwy, niekiedy zwyciężkie. Trajan wyprowadziwszy do boju 13 legionów, (Orell. Inscr. II, Nro. 773, 3048, 3049, 3445, 3454, 3455; Gruter. Thes. inscr. 429, 1, 513, 3), z wielką ostrożnością coraz głębiej w kraj postępował. Ze wszech stron szli Rzymianie, i jeden wojewoda za drugim broń składał. Po upartój bitwie pod Zarmizegetusą, gdy téjże mieszkańcy bohaterko zginęli i sami miasto zniszczyli, skończyła się ta wojna podbiciem Dacyi i samobójstwem Darpana. r. 105. (Dio Kass. LVIII, 8—14).

W nowo uzyskanój prowincyi otoczonój wieńcem Karpat (Jornand. Get. 5), z której wyszli mieszkańcy do Skytyi i Germanii, szukając przytułku u swoich przymierzeńców podczas wojny, osiedli Rzymianie z całego państwa. W miarę spotężenia się wychodźców trako-illyrskich, że przez inteligencyą przeważny wpływ wywarli na ludy germańskie, sarmackie i czuckie, bardzo wczesnie zawiązała się rzesza ludowa, która rozpoczynszy walkę z Rzymianami, musiała ich siły wyczerpać, i głównie przyczynić się do upadku państwa; mimo, że to starało się o ujęcie obcych żywołów, a nawet je przyjmowało na osadnictwo w swoje prowincye.

Dlatego bardzo niepewną posiadłością była prowincya Dacya, że już Hadryan następca Trajana, chciał z niej ustąpić (Spart. Hadr. 5). Poczém pod Antoninem r. 145 wzmoogli się w Dacyi krajowcy i powstałi (Jul. Capit. Ant. 5). Gdy zaś związek Gotów, a łącznie z nim Trakoillyrów, dał powód do wojny markomańskiej, r. 166, ludy germańskie zajęły Pannonią i Illyryą; Goty, Trako-illyry zaś z Alanami, Dacyą i Mysią, a nawet posunęły się aż do Grecyi, (Chron. Pasch. p. 26; Jul. Capit. Marc. Auttel. 22; Paus. X, 34); i dopiero po długiej, strasznej wojnie wywalczył Marek Aureli pokój wprowadzie zaszczytny, ale niepewny. Zaczém znowu powstałi Dakowie za Kommoda r. 182. (Lampr. Comm. 13), poczém Kostoboki i Karpy złupiły Dacyą, r. 192 (Dio Kass. LXXXII, 8). Z osiedleniem się Gotów nad Dnieprem wojna z ludami graniczącemi z państwem rzymskiem była od dnia do dnia straszniejszą. To téż Goty, Alanie, Karpy, nieznanne ludy z głębokiej Półnoey łupiły Dacyą, Tracyą, Macedonią, Grecyą i Małą Azją. Tak Karpy za Gordyana r. 238 zburzyły Istropolis (Jul. Capit. Max. et Balb. 16), znowu pustoszyły Mysią i Tracyą r. 243 (Jul. Capit. Gord. 26), i wspólnie z Gotami za Filipa wylały się do Tracyi, r. 245. (Jul. Capit. Gord. 34). W wylewie tych północnych ludów na prowincye państwa rzymskiego r. 252 i 262 (Zosim. I, 27—31), zdawało się, iż zostaną one tychże zdobyczą. W tych okolicznościach Aurelian r. 274 opuścił Dacyą, zabrawszy z niej łacińskich mieszkańców. Poczém gdy za Dyoklecjana, r. 293 Karpy najechały Pannonią, rozbite w niej osiadły (Eutr. IX, 15; Jornand. Get. 16). Jeszcze raz weszły Karpy z Hunnami i Scyrami do

Mysii r. 381, z kąd ich wyrzucił Teodosiusz (Zosim. IV, 34; zrów. Marcell. Chron. ad ann. 379).

Po wielu wiekach plemiennosc trako-illyrska, glównie zajawszy wyzyny Dniepru i Dzwiny, stęzala i wzmogła się: gdy obce żywioły nadały jęj nowych żywotnych sił. I od miejscowości bagnistęj zowiąc się Słowiańską, gdy już gotową nazwę Wenetów, ojczystym językiem nazwała, lubiła przypominać dawne swoje pochodzenie pod ogólną nazwą Trausów (Sporów), albo tęż szczególną po najznakomitszych ludach trako-illyrskich: Autarów i Getów lub Daków.

Z podbojem Hermanaryka króla Gotów ludów czudzkich, sarmackich, litewskich i alańskich, gdy wspólnie z nimi ulegli Słowianie, poczynają się dzieje ich w Skytyi, r. 350. (Jornand, Get. 23). Z wylaniem się Hunnów do Skytyi, weszli oni w skład państwa hunńskiego, r. 376. (Jornand. Get. 24), i za nimi osiedli w Dacyi i Pannonii.

Oto jest krótki przegląd dziejowy plemiennosci trako-illyrskięj, od jęj początku aż do urobienia się z nięj słowiańskięj.

Z powrotem Hunnów nad Don, gdy Kozary i Bołgary niepokoili państwo rzymskie, w Dacyi powstała pierwsza społeczność słowiańska, która, jakoby przez wspomnienie świetnych czasów Darpana, zajęła dawne swoje granice.

---

*Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik, wydał Kazimiérz Wł. Wojcicki. Warszawa, 1852.*

Przyjęty jest zwyczaj w naszęj literaturze, że recenzent powinien chwalić dzieła autorów, z któremi zostaje w stosunkach zażyłości lub przyjaźni. Wychodząc z tęg zasady, należałoby wypalić szumną pochwałę wydanemu przez K. W. Wojcickiego Pamiętnikowi, i na tęg przestać. Odważę się wyłamać zpod ogólnego prawidła, i szczerą prawdę powiem o Pamiętniku, bez względu na osobę wydawcy.

Pan Wojcicki puścił w świat białego kruka, książkę niezmiernęj rzadkości, która była odbita w 80 exemplarzach około roku 1680: Pamiętnik Jana Stefana Wydźgi. Do tego dołączył zyciorys autora, który był zarazem człowiekiem publicznym.

Jan Stefan Wydźga, cud kaznodziejów, luminarz wymowy politycznej, był kaznodzieją nadwornym i sekretarzem Władysława IV, za Jana Kazimiérza kanclerzem Maryi Ludwiki, a w tułactwie jęj towarzyszem; przechodząc następnie rozmaite stopnie hierarchii rządowęj, był biskupem łuckim, warmińskim, podkanclerzym koronnym i arcybiskupem gnieźnieńskim. Pisał o rzeczach, na które własnemi oczyma patrzył, a wydał bezimiennie, dla przyjaciół, w małej liczbie exemplarzy.

Pamiętnik Wydźgi w oryginale, taki tytuł nosi: „Historia, abo opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwe-

dzkiej w królestwie polskiem, od roku Pańskiego 1655 w miesiącu lipcu, aż do roku 1660 w miesiącu maju trwającej, w sobie zamykające, i do wiadomości potomnym wiekom podane.“ Nie jestto opisanie wojny szwedzkiej, ale raczej pochwała na cześć Maryi Ludwiki. Sam autor powiada: „Przyczyny, progressy i skutki téj wojny, opiszą większe i lepiej utemperowane piora, (i ja sam o tém zamysławam sporo). Teraz biorę sobie ze cel i zabawkę, namienić, co dla naszój ojezyny, w jój tak ciężkim razie, czyniła miłość królowej Maryi Ludwiki”. Zapowiada na wstępie, że przyswiecać nie myśli nienależytemi i wymyślonemi pochwałami, bo daleki jest od pochlebstwa i od potrzeby pochlebowania, żyjąc sobie zdala pd spraw publicznych, kochając kącik domowy, a prawdę mówiąc po staropolsku. Minął się z prawdą, bo jako senator, pomimo wrodzonej ociężałości, nie mógł żyć zdala od spraw publicznych.

Pan Wojcicki przytacza zdanie Brauna o Pamiętniku Wydźgi, powtórzone przez mojego ojca, i utrzymuje, że to zdanie jest wierutném kłamstwem. Nie mogę się na to zgodzić, i będę się starał dowieść, że to zdanie jest szczerą prawdą. Oto jest co do słowa ustęp z dzieła: O Dziejopisach polskich. „Zajmują go nadewszystko rady, czyny i przymioty Ludwiki królowej; obowiązany jój za dostojenstwa otrzymane, dzieło swe nietylę użytkowi publicznemu, jak złagodzeniu na królowę rozjątrzonych umysłów poświęca, i nadewszystko zaleca pokój wewnętrzny. Pismo swe najeża zdaniem ze starożytnych pisarzów wyczerpanemi”. Ten ustęp zawiera w sobie dwie myśli: że Pamiętnik jest poświęcony czynom królowej, i że Wydźga pismo swoje najeżył łacińskimi cytatami. Dystylując ten ustęp, nic się więcéj z niego nie wyciśnie. Jednó i drugie jest zupełną prawdą. Zgadzam się z panem Wojcickim, że nie powinnismy na słowo przyjmować wyroków cudzoziemca, że powinnismy sądzić lepiej i rozumnie; ale na starą rutynę nie ma co tak bardzo powstawać, bo stara rutyna, jestto krok do przyszłości.

Hołd modzie ma swoje granice, a człowiek wyższych zdolności, wyłamuje się ze szkolarskich więzów. Wydźga wystroił swój Pamiętnik w cudze pióra, zasypał go zdaniem obcemi, nie przeplatał mowy polskiej łacińskimi słowami ze starego przyzwyczajenia, ale rozmyślnie haftował sentencyami, tak, jak gdyby kto dzisiaj za każdym słowem powtarzał wieszczą znad Niemna, Zaleskiego, albo Wincentego Pola.

Zgadzam się z panem Wojcickim, że Wydźga nie pochlebiał, i że pisał z przekonaniem; jednak Pamiętnik był pisany za życia królowej, ze względem na własną osobę, o tém przekonywa ustęp przywiedziony przez pana Wojcickiego: „Kiedyby Bóg dał pokój, żylibymy sobie w Polsce jak w raj, pod takiem państwem, kędy wolny każdemu przystęp, kędy nie utają się ani w niebaczenie isć nie mogą zasługi, bo się w oczu pańskich dzieją, kędy enota rość gwałtem na złość adwersarzom musi, bo ludzi godnych i na ustroniu siedzących zażywają, ratują, zdobią; enota a zasługa najlepiej popłaca”. Że za wpływem królowej został biskupem łuckim, a potem warmińskim, to wątpliwości nie ulega; a biskupstwo warmińskie nie byłato rzecz małej wagi: kardynał Hozyusz przestał na tém biskupstwie, Andrzej Batory zamienił je na czapkę książęcą. Sumienny biograf Janocki utrzymuje, że abdykacya Jana Kazimierza wiel-

ce zasmuciła Wydźgę, bo za swoje prace i usługi spodziewał się jeszcze większej nagrody. A co do ducha obywatelskiego Wydźgi, wielką wątpliwość rzuca *Te deum laudamus*, i wotywa odprawiona na podziękowanie Bogu, że pod Wiedniem obeszło się bez jego pieniędzy. Na dowcip Wydźgi także się zgodzić nie mogę; karmienie paszтетem ze szcurów, i pojenie kwaśnym piwem z zapylonego kufła, sąto grube żarty, które do razu mogą się udać, a za drugim razem prymasowi nawet nie uchodzą. Żeby był człowiekiem nadzwyczajnych zdolności, to się z wydanej przez niego historii nie pokazuje. Jeśli wszystkie cytaty, któremi swoje dzieło zahaftował, pisał z pamięci, trzeba przyznać, że miał pamięć lokalną.

Nie wiem czy na swoim miejscu będzie tutaj uwaga, że u nas wychodzi wielka liczba pamiętników, które nie są pamiętnikami. Jeśli kto wydaje kilka starych szpargałów, które mają historyczne znaczenie, albo zbieraninę ze stariej *sylova rerum*, wnet ją ochrzczi nazwiskiem pamiętników, chociaż do tego nazwiska, rzecz sama nie ma żadnego prawa. Pamiętnik jest to, co się pisze z pamięci; a któż widział, żeby pisano z pamięci kronikę, albo uniwersał poborowy, albo spis klejnotów. Pierwszy przykład dał autor *Dziejów Zygmunta IIIgo*, który źródła historyczne nazwał pamiętnikami, a my przez lat 30 nie możemy się otrząsnąć z mylnego użycia wyrazu.

P. Wojcicki wśród ogólnej zmartwiałości ducha, która rycerstwo objęła w czasie najazdu szwedzkiego, zwraca uwagę na trzy postaci: Czarnieckiego, Kordeckiego i Maryi Ludwiki. Niegodzi się zapominać o gorliwym stronniku króla wygnańca, który należał do zawiązania konfederacji tyszowieckiej, o pogromcy Rakoczego; pozbawiony godności i urzędów, za opór w sprawie o następstwo tronu, przeciw stronnictwu francuzkiemu, po dwakroć odniósł walne zwycięstwo, dobrowolnie na Szląsk się usunął, i na wygnaniu życia dokonał. W naszych dziejach są postaci zapoznane, którym w późniejszych czasach dopiero zaczęto oddawać sprawiedliwość. Do rzędu takich postaci należą Jeremi Wiśniowiecki i Jerzy Lubomirski, mąż rycerski, podniosłego ducha, buźliwy i dumny, ale prawości i cnoty nieskazitelnej.

Nieszczęścia są kamieniem probierczym na człowieka: wielkość Maryi Ludwiki w nieszczęściu zajaśniała. Karol Gustaw niespodzianie wojnę z Polską rozpoczął. Widząc, że na Prusy godzi, królowa tam się udać chciała, żeby obecnością swoją szlachtę i miasta zagrzać do obrony. Na radzie senatu postanowiono, żeby jechała do Krakowa. Pojechała tedy, a niezłamana klęskami użyla wszelkich niebieskich i ziemskich sposobów, żeby podźwignąć zrozpaczoną sprawę. Objężdżała kościoły, ubogim sypała jałmużny, na zamku trawiła bezsenne noce, oblewając serce pokutnym żalem a twarz serdecznymi łzami; przytém ustawnie koło tego chodziła, żeby miasta postawić w stanie obronnym i w żywność opatrzyć. Z Krakowa wyjeżdżać nie chciała, choć gorsze co godzina przychodziły nowiny. Wydźgę swojego kanclerza posyłała do Gembickiego bis. krak. oświadczając publicznie, że gotowa wytrwać obleżenie, i ustąpieniem z miasta ludzi trwożyć nie będzie; żądała od niego, żeby srebra kościelne oddał na potrzebę krajową, boć kościół ma srebro i złoto nie na to, żeby chował, ale żeby ratował w potrzebie. Co tylko rozum ludzki wymyślić

może przeszło przez jego głowę, ale daremnie, bo już było zapóźno; nieprzyjaciel z gotową potęgą stał nad karkiem, a tu trzeba było dopiero zbierać się i gotować; nieprzyjaciel trzymał broń w garści, a tu dopiero o broń się starano.

Po nieszczęśliwej porażce pod Opoczmem, król radę złożył, na której stanęło, żeby królowa na Szlązk się schroniła. Żal ściszał jej serce: smutnato rzecz być wygnanką, cudze wycierać kąty, słuchać żałujących pieśni, stracić koronę, a co gorsza, patrzeć na ruinę poddanych. Stanąwszy w Bielsku, pierwszym za granicą szląckim miasteczku, w ciemny wieczór widziała łunę pożarów:—to gorzały krakowskie okolice.

Na Szlązku mieszkała w Głogówku, dokąd wkrótce przybył Jan Kazimiérz, który z Polski ustąpić musiał. Strach i rozpacz zdjęła ludzi. Straciwszy nadzieję o tém tylko myśleli, żeby łaskę zaskarbić szczęśliwego zwycięzcy. Biada temu, kto sam o sobie zwątpił! Królowa nie upadała na duchu. Bóg karze, a po chwili utuli i pocieszy. Na téj wierze w Opatrzność gruntowała swoje nadzieje. Srebro, złoto, klejnoty i co tylko miała kosztownego, sprzedała albo dała w zastaw, a pieniądze rozdała między ludzi wojennych. Inne królowe zbierały w Polsce miliony; ona swoje miliony rozsypała, żeby lud podźwignąć z ostatniej niedoli.

Senatorowie zgromadzeni na Szlązku, wyprawili do królowej Jana Leszczyńskiego wdę poznańskiego, który poważnie i szeroko dowodził, że król powinien złożyć koronę w silniejsze ręce. Marya Ludwika wysłuchiwała jego mowy w łagodnym milczeniu, a pomyśliwszy trochę, odpowiedziała, że chociaż to żalosna i przykra rada, przedstawi ją królowi. „Dziwi mnie to jednak, dodała, że Polacy tak upadli na duchu; gdyby połączyli się z królem i panem swoim, wróciliby do dawniej sławy i złamali losy przeciwnie: bo nie ma nic tak trudnego pod słońcem, czegoby zgodna odwaga dokazać nie mogła.“

Pomówiwszy z królem, taką dała odpowiedź księdzu Andrzejowi Leszczyńskiemu arcybisk. gnieźnieńskiemu, Janowi Leszczyńskiemu wdzie poznańskiemu i Korycińskiemu kanclerzowi kor.: „Król JM. za jedyny cel miał zawsze, ma i mieć chce dobro narodu polskiego, zaczęm oświadczam, że jeśli Polacy nie mają sił i sposobów aby uczynili odpór najeźdźcy, i jeżeli wiedzą o takim panu na świecie, któryby ich skutecznie w tém nieszczęściu ratował, gotów jest oddać w ręce Rzplitej to wszystko, co wziął od niej, byleby przez to mógł upewnić poddanym pokój i bezpieczeństwo.“

Po wzięciu Krakowa, generał szwedzki Forgnel przyjechał do króla na Szlązk z pułkownikiem królewskim Henrykiem Denhofem, którego Szwedzi uwolnili na słowo. Forgnel w imieniu Karola Gustawa traktował z Janem Kazimiérzem, zapewniając, że Karol Gustaw znowu go posadzi na tronie polskim, i tego tylko pragnie, żeby król JM. przyjął go za syna i hetmana. Wiele bluźnił przeciw ustawom krajowym, powiadając, że teraz czas przyciąć Polakom polę i podebrać im swęj woli, jak pszczołom miód podbierają. Król słuchał go z niesmakiem i taką dał odpowiedź: że jeśli król szwedzki chce być uznany za następcę, najlepiej byłoby postępować szczerze, i zwołać, upatrzwszy czas sposobny, stany koronne i W. Księstwa. Taką samą odpowiedź królowa dała Denho-

fowi. Wkrótce potem z podobnym poselstwem przyjechał Wolf starosta dynaburski, prosząc, żeby król wszedł w układy szczegółowe z Szlipenbachem. Królowa radziła, żeby nie pozwalać na przyjazd Szlipenbacha, bojąc się wichrowatęj i do złych praktyk skłonnęj głowy tego człowieka. Odwodziła króla od układów, przekładając że na słowach Karola Gustawa polegać nie można, bo u niego wiara jest kłamstwem, a traktaty zabawką, i teraz to jego fortel, żeby zwabić króla i wyprawić taką komedią, jakiej dawno świat nie widział. A do tego niegodzi się porzucać ludzi zacnych, którzy odżałowawszy fortun swoich, nie litując zdrowia, udali się za królem swoim na wygnanie, gotowi przy jego boku czekać ostatniej doli. Co do mnie, mówiła dalej, żadną żywą miarą takim sposobem nie chcę wracać do Polski; wolę tulać się po obczyźnie, niż z niesławą zasiadać na majestacie. Trzeba nam ze sławą wrócić do Polski, albo zagrzebać się w życiu prywatnym. Czekałmy, szczęście może się jeszcze odmieni.—Czas pokazał, że zdrowe były jęj rady.

Karol Gustaw przysięgami grał jak kostkami, jak dowcipny żart jaki nieraz powtarzał, że nie chce być niewolnikiem swego słowa. Ręce jego, jak u kuglarza, w ustawicznym były ruchu; jednemu dał, drugiemu wziął; obiecał, zapewnił, a z obietnic i zapewnień nic sobie nie robił; chwalił, głaskał, w głowę całował, a w drugą stronę mrugał, i wyobrażał sobie, że na tych sztukach ludzie się nie poznają. W jego sługach i radnych panach też sama była szczerłość i dobra wiara. Co pan kazał, ślepo wykonywali, a na Polskę tak mieli zaostrzony apetyt, że radziby ją połknęli odrazu. Przewidując, że pan ich przez jedną zimę tylko będzie w Polsce gospodarował, rwali każdy dla siebie, i tak wyszlamowali zamki i dwory szlacheckie ładując łupem szkuty i okręty, że nawet drzwi powydzierane odsyłali do Szwecyi. Z żalem i z oburzeniem patrzyli Polacy na ten rabunek.

Król zwołał senat do Opola. Tam przyjechał Służewski od Jerzego Lubomirskiego marszałka w. kor. i od innych panów, którzy uchylwszy się przed zawieruchą, przesiadywali na granicach węgierskich. Ten przyniósł piérwszy požadaną nowinę o dobrém usposobieniu wojska. Królowa radziła, żeby niezwłocznie do kraju wracać, przekładając, że stracona chwila niewynagrodzoną szkodę przynieść może. To niepomału utrudniało wyjazd, że nie było pieniędzy, a klejnoty były pofantowane. Koryciński kanclerz kor., który przebywał w Nessie, nie radził rzucać się w niebezpieczne przedsięwzięcie. Królowa przekonała go, a wywody jęj były tak gruntowne, że kanclerz przed wyjazdem Jana Kazimiérza, stanął przy jęj boku.

Król rezolutnie bez odwłoki wsiadł na koń, wyjechał w sobotę, jako w dzień zdawna światu szczęśliwy, w dzień Matce Bożęj poświęcony. W Raciborzu powitali go posłowie od wojska, w Dukli Jerzy Lubomirski z niemałym orszakiem panów. Kiedy król wrócił, nadzieja w serca prawych obywateli wstąpiła. Jego przyjazd duchem bożym wszystkich jednoczył: królewskie wojska parły Szwedów i odzyskały Warszawę.

Królowa nie próżnowała przesiadując na Szlązku: za jęj staraniem odzyskane zostały Krzepice, Piotrków, Sieradz, Wieluń, Pilica, Laneko-

rona, Bolestawiec; rozsyłała w rozmaite strony wysłańców; tym, którzy walczyli dostarczała pieniądze; szwedzkich dowódców ujmowała datkiem i obietnicami, a do Częstochowy posłała znaczną sumę.

Po nieszczęśliwem wojska naszego zpod Warszawy ustąpieniu, królową traktowała w Lublinie z posłami francuzkiemi, i tyle dokazała, że od tego czasu korona francuzka nie przestawała nalegać na króla szwedzkiego, żeby z Polską zawarł pokój i Prus zabranych odstąpił. Dała znamienitą gromadę pieniędzy Kazi adze; zatém Tatarowie złączywszy się z Wincentym Gosiewskim hetmanem polnym lit. odnieśli zwycięstwo, które przyniosłoby ważniejsze skutki, gdyby królowa nie musiała zostać w Olborzu, gdzie król ją zostawił jadąc do Prus dla dróg niebardzo warownych. Królowa częstemi listami prekładała Janowi Kazimiérzowi, żeby się jak najprędzej godził z kurfirszttem brandeburskim. Do traktowania był wyznaczony Wydźga, naówczas biskup łucki; ale ci, którzy rozumieją że na świecie nic się dobrze dzieć nie może, co się przez nich nie dzieje, rozmaitemi wymysłami dyskredytowali go u dworu. Elektor odnowił przyjaźń z królem szwedzkim, i co był nagotował sto tysięcy talarów twardych dla Rzplitej, za to, żeby mógł być w Prusiech panem i sędzią zwierzchnim, dał je zaraz królowi szwedzkiemu.

Królowa wyjechała do Gdańska; towarzyszył jej w drodze Stefan Czarniecki wda ruski, i ten był świadkiem nieustraszonego jej serca. Dano znać, że nieprzyjaciel napadł na tabor. Pan wojewoda z twarzą jak zwykle wesolą w chwilach niebezpieczeństwa, zbliżył się do królowej prosząc, żeby się oddaliła w miejsce bezpieczne; ale ona nie pierwój ruszyła z miejsca, aż wszystkie jej damy i dworsey przejechali.

W Chojnicach w wilią Nowego Roku (1657), o północy Czarniecki przyszedł do królowej, dając znać, że na wojsko które pod rozkazami hetmanów cofało się od Gdańska, i niedaleko było Chojnic, napadli Szwedzi, zatém musi iść swoim na pomoc; prosił królowej, żeby nie trwożyła się jeśli Szwedzi uderzą na Chojnice, i żeby nie wchodziła z nimi w żadne układy. Królowa bez najmniejszej trwogi odpowiedziała: „Jedź Waszmość z błogosławieństwem bożem, a bądź tego pewien, że się tu nie poddamy łatwo; doczekam tu Waszmości.“ Poszczęścił Pan Bóg: Czarniecki Szwedów różbił i przysłał królowej niemało więźniów, między nimi byli téż Francuzi, których kazała uwolnić. O południu przyjechali panowie hetmani z panem wojewodą i radzili królowej, żeby wracała do Polski; ona zaś utrzymywała, że wojsko powinno wrócić do Gdańska. Przez dwa dni od 6 zrana do 9 wieczorem odbywały się ciągłe narady. Dano dowództwo nad królewskim oddziałem panu wojewodzie, który zwątlwszy wojsko Sztebokowe, dobrze usłużył królowi w drodze do Częstochowy, a właśnie na czas, bo Rakoczy swoim wtargnieniem wielką sprawił różnicę. Królowa chciała djabła przez djabła wygnać, i Rakoczego przeciw Szwedom obrócić, żeby sobie nawzajem urywali głowy. Pisała ona, pisał i Jan Leszczyński wda poznański do Polaków, którzy byli przy Rakoczym. Już się w tę stronę rzeczy skłoniły, że Rakoczy obawiając się Turków i Tatarów, którzy z Polską trzymali, przysłał Pomezkiego, który przywiózł do królowej listy od Kimini Janusza, Mukie-

sza i Stanisławskiego. Życzenia jej nie zostały spełnione, bo jeszcze nie wybiła godzina, i jeszcze nie zesłał Bóg Polsce miłego odpoczynku.

Bogusław Leszczyński podskarbi koronny, będąc posłem w Wiedniu, nie chciał się zgodzić na odstąpienie połowy żup solnych, w zamian za przyrzczone posiłki. Królowa bez wahania zrzekła się swoich dochodów, które miała z żup solnych, i króla do tego przywiodła.

Po zawarciu téj ugody, królowa rozumiała, że teraz łatwo będzie odzyskać to, co Szwedzi zabrali, i dlatego z niesmakiem przyjmowała ofiarowane pośrednictwo Francyi. Wkrótce spostrzegła, że sąsiedzi pomagają nieszczercze, i usiłują przewlec wojnę. Więc kiedy w Bydgoszczy posłowie cesarscy nalegali, żeby król podziękował posłowi francuzkiemu de Lumbres, i odprawił go ode dworu; królowa na to nie pozwoliła. O traktatach bydgoskich mówiła, że nie byłyby tak ciężkie, gdyby posłowie cesarscy nie przydawali im wagi, dla pozyskania kreski elektora brandeburskiego.

Generał cesarski Hasfelt utrzymywał, że to rzecz niepodobna dostać Torunia, i postanowił udać się do pomorskiej ziemi, na ratunek królowi duńskiemu. Odciągnął do Wielkopolski, i czekał na rozkaz z Wiednia; nie było widać rozkazu, który na każdy tydzień obiecywano, a Niemcy rozsiedli się po dobrach królewskich, duchownych i szlacheckich, i gospodarowali jak w swoich własnych. Drugi generał Hagster wszedł do Polski z 4,000 jazdy, obiecując, że uwolni z rąk szwedzkich Elbląg i Malborg; ale zaszedłszy do Warmii, tam sobie zażywał wczasu i dobrego pożywienia, z ruiną mieszkańców.

W Rokstildzie stanął pokój między królem szwedzkim i duńskim. Poseł francuzki de Lumbres szczerze życząc Polsce pokoju, pojechał do Wismaru do króla szwedzkiego. Kurfirszt brandeburski posłał także swojego radcę Szweryna; ale Szwed nadęty powodzeniem, nie chciał mu dać posłuchania; posłowi francuzkiemu odpowiedział, że gotów wejść w układy, jak do Polski wróci. Taką odpowiedzią pokrywał swój zamysł napadu na Danią, gdzie rozumiał, że w krótkim czasie wszystko zagarnie. Wzbił się niesłychanie w dumę, ale pod Kopenhagą zastanowiło się koło jego fortuny.

Hetman cesarski Muntekukuli, wzywany przez króla, żeby szedł z nim dobywać Torunia, obiecał; aliści potem z drogi posłał do Nieporętu, wymawiając się, że ma rozkaz od swego pana, aby szedł na ratunek króla duńskiego. Król nie chcąc zrażać sprzymierzeńca, kazał Czarnieckiemu, żeby szedł w tę drogę, i złączył się z cesarskimi.

Drugi hetman cesarski Desonches oporem stawał pod Toruniem, i wielkie nakłady marnieby poszły, gdyby król z marszałkiem w kor. wytrwała dzielnością nie popierali oblężenia do końca. Królowa przebywając w obozie, utrzymywała ich w postanowieniu, a wylana na miłosierne uczynki, opatrywała chorych i rannych.

Cesarscy i elektorscy gwałtem ciągnęli króla, żeby wszedł w nowe traktaty z Danią. Sprzeciwiała się temu królowa, dowodząc, że powinniśmy czynić dla króla duńskiego wszystko co możemy, ale zobowiązywać się ścisłym związkiem, byłoby przeciwne zasadom zdrowej polityki, dopóki Holendrzy nie zaręczą, że on bez nas pokoju ze Szwedami



zawierać nie będzie, i dopóki nie wejdą z nami w tak ścisłe przymierze, jak z królem duńskim. Na jój zdanie przystali senatorowie; bo coby za pożytek byłby dla Polski, wiązać się z królem duńskim, który raz już zawiodł położoną w nim wiarę, i pod jego ruinę nadstawiać głowę. Proponował Holendrom przymierze Pinocci, ale oni na to zgodzić się nie chcieli.

Król szwedzki tymczasem siedział w Zelandyi, mając nad sobą dwie floty: angielską i holenderską, które go trzymały na wodzy. Francya przyrzekała mu ratunek, pod warunkiem, żeby zawarł pokój z Polską. Król szwedzki traktował z Polakami, ale żadnym żywym sposobem nie chciał ustąpić Prus, w których się niezle usadowił.

Sprzymierzeńcy pilnie nad tém pracowali, żeby rozchwiać zamierzony pokój. Nie dał się uwieść król i senat szumnym obietnicom odzyskania Inflant, i stanęło na tém, żeby wejść w układy ze Szwedami w Oliwie. Kommissarze mieli do czynienia wiele ze Szwedami, ale więcej z naszymi przyjaciółmi, którzy uwzięli się, żeby puścić w odwłokę traktaty, i dlatego brali się bardzo za interesa króla duńskiego, bardziej, niż sam jego poseł. Poseł holenderski powtarzał, że lepiej zgubić Prusy, niż Kronenburg (Sund duński). Na to kommissarze odpowiedzieli, że dla Polski Sund na nic się nie przyda, kiedy nie będzie miała wolnego spławu do morza. Przychodziło do groźby, że cesarz i elektor przeciw Polsce się obróca, kiedy będzie traktować bez króla duńskiego. Nalegali, żebyśmy nie tracili zręczności wprowadzenia wiary św. katolickiej do Inflant. Żartowali z téj pobożnej gorliwości kommissarze polscy, powiadając, że bardzo sobie życzą, żeby wiara kwitnęła nietylko w Inflantach, ale i w Berlinie.

Te są zabawy i prace królowej, nie tak wypisane, jako raczej zdalka namienione. Pełna jest Ukraina jój sławy, bo nie oszczędzała swoich dochodów i sprzętów, na pozyskanie dobrego tam u ludzi rozumienia. Naród ukraiński matką ją nazywa, a niedawno Kozacy domagali się, żeby ona potwierdziła umowę, zawartą między nimi a Rplitą: tak wysoko cenią jój słowo. Prosilili ją o to gorąco; ale ona odpowiedziała, że w tak ważne sprawy, białogłowom mieszać się nie należy. Dla dobra pospolitego zrzekła się Lubomli i Bobrzyka, z których miała dochodu do 60,000 złotych. Nikomu nie tajno, jak dobroczynnie ludzi prywatnych ratować zwykła; zgola o chciwość, nawet nieprzyjaciel posądzać jój nie będzie. Do tego znać w niej szczerą życzliwość ku narodowi polskiemu: wystawia zawsze serca, odwagę i grzeczność Polaków, a gdy Pan Bóg zdarzy, co ku sławie narodu, zaraz to każe ogłaszać po obcych ziemiach. Ztąd téż pochodzi, że życząc téj koronie dobrze, nie promowuje na wysokie urzędy i dzierżawy bogate, jedno ludzi zasłużonych, cnotą i rozumem znamienitych. Cudzoziemców nie wynosi, nie wzbogaca, a nawet nie chowa przy sobie takich, którzyby się mieszały do spraw Rzplitej. Owo zgola, gdyby Pan Bóg dał pokój, żylibyśmy sobie w Polsce, jak w raju, pod takim państwem, kędy wolny każdemu przystęp, kędy ludzi godnych i na ustroniu siedzących szukają, ratują i zdołają, a cnota i zasługa najlepiej popłaca.

Oto jest treść Pamiętnika Wydźgi, z której przekonać się można, że to rzadkie dziełko zawiera dosyć szacownych wiadomości do dziejów Jana Kazimierza, które dałby Bóg, żeby zostały jak najprędzej obrobione. Z każdym dniem mnożą się materiały; przyjdzie czas na umiejętne ich użycie. Charakterystykę Maryi Ludwiki skreślił p. Wojcicki w życiorysie Wydźgi. Oto są jego słowa: „W czasie najścia Polski przez Szwedów, występuje jako dobry gieniusz, który energią własną, budzi do dzielnych czynów, a strwożonego męża napadami ze wszech stron na Rzplitą, lubo mężnego w boju, niby anioł-stróż ciągle strzeże, wiedzie na drogę zbawienną, do działania budzi, i tułaczka na obcej ziemi, nie marzy, ale czynem dobija się dwóch stolic królestwa swego; nie waha się powinności prostego żołnierza przy działach, zawsze ufna w piękną przyszłość”. — „To jedna strona medalu, świetna, błyszcząca sławą; a głęboka nienawiść przeciw Lubomirskiemu, co zawiodła do wojny domowej, do klęski wojsk królewskich, i głębokich ran zadanych przez to Rzplitej, to ciemna, brudna strona, co nienawiść narodu na jej pamięć ściągnęła. Pośród powszechnego oburzenia, imię Maryi Ludwiki obrzucano wzgardą, a jej śmierć przyjęto obojętnie. Wystąpił Wydźga z żalobną mową, ale nie znalazł współczucia nawet tam, gdzie z całą prawdą przywodził poczciwe zasługi królowej”. Domysł, że to go spowodowało do napisania Pamiętnika, nie może się utrzymać, gdyż w całym ciągu mówi o królowej, jak o osobie żyjącej. Wdzięczni jesteśmy panu Wojcickiemu, że dziełko niezmiernie rzadkie, o którym Janocki powiada, że za pieniądze dostać go nie można, uczynił każdemu dostępnym.

*Seweryn Gołębiowski.*

---

*Podania i baśni ludu w Mazowszu, z dodatkiem kilku szlązkich i wielkopolskich, spisał Roman Zamarski. We Wrocławiu. 1852.*

Zmorski zebrał podania i baśni mazowieckie, i opowiedział je z prostotą i wdziękiem. Najpiękniejsze, najbardziej do duszy mówiące jest podanie o Sobotniej górze, na której bije źródło żywej wody, zpod gadającego drzewa, a na drzewie siedzi sokół zaczarowany. Kropla żywej wody wraca do życia umarłą osobę, ale trudno jej dostać, bo na owej górze jest pokus i strachów co niemiara, a kto jeden krok w prawo lub w lewo zboczy, kto się za siebie obejrzy, wrasta w ziemię kamieniem. Przed laty umarła staruszka, po której trzech synów zostało, co ją równie miłowali: żołnierz, organista i wieśniak. Wybrał się na ową górę żołnierz z szablą i odwagą, i przepadł: ani słycho o nim, ani wieści. Wybrał się organista mądry człowiek, co czytał na każdej książce, a nawet umiał kantyczki składać, wybrał się i nie wrócił. Aż oto chłop prosty, co orał ziemię w pocie czoła, i wierzył w to, w co ojcowie wierzyli, do-

szedł do wierzeholka góry i nabrał wody w dzban złocisty, który mu przyniósł sokół zaczarowany, a idąc do dom kroił gałązką z wieszczego drzewa na prawo i na lewo: z kamieni wstawali ludzie, i cały tłum szedł za nim z radością wielką. I matkę do życia przywrócił i gród wielki założył; braci zazdrość paliła, i wyszli w cudze strony. Tam organiecie, że nie zbywało na mędrszych od niego, gnój w pole wozic kazano, a rycerz zginął w bójce o nie swoją sprawę. Wieśniak pojawiaszy dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie panując mnogiemu i wdzięcznemu ludowi.

Taka jest treść ślicznej powiastki, wdzięcznie opowiedzianej. Inne podania mniej mają piękności, zawsze jednak w głębi bije myśl pocziwa. Doskonały jest djabeł, który pocziwemu a biédnemu człowiekowi za parobka służy, za to, że mu ukradł ostatniego podpłomyka. Niebogi człowiek zostawił sukmanę z podpłomykiem pod drzewem, a sam wziął się do siekiery: kiedy po pracy usiadł na odpoczynek i podpłomyka nie znalazł, a w domu wiedział, że go czeka żona i dzieci, którym ostatnią bułkę chleba zostawił, a tu nie ma z kąd wziąć: choć duszę zastaw. Opuścił głowę i dwie łzy jak groch duże potoczyły się po jego twarzy. Sam lucyfer kazał djabłu za taką psotę służyć mu za parobka. W tej służbie sprawił się uczciwie, bo trzeba przyznać, że djabeł polski ma coś pocziwego w swojej naturze; inny jest od zagranicznych djabłów.

A na Ślązku co za śliczne podanie o rycerzach poległych w bóju z Turkami, wrogami Chrystusowej wiary. Wyginęli wszyscy do ostatniego. Święta Jadwiga uprosiła u Boga, że poległym rycerzom zamienił śmierć na sen cichy; więc spali w grobach w jaskini pod trzebnickim kościołem, a dowódzca siedział na kamieniu i czuwał oparty na szabli. Dziewczyna wiejska weszła przypadkiem do jaskini i przestraszyła się widząc siwego rycerza z długą po pas brodą i tyłu innych w grobach śpiących; uspokoił ją stary rycerz i wyjść kazał, ostrzegając, żeby nie poruszała dzwonu, który był u wejścia do jaskini. Dziewczyna przez pustą ciekawość co z tego hędzie, w dzwon uderzyła; wnet rycerze zerwali się do broni. Stary dowódzca rozgniewany zapadł z nimi głębiej w ziemię, i tam śpią znowu i spać będą, dopóki nie nastąpi wojna za wiarę świętą, a wtedy na głos dzwonu powstaną rycerze i będą walczyć i zwyciężać.

Czytasz te powiastki z taką przyjemnością, jak gdyby ci wróciły twoje lata dziecinne, jak gdybyś słyszał opowiadania, które żywo zajmowały dziecinną wyobraźnię. Zmorski pojął ducha podań i oddał go wiernie; obrobieniem prawdy podania nie zepsuł, rzeczy słyszane opowiedział naturalnie, po prostu, a w słowach jego znać człowieka z wyższym ukształceniem, który kocha się w podaniach ludowych, z duszy przejętej uczuciem piękności na nowo snuje powieść słyszaną, i wysnuwa czystsza i szlachetniejsza.

*S. Gołębowski.*

## Odpowiedź na Odpowiedź p. Żochowskiego przeciw Ocenie Mowni.

Z radością powitałem lipcowy zeszyt Biblioteki Warszawskiej na rok bieżący, gdym w spisie treści spostrzegł: Odpowiedź p. Żochowskiego na moję Ocenę jego Mowni; spodziewałem się bowiem, że z powodu nowych argumentów na treść rozsądzaną, nowe na język spłynię światło, nowa przybędzie kopalnia myśli i pojęć wzbogacających tę naukę; jakeśmy tego od tak gorliwego na grammatycznej niwie pracownika oczekiwać mogli i mieli prawo (1). W tym albowiem tylko celu ocenę Mowni p. Ż. pisałem, aby na tém zyskał przedmiot: gdy się zdania zetną i rzecz się lepiej rozjaśni. Lecz jakże się zawiodłem, odczytując tę Odpowiedź, gdym spostrzegł, iż ja sam do niej wszedłem, na miejsce ocenianego przedmiotu, a p. Ż. ciągle o mnie prawi, jak o swoim przeciwniku, co większa nawet, najzaciętszym wrogu. Jeśli zrobiłem pewne zarzuty p. Ż. to z żadnej chęci nienawiści. Gniewał się na to autor Mowni, iż nikt nie ocenia dzieła jego, wzięłem się do tego; dziś znowu na mnie się żyłma za to, że napisałem Ocenę. Zrobiłem to ani na niczyj podmuch, jak się to ciągle p. Ż. zdaje, ani z niczyją pomocą, jak to autor czas jakiś utrzymywał; ale dlatego, iż dzieło samo, jakem to wyrzekł w Ocenie (Bibl. W. na marzec 559, 560) uważałem za godne ocenienia. Nie uważam Oceny za mowę pochwalną, apollögią, i dlatego nad każdym punktem, który mi do przekonania w Mowni p. Ż. nie przypada, stanowczo swoje zdanie wyrzec musiałem. Jeśli się w wielu razach różnił w zdaniu z p. Ż. i zbijać go musiałem, daruje mi: *amicus Plato sed magis amica veritas*, wolę trzymać za prawdę niż za autorem; tém bardziej, że to była książka dla młodzieży przeznaczona, której każdego widzimisię pisarskiego za prawdę podawać nie jest wolno. Trudno było inaczej rzecz tę załatwić i nie wytknąć tych wad i usterków, przed którymi przestraszony za powinność uważałem: bo darowanie ich w mocy człowieka, ale nie w mocy oceniacza dzieła spoczywało. Autor Mowni odpowiada mi, zamiast rozbiierać spokojnie to, com wyrzekł w Ocenie, oburza się do żywego, obsypując mię różnemi przycinkami i zarzutem służalstwa naukowego. Nauka wcale się samém nie czerpa natchnieniem, ale się jej pracą nabywa i poznaniem tego, co już w niej dotąd zrobiono. Jeśli więc nie obejdzie się bez czytania dzieł w pewnej materji napisanych, toć jeszcze znajomość ich nie jest tak wielkim grzechem, jak przyznawanie sobie całej zasługi w stworzeniu nauki, gdy ona już istniała, lub wypowiedzeniu ostatniego o niej słowa, gdy jeszcze do tego daleko. Nie zapieram się, owszem szczerze i z chlubą wyznaję, iż jestem Muczkowskiego uczniem, któremu nikt położonych w grammatyce zasług odmówić nie może. Ale to powiem, że w rzeczy nauki nie znam innęj powagi, prócz

(1) Mówię tu szczerze i prawdziwie, nie z przekasem, aby mię w tym razie p. Ż. nie podejrzewał o drwiny, jak to zrobił w swęj Odpowiedzi z wyrazem „kunktatorstwo” które wziął w złém znaczeniu, czego na myśli nie miałem.

powagi rozumowej, i nie przyjmuje innych dowodów, prócz powszechnie prawdziwych. Nie znam prawdy Muczkowskiego, Jakubowicza, Bandtkiego, choć to, co oni mądrze wypowiedzieli, nie dlatego, że oni, lecz że się to z mojem przekonaniem zgadza, najzupełniej przyjmuję, i, że niczego z powodu tylko, że to p. Ż. powiedział, jeszcze za prawdę nie uznam. W rzeczy bowiem nauki nie ma przymusu, a z dyktatorstwa samowolnie narzucanego, bez sankcyi siły rozumowej, któraby umysły do bezwarunkowego posłuszeństwa zniewalała, każdy bezkarnie w głos się rozśmieć może. Cokolwiekby, odpowiedź p. Ż. na moję Ocenę jego Mowni zastawiłbym był bez odpowiedzi z méj strony, ale że p. Ż. albo nowe jakies przytacza pomysły, albo zbija moje twierdzenia, które mu się niedość jasne wydały; ośmielę się, w dodatku do Oceny te kilka zrobić uwag.

Oddając sprawiedliwość p. Ż. w tém, w czém mu ją oddać należy, przyznaję mu teraz, bo mię sam pracą swoją do tego zmusza, iż język w Odpowiedzi jego na Ocenę Mowni bez żadnego porównania jest lepszy niż w Mowni: odznacza się bowiem jasnością, ma wiele w sobie siły ognia, jedności i właściwego polszczyźnie toku. Z tego właśnie powodu w żaden sposób pojąć nie mogę, czemu p. Ż. nową składnię dla słowa „podziwiam” zwrotnie na miejsce słowa: „dziwię się“ użytego, wprowadza? „Mocno się podziwiam, mówi p. Ż, dlaczego miałem źle postąpić, żem wyraz „mowa” objaśnił wyrazem „język.” (Bibl. Warsz. na lipiec, 139). Tu nie ma, zdaje się, żadnej omyłki drukarskiej, bo po drugi raz (na k. 142) czytać można: „Podziwiać się przeto bardzo należy, co spowodowało p. K. do takiego dowodzenia.” Tu i tam na miejsce słowa „podziwiać się” winno było stać „dziwić się.” *Dziwić się* jest słowem zaimkowém, i dlatego bez „się” używać go nie można; „podziwiać” jest słowem przedmiotowém np. ten podziwia piękność budynku, a tamten wspaniałość umysłu p. N. Gdy doń przydamy: „się,” będiem mieć słowo zwrótné, którego znaczenie jest: zostawać w podziwieniu dla siebie samego, w podziwie dla swojej osoby. Chociaż p. Ż. może mieć w tym razie jakiś swój powód, nie wiem jednakże, czy wolno tak wbrew przyjętemu zwyczajowi języka, tok mu nadawać nowy, lub czy w wyrobionym języku „sic volo, sic jubeo” może mieć jakie znaczenie!

P. Ż. za największą mękę poczytuje (142) usprawiedliwianie się z powodów zapatrywania się swego na rzeczy. Ja dotąd sądziłem, że to tylko słodki obowiązek dla tego, który się drugich nauczycielem obrał. Co do wyrazu „mownia” tłumaczenie się autora ma wiele za sobą, zatem pozostawić go można zwyczajowi (magister usus) „penes quem, jak powiedział Kwintylian „arbitrium est, jus et norma loquendi.” (któremu służy prawo przyjęcia lub odrzucenia go). Ale przyznając mu słuszność w zrobieniu tego wyrazu, potępiam zawsze pleonazm w nadpisie: Mownia języka polskiego (za: mownia polska). Jeśli bowiem „mowa” i „język” są wyrazy w rozumieniu p. Ż. „równoznaczne,” to raz jeden z nich mownia położywszy, dostatecznie już to, co powiedzieć chcemy, oddajem; przydając zaś do objaśnienia tego wyraz „język” ten nam koniecznie nasuwa różnicę pojęć dwóch wyrazów różnych, obok siebie postawionych. Co do terminologii jednakże powiadam otwarcie: że dużo tracimy czasu sami

i drugich na wielką jego stratę wystawiamy radykalizmem neologicznym, i że przedewszystkiém należy nam mocną podwalinę do budowy grammatycznej podłożyć, abyśmy dopięro śmiało kroczyć mogli dalej. Jeśli się bowiem naraz do wszystkiego zabierzemy, chybimy celu postępu, który zawsze, raz jest więcej treściowym, drugi raz formalnym. Wprowadzając nowe pomysły, a niszcząc stare wyrazy na dawne pojęcia, wszystkie zrozumiałe, odpychamy łódź postępu od brzegu, zamiast z nią do brzegu przybijać. Wyraźniej mówiąc: gdy niebaczenie zmieniać zaczniemy wyrazowe pojęć grammatycznych kształty, na których, lub przy pośrednictwie których, dotąd myślano: albo się przez to narazimy na ujęcie ważności spostrzeżeniom nowym, gdy drudzy na nowe wyrazy uwagę swoją zwróca; albo staniem się niezrozumiali, gdy im o treść chodzić będzie, a tój znanemi wyrazami im nie wypowiemy. Przeszłość starsza zagrożona ztratą siebie, odepchnie zanagły postęp, który nazwie nieorganicznym, zapierającym się historyzmu. O ile to jest prawdą co do nauki języka, niech p. Ż. raczy mieć wzgląd na Szreniawę, który się w tym względzie w całej okazałości przedstawił i mimo wielu dobrych, mało mówię najlepszych rzeczy, jakie w sobie zawiera, wszystkich od siebie swoją terminologią zraża, bo każdy Polak nie rozumiejąc go, pyta się: „po jakiemu to pisane?”

Ze tych samych wyrazów w odmiennych, niż dotąd są braue znaczeniach, używać niewolno, równie jak amalgamować wyrazy różnych pierwiastków z sobą, jak to autor z wyrazami: „ród”, „roda” uczynił, to jeszcze z nauki o stylu wszystkim wiadomo. Nie każe mi się wprawdzie p. Ż. bać o to, zagadując ślicznie tę moją obawę w słowach: „że wyrazy: naród, poród, rodzaj, urodziny, rodzina, rodzeństwo, tudzież dorodny, odródny, urodny,— wyraz „roda” stanąwszy przed wszystkiemi, przytuli do swego łona, jak matka kochająca swą dźwiatwę” (141—142). Jestżeto jakie rozumowanie? O ile mi się zdaje, rasowość czyli ród miała zawsze u ludzi swoje znaczenie, a im ktoś był szlachetniej urodzony, tém, że tak powiem, nabywał większego prawa do piękności rysów. Ztąd i dziś jeszcze o chłopce np. nadobnej mówimy: ma szlachetne rysy, to jest, jakby ze szlacheckiego pochodziła rodu; gdzie większa staranność o wychowanie, i dusza sama zdaje się piękniejsza. Urodny więc nie w *roda* ale w *ród* ma swój pierwiastek; tém bardziej, że nic w naturze nie ma piękniejszego nad człowieka. Odrodny znaczyło dotąd odszczepiający się swoim postępowaniem nie od *rody*, ale od *rodu*, któremu zakałę przynosi i hańbę i t. d. Jeśli tak wszystko amalgamować będziem, w końcu się nigdy z sobą nie porozumiemy.

Często się bardzo zdaje, iż się p. Ż. uwziął na to, aby mię nie rozumieć. I tak pod wyrazem „modła” wykazałem pokrewieństwo jego z cudzoziemskimi, znaczenie więc tegoż, przez samo ich do siebie zbliżenie, wyraźnie oddałem. Później (564 marzec) pod liczbą 2 powiedziałem, iż jest już w języku naszym „modła” jako niby wyraz nasz, do którego inne przywiązujemy znaczenia. Pod tymże ustępem wyliczam owe znaczenia, mówiąc: „w piérwszém znaczeniu modła w l. m. bierze się za „modlitwa”, w drugiém za „cześć.” Liczby porządkowe „piérwszy” „drugi” p. Ż. bierze w inném rozumieniu. Przez „piérwszy” chce oznaczyć: „przedniejszy”, „główny” przez „drugi” rozumie: „podrzędny”, „drugorzędny” (143 li-

piec) i zaczyna dowodzić przeciw mnie, czegom nie utrzymywał, że „modła” głównie wzór, nie modlitwę znaczy. Wprawdzie zyskaliśmy na tém, bo nam p. Ż. ładny zrobił wywód, zkąd modła znaczenia modlitwy nabrała, szkoda tylko, że źródłostowu modlitwy i różnicy jej od model nie wyjaśnił. Jednakże porównywając to dowodzenie z tuż za nim idącą apostrofą przeciw mnie wymierzoną z wyrzutem encyklopedyczności, uważam je za niedostateczne, gdy nim widać autor rzecz swoją chciał ratować.

P. Ż. (143 lipiec) nie rozumie znowu tego, jak pierwszą częścią składową przyimka może być „przydo.” W tém wprawdzie jest moja wina, żem błąd drukarski przeoczył, bo za „przydo” winno było być „przydo”, jak się o tém p. Ż. w rękopiśmie przekonać może. Mówiłem bowiem w tamtym ustępie o przyimku nie jako o części mowy, ale nad nim zastanawiał z punktu etymologicznego, jako nad wyrazem pochodnym. W wyrazie „przyimek” są trzy zgłoski: przy, i, mek, otóż pierwszą zgłoską tego wyrazu jest: „przy” blizkoznaczące z „do” (przyimek niby doimek). Gdyby był p. Ż. zastanowił się nad tém, com o składzie przyimka, jako wyrazu pochodnego powiedział, nie byłby się dopuścił mylników w rozumowaniu nad analogią w urobieniu „przyimka” do „przymiotnika” i „przysłówka.” Tłumacząc się jaśniej powiedziałem (563 marzec) że „przyimek” jest analogicznie urobionym do wyrazów „przymiotnik” i „przysłówek” z powodu, że tu w tych wyrazach pierwszą ich częścią składową jest „przy” blizkoznaczące z „do” znaczące należenie lub odniesienie się do imienia lub słowa, i przecząc właściwości terminu „przedimek” przez p. Ż. za „przyimek” używanego. Autor Mowni niweczy moje twierdzenie takim rozumowaniem (143 lipiec): „Do analogii wyrazów trzeba analogii pojęć; gdy te są inne, i nazwy muszą być różne. Między przymiotnikiem i przysłówkiem jest analogia, położyć je bowiem mogę *przed* lub *po* to jest *przy*... przedimek musi poprzedzać imię, do którego się odnosi.” Widoczna i oczywista jest, iż ja tam nie mówiłem o analogii wyrazów, ale o analogii urabiania ich: co jest zdaje się wielka różnica! p. Ż. uważa analogią między „przymiotnikiem” a „przysłówkiem”, w tém, że je można „przed” lub „po” położyć. Dziwna, przyznam się analogia! Jeszcześmy ze względu na szyk, znaczenia wewnętrznych wyrazów dotąd nie dochodzili! Dziwniejszém jeszcze jest żądanie p. Ż. abym wskazał historycznie, czy pierwszy, co „przyimek” przyimkiem nazwał, opierał się w swoim działaniu na naturze tej części mowy i na jej postudze w języku pełnionój! Czyż myśl głęboka, filozoficzna, dotąd tkwiąca w wyrazie, dla wszystkich rozumów jasnych przystępna, potrzebuje takich dziwnych argumentów! Postarajmy się o wykazanie jej, a potrzeba podobnych jak p. Ż. chce dowodów, zniknie przed nim, jak szron przed majowém słońcem. Przyimki, w mojem uważaniu rzeczy, nigdy żadnego nie oznaczały, jak chce p. Ż., pojęcia, ale tylko zawsze pewien stosunek lub wzgląd do imienia wyrażały i to równie wtedy, gdy przyimek jest osobnym wyrazem, jak wtedy, gdy jest częścią składową innego wyrazu. „*Przy*” oznacza wzgląd przyległości, łączności, należenia, odniesienia się i t. d., co, gdyby był p. Ż. dobrze rozważył, nie byłby obstawał przy swoim „przedimku” dlatego, że przed imieniem

stoi. Gdybyśmy wszędzie uważali na to, aby wyraz wewnętrznie znaczenie najwierniej oddawał, a nie na poboczne okoliczności baczili, nie byłoby bezkorzystnych o wyrazy sporów! Poucza mię p. Ż. że wyrazy: l'article, Geschlechtswort, które dotąd „przedimkiem” nazywano, można „określnikiem” oddać. Więc nie już w języku nie ma mieć stałej podstawy, określonego znaczenia? wszystkoż w nim jak na huśtawce kołysać się musi? Patrzymy, czy poprawka nasza na dobre lub na złe nam wyjdzie. Przez „określnik” rozumiemy w ogólności każdy wyraz określający inne, czy on jest przymiotnikiem, imiesłowem, zaimkiem lub rzeczownikiem. Tak ogólna nazwa nie może być dobrą i właściwą na oznaczenie szczególnego względu, jaki zachodzi przy wyrazie obcym: „artykuł.” Lepiej było zostawić „przymiotnik” nie byłoby potrzeby rugowania z posady swojej „przedimka.” W końcu, można było nareszcie pozostać przy obcej nazwie: „artykuł” na obce naszemu językowi pojęcie. W ten sposób przymiotnik nie byłoby zamętu pojęć i gmatwaniny rzeczy, a nieświadomy znaczenia wyrazu: „artykuł” mógł stosownie znaleźć objaśnienie od znaczących obce języki.

Co do wyrazów: „miot” i „miotnik” z których pierwszy pojęcie główne w myśli działające, drugi zaś, wyraz w zdaniu toż pojęcie ma oznaczać, to mam do nadmienia. P. Ż. źle zrozumiał to, com powiedział (564 marzec). „Dopóki co jest w myśli tylko, jest jakby go nie było i na to niepotrzeba wyrazu i że ten dopiero staje się potrzebnym wówczas, gdy owa myśl uzewnętrznia się pewną formą.” Ze złego zrozumienia tego, tak osobliwe z mojego twierdzenia wyprowadził p. Ż. wnioski: 1) że myśl składająca się z niczego jest urojeniem; 2) że myśl sama, ta już czeka mara bez pojęć, dopóki jest w umyśle, musi być koniecznie niczém; 3) że dla mnie nie istnieje świat umysłowy” (145 lipiec). Trzeba się zastanowić poprzednio na jakim rozumowanie stanowisku było. Wszakżeż nam chodziło o nadanie nazwy tym wyrazom, które w rozbiorze myśli słowami oddanej, a miano zdania mającej, rzeczywiście się znajdują. Powiedziałem, jaśniej mówiąc, że dla nas ludzi z ciała i kości, myśl nie może być przedmiotem rozważania, jeśli nie przybierze pewnej formy, nie odzieje się pewnym ciałem, chociażby tylko tak eterycznym jak jój samo pojęcie, idea. Dopókiśmy nie poznali zdań szczegółowych wyrazami oddanych, dopóty nie mogło się w umyśle naszym utworzyć pojęcie myśli czyli zdania w ogóle, które już jest abstrakcją czyli oderwaniem pojęć zdejmowanych ze zdań szczegółowych (concreta), bo do abstrakcji drogą konkretnych dochodzimy, inaczej, przez szczegóły do ogółu. Myśl więc, powtarzam, może być dopiero przedmiotem rozbioru wtenczas, gdy ją wyrażamy, albo gdy ze zdań różnych, szczegółowo przez umysł nasz przeszłych, robimy abstrakcją zdania czyli ogólne sobie jego w umyśle naszym tworzymy pojęcie. Na zdanie możemy w dwojaki zapatrywać się sposób: ze stanowiska ogólniejszego, różnicy wyrazów do mowy wchodzących i ze stanowiska szczegółowszego, uważając je (zdanie) jako całość z pewnych koniecznych części składającą się. Inaczej mówiąc patrzmy na zdanie: z punktu rozbiorowego wyrazów i z punktu składniowego. W pierwszym razie wyrazy są czynnikami mowy, w drugim, też same wyrazy, nie już za czynniki mowy, ale za części zdania uważamy. P. Ż. nie baczy na te



różnice i wszystko chce ujednostajnić, gdy tymczasem mimo podobieństw w gruncie, znajdują się różnice w szczegółach i to inaczéj być nie może, jak pogląd ogólny na wszechświat i odblask jego świat umysłowy, dostatecznie nas o tém przekonywa. Nie mogę przypuścić, aby dwa wyrazy: „miot” i „miotnik” jak to utrzymuje p. Ż. były potrzebne na oznaczenie jednego pojęcia, to jest téj części zdania, którą dotąd „subjektem” (podmiotem) nazywano. Rozbierzmy to bliżej. „Miotem” nazywa p. Ż. rzecz w myśli główną, działającą, a wyraz przedstawiający ją w zdaniu zowie „miotnikiem.” Jeśli p. Ż. uważa myśl w sobie, nie może jéj jakieśmy to już wyżéj wzmiankowali, inaczéj brać, tylko w pojęciu zdania, zdania w ogóle, bez słów nawet, że tak powiem samego rysunku myśli, formy. Jeśli tak jest, nie ma dwóch myśli przeciw sobie: jednéj czystéj myśli, a drugiéj myśli wyrażonéj, zwanéj zdaniem, owszem, jest tu tylko jedna myśl, jedno zdanie. W zdaniu bez słów, (w formie zdania) za przedmiot rozwagi wziętém, znajduje się to wszystko, co w każdém zdaniu wyrazami oddanéj; nie potrzeba więc dwojenia wyrazów na to pojęcie części zdania, przez którą przedstawiamy osobę mówiącą samą lub istotę o której się mówi. Zmącił dálej p. Ż. pojęcie subjektu nazywając go „działaczem” w zdaniu; wiadomo bowiem, że działaczem głównym w mowie jest mówiący lub myśl jego, a istota, która mówi lub o której się mówi w zdaniu rozbiéraném na części, jest tylko materia mowy czyli zdania nazywaną przez niektórych „rzeczą” zdania, „przedmiotem.” Tu porównawszy wyrazy: „rzecz”, „przedmiot” z „miotnikiem” jako działaczem, wyciągnąć mogę ten z tego wniosek, iż p. Ż. fałszywie zapatruje się na znaczenie wewnętrzne części zdania. Dálej p. Ż. widzi analogią między wyrazami „rzecz” i „rzeczownik”—„przymiot” i „przymiotnik” a „miotem” swoim i „miotnikiem” analogii tu żadnéj nie znajdziesz. Powiedzieliśmy, że wyrazy do mowy wchodzące jako nazywane jéj częściami, uważają się za jéj czynniki: ztąd téż ich końcówki: *ik, ek*, prócz jednego „słowa,” które także niekiedy „czasownikiem” nazywają. Kończówki nie są dowolnie urabiane, ale duch języka zawsze pewne do nich przywiązywał znaczenie, dowolnie ich więc zmieniać nie można. Gdybyśmy wyrazy na dwóch rozstęпах: myśli i zdania, jak powiada p. Ż. uważali, mielibyśmy: „słowo” i „słownik”—„zdanie” i „zdannik”—„wyraz” i „wyrażnik”—„mowa” i „mownik.” Gdzie nie ma pojęcia działacza, czynnika, tam w grammatyce końcówka *ik* bezpożyteczna, gdy to jest obojętne, a tam zgubna, gdzie fałszywe nasuwa pojęcie. Zpomiedzy członków zdania łącznik, do którego grammatyczne pojęcie czynności przywiązane i orzecznik dobrze odpowiadają znaczeniu swoją końcówką. „Rzeczownik” i „przymiotnik” nie dlatego tak się nazywają, że się je oddało wyrazem w zdaniu, a one były tylko rzeczą i przymiotem w myśli, ale że analizując mowę i uważając podobieństwa i różnice w wyrazach ją składających, potrzeba było między niemi pewną porobić klasyfikacją, stosownie do znaczeń i przeznaczeń swoich, i od innych części mowy odróżnić. Potrzeba było tego odróżnienia, w innym bowiem razie, każda część mowy dwojaką na wzór tych dwóch nosićby musiała nazwę, a tak nie jest; bo kiedy jedno tylko pojęcie, jednego tylko na to użył język wyrazu. Kiedy więc tak jest, powtarzam, iż, gdy myśli przed oczy uwagi naszéj jako

przedmiot przedstawionój i na części rozbiéranój, nie znamy inaczéj tylko jako pojęcie, a wtedy myśl taka jest już zdaniem w ogóle, niepotrzeba jest dwóch wyrazów: na obraz rzeczy w myśli, i wyraz tegoż obrazu w zdaniu: bo myśli i zdanie stanowią jedno i toż samo w języku grammatycznym. Cośmy powiedzieli o „miocie” i „miotniku” łatwo się da rozciągnąć do „przedmiotu” i „przedmiotnika” to jest, iż dwóch tych wyrazów na jedno pojęcie używać niepotrzeba, bo piérwszy już aż nadto dostateczny. Zresztą nawet byłaby trudność w nazwaniu słów *przedmiotowych* (czynnych, przechodnych); wtedy żeby się przypadkiem nie omylić w wyrażeniu, należałoby zawsze mieć dwa wyrażenia na doręczu; „przedmiotowe” i „przedmiotnikowe” jedno z nich zawszeby się przydało; choć mi się zdaje że słowa te „przedmiotnikowe” według życzenia p. Ż. nazywałyby się musiały; bo przedmiotnik jest wyrazem w zdaniu.— P. Ż. kręci się nieraz w zaczarowanym kółku powtarzania tego, co już powiedział, siląc się częstokroć na dowodzenie rzeczy argumentami przeciw osobie recenzenta wymierzanemi. Com powiedział o pomysle stopniowania imion przez p. Ż. podanym, do tego ciekawych odsyłam (marzec 566, 567, 568); tu jeszcze to przydać mogę. Jeśli p. Ż. chciał dowieść stopniowania imion, trzeba mu było przedewszystkiém okazać, iż rzeczowniki stopniowane oznaczają „jeden jakiś przymiot” który jest pojęciem oderwaném od rzeczy i ulega powiększaniu się lub zmniejszaniu. Że są końcówki pewne, które przybývają przetworzonym wyrazom, że te końcówki mają swoje znaczenie, nie podpada żadnej wątpliwości, ale czyż dlatego podobny przetwór w wyrazach za stopniowanie poczytać można? Wiemy, że przymiot tkwi różnie w różnych istotach, i choć są niektóre przymioty tak z istotą, której służą, ściśle i nierozłącznie spojone, iż bez nich istota przestałaby być tém, czém jest, np. *słodki* jest istotnym czyli koniecznym przymiotem cukru, *kwaśny* octu, *gorzki* pieprzu i t. d.; jednakże, choć w tych przymiotach zachodzi stopniowanie, istoty dlatego same sobą pozostają, i niczém inném być nie mogą. Cukierek nie będzie w przymiocie słodczy od cukru, ani cukiereczek od cukierka różny. Jezelić tak jest? w czémże tu między cukrem, cukierkiem i cukiereczkiem stopniowanie zachodzi, gdy materya jak w każdéj cząstce jest tém, czém w ogromnéj massie, a przymiot wewnętrzny się nie zmienia? Może powie p. Ż.: w rozmiarze, to jest we względzie ich wielkości i małości stosunkowój? Lecz czyż cukier w odrobinie będzie się nazywać cukierkiem, albo przeistoczony, w cukierni przerobiony z cukru cukierek, choćby był większy co do rozmiaru od kawałka cukru nieprzerobionego, straci nazwę cukierka, gdy jój mieć nie powinien porównany do młodszego i mniejszego brata swego? Czyż więc sam wzgląd na małość przedmiotu jest już stopniowaniem? Nie. Jeśli zatém są inne przymioty, a mianowicie: wzgląd na kształt powabny i t. p., to nie ma stopniowania, bo to tylko moc, napiętość i potęgę mniejszą lub większą jednego przymiotu w rzeczach oddaje. Następnie, gdy każde przetworzenie wewnętrzne wyrazu, któremu się, pozostawiając go przy tém samém znaczeniu, nowe jakieś dodaje pojęcie lub nowy odcień tegoż samego pojęcia, ma być „stopniowaniem” a to stopniowanie pewnemi cechuje się końcówkami: to przypuścić musimy prócz 5ciu p. Ż., wszystkie końcówki, którem przypo-

minal p. Ż. w Ocenie: to jest *uś, usia, unia, unio, uło, ula, dzio, cio, cia, cię* i nadto *dzia* i *chna*, które p. Ż. przywodzi. Natura ich bowiem jest ta sama. P. Ż. utrzymuje, że mimo jego jasności w tłumaczeniu, nie mogą oddzielić (341 sierpień): „wyrazów przez samo uczucie wyrobionych, od wyrazów które są stopniami” i niżej: „zmiany etymologicznej, od wyrazów stopniujących się.” Nadto ta różnica wyznani otwarcie jest transcendentalna dla tych nawet, którzy nie są nieprzyjaciołmi kantyizmu. Więc p. Ż. utrzymuje, że tylko jego końcówki; *ik, ek, nia, sko*, malują rozliczne jak powiada przymioty, a końcówki przezemnie wskazane mają być tylko oznaczeniem wyrazów różnobraźniących ale jednoznacznych i że są one końcówkami wyrazów nowe „zasady” tworzących. Tak wyrazy *matus, matula, matuchna, matusia, mama, mamunia, mamula, mamulenia, mamusia* według p. Ż. są tylko wyrazy *różnokształtne* na oznaczenie tego samego obrazu „mama” lub „matka” (mac) w podobieństwie do wyrazów: „baran” i „tryk,” — „klacz” i „kobyła.” Takiego rozumowania trudno pojąć loiki. Przypuściwszy bowiem że niektóre z tych końcówek oznaczają *zasady*, toć te *zasady* przybierają znowu inne końcówki do siebie, przetwarzając się jak tamte wyrazy, które się stopniować mają. Ów cudny wyraz: „Poldzia” który się nazywa *zasadą* u p. Ż., zmienia się na: „Poldziunia”, „Poldziusia?” Czyż te końcówki, *unia, usia*, nie mówiąc już o innych, nie są tém względem „Poldzia,” czém *ek* lub *eczek* do „ptaka,” co „ptaszek” „ptaszeczek.” Jeśli tych końcówek i innych im podobnych nie uznaje p. Ż. na równi z przyjętymi przez siebie cechami stopniowania, nie nasza w tém wina, ani rzeczy, która sama za sobą mówi, ale obawy p. Ż. aby stopniowanie, ów pieszczoch jego myśli, całkiem nie runęło z posady. Trudno wszakże przypuścić, aby wyrazy mające ten sam pierwiastek, jak to nam w wyrazie: *mac* i z niego urobionych (jak wyżej) autor Mowni przedstawił, miały być wszystkie *zasadami* to jest wyrazami *równoznacznymi*, ale tylko *różnobraźniennymi* bez zmiany pojęcia lub pewnego tegoż pojęcia odcienia. Wszakże wiadomo, że każdy kształt wyrazowy ma osobne znaczenie, to jest że inne wyrazy tego samego pojęcia oznaczać nie mogą, gdy są do tego jeszcze *równopierwiastkowe!* Bez powodu język nie działa, a przerabianie wyrazów z nadawaniem końcówek różnych etymologicznie, dowodzi, że znaczenie wyrazu pochodnego z tegoż samego pierwotu musiało jakiegoś, choćby indywidualnej, ze tak powiem; nabrać różnicy. W rzeczy samej, końcówki jedne oznaczają przedmiot miły, lubiony, kochany, pieszczony, drugie odrażliwy, wstrętny, inne, inne znowu mają znaczenia. W nich jest indywidualizowane uczucie człowieka do istoty, przeto następuje przemiana wyrazu zewnętrzna, znaczenie zostaje to samo, ale w przemianie musiała przybyć jakaś okoliczność poboczna, która tę przemianę wywołała. Tą okolicznością jest osoba w stosunku jakimś do téj istoty będąca, ta ją ogrzewa uczucia swojego ciepłem lub odpycha ze wstrętem. To więc wyraźne stopniowanie według tłumaczenia się p. Ż. jak słońce na niebie, nie grzeszy zbytciem jasności.

Co do pisowni przymiotników, imiesłowów, zaimków przymiotnych i liczebników rodzaju nijakiego, o czém obszernie w Ocenie mówiłem, zbliżenie tychże przezemnie do imion rodzaju nijakiego w przypadku

6tym p. *Ż.* nazywa: *przemianą* tychże całkowitą, i ztąd wyprowadza wnioski, do których się nie przyznaje. Lecz w zbijaniu moich twierdzeń zapomniał p. *Z.* o sobie i dopuszcza się przez to sprzeczności, którychby zgadzając się ze mną, mógł być uniknąć. Każę bowiem „moje” „twoje”, „swoje”, w 6tym przypadku pisać przez „moin”, „twoim”, „swoim.” Czemuż obok tój pisowni, zapomniał o drugiem przez siebie podawaném prawidle, to jest o pisaniu *j* przed *im*, gdy ono przecież w „mój,” „twój,” „swój” w 1szym przypadku jest widoczne? Jeżelić takie będziem podawać prawidła pisowni, że jedne drugie zbijać i znosić będą, jakżeż się dziwić, że pisownia nasza, niestała jak owa chorągiewka, której przeznaczeniem wskazywać pogodę lub słotę, zmieniać się będzie za każdém przywidzeniem pisarskiém.

Dziwi mnie to bardzo, że p. *Ż.* niezawsze chętny w pojnowaniu mnie, praw fonetyki od praw loicznych w języku odróżnić nie może, inaczej mówiąc, nie chce pojąć tego, że nie wszystko się tak pisze jak brzmi, czyli wymawia się. Nie mówi się o tém, że częstokroć w czasach przeszłych słów ze spółgłoską przed *t*, tego „*t*,” w prędko wymawianych słowach, nie słyhać np. *padł*, *wyszedt*, i, że w stopniach wyższych przysłówków zamiast *ej* często samo tylko *i* lub *y* słyhać np. *lepiej* (*lepi*), *gorzej* (*gorzy*), bo to na karb złego wymawiania mógłby ktoś policzyć. Ale dłączegóż wszystkie głoski mocne słabo na końcu wymawiamy, a przecież słabych jak się pisać powinno, nie wyrażamy np. *Bóg*, *głód*, *zraz* i t. d. czemu nie *Buk*, *glut*, *zras*? Czemuż w języku są *ó* i *é*, i *rz* jeśli one to samo, co *u*, *y* lub *i* i *z* znaczą, czyż to także dla odróżnienia osobnego brzmienia w piśmie? O wcale nie! Te znaki są tylko znakami piśmiennemi, ale nie głosowemi, ale raczej, one służą więcej do odróżnienia źródłosłowu wyrazów, niż do odbicia rzeczywistości różnego od innych głosu w mowie. Alboż w tym razie pismo jest obrazem mowy i czyż się z głosem zgadza? ale choć nie jest, jestżeto dowód, że pisowni naszej loiki brakuje? Czyż powody odróżniania niektórych względów w pisowni, które „loicznemi nazwałem prawami” są przeciw loice, i czyż w nich loiki nie widać, jak p. *Ż.* utrzymuje? Czyż prawa pisowni, którem wyprowadził z głębi jej natury i ducha i dlatego je pod tak nazwanego przez siebie ducha pisowni podciągnął, nie mają cech odrębnych i pewnych właściwości, których mowa ustna w sobie nie zawiera, kiedy się nie tak zawsze pisze, jak mówi? Czyż dla tego, że pismu służą pewne właściwości, których mowa ustna nie zna, pismo przestaje być obrazem mowy? Czyż pisownia, aby była języka obrazem nie ma nic w sobie zamykać, eoby jaśniej mówiło „do rozumu” i zrozumialszém było „dla oka,” chociaż ucho tego nie pojmuje dłączego? Jakież przeto ma mieć znaczenie ów wykrzyk p. *Ż.* (344 sierpień) że „ja dla mniejszej części poświęcam ogół i idę wbrew duchowi języka, gdy więcej bez wątpienia ludzi wyraża swe myśli głosem i przesyła w siebie uchem, niż pismem i okiem.” Dla tych przecież, co nie piszą, prawideł jasnych pisowni niepotrzeba; ale gdy mówimy o przepisach pisowni, samo się z siebie rozumie, że już wtedy nie ogół mówiących i język sam, ale mniejszą jego część, to jest piszących i pismo na widoku mamy. Nie mogąc tego albo może nie chcąc zrozumieć p. *Ż.* cośmy powiedzieli dopiéro, dopatruje się w tych dwóch moich zdaniach sprzeczności, które

mogły być dawniejsze. Później przybyło w nich eufoniczne *d*, które wniosło za sobą może znowu pewną różnicę w pojęciu tamtych wyrazów w znaczeniu, to jest z „wele,” „pole,” „wela,” „pola” utworzyło się: „wedle,” „podle” i chwiejące się przed ustaleniem „wodla,” „podla.” Otóż temi samemi wyrazami, gdy do dawnego nowe przybyło znaczenie, równie cel jako i przyległość oznaczać mogli ojcowie nasi, tém bardziej, że w początkach języka ratowano się jak można było i ten sam wyraz dla kilku pojęć lub względów mógł służyć i choć kilka miał znaczeń, dlatego rozumiano znaczenie jego właściwe z toku samego rzeczy. W jednym wyrazie „podle” został ślad odmiany, ale czyż pole (kole, wele) jako wyraz który pojęcie przestrzeni, ziemi do uprawy przedstawiał nie użył swojej przemiennej natury wyrazowi „pole” już w „podle” transformowanemu, tak dla dźwięczności, jak dla potrzeby językowej? Tém bardziej to się stać mogło, gdy do wyrazu przyległości „podle” (wedle) przyłączono wzgląd nieruchomości w pojęciu przyległości miejscowej, co by mogło być zdjęciem z pojęcia „pole” (grunt) i natury jego rzeczownej. Że się tak stać mogło, jest podobieństwo, że się tak zupełnie stało, za tém nie ręczę, bom nie był przy tworzeniu się języka i nie patrzył na jego biędę i niedostatek pierwiastkowy. Tu w tém przypuszczeniu znaczenie pierwotu głównie zachowuje się w pochodnikach; znaczenie dodane jako ostatnie świeżój i silniej przemawia do umysłu tak, iż wzgląd celu i powodu prędzej nam przy wymówieniu wyrazów „wedle” się nasuwa niż wzgląd miejscowy, położenia. Cokolwiek bądź to pewna, że „podle” nie dlatego się odmienia jak p. Ż. utrzymuje; że *dla* nie jest 2gim przypadkiem rzeczownika, jakśmy to widzieli, i że nie jest przysłówkiem; zatém, że mu nie wypada niczém inném zostać, tylko powrócić do pełnienia jak dotąd posługi „przyimka.” Teraz zastanówmy się nad osobliwością tego zjawiska że „dla” mogło stać po „tego” i mówiono „tego dla” za „dla tego.” Zacytowałem to był w Ocenie z życiorysu Chrystusa Pana przez Baltazara Opecia, a to widać p. Ż. nasunąć musiało myśl, że *dla* jest 2gim przypadkiem rzeczownika. Nie przystaję także na podobne tłumaczenie, które rzeczy wcale nie wyjaśnia. W czasie w którym to pisał Opec, język nie tworzył się dopiero wyrazowo, ale składniowo się urabiać mógł i zaczął wydobywać się nad powierzchnią zpod przemocy łaciny powszechnie podówczas panującej. Temu faktowi zdaje się nikt zaprzeczyć nie może, iż łacina długo, bardzo długo przygniatała nasz język i chciała go w rzymską składni przestroić toż; ale że on raczej w swoim właściwym stroju pozostać wolał: nie przyjął nic więc od niej, co doń nie przystawało; odtrącił wszystkie próby przetwarzaczy swojskości, które mu nie były do smaku, zgodziwszy się tylko na to, co go rzeczywiście wyrabiało i kształciło. Opec jak i inni miał łacinę przed sobą z której tłumaczył i chciał zrobić próbę przełożenia składni łacińskiej na składnię polską i zrobił to. Wyrazy: „*causa*” „*gratia*” „*ergo*” znaczą po polsku „dla.” One się kładź muszą po swoim rządzie, zład i naszym kształcicielom języka na łacińskim wzorze zdawało się, że można położyć „dla” po *czego*, *tego* i pisali: „czego dla” „tego dla.” Zrobili tak, ale język składnię małpowaną nie wspólnego ze swoją własną nie mającą potępił i nie przyjął jej. Nietylko tamte wyrazy, ale bardziej jeszcze *circo*,

który najwierniej odpowiada wyrazowi ludowemu: „kole“ „pole“ „wędle“ „dle“ „dla“ przekłada się także za zaimek wskazujący, mówi się: *idcirco*. Czyż to nie jest kubek w kubek próba haftu składni łacińskiej na kanwie języka polskiego? Jeszcze jest jeden wyraz: „propter“ który znaczy: „dla.“ Nasi ojcowie wykształcając nasz język zapatrywali się na *quapropter* i mogli próbować składni łacińsko-polskiej: „czego dla.“ Cóż tak wielkiego, że próbowali, ale im się nie udało. Że tak z językiem naszym czyniono, dowodzi nam i dzisiaj używane jeszcze u Serbów *togodla*, *czegodla*, *luktege wéeze dla*, (Linde I, 426), gdzie albo romanizm zaszczerpiony się przyjął, albo gdzie widać okulizacją germańską: „*desswegen*“ „*wesswegen*“ na szczepie rodzinnego Serbów języka. Zdaje mi się, że to tłumaczenie ma więcej za sobą niż tłumaczenie p. Ż., że coś przynajmniej wypowiada i daje jakiś pogląd na język. Że tłumaczenie p. Ż. prócz tego, że tylko słabym jest martwej hipotezy cieniem jest anachronizmem historycznym, bo mieści pojaw dla 2go przypadku rzeczownika „dle“ za wskazującym zaimkiem kładzionego w epoce daleko późniejszej, bo już podówczas wyraz *dla* był przyimkiem, a czy był kiedy czém inném ginie to w pomroce czasu, w owych sześciu dniach tworzenia się języka, z kąd żadnych pomników nie posiadamy, ani posiadać możemy; gdzie jeszcze nie było oddziały między wyrazami w jednym języku, ani różnic narzeczowych; gdzie wszystko było zmieszane, bo nawet dzień od nocy jeszcze się nie różnił.

O podwójném *j*, które się według pana Ż. pisać winno w czasie terażniejszym słowa *jeść*, utrzymuje autor *Mowni*: że się podwójnie wybija w mowie ustnej, „że pojaw tego podwójnego wybijania się tak jest wyraźny, oczywisty, uchem dotykalny, że go nawet dla ziomków dowodzić nie potrzebuje, i że pojaw ten języka, każdy wyssał z mlékim matki, i żadna okoliczność go nie zmusi, aby wbrew swemu uczuciu i nieodgadniętemu przeczuciu miał *jem* bez przycisku wymówić: zatem podwójne *j* w czasie terażniejszym słowa *jeść*, najwyraźniej żyje w ustach Polaka, czyli w mowie ustnej“. Zaprzeczyłem tego najuroczyściej w *Ocenie*, powtarzam też zaprzeczenie obecnie, boć przecie i sam do mówiących po polsku należę, siłę się wszelkiemi sposoby, choć pozór owę faktycznej prawdy uchwycić. Napróżno. Pytam się innych, czy to podwójnie wymówienie *j*, w słowie *jém* czują. Napróżno. Teraz na dowód nowy odsyła nas pan Ż. do swojej *Mowni*, w której miało być jakieś nad tём rozumowanie. Powiadam miało być, bo go nie widzę. Rozumowanie, aby coś wypowiadało, musi mieć podstawę ogólną, loiczną, rozumową. Jaśniej mówiąc, musi przemawiać do rozumu sposobem analogii, porównania, indukcji; jeśli się bowiem opiera na przypuszczeniu, urojeniu lub wymyśle, wszystkie z kąd płynące wnioski, choćby najawoźniejsze (konsekwentne) były, muszą być mylne, bo są bez podstawy prawdziwej. Ale w pana Ż. rozumowaniu, ani wnioski loice hołdują, ani podstawy rozumowej nie znajdziesz, gdy rozumowanie to jest tylko garścią słów na wiatr rzuconych. Dowód na to historyczny, jakem to w *Ocenie* okazał, równie nie ma żadnej zasady, gdyż wiele innych, prócz przytoczonych przezemnie możnaby przeciw niemu przywieść. Zatem prawda p. Ż. nie jest już ani rozumową, ani historyczną. Gdy jej rozum nie

zgrabnie obok siebie postawił: 1) „iż duch pisowni i duch języka jest co innego;” 2) „pismo ma być obrazem języka.” Ta tylko sprzeczność jest pozorną, gdy bowiem lepiej i głębiej w rzecz wejrzymy, zniknie nam z przed- oczu. Pismo jest obrazem mowy, ale nie jest samą mową. Jako obraz, musi mieć podobieństwa i musi mieć różnice. Summa podobieństw musi być ogromna, różnice małe będą. A zatem, gdy z pewnych powodów rozumownych, o których uwydatnienie w piśmie chodzi, pismo nie zgadza się z brzmieniem głosowem lub gdy idzie o uniknięcie niektórych wątpliwości w mowie, do czego pisownia środki podaje, pismo dlatego, że będzie zrozumiale mówić do oka i rozumu nie przestaje być obrazem mowy, bo choć mowy odbiciem jest pismo, pismo jednak i mowa ustna nie jest bezwzględnie jedno, choć jest względnie tём samém. Czemuż zatem, wracając się do naszej pisowni, ém w 6tym przypadku przymiotników i zaimków, nie mamy pisać przez ém, gdy, jak powiedziałem, język w tym względzie do łagodniejszego „em” się zbliża i formy „listym,” „widzeniem,” „wejrzeniem,” na „listem,” „widzeniem,” „wejrzeniem” zamienił; tём bardziej, gdy to już nic nie kosztuje, bo to prawidło ustaliło się już, i wbrew zwyczajowi piśmiennemu nie pójdziem, ale po woli jego.

O przyimku „dla” który p. Ż. nazwał „przysłówkiem” i szeroki tój rzeczy wywód czyni, wspomnieć mi także należy i postarać się o wykazanie mylności przypuszczenia p. Ż. Oto jest streszczone dowodzenie p. Ż. że „dla” jest przysłówkiem: (352 sierpień). „Dla” jest właściwie drugim spadkiem liczby pojedynczej rodzaju nijakiego rzeczownika „dle” który zaginął, a szczątki jego żyją w wyrazach „dla, podle, wedle, wpodle, (po-dle, we-dle, w po-dle), które są czwartymi spadkami spojonymi w jeden wyraz z przedimkami je poprzedzającymi. Z powodu, że to „dla” jest spadkiem 2 mówiono dawno: tego dla, jak dziś mówimy: tego pola. A ponieważ w języku naszym wolno dziś przełożyć wyrazy i powiedzieć „pola tego” toż samo dawno czyniono i mówiono „dla tego.” Wyrażenie to, jako szczątek rzeczownika, skostniało, stało się martwe i pozostało w postaci: „dla tego” nie mogąc się przemieniać więcej w wyrażenie: „tego dla.” Przypuśćmy najprzód z p. Ż., że wyraz „dla” jest 2m przypadkiem rzeczownika wyszłego z użycia „dle” wszakżeż nam to zrobić wolno i nie nam się ztąd złego nie stanie. Dobrze, ale radbym wiedzieć, co w tём wyrażeniu: „dla tego” robi przypadek drugi? jaki powód tego, że on tu stoi? Czyż rzeczownik jakikolwiek nie będąc od drugiego wyrazu rządonym, może bezkarnie stać w takim, jak nam się podoba przypadku? a jestże tu przed owym drugim przypadkiem albo imię któreby dopełniał, albo przyimek, albo jakibądź inny wyraz? Na nieszczęście, nie ma go i oto już jest punkt, na którym ważyć i chwiać się zaczyna dowodzenie p. Ż., który dozwala wyrazów rządzonych bez wyrazów rządzących, czegośmy dotąd jeszcze w składni naszej nie mieli. 2re. Wié p. Ż. że „dla” jest przypadek 2gi rzeczownika „dle” a nie raczył nam odkryć jego znaczenia, które przecież musi być jakieś; inaczéj wyraz „dla” musiałby nic nie znaczyć, a jakże pojąć wyraz, aby jakiegoś nie wyrażał znaczenia? 3e. Nareszcie to jest pewna, że jeśli pierwot zaginął, a pochodniki zeń żyją, te odmieniają się, gdy pierwot był wyrazem odmiennym, cze-

go w „wedle” nie widać. 4e. Jeżeli „dla” było drugim przypadkiem rzeczownika, a dziś jest przysłówkiem, to rzecz niepodobna; bo żadnych przysłówek z drugich przypadków rzeczowników dotąd jeszcze w języku nie utworzono, chyba dopiero za pośrednictwem jakiegoś przyimka, którego przed „dla” nápróżno upatrujemy. 5e. Żeby szyk dawniej był bardziej niewolniczy, że musiano kładź rzeczownik po zaimku (*tego dla*) sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi, bo tam, gdzie niepewność jeszcze panuje, większą swobodę pozostawia się językowi układania wyrazów jak mu się podoba, a cóż mówić dopiero, gdy nie było przemiany w duchu składni i ta dziś wcale niewolniczą nie jest. Zatem i powód przełożenia „dla” za zaimek, jest inny nie ten, jak p. Ż. przypuszcza. Wytłumaczymy rzecz tę po swojemu, ale zasięgnijmy jój dalej. Wyraz „dla” o który nam chodzi, musi coś znaczyć: otóż po pierwsze znaczy *cel*, *zamiar* np. pojechałem do Wielunia *dla* widzenia się z bratem; powtóre *przeznaczenie* np. to dla mnie, tamto dla ciebie; 3cie *powód* np. dla słabości nie przyszedł. Nadewszystko ten przyimek jest celowy i dlatego częstokroć kładzie się z przypadkiem drugim rzeczownika zamiast przypadku trzeciego bez przyimka. W tém znaczeniu zbliżają się doń, rosyjskie *для*, serbskie *dla* (Linde I, 426.) W grammatyce polskiej Hanki po czesku napisanej a wydania pragskiego 1839 czytamy: Dle tohoto póràdku dásledněgi by bylo w polštině š mjesto *sz* (XIX). Dle wyznamu *gsau wšeka gména mužshého pohlawj 36*. W zbliżeniu tych tylko dyalektów słowiańskich do siebie widzimy już, że jedne tak jak w polskim mają „dla” inne „dle”. *Dle* tutaj więc nie jest rzeczownikiem rodzaju nijakiego, tylko różnicą dyalektową narzeczową tegoż samego nieodmiennego wyrazu zwanego dotąd „przyimkiem.” Czyż nie możnaby przypuścić, co bardzo do prawdy jest zbliżone, że „dle” jednozgłoskowe uwijało się jakiś czas w języku naszym, ale dlatego, że niezbyt miłe jego brzmienie dla ucha polskiego było, ustąpiło miejsca wyrazowi „dla.” Ale ustąpiwszy miejsca wyrazowi „dla” nie zniknęło zupełnie, owszem zostawiło potomstwo w wyrazach: „wedle”, „podle”, „wpodle” z témże samém znaczeniem jak jest i w czeskim:” Podlé końečnj *gsau wšeka* słowa mužshého pohlawj (37). W tém widzimy już, że „dle” i „dla” są narzeczowo różne, ale jedném są w gruncie: Że są dwiema postaciami jednego wyrazu, ale nie żadną jego odmianą, przekonywa nas o tém oczywisty fakt językowy, pojawiający się w wymawianiu między ludem naszym. Wymawiają bowiem „wedle” albo „wedla” „podle” albo „podla.” Czyż różne wymawianie tego samego wyrazu jest jego odmianą? To, co dotąd powiedzieliśmy jest apodyktyczną prawdą. Teraz puśćmy się na morze domysłu przynajmniej z bussolą prawdopodobieństwa. W wyrazie „dle” i złożonych „wedle,” „podle,” „w podle” leży rdzeń zawiązkowy wyrazów: *l* oznaczać mający leżenie, położenie, przyległość, słowem samą rozległość. Wyrazy: „wedle,” „wedla,” „podle,” „wpodle” lud wymawia niekiedy „wele,” „wela,” „pole,” „poła” (1). Te wyrazy w téj postaci

(1) Jest jeszcze między ludem znany wyraz *kole*, na miejsce czego mamy teraz *koło* np. „złe kole niego.” Czyż „kole” i „koło” nie są innemi kształtami tego samego wyrazu tylko w różnych dobach postępu języka powstałemi?



*Do szanownej redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

Mam wstręt niezmierny do odpowiadania recenzentom moim i tym panom, którym się moje recenzye nie podobały: bom przekonany, że każda praca sama siebie bronić powinna. Odpowiedź może potrzebna wtenczas, kiedy jest zła wiara w recenzyi; przeciwnikom moim wolno tego dowodzić, ale kto zna rzecz rozumieć, że i ten gniew coś znaczy.

Nie bawiąc długo wstępem, przesyłam szan. redakcyi te kilka uwag nad ostatnią rozprawą p Tym. Lipińskiego o mojej recenzyi *Starożytnéj Polski*.

Powiedziałem, że autor znalazłby ciekawe szczegóły do opisu Rusi w *Ojczystych spominkach*, w *Chrapowickim* i w *Dziennikach gubernialnych rossyjskich*; pan L. odpowiada: „szkoda, że p. B. nie spojrział na lata ich wychodzenia”. *Spominki* wyszły w roku 1844; *Chrapowicki* w roku 1845; *Dzienniki gubernialne* zaś wychodzą od lat kilkadziesiąt, i mniej więcej już od roku 1838 zaczęły zajmować się archeologią miejscową. Więc te pisma nie poczęły się pojawiać po ukończeniu udziału pana Lip. w *Starożytnéj Polsce*. Rzecz dziwna: autor mógł cytować *Zródła M. Grab. i Malinowskiego*, które wyszły roku 1844; *Album lwowskie*, które wyszło roku 1844; *Pamiętnik relig. mor.* z roku 1845 i t. d., a skarży się, że pisma przezemuie cytowane nie wychodziły? Toć przynajmniej *Dzienniki gubernialne kijowskie, podolskie i t. d.*, umieszczały artykuły archeologiczne o różnych miejscach starożytnéj Polski, zanim pp. Bal. i Lip. wzięli się do swojej pracy.

Przytoczyłem 42 miejsca, wsi erygowanych na miasta. Pan Lip. cytuje 7, że są w Star. Polsce. To zawsze 35 będzie nowych. Ale i tutaj chcę małego porachunku. Prawda, *Tatarzyska, Poczajów i Bucznioyce* są u pana Lip., ale daruje nam autor, w opisie *Wiskitek* jest przywilej z r. 1595, ale nie ma z r. 1775, któryśmy w artykule naszym przytoczyli; o *Konstantynowie* jest tylko wzmianka, że był miastem, nic więcej; u nas jest data erekcyi, o co właśnie chodziło. W *Bieżuniu* jest przywilej z r. 1406, ale nie ma daty roku 1767. Toż samo powiedzieć o *Kutach*, gdzie nie ma daty dnia i miesiąca, któreśmy podali. Zresztą, w artykule naszym wyznaliśmy, że bierzemy pierwsze lepsze daty z notat naszych, nic przez to nie ubliżając *Starożytnéj Polsce*.

Wypada z tego, że pan L. nie zna dobrze dzieła swojego; po cóż się dziwi, że ja tak mało z niem obeznany? Przeciwnicy moi do tego doszli, że mówią mi: „nie czytasz, a cenzorujesz”. Otóż jeszcze jeden dowód, że autor, pan Lipiński, sam nie czytał *Starożytnéj Polski*. Według niego, wmawiam w autorów, że chcieli przelać dzieło Święckiego: „uręczam, powiada, że nie było to naszym pomysłem, ale raczej wydawcy, na cu wszakże nie przystaliśmy”. Otóż w tomie III w *Zakończeniu* pisze Bałiński na str. 864: „Pierwszym pomysłem autorów było nowe wydanie znajomego wszystkim dzieła, w tym rodzaju, przed dwudziestu kilku laty napisanego przez Tomasza Święckiego”.

Oto co chciałem odpowiedzieć na czynione mi zarzuty. W recenzyi mojej nie ma sprzeczności: *Star. Polska* jest ogromem w pomyśle, ale

często słabą w wykonaniu. To starałem się rozwinąć. Pan L. nie uważał, że tam, gdzie są może przesadzone pochwały, byłoto dla jego miłości własnej. Zresztą, tak znakomite dzieło, jak *Sturożytna Polska*, pomimo wad swoich jest dzisiaj w ręku wszystkich, zajmujących się historją; to największa dla niej pochwała, i recenzya moja nigdy dziełu ubliżyć nie może. Pan L. nie odpowiedział na zarzuty, ale szukał wyrażen w mojej recenzji, żeby mi zrobić wyrzuty. Żałuję bardzo, że opuścił w odpowiedzi swojej *owych ptaszków świegotających, strumyków szemrzających* w miejscu, w którym zbija dowodzenie moje, że *Star. Polska* powinna być zbiorem obrazów, nie dat suchych i lustracyj. Na dowód zaś, jak mało jestem stronny dla mojej pracy, niech i to panu Lip. posłuży, że nigdy nie zapierałem się i nie zaprę błędów moich; nie broniłem ich w *odpowiedziach* na *recenzye*, i bronić ich nie będę. Wychodzę z tój zasady, że recenzya albo mnie czegoś nauczy, albo nie: jeżeli nauczy, korzystać z niej, jeżeli nie, po co odpowiedź? Błędy te (gdzież ich nie ma?) znikną zupełnie w drugiem wydaniu *ponniejszych prac moich historycznych*, które właśnie gotuję.

Zostaję z szacunkiem

*Julian Bartoszewicz.*

Warszawa d. 17 listopada 1852 roku.

### *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

*Rien n'est beau que le vrai.*

Pomiędzy gieniuszami wiek XVII w sztuce malarstwa odznaczającymi, jedno z pierwszych miejsc trzyma zapewne Paweł Potter, urodzony w Eikusen r. 1625, zmarły w Amszterdamie r. 1654. Wielki ten artysta, talent swój ograniczył do przedstawiania skromnych krajobrazów, które wszelkiego rodzaju zwierzętami ożywiać umiał; ależ bo zwierzęta jego, szczególnież zaś domowe, bydło, owce, konie i psy, żyją w jego obrazach, zdaje się że oddychają, że widać ich poruszenia; nikt od niego nie pojął lepiej fizyognomii tych zwierząt. W młodzieńczym wieku, bo zaledwie 29ty rok życia zacząwszy, świat ten opuścił; nie dziwnego zatém, że niewiele arcydzieł po nim zostało, i nie każda z galerij europejskich może się poszczycić mistrza tego obrazem: bo niedość na ramie napisać, lub w katalogu wydrukować; dzieła takie muszą mieć dowody, pewne ich pochodzenie usprawiedliwiające.

W galeryi drezdeńskiej pod Nrem 207 znajduje się obraz przedstawiający las, w którym polowanie i bydło paszące się; na dole podpis: „*Paulus Potter fecit anno 1652*”.

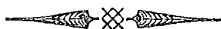
W katalogu zaś pod tym numerem dodano, że figury są A. (dryana) Van de Velde.

pojmuje, więc albo jest nad rozum, czyli jest tajemnicą, a zatem w zakresie dogmatów wiary wchodzi, albo kiedy razem z rozumem nie trzyma, musi być tylko przeciw rozumowi; tak zdrowa loika uczy. Nie przestając jednakże pan Ż. na tych rozumowaniach i dowodzeniach swoich, używa dla przekonania nas ostatecznego o rzeczy, następnego jeszcze dowodu. Każe nam rozebrać przykład następujący: „Dobrze się najem soli”, utrzymując, że wtenczas tylko zrozumieć można o co idzie, gdy raz przez *j*, drugi raz przez *jj* napiszę. Gdy napiszę jedno *j*, w tym przykładzie będzie mowa o *najmie*, który się tęgo soli czyli przepłaca; jeżeli dwa, dopiero wtenczas będziemy mogli zrozumieć, że tu o jedzeniu soli jest mowa. Przykład ten ma nam nowego dowodu, co większa, przekonania dostarczać? To zawiele żartów! Czyż mało jest wyrazów kilku-znacznych w języku naszym, a te się jednakże inaczej nie piszą, to jest pisownia sama różnicy ich nie oddaje? Mnie się zdaje, że nie mam potrzeby przedstawiać ich panu Ż., bo go uczyć ani mogę, ani mam prawa, a pan Ż. wie przecież o ich bytności w języku doskonale. Nie dość na tém. Czyż rozmaicie układając i śmiesznie do siebie dobierając wyrazy, zawsze jedno tylko z nich dla nas wypadnie znaczenie; a jeśli różne, czyż różnice te pisownia wyrazić zawsze jest zdolna? Sądzę, że w tej mierze dość będzie autora Mowni odesłać do Momusa Żółtkowskiego, gdzie mnóstwo dowodów na poparcie mego twierdzenia znajdzie. Nie moja więc w tém wina, że twierdzenia lub dowodzenia pana Ż. zbijać muszę, a zgodzić się na nie żadną miarą nie mogę.

Oto są ostatnie słowa moje. Drugi raz Oceny pisać nie jestem obowiązany. Chcących rzecz sporną między mną a panem Ż. poznać, odsyłam do jego dzieła, mojej Oceny i odpowiedzi na nią. Kto tę odpowiedź moję na odpowiedź pana Ż. przeczyta, spostrzeże, iż po większej części przy swoim obstaję, dopóki nie widzę powodów utrzymywania inaczej, ale że upornie nie trzymam się niczego, dlatego, że moje: owszem, gdy mię kto przekona, natychmiast to uznaję, bo nigdy nie jest i nie było wstydem ujrzyć prawdę, ukorzyć się przed nią, i nigdy w tym względzie zapóźne poznanie prawdy, nie uchodziło za upor przeciw niej, gdy się z nią spotkać nie można było. Tém zakończę odpowiedź moję z p. Ż., zapowiadając, iż nadal szermierką słów, która tylko ku rozdrażnieniu namiętności służy, rzadko kiedy przekonywa, a nigdy nie ustępuje, dla braku czasu bawić się nie myślę. Minał bowiem czas dyalektyki i popisów słownych; minął czas mówienia rozwlekle o niczym, lub odbiegania od rzeczy; dziś, jeśli jakie toczyć się mają kwestye naukowe na drodze spornej, więcej o rzeczy, niż o słowa chodzić powinno, a głównie o miłość prawdy, miłość nauki, i chęć posunięcia jej naprzód. Kiedy tak ludzie z sobą rozprawiać będą, muszą się oglądać, aby w czém drugiej i swojej nie ubliżyli godności, bo nie bić się i wojować za prawdę, ale dla prawdy żyć, w prawdzie się kochać, w prawdzie miłować ludzkość i jedni drugich oświecać powinni. Wtenczas dopiero nauka, zamiast być próchnem błyszczącym w ciemności, będzie słońcem, błogie dla społeczności prowadzącym światło miłości, i ciepło pokoju.

Pisałem w Warszawie d. 26 sierpnia 1852.

Adolf Kudasiewicz.



## ROZMAITOŚCI.

---

### *Popielnice pogańskie pod Raszynem.*

Przed kilką laty odkopano na roli włościanina wsi *Pachat*, należącej do dóbr *Falenckich*, parę naczyń glinianych z kośćmi ludzkimi, które rozsypały się, i śladu ich żadnego nie pozostało. Dowiedziawszy się o tém pierwszych dni b. m. udałem się na wspomnioną rolę, położoną o dwie wiorsty od *Raszyna*, przy drodze prowadzącej do *Pęcic*, niedaleko granicy wsi *Michałowie*. Rola ta piaszczysta, podnosi się wzgórkowato ku stronie południowej i właśnie o téj porze jest pod ugiem. Dnia 5 listopada przesywając lekką warstwę ziemi dzidami, natrafiono w dwóch miejscach, o kilkanaście kroków odległości w linii prostej, na coś twardego. Odkopywano ostrożnie, a pokazały się w każdym miejscu, na łokieć tylko głębokości, po dwa naczynia gliniane kształtu ogromnych *cebuli*, po łokciu prawie średnicy mające. Skorupa na nich zupełnie potłuczona była; ale ziemia piaszczysta pomarańczowego koloru, którą napełnione były, zachowała kształt naczyń. Za poruszeniem rozpadały się, ale we trzech znalazły się wewnątrz inne naczynia, także gliniane, pełne kości ludzkich strupieszających, pomieszanych z ziemią piaszczystą. Jedno naczynie z uszkien, prawie całe, drugie większe kształtu wysokiej donicy popękane, ale udało się je spojć; z trzeciego dna tylko i część pokrywy ocalały. Odkrycie to może posłużyć do dalszego rozwinięcia badań o archeologii krajowej; niewątpliwie dałoby się znaleźć więcej jeszcze popielnic na tém samym miejscu, które musiało być cmentarzem osady słowiańskiej za czasów pogańskich. Wiadomość o tém, jako obchodzącą archeologów naszych, pospieszam do wiadomości publicznej podać.

Warszawa, d. 10 listopada 1852 r.

*Alexander Przewdziecki.*

---

Nie ma wątpliwości, że takiż sam obraz z takimże podpisem, znajduje się także w kolekcji książąt Radziwiłłów, początkowo w Nieborowie pod Łowiczem, później w Królikarni pod Warszawą umieszczonej.

Zwrócić należy uwagę, że w dziełku pod tytułem: „Katalog galerii obrazów sławnych mistrzów z różnych szkół zebranych, przez ś. p. Michała Hieronima księcia Radziwiłła wojewodę wileńskiego, teraz w Królikarni pod Warszawą wystawionych, ułożony i spisany w 1835 r. przez Antoniego Blanka profesora malarstwa b. uniwersytetu warszawskiego w Warszawie, 1835 r.” znajduje się następująca wzmianka, fol. 55 N. 182: „Paweł Potter, krajowid wystawiający las w pięknych gruppach drzew, na brzegu zjeżdżają się myśliwi, około nich gromada psów gończych na sforach; dalej między drzewami ukazuje się jadąca karetka sześciu końmi, przed nią masztalérz. Ten obraz zastanawia każdego widza piękną exekucją i naśladowaniem natury do najwyższego stopnia posunięciem; perspektywa tak powietrzna jak linealna doskonale jest zachowana. To kosztowne dzieło pochodzi z galerii księcia de Choiseulle (sic), kupione zostało w Londynie za 5000 dukatów, malowane na płótnie. Wysokości łokieć 1, szerokości łokieć 1 cali 6”.

Pominąć tu nie należy, że w gabinecie drezdeńskim rycin, w pałacu Zwinger zwanym będącej, jest dawna rycina tegoż samego obrazu Pawła Pottera, pod spodem której napis: „*du Cabinet de Mr. le Duc de Choiseul, de la grandeur de 28 pouces sur 23.*”

W dziele zaś, w francuzkim języku wydaném, pod tytułem: *Guide des amateurs de tableaux pour les écoles allemande, flamande et holandoise; par Mr. Gault de Saint-Germain, ancien pensionnaire du feu Roi de Pologne—à Paris, chez Antoine-Augustin Renouard, rue Saint-André—des Arcs Nr. 55 r. M. DCCCXVIII*, w tomie I szym na karcie 197 autor ten mówi: „*la forêt, avec figures et animaux, un des fameux tableaux de Paul Potter.*

(coll. du Prince de Conti).

„*Le prince Radziwill, par mon conseil, s'est rendu propriétaire de ce tableau, après la seconde vente du prince de Conti. Il a été emballé devant moi, et envoyé en Pologne*”.

Widzimy tedy z powyższych przytoczeń, że istnieją dwa jednakowe obrazy, i innego ztąd następstwa wyprowadzić nie można, tylko: że albo Potter dwa razy jeden i ten sam przedmiot malował, i obadwa te dzieła za oryginały uważać wypada, albo téż jeden z nich jest prostą kopią. Pytanie teraz zachodzi: który?

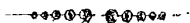
Rozwiązując to pytanie, najprzód nadmienić trzeba, że Paweł Potter zanadto był genialny, zabardzo żył krótko, aby się powtarzać musiał, aby z własnego oryginału kopię robił. Powtóre, gdyby przypuścić, że obadwa dzieła wzmiankowane są jednego autora, powinnyby w takim razie mieć równe zalety; tymczasem obraz książąt Radziwiłłów pod każdym względem nieporównanie wyższym jest od tego, jaki galeria drezdeńska posiada: nie ma w nim téj harmonii i blasku, co w tamtym właśnie na pierwszy rzut oka uderza, a co niewątpliwą stanowi cechę wielkiego malarza. Badałem po wiele razy obraz w Królikarni, nad dre-

zdeńskim zastanawiałem się w r. 1830, 1839 i 1852, zawsze ten sam rezultat otrzymałem, też same nastęrczały się uwagi, które téż pod sąd publiczny amatorów i znawców oddaję. Zdaniem zaś mojem, rycina w zbiorze drezdeńskim będąca, była wzięta z obrazu obecnie do księżnej Michałowej Radziwiłłowej należącego, a który wówczas znajdował się w kolekcji księcia de Choiseul; że następnie przeszedł do księcia de Conti, po którym nabył go książę Radziwiłł, zwłaszcza, że wszelkie powyższe przytoczenia i cytacye przemawiają za tém, a świadectwu pana de Saint-Germain znaczenia zaprzeczyć nie można. Różnica co do miary na rycinie położonej, z tą, jaką Blank w katalogu swym zamieścił, pochodzi ztąd, że nie w tym samym kraju i czasie obraz ten był mierzony, a wiadomo jak się miary zmieniają; stosunek zaś jest taki, że 125 łokci warszawskich równa się 72 metrom.

Obraz więc księżnej Radziwiłłowej jest niewątpliwy oryginał Pawła Pottera. Czém jest obraz drezdeński, tego nie umiem powiedzieć; to tylko pewna, że nikogo zachwycić niezdolny, znawcy go mijają, nikt go nie sztychuje, choć wszystkie dzieła mistrzowskie w Dreźnie, tak często w sztychach spostrzegać się dają. Wszakże dyrekcyja galeryi ma łatwość zbić moje twierdzenia, wyjaśniając prawdziwe pochodzenie posiadanego obrazu; przecież musi być kontrola każdego malowidła, z kąd nabyte i za ile.

Niniejszy artykuł nie ma bynajmniej na celu ani pochlebiania księżnie Radziwiłłowej, ani ubliżenia galeryi drezdeńskiej, która i bez obrazu w kwestyi będącego, nie przestanie należeć do pierwszych galeryj w Europie; rzecz całą wprowadzam na drogę czysto naukową, dla wyjaśnienia wątpliwości i oddania hołdu prawdzie. Na to się jednak nigdy nie zgodzę, aby wielki malarz jakim był Potter, posilkował się kiedy talentem Adryana Van de Velde; żaden autor nie wspomina o tém. Wiadomo tylko, że Van de Velde robił figury na krajobrazach nauczyciela swego Wynantsa, oraz Van der Heydena, Hobemy, Moucheron, i Hakkerta; zaś Paweł Potter, pomimo, że w oddaniu figur nie był szczęśliwy, pomocnika żadnego nie miał. Adryana Van de Velde używać i dlatego jeszcze nie mógł, że w chwili śmierci Pottera, ostatni w r. 1639 urodzony, był jeszcze dzieckiem; w r. 1652 zaś, w którym obraz w mowie będący powstał, Van de Velde miał zaledwie 12 lat wieku: niepodobna przeto, aby mu taki gieniusz jak Potter, nieporównane swe arcydzieła dla wykończenia powierzał. Prędziej być może, że Van de Velde w młodym swym wieku ucząc się malarstwa, jako początkujący artysta, obraz ten przekopiował.

W. H. J.



## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

#### CHEMIA.

**Gutta percha.** Na posiedzeniu Akademii umiejętności paryzkiej, w dniu 26 lipca r. b. czytał p. Payen rozprawę o powyższém cieie, w której opisał jego własności, skład i najważniejsze zastosowania. Oto jest treść tej rozprawy.

Wiadomo, że ciało którego dostarczają wyspy azjatyckie pod nazwą *gutta percha*, jest oskołą wypływającą z drzewa *Isonandra percha*, (podług Hookera), z rodzaju *Bassia butyracea*. Powyższe drzewo dochodzi do 1 metra średnicy, a 20 metrów wysokości, jest miękkie, włókniste i do budowy nie ma żadnej wartości, ale owoce jego wydają olej tłusty. Z jednego drzewa, jak utrzymują, wydobyć można do 18 kilogramów gutty perchy. Sok wysuszony okazuje się w postaci warstewek cienkich, jedna na drugiej ułożonych, co wszystko jest w bryłach niekształtnych, mniej więcej zbitych, szarych: takie zaś dopiero wysyłają do Europy od 1845 r. w coraz większej ilości. Zdaje się, że krajowcy oddawna używali tego ciała, dzisiaj zaś oczyszczają je do rozmaitych celów przez rozdrabnianie, czyli rozcieranie w wodzie zimnej, bo wtedy utracą ono znaczną część istot obcych i soli rozpuszczalnych, a ułatwia się wydzielanie szczątków drzewiastych i ciał ziemistych. Następnie ukończają wypłókiwanie w wielu kaskach wody ciepłej, poczem guttę perchę wysuszają i urabiają w masę przez ogrzewanie w 110° (blizko) w kotle z ścianami podwójnemi, ocieplonym parą. Takowa gutta percha jest miękka, łatwo przylega i spajać się daje. Walcowana lub wyciągana na rurki, albo przerabiana w formach, przybiera w skutku powolnego oziębienia znaczną twardość i zbitość.

Z poszukiwań p. Payen okazuje się, że gutta percha do nas przychodząca, składa się głównie (z soli rozpuszczalnych i nie rozpuszczalnych, z ciał roślinnych usaletrorodnionych, tłustości, barwnika i niedokwasu żelaza), z trzech pierwiastków bezpośrednich dobrze odznaczonych. Najobfitszy, który posiada główne własności ciała pierwotnego, nazywa Payen *guttą czystą*, inne dwa są żywicami obojętnemi. Jedną z nich którą otrzymuje się w kryształach białych nazywa P. *krystalban* lub *alban*, zaś tę która jest żółtą *fluawil*; ostatnia łatwo się rozpląwa w mierném cieple. Zwykła gutta percha zawiera czystej gutty 75 do 82, albanu 16 do 14, fluawiału 6 do 4.

Dalszy ciąg niniejszej rozprawy później ma być w pismach publicznych zamieszczony. (*L'Institut* z 28 Juillet 1852 r.).

\* P. Barral, podał wypadki rozbiorów wody deszczowej zebranej z obserwatorium paryzkiego w pierwszym półroczu 1852 r., są one następujące: 1) Spadło w Paryżu tyle saletrorodu w związkach, że to wyrównywa 22,5 kilogramów na hektar; to jest w postaci kwasu saletrowego 15,5 kil., a w postaci amonii 7 kil. 2) Ilość amonii spadłej w powyższym przeciągu czasu wyniosła 13,8 kil. na hektar. 3) Ilość prawdziwa kwasu saletrowego znalezionej w wodach deszczowych, podniosła się na 46,3 kil. na hektar. 4) Ilość amonii zmniejszyła się w tych miesiącach, w których ilość kwasu saletrowego się powiększyła. 5) Stosunek kwasu saletrowego powiększał się zawsze w czasie burz. 6) Tylko w miesiącach: lutym, marcu, kwietniu i czerwcu, ilość saletrorodu w postaci kwasu saletrowego była nieco mniejsza, niż saletrorodu w postaci amonii. 7) Ilość chloru spadłego (z deszczem) wyrównywała 11 kil., co równoważy 18,1 kil. soli kuchennej na hektar. 8) Ciała będące w zawieszeniu w deszczówce (nierozpuszczalne), zawierały w sobie w 6 pierwszych miesiącach 1852 r. 1,2 kil. saletrorodu. (*L'Institut* z 29 Sept. 1852).

\* *Oczyszczanie węgla kamiennego do wytapiania żelaza.* P. Chevreul podaje następne doświadczenia P. C. Calvart profes. chemii w Manchester, tyżące się otrzymywania koksu i wytapiania surowcu.

Wiadomo że siarka udziela żelazu własności zmniejszających jego wartość, gdyż robi je kruchém. Ponieważ jednak siarka w żelazie się znajdująca, po największej części pochodzi z ciała używanego do palenia; starał się przeto p. C. oczyścić toż ciało, a to przez rozłożenie siarczyków w niem zawartych. Po wielu dochodzeniach przekonał się, że chlorek sodu (sól kuchenna) w szczególny sposób zastosowany (którego jednak nie wskazuje), w właściwym stosunku (lecz i tego nie podaje); doskonale służy do powyższego celu. W tych doświadczeniach pod wpływem ciepła, dwusiarczyk żelaza rozkłada się na siarczyk pierwszy, który znowu z chlorkiem sodu tworzy między innemi i chlorek żelaza; ten zaś chlorek w wysokim cieple i w przystępie pary wodnej, rozkłada się w niedokwas żelaza i kwas solny, a siarka i sól będą w żużlach pieców wielkich, i dlatego siarka nie połączy się z żelazem. Powyższy sposób został zastosowany przez p. Cal. na wielką stopę w Szkocyi z bardzo dobrym skutkiem. P. Chevreul złożył Akademii umiejętności paryzkiej próby żelaza otrzymane z takowego koksu, porównawczo z innemi wytopionemi za pośrednictwem paliwa zwyczajnego, a to dla osądzenia względnej ich wartości. Aby zaś można było ocenić różnicę w surowcach powyższych gatunków, przytaczamy tutaj wypadki niektórych doświadczeń p. Cal.

Brał on sztaby żelaza zupełnie jednakowych wymiarów, mające 1 cal kwadratowy angielski, a 5 stóp angielskich długie, i umieszczał je na podstawkach odległych od siebie na 4 stopy 6 cali. Wywierając wtedy ciśnienie stopniowe na środek sztaby, aż do jój pęknięcia, przekonał się, że potrzeba koniecznie wagi w funtach angielskich:

Dla surowcu nie oczyszczonego: 487; 456; 487; 470.

Dla surowcu oczyszczonego: 556; 544; 562; 569. (*L'Institut* z 29 Septembre 1852).

J. B...a.





# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

1850.

115. Opisanie najużywanych roślin lekarskich pod względem ich podobieństwa i różnic. Z rycinami. 4ka. Kraków. 1850. Druk uniwersytetu Jagiellońskiego. Stron. 28. (Z 13ma litografowanemi tablicami roślin). Kop. 40.

1851.

143. O wpływie jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak i leśne w ogólności, a w szczególności o owadach lasom szkodliwych, przez Kazimierza hrabię Wodzickiego, członka czynnego Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego. 8ka. Lwów. 1851. W drukarni Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 27.

144. Wypisy francuzkie dla dzieci poczynających naukę tego języka. Ułożone przez Alexandra Zdanowicza. Wydanie siódme. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 132. Kop. 25.

1852.

140. Farmacya przez S. Fabiana, magistra farmacyi, właściciela apteki w Nowym Dworze. Tom I. Początki botaniki i zoologii, chemia organiczna i farmakognozya. Tom IIgi, chemia nieorganiczna i farmacya w ścisłym znaczeniu. (Z dwuostu rycinami). Edycya druga, poprawna i znacznie powiększona. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1852. Nakładem autora, druk Gazety Codziennój. Tom I, napisów kart 2 i str. 508. Rejestru kart 8. Tom IIgi, napisów kart 5 i str. 694. Rejestru str. XXII. Rub. sr. 6.

141. J. J. Virey. Fizjologja i jej stosunek do psychologji. Przekład W. P. (Z godłem)

Magnus ab integro nascitur ordo.

*Virgil.*

8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. XXVIII i 364. Rsr. 2 kop. 40.

142. Obserwacye należące do koni i stad polskich. Napisane r. 1705 przez Jerzego Dzieduszyckiego koniuszego Wielkiego Koronnego. Z rękopismu biblioteki Załuskich po pierwszy raz z druku wydał Stanisław Przyłęcki. 8ka. Lwów. 1852. Druk Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 24.

143. Pierworys systematu filozofii ze stanowiska chrześcijańskiego pojętój, przez księdza Waleryana Serwatowskiego penitencyarza przy kościele N. Maryi Panny, członka Towarzystwa Nauk. Krakowsk. 8ka. Kraków. 1852. W drukarni Czasu. Str. 83.

144. Wąsy i peruka. Komedia w trzech aktach. Przez Józefa Korzeniowskiego. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. 153. Kop. 75.

---

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Zapowledziane dawniej: „Powieści naszych czasów, Seweryny z Żochowskich Praszak” w czterech tomach, w ozdobnym wydaniu wyszły nakładem G. Sennewalda.—Nakładem tegoż księgarza równocześnie wyszły także: „Pisma pomniejsze Jana Majorkiewicza we 2 tomach (stanowiące ogólnego zbioru pism tego autora tom IV i V), oraz „Wybór kazań i mów przygodnych” księdza K. Antoniewicza, M. Kamińskiego, A. Miktewicza i innych.

— Nakładem S. Orgelbranda wyszedł tom 1 Historji powszechnj Cezara Cantu. Przekład Leona Rogalskiego. Całe dzieło składać się będzie z 10 obszernych tomów. Tom 2 już jest pod prasą.—Nakładem téjże księgarni wyszła powieść J. I. Kraszewskiego p. n.: Złote jabłko.

— Księgarnia S. Merzbacha kończy „Historją Hiszpanii, i Księgę Świata” na r. b.

— J. I. Kraszewski pisze nową powieść dla pisma naszego p. n. „Chata za wsią”; ukończył oraz ciekawe pamiętniki Lipskiego, z autentycznych źródeł czerpane.

— Ludwik Kamiński znany tłumacz Jerozolimy Wyzwolonj Tassę, przełożył pięć pieśni Dantego: Piekło. W jednym z następnych zeszytów Bibl. Warsz. ten przekład umieszczonym zostanie.

— Seweryn Gołębiowski opracowuje obecnie życiorys Stefana Chmieleckiego sławnego pogromcy Tatarów, i w rodzaju pamiętnika, pełnego życia i szczegółów współczesnych, życiorys Tomasz Zamojskiego.

— Jan Kanty Gregorowicz przygotował nową powieść do druku p. n. „Tomko bez nogi”. Obecnie pracuje nad obrazkami Warszawy.

— PP. Alexander Przędziecki i Edward Rastawiecki, z rokiem przyszłym rozpoczną wydanie dzieła: „Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec XVIIgo wieku, w dawnj-Polsce”. W następnym zeszycie podamy szczegółową o tém wiadomość.

— W uniwersytecie lwowskim następnie przedmioty są wykładane w halicko-ruskim języku. W fakultecie teologicznym: dogmatyka i teologia pastoralna. Na prelekeyach filozoficznych: porównawcza halicko-ruska grammatyka i historia halicko-ruskiej literatury.

— W Wilnie Teofil Glücksberg ogłosił przedpłatę na dzieło p. n.: „Chrześcianańska filozofia życia, w porównaniu z filozofją naszych czasów panteistyczną, przez Maxymiliana Jakubowicza”; w 3ch częściach, w większej Sze, wydanie świetne na papierze welinowym.

— Nakładem tegoż księgarza wyjdą wkrótce zpod prasy: Dzieje literatury w Polsce Wł. Syrokomli T. II i III.—Gawędy, przez Ludwika Kondratowicza (Wł. Syrokomlę).—Krynice ze wspomnień i gawęd z sobą samym, autora dawnego autoramentu, T. I w 12ce.—Nauki religijne z dzieł starego i nowego testamentu wyjęte, dwa tomy.—Ukraińska powieść A. Kosińskiego, t. I.

— W Krakowie, nakładem D. E. Friedlejna księgarza wyszły: „Wizerunki królów i książąt polskich, od V do XVIII stulecia, podług najdawniej-

szych rysunków i pomników zebrane, a teraz w drzeworytach wydane". Wydanie staranne.—Nakładem księgarza J. Wildta: „Kalendarz powszechny na rok 1853.”—Nakładem Józefa Czecha wyszły: „Pamiętniki o wyprawie chocimskiej r. 1621, Jana hr. Ostroroga, Prokopa Zbigniewskiego, Stanisława Lubomirskiego i Jakóba Sobieskiego, z rękopisów współczesnych i druków mniej znanych zebrał Żegota Pauli.”—Wyszedł także nakładem D. E. Friedlejna: Atlas zoologiczny w 45 tablicach arkuszowych, z nazwami w języku polskim, niemieckim i łacińskim.—We Lwowie wydano Kalendarz na r. 1853 p. n. „Ziemianin”, oraz „Kalendarzyk damski” na rok tenże.

— Towarzystwo Naukowe krakowskie pracuje obecnie nad powszechnym słownikiem terminologicznym, i znaczne już zebrało materiały do tak ważnego przedmiotu dla naszego języka.

— W drukarni Piotra Pillera we Lwowie wyszły: Podróże Krzysztofa Kolumba, dziełko dla młodzieży ułożone przez H. Witwickiego.—Arytmetyka na klasę IIgą gimnazyów galicyjskich, przez S. Krawczykiewicza ułożona.—Słowo i obraz, czyli krótkie i zwięzłe opisy rzeczy pod zmysły podpadających, przez T. Chocholouska nauczyciela przy zakładzie głuchoniemych we Lwowie (pismo zeszytowe).—W drukarni zakładu Ossolińskich wyjdzie „Historia naturalna zwierząt ssących dzikich galicyjskich, zawierająca dokładne opisanie zwierząt ssących krajowych, tudzież ciekawe spostrzeżenia nad sposobem życia i obyczajami tychże, jako skutek 20letnich badań i doświadczeń robionych w naturze, i w wielkiej, przeszło 500 różnorodnych zwierząt liczącej menażeryi, przez Stanisława Konstantego z Siemuszowój Pietruskiego.

— W drukarni Czasu w Krakowie wyszło dziełko: „Zakłady ku ulżeniu cierpieniom bliźnich obecnie w Krakowie istniejące, z krótką wzmianką o dawniejszych, a dziś nieistniejących instytucjach tego rodzaju, przez J. T. Głębockiego wice-prezesa Towarzystwa Dobroczynności. Ska.

— Do ciekawej biografii księcia Karola Radziwiłła (panie kochanku) wkrótce ważne wyjdą materiały. Rozpoczęte zostaną opisem ulubionój jego Alby, pobyt księcia w Węgrzech, w Preszowie przez lat 6, powrót jego do Litwy, oraz przyjmowanie króla Stanisława Augusta w Nieświeżu.

— Powieści J. I. Kraszewskiego: „Latarnia czarnoksiężka”, przełożona przez Józefa Skarbka na język czeski, p. n.: *Kauzelna svitilna*, i *Świat i poeta*, wyszły spod prasy drukarskiej.

— Dla użytku klas gimnazjalnych wychodzi z drukarni E. Wieniarza we Lwowie: Wybór poezyi i prozy polskiej.

— Paweł Józef Szaffarzyk wydał: *Pamatky drevniho pisemnictvja Ihoslovanno* (Pomniki dawnego piśmiennictwa Słowian północnych), w Praze. 1851. 4ka. W dziele tém ogłoszone zostały po raz pierwszy w całości dwa niezmiernie ważne dla historii ojczyścjej żywoty apostołów słowiańskich, Konstantego zwanego później Kiryłą, i Metodego. Do pierwszego z tych żywotów użył wydawca pięciu rękopisów lwowskich, a w części rękopisu rzymskiego; dwa z nich, jakoto: *rylski* i lwowski sięgają XVgo wieku. Żywot zaś Metodego dla dziejów polskich nierównie od tamtego ważniejszy, znany jest dotąd z jednego rękopisu, pisanego na papierze in folio, w wieku XVI, a należącego dziś do akademii duchownej w Moskwie. Odpis wierny z niego przez profes. Pogodina, wydawcy udzielony, służył mu do

tego wydania. Prócz tych, umieszczone tu są dwa żywoty S. Szymona, wielkiego żupana serbskiego, tudzież dyplomata różne, prawa *Duszana* cara, i krótkie latopisy serbskie. Wydanie tego dzieła jest zapowiedzią nie-równie obszerniejszej publikacji.

— Wiadomo, jakie zajęcie wywołał poemat p. n.: „Wojna Chocimska”, którego wydawca Stanisław Przyłęcki, mieni być autorem Andrzeja Lipskiego. Pan Szajnocha przekonywającymi dowodami okazuje teraz, że rzeczywistym twórcą tego arcydzieła w literaturze jest *Wacław Potocki*, znany autor *Jovialitates*, *Syloreta*, i wielu innych poematów, które wszystkie po jego śmierci dopiero się w druku pojawiły.

(Wyjątek z listu ze Lwowa).

— „Do *Monumentów* mamy już papier sprowadzony z Lipska, czcionki nowe, w które drukarnia nasza nie była dość zamożna, będą też wkrótce do naszego użytku, i na wszelki przypadek, najdalej koło Nowego Roku druk rozpoczniemy. Ossolińskiego Wiadomości historyczno - krytycznych tom IV już skończony. Tom I *Monumentów* rozpocznie się listem Matyldy do Mieszka II, z biblioteki berlińskiej: będzie w tymże tomie najstarszy żywot Metodego w oryginale i w przekładzie polskim dosłownym. Mówi ten żywociarz o naszej *Wisłicy*, i zajęciu tych krajów przez Świętopelka”.

† Dnia 31 października b. r. w Warszawie, zmarł Kajetan Kwiatkowski, dawniej szambelan dworu Stanisława Augusta, b. kurator szkół, autor i bibliofil. Żył lat 82.

† Dnia 13 b. m. i r. w Obrze w W. Ks. Poznańskiem umarł na grasującą epidemią ks. Karol Antoniewicz, znakomity kaznodzieja i autor wielu dziełek religijnej treści.



## UWIADOMIENIE

OD REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie bez żadnej zmiany i w roku następnym 1853.

Z wyjściem niniejszego poszytu otwartą jest prenumerata według zwykłych warunków: t. j. w Królestwie rub. sr. 9 rocznie, lub rub. sr. 4 kop. 50 półrocznie, którą przyjmują także wszystkie urzędy i stacye pocztowe; a w Cesarstwie, dla tych prenumeratorów, którzy chcą odbierać Bibl. Warsz. pocztą, w kopertach, przedpłata roczna wynosi rub. sr. 10, nadsyłając je jednakże *franco* albo do: „Expedyeyi Gazet w Warszawie”, albo wprost: „Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Senatorskiej, nr. 46<sup>8/9</sup>”.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatorjum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIEM.**

***Październik, 1852.***

Październik 1852.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza  
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiecz.	10 god. wiecz.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiecz.	10 god. wiecz.	
1		748.95	750.48	749.43	746.55	+ 9.3	+13.98	+16.5	+13.1	58.2
2		746.30	746.05	743.39	740.89	+ 11.7	+ 16.9	+ 20.1	+ 14.8	63.5
3		744.30	744.61	745.31	747.95	+ 12.1	+ 14.0	+ 14.6	+ 7.7	61.8
4		749.20	749.33	749.33	750.54	+ 5.2	+ 11.3	+ 14.1	+ 6.0	67.2
5		747.80	744.56	738.16	734.82	+ 3.7	+ 10.5	+ 13.3	+ 14.6	73.8
6	☾	737.25	739.51	741.52	743.14	+ 14.6	+ 14.6	+ 13.7	+ 11.5	58.2
7		742.62	742.67	740.08	740.63	+ 3.6	+ 10.8	+ 14.1	+ 7.5	77.8
8		741.15	741.95	743.32	744.23	+ 5.5	+ 9.3	+ 7.4	+ 5.2	71.7
9		742.70	743.92	744.92	747.51	+ 5.2	+ 7.8	+ 9.4	+ 4.6	73.5
10		750.18	752.53	752.79	753.63	+ 1.4	+ 6.3	+ 9.4	+ 4.5	86.3
11		753.28	753.65	753.32	754.36	+ 3.2	+ 8.2	+ 10.3	+ 6.3	80.2
12		754.89	756.29	755.69	756.82	+ 3.1	+ 6.7	+ 10.1	+ 5.5	75.8
13	☉	757.19	757.98	756.02	757.68	+ 2.2	+ 6.5	+ 8.0	+ 2.5	81.0
14		756.83	756.80	755.33	756.35	- 0.4	+ 6.5	+ 10.7	+ 8.5	76.5
15		760.01	762.12	762.43	763.69	+ 2.8	+ 5.5	+ 6.3	+ 2.4	66.0
16		762.92	763.16	760.69	760.28	- 1.2	+ 3.2	+ 6.2	+ 0.4	77.5
17		757.31	756.27	753.82	753.55	- 3.1	+ 3.3	+ 6.9	+ 4.5	66.0
18		755.63	756.52	754.08	754.28	+ 2.6	+ 5.0	+ 4.2	+ 0.4	78.0
19		754.66	757.11	759.71	761.89	- 0.4	+ 0.7	+ 4.6	+ 0.5	79.5
20	☾	759.41	756.80	752.85	753.91	- 0.6	+ 3.6	+ 5.1	+ 7.5	86.7
21		751.59	752.19	750.29	751.54	+ 7.9	+ 9.1	+ 10.5	+ 9.1	81.0
22		751.78	752.59	752.36	752.35	+ 7.1	+ 9.4	+ 9.1	+ 7.7	91.0
23		751.31	752.36	752.26	753.59	+ 6.4	+ 9.5	+ 11.4	+ 4.9	80.5
24		753.30	752.31	748.17	745.26	+ 3.3	+ 4.6	+ 8.5	+ 6.6	81.0
25		743.51	744.61	743.91	743.13	+ 10.4	+ 10.6	+ 11.9	+ 6.5	85.5
26		740.33	739.82	741.32	742.42	+ 7.9	+ 9.0	+ 9.1	+ 9.1	99.0
27		741.58	741.60	741.28	742.99	+ 7.2	+ 6.6	+ 4.3	+ 3.3	99.0
28	☉	744.58	745.93	745.10	744.57	+ 2.9	+ 4.2	+ 4.0	+ 3.3	98.8
29		745.09	746.60	747.23	747.60	+ 2.5	+ 2.5	+ 2.5	+ 2.7	97.0
30		749.07	749.80	748.81	747.28	- 0.4	+ 0.9	+ 1.6	+ 2.1	92.5
31		744.65	743.97	743.82	744.66	+ 2.7	+ 4.5	+ 4.8	+ 4.2	100.0
Sre.		749.657	750.132	749.250	749.616	+4.46	+ 7.59	+9.22	+ 6.05	74.5

## watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1<sup>g</sup>. 14<sup>m</sup>. 45<sup>s</sup>, 7  
względem południka paryzkiego.

## S T A N N I E B A

## KIERUNEK WIATRU

Wysokość  
wody  
spadłej  
w milim.  
Z

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. Z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pogodny lek. pochm. pochmurny pogodny lek. pochm.	napół pog. lek. zamat. pochmurny pr. pogodny pochmurny	lek. pochm. pochmurny pochmurny napół pog. poch. dész.	lek. pochm. lek. pochm. pogodny napół pog. pochmurny	Z. PdZ. Z. PdZ. Pd.	Z. PdZ. Z. PdZ. Pd.	PdZ. PdZ. Z. PdZ. PdW.	Pd. Pd. PdZ. PdZ. Pd.	0.7	
pochmurny pogodny pochmurny poch. dész. pr. pogodny	pochmurny pogodny pochmurny pogodny napół pog	pochmurny poch. dész. dészcz pochmurny napół pog.	pochmurny pochmurny pochmurny pogodny pochmurny	PdZ. PdZ. PdZ. PdZ. PdZ.	Z. PdW. PdZ. Z. Z.	PdZ. PdZ. PdZ. Z. PdZ.	PdZ. PdZ. Pd. Z. Pd.	3.2 0.6 0.5	
pochmurny poch. lek. m. lek. poch. m. pochmurny pogodny	napół pog. poch lek. m. napół pog. m. smugi. lek. poch. m.	lek. poch. m. napół pog. pogodny pochmurny napół pog.	pr. pogodny pogodny pochmurny pr. pogodny	Pd. W. Pn. PdZ. PnW.	PdW. W. Pn. Z. Pn.	PnW. PnW. PnZ. Z. Pn.	W. PnW. PnZ. Z. Pn.		
pog. lek. m. pogodny pochmurny pochmurny lek. poch. m.	pogodny smugi. pochmurny pogodny pochmurny	napół pog. mat pochmurny pr. poch. m. pochmurny	pogodny pochmurny śnieg pr. pogodny pochmurny	PnW. PdZ. PnW. Pn. PdZ.	PdW. Z. W. PnW. PdZ.	PdZ. Z. W. Pn. Z.	Pn. Z. W. PnZ. Z.	3.6	
poch. mgła. pochmurny pochmurny pochmurny poch. dész.	poch. mgła. pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny	pochmurny pochmurny pochmurny lek. poch. m. smugi	pochmurny pochmurny lek. poch. m. lek. poch. m.	Z. Z. Pd. PdW. PdZ.	Z. Z. W. PdW. Z.	Z. Pd. W. PdW. Z.	Z. Pd. W. PdZ. Pd.	0.6	
poch. mgła. poch. lek. m. poch. lek. m. mgła gęsta pochmurny poch. mgł. d.	poch. mgła. pochmurny pochmurny pochmurny pochmurny dész. lek. m.	poch. mgła. pochmurny dész. mgła pochmurny pochmurny mgła	gęsta mgła poch. mgła. dészcz pochmurny pochmurny mgła	PdW. PnW. PnW. PnZ. PnZ. PdW.	W. PnW. W. PnZ. Z. PdW.	PnZ. PnW. W. PnZ. PdW. Pn.	Z. PnW. W. PnZ. PdW. Z.	2.2 4.3 0.6	
								14.7	3.6

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.664	27	8.323
Najwyżej dochodził — d. 15 o g. 10 w.	763.69	28	2.541
Najniżej — — d. 5 o g. 10 w.	734.82	27	1.743
Średnia zmiana dzienna barometru	3.445		1.527
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 10 w.	15.72		6.969
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	1.007		0.446
Średnia temperatura październ. wynosi: +	6 <sup>o</sup> .83 C.	+ 5 <sup>o</sup> .46 R.	
i ta jest niższą o	1.36 „	1.09 „	
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	+ 8.19 „	+ 6.55 „	
Największe ciepło dochodziło d. 2 o godz. 4 popołud.	+ 20.1 „	+ 16.08 „	
Największe zimno d. 17 o g. 6 r.	— 3.1 „	— 2.48 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.617 „	2.093 „	
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 6—7 o g. 6 r.	11.0 „	8.80 „	

## Termometrograf wskazał:

Maximum: +18<sup>o</sup>.0 R. d. 2 po połud.

Minimum: —20.8 „ d. 17 rano.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 14,7 milim. czyli 6,52 lin. par.; z śniegu 3.6 mil. czyli 1.59 lin. par., razem z deszczu i śniegu 18.3 mil. czyli 8.11 lin. par.: ilość ta wody jest mniejszą o 17,51 lin. par. od tej ilości jaka zwykle u nas w październiku spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 79,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6,44 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,05 od normalnej.

Dni pogodnych było 1, napót pogodnych 8, pochmurnych 22.

— deszczu 12 (d. 3, 5, 7, 8, 9, 14, 20, 25, 26, 28, 30, 31).

— śniegu 1 (d. 18).

— mgły 9 (d. 12, 13, 16, 21, 26, 27, 28, 29, 31).

Wichrów 3 (2 Z., 1 PdZ.).

Wiatrów mocnych 12 (6 Z., 4 PdZ., 1 Pd., 1 PdW.).

Wiatr panujący: Zachodni i Południowo-Zachodni.

Październik r. b. był niepogodny, chłodny, mglisty, wietrzny, przeszło o 1 stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Pierwsze siedm dni przy wietrze południowo-zachodnim były ciepłe; następne 23 chłodne. Najcieplejsze dni były: 1, 2, 3, 5, 6; najchłodniejsze: d. 16, 17, 19, 29, 30. Pierwszy mróz dochodził 1.4 stop. R. d. 14 z rana. Pierwszy śnieg przuszył w nocy z d. 18 na 19, i śniegu spadło na dwa cale wysoko. Najwilgotniejsze i mgliste były sześć dni ostatnie; najsuchsze dni: 5, 15, 17. Deszcze lubo padały dosyć często, były jednak nie obfite. Ilość wody z deszczu spadłej wynosi tylko 8.11 lin. par. to jest trzecią część ilości wody, jaka zwykle w tym miesiącu spada. Wichry i wiatry mocne były częste. Elektryczność atmosferyczna pomimo pochmurnego nieba była w dniach 1, 3, 7, 12, 16, 19, 28, 29 silna. Dnia 1, przy wichrze Z. i pochmurném niebie, elektrometr pokazywał o godz. 11<sup>1</sup>/<sub>2</sub> z rana 70 stopni natężenia.

Dnia 17, 19 pokazywały się plamy na słońcu.



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82